

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

i MŁODZIEŻY.

443
J 52 / XXVIII / 64

Rok XIX — 1898.



WARSZAWA.

W Drukarni Noskowskiego,

Warecka Nr. 15.

1898.

SPIS PRZEDMIOTÓW

zawartych w tomie XIX^{ym} Wieczorów Rodzinnych.

Numer główny.

ARTYKUŁY TREŚCI NAUKOWEJ.

- Śnieg kolderka p. *E. Jankowskiego* str. 2.
Śnieg (z ryc.) p. *B. Dyakowskiego* str. 6.
O wywoływaniu duchów p. *St. Kramsztyka* str. 10, 18.
Dziaki (z ryc.) str. 22.
Kambus czyli trzcina indyjska (z ryc.) str. 30.
Dwóch Gustawów p. *Z. Bukowiecką* str. 54.
W otchłaniach morskich p. *Dr. M. Stefanowską* (z licznymi rycinami) str. 42, 49, 62, 69, 76, 93, 102, 110, 122, 229, 138, 149, 155, 163, 172, 180, 187.
Grotty stalagmitowe (z ryc.) str. 53.
Tajemnicze kwiaty str. 115.
Z dziejów cywilizacji, o niewolnictwie p. *Z. Bukowiecką* str. 139, 151, 156, 166.
W zarusiu wiosny p. *E. Jankowskiego* str. 146.
Vasco de Gama str. 184.
Pogadanki naukowe p. *Wł. Umińskiego* str. 201, 210, 219.
Oblężenie Częstochowy przez Szwedów (z ryc.) str. 212.
Lwy afrykańskie (z ryc.) str. 222
Dawni nasi malarze p. *W. Marréne* (z licznymi rycinami) str. 242, 250, 258, 266, 274.
Noc sierpniowa p. *C. Niewiadomską* str. 268, 278, 284.
Małpeczka upiór (z ryc.) str. 300.
Panorama „Przejście przez Berezynę” (z ryc.) str. 322.
Sto lat temu nad Nilem (z licznymi rycinami) str. 281, 290, 298, 310, 315, 331, 338, 347.
Krystyn Gozdawa p. *Władysława Umińskiego* (z ryc.) 353.
Pierwsza robota panny Klementyny p. *Z. Morawską* str. 362.
Dziejów cywilizacji. O pieniądzach p. *Z. Bukowiecką* str. 370, 385, 380, 392.
O poprawnym mówieniu p. *L. W. Szczerbowicza* str. 392.
Dziwy przyrody p. *Abracadabrusa* (z ryc.) str. 402.
Dzikie koty z Pampasów (z ryc.) str. 407.
Niebo w marcu str. 88, w kwietniu str. 119, w maju str. 160, w czerwcu str. 200, lipcu str. 232, sierpniu str. 272, wrześniu str. 304, październiku str. 336, listopadzie str. 376, grudniu str. 415.

POWIEŚCI, OPOWIADANIA I PODRÓŻE.

- Nadzwiedź, powieść z XVI w. p. *Zuzannę Morawską* str. 3, 11, 19, 27, 35, 43, 50, 58, 67, 75, 83, 91, 99, 111, 114, 127, 134, 142, 150, 158, 166, 174, 181, 190.
Wie kolendy p. *Zofię Sawicką* str. 7.
W polance. Powieść p. *E. Jertlicza* str. 14, 22, 30, 38, 46, 55, 63, 70, 79, 86, 94, 102.
Wielki chłopiec p. *Zofię Kowerską* str. 97, 106, 118, 123, 130, 138, 446, 254, 162, 171, 178, 187, 194, 210, 219, 227, 235, 243, 250.
Obrońcy Bogów. Powieść na tle dawnych legend p. *Maryę Łopuszańską* str. 198, 205, 213, 223, 230, 238, 246, 254, 262, 270, 279, 286, 294, 301, 311, 318, 327, 334, 343, 350, 358, 364, 373, 382, 390, 398, 405.
W obłokach i pod wodą. „Wyprawy latającej ryby” opisał H. C. (z rycinami) str. 252, 259, 267, 275, 283, 291, 199, 207, 215, 323, 326, 333, 341, 348, 355, 363, 371, 378, 387, 395, 402.

- Dla matki, Baśń czeska (z ryc.) str. 186.
Kartka z dzienniczka księżniczki Elżuni p. *Terese Jadwigę* str. 116.
Alcaios w Motonie p. *L. W. Szczerbowicza* (z ryc.) 218, 226, 234.
Babie lato p. *Jadwigę Warnkową* str. 324.
Bez przewodnika. Kartka z Zakopanego (z licznymi rycinami) p. *C. Niewiadomską* str. 306, 314, 323, 330, 338, 346.

KOMEDYJKI I OBRAZKI DRAMATYCZNE.

- Urna i łzawnica. Komedyjka w I-m akcie p. *Zofię Bukowiecką* str. 124, 131.
Pan Mieczysław celujący. Komedyjka w I-m akcie p. *Nagodę* str. 207, 215.

ŻYCIORYSY.

- Jubileusz Adama Pługa p. *W. M.* str. 2,
Jubileusz Ojca Świętego (z portretem) str. 26.
Henryk Sienkiewicz (z port.) str. 34.
Aleksandra z Chomętowskich Borkowska p. *Z. Urbanowską* (z port.) str. 82, 90.
Wiliam Gladstone (z port.) str. 90.
Klementyna z Tańskich Hofmanowa (z port.) 193.
Franciszek Palacky (z port.) str. 222.
Ksiądz Franciszek Krupiński (z port.) str. 28.
Królowa Holenderska Wilhelmina (z port.) str. 306.
Elżbieta, cesarzowa austriacka (z port.) str. 315.
Św. Jadwiga, żona Henryka Brodatego księcia na Śląsku (z ryc.) str. 330.
Floryan Łagowski (z port.) str. 387.
Pomnik Jędrzeja Śniadeckiego (z ryc.) str. 398.

OPISY KRAJÓW MIEJSCOWOŚCI I OBYCZAJ.

- Galerya gotycka w Wilanowie (z ryc.) str. 6.
Pałac w Mokotowie (z ryc.) str. 14.
Góra Biruty w Połudze p. *J. Warnkową* (z ryc.) 18, 26.
Ogrody Watykańskie, skreślił *Edmund Jankowski* (z ryc.) str. 41.
Klewań (z ryc.) str. 46.
Kolej Syberyjska p. *J. B.* str. 58.
Jezioro Świtez i jego okolice p. *J. B.* (z ryc.) str. 66.
Perła Antyllów (z ryc.) str. 74.
Zamek w Olyce (z ryc.) str. 85.
Kaplica Matki Boskiej Ostrobramskiej (z ryc.) str. 125.
Kościół św. Stefana w Wiedniu (z ryc.) str. 155.
Wyspa Kuba i jej okolice, z mapką str. 165.
Wyspy Filipińskie (z ryc.) str. 169.
Kościół św. Antoniego w Padwie (z ryc.) str. 197.
Osobliwe dorożki (z 5 ryc.) str. 204.
Widok z Tatr (z ryc.) str. 209.
Wodospad Niagary (z ryc.) 229.
Źródła naftowe w Baku (z ryc.) str. 238.
Włóścianie z gub. Podolskiej str. 244.

Astrachań (z ryc.) str. 310.
 Wesele Krakowskie (z ryc.) str. 341.
 Grota Matki Boskiej w Lourdes (str. 373).
 Katedra Wileńska (z ryc.) str. 373.

WZORY WYROBÓW RĘCZNYCH.

Sztuka malowania bez nauczyciela (z ryc. str. 262).
 Wyroby z pudełek od zapalek (z ryc.) str. 356.
 Ozdoby na choinkę (z licz. ryc.) str. 403.

POEZYJE.

Nowy rok p. *Maryę S.* (z ryc.) str. 1.
 Ojciec nasz p. *Sewerynę Duchińską* str. 9.
 Zaczarowane skrzydki p. *Maryę S.* str. 38.
 Chłopczyk i pies (z ryc.) str. 57.
 Moje skarby p. *Ludwikę Życką* str. 78.
 Hosanna p. *Maryę S.* (z ryc.) str. 106.
 Ruta, Legenda żmudzka p. *Ludwikę Życką* str. 98.
 Na Zmartwychwstanie Pańskie p. *J. W.* (z ryc.) str. 113.
 Zwrotki Wielkanocne p. *Sewerynę Duchińską* str. 121.
 Do jaskółki (z ryc.) p. *E. L.* str. 138.
 Rady matki (z ryc.) *W. P.* str. 146.
 Powróciła p. *J. W.* str. 153.
 Mróz, słońce i wiatr p. *Adama Pługa* (z ryc.) str. 162, 170.
 Do dziewczki naszej p. *Lucyana Uziębło* str. 178.
 Nieudany polów p. *Maryę S.* (z ryc.) str. 218.
 Księga przyrody p. *M. S.* str. 225.
 Legenda o deszczu p. *M. S.* str. 235.
 Na Wniebowzięcie (z ryc.) str. 257.
 Królowa Prawda. Bajka żmudzka p. *Ludwikę Życką* str. 265.
 Dożynki p. *E. L.* str. 275.
 Modlitwa wieczorna p. *Adama Pługa* (z ryc.) str. 297.
 Strzelec p. *T. L.* (z ryc.) str. 340.
 W Dzień Zaduszny (z ryc.) str. 346.
 Pierwszy śnieg p. *E. L.* str. 354.
 Jesienią p. *W. Dzierżanowskiego* (z ryc.) str. 369.
 Szczęście p. *Z. Rudnicką* str. 378.
 Spieszmy do żłobka p. *M. D.* str. 409.
 Poważna babunia (z ryc.) str. 417.

DROBNE ARTYKULIKI.

Migdałowy król i królowa (z ryc.) str. 14.
 Bajadery indyjskie (z ryc.) str. 22.
 Bezpieczne legowisko (z ryc.) str. 38.
 Żagiel w kształcie parasola (z ryc.) str. 38,
 Złodziej palmowy (z ryc.) str. 44.
 Ile zjadamy i wypijamy w ciągu naszego życia (z ryc.) str. 51.
 Handel kością słoniową (z ryc.) str. 60.
 Turniej współczesny (z ryc.) str. 78.
 Na źer (z ryc.) str. 86.
 U Piasta (z ryc.) str. 89.
 W Niedzielę Palmową (z ryc.) str. 110.
 Skrzydlaty uczeń (z ryc.) str. 129.
 Zażegnana katastrofa (z ryc.) str. 153.
 Maryusz na ruinach Kartaginy (z ryc.) str. 177.
 Alfons XIII król hiszpański (z port.) str. 192.
 Pieski i kot (rycina str. 233).
 Ważniejsze owoce i jarzyny stref południowych str. 241.
 Pomnik A. Mickiewicza w Krakowie str. 253.
 Zatonięcie okrętu „Bourgogne” (z ryc.) str. 262.
 Dziewczynka i psy (z ryc.) str. 269.
 Wyprawa naukowa na łodziach z kory (z ryc.) str. 277.
 Straszny wyścig (z ryc.) str. 288.
 Nowe ochronki w Warszawie str. 293.
 Pieszko przez Atlantyck (z ryc.) str. 301.

Jazda na Wezuwiusz (z ryc.) str. 332.
 Pierwsza próba konnej jazdy. Rycina str. 337.
 Powrót z winobrania (z ryc.) str. 321.
 Dziełny pies (z ryc.) str. 336.
 Mała muzykantka (z ryc.) str. 361.
 Ślub murzyński (z ryc.) str. 365.
 Kolej balonowa (z ryc.) str. 364.
 Wejście na piramidę (z ryc.) str. 372.
 Statek ziemnowodny (z ryc.) str. 383.
 Nad przepaścią (z ryc.) str. 384.
 Pomnik Jana Sobieskiego we Lwowie (z ryc.) str. 385.

KONKURSA I SPRAWOZDANIA.

Konkurs na wypracowanie str. 129.
 Konkurs na roboty ręczne dla panienek str. 208.
 Sprawozdanie z konkursu na wypracowanie str. 296.
 Sprawozdanie z konkursu na ręczne roboty str. 368.

ZE ŚWIATA.

Str. 32, 72, 96, 112, 128, 200, 216, 264, 288, 320, 336, 352.

Dodatek powieściowy w formacie książkowym.

Juraś i Anulka, historia rozbitków przez *A. Laurie* przekład *M. D.* w każdym N-rze od 1 do 39.
 Wspomnienia Haliny, opowiadanie *Julii Piaseckiej* w każdym N-rze od 40 do 53.

DODATEK DLA MAŁYCH DZIECI.

OPOWIADANIA POU CZAJĄCE.

Kakao i czekolada p. *Maryę Weryho* (z ryc.) str. 5.
 Murzyn i Chińczyk p. *Z. B.* str. 13.
 Jakim ptakiem jest czapla p. *M. D.* (z ryc.) str. 95.
 Zwiastuny wiosny p. *Z. B.* (z ryc.) str. 77.
 Kolczaste zwierzątko (z ryc.) str. 97.
 Nieproszeni goście p. *Maryę Weryho* (z ryc.) str. 102, 110, 122, 129, 145, 154, 174.
 Wojna o Kubę p. *Z. B.* str. 105, 136.
 O Japonii (z ryc.) str. 161.

POWIEŚCI I POWIASTKI.

Pierwsza zima wiewiórki str. 1.
 Gołąbek Bożenny p. *P. Gr.* str. 2, 6, 19, 14, 18, 23, 27, 31, 34, 38, 43, 46, 50.
 Królowa poziomek. Bajka czarodziejska p. *Wacława Sulimę* str. 51, 55, 58, 67, 71, 74, 79, 83, 87, 90, 95, 98, 103, 106, 110, 114, 118.
 Roztrzępana Kazia p. *A. R.* str. 10.
 Jak kochać trzeba p. *Z. B.* str. 17.
 Czarodziejska książeczka p. *M. D.* str. 29.
 Drapieżnik wodny p. *Maryę Weryho* str. 54.
 Tajemnica Maryłki p. *H. G.* str. 38.
 Jakim sposobem nabywamy doświadczenia p. *A. R.* str. 42.
 Wróbelki p. *Z. B.* str. 46.
 Czubatka p. *Maryę Weryho* str. 49.
 List Józia str. 54.

Wielkanoc i kaligrafia p. *Z. B.* str. 57.
 Prawdziwa historia p. *Jadwigę Warnkową* str. 58, 62.
 Wilk i żóraw (Bajka) (z ryc.) str. 65.
 Skarb Antosia p. *Z. M.* str. 66, 70.
 Prawdziwe kochanie p. *Jadwigę Chrzęszczewską* str. 81.
 Pocziwe dziecię p. *Helenę Bojarską* str. 86.
 Na jednej ławce p. *A. Z.* str. 101.
 Kwiat paproci p. *Ludwikę Życką* (z ryc.) str. 109.
 Władzio i Ignas p. *Z. Morawską* str. 113.
 Żywe zabawki p. *Bronisławę Porawską* str. 115, 119.
 Kanarek (z ryc.) str. 117.
 Prześladowca owadów p. *A. Załęską* str. 123, 126.
 Ukarana ciekawość p. *J. P.* str. 125, 130.
 Panna Musia p. *A. Załęską* str. 131, 134.
 Bajka dla dziewczynek szyjących na konkurs p. *Zofię Mrozowicką*
 str. 133, 138.
 Pożyteczni p. *A. Ziemborowską* str. 141.
 Dług wdzięczności p. *Zofię Rudnicką* str. 138, 142, 147, 151,
 155, 159, 163, 167, 170, 174, 179, 183, 187, 191, 195, 197.
 Dobry uczynek p. *J. P.* str. 146.
 W lasku p. *W. S.* str. 149.
 Osiełek Wojtusia p. *A. Ziemborowską* str. 154.
 Przygoda pieska p. *Z. B.* (z ryc.) str. 157.
 Wacio dentystą p. *Bogusławską* (z ryc.) str. 169.
 Alabastrowa czara (z ryc.) str. 173.
 Sen Reni p. *Zofię Kwiatkowską* str. 181.
 Ach ten wicher p. *A. Z.* (z ryc.) str. 185.
 Obrażalska p. *A. S.* str. 186.
 W wigilię Bożego Narodzenia str. 189, 196, 202, 207, 209, 210.

KOMEDYJKI.

Przesady. Komedyjka w I akcie str. 21, 26, 30.
 Miłosierdzie. Obrazek dramatyczny w I akcie p. *Ignacego Grabowskiego* str. 93, 97.
 Żniwa p. *Z. Bukowiecką* str. 121.
 Józio opiekunem. Komedyjka w I odsłonie p. *N...kę* str. 157,
 162, 166.
 Czy będzie? p. *N...kę* str. 206, 210.

KONKURSA.

Konkurs na kaligrafię str. 49.
 Sprawozdanie z konkursu kaligrafii (z ryc.) str. 81.

WIERSZYKI.

Co rok nowy przyniesie? p. *Z. Morawską* (z ryc.) str. 1.
 Kapryśny Bryś p. *Nagodę* str. 6.
 Ktoś p. *M. Z.* str. 9.
 Do Maniusi p. *M. C.* str. 14.

Pokusa p. *H. B.* str. 17.
 Trzej przyjaciele p. *Maryę S.* (z ryc.) str. 21.
 Kto rano wstaje temu Pan Bóg daje p. *W. D.* str. 30.
 Konik polny p. *E. K.* str. 34.
 Pszczółka p. *E. K.* str. 38.
 Mrówka p. *E. K.* str. 42.
 Modlitwa dziecka p. *M. D.* str. 46.
 Dary wiosny p. *M. D.* str. 53.
 Na Wielkanoc (z ryc.) p. *Z. M.* str. 57.
 Lekcyje Jasia Monolog p. *Irenę Mrozowicką* str. 62.
 Samochwalska p. *Ludwikę Życką* str. 66.
 W maju str. 73.
 Pokusa p. *E. L.* (z ryc.) str. 73.
 Odwet p. *H. B.* str. 78.
 Strumyczek p. *M. K.* str. 83.
 Moja lalka p. *M. D.* (z ryc.) str. 65.
 Przygoda żabki p. *M. B.* (z ryc.) str. 89.
 Fiołek p. *A. E. Odyńca* str. 102.
 Nie sądz z pozoru p. *M. D.* (z ryc.) str. 105.
 Piosnka p. *E. K.* str. 109.
 Gdybym ja była... p. *M. S.* str. 119.
 Śpiew kosarzy p. *E. K.* str. 125.
 Gwiazda wieczorna p. *M. S.* str. 131.
 Wisienki p. *Z. M.* str. 133.
 Mały dobosz p. *M. D.* (z ryc.) str. 136.
 Kurczę i lis p. *Adama Ptuga* (z ryc.) str. 141.
 Przed obiadem (z ryc.) str. 145.
 Dobra siostrzyczka p. *H. B.* str. 150.
 Pożegnanie jaskółek p. *M. D.* (z ryc.) str. 153.
 Tydzień str. 174.
 Imieniny zajęczka p. *Zajęczka* (z ryc.) str. 165, 170.
 Jak to nie trzeba zbyt ufać sobie p. *M. D.* (z ryc.) str. 177.
 Piosnka myśliwego p. *M. D.* (z ryc.) str. 181.
 Ciny p. *L. Z.* str. 190.
 Wróbelek (z ryc.) p. *M. D.* str. 193.
 Grzeczny Bryś p. *I. M.* str. 199.
 Nauka mateczki p. *E. Lejową* str. 202.

WZORY WYROBÓW RĘCZNYCH, GRY, ZABAWKI,
ZAGADNIENIA I T. D.

U ciotki Polci z licznymi rycinami str. 5, 9, 14, 17, 33, 37, 41, 45,
 49, 53, 61, 69, 73, 78, 85, 89, 94, 178, 182, 186, 160.
 Przedstawienie przysłowia przez *J. Mroz.* str. 198.
 Szarady, zagadki, łamigłówki, logogryfy, arytmogryfy, metagramy,
 niteczki Aryadny, rebusiki, zadania arytmetyczne i geometry-
 czne, rozwiązania w każdym numerze.

SKRZYNKA DO LISTÓW.

Odpowiedzi Redakcyi i korespondencya Jaskółki w każdym nu-
 merze.





WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Nowy Rok.

A gdzie ty się nowy roku,
Gdzieś się nam urodził?
Czy na niebie, na obłoku,
Czyś po ziemi chodził?
Czy ci braćmi wielkie pany?
Czy wielcy królowie?
Czy w siermięgę lud odziany,
Biedni pastuszkowie?
Powiedz-że nam roku nowy

* * *

Kim tu będziesz drużył?
Komu przyjemni słowy
Będziesz szczęście wróżył?
Przyszli króle i panowie,
Przyszedł lud wioskowy,
Każdy pyta, co nam powie,
Młody roczek nowy?
Ejże roku, powiedz śmiało,
Prawdę wróż nam z nieba,

Co się w dniach twych będzie działo,
Co nam robić trzeba?
Na niebiosach gwiazdka świta
I z nieba się śmieje,
Wita, że nas rok ten - wita,
I wróży nadzieje?
A kto idzie z silną wola,
Że go praca zbawi,
Niech mu za to jasną dola,

Pan Bóg błogosławi.
Kto pracuje, niech pracuje,
W obowiązku imię,
Niechaj orze, pisze, kuje,
I duchem nie drzemie
Niechaj z wiarą, z dobrą wola,
Pomaga kto może,
A szczęsną mu za to dola,
Pobłogosław Boże!

Jubileusz Adama Pługa.

W lipcu roku zeszłego, pisaliśmy w Wieczorach, że w grudniu przypada obchód pięćdziesięcioletniej działalności literackiej Adama Pługa (A. Pietkiewicza) dając zarazem portret jego wraz z życiorysem. Obecnie więc donosimy o odbytym już obchodzie tego jubileuszu.

Sliczna i rzadka ta uroczystość miała miejsce dnia 19 z. m. w redakcyi Kuryera Warszawskiego, w wieńce przystrojonym lokalu, zebrało się więcej niż dwieście osób ażeby uczcić jubilata. Można powiedzieć, że był tu kwiat inteligencyi, zebrał się i siwowłosi starcy, dawni towarzysze pracy i ludzie różnego wieku, nie wyjmując młodzieży, a wszystkich jednocześnie uczucie czci i miłości, zarówno dla autora jak człowieka, co przez pół wieku umiał trafić do przekonania wszystkim zarówno ludziom dobrej woli. Kto jest Pług wiecie dobrze, bo nieraz zapewne słyszeliście o nim a może i czytaliście jego piękne wiersze.

W głównej sali redakcyi zawieszono portret jubilata, owinięty laurem dobrze zasłużonym całym życiem pracy oddanej na posługę bliźnim, pod niem ustawiono fotel, z boku stolik, na którym stała piękna szkatułka pełna fotografii i jakaś książka czy teka. Czyżby to miały być dary dla jubilata? Z pozorów sądząc, dary bardzo ubogie. Jednakże zebrań nie zdają się tego spostrzegać.

Wszyscy panowie i panie w balowych strojach, oczekują z tem ożywieniem jakie widać zawsze w towarzystwie połączonem wspólną myślą i celem. Nagle robi się ruch wśród tłumu, salę całą przebiega szmer, wszyscy zwracają się do głównego wejścia, panowie tworzą szpaler pomiędzy drzwiami wchodowymi a fotelem dla jubilata, a publiczność ciśnie się ażeby go zobaczyć. Ukazuje się on wreszcie w towarzystwie Tadeusza Korzona i Jana Karłowicza, którym przypadł miły obowiązek wprowadzenia przyjaciela na przygotowaną uroczystość.

W jednej chwili odzywa się przeciągły oklask a nad nim góruje obór lutnistów śpiewający z całej duszy powitalną pieśń, kończącą się wyrazami: „Niech nam żyje! Niech nam żyje!”

Niech nam żyje w jak najdłuższe lata, powtarzał każdy z głębi serca. Niech nam żyje dla dobra bliźnich.

Jubilat nie miał czasu ochłonąć z wrażenia, jakie podobne powitanie zrobić musiało, gdy powstał pan Kłobukowski, radca Towarzystwa Kredytowego i w krótkich a pełnych uczucia słowach wypowiedział zasługi człowieka, który przez całe pół wieku, pozbawiony bliższej rodziny, wszystko co posiadał rozdawał w wspaniałomyślności prawdziwie magnackiej, bo rozdawał potrzebującym z zapomnieniem o sobie, co stanowiło zawsze najwyższą rozkosz Pługa.

To też wielbiciele jego pamiętając o tem, zebrałi pomiędzy sobą sumę 1500 rs. i ofiarowali mu do rozporządzenia na jaki dobry uczynek, a Pług sumę tę przeznaczył zaraz na kasę wsparcia ubogich literatów, instytucyi, na której czele stoi.

Po panu Kłobukowskim przemawiało wielu innych, składali cześć poecie, powieściopisarzowi, dziennikarzowi; kobiety autorki przez jedną z przedstawicielek swoich dziękowały mu za zyczliwość jaką im zawsze okazywał, a wreszcie wieloletni przeciwnicy pokonani jego niezmierną dobrocią uznali się głośno zwyciężonymi.

Był to niezawodnie największy tryumf i serdeczna a niespodziana radość dla jubilata, gdy usłyszał z ust swego przeciwnika słowa: Zwyciężyłeś sercem! i mógł uścisnąć jak brata tego, co je wypowiedział. Była też to podniosła chwila, którą zapamiętają zapewne wszyscy uczestnicy zebrań a zarazem i praktyczna nauka najwyższych prawd życia. Zapewne nie przejdzie ona bez echa, bo piękne czyny pobu-

dzają do naśladowani, a każdy pragnąłby pokonać w taki sposób swoich przeciwników. Ale ażeby spełnić cud taki, trzeba posiadać takie chrześcijańskie cnoty, jak Pług, mieć za sobą takie nieskalane życie i jak on nigdy czynem nie przენiewierzyć się zasądom.

Starajmy się go naśladować.

CIEPŁA KOLDERKA.

Podróże po różnych krajach, od północy ku południowi, widać nie tylko różnej budowy doły, inaczej urządzone miasta, ludzi o wyrazie twarzy odmiennym, całkiem różne ich obyczaje, ale co najczęściej w oko wpada — bardzo różniące się od siebie ich ubiory. W zimie Eskimos zaszyty jest cały w skóry kosmate, chłop rosyjski nie wychodzi w pole bez wielkich wojskowych butów (waleńków) za kolana, wdziewanych na wierzeh butów skórzanych i bezfutranych rękawic; my przywdziewamy lekkie rękawki, przytem panie i panienki ubierają się nawet niekiedy w figury; Francuzi wymyślili podszyte wiatrem rotatory i pebrynki, futrzane wprawdzie, ale nie przylegające do ciała, które mało grzeją; Włoch nie używa nic, prócz opończy lub kdistego a cienkiego płaszcza (almaviva), którym drapuje się czyli owija malowniczo; wreszcie Arabowie poprzestają na zupełnie lekkim burnusie.

Toż samo mniej więcej zauważyliśmy i u zwierząt, od białego niedźwiedzia, zamkniętego w ogromnej puszystej szubie, aż do gazelli, krótkim i rzadkim włosom pokrytej.

Te ubiory, jak w ogół wszystkie, co czyni przyroda, a naśladując ją — człowiek, są wynikiem warunków otaczającego świata. Ciepło i zimno, susza i wielka wilgoć, spokój powietrza i burzliwe wiatry, domagają się urządzeń różnych, różnym też potrzebom zadośćczyniących.

Obyczaje każdego ludu, jego sposób życia, jego urządzenia, jego wieszcie zbiorowy charakter, są rezultatem odmiennego oddziaływania nań tak otaczającej przyrody, jak i innych warunków, w których lud ten musiał żyć i rozwijać się, do których musiał przywyknąć i do nich się w zupełności dostosować. Inaczej, prędzej lub później przestalby istnieć.

Cudowna Opatrzność Boga, która, jak słicznie Chrystus Pan powiedział, czuwa nad ptakami niebieskimi i przyodziewa polne lilie, pomyślała też i nad zabezpieczeniem roślin od srogości zimy. Gdzie ta sraszna lodowa pani władania swego nie rozciąga wcale, jak na południu, tam ziemia i świat roślinny nie potrzebują zabezpieczenia od niej. Ale posuńmy się ku północy, gdy twarde grudzień okuje lodowymi pancierzem na długie zimowe miesiące łono matki ziemi, gdy mróz zwarzy ziola i trawy, spychając iskielki życia do podziemnych kłęczów, kłębów, bulw i cebul. Cóż to wątkie życie ochroni od srogości mrozu, coż je ogrzeje i pozwoli mu tleć do wiosny? Oto sliczna, biała pierzynka, z którą tylko puch ptasi może iść w porównanie, co do lekkości i ciepła. Znać ją dobrze, mili czytelnicy, bo cieszy ona was jako nowe, obiecujące miłą sannę i ślizgawkę, grę w śnieżki i inne zimowe zabawy. To śnieg, śnieg biały, nieznanym mieszkańcom krajów gorących. To ta niepokalana, cudna szata, która pokrywa wszelkie brudy i nierówności: szare łono roli, czarne dachy miast, brzydkie kałuże i płowe wydmy piasków; która zamienia lasy w zakłete pałace i rozrzuca miliardy brylantów, iskrzących się na słońcu, jak bajeczne skarby Golkond.

U nas zima bywa nietrwała. Śnieg to pada, to niknie, a w mieście prędko bruka się i ginie pod wpływem ciepła ognisk domowych i fabrycznych; na polach trwa dłużej. Ale na północy lub w górach, raz upadłszy, leży już ciągle

do wiosny, owszem, coraz nowe warstwy padające na dawne, grubość ich zwiększają.

Śnieg jest znakomitem pokryciem. Jako bardzo zły przewodnik ciepła, sprawia on, że nawet przy kilkunastu stopniach mrozu temperatura pod nim mało jest od zera niższa. A roślinom tem pod nim cieplej, im bardziej puszyszy, mniej ubity lub zdeptyany. Zresztą, jeżeli nastąpi raptowna olwiliz, rośliny pod śniegiem wcale jej nie czują. Wpierw bowiem musi się cała jego masa stopić, zanim ciepło do ziemi przeniknie. Nic zaś niema dla roślin zmarzniętych tak niebezpiecznego, jak szybkie rozmarnięcie, które ich budowę wewnętrzną niszczy.

Śnieg to sprawia, że w Alpach i na Syberji rosną liczne rośliny zimotrwałe (z korzenia), które u nas, choć lato mamy cieplejsze, giną. Zboża, rzepaki, bratki, pietruszka i cały szereg roślin użytecznych, czekają tak pewnego przyjscia wiosny, jak dobry chrześcijanin oczekuje przyszłego, lepszego życia, zapowiedzianego mu przez Pismo Święte.

Dla tego, gdy świeżemu śniegowi cieszą się dzieci, bo zapowiada nową zabawę, cieszy się myśliwy, gdyż na ponowie łatwiej wytręcić zwierzynę — niemniej mu też radzi są rolnik i ogrodnik. Pod tą ciepłą koderką plony ich bezpiecznie przetrzymają zimę, nie wymarzną drzewa, a jeżeli dobry Bóg da maj pomyślny — urodzą się słodkie gruszki i rumiane jabłka, tak potrzebne choćby do ubrania choinki.

E. Junkowski.

NIEDŹWIEDŹ

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

p. Zuzannę Morawską.

— Jędrus przypraw sobie brodę i weź puszkę z kadzidłem.

— Marcinek, nie włócz tak płaszcza, bo go pobrudzisz.

— Piotrus, podnieś więcej oczy do góry i wpatruj się w gwiazdę, która nas ma prowadzić.

— Kiedy nie widzę gwiazdy, tylko jakiś szmatek biały — odrzekł Piotrus, poprawiając na sobie płaszcz pasowy, okładany białem futerkiem.

— To nic, to tylko próba: na uroczystości będzie gwiazda taka świecąca jakby prawdziwa — uspokajał imci pan Sulpicyusz, kapelmistrz nadworny muzyki pana.

— A my gdzie staniemy? — zapytał młodzieniec może piętnastoletni w lnianej peruce i szarej opończy, opasanej słomianym powrośłem, — i naraz zadał w trzymaną w ręku piszczałkę.

— Cicho, Kaziu, jeszcze nie czas — zgromił go Jędrus potrząsając wielką brodą z konopi. Lecz jeszcze nie przebrzmiały tony wydobyte z piszczałki Kazia, kiedy inny zaczął uderzać pałeczkami w struny gęśli, zawtórowały mu zaraz cieniutkim głosem trzystrunne skrzypce, zadźwięczała tęsknym głosem lira, a surma ze swych wielkich otworów dodała jakieś grube, pełne dźwięków wojennych tony.

— Sub-bordynacya! — krzyknął gromkim swym głosem imci pan Sulpicyusz. Młodzieńcy poprzebierani, za pasterzy, wszyscy w lnianych perukach, pospuszczali ku ziemi trzymane instrumenta muzyczne i z udaną pokorą spoglądali na swego mistrza. Ten ustawił ich, dawał nauki, jak który ma głowę skłonić, jak się pochylić, odchodził, to znów przybliżał się, poprawiał wspaniałe królewskie płaszcze, któremi odziani byli Jędrus, Marcinek i Piotrus, i w ogóle miał nie mało kłopotu. I nie dziw, wszak urządzał przedstawienie na imieniny wielmożnego Baltazara, kasztelana zakroczymskiego, które przypadały w sam dzień Trzech Króli. Na tę uroczystość zwykle zjazd był wielki znakomitych gości, a pan

Sulpicyusz będący kapelmistrzem na dworze kasztelana, chciał swemu chlebobdawcy zrobić niespodziankę, a zarazem popisać się ze swemi rozlicznymi talentami.

O tej niespodziance, mówiąc nawiasem, pan kasztelan dobrze wiedział, a nawet na ręce pani Łucyi swej małżonki, pokazał sumkę na ten cel wyasygnował, udawał jednakże, że się niczego nie domyśla i w tym celu wyjechał wraz z żoną na Nowy rok i kilka dni poza domem bywał.

Udawał zaś tak dobrze, że dzieci były najpewniejsze, iż nie tylko ojciec ale i matka o całym przygotowaniu nie wiedzą. Pan kapelmistrz zaś ze swej strony wmówił w siebie, iż jaśnie wielmożny kasztelan nic nie wie, iż byłby w rozpaczy gdyby go z tej pewności ktoś śmiały wyprowadzić.

Korzystał więc z nieobecności obojga ichmość państwa i codziennie odbywał próby tak z ich dziećmi jako też i z dworzaczami, którzy zwykle na pokoje podczas uroczystości byli przypuszczani.

Gdybym to mógł swoich synków przebrać, stałoby jak mur; wyćwiczone to, ho, ho, niczem wojsko — mrucał imci pan Sulpicyusz — ale cóż, nie wypada, a zresztą, synkowie muszą być w porządku, boć kapela kapelą! Synkami zaś nazywał muzykantów, którzy pod jego dyrekcją wyćwiczeni, składali kapelę słynącą daleko ze zgodnego i doskonałego grania.

— Ale to, ot, paniczki, co oni się znają jak trzymać rytm, a rytm mości dobrodzieju, powinien być we wszystkim! myślał sobie dalej, przywiązując papierową koronę na głowie Piotrusia, który miał przedstawiać jednego z trzech królów składających hołd Dzieciątku Jezus.

— Czy też ojciec mnie pozna — mówił tymczasem Jędrus, gładząc swą przyprawną brodę.

— Ktoby cię tam poznał! — ozwał się Stach. I zapomniawszy o przestrodze imci pana Sulpicyusza, pociągnął smyczykiem po strunie.

Kapelmistrz spojrział surowo na niesfornego skrzypaka i aż zgrzytnął zębami z niecierpliwości.

— Ha ha! jeszcze nie czas na pasterkę, pierwej królowie hołd będą składali — zaśmiał się Piotrus, i podniósł głowę do góry, przyczem przekrzywił na głowie koronę, którą mu tylko co pan Sulpicyusz z takim trudem przymocował.

— Ej Piotrusiu, nie przerabiaj tego, co w Piśmie świętem stoi napisano, a i w kalendarzu też śpiewają: Anioł pasterzom mówił — odrzekł Kazio, i zapomniawszy się zadał w piszczałkę.

— Tak, ale w innej kolendzie śpiewają: „Trzej królowie przyjechali, dary mu wielkie oddali, Ej kolenda, kolenda.” — zaśpiewał Jędrus.

— Utrapienie z mości paniczami, żadnego ładu ni składu; żaden na miejscu nie stoi, psują cały układ! — białad kapelmistrz, biegnąc od jednego do drugiego i nie mogąc sobie dać rady z tą młodą rzeszą. Każdy bowiem z uczestników obrazu, który miał przedstawiać hołd złożony Dzieciątku Jezus, z wielką gorliwością chciał spełnić rolę sobie przeznaczoną i w tej gorliwości psuł cały porządek.

Więc trzej królowie stawali na miejscu, przezuaczonem dla pasterzy, pasterze zaś chcąc jak najprędzej popisać się ze swoją muzyką i śpiewem, próbowali instrumentów lub poczynali śpiew, który ich samych najwięcej zachwycił.

— No, no, dajcie spokój, stójcie jak imci pan Sulpicyusz nakazuje — strofował Marcin, najstarszy z synów pana kasztelana.

— Ichmość rodzice jutro powrócą, nie będziemy mogli robić próby, trzeba korzystać z ich nieobecności — dodał z powagą Jędrus, młodszy kasztelan, przedstawiający jednego z trzech królów.

I tak zamaszycie rozwinął poły swego szafirowego płaszcza, że potracił o struny liry, stojącego opodal pasterza.

— Imci panie kapelmistrzu, broda mi odpada — zawołał Piotrus.

Pan Sulpicyusz wznosił oczy do góry z żywym zniecierpliwieniem, westchnął i nie mówiąc, poprawił brodę pozbawionemu tej wspaniałej ozdoby królowi.

— Do porządku, do porządku! — wołał Marcin.

— Ach, do porządku ichmościowie — błagał kapelmistrz — taki piękny obraz, tyle dostojnych osób zjedzie się na imieniny jasnie wielmożnego pana kasztelana, a jak próby doskonalej nie zrobimy, zrobimy fiasco.

— Do porządku! — powtarzał Kazik, krewniak kasztelanowej, sierota, wychowujący się wraz z ich synami.

— Oj tak, jeden tylko Kazik, rozumie jeszcze najlepiej jak się zachować — rzekł pan Sulpicyusz, który miał skłonność wielką do młodzieńca, bo ten zdradzał rzeczywiste zamiłowanie do muzyki i dziwnie piękne melode nieraz na piszczałce, którą sam sobie zrobił, wygrywał. Dowcipny też był nad wyraz i takie miny umiał wyprawiać a rozmaite zwierzęta, nawet dzikie bestye udawać, że go wszysej dla tej

— Aha, loczki!... a tak, tak, na próbie aniołki mogą być bez loczków — rzekł kapelmistrz, ustawiając najpierw pasterzy, a za nimi na wzniesieniu królów, którzy nareszcie doprowadzili do porządku swoje wspaniałe szaty i jeszcze wspanialsze brody.

— Mości Sulpicyuszu, jeżeli nie będzie gwiazdy, nie będę miał weny do odśpiewania kolendy — zawołał Kazik.

— Ależ dam wam już i gwiazdę, jeno stójcie jak należy, a każdy niech czyni swoją powinność.

— To pójdziemy wdziać szatki — rzekła żonowa Jadwisia, kiedy tymczasem Anusia małym paluszkiem potraçała o struny liry, trzymanej przez jednego z pasterzy.

— A któż tam znów brzdąka! — odwrócił się kapelmistrz, który w tej chwili dyrygował robotnikami, ustawiają-



Galerya gotycka w Wilanowie.

jego krotochwilności lubili i wiele psot darowali. I teraz też przeciągnął twarz i zrobił się tak podobnym do owcy, że wszyscy wybuchnęli mimowolnym śmiechem.

— A to co? — zapytał kapelmistrz, który zajęty czem innym, figla nie spostrzegł.

Nikt mu jednak nie odpowiedział, bo odedrzwiał ozwał się głos cieniutki:

— A kiedy nam pan Sulpicyusz przypnie skrzydła? — zawołała, wbiegając Anusia, najmłodsza z pięciorga kasztelańskich dzieci.

— Nie trzeba się napierać, Anusiu — skarciła ją starsza siostra Jadwiga. Zaraz jednak dygnawszy, dodała:

— Imci pani Antoniowa mówiła, że nie trzeba rozkręcać loczków, ale przecież aniołki nie mogą być bez loczków....

I potrzęsnęła główką ubraną w pozwijane włosy na skrętki z końskiego włosia.

— Zaraz, zaraz proszę panny kasztelanek, zaraz aniołeczki moje... — mówił kręcąc się Sulpicyusz.

— A te loczki?... — spytała powtórnie Jadwisia.

cymi wzniesienie, przedstawiające stajenkę, otoczoną oblokami, wśród których na sianku miało spocząć Dzieciątko Jezus.

— Ależ to żaden z nas! — sumitowali się pasterze.

— Czy to nie można? — zapytała Anusia figlarnie, odejmując paluszek od liry.

— Nie można, nie można aniołeczku — mówił kapelmistrz, wbiegając na drabinę, aby poprawić obłok, który robotnicy, nie według jego myśli przybijali.

— Może już trzeba podać Dzieciątko? — zawołała od proga pani Antoniowa, ochmistrzyni kasztelank a zarazem i całego niewieściego dworu.

I pokazała lalkę ślicznie uwinętą i złożoną na bieluchnej pościółce, z pomiędzy której wyglądało siano.

— Zaraz, zaraz, niech jejmość chwileczkę się jeszcze zatrzyma.

— A możeby co pomódz imci panu Sulpicyuszowi?

— Dziękuję, dziękuję za dobroć serca jejmości — wo



E. Osie.

łał kapelmistrz, cały zziąjany, nie wiedząc może nawet, za co i komu dziękuje.

Tymczasem obie kasztelanki: dziesięcioletnia Anusia i jedenastoletnia Jadwisia, zapatrzywszy się na przybijane pomalowane płótno, wyobrażające obłoki, zapomniały zupełnie o obietnicy, że pójdą wdziac szatki stosowne do przedstawienia, a zobaczywszy lalkę trzymaną przez ochmistrzynię, przybiegły do niej, a wspinając się na paluszki, wołały:

— Niech nam jejmość pokaże to śliczne dzieciątko!

— Proszę kasztelanek uspokoić się, gdy przyjdzie czas ujrzenie Dzieciątka w całej swojej chwale — odrzekła z namaszczeniem ochmistrzyni.

— Ale ja tylko raz spojrzę — domagała się Anusia.

— To nie jest kukła do zabawy, jeno wyobrażenie Dzieciątka Jezus — odrzekła pani Antoniowa, zakrywając fartuchem trzymaną lalkę.

— No, to już wszystko gotowe — rzekł z zadowoleniem pan Sulpicyusz — schodząc z wzniesienia.

— A co, jak ładnie! — dodał, przypatrując się swemu dziełu i ocierając spocone czoło połą lnianego kitla.

— Juści, że ładnie, jeno, że nie nie widać, bo ogień przygasał na kominie! — zaśmiał się Kazik.

— Chyba musimy kilka kotów złapać i choć po jednym oku sobie od nich pożyczyć, żebyśmy w ciemności widzieli — dodał żartowniś i miauknął przytem tak przeraźliwie, że wszyscy znów w śmiech uderzyli.

— Błagam was, mości panicze, nie mówcie nic i nie ruszajcie się, bo popsujecie całe ubranie — odrzekł kapelmistrz, a potem dodał: — Będzie zaraz jasno, oświetlę tymczasem kagankami, bo sztuczne ognie wiele kosztują, nie można ich na próbę psować.

— No, a teraz imci kasztelanki, najdroższe aniołki, hop, w górę... ale cóż to, nie macie jeszcze szat anielskich — rzekł, przypatrując się dziewczynkom.

— Ach, prawda — zawołała Jadwisia — proszę jejmość ochmistrzyni, pan Sulpicyusz powiedział, żebyśmy szatki długie wdziały.

— A nie posmola się? boć przecie prać się już nie zdąży — zapytała pani Antoniowa, troskliwa o białość szat swoich wychowanek.

— Alcz nie, nie, jeno niech pani Antoniowa pospieszy się, bo ta cała rzesza czekająca na ukazanie się Dzieciątka Jezus w chwale Aniołów zniecierpliwi się do cna — zawołał kapelmistrz, odbierając z rąk ochmistrzyni lalkę.

— Jeno, proszę z całą przynależną czcią dla Dzieciątka — zawołała pani Antoniowa. — Ubierając je miałam złudzenie, że mi Najświętsza Panna powierzyła swój skarb najdroższy, a imci pan Sulpicyusz bierze do rąk bez wszelkiej konsyderacyi! — dodała, spoglądając na kapelmistrza, unoszącą głowę.

Niesłuszna jednak była jej wymówka, bo Sulpicyusz przejęty wielkością chwili, jaką wybrał do ułożenia misteryi, zabierał się do jej wykończenia z największą czcią i poszanowaniem.

Teraz więc wzięwszy lalkę mającą wyobrażać Dzieciątka Jezus, wstępował na wzniesienie nucąc półgłosem jakąś pieśń łacińską. Wszedłszy zaś ułożył na sianie, śpiewając:

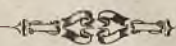
„Luli, luli Dzieciąteczko
Luli Jezusie!...”

(d. c. n.)

Galerya gotycka w Wilanowie.

W uroczym Wilanowie, ulubionym celu wycieczek Warszawiaków, mieszczącym tyle drogocennych pamiątek po królu bohaterze z pod Wiednia, pałac przez niego zbudowany w stylu włoskim, posiada od strony ogrodu przyozdobione malowidłami galerye, które miały w początkach bieżącego

stulecia wygląd, jaki przedstawia nasza rycina. Przy budowie pałacu użyci byli jako robotnicy, po większej części jeńcy z wyprawy chocimskiej, a król, sam kierując pracami, własnoręcznie nieraz pomagał w sadzeniu drzew i szpalerów. Do skończonego pałacu gromadził Jan Sobieski najdroższe wyroby i arcydzieła sztuki, a przebywając najchętniej w Wilanowie, tu życie zakończył r. 1696.



Łoś.

Na załączonej rycinie widzimy leśną polankę, zasypaną śniegiem, a na niej dwa łosie. Okazałe to zwierzęta, nie odznaczają się jednak zbyt piękną postacią. Łoś dorównywa wzrostem koniowi, jest więc największym z pomiędzy jeleni. Waga jego dochodzi 600 do 800 funtów, czasami zaś trafiają się okazy, ważące przeszło 1000.

Będąc bliskim krewniakiem jelenia, łoś ustępuje mu znacznie w zręczności. Tułów ma krótki, ścieśniony, porosły dość długą, ciemno brunatną sierścią i zakończony małym ogonkiem; nogi wysokie, cienkie, ale mocne, zwane przez myśliwych biegami. Na krótkiej szyi spoczywa długa głowa podobna do osłej z dziwnie niezgrabnym pyskiem, zdobi ją para okazałych rogów czyli rosochów. Nie są one tak ładne, jak rogi jelenia: każdy składa się z krótkiej łodygi przechodzącej w szeroką, płaską łopatę, czyli tak zwaną dłoń rogów, opatrzoną z brzegu licznymi, krótkimi gałązkami. Rosochy z powodu płaskiego kształtu nie mają żadnego znaczenia dla łosi, jako oręż obronny, lecz stanowią jedynie ozdobę, ciężką przytem do dźwigania, gdyż ważą nieraz po 40 funtów i więcej.

Samice i młode łosięta są pozbawione rogów tak samo jak u wszystkich jeleni. Dopiero po roku młode dostają krótkie, proste rogi, które zrzucają przy końcu zimy. Na ich miejsce wyrastają nowe rosochy, ale już zakończone płaską dłonią z 2-ma gałęziami. I one również opadają. Taka zmiana rogów odbywa się co rok i za każdym razem wyrastają łosiowi coraz wspanialsze.

Łosie przebywają stadami w dużych bagnistych lasach. Jesień i zimę spędzają w suchych kniejach, na wiosnę zaś i lato przechodzą na moczary, w których szukają ochrony przed dokuczającymi owadami. W lecie łoś spędza nieraz cały dzień, pogrążony w bagnie aż po samą głowę.

W lecie żywią się liśćmi i trawą, chętniej jednak jadają pierwsze, gdyż z powodu swej krótkiej szyi, chcąc zerwać trawę muszą klękać na przednie nogi. W zimie żywią się korą oraz pączkami drzew i zrzadzają nieraz ogromne szkody w lasach.

Niegdyś łoś zamieszkiwał Europę środkową i północną, dziś należy do zwierząt prawie zaginionych. W części wpłynęło na to nadmierne tępienie tych zwierząt przez myśliwych, w części zaś zmniejszeniem się wielkich lasów, bez których zwierz ten istnieć nie może. Obecnie łosie istnieją jeszcze jedynie, dzięki ochronie, którą zaprowadzono, żeby przeskodzić zupełnemu zniknięciu tej zwierzyny. W ów sposób dochowały się one w Prusach wschodnich w ilości przeszło 100 sztuk; stamtąd zaglądają nieraz do lasów Augustowskich. Znajdują się także Nielicznie na Litwie i Polesiu. Poza Europą posiadają te zwierzęta jeszcze Azya i Ameryka północna. Mięso łosi jest jadalne; za przysmak jednak uchodzili tylko chrapy (pysk). Skóra dostarczała wybornego materiału na kaftany rycerskie i spodnie. Jeszcze na początku naszego stulecia tępieno zajadłe łosie, żeby otrzymać skórę na białe spodnie, noszone wówczas przez wojskowych. Rogi zaś stanowiły piękne trofea dla myśliwego.

B. Dyakowski.

DWIE KOLENDY.

— Nie, moja Anusiu, dziś nie dobrze czytałaś, byłaś roztrągniona, jeżeli i jutro tak będzie, to za karę przez cały tydzień nie pozwolę ci przyjść na naukę, mówiła czternastoletnia Zosia, jasna blondynka, z dużemi czarnemi oczyma, w których odbijała się dobroć i łagodność, do dziesięcioletniej dziewczynki, ubranej bardzo biednie.

— Panienko droga, więcej tego nie będzie — odpowiedziała mała Anusia, wstając i całując ją w rękę z miłością — więcej panienska na mnie gniewać się nie będzie, a zarzuciwszy podarty kaftanik, wyszła z pokoju.

— Nie rozumiem twego upodobania, Zosiu — odezwała się może o rok starsza Helenka, mocna brunetka z małym kiem nadzwyczaj żywymi oczkami, robiąca sobie jakieś kokardyz ponsowej wstążki — nie rozumiem, i jeszcze raz nie rozumiem tej ochoty zajmowania się prostemi zamorusanemi dziećmi. No, jeszcze Kazia, córka naszego lokaja, to przynajmniej nie zasmolona, Julka, pół biedy, bo Magdalena pierząc nazą bieliznę i ją opiera, ale ta Anusia, córka stróża, brudna obszarpana, a ty nią dłużej i staranniej się zajmujesz, jakby ci to robiło prawdziwą przyjemność. Fi! jabym tego nie mogła.

— Zgadłaś, moja Helenko, że mi to robi przyjemność; ledwo parę miesięcy ją uczę a jaki postęp! wszak już czyta wcale niżle i tak się do mnie przywiązała, widziałas jak się smartwia gdym się na nią gniewała i obiecała ukarać.

— Cha, cha, cha — zaśmiała się głośno Helenka — ona się smartwiała żeś jej dziś nie ukarała, zabraniając przychodzić na naukę. Dziwnie wszystko tłumaczysz.

— Mylisz się, Helenko, pamiętasz, jak Julkowi, który rzeczywiście jest leniwy i bardzo swawolny, przez trzy dni nie pozwolił przychodzić, jak się martwił, przeproszał przyrzekał poprawę, i dotrzymuje słowa, już to od tej pory drugi miesiąc a pamięta, dobrze się zachowuje i starannie się uczy.

— Ty zawsze taka sama, już godzna trzecia, o szóstej przyjdą nasi goście a twoja sukienka nie przybrana kokardami, bo nie porobiłaś ich, a patrz jakie moje śliczne, kończę ostatnią i zaraz upnę sukienkę, spiesz się, bo nie zdążysz.

— To się obejdę bez kokard, biedna Anusia kaftanika ciepłego niana, a może się bez niego obejść.

W tej chwili otworzyły się drzwi i weszła pani Mirska, matka Helenki i Zosi i z uśmiechem zadowolenia odezwała się:

— Oczcie się, moje dziewczeczki, w tej chwili otrzymałyście zaproszenie na wieczór noworoczny, na którym urządzają kolendę dla zgromadzonej młodzieży.

— Jako, mamó? co z tego za korzyść dla biednych, że my się bawić będziemy i zostaniemy obdarzone? — zapytała Zosia.

— Moż też państwo Z. wydając ten wieczór pomyśleli o obdarowaniu biednych.

— To prawda, ale biednych jest tak wielu, że przy urządzaniu podobnej zabawy, nie mogli dla nich wiele uczynić. Ot u naszego stróża czworo dzieci, Anusia najstarsza, i trzej w łachmanach prawie, żeby im zrobić tylko przyjemność, to ileżby pieniędzy trzeba, pewno rubli kilka.

— O! już Zosia zaczyna swoje gderanie. Zawsze ktoś się dostanie i to dobre.

— A teraz spieszcie się, bo prosiłam aby się wasi goście nie spóźnili, jak przyjdziecie gotowe pomówimy jak się wam chce ubrać na kolendowy wieczór.

Matka wyszła, a dziewczęta uszczęśliwione zaczęły szepotać i cieszyć się na zapowiedzianą zabawę. W pół godziny, Helenka w kremowej sukience, przybranej ponsowe-

mi kokardami, Zosia w takiejże gładziutkiej, bez żadnych ozdób, z kremowym hijacyntem we włosach, weszły do obszernego salonu, w którym już znalazły przechadzającą się matkę. Dziewczynki ucałowały jej ręce i stanawszy przy niej, rozpoczęły przechadzkę.

— Myślałam teraz, jakie wam porobić sukienki, bardzo dużo będzie osób, trzeba abyście były ładnie ubrane, wszakże to pierwszy raz będziecie w tak licznej zebraniu.

— Moja mamó, niech mi mama zrobić każe różową muślinową haftowaną, ozdobioną koronkami, a ty Zosiu jaką chcesz mieć?

— Ja? ja chciałabym białą gładką.

— Zosia zupełnie gustu niema — zauważyła Helenka.

Zanim matka odpowiedzieć zdążyła, otworzyły się drzwi i weszło kilka pańienek, mniej więcej wieku naszych dziewczątek i kilku tancerzy. Po serdecznych powitaniach zaczęto rozmawiać o noworocznych przyjemnościach. Niektórzy z przybyłych otrzymali też zaproszenie na kolendowy wieczór. Wszczęła się więc rozmowa o tem, jak kto będzie ubrany. Młodzież zamawiała pańienki do tańców. Helenka była już zamówiona do mazura i kadryla, Zosia toż samo, nie rachując innych tańców. Weszło czas schodził zebranej drużynie, gdy jeszcze panna Róża, nauczycielka domowych pańienek, zasiadła do fortepianu, wygrywając skoczne polki i mazury. Przeciągnęła się zabawa do godziny jedenastej, poczem młodzież zmęczona tańcem, zasiadła do wieczery, gwarząc o obecnej i oczekiwanej zabawie. Wszystkie pańienki były rozradowane, ale najwięcej Zosia, która bezustannie wracała do tego przedmiotu.

Niezadługo po wieczery, młode grono gwarnie się żegnając, rozeszło do domów, a Helenka i Zosia długo jeszcze nagadać się nie mogły. Obaczywszy na zegarze spóźnioną godzinę, pierwsza Helenka zabrała się do spoczynku, Zosia długo jeszcze siedziała, nareszcie uklękła do pacierza i dłużej niż zwykle się modliła, wstała, podszła do siostry, ale ta mocnym snem spała uśmiechnięta, zapewne marzyła o zabawie. Zosia chwilę nad nią stała, i wolnym krokiem poszła się rozbierać, zdmuchnęła świecę, ułożyła się, ale coś usnąć nie mogła, przewracała się z boku na bok i gdy zegar wydzwonił godzinę piątą, do snu oczy zmrużyła, ale sen był niespokojny i o ósmej rozbudzona zupełnie zaczęła wstawać, gdy Helenka jeszcze na dobre spała. Ubrała się i podszła uściśnąć siostrę zdziwioną, że już pora wstawać, bo marzyła rozkosznie noc całą.

Zosia weszła do jadalnego pokoju, gdzie już znalazła matkę rozmawiającą z krawcową o ubiorach dla córek; powiedziawszy dzień dobry usiadła zamyślona, aż i zaspana Hela wbiegła i zaczęła opowiadać jak przez sen widziała siebie tańczącą polkę w różowej haftowanej sukni.

Matka wysłuchiwała tego szczebiotu i rzekła:

— Chcę wam zupełną zrobić przyjemność i zrobić takie sukienki, jakie mieć chcecie, tylko, że Heli drogą kosztować będzie, panna Elżbieta mówi: że nie mniej dwudziestu rubli, dodać do tego rękawiczki i pantofelki, to wyniesie rubli dwadzieścia pięć; ale już na Nowy rok innego podarku mieć nie będziecie jeżeli zrobić każę te sukienki, czy zgoda?

— Ależ zgoda, moja mamó, zgoda — zawołała Hela, wykręcając się po pokoju.

— Hela się zgodziła, ale Zosia milczy, czyżby niezadowolona była?

— O nie, mamó, wszakże wiesz, że za wszystko ci wdzięczną jestem, ale dziś mam inną prośbę do ciebie.

— Jakąż to?

— Nie każ mi robić tej sukienki a oddaj przeznaczone na nią pieniądze.

— Co? co? co ty mówisz, Zosiu? — zawołała Helenka! — sukienki nie robić? Nowej ślicznej sukienki nie chcesz!

— I ja cię też zapytam, Zosiu — dodała pani M. — czy wolisz pieniądze, niż sukienkę?

— Tak, mamó, dziś wolę pieniądze. Wczoraj Jania mi mówiła, że panna Ola urządza kolendę dla biednych dzieci, ale w inny sposób; tam goście wszyscy będą ubrani w codzienne suknie i kolendy nie dostaną, a każda z panienek obowiązana będzie zrobić jakie ciepłe ubranie dla biednych dzieci, albo oddać pieniądze pannie Oli, która się sama zajmie sporządzeniem tych ubrań kolendowych dla dzieci zziębniętych i głodnych. Moja mateczko ja cieszę się tą kolendą więcej niż ową, przy której mamy tańczyć.

— Zosiu, Zosiu! — niemal z rozpaczą zawołała Helenka — dość będzie czasu jak się zestarzejesz, wówczas jak nasza babunia oddasz się dobroczynnym uczynkom, a teraz będziesz bawić się bo nasza pora, i ściskając ramionami dodała — nie chcesz takiej ślicznej sukienki?

— Moja Helenko, wszakże i pana Ola, młoda, piękna i bogata, a jednak zawsze jednakowo ubrana, doprawdy, mnie się zdaje, że ona nie ma więcej nad trzy sukienki, a zawsze taka śliczna wesoła i szczęśliwa!

Pani Mikurska podeszła do Zosi, ucałowała ją, mówiąc:

— Dwadzieścia pięć rubli, dziecko moje, masz do rozporządzenia jak sama zechcesz.

— Dobrze, mamó — rzekła Hela — ależ w jakiej sukience będzie Zosia? Ale nikt nie odpowiedział na to zapytanie, bo Zosia ściskała matkę, która ją błogosławiła w myśli.

Helenka zawahała się wtedy i jakby chciała pójść w ślady siostry, ale próżność przemogła i po chwili odezwała się nie zupełnie śmiało:

— Ale czy panna Elżbieta na czas wykończy dla mnie sukienkę?

— Wykończę na pewno — odpowiedziała krawcowa.

Zosi już nie było w pokoju.

Hela po chwili dodała:

— Może do mojej sukni możnaby użyć mniej koronek, toby parę rubli zostało; oddałabym je pannie Oli.

— Można mniej suto ubrać, to mniej się ich użyje.

— Ale czy ładnie to będzie? — dodała strojnisia.

Matka dziwnym wzrokiem popatrzyła na Helę, ale nie mieszała się do rozmowy. Stało więc na tem, że dwa ruble zostało oszczędzone na koronkach, które Hela wraz z Zosią idąc na przechadzkę z nauczycielką, odniosły pannie Oli. Ta, w imieniu biednych podziękowała i prosiła, aby dziewczeczki koniecznie były przy rozdaniu tej kolendy, gdyż się ona odbędzie o piątej po południu, a tamta wspaniała z tańcami ma się zacząć o ósmej. Panienci odpowiedziały, że chętnie przyjdą, a Zosia nieśmiało prosiła o odzież dla biednych dzieci stróża, na co panna Ola chętnie przystała.

Wracając do domu Hela mówiła:

— Jaka zabawna panna Ola, zapraszając nas na rozdanie tej kolendy, cóż my tam zobaczymy zajmującego? Kilkanaście lub kilkadziesiąt obdartych dzieci, zabierających nędzną odzież. Przecież o tej porze musimy już być ubrane, czyż można gnieść ładne sukienki?

— A jabym bardzo chciała widzieć to, i jeżeli mama pozwoli a panna Róża się zgodzi, chętnie tam byłam; co zaś do mojej sukienki, niema się co o nią troszczyć, wszakże będę w tej samej co i wczoraj.

— Nie rozumiem, jak się nie wstydzisz być w tak nie świeżej sukni! — powiedziała niechętnie Hela i wysunęła się aaprzód.

Nadszedł nareszcie dzień oczekiwany i Zosia otrzymała od matki pozwolenie przyjęcia udziału w kolendzie wraz z panną Różą. Ale pani Mirska jeszcze jedną przyjemność zgotowała Zosi, bo przez lokaja posłała ogromny kosz ciast, cukierków i bakalii dla dzieci, które miały być obdarzone odzieżą. Gdy weszła Zosia, panna Ola podbiegła, ściskając ją serdecznie i dziękując, że za jej pośrednictwem jeszcze tyle przyjemności mieć będą biedne dzieci. Wprowadziła ją do pokoju, w którym na dużym stole stały kolendowe dary, składające się z mnóstwa ciepłej odzieży, bielizny i obuwa. W rogu pokoju kilkadziesiąt dzieci z ciekawością spoglądało na stół, gdzie obok odzieży widziały rozłożone bakałie. Panna Ola jak anioł opiekuńczy zaczęła następnie wyprować po jednym dziecku i obdarzała każde z nich.

Zosia nie mogła zostać do końca, bo matka na nią czekała, ale wzruszona i szczęśliwa wróciła do domu, opowiadając, że nie wyobrażała sobie, ażeby te uszczęśliwione dziecięce twarzązki tak wielką jej rozkosz sprawiły.

Hela niezupełnie zadowolona ze swojej sukienki, z łwaśną miną wtrąciła:

— Czy pomyte przynajmniej były, czy też zasmilone jak kopeiuszki?

Ale nie otrzymała na ten dowcip odpowiedzi.

W oznaczonej godzinie znalazły się obie siostry wraz z matką w rześcicie oświeconym salonie, gdzie na środku leżały kolendy przeznaczone dla przybyłej młodzieży, a były to podarki rzeczywiście dla bogatych tylko służyć nogę, a dla biednych nie się tam nie znalazło.

Zosia szczęśliwa i ożywiona porankiem u panny Oli, bawiła się doskonale, tańcowała wszystkie tańce w swojej skromnej, kremowej sukience, Hela zaś i mniej tańcowała, eżem się mocno zmartwiła i jeszcze na początku wala, niezręczny tancerz okręcił ją tak silnie, że zaczęła się koronką u sukni za stojący ogromny wazon i rozdarła ją, eżem ostatecznie zepsuła sobie humor.

Wróciwszy do domu, na zapytanie nauczycielki jak się bawiły, Zosia odpowiedziała:

— Doskonale! a Hela z okrzykiem.

— Szkaradna zabawa!

Wówczas obecna tam matka rzekła:

— Mnie się zdaje, że to wcale nie zabawa teau winna, ale coś innego w nas samych.

Helenka ze spuszczonei oczyma rzekła:

— Tak mamó, Zosia dobry uczynek spełniła i to ją uszczęśliwiło, była wesoła i śliczną, ja przeniosam stroje i słusznie ukaraną zostałam. Nadal wiem już jak ram postę pować, a jeżeli sama nie będę wiedziała co robić, pytam się Zosi i pójdę w jej ślady; i siostry uściskawszy się podeszły do matki, jakby prosząc o jej błogosławieństwa przyroku nowo rozpoczętym.

Zofia Sawicka.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Rocznie w Austrji w Prusach marek 10; — stosownie do tego półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TRZĘŚĆ: Nowy Rok, wiersz przez Maryę S. (z ryc.) — Jubileusz Adama Pługa. — Niedźwiedź, powieść z XVI w. przez Zuzannę Morawską. — Galerya gotycka w Wilanowie (z ryc.) — Łoś (z ryc.) — Dwie kolendy. — Dodatek: Co rok nowy przyniesie? wiersz przez Z. M. (z ryc.) — Pierwsza zima wiewiórki — Gołabek Bożenny. — Łamigłówni. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доволено Цензурою. Варшава 16 Декабря 1897 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noakowskiego, Warecka Nr. 15.

WIECZORY RODZINNE

Co rok nowy przyniesie?

— Jutro rok nowy, mamo, a dla czego nowy?
— Cicho, Adasiu — mamie nie przerywaj mowy,
Ty Idziu nie przeszkadzaj!

Wołała Halinka.

Mama wzięwszy na ręce maleńkiego synka,
Tak do dzieci mówiła:

— Dziś skończymy stary,
A z nim wszelkie grymasy i wszelkie przywary.
Gdy zegar dziś północną godzinę wydzwoni
Każde z was już oddawna główkę do snu skłoni.
Jutro kiedy z was każde oczki swe otworzy,
Powita już rok nowy...

— Czy aniołek Boży
Przyniesie co dobrego nam z tym nowym rokiem?
Rzekł Adaś i na brata mrugnął z lekka okiem,
A Józio rzekł do uszka:

— Zobaczysz, przyniesie,
Bo mówią, że gołąbek, co to siedzi w lesie,
To aniołek z darami do dzieci przylata,
— Mamuniu, mnie serduszko tak dziwnie kołata,
Czy to Nowy rok idzie? — Halinka spytała,
I stanęła przy mamie, i w górę spojrziała.
— Idzie rok nowy — idzie — mama znów do dzieci:
— Niechaj dzień każdy dla was z pożytkiem przeleci;
Uczcie się jak żyć trzeba — jakto kochać ludzi,
Jakto trzeba pracować, niechaj się obudzi
W sercach waszych serdeczna miłość dla współbraci,
Godziny z dnia każdego niech żadne nie straci.
Kochajcie to, co piękne, ziemię, łąki, gaje,
I to światło, co słońko ziemi naszej daje.
Podzielcie swój kęs chleba z tymi, co są głodni,
A kiedy czyniąc dobrze staniecie się godni,



Że ów gołąbek biały, co tam w górze lata,
Z końcem roku do waszych serc znów zakolata,
I spłynie ku wam z nieba jasny promyk Boży,
Co wam drogę do cnoty i szczęścia otworzy.

Z. M.



PIERWSZA ZIMA WIEWIÓRKI.

— Co się to stało? — mówiła do siebie właściwym sobie językiem młoda wiewiórka, siedząc na sośnie w lesie i przecierając oczy puszystym swoim ogonkiem. Wczoraj kiedy szłam spać drzewa i pola zieleniły się jeszcze, a dziś pokryte białym delikatnym futerkiem. Gdyby tu zjawiała się gadatliwa wrona, dowiedziałabym się od niej przyczyny tej nagłej zmiany, nie chcę pytać o to drugiej wiewiórki bo gotowe wysmiewać się z niewiedomości mojej.

Ale tymczasem głód zaczął dokuczać małej mieszkance leśnej, oglądała się dokoła za pożywieniem ale najdrobniejszego ziarneczka nigdzie dojrzeć nie mogła, a nie pamiętała gdzie matka złożyła nagromadzone przez siebie na zimę zapasy, zaczęła więc głośno na los swój zawodzić skargi. W tem posłyszała krakanie wrony, która rozradowana widokiem śniegu pokrywającego całą okolicę, usiadła na sąsiedniej gałęzi.

— Wszak ślicznie światu w tej białej sukience? —

odezwała się do wiewiórki, ty go pierwszy raz tak przystrójonym widzisz, bo to pierwsza zima w życiu twojem.

Wiewiórka jednak nie zdawała się być zachwyconą owym zachwalonym widokiem zimy.

— Jak to długo potrwa? — pytała z niepokojem, czem się przez ten czas żywić będziemy?

— Kto to wiedzieć może! — odparła wrona — śnieg czasem ginie po dniach kilku, a czasem leży kilka tygodni. To cię jednak straszyć nie powinno, zima cięższa dla nas ptaków, żyjących nieogłędnie z dnia na dzień, niżeli dla was wiewiórek, które przezornie zbieracie zapasy na przyszłość.

— Tak robią starsze — zauważyła smutnie wiewiórka, ale my młode nie pamiętamy o tem, ja także nic nie przysposobiłam na zimę i głód mi dokucza.

— Mogłabym cię zaprowadzić do sąsiedniej wioski, gdzie w resztkach, wyrzucanych z kuchni znajduję często pokarm — rzekła wrona — ale ty nie potrafisz jak ja fruwać po śniegu, a nadto w pobliżu mieszkań ludzkich groziłyby ci różnego rodzaju niebezpieczeństwa, mogliby cię zadusić.

— Odważę się na wszystko — zawołała niedoświadczona wiewiórka — jestem młoda i umiem zwinnie uciekać, a najstraszniejszy nieprzyjaciel nie może być gorszym od szarpającego wnętrzości głodu.

I wiewiórka pociągnęła śmiało za swoją skrzydlatą przewodniczką.

— Mamo! — wołało jedno z dzieci stojąc przy oknie i rzucając przez otwarty lufcik zziębłym ptaszynom okruszki chleba, śliczna mała wiewiórka usiadła na framudze oka i cała drży z zimna. Chciałabym ją zwabić do pokoju ale pewnie nie da przysunąć się do siebie.

— Biedne stworzonko musi być bardzo zgłodniałe skoro ośmieliło się zbliżyć do mieszkań ludzkich — zauważyła matka.

— Czy mogę jej dać chleba i ciasteczka? — pytała dziewczynka.

— Dodaj do tego jeszcze kilka orzeszków, stanowiących dla niej ulubione pożywienie — rzekła matka.

W ten sposób wiewiórka miała wspaniałą ucztę, składającą się z chleba, okruszyn ciastek i orzechów, a ośmielona przyjaznem z sobą obejściem, cały czas poobiedni do wieczora spędziła na znoszeniu rzuconych przez dzieci orzechów w wydrążenie drzewa stojącego opodal w ogrodzie; doświadczony głód bowiem nauczył ją przezorności i myślała o nagromadzeniu zapasów na jutrzejsze śniadanie. Ale w nocy silniejszy jeszcze mróz schwycił i nazajutrz rano ogrodnik przyniósł dzieciom biedną wiewiórkę znaną pod drzewem zmarzniętą, sztywną, jakby bez życia.

Dzieci z wielkim żalem pobiegły do matki.

— Może jeszcze nie przemarzła zupełnie, może będzie można ją uratować — pocieszała matka — połóżcie ją w ciepłe i zostawcie w spokoju.

Jakoż rzeczywiście, wiewiórka leżąc w koszyku przy piecu po jakimś czasie otworzyła oczy, a choć długo nie mogła poruszać zeszywniałych członków, przed wieczorem z wielkiem zadowoleniem dzieci, wypija trochę mleka.

— Teraz przecież nie możemy jej wypuszczać na takie zimno żeby drugi raz na dobre zmarzła — tłumaczyła starsza dziewczynka,

Przyniesiono więc dużą klatkę i w niej wiewiórka spędziła resztę zimy, ale choć jej było ciepło i wygodnie, choć nie zabrakło nigdy pożywienia, tęskniła jednak za swobodą jaką używała w lesie. To też w pogodny, słoneczny dzień marcowy dzieci wyniosły ją do ogrodu, i po czułem pożegnaniu, pusiły na wolność. W jednej chwili wiewiórka była już na drzewie i niebawem znalazła się w lesie, gdzie przed znajomą swoją wroną i innymi towarzyszkami wysławiała dobre serduszka grzecznych dzieci, które nie tylko nie dokuczają małym zwierzątkom, ale im niosą pomoc w potrzebie, nie pozbawiając ich, tak drogiej dla wszystkich żyjących istot, wolności.

Gołabek Bożenny.

Przyjaciele.

Od czasu kiedy napad Tatarów za Bolesława Wstydlivego (1239 1241) zniszczył ziemie polskie i wyludnił kraj do tego stopnia, iż poszło w przysłowie, że trawa nie rośnie, kędy przeszła stopa tatarska, żadna jeńców i łupów dzicz mongolska, często zapuszczała zagony swoje zwłaszcza w urodzajne pograniczne strony Ukrainy i Podola nad Dniestrem. Skoro tylko ukazywały się tam hordy tatarskie, lud przestraszony uciekał w lasy, a kto mógł chronił się do obronnych zamków czyli grodów, wystawianych przez zamożnych panów, tak dla obrony przeciw najezdzcom, jak dla poskromienia zbójceckich włóczągów, ciągnących tu dla grabieży ze wschodu i południa. W owych grodach utrzymywano poczty zbrojnych ludzi, których obowiązkiem było stawać na pierwsze wezwanie do walki z nieprzyjacielem.

W jednym z takich zamków wzniesionym na Pobereżu, opodal ziemi zajętej przez Tatarów, w chwili, kiedy zaczynamy opowieść naszą, panował ruch i zgiełk niezwykły; właściciel jego pan Ostrobrodzki na Ostrobrzegu z hucem swoim powrócił właśnie z wojennej przeciw najezdnikom tatarskim wyprawy. Żołnierze, strudzeni pogonią za pokonanym wrogiem, zsiadali z koni, okryci krwią i pyłem, opowiadali gromadzącym się na ich powitanie ludziom szczegóły doznanych przygód. Chociaż jednak zdołali odbić znaczną liczbę uprawdzanych jeńców i odebrać część łupów, oblicze pana zamku było blade i posępne, widocznie ciężka troska dolegała mu na sercu, a lubo kochająca żona witała go radośnie, lubo dziesięcioletnia córka, jasnowłosa Bożenna, gorącemi pocałunkami okrywała jego dłonie, przyciskając je do piersi rzekł smutnym głosem:

— Chodźcie za mną, oznajmić wam muszę wieść żalobną.

Weszli do obszernej komnaty, gdzie na półkach dokoła scian świeciły srebrne dzbany i puhary, pośrodku stał duży stół dębowy, a drugi obok ławy, nakryte kobiercami świadczyły, że gościnni gospodarze w czasach pomyślności i spokoju, zwykli tu podejmować liczne

zastępy przyjaciół i znajomych. Mimo łagodnego na dworze powietrza paliły się na kominie duże kłody drzewa, wszedłszy tam pani Ostrobrodzka zdjęła z męża ciężką zbroję i... usiadłszy przy nim prosiła, aby jej opowiedział strapienie swoje. Pan Ostrobrodzki ujął dłoń żony, położył drugą rękę na złotowłosej głowce Bożenney i rzekł z tłumionem westchnieniem.

— Poniosłem ciężką stratę, najdroższy, najwierniejszy mój przyjaciel zginął z ręki mściwego Tatarzyna. Zalitowski z Kalinówki nie żyje!

— Co mówisz! — zawołała pani Ostrobrodzka, z żalu załamując ręce — zginął mąż Hanny!

— Tak jest niestety! — odparł pan O. usiłując powstrzymać łzy cisnące się do oczu na wspomnienie zmarłego przyjaciela.

— Jutro wracam na jego pogrzeb do Kalinówki, ale pierwszej potrzebowałem naradzić się z tobą, jak przyjść z pomocą nieszczęśliwej wdowie i sierocie, które jednocześnie utraciły najlepszego opiekuna i całe mienie swoje.

— Powiedz nam, powiedz ojciec, jak się to stało? — pytała z płaczem Bożenna.

— Smutna to opowieść dziewczeczko — mówił pan Ostrobrodzki, ale skoro jesteś córką kresowego żołnierza, którego obowiązkiem za broń chwycić jak tylko obrońcą kraju tego wymaga należy ci się zawczasu oswajać z myślą niebezpieczeństwa, na jakie często narażani być musimy i uczyć się nieść pomoc drugim w niedoli. A ciężkie zaiste nieszczęście które teraz z woli Boga spadło na żonę i córkę zmarłego Jędrzeja!

Żal pana Ostrobrodzkiego po poległym towarzyszu broni nie mógł dziwić nikogo; od najdawniejszych czasów najserdeczniejsza przyjaźń łączyła pana Jana z młodym Zalitowskim, jakkolwiek pierwszy urodził się synem magnata w bogatym zamku, a drugi w ubogiej szlacheckiej zagrodzie; siedząc obok siebie na ławie szkolnej pokochali się jak bracia. Jędrzej bystrzejszy był do nauki, Jan silniejszy do bójki; Zalitowski odrabiał za Ostrobrodzkiego trudniejsze zadania, pilnując, iżby nie zasłużył na nagane nauczycieli, Ostrobrodzki strzegł przyjaciela od złośliwych zaczepek i napaści swarliwych kolegów i niejednego oberwał guza broniąc go od dokuczliwych prześladowań szkolnych psotników. Gdy dorosli i osiedli na ojczystym zagonie, kilkomiłowa przestrzeń między Ostrobrzegiem i Kalinówką nie stanęła im na przeszkodzie w dzieleniu wspólnej złości i dobrej doli. Razem przyjęli chrzest rycerski, stojąc obok siebie w pierwszej walce z Tatarami, jednocześnie pochowali sędziwych rodziców i jednocześnie prawie stanęli na ślubnym kobiercu. Jan znalazłszy w swojej Kachnie najlepszą i najwierniejszą towarzyszkę, Jędrzej w Hannie natrafił również na kobietę cnotliwą i pełną rzadkich zalet. Bóg jakby błogosławiąc tym związkom szczerą przyjaźnią, obdarzył ich w jednym czasie prawie córkami mającemi stać się pociechą rodzicielską w dalszych kolejach życia. Czarnobrewa Ludmiła Zalitowska kilka miesięcy zaledwie była starszą od jasnowłosej Bożenney.

— Dziś biedna sierotka płacze nad zwłokami wydartego jej przedwcześnie ojca — mówił z głębokim współczuciem pan Ostrobrodzki.

— Przywieź ją do nas ojciec jak najprędzej — prosiła Bożenna ze łzami, podzielę z nią wszystko co posiadam, będę ją pocieszać, rozweselać, będziemy się razem uczyły i bawiły.

— Odgadłaś zamiary moje dziewczeczko — rzekł pan Ostrobrodzki spoglądając, z zadowoleniem na córkę. O tem właśnie chciałem pomówić z twoją matką. Nieszczęśliwa Hanna i jej córka nie tylko utraciły najlepszego ojca i męża, ale w obecnej chwili wystawione są na przykry niedostatek, nie mając nawet zabezpieczonego dachu nad głową. Dom ich spalony, pola, stratowane, majątność cała zagrabiona przez dzikich Tatarów.

— W jaki sposób spadło na nie to nieszczęście? — zagadnęła pani Ostrobrodzka.

— Przed tygodniem, jak wiecie, otrzymałem wiadomość o napadzie na naszą okolicę licznego oddziału pohanów. Zebrałem coby prędzej zbrojną moją drużynę i ruszyłem na ich spotkanie, ufając, że Bóg wesprze słabe siły nasze i nie dopuści, iżby nieprzyjaciele krzyża odnieśli zwycięstwo nad rycerzami, broniącymi swoich siedzib i wiary Chrystusa. Szczupły mój zastęp żołnierzy powiększała po drodze łącząca się z nami szlachta, gotowa zawsze nieść życie w ofierze w walce z najeźdźcami mongolskimi. Jędrzej stanął w pierwszych w szeregu. Dopędziliśmy nieprzyjaciela o kilka mil stąd zaledwie, w stronie między Dniestrem a Bohem. Nie będą wam opowiadał szczegółów walki; dla tkliwego, kobiecego serca przykry obraz stanowią wojenne zapasy, kiedy człowiek, zapominając o uczuciu miłości bliźniego, niby drapieżne zwierze, żądne krwi wroga, szerzy dokoła mord i zniszczenie. Dość wam powiedzieć, że dzięki opiece Boga, który nie opuszcza walczących w imię dobrej sprawy, zdołaliśmy zmusić dwa razy liczniejszego od nas nieprzyjaciela do stoczenia bitwy w niekorzystnych dla niego warunkach, a zajmując lepsze od niego stanowisko, rozgromiliśmy zupełnie Tatarów, odbierając część łupów i znaczną liczbę uprowadzanych do niewoli jeńców. Pogaństwo poszło w rozsypkę, my zaś czas jakiś goniliśmy za uciekającymi, chcąc odbić więcej jeszcze niewolników. Jędrzej, uniesiony wojennym zapałem, pędził na przodzie; spostrzegłszy, że zbyt daleko nas wyprzedza i, że może znaleźć się sam jeden odcięty od swoich wśród tłuszczy tatarskiej, wołałem na niego by powracał do nas spiesznie.

Posłuszny rozkazowi wodza, a jednocześnie uległy radzie przyjaciela już skręcał ku nam konia, gdy naraz usłyszał żałośnie wołanie:

— Panoczku, ratujcie nieszczęśliwego!

Obejrzał się za siebie i ujrzał młodego chłopca, który trzymany przemocą na kulbace przez Tatarę, wyciągał błagalnie ku niemu ręce. Jerzy zrozumiał, że nieszczęśliwe to pacholę, porwane przez pogan, szuka u niego ratunku. W szlacheckim sercu przyjaciela mego litość górę wzięła znów nad rozważą; poskoczył do Tatarzyna, skrzyżował miecz z pohańcem krew trysła, a chłopak oswobodzony zawisł z wdzięcznością u nóg swego zbawcy. Jędrzej posadził go przy sobie na siodle i spiął konia ostrogą. Już zdawało się, że wszystko pomyślnie się zakończy, już kilkadziesiąt kroków zaledwie dzieliło ich od naszych szeregów, gdy strzała wypuszczona przez jednego z mści-



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



OJCZE NASZ.

Nowego Roku witając zorzę,
Błagamyż Ciebie:
Racz spojrzeć na nas Ojcze i Boże
Bo Twój ryś jest w niebie!

Na łone łzami powieki,
Spuść łaski zdroje,
Świć się o Panie na wieków wieki
Świć Imię Twoje!

Obdarz nas hojnie dary świętymi,
Ku Twojej chwale,
Przyjdź Twe królestwo, na smętnej ziemi
Zarządzaj stale!

Czy zła przygoda, spotka nas w drodze
Czy błysnie dola:
W niebie, na ziemi — w smutku i trwodze
Bądź Twoja wola!

Ty w miłosierdziu twem nieskończonem,
Spuść rosę z nieba,
Niech Twym oraczom w pracy złąknionym,
Nie braknie chleba!

Odpuść nam grzechy, Zbawco jedyny
My je wyznajem!
Oświeć nam serca, — jak bratnie winy
Odpuścić wzajem.

* * *

A gdy pokusa zwikła nam w pęta
Ducha słabego,
O! niech nas Twoja moc niepojęta
Zbawi od złego!

Seweryna Duchńska.

O WYWOŁYWANIU DUCHÓW.

Pytasz się, czy można duchy wywoływać i ze zmarłymi rozmawiać? Zasłyszalesz coś o tem, przypadkowo dowiedziałeś się o stolikach wirujących i pukających; wytłómaczono ci, że to niedorzeczność, że to tylko czeza, pusta zabawa a kto sądzi, że stolik jego samowolnie się porusza, ulega pomylce, złudzeniu; poradzono ci dobrze, byś tem myśli swych nie zaprzętał. Kto nas opuścił, tego, niestety, wszelkie próby nasze i zaklęcia sprowadzić nie zdołają.

Słuszne uwagi i rzetelne rady. Pomimo to wszakże, mogę cię nauczyć sztuki wywoływania duchów i wzywania zmarłych na rozmowę. Nie potrzeba nam zgoła stolików wirujących, nie będziemy kryć się w izbach starannie zaćmionych; w pełni blasku dnia jasnego zaklęcia nasze go usłuchają wielkie duchy, staną przed nami, do nas się zniżą.

A najpierw powiedz, czy pamiętasz „Powrót Taty?”

Oczywiście, znasz piękny ten wiersz, który cię już nieraz zachwycał:

„Pójdźcie o dziatki, pójdźcie wszystkie razem,
„Za miasto, pod słup, na wzgórek.”

Dosyć, — zaklęcie skończone. Już wywołałeś ducha wielkiego poety, jest on tuż obok ciebie, mówi, słyszysz jego słowa. To twój głos wprawdzie się rozlega, ale ustami tweimi przemawia duch poety, którego niema już między nami. Jego to myśli, jego uczucia ożywiają cię, powtarzasz tylko wyrazy, które on ci nasuwa. I zawsze, ilekroć poemat Mickiewicza czytasz, duch jego ulata nad tobą, przejmuje twą duszę, umysł twój ku sobie na wyżyny wznosi. Obcujesz z potężnym duchem poety, rozmawiasz z nim, w brzmieniu słów jego rozkosz znajdujesz.

Mickiewicz niedawno dopiero do grobu zstąpił, żyją jeszcze ludzie, co go znali, dłoń jego ścisłali. Zaklęcie nasze wszakże tak jest potężne, że z otchłani grobu wyrывa poetów, którzy i przed setkami lat żyli na ziemi. Skoro powtórzysz:

„Cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi,
„Tegoć nie wydrze nieprzyjaciel srogi,
„Nie spali ogień, nie zabierze woda,
„Nad wszystkim innem panuje przygoda;”

już tem samem wywołujesz ducha Kochanowskiego, przemawia on do ciebie, jak przemawiał już do tylu minionych pokoleń. A tak samo, skoro tylko zechcesz, sięgnąć możesz do przeszłości odleglejszej jeszcze, wezwać możesz duchy tych nawet narodów, które już nie istnieją; poeci rzymscy, greccy, hebrajscy, indyjscy, zstępują na twe zaklęcie, słuchasz ich głosu z zachwytem, jak go słuchali wlaśni ich rodacy, którzy współcześnie z nimi żyli.

Może jednak, co mówię, do przekonania twego nie trafi, nie zgadzasz się, by czytanie poezji było obcowaniem z duchami. Może zresztą utwory poetyczne są dla ciebie obojętne, nie zachwycaś się ich pięknnością? Wolisz może w ciszy, spokojnie rozwiązywać zadania arytmetyczne, algebraiczne. Tu już nie potrzebujesz żadnego ducha do pomocy, sam sobie wystarczasz, sam pokonywasz trudności; próba ci wypada, tryumfujesz, sam z siebie zadowolony. Pojmuję twe zadowolenie i dzielę je z tobą, ale ludzisz się, gdy mniemasz, że obyłeś się bez udziału duchów, że rozwiązując zagadnienie, nie obcowalesz ze zmarłymi i z nimi nie rozmawialesz. Jeżeli dziś zawiłe nawet zadanie algebraiczne lub geometryczne rozwiązywać szybko i gładko umiemy, to dla tego tylko, że matematycy przez długi ciąg wieków odkryli, obmyślili, uprościli metody rachunków. Gdy wykonywasz choćby dzielenie lub mnożenie tylko, przychodzi ci to łatwo, ale nie zastanawiasz się nad tem, ile trzeba byłołożyć pracy, by

tak prosty sposób działań tych wykryć. Rzymianie, Grecy nie umieli jeszcze wypisywać liczb za pomocą dziesięciu tylko znaków czyli cyfr, jakich my obecnie używamy, a stąd najprostszemu rachunkowi arytmetycznemu ciężkim był dla nich mozołem. Znasz zresztą cyfry rzymskie, umiesz zapewne z nich liczby składać, spróbuj więc wykonać z tak wypisanymi liczbami jakiegokolwiek dzielenie; podziel, dajmy, MMDCLXIV przez CCXLIII, — a chociaż chlubisz się, że dobry z siebie rachmistrz, wątpię, czy temu podołasz.

Matematyka jest nauką bardzo już starą. Śród papyrusów, jakie wydobyto ze starego grobowca egipskiego, znalazł się odwieczny rękopis matematyczny, napisany przez Amesa na lat 4,000 przed narodzeniem Chrystusa. Jestto najdawniejsze dzieło matematyczne, jakie do nas doszło. Ames znał już pewne własności trójkątów i niektórych innych figur geometrycznych, wiedział coś o ułamkach, ale nie umiał ich jeszcze sprowadzać do wspólnego mianownika, aby dwa ułamki dodać, uciekać się musiał do szczególnych wybiegów, tak, że proste to dla nas obecnie zadanie wymagało wówczas wielkiej bystrości umysłu. W piętnastym dopiero i szesnastym stuleciu po narodzeniu Chrystusa metody działań arytmetycznych tak zostały udoskonalone i ułatwione, jak je obecnie znamy. Przez tysiące lat zatem całe pokolenia matematyków pracowały nad rozwojem arytmetyki, więc gdy najprostszemu nawet rozwiązujesz dziś zadanie, cały zastęp tych wielkich duchów staje ci do pomocy; choć sobie z tego sprawy nie zdajesz, nieświadomym swem zaklęciem przyzywasz ich ku sobie. Uczysz się już może algebry, umiesz już rozwiązywać równania stopnia pierwszego, albo i drugiego nawet, ale wszystko to są drobne zaledwie początki olbrzymiej nauki. I największy wszakże matematyk naszych czasów, gdy nad zadaniem jakiegokolwiek pracuje, wzywa do udziału duchy swych poprzedników, rozmawia ze zmarłymi i z tego dopiero, co się od nich dowiaduje, wnioski dalsze wysnuwa.

Obok matematyki uczysz się i geografii, utrzymujesz nawet, że jest to nauka łatwiejsza. Przeczytasz tylko dwa albo trzy razy kartkę, a umiesz już opowiedzieć o Stanach Zjednoczonych w Ameryce albo o wyspach Oceanii. Nawet pomocy korepetytora nie wymagasz, pocóż byłoby duchy zaklinać i zmarłych przyzywać? Prawda, ale przypomnij sobie znowu, ile to mozołów i trudów kosztowało, zanim się geografia w książkę ułożyła. Grecy, którzy byli narodem najoświecenijszym w starożytności, znali jedynie kraje rozłożone dokoła morza Śródziemnego, o okolicach dalszych nie zgoła nie wiedzieli, a i później jeszcze, przez ciąg stuleci całych, Europejczycy bardzo małą tylko częśćkę ziemi znali. Czterysta przecież lat dopiero upłynęło od chwili odkrycia Ameryki, do Australii później jeszcze dotarli żeglarze, wnętrze Afryki z dni dopiero naszych zwiedzili pierwsi podróżnicy, a do biegów nikt się jeszcze dostać nie zdołał. Kolejami żelaznymi i wygodnymi statkami parowymi łatwo teraz odbyć podróż do krajów dalekich, zamorskich, ale podróże dawne połączone były z przeszkodami niesłychanymi, wymagały istotnego poświęcenia, podróżny każdej chwili narażony był na zgubę na zagładę. Dzisiejszą naszą znajomość ziemi tym niustudziom zawiązujemy wędrowcom, tym ludziom odważnym, zuchwałym, których do krajów nieznanych, tajemniczych, pędziła żądza wiedzy i przygód, a gdy się geografii uczynu niewidzialne ich duchy dokoła nas krążą.

Osobliwe czarodziejstwo w każdej mieści się książeczka rozłożyć ją tylko trzeba, a na to zaklęcie zjawiają się wielkie duchy zmarłych, schodzą do nas łaskawie, przemawiają do nas, uczą, radzą, oświecają.

S. K.

(d. n.)

NIEDŹWIEDŹ

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

p. Zuzannę Morawską.

(Ciąg dalszy).

— Aha, pan kapelmistrz śpiewa, choć na niego nie czas, a nam huknąć nie pozwala — zawołał Kazik.

A skinąwszy na pasterzy, dał znak trzymaną w ręku piszczałką, naśladując ruchy pana Sulpicyusza.

Pieśń kolendowa nabrała wdzięczną nutę, Kazik to przykładał do ust piszczałkę, to odjąwszy ją dyrygował w takt z wielką zręcznością.

Pieśń płynęła, rozlegając się dźwięcznymi tony po obszernej komnacie, a urok tej pieśni objął tak poczciwego kapelmistrza, iż zapomniał, że chwila na wykonanie jej jeszcze nie nadeszła, tylko w postawie pół klęczącej nad ułożonym na sianie wyobrażeniem Dzieciątka Jezus, słuchał tej pieśni w zachwyceniu z nawpół przymkniętymi powiekami.

Skrzypnięcie drzwi, któremi weszła ochmistrzyni z kasztelankami przybranymi w białe długie szaty, ze skrzydłami u ramion, nie przerwało muzyki, owszem, dziewczynki złożywszy rączki stanęły i wzniesionymi oczkami spoglądały ku górze w niemym zachwycie.

Całe wzniesienie rzeczywiście wyglądało teraz bardzo tajemniczo. Proste deski stajenki, otoczone obłokiem i oświetlone od góry kagankami nalanymi olejem, u dołu zaś czerwonym ogniem buchającym z olbrzymiego komina, — postaci pasterzy i królów stojących w półcieniu, miały w sobie pewien urok prostoty i natchnienia, które się udzieliło z duszy pełnej wiary i namaszczenia tego, co to misteryum urządzał i tych, którzy je przedstawiali. Chłopcy bowiem, mimo chwilowej niesforności, tak zwykłej ich wiekowi, przygotowywali się do obrazu z największym namaszczeniem i należną czcią dla chwili, którą mieli przedstawiać.

Dwie zaś dziewczynki przybrane za aniołki, jakkolwiek nie były jeszcze na przeznaczonym dla siebie miejscu, nie psuły wrażenia, — owszem, stojące w zachwycie i zasluchaniu w kolendową muzykę, dodawały całemu obrazowi wdzięku i pobożnego nastroju.

Pieśń przebrzmiała, a pan Sulpicyusz, uszczęśliwiony, iż młodzież, wyuczona przez niego, tak pięknie ją odegrała, zbiegł szybko z estrady i zawołał:

— Pięknie, ślicznie, cudownie! ale teraz aniołki w górę, a trzej królowie wypowiedzą oracyą i złożą hołd Dzieciątku.

Wtem za oknem zawrzała wichura tak straszna, iż zdawało się, że świat cały wstrząsnął się w swojej posiadzie.

Od kilku już godzin srożyła się na świecie niezwykła zawieja, lecz na zamku, zajęci przygotowaniem do mającej nastąpić za dni kilka uroczystości, niewiele na tę zawieję zważali.

Chyba jaki pachołek, dzwigający olbrzymie szczapy dREW do kuchni, poskarżył się na wicherę, lub ktoś z czeładzi, wysłany przez kucharza do piekarni, wracał osypany śniegiem i opowiadał, że czort chyba sam dzisiaj harce wśród śniegu wyprawia.

Ci zaś, co się uwijali w kuchni i izbach, nie troszczyli się zgoda o śnieg i wicherę, jak nie troszczył się pan Sulpicyusz i zgromadzona przez niego młodzież. Lecz gdy wiatr zawył straszliwym rykiem, a tumany śniegu zaczęły bić w niewielkie okna, a wreszcie wpadły kominem i załazy płonący dotąd wielkim płomieniem ogień, całą drużynę objął lęk niewypowiedziany, a głosy, tak przed chwilą wesole, umilkły, nasłuchując z przestachem tego straszego wycia wiatru i szumu, jaki się zrywał co chwila.

Ciemność zapanowała zupełna, zalane w kominie głownie syczały, dodając grozy, a kaganki, palące się na wzniesieniu, rzucały tylko migotliwe blaski, stwarzając jakies olbrzymie cienie wśród wielkiej, w mroku pogrążonej komnaty.

Anusia i Jadwisia przytuliły się do siebie i patrzyły w tę ciemność przestraszonymi oczyma, a zagna ochmistrzyni objęła je tak przytulone, jak gdyby chciała je bronić przed jakimś nieznanym niebezpieczeństwem.

— A słowo stało się ciałem! — zawołała pani Antonio-wa przestraszonym głosem.

— I mieszkało między nami — odpowiedział jej Sulpicyusz.

A wicher zawył z większą jeszcze wściekłością, buragan śnieżny uderzył raz i drugi, zda się zatrzęsł węglami zamku i jak nagle przyszedł, tak i prędko odleciał wyprawiać w dalszym ciągu harce po szerokim świecie.

Wszystko znowu ucichło, tylko śnieg gęsty sypał powoli za oknami.

Cisza zrobiła się zupełna, — z ciszą uspokoiły się przestraszone umysły zebranych, a Piotruś najpierwszy zawołał:

— Bartek, a podsyć-że ogień!

Lecz pachołek, który niedawno dorzucił wielką kłodę drzewa, spełniwszy swój obowiązek, wysunął się jeszcze przed nastaniem huraganu, ażeby w czeładniej pogawędzić swobodnie, nie mógł więc usłyszeć wołania.

— Bartek, a rusz-że się! — powtórzyła ochmistrzyni.

Inni, ośmieleni jakoś, zaczęli się również odzywać, a w kątku kominkowi leciało bezprzestaunnie:

— Bartek! Bartek!

— Nie możemy przecie wśród ciemności siedzieć — ozwał się Jędrek.

— Hau, hau! jeszcze wilcy nas zjedzą — zawołał Kazik.

— Gadacie, gadacie, a żaden się z was nie ruszy — rzekł Marcin.

I wlokąc swój płaszcz królewski posunął się, ażeby wyręczyć nieobecnego pachołka.

Lecz płaszcz zawadził o surmę porzuconą przez pasterza, a ta wydała jakiś ton grobowy, przeciągły:

— Co to jest?... — zapytała z przestachem Jadwisia.

— Ja się boję!... — zawtórowała jej młodsza siostrzyczka.

I obiedwie przytuliły się jeszcze więcej do ochmistrzyni, która przygarnąwszy je do siebie, szeptała pacierze.

Przerwawszy je jednak uspokajała:

— Nie trzeba się bać, krzyż święty najlepszą od wszelkiej nieczystej siły i wszelkich strachów obroną.

Marcinek zaś usiłował pozbyć się płaszcza i nie mógł sobie jakoś z nim dać rady.

Tymczasem ogień buchnął jasnym płomieniem i oświecił nachylonego przed kominem Kazika, który nic nie mówiąc podszedł po cichu i pracował nad rozniecieniem zagasłego ogniska.

Teraz, kiedy dokonał już swego dzieła, usiadł na leżących przed kominem dREWkach i zadał w ulubioną sobie piszczałkę, naśladując tem graniem zamilkłą przed chwilą wicherę. Płonące ognisko i granie Kazika uspokoiło do reszty zebranych, a pan Sulpicyusz zawołał:

— No, chwała Bogu, ogień płonie, wzburzony Eol cofnął swoje zapędy, możemy dokończyć próby i zając się przyzdobieniem komnaty.

Wtem za oknem ozwało się parskanie koni i zmieszane głosy ludzkie.

— Rodzice powrócili! — zawołała, klaszcząc w ręce Anula.

I wskoczywszy na ławę przycisnęła twarzyczkę paniej śniegiem szyby, przez którą wśród zapadłego nie widziała.

— Masz dyable kabat! — zawtórował głosem imci pan Sulpicyusz. — wszystko teraz

— Musimy się skryć przed rodzicami! — zawołał Jędrus.

— Eh, zrzuć płaszcz i pójdę się przywitać. I chcąc spełnić to co zamierzał, rzucił na ławę swój płaszcz purpurowy.

Ja zagram na skoczną nutę! — rzekł Stach, podkręcając skrzypeczki.



Krół migdałowy.

— Na miłość Pana Boga, nie róbcieź mi despektu mości panicze! — zawołał zrozpaczony kapelmistrz. — Wszystko i tak bez mała w łeb weźmie! popsowacie wszystko swoją niecierpliwością! — wołał, biegając od drzwi do drzwi.

— Ja ich nie puszcze! — zawołał, udając wielką powagę Kazik, przychodząc w pomoc kapelmistrzowi.

To mówiąc oparł się o drzwi wchodowe plecami i stał z tak nasróżoną twarzą i taką stanowczością w całej postawie, jak gdyby chciał powiedzieć:

— Po trupie moim chyba przejdziecie.

Tymczasem na podsieniu słycać było zmieszane głosy, pan Ignacy daleki krewny kasztelana, sprawujący urząd marszałka, zastępujący go zwykle pod nieobecność w przyjęciu gości, szurał zamaszycie po kamiennej podłodze wielkiej sieni i głośno zapraszał:

— Zaszczyt to wielki domowi pana kasztelana zakroczymskiego, że ma tak zacnych gości w progach swoich, zaszczyt wielki.

I otworzył nagle drzwi o które plecami oparty był Kazik, który przez wysoki próg runął głową do sieni.

— Co robisz, młodzieńcze! — zawołał oburzony marszałek.

Kazik zaś sam nie wiedział w tej chwili, co się nim działo, czuł tylko, że głowa jego utonęła w miękkich jakichś kudłach, z pomiędzy których wydobyć się nie mógł.

Przybyli bowiem porzucali futra, a jedno z nich leżało na podłodze, w które właśnie schowała się głowa naszego Kazika. Jednocześnie rozległ się śmiech wesoły, jasny, dziecięcy, nim rozkaz głosem, który śnać do rozkazów był przyłony:

— Podnieścież go waszmoście!

panów rzuciło się spełnić rozkaz wydany przez

młodzieniaszka, nie mającego nawet lat dziewięciu, który rozglądał się ciekawem okiem po słabo oświetlonej, ubranej w łosie rogi sieni. Lecz przybyli nie potrzebowali się trudzić, bo Piotrus i Marciniek podbiegli, a podawszy ręce Kazikowi, podnieśli go z niewygodnej pozycji. Lecz i oni obaj i wszyscy tak w komnacie jako i w sieni wybuchnęli teraz mimowolnym choć powstrzymywanym śmiechem.

Nad wszystkimi jednak górował śmiech owego młodzieniaszka, ten bowiem nie powstrzymywał swej wesołości, jeno śmiał się na całe gardło. I rzeczywiście było z czego. Ogromny worek na nogi wewnątrz i zewnątrz futrzany, który ochronił go od rozbicia się o kamienną podłogę, wpadł mu teraz na głowę, a wielka kłapa stanowiła wspaniałe okrycie jego całej postaci.

— Niedźwiedź, niedźwiedź! — zaśmiał się srebrnym głosem przybyły młodzieniaszek.

Jeden z otaczających go panów, młody jeszcze choć nader poważny, nachylił się ruchem pełnym uszanowania do klaszczącego w dłonie młodzieńczyka i szepnął mu coś do ucha.

Teraz też przysunęła się mocno otyła, ubrana bardzo wytwornie dama i rzekła doń:

— Troppo, troppo!

Lecz chłopiec spojrział tylko na nich, chciał powstrzymać się od śmiechu, lecz zaraz wybuchnął jeszcze głośniejszym.

Kazik bowiem, jako młodzieniec natury bardzo krotkoczwilnej, usłyszawszy wołanie „niedźwiedź”, uwolnił się z rąk Piotrusia i Marcinka, zaczął chodzić na czworakach i wyprawiać skoki istic niedźwiedzie.



Królowa migdałowa.

Mruczał też przytem jak niedźwiedź prawdziwy; przychodził do każdego z obecnych i stawał przed nim.

Anusia nie czekała nawet, aż do niej przyjdzie, lecz udając z kolei przestrasz, przysuwała się, głaskała i chwytając za wielkie kudły, a udany niedźwiedź straszyl ją i chwytając za powłóczystą szatkę, przywdzianą dla przedstawienia aniołka. Jadwisia, która zwykle udawała poważną osobę, poza-

zdrościła jednak zabawy siostrze i podciągnawszy pod sznur obwiązujący ją w pasie długą szatę, biegła za owym niedźwiedziem i naśladowała jego mruczenie.

— Ha, ha, ha! — śmiał się coraz głośniej przybyły młodzieńczyk.

I przestąpiwszy wysoki próg komnaty, przyłączył się do tej zabawy.

Za nim wszedł zaraz ów pan, co mu szeptał przestroge do ucha i starał się wzrokiem powstrzymać od tej bieganiny.

Weszła też i otyła dama, która znać ochmistrzynią chłopca była, bo z wielkiem oburzeniem i wzruszaniem ramion na jego zabawę spoglądała.

Lecz chłopię albo nie postrzegąło ich wzroku, lub też

uśmiechając się dość chytrze, że przysolił klucznicy, od której niedawno dostał za ucho.

— Chryste Panie, świec będą żalować, a toć dziś większe święto niż imieniny! — porwał się za głowę pan Ignacy i chciał biedz sam do klucznicy. Lecz przytrzymał go za poję jeden z przybyłych i rzekł:

— Trzeba na cztery osoby nakryć w oddzielnej izbie, bo tak zwykł jadać, reszta dworu, a toć go znów nie tak wiele, bo tylko sześć osób, zasiądziemy z domowymi.

— A toć paradniejszej komnaty nad tę nie mamy, to chyba waszmość panów do innej zabiorę... zawsze świec tutaj trzeba!



Pałac w Mokotowie.

zgoła nie chciało zrozumieć. Pan Ignacy tymczasem kłaniał się na prawo i na lewo, powtarzając:

— Wielki to honor dla domu jaśnie wielmożnego pana kasztelana, mego krewniaka i mnie jego marszałka, że tak zacnych i wielkich gości straszliwa aura w progi nasze wprowadziła.

Tymczasem krzątano się już w stołowej komnacie; zastawiano stoły, znoszono konwie i puhary, a z ogromnego komina buchał ogień oświetlając jednak czerwonym blaskiem część tylko komnaty.

— Ależ dla takiego gościa, choćby świec woskowych! — zawołał, wpadając pan marszałek.

— Kiedy klucznica mówi, co na imieniny jaśnie wielmożnego pana kasztelana nie wystarczy, kiej da dzisiaj — rzekł jeden z pachółków krzątających się około stołu.

— Mówi, co już lać świec nie będą do przyszłej jesieni, to nie może tak dawać i dawać na zawołanie — dodał inny,

I skłoniwszy się, wybiegł przez drzwi boczne, prowadzące do izb gospodarskich.

A wielkiej bawialnej, jak ją nazywano, komnacie były młodzieńczyk zabawiał się wraz z kasztelanką. Niem za owym udanym niedźwiedziem, którego nie tylko skoki ale i mruczenie dochodziło do prawdziwego artyzmu. Obowiem zwykłego mruczenia, był jakiś śpiew, którego głów melodyą był jeszcze pomruk misia, słyszany tylko przez pędziwych i zawołanych myśliwców kniei.

Dzieci się bawiły, lecz starsi młodzieńcy przybrani ze królów i pasterzy, którzy z muzyką już byli obczajeni przez pana Sulpicyusza, z zachwytem prawie i poczywem chali tego mruczenia, przechodzącego w śmiech i zwykły.

MIGDAŁOWY KRÓL I KRÓLOWA.

— Mateczko droga! wszak niedługo będziemy obchodzili święto Trzech Króli?—mówił Julek.—Mateczka nam opowiadała, jak za dawnych czasów bawiono się w ten dzień wesoło; jak przygotowywano ciasto z ukrytym wewnątrz migdałem; komu się on losom dostał, ten zostawał królem migdałowym, wybierał sobie królowę wśród zebranych panienek i potem oboje przodowali w zabawie, a wszyscy inni jako poddani posłuszni im być musieli przez cały wieczór.

— Niech nam mama upiecze placek z migdałem, moja mateczko droga! — prosiła siostra Julka, Wańdzia—przyjdą do nas kuzynki: Irenka, Marynia i Zosia, Julek zaprosi kilku kolegów, mateczka sama pokraje placek, a kto wyciągnie migdał, zostanie na cały wieczór królem i wybierze sobie królowę. Dopiero to będzie zabawa.

Pani Morska przyrzekła zadość uczynić temu żądaniu, a Julek i Wańdzia zabrali się zaraz do przygotowania oznak godności dla przyszłej migdałowej pary królewskiej. Wykroili z tektury piękne, zgrabne korony, nakleili je z wierzchu złożonym papierem, poprzyczepiali gdzieniegdzie szklane perelki niebieskie i czerwone i wyglądały jak prawdziwe złote korony, wysadzone turkusami i rubinami.

Gdy nadszedł dzień przez dzieci niecierpliwie oczekiwany i zaproszeni goście zebrali się w saloniku, pani Mirska podała im sama na tacy pokrajany w równe kawałki placek, pilnując, aby każdy prawem starszeństwa brał z kolei.

Migdał dostał się najmłodszemu z chłopców, który na królowę wybrał też najmłodszą z panienek, Irenkę. Włożono im korony na głowy i reszta młodzieży przychodzili im składać głębokie poklony. Spozrzegli jednak, że obcisły żakiet Kazia i krótka sukienka Irenki, nie odpowiadają świetnemu przybraniu głowy i powadze godności królewskiej. Irenka zatem z koronkowej mantylki zrobiła sobie strój połowczy. Kazio zaś pelerynę podbitą futrem zarzucił niby płaszcz królewski i oboje zasiedli na wysokich krzesłach; reszta zaś zgromadzonych młodych gości oddawała im poklony i przynosiła im jako daninę bakalie i pierniki, które król chował w torby papierowe.

— Na co wasza królewska mość przeznaczą nasze skromne dary? — zapytał Julek.

— Obowiązkiem dobrego monarchy — odparł poważnie Wacjo, spełniający doskonale rolę swoją — jest pamiętać o potrzebach poddanych, chowam więc dla nich ofiarowane mi dary.

— Ślicznie powiedziane — zawołał Julek — trzeba teraz aby poddani okazali się szczodrymi.

Wyrzekłszy to usunął się na bok i począł coś rozmawiać z cicha z Wańdzią, podczas gdy inni rozmawiali z królewską parą. Wysunęli się potem oboje i Wańdzia zagadywała z koleżankami, Julek zaś szeptał coś z kolegami.

Wkrótce potem (a trzeba powiedzieć, że do narad młodzieży przypuszczeni zostali i rodzice) przed królem i królową stanęła para delegatów z grona młodych panów i panienek, ofiarując im na tacy pieniądze, wśród których oprócz srebrnych i papierowych były i złote, ofiarując zebraną kwotę ich królewskim mościom, na schronienie założone dla biednych, wzdolnych do pracy kalek, przez Siostrę Miłosierdzia Julj Złotnicką, przy ulicy Dzielnej, pod wezwaniem św Stanisława Kostki, gdzie obok kalek znalazło przytułek kilkanaście ubogich dzieci. Wesołość młodego grona po spełnionym dobrym uczynku wzrosła jeszcze, rozpoczęto więc tańce, wśród których wziął udział król i królowa, zrzuciwszy swoje płaszcze i korony. Żal im było trochę tego stroju, lecz tańcząc wraz z drugimi, przekonali się niebawem, że swoboda lepiej przystoi młodzieży aniżeli majestowski.

MOKOTÓW.

Starożytna osada Mokotów należała do książąt mazowieckich, a po wcieleniu Mazowsza do Korony za Zygmunta I, przyłączoną została do starostwa warszawskiego. W końcu XVIII wieku nabyła Mokotów księżna z Czartoryskich, Stanisława Lubomirska, która przyczyniła się do upiększenia tej miejscowości wybudowaniem pałacyku i założeniem ogrodu. Król Stanisław Poniatowski często, w otoczeniu liczego dworu, odwiedzał dziedziczkę Mokotowa, płynąc łodzią po kanale łańcuchowym, ciągnącym się w tę stronę przez dzisiejsze Sielce. Wpóźniejszych czasach, r. 1856 został w Mokotowie, wzniesiony kościół murowany, a obok niego wzniesiono instytut dla moralnie zaniedbanych dzieci.

NA POLANCE

powieść

P. E. Jerlicza.

— Zosiu! słyszysz? Zosiu! — rozlegał się donośny głos w ogrodzie. Wołającym był młody, może szesnastoletni chłopiec.

W otwartym oknie ukazała się dziewczynka.

— Czego chcesz, Julku? — odrzekła.

— Chodź no, zobacz, jak to ja ul pomalowałem, wygląda jak pałac.

— Kiedy nie mogę, bo nie mam czasu.

— Cóż robisz?

— Przyrządzam podwieczorek. Tylko patrzeć jak wszyscy do domu powrócą, muszę jeszcze pobiedz do piwnicy po dzieżkę z mlekiem.

— To słuchaj, poproś mamusi niech przyjdzie i zobaczy.

— Ale! mamusia poszła wydać truskawki dla letników.

— Ehe! — westchnął chłopiec, zawiedziony w chęci pokazania się ze swoim arcydziełem.

Dziewczynka tymczasem odbiegła od okna i zakrzętała się około stołu, który nakryty ceratą, zastawiony był przyborami do podwieczorku. Wyjęła z kredensu chleb biały i razowy, masło, gomółki, postawiła koszyczek z truskawkami, obejrzała starannie czy wszystko znajduje się w porządku, poczem chwilkę zastanowiła się, czy przynieść już mleko, czy też zaczekać jeszcze, bo dziadunio lubi, żeby było zimne. Ale dla czego to ojca dziś tak długo nie widać?

Dziewczynka podbiegła i wyjrzała oknem od strony dziedzińca. Tutaj poza sztachetami utrzymywanymi porządnie i obrosłymi pnącą roślinnością, widać drogę w stronę lasu, który znajdował się zaledwo o kilkanaście kroków od drogi, z przeciwnej strony błyszczała powierzchnia stawu, z brzegami o stokach porośniętych murawą, z domkiem pomalowanym na zielono, wyglądającym na łaźienkę, z ciemną ścianą lasu odbijającego się w wodzie. Gdyby nie to, że dziewczynka przywykła do tego widoku, patrząc nań od urodzenia, musiałaby zawołać z zadowoleniem: co też to za prześliczne miejsce i położenie. Ale jej nie zajmował w tej chwili ładny widok, ze wzrokiem skierowanym ku drodze śledziła, czy nie ujrzy kogo z tych, na których wyczekiwała. Niebawem w bramie dziedzińca ukazał się wóz napakowany sianem. Na jego szczycie, jak na wysokiej wieży, siedział młody chłopiec, kierując końmi. Pomimo zwyczajnego słomianego kapelusza na głowie i płóciennego kitla, po białości rąk i twarzy, po delikatności rysów, od razu poznać było można, że to nie zwykły parobczak od powożenia końmi. Z wywyższenia

swego, na którym siedział, obejmując wzrok częścią przyległego ogrodu, dojrzał chłopca, który przedtem Zosię do oglądania ula, lecz udając, że nie widzi, krzyknął donośnym głosem, gdy uśmiech figlarny przebiegał mu po twarzy.

— A gdzie ten próżniak, włóczyki Julek? Żeby chociaż przyszedł pomagać mi zrzucać siano, to i tego się nie chce.

Tak obgadany Julek przeskoczył jednym susem sztachetki, odgradzające ogród od podwórza, pędem przedzieńcinie, wskoczył na wóz i schwytywszy wół napastliwie obalił go od jednego zamachu na furze siana, wołając:

— Kto próżniak? Kto włóczyki? A kto dzisiaj do południa zwoził siano, co? Powiedz, ty niegodziwcze. Ja ci tu pokażę co to nazywać porządnych ludzi próżniakami i włóczykami.

I wślaczał go coraz głębiej w miękie siano, nie dając mu się dźwignąć, tem bardziej, że śmiech przeszkadzał mu wzięciu się, użyć całej swojej siły, a przesładowca był krzepki i dobrze zbudowany. Nakoniec nasyciwszy się zemstą, pozwolił mu powstać, a chwyciwszy za widły, zaczął na wspólnie z nim zrzucać siano z wozu do zasieku w stodole.

Zosia ukazała się na ganku.

— Staśku! — zawołała — nie wiesz, gdzie ojciec?

Dwoje silnych ramion ujęło ją wół i poczuła pocałunek na czole; obok niej stał ojciec.

Pan Skalski wracając od zbierania siana, przeszedł furką przez ogród i zaskoczył niespodzianie swoją jedynaczkę.

— Mój tatusieczek złoty, kochany! — zawołała z radością dziewczynka, tuląc się do niego.

— A dziadunio wrócił? — zapytał pan Skalski, silny, ogorzały mężczyzna, z wyrazem twarzy pełnym doświadczenia.

— Jeszcze nie. Żeby był dziadunio, podałabym zaraz pod wieczorek.

— Porzekać na dziadunia, to nie nie szkodzi.

Pan Skalski zawrócił się i wszedł do domu, ujrzawszy od strony ogrodu powracającą żonę. Chłopcy wyładowawszy wóz, wyprzęgli konie i zaprowadzili je do stajni, poczem gonąc się, wpadli na ganek, gdzie ochłonęli z ferworu, poprawili włosów i ubrania i weszli do pokoju. Zosia postąpiła chwilę na ganek i zabierała się już aby się udać za braćmi, kiedy ogromna wyłża, Festa, zerwała się nagle i pędem poskoczyła ku bramie z radośnym skomleniem.

— Oho! dziadunio! — pomyślała, uśmiechając się Zosia — Festa go zawsze poczuje, i wróciła na ganek.

Festa w szalonych podskokach wybiegła za bramę, podniosła łeb, weszła w powietrze, poczem zawróciła na podwórze, przysiadła na tylnych łapach i zaszczekała głośno, jakby chciała wszystkim oznajmić: Hej! słyszycie? nasz dobry pan wraca. Poczem znów się zerwała, pędem wybiegła za bramę i popędziła drogą jak strzała.

Poczeiwe psisko! zawsze tak witała swego pana.

Równocześnie też za sztachetami ukazał się jeździec na koniu. Jeździec ów siedział wyprostowany jak struna, a tak swobodnie i z taką wprawą władał koniem, iż miło było patrzeć. Dziadunio, choć siódmy krzyżyk dźwigał na swoich barkach, trzymał się prościutko, z postawy podobny był do żołnierza, bo też służył dawniej wojskowo, ale dawno, bardzo dawno, kiedy to był na wojnie węgierskiej, teraz zaś pomimo białych jak śnieg włosów, wyglądał czerstwo i zdrowo, z siwymi wąsami zakreconymi zuchowato, nie miał jednak miny groźnej wcale, bo na ustach jego gościł zawsze uśmiech łagodny i dobrotliwy. Teraz wjechawszy w bramę, rzeźko zeskoczył z konia i oddawszy go Jankowi, który zoczył dziadunia oknem i wyskoczył jak na zawołanie; zmierzał ku gankowi, zdjąwszy ogromny słomiany kapelusz ocierając pot z czoła. Zosia zdejmowała z niego skórzaną torbę, wyciaganą wewnątrz papierami.

— To i gazety zabrał dziadunio? — zawołała zdziwiona.

— A jakże, kotku, przywiozłem gazety i listy. Skoro byłem w mieście, czemuż nie miałem załatwić wszystkiego — odpowiedział z uśmiechem starzec.

Wszystko troje, bo i Janek odprowadziwszy konia do stajni, znalazł się na ganku, weszli do jadalnego pokoju. Pani Skalska ujrzawszy ojca, przysunęła mu fotel i usiadła sama obok na krześle, dopytując się, czy się nie strudził drogą i pobytem w mieście, Staś pytał jakiego dziadunio każe sobie ukręcać chleba, a Zosia rozlewała kwaśne mleko na talerz, które Janek roznosił, pomagając siostrze. Wszyscy zajadali chętnie mleko, następnie chleb z masłem i gomółki z wyjątkiem dziadunia, który nie jadł oprócz mleka bez śmietany i chleba; ale bo też dziadunio był bardzo umiarkowany w jedzeniu.

Jeszcze się podwieczorek nie skończył, kiedy za drzwiami dało się słyszeć szamotanie, jak gdyby ktoś sięgał do klamki a dostać jej nie mógł, następnie klamka zaskrzypiała raz, drugi i trzeci, jakby temu komuś nie wystarczało siły do naciśnięcia, nakoniec drzwi roztworzyły się, a do pokoju wszedł malutki chłopczek, może pięcioletni lub sześcioletni, który ujrzawszy obcych przy stole, zawstydził się nieco, spuścił oczy, szastając się jednak na prawo i lewo.

— Romuś! jak się masz — rzekła pani Skalska, spoglądając z uśmiechem na malca. — Cóż nam powiesz?

— A to ja przyszedłem prosić, żeby chłopcy i panna Zosia przyszedli do nas, bo wszyscy czekają.

Romuś był to ulubieniec całej osady, która na letnie mieszkanie zjeżdżała do Polanki, należącej do państwa Skalskich. Ładny chłopczyzna, o dużych niebieskich, roztropnych oczach, mówił szepłeniąc nieco po dziecinnemu i każdej rzeczy zdziwił się ogromnie, powtarzając z zabawną miną: a to dopiero! Dziadunio nazwał go krężółkiem i ta nazwa utrzymała się w całej osadzie.

— A może się napijesz mleczonek, lub zjesz chleba z masłem? — spytała go Zosia.

— Nie, dziękuję — odpowiedział, szastając się znów jak na chłopczyka dobrze wychowanego przystało.

— Już ja wiem co Romuś będzie jadł; jagódki — powiedział Janek i nałożył mu na spodeczek truskawek.

— Dziękuję — powtórzył Romuś i z wielkim zadowoleniem przystąpił do stołu.

Zosia posadziła go na krześle i podsunęła mu spodeczek z truskawkami.

— No, i cóż tam powiesz nowego? mój kochany krężółku — wyrzekł dziadunio z uśmiechem, głaszcząc chłopczykę po jasnej główce.

A Romuś mając usta zapechane truskawkami, mówił z miną rezolutną:

— A to proszę pana, chłopcy będą pamiętać o zjedzeniu łódki, i dla tego trzeba, żeby przyszła panna Zosia i pan Staś i pan Janek, a dzieci będą się bawić pod lasem w ptaszka i dzikie gęsi.

— A ty co będziesz robił? Będziesz jeździł łódką, czy bawił się w dzikie gęsi? — zapytała, śmiejąc się Zosia.

— Ej! pewno, że w dzikie gęsi, bo panna Berta nie chce puszczać Romusia w łódce do stawu.

— Bo Broniś nie umie pływać, toby utonął, gdyby się łódka wyróciła — rzekła pani Skalska z uśmiechem.

Romuś spojrział wielkimi oczami na staruszkę, jakby u niego szukał potwierdzenia tej prawdy.

— Czy to proszę pana, jak kto nie umie pływać, to naprawdę utonie w wodzie? — zapytał.

— A naprawdę — potwierdził dziadunio.

— A to dopiero! — wykrzyknął z podziwem — rozkładając ręczki komicznym gestem, spojrział na spodeczek, który był już pusty, więc zgramolił się z krzesła, pocałował w rękę panią Skalską i zmierzał ku drzwiom.

— Odprowadź go, Janku — rzekła pani Skalska do syna.

— Kiedy ja tu nie przyszedłem sam — zawołał Romuś — mnie przyprowadził pan Henryk, i tam przed gankiem czekał.

Janek zniknął za drzwiami, rad, że się zobaczy z towarzyszem.

Zosia zabrała się do sprzątanja po podwieczorku, gdy pan Skalski, który tymczasem przeglądał listy, zawołał z wzruszeniem wielkiego zdumienia:

— A to szczególna propozycja nas spotyka!

— Co takiego? — spytała pani Skalska.

— A no, przeczytaj głośno, Anteczko — rzekł pan S. podając list żonie. — Niech dziadunio też posłysz, wszyscy będziemy później radzić nad tem, co tu odpowiedzieć.

Pani Skalska wzięła list podany i zaczęła czytać:

„Kochany kuzynie i kolego!”

— A no, widocznie jakiś wojak, nie obcy przynajmniej — zauważył półgłosem dziadunio.

„Po tylu latach przerwanych pomiędzy nami stosunków, nie wiem czy przypominasz sobie nawet dawnego towarzysza z ławy szkolnej, a może odezwanie moje do ciebie poczytasz mi poprostu za natręctwo. Sprawa jednak, dla której odwołuję się do twojej przyjaźni, jest dla mnie tak ważna, iż gotowem się odważyć na wszystko, a ty, spodziewam się, wytłumaczysz mnie i uniewinnisz, tem bardziej, że jak wiem sam jesteś ojcem, pojmujesz więc czem dla mnie jest życie dziecka.

Jedyna córka moja jest zagrożona poważną chorobą. Dziś, dzięki Bogu, zła nie jest jeszcze rozwinięta, ale ogólny stan osłabienia, wyczerpania sił i rozstroju w tak młodym wieku, (bo ma dopiero lat piętnaście) każe mi się obawiać czegoś groźnego na przyszłość!

Szanowny doktor Bobrowicz, w którego wiedzy i doświadczeniu mam największe zaufanie, uważa dla niej jako jedyny, radykalny środek zajęcie fizyczne na świeżem powietrzu, a jako jedyne, najwłaściwsze miejsce pobytu, wskazuje dom szanownych państwa.

Ośmielony zapewnieniem doktora Bobrowicza, że szanowni państwo nie wezmą mi za złe mojej odezwy, udaję się do nich z gorącą prośbą, czyby nie mogli przyjąć mojej ukochanej jedynaczki na tę parę miesięcy letnich pod swoją opiekę? Zajęcie moje jest tego rodzaju, iż nie pozwala mi wydalic się z domu, tembardziej więc chodzi mi o to, aby córka moja znalazła się wśród godnej rodziny, któraby jej własną zastąpiła.

Oczekując na odpowiedź twoją, kochany przyjacielu, łączę wyraz głębokiego szacunku dla całego domu szanownych państwa.

Teodor Mirski.”

— Któż to jest ten pan Mirski? — zapytała pani Skalska, oddając list mężowi.

— Ten Mirski jest to bogaty przemysłowiec — objaśnił pan Skalski. — Niegdyś razem kończyliśmy szkoły i żyliśmy w stosunkach dość bliskiej przyjaźni. Później ile razy spotkałem się z nim w Warszawie, zawsze okazywał mi wielką serdeczność, byłem nawet kilka razy u niego jeszcze za życia jego żony. Ale że to ja rzadko bywam w Warszawie, a będąc tam mam czas niezmiernie zajęty, więc te stosunki poszły w niepamięć. Wiem tylko, że jest bardzo bogaty, że wcześniej stracił żonę, po której została mu jedna córeczka,

wszystkie szczegóły od doktora Bobrowicza, który był moim kolegą.

— Tego roku, tatusiu, nie przyjedzie do nas doktor Bobrowicz? — zapytała Zosia.

— Nie, moje dziecko, wyjeżdża na kongres lekarski!

— Szkoda, mój Boże! — zawołała Zosia. — Od najmniejszej dziewczynki pamiętam go jak przyjeżdżał do nas na łazde święta i podczas wakacji.

— Nie dziwnego, córka jego jest za mężem w nasze miejsce, odwiedzając ją, przyjeżdża zarazem do nas.

— Mnie się zdaje, jakby on był naszym najbliższym krewnym, tak go lubię.

— Ale cóż zrobimy z tą propozycją? — zapytała pani Skalska, spoglądając na męża i ojca.

— Przyznam ci się, że nie wiem, moje dziecko — odrzekł pan Skalski wzruszając ramionami.

— Jeśli ta dziewczynka jest rzeczywiście słabowita, jeżeli potrzebuje wzmocnienia na świeżem powietrzu — mówiła, zamyślając się pani Skalska.

Wtem dziadunio zaczął się śmiać głośno i serdecznie.

— Oj! filut, filut stary z tego doktora Bobrowicza, już ja go znam.

— Jakto, dziaduniu? — zapytała pani Skalska.

(d. c. n.)

NOWE KSIĄŻKI.

Do wydawnictw swiazdkowych o których wspominaliśmy w ostatnich numerach roku zeszłego, przybyły jeszcze nowe późniejsze, które dziś zaznaczamy.

Księgarnia pp. Gajewskiego i Pubowskiego wydała:

Na falach Atlantyku, przygody rozbitków pośród oceanu. Niezmiernie ciekawe opowiadanie, znanego autora prac podobnych, p. *Wł. Umińskiego*, którego **Podróż do bieguna**, **W lasach Australii** i **Podróż bez pieniędzy**, budziły żywe zajęcie w czytelnikach „Wieczorów.”

Atlas historii naturalnej w 180 kolorowych obrazkach na 29 tablicach z tekstem Feliksa Vermińskiego. Dzieci powziąć mogą z niego dokładne wyobrażenie o nieznanym im zwierzętach, których mają duże, wyraźne rysunki, oprócz podobnych rysunków, motyli owadów, roślin i krzewów.

Stach i ksiądz Stanisław, powieść napisana i wydana przez *Ukrainkę*. Autorka jej może pracować z korzyścią zarówno dla młodego wieku jak i dla ludu, gdyż pracę jej zalecają odpowiednie do tego zalety, treść moralna i obudzająca zaciekawienie, obok prostoty stylu.

PRENUMERATA WYNOŚI:

w WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Rocznie w Austrii 10 korony, w Prusach marek 10; — stosownie do tego półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

TREŚĆ: Ojcie nasz, wiersz przez Sewerynę Duchinińską. — O wywoływaniu duchów przez S. K. — Niedźwiedź, powieść z XVI w. przez Zuzannę Morawską. — Migdałowy król i królowa (z ryc.) — Mokotów (z ryc.) — Na polance, powieść przez E. Jerlicza. — Nowe książki. — Dodatek: — Kakao i czekolada przez Maryę Weryho (z ryc.) — U cioci Polci. — Kapryśny Bryś, wiersz p. Nagodę. — Gołąbek Bożenny. — Zamigłówki. — Skrzyńka do listów. Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

Redaktorka **Ludwika Hauke**. Дозволено Цензурою. Варшава 22 Декабря 1897 г. Wydawczyni **Marya z Chomętowskich Balińska**.

W drukarni Noskowskiego, Wareck.

WIECZORY RODZINNE

KAKAO I CZEKOLADA.

Dużo sprawunków dziś matka przyniosła ze sklepu, a między innymi pudełko blaszane, całe prawie oklejone kolorowym papierem na którym stoi napis: *kakao*. Kakao, nie w naszym wzrosło kraju. Gdyby więc mogło przemówić, tobyśmy się wielu ciekawych rzeczy od niego

Pod wpływem zimna masa czekoladowa tężeje i biera wygląd zwykłych tafelek, jakie widzimy po pach i cukierniach.

Pierwszy raz kakao ukazało się w Europie ku XVI; dziś mamy dużo fabryk czekolady i kakao, tek jej dobrze nam znany.

Marya Weryho



Owoce drzewa kakaowego.

dowiedzieli; ale że mówiłoby prawdopodobnie niezrozumiałym językiem, więc wolimy opowiedzieć wam po krótko jego dzieje. Ojczyzną kakao jest Ameryka południowa, kraj bardzo gorący. Drzewa kakaowe nie przewyższają naszych owocowych. Mają one tę osobliwość, że owoce wyrastają na pniu, w kształcie ogórka z bardzo twardą łupiną.

Każdy owoc zawiera od 20 do 40 ziarenek, leżących jedno na drugim, a mających kształt ziarenek fasoli.

Kiedy owoce dojrzeją, koloniści zbierają je i wrzucają do dużego dołu w ziemi, zawczasu przygotowanego.

Po pięciu dniach, kiedy się owoce dostatecznie odleżą w ziemi, robotnicy wyjmują je, tłuką łupinę, oddzielają nasiona od miążgi i rozkładają na słońcu dla zupełnego wysuszenia.

Owe oleiste ziarna tameczni mieszkańcy pakują i rozsyłają po całym świecie do fabryk, gdzie je kruszą i mielą, a oddzielwszy od tłuszczu którym są przesiąknięte otrzymują sproszkowane kakao, brunatnej barwy proszek; który pakują w blaszane pudła i rozsyłają po sklepach.

Czekolada, jest też tylko proszkiem kakaowym zmieszany z cukrem i wanilią.

Kakao sproszkowane, przy zagrzewaniu rozpuszcza się i zamienia w masę, do której jak to już wspomnieliśmy, dodają cukier, wanilię, a badając jej formę tabliczek ochładzają w lodowniach.

U cioci Polci.

(Dalszy ciąg).

— A teraz zrobimy z nich lusterko. Złóżcie napowrót pudełko, tak aby znów zrobiły się z niego dwie torebki, ale tym razem połóżcie torebki płasko na stole tak, aby leżały zwrócone otworami do siebie (fig. 29). Zegnijcie każdą torebkę przez pół, w tył, i rozłóżcie otwory *a* i *b*,

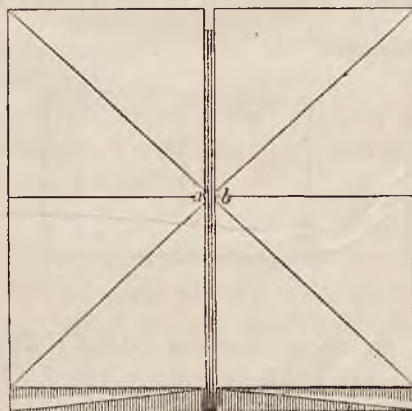


fig. 29.

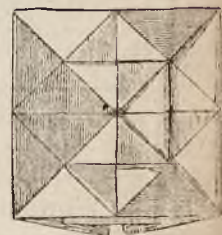


fig. 30.

żeby były zupełnie płasko. Gdy je rozłożycie, to te brzegi, które łączą torebki rozłożą się też i gdy dobrze przypłaszcycie, zrobi się lusterko w ramach (fig. 30).



fig. 31.

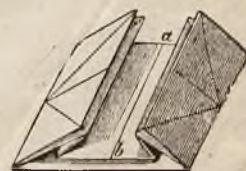


fig. 32.

— Moja robota nie wygląda zupełnie jak lusterko — rzekł Kazio pokazując swoją figurę (fig. 31).

— Bo ją oglądasz z przeciwniej strony, odwróć ją a zobaczysz, że podobna do mojego lusterka; — rzekła ciocia.

— A teraz złóż to lusterko na pół (fig. 31). Na my jeden koniec *a* drugi *b*. Weź delikatnie w pal dwa końce i pociągnij ostrożnie.

Ale chłopcy zanadto się spiesząc rozdarli swój
er, a Henryś spojrzawszy na arcydzieło, wyszłe z rąk
olci, woła z rozczarowaniem:

I to ma być galar!

Galar, tylko przewrócony dnem do góry; trzeba
rócić jak należy i odgiąć dwa brzegi *e* i *d* (fig. 33),
gotów.

Przepyszny—zawołał Henryś—żałuję, że mój po-
Spróbuję zrobić nowy.



fig. 33.

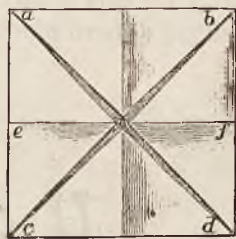


fig. 34.

— W takim razie nauczę cię krótszego sposobu ro-
bienia podwójnej łódeczki. Weź kwadrat z papieru, załóż
cztery rogi do środka; nazwiemy cztery rogi *a b c d*, a środ-
kową linię *ef*, (fig. 34). Umieść linię *ab* na *ef*, zagnij pa-
pier i złóż *cd* także na *ef*. Zrobi się z tego długa figura,
którejby ją uczynić kwadratową, trzeba także oba krótsze
boki zagiąć do środka (fig. 35) a potem zgiąć w pół, w tył.



fig. 35.



fig. 37.

— To podobne do podwójnej torebki—rzekł Henryś.

— Wewnątrz każdej torebki jest luźny rożek z ka-
żdej strony; wyciągnij ostrożnie każdy z nich, a zrobi się
podwójna łódeczka.

— Wybornie — krzyknął Henryś;—teraz zawsze
będe ją tak robił

— A teraz pokażę wam coś nowego — rzekła ciocia.
Weźcie ćwiartkę listowego papieru ale jej nie rozkła-
lajcie tym razem, tylko złóżcie na pół i rozłóżcie znów;
tym sposobem oznaczy się środkową linię, którą nazwie-
my *a a*, a dwa górne rogi *c* i *c* (fig. 37). Załóżcie je tak



fig. 38.

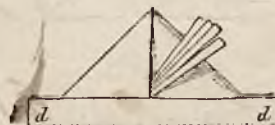


fig. 39.

Wystawcie je obok siebie na środkowej linii *a* (fig. 38), a dwa
boki *d* i *d* wystają *d* i *d* zagnijcie z każdej strony i otóż
gotowy kapeluszek, a jeżeli chcecie żeby był pię-
knie, wsadźcie z boku pęczek piór papierowych

(*d. c. n.*)

Kapryśny Bryś.

— Co to, Brysiu? co to znaczy?
Niech się zaraz pies tłumaczy:
Wszakżeś ty, domowy stróżu,
Być powinien na podwórzu. —
Na twej głowie jest dom cały,
Czy to w nocy, czy w dzień biały,
Więc cóż znaczy ta swawola?
Nie w pokoju twoja rola!

— Prawda, prawda! — Bryś odpowie,
Wiem, że wszystko na mej głowie,
Lecz za takie ja usługi,
Cóż dostaję jak rok długiej?
Ani mięsa, ani mleka,
A zadarmo nikt nie szczeka!
Ja osypki nie rachuję,
Bo osypka w zęby kłuje.

— A fe, Brysiu! Wstydź się stary —
Rzecz doprawdy nie do wiary,
Żeby pies, porządny taki,
Oblizywać chciał przysmaki.
Wszak osypka znakomita,
Bo się najesz nią do syta.

Zresztą, dowiedz się, kochanie,
Że przysmaków ten dostanie,
Kto się o nie nie przymawia,
Obowiązki pilnie sprawia.
Taki Bryś, co się napiera,
Nie wart chleba ani sera.

Nugoda.

GOŁĄBEK BOŻENNY.

(Dagzy ciąg)

— Obawiałem się na razie — odparł zagadniony.
Nieszczęśliwy Jędrzej błędnym wzrokiem wodził dokoła
zerwawszy się na nogi.

— Gdzie moja żona! gdzie córka! — zawołał. Potem
wyczerpany tym ostatnim wysiłkiem, upadł na nosze.
Trzeźwiłem go jak mogłem, starając się natchnąć nadzie-
ją, której sam nie miałem. Szczęściem z za węgla spalo-
nej chaty wyszedł po chwili stary dziadek, który będąc
kulawym, nie mógł z drugimi uciekać; ten nas objaśnił,
że pani z panienką i innymi mieszkańcami siola zdążyli
schronić się do lasu przed nadsięgającą tłuszczą tatarską,
która rozdrażniona możliwością powiększenia liczby jeń-
ców, całą wioskę przociła w perzynę. Dowiedziawszy się
o tem odetchnąłem swobodniej, udzieliłem pocieszającej
wieści Jędrzejowi i na żądanie jego wyprawilem kilku żoł-
nierzy do lasu na poszukiwanie Hauny i jej córki. Jedno-
cześnie posłałem do sąsiedniej wioski po księdza, który
miał opatrzyć chorego św. Sakramentami na drogę wie-
czności.

Z osmolonych desek i obciętych z drzew przydrożnych gałęzi zbudowaliśmy naprędce szałas, a zrobiwszy w nim postanie z trawy, zebranej na łące, ułożyliśmy wygodniej biednego przyjaciela mego. Wtedy dopiero zwróciłem uwagę na chłopca o śniadej, ściągłej, ładnej twarzyczce, który cały czas na krok nie odstępował Jędrzeja, siedząc jak wierny piesek u nóg jego. Na zapytanie co on za jeden i z kąd się wziął u Tatarów, objaśnił w krótkich słowach, że jest rodem z Węgier, że mu na imię Stefan, że gdy był małym dzieckiem, banda wędrownych cyganów porwała go z domu rodzicielskiego, tak że nawet dokładnie rodziców swoich nie pamięta. Po kilku latach włóczęgi w różnych stronach, cyganie owi przybyli z nim na Wołoszczyznę, gdzie kupił go od nich bogaty pan, właściciel zamku na pograniczu Bukowiny i Pokucia. Czas jakiś był u niego chłopcem pokojowym, mając częste stosunki z Polakami wyuczył się mowy polskiej. Przed paru tygodniami napadli tamtę okolicę Tatarzy, pana zabili, a jego wzięli do niewoli. Wiedząc jak ciężką bywa ta niewola tatarska, błagał spotkanego w potyczce dzielnego rycerza polskiego o ratunek, nigdy jednak, nie daruje sobie, jeśli wybawiciel jego niesioną mu pomoc przyplacić będzie musiał życiem. To rzekłszy, z głośnym łkaniem rzucił się na Jędrzeja. Przyjaciel mój zwrócił na chłopca pełne dobroci wejrzenie, a głaszcząc go po głowie odezwał się łagodnie.

— Nie czyń sobie moje dziecko daremnych wyrzutów, śmierć widać sądzona mi była z woli Boga, a z wolą Boską bez szemrania zgadzać się musimy. Słyszę, że choć młody jesteś, ciężkie już w życiu przechodziłeś koleje. Polecę cię opiece mojej żony, która zastąpi ci w części brak rodziców; w Ludmile zaś znajdziesz dobrą i odpowiednią do wieku twego towarzyszkę.

Jakoż niebawem przybiegły z lasu odszukane kobiety. Nie będę wam opisywał rozpaczy nieszczęśliwej pani Zalitowskiej i jej córki, na widok zmienionej twarzy i gasnących oczu Jędrzeja; niczem wydawała się strata mienia, brak dachu nad głową, wobec okrutnej pewności, że kochające je serce niebawem bić przestanie. Napróżno biedny mój przyjaciel dobywał ostatnich sił, aby wlać w ich dusze trochę pociechy; dopiero odgłos dzwonka zwiastującego przybycie kapłana, przywołał nieszczęśliwą żonę jego do przytomności i przypomniał jej obowiązek chrześcijański, poddania się wyrokowi Bożemu.

Po przyjęciu przez umierającego ostatnich Sakramentów, poważny spokój jaśniejący na jego twarzy, zdawał się udzielać wszystkim obecnym. Pożegnał z kolei każdego sługę i towarzysza broni, pobłogosławił klęczące obok żonę i córkę, zalecając im cierpliwość i odwagę w znoszeniu złej doli, prosił przytem aby nie miały żalu do wyswobodzonego z rąk tatarskich chłopca i nie przypisywały mu winy swego nieszczęścia, ale przeciwnie przygarnęły go do serc swoich jak syna i brata. Wreszcie zwrócił się do mnie z temi słowy:

— W twoje ręce, drogi Janie, składam opiekę nad pozostałą wdową i sierotą; byłeś mi najlepszym, najwierniejszym przyjacielem przez ciąg życia całego, nie opuścisz więc mojej żony i córki w nieszczęściu. Umieram spokojny, choć je w obecnej chwili widzę bez dachu i bez zabezpieczonego kawałka chleba na jutro.

Rozumna i serdeczna opieka szlachetnego człowieka więcej warte nad włości i majątki zawodne. Teraz już czuję, że koniec mój bliski, módlcie się ze mną, aby Bóg był miłościw grzesznej duszy mojej.

Głos jego słabł z każdą chwilą, oczy pociągały się mglistą powłoką i wśród modlitw naszych, cnotliwa ta dusza uleciała do nieba.

Opowiadanie to pana Jana wywołało szczery płacz żony jego i córki.

— Jakże Hanna znosi ten straszny cios? — rzekła pani Ostrobrodzka — czemuś ich do nas zaraz nie przywiózł?

— Nie chciały odstąpić drogich im zwłok — tłumaczył pan Ostrobrodzki — Hanna znosi dotąd z religijnym spokojem ciężką swoją dolę, a Ludmiła nie chce przyczyniać jej boleści, tłumi żal swój w głębi poczciwego swego serduszka, ukradkiem tylko ocierając płynące mimowoli łzy. Najgłośniejszym w objawach rozpaczy jest ów czterastoletni Stefan, który ciągle zanosi się od płaczu i mówi, że on także umrzeć powinien, skoro o śmierć przyprawił tak dobrego i szlachetnego pana. Litościwa p. Zalitowska mimo własnego żalu znajduje jeszcze dla chłopca słowa uspokojenia i pociechy, tłumaczy mu, że on dla nich jest jakby drogą po zmarłym spuścizną, skoro mąż polecił go ich opiece. Stefan z wdzięcznością całuje jej ręce, ale od trumny swego wybawiciela odstąpić nie chce na chwilę. Kazałem go zostawić w spokoju, a wydawszy rozporządzenia pogrzebowe na jutro, nie mogłem oprzeć się tęsknocie za wami; przybyłem na parę godzin, aby was zapewnić, że za łaską Boga bez szwanku na zdrowiu powróciłem z wyprawy i powiadomić o smutnych w Kalinówce wypadkach:

— Wszakże na jutrzejszy pogrzeb zabierzesz nas z sobą — zapytała p. Ostrobrodzka — pragnę być obok Hanny w chwilach tak dla niej bolesnych; wspólne łzy nasze nad mogiłą zacnego jej męża silniejszym jeszcze połączą nas węzłem.

— Nie kochanko — tłumaczył p. Jan — moja obecność wystarczy przy smutnym obrzędzie pogrzebowym; sam poprowadzę wdowę i sierotę za trumną drogiego mego przyjaciela, ty zaś zastąpić mnie tu musisz, aby wszystko odpowiednio przygotować na przyjęcie biednych kobiet, które u nas dach rodzinny znaleźć powinny, zanim odbudujemy im własną siedzibę.

— O tak ojczy — zawołała z serdecznym uniesieniem Bożenna — przywieź tu do nas Ludmiłę, będę ją kochała jak siostrę, jak ty kochałeś jej ojca....

Przyjaciółki.

— Mamo — skarżyła się Bożenna kilka dni później — Ludmiła nie pozwala się kochać tak jakbym tego pragnęła! Kiedy ojciec przywiózł je tu przed trzema dniami i ty mamę płaczącą rzewnie panią Zalitowską tak serdecznie witałaś, ja chciałam Ludmile rzucić się na szyję, bo chociaż ją raz pierwszy dopiero widziałam, wiedząc, że to córka najlepszego przyjaciela mego ojca, nie mogłam jej za obcą uważać, ona jednak zaraz odsunęła się ode mnie i dotąd ani razu nie pocałowała mnie z dobrej woli.

— Nie dziw się temu, moje dziecko — tłumaczyła pani Ostrobrodzka — nie każde serce równie łatwe do pozyskania; przywiązanie wielu ludzi z czasem dopiero zjednać sobie można i wierz mi, że takie przywiązanie zwykle głębszem i trwalszem bywa. Chłodne zachowanie się Ludmiły prawdopodobnie z nieśmiałości pochodzi, a smutne jej położenie usprawiedliwia poczęści tę nieśmiałość. Po pogrzebie ukochanego ojca biedna sierota przybyła do nieznanymi ludzi i nieznanego miejsca; wszystko jej tu obce, razi ją może nawet widok obszernego naszego zamku stanowiącego sprzeczność z niskim, małym dworkiem szlacheckim, w którym obok rodziców tak szczęśliwe i swobodne dotąd pędziła życie, a który ręka wroga obróciła w perzynę.

— To też właśnie w tym smutku pragnęłam ją pocieszać, podzielić z nią wszystko co mam, a ona nawet moich zabawek przyjąć nie chce. Wyraźnie musi mnie nie lubić — ubolewała ze łzami Bożenna.

— Nie przyczyniaj sobie przykrości podobnem przypuszczeniem — mówiła p. Ostrobrodzka całując córkę — Ludmiła ma niewątpliwie dobre, kochające serce, skoro nad swoim żalem pańować się stara dla oszczędzenia matce boleści; jest widać tylko trochę dziką i trudno jej przychodzi zawiązywać stosunki znajomości. Pamiętaj przytem moje dziecko o ile to zawsze łatwiej dawać, niżeli odbierać dowody życzliwości i pamięci.

— Cóż mam tedy robić mamó, aby przyjaźń Ludmiły pozyskać?

— Przedewszystkiem bądź cierpliwą i wyrozumiałą, nie wymagaj, iżby twoja serdeczność i uczynność natychmiast równą miarą odpłacane były, przywiązanie ludzi zdobywa się raczej czynem niżeli objawami czułości; nie zrażaj się więc chłodnem zachowaniem Ludmiły, bądź zawsze gotową świadczyć jej przysługi i słodzić smutną dolę sierocą.

Bożenna posłuchała dobrej rady matki i niebawem przekonała się o jej skuteczności. Z początku Ludmiła jakby onieśmielona wspaniałem otoczeniem, w jakim się znajdowała, widokiem obszernych komnat, bogatych sprzętów, licznej służby, unikała zbliżenia z córką właścicieli zamku, niechętnie przyjmowała dowody jej serdeczności; trzymała się uparcie przy boku matki powtarzając z płaczem pocichu:

— Wracajmy do Kalinówki, mamó, tam nam lepiej będzie wśród swoich i bliżej grobu ojca.

(d. c. n.)

SZARADA.

Pierwsze wspan, to stworzenie w chodzie wyróżniane;
Drugie wprost z rzeczownikami bywa używane.
Trzecie tam kędy wojna rozszerza się droga
Bo dobrze zabezpiecza przed napaścią wroga.
Wszystko wraz z wirem uciech co roku powraca,
I smutny czas zimowy ludziom mile skraca.

ŁAMIGŁÓWKA KROPKOWANA.

Od Niezabudki dla kochanych rodziców.

J. śl. che. sz. b. R. k. N. w.
Pr. wdz. w. s. n. w. m. st. l.
P. rz. ó. st. r. sw. n. r. w.
. ml. d. śc. pr. źn. sz. l.
. b. ś. g. n. t. lk. z. m. w.
Ż. c. n. w. m. r. k. m. zw. l.

ARYTMOGRYF.

Ułożył Lucio K.

13	10	18				
14	12	10				
19	12	3	18	9		
10	1	8	19	11		
10	12	12	1	1	10	
17	14	5	12	1	1	1
10	13	11	13	12	1	1
10	13	17	12	13		
1	13	15	16	2		
13	12	1				
11	9	15				

Zastąpić liczby literami, aby środkowe pionowe złożyły nazwisko poety z XVI w. Wyrazy poziome: 1) Organ zmysłu. 2) Przeciąg czasu. 3) Waga apteczna. 4) Dopływ rz. Indus. 5) Ptak śpiewający. 6) Wyspa wśród Mał. Antyliów. 7) Miasto nad Renem. 8) Miasto przy ujściu Wilii do Niemna. 9) Państwo w Europie. 10) Dopływ Wolgi. 11) Zwierzę drapieżne.

Skrzynka do listów.

Wszyscy nowi prenumeratorzy za zgłoszeniem się do Redakcji naszej, otrzymają początkowe arkusze drukującej się w dodatku powieści: Juraś i Anulka.

Kryszałkowi najserdeczniej dziękujemy za miłe, pocziwe życzenia, za opłatek, śliczny bilecik, życząc nawzajem całemu rodzęństwu świąt wesolych, które u was dopiero nadejść mają, a u nas już się skończyły. Prosimy też nadal o równie przyjemne liściki.

Zosi L. z Petersburga, zagubione numera wysłaliśmy, zmiany adresu nie odebraliśmy.

Winia z Łoszkowiec, nadesłała dobre rozwiązanie jak również: Dziunio i Marynia D., Józio B., Gustaw i Juljan, Konik szachowy, Pracowita Mrówka i Zielona choinka.

Gustaw L. i Powiślanka złożyli dla najbiedniejszych rs: 2. Danusia i Powiślanka, ubranka własnoręcznie uszyte dla najbiedniejszych dzieci. Szczęść im Boże za pocziwe serduszka i pamięć o biednych!

Promyczkowi dziękuję za życzenia i nawzajem serdeczne przesyłam.

Laszce. Dla braku miejsca w zeszłym numerze odpisać ci nie mogłam i dzisiaj dopiero dziękuję za tak ciekawie i ładnie napisany liścik. Szczegóły w nim zawarte bardzo mnie zainteresowały. Styl masz bardzo dobry, gładki i naturalny, widać i z listu i z „rozmowy kwiatów”, że pisanie przychodzi ci z łatwością; z czasem więc możesz dojść do tego, że bardzo dobrze pisać będziesz. W zeszłym roku bardzo gorliwie poruszaliśmy kwestyę karmienia zgłodniałych ptasząt wśród zimy, mamy nadzieję, że słowa nasze i zachęty nie przebrzmiały jeszcze dotąd i, że wśród czytelników Wieczorów spora gromadka również tej zimy nie zapomniała o głodnej skrzydlatej rzeszy małych ptasząt.

Płaszyna otrzymała już odpowiedź w zeszłym numerze.

Z początkiem Nowego Roku wszystkim korespondentkom korespondentom moim przesyłam najlepsze życzenia.

Jaskółka.

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Góra Biruty w Połauce.

I.

Długi dzień letni się kończył. Słońce chodziło; purpurowa jego tarcza zanurzała powoli w odmęty, a na spokojnych wodach Bałtyku igrały barwy tęczowe. Niewielkie fale poruszane leciuchnym wiatrem, fałdowały nieznacznie, marszczyły delikatnie, a na ich chliwej, nierównej powierzchni świeciły coraz to inne, coraz to nowe: m. srebrem, złotem i wszystkie innych kamieni, wśród których i topazy.

Cisza w powietrzu, cisza nad morzem, tylko słycać ryk drobnych fal o brzegi, czasem krzyknie, spiesząc na nocleg do na skale, tylko czasem stary las, nad morza pasem złotego piasku, gło zagwarzy w najwyższych drzew wi

Słońce zanurzało się coraz głębiej. tarcza czerwona błyszczy na zachodzie, puła ognista, która maleje, wreszcie ginie, rozproszywszy po toni wodnej swych blasków... Jeszcze zorza wieczorna rumieni się na niebiosach, jeszcze morze płonie chwil kilka... Nakoniec wszystkie światła i barwy gasną, fale szarzejają coraz bardziej, mrok zapada, dzień się kończy, noc nastaje.

*) Połaga, po litewsku Polanga, miasteczko w gubernii kurlandzkiej, niegdyś ważny punkt handlowy na Bałtyku, zniszczony w czasie wojen szwedzkich za Karola XII, na prośby zawistnej Połudzkiej kupców miasta Rygi. Od strony południowej miasteczka, nad brzegiem, góra Biruty. Dzisiaj jest to tylko góra poli morskich

su, tuż nad morzem, tam od strony Kłaj-
ku otoczonym wiankiem świętych dębów,
W dzień biały, przyćmione promieniami
czowało ono tak jasno, ale, gdy zgasło światło
ok ziemię utulił, płomień ogniska strzela we-
wrasza dokoła nocne cienie i oświeca otacza-
cie.

e postacie? To dziewice litewskie, to waje-
żniętego ognia, roznieconego u granic starej
szumiącym morzem, na cześć bogini Prau-
święty ogień nie zagaśnie, dopóty Litwie nie
ezpieczeństwo! Niemcy nie zagarną ani pię-
hwały Krzyżak zawsze odparty zostanie!
tatkciem dostarczać będzie zboża na chleb,
szczy nie zabraknie zwierza, w barciach
wodach Bałtyku ryb o srebrzystej łusce
ynu...

ły wiankiem ognisko i białemi rękami
chych szczap smolnych. Ogień trzaska,
ń wznosi się coraz wyżej, het, ku mie-
y Litwy strzegą. Przy gorejącem ogni-
szaty jeszcze bielszemi się wydają; lica
m, w modrych oczach zapal gore, pobożne
w opiekę bóstwa i służą mu wiernie, z ser-
m!

da ma wianek ruciany,
szy sznur bursztynowy;
ek biały splywa z głowy,
uch w dzwonki obszywany
szulka z lnu żmudzkiego.
iana morska białego.

(*Witolorauda. Kraszewski.*)

więtych dziewic jedna wyróżnia się
To królowa pośród swoich dworza-
żubnic! Wianek na jej skroniaah,
iska, zda się być złotą koroną; wy-
przewyższa wszystkie towarzyski,
ywa aż do ziemi i rąbkciem trąca wrzo-
e.

iazdy oczyma, patrzy na płonące ogni-
ze sine, spogląda na ciemne niebo,
p księżycą, wysuwający się z za obłocz-
eśń:

bra tulisz pod swe senne skrzydła i ludzi
i rośliny, bądź błogosławiona!
ty łagodisz bóle i troski, krzepisz słabych,
owych zdrowym i silnym, bądź błogosławiona!“
hociaż ty, czarna nocy, okryjesz ziemię swym
ość uśpisz całą przyrodę, nas, wajdelotek, do
szesz.”

erne stróżki świętego ognia, zawsze czuwamy,
z ciężkich powiek, bo żar niebieski tleć musi
arzu wielkiej bogini.”

vino, obronicielko Litwy, weź nas pod swoją
aj twe łaski na naszą ziemi

z płaczem, odprowadzili córkę jedyną do świętego gaju nad
morzem, poświęcili na usługi bogini.

Ze śpiewem Biruty łączą się głosy jej towarzyszek
i pieśń płynie wśród cichej nocy daleko, daleko! dąb podaje
ją dębowi, a fala fali...

Wtem zatentniły kopyta końskie, zabrząkły podkowy,
zachrzęsły zbroje i ukazał się hufiec rycerzy, jadących brze-
giem morza, od strony Kłajpedy.

To książę Kiejstut Giedyminowicz, pan na Trokach,
wraca z ziemi krzyżackiej. Widać udała mu się wyprawa,
bo wódz ma rozjaśnione oblicze, rozmawia łaskawie z otacza-
jącą go druzyną, a prawie każdy Litwin niemieckiego jeńca
wiedzie.

Już przejeżdżają około wzgórza, na którym święty
ogień płonie. Zatrzymali się na chwilę. Zwycięzcy, uchy-
lając bawolich kołpaków, oddają cześć bogini za opiekę nad
Litwą.

Na przodzie stoi Kiejstut, mąż silnej ręki i nieustraszo-
nej odwagi. Na piersiach błyszczy mu teutońska zbroja,
z ramion spływa niedźwiedzia burka, a w kołczanie ostre
strzały sterczą. Oblicze piękne otacza jasny zarost, i takież
włosy gęste, bujnie okalają odkrytą głowę. W jednej ręce
dzierży wodze srebrzyste, w drugiej kołpak i miecz obo-
sieczny.

(*d. n.*)

O WYWOŁYWANIU DUCHÓW.

(*Dokończenie.*)

Nietylko wszakże słowa na kartkach książki czernie-
jące, myśli w niej zawarte, posiadają tę moc czarodziejską
wywoływania duchów; jeżeli tylko na książkę potrafimy spoj-
rzeć uważnie, już nas natychmiast otoczy tłum duchów wiel-
kich, dobroczynnych. Książka przecież taka, jak ją dziś wi-
dzimy, nie odrazu powstała, złożyła się na nią praca długich,
bardzo długich pokoleń.

W niepamiętnych już czasach zamierzchłej przeszłości
nauczyci się ludzie pisać, gdy zapragnęli potomkom swoim
pozostawić pamięć o sobie, o swoich czynach i pracach.
Używali do tego pierwotnie różnych znaków, rysunków nie-
zgrabnych, a po wielu wiekach dopiero obmyślili alfabet
czyli abecadło, wyrażające znakami dźwięki, z których się
mowa nasza składa. Pisanemi tak głoskami mogli już myśli
swe wyrażać równie jasno, jak mową. Nie było jednak
jeszcze papieru; pisano więc, albo raczej ryto na skałach, gła-
zach, kamieniach, na płytach metalowych, na tabliczkach
glinianych, które potem wypalano w ogniu, by stwardniałe
tym sposobem cegły długo przechowywać się mogły. W in-
nych znów krajach pisano na liściach, na korze drzew, lub
raczej na łyku, czyli na warstwie, która w drzewach oddziela
właściwą korę od drewna; wyprawiano też do tego celu w od-
powiedni sposób skóry zwierzęce, które otrzymały nazwę per-
gaminu, a w Egipcie zaczęto wyrabiać dogodny materiał
z trzciny, zwanej papyrusem. W czasach wszakże znacznie
późniejszych dopiero poznano, że na wyrób papieru nadaje
się nie tylko trzcina egipska, ale również

bezużyteczne. Rzecz jasna, że zanim brudne i pomięte szmaty przeobrażą się w biały i gładki papier, przechodzić muszą wiele rąk, a dopóki umiano papier otrzymywać jedynie ręcznie, była to robota długa i zmuDNA; przybyli wszakże w pomoc wynalazcy, którzy zbudowali odpowiednio maszyny, zastępujące bezpośrednią pracę rąk ludzkich. Maszyna do wyrobu papieru jestto zbiór przyrządów tak umiejętnie ze sobą złączonych i tak misternie poruszających się, że gdy z jednej jej strony przelewają się do maszyny rozdrobione i z wodą na miazgę pomieszane włókna szmat, z drugiej wysuwa się ciągły, nieprzerwany pas gotowego zupełnie papieru, istny papier bez końca, który się dopiero na arkusze przecina.

Na utworzenie książki papier jeszcze nie wystarcza; dopóki druku nie znano, nie było jeszcze książek, istniały tylko rękopisy. Chcąc posiadać dzieło znakomitego autora, należało je napisać. Kto się poci nad jedną stronicą kaligrafii, pojmie łatwo, ile czasu trzeba by było na przepisanie całej książki. Gdybyśmy taką książkę przepisana kupić zechcieli, należałoby za nią drogę zapłacić; ludzie tylko bardzo bogaci mogliby książki posiadać, jak w samej rzeczy niegdyś się działo. Znaleźli się jednak ludzie, którzy pragnęli, by książka stała się i dla biedniejszych dostępną, zaczęli więc wyrzynać całe stronicę pisma na drzewie, a deseczki te powlekali czarną farbą i przez naciskanie odbijali na papier. W ten sposób powstały niewielkie książki szkolne, ale chociaż odbijanie szło daleko prędzej niż przepisywanie, robota była jeszcze powolna, bo trzeba było przygotować tyle oddzielnych tablic rżniętych, ile książka zawierała stronic. Zrozumiano więc, że dogodniej jest wyciąć oddzielne głoski, potem ułożyć z nich wyrazy, związać razem, złączyć, a po odbiciu znów rozdzielić i użyć następnie do odbijania innej książki. I taka wszakże robota była jeszcze niedosyć pospieszną i zbyt kosztowną; zaczęto więc wyrabiać foremki i za pomocą nich odlewać litery, czyli raczej czcionki metalowe; skoro mamy przygotowaną foremkę na głoskę *a*, można już z niej otrzymać szybko tysiące czcionek. Z czcionek tych układają się formy czyli stronicę, które po powleczeniu farbą odbijają się na papierze działaniem prasy czyli tłoczni.

Podobnie, jak przy wyrobie papieru, prasy dawne działały ręcznie, czyli były poruszane ręką, ale w ten sposób można było dziennie zadrukować zaledwie ze trzysta arkuszy. Nad udoskonaleniem wszakże pras drukarskich pracowało wielu wynalazców, a dzięki niezmordowanej ich wytrwałości, posiadamy obecnie maszyny pospieszne, które w ciągu godziny wydrukować mogą dziesięć tysięcy i więcej nawet arkuszy. Z prawdziwym zachwytem przypatrywać się można, jak taka potężna maszyna drukarska chwytając papier czysty i bezzwłocznie wyrzuca, jeden za drugim, arkusze zadrukowane. Uprzytomnijmy sobie teraz, ilu to ludzi niegdyś na ziemi żyjących, ile pokoleń stopniowo złożyć się musiało na wynalazek maszyny tak cudownie działającej, a zgodzicie się, że ponad nią unosi się pamięć tych duchów potężnych, którym pokolenie dzisiejsze wynalazek ten zawdzięcza, z których pracy obecnie korzysta.

Co o książce mówiliśmy, odnieść można i do wszelkiego innego wynalazku. Każdą to wie, że gdy laskę laku sukmem natrzemy, nabiera ona własności przyciągania drobnych skrawków papieru, popiołu lub innych lekkich bryłek. Mówimy, że lak elektryzuje się przez tarcie. Gdy do tak natrzytej laski laku w ciemnym pokoju zbliżamy palec, dostrzegamy słabą iskierkę, przeskakującą między laskiem a palcem; naszym. Zjawisko to znano już bardzo dawno, ale sądzono, że to drobnotka, na którą uwagi zwracać nie warto. Znaleźli się jednak ludzie, których drobnotka ta zaciekawiła, zajęła; zaczęli objawy te badać starannie, odkryli różne działania elektryczności, zbudowali maszyny elektryczne, coraz dzielniejsze, coraz potężniejsze, które dawały iskry coraz silniejsze, aż wreszcie, po wielu odkryciach zajaśniała nam dzisiejsza lampa elektryczna. Z ową pierwotną, ledwie dostrzegalną iskierką laku potartego zestawmy olśniewające światło lampy elektrycznej, a pojmujemy, jak olbrzymiej trze-

ba było pracy, by przeskok ten zapełnić, ilu uczonych, ilu wynalazców na nią się złożyło. Ze czcią i wdzięcznością wspominamy ich nazwiska, a duchy ich zjawiają się przed oczyma własnej duszy naszej i świadczą, jak pracą i wytrwałością człowiek coraz lepiej poznaje prawa natury i uczy się z nich korzystać odnosić.

Gdy woda gotuje się w garnku, powstająca para prężnością swoją podrzuca pokrywkę; ze spostrzeżenia tego wyrosły maszyny parowe, które zastępują pracę tysięcy ludzi. Gdy przed płomieniem świecy trzymano szkiełko wypukłe, lub choćby tylko karafkę kulistą, wypełnioną wodą, na przeciwległej kartce papieru rysuje się obraz płomienia; zabawka ta dała początek fotografii. Ale żaden wynalazek nie wyskoczył nagle, każdy był rezultatem wytrwałej pracy wielu ludzi.

Sam może pragnąłbyś stanąć w rzędzie wynalazców, budzi się może w umyśle twym niekiedy pragnienie dokonania jakiegoś odkrycia. Zestawiasz kółka i pręciki, łączysz je ze sobą, coraz inaczej układasz i sądzisz, że z tego zbudujesz jakiś przyrząd użyteczny. Prózne usiłowania, — nic nie zbudujesz, jeżeli nie nauczysz się ze zmarłymi rozmawiać, dopóki ci oni nie opowiedzą, co sami zrobili i nie nauczą cię, jak masz dalej postępować.

Tych, co kręcą stoliki, duchy nie słuchają i na wezwanie nie stają, ale przybywają chętnie, gdy posiadamy tajemnicę czarodziejskiego ich zaklęcia. Tajemnicę tę pragnęłam tu rozjaśnić. Każda nauka jest rozmową ze zmarłymi, — oświeca nas i uszlachetnia.

S. K.

NIEDŹWIEDŹ

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

p. Zuzannę Morawską.

(Ciąg dalszy).

Słuchali też i panowie przybyli z rozbawionem w tej chwili chłopięciem, a nawet jejmość otyła i ten, co przestrzegając młodzieńczyka, zdawał się mieć największe wśród przybyłych zachowanie, wsłuchiwał się z podziwem i zapomniał na chwilę o przestrożach, jakie czynił wciąż na migi swemu wychowawcy.

Wreszcie Kazik zmęczony bieżaniem, stanął w kącie i dokończył śpiewu-mruczenia, coraz cichszym głosem, jak gdyby się do snu kołysał, potem zrzucił z siebie ową skórę niedźwiedzia, otarł pot z czoła i kłaniając się przybyłym — zawołał:

— Witam waszmościów w imieniu nieobecnego jaśnie wielmożnego kasztelana, a mego wielce miłośniwego opiekuna, a jakakolwiek przygoda was w tę progi przygnała, ja ze swej strony cieszę się; primo, że to nie jaśnie wielmożny kasztelan którego przyjazd przerwałby imci panu Sulpicyuszowi, wielkiemu naszemu kapelmistrzowi przygotowanie surprzyzy, secundo, żeście rzucili niedźwiedzia — dodał, wskazując na leżące futro — które mnie od rozbicia uchroniło; tertio, żeś się setnie zabawiał a też i młodzieńczyka, którego kiedyś ja jakkolwiek nieświadom jestem, widzę, że musi być znaczna, bo o ile zauważyłem w wielkiej konsyderacji u waszmości panów pozostaje.

— Co on mówi? — zapytała dama po włosku, wspinając się na palce. Lecz pan, który się młodzieńcem opiekował, zdawał się nie słyszeć tego pytania, tylko przystąpił do swego wychowawcy i coś pociechu doń mówił.

Tymczasem Kazik po swej przemowie znów się uklonił na wszystkie strony, a młodzieńczyk patrząc nań zdala, rzekł z niezwykłą, swemu dziecięcemu wiekowi, powagą:

— Dziękujemy waszmości, możesz być naszej łaski pewny.

— Wszyscy spojrzeli po sobie, nie wiedząc, co myśleć o tem odezwaniu się chłopięcia, a on przybliżywszy się do swego ochmistrza z miną uradowaną zawołał:

— Mści Piotrze Opaliński, ta zawieja dobrze nas zawiodła.

Lecz pan Opaliński jakkolwiek z uszanowaniem spojrział, dość jednak surowo na swego wychowanka i rzekł:

— Nie można tak hałasować!

— Nie gniewajcie się na mnie! — rzekł tenże, przymilając się, i wziął go za rękę.



„Bajadery indyjskie.

— I w zabawie trzeba mieć pomiarkowanie — odparł ochmistrz.

— Dobrze — odpowiedział młodzieńczyk.

Lecz odwróciwszy się zaraz, pochwycił jedną ręką Anusię, a drugą Jadwisię i stojąc tak między nimi, zawołał:

Pójdźcie, pobawimy się jeszcze!

A w co? — zapytała Jadwisia.

Sama powiedz — odrzekł.

— Nie czekając aż dziewczynka wymyśli zabawę, znów zapisał:

— A jak ci na imię?

— Jadwisia, a mojej siostrze Anusia.

— A tobie? — spytała młodsza kasztelanka, przypatrując się jego błękitnej, aksamitnej, wyszywanej złotem sukience.

— Zygmunt, przecież to wszyscy wiedzą!

— Będziemy się bawić w chowanego — zaproponowała Jadwisia.

Lecz chłopiec zamiast przystać na to, zawołał, wskazując na wniesienie.

— A to co, czy to Dzieciątka Jezus? a ci—w tych płaszczach? a ci, czy to pasterze? — pytał wciąż nie czekając odpowiedzi i wskazał na przebraną młodzież, stojącą w rogu komnaty i onieśmioną przybyciem tak licznych gości.

Dziewczynki gęły mu opowiadać, że czynią przygotowania na imieniny ojca, lecz przybyła z młodzieńcem dama przerywała im ciągle rozmowę, obcą mową starała się nakłonić chłopca do zaprzestania gawędy. Kilka razy nawet brała go za rękę i bardzo dyskretnie chciała od towarzystwa usunąć. Lecz młodzieńczyk robił nadąsaną minkę, a czasami spoglądał na nią z wielką wyniosłością.

Dama dygała przed nim bardzo układnie, niemniej mówiła coś bardzo prędko i znać, że z postępowania chłopca wcale nie była zadowolona.

— Trzeba być posłusznym, Zygmysiu — rzekła łagodnie Jadwisia. I z siostrzaną troskliwością pogładziła go po cienkich włosach.

Nie rozumiała wprawdzie tej mowy, z gestów jednak domyśliła się, że pani ta żąda czegoś, czego chłopiec nie chce uczynić i chciała go ku temu nakłonić.

Przybyła zaś miasto być wdzięczną za pomoc, odsunęła ją dość niegrzecznie i cała zaczerwieniona zaczęła do niej prędko mówić, usiłując odprowadzić Zygmunta.

Lecz ten cały zaperzony, z zaiskrzonymi oczyma odpowiadał jej również szybko tym samym językiem, którym do niego przemawiała.

Kasztelanki przestraszone gwarem obcej dla siebie a dość głośnej mowy, przytuliły się do imci pani Antoniowej a chłopiec tupnąwszy nogą i wyciągnąwszy rękę przed siebie, zawołał po włosku:

— Nie pozwolę obrażać moich przyjaciół!

Dama cała zaczerwieniona jeszcze głośniej krzyknęła, i Bóg wie do czego by doszło, gdyby pan Piotr Opaliński nie był się wdał w tę sprawę.

Z początku zdala przysłuchiwał się naukom, jakie Włoszka dawała wspólnemu ich wychowawcowi, teraz jednak przybliżył się, a spojrzawszy dość surowo na chłopca, rzekł przyciszonym głosem:

— Proszę się uspokoić!

Chłopiec zrobił niezadowoloną minę, uciekł jednakże, spojrzawszy tylko niechętnie na swą wychowawczynię.

— Proszę się uklonić siostrze Alenini i powiedzieć: bardzo przepraszam! — mówił dalej łagodnym, lecz przekonującym głosem ochmistrz.

Chłopiec w pierwszej chwili z całą krnąbrnością potrząsnął głową i cały zaczerwieniony chciał coś odpowiedzieć, lecz pan Opaliński spojrzawszy znów na niego surowiej i zda się tym wzrokiem przyprowadził go do porządku. Chłopczyzna bowiem spuścił oczy ku ziemi i rzekł:

— Pardon!

Tymczasem w całym dworze robiło się coraz gwarniej, jeden drugiemu podawał jakąś wieść na ucho, dobiegała ona do głównej komnaty, gdzie się zabawiano, a pan Sulpicjusz zasłyszawszy wieść ową, zawołał:

— Ależ ja muszę z moją kapelą!

I wybiegł coperdziej.

Poprzebierani młodzieńcy zaczęli się też wymykać cichaczem, spoglądając ukradkiem na przybyłego chłopczyka, tylko Kazik tak się jakoś zapomniał, iż zamiast iść za innymi, stanął w najciemniejszym kącie komnaty i nie zrzuciwszy swego pasterskiego stroju, począł przygrywać jakąś pieśń na swojej piszczałce.

— Ach, jaka ładna muzyka! — zawołał Zygmunt.

I zapomniawszy o całym zajściu i nieprzyjemności, jaka go spotkała, pobiegł w stronę skąd dochodziły dźwięczne tony piszczałki.

Wtem pan Ignacy wystrojony świątecznie, ukazał się we drzwiach, a skłoniwszy się na wszystkie strony, zbliżył się do pana Opalińskiego i rzekł:

— Już wszystko gotowe, czy mogę go osobiście do wieczery zaprosić?

I wskazał na chłopczyka, stojącego przed grającym wciąż Kazikiem.

— Pozwoli waszmość, lecz sam to uczynię dziecko było nieco krnąbrne, nie mogę pozwolić na oddawanie mu w tej chwili honorów, odpowiedział pan Piotr łagodnie.

Panu Ignacemu twarz się przeciągnęła, lecz jako prawdziwy dworak nie dał po sobie poznać, że mu to przykrość sprawiło.

— To niech i oni idą! — rzekł chłopiec również stanowczym głosem.

I mimo, że siniora Alenini mówiła doń coś bardzo przekonywająco, on nie zważając na to obejrzał się i zawołał:

— A gdzie Jadwisia i Anusia? ja chcę, żeby i one poszły... i ten co grał, także — dodał, wskazując na Kazika, który mu się ciekawie przypatrywał.

— Nie mówi się „chcę” — odrzekł surowo ochmistrz.

— Ja proszę, bardzo proszę! — zawołał z przymileniem chłopczyzna, ujmując rękę ochmistrza. — Będę już grzecznym, bardzo grzecznym, tylko pozwólcie niech przyjdą do wieczery dziewczynki i ten co udawał niedźwiedzia.



Walka odyńców.

Uklonił się tylko i rzekł na pozór spokojnie:

— Jak wola waszmości.

I na bok się usunął.

Opaliński tymczasem przystąpił do przysłuchującego się muzyce chłopczyzny i rzekł:

— Pójdziemy na wieczerzę!

— Ale po wieczery będziemy się jeszcze bawili? — zapytał Zygmunt.

— Nie, udamy się na spoczynek, przed świtem musimy wyruszyć w dalszą drogę.

— Jakto, nie zostaniemy tu dłużej? ja chcę się z nimi bawić!...

— Proszę iść na wieczerzę! — odparł stanowczo ochmistrz.

Ochmistrz spojrział na niego raz jeszcze a czy zmiękczo-ny prośbą dziecka, czy też powodowany innymi względami, rzekł:

— Owszem, pozwalam, niech przyjdą!

Lecz w komnacie nie było dziewczynek. Pani Antoniowa, gdy zaczęto sobie szeptać jakieś wieści o przybyłych gościach, uprowadziła je zaraz.

— Niedźwiedziu, pójdź ze mną, poszukamy Jadwisii i Anusi! — rzekł Zygmunt, biorąc za rękę Kazika.

Siniora Alenini ogromnie zgorzona postąpiła tuż za nim, nie miała jednak czasu zrobić mu jakiegokolwiek uwagi, bo w tej chwili obie kasztelanki w tychże samych białych szatach co pierwej, tylko z rozkręconymi loczkami, weszły

do komnaty, niosąc wielką tacę, okrytą białym obruskiem. A dygnawszy przed chłopczykiem, rzekły:

— Przyjmij najjaśniejszy królewiczu chleb i sól w domu naszych rodziców.

Anusia zaś szepnęła:

— Tam w komnacie jadalnej są doskonałe pierniczki i orzechy!

Zygmunt uklonił się bardzo grzecznie i rzekł, dotykając tacy:

— Niedźwiedziu, weź tacę, pójdziemy na pierniczki.

A miodu do orzechów dostanę? — zapytał.

I wzięwszy za ręce dziewczynki, pobiegł z niemi do jadalnej komnaty.

(d. c. n.)

BAJADERY INDYJSKIE.

Do najulubieńszych widowisk w całych Indyach Wschodnich należą tańce i śpiewy bajader, wykonywane przy odgłosie niezbyt wymyślnych instrumentów, jakie widzimy w rękach dziewcząt, wyobrażonych na rycinie naszej.

Nazwa ich: bajadera, pochodzi od portugalskiego wyrazu *bailadeira*, oznaczającego tancerkę. Nie są one jednakże jedynie tancerkami, lecz zarazem śpiewaczkami i muzykantkami, szukającymi zarobku w bawieniu niewymyślniej publiczności; są też między niemi i takie, które zdolności swoje poświęcają dla uświetnienia uroczystości religijnych i stąd nazywają się „*Deradusi*”, czyli niewolnice bogów. Śpiewaczki i muzykantki wyróżniają się podobnie odrębnymi tytulami.

Nad wędrującymi bajaderami, stanowiącymi trupy, złożone z dziesięciu lub dwunastu kobiet, sprawuje zwykle dozór stara tancerka, zwana „*Dajas*”, która zapewnia im utrzymanie z zbieranego wśród publiczności zarobku.

Stroje bajader bywają niezmiernie malownicze, a śpiewom i tańcom towarzyszą wymowne pantominy, wyrażające naprzemian uczucia tęsknoty, oczekiwania, żalu, lub szalonej radości.

DZIKI.

Do zwierząt, objętych ogólną nazwą „gruboskórnych”, odznaczających się wyjątkowo grubą skórą, a ciężką niezgrabną postacią, dochodząca u niektórych gatunków olbrzymich rozmiarów, należy *dzik*, czyli dzika świnia, mająca tak dużo podobieństwa z naszą domową, że niektórzy naturaliści uważają tę ostatnią za odmianę tylko, powstałą pod wpływem oswojenia i odpowiedniej hodowli.

O wiele większy wszakże od domowej naszej trzody dzik, różni się jeszcze kościstszą budową ciała, którego zwłaszcza przednia część szczególnie jest rozwiniętą, oraz dłuższym, silniejszym ryjem, sterczącymi uszami i w górę wystającymi z pyska ostremi kłami, które stanowią niebezpieczną broń podrażnionego, a bardzo silnego zwierzęcia. Pokrywający go włos, szczecina zwany, jest długi i najeżony, brunatnej barwy zmieszanej z białą, mianowicie na przedniej części głowy.

Dziki trzymają się jedynie okolic bogatych w gęste obszerne lasy, gdzie mają swe legowiska, które rzadko we dnie opuszczają, udając się na żer dopiero o zmierzchu. Stare samce, *odyńcami* zwane, żyją samotnie i jak to ma miejsce wśród innych gatunków dzikich zwierząt, staczają między sobą zawziętą czasem walkę. Chwilę taką

wzajemnej napaści przedstawia nam załączona tu rycina. Samice łączą się w liczne stada i wspólną siłą zawzięcie bronią swego potomstwa, przy czem okazują tyle odwagi, iż stają się dla napastnika bardzo niebezpieczne.

Pożywienie dzików składa się z żołądźi, bukwii, korzonków roślin, liszek i owadów, których wyszukują, ryjąc dookoła. Należąc wszakże do wszystkożernych, podobnie jak nasza świnia, nie gardzą też mięsem zwierząt, jeśli takowe zdobyć potrafią. Dla rolnika obecność dzików równa się istotnej pladze, bo gdy całe stado wypadną na pole, zryją i stratują to, czego nie zdążą pożreć. Lecz oddawna urządzone przez myśliwych obławy, oraz brak lasów, wytepiły w Europie te zwierzęta do tego stopnia, że dzik poczyna już być i u nas rzadkością. Natomiast w Afryce, na wybrzeżach Gwinejskich, w kraju Kafrów i na Madagaskarze, żyje jeszcze w wielkiej liczbie *Potamocheirus*, czyli „świnia rzeczna”, mniejsza nieco od naszego dzika, lecz brzydszej powierzchowności. Ze sterczącymi wyrostkami poniżej oczu, z pyskiem znacznie dłuższym, dwoma parami silnych kłów i wielkimi również stojącymi uszami, które przedłużają jeszcze suty u końca pendzelek grubej sierści. Zauważono też wielką u niego różnicę zabarwienia sierści, która przechodzi od białej do ciemno-czerwonej, wzdłuż zaś grzbietu jeży się gęstą grzywą całkowicie białą. Młode z krótszym włosem na głowie, zdobne są w podłużne jasne i ciemne smugi.

Potamocheirus afrykańskie żyją gromadnie w miejscach błotnistych, które opuszczają o zmierzchu, dla szukania żeru na polach uprawnych. Spustoszenia, jakie sprawiają tam, są tak znaczne, że biedni murzyni oraz koloniści europejscy ciągle z niemi staczą walki, które, zważywszy ilość zwierza, oraz zaciekłość jego i podwójne uzbrojenie w kły, są jeszcze niebezpieczniejsze, aniżeli obławy na nasze dziki. Utrzymują też, iż *potamocheirus* uchodzi nieraz zwyciężko nawet z lwich pazurów.

Oprócz wyżej wymienionych, żyje jeszcze w Ameryce znacznie mniejsza odmiana dzikich świń *Pekari* zwana, a obok niej *Savalino* czyli świnia pizmowa, do rasy świń angielskich podobna. *Pekari* trzymają się również w licznych gromadach, niezawodnie dla skuteczniejszej obrony przed nieprzyjacielem.

NA POLANCE

powieść

P. E. Jerlicza.

(Dalszy ciąg)

— Oho! już mnie nikt tego nie wytłómaczy — mówił, śmiejąc się ciągle dziadunio. — Mirski człowiek bogaty, mając jedyną córeczkę, musi jej dogadzać, psuć, rozpieszczać; panienka się rozgrymasiła, rozleniwiała, rozlubowała w miękkim próżniactwie, stąd choroby, osłabienie, więc jako antydotum, doktor Bobrowicz wymyślił pobyt na naszej Polance, zamieszkałej przez same pracowite pszczoły. I śmiejącami oczami wodził za Zosią, która nie przestawała się krzątać, biegając od stołu do kredensu.

— Jeżeli tak jest, jak dziadunio słusznie przypuszcza, to lepiej nie wpuszczać tutaj tej panny Mirskiej — odezwał się Staś dotąd milczący.

— Bo co? — spytał dziadunio.

— Bo, proszę dziadunia, jeżeli to jaka kapryśnica, rozgrymaszona dziewczyna, to nam wszystkim da się we znaki.

— Fil! paniczu, takiejżeś to tchórzliwej natury, żeby się lękać jednej rozkapryszonej dziewczyny — zawołał, śmiejąc się dziadunio.

— Może masz rację, mój Stachu — wyrzekła pani Skalska — ale z drugiej strony pomyśl tylko, że ten biedny ojciec ma ją jedną, że jest o nią pełen troski i obawy, i że my, jeśli by nam się udało pomódz mu w przywróceniu jej zdrowia, czy to w znaczeniu fizycznym, czy moralnym, spełnilibyśmy czyn dobry i użyteczny.

Staś nie nie odrzekł.

— Zresztą możemy spróbować — mówiła dalej pani Skalska. — Jeżeli byśmy uważali, że jej pobyt w naszym domu jest dla nas przykry, lub uciążliwy, nic nam nie będzie przeszkadzało uchylić się w tejże chwili od tego. Jakże myślisz, Andrzeju? — zwróciła się do męża.

— Zrób jak uważasz za stosowne, moje życie, to będzie najlepiej — wyrzekł pan Skalski, całując żonę w rękę.

Nie było też więcej mowy o tej kwestyi.

Zosia tymczasem, załatwiwszy się ze swoim zajęciem, odpasła fartuszek, wzięła ogromny ogrodowy kapelusz na głowę, płócienne rękawiczki, które sobie sama uszyła na ręce i wybiegła, aby się połączyć z towarzyszkami, które przysłały po nią Romcia.

Podczas lata towarzystwo było zaws o bardzo liczne na Polance, a to z powodu, że pan Skalski, człowiek rozumny i przemyślny, korzystając z pięknego położenia swego folwarku i łatwej komunikacyi z miastem, wybudował kilka ładnych domków, które wynajmowano na letnie mieszkania przybyszom z miasta. Dawało to znaczny dochód właścicielowi Polanki, tembardziej, że wszystkie produkta gospodarskie, jak nabiał, warzywo, drób, owoce, znajdowały na miejscu zbyt łatwy i pewny. Ogrodu zaś tak urządzonego jak na Polance, nie było na kilkanaście mil w okolicy, nawet w dużych majątkach. Było to areydziele dziadunia, który we włóczędztwie swojej po świecie, będąc, jak to mówią na wozie i pod wozem, przebywał długi czas za granicą przy znakomitym ogrodniku, nabrał wielkiego zamiłowania w ogrodnictwie i za powrotem do kraju zastosował nabyte wiadomości, na swoim małym kawałku ziemi. Od czasu jak się młodszy pan Skalski ożenił, dziadunio zdał całe gospodarstwo na syna i synowę, ale urządzenie ogrodu zatrzymał dla siebie. Od rana do nocy zajęty był pielęgnowaniem drzew owocowych, kwiatów i jarzyn.

Zosia wybiegła za bramę, skierowała się drogą w stronę lasu. Minawszy staw, znalazła się na niewielkiej równinie, po której leżały porozrzucane domki, należące właśnie do państwa Skalskich, a wynajmowane gościom z miasta. Naprzeciw niej biegła panienka w jej wieku, z rozartaganemi nieco włosami, bez kapelusza, wołając zadyszczanym głosem:

— Aha! dobrze, że idziesz, ale gdzie twoi bracia, Staś i Janek? Wyobraź sobie co zrobił ten Zygmunt, zgubił wiosło, ślicznie się spisał.

— Przepraszam pannę Stanisławę, to nie ja zgubiłem wiosło. Ja wcale nie jeździłem dzisiaj łódką, tylko Henryk z Karolem.

Przed niemi stał chłopiec w wieku Janka Skalskiego i tłumaczył się w ten sposób głosem bardzo uroczystym i z obrażoną miną.

Panienka z rozartaganemi włosami nie zdawała się tem wystąpieniem wcale zmieszana.

— Wszystko mi jedno, pan, czy pan Karol, czy pan Henryk, dość, że wiosła niema. Ja pół dnia jeżdżę po stawie i wiosła nie zgubię, wy jeździliście z rana sami i wiosło zginęło.

— Ależ jest! ależ jest! — dały się na raz słyszeć dwa głosy. I Henryk z Karolem ukazał się, każdy z wiosłem na ramieniu jak z karabinem.

Zapalczywa panna Stanisława roześmiała się głośno.

— Jest? a po... dobrze. Przygotujcie czółno, ja po... chce jechać łódką, a kto nie.

Chłopcy zabrali się do spełnienia rozkazu energicznej osobki, oprócz Zygmunta, który miną obojętną i pełną godności dawał do poznania, że czuje się obrażonym za przewisko mazgają i nie myśli się wcale stosować do cudzego rozkazu.

Tylko nieszczęście, że roztrzępana dziewczyna nie widziała nic z tego, rzuciwszy Zosi pytanie: Zosiu! jedziesz z nami? i nie czekając odpowiedzi, pobiegła jak wichura w stronę osady. Nadbiegli Janek i Staś Skalscy i wszyscy chłopcy zaczęli się nmawiać, kto będzie wiosłował i kierował łódką.

Zosia szła dalej. Przed jednym z domków ujrzała na ławeczce panienkę w swoim wieku, o cerze żółtej, mizernej, która z brodą opartą na rękę siedziała nieruchomo, z miną gniewną i zmarszczonem czołem.

— Zeniu! — zawołała — czy pojedziesz łódką na staw?

— Ani myślę — odpowiedziała tamta opryskliwie.

— Dla czego?

— Wielka rzecz łódką! gdybym chciała, kupiłabym sobie za swoje pieniądze dziesięć takich łódek, nie jedną.

— Oho! — pomyślała Zosia w duszy. — Zenia musiała się znów na kogoś pogniewać. Kto wie, czy nie pokłóciła się ze Stasią.

Podjęcie jej nabierało pozorów słuszności, gdyż równocześnie ukazała się Stasia w gronie dwóch czy trzech towarzyszek i jednej dorosłej osoby, jak się zdaje nauczycielki, którejś z tych panien; przebiegła około Zeni i nie zwróciła na nią uwagi, wołała tylko na Zosię, dając jej znaki porozumienia.

Ale nie żadnej to z jej towarzyszek szukała Zosia, roglądając się pilnie na wszystkie strony; nareszcie ujrzała pod lasem jakąś gromadkę i z błyskiem radości w oczach podążyła w tamtą stronę.

Na skraju lasu siedziało na ziemi kilkoro dzieci, chłopczyków i dziewczynek, a pomiędzy niemi panienka może szesnastoletnia, trzymając obok siebie niedużą dziewczynkę w żalobie.

Dziecko było blade, mizerne i tak smutne, że aż żal się robiło patrzeć na tę twarzyczkę, tak przedwcześnie zgnędziałą; panienka miała rysy łagodne, ujmujące wielką słodyczą i niepospolitą pięknoscia.

— Jak się masz, Ludwiniu!

— Jak się masz, Zosiu! — powitały się, ściskając sobie ręce. — Domyśliłam się, że przyjdiesz — mówiła Ludwiniu. — Dziś urządzały sobie wycieczkę po zioła i kwiaty, które zasuszamy, a następnie będziemy je naklejać na ramki do fotografii, laurki z powinszowaniem i tym podobne rzeczy.

— Narwiemy paproci! — zawołała jedna z dziewczynek.

— I róż polnych! — zawołała inna.

Radość, uciecha, nadzieja miłego zajęcia ożywiła całe to drobne gronko. Bo też nikt tak jak Ludwiniu nie umiał zająć, ożywić, zabawić dzieci. Była ona niby mateczka dla całej tej gromadki; dzieci kochały ją bardzo i były jej we wszystkim posłuszne. Ludwiniu opowiadała im bardzo zajmujące rzeczy, objaśniała im, w jaki sposób należy wykonać, wytłumaczyła. Gdy wyszła przed siebie, matka, ze wszystkich stron, zaczęła ją do siebie, i sama z nią żywo

zaledw...
była...
dzo...
z...

koch...
stąpi...
ką, tak...
kojne,

Ponieważ lekarze zalecili dla małej świeże powietrze, matka wynajęła mieszkanie na Polance w nadziei, że liczne towarzystwo dzieci w wieku Julci rozweseli ją i rozrusza. Ale Julcia nie lgnęła wcale do zabaw z innymi dziećmi — smutna, nieśmiała, trzymała się zawsze na uboczu, co widząc, inne dziewczynki nie zapraszały jej wcale.

Julcia całymi godzinami siedziała sama jedna w cieniu drzew na skraju lasu, zapatrzona w różowe wrzosa wznoszące się na pagórku, czasami płakała z tęsknoty za swoją mamusią, czasami spoglądała z daleka na bawiące się wesoło dzieci.

Tak siedzącą zaszła ją raz Ludwinia.

— Dlaczego, malutka, siedzisz tu tak sama, a nie po-
niegniesz bawić się z innymi dziećmi? — spytała jej ze słody-
czą w głosie.

Dziewcina podniosła na pytającą swoje duże, pełne smut-
ku oczy.

— Bo ja nie umiem się bawić tak jak one — odrzekła
icho.

— Dla czego?

— Nie wiem.

— Może które z tych dzieci przykrość ci zrobiło?

— Nie, tylko Helcia, Zosia i Józia, jak się nabawią,
o biegną każda do swojej mamusi, a ja już nie mam mamusi
wcale.

Ludwisia usiadła przy niej na ziemi pokrytej trawą
wrzosami i tuliła ją ramieniem.

— Jak ci na imię, dziecino? — spytała.

— Mamusia wołała na mnie Julinko, ale teraz wołają
na mnie wszyscy Julciu.

— A mnie pozwolisz wołać na siebie — Julinko?

Dziecko spojrzało na tę twarz prześliczną, na której
nalowała się dobroć i słodycz i odrzekło, potrząsając
główką:

— Tak!

Odtąd Ludwinia zajęła się przedewszystkiem małą Jul-
cią, która mając lat dziewięć, wyglądała na sześciolatnie
dziecko.

Dziewczynka przywiązała się nadzwyczajnie do dobrej,
rozumnej, ślicznej Ludwini i towarzyszyła jej wszędzie jak
cień. Zdaleka, kiedy nie można było jeszcze rozróżnić ry-
sów, poznawano Ludwikę po tej małej towarzysze, z którą
szła najczęściej trzymając ją za rączkę. A wpływ Ludwini
okazał się pod każdym względem korzystnym dla małej.
Umiała ją uspokoić, zająć, wciągnąć w towarzystwo innych
dzieci, organizując rozmaitego rodzaju wycieczki, które małą
gromadkę przejmowały radością.

I teraz wszystkie dzieci, zaopatrzone w koszyczki, udawa-
ły się pod przewodnictwem Ludwini na zbiór kwiatów i liści,
im piękniejszy kwiat kto znalazł, im osobliwszego kształtu liść
tem większa radość i tryumf. A potem Ludwinia takie prze-
śliczne rzeczy umiała opowiadać o tych roślinkach z pola
i lasu, iż dzieciom zdawało się, że nie takie tam sobie
wycieczki, że to nie takie istoty; na te
z porozumie-

Dzieci ruszyły gromadką, niosąc koleją po dwoje na
zmianę większy kosz, w którym mieściły się bułki z masłem,
chleb z miodem i inne zapasy na podwieczorek, przytem
szklaneczka, gdyby się komu pić zachciało; o wodę nie było
kłopotu, bo źródółko płynęło w lesie.

Dzieci pod przewodnictwem Ludwini i Zosi zapuściły
się w środek lasu.

Co prawda niewielki plon zebrałyby po drodze w roślin-
kach i kwiatkach, pomimo troskliwych poszukiwań, gdyby
Ludwinia nie skierowała mimochodem ku niewielkiej pol-
lance, zarosłej brzegami laszczyną. Tutaj okazał się
prawdziwy las skarbów w kształcie kwiatków różowych, bia-
łych i lila. A co za liście prześliczne! Oto zielony, porośły
drobnymi włoskami, od spodu wydaje się jakby podbity bia-
łym futerkiem; to znów lśniący jak z blachy, wąski, podłużny,
cały kropkowany. Dzieci biegły jedno przed drugim, na-
woływały się wzajemnie, pokazując sobie okazy osobliwe, to
znów biegły do Ludwini z całymi wiązkami kwiatów, chcąc
zasięgnąć jej zdania. Jedna mała Julcia nie byłaby zebrała
takiego jak inne dziewczynki bukietu, gdyż nie śmiała ubiegać
się z towarzyszkami i towarzyszami w pogoni za zdobyczą, ale
Ludwinia umiała ją tak prowadzić, wskazując czasami to co
było ładnego do zerwania, że w końcu i ona miała tak ogro-
mny bukiet, iż nie mogła go prawie objąć swymi drobnymi
rączkami.

Dzieci były tak zajęte, iż zapomniały o podwieczorku
i trzeba je było nawoływać. Następnie wszystkie usiadły
na ziemi, tworząc wielkie koło i nastąpiło rozdzielanie
roślin. Ludwinia nauczyła je doskonale zasuszać kwiaty
i liście. Gdy wrócą do domu, zrobią to bezwzględnie. A po-
tem, ale! te ramki, laurki, abażury! Cały ogród na kloszu,
gdy się lampa zapali, aż się serce raduje na myśl samą co to
będzie.

Tymczasem mrok zaczął zwolna zapadać i czas już było
wracać do domu. Cała gromadka postępowała wesoło, oży-
wiona i nie znieczona wcale.

Gdy wyszli na skraj lasu, na niebie świecił już błądy
róg księżycy i odbijał się w stawie.

— Weź chusteczkę, Julinko, bo rosa pada, możesz się
zaziębić — powiedziała Ludwinia. I otuliła dziecko tro-
skliwie.

Po drodze gromadka coraz się zmniejszała. Przed ka-
żdym domkiem oddzielało się jedno, dwoje dzieci.

— Dobranoc!

— Do widzenia! — wołano z jednej i drugiej strony. —
W końcu pozostały same tylko przewodniczki: Zosia i Ludwin-
nia z nieodstępującą ich dziewczynką w żałobie.

(d. c. n.)



RATA WYNOŚI:

osownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Rocznie w Austrii 10 koron,
osownie do tego półroczna i kwartalna.

Wazowiecka Nr. 10 NOWY.

K. — Niedźwiedź, powieść z XVI w. przez Zuzannę Morawską. —
lance, powieść przez E. Jerlicza. — Dodatek: Ktoś, wiersz. — U cioci
nny. — Zamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek
ozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

WIECZORY RODZINNE



K T O Ś.

śniegu, w kątku u komina,
Na wysokim dachu,
Drżąc, tak skarży się ptaszyna,
Wpół martwa ze strzechu:
„O, ja biedne, małe ptaszę,
Cóż ja dalej pocznę,
Kiedy wszystkie łany nasze,
Wichry szarpiają mroczne?

Nigdzie trawki ni ziarneczka,
Ani kropli wody,
Pola białe, biała rzeka,
Wszędzie śnieg i lody.
Już mi przyjdzie zginąć z głodu,
Zmarznąć na śmierć pewnie,
Nie zostanie z ptasząt rodu
Komu kwilić rzewnie.

O nieszczęsna ta godzina,
W której ptaszek biedny,
U zimnego drży komina,
Bez kruszynki jednej.
Tak świegoce ptak żałośnie;
W tem z okna dziewczeczka
Mnóstwo ziarenek jak o wiośnie
Sypnie w śnieg z woreczka!

Codzień potem z okieneczka
Żywią się ptaszęta,
Bo ktoś (nie wiem czy dziewczeczka?)
O biednych pamięta!

U cioci Polci.

(Dalszy ciąg).

Teraz zamienimy go na wiszącą torebkę; otwórzcie go i umieśćcie dwa końce *d* jeden na drugim (fig. 40). Nawijmy górny czubek *b*, dolny zaś *a* i załóżmy *a* do środ-



fig. 40.

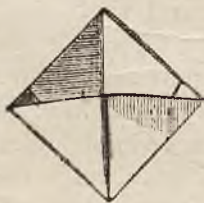


fig. 41.



fig. 44.

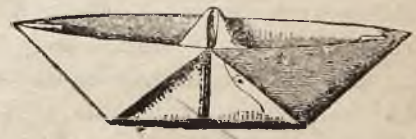


fig. 45.

ka, a odwróciwszy figurę będziemy mieli wiszącą torebkę; przyczepiwszy do niej tasiemkę, będziemy ją mogli zawiesić na ścianie (fig. 41).

— To bardzo ładna torebka — rzekła Elżbietka.
— Zaraz zrobimy magiczną torebkę. Wróćcie do poprzedniej figury (fig. 40), załóżcie *a* na *b* z jednej strony i tak samo z drugiej — rzekła ciocia.
— Zrobił się znów kapelusz — zawołała Elżbietka.
— Rozłóżcie go tak, jakbyście chcieli włożyć go na głowę, i złożcie rogi jeden na drugim (fig. 42) a teraz złożcie go na pół tak, aby *a* było na *b*.
— Prawda, że to wygląda jak torebka — rzekł Henryś — ale dla czego nazywa się magiczna?
— Zaraz zobaczysz. Kto mi pożyczyci grosz? — spytała ciocia.

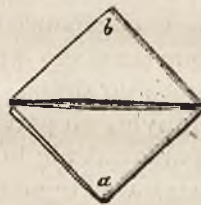


fig. 42.

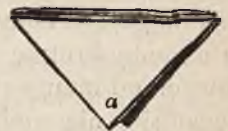


fig. 43.

— Może ten guzik go zastąpi? — rzekł Kazio.
— Wyborny, to lepsze niż grosz. Włóż go do jednej z tych dwóch torebek — rzekła ciocia, trzymając dolny róg *a* (fig. 43) swojej magicznej torby, w dwóch palcach lewej ręki.

Henryś włożył guzik, a ciocia Polcia obróciła szybko w palcach trzy razy torebkę, wołając:

— Hej, zniknij czempredzej.

Poczem pokazała dzieciom torebkę, pytając, gdzie jest guzik. Lecz guzika nie było ani śladu. Dzieci patrzyły zdumione.

— Hej, pokaż się czempredzej! — zawołała ciocia, przekręcając znów bardzo szybko torebkę. Guzik leżał na dnie.

— To naprawdę magiczna torebka — zawołał Henryś. — Jak się to dzieje.

— Zdaje mi się, że ja wiem — wykrzyknęła Elżbietka, biorąc zabawkę do ręki. — Wszak tu są cztery torebki, dwie z każdej strony?

— Tak — odrzekła ciocia — i w tem cała tajemnica. Gdy chcę żeby guzik zniknął, obracam prędko torebki i pokazuję wam tę stronę, gdzie go niema i odwrotnie.

— Pokażę to chłopcom w szkole — zawołał Henryś.

— A teraz zrobimy jeszcze jeden żaglowy statek — rzekła ciocia. — Weźcie magiczną torebkę, obróćcie ją

tak, jak to wskazuje fig. 44, a ujawszy ostrożnie za rogi *a* i *b* pociągnijcie w każdą stronę!

— Przepyszny żaglowiec—zawołał Kazio fig. 44 i 45.

— Umiemy robić cztery gatunki statków — rzekła Elżbietka — możemy wybudować całą flotę.

— To już wszystko co można zrobić z papieru? — spytały dzieci.

— Ale gdzie tam! — odrzekła ciocia — można jeszcze zrobić miszek, pudełko na marki... ale, — przerwała nagle — jeżeli jesteście już zmęczeni to dajmy pokój na dziś.

(d. c. n.)

Roztrzepana Kazia.

Mama Kazi jest bardzo dobrą, rozmawia często z córeczką, a w rozmowach tych objaśnia jej dużo pożytecznych rzeczy, ale Kazia to dziewczynka roztrzepana, nie słucha uważnie, a nawet często nie zwraca uwagi na to, co własnymi widzi oczami. Mama w pogadance o szkole opowiadała, że nie wytrzymuje ono nagłego przejścia z zimna do gorąca i odwrotnie z gorąca do zimna. Kazia nawet niejednokrotnie powtarzała innym, co przy takich rozmowach od mamy słyszała, ale ponieważ nie lubiła zastanawiać się, nie umiała sama zastosować tego w praktyce, choć była już sporą dziewczynką. Pewnego dnia poszła z karafką do kuchni po wodę, a nalawszy jej wprost z wodociągu, miała już wracać do pokoju, gdy nagle posłyszała jakąś wrzawę na podwórzu. Nie myśląc wiele, stawia karafkę na gorącej blasze kuchni i spieszy do okna.

Wtem trzask! odwraca się przerażona, lecz cóż widzi, kłęby pary nad kuchnią, a z karafki rozbite szczątki.

Wparę dni potem, w wieczór, gdy już zapalono światło, zdaje się Kazi, że lampa w pokoju brata, pali się jakoś ciemno, aha! myśli sobie, nie obcięli knota, trzeba to poprawić. Nie chcąc sparzyć palców bierze wilgotny ręcznik i szkło przez niego ujmuje.

Znowu trzask! szkło od lampy leży w kawałkach na biurku. Wbiega na hałas przestraszona mama, widząc bezmyślną córeczkę przy lampie, nic już nie mówi, ale na twarzy jej rozlał się taki smutek, że Kazi aż serce ścisnęło się z bólu, bo w gruncie dobrą była dziewczynką. Upłynęło spokojnie parę tygodni, było to jakoś w grudniu, blisko świąt Bożego Narodzenia, mróz pokrył szyby wzorzystymi deseniami, Kazi podobały się bardzo, całe rano cieszyła się niemi, ale w parę godzin już się to jej znudziło, gdyż nie mogła wyglądać na ulicę. Otóż przychodzi jej do głowy piękna myśl. Przynosi na miseczce gorącej wody, macza chusteczkę i zaczyna zmywać piękne wzory. Zgadujecie zapewne co się stało, szyba pękła, a zanim przyszedł szklarz, aby wprawić nową trzeba było okno zakleić papierem. Wyglądało to mniej ładnie, niż wzorzyste desenie z mrozu, a patrzeć na ulicę również nie było można. Wypadek ten jednak wpłynął na brzydkie roztargnienie dziewczynki, bo widząc zmartwienie mamy, rozplakała się i przyrzekła być już uważniejszą. Mama jednak, chcąc aby lepiej pamiętała skutki swego roztrzepania, kazała jej zapłacić za szybę własnymi pieniędzmi, które zbierała do skarbonki.

A. R.

GOŁĄBEK BOŻENNY.

(Daszy ciąg)

Daremnie tłumaczyła jej pani Zalitowska, że ten powrót w obecnej chwili niemożliwy, że nie miałyby tam dachu nad głową, że muszą czas jakiś korzystać z gościnności przyjaciół ojca, odpłacając ich dobroć szczerą wdzięcznością; dziewczynce przecież ciężyc się zdawały odbierane dobrodziejstwa. Cierpiała pani Hanna nad tem usposobieniem córki, dopiero pani Ostrobrodzka wpadła na myśl szczęśliwą, której wykonanie usunęło nieśmiałość Ludmiły, stanowiącą główną zaporę w nawiązaniu serdecznego między dziewczynkami stosunku. Wyznaczyła obu towarzyszkom kawałek ziemi w ogrodzie, który wspólnie pod jej kierunkiem uprawiać miały. Wiadomo, że w każdym smutku praca bywa najlepszą pociechą i uspokojeniem. Środek ten również dla Ludmiły okazał się zbawienny, zrazu niechętnie zabierała się do roboty, niejedna łezka potoczyła się po jej bladej twarzyczce, gdy była zmuszoną grabić lub szpadel brać do ręki; nie zważając na to jednak pani Ostrobrodzka codziennie wyznaczała dziewczynkom kwaterę, którą przekopać lub zagrabić miały dla posadzenia na niej warzywa lub zasiania kwiatków. Wspólna praca prędko zbliżyła dziewczynki do siebie tak, że wkrótce jedna bez drugiej obejść się nie mogły. Dzielną też pomoc w zajęciach ogrodowych niósł im młody Węgrzynek.

Po śmierci swego dobroczyńcy całą wdzięczność i przywiązanie dla niego przeniósł na pozostałą po nim sierotę; przemyślał tylko czemby jej dogodzić, czem się przysłużyć, czem przyjemność jaką zrobić; dziewczynka, czując mimowoli żal do tego, który był główną przyczyną zgonu jej ojca, odwracała się od chłopca z niechęcią i tylko wspomnienie na ostatnie wyrzeczone słowa zmarłego, powstrzymywały ją od objawienia Stefanowi żalu spełniającego jej serce. Obojętność jednak młodej panienki nie zrażała biednego Węgrzynka, choć zdaleka, czuwał nad każdym jej krokiem, spieszył z pomocą ile razy tego okazywała się potrzeba. Widząc jak niesporo praca ogrodnicza idzie Ludmile, jak często smutnie zamyślona, opuszcza ręce, dając się wyprzedzić żywszej i chętniejszej do pracy Bożennie, chłopiec nie mówiąc wstawał rano, biegł do ogrodu, przekopywał na nowo grządkę Ludmiły, wyrwał chwasty, a nie domyślając się tego dziewczynki, dziwiły się dlaczego rośliny i krzewy bujniej rosły na kwaterze mniej dbalej o nie Ludmiły, niżeli na grządkach tak starannie uprawianych przez Bożennę, chociaż i jej starał się Stefan przypodobać, pomagając w ulubionem jej zajęciu drobiem i ptaszkami. Sama ona codziennie sypała ziarno kurom i gąskom, które na jej głos zbiegały się gromadnie. Najmilsze przecież dla niej były chwile, spędzane w gołębniku wśród ulubionych gołąbków. Chłopiec więc uczył ją rozróżniać gatunki tych ptaków, sinia-ki od grzywaczów, jak się z niemi obchodzić, jak je oswojać aby same przychodziły z ręki brać pożywienie, a Bożenna tak z nauk tych korzystać umiała, że niebawem najulubieńszy biały gołabek przywykł siadać jej na ramię i stał się nieodstępny jej towarzyszem. Dzi

wczynka też swego ukochanego gołąbka nie byłaby oddała za żadne skarby świata.

Zgodnie więc z przewidywaniem pani Ostrobrodzkiej, wspólna praca w ogrodzie skutecznie dopomogła do przełamania lodów i zawiązania przyjaznego stosunku między dziewczynkami. Rzecz to niezawodna, że przywiązujemy się do tego co trudów i starań naszych jest owocem; gdy po jakimś czasie dwie towarzyski ujrzały z posianych ziarenek wątłą roślinkę wychodzącą z pod ziemi, gdy potem z zielonych listków strzeliła ku górze cienka łodyga z pączkiem, który rozwijał się w barwny kwiatek, dziewczynki nie posiadały się z radości. Przyłapawszy też raz niespodzianie Stefana na gorącym uczynku jak podlewał i okopywał ukradkiem ich ogródki ujęte dowodami jego życzliwości, za pozwoleniem obu matek przypuściły go do swoich zajęć codziennych. Chłopiec uważał to za szczęście, że mógł paniom służyć i przysparzać im przyjemności. Codziennie wymyślał nową dla nich niespodziankę, robił ławeczki z murawy pod drzewem, z kamieni i gałęzi układał groty, do których dziewczynki chroniły się przed deszczem lub palącymi zbyt mocno promieniami słońca, a najczęściej dla córek swego dobroczyńcy wypraszał u ogrodnika doniczkę z kwitnącym kwiatkiem, którą stawiał na jej kwaterze. Ludmiła też coraz chętniej biegła z Bożenną do ogrodu i z coraz większym upodobaniem wypełniała tam zajęcia swoje. Dnia jednego gdy z pomocą Stefana sadziły krzaki róż, mających stanowić główną ozdobą kwiatowej kwatery, Bożenna odezwała się do towarzyski:

— Z pierwszych róż jakie zakwitną w naszym ogrodku uwijemy piękny wieniec i poprosimy mamy, abyśmy go złożyć mogły na grobie twego ojca.

Usłyszawszy te słowa Ludmiła z płaczem rzuciła się w objęcia Bożenny; był to pierwszy gorący uścisk, który ich serduszka węzłem szczerzego uczucia połączył. Odtąd owo uczucie przyjaźni z każdym dniem więcej je zbliżało do siebie; znikł przedział dzielący córkę bogatych właścicieli zamku, od córki ubogiej pani Zalitowskiej; Ludmiła widziała już tylko w Bożennie serdeczną, kochającą towarzyszkę, gotową zawsze z nią dzielić smutek i radość, pracę i zabawę, przywiązywała się do niej z każdą chwilą silniej. Pożądana ta zmiana w usposobieniu sieroty uczyniła także serce jej dostępniejsze uczuciu życzliwości dla drugich. Zyskał na tem biedny Stefan, zrozumiała bowiem teraz, że chłopiec nie był winien nieszczęściu, jakie pośrednio na nią ściągnął i, że przezwyciężając niesłuszny żal swój do tego, który równie szczerze jak ona opłakiwał zgon jej ojca, najskuteczniej uszanuje tem wolę zmarłego i uczei jego pamięć. Coraz też częściej zwracała się do młodego Węgrzynka z łagodnym słowem, z prośbą o wyświadczenie jej małej jakiej przysługi, a każde takie jej żądanie napelniało radością serce biednego Stefana. Niebawem też miała nadarzyć się sposobność, w której jawnie mógł okazać gotowość poświęcenia swego dla córki utraconego dobroczyńcy.

Razu jednego obie przyjaciółki, otrzymawszy pozwolenie matek swoich, wyszły na drogę ciągnącą się poza parkanem ogrodowym dla narwania w rowie krzaczków niezapominajek, które chciały posadzić w kwaterach kwiatow-

wych. Bożenna, skorsza do wykonania każdego planu, zeszła w głąb rowu, a Ludmiła stojąc nad brzegiem, odbierała rośliny, które jej towarzyska podawała, gdy nagle od strony wsi, leżącej opodał, rozległy się głośne krzyki; przestraszone sądziły w pierwszej chwili, że może pożar gdzie wybuchnął, ale spojrzawszy, ujrzały tylko gromadę ludzi pędzących drogą beładnie i dosłyszały wołanie:

— Uciekajcie! pies wściekły!

Przerażenie odjęło im przytomność umysłu; Ludmiła ku domowi biedz zaczęła, ale zaraz szlachetniejsze uczucie przyjaźni wzięło górę nad samolubnym instynktem zachowawczym, zrozumiała, że nie godzi się odstępować towarzyszkę w niebezpieczeństwie; przyskoczyła tedy do niej i wyciągnęła rękę, aby jej pomódz wyjść z rowu. W tej chwili czarny, kudłaty pies, że zwieszonym ogonem, roziskrzonymi oczami, zapienionym pyskiem rzucił się na biedną sierotę i zębami pochwycił za suknię, Ludmiła krzycząc rozpaczliwie szamotała się z napastnikiem, gdy naraz odepchniętą została tak silnie, że padła w rów w objęcia Bożenny, na drodze zaś ujrzała bladego z przerażenia Stefana w zapasach ze wściekłym zwierzęciem. Walka była ciężką; chłopiec broniąc przystępu do ukochanych panienek pochwycił psa za gardło, ale ten zdążył go ugryźć w rękę, zanim nadbiegli ludzie i uderzeniem drąga powalili niebezpieczne zwierzę na ziemię i kilku ciosami dobili na miejscu. Dzielnego chłopca odprowadzono coprędzej do zamku; przodem pobiegły dziewczynki, żeby matki swoje uprzedzić o zaszłym wypadku. Obie panie z przerażeniem dowiedziały się o niebezpieczeństwie jakie groziło ich córkom, i coprędzej zajęły się ratunkiem odważnego ich obrońcy.

W owych czasach ludzie nie znali jeszcze sposobów zapobiegających udzielaniu się zarazka wściekliczny, jedynym środkiem, używanym w takich razach, było natychmiastowe wypalenie rany. To też gdy doświadczona w niesieniu pomocy chorym pani Ostrobrodzka, oświadczyła, że chłopiec musi się poddać zaraz bolesnej tej operacyi, dziewczynki głośnym wybuchnęły płaczem, chociaż przez matki za to zgromione zostały, bo nie w taki sposób należy ludziom dodawać odwagi.

Na tej odwadze jednak nie zbywało Stefanowi; uspokojony, że paniom nie stało się nic złego, dowiedziawszy się o przejściu bolesnym jakie go czeka, wyciągnął sam bez wahania zranioną rękę, mówiąc:

— Zniosę chętnie ból najdotkliwszy z myślą, że się w małej części wypłaciłem dobroczyńcy memu za ofiarę życia, jaką poniósł dla mnie.

Rzeczywiście bez jęku prawie zniósł wypalenie rany rozpalonem żelazem, tylko siły jego fizyczne nie dorównały siłom moralnym bo zaraz potem dostał gorączki.

Choroba jednak minęła prędko i jedynym śladem przykrego wypadku pozostała rana na ręce, którą opatrywała codziennie sama pani Ostrobrodzka z pomocą dziewczynek. Te ostatnie pielęgnowały troskliwie Stefana; zmieniały bandażę, przykładaly na bolącą rękę gojące maście, a wieczorem przy pacierzu zanosily do Boga modlitwę o jego wyzdrowienie. Prośby ich wysłuchane zostały, po kilku dniach p. Ostrobrodzka oświadczyła, że niebezpieczeństwo minęło, a chłopiec choć bladej jeszcze był już w mo-

żności przechadzać się z panienkami po ogrodzie. Jak każdy człowiek odzyskujący zdrowie, Stefan nie mógł się nacieszyć widokiem pięknej natury, zielonością drzew, zapachem woniących kwiatów, wesołym świągotem ptasząt, świeżością ożywczego powietrza. Dziewczynki sadzały go na ławeczce, którą niegdyś sam dla nich zrobił z darniny i znosiły mu najpiękniejsze kwiaty ze swego ogrodu. Chłopiec z wdzięcznością całował ich ręce mówiąc z rozrzewnieniem:

— Chyba Bóg w nagrodę smutnej dotychczas doli mojej zesłał mi tak dobrych opiekunów!

(d. c. n.)

ZAGADKA.

Kiedy mam *a* w pośrodku, jestem polską rzeką,
Której wody od starej Wisły bystro cieką.
Gdy mam *e* odpoczynkiem wzmacniam wszelkie siły.
A gdy *y* tom zazwyczaj bardzo ludziom miły.

ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

ułożył Smok Wawelski.

1
2
3
4
5
6

W kwadracie o 6 przedziałkach, ułożyc wyrazy, aby litery oznaczone liczbami złożyły nazwę miasta w Szwajcaryi.

Znaczenie wyrazów: 1) Zwierzę afrykańskie przeżuwające. 2) Zwierzę ssące morskie. 3) Największe zwierzę

Australii. 4) Zwierzę przeżuwające, żyjące przeważnie w Afryce.
5) Ryba z rodz. poprzecznoustnych. 6) Ptak z rodz. brodzących.

NITECZKA ARYADNY.

Od Niezabudki dla kochanej nauczycielki.

Wiel	każ-	przy	stać	u
dem	ka	nie	nie	por
swem	i	to	po	być
zda	niu	ryw	mą	nie
niu	ła	w dzia	czym	drość

ROZWIĄZANIA DO N-ru 1-go

Szarady: Skarga:

Łamigłównki w trójkącie:

B o l e s ł a w
O r f e u s z
L a u f e r
E u b e a
S o w a
Ł ó t
A s
W

Łamigłównki geograficznej:

L H D S K N P I S
o u e i ł a a t a
A m s t e r d a m
r a n k c e w k u
a n i a a k w a a r

Skrzynka do listów.

Kochanej naszej staruszce, **Wróźbiarce Szczęścia**, serdecznie dziękujemy za list i życzenia, wielka to pociecha podobne listy bierać, a za dowody serca, sercem tylko odpłacać można.

Kwaciarcie również wdzięczni jesteśmy za dobre życzenia. Żadaną książkę wysyłamy, łamigłównki oczekiwane będziemy.

Radzi jesteśmy, że wysłana książka dla **Zosi K.** przysłała w dobrej porze i była dla niej przyjemną rozrywką, sądząc z liściku, mamy nadzieję, że choroba była lekką i żeś już zupełnie do zdrowia powróciła.

Marylce i Helence K. z Chersonia za życzenia dziękujemy, miło nam bardzo, że książeczki z zajęciem były czytane.

Zosi G. posyłamy książeczkę którą sobie życzy. Za liścik dziękujemy i nawzajem raz jeszcze osobno życzenia najlepsze przesyłamy.

Jadzi G. ze Stanisławowa zaginiony numer wysyłamy. Warunki prenumeraty wymienione są w każdym numerze naszego piśmka.

Dobre rozwiązania zadań nadesłali: **Puszczek z Pilawy, Dziunia, Janek M., Wicher i Młoda Brzózka**, nadto **Biały Orzeł i Puszczek z Pilawy** dołączyli zadania własnego układu, które o ile okażą się odpowiednie będą pomieszczone w Wieczorach.

Ptaszynie na obadwa listy odpisałam w poprzednich numerach, niesłuszną więc jest twoja wymówka, że cię tak długo pozostawiam bez odpowiedzi, mam nadzieję, że przeczytawszy jedną i drugą żalu do mnie mieć nie będziesz.

Maniusi Ł., cieszę się, że Wieczory czytujesz z zajęciem.

Trzem Raczkom z Siedlisk za miły i ciekawy bardzo liścik: jak również za dobre życzenia wdzięczną jestem. Z wielkim zajęciem czytałam opis jak wesoło upłynęły wam dni świąteczne, a choć żal, że już przeszły, po milej zabawie z podwójną chęcią zabieramy się do pracy.

Brzózce za serdeczne życzenia dziękuję, nowej łamigłównki oczekiwane będziemy.

Helence Sz. Ucieszyłam się wyczytawszy, że moja odpowiedź sprawiła ci przyjemność, za życzenia bardzo dziękuję, na każdy twój liścik niezawodnie odpisywać będę.

Jaskółka.

№ 4. Rok XVIII.

Dnia 10 (22) Stycznia 1898 r.



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Papież Leon XIII w pontyfikalnym ubiorze.

Jubileusz Ojca Świętego.

W dniu 31 grudnia r. z. obchodził Ojciec św. Leon XIII, dziesiątą rocznicę kapłaństwa swego. W ostatnim dniu wian r. 1837 otrzymał święcenia, a nazajutrz 1 stycznia 1838 r. odprawił po raz pierwszy Mszę św. Cały kościół katolicki obchodził tę rocznicę uroczystym nabożeństwem, dziękując Stwórcy za utrzymanie w zdrowiu panującego nam szczęśliwie Namiestnika Chrystusowego i zanosząc modły o zachowanie go przy życiu przez długi jeszcze szereg lat.

Joachim Wincenty Rafael Pecci, urodził się 2 marca 1810 roku w Carpincto. Ojciec jego hr. Dominik Pecci należał do dawnego, zasłużonego Kościołowi i swej ojczyźnie rodu, a matka, jaśniejsza wyższymi cnotami chrześcijańskimi, zaszczerpiła miłość Boga i bliźniego w młodziutkich sercach swych dzieci.

Wychowany pod tak szlachetnym wpływem Joachim Pecci, oddany został w 1818 r. do szkoły Jezuitów w Viterbo, którą ukończywszy chlubnie, przeszedł do Kollegium rzymskiego, a następnie na wydział teologii uniwersytetu Gregoriańskiego, gdzie pracował tak wytrwale, mimo wątłego zawsze zdrowia, że już w 22 roku swego życia otrzymał stopień doktora św. Teologii.

Wielka nauka i mądrość młodego kapłana sprawiły, iż władze duchowne, pomimo jego bardzo młodego wieku, powierzały mu najtrudniejsze stanowiska. Nadzwyczajnym taktem, łagodnością i rzadkim rozumem godził zwaśnionych i uśmierzał zbuntowane umysły, przebywając kolejno w Benevenie, Perugii, Brukselli i t. d.

W uznaniu tych zasług zaledwie 35 letni kapłan zostaje biskupem, a w ośm lat później kardynałem. Po śmierci papieża Piusa IX w 1878 roku, zostaje obranym na jego następcę i zasiada na stolicy Piotrowej, jako Leon XIII, rządząc Kościołem Bożym mądrze i szczęśliwie.

Starożytne proroctwo nazwało go „światłem niebios” i rzeczywiście, wszystkie lata, przez które Jego Świątobliwość Leon XIII rządzi Kościołem katolickim, są dla niego jasnym pasmem tak na polu duchowym, jak i politycznym.

To też w dniu jubileuszowym Ojca św. spieszyli z hołdem i życzeniami zarówno kościelnymi jak i świeccy dostojnicy, a wśród tych ostatnich nie mało było osób innych wyznań.

Jako dary pamiątkowe Sułtan turecki przysłał Papieżowi pierścień z bardzo kosztownym kamieniem; królowa Regentka hiszpańska—kielich złoty, wysadzany również cennymi kamieniami, a prezydent rzeczypospolitej francuskiej—sześć przepysznych waz z porcelany sewrskiej.

Góra Biruty w Połudze.

(Dokończenie).

Już niespokojne konie rycerzy biją kopytami i radeby jak orły zerwać się do lotu; już wierna książęca drużyna wyczekuje sygnału wodza, aby ruszyć cwałem do domowego ogniska i odpocząć po trudach i znojach. Lecz Kiejstut stoi, niecierpliwego rumaka hamuje wędzidłem, a wzroku nie może oderwać od świętego ognia. Patrzy na Widymuntową jedynaczkę, patrzy i napatrzeć się nie może. Za jej jedno spojrzenie oddałby chętnie wszystkie skarby złupione w ziemi pruskiej. Patrzy, a wzrok jego sokołi staje się dziwnie łagodnym, serce jego pieczone białe jak młot pod twardym pancerzem i topnieje jak wosk, na który padnie gorący promień słońca.

Wreszcie nagłym ruchem ręki nakrył głowę, spał ko-

nia ostrogą i już miał popędzić dalej, gdy wtem jakaś nowa myśl zajaśniała mu w oczach płomieniem, dzięki postanowieniu skrzywiło oblicze piękne i łagodne. Wydaje szybko rozkazy... Cześć wojska zapuszcza się w las, a on z niewielkim poczem otacza święte wzgórze, zeskakuje z konia, chwyta przerażoną Birutę, sadza ją w mgnieniu oka przed sobą na siodle i nie zważając na łzy i krzyki nieszczęsnej, leci jak wicher, że aż ziemia zda się drzy, że aż towarzysze sprostać mu nie mogą w biegu...

II.

„Płyną lata falami na trockim zameczysku,
i Biruta nie płacze po żmudzkiej krainie...
W wieczór tylko, w zachodu jaskrawym odbłysku,
Gdy, jak morze, jeziora świecą fale sine,
Kiedy wody zaszumią, ptak jaki zakwili,
Ona myślą ucieka do ubiegłych chwili.
I wspomina na ojca, wspomina na brata,
Na świątynię Praurymy, na ojczyste kraje,
Na pamiątki z innego, z młodzieńczego świata,
Których do szczęścia sercu Biruty nie staje.
Ale nie pójdzie ona za rodziną swoją,
Bo przy łożu Biruty dwie kolebki stoją.
W jednej kolebce córka śpi z złotymi włosy,
Księżycowe ma jasne oblicze, spojrzenie,
I pogląda, jak księżyc, gdy wejdzie w niebiosy,
Siejąc po białym świecie srebrzyste promienie.
Jako gwiazda przyświeca nad dolą mateczyną;
Przy niej mroki przeszłości jaśnieją i giną.
W drugiej kolebce matki i ojca nadzieje —
Młody Witold usypia. To słońce u wschodu;
Jeszcze wielkimi blaski po świecie nie sieje,
Lecz słońca i olbrzyma rozpoznasz za młodu.

(Witolorauda. Kraszewski).

I płynęły dalej lata, jak fale na trockim zameczysku. Książę Kiejstut, prócz Witolda, doczekał się jeszcze trzech synów: Patryka, Towciwiłła i Sygaily - Zygmunta, a matka ich, Biruta strzegła tak pilnie i wiernie domowego ogniska, jak niegdyś świętego znicza.

Po owej strasznej nocy, w której ją gwałtem oderwano od stóp ołtarza, przepłakała ona długie tygodnie w jednej z baszt trockiego zamku! Ale książę litewski, to pan samowładny i najzuchwalszy rycerz jego woli oprzeć się nie śmiał, a cóż dopiero słaba dziewczica, biedna wajdelotka. Biruta uwierzyła, że wola księcia, to wola Bogów, otarła błękitne oczy i została księżną na Trokach, wierną towarzyszką Kiejstuta.

Lata płynęły. Książę trocki staczał nieustanne bitwy, idąc zawsze ręką w rękę z wielkim księciem Olgierdem, k temu był nie tylko bratem przywiązany w pokoju, ale i n wierniejszym druhem w wyprawach wojennych. To t Giedyminowiczów obawiali się sąsiedzi; drżeli przed nimi n tylko rycerze krzyża ale i dzicy Tatarzy.

Lecz kiedy Olgierd r. 1377 legł w grobie, zmieniło s położenie. Jagiełło wstąpił na księstwo wileńskie, a różnił się od stryja obyczajami i dążnościami, rozpoczął z n klótnie i walki. Domowa wojna zawrzała. Sędziwy Kiejstut wzięty do niewoli, wtrącony do więzienia, zginął 1382 roku. Niewiadomo, czy sam targnął się na swoje życie w przystępie rozpacz, czy zginął z rozkazu Jagiełły.

Śmierć Kiejstuta zadała cios stanowczy bogom narodowym.

Po zaślubinach Jadwigi z Jagiełłą i połączeniu Litwy z Polską, zagaś najpierw znicz w Wilnie, a potem w całej litewskiej ziemi, a więc i na krańcach Żmudzi, na ołtarzu bogini Praurymy.

Biruta, straciwszy męża, powróciła, jak niesie podanie, do swego rodzinnego zakątka i do końca życia słygnęła z wielkich cnót, dobroci i szczodrości.

Gdy umarła, ogłoszono ją za boginią i pochowano w miejscu, gdzie niegdyś w latach młodocianych pilnowała świętego ognia. Przywiązany i wdzięczny lud żmudzki. usypał nad jej grobem mogiłę, którą nazwał: „Raksztis Szwieta Birutas” *) a która stała się celem licznych pielgrzymek.

Wieki minęły. Prawdziwa wiara ugruntowała się w sercach Litwinów, a miłością Chrystusową zapłonęła zwłaszcza Żmudź stara, świętą dlatego nazwana.

Lecz i dzisiaj pamięć o Birucie nie wygasła wśród ludu: świadczą o tem liczne piosenki gminne, świadczy kapliczka zbudowana na jej grobie, do której zwłaszcza kobiety żmudzkie dążą w smutku i złej doli, składając na ołtarzu ubożuchne swe wota.

I bezustannie modły gorące płyną ku niebu ze wzgórz nad morzem! Nie do bogini Praurymy, jak przed wiekami, do Matki Bożej, królowej nieba i ziemi: „Szwenta Marija, Motyna Dievo, melskis už mus giesznus dabar in wołandoje smerczio musu” **).

A las w około szumi; żółty piasek złoci morskie wybrzeże, o które rozbijają się rytmicznie koronkowe fale i słońce tak samo, jak przed wiekami zanurza codzień w odmęty swą purpurową tarczę, rzucając w cichy wieczór letni na wód powierzchni barwy tęczowe.

Jadwiga Warnkówna.

NIEDŹWIEDŹ

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

p. Zuzannę Morawską.

(Ciąg dalszy).

II.

Ucichło na Bożym świecie. Po strasznej wichurze i śniegu, sypiącym gęsto, niebo wypogodziło się przesłicznie, wypłynął jasny choć nie pełny jeszcze księżyc, a nad skołataną ziemią zawisł ciemny błękit nieba usiany miliardami gwiazd, patrzących z wysoka swym jasnym, wyiskrzonym wzrokiem.

Uciszyło się też i w zakroczymskim zamku, domowi i goście zasnęli snem błogim, zasnęła nawet czeladź strudzona całodzienną pracą, którą im w końcu uroznaiciła gawęda o przybyłych niespodzianie dostojnych gościach. Przygasły światła w ziejącej ogniem piekarni i kuchni, spokój zupełny ogarnął zarówno ludzi jak i całe przestworze wśród zimowej nocy.

Lecz snąc sędzonym było, że noc ta mieszkańcom zakroczymskiego zamku nie przejdzie w tej błogiej ciszy i spokoju. Jeszcze bowiem pierwsze kury nie wydzwoniły swojego hasła, gdy ozwało się kołatanie do bramy i zbudziło drzemiącego w swojej czatowni stróża.

— Ki czort włóczy się tam po nocy! — mruknął niechętnie.

— Kto zacz!?! — zawołał wreszcie rozspanym głosem.

— Otwieraj! — krzyknął ktoś rozkazującym tonem.

— Nie otworzę, póki się nie opowiecie kto i za czym?

— Otwieraj! — powtórzyły rozkaz odrazu dwa głosy i niecierpliwie kołatanie rozległo się wśród nocnej ciszy.

— Aha, i zaraz, otworzę ja ci — mruczał pod nosem stróż. — Żebyś ty był co dobrego, oznajmiłbyś się odrazu!

*) Góra świętej Biruty.

**) Święta Maryo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej.

I zamiast do furtki, powlókł się ku zamkowi, chcąc oznajmić panu Ignacemu o nowych, a gwałtownie do bramy dobijających się gościach.

Tymczasem kołatanie wzrastało się coraz więcej, drżały prawie od niego wrzeciędzie, lecz to nie wpływało wcale na opór stróża, ani też nie przyspieszało jego powolnego i ociężałego kroku.

Lecz przybyłym mimo pięknej nocy nie chciało się stać pod gołym niebem, po kołataniu bowiem poczęli próbować, czy nie potrafią wysadzić furtki z zawias, lecz i to im się nie udało; otoczenie bowiem zameczka kasztelana zakroczymskiego było silne i na wszystkie przygody nader odporne.

Zmęczywszy się więc daremnymi usiłowaniami, dali za wygraną i jeśli przeochadzać się, oprowadzając też i konie, których obecność oznajmiało częste parskanie. Stróż zaś nim doszedł do zamku, zakolatał do stajen i zbudził kilku parobków. Po wieczornym wszakże poczęstunku, jakim go przybyli utraktowali, zamroczyło mu się tak jakoś w głowie i tak opowiadanie ich o bogactwie i przepychu, poplątało się z obecnym kołataniem, iż nie wiedział co ma myśleć o tych nocnych, a niespodziewanych odwiedzinach.

— Ba, powiadano, że królewicz do zamku zajechał, a może on się niebożatko przed jaką pogonią ukrywa, a może, czego Boże uchowaj, jaka czarownica chce chłopię królewskie w jakiego zwierza zamienić i w chłopca się zamieniwszy, kołace do bramy... — myślał sobie, budząc po drodze stajennych i żegnając się krzyżem świętym co chwila. Dowlókł się nareszcie i zakolatał do zamku, ale tu nowa bieda. Nikt nie wiedział, gdzie się na tę noc umieścił pan Ignacy, to tylko było pewnem, że izbę swoją odstąpił komuś z przybyłych. Pokojowiec zaś za nic w świecie nie chciał budzić gościa, boć mu nawet o tym napadzie opowiadać zgola nie wypada. Tymczasem jak zaczęto szurać, gadać, otwierać, najpierw jakoś zerwał się Kazik.

Przybycie dostojnego gościa, może słowa jego: „bądź pewnym naszej łaski”, względy jakie mu okazywał podczas wiecerzy oraz przyrzeczenie, iż uprosi ojca, że go na swój dwór wziąć pozwoli, tak oszołomiły młodzieńca, iż sen z jego oczu uleciał zupełnie.

— Napad, czarownica, pełno ludzi pod bramą. Czarownica przedzierzgnęła się w jakieś zwierzę, którego nikt jeszcze dotąd z żyjących nie widział, powtarzane były wprawdzie szeptem, lecz tak częstym, że gdy Kazik wyszedł ze swojej izdebki, odrazu spotkał się z wieścią, która wśród ciemności i nocy mogła najodważniejszego o przestrach przyprawić.

— Nie dam, obronię go — zawołał śmiało, ufny w siłę, którą najstarsi ludzie w nim podziwiali.

I nie namyślając się długo, odział się jak mógł najprędzej, przypasał szabelkę krótką lecz wypróbowanej dobroci, która mu jako jedyna spuścizna po ojcu została, wziął toporek do ręki i szedł, by stanąć przy komnacie tego, którego tak gorliwie zamierzał bronić. Zaraz w korytarzu prowadzącym do komnat dworskich, spotkał się z Piotrusiem, który sądząc, że rodzice przyjechali i stąd powstał ruch w zamku, spieszył, aby im o dostojnym gościu oznajmić.

— Chęć go zabrać, szkodę mu jakowąś uczynić, bodaj czarownicę i dzikie jakieś zwierzęta nasłali! — zawołał Kazik.

— Co ty mówisz?

— To co słyszysz! — odrzekł Kazik.

I nie wdając się w dalszą rozmowę, pospieszył dalej.

— Czekaj, pójdę z tobą! — zawołał Piotrus,

Lecz Kazik nieczuły był na to wołanie, zdawało mu się, że każda chwila zwiększa niebezpieczeństwo, które teraz w jego wyobraźni olbrzymiało. Spieszył więc, aby temu niebezpieczeństwu zaprzeczyć w oczy, na czas stanąć w obronie tego, który samem oddaniem mu tacy z chlebem i solą, wziął go już niejako za swego dworzanina.

Utykając wśród ciemności, dotarł wreszcie do komnaty słabo oświetlonej dogasającym ogniem na kominię; drzwi były uchylone; chciał je zamknąć, sądząc, że tam gość spoczywa, lecz jakież było jego zdziwienie, gdy ujrzał drzemiącego imci pana Ignacego.

Wszedł więc śmiało i dotknąwszy jego ramienia, zawołał:

— Jegomość! jegomość!

— Jestem na rozkazy jego królewskiej mości! — zawołał, zrywając się na równe nogi marszałek.

— Jakiś napad, bodaj dzikie bestye przyprowadzono... odrzekł Kazik.

— Gdzie? kto? — pytał pan Ignacy, przecierając oczy i nie mogąc się połapać, co jest snem, a co rzeczywistością.

— Pod bramą pełno ludzi i dzikich bestyi, stróż przyszedł do jegomości z zapytaniem, co ma robić — mówił Kazik przyciszonym głosem, nie chcąc zbudzić śpiącego gościa, którego obecności domyślał się w sąsiedniej komnacie.

— Nie wpuszczać, na miłość Boga, nie wpuszczać! — zawołał marszałek.

A potem dodał:

o jakich słyszał w baśniach i opowiadaniach od licznego niewieściego dworu pani kasztelanowej.

— A wy co robicie? — zapytał, uśmiechając się łagodnie pan Opaliński.

— Przyszlśmy go bronić! — zawołał Marcin.

I wskazał na komnatę królewicza.

— Dzielni z was młodzieńcy! — odrzekł ochmistrz — lecz nie wiem, skądby mu miało grozić niebezpieczeństwo?

— Pan Ignacy właśnie tam poszedł. Czuwał tutaj; szukano go po całym zamku, stróż przyszedł dać znać o tych z pod bramy; podobno jest jakaś czarownica i straszne dzikie zwierzęta. Zbudził czeladź, już wszyscy są na nogach! — opowiadali czterej chłopcy jeden przez drugiego, bez najmniejszego ład.

Pan Piotr słuchał ze spokojem i pewną wyrozumiałością tego opowiadania, z którego nic nie mógł zrozumieć.



Krzew bambusu, rosnący w Himalajach.

— Bóg mię natchnął i święci Jego anieli, żem postanowił noc całą czuwać nad bezpieczeństwem tego dziecięcia!

To mówiąc wybiegł, a wybiegając spotkał się z Piotrusiem i dwoma jego braćmi.

Dwaj starsi mieli prawdziwe pałasze, które niedawno otrzymali od ojca i dzielnie już nawet niemi robić umieli, najmłodszy zaś trzynastoletni zaledwie, miał tylko drewnianą szabelkę. Bracia jednak nie mogli mu wyperswadować, ażeby pozostał.

— Nie jestem przecie dzieckiem — zawołał i wraz z braćmi stawił się do obrony.

— Dobrze! — zawołał Kazik.

I stanąwszy na ich czele uszykował przy drzwiach komnaty, w której Zygmus spoczywał.

— Co się stało? — spytał pan Piotr Opaliński, zajmujący z przybyłym jedną komnatę, a który zbudzony szmerem i chodzeniem, wstał, ażeby się przekonać, co to ma znaczyć.

— Jacyś ludzie pod bramą, chcą zabrać królewicza — rzekł Kazik.

— Nietylko ludzie, ale i moc dzikich bestyi! — ozwał się Jędrus, gdyż w wyobraźni jego stanęły wszystkie smoki,

Marcinek zaś biorąc ten jego spokój za nadzwyczajny przestrach, zawołał butnie:

— Niech się imci pan ochmistrz nie boi, my go nie damy!

Pan Opaliński uśmiechnął się znowu, pokręcił głową i szepnął sam do siebie:

— Któżby nań miał napadać, co oni plotą!

Poszedł jednakże się przywdziać; miał bowiem zamiar wyjść i przekonać się co to wszystko znaczy. Od chłopców nie mógł się niczego dowiedzieć. Czarownica zaś i dzikie bestye, nie trafiły do jego przekonania, a jako mąż stateczny i rozumny, uważał je tylko za wytwór wyobraźni chłopięcej.

Tymczasem pan Ignacy wyszedłszy w podwórzec, znalazł już całą czeladź na nogach, stróż zaś nie wytrzeźwiony jeszcze, opowiadał coraz potworniejsze wieści, w które w końcu sam już uwierzył.

— Jak jeli kołatać, to się skry posypały, a siarkę i smołę tak czuć było, com myślał, że się piekło rozstąpiło, co zaczęło ryczeć, jakom jeszcze takiego głosu nie słyszał — mówił do pana Ignacego, który idąc wprost ku bramie, zadziwiał całą czeladź nadzwyczajną swoją odwagą.

— Coby to mogło być? — kalkulował sobie, rozmyślając nad opowiadaniem stróża.
 — To ci niczego się niebojący! — rzekł jeden z czeladzi.
 — Ba, taki w żadne ci czarowniki nie wierzy! — odrzekł inny.



Drzewa bambusowe.

I przeżegnawszy się szedł ociężałym krokiem za marszałkiem.

— I siebie i nas na zatracenie prowadził!
 — Aleć i stróż chyba też z nim trzyma, idzie, ani pyta — odzywały się wśród czeladzi przyciszzone głosy.
 Szli jednak wszyscy.

Jedni przez posłuszeństwo do którego nawykli, inni wiedzeni ciekawością i chęcią ujżenia raz przecie na własne oczy, czarownicy czy czarownika i owych dzikich bestyi, o których tylekroć w opowiadaniach od starych ludzi słyszeli.

Tymczasem kołatanie do bramy coraz więcej się wzmagało; przybyli uciszwszy się na chwilę, gdy usłyszeli ruch w podwórzu, ponowili swe natręctwo, chcąc się raz dostać pod dach, a może i oznajmić polecenie z jakim przybyli.

— Kto zacz? — zawołał pan Ignacy.

— Otwierać!

— Nie dam rozkazu, ażeby otworzono, póki się nie dowiem, kto zacz i po co! — odrzekł marszałek.

— W imieniu najjaśniejszej pani, królowej jejmości przybywamy z poleceniem do jego królewskiej mości jej syna! — ozwał się głos z za bramy.

— Chryste Panie! toć oni mówią, że od najjaśniejszej czarownicy! — szepnął stróż, który dosłyszał tylko pierwszy wyraz, a resztę sam już dopełnił.

— Otwieraj! — zawołał pan Ignacy.

— Jegomość każe otwierać?... — spytał z niedowierzaniem.

— Otwieraj! — powtórzył marszałek. I rozkaz swój poparł kuliakiem w kark, przestraszonego i zdziwionego stróża.

— W imię Ojca i Syna... — począł tenże żegnać się. I trzęsącemi rękami nie mógł wielkim kluczem trafić w otwór od zauka.

A czeladź zdziwiona i przestraszona, przyświecała pochodniami, które pan Ignacy kazał zapalić, aby tem lepiej zajrzeć w oczy mniemanemu nieprzyjacielowi.

Po długich usiłowaniach stróż otworzył nareszcie furtkę, skrzypnęły wrzeciady, a jeden z przybyłych rzekł:

— Z poleceniem i pismem do najjaśniejszego królewicza od królowej jejmości.

— Otwierać bramę! — zawołał pan Ignacy.

Nim wypełniono rozkaz, wbiegł przez furtkę maleńki, nie trzymający i łokcia w futerko i czapkę ubrany człowieczek i dziwne począł wyprawiać skoki, szczękając przytem zębami.

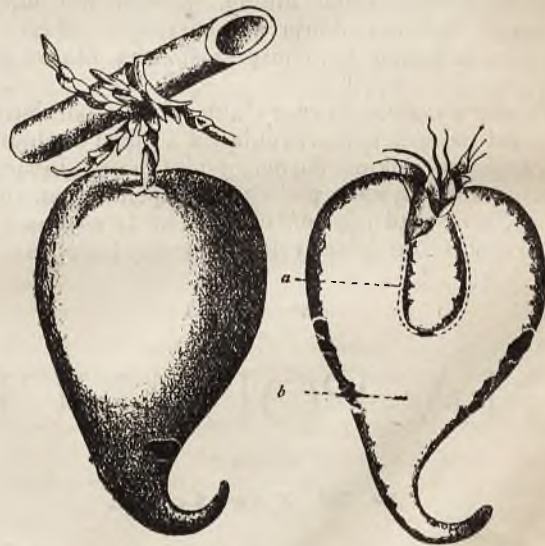
— O Jezu! — zawołał stróż i klucze mu z rąk wypadły.

— W imię Ojca i Syna! — wołał, żegnając się, i patrzył z przestachem na maleńkiego, zaszytego w futro człowieczka. Inni też o mało pochodni nie upuścili i sami nie wiedzieli co myśleć o przybyłych, którym pan marszałek tak skwapliwie bramę kazał otwierać. Przestrach malował się na wszystkich twarzach, nie tylko czeladzi ale nawet i dworzan, których kilku uzbrojonych na prędce pan Ignacy wziął ze sobą.

— Złe, złe, nie chybi — mówiono sobie pocichu.

I kto miał ręce wolne, kładł znak krzyża świętego, a inni szepotali modlitwy.

— W takiego malutkiego ludka się przedzierzgnął, a to kumoszki mówią, że wtedy najgorszy — rzekł jeden z dworskich, który się nasłuchiwał opowiadań starej klucznicy, będącej na łaskawym chlebie.



Owoc bambusu (Melocanna Bambusoides).

Owoc w przecięciu podłużnem.

I teraz każdy dorzuczał słówko patrząc na skaczące stworzonko.

Wśród ogólnego przestachu jeden tylko pan marszałek nie stracił przytomności.

— Otwierać bramę! — krzyczał z całej siły.

— Szukać mi kluczy! — dodał, widząc, że stróż je upuścił i z wystraszoną twarzą a otwartymi ustami stoi oniemiały.

— O głupecze! głupecze! — wołał ze złością pan Ignacy.

(d. c. n.)

BAMBUS CZYLI TRZCINA INDYJSKA.

Wdzieliście już może nieraz laski i meble, które w ostatnich czasach dosyć się u nas rozpowszechniły, z łodygi bambusu, rosnącego w Indyach Wschodnich, na wyspach Moluckich i w Ameryce, ale nie wiecie może, że bambus jest gatunkiem trawy trzeźnowatej, dorastającej 60 stóp wysokości, a 6 cali i więcej grubości. Trawy te, wyglądające jak olbrzymie drzewa, rosną kępami i zajmują obszerne przestrzenie. Liczą do dwustu gatunków bambusów, rozpadających się na dwadzieścia przeszło rodzin rosnących w strefach podzwrotnikowych. Najwięcej tych gatunków znajduje się w Azji, dalej w Ameryce, a najmniej w Afryce. W Andach tworzą one na ogromnych obszarach nieprzebyte gęstwiny. Bambus najbujniej rozwija się nad rzekami i strumieniami, a w gęstych jego zaroślach szukają schronienia bawoły, nosorożce i inne zwierzęta drapieżne. Owoc u niektórych gatunków jest tylko drobnym ziarnem, u innych jagodą, orzechem lub pestkowcem podobnym do gruszek; te ostatnie przedstawia załączona rycina. Jest to roślina najszybciej rosnąca; w okolicach zwrotnikowych w przeciągu dwóch miesięcy wyrastające źdźbła dochodzą wysokości 40 metrów; przez dwadzieścia cztery godziny zatem przybywa ich 70 centymetrów; żyć zaś może od 60 do 70 lat. Gdy trzcina dosięgnie zwykłej swej wysokości, zaczyna drzewnieć i rozgałęziać się. Początkowo gładka, połyskująca, koloru zielonego, potem żółta i brunatna, a nawet czarna staje się w końcu, tak twardą, że przy rąbaniu siekierą suchych łodyg iskry się sypią. Młode wypustki bambusów, zaprawione w szczególny sposób, używają się za pokarm jako jarzyna. Ziarna bywają gotowane jak ryż. Grube łodygi służą do budowania chat; wydrążone do noszenia wody; najcieńszymi wyplatają sprząty, wykładają ściany, pokrywają dachy, robią altany, słowem dla miejscowych mieszkańców bambus oddaje wszechstronne usługi. W Chinach i Japonii każdą też chatę wieśniaczą otacza gaik bambusowy.

Papier wyrabiany przez Chińczyków z bambusu, poszukiwany jest przez artystów; robią też z niego wachlarze, parasole i kapelusze pięknie bardzo wyplatane na Jawie, a przez Europejczyków używane pod nazwą kapeluszy panama.

Widzimy stąd jak pożyteczną jest ta roślina i jak wielkie przemysł ludzki umiał osiągnąć z niej korzyści.

NA POLANCE

powieść

P. E. Jerlicza.

(Dalszy ciąg)

— Czekaj — powiedziała Ludwinia do Zosi — podprowadzę cię do domu. Ale może ciębie nożki bołą, Julinko?

— Nie, ja mogę dużo chodzić — odrzekło dziecko, przytulając się do swojej przybranej opiekunki.

Były na pół drogi, kiedy naprzeciwko ukazał się Staś, który szedł na poszukiwanie siostry, aby razem wrócić do domu.

Obie dziewczynki uścisnęły się za ręce, przyrzekając zejść się znowu jutro i zwrócić się do domów.

II.

Ulicą Krakowskim Przedmieściem szedł o zmroku już samym mężczyzna nie pierwszej młodości, dość otyły, lecz pomimo to surowych, energicznych ruchów.

Uszedłszy niewielki kawałek drogi, wstąpił do sieni jednej z kamienic, udał się po schodach na pierwsze piętro i zadzwonił do drzwi, na których błyszczała tabliczka z napisem: Dr. Józef Bobrowicz. Służący otworzył drzwi i ujrzawszy przybyłego, zabrał się skwapliwie do odebrania płaszcza.

— A kto tam jest? — zapytał przybyły ujrzawszy eleganckie palto na wieszadłach.

— Doktor Jeżowski, proszę pana.

— Aha, to dobrze. A herbatę prędko poda nam Antoni?

— Za minutę.

— To bardzo dobrze — powiedział znów przybyły i wszedł do przyległego gabinetu, gdzie w fotelu pod oknem ujrzał młodego eleganckiego mężczyznę, który na jego widok powstał z miejsca i spieszył z powitaniem.

— Witam kochanego kolegę — zawołał przybyły — i przepraszam, za opóźnienie. Ale trudno, chorzy nie mogą czekać, a ci, coby mogli, to znowu nie chcą i najbardziej się niecierpliwia.

— Szanowny kolega zawsze ma humor na zawołanie — roześmiał się tamten.

Doktor Bobrowicz zatarł ręce z zadowoleniem.

— Rzeczywiście, jestem dziś w dobrym humorze, bo udało mi się wprowadzić w wykonanie środek cudowny na choroby nerwowe.

— Bój się Boga! szanowny kolego, a odkryje przedemną tę metodę, abym i ja mógł korzystać z twego doświadczenia. Cóż to za taki cudowny środek?

— Praca, praca! kochany kolego. Ale nie taka praca na zamydlenie oczu, tylko wytrwała praca fizyczna na świeżym powietrzu.

— To środek, którego skuteczność zalecana jest od niepamiętnych czasów.

— Święta prawda. Ale widzisz kolega w tem rzecz, aby nie tylko wykazać skuteczność jakiejś metody, lecz skłonić do jej wykonywania.

— I szanownemu koledze to się udało?

— A udało mi się.

— Jakim sposobem?

— Zaraz opowiem.

— Proszę panów na herbatę! — zawołał Antoni, ukazując się we drzwiach.

— Proszę, niechże kolega pozwoli — wyrzekł dektor Bobrowicz.

Obaj panowie przeszli do jadalnego pokoju, gdzie stał stół zastawiony przyborami do herbaty. Obowiązki gospodarza domu w podejmowaniu gościa, zajęły kilka chwil doktorowi Bobrowiczowi; dopiero gdy już zasiadł wygodnie na swoim kraeśle, powrócił znów do swego przedmiotu.

— Więc tedy mówiłem koledze o użytym przez siebie sposobie. Będzie już jakiś czas temu, wbiega do mnie pewien strapiiony ojciec, wzywając do swojej córki. Co jej takiego? pytam. — Okropna, straszna choroba! — Co? tyfus? zapalenie płuc? — Nie, nie, chwała Bogu! tylko straszne zdenerwowanie. — W jakim ona wieku? — pytam dalej. — Piętnaście lat. — Hm, myślę sobie, piętnaście lat i zdenerwowanie, dziwne rzeczy. Czy przechodziła jakie ciężkie choroby? — Żadnych. — Więc gdzież źródło złego? — Nie wiadomo, musi być ukryte. — Dobrze, bardzo dobrze, mówię. Zobaczymy.

Idę tedy do mojej pacjentki. Badam, słucham, opukuję. Organizm zdrowy zupełnie, dobrze rozwinięty, choroby żadnej ani śladu.

— Mój kochany przyjacielu — mówię do ojca pacjentki — bo trzeba koledze wiedzieć, że znalazłem go małym chłopczkiem w szkołach — mój kochany przyjacielu, kto ci też powiedział, że twoja córka dotknięta chorobą nerwową?

— Pani Kwiecińska to zawsze utrzymuje — odpowiada strapione ojczyisko. — Pytam co to za jedna ta pani Kwiecińska, i dowiaduję się, że to jest ciotka mojej młodej panielki, wychowująca ją od śmierci matki. Osoba niemłoda, która sama będąc ogromnie słabowitą, wszędzie dopatruje niebezpieczeństwa choroby, a że straciła dawniej kilkoro

własnych dzieci, więc też drżała w każdej chwili o przybraną córkę, do której przywiązała się całym sercem.

— A więc kochany przyjacielu—mówię dalej—powiedzze mi z łaski swojej, czyście używali jakich środków przeciwdziałających chorobie, której się dopatrujecie w waszej dziewczynce?

— A jakże — odpowiada skwapliwie biedny ojciec — niczego nie żałowałem na to, co tylko mogło zapewnić jej zdrowie, gdybym miał stracić połowę majątku, nie zawahałbym się ani na chwilę, byleby jej zapewnić zdrowie.

Zaczyna mi dopiero opowiadać, jak od jej najmłodszych lat, dzieckiem jeszcze małym, wysyłał ją na zimę do cieplejszych krajów, do Tyrolu, i Włoch, następnie dla wzmocnienia górskim powietrzem, do Szwajcaryi; jak obawiając się, aby wysiłek umysłowy nie szkodził dziecku, pani Kwiecińska nie pozwalała małej zmuszać do lekcji; jak nie dawano męczyć się jej żadną pracą, nie sprzeciwiano się w niczem; jak dziecko miało wszystko czego zapragnęło, jak jej dogadzano, pieszczono, ustępowano we wszystkim.

— No, no! — pomyślałem, chwytając się za głowę — a toście, biedacy, sami stworzyli zło, które was dręczy. Wmówiliście w dziecko chorobę, wychowali na kapryśnicę, znudzoną zbytkiem i dogadzaniem, bo miała tego wszystkiego za dużo, i teraz martwicie się bezpotrzebnie.

Zaczynam tedy tłumaczyć ojcu i opiekunce, żeby zmienili sposób postępowania, żeby dziewczynkę wdружиły do użytecznej pracy, do obowiązkowego zajęcia, bo zło, którem jest dotknięta, nie potrzebuje żadnej mikstury z łacińskiej kuchni, ale pochodzi z tego, że dziewczynka jest znudzona, nie mając czem się zająć.

— Powiadam im: nie woźcie jej po wodach i zagranicach, na to będzie czas później, teraz niech pracuje nad sobą, niech stara się wzbogacić umysł pożytecznymi, gruntownymi wiadomościami, aby kiedyś, zwiedzając obce kraje, wiedziała na co patrzeć i jak patrzeć, a nie spoglądała na świat i ludzi bezmyślnymi oczami, jak kawka na swój wizerunek odbity w kałuży wody.

— Ha, ha, ha! oryginalne szanowny kolega ma porównania.

— Ale powiedz kolego, nie mam racji?

— Przyznaje, że najzupełniejszą.

— Powiadam tedy: jedźcie z nią na wieś, tam niech panią wstaje raniutko, pije mleko, zrzuci eleganckie pantofelki i ażurowe pończoszki, a biega boso po piasku i po zroszonej trawie, kąpie się w zimnej wodzie, poszuka sobie w ogrodzie zajęcia. dogląda gospodarstwa, zajrzy kiedy niekiedy do jednej, drugiej i trzeciej chaty wiejskiej, aby zobaczyć jak też to prosty lud sobie żyje, a daję wam słowo uczciwego człowieka, że z choroby jej nie zostanie ni śladu, rozwinię się, skrzepnie, nabędzie rumieńców.

— I cóż opiekunowie pacjentki na tę radę, usłuchali?

Doktor Bobrowicz machnął ręką.

— Niby to przyrzekli na razie zastosować się do niej.

Ale jak tu przekonać kobietę wątlą i słabowitą o użyteczności ruchu, zajęcia i pracy; jak wmówić na raz w ojca, drżącego o życie jedynego dziecka, że jego troski nie mają najmniejszej podstawy?... Trudne zadanie, prawda kolego?

— Bez wątpienia.

— Właśnie. Więc też i oni niby to przyrzekli zastosować się do udzielonej przezemnie rady, niby to próbowali, ale skończyło się na tem, że pani Kwiecińska zaczęła płakać, załamując ręce, że dziecko za delikatne na tego rodzaju doświadczenia, rozchoruje się z pewnością; ojciec też powiedział że łzami w oczach, iż sama myśl, że dziewczę może zachorować, odbiera mu odwagę.

— Ale widzi kolega ja też jestem uparty i nie odstępuję nigdy od raz przyjętej zasady. Przytem żal mi było i tego zacnego ojca, tak ślepo przywiązanego do dziecka i tej dziewczynki, której życie mogłoby upływać pożytecznie i wesoło, a schodziło Bóg wie po jakiemu. Więc zmieniam zupełnie postępowanie, zamiast przekonywać ojca i ciotkę, że dziewczynka jest zdrową zupełnie, daję im do zrozumienia,

że zaczynam się obawiać dla niej na przyszłość groźnych komplikacji i że, jeżeli metoda, którą zalecam, nie zostanie zastosowaną, za nic nie ręczę.

— I to poskutkowało?

— Zaraz, poczekaj kolega. Przedewszystkiem szło mi o to, żeby sama pacjentka puściła się z własnej woli mojej metodzie, bo wiedziałem, że w przeciwnym razie na nic wszystko się nie zda. Cóż ja tedy robię? oto napędzam jej trochę strachu w sposób całkiem niewinny, gdy zaś spostrzegłem, że to nie przeszło bez wrażenia, przynoszę jej opis w jakiejś gazecie, jak to nawet pewna, córka królewska, dla wyleczenia się z choroby nerwowej, zajmuje się fizyczną pracą, niby wiejska dziewczyna i mówię do mojej, pacjentki: Przeczytaj to sobie panią, i przekonaj się, jak to znać zaraz rozumną kobietę, i niech ci będzie przykładem, że kiedy ukoronowana głowa może zamiatać i kurze ścierać w swoich apartamentach, to panią możesz kopać kawałek ogrodu, lub choćby dajmy na to, wydoić krowę, aby mieć świeże mleko na śniadanie. — Kolega się śmieje?

— Ale bo szanowny pan przywiódłbyś melancholika do śmiechu.

— A jednak widzi kolega, nie było to pewnem, i na tem właśnie zależy skuteczność mojej metody.

— Wyjeżdżają na wieś?

— Niech Bóg broni! Pani Kwiecińska jest tak osłabiona, że nie może się odważyć na podróż, sam zaś Mirski musi dla przeprowadzenia znacznego przedsięwzięcia pozostać w Warszawie. Lepiej więc robią, bo za moją poradą oddają dziewczynkę do domu najzaciejszych i najrozumniejszych. jakich znam ludzi, niejakich państwa Skalskich, moich najlepszych przyjaciół.

Antoni ukazał się na progu.

Jakaś pani chce się z panem doktorem koniecznie widzieć.

— Trzeba było powiedzieć, mój Antoni, że godziny przyjęcia u nas już skończone.

— Kiedy proszę pana, ta pani nie chce się sama radzić, tylko przyszła pana prosić do dziecka, które bardzo zachorowało.

— A to co innego, idę, w tej chwili idę. Przepraszam kochanego kolego, ale my lekarze nie rozporządzamy własnym czasem.

I doktor Bobrowicz powstał żwawo, wziął laskę, nieodstępną swoją towarzyszkę, i pospieszył do oczekującej na niego matki chorego dziecka, a z gabinetu dochodził jego głos, uspokajający strwożoną kobietę:

— Ale niechże się pani nie niepokoi; każdej matce zdaje się, że dziecku jej grozi jakieś zło szczególne. Obaczysz pani, że chłopaczek za trzy dni będzie zdrow jak ryba.

— Oh! panie doktorze! — westchnęła biedna matka.

— Tak, tak, nieinaczej, niech mi pani wierzy, przecież ja się znam trochę na tem. Co? dorożka już czeka na dole. Tem lepiej. Jedźmy, tylko proszę się nie trwożyć, bo niema czego.

— No, patrzcież państwo! już go niema i nawet się nie pożegnał ze mną — pomyślał doktor Jeżowski. — Wymówię mu to jutro przy spotkaniu — dodał z uśmiechem, schodząc ze schodów.

Trudno! doktor Bobrowicz znanym był z tego, że gdy szło o przyniesienie ulgi w cierpieniu, zapominał nietylko o innych, ale i o sobie. Zaczyna też to była dusza!

III.

List Józji Mirskiej do Izi N.

Kochana Iziu.

„Wyjazd mój z Warszawy nastąpił tak nagle, że nie mogłam zaczekać nawet, aby pożegnać się z tobą, gdy wrócisz z rodzicami od krewnych, u których bawisz w Płockiem.

Kiedyśmy się rozstawały, nie było oczywiście nawet mowy o tem, abym miała wyjeżdżać do jakiegoś cichego zakątka na

wieś, że zaś nie wyjechałam za granicę, jak to zwykle miało miejsce, to jedynie z polecenia doktora Bobrowicza, który uważa, że właśnie taka zmiana jest konieczna dla wzmocnienia mnie pod względem fizycznym. Tylko proszę cię, moja Iziu droga, nie mów mi, że to potrzebne dla moich nerwów, bo tego wyrazu „nerwy” nie mogę znosić od pewnego czasu, bo ja wcale nie jestem nerwowa, słyszysz Iziu? Ja wcale nie chcę być nerwowa, i prosiłam cioci, żeby nigdy nie mówiła o mnie, jako o „dziecku nerwowem”. Dla czego tak jest i dla czego zgodziłam się na ten wyjazd na wieś, to ci zaraz opowiem,

„Jak wiesz, od pewnego czasu udziela nam rad lekarskich doktor Bobrowicz. Jest to dawny, bo jeszcze ze szkół znajomy ojca, chociaż od niego znacznie starszy, i bywa u nas ze względu na ciocię bardzo często.

„Otóż niedawno temu jechałam na spacer z ojcuzkiem w aleje Ujazdowskie, kiedy ojcuzek ujrzawszy doktora Bobrowicza idącego chodnikiem, kazał zatrzymać powóz, wysiadł i skłonił koniecznie doktora, aby przejechał się z nami.

Nie byłam temu wcale przeciwna, to mi się tylko nie podobało, że musiałam siedzieć na przodzie, bo ten doktor Bobrowicz, mówiąc między nami, nie zna się wcale na wytwornej grzeczności, zasiadł sam odrazu, bez zrobienia najmniejszej ceremonii w głębi, a kiedy ojcuzek chciał dla mnie obok niego miejsce zrobić, a sam zająć moje na przedniej ławeczce, doktor zawołał, przytrzymując go: — Nie kręć no się, przyjacielu, pomieścimy się przecież obok siebie, chociaż nam tuszy nie brak, a paniące zostawimy też jeszcze całą ławeczkę.

Fi donc! jaki brak delikatności, prawda Iziu? Toż jestem już prawie panną dorosłą, więc to ja powinnam była siedzieć w głębi, a nie jak dziecko jakie na przodzie. Postanowiłam też całem mojem zachowaniem dać poznać doktorowi Bobrowiczowi niewłaściwość podobnego postępowania; oparłam głowę o poduszki, przymknęłam oczy i udawałam tak, jakbym zupełnie nie widziała, że się pomiędzy nimi znajduję. Nie patrzyłam zresztą na nic, bo powiem ci szczerze, że mnie te codzienne spacerki kareta po alejach Ujazdowskich już znudziły. Od czasu do czasu ojcuzek pochyłał się nademną i zapytywał szeptem: czy mnie głowa nie boli? — Odpowiadałam, że nie, ale czyniłam to umyślne głosem omdlałym, żeby wywoływać znów zapytanie ojcuzka, bo ogromnie lubię jak mi okazuje taką nadmierną troskliwość, a powtóre chciałam dać poznać doktorowi Bobrowiczowi, że ja tu jestem główną osobą, którą się przedewszystkiem zajmować należy

(d. c. n.)

Z DALSZEGO ŚWIATA.

Olbrzymi hotel. — Ile jest języków na świecie. — Nagroda za nauczanie. — Zaćmienie słońca w Chinach.

Jeden z tegoczesnych bogaczy amerykańskich, na wzór podobnego domu wzniesionego dawniej w Londynie, postawił

obecnie własnym kosztem w Nowym Yorku olbrzymi hotel, zawierający przeszło 500 pokoi i przeznaczony wyłącznie dla uboższej ludności. Hotel ten otworzono niedawno w sposób uroczysty. Wśród najbrudniejszych i najbiedniejszych dzielnic miasta, w miejscu, gdzie niegdyś mieściły się jaśkinie zbrodniarzy i przestępców i w ogóle nędzarzy, wznosi się obecnie olbrzymi gmach dziesięciopiętrowy, wyłożony marmurem, z marmurowymi schodami, wielkimi salonami i t. p. Liczne windy utrzymują komunikację pomiędzy piętrami. Pokoje urządzone z wielką prostotą, wszędzie znajdują się łazienki. W dniu otwarcia hotelu tłoczyli się tam milionerzy amerykańscy. Strojne panie w świetnych ekwipażach dążyły przez zaułki miasta, które nigdy jeszcze nie widziały tyle bogactw, jak w dniu tym. Zamiast, jak dotąd, uczęszczać do ohydnych szynków, biedak, znalazłszy się bez dachu, za skromną opłatą 10 do 25 centów otrzyma czysty pokój, dobre łóżko i ciepłą kąpiel. Gorąca kolacja z mięsnych potraw w wygodnej restauracji, umieszczonej w suterrenach, kosztuje 10 centów. Za światło, opał i usługę w hotelu nic nie rachują. Piękny przykład bogacza amerykańskiego wszędzie powinienby znaleźć naśladowców wśród ludzi możnych.

Według obliczenia jednego z geografów francuskich, na świecie istnieje 860 języków i około 500 dyalektów. Na Europę przypada 89 języków, na Afrykę 114, na Azyę 163, na Amerykę 417, a na Australię 117. Na wielu małych wyspach w Polinezyi mówią takim językiem, którego mieszkańcy najbliższych wysepek najzupełniej nie rozumieją, i ze swymi sąsiadami porozumiewają się tylko na migi.

Pisma zagraniczne donoszą iż przyznawaną przez akademię francuską corocznie nagrodę tak nazwaną Monthyon'a od imienia ofiarodawcy, otrzymała 79 letnia p. Bonnefois, która większą część życia spędziła wśród wędrownych towarzystw cyrkowych. Znając z doświadczenia ciemnotę i niedolę tych ludzi, postanowiła wpływać moralnie na ich dzieci, zajmując się ich kształceniem. Przy pomocy arcybiskupa z Rouen i jednego z paryskich radców municypalnych, nabyła na ten cel książki i materiały, potrzebne do szkoły przenośnej i jeździ za artystami jarmarczными, ucząc ich dzieci; w ostatnich czasach miała 250 uczennic i uczniów.

W dniu 22 grudnia przypadło w Chinach zaćmienie słońca, w oczekiwaniu którego wszyscy bardzo byli zatrwożeni. Cesarz wydał rozkaz wzbraniający składania mu życzeń w tym dniu, który jest także dniem nowego roku w Chinach. Odbywająca się zwykle wtedy uczta została odwołaną na kilka miesięcy z góry. Cały dzień miał być dniem pokuty, skruchy i żalu za grzechy. Rozkaz cesarski opiewa, że zaćmienie słońca jest karą za wykroczenia władcy państwa przeciwko sprawiedliwości i rozumowi. Cesarz przejęty był strachem i wciąż nad swojemi błędami rozważał.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Rocznie w Austrii 10 koron, w Prusach marek 10; — stosownie do tego półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TRĘŚĆ: Jubileusz Ojca Świętego (z portretem). — Góra Biruty — Niedźwiedź, powieść z XVI w. przez Zuzannę Morawską. — Bambus czyli trzcina indyjska (z ryc.). — Na polance, powieść przez E. Jerlicza. — Z dalszego świata. — Dodatek: Murzyn i Chińczyk. — Do Maniusi, wiersz przez M. C. — U cioci Polci. — Gołąbek Bożenny. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

WIECZORY RODZINNE



MURZYN I CHIŃCZYK.

Józio oglądał obrazki zamiast wstawać, chociaż wybiła już ósma. Wczoraj dostał ryciny od wujcia i schował je pod poduszczykę, a teraz cieszy się nimi i nie kładzie baczików.

— Fe, jacy szkaradni — zawołał rzucając obrazek, którym był wymalowany mały Chińczyk i mały Murzyn.

— Dla czego szkaradni? — pyta mama.

— Bo jeden jest żółty a drugi czarny, nie cierpię ich i nigdy nic o nich czytać nie będę.

— A może chcesz przynajmniej wiedzieć jak się nazywają?

— A jak mamusiu?

— Ten czarny chłopczyk nazywa się Dzing, a ten żółty Fo-fu.

— Śliczne imiona, dobre dla takich cudaków. O ileż to piękniej zwać się Józiem!

— Pewnie, pewnie, a czy wiesz co oni robią?

— Cóżby innego zrobić mogli ci brzydake, straszą grzeczne białe dzieci.

— Wcale nie, powiem ci nawet, że oni codziennie porządnie się napracują dla ciebie.

— Dla mnie? Mama chyba żartuje.

— Nie żartuję, dziś już nawet czarny Dzing i żółty Fo-fu, a nawet wielu niezajomych ci także chłopców oddawało tobie usługi.

— Moja mamusiu, chciałbym wiedzieć co oni dla mnie zrobili.

— Zamknij oczy synku, i niech ci się zdaje, że poleciałeś gdzieś bardzo daleko na wschód. Powiedzieć ci cobyś tam zobaczył?

— Już zamknąłem. Proszę powiedzieć.

Stoimy nad morzem, które się nazywa Żółte; na brzegu leży dużo skrzyń. W te skrzynie młode żółte chłopcy, i twój znajomy Fo fu pakują ryż, w inne skrzynie herbatę. Choć zmęczeni się bardzo, odpocząć nie mają czasu.

— Dlaczego?

— Bo tam na morzu Żółtem, przy brzegu, kołysze się okręt, który popłynie do Gdańska.

— A co to jest Gdańsk?

— To jest wielkie miasto, dawniej polskie, które leży nad morzem Bałtyckim, w tym Gdańsku wyjmą skrzynie z okrętu i zanoszą na mały statek, który popłynie Wisłą do Warszawy.

— A w Warszawie co zrobią z temi pakami?

— Znów młodzi chłopcy... jak Fo-fu, ten żółty twój przyjaciel, który pakował herbatę i ryż...

— On nie jest moim przyjacielem, ja go nie znam.

Ale on dla ciebie pracował, a lubimy tych, którzy dla nas pracują.

— Niechże mamusia powie co się stało z temi pakami?

— Chłopcy wyładowali je ze statku na Wiśle, przyjechał wóz od kupca i zabrał paki do sklepu, a było ich bardzo dużo.

— Z herbatą i ryżem?

— Były jeszcze paczki, które podobałyby ci się więcej od tamtych.

— A co w nich było?

— Zaraz się dowiesz. Wprzód jednak zmróz oczy i pędź daleko na południe, aż nad morze, które się nazywa Czerwone.

— Tamto Żółte, a to Czerwone, jakie zabawne nazwiska!

— Mróz dalej oczy, a ja ci powiem co tam widać. Otóż u brzegów tego morza Czerwonego stoi okręt. Ten sam, który wioził z Chin skrzynie z herbatą zatrzymał się tu dla odpoczynku. Skorzystał z tego Dzing twój drugi znajomy z obrazka i przywiózł także skrzynię, a wiesz co w niej jest?

— Co, mamusiu?

— Figi, daktyle, rodzenki, te wszystkie dobre rzeczy, które jadłeś z choinki.

— Zkąd Dzing wziął to wszystko?

— Figi i daktyle rosną w Afryce tam gdzie on mieszka. Dzing zapakował je w pudełka i posłał na północ do Polski, dla takich jak ty chłopczyków, bo on wie że wszystkie dzieci lubią słodycze.

— Więc i Fo-fu i Dzing pracowali dla mnie?
 — I Dzing i Fo-fu i wszyscy ci chłopcy, którzy łądowali skrzynie na okręt i ci co wydobywali je w Warszawie, i ten grzeczny kupczyk, który ważył daktyle, ryż i figi.
 — To ja im powinienem być wdzięczny?
 — Niezawodnie. A co jeszcze powinienes Józiku?
 — Powiniennem także dla nich pracować — powiedział zawstydzony malec, który nie wstał dotąd z łóżeczka.
 — Powinienes i będziesz pewnie pracował jak jeszcze trochę urośniesz, a tymczasem kochaj tych żółtych czarnych, białych, dalekich i bliskich choć nieznanomych ci ludzi, bo to są wszystko bliźni twoi

Z. B.

Do Maniusi.

Mania się raz przechwalała
 Ze najlepiej tańcowała,
 Na co mama: — choć mazurka
 Zręcznie tańczy moja córka,
 Jabym jednak to wolała,
 Aby książkę ukochała,
 Nie tak pytała, że tańca była
 Za to lepiej się uczyła.

U cioci Polci.

(Dalszy ciąg).

— O nie, ciociu kochana; zróbmy mieszek — zawołał Henryś. — Nie mam pojęcia jak on wygląda.
 — Weźcie kwadratowy kawałek papieru — rzekła ciocia. — Złóżcie go na ukos dwa razy, aby znaleźć środek. Nazwiemy te dwie linie *b*. Przewróćcie papier na drugą stronę i złóżcie go przez pół znów w jedną stronę i w drugą i znów rozłóżcie, a te nowe linie nazwiemy *a* (fig. 53).

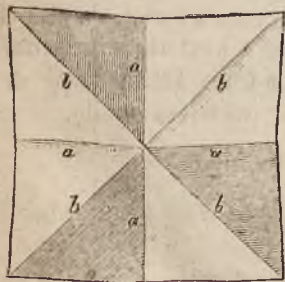


fig. 53.

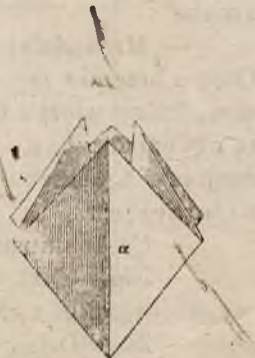


fig. 54.

Teraz zbierzcie cztery rogi razem, a papier sam z łatwością złoży się w linie naznaczone poprzednio (fig. 54). Połóżcie figurę płasko na stole i oznaczcie no-

we linie, zaginając górną połowę wzdłuż środkowej linii, jedna po drugiej wszystkie cztery, ale zagiąwszy je mocno trzeba rozłożyć. Potem przewróćcie figurę górną na dół i zagnijcie pozostało połowy w ten sam sposób. To zrobi pięć linii na każdej połowie papieru (fig. 55). Nazwijmy środkową linię *a*, dwie ukośne *b*, a punkt w którym się spotykają *c*. Spróbujcie teraz zgiąć papier podług składow *b*. Zobaczycie, że rózek od punktu *c* do kąta papieru wystaje, i jeżeli go założycie, utworzy rączki od mieszka (fig. 56). Ująwszy dwie rączki w prawą rękę, a dwie

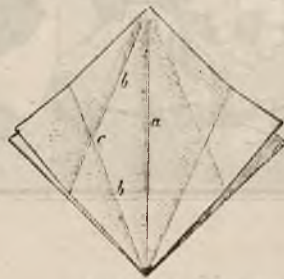


fig. 55.

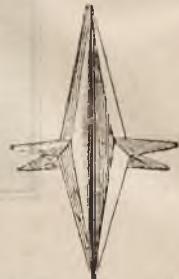


fig. 57.

drugie w lewą i poruszając je tam i napowrót poczujemy powiew wiatru, dobywający się z mieszka (fig. 57).

— Ciociu, może zrobimy pudełko ua marki dla Henrysia, to nie będzie ich tak często gubił — rzekła Elżbietka, uśmiechając się wskazała na braciszka.

(d. c. n.)

GOŁĄBEK BOŻENNY.

(Dalszy ciąg).

— Czy dotąd życie twoje było nieszczęśliwe? — pytała trochę zdziwiona Ludmiła; bo przejęta własnem nieszczęściem nie przyszło jej na myśl dowiadywać się o przeszłość chłopca, którego jej ojciec wyrwał z niewoli tatarskiej. Teraz dopiero, gdy biedny Węgrzynek dobrocią i poświęceniem swoim zjednał sobie jej serce, za pragnęła usłyszeć coś o jego przeszłym życiu, o jego rodzicach, o rodzeństwie, o okolicznościach, które go sprowadziły w te strony i do nich zbliżyły.

— Pyta panienska czy byłem nieszczęśliwy? — powtórzył Stefan ze smutnym uśmiechem, ciężkie koleje już przechodziłem, w krótkim stosunkowo życiu mojem. Jeżeli jednak panienska ciekawe dowiedzieć się przygód, jakich doświadczyłem, to im historję życia mego opowiem.

— Prosimy, prosimy — wołała z naleganiem Bożenna — bardzo jestem ciekawą twojego opowiadania.

— Przekonacie się z niego, panienska — mówił Stefan poważnie — że Bóg przychodzi zawsze z pomocą nieszczęśliwym i opuszczonym dzieciom, które ufność swoją w Nim pokładają.

Zasiedli we troje na ławeczce, Bożenna puściła trzymanego w rękach gołąbka, który co chwila siadał na jej ramieniu, jakby się nie mógł obejść bez jej pieszczot, a chłopiec zaczął opowiadanie swoje w te słowa:

Historya Stefana.

— Widomo panienkom, że jestem rodem z Węgier, i że małem dzieckiem porwany byłem przez cyganów. O pierwszych latach dzieciństwa, spędzonych w domu rodzicielskim, niewyraźne zachowałem wspomnienie; został mi tylko w pamięci obraz jakiegoś dużego, mурowanego domu i licznej w nim służby. Przypominam sobie starą moją niańkę, która na krok mnie nie odstępowała, ale najlepiej zapamiętałem słodkie i łagodne oblicze mojej matki, gdy co wieczór pochylała się nad łóżeczkiem delikatnią dłonią kreśląc znak krzyża świętego nad głową moją, podczas gdy stojący za nią ojciec, wysoki, z czarnym wąsem mężczyzna, uśmiechał się do mnie serdecznie. Brak tych pieśczęt rodzicielskich zawsze odczuwałem w czasie nieobecności rodziców, gdy zostawałem wyłącznie na opiece starej piastunki; służba bowiem korzystając z nieobecności państwa używała wtedy najczęściej chwil swobody poza domem. Mogłem już mieć około czterech lat kiedy raz wypadło rodzicom na dłużej wyjechać. Dnia jednego wieczorem niańka wcześniej niż zwykle ułożyła mnie do snu, okryła ciepłą kołderką, bo wiatr jesienny chłodem przejmował w dużych komnatach, a deszcz bił nieustannie o szyby. Chociaż po odmówionym krótkim pacierzu najczęściej zasypiałem prędko, tym razem ogarnęła mnie przykra jakaś za matką tęsknota, która spędzała sen z oczu.

— Mamo! mamó! — zacząłem wołać żałośnie i siedłem na łóżeczku oglądając się dokoła. Nie było nikogo; niańka zapewne wyszła na chwilę, aby się przypatrzeć tańczącym na weselu córki ogrodnika, odbywającym się w domku za ogrodem, któremu w ciągu dnia ja także przyglądałem się ciekawie. Widząc się opuszczonym, samotnym, zacząłem rzewnie płakać, aż zmęczony płaczem i daremnem wołaniem, zasnąłem. Po pewnym czasie obudził mnie jakiś szmer niewyraźny, a może przecucie grożącego niebezpieczeństwa; przy świetle nocnej lampki ujrzałem dwóch barczystych, o śniadej twarzy kędzierzawych włosach mężczyzn. Chociaż nie rozumiałem jeszcze znaczenia wyrazu: „rozbójnik” widok tych ludzi tak wielkim przejął mnie strachem, że nie miałem siły głosu wydobyć. Słyszałem jak jeden mówił do drugiego:

— Teraz właśnie dobra pora, dom pusty; ty pilnuj dziecka, żeby nie krzychało, a ja pójdę zabrać co lepsze.

Odszedł; jego towarzysz nachylił się nademną i czarnemi, błyszczącemi oczyma tak groźnie spoglądał, że głośno płakać zacząłem.

— Cicho malcze, bo inaczej załatwię się z tobą prędko — zawołał nieznajomy kładąc twardą, czarną dłoń na moich ustach. Przycichłem z przerażenia, a po chwili wrócił drugi złoczyńca obciążony łupem złotych i srebrnych naczyń, klejnotów, sukien, materyi jakie zdążył zabrać z komnat rodziców.

— Bierz chłopca — odezwał się rozkazująco; przyda nam się gdy trochę podrośnie, a tu mógłby nas zdradzić. Tylko spiesz się bo może kto nadejść.

Pochwycony silną ręką cygana, zacząłem się wyrwać, niby wróbel ujęty w sidła, wołałem na pomoc matkę, ojca, niańkę! Nie było ratunku. Okrutny człowiek ukrył mnie pod płaszczem swoim i przycisnąwszy ręką usta abym nie mógł krzyczeć, uniósł w noc ciemną.

Nie wiem jak długo trwała ta ucieczka; gdy doszli do gęstego, dużego lasu, cygan wyjął mnie z pod płaszcza, posadził na ramieniu, a, że drzałem ze strachu i zimna, okrył mnie jakąś starą chustą. Z towarzyszem swoim rozmawiali niezrozumiałym dla mnie językiem. Idąc przez parowy i puszcze dosięgli wreszcie porośniętego wzgórza, u stóp którego paliło się rozłożone szeroko ognisko; w koło siedzieli mężczyźni, kobiety i dzieci, różnego wieku i w różnych strojach, jedni w łachmanach, drudzy w jaskrawych sukniach; kilku mężczyzn w kaftanach lub czamarach ze świecącymi sprzążkami.

— Dobrze, że już dochodzimy do obozu — odezwał się niosący mnie cygan — dzieciak cięży mi na ręku jakby zamierał ze strachu i zimna. Matko, — dodał zwracając się do jednej ze starszych kobiet. zabierzcie sobie ułowionego w szlacheckim dworze chłopaka, potraficie go prędko przerobić na cygańskie dziecko.

Kobieta wzięła mnie na ręce, ale widząc jej ostre rysy, surowe wejrzenie, odczuwając boleśnie dotknięcie jej kościstych rąk, zaniósłem się znowu głośnym płaczem. Nie pomagały ani groźby ani uderzenia starej cyganki, zsiniałem i zeszywniałem od nieustającego krzyku. Wówczas, zdjęta widać litością, wysunęła się z grona siedzących kobiet młodsza wiekiem cyganka i odezwała się łagodnym głosem.

— Dajcie mi chłopca, ja go może uspokoje.

Przygarnęła mnie do siebie, wzięła na kolana i pieśczętliwie przemawiać zaczęła. Zrazu i to nie skutkowało, odwracałem się od niej ze wstrętem, ale nie zrażona obęściem mojem powtarzała ciągle z dobrocią:

— Cicho maleńki, ja ci nic złego nie zrobię.

Ujrzawszy w końcu miłą jej, choć ciemną twarz pochyloną nademną, dostrzegłszy wzrok pełen współczucia utkwiony we mnie, objąłem ją rączkami za szyję i łkając ciągle zasnąłem z głową wspartą na jej ramieniu.

Odtąd pocziwa Bogna, takie było imię cyganki, wzięła mnie pod wyłączną swoją opiekę, kładła obok siebie na posłaniu z mchu lub siana wczasie ciągłej włóczęgi z miejsca na miejsce, wypraszała dla mnie wygodny kącik na wózk, lub sama dzwigała w płachcie na plecach. Z początku trudno mi było przywyknąć do prostej, najczęściej zimnej strawy, jaką żywią się wędrowni cyganie; Bogna litując się nad głodnym dzieckiem, z kotła w którym niekiedy jedzenie gotowano, wybierała niepostrzeżenie i chowała dla mnie lepsze kaski na zapas, lub gdyśmy zatrzymywali się w pobliżu jakiej wioski, wypraszała albo kupowała za parę groszy trochę mleka z kawałkiem razowego chleba. Jakże ten chleb czarny z mlekiem smakował mi wtedy! Wieczorem i rano opiekunka moja kazała mi klękać obok siebie i odmawiać pacierz, w którym podawnemu zanosilem prośbę o zdrowie dla mamy i taty. Żywo stawał mi wtedy w pamięci obraz utraconych rodziców, zwłaszcza ukochanej matki, ona bowiem w domu uczyła mnie znaku krzyża świętego i pierwszych słów modlitwy Pańskiej, przez długie miesiące przy tem pacierzu przywoływałem ją do siebie z rzewnym płaczem w rannych i wieczornych chwilach. Bogna pocieszała mnie gładząc pieśczętliwie po twarzy i mówiąc łagodnie:

— Nie płacz Stefusiu, nie płacz maleńki, jeśli będziesz zawsze dobry, grzeczny, posłuszny, to zobaczysz mamę kiedyś, a teraz obetrzyj oczki, zmów ładnie paciorek, aby ci Bóg dopomógł wyrosnąć na pocziwego człowieka i rodzice twoi doczekali się z synka pociechy.

(d. c. n.)



SZARADA.

Murzyna z nad Kongo.

Gdy mi pięć głosek postawisz w rządzie
Oznaczać oddział ma całość będzie;
Lecz gdy po głosce usuniesz z boków,
Otrzymasz miejsce pełne uroków,
Które cię wabi zielenią, ciszą,
Którego szmery do snu kołyszą.
Co gdy odwrócisz i w końcu małą
Dopiszesz głoskę, otrzymasz całą
Przestrzeń w mieszkaniu, często piękniejszą
Lecz zawsze pewno najobszerniejszą.
Wróć do drugiego, dodaj dwie głoski,
A nazwiesz przedmiot, który bez troski
Noszą panowie dla swej wygody,
Czasem z potrzeby lecz często z mody.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

p. Marykę R.

Z następujących sylab ułożyć 8 wyrazów, których początkowe i końcowe litery utworzą nazwiska dwóch słynnych poetów, hiszpańskiego i włoskiego: **ka—ba—da—di—el—ger—ko—ga—le—kam—lar—lak—no—ma—part—ry—na—top—tyl**
1) Miasto w gub. Chersońskiej. 2) Gromada wysp na oceanie Atlantyckim. 3) Zwierzę z rodzaju kotów. 4) Moneta amerykańska. 5) Rzeka w Niemczech. 6) Książę niem. ubiegający się o rękę księżniczki polskiej. 7) Kolumna piramidalna z kamienia. 8) Wodospad.

ŁAMIGŁÓWKA KRYSZTAŁOWA.

B. Orzeł.

1. Spółgłoska.
2. Pierwotna broń.
3. Środkowa część Karpat.
4. Rzeka wpad. do m. Czarnego.
5.
6. Imię żeńskie.
7. Obszar wód.
8. Kanton w Szwajcaryi.
9. Spółgłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzyć mają nazwisko słynnego wynalazcy z XIV wieku.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 2.

Łamigłówni kropkowanej:

Jeśli chcesz aby rok nowy,
Prawdziwie się nowym stał,
Porzuć stare swe narowy
I młodości próżny szal,
Abyś go nie tylko z mowy
Życia nowym rokiem zwał.

Szarady: Kar — na — wał.

Arytmogryfu:

O K o
R o k
U n c y a
K a h i r
K a n a r e k
G r e n a d a
K o l o n i a
K o w n o
R o s y a
O k a
L i s

Skrzynka do listów.

P. Z. S. D. Za powiastkę dziękujemy, zapewne pomieszczoną będzie.

Za serdeczne życzenia wyrażone w miłych i pocziwych listach dzieci: z ochronki w Petersburgu, z zakładów Sióstr Miłosierdzia: w Marympolu, w Krakowie przy ul. Piekarskiej; w Bursztynie, w Czerwonogrodzie, i w innych przesyłamy serdeczne „Bóg zapłać.” Prawdziwą dla nas nagrodą zadowolenie wasze i te chwile rozrywki jakich wam nasze piśmko dostarcza. Nie potrzebnie też prosicie byśmy je wam i nadal przysyłali, bo zawsze z równą przyjemnością czynić to będziemy. Zaczynam opiekunkom waszym dziękujemy również za łaskawe słowa i dobre życzenia.

P. Natalii B. Jako premium dla całorocznych prenumeratorów dajemy tylko książki wymienione w prospekcie t. j. dodatki powieściowe z lat zeszyłych.

Puszczycowi z Pilawy. Rzeczywiście, że w podpisaniu łamigłówni zaszła omyłka drukarska, powinno być przez Puszczyc z Pilawy, a nie p. Promyczka. Na raz przyszły już się ten błąd nie wkładnie. Figielek arytmetyczny i logogryf przysłane w ostatnim liście zużytkujemy, o ile tylko okażą się odpowiednie.

Dobre rozwiązania zadań nadesłali: **Paluszek, Sokół z nad Wisły, Krzyształek, Szczęsna, Józio B., Antochna, Sliweczka i Pogziomka, Stoń z Nubii, i Stanisław;** dwaj ostatni nadto dołączyli łamigłówni i arytmogryfy własnego układu.

Jasia W. przysłała łamigłównę kropkowaną, zapewne przez nieuwagę bez rozwiązania.

Szarotce z Tom. Za twój miły i zajmujący liścik wdzięczną jestem i spieszę z odpowiedzią. Komedyjka wkrótce drukować się będzie, bo redakcyja ma ich już kilka w zapasie. Pielęgnowanie palm wymaga wielkiej pieczołowitości, nie wszystkie gatunki potrzebują jednakowej wilgoci i ciepła, ale zawsze dużo światła i chronienia od przeciagów. Baczną uwagę trzeba zwrócić na przesadzanie coroczne, na gatunek ziemi użytej do tego i wielkość naczynia.

Wiel. Ptaszynie. Cieszę się bardzo żeś się nie zraziła moją otwartą odpowiedzią, ale sądząc z rozsądku jaki przebiega w twoich liścikach nie wątpiłam, że tak będzie. Adres o który zapytujesz: Wspólna 24 róg Kruczej.

Juskółka.

№ 5. Rok XVIII.

Dnia 17 (29) Stycznia 1898 r.



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Henryk Sienkiewicz z dziećmi.

(Fot. Orion).

Henryk Sienkiewicz.

W roku bieżącym przypada dwudziestopięcioletnie działalności autorskiej Henryka Sienkiewicza, którego nawisko z chlubą i uznaniem wymieniamy my, jego rodacy, a znać i ceni wysoko, jako genialnego powieściopisarza, cały świat cywilizowany.

W ciągu tych dwudziestu pięciu lat napisał on trzydzieści kilka tomów mniejszych lub większych powieści, a każda z nich, tak pod względem treści i uczucia, jako też stylu, potęgi wyobraźni i malowniczości słowa, należy do pereł literatury, i choć pisana prozą, śmiało do rzędu utworów poezyi zaliczoną być może.

To też dzieła jego tłumaczą się na wszystkie języki słowiańskie i na większość innych języków europejskich, w Anglii zaś zwłaszcza i Ameryce Północnej pozyskał jego talent równie gorących wielbicieli, jak we własnym kraju.

Sienkiewicz urodził się w 1846 r. na Podlasiu, w Woli Okszejskiej w powiecie Łukowskim. Po ukończeniu b. Szkoły Głównej, chociaż przeważnie zamieszkiwał i zamieszkuje dotąd w Warszawie, jednak odbył kilka wielkich podróży do Ameryki Północnej i Afryki wschodniej, a w ostatnich czasach znaczną część każdego roku spędzał w Zakopanem i w różnych miejscowościach Europy.

Nie będziemy wyliczali tytułów utworów Sienkiewicza, poznacie je niezadługo z historii literatury i z samych książek. Do najwspanialszych i najciekawszych należą powieści historyczne z XVII wieku: „Ogniem i Mieczem,” „Potop” i „Pan Wołodyjowski,” przedstawiające walki z kozakami, Tatarami i Szwedami. W trzecim tomie „Potopu” mieści się wstrząsający opis obrony Jasnej Góry przed wojskiem szwedzkim. Obecnie wychodzi nieukończona jeszcze powieść z czasów Władysława Jagiełły, pod tytułem: „Krzyżacy,” w której prawdopodobnie opisaną będzie bitwa pod Grünwaldem. Oprócz tego napisał on także powieść z czasów prześladowania pierwszych chrześcijan za Nerona, cesarza rzymskiego, pod tytułem „Quo Vadis.” Powieści te są tem cenniejsze, że autor jest głębokim znawcą przedstawianych przez siebie okresów historycznych i opisuje z niezmierną wiernością obyczaje i charaktery ówczesnych ludzi, tak różnych od dzisiejszych, wcielając się w nich siłą talentu i odtwarzając znakomicie ówczesny język i sposób mówienia.

Z powodu tego dwudziestopięcioletniego jubileuszu znakomitego pisarza podajemy jego portret wraz z dwojgiem ukochanych dzieci, Heniem i Dzinia. Ale autor „Potopu” kocha także i inne dzieci, zwłaszcza te, którym jest niedobrze na świecie, a najlepszym tego dowodem jest to, że nieraz robił ich bohaterami swych słicznych i rzewnych obrazków. „Janko muzykant,” „Jamioł,” „Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela”).

Wśród wielu wybitnych cech talentu swego posiada Sienkiewicz znakomity dar obrazowania swych pomysłów. Powieści jego raz przeczytane, pozostają na zawsze w pamięci, jak gdyby widziane w rzeczywistości. Dla przykładu podamy tu z powieści: „Krzyżacy” niektóre szczegóły dotyczące królowej Jadwigi:

Jadwiga, mówi autor, weszła przez drzwi do zakrystyi. Przawszy ją, rycerze bliżsi stallów, jakkolwiek msza się jeszcze nie zaczęła, poklekali natychmiast, mimowoli oddając jej cześć, jak świętej. Zbyszko *) uczynił to samo, albowiem w całym tym zgromadzeniu nikt nie wątpił, że ma naprawdę przed sobą świętą, której obrazy będą zdobiły z czasem ołtarze kościelne. Szczególniej od kilku lat, surowe, pokutnicze życie Jadwigi sprawiło, że obok czci winnej królowej, oddawano jej cześć niemal religijną. Z ust do ust między panami i ludem cnotdziły głosy o cudach, spełnianych przez królowę. Mówio-

no, iż dotknięcie jej dłoni leczyło chorych: ludzie, pozbawieni władzy w rękach i nogach, odzyskiwali ją po włożeniu starych szat królowej. Wiarogodni świadkowie zapewniali, iż słyszeli na własne uszy, jak raz Chrystus przemówił do niej z ołtarza. Czcił ją na kłęczkach monarchowie zagraniceni, czcił i obawiał się ją obrazić nawet hardy Zakon krzyżacki. Papież Bonifacy IX nazywał ją świętobliwą i wybraną córką Kościoła. Świat patrzył na jej postęпки i pamiętał, że to dziecię domu Andegawęńskiego i polskich Piastów, że ta córka potężnego Ludwika, wychowanka najświetniejszego dworu, a wreszcie najpiękniejsza z dzievic na ziemi, zrzekła się szczęścia, zrzekła się pierwszej dziewiczej miłości i poślubiła, jako królowa „dzikiego” księcia Litwy, aby wraz z nim skłonić do stóp Krzyża ostatni pogański naród w Europie. Czego nie dokazały siły wszystkich Niemców, potęga Zakonu, wyprawy Krzyżowe, morze przelanej krwi — tego dokazało jedno jej słowo. Nigdy chwala apostołstwa nie opromieniła młodszego i cudniejszego czoła — nigdy apostołstwo nie połączyło się z takim poświęceniem, nigdy niewieścia piękność nie zaświeciła taką anielską dobrocią i takim cichym smutkiem.

Opiwali ją też minstrele na wszystkich dworach Europy; zjeżdżali się do Krakowa rycerze z najodleglejszych ziem, by widzieć tę „polską królowę”, kochał ją, jak żrenicę oka, jej własny naród, któremu przez związek z Jagiełłą przyniosła potęgę i sławę.

Przychodzili więc do niej ludzie błagać, by uprosiła im zdrowie, przychodziłi wysłańcy od ziem i powiatów, by w miarę potrzeby modliła się to o deszcz, to o pogodę na żniwa, to o szczęśliwą kośćbę, to o pomyślne miodobranie, to o obfitość ryby w jeziorach, to zwierza w lasach. Groźni rycerze z nadgranicznych zamków i gródków, którzy, przejętym od Niemców zwyczajem, trudnili się zbójnictwem lub wojną między sobą, na jedno jej namięnienie wkładali miecze do pochew, puszczali jeńców bez okupu, zwracali zagarnięte stada i podawali sobie dłonie do zgody. Wszelka niedola, wszelkie ubóstwo, cisnęło się do bram krakowskiego zamku. Czysty duch jej przenikał w serca ludzkie, łagodził los poddanych, dumę panów, surowość sędziów — i unosił się, jak świt szczęścia, jak anioł sprawiedliwości i spokoju, nad całą krainą.”

„Wszystkie oczy spoczęły teraz z miłością na tem cudnym obliczu, któremu ni złoto, ni drogie kamienie nie mogły przydać ozdoby. Królowa szła z wolna od drzwi zakrystyi ku ołtarzowi, mając oczy wzniesione do góry, w jednej ręce książkę, w drugiej różaniec. Zbyszko ujrzał liliową twarz, niebieskie żrenice, rysy poprostu anielskie, pełne spokoju, dobroci, miłosierdzia, i serce poczęło mu bić, jak młotem. Wiedział on, że z rozkazania Bożego, powinien kochać i swego króla, i swoją królowę, i miłował ich po swojemu, ale teraz serce zawrzało mu nagle miłością wielką, która powstaje nie z nakazu, ale bucha sama przez się, jak płomień — a jest zarazem i czcią największą, i pokorą, i chęcią ofiary.”

Niemniej wzruszającym jest opis śmierci i pogrzebu ubóstwianej królowej; gdy życie jej okazało się w niebezpieczeństwie, żal i smutek zapanował powszechny.

— „W samym Krakowie nakazano uroczyste procesye. Wystąpiły wszystkie cechy i wszystkie bractwa. Całe miasto zakwitło chorągwiami. Odbyła się i procesya dzieci, sądzono bowiem, że niewinne istoty najłatwiej ubłagają Boga o łaskę. Przez bramy miejskie zjeżdżały się coraz nowe tłumy z okolicy.

I tak płynął dzień za dniem, wśród ustawicznego bicia w dzwony, wśród gwaru po kościołach, procesyi i nabożeństwach. Lecząc gdy upłynął tydzień, a i dostojna chora i dziecię jej żyły jeszcze, poczęła otucha wstępować w serca. Zdawało się ludziom rzeczą niepodobną, aby Bóg zabrał przedwczesnie władczynię państwa, która tyle dla niego uczyniwszy, musiałaby pozostawić niedokończone ogromne dzieło — i apostołkę, która ofiarą własnego szczęścia przywiodła do chrześcijaństwa ostatni pogański naród w Europie. Uczeń wspominał, ile czyniła dla Akademii, duchowni — ile dla chwały

*) Związek z Bogdanem — młody rycerz, bohater powieści.

Bożej, statysci — ile dla pokoju między chrześcijańskimi monarchami, prawnodawcy — ile dla sprawiedliwości, biedni — ile dla ubóstwa, i wszystkim nie mieściło się w głowie, iżby życie, tak potrzebne dla królestwa i świata całego, mogło być przedwcześnie przecięte.

Nikt nie wychodził z dobrą nowiną. Owszem, twarze panów, wjeżdżających na zamek lub wyjeżdżających przez bramy, były posępne i z każdym dniem posępniejsze. Mówiono, że książę Stanisław ze Skarbimierza, mistrz nauk wyzwolonych w Krakowie, nie odstępował już królowej, która codziennie przystępuje do Komunii. Mówiono również, że po każdym przystąpieniu komnata jej napełniała się światłem niebieskiem. Niektórzy widzieli je nawet przez okna, ale widok ten raczej przerażał oddane pani serca, jako oznaka, że już rozpoczyna się dla niej życie zaziemskie.

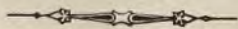
O godzinie trzynastej z południa ozwał się dzwon na katedralnej wieży. Nie zrozumiano odrazu, co to znaczy, jednakowoż niepokój począł podnosić włosy na głowach. Wszystkie głowy i wszystkie oczy zwróciły się ku wieżycy na kołyszący się z coraz większym rozmachem dzwon, którego żalony jęk poczęły powtarzać inne w mieście: u Franciszkanów, u św. Trójcy, u Panny Maryi — i hen dalej, jak miasto długie i szerokie. Zrozumiano wreszcie, co znaczą owe jęki; dusze ludzkie napełniły się przerażeniem i takim bólem, jakby owe spiżowe serca dzwonów uderzały wprost w serca wszystkich obecnych.

Nagle na wieży ukazała się czarna chorągiew. Wówczas ustała wszelka wątpliwość. Królowa oddała ducha Bogu.

Pod zamkiem rozległ się ryk, płacz stu tysięcy ludzi — i pomieszał się z ponuremi odgłosami dzwonów. Niektórzy rzucali się na ziemię, inni darli na sobie szaty lub rozdrapywali twarze — inni spoglądali na mury w niemiem osłupieniu, niektórzy jęczeli głucho, niektórzy, wyciągając ręce ku kościołowi i komnacie królowej, wzywali cudu i Bożego miłosierdzia.

Smutek ponury padł na miasto, na cały kraj, i nie tylko ludowi pospolitemu, ale i wszystkim wydało się, że wraz z królową zagasła dla królestwa pomyślna gwiazda.

W katedrze odprawiano się nieustające nabożeństwo: przy katafalku płonęły tysiące świec woskowych, a wśród tych blasków i wśród kwiatów leżała ona, spokojna, uśmiechnięta, podobna do białej róży mistycznej — ze złożonymi w krzyż rękoma na laurowej sukni. Lud widział w niej świętą, przyprowadzano do niej opętanych, kaleki, chore dzieci — i raz wraz w środku świątyni rozlegał się krzyk to jakiejś matki, która na twarzy chorego dziecka spostrzegła rumieńce, zwiastuny zdrowia, to jakiegoś paralityka, który nagle odzyskiwał władzę w schorzałych członkach. Wówczas serca ludzkie przejmował dreszcz, wieść o cudzie przelatująca kościół, zamek, miasto, i ścigała coraz większe roje nędzy ludzkiej, która od cudu tylko mogła spodziewać się poratowania...“



NIEDŹWIEDŹ

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

P. Zuzannę Morawską.

(Ciąg dalszy).

Widząc zaś, że wszyscy drżą z przestachu, a nikt się do poszukania kluczy i otworzenia bramy nie bierze, chwycił pochodnię z rąk pachołka i przyświecając nią sobie, począł własnoręcznie kluczy szukać na śniegu.

Tymczasem przez otwartą furtkę za małym człowieczkiem, wszedł tak wysoki i gruby, iż wszystkich w podwórzu okazała swoją postacią przewyższał. Biegł też szybko i wołał:

— Bartolo, bestyjo, toć mi gdzie w śniegu utoniesz!
I chciał uchwycić małego, lecz ten wyprawiając dalej pocieszne skoki, zręcznie mu się wywijał.

Chował się między stojących i wybiegał znów z drugiej strony.

Ta gonitwa jednych rozśmieszyła, innych jeszcze większym przejęła strachem, słychać też było na przemian:

— To ci ucieszna bestya!

— Chryste Panie, ratuj nas od złego!

— Toć człek krześcijański, a tembardziej dziecko tak się wywijać nie potrafi!

— A jeszcze tak dostatnio kozuchem odziane!

— Abo i ten wielkolud, toć przecie widno, że też z piekła rodem! — dodawano z przestachem, zapominając już nawet i o znaku krzyża świętego.

Inni śmielsi wołali:

— Uciekaj, uciekaj!

— Tu był, a juści go niema!

I rozstawiali ręce, żeby owego ludka pochwycić.

Z za bramy zaś słychać było rżenie koni i niecierpliwy głos ludzki, domagający się, by go wpuszczono w podwórzec.

Wreszcie pan marszałek klucze odnalazł, zgrzytnął zamek, zaskrzypiały wrzeciędzie i wszedł człowiek w zwykłym, podróżnym kozuchu i czapie na głowie, prowadząc za sobą dwa dzielne, buchające parą konie.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — zawołał przybyły.

— Aleście nas też mospaństwo pod bramą wytrzymali — dodał, zwracając się do pana Ignacego.

— Odebrać konie! — rozkazał pan Ignacy.

Przybyły swem powitaniem w Imię Chrystusa, zażegnał strach na chwilę; spełniono więc rozkaz.

— Toć chyba nie złe kiedy rzekł: „pochwalony” — ozwał się któryś z czeladzi.

— Toć ich nie wiele! — rzekł inny — oczekując naprzód ukazania się większego pocztu.

— Zamykaj bramę! — zawołał marszałek, idąc obok przybyłego.

Lecz stróż zamiast spełnić rozkaz, stał z rozwartą gębą nie mogąc sobie z tego wszystkiego zdać sprawy.

Po chwili zaczął bełkotać i zwał się na śnieg jak długi.

— Zamrocz o mu się!

— Albo go złe już objęło! — dodał inny.

A kiedy się wzięto do podniesienia leżącego stróża, jeden z pachołków rzekł flegmatycznie;

— Trza zamknąć, bo się jeszcze więcej takich może tu zwalić i wszystkich nas zamroczy!

I jał zamykać ciężkie wrzeciędzie.

Tymczasem pan marszałek zapraszał przybyłych pod dach, a mały człowieczek ujrzawszy, że się o niego nie troszcza, wskoczył na ramię olbrzymowi i zwinnie schował się pod jego olbrzymi kozuch.

— Ogon ma, ogon, prawdziwy czort! poczęto znów wołać.

I strach który ozwaniam się ostatniego z przybyłych był jakoś zażegnany, teraz znów wszystkich ogarnął.

Nawet pan marszałek spojrział nieufnie, stłumiwszy jednak lęk, jał wypytywać:

— A skądże to waszecie tak odrazu zmiarkowali, że jego królewiczowska mość gości w naszym zamku? Toć zajeżdżać tu nie miał.

— To się wie! zawsze tym traktem jechał, boć od Warszawy najprzezpieczniej póki można, brzegów Wisły się trzymać, a bocznych dróg unikać. Kiedy więc zgubiłmy ślad kolasy, a zawteja się poczęła, rozpytywaliśmy się i powiedziano nam około karczmy Szczerbatki, że jakaś wspaniała kolasa, a przy niej nie szpetny poczet skręcił wprost do zamku.

Pan marszałek spojrział z pod oka na mówiącego, a ten odchrząknawszy, dodał:

— Dzięki Bogu, żeśmy go spotkali, boć chodziło o to coby duchem do stolicy wracał, tak królowa jejmość kazała.

Pan Ignacy spojrział jeszcze uważniej na przybyłego. Jego powtórne wspomnienie imienia boskiego dodało marszałkowi otuchy, odpędził więc myśli strachliwe a bałamutne, jakie na widok ogona wymykającego się z pod futrzanego okrycia w które ustrojony był maleńki człowieczek, mimowoli przychodziły mu do głowy, obejrzał się jednak na idącego tuż za nimi olbrzyma. Ten jakkolwiek wielki, nie różnił się niczem od innych, o ile to można było dojrzeć przy blasku pochodni. Stworzonka zaś maleńkiego nie widać było zgoła, boć ono siedziało ukryte w zanadru olbrzyma. Gdy tak zbliżali się do zamku, na podsieniu ukazał się jako tako przybrany pan Piotr Opaliński.



Statek pod masztem.

Z obowiązku ochmistrza, któremu powierzono dziecię królewskie, wyszedł on przekonana się, załi rzeczywiście nie grozi jakie niebezpieczeństwo.

Czas jakiś widział tylko gromadkę ludzi idących ku zamkowi, w dali migające pochodnie i kręcących się tłumnie w podwórca, słyszał też dalsze i bliższe głosy, a z tych osatnich łatwo mógł się domyśleć, że chyba niema niebezpieczeństwa, bo nader spokojnie brzmiały.

Chwilę nasłuchiwał, a gdy przybyli stanęli już nieopodal podsienia, zawołał:

— Mości Basaty, a co tam?

— Z rozkazem od jej królewskiej mości — odrzekł pytany.

— Jakim? — zapytał ochmistrz.

— Cobyście nie jadąc już dalej, duchem wracali.

— Hm! — mruknął do siebie pan Opaliński, a potem w myśli dodał.

— Cóż tam tak nagłego?

I wzruszył nieznacznie ramionami,

Nie dziwił się jednak bardzo, przywykł już bowiem do niespodziewanych rozkazów królowej. Czytelnik zaś łatwo zapewne już oddawna się domyślił, że ów Zygmunt, gość zakroczymskiego zamku, był to syn Zygmunta I-go i Bony Sforcyi, która jedynaka zbytmiemi pieczętami i wybrykami swego nierównego a przewrotnego charakteru, nietylko psuła, ale nawet i tyranizowała. Nie pozwalała bowiem na żadne przynależne jego wiekowi zabawy, otaczała zawsze poufnemi sobie ludźmi, którzy najmniejszą wesołość karcili, powstrzymując dziecięce igraszki, jednym słowem: „nie wolno”. Od roku dopiero zezwoliła, iż małego Zygmunta oddano pod rozumną opiekę Piotra Opalińskiego, kasztelana gnieźnieńskiego, który jakkolwiek młody, odrazu zrozumiał fałszywy kierunek, jaki chciano nadać królewskiemu jednynakowi...

Kilka razy już otrzymał pozwolenie wyjechania to do Warszawy, dla odwiedzenia przyłączonej od r. 1526 do korony dzielnicy mazowieckiej, to na Litwę, gdzie małego Zygmunta oddawna przysposabiano sobie za księcia i pana.

Ochmistrz rad był zawsze z takiego przyzwolenia, bo obiecywał sobie, iż raz wyrwawszy młodego Jagiellona z pod wpływu niewieściego dworu królowej matki, będzie mógł nadać inny kierunek jego wychowaniu.

Radłość jednak Piotra Opalińskiego krótko zawsze trwała; zwykle bowiem w chwili wyjazdu matka pozwolenie cofała a dziewięcioletni Zygmunt dni całe spędzał w otoczeniu Włoszek, bawiących go śpiewem, muzyką, tańcem lub opowiadaniem najuierozsądniejszych i najmniej stosownych do jego wieku baśni.

Opowieści te nabawiały chłopca zabobonnym strachem i nie licowały najzupełniej z wychowaniem, jakie powinien był odebrać syn królewski, w którym naród już wówczas widział przyszłego swego pana.

Lecz gdy w jesieni r. 1529 Litwa obrała małego królewicza swym Wielkim Księciem, po długich przedstawieniach, Bona zdecydowała się wreszcie wypuścić go z pod swej pieczy. Powierzywszy więc syna kasztelanowi gnieźnieńskiemu, zezwoliła na wyjazd do Wilna. Nie pierwej jednak dała swe przyzwolenie, aż zgodzono się, że pojedzie również oddana jej i ciesząca się zaufaniem sinjora Alenini, dotychczasowa ochmistrzyni królewicza i kilka jeszcze wiernych jej służek.

W tem otoczeniu wyjechał królewicz zaraz po godach, w tem też otoczeniu widzimy go w zakroczymskim zamku, gdzie zagnany śnieżycą, miłej doznawał gościny.

Ochmistrz królewicza przyzwyczajony do cofania przez królowę rozkazów wydanych przez nią samą i teraz, jakkolwiek bardzo niezadowolony, nie zdziwił się pogoni, która ich po tygodniowej podróży do stolicy wzywała.



Statek z masztem pochyionym.

Z tem wszystkiem jednak gdy Basaty i jego towarzyszy zrzucili z siebie ośnieżone zwierchnie kubraki i weszli do komnaty, pan Opaliński zapytał:

— Pismo?

— Jest, jest, a jakże! — odrzekł Basaty i wyjął głęboko schowany w zanadru pakiet.

— Ten do waszej miłości — rzekł, oddając list opatrzone pieczęcią — a ten, do siniory ochmistrzyni — dodał, pokazując misternie złożony papier.

A przybliżywszy się szepnął z uśmiechem fluternym:

— Mam go oddać do własnych rąk siniorze ochmistrzyni...

Kasztelan gnieźnieński nie zwrócił nawet uwagi na to zwierzenie Basatego, a raczej może udawał, iż go to nie obchodzi bynajmniej, lecz czytał przy pozostawionej od wiecz-

rzy, a teraz zapalanej woskowej świecy, następujące po włosku własnoręcznie przez królowę napisane wyrazy:

„Mości panie Opaliński, ochmistrzu mego syna królewicza Zygmunta.

Rozkazujemy, aby syn nasz Zygmunt nie puszczając się w dalszą drogę, natychmiast do stolicy powracał.

Królowa.”

Te kilka wyrazów czytał Opaliński dłużej może, niż było potrzeba, znać wpatrując się w pismo, chciał z niego domyśleć się, co było przyczyną tak nagłego cofnięcia rozka-

Nic jednak nie odrzekł, tylko przypatrzył się bacznie olbrzymowi w którym poznał należącego do dworu monarchii Ciemnosą.

Nie wiedzieć jakiego był on pochodzenia i jakiego rodu, mówił jakimś łamanym językiem, lecz u królowej jejmości wielkie miał zachowanie i często do poufnych usług był używany.

— Zaczekać na mnie! — rzekł Opaliński.

I wstał aby udać się do królewicza, gdy wszedł pan



Bezpieczne legowisko.

zu, lub też może szept Basatego o liście do siniory Alenini, wprowadził ochmistrza w zamyślenie.

— A ja mam podarunek dla królewicza od jejmości jego matki — ozwał się przybyły z Basatym olbrzym, na którego Opaliński dotąd nie zważał.

— Możesz acan dar ten zostawić, oddam go jego królewiczowskiej mości, gdy będzie gotowy do drogi.

— Eh, dużoby jego miłości ten podarunek nabawił kłopotu; chyba, że sam go doręczę — odrzekł przybyły.

Pan Piotr zagryzł pomimowoli wargi. W tem odezwaniu się bowiem spostrzegł, iż królowa wysłała ludzi, którzy śnać mieli polecenie na każdym kroku go pilnować i o postępowaniu jego potajemnie jej donosić.

Ignacy i zapytawszy ochmistrza o pozwolenie, przybyłych do oficyny na posiłek zaprosił.

Tymczasem w komnatach zamkowych gwar był i hałas nie do opisania.

Któraś ze służebnych doniosła seniorze Aleninie, o jakimś napadzie na dwór, inna utrzymywała, że jako żywo napadu żadnego niema, jeno królewicz mocno zachorzał.

— Pono go strzyga nawiedziła, bo posłano po księdza kapelana, który zarazem jest i doktorem — utrzymywała jeszcze inna.

Że zaś wszystkie razem gadały, a siniora Alenini nie bardzo rozumiała po polsku, tem mniej więc mogła wykalkulować z ich gadania, co się to stało.

Pojmowała jednak, że się coś stać musiało. Biadała więc na poły po polsku na poły po włosku:

— Dziecko oddać ochmistrz, otóż i biada, habskie wychowanie zło, je dobrze, chorować, tam pan Opaliński nie puszczać, pójdę! Guai a te! Opaliński, guardi il celol!... Dio majuti! — krzyczała w coraz to większym gniewie.

I narzucała na siebie bezładnie ubranie, w końcu otuliwszy się ściągniętą z łóżka pierzyną, wybiegła, a za nią dwie służebne: jedna, którą z sobą przywiozła a druga przez panią Antonią, oddana na jej usługi.

(d. c. n.)

Łaczarowane skrzypki.

Skrzypko moja, malowana,
Z lipowego drewna,
W cztery struny nakręcana
Piosenkami śpiewna!
Cztery struny, cztery tony
I włosiany smyczek,
Huczą basem, jakby dzwony,
Nuca, jak słowiczek.
I jak zagram — miły Boże,
Serce w piersiach skacze,
Bo ta skrzypka cuda może,
To śpiewa, to płacze.
Oj, bez ojca, oj bez matki
Sierotam, chudzina,
W lesie sosny, w polu kwiatki,
To moja rodzina.
Ziemia — moja matuleńka,
Ojciec — Pan Bóg w niebie,
Skrzypka — moja siostrusienka
Mam ci ją dla siebie.
Na pociechę, na wygranie,
Co smutne, radosne,
Panu Bogu dziękowanie
Za kwiaty, za wiosnę.
Jak mi smutno, to piosnkami
Nucę sobie smykem,
Jak wesolo, to nutkami,
Dzwonię ze słowikiem.
Modłę ja się na tej skrzypce,
Co wieczór, co rano,
Przy ruczaju, przy tej lipce,
Nad łąką kwiecianą.
Chociaż ciężką czasem dolę
Pan Bóg dał sierocie,
Zawsze moją skrzypkę wolę,
Niżli skarby w złocie.

Marya S.

Żagiel w kształcie parasola.

Wiek nasz, słusznie wiekiem wynalazków zwany, coraz więcej ułatwia ludziom sposoby do przebywania lądowych, morskich, a nawet napowietrznych przestrzeni. W Anglii świeżo wynaleziono nowy przyrząd do statków żaglowych, zabezpieczający je od wywrotu na morzu. Nacisk wiatru na zwykle dotąd używane żagle przechyla częstokroć łódź w niebezpieczny sposób, zapobiega temu żagiel w kształcie parasola rozpięty nad statkiem, działanie bowiem wiatru dąży wtedy do unoszenia łodzi w górę, co ułatwia sterującemu utrzyma-

nie równowagi. Ów parasol żaglowy daje się dowolnie pochylać w odpowiednim dla żeglujących kierunku, laska jego bowiem zaopatrzoną jest w zawiasy. Nowy ten wynalazek oddać może w przyszłości wielkie usługi łodziom ratunkowym, pozwalając im utrzymać się na powierzchni choćby silnie wzburzonego morza.

BEZPIECZNE LEGOWISKO.

W głębi lasu, na małej polance, wśród zieleni wysokich traw i barwnego kwiecica, żyje szczęśliwie rodzina ślicznych, niewinnych sarenek, ciesząc się swobodą, a radując ciepłem i światłem budzącego się letniego poranka.

Dobrze im tu i bezpiecznie w tem zaciszu. Więc gdy nie dokucza im głód i pragnienie, młode sarenki to skaczą sobie bez troski, to spoczne opodal matki, która z powagą i wdziękiem właściwym swemu rodowi, czuwa nad niemi, baczna na lada szelest, na lada ruch w pobliżu. Bo ona zna już niestety, że czasem najniespodziewaniej zjawić się może groźne niebezpieczeństwo, czy to w postaci drapieżnego zwierza, czy też okrutnego myśliwego z psami i straszną bronią palną.

Wtenczas jedyny ratunek, jaki im zostaje, jest najszybsza ucieczka, bo wysmukłe ich nóżki, zdolne do zadziwiającej szybkości, są całą siłą, całą obroną w jaką matka przyroda uposażyła sarnę. Wprawdzie samiec, kozłem zwany, zdobny jest w piękne rogi, które rozrastają się w górze w liczne gałęzie czyli odrostki; broń to wszakże niedostateczna przeciw ostrym kłom i pazurom drapieżnego zwierza. Mimo tego kozieł zwykł przewodniczyć stadu, wśród którego żyje w przykładnej zgodzie, prowadzając na żerowiska i do strumieni czystej wody, wywiązuje się zaś ze swej roli opiekuna i obrońcy, pilnie wietrząc i rozpatrując okolicę. Łagodnych obyczaj roślinożerne te zwierzęta, żyją rodzinami w stadach, liczących niekiedy po dziesięć sztuk; a zarośla, polanki leśne, łąki i pola są ulubionem miejscem ich pobytu. Rdzawo czerwona letnia sukienka sarny, zabarwia się ciemno na zimę. Ruchy jej są lekkie i szlachetne, w spokoju bieży wolnym truchtem z wyciągniętą szyją; przestraszona pędzi w szerokich skokach, i nie rzadko najściglejszej nawet uchodzi pogoni,

NA POLANCE

powieść

P. E. Jerlicza.

(Dalszy ciąg)

„Tak dojechaliśmy do końca alei i zawróciliśmy z powrotem, kiedy nagle doktor Bobrowicz zawołał: panno Joasiu! tylko niech panienka nie patrzy na tę dziewczynę, co idzie po tamtej stronie drogi. O! na tę, co teraz stanęła pod topolą! Gdyby nie nie mówić, nie byłabym z pewnością zauważyła jej, bo nie mam zwyczajnie rozglądać się, ale teraz właśnie otworzyłam szeroko oczy i przypatrywałam się ciekawie. A co zobaczyłam, okropność! Tam szła dziewczynka w towarzystwie starszej kobiety, krokiem tak chwiejnym i niepewnym, iż zdawało się, że co chwila upadnie, przytem ręce i głowa trzęsły się jej okropnie, co wszystko razem sprawiało straszne wrażenie.

„Na ten widok zapomniałam o swojej urazie i o wszystkim na świecie, a zapytałam z przestachem: Dla czego

ona chwieje się tak cała? — Jest to zwykle następstwo choroby nerwów, odpowiedział najspokojniej doktor Bobrowicz. Uczulam jak na raz zrobiło mi się gorąco. Przypomniałam sobie jak ciocia mówi, że ja jestem nerwowa i wiecznie ojcę powtarza, że mnie trzeba leczyć na nerwy. Co? ja miałabym kiedyś tak się trząść cała! Wielki Boże! czy to pojmujesz Iziu? — Ja miałabym kiedy tak okropnie wyglądać! Nie, nie, po stokroć nie! Rozumiem uchoździć za chorą, być celem pieczołowitości wszystkich w domu, leżeć w strojnym szlafrocuku na fotelu, rozumiem nawet umrzeć, ale poetycznie, tak jak to umierała, pamiętasz? ta artystka na scenie, z bukietem kwiatów w rękach, z rozpuszczonymi włosami. Pamiętasz? zachwycaliśmy się wtenczas obiedwie. Ale zostać dotkniętą takim strasznym kalectwem! Nie chcę, nie chcę, nie chcę!

— Czy to proszę pana — zapytałam z bijącym sercem doktora Bobrowicza — można się wyleczyć z takiej choroby?

— Hm, należy to do rzadkości, gdy już raz choroba dojdzie do takiego rozwinięcia — wyrzekł, zastanawiając się nad każdym słowem, ale bardzo łatwo jest nie dopuścić do takiego stanu.

— A sposób na to jaki? — pytałam niespokojnie.

— Łatwo bardzo; należy unikać tego wszystkiego co drażni nerwy: zabaw, przeciągających się do późnej w nocy, widowisk teatralnych, czytania książek bezsensownych, natomiast ruch na świeżem powietrzu i praca, praca i ruch, panno Joasiu.

Zajechaliśmy właśnie przed naszą kamienicę. Wyskoczyłam z powozu i biegłam po schodach na górę; czulam się silną i zdrową. Owszem, pojedę na wieś, skoro ojciec sobie tego życzy i doktor Bobrowicz radzi, nie dla tego wszakże że bym była chorą — tylko żeby się zahartować, bo rzeczywiście w naszym domu pełnym wygody i komfortu to jest niemożliwe. Ale w każdym razie będzie to z mojej strony wielka ofiara. Czuję, że się poświęcam.

Drugi list Joasi Mirskiej do Izi N.

Kochana Iziu!

W ostatnim liście obiecałam ci opisać moje przybycie na wieś i wrażenia doznane wśród nowych warunków i ludzi.

Wyjechawszy z Warszawy pociągiem o godzinie trzeciej po południu, stanęliśmy wieczorem w gubernialnem mieście N., od którego o trzy wiorsty leży Polanka, miejscowość, w której obecnie przebywam.

Zanocowaliśmy naturalnie w N., gdzie zabawił się jeszcze większą połowę dnia następnego: dopiero po spożytym obiedzie (szkaradny był pomimo, że z najpierwszej restauracji) i po lodach w miejscowej cukierni, wyjechaliśmy najętą dorożką do Polanki.

Jak mi się podobali moi przybrani opiekunowie i cały ich dom, doprawdy nie umiem powiedzieć. Powitanie było bardzo serdecznie; ojczulek z panem Skalskim przypominali sobie dawne czasy, czem ojczulek rozezulił się bardzo. Ja pozostałam w roli obserwatorki i dotąd z niej nie wychodzę, a z moich spostrzeżeń doszłam do przekonania, iż nie rozumiem jak oni tutaj mogą żyć i czuć się szczęśliwymi. Nie masz pojęcia jak tu u nich skromnie, ubogo prawie. Nigdzie dywanów puszystych, nigdzie zwierciadeł w kosztownych ramach. Iziu! Iziu! żałuj mnie, jak ja tu wyżyję te kilka miesięcy! Żeby się chociaż byli staranniej przybrali na nasze przyjęcie. Ale wyobraź sobie, pani Skalska wyszła do nas w fartuchu, również jej córka, Zosia, panienka w moim wieku, I gdyby to chociaż były eleganckie fartuszki z batystu i koronki, takie, jakie brałyśmy, nalawając herbatę przy gościach, ale gdzie tam! zwyczajny sobie fartuch z szarego, ordynarnego płótna.

Nie! stanowczo, ja tutaj z tymi ludźmi nie wyżyję, ucieknę po tygodniu próby z powrotem do Warszawy. Przecież świeżego mleka i powietrza można wszędzie dostać, a ja po to tylko tutaj przyjechałam.

Ale wracam do mego sprawozdania.

Jest tutaj jeszcze staruszek, ojciec pana Skalskiego, ciekawam czy też będzie bardzo nudny? i dwóch chłopców,

synów państwa Skalskich, Staś i Janek, z pozoru bardzo przyzwoicie się przedstawiają, żeby ich tylko elegancko ubrać, bo bez eleganckiego ubrania czy może się kto dobrze wydać. Prawda Iziu?

„Zosia Skalska chciała mnie zaraz zapoznać z panienkami, które mieszkają w Polance z rodzicami swymi, na letnim mieszkaniu, i wszyscy naturalnie bywają u państwa Skalskich. Przyjęłam jej propozycję dosyć chętnie, w nadziei, że znajdę jakieś towarzystwo wśród nudów, na jakie tutaj będę skazana. Szłam więc z moją przewodniczką do lasu, gdzie zgromadzone było całe towarzystwo, nie spodziewając się wcale doznać wiele przyjemności wśród tych nowych moich znajomych. Poznałam więc pomiędzy innymi Kasię Wojciechowską, Zenię Rudnicką i Ludwikę Wolską. O tej ostatniej Zosia Skalska mówiła mi przedtem z takim uniesieniem i zapałem, jakby o jakim ósmym cudzie świata; słuchałam jej z pobłażliwym uśmiechem, nie chcąc się zdradzić, że mnie te przesadne pochwały o kimś nieznanym nie zajmują bardzo.

Rzeczywiście jednak Ludwika jest bardzo, ale to bardzo ładną. Aż się zdziwiłam skąd w takim zakątku wzięła się taka niezwykła uroda. Więc też nie rozmawiałam prawie zupełnie ze Stasią i Zenią, ale grzecznie się przysunęłam do Ludwiki i zaczęłam z nią rozmowę, która jakoś nam się nie kleiła. Ona zagadnęła mnie, iż słyszała od Zosi, że ja dużo podróżowałam. Odpowiedziałam, że bardzo dużo i że ostatniego roku byłam w Wenecyi. Zaczęła mnie wypytwać o Wenecję. Mówiłam jej że staliśmy w pierwszorzędnym hotelu, gdzie ojczulek płacił za dobę trzydzieści sześć franków, że było tam wspaniałe urządzenie, koronkowe zasłony nad łózkami, za naciśnięciem guzika cały pokój zalany został światłem elektrycznym. Ale ją, jak uważałam, nie zajmowały wcale te szczegóły, pytała mnie o jakieś gmachy, o jakieś place, o jakieś mosty. Miałabym też sobie czem głowę zaprzętać. Odpowiedziałam też, że nigdy na coś podobnego nie zwracam uwagi. Uśmiechnęła się jakoś dziwnie. Powiem ci szczerze, kochana Iziu, że oprócz urody, nie mi się więcej w tej Ludwice nie podoba. Wyobraź sobie, taka duża panienka, prawie dorosła, bo ma już lat szesnaście, a bawi się z dziećmi w najlepsze. Pozwala też dzieciakom wiejskim całować się po rękach, wypytuje się o ich matki. Nie rozumiem coby mnie mogło obchodzić takie prostactwo brudne, bose, rozczochrane. Chłopstwo w ogóle jest bardzo nieporządne, raz tylko zajrzałam do wiejskiej chałupy, to myślałam, że się uduszę. Nie cierpię wszelkiego prostactwa i obdartusów!”

IV.

Była godzina szósta rano. Słońce jak zwykle w lipcu stało już dosyć wysoko, kiedy Joasia zbudziła się ze snu. Równocześnie drzwi do jej pokoju roztworzyły się, i weszła Zosia Skalska, z kufelkiem świeżego mleka.

— Wypij, Joasiu — przemówiła wesoło, podając jej mleko — świeżutkie, prosto od krowy.

Zosia codziennie przynosiła jej ciepłe jeszcze mleko, wiedząc, że doktor Bobrowicz zalecał je dla Warszawianki.

Joasia wypila mleko, a Zosia wyszła cichutko, nie chcąc jej przeszkadzać, jeśliby spać miała ochotę.

Zosia nie przyznawała tego głośno, ale w duszy miała uczucie, że się zawiodła na tej nowej towarzyszcze. Wyobrażała sobie, że ta będzie dzielić z nią prace, zajęcia i rozrywki, ale widząc, że Joasia czyni to wszystko niechętnie i jakby z musu, postanowiła nie narzucać się jej z niczem w najmniejszej nawet rzeczy i pozostawić własnym upodobaniem. Szła w tem co prawda za radą matki.

Po wyjściu Zosi, Joasia westchnęła.

— Ach Boże! Boże! — myślała z miną ofiary — znów będę musiała nudzić się przez cały ten dzień bez końca. Ale co robić? Trzeba wstawać, bo czuję, że już nie zasnę.

Przeciągając się, ziewając, zaczęła się ubierać. Gdy w końcu zeszła na śniadanie do jadalnego pokoju, już tam nikogo nie było.

— Prawdopodobnie już wszyscy muszą być po śniadaniu i poszli do swoich zajęć — pomyślała. Lecz w tejże chwili do salki jadalnej wpadli razem Staś i Janek, którzy przybiegli już z pola na śniadanie; ujrawszy Joasię, zawołali wesoło:

— Dzień dobry, panno Joanno! pani jeszcze nie po śniadaniu? To będziemy razem śniadali!

— Dzień dobry panom — odrzekła Joasia z miną dorosłej panny. — Dawno panowie wstali?

Janek roześmiał się głośno.

— Akurat była czwarta, jakeśmy wyszli na ganek, udając się w pole.

— A dla czegoż tak rano?

— Obchodziliśmy pola, czy gdzie szkody nie robią.

— Ja nigdy jeszcze tak rano nie byłam w polu — powiedziała Joasia.

— To panna Joanka nie widziała chyba nigdy wschodu słońca? — zapytał Janek.

— Nie, nie widziałam. Czy to co ciekawego?

— Ciekawego? Ależ to prześliczne poprostu. I z zapalem zaczął opowiadać Joasi o prześlicznej grze światła w mieniących się obłokach, o budzeniu się ptasząt, o perlistej rosie, zraszającej liście i trawy. Joasia słuchała z pewnem zdziwieniem.

— Jeśli to naprawdę takie ładne, to niech mnie pan kiedy rano każe obudzić, żebym i ja to mogła zobaczyć.

— Czemu nie? mogę pannę Joannę obudzić zaraz jutro z rana. Dobrze?

— Dobrze. Niech pan zastuka do okna, tylko silnie!

— Panno Joanno, co pani pozwoli, chleba czy bułki? — zapytał Staś.

Joasia spojrzała niechętnie na stół.

Boże drogi! cóż to była za zastawa: chleb biały, chleb razowy, bułka i masło, ani sucharków, ani biszkoptów. Joasia nie czuła się wcale przy apetycie.

— Nie, dziękuję — odrzekła. Dopiła swojej szklanki mleka i wstała od stołu. Chłopcy wrócili do swoich zajęć.

Dnia tego przed wieczorem, kiedy młode towarzystwo zeszło się razem, Joasia zaczęła mówić o zamierzonej na jutro rannej wycieczce. Zaledwie to usłyszała Zenia, rzekła z pewną urazą:

— Od czasu, jak jesteśmy na wsi, pragnęłam zawsze zrobić wycieczkę raniutko, żeby zobaczyć wschód słońca, ale do tej chwili napróżno.

— To może panna Zenobia wybierze się jutro z nami — powiedział Staś.

— O! dziękuję, bardzo dziękuję, nie lubię grać roli piątego koła — odrzekła z dąsem panienska.

— Ha, ha, jaka zabawna ta Zenia — wybuchnęła Stasia głośnym śmiechem. — Wiecie co? ona się już obraziła, żeście jej pierwej nie poprosili.

— Zdaje mi się, że cię nie wzięła za powiernicę moich uraz — zawołała popędliwie Zenia, rumieniąc się z gniewu i usiadła osobno z nadąsaną minką.

Joasia spuściła oczy. Te nieustanne pretensje Zeni, uważanie się jej za dorosłą pannę, wymagania, aby była wszędzie pierwszą i otaczaną względami, jej obrażania się ciągle, wynoszenie z majątkiem i strojenie min wzgardliwych względem niższych od siebie, uderzyły teraz dopiero Joasię jako coś śmiesznego i niewłaściwego, gdy wady te ujrzała w kimś innym.

— Doprawdy, że ta Zenia jest bardzo śmieszną — przychodziło Joasi teraz coraz częściej na myśl, i sama starała się być naturalniejszą, powściągnąć swoje pretensje do odgrywania pierwszorzędnej roli i nie chwalić się z majątkiem ojca.

— Słuchajcie! — zawołała Stasia, ale mnie zabierzecie na jutrzejszą wycieczkę?

— Z miłą chęcią — odpowiedziała Joasia.

— Czekajcie, to skoczę zaraz do Mani i Reginki, uprzedzę ich, one także pójda z nami. Zabierzecie je?

— Zabierzemy.

Stasia pobiegła pędem ku osadzie.

Za sprawą Stasi zrobiło się, że bardzo liczna gromadka wybierała się na jutrzejszą wycieczkę. Stasia obiecała, że dopilnuje, aby wszyscy zgromadzili się przed świtem, a wiadomem było, że jak Stasia wzięła się do czego, to już dokonac swego musiała. Joasia nie lubiła jej, wydawała się jej zbyt gwałtowną, za szorstką, a nieustanne jej kłótnie z Zenią, której była cioteczną siostrą, gorszyły ją bardzo.

(d. c. n.)

NOWE KSIĄŻKI.

W uzupełnieniu naszego sprawozdania o nowych książkach, nadesłanych do Redakcyi Wieczorów Rodziny, dodajemy że: p. Erazm Majewski pomnożył literaturę dla młodzieży nową pracą, z której można się nauczyć geologii i paleontologii, w sposób łatwy i przyjemny. Lord Puckins znany nam już z powieści tegoż samego autora p. t. Doktor Muchołapski, wraz z przyjacielem Muchołapskiego Profesorem Przedpotopowiczem i służącym Stanisławem, spuszcza się przez jedną z rozpadlin Karstu na tysiąc kilkaset stóp w głąb ziemi. Wszystkich trzech umierających z głodu, pragnienia i wycieńczenia, odkopano z zasypanej szczeliny i uratowano. Dziesięć dni nieprzytomny profesor, w śnie gorączkowym przeżywał wszystkie epoki geologiczne, aż do pojawienia się człowieka na ziemi. Nie zatrzymując się na tem, przebiega krótkim rzutem oka dzieje rodu ludzkiego i zdaje mu się, że się przebudza ze snu długiego w r. 11,896 ery chrześcijańskiej, w którym jest panowanie Powszechnej Miłości i Dobra, a z dziś żyjących narodów i wielkich stolic świata, słabe zaledwie pozostały ślady w nielicznych wykopaliskach. Z zajmującej tej książki ważni czytelnicy dużo skorzystać mogą. Wydanie piękne, licznemi ozdobione rycinami.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Henryk Sienkiewicz (z portretem). — Niedźwiedz, powieść z XVI w. przez Zuzannę Morawską. — Zaczarowane skrzypki, wiersz przez Maryę S. — Żagiel w kształcie parasola (z ryc.) — Bezpieczne legowisko (z ryc. — Na polance, powieść przez E. Jerlicza. — Nowe książki. — Dodatek: Jak kochać trzeba? — Pokusa, wiersz przez H. B. — U cioci Polci. — Gołąbek Bożenny. — Zamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

WIECZORY RODZINNE



JAK KOCHAĆ TRZEBA.

Była raz jedna mama i jedna jej córeczka — Zosia. Zosia leżała w łóżeczku z powodu bólu gardła.

— Mamusiu, proszę trochę poczytać.

— Dobrze, zaraz — i mama poczęła Zosiuni czytać wierszyki o dwóch dziewczynkach, co miały tyle kłopotu z praniem dla lalek.

— Mamo, wody!

Mama wstała, ale, że świeżej wody nie było na stoliku, poszła więc do drugiego pokoju nalać jej z karrafki.

Zosiunia nie lubi kiedy mateczka odchodzi od jej łóżka, woła za nią:

— Mamo! mamo!

Mam r biegnie prędko, a Zosiunia prosi tylko o poprawienie poduszeczki.

Schyliła się mama, układa posłanie, zaledwie jednak usiadła, Zosia przypomina sobie, że lalka jej została w jadalnym pokoju, prosi więc o przyniesienie laleczki.

Mama tego dnia nie odpoczęła od rana; prócz zajęcia z Zosią miała dużo pracy z gospodarstwem i młodszym synkiem. Przyniosła jednak laleczkę. Zosia chciała prosić jeszcze o małą kuchenkę, stojącą w kącie pokoju, kiedy nagle spostrzegła, że mateczka oparła się ścianę i pobałdała bardzo.

Dziewczynka przełękła się okropnie, bo ona kochała swoją mamę, tylko nie zawsze pamiętała o tem, że trzeba i o niej myśleć nie zawsze o sobie, że takie kochanie to jest dopiero kochanie prawdziwe.

Co ci to mateczko? — zawołała przestraszona! Zosia.

— Nie, nic, dziecko, może chciałaś jeszcze czegoś? może ci przynieść kuchenkę?

Ale Zosiunia potrząsała główką, a potem zbliżyła buzię do ucha matusi szepcząc,

— Złą masz córeczkę mateczko!

— Dla czego dziecko.

— Bo tylko o sobie myśli. I lezka zawisła na oczkach Zosi. Mama ucałowała ją nie mówiąc słowa, a Zosiunia nie żądała już żadnych posług dnia tego, bawiła się sama w łóżeczku, i gdy nazajutrz wstała wyreczała mamusię we wszystkim o ile mogła, patrząc uważnie czy nie jest zmęczoną i bladą.

POKUSA.

— Masz tu kluczyk od szufladki,

Rzekła mama do Anteczka,

— Tam są drobne czekoladki,

Weź trzy sobie z pudełeczka!

Antoś biegnie, i za chwilę,

Mówi z żalem: O mój Boże!

Tu cukierków tyle... tyle...

A on tylko trzy wziąć może!

— Czyż wie mama, ile było

W pudełeczku — myśli sobie,

— Czy zobaczy, że ubyło?

Wezmę więcej, tak, tak zrobię!

Już wyciąga rączkę małą

Po cukierki, lecz dla czego

Bierze jakoś tak nieśmiało?

— Ach! nie, nie, nie zrobię tego!

I w pudełko zaraz wkłada

To, co zabrał niewłaściwie,

— Oszukiwać nie wypada,

To byłoby niegodziwie!

Choć mnie tutaj nikt nie widzi,

Złe ludzkiego ujdzie oka;

Lecz złym czynem Bóg się brzydzi

Który patrzy wciąż z wysoka!

I rad chłopczyk z czynu swego,

Tej pokusy już unika,

Nie chcąc myśleć już nic złego

Wnet odchodzi od stolika.

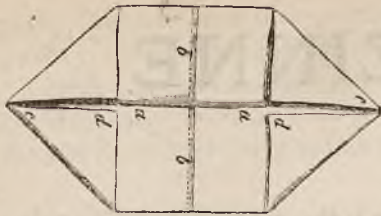
H. B.

U cioci Polci.

(Dalszy ciąg).

— A więc dalej do roboty — rzekła ciccica. Weźmy tym razem długi kawałek papieru, złożmy na pół wzdłuż, potem wszerz i rozłożmy. Potem zagnijmy wszystkie

fig. 62.



cztery rogi tak, aby leżały na środkowej linii (fig. 62). Punkta gdzie różki się stykają nazwijmy *c* i *d* i założmy rogi tak, aby *c* znalazł się na *d* (fig. 63), poczem linie *e e*

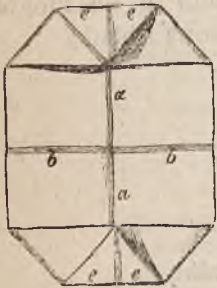


fig. 63.



fig. 64.

umieścimy na linii *b b* (fig. 64). Przewróciwszy papier na drugą stronę widzimy, że mamy czworokątną, podłużną figurę. Zagnijmy dwa krótsze boki tak, aby się zna-

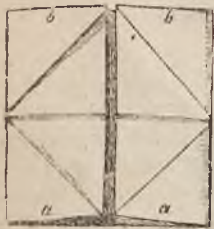


fig. 65.



fig. 66.

lazły na środkowej linii (fig. 65) i złożmy wszystko na pół, umieszczając *b b* na *a a* (fig. 65). Otrzymamy wtedy dwie torebki złączone. Z jednej z nich trzeba wyciągnąć luźny różek, który posłuży do ich zamykania (fig. 66).

— Wyborne torebki — zawołał Henryś — zaraz włóżę w jedną krajowe marki a w drugą zagraniczne.

— Chciałabym bardzo zrobić coś takiego z papieru, żeby się mamie mogło podobać — rzekła Elżbietka.

— Pokażę ci parę sposobów składania małych bilecików, gdy się niema pod ręką koperty — odrzekła ciocia. — Może się to mamie spodoba. Najpierw złożcie list jak najprościej wzdłuż, a trzymając go u jednege końca lewą ręką, prawą ściśnijcie mocno dwoma palcami w drugim końcu; obróciwszy nieco papier, naciśnijmy go znów znowok w piezwszym kierunku i tak aż do końca, a wasz list przybierze taką formę (fig. 75). Albo założcie koniec *a* pod kątem prostym tak, aby leżał koło *b*. Przewróćcie papier na drugą stronę i znów założcie *b* w ten sam sposób. Założcie *b* za *a* i koniec.



fig. 75.

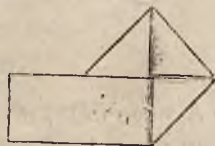


fig. 76.

— Ten sposób lepiej mi się podoba — rzekła Elżbietka gdyż można na dłuższym końcu napisać adres (fig. 76).

— No, dość już zabawek na dzisiaj — rzekła ciocia Polcia; — może będziemy mieli znów kiedy pochmurny i dżdżysty dzień a wtedy...

— Wtedy, będziesz naszym złotym promykiem, kochana ciociu — zawołał Kazio, przerywając.

— Co on chce przez to powiedzieć? — spytała ciocia.

— Już my wiemy o co chodzi — rzekły dzieci.

— A teraz powiedzcie mi, czy wam się podobają papierowe zabawki? — zapytała ciocia.

Dzieci jednogłośnie wykrzyknęły:

— Podobają, i jak jeszcze!

— No, to w pierwszy wilgotny dzień, jaki się trafi, nauczę was robić jeszcze różne inne rzeczy z papieru.

— Niech żyje ciocia Polcia! — zawołał Henryś.

— Niech żyje złoty promyczek — krzyknął jeszcze głośniejsz Kazio.

I tak zakończył się wesoło ten dzień, który dzieci miały przepędzić tak smutnie.

GOŁĄBEK BOŻENNY.

(Dalszy ciąg)

To mówiąc dawała mi całować złoty mały medalik z Matką Boską, z jakimś niewyraźnym znakiem herbowym i cyframi po drugiej stronie. Zdjęła mi go z szyi pierwszego zaraz dnia po nieszczęsnem przybyciu mojem do obozu cygańskiego i dla ukrycia przed chciwymi towarzyszami nosiła go sama na piersiach, a zwróciła mi drogą pamiątkę dopiero przed śmiercią swoją, gdy byłem już dość silny, aby bronić swojej własności.

Po tych słowach Stefan wyjął z zanadrza mały medalik, zawieszony na czarnym sznureczku, a panienki przyglądały się ciekawie jej drogocennej dla chłopca pamiątce rodzinnej. Potem Ludmiła zapytała:

— Powiedziałeś, że ci to Bogna oddała przed śmiercią, więc dobra cyganka nie żyje?

— Niestety, wskutek zapewne niewygód i trudów nabawiła się choroby płucnej; gdy zachorowała, byłem już dziewięcioletnim wyrostkiem, zdolnym rozumieć, jak wiele traciłem z jej śmiercią. Pielęgnowałem też ją o ile mogłem najstaranniej; w czasie pochodu słałem jej na wozie miękkie z siana posłanie, przed zimnem i wilgocią okrywałem chustami. Na postojach rozpaliałem dla niej oddzielnie ogień, żeby mogła rozgrzać zeszywniałe członki i karmiłem ją z taką samą troskliwością z jaką niegdyś ona mnie żywiła. Choć nigdy przedtem, mimo plag otrzymanywanych od starszego cygana, a szyderstw znoszonych od rówieśników, nie dałem się nakłonić do próbowania rzemiosła złodziejskiego, do jakiego małych cyganków zaprawiają od młodu, chociaż przywódcy bandy oświadczałem stanowczo, że w późniejszych latach będę mu się wysługiwał jako kotlarz lub kowal, a za nim dorosnę pomogę doglądać koni w taborze, ale nigdy nie przestąpię dobrowolnie siódmego przykazania Bożego, powtarzanego

codziennie w pacierzu, przez miłość jednak dla mojej drogiej opiekunki, widząc jej zapadłe coraz więcej policzki wychudłe ręce, spalone gorączką usta, poważylem się kilka razy porwać ukradkiem kury gosposiom wiejskim, aby tylko biedniej chorej dostarczyć trochę lepszej i pożywniejszej strawy. Nic to nie pomogło; siły jej nikły z dniem każdym; z rozpaczą dowiedziałem się od cyganów, że chwile jej policzone. Wtedy to Bogna, czując koniec swój bliski, przyzwała mnie do siebie, pobłogosławiła jak własnego syna, oddała medaliki przykazała, abym nie pokazywał go cyganom i nigdy się z nim nie roztawał, w końcu opowiedziała mi, że i ona nie była pochodzenia cygańskiego, ale podobnie jak ja w dzieciństwie od rodziców uprowadzona i dla tego tem gorętsze miała dla mnie współczucie. Wypowiedziawszy to wszystko kazała mi przyrzec, że do złodziejstwa i złych czynów nie dam się namówić, że przez pamięć o niej będę się starał być uczciwym człowiekiem i nie zapomnę modlić się codzienie za jej duszę.

Bóg też w nagrodę zesłał jej śmierć tak łagodną, że mnie czuwającemu nad nią zdawało się, iż tylko słodko zasypia, gdy jej powieki przymknęły się do snu wiecznego, z którego nie miała się już przebudzić. Długą chwilę nie chciałem uwierzyć, że już nie żyje, siłą prawie oderwali mnie od jej ciała. Na drugi dzień wykopano grób pod wysoką sosną w lesie, starszy cygan pokropił go wodą święconą, którą mieli zawsze na wypadek chrztu i pogrzebu, odmówił nad zmarłą modlitwy i spuszczone jej zwłoki do dołu, który był dla niej miejscem wiecznego spoczynku. Przysypałem ją całą uzbieranemi w lesie kwiatami, każdy z kolei rzucił garść ziemi i niebawem maleńka mogilka pozostała jedynym śladem po tej, która nieszczęśliwe dziecko przygarnęła jak druga matka do kochającego swego serca.

— Jak ty sobie biedny dawałeś radę bez twojej dobrej opiekunki? — zapytała Bożenna.

— Ciężko mi było bez niej bardzo — odparł chłopiec, któremu to wspomnienie wyciskało jeszcze łzy z oczu. Z jej śmiercią zaczęły się najsmutniejsze chwile mego życia, starsi cygani o mnie nie dbali, rówieśnicy dokuczali złośliwie i nie było komu ująć się za nieszczęśliwym. Wymawiano, że jestem darmozjadem w obozie skoro nie mam sprytu do złodziejstwa, a siły moje jeszcze do rzemiosła nie starczyły. Raz gdyśmy się zatrzymali w pobliżu małego wołoskiego nadgranicznego miasta, gdzie w skutek odbywającego się jarmarku zbiegowisko udu było wielkie, starszy cygan przywołał nas kilku wyrostków jednego mniej więcej wieku i rozkazał każdemu, w którą stronę miał się udać na poszukiwanie zdobyczy, zapowiadając, że będziemy surowo ukarani, jeśli nie sprawimy się sprytnie i nic nie przyniesiemy do obozu.

Poszedłem tedy z drugimi do miasta, ale w duchu robiłem mocne postanowienie pozostania wiernym nauczycielom mojej drogiej opiekunki. Nie mogąc spokojnie parzyć na krywdę wyrządzoną drugim, gdy zobaczyłem jednego z moich młodych towarzyszy przysuwającego się ukradkiem do koszyka ubogiej kobiety, niosącej produkta wiejskie na jarmark, przestrzegłem ją o grożącej grzebieży, tak, że chłopak, pochwycony już z koszyka węzełek nusiał oddać, ratując się ucieczką przed goniącymi za nim

ludźmi. Lecz uciekając pogroził mi pięścią i zawołał, że mi tego nie daruje. Jakoż gdyśmy do obozu wrócili i każdy z wysłanych do miasta chłopców przyniósł skradzione kury, jaja, sery, prosięta i t. p., ja jeden tylko powróciłem z pustemi rękoma, a w dodatku młody cygan oskarżył mnie o zdradę.

Nie minęła mnie zapowiedziana kara; starszy cygan wychłostał mnie bez miłosierdzia i oświadczył, że wieczorem jeśli nie przyniosę jakiegokolwiek zdobyczy, podwójna kara mnie czeka.

Cierpiałem podwójnie z bólu i doznanego upokorzenia, obiecywałem też sobie więcej do obozu cygańskiego nie wracać. Choćby mi przyszło z głodu i zimna umrzeć na drodze, postanowiłem nie dotykać się cudzej własności. Gdy tedy nad wieczorem wysłał nas cygan ponownie po łupy do miasta, ja uszedłszy kawałek drogi, zawróciłem w przeciwną stronę, mając zamiar ukryć się w zaroślach sąsiedniego lasu. Na nieszczęście szpiegował mnie ów niegodziwy chłopiec, który nie mógł mi darować doznanego rano zawodu; przeniknąwszy zamiary moje, pobiegł uprzedzić o nich starszego cygana. Ten puścił się natychmiast za mną w pogoń, dostrzegłszy to zacząłem uciekać z całych sił; wiedziałem co mnie czeka jeśli wpadnę w jego ręce. Byłem zwinniejszy i lżejszy, ale cygan stawiał dwa razy większe od moich kroki; wyglądało to jak pościg wyźła za małym zajączkiem. W końcu sił mi zabrakło, czułem, że mnie prześladowca mój dogania i padłem bez tchu na drogę. Cygan dopadłszy porwał mnie wtedy i uniósł w górę za włosy, a ja przymknąłem oczy pewny, że ostatnia godzina moja nadeszła. Wtem niespodzianie zadudniało coś na drodze; spojrzałem ukradkiem i zobaczyłem kilku jeźdźców na pięknych koniach pędzących galopem. Ten, co jechał przodem, najpiękniej przybrany, na widok zaciętej gonitwy, a potem nieludzkiego obejścia cygana ze mną, zaczął wierchowca i zapytał zawstydzonego potrochu mego prześladowcę:

— Co wam to dziecko zawiniło, że się tak nad nim pastwicie?

— Ten chłopak do mnie należy — odparł cygan — muszę go ukarać za nieposłuszeństwo.

Czułem instynktownie, że ratunek przyjsć mi jedynie może od tego, jakby z nieba zesłanego obrońcy, wyrwałem się z rąk cygana, przyskoczyłem ku nieznanemu, a schwyciwszy strzemień, zawołałem z rozpaczą:

— Wyswobodź mnie panie i zabierz ze sobą! Ja nie mogę mu być posłuszny, bo on kraść mi karze, a ja wolę umrzeć niżeli zostać złodziejem. Widocznie wzruszyło, to szlachetnego rycerza; pogładził mnie po głowie i odezwał się do cygana:

— Widzę oczywiście, że nie jesteś ojcem tego dziecka, które było może porwane rodzicom, jak to wy często robicie. Mogłbym przemocą chłopca zatrzymać, póki by się sprawa cała nie wyjaśniła, coby nie wypadło na korzyść twoją, wolę jednak zgodzić się z tobą załatwić i dla tego pytam, ile żądasz odstępnego za tego wyrostka?

— Znaleźliśmy go porzuconego na drodze i wychowaliśmy od małego — odparł obłudny cygan — skoro jednak pan sobie chłopaka upodobał, to mnie się przecie należy koszta za jego wychowanie.

PYTANIE.

Jaki wypadek dziejowy zaszedł u nas w roku 992?

SZARADA.

Pierwsze to spójnik, *drugie* szukaj blisko i daleko,
Bo wprost jest znaną rybą, a na wspak zaś rzeką.
Wszystko to gród, co z dziejów łańcuchem się sprzęga
Tak długim, że aż Leszka Czarnego dosięga.

ARYTMOGRYF.

p. Laszkę.

- 1) 7, 8, 1, 1, 18. Miasto w Rumunii.
- 2) 8, 5, 4, 8, 11. Słynny wódz madziarski.
- 3) 13, 6, 8, 4, 2, 17. Miasto we Włoszech.
- 4) 11, 18, 8, 13, 8. Grecka bogini.
- 5) 3, 8, 15, 6, 11, 10. Ptak pływający.
- 6) 19, 4, 1, 8, 17, 8. Miasto w Szwecji.
- 7) 9, 8, 13, 11, 8, 20, 8. Miasto w Belgii.
- 8) 2, 5, 21, 13, 2, 16, 2. Rzeka w Ameryce.
- 9) 1, 10, 19, 12, 6, 5, 14. Muzyk kompozytor niem.
- 10) 10, 8, 13, 14, 6. Wyspa Jońska.

Zastąpić liczby literami, aby pierwsze litery tych wyrazów, złożyły imię i nazwisko historyka XV wieku.

KWADRAT MAGICZNY.

p. Alesandra Ster.

a	a	a	a	Kapłan budaistyczny.
a	a	l	z	Rzeka syberyjska.
m	m	m	z	Grecka bogini sztuki.
u	u	r	r	Rzeka w Armenii.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 3.

Zagadki: San, sen, syn.

Łamigłówki w kwadracie:

G i r a f a
D e l f i n
K a n g u r
G a z e l a
D r e t w a
C z a j k a

Niteczki Aryadny:

Wielka to mądrość nie być porywczym w działaniu
I nie stać upornie przy każdym swem zdaniu.

Skrzynka do listów.

Pani Filomenie S. Za zmianę adresu dołącza się kop: 15.

P. Helenie G. Wieczory pod wskazanym adresem dla siostrzyчек sz. pani wysyłamy. Jaskółka pierwsza do nich napisze.

Kop. 50 wrzuciliśmy do skrzynki dla biednych dzieci. Stokrotce za przysłane rzeczy w imieniu ubogich dzieciak przesyłamy „Bóg zapłać.”

Maryi Mrozow... Początkowe numera Jurasia i Anulki posyłały, przez nieuwagę zapewne żądasz początku „Niedźwiedzia” gdyż powieść ta rozpoczęła się w noworocznym numerze. Rozwiązania dobre, później może podamy także wzory do wyszywania.

Przelotnej ptaszynie polecenie spełnione, za życzenia dziękujemy serdecznie.

Ninie i Jadwidze K. Podarki przysłane na gwiazdkę z wdzięcznością przyjęte zostały w Szpitaliku, a lalka i zabawki uszczęśliwiły nie jedną ubogą dziecinę. Chociaż spóźnione przesyłały serdeczne podziękowania za życzenia noworoczne.

Aleksandrowi W. Bardzo radzi jesteśmy, że Wieczory czytasz z zajęciem. Rozwiązanie zadań dobre, a łamigłówkę jeżeli tylko okaże się odpowiednią pomieścimy. Początku „U cioci Polci” przysłać nie możemy, bo zbyt dawno już się drukuje, wyroby z papieru znajdziesz w dalszym ciągu a nawet będą one coraz więcej zajmujące.

Gucio P. przysłał dobre rozwiązania, żądane dodatki wysyłały.

Oleńce i Magdzi z Mławy. Dziękuję wam za liściki, które mi zrobiły wielką przyjemność. Wszystko co donosicie żywo mnie zajmuje i cieszę się bardzo, że wam się książki podobają. Rada-bym bardzo się dowiedzieć, czy wybieriecie się kiedy do Warszawy, tymczasem ściskam was serdecznie, do miłego widzenia.

Kryształkowi za miły liścik dziękujemy, życząc powodzenia w rozpoczętych naukach.

Dobre rozwiązania szarad i łamigłówek nadesłali: **Przelotna ptaszyna, Z. O., Paluszek, Czarny Sęp, Ufan z nad Krzyny, Kryształek, Trzy Raczki z Siedlisk, Słoń z Nubii,** który dołączył łamigłówkę geograficzną własnego układu.

P. Filomenie Ł. Z miłą chęcią redakcyja zadowolni życzenia sz. pani i Wieczory wysyłać będzie, ale polecenia do redakcyi Tygodnika mój podjąć się nie może. Za życzenia i serdeczne wyrazy bardzo dziękuję, działawie serdeczne pozdrowienia zaszłam.

Wini z Łoszkowiec za miły liścik dziękuję. Zagadkę przyslij, jeżeli będzie dobrą, to zostanie wydrukowaną. Starsza siostrzyczka twoja niechże także swoją powiastkę przysyła, a w skrzyńce do listów będzie wzmianka, czy się do druku nadaje.

Śnieżyczce za miły liścik i serdeczne wyrazy wdzięczną jestem, z przyjemnością powitałam pierwszą do mnie odezwę. Go-łębka za pamięć dziękuje, miewa się doskonale i ma ładnego synka, którego wszyscy niezmiernie kochamy. co do mego imienia to mało ci ono powie, dużo pańienek go nosi, ze szczygółów mego życia, nadmieniam, że jestem żywą, wesolą, i kocham wszystkich moich korespondentów z Wieczorów. Mam nadzieję, że i nadal pisywać do mnie będziesz, a bądź przekonana, że każda twoja odezwa mile witana będzie. Marki nabywają niektórzy antykwaryusze, ale płacą nie od ilości, ale od jakości okazów.

Trzem Raczkom z Siedlisk. Rozwiązania zadań dobre, za liścik dziękuję i bardzo się cieszę, że wam się powieści w Wieczorach podobają, wszystkim trzem przesyłam uściśnienia.

Stoniowi z Nubii. Zadanie konkursowe drukowane będzie wkrótce, o łamigłówkach twoich przypominałam, ale kiedy będą pomieszczone nie wiem.

Od **Konika polnego** i **Mrówki** listów oczekiwać będę, bo siostrzyczka wspomna, że macie ochotę zawiązać ze mną korespondencyę, a także i **Janinkę S.** z Szawel bardzo proszę by do mnie pisywać chciała. W wyborze pseudonymu najlepiej doradzi starsza siostrzyczka, znająca twoje upodobania i usposobienie. Proszę, piszcie do mnie zawsze o wszystkim co was zajmuje i pamiętajcie, że z równą przyjemnością na każdy list odpowiadam zawsze wam życliwa

Jaskółka.

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



OGRODY WATYKAŃSKIE.

Skreślił **Edmund Jankowski.**

Od czasu zajęcia Rzymu przez wojska włoskie za Piusa IX i zrobienia z niego stolicy zjednoczonych Włoch, papież uważają się za więźniów w wiecznym mieście i nie przekraczają nigdy murów siedziby swojej — Watykanu.

Watykan, do którego wstępu strzegą wysokie mury i gwardye papieskie, może być uważany za więzienie dla tego że jest to przestrzeń zamknięta; wszelako rezydencya tu zajmuje obszar małego naszego folwarku, gdyż na naszą mia-

ę obejmuje około 10 włók. Stoją na tym gruncie: bazylika św. Piotra, głowa kościołów świata; ogromne pałace papieżów z nagromadzonemi w nich nieocenionemi skarbami dzieł sztuki, galeryami, bibliotekami i archiwami; mieszczą się budynki licznych biur papieskich i instytucyj uczonych, akademii propagandy i w. i.

Część tych piękności widzieć i podziwiać można, czego też nie pomija żaden z cudzoziemców; do niektórych wstęp jest zupełnie zamknięty, do niektórych nareszcie dozwolony za ledwie nielicznym śmiertelnikom.

Niemalą ciekawość pomiędzy ostatniemi budzą ogrody papieskie, opisywane zlekka przez pielgrzymów. Nie spotykaliśmy się jednak dotąd z opisem tych ogrodów, pochodzącym z pod pióra ogrodnika, aż niedawno wpadł nam w ręce artykuł Karola Sprengera, osobiście znajomego nam ogrodnika Niemca, osiadłego stale pod Neapolem, gdzieśmy z nim znajomość zawarli. Sprenger opisał ogrody watykańskie w gazecie berlińskiej „Gartenwelt”. Streszczenie tego opisu podajemy, dla wiadomości miłych czytelników „Wieczorów Rodzinnych.”

Wokoło murów Watykanu od strony wewnętrznej ciągną się drzewa pomarańczowe, a gorejące od słońca ścieżki prowadzą na prawo po raptownej pochyłości do ogrodu szpalerowego, założonego jak wersalski, ze zbiornikami wody, fontannami, arabeskami, nielicznymi cyprysami i palmami.

Mnóstwo cytryn i pomarańcz w kubbach stoi na podstawach, wśród grząd obramowanych bukszpanem i lawendą, grząd pełnych pospolitych kwiatów, jak: goździki, werbeny, fiołki i róże. Pomiędzy niemi tu i owdzie agawy i eukaliptusy. Całość tę spokojną, gorącą i przepojoną słońcem, na lato zupełnie niemożliwą, otacza wysoki mur. W zimie za to, można tu najłatwiej znaleźć ciszę, światło i ciepło.

Powyżej tego ogrodu wędrowiec widzi dopiero cały przepych ogrodów papieskich i podziwia słynne z nich widoki na Rzym. Są te ogrody potrójne.

Naprzód tedy stary ogród czasów dawno minionych, to las laurów i dębów, posągów i starożytności; dalej idą nowoczesny park i plantacje ostatnich papieżów, a wreszcie ogrody owocowe i winnice.

Wysoko wznoszą się laury i nieroniające liści dęby w średniowiecznym parku. Tworzą one wyniosłe, a dla promieni światła nieprzenikliwe sklepienie z liści i koron; przebiegają po wzgórzach i dolinach, poprzerzynane pięknymi, mchem porośniętymi krętymi ścieżkami; tu i owdzie ustawione kamienne ławy i sarkofagi, zapraszają do wypoczynku. Obeliski, urny, kolumny, starożytne posągi, osobliwe grobowce, których tu wszędy pełno, zdają się, nieme świadki minionych czasów, marzyć cicho o ich zamierzchłej wielkości. Pokrywa je pył wieków, mchy i porosty porosły na ich stopach i podstawach, a jednak wzbudzają one i dziś w widzu toż samo poszanowanie, wesołość lub smutek, odpowiednio do tego, co przedstawiają, jak wzniecały temu lat tysiąc. Śliczna też jest roślinność w tych dębowych gajach: barwinek i bluszcz, cała gromada cienistych roślin leśnych, mchy i porosty, stanowią zielone tło dla olbrzymów, które się nad niemi wznoszą i zmrok na nie rzucają. Na wiosnę fioletowe i czerwone gduły (*Cyclamen*), barwią tysiącami kwiatów leśną podłogę, a mruczące źródelka i strumyki, zarówno jak roje wesołych ptaszek, ożywiają ten majestatyczny zakątek.

Pełne kwiatów ogrody o rozkosznych skupinach drzew, wspaniałe solitery, drzewa pojedyncze, cieniste świerki i kwia-

ty, a kwiaty bez końca, ograniczają ten starożytny raj, a zwiedzającemu wydaje się, że nagle z ogrodów Augusta Cezara przeniósł się do angielskiego parku. Co krok napotyka podzwrotnikowe, zamorskie lub swojskie drzewa i rośliny, któremi zdobią się zwykle ogrody włoskie. Niezrównanej piękności cedrowe gaje, sosny parasolowe, (pinie), wiecznie zielone gaiki z laurów, laurowiśni, magnolii, kwitnących oleandrów i t. p., niewiadomo co bardziej podziwiać, tu zdumiewa las najeżonych drzew iglastych, tam grupy olbrzymich aleosów meksykańskich (*Agave*), lub skupiny delikatnych akacyi (*Acacia Julibrissin*).

Tu kwitną kręple (*Yucca*) wiechami wspaniałych, białych, wielkich kwiatów, tam piętrzą się smokowce i daktyłowce. A ponad temi drzewami wznosi się potężny Watykan i ponad wszystkim górująca kopuła św. Piotra.

Po przez grupy drzew, usiane willami i ogrodami, ukazują się w dali wzgórza Rzymu, tworząc widok jedyny w świecie. Nad głową bujają motyle, wśród gajów przemykają się strusie, sarny, jelenie i wreszcie liczne rzadkie ptaki, bo tu Ojciec Święty zaczął świat, tworząc wokół siebie taką piękną przyrodę, że innej może nie pragnąć. Wszędzie rozsiane kwiaty roznoszą w spokoju cudne swe wonie, rzadko bowiem niepokoi je stopa pielgrzyma, w tem tajemniczym zaciszu.

Zadziwiająco piękne grochowniki (*Robinia Pseudacacia monophylla*), tworzą tu aleje, którym równe tylko we Florencji widzieć można. Ich owalne, jajkowane korony, na wiosnę okrywają się milionami pachnących różowych kwiatów, wyprzedzających ukazanie się liści.

W zachwycającym gaju cedrowym, w zupełnym ukryciu, polecił Leon XIII postawić swój pawilon, w którym po przechadzce odpoczywa i oddaje się w samotności rozmyślaniom. Wynikiem tych dumań są pełne mądrości odezwy do narodów lub biskupów (encykliki), albo wzorową łaciną pisane, ku niebu bijące sonety i hymny. Umeblowanie w tej samotni bardzo jest skromne, a opony w oknach ze zwykłego zielonego sukna zrobione.

Radością papieża są jego winnice, których zakładaniem sam kierował. Są one urządzone i prowadzone wzorowo, biją też zdrowiem, a łoży uginają się pod jagodami. Zadziwiająco piękne stożki drzew owocowych i czysto utrzymany ogród warzywny, dopełniają całości, stanowiącej prawdziwą ozdobę Rzymu.

Szkoda, że tak niedostępnej.

W OTCHŁANIACH MORSKICH *)

PRZEZ

Dr. M. Stefanowską.

Wielkie wyprawy naukowe.

Do najważniejszych zdobyczy naukowych naszego stulecia zaliczyć należy zbadanie głębin morskich oraz poznanie żyjących w nich mieszkańców. Przez długi czas znaną była ludziom jedynie fauna pobrzeżna oraz poczęści fauna pelu-

*) Praca ta jest dalszą seryą artykułów naszej uczonej przyrodniczki o florze i faunie morskiej, drukowanych w *Wieczorach* w 1896 i 1897 r.

giczna, a pojęcie o głębiach morskich opierało się głównie na domysłach. Niektórzy uczeni przypuszczali nawet niedgdy, że ocean zupełnie dna niema; późniejsi uczeni, za pomocą rozmaitych obliczeń, usiłowali wykryć, jaką głębokość posiadać mógłby ocean. Ale owe liczby doprowadziły do wniosków nader sprzecznych i tak: według jednych największe głębie morskie miały po kilkaset metrów, według innych głębokość wielkich otchłani morskich wynosić miała około 25 wiorst. Oczywiście było rzeczą, iż aby poznać dokładnie głębokość rozmaitych mórz, należało je wymierzyć. Tak też właśnie uczyniono w drugiej połowie naszego stulecia, a jakim sposobem uczeni dokonali tak wielkiego dzieła, o tem dowiedzie się później, młodsi czytelnicy. Tu zaś powiemy wam tylko w krótkości, jaką jest rzeczywista głębokość rozmaitych mórz.

Najwięcej znaleziono głębin, mających od 3,000 do 6,000 metrów, lecz są przepaście oceaniczne jeszcze głębsze, mają bowiem około 9,000 metrów (przeszło osiem wiorst). Jestto godne uwagi, że najpotężniejsze głębiny morskie mają takież prawie wymiary, jak najwyższe szczyty gór na naszej kuli. Największa, dotychczas znana głębokość oceanów, znajduje się w północno-zachodnim Pacyfiku. Głębokość ta, *Głębia Tuskarory*, na cześć znanego amerykańskiego okrętu nazwana, wynosi 8,515 metrów, ustępuje nieco wysokości górze Gaurysankar, najwyższej na ziemi. Druga wielka głębokość znajduje się w południowym Pacyfiku, na wschód od wysp Maryańskich, jestto *Głębia Challenger*, mająca 8,300 metrów.

W oceanie Atlantyckim największe głębiny czynią 7,000 metrów, a w morzu Śródziemnym są one jeszcze mniejsze, gdyż wynoszą 4,000 metrów.

Gdy się przekonano, że ocean sięga tak daleko w głąb skorupy ziemskiej, to zadawano sobie pytanie, czy w owych głębiach mieszkają jakie żywe istoty? Ale gdy rozważono, że do tych przepaści nigdy nie przenika żaden promień słońca, że woda tam jest lodowato-zimna, a ciśnienie wody niesłychanie wielkie, to zawyrokowano, że przy takich niesprzyjających warunkach żadne stworzenie żyć nie jest zdolne, że zatem głębie morskie są to wielkie pustynie wodne, nie zawierające ani śladów życia. Wierzono wtedy, że w oceanie życie możliwem jest jedynie na powierzchni oraz u wybrzeży i utrzymywano, że zwierzęta stają się coraz rzadsze w miarę zwiększania się głębin, aż wreszcie znikają zupełnie poniżej 400 metrów. Na tej głębokości znajdować się miał kres, czyli, jak wówczas mówiono, znajdowało się *zero życia zwierzęcego*.

Do ustalenia powyższych zapatrywań przyczynił się głównie angielski przyrodnik Forbes. On pierwszy przedsięwziął w 1841 roku badanie fauny głębinowej na morzu Śródziemnym, a ponieważ głębiny tego morza okazały się nader ubogimi w zwierzęta, ze spostrzeżeń tych przeto Forbes wyprowadził mylny wniosek, że wszystkie wielkie głębiny morskie nie zawierają żadnych żywych stworzeń.

Jednakże w owym czasie istniały już niejaki wiadomości o zwierzętach głębinowych. W pierwszej połowie naszego stulecia (w 1819 roku) znakomity podróżnik angielski, kapitan John Ross, biorąc pomiary w północnym oceanie Lodowatym, wydobyl z głębin robaki i gwiazdy morskie, które żyły na głębokości 1,500 i 1,800 metrów. Dalej siostrzeniec jego, James Clarke Ross, dokonał podobnych odkryć w oceanie Lodowatym południowym; a Goodsir zdobył piękny podow zwierząt na morzu Baffina, na głębokości 600 metrów. Wreszcie w Stanach Zjednoczonych oficer marynarki Brooke wynalazł specjalny przyrząd, za pomocą którego wydobyl nieco mułu z dna Atlantyku, zagłębionego na 2,000 metrów. Muł ten składał się przeważnie ze skorupki mikroskopijnych zwierzątek, zwanych otwornicami, oraz z radiolaryi o pięknym szkielecie krzemionkowym.

Ale przesady o pustyniach wodnych i o *zerze życia zwierzęcego* tak głęboko zakorzeniły się w umysłach ludzkich, że tych pojedynczych odkryć nie chciano brać pod uwagę; wierzono raczej, że stała się jakaś pomyłka, że owe zwierzęta

pochodziły nie z głębin morskich, lecz z górnych warstw wodnych.

W 1860 roku doktor Wallich na okręcie *Bull-Dog* odbył podróż do Grenlandyi i Newfundlandyi, wszędzie badał dno oceanu i opisał następnie znalezione na dnie zwierzęta. Od tego czasu dopiero datują się pierwsze wyraźne wiadomości o *faunie głębinowej*.

Jednocześnie prawie z ukazaniem się powyższej pracy, stał się fakt niezmiernie ważny w historii odkryć podmorskich, a który był zarazem wymownem potwierdzeniem słów doktora Wallicha. W telegrafie podmorskim, łączącym Sardinie z Algeryą, przerwała się lina, leżąca na głębokości 2,000 do 2,800 metrów. Aby naprawić ten przykry wypadek, trzeba było podnieść linę telegraficzną, przyczem kawałki jej urwały się i zostały w ręku robotników. Jakież było zdziwienie widzów, gdy ujrzeli, że lina okryta była rozmaitemi zwierzętami jeszcze żyjącymi. Kawałki tej liny wraz z przyczepionemi do niej zwierzętami starannie zakonserwowano w spirytusie i powierzono zbadanie zwierząt znakomitego przyrodnikowi A. Milne-Edwardsowi. Uczony ten stwierdził niebawem, iż zwierzęta osiadłe na linie istotnie od urodzenia żyły w owych wielkich głębiach. Był to oczywisty dowód, że dno morza nie jest pustynią, jak dotychczas myślano, a chociaż znaleziono na linie jedynie zwierzęta niższe, prowadzące żywot osiadły, odkrycie to jednak zadało ostateczny cios pojęciom, wygłaszanym przez Forbesa, a zarazem wywarło wielki wpływ na świat uczonych i dało popoch do nowych badań.

(d. c. n.)

NIEDŹWIEDŹ

POWIEŚ Z XVI WIEKU

p. Zuzannę Morawską.

(Ciąg dalszy).

Zaledwie jednak siniora Alenini przestąpiła próg przybocznej komnaty, rozległ się głos dziecięcy.

— Duch, duch!

Siniora usłyszawszy ten głos, rzuciła się w stronę skąd pochodził i pochwyliła broniącą jej się z całej siły Anusie.

— *Bene mio!* odebrali cię, ja cię nie dam, wezmę, nie oddam, wezmę, giauro, nie dam, anima mia!

— Ratujcie! duch mnie złapał — wołał cieniutki głos Anulki, owijanej przez siniorę podą olbrzymiej pierzyny.

— Anusiu, co ci się stało? — pytała zatrwożona Jadowsia, która zbudziwszy się później, nie wiedziała co się dzieje i wśród ciemności nie mogła zmiarkować czy głos ten odzywa się z tej samej czy też z przyległej komnaty.

— Jejmość, jejmość ochmistrzyni! jejmość Antonio-wo! — wołała więc dziewczeczka cała wystraszona.

Lecz jejmości Antoniowej nie było. I jej dano znać, że coś się stało królewiczowi, że na pańskiej stronie, to jest tam gdzie królewicz spoczywał, wszyscy już na nogach, a każdy spieszy mu na pomoc.

— Pewnie zachorował niebożatko! — szepnęła do służki pani Antoniowa.

I odziewszy się pospiesznie, wyszła, nie domykając drzwi za sobą, ażeby mu jakie leki przyrządzić.

Anusia, ocknąwszy się zaraz po wyjściu służki, nasłuchiwała pilnie całej rozmowy, a gdy ochmistrzyni się oddaliła, skorzystała z jej nieobecności i wstawszy z łóżeczka z właściwą sobie ciekawością wychyliła się przez drzwi otwarte, w chwili właśnie, gdy siniora wychodziła z przeciwnej komnaty.

— Co się dzieje! — zawołała przestraszona pani Antoniowa, która zapomniawszy klucza od apteczki, wracała po sakowy, przyświecając sobie olejnym kagankiem.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — krzyknęła, zobaczywszy białą postać.

Wkrótce jednak przyszła do siebie, ujrawszy wychylającą się z pod fałdów pierzyny głowę siniory Aleniny, a tuż przy niej wrywającą się z silnych jej objęć Anusię.

— Poco jejmość zbudziła mi dziecko? — zawołała pani Antoniowa, usiłując oswobodzić dziewczynkę.

— To moje dziecko, królewskie dziecko, królowa je dała, chcieli odebrać, ono chore, Sigismundo przyjsię do mnie! mówiła siniora coraz więcej głoś podnosząc i coraz silniej przyciskając wyleknioną Anusię.

— Co jejmość mówi, toć to nie Sigismundo, jeno Anusia — rzekła pani Antoniowa, przyświecając kagankiem.

— Ja się nie boję nawet po ciemku! — odrzekł na wpół śpiący młodzieńczyk.

I odwróciwszy się na drugą stronę chciał zasnąć.

Kazik powstał chwilę i miał się już wysunąć, gdy Zygmunt nagle zawołał:

— Niedźwiedziu!

— Do usług jego królewiczowskiej mości! — rzekł, wracając Kazik.

— A czemu ty nie śpisz? czy ty nigdy nie sypiasz?

— Trzymamy straż przy drzwiach jego królewiczowskiej mości — odparł po chwili wahania Kazik.

— Jakiś ty dobry.

Gdy zaś Kazik chciał odchodzić, królewicz znów się odezwał:

— Ja się nie boję, wcale się nie boję, ale zostań, dopóki ochmistrz nie przyjdzie.



Złodziej palmowy.

— Ach! — krzyknęła siniora i wypuściła z objęć swoich drżącą ze strachu dziewczynkę.

— Dove Sigismundo? gdzie królewicz! — pytała siniora biegnąc po komnacie i włócząc za sobą ogromną pierzynę.

— Ukradli go, zamienili, dali tę dziewczynę! — wołała w ojczystym swym języku, a usłyszawszy jakieś głosy wybiegła z krzykiem, przelatując kilka ciemnych prawie komnat. A służba rozbudzona szła za nią, wołając:

— Rozum straciła! oszalała! co za nieszczęście!

Wreszcie siniora dotarła do wielkiej, oświetlonej buchającym z komina ogniem komnaty, stanęła jak wryta.

Przed chwilą bowiem królewicz zbudzony gwarem i szeptaniem, zawołał:

— Mości ochmistrzu, czy to już dzień!

— Że zaś ochmistrza już nie było, Kazik usłyszawszy wołanie wszedł cichutko do sypialni, a stanawszy z nocną olejną lampką tuż przy drzwiach, rzekł:

— Ochmistrz waszej królewiczowskiej mości wyszedł, ale my stoimy na straży, niech się wasza królewiczowska mość nie boi.

Kazik chociaż niechętnie pozostał jednak.

Chodziło mu bowiem, iż gdyby był napad na królewicza, trzej jego krewniacy jako młodszy od niego, nie daliby sobie rady z nieprzyjacielem, łaska więc królewicza wcale mu w tej chwili nie była na rękę.

Nie chciał jednak straszyć maleńkiego swego pana i nie mówił.

Po paru minutach, Jędrus uchylił nieco zasłony.

— Co ty tam robisz, czy mu się co stało? — szepnął ledwie dosłyszonym głosem

— Nic się nie stało, lecz kazał pozostać!

— Czy ochmistrz powrócił? — ozwał się królewicz, dosłyszawszy rozmowę.

— Nie, najjaśniejszy królewiczu — odparł Kazik nieco zakłopotany, że tym szeptem zbudził gościa.

— A kto to?

— Jędrus się pytał, czy jego królewiczowskiej mości czego nie potrzeba.

— To jest i Jędrus?

— A jakże...

— A może Anusia i Jadwisia, siadając na łożku, pytał królewicz.

— O nie, kasztelanki śpią.

— A kto tam jest jeszcze? — pytał coraz więcej rozbudzony Zygmunt.

— Marcin i Piotruś...

— To i ja tam pójdę.

— To mówiąc wyskoczył z łożka.

— Niech jego królewiczowska mość chociaż się odzieje — rzekł Kazik.



Klewań.

uszykował rzędem trzech kasztelaniców, na przodzie postawił królewicza i począł komendę.

— Raz, dwa, trzy!

Nie można się więc dziwić, że siniora Alenini, która weszła na tę chwilę stanęła jak wryta.

— Ha, ha, ha! — rozśmiał się królewicz, ujrawszy jej niezwykle okrycie.

— Bene mio! — zawołała ochmistrzyni, podbiegając i chwytając w objęcia Zygmunta.

— Sinioro, nie przeszkadzaj nam się bawić! — wołał, wyrrywając się z jej ramion królewicz.

Ale siniora zaczęła szybko mówić po włosku:

— Co ci się stało, skarbie mój! oderwali cię odemnie! chcieli porwać!

— Sinioro, pozwól mi się zabawić, jak wrócę, będę się znów nudził, tutaj tak wesoło! — prosił Zygmunt.

W tej chwili wszedł pan Piotr Opaliński, a siniora ujrawszy go, okręciła się pierzyną i z wielkim krzykiem ku uciesze nietylko królewicza, lecz i jego towarzyszy, z komnaty uciekla.

— Co to wszystko znaczy? — zapytał ochmistrz, nie mogąc również powstrzymać uśmiechu.

— Aha prawda.

I przy pomocy Kazika narzucił na siebie ranny kożuszek, wsunął nogi w ciepłe żółte trzewiki i wybiegł szybko z komnaty.

— Oh! to wy się dobrze bawicie! — zawołał, ujrawszy uzbrojonych kasztelaniców.

— Czemuście mi nie powiedzieli, i jaby mi się z wami zabawił! ale nie mam szabelki!

— Ja oddam swoje — rzekł Piotruś, podając mu szabelkę.

— Dziękuję, a teraz będziemy się bawić w żołnierzy — rzekł Zygmunt — ja będę dowódcą... albo nie, Niedźwiedź będzie dowódcą, będzie mnie uczył bronią wywijać.

Piotruś w miejsce ustąpionej szabelki, pochwycił kostur do poprawiania ognia w kominie, Kazik posłuszny rozkazowi,

— My bawiliśmy się w żołnierzy, siniora wbiegła, chciała mi przeszkodzić, ha, ha, ha! — wołał, śmiejąc się królewicz.

— Czy niema żadnego niebezpieczeństwa? — zapytał pocichu Kazik ochmistrza.

— Najmniejszego!

Kazik widząc spokój ochmistrza, nie wątpił, że nic nie zagraża królewiczowi; cieszył się, że jego przyszły pan nie będzie na szwank narażony, mimo to myślał sobie:

— A jednak byłbym dowódl, że go umiem bronić!

— Myśmy przyszli bronić jego królewiczowską mość — ozwał się butnie Jędrus.

— Nie damy go! — dorzucił Piotruś.

— Może trzeba wyjść na podsienie, by tutaj nikogo nie wpuścić! — pytał po cichu Marcin, któremu się zdawało, iż pan Opaliński, nie chce mówić o owych strasznych ludziach i smokach przy królewiczu, ażeby go nie straszyc.

— Nie, nie, nie nam nie grozi! — uspokoił ich ochmistrz. I zaraz dodał:

—Dzielne i poczciwe z was chłopaki, na teraz uspokój-

nie się, zapamiętajcie tylko, aby w razie potrzeby z taką samą gotowością stanąć przy jego królewiczowskiej mości.

— Oho! — zawołali wszyscy jak na komendę i podnieśli ręce do góry.

— A co to? — zapytał Zygmunt dosyć zdziwiony, do którego uszu nie doszły dotąd żadne wieści.

— Jejmość królowa matka przysłała gońce, ażeby niezwłocznie wracać! — odparł ochmistrz.

— Jakto, nie pojedziemy dalej?

— Nie, natychmiast trzeba się szykować do powrotu

— Zostańmy jeszcze tutaj — prosił królewicz — pojedziemy jutro!

— Nie, wyjedziemy zaraz, trzeba się ubierać — odrzekł ochmistrz.

I skinął, ażeby zawołano pokojowca, który był dodany do obsługi królewicza.

Tymczasem Basaty zdołał się już porozumieć z siniorą Aleniną, a ta ubrawszy się jako tako, wbiegła rozradowana, wołając:

— Wracać zaraz, la madre kazać, zaraz ubierać!

I zbliżywszy się do królewicza chciała go wziąć za rękę.

Lecz Zygmunt usunął się i rzekł podnosząc głowę.

— Nie jestem już dzieckiem, jestem pod opieką ochmistrza, pokojowiec mnie ubierze!

Siniora coś bardzo głośno i bardzo prędko poczęła mówić, znać, że się gniewała, chciała nawet płakać, lecz w tem nagle krzyknęła:

Około niej bowiem uwijało się maleńkie, kudłate, w czerwonej zapeczce stworzonko i naśladowało jej ruchy, a w końcu wskoczywszy jej na plecy z dziwnie śmieszoną miną przechylało się i zaglądało jej w oczy.

Razem bowiem z siniorą wsunął się Ciemnos, a spełniając rozkaz królowej „ażeby zabrać królewicza”, wypuścił małpkę, która uwolniona z ciepłego kożucha, poczęła teraz wyprawiać rozmaite skoki, przedrżniając zarazem rozgniewaną siniorę.

Zygmunt ujrawszy małpkę, tupał nogami, podskakiwał i śmiał się z całą dziecięcą swobodą, kasztelanice, zaś a nawet Kazik, jakkolwiek bawiły ich skoki zabawnego stworzonka, spoglądali nań z pewną nieufnością, a Kazik myślał sobie:

— Czy aby naprawdę nie jest to owo „złe” które nasłali na królewicza?

— Bartholo! — awołał Ciemnos i ukłoniwszy się do samej ziemi, wskazał królewicza.

Małpka zeskoczyła z ramion siniory, przypatrzyła się Ciemnosowi, który zginał się w pokłonach do ziemi. Na dany znak stanęła przed Zygmuntem i kubek w kubek powtarzała też same ruchy.

Królewicz śmiał się i wyciągnął ku niej rękę, zręczne stworzonko wskoczyło mu na piersi, a Kazik obawiając się, żeby się królewiczowi jaka krzywda nie stała, przewycięzył wstręt swój a nawet i bojaźń, do kudłatego, jak mniemał dyabła, i przeżegnawszy się, stanął za jego plecami!

Małpka ujrawszy jego ruch ręką, usiłowała toż samo wykonać, lecz nie szło jej jakoś, położyła tylko łapę na twarzy Zygmunta.

— Pfu! — otrząsnął się królewicz, przechylając w tył głowę.

Jednocześnie Kazik pochwycił za kark małpkę, która nie spodziewając się takiego napadu, wrzasnęła przeraźliwie a potem zwinawszy się w kłębek piszczała tak przejmującym głosem, że obecni aż sobie aszy pozatykali.

W tejże chwili przystąpił Ciemnos i chciał odebrać małpkę z rąk Kazika, mówiąc przyciszonym głosem:

— Oddaj, ty młokosie.

Obrażony tem odezwaniem się chłopiec, wyprostował się, spojrzął na napastnika, a nie puszczając z prawej ręki kwilącej małpki, zacisnął lewą i spojrzawszy śmiało w oczy olbrzymowi zawołał:

— Ty czorczi synu, co masz za prawo mnie napastować?

I Bóg wie, do czego by przyszło, gdyby nie pan Opaliński, który stanawszy pomiędzy nimi, rzekł łagodnym swym głosem:

— Oddaj mu małpkę i w obecności królewicza nie rób burdy.

Kazik w tej chwili puścił kudłate stworzonko, które uwolnione z jego rąk, nie dało się pochwycić Ciemnosowi, lecz plunawszy tylko, poczęło się wykrzywiać na Kazika i wykręcać się przed nim ze złością, zamiatając ogonem.

Wszyscy śmieli się z tych nowych figlów, trącąc się łokciami:

— To małpka, aha, więc to nie złe, jeno małpka!

Tylko Kazik stał zawstydzony i myślał sobie:

— Ho, ho, chcąc być dworakiem, trzeba dużo się jeszcze nauczyć, aby wiedzieć, gdzie uderzyć, a na śmieszność się nie narazić.

(d. c. n.)

ZŁODZIEJ PALMOWY.

Osobliwy jest gatunek raka, przedstawionego na dołączonej rycinie, którego ojczyzną są wyspy oceanu Indyjskiego. Mieszkańcy nadali mu nazwę palmowego złodzieja, gdyż lubi się głównie żywić orzechami kokosowymi. Skorupiak ten wielkością swoją zbliżony do homara, podczas dnia chowa się w norach ziemnych, a w nocy wędruje pod palmy, gdzie szuka spadłych z drzewa orzechów. Gdy znajdzie jaki skrobie cęgami swemi łupinę, póki w niej nie przebije trzech dziurek, w ten sposób chwyta owoc i póty tłuczego o ziemię lub drzewo, aż z rozbitej skorupy wydobyć może jądro galaretowe, białego koloru. Krajowcy utrzymują, że rak ten umie nawet wchodzić na drzewo palmowe po wiszące na niem orzechy, ale fakt powyższy nie był dotąd przez wiarogodnych świadków sprawdzony. Mięso owych złodziei palmowych jest bardzo smaczne i stanowi ulubioną potrawę Chińczyków. W tym celu utrzymują oni sztuczną hodowlę tego gatunku raków, żywiących się orzechami kokosowymi.

KLEWAŃ.

Trudno sobie wyobrazić, aby nędzne dzisiaj miasteczko Klewań mogło być niegdyś rezydencją zamożnego rodu Czartoryskich, których groby znajdują się w podziemiach fundowanego przez nich kościoła. Zamek tylko, przed trzema wiekami zbudowany, w dobrym stanie dotąd się trzyma.

Spustoszone w czasie wojen w XVII wieku, zupełnemu zniszczeniu uległo w czasie napadów Tatarskich; tak że tylko zamek wówczas ocalał.

NA POLANCE

powieść

P. E. Jerlicza.

(Dalszy ciąg)

— Mnie się zdaje, że onaby mnie wybiła, gdyby kiedy rozgniewała się na mnie — powiedziała raz Joasia z niesmakiem do Ludwini.

Ludwinia się uśmiechnęła.

— O! nie — odpowiedziała z żywością — to dobra dziewczyna, tylko trochę wichrowata i rozrzuciona.

Nazajutrz o świcie Janek taki szturm przypuścił do okiennicy, że mógłby obudzić dotkniętego snem kamiennym, to też obie dziewczynki, Joasia i Zosia, zerwały się na równe nogi, pytając:

— Co to? co się stało?

— A no, nie wiecie? — wołał Janek — nasza wczoraj umówiona wycieczka. Chcecie czy nie chcecie pójść zobaczyć wschodzące słońce?

Joasię to nagle przebudzenie tak wytrzeźwiło, iż od razu sen ją odbiegł.

— A czy to nie za rano? — spytała, widząc, że zaledwie szarzeć zaczyna.

— Nie, nie — wołał głos za oknem. — Karol już przybiegł z uwiadomieniem, że tam, na Polance, już się ruszają.

— Dobrze, dobrze, i my się wybieremy niedługo.

Dziewczynki zaczęły się ubierać. Zosia była ze wszystkim gotowa w przeciągu dwudziestu minut, ale Joasia nieprzywykła do ubierania się bez pomocy, pomimo pospiechu nie mogła jej wydażyć. Widząc, jak chcąc się uczesać płacze i szarpie włosy, Zosia wyjęła jej grzebień z ręki.

— Pozwól, ja ci pomogę — powiedziała łagodnie.

Przy jej pomocy Joasia była prędko gotową, a ten pospiech, ta krzątanina, to bieganie na wyścigi, ubawiły ją niezmiernie, to też wesoło dziękowała Zosi za jej pomoc.

— Weź cieplejszy płaszczyk Joasiu, gdy ci później będzie za gorąco, zdejmiesz go, teraz jest dosyć chłodno, dopóki słońce nie ogrzeje ziemi — powiedziała Zosia i wyjęła z szafy cieplejszą okrywkę dla swojej towarzyszki.

Narzuciły na głowy lekkie chusteczki, wzięły zarzutki i wyszły na ganek, gdzie już na nie oczekiwał Staś z młodszym bratem.

Na świecie szarzał ten mętnawy zmrok, właściwy zarówno początkowi jak przy końcu dnia, a w mroku tym wszystkie przedmioty przybierały jakąś niewyraźną, tajemniczą postać: drzewa, okalające dziedziniec i odznaczające się długim sznurkiem ponad drogą, las położony za stawem i młyn od strony ługów.

Za sztachetami ukazał się Henryk i Karol.

— Już wszyscy gotowi, idziecie panie? — wołali.

Wszyscy czworo zbiegli rażno z ganku i przebywszy dziedziniec, połączyli się z towarzyszami. Razem szli ku osadzie. Przed domkiem, gdzie mieszkali rodzice Stasi, stała spora gromadka.

— Chodźmy! chodźmy! — zaczęto wołać.

— Co? i Ludwinia idzie z nami! — zawołała z radością Zosia.

— A jakże! — odrzekła tamta wesoło i ucałowała Zosię na dzień dobry.

— Dzień dobry, panno Joanno! — mówiła, wyciągając rękę do Joasi. — Nie myślałam, że pani wstanie tak wcześniej.

— I bardzo się cieszę, że mi się to udało — odpowiedziała Joasia swobodnie.

Na świecie robiło się coraz widniej, Cała gromadka ruszyła drogą w stronę wsi, sąsiadującej z Polanką.

— Ale którą i dokąd się udamy? — zawołała Stasia.

Tu Zygmunt wysunął się naprzód i odezwał się głosem poważnym:

— Proszę za mną, ja państwa poprowadzę.

— Bardzo dobrze, ale racz pan dobrodziej określić kierunek błędnej ścieżki, którą mamy za nim postępować, abyśmy mniej więcej wiedzieli dokąd ona nas zawiedzie — odezwał się Karol, wesoły chłopak i wielki figlarz.

— Pójdziemy w kierunku młyna, a później wrócimy łakami od strony Woli Dąbrowskiej.

— Stój! szlachetny młodzieńcze! Nie tędy droga. Zakładam najuroczystsze *velo* przeciwko twemu wnioskowi. Gdybyśmy poszli jak nas chcesz prowadzić, niejedyn z nas wróciłby w niemożliwym stanie ubrania swego, bo tam właśnie, od strony Woli Dąbrowskiej, leżą niebezpieczne oparzeliska. Ale może pan nie wie co to znaczy? Oparzeliska, widzi pan, to są bagna, pokryte zdradliwie zieloną powłoką mura- wy, która ugina się pod nogami. Raz tylko przerwij stopą

tę cienką powłokę, a ulgniesz w bagnie niekiedy po szyję. I bywają, widzi pan, wypadki, że konie znajdują śmierć w takiej kąpieli.

Wszyscy zaczęli się śmiać z tłumaczenia Karola i oddawanego Zygmuntowi tytułu pana.

— Więc którądy pójdziemy? — wołały dziewczynki.

— Niech Stasię prowadzi, on tu gospodarzem — zawyrokował Karol.

— Dobrze — odrzekł Staś z uśmiechem — idźmy od strony lasu pod wiatraki.

— Pyszny projekt! ja pierwszy głosuję za nim.

— I ja! i ja! — wołali chłopcy.

Cała gromadka ruszyła za przewodnictwem Stasia.

Od strony lasu wznosił się ponad ziemią wysoki wał, niby mur ochronny, porośły wrzosem, gdzieniegdzie paprociami i kępkami murawy; poniżej płynie rzeczka, na jej płaskiej, piaszczystej nizinie, na której w oddali widać skrzydła wiatraka z przeciwnej strony ciągnęły się łąny uprawnych pól pokrytych dojrzałym zbożem. Z lasu płynie wonne, orzeźwiające powietrze, przejęte zapachem żywicy i świeżością poranka, aż lekko i miło oddychać.

Las milczał, jakby pogrążony w sennem rozmarzeniu, kłosa zwieszały się nieruchomo ku ziemi.

Cała gromadka wkroczyła na wał i postępowała dalej jego brzegiem, rozmawiając wesoło, strącając z liści krople rosy, które staczały się jak kulki żywego srebra, gdy wtem Henryk zawołał:

— Patrzcie! słońce wschodzi.

Na skraju piaszczystej płaszczyny wystrzelił w górę świetlany promień, niby ognista rakietka, w ślad za nim zamigotał drugi, trzeci, dziesiąty, które zlewając się razem tworzyły świetlaną glorię ponad olbrzymią kulą, która w kształcie złocistego globu deszczywała się zwolna, wznosząc się majestatycznie i siejąc deszczem promieni, które odbite od czarnej krawędzi lasu, zdawały się zalewać płaszczyznę i pola porośłe zbożem. Równocześnie powiało dokoła ciepło, ożywe technienie, a pod tem technieniem wierzchołki drzew w lesie wydały szum przeciągły, któremu zawtórowały kłosa na łąnie. Zbudzone tym radosnym sygnałem ptaszki jeden za drugim wzbijały się z wesołym świegotem w górę, a wszystkie te szumy i odgłosy zdawały się zlewać w wielki hymn radości na cześć tej dobroczynnej siły, niesącej światło i życie.

— Czy to nie piękny, czy to nie wspaniały widok! — wołał Henryk.

Las ciągle szumił i kłosa szemrały.

Już też od strony wioski dolatywały odgłosy życia. Wypędzano owce i bydło na pastwisko, gromadki ludzi z sierpami zawieszonymi na ramionach, przesuwały się drogą, spiesząc do żniwa.

Młodzież z Polanki okrążyła część lasu i wróciwszy do drogi, szła dalej, kąpiąc się w promieniach słońca, nad słuchując świegotu ptaszek i szumów polnych, oddychając pełną piersią świeżym technieniem poranka. Wtem dziewczynki szepnęły coś pomiędzy sobą i nagle zabrzmiała pieśń dźwięczna, uroczysta: „Kiedy ranne wstają zorze.” Chłopcy odkryli głowy i wszyscy śpiewali chórem, a pieśń płynęła daleko po rosie, aż podjęta przez gromadki wieśniaków, spieszących do pracy, rozległa się echem po całym przestworzu.

Rzeźwo, gwarno, wesoło, spieszyło młode towarzystwo z wycieczki; przed domkami w Polance wyczekiwały mamy, ciocie, ojcowie powracających, a Julinka w swojej żalobnej sukience, biegła z okrzykiem radości, z rozpostartymi rękami naprzeciw Ludwini, aby się jej rzucić na szyję i otrzymać pocałunek na dzień dobry.

Pani Skalska oczekiwała również na ganku swojej gromadki, a otrzymawszy od każdego dzień dobry, zaprosiła wszystkich na śniadanie. Nie potrzeba mówić z jakim spożyto je apetytem. Joasia, która przymuszała się zwykle do jedzenia, dziś aż się wstydziła, pijąc już trzecią szklankę mleka; spróbowała nawet razowego chleba i znalazłszy go doskonałym, zjadła sporą kromkę! A przytem tak szczerą wesołość widną była u wszystkich.

— Doprawdy, ten dzień bardzo przyjemnie rozpoczął się na Polance. I dziwna rzecz jak to jedno idzie za drugim. Joasia lekka, swobodna i wesoła, tak była wyśmienicie usposobioną, że przez cały dzień pomagała w zajęciach Zosi i nie nudziła się przytem ani trochę. Rwały truskawki i maliny, Zosia próbowała nauczyć Joasię zbierać śmietankę, co się Warszawiance ogromnie zabawnem wydawało, aż po kilku chybionych próbach posiadała tę umiejętność i z taką powagą zabierała się do tego, że aż pobudzała Zosię do śmiechu.

Innego znów dnia wysłała je pani Skalska we dwie pod opieką doświadczonej kucharki Józefy, po zakupy do miasta. A to chodzenie po sklepach za towarami, po rynku dla kupienia słoików i garnków, bawiło Joasię ogromnie.

— Ach! zapomniałam — zawołała nagle. — Moja Józefo, proszę, jeszcze kupić dla mnie cukru do tych konfitur, które z truskawek usmażę z Zosią, żeby ojczulkowi zawieźć do Warszawy. Jak Józefo myśli, czy jedna głowa cukru wystarczy?

— Głowa cukru na konfitury do jednych truskawek! — zawołała Józefo ze zdziwieniem. — A czy to tatuś panienki jest cukiernikiem?

— Mój ojciec cukiernikiem! Co też Józefo do głowy przychodzi? — zawołała burziona Joasia.

— Przepraszam panienkę, ale państwo sami nie przedliby przecież takiej masy konfitur z samych truskawek, choćby nawet najwięcej gości przychodziło.

Na szczęście w tę rozmowę wdała się Zosia i wyłomaczyła towarzysze, że głowa cukru wystarczy do wszystkich konfitur i soków, jakie będą smażyć do Warszawy, a Joasia była bardzo zadowolona, że się rozstała z tą nieładną Józefą, która ojca jej wzięła za cukiernika, gdy więc ona poszła w inną stronę, panienki pobiegły do sklepu załatwić sprawunki.

W sklepie utrzymywanym przez jakąś bardzo przyzwyczajoną panią, załatwiły się prędko, ale na nieszczęście niektórych przedmiotów zabrakło lub nie były w żądanych kolorach, a Zosia zadecydowała, że trzeba tego poszukać u żydów w sklepie. Pobiegła więc tam żywo, a Joasia trzymała się jej jak cień i dziwiła w duchu, jak ta Zosia umie być śmiałą i radzić sobie doskonale.

— Po czemu łokieć tej wstążki? — pytała Joasia, znalazłszy potrzebną sobie wstążeczkę.

— Po dwadzieścia sześć groszy — odpowiedział kupiec.

— To proszę odmierzyć sześć łokci, i sięgnęła do wstążeczki.

— Joasiu! — zawołała Zosia po francusku do swej towarzyski — przepłaciłaś tę wstążeczkę; w takim jak ten sklepie trzeba się targować.

— Tak! — wyrzekła ze zdziwieniem Joasia — nie wiedziałam o tem... Kupując drugiej, potarguję się dobrze.

— A ta wstążeczka po czemu? — spytała kupca.

— Ta? po dwadzieścia cztery grosze.

— To jest za drogo, ja tyle nie dam — odpowiedziała z miną uroczystą.

— A ile daje panienka? — zapytał grzecznie kupiec.

Joasia znalazła się w ogromnym kłopotcie, podniosła wybitający wzrok na Zosię, a w końcu wyrzekła po namyśle:

— Ośmnaście groszy.

— Nie mogę oddać ze stratą — wołał kupiec — taka słiczna wstążeczka, a co za gatunek; jak dla panienki ustąpię po dwa grosze na łokciu.

Ale Joasia, która postanowiła się targować, odpowiedziała znowu:

— Nie dam tyle stanowczo.

— Więc po ile? niech usłyszę!

— Zosiu! — szepnęła Joasia w języku francuskim — czy można grosz jeszcze postąpić?

Zosia skinęła głową.

— Dam po dziewiętnaście groszy.

— Nie mogę! na sumienie nie mogę, wolę całkiem nie sprzedać — zaklinał się kupiec.

— Zosia znów przesłała znak oczami swojej towarzysce, która zawołała rezolutnie:

— Jeżeli pan kupiec nie weźmie po dwadzieścia groszy, to nie kupię.

Równocześnie zaś w duszy uczuła podziw nad swoją własną odwagą i śmiałością.

— No, co mam robić? — zawołał z uśmiechem kupiec — muszę być stratny, żeby panience wygodzić.

Odciał żądaną ilość łokci, zawiązał pakunek i pożegnał ukłonem dziewczątka.

Joasia wychodziła ze sklepu z uczuciem wielkiego tryumfu. Nie mogła się nacieszyć zaletami nabytego sprawunku i jego taniością.

— Nie, stanowczo, tak ładnej wstążeczki nie spodziewałam się tu dostać. Ale to rzeczywiście trzeba się umieć targować.

Dziewczęta biegły trotuarem ożywione.

— Wiesz o czem ja jeszcze zapomniałam? — zawołała Zosia z przestrachem prawie.

— Co takiego?

— Zabrać z księgarni Wieczory Florenckie dla Ludwini.

— To nie! — rzekła Joasia — pobiegnijmy szybko z powrotem.

Tak też uczyniły. Wbiegły do księgarni, zabrały książeczkę, którą Joasia poniosła, gdyż Zosia była już obciążona koszyczkiem i biegły żywo z powrotem, aby się nie narazić na zrzęczenie Józefy.

Dochodząc hotelu, w którego stajniach były umieszczone konie z Polanki, ujrzały z przeciwnej strony zdążającą Józefę, a za nią Pawła z całym brzemieniem sprawunków na barkach.

— A to się panienki doskonale pilnowały — zawołała Józefo. — Paweł zaraz zakłada konie i jedziemy.

W niespełna pół godziny potem znalazły się z powrotem na Polance.

Tutaj zaczęły zdawać sprawę z załatwionych interesów, a Joasia opowiadała z wielkim ożywieniem jak się to musiała targować w sklepie, żeby nie przepłacić. Wszystkie panienki chwaliły bardzo kolor wstążeczki i dziwiły się jej taniści. Joasia była bardzo z siebie zadowolona.

(d. c. n.)

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

PRESC: Ogrody watykańskie przez E. Jankowskiego (z ryc.) — W otchłaniach morskich przez dr. M. Stefanowską. — Niedźwiedź, powieść z XVI w. przez Zuzannę Morawską. — Złodziej palmowy (z ryc.) — Klewań (z ryc.) Na polance, powieść przez E. Jerlicza. — Dodatek: Trzej przyjaciele, wiersz przez Maryę S. — Przesady, komedyjka w jednym akcie. — Gołąbek Bożenny. — Zamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

WIECZORY RODZINNE

TRZEJ PRZYJACIELE.

Ej miły Filusiu, ej, piesku mój mały,
Ja, ufam w twą wierność prawdziwą,
Ty w biedzie i w nędzy zostaniesz mi, stały,
Zachowasz mi przyjaźń życzliwą!
Osiołku, ty, do mnie swój siwy łeb tulisz,
I patrzysz łagodnie oczami,
Tak łasisz się ku mnie, tak ku mnie się czulisz,
Bo zgoda i przyjaźń jest z nami.
Ja wierzę dziś silnie swą duszą dziecięcą,
W twe dla mnie czułości dowody,
I cenię tę przyjaźń, choć przyjaźń zwierzęcą.
Lecz kiedyś, gdy przyjdzie wiek młody,
To serc ja szlachetnych poszukam wśród świata,
I swoje im oddam w ofierze,
Z kim przyjaźń prawdziwa, szlachetna mię zbrata,
To silnie i wiecznie i szczerze.

Marga S.



PRZESADY.

KOMEDYJKA W JEDNYM AKCIE.

OSOBY.

PANI BRUDZESKA babunia.
ANDZIA |
LORCIA | jej wnuczki.
STAŚ, brat cioteczny panienek.
ZUZIA, służąca.

Rzecz dzieje się w mieście w domu babuni.

(Scena przedstawia pokój jadalny, drzwi w głębi. Na lewo stół i krzesła, na boku kredens, na nim filiżanki, miseczki i t. p. Na prawo okno).

SCENA I.

Andzia siedzi przy oknie zajęta robotą; Lorcja wbiega, trzymając w ręku ędźbło słomy.

LORCIA. Patrz-no tylko, Andziu!
ANDZIA. Co takiego? Co tam masz?
LORCIA. Słomka leżała we drzwiach na progu.
ANDZIA. Cóż w tem dziwnego?

Dodatek do N-ru 6 – 1898 r.

LORCIA. Nie wiesz, że to zapowiada gości? A gdy jest kłós przy słomie, jak tu właśnie, to gościem tym będzie niezawodnie pan jakiś. Ciekawą jestem kto też przyjdzie?

ANDZIA. Dajże pokój tym niedorzecznym zabobonom.

LORCIA. Zobaczysz, że przepowiednia się sprawdzi. Przed chwilą upadło mi pióro na ziemię i ostrym końcem utkwilo w podłodze; to także zwiastuje gości, a podwójne znaki nigdy nie zawodzą.

ANDZIA. Wiesz przecie, że nie podzielam twych przesądów.

LORCIA. A jednak zobaczymy kto ma słuszność! *(słychać dzwonek).* A co! nie mówiłam! Goście idą!

ANDZIA. Pewno jaki żebrak dzwoni.

SCENA II.

(Poprzedzające i Zuzia w barwnem ubraniu wiejskiem trzyma coś ukrytego pod fartuchem).

ZUZIA. Ach moje drogie panienki! jakieś szczęście!

LORCIA I AŃDZIA. Co się stało? mów prędko!

ZUZIA. Niech się panienki znowu tak bardzo nie straszają!

LORCIA. Powiedzże nam, powiedz Zuziu, co tam takiego?

ZUZIA (*dobywa z pod fartucha telegram*). A no, telegram przyszedł, pewnie kto zachorował albo umarł!

AŃDZIA. Dla czego zaraz najgorsze przypuszczasz? (*bierze telegram*). Wolę go sama rozpieczętować i przeczytać, bo jeśli broń Boże co złego, babcia mogłaby z przetrachu zachorować.

LORCIA. Tak, tak, przeczytajmy najpierw same. Pewna jestem, że musiało się co złego przytrafić. Pies wył w nocy, a to zawsze czyjąś śmierć zapowiada.

AŃDZIA. Znowu te przesady! (*czyta telegram*) „Staś dziś do was przyjeżdża o 5-tej. — Wuj Stefan.

LORCIA (*wesoło*). Staś, kochany kuzynek przyjeżdża! co za radość! (*do Ańdzi*). Widzisz, nie mówiłam, że będziemy mieli gości! że odwiedzi nas pan jakiś, a nasz Stach ma już lat 13, to go za pana uważać można. Chodź prędko, musimy babuni zaraz o jego przybyciu powiedzieć. Ale otóż i ona.

SCENA III.

Ciż sami i PANI BRUDZESKA.

PANI BRUDZESKA (*siwa staruszka w czepeczku*). Co tak u was głośno moje dzieci?

LORCIA. Cieszymy się, babciuniu, bo Staś przyjeżdża.

AŃDZIA. Wujek telegrafował, że Staś przyjedzie pociągiem przychodzącym o 5-tej (*podaje telegram*).

PANI BRUDZESKA. Lada chwila zatem chłopca oczekiwać można. Pewno będzie zziębnięty po drodze. Spieszcie się dzieci, przygotujcie podwieczorek.

AŃDZIA. Żeby tak jaką niespodziankę urządzić na jego powitanie?

LORCIA. Mam już w głowie projekt gotowy, byle tylko babunia zezwoliła.

PANI BRUDZESKA. Czemuż nie miałabym zezwolić, jeśli twój projekt nie przyczyni kosztu i kłopotu?

LORCIA. Nie przyczyni nic złego. Oto w pokoju Stasia przybijemy podkowę na progu.

PANI BRUDZESKA. Co?... podkowę, a to na co?

LORCIA. Czy babunia nie wie, że to szczęście przynosi.

PANI BRUDZESKA. Widzę, moje dziecko, że nie pozbędiesz się nigdy tych nieszczęsnych przesądów. Porzuć twój zamiar nedorzeczny, a zajmij się lepiej nakryciem stołu. Zuzia niech idzie po ciastka.

AŃDZIA (*dobywa z kredensu obrus i filiżanki*). Za ile babunia każe przynieść ciastek?

PANI BRUDZESKA. Będzie dosyć za dwa złote; nie wiem tylko czy mam tyle drobnych (*wyjmując portmonetkę, upuszcza pieniądze, które z brzękiem rozsypują się po podłodze*). Jakżem niezręczna! pobieraj Zuziu.

LORCIA (*podbiegając i wstrzymując Zuzię. Zaczekaj! wycze nogami po pieniądzech*).

PANI BRUDZESKA. Co ty wyprawiasz?

LORCIA. Alboż babunia nie wie, że kto nie podepcze pieniędzy, temu bieda wprędce dokuczy.

PANI BRUDZESKA (*tonem nagany*). Znowu twe nedorzeczości, Lorciu! (*do Zuzi która tymczasem pobierała pieniądze*). Czy masz wszystkie pieniądze?

ZUZIA. Do dwóch złotych brakuje jeszcze trzech groszy.

PANI BRUDZESKA. Która z was dziewczynki ma trzy grosze przy sobie, niech daje prędko, bo Staś może nadjechać.

AŃDZIA. Widziałam dzisiaj trzygroszniak w twoim woreczku, Lorciu.

LORCIA (*z niechęcią*). Tak... ale..

PANI BRUDZESKA. No, cóż znowu, podaj pieniądz, bo Zuzia czeka!

LORCIA. Ja tego właśnie pieniązka dać nie mogę, babuniu, znalazłam go, a znalezionych pieniędzy nie należy wydawać, bo one szczęście przynoszą.

PANI BRUDZESKA. Niepoprawną jesteś dziewczynką, moja Lorciu, zasługujesz, bym ci wcale ciastek nie dała (*słychać dzwonek*). Pewno Staś przyjechał. Zuziu, pomóż znieść rzeczy, a potem idź prędko na miasto!

SCENA IV.

Ciż sami i Staś w podróżnym ubraniu.

STAŚ. Jak się kochana babunia miewa (*całuje ją w rękę*); witam was moje drogie siostrzyczki, (*całuje każdą z kolei*).

PANI BRUDZESKA. Jaki duży chłopiec z siebie wyrósł, Stasiu, od czasu jak cię nie widziałam. A jakże to pocziwie z twojej strony, że przyjechałeś odwiedzić starą babcie.

STAŚ. Rodzice chcieli mi zrobić jakąś przyjemność za dobrą cenurę, prosiłem więc, żeby mi wolno było odwiedzić babunię i siostrzyczki. Dobry ojezulek zezwolił chętnie, tylko był w kłopotie pod czyją opieką mnie wyprawić; wytłomaczyłem mu jednak, że trzynastoletni chłopiec i do tego czwartoklasista sam sobą zaopiekować się potrafi, i jak babunia widzi, przyjechałem szczęśliwie. Cóż, czy rade mi jesteście, kuzyneczki?

LORCIA. Czyż możesz o tem wątpić, chociaż byłbyś lepiej zrobił, gdybyś nie dziś, lecz jutro wybrał się w drogę.

STAŚ. A to dla czego? Czy dziś przeszkadzam?

LORCIA. Nie, tylko dziś piątek, dzień fatalny, a w takie dni niebezpiecznie puszczać się w podróż.

PANI BRUDZESKA. Znowu występujesz ze swemi nedorzeczościami! (*do Stasia*). Siadaj Stasiu, pij kawę póki gorąca, pewnie musisz być głodny i zziębnięty. Zuzia zaraz przyniesie ciastka.

SCENA V.

Ciż sami, Zuzia podaje talerz z ciastkami i odchodzi.

PANI BRUDZESKA (*odebrawszy ciastka, przysuwa je bliżej Stasia*). Bierz i posil się, chłopcze.

STAŚ. Dziękuję babuni, ale nie wypada mi brać przed damami. (*Podaje ciastka babci, która odmawia, potem przysuwa je Lorci*).

LORCIA. Nie mogę ciasta zapocząć, musiałabym siedm lat siedzieć na koszu.

STAŚ. Byłoby to nie lada zmartwienie wobec twoich lat jedenastu. Wybawię cię od tego niebezpieczeństwa. (*kraje sobie kawałek plaćka*).

PANI BRUDZESKA. Gdzie pomieścimy Stasia? może w tym małym narożnym pokoju?

STAŚ. Wszędzie, gdziekolwiek mnie babunia umieści, spać będę, zwłaszcza dziś po podróży.

LORCIA. Uważaj, co ci się przyśni, bo sen ten sprawdzi się niezawodnie.

STAŚ (*śmiejąc się*). Czy przywiązujesz do tego wiarę, Lorciu? To może, w wigilię ś. Andrzeja topisz cynę, spuszczasz jajka na wodę i urządzasz tym podobne wróżby.

LORCIA (*poważnie*). Znam lepsze jeszcze przepowiednie. W noc noworoczną pod poduszkę położyć trzeba woreczek maku, a cała przyszłość wyśni się jak na dłoni.

PANI BRUDZESKA. Moja Lorciu, już na samym wstępie częstujesz Stasia swemi przesądami!..

AŃDZIA. Już ciemno się robi, czy nie zapalić lampy? LORCIA (*zrywa się prędko*). Poczekaaj, pójdę się tem zająć! (*Postępuje parę kroków i z krzykiem ręką zakrywa oczy*).

AŃDZIA. Co ci się stało?

LORCIA (*wskazuje na okno*). Księżyc na nowiu, a ja na niego przez okno spojrzalam.

AŃDZIA. Cóż w tem złego?

LORCIA. To wróży nieszczęście. Na księżyc tylko na otwartem powietrzu śmiało spoglądać można.

PANI BRUDZESKA (*surowo do Lorci*). Dość tych bredni Lorciu, niedorzecznościami twemi wyczerpałaś moje cierpliwość. (*Lorcja wychodzi*).

(*d. n.*)

GOŁĄBEK BOŻENNY.

(Dalszy ciąg)

Targ się rozpoczął; cygan żądał znacznej sumy, dowiedziawszy się jednak, że pan ten jest właścicielem miasteczka i wszystkich dokoła włości, spokorniał i przystał na ofiarowaną mu kwotę pieniędzy.

Z wdzięcznością całowałem ręce mego dobroczyńcy, przyrzekając, że będę mu wiernie służył do śmierci. Kazano mi sięść na konia przy jednym ze służących i w ten sposób pojechaliśmy dalej. Pan mój, zamożny bojar na Wołoszczyźnie, zamieszkiwał dobra swoje na pograniczu, gdzie bywał często narażony na napady ciągnących do Polski lub Rusi Tatarów, Zamek jego z basztami, na wyniosłości wśród lasów położony, otoczony wałem, rowami, z mostem zwodzonym miał pozór małej fortecy. Dla obrony od nieprzyjaciela bojar utrzymywał milicję nadworną, obok licznej służby, w najrozmaitszy sposób z turecka, tatarska, wołoska, a nawet z polska przybranej.

Gdyśmy przed zamek zajechali, wyszedł na nasze spotkanie marszałek dworu, poważny, z siwą brodą starzec, któremu pan mój oddał mnie w opiekę, z rozkazem, że przeznacza mnie do swoich osobistych usług. Był to ze stony bojara dowód niemałej łaski, którą zawdzię-

czałem może współczuciu, jakie obudziło w nim moje opowiadanie i przypuszczenie, że pochodzę ze szlacheckiej węgierskiej rodziny. Służba moja ograniczała się na tem, abym był od rana do wieczora na pokojach pańskich, towarzyszył bojarowi we wszystkich wycieczkach i w każdej chwili był gotowym do posyłki, czy to listu pilnego, czy cennego podarku. Było nas kilku takich pokojowców na dworze mego pana, ale w niedługim czasie posłuszeństwem, zręcznością, i uwagą, zyskałem sobie szczególne jego względy i zaufanie. Zjednałem też sobie serce miejscowego kapelana, który, widząc chęć moją do nauki, nauczył mnie czytać, pisać, a potem udzielał książek, które w chwilach od służby wolnych cheiwie czytywałem. Tak ubiegły mi całe cztery lata na dworze bojara. Jakże wydawały się mi szczęśliwe w porównaniu, z latami spędzonymi w obozie cygańskim, gdzie tyle doznałem krzywd i prześladowań, zwłaszcza od chwili śmierci mojej dobrej Bogny. Nie przykrzyły mi się bynajmniej zajęcia pokojowca, czasami tylko napadała mnie tęsknota za nieznanym mi domem rodzicielskim, za pieścizną matki, której niewyraźne wspomnienie zachowałem w duszy. Nieraz też na widok kobiety pieścizną dzieci swoje, płakałem gorzko ukryty w kącie, choć mimo tego nie przestawałem dziękować Najświętszej Pannie za zmianę zaszłą w mem życiu.

Nagle niby grom z nieba, rozeszła się wieść o naciągającej w nasze strony hordzie tatarskiej. Nie pierwszy to już raz lud okoliczny miał paść ofiarą strasznej tej klęski, jaką jest napad Tatarów, którzy porywają dobytek cały i uprowadzają jeńców w ciężką niewolę, czyli jasyr.

Chcąc uchronić swych poddanych od tak wielkiego nieszczęścia, pan mój zebrał hufiec walecznego rycerstwa i własnych pacholków i wyszedł na spotkanie wroga. Nazbyt młody jeszcze, i nieświadomy użycia broni, miałem pozostać w domu; póty wszakże błagałem pana mego, aż mi pozwolił towarzyszyć sobie w lekkiej zbroi na małym koniku.

W odległości zaledwie kilku mil od zamku, ujrzelśmy cinę tatarską, zalegającą niby szarańcza drogi i okoliczne pola. Nie znałem jeszcze czem jest podobna walca, więc śmiało wysunąłem się naprzód tuż obok samego bojara, którego twarz zasępiła się ponuro na widok licznych zastępów nieprzyjaciół, a małej tylko garstki własnego rycerstwa.

Mimo to ze spokojem doświadczonego wodza wydał potrzebne rozkazy a przeżegnawszy nas krzyżem świętym zawołał!

— W Imię Boże naprzód!

Niebawem, straszny rozpoczął się bój. Tatarzy przyjęli nas dzikim okrzykiem i tysiącami ostrych strzał. Ranni i zabici padali w około. Nieprzyjaciel jednak zrazu ponosząc cięższe straty, starał się otoczyć nas zewsząd, by tym łatwiej zgnębić. Gdy to spostrzegło rycerstwo nasze, wnet w najwyższym popłochu rzuciło się do ucieczki. Daremnie pan mój usiłował nawrócić zbiegów, daremnie choć opuszczony od swoich dokazywał sam cudów męstwa. Celnie wymierzony strzał powalił go z konia. Choć ogłuszony straszną wrawą, i przejęty okropnym widokiem bitwy, zostawałem wciąż przy jego boku. Spiesznie więc zeskoczyłem z mego wierzchowca, by mu dać jakąkolwiek

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



W OTCHŁANIACH MORSKICH

PRZEZ

Dr. M. Stefanowską.

(Dalszy ciąg).

Począwszy od 1861 roku, przyrodnicy wszelkich narodowości rozpoczęli systemacznie badać dno morskie na rozma-

tych obszarach, a zabiegi ich wkrótce uwieńczone zostały świetną nagrodą, wydobywali bowiem z dna morskiego tłumy nieznanych dotąd zwierząt, a zoologii przybywały wciąż nowe gatunki.

Uczeni skandynawscy pierwsi weszli na tę nową drogę badań. Już w 1853 roku Absjorn Absjornssen, poeta a zarazem przyrodnik norweski, wydobył z głębiny 360 metrowej prześliczną nową gwiazdę morską, którą nazwał *Brisinga*. Później znajdowano tę gwiazdę w Atlantyku i morzu Śródziemnym, a za każdym razem wprawiała ona w zachwyt przyrodników, którzy byli obecni przy jej wydobywaniu z morza. Byli tak uderzeni pięknnością owej gwiazdy morskiej, iż wyczerpali dla niej listę wszelkich nazw poetycznych.

Następnie kilku innych wybitnych przyrodników poświęciło się badaniom nad zwierzętami, żyjącymi na dnie morza u wybrzeży Norwegii, a chociaż badania te były prowadzone na niewielkim obszarze oceanu, jednakże obfite były w rezultaty, dowiodły one:

Po pierwsze, że w głębinach morskich żyje wiele zwierząt;

Po wtóre, że to są gatunki odmienne od tych, które żyją u wybrzeży;

Po trzecie, między zwierzętami głębinowymi odkryto takie, o których myślano, że już dawno wyginęły, gdyż znajdowano je dawniej tylko między wykopalinami.

Zdobycze naukowe skandynawskie zrobiły wiele rozgłosu w świecie uczonych i zachęciły do rozpoczęcia podobnych badań w innych krajach. W Anglii dwaj profesorowie, Wyville Thomson i William Carpenter, powzięli śmiały zamiar systematycznego badania wielkich głębin oceanu. Dzięki swym staraniom otrzymali od rządu stary statek wojenny *Lightning* (Błyskawica), który nie był już zdatny do użytku wojennego; niedługo też służył i nauce.

Lightning opuścił port Pembroke 4 sierpnia 1868 roku. Prace tej pierwszej wyprawy polegały na eksplorowaniu głębin morskich, leżących między Szkocją a wyspami Faroerskimi. Po upływie sześciu tygodni statek musiał zawinąć do portu, gdyż wskutek starości nie mógł już dłużej opierać się złej pogodzie. Atoli rezultaty tej pierwszej wyprawy naukowej były nader pomyślne. Potwierdzono dawne odkrycie Brooke'a, że dno Atlantyku istotnie pokryte jest drobnymi zwierzętami, a wśród tego mułu

kryły się gąbki krzemionkowe o przesłicznym kryształowym szkielecie.

Podczas wyprawy *Lightninga* wykryto również, że dno morza bynajmniej nie posiada stałej i jednakowej wszędzie temperatury 4° stopni, jak to sobie przedstawiano przy porównaniu morskiej wody z wodą słodką. Okazało się bowiem, że w głębinach, mających około 1500 metrów, temperatura wody miewać może od +6° do -1°, 5 stopni *). Widać z tego, że w głębokich obszarach wodnych obok prądów ciepłej niemal wody, mogą przebiegać zimne prądy.

Nie powinno nas to dziwić również, że przy -1°, 5 stopni woda morska nie zamarza, chociaż wiemy, że woda w rzekach marznie już przy 0° stopni. Fizyk francuski Depretz wykrył już oddawna, że słona woda, a zwłaszcza woda morska, utrzymuje się w stanie płynnym przy temperaturze znacznie niższej niż woda słodka. W morzu najgłębiej leżące warstwy wodne są najzimniejsze, a temperatura ich w morzach podbiegunowych spadać może niżej zera.

Tak więc wyprawa *Lightninga* zupełnie się powiodła i to skłoniło rząd angielski do wydania przyzwolenia na nową wyprawę. I oto 18 maja 1869 r. komisya angielska pod przewodnictwem Gwyn Jeffreys'a wyjechała na okręcie *Porcupine*. Tym razem był to okręt odpowiedni do podróży naukowej, zaopatrzony w dokładne przyrządy, niezbędne przy badaniach dna morskiego.

Tegoż lata *Porcupine* odbyła aż trzy podróże; podczas pierwszej sondowano morze u wybrzeży Irlandyi. Komisya zamierzyła nie tylko przekonać się, czy dno morskie jest zaludnione, ale prócz tego zbadać, jak żyją zwierzęta w głębinach. Należało tedy poznać chemiczny skład wody morskiej, to jest określić ilość gazów i soli w niej rozpuszczonych, oraz poznać dokładnie temperaturę głębin. Dla tego też oprócz zoologów w wyprawie tej wzięli udział fizycy i chemicy.

Podczas pierwszej podróży *Porcupina* największa głębia, do której sieć (*drage*) spuszczone, miało 2247 metrów. Wszędzie znaleziono nader obfitą faunę, zwłaszcza mnóstwo otwornic i mięczaków.

Wówczas Wywille Thomson postanowił zrobić decydujące doświadczenie i wykonać połów w najgłębszych miejscach tej części Atlantyku. Była to druga podróż *Porcupina* 22 czerwca; śmiało spuszczone sieć na 4465 metrów głębokości, na środku Atlantyku, naprzeciwko Bretanii, sieć ciągnięto przez 11 kilometrów, i po siedmiu godzinach wyciągnięto ją na pokład okrętu. Sieć zawierała wiele mułu oraz mnóstwo zwierząt kręgowych, należących do rozmaitych grup zwierzęcych.

Ostatecznie tedy zdecydowano, że wielkie głębie morskie są zamieszkałe i że nie istnieje żaden kres, powstrzymujący rozpowszechnianie się życia aż do najciemniejszych otchłani.

Podczas trzeciej podróży okręt *Porcupine* udał się do wysp Farøer, aby za pomocą udoskonalonych narzędzi sprawdzić te wiadomości jakie przywiózł *Lightnig*. Mierzono temperaturę głębokich warstw wody i znaleziono prawie to samo co poprzednio. Napotkano prądy wody, mające temperaturę 9° do 10° stopni, a obok nich prądy zimne o temperaturze 0° do 2° stopni. Te ciepłe i zimne prądy biegły obok siebie, nie mieszając się bynajmniej, jak gdyby dzieliła je jakaś niewidzialna ściana.

(d. c. n.)

*) + 6° znaczy 6 stopni ciepła, — 1° 5 znaczy półtora stopnia zimna.

NIEDŹWIEDŹ

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

P. Zuzannę Morawską.

(Ciąg dalszy).

A pan Opaliński szepnął mu na ucho:

— Nie bądź taki krewki i nie rób burdy w przytomności jego królewiczowskiej mości, bo się możesz na areszt o chlebie i wodzie, a nawet i dyby narazić.

Królewicz zaś spostrzegłszy, że pan Opaliński coś szepcze Kazikowi i domyśliwszy się admonicyi, boć chociaż młodzieńczyk, obeznany był z dworskimi obyczajami, przystąpił zaraz, a podnosząc głowę, zawołał:

— Mości ochmistrzu, daruj winę Niedźwiedziowi, on chciał mnie obronić!

Pan Opaliński się uśmiechnął, skinął głową i rzekł:

Pójdziemy się ubierać i w drogę!

I dał znak, ażeby się wszyscy rozeszli, a wskazując ręką przyboczną komnatę, przynaglał Zygmunta, aby szedł co prędzej i sam za nim tuż postępował.

Mimo wszelkiego pośpiechu, świt zimowy zaglądał do zamarzniętych wąskich okien zamkowych, nim ochmistrz wraz z królewiczem wyszli z sypialni.

Pan Ignacy występując w roli gospodarza, nie chciał krewniakowi swemu i panu despektu uczynić, a dom kasztelana zakroczymskiego brakiem gościnności zozydzić, kazał więc sute zastawić śniadanie.

Nie brakło ani polewki z piwa gęsto serem i jajami zaprawnej, i placka makiem przewijanego, i kaczki jałowcem nadziewanej, owoców i orzechów w miodzie osmażanych i wielu innych przysmaków.

Pan Opaliński niechętnie na ten poczęstunek przystawał, nie mógł jednakże odmówić, ani serdecznemu zaproszeniu marszałka zakroczymskiego zamku, ani też prośbom królewicza, któremu pobyt w gościnnym domu, wśród serdecznego otoczenia działwy bardzo zasmakował.

Lecz gdy Zygmunt wszedł do jadalnej komnaty i przy blasku kominkowego ognia, walczącego o lepsze z zagładającym do okien światłem dnia, rozejrzał się po niej, zaraz zapytał:

— Czemu niema Jadwisi i Anusi?

— Mości ochmistrzu, pozwól niech przyjdą! — dodał swym dźwięcznym, dziecięcym głosem, zwracając się do pana Piotra.

Ale nim ten zdążył odpowiedzieć, siniora Alenini przybiegła do królewicza, i wiążąc mu pięknie wyszywaną serwetę pod brodą, rzekła:

— Nie można, nie można!

— Jestem pod opieką pana kasztelana gnieźnińskiego, mego ochmistrza — odparł z kwaśną miną Zygmunt!

I spojrział błagalnie na pana Piotra.

W tej chwili pan Ignacy przystąpił i z niskim ukłonem zapytał:

— Jaśnie wielmożne kasztelanki zapytują, czy mogą pożegnać jego królewiczowską mość.

— Ach, niech przyjdą, niech przyjdą! — zawołał, klaszcząc w dłonie Zygmunt.

Nie było więc rady, trzeba było uleść dobremu z natury, lecz rozpieszczonemu i samowolnemu dziecku.

— Pójdźcie, pójdźcie! — wołał na kłaniające mu się ode drzwi wystrojone przez panią Antoniovą, jak przystało, dziewczynki, i siadając sam przy stole, zawołał:

— Jadwisia po jednej, Anusia po drugiej stronie.

Siadł też zaraz pan Opaliński, ażeby zwracać uwagę na zachowanie się królewicza przy jedzeniu, naprzeciwko unieściła się siniora, ażeby znowu każdy ruch swego wychowanka obserwować.

— A gdzie Niedźwiedź? — zapytał Zygmunt — przecież to mój dworzanin, powinien mi usługiwać.

Na ten rozkaz, Kazik stanął za stołkiem swego młodego pana.

Królewicz z wielkim apetytem spożywał podawane mu przysmaki, nie zwracając uwagi na wykrzywanie się siniory, która prawie nic nie jadła.

Dopiero kiedy wniesiono jajecznicę z kiełbasą, małe jej czarne oczki zabłysły radością i wdzięcznie zawołała:

— La frittata!

I nałożywszy ilość wielką na talerz, raczyła się z wielką chciwością ulubionym przysmakiem.

Wreszcie zajęchała królewska kolasa, stanął zadowolony z gościnnego przyjęcia poczet, a królewicz ubierając się w ciepłe futerko, które trzymał Kazik, zapytał:

— A ty Niedźwiedziu, czemu nie jesteś gotów?

Kazik zaczerwienił się po uszy i nie wiedział co odpowiedzieć; wyręczył go pan Opaliński:

— Bez pozwolenia najjaśniejszego pana, króla i ojca, nie wolno nam nikogo do swego dworu przyjmować.

— I bez pozwolenia matki królowej — dodała siniora.

— A też i Kazik nie może domu opuszczać bez zezwolenia jaśnie wielmożnego kasztelana zakroczymskiego, a swego stryja — rzekł układnie, stojący na uboczu pan Ignacy.

— Ale wy przyjedziecie do Krakowa? — zapytał królewicz, zwracając się do chłopców. A potem dodał.

— A jak przyjedziecie, przyjdźcie do mnie, będziemy się bawili.

I podbiegłszy do kasztelanki, pocałował każdą z nich w zarumienione, jak róże policzki, Anusia jednak nie straciła rezonu, lecz dygnawszy, rzekła:

— Naładowałam tutaj pierniczków, weź to na drogę!

Pani Antoniova za to nieprawidłowe wyrażenie się dziewczynki, skarciła ją wzrokiem, lecz Anusia jakkolwiek nieco się zawstydzila, podała jednak Zygmuntowi duże pudełko lubowe, które zaraz siniora z rąk jego pochwyciła.

— Tylko niech siniora sama nie zje — zaśmiał się królewicz.

I nagłony przez pana Piotra wyszedł na podsienie, a gdy go wreszcie usadzono w kolasię i owijano nogi futrem, Zygmunt zawołał:

— To skóra Niedźwiedzia, a w czym on będzie teraz chodził! A potem dodał:

— Przyślę ja wkrótce po ciebie!

III.

— Do porządku, do porządku! — nawoływał pan Ignacy gwarzących o królewicu i całym jego otoczeniu dworzan.

— Do porządku! — wołała pani Antoniova. Bo chociaż dwór niewieści nie widział dostojnego gościa, chętnie jednak o nim i jego otoczeniu gawędził. Przypominano więc sobie rozmaite szczegóły z toalety siniory i dwóch jej służebnic; powtarzano odzywianie się siniory po polsku, w przekręcony sposób i bawiono się, naśladując jej ruchy. Powtarzano też i wyrażenia włoskie, nie rozumiejąc ich zgoła, przekręcając w najśmieszniejszy sposób.

Zapamiętano najlepiej „la frittata”, bo chłopiec pokojowy przyniósł to wyrażenie do kredensu i z właściwym gestem pokazywał, jak sobie nałożyła na talerz i mrugając oczami chciwie zajadała.

„La frittata” z kredensu poszła do kuchni, a ktokolwiek co jadł, zaraz wołano:

„La frittata”! Inni przekręcali na *frikata*, w końcu powtarzano frykasa, aż się powoli utworzył frykas!

O małpcę też opowiadano najpociesniejszą rzecz. Ci co ją widzieli, czuli się w obowiązku od siebie jeszcze coś dodać o ruchach i skokach, których Bartholo nigdy nie wykonywał ani też mógł wykonać.

Doszło nawet do tego, iż mówiono, że małpka nie tylko naśladowała ruchy ludzi, ale nawet powtarzała wyrazy, przekręcając je po swojemu,

— Iście jak siniora! — dodawano.

Tylko stróż kręcił głową i z niedowierzaniem przysłuchiwał się opowiadaniu, mrużąc od czasu do czasu:

— Juści, małpka! Te zamorskie ludzkie tak umieją otumanic człowieka, że widzi jeno to, co mu każą... Ale ja nie taki jako inni, i wiem, co to był sam dyabeł!

Wśród tych opowiadań każdy stał z założonymi rękami, a przygotowania na imieniny jaśnie wielmożnego kasztelana, przerwane przybyciem niespodziewanych gości, i teraz po ich odjeździe nie bardzo postępowały. Kucharz nawet i paszтетnik wraz z całym zastępem pomocników woleli słuchać opowiadania, co się działo ubiegłego wieczora i nocy w pokojach, niż piec i warzyć przysmaki dla mających przybyć gości. Nic więc dziwnego, że pan Ignacy i pani Antoniova, biegali teraz nawołując dwór cały do porządku. Każde z nich podwajało czujności, ażeby wynagrodzić czas stracony, bo jakkolwiek gość swym dostojenstwem honor przynosił ich chlebobodawcom, niemniej jednak nie w porę im przybył. Krzątał się też niepomału i pan Sulpicyusz i zaraz po odjeździe królewicza, wziął się do porządkowania wielkiej komnaty, w czem mu dopomagał z całą sumiennością zamyślony, i niezwykłe spoważniały Kazik, który na ten raz o swych figlach zapomniał. Nic więc dziwnego, że wśród przygotowań i zdwojonej krętaniny, nie spostrzeżono nawet, gdy około południa kolebka na saniach, wioząca jaśnie wielmożnego kasztelana i jego małżonkę, wjechała w podwórzec.

— Państwo jadą! państwo jadą! — podawano sobie z ust do ust, zwiększając gorliwość w robocie.

— Dobrze, że już wszystko mam w pogotowiu — rzekł pan Sulpicyusz, przybijając ostatni wieniec spleciony z świerkowych gałęzi.

— Teraz moich synków trzeba do reszty przygotować — dodał. I poszedł chyłkiem do oficyny, gdzie zastał już wszystkich swoich podwładnych, strojących instrumenta lub ćwiczących się w swojej sztuce.

Tymczasem dwór zakipiał znów gwarem i ruchem.

Gdy zaś podano obiad, do którego wraz z państwem siadały zwykle dzieci, Kazik, oraz ochmistrzyni i pan Ignacy, zaczęło się dopiero opowiadanie.

Dzieci, mimo całej karności, szczebiotały jedno przez drugie, nie zważając nawet na znaki dawane przez ochmistrzynią.

— Zaprosił nas do Krakowa — wołał Piotruś.

— Powiedział, żebyśmy zaraz do niego przyszli, gdy przyjedziemy — dodał Marcin.

— Ho, ho, toż to musi być miasto! — westchnął Jędrus.

— Dałam mu na drogę pełne łubko pierników — szczebiotała Anusia.

(d. c. n.)



Ile zjadamy i wypijamy w ciągu naszego życia?

Pismo przyrodnicze *Wszelch świat* w ostatnim numerze przedstawiło w bardzo widoczny i zajmujący sposób, ile zjadamy i wypijamy w ciągu całego naszego życia, jeżeli mamy zdrowy żołądek i Bóg nam pozwoli dożyć do lat 70. Zgroza ogarnia nas i zdumienie, gdy spoglądamy na ilości pokarmów wyobrażone na rycinach — i wierzyć nam się nie chce, że to prawda; ale statystyka, opierając się na obliczeniach przeciętnych, nie kłamie. Chleba naprzykład zjada człowiek dziennie funt, nie licząc różnego rodzaju ciast z mąki wyrobionych. W pierwszych 10-ciu latach życia zostawia część swego funta innym, ale potem wynagradza to sobie tak, że w ciągu całego życia spożywa 255 centnarów chleba. Gdyby tę ilość zebrać w jedną bryłę, do pomieszczenia jej byłby potrzebny pokój, zajmujący blisko 400 m. przestrzeni, a bryła owa przedstawiłaby się w stosunku do człowieka, jak na r

sunku. Niewiele mniejszą ilość zjadamy kartofli, a co do jarzyn, to ziarenka grochu nie pomieściłyby się w strączku mającym przeszło milę długości. Ilość marchwi jest trzy razy większą od rosnącego osła; sałatą moglibyśmy zasłać posadzki domu siedmiopiętrowego, nie mówiąc już o kapuście. Wół przedstawiony na rysunku, wyobraża ilość zjedanego przez

binie, żeby dać w przybliżeniu pojęcie o ilości tego co wypijamy, a co ma dochodzić do 51,100 litrów. Wiadomo zaś, że litr jest więcej niż kwarta. Ogólna zaś ilość pokarmów spożywanych łącznie z napojami, wyobrażona jest tutaj przez olbrzyma, przy którym stojący człowiek nie dosięga mu nawet do kostek. Znajdujemy we Wszechświecie jeszcze olbrzymi papieros i cygaro — ale że czytelnicy i czytelniczki należą do niepalących, więc rysunków tych nie podajemy.



Fig. 1. Chleb spożyty w ciągu życia i porównany z tym który go spożył.



Fig. 4. Dziesięć posągów wyobrażających ilość soli spożytej w ciągu życia w porównaniu do wielkości człowieka.



Fig. 2. Ziemniak — olbrzym.



Fig. 5. Ceber, który zawierałby ilość płynu wypitego w ciągu życia.



3. Wół zjedzony w ciągu lat 70. Dziecko siedzące na nim wyobraża stosunek człowieka do ilości spożytego mięsa.

mięsa, a dla lepszego uwydatnienia stosunku jego do owieka, narysowano na nim siedzące małe dziecko. Kto zjada dziennie tylko po 2 jaja, spożyje ich w ciągu życia 43,800. Aby to wszystko osolić, używamy dziesięć razy większej ilości tej cennej przyprawy, niż objętość naszego ciała. A cukier, owoce, masło, ser! Co do napojów, to trzeba było narysować olbrzymi ceber, na który się wchodzi po dra-



Fig. 6. W ciągu lat 70 człowiek zdrowy zjada i wypija 1280 razy swoją objętość.



Wnętrze grotty „Armand” w dep. Lozère we Francji.

GROTY STALAGMITOWE.

Do zjawisk niezmiernie ciekawych pod względem geologicznym, oraz malowniczych dla oka, należą bezwątpienia owe jaskinie i grotty podziemne, zdobne w kamienne sople, zwieszające się u stropu, lub wznoszące się od spodu, niby kolumny o różnorodnych kształtach, które z grecka stalagmitami i stalaktytami zowią. To też jeżeli podróźni narażają

się nieraz na znaczne trudy, by zwiedzić te miejsca, do których przystęp najczęściej bardzo jest przykry, samo poznanie warunków, w jakich te cuda przyrody powstały, budzi także zajęcie.

Jak to badania uczonych wykazały, próżnie takie, czyli grotty, znajdujące w skałach wapiennych, utworzyły się bądź w skutek powolnego wymywania przez podziemne źródła, bądź też przy gwałtownych wstrząśnieniach wulkanicznych.

Przesiąkająca z zewnątrz w znacznej ilości wilgoć, zabrawszy z ziemi kwas węglowy, rozpuszcza z jego pomo-

ą wapienń skalny, (który już w tym stanie dwuwęglanem wapienia się zowie) i obciążona nim osiada na ścianach groty, rzeważnie zaś u sklepienia, skąd kroplami spływa. Wilgoć ę podsyca często parowanie wód, czy to strumieni czy jezior, i które podziemia takie obfitują.

Lecz w zetknięciu z powietrzem kwas węglowy ulatnia się z roztworu, a pojedynczy już znowu węglan wapna sadza się powolnie i układa w prawidłowe kryształki, tworząc ajpierw pierścienie, wydłużające się z biegiem czasu w sople zyli stalaktyty, mające wiele podobieństwa do tych, jakie wytwarzają się zimną ze zmarzniętej wody, na brzegach dachów.

Z końców tych soplei, spadają wreszcie na dno pieczary rople, których zawartość wapienna nie zupełnie została zużyta na ich pogrubienie i wydłużenie. Więc znowu ten wapień tworzy na dnie groty pierścienie wyrastające powoli i pieńki prostopadłe, stalagmitami zwane. Nacieki te po wielu latach narastając ciągle, łączą się niekiedy z soplami wiszącymi u stropu jaskini, tworząc wysmukłe słupy i kolumny.

Powstałe w ten sposób bryły skryształizowanego wapienia bywają albo przejrzystej niemal białości, albo też lekko ółto lub różowo zabarwione, w kształtach zaś swych niewykle pięknie urozmaicone, często potężne i wspaniałe

Ponieważ groty takie, jak już wyżej wspomniano, leżą kryte głęboko w skałach, z trudnym najczęściej przystępem, dkrzyce ich przeważnie zawdzięczamy wypadkowi. Mimo ego nie należą już one do osobliwości, mianowicie w górztych wapiennych okolicach.

Do najpiękniejszych i najbogatszych w fantastyczne kształty stalaktytów i stalagmitów, zaliczyć trzeba poznane aledwie przed kilku laty przecudowne nasze pieczary Białskie, wane tak od rzeczki Białej na ziemi Spiskiej, przyłączonej 772 roku do Węgier.

Tu pod wysokimi szczytami Murania i Hawrania, znajdują się wspaniałe sale, tajemnicze pieczary, całe nawet bogate uby świątynie, zdobne w skamieniałe wodospady, zwieszające się świeczniki i wysmukłe kolumny. Nie trudno nawet lopażyć w grocie „tumem” zwanej ambony, ołtarza i w fałzistej szacie postaci zakonnika. Całość robi imponujące wrażenie.

Piękne opisy tej interesującej ze wszech miar miejscowości, podały „Wieczory” w 1889 roku, w artykule pod tytułem: Z listu Janka do „Kochanej Pani” przepisała Zofia Urbanowska, na które zwracamy uwagę czytelników. Ta sama autorka napisała później *Atlantę*, w której także opisała pieczary podobne, jako dziedzinę państwa królewicza Kryształka.

W zeszłym też roku odkryto w południowej Francji w departamencie Lozère przepyszną grootę, zapełnioną przeszle 200 słupami stalagmitowemi, wysokości od 3 do 30 metrów. Uczony francuski p. Martel, który pierwszy ją zwiełził i nazwał grocią Armada, utrzymuje, iż jest to najosobliwsze i jedyne dotychczas w swoim rodzaju zjawisko. Każda kolumna, składając się z pojedynczych pierścieni, przypomina kształtem wyniosłe pnie palmowe, tylko o wyrostkach znacznie więcej uwydatnionych. Ani ręka ludzka ani żadne katalizmy nie naruszyły dotychczas pięknej całości tego kamiennego „lasu dziewiczego”, którego widok ogólny przedstawia załączona dzisiaj rycina, będąca wiernem powtórzeniem fotografii, zdjętej na miejscu przy świetle magnezyowem.



Dwóch Gustawów.

Krwawą rzeką spłynął rynek w Sztokholmie 7 listopada 1520 r., zginęło tam czoło narodu, najznakomitsi przedstawiciele wszystkich stanów. Historia dzień ten nazwała

dniem Krwawej kąpieli, a sprawca jej, okrutny Chrystyan II król duński, święcił tryumfy zwycięstwa, zagarniając Szwecję pod swe panowanie.

Między zabitemi ofiarami, które zaległy rynek, znajdował się także Eryk Waza spokrewniony z rodziną panującą w Szwecyi. Poległ Eryk i młody jego zięć. W mieście zapanowało grobowe milczenie, nie było komu płakać nad niedolą kraju, bo boleść i strach zamknęły najodważniejsze usta.

Chrystyan nie dowierzał jednak pozornie uspokojonym Szwedom, zażądał zakładników, i kwiat młodzieży, synowie poległych, zawiezieni zostali do Danii, aby wśród nienawistnego sobie kraju żyć pod grozą ciągłego niebezpieczeństwa.

Śledzono tymczasem usposobienie Szwedów i najdrobniejszy wybryk, najlżejszy objaw ich działalności był karany śnercią zakładników.

Zakładnik taki mieszkał już oddawna w Danii, był nim Gustaw Waza, dzielny sercem i umysłem, bo odebrał staranne wychowanie a dopełnił je studjami w Oksfordzkim uniwersytecie.

W wojnie z Danią dał dowody wielkiego męstwa, więc też strzeżono go pilnie w zamku Kalloe, gdzie młodzieńca szarpały różnorodne uczucia, tęsknota za ojczyzną, niepokój o rodzinę, którą tam zostawił, żądza zemsty, pragnienie powrotu. Aż zmęczony żalem i bólem postanowił wyrwać się przemocy i wracać do kraju.

Przebrany za wieśniaka omylił czujność stróżów i uciekł z więzienia, dwa dni błąkał się po okolicy, głodny i obcy, aż nareszcie pod bramami miasta Tlensburga, spotkał na gościńcu handlarzy niemieckich, którzy pędzili woły w Danii zakupione.

Dostać się do Niemiec! a toż tam ocalenie. Miasta hanzeatyckie prowadziły często spory z Danią, może mu nie odmówią pomocy.

I tym to sposobem potomek królewskiej rodziny, wychowaniec wszechnicy oksfordzkiej, został poganiaczem bydła!

Ale prawdziwy majestat, to majestat wielkich serc, a takie nie uginają się w przeciwnościach. Nie ugiął się też Gustaw, wytrwał w służbie pastuszej i szczęśliwie przybył do Lubeki. Król Chrystyan wyszedł jednak zbiega, zażądał od hanzeatyckiego miasta wydania zakładnika. Zgromadzoną radę mieszczan, obawa zemsty potężnego sąsiada zaczęła brać górę, Gustaw czuł się zgubionym, kiedy burmistrz Bröm przemówił za nim gorącemi słowami.

— Hańbą okrylibyśmy nasze miasto — wołał do zgromadzonych i głos szlachetnego człowieka znalazł echo w sercach panów rady.

Odrzucono zgodnie żądanie Chrystiana, jako uwłaczające godności wolnej Hanzy, a młodzieńca wyprawiono potajemnie do Sztokholmu, gdzie spodziewał się odpocząć wśród rodziny.

Ale na granicy Szwecyi spotkały go wieści sztokholmskie, o Krwawej kąpieli. Stracił w niej rodzinę, przyjaciół i mienie.

Długie lata drżała Szwecya pod potężną ręką Chrystiana, Gustaw był zbiegiem, na głowę jego nałożono cenę, więc serce zboleło po stracie tylu ukochanych mogło zwątpić i rozpaczać, ale potężny duch młodego Wazy nie dał się zwyciężyć nieszczęściu.

On znał lud Szwedzki i ufał mu, do tego ludu uciekł po ratunek dla siebie i kraju.

Na północ, na Stokach gór mieszkało dzielne plemię Dalekaryjezyków. Wśród pełnego prostoty śmiałego ludu schronił się Gustaw, tam chciał jedną stronnikiem dla sprawy Szwecyi. Bez grosza, opuszczony od wszystkich, błądził wygnaniec po lasach, głód zmusił go do pracy, i znów potomek królewski zdobywał chleb rękami, kopał między w podziemiach, ale nie przywykły do wilgoci zapadł na zdrowiu i musiał szukać innego zarobku.

Zgodził się więc w jakimś dworze dalekaryjskim do młocki. Bił cepami zboże, a jednocześnie, jak wpród wśród górników, tak potem między rolnikami, siał ziarna miłości do Szwecyi i myśl wyparcia Duńczyków. Podejrzevano

jednak, że kryje tajemnicę, a gdy stawił się przed właściciela wioski, ten wymówił mu robotę, bo poznał Gustawa. Widywał go dawniej w Upsali.

I znów wśród głodu i chłodu błakał się biedny zbieg w górach, szukając chwilowego schronienia u wiernych mu wieśniaków, ścigany jak zwierz w kniei, głód też zmusił go przyjąć raz jeszcze służbę we dworze, ale teraz trafił gorzej. Właściciel wioski Arund Peterson był kiedyś towarzyszem broni Gustawa. Waza mógł się spodziewać opieki od starego kolegi. Doznał jej też pozornie. Nikezemny Arund złudził wygnańca obietnicami, a tymczasem zawiadomił najbliższy posterunek duński, żądając pomocy w celu ujęcia zbiega. Wszystko więc byłoby stracone, Bóg jednak odwrócił grożące niebezpieczeństwo i odwrócił ręką szlachetnej kobiety.

Żona Arunda odgadła zamiary męża, dreszcz grozy wstrząsnął nią; zdrada, zdrada w jej rodzinie! Na to nie pozwoli nigdy. Dzielną i odważną, sama zaprzęgnęła małego konika i znanymi sobie drogami uwiozła Gustawa z pomiędzy nieprzyjaciół.

Uwiozła do życzliwego Gustawowi proboszcza, i zacny kapłan przechował zbiega w kościele, a potem powierzył opiece wieśniaka Nilsona, u którego wierności był pewien. Służył więc Waza za chłopskiego parobka, szerząc wśród ludu miłość Szwecyi, ale znaleźli go duńscy siepacze. Oddział wojska otoczył chatę; wszystko zdawało się stracone, gdy znów kobieta ocaliła wygnańca.

Żona Nilsona widząc nieprzyjaciół, schwyła rydel i zaczęła okładać nim Gustawa, wykrzykiwała przytem, że wypędzić musi darmożjada. Jakoż wypchnęła go z chaty, a dowódca oddziału, przybyły aresztować potomka królów, nie zwrócił uwagi na leniwego parobka.

Podstęp udał się znakomicie, lecz ośmielony powodzeniem Gustaw, postanowił udać się teraz do wsi Stättwichu, gdzie obiecano mu pomoc w walce z Danią. Pocziwy Nilson naładował furę słomą i ukrył w niej zbiega, ale na moście za wsią stała straż duńska, nie było innej drogi, podejrzowano, że tędy przekradać się będzie Waza.

— Co wiesz? — spytał żołnierz.

— Cóżby? słomę — odparł śmiało wieśniak, chociaż wiedział, że naraża życie.

Wtedy Duńczyk schwył włócznię i zaczął kłóć nią snopki a kołąc, zranił ukrytego w słomie Gustawa.

Ale bohater szwedzki nie jęknął. Zniósł ból jak znosił trudy i głód. Był to dzień celu do którego dążył i dopiął celu. Wyparł Duńczyków z pomocą dzielnych Dalekaryjczyków, a powołany na tron głosem całego narodu, stał się założycielem dynastyi, która wyniosła Szwecyę do niebywałej dotąd potęgi. W jego też rodzinie urodził się drugi Gustaw, o nim opowiem później.

Z. Bukowiecka.

NA POLANCE

powieść

p. E. Jerlicza.

(Dalszy ciąg)

V.

Słońce miało się już ku zachodowi, kiedy od strony Polanki ukazało się kilka panienek, zdążających ścieżką przez łąkę.

— Co to za wieś? — pytała Joasia, wskazując na dwór otoczony drzewami.

— To Osowce — odrzekła Zosia.

— A do kogo należą?

— Do państwa Osowieckich, ale oni prawie zawsze są nieobecni, bo pani jest bardzo wątłego zdrowia, bawią więc często zagranicą.

Przechodziły właśnie około wiejskiej chaty, na przyźbie siedziała stara kobieta i łatała stary fartuch. Na płocie za ogrodem chaty stała może trzyletnia dziewczynka, bosa i w podartej koszulinie, chudemi rączynami trzymała się kołka; jasne włosy, wisiały w około głowy starganemi kosmykami. Stojąc na najwyższej żerdzi płotu, raz zarazem wołała wyrażając wzrok przed siebie: Matulu! matulu!

— Czyje to dziecko? — zapytała Ludwinia, podchodząc do kobiety.

— A niczyje — odpowiedziała, nie podnosząc głowy od swojej roboty.

— Gdzież jego matka, której woła?

— A w ziemi.

— Umarła! a ona jej woła!

— Ot, głupie! powiedzieli mu, że matka poszła do miasta, ta wygląda jej i woła; już trzy dni jak ją pochowali.

— Czy ojca niema?

— Co ma mieć, umarł jeszcze zeszłej zimy.

— Któż się niem opiekuje? kto je żywi?

— A któż się ma opiekować? Łazi to tu, to tam, to się ta pożywi między ludźmi. Czem się tam opiekować? Matka była biedną komornicą nie zostawiła nawet szat chładowskich, żeby ją w nich pochować. Matysowa dała do trumny swoją nową chustkę. Krokoszowa, nie wymawiając, perkalo-wą koszulę.

Ludwinia zwróciła się do swoich towarzyszek.

— Czy słyszycie? — zawołała, blada od wzruszenia.

Czy słyszały? Boże drogi! Zosia zdjęła już dziecko z płotu, Stasia, przykucnąwszy do ziemi, głaskała je, przemawiała pieśczołtliwie i sama była bliską płaczu, Joasia spoglądała na wszystko zdumionemi oczami, tylko Zenia skrzywiła się z niezadowoleniem, bo stojąc z daleka nie słyszała słów starej kobiety, ale rozmowa z nędzarką, przy-szywającą łaty do starego ubrania i zajmowanie się dzieckiem w podartej koszulinie, wydawało jej się niewłaściwem.

— Moje nieszczęśliwe biedactwo! — mówiła Ludwinia, gładząc dziecko po roztarganej główce, a zwróciwszy się do wieśniaczki, rzekła:

— Słuchajcie, kobiety, my zabierzemy to dziecko; gdyby się kto o nie spytał, to powiedzcie, że jest na Polance, u państwa Skalskich, będziecie pamiętali?

— Ojej! co nie mam? albo to ja nie znam państwa Skalskich?

— Chce ci się jeść kochanko? — dopytywała się Zosia.

— Chce — odpowiedziało maleństwo.

— Chodź z nami, dostaniesz mleka i bułki.

Ludwinia ujęła maleństwo za rękę i prowadziła przy sobie. Bose było i wygłodniałe, a przez dziury koszuliny widać było wychudzone ciało.

— I pomyśleć, że są dzieci otoczone miłością matek i takie oto biedne, aż sine od głodu — szepnęła Ludwinia półgłosem do Zosi, a po jej bladej twarzyczce stoczyła się łza srebrzysta.

Joasia szła milcząca obok Zosi, wpatrzona w twarz Ludwini.

Kiedy zbliżyły się do Polanki, spotkały Julinkę, która ujrawszy Ludwinę z małą dziewczynką, poczęła dopytywać co ona za jedna. Ludwinia, nie chcąc dziecka rozczulać, powiedziała jej tylko, że to biedna sierotka, którą przyprowadziły z sobą. Julinka popatrzyła przenikliwie na małą Kasię, tak sierotce było na imię, i odeszła do domu.

Dziewczynki tymczasem wprowadziły dziecko na ganek domu, w którym mieszkali rodzice Stasi, ponieważ ten był pierwszy po drodze, i żywo zakrzętnęły się aby je nakarmić. Mała jadła z chciwością podane sobie mleko i bułkę.

— Musimy ją ubrać jak najprędzej — zawołała Stasia. — Ja na maszynie uszyję jej w mig z mojej przenoszonej spodniczki bluzkę z karczkiem. Prawda Ludwiniu, że dla takiej malutkiej najlepsza bluzka?

— Czekajcie! ja mam trzy łokcie kretonu, który został od mojej sukienki, zaraz go przyniosę — zawołała Zosia.

— Od naszej malutkiej Jania, ja będę przynieść koszulka nie jeden — odezwała się panna Berta, bona państwa Stojanowskich, która znalazła się także na ganku.

Tymczasem wróciła Julinka, i stanawszy przed Kasią, odśloniła zawinięty fartuszek, w którym była lalka i kilka innych zabawek.

— Masz maleńka — powiedziała — oddaję ci wszystkie moje zabawki, jesteś bardzo biedna, bo nie masz mamusi. Objęła dziecko za szyję, pocałowała w oba policzki i rozplakała się głośno.

W chwilę potem zebrało się na ganku kilka pań, które ściągnęła tutaj wiadomość o biednej dziewczynce, była też między niemi i pani Skalska.

Ale malutkiej nie było już tam; Stasia i Ludwinia uprowadziły ją, umyły, ubrały w koszulkę i sukienkę, które jedna z pań przysłała ze swej małej córeczki, a dziecina w tem nowym przebraniu, wyglądała bardzo wdzięcznie i miłutko.

— Bardzo to dobrze, moje drogie panienki, że nakarmiłyście i przyodzialiście sierotkę — odezwała się pani Skalska — ale powinnyście zastanowić się też nad sposobem zabezpieczenia jej opieki, aby nie została znów głodną i bez odzienia. Czyście o tem pomyślały?

— Ja ją wezmę, proszę pani — odezwała się Ludwinia — i będę się nią opiekowała; takie maleństwo nie przyczyni dużo kłopotu, ani kosztu, prosilam już rodziców i zgodzili się na to.

— Nie, ty ją nie weźmiesz — zawołała Stasia, cała zarumieniona, tuląc do siebie małą. — Dla czego ja jej nie mam wziąć? Tak dobrze tyś ją znalazła na drodze jak i ja. Ja też prosiłam mamy i pozwoliła mi ją zabrać.

Teraz odezwała się Joasia cicho, ze spuszczeniemi oczami:

— Proszę pani, niech pani mnie pozwoli zaopiekować się tą maleńką, ojciec zrobi zawsze to, o co go proszę. Wezmę z sobą Kasię do Warszawy, ojciec pozwoli mi oddać ją na pensję, wykształci się, nawet grać będzie się uczyła.

Pani Skalska uśmiechnęła się łagodnie.

— Jak uważam, moje panienki, każda z was chciałaby się zaopiekować biednym, bezdomnym dzieckiem. Bardzo to ładnie a przede wszystkim poczciwie z waszej strony. A teraz posłuchajcie mnie, podam wam plan, który może zadowolnić wszystkie w waszych dobrych chęciach dla sierotki. Wszystkie macie jednakowe do niej prawo, więc czy nie lepiej będzie, żebyście zamiast jednej wszystkie cztery, wliczając w to i moją Zosię, zaopiekowały się Kasią?

— Jakże to zrobić, proszę pani? — zapytała Stasia.

— Oto tak: Kasia zostanie u nas na Polance, a wy będziecie pamiętały, żeby jej przysłać jakąś sukieneczkę, parę koszulek, trzewiczki, każda w miarę możliwości. Joasia chce ją oddać na pensję, nie byłoby to dla niej szczęściem, moje dziecko. Wyprowadzona ze swego stanu, wstydziłaby się go może kiedyś, a zarabiając na chleb jako nauczycielka, bo przy najlepszych chęciach majątku odpowiedniego dać byś jej nie mogła, może nie byłaby wcale szczęśliwszą, niż pracując w polu na swoim własnym kawałku ziemi.

— A kiedy ona nie ma własnego gruntu, proszę pani — zauważyła Stasia.

— O to właśnie chodzi, aby mieć mogła — odrzekła pani Skalska z uśmiechem. To co Joasia miałaby wydać na jej wykształcenie, niech złoży w jednej tylko cząstce do kasy oszczędności na jej imię. Zanim dziewczynka urośnie, sumka dojdzie do kilkudziesięciu rubli, to będzie jej posag, później, wśród swoich na wsi może wyjść za mąż i, wasza Kasia zostanie kiedyś panią i gospodynią na swojej własnej zagrodzie.

— Mnie się ten plan bardzo podoba — zawołała z żywością Stasia. — Kasia będzie naszym dzieckiem, a Zosia będzie główną nadzorczynią, prawda, proszę pani?

— Tak jest — odrzekła pani Skalska. — Dopóki jesteście na Polance, będziecie się wszystkie nią zajmowały i doglądały jej, a gdy powrócicie do miasta, Zosia będzie wam donosić o waszej wychowance.

— Będziemy ją uczyć, prawda?

— A naturalnie.

— A my co? — zawołał nagle Romuś, rozkładając rączki — a my co zrobimy dla biednej sierotki Kasi?

— A my co zrobimy dla niej? — powtórzył za nim Henryk, stając obok Ludwini.

— Ja chcę dać moje dwa grosze dla Kasi — zawołała mała Jania, wysuwając się z rąk panny Berty.

— Dobrze dzieci, zróbcie składkę dla biednej sierotki — zawołała mamusia Jani — każde da po parę groszy ze swoich oszczędności, to Kasia będzie miała na trzewiczki.

I młoda pani podała swojej malutkiej Jani tekturowe pudełeczko i kazała jej zbierać na trzewiczki dla sierotki.

Każdy, zaczawszy od starszych chłopców, wrzucił coś do tej skarbonki, każde z dzieci powracało zaczerwienione od szybkiego biegu, ściskając w rączce swój grosik, który przyniosło z domu. Pani Skalska poprowadziła Janię do Ludwini, aby ta przerachowała wobec wszystkich zawartość skarbonki; zebrało się kilka rubli.

— Trzewiczki będą kosztowały zaledwie kilka złotych — powiedziała pani Skalska, — resztę złożycie do kasy na imię sierotki, a wasza Kasia będzie już miała oszczędność na posag.

— A co! dobrze idzie naszej córeczce! — zawołała z radością Stasia i ucałowała malutką.

Zosia tymczasem naradzała się z Joasią, gdzieby dziecko pomieścić. Stało na tem, że sypiać będzie w ich pokoju. Dziwna rzecz! Joasię nie raziło to bynajmniej, że będzie mieć w bliskości siebie dziecko chłopskie, z zakłopotaniem nawet rzekła:

— Najgorzej, że nie mamy dla niej maleńkiego łóżeczka, żeby jej było wygodnie.

— Nic to — odrzekła Zosia — jakoś się temu zaradzi.

Rzeczywiście zaradziło się z łatwością. Znalazła się jakaś stara waliza bez wieka, którą panienki kazały wstawić do swego pokoju i wysłać sianem; mała Kasia miała pyszne łóżeczko, nie było nawet obawy, aby z niego wypadła, bo było niziutkie.

(d. c. n.)

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: W otchłaniach morskich przez dr. M. Stefanowską (z ryc.) — Niedźwiedź, powieść z XVI w. przez Zuzannę Morawską. — Ile zjemy i wypijamy w ciągu naszego życia? (z ryc.) — Groty stalagmitowe (z ryc.) — Dwóch Gustawów przez Z. Bukowiecką. — Na polance, powieść przez E. Jerlicza. — Dodatek: Jakim ptakiem jest czapla? — Przesady, komedyjka w jednym akcie. — Gołąbek Bożenny. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzyńka do listów. Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

WIECZORY RODZINNE

Jakim ptakiem jest czapla?

Kazio siedział przy stoliku w pokoju cioci i czytał głośno ze swej książeczki:

— Czapla stara, jak to bywa.

Trochę ślepa, trochę krzywa.

Gdy już ryb łowić nie mogła...

— Ciociu — rzekł, przerywając sobie czytanie — czemu ta czapla była ślepa i krzywa?

— Bo była starą, a na starość wszystko co żyje na ziemi traci urodę i siły młodości.

— Aha rozumiem, to tak zupełnie, jak nasz stary Bryś w podwórzu, co już nie dosłyszcy i nie dowidzi, a chodzi bardzo powoli.

— Właśnie tak samo.

— A czapla, to taka odmiana bociana, prawda ciociu, bo tu na obrazku myślałem nawet zrazu, że to prawdziwie nasz bocian...

— Podobieństwo jest rzeczywiście między temi ptakami, ale też i różnice znajdują się nie małe, dla tego każdy stanowi oddzielny gatunek, należą wszakże do jednego wielkiego działu brodzących, które szukają żywności, chodząc czyli brodząc po płytkich wodach i bagnach.

— I ażeby im się sukienki nie zamaczały mają takie wysokie nogi — zauważył chłopiec.

— Słusznie się wyraziłeś. Nogi te ułatwiają im przebywanie w mokrych miejscach, a ponieważ są wysokie, niby szcudła, jakie ci wujcio do zabawy kupił, nadano im też nazwę *szcudłowatych*.

— Co ta czapla tu na obrazku trzyma w dziobie, proszę cioci?

— Przypatrz się tylko, a poznasz, że to rybka, którą sobie zapewne co dopiero ułowiła i zabiera się teraz do połknięcia jej. Bowiem najmilszem pożywieniem czapli są właśnie ryby, chociaż nie gardzi w potrzebie żabami i ślimakami. Okolice bogate w niezbyt głębokie wody, są ulubionem miejscem pobytu czapli. Większe są jednak od bociana, i potrzebują sporo rybek, aby głód zaspokoić, dla tego nie są wcale miłe rybakom którzy też tępią, je o ile mogą niszczą przedewszystkiem ich gniazda.

— A czy łatwo do takiego gniazda się dostać, czy jabym mógł je kiedy widzieć?

— Czaple są bardzo czujne i ostrożne ptaki, a przed człowiekiem chronią się jak mogą. W gęstych więc tylko lasach, w pobliżu wód, budują na najwyższych drzewach gniazda podobne do bocianich. Gdy jednak te ich krewniaki żyją pojedynczemi parami, zbierając się gromadnie tylko do odlotu, czaple tworzą w przyjaznych dla siebie okolicach nieraz liczne bardzo kolonie.

— A czy u nas żyją też czaple?

— Było ich dawniej znacznie więcej w naszym kraju, tępieno ich wszakże tak zawzięcie, że już coraz rzadziej spotkać je można. Lecz na Węgrzech w okolicach



bagnistych, dla ludzi trudno dostępnych, żyją jeszcze gromadnie, w licznych bardzo odmianach.

— Czy to jest ptak ładny cioteczko?

— Owszem, czapla słusznie zaliczaną bywa do ozdobięszych ptaków. Poczekaj, zaraz ci ją opiszę. Ciało jej długie na 90 centymetrów spoczywa na 15 centymetrów wysokich nogach brunatnego koloru. Długą swą szyję nosi zwykle z ręcznie w tył wygiętą, a w locie przechyla głowę zupełnie na grzbiet.

Czapla siwa, najpospolitsza, ma sino-popielate upierzenie; szyja i spód ciała białe, podgardle czarno prążkowane. Na łukowato wygiętym jej grzbiecie i na podgardlu znajdują się długie rozpięchłe piórka z tyłu zaś głowy spuszcza się biała lekka kitka, którą ładnie w czubek nastawiać umie.

— Widzę, widzę tu ten czubek — zawołał Kazio, który w tym czasie uważnie przypatrywał się rycinie.

— Dawnemi czasy piórka te lubili u nas panowie przypinać do kołpaków, a dzisiejsza moda, ozdabia niemi kapelusze damskie.

— Ale cioteczka — mówiła, że czapli jest kilka gatunków.

— Tak właśnie, gdyż oprócz siwej są jeszcze tak zwane czaple purpurowe, z czerwono-brunatną szyją; czaple srebrzyste, i czaple czubate. Lecz najpiękniejszą ze wszystkich jest czapla jedwabista, którą okrywa białe, mięciuchne, jedwabiste upierzenie, uwydatniające zgrabną jej postać i ożywione ruchy ptaka.

— To bardzo ciekawe wszystko, co mi ciocia opowiada, więc pewnie i bajeczka zabawną będzie. Co ona robiła, moja cioteczko, ta czapla, jak już była starą?

— Zaraz się dowiesz, czytaj tylko uważnie!

I Kazio przeczytał cały wierszyk Krasieckiego bardzo zadowolony, bo ubawił się szczerze nieudaną zdradą ptaka. A ciocia wytłumaczyła mu, jaką ta bajka daje nam ludziom naukę.

PRZESADY.

KOMEDYJKA W JEDNYM AKCIE.

(Dalszy ciąg).

SCENA VI.

Ciąż sami prócz Lorci.

STAŚ. Czy ona zawsze taka zabobonna?

PANI BRUDZESKA. Niestety! Gdybym wiedziała w jakim sposób te nedorzecznosci wybić jej z głowy!... *(po krótkim namyśle)*. Wiesz co Stasiu, musisz mi w tem dopomóc.

STAŚ. Jakknajchętniej babciu, powiedz co mam robić, a wszystko wykonam najwierniej.

PANI BRUDZESKA. Słuchajcie dzieci; musimy odegrać niby rolę Opatrzności w spełnieniu przesądnych wróżb Lorci; komedię tę powtórzymy razy kilka, a gdy dziewczyna pewną będzie tryumfu, zawstydzimy ją odkrywając prawdę.

STAŚ. A mnie w tej komedii jaką przeznaczają babunia rolę?

PANI BRUDZESKA. Musisz ją zrećznie wyciągać na zwierzenia.

AŃDZIA. Nam już ona nie dowierza bo wie, że ją z tego powodu wyśmiewamy.

STAŚ. Dobrze, rozumiem o co chodzi, proszę więc zostawić nas chwileczkę samych; a postaram się ją wy badać.

PANI BRUDZESKA. Skoro dowiesz się o jej życzeniach, powiesz je nam zaraz.

STAŚ. A toż niespodzianie wyszedłem na dyplomatę! Ale może mi się to nie najgorzej uda. *(Babcia i Ańdzia odchodzą)*.

SCENA VII.

STAŚ I LORCIA *(stawia lampę na stole)*.

LORCIA *(z ożywieniem radosnem)*. Wyobraź sobie Stasiu, co za szczęście mnie spotkało! Zapalając lampę spojrzalam w okno i zobaczyłam gwiazdę spadającą.

STAŚ. I nic więcej?

LORCIA. Zaraz w myśli postawiłam sobie życzenie, bo takie życzenia zawsze się spełniają.

STAŚ *(potakująco)*. To rzecz niezawodna. *(na stronie)*. Gdybym mógł się dowiedzieć, jakie było jej życzenie!

LORCIA. Taka rada jestem z tego. Gwiazdy spadające rzadko się widuje, a ja mam tyle pragnień nieziszczonych! Spójrzaj Stasiu, czy pod oczami nie leży mi rzęsa, jeśli się taki włoszek położy na dłoni i zdmuchnie go odrazu, można także być pewnym spełnienia życzeń.

STAŚ. Masz właśnie taką rzęsę na powiece, zaraz ci ją zdejmę.

LORCIA. Ale ty mi ją wyrwałeś, bo mnie zabolalo.

STAŚ. Przepraszam za moją niezrećzność. A teraz podaj rękę.

LORCIA *(podaje rękę na którą Staś rzęsę składa, potem Lorcia namyśla się i dmucha)*. Otóż i drugie moje życzenie ziszczone będzie.

STAŚ I LORCIA *(razem)*. Z największą pewnością!

LORCIA *(uradowana)*. Wymówiliśmy ten sam wyraz jednocześnie, więc wspólnie wyrazić możemy pragnienia nasze. *(Trzymając się za ręce stoją czas jakiś zamysleni)*.

STAŚ. Zanim ja życzenie swoje wypowiem, chciałbym pierwej wiedzieć czego ty pragnąć możesz.

LORCIA. Oh! dużobym dla siebie rzeczy zmienić rada. Często n. p. zmuszona jestem coś robić, kiedy nie mam do tego ochoty.

STAŚ. Może nie chcesz chodzić na pensyę?

LORCIA. Przeciwnie, na pensyę chodzę chętnie, tylko lekcyi muzyki nie lubię. Nudzą mnie zwłaszcza gamy i ćwiczenia. Dziś też wolałabym z tobą się zabawić, a muszę się egzercytować, bo babunia w tym względzie bardzo wymagająca.

STAŚ *(na stronie)*. Dowiedziałem się zatem o jednym jej życzeniu. *(do Lorci)*. Skoro babcia tak obstaje przy twojej muzyce, to niema rady, musisz spełnić ten obowiązek. Ale przecież grać choćby godzinkę na fortepianie, to nie tak wielkie nieszczęście. Czy ci nie więcej nie dolega?

LORCIA. Gdzie tam! muszę znosić jeszcze inne przykrości. Nie cierpię szpinaku, a babcia dowodzi, że to zdrowa jarzyna i każe mi ją jeść koniecznie. Dziś za karę, że się wymawiałam od niej przy obiedzie, dadzą mi tę wstrętną potrawę na kolacyę. Czy to nie okropne?

STAŚ. Rozumie się, że jesteś godną politowania.

LORCIA. Pewną jestem, że na twoję intencyą coś smacznego do wieczery dodane będzie. Muszę już nawet nakryć do stołu *(dobywa z kredensu noże, widelce i nakrywa)*.

STAŚ *(na stronie)*. Chęć pozbycia się szpinaku stanowi drugie życzenie, ale jakby można dowiedzieć się o trzecim? *(do Lorci)*. Może ci pomódz Lorciu?

LORCIA. I owszem; postaw filiżanki na kredensie, tylko uważaj, żeby nie zbić której. Mam z podobnej porcelany serwis dla lalki, ale mi brak do całej zastawy półmisków i talerzy. W sklepie naprzeciwko, wystawili w oknie taki wymarzony przezemnie garnitur porcelanowy w niebieskie kwiatki. Cóż! kiedy do moich imienin jeszcze daleko!

STAŚ *(na stronie)*. Otóż mamy trzecie życzenie. *(do Lorci)*. Zauważyłem przecież, że znasz tyle sposobów

przywabiania pomyślnego losu. — Spróbuj, może ci się powiedzie zdobyć jakim szczęśliwym trafem wymarzony serwis.

LORCIA. Kiedy, babcia te moje sposoby nazywa przesadami i nie pozwala mi ich stosować; nawet podkowy na progę dla ciellie przybić nie dała. Ja wiem jednak i tobie Stasiu powiem, że na dobrą wróżbę szczęścia trzeba zrana wstawać z łózka prawą nogą, a jeśli kot przed nami przebiegnie, to należy się wykręcić na pięć trzy razy, aby złe od siebie odwrócić.

STAŚ. Co ty masz za zapas wiadomości w tym względzie.

LORCIA (z powagą). O! ja wiem więcej jeszcze! Kto chce od nieszczęścia się ochronić i złe z domu usunąć, musi koniecznie miotłę przed progiem położyć.

STAŚ. Zaraz się o tem przekonamy; zobaczmy czy miotła szczęście ci przyniesie, idę po nią do kuchni.

LORCIA. Tylko niech Zuzia tego nie spostrzeże.

STAŚ. Bądź spokojną; położymy miotłę przedzwiami pokoju, w sieni, tam ciemno, to nikt tego nie zauważy.

LORCIA. Jesteś dobrym braciszkiem, Stasiu, skoro chcesz dopomóc do spełnienia życzeń moich; idź, ja tu na ciebie poczekam.

SCENA VIII.

(Lorcja sama).

LORCIA. Teraz jestem pewną, że wszystko mi się powiedzie, niby to ze względu na przybycie Stasia, babcia zwolni mnie z muzyki i z odgrzewanego szpinaku; gdybym jeszcze dostała serwis porcelanowy, nie byłoby szczęśliwszej odemnie istoty. Żeby tylko Staś uwinął się z położeniem miotły! Słyszę czyjeś kroki!

(d. n.)

GOŁĄBEK BOŻENNY.

(Dalszy ciąg)

Horda szła tymczasem coraz dalej pałac i rabując. Ile ja okropnych widziałem wtenczas scen! Całe życie moje nie zapomnę tego! Doszliśmy wreszcie aż w te strony. Gdy ujrzałem rycerstwo, które prowadził ojciec panny Bożenny, modliłem się gorąco, by im Bóg dopomógł w pogromie tych rabusiów. Z bijącym sercem patrzyłem na walkę. Każdy świst kuli, każdy szczełk oręża był dla mnie jakoby zwiastunem dobrej wieści. Drżącą ręką przyciskałem do piersi poświęcany medalik, „O Matko Boża, pobłogosław, dopomóż mi!” powtarzałem z głębi duszy.

Najświętsza Paniienka dopomogła też mężnym obrońcom Swej chwały. W wielkim popłochu Tatarzy poszli w rozsypkę. I ja odzyskałem upragnioną wolność. Lecz Boże drogi, Ty widzisz serce moje, że chętniej byłbym już pozostał u dzikiego Tatarzyna, i znosił męczarnie wszelkie, niż to, że się stałem przyczyną śmierci tak cnotliwego pana, tak dzielnego rycerza!

Tu umilkł Stefan, a po bladej jego twarzy potoczyły się łzy serdecznego żalu, podczas, gdy niemniej wzruszona Ludmiła uściśniła jego rękę szepcząc:

Snać już taka była wola Boga!

Rozłączenie.

Poznawszy smutne dzieje Stefana dziewczynki polubiły go więcej jeszcze. Odtąd stał się ich nieodstępnym towarzyszem, dzieląc z nimi zarówno pracę jak rozrywki.

Obie też panienki z dniem każdym więcej przywiązywały się do siebie, i już nie mogły sobie nawet wyobrazić, jakby zdołały żyć jedna bez drugiej. Tymczasem chwila rozłąki bliską już była.

Pod dozorem pana Ostrobrodzkiego, jeszcze przed zimą stanął w Kalinówce wykończony dworek drewniany, z ganeczkim o dwóch słupkach, z malowanymi okiennicami; na dziedzińcu folwarczym, otoczonym mocnym żerdziowym płotem, widniały również starannie pobudowane: spichlerzyk, stajnie i obory. W pośrodku okólnika nieopodal studni z wysokim żórawiem, wznosił się gołębnik dla wychowalców Ludmiły.

Kilka drzew ocalonych z pożaru ocieniało domek mieszkalny i odbudowana Kalinówka czyniła wrażenie miłej wiejskiej zagrody.

Pani Zalitowska dowiedziawszy się o ukończeniu budowli, w poczuciu swych obowiązków, które po śmierci męża zdwojonym ciężarem spadły na nią, bez zwłoki czasu postanowiła wrócić do swej małej posiadłości i oddać się pracy, w której dzielną pomocą miał być doświadczony włodarz, wychowany od małego chłopca na usługach dworskich.

Jakkolwiek przykrą była jej myśl rozłączenia się z zacnymi przyjaciółmi, którzy jej w chwilach ciężkiej żałoby i smutku wiele okazali serca, postanowiła wyjazd na najbliższą sobotę, jako na dzień poświęcony czci Najświętszej Maryi Panny, tej najlepszej opiekunki wdów i sierot.

— Jak odjedziecie — mówiła Bożenna ze łzami w oczach, będzie tak strasznie pusto u nas! Nie pojmuję, jak zdołam żyć bez ciebie, moja droga Ludmiło, tak mi było przyjemnie, tak dobrze z wami.

— A mnie jak ciężko pomyśleć o roztaniu! — wiesz najlepiej, jak cię kocham. Rodzona siostra nie mogłaby mi być droższą — mówiła sierota łkając,

— Czemuż przynajmniej wasza Kalinówka nie jest bliżej Ostrobrzegu. Dziesięć mil, to już daleka droga, a jabym chciała widywać się jak najczęściej z wami. Tobie przynajmniej Stefan będzie pomagał we wszystkim i dzielił każdą zabawę, on jest do was przywiązany — a mnie już tylko mój kochany, biały gołabeł zostanie na pociechę, — skarżyła się Bożenna.

— Jabym się też chętnie w ptaszka zamieniła, że-bym codzień mogła przyfrunąć do ciebie, a nagadawszy i nacieszywszy się razem znów do mojej mamy i Kalinówki powrócić.

— Powiedz mi tylko czy mię nigdy nie przestaniesz kochać, nie zapomnisz o mnie?... — pytała w swem serdecznym żalu Bożenna.

— Jak możesz nawet wątpić o tem — odparła z głębokim przekonaniem Ludka. Toż ojcowie nasi byli sobie całe życie serdecznymi przyjaciółmi, Nad łóżkiem mojego tatusia obok obrazu Matki Bożej wisiała szabla, dar twojego ojca, jako cenna pamiątka i zadatek przyjaźni ich młodziutkich jeszcze lat. A jak oni wiernymi sobie zostali, tak i nasza przyjaźń będzie niezmienną...

(d. c. n.)

Odpowiedź na pytanie w N-rze 5.

(Śmierć Mieczysława I-go któremu kraj nasz za wdzięcza zaprowadzenie wiary chrześcijańskiej, za sprawą żony jego Dąbrówki córki króla czeskiego.

Pochowany w Poznaniu.

ZAGADKA.

Pochodzenie me jest greckie,
Znaczenie bardzo zdradzieckie.
Kiedy stanę za drugimi,
Nabieram wartości z niemi.
Zaś samego wszyscey w świecie
Nic nie cenią, wy to wiecie.

REBUSIK.

ułożył Janek z pod Wawelu.

Jest to	Wiara
	Nadzieja i Miłość
m a ć	zęby język
m a ć	
m a ć	

ROZWIĄZANIA DO N-ru 5-go

Szarady: Lub — lin.

Arytmogryfu:

- 1) Jassy. 2) Arpad. 3) Neapol. 4) Dyana. 5) Łabędź.
6) Upsala. 7) Gandawa. 8) Orinoko. 9) Szubert. 10) Zante.
Jan Długosz.

Kwadratu magicznego:

L a m a
A m u r
M u z a
A r a s

Skrzynka do listów.

Wróżbiarce Szczęścia. Ciężka twoja choroba zmartwiła nas bardzo, ale pocieszyła wiadomość, że dzięki Bogu do zdrowia już powracasz. W ostatnim liście nie było wzmianki o dalszem wysy-

łaniu Wieczorów, więc teraz zaległe od początku roku numera wysyłamy, wraz z serdecznem życzeniem, byś zdrowa zupełnie w jak najkrótszym czasie sama nam o tem donieść zechciała.

Lunusiowi F. za przyslaną ofiarę i uzbierane gałganki dziękujemy słowami: Bóg zapłać za pamięć o biednych i chorych.

Z prawdziwą przyjemnością zaliczamy do grona miłych korespondentek naszych **Przepiórkę Widzewską**. Żądane dodatki wysyłamy, jak również i **Marusi K.**, która pisze tak porządnie, iż mamy nadzieję częściej podobne liściki odbierać.

Żądanie **Izy S.** spełnione, rozwiązanie zadań dobre, niteczkę **Aryadny** przejrzymy.

Słoń z Nubii wielką musi mieć łatwość w układaniu zadań, których znowu kilka otrzymaliśmy. Jeżeli nie wszystkie to spodziewamy się, że większość będzie się nadawała do druku. Rozwiązanie dobre.

Dobre rozwiązania łamigłówek nadesłali: **Kryształek z Petersburga**, **Tadzio T.**, **Janek Z.** z pod **Wawelu**, **Słoń z Nubii**, który przysłał też łamigłówki własnego układu, jak również **Mieczysław U.**, **Gabryel G.**, **Tadzio T.**, **Brzoza**, **Zosia** i **Lucio**. **Winia**. **Muszka** i **Wrony konik**, **Kalina W.** i **Leon S.** niteczkę **Aryadny**.

Dlaczego to **Janek Z. z pod Wawelu** tak długo namyślał się przed napisaniem do mnie, jako czteroletni czytelnik **Wieczorów**, mogłeś się niejednokrotnie przekonać, że na wszystkie liściki chętnie odpisuję, zadania rozwiązałeś dobrze rebusik twój złożyłam w redakcyi.

Słoń z Nubii może przysłać łamigłóvkę o której wspomina w ostatnim liście, jeżeli tylko dowcipnie będzie ułożona i dobrze pomyślana może się przydać na dzień oznaczony.

Janince S. w Szawłach. Liścik porządnie napisany, miły i serdeczny leży przedemną, tylko dla czego poprzedziło go tak długie wahanie? Czy wystawiałaś sobie, że ta skromna **Jaskółka**, całem sercem oddana miłym swym korespondentom za których przyjaciółkę choć osobiście nieznaną zawsze poczytywałaby się chciała, to jakieś ptaszę drapieżne? Zadziwił się pewnie gdy ci powiem, że cię znam troszeczkę. Czyżby ta **Jaskółka** z **Warszawy** i w nasze strony zajrzała? zapytasz. Może, bo jakże inaczej wiedziećbym mogła, że jesteś dobrą osobką, uczysz się pilnie, zdolności **Pan Bóg** ci użyczył, czytywać lubisz, tylko (bo gdzież się to brzydkie słowo nie wkradnie) roztrzepaną jesteś bardzo. Nie wielka to wada — powiedzą niejedni, lecz przykre za sobą pociąga następstwa i radzę ci — a radzę serdecznie, byś się jej pozbyć starała. Weź przykład ze starszego brata, a gdy się ty poprawisz to i **Tadzio** zechce wstępować w te ślady.

Za te parę słów uwagi nie gniewaj się na mnie, pamiętaj, że mi je tylko serdeczna życzliwość podyktowała i niech cię one nie zniechęcą do dalszych liścików, których z niecierpliwością wyglądać będę. Zaginione numera wysłano.

Na zapytanie **Sroczi Z. N. z Krakowa** odpowiadam sama, że bynajmniej starą osobą nie jestem, zapewne mam lat kilka więcej od ciebie, ale prenumeratorzy **Wieczorów** nie wykluczili mnie jeszcze ze swego grona i jeżeli nie zupełnie za rówieśnicę to za starszą przyjaciółkę uważają mnie dotąd.

Brzoza od trzech lat czytując **Wieczory**, zauważyła pewno, iż niejednokrotnie prosiłam czytelników, by mnie nie nazywali szanowną panią, raz jeszcze ponawiam tę prośbę i spodziewam się, że w przyszłym liściku tytułu tego nie znajdzie. Zaginione dodatki posyłamy, stałym prenumeratorom za takie drobnostki redakcyi nie liczy. Konkurs na wypracowanie ogłosimy wkrótce.

Wini z Łoszkowiec nie dziwię się, że mając tyle rozrywek zadań rozwiązywać nie miała czasu, za ciekawy list bardzo dziękuję i następnego oczekiwać będę.

Helence S. wysłano zaraz **Wieczory** od początku roku i mam nadzieję że je już odebrała.

Jaskółka



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Hej! hej! mój panie, a toż co?
Czy napaść jaka dzika?
Któż mię tam z boku trąca? kto
Kudłaty łeb swój wtyka?

Któż to mi gwałtem zabrać chce,
Dzisiejsze me śniadanie?..
To ty tak Burku wdzierasz się!
A pójźże stąd, mój panie!

Precz stąd, ani się zbliżać waż,
Łakomstwo straszną wadą.
Nic nie dostaniesz; karę masz,
Że chcesz coś zyskać zdradą.

Marya S.

KOLEJ SYBERYJSKA.

Ostatnie dziesięciolecie XIX-go wieku zaznaczy się dokonaniem olbrzymiego dzieła, mającego znaczenie wszechświatowe. Jest niem kolej żelazna, przechodząca wszędy całą Syberję od gór Uralskich aż do Oceanu Spokojnego.

Do niedawnych czasów Syberja znana była przeważnie, jako kraina wygnania i kary, a z powodu surowego klimatu, ogromnych odległości i trudnej komunikacji, mało zwracano uwagi na przyrodzone bogactwa tej prowincyi, posiadającej zwłaszcza w południowej swej części żyzną ziemię, wspaniałe lasy i pokłady rozmaitych cennych kruszców.

Zdawalo się, że Syberja to olbrzymia przestrzeń pokryta śniegiem, nad którą swobodnie hasa mroźny wieher z oceanu Lodowatego, a po nielicznych lecz nieskończonej długości drogach, ciągną swolna karawany z herbatą od granicy chińskiej, kroczą szeregi skazańców z Europy i rzadko tylko przemyka szybko trójka pocztowa z głośnym dzwonkiem.

Tymczasem powoli rozwijało się na Syberyi rolnictwo górnicтво i handel, usilnie przez rząd popierane i wzmagające się z napływem osadników i ludzi przedsiębiorczych z Rosyi europejskiej i innych krajów.

Dla ułatwienia i utrwalenia tego rozwoju brakowało jednak Syberyi łatwej komunikacji, którą zapewnić może tylko kolej żelazna.

Budowę tej kolei rozpoczęło państwo przed siedmiu laty, a w tym roku większa jej część, bo aż do Irkucka, głównego miasta Syberyi wschodniej, — ukończoną zostanie.

Będzie to najdłuższa linia kolejowa na świecie, dłuższa od tak zwanej kolej Pacyfyku, przecinającej Stany Zjednoczone Ameryki północnej od New-Yorku do San Francisco, i kolei Transkanadyjskiej, łączącej Montreal, stolicę Kanady nad rzeką św. Wawrzyńca z miastem Vancouver nad oceanem Spokojnym. Do tej ostatniej linii ze względu na północne położenie, warunki klimatyczne i małe zaladnienie kraju najbardziej jest zbliżoną kolej Syberyjska, przewyższa ją tylko długością o tyle, o ile Azja jest szerszą od Ameryki północnej.

Właściwa kolej Syberyjska zaczyna się od miasta Czelabińska, leżącego po tamtej stronie Uralu i kieruje się wciąż na wschód przez Omsk, Kolywan, Krasnojarsk do Irkucka. Od Tomsku, głównego miasta Syberyi zachodniej, posiadającego uniwersytet, przechodzi w odległości stu wiorst, lecz łączy się z niem oddzielną drogą.

Na tej przestrzeni, wynoszącej około 4000 wiorst, czyli mniej więcej dwadzieścia razy tyle, co odległość Warszawy od Częstochowy, trzeba było osuszać bagna, trzebić lasy, wznosić nasypy i budować mosty, z tych niektóre nad rzekami szerszemi od Wisły pod Warszawą a daleko głębszemi, jak Irtysz, Ob i Jenisej.

Łatwo zrozumieć, jakie trudności musiano przewyżczyć przy tych wszystkich robotach, zwłaszcza w kraju jeszcze nawpół dzikim, bez odpowiednich fabryk i robotników miejscowych, i w obec surowego klimatu.

Jednak dziś już można bezpiecznie i wygodnie dojechać w wagonie aż do miasta Kańska, a w sierpniu r. b. pociągi zaczną dochodzić do Irkucka, leżącego w pobliżu słynnego jeziora Bajkalskiego.

Jeszcze większe trudności przedstawia budowa drugiej połowy kolei syberyjskiej, która za lat kilka ukończoną zostanie; od Irkucka bowiem wkracza droga w kraj górzysty i zanim dosięgnie doliny Amuru, t. j. na przestrzeni około 1500 wiorst, przebijać się musi za pomocą tunelów, wąwozów i wiaduktów przez liczne pasma gór, nadzwyczaj skalistych i niedostępnych. Ta część drogi będzie prawdziwym arcydziełem sztuki inżynierskiej i wspaniałym dowodem wytrwałości, umiejętności i przedsiębiorczości ludzkiej.

Ostatnia część tej linii długości 400 wiorst od Władywostoku nad oceanem Spokojnym do Chabarówki nad Amu-

rem, zwana odnogą Ussuryjską, bo biegnie równolegle do rzeki tego nazwania, już jest od lat kilku skończoną.

Niedługo więc będzie przejechać w wagonie cały tak zwany „stary kontynent” od Lizbony z nad brzegów Atlantyku do Władywostoku i podróż tę, na którą dawnie trzeba było poświęcić najmniej lat kilka—odbyć w ciągu paru tygodni przyjemnie i wygodnie.

NIEDZWIĘDZ^{*)}

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

P. Zuzannę Morawską.

(Ciąg dalszy).

Tylko Jadwisia nic na razie nie rzekła. Aż jej się matka spytała:

— A cóżes to taka milcząca?

— Wszystko już opowiedzieli, cóż mam rzec.

— Po chwili dodała:

— Powiedział, że zabierze do siebie Kazika.

I spojrzała na matkę.

— Obiecał, ale czy dotrzyma — rzekł Kazik, siedzący przy końcu stołu.

— A chciałbyś jechać? — zapytała kasztelanowa.

Kazik w miejsce odpowiedzi oblał się rumieńcem i pierwszy raz nie znalazł jakoś na razie odpowiedzi.

— Onby zaraz pojechał! — zaśmiał się Jędrus.

— I tutaj już króliewicz nie mógł się bez niego obejść — dodał Marcinek.

— Byłby go wziął zaraz, jeno mu ten pan nie pozwolił — dodał Piotruś.

— Kazik byłby i tak nie pojechał, bo mu nas żal — szczebiotała Anusia.

A Kazik podniósł na nią wzrok i uśmiechnął się przyjaźnie.

— Hm, hm — rzekł milczący dotąd kasztelan — będzie to szczęście dla chłopca.

Gdy zaś pan Ignacy opowiedział, że jejmość królowa przysłała, aby króliewicz zaraz do stolicy wracał, pan kasztelan począł wypytywać kategorycznie, kto przyjechał, co mówiono, jaki był powód, iż królowa matka swego syneczka tak gwałtownie chciała z drogi nawrócić.

Na to jednak pan Ignacy nie umiał odpowiedzieć, mięszał za to opowiadanie o imci panu Piotrze Opalińskim, siniorze, a nawet i o pociesznym stworzonku, które królowa synowi przysłała, ażeby się w drodze nie nudził.

Na to ostatnie opowiadanie, pan kasztelan mruknął jakoś niechętnie, a potem zwróciwszy się do żony, rzekł:

— A to nie co innego, moja panno, jeno com ci opowiadał.

Pani Łucya kiwnęła potakująco głową, a potem wykalulowała swą rozmowę z mężem w drodze, opowiedziała:

— A bo i pewno, że nie co innego.

I zaraz rzekła:

— Idźcie, idźcie już, dziewczeczki z ochmistrzynią, a też i synkowie mają tam pewnie z panem Sulpicyuszem swoje sprawy.

Dzieci choć nie zbyt chętnie oddaliły się zaraz, każde w swoją stronę, a pan Ignacy chociaż miał wielką ochotę da-

*) W N-rze 6 str. 43 szpalta 2-ga wiersz 22 od dołu zamiast *giuro* powinno być *giuro* — str. 46 szpalta 1 wiersz 43 od góry zamiast *zabrać* powinno być *zabawić!*

lej opowiadanie swoje prowadzić i pochwalić się, jak wszystko, co doń należało, dla honoru domu jaśnie wielmożnego kasztelanowa czynił, widząc jednak, iż się nim zgola nie zajmowa- no, wyniósł się dyskretnie.

— Hm, hm! — chrząknął po swojemu pan kasztelan.

I wstawszy od stołu przeszedł się parę razy po komnacie.

— Co jegomość mówi? — zapytała pani Łucya udając, że chrząkanie wzięła za rozpoczęcie rozmowy.

— Nic, tak oto sobie kalkuluje!

— No, to trzeba mi zajrzeć, co się też tam w głębi do- mu dzieje — rzekła kasztelanowa, zmierzając ku drzwiom.

— Ale, bo widzisz moja panno...

Kasztelanowa zatrzymała się na środku komnaty i za- szedłszy niby niechcący drogę mężowi, spojrzała mu w oczy ciekawie.

— Widzisz, moja panno, trzebaby się to jednak zasta- nowić...

— Przecie jegomość nic bez zastanowienia nie czyni.

— Bo to możeby i odwieźć Jędrka i Marcina do Kra- kowa na naukę.

A skądże to jegomości tak nagle przyszło postano- wienie?

— Nie taki bardzo nagle, boć nieraz już o tem my- ślałem — odparł pan Baltazar, zatrzymując chcącą odejść żonę.

— Ba, aleć od myśli do postanowienia daleka droga, a jeszcze bodaj dalsza do wykonania — odparła pani Łucya.

— Bo to po takich odwiedzinach, jakkolwiek przygo- dnych, zawsze jakoś łatwiejsza droga — mówił kasztelan, idąc za biegiem swych myśli.

— A cóż te odwiedziny z odwiezieniem naszych synów do Krakowa mają wspólne? — spytała znów kasztelanowa, udając, iż nie rozumie słów męża.

— Eh, prawdziwie u białogłowy włosy długie...

— A rozum krótki — przerwała pani Łucya, kładąc rękę na ramieniu męża. — Jać też dorównać rozumowi jegomościemu wcale nie mam pretensyi, ale też sobie kalkuluwa- łem, żeć jeżeli królewicz tak łaskawie z naszymi dziećmi się zabawiał, a dom nasz tak sobie upodobał, że jako powiadają rad byłby dłużej w nim gościć, to chyba nie łącno o nich zapomni.

— A no, toć przecie i ja to mówię — odrzekł kasztelan.

— Zwłaszcza jeżeliby miała być prawda, co jegomości opowiadano, to i na przyszłość promocyja przy dworze, a też i znaczenie...

— Phi, nie łakomyć ja tam na nowe godności, boć dzięki Bogu mamy je z dziada pradziada...

— A któżby tam o łakomstwie na nie mówił — przer- wała żona — wszakci jegomość swojemi zasługami, a też i koligacją na najpierwszem miejscu zasiąść może...

— Aleć od przybytku głowa nie zaboli — przerwał małżonek.

A potem dodał:

— Jeżeli zaś prawda co opowiadano, że uradzono w Piotrkowie... to pewnie wkrótce z całego kraju powołają do stolicy przedniejszych.

— Ba, toć pewnie i bez jegomości tam się nie obej- dzie — rzekła z pewną dumą kasztelanowa.

— Otóż, możnaby zaraz za jednym zachodem i chłop- ców zabrać — dodał kasztelan.

— A jak to jegomość zaraz wszystko doskonale wykal- kulował — pochwaliła z pewną dumą żona.

Pan kasztelan pogładził żonę po gładkiem i kwitnącem jeszcze czerstwością i krasą licu, i rzekł z zadowoleniem:

— No, toć się jeszcze czegoś pewniejszego dowiemy, przecie niemało ludzi do nas bodaj i wprost z Piotrkowa zjedzie!

— Oj nie mało, nie mało! a ja tak sobie gadu gadu — i nic nie wiem, czy tam aby wszystko gotowe.

To mówiąc, wyszła do dalszych komnat, a chociaż gło- wę miała zaprzątniętą bardzo poważnemi, sięgającymi w dal

myślami, przebiegła jednak wszystkie zakątki obszernego swego domu i o najdrobniejsze rozpytywała się szczegóły.

Pani kasztelanowa bowiem choć miała ochmistrzynię, szafarkę, gospodynię, liczny dwór niewieści i cały zastęp służ- by, ogólny jednak zarząd dzierżyła w swych rękach i nic czujnego jej oka ujść nie mogło. Tem gorliwiej teraz spie- szyła do swoich zajęć, że przez dni kilka nie była w domu, a licznego jak zwykle spodziewała się na imieniny męża zjazdu.

Przyjęcie kilkudziesięciu osób stanowiło nie mało kło- pót dla gospodyni i wielu wymagało starań. To też zjazdy takie odbywały się w zamożnych nawet domach zaledwie raz na rok, ku czemu gospodarstwo nietylko we dworze lecz w oficynach, stajniach a nawet często i porządniejszych cha- tach właściwe czynili przygotowania

Kilkadziesiąt bowiem gości przywoziło ze sobą drugie tyle jeżeli nie więcej dworzan i dworek, składających się z młodzieńców i panien, często krewnych lub też drobnej szlachty, szukającej na dworze możnych panów promocyi.

Oprócz „dworu” przyjeżdżał również cały zastęp służby tak męskiej jak żeńskiej, bo pan wojewoda, podkomorzy, sta- rosta, cześnik czy stolnik, musiał mieć swego pokojowca, jak jejmość oprócz panien dworskich miały służebne.

Cóż dopiero mówić o woźnicach, hajdukach i forysiach! Żaden zamożniejszy szlachcic bez takowych się nie ruszał, zwykle bowiem za kolebką stało dwóch hajduków, a na trze- cieć parze koni siedzieli forysie, którzy w noc ciemną zapa- lonemi przyświecali pochodniami. Często zaś oprócz powyż- szych jechało jeszcze dwóch lub więcej dworzan konno po obu stronach kolasy, lub jak zimą kolebki na saniach, ażeby w razie pochylecia się tejeż w tę lub ową stronę chylącą się podtrzymać, a nawet i od upadku ochronić. Drogi ówczesne pełne wybojów i kamieni, zmuszały do takiej ostrożności a wypadki wyrócenia, złamania koła lub przegody z koźmi, były tak częste, iż należało prawie do osobliwości, jeżeli ktoś przebył kilkunastomilową podróż bez podobnego wypadku.

Nie dziw więc, że każdy wybierający się w podróż, brał konie zapasowe i jaki taki poczet który zarazem świadczył i o zamożności jego domu. Lecz nie dziw także, że dom, któ- ry miał zaszczyt przyjmowania u siebie licznych gości, musiał nie mało się krzątać, by o wygodach dla przybywających pomyśleć.

To też i pan kasztelan, jakkolwiek spuszczał się w wielu razach na swego marszałka i zwykł mawiać, że w panu Igna- cym ma drugiego siebie, teraz jednak wyszedł na obszerny podwórzec, ażeby sam o wszystkim należycie się przekonać.

Zamek zakroczyński, jakkolwiek bardzo obszerny i wy- godny, nie mógł jednak pomieścić tak licznych gości, jacy zwykle przybywali na imieniny pana kasztelana. Nietylko więc przystawki i domki dla domu i służby, ale nawet i domy w miasteczku, odległym o dwie wiorsty od miasta, były dla gości zajęte, jako też karczmy i zajazdy dla koni kolasy i wo- zów, do tych gości należących. Każdy bowiem, wybierając się w dalszą podróż, wiodł za sobą wóz a czasem i dwa, na których była pościel oraz wszelkie potrzebne do codziennej wygody statki.

Podróż trwająca dni kilka wymagała tych wszystkich przyborów; jeżeli bowiem nie trafiał się po drodze krewniak lub szlachcic skoligacony z podróżującym, zajeżdżano do pierwszej lepszej karczmy, gdzie będącemi na wozie oponami przystrajano izbę, wydobywano z wielkich skórzanych tłomo- ków pościel i urządzano wygodny nocleg dla państwa. Dwór zaś mieścił się, jak mógł, często nawet w braku izby na wo- zie, pośród tłomoków i sepetów.

W zamku kasztelanowa przystrojono tylko parę izb dla najznakomitszych gości, którzy w nich mieli zamieszkać. Lecz i ci, dla których przeznaczone były komnaty paradne, przywozili z sobą rozmaite sprzęty, opony i dywany, a jejmo- ści zabierały srebrne świeczniki, niednice i wszelkie przybo- ry do gotowalni. I nieraz też sama jejmość, która w domu sypiała w zaledwie pobielonej izbie, myła się w drewnianym stat czku a ubierała przy świetle kominkowego ognia, jadąc

w gošcinę, zabierała najwspanialsze makaty, jakie spoczywały od dziada pradziada w wielkich skrzyniach, oraz srebrne rubki, dzbany, miednice i świeczniki, które jej się drogą spadku po ojcach dostały. Okazanie światu tych drogowych przedmiotów, nietylko miało na celu przedstawienie bogactwa domu, lecz zarazem i dawność rodu, a nawet i zasługi antenatów, którzy owe bogactwa najczęściej zdobyli na wojnie, lub otrzymali od króla za męstwo i czyny przynoszące mu chlubę.

Popisywanie się tym bogactwem nie uwłazało bynajmniej donowi, do którego jechano w gošcinę, owszem, okazywano tym sposobem pewną cześć, kładąc najpiękniejsze szaty i otaczając się najbogatszymi sprzętami. Czynnikiem to wszystko dla honoru swego i domu, w którym miano gościć.

Przyjmujący zaś u siebie gošci, toż samo czynił, chcąc okazać cześć przybywającym, a pan kasztelan idąc w podwórzec rzekł sam do siebie:

— Wiem co mi się od innych należy, ale też wiem, co i innym odemnie!

Chociaż więc głowę miał zaprzątniętą myślami, któremi co tylko podzielił się z małżonką, szedł jednak aby na własne oczy dopatrzeć, czy wszystko jest w należytym porządku.

Na podsieniu spotkał Kazika i zaraz skinął na niego:

— Chodź sam ze mną!

Chłopiec szparko się przybliżył, a widząc, że stryj idzie dalej, nie pytając go o nic, kroczył za nim w milczeniu, jak należało na dobrze wychowanego młodzieńca.

Doszli tak do stajen, gdzie pan kasztelan rzucił baczny wzrokiem i zapytał:

— Wszystko w porządku?

— Jako przystało, jaśnie wielmożny panie — odrzekł masztalerz.

— Będzie się waś miał czem popisać?

— Nie chwając się, ale trudno o lepsze konie — odpowiedział, uśmiechając się masztalerz.

— A nieujeżdżony?

— Ho, ho, ten nad wszystkie, a śmiałek, co go dosiędzie, wart będzie nie byle nagrody — rzekł z pewną dumą masztalerz i spojrzął z pod oka na Kazika.

— Zobaczmy, zobaczmy! — rzucił pan kasztelan i poszedł dalej.

A Kazik idąc też za nim rozmyślał o owym koniu nieujeżdżonym i o popisach i harcach, jakie zwykle podczas zjazdu na imieniny pana Baltazara wyprawiano.

— Ach, żeby mi to pozwolono dosięść owego konia — westchnął sobie. — Ale gdzie tam, będzie tylu innych.

Tymczasem przy bramie stróż, zobaczywszy idących,

schronił się do swojej budki i zaczął się żegnać z przestrahem.

— Otwieraj! — zawołał kasztelan.

Stróż wychylił głowę, spojrzął na Kazika, szeroko oczy otworzył, a potrząsnąwszy głową, znów się przeżegnał.

— Oszalał! — rzekł, wrzuszając ramionami kasztelan.

— Jaśnie wielmożny panie, ojciec mój, dobrodzieju, nie chodźcie za furtę.

I wskazał na Kazika, kładąc znów znak krzyża świętego.

— Co jemu? — spytał kasztelan, zwracając się do młodzieńca.

Lecz nim tenże odpowiedział, stróż zbliżył się do kasztelana z pokorą i przestrahym głosem:

— Tego już wszelki czort opętał.

— Iście oszalał! — rzekł wrzuszając ramionami pan Baltazar.

I nie czekając aż stróż otworzy furtę sam to uczynił.

— Jaśnie wielmożny panie, ojciec, dobrodzieju, wysłuchaj!

Kasztelan, jako pan dobrego serca, spojrział na wołającego i zatrzymał się.

— Czary, czary, jakom chrześcijanin, czary! jaśnie wielmożny panie, na własne oczy widziałem tej nocy dyabła, ogon mu wylazł z pod kubraka, dyabeł zamienił naszego panicza Kazika w niedźwiedzia, jeno zadzwonono w kościele i jakoś mu się odmieniło, ale jakom żyw tak ten dyabeł tam gdzie pod mostem siedzi i znów nam z Kazika robi niedźwiedzia.

I uczepiwszy się poły młodzieńca, nie chciał go wypuścić za furtę.

— Puszczaj! — zawołał kasztelan.

— Jaśnie wielmożny panie, ojciec i dobrodzieju nasz, choćby mnie ubito na miejscu, ja naszego kochanego Kazika nie puszcze! — wołał stróż, zapalając się coraz więcej.

— Oszalałeś, czy co, toż Kazik idzie ze mną! — ozwał się kasztelan, zdziwiony niezwykłym zachowaniem się sługi.

— Jaśnie wielmożny dobrodzieju nasz, do waszej jasności, tfu! panie odpuść, czort nie będzie miał śmiałości, boć powiadają, co starszych i w piekle szanują, a do młodzieniaszków, wiadomo, największą mają oni pohopność — mówił dalej z najwyższym przekonaniem.

Kasztelan wrzucił ramionami i zniecierpliwiony zawołał, do przechodzącego parobka:

— Wziąć tego pijaka!

(d. c. n.)



Dostawa kości słoniowej do Kougo.

HANDEL KOŚCIĄ SŁONIOWĄ.

Jak cennym artykułem handlu, mianowicie dla Afryki, jest kość słoniowa o tem przekonują nas dopiero cyfry statystyczne, które wykazują wzrastające z każdym rokiem zużytkowanie tego materiału.

Wiadomo, że pod nazwą kości słoniowej rozumieć tylko należy olbrzymie kły, wyrastające zwierzęciu po obu stronach górnej szczęki, kły dochodzące u niektórych starszych słoni, do wyjątkowych rozmiarów, tak, że słynny podróżnik angielski po Afryce, Samuel Baker widział okazy ważące po 144 funtów para. Oprócz drobnych przedmiotów wy-

mimozowych, których liśmi i młodą korą chętnie się żywi, nierzadko narażone bywa na ich uszkodzenie. Chciwi na wszelki zarobek Murzyni urządzają bezustanne na słonie obławy nieraz z narażeniem życia. Zdobyty materiał zabierają karawany arabskich kupców, prowadzących handel zamien-ny. Jak zaś olbrzymie osiągną zyski kupcy, można wnosić



Skład kości słoniowej w Antwerpii.

rabianych z kości słoniowej jak: guziki, spinki, broszki i wiele rzeczy ozdobnych i zbytkownych, najwięcej wszakże spożytkowywaną bywa ona na wyrób kul bilardowych z powodu swej wielkiej twardości. Oczywiście, że wszelka szczyrba, wszelkie pęknięcie czyni materiał niezdatny już do użytku, a zwierzę posługując się kłami, zarówno ku obronie jak zdobywaniu żywności, mianowicie przy wywracaniu drzew

z tego, że Stanlej w czasie pobytu swego w środkowej Afryce, znalazł szałaszy zbudowane na podporach z kości słoniowej, którą krajowcy z wielką ochotą wymieniali na miedź w cenie pół lub jednego centa za funt, gdy w Zanzibarze tenże sam funt kości płaci się po dwa dolary.

Załączona do dzisiejszego numeru rycina I-sza ilustruje transport kości słoniowej na barkach Murzynów, przezna-

zonej na ładunek okrętów w Kongo; druga zaś przedstawia olbrzymie składy tego materiału w Antwerpii, dając nam w przybliżeniu pojęcie o niezmiernej ilości i wielkości nagromadzonych tam okazów. Rynek bowiem Antwerpski stał się dziś pierwszym w świecie odnośnie do handlu kością słoniową, usuwając na drugi plan Londyn i Liverpool. A jeżeli weźmiemy na uwagę, że kilogram kości ceni się obecnie w Antwerpii 18 franków, zrozumiemy, jak poważne sumy są w obrocie, jakim cennym przedmiotem jest ten artykuł w rzeczywistości.

Oczywiście, w stosunku do tak wielkiego zapotrzebowania i tak zaciętego tępienia przez krajowców ilość żyjących w Afryce słoni, zmniejsza się bezustannie. Przemysłowcy więc Anglicy rozmyślają podobno nad założeniem w Indjach hodowli słoni, na podobieństwo kolonii wychowujących strusia, które prowadzone już od lat kilku, świetne dają korzyści.

W OTCHŁANIACH MORSKICH

PRZEZ

Dr. M. Stefanowską.

(Dalszy ciąg).

Pod względem zoologicznym wyprawa również bardzo się powiodła; odkryto, że istnieje wielka różnica między fauną głębinową zimnych a ciepłych prądów. Prócz tego zdobyto dla nauki mnóstwo nowych zwierząt, między którymi najwięcej zasługiwały na uwagę przesłiczne jeże morskie (*Asthenosoma*) oraz ogromne pająki morskie, mające przeszło 10 centymetrów długości.

W 1870 r. *Porcupine* wyjechał na morze Śródziemne; lecz pomimo długiej podróży zebrał plon bardzo ubogi. Dziwnem jest to ubóstwo zwierząt w morzu, które na pozór, posiada wszelkie warunki, sprzyjające rozmnażaniu się zwierząt, gdyż temperatura morza Śródziemnego jest o wiele wyższą niż w oceanie Atlantyckim, tak obfitym jednak w gatunki zwierzęce. Teraz dopiero wykryło się dla czego Forbes pomylił się, wyciągając wnioski ze swych badań na morzu Śródziemnym. Z powodu ubóstwa tego morza, wyciągnął zbyt pospieszny wniosek i zawyrokował, że we wszystkich morzach głębin są jałowe.

Jednocześnie z wyprawami naukowymi w Anglii, urządzono podobne wyprawy w stanach Zjednoczonych. W 1867 r. roku okręt *Corwin*, a w 1868 do 1869 roku okręt *Bibb* pod przewodnictwem głośnego przyrodnika Ludwika Agassiz'a badał głębinę Gulf-Streamu. W 1872 roku wyjechał znowu okręt *Hassler*, na którym Ludwik Agassiz wraz z hrabią Pourtales'em badali wschodnie i zachodnie pobrzeża Ameryki. Nakoniec od 1877 do 1879 r. Aleksander Agassiz wsiadł na obręt *Blake* i szczegółowo zbadał morze Antylskie oraz zatokę Meksykańską. Rezultaty naukowe osiągnięte na *Blake* były olbrzymie; zebrano kilka tysięcy okazów zwierzęcych, a liczba nowo odkrytych gatunków wynosiła kilkaset. Przekonano się także, że zwierzęta złowione w morzu Antylskim były odmienne od zwierząt, które uczeni angielscy zebrali w morzach przyległych do Anglii. Stało się teraz oczywiste, iż aby poznać dokładnie zwierzęta głębinowe, potrzeba zbadać je we wszystkich morzach na kuli ziemskiej. Wielkie to zadanie wykonała, jak wkrótce zobaczymy, nowa wyprawa naukowa w Anglii.

Wyprawa okrętu Challenger.

Dwaj uczeni angielscy, Carpenter i Wyville Thomson po powrocie z wyprawy na *Porcupine*, postanowili dokonać

jeszcze większego dzieła i odbyć podróż naukową naokoło świata. Jakoż starania ich uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem. Otrzymali oni do swego rozporządzenia od marynarki angielskiej okręt, którego nazwa na wieki zostanie sławną w historii nauk. *Challenger*, tak się nazywał ów okręt, był świetnie zaopatrzony we wszystko, co jest niezbędne do długiej podróży naukowej. Urządzono na nim pracownię fizyczną i chemiczną, oraz gabinet historii naturalnej ze wszelkimi przyrządami. Zapominać nie należy, że okręt, pływający po morzach, kołysany jest wciąż przez fale, zwłaszcza gdy wiatr jest silny. Aby mózdz spokojnie pracować przy takich warunkach, trzeba odpowiednio urządzić pracownię. To też w gabinecie historii naturalnej cztery mikroskopy przyśrubowane były mocno do stołów, aby nie spadały podczas kołysania się statku. Na ścianach dokoła półki, a do nich przytwierdzono mnóstwo słoików, do których miały być składane zwierzęta morskie, zakonserwowane w spirytusie. Wszystkie przyrządy przyrodnicze jako to: nożyczki, szczypecy, skalpeli i t. p. były zrobione nie ze stali, lecz z niklu, aby woda morska niszczyć ich nie mogła.

Pięknie urządzono również pracownię chemiczną, zawierającą przyrządy do analizowania wody morskiej. Butelki z odczynnikami także przymocowane były do ścian. W tej pracowni ustawiono po kolei butelki, napełnione wodą morską, którą wydobywano z rozmaitych głębi oceanu. Następnie robiono analizę tej wody, badano jej gęstość i inne własności.

W innym miejscu mieścili się mapy morskie, przyrządy hydrograficzne, oraz przyrządy niezbędne do robienia obserwacji nad magnetyzmem i meteorologią. Znajdował się również ciemny pokój do fotografii wraz z niezbędnymi przyrządami. Były wreszcie termometry, fotometry (przyrządy do mierzenia siły światła), siecie (drugi), ołowianki (przyrządy do mierzenia głębokości morza), oraz akwaryum, w którym wodę ustawicznie odświeżano.

Z tego opisu widzimy, jak doskonale było urządzenie *Challengera*, do jak wszechstronnych badań zastosowane. Był to prawdziwy przybytek wiedzy, który puścił się na ocean dla zdobywania nowych prawd naukowych. Okręt wyjechał z Portsmutu 21 grudnia 1872 roku, a przybił do brzegów Anglii dopiero 24 Maja 1876 r. Przez trzy i pół lat podróżywał on dokoła ziemi i zapuszczał sieć na dno wszystkich oceanów.

Zaraz na wstępie sieć przyniosła obfitość zwierząt z głębin. Z powierzchni oceanu ściągano również delikatnych mieszkańców jako to: skrzydlate ślimaki, przesłiczne girlandy rurkopławów, jaskrawe meduzy i inne zwierzęta, o których już mówiliśmy przy faunie pelagicznej; wyprawy naukowe bowiem odkryły nam nie tylko tajemnice otchłani morskich, ale zarazem zapoznały nas z wieloma zwierzętami pelagicznymi, o których dawniej nic nie wiedzano.

Sieci spuszczone do głębin morskich przynosiły tłumy zwierząt bezkręgowych, ale do najważniejszych połowów *Challengera* zaliczają się liczne ryby, po których wyraźnie poznać było można, że pochodzą z wielkich głębi morskich.

W poprzednich wyprawach ryby były rzadkością, tak, iż myślnano, że zwierząt tych niema w wielkich głębinach. *Challenger* kwestyę tę rozstrzygnął, gdyż dowiódł, że na dnie oceanu żyją nie tylko niższe zwierzęta, jak dotąd myślnano, ale że jest tam mnóstwo ryb rozmaitego gatunku.

Obok odkryć zoologicznych komisya naukowa z *Challengera* starannie badała zarazem jak wygląda dno Atlantyku, czyli badała jego topografię. Wzdłuż wybrzeży Afryki głębokość tego oceanu dochodzi do 2000 metrów, lecz w środku głębiny jego nagle wzrastają i przeciętnie wynoszą od 400 do 5900 metrów (w przybliżeniu 4 i 5 wiorst).

Atoli głębokość wciąż się zmienia; dno oceanu nie jest bynajmniej, jak przez długi czas myślnano, obszerną równiną podmorską, na której pagórki i pochyłości są tak łagodne, iż możnaby po nich jechać powozem od Irlandyi aż do Nowofundlandyi nie używając wcale hamulca. Bynajmniej, powierzchnia ładu głęboko ukrytego pod wodą jest również

urozmaiconą, jak powierzchnia łądu zamieszkałego przez rasę ludzką. W oceanie znajdują się łańcuchy górskie, płasko-wzgórza, doliny, strome pagórki, oraz wzgórze nieznacznie zlewające się z równiną. Wszystkie te szczegóły oznaczone są na tablicach, wykazujących pomiary morza, brane z okrętu *Challenger*.

(d. c. n.)

NA POLANCE

powieść

p. E. Jerlicza.

(Dalszy ciąg)

Dziecko było posłuszne i łagodne, nikomu się nie narzyknęło, wchodziło do pokoju cichutko jak myszka i w jakim kąciaku lub w ogrodzie bawiło się całymi dniami. Wszystkie opiekunki zajmowały się niem troskliwie, a Joasia polubiła bardzo małą wychowanąkę. To zajmowanie się kimś innym nie zaś, jak dotąd bywało, wyłącznie swoją osobą, dając poczucie własnej użyteczności, sprawiało jej prawdziwą przyjemność.

Razu jednego, Zosia przebudziwszy się w nocy, zobaczyła Joasię jak stała pochylona nad walizą, w której spało dziecko.

— Co to się stało? — spytała, podnosząc głowę. Joasia odpowiedziała z przestraszeniem.

— Chodź-no, zobacz, moja droga, mnie się zdaje, że Kasia zachorowała, rzucała się przez sen i płakała głośno.

Zosia jednym skokiem stanęła obok towarzyszki, po chwili jednak odezwała się uspokojona:

— Nie jej nie jest, musiało się jej coś przyśnić i dla tego tak się niepokoila.

Poprawiła dziewczynkę na posłaniu, okryła troskliwie i obie panienki uspokojone położyły się napowrót.

VI.

Na ganku u państwa Skalskich siedziało całe młode towarzystwo, rozmawiając wesoło, kiedy od strony ogrodu ukazał się dziadunio w ogromnym, słomianym kapeluszu, niosąc duży kosz, przykryty liśćmi.

— Dzień dobry panienkom! — zawołał wesoło, stawiając kosz na ławie. — Słyszałem, że chcecie smażyć truskawki, wybrałem więc dla was, jakie potrzeba. Odgarnął liście, a wszystkie panienki wydały jeden okrzyk zachwytu. Takich truskawek żadna z nich nie widziała; każda była wielkości olbrzymiego włoskiego orzecha.

Staruszek był widocznie bardzo ucieszony zachwytem włódych.

— Skąd pan sprowadził taki gatunek? Nawet w Warszawie nie widziałam truskawek tej wielkości — zawołała Jania.

— Ja je sam wyhodowałem.

— Skądże pan posiada tę sztukę?

— Skąd? Ha, ha, ha! Czyż to ja się mało nachodziłem około tego, pracując u ogrodnika.

— Jakto? chyba pan miał takiego ogrodnika, od którego się pan nauczył.

— Boże uchowaj! ja sam służyłem u ogrodnika w Paryżu, kiedy to po skończeniu wojny węgierskiej zawędrowałem do Francji.

— A cóż to była za wojna węgierska?

— To widzi panienka Węgrzy bili się wtenczas z Niemcami. Ja byłem podówczas jeszcze bardzo młody, miałem

zaledwie lat dwadzieścia, ale i mnie się jakoś zachciało spróbować żołnierskiego chleba, a że nie lubiłem okrutnie Niemców, więc dalejże do kompanii z Węgrami!

— Ach! panie najdroższy, najlepszy! — zawołał Henryk, niech nam pan co opowie z tamtych czasów.

— A jakże! zaraz im opowiadać. Ja was tu będę bawił historyjami na wasze zawołanie, młokosy jedne! — gromił śmiejąc się staruszek.

Ale Henryk nie zrażony tą odmową, objął dziadunia całował w ramiona i prosił natarczywie: niech nam pan co opowie z tamtych czasów! Inni chłopcy dołączyli też swoje próby, i panienki również otoczyły staruszką.

Wymawiał się jeszcze pan Skalski, ale już miękł widocznie, skoro zaś Ludwina, która posiadała ogromne łaski u dziadunia Zosi, dołączyła swój głos z innymi, staruszek przestał się opierać, zamyslił się i po chwili wyrzekł, spoglądając po młodzieży dokoła:

— Ale o czemże chcecie, abym wam opowiadał? bo ja sam nie wiem doprawdy?

— Niech dziadunio opowie o swoim poznaniu z Palflym! — zawołał Staś.

— Aha! z Andrzejem Palflym — powiedział dziadunio, siadając na ławeczce, gdy chłopcy tłoczyli się, by zająć najbliższe miejsca.

— Andrzej! dzielny, nieustraszony Andrzej, mój Boże! Czy ja się domyślałem, czy ja mogłem przypuszczać, widząc go tak silnym i rzeźkim... — mówił, jakby do siebie, zamysłając się smutno dziadunio.

— Jakiśmy się poznali, chcecie wiedzieć? — zwrócił się do swoich słuchaczy. — Oto tak się stało. Było to podczas wojny węgierskiej, jak już mówiłem. Młody i pełen zapału wywędrowałem do Austrii, a stamtąd dostałem się do Węgier, bo mi się Niemców koniecznie bić chciało.

Boże mój jedyny, jak to sobie człowiek przypomni te młode lata! Człek niedoświadczony, bez grosza w kieszeni, biegł gnany jakąś gorączką, jakby mu kto skrzydła do nóg przyprowadził; nie pytał czy głodno, czy chłodno, i gdyby mu nie wiedzieć jakie przeszkody na drodze stawiano, byłby je rozbił w kawałki, lub jak ptak nad nimi przeleciał.

Powiadam wam dzieci, młodość to dobra rzecz, ale nie taka co to ani myśli, ani czuje, ale taka młodość, co to serce zapala do wszystkiego co wielkie, a myśli budzi do tego co znaczne. Otóż tedy, jak wam mówiłem, dostałem się na ziemię węgierską. Ale tu bieda wielka, bo porozumieć się ani sposobu. Nie uniałem po węgiersku, a Węgrzy naturalnie ani rusz po polsku; wprawdzie od biedy mógłbym się wygadać w języku niemieckim, ale to nie było bezpiecznie, bo Węgier rozżarty na Niemca, jak brys na wilka, gotówby rozszarpać każdego, ktoby do niego przemówił w takowy sposób.

Co tu robić?

Znalazłem się akurat w okolicy, skąd zamierzałem dojechać do miejsca, gdzie były zgromadzone główne siły węgierskie. Wypytałem tedy i tak i owak, ale nic na pewno zmiarkować nie mogłem. Zaczyna mnie to niecierpliwieć; wreszcie dowiaduję się wypadkiem, że w okolicy znajduje się siedziba rodziny Palflych. Myślę więc sobie: nic innego nie wypada mi uczynić, tylko tam się udać, może prędzej rzecz się wyświeśli.

Idę tedy śmiało, choć z drogi i przebytych tarapat nie wyglądałem zbyt pokaźnie, mało mię to wszakże obchodziło, bo przecież nie szedłem prosić o łaskę dla siebie, tylko dla porozumienia w sprawie dotyczącej ogółu.

Dochodząc do zamku, zobaczyłem od tamtej strony jakiegoś młodzieńca, którego powierzchowność uderzyła mnie dosyć przyjemnie. Może ten objaśni mi do pewnego stopnia — myślę sobie. Zachodzę mu tedy drogę i uchyliwszy grzecznie czapki, przemawiam mieszaną mową języka polskiego z łaciną, która jest dosyć używaną na Węgrzech, w której wszakże ja wcale biegły nie byłem. Mówię tedy i mówię, gestykulując żywo, on patrzy na mnie z ciekawością, słucha cierpliwie, ale uważam, że nic nie rozumie. Po jakimś czasie on znów zaczyna mówić, rozprawiać, gestykulować,

i znowu ja go nie nie rozumiem. Nakoniec obaj milkniemy i spoglądamy wzajemnie po sobie, nie wiedząc czego jeden chce od drugiego.

Co tu robić?

Aż mnie przychodzi na myśl, czybyśmy się nie mogli porozumieć tak jak głuchoniemi, na migi. Kładę tedy rękę na piersiach dla oznaczenia, że to: ja, następnie zakreślam przed sobą szerokie półkole i wymawiam imię węgierskiego wodza, do którego chciałem podążyć. Spojrzał na mnie uważnie, kładzie tak samo rękę na piersiach, wyciąga ją przed siebie i wymawia toż samo imię. Zrozumieliśmy się wreszcie. Znaczyło to, że i on wybierał się w tę samą, co ja drogę. Podaliśmy sobie ręce i uśmiechnęli nieledwie przyjaźnie. Niby dobrzy znajomi szliśmy dalej obok siebie. Węgier zapraszał mię na migi uprzejmie, wskazując w stronę zamku. Szliśmy za pan brat. Czując potrzebę wygadania się, każdy z nas mówił po swojemu, on po węgiersku, ja po polsku, nie rozumiejąc się naturalnie ani słowa, ale pełni ożywienia.

Domyślałem się w nim oficjalisty zamkowego, więc na dziedzińcu przystaję i oglądam się, pewny, że mnie pociągnie do oficyny, ale on prowadzi mnie prosto do zamku,

— Widocznie tam musi mieć pomieszczenie — myślę sobie.

Wchodzimy do sieni. Phi! niczem sala balowa! Dwieście osób wygodnie pomieściłby się w niej mogło. Dokoła porozwieszane lby dzików, rogi jelenie, wypchane sokoły i lejki z rozpostartymi skrzydłami. Zastanowiłem się trochę, ale mój towarzysz bierze mię pod ramię i prowadzi dalej. Przechodzimy szereg komnat sklepionych, o wązkich i długich oknach, jak to zwyczajnie bywa po starych zamczyskach, aż nakoniec znaleźliśmy się w pokoju trochę na nową modę przybranym. Na konsoli leżą mapy i gazety, a pomiędzy nimi dostrzegam jedną francuzką.

— To pan zna język francuski? — pytam ze zdziwieniem mego towarzysza.

— A znam — odpowiada niemniej odemnie zdziwiony.

Spoglądamy po sobie i wybuchamy głośnym śmiechem. Mozoliłiśmy się tyle czasu, rozmawiając jak dwaj niemi na migi, nie domyślając się, że posiadamy doskonały sposób wzajemnego porozumienia.

Teraz dopiero rozgadaliśmy się na dobre. Opowiedziałem mu, com jest za jeden, czego chcę i dokąd dążę; od niego zaś dowiedziałem się, że się nazywa Andrzej Pfallfy, że mieszka z matką, której jest jedynym synem, w zamku, będącym ich rodzinną od niepamiętnych czasów własnością, i że się wybierze, tak jak ja, na wojnę z Niemcami, że zatem pójdziemy razem.

— A matka pańska? — zapytałem — która ma pana tylko jednego.

Pochylił głowę.

— Cóż robić? — odrzekł — matka wie, że tak być powinno i nie zatrzymuje wcale. Ale czekaj, przedstawię cię mojej matce.

Wyszedł, pozostawiając mnie samego, a wróciwszy za chwilę, rzekł:

— Chodźmy, uprzedziłem już matkę o twojem przybyciu.

W bogatej, staroświeckiej komnacie siedziała przy stole żoną założonym przyrządami do robót kobiecych, pani Pfallfy, w stroju czarnym, wzrostem wyższa od syna, bardzo jeszcze piękna, o bladej twarzy i dużych czarnych błyszczących oczach, z wyrazem wielkiej powagi, imponująca nieledwie.

— Pozwól, że ci przedstawię mego towarzysza, matko — przemówił młody Pfallfy.

Stałem w postawie pełnej uszanowania przed dostojną panią domu, która na powitanie skinęła mi poważnie głową.

— Pojedziemy razem do obozu — dodał Andrzej.

Zdawało mi się, że pani Pfallfy jeszcze bardziej pobladła, a kąciki jej ust zadrżały; spokojnym jednak rzekła głosem:

— Wyjeżdżasz? kiedy?

— Za trzy dni.

— Za trzy dni — powtórzyła jak echo.

— To dobrze — wyrzekła po chwili milczenia.

Miły Boże! jakim ona głosem wymówiła te słowa: to dobrze. Cicho, spokojnie na pozór, ale pod tym pozorem krył się bezbrzeżny ból i rozpacz matki skazanej na rozłąkę z jedynym dzieckiem.

I tak było do końca, gdyż cały jeszcze tydzień zabawiliśmy w zamku. Pani Pfallfy, przygotowując wszystko do wyjazdu syna, czyniła to z takim spokojem, jakby wyprawiała go na jakąś wycieczkę dla przyjemności.

Ostatniego dnia, wczesnym rankiem, stary sługa oznajmił mi, że pani jego życzy widzieć się ze mną. Jużem się był obsłuchał do tyła w dźwiękach obcej mowy, że mogłem zrozumieć co nieco. Poszedłem. Na środku pokoju stała matka Andrzeja, poważna i blada, jak zawsze. Skłoniłem się z uszanowaniem.

— Kazałam pana prosić — rzekła po chwili — bo mam do pana wielką prośbę.

— Rozkazuje, pani.

Podeszła ku mnie i ujęła rękę.

— Słuchaj, czy masz matkę? — zapytała.

— Nie mam, pani — odrzekłem ze smutkiem w głosie.

— A ojca?

— Odumarł mnie dzieckiem, sam jestem, nie mam nikogo z bliskich.

— Ach! a ja mam jego jednego tylko — i mogę zostać samą na świecie!

Zrozumiałem ten wykrzyknik.

— Więc niech Andrzej nie jedzie, niech lepiej zostanie przy tobie, pani.

— Nie! — wyrzekła z mocą. — Andrzej powinien jechać, przeszkadzać mu nie mogę. Lecz chciałam cię zakląć na imię twoich rodziców: nie odstępуй go, czuwaj nad nim, jakbyś był jego bratem.

— Przyrzekam ci to, pani — wyrzekłem wzruszony, podnosząc jej rękę do ust.

— Pamiętaj, zaklinam cię, nie odstępуй go nigdy, nigdy!

(d. c. n.)

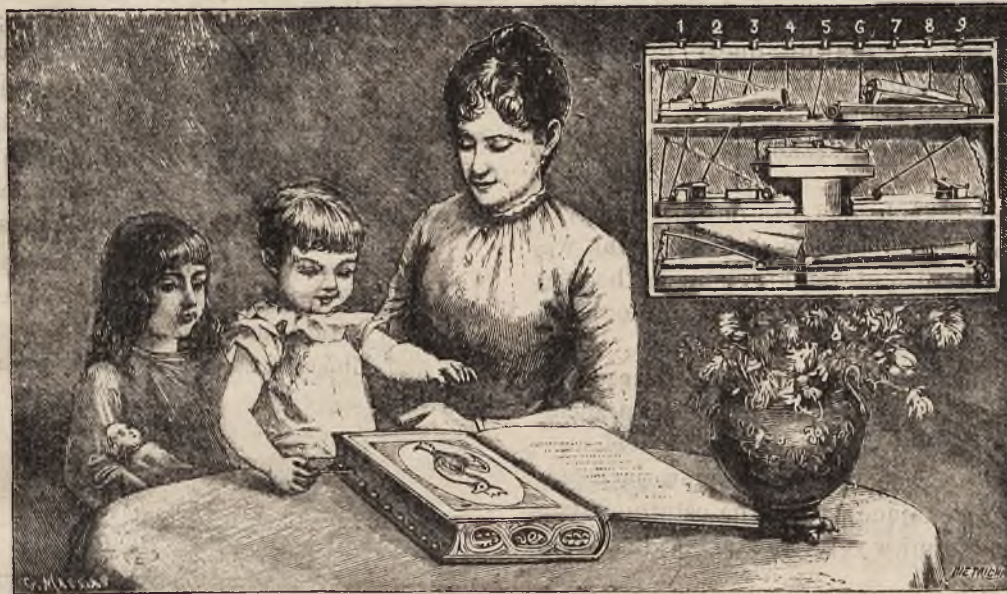
Do tego N-ru dołącza się ogłoszenie rośliny leczniczej „Efedra.”

PRENUMERATA W YNOSI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Nieproszony gość, wiersz przez Maryę S. — Kolej syberyjska — Niedźwiedź, powieść z XVI w. przez Zuzannę Morawską. — Handel kością słoniową (z ryc.) — W otchłaniach morskich przez dr. M. Stefanowską. — Na polance, powieść przez E. Jerlicza. — Dodatek: Czarodziejska księżeczka przez M. D. — Kto rano wstaje temu Pan Bóg daje, wiersz przez W. D. — Przesady, komedyjka w jednym akcie. — Gołąbek Bożenny. — Zamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitek. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.



CZARODZIEJSKA KSIĄŻECZKA.

Do dziecinnego pokoju, w którym bawiła się siedmioletnia Marylca z małym swym braciszkiem Stasiem, weszła mama z jakimś tajemniczym uśmiechem na twarzy.

Bystre oczy dziewczynki spostrzegły odrazu ten uśmiech.

— Mateczka chciała nam coś wesołego powiedzieć? Prawda, że zgadłam? — zapytała, przybiegając i pieszcząc rękę swej mamy.

— Zanim ci odpowiem, muszę najpierw wiedzieć, czy dzieci grzecznie się bawiły, czy zasłużyły na nagrodę?

— Grzecznie mateczko, grzecznie bardzo! Stacho nie płakał ani razu, we wszystkim mu ustępowałam. Chodziliśmy niby to na spacer, ja z moją laleczką na rękę, on ciągnął ten nowy wózek, co mu to gwiazdka przyniosła.

— Dla grzecznych więc dzieci gwiazdka jeszcze jeden ma podarek. Trochę się wprawdzie spóźniła, miała jednak bardzo daleką drogę, bo aż z Paryża przychodzi.

— Z Paryża, czy to tam, gdzie wujcio Bohdan pojechał?

— Tam właśnie, i on też prosił gwiazdkę, żeby do was jeszcze przyszła.

— Taś kocha wujcia! — zaszczebotał mały.

— Wujcio też kocha Stasia, i dla tego przysłała mu śliczną książkę czarodziejską.

— Mama da Tasiowi książkę — wołał chłopiec wyciągając rączki.

— Ah nowa książeczka! Jakże się cieszę! — mówiła uradowana Marylka — będę miała co czytać, pewnie śliczne są tam bajeczki. Ale czemu mama nazywa ją czarodziejską?

— Obaczysz zaraz. Jest to zupełnie inna książka jak wszystkie, które dotychczas widziałaś!

To mówiąc, mama zaprowadziła dzieci do swego pokoju, gdzie na stole leżała duża książka, niby album do fotografii.

Gdy dzieci ciekawie spoglądały na nią, mama siadła na fotelu, wzięła Stasia na kolana, a Marylce kazała przysunąć się blisko.

— Patrz-no Stachu — mówiła, odkrywając pierwszą stronę, na której wymalowany był śliczny kogucik z czerwonym grzebieniem i puszystym ogonem — czy ty znasz tego ptaszka?

— Kuku-ryku! — zawołał chłopiec, spojrzawszy na obrazek. Aż w tem najniespodziewaniej:

— Kuku-ryku! — odpowiedział malowany kogucik. Dzieci wybuchły wesołym śmiechem, Staś aż rączkami trzepotał w powietrzu.

— Kuku-ryku, kuku-ryku! — powtarzał naprzemian z obrazkiem.

— Mateczko droga, przecie ten kogucik jest tylko malowany, to jakże on może wołać — rzekła po chwili Marylka.

— A czy nie mówiłam ci, że to jest czarodziejska książka?

— Czarodziejska naprawdę?... To ja się jej boję, mateczko, bo czarodzieje o których mi niania w bajkach opowiadała, złymi byli ludźmi.

— Żadni czarodzieje naprawdę nigdy nie istnieli i wszystkie o nich opowiadania, są tylko dla zabawy wymyślone.

— To czemu mateczka tę książkę czarodziejską nazywa?

— Bo jak w bajeczkach owi czarodzieje nadzwyczajnych, niby cudownych dokonywali rzeczy, tak widzisz i ta książka, jest bardzo niezwykłą, chociaż bać się jej niema czego. Obejrzyjmy ją pierwej, a wytłumaczę ci potem wszystko...

I mama odkryła następną kartę z wesoło skaczącym osiełkiem, który odezwał się właściwym sobie, przeciągłym rykiem, wywołując nowe zadowolenie u dzieci.

Były tam jeszcze beczące owieczki, śpiewające ptaki, miauczące koty i szczekające psy, aż na ostatniej stronie dwoje dzieci z bukietami w ręku powtarzało miłutkim głosem:

— Mama! tata! Dzień dobry!

Nie było też końca zachwytom Marylki i Stacha. Czarodziejska książka oczarowała ich zupełnie. Marylka jednak spostrzegła, że mateczka za każdym głosem, który wychodził z książki, pociągała za jeden z guziczków umieszczonych szeregiem na boku.

— Aha — zawołała — już wiem co to za czary! Tam musi być w środku jakaś maszynka, która te głosy wydaje, gdy mateczka guzik poruszy.

— Widzę, że umiesz myśleć moje dziecko, i bardzo mię to cieszy. Sądzę też, że zrozumiesz, gdy ci teraz pokazę tu na końcu za szklaną szybką, że każdy z tych guzików zakończy sznurek, przeprowadzony do właściwej sobie maszynki, składającej się z mieszka, opatrzonego odpowiednim przyrządem, podobnym do piszczałki albo fletu. Za pociągnięciem sznurka, powietrze napływa do mieszka, który następnie dmie w piszczałkę, a ta wydaje potrzebne do obrazka tony.

Mówiąc to, mama włożyła do rączki Stasia jeden z guziczków i kazała mu ciągnąć, a za każdym odgłosem maszynki, chłopiec krzyczał z wielkiej radości, Marylka zaś pilnie śledziła, jak szkłem zakryte maszynki poruszały się, wydając różne dźwięki

— Choć to książka nie do czytania — rzekła wreszcie — jednak jest bardzo zabawną.

— I pouczającą nawet — dodała mama — wskazuje ci bowiem, jak wiele dokazać może rozum ludzki, który z pomocą tak prostych przyrządów potrafi wydobyć różne głosy, nawet naśladować mowę ludzką.

M. D.

Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.

Wstań! — rzekła matka do Józia, leniuszka,
Co się ociągał i nie chciał wstać z łóżka,
Patrz! jak już słońko wysoko na niebie,
Stefan już dawno pytał się o ciebie...

Józio zaspany, wpół z płaczem, grymasem,
Dźwignął się z łóżka niechętnie; — tymczasem,
Zanim się zdążył opatrzeć leniuszek —
Z dworu wpadł Stefan, dźwigając kosz gruszek.

Daj mi! choć jedną! — naprzykrzał się biedny —
Masz ich kosz cały... nie! nie dam ni jednej!
Chce ci się gruszek? Ha, było ci wcześniej
Wstać i poszukać, miast trwonić czas we śnie!

Jam się nie leniłem, o świcie się zerwałem —
W nocy był wicher, owoce oberwałem,
A takie mnóstwo, żem godzinę całą
Zbierałem i zbierałem — aż nic nie zostało...

W. D.

PRZESADY.

KOMEDYJKA W JEDNYM AKCIE.

(Dokończenie).

SCENA IX.

LORCIA, AŃDZIA potem PANI BRUDZESKA.

AŃDZIA. Przynoszę ci dobrą wiadomość, babcia chce, żebyśmy się zabawiły ze Stasiem, pozwala ci dziś nie grać na fortepianie.

LORCIA (*na stronie*). A co! już jedno życzenie spełnione.

PANI BRUDZESKA (*wchodzi z półmiskiem w ręku*). Zawołajcie Stasia i chodźcie na kolację dzieci, zjemy trochę wcześniej, bo Staś musi być głodny po podróży (*stawia półmisek*).

LORCIA (*zaglądając do półmiska*). Ach, racuszki, ulubiona moja potrawa!

PANI BRUDZESKA. Którą dziś z nami spożywać będziesz, bo cię tym razem zwalniam od szpinaku.

LORCIA (*klaszcząc w rękę*). Dziękuję babci, dziękuję! (*na stronie*). Oto pożądany skutek podłożonej miotły.

SCENA X.

CIŻ SAMI I STAŚ.

STAŚ (*półgłosem do Lorci*). Miotła już leży pod drzwiami.

LORCIA (*półgłosem do Stasia*). Domyślałam się tego, bo już dwa moje życzenia spełnione.

PANI BRUDZESKA. Siadajcie dzieci do kolacji (*wszyscy siadają*). Musimy sobie sami usługiwać, Zuzię bowiem wyprowadziłam z pewnym zleceniem na miasto.

ANDZIA. Co babci wypadło tak pilnego?

PANI BRUDZESKA. Dowiedziałam się, że w sklepie naprzeciwko jest dziś wyprzedaż, a, że wiem jak Lorcja oddawna pragnie mieć ową wystawioną w oknie porcelanową zastawę, kazałam ją dla niej kupić w przekonaniu, że mi się za to wywdzięczy większą jeszcze pilnością w naukach i posłuszeństwem.

LORCIA. Co za szczęście! Babuniu droga, jakże ci serdecznie dziękuję! *(całuje babcię w rękę poczem biegnie do okna)*. Zuzia już wychodzi ze sklepu; trzyma serwis porcelanowy w ręku, byle tylko czego nie stłukła! *(do pani Brudzskiej)*. Wie babunia, że to było właśnie życzenie, jakie w myśli miałam spoglądając na gwiazdę spadającą; i ot, jak prędko się spełniło!

PANI BRUDZESKA *(udając zdziwienie)*. Więc tak było rzeczywiście?

LORCIA *(z ożywieniem)*. Niech mi babunia wierzy, że to prawda! I dwa inne jeszcze życzenia wyrażone przy zdmuchiowaniu rżęsy i wypowiedzeniu jednocześnie tego samego słowa ze Stasiem, także się sprawdziły! Wiedziałam z góry, że doznam jakiejś przyjemności *(z naciskiem)* a żadna przykreść nie będzie miała dostępu do naszego proggu.

SCENA XI.

(Ciż sami. Zuzia z tucką, i porcelanową zastawą na niej),

ZUZIA *(we drzwiach)*. Przynoszę śliczny serwis panie Lorci *(potyka się o miotłę, pada, porcelana tłucze się z brzękiem)*.

LORCIA *(z głośnym krzykiem)*. Ach! wszystko w drobne kawałki potłuczone!

ZUZIA *(zrywając się i podnosząc miotłę)*. Kto tu miotłę położył? Ona przyczyną wszystkiego złego, mogłam padając nawet nogę lub rękę złamać.

STAŚ *(podnosząc w górę miotłę i naśladując głos Lorci)*. Gdzie miotła leży pod progiem, żadna przykreść domu tego nie nawiedzi. Czy nie tak Lorciu? Przepowiednia twoja tym razem zawiodła!

PANI BRUDZESKA. Oto szczątki ślicznej zabawki zapowiedzianej przez spadającą gwiazdę!

STAŚ *(śmiejąc się)*. O życzeniach twoich ja babunię powiadomiłem, bo tak było między nami ułożone.

ANDZIA. Cóż ty na to Lorciu.

LORCIA *(z płaczem)*. Widzę, że wszyscy zażartowali sobie ze mnie, bo też niedorzecznością moją zasłużyłam na to.

PANI BRUDZESKA. Może cię to na zawsze uleczy z przesądów. O ile jednak pamiętam dowodzenia twoje Lorciu, skorupy szczęście zapowiadają, a ty płaczesz?

LORCIA. Przyrzekam babuni być rozsądniejszą na przyszłość *(rzuca się w objęcia babuni)*.

STAŚ. Teraz dopiero wierzę, że nam miotła w taki sposób szczęście przyniesie w przyszłości.

GOŁĄBEK BOŻENNY.

(Dalszy ciąg).

— Wiesz co — zawołała z nagłym ożywieniem Bożenna — ja tobie również dać muszę pamiątkę jakąś, którą mię zawsze przypominała sercu twemu! — I rzekłszy to pobiegła do swej matki, by się jej poradzić coby kochanej Ludmile ofiarować mogła.

— Chciałabym jej dać to, co posiadam najpiękniejszego — może ten złoty krzyżyk wysadzany turkusami, który dostałam od ojca chrzestnego.

— Rozumiem moje dziecko — odparła matka, żebyś rada obdarzyć przyjaciółkę najkosztowniejszym jaki masz klejnotem; Uważ jednak, że i ona chciałaby ci odplacić się w równej mierze, co jak wiesz będzie jej niemożliwym. Miej to sobie na uwadze przez całe życie, byś nikogo postępowaniem swym nie upokarzała. Zresztą ofiara krzyżyka, który spoczywa w głębi szkatułki od chwili gdy go posiadasz, nie wieleby cię kosztowała, i mniej ucieszyłaby Ludmilę od przedmiotu, w którym ty sama większe znajdujesz upodobanie, będzie to bowiem dowodem o ile zdolną jesteś do poświęceń w imię przyjaźni.

— Ja to rozumiem mateczko, ale w takim razie co wybrać?

— To co najwięcej lubisz, z czem ci najtrudniej rozłączyć się przyjdzie.

Po dłuższej chwili namysłu dziewczę zawołało.

— Ze wszystkiego co posiadam, najwięcej lubię mego białego gołąbka — ale on też do mnie taki przywiązany, — czy mama mówi, żebym właśnie jego Ludce oddała?

— Sama przed chwilą powiedziałaś, że gotową jesteś do każdej ofiary dla ukochanej przyjaciółki.

Na myśl o rozstaniu z ulubionem ptaszkiem, lży żalu zabłysły w oczach dziewczęciach, lecz prędko zwyciężyła to samolubne uczucie i zawołała z mocnym postanowieniem.

— Zawsze mi dobrze radzisz mateczko kochana, daję więc Ludce mego gołąbka!

I ująwszy w dłoń ptaka, który właśnie siedział na jej ramieniu, pieściła go i całowała, jakby już na pożegnanie, poczem pobiegła do przyjaciółki, którą zostawiła w ogrodzie na darniowej ławeczce.

— Ludko — rzekła serdecznym głosem — oto najmilsza pamiątka, jaką ci ofiarować mogę, weź z sobą mego oswojonego gołąbka!

— Jako — zawołało zdumione dziewczę — miałabym ci zabrać twego ślicznego, ukochanego ptaszka? Nigdy tego nie uczynię!

— Mama powiedziała, że przyjacielowi oddaje się to właśnie, co dla nas największą ma wartość, zatem tego gołąbka przyjąć musisz odemnie.

— Moja kochana, moja droga Bożenno! Po cóż ta ofiara? Ja wiem przecież i bez tego, jaką mi jesteś przyjaciółką, a gdy pozbędziesz się ptaszka — jeszcze ci smutniej będzie po naszym odjeździe.

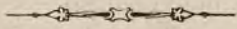


— Nie chcę ukrywać przed tobą, że może trudno zrazu przyjdzie mi się rozłączyć z tem miłym stworzeniem, odpowiedziała Bożenna szczerze, ale też za to będę miała pewność, że ile razy spojrzysz na gołąbka o mnie pomyśleć będziesz musiała.

— I bez tego kochać cię będę zawsze, i chochym sto lat żyła, nie zapomnę nigdy, jak byłaś dobrą dla mnie! Ale jeśli mi już koniecznie każesz zabrać twego gołąbka, będę go pieściła, będę mu dogadzała, a gdy oboje stęskniemy się za sobą, to nas mateczka przywiezie do Ostrobrzegu!

— Widzisz, tak będzie doskonale! Wtenczas będziemy się znów razem cieszyły, wtenczas będzie święto na zamku Ostrobrodzkim!

(d. c. n.)



SZARADA.

Pierwsze wykrzyknik, drugie znowu pyta —
Wszystko cudowne, czasem bardzo ładne,
Mówić umieją, choć nie słyszy żadne,
Żadne nie pisze, ale każde czyta.
To niezbadane, jako morza tonie,
To znów w nich siła nadzwyczajna plonie.

ARYTMOGRYF.

ułożył Puszczyk z Pilawy.

	15	Spółgłoska.
	3 6 1	Dopływ Warty.
	11 4 9 20 24	Gatunek wołu z Indyi Wsch.
22	21 30 6 15 24 20	Sprzęt domowy.
22	19 22 19 21 18 12 30 4	Roślina z r. traw. poch. z Amer.
22	21 30 18 30 4 22	Gatunek pająka.
	12 18 3 29 4	Roślina pnąca z owoc. jadalnym.
	7 4 12	Zwierzę kręgowie zimno krwiste.
	12	Spółgłoska.
	3 19 21	Ptaka morski.
	5 19 2 16 4	Owad dwuskrzydły.
14	20 2 16 3 29 4	Kopalnie soli.
9	29 6 9 29 20 21 22 4	Zwierzątko z rzędu gryzoniów.
	13 29 1 3 20 15 2	Zaleta uczucia.
	5 18 15 30 18	Zwierzęta z rzędu gryzoniów.
	15 23 20	Łyzwy półn. okolic.
	4	Samogłoska.

Zastąpić liczby literami, aby środkowe litery pionowe złożyły imię i nazwisko autorki, wielu utworów drukowanych w Wieczorach Rodzinnych.

ZAGADKA.

ułożył Słoń z Nubii.

Bywam do potraw często przyprawiany,
Zarówno wspan jak wprost jestem bez odmiany.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 6.

Szarady: Ba — ku.

Łamigłówki w kwadracie:

Z a n z i b a r
J a b ł o n n a
Y o k o h a m a
N a p o l e o n
A g r i p i n a
B o r d e a u x
B u k o w i n a
P i r e n e j e

Szarady: Pe — gaz.

Skrzynka do listów.

P. I. M. Wierszyka zużytkować nie możemy.

Konwalijce. Z powodu braku miejsca nie pomieszczamy wspólnej korespondencji naszych czytelników.

Wróbelek dawno już bardzo nie odzywał się do nas, z prawdziwą więc przyjemnością powitaliśmy jego liścik. Łamigłówki wydrukujemy, jeżeli tylko okażą się odpowiedniami.

Łamigłówki **Słonia z Nubii, Krzemienia z nad Smotrycza, Bohunka i Bernarda C.** przejrzymy, lecz wszystkich naszych czytelników prosimy, by cierpliwie czekali na wydrukowanie swych prac, bo mając wielki zapas podobnych zadań, z kolei je tylko drukować możemy.

Wiewiórka z odpowiedzi danej Konwalijce wie już, że wspólnej korespondencji czytelników nie przyjmujemy. Do Jaskółki zawsze napisać można, a ona chętnie, na każdy liścik odpowie. Rozwiązania dobre.

Aleksandrowi W. Za ciekawy liścik dziękujemy, z niecierpliwością następnego oczekiwac będziemy, bo opisy nieznanymi miejscowości są zawsze bardzo zajmujące. Rozwiązania dobre, łamigłówki przejrzymy.

Dobre również rozwiązania nadesłali: **Kryształek z Petersburga, Igiełka, Gabryel C., Winia z Łoszkowiec, Jasia W., i Zielony Kajecik.**

Goplanie mogę dać tylko tę samą odpowiedź, jaką redakcyja dała Konwalijce i Wiewiórce.

Lusi W., początek powieści wysłano, porządnie napisany liścik z przyjemnością odczytałam, mam nadzieję, że i nadal zechcesz do mnie pisywać.

Nie wiem dokładnie, jak długo drukować się będzie powiastka, o którą zapytuje **Bernard C.** chciałabym przecież wiedzieć dla czego go to interesuje.

Obiecanego listu **Konwalii z nad Kubani** niecierpliwie oczekiwać będę. Piękna miejscowość, w której obecnie przebywasz, bardzo mnie zaciekawia, z przyjemnością opis jej przeczytam.

Bocianowi z nad Wilji. Błyskawica jest iskrą elektryczną; bywa ona dwojakiego rodzaju: zygzagowata i szeroka. Pierwsza objawia się liniami świetlanymi, zygzakowatemi, długimi nieraz na 1000 metrów; towarzyszy jej zwykle grznot głośny i długotrwały; druga stanowi jednostajne czerwone rozjaśnienie nieba z grzmiotem głuchym, lub bez grzmotu. Siła elektryczna błyskawicy zygzakowatej spada na ziemię, co zwiemy uderzeniem piorunu, błaski zaś czerwone są śladem przejścia elektryczności z jednej chumury do drugiej

Jaskółka

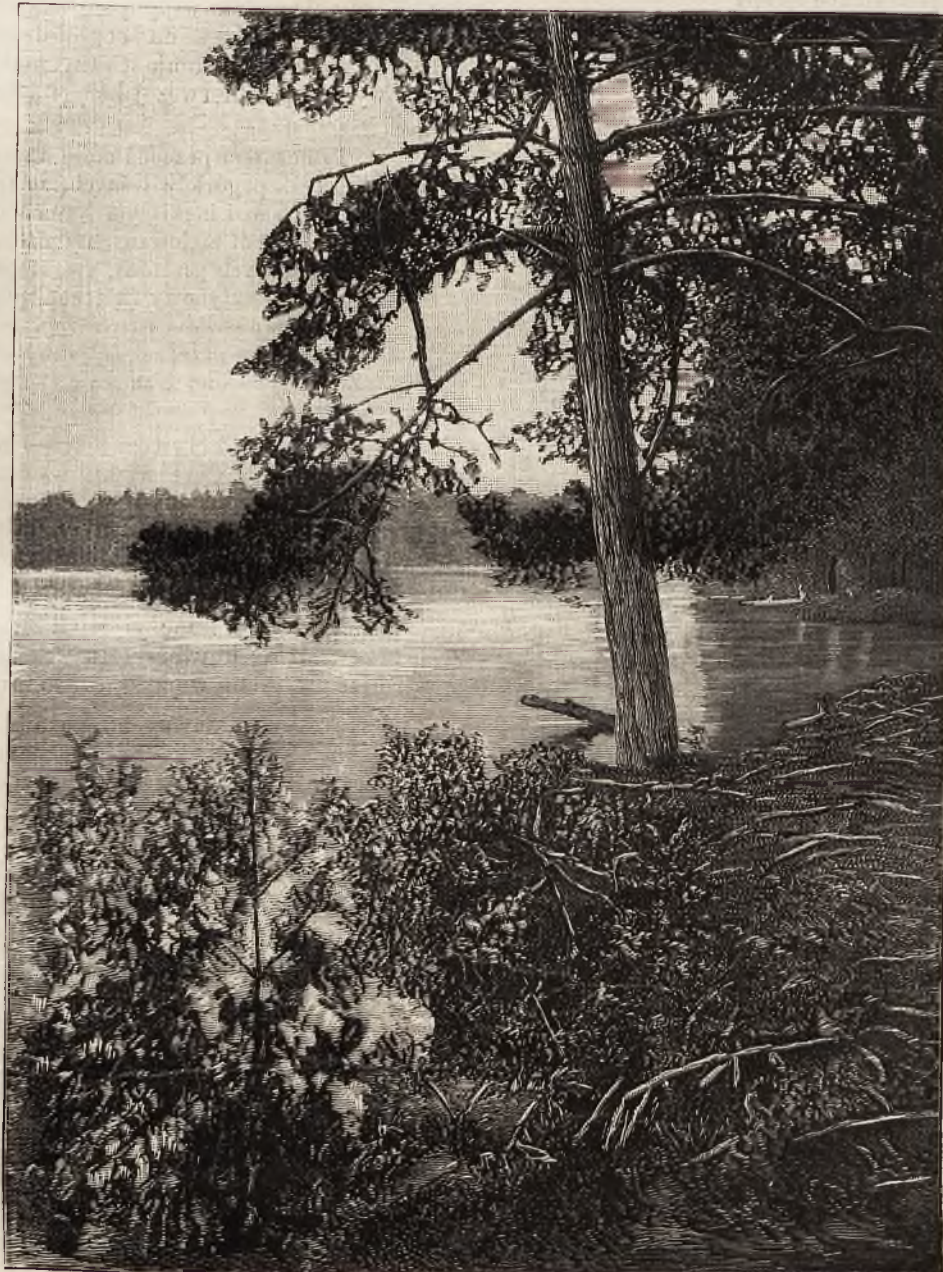
№ 9. Rok XVIII.

Dnia 14 (26) Lutego 1898 r.



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Jezioro Świtez.

JEZIORO ŚWITEŻ I JEGO OKOLICE.

„Ktokolwiek będziesz w Nowogródzkiej stronie,
Do Płuzyn ciemnego boru
Wjechawszy, pomnij zatrzymać tve konie,
Byś się przypatrzył jezioru.

Świteż tam jasne rozprzestrzenia łona,
W wielkiego kształcie obwodu,
Gęstą po bokach puszcza oczerniona,
A gładka jak szyba lodu.

Jeżeli nocną przybliżysz się doba
I zwrócisz ku wodom lice:
Gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą,
I dwa obaczysz księżycze.

Niepewny, czyli szklanna z pod twej stopy
Pod niebo idzie równina,
Czyli też niebo swoje szklanne stropy
Aż do nog twoich ugina.

Gdy oko brzegów przeciwnych nie sięga
Dna nie odróżnia od szczytu:
Zdajesz się wisieć w środku niebokrega,
W jakiejś otchłani błękitu...”

Teimi strofami rozpoczyna Mickiewicz balladę pod tytułem: „Świteż,” w której oprócz obrazowego opisu wrażeń, jakie wywołuje na widzu to piękne jezioro, ozdoba jego stron rodzinnych, pomieścił także jedno z podań, krążących niegdyś o niem.

Jezioro to zachowało do dzisiaj swoją malowniczość; okrągłe, otoczone dokoła chociaż nie puszcza, ale dużym lasem, o wodzie niezmiernie czystej, odbija błękit niebios lub szarą powłokę chmur i posiada zawsze pewien urok tajemniczy. Nie jest też ono małe jak na tamte strony, gdzie jezior jest bardzo niewiele, liczy bowiem około 6 wiorst obwodu i prawie 300 morgów przestrzeni.

Świteż leży przy trakcie, idącym z Nowogródka do Stołowicz; traktem tym przejeżdżał nieraz Mickiewicz w latach dziecińczych z rodzinnego folwarku Zaosia do Nowogródka. Droga ocieniona wysokimi drzewami u góry, a gęstymi krzakami u dołu rozjaśnia się nagle; z poza drzew przeświecają jakieś srebrzyste plamy i oto stajemy przed wielką, rozsiadłą karczmą, naprzeciwko której za grupą wyniosłych dębów i sosen, rozściela się jasna tafla jeziora.

Miejsce to jest przeszliczne i latem bywa nawiedzane przez liczne towarzystwa z sąsiednich i dalszych nawet dworów.

Powozami, bryczkami, a często drabiniastemi wozami przybywają tu zwolennicy widoków swojskich i przyjemnych wycieczek dla oddania hołdu pamięci wielkiego poety i spędzenia rozkosznego popołudnia i wieczoru pod cieniem dębów, nad otwartą powierzchnią jeziora, które przy najmniejszym wietrzyku faluje i uderza o brzegi z dziwnie miłym dla ucha szmerem, łączącym się z szumem drzew, okalających jezioro nieprzerwanym wieńcem.

Po spacerze pieszo lub łódką, zasiadają wszyscy na brzegu do przekąski, zapasy jednak należy brać z sobą, bo w karczmie prócz stołów i samowara nie wiele co dostać można.

A kiedy wstanie księżyc w noc pogodną, powierzchnia jeziora iskrzy się srebrnymi połyskami i świeci tak jasno, że nieraz konie boją się zbliżyć do wody, gdy się je prowadzi do pojenia.

Lecz i cała część powiatu Nowogródzkiego, w której leży Świteż, przedstawia się nader malowniczo i należy do piękniejszych stron kraju. Ziemia to żyzna, gliniasta, poprzerynana wzgórzami i dolinami, pokryta tu i owdzie zielonymi lasami i gaikami, ożywiona rozrzuconemi dość gęsto stosunkowo dworami, dworkami i wioskami. Niektóre większe dwory, jak Tuhanowicze, gdzie często spędzał wakacje Mickiewicz, Woroncza. Rajce, Sienieżyce, Czombrow, a dalej Boracin, Kamionka i wiele innych, posiadają piękne i nieraz rozległe ogrody spacerowe, pełne starych drzew, wawozów, stawów i strumieni. Ale nie tylko duże dwory i mniejsze dworki, lecz i wioski w tej okolicy, przytulone zwykle do sklonu wzgórze, ocienione lipami, jarzębiną i drzewami owocowemi, wyglądają ładniej i schludniej niż w innych miejscowościach. Włościanki tamtejsze noszą malowniczy i wdzięczny ubiór, a lud na ogół zachował wiele dawnych obyczajów.

Kiedy się jedzie wijącą się w różne skrety drogą i z wyższego miejsca spojry na rozścielający się w okół rozległy szmat tej ziemi, natychmiast przychodzi na myśl śliczny, a tak obrazowy ustęp z pierwszej księgi „Pana Tadeusza.”

„Tymczasem przenoś moję duszę utęsknioną
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,
Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych;
Do tych pól malowanych zbożem rozmaitem,
Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem;
Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała,
Gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała,
A wszystko przepasane, jakby wstęgą, miedzą,
Zieloną, na niej zrzadka ciche grusze siedzą...”

O trzy mile od Świtezi leży — Nowogródek, ongi miasto wojewódzkie, a w XIII wieku za czasów Mendoga stolica księstwa litewskiego. Na wysokim wzgórzu panuje nad całą okolicą i z każdej strony z daleka już jest widoczne. Liczy ono obecnie 12,000 mieszkańców i posiada rozległy, dobrze zabudowany rynek.

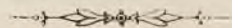
W mieście tem kończył Mickiewicz szkoły średnie, z których przeszedł do uniwersytetu wileńskiego, tam też był dom jego rodziców, gdzie większą część lat dziecińczych spędził.

Jako zabytek dawnych czasów, stoją jeszcze w Nowogródku na wysokiej górze, otoczonej fosą, dwie baszty po zamku Mendoga i książąt nowogródzkich. O nim to pisze Mickiewicz w „Grażynie.”

„Zamek na barkach nowogródzkiej góry
Od miesięcznego brał po złotę blasku;
Po wałach z darni i po sinym piasku
Olbrzymim słupem łamał się cień bury,
Spadając w fosę, gdzie wśród wiecznych cieśni,
Dyszała woda z pod zielonych pleśni.”

U stóp tej góry wznosi się kościół fara, nabożeństwa przecieź odbywają się w kościele po-dominikańskim w środku miasta.

Na północ od Nowogródka ku Niemnowi, zaczynają się okolice bardziej lesiste i mniej już malownicze.



NIEDŹWIEDZ^{*)}

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

P. Zuzannę Morawską.

(Ciąg dalszy).

Na ten rozkaz zabrano szamocącego się stróża, który wciąż wołał:

— Na zatracenie, na zatracenie idzie nasz Kazik, szkoda jego duszy, szkoda! czort tam czyha na niego!

A mówił to z głębi serca i z całym przeświadczeniem, bo od ubiegłej nocy nikt mu z głowy nie mógł wybić, że przybyli ludzie nie byli ludźmi. On wciąż w nich widział złe, które na zamek przez niego strzeżony i wszystkich jego mieszkańców spadło.

Kasztelan tymczasem wyszedłszy za bramę, rozpytywał Kazika, co to wszystko miało znaczyć, nie wiedział bowiem dotąd o całym zajściu i przestרחu, jakiego nabawiło niespodziewane przybycie posłańców od królowej i najniewinniejszej w świecie małpce, którą wzięto za wcielonego dyabła.

Tak rozmawiając zbliżali się do miasteczka, które odświętną jakąś przybrało postać. Przed karczmą bowiem, jako też i przed domami, gdzie mieli przebywać spodziewani goście, wbijano kolki i zatykano przy nich sosnowe i świerkowe gałęzie, ubrano niemi nawet drzwi, z przed których odmiatano śnieg i układano deski, ażeby ułatwić wejście. Na drodze też ustawiono obu rzędami beczki ze smołą, które miały zapłonąć wielkim ogniem dla dodania świetności i splendoru całej uroczystości i dla uczczenia przybywających gości.

Przygotowania te, a może i opowiadanie Kazika zadowolily snać kasztelana, bo wracając do zamku późnym już mrokiem, miał twarz rozradowaną. sypał krotoczwilami i powtarzał:

— Tak, tak, kiedyć ludzie na dom mój łaskawi, trzeba im radość naszą z tej ich łaski okazać.

Gdy zaś na drugi dzień tłumy zaległy wszystkie komnaty, a przedstawienie urządzone przez pana Sulpicyusza, zadziwiło doskonałością pomysłu, jako też i świetnem wykonaniem nawet tych, co nietylko w Krakowie ale i na dworach zagranicznych bywali, pan kasztelan obdarował uszczęśliwionego kapelmistrza złotym pierścieniem z wielkim krwawnikiem.

IV.

Sejm w Piotrkowie zwołany na dzień świętego Andrzeja, to jest 29 listopada 1529 r., miał dużo pilnych i ważnych spraw do załatwienia. Przybył król Zygmunt Stary, przybyli kanclerz wielki koronny, Samuel Maciejowski, hetman Jan Tarnowski, którzy spraw narodu i państwa pilnie na owych obradach przestrzegali. Lecz przybył i Piotr Kmita, marszałek wielki koronny, który trzymając stronę królowej Bony, stawał często okoniem i najlepsze postanowienia głosem swoim rozpraszał.

Na ten raz jednak, w niektórych przynajmniej punktach szedł ręką w rękę z królem i sejmem. Punkta te bowiem przewrotnej i chciwej Bonie dogadzały, zgadzając się z jej planami na przyszłość. Wszelako niesnaski i częste rozdwojenie w narodzie martwiło sędziwego króla i nieraz myślał sobie:

— Jeżeli za mego życia każdy chce na swoją rękę rządy prowadzić, cóż zacz będzie, gdy oczy zamknę, a mój małoletni syn nie potrafi rządów w dłonie swe ogarnąć?

Kiedy więc Jan Tarnowski podał myśl, ażeby dziewięcioletniego Zygmunta stany koronne, jeszcze za życia panującego monarchy, obrały królem i tym sposobem zażegnały

wszelkie kłótnie i niesnaski po najdłuższem życiu panującego, król chętnie na to przystał.

Przystąpiła też i Bona, a Kmita jako jej stronnik, z całą gorliwością sprawę tę popierał. Po załatwieniu więc spraw innych, jednogłośnie urządzono dnia 18 grudnia 1529 r., że dziesięcioletni Zygmunt uznany królem, jeszcze za życia ojca koronowanym zostanie.

— Bene — rzekł król rozrzewniony — wskazujcież mu waszność panowie, jakie są potrzeby narodu i uczcie jako ma ten naród kochać i o szczęśliwość jego się troskać.

— Miłościwy monarcho, niech tylko w wasze ślady wstępuje! — odparł dwornie Jan Tarnowski.

— Wszak powiadają: niedaleko jabłko od jabłoni pada, a syn do ojca zwykle podobien, w tem też i nadzieja nasza — rzekł kanclerz Maciejowski.

Król z zadowoleniem skinął głową, a Kmita zaraz się odezwał:

— Trzebać do wezwanego z oznajmieniem wysłać...

— O tem już pomyślano — odparł kanclerz.

I zaraz wyznaczono posłów, na czele których stanęli: Andrzej Krzycki, biskup płocki, i Stanisław Karnkowski, biskup przemyski.

Król też ze swej strony wysłał zaraz do Krakowa, ażeby się podzielić tą wieścią z małżonką

Tymczasem Bona pozostawszy w stolicy, w niecierpliwem oczekiwaniu trawiła dni i godziny, zabawiając się układaniem coraz to nowych planów.

I teraz w zamyśleniu długo chodziła po komnacie, poczem uderzyła srebrnym młoteczkim w kowadełko. Zjawił się zaraz paż, będący na jej usługach.

— Prosić imci pana kasztelana gnieźnieńskiego, ochmistrza naszego syna.

Paż skłonił sił się i wykręciwszy się zręcznie na pięcie, znikł za ciężką gorąco-żółtą zasłoną.

Po chwili wszedł znany nam już pan Opaliński, oddał należyty ukłon i czekał.

Byna tymczasem siadłszy na swem wysokiem krześle przed wielkim stołem, pilnie patrzyła w rozłożoną, nakreśloną gotyckimi literami księgę, udając, że nie widzi przybyłego. Wznosiła przytem do góry oczy, wzdychała, a chociaż nie mogła utrzymać rąk złożonych i co chwila niemi gestykulowała, idąc za biegiem swych myśli, starała się jednak dać poznać, że się gorliwie modli.

— Misericordia, Dio... — powtarzała półgłosem, a jej wielkie przysłonione długimi rzęsami oczy, rzucały niespokojne spojrzenie.

Po chwili milczenia, przerywanego szeptem, królowa, spojrziała, jakby dopiero co spostrzegła przybyłego; westchnąwszy więc raz jeszcze głęboko, położyła dłoń białą na ciemnych kartach księgi i rzekła:

— Postanowiliśmy, ażeby syn nasz wyjechał na czas jakiś do Wilna.

Opaliński skłonił się, nic nie mówiąc, i czekał dalszych rozkazów.

— Dwór niewielki, skromny, dziś zaraz wyjechać!

Pan Piotr skłonił się powtórnie!

Królowa spuściła oczy na rozwartą przed sobą księgę, raczej rękę na niej leżącą, poczęła podnosić palce w dziwny jakiś sposób, potem kreślić koła i zygzaki, szepcząc przytem jakieś wyrazy.

Opaliński patrzył z pod oka na ruchy jej ręki, a uśmiechnąwszy się nieznacznie, rzekł sobie w duszy:

— Stawia horoskopy, wróży z palców, a udaje, że się modli.

Po chwili podniosła rękę, dając znak, że posłuchanie skończone.

Ochmistrz oddał głęboki ukłon i cofając się, zniknął za ciężką zasłoną.

Lecz nie zdołał jeszcze progę przestąpić, gdy królowa klasnąwszy w dłonie, zawołała:

— Mości ochmistrzu!

Opaliński wrócił w tej chwili.

— Nie wyjedziecie dziś, to dzień feralny, a według przepowiedni jednego z włoskich astrologów, dni feralne trwać będą aż do 26 decembra; wyjedziecie więc dopiero 27 wczesnym rankiem.

Ochmistrz skłonił się, a po jego pogodnym obliczu przebiegło znudzenie.

— Więcej też czasu będzie do przygotowań — mówiła Bona na poły do siebie, spoglądając jednak z pod oka na stojącego ochmistrza.

Opaliński przyjął tę wiadomość w milczeniu.

— Trzeba jednak zaraz sposobić się do drogi — rzekła królowa, wstając, jakby i ona w tych przygotowaniach brać miała udział.

Ochmistrz zaś biorąc to odezwanie się za koniec rozmowy, oddał znów ukłon i wyszedł spiesźnie.

Bona tymczasem prędkimi krokami przebiegła kilka razy komnatę, zajrzała do rozłożonej na stole księgi, która, jak się okazało, wcale nie była modlitewnikiem, tylko kabałą, stuknęła kilka razy palcami o palce, wreszcie uderzyła gwałtownie młotkiem w kowadełko. Zjawił się tenże sam paż, co poprzednio, a królowa zawołała:



Ruiny zamku w Nowogródku.

— Siniora Alenini!

— Paż wyszedł, a siniora snać oczekująca przy drzwiach na rozkazy, wbiegła drobnymi kroczkami, zatrzymała się przy drzwiach, oddała ukłon niski i nader pokorny, spoglądając przytem naokół ruchliwemi, maleńkiemi oczkami. Znów postąpiła kilka kroków i ukłoniła się jeszcze niżej, i tak skłoniwszy się trzy razy według przyjętego zwyczaju dworskiego, czekała wyprostowana dalszych rozkazów.

Bona dała jej znak, ażeby się zbliżyła. Siniora ze zwinnością kotki stanęła tuż przy swej pani, mrugając oczkami, jak gdyby chciała przeniknąć najskrytsze jej myśli.

— Bliżej, bliżej! — rzekła po włosku Bona.

Dwórka ruchem pełnym uszanowania zbliżyła się, nachylając ucho dla wysłuchania rozkazu, mrugając ciągle oczkami.

Bona mówiła coś dosyć długo, a siniora kiwała głową potakująco, powtarzając:

— Si, si, bene, bene!

Poczem Bona wstała i poczęła chodzić, a siniora założywszy rękę na rękę, stała w milczeniu, oczekując dalszych rozkazów.

— Patrz bacznie, pilnuj wszystkiego, chcę wiedzieć jak się ochmistrz z najukochańszym naszym synem obchodzi,

staraj się przeszkodzić, gdy mu każą zbyt często zabawiać się ich ordynarnemi, grubemi sprawami, lub nakłaniać do spraw wojennych.

— Si, si — potakiwała siniora.

— Zapamiętaj każde słowo, wszystko, co mówić będzie ochmistrz, wszystko, rozumiesz! liczę na twoje do mnie przywiązanie — dodała.

— Oh, regina mia! — zawołała siniora, składając ręce jak do modlitwy i przewracając oczy.

— Pamiętaj! — odrzekła królowa i wyciągnawszy rękę drzwi jej wskazała.

Siniora w ukłonach zbliżyła się do drzwi, a stanawszy przyłożyła ręce do piersi, westchnęła głęboko, okazując tem swe przywiązanie i zniknęła za drzwiami, wiodącemi do komnat królewicza. Bona przeszła się znów po komnacie, wzięła z torebki wiszącej u pasa maleńkie, w kość słońową, oprawne lustro, przejrzała się w niem z pewnem zadowoleniem i jakby zeń wyczytała jakieś nowe postanowienie, uderzyła znów młotkiem w kowadełko.

Czuwający wciąż paż za zasłoną zjawił się w tej chwili.

— Imci pan Piotr Opaliński! — rzuciła Bona.

— Niema go już w antikamerze — odrzekł paż z ukłonem.

— Nie pytam, gdzie jest! — zawołała z gniewem królowa. I wymierzyła policzek stojącemu pokornie chłopięciu.

Lecz ten wyuczony snać obyczaju, jaki panował na dworze Bony, czy też wiedziony własnym sprytem, uchwyciwszy się jedną ręką za obrażony policzek, drugą skłonił się do ziemi, ujmując kraj szaty rozgniewanej niewiasty, przytknął do niego usta i rzekł:

— Dziękuję najjaśniejszej pani!

Udobruchana snać tą pokorą królowa, nic już nie rzekła, jeno drzwi ręką wskazała. Paż zniknął, a wołany jeszcze kilkakrotnie stawał się z miną pogodną, o ile na to pozwalał nabrzęknięty nieco policzek.

Na każde zawołanie zjawiały się coraz to inne osoby z przybocznego dworu, a nawet i panowie radni. Bona dawała im polecenia, lub rozmawiała przyciszonym głosem, a zwykle po takiej rozmowie dodawała:

— Tacite! (Milczcie!).

I nie dziw, że królowa z takim podnięciem wydawała rozkazy, wiedziała ona, że na sejmie w Piotrkowie mają obrać królem jej ukochanego jedynaka, wiedziała jednak, iż mogą być przeciwnicy, którzy urzeczywistnienia obioru zechcą nie dopuścić. Wprawdzie dała potrzebne ku temu instrukcje stronnikom swemu Piotrowi Kmicie, nie była jednak pewna, co się tam stanie i dziwny niepokój ją ogarniał. Chciwa władzy niewiasta nie tyle pragnęła królowania dla syna, ile dla siebie.

— Małoletni, a więc do rządów nie zdatny, ja będę zań te rządy sprawować.

— A król stary?... — szeptał jej głos jakiś.

— No, ten myśli już jeno moją myślą — uspokajała głos tajemny. — A zresztą, bliższyć on lepszego świata! — dodawała.

I westchnawszy pobożnie złożyła ręce, jak do modlitwy i wzniosła oczy ku niebu.

— Nie trzeba go jednak trzymać w stolicy, niech nie myśla, że mnie ten obiór cokolwiek obchodzi, dla tego Sigismondo pojedzie... tak, pojedzie... będzie go można zwrócić z drogi... Ach! tylko ten Opaliński... ale i na to poradziemy!... — uspokajała się, tonąc coraz więcej w swych myślach i kombinacjach, jakie wciąż tworzyła.

Nie więc dziwnego, że podróż na którą się cieszył ochmistrz i wychowaniec, wśród drogi przerwana została.

Kiedy bowiem tajemny posłaniec Kmity i jawny starego króla, przybyli do stolicy z oznajmieniem radosnej wieści i doniesieniem, że posłowie ofiarujący koronę wkrótce przybędą, Bona już miała gotowych gońców, których też niezwłocznie pchnęła po syna.

— Och, mio caro, mój jedynak, mój król! — wołała, ściskając syna, który jednocześnie z posłami sejmu, to jest biskupem Krzyckim i Karnkowskim stanął 4 stycznia 1430 r. w Krakowie. Zygmunt oddawał jej uściski z całą dziecięcą serdecznością.

(d. c. n.)

Niezależnie od głębi, wzdłuż całego Atlantyku, ciągnie się obszerne płaskowzgórze, przerywane ocean od północy ku południowi, równoległe do brzegów Ameryki i Starego świata. Na tem płaskowzgórzu największe głębiny wynoszą tylko po 2000 metrów.

Widzimy z powyższych liczb, że w morzach nie istnieją przepaście mające po 20,000 metrów, jak dawniej marynarze przypuszczali. Wszelkie dawne hipotezy i teoretyczne obliczenia mórz okazały się mylnymi, trzeba było bezpośrednio wymierzyć ich głębokość, aby odkryć prawdę. Liczby podane przez *Challengera* zasługują na zupełne zaufanie, ponieważ



Kościół farny
u stóp góry zamkowej
w Nowogrodku.

W OTCHŁANIACH MORSKICH

PRZEZ

Dr. M. Stefanowską.

(Dalszy ciąg.)

Przeciętna głębokość oceanu Atlantyckiego wynosi 4800 metrów, lecz ołowianka napotkała także w nim olbrzymią głębię, wynoszącą 7137 metrów! Gdyby do tej otchłani wrzucić górę Montblanc, to olbrzym naszych gór schowałby się w tej przepaści, a powierzchnia morza wznosiłaby się jeszcze na 2327 metrów ponad górą.

pomiaru jego były brane za pomocą udoskonalonych przyrządów.

Challenger cztery razy przepłynął Atlantycką wodę, a sieci przynosiły wciąż setki nieznanymi mieszkańcami, ukrywających się w głębinach. Wydobyto z przepaści morskich rozmaite dziwne raki; jedne nie miały oczu; drugie posiadały nogi tak cienkie i długie, iż raki te podobne były raczej do olbrzymich pajaków, a długie nogi służyły im do macania przedmiotów otaczających, których nie mogły widzieć, gdyż były ślepe.

Istniało w owym czasie mniemanie, że zwierzęta żyjące w głębinach morskich są zawsze ślepe. Na co im oczy w tych otchłaniach, gdzie nigdy nie bywa ani promyka światła! Podobne rozumowanie wydawało się dobrem. Jakież tedy było ogólne zdziwienie, gdy z tychże przepaści, obok zwierząt śle-

nych wydobyto raki, mające oczy i to tak wielkie, że zajmowały im całą głowę. Zadawano sobie pytanie jakim sposobem oczy mogą służyć w ciemnościach morskich. Odpowiedź na to pytanie znajdziemy później, gdy podany będzie opis zwierząt głębinowych.

W niektórych miejscach sieć napotkała na dnie istne laski, złożone z koralu, a do ich gałęzi przyczepione były gąbki; owdzie przynosiła jeże i gwiazdy morskie, oraz wiele mułu, złożonego wyłącznie prawie z mikroskopijnych pierwotniaków.

17 grudnia 1873 roku *Challenger* opuścił zatokę przyłądka Dobrej Nadziei i rozpoczął żeglugę po południowym oceanie Lodowatym. Chociaż była to gorąca pora roku na południowej półkuli, jednakże wkrótce zobaczono śnieg, który okrywał stożki gór wulkanicznych, sterczących na rozsypanych wyspach. Dno tutejszych mórz dostarczyło ciekawych obserwacji; piękne lilie morskie tworzyły tu miejscami istne lasy, okrywające dno wulkaniczne.

11 lutego *Challenger* poraz pierwszy napotkał pływającą górę lodu (iceberg), którą dokładnie zmierzono i odfotografowano. Nazajutrz ukazały się pływające bryły lodu, które miały po 30 i 40 metrów wysokości. Temperatura spadła nagle do 1° stopnia; albatrosy poznikały, lecz napotymano jeszcze wieloryby. Wkrótce góry lodowe pojawiać się zaczęły ze wszystkich stron i żegluga stała się niebezpieczną dla okrętu, który nie był zbudowany do pływania wśród takich niebezpieczeństw.

Podróżników ogarnął niepokój. 16 lutego wśród nocy zerwała się burza, okręt pchany przez gwałtowny wicher uderzył o górę lodową i połamał części masztów. Schroniwszy pomiędzy dwie olbrzymie bryły lodu, które osłoniły go nieco przed burzą, *Challenger* przez kilka godzin popychany był kolejno to do jednej to do drugiej bryły. Wreszcie nastąpił poranek i dodał nieco otuchy przerażonym podróżnikom. Jednakże na drugi dzień *Challenger* odważnie puścił się w drogę wśród nagromadzonych brył lodowych, które ze wszech stron otaczają łódź koło bieguna południowego. Przed *Challengerem* jedynie pięć okrętów dotarło do tego miejsca, tak dalece niebezpieczną jest żegluga wśród tego chaosu pływających brył lodu, przez wiatr i prądy wodne popychanych na wszystkie strony.

Pomimo wszelkich usiłowań, podróżni nie mogli dojrzeć ziemi Willisa i zmuszeni byli zaniechać zamiaru puszczania się dalej na południe; zarzucili tedy kotwicę w porcie Melbourne.

Owa podróż do południowego bieguna chociaż trwała niedługo, jednakże niezwykle obfitą była w rozmaitego rodzaju obserwacje. Pływające bryły lodowe były starannie badane. Odkryto nadspodziewanie, że bryły lodu zawierają często mnóstwo, uwiecznionych drobniczych zwierzątek i roślinek (korzenionózki i okrzemki), które pływają zwykle po powierzchni morza. Góry lodowe, będące postrachem dla żeglarzy, jednocześnie majestatem i piękną swą wroczą ku sobie przykuwają. Ich przezroczyste szafirowe ciała tańczą po lazurowej powierzchni morza, niby jakieś widziadła, a fale z łoskotem rozbijają się o nie, jak o prawdziwe góry i kruszą je w końcu na drobne kawałki. Podróżni na *Challengerze* nie mogli dosyć napatrzeć się owym wspaniałym widokom.

A tymczasem sieć spuszczone na dno oceanu, wciąż przynosiła mieszkańców, żyjących w jego głębinach; lecz były to zwierzęta podobne do tych, jakie łowiono już na północnej półkuli. W południowym oceanie Lodowatym nie znaleziono zatem odrębnej jakiegokolwiek fauny.

Po miesięcznym odpoczynku w Melbourne, *Challenger* znowu wypłynął na Ocean i zwrócił się w stronę wysp Fidżi i Filipińskich w celu badania raf koralowych, które otaczają owe wyspy. Lecz aby móż podziwiać niezwykle budowle koralu, trzeba udać się na sam środek oceanu Spokojnego, tam bowiem koralu wytworzyły mnóstwo wysp w postaci pierścieni, jak np. wyspy Karoliny.

Opuściwszy archipelag wysp Filipińskich *Challenger* skierował się ku wybrzeżom Japonii. Z mórz japońskich

pochoziły pierwsze przezroczyste gąbki, które wprawiły uczonych w zdumienie i podziw. Należało tedy zapoznać się bliżej z fauną tych mórz. Koło Japonii ołowianka napotkała olbrzymią głębię oceaniczną; trzeba było odwinąć 8189 metrów sznura, aby ciężar uwiązany na jego końcu mógł oprzeć się o dno morskie.

Wspaniała wyprawa *Challengera* miała się już ku końcowi, gdy śmierć zmniejszyła liczbę odważnych uczonych; młody i niezmordowany w pracy Willemoes Suhm zgasł nieomal nagle, a zgon jego okrył żałobą pozostałych towarzyszy.

Wkrótce *Challenger* przepłynął cieśninę Magellana i skierował się ku brzegom Anglii, po raz piąty przerzynając Atlantyk. *Challenger* zawinął do portu 26 maja 1876 roku. W czasie podróży, która trwała 42 miesiące, znakomity ten okręt przebiegł 32,000 mil, wykonał 492 sondowań i 234 razy spuścił sieć na dno. Wrócił ogromnie obciążony niezwykłym bogactwem. Teraz rozpoczęła się praca dla uczonych; trzeba było cały ten materiał rozpatrzeć, ukłasyfikować, zebrać i opisać. To też praca ta wymagała całego zastępu uczonych przez lat kilkanaście. Obecnie opis wyprawy *Challengera* wydano już w kilkunastu tomach, a jeszcze pozostało do ogłoszenia wiele rzeczy naukowych.

(d. c. n.)

NA POLANCE

powieść

P. E. Jerlicza.

(Dalszy ciąg)

W godzinę później wyjeżdżaliśmy z zamku. Gdy mury jego miały nam za chwilę zniknąć z oczu, obejrzelśmy się raz jeszcze. Na tarasie stała pani Pfaltfy w żałobnej czarnej sukni, z twarzą białą jak marmur. Syn, unosząc czapkę w górę posłał jej ostatnie swe pożegnanie. Nie powitał już jej nigdy!...

— A cóż się stało z młodym Andrzejem? — zapytało na raz kilka dziewczynek.

— Zginął, moje dzieci, zginął w bitwie, kiedy Niemcy zasypali nas kartaczami. Padł obok mnie, gdyż nie rozstawaliśmy się ani na chwilę. Kula ugodziła go w samo serce. Co mi się działo, gdym unosił z pola walki martwe już ciało przyjaciela, na to słów nie mam. Złorzeczyłem tej kuli, że nie mnie raczej pozbawiła życia. Bo ja go kochałem, moje dzieci, bo go ogromnie kochałem! Nie miałem nikogo z mych bliższych, on stał mi się wszystkim na ziemi!

Teraz pozostało mi jedynie odwieść nieszczęśliwej matce zwłoki syna, aby je złożyła w rodzinnym grobie. Obowiązek ciężki i bolesny.

Ranny, z ręką na temblaku, wracałem tą samą drogą, którą niedawno pełni zapału przebywaliśmy we dwóch z Andrzejem.

Za przybyciem do zamku, znając dobrze jego położenie, kazałem orszakowi zatrzymać się zdala, choć noc była ciemna, sam zaś miałem zamiar udać się najpierw do starego sługi, aby tenże ostrożnie uprzedził swą panią o mojej obecności.

— Tymczasem za wejściem do sieni ujrzałem już samą. Stała na środku, trzymając w ręku świecę, migocącą niewyraźnym blaskiem pod silnym prądem powietrza.

— Gdzie Andrzej? — spytała, zwracając na mnie wzrok przenikliwy.

Mimo silnego wzruszenia nie zapominałem, że się znajduję wobec kobiety, którą jedno słowo moje zabić może, i znalazłem dość mocy nad sobą, aby odrzec spokojnie:

— Andrzej jest ranny, dla tego pierwszy przybyłem tutaj, aby uprzedzić panią.

Zbliżyła się do mnie, podniosła świecę wysoko nad moją głowę, i dziwnym wzrokiem spojrzała mi w oczy. Nie mogłem znieść blasku tego spojrzenia, ani widoku tej twarzy, z której zdawało się, że wszystko życie uciekło; spuściłem oczy.

— Dla czego nie mówisz prawdy? — przemówiła głosem, który mnie dreszczem przejął. — Dla czego nie mówisz mi, że Andrzej już nie żyje!

Oh, bo serca matek cudownie odgadują wszystko, co się ich dzieci dotyczy. I ona, matka Andrzeja, odrazu przeczuła straszny prawdę. Lecz mimo wielkiego bólu nie poddała się rozpacz, nie płakała nawet, a tylko blademi ustami wyszeptala: Jedyny i ostatni!

Sama gorączkowo czynna, zajęła się przybraniem zwłok syna i złożeniem ich do rodzinnego grobu.

— Męskie to zaiste serce — myślałem pełen współczucia, patrząc na ten spokój pani Palfy, która ani jednej łzy nie uрониła nad swem nieszczęściem, nie wyrzekła nawet głośno imienia ukochanego syna. Tylko po spełnionych obrzędach pogrzebu, zamknęła się w swoim pokoju i przez kilka dni nie widziała się z nikim, a gdy nakoniec zeszła do sali zamkowej, była równie spokojną jak poprzednio, tylko twarz jej stała się jeszcze bledszą, a czarne oczy patrzyły jakby przez mgłę. Skinęła na mnie, kazała mi usiąść obok siebie i wyrzekła cicho: — Mów mi o nim, ale wszystko, wszystko!

Zacząłem jej opowiadać o Andrzeju najdrobniejsze szczegóły od chwili naszego wyjazdu z zamku. Słuchała i na nowo te same stawiała pytania; powtarzałem je wielokrotnie i znowu powtarzać musiałem.

Tak upłynęło znów kilka dni nad wyraz smutnych.

— Pójdź, pokażę ci pamiątki po nim — rzekła wreszcie raz do mnie.

Posłuszny, wszedłem za nią do komnaty, znajdującej się obok jej sypialnego pokoju.

Tu, w wielkiej rzeźbionej szafie znajdowały się zgromadzone ręką matki wszystkie pamiątki po Andrzeju, zacząwszy od zabawek jego dziecińczych i ubranek chłopięcych; nie brakło nawet munduru, który miał na sobie w ostatniej walce z widocznym śladem postrzału.

Spojrzałem na ten mundur i odwróciłem szybko głowę, czując, że łzy zalewały mi oczy. Tymczasem pani Palfy swemi delikatnymi, przezroczystymi prawie z wychudzenia rękoma, układała na stole pamiątki z lat dziecińczych swego syna.

— To jego pierwszy chłopięcy strój — szepnęła z rozczuleniem. — Jakże się cieszył, gdy go ubrałam jako chłopczyka — mówiła, wskazując na malutkie spodeńki i kurtkę aksamitną, zdobną w koronkową frezję.

Pochyliła głowę, jedną ręką podparła czoło, druga spadła jej bezwładnie na kolana.

— Zostaw mnie, chcę być samą... — szepnęła.

Wszedłem, lecz zatrzymałem się w przyległym pokoju, na przypadek, gdyby mnie zażądała. Upłynęła wszakże godzina jedna i druga, a pani Palfy nie wzywała nikogo, nawet żaden szmer nie dochodził z jej komnaty. Opanował mnie nagle dziwny jakiś niepokój. Zapukałem lekko do drzwi, a nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, pobiegłem po służbę, aby zobaczono co się z panią dzieje. Zaledwie jednak zauważana stara szafarka przystąpiła do niej, krzyknęła z przerażeniem:

— Boże mój! widno coś złego stało się naszej pani!

W mgnieniu oka stanąłem przy nieszczęśliwej matce. Siedziała tak samo jak przed paru godzinami, z czołem opartem na dłoni, w rękę trzymała malutkie ubranie swego syna. Błada na twarzy i spokojna, lecz już bez życia...

— Co się jej stało? Jakto, umarła? — wykrzyknęły dziewczynki.

— Oddawna podobno cierpiała na wadę serca, które pękło teraz od tłumionej boleści — rzekł dziadunio drżącym głosem i unikł na chwilę, widocznie, by zapanować nad silnym wzruszeniem. — Niechże mi jednak kto wytłumaczy — mówił dalej — dla czego wytrzymała wobec martwych zwłok

syna z raną od kuli w piersi, dla czego nie skonała składając do grobu zimne jego szczątki, a zabiły ją owe przypomnienia lat jego dziecińczych... Oj! matki, matki! Miłość wasza dla dzieci, posiada głębie niezbadane.

Tu dziadunio oparł głowę na rękę i zamyślił się wzruszony. Łzy rozrzewnienia błyszczały w oczach dziewczynek.

— Ale proszę pana — odezwała się wreszcie Joasia — dla czego pan walczył z Węgrami przeciw Niemcom, cóż sprawa węgierska mogła obchodzić pana?

— Widzi panienka, za czasów mojej młodości wierzyliśmy gorąco w wspólną miłość i braterstwo i gotowiśmy byli oddać własne szczęście za szczęście innych.

— Ale niechże nam też dziadunio opowie, swą wędrówkę do Paryża, po skończonej wojnie węgierskiej, mój drogi dziadunio.

Lecz staruszek potrząsnął głową:

— Później, później, moje dziecko, na dzisiaj dosyć już tych wspomnień.

Wtem na ganek wbiegł zadyszany Romcio, machając rączkami, wołał:

— Chodźcie, chodźcie pędko! Aż dwa wozy dzieci przyjechało z Walszawy!..

— Już wiem — rzekła Zosia — są to dzieci z kolonii letnich. Pani Bielicka sprowadziła je tu na swój koszt, a tatuś ofiarował czworaki na ich pomieszczenie.

— Chodźmy tam, chodźmy — zawołała ruchliwa Staśka. Wszystkie panienki podniosły się żywo, Joasia tylko pozostała sama jeszcze czas jakiś na werandzie, poczem udała się do ogrodu, pragnąc ciszy i samotności, bo dziwne myśli, dziwne, nieznanne jej dotąd uczucia nią owładnęły. „Wierzyliśmy w miłość i braterstwo wzajemne i gotowiśmy byli oddać własne szczęście za szczęście innych”, mówił dziadunio. Więc to naprawdę można coś tak bardzo ukochać, więc jest na świecie coś, co może nam być droższe nad osobiste szczęście, myślała, chodząc po cieniowych alejach. I nagle uczuła jakąś dziwną próżnię w sercu i zarazem upokorzenie. Wszakże ona dotychczas siebie jedynie kochała, obce jej były bóle i cierpienia drugich!

VII.

Gromadka dzieci z Romusiem na czele bawiła się na skraju lasu, kiedy różowy balonik, który mama przywiozła dla malutkiej Jani, wyrwał się z jej rąk i uleciał w górę.

— Mój balonik! Ach, mój balonik! — zawołała z płaczem dziewczynka! a wszystkie dzieci podniosły główki do góry i z niepokojem śledziły, jak wiatr unosił różową, błyszczącą w słońcu kulę baloniku.

— Uleci, ani wątpić. Szkoda! taki był ładny!

— Patrzcie, patrzcie, idzie coraz wyżej! — wołały jedno przez drugie.

— Nie idzie wyżej! Co się stało? — zapytał nagle Romuś.

I rzeczywiście, balonik zawisł nieruchomo. Długa nitka przywiązana do niego, zaczęła się o wierzchołek drzewa.

— Cicho, cicho — uspokajał Romuś płaczącą Janię — twój balonik nie ucieknie, zdejmujemy go z drzewa.

Łatwiej jednak powiedzieć niż wykonać; jak się tu dostać na sam jego wierzchołek? Probuje to uczynić Romcio, próbują inni chłopcy. Gdzie tam! ani rusz, zaledwie który zdoła wznieść się pół łokcia nad ziemię, zaraz spada napowrót, nie mogąc nawet dobrze pnia objąć, zbyt małymi ramiionami.

— Nie poradzimy temu sami! — wyznał nakoniec jeden z nich. — Trzeba zawołać którego z dużych chłopców, albo poprosić dorosłego człowieka, aby wszedł i ściągnął balonik.

W tej myśli dzieci pobiegły całą gromadką, zabierając też z sobą małą Janię. Może w dziesięć minut potem wróciły uradowane, prowadząc wybawcę. Lecz o dziwo, balonik zniknął bez śladu. Gdzie się mógł podziać? Najpewniej wiatr zerwał sznureczek i uniósł dalej lekką gumową kulę.

Gdy tak wszyscy wyteżonym wzrokiem patrzyli ku górze, nikt nie zauważył, że pod lasem przesunęła się chyłkiem jakaś mała, przygarbiona do ziemi postać.

— Ha, trudno, stało się! Balonik przepadł i dosyć!

Zawiedzione dzieci wróciły do kreślenia kół i linii na piasku, bawiąc się w zdobywanie fortecy. Tylko mała Jania siedziała na murawie, niepokieszona po swej stracie. W pół godziny później panna Berta zabrała je wszystkie na podwieczorek.

Starsze panienki, jak zwykle o tej porze, zgromadziły się na ganku u państwa Skalskich. Młodzież uknuła dnia tego wielki zamach na dziadunia, pragnąc wyprosić, aby im opowiedział znów jaki epizod ze swojej tułaczki po świecie; czekali więc wszyscy niecierpliwie przybycia starca. Tymczasem od strony Polanki zbliżyła się jakaś dziewczynka, bosa, lecz czysto ubrana i stanęła nieopodal, z oczami spuszczone. Widocznie przynosiła coś w fartuszku, którego rogi trzymała delikatnie w palcach, a cała jej postać wyrażała wielkie zakłopotanie. Dziewczynki poznały ją od razu, bo już poznały się ze wszystkimi dziećmi przybyłymi z Warszawy.

— A co powiesz, Basiu? — zapytała Zosia.

— Ja przyszedłam do panny Ludwini — rzekła mała nieśmiało, i z płonąca twarzą pocałowała Jadwinę w rękę, a uchylwszy róg fartuszka wyjęła... balonik Jani.

— Bo to, proszę panienki — rzekła też zaraz — ja przynioszę tu kulę, co się nią dzieci bawiły pod lasem.

— Skądże ty masz ten balonik? — spytała Ludwinia.

Basia spuściła głowę, zaczęła kręcić róg fartuszka, potem rzekła spiesźnie:

(d. c. n.)

Z DALSZEGO ŚWIATA.

Zaćmienie słońca. — Śnieg czerwony. — Wykopaliska babilońskie. — Pies podróżujący.

Dnia 22 stycznia r. b. przypadło zaćmienie słońca, które w Indyach było całkowitem, a u nas tylko cząstkowem. Uczeni astronomowie obserwowali to zjawisko w różnych miejscowościach; w Dumram (Indye) przy całkowitem zaćmieniu otrzymano siedm dobrych obrazków korony słonecznej, w Warszawie widziano tylko zaraz po wschodzie kontur ciemnego brzegu księżycy na dolnej części tarczy słonecznej.

Mieszkańcy Grand-Combia, góry, wnoszącej się na północ doliny Aosta, oglądali niedawno zjawisko niezwykle Spadł tam mianowicie śnieg czerwony. W dawnych czasach zjawiska podobne, których przyczyn nieznano, przerażały ludność. Dziś wiadomo, że są to grzybki mikroskopijne, unoszące się miejscami w powietrzu i spadające razem ze śniegiem na ziemię.

W ruinach starego babilońskiego miasta Siparol, dziś zwanego Abu-Abba, na południu od Bagdadu położonego, wydobyto w ostatnich czasach doskonale zachowaną tablicę glinianą, której napis stanowi kompletny list, pochodzący z epoki panowania Sansu-Hunh, który, wedle księgi Genesis, był współczesnym Abrahamowi. List tedy pisany był na 2,500 lat przed erą obecną, a autorką jego jest, o ile się zdaje, młoda kobieta, przebywająca zdala od ojcowskiego domu. Charakterystyczne pismo listu w zupełności zostało odcyfrowane, a treść jego ma być, wedle gazety hiszpańskiej, która wiadomość tę podaje, następująca: „Do mojego ojca w Zimri Crama. Oby ci bogowie Sama i Mardak na zawsze zachowali życie! Oby ci się zawsze dobrze powodziło! Posyłam ci ten list, aby ci dać wiadomość o sobie. Bądź tak dobrym donieść mi, jak ci się powodzi. Jestem teraz w Dar-Sin, nad brzegami cieśniny Bitini Sikirio. Mało tu jest środków żywności, którebym mogła jeść. Załączam pieniądze; dwie trzecie srebrnika zachowaj dla siebie; za resztę kup mi suszonych ryb i innych rzeczy do jedzenia.”

W starożytnej Pryenie, mieście zachowanym jak Pompeja, odnaleziono jakoby cały gród starożytnej Grecji z ulicami, przecinanymi pod kątem prostym, z placami i gmachami publicznymi, sklepami i prywatnymi domami.

Podróż, której opis podajemy może wzbudzić zazdrość w ludziach, odbywających podróże naokoło świata w warunkach najdziwaczniejszych, którym się dobrowolnie poddają. Oto pies odbył tę podróż sam, z Tacoma do Tacoma (w stanie Washington), przez ocean Spokojny, Indyjski i Atlantyk. Chociaż nie miał grosza przy sobie, jak wielu podróżnych, wcale nie potrzebował trudzić się pieszo; owszem, mógł używać wszelkich sposobów przenoszenia się z miejsca na miejsce. Owney — tak się pies nazywa — jest szkockim „terrier.” Podróżuje już od lat 12 w wagonach pocztowych na całej przestrzeni Ameryki, i nosi przy swojej obroży 190 medaliów miedzianych, na pamiątkę miast, które „zwiedził.” Przed 2 1/2 laty Owney wyjechał z Tacoma, mając na szyi tabliczkę z następującym napisem. „Do wszystkich, którzy tego psa spotkają: Nazywa się Owney. Jest ulubieńcem 100,000 urzędników państwowych Stanów Zjednoczonych amerykańskich. Wyjeżdża dziś, 18 sierpnia, w podróż naokoło świata. Proszę być dla niego dobrym i wysłać go, tak na lądzie, jak na morzu, w kierunku Yokohama, Hong-Kong, New-York”...

Owney wykonał swój program, przejechał ocean Spokojny, w Yokohamie wslawił się w walce z psami japońskimi, które pokonał. Podróż jego skończyła się wjazdem tryumfalnym w New-Yorku. Wrócił do Ameryki na statku „Port Philip”, na którym uprzemie zapłacił za swoje utrzymanie, łowiąc więcej niż 200 szczurów, co, połączone z jego osobistymi przysługami, sprawiło, że załoga i oficerowie bardzo go żalowali, jak statek opuszczał.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TRĘŚĆ: Jezioro Świtez i jego okolice (z ryc.) — Niedźwiedź, powieść z XVI w. przez Zuzannę Morawską. — W otchłaniach morskich przez dr. M. Stefanowską. — Na polance, powieść przez E. Jerlicza. — Z dalszego świata. Dodatek: U ciotki Polci (z ryc.) — Drapieżnik wodny przez Maryę Weryho. — Konik polny, wiersz. — Gołębek Bożenny. — Zamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

WIECZORY RODZINNE

U cioci Polci.

— Czy będziemy dzisiaj, ciociu droga, robili nowe zabawki z papieru — pytała Zosia, dnia jednego, gdy wieczorem zapalano już lampy w pokoju. To mię tak bawiło wtenczas, jak nas cioteczka tyle ślicznych nauczyła rzeczy.

— Ja też nie zapomniałem wcale, jak się robi łódka, i gdy moja mi się zepsuła, zaraz sobie drugą umiałem zrobić — odezwał się Henryś.



— A jakie to jeszcze rzeczy z papieru być mogą? — dopytywał Kazio.

— Na dzisiaj jeszcze zostawimy te zabawki, gdyż mi chwilowo papieru zabrakło, zanim go więc z miasta przyślą, musicie cierpliwie poczekać.

— Jaka szkoda, jaka szkoda — zawołały dzieci, że ciocia nie ma dzisiaj papieru!

— Postaramy się zabawić czem innym — rzekła z uśmiechem dobra ciocia Polcia, a wyszedłszy do swego pokoju powróciła niebawem z dużym kawałem tektury, i postawiła ją na stole tuż przy lampie.

— Co to będzie ciociu, co to takiego? — pytała Zosia.

— Ach, jakie śliczne złote kółko! — zawołała tymczasem Irenka, wskazując na ścianę. Niech mi ciocia da to kółko! — prosiła.

— Prawda, jakie kółko jasne — potwierdził Henryś. Ale z kądże ono się tam naraz wzięło?..

— Ja już wiem skąd! Oto w tekturze, którą ciocia przyniosła, wycięty jest taki sam otwór, więc światło przechodząc tamtędy, zarysowuje to jasne kółko na ścianie. To mówiąc Kazio zbliżył rękę do miejsca, które tak wszystkich zaciekało.

— Patrzcie, patrzcie, na kółku zrobiła się czarna plama — zawołała Irenka.

— To cień ręki Kazia — tłumaczyła Zosia. Czemu jednak ciociu, ten cień jest tak czarny.

— Czemu?... Może ci to braciszek wytłumaczy, równie dobrze jak zrozmiał od razu, z kąd się jasne wzięło kółko.

— Ja wiem tylko, że cień powstaje wtenczas, gdy przez coś nieprzezroczystego, tak jak moja ręka, albo ta tektura, światło przejść nie może.

— Bardzo dobrze, w ten właśnie sposób tworzy się każdy cień, który tym jest ciemniejszy, im mniej przezroczysty jest przedmiot, albo im silniej oświetlone miejsce, na które taki cień pada. Że więc kółko to jest bardzo jasne w porównaniu z całą tą ścianą, więc też cień wydaje się tu prawie czarnym?

To mówiąc ciocia Polcia złożyła jakoś ręce i na jasnym kółku zarysowała się wyraźnie głowa zwierzęcia.

— Kriks, Kriks! Buldog wujaszka! — Wołały dzieci uradowane, klaszcząc w ręce.

— Jak to ciocia zrobiła, moja ciociu, proszę mi pokazać! Czy to bardzo trudne? — pytał Kazio.

— Wcale nie trudne, przypatrz się tylko, a potrafiśz niewątpliwie wywołać cień podobny.

— A jaki on zły, jakby chciał kąsać, śmiał się Henryś.

— Bo buldogi w ogóle, jak wiesz, łagodnymi nie są, więc i mój na cieniu musi mieć ich wyraz. Ale zdaje



mi się Kaziu, że źle układasz ręce. Patrz, prawa znajdować się powinna na spodzie; przykurez trochę jej palce — tylko duży opuść tak, aby tworzył niby dolną, rozwartą szczęką głowy zwierzęcia. Teraz lewą przyłóż na wierzch opierając ją na palcach; zostaw jeszcze u dłoni małeńki otwór, który jaśnieć będzie w miejscu oka, duży zaś palec wychyl nieco, to będzie ucho!

Wszystkie dzieci wraz z Kaziem składały ręce jak ciocia zalecała. Nie szło to z początku łatwo i cień zrazu nie przypominał wcale głowy buldoga. Dużo też było z tego powodu śmiechu i wesołości w małej gromadce.

— Teraz ja! Teraz mój buldog! — wołały dzieci ci-
snać się do świetlanego kółka, aż Kazio usunął się trochę
na bok i choć tam cień jego ręki zaledwie szarawą odzna-
czał się plamą, widział jednak dosyć, by ułożyć wreszcie
swe ręce tak zupełnie, jak było potrzeba.

Powoli też i drugim dzieciom udawała się ta sztucz-
ka, a nawet mała Irenka, nie okazała się mniej zręczną
od innych.

— Irenki buldog to jeszcze taki młody niewyrośnię-
ty piesek, pewnie jest synkiem tego dużego, którego nam
ciocia Polcia pokazała — żartował Kazio.

— Patrzenie, patrzenie już znowu inny obrazek ciocia
zrobiła — zawołał Henryś.

— Ach jaki ładny koziołek z bródką — mówił Ka-
zio, przypatrując się naprzemian jak wygląda cień, a jak
trzeba złożyć ręce.

Koziołek cioci tymczasem potrzasał brodą i zdawał
się beczec; gdy zaś ten zginął, niedługo jeden koziołek po
drugim mniej lub więcej udany, występował w świetla-
nym kółku.

(d. c. n.)

Drapieżnik wodny.

Okrutne spustoszenia wyrządzał szczupak w stawie.
Karpie zjadał na śniadanie, karasie na obiad, liny na
kolację. A co płotek połknął na przekąskę! któżby poli-
czył!... Od jak dawna przebywał w stawie, nikt nie wie-
dział.

Najstarsze ryby, skoro sięgają pamięcią, zawsze sły-
szwały o szczupaku drapieżniku!

— On chyba wiecznie żyć będzie — myślały ryby: —
z każdym rokiem ma się lepiej, coraz większy, coraz
grubszy. Silniejszego nad samego siebie niema nikogo
w stawie, a i w sieć nie da się złapać.

Razu jednego, w śliczny poranek, szczupak dumnie
płynął przez staw.

Wtem spostrzeżę płotkę, która uczepiła się do gli-
zdy i zajada. Szczupak długo nie myśląc — cap! rzuca
się na biedną rybkę i duże swe zęby głęboko w ciało
płotki zanurza.

A w tejże chwili coś szarpnęło obie ryby do góry.

To rybak wyciąga wędkę z wody i cieszy się, że
złapał płotkę i szczupaka!

Wrócił uradowany do domu, bo nie zawsze miał po-
łów tak szczęśliwy a w stawie, pomiędzy rybami radość
była niemała, że nareszcie zginął ich wróg zacięty.

Maryja Weryho.

Konik polny.

I.

Szczęśliwy, swobodny,
Wciąż wesół, niegłodny
Skakałem, tańczyłem,
By dziecię,
W majowej zieleni,
Nad brzegiem strumieni,
Niepomny, jak bywa na świecie.
A kwiatów kielichy,
Drżąc słały szept cichy
Ku łanom, co słonko złościło;
Z nich słodki miód piłem,
Nie żyłem lecz śniłem,
Tak błogo mi było,
Tak miło.

Aż dzisiaj, gdy rankiem,
Otoczon barw wiankiem
Pragnąłem poskakać dowoli,
Wiatr zawył szalony
Jam czuł, że zgubiony,
Że w sercu mię strasznie
Coś boli

Zagnany w kąć ciemny
Jam czuł, że daremny
Wysilek, by walczyć
Z naturą.

Ach! jesień to była,
Ta pora niemila,
Co zmusza wciąż walczyć
Z wichurą.

Już tańczyć nie w mocy,
Przybiegłem po nocy,
By prosić cię, pszczołko
Schronienia.

Nie odmów, królowo,
Odżyję na nowo,
Pracować już będę
Bez technienia.

GOŁĄBEK BOŻENNY.

(Dalszy ciąg)

— Tak, ale w zamian za tę ofiarę cóż ja ci dać mo-
gę? Czemże złożę ci dostateczny dowód mego przywią-
zania — rzekła Ludmiła ze łzami w oczach. Po chwili
jednak namysłu zawołała z nowem ozywieniem: Próżno
szukałabym rzeczy nadzwyczajnych, postaram się więc
o krzak róży, aże tak piękny, jakiego niema w całym wa-
szym ogrodzie. Sama go tu zasadzę, a ile razy pokryje
się kwieciem, wonne jego listki mówić ci będą o mojem
dla ciebie uczuciu!

Obie dziewczynki pod wpływem serdecznego wzruszenia ucałowały się czule, i trzymając za ręce, wróciły do domu zając się wspólnie przygotowaniem do jutrzejszego wyjazdu.

Pierwsze chwile powrotu do Kalinówki były dla pani Zalitowskiej i jej córki bardzo przykre. Na każdym kroku obie odczuwały boleśnie swe osierocenie. Teraz nowe, trudne życie zaczęło się dla nich, teraz musiały wystarczyć sobie i wzajemną nieść pomoc w pracy, wzajemną dawać sobie opiekę.

Lecz jak przystało mężniej niewieście, pani Zalitowska nie upadła na duchu. Do nowych obowiązków zabrała się z taką gorliwością, tak wytrwale znosiła wszelkie trudy i mozoły, jakie wymaga gospodarstwo rolne, tak starała się pojąć co, jak, i kiedy czynić wypadało, że nawet służba za jej przykładem tem gorliwiej spełniała każdą powierzoną sobie pracę.

Nie małą też pomoc znalazła w Stefanie, który wrócił z nią do Kalinówki, a przywiązaniem swem i usłużnością starał się na każdym kroku okazać swą wdzięczność i ulżyć w położeniu, którego mimowolną był przyczyną.

Ludmiła choć jeszcze dziecko dwunastoletnie, pojęła też od razu, że nie pora już dla niej na próżne rozrywki, i cały zarząd domowego gospodarstwa wzięła na siebie. Krzątając się pilnie od wczesnego ranka do wieczora, doglądała mleczywa, drobiu i trzody, przysposabiała wedle wskazówek matki zapasy na zimę, składając do piwnic warzywa, susząc owoce i dozorując wraz ze starą Grzesiową, wdową po dawnym karbowym, robót około lnu, którego przedziwem umiała się już potrochu zająć.

Najprzyjemniejsze jednak chwile z dnia całego, były długie wieczory jesienne, gdy wszystka czeladź zbierała się w dużej izbie folwarcznej, kobiety i dziewczęta przy kołowrotkach, a Stefan czytał Żywyoty Świętych Pańskich, lub wszyscy razem śpiewali pieśni nabożne.

Czasem i Ludka zaglądała do książki, bo choć w owe czasy mało jeszcze kto po wsiach szczególniej umiał czytać i pisać, ona pragnęła naśladować we wszystkim swą matką, która nauczyła się tej sztuki w klasztorze, gdzie się wychowała pod opieką swej ciotki zakonnicy.

Razu pewnego, późnym już wieczorem, gdy psy podwórzowe w około dworku mocno ujadać poczęły, wyszedł Stefan na ganek przekonać się, coby tego było przyczyną i powrócił niebawem w towarzystwie dwóch pielgrzymów, którzy stanawszy skromnie na progu powitali gospodynię domu chrześcijańskim pozdrowieniem:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków, amen! — odpowiedziała pani Zalitowska, zwróciwszy badawcze spojrzenia na przybyłych.

Byli to ludzie dobrego wzrostu, choć starszy zdawał się już mocno przygarbiony wiekiem. Twarze ich ogorzałe, i wierzchnie odzienie mocno przyniszczone świadczyły o długim pobycie na świeżem powietrzu, gdzie nierzadko deszcz zmoczy i słońce przypiecze.

Długie po pas brody, wielkie kapelusze na głowach i kije sękaty w rękach nadawały im pozór właściwy

pielgrzymom; tylko niekiedy czarne ich oczy błysnęły ponurym blaskiem.

— Zkądże to Bóg prowadzi o tak późnej porze? — zapytała z pewnem niepokojem pani domu.

— Z dalekich idziemy stron, dobrodziejko — odparł starszy. — Pielgrzymami jesteśmy, wracamy z Ziemi Świętej.

— Jakto! Więc waszmoście byli u Grobu Chrystusa? A toż szczęśliwi z was ludzie! Ale i strudzeni niepomier- nie być musicie! Siadajcie więc proszę tu bliżej koło komina, odpocznijcie i ogrzejcie się, zanim wam ciepłą sporządzić każę strawę — mówiła pani Zalitowska, dla której sama wiadomość o odbytej przez przybyłych pobożnej pielgrzymce, rozproszyła wszelki niepokój i dostateczną była pobudką do wyjątkowego dla nich poszanowania i gościnnego przyjęcia.

— Niech Bóg zapłaci za dobre serce! — rzekli, i złożyli sakwy i sękaty kije na uboczu, w kącie.

— Toć prawdę powiedziawszy spoczynku łakniemy, zaczął starszy siadając ciężko na ławie, przy czem rozejrzał się znów bacznie po izbie — a na dworze szaruga, wiatr do szpiku kości przejmuję. Lata też ciężą na barkach; więc jeśli łaska chciałem prosić o nocleg pod gościnną strzechą dobrodziejki. Jutro skoro świt trzeba nam w dalszą drogę.

— A dokądże Bóg prowadzi?

— Chcielibyśmy jutro przed nocą zdążyć do Ostrobrzegu, gdzie powiedzieli nam dobrzy ludzie, iż uroczysty odbędzie się odpust. Potem wracamy już na Mazowsze, skąd ród nasz wywodzi.

— Zapózniliście się trochę, dobry ojcze, do Ostrobrzegu kawał drogi, dziesięć mil liczą — wątpię byście zdążyli, jak zamierzacie.

— Nie znam-ci ja kraju tutejszego, idę tylko gdzie mi uczynni ludzie wskażą, mówiono mi jednak, że szmat drogi trzymając się gościńca, można sobie skrócić, kierując się przez bagna — byle ino nie zbłądzić.

— Otóż trzęsawiska to są wielkie, jeźdźcy na koniach i wozy tam toną, bezpieczna droga nie jest to wcale!

— Ja mógłbym przeprowadzić nabożnych pielgrzymów, jeżeli pani pozwoli — odezwał się nieśmiało Stefan.

— Lękam się, czy znasz bezpieczne przejście, mój chłopcze.

— O, co do tego niech pani będzie spokojną, nie zbłądzą pewno, toż chodziłem już tamtędy dwa razy.

— Wdzięczni ci z serca będziemy mój synu — rzekł jeden z przybyłych, podczas gdy drugi rozwiązał sakwy i wyjmując z nich medaliki, różańce i krzyżyki odezwał się poważnym głosem:

— Oto z miejsca naszej pielgrzymki święte pamiątki, które przynieśliśmy z sobą ku radości i pocieszeniu dusz wiernych; proszę z nich przyjąć kilka.

Wszyscy obecni z głębokim wzruszeniem odbierali nabożne upominki, a gdy następnie podróżni posilili się gorącą polewką, którą im Ludmiła zgotowała i znowu zasiedli w około kominka, pani Zalitowska wypytywała o szczegóły dalekiej podróży.

— Napatrzyliśmy się na różne kraje i różne poznaliśmy ludy — rzekł starszy — przebywaliśmy rzeki, góry i morza, a dzikie to jeszcze strony; drapieżnego zwierza

nie brak po kniejach i złego człeka nie rzadko też spotkać, zwłaszcza dla chrześcijanina, dla którego zaciętemi wrogami są Arabowie i Turcy, będący teraz panami Palestyny. Nie oddają ani należnej czci Chrystusowi jako wynawcy nauki Mahometa, a jak tylko mogą, przeszkadzają nabożnym pielgrzymom, często ograbiają ich i pokrzywdzą, nie rzadko nawet zamordują.

— Słyszałam ja o tem — rzekła pani domu z westchnieniem — ale też mówił mi świątobliwy nasz proboszcz, że tym większą zasługę mamy u Boga, im więcej cierpimy dla Imienia Chrystusa.

(d. c. n.)

ZAGADKA.

Czemże ja nie jestem w świecie,
Ani może o tem wiecie?
Mówią dzieje o człowieku
Z zaprzeszłego jeszcze wieku.
Tańcem skocznym także bywam
A i śpiewkę też nazywam —
Wreszcie w lasach ja też żyję,
Istność moję chętnie kryję,
Bo z przymiotów dobrzem znany,
I przez ludzi spożywany.

ŁAMIGŁÓWKA KRYSZTAŁOWA.

przez Puszczyka z Pilawy dla Laszki.

1. Spółgłoska.
2. Zwierzę z rządu przeżuujących.
3. Półwysep między morzem Żółtym i Japońskim.
4. Kamień używany na pieczęcie.
5. Miasto nad Elbą.
6. Przymiot niezbędny w życiu.
7.
8. Miasto w Serbii.
9. Drobne owoce.
10. Mały oddział konnicy.
11. Sztuczna osłona twarzy.
12. Dopływ Wołgi.
13. Samogłoska.

Rząd środkowy oraz środkowe litery ułożonych wyrazów, złożony powinny imię i nazwisko współczesnego, lecz nie żyjącego już polskiego poety.

ŁAMIGŁÓWKA SAMOGŁOSKOWA.

ułożył Wróblek.

a a
. a . a
a . a . a
a a a a
a . a . a
. a . a
a . a
. a .

Zapełnić kropki literami, aby otrzymać wyrazy: 1) Ptak. 2) Miasto w Europie. 3) Roślina meksykańska. 4) Międzymorze w Ameryce. 5) Góra w Azji. 6) Statek wodny. 7) Drogi kamień. 8) Przysłówek.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 7.

Zagadki: Z e r o .

Rebusiku:

Jest to cnota nad cnotami
Trzymać język za zębami.

Skrzynka do listów.

P. F. I. Rękopis odesłaliśmy pod wskazanym adresem „post-restante.”

Aleksandrowi W. Nie dokuczyłeś nam bynajmniej swojemi listami, przeciwnie są nam one bardzo miłe, przebija w nich myśl poczciwa i rozsądek, oraz chęć listownego chociażby zbliżenia się do kraju. To też nadal nietylko zachęcamy, ale prosimy byś pisywał tak często o ile czas pozwoli. Wspólna wymiana myśli zbliży nas do siebie i zaprzyjaźni. Cieszy nas to, że dużo czytujesz po polsku, jest to najlepszy sposób zachowania czystości języka, nie mogąc się nim stale posługiwać w życiu codziennem. Zadania przejrzymy, a jeżeli się tylko okażą odpowiedniami, postaramy się je pomieścić jak można najprędzej.

Mery L. w Zośnicach, witamy jako nową korespondentkę i mamy nadzieję, że częściej obdarzać nas będzie tak miłymi listkami jak ten pierwszy. Radzi jesteśmy, że lubisz czytywać Wieczory, że się uczysz chętnie, bo nauka rozwija umysł, a czytanie stanowi miłą i pożyteczną rozrywkę. Godzimy się z tobą, że historia to najciekawszy przedmiot wśród nauk, ale i o innych zapominać się nie godzi, bo każdy jest nam pożyteczny; nawet oschła arytmetyka z długim szeregiem cyfr i trudnemi zadaniami, bardzo ciekawą być może, gdy się do niej trochę przyłożysz.

P. Ludwice Z. za przysłany wierszyk i uprzejmy list bardzo dziękujemy.

Pani S. B w Orenburgu. W taniem wydawnictwie jubileuszowym dzieł Sienkiewicza, wyszła trylogja powieści historycznych: „Ogniem i Mieczem” „Potop” i „Pan Wołodyjowski,” tomów 6, w oprawie kosztuje rs. 3 przesyłka rs. 1.

H. Łubień.. bardzo dawno nie odzywał się do nas, prosimy o poprawę i dłuższy listek.

Wajdelocie zaginiony numer wysyłamy. Z przyjemnością dowiedzieliśmy się, że Wieczory czytujesz z zajęciem; ciekawe podróże i na ten rok mamy przygotowane. Jeżeli masz ochotę przyslij nam jedną ze swoich powiastek, chętnie ją przeczytamy i osądzimy twoje zdolności.

Dobre rozwiązania zadań przysłali: **Gabryel G., Eugenia M., Czarnuszka i Bilasek, Z. O. z B. C., i Słoń z Nubii.**

Promyczkowi z Białej Rusi za serdeczne wyrazy dziękuję, ale zmartwiła mnie wiadomość o twojej chorobie; pocieszam się jednak, że nie było to nic ważnego, i, że przyszedłszy już zupełnie do zdrowia kochany Promyczek częściej odtąd odzywać się będzie.

Łamigłówni **Słonia z Nubii** złożyłam w redakcyi, dlaczego jednak zapowiadasz dłuższe milczenia? Wierzę bardzo, że przy naukach nie staje często czasu na układanie szarad i łamigłówek, ale napisanie listu zajmie tylko krótką chwilę, którą zawsze znalazłeś można przy dobrych chęciach, tymczasem przyjazne pozdrowienia przesyła ci

Jaskółka



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



ś. p.

ALEKSANDRA Z CHOMĘTOWSKICH

BORKOWSKA.

Z głębokim smutkiem podzielić się musimy z czytelnikami naszymi żalobną wieścią, która niewątpliwie bolesnem echem odbije się w ich sercach. Po długich i ciężkich cierpieniach, znoszonych z prawdziwie chrześcijańskim poddaniem woli Bożej, opatrzona św. Sakramentami, zgasła w dniu 24 Lutego r. b. w 70-m roku życia ś. p. Aleksandra Borkowska, redaktorka Kroniki Rodzinnej i wieloletnia kierowniczką Wieczorów.

Obszerniejszą wiadomość o pełnem zasługi życiu tej czcigodnej niewiasty, która działy i młodzież miłowała sercem całym, podamy w następnym numerze.

Cześć jej pamięci i wieczny pokój.

Perła Antyllów.

Walka, którą toczą mieszkańcy Kuby już od roku 1895 do obecnej chwili, aby się wyzwolić z pod zwierzchnictwa Hiszpanii, zwróciła ogólną uwagę na tę wyspę, która zasługuje w zupełności na dane jej pochlebne miano „Perły Antyllów”.

Jeszcze gdy w październiku 1492 roku Kolumb w pierwszej swej podróży stanął na tej ziemi, którą omyłkowo wziął zrazu za półwysep indyjski, nazwał ją najpiękniejszym zakątkiem, nad którym słońce świeci, a ludzkie oko oglądać może.

Wprawdzie zachwył taki tłumaczy się poniekąd tem, iż Kolumb nie znał innych podzwrotnikowych miejscowości, jakie z biegiem czasu dopiero stały się dla nas dostępnymi, jednak i w porównaniu z niemi Kuba nic nie traci, a niektóre jej okolice zdumiewająco piękne przedstawiają widoki.

Wąska ta wyspa, przypominająca na mapach kształtem swym wiewiórkę, leży u wejścia do zatoki meksykańskiej w strefie gorącej.

Długość jej wynosi od przylądka Antonio do przylądka Maisi 1200 kilometrów przy bardzo małej stosunkowo, bo nie przekraczającej stu kilometrów szerokości. Z tego powodu żaden punkt na Kubie nie leży dalej nad 60 km. od morza.

Ład Kuby ze swą bujną vegetacją, tworzącą gęste lasy, kędy nieraz siekierą torować sobie trzeba drogę, jest górzysty, zwłaszcza w części południowo wschodniej z pasmem gór Sierra Meastra, w których najwyższe szczyty do 2500 m. dochodzą. Tutaj też znajdują się bogate pokłady metali, mianowicie miedzi.

Liczne rzeki i strumienie górskie, przerywające kraj cały, wzbierają w porze deszczowej i wylewają szeroko, a tocząc po skałach spienione swe wody, tworzą kaskady malownicze dla oka, lecz nie ułatwiający bynajmniej komunikacji. Jedną tylko większą nieco rzeką jest Rio-Canto, którą bezpiecznie na łodziach aż w głąb kraju przebyć można, inne zaś — i właśnie to stanowi osobliwość Kuby giną często w pieczarach podziemnych, i albo ukazują się znowu w pewnej odległości, albo też podziemnym już łożyskiem wpadają do morza.

Ludność Kuby nie przedstawia takiej różnorodności barw i typów, jak na innych ziemiach Ameryki. Z pierwotnych krajowców indyjskiego pochodzenia, zachowały się w niektórych mianowicie okolicach, dość liczne jeszcze rodziny, wyróżniające się charakterystycznymi rysami twarzy, szorstkim prostym włosem, oraz budową czaszki, a obok tego fanatycznym przywiązaniem do rodzinnego kraju i swobody, oraz pogardą niebezpieczeństw i zaciętością w boju. W tym też kierunku stanowią żywe przeciwieństwo do zniewieściałych Kreolów, tworzących liczącą przewagę mieszkańców wyspy.

Napływowa ludność jest przedewszystkiem hiszpańska, nie brak wszakże innych narodowości, mianowicie Francuzów.

Od czasów zawładnięcia Antyllami, to jest od czterech już przeszło wieków, macosze rządy Hiszpanii nie starały się w najmniejszej rzeczy o podniesienie ogólnej kultury; szkół też posiada Kuba bardzo mało i szczupły jest procent wśród

mieszkańców umiejących choćby tylko czytać i pisać, jakkolwiek wrodzone zdolności i szczególna bystrość umysłu krajowców nadają się do wyższej oświaty.

Upodobanie w beczyność, jak wszędzie tak i tutaj stanowi wybitną cechę Kreolów, zamiłowanych w muzyce, tańcu i świetności stroju. Kreolki wszakże piękne w młodych latach wczesnie tracą urodę, nabierając przy braku ruchu niezmiernej tuszy.

Mówiąc o ludności nie możemy też pominąć Murzynów, przywożonych tu dawniej z Afryki, jako niewolników, a którzy po zniesieniu niewolnictwa osiedlili się na wyspie i odznaczają się większą od Kreolów pracowitością.

Niewyczerpanem bogactwem Kuby jest grunt jej zdalny pod wszelką uprawę, a żyzności tej sprzyja niemało podzwrotnikowy, wilgotny morski klimat.

Z produktów kubańskich pierwsze miejsce zajmuje tytuń, którego liście dostarczają materiału do wyrobu sławnych na cały świat cygar, znanych pod nazwą *hawańskich*. Obok wszakże plantacji tytoniu znaczne też dochody przynoszą mieszkańcom plantacje drzew kawowych i trzciny cukrowej.

Jako główne miasta wyspy wymienić należy Sant-Jago de Cuba, dawną stolicę, i obecną Habanę czyli Hawannę, która liczy już około 200,000 mieszkańców, oraz Porto Principe i Santa Clara, Matanzas i Cienfuegos.

Hawanna rozłożona na równinie od strony północno-zachodniej, żyznej lecz mniej malowniczej, ma w zupełności charakter miast hiszpańskich, z pięknymi promenadami: des Orais i Tacon, obszernymi ogrodami i placami.

Z budynków miejskich zasługują na wyróżnienie wielki kościół katedralny, zbudowany w 1724 roku. W nim spoczywają szczątki Kolumba i tam też oglądać można olbrzymią jego podobiznę w płaskorzeźbie.

Życie całe skupia się tu po sklepach, w których Kreolki zarówno jak Hiszpanki, przyjmujące chętnie obyczaje miejscowe, czynią zakupy do swych kosztownych i barwnych toalet, w jakich występują następnie na ulubionych swych „corso” i balowych salach, gdzie namiętnie oddają się tańcowi. Najulubieńszym z tańców jest hiszpański: „Fandango” i „Cachucha” oraz miejscowa „Habanera”.

Wielce interesujący i całkiem oryginalny widok przedstawia miasto rankiem, kiedy przybywają dostawcy wszelkich produktów spożywczych. Ponieważ przy wysokiej temperaturze tego klimatu dowóz świeżego, słodkiego mleka staje się niemożliwym, przeto co rano przypędzają krowy na rynek i doją wedle zapotrzebowania.

Niemniej niezwykłym jest sposób dostarczania paszy dla miejscowych koni, oraz warzywa i wszelkich produktów handlu targowego.

Załączona tu rycina przedstawia nam właśnie objuczono sianem małe kubańskie koniki, które giną wprost pod stosami swego ładunku; złe bowiem drogi, lub brak ich zupełnie, dla wyżej wymienionych powodów, uniemożliwiają tak dalece komunikację kołową, że głównie juczne, a nie pociągowe używane są tu siły.

Nierównie piękniej od Hawanny leży Sant-Jago de Cuba, główne miasto zachodnich prowincji, zbudowane nad skalistą przystanią tegoż nazwiska, o którym rycina druga daje nam niejaki pojęcie.

Tarasowo wznosząca się ta miejscowość, zasłonięta od północnego poddmuchu wiatru, ma klimat łagodny morski,

sprzyjający do tego stopnia rozwojowi roślinności, że światłość jej przechodzi najbujniejszą fantazyę, czyniąc z zakątka tego łąki czarodziejskie zjawisko, wyróżniające się z pomiędzy wielu innych uroczych miejscowości Kuby, tak ze wszechmiar bogato uposażonej przez przyrodę.

NIEDŹWIEDŹ

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

p. Zuzannę Morawską.

(Ciąg dalszy).

— Czy wiesz, dla czego cię wróciłam, synu mój najmilszy — mówiła Bona, wpatrując się w zarumienioną twarzyczkę chłopięcia.

— Ja się tam tak dobrze bawiłem — odrzekł król.

— Ale teraz zostaniesz królem, będziesz tak, jak ojciec — mówiła, marszcząc brwi Bona.

— Wolałbym się tam bawić, niż być królem.

— Czemu? — przerwała porywczą królowa.

— Bo ojciec tak się ciągle martwi, ciągle smutny, nie może się bawić...

— La stoltezza (głupstwo) — mruknęła Bona.

— Tam był chłopiec, co udawał niedźwiedzia, grał tak ładnie; były dwie dziewczynki, podarowały mi tak dużo pierników, zaraz, mamie przyniosę... I chciał biedz po nie, lecz matka objęła go wpół i zatrzymała.

— Siniora, a gdzie pierniki? — zapytał Zygmunt stojąc na uboczu Alenini.

— Zaraz przyniosę! — odrzekła zapytana, i wybiegła szybko z komnaty.

— I nie tęskniłeś do matki? — spytała królowa.

— Hm — odparł Zygmunt — ja mamę bardzo kocham, ale się tak dobrze bawiłem...

— Precz, niewdzięczny! — krzyknęła Bona.

I tak gwałtownie odepchnęła syna od siebie, że się aż uderzył o stół stojący opodal.

Bona zaś wstawszy ze swego fotelu poczęła biegać, miotając po polsku i po włosku najrozmaitsze wyrazy.

Tymczasem Zygmunt trzymając się za czoło, na którym potężny guz wyskoczył, płakał najpierw pocichu potem coraz głośniej, a widząc, że matka nie zwraca na to uwagi, jeno cała zaczerwieniona, biega i gniewa się coraz więcej, zaczął i on za nią biegać.

— Boli! boli! — wołał, trzymając się za głowę, bolił mama mnie nie kocha! — powtarzał.

— Co cię boli! — krzyknęła matka, patrząc nań całą rozplamioną gniewem.

I oderwała mu rękę od czoła.

— Ma-ma mnie tak brzy-y-dko uderzyła! — zawołał Zygmunt.

— Kto, ja? ach, ty dziecko moje, skarbie mój! to Alenini wszystkiemu winna, ochmistrzu! — krzyczała Bona, całując syna w zaczerwienione czoło.

— Och-mi-strza nie było tu-taj. — stanął w obronie Zygmunt.

— To właśnie źle, że go nie było, powinien być ciągle przy tobie, zabijesz się jeszcze, skaleczysz, skarbie mój najdroższy — wołała, bijąc gwałtownie w kowadełko.

Wbiegła też właśnie siniora, trzymając na srebrnej tacy pudełko, ofiarowane przez kasztelanki królówi. Na dnie jednak pudełka było zaledwie kilkanaście pierniczków, siniora bowiem, jak się słusznie Zygmunt obawiał, większą część przysmaku zachowała dla siebie. Alenini jednym rzu-

tem oka zrozumiała, że podczas jej nieobecności musiała zajść jedna z tych scen, które się dość często powtarzały, stawiając wiesz szybko tace, chwyciła w swe ramiona królówicza, wołając:

— Ach, to ja wszystkiemu jestem winna, pobiegłam po pierniczki i nie ochroniłam mego najjaśniejszego pana o upadku.

Zygmunt jakkolwiek niechętnie, dał jej się wyprowadzić, a Bona ujrawszy się samą rzuciła wzrokiem na stojące na tacy proste łubowe pudło z pewną pogardą; powoli jednak przełamawszy swoją niechęć do niepozornej powierzchowności, zajrzała do środka, a wzięwszy we dwa palce rumiany, okrągły pierniczek, chrupała go z widocznym upodobaniem.

VI.

— Dla nowo obranego króla, a naszego syna, zrobić wzniesienie tuż przy mojem — wołała Bona, stojąc na środku wielkiej komnaty, w której zwykle zbierał się dwór jej całej i zabawiano się muzyką, śpiewem a nawet i tańcem.

Marszałek dworu, który kierował całym urządzeniem, ujrawszy królowę jejmość, usunął się nieco na bok z uszanowaniem.

— Nie tak wysoko, trochę niżej od mego krzesła, ale tuż obok, po prawej stronie, nie... po lewej, nie nie... prawej!... wołała.

Służba biegła z jednej strony na drugą, przestawiając wycielany stołek z wysoką poręczą.

— Mości marszałku, wysłać połowę komnaty najwspanialszymi kobiercami, nie nie połowę, tylko część, gdzie będzie ustawione siedzenie dla mnie i dla mego syna, a waszego najmiłościwszego króla.

Marszałek dworu skinął głową na znak, iż zrozumiał polecenie i spoglądał na krzątającą się służbę, której od czasu do czasu robił swoje uwagi.

— Ochmistrz jego królewskiej mości naszego syna stanie za jego krzesłem, siniora Alenini z lewej strony, między mną, a królem.

I rzuciwszy ten rozkaz wybiegła szybko, ażeby dokończyć rozpoczętego stroju. Weszła bowiem w rannem domowym ubraniu, śnać nawet przerwała czesanie, bo część jej bujnych włosów zwinięta była w węzeł, reszta spadała na ramiona.

Po wyjściu królowej, marszałek odetchnąwszy swobodnie, wziął się do wydawania rozkazów, a służba krzątała się z całą gorliwością i pospiechem, aby te rozkazy jak najprędzej wypełniać.

Znać było, że to nie na zwykłą codzienną zabawę przygotowywano komnatę, lecz na jakąś wyjątkową uroczystość.

I rzeczywiście, uroczystość to była wielka, bo oto właśnie wczoraj, późnym wieczorem przybyli z Piotrkowa posłowie, ofiarujący Zygmuntowi koronę.

Dzień więc 6 stycznia 1530 r. był nie tylko świętem Trzech Króli, ale i świętem dla młodzieńczego królówicza, który nie pojmował jeszcze całej doniosłości obowiązków, jakie nań z tytułem króla spadały.

Około południa do pięknie przybranej komnaty zaczęły wchodzić postrojone panny, damy dworu królowej, a każda z nich trzymała to lutnię, to gitarę, to bębenek obwieszony dzwoneczkami. Za nimi wsunęły się w krótkich spódniczkach i obeślanych spodeńkach dziewczęta, trzymając długie, cienkie, barwiste chusty. Te stanawszy na uboczu, razem z innymi, spoglądały na drzwi, z których zwykle wychodziła wraz z synem królowa.

Wkrótce też ukazała się Bona, za którą dwóch paziów niesło kraj powłóczyściej żółto-cytrynowej sukni. Czarne jej włosy, które niedawno widzieliśmy spadające na ramiona, były teraz ukryte pod wielkim czepcem, zakończonym drogiemi kamieniami w kształcie korony, tylko nad czołem i za uszami widać się ciemne kosmyki misternie skrecone. Szyję miała

obwieszoną perłami z pomiędzy których błyszczały gdzieniegdzie krwawem swem światłem rubiny lub świeciła iza brylantów. W rękę miała królowa sztylckretowy, misternie rzeźbiony, złotem nabijany wachlarz.

Piękne to bawidełko służyło jej nietylko do chłodzenia się, lecz i dawania znaków poufnych, na których dwór przyboczny doskonale się rozumiał, a rozkazy wydawane wachlarzem były częstokroć gorliwiej spełniane aniżeli ustne. Za nią wkroczył dwór złożony z kilku dam i maleńki, nie trzymający dwóch stóp karzełek. Maleństwo to było pousowo a bardzo dziwacznie ubrana, i tak trzymało się fałdów sukni królowej i tak posuwało się z nią razem, iż można było raczej wziąć za ozdobę przyczepioną do szaty, niż za żywe stworzenie.

Za tym dworem szedł dopiero Zygmunt w kurtce fioletowej, z żółtymi bufiastymi rękawami, w żółtych u góry bufiastych a poniżej kolan bardzo obeisłych spodeńkach i czerwonych bucikach, z długimi zagiętymi ku górze nosami. Włosy

W tej chwili wyskoczył karzełek, w niskim ukłonie uderzył czołem o podnózek wzniesienia, na którym siedziała Bona i zaraz ręką ku ziemi skłonił się królewicowi. Potem przymrużył jedno oko, począł chwiać głową na wszystkie strony, wreszcie spojrzął na siniore, wykrzywił się nader pocieszenie wyciągnawszy swe długie i kościste ręce, zagrał na nosie.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się Zygmunt, i spojrzawszy na Alenini, powtórzył gest wykenany przed chwilą przez karzełka.

— Proszę zaprzestać — szepnął pan Opaliński, nachylając się do ucha swego wychowańca.

Królewicz przerwał śmiech, spojrzął z pewnym wyrzutem na ochmistrza i szepnął:

— Czemu nie pozwolicie mi się bawić!

(d. c. n.)



Dostawa siana do Hawanny.

miał w loki zawinięte, a na czole złotą przepaskę, nie tyle dla ozdoby, ile dla zakrycia nabitego wczoraj guza. Za nim weszła siniora Alenini, rzucając przenikliwie na całe zgromadzenie swemi maleńkimi, wiecznie biegającymi oczkami, dalej kroczył poważnie pan Piotr Opaliński. Obok siedzącej już matki królewicz zajął miejsce, ochmistrz stanął zaraz za jego plecami. Siniora zaś weisnęła się tak, ażeby być gotową na każde skinienie swej pani.

Zaledwie też każdy zajął swe miejsce, gdy królowa dała znak siniore.

Alenini przykleknawszy nieco nachyliła ucho, ażeby szepet był tylko przez nią słyszany.

— Patrz i słuchaj pilnie — rzuciła Bona swej ulubienicy.

— Bene, bene! — odrzekła siniora.

I odtąd oczy jej zwrócone były nie tyle na królewicza, ile na każde poruszenie ochmistrza.

— Zacząć zabawę! — rzekła królowa do marszałka, który sprawował zarazem urząd mistrza ceremonii, podczas mniejszych codziennych zebrani.

I jednocześnie rozwinęła wachlarz, a kładąc go na kolanach, strzepnęła fałdami bogatej swej szaty.

W OTCHŁANIACH MORSKICH

PRZEZ

Dr. M. Stefanowską.

(Dalszy ciąg).

Wyprawy Travailleura i Talismana.

Po badaniach przyrodniczych na morzu, dokonanych w Norwegii, Ameryce i Anglii, a głównie po pamiętnej wyprawie *Challenger* zdawaćby się mogło, że historia otchłani morskich została dokładnie poznana, i że po tych wielkich odkryciach przyszłym wyprawom pozostało do dodania drobne tylko szczegóły. W istocie sprawa inaczej się przedstawia i nauka nie prędko jeszcze posiedzie wyczerpujące wiadomości o życiu w głębiach morskich.

Dodajmy, że między poprzednimi wyprawami dwie jedynie *Porcupine* i *Challenger* badały morze na znacznych



Turniej współczesny.

obszarach, lecz i te wyprawy postawiły sobie za zadanie ogólne, poznać głębie morskie oraz ich mieszkańców i zadanie to świetnie spełniły. Ale pozostawało jeszcze wiele do zrobienia; trzeba było teraz szczegółowo poznać faunę rozmaitych części danego oceanu i porównać ją z fauną innych głębów. Taki cel zakreśliły sobie wyprawy francuzkie.

Francya dała się początkowo wyprzedzić innym krajom w poszukiwaniach morskich, lecz następnie, między rokiem 1880 a 1883, wysłała cztery wyprawy naukowe, które chlubą okryły jej imię. Będąc otoczona oceanem Atlantyckim oraz morzem Śródziemnym, Francya postawiła sobie za zadanie zbadać o ile możności szczegółowo faunę tych mórz sąsiednich.

W 1880 r. wyjechał okręt *Travailleur* pod przewodnictwem Alfonsa Milne-Edwardsa, i odbył trzy podróże, podczas których badał faunę morza Śródziemnego oraz Atlantyku, u wybrzeży Portugalii i Hiszpanii, i dotarł aż do wysp Kanaryjskich. W Atlantyku wszędzie znaleziono faunę głębinową nad wyraz bogatą, natomiast w morzu Śródziemnym zwierzęta są niezmiernie obfite jedynie u wybrzeży, lecz w głębinach poniżej kilkuset metrów zwierząt jest niezmiernie mało, a na jałowym gliniastym dnie jego znajdowano jedynie gąbki aż do 2600 metrów. Zauważono również, że na tej głębokości, gdzie zaczyna się ubóstwo zwierząt, temperatura morza Śródziemnego była stałą i miała 13° stopni stu stopniowego termometru; gdy tymczasem w innych morzach temperatura spada w miarę głębokości.

Robiono rozmaite przypuszczenia, aby wytłomaczyć, skąd pochodzi takie ubóstwo morza, i Śródziemnego, wówczas gdy Atlantyk, z którym się morze Śródziemne łączy, jest niezmiernie obfite we wszelkiego rodzaju zwierzęta. Najprawdopodobniejszą wydaje się ta przyczyna, że zwierzęta żyjące w głębinach Atlantyku, mają utrudniony dostęp do morza Śródziemnego z powodu wysokiego progu, który się znajduje tuż pod cieśniną Gibraltarską i jak ściana dzieli dwa morza. Śródziemne stosunkowo niedawno powstało, i że woda jego jest o wiele słodsza niż w Oceanie, a to są bezwątpienia warunki, z powodu których życie zwierzęce nie mogło i nie miało jeszcze czasu tak się rozwinąć w tem morzu wewnętrznym jak w sąsiednim z niem oceanie.

W 1883 r. odbyła się wyprawa naukowa *Talismana*, najdłuższa i najważniejsza ze wszystkich podróży francuzkich, gdyż trwała trzy miesiące. *Talisman* był okrętem o wiele mocniej zbudowanym od *Travailleura*, a przytem zaopatrzony był w więcej udoskonalone przyrządy do badań naukowych. Podróżował on wyłącznie po Atlantyku, ale zdala od wybrzeży europejskich i dotarł aż do wysp Azorskich, Kanaryjskich oraz archipelagu Zielonego przylądka. *Talisman* pływał także po morzu *sargasowem* i badał jego florę i faunę; rozmaite szczegóły, jakie czytaliście poprzednio o tej pływającej łące, zaczerpnięte są właśnie z opisu podróży *Talismana*. Podczas swej podróży okręt ten wykonał 212 pomiarów głębów morskich i to w sposób nader ścisły, a kilka razy natrafił na głębiny, mające przeszło 500 metrów. Włóczęcąc się po dnie wielkich głębi, zebrano niezmiernie wiele ciekawych i nowych zwierząt.

Wspaniałe zbiory *Travailleura* i *Talismana* wystawione były następnie w Paryżu i publiczność oglądała tajemnicze istoty, wyrwane z otchłani morskich.

Po tych pierwszych wielkich wyprawach naukowych, które opisaliśmy pobieżnie, nastąpiło wiele innych wypraw, wysłanych przez rozmaite kraje, bądź w celu mierzenia głębów morskich, bądź w celu łowienia zwierząt. Badania na morzu czynione są nieustannie i wciąż przybywa coś nowego do skarbnicy wiedzy ludzkiej.

Z tego opisu wypraw naukowych morskich widzimy także, że zoologia świetnie rozwijać się zaczęła dopiero w drugiej połowie naszego stulecia od czasu, gdy poznano mnóstwo różnych zwierząt pelagicznych a zwłaszcza głębinowych, których istnienia przedtem nie domyślano się nawet. Odkrycia te rzuciły nowe światło na rozwój życia na naszej ziemi, a zarazem sprawiły istny przewrót w naukach przyrodniczych.

Moje skarby.

Dla M. L. z Z.

Mem bogactwem — słonko Boże,
Co nad ziemią płynie,
I całuje złote zboże,
I w tęczowym łnie kolorze
Na rzecznej głębinie.

Mem bogactwem — nasze drzewa,
Gdy je szron oplecie,
Lub gdy po nich dumki śpiewa
Wiatr, i listki w dal rozwiewa
Po szerokim świecie.

Mem bogactwom — krzyż srebrzysty
Na kościelnej wieży;
I głos dzwonów uroczysty,
I ton pieśni, jak łza czysty,
Co ku niebu bieży.

Mem bogactwem — dom kochany,
I płomień ogniska,
I rodzinne moje ściany
I głos drogi, wzrok świetlany,
Co tam do mnie błyska.

Mem bogactwem — ta nauka
W twardej książek zbroji;
W której umysł wiedzy szuka,
I skąd przeszłość, piękno, sztuka,
Duszę moją poi.

Mem bogactwem — ludzkie dusze,
Pośród których stoję..
Gdy im jedną łzę osuszę,
Myśl podniosę, serce wzruszę,
To są skarby moje!

Ludwika Życka.

TURNIEJ WSPÓŁCZESNY.

Dawniejsi rycerze w czasach średniowiecznych walczyli na dzielnych rumakach, krusząc kopie na turniejach. Dziś czasy się zmieniły: turniejów już niema, a miejsce wierzchowców coraz częściej zajmuje rower. Artysta malarz Zygmunt Ajdukiewicz bardzo udatnie i dowcipnie zestawił ciężko uzbrojonych rycerzy średniowiecznych z tak modnym obecnie bcyklem, którego główną cechą jest lekkość.

Mamy przed sobą arenę pełną widzów w strojach z przed laty kilkuset; rycerze w stal zakuci godzą na siebie, ale o dziwo! miast koni we wspaniałych rzędach, pod rycerzami dwa rowery. Zwycięstwo już zdecydowane. Szczęśliwy zapaśnik nie ugodził wprawdzie w pierś przeciwnika i nie wysadził go z siodła, ale zadał mu dotkliwszą ranę, bo przeszył kopią obręcz gumową jego roweru. Po takim ciosie zwyciężony musi ustąpić z pola walki.

Turniej ten jest naturalnie fantazją artysty, ale obecnie i w wojsku są już oddziały cyklistów, którzy niekiedy szybciej się sprawiają, niż kawalerzyści.

NA POLANCE

powieść

P. E. Jerlicza.

(Dalszy ciąg)

— Przypatrywałam się, jak pańskie dzieci bawiły się tem cackiem, i aż mi się coś dziwnego działo, żeby mieć podobne. Aż wtem kula im uciekła, ale nie poleciała daleko, bo się zaczepiła o drzewo. Dzieci chciały ją zdjąć, ale nie mogły wdrapać się na drzewo, słyszałam jak mówiły, że pójdą po kogo, żeby im pomógł. Więc ja się pospieszyłam, wlażłam na drzewo, dostałam kulę i uciekłam.

— Fe! ukradła! — zawołała z uniesieniem Zenia.

Dziewczynka nie zdawała się wcale dotkniętą tym zarzutem, owszem skinęła głową i potwierdziła:

— Ukradłam ją, bo mi się bardzo podobała, ale potem przypomniałam sobie co mi panna Ludwinia mówiła wczoraj, że to grzech jest brać cudzą własność, że Bóg co mieszka w niebie i jest ojcem wszystkich ludzi, smuci się gdy źle czynimy. Tak też wołałam odnieść to cacko i oddać je panience.

— Co ty dziecko mówisz! — zawołała zdziwiona Joasia. Alboż to poprzednio nie wiedziałas o tem?

— Siostra Aniela mówiła mi też o tym Bogu, i o niebie, tylko, że długo nie byłam w ochronie, bo kazali nam wyjechać na wieś.

— A przedtem nikt ci nie tłumaczył, że Bóg się brzydzi złem i kraść zabrania?

— A któżby miał tłumaczyć?

— Ależ ci, co się dotychczas opiekowali tobą.

— Kiedy mną nikt się nie opiekował.

— Jakto, przecież miałaś rodziców? — rzekła Basia.

— A toć miałam, tylko oboje umarli, jak byłam jeszcze małą. Wzięła mnie tam Maciejowa do siebie, ale ona piła wódkę, i tylko mnie biła a potraçała, to też uciekłam od niej w końcu.

— Biedne dziecko! — szepnęła ze współczuciem pani Skalska, która stała wśród dziewczynek na ganku i słyszała opowiadanie małej.

— I wtenczas dostałaś się do ochronki? — spytała.

— Eh nie zaraz, proszę pani, latałam z dziećmi aż do jesieni, ale jak chłody nastąpiły, a ja spałam byle gdzie na ziemi, to dostałam okropnego kaszlu, a potem było mi zimno i głowa bolała, to mnie dzieci wpakowały pod stertę słomy, żeby mi było ciepłej, i tam mnie znalazła siostra Julia, taka zakonnica w dużym białym kapeluszu, ale ja już o tem mało co wiedziałam, bo mi się straszliwie przed oczami mroczyło. Jak się obudziłam, to leżałam w ładnym pokoju, w łóżecku na białej pościeli; było tam więcej też chorych dzieci, bo to był Szpitalik. Już mnie tam nikt nie bił, a jeść też dawano, a takie dobre panie przychodziły do nas, rozmawiały z nami, przynosiły nam nawet ładne zabawki. I ja też dostałam lalkę, o mój Boże, jakże się cieszyłam, całe życie chciałam mieć własną lalkę!

— Więc ty wprost ze Szpitalika przyjechałaś tutaj?

— O nie! Jak już wyzdrowiałam, zaprowadziła mnie Siostra Julia do ochronki. Tam było mi jeszcze lepiej, bo dzieci tam dużo, to nieraz bawiłyśmy się wesoło. Nasłuchiłam się też słicznych historii, które nam Siostra Aniela opowiadała, o Matce Boskiej, o Dzieciątku Jezus, który tak bardzo ukochał dzieci...

— Ale widzisz, Pan Jezus kochał tylko dobre, grzechne dzieci, a ty nie byłaś dobrą, gdy zabrałaś sobie ten balonik — powiedziała Stasia.

— Ja też sobie tak myślałam, że to pewnie nie dobrze, bo panna Ludwinia, która przychodzi tam do nas codzień, tłumaczyła nam już, że kłamać to brzydko, a kraść jeszcze

gorzej. To już niech lepiej nie mam tej kuli, niech ją panienka odda tej małej co za nią płacze, a na mnie się nie gniewa...

To mówiąc, Basia pocałowała jeszcze raz Ludwinę w rękę i uciekła tak spiesźnie, jakby ją kto gonił.

— Uważcie tylko panienki — rzekła pani Skalska — jak wielkie są zasługi tych, którzy mają dobrą wolę zatroszczyć się o los tak biednych, bez opieki zostających istot. Jak wielkiem dobrodziejstwem są szpitaliki i ochronki, gdzie nie-szczęśliwe sieroty znajdują opiekę w chorobie i moralny kierunek dla swych młodych duszyczek..

Dziewczynki poczęły żywo na ten temat rozmawiać, tworząc różne plany na przyszłość. Tylko Zenia miała znużoną minkę, a Joasia pograżyła się w smutnem zamyśleniu, z którego nie otrząsała się nawet za nadejściem dziadunia, wzywającego panienki do ogrodu, gdzie im po ładnym bukietku róż, na jutrzejszą niedzielę obiecał!

Gdy więc wszystkie wesoło i gwarno opuścili werendę, Joasia pozostała na swem miejscu obok pani Skalskiej.

— Bodaj jakieś smutne myśli zajęły twą główkę, Joasiu? — zapytała pani domu.

Dziewczę pochyliło się do jej ręki.

— Ach, jak to dobrze, że ja do państwa przyjechałam, jak to dobrze! — rzekła z widocznem wzruszeniem.

Zacnem swem sercem pani Skalska odczuła myśli dziewczęcia, nie badała też więcej, lecz przygarnęła do siebie z ową macierzyńską czułością, która nie roztkliwia, a przeciwnie, budzi potrzebny hart i siłę w młodej duszy.

Niezadługo znów gwarno zrobiło się na werandzie; młode towarzystwo układało plany na dzień jutrzejszy, by jak najprzyjemniej go spędzić. Postanowioną została wczesna wycieczka do pobliskiego jeziora, tak wczesna, by nie przeszkodziła bytności w kościele na uroczystem nabożeństwie.

Tymczasem ulewny deszcz, który zasępił już nawet wschód słońca, obrócił w niwecz wszelkie przyjemności. Dopiero około południa wypogodziło się niebo, pozwalając letnikom Polanki wyjrzeć z ich mieszkań.

Drogą od strony Osowca nadbiegł Zygmunt zadyszany, a spostrzegłszy Karola począł wołać z daleka:

— Gdzie Janek i Henryk? Poszukaj ich prędko, rzecz bardzo ważna!

— Co takiego, co się stało? — pytał zaciekawiony Karol.

— Wilk! widziałem wilka!

— Co ty mówisz?... być nie może!

— A jakże, widziałem go, na polu za Osowcem. Wiesz, przy tym wielkim kamieniu, na wpół wrośniętym w ziemię.

— Cóżby tam wilk robił.

— Albo ja wiem! Pewno upatrywał zdobyczy.

— To może ci się tylko przywidziało — tłumaczył Karol, widocznie jednak zaciekawiony.

— Co mi się miało przywidzieć. Alboż to nie znam wilka! Mało dziesięć razy widziałem go w gabinecie zoologicznym.

— Ale żywego nie widziałeś przecie jeszcze...

— To i cóż? Wiem jednak, że u żywego oczy się świecą jak rozżarzone węgle! Po tem się wilka zawsze poznaje.

— A temu, coś go widział, czy też błyszczały?

— Jak dwie latarnie w nocy!

— To chyba prawdziwie wilk — zdecydował Karol i zawołał głośno: — Janek, Henryk! chodźcie prędko. Słyszycie — dodał do nadbiegających z ogrodu chłopców. — Zygmunt wytropił wilka!

— Widziałeś wilka naprawdę? Opowiedz gdzie, kiedy?

— Widziałem go na własne oczy, tylko nie zbliżałem się zbyt, bo byłem bez broni...

— Eh, dajże pokój — przedstawiał Janek — skądżeby się tu wilk wziął nagle, dużych lasów niema przecie w całej okolicy.

— Tego to już nie wiem skąd się wziął, dość, że jest tam na polu — dowodził Zygmunt z głębokim przekonaniem,

i począł opisywać widziane zwierzę tak dokładnie, że chłopcy w końcu uwierzywszy mu zupełnie, postanowili zrobić obławę na niebezpiecznego wroga nie tylko pasących się trzód, ale nawet spacerujących po Polance letników.

Szczęśliwym wypadkiem znalazły się aż trzy dubeltówki we dworze, czwartą pożyczył Zygmunt u młynarza, więc uzbrojeni jak należało, wybrali się młodzieńcy na łowy, budząc groźnym swym wyglądem i poważnymi minami nie ma-

która rozprzeczła się niebawem, jak stado spłoszonych wróbla.

Za przybyciem jednak do domu, bezpieczne już pod opieką mamusi lub starszej siostrzyczki, malcy, spieszyły do okien i ciekawie wyglądały powrotu chłopców, którzy przyniosą zabitego już wilka, lub jego skórę przynajmniej.

— Bo zabity wilk nie nam już zrobić nie może — dowodził Romcio.

Tymczasem chłopcy wrócili, ale bez wilka, bez jego skóry nawet. Co się z nim stało?... Oto, choć z przykrością odważni myśliwi wyznać musieli, że ów wilk straszny, był tylko najzwyczajszym kundlem, który widocznie niezbyt suto karmiony w chałupie swego pana, wybrał się w pole, by ułowić zajęczka lub młodą kuropatkę, a po sutej jak się zdaje uczcie, siadł sobie wygodnie przy wielkim kamieniu i wygrzewał na słońcu.

Wprawdzie Zygmunt, ratując swój honor, usiłował jeszcze tłumaczyć, że to było całkiem inne zwierzę, które on zobaczył. Towarzysze jego wszakże pewni byli, zważywszy, że kundel spoczywał na tem samym miejscu, które miał zajmować wilk mniemany, iż niewątpliwie młody znawca wilków uległ trochę śmiesznej pomyłce. Co prawda kundel był tak ładny do wilka podobny, że sam jego właściciel, który bezwątpienia poznał ten rodzaj zwierząt nie z gabinetu zoologicznego, lecz na żywych okazach, nazwę „Wilczka” mu nadał.

— Niema co mówić, żadnego wilka tu nie było — rezonował Karol — bo wiadomą jest rzeczą, że żaden pies nie siedziałby tak spokojnie, gdyby czuł w pobliżu największego swego wroga.

I chłopcy poczęli żartować z Zygmuntem, jak to się sprawdza przysłowie:

strach ma duże oczy, albo to inne: jeśli nie wilk, to z pewnością szary pies, co młodego bohatera w niezbyt wesoły wprowadziło humor, tem więcej, że w całej Polance chybiona wyprawa młodzieży stała się prędko znaną, dając temat do różnych żarcików.

Nawet mały Romcio opowiadał z komiczną naiwnością dziecka:

— Chłopcy poszli zabijać wilka, co siedział na kamieniu, a wilka nie było, tylko Burek z Marcinowej chaty.

Malutka zaś Jania szczebiotała:

— Ja się tak balałam zobaczyć skórę wilka, i Nacia się bala i uciekaliśmy, aż się Nacia przewróciła i ja też...

(d. c. n.)



Widok od strony morza na Sant-Jago de Cuba.

ła trwogę wśród drobnej dziatwy, dla której wiadomość o wilku, stała się hasłem do spiesznej ucieczki z ulubionego miejsca zabawy pod lasem.

Chociaż Romciowi serce biło młotem w piersiach, lecz jak przystało mężczyźnie, zanim sam poszukał bezpiecznego w domu schronienia, pobiegł z ostrzeżeniem do dziewczynek, które właśnie budowały domki z piasku i zielonemi gałązkami obsadzały ścieżkę, mającą prowadzić do wzniesionego przez siebie miasta.

— Uciekajcie, uciekajcie! — wołał Romcio z daleka, wymachując rączkami. Pan Zygmunt zobaczył wilka tam w polu, takiego strasznego wilka, co nas wszystkich pożreć może! Chłopcy wzięli strzelby i poszli go zabijać!

— Wilk, wilk! — rozległo się wołanie wśród gromadki,

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TRĘŚĆ: Ś. p. Aleksandra z Chomętowskich Borkowska. — Perla Antyllów (z ryc.) — Niedźwiedź, powieść z XVI w. przez Zuzannę Morawską. — W otchłaniach morskich przez dr. M. Stefanowską. — Moje skarby, wiersz przez Ludwikę Życką. — Turniej współczesny (z ryc.) — Na polance, powieść E. Jerlicza. — Dodatek: U cioci Polci (z ryc.) — Pszczółka, wiersz. — Tajemnica Marylki — Gołąbek Bożenny. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia robitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

WIECZORY RODZINNE

U cioci Polci.

(Dalszy ciąg).

— Kto ciocię tyle ślicznych sztuczek nauczył — pytała Mania.

— Ktoby miał nauczyć, ciocia je sobie sama wymyśla, dla naszej zabawy — objaśnił Henryś. Takiej dobrej cioci, jak ciocia Polcia niema drugiej na świecie, ja też ją bardzo kocham.



— Przyjemnie mi usłyszeć twe zapewnienie, że mię pokochałeś mój mały, ale nie mogę przyjąć na siebie zaszczytu wynalazku tych cieni. Zabawy takie bowiem są od bardzo dawna znane, pod nazwą cieni chińskich; Chińczycy bowiem, naród mieszkający w Azji...

— Ja wiem ciociu, Chińczycy robią herbatę... — zawołała Mania.

— Właściwie oni jej nie robią, lecz hodują krzewy herbaciane, i przysposabiają odpowiednio ich liście — poprawiła ciocia. Otóż ci Chińczycy lubią się zabawiać takimi cieniami, urządzać całe sceny z kilku postaci, które się poruszają w bardzo śmieszny czasem sposób.

— A czy cioteczka umie coś więcej ułożyć ze swych rączek, jak buldoga i koziołka? — pytał Kazio.

— Umiałam dawniej bardzo wiele takich rzeczy, lecz trochę już zapomniałam.

— Ciocia sobie przypomni, moja ciociu! — prosiły dzieci.

— Dobrze dobrze! Tylko puście mi ręce, bo one muszą być swobodne, a jak mię tak obstarą, ruszyć się nie mogę...

Dzieci usunęły się grzecznie na bok, a ciocia wzkażała im, jak złożyć obie dłonie, by na cieniu powstała sylwetka czyli czarny obrazek, przedstawiający głowę młodego wołu. Najdрудniej było z rogami, bo zawsze wy-

chodziły na cieniu albo w różne wykrzywione strony, albo nierównej długości.

— A ptaka jakiego, umie też ciocia? — pytał Henryś, który szczególnie ptaki lubił i właśnie hodował sobie dwie synogarliczki w klatce.

— Spróbuję, może mi się uda, pokazać wam i ptaka jakiego. Ale do tego pomocnym mi będzie Kazio. To mówiąc ciocia Polcia podsunęła w górę rękaw prawej ręki chłopca, wygięła ją zrećnie, niby szyję łabędzia, którego głowę z dziobem tworzyła dłoń z palcami, odpowiednio ułożonymi. Grzbiet ptaka przedstawiała głowa Kazia, uchylone zaś trochę skrzydła — lewa ręka przyłożona do głowy.

Łabędź na cieniu poruszał też czasem szyjką chcąc niby dziobać podsuwające się zbyt blisko ku niemu zabawione dzieci, które z kolei też łabędzia przedstawić chciały.

— A jak to Chińczycy robią, żeby odegrać całe sceny, o których ciocia mówiła — zapytał Henryś — czy oni też tylko rąk używają do tego, i muszą też mieć takie jasne kółko na ścianie?



— W Chinach zabawa w cieniu urządzaną jest podobnie, jak u nas teatr, tylko, że w miejscu, gdzie u nas podnoszą zasłonę czyli kurtynę, tam znajduje się rozpięte białe cienkie płótno, na którym ciemne obrazy występują, od osób lub przedmiotów znajdujących się z tamtej strony, a więc dla publiczności niewidzialnych.

— To musi być jeszcze wiele więcej zabawne — prawda ciociu.

— Bywa bardzo czasem śmieszne, i może też kiedy urządzimy sobie takie chińskie przedstawienie. Na dzisiaj wszakże dość już wszelkich rozrywek. czas już na spoczynek, śpijcie dobrze moje dzieci!

Dziękujemy! i dobranoc ciotuchnie — wołała rozbawiona gromadka.

Pszczółka.

II.

Precz zaraz odemnie,
Bo prosisz daremnie,
Nic nie dam, choć mam ja
Dowoli.

Pracować nie chciałeś,
Lato przeskakałeś,
Tańcz teraz, choć serce

Cię boli.
A przykład bierz z pszczoły,
Jej żywot wesoly,
Choć ciężko pracuje
Dzień cały.

Bo pracą się szczyć,
A miód ją nasyci,
Chociażby i wichry
Powiały.

Ej! smutna twa mina
Mnie gniewać poczyna,
Precz leniu od mojej
Tu pracuj!..

Skakałeś przez lato,
Więc zimną skacz za to!
Nie dla was ja robię
Próżniacy!

Marylka widzi zadowoloną twarz mamy, ale nie jej nie powie. Mama powinna sama zgadnąć, mama zawsze zgaduje jej myśli. Muszę być grzeczną, to — zakłęcie, co ze złych dzieci robi dobre. I ona sobie sama je wymyśliła.

— Wie mama, ja mam tajemnicę.

— Jaką?

— Niech mama zgadnie.

— Może, jak z nieposłusznej Marylki zrobić grzeczną dziewczynkę. Czy tak?

— Zkąd mama wie, moja mamusiu, zkąd mama to wie?

— Domyśliłam się.

— A zakłęcie mama zna?

— Nie, nie znam.

— Mam powiedzieć?

— Powiedz, powiedz bom ciekawa.

— Powiedziałam sobie i muszę, muszę być grzeczną i posłuszną.

— Moje dobre, pocziwe dziecko.

Marylka jest tak szczęśliwa, jak nigdy.

Tydzień minął, a Marylka ani razu nie sprzeciwiła się mamie, bo poco ona ma zasmucać mamę, którą kocha, kiedy może być dobrą? Często tylko powtarza: ja muszę, muszę być grzeczną, aby mamy nie martwić.

H. G.

TAJEMNICA MARYLKI.

— Ja muszę być grzeczną i posłuszną — mówi Marylka stanowczym głosem, leżąc już w łóżeczku. Ja mamę kocham, więc po co mam ją martwić. Od jutra, muszę koniecznie być grzeczną. Szkoda, że to jeszcze nie jutro. Jutro wcześniej wstanę, ubiorę się prędyutko, wypiję mleko, będę robiła wszystko, co mama zechce. Czy też mama zauważy tę zmianę? nie mogę, nie powinnam mamę martwić. — Myśląc o tem, Marylka zasnęła. A śniły jej się widać przyjemne rzeczy, bo, gdy rano otworzyła oczy, ze zdziwieniem zawołała.

— Już dzień?

— Już, już, Maryleiu — mówi mama, która wstawiała zawsze bardzo wcześnie. — Wypałaś się Marylko?

— Doskonale!

— To trzeba zaraz wstawać.

— Jeszcze trochę poleżę, mamusiu, dziś tak zimno...

— Nie, dziecko moje wcale nie zimno, słońce świeci.

— Ja muszę być grzeczną i posłuszną, powtarza sobie znów Marylka, i wyskakuje z łóżka wprost na kolana mamy.

— Jak ja mamusię kocham.

— A kiedy mnie martwisz.

Marylka nic nie mówi, tylko się uśmiecha. Mamusia przecież nie wie, że ona teraz nigdy mamy nie zasmuci, ale ona nic nie powie. Niech mama sama zgadnie.

— No, ubieraj się, Maryleiu, bo zimno.

— Nie, mamusiu, już wcale nie zimno. — Marylka prędko kładzie ubranie i siada do śniadania. Bez skrzywienia wypija szklankę mleka, które jakoś nie takie dziś złe, jak zwykle.

GOŁĄBEK BOŻENNY.

(Dalszy ciąg)

— A czy byliście dobrodzieje nad tem morzem w Palestynie co to żadne stworzenie w niem żyć niezdola, więc go też Martwem zowią, ma się ono znajdować w miejscu dawnej Sodomy i Gomory; czy widzieliście rzekę Jordan, której wodą chrzczył Jan św.? — pytał z wielkiem zaciekawieniem Stefan.

— Byliśmy i tam, moje dziecko, byliśmy wszędzie w tej Ziemi Świętej.

— A czy Palestyna jest jeszcze tak bogatą krainą, czy rodzą się tam jeszcze tak piękne owoce, jak za czasów kiedy Jozue przyprowadził Izraelitów z puszczy? — badał dalej chłopiec.

— Nie widziałem ja tam bogactwa wielkiego, podobno ziemia zaniedbana przez Turków nie wiele wydaje, a słońce dopieka straszliwie i wypala nawet trawę, gdzie oliwkowe lasy nie dają cieniu.

— Ale o Jeruzolimie, o samym Grobie Chrystusa opowiedzcie mi z łaski swojej panowie — prosiła pani Zalitowska — toż dla nas chrześcijan jest to najświętsze miejsce na ziemi.

— Sama Jeruzolima, leżąca u stów Syonu na małych wzgórzach, musiała dawniej o wiele świetniej wyglądać — mówił pielgrzym — boć po wiele razy była burzoną przez pogan i dziś jest tam dużo meczetów, czyli świątyń mahometańskich. Nieco dalej za miastem rozkłada się dopiero chrześcijańska dzielnica z licznymi klasztorami i kościołami. Ale najsilniejsze wzruszenie ogarnia serce

pielgrzymka, gdy zbliża się do kościoła, chroniącego w swych murach święte miejsce grobu Pańskiego, który znajduje się niby w pieczarze wyłożonej białym marmurem. Nie każdemu wszakże zejść tam na dół wolno, ino się modlić zdaleka.

— Czegóżbym nie uczyniła — zawołała pani Zalitowska — aby moje niegodne oczy te święte miejsca kiedyś oglądać mogły, a dusza otrzymała szczególne łaski Boga! Boć cudów tam podobno dzieje się nie mało, i największy grzesznik znajdzie tam całkowite odpuszczenie swych win!...

Podróżni spuścili głowy, widno przejęci nabożnemi myślami, a gospodyni domu spostrzegła się dopiero, że nie należy dla własnej przyjemności utrudzać opowiadaniem tak bardzo znużonych drogą pielgrzymów. Poleciała też zaraz Stefanowi, by ich odprowadził do gościnnej izby, w której świeże posłanie przygotowała już Ludmiła.

Obadwaj dziękowali za gościnę, żegnając się z panią Zalitowską, gdyż równo z pierwszym brzaskiem dnia następnego, chcieli już wyruszyć w drogę, w której Stefan miał im służyć za przewodnika.

— A pamiętaj chłopcze — upominała wdowa, żegnając go krzyżem świętym — bądź uważny i roztropny, byś czasem błędnej nie wybrał ścieżki.

— Niech droga pani będzie spokojną — upewniał Stefan.

Gołabek Bożenny.

Nazajutrz słońce już zeszło z południa, gdy matka z córką i starą Grzesiową, składając gotowe motki cienkiej przędzy, rozmawiały o nadzwyczajnych gościach, którzy dnia wczorajszego nawiedzili Kalinówkę.

— Choć trud niemały taka pielgrzymka za morza, lecz błogo być musi chrześcijaninowi, gdy się zbliży do tak świętych miejsc — mówiła pani Zalitowska.

— A no pewno, pewno — potwierdziła Grzesiowa — i nie raz dawniej, gdy mi siła miała więcej, marzyłam o tem dla siebie, jako o pewnym zbawieniu duszy. Ino coś mi się nie widzi, żeby ci wczorajsi pielgrzymi prawdziwie nabożnymi byli ludźmi.

— Oho, już Grzesiowa znowu coś złego upatrzyła! A może nie dość ładnie mówili? — śmiała się Ludmiła.

— Mówili, jak mówili! Widzi pauienka, gadać to się byle kto nauczy, czy ma Boga czy dyabła w sercu. Mnie też lata nauczyły, nie tyle słuchać co mi obcy opowiada, a uważniej się mu przypatrzeć!...

— No, widzi Grzesiowa, przecież oni w tak dalekiej drodze, którą jeszcze pieszo odbywają, nie mogli się wystroić!...

— Nie na strój ja też patrzałam, Boże broń! Boć nie suknia zdobi człowieka. Ino im w twarz a w oczy zaglądałam, bo to w oczach zawsze wyczytasz, co się tam w głębi kryje. I uczciwy człowiek nie lęka się też patrzeć przed siebie. A czy pani uważała, że oni ciągle pochylone trzymali głowy, a jak ukradkiem spojrzeli, to aż mię ciarki przeszły, taki ich wzrok był jakiś dziki, taki niemili!...

— Widziałam i ja to, moja Grzesiowa i zrazu jakoś

niedowierzałam, alem sobie potem tłumaczyła, że się nie godzi posądzać o coś złego ludzi, którzy wracają z tak nabożnej pielgrzymki

— Toż i ja tak sobie mówię, a jednak widzi pani, całej nocy spać nie mogłam, aż też już w końcu na posłaniu siadłam, a koronki i modlitwy do Opatrzności Boskiej i za dusze zmarłych odmawiałam.

— Ja znów teraz ciągle się lękam o naszego Stefana. Pokochałam chłopca jak własnego syna. Żeby mu się co złego nie przytrafiło! Na trzęsawiskach o zgubę nie trudno. Dnie teraz krótkie; wcześniej jak wieczorem wrócić nie zdąży!...

— Niech się mateczka próżno nie trapi, Stefan roztropny, da sobie radę z Bożą pomocą.

Ledwie tych słów domawiała Ludmiła, gdy drzwi pokoju otwarły się nagle i na progu stanął zdyszany i z twarzą dziwnie bladą młody jej przyjaciel.

— A toś mię przestraszył, mój chłopcze — zawołała pani Zalitowska. — Nie spodziewałam się tak wcześniej twego powrotu. — Ale — dodała, spojrzawszy uważniej na przybyłego — co ci jest, cóżeś tak zmieniony?...

Biegłem z całych sił, bo wielkie grozi nieszczęście!...

— Co mówisz! Pielgrzymom tam w bagnach!...

— Nie, nie! Oni już po drugiej stronie. Ale to tajemnica!...

— Mów śmiało, niema nikogo w sąsiedniej izbie, a przed Grzesiową wiesz, że niema potrzeby z niczem się ukrywać.

— Sam nie wiem od czego zacząć. O, bo to straszne. Widzi droga pani ci ludzie to nie żadni pielgrzymi, to opryski, złodzieje, to przywódcy bandy cygańskiej!...

— O Boże, toż ja mówiłam, że im źle z oczu patrzało — jęknęła stara kobieta. Opatrzność czuwała nad nami, że nas tu wszystkich nie pozabijali.

— Na naszą chudobę nie warto im było się targnąć, oni za bogatym gonią łupem — odrzekł Stefan.

— Dziecko ty moje — tłumaczyła wdowa, z kądze ci to do głowy przyszło. Tacy spokojni, pobożni ludzie!

(d. c. n.)

PYTANIE.

Jakim czynem uwiecznił Otton III-ci cesarz niemiecki swoje przybycie do Gniezna w roku 1000?

SZARADA.

Ułożył Aleksander W.

*Pierwsze miano rzeki, która jest niełada
Z Alp początek bierze i do morza wpada,
Zbiór znów słonej wody będzie drugie, trzecie.
Wszystko zaś krainą jest żyzną na świecie,
I w dawnych naszych dziejach często wspominaną,
Gdyż przez Bolesławów do holdu zmuszaną.*

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Ułożył Aleksander W.

Ułożyć 10 wyrazów, których początkowe litery złożą nazwę miasta nad Wisłą.

Znaczenie wyrazów: 1) Gatunek gadu. 2) Broń palna. 3) Zwierzę z rzędu dwukopytnych, żyjące nad wodą. 4) Historyk z XV w. 5) Jezioro w Ameryce pół. 6) Nauka o liczbach. 7) Ptak z rzędu szcudłowatych. 8) Bajkopisarz starożytny. 9) Postać biblijna. 10) Wyspa duńska na Bałtyku. Sylaby: Ar — bis — be — dłu — dra — dya — e — gosz — ka — ka — i — lan — la — ma — ma — no — man — ma — on — so — sa — ta — tu — te — ty — re — ro — rio — ze — zop — zec.

ŁAMIGŁÓWKA LICZBOWA.

Ułożył Słoń z Nubii.

W kwadracie o dziewięciu przedziałkach, 48 groszniaków rozłożyć w ten sposób, zostawiając środkowy kwadracik pusty, ażeby przez dodawanie na krzyż, wypadła liczba 18, pionowo zaś i poziomo 21. Ile zatem groszy wypada na cztery narożne, a ile na pozostałe kwadraciki?

ROZWIĄZANIA DO N-ru 8-go

Szarady: O — czy.

Arytmogryfu:

S
N e r
B a w o ł
K r z e s ł o
K u k u r y d z a
K r z y ż a k
D y n i a
G a d
D
N u r
M u c h a
B o c h n i a
W i e w i ó r k a
P i l ũ o ś ć
M y s z y
S k i
a

Zagadki: S o s.

Skrzynka do listów.

Proście **Wichury** uczynimy zadość, tymczasem witamy cię miła Wichuro jako nową naszą przyjaciółkę i stałą, zapewne korespondentkę. Łamigłówniki starannie obmyślane ukażą się w druku, skoro przyjdzie na nie kolej.

Niewątpliwie **Irenka J.** otrzymała już życzone numera dodatku.

Marylce Z. dziękujemy za tak skrętnie zbierane gałganki dla zakładu paralityków, dziękujemy także **A. J.** za bluzkę i bieliznę dla biednego ucznia.

Liścikowi **Pliszki**, ucieszyłam się szczerze, boć jako ptaszki z jednej rodziny „śpiewających”, nie powinniśmy zostawać sobie obcemi, a tym mniej zapominać o sobie. Zdaje mi się, że tak dobrych panienek, jak **Ola** w powiastce pod tytułem „Dwie kolendy” musi być więcej, skoro nie ty sama znalazłaś między swemi znajomymi pewne do niej podobieństwo. Nauka wspólna ma rzeczywiście dużo powabu, przedewszystkiem zaś jest bodźcem do gorliwszej pilności, aby nie dać się wyprzedzić kolegom. Redakcyja wyszuka odpowiednią książeczkę w miejsce oznaczonego premium i wyśle takową zapewne niedługo.

Witam poważnego **Ola gimnazistę**, życząc w szkołach powodzenia. Trudności napotymane w kaligrafii, myślę, iż przy staraniu usunięte zostaną.

Trzyletnią Marysię, która lubi słuchać, jak siostrzyczka jej czyta **Wieczory**, całuję w rumianą buzię.

Jeżeli **Jadwinia** już zaczyna się uczyć, to zapewne i liściki w krótkim czasie sama pisywać będzie, bo jak we wszystkim, tak i tu początek jest najtrudniejszy.

Staranny liścik **Zorusia M.**, sprawił mi rzeczywistą przyjemność, wzamian też chętnie prosiłam Redakcyę o wysłanie żądanych numerów. Zachodzi tu wszakże kwestya, że Redakcyja wysłała od samego początku zeszłego roku „**Wieczory** pod wskazanym pierwotnie adresem, do **Jabłonki** pod **Kleczewem**. Niech więc **Zorus** postara się dowiedzieć, czyby takowe nie mógł stamtąd odebrać, szkoda bowiem, aby zaginęły, gdyż u nas są już zupełnie wyczerpane. Brakujący z tego roku numer wysłano.

Helence Sz. Dziękuję za dowód pamięci i zapewniam, że jeżeli jej moje listy tak wielką sprawiają radość, to z równą przyjemnością i ja odbieram jej korespondencyę, z której się dowiaduję, jak pilną jest w naukach, i że dobrem się cieszy zdrowiem.

Szczęsniej z P., w odpowiedzi na uczynione pytanie, wskazujemy księgarnie: p. **Arcta**, **Nowy Świat**, **Gebethnera**, **Paprockiego**, jako wydawców wielu zajmujących książek dla młodzieży, lecz i w innych księgarniach znaleźć ich można wiele, trzeba tylko umieć wybrać odpowiednie do wieku. Myśl zbierania domowej biblioteczki podoba mi się bardzo. **Braciszkom** przesyłam pozdrowienie.

Ładnie napisany liścik **Modrookiej Sarenki** zyskał jej moją przyjaźń od razu, i cieszę się naprzód obietnicą odbierania takich liścików jaknajczęściej. Pseudonym twój podoba mi się bardzo, zachowaj go też, gdyż dotychczas jesteś jedyną tylko **Sarenką** wśród naszych korespondentów. Jakże to dobrze, że umiesz połączyć pożyteczność nauki z przyjemnością zabawy. Początek dodatku powieściowego Redakcyja wyśle. Proszę nazywaj mnie zawsze bez ceremonii i tytułów, tak jak się odzywasz do swojej miłej przyjaciółki, o której mi piszesz.

Mała Polka z P. widocznie ma bardzo poczciwe serduszek, skoro ją tak rozczulił smutny los młodych rozbitków w powieści „**Juraś i Anielka**”, dobrze więc, że „**Niedźwiedź**” i „**Na Polance**” weselszej są treści. Całoroczni pranumeratorzy, tak jak było ogłoszone w prospekcie, za nadesłaniem 20 kop. na przesyłkę pocztową, odebrać mogą jedną z wymienionych tam powieści. Rozwiązanie rebusu dobre.

Łamigłówniki, szarady i rebusiki **Smoka Wawelskiego**, **Pogromcy**, **Giermka**, **Kadłubka**, **Kolibra** i **Marylki**, Redakcyja odebrała i z kolei po przejrzeniu do druku poda.

Dobre rozwiązania nadesłali: **Słoń z Nubii**, **Wiesniaczka**, **Kadłubek**, **Ptaszę polskie**, **Niunia Z.**, **Karol D.**, **Zygmunt** i **Staś R.**

Jaskółka

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

Aleksandra z Chomętowskich Borkowska.

przez Sofię Urbanowską.

Dziwnem zządzeniem losu, przypada mi zawsze pisać pośmiertne wspomnienia o bliskich sercu osobach. Dziewięć lat upływa od czasu, jak na tem samym miejscu donosiłam czytelnikom *Wieczorów Rodziny* o zgonie Maryi Julii Zaleskiej, której życie stawiałam za przykład samopomocy i wytrwałości. Dziś spełniam smutny obowiązek mówienia o stracie najczciwodszej niewiasty, która objawszy kierunek literacki *Wieczorów* po śmierci M. J. Zaleskiej, przewodniczyła im do tej chwili, to jest przez dziewięć lat, rozumną myślą i dzielnym piórem: o ś. p. Aleksandrze z Chomętowskich Borkowskiej, zmarłej w Warszawie dnia 24 Lutego, o godzinie 12-tej w południe. Życie jej jest wymownym przykładem, jakich cudów dokonywa wielka miłość bliźniego, i w jaki sposób z drobnych ziarenek piasku góry powstają.

Czytelnicy nasi dobrze zapewne pamiętają, drukowane w zeszłym roku w *Wieczorach*, dwie powieści: *Nad Bałtykiem* i *Panna Marychna z Oporowa*—a są pewnie między innymi tacy, którzy znają inne, dawniej wydane książki dla młodzieży tej autorki. Jeżeliście czytali choć jedną z tych książek, osnutych zawsze na tle dziejów ojczyźnych, to macie już wyobrażenie o rodzaju i

talentu, i pięknej, jędrnej, czystej polszczyźnie, żadnym obcym nie skażonej wyrazem. W *Wieczorach Rodziny* bywało dużo pomniejszych artykułów pióra pani A. Borkowskiej, różnej treści, niepodpisywanych — dla tego czytelnicy nasi nie spotykali się z nazwiskiem, budzącem

powszechną cześć, nietylko jako autorki, ale jako kobiety. Dla nieznających jej osobiście, lub znających tylko z pism, opowiem tutaj kim była i czego dokazała — tych zaś co znali ją bliżej, proszę, aby raz jeszcze spojrzeli ze mną na sylwetkę postaci szlachetnej, która w tych dniach na zawsze od nas odszła, zostawiwszy za sobą ślad świetlany.

Mało kto z osób, mieszkających w parafii św. Krzyża, nie spotykał przez lata całe w rannych godzinach niewiasty wysokiego wzrostu, okazałej budowy, zawsze czarno i bardzo skromnie ubranej, idącej wolnym krokiem ulicą Berga do kościoła, lub z powrotem w kierunku ulicy Mazowieckiej, z głową nieco pochyloną i oczami, z powodu krótkości wzroku, w ziemię utkwionemi. Czarność włosów, cera śniadawa, rysy twarzy regularne, ale nieco surowe, nacechowane wyrazem wielkiej powagi i skupienia, wrażały się w pamięć każdemu,



kto je choćby raz widział. Komu jednakże danem było widzieć tę samą twarz w otoczeniu domowym lub w towarzystwie,żywioną rozmową, wypogodzoną, temu zdawało się że widzi inną osobę zwłaszcza gdy nabrzmiałe od pracy wytężonej powieki, podniosły się, ukazując oczy rozumne, łagodne, pełne niezgłębionej dobroci. Kto zaś słyszał panią A. Borkowską mówiącą z zapalem o poezji, sztuce i sprawach społecznych, lub wypowiadającą gorąco szlachetne zamiary, tonem niskim, harmonijnym, zdradzającym męską siłę duszy, obok wielkiej głębi uczucia, zapominał, że ma przed sobą sędziwą, około siedemdziesięciu lat liczącą matronę — bo wrażliwość, zapał, energia, były w niej młodzieńcze.

W skromnem jej mieszkaniu przy ulicy Mazowieckiej zbierali się przedstawiciele najwybitniejszej inteligencji, towarzystwo najwykwintniejsze; osobistość bowiem gospodyni domu, jej gościnność uprzejma, jej szeroka i gruntowna wiedza, obok skromnego o sobie mniemania i znicwałającej w obejściu prostoty, miały pociągający urok. Najwybitniejszą zaś cechą jej charakteru, była dobroć — i dar budzenia ufności nie tylko w tych, którzy bliżej niej byli, ale i tych co dalsze miewali z nią stosunki. Więc spieszyli do niej ludzie z troską serdeczną, mniejszą czy większą, z niedolą wszelką — i nie było chyba takiej, którejby nie usiłowała złagodzić; łez, którychby nie pragnęła osuszyć; smutku, któregooby choć w części nie starała się rozproszyć. Dla tego ją też ogólnie kochano!

Pani Aleksandra Borkowska urodziła się w r. 1828 w powiecie sandomierskim w Usarzewie, z matki Konstancyi z Orłowskich i ojca Franciszka, człowieka wysoce ukształconego i niezwykłych zdolności, który nie miał wpływu wywierającego na umysł córki. W ogóle rodzice dali bardzo staranne wychowanie s. p. Aleksandrze, a najmilszem jej podobno zajęciem od lat najmłodszych, była praca umysłowa. Historia zwłaszcza najwięcej ją pociągała, a w bujnej wyobraźni dziewczęcia snuł się już wątek różnych powieści. Była to już drobna wskazówka tego, czem miała zostać w przyszłości. Historię też zmarła później ze szczególnem uprawianiem, a w jej opowiadaniach historycznych znać nie tylko gruntowną znajomość wydarzeń, ale obyczajów ówczesnego i charakteru epoki. Ludzie dawniejsi bowiem, nie tylko inaczej ubierali się i mieszkali niż my, ale inaczej mówili, inaczej czuli, myśleli i inaczej pojmowali życie. Prace p. A. Borkowskiej są nawskroś prawdą historyczną przeniknięte, i nikt w nich nie znajdzie najdrobniejszego szczegółu, nie odpowiadającego ściśle przedstawianym czasom.

Jako dziecko jeszcze lubiła niezmiernie zwierzęta, którym nie pozwalała czynić krzywdy, i które opiekowała się, gdy były chore, — a jako dorastająca panienska, słynęła ze swej dobroci dla służby i wieśniaków. Te przymioty serca jeszcze więcej miała sposobność rozwijać, gdy zaślubiona Józefowi Duninowi Borkowskiemu, właścicielowi dóbr Żelizna, zamieszkała na Podlasiu. Jak wielką tam pozyskała sobie miłość włością, dowód w tem, że choć trzy lata tylko żyła wśród nich, pamiętali o niej aż dotąd — bo gdy zeszłego lata bawiąc w tamtych stronach, odwiedziła Żeliznę, a wieść o jej przybyciu rozeszła się po wsi, zbiegli się do niej starsi ludzie witając łzami radości dawną panią, która im niegdyś tyle dobrego świadczyła, że nie zapomnieli o niej przez lat czterdzieści! Te łzy wdzięcznego ludu, złagodziły goręć jej własnych łez, wylanych przy oglądaniu miejsc,

gdzie tak krótko była szczęśliwą, — mąż bowiem p. A. Borkowskiej po trzyletniem z nią pożyciu, zmarł prawie nagle na cholere. Nie tu miejsce mówić o okolicznościach, w jakich młoda wdowa opuściła Żeliznę, a które powszechnie dla niej obudzić musiały uwielbienie.

Przybywszy do Warszawy, gdzie już mieszkała jej matka i rodzina, p. A. Borkowska oddała się pracy literackiej, w czem zachęcał ją brat jej Władysław, badacz i pisarz historyczny. Pierwszem jej dziełem były napisane wspólnie z p. J. Śmigielką, *Obrazki z życia świętobliwych Polaków i Polek*, w r. 1859; drugim *Wspomnienia z przeszłości*, w r. 1860, wydane powtórnie w r. 1877; trzeciem *Maryja Klementyna Sobieska, opowiadanie o wnuczce króla Jana III*, w r. 1861; czwartem *Powieści i opowiadania dla młodego wieku*, w r. 1874. Następnie napisała wspólnie z p. M. J. Zaleską *Wakacje Janka i Zosi*, — a ostatniemi jej powieściami były te, o których wspomnieliśmy tutaj na samym początku, że je *Wieczory* drukowały w roku ubiegłym. Oprócz tego, wydała parę książek do nabożeństwa, a mianowicie: *Ottaryk żałobny* i *Ottaryk codzienny*. Wszystko co napisała p. A. Borkowska, wyliczyć trudno — a pisała bardzo wiele, zasilając opowiadaniem historycznym *Rozrywki dla dzieci*, Seweryny z Żochowskich Pruszkowej; wydając wspólnie z J. Śmigielką *Kółko Domowe*, pismo dwutygodniowe, poświęcone rodzinom polskim, które rozpoczęte w r. 1861 prowadziła przez lat siedem. Następnie zaczęła wydawać *Kronikę Rodziną*.

Pismo to ukochane przez siebie, prowadziła przez lat dwadzieścia ośm, nie szczędząc dlań pracy, zdrowia, ani ofiar materialnych — a zasadą jego była miłość Boga, bliźniego i ziemi rodzinnej. Drukowało ono cenne pamiętniki i listy takie, jak: *Listy z podróży Antoniego Edwarda Odyńca*, listy Mickiewicza, Chodźki, Zana, Domejki, Bohdana Zaleskiego — słusznie też niedawno nazwano je „skarbnicą pamiętek swojskich i drogocennych”. Oprócz tego w artykułach oddzielnych, pisanych zawsze jasno, zwięźle a gorąco, stylem jędrnym, oryginalnym — nigdy nie podpisywanych — redaktorka wskazywała kobietom sposoby oświecania umysłu i uzacniania serca, zachęcała do pracy i zaznajamiała z różnemi jej rodzajami, mogącemi najskuteczniejszy, rodzinie i społeczeństwu przynieść pożytek.

Życie w ogóle p. A. Borkowska wiodła bardzo pracowite i nie odpoczywała w chwilach najcięższych dla siebie. Każdego też zachęcała, aby w pracy szukał zapomnienia strat niezapomnianych, i lekarstwa na bóle niezagojone. Sama traciła kolejno ukochane istoty: męża, matkę, braci. O starszym z nich wspominaliśmy już, że był badaczem historycznym; młodszy Stanisław, doktor medycyny, ożeniony z córką poety Antoniego Edwarda Odyńca, Teresą, znany psychiatra, wzbogacił literaturę medyczną pracami naukowemi. Brat ten szczególnie przez nią ukochany zostawił cztery córki, które p. Borkowska jak własne miłowała dzieci.

(d. n.)

NIEDŹWIEDŹ

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

p. Zuzannę Morawską.

(Ciąg dalszy).

— Bawić się nikt waszej królewiczowskiej mości nie zabrania, lecz nie naśladować nieprzystojnych ruchów, bo tak robi tylko Bartholo! — rzekł pocichu pan Opaliński.

Lecz szept ten doszedł czujnego ucha królowej, która spojrzawszy ostro, rzekła w swym rodowitym języku:

— Nieprzystojnie też jest porównywać królewicza do małpki!

I surowo nań spojrzała, usuwając jednocześnie jedno skrzydło wachlarza.

Karzelek zrozumiał znak, stanął przed ochmistrem, przekrzywił głowę, przyklnął jedno oko, założył dwie pięście jedną pod drugą i przez otwór w nich jak przez lunetę przyglądał się przez chwilę Opalińskiemu. Potem szastnął nogą w bardzo niezgrabnym ukłonie i rzekł tymże samym co i królowa językiem:

— Przypatrzyłem ci się, ale i ty mi się przypatrz, żebyśmy się w razie nawzajem za małpkę nie wzięli.

— Precz, szkaradny Diavolo! — zawołał królewicz.

Karzelek, którego w ogóle Diavolem nazywano, wykręcił się na pięcie, wywinął koziołka kilkakrotnie, a skacząc po całej komnacie, zabawiał całe zgromadzenie. Tylko królewicz patrzył ponuro, nie dzieląc ogólnej wesołości.

— Czemuś taki zasepiony? — spytała matka, patrząc nań surowo.

— Nie lubię Diavola!

— Dla czego?

— Nie pozwolę, żeby się wyśmiewał z mego ochmistra, rzekł porywco Zygmunt.

Bona nic nie odrzekła na razie, tylko gniewnie błysnęła na syna oczami.

Po chwili zaś przez zaciśnięte zęby szepnęła:

— Niewdzięczny synu!

Królewicz zarumienił się łyż mu w oczach stanęły i tym zażawionym okiem spojrzął na matkę.

Bona zaś jakby chciała dać ujście gniewowi, którym kipiała za najmniejszym odezwaniem się syna nie według jej myśli, zawołała porywco:

— Diavolo!

Karzelek jednym susem znalazł się u stóp swej pani i ukląkszy pochylił głowę, a Bona zrzucając z jego głowy czerwoną, spiczastą czapkę, targada go za włosy, a uderzywszy, zawołała gniewnie:

— Precz!

Diavolo nie pisnął nawet, choć zaczerwieniony policzek i garść wyrwanych włosów świadczyła, że silna dłoń rozgniewanej królowej nie żartowała bynajmniej. Skulił się tylko i ukrył w fałdach jej szaty.

Sceny te śnać powtarzały się dość często, bo nikt im się nie dziwił i nikt na nie nie zważał; owszem, zaledwie znikł tak boleśnie skarcony karzelek, ozwały się ciche dźwięki gitary, zawtórowały jej coraz silniejsze tony innych nstrumentów, popłynęła jakaś pieśń dziwnie rozmarzoną melodyą, a na środek wysunęły się cztery młode, krótko ubrane dziewczeczki. Z początku szły, kłaniając się w takt śpiewanej pieśni, potem zaczęły tańcować kołysząc się i przeginając zręcznie swe postaci, a potem ujawszy za dwa końce trzymane dotąd spokojnie, przezroczyście złotem tkane szale, powiewały niemniej biegnąc ku królewiczowi i składając mu ukłony.

Im więcej wiewały szalami, tem cudniejsza woń rozedziała się po całej komnacie, napełniając upajającą atmosferą.

Twarz Bony przed chwilą gniewna uspokajała się powoli, przyklnęła powieki i z upodobaniem wsłuchiwała się w śpiew i muzykę, mało zważając na tanecznice. Za to często spoglądała na syna, który z początku siedział z nawpół skrzywioną do placzu twarzą, potem oparł głowę o wysoką poręcz krzesła i patrzył na tanecznice. Uśmiechał się, klaskał nawet w dłonie, nie miał jednak tej wesołości stosownej jego dziecięcemu wiekowi.

— Spać ci się chce? — spytała nagle Bona.

— Nie mam...

— Więc czemu się nie bawisz?

— Jąbym się bawił, ale inaczej...

— Jako inaczej?

— Biegać, tańczyć z niemi...

— Nie rozumiesz tego, że królewiczowi, a tem więcej królowi łączenie się z dworem i niższej kondycyi osobami, nie przystoi — mówiła Bona, patrząc przenikliwie na syna.

— Ach, jak to nudno być królewiczem! — westchnął Zygmunt.

— Mości ochmistru, dajecie zły kierunek myślom naszego syna — rzekła porywco królowa, zwracając się do Opalińskiego i jednocześnie skinęła złożonym wachlarzem. Siniora zaś baczną na każdy znak swej pani, nachyliła się i poczęła coś szeptać królewiczowi, który, im więcej ochmistrzyni skłaniała głowę, tem więcej się od niej odsuwał i w inną patrzył stronę. W tej chwili urzędnik dworski wszedł i kłaniając się, podniesionym głosem zawołał:

— Ichmość posłowie sejmu Piotrkowskiego proszą o posłuchanie

— Niech wejda! — rzekła wyniosłe królowa. I zapomniawszy się skinęła złożonym wachlarzem. Siniora, myśląc, że to znak dla niej, wysunęła się naprzód, a Diavolo wyglądający jednym okiem z pomiędzy fałdów sukni, również wyskoczył, co wywołało półuśmiechy w całym otoczeniu.

— Precz! — zawołała gniewnie królowa.

Alenini i karzelek spiesznie wrócili na swoje miejsca, a jednocześnie weszli Andrzej Krzycki i Stanisław Karnkowski, przybrani w biskupie szaty, a za nimi reszta poselstwa, złożona z kilku znakomitych panów koronnych.

Twarz Bony przed chwilą gniewna miała teraz wyraz zadowolenia i pogody, oczy błyszczały radością, a cała jej postać przybrała powagę i majestat stosowny do wielkiego znaczenia chwili. Królewicz też wyprostował się, podniósł opartą o tył krzesła głowę i z ciekawością na przybyłych spoglądał.

Przybyli oddawszy ukłon stosowny do swej godności, z niemałym zdziwieniem spojrzeli na otoczenie i cały dwór przyszłego ich monarchy. Obejrzelni się dokoła, jakby chcieli się przekonać, czy nie pomylili się i nie weszli do jakichś królewien. Powstrzymali jednak swój podziw, zbliżyli się do królowej i jej syna, a Krzycki zwróciwszy się doń nieco, począł w te słowa:

— Szczep winny wydaje jagody takiej dobroci i mocy, jaką sam jest przejęty, a syn po ojcu dziedziczy zwykle wielkie przymioty umysłu i serca. Wychodząc z tej zasady stany koronne, zebrane na sejmie w Piotrkowie dnia 18 decembra uradziły i jednozgodnie uznały, ażeby dla uniknięcia wielu niefortunnych klęsk, za życia jeszcze najmiłościwiej panującego nam monarchy Zygmunta 1 go, oddać koronę synowi jego Zygmuntovi i uczynić go naszym królem. Przeto w myśl sejmu, a za zezwoleniem najmiłościwiej nam panującego ojca waszego, ofiarujemy ci najjaśniejszy panie koronę.

Biskup płocki skończywszy swą mowę, skłonił się nieco, toż samo uczynił biskup przemyski i obadwaj spojrzeli przyjaźnie na pana Piotra Opalińskiego, stojącego za krzesłem królewicza.

Zygmunt patrzył ciekawie na mówiących, a gdy ochmistrz szepnął mu na ucho, wstał i lewą rękę wyciągnął przed siebie, prawą położył na sercu i z powagą nad wiek swój dziecięcy, odpowiedział:

— Kraj mój i naród miłuje, postaram się więc, ażeby przez niego miłowanym był wzajem.

— Niech żyje król nasz, Zygmunt drugi — zawołali z całą serdecznością przybyli z biskupami panowie.

A z za fałdów szaty królowej Diavolo przypatrywał im się ciekawie, a potem nagle wybuchnął piskliwym głosem:

— Niech żyje królowa i król!

Przybyli ze zdziwieniem spojrzeli w stronę wychodzącego głosu, i ujrzeni wyglądającą z za sukni królowej czapkę czerwoną, dziwnego kształtu, a z pod niej niemile, świdrujące wejście karła.

Niejeden rzucił porozumiewający wzrok na najbliższej stojącego towarzysza, a to znów podniesiono oczy na Bonę, jakby chciano zapytać:

— Co to znaczy?

Królowa tymczasem strzepnęła po sukni złożonym wachlarzem, czapka skryła się w jej fałdach. Zaraz też na dany znak ozwały się śpiewy i muzyka i dalej prowadzono przerwany wejściem posłów taniec. Biskupi, spodziewający się zastać dwór i otoczenie stosowne do ważności chwili, spuścili ze smutkiem

— Czy się to prędko skończy? — szepnął do pana Piotra.

— Zapewne wkrótce, trzeba mieć cierpliwość na wszystko — odrzekł tenże.

— Ach, jak to nudno siedzieć tak wciąż na jednym miejscu! — westchnął królewicz.

— Co tam szepcesz wciąż! — zawołała królowa.

Skończyły się wreszcie śpiewy i tany, a Karnkowski skorzystawszy z tej przerwy, wstał i podszedłszy do Bony rzekł, oddając należny ukłon.



Zamek w Olyce.

głowy, na twarzach zaś przybyłych z nimi panów, przed chwilą tak wesołych i uśmiechniętych, odmalował się zawód i nuda.

Opaliński stojąc za królewiczem patrzył przed siebie, lecz po jego spokojnej twarzy przepływała od czasu do czasu fala krwi, jakby rumienił się ze wstydu, że jego wychowaniec zajmuje się rzeczami błahemi oraz zabawą zgoła dla jego wieku niestosowną.

Oczy Bony biegały niespokojnie po wszystkich twarzach, zsuwała i rozsuwała wachlarz, dając znaki zaufanym sobie osobom, szeptała też coś do siniory, która kilka razy nawet wyszła z komnaty, a wróciwszy zdawała sprawę swej pani.

Królewicz znów miał minę jakby chciał jak najprędzej wyrwać się i pobiedz do rówieśników, za którymi najwidoczniej tęsknił, a których nie miał w codziennem swem otoczeniu.

— Miłościwa nam królowo, pozwól, że przedstawimy prośbę od całego narodu!

— Zezwalam — rzuciła królowa, spoglądając przymrużeniami oczyma na biskupa.

— Syn wasz i miłościwie nam panującego króla Zygmunta, przez sejm na króla obrany, od tej chwili należy do narodu, wychowanie więc jego pójsć musi teraz zgoła innym torem. Musi on się sposobić do rządów, które

ma sprawować, a przeto w wielu naukach ćwiczyć, a też i rycerskie poznać sprawy. Przeto opuścić mu trzeba zabawy, którymi dotąd się zajmował, a przejść pod opiekę mężów, którzy kształćcać jego umysł i serce, do rządów sposobić będą *).

— Oddawna tego pragnęłam, wszelako jako matka, mam prawo żądać, ażeby syn nasz, jako w dziecięcym jeszcze wieku będący, z pod mojej opieki nie był usunięty — rzekła królowa układnie.

Zaraz jednak porywczco dodała:

— Ani sejm, ani król, pan nasz i małżonek, od tych praw odsądzić mnie nie może.

— Miłościwa królowo, któżby śmiał to uczynić, chodzi tylko o nadanie właściwego kierunku jego wychowaniu; o to też

*) Historyczne.

upraszam, bo takim jest żądanie sejmu i monarchy, a tuszę sobie i waszej królewskiej mości, która wysokim rozumem swoim, pojmuję wielkie obowiązki, jakie spadają na młodzieńką osobę króla, a jako matka pragnie jego pomyślności i szczęścia — dodał dwornie Karnkowski.

— Możecie wierzyć ekscelencyo, iż więcej pragnę szczęścia naszego syna, niżeli własnego.

To mówiąc, Bona skinęła głową, a wstawszy z wysokiego swego krzesła z wielką wspaniałością szła przez komnatę, rozprawiając coś jeszcze z obu posłami.

W OTCHŁANIACH MORSKICH

PRZEZ

Dr. M. Stefanowską.

(Dalszy ciąg).

Przyrządy używane do badania otchłani morskich.

Sondowanie. Oddawna już uczeni gorliwie zajmują się geografją podmorską, czyli *hydrografią* i oddawna liczne son-



Na żer.

Królewicz widząc, iż matka wstaje, zerwał się szybko, a klaszcząc w dłonie, zawołał:

— Ach, jak to dobrze, że już się skończyło!

Bona surowo nań spojrzała, a jeszcze surowiej rzekła do Opalińskiego:

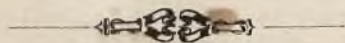
— Mości ochmistrzu, źle sprawujecie swoje obowiązki, syn nasz nabywa coraz gorszych obyczajów!

Twarz pana Piotra okryła się purpurą, a Krzycki idąc wraz z Karnkowskim obok królowej, spojrzał nań porozumiewająco i uśmiechnął się nader przyjaźnie.

(d. c. n.)

dowania robione były przez inżynierów marynarki, a to w tym celu, aby poznać głębokość morza w rozmaitych punktach. Jednakże przez długi czas określano głębokość morza jedynie w bliskości wybrzeża, cała uwaga marynarzy zwróconą była na to, aby odkryć miejsca niebezpieczne dla żeglugi. Rzecz naturalna, iż niebezpieczeństwo grozi okrętom głównie w pobliżu wybrzeży; na otwartym Oceanie żeglują one bez obawy. Ponieważ badania prowadzone były na nieznacznej głębokości, nie śpieszono się przeto z wynalezieniem udoskonalonych przyrządów do badań głębiny.

Dopiero gdy pomyślano o przeprowadzeniu lin telegraficznych (cables), które muszą być głęboko zanurzone na dnie morza, uznano wówczas, iż trzeba koniecznie wymierzyć dokładnie głębokość każdego punktu, gdyż lina powinna spoczywać wszędzie na samym dnie morza, inaczej bowiem naróżną byłaby na ciągłe zrywanie się. Trzeba tedy poznać



dokładnie, jak wygląda dno morskie, na którym lina leżeć będzie. Nie dosyć tego, wiedzieć należy także, jaki jest skład gruntu i dlatego ołowianka przynieść powinna małą próbkę dna morskiego. Aby dopiąć tego celu, zaczęto przekształcać dawne ołowianki i wyrabiać coraz to doskonalsze.

Ołowianki wraz z próbką dna morskiego przyniosły z głębin pierwsze zwierzątka. Ale przy dokładnych badaniach zwierząt głębinowych *sondowanie* stanowi jedynie wstępną część pracy, po której następuje *dragowanie*!

Dragowaniem nazywa się włóczenie po dnie morskiem sieci, w których zwierzęta zostają uwięzione; dragowanie stanowi najdłuższą i najważniejszą część pracy naukowej. Gdy rozważymy na jak olbrzymią głębokość spuszczone sieć, oraz jak wielką trudność przedstawia kierowanie onym przyrządem w głębinach, to w zdumienie wprawi nas ogrom dokonanego dzieła, oraz potęgę nauki, dzięki której w otchłaniach, uchodzących niegdyś za bezdenne, zdołano odkryć nowy świat, zasiedlony niezliczonymi mieszkańcami; istnienie ich, zdawało się, na wieki będzie ukryte przed nami z powodu przestrzeni dzielącej je od nas, „*Draga* jest prawicą człowieka, sięgająca dna otchłani”. Wróciła ona z tantąd obarczona bogactwem i zapowiedziała jeszcze świetniejsze nadzieje na przyszłość.

A jednak przyrząd, który do dziś dnia służy do wielkich dragowań, przynosi drobnuchną zaledwo cząsteczkę tego, co Ocean kryje. Jestto kropelka wody za każdym razem wydobywana, a gdy zastanowimy się jak wielkie obszary Ocean pokrywa i jaka nieskończoność stworzeń w niem żyje, przyznać musimy, że to co dotychczas zrobiono, jest niczem w porównaniu z tem co jeszcze pozostaje do wykonania. Nie zraża to bynajmniej uczonych, przeciwnie, zapał i gorliwość ich są zdwojone, ponieważ zdają sobie sprawę ile rzeczy pozostaje do zbadania, a zarazem widzą, jakie wspaniałe rezultaty już osiągnęli.

A teraz zapoznamy bliżej naszych czytelników, jak wygląda *ołowianka* (sonda) i *draga*, t. j. dwa główne przyrządy, za pomocą których, zbadano otchłanie morskie.

Ołowianka używana do mierzenia głębokości morza składa się z mocnego drutu oraz z zawieszzonego na jego końcu ciężaru, którzy spuszczają do morza. Gdy ciężar oprze się o dno, to drut przestaje być naprężonym, wówczas aby dowiedzieć się jaka jest głębokość morza w tem miejscu, trzeba tylko wymierzyć długość odwiniętego drutu. Rysunek ołowianki podamy w następnym numerze.

(d. c. n.)

OŁYKA.

Miasteczko Ołyka malowniczo położone w gubernii wołyńskiej, w powiecie dubieńskim. Po pożarach w r. 1805 i 1823 dotąd dźwignąć się nie mogło i przedstawia obecnie smutny obraz małej i brudnej miłośnicy, za wyjątkiem zamku przedstawionego na załączonej rycinie.

NA ŻER.

Minęła noc ciemna i pierwsze brzaski dnia zabłysły na wschodzie, budząc do życia uśpioną przyrodę. Ruszyło się więc z miejsc spoczynku wszystko co żyje, i poczęło się krzątać pilnie około spraw swych codziennych.

Nagle ponad lasem siniejącym zdała wzniosła się czarna jakowaś chmura i zaciemniła szmat nieba, a dziwny szum, niby gwałtownego wiatru napelnił powietrze.

Szum zbliża się, chmura rośnie, czernieje, nabierając coraz wyraźniejszych kształtów.

To nieprzeliczone stado kruków ciągnie na żer. Donośne ich krakanie słychać na dalekiej przestrzeni. Już wysuwają się naprzód pojedyncze sylwetki czarnych ptaków, zarysowując się ostro na jasnym tle obłoków. Widok ich ponury i smutny, żałobne nasuwa myśli, bo smutną też, choć pożyteczną jest rola, jaką spełniają w przyrodzie. Oto bowiem postrzelona przez myśliwca sarna, leży martwa wśród pobliskich zarośli, kruki więc spieszą, wiedzione hystrym swym zmysłem na sutą ucztę, jaką jest dla nich każda padlina.

Dość duży w swej żałobnej, połyskującej sukience z dziobem grubym i silnym, kruk, jako ptak mięsożerny, obyczajami swemi przypomina drapieżnego orłosepa lub ścierwnika, mimo tego jednak charakterystyczne jego cechy każą go zaliczyć do rzędu śpiewających, jakkolwiek ponurym i niezbyt miłym dla ucha jest głos jego, krakaniem zwany.

Zmyślny i ostrożny na wolności, okazuje kruk wielką pojętność i łatwo nadaje się do obłaskawienia, wycuczając się obok innych sztuczek nawet naśladowania mowy ludzkiej.

NA POLANCE

powieść

P. E. Jerlicza.

(Dalszy ciąg)

Lecz Karol i Janek mieli tajemnicze minki, które nie uszły uwagi pańienek, co ich upoważniło do oczekiwania jakiego zabawnego figla. Minęła jednak niedziela i cały ranek dnia następnego bardzo spokojnie; po południu nawet Karol był nieobecnym, gdyż pojechał do miasteczka po listy i gazety, skąd wrócił dopiero przed zachodem słońca z dobrze wyładowaną torbą. Towarzystwo całe zastał zgromadzone w lesie, nie brakowało nawet dziadunia i pana Skalskiego. Każdemu więc doręczał zaraz według adresu, co mu pocztą przyniosła. Zygmunt otrzymał też list dużego formatu z licznymi markami i pieczęciami, z których jednak nie rozpoznać nie mógł, tak były dziwnie zamazane.

Gdy rozzerwał wreszcie kopertę i przebiegł oczyma pismo, zawołał z miną zdziwienia i urazy:

— Kto to napisał?

Karol i Janek podbiegli z ciekawieni:

— Co takiego, pokaz, pokaz! — i obaj zaczęli czytać list, poczem wzruszyli ramionami.

— Ciekawa rzecz, czyj to dowcip — powiedział Janek.

— Nie mogę się domyślić — dodał Karol. — Może ty Stasiu prędzej się dorozumiesz.

Staś wziął do ręki dziwny list i niebawem wybuchnął głośnym śmiechem.

— Ha, ha, ha!

— To coś wesołego, pokażcie i nam — poczęto wołać ze wszystkich stron.

— Bardzo wesołe, proszę czytać — zawołał Staś.

Zygmunt czerwony od gniewu, chciał wydrzeć niemiłe mu snąc pismo i poszarpać je w kawałki, ale nie dopuszczono do tego. Jeden z chłopców pochwycił papier i odczytał głośno:

Mości panie Zygmuncie! Kto panu powiedział, że to wilk w czystym polu *na kamieniu siedział*?

W polu, upewniam, twarde i stoły i stolki,

I wilk woli już w puszczy wywracać koziołki,

Niż włóczęc się bez celu, narażać swe zdrowie.—

Potem niech się pan spyta, każdy panu powie;

Że jako jest różnica stwierdzona od wieka
 Pomędzy rodem wilczym, a rodem człowieka,
 Tak samo jest różnica. (każdy ją wyliczy),
 Co odróżnia ród brysi, a co znowu wilczy
 Ale jeżeli panu nie znany ten przedział,
 To lepiejbyś uczynił, żebyś w domu siedział,
 Niż szukał silnych wrażeń od Polanki zdala.
 Bo wyobraźnia czasem dziwnie się zapala,
 Wieloryba uczyni z misernego śledzia,
 Sprawi, że pan baranka weźmie za niedźwiedzia,
 Biednego psa wiejskiego, za straszego wilka. —
 A teraz niech pan przyjmie życzliwych rad kilka:
 Odróżniać trzeba prawdę od złudnych pozorów;
 Kiedy niema chorego, nie wzywać doktorów;
 Nie wołać: gwałtu gore! skoro płonie świeczka,
 Bo inna rzecz wór zboża inna w torbie sieczka;
 Nie biedz nigdy na oślep za pościągim sławy,
 Ani skakać przez płoty, kiedy kto kulawy;
 Nie wszczynać bezpodstawnie na alarm hałasu;
 Nie straszyć wilczą skórą dziewczynkę z pod lasu!

Życzliwy sługa

Stary Myśliwy.

— Wiem, kto to napisał, wiem — wołał z gniewem
 Zygmunt, spoglądając na Janka i Karola.

— Czegoż ty od nas chcesz, ani nam do głowy nie podobnego nie przyszło — uniewinniali się obaj.

— Wiesz najlepiej, że nie moja to rzecz rymy składać — dodał Karol.

— A jednak pewny jestem, że to wasze koncepta...

— Ot, zdaje ci się tylko. Przecież masz wyraźnie podpisane: stary myśliwy. Czy to ja jestem stary myśliwy? albo Karol jest nim może, pomyśl tylko... — mówił z najniwiejszą miną w świecie, Janek.

— Więc któż, jeśli nie ty i nie Karol?

— Kto? ja ci powiem — wyrzekł z powagą ten ostatni.

— Naprzykład?

— Najpewniej dziadunio Janka, bo podpisane jest: stary myśliwy, a dziadunio jest przecież wiekowym i wiadomo, że był doskonałym myśliwym.

Ogólny wybuch śmiechu był odpowiedzią na to oznajmienie Karola, a staruszek grożąc filuternie na nosie jemu i młodszemu swemu wnukowi, rzekł z dobrotliwym uśmiechem:

— Tak, tak, najniezawodniej ja jestem autorem tego listu, najpewniej nikt, tylko ja!...

VIII.

— Więc tedy, moje dzieci, jutro wszyscy ruszamy na wyprawę — mówił dziadunio do licznej gromadki, która go otaczała w ogrodzie.

— Czy i ja też pójdę, proszę pana? — pytał mały Romcio, czepiając się kolan dziadunia.

— A jakże, i ty rybko pójdziesz, i wszystkie dzieci z całej Polanki, nawet te, co przyjechały na kolonję. Pójdziemy tam na te piaski od młyna.

— A co my tam będziemy robili? — pytał Romcio, po raz niewiedzieć już który.

— A no posiejemy las — objaśnił wreszcie dziadunio. — Czy pamiętasz jak zeszłego roku zbieraliście szyszki?

— A pamiętam. To co z tych szyszek?

— Z tych szyszek, moje dziecko, wytrząsnęliśmy nasienie, które teraz zasiejemy, żeby z niego wyrosły drzewa, duże drzewa.

— Proszę pana, czy te piaski pod młynem należą do państwa? — zapytał Zygmunt, stając obok dziadunia.

— Nie, mój chłopcze, to jest własność gromady wiejskiej, jeżeli do takiej wydmy można rościć prawo własności.

— Więc dla czego pan chce zadrzewiać tę wydmy, kiedy pan nie będzie z tego korzystał?

Staruszek popatrzył chwilę w twarz młodego chłopca swym jasnym, pogodnym wzrokiem:

— Widzisz, kochany panicu — rzekł wreszcie — mnie się zdaje, że wszyscy, którzy posiadają własny dom, własny ogród, własny kawałek ziemi, a choćby nie mają nic zgoła, są zawsze obywatelami kraju. Powinni więc dbać o to, żeby ten kraj przedstawiał się oczom jak najwdzięczniej, i żeby w nim przecież coś z ich pracy zostało, aby ei, co po nich nastąpią, nie pomyśleli, że przed nim żyli same niedolegi, próżniaki i niedbaluchy. Czy nie tak samo myślisz, panicu?

Ale zanim Zygmunt miał czas odpowiedzieć, nadbiegła Stasia, która najgorliwiej ze wszystkich pomagała dziadunio wi zeszłego roku w zbieraniu szyszek sosnowych, a teraz z nie-mniejszą gorliwością zajęła się jutrzejszą wyprawą. Stając przed dziaduniem, zawołała:

— Ale proszę pana, jak my zabierzemy wszystkie te małe dzieci. to cóż będzie z naszej roboty? One nie będą umiały tak dobrze, jak my rozsiewać nasienia.

— Dla każdego znajdzie się odpowiednia praca, miła panienko — rzekł z uśmiechem dziadunio — siać sosnę będą ci, co umieją, a ci co nie umieją pracować będą grabiami. Każde z dzieci weźmie swoje małe grabki na ramię, jakbyśmy szli na żniwa, a ruch wszystkim posłużą dobrze.

— O, ja się na to bardzo cieszę. I doprawdy własnym oczom wierzyć nie chciałam, że te drobne, suche nasionka cośmy je z panem przeszłego roku siali, tak ładnie powscho-dziły. Proszę pana, czy my się też naprawdę doczekamy lasu z takich ździebełek? — pytała Stasia.

— Pewnie ja się już nie doczekam — powiedział z uśmiechem staruszek — ale wy będziecie kiedyś spacerowali w cieniu tych sosen.

— Kiedy las podobno bardzo powoli rośnie?

— Żeby wyrósł na starodrzew, trzeba długich lat — objaśniał dziadunio — ten lasek wszakże, w którym się codziennie bawicie, siałem własną ręką, bo taka sama wydma jak ta za młynem, otaczała również Polankę.

— Czy być może; a dawno już jak pan posiał te sosny?

— Było to wkrótce potem, gdy powróciłem z obczyzny, gdzie przebywałem przez kilka lat po wojnie węgierskiej.

Wojna węgierska! magiczne słowo, od którego rozpozczynały się wszystkie najciekawsze opowiadania dziadunia. Więc natychmiast znalazł się Henryk i Karol i młodszy wnuk pana Skalskiego i niektóre z panienek, a wszyscy poczęli się wypytywać, i jak to mówią, wyciągać dziadunia na słówka.

— To gdzie po wojnie węgierskiej pan udał się? — zapytał Karol.

— Jak nas Niemcy pobili i poszliśmy w rozsypkę, każdy z nas pociągnął, gdzie mógł. Ja, idąc za przykładem innych, wywędrowałem do Francji i dostałem się do Paryża.

— Musiał pan być bardzo zadowolony, że mógł poznać to miasto — wtrącił Zygmunt.

— Chociaż byłem rzeczywiście ciekawy poznać Paryż — odrzekł z uśmiechem dziadunio — jednak rozglądać się w jego osobliwościach nie wiele miałem sposobności, bo to wszystko kosztuje, a ja, moje dzieci, byłem bez grosza w kieszeni. Należało więc przedewszystkiem pomyśleć o jakim takim sposobie zdobycia codziennego chleba.

Ale do czego się tu wziąć w takim ogromnym mieście, bez znajomości, bez stosunków, bez rekomendacyi? Zaczęło się więc od tego, że trzeba było najeść się biedy okrutnej, po same uszy. Ale, że było się jeszcze młodym, więc stawiało się ostro biedzie, i nosiło uszy do góry.

— Przecież w Paryżu musieli być i Polacy, czy nikt z nich nie mógł ułatwić panu wyszukanie jakiego zajęcia — zauważył Henryk.

— Owszem, było tam naszych dosyć, ale najwięcej takich, którym również brakowało chleba. Spotkałem się to z tym, to z owym. Powiadają mi, że się utworzył jakiś komitet w celu dawania wsparcia potrzebującym. Ale mnie złość porwała okrutna. Cóż to? u stu tysięcy! przepraszam

was, moje dzieci, ale rozgniewałem się ogromnie. Cóż to? — pomyślałem sobie — jestem żebrakiem, czy kaleką, ażeby miał brać jałmużnę. Więc choć od kilku dni żywiłem się tylko suchym chlebem, nie chciałem przyjąć ani grosza, ofiarowanego w ten sposób.

— To dzielnie, co się nazywa! — zawołał Henryk z uniesieniem.

— Podobało ci się to paniczu? tem lepiej — rzekł z zadowoleniem dziadunio. — Więc tedy szukam dalej zajęcia, szukam i znaleźć nie mogę. Aż raz wieczorem, smutny i osłabiony tak nadaremnie dreptaniem, zwłaszcza, że i głód przypominał mi się dotkliwie, wstąpiłem do jakiejś restauracji, aby trochę spocząć i odetchnąć. Naturalnie, nie była to żadna wykwintna restauracja, tylko skromna garkuchnia dla biednych robotników, którzy się tam wieczorem na obiad schodzili. I teraz izba była pełna, ludzie, przyodziani w robotnicze bluzy, jedli, popijając tanie wino, bez którego żaden Francuz nie rozumie obiadu. Wcisnąłem się w najciaśniejszy kąt, aby na siebie nie zwracać uwagi, gdyż nie miałem nawet tyle, by kupić kawałek białego chleba i kubek wina. Siedziałem tedy z głową zwieszoną, tak zinęczony i wyczerpany, iż nie zdawałem sobie nawet sprawy z tego, co się wkolo mnie działo. Z osłupienia tego wyprowadził mnie głos jakiegoś robotnika, który usiadłszy obok, trącił mnie w ramię i zapytał:

— A co to panie?

Spojrzałem na niego, nie rozumiejąc czego właściwie chciał odemnie, aż powtórnie zapytał:

— Co panu jest, mój młody panie?

— Nic mi nie jest — odpowiedziałem.

Robotnik o poczciwej, inteligentnej fizygnomii, nie przestawał mi się przyglądać.

— Czy pan ma jakie zmartwienie? — zapytał znowu po chwili

Uśmiechnąłem się smutno.

— Zmartwienie, jakiego zapewne nie jeden z panów doznawał: szukam pracy, a nie mogę jej znaleźć.

— Tak, rzeczywiście, to trudno bardzo — szepnął jakby do siebie.

— Pan zapewne cudzoziemiec? — rzekł, uderzony niezawodnie mojem akcentem.

— Tak — odrzekłem.

— W takim razie jeszcze trudniej zdobyć cokolwiek. A nie ma pan tu w Paryżu nikogo znajomego?

— Nikogo.

— Jaki to rodzaj pracy chciałbyś pan znaleźć?

— Jakikolwiek, aby tylko starczyło na skromne życie.

— Umiałbyś pan na przykład pracować w gruncie, kopać, wywozić ziemię taczkami?

— Na to nie trzeba chyba wielkiej umiętności — odrzekłem z uśmiechem.

— Nie, ale chodzi o siłę.

— Niedawno jeszcze byłem dosyć silny.

— Rozumiem; o sile niema co mówić bez dobrego talerza jarzyny z kawałkiem mięsa. Bo widzi pan — mówił dalej ów poczciwiec — ja jestem pracownikiem u jednego z najznakomitszych tutejszych ogrodników i spodziewam się, a nawet mam zupełną pewność, że dla pana znajdę w naszych ogrodach pomieszczenie. Od jutra właśnie potrzebni nam są robotnicy, wprawdzie do zupełnie prostego zajęcia, ale pan chce się tego podjąć.

— Byłbym niezmiernie wdzięczny, gdybyś mnie pan tam umieścił.

— A zatem jutro rano niech pan tutaj będzie, wstąpię i zabiorę pana. Tylko jedna uwaga.

Słucham pana!

— Niech pan zamieni swoje ubranie na bluzę robotniczą; nie będzie się pan tak wśród innych odznaczał.

— Uczyniłbym to chętnie, nie wiem tylko czy zaraz będę się mógł z tem załatwić — rzekłem.

— To nic. Jutro, skoro otrzymam pewność przyjęcia pana do naszych ogrodów, polecę naszemu gospodarzowi zając się przebraniem pana.

(d. c. n.)

NIEBO W MARCU.

Z gwiazdozbiorów większych, które świecić będą w marcu, na uwagę zasługuje gwiazdozbiór Oryona, oraz najświetniejsza z gwiazd (w gwiazdozbiórze Psa Wielkiego) — Syryusz; gwiazdy te zachodzą będą około północy.

Dnia 20 marca o godz. 3-ej po południu słońce będzie na równiku, co zwiastuje początek wiosny oraz porównanie dnia z nocą, poczem na półkuli północnej dzień będzie dłuższym od nocy.

Z planet wielkich mogą być widzialne w marcu: Merkury, Wenus, Jowisz i Saturn. Merkury może być obserwowany gołym okiem przy końcu marca, jako mała gwiazdka, świecąca przeszło godzinę po zachodzie słońca. Wenus w tymże czasie świeci przez godzinę po zachodzie słońca. Jowisz świeci przez noc całą i łatwo może być poznany po silnym, białym nie migocącym blasku; znaleźć go można w pasie równikowym nieba w gwiazdozbiórze Panny. Saturn w dniu 1 marca wschodzi o godz. 2 po północy, potem wschód jego jest coraz wcześniejszy, tak iż w końcu miesiąca przypada o godz. 12 po północy, zachodzi rano. Pozostałych trzech planet: Marsa, Uranusa i Neptuna — dojrzeć w marcu nie można.

Przypominamy o wczesnem ODNOWIENIU PRENUMERATY, na kwartał II-gi dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

TRĘŚĆ: Aleksandra z Chomętowskich Borkowska (z portretem). — Niedźwiedź, powieść z XVI w. przez Zuzannę Morawską. — W otelotaniach morskich przez dr. M. Stefanowską. — Ołyka (z ryc.) — Na żer (z ryc.) — Na polance, powieść E. Jerlicza — Niebo w marcu. — **Dodatek:** U cioci Polci (z ryc.) — Jakim sposobem nabywamy doświadczenia? — Mrówka, wiersz przez E. K. Gołąbek Bożenny. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Juraś i Anulka, czyli historia robotników. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

U cioci Polci.

(Dalszy ciąg).

Kilka następnych dni pięknej pogody dzieci spędzały prawie ciągle na świeżem powietrzu. Papierowe jednak zabawki nie poszły w zapomnienie, gdyż nasi przyjaciele odkryli wkrótce, że równie dobrze można się nimi bawić na dworze jak w domu. Henryk przyszedł do przekonania, że na przechadzkach pociski z papieru są nieocenione. Napotykał mnóstwo rzeczy, w które chętnie celował, a że rzucanie kamieniami było u cioci Polci zabronione, wprawił się wkrótce w zręcznym rzucaniu swej papierowej strzały.



fig. 1.

Zosia lubiąca niezmiernie polne kwiaty oraz mchy i paprocie leśne, znajdowała, że koszyczek papierowy przydałby się bardzo na chowanie tych skarbów, zerwanych w lesie. Ciocia Polcia pokazała jej jak zrobić kabłączek ze złożonego w kilkoro papieru i przyszyła go mocno do koszyczka, z czem stał się bardzo wygodny.

Kazio przestał się bać pukawek z papieru, a wracając czasem z długiej przechadzki, gdy czuł się już trochę zmęczonym lub głodnym, ciocia Polcia wydobywała wnet nieszkodliwy pistolet, a nasz bohater strzelając i maszerując zapominał o zmęczeniu i głodzie.



fig. 2.

Nietrudno chyba się domyśleć, jakie były ulubione zabawki małej Irenki? Nie spotykało jej się inaczej jak z papierową laleczką lub z młynkiem kręcącym się na patyczku.

Upłynął więc tydzień jeden i drugi, a dzieci czuły się coraz szczęśliwsze na wsi; im więcej poznawały ciocię Polcię, tem

więcej przywiązywały się do niej, a i ciocia pokochała je czule.

— Nie wiem jak to było kiedyśmy nie mieli papierowych zabawek — rzekła raz Zosia, wybierając się na zwykły spacer.

— Nie wiem jakby to było, gdybyście nie mieli cioci Polci — powiedziała niania.

— A myśleliśmy jadąc tu, że nie będziemy jej lubili — zawołał Henryk.

— A tak, pamiętacie, zdawało się nam, że ciocia będzie zła! — rzekł Kazio.

— Ciocia Polcia zła, jak to zabawnie brzmi — i wszystkie dzieci roześmiały się szczerze.

— Kto mnie woła? — rzekła ciocia, wchodząc do pokoju.



fig. 3.

Dzieci spojrzwały po sobie, ale nie pisnęły słówka. Na szczęście ciocia Polcia nie czekała na odpowiedź i nie zauważyła ich pomieszania.

— Czy widzicie, co się stało? — rzekła, wskazując na okno.

Dzieci poskoczyły, spoglądając ciekawie przez szyby. Czarne chmury zakryły całkowicie błękit nieba i kilka ciężkich kropli deszczu upadło już na ziemię, ale ku wielkiemu zdziwieniu niani, mała gromadka zamiast narzekać, klasnęła w ręce, wołając radośnie:

— O jak to dobrze! będziemy znów robili papierowe zabawki, bo ciocia już zapewne papier sprowadziła z miasta.

— Mam go już tak dużo, że sędzę, iż nam na długo wystarczy. Możemy nawet rozpocząć zaraz — rzekła ciocia — sprzątnij ze stołu Kasiu, a ty Henryku przynieś krzesła. Zosiu, poproś niani o łokieć i słóiczek z gumą.

W mgnieniu oka stół został sprzątnięty i czworo dzieci zasiadło w okóło niego.

— Będziemy dziś pracowali nożyczkami, i musicie mi przyrzec wy troje starszych, że będziecie bardzo uważni. Jeśli zaczniecie swawolić, przerwę robotę. Ale sędzę, że mogę wam zaufać.

— Będziemy uważać — powiedziały dzieci.

Ciocia Polcia dała każdemu parę nożyczek i położyła na stole kilka arkuszy kolorowego papieru.



fig. 4.

— Cóż najpierw zrobimy?

— Na początek, dla nabrania wprawy, zrobicie coś co się mamie przyda. Trzeba najprzód uciąć cztery paski z papieru, każdy długi na jedenaście cali i trzy ćwierci, a szeroki na dwa i ćwierć. Weźcie każde jeden pasek a Irenka niech weźmie mój, gdyż nie ma nożyczek. Złóżcie papier we dwoje, kolorową stroną do środka. Nazwiemy jeden koniec *a* drugi *b* (fig. 1). Teraz trzeba pociąć ten papier na wąskie paseczki, tak, aby się zrobiła frendzelka; ale uważajcie żeby nie przecinać go do same-

go końca, tylko troszkę dalej niż połowa szerokości. Te paseczki muszą być równe i tak wąskie, żeby się ich zmieściło aż 12 na jeden cal.

Dzieci zabrały się z uwagą do roboty.

— A teraz rozłóżcie starannie papier, żeby się nie podarł, i złożcie go odwrotnie tak, aby kolorowa strona była na wierzchu. Dwa brzegi trzeba lekko posmarować gumą, żeby się trzymały, a nim guma wyschnie poszukajcie mi czegoś okrągłego tej grubości co świeca.

Dzieci zerwały się z krzesel i poczęły się rozglądać po pokoju. Po chwili Henryś wrócił z małą linijką, a Zosia z okrągłym pudełeczkiem; ale bystre oczki Kazia spostrzegły na półeczce świecę. Chłopiec z tryumfem przyniósł ją cici, która zaczęła okręcać naokoło niej papierową frendzelkę. Zosia przypatrywała się chwilę w milczeniu, aż końcu rzekła:

— Zdaje mi się, że zgaduję co ciocia robi, taką samą frendzelką kucharka owija kość u pieczeni.

Henryś zaczął się śmiać.

— A na cóż wtedy świeca potrzebna? — zawołał.

Zosia zarumieniła się, ale ciocia odrzekła:

— Masz rację, Zosiu, można tę frendzelkę użyć do pieczeni, ale okręcona koło świecy, może zastąpić profitkę (fig. 2).

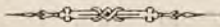
— Musimy pokazać ją mamie skoro wrócimy.

— Teraz spróbujemy coś trudniejszego — rzekła ciocia. — Henryś odetnie znów cztery paski papieru, jak poprzednie, a złożycie je kolorową stroną na zewnątrz.

— Czy trzeba także pociąć je na paseczki?

— Tak, ale tym razem ukośne (fig. 3). Teraz rozłóżcie papier na stole, podnieście delikatnie za pomocą śpilki lub końca ołówka drugi pasek, który nazwiemy *a* i zagnijcie go w tył (fig. 4), potem odegnijcie czwarty pasek, szósty i t. d.

(d. c. n.)



Jakim sposobem nabywamy doświadczenia?

— Patrz-no Zosiu—mówił Ludwiś—jakże ci chłopcy od sztukatora są nieroztropni! Przyglądam się im już dość długo, i domyślałam się, że przygotowują gips na odlewy, tam w kącie na podwórku, ale zamiast rozmoczyć od razu w wodzie większą ilość, mieszają potrochu i muszą ciągle chodzić tam i napowrót.

— To prawda — odrzekła Zosia — takie duże chłopaki, a nie pojmują tego, że gdyby od razu przygotowali zapas mokrego gipsu na cały dzień, to mieliby daleko łatwiejszą robotę.

Zganiwszy w ten sposób pracę chłopców, dzieci zajęły się czemś innym i niedługo zapomniały o robotnikach z podwórza.

W parę dni potem usłyszał Ludwiś, jak kucharka skarżyła się na mysz, która wygryzła dziurę w podłodze, wchodziła do spiżarni i psuła chowane tam zapasy.

— Ależ ja temu zaradzę — pocieszał ją Ludwiś — niech mi tylko Agnieszka przyniesie trochę gipsu od sztukatora z oficyny.

Agnieszka zbiegła na dół i w parę minut przyniosła

na miseczce garstkę białego proszku. Ludwiś z całą powagą wziął się do roboty, nalał wody i wymieszał doskonale drewnianą łyżeczką. Już zabrał się do zalapiania dziury, kiedy przypomniał sobie, że dobrze byłoby nasypać wpierw do niej tłuczonego szkła. Widział bowiem, jak to robił na wsi stary ogrodnik, dowodząc, że to najlepszy sposób odstręczenia myszy, bo gdyby do tej samej norki powrócić chciała, pokaleczyłaby sobie łapki i nosek.

Pobiegł więc do kuchni, wyszukał pękniętą szklanekę, potłukł ją ostrożnie na drobne kawałeczki i wsypał do mysiej jamki, następnie zwrócił się do przygotowanego gipsu, aby dokończyć rozpoczętej roboty. Jakież było jednak jego zdziwienie, gdy zobaczył, że ciasto gipsowe stwardniało i stało się zupełnie nieprzydatne do lepienia.

Teraz dopiero przypomniał sobie owych chłopców, których mniemaną nieroztropność zganił przed paru dniami. Oboje z Zosią, która się przyglądała zajęciu brata, zawstydzili się i przyznali, że największą nieroztropnością jest wydawać sąd o rzeczy, której się nie zna.

Z własnego doświadczenia poznali bowiem, że gips musi być użyty zaraz po zmieszaniu go z wodą, gdyż prędko twardnieje i staje się niezdatnym do ugniecenia.



Mrówka.

III.

Koniku mój drogi,
Twój widok tak srogi,
Me serce do głębi
Przenika.

Tyś biedny, zgłodniały
Od zimna drżysz cały,
A pszczołka ci ul swój
Zamyka.

Do domku pójdz mego!
Me siostry ustrzegą
Od głodu i chłodu
Do lata.

Ty ucz się pracować,
I sił nie marnować
To będzie najlepsza
Zaplata.

Lecz biada, ach! temu,
Kto swemu bliźniemu,
Ni dłoni nie poda
Ni strawy,

Gdyż często Pan z Nieba
Poskąpi mu chleba,
I wzrok swój odwróci
Łaskawy.

Bo miłość i praca
U Boga popłaca,
Lecz praca z miłością
Do pary.

Za litość — litością,
Za miłość — miłością,
Nagroda według
Ofiary!

E. K.

GOŁABEK BOŻENNY.

(Dalszy ciąg).

— To wszystko było tylko udane, żeby nas oszukać. Ledwie uśliśmy parę staj drogi, gdy zaczęli między sobą mówić językiem, którego nauczyłem się przecież dobrze tam w cygańskim obozie. Zrozumiałem też odrazu, że nie mają oni nic poczciwego na myśli. Lecz Najświętsza Panna dopomogła mi, żem nie dał poznać nic po sobie, a nawet zapytałem.

— Jakaż to dziwna mowa waszmościów; jest-li francuską czy włoską, bo nic jej nie rozumiem.

— To jest mowa arabska — odrzekł jeden z nich. Tam w Palestynie najwięcej się jej słyszy, to też przywykliśmy używać jej między sobą.

— Oho — pomyślałem — toć wyraźne kłamstwo! Udałem jednak, że uwierzyłem temu, i tak dowiedziałem się wszystkiego, co ci zbrodniarze zamysłają uczynić. Niech pani radzi, niech pani pomoże! Nieszczęście grozi naszym przyjaciółom! Oni chcą złupić zamek Ostrobrodzki!

— Ależ chłopcze zastanów się, cóż ich dwóch, choćby też byli najgorszymi, zrobić mogą, kiedy zameczek jest otoczony murami i załogi w nim też niemało.

— Oni wszystkiemu dadzą radę, wszystko naprzód obmyślili. Przez swoich szpiegów wywiedzieli się, czego my nawet nie wiemy, że na to święto odpustu pan Ostrobrodzki zwolnił załogę ze służby, że zameczek stoi dziś bezbronny. Nie sami też tylko we dwóch chcą urządzić napad, bo oni należą do wielkiej zbrojnej bandy, z którą mają się złączyć w najbliższym lesie.

— O mój Boże — zawołała Ludmiła, wybuchając rzewnym płaczem. Mateczko kochana, przecież my wiedząc teraz wszystko, nie możemy pozwolić, aby ci złoczyńcy spełnili swe zamiary. Trzeba koniecznie zawiadomić państwa Ostrobrodzkich.

— Właśnie o tem myślę i poniosłabym każdą ofiarę, by ochronić zacnych naszych przyjaciół od zła, które im grozi; ale jak to uczynić? Nawet na rączym siwku, który jest najlepszym koniem w mej stajni pacholek nie zdąży na miejsce. Prawdziwe nieszczęście, że tak mało zostaje nam czasu, gdy aż dziesięć mil dzieli Kalinówkę od Ostrobrzegu.

— A ja myślałem, że pani znajdzie jakowąś radę i biegłem co sił — mówił Stefan smutnie. — Jeszcze tam na bagnach gdym poznał co się święci, chciałem z rozmysłem pójść w najgorsze miejsce, które mi dawniej Walenty wskazał, i choćbym sam zginął, wybawiłbym jednak zacnego rycerza i jego rodzinę od zguby. Ale mi coś w duszy szeptało, bym tego nie czynił, że to byłoby niegodnie.

— I dobrze zrobiłeś, żeś usłuchał głosu sumienia swego, moje dziecko! Mam też tę mocną wiarę, że w ręku Boga spoczywa los wszystkich ludzi, a gdy będzie taka wola Jego, nieczne zamiary opryszków spełzną na niczem.

— Jakże to oni jednak pięknie mówić umieli —

wtrąciła Grzesiowa — trudno aż uwierzyć, że nie byli w Ziemi Świętej.

— Bo widzicie, stary umie czytać więc, dowiedział się tego wszystkiego z pamiętników prawdziwego pielgrzyma, którego banda cygańska ograbiła, i któremu też zabrali te świętości, jakimi nas obdarzyli. Mówili o tem między sobą, śmiejąc się, że ten pielgrzym oddał im wielkie przysługi, bo już nie raz z tego korzystali.

— A to niecnoty, Pana Boga się nie boją — oburzała się stara kobieta.

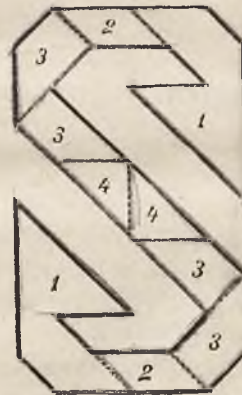
— Więc my nic matuchno, nie całkiem nie możemy uczynić dla naszych przyjaciół? — pytała Ludmiła drżącym od wzruszenia głosem.

— Rozumiesz sama przecież, moja córko, że aby ostrzedz pana Ostrobrodzkiego o zamierzanej na jego zamek napaści, trzeba posiadać możność przesłania mu zawiadomienia i to koniecznie dziś jeszcze dość wcześnie, przed nocą. Pozostaje nam więc jedynie modlitwa, aby Bóg litościwy, zesłał im jakową pomoc. Dla Niego nie ma nic niepodobnego, a jakże to uczynić? Dziesięć mil, to szmat drogi nielada.

— O czemuż nie mogę zamienić się w ptaszka — zawołała Ludmiła, w szlachetnem uniesieniu. Czemu nie mogę pofrunąć w jednej chwili do Ostrobrzegu i opowiedzieć im tam o wszystkim.

(d. c. n.)

ŁAMIGŁÓWKA GEOMETRYCZNA.



Wyciąć z kartonu pojedyncze części podług oznaczonych linii i ułożyć z nich kwadrat.

ZAGADKA. przez Murzyna z nad Kongo.

Jestem tylko połową maleńkiej całości,
A jednak dźwigam częste ciężary mądrości.

PROZA DO PRZEROBIECIA NA WIERSZE.

Puszczyk z Pilawy dla Wajdeloty.

W każdej porze roku i sercu i oku miłe wyspy szczęśliwe,
gdz z gór Kolony wita was przychodzień, chwytą mu wraz źrenice
nagły urok i w dumy tajemnicze myśl pograża. Tu cichego
oblicza szklane morze, na falach drobnych jak dolki uśmiechu,
odbija wierzchołki gór okolicznych, z którymi łagodnie wschodnie
rajskie wody zdają się igrać.

wych wrogów, przeszła szyję przechylonego nad chłopcem przyjaciela mego. Zachwiał się i jęknął boleśnie. Poskoczyłem mu na pomoc, zszedłem go z siodła. Krew lała się z rany obficie, a po chwili bezwładnie padł w objęcia moje. Poznałem zaraz, że rana śmiertelna i, że chwile jego policzone.

Pojąc łatwo jaką boleścią widok ten przejmował moje serce. Gdym zdejmował z niego uciskający go pancerz Jędrzej ujął mnie za rękę i słabym głosem mówić zaczął:

— Do domu! chcę przed śmiercią widzieć żonę i dziecko!

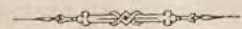
Kazałem żołnierzom zrobić naprędce nosze z gałęzi, położyliśmy na nich rannego i powoli, unikając wszelkiego prędszego ruchu, któryby stan jego mógł pogorszyć, udaliśmy się drogą do Kalinówki, którą właśnie przed kilku godzinami uciekali rozgromieni przez nas Tatarzy.

Smutny był to pochód; przodem szło czterech żołnierzy niosących dogorywającego niemal Jędrzeja, za nim prowadzono jego rumaka, który jakby odczuwając niebezpieczeństwo grożące panu, szedł ze łbem smutnie spuszczone. Zawieszony na siodle hełm, pancerz, miecz, krucica uderzając jedno o drugie wydawały dźwięk ponury, niby dźwięk dzwonów pogrzebowych. Obok noszy postępował główny sprawca nieszczęścia, ów chłopak odebrany z rąk tatarskich kosztem życia przyjaciela mego, biedak głośnym co chwila zawodził płaczem. Po drodze spotykaliśmy gromadki zbiegłych przed Tatarami ludzi, ciekawość skłaniała ich zbliżyć się do naszego orszaku a widok bladej twarzy rannego rycerza poruszał głęboko. Klękali pobożnie wzdłuż drogi, odmawiając modlitwy za konających.

Ujrzałem nareszcie upragniony las, za którym leży Kalinówka. Ciężki niepokój ścisnął mi serce; jak uprzedzić nieszczęśliwą panią Zalitowską o strasznym ciosie mającym spaść na nią. Gdyśmy jednak wyszli z lasu żal i niepokój ustąpiły przed uczuciem przerażenia na widok jaki przedstawił się naszym oczom: wioski nie było już śladu, tylko dymiące zgłiszczą świadczyły o przejściu dzikiej hordy tatarskiej.

— Czy otoczywszy wieś, Hanny i Ludmiły nie uprowadzili z sobą pohańcy? — pytała blada ze wzruszenia pani Ostrobrodzka.

(d. c. n.)



ZAGADKA (E. L.)

Niemilą bywam nawet w ustach małych dzieci,
Dla starszych mam znaczenie groźnego widziadła.
Bo gdzie tylko me miano wśród mowy uleci,
Tam napewno już krzywda, albo waśń się wkradła.
A jednak gdy otworzysz stare ojców dzieje
Serce twoje napelni zaraz cześć głęboka,
Bo tam, toż samo miano, jak gwiazda jaśnieje,
Wspomnieniem myśliciela, mówcy i proroka.

LAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

Promyczek z Pilawy dla Giermka.

*Bołostaw
ostepes
gauler
zofia
34
ap
4*

Zastąpić kropki literami, aby pierwszy wiersz oraz pierwsze litery złożyły imię kilku królów polskich.
2) W grec. mitologii słynny śpiewak.
3) Figura w szachach. 4) Wyspa na m. Egejskiem. 5) Ptak, symbol mądrości. 6) Część funta. 7) Karta do gry. 8) Spółgłoska.

LAMIGŁÓWKA GEOGRAFICZNA.

Przez Władkę B.

.
.
A * * * * * m
.
.

Zastąpić kropki i gwiazdki literami, ażeby litery oznaczone gwiazdkami złożyły nazwę stolicy państwa w Europie. 1 rząd. Rzeka we Francyi. 2) Miasto w gub. Kijowskiej. 3) Dopływ Dniepru. 4) Półwysep archipelagu Aleksander. 5) Miasto pamiętne bitwą z Tatarami w r. 1506. 6) Dopływ Bugu. 7) Miasto we Włoszech. 8) Wyspa Jońska. 9) Rzeka w kraju Zakaukaskim.

Skrzynka do listów.

Za przysłane Wieczorom Rodzinnym tak liczne życzenia z powodu świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku najserdeczniej dziękujemy, składając nawzajem wszystkim naszym dawnym i nowym czytelnikom najlepsze życzenia noworoczne.

Miciowi P. jak również siostrzycze jego Nusi dziękujemy także za życzenia noworoczne, radzi jesteśmy, że Micio korzysta ze wskazówek „Cioci Polci” i w czyn je wprowadza. Nusi życzymy by jak najprędzej nauczyła się pisać równie dobrze jak braciszek i sama napisała do nas. A teraz prosimy was jeszcze byście podziękowali szanownemu swemu ojcu za życzliwą pamięć o naszej redakcyi.

Lamigłówkę Złotego gwoździka pomieścimy chętnie o ile przy bliższem rozpatrzeniu okaże się odpowiednią do druku. Pismo tak wyraźne i czyste, iż nie możemy się powstrzymać od pochwalenia go.

Otrzymałmy nadto kwadrat magiczny od Złotego żuczka i lamigłówkę w kwadracie od Rajmunda z K.

Nazywasz mnie dobrą Winu z Łosz., że nie odlatuję od was ale zachęcam do pracy i wytrwałości, a ja powiem nawzajem, że wy wszyscy dobrocią waszą wszelką chęć ucieczki oddalacie odemnie za góry i lasy. Jeżeli masz tylko ochotę to spróbuj pisać lamigłóWKi lub szarady, być może, iż ci się próby udadzą.

Za ładnie napisany i miłutki liścik Myszek z Chorostka dziękuję bardzo, a mając nadzieję, że i nadal pisać do mnie będziesz, proszę cię, abyś mi doniosła wiele masz lat i czy masz więcej rodzeństwa? Rozwiązanie lamigłówek dobre.

Smutnej ptaszynki wdzięczną jestem za dowód zaufania. Przysłane próby okazują pewną zdolność do wyrażania uczuć w formie wiązanej, ale forma ta wymaga jeszcze wielkiej pracy i kształcenia, zarówno w teorii jak i na dobrych wzorach, głównie uwagi na rytmikę wiersza, która najbardziej szwankuje, wobec tego o drukowaniu nadesłanych próbek mowy być nie może. Niechaj jednak ta odpowiedź nie zniechęca Smutnej ptaszynki, której życzę, by przydomek smutnej na wesolej zmieniła, w tak młodym wieku o wiele to stosowniejszy.

LamigłóWKi Niezabudki oddałam w redakcyi.

Łaska

KWADRAT MAGICZNY.

p. Aleksandra W.

a a a a
 a a r r
 r m n n
 o r i i
 Dawny instrument muzyczny.
 Kraj w Azji nad zat. Perską.
 Rodzaj sztucznego ognia.
 Państwo w środ. Indyach.

Każdy kwadrat w sobie chowa
 Cztery z czterech głosek słowa,
 Ale każde z nich tak złoży
 Byś je czytał wszecz i wzdłuż.

ROZWIĄZANIA DO Nr. 9.

Zagadki: *Kozak.*

Łamigłówki kryształowej

K
 Ł o ś
 K o r e a
 K a r n i o l
 M a g d e b u r g
 C i e r p l i w o ś ć
K o r n e l U j e j s k i
 K r a g u j e w a c z
 P o r z e c z k i
 P o d j a z d
 M a s k a
 O k a
 i

Łamigłówki samogłoskowej:

A r a
 H a g a
 A g a w a
 P a n a m a
 A r a r a t
 G a l a r
 A g a t
 T a k

OD REDAKCYI.

Redakcja składa najserdeczniejsze podziękowania wszystkim czytelnikom *Wieczorów*, którzy wzięli udział w nabożeństwie żałobnym za ś. p. Aleksandrę Borkowską i w jej pogrzebie, oraz tym wszystkim, którzy uczcili pamięć tej czcigodnej i zacnej matrony.

Prawdziwą pociechą w głębokim naszym smutku był widok tej wdzięcznej dziatwy, która z wieńcem od *dzieci polskich* przybyła do kościoła oraz te rządy panienek, młodzieży i dziatwy z ochronki. Świadczy to jak kochaną i ocenianą była zmarła przez tych, dla dobra których pracowała niemal życie całe.

Przykład jej, uczucia i zasady przez nią wyznawane, pracą naszą nadal kierować będą.

Skrzynka do listów.

Zosi K... zagubiony numer wysłano. W arytmogryfie liczby nie mogą iść w porządku alfabetycznym, bo wówczas rozwiązanie nie przedstawiałoby żadnej trudności, gdyż sposób rozwiązania byłby wszystkim wiadomy.

Wiewióreczce z Boru wysłaliśmy początek drukującej się obecnie powieści i z przyjemnością na liścik tak starannie pisany odpowiadamy. Witamy więc nową, a mamy nadzieję, że i stałą korespondentkę *Wieczorów*, bo o ile czas ci pozwoli spodziewamy się, że zechcesz do nas pisywać często.

Kurka z Polesia listy do *Jaskółki* może przysyłać do redakcyi naszej. Łamigłówkę przejrzymy i jeżeli okaże się odpowiednią — pomieścimy w *Wieczorach*.

Uprzejme i życzliwe wyrazy w kartce **Marysi** miło nam było odczytać.

Maryni Ł. Początkowe siedem numerów wysłaliśmy pod jedną opaską, może więc spóźniły się nieco i ósmy numer je wyprzedził, prosimy o zawiadomienie, czy dotąd jeszcze nie przyszedł, bo w takim razie musimy upomnieć się o nie na pocztę. Łamigłówki o ile tylko odpowiednie będą do druku, pomieścimy chętnie.

Aleksander W. z Tr., obdarzył nas znowu bardzo zajmującym listem; dzieląc się z nami nie tylko wrażeniami, ale i opisem odległej miejscowości, którą zamieszkuje. Radzibyśmy zadość uczynić twemu żądaniu i pośredniczyć w korespondencji, z którym z naszych czytelników, ale dla braku miejsca w piśmie, podjąć się tego nie możemy.

Jedna z prenumeratorek zadaje nam tak liczne i różnorodne pytania, że wątpimy czy odpowiedzi na nie przyniosą jej jakakolwiek korzyść lub przyjemność. Odpowiadamy tylko na poważniejsze. Pseudonimu *Or-ot*, używa poeta Artur Oppman, Anatol Krzyżanowski — p. Natalia Krzyżanowska. O jabłkach mówi się kosztale. Od słowa wysłać, mówi się wysłać. Londyn krótki, Londyn długi wyrażenie giełdowe, oznacza weksle płatne w dłuższym lub krótszym terminie w Londynie.

Dobre rozwiązania przysłały **Winia z Łoszkowic** i **Gwiazdeczka z Zagórzan**.

Niezabudce z nad Teterewa. Rozczulił mnie i zajął twój liścik i całym sercem witam cię jako nową korespondentkę, a spodziewam się, że i do liczby stałych zaliczyć cię będę mogła. Oczekiwać też będę zapowiedzianych listów twoich siostrzyczek. I sama bardzo się ucieszyłam i opowiadałam w redakcyi z jakim zajęciem, czytujecie *Wieczory* i z jaką wyczekujecie na nie niecierpliwością. Szarada będzie pomieszczona, jeżeli tylko zostanie uznana za odpowiednią. Słę wam serdeczne pozdrowienie i pamięci się polecam.

Miłym obdarzyłaś mnie liścikiem, pisany porządnie na bardzo ładnym papierze, ale **Czup... Ukraińskie** to bardzo brzydki pseudonym i szczerze ci radzę zamięń go na inny, bo przekonana jestem, że nie stosowny on dla twojej osóбки. Do grona kochanych moich korespondentek zaliczam cię jak najchętniej i z wielką przyjemnością. Początek powieści i zaginiony numer *Wieczorów*, redakcyja wysłała.

Zosi J. w P. Wdzięczna za pamięć donoszę ci, że miewam się dobrze, pracuję dość dużo i z wielkiem zajęciem czytuję *Wieczory*. Rozwiązanie szarady dobre. Na przyszły raz droga Zosiu proszę cię, byś do mnie obszerniej napisać zechciała.

XYZ. Łamigłówki złożyłam w redakcyi. W Polsce przedstawicielami humanizmu jako kierunku pedagogicznego byli Górski i Herbest.

Jaskółka



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



U PIASTA.

Treść niniejszego obrazu, pędzla nieżyjącego już a wielkiego talentu malarza Pruszkowskiego, najlepiej wyjaśnia niektóre strofy ze śpiewu historycznego I. U. Niemcewicza p. t. Piast.

Dzień nadszedł świetny dla skromnej drużyny,
Gdzie jak pogańskie prawo nakazało,
Pierworodnego syna postrzyżyny
Obchodzić miano przez ucztę wspaniałą.

Hoża Rzepicha i Piast nas: sędziwy
Od rana całym trudnią się obchodem;
Stół zastawiają tłustemi mięsami,
I duże czary napełniają miodem.

W gronie przyjaciół zaczęły się gody,
Pierwszemi dary już uczczone bogi;
Gdy dwóch młodzieńców precudnej urody
Wchodzi w gościnne biesiadników progi.

Piast i Rzepicha z czołem nachylonem,
Proszą, by miejsca chcieli zająć swoje;
Lud się gromadzi, a z tłumem zwiększonym
Mnoży się pokarm i słodkie napoje.

Po uczcie, świetni zniknęli młodzieńcy,
A lud zgodnemi zawołał głosami:
„Piast luby bogom — pocóż czekać więcej?
Niech będzie królem, i niech rządzi nami!”

Skromny kmicz nie odrazu jednak zgodził się na wybór. Skłoniła go dopiero mowa Aniołów, którzy w nocy znowu się jemu ukazali i oznajmili, że taka jest wola Pana, który mieszka w niebie.

Jeszcze Piast dumał, gdy z jutrzeńki blaskiem,
Lud niecierpliw tłumnie się gromadzi,
Wita go panem z radosnym oklaskiem,
I na królewskie komnaty prowadzi.

Aleksandra z Chomętowskich Borkowska.

przez Sofię Urbanowską.

(Dokończenie).

Mawiała p. Borkowska, że nie miała nigdy czasu płakać długo: Pisma których redakcją się zajmowała, musiały wyjść w oznaczonym terminie, bez względu na to, czy redaktorka cierpiała, lub nie — musiała przeto otrzeć łzy i pełnić obowiązek — i ta to właśnie konieczność pomagała jej do zwalczania bóleści. Później już cierpieć zaczęła na oczy, siły nie dopisywały, ale wola pokonywała zawsze niemoc. W dzień przeważnie zajęta interesami, stosunkami towarzyskimi i sprawami instytucji dobroczynnych, znaczną część nocy trawiła na pracy redaktorskiej.

Na półtora roku przed śmiercią, p. Borkowska z powodu nadwątłego zdrowia, uznała potrzebę rozstania się z *Kroniką Rodzinną*, i pozostania tylko przy *Wieczorach*. Ciężka ta chwila niejedną jej łzę wycisnęła. *Kronika* była środkiem bezpośredniego jej porozumiewania się ze społeczeństwem; była złotym mostem, po którym wychodziły rozumne projekta, szlachetne pomysły, i powracały w postaci czynów. Dzięki gorącemu artykułowi w *Kronice*, sygnęły się pieniądze na *Zakład siostry Julii* dla kalek nieuleczalnych, który bez żadnych niemal powstawszy funduszy, dziś wznosi piętra własnego gmachu. Dzięki serdecznej pomocy redaktorki, powstała *Ochrona 27*, pod wezwaniem *S-go Pawła*. Pierwsze na nią pieniądze w ilości 500 rubli, nieżyjąca już dziś p. Paulina Zbyszewska przysłała p. Borkowskiej, niby dar na imieniny, po przeczytaniu *Kroniki*. Nie było żadnej niemal instytucji dobroczynnej, do którejby pani Borkowska nie przyłożyła ręki. Sama szczupłemi bardzo rozporządzającą środkami, nie mogła tych instytucji wspierać materyalnie, ale była źródłem, z którego tryskały tysiące drobnych strumyków i zamieniały się w rzeki, któremi płynęło miłosierdzie. Ona to z p. Agnieszką Helwich obmyślała sposób założenia *Schronienia dla nauczycielek*; ona powzięła myśl urządzenia *Przytułku dla służących* i *Domu dla kobiet samotnych*, który to pomysł bliskim jest urzeczywistnienia.

Uczucie miłosierdzia było już niejako we krwi tej rodziny. Jest przy ulicy Nowowiejskiej, za sztachetami, wśród ogrodu, piękny budynek murowany trzypiętrowy z dwoma pawilonami. Budynek ten, to *Schronienie paralityków nie-*

uleczalnych. Pierwszą jego założycielką była p. Izabela z Orłowskich Piłsudzka, ciotka p. Borkowskiej, która jej w tem dziele czynnie i gorliwie pomagała. Schronienie otwarte niegdyś na innym miejscu, w jednym pokoiku, w którym mieściło się kilka kalek, i z funduszem tylko 300 rs., dziś głównie dzięki ofiarności hr. Feliksa Sobańskiego znacznemi rozporządza funduszami, mieści się w pięknej siedzibie i daje przytułek stu pięćdziesięciu chorym, dla których już niema nadziei wyleczenia. Pierwotna założycielka nie żyje od lat kilkunastu, a od jej śmierci p. Borkowska wraz hr. Łubieńską była główną Schronienia tego opiekunką. Ona to dalej rozwijając myśl ciotki, słodziła los nędzarzom przykutym niemocą do łóżka, myśląc nie tylko o ich potrzebach, ale nawet o przyjemnościach i upodobaniach; to też dnie w które ich odwiedzała, a zdarzało się to regularnie dwa razy na tydzień, były dniami radości dla Zakładu. Sama widziałam z jaką witano ją tam miłością, jak wyciągano ręce do tej, co nie tylko znała wszystkich po imieniu, ale pamiętała nawet odnoszące się do nich okoliczności i szczegóły; do tej, co niosła każdemu dobre słowo, pociechę, drobnostkę jakąś, uścisk serdeczny. Pani A. Borkowska chodziła między nimi, jak matka pośród dzieci, rozpromieniona, szczęśliwa. Chwila ta nigdy mi nie wyjdzie z pamięci — jak również i druga, gdy zaraz, po pogrzebie, udałam się do tego Zakładu, prowadzona na sale przez przelożoną, która pragnąc uzupełnić materyały do tego życiorysu, wezwała chorych, aby mi powiedzieli czem była dla nich p. Borkowska. Na wezwanie to odpowiedzią były łzy, wymowniejsze nad wszelkie wyrazy...

Nurtująca ją oddawna choroba serca, od dwóch lat już przybierała niepokojące rozmiary. Objawiało się to cierpieniem nóg, których bardzo należało oszczędzać, unikając wszelkiego znęcenia. Nie powstrzymało to jednakże p. Borkowskiej od częstego odwiedzania paralityków, gdzie chodziła po wszystkich piętrach, potrzebując nieraz, zwłaszcza w ostatnim roku, kwadrans czasu na przebycie jednego, i wlokąc się z trudnością. Od Nowego roku choroba tak szybko postępowała, że p. Borkowska zmuszoną była położyć się do łóżka, z którego już nie wstała. Cała jej istota jednak tak była na wskroś przeniknięta pragnieniem niesienia ulgi nie szczęśliwym, że pomimo ciężkich cierpień, nieraz zrywała się, wołając: że „musi wstać koniecznie, żeby się przekonać, czy nie da się co zrobić dla tych biednych ludzi.” O paralityków swoich dopytywała się też ciągle w spokojniejszych chwilach, i interesowała ich potrzebami.

Można sobie wyobrazić, co się działo przy ulicy Nowowiejskiej na wieść o zgonie takiej opiekunki!

Pogrzeb s. p. A. Borkowskiej odbył się w dniu 28 Lutego, o godz. 12-iej w południe, z Kościoła S-go Krzyża. Trumnę jej całkowicie pokryły wieńce z kwiatów, z serdecznemi a wymownemi napisami: od rodziny, przyjaciół „od wdzięcznych paralityków”, od dzieci „z ochrony”, od „współpracowniczek”, od „działwy polskiej” — i wiele innych. Ta co za życia nie rwała kwiatów dla siebie, choć siała je ciągle dla innych pośród cierni odchodziła teraz okryta niemi, jak tryumfatorka. Kondukt prowadził J. E. ks. biskup Ruskiewicz w asystencji liczego duchowieństwa, poprzedzony przez działwę z ochrony. Szła też gromadka młodych czytelników *Wieczorów Rodziny*, szły uczennice z kilku pensji, oraz zastęp kół inteligencji i przedstawicieli literatury z Adamem Pługiem i Ludwikiem Jenike na czele. Liczne tłumy ludzi przypatrywały się pogrzebowi, tem osobliwemu, że obok trumny wieziono na dwukołowych wózkach czterech paralityków. Oprócz tego, w dorożkach jechało dziesięciu, których na cmentarz nieść musiano. Wszyscy pragnęli oddać ostatnią posługę zmarłej, i błagali aby ich zabrano, ale niepodobna było wszystkich zadowolnić.

Trumna jej spoczęła obok trumny wiernego przyjaciela i współpracownika, Antoniego Edwarda Odyńca, obok matki i braci, w rodzinnym grobie.

Piękna postać p. Aleksandry Borkowskiej zasługuje aby ją pomieszczono w szeregu owych zasłużonych bogobojnych

niewiast, które żyć umiały dla drugich z zupełnem o sobie zapomnieniem, a których imiona przekazują sobie ze czcią dzieje i pokolenia. P. Adam Pług mówiąc o jej życiu w *Kuryerze Warszawskim*, wyraził się, że „piękne światło zagasło”. Ono samo istotnie zagasło, ale rozpało dookoła tysiące pochodzących od niego światełek. U tego serca, które tak niedawno bić przestało, ogrzewali się ludzie, bo było gorące i pełne miłości bliźniego. Zapalali przy jego świetle swe kaganki i szli z niemi w świat smutku i niedoli, niosąc ubogim i cierpiącym wsparcie i pociechę.

Gdy sobie chcę uprzytomnić p. A. Borkowską taką, jak ją widziałam raz ostatni, w trumnie, w czarnej, niemal zakonnej sukni, podobnej z prostoty do tych w jakich chowano dawne matrony, i z różańcem u pasa — taką cichą i spokojną wobec gorących łez i pocałunków, jakimi uwielbiają ją rodzina i przyjaciele okrywali jej ręce, to choć wiem że te usta wymownie umilkły na zawsze, zdaje mi się, że się poruszają i słyszę głos: „Czy nie da się co zrobić dla biednych ludzi, dla nieszczęśliwych?”

Wieczory Rodzinne nadal trzymać się będą tego samego kierunku jaki niegdyś zakreśliła im Maryja Julia Zaleska, a szerzej rozwinęła p. Aleksandra Borkowska. W programie ich główne miejsce zajmować zawsze będzie miłość Boga i bliźniego — w tem dwoju bowiem wszystko się zamyka. Miłość ta daje niewyczerpane źródło najczystszych rozkoszy: ona tych, co żyją szczęśliwi u ognisk rodzinnych, uczy lepiej i rozumniej kochać; ona bezdomnym sierotom daje rodzinę i rozgrzewa zziębnięte serca, — ona wreszcie jest podstawą szczęścia ludów i narodów.

NIEDŹWIEDŹ

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

p. Zuzannę Morawską.

(Ciąg dalszy).

VI.

— Już to śnać tak sądzono, żeby od początku roku nie było w naszym zamku ani jednego dnia bez gości lub jakiegoś nadzwyczajnego zajęcia — mówiła pani Antoniowa do marszałka zakroczymskiego zamku.

— A jejmość chciała, żeby dni się przesuwaly, jak paciorki w różańcu — odpowiedział pan Ignacy.

— Co to za bezbożne porównanie grzesznych dni do świętego różańca, — odrzekła ochmistrzyni wzruszając ramionami — Aleć od czasu, jak przyjechałam z imci panią kasztelanową zaraz po jej ślubie, nie było takiej, jak teraz krętaniny.

— A acani dobrodziejce coraz ciężej się krzątać, boć to i latka idą, — rzekł śmiejąc się marszałek.

— Jeszczeć mi lata nie ciężą, boćem w ciało nie wzrosła nie skarżę się też, Boże uchowaj, jeno ot tak mówię i podziwiam naszą jejmość, że ma taki układ w głowie, a przed tak daleką podróżą o najumięjszej makule pamięta.

— Ba, nie wszystkie białogłowy mają rozum krótki, choć włosy długie, inna to i włosów się wyzbędzie, a rozumu ani wroty.

Pani Antoniowa miała wielką ochotę odpowiedzieć na to niegrzeczne ozwanie się imci marszałka, zacerwieniła się nawet z wielkiej alteracyi, nie było jednak czasu na dalszą gawędę, bo właśnie pacholcy wnieśli ogromną skrzynię podróżną, którą miano napełnić szatami dla jaśnie wielmożnej pani kasztelanowej, jako też i dwóch jej córek.

Niebawem weszła też i jejmość kasztelanowa w codziennym, domowej roboty wełniaczkę i sycowej chustce mister-

nie na bujnych włosach związanej, a spojrzawszy na wielki kufer rzekła:

— Ten będzie tylko na odświętne suknie, — trzeba jednak i drugi przynieść z lamusa, bo oprócz szat osobistych, trzeba też zabrać makaty do wyściełania ścian i kobierce do zasłania ław, stołów i podłogi.

— Alboż to dla jaśnie wielmożnego kasztelana nie będzie w takim wielkiem mieście godnego mieszkania? — spytała ochmistrzyni.

— Ach, co też to waspani mówi, moja Antoniowo, czyż to wypada żebyśmy zajeżdżali do cudzego domu i nie przybrali go przystojnie! Wczoraj jeszcze pan kasztelan wysłał umyślnego, żeby dom dla nas wynajął, trzeba się z tem spieszyć, bo imci pan Orba który z zaproszeniem na koronację przyjechał, powiada, że zjazd będzie niepowszedni, to i o locum właściwe będzie trudno.

— Eh! dla jaśnie wielmożnego kasztelana i jego rodziny, zawsze się znajdzie locum, — rzekła z pewną dumą ochmistrzyni.

I zaraz dodała:

— To i podniebie czerwone nad łożę trza zabrać, a też pewnie i te wysokie świeczniki imci pan marszałek każe zapakować.

— Co do świeczników, sreber i innych kosztowności to już niech tam sobie myśli pan Ignacy, my i tak mamy dość na głowie, — odrzekła kasztelanowa.

— Oj, co prawda, to prawda! Przecie trzeba i o pięknem przystrojeniu dla kasztelanek pomyśleć, boć to tam pewnie i na dwór królewski wypadnie, a zawsze w stolicy, takim wielkiem mieście, nie chodzi się w samodziałkach, jak tutaj.

— To też już pomyślałam, — odrzekła kasztelanowa — dla Jadwisi przerobi się z mojej panińskiej czarnotowej zielonej ze złocistą lamą u dołu i kołnierzem, a dla Anusi z tej błękitnej poljubki, com ją na wyprawę dostała. Jeno trzeba oszyć puszkiem białym, boć sobolowe brzeżki nie dla niej.

— Co nie, to nie, toć to tylko dla statecznej białogłowy; a co puszku, też nie braknie. Tyle się gęsi teraz zabiło, kazałam sobie pooddawać zdarte nie skubane szyjki, jeno je sama muszę wyprać i roztrześć, — bo to, panie odpuść, — na nikogo się spuścić nie można! — mówiła ochmistrzyni układając do wielkiego kufra rozmaite szaty.

Jeżeli w komnatach pani kasztelanowej panował ruch daleko większe jeszcze czyniono przygotowania do podróży, ze strony kasztelana.

W stajni, zbrojowni i szatni, wszyscy się krzątali, kilku krawców i kuśnierzy pod okiem pana Ignacego pracowało nad odświeżeniem, lub przerabianiem barwistych kontuszów, żupanów, bogatym sukmem podbitych delii, czapek sobolowych i rozmaitego odzienia, nietylko dla samego kasztelana, lecz dla trzech jego synów i Kazika.

Oprócz zaś krętaniny i niezwykłego zajęcia około przygotowań do wyjazdu, goście się zjeżdżali. I jeszcze śnieg nie zdążył przyprószyć śladów po odjeżdżających z imieniem pana kasztelana, kiedy przybył imci pan Orba szlachcic z pod Piotrkowa, który z rozkazu sejmu objeżdżał Mazowsze rozpoznając wici o mającej się odbyć 20 lutego 1530 roku koronacyi małoletniego Zygmunta.

Z imci panem Orbą przyjechał jednocześnie znany nam już dworzanin królowej Bony, Basaty, który jako świadom drogi, wysłany został po Kazika, aby go niezwłocznie na dwór królewski dostawił.

— Jaśnie wielmożny kasztelanie, istne czary dwór jaśnie wielmożnego pana rzucił na naszego miłościwego królewicza. Od czasu jak powrócił, nie jeno o zakroczymskim zamku wspomina, — mówił Basaty, kłaniając się do kolan panu Baltazarowi.

— Miłeć mi słowa waszeci, a miłsze jeszcze i to, że pod moim dachem upodobało sobie królewskie dziecię.

— Ba, jak nie miało upodobać! toć każdemu tu jak w niebie; to też nasz królewicz wciąż opowiada nietylko o Kaziku, którego chce mieć dworzaninem, a którego wciąż

niedźwiedziem nazywa, ale i o jaśnie wielmożnych kasztelanicach, jako się z niemi cudnie zabawiał i o jaśnie wielmożnych kasztelankach, co go pierniczkami obdarowały. Ba nawet o pieśniach i muzyce, mówi, że cudniejsze od muzyki wyprawianej na dworze królowej.

— Hm, hm, w łaskawych oczach królewicza, — odrzekł kasztelan.

I zaraz dodał:

— A może tylko w wymownych ustach waszeci.

— Jaśnie wielmożny panie, gębę mi Pan Bóg dał do gadania, alić jestem wysłany przez królową jejmość i miłego nam królewicza, toć mi się godzi jeno słowa ich powtórzyć, zabrać za waszem zezwoleniem młodego dworzanina i wracać co rychło

— Nie mam nic przeciw temu, jeno wiedz acan, żeś nie do karczmy zajechał żebyś wygadawszy pocić przysłało, zaraz miał nawracać, — odrzekł kasztelan.

— Pozostanęć, jako wola ja-

do pana Ignacego, któremu przytem opowiadał o wielkich uroczystościach, jakie mają nastąpić w Krakowie.

Niewieleć on sam o tem jeszcze wiedział, boć zaledwie po powrocie dwie noce przespał, a już mu kazano nawracać, nie przeszkadzało mu to jednak niestworzone rzeczy opowiadać, tem więcej, że i pan Orba wyciągał go na słówka, a jako człowiek wielce krotochwilny z opowiadającego żarty sobie stroił.

Tymczasem pan kasztelan naradziwszy się z żoną, wydał rozkazy, żeby z jego własnej krytej flamandzkim sukniem lisiurki, kuśnierz z miasteczka przerobił kubrak dla Kazika, a krawiec przypasował błękitny z jedwabnej materyi żupan. Pani Łucya zaś kazała uszykować węzełek z bielizną mowiąc:



Fig. 110. Ołowianka używana do mierzenia niewielkiej głębokości.

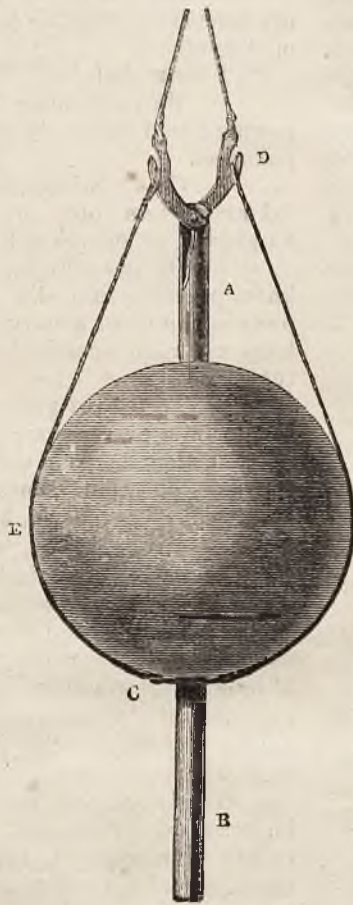


Fig. 111. Ołowianka do mierzenia wielkich głębokości w chwili spuszczenia się.

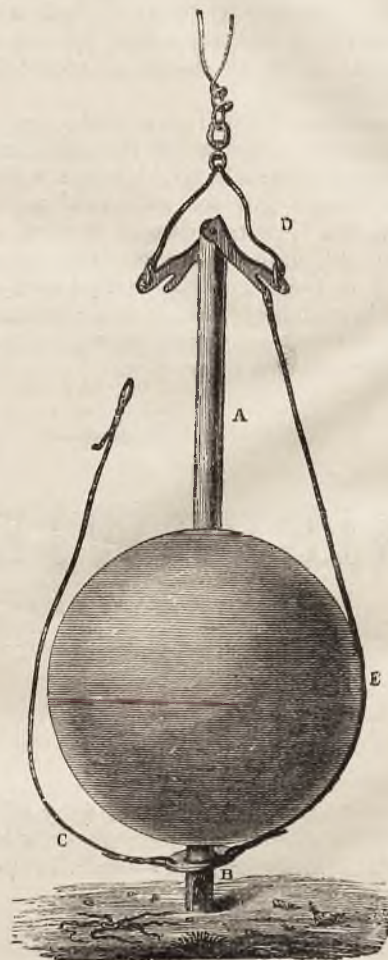


Fig. 112. Ołowianka na dnie morskiem w chwili spadania ciężaru.

śnie wielmożnego pana, jeno nie trzymajcie mnie długo, bo królewicz rzekł mi te słowa:

— A wracajcie mości Basaty, bo mi Niedźwiedź podczas koronacyi potrzebny.

— Jeno kukielkę zabrać można zaraz z kramu, gdy się za nią zapłaci, boć i konia bez obroku i opatrzenia, a też bez uzdy, uczciwy szlachcie nie puści, a wy chcecie, żebym tak bez opatrunku krewniaka puścił. Zamanawszy będzie wszystko gotowe, a że i my z całym dworem na koronacyą zjeżdżamy, toć wam łacniej będzie onego się trzymać.

— Honor nam przynosi łaska jaśnie wielmożnego kasztelana, alić nam wracać kazano... — odparł kłaniając się dworzanin.

— A to jedźcież sobie! — rzekł, machnąwszy ręką pan Baltazar.

Basaty skłonił się do kolan i poszedł na poczęstunek

— Toćiem go jako syna wychowała, trzebać jako syna opatrzeć.

— Szczęście spotyka chłopca, aleć niech nie powiedzą, żeśmy go bez odzienia wypuścili — dodał kasztelan, i kazał zawołać Kazika.

— Pójdźno ze mną, — rzekł — niedługo już tu będziesz popasać, trzeba, żebyś wszystkie kąty obszedł, a zapamiętał, boć niewiadomo kiedy znów będziesz, a może i nigdy.

— A toć mnie chyba stryju nie wypędzacie, a jakoście mi swą łaskę okazowali tak i nadal ją zostawcie, — rzekł Kazik, schylając się do nóg pana Baltazara.

— Nie mówięć o wypędzaniu, boć dotąd nie zozydziłeś się niczem, jeno ci to powiadam, że dworskie życie ślizkie, patrzaj więc żebyś nie upadł. Wielu tam spotkasz ludzi różnego charakteru i różnej dobroci, jeden ci zajrzy łaski pań-

skiej, drugi będzie schlebiał, umiejże sobie z nimi poradzić. Boć dwór królewski to wielki młyn, zwożą tam zboże aleć trzeba ziarno od plewy rozpoznać. Masz też i szczęście do ludzi, aleć go nie nadużywać ani chelpić się nim nadto nie trzeba.

Tak gawędząc doszli w podwórzec, a pan kasztelan zatrzymał się przed stajniami i zawołał:

— Hej, wyprowadzić mi tu dzikiego kasztanka.

Masztalerz zjawił się zaraz, a nie pozwalając tknąć się czeladnikowi, sam własnoręcznie wyprowadził młodego, ślicznej budowy a nader ognistego konia. Wyprowadzając zaś spojrział z pod oka na Kazika i uśmiechnął się nieznacznie.

— Dosiądź-no, możeć ci się lepiej uda, niż gościom! — rzekł kasztelan do Kazika. — Wstyd mnie było, że żaden z przybyłych nie mógł go pokonać, a swoim przy gościach pozwalać nie wypadało. — dodał na poły do siebie!

Koń nie był osiodłany, przez cienką jego ciemno-złotawą skórę znać było nabrzmiałe w burzonoj krwi tętno, a rozszerzone nozdrza świadczyły, iż trudna to była do poskromienia sztuka.

Kazik na rozkaz stryja zaczerwienił się po same uszy, spojrział na rozognionego rumaka, który dotąd tylko jednemu masztalerzowi pozwalał się prowadzić i nie namyślając się długo odstąpił kilka kroków, rozpędził się i podskoczył na grzbiet konia, a nim ten zdołał się opamiętać, ścisnął go kolanami i uchwycił uzdę z rąk masztalerza.

Koń parsknął, wstrząsnął się cały, usiłował stanąć dęba zrzucić jeźdźca, lecz trzymany silnie kolanami nie mógł tego uczynić. Wyrzucił więc kilka razy łbem, uderzył niecierpliwie kopytem, okrył się pianą, wreszcie widząc, że wszelkie usiłowania pozbycia się jeźdźca na nic się nie zdadzą, począł iść zwolna, wkrótce jednak puścił się tak szalonym galopem, iż zdawało się że i koń i jeździec padną bez tchu lub nawet bez życia. Kazik pochylił się nieco, trzymał jednak rozszałego rumaka. Masztalerz i kasztelan nie śmieli rzec słowa, patrzyli tylko, czy aby zwierzę nie wpadnie na jaką zapórę, która go od razu o upadek przyprowadzi.

Podwórzec był pusty, umyślnie ku takim harcom raz na zawsze przygotowany, kłody drzewa leżały tylko tuż pod ścianami budynków, te więc nie przeszkadzały do biegu. Lecz wrota wychodzące na drugi podwórzec były otwarte, bano się więc, ażeby koń wybiegłszy za nie, nie trafił na porozstawiane sanie i wozy. Ale Kazik z całym wysiłkiem zmusił szalonego rumaka do ominięcia wrót i raz wtóry obiegał do koła podwórzec.

Koń widząc próżne usiłowania, zaczął zwalniać pędu, a okrążając trzeci raz, biegł już tylko zwykłym galopem. Wreszcie wstrzymany silną dłonią, stanął na miejscu, robiąc pierściami, błyskając zakrwawioną żrenicą i ziejąc rozdętymi nozdrzami, z których obficie spływała pianą.

Zaledwie Kazik osadził konia, masztalerz pochwycił go przy chrapach i zarzucił na łeb ciemną zasłonę. Kazik zeskokczył, a foryś nakrył wełnianą derą zwierzę spienione, które dało się teraz prowadzić i szło powoli, czując, że znalazła się siła, która jego nieugiętą dotąd wolę do posłuszeństwa zmusiła.

Lecz Kazik, stanąwszy na razie krzepko zupełnie, zachwiał się nagle i mimo całego wysiłku runął jak długi na ziemię

Kasztelan z najwyższą troskliwością pochylił się nad nim, zbiegli się ludzie, usiłowano go podnieść, ale chłopiec błady, nie dawał prawie śladów życia i na wielkiej derze musiano go ponieść do zamku.

— Kazik, Kazik! — zawodziła załamując ręczki Anusia, która ujrawszy przez okno idących ostrożnie z leżącym, wybiegła na podsienie.

— Mamo, Kazikowi się coś stało, przynieśli go jak nieżywego! — zawołała Jadwisia, wbiegając do matki.

Rzeczywiście Kazik leżał na dwóch zestawionych ławach w tej samej wielkiej komnacie, w której przed kilku dniami krążyły puhary i rozbrzmiewały głośne rozmowy go-downików. Leżał błady bez ruchu, a Anulka odgarniała mu z czoła włosy wołając:

— Kazik, Kazik, obudź się, ja nie chcę, żebyś był taki błady, taki smutny.

I ocierała mu czoło, po którym krople zimnego potu spływały.

(d. c. n.)



Fig. 113. Spuszczanie ołowianki na okręcie Talisman.

W OTCHŁANIACH MORSKICH

PRZEZ

Dr. M. Stefanowską.

(Dalszy ciąg.)

Na ryc. 110 widzimy ciężar ołowianki A., przez który biegnie pręt żelazny C. zakończony u góry pierścieniem przeznaczonym do przywiązania sznura albo drutu; u dołu widzimy wiaderko B., jest to naczynie do zaczerpnięcia próbki ziemi z dna morskiego. Nad wiaderkiem znajduje się krążek skórza-

ny D., gdy ołowianka się spuszcza, to wskutek oporu wody, krążek podnosi się do góry. Gdy zaś ciężar ołowianki oprze się o dno, wiaderko B. napełnia ziemią; przy podnoszeniu się ołowianki skórzany krążek (wskutek tegoż oporu wody) przylega szczelnie do wiaderka, zakrywa je i zapobiega wyspaniu się ziemi.

Atoli łatwy ów sposób sondowania może być zastosowanym jedynie na niewielkiej głębokości, a niepraktycznym się staje w wielkich otchłaniach najprzód dla tego, że ołowianka przynosi zbyt małą próbkę dna, a powtóre, podczas długo trwającego wyciągania ołowianki, wiaderko ociera się o wodę, często się wypróżnia i nie przynosi żadnej próbki. Zresztą wyciąganie takiej ołowianki z wielkich głębín przedstawia niesłychane trudności z powodu ogromnego ciężaru ołowiu oraz długości odwiniętego sznura. Musiano tedy udoskonalić pierwotną ołowiankę.

Rozmaite bywają kształty ołowianek obecnie używanych, lecz wszystkie one mniej lub więcej zbliżają się do przyrządu, wynalezionego w 1854 r. przez marynarza amerykańskiego Brooke. Główna zasada teraźniejszych ołowianek polega na tem, że ciężar, który służył do jej zanurzenia, spada w chwili, gdy ołowianka opiera się o dno morskie; wyciąganie ołowianki staje się następnie o wiele łatwiejszem, ponieważ ciężar jej pozostał na dnie.

Na ryc. 111 widzimy ołowiankę Brook'a w chwili spuszczenia się; ciężarem jej jest wielka kula metalowa, ważąca około 80 funtów, kula zawieszoną jest na ramionach D. ołowianki.

Ryc. 112 wyobraża chwilę, gdy ołowianka oparła się o dno morskie swym końcem B, ramiona jej D spuściły się przytem na dół, sznury się z nich ześliznęły, a kula, nie podtrzymywana już niczem zostaje na dnie, gdy ołowiankę zaczęną podnosić. Dodajmy na koniec, że dolna część ołowianki posiada wydrążenie, które napełnia się ziemią morską; przy podnoszeniu zaś ołowianki skórzana klapka zamyka szczelnie to wydrążenie. W najnowszych ołowiankach zamiast kuli, używają walca, któremu woda stawia mniejszy opór. Sznur wreszcie zastąpiono stalowym drutem, o wiele lżejszym od sznura konopnego i dlatego wyciąganie z morza ołowianki wymaga mniejszej siły. Pomimo to stalowy drut jest bardzo mocny, gdyż może utrzymać ciężar równający się 140 kilogramom, t. j. około 350 naszych funtów. Drut smarują tłuszczem, aby uchronić go od zniszczenia w wodzie morskiej. Spuszczanie ołowianki do wielkiej głębiny trwa godzinę, z powodu oporu wody; a wyciąganie ołowianki bez ciężaru wymaga około dwóch godzin.

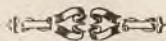
Rzecz naturalna, że spuszczenie ołowianki do wielkich głębín wymaga skomplikowanych przyrządów. Ryc. 113 przedstawia właśnie chwilę spuszczenia ołowianki na okęcie *Talisman*. Nie wchodząc w szczegóły tej trudnej czynności dodamy tylko, że drut długość 8,000 metrów nawinięty był na walec, a odwijał się i nawijał za pomocą maszyny parowej. Prócz tego specjalny przyrząd automatyczny wciąż wskazywał na cyferblacie, ile metrów druta zostało odwiniętych, a gdy ołowianka oparła się o dno, i przyrząd automatyczny nagle się wstrzymał, wówczas odczytywano na cyferblacie głębokość morza.

Dzięki owym udoskonaleńmiom pomiary głębín morskich dokonane przez *Talismana* są nadzwyczaj ściśle. Podczas sondowania okręt był o ile możności nieruchomy.

Pomiary oceanu były dotychczas zamało jeszcze liczne tak, iż głębokość jego w wielu miejscach znana jest zaledwie w przybliżeniu, albo też wcale nie jest znana. Dla tych to przyczyn w naszych czasach niepodobna jeszcze było nakreślić mapy dna morskiego z taką dokładnością, jaka cechuje mapy lądów. Spodziewać się jednak możemy, że w przyszłości ląd podmorski będzie ludziom równie dobrze znany, jak ziemia po której chodzimy. Obecnie jedynie morze Śródziemne i ocean Atlantycki znane są hydrografom lepiej od innych mórz, a to dlatego, że są one otoczone cywilizowanymi krajami, przeto badania były tu łatwiejsze, niż na innych morzach. Zwłaszcza morze Śródziemne, na dnie którego

biegną tak liczne linie telegraficzne, musiało odkryć nam swe tajemnice. Atlantyk i morze Śródziemne posiadają zatem swe mapy, nakreślone wprawdzie w przybliżeniu, dają jednak dostateczne pojęcie o rozkładzie w nich wyżyn i zagłębín. Ogólnikowo powiedzieć można, że w oceanach największe głębiny znajdują się nie w środku, jakby się zdawać mogło; ale przeciwnie, leżą one w bliskości lądów, zawsze u stóp stromych gór, zawieszonych nad brzegiem morza.

(d. c. n.)



NA POLANCE

powieść

P. E. Jerlicza.

(Dalszy ciąg)

— Wdzięczny jestem serdecznie za wszystko, co pan zamierza dla mnie uczynić.

— Niema za co! A teraz wypijemy sobie po kubku wina dla obłania naszej znajomości.

— Dziękuję, nie mogę dziś jeszcze przyjąć.

— Dlaczego?

— Bo nie jestem w stanie odplacić się panu tem samem.

— Zostaniesz więc pan moim dłużnikiem, a mnie też więcej zależeć będzie, abyś mi miał z czego oddać. Nazywam się Jan Vial do usług pańskich.

Nie zwłócząc dłużej, pocziwiec ten kazał podać pół litra wina i pół bułki białego chleba, a zapewniam was, moje dzieci kochane, że nigdy żadna uczta nie smakowała mi tak, jak spożyty chleb z tym zacnym, prostym robotnikiem.

A czy też naprawdę ten Vial wyrobił panu miejsce, które obiecał? — spytał znów Henryk.

— A jakże! Nazajutrz z rana zaszedłem do tej samej restauracyi, gdzie nowy mój znajomy dopomógł mi się przebrać w niebieską bluzę, poczem udaliśmy się obaj do jego pryncypała.

— Jesteś pan przyjętym, a nawet wytargowałem trochę lepsze warunki — rzekł do mnie — po chwili z nim rozmowy, i poprowadził mię zaraz do ogrodów, gdzie odtąd pracować miałem.

Wyznam wam, moje dzieci, że osłupiałem poprostu, znalazłszy się wśród tego iście zaczarowanego zakątka, w którym piękność kwiatów, owoców i warzywa, przedstawiały mi ogrodnictwo zupełnie inaczej, jak dotychczas było mi znane. A jaka tam uprawa, jak każdy kawałek ziemi spożytkowany właściciwie i pielęgnowany starannie, aż miło patrzeć było! A że to zawsze miałem niejaką żyłkę do uprawy roślin, rozkochałem się formalnie, mówię wam, w tych ogrodach i lżej mi było pracować myśląc, że przykładam rękę do dzieła tak pięknego.

— I pan tam pracował jak prosty robotnik? — spytała jedna z dziewczynek.

— A naturalnie, z początku kopałem i rozwodziłem ziemię taczkami, lecz ciekawość pchała mnie, abym się coraz lepiej ze wszystkim obznajmił, to też ogrodnik, pod którego byłem nadzorem, widząc moją gorliwość, używał mnie do coraz delikatniejszych robót, wyręczał się mną coraz częściej, aż w końcu objąłem dział przeznaczony dla skończonych ogrodników.

— A z pocziwym Viałem widywał się pan zawsze? — spytała Stasia.

— Łączyła nas przyjaźń nieledwie, bo co za prawość duszy, jakie złote serce kryło się pod bluzą tego pracy oddanego człowieka. Po Andrzeju Palfym nie pamiętam, abym

kogo tak kochał jak jego. Kiedym mu dziękował za to wszystko, co uczynił dla mnie, odpowiedział z prostotą: Mój panie, co się panu zdaje? Ludźmy przecież jesteśmy i powinniśmy sobie wzajemnie pomagać.

— Ale! niechno dziadunio opowie, jak to go przyjmowała cała rodzina ogrodników, gdy się dowiedzieli, kim dziadunio był przedtem, że go zdobyły szlify oficera wojsk węgierskich.

— A no tak, zdziwienie było wielkie, a tego wszystkiego sprawcą był S., kolega mój z pułku, — odezwał śmiejąc się dziadunio.

— Widzicie, moje dzieci, zdarzyło się raz, że w teatrze dawali jakieś ciekawe przedstawienie, na które wybraliśmy się oba z Janem Vial. Teatr był przepelniony. Mimo tego spostrzegłem w pierwszych rzędach niejakiego S., o którym nawet nie wiedziałem, że był w Paryżu, a znajomość to była dawna, służyliśmy bowiem razem w pułku; S. był chłopcem poczciwym, choć trochę szalawila i lekkoduch, miał też znaczny majątek po rodzicach. Ale i on mnie niebawem dojrzał, i nie wstydząc się znajomości z kimś, co siedział aż na paradyżu, skorzystał z pierwszego antraktu, aby mnie wynaleźć, rzucił mi się na szyję i wyściskać się serdecznie, nawet z Janem Vial, którego mu przedstawiłem, jako swego przyjaciela, zaznajomił się nieco. Mnie naturalnie zasypał gradem pytań, gdzie się obracał przez cały ten czas, i co porabiam w Paryżu. Kiedy się dowiedział, że pracuję u ogrodnika, znanego zresztą w całym mieście, przyrzekł, że mnie odwiedzi i uścisknąwszy raz jeszcze, wrócił na swe miejsce, bo już dzwonek oznajmił podnoszenie się kurtyny.

— I odwiedził pana? — zapytał Zygmunt.

— A jakże, — potwierdził dziadunio. — Chociaż i sam myślałem, że rozbawiony życiem wielkiego miasta młodzieńiec zapomni o swojej obietnicy. Przeszedł jednak, a nie zastawszy mnie, zaproszony został do domu przez żonę mego pryncypała, która wzięwszy go za wielkiego pana (chłopiec bowiem był niezmiernie elegancki i szykowny) myślała, że przybył zamówić jakąś większą dostawę kwiatów lub owoców.

Oczywiście nie domyślałem się niczego. Wróciwszy więc do domu, udałem się jak zwykle do mego zwierzchnika aby mu zdać sprawę z poczynionych dostaw nasion, kiedy ten za mojem wejściem wstaje cały rozpromieniony, traktuje mnie z wyszukaną grzecznością i zaprasza do siebie na obiad. Nie chcę wierzyć własnym uszom, bo chociaż pryncypał nasz przypuszczał swoich pracowników niekiedy do swego stołu, zdarzało się to jednak tylko w wielkie uroczystości. Nie umiałem więc sobie tej szczególnej grzeczności wytłómaczyć. Ale co miałem robić? Uwieram się tedy odświeżnie i idę. Tutaj zastaję już całą rodzinę zgromadzoną, a wszyscy wyświeżeni, witają mnie uroczystie i patrzą na mnie tak, jakby mnie po raz pierwszy ujrzeli. Co u licha? myślą robić. Co się stało tym poczciwym ludziom. Aż nadchodzi też S. i rzuca mi się na szyję. Wtenczas mój zwierzchnik poczyni mi prawie o honorze, jaki go spotkał, że wśród swoich pracowników liczy mnie, senatorskiego syna, bo ten S. wszystko im wyśpiewał, aż do moich stosunków rodzinnych, i oficera z wojny węgierskiej.

— Śmiejąc się odpowiedziałem, że wspólny zaszczyt: on że mnie zna, a ja że pracuję w jego ogrodach, wszystko zaś zawdzięczamy szlachetności Jana Viala, którego przyjaźń, uważam za najcenniejszą zdobycz. Skutek tych naszych wzajemnych oświadczeń był taki, że i Jan niebawem zasiadł z nami do stołu, a gdy uroczysty nastrój moich gospodarzy stopniał po pierwszym daniu, reszta wieczoru przeszła wśród takiej wesołości, jak to Francuzi jedynie weseli być umieją.

— Odtąd byliśmy dość częstymi gośćmi w tym domu, a Vial, który był niezmiernie zdolnym, pracując nad sobą, nabył ogólnego wykształcenia i poloru, dał się poznać ze swoich zalet, a pozyskawszy przychyłność rodziców, wkrótce poślubił ich córkę. Teraz objąwszy na siebie część zajęć swego teścia, chciał mię uczynić współnikiem. Była to najpewniejsza dla mnie droga do fortuny.

— I pan nie został jego współnikiem? — zapytał ktoś ze słuchaczy.

— Nie mogłem. Tęsknota za ojczyzną dręczyła mię dniem i nocą. Więc jak tylko zebrałem trochę grosza, pośpieszyłem w swoje strony. Zegnany ze łzami w oczach przez moich zacnych przyjaciół i towarzyszy pracy, wróciłem, aby objąć w posiadanie kilka włók pustki, jaką wówczas przedstawiała Polanka.

— Co! — zawołali ze zdumieniem chłopcy — Polanka była taką pustką?

— Z jednej strony wydma piaszczysta, z drugiej dom bez dachu i okien — odpowiedział, śmiejąc się dziadunio.

— Jakże pan poradził sobie? — zapytał Zygmunt.

— A poradziłem. Miałem, widzisz mój chłopcze, dwa cudowne narzędzia do pomocy: pracę i wytrwałość. Zasiałem las, założyłem ogród i jakoś poszło. Napracowałem się, bo napracowałem, na dłoniach miałem skórę jak kość twardą, ale też za to każde drzewko w ogrodzie, każda sosna w lesie, są moją rzeczywistą własnością, bo wypielegnowane moją własną dłonią. A wierzenie mi młodzi, że takie uczucie daje w życiu wielkie zadowolenie i pociechę. Ale oto późna już pora, czas na spoczynek. Dobranoc dzieci, bywajcie zdrowi! a pamiętajcie jutro stawić się na wyprawę!..

IX.

Nazajutrz po południu zdawało się, jakby wojsko karlików wtargnęło na dziedziniec Polanki, tak się tam roiło od drobnych postaci. Zgromadziła się bowiem na wezwanie dziadunia zarówno młodzież letników, jak i dziatwa przybyła na kolonię, a każde dziecko niesło na ramieniu grabie lub tyczkę od grochu. Starsze paniątki i chłopcy ustawiali dzieci w gromadki niby drobne oddziały, które przechodziły pod nadzór jednego z nich. Wielkie też ożywienie widne było na wszystkich twarzach. Kiedy już całe lilipucie wojsko uszykowane zostało i każda gromadka wiedziała kogo się trzymać i komu być posłuszną, ukazał się dziadunio na ganku, w swoim ogromnym kapeluszu słomianym, i popatrzawszy z zadowoleniem na taki zastęp, zawołał wesoło:

— Do szeregu, naprzód, marsz! I ruszył sam na czele, a dziatwa postępowała za nim ochoczo, pilnując się porządku.

W pół godziny potem znaleźli się wszyscy na piaszczystej wydnie pod młynem. Była to istna pustynia: piaski i nie tylko piaski, jak okiem sięgnąć, w którąkolwiek bądź stronę. Te to wydmy dziadunio, przybrawszy sobie do pomocy młodzież, zadrzewiał od lat kilku, a wspólna praca starszka i dzieci, polegała na tem, że otrzymane nasienie z zebranych ubiegłego roku szyszek w lesie, zasiewano tu w piasek z tak pożądanym skutkiem, że znaczną już część wydmy pokrywały drobne wyrostki sosenek, podobne do małych gałązek wyrosłych szparagów. Obecnie już niewielka część tej przestrzeni pozostała do zasiania, i dziadunio ułożył sobie że dokokończy w tym roku chwalebne swego dzieła.

Małe wojsko wkroczyło na piaszczystą przestrzeń. Tutaj dziadunio ustawił dzieci szeregiem o trzydzieści kroków jedno od drugiego i komenderując, zalecił każdemu zakreślać tyczką lub trzonkiem od grabi przebieżoną przez siebie przestrzeń, podzieliwszy w ten sposób wydnię na dość równe kwadraty, które następnie starsi zasiewali, a drobna dziatwa pracowała grabiami, aby rzucone nasienie nie uniósł wiatr, lub nie wyzbierało ptactwo. Robota szła aż miło, a co przytem było śmiechu i wesołości!

Joasia, uwijając się zżawo, czuła niezmiernie zadowolenie i uśmiechała się życzliwie do swoich małych pomocników. Nawet Zenia, zadzierająca zwykle w górę nosek, uległa temu prądowi ogólnej pracy i wesołości, a dziadunio przechadzając się wśród młodych pracowników, chwalił, pokazywał, nauczał i uśmiechał się dobrotliwie.

— Proszę pana! — zawołała Stasia, przybiegając do starszka z zarumienioną od zmęczenia twarzą — zdaje się, że dziś skończymy już całą robotę.

— Tak — odpowiedział dziadunio — ale to jeszcze nie wszystko. Musimy usypać kopiec pamiętkowy.

— Jakże to będzie? Poco ten kopiec? — pytało zdziwione dziewczę.

— Tak się zwykło robić po dokonaniu porządnego dzieła i my tak zrobimy. Sporządzimy więc akt, w którym opiszemy co i jak zrobiliśmy, podpiszemy się na nim wszyscy co do jednego imieniem i nazwiskiem, wsuniemy papier do butelki, zakorkujemy mocno, włożymy w piasek i usypimy na tem miejscu wysoki kopiec. A proszę tylko wyobrazić sobie, jak to za lat sto. dajmy na to, ktoś go rozkopie i z dokumentu się dowie, że te drzewa, które wysoko już wtedy oczywiście wyrosną, sadiły dzieci ot i takie małe, nie mające więcej nad lat siedm.

— Śliczna myśl, proszę pana! usypimy, usypimy kopiec! — zawołała Stasia.

Zamiar ten podobał się nietylko Stasi, lecz cała gromadka przyjęła go z niezmiernem zadowoleniem. Podjęto teraz myśl: kto ułoży akt i w jaki sposób.

— Ja ułożę! — zawołał Zygmunt, którego ojciec był rejentem — W kancelaryi mego ojca układają się rozmaite akty: sprzedaży, kupna, mam już trochę pojęcia jak się takie rzeczy pisze.

— Bardzo dobrze, mój rejencie — powiedział z uśmiechem dziadunio. — Bardzo dobrze, wyszukujże na jutro ów dokument, a my się podpiszemy.

Zadowolony z okazanego mu zaufania chłopiec, zamyślił się poważnie, jakby już zabierał się do układania odpowiedniej osnowy aktu. Tymczasem poczynało się zmierzchać, a że robota była skończoną, uszykowano gromadkę dzieci do powrotu.

Pomimo zmęczenia kilkogodzinną pracą, twarzyczki wszystkich były wesole i pewne siebie, a gwar, rozmowy i śmiechy, nie ustawały ani na chwilę.

Na pół drogi spotkano drugą, mniej wprawdzie liczną gromadkę, lecz już dorosłych osób. Były to mamy i ciotki pozostałe na Polance, które teraz wyszły naprzeciwko dzieci. Romcio ujrawszy swoją mamusię, wybiegł z szeregu i wymachując rączkami, zaczął opowiadać o dokonaniem dzieła, w którym i on brał udział.

— Zasiadaliśmy, wszystkośmy zasiali — wołał. — Już nie będzie piasku, tylko wyrosną drzewa duże, duże i zrobi się las, taki ogromny las!

(d. c. n.)

Z DALSZEGO ŚWIATA.

Morze martwe w Ameryce. — Pociąg zatrzymany przez gąsienice.

Podobnie jak Palestyna, tak i Stany Zjednoczone posiadają swoje „Morze martwe”, które dla leczniczych własności swych wód, nosi u krajowców nazwę „lekarskiego”. Położone jest ono w południowej części Stanu Waszyngtońskiego, na wielkiem płaskowzgórzu otoczonem przez rzekę Kolumbią, na wysokości 610 m nad powierzchnią oceanu Spokojnego. Ponieważ w morze to nie wlewa się żadna rzeka, a poziom zostaje tu jednaki zawsze, pomimo znacznego parowania w suchem tamtejszem powietrzu, przeto istnieje przypuszczenie, że wielkie to jezioro jest zasilane przez źródło mieszczące się wewnątrz własnej jego kotliny. Zawartość soli jest tu prawie równie wielka, jak w morzu martwym palestyńskiem, o którym wiecie z historii świętej. Według nowszych zwyczajów poszukiwań, jest ono zamieszkiwane przez pewne zwierzęta, mianowicie przez drobnego żółwia i osobliwą rybę długą na 20 cm. W promieniu do 2 km., dokoła jeziora brak wszelkiej roślinności na gruncie gliniastym.

Zeszłego lata (24 lipca) pociąg dążący ze stacyi Neuviég de Rouillac (we Francyi) najechał na gromadę gąsienic, pokrywających tor na przestrzeni 100 m. Gąsienice te objadły liście w lesie z jednej strony toru i przenosiły się na drugą. Mnóstwo ich zginęło pod kołami pociągu, ale jednocześnie wywiązało się tak silne tarcie, że pociąg stanął i mógł ruszyć w dalszą drogę dopiero wtedy, kiedy oczyszczono szyny z żywych, jak również i ze zgniecionych liszek.

Zamiast wieńca na trumnę ś. p. Aleksandry Borkowskiej, złożyły na ochronkę św. Piotra i Pawła Nr. 27, której zmarła była opiekunką.

Ludwika Hauke rs. 15. R. Skotnicka rs. 3. J. Szamocina rs. 3. J. Kizlerowa rs. 3. W. D. rs. 3. M. D. rs. 1. A. B. kop. 50. Pieniądze te odesłane zostały do redakcyi Kuryera Warszawskiego; złożyła w tym samym celu W. Skarzyńska na zakład Nieuleczalnych paralityków rs. 4.

NA KOLONIE LETNIE ZŁOŻYLI:

Bezimiennie rs. 1. Przyjaciółka Stokrotki kop. 50. Gołąbek z nad Wisły rs. 1 kop. 50.

Dla najbiedniejszych bezimiennie rs. 2.

Przypominamy o wczesnem **ODNOWIENIU PRENUMERATY**, na kwartał II-gi dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

TREŚĆ: U Piasta, wiersz (z ryc.) — Aleksandra z Chomętowskich Borkowska. — Niedźwiedź, powieść z XVI w. przez Zuzannę Morawską. — W otchłaniach morskich przez dr. M. Stefanowską (z ryc.) — Na polance, powieść E. Jerlicza. — Z dalszego świata. — **Dodatek:** U ciotki Polci (z ryc.) — Modlitwa dziecka, wiersz przez M. D. — Wróbelki przez Z. B. — Gołąbek Bożenny. — Łami-główki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

WIECZORY RODZINNE

KONKURS KALIGRAFICZNY.

Wyraźne, kształtne i czyste pismo jest w stosunkach życiowych rzeczą wielkiej wagi. Wszystkie niemal zajęcia i obowiązki nie mogą obyć się bez pisania, a każdy człowiek choć trochę wykształcony musi co najmniej listy pisywać dla utrzymania stosunków z krewnymi i znajomymi, i prowadzenia interesów swoich. To też do kaligrafii, czyli sztuki pięknego pisania należy się przykładać gorliwie zwłaszcza w początkach, kiedy się ręka najlepiej układa, a uczący się mają jeszcze wiele wolnego czasu.

Z listów i liścików, które odbieramy od czytelników Wieczorów, niektóre są pisane porządnie i ładnie, inne zaś pozostawiają nieco do życzenia. Pragnąc przekonać się, o ile wszyscy nasi młodzi przyjaciele i przyjaciółki *do lat 10 włącznie* dokładają starań w tym kierunku, oraz chcąc ich do tego zachęcić, urządzamy dla nich konkurs kaligraficzny.

W tym celu prosimy o nadsyłanie prób swojego pisma *do dnia 1 maja* r. b., a najlepsze, względnie do wieku piszącego, otrzymają od redakcyi nagrody w książkach.

Jak zwykle, próbę pisma pisać należy w dwóch liniach i co najmniej na pół arkusza dużego formatu. Każdy piszący winien podać: *dokładny adres imię, nazwisko i latu swoje*. Kto nie dopełni tych warunków, nie może się spodziewać nawet wzmianki w sprawozdaniu.

U cioci Polci.

(Dalszy ciąg).

— Już pozaginałem wszystkie paski, ale nie chcę leżeć płasko — rzekł Henryś.

— Trzeba wsunąć czubek każdego zagiętego paska pod czubek niezagiętego, np. czubek *a* pod trójkącik znajdujący się na jednym końcu, czubek czwarty pod pasek pierwszy i t. d.



(fig. 5).

— To wcale nie trudne i bardzo ładnie wygląda jak jest skończone (fig. 5); jaka to będzie wyborna zakładka do książki.

Zosia przypomniała sobie, że widziała u niani w książce, krzyżyk pleciony w ten sposób i poprosiła cioci, aby ją nauczyła jak się to robi.

— Chętnie — rzekła ciocia. — Trzeba najpierw naznaczyć formę krzyża na papierze za pomocą linii i ołówka, a potem wyciąć starannie podług narysowanych linii. Potem należy złożyć wpół każdy kawałek, ażeby znaleźć sam środek krzyża. Od tego środka trzeba zacząć. Złóżcie najpierw krzyż wzdłuż i potnijcie go w ukośne pase-



(fig. 6).

czki tak, aby się rozchodziły od środka (fig. 6). Potem złóżcie go we czworo i znów potnijcie ukośnie w tym samym kierunku co pierwsze. Wreszcie trzeba je zapleść tak samo, jak poprzednią zakładkę do książki.

Gdy krzyżyk został ukończony, Zosia pobiegła pokazać go niani i pochwalić się swoją robotą.

— Teraz zrobimy coś nowego — rzekła ciocia — ale tylko Irencie i Kaziowi powiem na ucho, jak się to nazywa, wy starsi musicie sami zgadnąć. Weźcie po kwadra-

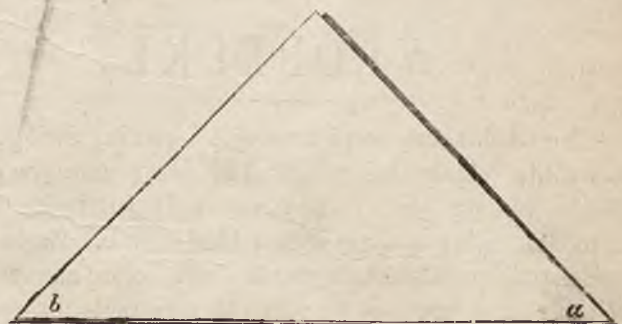


fig. 7.

towym kawałku papieru i złożcie go na wpół na ukos (fig. 7) kolorową stroną na zewnątrz. Dwa rogi nazywają się *a* i *b*

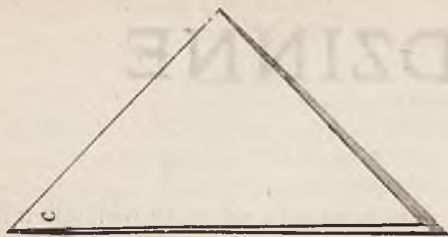


fig. 8.

(fig. 8). Górny róg nazwiemy *c*. Teraz położcie róg *a* na *c*, odwróćcie na drugą stronę i położcie *b* także na rogu *c*.
(*d. c. n.*)

Modlitwa dziecka.

Gdy do modlitwy uklęknie dziecię
I swą duszyczkę wzniesie do Boga,
To jakaś radość idzie po świecie,
A w sercu cichną bóle i trwoga,
Gdy dobre modli się dziecię.

I przez złociste słońca promienie,
Przez tych gwiazd srebrnych precudne blaski,
Przez nocy nawet ponure cienie
Płyną na ziemię szczególne łaski,
Gdy dobre modli się dziecię.

Chylą się trawki, chylą się drzewa,
Kwietnym kobiercem jaśnieją łąki,
Radośniej piosnkę swą ptaszek śpiewa,
Ziele swe barwne rozchyła pąki,
Gdy dobre modli się dziecię.

I milkną w dali odgłosy gromu,
Lśniący łza smutku prędko osycha,
I anioł szczęścia wchodzi do domu,
I cała ziemia stoi wkrąg cicha
Gdy dobre modli się dziecię.

I schodzą ku nam biali anjeli
Po tych tęczowych promieniach zorzy
I całe niebo wraz się weseli,
Bo tak łaskawie słucha Duch Boży,
Gdy dobre modli się dziecię.

M. D.

WRÓBELKI.

Na dachu cztero-piętrowej kamienicy świegocą nasze wróble. Mały Jaś mieszkał ze swoją mamą w ciasnej izdebce tak wysoko, że nad nią były już tylko chmury i obłoczki, ulicy zaś nie było widać wcale. Za to po dachu skaczą wróbelki, a mama Jasia, choć zawsze pilnie szyje bieliznę, opowiada o różnych zwierzętach, wesołych ptaszkach, przytem zbiera okruszynki chleba, które Jaś rozdaje potem swoim gościom.

Bo wróble były prawie jedynymi jego gośćmi. Na poddasze domu, które ma aż 4 piętra, niechętnie ludzie

zachodzą. Ale wróbelki fruwały bez zmęczenia, często więc odwiedzają gościnnego chłopca.

Ot właśnie w tej chwili przyleciał pod okno duży wróbel i czyści dziobek o blachę dachu. Musiał się gdzieś dobrze pożywić, bo tłusty i kontent z siebie.

Przywitał go drugi, siedzący na rynnie, ale ten był chudszy, zabawnie roztrzepywał piórka, jak gdyby chciał dodać sobie powagi.

— Witam, witam, kochanego sąsiada, przeszłego roku mieszkaliśmy tu razem!

— A to pan Szarzalski, bardzo mi miło — odpowiedział gruby wróbel — doprawdy nie poznałem, bo też podróżowałem dużo tego lata.

— Pan, panie Kręcicki nigdy nie posiedzisz na miejscu, powiedzże mi co słyhać na szerszym świecie? Tu w Warszawie nudy; nie dziwię się innym ptakom, że na zimę odlatują w cieplejsze kraje.

— To zupełnie jak ja, panie Szarzalski, mnie tu nie bawi. Spędziłem jesień na wsi, i przynajmniej niegłodny bywałem na stertach z pszenicą, ale czyż tu może co zająć rozumnego wróbla?

Wtem z komina odezwał się głos starej wróbliczki, znajomej Jasia, która tu oddawna miała swoje gniazdko.

— A wstydzicie się tak mówić, moi panowie. Widzę, że słusznie ludzie darmożjadami nas nazywają. Żyjecie z ich pracy, bo się wam nie chce nawet muchy złowić, i zamiast być wdzięczni, obgadujecie ich jeszcze. Moje dzieci nie nudzą się wcale. Niszczą szkodliwe owady, żeby się wywdzięczyć człowiekowi za jego pracę, a światogotem chwalą Pana Boga, który im dał życie.

Pan Kręcicki i pan Szarzalski, usłyszawszy tę naukę, stracili fantazyę i pofrunęli dalej, ale mały Jaś podsłuchiwał tę rozmowę i odtąd wszystkie uzbierane okruszki sypał wróbliczce z komina za to, że uczyła dzieci pracować i kochać to co swoje, bo mama Jasia uczyła go tego samego.

Z. B.

GOŁĄBEK BOŻENNY.

(Dalszy ciąg)

Słowa te wymówione przez córkę w serdecznym żalu, stały się dla matki, jakby promieniem światła wśród ciemności.

— Łaska Boża podała ci te słowa, dziewczeczko moja — zawołała pani Zalitowska po chwili ogólnego milczenia, bo oto przychodzi mi na myśl, że rzeczywiście jedynie ptak, jedynie gołąbek Bożenny oddać nam może tę pożądaną przysługę. Słyszałam jeszcze od ojca mego, że w krajach niektórych używają gołębi jako posłańców do miejsc, które im są znane. Spieszmy się więc wysłać naszego do Ostrobrzegu. Ptaki mają zmysł szczególnie wyszukania sobie dróg najkrótszych w swych napowietrznych wędrówkach. Ufajmy, że gołąbek Bożenny będzie chciał wrócić do swej dawnej pani i w drodze tej nie zbłądzi.

— Ach matuchno kochana, cóżby to za szczęście było, biegnę zaraz po gołąbka. On się też wcale nie będzie gniewał, że znów pobuja w powietrzu, tak dawno już siedzi zamknięty tam na górze w pokoju — wołała Ludmiła pełna dobrej wiary.

— Idź dziecko spiesznie, a ja tymczasem spróbuję opisać w krótkich słowach wszystko, co wiemy o zamierzonej napaści cyganów.

W parę chwil potem kawałek najcieńszego papieru, jaki był w domu, zwinięty starannie w rulonik, jako list do pana Ostrobrodzkiego, zawierający konieczne ostrzeżenie przed grożącym nieszczęściem, wisiał, przywiązany wstążeczką, u szyi oswojonego ptaka.

— Widzisz mój maleńki — mówiła Ludmiła, całując go w łebek — to rzecz bardzo ważna na tu masz u szyjki, pamiętaj oddać to swej pani, do której leć jak będziesz mógł najprędzej! I otworzywszy okno puściła gołąbka, który jakby zrozumiał słowa dziewczęcia, zatoczywszy jedno i drugie koło, w prostej linii skierował się w stronę zameczka.

— Teraz pozostaje nam jeszcze modlitwa, aby Bóg błogosławił dobrym naszym zamiarom — rzekła zacna wdowa — i klękawszy rozpoczęła piękny psalm Jana Kochanowskiego: Kto się w opiekę poda Panu swemu...

Nagroda.

Właśnie dnia tego i o tejsze prawie porze, siedziała Bożenna obok matki swojej, wykańczając pilnie haft jakiś w krosnach. Myśli jej błądziły po kalinowskim dworku, bo szczerze stęsknioną była za swymi młodymi przyjaciółmi, gdy nagle lekkie stuknięcie w szybę okna zwróciło jej uwagę.

— Gdyby nie pewność, że mego gołąbka tu niema myślałabym, że to on prosi, abym go wpuściła — rzekło dziewczę — i westchnęło smutnie, nie podnosząc wszakże oczu od roboty. Za powtórnym jednak stuknięciem zerwała się żywo i poskoczyła do okna.

— Mateczko, mateczko — zawołała w tejsze chili, to naprawdę mój gołąbek, poznaję go, to on niezawodnie — tylko, że ma czerwoną wstążeczkę u szyi; pewnie Ludmiła tak go wystroiła, a on jej uciekł, mały niepoń! Chodź, chodźże teraz, kiedy przypomniałeś sobie Ostrobrzeg — i trafiłeś do nas, ty mądry ptaku, mówiła ujmując gołąbka w obie ręce i pieszcząc go delikatnie.

— Ale mateczko, tu u wstążki przywiązany jest, paperek jakiś — zawoła po chwili, co to może znaczyć?...

— Domyślam się, że z listem od twej przyjaciółki przyleciał gołąbek — rzekła pani Ostrobrodzka z uśmiechem — odwiąż wstążeczkę i pokaż mi ten papier.

Bożenna spiesznie spełniła polecenie swej matki, która nie przeczuwając nic'złego, z uśmiechem zadowolenia rozłożyła list, niebawem jednak twarz jej poblądła i z widocznym niepokojem rzekła:

— Jakie to szczęście, że ojciec dotychczas nie wyjechał, jak to było jego zamiarem, poproś go prędko tu do pokoju, moje dziecko. List z Kalinówki ważnych udziela nam wiadomości!

P. Ostrobrodzki powiadomiony o wszystkim zwołał służbę, a ze stanowczością i spokojem właściwym rycerzo-

wi, który w niejednej trudnej chwili znajdował się już w swem życiu, wydał odpowiednie dla bezpieczeństwa zamku rozkazy. Podniesiono most zwodzony, zatarasowano bramę, i zbrojną straż rozstawiono na wałach. Z nadejściem wieczoru zabronił nawet zapalać światła, a mieć baczność na każdy ruch w pobliżu. Wyćwiczona załoga spełniała rozkazy pana szybko z wielkim spokojem, by nie zdradzić się niczem przed czujnym zapewne nieprzyjacielem. Gdy noc rozpostarła swe cienie nad zameczkim Ostrobrodzkim, wśród głębokiej ciszy, wysunęli się cyganie ze swych kryjówek, pewni łatwej i bogatej zdobyczy. Zawiedli się wszakże rabusie celnie wymierzone strzały ręcznej broni z wału zameczka, zadały cios śmiertelny idącym śmiało na przędzie a wywołując popłoch wśród bandy całej, która z krzykiem przerażenia, poczęła się cofać. Wprawdzie kilku odważniejszych usiłowało powstrzymać towarzyszy i próbować napaści; nowe jednak strzały i nowe ofiary odebrały im również odwagę do tego stopnia, że zostawiając pod wałami zarówno rannych, jak poległych w spiesznej ucieczce szukali wszyscy ratunku. Pan Ostrobrodzki wszakże wypadł za nimi jeszcze z oddziałem zbrojnych, uważając za obowiązek obywatelski, wyniszczyć do szczeru zbrodniczą bandę, która nietylko jemu szkodzić mogła.

Między poległymi znaleziono głównego herszta napaśników, owego mniemanego pielgrzyma, wracającego z Ziemi Świętej, który choć śmiertelnie ranny, żył jeszcze parę godzin. Gdy mu udzielano koniecznej pomocy, by ulżyć starszym męczarniom, rzekł ze skruczą:

— Pan Bóg słusznie mię ukarał, bo ku złym czynom używałem Imienia Jego!... Zaraz nazajutrz po wysłuchaniu rannej Mszy świętej, wybrali się państwo Ostrobrodzczy z Bożenną do Kalinówki, aby podziękować tym, którzy się do ich ocalenia głównie przyczynili.

Ze łzami radości powitała ich w swem domu pani Zalitowska z córką.

Gdyby nie twój gołąbek — mówiła Ludka do swej przyjaciółki, nie moglibyśmy w żaden sposób, zawiadomić was w porę o grożącym niebezpieczeństwie. Nie rozłączaj się też z nim odtąd, droga moja, niech to przywiązane do ciebie ptaszę na zawsze zostanie pod twoją opieką.

Kto jednak pierwszy — dopytywał się pan Ostrobrodzki — był tyle zręcznym, że odkrył zamiary cyganów.

— Zasługa to Stefana — rzekła wdowa, i opowiedziała szczegółowo zaszłe wydarzenia: jak uczynny chłopiec podjął się przeprowadzić mniemanych pielgrzymów przez bagna, jak szczęśliwym wypadkiem zrozumiał ich mowę, i miał tyle mocy nad sobą, iż nie okazał do ostatniej chwili rozstania się z nimi doznanych w głębi duszy uczuć przerażenia i grozy.

Wspomniała też w końcu o swoim żalu i rozpaczycy obojga dzieci, wobec niepodobieństwa zawiadomienia o tem w porę swych przyjaciół, a wreszcie o szczęśliwej myśli, którą uważa za prawdziwe natchnienie z nieba, posłużenia się gołąbką Bożenny w tej naglącej potrzebie.

— Widocznem jest, iż łaska Boża czuwała nad nami, działając przez oddane nam serca przyjaciół — rzekł pan Ostrobrodzki. — Że zaś tak wiele zawdzięczam tobie dziel-

ny chłopcze — dodał, zwracając się do Stefana — mogę też w zamian udzielić ci dzisiaj radosnej pociechy, że poszukiwania moje w odnalezieniu twej rodziny na Węgrzech, dobry biorą obrót. Właśnie w tych dniach otrzymałem wiadomość przez znajomego mi kupca, któremu tę sprawę poleciłem, że w okolicy miasta Temeswaru, żyje rodzina szlachecka, używająca tego samego herbu, jaki jest wyryty na medaliku, który zdołałeś zachować. Skoro więc tylko zbiorę jeszcze pewne a konieczne szczegóły, wybierzemy się razem do twej ojczyzny — a może Bóg pobłogosławi dobrym moim zamiarom.

Ze łzami wdzięczności padł Stefan do nóg zacnego rycerza, a dziękując za okazane sobie serce i pamięć, zawołał:

— Jazby mógł oglądać jeszcze rodziców moich, uściskać ukochaną matkę?... Do śmierci nie zapomnę panu radości, jaka w tej chwili przepełnia mi serce...

— Ufajmy Bogu, który różne czasem przeznacza drogi życiu naszemu, i posługuje się niekiedy małym ptakiem, jako narzędziem Opatrzności Swojej, ku poskromieniu złych, a na ratunek niewinnych — rzekł pan Ostrobrodzki, całując Stefana. — Bądź więc dobrej myśli chłopcze, bo i dla ciebie szczęście jeszcze zabłysnąć może!

W kilka tygodni później wybrał się pan Ostrobrodzki ze Stefanem w podróż do Węgier, i po wielu trudnościach a uciążliwej niejednokrotnie drodze, zajęchał dnia pewnego do wsi leżącej w kotlinie, otoczonej gęstym lasem. Był to ostateczny cel ich poszukiwań.

Na widok starego zamku z wieżami, który był rezydencją właścicieli majątku, doznał Stefan dziwnego wrażenia. Nie pamiętał wprawdzie czy tak wyglądał jego dom rodzinny, lecz zdało się mu, iż miejscowość ta nie jest mu zupełnie obcą.

(d. n.)

ZAGADKA.

ułożył Murzyn z nad Kengo.

Poznać mię trudno,
Zachować nudno,
Wyjdę z ukrycia,
Już nie mam życia.

Odpowiedź na pytanie w N-rze 10.

Właściwym celem przybycia cesarza Ottona do Gniezna, była pielgrzymka do grobu św. Wojciecha, lecz sława wojenna Bolesława Wielkiego i niesłychany przepych z jakim od tegóż został przyjętym, skłoniły go do uroczystego przyznania mu tytułu i władzy królewskiej. Ostatecznie koronacja Bolesława odbyła się dopiero po śmierci cesarza Ottona.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 10.

Szarady: Po — mo — rze.

Łamigłówki sylabowej:

Salamandra. 2) Armata. 3) Nosorożec. 4) Długosz. 5) Ontario. 6) Matematyka. 7) Ibis 8) Ezop. 9) Rebeka. 10) Zelandya.

Sandomierz

Łamigłówki liczbowej:

9	3	9
3	*	3
9	3	9

Skrzynka do listów.

Arytmogryf **Mieczysława U.** przejrzymy i jeżeli tylko okaże się odpowiedni, pomieścimy w Wieczorach. Rozwiązanie łamigłówek dobre.

Waciowi B. Posłaliśmy już początek *Jurasia i Anulki*, których losy zdają się żywo cię obchodzić, a mamy nadzieję, że zainteresowanie twoje w dalszym ciągu wzrastać będzie.

Zofii Kl. Zaznaczaliśmy to już niejednokrotnie, że początek drukującej się obecnie powieści w dodatku nowym czytelnikom wysyłamy bezpłatnie. Należy nam się tylko 50 kop. do półrocznej prenumeraty, która rocznie z przesyłką pocztową wynosi 5 rs., półrocznie 2 rs. 50 kop.

Stały prenumerator niepotrzebnie za swoją śmiałość przeprosza, bo między redakcją a czytelnikami tylko o uczuciach wspólnej przyjaźni i zaufania może być mowa, jak wam dobrze wiadomo wszystkie zlecenia chętnie spełniamy, a na zapytania odpowiadamy z prawdziwą przyjemnością. Otóż na przyszłość prosimy byś się do nas zwracał jak najczęściej. Rozwiązanie szarady i łamigłówek dobre, jak również odpowiedzi na pytanie historyczne. Łamigłówka o ile się okaże odpowiednią, wydrukujemy, lecz kiedy — obiecywać nie możemy, bo musi czekać swej kolei.

Czerkiesowi. Po otrzymaniu adresu wysłem początek powieści drukującej się w dodatku a po przejrzaniu zeszłorocznych numerów, zawiadomiemy czy znajdzie się początek zabawek z papieru.

Dobre rozwiązania zadań nadesłali: **Polny Bławatek, Kałużek, Firlotka ze Starej Wsi, Stefan R., Polcia i Julek, Bezimienny i Młoda Gąska.**

Logogryf **Wańdzi K.** przejrzymy, lecz niestety na swoją kolej czekać musi.

Chróścikowi. Spokojna ze mnie jaskółka, którą ni mrozy ni słoty nie wypędzą od tych, których kocham. Cieszy mnie powrót mych imienniczek, bo one nam wiosnę i ciepłe słonko zwiastują, ale wraz z nimi bujać swobodnie nie mogę, bo zajęcia i obowiązki nie prędko jeszcze pozwolą mi wyfrunąć z miasta. Jak to pobraze, żeś już do zdrowia zupełnie powrócił i zaraz do swej przyjaciółeczki napisał. Zaginiony na poczcie numer i dodatki już dawno wysłano. Mam nadzieję, żeś już przeczytał ciekawego „Niedźwiedzia” i dowiedziałeś się o zajmujących losach „Jurasia i Anulki.”

Pośmieciuzsce. Pamiętam dobrze twój liścik zeszłoroczny, ale zarazem mam żal do ciebie, że napisawszy drugi nie wysłałaś go wcale, proszę więc o poprawę w tym roku i nawiązanie stałej korespondencji. Arytmogryf nie jest zbyt trudny do rozwiązania, wymaga tylko uwagi i wprawy. Rozwiązanie tego, o którym zapytujesz było już podane, możesz więc sama sprawdzić czy z oznaczaniem liczb zaszła jaka pomyłka. O „Zwalczone uprzedzenie” upominałam się w redakcyi i wysłano ją też natychmiast. Przesyłam ci przyjazne pozdrowienia oraz proszę byś nie zapomniała o zawsze ci życzliwej

Jaskółce.



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Sofia Kowerska.

DZIELNY CHŁOPIEC.

Marcin Kilowski był posługaczem kolejowym. Nosił na plecach ciężkie kufry i kosze, pomagał podróżnym przy wsiadaniu do wagonu i przy wysiadaniu, odbierał im z rąk torby i zawiniątka podróżne. Latem i zimą długie godziny przebywał na stacji kolei Nadwiślańskiej w Warszawie, ubrany w bluzę płócienną szafirową, gdy było gorąco, w szarą sukienką, gdy było zimno. Do domu zaglądał od czasu do czasu dla wypoczynku. Zjadał wtedy prędko przygotowany posiłek i z ciężkiem westchnieniem rzucał się na posłanie.

— Aa, przecie, że człowiek dopadł własnego łóżka! — mówił wtedy często, zmęczone członki przeciągając — spracuje się człowiek i na twardej ławie czasem się przedrzemie, to mu potem łóżko aż pachnie. Józik! zbudź mię o trzy kwadransy na piątą, żebym na czas doleciał na osobowy! Weź tam z kieszeni pieniądze, przelicz i schowaj!

Józik, syn Marcina miał lat dziewięć i prowadził u ojca całe gospodarstwo. Matki nie miał oddawna; babka, która go wychowała, umarła na tyfus, a on kupował mięso, chleb, mleko, węgle; nosił wodę, palił w piecyku i gotował; słał pościel ojcu, zamiatał izdebkę. Mała to była izdebka, w sute-renie, ale było w niej ciepło i czysto, trochę jednak wilgotno.

Tylko pranie to się jakoś Józikowi wcale nie udawało. Próbował kilka razy, ale koszule nie chciały po jego praniu być białe, a na szafirowej bluzie Marcina, gdy ją Józik wyprał, porobiły się żółte smugi. Przypatrywał się jak prała Piotrowa, sąsiadka, ale coś to pranie nie szło mu w ład, tak, że Marcin kładąc w niedzielę koszulę, ni to żółtą ni to szarą, powiedział:

— Juźci to prawda, że człowiekowi żona potrzebna najbardziej wedle opinie-runku, bo chłop zgotować potrafi, guzik przyszyć potrafi i zamiecie ci izbę jak naj-liej, ale pranie to mu się już nijak nie wiedzie!

— Ten węgiel co nim na kolei palą, strasznie wszystko smoli. Ani się doprac.

— Juźci sadza zawsze sadzą, jak chłop zawsze chłopem i trza będzie o praniu

z Piotrową pomówić. Niech ona nas opiera. Ty już tego nie zmożesz.

Gotował Józik bardzo dobrze. Juź i barszcz i kapu-śniak umiał tak utrafić, że Marcin aż się oblizywał, i kaszę, którą kilka razy przypalił nim mu się udała, teraz doskonale gotował na sypko ze skwarkami, tak jak ją Marcin lubił.

— Jak dorośniesz, to się zgodzisz za kucharza do kró-la — mówił Marcin — do tego czasu to i klusków nauczysz się gotować, bo żebyś jeszcze kluski umiał twardo zagniatać, toby nie trza nic lepszego.

Wiodło się niezłe Marciniowi. Gdy matka jego nie-boszczki żony na tyfus umarła, myślał o żeniaczce przez czas jakiś i nawet sąsiadka radziła mu ożenić się z wdową, co miała bardzo dużo pościeli i sto rubli. Posyłał do niej raz w zwiady, gdy mu Józik na obiad dał kaszę zupełnie przypaloną i mięso niedogotowane, ale na drugi dzień i krupnik był doskonały i kapusta taka, że się odjeść nie było można, więc się Marci-nowi zrobiło żal dziecka. A nużby macocha była zła? A nuż-by broń Boże dziecko biła? Więc dał pokój żeniaczce. Pio-trowa koniecznie chciała go wyswatać, ale on wszystkie jej namowy puszczał mimo ucha.

— Żeby tak na dobrą trafić, to nie mówię — odpowiadał — ale kto tam wie, jaka się człowiekowi dostanie! Teraz mi przynajmniej nikt nad głową nie terkocze i nikt mi dziecka nie poniewiera. Bóg wie, jakby tam było!

— Strasznieście zmadrzeli, Marcinie — mawiała Piotrowa — to dziw, żeście się wychowali! Cóż to, syna myślicie na kucharkę kierować? Nie lepiejbyście go oddali do jakiego terminu? Cóż mu z tego przyjdzie, że będzie umiał obiad byle jak uwarzyć.

— O, tak ci ugotuje, że nie potrzeba lepszego!

— Bo się wam już język popsuł od złego jadła, to nie czujecie co dobre, a co złe. Mielibyście choć koszulę białą na niedzielę.

Ale Marcin miał już taką naturę, że im go kto więcej namawiał, tem on stawał się twardszy. Może byłby się i ożenił, żeby nie ciągle namowy Piotrowej.

— Chyba ona coś w tem ma! — myślał, kiwając głową i coraz bardziej miał się na baczości.

Marcin zarabiał nierówno. Czasem przynosił i dwa ruble na dzień, czasem i całego rubla z kieszeni nie wytrząsł, ale byłby z niego zamożny człowiek, gdyby nie ta nieszczęsna wódka. Lubił zaglądać czasem do kieliszka i do poduszki się zakrapiać. Nigdy mu się wprawdzie nie zdarzało być nieutrzeźwym na stacyi, ale starszy raz już na niego fuknął:

— Dwunasty! Coś od ciebie wódkę czuć!

Marcin nosił na ręku przepaskę z blachą, na której stał Nr. 12 i na czapce miał też mniejszą blaszkę z tym samym numerem.

— Pamiętaj — dodał starszy — że za pierwszym upiciem się, pójdiesz precz!

Więc Marcin strzegł się z całych sił, ale Józik musiał nieraz chodźć po wódkę dla niego, a raz gdy go o oznaczonej godzinie zbudził, Marcin zaczął tak bełkotać, że Józik już go nie otrzeźwił, tylko pobiegł na stacyę oznajmić, że Marcin chory. Drugi raz musiał mu głowę zlewać wodą a potem odprowadził go na stacyę, bo Marcin się trochę zataczał!

— Co mię ty będziesz pilnował, ty dzieciaku jakiś! — mówił Marcin czupurnie, bo człowiek pijany zawsze szuka zaczepki.

— Oj tatusiu, bo wy się jeszcze gdzie przewrócicie!

— Cicho byś był! Ojca nie uczą, bo ojciec to ojciec! Rozumiesz? Cóż ty myślisz, że ja pijany? Ja choć i wódki parę kieliszków przełknę, to ci chodzę prosto, jak wagon po szyniel!

Mówiąc to, zatoczył się. Ale go jakoś świeże powietrze objęło i gdy przyszedł na stacyę, miał tylko oczy jakby mgłą przysłonięte, ale szedł prosto na ganek i zaraz z pierwszego, zajeżdżającego z miasta powozu, wyjął rzeczy, wysadził podróżnych i ogromny kufer sam poniósł na plecach.

Józik bywał czasem na stacyi. Ogromnie lubił patrzeć jak się tam aż roło od ludzi, jak leciał pociąg z lokomotywą na przodzie, z kitą dymu, którą ciągnął za sobą jak warkocz, a w nocy świecił czerwonymi latarniami, niby wilk ślepiami. Józik myślał sobie, że już nigdzie człowiek lepiej się nie zabawi niż na stacyi. Raz zapytał ojca:

— Tatusiu, ta sala, co w niej stoją stoły i ludzie czekają, to chyba największa na świecie.

— Są na świecie większe — odpowiedział Marcin — ale trza ich daleko szukać.

— Jak dorosnę, to i ja będę posługaczem na stacyi.

— A jabym chciał żebyś był szewcem. Przynajmniej się co noc wyśpisz, niedzielę i święta świętujesz, a roboty ci nie zabraknie, bo jak świat światem ludzie zawsze darli buty i zawsze je drzeć będą. Niema to jak być szewcem! Myślisz, że jabym na stacyi dźwigał pakunki, żeby nie to, że mi sieczkarnia palce obcięła, jakem był młodym chłopcem? Oho, aniby mię na stacyi ujrzeli! siedziałbym sobie z dratwą i szydłem, jak u Pana Boga za piecem! Pamiętaj sobie, co ci mówię, że szewctwo, to najlepsze rzemiosło!

W duchu zaś Marcin dodawał jeszcze:

— Żebym był szewcem, tobym nigdy o wódcę nie pomyślał, bobym nie potrzebował po nocach pracować i prowadziłbym sobie życie spokojne i porządne. Ale jak się człowiek nigdy nie wyweczasuje jak się należy, to potem coś aż ciągnie do kieliszka i robak tak długo wierci, aż go musi zakropić! To jeszcze szczęście, że choć mi w głowie szmerze, to tego po mnie nikt nie pozna, tak wszystko każdemu rozkalkuluję jakbym był naczecz! Ale chłopaka oddam do szewca, żeby mu potem wódka tak całe życie nie pachniała jak mnie!

Józik przy robocie mało miał czasu na figle, na bieganie z chłopakami, ale czasem lubił sobie pograć w piłkę z synem Piotrowej, Walkiem, który był w równym z nim wieku.

Walek był to łobuz jakich mało. Po całych dniach nic nie robił, a gdy go Piotrowa wołała, żeby jej kartofle oskrobał, to się chował w jaką dziurę i matka znaleźć go nie mogła.

— A to skaranie Boże z tym chłopakiem! — mawiała — Marcinów Józik tylko o dwa miesiące starszy od tego zbredźnika, a już z niego cała gospodyni! Walek ladaco! Jeno mu zbytki i próżnowanie w głowie!

Walek często zachodził do Józika i zawsze chciałby go namówić na jaką swawolę. Palil papierosy i udawał, że mu okrutnie smakuja.

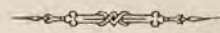
— Skądże ty masz pieniądze na papierosy? — zapytał go raz Józik.

— Aha! I tybyś tak samo mógł sobie zarobić!

— A jakże ty zarabiasz?

— Ja cię zaraz nauczę! Weźmiesz na siebie najgorszą czapczynę, najgorsze odzienie i pójdziez na Nowy Świat albo na Marszałkowską. Jak zobaczysz jaką porządną ubraną panią, to za nią idź i żalosnym głosem wołaj: „Litościwa osobo, już trzy dni nie jadłem! Matka sparaliżowana, ojciec pojechał do Ameryki.. Choć na kawałek chleba! Litościwa osobo! Pan Bóg stokrotnie wynagrodzi!”

(d. c. n.)



RUTA

LEGENDA ŻMUDZKA.

„Matulu najdroższa! powiedzcie mi szczerze,
Dla czego to ruta na wianki się bierze?
Na ślubne wianuszki dla dziewcząt na skronie,
Gdy idą przed ołtarz w weselnym druchu gronie?

„I krzyże przydrożne dłoń zacna i tkliwa
Też ruty gałązką umaja, pokrywa,
I każda duszyczka pobożna w niedzielę
Ma w ręku rucianą wiązaną w kościele?

"I jeszcze matulu! Jak umrze ktoś mały,
To rutą pokryją trumienki wierzech cały.
I kwiatki jej złote i listki zielone
Na grobach mogiłnych drżą, wiatrem pieszczone?"

Dla czego matulu, to ziele tak drobne
Jest miłsze nad kwiaty wspaniałe, ozdobne?
Dla czego i ludzie i Pan Bóg je ceni,
Choć skromnie się po wsiach w ogródkach zieleni?"

— Oj! moja dziecinko! już dawno to było!
Gdy Matce Najświętszej Dzieciątko przybyło,
A święta Panienska w stajence, w pokorze,
Złożyła do żłobka maleństwo to Boże,

Dzieciątko najświętsze na twardem posłaniu
Leżało — nim słonko nie weszło w zaraniu;
Bo sianka niewiele już było w stajence,
I żal ścisnął serce Najświętszej Paniencie.

Więc poszła wśród rosy przed siebie po łanie,
By zebrać traw wiązkę na miększe posłanie,
Wiadomo, jak matka dla dziecka swojego,
Nie szczędząc ni trudu, ni potu własnego.

Aż słyszy rozmowę wśród kwiatów na łące:
— Oj! dobrze to rosnać, gdy słonko wschodzące
Tak pieści nas mile, gdy poi nas rosa,
I patrzeć możemy w błękitne niebiosy!

Najświętsza Panienska, stanęła i słucha!
A skromny głos ruty Jej dobiegł do ucha:
„Wesoło jest rosnać, i kwitnąć wesoło,
Z innemi kwiatkami zabawiać się w koło.

„Lecz jabym wołała, dla kogoś żyć jeszcze,
Dla kogoś przenosić upały i deszcze,
I kwiatki i listki przytulać w pokorze
Do tego co drogie, co święte, co Boże.”

Więc Matka Najświętsza ze łzami jasnemi
Objęła krzak ruty rękami własnemi;
W gałązki jej miękkie ubrała się cała
I Swemu Dzieciątku na pościel je dała.

I odtąd u ludzi jest ruta ceniona,
I zimą pod śniegiem trwa często zielona,
Bo dzieląc z innemi radeści i bole
Pod Bożą opieką, najlepszą ma dolę.

Ludwika Życka.

NIEDŹWIEDŹ

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

P. Zuzannę Morawską.

(Ciąg dalszy).

Weszła też i pani kasztelanowa z Jadwisią, niosąc rozmaite leki, zlano mu głowę wonnym octem umyślnie dla chorych w apteczce przechowywanym, — rozcierano ręce i nogi, Kazik wprawdzie zaczął dawać znaki życia, oczu jednak nie otwierał, a głowa bezwładnie opadała na podłożoną poduszkę.

— Małmazyl! — zawołał kasztelan. W tej chwili pan Ignacy zjawił się z dobrze omszłą butelką; kasztelan wziąłszy kubek napełniony ciemno-złotym płynem, usiłował przez

zaciśnięte usta wlać bezprzytomnego młodzieńca kilka kropli. Lecz próżne były usiłowania, wino około ust splywało napełniając komnatę szlachetną wonią, nie spełniało jednak swego zadania.

W tem Anusia pochwyliła go za nos i tak mocno ścisnęła drobnymi swemi paluszkami, że usta otworzył, i płyn dostał się do gardła.

Po chwili młodzieniec wstrząsnął się cały, otworzył oczy, spojrzął do koła i chciał się zerwać, lecz siły mu nie dopisały, a kasztelan przytrzymał go z ojcowską troskliwością.

— Co się to znaczy? co się stało! — zawołał chłopiec dość silnym głosem, przypatrując się całemu otoczeniu.

— Aha, a widzisz, nie chciałeś pić wina, a ja ci ścisnęłam nos, tak jak mnie mama ścisnęła kiedy nie chciałam pić leków; — zaśmiała się Anusia.

Odezwanie się dziewczynki wywołało mimowolny uśmiech na wszystkich twarzach, tylko Jadwisia szepnęła:

— Kazik nie najadł się słodyczy i pierogów, żebyś go tak samo leczyła, jak mama ciebie!

Nikt wszakże nie zwrócił uwagi na słowa starszej kasztelaniki, tak wszyscy byli zajęci leżącym. Ten połknawszy drugą raz wina siadł i zupełnie silnym zapytał głosem:

— Przecież nie spadłem z konia, cóż się ze mną stało?

— Wysiłeś się zanadto i omdlałeś ze znużenia, — rzekł kasztelan.

— Nic ci nie będzie, a kasztanek twój, — dodał z uśmiechem.

— Stryju mój i opiekunie, co, kasztanek mój? — zawołał Kazik — nie dowierzając szczęściu, jakie go spotkało. I uradowany tak hojnym podarunkiem, chciał się rzucić do nóg kasztelanowi, lecz ten go powstrzymał, i rzekł:

— Twój, twój, chłopaku, zasłużyłeś na niego, dzielnieś go zażył. Ale teraz wypocznij, bo o świtanu czeka cię podróż.

— Co, jutro już? — zawołała Anusia i skrzywiła buzię do płaczu.

— Miał jechać z nami? — pytała Jadwisia.

— Anusiu! — zawołała matka, spojrzawszy dość surowo na swoją najmłodszą.

Dziewczynka przybiegła i utuliwszy główkę na matki łonie, rozplakała się na dobre.

— Moja kochana Anusiu, pocziwe obie moje małe siostrzyczki, rzekł Kazik — zwracając wzrok ku nim.

Pani kasztelanowa zaś rzekła:

— Nie przeszkadzajmy Kazikowi, niech teraz zaśnie. Dzieweczki, pomóżcie mi zabrać leki, pójdziemy do waszej świetlicy — dodała.

Kazik zaś wstał o własnej sile i chociaż chwiał się jeszcze na nogach, poszedł do swojej izdebki, gdzie wysmarowany niedźwiedziem sadłem i napojony raz jeszcze winem, zasnął snem twardym, który po nadzwyczajnym wysiłku stał się dla niego zbawiennym.

Teraz dopiero wieść się rozniosła o wielkiej dzielności Kazika i ujarzmieniu dzikiego kasztana, którego dotąd każdy usiłował dosiąść, lecz nikomu się nie udało. Wszyscy podziwiali odwagę i zręczność młodzieńca, a najstarsi wojacy i znani śmiałkowie mówili:

— To ci gołowas, nie jednego starego nietylko siłą ale i dowcipem pokona!

— Ba i do wysokich godności dojdzie — rzekł Basaty; — żeby się prędko jeno wylizał, bo gotowi i mnie i jego odprawić, — dodał.

— Żeby mu jeno dwór zbytńio w głowie nie zawrócił — ozwał się pan Orba.

— Phii, mój jegomość, dobra to krew, a w uczciwości szlacheckiej wychowany, to jakoś tam rozpozna jaka dlań ścieżka i Bóg da, darmożjadem nie będzie, rzekł pan Ignacy, spoglądając z pod oka na Orbę, któremu zarzucano, iż lubił patrzeć, gdzie się z komina kurzy.

Lecz Orba nie wziął jakoś przymówki do serca, a pan Sulpicyusz słuchający z upodobaniem pochwał dla swego ulubieńca, rzekł zacierając ręce:

— Moi mości panowie, kogo Bóg obdarzył takim talentem, że rozmaite uczucia w muzyce wypowiada, a głosy przyrody rozumie, to go i dalej w Swej łasce promować będzie, żeby ducha braci swoich ku Wszechmocnemu wznosił.

Tymczasem Anusia zawsze dotąd wesoła, posmutniała a nawet robota jej jakoś nie szła, coraz to zgubiła oczko, w pończoszcze, którą dotąd ku uciesze ochmistryni bardzo ładnie i równo robiła. Za najmniejszą też przestrogą łyż stawały jej w oczach i jak kuropatwa tuliła główkę na łonie matki, lub pani Antoniowej.

— Co jej jest, czy aby nie chora? — mówiła matka przypatrując się troskliwie najmłodszej córeczce.

— Eh, nie matulku, jej tak żal Kazika, — ozwała się Jadwisia.

— I mnie go żal, że sobie kości trochę natrzęsnał, — ozwała się matka — aleć to taka dola chłopców, wcześniej muszą się na niebezpieczeństwa narażać, boć im nie sądzono doma siedzieć. Zresztą nie bój się, nic mu nie będzie, wyśpi się i będzie mógł jutro a najdalej pojutrze jechać.



Nurek przybrany w skafandrze i hełm.

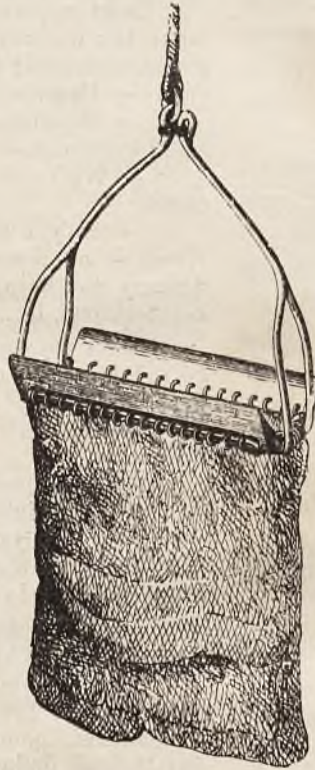


Fig. 115. Sieć (draga) do łowienia zwierząt głębinowych.



Fig. 116. Sieć opatrzona pękami pakul.

Anusia wybuchnęła płaczem i skryła po swojemu główkę w fałdy matczynej sukni.

— Ona tego płacze, że Kazik od nas odjeżdża, — rzekła Jadwisia i również się zasmuciła.

Toć to dla niego szczęście i wielka promocya, perswadowała matka.

— I tak byłby razem z braćmą do szkół poszedł, lub może i zagranicę na naukę, — dodała kasztelanowa.

— To byłby razem z braćmi ze szkół powrócił, a tak... — rzekła Anusia wychylając główkę z za sukni matczynej.

— Ale będzie zawsze z królewiczem, — pocieszała ją siostra.

— I was oddam na dwór królowej, — zażartowała matka.

— Matusiu, matusiu, nie oddawaj nas, nie oddawaj, — zawołały obie dziewczynki, obejmując matkę.

— Ja nawet wolałabym i Krakowa nie widzieć, tylko zawsze być z matusią — zawołała Anusia.

Lecz Jadwisia zmiarkowała wkrótce, że to był żart tylko, uśmiechnęła się więc i całując rękę matki, rzekła:

— Jak jegomość i jejność dobrodziejka każą, tak się stanie.

Kasztelanowa uśmiechnęła się i szepnęła mężowi, który wszedł właśnie do komnaty.

— To już niejako odpowiedzieć, w razie gdy nam się pokłonią!

— Zawczasie, moja panno, zawczasie — odrzekł kasztelan, uśmiechając się jednakże.

I zaraz dodał:

— Moja panno, trzeba mieć wszystko gotowe, bo z Kazikiem wyśle się część wozów, a my najdalej za tydzień wyruszyć musimy.

I jako rzekł tak się i stało.

Kazik wypawszy się był zdrów i na trzeci dzień zupełnie gotów do podróży; lecz mimo, że wkrótce miały go obaczyć nietylko kasztelanowice, ale i cały dwór żegnał go ze łzami. W tydzień zaś zamek zakroczyński opustoszał zupełnie, kasztelan bowiem z całą rodziną, panią Antoniową i licznym dworem, wyjechał do Krakowa. Zabrał nawet kapelę z panem Sulpicyuszem na czele, pozostał tylko pan Ignacy, aby na wszelki wypadek strzedz zamku i całego dobra pańskiego.

VIII.

Koronacya małoletniego króla miała się odbyć z różną zupełnie od poprzednich wspaniałością.

— Król ledwie odrósł od ziemi, trzeba żeby i dwór jego i całe otoczenie przy koronacyi było do niego podobne — rzekł ojciec.

— Jak wola waszej królewskiej mości, aleć jeżeli mu da... z samych rówieśników otoczenie, będzie to wyglądało

na żart raczej, niż na uroczystość poważną, jaką jest koronacja — ozwał się Jan Tarnowski, zastanawiając się nad każdym wyrazem, jak to miał we zwyczaju.

Król wzruszył ramionami, poprawił prawą ręką czapkę szytą we wzory, którą zwykle nosił w domu i rzekł:

— Do rady mężowie dojrzali, do zabawy dzieci.

Po chwili zaś dorzucił:

— Na pierwszą wojnę jaka wypadnie, niech idzie z wami — dodał król po chwili.

— Nie udobruchało to jednak hetmana, wyszedł dość ponury i długo nie mógł się uspokoić; biskupi i panowie radni również nie byli zadowoleni z tego otoczenia, jakiego król żądał, powtarzając sobie poufnie.

— Wpływ Włoszki!

— Tak! wpływ Włoszki!

— Papinkę z niego zrobią.

— Babę do kądzeli!

— Ba, żebyć do kądzeli!

— Nie takiego nam króla trzeba.

— Nie takiego!

Głosy te jednak nie powstrzymały rozkazu królewskiego a raczej Bony, która, chcąc pochwycić szlachcie, kazała rozesłać zaproszenie, by z dziećmi na uroczystość koronacji przybyli. Nienawidząc też z duszy wszystkich panów radnych, którzy na zniewieściale wychowanie królewicza sarkali i nie szli z nią ręką w rękę, chciała im zrobić na złość wymyślonym przez siebie korowodem.

— Będiesz miał swoich rówieśników, będziesz miał z kim się bawić — mówiła do syna.

— Będzie i Jadwisia i Anusia? — pytał królewicz.

— Co za Jadwisia i Anusia? — spytała matka, zapomniawszy o zrobionej znajomości w ostatniej podróży.

— Kasztelanki zakroczymskie, od których dostałem pierniczki.

— Będą, będą! — odrzekła Bona, marszcząc brwi niechętnie.

— I Marcin, i Jędrus i Piotruś?

— A czyż ja tam znam imiona wszystkich zaproszonych — zawołała matka coraz więcej niezadowolona z pytań syna.

Lecz królewicz nie dał za wygraną i zapytał:

— Ale Niedźwiedź będzie blisko mnie, wszak prawda?

— Idź sobie, kością w gardle stoją mi już ci twoi znajomi z ostatniej podróży! wszyscy tutaj jak niedźwiedzie, i ten twój Opaliński i...

Ale Zygmunt nie dał dokończyć i zaczerwieniwszy się zawołał:

— Pan Opaliński jest moim nauczycielem!

I odwróciwszy się, wyszedł z wielką powagą, udając ruchy i chód ojca!

Bona zerwała się z siedzenia, a pochwyciwszy młotek, którym zwykle dzwoniła w kowadłko, rzuciła nim za synem, wołając w rodowitym swym języku:

— Ach ty, jaszczurko! i to mój syn! mój syn, dla którego ja pracuję! zniechęcają go do mnie, każą by mną powiewierał! Oho, ale dam ja wam wszystkim!

Szczęściem, że nikt tego krzyku i pogróżki nie słyszał, a rzucony młotek nie trafił w odchodzącego spieszącego królewicza, tylko z głuchym jękiem padł na marmurową posadzkę.

Gdy królowa zdyszana i ziejąca gniewem na swoim miejscu usiadła, z za opony okrywającej stół, wysunął się Diavolo, podniósł młotek i skradając się pocichu jak kot, położył go na stole.

— Czemuś go nie zatrzymał? — wrzasnęła królowa.

— Podniosłem? — odrzekł, wyszczerzając swe duże, żółte zęby.

Karzeł udając, że nie rozumie o co chodzi, pokazał młotek.

— Głupiś!

Karzeł skłonił się do ziemi.

— Gdzieś był?

— W mojej komnacie!

I wskazał pod stół.

— Coś robił?

— Najjaśniejsza pani, matre mia, przebacz, zdrzemnąłem się! — rzekł, trąc oczy i krzywiąc się do płaczu.

Bona pogroziła mu pięścią, lecz śnać pocieszna a zarazem skruszona mina ulubienca rozbroiła gniew jej i wzburzenie, bo cofnęła rękę a wielkie uszy Diavola nie uczuły jej na sobie. Spojrzała tylko badawczo i spytała:

— Niceś nie słyszał?

— Ach, matre mia, bardzom zawinił, ale takem twardo zasnął, żem nic nie słyszał — odrzekł karzeł.

I przykląkszy pokornie, pocałował kraj szaty swej pani.

— Precz! — zawołała Bona.

Diavolo uszczęśliwiony, że tak zręcznie się wykreślił, wsunął się co tchu pod wielką oponę, nie zapomniawszy jednak zostawić sobie maleńkiego otworu, przez który nietylko słyszał, lecz i widział doskonale.

Tymczasem, mimo coraz to nowych rozkazów królowej i mimo pozornego posłuszeństwa w wykonywaniu jej rozkazów, przygotowania do koronacji młodzietkiego Zygmunta szły według nakreślonego przez biskupów i panów radnych planu.

(d. c. n.)



Fig. 114. Połów czerwonego koralu w morzu Śródziemnem.

W OTCHŁANIACH MORSKICH

PRZEZ

Dr. M. Stefanowską.

(Dalszy ciąg).

Dragowanie.

Zanim uczeni badacze zaczęli faunę głębinową, to już niektóre zwierzęta, żyjące na dnie morskiem znane były rybakom od najdawniejszych czasów.

Starożytni ludy zajmowały się połowem gąbek, perł Rovala, ostryg i wynalazły sposoby łowienia tych zwierząt. Powyższe sposoby uczeni udoskonalili i zużytkowali następnie w celach naukowych.

Naprostszy i najpierwotniejszy sposób zdobywania skarbów, ukrytych na dnie morza, polegał na tem, że nurek wskakiwał do wody i odrywał przyrośnięte do dna zwierzęta. Ów barbarzyński sposób i dotąd jest w użyciu. Tak odbywa się jeszcze połów gąbek. Od brzegów Syrii, Archipelagu i morza Czerwonego aż do wybrzeży Meksyku łowienie gąbek powierzają zręcznym nurkom. Spuszczają się oni na dno morskie i nożami odcinają gąbki od skał. Niekiedy plon bywa świetny, kiedy nurkowie zagłębiają się na 20, 30 i nawet 40 metrów, gdyż najpiękniejsze gąbki rosną głęboko.

Nurkowie również zajmują się łowieniem perłopławu perłorodnego, koło wyspy Ceylonu, na wybrzeżach Arabii, południowej Ameryki i Nowej Kaledonii. Nieszczęśliwi ci zostają pod wodą 25 do 30 sekund, narażeni na drapieżność rekinów, a za ciężkie swe rzemiosło pobierają nędzną zapłatę: po trzy grosze za sztukę mięczaka. To też liczba nurków wciąż się zmniejsza. Barbarzyński ten połów usiłują zastąpić dragowaniem.

Istnieje wprawdzie *skafandra*, za pomocą której każdy może spuścić się na dno morza i długo pozostawać pod wodą. Ale największa głębokość, do jakiej można zejść tym sposobem, dochodzi jedynie do 50 metrów, to jest niewiele przewyższa głębokość, do jakiej schodzą zwyczajni nurkowie. Skafandra jestto gumowe nieprzemakalne ubranie, które nurek na się wkłada. Głowę zaś jego pokrywa metalowy hełm, opatrzone przed oczami okienkiem z grubego szkła. Skafandra jest zaopatrzona w długą rurą gumową, przez którą wciąż napompowują powietrze, aby nurek miał czem oddychać.

Specyalne sieci czyli *dragi* były najpierw wynalezione do łowienia ostryg. Połów ten na wybrzeżach Francji odbywa się za pośrednictwem małej floty, składającej się ze trzydziestu lub więcej łodzi, znajdujących się pod dozorem państwowego kontrolera. Każda łódź posiada cztery do pięciu sieci. Sieć na ostrygi ma kształt worka, przymocowanego do żelaznej ramy czworobocznej. Do jednego z boków owej ramy przyśrubowany jest ciężki żelazny nóż, (czyli skrobaczka) mająca metr długości. Sieć zarzucają na dno, przywiązawszy ją poprzednio za pomocą sznura do łodzi.

Gdy łódź jest w biegu, to ostry nóż skrobie dno morskie i odrywa ostrygi, które wpadają do sieci. Gdy ostrygarze miarkują, że worek już się napełnił, wówczas sieć wyciągają a ostrygi przenoszą do *parków*, gdzie je tuczą, przez co nadają im smak wyborny.

Zupełnie odmienne przyrządy używane są dla połowu koralu. Koral czerwony żyje zwykle na głębokości 100 do 150 metrów, a rośnie wyłącznie na skalistym dnie, gdyż tam jedynie znajduje dla siebie mocne oparcie; a ponieważ unika światła, kryje się przeto zwykle w szparach skalnych. Przy takich warunkach nie ma co nawet myśleć o użyciu *dragi* zwyczajnej. Dla tego też koralownicy wynaleźli specyalne przyrządy, które uczeni zastosowali następnie w celach naukowych.

Ow przyrząd składa się z drewnianego, albo żelaznego krzyża, na ramionach którego zawieszają sieci. Ciężki kamień przywiązany do środka krzyża ułatwia zanurzenie się jego w morzu. Sieci na koralu wyrabiane umyślnie, wiązane są ze sznurów zaledwo skręconych! Są one pozawieszane na ramionach krzyża w ilości 30 i więcej sztuk. Gdy przyrząd

ten zanurza się w wodzie (ryc. 114) to sieci rozplywają się na wszystkie strony niby mnóstwo ramion, sznury zaledwo skręcone zaczepiają się o wszelkie nierówności skał, a wszelkie chropowatości koralu napotykanego po drodze; sieci zachodzą nawet aż do szpar skalnych. Tym sposobem łamią one i odrywają cenne gałązki koralu, który trzyma się w fałdach sieci. Ciężka to następnie praca wyciąganie sieci pozawieszanych o skały, ale owa praca dostarcza znaczne zyski.

Sieć przynosi w pakulach uwięzione nie tylko koralu, ale i mnóstwo innych zwierząt morskich, z czego, jak wkrótce zobaczymy uczeni skorzystać nie omieszkali.

Sieć czyli *draga* używana do łowienia zwierząt w wielkich głębinach morskich (ryc. 115) podobną jest do sieci na ostrygi, z tą różnicą jedynie, że opatrzona jest nie jednym lecz dwoma nożami, przeznaczonemi do skrobienia dna morskiego, może ona zatem zbierać zwierzęta niezależnie od tego, na który z dwóch boków upadnie.

Aby zapobiedz rozdzieleniu delikatnej sieci zwykle okrywa ją na zewnątrz skórzany worek. W dzisiejszym czasie, niezbędnym dodatkiem do dragi są prócz tego pęki pakul (zwane po francuzku *fauberts*), do których jak do włosów przyczepia się mnóstwo zwierząt morskich (patrz ryc. 116). Zdarza się często, iż owe pęki przynoszą obfitszy plon, niż sama sieć.

(d. c. n.)

NA POLANCE

powieść

P. E. Jerlicza.

(Dokończenie).

Zbliżywszy się do dworu, dzieci doznały miłej niespodzianki. Oto na trawniku pod lasem ułożone na koziołkach deski utworzyły długie stoły, a obok nich w ten sam sposób urządzone siedzenia. Na stołach zaś stały kosze z krajanyim chlebem i dzieżki mleka kwaśnego: był to podwieczorek przygotowany dla pracowitej gromadki. Działwa zasiadła, a panie rozdzielały mleko i chleb, pilnując, aby wszyscy byli równo obdzieleni i pomieszczeni wygodnie. Nic nie brakowało do uczyły nawet muzyki, którą stanowiły chóry żab z pobliskiego stawu.

Nazajutrz bez przypomnienia jakiegokolwiek zebrali się dzieci o oznaczonej godzinie w około werendy; każde z nich wyglądało z niecierpliwością, aby upał minął, i żeby można już wyruszyć na sypanie kopca. Janek Skalski zajął się przygotowaniem butelki i blaszanej puszki, w którą butelka jeszcze włożoną być miała, aby lepiej zabezpieczyć dokument. Jakoż skoro się wszyscy zgromadzili, tak jak dnia poprzedniego, stawił się i Zygmunt z pięknie wykaligrafowanym aktem, i głosem uroczystym odczytał:

„My, niżej podpisani, zaświadczamy iż pod przewodnictwem wielmożnego Jana Skalskiego, byłego oficera wojsk z kampanii węgierskiej, dokonaliśmy własnoręcznie dzieła zadrzewienia piasków, na całej przestrzeni kilku wiorstowej, od zakrzewskiego młyna włącznie, do granicy pól osowieckich, co stwierdzamy i umacniamy własnoręcznymi podpisami.”

To wygłosiwszy autor dokumentu powiódł wzrokiem po obecnych, ale słuchacze mieli jakieś niepewne miny i oczy trzymali spuszczone w ziemię. Dziadunio zaś począł się śmiać tak serdecznie, że aż okulary trzęsły się na jego nosie.

— Ach, mój rejencie, mój kochany rejencie! — zawołał wśród śmiechu — skądże ci przyszedł na pamięć wielmożny oficer, a zapomniałeś o wielmożnym robotniku i ogrodniku? Nie, nie, kochany rejencie, opuść-no te wszystkie wielmożności; niech sosny w lesie szumią sobie kiedyś poprostu: „sadzili nas dziadunio Zosi, Janka i Stasia.”

— Dziadunio! dziadunio, kochany dziadunio! — wykrzyknęła cała młodzież dokoła.

— Dajcie-no pióra i atramentu, my tu zaraz zredagujemy akt, jakiego nam potrzeba.

Na to wezwanie skoczył coprędzej Staś z Jankiem, jeden przyniósł papier i odpowiednie przybory do pisania, drugi nieduży stoliczek, i akt w jednej chwili napisany został:

„My wszyscy, którzy się tutaj podpisujemy, zasialiśmy ten las własnymi rękami, pod przewodnictwem dziadunia Zosi, Stasia i Janka Skalskich”. Umieściwszy jeszcze datę, podpisał się dziadunio pierwszy a potem wszyscy z kolei, odpowiednio do wieku: starsi pierwsi, młodszy za nimi. Imiona tych dzieci, które, jak Basia, nie umiały jeszcze pisać, podpisywało jedno ze starszych. W pół godziny wszystko było gotowe i butelka włożona do puszeki.

— A kto będzie niósł puszkę? — zapytał ktoś z gromadki.

— Hm — odrzekł dziadunio poważnie — jest to rzecz, nad którą zastanowić się należy, bo przecież tam spoczywa dokument, tycający się nas wszystkich, Prawda?

— Prawda! — potwierdziły dzieci.

— Zatem jest to coś, co zasługuje na wielkie uznanie.

— A pewno!

— Więc wybierzcie z pomiędzy siebie nagodniejszego, bez względu czy to panienka, czy chłopiec.

— Najgodniejszego? najgodniejszego? — zaczęto powtarzać. Młodzież spoglądała po sobie, jakby radząc się wzajemnie oczami. Nieodstępna towarzyszka Ludwini, dziewczynka w żałobie, wodziła dokoła wzrok wymowny, pełen niepokoju, którym zdawała się mówić: No, jakże? nie wiecie kto tu jest najgodniejszy ach! niedomyślni! Nagle ktoś zawołał: Ludwinia!

— Tak, panna Ludwinia! — ozwał się równocześnie głos inny.

— Tak, tak — zaczęto wołać jednogłośnie — Ludwinia! Ludwinia, panna Ludwinia!

A Ludwinia zapłoniona jak różyczka, zawstydzona, przestraszona nieledwie, broniła się powtarzając:

— Ale dla czego... Ale skądże znowu?...

— Ludwinia! Ludwinia! panna Ludwinia! — nie ustawało wołanie.

Staś i Henryk wręczyli Ludwini puszkę, którą musiała przyjąć i wystąpić obok staruszka, prowadząc całą gromadkę.

Za przybyciem na pole pracy, wszystko odbyło się tak, jak uprzedził dziadunio. Puszkę umieszczono w stosownym miejscu, poczem usypano kopiec wysoki; każde, choćby najmniejsze z dzieci, rzuciło swoją grudkę ziemi, chłopcy zaś napracowali się rzeczywiście, aby wznieść, ubić i wygładzić prawdziwą górę z piasku. Ale też już z daleka kopiec świecił się wspaniale, a obsypany zwirem i drobnymi kamykami, wyglądał na wcale pokaźne dzieło rąk ludzkich. Chłopcy byli pełni dumy, a dziewczynki nie czuły się wcale mniej zadowolone, bo któż jeśli nie one nosiły piasek, zwir i kamyki.

— Wiwat! — krzyknął Janek, gdy wszystko było ukończone.

— Wiwat! — wykrzyknęli chłopcy, wyrzucając w górę czapki i kapelusze.

Dziewczynki się śmiały i klaskały w ręce.

X.

Wyjątek z listu Izi do Joasi Mirskiej:

„Nie poznaję cię, kochana Joasiu, i wyznam szczerze, że słowa listów twoich stają się dla mnie zupełną zagadką.

Milczysz przez kilka tygodni, w końcu odbieram od ciebie list, w którym mi piszesz, że nie masz czasu, że zajęta jesteś od rana do nocy, i że gdyby nie tęsknota za ojcem, pragnęłabyś, aby twój pobyt w Polance przedłużył się do nieskończoności.

Gdy porównywan to, coś mi pisała w pierwszych twoich listach, z tem, co mówisz obecnie, doznaję wrażenia, jakby zupełnie dwie odmienne osoby prowadziły ze mną korespondencję.”

Odpowiedź Joasi do Izi:

„Masz rację, kochana Iziu, gdy utrzymujesz, że to kto inny pisze teraz do ciebie.

Tak jest, sama to czuję, nie jestem już tą dawną próżną, samolubną dziewczynką, która żyła tak jak roślina lub zwierzątko, tylko dla siebie, nie czując nic dla innych.

Dziś gdy myślę o tem, drżę z obawy, że Bóg kiedyś ciężko mnie może skarać za moje samolubstwo i brak serca.

Nasze listy się zmięły. W tej chwili wiesz już zapewne o wszystkich zdarzeniach, które przez ten czas zaszły tutaj. Wiesz przedewszystkiem o znalezieniu przez nas małej Kasi. Prawda, jakie to okropne, żeby taka dziecina nie miała matki, chodziła naga i była głodna? Na mnie uczyniło to takie wrażenie, iż odtąd zdawało mi się, że w każdej chacie chłopskiej musi być biedna, opuszczona sierota. Więc ile razy przechodziłyśmy później z Zosią albo z Ludwinią około wiejskiej chałupy, prosiłam je, aby tam wstąpić pod jakimkolwiek pozorem, a skrycie chciałam się przekonać, czy tam znów niema jakiego nieszczęśliwego dziecka.

W chatach przyjmowano nas zawsze chętnie, wieśniaczki rozmawiały z nami o rozmaitych sprawach i potrzebach swoich, o które je szczególnie Ludwinia pytywała. I wiesz Iziu, ja polubiłam serdecznie tych prostych a zacnych ludzi. Bó widzisz, niektórzy z nich są bardzo zapracowani i bardzo biedni, a przecież Chrystus przykazał kochać biednych i upośledzonych. Więc nie dosyć dosyć chodzić do kościoła, jeżeli nie wypełniamy przykazań Jego?..

Ah! gdybyś ty poznała Ludwinię, dopiero przekonałabyś się, co to jest być prawdziwie dobrą. Czy wiesz? że ja Zosię kocham całym sercem, ale Ludwinię uwielbiam poprostu. Gdyby ona była na mojem miejscu, gdyby miała do rozporządzenia środki, jakie ja mam, gdyby miała takiego zamożnego ojca jak mój, który mi nigdy niczego nie odmawia, ileby ona dobrego uczyniła. A ja co? Czy w życiu mojem jest cokolwiek bądź, coby mogło być dla mnie zasługą?

Ja tutaj dużo poznałam ludzi, którzy żyli i cierpieli z myślą, że służą ogółowi i gotowi byli życie poświęcić dla tej myśli. Czy ty to pojmujesz, kochana Iziu? Nasłuchiłam się wiele rzeczy pięknych i podniosłych, o których dotąd pojęcia nie miałam. I wstyd mi się zrobiło samej siebie, i czułam się strasznie upokorzona za mój egoizm i moją bezużyteczność.

Ale na przyszłość tego nie będzie. O! nie! Sama nie umiałabym wprowadzić nic dobrego uczynić, ale udam się po wskazówkę do pani R., która jest nawet naszą krewną. Jest to kobieta bardzo bogata, z pozoru jednak wzięłabyś ją za kogoś zupełnie nie znaczącego. W młodym wieku straciła męża i dwoje dzieci; od tej pory poświęciła się całą przysługą biednych, opuszczonych sierotek. Założyła szwalnię dla ubogich dziewcząt i codziennie po kilka godzin tam przepędza, ucząc je sama szyć i zacie dając nauki. Pod jej kierunkiem przekonana jestem, że dojdę najpewniej do upragnionego celu.

Ah Boże! tyle mam planów w głowie. Chciałabym też pracować i sama nad sobą. Przekonałam się teraz, że czytając wszystko, co mi się podobało, w głowie mam tylko chaos, a żadnych pożytecznych wiadomości. Zosia, która zajmuje się całym domem i nie tak wiele czytać może, posiada jednak gruntownie mnóstwo wiadomości. A cóż tu mówić o Ludwini, która jest wykształconą, jak mała która z nas. Nieraz, gdy obie z Zosią prowadzą rozmowę, aż przyjemnie postuchać!

Kończę, bo i tak pewnie znudziłam cię moim listem, kochana Iziu, chociaż ani w części nie wypowiedziałam tych wszystkich myśli, które zajmują mię obecnie. Jeszcze tylko jedna prośba, oto spał doszczętnie moje listy, które pisałam do ciebie w pierwszych dniach mojego pobytu na Polance, te wszystkie niemądre listy, do których teraz wstydzę się przyznać.

Całuję cię serdecznie

Tvoja Joasia.”

Właśnie Joasia składała list, by go włożyć do koperty, gdy za drzwiami odezwał się Janek:

— Panno Joanno, czy list gotowy? — zapytał.

— Już, już — odrzekła z pospiechem — jeszcze tylko adres.

— No, to dobrze, bo jak panna Joasia skończy, to niech przedziutko biegnie do sali, tam jest do pani ważny interes.

— Co za interes?

— Goście przyjechali.

— Goście? a czy Zosi tam niema?

— Kiedy to goście do pani.

— Do mnie? skąd?

— Czy ja wiem? I Janek uchyliwszy drzwi filuternie mrugał oczami.

Zaciekawiona Joasia pobiegła do salki. a usłyszawszy ożywioną rozmowę, dochodzącą przez drzwi zamknięte, przystanąła na chwilę, bo serce jej zaczęło bić jak młotem. Szybko przycisnęła kłankę, i o radości, obok doktora Bobrowicza stał pan jakiś, któremu dziewczę rzuciło się na szyję z radosnym okrzykiem:

— Ojczuś najdroższy!

Pan Mirski tulił jedynaczkę do piersi, nie mogąc od wzruszenia przemówić na razie ani słowa.

— Moja córuchna, moja jedyna, jakże doskonale, jak zdrowo mi wygląda! — wyrzekł nakoniec, spoglądając z lubością na córkę.

— Prawda doktorze? — dodał, zwracając się do doktora Bobrowicza.

— Właściwie powiedziawszy, kochany przyjacielu, zdrową panną Joanna była zawsze, tylko nigdy tak ładnie nie wyglądała jak obecnie.

— Cieszy mnie bardzo pochwała pana — rzekła, rumieniąc się Joasia — ale dawniej innego byłeś pan zdania, co do mego zdrowia.

— Ja? nigdy, jako żywo! — zaprzeczył doktor Bobrowicz.

— A ta dziewczyna na pół sparaliżowana, pamięta pan doktor?

Doktor Bobrowicz zaczął się śmiać dobrodusznie.

— Sądzę, że to niewinne kłamstwo Pan Bóg mi daruje za cenę tych żywych rumieńców i dobrego humoru pewnej pani — rzekł, zacierając z zadowoleniem ręce.

Panowie zabawili w Polance cały tydzień, poczem Joasia miała już wrócić z ojcem do Warszawy. Co prawda lato miało się ku schyłkowi, a uczniowie i pani — spieszyli do szkół. Kilka rodzin nawet już wyjechało, pozostali na wrzesień ci tylko, których dzieci nie potrzebowały jeszcze nauki, lub ucząc się w domu przy nauczycielkach, nie były zmuszone wracać wcześniej do miasta.

Teraz, skoro się wieść rozeszła o rychło mającym nastąpić wyjeździe Joasi, wszyscy żalowali tego serdecznie, nawet mały Romcio rozkładając rączki, opowiadał każdemu:

— Panna Joasia odjedzie, jaka szkoda!

Nareszcie w dzień oznaczony, wczesnym rankiem, aby nie spóźnić się na pociąg, Joasia gotową była do drogi.

Na ganku u państwa Skalskich, zgromadzili się wszyscy znajomi, aby pożegnać dziewczę. A jej tak ciężko, ach, jak ciężko było rozstawać się ze swymi przyjaciółmi. Po kilkakroć ze łzami w oczach ucałowała ręce pani Skalskiej, dziękując jej za gościnność, opiekę i za wszystko dobre, które w jej domu doznała.

Tymczasem zajechał powóz. Joasia raz jeszcze uściłaskała Zosię i Ludwinę, ucałowała malutką Kasię, która drepcząc, czepiała się jej sukni i wołała ze smutkiem: Panienska jedzie het! het!

Przyszłość sierotki była już zapewnioną. Pan Mirski bowiem złożył dla niej do kasy, w imieniu swej córki, całe sto rubli, książeczkę zaś oddał do przechowania matce Zosi. Również rubli sto złożył na kolonie dla biednych dzieci, jako dowód wdzięczności za bezinteresowną gościnność państwa Skalskich dla jego jedynaczki.

Tłumiąc łzy rozrzewnienia, wsiadła wreszcie Joasia z ojcem i doktorem Bobrowiczem do czekającego powozu.

Z ganku, gdzie wszyscy stali zgromadzeni, podniosły się okrzyki pożegnania:

— Bądź zdrowa, Joanko!

— Pamiętaj o nas!

— Pisuj często!

— Do widzenia! do widzenia! — wołało dziewczę. — Powróć do was niedługo!

— Tylko nie zwlekaj, dziewczeczko, bo możesz mnie już nie zastać — dał się słyszeć głos dziadunia.

Oczy Joasi zaszyły łzami, podniosła chusteczkę i zaczęła nią powiewać. Wkrótce powóz znikł z przed oczu goniących go wzrokiem przyjaciół.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do Redakcyi Wieczorów.

Edmund Jankowski. Dobre rady co do sadów, dla ziemian a głównie dla włościan.

Daniel Zgliński. Humor w Panu Tadeuszu. Szkic estetyczny.

Józef Grajnerf. Anegdoty księcia Radziwiłła „Panie-Kochanku.”

Dr. Wł. Oftuszewski. Piąty przyczynek do nauki o zбочениach mowy.

Przypominamy o wczesnem ODNOWIENIU PRENUMERATY na kwartał II-gi dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

TREŚĆ: Dzielny chłopiec przez Zofię Kowerską. — Ruta, legenda żmudzka przez Ludwikę Życką. — Niedźwiedź, powieść z XVI w. przez Zuzannę Morawską. — W otchłaniach morskich przez dr. M. Stefanowską (z ryc.) — Na polance, powieść E. Jerlicza. — Dodatek: U cioci Polci (z ryc.) — Gołąbek Bożenny. — Królowa poziomek i paproci przez Wacława Sulimę. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

U cioci Polci.

(Dalszy ciąg).

Otrzymaliśmy znów trójkąt (fig. 9) Nazwijmy górny róg *e* i zagnijmy brzeg *d, f* odwróćmy papier i zróbmy to samo

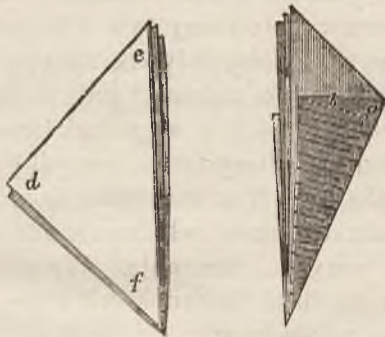


Fig. 9. fig. 10.

z drugiej strony (fig. 10). Teraz trzeba ściąć wierzchołek podług linii *a b* i ponacinać w paski raz z jednej strony, raz z drugiej, ale nigdy do samego końca (fig. 10).

— Może ciocia mi jeszcze raz powie jak się to nazywa, co teraz robimy — prosił Kazio.

Ciocia szepnęła mu coś do ucha a on zawołał:

— Więc to będzie siatka!

— Zdradziłaś tajemnicę—rzekła z wyrzutem Irenka.

Kazio zrobił taką nieszczęśliwą minę, a tamtych dwoje tak się śmiało z niego, że ciocia musiała przywołać ich do roboty.

— Rozłóżcie teraz ostrożnie papier, przytrzymajcie koniec jedną ręką, a drugą delikatnie pociągnijcie w górę i siatka gotowa (fig. 11).

— Można ją napełnić orzechami i zawiesić na choince.

Możecie także w ten sposób robić łańcuchy papierowe — rzekła ciocia. — Trzeba uciąć pasek papieru szeroki na 3 cale, a długi jak tylko można. Złóżcie go na pół wzdłuż, a potem zagnijcie napowrót oba brzegi tak, aby papier był złożony we



fig. 11.



fig. 12.

czworo i nacinajcie tak jak siatkę, raz z jednego brzegu raz z drugiego (fig. 12), poczem rozłóżcie go ostrożnie i rozciągnijcie fig. 13).

— I mamy bardzo piękny łańcuch — zawołała Zosia. Henryś zamyślił się poczem spytał nagle:

— Czy ciocia umie przejść przez bilet wizytowy?

Dzieci roześmiały się a ciocia Polcia zdziwiona, prosiła Henrysia, żeby ją nauczył tej sztuki, i dała mu swój bilet.

— Trochę mały—rzekł Henryś — ale może przesunę się przez niego.

— Panie i panowie — zaczął uroczyście — pokażę wam nadzwyczajną i zadziwiającą sztukę. Przesunę się cały przez ten oto mały bilet.

— To niepodobna, on tego nie zrobi — szeptały dzieci.

— Wyznaję, że nie rozumiem, jak to zrobisz — mówiła nawet ciocia Polcia.

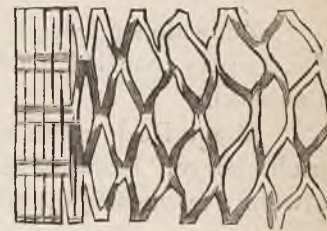


fig. 13.

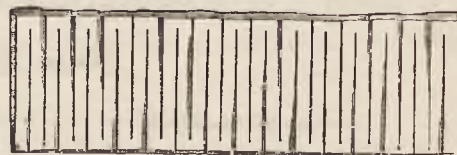


fig. 14.

Henryś złożył bilet w pół i zaczął go nacinać tak, jak przy robocie łańcucha papierowego (fig. 14), następnie



fig. 15.

rozłożył go na stole i przeciął środek od *a* do *b* uważając żeby nie przerwać ostatnich dwóch pasków z brzoza (fig. 15).

(d. c. n.)

CZUBATKA.

Wielka radość spotkała Dosię; dawna jej niania Wincentowa, przyniosła jej białą kurę, z czubkiem na głowie.

Dosia zajmowała się odtąd troskliwie Czubatką: przynosiła jej ziarenka zboża, resztki chleba, a wieczorem sama zapędzała ją do kurnika. Raz nawet przez szparkę zajrzała, czy jej kurka śpi na grzędzie.

Pewnego poranku okropnie się Czubatka rozgdakała w kurniku.

Przyszła na ten hałas Dosia, rozejrzała się dokoła i zobaczyła w kącie jajko, które przed chwilą zniosła jej kurka.

Niezmiernie się tem ucieszyła, obejrzała jajko na wszystkie strony, a potem zaniósła do kuchni prosząc, aby je ugotowano.

Zdawało się Dosi, że lepszego jajka nigdy nie jadła. Od tej pory codzień na śniadanie miała jajko od swojej Czubatki.

Mama Dosi często chodziła na wieś odwiedzać ubogich chorych i zawsze zabierała ze sobą koszyk z lekarstwami i żywnością dla nich, — i nieraz mówiła z żalem:

— Chorzy potrzebują posilnego pokarmu, ale ci biedacy nie mają na to.

— Proszę mamy — rzekła raz Dosia — czy mogę zanieść chorej wyrobniczy jajko mojej Czubatki? A to chyba dobry pokarm dla niej.

Mama na to bardzo chętnie przystała.

Dosia przez dni następne nie zjadała już lecz chowała jajka. Pewnego więc poranku ułożyła w koszyk pięć dużych jajek i razem z matką zaniósła chorej kobiecie. Cieszyła się przytem niezmiernie, że jak dorosła osoba może wspierać biednych.

Marya Weryho.

GOŁĄBEK BOŻENNY.

(Dokończenie).

Gdy stary sługa wyszedł na spotkanie przybyłych, pan Ostrobrodzki oznajmił, iż życzy sobie pomówić w ważnym interesie z państwem.

W obszernej, staroświeckiej komnacie, przyjęła nieznaną sobie gości kobieta lat średnich, w żałobne odziana szaty, z wyrazem głębokiego smutku na twarzy. Widok Stefana, który już wyrastał na słusznego młodzieńca, silnie ją zrazu zaniepokoił. Na zbladłe jej lica wystąpił żywy rumieniec, lecz prędko oczy zaszczyły łzami, a drżące usta szepnęły:

— To tylko złudzenie... to nie on...

Nie chcąc próżno narażać nieszczęśliwą kobietę na możliwy jeszcze zawód, pan Ostrobrodzki udał, iż przybywa w osobistym interesie, poszukując pewnych dokumentów rodowych, które ma nadzieję odznaleźć w jej papierach rodzinnych.

Gospodyni domu bardzo chętnie udzieliła mu żądanych wskazówek, przedstawiła potrzebne papiery i obznajmiła ze stosunkami familijnymi swego męża.

— Nie miałem szczęścia zastać w domu małżonka szlachetnej pani — rzekł przybyły.

— Mąż mój od dwóch już lat spoczywa snem wiecznym — objaśniła wdowa. — Samotna spędzam smutne me życie.

Siedzący na uboczu Stefan nie mógł powstrzymać stłumionego jęku, bowiem coraz większej nabierał pewności, że znalazł się pod rodzinnym dachem, że patrzy wreszcie na ukochaną swą matkę. Jak mógł jednak,

panował nad sobą, stosując się do przyrzeczenia, jakie dał swemu opiekunowi.

— A czy dzieci nie są pociechą w smutnej doli pani? zapytał pan Ostrobrodzki.

— Niestety, nie mam dzieci!... — zawołała kobieta ze łzami.

— Czy nie miałaś ich nigdy pani, czy też Bóg je zabrał do chwały Swojej?

— Jakże bolesne wspomnienia przywołujesz pan tem zapytaniem — odrzekła. — Bóg mi dał rozkosz posiadania syna, lecz nie Bóg mi go odebrał, ale źli ludzie! I odtąd życie moje nie zaznało już żadnego szczęścia.

— Czyżby Tatarzy uprowadzili go w jasyr?

— Gorzej panie! Z rąk Tatarów jeszcze wykupiłby dziecko można; gotowiśmy byli z mężem złożyć cały majątek w ofierze, byleby jedynak nasz był nam zwrócony. Lecz porwała go z domu banda cyganów, właśnie, gdy nam wypadło do stolicy wyjechać. Dziesięć lat temu, a miał on wtenczas cztery latka; pomyśl pan jaką osłodą i pociechą byłby mi teraz w życiu! Czegośmy nie czynili, by go odszukać, nawet władza nie odmówiła nam pomocy swojej, wszystko daremnie. Wreszcie doszło nas pismo jakieś, że nasz Stefanek nie żyje — dokończyła wdowa, zalewając się łzami.

— Stefan twój żyje, mateczko droga! — zawołał chłopiec, padając do nóg ukochanej, i obejmując w serdecznym uścisku jej kolana.

— Co to jest, co to ma znaczyć? — pytała pod wpływem silnego wrażenia nieprzytomna prawie kobieta.

— Niechże się pani uspokoi — prosił, wzruszony również pan Ostrobrodzki. — Miłosierdzia Bożego to dzieło, że odnajdujesz teraz oplakane dziecko swoje. Oto medalik, który chłopiec zdołał ukryć przed chciwością cyganów, a który ci zapewne dobrze jest znany. Zresztą wszystkie wypadki zgadzają się i upewniają mię najmocniej, że Stefan jest rzeczywiście zaginionym synem pani.

— Wielki Boże! — zawołała kobieta, ująwszy w ręce medalik — rzeczywiście jest to pamiątka chrztu mego syna!

— I ona nam też była jedyną wskazówką w czynionych przez nas poszukiwaniach — objaśnił rycerz.

— Synu mój, drogi Stefanie!... — szeptała matka, tuląc w swych objęciach garnącego się ku niej chłopca. — O, co za szczęście! Jaki Bóg dobry! Jak zacni są ludzie którzy mi ciebie wracają!... Tak niezawodnie, ty jesteś naszym synem! Przypominasz mi twego ojca!

Nastąpiły długie chwile rzewnej radości i wzajemnie udzielanych sobie objaśnień, chwile bezgranicznego szczęścia, zakłóconego jedynie wspomnieniem, że ojciec Stefana nie dożył tej pociechy.

— Może on właśnie uprosił mi u Boga twój powrót, mówiła swym łagodnym, smutnym głosem wdowa — on zawsze dodawał mi siły, bronił od zwątpienia. I miał słusność, bo dowodem łaski-Bożej jest opieka dobrych ludzi nad tobą, mój synu, i ostateczne zajęcie się twoim losem tego zacnego pana, któremu zawdzięczamy połączenie się nasze.

— Na opiekę dobrych ludzi syn pani postępowałem swym zasłużył sobie; dzielny jest i szlachetny

posiada charakter, to też mam pewność, że będzie ci w życiu prawdziwą pociechą, prawdziwem błogosławieństwem nieba.

Pan Ostrobrodzki zabawił jeszcze czas jakiś w majątku wdowy, pomagając jej w urzędzeniu interesów tak, aby czyniąc zadość prośbom Stefana, mogła się przenieść w okolice zamieszkałe przez jego przyjaciół. Właśnie bowiem była tam niewielka posiadłość do nabycia, i Stefan nie rozdzielając się ze swą matką, żył długie lata szczęśliwy wśród tych, którzy w dniach niedoli nie odmówili mu serca i opieki, a których za pomocą małego gołąbka od straszego wyratował losu.



KRÓLOWA POZIOMEK I PAPROCI.

BAJKA CZARODZIEJSKA

przez *Wacława Sulimę.*

Dzban poziomek.

Na lesistym stoku góry stała mała chatka, w której mieszkał stary leśnik ze swoją rodziną. Rodzina ta składała się z żony, dwóch niedorosłych córek: Elżbietki i małej Jagusi, dużego syna Janka i dalekiej krewnej, siostrzyczki Halinki. Halinka miała włosy jak len, a oczy jak habry; dobra była i miła, lubił ją też wuj, któremu zawsze usłużyła w czem mogła, lubiła ją i ciotka, której Halinka starała się zawsze przypodobać, lubił ją i Janek za jej łagodność i uprzejmość. Tylko Elżbietka i Jagusia przekonać się do niej nie mogły i nieraz jej dokuczały, nazywając przybłądą i darmozjadem, powtarzając, że jest na łasce krewnych, bez których byłaby żebraczką i wymawiając jej, że rodziców do nich zniechęca, i że chciałyby sama pierwsze miejsce zająć.

Halinka nieraz gorzko płakała ale pokryjomu, bo wbrew niesłusznym zarzutom, nigdy się jednym słówkiem na nikogo nie poskarżyła, wszystko zносиła cierpliwie i starała się usilnie obie siostry przejednać. Pewnego razu, było to w czerwcu i słońce mocno dogrzewało, Jagusia rzekła do matki:

— Za parę dni przypada święto, pójdziemy wszyscy do kościoła, do miasta; niech nam mama pozwoli iść na poziomek; zbieramy pełne dzbanuszki, zaniemiemy do dworu i zarobimy sobie po parę złotych.

— I owszem — odpowiedziała matka — podobno poziomek jest dużo w tym roku; weźcie dzbanki i idźcie zaraz, tylko po zachodzie słońca długo się nie bawcie, bo las duży, a jak się ściemni, mogłybyście zabłądzić.

Dziewczęta pobiegły po dzbanki, Elżbietka i Jagusia zaraz sprzeczać się zaczęły.

— Ja wezmę te dwie pary dwojaków — wołała Elżbietka.

— Nie, nie dam ci — odpowiadała Jagusia — mam tylko dwie ręce, to trzech dzbanków nawet nie wezmę, a dwie pary dwojaków to znaczy cztery dzbanuszki.

— Rób sobie jak ci się podoba, ja ci dwojaków nie ustąpię.

Jagusia już się chciała rzucić na siostrę, aby jej dwojaki wyrwać, ale Halinka ją wstrzymała.

— Uspokój się Jagusiu — rzekła — i odstąp jej dwojaków, niedaleko stąd rośnie paproć, narwiemy jej, obwiemy dzbanuszki; związane razem, będą zupełnie jak dwie pary dwojaczek.

— Dobrze! — zawołała uradowana Jagusia.

Halinka pobiegła po paproć i bardzo zręcznie obwiła dzbanuszki. Dopiero teraz spostrzegły, że dla Halinki żadnego nie zostało.

— Mniejsza z tem — rzekła opryskliwie Elżbietka — przecież wszystkie dzbanki do nas należą i Halinka nie ma do nich prawa.

Ale Jagusi, która rada była z pomysłu Halinki, żal się zrobiło biedaczki i rzekła:

— Jest w sieni kamienny dzban, w którym stoi woda, wypróżnij go, weź i wracaj prędko, bośmy już dużo czasu straciły.

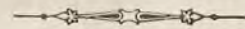
Halinka pobiegła i wróciła niebawem niosąc duży, ciężki dzban. Elżbietka widząc jak dźwiga go z trudnością, uśmiechnęła się złośliwie.

— Jeśli go cały napełnisz — rzekła — to więcej będziesz miała poziomek, niż my obie w naszych dwojaczkach.

Zaczęły iść spieszenie.

— Chciałabym znaleźć dużo poziomek — rzekła Elżbietka — sprzedałabym je drogo i kupiłabym sobie nowy, czarny aksamitny gorsecik, bo mój już spłowił i brzydki.

(d. c. n.)



Z A G A D K A .

przez Podkomorzego.

Ktoby o mnie nie wiedział zbliska czy zdaleka,
Bo dwojaki znaczenie mam dziś u człowieka;
Na rzekach i na morzach usługi oddaję,
Znają mię wszystkie ludy, mają wszystkie kraje.
Bywam jednak przemysłu i handlu siedliskiem,
Z tem samem niezmiennem zupełnie nazwiskiem,
Szukać go nie potrzeba, bo już dzisiaj słynie,
Imię jego u obcych, jak w własnej krainie.

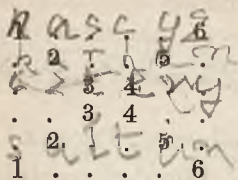
ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

przez A. W.

Ułożyć 11 wyrazów, którychby pierwsze i ostatnie litery złożyły imiona i nazwiska dwóch mecarzy i wojowników z r. 1683. Znaczenie wyrazów: 1) Owad pożyteczny. 2) Część świata. 3) Dopyływ Warty. 4) Imię biblijne. 5) Miasto w Galicyi. 6) Miasto na Kaukazie. 7) Gatunek lilii. 8) Rzeka w Małej Azji. 9) Ptak nocny. 10) Sultan, następca Mahometa. 11) Kraj w Austrii nad m. Adryatykiem. Sylaby: a — ba — bnik — cim — dwa — eu — i — i — je — ka — ku — ka — frat — lif — me — ner — o — ry — ra — ris — sa — świe — strya — wa — so.

ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

przez X. Y. Z.

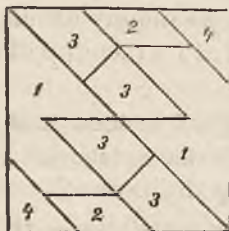


Kwiat wiosenny.
Dawna mogiła.
Liczba.
Liczba.
Władca na Wschodzie.
Rzeka w Azji.

Zastąpić liczby i kropki literami, aby litery oznaczone liczbami, krzyżując się, złożyły dwa razy imię męskie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 11.

Łamigłównki geometrycznej:



Zagadki: Pół — ka.

Wiersze przerobione z prozy.

Wyspy szczęśliwe, w każdej porze roku
Zarówno miłe i sercu i oku!
Gdy was przychodzić z gór Kolonny wita,
Wraz nagły urok źrenice mu chwyta,
I myśl pogrąża w dumy tajemnicze.
Tu szklane morze cichego oblicze,
Na falach drobnych jak uśmiechu dolki,
Gór okolicznych odbija wierzchołki
Strzegące brzegów, z którymi łagodnie
Zdają się igrać rajskie wody wschodnie.
(„Gaiur” 1/2 A. Mickiewicza).

Kwadratu magicznego:

L i r a
I r a n
R a c a
A n a m

Skrzynka do listów.

Szanownemu p. Win. Janowskiemu w Włodzimierzu, składamy najserdeczniejsze podziękowanie za wyrazy współczucia, jako też za urządzenie nabożeństwa za ś. p. Aleksandrę Borkowską, a za jego łaskawem pośrednictwem i tym wszystkim, którzy w tem nabożeństwie udział przyjmowali.

Bardzo nam przykro, że Kurka z Polesia tak długo na swój pierwszy list odpowiedzi oczekiwała, widocznie zaginął na poczcie, bośmy go wcale nie otrzymali, inaczej nie pozostałby bez odpowiedzi. Listy do Jaskółki do redukcji, naszej adresować trze-

ba. Po ukończeniu drukujących się obecnie powieści, rozpoczniemy inne, niemniej ciekawe. Rozwiązania dobre.

Irence Cz. za liścik tak ładnie i serdecznie napisany, bardzo dziękujemy, cieszymy się też, że „Wieczory” sprawiają wam miłą rozrywkę. Artykuł, o który zapytujesz, być może, że w krótkim czasie pomieścimy, ale z wielu względów obiecywać na pewno nie możemy. Początkowe numera dodatku wysyłamy; i prosimy o częste liściki.

Goląbek z nad Wisły zajął nas ciekawym opisem, jak dzień przepędza; od razu dokładnie zaznajomił nas z sobą, bo wiemy już teraz co porabia i czem się zajmuje. Zagadka zbyt już powszechnie znana. Ofiarę na Kolonie letnie otrzymaliśmy i dziękujemy za nią w imieniu kolonii.

Słoń z Nubii przysłał dobre rozwiązania. Zapytania historyczne zadajemy sami. Często bywa, że kilku czytelników przysłała łamigłównki na jednakowe tematy, a w takim razie jedna z nich tylko drukowaną być może. Rebusy muszą być starannie rysowane, bo się je przenosi na kliszę. Zagadka dowcipnie obmyślana, lecz dla czego temat taki smutny? Prosimy o większą uwagę w naklejaniu marek, bo musimy płacić karę na poczcie, gdy np. na liście miejskim zapieczętowanym znajduje się tylko jedno a nie trzykropiejkowa marka.

Chochlik ze Słarzyc, Stefan W. nadesłali bardzo dobre rozwiązania.

Choć się rzadko odzywasz, pamiętam cię dobrze **Wróżbiarko szczęścia** i chociaż nieznaną, znam cię dobrze. W roku zeszłym martwiliśmy się twoją chorobą i cieszyli powrotem do zdrowia. Za wyrazy serdecznego współczucia ślemy serdeczne „Bóg zapłać.” W smutku naszym to nietylko pociecha, ale i bodziec do dalszej pracy, takie dobre, pocziwe listy? Chciej więc i nadal pisywać do mnie, dzieląc się myślami swemi i wrażeniami. Kochana pani rozumiała cię sercem i uczuciem macierzyńskim, jakie dla was wszystkich miała, nas wiek zbliża ku sobie, a także zdaje mi się, że wspólnie cele i dążenia.

Przelotnej Płaszynie również za wyrażone współczucie wdzięczną jestem. Mam nadzieję, że nie poprzestając na tym jednym liście, stale do mnie pisywać będziesz, ja nietylko na to pozwalałam, ale zapewniam cię, że na każdy liścik odpiszę i każdego z przyjemnością oczekiwać będę. Rozwiązania dobre, o łamigłównki prosimy, bo nie wątpię, że się nadadzą do druku, jeżeli masz już wprawę w ich układaniu. Brakujące dodatki wysłano.

Za ślicznie napisany liścik **Mary Lud...** pozwalałam sobie ucałować cię. Bardzo się ucieszyłam, żeś posłuchała mojej przyjacielskiej rady i z chęcią zacząłś się przykładać do arytmetyki, a mam nadzieję, że geografii z wielkiem zajęciem uczyć się będziesz, bo geografia to jak podróż ciekawa, ukazuje nam coraz nowe kraje, a siedząc sobie spokojnie w szkolnym pokoju, przejeżdżamy tak szybko morza, góry, łądy i rzeki. Ale ja cię może niepotrzebnie zachęcam, bo z pewnością lepiej to uczyni towarzyska twoja **Mania O.**, która właśnie pisze, że geografii nad inne przedmioty przekłada. Za dopisek twój Maniu wdzięczną jestem, nie wątpię, że polubisz czytanie i przyznasz wkrótce, że ciekawa książka to najpożądniejsza towarzyska i jedna z najmilszych rozrywek.

Czarnuszcze i Bielaskowi ślicznie dziękuję, że bez niepotrzebnych tytułów napisali do mnie, tak jak zawsze o to proszę, bo nie jakąś poważną lub wiele szanowną osobą, pragnę być dla was kochani moi korespondenci, lecz tylko życzliwą i usługną przyjaciółką. Miło mi bardzo, że z ciekawością czytujecie „Wieczory” i każdego numeru oczekujecie z niecierpliwością. Rozwiązania dobre.

Miewam się bardzo dobrze, kochana **Zosiu Jok.**, jestem młoda, ale zawsze o wiele starsza od ciebie. Szaradę rozwiązałaś dobrze.

Jankowi N. dziękuję za pamięć i nawzajem pozdrawia go serdecznie

Jaskółka.

№ 14. Rok XVIII.

Dnia 21 Marca (2 Kwietnia) 1898 r.



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Z obrazu Jana Styki „Golgota”

z fotografii zakładu J. Golcz dawniej Troczewski

Matka Boska, święty Jan, święta Magdalena i niewiasty błogosławione u stóp krzyża na Golgocie.

HOSANNA.

Jeszcze w półmroku ziemia cała
Spowita w mgły srebrzyste stała,
Ledwie zadrasnął świt niebiosy,
Na kwiatkach drżały perły rosy,
A tam już kędyś po lazurze
Hosanna! brzmi radośnie w górze.
To pierwsze ptaszę z rannym świtem,
Zawisło z piosnką pod błękitem.

* * *

W oliwnych gajach szemrzą drzewa,
Woń wśród ogródców się rozlewa,
Palmy złocistym chwieją włosom,
Hosanna! szepcą śpiewnym głosem.
Już słońce wschodzi jak król w złocie,
Wkoło brylantów sięje krocie,
Rumieńcem płoną polne róże,
Hosanna! w całej brzmi naturze.

* * *

Do mistrza lud wylega z miasta,
Radosny w okół rozgwar wzrasta,
Przed Tobą — woła — my się korzym,
Zaiste, Tyś jest synem Bożym!
Dziatki stanęły w poprzek drogi
I kwiaty sypią Mu pod nogi.
Hosanna Tobie, królu ziemi,
Co nie pogardzasz maluczkami.

* * *

A na oślicy przez te tłumy,
Spokoju pełen i zadumy,
Wjeżdża Pan święta do Syonu,
Do miejsca męki Swej i zgonu,
Aby odkupić z grzechów winy
Przeszłe i przyszłe ziemi syny,
A od tej chwili już dalekiej
Hosanna! brzmi przez wieków wieki.

Marya S.

Sofia Kowczoka

DZIELNY CHŁOPIEC.

(Dalszy ciąg).

Walek się skulił, zrobił się maleńki, twarz wykrzywił i zaczął chlupać, jakby płakał.

— Widzisz, jak ja się nauczyłem dobrze płakać! W zimie to trza jeszcze dygotać od zimna jakby cię febra trzęsła!

— Wstydź się Walek! — zawołał Józik. — Jakże ty możesz tak kłamać? Pan Bóg cię skarże za takie oszukaństwo!

— O, a bo to ja pierwszy taki? Dużo jej ubędzie tej bogatej pani jak mi da parę groszy? A ja kupię sobie papierosów, kupię sobie cukierków... Nawet na piłkę sobie zbierałem. Czasem opowiadałem, że mię cyganie ukradli i ja od nich uciekłem, czasem, że ojca para w fabryce poparzyła... Raz jedna pani chciała zemną pójść do sparaliżowanej matki, takem ją wyprowadził aż na Leszno, a potem czmychnąłem w boczną ulicę i tyle mnie widziała! Okrutniem się ubawił! Opowiedziałem jej, że jestem najstarszy, a oprócz mnie jest jeszcze pięcioro dzieci i zaraz powiedzia-

łem jakie mają imiona chłopcy, a jakie dziewczyny, ałem się omylił i zamiast pięciu imion, powiedziałem trzy imiona chłopców i trzy imiona dziewczyn. To znowu czasem udaję, że mię dusi okropny kaszel. Aż mi oczy na wierzch wyłażą. Opowiadam, że wszyscy sześcioro mamy koklusz!

— To z ciebie nie dobrego! A matka nic o tem nie wie?

— Matce znowu opowiadam inne historyjki. A tom staruszka ubogiego odprowadził do domu, bo zemdlął na ulicy, a tom był w kościele...

— Jabył tak kłamać nie potrafił! A i nie chciały! Przecie to grzech.

— To też ty się nigdy nie dorobisz! Napracujesz się i cóż z tego masz? Nawet ci ojciec na papierosy ani na cukierki nie da! Robisz na ojca, a on ci za to nie płaci! Ja się choć napróżnuję, nabiegam, co wlezie, nagram się w piłkę, naślizgam się po zamarzłych rynsztokach.

— A ja pracuję i dobrze mi. I może Pan Bóg tak mi da, że nigdy ręki po wsparcie wyciągać nie będę! Chybabym się pod ziemię schował ze wstydu!

Dla Marcina nie było ani niedzieli, ani święta. W Wielkanoc i Boże Narodzenie tak samo dźwigał pakunki, jak w dzień powszedni, tak amo musiał iść na stacyę. Rzadko też kiedy widywał panią Warbicką, którą znał oddawna i u której służył na wsi wtedy, kiedy mu to sieczkarnia palce ucięła.

Pani Warbicka mieszkała w Warszawie od lat kilkunastu. Zestarzała się bardzo i jakoś coraz większa była n niej bieda. Wieś, co ją niegdyś miała zabrali wierzyciele, bo kobiecina nie umiała gospodarować i służący ją okradali, potem przenosiła się w Warszawie do coraz to gorszego mieszkania. Póki mogła haftowała znaki na bieliznie, bo to umiała dobrze robić, ale wzrok jej się popsuł, krzyż ją bolał od siedzenia nad krośnami, w końcu już nie zarabiać nie mogła. Sprzedawała po trochu co lepsze graty i nawszczie mieszkała na strychu w jednym pokoju i gotowała sobie jedzenie na maszynce naftowej. Idąc na schodach na swój strych stękała coraz bardziej, za każdym piętrem zatrzymywała się i sapała biedaczka, aż litość było słuchać. Dawniej miała dużo znajomych, ale teraz nie odwiedzała nikogo, nikt też u niej nie bywał prócz Marcina parę razy do roku i Józika, który do niej zalaatywał, bo go ogromnie lubiła. Jak tylko Józik się zjawił i staruszkę grzecznie w rękę pocałował, zaraz zaczynała się o wszystko rozpytywać, potem zapalała ogień pod kuchenkę naftową i częstowała chłopca herbatą. Czasem posyłała go po bułki lub cukier i serdelki. Potem go błogosławiła jak dobroczyńcę.

— A niechże ci moje dziecko Pan Jezus wynagrodzi za to, żeś mi oszczędził chodzenia po tych nieznosnych schodach. Coraz mi ciężej po nich się drapać! Na mieszkanie niżej mię nie stać, w suterynach wilgoć a mnie po kościach łamie.. Nie wiem co to będzie jak się kiedy już z łóżka zwlec nie będę mogła. A przyjdzie to niedługo bom coraz słabsza.

Pani Warbicka miała psa, który się nazywał „Bosy”, bo był cały czarny a łapy miał białe. Lubila go bardzo i często mówiła Józikowi, że chybaby zwaryowała, żeby nie te żywe stworzenie, które miała przy sobie. Bosy był uadry umiał różne sztuki i był bardzo posłuszny. Tak jednak nie cierpiał kotów, że gdy kota zobaczył, to się za nim uganiał i wtedy już żadne wołanie nie pomagało. Pani Warbicka miała nieraz biedę z tą nienawistną „Bosego” do kotów. Raz uduślił bardzo pięknego kota jakiejś bogatej pani i pani Warbicka musiała przeproszać. Ile razy, poskrobawszy do drzwi, uprosił by go wypuszczono tyle razy zaraz za kotami się ogładał i często kota w jakim kącie wyszedził, a gdy mu nieprzyjacieli uciekł na drabinę lub drzewo, to stał i czekał aż go jaki zniecierpliwiony przechodzeń odpędził i przestraszona ofiarę z obłążenia oswobodził. Gdy się zaś „Bosemu” udało poturbować napotkanego kota, to wracał do swojej pani uszczęśliwiony i machał ogonem jakby, dopełnił wielkiego

czynu. Józika lubił, bo chłopiec umiał się z nim bawić. Pies był wesoły z natury i tylko przy swojej smutnej pani, stawał się smutnym.

Pani Warbicka wyglądała zawsze z upragnieniem odwiedzin Marcina, bo się z nim mogła nagadać o lepszych czasach, kiedy to jeszcze Wólka Kościelna do niej należała, kiedy miała wygodny domek, w którym nie było schodów oprócz tych, po których się schodziło do piwnicy.

— Niema to jak wieś, mój Marcinie — mawiała — ludzie gromadzą się po miastach na swoją biedę i na swoje zgorzenie. Na wsi człowiek bliżej Pana Boga i nie patrzy na tyle nędzy ludzkiej i na tyle ludzkiej głupoty i na tyle niegodziwości różnych. Zechym to ja choć przed śmiercią jeszcze Wólkę Kościelną zobaczyła!

Marcin tylko głową kiwał. Wiedział on, że Warbicka nigdy już Wólki nie zobaczy bo była i stara i biedna i coraz to słabsza.

— Ja pani powiem tak — mówił na pociechę staruszce — wszędzie człowiek pocziwy jest blisko Pana Boga, a staremu lepiej w mieście bo i doktor i apteka blisko...

— Staremu i doktor nie pomoże.

— A pamięta pani, jak się to mnie krew z palca waliła jak mi go sieczkarnia ucięła, a tu doktor o dwie mile i ani było czym krwi zatamować, choć pani kazała pajęczynę ze wszystkich kątów powymiatać i miałem jej z cal grubości na palcu. Ale tam nie bardzo był markotny! Dopiero jakem sobie wspomniął, że już nic nie będzie z mojego szewetwa com sobie o niem zawsze myślał, to mi się okrutnie niemilo zrobiło.

— Ja Panu Bogu dziękuję, że was Marcinie choć od czasu do czasu zobaczę, bo oprócz was i Józika to już tu nikogo nie znam w Warszawie. Do tych ludzi bogatszych co się z niemi dawniej znałam teraz nie chodzę, boby może myśleli, że co od nich potrzebuję i możeby im się nie podobała moja wyszarzana suknia, a możeby broń Boże chcieli mnie wspierać...

— Ha, możeby się pani czasem pomoc ludzka przydała.

— Nie, mój Marcinie, już ja na żebraczkę nie wyjdę! Z głodu może umrę ale ręki wyciągać nie będę. Z cudzej łaski nigdy nie żyłam, a kiedyś nie umiała zachować tego majątku co mi mój mąż nieboszyk zostawił, to słusznie, że bieduję na starość. No Marcinie, napijcie się jeszcze szklanek herbaty!

— Bóg zapłać!

— A ty Józiku.

— I ja już mam dosyć, dziękuję pani!

— Jednego wam tylko zazdroszczę, Marcinie, to tego chłopaka!

— Juści złoto nie chłopak! — odparł Marcin. — Rychtyk wdał się w nieboszczkę moją kobietę, cotom od niej, przez półtora roku cośmy z sobą żyli, złego słowa nie słyszał. I taki pracowity jak ona! Piotrowa, niby sąsiadka, wciąż mi tam radzi się żenić, ale mi żal dziecka, bo co matka rodzona to nie macocha. Czasem mi się tam trochę przykrzy bez gospodyni w domu, ale jak sobie wspomnę na chłopaka... Trza go będzie za jaki rok oddać do terminu, żeby mu dać chleb w rękę, to wtedy nie wiem jak będzie. Trza się będzie chyba ożenić wedle gospodarstwa. Za to już butów kupować nie będę, bo mi Józik darmo je uszyje.

— Ja i dla pani uszyję takie ładne, co jaże! — ozwał się nieśmiało Józik.

— Oj ty pocziwe dziecko! — rzekła pani Warbicka.

Gdy ostatni raz Marcin wracał od pani Warbickiej z Józikiem, aż go ciągnęło żeby zająć do szynku i wypić choć jeden kieliszek. Obracał oczy na szynk i nogi same na bok go prowadziły, ale Józik mocno się trzymał jego ręki, a zagadywał a wspominał matkę nieboszczkę. Chłopiec wiedział, że ojca wódka do szynku ciągnie i chciał mu gwałtem złą myśl z głowy wybić. Przypominał mu, że wróciwszy do domu trzeba będzie zaraz lecieć na pospieszny z Kowla. jakoż nareszcie Marcin zaczął myśleć o czem innym i już

prosto poszedł z Józikiem. Na stacyi tego dnia zarobił sporo, bo z numerem 7-ym wynosili z wagonu jakiegoś bogatego pana, którego noga tak bolała, że się jej tknąć nie pozwalali. Za to wynoszenie dobrze zapłacił posługaczom. Gdy Marcin wracał na odpoczynek do domu, znowu mu wódka zapachniała. Przeklinał ją w duchu, nazywał „dyabelskim nasieniem”, a czuł, że silniejsza od niego i że go zmoże.

— Oj zmoże, bestya — myślał — zmoże ta z piekła rodem! Człowiek się nie wywczasuje, nie wyprostuje...

Był zmęczony, chciało mu się spać a głodu nie czuł. Zjadł bez apetytu co mu Józik przygotował i fuknął na niego sam nie wiedział o co, a potem zawołał groźnie:

— No, leć mi po wódkę!

Józik nie śmiał nic odpowiedzieć i przyniósł wódki, a jak ją na stole postawił, Marcinowi aż oczy zaśmiały się do niej!

Marcin począł pić i prędko jakoś w głowie mu zaszumiało.

— Jenszy — mówił niewyraźnie, jakby mu język kołkiem stawał — jenszy to się zaraz zatacza jak się wódki napije i bełkocze sam nie wie co, a po mnie nikt nie pozna! Chodzę prosto, jak wagon po szynie, i mówię gładko, jak z książki.

Wstał, potknął się trochę na równej podłodze i zawołał waląc pięścią w stół:

— Przynieś jeszcze wódki do poduszki! Trza tego robaka lepiej zalać!

Józik zaczął płakać i zawołał okrutnie żałośnie: „Tatusiu”, ale Marcin spojrział na niego groźnie surowemi oczyma, że chłopiec nie czekał, aż mu pięść ojcowska na głowę spadnie i porwawszy butelkę wybiegł z izby co prędzej.

Marcin nie doczekał się jego powrotu. Chrapał na ławie, gdy Józik z wódką powrócił, ale po paru godzinach obudził się, bo ława była twarda i zawołał na chłopca:

— A pamiętaj mnie obudzić przed dwunastą, bo to mój dyżur dzisiaj! Wódki przyniosłeś? Daj no kieliszek! Tylko jeden kieliszek, żeby starszy nie poczuł on ma taki delikatny nos.

Wypił kieliszek, położył się do łóżka i spał niespokojnie przewracając się z boku na bok i jęcząc przez sen. Przed dwunastą zerwał się budzony przez Józika. Wyglądał okropnie. Józik uprosił go że się umył, uczesał i zlał głowę wodą.

— Mnie to wszystko niepotrzebne — powtarzał chrapiwym głosem — bo po mnie nikt nie pozna. Chodzę prosto jak wagon...

— Zjedzcie trochę ciepłego mleka, tatusiu.

— Nic nie chcę! Najedzony jestem jak bąk! Napić tobym się napił, ale trza lecieć na stacye!

Józik odprowadził Marcina, który jakoś równowagi utrzymać nie umiał i potykał się na równej drodze. Chłopiec był smutny bardzo, żał go za gardło ścisnął, bał się by ojciec służby nie stracił, by na stacyi nie spostrzeżono, że nie jest zupełnie trzeźwy. Gdy jednak Marcin znalazł się na dworcu, jakoś raźniej chodząc począł i Józik wrócił do domu spokojniejszy.

Tymczasem Marcin stał na ganku dworca, przed który zaczynały zajeżdżać dorożki, ale czuł się ociężałym i nie miał ochoty zejść ze schodów, bo się bał potknąć. Inni posługacze biegali i usługiwali podróżnym, a on się oparł o framugę drzwi i miał minę tak zasnęłą, że towarzysz z numerem 7-ym na blasze, zawołał:

— Cóż to, Marcinie, śpicie jeszcze, czy co?

Marcin się obraził choć zwykle był wesoły i dobry, bo człowiek, który jeszcze choć trochę ma w czubku, o byle co się obraża.

— A wam co do mojego spania? — zawołał gburowato — głowa mnie boli, że o mało nie rozsądzi a tu na mnie dziś dyżur!

I stał tak dalej, oparty o framugę. Posługacze znikli powoli z ganku i krzątali się po salach, kupowali dla podróżnych bilety, wyprawiali rzeczy, bo już było niedaleko do odejścia pociągu. Rozległ się naprzód pierwszy, potem drugi dzwonek, a Marcin z miejsca się nie ruszył. Aż tu zaturkotała dorożka przed samym gankiem, wyskoczył z niej podróżny i zawołał:

— Posługacz, wszystkie rzeczy do wagonu 1-szej klasy! Prędko bo już musi być późno.

Marcinowi jakby kto w kark dał. Ruszył się prędko, wyjął rzeczy z dorożki, mówiąc:

— Już po drugim dzwonku, trza się spieszyć.

Dźwigał za podróżnym walizkę i torbę, ale czuł, że mu się nogi płączą. Z trudem wygramolił się na stopnie wagonu, a gdy walizkę stawiał na ławeczce u góry to mu się zdawało, że ma ręce i ramiona z ołowiu.

— Uciekaj—wołał podróżny dając mu zapłatę — bo pociąg rusza!

— Nie pierwszyż mi —odparł Marcin zdejmując czapkę.

Wyszedł na ganeczek wagonu, który już się toczyć począł myśląc: Odprysięgnę się od te-



Fig. 117. Powrót sieci morskiej.

go okropnego picia od tej z piekła rodem... Pójdę do kościoła, pójdę do księdza i przysięgnę przed ołtarzem...

Wagon szedł coraz prędkiej, Marcin jakoś się chwiał na nogach, wreszcie wyskoczył, ale tak nieszczęśliwie, że wpadł pod koła, które mu obie nogi przejechały, podczas gdy stopnie wagonu, uderzwszy go w głowę, zabiły na miejscu.

Józik dopiero w parę godzin potem dowiedział się, że jego ojciec już nie żył. Biedny chłopczyna nie mógł początku zrozumieć swego nieszczęścia, nie mógł pojąć, że ojca, którego kochał bardzo, nie zobaczy już nigdy, że nigdy już nie usłyszy jego głosu. Płakał, chodził jak struty, nie mógł sobie z żalu dać rady. Po pogrzebie wrócił do domu sam, przez parę dni jadł tylko chleb suchy i zamykał się ze środka, żeby nikt do niego nie przychodził, bo on nie chciał widzieć nikogo. Piotrowa chciała go wziąć do siebie, myślała, że się będzie bał zostawać w izbie sam jeden, ale Józik nie lubił Piotrowej, która tak koniecznie chciała ojca ożenić, nie miał ochoty zadawać się z Walkiem, który na coraz gorszego lobuza wychodził, więc

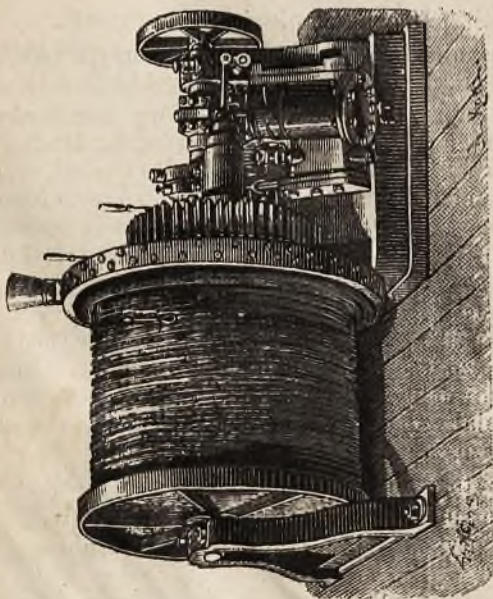


Fig. 118. Wa' żywany do nawijania stalowego sznura.

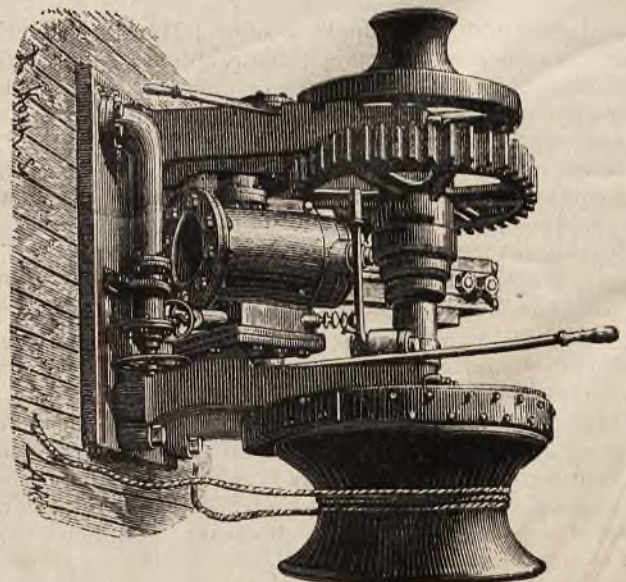


Fig. 119. Przyrząd używany do wyciągania sieci z morza.



W niedzielę Palmową.

podziękował Piotrowej przeze drzwi, nie otworzywszy ich nawet i siedział sam w swojej izdebce.

(d. c. n.)

W OTCHŁANIACH MORSKICH

PRZEZ

Dr. M. Stefanowską.

(Dalszy ciąg).

Opisana dopiero co sieć jest tak doskonałym przyrządem, iż ciągniona po posadzce, zbiera drobną monetę którąśmy rozsypali, to też używanie jej w głębinach jest nader pożyteczne w wielu wypadkach. Ale na miękkim, mulistym dnie skórzany wór szybko napełnia się mułem i odtąd sieć nic już nie zbiera. Prócz tego z powodu niewielkich rozmiarów sieć ta łowi jedynie drobne i mało ruchliwe zwierzęta. Dlatego też często używa się sieci znacznie większej (zwanej *chalut*) przedstawionej na ryc. 117.

Składa się ona z dwóch worków siatkowych, z których wewnętrzny ma dno otwarte i służy głównie do zatrzymywania zwierząt, które się gromadzą w sieci dłuższej. Sieć ta nie napełnia się mułem, gdyż ten wycieka przez oczka. Gdy taka ogromna sieć wraca na pokład okrętu do połowy napełniona, przynosi istne muzeum zwierząt; zdarza się wprawdzie, że przynosi zarazem ogromne kamienie, ważące po kilkaset funtów.

A jakiej to siły potrzeba użyć, aby tak obciążoną sieć wyciągnąć z głębokości 4.000 i 5.000 metrów, zwłaszcza gdy zaczepiła się o skały! To też używane są w tym celu potężne maszyny. Sieć przywiązana jest do metalowego sznurka, który widzimy nawinięty na ogromnej bobinie (ryc. 118).

Bobinę tę wprawia w ruch machina parowa. Na ryc. 119 widzimy zaś przyrząd z walcem używanym do wyciągania sieci z morza, przyczem metalowy sznur nawija się na bobinę w miarę podnoszenia się sieci. Zwykle przed zapuszczeniem sieci do morza zarzucają w pierw ołowiankę, aby się przekonać, jaka jest głębokość i ile trzeba odwinąć sznurka dla sieci. Najczęściej jednak odwijają 600 do 800 metrów więcej niż głębokość wskazuje. Aby sieć dojść mogła do samego dna, przywiązują do jej sznurka ciężar ważący 200 do 300 funtów, a także umieszczają inny ciężar na dnie sieci.

Okręt płynie i sieć wlece po dnie, przytem należy zwracać baczną uwagę, aby okręt nie płynął zbyt szybko, gdyż wtedy sieć skacze po dnie i nic nie zbiera. Dragowanie na znacznej głębokości trwa kilka godzin (7 do 8).

Sieć zabiera bez wyboru wszystkie zwierzęta, jakie natopka między dnem a powierzchnią. Lecz gdy chodzi o dokładną wiadomość na jakiej mianowicie głębokości złowione zwierzęta ponad dnem morskiem, to w tym celu wyrabiają teraz sieci, które się otwierają dopiero w chwili połowu na danej głębokości, a potem znowu się zamykają. Zawierają one przeto zwierzęta, pochodzące z określonej warstwy wody.

Gdy się wraca na pokład, wówczas dopiero rozpoczyna się praca dla uczonych. Trzeba delikatnie zwierzątko ostrożnie oddzielić od sieci i pakuł, obmyć z lepkiego mułu, poukładać je potem w słoje ze spirytusem albo też wysuszyć jeżeli chodzi jedynie o przechowanie szkieletu. Spirytus należy kilka razy zmieniać, gdyż od wysiakającej wody z ciała zwierząt, staje się on coraz słabszym. Trzeba także chociaż w przybliżeniu określić, do jakich zoologicznych grup należą zebrane okazy, dać napis na każdym słoju, oraz porobić rozmaite notatki, oznaczające gdzie, kiedy i jak zwierzę zostało złowione; wreszcie porobić rysunki ze zwierząt żyjących. Widzimy, jaki to nawał pracy, zwłaszcza gdy tak jak na Ta-

lismanie zarzucano sieć trzy razy dziennie podczas trzech miesięcy.

Jak wiele zwierząt sieć może przynieść jednorazowo wnioskować możemy z tego, że pewnego dnia Wyville Thomson wydobyl z sieci 20.000 jeżów morskich. Ale zdarza się także, że sieć wraca prawie próżna, co bywa w skutek tego, że zaplątała się w sznurze od szybkiego biegu okrętu, albo że nie dosięgła dna, które nagle się pogłębiło. Trafia się także, że sieć, zaczepiwszy się o skały, zostaje na dnie morskiem

Butelki do wody. Ważnem jest nader wiedzieć, jaki jest skład wody morskiej na rozmaitych warstwach Oceanu. Przyrządy, za pomocą których czerpią wodę morską na określonej głębokości, są to mocne walce metalowe, opatrzone klapami na obu końcach, które są otwarte, gdy przyrząd w dół się opuszcza (wskutek oporu wody), tak iż woda morską swobodnie przepływa, nie zatrzymując się w walcu. Lecz w chwili gdy butelka się podnosi, klapy nagle się zamykają (również skutkiem oporu wody) i zatrzymują wodę wewnątrz walca. Tym sposobem butelka została napełniona wodą zaczerpniętą na tym poziomie, na którym walec się zamknął.

Wewnątrz butelki woda zachowuje takie ciśnienie, jakiemu uległa w chwili zaczerpnięcia. z tego powodu, gdy przyrząd zostaje otworzony na powierzchni morza, to woda, znajdując się nagle pod ciśnieniem nierównie słabszym, wypycha większą część gazów w niej zawartych i bije tak jak woda sodowa.

(d. c. n.)

W NIEDZIELE PALMOWĄ.

Na pamiątkę uroczystego wjazdu do Jerozolimy Chrystusa Pana, podczas którego zebrane rzesze rzucały Mu pod stopy zielone gałązki i kwiecie, wierni we wszystkich krajach spieszą w dzień ten do kościołów z gałązkami zieleni, przybraniami w kwiaty i wstążki. Gałązki te poświęcone w kościele przechowują się przez rok cały, jako pamiątki tego dnia uroczystego.

Gdy u nas budząca się zaledwie do życia ze snu zimowego przyroda, mało jeszcze na dzień ten zdążyła rozwinąć bogactwa roślinnego, skromnej acz miłej ze swymi rozwijającymi się pączkami, przystrajając je w barwinek.

Lecz w krajach południowych, we Włoszech i Hiszpanii, gdzie roślinność bujniejsza, wybór gałązek jest wielki, a palmowe otrzymują pierwszeństwo, jako najwspanialsze. Dziewczęta w tych krajach z wielką sztuką przystrajają palmy, wplatając też w około długiego drążka zarówno świeże kwiaty i zieleni jako i barwne wstążki i jaskrawe świecidełka, współubiegając się między sobą o najpiękniejsze i najmisterniejsze ozdobienie. Załączona do dzisiejszego numeru rycina przedstawia właśnie powrót z kościoła w niedzielę palmową ludu włoskiego w górzystej prowincji Abruzzów, leżącej w południowych Włoszech.

Na tle wdzięcznego krajobrazu, wśród młodej a bujnej już zieleni, widzimy na pierwszym planie urodziwą wieśniaczkę z dziewczynką, w świątecznych strojach, z jaskrawie owiniętą i ozdobioną palmą.

Za niemi idą starsi i dzieci, a w głębi widać kościołek i wioskę.

NIEDŹWIEDŹ

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

p. Zuzannę Morawską.

(Ciąg dalszy).

Uroczystości koronacyjne miały od dawien dawna program nakreślony, że zaś tego rodzaju koronacja odbywała się dopiero poraz pierwszy, trzeba było odstąpić od uświęconych zwyczajów i zmienić nieco tak sam obrządek jako też i odbywające się zabawy.

Sam Tarnowski nawet, który przeciwny był, ażeby dzieci otaczały tron młodzieńczego króla, po bliższej naradzie z biskupami Krzyckim i Karnkowskim, zastanowił się i rzekł:

— Możeć lepiej, że mu się da zabawy i widowiska do jego wieku stosowne, bo inne łącno mogłyby mu przewrócić się w głowie.

Prymas, Jan Łaski takiego był również zdania rzekł zatem:

— Równy równego niechaj zabawia.

— Ci, co będą go dziś bawili, będą z nim kiedyś radzili i da Bóg w potrzebie piersiami go swemi zasłonią — rzekł, zamysławiając się Tarnowski.

— Otoczenie stanowić będzie starszyzna — rzekł prymas.

— Królowej zamiary nie osiągną celu — dodał Krzycki owszem, dopomogą do zbliżenia przyszłego króla ze szlachtą.

Jak więc postanowiono tak i uczyniono, a dzień 20 lutego 1530 roku był nie tylko dniem koronacji młodzieńczego Zygmunta, lecz prawdziwym świętem dla młodzieży.

Na kilka dni przedtem widziano całe tłumy dzieci różnej płci i wieku, przypatrujące się z wielką ciekawością wspaniałym kościołom i gmachom lub pod przewodnictwem mistrza ceremonii odbywające ćwiczenia, które miano w dniu koronacji wykonać.

Wśród całego tego tłumu, spotykamy i naszych znajomych z zakroczymskiego zamku, dla których było to prawdziwą niespodzianką, że będą do koronacyjnego korowodu należeli. Kasztelan bowiem odebrałszy zaproszenie, żeby przybył z dziećmi, wcale im o tem nie oznajmiał, rzekł tylko do żony:

— Chłopcy starsi i tak mieli jechać do szkół, możeby warto i Piotrusia od razu, ale to się zobaczy, dziewczęta weźmie się gwoli pokazania miasta, ale o korowodzie nie trzeba im mówić.

— Rozumie się — odrzekła pani Łucya — jabym nawet wolała, żeby do tego korowodu nie należały ..

— Jeno, że królewicza nie można obrażać, boć wyraźnie żądał ich przyjazdu — odrzekł pan Baltazar.

— Wiemci o tem; w wielu razach trzeba po niewoli coś zrobić; aleć, że poniewoli, to prawda — mówiła kasztelanowa.

Choć nie było to po jej myśli, widzieliśmy jednak, że ani jednym słówkiem nie dała poznać swego niezadowolenia i dziewczęta ku swojej wielkiej uciechu jako i ochmistrzyni przybyły do Krakowa.

Na drugi dzień po przybyciu oboje kasztelanstwo wraz z dziećmi poszli do kościoła na Wawel, po wysłuchaniu Mszy świętej, kasztelan wraz z dwoma starszymi synami wyszedł, chciał bowiem jak najprędzej załatwić się z umieszczeniem ich w szkołach. Ze zaś znał dużo osób zajmujących wysokie stanowisko, chciał się z nimi w tej sprawie naradzić i ich opinie chłopce polecić.

Pani Łucya z dziewczynkami i Piotrusiem została; wstawszy z ławki szła do kaplicy ukrzyżowanego Chrystusa, ażeby dzieciom pokazać ołtarz, przed którym modliła się królowa Jadwiga i przed tymże ołtarzem polecić Bogu dalsze losy swych dzieci.

Nie zdążyła jednak zmówić ani jednego Ojczy nasz, gdy w pobliżu stanął pan Opaliński i postanowił czekać, aż pobo-

żna niewiasta modły swoje dokończy. Lecz Anusia zaraz go spostrzegła, a pociągnawszy matkę zleka za rękaw, szepnęła:

— Ochmistrz królewicza jest tuż za nami.

— Cicho — odrzekła szeptem matka.

— Dziewczynka nie rzekła już nic do matki, lecz z Piotrusiem i Jadwisią zamieniała co chwila spojrzenia i wcale modlić się nie mogła. Jadwisia z początku usiłowała mówić pacierz, lecz pomimowoli obejrzała się, a zobaczywszy pana Opalińskiego, który przyjaźnie spoglądał na nich, zaczerwieniła się i zaczynając kilkakrotnie „Zdrowaś”, nigdy skończyć nie mogła. Mimo to nastroiwszy poważną minę, dawała znaki rodzeństwu, ażeby się nie oglądali. Lecz Piotrusia trudno było uspokoić, odwracał się ciągle, szeptał do sióstr, pokazywał im ochmistrza, czem tak przeszkadzał matce, że ta nie chcąc jego zachowaniem się dawać innym zgorszenia, surowo tylko nań spojrziała i wstawszy, zamierzała wyjść z kościoła.

Wtedy przysunął się pan Opaliński i z wychodzącymi szedł ku drzwiom, a Piotruś niewiele myśląc, uczeplił się jego ręki, czego mu zacy ochmistrz wcale nie broniał.

W kruchcie zaś zbliżył się do kasztelanowej i rzekł układnie:

— Domyśliłem się w jejmość dobrodziejce jaśnie wielmożnej kasztelanowej zakroczymskiej, w której domu mój królewski wychowaniec i ja byliśmy pod jej nieobecność tak gościnnie przyjęci.

— Tak mój małżonek jako i ja żałujemy bardzo, żeśmy pod czas ten w domu nie byli, ominęła nas sposobność powitania pod naszym dachem tak dostojnych i miłych gości — odparła z ukłonem kasztelanowa.

— Królewicz tak został ujęty gościnnością w domu jaśnie wielmożnych państwa, iż zobaczywszy dzieci ich w kościele, uprosił ichmość królestwo, ażeby mu pozwolili zaprosić kasztelanek i Piotrusia do zamku; a czyniąc zadość jego żądaniu, przyszedłem życzenie jego jejmość dobrodziejce przedstawić.

Kasztelanowa chwilkę milczała, nie wiedząc jak sobie radzić; słyszała, że wezwaniu królewskiemu nie można odmówić bez narażenia się na niełaszkę, w duszy zaś trochę nie była rada zaproszeniu, choć zaszczyt na jej dzieci splotywał, pokryła jednak niezadowolone i z uśmiechem odrzekła:

— Wielka to łaska jego królewiczowskiej mości, że chce się z naszymi dziećmi zabawić lecz prosto są z drogi, muszą się przeto przystojniej do takich odwiedzin przybrać..

— Jejmość dobrodziejka pozwoli im pójść, jak stoją, królewicz koniecznie sobie tego życzy — rzekł stanowczym głosem ochmistrz.

Pani Łucya spojrziała nań, a widząc, że pan Opaliński nie odstąpi od swego, dodała tylko:

— Pod opiekę jegomości dobrodzieja je oddaję, a nie wiem kiedy po nie przysłać, żeby się długą bytnością, a też nieumiejętnem zachowaniem zbyt nie uprzykrzyły.

— Przez zaufaną osobę do mieszkania imci państwa dobrodziejstwa dzieci będą odprowadzone — odparł Opaliński, nieco przydługą rozmową znudzony.

I ukłoniwszy się, wskazał dziewczynkom drogę a sam z przyczepionym do swej ręki Piotrusiem, poszedł za nimi.

Jadwisła i Anusia kilka razy obejrzały się na matkę, która dziwnie w tej chwili czuła się osamotnioną, jak gdyby je na zawsze traciła.

Jadwisi łązy w oczach stanęły, nawet Anusia zwykle tak śmiała i wesoła, chociaż pragnęła ujrzeć królewicza, byłaby teraz z chęcią uciekła i rzuciła się matce na szyję, tylko Piotruś szedł odważnie, zarzucając pytaniami ochmistrza, na które tenże uśmiechem pobłażliwym odpowiadał. Pan Opaliński poprowadził dzieci do komnaty, w której zwykle królewicz razem z nim przebywał, jeżeli go matka nie zawołała i wraz z siostrą nie trzymała przy sobie.

— Pójdźcie, pójdźcie! — wołał królewicz, zobaczywszy je przez drzwi otwarte i mimo oporu siostry, wybiegł i z kolei dziewczynki a potem Piotrusia serdecznie ucałował.

— Wicie, Niedźwiedź jest także, będziemy się doskonale bawili! Ale czemu niema Jędrusia i Marcinka, czy nie przyjechali? — mówił Zygmunt jednym tchem, według swego zwyczaju.

I wprowadził ośmielone nieco tem serdecznem przyjęciem dziewczynki i Piotrusia, który o ile dotąd szedł wesoło, teraz jakoś posmutniał i tylko z pod oka spoglądał.

Dopiero gdy zobaczył Kazika twarzyczka jego się ożywiła i podbiegłszy, z całą serdecznością rzucił mu się na szyję.

Kazik zaś obznajmiony już nieco przez te dni kilka ze zwyczajami dworskimi, mimo całego wybuchu czułości i szczerzej chęci przywitania się z krewniaczkami, trzymał się jednak na uboczu. w obecności swego młodego pana, bo tak kazała dworska etykieta.

— Niedźwiedziu, nie poznajesz Jadwisi i Anusi? — zapytał.

— Poznają. lecz nie wiem, czy mi wolno przywitać się z nimi w obecności jego królewiczowskiej mości — rzekł Kazik układnie — a twarz jego oblała się rumieńcem.

— Dobry sobie, tam w komnatach przy mamie, co innego, tutaj możemy się bawić wesoło — zawołał Zygmunt.

— Wszak prawda, mości ochmistrzu? — zapytał, zwracając się do Opalińskiego.

Ochmistrz uśmiechnął się dobrotliwie i rzekł:

— Można, tylko bez zbytniego hałasu i z pomiarkowaniem; wesołości, jako i wszystkiego, trzeba w miarę używać.

Lecz siniora najwidoczniej innego była zdania; zachowanie królewicza znać jej się nie podobało, zaczęła bowiem bardzo głośno mówić po włosku, wymachując przytem rękami, jak to miała w zwyczaju; czem tak onieśmieliła kasztelaniki, iż przytuliwszy się do siebie, spoglądały dokoła z przestraszeniem.

Zachęcone jednak przez królewicza, podbiegły wreszcie do Kazika, a ściskając go, zarzucały pytaniami:

— Nie tęsknisz do nas?

— Teraz jakoś inaczej wyglądasz? — wołały, przypatrując mu się ciekawie.

I rzeczywiście Kazik zmienił się do niepoznania. Ciemne jego dość długie włosy, przycięte nad czołem i zwykle swobodnie spadające, zwinęte były teraz w misterne pukle, obcisłe zaś, ciemno zielone z jasnymi rękawami na szwach bramowane złotym sznurkiem ubranie, spięte na drobne złote guziki, uwydatniało wprawdzie jego kształtną postać, lecz nadawało zarazem pozor dziwnie sztywny, jakby przykrojony do dworu, na którym zostawał.

(d. c. n.)

ZE ŚWIATA.

Ś. p. Klemens Junosza Szaniawski. — Wynalazki Szczepanika.

Literatura nasza poniosła ciężką stratę. Dnia 22 marca r. b. zmarł znany powieściopisarz Klemens Junosza Szaniawski.

niawski, autor wielu powieści i obrazków, w których z humorem i dowcipem, a zarazem z rzewnością i serdecznością przedstawiał życie drobnej szlachty i mieszczaństwa, kreśląc liczne technące prawdziwem życiem typy i postacie. Niezależnie, od talentu był to człowiek wielkiej dobroci, szlachetności i pracowitości. Wszystkie jego utwory cechuje zacna tendencja, wiara w Opatrzność Boską.

Zmarł w 48 roku życia, sterany chorobą i wieloletnią pracą od samego dzieciństwa prawie, gdyż rodzice odumarli go za młodu. Pochowany został w Lublinie, rodzinnem swem mieście.

Jan Szczepanik, do niedawna jeszcze nauczyciel ludowy w Korczyni w Galicyi, liczący zaledwie dwadzieścia kilka lat wieku, dokonał dwóch wielkich wynalazków z dziedziny elektryczności. Są to wynalazki tak wielkiej doniosłości, że nazywają już Szczepanika powszechnie polskim Edisonem, a cały świat naukowy i przemysłowy zajęty jest ich badaniem.

Pierwszy wynalazek nosi nazwę *telektroskopu*, a służy do przenoszenia na dowolną odległość całych obrazów i widoków z zachowaniem rzeczywistych ich kolorów, nad czem podobno Edison pracuje bezskutecznie od 20 lat.

Wynalazek ten uczyni niepotrzebnem i przestarzałem cały obecny sposób telegrafowania za pomocą kresek lub liter, gdyż tak samo, jak obrazy rzeczywistych zdarzeń, telektroskop przekaże na odległość kopię rękopisów i druków, i to w mgnieniu oka, a na oznaczonym miejscu utrwaląc je będzie na małej płycie fotograficznej albo na czułym, przygotowanym odpowiednio papierze. Przenoszenie to odbywać się ma bez względu na odległość. Jeżeli np. pewnego rana zawiesimy w aparacie świeżo wydrukowany egzemplarz dziennika, to za parę sekund w Sydney, w Australji, będzie już gotowa kopia pierwszej jego strony.

Drugim wynalazkiem Szczepanika jest sporządzenie i przenoszenie na tkaniny w drodze fotograficznej wzorów dla tkaczy, w celu wyrabiania tkanin kolorowych. Wzory, które dotychczas kosztowały wiele pracy artystycznej, czasu i pieniędzy, w przyszłości wykonywane być mają w sposób prosty i tani dla wszystkich gatunków tkanin, od najkosztowniejszego gobelinu aż do kwiecistych chustek jedwabnych. Związek bankowy w Barmen odkupił patent od wynalazcy i zamierza w Elbersfeldzie założyć pierwszą fabrykę, w której zastosowanoby pomysł Szczepanika.

Podwójnie cieszyć się możemy z tych wynalazków, po pierwsze, że z czasem będziemy wszyscy z nich korzystali, powtóre, iż uczynione zostały przez naszego rodaka. Jeżeli teraz miło nam otrzymać w ciągu godziny wieść od drogiej osoby, będącej gdzieś daleko, to jakąż to będzie radość móc widzieć wierne odbicie jej twarzy i ruchów, jej mieszkania i otoczenia w tej samej prawie chwili. Telektroskop będzie dla wzroku tem, czem telefon jest dla słuchu, z tą różnicą, że stokroć dalej sięgać może.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Hosanna, przez Maryę S. (z ryc.) — Dzielný chłopiec przez Zofię Kowerską. — W otchłoniach morskich przez dr. M. Stefanowską (z ryc.) — W niedzielę palmową (z ryc.) — Niedźwiedź, powieść z XVI w. przez Zuzannę Morawską. — Ze świata. — Dodatek: Dary wiosny, wiersz przez M. D. — U cioci Polci (z ryc.) — List Józia. — Królowa poziomek i paproci przez Wacława Sulimę. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitek. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

WIECZORY RODZINNE

DARY WIOSNY.



uż słońeczko zajaśniało
Z zachmurciemnych już wyjrzało,
Wiosna idzie, wiosna miła,
By nam świat ten ozdobiła!

Ozdobiła dary swemi
Tak miłemi, tak cudnemi!...
Ach, już mówię istne czary
Tej wiosenki hojnej dary!

Wnet się trawka zazieleni
Wnet się wszystko pięknie zmieni
Wnet zakwitną krzewy, zioła
Śliczne, barwne, dookoła.

Jeszcze pruszy śnieżek czasem,
Jeszcze bieli się pod lasem,
Chłodne jeszcze wschodą ranki,
Już jaśnieją tam sasanki!

I przelaszczka, choć nieśmiało
Też wychyla główkę małą
Budzą się pierwiosnki z pączka
Stokrocią zasiana łączka.

A fijołeczek skromny, cichy
W trawce kryje swe kielichy,
Lecz woń jego dziwnie miła
Już go wcześniej nam zdradziła.

Kwiatki wdzięczne, cudna wiosno,
Z wami w sercu tak radosno,
I ta ziemia nasza cała
Zda się wołać: Bogu chwała!

Za to życie, słońca blaski,
Niezliczone Twoje łaski —
Niech Ci wdzięcznych Twoich dzieci
Pieśń serdeczna w niebo lecil!

M. D.

U cioci Polci.

(Dalszy ciąg).

— Panowie i panie — rzekł znów — proszę uważać.
Pociągnął kartę za dwa końce, tworząc duże, a cienkie
koło, włożył je sobie na głowę i z niewielkim trudem
prześliznął się przez nie.

— Pysznie — zawołała ciocia — muszę zapamiętać
jak to się robi, żeby też kogo zadziwić.

— Cóż teraz będącieny robili — spytały dzieci. —
Deszcz ciągle pada, a wiatr taki silny, jakby chciał wszy-
stkie liście pozrywać.

— Wiecie co, dzieci, pokażę wam jak się robi koło
obracane przez wiatr. Weźmiemy dwa kawałki tektury.
Ale potrzebujemy cyrkla, a ja go nie mam, jakże zro-
bimy?

— O, można robić koła i bez cyrkla — zawołał Hen-
ryś; wziął kawałek sznurka, przywiązał jeden koniec do
ołówka, drugi przymocował szpilką do tektury i naryso-
wał koło. Zosia zrobiła to samo za pomocą przewrócöne-
go kieliszka.

— Brawo — rzekła ciocia — jesteście zręczne dzieci,
ja także teraz przypominam sobie cyrkiel, jaki robiłyśmy
nieraz na pensyi, z kawałka biletu wizytowego. Jeden
koniec *a* (fig. 16), musi być przymocowany do papieru,
w drugim robi się kilka dziurek takiej wielkości, żeby się
w nie zmieścił ołówek, którym się zatacza koło.



fig. 16.

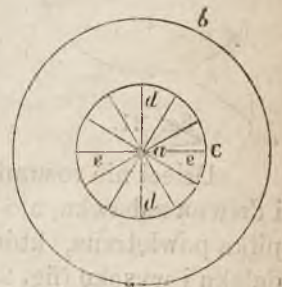


fig. 17.

Wypadnie nam teraz narysować dwa koła jedno
w drugim. Nazwijmy koniec karty przymocowany do
tektury *a*, końcowe nakłócie *b* a bliższe środka *c*. Gdy
włożymy ołówek w *b*, narysujemy większe koło, gdy
włożymy go potem w dziurkę *c*, otrzymamy drugie
wewnątrz, mniejsze. Wytnijmy teraz starannie większe
koło, a mniejsze podzielmy na dwanaście równych części
i zaznaczmy linie ołówkiem (fig. 17). Potem wytnij-
my starannie te trójkąciki powyginajmy je w jedną
i w drugą stronę (fig. 18) i zabawka skończona. Gdy pu-

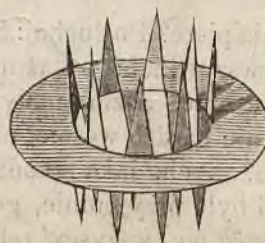


fig. 18.



fig. 19.

ścimy ją na drodze w pogodny lecz wietrzny dzień, potoczy się tak szybko, że jej nie dogonicie.

Dzieci ucieszyły się wielce tą nową zabawką.

— Zrobimy jeszcze drugą — rzekła ciocia; — trzeba najpierw narysować trzy koła jednakowej wielkości. Pierwszy z tych krążków musi być nacięty cztery razy od brzegu do środka (fig. 19), drugi, dwa razy i także przecięty przez środek (fig. 20), trzeci wreszcie jest przecięty w środku na krzyż (fig. 21). Teraz trzeba wsadzić wszystkie krążki jeden w drugi. Najpierw zegnijcie dwie wyższe połówki pierwszego krążka tak, aby punkta *f* i *f* (fig. 19) dotknęły się, wsuńcie je w środek drugiego i wyprostujcie (fig. 22). Potem złożcie razem wszystkie połówki i wsuńcie w środek

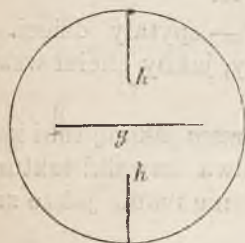


fig. 20.

trzeciego krążka, wyprostujcie wszystko należycie, przecięcia powinny jedno w drugie doskonale wchodzić.



fig. 21.

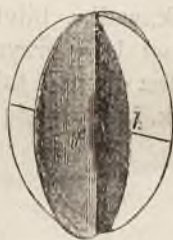


fig. 22.



fig. 23.

Dzieci nie rozumiały dobrze co by znaczyła ta nowa i dziwna zabawka, ale ciocia im wytłumaczyła, że to taka piłka powietrzna, która za podmuchem wiatru pofrunie daleko i wysoko (fig. 23).

(d. c. n.)

List Józia.

— Józiu! mamusia kazała cię ucałować — rzekła ciocia Anđzia, przeczytawszy list, przyniesiony przed chwilą. Oczy chłopczyka zajaśniały.

— Doprawdy, cioteczko, tam tak napisane? — spytał.

— Józia ściskam i całuję — czytała ciocia — jestem pewna, że synek mój grzeczny i posłuszny, gdy niema mamusi. A jakżeż tam z nauką?

Tu ciocia z uśmiechem spojrziała na Józia, który zamruknął się trochę.

— A nie ciekawysz, co Lunia pisze? Posłuchaj: Smutno mi tu, tak smutno bez was wszystkich; wciąż myślę o tem, co robisz ty, cioteczko, ojcunio, Józio, mały Stefanek, niania... Józiowi pewnie nie bardzo wesoło, niema się z kim bawić, prawda, ciociu? Ach, jaka szkoda, że nie umie jeszcze pisać, takby mi było przyjemnie, gdyby do mnie codzień pisał, co robi, co wy wszyscy robicie. Ach, ciociu, jakbym ja już chciała być w domu. A mamusia mówi, że tu jeszcze długo zostaniemy.

Służąca wywołała ciocię z pokoju. Józio został sam; wziął list Lunii do ręki. Cóż, kiedy nie umie przeczytać! Biedna Lunia! aż mu się łzy w oczach zakręciły. Tak długo chorowała, a teraz, gdy już zdrowsza, kazali jej doktorzy wyjechać na zimę do cieplejszego klimatu. Biedna! Co ona tam robi po całych dniach? Musi jej być bardzo smutno.

— Cóż pani pisze, proszę pani? — spytała niania w drugim pokoju.

— Niebardzo dobrze, moja Agato. Lunia jest trochę zdrowsza, ale bardzo tęskni za nami i to jej szkodzi. Biedne dziecko!

— Oj biedne! — powtórzyła niania.

Rozmowa w drugim pokoju umilkła; Józio wciąż siedział na tem samym miejscu, trzymając w ręku list Lunii.

„Gdyby mi Józio codzień coś napisał, toby mi się zdawało, że jestem w domu” — przypomniało mu się nagle.

Napisał? Kiedy on nie umie pisać. Ach, jak on teraz żałuje, że się jeszcze pisać nie nauczył. Ale bo to pisanie takie trudne, a nudne! Te pałki, które nigdy nie chcą być proste, tylko chwieją się na wszystkie strony; albo te kółka, aż przykro na nie spojrzeć. Jacy ci ludzie szczęśliwi, co już umieją pisać, co mogą pisać listy, do kogo zechcą.

A gdyby... a gdyby...

Oczy Józia zajaśniały; może spróbować? Mój Boże, jakby się Lunia ucieszyła! Józio zerwał się z miejsca, zdjął z półeczki kajet i ołówek, usiadł przy stoliku pod oknem i zaczął z trudem kreślić pałki i kółka.

Nie, to takie trudne, on się tego nigdy nie nauczy; tak się stara, i wszystko napróżno, chciał już odłożyć ołówek. A Lunia? — szepnął mu jakiś głos do ucha. — Trzeba jeszcze próbować.

Józio pisał a pisał; ot, już napisana jedna strona, pół drugiej... Doprawdy; czy mu się zdaje tylko, czy w rzeczy samej te pałeczki już są prostsze, a kółka kształtniejsze?

Na podwórzu zagrała katarynka.

Kiedyindziej Józio skoczyłby już do okna, ale dzisiaj cóż go to obchodzi? Przecież on się uczy pisać dla Lunii!

— Józiu, ciocia prosi na śniadanie — zawołała niania.

Po śniadaniu odbyła się jak zwykle lekcya z ciocią. Józio czytał jakoś gorzej, niż zwykle, ale bo tak był niespokojny: Co też ciocia powie, może znowu skrzywi się, gdy spojrzy na jego pisanie?

Nareszcie wzięła ciocia kajet do ręki. Józio czeka, a twarzyczka aż mu płonie z niepokoju.

— Józiu, czyś to ty pisał? Ależ to wcale nieźle; jestem z ciebie zadowolona, mój chłopcze. Jeszcze dwa, trzy dni, a zaczniemy pisać litery, napiszę o tem do mamusi, to się dopiero ucieszy.

Józio dnia tego był bardzo szczęśliwy i zadowolony.

Odtąd upłynęło trzy tygodnie.

Lunia myślała właśnie o domu, o ojczulku ukochanym, o cioci, o Józiu, gdy w tem przyniesiono list z poczty; mama spiesznie go otwiera: na ćwiartce papieru dużemi, niekształtnymi jeszcze literami, ołówkiem napisane czyta następujące wyrazy:

— Luniu kochana, złota, umiem już pisać, nauczyłem się dla ciebie i teraz będę ci codzień opisywał co wszyscy robimy. Prawda, Luniu, nie będziesz już teraz taka smutna i prędzej wyzdrowiejesz. Twój braciszek Józio.

Gdyby Józio mógł widzieć radość Luni!

KRÓLOWA POZIOMEK I PAPROCI.

BAJKA CZARODZIEJSKA

przez *Wacława Sulimę.*

(Dalszy ciąg)

— A ja — rzekła Jagusia — kupiłabym sobie cukierków i pierników, rzadko nam się tego dostaje i to po troszeczku, a mnie nic tak nie smakuje, jak piernik.

— A ja — rzekła Halinka — jeśli zarobię co za poziomki, to kupię czepeczek dla cici i fajkę dla wuja, bo jego już bardzo stara.

Zapušciły się razem w las, ale Elżbietka, i Jagusia, rzucały się tak chciwie na każdą znalezionej poziomkę, nie dając nawet przystąpić Halince, że ta nic nie mówiąc odłączyła się od nich i poszła w przeciwną stronę, prosząc tylko, aby nawoływały na nią od czasu do czasu.

W miarę jak szła robiło jej się jakoś raźniej i weselej, ciepło i radośnie było w lesie; ptaszki śpiewały ukryte w leszczynie i w konarach dębów, grunt wznosił się miejscami tworząc małe pasma wzgórz i dolin, obficie zarosłych paprocią, a wszędzie, wszędzie migwały czerwone główki poziomek, aż dziwi było Halince, że ich tyle znajduje. Wspiniała się na pagórki, rozchylała trawy i paprocie, zaglądała między krzewy i dzban napełniał się coraz więcej, coraz prędzej, tak, że go już prawie udźwignąć nie mogła.

Wreszcie napełnił się po brzegi, Halinka aż się roześmiała z radości. Obwinęła starannie dzban paprocią, obwiązała długimi trawami i zmęczona osunęła się na murawę. Wtem usłyszała szelest i przestraszona obejrzała się niespokojnie, aż tu z pomiędzy krzewów leśnych wysunęła się mała, zgrabna, śliczna sarenka.

Halinka zachwycona nie ruszyła się z miejsca, żeby jej nie spłoszyć, sarenka zbliżała się coraz bardziej, skubiąc trawę i paproć.

— Może się tak zbliży, że będę ją mogła złapać — pomyślała dziewczynka, powstając ostrożnie.

Sarenka zwróciła się w bok i zaczęła iść powoli, a za nią szła Halinka, usiłując zbliżyć się tak, aby ją schwycić.

Wkrótce sarenka doszła do szczytu wzgórza, na którym się znajdowały, a które było wyższe od innych i chyżo spuszczać się na dół zaczęła. Halinka pobiegła za nią. Wtem doszedłszy do stóp góry, sarenka zerwała się gwałtownie w kilku skokach znalazła się znowu u szczytu i znikła dziewczynce z przed oczu.

Halinka zdziwiona rozejrzała się.

Była w małej kotlinie otoczonej ze wszystkich stron wzgórzami, stoki ich całe obrosłe były paprocią i mchami, gdzieniegdzie szumiały drzewa, szemrały potoki spadające w pieniających kaskadach, a w samej kotlinie, aż czerwono było od poziomek.

Jaka dobra ta sarenka! — zawołała, śmiejąc się Halinka — otóż pokazała mi gdzie najwięcej poziomek, a jakie olbrzymie, jeszcze takich nigdy nie widziałam.

Wyciągnęła już rękę, ale się zatrzymała.

— Nie miałabym w co zabrać — pomyślała — mój dzban pełen i taki ciężki, że go ledwie unieść mogę, szkoda marnować takich ślicznych poziomek.

Przypomniawszy sobie swój dzban, pobiegła szybko na górę i zaczęła go szukać. Stał nieporuszony pod dębem. Halinka wzięwszy go oburącz zaczęła iść przed siebie, nie bardzo wiedząc gdzie się znajduje, bo szukając ciągle poziomek, zapuściła się głęboko w gęstwinę.

Szła długo, długo, wreszcie usłyszała nawoływanie, był to głos Jagusi, wkrótce odezwał się i głos Elżbietki — skierowała się w tę stronę, a tymczasem niebo ściemniło się, zerwał się wiatr, chmury sine i szare kłębić się poczęły i grube krople deszczu spadały.

Halinka oswojona z lasem nie bała się burzy, tylko przypomniawszy sobie, że niedaleko stąd znajduje się szałas pasterski, pobiegła doń szybko i spotkała się z Elżbietką i Jagusią, które także chroniły się tam przed ulewą.

Szałas był z chrustu ale obszerny, woda nie przenikała przez gałęzie. Dziewczęta przysiadłszy obok siebie zrazu nic nie mówiły, gdyż ponury głos grzmotu głużył słowa i tylko przy jaskrawem świetle błyskawic, widzieć mogły nawzajem swoje skulone postacie i nagie ściany szałasów.

Wreszcie Halinka ochłonawszy z pierwszego wrażenia, zapytała:

— Dużo macie poziomek?

Na te słowa sposepniały twarzyczki obu dziewczynek.

— Jakże możemy ich mieć dużo — rzekła gniewnie Jagusia — kiedy poziomki prawie wcale w lesie niema i żeby napełnić choćby dwa takie dzbanuszki, trzeba chyba schodzić cały las wzdłuż i wszerz.

— Czy być może! — wykrzyknęła zdziwiona Halinka — ja tyle poziomek widziałam, że ich nawet zebrać nie mogłam.

— Kłamiesz — rzekła szorstko Elżbietka — gdybyś widziała tyle poziomek, jak mówisz, to twój dzban byłby pełen.

— To też jest pełen — odparła wesoło Halinka — tak pełen, że go ledwie unieść mogła, patrz jaki ciężki.

W istocie dzban okazał się bardzo ciężki. Błyskawica, która nagle rozdarła niebo, oświeciła twarze Elżbietki i Jagusi, wykrzywione wyrazem gniewu i zazdrości.

Nastało długie milczenie. Halinka zmęczona wyciągnęła się na mchu i suchych liściach, tworzących posłanie w kącie szałasów, obie siostry szeptały coś zcicha.

— Co zrobimy — rzekła wreszcie Elżbietka — burza pewno potrwa noc całą.

— Ha cóż — westchnęła Jagusia — nie możemy przecież wracać na taką ulewę, ja się na burzach znam,

jak są takie grzmoty i takie błyskawice, to pewno nie uspokoji się aż do rana.

— No, więc trzeba pomyśleć jak noc przepędzić, daj Jagusiu twoją chustkę, podłożymy ją sobie pod głowy.

Słyszac to Halinka, chciała wstać, aby mechy i liście na których leżała rozdzielić na trzy posłania, ale Elżbietka nie pozwoliła na to.

(d. c. n.)

ZAGADKA.

dla Giermka od Smoka wawelskiego.

Zgadnąć kto jestem, zgadnąć was proszę
Bo w sobie światło i ciepło noszę
Pragnie mnie możny, pragnie ubogi,
Dawnemi czasy strzegły mię bogi;

Ale nie zawsze ja dobrym bywam
Nie pożądanym czasem przybywam —
Jak smok stugłowy ja ludzkie mienie
Pożeram chciwie, niosąc zniszczenie.

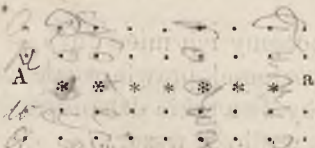
LOGOGRYF.

ułożył Słoń z Nubii.

Ułożyć 12 wyrazów, których pierwsze litery należy odczytać z góry na dół. Znaczenie wyrazów: 1) Międzymorze w Ameryce. 2) Włoski bandyta. 3) Kraje w poł. Azji. 4) Miasto w Arabii. 5) Najwyższa ranga w marynarce. 6) Jedna z trzech Gracyi. 7) Mitologiczny rumak skrzydlaty. 8) Piękny kwiat. 9) Miasto w Persyi. 10) Miasto w Peru. 11) Wyspa na morzu Północnem. 12) Mędrzec grecki. Sylaby: A — a — di — dze — dmi — dya — glae — gaz — han — ja — is — js — ka — kra — li — ma — ma — na — nał — ni — pa — pe — pa — ri — rai — ró — so — tes — mek — lan — za.

ŁAMIGŁÓWKA GEOGRAFICZNA.

p. Wichurę.



Zastąpić kropki i gwiazdki literami, ażeby litery oznaczone gwiazdkami złożyły nazwę miasta w Belgii. 1 rząd pionowy: Miasto na Szląsku. 2) Państwo europejskie. 3) Dopływ Warty. 4) Miejsce urodzenia Kazimierza Wiel. 5) Rzeka w Hiszpanii. 6) Miasto w półn. Włoszech. 7) Miasto w Saksonii. 8) Kraj w półn. Afryce. 9) Rzeka we Francyi.

KWADRAT MAGICZNY.

a	a	o	Rzeka.
o	d	n	Zaimek.
n	n	s	Zaimek.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 12-go

Zagadki: Tajemnica.

Skrzynka do listów.

Jance P. Chcąc wziąć udział w konkursie kaligraficznym nie można być starszym nad lat dziesięć; przysłać należy próbę swego pisma w dwóch liniach i niemniej jak stroną arkusza.

Próba pisma przysłana przez Czesława T. ze Lwowa, nie odpowiada warunkom konkursu, żądamy pisma kaligraficznego, a nie drobnego na jednej linii. Ponieważ czasu dosyć, prosimy bardzo o stroniczkę kaligrafii.

Wichura pisząc do Jaskółki listy, swoje wprost do redakcyi adresować powinna. Bardzo nas cieszy, że cię zajmują przygody *Jurasia i Anulki* i że z takim zajęciem czytasz *Niedźwiedzia*. I u nas jeszcze nie czuć wiosny, a chociaż mrozów niema, chłód i deszcze dają nam się we znaki. Elementarz o który zapytujesz zdaje się być dobry, gdy go zażądasz, wyślemy chętnie. Łamigłówek twoje i siostrzyczek przyjmujemy.

Prawdziwą przyjemność sprawia nam Aleksander W. ciekawymi opisami stron dalekich, które zamieszkuje, to znów obyczajów miejscowych lub też szczegółów z życia rodzinnego. Każdy taki list zbliża nas z sobą i sympatyę wspólną utrwała, nie więc dziwnego, że każdy bywa mile witany i czytany z ciekawością. Pomimo że mieszkasz tak daleko, prawdziwie szczęśliwym zwać cię można, że posiadasz tak czcigodnego ojca i dobrą matkę, gorąco za to powinienes codzienn Bogu dziękować. O częste listy prosimy bardzo, zalecamy zwracanie bacznej uwagi na poprawność stylu i czystość języka. Rozwiązanie szarady i łamigłówek dobre, a odpowiedź na pytanie historyczne należy do jednej z najlepszych i najszczegółowszych, jakieśmy otrzymali.

Marysi i Zosi Ł. Ludkowi R. z Kijowa, jakoteż Stanisławowi J. ze Lwowa, zaginione numera, o które prosili, redakcyja posłała powtórnie.

Stefan W., Trzpiotka Kujawska, Polska Ptaszyna i Sierp nadestali dobre rozwiązania.

Ułance z nad Kaniny. Morzem wolnem biegunowem nazywają morze wolne od lodów, które według przypuszczeń niektórych uczonych i podróżników (między innymi i Nansena) znajduje się naokoło samego bieguna, dokąd jeszcze dotychczas stopa ludzka nie dotarła. Przypuszczenie to oparte jest na podaniach Eskimosów oraz na tem, że najchłodniejsze punkta — czyli tak zwane bieguny chłodu nie znajdują się wcale na samym biegunie geograficznym, lecz znacznie niżej, (kolo Wierchojańska w Syberyi wschodniej) mniej więcej na 70° szerokości północnej, skąd jeszcze do bieguna zostaje stopni dwadzieścia. Chociaż więc do 86-go stopnia morze przedstawia się przez trzy czwarte roku, jako pole lodowe, być bardzo może, że pod samym biegunem jest nieco cieplej i morze, jeśli tam jest morze, a nie ląd, zostaje wolnem od lodów przez czas dłuższy.

Tę samą teorię względem bieguna południowego rozwija Verne w drukowanym w zeszłym roku w *Wieczorach Rodzinnych* „Sfinksie lodowym”. Wajdelotce i Bodziowi serdeczne ukłony.

Przepraszam cię Polska Ptaszyno, że na list twój tak przyjemnie napisany, dla braku miejsca odpowiedzi w zeszłym numerze nie znalazłaś. Dziękuje ci za serdeczne wyrazy, z któremi się zwracasz do mnie, a nie wątpię, że się wkrótce zaprzyjaźnimy, bo nie wątpię, że i nadal obdarzać mnie będziesz swemi liścikami. A może twoja młodsza siostrzyczka zechce zaliczyć się do grona moich stałych korespondentek, i na konkurs który redakcyja ogłosiła niedawno przysłać też swoją kaligrafię. Arytmogryf twój byłby może dobry, gdyby początkowe litery nie tworzyły nazwiska, które z powodu roku jubileuszowego odbieramy w wielu łamigłówkach, więc z tego powodu odrazu każdy je z łatwością odgadnie.

Łamigłówkę Podolanki z nad Wołgi złożyłam w redakcyi. Witamy w niej nową korespondentkę i cieszę się, że z zajęciem czyta powieści w *Wieczorach*. Mam nadzieję, że nie poprzestanie na tem jednem odezwananiu i częstem słówkiem obdarzać będzie:

Jaskółkę.



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



NA ZMARTWYCHWSTANIE PAŃSKIE.

Biją dzwony, a radośnie
Serce w nich kołata.
One dzwonią: „Alleluja!
Zmartwychwstał Pan świata!”

* * *

One dzwonią: — „Chodź, człowiecze,
Do świątyni Pana,
Uchyl czoła a wznies serce,
Padłszy na kolana.

* * *

Złóż swe troski, złóż swe żale
U Bożego tronu,
Nie zagłuszaj jękiem serca
Radosnego dzwonu.

* * *

Nie zasępij smutkiem duszy
Dnia tak wesołego,
I otuchę i nadzieję
Wpuść do serca swego.

* * *

Bo czyż nie wiesz, że na ziemi
Zawsze tak się plecie:
Płacz ze śmiechem, ból z weselem
I z cierniami kwiecie.

* * *

Że twój pobyt na tym świecie
Przelotny i krótki,
Że nietrwałe ani wieczne
Radości i smutki.

* * *

Więc się nie martw, dobry człeczko
Dzwon dzisiaj wydzwania,
Że nadejdzie i dla ciebie
Chwila zmartwychwstania.

NIEDŹWIEDŹ

POWIEŚ Z XVI WIEKU

p. Zuzannę Morawską.

(Ciąg dalszy).

— Na naszym zamku strzelcy podobnie się ubierają — zrobiła uwagę Jadwisia.

— Bo ja jestem zaliczony do strzelców jego królewiczowskiej mości.

— Nie lubię takiego ubrania — rzekła Anusia, wydawszy z grymasem usta.

— Cicho, nie można tak mówić — szepnęła Kazik.

— Czemu?

— Na dworze, chociaż się komn co niepodoba, nie można zganić — pouczał Kazik.

— Dziwny obyczaj! — wtrąciła Jadwisia.

Antosia zaś wzruszyła ramionami i smutnym wzrokiem przypatrywała się Kazikowi.

— A kasztanek zdrów po podróży, jeździłeś już na nim? — spytał Piotruś.

— Jeździłem wczoraj, sam król jegomość przypatrywał się i chwalił kasztanka.

— Nietylko kasztanka, ojciec jegomość powiedział, że z Niedźwiedzia to dobry nabytek i dzielny będzie z niego żołnierz — wtrącił, zbliżywszy się królewicz.

— Ale zagraj nam co, Niedźwiedziu, albo nie... będziemy się bawili, ty będziesz udawał niedźwiedzia, a my będziemy cię gonili — zawołał Zygmunt.

Przyniesiono skórę niedźwiedzia. Kazik okrył się nią, lecz nie szła jakoś zabawa. Nawet ruchy Kazika skrępowane obcisłym odzieniem, nie były tak swobodne; mimo to królewicz biegał za nim, pociągając za sobą Anusię i Jadwisę, a pan Opaliński, stanawszy w rogu komnaty, przypatrywał się zabawie swego wychowanka.

Sinióra tymczasem spojrzawszy niechętnie, wymknęła się, a po chwili otworzono drzwi i królowa jejmość we własnej swojej osobie, z gniewnym obliczem i zaiskrzonym wzrokiem ukazała się we drzwiach. Właśnie skończono polowanie, niedźwiedź pochwycony przez królewicza stał teraz pokornie, udawał łagodne mruczenie, któremu dopomagał wygrywaniem na fujarce jakiejś pieśni naśladującej szum lasu i prośbę błagalną.

Bona lubiąca rzeczywiście muzykę, stanęła, dając znak by pieśni nie przerywano; natomiast tem samym gniewnym okiem, którem przychodziła karcie zbyt hałaśliwą i nieprzystojną zabawę, spojrzała teraz na siniórę.

Alenini, widząc łagodny nastrój swej pani dla bawiących się, zrobiła skruszoną minę, a oczkie jej maleńkie spoglądały tylko, czy ręka królowej zamiast na oskarżonych, nie spadnie na nią w swym gniewie.

Lecz Bona słuchała spokojnie pieśni, a gdy Kazik skończył, rzekła do syna:

— Każesz sobie grać, a gdy ja każę, to mówisz, że nie lubisz muzyki.

— Bo to inna muzyka...

Bona odepchnęła go od siebie i patrząc na Kazika spytała:

— Kto cię tak grać nauczył?

— Tak mi jakoś rozmaite pieśni same z siebie przycho-
dzą — rzekł Kazik z głębokim ukłonem.

— Nikt cię nie uczył?

— Uczył mię trochę kapelmistrz zakroczymskiego zamku, ale na trąbce — odrzekł chłopiec, powtarzając ukłon.

Lecz Bona nie patrzyła już na niego, tylko wskazując na stojących w kąci, Piotrusia i jego siostry, zapytała:

— Co za jedni?

— Dzieci kasztelana zakroczymskiego, które z rozkazu najjaśniejszej pani przyprowadziłem z kościoła — odparł Opaliński.

— To Piotruś, a to jego siostry Jadwisia i Anusia, u których tak się dobrze bawiłem — mówił królewicz wesoło.

Jednocześnie sinióra widząc, że królowa nie zwraca nań uwagi, poczęła coś prędko szeptać po włosku, lecz Bona spojrzawszy nań niechętnie, krzyknęła:

— Taci! (Milcz!)

Sinióra wtuliła głowę w ramiona i przybrała znów minę pokorną, a królowa łagodząc głos i spojrzenie, rzekła do patrzających na nią z pewnym przestraszaniem dzieci:

— Zbliźcie się tutaj!

— Pójdźcie, pójdźcie, to moja mama — zachęcał Zygmunt.

Lecz dziewczynki stały przytulone do siebie, a Piotruś schował się za Kazika i z pod oka ponuro spoglądał.

— Trzeba pójść, koniecznie, nisko się uklonąć — mówił ochmistrz swym przekonywującym głosem.

I lekko posunął je na środek komnaty.

Dziewczynki miały wielką ochotę rozplakać się i uciec, lecz taki je strach przejął, że nawet i płakać się lękały, słyszały tylko wyrazy ochmistrza „uklonić się” i prawie bezwiednie obie razem trzymając się za ręce, dygnęły bardzo niezgrabnie.

— Ha, ha, ha! — zaśmiała się Bona.

A potem przypatrując się, rzekła po włosku:

— Jakież to niezdary, ale jeżeli syn nasz ma ochotę się z niemi bawić, wziąć je na dwór i nauczyć właściwego obejścia,

Wskazała je siniórze, a sama wyszła nie zwracając uwagi na jej przymilanie się i niskie ukłony, ani też na syna, który chciał Piotrusia ku niej przyprowadzić.

Tymczasem Alenini do kasztelanek się zbliżyła:

— Zostać u nas, być przy dworze, wielki honor, nauczyć będą kłaniać.

Lecz dziewczynki tłumiąc łzy bardzo długo, wybuchnęły teraz płaczem i padły jedna drugiej w objęcia.

— Czego płakać, wielkie szczęście, madre regina kazała żeby zostać tutaj — wołała sinióra, usiłując rozerwać splecione w uścisku dziewczęta.

— Do mamy, do mamy! — wołały.

— Nie bójcie się, nic wam się złego nie stanie — rzekł Zygmunt, stając przy nich. — Chciałem się z wami bawić, a wy płaczecie — dodał niechętnie.

— Będziemy się zaraz bawili, najjaśniejszy królewiczu, skarbie mój — mówiła po włosku, przymilając się sinióra. — Zabiorę je tylko do siebie, ubiorę i nauczę grzeczności — dodała, dygając przed Zygmuntem.

Potem wzięwszy za rękę Anusię, zawołała:

— Pójdź — obie!

— Nie pozwolę — ozwał się Piotruś, i stanął przy siostrach z miną obrońcy.

— Kazik, odprowadzisz ich do mieszkania rodziców — przerwał ochmistrz, wskazując na zapłakane dziewczynki i stojącego z rozniewanym wzrokiem Piotrusia.

— Jakto, nie będziemy się już bawić? — zapytał Zygmunt.

— Pójdziemy się uczyć — rzekł — dobitnie pan Opaliński.

— Uczyć? ach, z tą nauką! — sarknął królewicz.

Lecz ochmistrz zbliżył się i zaczął mu coś pocichu przekładać. Zygmunt z początku słuchał niechętnie z nachmurzonem licem, kilka razy nawet podniósł dumnie głowę i chciał coś mówić, mitygowany jednak przez Opalińskiego, uspakajał się powoli i zaczął skłaniać do jego woli.

Tymczasem sinióra usłyszawszy, że dziewczynki mają odejść do domu, cała zaperzona wołała:

— Nie pójdą, królowa kazała zostać, to zostań, ochmistrzu kazać inaczej, brzydko! pan ochmistrz odpowiadać przed najjaśniejszą panią, królową madre! Ten chłopak głupi, ja go ukarać! — dodała wytrząsając ręką Piotrusiowi.

Tajemnicze kwiaty.

Wtem królówic przekonany wymową ochmistrza, czy też oburzony krzykiem siniory, przystąpił i gniewnie zawołał:

— Prosiłem, żeby moich przyjaciół nie znieważać, do moich dworzan się nie wtrącać.

Siniora ukloniła się wprawdzie bardzo grzecznie, lecz jednocześnie dość ostro krzyknęła:

— Opowiem królowej matce! powiem wszystko, powiem.

I spojrzawszy gniewnym wzrokiem na Opalińskiego, wybiegła szybko z komnaty, naśladując ruchy królowej, co zawsze czyniła, gdy ta była nieobecna.

Zygmunt zaś nie zwracając uwagi na krzyk i odgrażanie się siniory, przystąpił do kasztelanek i rzekł:

— No, wołają mnie do nauki, idźcie więc do domu!

I pocałował każdą bardzo serdecznie. A potem zwrócił się do pokojowca i zawołał z miną dorosłego człowieka:

— Powiedz najjaśniejszej pani, że to ja kazałem im odejść.

I odwróciwszy się, zapytał:

— A ty Piotrusiu, czy także się uczysz?

— A jakże, uczę się i wkrótce pewnie pójdę do szkół tak jak i moi bracia.

— Dostyc już, dostyc gawędy — przynaglał ochmistrz.

— Ale przyjdźcie do mnie? — zwrócił się jeszcze Zygmunt.

Kasztelanek nie mówiąc, dygnęły tylko.

— Ale prawda, wkrótce mają mnie koronować, to będzie bardzo nudno, chociaż mama powiedziała, że w dzień koronacji przyjdzie dużo dzieci... I wy przyjdziecie i Marcinek i Jedrus, wtedy pozwolą wyjść i moim siostrom! Bo ja mam siostry: Izabelę, ta już dużo starsza odemnie, ale Kasia doskonale się umie bawić, a Zosia i Anusia, to jeszcze malutkie.

— Jego królówicowska mość zapowina, żeśmy mieli pójść do nauki — przerwał ochmistrz surowo i wskazał drzwi, prowadzące do drugiej komnaty.

Zygmunt poszedł, lecz jeszcze odedrzwia odwrócił się i ręką sknął ku swoim gościom, a jednocześnie Kazik, zabrawszy kasztelanek i Piotrusia, spiesznie z nimi uchodził. Przez kilka dni bowiem pobytu na królowskim dworze, obznajmił się już nieco z wielu rzeczami, nasłuchiwał się też, iż gdy królowa raz co postanowi, nie można się temu opierać, obawiał się więc, ażeby ich z drogi nie zwrócono i przelękłym dziewczynkom nie kazano zostać pod rozkazami siniory.

— Królowa kazała im zostać, lecz królówic powiedział żeby poszły do domu — myślał sobie, przebiegając spiesznie długie korytarze.

Znalazszy się zaś na ulicy, odetchnął swobodniej.

— Niech je tylko odstawię, to już stryjo będzie wiedział, jak sobie radzić.

— Och, ale nie chciałbym, żeby zostały na dworze, oj, nie! — myślał sobie, idąc szybko wśród tłumów zalegających ulice stolicy.

A dziewczynki trzymając się za ręce, biegły szybko w milczeniu, nie rozpytując się o nic i nie przypatrując miastu. Pragnęły tylko również jako i Piotrus jak najprędziej dostać się do domu i strach swój ukoić na łonie matki, która ich też z utęsknieniem i pewnym niepokojem oczekiwała.

IIY.

Zebrani na zamku przedniejsi panowie duchowni i świeccy, naradzali się nad sprawami towarzyszącymi całej koronacji. Oprócz wielu spraw ważnych, zajmowało ich i to, jakie nadać imię nowo-wstępującemu.

— Zygmunt ojciec, Zygmunt syn, to bardzo przewlekła nazwa, takie jednobrzmiące miano, wielu pomyłek może być przyczyną — mówił, namyślając się hetman Tarnowski.

— Więc Zygmunt drugi, boć ojciec nosi miano pierwszego — ozwał się Krzycki, biskup płocki.

(d. c. n.)

Niedawno muzeum starożytności egipskich w Kairze otrzymało do swoich zbiorów najstarożytniejszy chyba zielnik na kuli ziemskiej. Jest to oryginalny zbiór roślin odwiecznych, znalezionych w grobowcach i mauzoleach mumii królowskich i książęcych. Niektóre z tych roślin są doskonale zachowane, niektóre zaś pod wpływem kilku kropel ciepłej wody odzyskują miękkość i zabarwienie kwiatów żywych. Prawie wszystkie okazy, umieszczone w zielniku, pochodzą z czwartego wieku przed Nar. Chr. Są to przeważnie lotory białe i niebieskie, maki czerwone, ślasy wschodnie, jastruny, krokosze, liście wierzbowe, kwiaty mięty i róże.

Jak się rzekło, niektóre z nich pod wpływem wilgoci przybierają dawne barwy i dawną miękkość listków i łodyg. Pomiędzy temi „kwiatami, które zmartwychwstają” odznacza się kwiat, znaleziony w r. 1848-ym przez uczonego naturalistę Decka.

Kwiat ten ma swoją historję. Niepodobna oznaczyć, do jakiej rodziny należy, gdyż roślina ta nie ma rodziny, ani swojej kolebki. Jest jedynym, wyjątkowym okazem w świecie i nauce. Mówiąc o tej roślinie nadzwyczajnej, trzeba wspomnieć o botanice, natomiast zaś wznieść się myślą do legend i podań Wschodu.

Około roku 1848-go dr. Deck, badając Egipt Górny, p. zebiegał pustynię w celu odnalezienia bogatych kopalni szmaragdów, znanych w starożytności. W czasie poszukiwań uczony ten spotkał Araba, któremu ocalił życie. Arab był biedny, jak święty turecki, ale jako honorarium za leczenie oddał doktorowi skarb swój, maleńką roślinkę, pomietę, suchą, znalezioną na skraju pustyni w grobowcu, jednej z kapłanek egipskich. Jak zapewniał Arab, roślina ta miała własności nadzwyczajne.

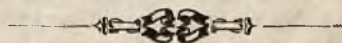
Patrząc na roślinę, która na wyschłej łodydze miała za całą ozdobę dwa suche listki, spalone przez słońce i pożółkłe od czasu, Deck nie mógł powstrzymać się od śmiechu z przechwałek Araba. Dotknięty do żywego niedowierzaniem, syn pustyni schwyił naczynie z wodą, podlał roślinę i oto cud niby stał się przed oczyma zdumionego doktora; wydawało się, że kwiat zdrzął, poruszył listkami, łodyga wyprostowała się, narzmięła i roztoczyły płatki drobnutkie około punktu środkowego. Potem, po kilku sekundach tego zdumiewającego odżywiania, kwiat zdawał się schnąć na nowo, łodyga zgięła się i pożółkła, płatki i listki skurczyły się, pomarszczyły i zaschły. Roślina wpadała w letarg.

Dr. Deck przywiózł roślinkę do Europy i setki razy powtarzał próbę, z powodzeniem. Umierając, uczony lekarz powierzył roślinę koledze swemu, Lamesowi, który codziennie niemal przy pomocy kilku kropel wody przywracał ją na kilka chwil do życia. Uczony Humboldt bawił się tą rośliną jak dziecko, i wielokrotnie czynił z nią doświadczenia. Po każdej próbie uczony utyskiwał nad tem, że nie może zbadać tej osobliwości i mawiał z zachwytem: „Nie masz w przyrodzie nic bardziej niezwykłego nad tę roślinę.”

I dotychczas nikt nie zbadał tej roślinki, która odżywa otwierając kielich i zdaje się mówić:

— Ot, jaką byłam za czasów Faraonów!...

W Egipcie również znaleziono w jakimś grobowcu róże, które uważane są za najstarożytniejsze okazy świata roślinnego. Były to kwiaty, złożone w grobowcu przed dwoma tysiącami lat. Crépin, dyrektor ogrodu botanicznego w Brukselli, poznał w tych różach sędziwych gatunek *rosa sancta*, znajdujący w ostatnich latach w Abisynii, gdzie hodowany jest bardzo obficie około grobów chrześcijańskich.





Kartka z dzienniczka księżniczki Elzuni, przypadkiem znaleziona.

Dnia 10 Kwietnia roku P. 1768.

„Ot i święta nadchodzą, moc dobrych wspomnień zostawią w sercu i głowie. Trudno zamilczeć o doznanych wrażeniach, biore pióro do ręki i unieśmiertelnie je w swoim dzienniczku... W sobotę przed wielkim tygodniem wstałyśmy wcześniej o godzinę całą, niż zwykle, o szóstej zatem. Madame powiedziała, że dłuższy pacierz odmówimy, jakoteż całą godzinę modliłyśmy się. O ósmej pokojówka Basia przyniosła nam codzienny nasz żurek postny, następnie zasiadłyśmy do pracy: ja uczyłam się wokabuł francuzkich, Marynia grała ćwiczenia na klawicymbale, a Madame szepcząc na różańcu pacierze, z pod oka zerkając na nas, bacząc czy pilnie uczymy się, bo zdarzało się nieraz, że udając zajęcie pracą, figle płatałyśmy, lecz trudno w powadze cały dzień się utrzymać; mam lat dopiero piętnaście przecie, a siostra moja Marynia o rok jest jeszcze młodszą. Tym razem wszakże Madame nie miała powodu do zmarszczenia czoła i wyrzeczenia zwykłej w takim razie groźby:

„Madame la princesse le saura!”

W tem otwarły się drzwi i weszła do naszego pokoju Zosieńka Liwska, panna respektowa.

— Księżna pani prosi do siebie, — oznajmiła.

Porwałyśmy się ze stołków zmieszane i Madame się zakłopotowała, bo to zwyczajem było u państwa, iż zjawiałyśmy się dopiero o dwunastej w jadalni, więc w neglizju byłyśmy jeszcze.

— Za półgodziny księżniczki będą ubrane — rzekła Madame do Zosieńki, w tej chwili przywołam fryzjerkę.

— Księżna pani kazała oznajmić, aby księżniczki gładko dziś włosy zaczesaly i ciemne suknie wzięły na siebie, — rzekła Zosieńka, poczem oddaliła się spiesźnie.

Zrzuciłyśmy przeto błękitne nasze szlafroczyki flanelowe, włożyłyśmy ciemne suknie i zeszłyśmy na dół. Zastałyśmy oboje państwa w małym saloniku, a z nimi ksiądz Zeromskiego, który częstym bywał u nas gościem. Dygnawszy nisko i zgrabnie, jak pannom dobrze wychowanym przystało, siadłyśmy na brzeżku krzesel pod ścianą, naprzeciw rodziców, dokąd poprowadziła nas madame i oczy spuściwszy w ziemię, splećszy ręce, czekałyśmy, czy które z państwa, nie raczy do nas przemówić, ale oboje nie zwracali na nas uwagi. Księdzem Zeromskim byli zajęci; opowiadał im, że proszony jest do króla na uroczystość umywania nóg w Wielki czwartek; miałam wielką ochotę zapytać go, kto w zam...

starcom umywać będzie nogi, ale nie śmiałam, po chwili ksiądz Zeromski przerwał opowiadanie, powstał i rzekł:

— Czas naukę rozpocząć.

— I chrząknawszy, zwrócił się do nas, i opowiadać nam począł o męce Chrystusa Pana. Nie był to przedmiot nowy, zaiste, ale mówił tak pięknie, tak wzruszająco przedstawił poświęcenie się dla nas Pana Jezusa, Jego pokorę i męstwo, dobroć i świętość, że całą duszą słuchałam tego opowiadania i ani jedna pusta myśl nie przebiegła przez moją głowę, a jednak mówił całą godzinę...

Po skończonej nauce przeszliśmy do jadalni, gdzie służba podała obiad. Państwo zaprosili księdza Zeromskiego, pozostał chętnie; mleko, jaja, ryby na oleju smażone, składały obiad, podczas którego księżna pani oznajmiła nam, iż za wstawieniem się księdza Zeromskiego panny Kanoniczki pozwolą nam wziąć udział w rekolekcyach, które się zaczną u nich od jutra, przeto poleciła nam, żebyśmy resztę dnia na pożytecznych czytaniach spędziły, a nazajutrz o ósmej rano zeszły na dół czarno przybrane, jako, iż z nią razem pójdziemy do Kanoniczek i przygotujemy się do spowiedzi, do której w wielką Srodę przystąpimy.

Lubo czekało mnie kilka dni okrutnie poważnych, jednakże rada byłam z szaczytu, jaki nas spotkał; nigdy bowiem jeszcze nie odbywałyśmy spowiedzi razem z księżną panią i nie jeździłyśmy z nią w jednej karocy. To też nazajutrz już o piątej zbudziłam Marynię. Basia przyniosła nam czarne powłóczyste suknie i czarne welony. Musiałam wargi zagryźć, by nie roześmiać się, gdym włożyła oną długą suknię i gdym spojrziała na równie poważnie przybraną Marynię; a z tym większą trudnością, przyszło mi pustotę moją pokrozić, iż na policzkach siostrzyczki dostrzegłam dwa dołeczki, które u niej zawsze chęć do śmiechu zdradzały. Lecz surowe spojrzenie Madame przywiodło nas do upamiętania...

Niedziela, poniedziałek i wtorek upłynęły nam na ustawicznych modłach i medytacyach; od ósmej rano do południa spędzałyśmy czas w kościele pp. Kanoniczek, gdzie najprzód Mszy świętej słuchałyśmy, a potem ksiądz Zeromski i ksiądz Młodzianowski naprzemian przemawiali z ambony. W południe wracałyśmy do domu, na ściśle postny obiad bez masy, jaj i mleka, poczem do późnego wieczora w pokoju księżnej pani, klęcząc z nią razem przed krucyfiksem, wiszącym nad jej klęcznikiem, badałyśmy własne sumienie i wyznając, drżałam na myśl spowiedzi, gdyż codzień nowe grzechy prz...



Zmartwychwstanie Pańskie.

pominałam sobie. Zgroza mnie przejmowała nad samą sobą: ileż to pustych myśli przesunęło się przez moją głowę w kościele, oraz podczas modlitw porannych i wieczornych od ostatniej spowiedzi, ile słów złośliwych wybiegło z ust moich przez ten miesiąc, ile czasu zmarnowałam udając, że się uszę pilnie, a myśląc o figlach...

Nauki, jakich słuchałam codzień w kościele, ustawiczne modły, ścisły post i cały nastrój domu wszystko to razem usposabiało mnie coraz poważniej. Tę w całym domu zwierciadła krepą były zasłonięte, oba klawicymbały na kluczyki zamknięte, nikt piosenek nie nucił, nikt nie śmiał się, nie rozmawiał nawet głośno; z pokoju służby dochodziły tylko jęklwym głosem nucone „gorzkie żale”, a w pokojach państwa szept pacierzy się rozchodził.

Zbliżyła się wreszcie Wielka Środa. Błada i drżąca przystąpiłam do konfesjonału, lecz dobry ksiądz Żeromski nie był zbyt surowy i do Ś-tej Komunii pozwolił przystąpić. Czy jednakże nie sądził mnie za łagodnie? Takich pustych głów, takich roztrzępionych jak ja, takich złośliwych psotników chyba niewiele... Madame nosi perukę; raz w nocy schowałam jej onę sztuczną koafiurę za to, że skarżyła się na nas przed księżną panią i klęczeć musiałybyśmy godzinę całą. Nazajutrz z łysą głową biegała po pokoju, szukając zguby, a myśmy w duszy się śmiały; godzinę całą pozwoliłam jej szukać, a potem podrzuciłam perukę pod stolik i Madame pewną była, że sama tam spadła.

Serdecznie płakałam przy spowiedzi nad swoją złośliwością i gorąco prosiłam Boga, aby mnie wsparł w dobrych postanowieniach, poważną i zącą białogłową chcę bowiem zostać.

Wróciwszy do domu po spowiedzi zatopiłam się w czytaniu kazań księdza Skargi.

Teresa Jadwiga.

Zofia Kowerska

DZIELNY CHŁOPIEC.

(Dalszy ciąg).

Na trzeci dzień po pogrzebie zamknął izbę i poszedł do pani Warbickiej. Wiedział, że go lubiła naprawdę, że zawsze była dobra dla jego ojca i chciał się z nią naradzić i zapytać jej, co miał z sobą robić. Spłakali się oboje, mówiąc o Marcinie, o którego śmierci pani Warbicka nic nie wiedziała dotąd, potem starszka objęła Józka za szyję i przycisnęła jego głowę do piersi, podczas kiedy Bosa widząc zapłakane twarze, począł skomleć żałośnie.

— Obojeśmy sieroty bez krewnych, bez przyjaciół — rzekła pani Warbicka — to już przynajmniej trzymajmy się razem. Przenieś się do mnie tymczasem. Potem może będziesz chodził uczyć się jakiego rzemiosła, ale póki co nie obmyślimy, możesz tu u mnie mieszkać. Pokój jest zimny w zimie, a gorący w lecie, ale dosyć duży, że i na ciebie znajdziesz się miejsce. Będziesz za mnie chodził po schodach, posłuchasz mi czasem, a za to będziesz miał darmo mieszkanie i jedzenie, choć bardzo ubogie. Jeżeli zechcesz, nauczę cię czytać, pisać i rachować, to ci się przyda w życiu.

— Tatuś zawsze mówił, że mi się trza uczyć na książce — odparł Józik — mam straszną chęć do książki

— Więc będziemy razem mieszka — rzekła pani Warbicka, całując Józika w czoło. Mam tu na strychu składzik, w którym się pomieszczą twoje rzeczy. Przenieś tu to, co będziesz mógł sam przenieść, resztę sprzedaj. Łóżka nie potrzebujesz, bo możesz sypiać na sofce. Bosa kłaść się na

niej lubi i już mu na to pozwalałam, ale jak mu wypchasz sienniczek sianem, to się od sypiania na sofce odzwyczai.

— Jaka pani dobra! — zawołał Józik wzruszony.

— Nie na rozkosze ja cię tu biorę do siebie — odpowiedziała starszka. — I chłodno tu u mnie bywa i głodno! Bieda coraz gorsza w oczy mi zagłada i starość codzień bardziej mię przygniata. A tu śmierci jak nie widać tak nie widać, choć o nią Pana Boga rano i wieczór proszę.

— Oj, śmierć taka straszna! — zawołał Józik i płakać zaczął, bo mu się przypomniał ojciec kochany.

— Dla tych co mogą pracować, to straszna, ale dla takich niedołęgów jak ja, to dobrodziejstwo! Widzisz, moje dziecko, ja tylko czekam takiej chwili, w której już z łóżka się nie ruszę, a wtedy co ja nieszczęśliwa pocznę? No idź Józiku, znoś rzeczy swoje i co będzie, to będzie! A weź z sobą Bosego, niech się przebiegnie, to może za kotami tak uganiać nie będzie.

Bosa usłyszał, że o nim mówiono i patrzył w oczy swej pani, kręcąc ogonem. Potem uciszył się, gdy go Józik zawołał, bo lubił bardzo spacerować, tylko nie samotne, ale zawsze w towarzystwie znajomych ludzi. Skakał na ulicy wokoło Józika i wybiegał naprzód, a potem nagle się oglądał i zwracał, jakby się bał jakiego wypadku, któryby go mógł spotkać. Patrzył przytem w oczy Józika domyślnie i mądrze, jakby chciał zapytać, gdzie tak szli we dwóch, zostawivszy starą panią samą.

Józik wziął z mieszkania swego tyle gratów, ile ich mógł udźwignąć, zaś Bosemu dał do niesienia niezbyt ciężki koszyk, w który nakładł bielizny. Bosa szedł teraz poważnie koło niego z kabłąkiem koszyka w pysku, bo czuł ciężący na sobie obowiązek, który chciał spełnić uczciwie. Ale przecho-dząc koło bramy jednego domu, spojrzął w podwórze i naraz zapomniał o obowiązku i uczciwości. Zobaczył dużego burego, ze świecą sierścią kota, który sobie powoli, cicho i poważnie spacerował w słońcu. Koszyk upadł na ziemię a Bosa rzucił się nagle w bramę szcękając i ujadając tak, jak ujadają psy goniące za zającem. Dziadek jego był gończym psem w służbie u męża pani Warbickiej i Bosemu, który miewał zachcianki myśliwskie zawsze się zdawało, że może sobie polować po Warszawie. Józik, obciążony ciężarem, został na ulicy z przewróconym u nóg swoich koszykiem.

Nagle usłyszał ogromną wrzawę na podwórzu kamienicy, obok której się znajdował. Szczekaniu zajadłemu psa odpowiedziało wymyślanie, rozpaczliwe miauknięcie kota, a potem krzyk i łajania, kobiecym wypowiedziane głosem. Józik usłyszał wykrzyknik:

— A cóż to, niema już czyścicieli w Warszawie, że psy cudze włóczę się po domach! Wicek, daj no tu jakiego kija! a potrać tego włóczęgę! Wydarł całkiem z boku szerść Mińci! Biedna Mińcia! Mińcia! Minieczka! Biedna koteczka!

Józik zrozumiał, że nie miał nic do czynienia przed tym domem, i że krzycząca kobieta możeby kij, którym chciała potrać Bosego, obróciła przeciwko chłopcu, któremu pies towarzyszył. Trzeba było poprostu znykać, bo obrona Bosego na nicby się nie zdała. Józik wziął koszyk i stanął o kilkanaście kroków dalej w bocznej ulicy. Hałas jakiejś biegani, głosy kobiece, skargi uderzonego psa, doszły do jego uszu i Józik szczerze uczuł się zmartwiony myślą o możliwym kalectwie Bosego, gdy sprawca całego tego zajścia, Bosa, ukazał się na zakręcie. Choć oberwał dobry poczęstunek od stróżowej, która była uzbrojona w miotłę, choć Wicek, syn tej kobiety posmarował go kijem gdy już Bosa zmikał, zmierzając z podwórza ku bramie, pies był widocznie kontent. Oczy błyszczały mu zwycięstwem i wyobrażał sobie zapewne, że dokonał wielkiego czynu, obskubawszy spokojnego i wypieszczonego kota. Dogadując swojej nienawiści do kociego rodu, zapomniał o obowiązku, o uczciwości i koszyku. Dopiero gdy go zobaczył w ręku Józika, zawstydził się bardzo, spuścił ogon, głowę zwiesił i począł się łasić pokornie u nóg Józika.

— A brzydki pies, niepocziwy pies — mówił Józik — już nigdy psa na spacer nie wezmę!

Udawał bardzo srogiego, a Bosa patrzył jak winowajca i chciał go wzrokiem prześlęgać.

— No, masz koszyk — rzekł wreszcie Józik, kładąc Bosemu kabłąk koszyka do pyska — przebaczam ci, ale pamiętaj, że to raz ostatni!

— Bardzo być może, że Bosa to samo sobie przyrzekał, bo jeszcze czuł ból w nodze od uderzenia miotły i silniejszy, nawet bardzo silny w udzie, od uderzenia kijem. Czuł też dobrze, że zawiódł zaufanie Józika. W pierwszej chwili upojony walką i zwycięstwem zapomniał o bólu i o razach, ale teraz wyglądał bardzo potulnie, cierpiał i wstydził się widocznie.

Powoli przenieśli z Józikiem wszystkie graty. Pies zasługiwał na pochwałę, ale, co prawda, nie był narażony na pokuszenie. Choć rzucił wzrokiem we wszystkie bramy, około których przechodził, i wietrzył czasem, bo mu się zdawało, że czuł kota w pobliżu, jednak nie upatrzył żadnego i dobra wola jego nie została wystawiona na próbę.

Łóżko, stolik, krzesło, ławkę, garnki kupiła Piotrowa, ale nie miała pieniędzy, więc obiecała zapłacić, gdy będzie miała. Ale nie myślała skrzywdzić Józika i wszystko oceniła po Bosemu. Przy przenoszeniu rzeczy, zapodziały się gdzieś Józikowi: kłódka od skrzynki, grzebień, fajka Marcina, stare nożyczki, dwie łyżki, pasek skórzany, rądelek blaszany, książka od nabożeństwa i szelki. To wszystko ściągnął Walek i schował w jakiejś kryjówce, mówiąc sam do siebie:

— O, wielka rzecz, żem trochę miodu z ula podebrał! Józik idzie do pani, u której mu tylko ptasiego mleka brakować będzie. Co mu tam po tych rupieciach starych? A ja to hadlarzowi sprzedam i będę miał na piórnik albo na papierosy! Muszę ja tam czasem zalatywać do tej pani, co Józika zabrała. Może i mnie kiedy choć szklanką herbaty poczęstuje!

I zaraz nazajutrz zjawił się u pani Warbickiej. Nigdy człowiekowi śmiało w oczy nie spoglądał, więc się przywitał jakoś nie szczerze i pod pozorem zabawy z Bosym, począł myszkować po pokoju. Józikowi było nieprzyjemnie, że ten niepocziwy chłopiec wkręcił się do staruszki, ale mu jakoś nie śmiało nic powiedzieć. Walek skinął na niego żeby z nim wyszedł na ulicę. Gdy się znaleźli na dziedzińcu, a Walek obejrawszy się i upewniwszy, że nikt ich słyszeć nie może, ozwał się do Józika:

— Słuchaj-no ty, ta stara musi mieć pieniądze! Już ja nieraz o takich starych słyszałem, co to niby z biedy wynoszą się na strych, a w sienniku, albo w jakim odzieniu, mają zaszyte sporo grosza.

— A dajże mi pokój! — ofuknął Józik — cóż mi tam do jej pieniędzy! Ma, to swoje! Tatusi mówił, że ona całkiem zbiedniała!

— Może się tak tylko przytuliła! Ty tam dobrze wszystko wywąchaj i mnie powiedz, a nie pożałujesz tego! Co tam babie po pieniądzach? Przed młodym to cały świat otwarty a przed starym tylko grób!

Józik na dobre się rozgniewał.

— Idź ty sobie! A jak jeszcze raz mi takie rzeczy gadać zaczniesz, to powiem pani Warbickiej!

— No, no, nie gniewaj się Józik! Przecie ja tylko twego dobra chcę i niczego więcej, bo cię okrutnie Kocham. My jesteśmy jak bracia, Józik, prawda?

— Tylko, że z ciebie okrutne ladaco, Walek!

— Co mam być ladaco? Mnie tylko o to chodzi, żeby tobie było dobrze na świecie!

Józik westchnął. Było mu źle na świecie. Ogromnie mu wciąż żal było ojca i choć były takie chwile w których zapominał o swoim sieroctwie, zwyczajnie jak dziecko, to go zaraz potem żal chwytął taki, że mu się zdawało, że mu się coś w piersiach rozdziera. Wieczorem, gdy do snu zamykał oczy, straszny widok przedstawiał mu się zaraz. Widział zabitego ojca i myślał z rozpaczą, że już go nigdy nie zobaczy.

Pani Warbicka zaczęła go uczyć czytać i Józik pojmował tak łatwo, że staruszce aż się oczy śmiały. Miała wielką przyjemność z tej nauki. Siedziała zgarbiona w fotelu, a Józik u jej nóg na małym stołeczku uczył się liter i zaraz je składał. Już we trzy dni taką sobie wymyślił rozrywkę, że na tabliczce pisał sobie kredą łatwiejsze wyrazy i pokazywał z nieśmiałością a zarazem z rozkoszą pani Warbickiej, która albo mówiła: „dobrze”, albo poprawiała co było źle napisane. Najpierwsze dwa wyrazy, co Józik napisał, to były: „koza” i „kura” a potem pisał: „kot, kuma, oko...” a tak się w sobie radował pisząc, jakby mu się co najlepszego przytrafiło. Przytem myślał:

— Oj, co też to dla człowieka za przyjemność, pomyśleć sobie coś w głowie i zaraz to samo na papierze napisać!

Tak się zapalił do tego pisania, że pani Warbicka musiała na niego wołać.

— No Józik, dosyć tego! Idź-no po chleb. Masz tu pieniądze na dwa funty chleba.

Józik biegł po wschodach jak strzała, potem równie prędko do piekarni a myślał:

— Jakżeby to napisać „chleb”? Oj, żeby to prędzej się tego wszystkiego nauczyć!

Ledwo wszedł na wschody i drzwi mieszkania na strychu otworzył, tak zaraz do pani Warbickiej:

— Proszę pani, *chleb*, to chyba trza pisać: h, l, e, p?

A pani Warbicka w śmiech:

— Józik, tyś całkiem głowę stracił z tem pisaniem! Jużbyś i nie jadł, jużbyś i nie spał, tyłkobyś mazał kredą po tablicy.

— Oj, bo to strasznie przyjemnie: słowo pomyśleć a tu już i stoi napisane!

Wziął zaraz kredę i napisał na tablicy: „Bosa”. Pani Warbicka odrazu przeczytała a pies myślał, że go wołają, więc się przeciagnął wstając z siennika i przyszedł z miną zaspaną i rozleniwioną.

(d. c. n.)

Niebo w kwietniu.

Zaczęła się wiosna, cieplej już na dworze i łatwiej, korzystając z pogodnego wieczoru, rozglądać się po gwiazdzistym niebie. A można będzie widzieć około godz. 10-tej wieczorem w połowie kwietnia kilkanaście ważniejszych gwiazdozbiorów: Herkulesa, Wielką Niedźwiedzicę, Bliźnięta, Kasiopeę, Pannę i wiele innych.

Gwiazdy stałe, jak wiecie, w skutek obrotu ziemi dla oka naszego pozornie wschodzą i zachodzą. Każda gwiazda przechodzi przez południk codzień o 4 minuty wcześniej i dla tego widok nieba gwiazdzistego zmienia się w ciągu roku.

Z planet gołym okiem widzialne będą w tym miesiącu: Merkury i Wenus, jako gwiazdy wieczorne w ciągu dwóch godzin mniej więcej po zachodzie słońca; Jowisz przez noc całą i Saturn, świecący niezbyt wysoko nad poziomem błaskiem blade żółtym.

Pełnia księżycy przypada dnia 6 kwietnia o trzy kwadrans na 11 wieczorem. Jest to pierwsza pełnia wiosenna. W pierwszą niedzielę przypadającą po tej pełni, obchodzimy święto Zmartwychwstania Pańskiego, zgodnie z postanowieniem Soboru powszechnego nicejskiego, odbytego w roku 325 za papieża Sylwestra.

Długość dnia wzrasta w kwietniu o dwie godziny, z początku wynosi zaledwie 12 godzin 56 minut, a ostatniego dnia miesiąca liczy już 14 godzin i 50 minut.

ZE ŚWIATA.

Wyprawa Andre'go. — Pogrzeb Aleksandra Macedońskiego. — Szczury w przemyśle. — Ludność miast. — Nowoodkryte plemię karłów. — Czarna bohaterka.

O podróżniku szwedzkim André, który w sierpniu roku zeszłego wyruszył ze Spitzberga balonem do bieguna północnego, niema dotychczas żadnych wiadomości. Jeden tylko gołąb z kartką jego, pisaną nazajutrz po wyruszeniu, został spotkany i ujęty przez załogę pewnego okrętu na morzu Lodowatym. Większość znawców krajów polarnych przypuszcza, że André i jego trzech towarzysze nigdy już nie powrócą, że zginęli wśród śniegów lub może zmarli w samym balonie. Niektórzy jednak przypuszczają, że André nie zginął, lecz spuścił się po jedno lub dwudniowej jeździe balonem na olbrzymie płaszczyzny lodowe, skąd próbuje dostać się na Ziemię Franciszka Józefa, aby latem doczekać się statków z Europy. Z ziemi tej wyruszy na wiosnę wyprawa celem odszukania śmiałego podróżnika, który, jak świadczą jego przyjaciele, przygotowany był do zimowania na lodach i przewidywał długą swą nieobecność. Morze Opatrzność uratuje go podobnie jak Nansena, dla dobra nauki.

Pogrzeb pewnej milionerki w San Francisco, który odbył się z nadzwyczajnym przepychem, dał jednej z gazet amerykańskich powód do przypomnienia najwspanialszych pogrzebów, jakie się kiedykolwiek odbyły. W rzędzie ich najpierwsze miejsce zajmuje pogrzeb Aleksandra Wielkiego macedońskiego, który w przepychu nie miał sobie równego. Trumna, w której ciało wielkiego króla Macedonii na wieczny spoczynek złożono, była szczerem - złota, z koroną brylantową, karawan przybrany wielu złotymi ozdobami, koła i szprychy złote; 84 mułów użyto do przewiezienia wozu tego z Babilonu do Syrii, gdzie oddany był Ptolomeuszowi i przez armię jego odstawiony do Aleksandryi. Zwłoki wielkiego bohatera i zwycięzcy złożone były w mauzoleum, które później zostało grobowcem rodziny Ptolomeuszów. Również we Francji pogrzeby niektórych głów ukoronowanych pochłonęły ogromne sumy, koszta ponosił w części skarb w części miasto. Pogrzeb Franciszka I Valois kosztował okrągły milion franków. W Anglii pogrzeb Cromwella kosztował 60,000 f. str.

Dowcipni Amerykanie nawet szczury umieli zaprządź do pożytecznej pracy. W przedziałkach bawełny zastanawiano się nad tem, w jaki sposób najprędzej i najtaniej możnaby oddzielać nasienie od włókna. Różne maszyny używane w tym celu okazały się nieodpowiednie; aż wreszcie ktoś wpadł na myśl, żeby to zadanie powierzyć szczurom, które są nadzwyczaj łakome na nasienie bawełniane i potrafią je wydobyć bez uszkodzenia włókna. Próby powiodły się znakomicie. Szczury zjadają nasiona, otrzymują więc pożywienie prawdzi-

wie zasłużone. Rzeźbiarze kości słoniowej również pozwalają bezkarnie pładnować szczurom wśród kłów, wybierają okazy na których znać ślady zębów szczurzych. Zwierzęta te wyjadają chciwie olej, zawarty w kości słoniowej i wskazują tym sposobem kły łatwiejsze do obrobienia.

Zeszłoroczny spis jednodniowy stwierdził znaczne powiększenie się ludności miejskiej. Podajemy niektóre liczby dla poprawienia zamieszczanych dotąd w podręcznikach geograficznych. Petersburg liczy 1,132,000 mieszkańców, a Moskwa prawie milion. Ludność Warszawy wynosi 638,200 mieszkańców, Łodzi 315,000, Kijowa 247,000, Wilna 160,000, Mińska 91,400, Witebska 66,000, Żytomierza 65,400, Białegostoku 63,900, Lublina 50,100. Wszystkich miast w guberniach królestwa Polskiego jest sto czternaście.

Gazety amerykańskie piszą o odkryciu nowego plemienia karłów w południowej Ameryce. Mieszka ono w okolicach rzeki Amazonki u źródeł Rio Negro, która jest dopływem Amazonki i odnogami swemi łączy się z okolicą Orinoco. Mężczyźni tego plemienia mają wysokości najwyższej cztery stopy i ośm cali, kobiety są mniejsze. Naród ten jest bardzo brzydki, przy silnie zbudowanym korpusie, nogi i ręce ma nadzwyczaj cienkie. Kolor ich skóry jest żółty, włosy zdradzają spokrewnienie z rasą indyjską. Już Aleksander Humboldt dowodził, iż w okolicach Orinoco znajduje się jakieś nieznane plemię, ponieważ jednak okolic tych nie mógł sam zwiedzić, dowodzenie więc jego w tej kwestyi zostało tylko przypuszczalnem. Teraz dopiero po upływie stu lat, nowy podróżnik, uczonec Sullivan z Bostonu, stwierdza ponownie to samo.

W bliskości miasta Auburne w Stanach Zjednoczonych założono przytułek dla starców negrów, który nosi nazwę swej założycielki „Harriet Tuleman Home”. Harriet była niewolnicą, lecz mając lat 19, udało jej się uciec od swego właściciela i wśród różnych przygód dosięgnąć Stanów północnych, gdzie niewolnictwo było już zniesione. Tam, jako wolna, samoistnie pracować zaczęła i każdy dolar jaki zaoszczędzić mogła, odkładała. Kiedy zebrała trochę pokazniejszą sumkę, wybrała się w podróż na południe, aby pomagać swym braciom niewolnikom w ucieczce do Stanów północnych. Jeden z handlarzy niewolników obiecał 10,000 dolarów wynagrodzenia temu, kto by ją w jego ręce oddał. Harriet jednakże szczęśliwie zdołała uniknąć podobnego losu. Kiedy wybuchła wojna o wolność, była mianowaną przez gubernatora z Massachusetts Andrews, na przewodniczkę jednej z armii, którą też szczęśliwie do celu doprowadziła. Harriet obecnie staruszka 80-cio letnia, posiada bezgraniczne zaufanie i uwielbienie swych biednych, czarnych braci, dla wolności których tak się poświęciła. Założenie w Auburne przytułku jest uwiecznieniem jej czynów.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Na Zmartwychwstanie Pańskie, wiersz przez J. W. (z ryc.) — Niedźwiedź, powieść z XVI w. przez Zuzannę Morawską. — Tajemnicze kwiaty. — Kartka z dzienniczka księżniczki Elżuni, przypadkiem znaleziona. (z ryc.) — Dzielný chłopiec przez Zofię Kowerską. — Niebo w kwietniu. — Ze świata. — **Dodatek:** Wielkanoc, wiersz przez Z. M. (z ryc.) — Wielkanoc i kaligrafia przez Z. B. — Prawdziwa historia przez J. W. — Królowa poziomek i paproci przez Wacława Sulimę. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Варшава 23 Марта 1898 г. Wydawczynie Marya z Chomętowskich Bałinska.

W drukarni Noskowskiego Warecka Nr. 15.

Wielkanoc.



zwony grają, serca drgają,
Słysząc pieśń radosną,
Wielkie święta się zbliżają
Razem z nową wiosną.

Płynie, płynie światłość
[Boża,
Pokój światu daje,
Idzie ku nam jasna zorza:
Chrystus zmartwych-
[wstaje!

Już się w paki stroją drzewa,
Ptak w obłokach buja,
Zda się wszystko z nami
[śpiewa
Słodkie Alleluja.

Hej! dziecieczki, niech was
[wiara
Umacnia i praca,
Z Bożej łaski ziemia szara
Przez nią się ozlaca.
Z. M.

WIELKANOC I KALIGRAFIA.

Kiedy Józio wyjeżdżał w jesieni do szkół, żegnali go wszyscy z żalem, bo grzeczny to był bardzo chłopczyk.

Najdłużej pieściła i błogosławiła wnuka babunia i Józiovi też najsmutniej było z nią się rozstawać.

Bo jakaż ta babunia dobra! Nikt takich ślicznych nie umiał opowiadać historii, nikt tak nie dogadzał chłopcu. Zbierała dla Józia nasiona kwiatów, żeby miał czem zasiać ogródek, robiła mu doskonałe piłki. U niej chował swoje baty, swoje sznurki, i wiele innych rzeczy, które wszyscy pogardliwie zwali rupieciami, niepotrzebnymi gratami, a tylko ona знаła się na ich wartości.

Więc kochał też z całego serca swoją babunię o białych, jak jedwab lśniących włosach, o oczach bardzo łagodnych i twarzy zawsze uśmiechniętej.

Kiedy siedziała w ganeczku wśród gałązek dzikiego wina, spuszczonego się z dachu, to zupełnie była podobną do białego gołąbka, których tyle fruwało nad domem.

Tak właśnie wyglądała w dzień wyjazdu Józia do szkół; spłoszone turkotem bryczki ptaki fruwały wysoko ponad dach i białe skrzydła gołębi, migocące w słońcu, przypomniały chłopcu białe włoski babuni.

— A jeśli ona odleci tak do nieba — pomyślał nagle — odleci nim ja wrócę. Miałbym nigdy już nie zobaczyć kochanej babuni?

Józio pierwszy raz jechał do szkół, nie dziw więc, że zajęły go bardzo przygody doznane w podróży, a potem egzamin, koledzy, szkolne życie, zatarły mu w pamięci smutne pożegnanie z babunią.

Przytem czas biegnie prędko, prędko też nadeszło Boże Narodzenie, Józio śpiewał sobie z fantazyją:

Pierwsza klasa same zuchy,
Druga klasa to piecuchy.

Ale niestety, do cenzury tego zucha wkradła się dwójka z kaligrafii i popsuła świadectwo, które bez niej wyglądało wcale dobrze.

Babunię dwójka zmartwiła tem więcej, że to ona właśnie uczyła wnuka stawiać litery i była pewną doskonałego stopnia.

— A może ja ci źle pokazywałam, dziecko, może teraz inaczej pisać każą — mówi zmartwiona, zapominając, że niczyje listy nie bywają tak porządnie i czysto pisane, jak jej własne.

Znów wyjeżdżał Józio do szkół i znów go babunia żegnała, teraz żegnała w pokoju, nie na ganku, bo mróz był silny.

— Na Wielkanoc nie przywiozę już dwójki, a potem zobaczy babunia, będą czwórki i piątki z kaligrafii — obiecywał chłopiec.

— Pamiętaj, pamiętaj dziecko, tylko spiesz się, uciesz mnie dobrym stopniem, potem może będzie już za późno.

Józio skoczył do sanek, dzwonki zadzwoniły wesoło, i znów spłoszone gołębie furknęły z dachu ponad drzewa, a chłopcu białe ich skrzydła przypomniały siwe włoski babci.

— Za późno? Co babunia myślała, mówiąc to brzydkie słowo? Miałoby jej tu nie być kiedy, na tym ganeczku, pod zielonemi gałęziami winogrodu, lub w oknie jak dziś, bo z okna zaz jeszcze żegnała wnuka. A jeśli odleci do nieba zanim ja wrócę z dobrym stopniem w cenzurze?

Józiovi serce ścisnęło się żalem. Babunia taka blada i tak kaszle często. Teraz znał już dobrze drogę, znał kolegów, wiedział co to szkoła, więc nowe wrażenia nie zatarły smutnych wspomnień odjazdu. Ile razy też siadał do pisania, zawsze brzmiały mu w uszach słowa:

— Uciesz mnie dobrym stopniem, bo potem może być już za późno.

O jakże Józio starannie kreślił litery! Aż nauczyciel się dziwił, że tak wielki zrobił postęp. Każ po raz oglądał

kajet pilnego chłopca i stawiał czerwonym ołówkiem stopień.

Pierwszy był 3, a potem przyszły plusy, a potem trafiła się 4, potem znów była raz bieda z jakimś minusem, aż na koniec kwartału Józio dostał 5 z kaligrafii. Wierzcie mi, 5 dostał, chociaż trud nielada z dwójki na 5 wjechać.

Ale czegoż nie dokona pilny pierwszoklasista!

Za to byłaz to radość, gdy na Wielkanoc jechał do domu!

Już z daleka, siedząc na wózku pokazywał cenzurę, która powiewała, jak biała chorągiew.

Babunia domyśliła się też odrazu, że stopień z kaligrafii będzie doskonały.

Ile za tę piątkę dostało się Józiovi wybornych mazurków, ile jaj kolorowych ufarbowały drogie ręce babci, jak mu pomagała oblać wodą siostrzyczki przy szmigusie, ho! ho! tego opowiedzieć wam nie potrafię. Chłopiec też całe święta był wesół i szczęśliwy, bo to wielka radość ucieszyć ukochanych.

Z. B.

—
Jadwiga Warnkówna

PRAWDZIWA HISTORIA.

I.

Czy lubicie, dzieci, młode rzodkiewki? Oj, te rzodkiewki! Narobiły one razu jednego kłopotu niemało! Posłuchajcie, opowiem wiernie całe zdarzenie.

Było to w Wielką Sobotę.

Wiosna aż pachniała na świecie! Wierzby okryły się puchem baziek, młoda trawka strzelała w górę, a pośród niej tuliły się fiołki, podnosząc główki ku słońcu, które siało naokół rześiste, jasne i ciepłe promienie. Wróble gromadami obsiadły nagie jeszcze kasztany i świegotały bezustanku tak krzykliwie, że aż jaskółki, budujące opodal gniazdo, dziwiły się tej wrzawie. Czerwone kowale zaczęły wychodzić z pod kamieni, aby się wygrzać na słońcu, a nawet mała muszka zabrzęczała w powietrzu, lecąc na koniec dworu, ku otwartemu oknu, z którego buchały różne wonne zapachy.

Z okna tego wychyliła się pani Wardęska i zawołała:

— Moja Michałowo! proszę tutaj przyjść do mnie aby pozanosić ciasto do stołowego pokoju. Trzeba stół nakrywać, bo ksiądz zaraz nadjedzie. Niech dzieci pobawią się same.

— Słyszycie, dzieci, mamusia mię woła. Bawcie się tu grzecznie, nie odchodźcie ani na krok! Zosia niech dalej kopie, a Jadwisia niech dalej grabi.

— Już babki upieczone! To i my pójdziemy z nianią, pomożemy nosić ciasto — zawołała Zosia.

— Nie, dzieci, proszę zostać w ogrodzie i bawić się dalej — powiedziała pani Wardęska, wychyliwszy się raz jeszcze z okna. — Bądźcie grzeczne, a spotka was wielka niespodzianka.

— Niania, niespodzianka! Jaka niespodzian-

ka? Pewnie jajeczka malowane, albo też szyneczka z cukru. Pójdę zobaczyć!

— Nie pójdiesz, skoro mama nie pozwala — odrzekła wolno starsza dziewczynka, Jadwisia. — Weź szpadelek i kop dalej prędko, bo już nie mam co grabić.

To mówiąc podała Zosi porzucony przez nią szpadelek.

— Zresztą będę kopała, tylko grab porządnie. I dziewczynki wróciły do zabawy.

Jadwisia miała lat sześć, a Zosia pięć. Jadwisia była czerstwa, silna, na swój wiek wysoka, o buzi okrągłej i rumianej. Usłuchane to było dziecko, pracowite i ciche. Umiała już nieźle robić pończochę (na gwiazdkę z pomocą Michałowej zrobiła dwie pary dla biednych dzieci) umiała też potrosze szyć dla swych lalek, które serdecznie kochała; lubiła się z niemi bawić gdzie w kąci i śpiewać przytem, choćby dzień cały.

Zosia w niczem nie była podobna do starszej siostrzyczki. Błada była i wątła, lecz na mizernej twarzyczce świeciło dwoje czarnych, bystrych oczu, zawsze śmiejących i wesołych, a świadczących, że w głowie coraz to nowe rodzą się figle... Wygadane było maleństwo, jak młoda sroczka, buzia zamykała jej się chyba tylko w nocy, a i przez sen nieraz krzyczała i śmiała się głośno. Na miejscu usiedzieć nie umiała i kwadransa; musiała wszystko wiedzieć, do wszystkiego się wtrącić, wszystko ruszyć, dla tego ją „wszystkowiedzem,” „wszystkoruszem” lub „wiatraczkiem” nazywano. Złem jednak dzieckiem nie była, serduszko miała wyborne; każdym otrzymanym przysmaczkiem biegła dzielić się w kuchni z małą sierotką Magdą, której matka tej zimy umarła.

Po kilku minutach milczenia, Zosia rzekła do siostry:

— Wies? Kaśka dziś przyniosła z kurnika indyuce jajeczka, takie duże z złotymi plamami.

Jadwisia grabiąc, zaczęła śpiewać miluchnym głosem:

„W małym ogródeczku Zosia sadi kwiatki,
Czerwone różyczki i modre bławatki”.

Lecz Zosia przerwała jej znowu:

— Wies, po księdza pojechał Wawrek; pewnie niedługo psyjedzie. Ciekawam bardzo, jak ksiądz będzie święcił. Michałowa mówi, że wszystko święconą wodą pokropi.

— Kiedy też ty się nauczysz porządnie mówić, dziewczyna w szóstym roku a mówi: psyjedzie, jajeczka, jak mały Stefanek z Gębic.

— Wszystko jedno, wszystko jedno. Jesce się naukę. Ale już mi się spsyksyło kopanie, mozebyśmy się trochę pogoniły!

— Kop dalej, kop! Niania powiedziała, że jeżeli skopiemy cały zagonek, to nam jeszcze dzisiaj zasieje rzodkiewki.

— Nasieje zodkiewek! naprawdę? A wiesz, w inspektach już pewno są zodkiewki. Słyszałam, jak Kotulski mówił do mamusi, że do święconego będzie miał i sałatę i zodkiewki. Chodźmy zobaczyć do inspektów.

— Ale kiedy mamusia kazała nam tu zostać, a niania mówiła, żeby i na krok nie odchodzić.

(d. n.)



KRÓLOWA POZIOMEK I PAPROCI.

BAJKA CZARODZIEJSKA

przez *Wacława Sulimę.*

(Dalszy ciąg).

— Leż sobie Halinko, leż — rzekła — ty się najwięcej zmęczyłaś, boś najdalej chodziła i najcięższy dzban niosłaś, tobie odpoczynek najpotrzebniejszy, przykryj sobie tylko głowę fartuszkim, żeby ci błyskawice w oczy nie zaglądały.

Halinka zdziwiona względnością Elżbietki posłuchała dobrej rady, a że miała czyste sumienie i zmęczoną była bardzo, usnęła wkrótce głęboko, mimo huku grzmotów.

II.

Kotlinka paproci.

Deszcz przestał padać, ucichły grzmoty, uspokoił się wicher. Niebo zaczęło się zwolna wyjaśniać, na wschodzie zarysowały się różowe smugi, zachodu słońca.

Błade światło dzienne przedzierając się przez chruściane ściany szałas, zbudziło Halinkę.

— Ach, to już świta — zawołała, przecierając oczy — grzmotów nie słychać; Jagusiu, Elżbietko, możemy wracać do domu.

Obejrzała się dokoła, ani Jagusi ani Elżbietki nie było, znajdowała się sama w szałasie.

— A niedobre, wróciły bezemnie — szepnęła z żalem — ciotka się będzie gniewała; ha cóż, powiem żem zapłała.

Wstała, ujęła dzban i odrazu spostrzegła, że jest jakiś dziwnie lekki. Wstrząsnęła nim, przykrycie z paproci widocznie odwiązane, spadło, dzban był pusty.

Halinka krzyknęła głośno i stanęła zdumiona.

— Wykradły mi poziomki! — wykrzyknęła oburzona — i dla tego radziły mi zasnąć, niegodziwe, przecież to kradzież.

Tak, dzban był pusty, a razem z poziomkami znikła nadzieja kupienia podarków dla wuja i ciotki.

Halinka zasmucona wyszła z szałas. Drzewa i trawy wyglądały jak usypane perłami, powietrze było świeże i miłe, ptaszki zaczynały się odzywać.

— Tak — myślała Halinka — pozazdrościły mi, bo

ja miałam pełen dzban; a one mówiły, że poziomki w lesie prawie niema.

Wtem przypomniała sobie kotlinkę, do której zaprowadziła ją sarenka.

— Ach! — wykrzyknęła — gdybym tylko mogła tam trafić, napełniłabym w mig dwa takie dzbanki, wiele tam było poziomek, aż się ziemia czerwieniła.

Ucieszona tem przypomnieniem, biedz zaczęła w kierunku kotlinki, jakoż wkrótce doszła do miejsca, gdzie spotkała sarenkę. Idąc ciągle naprzód odnalazła ślad, doszła do brzegów wzgórza i spuszczać się na dół zaczęła. Z każdej gałęzi, którą potraçała, spadał na nią drobny deszczyk, paproć szeleściła pod jej stopą, a na duszy robiło się coraz raźniej i weselej.

Teraz przy świetle dziennem, poziomki wydały jej się jeszcze większe niż wczoraj, liście zakrywały je nieco, lodygi ginęły wśród traw.

Halinka wyciągnęła rękę i już zerwać miała najbliższą, kiedy usłyszała cichy śmiech; poziomka odskoczyła i Halinka spostrzegła, że to nie był owoc ale maleńka główka, ubrana w duży ponsowy kapturek, z szyjką okoloną liśćmi, niby frezką. Jednocześnie cała osóbka wynurzyła się z trawy a niebawem, ruszyły się i inne; w całej kotlinie rozległ się szelest traw i szmer liści, a po chwili wszystkie poziomki — dziewczynki ujęły się za ręce i tworząc wielkie koło, rozpoczęły taniec.

Halinka, osłupiała, patrzyła na ich płąsy i skoki.

Wtem usłyszała trzask gałęzi; z pomiędzy wzgórz wysunęła się sarenka, ta sama, którą wczoraj spotkała; na grzbiecie jej siedziała dziewczynka, mniejsza od Halinki ale smuklejsza. Ubrana była w czerwony aksamitny gorsecik i spódniczkę z paproci. Bufki na ramionach, freza koło szyi i ubranie głowy również było z paproci, a cały jej strój przyozdobiony był poziomkami i ubrylantowany rosą. Sarenka zatrzymała się, maleńka pani zaś skoczyła na ziemię, a wesoły chór poziomek zabrzmiał:

Naszą kotlinkę słońce ozłaca,
Uperla co wieczór rosa,
Ochładza wietrzyk, paproć wzbogaca,
Obłąkitnieją niebios.

Zaledwie zorza świta różowa
Oto na swojej sarence,
Piękna i dobra nasza królowa
W leśnej przybywa sukience.

(d. c. n.)

SZARADA.

Nierówną bywa nam *pierwsza i trzecia*
To mrozem ścina, to znów daje kwiecica.
Znów *druga z trzecią*, zewnętrzne pokrycie
Bez czego drzewa wnet tracą swe życie,
Zaś *wszystko* razem to cnota prawdziwa
Co się przed zasług rozgłosem ukrywa.

ŁAMIGŁÓWKA LICZBOWA.

ułożył Aleksander W.

27	19	25	14	Podane tu liczby przestawić w ten
16	20	23	10	sposób, aby przez dodawanie tak
11	6	9	5	w kierunku poziomym jak pionowym
3	4	8	0	wypadła zawsze liczba jednakowa.

KRZYŻ MAGICZNY.

a	d
d	e
a	e
e	i
i	m
m	n
n	r
r	t
t	t
w	w
y	y

Z podanych obok liter ułożyć krzyżujące się nazwy dwóch stolic w Europie.

ROZWIĄZANIA DO Nr. 13.

Zagadki: Łódź.

Łamigłówek sylabowej:

- 1) Jedwabnik. 2) Ameryka. 3) Ner. 4) Sara. 5) Oświęcim.
6) Baku. 7) Iris. 8) Eufrat. 9) Sowa. 10) Kalif. 11. Istria.

Jan Sobieski — Kara Mustafa.

Łamigłówki w kwadracie:

J	a	ś	m	i	n
K	u	r	h	a	n
M	i	l	i	o	n
B	i	l	i	o	n
S	u	ł	t	a	n
J	o	r	d	a	n

Skrzynka do listów.

Łamigłóvkę **Mieczysława U.** przejrzymy. Rozwiązania łamigłówek dobre; trafne również rozwiązania nadesłali: **Słoń z Nubii**, **Józio B.**, **Marylka Sandomierzanka**, **Orzeł czubaty**, **Eugenia M.** i **Aniela R.**, którą po długim jej milczeniu z przyjemnością znów witamy.

Chcąc zaspokoić ciekawość **Sfatej** czytelniczki musiałabym odstąpić od przyjętego zwyczaju i zanadto wiele pisać o sobie, pozwól więc bym i nadal została tylko skrzydlatą ptaszyną, której pragnieniem pozyskać waszą przyjaźń i otrzymywać jak najwięcej, równie jak twój, miłych listków. Zagadki zręczne, ale zanadto

znane i łatwe do odgadnięcia, spróbuj napisać inne, może się przydadzą.

Masz obszerny kącik w mem sercu, miła **Laszko**, który sobie zdobyłaś serdecznymi odezwaniami, każdy twój listek sprawia mi wielką przyjemność, a następnego niecierpliwie wyglądam. Nie dziwię się bynajmniej, że **Ogniem i Mieczem**, do arcydzieł naszej literatury zaliczone, wywarło na tobie potężne wrażenie, a przystępnie opowiedziane wyjątki i młodsze rodzeństwo zajęły i zachwyciły. Z równem, jak ty upragnieniem, oczekuję wiosny i niecierpliwie wyglądam mych towarzyszek, by nam raz nareszcie zwiastowały ciepło i pogodę. Rozwiązania dobre, arytmogryf oddałam redakcyi.

Kochana moja **Kurko z Polesia**, chociaż ani ciebie ani innych moich korespondentek nie znam osobiście, zdaje mi się, że wszystkie jesteście mi dobrze znane, bo znam serduszka wasze pocziwe i zacne nieraz myśli, które się wam roją po główkach. Czy jesteś najstarszą z naszych czytelniczek, nie wiem, sądzę jednakże, że są starsze od ciebie i te przezwalały się „staruszkami”, choć już dorosły nie przestają czytać **Wieczorów**, z którymi zaprzyjaźniły się od dzieciństwa. Nietylko czasami, jak o to zapytujesz, ale tak często, jak ci czas na to pozwala, proszę, pisuj do mnie, a zawsze z przyjemnością prawdziwą na twoje listy odpisywać będę. Pseudonym twój dobrze wybrany i bardzo mi się podobał. Rysunki ciekawych miejscowości z kraju naszego, lub też z dalszych miejscowości wraz z opisami, podajemy od czasu do czasu. Rozwiązania dobre, łamigłóvkę oddałam redakcyi.

Z **Orłem czubatym** chętnie korespondować będę, oczekuję obszerniejszego listku. Przesłaną łamigłóvkę przejrzymy, a zaginiony numer posyłamy.

Posyłka dla sierot Szpitala Dzieciątka Jezus od **Brzózki wotyńskiej** już przysłała i pod wskazanym adresem odesłaną została. Jak dawniej tak i teraz proszę, zwracaj się zawsze do mnie i pamiętaj, że z przyjemnością każde twe polecenie wypełnię.

Sprawiałaś mi wielką przyjemność **Helenko Sz.** swoim miłym listkiem, a wiedząc, że lubisz obszerniejsze odpowiedzi, obdarzałam cię niemi chętnie, gdyby brak miejsca nie stawał na przeszkodzie. Spora paczka listów leży przedemną, a każdy listek miły, każdy serdeczny i usposabiający do dłuższej pogawędki, cóż, kiedy redakcyja woła: „Jaskółko, pisz krótko i zwięźle, bo tylko tyle a tyle masz dzisiaj miejsca na twoją korespondencyę, żegnam cię więc, spieszycie muszę i choć słówkiem podziękować twej siostrzyczce **Rózi** za dopisek, i pochwalić, że pisze już tak porządnie i starannie, niechaj przyśle próbę swego pisma na konkurs kaligrafii, a kto wie czy nie otrzyma nagrody.

Wesofej. Długo myślałaś, jak się sama do tego przyznajesz, ale ładny obrałaś sobie pseudonym, tembardziej, że się stosuje do twego usposobienia, a usposobienie to miłym być musi, bo wesoleść z młodością powinny zawsze iść w parze. Surowo się sądzisz pisząc, że w twym liście za grosz niema sensu, zdania tego nie podzielam i proszę cię o częste, a również przyjemne listki.

Gdyby imienniczki moje chciały pożyczycie mi swych skrzydełek, przebyłabym szybko odległość dzielącą mię od **Wańdzi i Zosi S.** z Rostowa nak **Donem** i czarnym dziobkiem wystukałabym im w okienko wiadomości z nad Wisły. Niestety „ni ja skowroneczek, ni jaskółka szybka” i zamiast bujać w powietrzu, siedzieć muszę przy stoliku i w kilku słowach odpisywać na miłą waszą odezwę. Mam nadzieję, że nie poprzestając na tej jednej, często równie pocziwemi obdarzać mnie będziesz. Rozwiązania łamigłówek dobre, a chociaż później przychodzą, nic nie przeszkadza, że później ogłoszone będą.

Słonia z Nubii przepaszam, jeżeli niesłusznie zrobiłam mu wymówkę, ale w takim razie poczta tu zawiniła.

A teraz na zakończenie, przyjmijcie drodzy czytelnicy, przy nadchodzących radosnych świętach Zmartwychwstania Pańskiego, serdeczne życzenia wesolego Alleluja, od szczerze wam przyjaznej

Jaskółki.

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

ZWROTKI WIELKANOCNE.

Ku pamięci Aleksandry Borkowskiej.

Otóż Wielkanoc — radosny dzionek,
Nowem dziś życiem ziemia oddycha,
Słonko się strząsa z mglistych osłonek,
Stróże Anieli gwarzą nam z cicha

O tym Baranku promiennym chwala,
Co świat krwawemi odkupił rany,
A Jego Słowo Ciałem się stało
Na pokarm duszy bolem starganej.

Gdy do radości każdy dziś skory
W przyszłość pogląda swobodnem okiem,
Czemuż *Rodzinne* tylko *Wieczory*,
Owiane bladym smutku pomrokiem?

Ach! ta, co z wiarą w duszy niezgasła,
Jak dobra matka wśród dziatwy miłej,
Na Wielkanocne dzwoniła hasło,
Milczy cichutko w głębi mogiły.

Splećmyż jej wieniec z tego bukszpanu,
Jakim dziś zdobne godowe stoły,
Ona szczęśliwa!... dla niej przy Panu
Błysz Zmartwychwstania dzionek wesoly!

Ta, co z wytkniętych nie zesła torów,
Lat tyle, dziatwo, żyła dla ciebie,
Wszak dla *Rodzinnych* swoich *Wieczorów*
Błogosławieństwo wyjedna w niebie!

Seweryna Duchńska.



W OTCHŁANIACH MORSKICH

PRZEZ

Dr. M. Stefanowską.

(Dalszy ciąg).

Fauna głębinowa.

Pierwotniaki, gąbczaki, polipy.

Poznaliśmy już dokładnie zwierzęta żyjące w płytkiej wodzie morskiej, tuż koło wybrzeży, oraz zwierzęta pływające po powierzchni oceanu, daleko od wybrzeży. Następuje teraz kolej zapoznania się z mieszkańcami ukrytymi wśród morza, aż w najgłębszych przepaściach oceanicznych.

Głębinowe warstwy wodne posiadają zupełnie odmienne zwierzęta od tych, które pod tą samą szerokością geograficzną żyją na powierzchni morza. Różnica ta szczególnie uderzającą jest w zwrotnikowych morzach Afryki. Prawdopodobnym jest, iż nie istnieje w nich żaden pas pośredni między połagiczną fauną powierzchni, sięgającą w głąb do 200 a nawet 300 metrów, a fauną prawdziwych otchłani, rozpoczynających się dopiero na głębokości 2000 metrów. Między owymi dwiema faunami nie istnieje żadne podobieństwo, tak iż gdybyśmy znaleźli je w stanie kopalnym, mówi Lapparent, moglibyśmy przypuścić, że one pochodzą z dwóch odmiennych epok geologicznych, albo też, że żyły w dwóch morzach, między którymi nie było żadnej komunikacji.

Zwierzęta głębinowe skazane są na żywienie się pokarmem zwierzęcym, gdyż jak wiemy już z poprzednich kartek, w głębinach morskich roślinność nie istnieje z braku w nich światła. Nie możemy wprawdzie wyobrazić sobie takiego zakątka na naszej ziemi, gdzieby obok zwierząt, nie było zarazem roślin, a jednak wielka część powierzchni naszej planety nie posiada ani śladu żyjących roślin. Przekonano się bowiem, że w otchłaniach morskich nie mogą żyć nawet najmniejsze rośliny. Glony morskie tak obfite w płytkiej wodzie, znikają zupełnie prawie na głębokości 80 metrów. Natomiast krasnorosty przesiąknięte wapnem (*Nullipora*) obfitują jeszcze na tym poziomie, lecz i one stopniowo stają się coraz rzadsze i sięgają najgłębiej 275 metrów (w morzu Śródziemnym, według Carpentera).

Istnieje wprawdzie wyjątkowo pewna roślina napotykana znacznie głębiej, gdyż aż do tysiąca metrów. Ale jest to roślina bezzieleniowa, a zatem nie potrzebująca światła, jest to rodzaj grzybka, który pasorzytuje w wapiennej masie koralu i wywierca w niej rozgałęzione delikatne korytarze. Podobnie jak grzyby rosnące w naszych piwnicach, może on istnieć bez światła, gdyż żywi się nie kwasem węglowym, ale tkankami koralu. Godnem jest uwagi, iż roślina ta jest wielce starożytną, istniała bowiem już na koralach w prastarym okresie syluryjskim.

Pomimo braku roślin na dnie morskim, w mule żyje mnóstwo najprostszych istotek zwierzęcych. Skąd one się wzięły w tak wielkiej ilości w tych zimnych i ciemnych otchłaniach?

Kilkanaście lat temu myślano, iż odkryto nareszcie tajemnicę powstawania najprostszych zwierząt morskich. Po podróży naukowej *Porcupinu* rozeszła się nagle pogłoska, że dno oceanu Atlantyckiego wyściela żyjąca substancja, która niema żadnych określonych kształtów, lecz się porusza, a zawiera w sobie mnóstwo drobnouchnych ziarenek (*Coccolithes*), które opisywano jako jej szkielet.

Przypuszczano, że ów żyjący *pierwośluz* ustawicznie wytwarza się na dnie oceanu z mineralnej materii, i że żywić się nią może podobnie jak rośliny, że jest zatem czemś pośrednim między minerałami a zwierzętami. Z tej żyjącej bezkształtnej galarety miały pochodzić następnie najprostsze

żyjątka czyli pierwotniaki. Zdawało się więc, że schwytano na gorącym uczynku powstawanie zarodków życia.

Znakomity angielski przyrodnik Huxley, który opisał tę galaretę, nazwał ją na cześć głośnego przyrodnika niemieckiego, *Bathybius Haeckeli* (fig. 121).

Niestety, radość niedługo trwała. Po bliższym zbadaniu okazało się bowiem, że substancja, którą ochrzczono tą wielką nazwą, nie była wcale żyjącą istotą, lecz były to po prostu galaretowate płatki wapienne, osadzające się w wodzie morskiej, gdy dodać do niej wodnego spirytusu. Następnie okręt Challenger podczas swojej kilkoletniej wyprawy szukał *Bathybiusa* na dnie wszystkich mórz, lecz nigdzie go znaleźć nie mógł.

Powyższa historia z *Bathybiusem* świadczy, że wielcy nawet uczeni, mogą popełniać błędy naukowe, co nas zresztą dziwić nie powinno. Podobnie jak wszyscy ludzie uczeni skłonni są do entuzjazmu; w pierwszej chwili przebie mylnie mogą tłumaczyć jakieś odkrycie lub spostrzeżenie. Lecz następnie nadchodzi chłodna rozważa i uważne badanie, a gdy błąd swój spostrzegą, to naprawiają go albo sami albo ich następcy, a do skarbnicy wiedzy ludzkiej jednak przybywa nowe ziarno.

Błędy popełniane w nauce nie ujmują jej bynajmniej powagi; są one początkowo nieuniknione. Jedyne prostaczki myśleć mogą, że uczeni od pierwszego rzutu oka zaraz wszystko dojrzą, rozumieją i dokładnie wyjaśniają. Gdyby tak być miało, to zdobywanie wiedzy byłoby łatwiejszem od każdego rzemiosła. Ale gmach wiedzy buduje się mozolnie, powoli, widzieliśmy jak stopniowo zbierano wiadomości o „życiu w oceanie”, ile na wstępie popełniono błędów, aż w końcu wyłoniła się prawda, jak słońce z za chmur, i mrok niewiadomości rozproszyła. Tak powstają wszelkie zdobycze naukowe.

Chociaż *bathybius* w rzeczywistości nie istnieje, nie ulega atoli wątpliwości, że w mule głębin morskich kryje się niezliczona moc istot tak drobnych, jak ziarenka piasku. Ciało ich to kropelka galarety, która się porusza i pełza po dnie. Kropelki te są często nagie, bez żadnej osłony, inne zaś oblepiają się mułem lub piaskiem i tak wytwarzają sobie sztuczną skorupkę. Maluczkie te istotki stanowią niejako przygotowanie do owych *otwornic*, których wytworne skorupki wapienne poznaliśmy na początku naszego opisu.

Skorupki otwornic i radyolarij, igiełki gąbek, muszle mięczaków oraz mnóstwo innych szczątków mineralnych, stanowią główną zawartość owego szarego i lepkiego mułu, który wyściela głębie 1500 metrowe. Skorupki w nim znajdowane nie wszystkie należą do zwierząt głębinowych, wiele z nich spadło z powierzchni morza w postaci drobnouchnego pyłku; wiemy, że otwornice są nadzwyczaj obfite na powierzchni oceanu. Naprzykład *globigeriny* (fig. 122) są tak liczne w niektórych rodzajach osadów morskich, iż nazwano je z tego powodu *namulem globigerynowym*. Większość tych zwierząt żyje atoli nie w głębinach, lecz na powierzchni morza. W głębinach morskich odkryto również nadspodziewanie mnóstwo gatunków radyolarij, o misternym szkielecie, złożonym z igiełek kryształowych.

Gąbczaki i polipy. W tymże miękim, szarym mule kryją się wspaniałe gąbczaki krzemionkowe. Z pomiędzy kilku rodzin gąbczaków, które poprzednio poznaliśmy, jedynie gąbczaki o szkielecie krzemionkowym są prawdziwymi mieszkańcami otchłani morskich, zwłaszcza rodzina *gąbek szklanych*, mająca igiełki o sześciu promieniach. Szkielet tych gąbek jest tak wytwornie splecionym z cienouchnych włókien przezroczyстых, iż powstaje stąd delikatna tkanina tiulowa jak to widać na (fig. 123 i 124). Dla tego też oczyszczony ich szkielet stanowi zawsze jedną z ozdób w kolekcjach muzeów.

Na fig. 125 np. widzimy gąbczaka zwanego *Pheronema*; szkielet jego wygląda jak wytworne gniazdko ptasie, utkane nie z bawełny lecz z miękich jak puch włókien i gwiazdek szklanych. Gąbki te trzymają się mułu za pomocą tysięcy srebrzystych nici, rozpostartych jak korzenie.

(d. c. n.)

Zofia Kowerska

DZIELNY CHŁOPIEC.

(Dalszy ciąg).

— Oj, ty udajesz poważnego i spokojnego — rzekła pani Warbicka do psa — a niechbyś tylko gdzie dostrzegł kota...

Na dźwięk tego ostatniego wyrazu, Bosa odrazu podniósł uszy i ogon, obejrzał się po pokoju i skoczył do drzwi, do których drapać się począł.

— Leżeć! — zawołała. — Tobie Józiku tylko pisanie w głowie, a jemu tylko koty.

Po każdej lekcji pani Warbicka całowała Józika w czoło. Jednego dnia, po trudnej lekcji, bo już Józik czytał: „chrząszcz,” „chrzan,” powiedziała mu:

— Będzie z ciebie człowiek, Józiku, bo lubisz pracę i lubisz przewyżczać trudności. Z próżniactwa nigdy nic dobrego nie wyrasta, ale z pracy wyrasta i dobroć i uczciwość i porządne życie.

Staruszka nie chciała pieścić Józika, żeby się chłopiec nie rozbałamucił; czasem do niego mówiła nawet surowo, jak ksiądz na spowiedzi, ale go codzień więcej kochała i przy pacierzu tak Panu Bogu dziękowała:

— Dziękuję Ci Panie Boże, że dając mi to dziecko w opiekę, zesłał jakby promień słońca, ogrzewający i oświecający moją smutną i samotną starość.

Po sześciu miesiącach nauki Józik umiał już bardzo dobrze czytać, pisał prawie bez omyłek i umiał już dodawanie, odejmowanie i mnożenie. Zaczynał się uczyć dzielenia. Czytał już sobie sam różne książeczki, siedząc na stołeczku, a jak czego nie rozumiał, to zaraz pytał swojej opiekunki, a ona mu tłumaczyła. Lubił szczególnie takie książki, z których się dowiadywał co się dawniej działo w naszym kraju.

Walek przychodził czasem, patrzył po kątach z podłuba jak wilk i raz złapał napastrzek srebrny pani Warbickiej tak, że ani ona ani Józik tego nie widzieli. Widział tylko Bosa i chciał powiedzieć, jak umiał; szczekał na Walka, lecz nikt nie zrozumiał, o co mu chodziło. Staruszka nazajutrz napastrka szukała, ale pomyślała sobie, że go może z kieszeni na ulicy zgubiła, idąc do kościoła. Przypomniała sobie nawet, że w kościele wyciągała chustkę, żeby przetrzeć okulary.

— Nigdy napastrka do kieszeni nie kładę — mówiła do Józika — ale może tym razem go włożyłam. Okropnie teraz na starość wszystkiego zapominam.

Walek powoli stawał się coraz gorszym. Raz spotkał Józika i zapytał:

— A ty sobie wódkę kupujesz czasem?

— Wódkę? — zawołał Józik — wódkę?

Zbladł i lży mu w oczach stanęły, bo sobie przypomniał biednego ojca, który zginął od wódki.

— Cóżes się tak zadziwił? — zapytał Walek. — Ja czasem to i dwa kieliszki jeden po drugim wypiję! To tak człowiekowi zaraz weselej się robi!

— Skądże ty masz pieniądze, że i papierosy i wódkę sobie kupujesz?

— A tak się tam człowiek stara jak może! Czasem się trochę użebrze, czasem się co komu weźmie! Aby raz spróbować, to potem idzie jak z płatką! A co, czyś tam przeskakał wszystko u baby?

— U jakiej baby?

— A no, u twojej Warbickiej. Ona przecie choć do kościoła chodzi? W niedzielę pewno chodzi.

— Chodzi. I ja z nią idę.

— O, to źle!

— Co źle? Dla czego źle?

— A tak nie bywa, że ona wychodzi, a ty zostajesz?

— I tak czasem bywa.

— A kiedy tak bywa? O której porze? którego dnia?

— Czy ja tam pamiętam?

— Czy rano, czy po obiedzie?

— Czasem rano, czasem po obiedzie.

— No, to już ja sam ją dopilnuję.

Te słowa Walek mruknął przez zęby tak, że Józik nie zrozumiał odrazu. Dopiero po chwili jakoś mu do ucha wpadły. Walek już był daleko. Biegł za jakąś bogato ubraną panią i żalonym głosem coś do niej wołał.

Józik się zamyślił. Co ten Walek sobie myślał? Co on chciał zrobić?

— Ej, trzeba się tego chłopca strzedz — rzekł sobie w duchu.

Ale potem zapomniał o wszystkim i taki był spokojny, jak zwykle bywają ci, co w poczciwości żyją.

Raz pani Warbicka wyszła z Bosym, bo chciała sobie na zimę kupić wełniane pończochy, a Józik się na tem nie znał. Zostawiła chłopca nad tabliczką, napisawszy mu bardzo trudne zadanie rachunkowe do zrobienia. Musiał w tem zadaniu mnożyć i dzielić. Usiadł przy stole i zamyślił się głęboko nad sposobem rozwiązania tego zadania. Drzwi od środka zamknął jak zwykle, tembardziej, że staruszka wychodząc przypomniała mu, by to uczynił. Ale zaledwo pomyślawszy chwilę, pierwszą liczbę na tablicy napisał, aż tu ktoś ruszył klamką u drzwi, a przekonawszy się, że zamknięte, pukać w nie począł:

— Kto tam?

— To ja — odpowiedział głos Walka — czegoż się tak zamykasz? Otworzże coprędzej.

Józik zapominał na razie, że już sobie nieraz obiecywał wystrzegać się Walka. Skoczył do drzwi i otworzył.

— Pani Warbicka poszła do miasta — ozwał się do Walka — ja sam w domu jestem.

— A toć wiem, bom nareszcie dopilnował, że ona wyszła.

Józika nieprzyjemnie tknęło to odewanie się Walka, ale tego nie pokazał po sobie i zaczął mówić o zadaniu, które miał rozwiązać.

— Takie, powiadam ci, pani trudne zadanie mi napisała, ale póty będę myślał, aż go rozwiążę. Dzielenie, to powiadam ci, najtrudniejsze!

— Co mi tam będziesz głowę zawracał nauką! — zawołał Walek — sam sobie siedź nad tablicą, a ja się tu trochę po kątach i gratach rozejrzę.

— Co? — rzekł Józik, marszcząc brwi — co ty mówisz?

— Że ja tu wszystko przerewidować muszę, bo chcę się przekonać, czy stara ma pieniądze czy nie.

Walek mówił ostro, pod bok się wzięwszy, i nie oczu przed Józikiem nie spuszczał.

— Ani tu czego dotkniesz! — zawołał Józik.

— Zobaczymy kto silniejszy!

Walek wyjął nagle nóż z zanadza i groził nim Józikowi.

— Zabić mnie możesz — zawołał Józik — ale póki ja żyję, niczego tu nie tkniesz!

— Ja ci tu pokażę — mówił Walek, dysząc ze złości i zgrzytając zębami. — Widzisz go! Ja mu chcę dobrze zrobić, a on mię tu jak złodzieja przyjmuję! Co znajdziemy pieniędzy, to się niemi podzielimy! Stara nawet nie będzie wiedziała. Kupisz sobie co zechcesz i nie będziesz niczyjej łaski potrzebował!

— Nic nie ruszę i ty nic nie ruszysz! — zawołał Józik, wrywając nagle nóż z rąk Walka i rzucając go przez otwarte lufki.

W tej chwili złość Walka przeszła we wściekłość. Rzucił się nagle na Józika, i począł go kopać i bić pięściami. Józik bronił się jak mógł, krzyczał, ale Walek był silniejszy, obalił go więc na ziemię, mówiąc chrapliwym głosem:

(d. c. n.)

URNA I ŁZAWNICA

KOMEDYJKA W 1-ym AKCIE.

OSOBY:

- WAŃDZIA lat 13.
- HELENKA „ 15.
- KAROL „ 16.
- MICHAŁEK, chłopiec kredensowy.

(Scena przedstawia pokój jadalny. Na stole stoją przybory do kawy).

SCENA I.

(Helenka siedzi przy krosnach, Wańdzia chodzi żywo po pokoju).

WAŃDZIA. I cóż, skończyłaś?

HELENKA. Doszywam ostatnich ściągów.

WAŃDZIA (przygląda się robocie). Będzie prześliczny! Karol nie marzył nawet o takim czapraku.

HELENKA. Czy naprawdę taki ładny?

WAŃDZIA. Mówię ci, że śliczny, ale dziwię się, że możesz usiedzieć przy robocie, kiedy on lada chwila przyjechać powinien.

HELENKA. To też drzę z pospiechu; patrz, już tylko 10 ściągów do skończenia monogramu... Spójrz przez okno, czy nie widać bryczki?

WAŃDZIA (stając w oknie). Mało oczów nie wypatrzę, lecz nic nie widzę... ale nie! widzę kurzawę koło krzyża na skrajcie...

HELENKA. To pewnie owce, tyle razy nas zwiody.

WAŃDZIA (otwiera okno). Wcale nie owce, słyszę turkot.

HELENKA. Pewnie jadą na jarmark.

WAŃDZIA. Nieznośna jesteś! właśnie, że widzę bryczkę.

HELENKA. Jeden, dwa, trzy krzyżyki. Boże, czy zdążę? (słychać turkot za sceną).

WAŃDZIA. Nie czekam na ciebie, do widzenia. (biegnie do drzwi, zaczepia o krosna, rozstawione na dwóch krzesłach i zrzuca je na ziemię, ale nie zważa na to i wybiega).



Fig. 121. Bathybius haeckeli.



Fig. 125. Pheronema Carpentere (potowa wiel. natur).



Fig. 122. Globigeriny, (pierwotniaki).

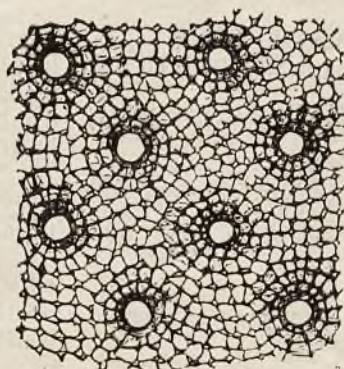


Fig. 123. Tkanka szkieletowa gąbki szklistej.

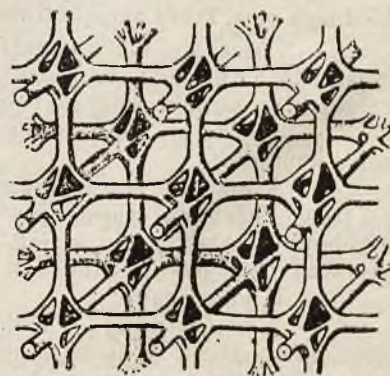


Fig. 124. Szkielet krzemionkowy gąbki szklistej.

HELENKA (*podnosząc krosna i włóczki z ziemi*). Zawsze taka żywa i roztrzepana, właśnie kończyłam ostatni ścieg. (*We drzwiach staje Karol w czapce i płaszczu gimnazjum filologicznego, Wańdzia trzyma brata za rękę*).

SCENA II.

KAROL, HELENKA, WAŃDZIA.

KAROL. Cóż to Helenko, nie witasz mnie nawet i szukasz czegoś na ziemi w chwili gdy ja przyjeżdżam. Jaka to z ciebie rozsądna i poważna osoba!

to wyborne naśladowanie bransolety, którą kiedyś nosiła żona Menelausa, Helena.

WAŃDZIA. Czy to ta sama Helena, która była powodem wojny trojańskiej?

KAROL. Ho! ho! To moje siostry wiedzą coś o wojnie Trojańskiej? (*popijając kawę*), bo już muszę was z góry przeprosić za to, co powiem, ale nie ufam zupełnie wykształceniu kobiet.

WAŃDZIA. O, za pozwoleniem...

KAROL. Nie przerywaj, bo to także jeden z waszych sposobów prowadzenia dyskusji! Więc zgódź się na to, że



Kaplica Matki Boskiej Ostrobramskiej.

HELENKA (*ściskając Karola*). Która wcale nie poważnie cieszyła się na twoje przybycie, tylko te krosna...

WAŃDZIA (*przerywając*). W tych krosnach siedzi wszyscy czaprak, patrz czy nie śliczny monogram — K. J.

KAROL. Prawda, że śliczny! nie spodziewałem się takiego podarku i dziękuję wam z całego serca, zwłaszcza tobie, Wańdziu, boś zdążyła mimo roboty wybiedz na moje spotkanie.

HELENKA. Zdążyła nawet zgubić szpilkę z głowy i nie słyszeć, że do niej mówisz. Ale ty pewnie głodny jesteś, bracie, chodź do śniadania, które na ciebie czeka. (*siadają wszyscy przy stole, Wańdzia nalewa kawę, podaje bratu filiżankę, ten chwytając ją za rękę i mówi*). Skąd masz tę bransoletkę?

WAŃDZIA. Dostałam od cioci Władzi.

KAROL. A czy ty wiesz, że to rzecz wcale ładna. Jest

kobieta, to jest, chciałem powiedzieć kobiety, które (*chrząka*), kobiety jakie, (*znów chrząka, a potem dodaje niecierpliwie*), no, że takie kozy jak wy, to poprostu nie umieją.

WAŃDZIA. Kozy! proszę, przecież uczy się...

KAROL. Tak, ale uczy się samych niedorzeczności. Nie dziwię się nawet wcale, że wiecie coś o Helenie, bo przypominam sobie, co mówił pan Skulski w kwestyi edukacji pańien.

WAŃDZIA. Stary dziwak, skąd on może o tem wiedzieć...

KAROL (*przerywając*). Widzisz, jaki ty prawdziwie kobiecy, lekkomyślny sąd wydajesz. Dziwak, dla tego, że uczony, że życie spędził nad książkami.

WAŃDZIA. Więc coż ten twój pan Skulski mówił o kobietach?

KAROL. Mówił, że historii uczą się po francusku.

z podręcznika pana Lamé-Fleury, który tylko różne bajki opisuje. O! ma słuszość pan Skulski, taka nauka to w sam raz dla kobiecych mózgów.

HELENKA. Pozwól sobie powiedzieć, że nie widzę, dla czego mój mózg miałby być gorszym od twojego.

KAROL. Dla czego? wyborna jesteś. A badałaś kiedy zwoje mózgowe? a wiesz ty co to są wymiary antropologiczne? ważyłaś zawartość czaszki u mężczyzny i kobiety?

HELENKA. Pewnie, że nie, ale pij teraz lepiej kawę, bo wystygnie, zamiast mówić o takich obrzydliwościach.

KAROL. O-brzy-dli-wo-ściach! powiadasz, to wy tak cenicie badania przyrodnicze? (*wznosi ręce do góry z oburzenia*). Słusznie mówi pan Skulski, że kobiecie wystarczają zupełnie gałganki, że szkoda czasu na zajmowanie jej poważną nauką.

HELENKA. Za porywczó nas sądzisz Karolu, jak to źle, że nie widzieliśmy się już prawie dwa lata.

KAROL. Tak! przez ten czas tyle zmian zaszło, (*zakłada nogę na nogę, opiera głowę o poręcz kanapy i patrzy w sufit, a potem mówi uroczystym tonem*). Tyle zmian, zwłaszcza u mnie, bo u was jakież zmiany zająć mogły? Wprzód stroiłyście lalki, a teraz was zapewne niedługo jak lalki stroić zaczną! (*Deiuczynki z początku jedną za drugą spoglądają zasmucione i zdziwione, a w miarę monologu Karola zaczynają się uśmiechać*). Ja to wcale co innego, ja już jestem człowiekiem dojrzałym, dzięki panu Skulskiemu, umiłowałem naukę, wiem, że trzeba temu Molochowi poświęcić całego siebie.

WAŃDZIA (*z ironicznym uśmiechem*). I jakże się myślisz poświęcić? kiedy?

KAROL. Kiedy? dziś, zawsze, całą duszą! (*z miną zarozumiałą*). Ot, zaczynając od tego czapraka. Wdzięczny wam jestem moje siostry za pamięć, ale czyż to jest praca? Wiedziecie, że praca, to jest ekonomicznie biorąc, taka rzecz, która, to jest chciałem powiedzieć nie rzecz, tylko taka siła, taki wysiłek (*jaką się coraz bardziej*), no, krótko mówiąc, że szkoda czasu na haftowanie.

WAŃDZIA. Dziękujemy za szczerłość! (*do Helenki, która tymczasem wypruła czaprak z krosien*), rzuć tę robotę, przecież słyszałaś, że Karol gardzi czaprakiem.

KAROL. O, nie gardzę! owszem, z wdzięcznością przyjmuję, tylko odrazu na tym przykładzie chciałem wykazać różnicę, między pracą mężczyzny a kobiety.

WAŃDZIA (*zawsze z ironią*). Jakaż będzie twoja w czasie wakacji?

KAROL (*z powagą*). Czeka mnie trudów wiele, obiecałem panu Skulskiemu robić poszukiwania archeologiczne i rozpocznę je zaraz.

HELENKA. Jakto dziś? zamiast nacieszyć się swobodą, ogrodem, wierzchowcem, którego ci tatko ujeździć kazał, zresztą nami?

WAŃDZIA. Czyż on dba o nas!

KAROL. Owszem, przecież jesteście moje siostry, i licie zawsze na opiekę męskiej ręki brata, ale nauka przede wszystkim (*do Helenki*). W czasie nieobecności rodziców ty zapewne zarządzasz domem, więc proszę cię, każ mi dać dwa rydle, kosz, i chłopaka do pomocy.

WAŃDZIA. Cóż to za wyprawa i jaki jej cel?

KAROL. Wyprawa! Wy w tym wyrazie widzicie zaraz tysiące błyszczących gałganków, a ja, wymawiając go, myślę o Kolumbie, Franklinie, Nansenie, lub Stanleju.

WAŃDZIA. Dokąd więc dążyć zamierzasz? czy mamy ci szyć serdak, i futrzane rękawice, czy też przygotować białe płócienne ubranie, jeśli się wybierzesz w okolice równika.

KAROL. Z czasem pojedę i tam, teraz jednak muszę poprzestać na wycieczce archeologicznej w celu badań paleontologicznych (*patrzy z tryumfem na siostry, które znów patrzą zdziwione*). Naturalnie, nie rozumiecie znaczenia tych słów?

HELENKA. Może jednak odłożyłbyś zamiary swoje do powrotu rodziców, a dzisiejszy dzień daruj nam, braciszku, pójdziemy razem obejrzyć gospodarstwo.

WAŃDZIA. Ależ po co! (*uchylając drzwi woła*). Michałku! Michałku! (*wchodzi chłopak z kredensu z deseczką na której czyścił noże, mina nierozgarnięta, ścierka u pasa, usta otwarte, śmieje się często i wtedy zakrywa usta wieścią*).

SCENA III.

Ciż i MICHAŁEK.

WAŃDZIA. Weź, Michałku, kosz od węgli i dwie łopaty, pójdziesz z panem Karolem na wyprawę archeologiczną, po zdobycze paleontologiczne.

MICHAŁEK (*wytrzeszcza oczy*). Jakie, proszę panienki? WAŃDZIA. Pójdziecie na wyprawę archeologiczną po zdobycze paleontologiczne.

MICHAŁEK. Niby panienka mówi, co jak zdybię pałę, to ta komuś wyprawę archolę. Juści, jak wyprawić to wyprawić, mnie ta nie trza dwa razy mówić, jeno poco mi łopata, ja ta każdego i tem zmożę, (*pokazuje na swą deseczkę od noży, panienki się śmieją*).

KAROL (*wznosi ręce do góry, i chodzi wzburzony po pokoju*). O Boże! cóż to za ciemnota, jak wnieść światło w te mózgownice.

MICHAŁEK. Panicz każe wnieść światło i maźnice, to chyba Jędrka zawołać, bo...

HELENKA. Nie rozprawiaj, Michałku, tylko rób, co ci panicz każe, rydle są u ogrodnika, idź po nie i czekaj na ganku.

KAROL (*z powagą*). Dziękuję ci, Helenko, widzę, że nareszcie pojmujesz ważność tej nauki, którą co prawda niedawno poznałem, lecz zgłębiłem już należycie! (*wychodzi z Michałkiem*).

SCENA IV.

HELENKA I WAŃDZIA.

WAŃDZIA. Jaki ten Karol zabawny, nie widział się z nami dwa lata, a na wstępie zaraz nikt i nic go nie interesuje, tylko o archeologii rozprawia.

HELENKA. Bo odwykł od naszego towarzystwa, a wpływ pana Skulskiego i szlachetny zapal, obudziły w nim chęć do nauki, której dobrze nie zna jeszcze.

WAŃDZIA. Uważam, że Józia ma rację, utrzymując, że chłopcy są mniej mądrzy od dziewcząt.

HELENKA. A ja uważam, że Karol zaraził już ciebie, Wańdziu, swą zarozumiałością.

WAŃDZIA. Ach! jaki on się zrobił zarozumiały. Nazywał nas kozami. Ale ja go muszę ukarać i nie odezwę się wcale do niego.

HELENKA. Wańdziu, czy byłabyś tak dziecinna, żeby się za to na brata gniewać? Pamiętasz, jak w Zakopanem tęskniłaś za nim, i pragnęłaś wrócić do domu, aby go zobaczyć?

WAŃDZIA (*ze łzami w głosie*). Tak, ale do braciszka, a nie do jakiegoś paleontologa.

HELENKA. Czyżbyś wołała, żeby Karol był nieukiem i próżniakiem, żeby przyczyniał rodzicom zmartwienia?

WAŃDZIA. Właśnie o rodziców mi chodzi; cóż powiedzą, gdy posłuchają jego andronów?

HELENKA. Nie bój się, znajdą sposób oduczenia go zarozumiałości i śmiesznego rezonowania. Ale cicho, słyszę jego kroki.

SCENA V.

(*Wchodzi Karol, trzymając w ręku kość żebrową, za nim Michałek z łopatą staje we drzwiach i pokazuje na migi, że ma coś do powiedzenia*).

KAROL. Uf! zmęczyłem się, chociaż nadspodziewanie trafiłem na prawdziwą kopalnię złota.

MICHAŁEK. Nijakiego ta złota nie było, ino w śmieciach grzebałiśmy jak krety.

KAROL (*wzruszając ramionami, mówi do siostr*). On nie rozumie znaczenia słów moich, to jest, że kość ta ma wartość złota; co mówię złota! brylantów, gdyż jest to zabytek przedpotopowy, a co ważniejsze, widnieją na niej wyraźne ślady pierwotnego rysunku. Jakiś człowiek skalny próbował kreślić tutaj wzory nieudolnym ryłcem (*pokazuje kość*).

MICHAŁEK. Żaden ta skalny, bo tu nijakiego niema, jeno pewnikiem chłopak kucharczyny wywłócił gnata i skrobał kozikiem, a paniczowi se tam coś innego zdaje.

WAŃDZIA (*cicho do Michałka*). Prawdę mówisz, paniczowi się coś zdaje.

(d. n.)

NIEDZWIEDŹ

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

p. Zuzannę Morawską.

(Ciąg dalszy).

— Phii, i to mi się nie zdaje, może już lepiej Zygmunt młody — rzekł Maciejowski, biskup krakowski.

— I to mi się nie widzi — trzeba by zaraz panującemu nam najmiłościwiej dodać „stary,” a toć starość nikomu radości nie przynosi, żeby mu o niej codzień powtarzać — mówił, kręcąc głową Karnkowski, biskup przemyski.

I tak każdy, jako mu się zdawało, wyszukiwał drugiego imienia dla Zygmunтового syna, którego dotąd pospolicie na dworze Zygmusiem nazywano.

— Zygmunt urodził się w miesiącu sierpniu i jakoż 12 augusta dziesięć lat skończy, dajmy mu więc drugie imię August — rzekł milczący dotąd prymas, Jan Łaski.

— Bene, bene, będzie więc Zygmunt August — przytórzono jednogłośnie.

— I tem imieniem powitamy go, jako nowego króla — dodał prymas.

I zaczęto radzić o innych sprawach.

A kiedy tak radzono, na zamku lud cały i przybyłe na uroczystość dzieci, oczekiwały niecierpliwie dnia koronacyi.

Nadszedł nareszcie dzień dwudziestego lutego 1530 r., na który uroczystość była naznaczona.

Był to dzień niedzielny i jeszcze słonko z za chmur zimowych wyjść nie myślało, już na ulicach Krakowa ludzi było jak nabił, a przez liczne ciągnące się ku katedrze i zamkowi tłumy trudno się było przecisnąć. Jakkolwiek wiadano, że tylko pewna liczba osób, będzie mogła wejść podczas uroczystości koronacyjnej, tłoczono się jednak, a każdy sobie myślał:

— Może mi się jakoś uda wejść do katedry.

Inni zaś mieli mniej wygórowane żądania, mówili więc tylko:

— Zobaczą tych, co byli na koronacyi, to mi powiedzą, jak to tam było z tym maluśkim królem.

I zalegano nietylko całe wzgórze, nad którem wznosi się katedra i zamek, lecz wszystkie ulice przyległe i zaułki. Kiedy zaś słonko z za mgły poczęło leniwie wychylać swoje złociste oblicze, a rozkołysane dzwony poważnym dźwiękiem ogłaszały zebrany, iż wkrótce uroczystość się rozpocznie, tłumy jedną falą popłynęły ku wzgórz. I wkrótce taki się zrobił ścisk, iż pacholcy miejscy musieli użyć całej swej władzy, ażeby ciekawość nie doprowadziła kogo do kalectwa lub uduszenia.

Śmielsi powchodzili nawet na dachy a chociaż nic nie widzieli, z wytrwałością godną lepszej sprawy nie opuszczali jednak swego stanowiska.

I rzeczywiście, jakkolwiek koronacya była obrzędem bardzo ciekawym, próżne jednak były wszelkie usiłowania dla zaspokojenia tej ciekawości, i ci co nie byli wewnątrz kościoła, nie mogli nic widzieć.

A w kościele panów przedniejszych i mieszczan sławnych jak nabił, tylko środek wielkiej nawy wolny pozostał.

I oto uderzyły dzwony, a przez wielkie drzwi wszedł

chorąży królewski z rozwiniętą chorągwią, którą zwykle podczas innych koronacyi niesiono zwiniętą na znak żałoby po zmarłym królu.

Za chorążym postępowali marszałkowie z podniesionemi laskami, które również jak przy innych koronacyach mieli ku ziemi spuszczone, aż do chwili wykonania przysięgi przez nowego monarchę.

Za nimi szła chorągiew królewska, na niej herb Jagiellonów, orzeł w koronie; za nią chorągwie wojskowe, połyskujące wśród liczego blasku świec jaskrawemi barwami i wyszytymi godły. Gdy już cały ten orszak uszykował się po obu stronach wzdłuż nawy kościelnej, zostawiając wolne przejście po środku, wprowadzono królewicza.

Szedł on, wlokąc za sobą płaszcz błękitny, sobolowem futrem bramowany, z jednej strony prowadził go ojciec, z drugiej Samuel Maciejowski, biskup krakowski, kanclerz wielki koronny.

Dzwony głośniejsze jeszcze bić zaczęły, siedzący zaś w stallach zaproszeni na ten obrządek goście, z miejsc swych powstali. A goście tych moc była wielka, oprócz bowiem wojewodów i kasztelanów ze wszystkich ziem korony i Litwy, oraz liczego zastępu biskupów, przybył także Albrecht, książę pruski, który roku 1525 złożył hołd Zygmunutowi I-mu, oraz brat jego arcybiskup ryski, a także posłowie Torunia i Gdańska.

Gdy królewicz doszedł przed wielki ołtarz, gdzie na mensie leżała już korona, umyślnie dla młodzieńczego króla zrobiona, oraz miecz i berło, arcybiskup Jan Łaski pokropił kłęczącego Zygmunta wodą święconą, a potem odmówił nad nim modlitwę, wzywając Ducha świętego, ażeby młodemu królowi dał łaskę poznania i zamiłowania swoich obowiązków, oraz spełniania onych dla pomnożenia chwały Bożej i szczęścia całego narodu. Poczem Prymas odprawił Mszę świętą, podczas której stary król siedział w stallach na zwykłym swem miejscu obok królowej, królewicz zaś kłęczał na stopniach ołtarza.

Po skończonej mszy świętej, królewicz powstał, położył rękę na Ewangeli, i głośno za prymasem powtarzał następujące wyrazy:

„Z woli ojca mego, a najjaśniejszego króla, Zygmunta I-go, oraz na żądanie sejmu i za zgodą panów radnych, przyjmuję dziś koronę i wyznaję przed Bogiem, a też przysięgam na rany Zbawiciela świata i na świętą Ewangelię, iż sprawiedliwość i pokój powierzonemu sobie narodowi czynić będę, jako mi to sumienie i wierna rada, najlepiej ukaże. Obiecuję również strzedz praw kościoła, a stanom rzeczospolitej uczciwość oddawać. A tak mi Panie Boże dopomóż i wszyscy święci, Amen *).

— Amen! — powtórzył król stary, oraz wszyscy w kościele przytomni.

Gdy przebrzmiało wyrzucone ze wszystkich piersi Amen, młody Zygmunt padł krzyżem na rozesyłanym przed wielkim ołtarzem szkarłatnym suknie, a prymas i biskupi kłęcząc okolo niego, odmawiali modlitwy, które jednak bardzo skrócono z powodu dziecięcych lat koronowanego, a przeto i mniejszej wytrwałości. Następnie prymas zasiadł przed wielkim ołtarzem, a królewicz przed nim uklęknął.

Wtedy zrzucano z niego ów płaszcz błękitny, pod którym była tylko szeroka biała, wełniana, o bardzo szerokich rękawach szafa. Lecz i z tej obnażono mu plecy i prawą rękę, którą biskup Maciejowski namaścił olejem świętym, aż po ramię, jako też kark, plecy i czoło. Podczas namaszczenia prymas i całe duchowieństwo odmawiało stosowne modlitwy. Po tych modłach odprowadzono namaszczonego do kaplicy, skąd powrócił znów przed wielki ołtarz odziany w sandały, humerał **) manipularz, stulę i kape. Wtedy przypasano mu miecz, a prymas rzekł:

*) Przysięga jako też cały opis obrządku koronacyi wzięty ze Starożytności polskich J. Moraczewskiego.

**) Chusta płócienna czworogranna, którą księża kładą pod komżę na plecy, a którą jako i całe ubranie, używane przy Mszy świętej, przywdziewali królowie podczas koronacyi.

— Dobywaj go tylko ku obronie wiary świętej, państwa i narodu.

Zygmunt zrobił mieczem krzyż w powietrzu i do pochwy schował.

A chociaż miecz był niewielki i dopasowany do jego wzrostu, dziecięca jednak ręka namaszczonego drżała, i z trudnością uciąć go mogła.

Ruch ten odrazu spostrzeżono i zaraz powstało pewne niezadowolenie wśród zebranych senatorów i panów, a na ustach księcia pruskiego zagrał uśmiech złowrogi.

Wkrótce jednak na co innego zwrócono uwagę. Król-dziecię poraz pierwszy przystępował do stołu Pańskiego, przyjmował komunię świętą.

Była to chwila nader ważna tak dla chrześcijanina-katolika jako i dla króla.

Z dziecięcia stawał się człowiekiem, odpowiadał za siebie i swoje czyny.

Po odbyciu w przeddzień spowiedzi, myśli poważniejsze i mniej dziecinne zajmowały jego głowę, obecnie był bardzo przejęty ważnością aktu, zdawało się, iż rzeczywiście jakiś przełom robi się w całej jego istocie moralnej, a głęboka wiara, którą odznaczał się cały naród, zapuszczał swe światło do głębi w serce młodocianego króla.

Nawet Bona, była nader przejęta ważnością aktu i pierwszy raz na chwilę porzuciła myśli o pozyskaniu dla siebie władzy i zrobienia syna narządziem swoich zamysłów. Twarz jej nabrała łagodnego wyrazu, a zwykłą złośliwość i chytryść, zastąpiło uczucie macierzyńskie i prawdziwe rozczulenie. Co zaś do starego króla, ten nie wstydził się łez, które spływały po jego sędziwym, pełnym szlachetności obliczu. Padł na kolana i bijąc się w piersi, z całą skrucą powtarzał:

— Mea culpa!

— Mea culpa! — powtórzyły wszystkie usta przytomnych.

A wyrazy te były tak rzewne i tak przejęte prawdziwą skrucą, iż napełniły jednym odgłosem całą świątynię, przebijając sklepienia i płynąc ze szczera wiara i żalem ku Temu, który serca ludzkie rozmięka. I teraz Ten Najwyższy znając najskrytsze myśli i uczucia, przyjął więc chyba w ofierze tę skrucę całego narodu, którą w tej chwili z dziecięcą ufnością u stóp Jego składano.

Słońce złociste, jakby do wtóru rzuciło jasne promienie na głowę klęczącego u stóp ołtarza, młodzieńczego Zygmunta, a łamiąc się tysiącami blaski, było jakby owem światłem Bożem, o które w tej chwili błagano.

Po wielkim wybuchu głośniejszej modlitwy, była chwila tak uroczystej ciszy, iż zdawało się, że można policzyć uderzenie serc ludzkich zgodnym w tej chwili bijące tętnem.

Nie przerywali tej ciszy nawet kapłani szeptem odmawianych modlitw.

Nagle, milczące przez czas jakiś dzwony, zagrały. Lecz nie był to chór dzwonów, który brzmiał przy wejściu młodego króla do kościoła, ale jeden dźwięk donośny, poważny, którym ogłaszano chwilę koronacji. To „Zygmunt”, dzwon

wielki, zawieszony r. 1520 przez ojca, ogłaszał teraz koronację syna. Dźwięk ten ocknął zatopionych w modlitwie.

Jeden z duchownych podał młodemu królowi puhar wina. Zygmunt jakby ze snu zbudzony, zwrócił ku podającemu pytające oblicze.

(d. c. n.)

Z E Ś W I A T A .

Krzewicielka oświaty.

Niedawno rozstała się z tym światem skromna i zacna niewiasta, która jednak wielkie położyła zasługi—Małgorzata Raciborska. Przed pięćdziesięciu laty Małgorzata nastąpiła jako nianka do państwa B. nad rzeką Nidą. Była to wówczas zupełnie prosta wiejska dziewczyna, nie umiejąca ani czytać ani pisać. Pewnego razu, Małgosia, często przysłuchująca się ciekawie lekcjom dwunastoletniej panienki z nauczycielką, zaczęła prosić panienkę, aby ją nauczyła czytać. Po roku umiała już czytać i pisać wybornie. Wówczas ludzie byli daleko mniej oświeceni niż są dziś, nie dziw więc, że uczoność Małgosi stała się podziwem dla całej wsi. To też ludzie zaczęli się do niej garnąć po naukę, której ta zacna kobieta nietylko, że najchętniej udzielała, ale sama zawzięcie napędzała do książki naokół wszystkich. Wciąż służąc w tym samym dworze, przez cały rok, a szczególnie w zimowe wieczory, ś. p. Raciborska wszystkie młode dziewczyny, a nawet i parobków, uczyła czytać i pisać, a tak gorliwie nakłaniała nawet niechętnych do nauki, tak umiała przemówić i przedstawić, jakie to szczęście jest modlić się na książce w kościele, że nawet największego leniucha potrafiła przekonać.

Kiedy nieraz zwracano jej uwagę, że z niektórymi, jak ona nazywała, „głębami“ męczy się nad siły, zamiast wcześniej pójść na spoczynek, zawsze odpowiadała: Trudno, tak już sobie ślubowałam, aby spełniać uczynek miłosierny co do duszy: „nieumiejętnych nauczać.“ — W miarę posuwania się w lata, ta gorliwość „nauczania nieumiejętnych” stawała się coraz żarliwszą. Szlachetna kobieta większą część swoich zasług obracała na kupno elementarzy i książek, któremi nagradzała umiejących dzięki jej czytać. Gdy już cała służba umiała czytać, Raciborska uczyła we wsi nietylko dzieci i młodzież, ale nawet starsze kobiety i chłopów. Kiedy już nie miała kogo uczyć, bo wszystkich nauczyła, przeniosła się na służbę do innego dworu, by tam znów światło nauki szerzyć. Przytem ściśle zapisywała sobie wszystkich tych, których czytać nauczyła. Pozostały, jako cenna pamiątka po tej niezwykłej kobiecie dwa spore zeszyty, zapisane nazwiskami tych, którzy ś. p. Małgorzacie zawdzięczają umiejętność czytania. Takich zapisanych nazwisk jest tam aż czterysta dziewięćdziesiąt sześć, jako bogaty owoc jej pracowitego żywota.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Zwrotki Wielkanocne, wiersz przez Sewerynę Duchinińską. — W otchłaniach morskich przez dr. M. Stefanowską (z ryc.) — Dzielnny chłopiec przez Zofię Kowerską. Urna i łzawnica, komedyjka w jednym akcie. — Niedźwiedź, powieść z XVI w. przez Zuzannę Morawską. — Ze świata. — Dodatek: U cioci Polci (z ryc.) — Lekcje Jasia (monolog) przez Irenę Mrozowicką. — Prawdziwa historia przez J. W. — Kamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Варшава 31 Марта 1898 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego Warecka Nr. 15.

U cioci Polci.

(Dalszy ciąg).

— Czegożbyście teraz chcieli, dzieci? — spytała ciocia.
 — Jabym chciała coś dla mojej lalki — rzekła Irenka.

— Czy sanki podobałyby się waszej miłości?
 — Podobałyby się — rzekła z powagą maleńka.
 — To nietrudno zrobić. Weźmy bilet wizytowy, złożmy go na dwoje i wyrysujmy na nim formę sanek (fig. 24). Zetnijmy brze-
 gi *a* i rozłożmy bilet (fig. 25). Teraz trzeba wyciąć



fig. 24.

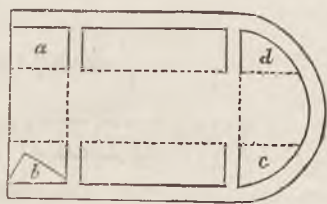


fig. 25.

wewnętrzny brzeg, ale uważnie, żeby nie przeciąć czterech nóżek, a potem pozakładać wzdłuż kropkowanych linijek i zręcznie pozszywać kilkoma ściegami.

Maleńka była zachwycona i oznajmiła, że każda lalka byłaby dumną z takich sanek.

— Czy można jeszcze zrobić jakie inne papierowe zabawki? — spytała Zosia.

— Ej, chyba już cioci zabrakło pomysłów — rzekł Kazio.

— Możemy jeszcze zrobić zamykane pudełeczko. Weźcie kwadratowy kawałek papieru listowego. Złóżcie go najpierw na ukos raz i drugi, ażeby znaleźć środek, któ-



fig. 27.

ry nazwiemy *a*, dwa rogi zaś *b* i *e* (fig. 27). Załóżcie cztery rogi do środka i rozłóżcie potem, a otrzymacie cztery nowe linie. Linia między *e* i *a* niech się nazywa *c*; gdy umieścimy róg *e* na punkcie *c* otrzymamy nową linię *f* a gdy powtórzymy to z innymi rogami, ujrzymy nasz kwadrat podzielony na mniejsze kwadraciki (fig. 27). Teraz trzeba wyciąć wszystkie te kąciki, które naznaczyłam

krzyżykami. Zrobi się z tego figura mająca kwadrat w środku i cztery końce, trójkątnie zakończone jakby stogi siana (fig. 28). Nazwijmy te końce *b c d e*, a cztery rogi kwadratu *a*. Chcąc założyć te różki trzeba je pona-

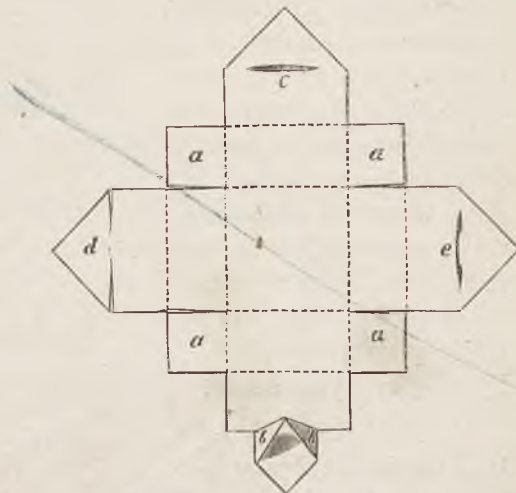


fig. 28.

ciąć (fig. 28), figura przybiera wtedy formę krzyża. W dwóch końcach *c* i *e* trzeba porobić nacięcia, a dwa inne poprzecinać z brzegu tak, aby można było pozaginać je i wsunąć w tamte szpary. Wsuniecie koniec *b* w otwór *c* i wyprostujecie potem różki, tak samo koniec *d* w szparę *e* i pudełko zamknięte (fig. 29).

— Czy to wszystko? — spytały dzieci.

Ciocia zawahała się.

— Nie jesteśmy wcale zmęczeni — zapewniał Henryś — i obiad jeszcze pewnie nie gotowy.

— No, to zrobimy jeszcze domek dla lalki Irenki. Weźcie sztywną



fig. 29.

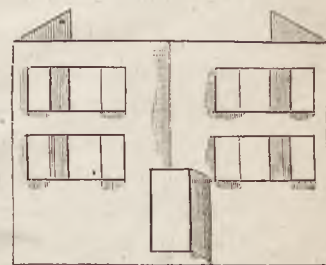


fig. 30.

kartę papieru, złożcie ją we czworo, dobrze zagnijcie na składach i wyprostujecie potem. Środkowe dwie połowy utworzą front domu, a boczne, jego dwa boki (fig. 30). W środku na dole trzeba wyciąć drzwi ale tylko z trzech stron, żeby się mogły zamykać. Można ołówkiem narysować na nich kłamkę. Trochę wyżej wytniemy okna z podwójnymi okiennicami, żeby je można zamknąć na noc.

Dzieci były zachwycone domkiem, a że już było późno więc ciocia zawyrokowała, że dosyć pracy na dzisiaj, i że muszą wszyscy odpocząć.

Lekcyje Jasia.

(MONOLOG).

(Jas wchodzi z książkami w ręku i klania się publiczności).

Dobry wieczór, moi państwo!
 Żebyście też wy wiedzieli,
 Jaki człowiek spracowany
 Mimo święta i niedzieli!
 Wiecznie tylko książki, lekcyje
 I zadania — to mi życie!
 Brr! zaręczam, że bez lekcyi
 Obszedłbym się znakomicie.
 Bo ciekawym, na co komu
 Taka greka lub łacina?
 Albo jeszcze ta wiadomość
 Gdzie tam wpada jakaś Dźwina?!
 A niech sobie każda rzeka,
 Gdzie chce sama, wpada, leci...
 Ej, to wszystko wymyślone,
 By udreńczyć tylko dzieci!

(po chwili).

Ot, i dzisiaj: czyż ja mogę
 Ten tom cały wtłoczyć w głowę?

(pokazuje książkę)

(zastanawiając się).

No! nie wszystko mam zadane —

Ale zawsze choć z połowę...

(ciszej).

Trochę mniejszą... W każdym razie

Nie dam sobie dziś z tem rady,

Takie nudne to niemieckie!

Wciąż deklinuj te przykłady:

„Das Milch”, die Buch”...

(namyśla się).

Oj, podobno... to przeciwne są rodzaje?...

(macha ręką).

Wszystko jedno! — człowiekowi

I pamięci już nie staje.

(chwilę milczy, chodząc po pokoju).

Ot, historia! to pół biedy —

Z nią mi idzie jako tako,

Choć się czasem w głowie miesza

Sparta z Troją lub Itaką,

Ale za to strasznie lubię

Ulissesa i Hektora!

O nich czytałbym bez końca

Nawet, gdy już spać iść pora.

I tak nieraz z tej przyczyny,

Myszę, że na bohatera

Byłbym dobry — bo na czyny

Wielkie, zawsze chęć mnie zbiera.

Cheiałbym oto na świat cały,

Wraz dokonać coś sławnego,

Coś, co godne będzie chwały

Po wiek wieków pamiętnego...

(c).

Cóż, gdy czasy już minęły
 Świetnych zwycięstw dla rycerzy,
 Już minęły i zginęły
 Chrząst oręża i pancerzy!...

(namyśla się).

A gdyby tak jeszcze przecie
 Było mi to szczęście dane,
 Bym jak Kolumb odkrył w świecie
 Jakieś lądy dziś nieznanne...
 Gdybym statkiem lub balonem
 Krańce ziemi naszej poznał,
 Choćbym to opłacił zgonem
 Jednak szczęścia jużbym doznał...

Ale teraz czem wykażę

Moje wzniosłe dziś marzenia,

Jakim czynem świat obdarzę

Czemże spełnię me pragnienia?...

Irena Mrozowicka.

Jadwiga Warnkówna

PRAWDZIWA HISTORIA.

(Dokończenie).

— Mamusia nie będzie wiedziała, niania nie spostrzeze. Wrócimy zaraz. Nie pójdziemy przez mostek tylko tam przez kładkę, po desce bliżej. Nikt nie spostrzeze. Zobaczymy, czy są zodkiewki i wrócimy zaraz. Moze w inspektach jest Kotulski, to nam da po kilka zodkiewek.

I mała sroczka szczebiocąc dalej, wzięła za rękę starszą siostrę i pociągnęła ją w głąb ogrodu.

Cicha Jadwisia ulegała prawie zawsze rezolotnej Zosi, niestety, nietylko w dobrem, ale i w złem. Dała się więc namówić, do czego skłoniła ją jeszcze nadzieja uzyskania od Kotulskiego kilka rzodkiewek, które lubiła niezmiernie.

Trzymając się za ręce, pobiegły dziewczynki ku kładce.

II.

W Władysławowie, wiosce państwa Wardęskich, ładny i obszerny był ogród a bardzo starannie utrzymany. Po prawej stronie ogrodu ciągnęło się pole, a dalej zieleń las, z lewej strony był duży dziedziniec ze stawem pośrodku. Do tego stawu prowadził przez środek ogrodu rów, obsadzony po obu stronach bzem tureckim, a rozdzielający ogród kwiatowy od warzywnego. W alei kasztanowej, wprost dworu, rzucony był przez rów śliczny, biało malowany mostek z poręczami, lecz dziewczynki nie zwróciły się w tę stronę, pobiegły na prawo, gdzie tuż przy płocie była wąska kładka, przez którą zwykle przechodzili robotnicy, pracujący w ogrodzie. Rów w lecie był prawie zawsze suchy, lecz w początkach wiosny, gdy stały obfite śniegi, na dnie rowu było grzęzkie błoto, a po wierzchu błota płynęła woda, uchodząca do stawu na podwórzu.

Gdy dziewczynki przyszły do kładki, Jadwisia rzekła:

— Patrz, tyle wody w rowie. Ja się boję, pójdźmy lepiej przez mostek.

— Na mostku nas ze dworu zobaczą. Nie bój się, zamknij oczy, daj mi rękę, ja cię pseprowadzę — odpowiedziała Zosia.

Jadwisia usłuchała siostry, chwyciła ją mocno za rękę i z drzeniem wstąpiła na deskę.

Posuwały się zwolna, po maleńku, po maleńku. Jadwisia coraz więcej drżała.

— Nie bój się — mówiła Zosia — jesteśmy już na środku.

Lecz w tej chwili deska się zachwiała, Zosia się złąkla, spojrziała na dół, a zobaczywszy rów głęboki z wodą na dnie, krzyknęła przeraźliwie, straciła równowagę i spadła z kładki, pociągnąwszy za sobą siostrę... Szczęściem, że woda nie była głęboka, i że Jadwisia była roztropną, przytomną dziewczynką.

Zerwała się na nogi, a choć grzęzła w błocie, podniosła co żywo Zosię, krzyczącą w niebogłosy.

— Cicho, cicho, nie płacz — mówiła Jadwisia, tuląc siostrę. Nie utopimy się, wyjdziemy z rowu, chwytaj się krzaków.

I wydobywszy się z trudnością z błota, po śliskiej, mokrej ziemi, zaczęła się drapać w górę, chwytając gałązek bzu.

Lecz ile razy była już prawie na brzegu rowu, tyle razy Zosia, nie mając dosyć siły do drapania się sama w górę, chwyciła Jadwisę za sukienkę i wciągała ją własnym ciężarem napowrót do wody. Jadwisia zmęczona, drżąca z zimna, zaprzestała nareszcie próżnych wysiłków i głośnym płaczem zawtórowała młodszej siostrzyczce, która jęczała boleśnie i z bladej stała się zielono-siną.

— Już my tu się zatopimy! Mamo! mamó! niani! Kotulski! ratujcie! — wołały biedne dzieci.

Lecz i mama i Michałowa i Kotulski byli daleko. Nikt nie słyszał płaczu i jęku dziewczynek, tak srodze ukaranych za nieposłuszeństwo...

— Tak mi zimno, tak mi zimno! o jej, jej! — płakała Zosia.

— Czemuśmy mamy nie słuchały! O Boże, Boże! — jęczała Jadwisia.

— Uu, uu, uu! — krzyczały żałośnie obie.

Okolo kładki w parkanie była furtka na drogę, prowadzącą w pole.

Pan Wardęski wracał z pod lasu, gdzie dnia tego siano groch.

Spodziewając się, że ksiądz niezadługo przyjedzie święcić, ojciec dziewczynek dla skrócenia drogi postanowił wrócić przez ogród, aby prędzej być w domu. Jeszcze za parkanem usłyszał płacz w rowie. Jakże się zdziwił i przestraszył, gdy, stanąwszy przy kładce, spostrzegł w rowie swoje córeczki.

— Na Boga! dzieci! — zawołał z trwogą i rozpaczą, wskakując w rów.

Dziewczynki, zobaczywszy ojca, ze strachu i radości nie mogły mówić, tylko płakały jeszcze głośniejsze. Pan Wardęski w mgnieniu oka wyniósł obie z rowu, wziął na ręce i szybkim krokiem podążył do domu, a woda i błoto lały się na niego z odzieży dzieci.

Co się działo we dworze, gdy zobaczono dziewczynki, tego nikt opisać nie zdoła.

Pani Wardęska ustawiła właśnie święcone, a obok dużego stołu przygotowała maleńki, osobny stolik dla dziewczynek (była to owa zapowiedziana niespodzianka), gdy wtem zobaczyła przez okno męża z dziećmi. Jakże się strasznie złąkla na ten widok! Jak krzyknęła boleśnie!

Wybiegła przed dom prawie nieprzytomna. Myślała, że już jej obie córeczki nie żyją, bo ze wstydu, strachu i zimna pochyliły główki na ramiona ojca.

O! jakże była szczęśliwa, gdy się dowiedziała, że żyją.

Michałowa z radości składała też ręce do Boga, a wszyscy w domu zapomnieli o święconem i każdy raził, coby dać dzieciom, aby je uchronić od choroby.

Pospiesznie zdjęto z dziewczynek mokre, obłocone rzeczy, wykąpano, położono do łóżka i dano gorącej herbaty. Zasnęły też niebawem.

Po kilku godzinach Jadwisia obudziła się i czuła się zupełnie zdrową, ale biedna Zosia dostała gorączki i odchorowała strasznie wyprawę na rzodkiewki.

Obawiano się długo o jej życie.

Nie widziała wcale rzodkiewek, które nazajutrz przyniósł Kotulski do śniadania, nie widziała nawet stolika z własnem święconem.

Oj, smutne, bardzo smutne były święta w władysławowskim dworze! Państwo Wardęscy siedzieli dzień i noc przy łóżeczku Zosi; pocziwiej Michałowej od wielkiego płaczu oczy popuchły, a wszyscy inni domownicy chodzili cicho na palcach, mówili półgłosem, jedli nawet bez ochoty, dzielając ciężkie zmartwienie państwa i żalując biednej Zosi.

Wróble tylko na kasztanach krzyczały równie głośno jak przedtem, a Jadwisi się zdawało, że one świegocą bez końca: „Dzieci, dzieci, słuchajcie zawsze starszych!” I biedna dziewczynka, bawiąc się sama w ogrodzie, wzdychała często, a łzy wielkie i gęste spływały z modrych ocząt. W wielkim swoim smutku zapomniiała nawet o ukochanych lalkach i ulubionych piosenkach.

Zaśpiewała sobie znowu dopiero wtedy, kiedy Zosia bledziutka i słaba jeszcze, pierwszy raz podniosła się z łóżeczka.



HOMONIM.

W trzech głoskach mieszczą dwa znaczenia,
Dziwnie się postać moja zmienia,
Raz płynę chyżo i wspaniale,
Do morza niosę bystre fale,
Po drodze mijam ludne grody,
I różne widzę tam narody.
Albo mam znowu cztery nogi,
Obrosłą skórę, piękne rogi,
Gorących krajów też nie lubię,
Z pod śniegu drobny porost skubię.

ŁAMIGŁÓWKA KROPKOWANA.

od Niezabudki dla kochanych rodziców.

Kt. cz. n. d. brz. l. m. s. l.
Bl. ż. m. sw. m. z. s. r. c. m. l. ś.
T. n. s. . . w. n. k. . . pl. c. . . m. l.
Wsp. m. n. . . w. d. z. . . cz. n. j. l. d. z. k. . . ś.

ARYTMOGRYF.

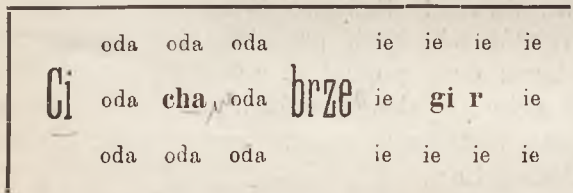
Szczęśna dla Jaskółki.

- 1) 11, 5, 7, 8, 13, 20, 7, 13, 16. Przyrząd powiększający.
- 2) 5, 7, 2, 3. Dopływ rzeki Bohu.
- 3) 4, 1, 18, 6, 13, 12. Wyspa na oceanie Indyjskim.
- 4) 7, 3, 8, 3, 17. Waga drogich kamieni.
- 5) 5, 15, 3, 9, 1, 6, 6, 3. Wyspa z arch. Salomona.
- 6) 1, 21, 2, 3, 8, 21. Imię męskie.
- 7) 2, 3, 6, 7, 5, 8, 14, 1. Boginie germańskie.
- 8) 5, 10, 6, 3, 12. Miasto w Morawii.
- 9) 4, 14, 8, 19, 20. Król Persów.
- 10) 15, 3, 8, 3, 15. Przysłówek czasu

Zastąpić liczby literami, aby początkowe utworzyły nazwisko poety, a końcowe tytuł jego utworu.

REBUSIK.

przez Puszczyka z Pilawy.



ROZWIĄZANIA DO N-ru 14.

Szarady: Ogień.

Logogryfu:

- 1) Panama. 2) Rinaldini. 3) Indyje. 4) Mekka. 5) Admiral.
- 6) Aglae. 7) Pegaz. 8) Róża. 9) Ispahan. 10) Lima. 11) Islandya.
- 12) Sokrates.

Prima aprilis.

Łamigłównki geograficznej:

O	D	N	K	D	P	L	E	L
P	a	o	u	a	i	g	o	
A	n	t	w	e	r	p	i	a
W	i	e	a	r	m	s	p	r
A	a	é	l	o	a	k	t	a

Kwadratu:

D o n
o n a
n a s

Skrzynka do listów.

Krakowiance. Przegląd Pedagogiczny pomieszcza w dodatku książkowym: *Wykłady naukowe dla samouków*, które i oddzielnie nabywać można. Radzimy przeto porozumieć się z redakcją tego pisma, mieszczącej się przy ulicy Hortensya Nr. 2. Co do innych podręczników, najwłaściwszymi będą następujące: Baranieckiego: Krótka arytmetyka część I i II dla wyżej posuniętych. Algebra początkowa Todhunter, tłum. Kwietniewskiego. Geometria Faifofera tłum. Kwietniewskiego. Chemia, Znatowicza. Zoologia Nusbauma, albo Wrześniowskiego. Historia powszechna Korzona albo Zakrzewskiego. Gramatyka Kryńskiego. Historia literatury Gostomskiego albo Spasowicza. Styl wyrabia się ćwiczeniami piśmiennymi, oraz czytaniem dzieł znakomych pisarzy. Nie wystarczy to jednak jeszcze żeby zostać autorką, bo do tego trzeba wrodzonego talentu. Silną wolę wyrobić można przez czynienie dobrych postanowień i usiłowanie wytrwania w nich. *Cremotartari* jest to winian potażu, powstający przy fabrykacji wina, w formie osiadającego na dnie osadu.

Za ciekawe listy dziękujemy Aleksandrowi W., czytaliśmy je z równym zajęciem jak i poprzednie, i zdaje nam się teraz, że jesteśmy już starzy znajomi, żalujemy tylko, że przejeżdżając przez Warszawę nie wstąpił do Redakcji, byłibyśmy szczerze radzi z poznania osobiście tak miłego korespondenta. Szaradę przejrzymy i życzymy by jak najweselej spędził czas pobytu w rodzinnych stronach.

Klimci G. Żądane dodatki posłano, nie należy nam się za nie żadna dopłata. Też samą odpowiedź przesyłamy Mieczysławowi B. na uprzejmy jego liścik

Książeczek zawierających powinszowania wierszowane jest kilka, chętnie ci jedną z nich Maniusiu C. wysłać możemy. W książce Hofmanowej *Jan z Czarnolasu* jest cały rozdział poświęcony opisowi ubiorów ówczesnych, może to wam posłuży i poda jaki dobry pomysł.

Józiovi i Elżuni B. Pierwszą część zabawek z papieru *Cioci Polci* z roku zeszłego dostać można za przesyłką 30 kop.

Helence L. i jej braciszki w imieniu biednych dzieci ze Szpitalika dziękujemy za przysłane kajety z obrazkami.

Dobre rozwiązania przysłali: **Orzeł**, **Gwiazdeczka z Zagórzan**, **Mania B.** i **Jaś W.**

Żaluję cię bardzo biedna **Turkawko**, że tak przykra okoliczność, jak choroba, wstrzymała cię w dobrym zamiarze napisania do mnie. Ale dzięki Bogu, że powróciłaś już do zdrowia, i że nie będziesz miała nadal przeszkód, by się czasami odezwać do mnie. Pismo twoje ładne, czyste i czytelne; jako jedenastoletnia panienka, możesz przysłać próbę swego pisania na konkurs, nie ubiegając się jednak o nagrodę.

Pszeniczce sandomierskiej wdzięczną jestem za serdeczne wyrazy. Składka na cel o jaki zapytujesz, zbieraną nie będzie. Szkoda, że nie przysłałaś swojej łamigłównki, lepiej od siebie moglibyśmy osądzić o jej wartości.

Zaginiony numer posłać ci możemy **Stokrotko Matwiejkowska**, szczególnie, gdy prosisz tak uprzejmie. Dlaczego przecież od tak dawna nie odzywałaś się, nie donosiłaś jak ci idą nauki i co porabiasz? Ja lepszą byłam i starałam się dowiedzieć, co słyhać u ciebie. Niestety, nie bardzo pocieszające doszły mnie wieści i zasmuciły bardzo, bo podobno i lekcye pozostawiają wiele do życzenia i upórek otaczającym daje się we znaki, a za wyrządzoną komuś przykrość, nawet przeprosić nie chcesz. Czy to być może, wierzyć temu nie chcę i mam nadzieję, że mi wkrótce doniesiesz albo o zaszej pomyłce, albo też o poprawie. Każdy zawinić może, lecz powinien wszelkich sił dokładać do pracy nad sobą i do poprawy. Na listy towarzyski twojej Antosi z chęcią odpisywać będę. Ale przedewszystkiem oczekuję teraz odpowiedzi, któraby mnie pocieszyła, a nie wątpię, że ją wkrótce otrzymam, bo serduszek nasz dobre i nie zechcesz zasmucać życliwej ci.

Jaskółki.

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

KONKURS NA WYPRACOWANIE.

Dla czytelników i czytelniczek naszych do lat 15-u włącznie ogłaszamy konkurs na wypracowanie. Za temat wybraliśmy tym razem:

Oszczędność i skąpstwo.

W wypracowaniu zatem należy określić oba te pojęcia, wykazać, jaka jest między nimi różnica i objaśnić, dla czego pierwsze uważane jest za zaletę i obowiązek każdego, a drugie za wadę.

Za najlepsze wypracowania przyznane będą nagrody w książkach, przy udzielaniu których Redakcyja będzie brała w rachubę nie tylko treść, lecz także jasność wykładu i czystość języka, oraz będzie miała na względzie wiek piszących. Prosimy, aby wypracowania pisane były samodzielnie, bez współdziałania i poprawek starszych.

Przy wypracowaniach podawać należy koniecznie: *imię, nazwisko, adres i wiek* piszącego.

Ostateczny termin nadsyłania tych prac oznacza się na 1-go czerwca r. b.

W OTCHŁANIACH MORSKICH

PRZEZ

Dr. M. Stefanowską.

(Dalszy ciąg).

Do poprzedniego gatunku podobnym jest gąbczak *Rossella* fig. 126 mająca igielki w postaci kopy. Godną jest również uwagi *Askonema* w kształcie ogromnego kapelusza filcowego (fig. 127). Razem ze wspomnianymi gąbkami szklistemi, żyje także wspaniała gąbka zwana *Korzonkowcem*, o którym już była mowa poprzednio, oraz wiele innych gąbczaków krzemionkowych.



Skrzydlaty uczeń.

W głębinach żyją rozmaite polipy, chociaż przyznać trzeba, że nie są one tam tak obfite, jak przy wybrzeżach. Delikatne gromady stulbii, tak liczne na pobrzeżnych skałach, szybko znikają w miarę wzrastania głębokości. Między 500 a 1000 metrami Talisman znalazł ich niewiele. Atoli niektóre gatunki stulbii zaaklimatyzowały się w wielkich głębinach i doszły do potwornych rozmiarów. Np. Challenger wydobyl z głębokości 5,300 metrów polipa (*Monocaulus*), którego łodyga miała dwa i pół metra długości, a na jej końcu, jak olbrzymia chryzantema, rozciągał się wieńiec macków, mający 20 centymetrów średnicy.

Godnem jest uwagi, iż w głębinach morskich polipy tracą zdolność do życia towarzyskiego. Wiemy już, że polipy pobrzeżne żyją najczęściej gromadami, zawierającymi setki i tysiące jednostek, zrosniętych z sobą. W głębinach natomiast przeważają polipy żyjące pojedynczo i swobodnie, t. j. nie osiedlają się na jednym miejscu, jak polipy pobrzeżne; zresztą nie mają do czego się przyczepić na mulistem dnie. Najpospolitszym gatunkiem pływających polipów gromadnych jest *Lophohelia prolifera* (fig. 128), rozpowszechniona w oceanie Atlantyckim, aż do tysiąca metrów głębokości.

W tymże oceanie pływają prześliczne fioletowe bukiety, osadzone na długiej łodydze; są to polipy *Ombellularia* (fig. 129), znajdujące na głębokości 2,500 metrów. Różne gatunki należące do rodziny gąsiołów, czyli korale wachlarzowate są również obfite w głębinach i rozlewają dokoła swe światło (podaliśmy wizerunki owych koralu na fig. 31).

Natomiast *tolpie*, zawsze gromadne u wybrzeży, żyją w głębinach pojedynczo i dochodzą niekiedy do ogromnych rozmiarów: miewają bowiem w średnicy wielkość talara. Niektóre z nich są w kształcie pucharu, jak *Thecopsammia* na fig. 130, inne w kształcie bączka, wachlarza, rogu obfitości, jak np. *Caryophyllia* na fig. 131. Dodać jeszcze należy, że *tolpie* w głębinach utraciły zdolność budowania raf, co jest właściwą ich cechą u wybrzeży. W ogóle korale nie wznoszą swych budowli poniżej 40 metrów głębokości i to jedynie w morzach ciepłych. Zimne i ciemne głębiny morskie nie sprzyjają ich architekturze. Talisman znajdował w Atlantyku *tolpie* żyjące pojedynczo i swobodnie aż do głębokości 2,500 metrów.

Nakoniec wydaje się prawdopodobnym, iż na dnie głębokich mórz żyją pewne gatunki medwy, mogące za pomocą swoich macków pęłzać po dnie. Challenger wydobyl osiemnaście gatunków medwy głębinowej.

(d. c. n.)

Skrzydlaty uczeń.

Niektóre ptaki z gatunku śpiewających posiadają tak muzykalny słuch, że można je wyuczyć różnych łatwych melodyjek.

Wie o tem doskonale młody Tyrolczyk, przedstawiony na rycinie, więc z wytrwałością wielką trzymając na ręku gila, pogwizduje jedną z najulubieńszych piosenek ludowych. Ptaszek wsłuchuje się uważnie, aż wreszcie zaczyna gwizdać to samo ku wielkiej radości chłopca, który niezawodnie znajdzie wkrótce chętnego nabywcę na tak wyuczonego ptaszka.

Wprawdzie mimo pojętności ucznia, nauczyciel uzbroić się musi w nadzwyczajną cierpliwość i nie zrażać się pierwszym niepowodzeniem, ale za to jakże mu miło będzie sprzedawszy ptaszka, oddać matce zarobione pieniądze na chleb, brak którego w biednej górskiej chacie, zbyt często niestety uczuwać się daje.

Zofia Kowerska

DZIELNY CHŁOPIEC.

(Dalszy ciąg.)

— A co, kto silniejszy? Teraz cię tu zwiążę, a sam przeszukam w sienniku i wszędzie! Zabiorę pieniądze i za to żeś głupi, to nic z nich nie dostaniesz, a jak słowo piśniesz przed panią Warbicką, to cię znowu zbije! Słyszysz?

Józik wciąż się bronił i nakoniec tak się zrobiło, że obadwaj chłopcy leżeli na ziemi drąc się za włosy i walcząc jak który mógł. Józikowi krew z nosa płynęła a Walek tak się zaciekł w złości, że zapominał chwilami o wszystkim innym, oprócz o swej zemście na Józiku.

Pokój był pełen krzyku sieroty, chrapliwego głosu Walka, a na podłodze walały się różne połamane sprzęty. Stary, już trochę podarty dywanik, z przed łóżka pani Warbickiej, leżał w strzępach, gdyż wśród walki podarty go okute buty Walka. Oprócz tego, Józik broniąc się, ściągnął ze stołu serwetę wraz z kałamarnicą, z którego atrament wylany obryzgał podłogę i nawet na twarzach leżących na podłodze chłopców, różnemi smugami się rysował. Mieszkanie pani Warbickiej, zwykle bardzo czyste i porządnie utrzymane, teraz przedstawiało widok największego nieładu.

Z każdą chwilą zwycięstwo przechylało się na stronę Walka. Józik bity, szarpany, a broniący się rozpaczliwie, coraz mniej miał sił. Zbladł, jakby wszystka krew z niego uszła, powieki mu się zamknęły, zemdlął.

Walek skoczył na równe nogi i rzucił się wprost do rozwidowania siennika pani Warbickiej. W zaciekleści swej przetrząsając siano szeleszczące, nie usłyszał, że drzwi się otworzyły i starszka stanęła w progu. Oniemiała i skamieniała z podziwu i strachu. Nie mogła kroku postąpić. Oczy jej szeroko otwarte wyrażały osłupienie, zbladła i zachwiała się. Przytomność odbiegła ją zupełnie.

Ale Bosa nie stracił przytomności ani na chwilę i weale się nie namyślał nad tem, co mu czynić wypadało. Jednym spojrzeniem objął położenie i choć przez mgnienie oka miał ochotę biedz na ratunek Józika, jednak chwycił się innego środka. Nagłym susem rzucił się na Walka. Miał go już w podejrzeniu od czasu kradzieży napaństwa i teraz zrozumiał, że trzeba było działać prędko i odważnie. Chwycił Walka za nogę w której utopił ostre, białe zęby, Walek krzyknął, ale z początku myślał, że to Józik wróciwszy do sił znowu rozpoczynał walkę, gdy jednak spostrzegł czarne kudły Bosego i spotkał się ze spojrzeniem przerażonych oczu pani Warbickiej, odwaga odstąpiła go nagle. Noga, w której tkwiły zęby Bosego, bolała go nie na żarty, Józik zaś z zemdlenia oczoucy znowu przed nim stanął wołając:

— Idź precz! Nie dotykaj tu niczego! Bosa trzymaj! Ja idę po policyanta!

Wtedy Walek uderzył w prośby:

— Wołaj psa, bo mi całkiem nogę poszarpie! Już niczego nie ruszę! Niech się pani nademną zmiłuje! Zle zrobiłem, ale już się poprawię, już będę uczciwym chłopcem!

Pani Warbicka zdołała nareszcie przemówić:

— Ten chłopiec oszalał! — zawołała. — Co ty tu robisz? Czemu rozrucasz moje łóżko?

— Przyszedłem — mówił Walek żałośnie — aż tu Józikowi niedobrze się zrobiło! Upadł zemdlony na ziemię i krew nosem mu buchnęła! Tak ja się bardzo przestraszyłem i zacząłem ślać łóżko, żeby Józika przenieść i położyć!

Józik tak był oburzony kłamstwem Walka, że aż oniemiał. Pani Warbicka zaś mówiła:

— Józik zemdlął? Ah, biedne dziecko! Nic się nie dziwię, że ty pocciwy chłopce straciłeś przytomność i zamiast słać łóżko, rozrzuciłeś je. I za twoją pocciwość jeszcze cię pies ukąsił! Chodź, zaraz ci nogę opatrzę! Zimnej wody! Zimnej wody coprędejl!

Walek jednak nie czekał na opatrunek. Obszarpany, z twarzą powalaną atramentem, kulejąc, wybiegł z pokoju, dostał się na schody i drapnął czempredzej do domu, gdzie Piotrowa przeraziła się jego widokiem. Rana zadana zębami Bوسةgo, bolała go nie na żarty, dostał gorączki i dziesięć dni przeleżał w łóżku.

Józik opowiedział pani Warbickiej całą przygodę.

— Bronilem co sił miałem, proszę pani — mówił — ale mię jakoś zamroczyło i już nie wiem co dalej było. Obudziłem się dopiero jak już Bosy trzymał Walka za nogę.

— Dopelnileś swego obowiązku, Józiku — odpowiedziała pani Warbicka, która chłopcu ręczniki umaczone w zimnej wodzie na głowie zmieniała. — Bronileś ile mogłeś! Dobry z siebie chłopiec! Ale tamten ladaco, to zobaczysz, że źle skończy! A cóż to za łotr! Cóż to za nieszczęśliwi rodzice co takie dziecko mają! Ach, lepiej dzieci nie mieć, niż mieć takiego syna! To już największa kara Boża! Pamiętaj Józiku, żebyś go więcej nie przyjmował! I nie mów z nim jak go spotkasz. Jakbyś go nie znał! Do takiego człowieka to i odzywać się nie trzeba! I złodziej i klancał! Jak to on wykręcił odrazu, żeś ty zemdlął, i że on ci ściele łóżko! I ja temu uwierzyłam! A ten nicdobrego pieniędzy szukał! Oj, chciałabym mieć pieniądze w sienniku, bo już resztkami gonię. Naigorsze drzewo w zimie! Drogie, że aż strach, a tu w tym pokoju ani się dopalili!

— Żebym ja mógł jaki zarobek sobie wynaleść! — rzekł Józik.

— Poczekaj, jeszcze jesteś dzieckiem i nie masz siły. Za jaki rok, to może już będziesz mógł pójść do terminu. Tymczasem się wprawiaj w czytaniu, pisaniu i rachunkach. Nauczę cię też trochę geografii.

— A co to geografia?

— Oj ty ciekawski, wszystkobyś chciał odrazu wiedzieć i wszystkiego odrazu chciałbyś się nauczyć. Poczekaj! Nie od razu Kraków zbudowany! Co dobrego to trzeba po troszeczkę!

Józik na wszystko dobrze uważał i wiedział, że pani Warbickiej coraz ciężej było z groszem. Czasem wyciągała z biurka małą szufladkę, z tej szufladki wyjmowała płócienny woreczek, z woreczka starą zieloną sakiewkę z dwoma stalowymi pierścionkami. Po kolei przeciągała pierścionki i wysypywała na stół srebrne i miedziane pieniądze. Składała je, liczyła i zapisywała. Potem z tej samej szufladki wyjmowała stary pugilares, związany starą, jakby zatłuszczoną tasiemką. W pugilarzesie leżało kilka, dobrze i gładko rozłożonych papierków, które staruszka przeglądała także. Po takim przeliczeniu pieniędzy, pani Warbicka zamyslała się sinutnie, czoło jej pokrywały jeszcze większe zmarszczki, niż zwykle, policzki jej stawały się coraz bledsze.

Pewnego razu po takim przeliczeniu swoich pieniędzy, staruszka ozwała się jakby do siebie:

— Myślałam, że mi tego do śmierci wystarczy, tymczasem Pan Bóg mię tak długo na tym świecie trzyma.

Józikowi okrutnie przykro się zrobiło. Że sypiał na sofce u pani Warbickiej, to jej tem wydatków nie przysparzał, ale przecie nie mało kosztowało to, co jadł. Staruszka powtarzała mu często:

— Jedz, moje dziecko, jedz, bo ci potrzeba rosnać, potrzeba ci sił nabierać..

Józik jadł, bo miał apetyt dobry, ale gdy się przekonał, że u pani Warbickiej widocznie krucho było z groszem, zaczął mniej jeść. Czasem był taki głodny, że, jak mu się zdawało, wołu by połknął, a mówił cieniutkim głosem:

— Dziękuję pani, już więcej jeść nie będę.

Rano jadł tylko połowę tego chleba co z początku, a wieczorem, gdy się kładł spać, bywał tak głodny, że mu się żołądek kurczył. Przemyślał ciągle o jakim zarobku. Poznajomil się ze stróżem tego domu w którym mieszkał, a także z jednym czeladnikiem od siodlarza i do nich na naradę chodził. Coby tu robić takiego, żeby choć kilka groszy dziennie zarobić. Choć na chleb!

— A cóż taki pędrak może robić? — mówił stróż — toć ty jeszcze za trzy grosze siły nie masz! Teraz i dorosłemu człowiekowi o zarobek trudno! Dawniej to takie chłopaki wołały: „piasku białego, wiślanego” a teraz to i piasku ludziom nie potrzeba. Wody też nie potrzeba! Każdy sobie kurek w kuchni otworzy i ma wody ile chce. Bieda na świecie!

— Ej, kto chce pracować, to se zawsze kawałek chleba znajdzie i nawet duży, nawet dobry kawałek chleba — ozwał się na to czeladnik od siodlarza — jeno nie trza hulać, nie trza pieniędzy na byle co tracić... Ja też małem dzieckiem zostałem sierotą bez ojca i matki a przecie nie zginałem, bo od roboty nie uciekałem.

— A cóż pan robił, jak pan był w moim wieku? — zapytał ciekawie Józik.

— Byłem chłopcem w cukierni. Roznosiłem kawę i herbatę. Czasem za uszy oberwałem, to prawda, ale mi już sobie uczciwie zarabiał.

Józikowi aż się twarz rozjaśniła. Myślał teraz tylko o tem, żeby się dostać do jakiej cukierni. Widział nieraz przechodząc takich chłopców, z białymi fartuszkami, uwijających się z tackami, na których stały dwa imbryczki, mała miseczka z cukrem i szklanka wody. Ach, żeby się to dostać do cukierni!

— A powiadam ci, ciastek byś się najadł! — powiedział mu czeladnik od siodlarza.

— A wolno tam jeść ciastka?

— Wolno, ale ci one prędko obrzydną. Ja od tego czasu com usługiwał w cukierni, to na żadne ciastko patrzeć nie mogę i już tak pewno będzie całe życie. Dziwno mi, że ludzie te obrzydliwości jedzą! Chleb razowy wiejski, to mi specał!

Józik sobie myślał:

— Mnie się tam ciastka nie sprzykrzą, a przynajmniej głodny nie będę. Juźci przecie ciastka smaczniejsze od chleba razowego!

Jak go głód dobrze ścisnął, to mu te ciastka aż pachniały, a w nocy mu się śniły.

Nic nie mówił pani Warbickiej, bo jej chciał zrobić niespodziankę, ale zaczął chodzić od cukierni do cukierni. Wszedłszy, zbliżał się nieśmiało do właściciela i mówił:

— Proszę pana, czy nie potrzeba tu chłopca do cukierni?

Serce mu biło w piersi jak młotem gdy to zapytanie czynił. Patrzył miłosiernie w oczy cukiernika, czekając na odpowiedź.

(d. c. n.)

URNA I ŁZAWNICA

KOMEDYJKA W 1-ym AKCIE.

(Dokończenie).

MICHAŁEK (*uśmiecha się głupkowato*).

KAROL. Przeniłem swoje siły, czuję, że noc całą nie spał. Pójdę trochę odpozczać, a potem będę kopał dalej. Ach! gdyby tak znaleźć urnę i łzawnicę, a widziałem tam skorpury. To istna Golkonda!

MICHAŁEK. O, to prawdę panicz powiedział, bo tam Kunda, nasza kucharka stare garnki wyrzuca.

WAŃDZIA (*na stronie*). Poczekaj Karolku, już my pomyślimy o tem, żebyś znalazł urnę i łzawnicę.

HELENKA. Idź, połóż się Karolu, śpij choćby do wieczora, prędzej doczekasz się rodziców.

KAROL. Dziękuję ci, Helenko, ale wstać muszę, bo pan Skulski wyjeżdża za dwa dni na wycieczkę naukową, a chciałbym mu wprzód jeszcze posłać swoje wykopaliska. (*wychodzi i wynosi ostrożnie kość*).

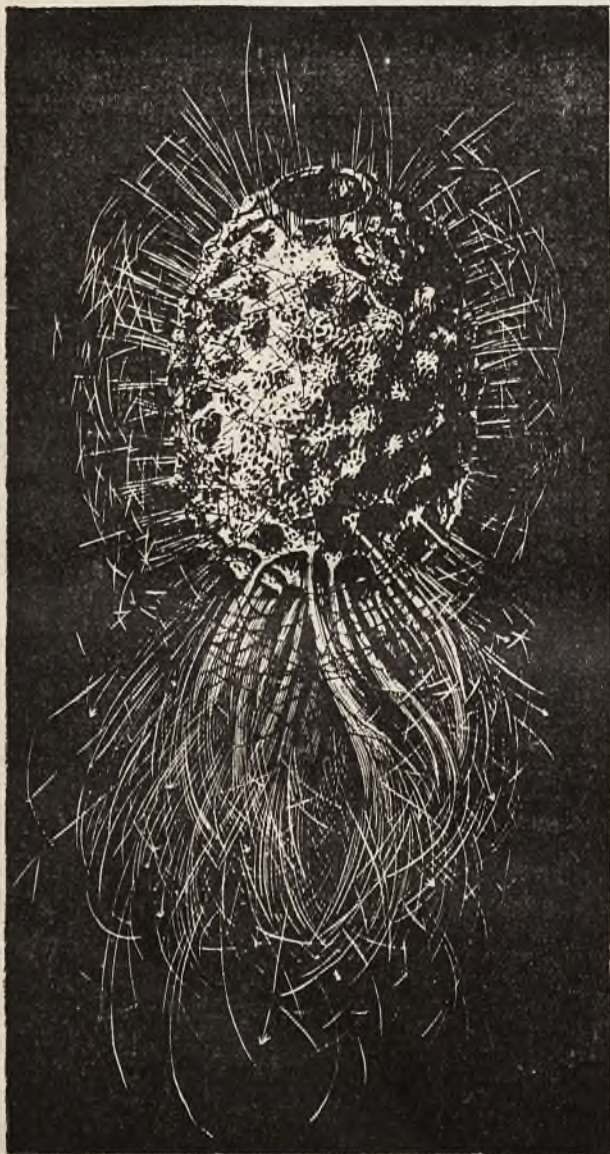


Fig. 126. Rosella velata. (Gąbka szklista, wiel. natur.)

HELENKA. Tylko nie zbyt złośliwy, Wandeczko

WAŃDZIA. Za łagodną jesteś, Helenko, ale nie bój się.

HELENKA. No, no ty figlarko! nie chcę już wiedzieć, co zamierzasz; wolę pójść dopilnować, żeby wszystko było w porządku na przyjazd rodziców.

SCENA VII.

WAŃDZIA (*sama*). Jaka ta Helenka jest dobra, w Zakopanem opiekowała się mną tak troskliwie, jak mamusia, a ja po chorobie byłam nieznośna, wiem o tem. Teraz bierze w opiekę Karola. Ona daleko lepsza odemnie (*zamyśla się*). Z czasem i ja się poprawię, lecz dzisiaj muszę mu splatać figla, (*do publiczności*), Darujcie, ale taka już moja natura (*uchyla drzwi i woła*): Michałek! Michałek!

SCENA VIII.

WAŃDZIA I MICHAŁEK.

WAŃDZIA. Idź prędko do szafarki i przynieś mi od niej dwie dzieżki, które kupiła na targu wczoraj, dużą i małą, rozumiesz?

MICHAŁEK. Cóż nie mam rozumieć, jak panienka gada, to odrazu zmiarkuję, ale panica to dokumentnie nie rozumiem.

WAŃDZIA. Oto właśnie chcę go nauczyć, aby mówił zrozumiale; biegnij i przynos dzieżki.



Fig. 127. Askonema (Gąbka szklista 1/8 wiel. natur.)

SCENA VI.

HELENKA. Michałku, czemu nie sprzątasz po śniadaniu i nie idziesz do roboty. (*Michał zabiera tacę, filiżanki i wychodzi*).

WAŃDZIA. Ja właśnie miałam posłać go w jednej sprawie.

HELENKA. Widziałam, że dawałaś mu znaki, i chcę cię prosić, abys tak lekceważąco nie traktowała Karola.

WAŃDZIA. Eh! ty zawsze jesteś za dobra.

HELENKA. A ty zbyt żywo sądzisz.

WAŃDZIA. Zatem dla twej miłości obiecuję być cierpliwą i wyrozumiałą, ale splatam Karolowi figla, to ostudzi jego zapal i pewnoś siebie. O! pyszny będzie figiel!

MICHAŁEK. Idę panienko i duchem psyniosę, bo stoją jesce na stole u safarki.

SCENA IX.

WAŃDZIA (*sama*). Chciał mieć urnę i łzawnicę, będzie je miał, tylko co w nie włożyć? (*ogląda się i chwryta czaprak, przy którym wisi kawałek płótna do owinięcia roboty*), włożę to płótno, Karol uwierzy, że w niem były popioły jakiego przedpotopowca (*rzuca czaprak i płótno na krzesło*).

MICHAŁEK (*wchodzi, niosąc w obu rękach okrągłe dzieżki gliniane, idzie ostrożnie bo w zębach trzyma śledzia za ogon. Stawia dzieżki na stole i pokazuje Wańczy śledzia, śmiejąc się przytem głupkowato*). Widzi panienka, co ja tu wskórałem

od szafarki na suche dni, bo my dziś jemy z olejem, proszę panią.

WĄNDZIA. Co za myśl! (*nagle do Michałka*), wiesz co, daruj mi tego śledzia, ja ci za to oddam mój podwieczorek, już wiem co zrobię, wyborna myśl.

MICHAŁEK. Ja panią bez wszystkiego oddam śledzia, panią taka dobra, ucy mnie cytać i dała mi..

WĄNDZIA. No, no, dość już tego, trzeba się nam spieszyć, (*chwytając dzieżki, do większej chce włożyć płótno, ale przez omyłkę kładzie płótno i czaprak, do mniejszej wrzuca śledzia*). Dopieroż zdziwi się Karol gdy to zobaczy. Będzie nam tłumaczył, że to ryba przedpotopowa; lecz przekona się sam, jaki jest dziecinny i jak mu jeszcze daleko do uczoneści (*do Michałka*). Gdzie kopaliście z paniczem?

MICHAŁEK. Zara za ogrodem, panic mi się pytał, czy tu kaj nie znajdują się kości, niby gnaty, panią wie, tak ja mu zekł, że tam za ogrodem psy wywłocą kości, to jak panic o kościach posłyszał, tak zara skoczył do dołu i kopać kazał.

WĄNDZIA (*wzruszona i zalekniona*). To może tam naprawdę kiedyś ludzi chowapo?

MICHAŁEK (*śmiejąc się*). Hi, hi, hi, a któżby ta ludzi



Fig. 128. Lophohelia prolifera (Gromada polipów).

WĄNDZIA. Słucham, co Karol robi, bo chciałabym, żeby jaknajprędzej poszedł do swoich poszukiwań archeologicznych i paleontologicznych.

HELENKA. Niepoprawna jesteś! ponoż mi lepiej podszywać czaprak tym płótnem.

WĄNDZIA. Chętnie, ale słyszę Karola.



Fig. 130. Thecopsammia socialis (2 1/2 razy powiększona).



Fig. 129. Polipy Orubellularis, z mórz północ.



Fig. 131. Caryophyllia borealis (2 razy powiększona).

chował, łońskiego roku wywłół tu pastuch krowę i wrzucił do dołu.

WĄNDZIA. Czemu nie powiedziałeś tego paniczowi?

MICHAŁEK (*wzruszając ramionami*). Gadałem, ale nie chciał nic słuchać.

WĄNDZIA (*do siebie*). Śledź go wyleczy z tego śmiesznego zacierzwienia (*do Michałka*), bierz te dzieżki i zakop w dole, gdzie znaleźliście kości.

MICHAŁEK. Oj to dobrze, bo panic ciągle się o skorupę dopominał.

WĄNDZIA (*do siebie, chodząc po pokoju*). Będzie miał skorupę! (*staje i słucha przy drzwiach Karola*). Ależ prędko się wyspał.

HELENKA (*wchodząc*). Co ty robisz?

SCENA XI.

Karol przechodzi przez scenę, trzymając kość zawiniętą w papier; ma minę rozspaną i ziewa).

HELENKA. Czemu już wstałeś? po nocy nieprzespanej trzeba było wypocząć dłużej.

KAROL (*ziewając*). Nie jestem wstanie spać, budzi mnie nadzieja zrobienia jakichś odkryć. Zresztą chcę koniecznie, aby ta kość dostała się dziś jeszcze do pana Skulskiego, sam odwiozę ją na stacyę, i zarazem powitam prędkiej rodziców.

HELENKA. Bardzo dobrze, ale i tak mogłeś wypocząć jeszcze z godzinę.

KAROL (*z powagą*). Poświęcę ją dalszym poszukiwaniom.

WAŃDZIA (*która wciąż złośliwie patrzy na Karola*). Posłałam już Michałka, aby kopał głębiej, gdyż są tam podobno jakieś garnki.

KAROL. Niebaczna! On gotów je potłuc, a to mogą być urny i łzawnice! (*wybiega z pośpiechem*).

SCENA XII.

HELENKA I WAŃDZIA.

HELENKA. Wańdziu! czy się to godzi?

WAŃDZIA. Dla czego ma się nie godzić, siostrzyczko?

HELENKA. Ośmieszasz brata, który ma szlachetne zamiłowania i cele.

WAŃDZIA. Ależ on taki śmieszny i napuszony, jak paw. Zdaje mu się, że jest przynajmniej równie mądry, jak pan Skulski, i wszystko umie. Więc się nie gniewaj, bo i ja mam cel szlachetny. Zresztą przyrzekam ci, że to będzie ostatnia moja psota, a za pokutę pomogę ci podszywać czaprak.

HELENKA (*rozglądając się po pokoju*). Właśnie go szukam, lecz ani czapraka, ani płótna, w które był zawinięty, nie widzę.

WAŃDZIA (*śmieje się na stronie*). Płótno wiem, gdzie schowane, ale ci nie powiem,

HELENKA. Ale czaprak, doprawdy, nie pojmuję, gdzie się mógł zarzucić.

WAŃDZIA. Przecież nikogo w pokoju nie było.

HELENKA. Nikogo nie było tylko Michałek (*zamyśla się*), czyżby on? tak niedawno służy, nie znamy go prawie.

WAŃDZIA. O, ja ręczę, że on się tego nie dopuścił.

HELENKA. Ja także lubię tego chłopaka, ale pamiętasz jak chwalił czaprak, i mówił, że w mieście toby za taki trzy ruble dali.

WAŃDZIA. Nie, to być nie może!

HELENKA (*szukając wciąż*). Jednak czapraka nigdzie niema.

SCENA XIII.

(*Wchodzi Karol, za nim Michałek, obaj idą krok za krokiem i niosą dzieżki, Karol uradowany. Michałek mruga porozumiewająco do Wańdzy*).

KAROL. Ostrożnie postaw na stole, (*stawiają, poczem Karol oddala się o dwa kroki i mówi z powagą*). O drogocenne naczynia, które zawieracie popioły wielkiego wojownika, cześć wam!

HELENKA (*z niezadowoleniem*). Ależ Karolu, toż to są dzieżki do mleka, z których widzę stłukliście już nawet większą.

KAROL. To ja sam nieostrożnie trąciłem rydlem. Wnętrze zasypała ziemia i przykryła prochy rycerza.

WAŃDZIA (*wybuchając śmiechem, Michałek także, tylko Helenka patrzy z żalem na rodzeństwo, Karol powoli odgarnia ziemię z dzieżki, aż wreszcie znajduje w niej płótno*).

KAROL. Cóż ja tu znajduję? kawał płótna? zapewne to prześcieradło, w które owinięto przed wiekami i włożyli rycerza (*wyciąga czaprak, wszyscy razem wykrzykują:*

Czaprak!)

HELENKA. Wańdziu, co to znaczy?

WAŃDZIA (*zawstydzona*). Widzę, że włożyłam go przez omyłkę, zamiast same płótno.

HELENKA. A ja przez ciebie posądziłam Michałka.

KAROL. Co znaczy ten czaprak w urnie? czy to żart ze mnie? a ja się tak cieszyłem, (*chwytając pośpiesznie drugą dzieżkę i wydobywa z niej śledzia*).

KAROL I HELENKA. Śledź!

WAŃDZIA. Tak braciszku, to śledź, a wszystko to jest moje dzieło, którym chciałam wyleczyć ciebie z lekceważenia wykształcenia i umysłu kobiecego. Lecz razem ukarałam siebie, bo widzę, że byłam niedobrą i złośliwą. Wybaczcie mi.

HELENKA. Zniszczyłaś czaprak, cały jest powalany ziemią.

MICHAŁEK. Niech się panienki nie turbują, ja go ślicznie wycyszę.

WAŃDZIA. Karolku, czy ty mi wybaczysz?

KAROL. Alboż mogę gniewać się na siostrzyczkę, zresztą należała mi się ta nauka; zbyt lekko sądziłem wasze wiadomości, a przytem dowiedziałem się od Michałka, że pracujecie bardzo pożytecznie, uczycie biedne dzieci, ubieracie je, krótko mówiąc, jesteście bardzo dobre.

WAŃDZIA (*zawstydzona ścisła brata*). To ty jesteś dobry Karolku (*słychać turkot za sceną*).

KAROL. Czas jechać po rodziców, jak się cieszę, że ich nareszcie zobaczę! (*wybiega razem z Wańdzią*).

HELENKA (*podnosząc kość rzuconą przez Karola*). Zapomniał dla rodziców o swych wykopaliskach, więc serdecznie ich kocha, a przytem kocha naukę! Daj Boże, aby został prawdziwym uczonym gdy naprawdę zmańdrzeje.

NIEDŹWIEDŹ

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

p. Zuzannę Morawską.

(Ciąg dalszy).

— Dla podtrzymania sił waszej królewskiej mości — szepnął starzec, zachęcając go do wypicia.

Zygmunt machinalnie wziął puhar i połknął nieco podanego sobie posiłku.

Wtedy biskup krakowski podał mu w lewą rękę jabłko złote, a prymas w prawą berło i ujawszy pod ręce, poprowadzili na tron, przygotowany w środku presbyteryum. Dwaj marszałkowie okryli go płaszczem purpurowym, gronostajami okładanym; młody król siadł z wielką powagą, a prymas w pięknej przemowie oddawał mu kraj cały i naród w opiekę. Mowę zaś tę w ten sposób zakończył:

— A jako miłosierdzie Boże czuwa tak samo nad moźnym, jako i najdrobniejszym tworem, a przedewszystkiem zaś w opiece swej ma wszystkie dziatki, ufamy więc temu miłosierdziu, iż młodociane twe serce najjaśniejszy panie, napelni powagą i wszelką ku spełnieniu obowiązków przynależnych monarsze, enotą. Miłuj więc naród, a naród miłować cię będzie, a tak we wspólnej miłości i prawdzie ku szczęściu go prowadź!

— Tak mi panie Boże dopomóż — rzekł z przejęciem Zygmunt.

Wtedy zabrzmiało przeciągłym, radosnym śpiewem „Te Deum laudamus” a prymas i biskupi powitali nowego króla trzykrotnym okrzykiem „Vivat rex Sigismundus Augustus.”

„Vivat rex!” — zabrzmiało w całym kościele, a głos ten podawany z ust do ust wybiegł za świątynię i przez cały lud zebrany na wzgórzu, u stóp jego i w przyległych ulicach, powtarzany przez wszystkie usta, brzmiał tysiącami okrzykami i niekłamana jakąś radością.

Tylko ten, na cześć którego okrzyk rozbrzmiewał, miał twarz smutną i znużoną, a żaden jaśniejszy uśmiech nie okolił jego dziecięcej twarzy.

To też gdy po całej uroczystości rozebrany z szat królewskich, znalazł się w rodzicielskiej komnacie, a ojciec zrzucawszy powagę i majestat monarszy, przygarbował jedynaka serdecznym uściskiem. Zygmunt zawołał:

— Ach, ojczy, ojczy, jak mi też straszno, jak smutno!

— Czego, synu mój ukochany!

— Boję się, boję tego królowania! i rozplakał się serdecznie łzami. Stary król pokiwał tylko głową, a ciężkimi westchnieniami wzniosła się jego pierś sędziwa i rzekł tuląc głowę syna:

— Ciężar to nie mały, dziecko moje, ale i zasługa wielka, a no tak trzeba było!

— Trzeba?... trzeba?... — powtarzał zamyślony młodzieńczyk, a potem rzekł nagle:

— Ależ ja rządzić nie umiem?

A ojciec mu na to, uśmiechając się smutno:

— To też ja, póki mi Bóg życia pozwoli, rządzić będę, a ty ucz się i gotuj do owych rządów, które kiedyś obejmiesz.

I nastąpiła chwila milczenia.

Ojciec trzymając na kolanach nowo-ukoronowanego, rozmyślał jakby go uchronić na przyszłość od trosk i kłopotów, a syn snać o zabawie z Niedźwiedziem i rówieśnikami, bo nagle zapytał:

— Tylko czy ja bawić się mogę tak jak dawniej?

— Baw się, baw mój synu, wszak i dzisiejszy dzień na zabawę przeznaczony.

— Ale ja takiej zabawy nie lubię, ja chciałbym się bawić z dziećmi...

— To też będziesz ich miał całe setki na zamku — odparł król, całując syna.

Obietnica ta rozweseliła młodego króla. Posiliwszy się więc i odpocząwszy po znużeniu porannem, z niecierpliwością oczekiwał, kiedy mu wolno będzie swobodnie się zabawić.

X.

Od chwili, gdy dzieci kasztelana zakroczyńskiego powróciły z zamku królewskiego, w całej rodzinie zapanował jakiś smutek i przygnębienie. Wiedziano bowiem, iż żądaniu królowej nie można odmawiać.

— Boże mój, Boże, ja mam oddać moje dziewczynki! — mówiła ze łzami w oczach pani Łucya.

— Postaramy się przedstawić królowej, iż nie życzymy sobie tego zaszczytu — pocieszał ją małżonek, chociaż sam niemniej był zafrasowany.

Jadwisia i Anusia we łzach tonęły; rozstanie się z rodzicami, przebywanie na dworze pod opieką krzykliwej sinioiry i okiem królowej, która tak jakoś dziwnie na nie patrzyła, napełniały je niewypowiedzianym smutkiem i przestachem.

— Tak się cieszyłam, że Kraków zobaczę, a teraz, a teraz!... — mówiła Jadwisia, zalewając się łzami.

— Wolałabym i zanku i królewicza nigdy nie widzieć! wtórowała Anusia.

Po chwili zaś rzekła:

— To i cóż, że królowa kazała nam pozostać, rodzice nie pozwolą, zabiorą nas na wieś i skończone!

Jadwisia kiwnęła tylko główką, bo to rozumowanie siostry wcale jej nie uspokoiło.

Z tem wszystkiem w dzień koronacji musiały iść na zamek, miały bowiem należeć do korowodu urządnego na cześć młodego króla.

Jakoż jeszcze przed zachodem słońca zebrało się w wielkiej dębowej sali kilkaset dzieci, które mistrz ceremonii Wielicki i Włoch Gwadoni, w właściwy sposób ustawiali; dopomagał im w tej pracy imci Sulpicyusz, którego sława pięknie urządnego obrazu na imiennym kasztelana zakroczyńskiego prędko się rozeszła i aż na dwór się dostała.

Z tej sławy kapelmistrza oboje kasztelaństwo byli bardzo zadowoleni; raz, że sprzyjali mu bardzo, powtóre, iż Sulpicyusz będąc wśród urządzających korowód, łącznie mógł dać oko na ich działość, zwłaszcza na dziewczynki, o które teraz rodzice drżeli, aby kapryśna a wielowładna królowa, nie kazała ich gwałtem na swym dworze zatrzymać, lub krzywdy jakiej czynić.

Tymczasem, gdy już cały korowód był przygotowany, drzwi się otworzyły i wszedł młody król z nieodstępny sobie ochmistrem. Jednocześnie w loży urządnego na krużganku okalającym komnatę, zasiedli oboje ichmóść królestwo, ażeby zdala przypatrywać się zabawie dzieci.

Przy królowej z nieodstępną siniorą siedziały królowny, trzynastoletnia Izabella i ośmioletnia Zofia, spoglądając z zazdrością na cały ten tłum dzieci, z którymi byłyby chętnie podzieliły zabawę.

Młodziutki król ujrzawszy tyle dzieci, zapomniał o swojej godności i klasnąwszy w dłonie zawołał:

— Raz się przynajmniej zabawię, a widzę, są tam chłopcy z Zakroczywia, jest Jadwisia i Anusia.

I chciał biedz ku nim, lecz ochmistrz go powstrzymał, mówiąc:

— Później, później, teraz nie można psuć porządku.

Potem szeptał mu coś na ucho, przytrzymując lekko za ramię.

Zygmunt zasępił się, a dziecięca jego twarzyczka miała wyraz smutku i nudy.

W miarę jednak, jak rozwijał się cały korowód dzieci, i różnobarwnym tłumem zabawiał oko, mały król znudzony swoją godnością, począł się ożywiać i uśmiechać.

Rzeczywiście, orszak ten godny był widzenia i nietylko oko i ucho młodzieńcyka, ale nawet dojrzałych osób mógł zabawić i ucieszyć.

Więc najprzód wysunęło się dziesięciu chłopców z jednej strony i tyleż dziewcząt z drugiej, a okrążając komnatę złożyli ukłon głęboki. Niosący zaś chorągiew ze znakiem swej ziemi, stanął po prawej ręce młodego króla, dziewczynki zaś z drugiej strony ofiarowały mu wyroby swej pracy. Więc pięknie szyte ręczniki, a także suszone owoce w misternie wyrabianych koszykach, które Kazik odbierał i składał na przygotowanym ku temu stole.

Tak przeciągały wszystkie ziemie, powiewając różnobarwnymi chorągiewkami z wyszytymi godłami. A więc ziemia poznańska, z orłem białym w czerwonym polu, jeno bez korony, bo koronę nosiła tylko ziemia krakowska, a ziemia wieluńska, godło: baranek biały na srebrnym polu, z czerwoną chorągiewką, ziemia kaliska z głową tura w koronie na szachownicy i wiele innych, które przesuwały się, powiewając jaskrawymi barwami. Do każdego z kłaniających Zygmunt się uśmiechnął i chociaż ze wszystkimi byłby się rad zapoznać i po swojemu zabawić, musiał jednak odpowiadać według wszelkiej etykiety, której ochmistrz go wyuczył i wykonania pilnował.

Kiedy jednak nadeignęły dzieci z ziemi zakroczymskiej i Jędrus trzymający chorągiew z godłem orła złotego, co na sercu miał Z wryto, skłonił się i chciał stanąć na swoim miejscu, Zygmunt zawołał:

— A czemuś do mnie dotychczas nie przyszedł?

Ochmistrz zrazu szepnął mu coś na ucho, a młody król wypowiedział znów swoje:

— Wdzięczny, bardzo wdzięczny wam jestem.

Wtem nadeignął korowód dziewcząt i Jadwisia wraz z Anusią skłoniwszy się według wyuczonego regulaminu, podały mu pięknie wyszyty czaprak. Prócz tego podały i pudełko ozdobione robionymi kwiatami, a napełnione pierniczkami, które mu tak w zakroczymskim zamku smakowały. Zygmunt bez ceremonii sięgnął ręką do pudełka, i chrupiąc pierniczek, zawołał:

— Ach, jak to dobrze, żeście przyniosły pierniczki, bo tante siniora zjadła! A właśnie jestem głodny.

I wziął drugi pierniczek, lecz zarazem przytrzymał Anusię, dodał:

— Siądź tutaj, siadźcie obiedwie!

Dziewczynki nie wiedziały co czynić, uczono je, żeby stanęły na wskazanym miejscu, co zawsze podczas prób czyniły, teraz królewicz przytrzymał je i kazał siadać przy sobie. Wybawił je z kłopotu ochmistrz, który szepnął coś na ucho znudzonemu zbyt długim siedzeniem królowi, a tymczasem

Kazik i przyboczni dwaj dworzanie odebrali przyniesione przez dziewczynki dary.

— Ach, dobrze, dobrze! — zawołał Zygmunt, i pochwyciwszy Anusię i Jadwisę za ręce, wybiegł z nimi na srodek komnaty.

W tej chwili także zabrzmiała muzyka trzykrotną fanfarą na znak, że korowód skończony. Powoli dźwięki przechodziły w jakieś skoczne odgłosy, lecz, wśród gwaru jaki się wszczął na środku komnaty, nikt wysiłków owej kapeli nie słuchał, ani też nawet zrozumieć ich nie mógł.

(d. c. n.)



POLOWANIE NA WEŻE.

Pewien podróżny, zwiedzając Afrykę północną, miał sposobność wzięcia udziału w polowaniu na węże jadowite. Polowanie to jednak nie miało wcale na celu tępienia tych niebezpiecznych płazów, jakby się każdemu z nas zdawało. Bynajmniej. Kabyłom miejscowym chodzi przeciwnie o ujęcie pewnej ilości węzów, które później oswajają i uczą rozmaitych sztuk. Ludność bowiem miejscowa bywa nader ciekawą tego rodzaju przedstawień i chętnie przygląda się, jak owe straszne stworzenia z dokładnością wykonywają rozmaite ruchy na rozkaz poskromiciela.

Objasnić musimy w tem miejscu, że przedstawienia te nie są tak bardzo niebezpieczne, gdyż pogromcy wyrwywają poprzednio węzowi dwa wielkie zęby, w których mieści się jad. Wąż więc może ugryść boleśnie, ale nie śmiertelnie. Trzeba tylko operację wyrwywania powtarzać od czasu do czasu, gdyż zęby te odrastają.

A teraz posłuchajmy opowiadania podróżnego.

Polowanie odbywa się w nocy, wśród gór, gdzie kryją się węże. Trzydziestu Kabyłów brało w niem udział. Zanim zaczęli oblawę, modlili się po swojemu, gestykułując. Wódz rozdzielił myśliwych na dwie partye.

W pierwszym rzędzie idą dwójkami właściwi łowcy. W każdej dwójce jeden człowiek ma kije w obu rękach, drugi zaś niesie w prawej ręce pochodnię, lewą obwija starannie fałdami burnusa.

W drugim rzędzie kroczą pomocnicy obladowani skórzanymi worami, w które zbierać będą zdobycz.

Sześciu muzykantów z fletami i bębnami zamyka pochód.

Zaledwie ruszyliśmy ścieżką wiodącą na szczyt góry, gdy muzykanci zaczęli grać bardzo hałaśliwie, lecz niemiłosiernie fałszywie. Wnet też i łowcy pochodniami zaczęli oświetlać zarośla i kijami je przetrząsać.

Od czasu do czasu ostry świst przerywał fałszywe granie; to wąż wyskakiwał z krzaków. Dreszcz mnie przechodził mimowoli, ale myśliwy z pochodnią ścigał spłoszonego węża, który rozdrażniony, rzucał się na wyciągniętą rękę,

obwiniętą w burnus. Zęby wzięły w fałdach grubej wełnianej materji, a drugi łowiec uderzał kijem po głowie gada.

To uderzenie obezwładniało węża, którego straszne zęby, po odwiezieniem szarpnięciu, pozostawały w burnusie. Zdobycz kładziono wtedy do skórzanego worka.

Wkrótce po rozpoczęciu polowania, przyłączyła się do orszaku osobliwa postać. Była to stara kobieta, od stóp do głów okryta błękitnym szalem, za nią szedł mały chłopak, niosąc w ręku skrzynkę. Kobieta miała brwi krzaczaste, małe, czarne i świdrujące oczy. Spiczasty nos pochylał się ku równie spiczastej brodzie, słowem istna czarownica z bajki!

Kobieta w milczeniu szła za nami.

Po kilku godzinach myśliwi zakończyli polowanie, bardzo pomyślne, jak mówili. Wtedy kobieta podeszła do wódza, znać ją musiał, bo kiwnął jej głową na przywitanie, poczem kazał pobierać z burnusów zahaczone o nie zęby.

Dowiedziałem się od towarzyszy, że nieznajoma skupuje zęby jadowitych węzów, ponieważ zajmuje się czarami, a owe zęby mają posiadać różne lecznicze i tajemnicze właściwości.

Myśliwi niechętnie patrzyli na czarownicę, bali się złego uroku, jaki, ich zdaniem, rzucić mogła.

Nagle usłyszeliśmy krzyk. Jakiś wąż niespodzianie wypełznął z krzaków i ukąsił w rękę jednego z myśliwych. Towarzysze natychmiast pospieszili z pomocą. Dwóch na zmianę wysysało ranę, inni zbierali zioła, które ugnietli i przyłożyli do rany. Ukąszony Arab z całym spokojem poddawał się leczeniu. Wiedział że jest skuteczne.

Czarownica tymczasem odeszła, a za nią posypały się ciche przekleństwa. Może to ona, jej zły urok wywołał z krzaków węża i kazał mu ukąsić jednego z myśliwych, szeptali pod nosem.

— A teraz w drogę! — zawołał wódz i cała gromada ruszyła w stronę wioski, zamieszkałej głównie przez tak zwanych czarodziejów, którzy umieją nietylko oswajać węże, lecz uczą je różnych sztuk.

Węże są bardzo czułe na muzykę, lecz tylko łagodną, tańczą przy dźwiękach fletów, wykrecając na wszystkie strony giętkie swe ciało; na rozkaz czarodzieja otaczają go pierścieniem w pasie lub naokoło szyi, lub wreszcie układają mu się na głowie w kształcie turbanu, na którym wydłużona wężowa głowa tworzy rodzaj ruchliwej kity.

Przedstawienia z węzami ściągają licznych widzów, którzy żywią wielką cześć dla pogromców, polowania zaś na węże ułatwiły uczonym zoologom europejskim poznanie i zbadanie wielu niebezpiecznych gatunków tych płazów.

W Indyach, przy ujściach rzeki Gangesu, połów węży odbywa się w inny sposób, a ma na celu zaopatrywanie menażeryj i muzeów europejskich. Na wielkich przestrzeniach zapalają Indusi trawy, a wystraszone płazy, uciekając przed ogniem, wpadają w zastawione sieci. Następnie przywiązują węże do grubych kijów bambusowych, lub też zamykają do skrzyń i odsyłają do Europy.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TRĘŚĆ: Konkurs na wypracowanie. — W otchłaniach morskich przez dr. M. Stefanowską (z ryc.) — Nauka gwizdania (z ryc.) — Dzielny chłopiec przez Zofię Kowerską. — Urna i Izawnica, komedyjka w jednym akcie. — Niedźwiedź, powieść z XVI w. przez Zuzannę Morawską. — Polowanie na węże. — Dodatek: Wilk i żóraw (z ryc.) — Samochwalska, wiersz przez Ludwikę Życką — Skarb Antosia. — Królowa peziomek i paproci, bajka czarodziejska przez Wacława Sulimę. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

WIECZORY RODZINNE



WILK I ŻORAW.

(BAJKA).

Wyglodniały wilk uraczył się pieczenią znaną na drodze; była to resztką wołu, którym już się raczyli jego współbracia. Jedząc pospiesznie, połknął przez nieuwagę kość, która stanęła mu w gardle i dławić zaczęła.

Przerażony spojrzał do koła, czy mu kto nie pospieszy na ratunek, ale zwierzęta, które przechodziły tamtędy uciekały od niego z przestachem i niebyło nikogo na pustym gościńcu. Tylko na łące w oddali przechadzał się młody żóraw, elegant w cylindrze na głowie i ładnej fularowej krawatce na szyi.

— Panie żórawiu, zawołał wilk ochryłym głosem, masz dziób tak długi, że z łatwością sięgniesz mi do głębi gardła, poratuj kumie wydobądź kość, co tam uwięzła.

Żóraw nie bał się wilka, wiedząc że ten dopiero co ukończył obiad, pospieszył więc i wsadziwszy bardzo zręcznie dziób w gardło drapieżnika, uwolnił go od dławiącej kości. Nie pamiętał wszakże, że za dobry uczynek

nie należy szukać zapłaty, bo wtedy traci się całą zasługę. Czemu prędzej więc umaczawszy dziób w podróżnym kałamarnu, który znalazł na łące wraz ze zwitkiem papieru, zgubiony przez uczonego przyrodnika spisującego swe podróżne spostrzeżenia, napisał rachunek za dokonaną szczęśliwie operację i przedstawił go wilkowi.

Ale wilk nie należy do stworzeń wdzięcznych, więc obruszył się tylko groźnie i wyrzekł:

— Ciesz się, że gdy miałem głowę twoją w mojej paszczy nie odgryzłem jej — i poszedł dalej.

Zawstydzony żóraw, pozostawszy sam, począł rozmyślać, że wilk okazał się wprawdzie szkaradnym niewdzięcznikiem, lecz i on sam godzien był również nagany, żądając zapłaty za to, co w nagłej potrzebie powinien był uczynić bliźnemu z dobrego serca.

Samochwalska.

Ja — to wszystko robię ładnie!
 Umieję lekcye doskonałe;
 Gdy coś zagrać mi wypadnie
 Omyłki nie zrobię wcale.

I na kanwie już haftuję,
 Piszę ładnie, równo, gładko!
 Ja wszystko łatwo pojmuje
 Dla mnie nic nie jest zagadką.

I w zabawie jestem zręczna,
 Że mi trudno kto dorówna!
 Bo ja jestem taka wdzięczna
 Taka zdolna, miła, mówna...

— Cicho, cicho! — przerwie mama,
 Otóż w tem nieszczęście całe
 Że się cenisz zawsze sama,
 Sama głosisz swą pochwałę.

Kto się chwali, jest nieznośny,
 Pychą niszczy swe zalety,
 Wiesz, dla czego dzwon jest głośny?
 Pusty wewnątrz jest niestety.

Ludwika Życka.

SKARB ANTOSIA.

Antoś był właścicielem skarbu: istotnego skarbu, który przynosił mu więcej pociechy i radości, niż niejednemu bogaczowi miliony.

Antoś był więc bogatszy od niejednego z bogaczy — a czy na właściciela skarbu nie wygląda? Spodenki ma w kratkę, ze starej, matczynej spódnicy, w nich dwie kieszenie, w które może ręce zakładać nie gorzej, jak pan organista — nogi ma bose, ale to nie jego państwu nie ubliża, bo na głowie ma za to żołnierską czapkę! Prawdziwą żołnierską czapkę, którą tatulo z miasta przynieśli, kiedy przed trzema laty z wojska wrócili! Inne chłopaki okrutnie tej czapki zazdrościli Antkowi; duży Szymek chciał mu ją raz nawet ściągnąć z głowy i śmignąć z nią w pole, ale Antoś, choć mały, drwił ze siebie nie da; tak zręcznie podstawił mu nogę, że ten upadł jak długi, a wszyscy chłopcy Antka „generałem” okrzyknęli, za to, że taki sprawny!

Ale ten skarb Antosia, to nawet jeszcze nie czapka żołnierska! posłuchajcie tylko jak to z tem było. W lipcowe przedpołudnie stał sobie raz Antoś pod płotem i dumiał o swoim generalstwie i o Szymku, że nie taki on mocny jak się widzi, tylko trzeba z nira umieć poczynać... i o tem jak słoneczko ładnie przyświeca, i jak to z niem wesoło. Żeby tylko matuś rychło z pola wrócili, uwarzyć co na wieczrę, bo na południe miał Antoś tylko kilka zimnych kartofli z wczorajszego jeszcze gotowania, to człowiek, chociaż w czapce żołnierskiej, siłę może stracić jak sobie dobrze nie podje! Juści matuś raz na dzień

tylko gotują, bo to przednówek, ale żeby tak gotowali dwa razy, toby lepiej było...

Te głębokie rozmyślenia przerwał turkot jadącej bryczki i jakiś wesoły głos, który wołał z tamtej strony kołowrotu, zamykającego drogę do wsi:

— Hej, ty tam, generale! a obróć-no kołowrót, żebyśmy przejechali!

Antoś usłużnie poskoczył, otworzył kołowrót, a widząc bryczkę pełną studenckich mundurków, roześmiał się do nich wesoło i zapytał:

— A jak panicze odrazu odgadli, że ja generał?

— Ho, ho! dosyć przecie popatrzeć na ciebie! — zawołał jeden.

— Może jeszcze i feldmarszałkiem kiedy będziesz — dodał drugi, a trzeci wydobył sakiewkę i grzecznie kłaniającemu się Antosiowi, wrzucił dziesiątaka w żołnierską czapkę, mówiąc:

— Masz tu na obwarzanka, generale! a nie zapomnij o nas, jak kiedyś będziemy prostymi żołnierzami!

Śmiejąc się, młodzież pojechała dalej, a Antoś stał oszołomiony swoim szczęściem. Dziesiątak i to nowiutki, świecący pod słońce, jak srebro! Tyle pieniędzy Antek jak żyje nie miał dla siebie! Toż to cały kram zakupić można na jarmarku, który za dwie niedziele wypadł w sąsiednim miasteczku. Antek wobec swego bogactwa zapomniał o głodzie i o kartoflach i o generalstwie — usiadł sobie na przyźbie, nad rowem, i zaczął rozliczać, co to on za tego dziesiątaka dostanie: Więc przedewszystkiem kozik, taki śliczny nożyk składany, oprawny w drzewo czerwono malowane, bo i cóż to za chłopiec bez kozika? Ani to kijka zastrugać, ani sobie z wierzby wyciąć ligawkę, a Antek dotąd przecie swego nie miał, tylko widział jak inni chłopcy miewali... ale teraz już będzie inaczej! Potem... możeby i obwarzanka kupić... Dobrze ten panicz mówił co dał dziesiątaka! Obwarzanek smaczny, złocisty zapachniał teraz Antosiowi, jakby go do ust podnosił. Tak z pewnością kupi obwarzanek... dla siebie i dla matuli! bo matuś także zjadłaby go ze smakiem! A za resztę, to już Antoś kupi sobie obrazek święcony i rysik do tabliczki, co się to o niego pan nauczyciel już od tygodnia w szkole gniewa, że Antoś liter nie pisze, a jak ma pisać, kiedy matula grosza na rysik nie dadzą, bo na sól nie mają! Tak! kupi sobie nawet dwa rysiki, bo jeden łatwo się złamie, a za resztę, to już tylko takiego z gliny kogutka do gwizdania... chybaby jeszcze buty!...

Wyrachowawszy sobie tak wszystko, co za swego dziesiątaka mieć może, Antoś czuł się tak szczęśliwy, tak bogaty, jakby doprawdy już był posiadaczem tych wszystkich upragnionych rzeczy!

Zerwał się zaraz i pobiegł do chłopców pasących gęsi i cielęta na błoniu, aby im o swoim szczęściu opowiedzieć. Duży Szymek był tutaj także i przysłuchując się ciekawie opowieści, jak to panicze jechali, jak to jeden z nich zawołał: „Hej, ty tam generale! wreszcie jakich Antoś różności na jarmarku nakupi, spoglądał wciąż na błyszczący dziesiątak w dłoni Antosia. Ten zauważył te spojrzenia i chcąc podrażnić pokonanego przeciwnika, zawołał:

— A możebyś sobie wziął dziesiątaczka?... No Szymek, naści! spróbuj! dam ci, weź go tylko! — to mówią

Antek już się zerwał i ufny w zwinność nóg swoich, śmiejąc się zaczął uciekać.

(d. n.)

KRÓLOWA POZIOMEK I PAPROCI.

BAJKA CZARODZIEJSKA

przez Wacława Sulimę.

(Dalszy ciąg)

— Dziękuję, dziękuję — zawołała królowa i miała pobiedz do nich, kiedy spostrzegła Halinkę, która stała ciągle zapatrzona i zasłuchana.

— Kto jest ta dziewczynka? — spytała.

— Nie wiemy, królowo, — odpowiedziała jedna z większych poziomek — była ona już tutaj wczoraj, przybiegła za sarenką i razem prawie z nią odeszła.

Leśna królowa zwróciła się do Halinki:

— Kto jesteś dziewczeczko i czego sobie życzysz?

— Ja — odparła Halinka — zbierałam wczoraj poziomki i za sarenką przyszłam tutaj; widziałam mnóstwo poziomek, ale ich nie rwałam, bo mój dzban był pełen. Dziś trzeba mi było poziomek, więc przyszłam. Ale nagle poziomki zaczęły tańczyć, pani przyjechała na sarence i już nic nie wiem co się dzieje.

— Jestem królową Poziomek i Paproci. O wschodzie i zachodzie słońca przejeżdżam tędy na sarence, a moje poddane witają mnie zwykle tańcami i śpiewem, jeżeli potrzeba ci poziomek, to nie mogłaś lepiej trafić. Daj twój dzban, wnet będzie napełniony.

Halinka podała dzban, wszystkie małeńkie istotki zatrzepotały się, rozbiegły i z pomiędzy krzewów paproci tworzących namioty, takie mnóstwo przyniosły ślicznych jagódek, że dzban napełnił się znowu po brzegi.

— Czy to już dosyć? — zapytała królowa z uśmiechem.

— O dosyć! — wykrzyknęła uradowana Halinka — więcej bym nawet unieść nie mogła, bo dzban bardzo ciężki.

— Daleko stąd mieszkasz?

— W chacie leśnika Jana.

— W tę stronę idą dwie dziewczynki z dwojaczkami pełnymi poziomek.

— A to pewnie Elżbietka i Jagusia z mojami poziomkami.

— Jakto twojemi?

Halinka opowiedziała o swojej przygodzie, a królowa rzekła:

— Postępek ich rzeczywiście bardzo jest brzydki i zasługuje na karę. Weźże twój dzban i siadaj na moją sarenkę, doprowadzi cię ona do spróchniałego dębu, za którym spotkasz się z niemi. Trzymaj w ręku te oto cztery poziomki i nieznacznie rzuć po jednej każdej w ich dzbanuszki. A jeśli ci będzie kiedy potrzeba poziomek, to przychodź prosto do nas, dostarczymy ci ich, wiele zechcesz. Do widzenia dziewczeczko!

Halinka usiadła na sarence, która pomknęła szybko naprzód. Dojechawszy do spróchniałego dębu, dziew-

czynka zeskoczyła, pożegnała ją i zaraz przy pierwszych zaroślach spotkała obie siostry, które na jej widok zmieszaly się bardzo widocznie.

— Skądżeś się tutaj wzięła, Halinko? — spytała zdziwiona Jagusia, ale Elżbietka odpowiedziała za nią:

— Nic dziwnego, że już nadeszła; nie budziłyśmy cię, Halinko, bo chciałyśmy wolno idąc, zbierać poziomki po drodze. Długo szukamy, ale tym razem powiodło nam się, mamy pełne dwojaczki.

Kłamstwo to oburzyło Halinkę, więc niby przyglądając się dwojaczkom, wrzuciła nieznacznie w każdy po jednej poziomce, którą miała w ręku, a głośno rzekła:

— Winszuję wam, a zawsze to miło patrzeć na swoją pracę.

— Aleśmy się też zmęczyły — rzekła Jagusia — aż mnie plecy bołą od schylania się.

— I mnie także — dorzuciła Elżbietka, mrugając na siostrę.

— Jakie one fałszywe! — myślała ze wstrętem Halinka.

Do chatki było już niedaleko. Rodzice i Janek siedzieli przy śniadaniu i głośnym wykrzyknikiem przywitani dzieci.

— Gdzieżeście byli? — rzekła leśniczyna — mówiłam, żebyście wcześniej wracały.

— Burza nas zaskoczyła w lesie, ciociu — odpowiedziała Halinka — schroniłyśmy się do pasterskiego szałasu i tam przespałyśmy noc całą.

— Domyślałem się tego — rzekł leśnik. — Szop i szałasów jest kilka w lesie, dla tego nie chciałem, żeby Janek wyszedł was szukać na taki czas, zresztą nie daleko by zaszedł.

— A cóż, dużo macie poziomek?

— Pełne dzbanki.

— Pokażcie.

Halinka pierwsza odbryła swój dzban. Na widok przeslicznych jagódek, którymi był napełniony, Jagusia wykrzyknęła nieostrożnie:

— A skąd ona ma te poziomki?

Aż jej Elżbietka spiesznie usta zamknęła.

— Dajcie nam trochę pokosztować waszego zbioru, rzekł leśnik.

Halinka usypała sporo na miseczkę i podała wujowi.

— Wyśmienite, doskonale — mówił stary leśnik — jakież soczyste i słodkie.

Elżbietka podała trochę poziomek matce, ale ta ledwie skosztowawszy, wykrzyknęła:

— Gdzieżeś ty zbierała te poziomki? gorzkie jak piołun, w usta wziąć nie można!

— A Jagusi kwaśne jak ocet i pleśnią trącą — rzekł Janek, który sięgnął do dzbanuszki młodszej siostry.

— To nie może być! — wykrzyknęły przestraszone dziewczynki — przecież zbierałyśmy je w lesie tym samym gdzie Halinka, więc muszą być świeże i dobre.

Ale spróbawwszy, same przyznały, że owoc jest nie do użytku.

— To nie nie szkodzi — rzekła wreszcie Elżbietka — na pozor ładnie wyglądają, a nikt kupując nie kosztuje poziomek z dzbanka.

(d. c. n.)

ZAGADKA.

Nie dopatrzysz mię okiem, nie ujmiesz mię dłonią,
Nie poczujesz mnie smakiem, nie zdradzę się wonią.
Jednak jestem przy tobie stale, nieprzerwanie,
I ruchem ciała niebieskich mierzysz moje trwanie.
Kto mnie ceni, z dniem każdym nowe skarby garnie.
W otchłani rzuca sam złoto, kto mię traci marnie,
Wszystko, co jest na ziemi moja władza kruszy...
Jeżeli umiesz myśleć, odgadniesz mię w duszy.

LAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

przez A. W.

Pierwszy wiersz oraz pierwsze
litery złożony mają imię znako-
mitego wodza ateńskiego. 2-gi
wiersz: Miasto w Tyrolu. 3) Szczyt
w Tatrach. 4) Królestwo pod zwierzchnictwem Austrii. 5) Dopływ Sekwany.
6) Rzeka w Syberii. 7) Drzewo. 8) Wykrzyknik.
9) Spółgłoska.

LAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

przez Jodelkę.

1) Ułożyć 5 wyrazów, aby litery oznaczone
liczbami, utworzyły nazwę wyspy na
morzu Śródziemnem. 1) Ryba wód słodkich.
2) Dopływ Dunaju. 3) Narzędzie
używane w żniwa. 4) Imię żeńskie.
5) Przylądek w półn. Afryce.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 15.

Szarady: Po — ko — ra.

Lamigłówniki liczbowej:

23	16	8	3
11	25	14	0
6	5	19	20
10	4	9	27

Krzyża magicznego:

W	M
	i
	a
W	i
	e
	d
	e
M	a
	d
	r
	y
	t
	e
	y
	ń
	t

Skrzynka do listów.

Poznajemy już pismo Aleksandra W. na kopercie, którą rozdzieramy skwapliwie, wiedząc, że list ciekawy zawiera. I dotąd ani razu nie spotkał nas zawód, dla tego też dalszego ciągu opisu

podróży twej po kraju wyglądamy z niecierpliwością, a dzisiaj dla braku miejsca odpowiedzi przedłużyć nie możemy.

Jerzy S. z Bogusławek mylnie sądzi, że o nagrodę z kaligrafii ubiegać się nie może. Redakcja przecież po otrzymaniu twego listu przeciwnego jest zdania, twierdząc, że stosunkowo do swego wieku, piszesz porządnie i starannie, radzimy ci też szczerze byś się pospieszył i przysłał nam próbę swego pisma, a konkurs rozstrzygnie czy zasługujesz na nagrodę. Prośbę twoją chętnie chcielibyśmy spełnić.

Do grona stałych korespondentów, każdego z miłych naszych czytelników chętnie zaliczamy i tobie Sokole z przyjemnością odpisywać będziemy, jeśli zechcesz odzywać się do nas w przyszłości. Wierszyk nie nadaje się do druku.

Niejasno prosisz nas Koralu morski o wysłanie zaginionego dodatku, bo nie wiadomo czy chcesz arkusz 12, który ci posyłałyśmy? W numerze 12 był już 14 arkusz, Jurasia i Anulki. Bardzo jesteśmy radzi, że cię ta powieść tak zajmuje. Za wysłanie zaginionego numeru nie pobieramy osobnej opłaty od stałych prenumeratorów.

Prośbę Irenki J. już spełniliśmy, ale na raz przysły nie zapomnij dołączyć adresu, o który zawsze prosimy.

Za życzenia i miły liścik Pilnego czytelnika dziękujemy. Osobnej odbitki: *Otchłani morskich*, oddzielnie z roku zeszłego nie mamy, są tylko całe roczniki Pisma w sprawie. Praca ta przecież po ukończeniu jej w Wieczorach, wyjdzie w księżce.

Dobre roswiązania przysłali: Gwiazdka z Zagórzeń, Stasiek W. Adolf W., Mieczysław U., Słoń z Nubii, który nadesłał też arytmogryf własnego układu.

Zaspokoilibym chętnie twoją ciekawość Zabko z nad Rosi, gdybym tylko mogła, ale choć jesteś bardzo młodzieńką, rozumiesz przecie, że danego słowa łamać nie można. Wobec redakcyi zobowiązałam się nie wydawać mego nazwiska, danego przyrzeczenia dotrzymać muszę. Proszę jednak, chociaż żądaniu twemu zadość uczynić nie mogę, by odpowiedź odmowna nie zniechęcała cię do mnie, ani do korespondencyi ze mną. Lamigłównik odesłałam do redakcyi wraz z arytmografem Orła czubatego, czy będą przyjęte do druku, nie wiem, bo sąd o tem nie do mnie należy.

Z jakimże zajęciem i z jaką wdzięcznością otrzymałam dowód twej pamięci Konwalijko z nad Kubani w postaci tak ciekawie napisanego listu. A czytając, żałowałam, że z innymi korespondentami memi nie mogę się podzielić zajmującymi opisami, któremi mnie obdarzyłaś, pomyślałam sobie, że gdyby redakcyja chciała pozwolić... ale sza, pisać jeszcze o tem nie mogę, bo to tylko taka moja myśl przelotna. Z Krakowa do Warszawy zawsze przez Częstochowę jechać trzeba. W Częstochowie największe odpusta odbywają się na Zielone Świątki, na święta Matki Boskiej w dniu 15 sierpnia i 8 września, i wtedy schodzą się tam najliczniejsze pielgrzymki z różnych stron kraju, a nawet z zagranicy.

Czarnuszka i Bielasek przysłali dobre rozwiązania lamigłównik. Zgadzałam się chętnie byście na moje ręce przysyłałi szarady lub lamigłówniki własnego układu i pośredniczyć będę, aby przyjęte zostały.

Dobrze zrobiłaś Stokrotko z Sobolówki, że zapragnęłaś zostać moją korespondentką, mile powitałam twój pierwszy liścik, a spodziewam się, że na następne długo czekać nie każesz. Rozwiązanie lamigłówniki dobre. Równie przyjemnie było mi powitać Różę czerwoną, obdarzającą mnie po raz pierwszy tak starannie pisany listem. Przykro tylko, że nie mogę zadość uczynić jej prośbie i wysłać natychmiast żądany dodatek dla braku adresu.

Konopka do konkursu kaligraficznego należyć może, nie ubiegając się jednak o nagrodę, bo te tylko do lat 10 przyznawane będą. Opóźnienie w odbiorze Wieczorów zależy nie od redakcyi, a tylko od poczty, więc my nic na to zaradzić nie możemy. Jaki numer „Jurasia i Anulki” jest ci potrzebny? Za pozdrowienia przysłane dla mnie przez Stefcję K. z R. dziękuję, lecz mam nadzieję, że wkrótce sama wprost do mnie napisać zechce.

Jaskółka.

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



DO JASKÓŁKI.

Jaskółeczko, znów słoneczko
Tu przyzywa cię!
Wracaj do nas kochaneczko,
Rozwiń skrzydła swe!

Oj ptaszyno sercu miła,
Szybki jest twój lot,
Skieruj tutaj, kędyś była,
Twych skrzydełek zwrot!

W twe ojczyście, piękne strony
Wróc nam spieszenie, wróc
Kraj już pięknie umajony
Więc obczyznę rzuc!

Leć nad smugą! niezadługo
Ubarwi ją kwiat;
Wleć pod strzechę i pociechę
Wnieś do naszych chat!

Jaskółeczko, zleń gniazdeczko
Nad okienkiem tuż!
Będziesz miała, ptaszko mała,
Dach od wiatrów, burz.

Potem wzleć i nad rzeczulką
Muskaj wodną toń!
Wyżej, niżej, wprost i w kółko
Ze szczebiotem goń!

Spiesz za słońcem odchodzącem,
Wracaj, raduj nas!
Zwiastuj wiosnę w nieskończony
Ziemskich wieków czas!

Jak ptaszyna wędrująca,
Dusza nasza mknie!
Leci, wzbija się do słońca,
Kędy wieczne dnie.

I gdy świat ten ma porzucić,
W górny dążąc kraj,
Nie powróci! nie chce wrócić!
Bo tam blask! tam raj!..

E. L.



— No, kiedy umiesz robić figle to dobrze. Kto umie robić figle, to może nie umieć robić kufarów podróżyuch ani wolocypedów!

Józikowi wesoły ten student ogromnie się podobał. Jakoś się go już nie bał i powiedział wesoło:

— Umieć słać łózko, umieć zamiatać...

— O ho, ho, ale ty umiesz podsłuchiwać ty dzieciaku jakiś!

— Cóż ja poradzę, proszę pana, że nie jestem głuchy!

— O, i odcinać się umiesz! A lubisz jak cię za uszy drą?

— Nie lubię, ale jakbym na to zasłużył, tobym i ściępał.

— To masz u mnie służbę, jeżeli jeszcze umiesz dziury w ubraniu i bieliźnie łątać i skarpetki cerować.

Józik pomyślał chwilę.

— Tego nie umiem, proszę pana, ale... ale... może się nauczę!

— Byle cera przez ciebie w skarpetce zrobiona nie była grubsza niż orzech włoski przecięty na dwoje...

— O, takie, to ja i bez nauki potrafię! — zawołał Józik.

— Dobrze! Podobasz mi się! No, a teraz ci wyliczę twoje obowiązki. Masz przyjść codzień o siódmej rano, wyczyścić i naprawić ubranie, wyczyścić buty, umyć w wodzie z mydłem kołnierzyki gumowe i mankiety a potem o siódmej umaczać kropidło w jak najzimniejszej wodzie i kropić mię po twarzy dopóki nie wstanę. Ja wtedy jestem strasznie zły, zakrywam twarz kołdrą, biję, za drzwi wyrzucam, ale na to wszystko musisz nie uważać i póty kropić, aż póki się nie zacznę ubierać.

— O, to jak najlepiej potrafię! — rzekł Józik.

— Ze mną stoi jeszcze dwóch kolegów, którym też służyć będziesz.

— Dobrze, proszę pana.

Gdy wyjdziemy, posprzątasz w pokoju, poukładasz wszystko, a wieczorem jeszcze zajrzysz i dowiesz się czy nam czego nie potrzeba. Za to otrzymasz co nam się będzie podobało. Jednego miesiąca możesz dostać więcej, innego mniej.

— Ja wiem, że mię panowie nie skrzywdzą. Gdzie jest to mieszkanie? Możebym poszedł tam zaraz łózko posłać i posprzątać...

— A czy ty czasem z mieszkania nie wynosisz czego?

Józik pomyślał chwilę co to znaczyć miało i odrzekł:

— Wyniosę śmiecie i brudną wodę...

— Niewiele co więcej byś też u nas znalazł. Mieszkanie przy ulicy Wilczej Nr. 17. Pokój na poddaszu. Klucz leży u góry na oddrzwiach, mieszkanie 11-ste.

Józik pocałował swego nowego pana w rękę i odszedł kilka kroków, gdy ten zawołał:

— A kłaniaj się odemnie pani Warbickiej.

Józik się obejrzał i spostrzegł, że student wstał i pięknie mu się zdaleka kłaniał.

Chłopiec nie wiedział czy to żarty czy prawda. Może rzeczywiście ten młody panicz znał panią Warbicką? Józik poszedł na ulicę Wilczą, znalazł mieszkanie 11-ste i klucz na oddrzwiu. Otworzył, wszedł i zobaczył pokój w którym od kilku dni zapewne łózka nie były słane, brudna woda stała w miednicy, rzeczy leżały porozrzucane, a podłoga nie zamieciona.

Józik zabrał się do roboty i w półtorej godziny potem łózka były porządnie posłane, miednica i kubek aż błyszczały, a podłoga porządnie zamieciona.

— Ja ją tu kiedy umyję! — pomyślał Józik.

Kropidło z kręconych jak loki wiórków wisiało na ścianie, Józik się uśmiechnął. Okrutnie mu się podobał ten wesoły młody student, który miał sen taki twardy.

Właśnie gdy porządkowanie w pokoju było skończone a Józik zabierał się do wyjścia, wszedł młody, w studenckim mundurze, błądy i wysoki chłopiec. Ubranie jego było zapyłone i bardzo znoszone, w płaszczu zawieszonym na ramionach, świeciła wydarta dziura, buty zaś bardzo zu-

żyte. Student wszedł krokiem powolnym wzdychając. Spojrzał na podłogę, na łózko, westchnął znowu, i odezwał się do Józika powoli, jakby mu wyrazy z trudnością przez usta przechodziły.

— Kto cię tu przysłał?

— Jakiś młody pan.

— Jaki młody pan? Nie znasz go?

— Nie proszę pana. On jest bardzo wesoły i zna panią Warbicką. Powiedział abym tu porządkował, czyścił ubranie i buty i kropił go kropidłem...

— A, to ten waryat!

— Waryat?

— A jakże! Ty go nie znasz, on ciebie nie zna i przysłał cię tutaj!

— Ja jestem uczciwy, proszę pana.

Student machnął ręką, westchnął, widocznie już mu się więcej mówić nie chciało. Józik zdjął z niego płaszcz, mówiąc:

— Czy tu są nici czarne i igła? Możebym tę dziurę zaszył.

Student wyjął igłę wciśniętą między szybę a ramę okna, potem wyciągnął z pomiędzy kartek grubej książki nitkę czarną i mileżąc podał to wszystko Józikowi.

— Potrzeba ci naparstka? — zapytał po chwili.

— Jużci z naparstkiem lepiej.

Student wziął z tacki na której stał kałamarz łupinę od dużego laskowego orzecha.

— Masz naparstek!

Ale łupina była za duża na palec Józika i nie mogła mu za naparstek służyć.

— I bez naparstka dziurę zaszyję — odrzekł i siadł sobie na kubelku, wywróconym do góry dnem.

Student popatrzył na niego jakimś smutnym wzrokiem, westchnął rozłożwszy książkę na stole i począł czytać, głowę wsparłszy na rękach.

W tej chwili dało się słyszeć na schodach gwizdanie. Wkrótce potem drzwi się otworzyły i stanął w nich bardzo miłej powierzchowności student, widocznie trzeci lokator mieszkania. Ten był ubrany starannie, buty jego błyszczały a włosy, rozdzielone na środku głowy, porządnie były uczesane.

(d. c. n.)

Z DZIEJÓW CYWILIZACYI.

Komuż nie zdarzyło się słyszeć o Murzynach — niewolnikach, wielu czytało zapewne słynną powieść pani Beecher Stowe pod tytułem „Chata wuja Tomasza,” i wzruszeni byli losem nieszczęśliwej Elizy, co uciekała, przeskakując z jednej kry na drugą wśród nurtów wezbranej rzeki, z synkiem Henrysiem na rękę.

— Dlaczego uciekała? zapytają ci, którzy nie znają tej książki.

Dla tego że owa Eliza z narażeniem własnego życia ratowała swe dziecko, które miano od niej odebrać i sprzedać handlarzowi niewolników.

— Sprzedać dziecko! sprzedać człowieka! jakże to brzmi strasznie. Trudno nawet wyobrazić sobie, takie okrucieństwo, jednak trzeba było wielu lat, aby znieść potworny zwyczaj kupczenia ludźmi. Miliony serc szlachetnych, tysiące kapłanów i misjonarzy walczyło i walczy dotąd w obronie godności człowieka, a handel niewolnikami jeszcze nie znikł zupełnie z powierzchni ziemi. Teraz jednak ten potworny zwyczaj jest wyjątkiem, uprawianym wśród dzikich jeszcze plemion i surowo karanym przez państwa cywilizowane. Lecz dawniej inaczej się działo. Niewolnictwo uważane było za rzecz konieczną i dozwoloną i wiele wody upłynęło, zanim nauka Chrystusa Pana o równości i braterstwie ludzi przeniknęła wszystkie serca i umysły, oraz zwalczyła w życiu spo-

Fig. 133. (Dendrocrinus, Lilia morska żyjąca w oceanie Atlantyckim i Spokoijnym (wielk. natur.)



Fig. 133. (Pentacrinus). Lilia morska z Atlantyku.

Fig. 137. Goniopecten z Atlantyku i m. Śródziemnego 1/2 wielk. natur.

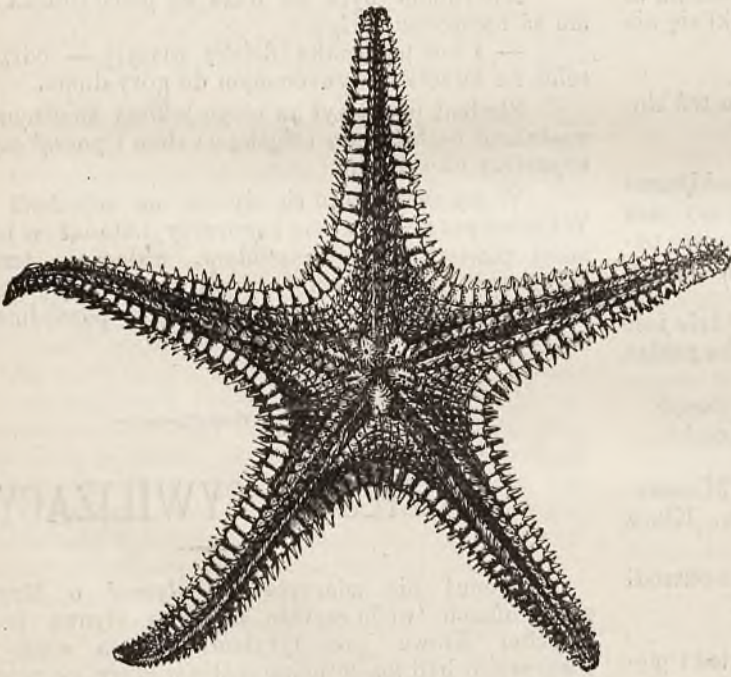


Fig. 134. (Rhizocrinus), Lilia morska, z mórz północ.

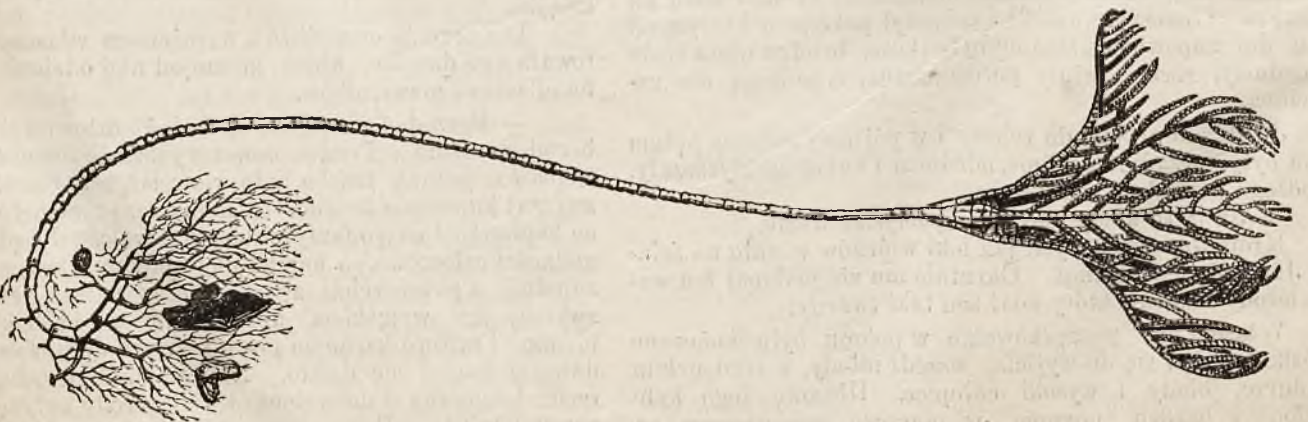




Fig. 135. (Brisinga). Gwiazda morska z Atlantykn. (wielk. natur.)



Fig. 138. (Ophiomusium). Wężowidło, z pięciu ramionami, jedno tylko pozostało całe. (wielk. natur.)

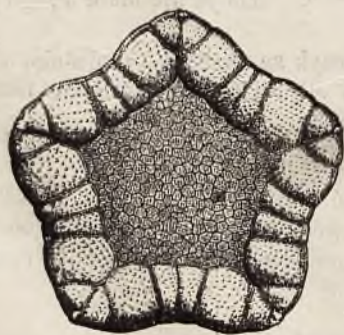


Fig. 136. (Stephanaster). Gwiazda morska.

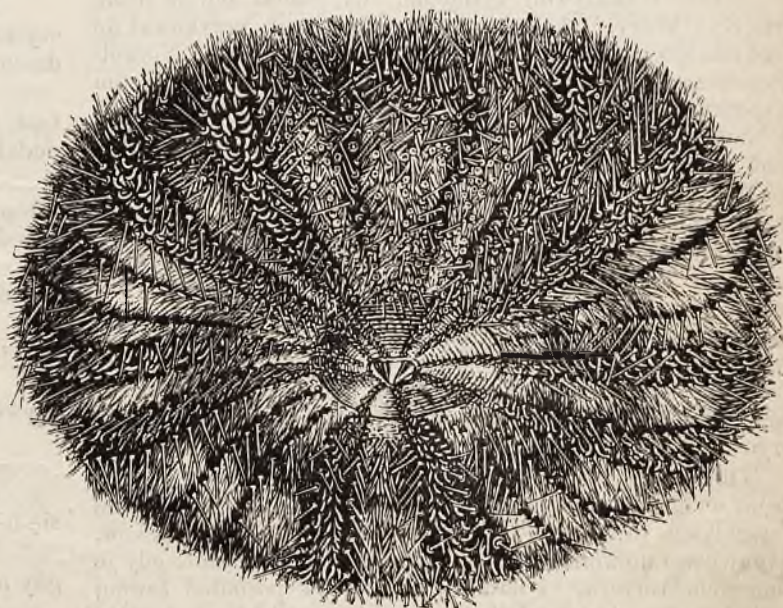


Fig. 139. (Asthenosoma hystrix). Jęzowiec morski spłaszczony, $\frac{2}{3}$ wielk. natur.

leczne okrucieństwo i ciasny egoizm. Na tym rozwoju szlachetnych idei prawdziwej sprawiedliwości, i rozciągnięciu jej na wszystkich bliźnich polega rzeczywisty postęp i cywilizacja.

Niewolnictwo nie odrazu zostało zniesione, pracowało nad tem wiele pokoleń i właśnie historję tych zabiegów chcę wam opowiedzieć.

Niewolnictwo powstało dopiero wtedy, kiedy ludzie zaczęli uprawiać ziemię i wzięli się do prawdziwie ciężkiej pracy. Plemiona trudniące się myśliwstwem, pasterstwem i rybołówstwem, nie znaly niewolników. Ale praca około roli to trud nie lada, chętnie też zrzucano ją na barki drugich.

Wódz zwycięzkiego koczowniczego pokolenia zabijał zwykle jeńców, zabranych w czasie wojny, gdy jednak z biegiem czasu wódz ten próbował osiedlić się na stałe i zakładał związki przyszłego państwa, wtedy uznawał potrzebę robotników. Zamiast więc mordować więźniów, zmuszał ich do wykonywania prac najcięższych, zaprzęgał do trzebieżenia lasów, do orki, mielenia zboża, stawiania budynków i t. p. Odtąd też celem wypraw wojennych stawał się zabór jeńców, bo przyczyniali się ci nieszczęśliwi do podniesienia potęgi i dobrobytu zwycięzkiego plemienia.

Tak powstał między ludźmi podział na wolnych i niewolników, gdyż potomstwo niewolników wojennych, uważane było także za niewolników z powodu swego pochodzenia. Podział ten istniał wszędzie; różnicę stanów spotykamy nawet u plemion afrykańskich, a chociaż trudno sobie zdać sprawę w jaki sposób pół-dziki Murzyn z nad Kongo pojmuje wyższość swego urodzenia, to jednak ceni on ją wysoko i nie brata się z tymi, których za niższych od siebie uważa.

Zarówno Fenicyjanie jak Babilończycy, Asyryjczycy i Persowie zdobytch w wojnach jeńców, uważali za niewolników; niewolnikom też zawdzięczali Egipcjanie możność wznoszenia swych wspaniałych budowli: piramid, świątyń i obelisków. A ile kosztowały one pracy, ilu ludzi ginęło pod olbrzymimi głazami, z których się składają? Gdyby te kamienie mówiły, jakże krwawe opowiedziałyby dzieje!

Lud Izraelski kilkakrotnie popadał w niewolę, lecz sam odznaczał się łagodnością dla schwytych w bitwach jeńców, i nie wspomina nigdzie Pismo święte o rynkach, na których sprzedawano niewolników. Za to w Grecyi, w tej Grecyi co tak ceniła własną wolność, handlowano ludźmi na równi ze zwierzętami, a nawet mędracy jak: Plato i Arystoteles, mało się tem oburzali, uważając niewolnictwo za rzecz konieczną w ustroju społecznym.

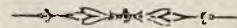
I szli w jarzmo dumni wodzowie, co jeszcze w przeddzień bitwy rozkazywali tysiącom, los rzucił ich na łaskę zwycięzcy, który, jak w Rzymie naprzykład, przykuwał do tryumfalnego rydwanu najdzielniejszych obrońców. Niewolnikiem umarł Perseusz, ostatni król macedoński, taki sam los spotkał Gentiusa króla Illiryi, a współczesny im Hannibal, bohater kartagiński, zażył truciznę, aby się uchronić przed hańbą niewoli.

Wojny punickie, to jest wojny Rzymu z Kartagimą, zaludniły gród Romulusów mnóstwem niewolników. Byli oni po części własnością państwa, ale i prywatni posiadali niesłychaną ich ilość. Zdarzali się obywatele rzymscy, którzy liczyli w swych dworach i posiadłościach pięć, dziesięć a nawet dwadzieścia tysięcy niewolników. Jeńców będących własnością rządu używano do wykonywania robót publicznych, do kopania kanałów, budowania dróg, górnictwa, przeprowadzania wodociągów i tym podobnych dzieł, któremi słusznie szczycić się mogła dawna Italia.

Okropnym był nieraz los tych nieszczęśliwych, który zależał wyłącznie od humoru i fantazyi pana. Odmawiano im wszelkich praw, nie uznawano najświętszych związków, a świadectwo niewolnika wtedy tylko miało znaczenie, gdy je wymuszono torturą. Niewolnik nie mógł posiadać żadnej własności, owszem, sam był własnością pana, który, kupiwszy go na targu, rozłączał dowolnie z rodziną i mógł ukarać śmiercią na krzyżu lub poddać srogim męczarniom i chłoscie.

Uzbrajano niekiedy w czasie wielkiego niebezpieczeństwa niewolników dla obrony Rzymu, ale po bitwie wracali nieszczęśliwi pod dawne jarzmo, bo nie wolno im było służyć w wojsku. Za to wielu wychowywano od dzieciństwa do krwawych igrzysk w cyrkach. Tych zwano gladyatorami, a byli między nimi prawdziwi bohaterowie. Bohaterską też śmiałością poległ Spartakus, gladyator, który podniósł bunt przeciw Kzymowi. Zginął na polu bitwy, a większość jego towarzyszy śmiercią ukarano. Sześć tysięcy niewolników przybito wtedy do krzyżów, które stały szeregiem wzdłuż drogi Apijskiej. Działo się to na 70 lat przed narodzeniem Chr. Pana. Ponieważ niewolnictwo było stanem, to jest przechodziło z rodziców na dzieci, jedynym środkiem wyjścia z tego stanu było uzyskanie wolności od swego pana co nazywało się wyzwoleniem. Wyzwolenicy, których liczba za czasów cesarstwa w Rzymie szybko wzrastała, nieraz stawali się sami ludźmi bogatymi i posiadaczami niewolników. Niestety, nie pomni swej własnej doli, bywali oni nieraz okrutniejsi dla nich od dawnych swych panów.

Cesarze rzymscy: Trajan, Adryan i Antoniusz ulżyli nieco losowi niewolników. Zanym jednak religia chrześcijańska stała się panującą i rozpowszechniła się wśród wszystkich narodów wchodzących w skład olbrzymiego państwa rzymskiego, niewolnictwo utrzymywało się i nadal, a narody germańskie, nacierające ziemie cesarstwa dostarczały niewolników z plemion słowiańskich, zamieszkujących środek i wschód Europy. (d. c. n.)



NIEDŹWIEDŹ

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

p. Zuzannę Morawską.

(Ciąg dalszy).

— Hej! bawiny się, bawmy! — wołał Zygmunt, skacząc. Jędrus, Piotrus, Marcinek, pójdźcie, przyprowadzić innych chłopców, będziemy się bawili!

— Toż to będę miał liczne wojsko! — zawołał rozradowany, gdy liczny zastęp chłopców różnego wieku ze wszech stron go otoczył.

Nie zwrócił nawet uwagi, że Jadwisia i Anusia ujrzawszy to całe grono, wysunęły się dyskretnie i stanęły wśród dziewcząt, na przeznaczonym dla siebie miejscu.

— Hej, Niedźwiedziu, pójdź, będziesz dowodził, pamiętasz, jak w Zakrocymiu. Ale ja nie mam swego pałasza — dodał.

Podano mu mieczyk ze złocistą rękojeścią, ślicznie wyrobiony, zastosowany do jego wzrostu i siły, lecz Zygmunt zawołał:

— Eh, ja wolę ten drewniany, co mi go Piotrus darował.

— Trzeba wziąć ten, który podają — rzekł z pewnym naciskiem ochmistrz, przy tępując do swego wychowawca.

— Zawsze mi ichmość zabawę psujesz! — rzekł, zmarszczywszy czoło Zygmunt.

A potem dodał:

— Jestem przecie królem!

— Król też powinien wiedzieć czego żąda i kiedy czego się używa! — odparł surowo Opaliński.

— Ach! — syknął młody król z niechęcią. Niemniej, gdy mu przypasano mieczyk, pobiegł do zabawy.

Tymczasem wśród otoczenia, zwłaszcza pomiędzy doroslejszą młodzieżą, przebiegł szmer niezadowolonia.

— Drewnianym mieczem chce wojować!

— To jeszcze dzieciuch.

— Jak się nie nauczy dzierżyć żelaznego miecza, to i drewnianym królem będzie.

— Jak dorosnie to i żelazny utrzyma! — zawołał Marcin, którego gniewały te szeptki.

— A wojsko też nie drewniane będzie! — dodał Piotruś.

— Każdy za nim pójdzie! — ozwał się Kazik.

— Wszyscy jak dziś jesteśmy! — krzyknął ktoś zdala.

Obejrzano się w tę stronę, lecz nie wiedziano na razie kto rzekł, podobało się jednak to odezwanie, i te same głosy, które poczynęły już objawiać niezadowolenie jak na komendę krzyknęły:

— Boga mi, wszyscy za naszym królem!

— Wy ze mną, a ja z wami! — zawołał rozbawiony Zygmunt.

I począł ścisnąć za rękę każdego, kto się nawinął, rozpytując zaraz jak mu inie i zachęcając do zabawy w żołnierze.

— Hej, Niedźwiedziu, stawaj na czele! — wołał.

Lecz mistrz ceremonii się zbliżył i rzekł z wyszukaną grzecznością:

— Wasza królewska mość pozwoli, że kto inny stanie na czele zabawy, tak sobie życzą ichmość królestwo.

— Ach, że też mi nigdy nie pozwolą się bawić! — zawołał Zygmunt z nadąsaną miną.

A potem tupnąwszy nogą, zawołał:

— Ja nie chcę innego dowódcy!

Ochmistrz zbliżył się zaraz do swego wychowańca, lecz ten nie czekając aż mu pan Opaliński zacznie po swojemu przekładać, wyciągnął rękę i rozkazującym tonem zawołał:

— Mianuję Niedźwiedzia dowódcą mojej chorągwi!

Nie było rady, trzeba było na ten raz ustąpić, ażeby nie wywołać wśród zebranych zgorszenia.

W tej też chwili służba dworska wniosła na wielkich tacach rozmaite zamorskie przysmaki, jak chleb świętojański, rodzenki, figi, daktyle, banany; wielkie orzechy, pomarańcze podzielone na małeńkie cząstki; słowem, rozmaite owoce z ciepłych krajów sprowadzane.

Czy to była rzeczywiście pora poczęstunku, czy też użyto fortelu, ażeby nie pozwolić małemu królowi na okazywanie zbyt swobodnie swej woli, pozostanie to na zawsze tajemnicą; dość, że ukazanie się przysmaków podziało w zupełności na wzburzone umysły. Zygmunt przechodzący zwykle łatwo z gniewu do wesołości, klasnął w dłonie i zawołał:

— Prawda, wojsko najpierw musi się posilić!

Zaczęto więc roznosić słodczyce, młody król dawał dobry przykład i jedząc sam, innymi zachwalał.

Wielu nie wiedziało nawet jak jeść te owoce i w niemającym byli kłopotcie. Ktoś dostawszy kawałek pomarańczy nagryzł delikatnie, a sok zalał mu nietylko rękę ale i ubranie.

Włożył więc cały kawałek prędko w usta i oblizał rękę, lecz sok wygryzł już plamę na jego barwistej szacie.

Inny liznął strączek świętojańskiego chleba i na razie nie rozmiarował się, oglądając go na wszystkie strony, dopiero potem gryzując zawzięcie i uznal, że dobre. Najlepiej jakoś poszło z figami i rodzenkami, a orzechy chociaż wielkie, gryziono, aż trzask słychać było w całej komnacie.

Wtem mały król zawołał:

— Aha, mamy jeszcze pierniczki i rozmaite widzialem tam przysmaki, które mi подарowano.

— Niedźwiedziu, gdzie one są, zjedzmy prędko, bo je nam siniora zabierze!

Przyniesiono zaraz dary, z którymi jakoś umiejętniej goście poczęli się obchodzić. Teraz już uczta i wesołość zapanowały na dobre, tylko Jadwisia i Anusia ze smutnym wyrazem twarzy, nie bardzo chętnie brały udział w jedzeniu i zabawie.

A chociaż je Zygmunt zachęcał, nie szło im jakoś. Wajście królestwa ichmość położyło kres wesołości.

— Jadwisiu, Anusiu, zapoznajcie się z mojami siostrami — zawołał Zygmunt.

Lecz mistrz ceremonii dał znak i wszystkie dzieci deflowały znów przed ichmość królestwem i królewnami, których oczki śmiały się nieklamana radością.

— Te dziewczyny biorę na dwór swój! — rzekła Bona wskazując na Jadwisię i Anusię.

Król jegomość skinął głową, nie rzekłszy ni słowa, tylko patrzył na dorodnych chłopców, bawiących się z jego synem.

— Niech się zbrata z nimi — myślał sobie — będzie miał z nich różnych doradców i dzielnych obrońców w potrzebie!

— Będziemy miały z kim się bawić! — szepnęła królewna Zofia do siostry, która usłyszawszy słowa matki, przypatrywała się kasztelankom.

— Aha, myślisz, że ci pozwolą, to dla Zygmunta do zabawy — odrzekła Izabella.

— Przecie to dziewczynki — szepnęła Zofia.

— To i cóż — rzekła, wzruszając ramionami Izabella. — Dziewczynek tak dużo na dworze, a nie pozwalają nam się z nimi bawić, tylko wszystkie skaczą przed Zygmuntem.

Tymczasem królestwo ichmość zabierali się do wyjścia, a mistrz ceremonii dał znak, że zabawa skończona.

Nie podobało się to młodemu królowi, nie pomógł jednak opór.

— Wasza królewska mość dość już użyłeś zabawy — rzekł Opaliński, wskazując mu drzwi komnaty, do której go chciał uprowadzić.

— Przecież mieliśmy się bawić w wojsko, a potem w mrućka lub inną grę jeszcze — mówił Zygmunt.

— Odłożymy to na inny raz, i tak dzień koronacyi zeszedł waszej królewskiej mości tylko na samej zabawie — przekładał ochmistrz.

— Ach, „wasza królewska mość, wasza królewska mość” — powtarzał Zygmunt. — Wołałbym nie być „królewską mością” a bawić się i robić to, co mi się podoba.

— Niema człowieka, któryby mógł robić tylko to, co mu się podoba, a tymczasem proszę ze mną — odparł surowym głosem ochmistrz.

I zabrawszy nadąsanego wychowańca, usunął się z komnaty

Zygmunt zaś odchodząc, zawołał:

— Pójdź Niedźwiedziu, pójdź, będziesz się razem ze mną nudził.

Niedźwiedź skłonił się z uśmiechem i podążył za swym panem.

Wkrótce i cała młoda rzesza rozpierzechła się na wszystkie strony, a komnata, w której przed chwilą brzmiała muzyka i wesołe młodzieńcze głosy, zatoneła w ciemność i ciszy powszedniej.

Na drugi dzień na rynku krakowskim składano hołd młodemu królowi, który siedząc na swem wzniesieniu w otoczeniu panów, oglądał się na wszystkie strony, a gdy ujrzał którego z młodych swych wczorajszych biesiadników, uśmiechał się przyjaźnie, co mu odrazu podbiło serca obecnych.

Szeptano więc dokoła:

— Nasz, nasz kochany król!

— Będziemy z nim zawsze!

— Życie za niego damy.

Zygmunt zaś obejrzwawszy się rzekł do Kazika:

— Oh, oh, widzę tam Jędrka i jego braci, ale niema ani Jadwisi ani Anusi. Gdy się skończy ta cała parada, przyprowadzisz je do zamku.

Kazik zaczerwienił się po same uszy, pokrył jednak niezadowolenie, jakie mu to ozwanie się młodego króla zrobiło i skłonił się w milczeniu.

Tymczasem „parada” jak ją nazwał Zygmunt, skończyła się wcześniej, a gdy ukoronowany wsiadł na niewielkiego, białego, okrytego czerwonym czaprakiem konika i w otoczeniu kilkunastu młodzieńców z Kazikiem na czele, ruszył ku zamkowi, wznosiły się dokoła okrzyki.

— Niech żyje, niech żyje nasz król kochany!

XI.

Kasztelanki najwidoczniej wpadły w oko Bonie; po skończonych bowiem uroczystościach koronacyjnych, rzekła do Alenini:

— Weź z sobą ulubionego przez naszego syna chłopca, niech cię zaprowadzi do kasztelana zakroczymskiego i powiedz, że robię im ten honor i córki ich na dwór zabieram.

Sinióra mrugnęła kilka razy małykami swemi oczkami i skłoniła się na znak, że rozkaz zrozumiała.

— Dziewczęta trochę dzikie i niezgrabne, ale się to prędko ułoży, a właśnie trzeba dwór najstarszej naszej córki powiększyć — ciągnęła dalej Bona.

Powiernica skłoniła się po raz wtóry.

— Tylko grzecznie z niemi, układnie, rozumiesz! — do dała królowa i wskazała drzwi na znak, że może odejść.

Nagle jednak uderzyła młotkiem w kowadełko. Sinióra zwróciła się znów zgięta w pełnym uszanowaniu ukłonie, o ile na to jej gruba i przysadkowata postać pozwalała.

— Przyzwać mi tego chłopca... tego Niedźwiedzia, jak go mój syn nazywa. Nie rozumieją twojej mowy, muszę mu sama wydać rozkazy.

Alenini zniknęła i wkrótce weszła z Kazikiem.

Bona powtórzyła rozkaz wydany przed chwilą.

Kazik wysłuchał z należnym uszanowaniem, nie odchodził jednakże.

— Precz! — krzyknęła gwałtownie Bona.

Kazik jednak nie odszedł, tylko skłoniwszy się, postąpił ku niej nieco.

— Cóż to, nieposłuszeństwo! — wrzasnęła, wpadając w gniew królowa.

— Śmiem oznajmić najjaśniejszej pani, że jedna z kasztelanek leży w gorączce — rzekł spokojnym głosem Kazik, chociaż krew się w nim burzyła.

— Skąd wiesz?!

— Król Zygmunt August, a pan mój posyłał mnie, abym się dowiedział, czemu ich nie było podczas uroczystości na rynku.

— Co, bez mojej wiedzy? — wrzasnęła Bona.

I nie pytając więcej, z krzykiem pobiegła do komnaty syna.

Kazik spojrział za nią, a rozumiejąc, że niema czego czekać, zwrócił się do wyjścia. Wtem zabiegł mu drogę Diavolo i wykrzywiając się po swojemu, zawołał piskliwym głosem:

— Ho, będzie wam ciepło, tobie i synkowi, ha, ha, ha!

I pokazawszy język, schronił się coprędzej pod stół, obawiając się, żeby królowa nie nadeszła.

Gwar tymczasem rozlegał się po wszystkich komnatkach a nad nim górował gniewliwy głos królowej i płacz młodego króla. Zaszła bowiem jedna z tych scen gorszących, które dość często między synem i matką się powtarzały.

Wtedy dwór chronił się jak mógł lub stał w milczeniu, oczekując rozkazów wydawanych i w tejże samej chwili cofanych. Zausznicy tylko rzucali zřęcznie jakąś uwagę, a chociaż i im się dostawała wymówka lub nader przykre słowo, przyzwyczajeni jednak do takowych, nie trapiłi się niemi.

Znosili wszystko z pokorą, wiedząc, że potem postawią na swoim i w mętnej wodzie intryg i zawiści, wyłowią dla siebie rybę, w postaci urzędu, które Bona swoim ulubieńcom wybrała u poddającego się jej namowom małżonka.

— Niech mi zaraz przyjdzie Fogelfeder! — rzuciła, wpadając do komnaty, w której zwykle przyjmowała poufnie rozmaite osoby i z której rozchodziły się rozkazy nie tylko dla dworu, lecz nieraz kraju całego.

Jednocześnie drugimi drzwiami wszedł Piotr Kmita, i z pewną dumą i powagą, chociaż z nader niskim ukłonek powitał królowę.

— A, w samą porę przybywacie mości kasztelanie wojnicki — rzekła uroczyście Bona.

Kmita błysnął przenikliwym wzrokiem i ukłon powtórzył.

— Znacie kasztelana zakroczymskiego?

— Do usług jej królewskiej mości! — odrzekł wymijająco Kmita, rozważając w swym bystrym umyśle do czego to pytanie prowadzi.

— Co to za ludzle?

Kmita zrobił minę obojętną, a nim zdążył odpowiedzieć, Bona mówiła jednym tchem:

— Otumanili mi syna, wziął na dwór ich krewniaka, siedzą tu z całym dworem, chłopców pono mają zostawić w Krakowie, rachują znać na łaskę naszego syna, dziecko łatwo podejść, otecza go swoimi zausznikami... ja tego nie chcę... nie chcę dla dobra naszego narodu, dla dobra naszego króla.

(d. c. n.)

NOWE KSIĄŻKI

Ukazała się w tych dniach bardzo pożyteczna książeczka, napisana przez księdza Jana Gralewskiego, na którego kazania wypowiedane raz na miesiąc u Pijarów, cisną się tłumy pobożnych. Książka ta nosząca tytuł: *Przygotowania do pierwszej spowiedzi i Komunii świętej*, podaje przemówienia do dziatwy zgromadzonej w tym celu w kościele św. Antoniego. Ogłaszając je drukiem, autor ułatwia bardzo zadanie matkom i nauczycielkom domowym, które niezawodnie serdecznie mu będą za to wdzięczne. Pierwsza część zawierająca przygotowanie do spowiedzi, polega na stopniowym rozwijaniu pojęć dziecka o Bogu, i celu życia każdego człowieka, wreszcie obznajmia je z obowiązkami względem Stwórcy, bliźnich i siebie samego. W części drugiej, obok przygotowań do Komunii św., autor stopniowo zapoznaje dziecię z enotami najpotrzebniejszymi młodemu pokoleniu. Są tu przedstawione różnorodne chwile chrześcijańskiego dziecięcia, poparte przykładami wziętymi z życia. Nauki te wypowiedane pięknym językiem, natchnione gorącym pragnieniem dobra i serdeczną miłością dziatwy, polecamy bardzo tak młodzieży sposobiącej się do Sakramentów świętych, jak i jej opiekunom; jedni i drudzy znajdą tu cenne wskazówki.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

TRĘŚĆ: Do jaskółki, wiersz przez E. L. W otchłaniach morskich przez dr. M. Stefanowską (z ryc.) — Dzielný chłopiec przez Zofię Kowerską. — Z dziejów cywilizacji. — Niedźwiedź, powieść z XVI w. przez Zuzannę Morawską. — Nowe książki. — Dodatek: W maju, wiersz. — U cioci Polci (z ryc.) — Skarb Antosia. — Królowa peziomek i paproci, bajka czarodziejska przez Wacława Sulimę. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitek. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

WIECZORY RODZINNE

W MAJU.

Pójdź, siostrzyczko, rwijmy kwiatki
Na ołtarz dla Bożej Matki,
Przebiegnijmy cały gaj,
Bo to maj, bo to maj!

Mówmy do Niej: Maryo Panno!
Darz nas pieczęią nieustanną,
Tym co chorzy zdrowie daj,
Bo to maj, bo to maj!

Tym co płaczą, nieś pociechę,
Wróć bezdomnym własną strzechę,
Wszystkim promień szczęścia daj,
Bo to maj, bo to maj!

Ach, nadzieję daj wątpiącym,
Przebaczenie żalującym,
W cierniach kwiecica garstkę daj,
Bo to maj, bo to maj!

Pójdź siostrzyczko — rwijmy kwiatki
Na ołtarz dla Bożej Matki,
Przeszukajmy cały gaj,
Bo to maj, bo to maj!



U cioci Polci.

(Dalszy ciąg).

Kazio z Henrysiem bawili się w konie, ujeżdżając po ulicach ogrodu, ale dziewczynki nie mogły sobie jakoś znaleźć dziś nic, coby im przyjemność zrobiło, wróciły więc na werandę, gdzie ciocia Polcia zwykła siadać z jaką robótką lub czytaniem.

— Ciociu, mnie się nudzi, nie mam co robić; słońce takie gorące, już mi się sprzykrzyło biegać ciągle — zawołała, zdejmując kapelusz i odgarniając kosmyki wilgotnych włosów, które otaczały zarumienioną twarzyczkę.

— Mnie też gorąco bardzo — potwierdziła Irenka, wachlując się chusteczką.

— Wierzę bardzo, że ciągle bieganie może się w końcu uprzykrzyć, mianowicie paniąkom — odrzekła ciocia — i tylko czekałam chwili, w której przyjdziecie do mnie z prośbą o jaką spokojniejszą zabawę.

— Ciocia naprawdę o tem myślała — zawołała zdziwiona Zosia — jak to ciocia o wszystkim wie i wszystko przewidzi! Więc co teraz możemy robić, niech nam ciocia doradzi!

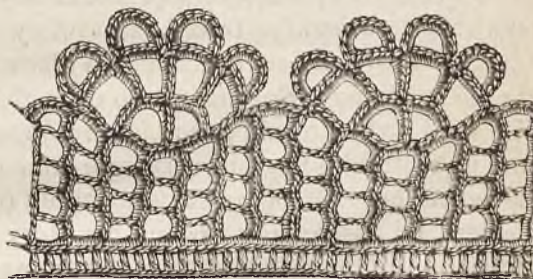
— O, dla cierpliwej i pilnej dziewczynki nie braknie nigdy zajęcia i to takiego, które nietylko jest przyje-



Szlaczek do fartuszka.

mnem, ale i pożytecznem być może — mówiła z uśmiechem ciocia, i poczęła szukać czegoś w koszyczku od roboty, który stał przed nią na stole.

Obie dziewczynki podbiegły żywo, zaglądając ciekawie do koszyczka, a tymczasem ciocia Polcia wydobyla z niego sporą paczkę z kłębkami białej bawełny i kością-

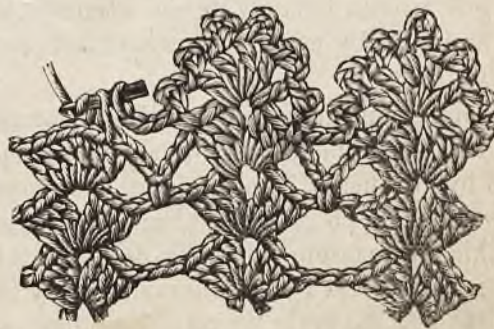


Obszywka szydełkowa.

nem szydełkiem. W drugiej zaś, którą zaraz potem rozłożyła, znajdował się pasek płótna, pokrytego odpowiednim kawałkiem cienkiej kanwy, a obok napałek, nożyczki i kilka motków kolorowej bawełniczki.

— Ach, jakie śliczne nici — zawołała Irenka — ciocia mi je da do zabawy, prawda?..

— A jabym prosiła o ten kłębeczek, będę go podrzucała jak małą piłkę!.. I obie dziewczynki wyciągnęły ręce po wybrane przedmioty.



Obszywka szydełkowa.

— Za pozwoleniem — odrzekła ciocia — to, co tu widzicie, są przybory do robótek, które mogą być też zabawą, tylko odmienną od gry w piłkę; nie wypada więc ich przedewszystkiem brudzić i niszczyć. A gdy nauczycie się wykonać rzecz każdą tak, jak wam wskażę, poznacie, że wielką jest przyjemnością zrobić naprzykład z tej bawełny z pomocą szydełka, koronkę, którą można przybrać bądź to sukienkę, bądź fartuszek.

— Ach, jak to dobrze, ciociu, to będzie dla mamy niespodzianka, postaram się nauczyć prędko, i zrobić dużo, dużo!...

— A z tych nici ślicznych, co będzie? — pytała Irenka.

— Temi niemi wyszywa się na kanwie.

— Już ja trochę umiem wyszywać na kanwie, zrobiłam nawet dywanik dla lalki zawołała Zosia.

— Bardzo dobrze, tem łatwiej pójdzie ci ta robótka.

— To może być też przybranie do fartuszka, prawda ciociu? — zauważyła roztropna dziewczynka.

— Słusznie bardzo osądziłaś — rzekła z uśmiechem ciocia.

— A co mi ciocia każe robić, czy koronkę szydełkiem, czy wyszywać na kanwie? — Jabym chciała i to i tamto.

— Wszystkiego naraz nie można, bo nic porządnie w takim razie nie zrobisz. Po kolei jednak dojdiesz do poznania i jednej i drugiej robótki, które ci nie pozwolą nudzić się więcej. Na początek więc weźmiemy kanwę, a dla mniejszych paluszków Irenki, zostawiwy tymczasem szydełko. Przypatrz się uważnie. Widzisz, że nitki w kanwie nie są równo rozłożone, ale co dwie zbliżone do siebie. Te więc dwie niteczki razem igłą zabierać należy i następnie powrotnym ścięciem wyszywać takie oto krzyżyki. Że zaś naśladować będziesz ten wzorek (rycina 1) więc zaczniesz od paseczka u brzegu, na który użyjesz czarnej bawełny. Drugi taki sam paseczek należy wyszyć w odstępie 6-ciu przedziałek kanwowych, zaś deseń w środku kolorem naprzemian pasowym, żółtym i niebieskim. Uważaj tylko, że na te duże krzyżyki trzeba brać aż po trzy pary nitki kanwowych, użyj do tego bawełniczki ponsowej, na drobne zaś ścięgi boczne, żółtej lub niebieskiej. Zresztę desenik ten można zmieniać wedle własnego gustu.

— Rozumiem, ciociu; postaram się zrobić jak najlepiej.

— Poczekaj, jeszcze ci jedną uczynię uwagę. Widzisz, że kanwa naszyta jest na płótno. Musisz zatem uważnie przy każdym ścięgu zabierać wraz z kanwą owo płótno, a gdy zrobisz już cały deseń, wtenczas wyciągniemy nitki kanwy, aby wyszycie krzyżykami pozostało na samem płótnie.

Rozpromieniona zadowoleniem Zosia, wzięła robótkę do ręki, i usiadłszy obok, wyszywała z wielkiem zajęciem, a musiało być to niezłe, skoro ciocia spojrzawszy kilkakrotnie, pogłaskała po główce staranną dziewczynkę.

Irenka tymczasem robiła szydełkiem długi łańcuszek, tak jak jej ciocia Polcia wskazała. Gdy już go było całe dwa łokcie, nauczyła się robić drabinkę, i tak jakoś szło dobrze, że wkrótce uszydełkowała z ponsowej grubej wełny woreczek do piłki dla chłopców.

Odtąd dziewczynki codziennie zasiadały z wielką przyjemnością do robótek, i nabrały wkrótce takiej wprawy, że ciocia Polcia nie miała już żadnej trudności nauczyć ich jak się robią szydełkowe obszywki, które przedstawia rycina 2 i 3-cia. A co to była za radość, gdy przykrojone wreszcie przez ciocię fartuszki, uszyły same wcale niezłe i ozdobiły owemi koronkami. Bodaj nigdy jeszcze nie czuły się tak wystrojone, jak w tych, własną pracą zdobytych fartuszkach.

— Ale my ich nie będziemy teraz często nosiły — mówiła Zosia cała rozpromieniona — niech zostaną świeże, póki mateczka nie przyjedzie, ona się pewnie ucieszy bardzo, że nietylko o zabawie myślałyśmy u kochanej naszej cioci Polci.

SKARB ANTOSIA.

(Dokończenie).

Wyzwany w ten sposób ciężki i niezgrabny Szymek, wśród ogólnego śmiechu chłopców, zaczął gonić figlarza. Ale Antoś biegł jak zając, ściskając mocno w dłoni dziesiątaka, aż dopadł do drogi i do studni, która na końcu wsi, otoczona wysoką cembrzyną, swoim skrzypiącym żórawiem do góry sterczała. Matusia wprawdzie nieraz mówili, żeby do studni nie zaglądał, bo o nieszczęście nie trudno i raz się już nawet chłopak w studni topił, tylko, że go wyciągnęli, bo ludzie z bydłem stali przy korycie — ale Antoś o tem wszystkim zapomniał, rad tylko, że Szymkowi się wywinął, wskoczył na cembrzynę i począł tańcować naokoło, pokazując z daleka figę Szymkowi — Wtem... nie Antoś wprawdzie, ale z pomiędzy palców wysliznął mu się ów dziesiątak, mający ziścić tyle nadziei i wpadł w czarną głąb tak szybko i cicho, że ledwie słyszeć się dało cichutkie pluśnięcie. Antoś w pierwszej chwili ręce wyciągnął za swoją zgubą, aż się zachwiał na cembrzynie, ale opamiętał się przecież w porę i zeskoczył na ziemię, patrząc tylko w czarną głąb osłupiałemi z żalu oczyma. Więc przepadł i kozik i obwarzanek, i buty i rysiki... Dobrze to matusia mówili, aby nad studnią nie swawolić! W tej chwili Antoś tak gorzko pożałował swego nieposłuszeństwa i lekceważenia przestróg matuli, że już pewno na całe życie mu ta nauka wystarczy.

Ale oto Szymek i inne chłopaki nadbiegają od błonia i zaczynają sztydzić z osłupiałej miny Antosia:

— Oóżeś się tak zagapił, jak wół na nowe wrota?

— Czegoż sterczysz, jak żóraw nad tą wodą? jeśli chcesz pić z cieleętami, to ot masz przecie koryto! i wszyscy chłopcy dalejże w śmiech ze swego dowcipu.

Antoś, zaczerwieniony jak burak, miał wielką ochotę beknąć w głos z żalu za swoim dziesiątakiem — ale mu wstyd towarzyszy, tem bardziej, że się śmieją, i że zwłaszcza duży Szymek, jak gdyby odgadywał co się stało, zaczyna właśnie drwinkować;

— A no, pokaż nam raz jeszcze swego dziesiątaka! to pewno nawet nie był dziesiątak, tylko blaszany guzik, który znalazłeś na śmieciach!

— Guzik, guzik! — wołają wszyscy chłopcy, a Antoś czuje się prawnie znieważonym tem ubliżającym podejrzaniem i dałby nie wiem co, żeby tylko móżdż im pokazać swój skarb i przekonać, że się mylą!

Ale nasz „generał” to dzielny człowiek i nie łatwo da się zjeść w kaszy; już mu znów w oczach błyskają zwykle swawolne światelka, i mina już znowu jak u zucha.

— A żebyście wiedzieli, że dziesiątak i że go mam i to nie jakbym miał jednego, mizernego dziesiątaka, ale tak samo jakbym miał sto, tysiąc, dziesięć tysięcy dziesiątaków! to dla mnie na jedno!

— No, to pokaż! pokaż, kiedy go masz.

— Nie pokażę, bom go schował! ale go mam.

— Zgubił go, zgubił! — zawołał któryś z domyślniejszych chłopców.

— Nie, nie zgubiłem, bo kiedy kto co zgubi, to nie wie gdzie mu się podziało — a ja wiem doskonale, wiem gdzie schowałem dziesiątaka i to tak jakbym tam miał dziesięć tysięcy! tylko wam nie pokażę.

I Antoś odbiegł od studni, już znowu taki sam wesoły, bosonogi generał, jak był poprzednio: słonko mu tak samo świeciło i dokoła było tak ładnie! Przekonanie, że w istocie posiadał skarb na dnie studni, wystarczało mu zupełnie. I tak przecie bez butów i bez kozika żył jakoś dotąd na świecie, będzie mu dobrze i dalej! a co ma skarb w studni, to ma doprawdy!

Ledwie po cichutku, na dnie serca, tak, żeby chłopcy nie nie zmiarkowali, przyznawał przed sobą, że szkoda i że matula dobrze mówili, żeby nad studnią nie swawolnić...

Oj, będzie też Antoś słuchał ją całe życie, bo juści, co matula wiedzą, to wiedzą!

Powiedzcie też, czytelnicy czy Antoś w istocie miał skarb i jaki?

Z. M.

KRÓLOWA POZIOMEK I PAPROCI.

BAJKA CZARODZIEJSKA

przez Wacława Sulimę.

(Dalszy ciąg)

Stary leśnik usłyszawszy to, rozgniewał się bardzo.

— Jakto — rzekł — więc miałabyś sumienie sprzedać komu jak co dobrego poziomki, których samą przeknąś nie możesz? Toćby to nie było nic innego jak prosta kradzież. Nie spodziewałem się żeby moja córka chciała kogoś oszukiwać, idź przecz, niech na ciebie nie patrzę!

Leśnik był nieposzlakowanej uczciwości, dziewczynki spuściły głowy i oddaliły się spiesźnie.

— To ta szkaradna Halina tak nam zrobiła — mruknęła Elżbietka.

— Ciekawa jestem skąd ona nabrała takiego brzydactwa, chyba przeczuła, że przesypimy poziomki.

— A skądże teraz wzięła odrazu tyle ślicznych jagód?

— Nie wiem, może ją zapytać?

— Ani się waż, wydałoby się, żeśmy jej poziomki zabrały i ojciec strasznieby się gniewał. Spuść się na mnie, już ja wszystko odkryję i coś dobrego jej za to wymyślę.

— Zawsze to jednak dziwne — szepnęła Jagusia.

Wtem doszła do ich uszu zwrotka piosenki, którą śpiewał Janek idący ze strzelbą do lasu.

Ale złoto, które ukradł
Na nic mu się nie przydało,
Bo gdy tylko chciał je użyć
W ciężki kamień się zmieniało...

III.

Stara pokrzywka.

Od owego dnia, Jagusia i Elżbietka dokuczały jeszcze więcej Halince. Elżbietka udawała, że nie zwraca na nią uwagi, nie mówiła do niej wcale, tylko obmawiała ją przed rodzicami. Jagusia zaś zawsze jej musiała coś spsocić: to schowała jej ubranie, to popsowała zabawki, to splamiła sukienkę i t. d.

Halinka znosiła wszystko cierpliwie, ale zniechęcona brzydkimi ich wadami, odsuwała się od nich coraz bardziej.

Chodziły często na poziomki lecz nigdy już razem i wtedy Elżbietka i Jagusia przynosiły mało albo i nic, a Halinka wracała zawsze z pełnym dzbanem.

Wreszcie Elżbietka postanowiła bądź co bądź wysłedzić dokąd ona chodzi.

Pewnego dnia wybrały się wszystkie trzy do lasu. Według swego zwyczaju Halinka oddaliła się od swoich towarzyszek i zaczęła iść znajomą sobie ścieżyną, między zaroślami, do kotlinki paproci.

Elżbietka chciała pobiedz za nią ale bez Jagusi. Więc niby przypadkiem posprzeczała się z siostrą, obraziła się na nią i pędem odbiegła w stronę, w którą się udała Halinka. Jagusia spostrzegłszy, że została sama, zaczęła najpierw krzyczeć, potem płakać ze strachu, a potem biegać w rozmaite strony, nie wiedząc gdzie się obrócić.

Las bardzo mało znała.

— Nikt jej nie odpowiadał, więc coraz więcej przerażona biegła na oślep przed siebie, oddalając się tym sposobem coraz więcej od znajomych sobie miejsc.

Tymczasem Elżbietka szła ciągle za Halinką, nie troszcząc się wcale o młodszą siostrę. Parę razy mignęła jej się zdaleka czerwona spódniczka, albo biały rękawek Halinki, i żeby ją dopędzić przebijała się przez największą gestwinę, drąc ubranie i kalecząc sobie ręce.

Wtem potknęła się i upadła, chciała powstać, nie mogła, coś parzyło jej ręce i trzymało za szyję.

— Puść! — krzyczała dziewczynka i szarpnąwszy się z całych sił, zerwała się z ziemi, jednocześnie usłyszała chichot i zobaczyła małą, brzydką i przygarbioną starsuszkę.

Skórę miała zieloną, pokrytą króciutkiemi białemi włoskami, twarz tak pomarszczoną jak trzyletnie jabłko. Maleńkie jej mysie oczki połyskały złośliwością, z pod krzaczastych brwi; głowa jej niknęła w ogromnym zielo-

nym, śpiczastym czepcu; suknię zrobioną miała z liści pokrzywy, a każde dotknięcie jej ubrania, parzyło nieznośnie.

(d. c. n.)

M E T A G R A M.

Na czterech nogach, jam kościelnym gmachem;
Zmieńcie mi pierwszą — straszę krnąbrne dzieci,
Zmieńcie raz drugi — jam we śnie postrachem
Dorośleń ludzi; zmieńcie po raz trzeci,
Powstałam z wody, czynię siłą cuda;
A jeśli dotąd zgadnąć wam się uda,
Zmieńcie raz czwarty — jam patriarchy żoną;
Zmieńcie raz piątą — jam stołecznym miastem
Odejmcie pierwszą, będę czemś pierzastem,
Gadulą modrą, albo też czerwoną.

ŁAMIGŁÓWKA LITEROWA.

od Puszczyka z Pilawy dla Wichury.

Z rozrzuconych liter ułożyć 5 wyrazów
których środkowy rząd pionowy ułożyć
powinien nazwę stolicy w Europie.
1) Samogłoska. 2) Roślina. 3) Półwysep w Azji. 4) Owad. 5) Miasteczko w gub. Podol.

NITECZKA ARYADNY.

Jaskółka dla Stokrotki.

zał	mi	ła	ki	zał	mi	wa
je	tej	gdzie	ki	słoń	na	dzie
no	fi	dzwon	ca	ci	i	z nad
joł	i	w za	świe	fu	wej	zie
ki	cho	dy	jar	bo	lo	bro
dzie	kie	ki	wierz	nej	dą	wy

ROZWIĄZANIA DO Nr. 16.

Homonimu: R e n.

Łamigłównki kropkowanej:

Kto czyni dobrze ile ma siły
Bliznim swym z serca, miłości
Temu się wianek uplecie miły
Wspomnień, u wdzięcznej ludzkości.

Arytmogryfu:

- 1) Mikroskop. 2) Ikwa. 3) Cejlon. 4) Karat. 5) Izabella.
- 6) Edward. 7) Walkiryje. 8) Iglau. 9) Cyrus. 10) Zaraz.

Mickiewicz — Pan Tadeusz.

Rebusiku:

Cicha woda brzegi rwie.

Skrzynka do listów.

Złożone w redakcyi przez Orła rozwiązania, były dobre, do nadesłanych wszakże ostatnich logogryfów zapomniał Orzeł dołączyć rozwiązania, bez których, jak mu wiadomo, łamigłównki choćby najlepsze, przejrane być nie mogą. Należy więc tę pomyłkę naprawić.

Zwracamy znów uwagę korespondentów naszych, iż wedle przyjętych zasad, nie należy mówić i pisać poselam lecz posyłam; również często błędnie używane są końcówki rodzajowe przyimków w 6 przyp. lic. mnogiej. Spotykamy więc w listach takie wielkie gramatyczne błędy jak: *dobrymi* książkami, *rażczymi* końmi, albo znowu przeciwnie *kochanemi* rodzicami, kiedy gramatyczna reguła uczy nas, że tylko: przymiotniki określające *imiona rzeczowe* rodz. *męz. osobowe* kończą się w 6-tym przyp. na *ymi*; przyimkach zaś zwierzęcych i rzeczowych, choćby były rodzaju męskiego, kładzie się końcówkę *emi*. A więc będzie zawsze: *kochanymi* rodzicami, a *dobremi* książkami, *rażczemi* końmi.

Heliotrop i Jaśmin starannie ułożyli łamigłównkę; rozwiązania dobre.

Również liczne łamigłównki nadesłali: Słoń z Nubii, K... bek, Orzeł karpacki, Smok, Giermek, Marynia Z., Konwał..., Fiołek błękitny i Władzio K. Dobre zaś rozwiązania: Kadłubek, Ułan polski, Słoń z Nubii, Anulka i Zosia D., Janinka W., ... in, Henryk G. oraz Różowa Stokrotka.

Sąd o łamigłównce nadesłanej przez Xyz, nie odemnie, jak wiadomo zależy. Rozwiązanie dobre. Na uczynione zapytanie odpowiedzieć nie mogę, dopóki nie otrzymam jakiegokolwiek bliższego określenia; ludzi bowiem z tem samym nazwiskiem było dosyć dużo. Wojciech z Brudzewa był sławnym matematykiem i astronomem, a jako jeden ze współczesnych profesorów Akademii Krakowskiej, nauczycielem Kopernika.

Za życzenia, jak też za serdeczne wyrazy twego listu Kurko z P. dziękuję ci całym sercem. Na ostatni twój liścik odpisałam zaraz, ale często dla braku miejsca, redakcyja od razu pomieścić wszystkich moich odpowiedzi nie może, nie przypisuj mnie więc nigdy dobrowolnego opóźnienia, a sama pisuj tak często jak możesz. Łamigłównkę oddałam redakcyi.

Nie potrzeba cierpliwości by się oddać miłemu zajęciu, a do jednego z najmilszych zaliczam korespondencyę z memi przyjaciółkami, zwłaszcza gdy mnie obdarzą tak starannie zapisanym arkusikiem jak *Wiewióreczka z Boru*. Za udzielenie mi wiadomości o sobie, dziękuję, bo ona zbliża nas do siebie i zastępuje ustną rozmowę, któraby nas zapoznała wzajemnie. Zdaje mi się, że tobie mam do zawdzięczenia nową korespondentkę:

Kukulkę z nad W. która za twoim przykładem, liścikiem odebrany przed chwilą, zawarła ze mną znajomość, a zechce ją utrwalić nie poprzestając na pierwszym przełamaniu lodów, częściej wykukasz mi w okienko wiadomości o sobie. Jeżeli jeszcze nie skończyłaś lat dziesięciu, możesz się ubiegać o nagrodę na konkursie kaligrafii, ale jeżeli już pierwszy krzyżyk skończony dźwigasz na swych barkach, możesz być tylko odznaczoną.

Jaskółka.

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTRROWANY DLA DZIECI



Rady matki.

O mój synku! to najlepsze
I po Bogu i po roli,
To, co w życiu nas podeprze
Ludzką radą w dobrej woli.

Wstawaj rano! sypiaj twardo,
Hartuj duszę — jadaj miernie,
Z bólem łam się z młodu hardo,
A dochowaj słowa wiernie.

Ucz się słuchać — abyś umiał
Rozkazywać, gdy tak padnie;
Ucz się pracy, byś zrozumiał,
Co tam leży w życiu na dnie.

Ucz się milczeć — byś treściwie
Umiał podnieść w niebo głosy;
Ucz się modlić — byś cierpliwie,
Umiał wytrwać na złe losy.

Dobra wola — to skarb w życiu,
Co się tylko czynem żywi...
Dobre chowa się w ukryciu;
Ztąd kochani, miłościwi.

Rano rozważ, co masz czynić,
Nim postawisz krok na progu,
A wieczorem licz się Bogu!
I już lepiej jest obwinąć
W sercu siebie, niżli bliźnie,
Kiedy noga się pośliznie.

Nic nie pocznij bez rozwagi,
Boga wzywaj do pomocy;
To nie zbraknie ci odwagi
Ani we dnie ani w nocy.

W ZARANIU WIOSNY.

Pod promieniami cieplejszego słońca, pod ożywczym a ciepłym deszczykiem kwietniowym, budzi się u nas roślinność z długiego snu zimowego. Niby przeciąga ona zeszywniałe członki, szarą barwę za mienia na jasno-zieloną pękających pączków, aż wreszcie, za wpływek majowej pogody rozwiną się liście, ukaże się na łąkach i polach, w ogrodach i lasach bogata w odcienie zielona szata, miłsza ponad inne barwy ludzkiemu oku.

Najwyraźniejszym znakiem zbliżania się pożądanej wiosny są właśnie pękające pączki drzew i krzewów, narządy wielce ciekawe i zasługujące na zastanowienie każdego, kto nad tem co go otacza lubi rozmyślać, kto w niemych objawach przyrody potrafi wyczytać myśl pod niemi ukrytą, zawsze wielką i podziwu godną.

Gdy wy, kochani czytelnicy, podczas mroźnej nocy śpicie w wygodnych łóżeczkach, otuleni ciepłą kołdrą rękami kochającej was matki, pewno nie zawsze przychodzi wam na myśl nędzarze, pozbawieni dachu i od zimna drżący, a cóż dopiero mówić o roślinach. Wprawdzie niejeden z was powie sobie: „Rośliny nie mają krwi, jak nasza, cieplej, nie mają uczucia, więc i zimna nie doznają”. Co do krwi, zgoda, ale co do uczucia, o tem dałoby się niejedno powiedzieć, lecz to sobie odłożmy na później, zaznaczywszy tylko, że botanicy pewnego rodzaju czucie dawno dostrzegli. Mianowicie w rosnących częściach roślin i w miążdże ich pod korą zawarte, komórki, z których te żywe tkanki są złożone, zawierają w sobie zaródź (protoplazmę), poruszającą się swobodnie wewnątrz komórki. Co więcej: u pewnych wodorostów i grzybów, niektóre ich narządy lub wytwory poruszają się zwłaszcza w wodzie zupełnie swobodnie, jak najniższe zwierzęta. Drażniona rozmaitemi bodźcami także zaródź kurczy się, usuwa, okazuje czucie wyraźne.

Czy rośliny odczuwają działanie mrozu w ten sposób jak ludzie, tego rozstrzygać tu nie możemy. To pewna, że podlegają nadmarzaniu lub nawet całkowitemu zmarzaniu, przyczem żywa ich zaródź traci własność poruszania się i rozmnażania, a tkanki czernieją, obumierają.

Któż więc biedne roślinki zabezpiecza od srogięgo zimna, na które tak długo są wystawione?

Zimno to zaś musi być tem dokuczliwsze, że przykute do miejsca, nie mogą się nawet poruszać i ruchem rozgrzać.

Ten, kto stworzył i utrzymuje świat, w niepojętej mądrości zaopatrzył i rośliny. Dał im urządzenia pewne, widocznie ochronne.

Jeżeli w ciągu zimy wyłamujemy pączek dzikiego kasztana, który jak ciemno-brunatna gałka lub żołędź zakończy każdą gałązkę i weźmiemy go do pokoju, to przy rozpatrywaniu przekonamy się, że pąk ten z wierzchu pokryty jest materią lepką, która za ogrzaniem zrazu ciągnie się jak klej, potem zaś gdy się roztopi, ścieka zupełnie.

Gdy to nastąpi wtedy można bez trudności uchylić brązowe łuski i zajrzeć głębiej. Łuski te znajdują się u większości pączków drzew, szczególnie sfery umiarkowanej i chłodnej. Często zamiast lepu, pokryte są one gęstą pilśnią lub kutnerem, jak u brzoskwini, jeszcze częściej od wewnętrznej strony łuski te pokrywa srebrzysty, tak gęsty włos, że w dotknięciu wydaje się on miękkim, a ciepłym futerkiem. W istocie, są to futrzane kożuszki otulające wewnętrzne, miękkie części pąka.

Cóż zaś stanowi sam pąk? Rozwikławszy cierpliwie pozornie bezładną masę narządów w pąku zamkniętych, przy pomocy lupy (soczewki powiększającej), przekonamy się, że pąk składa się z kilku, ku wnętrzu coraz mniejszych listków, nadzwyczajnie delikatnych i wielce misternie złożonych. Obejmują one wzajemnie jedno drugie lub zwinięte są w trąbkę, jak cygaro lub poskładane, jak wachlarz. Nie-

raz i te listki znowu pokryte są licznymi, drobnymi włoskami, silnie kosmate, co oczywiście też za futerko poczytywać musimy.

Jeżeli z pąka mają się rozwinąć nie liście i pędy, lecz kwiaty, wtedy całkowity kwiatek w pączku już odnaleźć można. Co mówię kwiatek, często kwiatów cały bukiet, jak u grusz i jabłoni. By kwiaty te zobaczyć, należy usunąć łuski zewnętrzne i delikatnymi igielkami rozerwać maleńkie pączuszki, przyszłe płatki kwiatu, a pod niemi ujrzymy miniaturowe pręciki i słupki. Gole oko do tego jest nie dość doskonałe i trzeba je wzmocnić silną lupą lub nawet drobnowidzem (mikroskopem).

Mili czytelnicy, waszą uwagę zwracają pąki pękające. Istnieją one jednak na drzewach i krzewach daleko wcześniej, bo nie tylko przez całą zimę, ale zaczynają powstawać już na wiosnę, jak się tylko nowe liście rozwiną. W kącie, z którego liść wyszedł, bystre oko dostrzega małe zgrubienie, jestto przyszły pączek, z którego w następnym roku rozwiną się liście i pędy lub kwiaty. Ogrodnicy, wprawni w to, poznają pąki kwiatowe drzew owocowych z łatwością już na jesieni, gdy tylko liście opadną.

Każdy pąk jakkolwiek mały i niepozorny, zawiera w sobie to wszystko, co jest potrzebne, by się w nowy pęd czyli w nowy przyrost rozwinął. Bo listeczki jego lub pączuszki kwiatowe mieszczą w sobie streszczony pokarm roślinny, zwłaszcza cukier i krochmal. Potrzeba tylko wody, którą z ziemi pompują korzenie, i ciepła, by stopiło lep, a pąk się rozтворzy, rozprostują listki i na świecie robi się wkrótce cudne święto Maj, dawnych słowian pogańskich, a dziś święto wielkiej patronki naszej—Boga-rodzicy. Chwalać Ją na majowym nabożeństwie, wspomnijcie też, że i rośliny jakby na Jej cześć rozwijają swą świeżą niepokalaną zieloną szatę i okrywają się milionami śnieżnych kwiatów, których już potem w innych miesiącach nie widzimy.

E. Jankowski.

Zofia Kowerska

DZIELNY CHŁOPIEC.

(Dalszy ciąg).

— A to co? — zapytał, wskazując na szyjącego Józika—krawca sobie najależ? Jak mi Bóg miły, żebym miał trzy grosze, tobym je dał za to, że już na twoją dziurę, Płakso, patrzeć nie będę!

Błądy, wysoki student obejrzał się smutnie, westchnął i rzekł:

— Żebyś ty *Aligancie* nie gwizdał i nie śpiewał tak bez pomiarkowania, bo się człowiekowi w głowie aż mózg przewraca.

— Tobie się zdaje, Płakso, że ty masz mózg w głowie? Wyplakałeś go do czysta ciąglem mazaniem się.

Obrócił się do Józika i na nutę śpiewki: „Pije Kuba do Jakuba“ zapytał: Skąd się tutaj, wziąłeś, wziąłeś, skąd się tutaj wziąłeś?

— Jakis młody pan, bardzo wesoly kazał mi...

— Aa, Wesołowski cię przysłał, żebyś zaszył Płaksie dziurę w płaszczu?

— Zgodziłem się z łataniem odzienia...

— Już tylko nie mego odzienia — zawołał student na nutę: „Włazł kotek na płótek”.

Ten którego nazywano Płaksą, syknął:

— Aj, dajże pokój z tem śpiewaniem.

Aligant przestał głośno śpiewać, nucił tylko. Wycią-

gnął z pod łóżka kuferek i przeglądać począł krawaty, których miał ze dwadzieścia.

Nazywano go Aligantem dla tego, że raz gdy z Płaksą i Wesołowskim wychodził na ulicę, żona stróża patrząc na niego, rzekła:

— Ten, to *aligant*!

I został Aligantem.

On to potem przez zemstę nazwał jednego ze swych towarzyszy Płaksą a drugiego Wesołowskim, i chociaż każdy z tych trzech studentów miał swoje nazwisko, już się między kolegami nie nazywali inaczej jak Płaksa, Wesołowski i Aligant.

Józik mozolił się nad dziurą, ale ją w końcu zaszył, wyczyścił płaszcz doskonale, plamy powymywał mydłem i wodą i powiesił na gwoździu we drzwiach. Potem zapytał:

— Czy panowie już odemnie nic nie potrzebują?

Płaksa pokiwał przecząco głową, Aligant zaś odrzekł:

— Zrobisz mi prawdziwą przyjemność, jeśli się wyniesiesz.

I począł znowu śpiewać, Płaksa syknął, a Józik wybiegł szybko, gdyż mu spieszo było opowiedzieć wszystko pani Warbickiej.

Gdy Józik wszedł, pani Warbicka miała minę surową.

— Gdzieś ty chodził? — zapytała — ze trzy godziny cię nie było! Tylko się nie włócz po ulicy! Pewno się znowu z Walkiem spotkałeś?

Józik opowiedział wszystko. I to jak w każdej cukierni mu odpowiedziano, że chłopca nie potrzeba i to nareszcie, jak się zgodził za służącego do trzech studentów.

— Ten, co mię zgodził, to panią zna. Kazał się pani kłaniać.

Żadnego studenta nie znam, moje dziecko. To dobrze, żeś sobie pracę wynalazł, dobry z ciebie chłopiec. A teraz zabieraj się do pisania. Umiesz geografę?

— Umiem, proszę pani. A co tam u tych studentów książek! Takie duże chłopcy, a jeszcze się uczą! Może i ja tam jeszcze przy nich co z nauki połapię. Tak mi stróżowa z tego domu na Wilczej powiedziała, że oni się uczą na doktorów.

Wieczorem Józik pobiegł znowu na Wilczą. Łóżka usłał jak się to na noc robi, i tak mu się udało, że właśnie przy nim przynieśli dla Płaksy koszyk ze wsi od ciotki. Były w nim różne rzeczy do jedzenia i Józikowi dano kawał chleba razowego, kawał sera i kilka jabłek. On to wszystko zawinął w starą gazetę i zaniósł pani Warbickiej. Ogromnie przyjemnie mu było poczęstować staruszkę swoim zarobkiem i tylko myślał o tem, żeby trochę grosza uszładać i kupić furę drzewa na opał. Był pewny, że Bóg mu dopomoże, bo chciał uczciwie pracować ile mu sił starczyło.

Pani Warbicka miała budzik, czyli taki zegarek co dzwoni bardzo głośno o tej godzinie, na którą się go nastawi. Józik uprosił swę opiekunki, żeby budzik nastawiła na 5-tą i o tej też godzinie wstał nazajutrz, bo musiał przed 8-mą buty i odzienie swoich panów oczyścić, ponaprawiać co było rozdarłe, samowar nastawić i po bułki skoczyć. Pozałatwiał się ze wszystkim i dalejże budzić Wesołowskiego, który brzytał, bronił się jak od rabusia, kołdrą się zasłaniał, łajał albo znowu prosił jak małe dziecko, żeby mu dano spokój. Ale chłopiec wciąż swoje i swoje! Kropidłem kropił, a kołdrę ściągał, aż wreszcie student rad nie rad wstał i zaczął się ubierać.

— A to utrapienie! — mówił Wesołowski. — Przyczepił się do mnie jak kleszcz! Ani się od niego opędzić!

Płaksa przeciągnął się w łóżku z miną kwaśną, jakby się najadł niedojrzałych jabłek, a Aligant ledwie oczy otworzył, już śpiewał w niebogłosy.

— Proszę pana — rzekł Józik do Wesołowskiego — trzeba by kupić szuwaksu, bo już może i na raz nie wystarczy.

— Idź do Płaksy niech ci da na szuwaks!

Józik zbliżył się do Płaksy z pudełkiem prawie próżnym, mówiąc:

— Na jutro już może nie będzie dosyć...

Ale ten go ofuknął:

— Co mi tam po szuwaksie!

Józik zwrócił się do aliganta, który na nutę: „Uciekła mi przepióreczka w proso” odpowiedział, że i tak ze swego skarbeca dał już dziś na bułki, a co do szuwaksu, to już w tem powinna być głowa Józika.

Skończyło się na tem, że Płaksa ze starej portmonetki wytrząsnął złotówkę, utrzymując, że nie chodzi mu wcale o szuwaks, ale o to, żeby mu już przestano nad głową klektać.

Józik podał samowar, bułki i zapasy wiejskie z koszykiem, a gdy studenci wypiwszy herbatę poszli do uniwersytetu, zaczął łóżka słać, zamiatać, kurze ścierać. Przytem było mu trochę markotno. Chciał koniecznie zarobić na drzewo dla nani Warbickiej, a tu, jak widział, jego panowie byli prawie tak ubodzy jak on sam. Cóż to będzie jeżeli nie będą mieli z czego zapłacić mu za jego usługę?

— Ha, niech tam będzie jak Pan Bóg da! — pomyślał w końcu. — Może mi się co lepszego trafi, a tymczasem dobrane, że posłużę tym paniczom, co sobie nie mało głowy nad nauką nałamią, a niema im nawet kto podłogi zamieść!

Rzeczywiście, studenci, którym posługiwał Józik, mieli bardzo ubogich rodziców, którzy im pomagać nie mogli. Chłopcy dobijali się nauki własnym trudem, a trud to był nie mały. Czasem do drugiej po północy siedzieli nad książką, a rano znów musieli iść do uniwersytetu. Całe zaś poobiedzie biegali po różnych ulicach i domach, ucząc małych chłopców, którzy chodzili do szkół. Czasem dzieci te dobrze się korepetytorom we znaki dawały, tak, że Płaksa wołał wrócićszy do domu:

— Lepiej kamienie na szosie tłuc, niż dzieci uczyć! a to mi się tego roku same osły dostały! A wszystko rozpieszczone gagatki! Taki mazgaj zaraz idzie skarżyć się matusi, a matusia zamiast wyłajać porządnie, jeszcze go całuje i głaszcze!

Wesołowski lubił się drażnić z Płaksą, więc mu odpowiedział:

— To nie dzieci winne, ale ty sam! Każdemu, co na twoją twarz skrzywioną spojrzy, płakać się chce i ja sam gdy się uczę, to się od ciebie odwracam, bo mię zaraz melancholia napadać zaczyna!

— Tobie wiecznie tylko koncepta w głowie!

— Dawnobym nie żył, żeby nie to, że sobie wszystko w żart obracam!

Józik ogromnie polubił swoich panów. Znał już przyzwyczajenia każdego, wiedział, jak każdemu dogodzić. Miejsiąc dobiegał już jego służby, a on nie śmiał się upominać o zapłatę.

Pewnego razu budził Wesołowskiego z wielkim trudem, kropił go zimną wodą, aż biedny student, broniąc się, zawołał:

— Daj mi pokój, to przecie dziś niedziela!

A Józik na to:

— Nie niedziela, panie, ale czwartek! Dziś właśnie cztery tygodnie jakem panom służyć zaczął.

Aż tu na te słowa Wesołowski skoczył na równe nogi, jakby go ta zimna woda oparzyła, którą Józik pryskał na niego.

— Cztery tygodnie? — zawołał — a czemuż nie mówił! Toć przecie należy ci się zapłata! Płakso, Aligancie! Wstawajcie, kiedy ja wstaję!

Józik sobie pomyślał:

— To widać najlepsze na niego budzenie, wspomnieć mu, że się komu co od niego należy.

I tak było rzeczywiście, Wesołowski nigdy nikomu nie był winien, a długów się bał jak ognia, kropienie nie mogło go wytrzeźwić, ale gdy mu Józik przypominał, że mu się od niego miesięczna zapłata za usługę należy, zerwał się na równe nogi.



Fig. 140. Ruchome tafelki szkieletu jeżowca, ułożone jak dachówka.



Fig. 141. Oneirophanta. Strzykwa z wielkich otchłani morskich.



Fig. 142. Ipsilothuria z otchłani morskich, 2 razy powiększona.



Fig. 143. Gladodactyla. Piękna strzykwa, wraz ze swemi młodem.



Fig. 144. Polychelidae. Rak barwy białej, żyjący w otchłaniach morskich. Wielk. natur.



Fig. 147. Krab zwany: Heterocrypta.

— Płakso — zawołał — musisz rozwiązać trzos: Ali-gancie, na twoje krawaty zrobimy licytację i sprzedamy co masz najpiękniejszego między gratami, a Józikowi musimy pensję zapłacić. Nie upominał się dotąd i byłbym doprawdy zapomniat!

Płaksa nie miał ani grosza, ale miano mu właśnie zapłacić za korepetycje, Aligant zaś z miną bardzo pyszną wy-dobył z portmonetki dwa ruble i rzucił je na stół.

— Znać pana po cholewach! — zawołał Wesołowski.
(d. c. n.)

W OTCHŁANIACH MORSKICH

PRZEZ

Dr. M. Stefanowską.

(Dalszy ciąg).

Strzykwki stanowią jedną z najwięcej charakterystycznych grup między zwierzętami głębinowemi; sięgają one aż do 5000 metrów głębokości, a kształtami różnią się bardzo od swych sióstr, żyjących u wybrzeży. Zamiast beczółko-

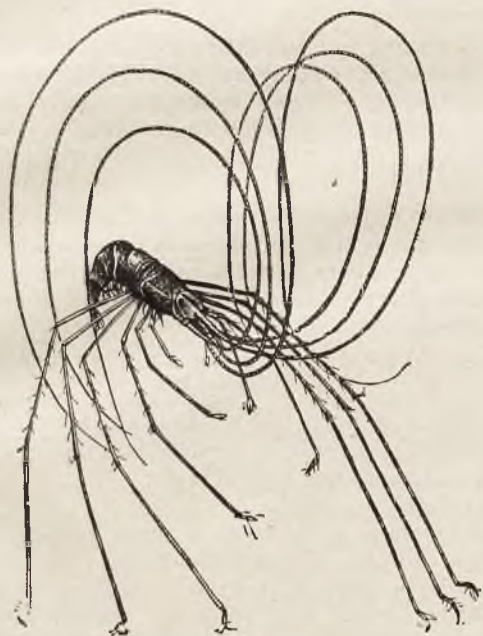


Fig. 145. Nematocarcinus. Rak na wysokich nogach
1/2 wielk. natur.

watych albo wałkowatych stworzeń (patrz niżej fig. 46 i 47) w niektórych głębinach morskich znaleziono mnóstwo strzykw, które zupełnie podobne są do ogromnych liszek, pełzających po namule za pomocą licznych spodnich nóżek; nóżki zaś na grzbiecie przestały służyć do pełzania, natomiast nie wydłużyły się bardzo i służą im za narzędzia dotyku. Zmiany te widoczne są u strzykwy *Oneirophanta* wyobrażonej na fig. 141. (Patrz także fig. 162 Nr. 9 i 10). Pełzając po dnie morskiem strzykwy jedzą ziemię, która zawiera wiele szczątek zwierzęcych.

Inne zaś gatunki strzykw zagrzebują się w mule i prowadzą osiadły żywot, wystawiwszy na wierzch jedynie oba końce ciała. Pod wpływem takiego trybu życia kształt ich ciała zmienił się do niepoznania, zwierzę przybrało formę litery U, jak to widzimy na fig. 142. *Ypsilothuria*.

Wspominaliśmy już wyżej, że między strzykwami głębinowemi istnieją gatunki pielęgnujące swe młode. Tak czyni np. piękna *Cladodactyla*, fig. 143. Dzieci jej znalazły przytułek w rowku biegnącym wzdłuż grzbietu matki. Młode są przezroczyste jak kryształ, a głowę mają okolonę takimże przepysznym wieńcem jak u matki.

Raki i pająki.

Drobne raczki należące do najniższych grup są niezwykle obfite, jak wiemy u wybrzeży oraz na powierzchni oceanu; w głębinach zaś przeciwnie, znaleziono ich bardzo mało. Na-

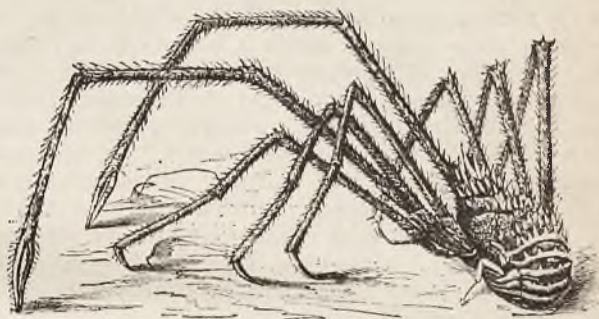


Fig. 146. Ptychogaster. Rak czerwonej barwy.

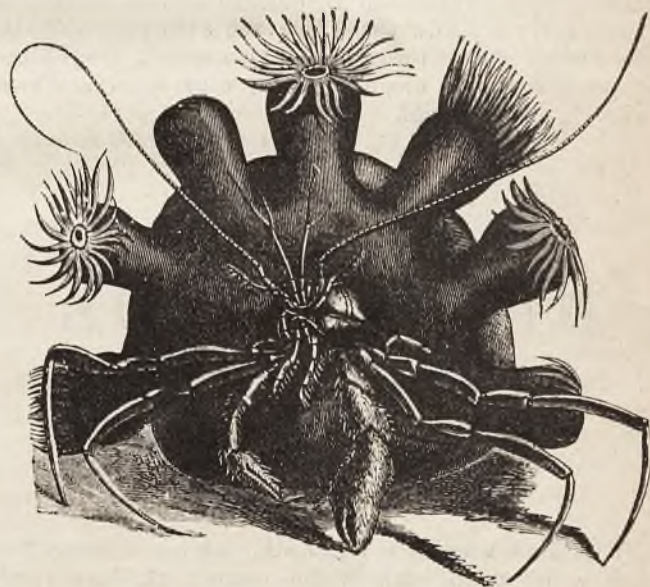


Fig. 148. Pagurus pilimanus. Chodaczek mieszkający w kolonii polipów.

tomiasz w głębinach są liczne raki o udoskonalonej budowie, pokrewne rakowi rzeczniczemu; stanowią one w otchłaniach główną ludność. Bardzo rozpowszechnioną jest zwłaszcza rodzina *Polychelidae*, której przedstawiciela mamy na fig. 144.

Gatunki zbliżone do krewetek są tu równie bardzo obfite, a odznaczają się często żywymi barwami oraz długimi wąsami i nogami, jak to widzimy u delikatnego raka *Nematocarcinus* na fig. 145. Gatunek ten jest niezmiernie rozpowszechniony, na rozmaitej głębokości, znajdowano go wszędzie między 600 i 5000 metrami.

Dziwnie długie nogi ma także gatunek *Ptychogaster* (fig. 156) a kołdun swój chowa pod skorupę. Niektóre gatunki drobnych raczków zamieszkują w otchłaniach kryształowe pałace, które dla nich są bąbki krzemionkowe.

Raki krótkoogoniaste, czyli kraby, są mniej liczno

w głębinach morskich od raków długoogoniastych i w ogóle znajdowano je jedynie w niewielkich głębiach, między 100—500 metrami. Najwięcej rozpowszechnione w głębiach gatunki krabów należą właśnie do tych rodzin, które u wybrzeży w wysokim stopniu posiadają instynkt ukrywania się i *udawania* (patrz niżej o krabach). Widocznie chęć szukania kryjówek zagnała te raki aż do cichych i czarnych otchłani. Nader pospolitym gatunkiem kraba w głębinach jest *Heterocrypta* (fig. 147).

Niezwykle liczne są tam także *chodaczniki*. Przypomnijmy sobie, że owe raki mają zwyczaj chować swój miękki kołdun do skorup rozmaitych ślimaków. Ale w głębinach oceanicznych skorupki mięczaków nie są tak obfite, jak u wybrzeży i dla tego chodaczniki zamieszkujące głębie, musiały zmienić nieco swe obyczaje. To też niektóre gatunki nie okrywają niczem swego kołduna, lecz chowają go pod siebie, inne wiercą sobie norę w mule, a wejście do niej zamykają swemi kleszczami. Mają wreszcie inny jeszcze sposób zdobycia sobie schronienia; Challenger i Talisman znajdowali w Atlantyku chodaczniki zwane *Pagurus pilimanus*, które zawarły z polipami jeszcze ściślejszą spółkę, niż ich współbracia u wybrzeży. Na fig. 148 widzimy chodacznika uwięzionego wewnątrz kolonii polipów, które otoczyły go jakby wieńcem. Dzieje się to w sposób następujący: W młodym wieku chodacznik ten, jak zwykle, żyje w skorupce, na której niebawem obiera sobie mieszkanie wytworny polip fiolkowej barwy, zwany *Epizoanthus parasiticus*. Stopniowo polip rozrasta się, wypuszcza pączki, z których jak kwiaty rozwijają się podobne do niego polipy. Kolonia polipów, jak płaszcz, okrywa sobą powoli skorupkę oraz raka, który także wciąż rośnie. Skorupka wkrótce staje się dla niego za ciasną i niepotrzebną; to też stopniowo rozpuszcza się ona i znika, pod wpływem ostrych soków wypływających z polipów, a chodacznik na zawsze zostaje uwięziony w tym wieńcu żywych kwiatów, które łowią dla niego zdobycz, a parzydełkami swemi odstraszaają nieprzyjaciół.

(d. c. n.)

NIEDŹWIEDŹ

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

p. Zuzannę Morawską.

(Ciąg dalszy).

Kmita nie wiedząc w tej chwili, jakie są zamiary Bony, słuchał w milczeniu, dając tylko poznać wzrokiem i całym układem, że podziela jej zdanie.

— Pięknelna wasza zima wszystkiego narobiła! — mówiła dalej Bona — wstąpił do nich zapędzony zadymką, tak mu dogadzali, teraz ciągle o nich wspomina...

I nie skończywszy myśli, poczęła żywo chodzić po komnacie.

— Wina to otoczenia, ci, co byli z najjaśniejszym Zygmuntem Augustem, powinni byli tak pokierować, ażeby nabierał upodobania tylko do tych osób i do takich spraw, które najjaśniejszej jego matce mogą do serca przypaść — rzekł Kmita.

— Naturalnie, wina to ochmistrza, który Bóg wie, jakie przekonania wpaja w młodą i łatwo zapalną głowę Sigismunda.

To mówiąc siadła i skinęła na kasztelana wojnickiego, żeby się przybliżył. Przyciszonym głosem zaczęła z nim rozmawiać.

Słychać już tylko było urywane słowa, wśród których nazwisko Opalińskiego z rozmaitemi przydomkami, coraz częściej wybiegało z ust królowej.

Kmita uspokajał ją, starał się głosowi swemu nadać wyraz miękkości, wreszcie przyłożywszy rękę do piersi rzekł: — Najjaśniejsza pani może być pewną, iż wszystko uczynię, co mogłoby ją zadowolnić.

Wtem oznajmiono przybycie Fogelfedera, nadwornego lekarza młodego króla. Kmita chciał opuścić komnatę, lecz Bona dała mu znak, żeby został.

— Czy syn nasz, najjaśniejszy król Zygmunt August, niema objawów jakiej choroby? — rzuciła Bona w rodowitym swym języku.

Młody lekarz spojrział z pewnem zadziwieniem na mówiącą i odrzekł w tymże samym języku:

— Badałem go dzisiaj, młody król cieszy się jak najlepszym zdrowiem.

— Podobno jakaś zaraźliwa gorączka panuje w mieście?

— Nie słyszałem o żadnej...

— To źle, obowiązkiem lekarza wiedzieć o takich rzeczach i donosić mi w tej chwili.

Lekarz, jakkolwiek mimo swej młodości bardzo uczony i biegły w swej sztuce, nie był snać biegłym w znajomości rozmaitych wymagań królowej, spojrział bowiem na nią ze zdziwieniem i zadumawszy się, rzekł cichym głosem:

— Nie miałem pod tym względem wydanego rozkazu.

— Bez wydawania specjalnych rozkazów znać trzeba swoje obowiązki — dorzuciła Bona.

Fogelfeder jeszcze więcej się zarumienił.

— Najechało się tyle szlachty, ta hołota przywiozła zarazę, dziewczyna jakiegoś kasztelana zakroczymskiego podobno chora, syn nasz posyłał do nich swego ulubieńca, mógł przynieść chorobę.

— Gorączka nie tak łatwo się przenosi, zwłaszcza, że posłaniec wracając, owiany był wiatrem, który ma własność wyciągania zarazy — rzekł spokojnie młody lekarz, zapatrując się na rzecz tę ze swego stanowiska.

Królowa spojrzała nań pogardliwie i wzruszyła ramionami.

— Waśc najzupełniej nie rozumiesz o co chodzi, trzeba iść dowiedzieć się, na co chora ta dziewczyna, niech znaję opiekę królowej; dbam nawet o najmniejszych poddanych naszego małżonka i naszego syna — rzuciła z pewnym naciskiem królowa.

Teraz już młody lekarz nie a nic nie rozumiał, uklonił się jednak i ku drzwiom skierował.

— Zaraz mi przynieść wiadomość, a suknie wchodząc tu przewdziać! — zawołała za odchodzącym.

A przez zaciśnięte zęby dodała:

— Lekarz, a głupi!

— Chciałam wziąć te dwie małe kasztelanki na dwór, może udają chorobę, głupia szlachta nie rozumie swego interesu i zaszczytu jaki ją spotyka — rzekła, zwracając się do Kmity, który przez ciąg rozmowy stał we framudze okna i dyskretnie wyglądał przez niewielki otwór w oprawie szyby, łowiąc jednak uchem cheiwie każdy wyraz rozmowy.

Teraz zwrócił się, jakby zbudzony z zadumy i z zaciekawieniem wpatrywał się w mówiącą.

— I to być może; są ludzie nie umiejący ocenić dobroci jej królewskiej mości... a bodaj, czy niejeden łaski jej na złe sobie nie tłumaczy — wyrzekł, akcentując każdy wyraz, dla nadania mu większej wartości.

— Tak myślicie?

— Nie posądzam, broń Boże kasztelana zakroczymskiego, mówię tylko ogólnie i podziwiam bystrość umysłu jej królewskiej mości, która wyższym swoim rozumem umie wszystko i wszystkich dokładnie ocenić — odrzekł dworak z uprzejmym uklonem.

W ten sposób toczyła się jeszcze dość długo poufna rozmowa, a chociaż przez ten czas królowa przywoływała jeszcze kilka osób, Kmita na wyraźny rozkaz pozostawał. I dziwna rzecz, ten pau tak dumny, przed którym uchylali czoła nieraz jemu równi, bogaty i hojny, iż rzucał darami i pieniędzmi, tutaj dla jakichś jemu tylko wiadomych powo-

dów, odgrywał rolę wcale nie zaszczytną i mieszał się do niskich, a czasem nawet występnych intryg przewrotnej Włoszki. I teraz pozostając w komnacie i słuchając pilnie każdej rozmowy, umiał zawsze tak się zająć czem innym, iż zdawało się, że na to, co się koło niego dzieje, najzupełniej nie zważa.

W rozmowie tej, imię młodego króla, jego wychowanie, przysze jego rządy, były kilkakrotnie wyczerpująco omawiane. A gdyby ktoś nieświadom biegu rzeczy, pilnie się tej rozmowie przysłuchiwał, mógłby wywnioskować, że kraj ten rządzony jest przez niewiastę i sprawy całego państwa i narodu w jej rękę spoczywają.

— Król stary a nasz małżonek dał się opanować hetmanowi, no, a potrochu Opalińskiemu, widzi tylko ich oczami, naraża syna na wiele nieprzyjemnych przygód i całe wychowanie według ich myśli chce prowadzić — żaliła się Bona.

Kmita tylko wyrazem twarzy okazywał, iż podziela jej zdanie, ona zaś ciągnęła dalej:

— W dzisiejszych warunkach nie tylko umiejętność prowadzenia wojny lecz polityka, dyplomacya, pewna przebiegłość jest potrzebna. Ród Jagiellonów się tem nie szczyci, Polacy są też dalecy od pojęć cywilizacyi, choć mego syna z tej rdzy oczyścić, od pleśni uchronić, dać mu takie wychowanie, jakie powinien mieć król, bądź co bądź rozległego państwa. A oni, ci wszyscy pochlebcy starego króla otaczają naszego syna ludźmi, którzy tego nie rozumieją; to niedźwiedzie w grubej skórce, których nie cierpię, nienawidzę, którzy mi na każdym kroku zaporę stawiają! — mówiła z coraz większym gniewem i wzrastającym zapałem Bona, chodząc żywo po komnacie i gestykując, jak to było w jej zwyczajach.

Kasztelan wojnicki stał, udając wielkie przejęcie głosnymi myślami królowej i wciąż milczeniem potakiwał. Z pod stołu wychylały się od czasu do czasu przebiegłe oczy Diavola, ucho chytało chciwie wyrazy, w myśli zaś układał jakby komu stołka przystawić, komu się pochlebić i zyskać jeżeli nie garść złota, to przynajmniej garść łakoci, ktoromi lubił się opychać.

Szeptał zaś sobie:

— Oho, mości ochmistrzu, niedługie twoje panowanie, pójdzieś na psy, na psy! A ja zawsze będę w swej budzie panem... i zawsze potrzebnym, choć poniewieranym sprzętem!

Tymczasem lekarz Fogelfeder dowiedziawszy się o mieszkaniu starosty zakroczymskiego, poszedł wypełnić rozkaz monarchini a zarazem dogodzić swemu sercu, już to przez zamilowanie dla swojej sztuki, już to przez szczere przywiązanie do młodego swego pana. Bał się o jego zdrowie i życie, miał zaś słuszne obawy, bo wiedział, że zniewieściałe i wydelikaczone wychowanie, może popsuć z natury silny organizm, jaki po Jagiellonach odziedziczył.

— Zaraza do takich wydelikacyjnych, ma łatwy przystęp — myślał o swym królewskim pacyencie.

Wszedł zaś do mieszkania kasztelana bez oznajmienia, wszyscy bowiem tak rodzice jak dwór cały w bezgranicznej rozpaczyc zesłi się do komnaty, gdzie obie kasztelanki leżały prawie bez życia.

Sino-purpurowe ich twarzyczki, świadczyły o strasznej gorączce. Oczy miały zamknięte, leżały bez ruchu, tylko od czasu do czasu spieczonemi ustami, wymawiały jakieś wyrazy bez związku.

Kasztelanowa klęczała przy ich łóżku i tłumiąc łzy wymawiała głośno wyrazy modlitwy, którą wszyscy przytomni powtarzali.

Wejście Fogelfedera spostrzegł kasztelan, zwrócił się zaraz ku niemu i przyciszonym boleścią głosem zapytał:

— Co zaczę?

— Lekarz jego królewskiej mości, Zygmunta Augusta. Kasztelan zwiesił smutnie głowę.

— Bóg sam chyba uleczyć ich może, a niegodniśmy cudu! — odrzekł strapiony ojciec.

— Wszakże, pozwólcie mi się do nich przybliżyć — prosił przybyły.

Twarz młodego lekarza miała taki wyraz łagodności a zarazem rozumu, że kasztelan spojrzawszy nań, nabrał jakiejś otuchy i nie mówiąc, skinął głową przyzwalająco.

Pani Łucya nie broniła mu przystępu, może nawet nie rozumiała, co się około niej dzieje, tylko dalej błagalnym głosem wymawiała słowa modlitwy. Reszta przytomnych przycichła nieco, robiąc miejsce przybyłemu; Piotruś począł mu się pilnie przypatrywać i wlepiwszy weń wzrok ciekawy, nie mógł się od tej postaci pełnej szlachetności oderwać. Jędrus zaś i Marcinek pokazywali sobie młodego lekarza oczami, i pytali się szeptem:

— Czy to zacz, nie z rozkazu królowej aby ją zabrać?

Tymczasem lekarz nachylił się nad Jadwisią, posłuchał nieco jej oddechu i mimowoli kiwnął głową ze smutkiem. Z kolei nachylił się nad Anusią, wziął ją za rozpaloną rękę, dotknął głowy i powoli twarz jego się rozjaśniła.

Kasztelanowa nie zwracając z początku uwagi, teraz zaczęła śledzić jego ruchy. Poznała snać po jege twarzy, co czeka jej ukochane córki, łzy puściły się strumieniem po zbolątej twarzy i głośniejsze jeszcze, i błagalniej poczęła przerywać na chwilę modlitwę.

Kasztelan stojąc opodal pochwycił za rękę wracającego od łóżka córki Fogelfedera, i rzekł ze strasznym, przejmującym spokojem:

— Cudu nie uczynisz, boś nie mocen!

— Nie mocen cudów, lecz mocen czynić, co mi obowiązek i nauka nakazuje — odrzekł lekarz i zabrał się do przyrządzenia leków, na które potrzebne ingrediencye zabrał ze sobą.

— Matko, ojcze! — ozwał się słaby głos Jadwisi.

Ucichły słowa modlitwy, wszyscy wstrzymali oddech, chcąc usłyszeć wymawiane przez chorą wyrazy.

Rodzice zbliżyli się ku niej i nachyleni badali każde drgnienie ukochanej dziewczeczki.

— Matko, ojcze! idę na dwór, ale nie królewski... Bóg mię chroni... zabiera do siebie... widzę Go w wielkiej chwale... anioł schylił się ku mnie... biały anioł... smutny... skrzydła swe rozwinął... bierze mnie... bierze... ale mi lekko... widzę niebo otwarte... widzę naszą ziemię z wysoka... och, jakaż ona piękna!...

Ucichła na chwilę i przymknęła oczy. Purpurowe rumieńce schodziły, twarzyczka jej bieląła, aż wreszcie wystąpiła bladeść, snać powiew lepszego świata ogarniał ją powoli. Leżała tak czas jakiś bez ruchu, żaden muskuł nie drgnął na tej młodocianej, dziwnie teraz wypiękniałej i wyszlachetniałej twarzyczce.

Pani Łucya i jej małżonek stali z wlepionemi w nią oczami, nie śmiejąc się ruszyć, jakby oczekiwali jeszcze jakiego wyrazu.

Nie zawiedli się.

Wkrótce wyciągnęła rączki przed siebie, potem wzniosła je gwałtownym ruchem ku górze i zawołała:

— Anusiu, bracia! Kazik zostanie... zostańcie... Matko, ojcze!... błogosław!...

I rączki opadły wzdłuż ciała, główka zakłęsała w poduszki, powieki jej przymknęły się jeszcze więcej a uśmiech błogi zaigrał na jej bladych usteczkach.

Anioł śmierci wszedł do komnaty.

(d. c. n.)



Z DZIEJÓW CYWILIZACYI.

(Dalszy ciąg)

W każdym prawie większem mieście odbywały się jarmarki na niewolników, ale najsławniejszym rynkiem stało się miasto Lugdunum w Gallii, obecnie Lyon we Francyi. Hiszpanie dostawali tam jeńców z Afryki, Germanie — Słowian

i t. d., a w mieście tem następowała na większą skalę wymiana niewolników z nad Bałtyku, morza Śródziemnego i Oceanu.

Spróbujmy wyobrazić sobie taki haniebnny jarmark! Stoją do dziś dnia w Lyonie resztki murów, pod którymi cisnęły się pół nagie skatowane ofiary, pojmane oddzielnie lub całymi rodzinami. Tu bohaterski wódz Obotrytów lub Wilków tuli do siebie dzieci i żonę, tam gromada śniadych, młodych chłopców, spędzona w gromadę jak stado bydła, czeka na nabywcę. Zbliża się właśnie bogaty handlarz, który pośredniczy w wymianie żywego towaru.

Przywiózł z południa jeńców wyćwiczonych w rzemiosłach, pójdą oni na północ żeby tam zanieść swą sztukę, a nikczemny faktor z kolei ogląda silnych Słowian, przyprawdzonych w germańskich pętach.

Potrzebni oni przy budowie wielkich gmachów, lub do zapasów cyrkowych, trzeba tylko wybrać zdrowych i muskularnych; handlarz zna się na tem. Ogląda zęby, ręce i nogi skrupowanych ofiar. Wybrał najtęższych, cóż z tego, że wydrą męża żonie, syna matce, że dzielnego wojownika popędzą w jarzmie na koniec świata, gdzie go nie doleci echo rodzinnej pieśni!

Pod zbawiennym wpływem religii chrześcijańskiej, w ciągu kilku wieków zmieniły się prawa, obyczaje i poglądy świata starożytnego. Chrystus Pan ukochał wszystkich ludzi i poniósł śmierć na krzyżu nie za jeden naród lub klasę, lecz za ludzkość całą. „Niema już pierwszych ani ostatnich” — powiada św. Paweł — niema Greków ani Żydów, niema obywateli i barbarzyńców, ani wolnych i niewolników, ale Chrystus cały jest we wszystkich.” To też powoli wśród ludów europejskich znika wstętny handel ludźmi, a zależność jednych od drugich przyjmuje mniej surowe cechy. Potonkowo dawnych niewolników przechodzą w tak zwanych poddanych — serfs (od łacińskiego *servus*).

Ale nie był to już dawny rzymski niewolnik: był on osiedlony na ziemi, posiadał rodzinę, dzieci i rolę; jego pan już go nie mógł zabrać ze wsi i sprzedać w dalekie kraje, nie mógł go również pozbawić żony ani dzieci, albo usunąć z domu i roli, ustąpionych jego przodkom. Stan tych poddanych nie był o wiele gorszym od stanu wieśniaków wolnych, którzy pochodzili od dawnych ludzi wolnych.

Zdarzały się jeszcze długo różne nadużycia i okrucieństwa, ale ostatecznie handel ludźmi ukrócił w XII wieku, także Aleksander III i Ludwik VI król francuski.

Ludy chrześcijańskie w średnich wiekach nie znały już niewolnictwa i nie uprawiały go; inne jednak narody: Saraceni, Turcy, Maurowie i Tatarzy, wszystkich jeńców wojennych uważali za niewolników i kupczyli nimi, jak zwierzętami, obchodząc się z wielkim okrucieństwem i surowością, zwłaszcza z chrześcijanami. Począwszy od wojen krzyżowych i najazdów mongolskich aż do XVIII wieku, setki tysięcy, jeśli nie miliony chrześcijan, uprowadzanych siłą, zносили ciężką dolę w jasyrze tatarskim i niewoli tureckiej.

Jeżeli jednak narody europejskie pozbyły się u siebie ohydnej plamy niewolnictwa i oburzali się na zaprowadzenie w niewolę człowieka rasy białej lub żółtej, smutnem zdarze-

niem losu z nastaniem tak zwanych wieków nowożytnych, rozwinęły na drugiej półkuli, w nowo odkrytej części świata, Ameryce, handel ludźmi i niewolnictwo, którego ofiarami byli także ich bliźni, choć odmiennej barwy skóry.

Rozwój kolonii europejskich w obu Amerykach, gdzie rozpoczęto na ogromną skalę uprawiać kawę, trzcinę cukrową i bawełnę, wywołał nadzwyczajne zapotrzebowanie robotników. Europejczycy z powodu klimatu nie mogli i nie chcieli podejmować się tak ciężkiej pracy, a plemiona miejscowe także do niej zdolne nie były. Zaczęto więc sprowadzać robotników, Murzynów z wybrzeży afrykańskich. Chwytano ich lub kupowano i wywożono najprzód do wysp sąsiednich, jak Fernando Po, lub św. Tomasza, gdzie uprawiali trzcinę cukrową, a później do posiadłości amerykańskich.

Handlem Murzynami czyli „drzewem hebanowem”, jak ich nazywano, trudnili się początkowo Portugalczycy, Hiszpanie, a później Francuzi i Anglicy. Pokojem w Utrechcie 1713 r. zawarowali sobie ci ostatni prawo dostarczania koloniom za oceanem 144,000 niewolników. W tej samej Anglii jednak powstało wkrótce ogólne oburzenie przeciw niegodziwości handlu ludźmi, a oburzenie to znalazło oddźwięk w Ameryce, gdzie bohaterski Waszyngton rozpoczął właśnie wojnę o niepodległość.

(d. c. n.)

Od Kolonii Letnich.

Siedemnasty rok z rządu wypada nam odwołać się do ofiarności publicznej, w celu zapewnienia dzieciom najuboższej ludności Warszawy w ciągu lata r. b. dobrodziejstw świeżego powietrza i zdrowego posiłku.

Zwiększając corocznie liczbę dzieci wysyłanych na wieś staraniem Kolonii Letnich, w roku ubiegłym osiągnęliśmy pokaźnej cyfry 2150; stosunkowo do potrzeb i warunków naszego miasta jest to zaledwie część, która nie czyni zadość potrzebom.

W celu zebrania potrzebnego funduszu odwołujemy się do litościwych serc z prośbą, o przyczynienie się ofiarą do dzieła, którem wnosi się zdrowie i pociechę pod dach naszej uboższej braci.

Ofiary składać prosimy na ręce skarbnika dyrektora Aleksandra Czajewicza w biurze Dyrekcji Tow. Kred. Miejskiego (Włodzimierska 25) oraz w redakcyach pism.

Dr. Ciechomski Andrzej, Czajewicz Alexander, Godlewski Stefan, Higersberger Wanda, Dr. Kosmowski Wiktor, Konic Henryk, Dr. Markiewicz Stanisław, Dr. Natanson Antoni, Pawłowska Jadwiga, Rotwand Stanisław, Szlenkier Jan, Dr. Tomaszewicz-Dobrska Anna, Wieniawski Julian, Ks. Woroniecki Mieczysław, Zakrzewski Adam.

Redakcyja Wieczorów w przyjmowaniu ofiar jaknajchętniej pośredniczy.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TRĘŚĆ: Rady matki, wiersz przez W. P. (z ryc.) — W zaraniu wiosny przez E. Jankowskiego. — Dzielnny chłopiec przez Zofię Kowerską. — W otchłaniach morskich przez dr. M. Stefanowską (z ryc.) — Niedźwiedź, powieść z XVI w. przez Zuzannę Morawską. — Z dziejów cywilizacji. — Dodatek: Pokusa, wiersz (z ryc.) — U cioci Polci. — Królowa peziomek i paproci, bajka czarodziejska przez Wacława Sulimę. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historyja rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

WIECZORY RODZINNE



Pokusa.

Słonko tak mile świeci,
Tak cudnie, jasno wokoło,
W pobliżu bawią się dzieci,
Jakże tam gwaro, wesoło.

A małe dziewczę przy drodze
Siadło z koszykiem u boku.

Czemu tak smutno niebodze,
Czemu łzy błyszczą w jej oku?

Ach! taką czuje ochotę,
Bawić się, igrać, gdy pora.
Lecz na nią czeka, sierotę,
Matka uboga i chora.

Więc walka dwóch sprzecznych chęci,
W duszyczce jej się odbywa:

Do zabaw młodość ją ęci,
Do matki powinność wzywa.

Pokusa wielka, lecz przecie,
Dziewczę ją sercem zwycięża,
Bo miłość dziecka, wszak wiecie,
Ma w walce siłę oręża.

Więc ową siłą już zbrojna,
Mijając ochocze dziatki,
Wróciła cicha, spokojna
Do ukochanej swej matki.

E. L.



U cioci Polci.

(Dalszy ciąg).

Papierowe zwierzęta.

Deszcz padał ulewny na dworze, dzieci chodziły niezadowolone i nachmurzone.

— Kiedy już miało padać, czemu nie padało wczoraj — rzekł Henryś.

— Albo innego dnia — dodała Zosia.

— Taką miałem ochotę zobaczyć zwierzęta — westchnął Kazio.

— I ja też, i ja — wołały wszystkie dzieci.

— Nigdy nie widziałam słonia — rzekła Zosia — a niania mówiła, że widziała jak go wczoraj prowadzono ulicą.

Weszła na to ciocia Polcia.

— Ach, ciociu — zawołał Henryś — czy nie będziemy mogli pójść oglądać zwierzęta?

Ciocia potrząsnęła głową.

— To niemożliwe! czy nie widzicie, jaki Irenka ma katar?

Na te słowa nieszczęśliwa Irenka zaczęła płakać, ciocia musiała wziąć na kolana ową dużą pannę i uspokajać ją, gdyż biedne dziecko rzeczywiście było niezdrowe i smutne.

— Bardzo mi przykro — rzekła ciocia — że nie możemy iść do menażeryi oglądać zwierzęta, ale widzę tylko na to jedną radę.

— Jaką? — spytała Zosia.

— Kiedy nie możecie iść do zwierząt, zwierzęta muszą przyjść do was.

— A to jakim sposobem? — zawołał Kazio. — Słoń nie zmieściłby się we drzwiach.

— A biedna girafa nie mogłaby wyprostować szyi — wołały dzieci.

Nawet Irenka, zapomniawszy o nieznośnym katarze, roześmiała się.

— Bardzo proszę nie wyśmiewać się ze mnie — rzekła ciocia. — Już ja wiem co mówię. Henrysiu, idź przynieś trzy pary nożyczek.

— A z czego to będą te zwierzęta? — spytała Zosia.

— Z tego — odparła ciocia, pokazując duży arkusz szarego papieru.

— O! ten papier wcale nie ładny.

— Nic nie szkodzi, nie traćmy czasu. Róbcie jak wam mówię, a z pewnością te szare zwierzęta spodobać się wam.

— Cóż mamy robić?

— Przynieście trzy pary... ale już Henryś zniknął z pokoju.

— A ja co mam robić? — spytał Kazio.

— Wyszukaj linię Henrysia z oznaczeniami na niej miarami. Ty Irenko idź do niani po centymetr, a ty Zosiu przynieś trzy ołówki z mego biurka: raz, dwa, trzy! ruszajcie się żwawo.

W dwie minuty później wszyscy siedzieli w koło stołu, na którym leżały trzy pary nożyczek, trzy ołówki, dwie miary i arkusz sztywnego, szarego papieru.

— Panie i panowie — rzekła ciocia Polcia, kłaniając się grzecznie, będę miała szczęście zamienić wkrótce w waszych oczach ten pogardzony arkusz papieru na dziwnie i nadzwyczajnie piękne zwierzęta.

— Wiwat! — krzyknął Henryś.

— Ciocia jest naprawdę... — zaczęła Zosia.

— Tak, i ja to samo myślę — dokończył Kazio.

— Ja chcę ptaka — prosiła Irenka.

— Ptaka? — rzekła ciocia — dobrze, będziesz miała ptaka. Twoje rozkazy będą wykonane. Panie i panowie, zrobimy bociana.

Henrysiowi i Zosi dała nożyczki a sama wzięła trzecie.

— Uważajcie, żeby się nie skaleczyć, a wy dwoje przypatrujcie się. Na bociana potrzebujemy kawałek papieru siedm i pół cali długiego, a pięć szerokiego.

Gdy Henryś przygotował trzy takie kawałki, ciocia kazała dzieciom złożyć je na pół podłużnie i na złożonym brzegu porobić znaczki ołówkiem w odstępach pół calowych, za pomocą linijki z miarą. Teraz zaczyna się rysunek; musicie odznaczyć głowę z długim dziobem i długą szyją, skrzydła, nogi, ogon.

— Wszystko to mamy narysować! — zawołała Zosia z takim przerażeniem, że aż ciocia się uśmiechnęła.

— To bardzo łatwo pójdzie, nie bój się! Ja wam pomogę. Najpierw Irenko powiedz mi, ile znaczków jest na moim kawałku papieru?

— Czternaście — wyliczyła z niemałym trudem małeńka.

— A ile przedziałek?

— Piętnaście — odpowiedział szybko Kazio.

— Dobrze. Teraz trzeba za pomocą tych znaczków oznaczyć długość dzioba, głowy i t. d. Długość dzioba będzie zawierać trzy przedziałki, więc zrobmy nowy znaczek ołówkiem, nieco poniżej i wprost trzeciego znaczka już narysowanego.

(d. c. n.)

KRÓLOWA POZIOMEK I PAPROCI.

BAJKA CZARODZIEJSKA

przez Wacława Sulimę.

(Dalszy ciąg.)

— Ach cóż to za maskara! — wykrzyknęła Elżbietka podnosząc do ust poparzoną rękę.

— Nie żadna maskara, tylko Pokrzywa, stara Pokrzywka do usług — zachichotała mała jędza. Gdzie to panienska biegła tak nieuważnie, że aż mnie potrafiła. Tu nie daleko jest drożyna i widzę nieraz jak nią idzie inna dziewczynka w czerwonej spódnice, z kamiennym dzbanem, ale ta...

— A dokąd ona idzie? — przerwała Elżbietka

— Idzie z pustym dzbankiem, a wraca zawsze z pełnym poziomek.

— Gdzie ona je zbiera?

Stara zadarła swój zielony czepiec i spytała:

— Ty masz na pieńku z tą dziewczynką, prawda?

— Może i prawda.

— Któż to taki? Tedy ci powiem, że chodzi do Leśnej Paprotki. To Królowa Poziomek i Paproci, z którą ja znowu mam na pieńku. Ja i moje towarzyski mieszkaliśmy razem w leśnej kotlinie, w której się teraz rozparła Królowa ze swojemi Poziomkami i Paprocią. Tam trafiła Halinka i tak ją polubili, że zawsze dają jej poziomek.

— Więc to tak, nie wiedziałam o tem.

— Słuchaj, jeśli chcesz, zawrzyjmy przymierze. Ty mi pomożesz ukarać Królowę a ja tobie Halinkę.

— Zgodzi!

— Chodź więc i zobacz.

I drepcząc przodem poprowadziła Elżbietkę na wzgórze.

Obie położyły się na ziemię i przypełzły ostrożnie do skraju pagórka, skąd był widok na śliczną kotlinkę.

Zachodzące słońce zalewało ją złotymi promieniami; pomiędzy mchami, wśród krzewów paproci, i miękkich traw migały poziomki-dziewczynki, biegnące zsypywać jagódki do kamiennego dzbana, inne płąsały i śpiewały. Górskie potoki zlewały się w pieniających wodospadach, których spienione kropelki bryzgały na około. Pod drzewem siedziała Halinka i Paprotka, opodał pasła się sarenka.

— Jak tu ładnie — szepnęła! mimowoli Elżbieta.

— Tak, ładnie, mruknęła stara Pokrzywka i naradziło się ładnie.

Sarenka zastrzygła uszami.

— Chodź — rzekła stara — bo nas mogą odkryć

Odeszły na stronę.

— Wiesz więc teraz skąd Halinka bierze poziomki? spytała Pokrzywka.

— Wiem — odpowiedziała Elżbietka, w której uraza do Halinki na nowo budzić się zaczęła.

— A czy wiesz, że możnaby tak zrobić, iżby Halinka już ani jednej poziomki tu nie dostała.

— Jakim sposobem?

— Ot takim: gdyby sarenki nie było, królowa by tu nie przyjechała, a wtedy wszystkie poziomki rozbiegłyby się po lesie, aby jej szukać i już by tu nie wróciły.

— Ach więc to sarenka zawadza! Powiem Jankowi, żeby ją zastrzelił.

— Nie zasztrzeli on jej, bo to niezwykajna sarenka.

— To można ją złapać w sidła.

— Można, ale trzeba sidła zastawić z zielonego sznurka, którym królowa ma ściśninięty gorsecik.

— A jakże tego sznurka dostać?

— Gdybym wiedziała, dawnobym go dostała. Do królowej zbliżyć się nie można, póki sarenka jest obok niej, bo ona zaraz nieprzyjaciela pozna, a i ciebie już zna z opowiadań Halinki.

— Więc co będzie?

— A nic! Halinka będzie po dawnemu znosić pełne dzbany poziomek, a wy nic w lesie znajdować nie będziecie. Dowidzenia kochana dameczko!

— Nie odchodź, krzyknęła Elżbietka, poradź co zrobić?

— Dostać sznur, do widzenia, nic więcej nie poradzę.

— Muszę go dostać, muszę — powtarzała sobie w duchu wracając Elżbietka.

W domu już zastała Halinkę z poziomkami.

— A wy dużoście nazbierały? spytała matka i obejrzawszy się dodała!

— A gdzie Jagusia?

Teraz dopiero Elżbietka przypomniała sobie siostrę.

— Nie wiem odparła przestraszona.

— Jakto, zawołała matka, zostawiliście dziecko samo w lesie. Halinko, gdzie Jagusia?

— Nie wiem ciciu, ja poszłam osobno jak zwykle, Jagusia była z Elżbietką.

— A gdzież jest teraz, Elżbietko, czemużeś się z siostrą rozłączyła.

Elżbietka nie wiedziała, jak się tłumaczyć.

— Jagusia była bardzo niegrzeczną i ciągle sprzeczała się ze mną. Odeszłam więc od niej, a ona tak się gdzieś schowała, że jej odnaleźć nie mogłam, choć wołałam i szukałam.

— Że wy się też zawsze sprzeczać musicie! Bardzo nierozsądnie zrobiłaś odchodząc od niej, musiała widocznie zbłądzić, bo jej dotąd niema choć już noc zapadła. Halinko, idź powiedz Jankowi, żeby poszedł jej szukać.

Janek poszedł zaraz i wrócił w późną noc, ale bez Jagusi.

Teraz wszyscy przestraszyli się na dobre.

Nazajutrz leśnik z synem szukali jej od rana, leśniczka z Elżbietką i Halinką wołała i chodziła cały dzień, Jagusia zginęła bez wieści.

Leśnik przypomniał sobie, że niedługo wypadł

w miasteczku jarmark, na który się schodzili wszystkie wsie okoliczne.

— Jeśli ją kto spotkał i nie wie gdzie odprowadzić, to pewnie weźmie z sobą na jarmark, albo przynajmniej będzie się można o niej co dowiedzieć — rzekł. — Zbójców ani dzikich zwierząt w lesie niema, a za duża jest, abym przypuszczał, że wpadła gdzie w wodę.

Było to ze wszech miar prawdopodobnem, wszyscy więc uczepili się tej nadziei i czekali jarmarku, tylko Elżbietka daleko więcej myślała o zdobyciu zielonego sznura, niż o znalezieniu siostry i często wymykała się z domu na potajemne narady ze starą Pokrzywką.

(d. c. n.)

ZAGADKA.

Smok dla Puszczyka z Pilawy.

Biorę początek mojej istności
Z ptaków gawiedzi skrzydlatej,
Dawniej służyłem ludzkiej mądrości,
Dziś częściej zdobię bogatych.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

p. Kurkę z Polesia.

Z następujących sylab: An — dwik — do — du — eu — fia — for — gus — frat — ja — ka — kra — li — ru — laus — lea — me — mierz — nie — ne — no — naob — pa — pia — rew — ro — so — strząb — sam — tos — twer — u — zoi ułożyć 14 wyrazów, których początkowe litery złożone mają pseudonym niedawno zmarłego powieściopisarza. Znaczenie wyrazów: 1) Kraj na zachod. pobrzeżu Ameryki. 2) Imię męskie. 3) Rzeka w Azji Mniejszej. 4) Król spartański. 5) Część świata. 6) Tytuł władcy Abisynii. 7) Mędrzec grecki. 8) Ptak drapieżny. 9) Rzeka w Finlandyi. 10) Dopływ Wisły. 11) Rzeka w Syberyi. 12) Miasto n. Wisłą. 13) Imię żeńskie. 14) Miasto w Belgii.

Zagadka liczbowa.

ułożył Słoń z Nubii.

Jak napisać liczbę 1000 przez 9 liczb.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 17-go

Zagadki: C z a s .

Łamigłówki w trójkącie:

M i l c y a d e s
I n s b r u c k
Z o m n i c a
C z e c h y
Y o n n a
A m u r
D a b
E j
S

Łamigłówki w kwadracie:

K a r a ś
D r a w a
S i e r p
M a r t a
C e u t a

Skrzynka do listów.

Łamigłówki **Puszczyka z Pilawy** otrzymaliśmy i o ile będą odpowiednie, wydrukujemy. Rozwiązania dobre. Witold jest to imię litewskie, imienniny swoje obchodzą Witoldowie 12 grudnia. Wynalazek prochu przypisują zakonnikowi Szwardowi w XVIII w. znanym już był wszakże proch od najdawniejszych czasów Chińczykom i Arabom. Między VII a XII wieku przyrządzano już rakiety z węgla, siarki i saletry. Proch bezdymny jest wynalazkiem ostatnich lat XIX wieku.

Panu Pławińskiemu. Posłane książki z opłatą poczty kosztowały 2 rs. 65 kop., pozostało więc z dawniejszemi 32 kopiejkami, na opłatę **Wieczorów** za kwartał II r. b. kop. 67.

Zawsze serdecznie dziękujemy **Aleksandrowi W.** za każdy nowy objaw przyjaźni i zaufania do nas. Listy jego odczytujemy z prawdziwą przyjemnością i prosimy o dalsze wiadomości o sobie. Do pracy nad stylem i gramatyką zachęcamy całym sercem, jest to przecież obowiązkiem każdego poznać jak najdokładniej język ojczysty. Co do układania szarad, to nadmienić musimy, że każda sylaba określonego wyrazu, musi być wspomnianą i uwzględnioną, żadnej pominąć nie można, bo wtedy nie wie się o niej, że istnieje.

Rozwiązania zadań **Zbigniewa F.** dobre. Najobszerniejsza **Historja Polski** jaką dostać można jest **Szujskiego**, kosztuje rs. 2 kop. 50 bez oprawy.

Władysławowi J. Ł. N. Wszystkie drukujące się powieści z końcem roku bywają ukończone. Powieść *Poza gniazdem* również skończoną była. Łamigłówki przejrzymy.

Dobre rozwiązania zadań nadesłali: **Stoń z Nubii**, **Puszczyk z Pilawy**, **Stefan G.**, **Świtezianka z nad Szeszewy**, **Stały prenumerator**, **Gwiazdka z Zagórza**, **Różowa Stokrotka**.

Sarence modrookiej tę samą odpowiedź dać mogę co **Wiewióreczce**, bo chciejcie mi wierzyć, że wasze listy tak mi są miłe, że odczytuję je zawsze z przyjemnością, a z niemniejszą też odpisuję na nie. Ciekawa jestem, jakie się bawiła w drugi dzień Świąt i proszę cię bardzo opisz mi, jak się udało zebranie dziecinne, o którym wspominałaś, nie wątpię, że bawiliście się ochoczo. Wkrótce **Wieczory** zaczną drukować nową powieść autorki „**Na Złotym Szlaku**”, która pewno będzie cię też zajmować.

Mary L., redakcja postara się także zadowołać, dając po ukończeniu „**Królowej poziomek i paproci**” powiastkę w rodzaju „**Gołąbka Bożenny**”, który czytałaś z takim zajęciem. Bardzo pochwalam, że się uczysz wierszy na pamięć, miłe to i pożyteczne zajęcia, a ustęp z legendy który ci się najwięcej podoba i mnie także najbardziej przypadł do serca. Za życzenia świąteczne dziękuję. Pewnie w miłym kółku domowym przeszły ci bardzo przyjemnie Świąta **Zmartwychwstania Pańskiego**, przyjm więc odemnie wraz z serdecznym uściśnieniem, odwieczne choć zpóźnione życzenia „**Wesołego Alleluja**”.

Promyczkowi i Polskiej Dziewczynie z B. R. serdeczne pozdrowienia przesyłam, wdzięczną jestem za obadwa liściki, i bardzo przyjemnie zdziwioną, że sześciolatnia dziewczynka pisze już tak porządnie. **Promyczkowi** życzę powodzenia w egzaminach i na przyszły raz spodziewam się obszerniejszych wiadomości.

Serdeczny liścik **Zosi J.** wielce mi jest miłym, szkoda tylko, że **Zosieńka** nie bardzo zdaje się lubić kaligrafię, tym większa szko-

da, iż pewną jestem, żeby jej z trudnością nie przyszło wyrobić sobie pismo ładne — a pora teraz ku temu najlepsza, kiedy ręka jest jeszcze giętką i posłuszną, i nawet innych prac naukowych nie zmusza **Zosi** do pospiechu. Pewną też jestem, że skoro **Zosieńka** przysła próbę swego pisma na obecny konkurs kaligrafii, z radością stwierdzić będę mogła znaczny już w tym kierunku postęp. Za życzenia dziękuję, śląc w zamian tobie i braciszce pozdrowienia.

Wdzięczną jestem wiosennemu słońcu, który zbudził wreszcie z długiego uspienia **Świteziankę z nad Szeszuwy**. Oczywiście z przybraniem obecnego pseudonimu, zostaniesz kochana moja **Świtezianko** zawsze dawną i wielce mi miłą panienką, której liściki obym jaknajczęściej odbierać mogła. **Braciszków starszych i młodszych** pozdrawiam, oczekując od ostatnich obiecanych prób kaligrafii. Rozwiązania zagadki i logogryfu dobre.

Witam **Szpakę z nad Worskły** serdecznym wyrazem siostrzanej sympatii, z nadzieją, że jako ptaszki z jednej gromady śpiewających, będziemy odtąd w stałej przyjaźni, ku czemu niezawodnie dopomoże częsta zamiana listów, w których mam obiecać szczegółły twego życia, upodobań i wrażeń, a zdaje mi się ze wszystkiego, że lubisz myśleć i pracować poważnie. Tymczasem miło mi wiedzieć, że czytanie „**Wieczorów**” sprawia ci tak wiele przyjemności.

Orzeł czubaty szczęśliwym nazwać się może, iż wrodzone zdolności czynią mu naukę w gimnazyum łatwą; a już za osobistą zasługę poczytuję mu owo zamiłowanie do nauki i pożytecznego zajęcia, o którym wspomina. Chętnie też wskazuję kochanemu **Orłowi** podręczniki zoologii, mogące mu być przydatne. Zatem zoologia **Wrześniowskiego** jest podręcznikiem o zakresie szkolnym, gdy znowu obszerne dzieło **Brehma** pod tyt. „**Królestwo zwierząt**” tłem. **St. Rewińskiego** podaje obok ścisłej nauki, dużo barwnych i zajmujących opisów z życia zwierząt. Nadesłane łamigłówki pozostały w redakcyi do przejrzania.

Często dla braku miejsca nie wszystkie moje odpowiedzi bywają pomieszczane odrazu i czekać muszą swojej kolei. Moje i ostatnią moją odpowiedź kochana **Laszko** ten sam los spotkał, bo list o którym wspominaś otrzymałam i odpisałam. W imieniu biednych dzieci z **Kolonii letnich**, którym jak sama piszesz, tak bardzo słońca i powietrza potrzeba, serdecznie tobie droga **Laszko**, jak również i siostrzyczce twej **Strzałce** za zebraną ofiarę dziękuję.

By cię przekonać **Wiewióreczko z Łukna**, że zawarcie znajomości z **Jaskółką**, nie jest bynajmniej rzeczą trudną, pierwsza się do ciebie odzywam. Cieszę się, że czytanie **Wieczorów** tak cię zajmuje! Co ci się przecież najwięcej podoba? Jak na ośmioletnią dziewczynkę obdarzyłaś nas długim i ciekawym liścikiem, radziłabym ci tylko pisać w dwóch liniach, bo to pismo wyrabia i uczy stawić równe literki. A teraz kiedy już znajomość między nami zrobiona, spodziewam się, że nie zapomnisz o mnie i czasami doniesiesz co porabiasz, czego się uczysz i czem najlepiej lubisz się bawić?

Nie omyliłaś się **Jasnowłosa Laszko**, że lubię czytywać wasze listy, szczególnież zaś, gdy jak twój, zawierają tak ciekawe szczegóły. Winszuję ci serdecznie tak dobrego starszego brata, który cię czyzy i dba o twoją przyjemność, pilnością więc i staraniem powinnaś mu się za to odwdzięczać. Rozwiązanie łamigłówek dobre; Polecam ci geografję **Nalkowskiej p. t.** Początkowe wiadomości o ziemi, kosztuje kop. 85.

P..., za życzenia dziękuję. Wiosna i na nas dotąd nie łaskawa, dni słonecznych mało, natomiast deszcze i chłody nie opuszczają nas uparcie. Rozwiązania dobre, szaradę złożyłam w redakcyi.

Na liścik zawierający same tylko rozwiązania, miła **Różowa Stokrotko** nie dajemy osobnej odpowiedzi, wymieniamy tylko imię lub pseudonim nadsyłającego trafne odgadnienia.

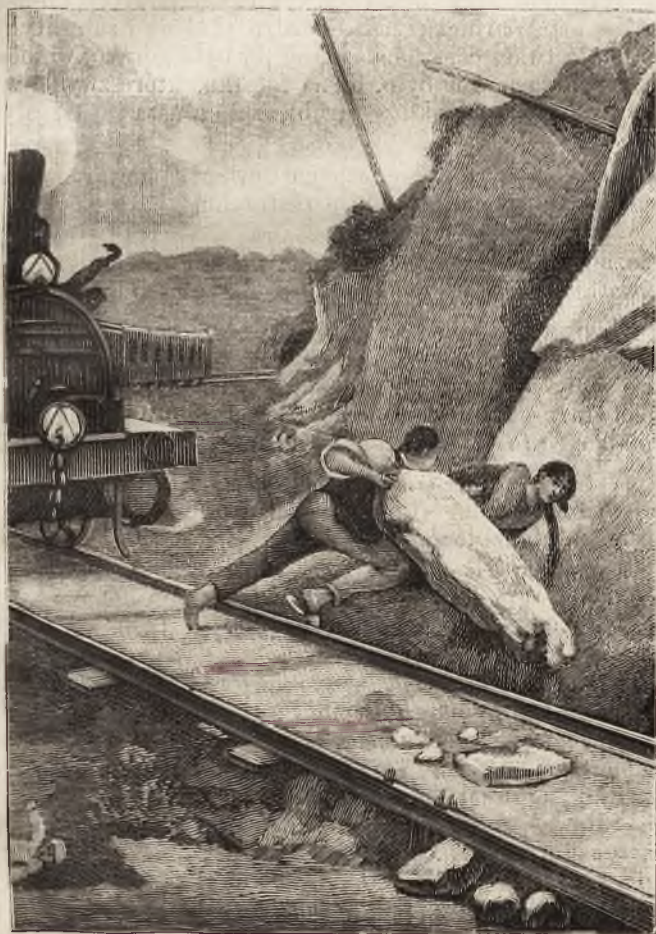
Czarnuszka i Bielasek mają odpowiedź na swe pytanie w numerze 17; listy wasze otrzymałam, ale dla braku miejsca odpowiedź nie mogła być zaraz wydrukowaną. Rozwiązania dobre.

Jaskółka.



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



ZAŻEGNANA KATASTROFA.

Głębokim wąwozem w górskiej okolicy, wśród piętrzących się skał, pędzi pociąg. Liczni podróżni, siedzący wygodnie w wagonach, z przyjemnością przypatrują się malowniczej okolicy, rozmawiając między sobą i nie myśląc wcale o tem, że może im grozić jakieś niebezpieczeństwo.

Tuż przy linii kolejowej przy samym zakręcie wąwozu siedzi sobie para górali: brat i siostra, zabawiając małą sio-

stryczkę dużą, niezgrabną lalką, którą sami jej zrobili. Czekają na przejście pociągu i gotują się powitać go wesołymi okrzykami.

Już słyszą szum z dala, wnet z poza góry wysunie się szybko buchająca parą lokomotywa.

Nagle dzieje się rzecz straszna. Z wierzchołka skał obrywa się kilka ciężkich brył i jedna pada na same relsy.

Rodzeństwo w jednej chwili spostrzegło cały ogrom niebezpieczeństw: nadjeżdżający pociąg uderzy o bryłę, wy kolei sięgi roztrzaska.

W mgnieniu oka, nie porozumiewszy się nawet słowem, zamiast krzyżeć lub zawodzić bez pożytku, rzucają się na linię i z największym wysiłkiem spychają na bok odłam skały przed samym pociągiem.

Niepomni na niebezpieczeństwo, przytomnością swoją i odwagą ocalają życie kilkudziesięciu ludziom.

Tę właśnie wzruszającą chwilę przedstawia nasza rycina.

Powróciła.

Słychać śpiewy, świągot, krzyki,
Ciągną ptasząt roje,
A z błękitów jasne słońko
Sieje blaski swoje.

Słodki, ciepły wiatru powiew
Tchnął gdzieś z ziemi końca,
Drobne trawki główki wznoszą
Do słońca, do słońca.

I ogarnia cię dokoła
Woń świeża i miła,
Mówi do cię ziemia, niebo:
— Wiosna powróciła.

I. W.

DZIELNY CHŁOPIEC.

(Dalszy ciąg).

— Skończyło się na tem, że Józik za miesiąc służby stał cztery ruble, do których Płaksa dołożył swój dziura i bardzo zużyty płaszcz, Aligant trzy krawaty, a Wesołowski dwie koszule, które jeszcze nosił w czwartej klasie szkołach, a że z nich wyrósł, leżały więc na dnie w jego kufle.

Józik odniósł wszystko pani Warbickiej, która powiedziała, że za pieniądze kupi drzewa, koszule zaś Józik może. Krawaty i płaszcz sprzedała tandeciarzowi i wzięła za nie dwa ruble bez pięciu groszy.

Nadeszła zima. Często, gdy Józik biegł ciemnym jesz- rankiem na ulicę Wilczą, dygotał i dzwonił zębami, bo mroźny wiatr do kości przejmował, a czasem płatki śnie- g, niesione przez zawieruchę, wpadały mu za kołnierz.

Mieszkanie pani Warbickiej było istotnie bardzo zimne, znać go nie było można. Staruszka czasem po całych godzinach chodziła w starem, wyszarzanem futerku, trzewikach jętkowych, a jeszcze było jej zimno. W nocy nakrywała się czem tylko mogła, i rozmyślała jak to w kościelnej Wólce było ciepło w całym domu, gdy się we wszystkich piecach przez napaliło. Józik położyłszy się wieczorem, przed zasnieniem, rozmyślał o tem jak to dorósłszy, pracować będzie z wytchnienia i musi koniecznie tyle zarabiać, żeby pani Warbicka mieszkała w ciepłym pokoiku, i nie potrzebowała odzić w mieszkaniu w futrze, ale jak to jeszcze do tego do- ję. Przy Boskiej pomocy przyjdzie i to.

Józik na świecie całym miał tylko tę swoją dobrą, ko- raną opiekunkę, która też za nim przepadała. Piotrowej raz już nie widywał wcale, bo nie miał czasu odwiedzać znajomych; o Walku nie też nie wiedział. Aż tu jedne- razu, gdy wieczorem wracał z ulicy Wilczej, zobaczył dwóch policyantów, prowadzących jakiegoś chłopca, który osno płakał i prosił, żeby go puszczono. Policyanci nie nie powiadali. Józikowi się wydało, że słyszy głos Walka, bliżył się więc i ujrzał swego znajomego; Walek poznał go i zawałał więc:

— Idź do matki i daj znać.

— Co mam dać znać?

— Że mię zabrali; powiadają, że ukradł futro z przed- koju jednych państwa, a ja sobie tylko tego futra pożyczym, bo mi było zimno.

Józikowi było strasznie wstyd, że się zna z tym złodzie- em, ale mu żal było Piotrowej, więc skoczył do niej i wszy- so opowiedział.

A biedna Piotrowa jak nie zacznie lamentować! Aż się rce krajało słuchać jej skarg i żalów. Życie jej się przy- żyło z tym synem niegodziwym, prosiła tylko Pana Boga, by ją jak zabral z tego świata.

Józik stał na środku izby, słuchał co Piotrowa mówiła, jak mu jej było żal, że i on z nią płakać zaczął, aż nagle, ród łkania Piotrowa rzuciła się Józikowi na szyję.

— O, czemuż mi Pan Bóg nie dał takiego dziecka, jak ty? — wołała, całując go i oblewając twarz jego obfitemi łza- mi.

— Musiałam ciężko nagrzeszyć, kiedy mi Pan Bóg takie słoty skarania!

Lecz jakoś nie wspominała wcale o tem, że Józikowi ona winna za różne graty, które po śmierci Marcina kupiła mu i pieniądze oddać obiecywała. Józik parę razy się ominał, Piotrowa obiecywała, ale coraz mniej zakli- ła się, że odda, a połowa kupionych bez pieniędzy rzeczy Marcinie poszła już u niej w zapomnienie. Józik pamię-

tał dobrze o wszystkim, tylko patrząc na płaczącą Piotrowę, nie śmiał się upominać, boby się jeszcze bardziej zmartwiła. Pocałował tylko biedną kobietę w rękę i powiedział:

— Niech się pani Piotrowa tak strasznie nie martwi. Może się te Walek poprawi i będzie jeszcze porządnym człowiekiem.

— Gdzie się tam poprawi! Już od małości taki był, że choć się go głaskało, to gryzł i nijakiej życzliwości dla ni- kogo w nim nie było! Jużem z nim próbowała na różne spo- soby, dobrocią i złością... To biłam ci go, że mu mało kości nie połamała, to schlebiałam mu jak pocziwemu dziecku. Wszystko groch o ścianę! Wyśliźnie ci się zawsze jak wąż, wyklamię, wykręci i szukaj wiatru w polu! Marcinowi i bab- ce to tam łatwiej było ciebie wychować, co był zawsze jak z wosku i co cię wszędzie można było zaprowadzić na nitce pajęczej, kiedy na Walka to i powroza było mało!

Józik wysłuchał skarg Piotrowej, bo sobie myślał, że się może kobiecie łżej na sercu zrobi, gdy się przed życzli- wym człowiekiem poskarżyć będzie mogła. Ale w końcu musiał ją pożegnać, bo nie miał czasu i wracać trzeba było do domu. Wiedział, że pani Warbicka nie lubiła gdy powracał późno bo zawsze się bała, by mu się nie przytrafił jaki wypa- dek. Zawsze też drżała o to, by się Józik nie rozleniwił i nie wyszedł na takiego próżniaka, których zawsze pełno przy każ- dem zbiegowisku i którym ulica i włóczęga tylko na myśli.

Gdy dnia tego Józik od Piotrowej powrócił do domu, zastał panią Warbicką jakoś bardzo skuloną i zauważył, że choć miała twarz czerwoną, jakby jej było gorąco, widocznie jednak gorąco jej nie było, bo na futerku, które zwykle w po- koju nosiła, miała jeszcze gruby szal, a usta jej trzęsły się od zimna.

Józik począł coperdziej nastawiać samowar i patrzył na staruszkę oczami pełnemi przestachu.

— Pewno mię katar rozbiera — rzekła — musiałam się zaziębić, choć sama nie wiem gdzie i kiedy. A to pra- wdziwa bieda! Jeszcze się gotowa przyplątać jaka choroba.

Józik prędko łóżko jej posłał, herbatę zrobił, a że sa- mowarek był bardzo mały, więc sam herbaty nie pił, tylko resztę wody wytoczył do kamiennej flaszki, którą ogrzewał pościel staruszki. Potem pomógł jej się rozebrać i rozmyślał usypiając, co to on zrobi, gdyby się naprawdę rozchorowała:

— Wszystkich trzech moich panów z Wilczej sprowa- dzę — mówił sobie — i muszę chorobie dać radę. Uczą się przecie, jak ludzi leczyć.

Usnął też, lecz wkrótce w nocy obudziły go jęki pani Warbickiej, która skarżyła się na nieznośne łamanie po ko- ściach i ziębienie, aż jej usta dygotały. Józik nie spał już wcale tej nocy. Okrywał staruszkę, otulał ją, zrobił jeszcze raz herbaty, wreszcie usiłował rozerwać jej smutne myśli, przypominając Wólkę Kościelną i to wszystko co ona mu o swoim miejscu rodzinnem opowiadała. Potem pocieszał ją zapewnieniem, że jej ani doktorów ani lekarstw w chorobie nie zabraknie, że jego panowie przecie na to się uczą, żeby cho- rych ratować, i że z jej chorobą prędko sobie poradzą. W serce staruszki wstąpiła jakaś otucha, choć usta dygotały ciągle, i czasem syknęła z bólu, ale chwilami uśmiechała się do Józika i gładziła go po głowie.

Gdy nakoniec świtać zaczęło, Józik pożegnał chorą i zapewniwszy, że powróci jak tylko będzie mógł najprędzej, biegł tak spieszenie na Wilczą, że stróże zamiatający ulice, aż się za nim oglądali, a jakaś kobiecina wiejska idąca z ko- szykiem, którą Józik nieuważnie potracił, obejrzała się za nim i na głos zawołała:

— No, no, a do tego chłopaka co przystąpiło?

Józik wpadł do mieszkania swoich panów, poczyscił odzienie i buty, przyniósł wody a gdy przyszła godzina bu- dzenia, zabrał się do tej czynności tak zamasyście, jak ni- gdy. Ale Wesołowski poprzedniego dnia bardzo późno się położył i walczył z Józikiem zajadle, więc Józik zrozpaczony zawołał:

— Panie! panią Warbickę trzeba ratować, bo bardzo chora!

Na ten wykrzyknik Wesołowski zerwał się na równe nogi.

— Kogo trzeba ratować? — zapytał rozespany przecierając oczy.

Józik aż się głośno roześmiał i pomyślał:

— A to na niego i ten sposób dobry! Tylko mu powiedzieć, że komuś coś winien, albo, że ktoś potrzebuje ratunku!

— Pani Warbicka, to ta staruszka, która mnie przegarnęła — rzekł głośno.

— A cóż jej jest?

— Trzęsie się, usta jej dygocą...

— A gorączkę ma?

— Nie wiem, proszę pana.

— A toś osieł! Nie wie czy chora ma gorączkę!

— Jużci nie wiem, bom się tego nie uczył.

— A prawda. Nie uczyłeś się tego. I ja choć się tego już piąty rok uczę, nie zawsze to wiem. Trzeba żebyś wezwał doktora, to załóż termometr.

Józik się zmieszał.

— Doktora? — zapytał. — Ja myślałem, że panowie będą łaskawi...

— Co myślałeś, że tak w trzech z Płaksą i Aligantem złożymy konsylium nad twoją panią? Ależ my nie mamy prawa nikogo leczyć.

— Przecie piąty rok...

— A tak, piąty rok kujemy, ale jeszcze nam wszystkiego w głowę nie włożyli.

— Józik załamał ręce.

— Oóż ja teraz pocznę?

— Pójdziesz po doktora.

— Kiedy... kiedy... u mojej pani bieda... często nie bardzo jest co jeść... doktorowi trzeba by pewno zapłacić...

(d. c. n.)

W OTCHŁANIACH MORSKICH.

PRZEZ

Dr. M. Stefanowską.

(Dalszy ciąg).

W wielkich głębinach znaleziono dziwne zwierzęta, które stanowią niejako formę przejściową pomiędzy rakami. Zwierzęta te znane są w zoologii pod nazwą *kikutnic* (*Pyenogenidae*); drobne i wysmukłe ich ciało ma cztery pary niezwykle długich nóg, tak, iż wydaje się, że całe zwierzę jedynie z nóg się składa. Kikutnice żyją wprawdzie w morzu i u wybrzeży, wolno pełzając po wodorostach; ale u wybrzeży są one drobnych rozmiarów, miewają zaledwie centymetr długości. W otchłaniach zaś żyją kikutnice olbrzymie, gdyż z wyciągniętymi nogami miewają po 40 centymetrów w średnicy, jak np. *Colossendeis Titan* (patrz fig. 162 Nr. 7) żółty i przezroczysty, jak bursztyn. Przypomina on nieco owe pajaki na długich i cienkich nogach, zwane kosarzami, głowa jego zakończona jest długą, skrzywioną trąbką.

Mniejszym i o wiele brzydszym od poprzedniego jest *Nymphon robustum*, wyobrażony na fig. 149. Kikutnice znajdowano w Atlantyku aż do 3000 metrów głębokości.

Robaki, mięczaki, osłonnice. Robaki i mięczaki są to dwa typy zwierzęce, bezwątpienia najwięcej rozpowszechnione i najbogatsze w gatunki w faunie pobeżnej. Odwrotnie dzieje się w głębinach morskich, jeżeli wnioskować mamy z tego co się przyniosła; dragowania dostarczyły bowiem bardzo mało robaków głębinowych. Jednakże Challenger

wydobyl z głębin piękne gatunki pierścienic, które żyły tam w zbudowanych przez się rurkach, ale ponieważ w otchłaniach morskich niema piasku, robaki budują sobie przeto rurki z mułu i wapna. Pierścienice znajdowano aż do 6000 metrów głębokości.

Mięczaki także nie lubią żyć w głębinach morskich, znaleziono ich tam niewiele, a chociaż się przyniosła nowe, nieznane dotąd gatunki, jednakże budową swą mało różnią się one od mięczaków pobeżnych. Życie w głębinach nie sprawiło na mięczakach tak wielkich zmian, jak na szkarłupniach, rakach i rybach. Jednakże zauważyć trzeba, że skutkiem przebywania w czarnych otchłaniach liczne gatunki mięczaków, wzrok swój straciły.

Ponieważ w głębinach niema głazów, brak przeto i tych gatunków mięczaków, które osiadają na głazach, jak ostryga, przydacznia i inne. Najliczniejsze są w otchłaniach dwuskorupne mięczaki, które szybko pływają za pomocą małego otwierania i zamykania swych skorup, tak czyni *Lima*, *Recten* i t. p.

Ślimaki także są mało liczne w głębinach i żyją tu jedynie drobne gatunki, a muszelki ich są cienkie, kruche i niewpół przezroczyste. Że ślimaki nie lubią głębin morskich, widać z tego, że liczba gatunków i osobników staje się coraz mniejszą w miarę wzrastania głębokości morza.

Liczne gatunki ślimaków u wybrzeży żywią się roślinami, w głębinach zaś pokrewne im gatunki jedzą muł, w którym znajduje się mnóstwo drobniuchnych kulek, zwanych *kokolitami* (*Coccolithes*). Kulki te opadły zapewne z powierzchni, gdyż pływają one w wielkiej ilości na powierzchni mórz międzyzrotnikowych, zwłaszcza około wybrzeży; tworzą one okrągłe gromadki, zwane *kokosferami* (*Coccospheres*, fig. 150); przypuszczają, że są to niższe roślinki (olgi). Kokolity dostarczają pokarmu nietylko ślimakom, ale także radyolaryom, salpom i innym zwierzętom żyjącym na powierzchni morza.

Dodajmy na koniec, że w głębinach rozpowszechnione są *osłonice*, mające postać gruszek, osadzonych na długiej szypluce, jak np. szypulnik (*Boltenio pedunculata* fig. 151). Są one dosyć rzadkie na północnej półkuli, oraz w strefie równikowej, a natomiast nader obfite w umiarkowanej strefie na południowej półkuli; znajdują je tu wszędzie, począwszy od wybrzeży, aż do otchłani mających po 7000 metrów głębokości.

(d. c. n.)

Kościół św. Stefana w Wiedniu.

W drugiej połowie wieków średnich, a mianowicie w końcu XII wieku, architekci, którzy wznosili kościoły, zaczęli zastępować łuki okrągłe i półkuliste, cechujące dawny styl romański, łukami ostremi. Wynalazek ten, pozwalający wznosić sklepienia wyższe i lżejsze, sprawił przewrót w budownictwie i dał początek nowemu stylowi, który został nazwany przez Włochów stylem gotyckim, jako pochodzącym nie od nich, lecz od barbarzyńców Gotów, którzy ongi zaleli Italię.

Styl gotycki swoją wspaniałością i powagą tak przypadł do usposobienia ludom Europy środkowej, że od XIII-go do XVI w., był wyłącznie używany w Anglii, Francji i Niemczech, skąd z różnemi odmianami, wywołanemi w części brakiem odpowiedniego materiału budowlanego, przeszedł do Polski.

Najpiękniejsze kościoły średniowieczne: Notre-Dame, to jest Matki Boskiej w Paryżu, katedry w Reims, Beauvais, Kolonii, Strasburgu, Ulmie, kościół Maryacki w Krakowie i wiele innych — wszystkie są w stylu gotyckim.

Niepoślednie miejsce między nimi tak przez swą wspaniałość i ornamentację, jak i przez swe rozmiary, zajmuje

kościół św. Stefana w Wiedniu, którego budowa trwała od 1300 do 1510 roku. Długość jego wynosi 108 metrów, wysokość naw 27 metrów. Posiada przytem wyniosłą wieżę wysokości 136 metrów, na szczyt której prowadzą schody o 533 stopniach.

Cały kościół wewnątrz i zewnątrz pokrywają kamienne rzeźby, a malowane okna podnoszą jeszcze wspaniałą powagę wnętrza, gdzie trzy sklepione nawy podłużne i czwarta poprzeczna, wspierają się na licznych, wysmukłych kolumnach. W kościele znajduje się sarkofag cesarza Fryderyka III-go zmarłego w r. 1493; tam to również we wrześniu 1683 r. król Jan Sobieski dziękował Bogu za odsiecz Wiednia i wiekopomne zwycięstwo nad Turkami.

Kościół św. Stefana znajduje się w starej dzielnicy, w samym środku miasta, na niewielkim placu tegoż nazwania. Wieża, którą zbliżka trudno objąć wzrokiem, najwspanialej się przedstawia z oddali, ze wzgórza Kahlenbergu, gdy wysmukła, niby strzała, mierząca w niebo, góruje nad starym, a rozległym grodem.



Fig. 149. Nymphon. Pająk morski.



Fig. 150. Kokolity w gromadce.



Fig. 151. Boltenia pedunculata (Szypulnik).

Z DZIEJÓW CYWILIZACYI.

(Dalszy ciąg)

Około połowy XVIII wieku, zawiązało się więc w Pensylwanii stowarzyszenie Abolicjonistów, do którego należał sławny uczony Franklin. *Abolir* znaczy znieść, obalić; chciano więc znieść niewolnictwo i tysiące serc szlachetnych poświęciło dla tego celu pracę całego życia.

W parlamencie angielskim nie ustawała odtąd walka w obronie sprawiedliwości. Pierwsi wszczęli ją Sidmouth i Wellesley w 1783 r. a prowadził dalej Wilberforce. Był on kolegą uniwersyteckim sławnego ministra Pitta, i z jego pomocą starał się zyskiwać współczucie dla nieszczęśliwych niewolników.

Pierwsze zwycięstwo odniósł w 1808 r., gdyż ogłoszono wówczas zakaz handlu niewolnikami w koloniach angielskich. Tryumf ten częściowy dodał odwagi dzielnemu obrońcy uci-

śnionych, i jemu też przypisać należy, że Francya wraz z Hiszpanią zobowiązały się na kongresie wiedeńskim w r. 1815 walczyć z obrzydłym targiem.

Aż nadszedł dzień zupełnego tryumfu; 29 lipca 1833 r. uchwalono w Anglii oswobodzenie wszystkich niewolników, jacy pracowali w zamorskich jej koloniach, a liczba tych nieszczęśliwych wynosiła 640,000.

Sześćset czterdzieści tysięcy ludzi odzyskiwało dostojność swoje, stawało się wolnymi i Wilberforce dożył tej radosnej chwili. Dożył, ale nie przeżył tej radości, bo pękło serce starca, który umiał walczyć wytrwale za dobrą sprawę. Cześć jemu i jego następcom, gdyż wyswobodzenie niewolników wielu jeszcze potrzebowało i potrzebuje szermierzy.

Szermierzami tymi stała się Anglia i Francya; postanowiły one ścigać na morzach i karać kupujących niewolnikami, bowiem wstrętny handel trwał wciąż, dostarczając Murzynów Stanom Zjednoczonym Ameryki północnej, gdzie niewolnictwo czarnych, jako stan dziedziczny, trwało w najlepsze.

Abolicjoniści nie ustawali także w zabiegach. Na czele ich stał człowiek dzielnego ducha, zwał się on Garryson.

Chcąc zdławić zło w samym jego ognisku, przeniósł się z północy do południowych stanów, i rozpoczął walkę z potężnym stronnictwem posiadaczy plantacji, a więc właścicieli olbrzymiej liczby czarnych niewolników,

W roku 1832 utworzył związek, do którego na początek stanęło tylko 12-tu najodważniejszych działaczy. Plantatorowie rozpędzili kijami pierwsze zebranie abolicjonistów, popalili ich domy, a za głowę Garrysona, który się musiał ukrywać, obiecali 5000 dolarów nagrody.

On jednak nie stracił odwagi, wrócił na północ, żeby w dzienniku *Liberatów*, założonym przez abolicjonistów, nawoływać współobywateli do walki z okrucieństwem.

Bo los czarnych stał się teraz gorszym niż kiedykolwiek. Zapotrzebowanie towarów kolonialnych, jak kawa, kakao, bawełna i innych rosło w Europie, a przywóz Murzynów, koniecznych do uprawy plantacji, utrudniano, gdyż statki angielskie ścigały z nieubłaganą surowością handlarzy żywego towaru.

Sprowadzanie nowych niewolników z Afryki stawało się



Kościół św. Stefana w Wiedniu.

coraz trudniejszym, ale też przynosiło tem więcej korzyści. Skwapliwie starano się o pomnożenie liczby ofiar, przeznaczonych na sprzedaż, zakładano w tym celu tak zwane hodo-
wle niewolników, do których porywano gwałtem dzieci. Dzieci znalezione oddawane tam były bez względu nawet na pochodzenie; wysilano wreszcie umysł nad wynajdywaniem sposobów przywożenia Murzynów z Afryki.

Stan niewolników w Ameryce był okropny, tem bardziej, że było między nimi wielu mulatów i nawet białych, wykształconych i ucywilizowanych, którzy w skutek tego, że mieli w rodzinie jakiegoś Murzyna, musieli znosić ciężkie jarzmo.

Pozbawiano ich nawet pociech, jakie daje religia, zaledwie dziesiąta część niewolników była dopuszczana do kościołów; w wielu Stanach zabraniano im pod karą plag słuchania kazań. Zakazywano też bardzo surowo nauki czytania i pisania. W 1829 r. w Luizjanie, prawo skazywało na różgi posiadającego elementarz, a uczącego, jeśli nim był biały, na rok więzienia lub 100 dolarów kary.

Z jakim okrucieństwem ścigali kupcy i właściciele zbiegły swój towar mamy dowód w tem, że wytresowano osobny gatunek psów, które umiały wybornie węszyć i tropić uciekających niewolników, schwytanym zaś wrywano cztery przednie zęby, aby tem łatwiej było odszukać krnąbrnego, gdyby poraz drugi próbował odzyskać wolność. Bo wielu nieszczęśliwych, z narażeniem życia zbiegało do Kanady, szukać opieki angielskiego rządu. To też dzienniki w Stanach, sąsiadujących z posiadłościami brytańskimi, przepołnione były ogłoszeniami o uciekających — zupełnie tak jak dziś w kuryerach oznajmiają o zaginieniu psa.

Przytaczam następujące ogłoszenie:

„Sto dolarów nagrody, kto odprowadzi Murzyna Edmunda Kennedy; ma włosy proste, a cerę tak białą, że powszechnie brany był za wolnego obywatela.

Bonderson Bowles. Richmond w Wirginii.”

Doktor Cliffe, Amerykanin, tak opisuje przewóz niewolników z Afryki, a wierzyć mu można, gdyż jak wielu jego kolegów, był obecny przy wysadzaniu na ląd żywego towaru, jeśli udało się handlarzowi uniknąć pościgu i dobić pomyslnie do brzegu.

„Niewolnicy, pisze doktor, są zamknięci w ukrytej, a tak ciasnej kajucie, że cały czas podróży leżeć muszą bez ruchu. Kajuta ma półtorej stopy wysokości i takich szuflad bywa trzy jedna nad drugą, nawet dziecko nie mogłoby tam sięść, tem więcej ludzie dorośli, Ci leżeć muszą, a leżą przez dwa miesiące podróży na gołych deskach. Nie chcąc zabierać dużej ilości materyałów spożywczych, a zwłaszcza wody, która mogłaby ściągnąć uwagę Anglików, rewidujących statek, handlarze wydzielają jej niewolnikom po jednej filiżance na trzy dni.”

„Nikt nie może sobie wyobrazić zaduchu, jaki wydaje to nagromadzenie ciał ludzkich na tak małej przestrzeni; to pewna, kończy doktor Cliffe, że biały udusiłby się niechybnie w tej atmosferze.”

Dusiło się też i umierało wielu Murzynów, ale cena ich w Stanach południowych, oraz na Kubie i w Brazylii, była tak wysoka, że opłacała najniebezpieczniejsze wyprawy.

Nie chcę nużyć was dłuższem opisywaniem wstrętnych szczegółów dotyczących historii niewolnictwa. Usiłowania abolicjonistów obudziły w społeczeństwie amerykańskiem poczucie cięższej na niem hańby; odtąd szybkim krokiem postępowała naprzód sprawa wyswobodzenia Murzynów. Chwała dokonania wielkiego dzieła przypadła w udziale prezydentowi Stanów Zjednoczonych Lincolnowi. Dzięki jego wpływowi ogłoszono prawo o oswobodzeniu czarnych; wywołało ono jednak wojnę domową, gdyż Stany południowe uparcie broniły niewolnictwa, sądząc, że bogate ich plantacje zrównane zostaną przez brak robotnika. Przekonali się jednak z czasem, o ile lepiej pracuje człowiek wolny od nieszczęśliwego jeńca, który wie, że jest tylko zwierzęciem roboczym i że jego usiłowania, nie przyniosą mu żadnej korzyści.

(d. n.)

NIEDŹWIEDŹ

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

p. Zuzannę Morawską.

(Ciąg dalszy).

XII.

Gdy Fogelfeder doniósł królowej o śmierci kasztelanki i o niebezpiecznej chorobie siostry, zrobił się na dworze okropny *larum*.

— Zarzę mi zwięźli, trupami miasto zasłali! naumyślnie to zrobili! — wołała, nie miarkująca swych wyrazów i swego gniewu Bona.

— Wypędzić z miasta wszystkie te dzieciaki, które niewiedzieć po co ściągnięto.

I wydawała ku temu rozkazy, które stary król musiał cofać i łagodzić, nie chcąc wywołać oburzenia i niechęci tych, którzy z taką serdecznością i oddaniem się na koronację jego syna przybyli.

Chciał on zjednoczyć i zespolić młode pokolenie z nowo ukoronowanym, bo tuszyl sobie, że ta młodzież zapamięta gościnnie u dworu przyjęcie, zapamięta tego małego króla, z którym się na koronacji bawiła i w przyszłości będzie dlań obronną prawicą, a dla kraju chlubą i podporą w złej czy dobrej doli.

Jeden więc rozkaz nierozważny, jeden wyraz wyrzucony przez królowę mógł popsuć wszelkie nadzieje co do trwałości panowania i spokoju przyszłych rządów Zygmunta Augusta. Ten bowiem doszedłszy do lat, miał swoje rządy oprzeć na tych, którzy wzrastając z nim razem, z nim też razem mieli stanąć do czynu.

Tymczasem śmierć Jadwisi wywarła taki popłoch, iż mimo całego współczucia, jakie okazywano zbolełym rodzicom, każdy jak mógł najprędzej zabierał swe manatki i opuszczał miasto, nie chcąc narazić dzieci na śmierć lub chorobę.

Rozkaz więc królowej „ażeby wypędzić dzieci” był zupełnie zbyteczny, bo we dwa dni miasto zupełnie z przyjezdnych opustoszało.

Bona za to postanowiła wypędzić Kazika.

— I ten przyniesie jeszcze jakie nieszczęście, miałam przecucie, że to dom zapowietrzony, z którego samo zło na mego syna spłynie — mówiła, myśląc o kasztelanie zakroczymskim.

Lecz syn jak zwykle oparł się, zaszła znów między nim a matką bardzo gorąca sprzeczka, nawet ojciec był przyzwany jako rozjemca.

Stary jednak król łaskawy dla syna, wysłuchał wszelkich skarg i żalów a potem rzekł:

— Cóż tam Niedźwiedź może komu zawadzać! — owszem, doskonale jeździ konno i Zygmunusia do tego wdroży.

I wyszedł.

Bona wzruszyła z pogardą ramionami, spojrzała za odchodzącym z najwyższą złością, rzuciła jakiś wykrzyknik i wzięła się do innej taktyki.

Nie mogąc nic zrobić rozkazem, poczęła syna błagać, obiecywać rozmaite przyjemności: wyjazd z ochmistrem do Wilna, przeróżne zabawy i pomysły, w które obfitował jej umysł zawsze ruchliwy.

— Dobrze — odrzekł Zygmunt August — pojedę do Wilna, ale i Niedźwiedź ze mną.

— Dobrze więc, Niedźwiedź zostanie, a ochmistrz zostanie oddalony! — zawołała matka.

Wiedziała bowiem, że syn jej przywiązał się do Opalińskiego, i że usunięcie ochmistra nową wywoła burzę, chciała więc choć jedno według swej woli przeprowadzić.

Chłopiec kilka chwil milczał, jakby walczył sam z sobą, potem rzekł głosem nad wiek spokojnym:

— I ochmistrz i Niedźwiedź obaj zostaną!

A ukloniwszy się, wyszedł z wielką powagą.

— Uparty jak ojciec — rzuciła za nim Bona — miarkując gniew i z trudem panując nad sobą.

Po chwili zaś dodała:

— Ale i mój charakter w nim się przebija! Zobaczymy kto zwycięży!

I zaczęła chodzić po komnacie w zamyśleniu.

Potem zaś szepnęła do siebie:

— Jednego i drugiego można przecież usunąć! Są sposoby, tylko nie zaraz, zrobiłoby to rozgłos zbyt szybki. Z Opalińskim będzie trudniej, dwóch naraz, za dużo, dobrowolnie nie pozwoli „stary”... no, i rada...

I zamyśliła się, usiadła przed rozwartą księgą, leżącą zwykle na stole i poczęła w niej czytać, przebierając białymi, pulchnymi palcami i spoglądając na nie po każdym przeczytaniu kilku wyrazów. Radziła się jak zwykle kabały.

Po chwili uderzyła w srebrne kowadełko.

Z pod stołu wyjrzał ciekawym wzrokiem Diavolo, a jednocześnie zjawił się pokojowiec, czekający zwykle na rozkaz u drzwi za oponą.

— Lekarz naszego syna! — rzuciła.

— Oho! — pomyślał sobie Diavolo. — Czy tego licha weźmie? — zapytał sam siebie.

I pilnie nadstawił ucha.

Niebawem wszedł Fogelfeder.

— Na jaką chorobę zmarła kasztelanica? — spytała Bona głosem miękkim, jakby współczującym.

— Była to gorączka szkarłatna — odrzekł młody lekarz.

— A siostra zmarłej?

— Ma też samą chorobę.

— Umrze?

— Wszystko w ręku Boga, lecz o ile mnie nauka nie myli, ma się ku lepszemu — odrzekł młody lekarz, nie mogąc zmiarkować, do czego prowadzą te pytania.

— Czy z takiej choroby się wychodzi?

— Jeżeli niema żadnych innych komplikacji i nie zepsuje się krew, można chorobę przetrzymać.

— Taki Niedźwiedź mógł być się zarazić?...

— O ile mi wiadomo, młodzieniec, z początku choroby, kiedy gorączka jeszcze nie wystąpiła; nie widział też chorych — odrzekł uspokajająco, sądząc, iż królowej chodzi czy nie zachwycił zaraz i nie przyniósł na zamek.

Chwila była milczenia; Fogelfeder myślał już, że rozmowa skończona, złożył należny ukłon i zabierał się do wyjścia.

— Jak wygląda umierający na taką gorączkę? — spytała nagle Bona.

— Twarz i ciało ma czerwone, rozpalone, miejscami plamy sine.

— Plamy sine... — powtórzyła Bona.

Szeptu jej lekarz nie mógł słyszeć, lecz z poruszenia ust sądził, iż wymówiła jakieś wyrazy w obawie o syna. I on drżał o młodego króla, tem więcej, iż uszu jego doszło, że oprócz kasztelanek, kilkoro innych dzieci zachorowało.

Ośmielił się więc rzec nie pytany:

— Choć niema najmniejszego niebezpieczeństwa, dla uspokojenia serca rodzicielskiego najjaśniejszej pani, można wyjechać.

Bona zwróciła nań przenikliwe oczy.

— Wyjechać? wyjechać radzisz, mości lekarzu? — spytała.

— Wszelako tylko dla spokojności najjaśniejszej pani — odrzekł, kłaniając się zarumieniony swem odezwanieniem się młody lekarz.

— Pamiętaj, żeś doradził wyjazd! — rzuciła królowa jakimś ostrym, nagle zmienionym głosem.

Nieśmiały z natury, zatopiony w swej nauce lekarz, a nie znający zgoda wszelkich arkanów przebiegłej Włoszki,

nie wiedział, co miał sądzić o ostatnich jej wyrazach. Stał chwilę, tusząc, iż otrzyma nowy rozkaz lub pytanie; tem więcej zaś przykuty był do miejsca, iż ujrzał wyglądające z pod stołu oko Diavola, który przypatrywał mu się z szyderczym uśmiechem, mrugając przytem jednym okiem złowrogo.

Bona tymczasem nie zwracając uwagi na stojącego w pokornej postawie Fogelfedera, zadzwoniła w kowadełko, i kazała przywołać siostrę. Lekarz wyniósł się niepostrzeżenie.

Rozmawiała coś szeptem z powiernicą, a po chwili dwór cały rozbrzmiewał wieścią, iż królowa z synem i nielicznym dworem z polecenia lekarza Fogelfedera opuszcza Kraków.

Lekarz nie wiedział czy smucić się, czy cieszyć, iż rzuciona przez niego myśl, tak szybko i gorliwie została podjęta. Wszelako ze swego obowiązku i on gotował się wraz z innymi do drogi.

Myśl wyjazdu wszakże pochodziła od samej królowej; lecz do jej planów było potrzeba, ażeby nie od niej wprost wyszła. Może nawet trzeba jej było tego polecenia lekarza dla upozorowania przed małżonkiem, iż i ona jako troskliwa matka, musi jechać z synem, obawiając się, by wywieziony z nawiedzonego gorączką miasta, w drodze gdzie nie zachorzał. Król bowiem o ile chętnie pozwalał na wyjazd syna dla odciążenia go od matki, bo widział jej zły wpływ, któremu zaradzić nie mógł, o tyle był niezadowolony, ilekroć królowa wraz z synem zamek opuszczała.

Lecz obawa o jedynaka przewyższała wszelkie względy. Dziwne jednak, że ta matka tak troskliwa o syna, nie troszczyła się wcale o córki. W rozkazach wydawanych do wyjazdu, o królowych wcale nie było mowy, niechętni zaś Bonie mówili:

— Onaby może i rada, żeby gorączka je zabrała!...

Tymczasem dwór cały wrzał pośpiechem, na wszystkich ustach zaś było:

— Królowa z młodym królem wyjeżdża z porady lekarza Fogelfedera!

I spoglądano na młodego eskulapa jako na ważną osobistość, która trzyma w ręku, jeżeli nie losy całego państwa, to przynajmniej zdrowie młodego monarchy, i w tej chwili rządzi nawet królową.

A lekarz nadworny, im więcej spoglądano nań z uszanowaniem i otaczano niebyszałymi dotąd względami, tem więcej robił zdziwioną i pokorną minę, nie wiedząc nawet, czego ta cała dworska rzesza żąda i czemu go w dawnym nie pozostawia spokoju.

Co najdziwniejszem jednak było, że Niedźwiedź nie lubiony i poniewierany dotąd przez królowę, a nawet przed chwilą wypędzany, wpadł teraz nagle w jej łaski. Ciągłe go wołała do siebie, kazała wraz z synem przebywać w komnacie, darzyła nawet własnoręcznie przysmakami, które on ze złe tajonym wstrętem, choć z dworską grzecznością i przy należnymi hołdami z rąk monarchini odbierał.

Usprawiedliwiał teraz nawet przezwisko „Niedźwiedzia” w ogóle wesoły i dowcipny, w obecności królowej stawał się mrukiwym i trudno było od niego słowo jakie wyciągnąć.

I nienawidzony ochmistrz zyskał również najzupełniejsze zaufanie królowej Bony.

Karta w jej zamysłach nagle się odwróciła i Bona radziła się Opalińskiego w najdrobniejszych nawet szczegółach; nie tylko zaś odnoszących się do syna, lecz w ogóle do urzędzeń w podróży, o którą troskała się z najwyższą drobiazgowością, zawstydzając w tej mierze najgospodarniejszą nawet szlachciankę.

W półtorej doby niespełna dwór gotów był do wyjazdu. Królowa wraz z synem i siostrą wsiadła do wielkiej kolebki, konno wraz z orszakami tuż przy kolebce jechał nieodstępny teraz Niedźwiedź, za kolebką królewską ochmistrz i lekarz nadworny, dalej reszta dworu. do którego zaliczony był Bassaty, oraz znany nam już Ciemnos olbrzym, pod którego wyłączną opiekę oddano Diavola i małpkę, zwaną Bartholem.

Wyjeżdżając jednak z bramy zamkowej nikt nie wiedział, dokąd się udaje.

I gdy jedni utrzymywali, że królowa uwozi syna do Węgier, inni, że go chce pod włoskiem niebem wychować.

Ludzie zaś pobożni mówili, iż jedzie do Częstochowy, ażeby przed słynącym cudami obrazem uprosić u Matki Najświętszej opiekę nad synem przy szerzącej się w mieście na dzieci zarazie.

A mieszczki widząc wielką na saniach kolebkę, zaprzęzoną sześcioma końmi, mówiły wdychając:

— Mój Boże, matka, to zawsze matka, czy to w zwykłym czy królewskim stanie, wszystko zrobi, by jeno dziecko od złego uchronić.

— I zawiei się nie ulęknie.

— A choć do tego nie przyuczona, boć ona z takiego pono kraju, kędy śniegu nie znają.

— Gadacie oto moja acani byle co, zaś jest gdzie kraj, coby śniegu nie było — rzekła inna, mileżąca dotąd.

— A juści, co jest! — odparła zagadnięta.

I poczęła się się sprzeczką, odwracając uwagę od przedmiotu, który je przy skraju ulicy Grodzkiej, przed jednym domem zgromadził.

— Zawszeć to nie pięknie, że królowa uwozi syna, a córy niebożęta, zostawia domal — zaczęła jedna, nie wdająca się dotąd w gawędę.

I tak z jednej sprzeczki wchodzący w drugą, a tymczasem ciężka koleba królewska wlokła się przez zasłane śniegiem ulice.

Bo chociaż to już były pierwsze dni marca, po ciepłym i nad wyraz pogodnym lutym poczęły nagle mrozy i śnieg od dni kilku sypał z wielką zaciętością.

Poczet królewski wyjechał przez Floryańską bramę, a nikt jeszcze nie wiedział, dokąd się udaje.

Wtem Bona przez zaspane śniegiem okienko w bocznej ścianie kolebki dała znak Niedźwiedziowi, żeby się przybliżył.

Chłopiec zwracający, ciągle uwagę na kolebkę, ażeby być w każdej chwili na rozkazy, podjechał zaraz.

— W ślad za wozami, które wczoraj wysłano! — rzuciła Bona.

— Ślady wszystkie zawiane — odparł Kazik, pochylając się na koniu.

Pewne zniecierpliwienie przebiegło po twarzy królowej.

— Traktem do Steżycy! — krzyknęła.

Rozkaz powtórzono.

I znów opanowało wszystkich zdziwienie.

Nie jeden nie słyszał nawet o Steżycy, lecz Bassaty, który z kilkoma ludźmi na saniach jechał przed królewską kolebką, ażeby drogę torować, świadom był wszelakich, nie tylko traktów, lecz i ścieżek ubocznych, kiwnął więc tylko głową i skierował konie.

A królewicz, którego bawiła ta droga, i dotąd szczebiotał wesoło z nielubioną przez siebie siniorą, zapytał nagle z pewnem niezadowoleniem:

— Myślałem, że do Wilna?

— W drodze będziesz miał dużo niespodzianek — odrzekła matka. — I przez rozmaite miasta będziesz przejeżdżał.

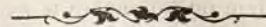
— A przez jakie? — pytał ciekawie.

— Trudno nawet je nazwać — wyręczyła swą panią siniora — jego królewska mość zobaczy wiele rzeczy, których jeszcze nie widział — tłumaczyła, w rodowitym swym języku Alenini.

— A jakie?

— Ja nie wiem, ale ciekawe — odrzekła, aby go zabawić.

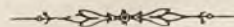
(d. c. n.)



NIEBO W MAJU.

Długość dnia w maju zwiększa się coraz bardziej: pierwszego wynosiła godzin 14 m. 53, a 31 wynosić będzie już 16 godzin 23 minuty. Pochodzi to stąd, że słońce zakreśla coraz większy łuk dzienny, podnosząc się z każdym dniem wyżej w chwili przejścia przez południk. W początkach stycznia naprzykład, wysokość słońca nad poziomem w południe dochodziła zaledwie 15 stopni, w maju zaś wysokość ta wynosi od 53° do 60°.

Z planet w maju będą widoczne: Wenus, wieczorami w stronie północno-zachodniej, Jowisz i Saturn. Wieczorem dnia 22 maja, będzie można obserwować gołym okiem ciekawe zjawisko zakrycia planety Wenus przez tarczę księżyca; początek tego zjawiska, które potrwa 5 minut, przypadnie o godz. 9-ej wieczorem. Księżyc, posuwając się między gwiazdami w postaci wąskiego sierpa, zakryje planetę lewą swoją stroną, dla nas podówczas niewidzialną, przez co zdawać się będzie, że planeta znikła nagle, nie dotknąwszy tarczy księżyca.



NOWE KSIĄŻKI

J. Chociszewski „Historja Polska,” Nakład księgarni Borkowskiego i Karpowicza.

Krótki ten podręcznik, napisany językiem przystępnym i zrozumiałym, możemy zalecić czytelnikom naszym. Zawiera on nie tylko wszystkie ważniejsze wypadki z dziejów politycznych do 1815 roku, ale też i krótkie poglądy na rozwój literatury i w ogóle cywilizacji w Polsce. Na końcu dodano opis koronacji i uwagi o rządzie, wreszcie spis królów i chronologię najważniejszych wypadków.

Legends czyli cudowne powieści z dawnych czasów, wydane przez księgarnię p. A. Rządewskiej. Jest to zbiór dawnych podań, zawsze świeżych i rzewnych, wierszem i prozą. Książeczka ta należy do taniego wydawnictwa dla dzieci i młodzieży.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TRĘŚĆ: Zażegnana katastrofa (z ryc.) — Powróciła, wiersz — Dzielny chłopiec przez Zofię Kowerską. — W otchłaniach morskich przez dr. M. Stefanowską (z ryc.) — Kościół św. Stefana w Wiedniu (z ryc.) — Z dziejów cywilizacji. — Niedźwiedź, powieść z XVI w. przez Zuzannę Morawską. — Niebo w maju — Nowe książki. — Dodatek: Zwiastuny wiosny przez Z. B. (z ryc.) — U ciotki Polci (z ryc.) — Odwet, wiersz przez H. B. — Królowa poziomek i paproci, bajka czarodziejska przez Wacława Sulimę. — Kamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

WIECZORY RODZINNE

ZWIASTUNY WIOSNY.

Kazio i Janek mają ogródek, i pracują w nim dzielnie, jak na tęgich chłopców przystało. Kopią z rozmachem, aż ręce bolą od łopaty, sieją i gracują świeżo wytknięte uliczki.

Wtem zaszumiało coś w powietrzu, kle, kle, kle, — odezwał się bocian, kle, kle, kle — odpowiedziała mu bocianica, i wielkie dwa ptaki opadły na gniazdo. Samiec groźnie nastawił dziób, strasząc wróble, bo i te chciały tu sobie obrać mieszkanie. Samica układała rozrzucony chrust, zwyczajnie skrzętna gospodyni, która nim zacznie zbierać nowe zapasy, oblicza wprzód co jej z dawnych zostało.

Jakże się też chłopcy ucieszyli bocianem!



— Kle, kle, boćku, kle, kle, oj gorąco w piekle! wołał Janek, a Kazio kłaniał się czapką ptakom i aż podskakiwał z radości.

— Boćki! bociusie! — woła ciocia Mania, otwierając drzwi ganku, i młoda ciocia biegnie razem z chłopcami pod gniazdo, przypatrzeć się ulubionym ptakom.

— Wiecie chłopcy, jak nazywa lud bociana, tam gdzie ja mieszkam, na Mazowszu?

— Jak cioteczko? powiedz.

— Nazywają księdzem Wojciechem. Chcecie, opowiem wam o tem śliczną historię?

— Prosimy! prosimy! — zawołali chłopcy, skacząc około cioci, a Kazio dodał: tylko niech się ta historia zaczyna: był raz jeden król, bo takie są najciekawsze.

Ciocia uściskała siostrzeńca.

— Dobrze, tak też właśnie zacząć miałam.

Był więc raz jeden król, nazywał się Bolesław Chrobry, mało on mieszkał w swym królewskim dworcu. Gdzie tylko posłyszał, że ludziom dzieje się krzywda, biegł tam zaraz złych karać, dobrych nagradzać.

Nie wszyscy wówczas byli chrześcijanami, wielu

z nich nie słyszało nigdy o Bogu, więc źle się działo słabemu i bezbronnemu.

Takim słabym, bezbronnym człowiekiem był święty Wojciech. A pomyślcie jaki on był dobry, bo mogąc żyć spokojnie przy królu, który go bardzo poważał, prosił, by mu pozwolono iść między pogan i opowiadać im o Bogu, o umęczonym Chrystusie, o Matce Najświętszej, do której sam śliczną pieśń ułożył.

Szedł i szedł więc coraz dalej z południa na północ, tą drogą, którą do nas przylatują bociany, aż zaszedł nad morze.

Po drodze uczył ludzi miłości Bożej, uczył żyć poczciwie, więc też gdzie stanął gromadziły się tłumy słuchających jego słowa, a potem stawiano w tych miejscach kapliczki, na pamiątkę jego tu bytności.

Nad morzem mieszkał lud pogański i dziki, więc też zamiast słuchać nauki św. biskupa groził, że go zabije.

Nie uląkł się pobożny kapłan ich groźby, i dalej głosił słowo Boże. Wielu też pogan przyjęło wiarę Chrystusa.

Byli jednak między nimi tak srodzy, że ich nie przejednała dobroć Świętego. Oni to napadli na odprawiającego Mszę świętą i okrutnie włóczniami przebili.

— Zabili Świętego! — zawołał oburzony Kazio.

— A król czy ukarał ich za to, ciociu? — pytał Janek.

— Słuchajcież, co się stało. Król posłał najprzód po ciało Świętego, żeby pochować je na swojej ziemi, a tymczasem zbierał wojsko, aby ukarać Pomorzan.

Przyjeżdża poselstwo nad brzeg morski, żąda oddania zwłok Świętego, a mordercy mówią:

— Nasypcie tyle złota i srebra ile waży ciało, wtedy je oddamy.

Posłowie mieli z sobą kosztowne naczynia, drogie łańcuchy i pierścienie, rzucają je na wagę czempredziej, ale rabusie szydzą z nich, bo gdzież łańcuch lub puhar przeważyc może ciało człowieka.

Wtem nadchodzi uboga wdowa, którą Święty pocieszał miłosiernie. Choć bardzo biedna, ostatni grosik rzuca na wagę.

I wiecie co się stało? grosz ubogiego tak zaważył, że szala z ciałem poleciała do góry, a z drugiej zdjęć musiały wszystkie drogie naczynia i wszystkie klejnoty, tak, że został tylko pieniążek wdowy, wte naszale wyrównały się zupełnie. Bóg cud uczynił, żeby ukarać choiwość morderców, którzy bez okupu oddać musieli święte zwłoki męczennika.

Posłowie zawieźli je do Gniezna, gdzie do dziś leżą w srebrnej trumnie, na skrzydłach sześciu srebrnych orłów wspartej.

— A król? — pytali niecierpliwie chłopcy?

Król Pomorzan ukarał jak na to zasłużyli, ale że to był naród dzielny, choć pogański, więc pokochali Chro-

brego, nauczyli się służyć Bogu chrześcijańskiemu i sami potem stawiali kościoły świętemu Wojciechowi.

Bociany zaklekotały na gnieździe, jak gdyby chwaliły opowiadanie cioci, która tak kończyła:

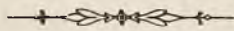
— Uplęnęło od tego czasu wiele lat, lud pamiętny przyjscia świętego biskupa, bociana księdzem Wojciechem zowie.

Jak bocian, przybywa z południa na północ, jak bocian zapowiada wiosnę, tak Święty niósł z sobą szczęśliwą wiadomość o Bogu miłosiernym, jak bocian wreszcie, na czarną suknię kapłańską kładł białą komżę, by chrzcić zebrane tłumy, więc czarne i białe pióra miłego ptaka przypominają biedakom świętego męczennika, który dla nich życie poświęcił.

Gdy tak ciocia opowiadała bociany tymczasem pracowały wciąż, porządkując rozrzucone gniazdo.

— Czas i nam do zajęcia — powiedziała ciocia, chłopcy chwycili za łopaty, a dobra ciocia wróciła do pokoju.

Z. B.



ODWET.

Raz ojciec słyszał, jak Janek do siostry
Mówił złośliwie i w sposób zbyt ostry;
Rzeczę więc: — Janku, na cóż takie słowa,
Dla czego taka złośliwa twa mowa?
O! to nie ładnie!

— Ach ojczy, ja tylko
Odwet jej daję, bo właśnie przed chwilką,
Bardzo niegrzecznie do mnie przemówiła.
— Być może, iż to niebacznie zrobiła,
A choć nie mogę pochwalić jej czynu,
Jednak ty robisz wielce gorzej, synu,
Gdyż ty z rozmysłem pragniesz widać tego,
By jej dokuczyć. Wiedz, niema brzydszego
Uczucia w sercu, nad zemsty pragnienie;
Pamiętaj o tem! niech to napomnienie,
Będzie ostatniem, synu mój jedyny.
Wtedy Bóg tylko daruje nam winy,
Gdy winowajcom i my odpuszczamy,
Wszak to w pacierzu codzień powtarzamy.

H. B.



U cioci Polci.

(Dalszy ciąg).

— Wybornie — rzekł Henryś — rozumiem teraz.

— Ptaki mają głowę małą, więc wystarczy nam jedna przedziałka, zróbcie tedy znaczek pod czwartą linijką. Za to szyja jest bardzo długa u bociana, więc zróbcie znaczek aż pód ósmą linijką, żeby oznaczyć punkt gdzie się kończy szyja a zaczyna tułów, i nazwijcie ten znaczek *a* (fig. 1). Teraz trzeba oznaczyć punkt *b*,

który będzie o cal i trzy ćwierci oddalony od górnego brzegu papieru i nieco za dziesiątą linijką (fig. 1).

— Czy możemy już zacząć rysować? — prosił niecierpliwym Henryś.

— A nie mamy ani nóg, ani ogona — zauważyła Zosia.

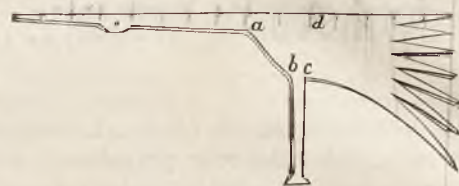


Fig. 1.

— Ażeby zrobić nogi musimy oznaczyć punkt *c* wprost *b*, a ogon będzie się zaczynał wprost trzynastej linijki (fig. 1). Nazwijmy jeszcze dziesiątą linijkę *d* i już możemy zacząć rysować.

— Nareszcie — zawołał Henryś — to będzie najzabawniejsze.

— Nie dla mnie — rzekła Zosia — ja nie umiem rysować.

— Potrafisz to zrobić — pocieszała ją ciocia. — Zrób najpierw prostą linię od brzegu papieru, aż do pierwszego znaczka; to będzie dziób.

— Potem okrągłą linię do następnego znaczka na odznaczenie głowy — podchwycił Henryś.

— Znow prostą linię aż do *a* na szyję, i krzywą linię od *a* do *b*. Dwie proste linie od *b* i *c* aż do dołu odznaczają nogi, które trzeba u dołu zrobić nieco szersze, żeby ptak mógł na nich wygodnie stać. Jeszcze jedna krzywa linia od *c* aż do dolnego rogu po prawej stronie i już rysunek gotowy, tylko jeszcze trzeba zrobić pióra w ogonie za pomocą kilku ukośnych linijek (fig. 1).

— Czy możemy teraz wyciąć?

— Tak, tylko ostrożnie, gdyż papier jest podwójnie złożony i twardy. Teraz gdyśmy już wycięli ptaka, który wcale jeszcze nie jest piękny, trzeba go rozłożyć zupełnie, położyć na stole i znow złożyć wpół, ale w tem miejscu gdzie się szyja łączy z piersią, tak, aby dziób leżał na ogonie.

— Na co to? — spytał Kazio.

— Trzeba szyję wyprostować do góry, a najlepszy na to sposób zagiąć ją. Teraz weźcie ptaka w prawą rękę i trzymajcie mocno, podczas gdy lewą nacinacie szyję

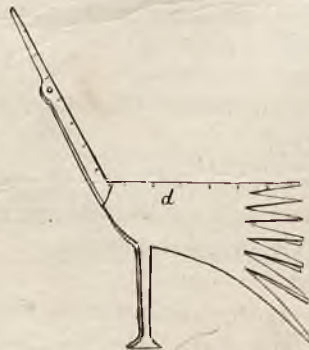


Fig. 2.



Fig. 3.

do poprzedniej pozycji, ale zarazem załóżcie ją nieco pod tułów, a jednocześnie złożcie znow tułów we dwoje i nadajcie szyi tę pozycję (fig. 2).

— Bardzo to pięknie zaczyna wyglądać, tylko głowa się wykręciła — zauważył Kazio.

— Zaraz to naprawimy. Weźcie dziób w lewą rękę a szyję w prawą i zegnijcie dziób na dół tak, żeby boki głowy zaszły na szyję.

— Coraz lepiej — zawołał Kazio.

— Ale nie chce stać — rzekł Henryś, który napró-żno usiłował postawić ptaka na nogi.

— Będzie stać jak go skończymy, ale musimy naj-
pierw zrobić ogon. Załóżcie kilka górnych piór do środ-
ka tak, aby się utworzyła linia od *d* aż do trzeciego piór-
ka od dołu (fig. 3). Otóż te dolne piórka utworzą skrzy-
dła, a te środkowe ogon, na którym się będzie opierał
nasz bocian.

— Teraz już zupełnie skończony — zawołała Zosia.

— Nie zupełnie, bo niema oczu; jakże trafi do je-
dzenia? — rzekł Henryś.

— To zróbcie mu oczy — odpowiedziała ciocia. —
Dwa kółeczka ołówkiem z każdej strony głowy.

— Stoi teraz — wykrzyknął Henryś.

— I patrzy — dodała Irenka.

— Prześliczny!

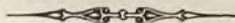
— Zróbmy całą rodzinę bocianów — rzekła Zosia.

— Tatusia, mamusię, i czworo dzieci.

— Jabym wolał teraz jakie zwierzę zrobić — rzekł
Henryś — jeżeli ciocia zechce nam pokazać.

— Chętnie — rzekła ciocia — teraz już wam łatwo
pojdzie i nie będę potrzebowała wszystkiego wam tłóma-
czyć, parę wskazówek wystarczy.

(d. c. n.)



KRÓLOWA POZIOMEK I PAPROCI.

BAJKA CZARODZIEJSKA

przez *Wacława Sulimę.*

(Dalszy ciąg)

IV.

Rada jastrzębia.

— Czy chcesz iść ze mną do lasu, Halinko? — spy-
tała raz Elżbietka.

To zaproszenie było tak niezwykle, iż Halince wy-
dało się zrazu, że źle słyszy.

Elżbietka od jakiegoś czasu stała się znacznie łago-
dniejszą, a od paru dni była nawet dosyć uprzejmą.

— Chętnie — odpowiedziała Halinka — dokąd pój-
dziemy?

— Ot, wiesz, powiem ci otwarcie; do nocy jeszcze
daleko, mamy dużo czasu; powiemy mamie, że idziemy
na poziomki, a naprawdę będziemy szukać Jagusi; nuż
nam się uda ją znaleźć.

— Możemy iść, ale wątpię żebyśmy ją znalazły. Prze-
cież wuj z Jankiem obeszlą ogromny kawał lasu i ciocia
z nami także.

— Spróbować nie zawadzi, może kogoś spotkamy,
kto nam o niej co powie, a może... czy ty wiesz, że w tym
lesie są wróżki, wieszczki i różne dziwy?

— Wiem — odpowiedziała Halinka, przypominając
sobie leśną Paprotkę.

— Może więc Jagusia spotkała się z jaką wieszczką,
może dowiemy się co o niej od jakiego czarodziejskiego
zwierzęcia.

— Chodźmy — odparła Halinka, której się to przy-
puszczenie wydało bardzo możliwem.

Wyszły obie z dzbanuszkami jak na poziomki i za-
częły iść bardzo prędko.

Elżbietka nagliła jeszcze.

— Idźmy dalej — mówiła — ta strona jest zanadto
uczęszczana i za głośna, wróżki przebywają zwykle w sa-
motnych miejscach. Zapuşciły się w gęstwinę. Drzewa
szumiały poważnie, rozmaite głosy leśne rozlegały się
w oddali, słyhać było szelest skrzydeł ptasich. Czasem
jakiś głos słodki, a cichy zanucił piosenkę, czasem trawy
i rośliny zaszeleściły, a chwilami w powietrzu rozbrzmie-
wały jakieś szepty i cichutkie śmiechy.

Dziewczynki nie bały się, wiedziały, że tu żadnych
złych stworzeń ani nieprzyjaciół niema.

Wtem wysoko nad niemi zawisł duży, szary jastrząb,
zakołysał się chwilę w powietrzu i spuścił się zwolna na
pień zwałonego drzewa.

— Chodź — rzekła Halinka — usiądziemy chwilę
na tem drzewie, zmęczyłam się.

Usiadły, ale jastrząb nie sfrunął, nie zdawał się wca-
le przestraszony sąsiedztwem dziewczynek.

— Nie odpoczywaj długo — przestrzegala Elżbiet-
ka — pamiętaj, że nie mamy czasu do stracenia.

A wtem jastrząb ozwał się ludzkim głosem:

— Gdzie się tak spieszycie, dziewczynki?

Halinka drgnęła, Elżbietka zaś odpowiedziała:

— Szukamy naszej zaginionej siostrzyczki, która
tydzień temu poszła do lasu i nie wróciła.

Jastrząb nastrzępił pióra.

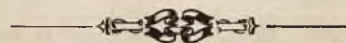
— Nie znajdziecie jej — odparł ostrym głosem —
wpadła w niełaskę potężnej czarodziejki, stamtąd jej nie
wydobędziecie.

— O, panie jastrzębiu! — zawołała Halinka — po-
wiedz nam, kto jest ta czarodziejka i gdzie się ona znaj-
duje?

— Na nic wam się to nie przyda choć i powiem.
„Tydzień temu, wieczorem siostrzyczka wasza zabłądziła
do kotlinki paproci zamieszkaney przez Poziomki-dziew-
czynki. Spostrzegłszy, że to są żywe istotki, wyrzekła się
zamiaru obrywania im łebków, ale natomiast przysła jej
myśl złapać parę takich stworzonek, wsadzić do dzba-
nuszka zamiast jagód i zabrać ze sobą. Rozpoczęła więc
gonitwę podczas której nadeptała i skaleczyła parę ży-
wych poziomek. Hałas zwabił królowę, leśną Paprotkę,
która niedaleko stamtąd ma swój namiot z paproci. Ta,
widząc co się dzieje rozgniewała się bardzo i dziewczyn-
kę za karę uwięziła w głębokim parowie.

Halinka zdumiała. Tydzień temu widziała się ostat-
ni raz z Leśną Paprotką, która ją pożegnała ze zwykłą
swoją uprzejmością, udając się do swego namiotu. Wi-
docznie Jagusia zabłądziła do tej kotlinki po jej odejściu
i została uwięzioną.

(d. c. n.)



ŁAMIGŁÓWKA GŁOSKOWA.

Pierwsze jest w morzu, ale nie w stawie,
Drugie w nauce, również w zabawie,
Trzecie w butelce, a nigdy w słoju,
Czwarte jest w sieni, a nie w pokoju,
Piąte jest w bajce, lecz nie w piosence,
Szóste w kieszeni i to w sukience,
Siódme w obłoku, ale nie w chmurze
 A jest okrągłe — małe czy duże,
Wszystko — nazwisko wielkiego malarza,
 Z uznaniem każdy z nas je powtarza.

ŁAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

Ułożył Heliotrop i Jaśmin.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	Zastąpić liczby i kropki literami, aby litery oznaczone liczbami, złożyły imię i nazwisko znakomitego mówcy ziotego wieku. Wiersz 2 Gród pamiętny zjazdem w r. 1343. 3) Bohater z wojny Trojańskiej. 4) Król Ostrogotów. 5) Założyciel wielkiego miasta w staroż. 6) Bożek czeski. 7) Szkielet polipa. 8) Imię żeńskie. Miejscowość biblijna. 10) Zaimek osobowy 4 przyp. 11) Samogłoska.
2	
3	
4	
5	
6	
7	
8	
9	
10	
11	

KWADRAT MAGICZNY.

przez Puszczyka z Pilawy.

a	a	a	b	Spójnik.
b	d	l	l	Miasto nad rzeką Pełtwią.
n	o	o	o	Królowa koronowana w r. 1548.
o	w	w	w	Zwierzę z gromady stawowatych.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 18.

Meta gram u:

Fara — Kara — Mara — Para — Sara — Zara — Ara.

ŁamigłóWKi literowej:

P

m a k

k o r e a

k r z y ż a k

K r z y ż o p o l

Niteczki aryadny:

Zal mi jeno tej łąki,
 Gdzie fijołki i dzwonki;
 Zal mi słońca w zachodzie,
 Kiedy świeci na wodzie,
 I fujarki wierzbowej
 Z nad zielonej dąbrowy.

T. L.

Skrzynka do listów.

Żądany numer Wieczorów dla Janinki M. posłano. Staramy się zawsze by czytelnicy nasi obok zajmujących powieści mieli też i podróże. Po ukończeniu drukującego się obecnie *Jurasia i Anulki*, rozpoczniemy inną, bardzo zajmującą i ozdobioną ilustracyami. Gołąbek Bożenny nie był pisany przez Z. Rudnicką; inną ciekawą powieść tej autorki redakcyja ma już przygotowaną do druku.

Ej **Wesoła** (dodać muszę figlarko), bo żartem tylko mogłaś napisać, że zasną nad twoim listem, i żartem nazwałaś go „spóźnionem, wielkopostnem umartwieniem.” Tak jednego jak drugiego do starannie zapisanej żółtej ćwiartki, zastosować nie mogę, bo liścik twój bardzo mi był przyjemny i zajmujący. „Dzieci Warszawy” Z. Bukowieckiej, czytałam z równem jak i ty zajęciem. Żalowałam bardzo twego braciszka, że mu tak Święta smutno przeszły, ale dzięki Bogu, że już do zdrowia wrócił. A teraz, ponieważ zapewne nie długo już zaczniesz egzamina, życzę ci serdecznie byś otrzymała nagrodę, której chcesz się zrzec gwoli zadowolenia brzydkiego *leniuszka*.

Podzielałam całym sercem twój smutek **Sandomierska Pszeniczko**, ale mam nadzieję, że choroba twojej siostrzyczki przejdzie szczęśliwie i prędko, proszę cię też bardzo, byś doniosła jak się miewa, czy już zaczyna powracać do zdrowia?

Cesarzowa niemiecka, Wiktorya-Augusta, jest z domu księżniczką Sonderburg-Augustenburg, imiona jej siostr znaleźć można w almanachu gotajskim, którego obecnie nie mam pod ręką. ŁamigłóWKę oddałam redakcyi.

Rybitwę z nad Wisły witam dzisiaj po raz pierwszy w gronie mych korespondentek, ciesząc się, że ją moje odpowiedzi skłoniły do napisania tego liściku. Kaligrafia twoja bynajmniej tak złą mi się nie wydaje i spodziewam się, że jeżeli nie na nagrodę, to przynajmniej zasłużysz na pochwałę. W imieniu biednego dziecka, któreś sukienką własnoręcznie uszytą okryła, przesyłałam ci serdecznie „Bóg zapłać!”

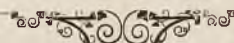
Nie rozumiem doprawdy jakim sposobem list twój **Niezabudko**, pisany jeszcze przed Świętami, teraz dopiero dostałam; może być, że przy tak licznej korespondencyi, jaką odbieramy, zaszła jakaś niedokładność, w każdym razie dziękuję ci za panięć i przepraszam za spóźnioną odpowiedź. ŁamigłóWKi złożyłam w Redakcyi, dawniejsze czekają zapewne swojej kolei. Obiecanego długiego listu oczekiwać będę.

Amatorowi ptaków zawsze z przyjemnością odpisywać będę, jeżeli dłuższym listem zechce mnie obdarzyć, bo z kilku słów trudno rozpoznać twój wiek i usposobienie, więc i sama dłuższej odpowiedzi dać nie mogę. ŁamigłóWKi osądzi w Redakcyi, czy będą mogły być drukowane.

Dobre rozwiązania zadań przysłali: **Ułan P.**, **Stoń z Nubii** wraz z łamigłóWKami własnego układu i **Różowa Stokrotka**, która pragnie obszernej odpowiedzi, ale sama nic nie pisze, na cóż więc mam odpisywać?

Całym sercem współczuję z tobą droga **Turkawko**, ale Pan Bóg który zesłał na ciebie tę chorobę, da ci też siły byś smutne jej następstwa znosiła cierpliwie i pocieszyć cię zechce. Znam wiele panienek dotkniętych tem cierpieniem, którego jednak na szczęście kalectwem nazwać nie można, bo nietylko, że nie przeszkadza w chodzeniu, ale pozwala nawet nieraz na bieganie i taniec. ŁamigłóWKę twoją złożyłam w redakcyi. Rozwiązania dobre. Spodziewam się, że braciszek twój **Czarny sokół** nadesłał też na konkurs próbę swego pisma.

Jaskółka.



Sprostowanie. W numerze 19-ym w odpowiedzi o prochu Puszczykowi z Pilawy wydrukowano mylnie wiek XVII zamiast XIII.

№ 21. Rok XVIII.

Dnia 9 (21) Maja 1898 r.



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Adam Pług.

Mróż, słońce i wiatr.

(podanie ludowe).

Jak tam na dworze? — spytał Maciej wnuka,
Siedząc w kożuszku pod piecem na ławie.

— Ej, źle dziaduniu! zimno u kaduka,
Świata nie widać w śnieżystej kurzawie,
A wichur świszcze, niech go porwą kaci!

— A zasię błaźnie z bezrozumną mową!
Zmarzłeś na dworze, to się ogrzej w chacie,
A wiatru nie kluj! — rzekł starzec surowo.

Wiatr, to parobek pracowity Boży,
On chmury wodzi po szerokim niebie,
On deszcz ożywczy sprowadza w potrzebie.
Lub precz odpędza burzę, co się sproży.
On zbierze owoc z wysokiego drzewa,
On liść poźółkły otrząsa i zmiata,
A wiosną paki zielone rozplata.

On czyści z plewy drogie zboże nasze,
On je przerabia na mąkę i kaszę.
On, o czem waści ani się przysniło,
Po sinem morzu prowadzi okręty.
On... i któż zliczy, Panie Boże święty,
Korzyści z niego? Żeby go nie było,
Świat by pożarło morowe powietrze;
Wara więc, chłopcze, wymyślać o wietrze!
Bo wiatr jak zechce, to skostniejesz z chłodu,
Wyschniesz z upału, albo umrzesz z głodu.

* * *

On ci na polu het wykładnie zboże,
Albo napędzi nań grady, ulewy.
Albo wygrzebie i zwędzi zasiewy,
Że kielek z ziarnka dobyć się nie może.
On ci i w sadzie z drzew obije kwiecie,
I samo drzewo z korzeniem obali;
On jedną iskrą całą wioskę spali,
Lub jak puch marny w mig ci ją rozmiecie;
On tobie z chaty stąpić nie da krokiem,
On zawsze drogę przed tobą zaskoczy,
Prochem lub śniegiem zasypie ci oczy;
A jak cię w polu napadnie szerokiem,
Jak z łaski jego świstnie zawierucha,
To zginięsz marnie, jak nikczemna mucha.
Stąd też i mądre przysłowie nas uczy,
Że głupi tylko przeciw wiatru dmucha;
Bo nic tak człeka, jak wiatr nie dokuczy!

* * *

Niechno waść tylko z uwagą posłucha,
Opowiem waści, co onego czasu
Spotkało człeka z naszego zaścianka:
Szedł sobie szlachcic pewnego poranku,
Nie wiem, na pole, czy może do lasu,
Szedł, aż mu drogę zaszyły trzy sampany:
Jeden dziad stary, siwy, lecz rumiany,
I czerstwy; ale drżał nieborak cały,
Jakby nim trzęsła dokuczliwa febra.
Miał ci płaszcz śnieżny, lśniący się od srebra,
Na kark mu spływał włos jak mleko biały,
Śnieżysta broda szła szeroką wiechą
Poniżej pasa; pod nosem wisały,
Ogromne wąsy, jak sople pod strzechą;
Nad oczy zwisły mu potężne brwiska,
Wzrok osłupiały lodowato błyska,
Z ust mu i nozdrzy oddech śniegiem pruszy,
A nogą stąpi, czy ręką poruszy,
To wszystkie w starcu tym skrzypią kościśka.

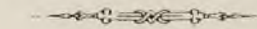
Drugi młodzieńki, hoży, a wysoki,
Płynął nie stapał leciuchnemi kroki,
Piękne miał liczko, jakby malowane,
Ale mu z niego biło blasku tyle,
Że gdy człek na nie popatrzył przez chwilę,
Wnet oczy łzami odwrócił zalane,
Jak gdyby w słońce spojrział się ogniste.
A szaty na nim świeciły złociste,
I yamentami gęsto naszywane.

A trzeci przy nich też wzniosłej postawy,
Wysmukły w pasie, giętki jakby z trzciny.
Składny i lekki, zuchowatej miny;
Miał ci na sobie płaszczyk nie ciekawy,
Wiatrem podszyty, jak mówi przysłowie,
Który mu jeno pod szyją się trzymał,
A poły wichur daleko rozdymał,
I gęste włosy rozwiewał na głowie.
Biegł, jakby gonił zająca po stepie,
Świstał i sapał zadyszany cały,
Na wierzch mu we łbie wystąpiły ślepie,
Twarz się rozdeła i usta nabrzmiały;
A przed nim, za nim, i z lewa i z prawa,
Gęstą się chmurą ciągnęła kurzawa.

Spotkawszy taką trójkę osobliwą,
Człek spojrział na nią, jakoby na dziwo,
Ustał z drogi, zdjął czapkę z ukłonem,
Rzekłszy: „niech będzie Chrystus pochwalonym”
I dalej ruszył.

Aliści po chwili
Trzej wędrownicy k'niemu przystąpili,
I ów wysoki jasny młodzian rzecze:
„Komuś się kłaniał, dobry mój człowiecze?”
— Wszystkim; odpowie, zdziwiony pytaniem.
— „Wszystkim nie można, na to nie przystaniem.
Jednego wybierz!” fuknął dziad brodaty.
„Nie chcemy wszystkim! — krzyknął zuchowaty,
Powiedaj komu?” — Szukają napaści,
Pomyślał szlachcic, i znowu odpowie:
— Bogiem się świadczę, mościwi panowie,
Ze wszystkim: Waści, i waści, i waści;
„No, to jeżeli — znów rzeczcie ów młody —
Wszystkich uczyłeś twym ukłonem wprzód,
Teraz wybieraj jednego, mospanie,
Jednemu oddaj twe poszanowanie.”

(d. n.)



Zofia Kłowerska

DZIELNY CHŁOPIEC.

(Dalszy ciąg).

— A juźci, cóż ty myślisz? Z czegożby doktor żył,
żeby mu ludzie za poradę nie płacili?

— Ach, mój Boże! To i lekarstwo kupić trzeba!...

— Więc twoja pani niema ani na doktora, ani na le-
karstwo?

— A niema!

— I chce naszej porady? Hej, Płakso, Aligancie, da-
lejże wstawać. Wezwani jesteśmy na konsylium!

Płaksa ziewnął i żalonym głosem narzekać począł:

— Ach, ten ze swojemi żartami i conceptami nawet
ludziom przespać się nie da! Wynieście się za drzwi z wa-
szą rozmową! Przyśniło mu się, że go na konsylium wzywa-
ją do jakichś wielkich państwa, i że jak nie, trzyrubłówkę do

kieszeni schowa! Lepiejbyś spał, bo to przynajmniej człowiek ma darmo!

— Niech panowie będą łaskawi — ozwał się żałośnie Józik.

W tej chwili przebudził się i Aligant.

— Czego ten malec piszczy? — zapytał.

— Bo mi zachorowała...

— Co ci zachorowało?

— Staruszka. . pani Warbicka... moja opiekunka.

— Słyszysz, mówię ci — zawołał Wesołowski — wezwani jesteśmy wszyscy trzej na konsylium!

— Oho, to się trzeba namysleć, jaki krawat włożyć! Trzeba sobie będzie chyba jaki nowy kupić na konsylium! Pewnie najlepszy będzie czarny, długi, duży... Oho, tylko się nie śmiecie jeden i drugi! Od krawata bardzo dużo zależy.

— Czy dla tego chce ci się długiego krawata, że każdy osioł ma długie uszy — zapytał Wesołowski, który już kończył się ubierać.

— Ach, jakież to niemądry koncept — westchnął żałośnie Płaksa.

— Żeby panowie byli łaskawi... — ozwał się Józik.

— No, chodź! — rzekł Wesołowski. — Teraz już żarty na bok! Zaprowadzisz mnie do swojej pani, może się co dla niej wymyśli.

— Czeka! — zawołał, zrywając się Aligant — i ja idę!

— Toć przecie i ja bym poszedł — ozwał się Płaksa.

— Aligant ubrał się w jednej chwili, ale Płaksa był wielkim marudą, nie mogąc się go doczekać, koledzy poszli z Józikiem. Nie mieli oni prawa leczyć, bo jeszcze nie byli skończonymi lekarzami, ale chcieli Józikowi poradzić, co miał czynić i przekonać się, czy na prawdę staruszka jest bardzo chora.

Pani Warbicka zdziwiła się bardzo, gdy dwóch młodych studentów, z których jeden był wystrojony, a nawet pachniał jakimś perfumami, weszło do jej pokoju na strychu. Józik zdumiał się także, ujrawszy poraz pierwszy Wesołowskiego pełnym powagi. Żarty i wesołość jego znikły w chwili, gdy przestąpił próg pokoju pani Warbickiej, a natomiast na jego twarzy pojawił się wyraz współczucia i dobroci, a gdy ujął wychudłą rękę staruszki dla zbadania pulsu, uczynił to tak łagodnie, że Józik, który go bardzo lubił, pokochał go w tej chwili. Aligant był też bardzo uprzejmy, ale jakoś nie umiał okazać chorej tyle serca, co Wesołowski, ta też nie na niego patrzyła i wcale nie zauważała jego krawata, lecz na Wesołowskiego spoglądała jak na zbawcę.

Obadwaj pocieszała ją i obiecali przysłać młodego lekarza, który właśnie w tym roku skończył uniwersytet, ale gdy Józik wyprowadził ich z mieszkania, i całował po rękach dziękując, usłyszał jak Aligant mówił do Wesołowskiego:

— Influenza... w tym wieku... oskrzele zajęte widocznie... może płuca...

Już od rana pani Warbicka kaszlała bardzo silnie, katar oddech tamował. Biedna kobieta cierpiała i czuła się bardzo osłabioną. Młody lekarz, który przyszedł niedługo, zapisał jej różne leki, które trzeba było kupić w aptece. Sporo poszło na nie pieniędzy i pani Warbicka nie łatwo przystała na to, bo choć miała silną gorączkę, wiedziała, że stary pugilares był prawie pusty i sakiwka z dniem każdym stawała się lżejszą; widziała nędzę zagładającą w oczy.

Kazano jej pić stare wino i mocny rosół, Józik z bólem serca dał trzy ruble za butelkę wina. W pugilaresie były już tylko dwa papierki: jeden pięciorublowy, drugi rublowy, a staruszcze z dnia na dzień było gorzej. Wesołowski i Aligant przychodzili często. Zglądał i Płaksa ale miał taką smutną, taką znękaną i zafrasowaną minę, patrząc na chorą, że po jego odejściu bywała zawsze więcej rozdrażnioną i wątpliwą o swem wyzdrowieniu. Nie umiał on jej pocieszyć tylko wdychał, na wszystko i wszystkich utyskiwał.

Pani Warbicka ogromnie polubiła Wesołowskiego i przed nim mówiła z wdzięcznością o Józiku:

— To Pan Bóg mi to dziecko zesłał na pociechę mojej

starości. Jabym tu z głodu i zimna na tym strychu umarła, gdyby nie ten poczciwy chłopiec!

Wesołowski wspominał raz o szpitalu, ale pani Warbicka miała do szpitala taki wstręt, jaki to miewają ludzie wiejscy, którym się zdaje, że to już śmierć pewna.

— Pókim żywa, do szpitala nie dam się wziąć!

Mówiła to głosem drżącym i tak oburzonym, iż Bosa myślał, że jego pani grozi jakieś niebezpieczeństwo, powstał więc z siennika, szerść na grzbiecie groźnie najeżył i począł warczeć na Wesołowskiego.

— Widzę, że miałbym tu do czynienia z silnym oporem — rzekł Wesołowski — no, żegnam panią! O szpitalu już nigdy nie wspomnę!

— Pamiętaj Józiku — rzekła pani Warbicka, po wyjściu Wesołowskiego, kaszłając mocno — pamiętaj, żebyś mię do szpitala nie dał!

Józik płakał cicho, bo rozumiał dobrze, że pani Warbickiej lepiejby tam było niż we własnym mieszkaniu, w którym zaczynało już brakować chleba i herbaty i węgla, a on był ciągle głodny. Osłabł też i zmizerniał biedny chłopiec tak, że to uderzyło Wesołowskiego, który mu się kazał położyć na sofie i zaczął go doktorską młoteczką opukiwać, czy Józik ma zdrowe płuca i serce.

— Zdrów chłopiec jak ryba! — mówił student — płuca jak miechy kowalskie! Serce jak rzepał!

Aż tu naraz przyłożył dłoń do Józikowego żołądka i stuknął po własnym ręku młoteczką.

— Ehe! — zawołał — toś ty głodny, że dwa dni chyba nie nie jadłeś! Czy ty myślisz, że w twoim wieku można żyć powietrzem?

Józikowi nagle łzy, jak groch, potoczyły się po policzkach.

— Aha, ty milczku jakiś — wołał Wesołowski — twoja choroba to głód, a ty i słowa nie powiesz! Dam ja ci tu!

Wyglądał tak groźnie, że Józik zaczął go przeproszać.

— Niech się pan nie gniewa... ja nie przez złość...

— Przez złość, przez złość! — wołał Wesołowski — to jest złość, żeby się tać przed przyjaciółmi! My też wołu całego na obiad nie zjadamy, ale z przyjacielem to się ostatnim kąskiem dzieli!

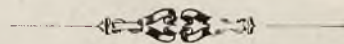
Józik przez łzy spojrział na Wesołowskiego i zapytał nieśmiało i cichutko:

— To pan jest moim... moim... przyjacie...

— A cóż ty sobie myślisz, że ja cię nie Kocham?

Józik w płacz! Jak to zwykle dziecko, co to i ze smutku i radości płacze. Zerwał się z sofki i rzucił się do kolan młodego studenta.

(d. c. n.)



W OTCHŁANIACH MORSKICH.

PRZEZ

Dz. M. Stefanowską.

(Dalszy ciąg).

R y b y .

Przez długi czas myślano, iż ryb w wielkich głębinach morskich jest bardzo mało, ponieważ przy dragowaniach rzadko znajdowano w sieciach te zwierzęta. Pochodziło to stąd, że zwinne i ostrożne ryby łatwo unikały sieci, które miały niewielki otwór. Dopiero gdy podczas znakomitych podróży zaczęto używać ogromnych sieci (chalut), ulowiono mnóstwo ryb, należących do rozmaitych gatunków; przekonano się wtedy, wbrew wszelkim oczekiwaniom, że ryby tłumnie

zaludniają otchłanie morskie, i podobnie jak wiele innych zwierząt, pływają one tam wielkimi gromadami.

Ryby głębinowe, jak to łatwo przewidzieć można, są nadzwyczaj drapieżne; ich ogromna, szeroko rozciąta gęba, długie, haczykowane zęby i wielki żołądek, wszystko to świadczy wyraźnie, że one całkowicie połykają schwytaną zdobycz.

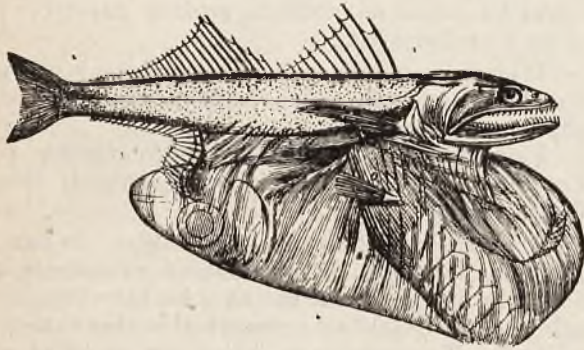


Fig. 152. *Chiasmodon niger*. U spodu widać ogromny żołądek zawierający połkniętą rybę.

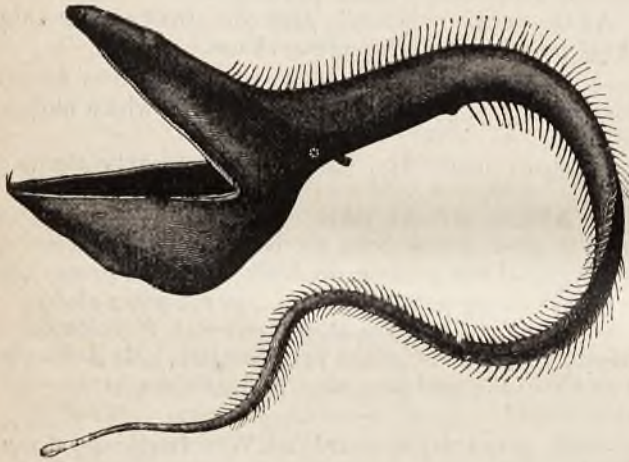


Fig. 154. *Eurypharynx*. Ryba z otchłani morskich.



Fig. 156. *Macrurus globiceps*. Ryba z otchłani morskich.

Typem owych ryb jest *Chiasmodon niger*, przedstawiony na fig. 152; może on połknąć rybę większą od siebie, ponieważ żołądek jego rozciąga się, jak gdyby był z gumy. Drugim typem owych żarłocznych ryb, jest *Melanocetus Johnsoni*, (fig. 153). Nieproporcjonalnie wielka jego gęba, opatrzona jest długimi, ostremi zębami, a u dołu widać ogromny worek, w którym kryją się połknięte zwierzęta. Prawdopodobnie

ryba ta wabi swą zdobyczą za pomocą nitkowatego przysadka, sterczącego na głowie.

Zupełnie odmienne kształty od powyższych ryb ma ryba *Eurypharynx pelecanoïdes* (fig 154). Potwornie wielka jego głowa, osadzona jest na wałkowatym, jak u węża cielisku; pod dolną szczęką wisi szeroki worek, jak u pelikana, a służy do takiegoż użytku, t. j. do chowania zdobyczy.

Powyższe gatunki oraz wiele innych ryb głębinowych mają czarną, jakby aksamitną skórę, okrytą cieniuchnymi łuskami; także cechy posiadają ryby *Malacosteus niger* oraz *Halosaurus macrochir*.

Godnem jest uwagi, że ryby żyjące w otchłaniach morskich, mają mięśnie i szkielet słabiej rozwinięte niż u pokre-



Fig. 153. *Melanocetus*. Ryba z ogromnym workiem $\frac{1}{4}$ wielk. natur.

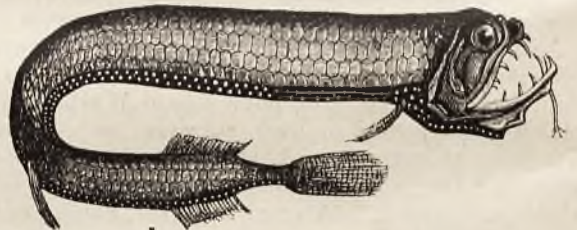


Fig. 155. *Stomias boa*. Ryba posiadająca wzdłuż ciała cztery rzędy świecących przyrządów.

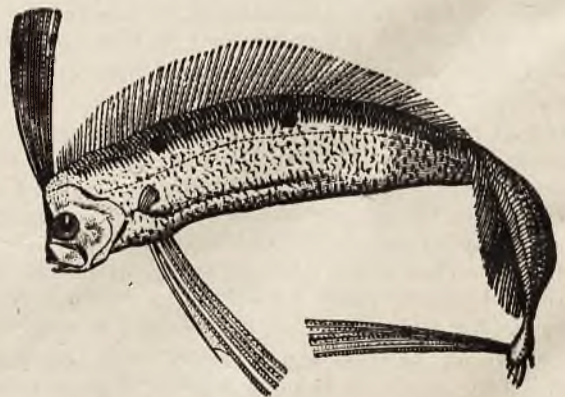


Fig. 157. *Trachypterus taenia*. Ryba spłaszczona z otchłani morskich.

wnych im ryb, przebywających u wybrzeży. Kości ryb głębinowych, według spostrzeżeń Günthera, są podziurkowane i lekkie; zawierają mało wapna, tak, iż łatwo można je przekłóć igłą, nie złamawszy takowej; prócz tego kości są luźno ze sobą powiązane.

W otchłaniach żyją wyłącznie prawie ryby, należące do gromady ryb kostno-szkieletowych, mających najdoskonalszą

Z DZIEJÓW CYWILIZACYI.

(Dokończenie).

Tym sposobem w 1865 r. kilka milionów niewolników stało się wolnymi obywatelami Stanów i Ameryka północna nie miała powodu żałować, że dała się pociągnąć szlachetnej działalności abolicjonistów.

Za jej przykładem poszła w r. 1888 Brazylia, handel więc ludźmi ograniczył się odtąd prawie wyłącznie do Afryki. Niewolnictwo jest tam niestety zwyczajem dawnym i zakorzenionym, lecz walka szlachetnych serc z niewolą trwa wciąż. Handel, prześladowany na morzu przez wszystkie okręty europejskie, ustął przy wybrzeżach, ale zato przeniósł się w głąb Afryki. Chciwi zarobku Arabowie urządzają polowania na Murzynów i w krwawych obławach chwytają tysiące ofiar.

Wyprawy znakomitych podróżników jak Gordon, Emin i Stanley, zakładanie missyi noszących dzikim plemionom wiarę i cywilizację, wznoszenie stacyi ratunkowych, gdzie uciekający niewolnicy mogą zawsze znaleźć schronienie, budowanie dróg i kolei żelaznych, oto są środki, któremi wciska się powiew wolności do Afryki.

W Brukselii w 1889 roku zebrano kongres przeciwniewolniczy. Na nim to zobowiązały się wszystkie prawie państwa Europy, Stany Amerykańskie, a nawet sułtan turecki i sułtan Zanzibaru do walki z niewolnictwem.

Zaprowadzono szybkie a nieustannie krążące statki parowe, które ścigają handlarzy na rzekach i jeziorach Afrykańskich, dając pomoc porwanym Murzynom. Wyprawy te bywają często niebezpieczne, ale też złapanych na gorącym uczynku handlarzy prawo międzynarodowe karze natychmiastową śmiercią, a udział w polowaniu na Murzynów kilkonastoletniem więzieniem.

Wybiła więc godzina sprawiedliwości i zadośćuczynienia; ludy cywilizowane na chwałę swą, wzięły do serca kierunek pięknego dzieła oswobodzenia niewolników, ale póki chociaż jedna istota jest pozbawiona godności człowieczej i może być sprzedaną na targu bez poszanowania dla jego nieśmiertelnego i wolnego ducha, dopóty ludzie szlachetni pomagać winni w miarę sił do starcia piętna hańby z czoła ludzkości.

Zrozumiał ten obowiązek szlachetny i zacny kapłan, kardynał Lavigérie. Pamięć jego zostanie na zawsze drogą wszystkim, którzy współczują z uciśnionymi.

On to zawiązał prywatne towarzystwo przeciwniewolnicze (oeuvre antiéscavagiste), a któż lepiej mógł znać niedolę Murzynów od świętobliwego księdza, który najlepsze lata życia spędził zdala od rodzinnej Francji, na afrykańskim wybrzeżu, jako arcybiskup Kartaginy i prymas Afryki; taki bowiem tytuł nadał mu papież Leon XIII-ty.

Lavigérie założył cztery wikaryaty apostołskie w okolicach równika, gdzie wysyłał wciąż misye a powołani przez niego tak zwani „Biali bracia” nieśli odważnie naukę Chrystusa dzikim, a często niestety mściwym i morderczym plemionom.

Kardynał Lavigérie umarł w Algierze w r. 1892, dzieło jego wszakże prowadzą inni, tym samym duchem przejęci.

My osobiście nie możemy brać udziału w walce z niewolą afrykańską, ale służyć sprawie dobra i postępu jest naszym obowiązkiem. Rozejrzyjcie się tylko baczenie w koło siebie, a zobczycie jak dużo jest do zrobienia w zakątku, w którym życie wasze upływa. Otacza was ciemnota i nędza, a to także niewola, z pod której wydobyć się bardzo trudno. Dobrodziejstwo druku od XV-go wieku umożliwiło ludziom naukę, zazniemy wkrótce wiek XX-ty a w koło nas żyje mnóstwo bezbronnych, bo nieoświeconych, nawet czytać nie umiejących.

Liczba tych nieoświeconych jest bardzo wielką.

Gub. Królestwa Polskiego liczy stosunkowo więcej analfabetów, to jest nieznających liter, niż którakolwiek z gubernii Rosyi europejskiej. Niechby każdy je zachęcił do czytania i oświecił choć jedno dziecko. Pracowalibyście na lepsze jutro dla swych bliźnich, a w tym celu właśnie pracowali abolicjonisci. Inaczej co powiedzą o was za lat kilkadziesiąt?

Dziwić się będą zapewne, że żyła młodzież, której nauczano miłości Boga i bliźniego, młodzież która korzystała z dobrodziejstw wiary i oświaty, i ta młodzież patrzyła obojętnie na ciemnotę swych braci.

Zofia Bukowiecka.

NIEDŹWIEDŹ

POWIEŚ Z XVI WIEKU

p. Zuzannę Morawską.

(Ciąg dalszy).

— Pewnie, że ciekawe — syknęła przez zęby Bona i zamilkła.

Aż ulubienica spojrzała na nią, nie wiedząc, czy słowa jej nie obraziły najjaśniejszej pani.

Lecz Bona patrząc uparcie w zasypane śniegiem okienko, pograżyła się w głębokich myślach, nie zwracając na nią ani na syna uwagi!

Zygmunt zaś tymczasem w braku innego towarzystwa, zasypywał pytaniami Aleninę, która starała się go zabawić, pamiętając zawsze o tem, żeby odpowiedzi jej i rozmowa trafiły do przekonania, nie tyle młodego króla, ile dostojnej jego matki.

Tak bez żadnych przygód, z jednym tylko noclegiem, dojechali do Stężycy, gdzie królowa oznajmiła, że odpoczna czas jakiś, nim w dalszą puszcza się drogę.

Jak długo zaś miano odpoczywać i dokąd jechać, nikomu się nie zwierzyła.

Wysłani przodem ludzie dotrzymali tajemnicy co do pierwszej dniówki, przygotowali też bardzo wygodne mieszkanie w najpokaźniejszym domu dla królowej jejmości, jej syna i najbliższego otoczenia. Dwór mieścił się w kilku innych, najbliższych stojących.

Dniówka w Stężycy dla młodego króla zapowiadała się wesoło. Miał tu więcej swobody, bawiły go figle małpki Diavola, który nie potrzebował siedzieć w swej „budzie” i kołysząc się na krótkich nóżkach, wyprawiał rozmaite ucieśne skoki, nie omijając jednak sposobności dokuczania komu się zdarzyło. Królowa niesłychanie była wesoła, uśmiechnięta, Niedźwiedzia zaś tak polubiła, iż kazała mu prawie ciągle wraz z królewiczem w swej komnacie przebywać.

Słowem, Bona była tak łaskawą, iż dwór na chwilę odetchnął, nawet pan Piotr Opaliński nie mógł wyjść z podziwu nad tą nagłą zmianą i zaufaniem, jakim go darzono. Prostota zaś jego szczerzej natury, nie podejrzewała w tem żadnego podejścia.

Dla Niedźwiedzia posunęła Bona jednego razu do tego stopnia swą łaskę, iż zasiadłszy z synem do wieczerzy, kazała mu stanąć za swym stołkiem i podawać sobie potrawy.

Co ujrzawszy, Diavolo wykrzywił się śmiesznie i mrunknął:

- Ten gotów mnie zastąpić.
- Co tam mruyczysz? — zaśmiała się Bona.
- Płacę nad swoją dolą!
- A cóż ci? — spytała królowa.
- Ten pewnie wlezie do „budy.”

I wskazał na Niedźwiedzia.

— A ciebie wsadzą na konia! — żartowała łaskawie królowa.

Diavolo śmiesznie się wykrzywił i rzekł pieszczotliwym głosem:

— Hej, ci na koniach bywają przez konie wleczeni.

— Precz! — zawołał Zygmunt, naśladując głos matki.

A królowa zmarszczyła czoło i uderzyła nogą chowającego się, jak zwykle w fałdy jej sukni karła.

Rozchmurzyła się jednak wkrótce, a wzięwszy smażony w miodzie owoc, który stał przed nią na stole, podała go przez ramię Kazikowi, mówiąc:

— Pokosztuj; jeszcześ takiego nie jadł!

Potem oplukala ręce wodą ze srebrnej nalewki, otarła je w przygotowany ręcznik i zabrała się do jedzenia, zachęcając ku temu syna. Wkrótce też owoce zniknęły z koszyka.

— A ty czemu nie jesz? — spytała nagle, zwróciwszy się do trzymającego w ręku przysmak Kazika.

Młodzieniec skłonił się z uszanowaniem, nie kwapił się jednak do jedzenia.

— Pozwalam, możesz zjeść zaraz! — dodała.

Kazik wiedział, że wszelkie nieposłuszeństwo jest uchybieniem danemu rozkazowi, poniósł więc do ust darowany przysmak.

W tem małpka siedząca na drugim końcu stołu, rozgniewana, że nie otrzymała daru, skoczyła nagle i wyrwała mu owoc, podrapawszy przytem nieco ręce zdumionego tą nagłą napaścią młodzieńca.

— Bartholo, Bartholo! — krzyknęła gwałtownie Bona.

Jednocześnie wyskoczył karzeł i uchwycił jedną ręką małpkę za kark, nie pozwalając jej poślknąć. Drugą tymczasem wyrwał z łap nadgryziony owoc i rzucił o ziemię.

Wołając ze złością:

— Ani mnie, ani tobie!

Teraz rozpoczęła się bójka między Diavolem a małpką, tak zacięta, iż przez chwilę widać było tylko dwa ciała skłębione. Karzeł jednak mimo, że Bartholo drapał mu twarz i ręce, postawił na swoim. Zmusił go do wypłucia chociaż części ugryzionego owocu, ten zaś który leżał na ziemi, rozdeptywał nogami, lub przygniatał całą swoją osobą, taczając się na rozmaite strony, wraz ze swym drapieżnym przeciwnikiem.

Walkę tę podsycał jeszcze Zygmunt, tupał bowiem nogami, wołając na przemiany:

— Ty łakomy Bartholo!

— Odbierz mu, Diavolo!

Królowa spojrzawszy na walczących dziwnem jakimś wejrzeniem, rzekła:

— Niedźwiedziu, źle bronisz swojej własności, czemu im nie odbierzesz?

Młodzieniec zawrzał cały oburzeniem, że mu kazano mięszać się między małpkę i tak upośledzone od natury stworzenie, jakim był Diavolo. Wprędce jednak opamiętał się i rzekł:

— W obecności najjaśniejszej pani i jego królewskiej mości, mego pana, nie rozpocznę walki, nietylko o owoc, ale nawet o własne życie... Chyba w obronie ich królewskich mości — dodał, kłaniając się najpierw matce, a potem synowi.

Bona spojrziała nań przenikliwym wzrokiem a Zygmunt zawołał:

— Oh, tak, wiem, że Niedźwiedź broniłby mnie, gdyby była tego potrzeba!

Kazik, w miejsce odpowiedzi, przyłożył rękę do serca i spojrzawszy z całą szczerością na swego młodego pana, skłonił się z przejęciem.

Tymczasem małpka czy zmęczona walką, czy też z innej jakiejś przyczyny, puściła nagle swego silnie podrapanego przeciwnika i skomlać żałośnie, poczęła się wić, jakby ją jakieś wewnętrzne bóle trapić poczęły.

— Diavolo, ty potworze, poturbowałeś biedną małpkę! zawołała Bona.

— Dam ja ci! — dodała, wytrząsając zaciśniętą pięścią w stronę karła, który stanawszy na uboczu, ocierał pokrwiawioną twarz i ręce.

Lecz Diavolo zwykle tak pokorny, gdy usłyszał głos swej pani, teraz spojrział tylko na nią szyderczym wzrokiem i syknął przez zęby:

— Przypłacę to życiem, jeżeli mnie opluła ta przekłeta małpa.

Tymczasem zawołano Ciemnosą, ażeby uspokoił swego wychowanka.

Olbrzym, ujrzawszy małpkę wijącą się po ziemi, pochwyił w swoje objęcia, a błysnąwszy złowrogo rudo-buremi oczami po obecnych, znikł z piszczącym Bartholem.

Diavolo zaś wymknął się jak mógł najprędzej, by obmyć się i uporządkować poszarpane odzienie.

— Alenini! — zawołała gwałtownie Bona.

Wbiegła zaraz, jak gdyby stała tuż pode drzwiami sieni, a Zygmunt skorzystawszy z jej przybycia, skinął na Kazika i wymknął się wraz z nim do swojej komnaty, gdzie z wielkiem ożywieniem opowiadał ochmistrzowi, zaszły przed chwilą wypadek.

Pan Opaliński snąc już coś o tem wiedział, słuchał bowiem z pewnem roztargnieniem opowiadania, a zwracając się do Kazika, rzekł przyciszonym głosem:

— Nie miałeś w ustach?

— Nie — odrzekł chłopiec, patrząc nań zdziwionym wzrokiem.

— Idź, umyj ręce — rzekł ochmistrz.

Kazik jeszcze szerzej otworzył oczy i jakiś dziwny wyraz przebiegł po jego twarzy, jak gdyby go nagle jakieś przykre uderzyło światło.

Wybiegł jednak w tej chwili.

I tuż zaraz spotkał się z Fogelfederem, który podsunął mu do ust kubek blaszany i rzekł:

— Pij — prędko!

Młodzieniec spojrzawszy na dobrotliwą twarz młodego lekarza, rzekł:

— Bóg zapłać, nie jadłem.

— Z pewnością!

— Bartholo mnie ocalił!

— Umyj ręce! — powtórzył rozkaz Opalińskiego lekarz.

I nie czekając aż Kazik rozkaz ten spełni, wylał na jego dłonie trzymany kubek.

W tej chwili zjawił się karzeł i z wykrzywioną bólem twarzą, zawołał:

— Mnie raczej niech ichmość obleje i leczy!

Fogelfeder spojrział z pewnem obrzydzeniem na wstrętą twarz karła, litość go jednak wzięła i rzekł:

— Chodź ze mną!

Diavolo pospieszył za nim, zdążył jednak pogrozić pięścią Kazikowi i syknąć przez zęby:

— Gdyby nie ta przekłeta małpa, byłoby ci zimno!

A Ciemnos poił biednego Barthola i kapał w kwaśnem mleku, nacierając obrażenia na skórze jakąś maścią, wzmawiając przytem niezrozumiałe dla nikogo wyrazy:

Bartholo po wielu bardzo staraniach, przyszedł nieco do siebie i zasnął spokojnie.

Olbrzym zaś jak najtroskliwsza niańka czuwał nad nim, gdy nagle wyszedł rozkaz od królowej, ażeby się zbierano do dalszej podróży.

Okolo północy część dworu wyruszyła dalej, a wczesnym bardzo rankiem królowa wraz z poczem przybocznym i resztą dworu, poprzedzana przez Bassatego, opuściła Stężyce.

XIII.

Jak przy wyjeździe z Krakowa, tak i teraz nikt nie wiedział, dokąd jedzie i jak długo podróż ta potrwa.

Czy Bona nie miała wytkniętego celu podróży, czy tała go przed swoim dworem, rzecz ta pozostanie tajemnicą.

Wyjeżdżając z dniówki, używała zwykle Bassatego, rozpytywała o główne miasta, leżące na północo-wschód, o drogi znaczniejsze prowadzące do Grodna, Wilna, lub czy niema po drodze jakich miast większych. Czasem też pytała o Warszawę, jako ówczesną stolicę, tylko co przyłączonego księstwa mazowieckiego; to znów dowiadywała się, jak daleko do Gdańska lub Królewca; pytaniami temi taką czyniła gmatwaninę, że i najprzebieglejsi nie mogli odgadnąć, dokąd ich wola czy kaprys królowej prowadzi. Bassaty nawet zachodził w głowę, ażeby drogi nie zmylić. Nieraz po dłuższej naradzie z królową, gdy wszystko przygotował ażeby wozy wyprawić traktem wiodącym do którego z miast leżących na północo-zachód, w chwili, gdy wozy miały już ruszać, odbierał rozkaz, ażeby szły w przeciwną stronę. I trzeba było inaczej zupełnie je szykować, bo właśnie dowiedział się, że ku północo-wschodowi drogi zawiane są jeszcze śniegiem, i tylko saniami przejechać można, a tu on wyszykował cały tabor na kołach!

Nie było jednak rady, trzeba było nowy rozkaz z uśmiechem przyjąć i spieszyć się, ażeby na oznaczony dzień w danym miejscu stanęły.

Tak bez nadzwyczajnych trudności dojechano do Knyszyna, maleńkiej bardzo na Podlasiu wieściny. Grzęzkie błota przy topniejącym powoli śniegu, utrudniały podróż, zameczek zaś okolony był wielkimi zaspami zczerniałego gdzieniegdzie śniegu, co nadawało całej siedzibie wyraz ponury, niemiły i wcale dla tak dostojnych gości, na dłuższy pobyt nie pojętny.

Z tem wszystkiem Bona oznajmiła, że tutaj dłuższy czas pozostanie i mimo próśb syna, aby jechać do Wilna, nie obiecując mu upragnionego miasta, ale też i nie zaprzeczając, kazała tabor cały w Knyszynie zatrzymać.

Było to już prawie przy końcu marca, słońko chwilami doskonale już przygrzewało, czasem cieplejszy powiew wiatru zwiastował, że maluczko, a owe góry śniegowe, rozpląną się w wielkie jeziora, czasem nawet ptak złudzony złotem słońkiem weselej zaświegotał. Wtem znów niewiedzieć skąd niebo pokrywało się chmurami, śnieg sypał, że świata Bożego nie było widać. Zimny wiatr dał przeraźliwie, mróz chwycił jak w lutym, a słońce drzemało sobie gdzieś daleko w złotej swojej kolebce.

Mimo takową niezwykłość w tej porze i dziwną zmienność aury, życie w Knyszynie tak królowej jak i jej synowi, upływało bardzo przyjemnie.

Bona głośno się odzywała:

— Mam tu zupełny wypoczynek od wszelakich spraw i wielkości dworskich.

I rzeczywiście, była tak łaskawą dla swego otoczenia, tak zapominała o przestrzeganej etykecie na zamku w Krakowie, iż gdyby kto nie wiedział, kto zacz była, myślałby sobie, że to jaka pospolita szlachcianka zabawia się razem ze służebniami.

Młody król czuł się również bardzo szczęśliwy w towarzystwie Niedźwiedzia i kilku młodzieńców, z którymi prawie się nie rozstawał; zapominał zupełnie o swojej godności, jaka mu nieraz ciążyła. Zabawiał się więc z całą swobodą, której mu na ten raz Bona wcale nie zabraniała.

Nawet nauka obecnie nie była mu przykrą; bystry z natury, z przyjemnością słuchał opowiadań pana Opalińskiego, zadając często zadziwiająco roztropne na wiek swój pytania. Rozumny i wykształcony ochmistrz zawsze umiał tak odpowiedzieć, iż nietylko zadowolili chwilową ciekawość ucznia, lecz jeszcze do dalszych pytań i dalszej nauki zachęcał.

Czasem też Zygmunt występował w roli mentora, Kazik bowiem siedzący zwykle podczas nauki w komnacie i przysłuchujący się pilnie wielu nieznany dla siebie rzeczom, prosił potem o objaśnienie młodego swego pana, którego mu tenże z wielką powagą udzielał.

Niedźwiedź, chociaż prawie dwa razy starszy uczył się dotąd tylko od domowego nauczyciela wraz z kasztelaniami, nie wiec dziwnego, że nauki, jakie pobierał przysły monarcha, były dlań obce. Chętnie więc nad niemi się zastanawiał i o takowych rozważał. Rozmowy zaś te dużą korzyść przynosiły królewiczowi, albowiem pytania dojrzałego umysłem, zadawane prawie żartem lub dla zabawy, zmuszały go do skierowania swego ruchliwego umysłu na jeden przedmiot.

Tym przedmiotem najczęściej były dzieje starożytnych narodów. Rządy wielkich królów, odwaga i poświęcenie wodzów, wielcy bohaterowie spełniający z nadludzkim wysiłkiem znakomite czyny; zresztą, uzbrojenie, sposób wojowania, były zwykle głównym przedmiotem wykładów Piotra Opalińskiego. Zygmunt też podczas zabawy z Niedźwiedziem, raz był Telemakiem, szukającym walecznego swego ojca, drugi raz Milyadesem, zadającym kłeskę nieprzyjaciółom, to znów Peryklosem, rządzącym nader rozumnie i stwarzającym w swym kraju wiek złoty. Chcąc zaś, żeby Niedźwiedź zrozumiał treść zabawy, musiał mu o ulubionych przez siebie bohaterach opowiadać, tworząc jednak częstokroć w bujnej swej wyobraźni dodatki, o których się owym bohaterom nawet nie śniło.

(d. c. n.)

Ś. p. Emilia Duksza-Dukszyńska.

Malarstwo nasze poniosło w tym roku stratę przez śmierć Emilji Duksza-Dukszyńskiej. Zawód swój artystyczny rozpoczęła ona w młodzieńkim wieku, około r. 1866, kiedy jeszcze zawód ten przedstawiał dla kobiet bardzo wiele trudności. Przełamała je jednak usilną pracą i wytrwałością oraz siłą talentu i zyskała powszechne uznanie. Z pod pendzla jej wyszły w świat niezliczone szeregi postaci, portretowanych z artystycznym smakiem i sumienne wniknięcie w życie każdej osoby. Paryż, Petersburg, Monachyum i Kraków nie szczędziły artystyce odznaczeń i zaszczytnych wyróżnień; pomimo negujących zaproszeń, całą duszą ukochała swe rodzinne miasto i tu też w kwietniu r. b. dokonała pracowitego żywota. Gorąca religijność, słodycz charakteru i prawdziwe umiłowanie piękna cechowały ją przez życie całe.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TRZESĆ: Mróz słońce i wiatr, wiersz przez Adama Plugę (z ryc.) — Dzielny chłopiec przez Zofię Kowerską. — W otchłaniach morskich przez dr. M. Stefanowską (z ryc.) — Wyspa Kuba i jej okolice (z ryc.) — Z dziejów cywilizacji. — Niedźwiedź, powieść z XVI w. przez Zuzannę Morawską. — Ś. p. Emilia Duksza-Dukszyńska. — Dodatek: Sprawozdanie z konkursu kaligrafii (z ryc.) — Prawdziwe kochanie, przez Jadwigę Chrzęszczewską. — Strumyczek, wiersz przez M. K. — Królowa poziomek i paproci, bajka czarodziejska przez Wacława Sulimę. — Zamigłówki i rozwiązania. — Skrzyńska do listów. Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

WIECZORY RODZINNE



Sprawozdanie z konkursu kaligrafii.

Z miłym choć trudnym zadaniem spotkaliśmy się w tym roku!

Młodzi czytelnicy w licznym komplecie stawili się do konkursu, i oto mamy przed sobą przeszło setkę prób kaligrafii, a niemal każda próba porządnie i starannie pisana. Dowodzi to, że czytelnicy nasi rozumieją, jak w przyszłości będzie dla nich pożyteczne wyraźne i kształtne pismo i zawczasu nad nim pracują.

Nie wątpimy, że i kajety ich wyglądają tak czysto i starannie, jak arkusze konkursowe przysłane do redakcyi.

Kierując się osobistym życzeniem, radzibyśmy prawie wszystkich nagrodzić, ale wybór taki trudny, bo u jednych widzimy wyjątkowe zdolności, drudzy zyskują nasze uznanie swą pilnością, wypełniając kilka arkuszy pismem różnego rodzaju i czasami nawet w kilku językach, inni znowu ze względu na wiek bardzo młodociany, rozczulają nas prawie zgrabnemi literkami kreślonymi nie-raz ołówkiem; u wszystkich zaś widzimy dużo dobrej woli i chęci do dalszych postępów.

Zasylając też wszystkim bez wyjątku życzenia, by w dalszej pracy nie ustawiali, w roli sędziów bezstronnych

wystąpić musimy i poczynając od najmłodszych zaznaczymy, że na nagrodę zasłużyli:

6 letni: Staś Dług., Minia Hołyń., Lolo Ros., Irenka Staszyń., Bolesław Żmij.

7 letni: Stefania Cuk., Sabinka Gros., Stefcia Nowod., Kryształek, Jadzia Kul., Janina Pogorz., Jurcio Ros., Oleś Obuch., Mela Wazgird.

8 letni: Zunia Beker., Waclaw Bet., Dora Buk., Jaś Czar., Helenka Medek., Jania Miecz., Lucio Obuch., Leonek Nowod., Irenka Płuż., Helenka Tar., Janinka Zapol., Tadzio Lasoc.

9 letnie: Melania Cuk., Oleś Gros., Kazio Hołyń., Wańdzia Miecz., Nina Nowod., Stanisław Trusk., Estera Raw., Stefanek Wol., Aleksandra Wol., Albertyna Wasiot., Mieczysław Żmij., Jaskółka z nad Wisły.

10 letni: Mania Czaj., Włodzimierz Chet., Romana Grab., Mila Kam., Stefan Kost., Maryla Mir., Zosia Plew., Tadeusz Tyleż., Helena Wojn., Rosiczka.

Po odbiór otrzymanych nagród upraszamy o zgłaszanie się do redakcyi „Wieczorów Rodzinnych” *Mazowiecka Nr. 10*, przez co oszczędzi się zwłoki i kosztów przesyłki. Osoby z prowincyi mogą nadesłać 14 kop. markami na przesyłkę.

Prócz wyżej wymienionych, którym przyznaliśmy nagrody, na pochwałę zasługują:

5 letni: Zdziś Bal., Józio Ch., Elżunia Zam.

6 letni: Marychna Cel., Celinka Fud., Jędrus Was.

7 letni: Witold Kostec., Karolek Szuk., Antoś Szar., Jakób Sadow., Witold Waśn.

8 letni: Kazimierz Cybul., Zosia Jok., Kazimierz Fryd., Mania Kost., Haneczka Matcz., Roman Olędz., Micio Pop., Witold Rudn., Maryś Wol.

9 letni: Helusia Bagiń., Marya Cybul., Helena Jawor., Lilijka, Helena Mil., Zygmus Miesz., Henryk Osie., Stanisław Porcz., Pliszka biała, Wańdzia Rekl., Asia Szaf., Lusja Wek., Zygmunt Zdan.

10 letnie: Janina Bad., Jadwiga Bagiń., Halina Hof., Konstanty Kar., Zosia Lasoc., Ira Nie., Świtezianka, Stanisław Szar., Czesław Thul., Izabella Weresz.

Poza konkursem jako starsi nad lat 10: Marya Mrowow., Marya Żmij. i Jadwiga Żmij.

Jerzy Sarn., w zupełności zasługuje na nagrodę, ale nie podał swego wieku, także Helenka Grodz. i Julcia B.

Jadwiga Chrzęszczewska.

PRAWDZIWE KOCHANIE.

W pewnej rodzinie była panna Marya i Marychna, pierwsza ciocia, a druga siostrzenica.

Że się ciocia z siostrzenicą bardzo kochały, to natu-

ralne, ale, że im tak zawsze dobrze było razem z sobą, to pewnie niejednego zadziwi, zważywszy, że siostrzenica miała lat sześć, a ciocia akurat pięć razy tyle.

Ile razy Marychna wbiegła do pokoju cioci, a skoczyła jej na kolana, a objęła rękoma za szyję, a zaczęła prosić:

— Ciotucho, pobawmy się. Ciotucho opowiedz bajeczkę, to zawsze następowało jedno i drugie.

Czasem mama upominała.

— — Marychno, zostaw ciocię w spokoju. Widzisz jaka zmęczona. Dopiero co z lekyi wróciła do domu.

A dziewczynka na to:

— Czy tak, ciociu? Czy tak? Więc ja ciocię nudzę? Więc mam odejść?

— Ależ nie, pieszczotko moja. Zostań. Jeżeli jestem zmęczona, przy tobie wypocznę.

A piękny to był wypoczynek, gra w chowanego albo w wilka, a już w najlepszym razie bajka, lub gotowanie obiadu na ślicznej kuchence, którą Marychna na gwiazdkę od cioci dostała.

Lecz Marychna ani domyślała się.

Wiedziała jedno tylko, że u cioci czekał ją zawsze uśmiech, pieszczota i dwa ramiona, gotowe objąć dziewczynkę w takim serdecznym, w takim długim uścisku.

— Prawda ciociu, że my jesteśmy przyjaciółki? — pytała często.

— Prawda — potwierdzała ciocia.

— I ciocia doskonale bawi się ze mną?

— A jakże, doskonale.

— Bo mamusia mówiła, że ja ciocię męczone. Moja złota, moja jedyna, powiedz, że tak nie jest.

Na te pytania ciocia zamiast odpowiedzi, całowała niebieskie oczęta pełne niepokoju, a dziewczynka wołała z tryumfem:

— A co! Nie mówiłam! Ach cioteczko, jak ja ciocię kocham!

— A mnie się zdaje — rzekła jej raz mama, gdy były same w pokoju — że ty cioci wcale nie kochasz.

Na ten zarzut niespodziewany, Marychna aż onie miała na chwilę. Otworzyła szeroko oczęta i patrzy w twarz mamy.

— To pewnie żarty

Wcale nie. Oczy mamy surowe, na ustach niema uśmiechu.

— Tak córeczko — powtarza ona. — Nawet pewną jestem, że cioci nie kochasz wcale. Gdybyś kochała, nie męczyłabyś jej tak bardzo.

— Ja męczone, ja? — szepce Marychna przerażona niespodziewanym zarzutem.

— Ty sama. Ciocia jest nieraz strudzona, pragnęłaby wypocząć, lecz nie może?

— Dla czego nie może?

— Bo przeszkadzasz, do roboty ciocię zapędzasz.

Te ostatnie słowa oburzają dziewczynkę.

— Nie mamusiu, nie — woła. — Nigdy jeszcze w życiu cioci do roboty nie zapędzałam. Mamusia żartuje. Ja zawsze ciocię proszę, by się ze mną bawiła. Ja właśnie odciągam ciocię od roboty do zabawy.

Mama uśmiechnęła się.

— Tak, ale to zabawa dla ciebie.

— A dla cioci może nie?

— Naturalnie. Czyż tego nie rozumiesz Marychno, że ciocię ani gotowanie obiadu, ani podróż z lalkami wcale nie bawi.

— Więc dla czego ciocia nigdy mi tego nie powiedziała?

— Bo cię kocha. Bo dla twej przyjemności zapomnia o sobie. A czy ty pomyślałaś choć czasami, by cioci pomódz, by jej oddać jakąś przysługę. Nigdy, prawda? Więc choć mówisz, że ciocię kochasz, ja w to nie wierzę, to nie jest prawdziwe kochanie.

Dziewczynce oczy zaczęły wzbierać łzami.

— Jakto, mamusiu, — broni się już trochę drżącym głosem — ja przecie cioci oddaję różne usługi.

— Jakieżto? Powiedz.

— Przystawiam krzesło, szukam stołeczka pod nogi, całuję, jak wróci do domu. Naprawdę mamusiu, ciocia bardzo to lubi, i ja ciocię bardzo kocham.

Mama słuchała swej córeczki uważnie.

— Rzeczywiście, wszystko tak jest — potwierdza. — Ale wszystko to robisz dla siebie.

Marychna aż skoczyła do góry, na takie oskarżenie.

— Dla siebie? Jakto dla siebie mammo?

— A no tak. Posłuchaj. Przystawiasz cioci krzesło wtedy, gdy ma usiąść i bawić się z tobą. Niesiesz stołeczek pod nogi, bo chcesz sama przysiąść na nim z boku i słuchać opowiadań cioci. Pomagasz rozbierać się, by prędzej zasiadła do zabawy z tobą. A że pieścisz i całujesz, to wcale przywiązania nie dowodzi.

— Więc cóżby dowodziło?

— Kiedy ty sama wiesz, Marychno. Bądź taką dla cioci, jaką ona jest dla ciebie, myśl o jej przyjemnościach, a nie o swoich. Czy rozumiesz?

— Nie, mamusiu. Ja tego dobrze nie rozumiem — wahająco odrzekła Marychna.

— Nie rozumiesz, więc dam ci taką radę. Usiądź sobie gdzie w kąci i myśl, rozmyślaj. Dzień taki długi, ręczę, że do wieczora będziesz rozumiała, co to znaczy pamiętać o innych nie o sobie bo takie jest prawdziwe kochanie.

Nie wiem napewno, czy Marychna skorzystała z rad mamy, bo choć najpierw siedziała długo z głową w dłoniach ukrytą, choć popłakiwała cichutko, to jednak wkrótce rzeczy do dawnego wróciły porządku i śmiech dziewczynki dźwięczał znouwu po całym mieszkaniu.

Tylko oczy jej raz po raz biegły ku zegarowi, czy obiedwie wskazówki duża i mała nie zbiegną się nareszcie u dołu, w samym środku zegara.

Będzie wtenczas wpół do szóstej, godzina powrotu cioci do domu.

Zbiegły się wskazówki i zaraz potem rozległ się dzwonek w przedpokoju.

— Ciociu! Moja złota ciotenka!

Rozebrała się ciocia, usiadła na krześle i tuląc do siebie dziewczynkę, spytała:

— No, Marychno, w cóż się dzisiaj bawić będziemy? Ale czemu ty milczysz, kochanie? A taka grzeczna, taka dobra jesteś dla mnie, jak nigdy jeszcze. Pochowałaś moje rzeczy, nie upominasz się o nie. Co się to stało? Ktoś mi przemienił moją dziewczynkę.

Ciocia mówi wesoło, pieszczotliwie i ani domyśla się, jak jej słowa wstydzą i bolą Marychnę.

— No, ptaszku mój, wybieraj co zechcesz, bajkę czy gotowanie?

Nic... milczenie. Marychnie widać ani jeden ani drugi projekt nie przypadł do gustu.

— Więc może w chowanego — pyta dalej ciocia, trochę niepewnym głosem.

Nogi ją bolą bardzo, bo dzisiaj dużo chodziła, ale zaraz trzeba przecież zabawić dziewczynkę, nie ma biędactwo żadnego towarzystwa przez dzień cały.

A dziewczynka ciągle milczy, tylko patrzy na ciocię tak uważnie, jakby ją pierwszy raz w życiu widziała, wreszcie robi ruch, chcąc skoczyć jej na jej kolana, ale cofa się.

— Nie ciociu — powiada bardzo poważnie — nie będę się bawiła.

Zaniepokoiła się ciocia.

— Ależ dla czego, czyś nie chora dziecińco?

— Nie, nie, tylko ciocia zmęczona, musi odpocząć. Sama się pobawię. Albo nawet wcale bawić się nie będę. Zrobię porządek w pokoju, pozbieram z podłogi strzępki i papierki, poskładam zabawki.

Marychna wypowiada to wszystko z wielką odwagą, która ją samą zadziwia, ale i cieszy. Spojrzała ciocia na Marychnę, potem na mamę, raz, drugi i przestała nalegać.

— Ach, jak to dobrze — powiada sobie w myśli. — Usiądę przy stole wygodnie i przeczytam tę książkę, na którą od tak dawna mam ochotę. Dopiero to będzie przyjemny wieczór!

Dobrze mówiła ciocia, wieczór był bardzo przyjemny i to dla wszystkich bez wyjątku, a dla Marychny szczególnie wtedy, gdy ciocia na dobranoc szepnęła jej do ucha.

— Dziękuję ci, dziecińco, już teraz wiem na pewno, że mnie kochasz prawdziwie.

Strumyczek.

Przezroczyści i srebrny, ty strumyczku mały,
Płyniesz sobie i płyniesz przez noc i dzień cały,
A ja myślę i myślę, stojąc nad twym brzegiem,
Skąd wypływasz, gdzie spieszysz takim szybkim biegiem?
„Wypływam ja z pod ziemi i twardych kamieni,
Płynę wśród mchu miękiego i trawek zieleni,
Tak cudnie się odbija w przejrzystej mej wodzie
Piękne niebo i chmurki i słońce o wschodzie!
Swobodna jest i czysta, jak dziecko, ma fala,
Płynę chyżo w tę stronę, gdzie mnie prąd zniewala,
Nie troszczę się o przyszłość i szczęśliwym wszędzie,
Kto mię z pod skał powołał, Ten prowadzić będzie.

M. K.

KROLOWA POZIOMEK I PAPROCI.

BAJKA CZARODZIEJSKA

przez Wacława Sulimę.

(Dalszy ciąg)

— Ale w takim razie — myślała Halinka — pójdę zaraz do królowej i poproszę o jej uwolnienie, taka dobra jest, że pewnie mi nie odmówi.

Tymczasem Elżbietka rzekła błagalnie do jastrzębia:

— Powiedz nam gdzie jest ta kotlinka, udamy się tam zaraz, królowa da się przebłagać albo jakimkolwiek sposobem przejednać, musimy koniecznie siostrę uwolnić.

Jastrząb napuszył się jeszcze bardziej.

— Królowa upewni was, że żadnej dziewczynki nie uwięziła, jest to jej zwyczaj, nigdy się nie przyznaje jak się na kim zemści. A mściwa jest bardzo i zawzięta, uprzejma tylko dla tych, którzy mają szczęście jej się podobać. Ale jeśli mi dacie dwa młode i tłuste kurczaki, powiem wam co zrobić.

Dziewczęta zgodziły się bez targu.

— Otóż — rzekł jastrząb — postarajcie się dostać zielony sznurek, którym królowa ma związany gorsecik. ten sznur trzeba kilkakrotnie przepołowić, bo jest z włókien nadzwyczaj mocnych, a kawałki trzeba związać. Potem dam wam krążek zrobiony z drzewa ogniotrwałej sosny, którą przywiążcie do sznura i rzućcie przed siebie, krążek potoczy się i doprowadzi was do parowu, a jak go spuścicie na dół, otworzy czarodziejski zatrzask więzienia. Wówczas wciągniecie waszą siostrzyczkę na górę, sznurek rzucicie w przepaść, a krążek zaprowadzi was dokąd zechcecie. Jak przyniesiecie kurczęta, pokażę wam gdzie kotlinka.

I zerwawszy się gwałtownie, wzbil się w górę i poędził za gołębiem, który wychylił się z pomiędzy drzew.

— Szkoda, że odfrunął — rzekła Elżbietka — nie wiemy, jak namówić królowę do dania nam sznurka, ale będzie się można jutro zapytać, jak przyniesiemy kurczęta. Wracajmy do domu, Halinko, późno już i nie mamy tu co robić. Ale nie wspominajmy o tem wszystkim nikomu. Jeśli się nam nie uda, poco mamy ich darmo łudzić, a jeśli się szczęśliwie powiedzie, to dopiero będzie miła niespodzianka.

— Dobrze — odparła zamyślona Halinka.

Halinka prawie nie spała noc całą.

— Więc to Leśna Paprotka uwięziła Jagusię — myślała — nie sądziłabym, taka zdawała się łagodna... Trzeba koniecznie dostać tego sznurka, ale jak?... Dać go pewnie nie zechce... może mi się uda nieznacznie go rozwiązać. Będzie się pewnie gniewała, jak się rzecz wykryje, ale nie mogę pozwolić, aby Jagusia tam siedziała, a tu żeby się wszyscy martwili. Trzeba spróbować.

Zerwała się pocichu, narzuciła ubranie i wybiegła z chaty.

Słońce już wschodziło, kraj nieba widniejący nad lasem zalany był złotem i purpurą, która przechodziła w coraz jaśniejszą, różową barwę. Halinka biegła dobrze znajomą ścieżką i doszła do kotlinki właśnie w tej chwili, kiedy poziomki-dziewczynki żegnały chórem królowę:

Jak piękny dzionek czerwcowy świta,
Wiele tu blasku i woni,
My cię pokłonem, las szmerem wita
W tej lubej naszj ustroni.
Żegnaj nam pani, żegnaj królowo,
Niechaj ci płynie czas słodko,
I prędko do nas wracaj na nowo
Droga nam, Leśna Paprotko.

Zagadki liczbowej: 999 $\frac{999}{999}$

Sarenka, widząc Halinkę, zatrzymała się.
— Witaj, Halinko, — zawołała królowa — zawsze
miłym mi gościem. Zejdźże prędeż do nas, czekamy na
ciebie.

(d. c. n.)

SZARADA.

Nie jest to żadna konieczność
Zgadnij jednak choć przez grzeczność:
Wprost kobiety jest imieniem,
Wspale łacińskiem pozdrowieniem.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

przez Słonia z Nubii.

Ułożyć 13 wyrazów, których początkowe litery z góry na
dół, końcowe odwrotnie odczytać należy. Znaczenie wyrazów:
1) Imię żeńskie. 2) Kamienna piramidalna kolumna. 3) Dopływ rz.
Missisipi. 4) Miasto w Chinach. 5) Miejscowość lecznicza n. m.
Adryatyck. 6) Wiszące łóżko. 7) Imię męskie. 8) Dopływ rz. Pry-
peci. 9) Miejscowość u stóp Tatr. 10) Miasto nad rz. Kamą. 11)
Część świata. 12) Przylądek w Afryce. 13) Zatoka między Jutlan-
dyą i Skandynawią. Sylaby: ~~A—a—be—ba—cy—da—gna—
gro—ge—ka—i—k—kin—ko—ka—lisk—li—mak—me—nan—
nois—ne—ue—o—pa—perm—ry—rak—styr—ska—wan—
zya—za.~~

ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

p. Xyz.

1	6	Miasto nad Prosną.
2	.	.	.	5	Wyspa na oceanie Indyjskim.	
.	3	4	.	.	Jezioro w Palestynie.	
.	3	4	.	.	Miasto w Norwegii.	
2	.	.	5	.	Dopływ rzeki Donu.	
1	.	.	.	6	Góry nad m. Czarnem i Kaspijsk.	

Ułożyć 6 sześciogłoskowych wyrazów, aby litery oznaczone
liczbami, złożyły dwa razy nazwisko słynnego hiszpańskiego zdo-
bywcy.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 19.

Zagadki: Pióro.

Łamigłówniki sylabowej:

1) Kalifornia. 2) Ludwik. 3) Eufrat. 4) Menelaus. 5) Euro-
pa. 6) Negus. 7) Sokrates. 8) Jastrząb. 9) Ulea. 10) Narew. 11) Ob.
12) Sandomierz. 13) Zofia. 14) Antwerpia.

Klemens Junosza.

Skrzynka do listów.

Z prawdziwą przyjemnością odczytaliśmy znowu zajmujący
list Aleksandra W. Z ustaleniem pogody wieś zabłyśnie swemi
wszystkimi powabami i czas tam spędzany jeszcze milej upływać
ci będzie. Jak długo masz jeszcze zamiar pozostać w kraju? Wia-
domości następnych oczekiwać będziemy.

Dla czego to Kadłubek chociaż stały mieszkaniec Warszawy,
nie upomniał się wcześniej o początkowe arkusze powieści w dodat-
ku? Rozwiązania dobre łamigłównkę geograficzną przejrzymy.

Dobre rozwiązania przesłali również Słoń z Nubii i Puszczyk
z Pilawy, ostatni obdarzył nas znowu nowemi zadaniami, które
jednak czekać muszą na swą kolej, bo dawniejszych mamy bardzo
wiele.

Dla Wesołości na nową drogę życia ślę wiele serdecznych ży-
czeń, aby je Pan Bóg spełnić raczył. Nie wątpię, że w chwili tak
ważnej będziesz miała jeżeli nie matkę, to kogoś ze starszych
a bliskich ci i życzliwych, którzy nie poskąpią rad swoich i uwag,
jakich w liście twoim żądasz odemnie. Ja, choćbym nawet chciała
udzielić ci ich, nie mogę, przedewszystkiem za mało mam na to do-
świadczenia, a powtórnie nie znam ani twego usposobienia, ani wa-
runków i otoczenia, wśród którego żyjesz. Raz więc jeszcze „Szczęś-
ci Ci Boże” powtarzam i proszę, jeżeli czas na to pozwoli, abyś znowu
kiedy do mnie napisała.

Muszka i Żuczek spóźniły się niestety przeszło o tydzień
z nadesłaniem prób swego pisma na konkurs kaligraficzny, nie
nie pomogła moja prośba, bo w redakcyi nadesłane próby
były już osądzone i nagrodzone, na przyszły raz trzeba się bę-
dzie pospieszyć, bo akuratność to zaleta zawsze i we wszystkim
potrzebna. Tymczasem dziękuję Muszce za jej miły liścik i udzie-
lone wiadomości, życząc powodzenia w egzaminach. Żadaną książ-
kę za zaliczką pocztową wysyłamy.

Maryi L. Bardzo mnie ucieszyłaś donosząc, że geografia za-
czyna cię zajmować. Dawno już nie miałam liściku od ciebie, wi-
docznie ostatni zaginał, bo inaczej nie pozostawiłabym go bez od-
powiedzi. Wystawiam sobie jak teraz na wsi ładnie być musi i jak
czas wolny od lekcji przyjemnie wam schodzi na świeżem powie-
trzu. Donieś mi, czy będziesz miała w lecie wakacje i jak długie?
Czy podobają ci się wiersze p. Ludwiki Ż. i czy umiesz który na
pamięć? Oczekując następnego listu pozdrawiam cię serdecznie
wraz z Manią.

Ogłoszenie o rozstrzygnięciu konkursu kaligraficznego odpo-
wiedziało na twe pytanie Chróściku i już wiesz, jak próba twego
pisma osądzoną została. Dodatek, zniszczony przez małą siostrzycz-
kę, bez żadnej zapłaty pošlemy ci chętnie, nie wiemy tylko czy to
ma być dodatek powieściowy, czy też dodatek dla małych dzieci?

Jaskółka.

RYGA.

W VI-cio klasowym zakładzie naukowym żeńskim z klasami
przygotowawczemi Anny Jastrzębskiej, Elisabethstrasse Nr. 55.
Egzamina wstępne odbywać się będą 15/27 i 16/18 maja.

(Lokal zostaje rozszerzony).

Osoba wykształcona, z dobrej rodziny poszukuje miej-
sca nauczycielki lub towarzyski na letnie miesiące r. b., na wsi
lub za granicę. Wiadomość w redakcyi Wieczorów Rodziny.

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Widok portu w Hawanie na wyspie Kubie.

Wyspy Filipińskie.

Oprócz Kuby i Portoriko, wysp należących do grupy wielkich Antylli na oceanie Atlantyckim w pobliżu Ameryki, najważniejszą kolonię hiszpańską stanowią Filipiny. Archipelag wysp Filipińskich znajduje się na Oceanie Spokojnym, na wschód od Chin, między wielkimi wyspami Sundzkimi (Borneo, Sumatra i t. d.) i wyspą Formozą, należącą obecnie

do Japonii. Liczy on trzynaście wysp większych i około 1200 wysepek, obejmujących 3640 mil kwadratowych, to jest przestrzeń, równą mniej więcej Węgrom z Chorwacją i Sławonią łącznie, i liczących około dziewięciu milionów mieszkańców, których biali drobniutką tylko stanowią część. Największą jest wyspa Luzon, drugie miejsce zajmuje Mindanao.

Wyspy Filipińskie odkryte zostały w r. 1521 przez słynnego podróżnika hiszpańskiego Magellana, który na statku „Wiktorya”, poraz pierwszy objechał świat dokoła.

Sam dowódca wyprawy, dzielny Magellan w parę tygodni po odkryciu tych właśnie wysp, nazwanych przez niego wyspami św. Łazarza, zamordowany został dnia 26 kwietnia 1521 r. przez krajowców na jednej z wysepek, a w podróży powrotnej przez ocean Indyjski na około Afryki, dowodził porucznik El. Cano.

Dopiero w r. 1542 admirał hiszpański Villalobos objął wyspę w posiadanie swego państwa i nazwał je na cześć ówczesnego księcia Asturyi, późniejszego Filipa II — Filipinami.

Ludność miejscowa składa się po części z dawnych krajowców, należących do plemienia Papuasów czyli Murzynów australijskich (Negrito), zamieszkujących przeważnie góryste okolice wysp, po części zaś z mieszkańców pochodzenia malajskiego, zwanych Tagalami, którzy mają dziś przewagę pod względem ilości. Dzielą się oni na różne szczepy i doszli do pewnego rozwoju społecznego. Część Tagalów wyznaje już wiarę katolicką i zajmuje się rolnictwem, a w ogóle mają oni wielkie zdolności do mechaniki, rysunków i muzyki.

Najdzikszy i najbardziej opornymi rządom hiszpańskim są Malajczycy wyznania mahometańskiego, którzy ciągle toczą utarczki. Chińczycy zaś, osiadli też w znacznej liczbie, spokojni i pracowici, zajmują się różnymi rzemiosłami.

Gdyby Filipiny miały być w skutek obecnej wojny stracone dla Hiszpanii, byłoby to dla niej niepowetowaną stratą. Wprawdzie wyspy te są pochodzenia wulkanicznego i zawierają wielką ilość wybuchających kraterów. Jednak pomimo częstych trzęsień ziemi i burz gwałtownych, wyspy pod względem klimatu i gleby należą do najbogatszych w sferze zwrotnikowej. Grunt żyzny i dostatecznie zroszony słodkimi wodami, posiada tak bogatą roślinność, że ta może iść w porównanie z roślinnością Jawy lub Brazylii.

Głównymi płodami, stanowiącymi handel wywozowy są: cukier, kawa, konopie, tytuń wyborny, drzewo farbiarskie, indygo, ryż, bawełna, drzewo hebanowe i bambusowe. Przemysł miejscowy ogranicza się wyrabianiem lin, mat i różnych plecionek konopnych lub słowianych. Słynnym i bardzo poszukiwanym przez Europejczyków jest rodzaj włókna z liści bananowych, zwany „abaca”, które służy do wyrabiania tkanin nieprzemakalnych i lin okrętowych.

Obfitość zwierza dorównywa bogactwu roślinności. Na szczególniejszą uwagę zasługują olbrzymie stada bawołów, których używają tu do zaprzęgu i robót polowych, oraz niezliczone roje pszczoł dzikich. Morza przyległe obfitują w ryby i skorupiaki, a między innymi w muszle perłowe. W górach znajdują się bogate pokłady rud metalowych.

Stolicą wysp Filipińskich i rezydencją gubernatora jest Manila na wyspie Luzon, malowniczo położona w głębi zatoki tegoż nazwania, po obu stronach rzeki Pasig, wypływającej z niezbyt dalekiego jeziora Bay. Liczy ono około 300,000 mieszkańców.

Po lewej stronie rzeki leży stara część miasta, otoczona murem i fosą — „Manila murada”. Tu znajdują się ważniejsze gmachy rządowe, liczne kościoły i klasztory ze szkołami i szpitalami, oraz stare pałace z dawna tu osiadłych rodów hiszpańskich. Na przeciwnym brzegu rozłożyły się liczne przedmieścia, w których jednak panuje główny ruch handlowy.

Osobliwością Manili jest wielka ilość aptek, bardzo wspaniale urządzonych. Pochodzi to stąd, że oprócz lekarstw sprzedają się w nich różne napoje chłodzące, a według ustalonego oddawna zwyczaju, mieszkańcy wolą pić je w aptekach niż w kawiarniach.

Na przedmieściach zamieszkałych przez krajowców, co krok widzi się walki kogutów. Upodobanie do nich jest silniej rozwinięte, niż pociąg do gry lub wyścigów w Europie, a na zakłady poświęcają nieraz Tagalowie resztki swego mienia. Koguty należycie wytresowane, cenią oni tak wysoko, że w razach pożaru, które się po wsiach bardzo często zdarzają, Tagal pierwszej myśli o ratowaniu koguta niż dziecka.

Niedaleko od Manili, w tej samej zatoce jest forteca Cavite, obecnie zajęta przez Amerykanów po bitwie morskiej z dnia 1-go maja r. b., podczas której zniszczyli oni flotę hiszpańską.

Z innych miast znacznie mniejszych od Manili wymienić należy: Batangas, Balanga, Lingayen, Taal i Bacolor na wyspie Luzon, Porto-Prince na wyspie Palawan, Zamboangę i Butuan na wyspie Mindanao.

Adam Pług.

Mróż, słońce i wiatr.

(Podanie ludowe).

(Dokończenie).

Człek się zamyślił, zafrasował srodze,
Spotkawszy biedę na równiutkiej drodze;
Spojrzał raz jeszcze po swych napastnikach:
Ten stary, nędzny, ledwie, ledwie dycha,
Jednego szcztuka dosyć na dziudusia;
Ten jasny, jakoś słodko się uśmiecha;
Dobry być musi, i cichy jak trusia.
Ale ten trzeci, to junak pyzaty,
To niewątpliwie jakiś zawadyja,
Tak się bundzińczy, i sroży za katy!
Do trzech nie gadaj, komu miła szyja!
I choć to z miejska po węgiersku strojny,
Choć zda się gonić gdzieś wiatry po polach,
Musi być jednak jakiś pan dostojny,
Bo dmie się rychtyg, jak Kiszka *) w sobolach.
A więc jak rozum doradza prostaczy,
Ani na jasność, ni na wiek nie baczty,
Z sercem, bojaźnią a nie czią wiedzionem,
Zuchowatego obdarza pokłonem.

Stary się zatrząsł, aż z włosów i z brody
Szadź się sypnęło; zaiskrzył oczyma
I zapłomieniał ogniście ów młodszyl. .
I krzyknął stary: „niechno przyjdzie zima!”
I krzyknął młody: „niechno przyjdzie lato!”
I oba razem: „odpowiesz mi za to!”
A junak śmiał się, wzięwszy się pod boki,
I w koło młyńce wyrabiał i skoki,
I poświstywał i rzucał kurzawę.
I rzekł nareszcie: no! wygrałeś sprawę!
To mróż, to słońce, mnie wiatrem świat zowie;
A wiesz mospanie, co mówi przysłowie?
Mądry, kto dobrze baczty, skąd wiatr wieje.

*) Ród Kiszaków, wygasł w XVI wieku, bardzo możny i dumny.

Śmieję się z ich groźby, kiedy ja przy tobie!
Co oni robią, ja zaraz przerobię,
Sparzy — orzeźwię, zmrozi — to ogrzeję.
I czmychnął dalej, a za nim też w ślady,
Mrucząc, ruszyli i jego kamrady. —

* * *

Nadeszła zima; mróz zasiadł na czaty,
I ledwie szlachcic nos wyścibi z chaty,
Hajda na niego! i na kark mu wsiada,
I za nos szczypie, i za palec ściska,
Szlachcic się broni i starego dziada
Młóci oburącz, aż trzeszczą kościiska,
Nogami depce, i w dłoniach go gniece;
I tylko wiaterek błogosławi w duszy,
Że się przyczaił i ani się ruszy,
Jakby go nigdzie nie było na świecie.
A mróz bez wiatru, to nie wielka bieda,
I człek się jakoś starowinie nie da,
A jak go dobrze po karku wymłóci,
Nie zmarznie wcale, jeszcze się zapoci.

Więc czyhał, kiedy stanie do roboty,
Mysząc, że wtedy już się nie obroni,
I łatwo będzie porwać go w obroty;
Ale ciepłuchny wiaterek jak wionie,
Jak jasne słońce z za chmury wysunie,
Wnet zawziętego wykurzy dziadunię.

Nareszcie wiosnę przyprowadził ciepłą,
Odechuchnął ziemię zastygłą i skrzeptą,
Roztopił śniegi, pogruchotał lody,
Przepędził zimę z szumiącymi wody,
A z zimą czmychnął, gdzieś aż za kraj świata
I dziadów siwy, co choć srodze groził,
Przecież ni palca człeka nie odmroził,
Bez dopomogi swojego kamrata.

Nastało lato, a słońce śród lata,
Dobrze pamiętne swej zniewagi starej,
Jęło przypiekać straszliwymi żarą,
Ileć szlachcic łeb wychylił z chaty.
Ale nie drzemał nasz junak pyzaty.
Gdy ono piecze i skwarzy zawzięcie,
To on mu chmurę postawi na wstręcie,
Chłodkiem powionie, deszcz ściągnie zdaleka,
Rzeźwi i chłodzi, jak może człowieka.
A jak wprzód w mrozy, tak teraz w upały,
Z jego też łaski szlachcic wyszedł cały.
Nie opalony wcale, nie spieczony;
Dobrze więc trafił z swojemi pokłony.

* * *

Co więc wiatr może, widzisz to wyraźnie,
Nie przeto jednak masz rozumieć, błaznie,
By szukać wiatru w polu z tego strachu,
Lub jak wiatrówka kręcić się na dachu,
Gdzie on powisnie — zwyczaj to plugawy!
Ale tak kieruj twego życia sprawę,
By nie ty wiatru, lecz wiatr słuchał ciebie,
I ku pomocy stawał ci w potrzebie,
By cię nie miotał, jako podłe śmiecie,
Ale pomagał zdążać ku twej mecie
To właśnie sztuka, a sztuka nie lada,
Bo wiatr przeciwny któż okiełznać może?
Lecz kląć i tego nigdy nie wypada,
Bo i on na coś potrzebny na świecie:
Tobie zaszkodzi, drugiemu pomoże,
Bo i nim rządzi mocne ramię Boże.

Zofia Kowerska

DZIELNY CHŁOPIEC.

(Dalszy ciąg).

— Pan jest moim przy... przyja... przyjacielem? —
mówił bardzo rozczulony — ja pana dawno bar... bardzo ko...
ko... Kocham!

— To cóż mię za kolana chwytasz? — huknął Weso-
łowski — kiedy mię kochasz, to mię ucałuj!

I wziął Józika w objęcia i uściskał jak brata. Józiko-
wi serce przy tym pocałunku tak się rozradowało, że już
i głodu nie czuł. Zdawało mu się, że kiedy miał takiego
przyjaciela, to już na świecie nie mogło być ani głodu, ani
nędzy, ani żadnego cierpienia. Wesołowski zaprowadził też
zaraz Józika do mleczarni i kazał mu podać dwie szklanki
gorącego mleka i cztery bułki.

Nazajutrz przecież z budzeniem Wesołowskiego była
jeszcze gorsza bieda niż zwykle. Student wołał na ściągają-
cego kołdrę i kropiącego go wodą Józika.

— Cóż ty myślisz, że ja twój swat czy brat, że mi koł-
drę jak swoją zabierasz?

— Ehe! — odparł Józik, śmiejąc się — ani swat ani
brat, ale przyjaciel.

— Co za przyjaciel, osłe jakiś? Nie przyjaciel ty mój,
ale kat!

Józik wiedział, że na Wesołowskiego byłby sposób, gdy-
by zawołał: jestem okropnie głodny! ale tego sposobu nie
użył i postanowił, że będzie przymierał głodu, a o pomoc po-
prosi przyjaciela dopiero wtedy, gdy już głód będzie się sta-
wał nieznosnym. Chłopiec wiedział, że całkiem bez jedzenia
żyć nie można, ale myślał sobie, że powoli przyzwyczai się
jeść bardzo mało i obywać choćby jedną bułką na dzień.

Bo teraz, wszystko szło na pożywienie i lekarstwa dla
chorej staruszki. Raz u państwa na pierwszym pięttrze,
znoszono węgiel do piwnicy i na prośby Józika sprzedano mu
parę koszyków taniej, niż było w składzie, gdyż ci państwo
sprowadzili sobie cały wagon węgla prosto z kopalni.

Pani Warbickiej niby to było trochę lepiej, ale była
z dniem każdym coraz więcej osłabioną i tak nie miała
apetytu, że zmuszała się do przełknięcia trochę mleka, roso-
łu lub wina. Czowała, że życie z niej uchodzi. Nie wzywano
już doktora, tylko Wesołowski odwiedzał ją i pocieszał. Opo-
wiadał różne zabawne wydarzenia, które słyszał lub wyczy-
tał w Kurjerku, mówił o swojej rodzinie, o kolegach i przez
dobroć serca wmaśniał w nią, że się miewa coraz lepiej i że
co dzień lepiej wygląda. Czasem zostawiał na stole jaką zło-
tówkę. Chora uśmiechała się do niego, ale nadzieja wyzdrowie-
nia na krótko tylko wstępowała w jej serce. Czowała zbli-
żający się koniec.

Raz podczas odwiedzin Wesołowskiego, wysłała Józika
po mleko, a gdy się drzwi za nim zamknęły ozwała się ci-
chym i przerywanym głosem:

— Nie chcę martwić chłopca... i tak ma on przed sobą
nie łatwe życie.. już mnie nie długo na tym świecie... i do-
brze, bo jestem sobie i drugim ciężarem. Niech pan o nim
nie zapomina... to skarb nie chłopiec!

— Niech pani smutne myśli odpędza — odparł Weso-
łowski — wszystko będzie dobrze, zobaczy pani. Zdrowie
powróci i Józik dobrze się pokieruje. Na świecie jest dużo
ludzi bogatszych odemnie, ale będę wspierał Józika czem bę-
dę mógł, a gdy zostanę sławnym doktorem, to Józikowi i pta-
sięgo mleka brakować nie będzie.

Pani Warbickiej oczy nagle zabłyśły, wyciągnęła ku
Wesołowskiemu wyschlą rękę i rzekła:

— Będziesz sławnym doktorem! Bo masz wielkie serce, nosisz prawdę w duszy i umiesz pocieszać tych, co cierpią!

Wesołowskiemu, co się zawsze tylko śmiał, wstąpiła w tej chwili jakaś żwrotność do duszy. Łzy wzruszenia ukazały się w jego oczach, ujął rękę do siebie wyciągniętą i ucałował jak rękę matki.

— Zobaczysz! — powtórzyła staruszka — będziesz sławnym doktorem i ludzie błogosławić cię będą!

Nadebrały święta Wielkiej Nocy i wszyscy trzej studenci, którym Józik usługiwał, wyjechali do rodziców swoich na wieś. Zapłacili Józikowi za usługę kilka rubli i obiecali przywieźć ze wsi kiełbas, szynki, masła, sera i ciast rozmaitych.

Tymczasem biedny Józik miał bardzo smutne święta. Zarobione pieniądze wydał na węgiel, na wino dla chorej i musiał jeszcze sprzedać sporo różnych rzeczy na komorne, a jeszcze w te dni uroczyste tak samo bywał głodnym, jak poprzednio. Nakoniec przyszedł ranek, w którym Józik z przestraczem ujrzał, że wydał ostatni grosz z sakiewki, że stary pugilares był puściuteńki i że została tylko na pożywienie chorej, świeżo kupiona butelka wina. Józik był w rozpacz; co tu robić? Gdyby pani Warbicka chciała przenieść się do szpitala, onby sobie w każdym razie zarobił na kawałek chleba, ale nie było rady, staruszka wciąż powtarzała: że woli umrzeć z głodu. Studenci dopiero za kilka dni powrócić mieli, a tymczasem węgla zostały już tylko resztki i chleba nie było za co kupić! Józik był smutny a musiał jeszcze udawać swobodę i wesołość; tego ranka pani Warbicka leżała z zamkniętymi oczami i zdawało się, że drzemie, więc Józik ze zmarszczonym czołem, głodny, zamyslił się z rozpaczą po setny raz zadając sobie pytanie: „Co tu robić?”

Bosy wstawał właśnie z siennika, przeciągając się na sztywno wyprostowanych białych łapach. Spojrzał na Józika i począł mu się łąsić, a że Józik przeciwko zwyczajowi ani go pogłaskał, ani do niego przemówił, więc pies przednie łapy położył chłopcu na kolanach, ogonem machał i skomlał, dopominając się o życzliwe słówko. Józik spojrział mu w oczy, a że sam był bez śniadania, więc szepnął:

— Biedny pies!... głodny pies!

Bosy był w istocie chudszy niż dawniej; czarna sierść jego mniej się świeciła, ale nie wyglądał jeszcze tak bardzo źle, a przecie już od kilku tygodni, nic z rąk Józika nie dostawał.

— Gdzie ty się żywisz, biedaku? — zapytał szeptem Józik.

Pies machał ciągle ogonem i chciał ale nie mógł powiedzieć, że był w łaskach u kucharki z pierwszego piętra, którą zniewolił swoją uprzejmością i sprytem. Nie powiedział, że dostawał od niej resztki jedzenia, czasem suchego chleba. Nie powiedział, że choć ta kobieta słyszała w podwórzu wołanie: „kości kupuję, kości!” to jednak wszystkie kostki zostawiała dla Bosego, którego niewiadomo dla czego nazywała „Fidelkiem”. Wymawiała mu wprawdzie czasem swoje dobrodziejstwa i rzucając kawałek suchej bułki, zwykła powtarzać: trzeba dać temu niecności, choć przydałoby się na obsypanie pieczystego! Albo znou: „Już mię to psisko więcej niż dziesiątkę kosztuje, bo cobym sprzedała kości, to jemu je oddaję! Ale to takie miłe, a tak się umie przypochlebić... A mądre to, jeno przemówić!

Pies też wywdzięczał się jak umiał, to tandeciarza z kuchni wystraszył i tak za nim gonił zabawnie, że kucharka aż się zaśmiawała, to kota włóczęgę ukarał, że się nie wiadomo jak do kuchni zakradł i już miał ściągnąć mięso leżące na stolnicy, to znou pomagał nosić węgiel z piwnicy, dźwigając w pysku koszyk.

Doskonale też rozumiał, że na górze u pani Warbickiej nazywał się „Bosym” a na pierwszym piętrze był Fidelkiem.

(d. c. u.)

W OTCHŁANIACH MORSKICH.

PRZEZ

Dr. M. Stefanowską.

(Dalszy ciąg).

Ogólne cechy zwierząt głębinowych.

Skończyliśmy opis fauny głębinowej, poznaliśmy jej typy najwięcej zasługujące na uwagę. Pozostaje nam teraz jeszcze zrobić ogólny przegląd i wskazać, czem się różnią zwierzęta głębinowe od innych zwierząt morskich, czyli innymi słowy, pozostaje nam rozpatrzyć, jakie zmiany zaszły w ich budowie pod wpływem odmiennych warunków życia w otchłaniach morskich. Odmienne warunki, wśród których zwierzęta głębinowe spędzają swe życie, są następujące:

Zupełny brak światła *słonecznego*, temperatura zimna, mająca mniej więcej 1° stopni; brak zielonych roślin, brak szybkich prądów wody, nieobecność skał wraz z ich kryjówkami. Natomiast grunt morski jednostajny, pokryty namulcem i olbrzymie ciśnienie wody.

Powyższe warunki nie w jednakowy sposób wpłynęły na wszystkie grupy; niższe zwierzęta, zwykle nie mające oczu, jak gąbki, polipy oraz większość szkarłupni, nie będą dotkliwie odczuwały braku światła, gdyż kierują się one wyłącznie delikatnymi narządami dotyku; natomiast brak prądów w głębinach wywiera wielki wpływ na tryb życia owych zwierząt. Prądy, jak wiemy, przynoszą świeży tlen oraz nowe pokarmy, tak iż zwierzęta najczęściej przyrosłe do jednego miejsca, spokojnie czekają co im los przyniesie. Cisza wodna, panująca w głębinach, jest przeto dla nich niekorzystną; trzeba było jakoś zaradzić złemu i szukać pokarmu, który sam nie przychodzi. Dlatego też polipy i gąbki, żyjące w głębinach morskich, rzadko kiedy tworzą owe drzewka i krzaki, które są nagromadzeniem wielu zwierząt. Przeciwnie, w otchłaniach bardzo obficie napotyka się polipy, żyjące pojedynczo, prócz tego najczęściej nie są one przytwierdzone do jednego miejsca, lecz zmieniają je dowolnie. Tym sposobem zdobywanie pożywienia staje się dla nich łatwiejszem, gdyż szukają go na większym obszarze.

Jednakże, wiele jest w otchłaniach zwierząt prowadzących osiadły żywot, a w braku skał, do którychby się przyczepić mogły, muszą zapuścić swe korzenie w miękkim mulu, okrywającym dno i dlatego to, jak widzieliśmy, w głębinach wiele jest zwierząt osadzonych na długiej, pionowej łodydze; do takich zwierząt należą niektóre polipy, i liczne gąbczaki, a lilie morskie osadzone na łodygach przechowały się jedynie w głębinach; nakoniec osłonnice na długich szypułkach bywają w głębinach liczniejsze, niż przy wybrzeżach. Obecność łodygi w powyższych grupach zwierzęcych, tak odmiennych zresztą między sobą pod względem budowy ciała, nasuwa myśl, iż łodyga powstała u nich w skutek przystosowania się do otaczających warunków.

Brak gładów, do których zwierzęta mogłyby się przyczepić stał się, być może, przyczyną innego dziwnego zjawiska, a mianowicie tego, że w otchłaniach liczne zwierzęta są zbudowane, w ten sposób, że matka przez długi czas nosi młode przy sobie; tak się dzieje u pewnych strzykw, jeżowców i gwiazd morskich, które przechowują swe dzieci na grzbiecie, bądź w umyślnych workach, bądź między kolcami. Znany jest ten fakt, że niektóre raki, żyjące u wybrzeży pielęgnują swe młode; obyczaj ten zachowały także niektóre raki głębinowe.

Miękkie dno morskie, po którym zwierzęta głębinowe muszą pełzać, było przyczyną, że powstały rozmaite nowe, odmiany w budowie ich ciała. I tak u gwiazd morskich wyrosły długie i mnogie ramiona, a u pajęczaków i raków nie-



Manila. Widok miasta i portu.

zmiernie długie nogi. U strzykw głębinowych ciało straciło kształt wałkowaty, a stało się u spodu spłaszczone. Wszystkie powyższe zmiany są korzystne dla tych zwierząt, gdyż dzięki nim mogą one lepiej pełzać i lepiej utrzymać się na powierzchni miękkiego mułu, pokrywającego dno morza.

Rozpatrzmy teraz, jaki wpływ wywiera na zwierzęta brak światła słonecznego. Gdy badano zwierzęta, prowadzące nocny tryb życia oraz zwierzęta, żyjące w jaskiniach, to zauważono, że u zwierząt, które przebywają w niezupełnej ciemności oczy stają się ogromne, a to dlatego, aby jaknajwięcej zebrać mogły słabych promieni światła. U zwierząt zaś żyjących w zupełnej ciemności oczy stają się małe albo też zupełnie zanikają. Można by tedy przypuścić, że zwierzęta, zamieszkujące ciemne otoczenie oceaniczne, powinny by zupełnie wzrok postradać. Taki rzeczywiście los spotkał liczne zwierzęta głębinowe: istnieje między nimi wiele typów zupełnie ślepych, a inne natomiast mają oczy nie zupełnie rozwinięte, to jest brak im niektórych części, tak, iż można przypuścić, że w następnych odległych pokoleniach tych zwierząt, oczy zupełnie znikną.

(d. c. n.)

NIEDŹWIEDŹ

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

p. Zuzannę Morawską.

(Ciąg dalszy).

Kazik, lubiony przez Opalińskiego i kształcony przez niego potajemnie, sam wielkie stosunkowo korzyści w tak krótkim czasie odniósł; lotnym zaś swym umysłem od razu zrozumiał stanowisko, jakie przy młodym panu miał zająć.

Najnudniejsze tylko było dla Kazika, gdy Bona wrzekomo dla zabawienia syna, kazała karłowi drażnić małpkę i powtarzać ową scenę, która o mało nie skończyła się bardzo smutno dla tej ostatniej.

Wtedy Niedźwiedź musiał przygrywać na swej piszczałce, a chociaż silił się, ażeby wydobywać z niej wesołe tony według rozkazu królowej, często wśród najweselszych, zadźwięczała jakaś tęsknota, lub przejmująca groźna nuta.

Na dźwięk jej Bona rzuciła złowrogie spojrenie, lecz miarkowała je zaraz i obdarzała grającego jakim przysmakiem: lub kosztowniejszym подарunkiem.

Kazik zwykle przyjmował ten dowód łaski z dziwną jęką, nie licując z jego usposobieniem lekkością czy wstrętem; co można było wziąć za wyszukaną dworską grzeczność lub uszanowanie dla monarchini.

Zwykle po otrzymaniu takiego daru, Niedźwiedź chronił się, jak mógł najprędzej, rzucał przysmak w ogień, wstęga zaś lub pióropusze oddawał co tchu przychylnemu sobie Fogelfederowi. Ten miał dziwny zwyczaj oblewania rąk młodzieńca jakimś płynem, a pozostawione przedmioty ostrożnie szczypczykami w tymże płynie maczał i nie dotykając wcale palcami, również szczypczykami wyjmował. I ochmistrza spotykały podarunki, raz nawet otrzymał pierścień, pod którym palec mu spuchł nadmiernie i musiał się poddać pilnym staraniom lekarza. Nosił też jakiś czas rękę owiniętą, a w całej jego postaci znać było znużenie; mimo to na chwilę nie zaniechał swoich obowiązków. Na pytania zaś swego wychowawcy, co mu jest, odpowiadał:

— Nic wielkiego, skaleczyłem się, zacinając pióro.

A wśród dworu krążyły rozmaite legendy o szkodliwości podarunków rozdawanych przez Bonę, lecz były to tylko przyciszone szepty, z którymi chroniono się, ażeby nie doszły do uszu siniory i tych, którzy byli uszami królowej.

Młodemu królowi składano rozmaite podarunki, między innymi przyprawiono dwa młode, oswojone niedźwiadki. Były one tak łaskawe, że jak psiaki wszędzie za nim chodziły, rozmaite figle wyprawiać umiały, a z psami w zgodzie wielkiej żyły.

Gdy Zygmunt wychodził na przechadzkę, niedźwiadki prowadzono za nim na łańcuchu, czasem zaś on sam ujął łańcuch i biegł sobie, a niedźwiadki za nim. Ot zwyczajnie jak chłopiec w tak młodym wieku, zabawiał się i rozmaite żarty dla krotochwili wyprawiał, skoro mu jeno na takowe pozwolono.

Jednego dnia, gdy mróz tak się zawiązał, że nawet wymykające się chwilami wiosenne słońce, nie rozgrzało lodu powłoki, młody król w towarzystwie ochmistrza i Kazika miał jechać maleńkimi sankami na spacer.

— Pojedziemy na polowanie do kniei! — mówił Zygmunt. I wziął niewielki oszczep, a też i kordelas stosowny do swego wzrostu i siły.

Kazik tymczasem uzbrojony, jako przystało na strzelca jego królewskiej mości, myślał sobie:

— Ach, żeby to tak naprawdę do kniei i na prawdziwe polowanie!

Mimo bowiem całego przywiązania, jakiego coraz więcej nabierał do swego młodego pana, koreciło go niewymownie, że nie mógł dać ujścia swoim popędom rycerskim i myśliwskim, a tylko w ćwiczeniach z dworzanami, mógł się ze swą siłą i zręcznością popisać.

Za saniami przywiązano na łańcuchu niedźwiadki, a Zygmunt zarumieniony cieszył się niewymownie na tę wyprawę, wolaając:

— Mości ochmistrzu, będziecie z nami polować?

Lecz kiedy miano już wsiadać, Bona ukazała się na podsienu, mówiąc:

— I ja z wami pojedę!

Chciano przyprowadzić drugie sanie, lecz królowa rzekła:

— Nie trzeba, wsiądę z synem!

Zygmunt trochę się zasmucił, bo mu to psuło zabawę. Nie było jednak rady. Królowa umieściła się z Zygmuntem na niewielkich saneczkach, ochmistrz wsiadł na inne, idące za pierwszymi.

— A Niedźwiedź? — zapytał Zygmunt.

Miejsce jeszcze było w saniach, nie wypadało mu przecie wsiadać bez rozkazu królowej, chcąc jednak zadość uczynić i etykietcie i woli chłopięcia — rzekł dwornie:

— Stanę za saniami, jeżeli jej królewska mość pozwoli.

Bona skinęła przyzwalająco, a Kazik wskoczył na maleńką ławeczkę będącą z tyłu sanek i zarzucił na siebie pas rzemienny, który był zwykle przytwierdzony do sanek dla przytrzymywania stojących. Poprawił też na sobie uzbrojenia i ująwszy butnie rękęję kordelasa, rzekł do odwracającego się ku niemu Zygmunta:

— Już trzymam kordelas, zaraz zaczniemy walkę ze zwierzem.

A młody król zawołał:

— Jeno mi tych nie zabij!

I wskazał na biegnące niedźwiadki.

Sanie królewskie pomknęły, za niemi ochmistrz z kilku innymi młodzieńcami ze dworu, a dalej jeszcze niedźwiedźnik i kilku innych z dworzan i służby. Obecność królowej popsowała wszystkim humor, mimo to nadrabiano miną, chociaż wesołości w duszy nikt nie miał. A sanki mknęły jedne za drugimi po wąskiej drożynie wśród pokrytego śniegiem lasu.

Po niejakiem czasie wjechano na obszerną polankę, stosunkowo mało zwaną śniegiem. Niebotyczne drzewa okalały ją dokoła, gdzieniegdzie leżały zwalone kłody, ze sterczącymi gałęziami, wystającymi z pod śniegu. Snać wichura i burza powyrywała je i zwałała, zasnęły one teraz na wieki, czekając póki ręka ludzka nie zbudzi je do życia w przeobrażeniu na świątynię, dom, sprzęt jaki, lub nie roznieci iskry ognia, który je do szczytu pochłonie. Polanka mimo swej dzikości mia-

ła pewne piękno, które wrażliwa duszyczka Zygmunta odrazu odczuła. Zaraz też zawołał:

— Jak tu ładnie, moglibyśmy wysiąść z sanek i poba-
wić się na tej polance.

Bona zmarszczyła brwi, spojrzała dokoła z pod futrza-
nego kołpaczka, który jej nie tylko głowę, ale czoło i prawie
całą twarz okrywał, zawahała się chwilę i rzekła:

— Wsiądź, tylko nie na długo!

Zygmuntowi nie trzeba było powtarzać dwa razy, wy-
skoczył z sanek, nie czekając nawet pomocy Kazika, który
stanął tuż przy sankach.

Inne sanie, widząc wysiadającego młodego króla, za-
trzymały się również, nikt jednak nie zsiadał, nie mając wy-
raźnego ku temu rozkazu.

Tylko ochmistrz, znający swe obowiązki, zaraz przysunął
się do swego wychowanka.

— Wiesz co, odczep niedźwiedzie, będą za nami biega-
ły; będziemy udawali polowanie! — zawołał młody król do
swego ulubieńca.

Kazik chciał spełnić rozkaz, lecz ochmistrz skinął na
niedźwiedznika:

— Aha, prawda, tak będzie lepiej, niedźwiedznik będzie
z nimi biegał dokoła polanki, a my będziemy na nie polo-
wali — zawołał Zygmunt.

I zaraz dodał, zwracając się do Kazika:

— Polowałeś kiedy na niedźwiedzie?

Młodzieniec zarumienił się po same białka oczu i rzekł:

— Byłem na polowaniu, ale nie pozwolili mi polować.

— To nie umiesz wziąć się do tego?

— Widziałem, że to rzecz trudna i niebezpieczna, aleć
też nie będziemy ich zabijać, a zresztą są oswojone!

I ustawiwszy Zygmunta kazał mu iść śmiało z podnie-
sionym do góry oszczepem, naprzeciw prowadzonych przez
niedźwiedznika w ten sposób niedźwiadków, jak gdyby one na
myśliwego wypadły. Sam zaś stał tuż obok, ażeby kierować
ręką i krokami młodego swego pana. Zygmunt przybrał
minę prawdziwego myśliwego i z podniesioną prawicą szedł
naprzeciw zwierza.

Wtem nagle dał się słyszeć straszny łomot, z gąszczu
lasu wyskoczył niedźwiedź i rycząc przeraźliwie pędził wiel-
kimi susami wprost na królewicza. Jednocześnie młode
niedźwiadki usłyszawszy ryk, poczęły wyrwać się z rąk nie-
dźwiedznika, że ten z wielkim wysiłkiem zaledwie mógł je
utrzymać.

Zygmunt oniemiał, stanął jak wryty z podniesionym
oszczepem, jak gdyby rzeczywiście gotował się do walki.

Z sań powyskakiwali ludzie, biegnąc z bronią, jaką
kto miał na razie. Z sań królewskich dał się słyszeć rozpa-
czliwy krzyk Bony. Wszystko to jednak nie wstrzymało pę-
dzącego zwierza, owszem, pobudziło go jeszcze do szybszego
biegu i straszego ryku, któremu odpowiadały szarpające się
u swej uwięzi młode.

Chwila była straszna, jedna sekunda, — jedno mgnie-
nie oka, a mały król, nadzieja narodu, mógł być rozszar-
pany na szczątki... Wtem Kazik rzucił się na pędzące-
go niedźwiedzia i nim ten zdołał się opatrzyć, uderzył go
z całej siły w łeb obuszkim, a następnie wbił w gardziel po
sąmą rękoięść obosieczny kordelas.

Niedźwiedź zboczony krwią ryknął przeraźliwie i padł
w konwulsyjnych drganiach. Kazik zagrzany walką zamierzył
się nań dobytym z za pasa nożem, lecz zwierz chrapiąc i zie-
jąc krwią, zerwał się nagle, stanął na tylnych łapach i nim
dzielny młodzieniec zdołał się opamiętać, niedźwiedź powalił
go przednimi łapami o ziemię.

— Niedźwiedź! Niedźwiedź! ratujcie mego ukochanego
Niedźwiedzia! — wołał przestraszony Zygmunt!

I nie rozumiejąc zgoła niebezpieczeństwa, chciał oso-
biście iść mu na pomoc. Lecz ochmistrz porwał go w ramio-
na i odniósł do matki.

Bona z krzykiem pochwyliła w objęcia syna i zlorzczać

przejażdżce, niedźwiedziom a nawet Kazikowi, który jej sy-
nowi życie ocalił, kazała zawracać co tchu do domu.

Lecz Zygmunt zawołał na woźnicę:

— Stój!

— A to co? — krzyknęła Bona.

— Jakto, ja mam odjeżdżać, kiedy ten, co mi życie
ocalił, jest w niebezpieczeństwie!

W tej chwili ludzie, którzy nadbiegli na pomoc, nieśli
właśnie omdlałego i zboczonego krwią Kazika.

— Niedźwiedź, mój ukochany Niedźwiedź zabity! —
krzyknął rozpaczliwym głosem królewicz.

— Tylko zemdła! — rzekł uspokajając swego wycho-
wanca ochmistrz.

— A tu krew?

— Niedźwiedź obryzgał go posoką. A też i silnie
przygniótł, padając od ciosów przez dzielnego strzelca waszej
królewskiej mości zadanych — rzekł pan Opaliński.

Tymczasem złożono na saniach Kazika, a jeden z dwo-
rzan, stary Duba, schylony nad nim, starał się przywrócić go
do przytomności.

Jakoż wkrótce odważny młodzieniec otworzył oczy, nie
mógł jednak swobodnie odetchnąć.

— Na wskroś poturbowany! — szepnął Duba, otulając
go kożuchem — trzeba z nim jak najprędzej do domu!

— Królewskie sanie muszą iść naprzód! — szepnął
ktoś inny

— Ale on żyje? — pytał Zygmunt.

— Żyje, trzeba mu tylko spokoju i opatrunku — od-
odrzekł Opaliński.

— Nie zginie, nie bój się! — rzekła do syna z ukrytą
złością Bona.

I zaraz krzyknęła na woźnicę:

— Jedź!

Zygmunt uspokojony przez ochmistrza, nie sprzeciwił
się rozkazowi.

Woźnica królewski rozumiejąc, że od jego pospiechu
życie odważnego młodzieńca zależy, ujął w garść lejce, ścią-
gnął, i konie ruszyły jak wichrem pędzone, a za nimi mknęły
sanie z poturbowanym Kazikiem, przy którym i ochmistrz
się przysiadł.

Na polance zostało kilku ludzi i niedźwiedznik, nie mo-
gący opuścić ryczących przeraźliwie i rwących się do zabitego
niedźwiedzia warchlaków. Wreszcie na proste sanie, które
luzem tylko od przypadku wzięto, wpakowano zabite zwie-
rzę. Za saniami uwiązano młode, oswojone niedźwiadki,
które teraz biegły spokojnie, porykując tylko żałośnie, jak
gdyby wypowiadały ból swój za zabitym.

A na polance przed chwilą gwarnej, został tylko śnieg
zdeptany i zastygła ciemno-czerwona posoka i drzewa szu-
miące swą pieśń odwieczną, zrozumiała tylko temu, kto się
z nimi żył i ukochał. Zresztą zaległa cisza.

Młody król, któremu przed chwilą niebezpieczeństwo
zagrozało, za przybyciem do dworca, rozповідаł tylko o ca-
łem zajściu z dziecinną szczebiotliwością, wychwalając przy-
tomność, odwagę i nadzwyczajną siłę swego młodego strzelca.

A ten, który mu życie ocalił z narażeniem własnego,
leżał w gorączce na poły tylko przytomny.

Ozwał nad nim Fogelfeder, przywołując na pomoc całą
swą lekarską naukę, aby tylko ulubionego przez siebie mło-
dzieńca ocalić.

XIV.

Bona po tej przejażdżce, zamiast cieszyć się z cudownego
ocalenia syna, wpadła w jaknajgorszy humor. Wszyscy
i wszystko ją gniewało, nawet siniora przebywająca z nią go-
dzinami sam na sam, wychodziła czasem tak zgnębiona, iż
odechciało jej się nawet rzucać przykrych słówek, którymi
dawniej naśladując swą panię, hojnie szafowała.

Przyznał jednak należy, że królowa tak zagniewana na
wszystkich, dla Kazika okazywała się wciąż bardzo łaskawą.

Zaraz, gdy go przywieziono, wysłała Diavola, ażeby się dowiedział o jego zdrowie, ten kręcił się po komnacie, węszył coś około stolika, gdzie były porozstawiane leki i maście. Lecz przytomny w tej chwili Ciemnos, który od czasu choroby Bartola zniechęcił karła, złapał go za kark i wyrzucił wołając:

— Precz, ty potworze, wiem pocios tu przyszedł.

Pozwoliła też synowi żeby swego ulubieńca odwiedził w towarzystwie siniory. Ta przyniosła jakieś leki i chciała je koniecznie podać choremu, mówiąc, że są cudowne i z pewnością go uzdrowią.

Fogelfeder jednak oparł się temu stanowczo, twierdząc:

— Swoim lekom ufam, a tamtych nie znam.

— Il doktore bardzo zarozumiała! — rzekła Alenini.

A widząc, że jej leki nie są przyjęte, wyszła z gniewem z komnaty, zostawiając nawet na chwilę królewicza.

Bona zaś swą troskliwość posunęła do tego stopnia, że na drugi dzień sama we własnej swojej osobie, bez najmniejszego zawiadomienia, z jedną tylko służebną zjawiła się w komnacie.

Laskawość zaś monarchini prawie nie miała granic; zbliżywszy się bowiem do śpiącego, dłonią ubraną w grubą rękawiczkę, przesunęła kilkakrotnie po jego twarzy, zwłaszcza pod nosem i po ustach, a potem rzuciła pytanie:

— Wyzdrowieje?

— Niema najmniejszego niebezpieczeństwa — odrzekł lekarz, który z jakimś niepokojem śledził zbyt laskawe obejście się królowej. Teraz zaś począł wycierać twarz chorego jakimś płynem, a nawet kilka kropel napoju wlał mu w usta. Bona błysnęła przenikliwym wzrokiem i rzekła:

— Postaramy się wywdzięczyć waszmości za starania oddawane wybawcy naszego syna.

(d. c. n.)

WYDAWNICTWA KSIĘGARNI

TEODORA PAPROCKIEGO I S-KI

W Warszawie.

Nowy-Świat Nr. 41.

Rub. k.

Brykczyński A. ks. Dom Boży. Praktyczne wskazówki budowania, naprawiania i utrzymywania kościołów na wzór dzieła ks. Barbier de Montault. Z tablicami, rysowanymi przez Wojciecha Gersona. Wydanie drugie, przejrzone i poprawione	2 50
Chmielowski Piotr i Grabowski Edward. Obraz literatury powszechnej w streszczeniach i przykładach 2 tomy	8 50
	w oprawie 10
Flaum M. dr. O życiu i śmierci. Odczyt popularno naukowy—	25
Jankowski Józef. Rytm i rymy	1 20

Jasieński Aleksander Maryan. Współcześni powieściopisarze angielscy: Hall Caine, Rudyard Kipling, Grant Allen i T. Hardy. Szkice literackie	1 20
Junosza Klemens. Monologi. Z ilustracjami F. Kostrzewskiego. Serya I. Wydanie drugie	1 20
— Monologi. Z ilustracjami Fr. Kostrzewskiego. Serya II. —	75
Kowerska Zofia. O wychowaniu macierzyńskim. Wyd. drugie 2 —	
Kruk Władysław. Dzienniczek Brońci. Powiastka dla dzieci. Z ilustracjami. W kartonie	— 90
— Sabinka Powiastka dla dzieci. Z ilustracjami. W kart. —	90
Łopuszańska Msrya. Na złotym szlaku. Opowieść z ubiegłych wieków	2 50
Machczyński Konrad. Mozajka wilcza, ułożona z młodzieńczych wspomnień przyjaciela. Z rysunk. J. Ryszkiewicza 2 —	
Niedziatkowski Karol ks. Nie tędy droga, szanowne panie! (Studjum o emancypacji kobiet)	1 —
— Oko ludzkie i organa pomocnicze. Wykład poglądowy anatomii oka, z tekstem objaśniającym przez dra. med. M. Flauma i 5 drzeworytami	1 20
Peters F. ks. Wejście w świat młodej panienki. Z oryginału niemieckiego, podług III wydania przełożyła Zofia Ślósarska	— 50
Prażmowska Teresa. Serce. Powieść dla dorastającej młodzieży. W kartonie	1 50
	W ozdobnej oprawie 1 80
Röntgen dr. W. K. O nowym rodzaju promieni. Z oryginału przełożył i wstępem opatrzył S. Srebrny. (Z portretem autora i 7 rysunkami)	— 60
Siemieński Lucyan. Wieczory w Ojcowie, czyli opowiadania Grzegorza o dawnych czasach Rzeczypospolitej Polskiej. Z 16 rycinami	— 80
Sirko Wacław. Na kresach lasów. Opowiadanie	1 80
Teresa-Jadwiga. Ciche niewiasty. Opowiadanie historyczne dla dorastającej młodzieży. W kart. r. 1 k. 60, w oprawie 2 —	
Wernic Henryk. Historia powszechna, opowiedziana i zaopatrzona pytaniami. I. Dzieje starożytne. Z tabl. chronol. 1 —	
— Historia powszechna, opowiedziana i zaopatrzona pytaniami. Część II. Wieki średnie	1 —

Od Redakcyi.

Ulegając żądaniom niektórych czytelników naszych, termin nadsyłania wypracowań konkursowych na temat:

Oszczędność i skąpstwo,

przedłużamy do 1 sierpnia r. b. Współbiegający się będą mieli zatem więcej swobodnego czasu do obmyślenia i opracowania tego przedmiotu, tak pełnego znaczenia w życiu praktycznym.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Wyspy Filipińskie (z ryc.) — Mróz, słońce i wiatr, wiersz przez Adama Pługa. — Dzielnny chłopiec przez Zofię Kowerską. — W otchłaniach morskich przez dr. M. Stefanowską (z ryc.) — Niedźwiedź, powieść z XVI w. przez Zuzannę Morawską. — **Dodatek:** Moja lalka, wiersz przez M. D. — U cioci Polci (z ryc.) — Poczeiwe dziecię, przez Helenę Bojarską. — Królowa poziomek i paproci, bajka czarodziejska przez Wacława Sulimę. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

WIECZORY RODZINNE

MOJA LALKA.



Co ja pracy mam z lalczką
Aż się dziwię nieraz sama,
I kłopotów też nie mało,
Jako zwykle każda mama.

Toż ja do niej zaraz spieszę
Ledwie rano się obudzi,
Mówię, jak być grzeczną, miłą,
Jak pozyskać przyjaźń ludzi.

Potem myję, czeszę ładnie,
Czystą wkładam jej sukienkę
I starannie codzień stroję
Tę rumianą swą panienkę.

Na przechadzkę idziem czasem,
Kiedy słońce ładnie świeci,
Częściej siadam do książeczki,
Bo się uczyć muszą dzieci.

Oj, bajeczki ona lubi,
Lecz bajeczki nie nauka!
O królewnach, czarodziejach
Słuchać bajek, to nie sztuka.

Trzeba moja panienczko
Umieć czytać, pisać ładnie
Znać historię, geografję,
I rachować trzeba składnie.

A choć czasem i zabawa
Od nauki zdradnie nęci,
Przezwyćżyć to lenistwo
Muszą zawsze dobre chęci.

Z wychowaniem mej lalczki
Mam robotę ja nie małą,
Ale za to w krótkim czasie
Będzie lalką, jakich mało.

A jak mnie mateczka mówi,
Bym jej chluba życia była,
Tak radością będzie dla mnie
Zawsze ta lalczka miła.

M. D.



U cioci Polci.

(Dalszy ciąg).

— Więc zacznijmy zaraz — zawołała Zosia — a rodzinę bocianów zostawmy na kiedyindziej.

— Jabym chciał psa — rzekł Henryś.

— O! czy nie moglibyśmy zrobić słonia? — prosiła Zosia.

— Albo świnkę — rzekł Kazio — ja tak lubię świnki.

— A jabym chciała takie zwierzę z czterema nogami i długą szyją, jak na obrazku, tylko zapomniałam jak się nazywa — rzekła Irenka.

— Ja wiem, to girafa — rzekł Kazio.

— Zrobimy co będzie można — powiedziała ciocia — ale nie wszystkie zwierzęta się udadzą. Zacznijmy od psa.

— A czy ja nie mógłbym także coś zrobić — prosił Kazio. — Ja będę bardzo uważny.

— No, to spróbuj — rzekła ciocia — idź do niani po nożyczki z tępymi końcami.

— Jak duży kawałek papieru musimy wziąć na psa? spytał Henryś, gdy Kazio już usiadł napowrót z nożyczkami.

— Cztery cale długi, a trzy szeroki.

— A dalej co? — spytała Zosia.

— Czy nie wiecie sami? Jestem dziś trochę leniwa i nie chce mi się mówić.

Henryś spojrział na ciocię z uśmiechem.

— Ciocia chce, żebyśmy myśleli sami za siebie.

— Niech ciocia złoży papier we dwoje — rzekła Zosia również z uśmiechem. — Będziemy cioci mówili co ma robić.

— Ciocia źle składa — zawołał Kazio.

— Bo Zosia nie powiedziała jak złożyć.

— Wzdłuż naturalnie — rzekł Henryś — a teraz trzeba naznaczyć pół calowe przedziałki. Powinna ciocia mieć siedm kresek i ośm przedziałek.

Ciocia Polcia zrobiła jak jej kazano.

— A teraz ja wam pomogę — rzekła. — Żeby zrobić plan psa trzeba będzie sześć znaczków. Pierwszy, na głowę musi być umieszczony nie na przeciwko pierwszej kreski ale nieco za nią (fig. 4). Drugi znaczek będzie na szyję i trzeba go zrobić przed trzecią liniijką, a znaczek na odznaczenie tułowia, nieco za trzecią.

— Ciociu — rzekła Zosia — stawiasz źle znaczki, za blisko brzegu.

— Czy to źle? — spytała ciocia z niewinną minką.

— Naturalnie — rzekła Zosia. — Przecie pies musi mieć szeroką głowę i dość grubą szyję, więc trzeba umieścić znaczki trochę niżej.

— To może mi powiecie także, gdzie postawić następne znaczki — rzekła ciocia.

— Ja myślę, że wiem — rzekł Henryś. — Jeden znaczek wprost czwartej kreski na przednie nogi, drugi wprost szóstej kreski, na tylnie i... i już nie wiem co więcej trzeba zrobić (fig. 4).

— A ogon — zawołała Zosia — niema jeszcze ogona.

— Bardzo dobrze — rzekła ciocia. — Ostatni znaczek trzeba postawić między szóstą a siódmą linijką.



Fig. 4.



Fig. 5.

— Teraz trzeba rysować — dodała Zosia.

— Rysując głowę nie zapomnijcie o pysku i łapy dobrze odznaczyć.

— Ciało powinno być grubsze od przodu niż od tyłu, a tylne nogi bardziej wygięte niż przednie (fig. 5).

— Co jeszcze trzeba zrobić? — spytała ciocia.

— Nagiąć szyję i głowę tak, jak zrobiliśmy z bocianem i spuścić ogon — rzekła Zosia.

— Nie zapomnijcie o oczach — rzekł Kazio.

— Jaki to gatunek psa? — zapytał Henryś.

— Nie newfundlanczyk w każdym razie — rzekła żywo Zosia.

— Zosia się boi dużych psów — zauważył z uśmiechem Henryś.

— Nie boję się, ale wolę małe pieski.

— Najładniejsze są z długą szyją i cienkim ciałem — rzekł Kazio.

— Myślisz pewnie o chartach — rzekła ciocia. — Możemy zrobić charta — ale te są trudniejsze z powodu cienkich nóg.

— O spróbujmy — poprosił Kazio.

— Papier musi mieć pięć cali i pół długości a trzy i pół szerokości.

Ciocia złożyła papier i porobiła kreski jak zwykle; umieściła jeden znaczek między pierwszą a drugą kreską na głowę, drugi wprost czwartej linijki na szyję, trzeci między piątą i szóstą kreską na przednie nogi, czwarty

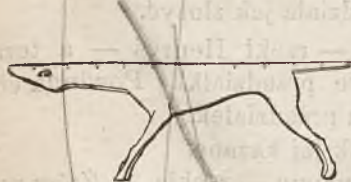


Fig. 6.

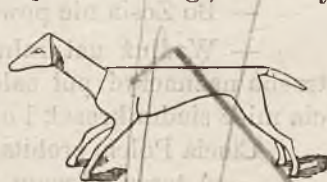


Fig. 7.

wprost dziewiątej kreski na tylnie, i ostatni naprzeciwko dziesiątej kreski na ogon (fig. 6). Poczem dzieci wycięły pozaginały papier jak trzeba i pies był gotowy fig. 7).

— Wolę tego psa, cośmy pierwaj zrobili — rzekł Henryś.

— A jabym najlepiej wolał świnkę — mówił Kazio.

— To znaczy, że chciałbyś teraz mieć świnkę — rzekła ciocia.

— O i bardzo.

— Jaka wielkość papieru? — spytała Zosia.

— Pięć i pół długości, pięć zaś szerokości.

Dzieci naznaczyły starannie wszystkie kreski i kropki (fig. 8).

— Nim zaczniecie wycinać, muszę zwrócić waszą uwagę, że świnka ma bardzo krótką szyję, i że nogi wymagają więcej starania, gdyż są więcej wygięte niż u psa.

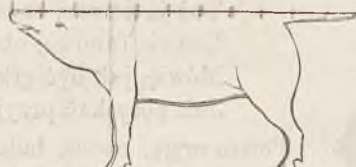


Fig. 8.



Fig. 9.

Dzieci wycięły starannie, ale gdy chciały jak zwykle zagiąć głowę, Zosia zrobiła odkrycie.

— Nie możemy zgiąć szyi, bo za krótka.

— Cieszę się, żeś to zauważyła. Umyślnie nic wam nie mówiłam. Musicie tylko tak zgiąć, żeby boki głowy schodziły na tułów (fig. 9).

— Bardzo piękna — rzekł Kazio.

— Bardzo głupia i zaspana — skrzywił się Henryś — nie lubię świnek.

(d. c. n.)

POCZCIWE DZIECIĘ.

Marya Leszczyńska, królowa francuska, znaną była z dobroci i szlachetności, synka też swego, noszącego imię Delfina, wychowywała w takich zasadach, jakie w nią wpoił zacny jej ojciec, król Stanisław. Delfin pocziwem był dziecięciem, serce miał złote, od najmłodszych też lat myślał o potrzebach innych, zdolnym był do wszelkich ofiar, jeśli tylko szło o ulżenie biedzie i niedoli. O tym to chłopczyku opowiadają, co następuje: Pewnego razu królowa matka, chcąc go zabawić, zaprosiła znajome dzieci na zabawę dziecinną; zaproszeni goście stawili się na umowioną godzinę, a na przyjęcie ich przysposobiono sutą wieczerzę.

Na stołach bogato przybranych stały najrozmaitsze przysmaki. Mali goście z wielką uciechą zabrali się do jedzenia; ogólna wesołość zapanowała przy stole, dobry humor ożywił twarzyczki młodych biesiadników i dodawał apetytu — bawiono się, jak nigdy. Sam tylko gospodarz t. j. młody Delfin posmutniał jakoś i nie dzielił wesołości całego towarzystwa. Spostrzegła to dobra i kochająca matka, zbliżyła się do synka i zapytała:

— Co ci jest, moje dziecię, czyś nie chory?

— O! nie, mateczko, jestem zdrów zupełnie.

— To dla czegoż nie bawisz się wesoło, czemuż jesteś taki zachmurzony?

— Nie bawię się, mam, bo mi bardzo smutno — odrzekł chłopczyk ze łzami w oczach, coś sobie pomyślałem i to mnie zmartwiło.

— Cóż cię tak zmartwiło? powiedz mi, a może poradę na to, chciałabym, byś się zabawił, abyś weselej spojrzął na mnie; twoi rówieśnicy tacy weseli, tacy ucieszeni, bawią się tak dobrze — coż ci to przyszło na myśl? co cię zasmuciło? wyznaj wszystko przed matką, mów śmiało mój synku!

— O! mateczko — rzekł chłopczyk — my się tu bawimy i używamy a inne biedne dzieci muszą iść spać głodne... to tak przykro! o! jakżebym chciał, żeby tak nie było; żeby każde z biednych dzieci jadło wieszczę, to i mnie byłoby weselej.

Królowa ucałowała synka i obiecała, że postara się, aby najbiedniejsze w mieście rodziny miały pożywienie i aby dzieci nie szły na spoczynek głodne, bez skromnej chociażby wieszczery.

Uradowany Delfin serdecznie matce podziękował, klaskał w ręce z radości, i teraz dopiero zaczął się bawić z całym towarzystwem.

Helena Bojarska.

KROLOWA POZIOMEK I PAPROCI.

BAJKA CZARODZIEJSKA

przez *Wacława Sulimę.*

(Dalszy ciąg)

Ale Halinka stała ciągle na skraju wzgórza i nie schodziła, bo oto między gałązkami spostrzegła czerwoną wstążeczkę, taką, jaką Elżbietka i Jagusia zaplatały sobie włosy. Teraz nie wątpiła, że jastrząb powiedział prawdę. Na ponowne zaproszenie zbiegła i zaraz została otoczona.

— Czy chcesz jagódek, dziewczeczko? — zapytały żywe poziomki.

— Nie, dziękuję, mam prośbę do ciebie, królowo.

— Do mnie, Halinko, mów śmiało, pewnie ci nie odmówię.

Halinka zawahała się.

— Daj mi, daj mi — rzekła nieśmiało — ten zielony sznurek, który ściąga ci gorsecik.

— Sznurek? na coż ci on?

Halinka zawahała się powtórnie, prawdy powiedzieć nie może, musi zatem skłamać i fałszywym powodem usprawiedliwić żądanie.

— Chciałabym — rzekła z wysiłkiem — zrobić sobie strój podobny do twego na przyszłe święto, a nie mam takiego ładnego sznurka. Ten wygląda jak jedwabny, a lśni się, jak gdyby był przetykany srebrem i złotem.

— Dać ci go nie mogę, ale ci go pożyczę, odniesiesz mi go jak ci już będzie niepotrzebny, dobrze? Za-

praszam cię dziś na ucztę i tańce, które się odbywać będą przy świetle świętojańskich robaczków. Przyjdiesz?

— Przyjdę — odparła, rumieniąc się Halinka.

Leśna Paprotka odwiązała sznurek, który podała dziewczynce, uściskała ją serdecznie i wskoczyła na sarenkę.

Halinka, trzymając sznurek w ręku, wspięła się na wzgórze, a wtem sarenka odwróciła się spojrzawszy na nią i zabczała tak smutno, że aż las zajęczał echem.

Halinka zaczęła biedz, ciężko jej było na sercu.

— Nie było innego sposobu — mówiła sobie w duchu — muszę wybawić Jagusię.

Chciała wrócić do domu, ale zmyliła drogę, bo oto zamiast na ścieżkę wyszła na zieloną polankę, na której wczoraj siedział jastrząb. Elżbietka już tu widocznie była, bo drapieżny ptak, który siedział na tym samym pnium co wczoraj, dogryzał właśnie upolowanego kuraka.

— Dostałeś już kuraka — rzekła Halinka — i ja już mam zielony sznurek, dajże mi teraz obiecany krążek.

— Dam — odpowiedział jastrząb.

I zakołysał się, przechylił parę razy głowę, odemknął krzywy dziób, zatrzepotał skrzydłami i nagle uchwyciwszy potężnymi szponami zwój sznura, który dziewczynka miała w ręku, wyrwał go, uniósł się w górę i znikł w przestrzeni.

Halinka zdumiona i przestraszona, stała jakiś czas nieporuszona, czekając, czy ptak nie wróci. Ale nie wrócił, a tymczasem z pnia zaczęły się wydobywać roje os i szerszeni, tak, że dziewczynka uciekać musiała.

— Co to wszystko znaczy? — pytała siebie.

W domu nie zastała Elżbietki, ciocia jej powiedziała, że ją ze świtem posłała do miasta, i że tam miała nocować.

— Iść do kotlinki, czy nie iść? — myślała Halinka. ukończywszy swoje zajęcia nad wieczorem. Nie mam sznura... ha coż, powiem prawdę, że mi go jastrząb wyrwał, nie miałam wcale zamiaru dać mu go.

— Ciociu, pójdę nazbierać poziomek — rzekła do śliczyny i wyszła z dwoma dzbanuszkami.

Mglisto jakoś i szaro było w lesie, niebo powlokło się ołowianą farbą, Halinka szła spiesźnie.

— Przepraszę ją i powiem co mi się zdarzyło — myślała.

Doszła do skraju pagórka, spuściła się na dół i krzyknęła przerażona.

Zdawało się, że jakieś stado dzikich koni przeszło po ślicznej kotlinie. Trawa była niemiłosiernie zdeptana paproć połamana, poziomki znikły, na ziemi leżały tylko suche liście.

Jakieś niewyraźne przecucie mówiło Halince, że to co się stało, było w związku z przygodą, która ją spotkała. Wspięła się znowu na szczyt pagórka.

— Poczekam na królowę — myślała przygnębiona — pewnie wkrótce nadejdzie.

Usiadła pod drzewkiem.

Słońce zasunęło się niepostrzeżenie za ciemną chmurkę, kilka nietoperzy przeleciało jej nad głową. Wreszcie usłyszała szelest.

(d. c. n.)

METAGRAM.

Przez *r* to przedmiot co ma znaczenie,
Zarówno na wsi, jak i na scenie.
Przez *W* wsi naszych wielu nazwisko,
Z których jest jedna Warszawy blisko.
A z drugiej strony, każdy wie o tem,
Że jest i duszy ludzkiej przymiotem.
Przez *d* rzecz, którą z wyroków nieba,
Gorzka, czy słodką przeniesić potrzeba.

ŁAMIGŁÓWKA LITEROWA.

p. Puszczyka z Pilawy dla Wichury.

a a a a a a a a a
 a b b c é d d
 g g i k l
 m m n
 n n n
 n o o o o
 p p r r r s s
 s t u w y y y z z

Z powyższych liter ułożyć 8 wyrazów, aby środkowy rząd pionowy utworzył pseudonym współczesnego poety i powieściopisarza. Poziome rzędy utworzyć mają: 1) Prowincya Francyi nad kanałem La Manche. 2) Ryba żyjąca w wodach europejskich. 3) Zwierzęta z gromady skorupiaków. 4) Owad nocny. 5) Wody mineralne w Belgii. 6) Ptak u nas pospolity. 7) Czas zabaw. 8) Owoc w gronach.

ŁAMIGŁÓWKA KRYSZTAŁOWA.

Słoń z N.

- 1) Samogłoska.
- 2) Największa rzeka na półw. Pirenejskim.
- 3)
- 4) Rodzaj poezyi.
- 5) Samogłoska.

Rząd środkowy oraz środkowe litery złożyć mają imię żeńskie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 20-go

Łamigłówni głoskowej: Matejko.

Łamigłówni w trójkacie:

P i o t r S k a r g a
 I n o w r o c ł a w
 O d y s s e u s z
 T e o d o r y k
 R o m u l u s
 S a t u r n
 K o r a l
 A n n a
 R a j
 G o
 A

Kwadratu magicznego:

a l b o
 L w ó w
 o n a
 o w a d

Skrzynka do listó

Próby Kaligrafii Janka i Mani Pław. w zupełności zasługują na nagrodę, ale przysły już po terminie i ogłoszeniu sprawozdania z konkursu.

Zawsze nam miło załatwiać polecenia kochanych czytelników, zwłaszcza, gdy proszą o coś tak ładnie jak **Manusia Cyb**. Posłane książki wraz z przesyłką kosztowały rub. 2 kop. 40., kopiecki można odesłać markami.

Aleksandrowi W. za list pisany z Radomia dziękujemy bardzo i następnych oczekujemy, rebusik jest dobry, ale ze względów technicznych do druku się nie nadaje.

Słoń z Nubii nadesłał nową szaradę i lamigłówni, które o ile będą się nadawać do druku z kolei pomieścimy, rozwiązania dobre.

I Amator czytania *Wieczorów* przysłał nam kilka zadań, przejrzymy je i dopiero wtedy zadecydujemy, czy będą przyjęte. Tymczasem pochwalając zamiłowanie do czytania, zachęcamy cię usilnie byś i nad pismem chciał popracować, bo sądząc z listu wiele ono jeszcze pozostawia do życzenia.

Stokrotce z Sobolówki dziękuję za serdeczny liścik, ale dla czego to nie starasz się pisać ładniej i staranniej, by pismo podobne było do treści, treść taka miła, a kaligrafia wiele pozostawia do żądania. Rozwiązania metagramu dobre, a przy większej prawie wszystkie lamigłówni odgadywać będziesz.

Bardzo mi się podobał twój pseudonym **Wichuro** i wystawiam sobie, że odpowiada on potrosze twojemu usposobieniu, musisz być żywa i prędką, a sądząc z twego listu zdolna i pracowita? Odpisz mi czy się nie mylę? Łamigłównę oddałam Redakcyi i prośbę twą o prędkie wydrukowanie powtórzyłam. Nie mylisz się, że jestem siostrą Gołąbki, ale imię jej nie Zosia. Od ciebie zapewne starszą jestem nieco. Na lato wyfrunę by użyć swobody wiejskiej, ale nie wiem jeszcze jak prędko to nastąpi. Polecam się nadal twjej pamięci ufna, że nie poprzestaniesz na tej jednej odezwie.

Wietrzyk wiosenny przyniósł mi bardzo pocieszającą wiadomość o **Koniku Polnym i Mrówce**, że w naukach czynią postępy i usposobienie ich uległo dużej zmianie na lepsze, jak się tem ucieszyłam nie potrzebuję nawet mówić, a oczekuję tylko by sami do mnie o tem napisali.

Krzyż z podstawą ułożony przez **Heliotropa i Jaśmina** otrzymałam i złożyłam w redakcyi. Dziękuję wam obu za pamięć i życzeń powodzenia w egzaminach, a mam nadzieję, że po pomyślnem ich ukończeniu, dłuższym obdarzycie mnie listem.

Helence Szul. Przyznanie się do winy zmniejsza ją o połowę, i daje rękojmię, że poprawa będzie stałą. Nie taję, że z początku zmartwiłam się otrzymaną wiadomością, ale pocieszyłam się prędko, bo kto, jak ty serdecznie sam się oskarża i tak pocziwie poprawę obiecuje, temu wierzyć można zupełnie. To też nie wątpię, że twoja nauczycielka nie będzie już miała powodu do powtórnego niezadowolenia. Za pozdrowienia i pamięć wdzięczną ci jestem, jak również siostrzyczce twjej Rózi.

Szara ptaszyna listem swoim tak starannie i mile pisanym sprawiła mi prawdziwą przyjemność. Za wiadomości dziękuję, nie tylko nie są one dla mnie nudne, lecz przeciwnie zajęły mię bardzo i proszę najmocniej, byś częściej podobnemi liścikami obdarzała mnie chciała.

Szpakowi z nad Worskły wdzięczną jestem za doniesienie wielu ciekawych rzeczy, odnoszących się do życia jego rodzinnego. Tym sposobem poznajemy się coraz lepiej i nie wątpię, że korespondencyja nasza stałą pozostanie. Bo choć powrócisz w odległe strony swego zamieszkania i na nowo rozpoczniesz nauki szkolne, obdarzać nas będziesz wiadomościami o sobie, które zawsze mile powita Redakcyja, jak również życzliwa ci

Jaskółka.



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

Maryusz na ruinach Kartaginy.

Wielki wojownik, znakomity wódz i do niedawna wszechwładny pan Rzymu, nagle zwyciężony przez szczęśliwego rywala i kryjący się w ucieczce wśród ruin wielkiego miasta, które jak on upadło i runęło, oto chwila przedstawiona na rysunku, a pełna takiej grozy, że starożytni i nowożytni historycy nie pomijali jej nigdy, a wielu artystów za przedmiot do swych utworów brało.

Kajus Maryusz, urodzony r. 157 przed Narodzeniem Chrystusa Pana, był synem ubogich rodziców i służył zrazu w legionach, jako prosty żołnierz. Przez swe zdolności wojskowe i nadzwyczajną siłę charakteru, dał się jednak prędko poznać ludowi rzymskiemu, a że dzielnie bronił spraw jego przeciw patrycyuszom, został wybrany na trybuna, a następnie na konsula; otrzymał więc pierwszą godność w państwie, którą później jeszcze siedm razy piastował.

W ciągu dwóch lat ukończył pomyślnie w Afryce północnej wojnę z królem Jugurtą; głównem jednak jego dziełem było ocalenie Rzymu od najścia dwóch plemion germańskich — Cymbrów i Teutonów, którzy przeszli już Alpy i grozili stolicy.

Pomimo przeważającej liczby nieprzyjaciół, legiony Maryusza w dwóch wielkich bitwach (101 roku przed Nar. Chr.) zniosły do szczętu hordy barbarzyńców i odstraszyły na długo plemiona germańskie od podobnych napadów.

Upojony sławą tych zwycięstw, Maryusz zaczął nadużywać swej władzy i zapragnął znieść senat rzymski, który rządził państwem. Znienawidzony jednak przez stronnictwo patrycyuszów za swe okrucieństwa, został pobity przez Syllę, wzięty do niewoli i na śmierć skazany. Ratował



Maryusz na ruinach Kartaginy.

się ucieczką do Afryki i wówczas przebywał czas jakiś wśród ruin Kartaginy, rozmyślając o swoim upadku.

Gdy jeszcze raz udało mu się powrócić do Rzymu i odzyskać władzę, mścił się w sposób straszliwy na stronnikach Sylli, lecz na siedemnasty dzień swego siódmego konsulatu, umarł nagle, zostawiając po sobie wspomnienie dzielnego i mężnego wodza, ale zarazem wielkiego okrutnika.

DO DZIEWECZKI NASZEJ.

Od kwiatka fruwać do kwiatka,
Pojąc się życia słodyczą;
Wesoło nucąc, wesoło
Srebrzystą piosnkę dziewiczą...
Od kwiatka fruwać do kwiatka!

* * *

Motyłka pestać, motyłka
Niech cię jedynie nie mami:
Nie samą życie — pustotą,
Na mrówkę zmien się czasami,
Ze szczerą pracy ochotą,
Choć postać masz ty motyłka.

Lucyan Uziębło.

Zofia Kowerska

DZIELNY CHŁOPIEC.

(Dalszy ciąg).

— Musisz się ty jednak żywić u kogoś — rzekł wreszcie Józik, który nakoniec zrozumiał, że pies skomlał nie o kawałek chleba, ale o pogłaskanie i pieśczętę. Widocznie jacyś dobrzy ludzie pomagają ci...

W tej chwili pani Warbicka otworzyła oczy.

— Józiku — wymówiła szeptem — przyrządź mi herbaty, bo mi jakoś zimno.

Józik zaczerwienił się mocno, potem zbładł jak chusta. Ani nafty nie było już w domu, ani listeczka herbaty. Jak tu powiedzieć o tem pani Warbickiej?

— Dobrze, proszę pani — rzekł Józik.

Wziął dzbanuszek, w którym przynosił mleko i zbiegł ze schodów. Drżący, bez tchu stanął przed drzwiami mieszkania na pierwszym piętrze. Nogi się pod nim ugiwały i zdawało mu się, że nigdy nie odważy się przycisnąć guzika od dzwonka, a jednak czuł, że zadzwonić musi, że wejść musi do tych ludzi nieznanomych, bo jego opiekunka nie miała czem ugasić pragnienia. Wreszcie sam nie wiedział jak się to stało, że guzik nacisnął i drgnął ze strachu, usłyszawszy dzwonek za drzwiami, za którymi rozległy się zaraz spieszne kroki i lokaj w białym fartuchu, gdyż właśnie sprzątał w pokojach, ukazał się we drzwiach. Obejrzał Józika od stóp do głów a potem zapytał:

— Czego tu chcesz, chłopcze?

Józikowi tak zęby dzwoniły, że przez chwilę mówić nie mógł, nareszcie jękając się, rzekł cicho:

— Pani Warbicka chora... już dawno chora... wszystko poszło na lekarstwa... prosi o szklankę herbaty, a tu niema...

— Więc czegoż ty chcesz?

— Herbaty w ten dzbanuszek.

— A już tym żebrakom to się Bóg wie co zachciwa! Herbaty w dzbanuszek! Wynos mi się stąd dopókiś cały i nie czekaj aż ci uszy oberwe!

Zdarzyło się właśnie, że przez przedpokój przechodziła panienska, którą Józik widywał czasem, gdy wychodziła z kamienicy lub wsiadała do karety. Usłyszała ona słowa lokaja.

— Kogo tam Walenty łaje? — zapytała.

— Jakiś żebrak. Zachciało mu się herbaty i nawet przyniósł sobie dzbanek, co w nim będzie z kwarta.

— Niech go Walenty wpuści.

— E, to proszę panienki, nigdy nie warto takich włóczęgów przywabiać.

— Ale może to nie włóczęga. Proszę drzwi otworzyć.

Walenty mrużąc otworzył drzwi i panienska ujrzała Józika bladego, z zalaną łzami, wychudłą twarzą, z pustym dzbankiem w ręku.

— Ja tego chłopca już nieraz widziałam — rzekła panienska — ty tu mieszkasz gdzieś blisko?

— W tym samym domu... w pokoju na strychu...

— Aa... to stamtąd przychodzi pies czarny z białymi łapami! — ozwał się lokaj.

— Tak proszę pana.

— To czemużeś nie gadał, że ty nie jesteś żaden włóczęga, tylko, że ten Fidelek to twój?

— No chodź — zawołała panienska — dam ci herbaty.

Kazała wprowadzić chłopca do przedpokoju i wybiegła z dzbanuszkim. Wkrótce Józik usłyszał rozmowę, między jakąś widocznie starszą osobą i panienką. Głos starszej osoby mówił:

— Co ty robisz z tym dzbankiem?

— To dla biednego chłopca nalewam herbatę — odparła panienska.

— Dla jakiego biednego chłopca? Cóż tam znowu wymyśliłaś?

— Prosi tylko o trochę herbaty.

— Gdzież on jest?

— Stoi w przedpokoju.

— Zostawiasz jakiegoś żebraka w przedpokoju, a on może tam w tej chwili ściąga futra i okrycia z wieszadła. Taki obdartus to umyślnie gotów przyjść z prośbą o herbatę dla chorej matki czy babki, dla tego tylko żeby ludzi okradać.

— O nie, mam, ja tego chłopca widuję, często chodzi z czarnym pieskiem...

— To cóż, że go widzisz? Pewno taki sam nic dobrego jak ci, co żebrzą po ulicy i biegną pół wiorsty drogi, opowiadając różne kłamstwa o swojej niedoli! Zadzwoni na Walentego i powiedz mu, żeby obejrzał czy nie brakuje czego w przedpokoju.

Józikowi krew uderzyła do głowy. Miano go w tym domu za złodzieja! Uchciał wyjść, uchciał uciekać, żeby takich strasznych oskarżeń nie słuchać, ale mu stanęła przed oczami biedna, chora staruszka, żądająca ciepłej herbaty. Przysunął się więc do samych drzwi i stał tam z rozżalonym sercem.

— Na żebraka wyszedłem! — myślał z goryczą. — Tak, na żebraka, ale nie żebrzę dla siebie, o nie, wolałbym raczej z głodu umrzeć! Tylko dla niej, dla mojej kochanej opiekunki uczynię wszystko, nawet żebrać jestem gotów!

Wkrótce panienska uprzejmie uśmiechnięta weszła z pełnym dzbankiem herbaty i pakietem owiniętym w gazetę.

— Masz, moje dziecko.

Józik wziął dzbanek i dziękując, zabierał się do wyjścia.

— Weź i to, chłopcze — rzekła panienska. — Tu jest chleb, bułki i parę ciastek.

— Tegobym nie chciał brać — odparł Józik, którego żołądek wołał głośno: „weź! weź!” a którego duma mówiła poważnie: „nie bierz, nie bierz!”

— Weź, może jesteś głodny.

Józikowi, który się od płaczu wstrzymywał, lzy potoczyły się nagle po twarzy.

— Głodny jestem — rzekł, spoglądając zapłakanemi oczami na panienkę — ale nie jestem złodziejem! Nie zginał rzeczy z przedpokoju, do którego ja wejść.

— Ja wiem, moje dziecko... przecie ja znam ciebie i twojego pieska... weź ten chleb i przychodź zawsze, gdy jesteś głodny... Widzisz, mojej matce chłopiec, który utrzymywał, że ma sparaliżowaną babkę, ukradł raz bardzo drogie futro, więc teraz się boi i podejrywa cię... ale ja wiem, żeś ty dobry. No idź, idź, bo ci herbata wystygnie!

Józik pocałował panienkę w rękę i skoczył co tchu na górę. Pani Warbickiej herbata bardzo smakowała.

— Jakaś bardzo dziś dobra — mówiła do Józika. Chłopiec miał i dla siebie śniadanie, bo w pakiecie od panienki z pierwszego piętra była nawet szynka i serdelek.

— Ale już tam nie pójde — mówił sobie Józik w zamyśleniu — strasznie przykro prosić o wsparcie! Panienska dobra, ale starsza pani podejryliwa, a lokaj gotów mię naprawdę kiedy za drzwi wyrzucić. Po zaspokojeniu głodu, poczęł teraz spokojnie rozmyślać. Przypomnił sobie, że Piotrowa była mu winna za rozmaite sprzedane jej przedmioty po śmierci ojca, i postanowił teraz, kiedy był w ostatecznej biedzie, upomnieć się o należące mu się pieniądze. Poszedł tedy do Piotrowej.

Przyjęła go jak zwykle utyskiwaniem na Walka, który nawet ją samą okradał. Musiała wszystko przed nim chować, bo był to już teraz złodziej niepoprawny. Bardzo się zmieszala, gdy Józik przypomniał jej swój dług, bo zapomniała już o nim zupełnie i dopiero po jakimś czasie przyznała, że to Józik mówił było prawdą. Ale się targowała, mówiła, że przedmioty kupione nie były tyle warte, co ona za nie zapłaciła.

— Przecieżeście nic mi nie zapłacili! — zawołał żałośnie Józik.

— Alem obiecała, to wszystko jedno jakbym zapłaciła! — Nie, nie wszystko jedno, bo mnie te pieniądze konieczne są potrzebne, a ja ich nie mam!

— Nie mam pieniędzy i kwita! — Józik poczuł się tak rozgniewanym i tak oburzonym na Piotrowę, że jakaś odwaga męska w niego wstąpiła, choć był takim dzieckiem jeszcze.

— Oddacie mi te pieniądze — rzekł spokojnie i stanowczo, a nie, to was pedam do sądu. Usługuję u trzech studentów uniwersytetu, oni mi poradzą jak mam o swoją własność się upominać i muszę odebrać to, co mi pani winna.

Na te słowa Józika, Piotrowa wpadła w straszną złość.

— A, ty niedobrego! — krzyczała. — To i ty jeszcze przychodzisz mię okradać? Toś ty taki sam nicpoń, jak Walek? Jak ja porwę na ciebie ożoga, to ty dobre siniaki poniesiesz do twoich studentów, co mi niemi oczy wypiekasz!

Józik przed groźbami Piotrowej stał spokojny z zaciętymi ustami.

— Więc dobrze — rzekł — będziemy się prawować! I niech pani pamięta, co mówię, że odda mi pani wszystko co do grosza, i jeszcze wstydu się pani naję!

Skierował się ku drzwiom spokojnie, cę okropnie Piotrowę zastanowiło. Przestraszyła się groźb z takim spokojem wypowiedzianych. Wybiegła za Józikiem, wołając:

— No, wróć się ty paniczu jakiś! Tobie się zdaje, że jesteś coś bardzo ważnego! Widzicie go, frant jakiś! Chodź, zabieraj co mam w domu!

Wyjęła z kufierka zatłuszczonego rubla i rzucając go Józikowi, zawodzić poczęła:

— Ostatni grosz ten niedobrego mi zabiera! dziecko rodzone mię okrada i ten mię okrada!

Józik wziął rubla, ale swej radości nie okazał i spokojnie się odezwał:

— Pani mi była winna dziesięć rubli, a że mi pani oddaje dziś rubla, więc zostaje jeszcze dziewięć rubli, które mi pani też odda co do grosza, bo inaczej do sądu pójdziemy!

— Widzisz go, jak się to rachować nauczył! Ja ci tu dam rachunek!

— Przyjde pojutrze po resztę pieniędzy.

— On mi tu będzie wygrażał! On mi tu będzie...

Józik nie słuchał dalej. Miał rubla w kieszeni; to było na życie dla pani Warbickiej i dla niego, na jakie dwa dni. A za dwa dni znowu trzeba będzie iść do Piotrowej.

— Jednak niedziwota, że z tego Walka taki hul-taj — myślał, biegnąc ku domowi. — Nie daleko jabłko od jabłoni pada.

Ledwo to sobie pomyślał, aż tu Walek, widocznie wracający do domu, jakby wyrósł przed nim z ziemi na zakręcie ulicy.

— Aha, już cię dawno nie widziałem! — ozwał się. — Coś jakoś na tem państwie mizernie wyglądasz!

— Na jakim państwie?

— No, boś całkiem spał przy tej starej. Siedzisz sobie, nie nie robisz, na książce czytasz... ha, ha, ha!

Było w śmiechu Walka coś bardzo nieprzyjemnego; obdarty był i brudny, na twarzy miał czarne smugi, jak gdyby ze trzy dni się nie mył.

— Widzę, że mi się przyglądasz — mówił dalej Walek — juźci, że nie mam takiego odzienia jak ty, co u tej starej masz wszystko gotowe. Pokaż no z jakiego to materiału masz ubranie?

Przybliżył się do Józika i zaczął go klepać go ramieniu, dotykać ubrania, przypatrywać się.

— Ty niedługo na takiego pana wyjdiesz, co to karetą jeździ! No, bądź zdrow! Jak mię kiedy cała bieda przyciśnie, to przyjde do ciebie poprosić o rubelka.

I pobiegł dalej. Józik poszedł też w swoją drogę, rozmyślając, jaki ten Walek był zły i obrzydliwy.

Cuciął zajrzeć do pani Warbickiej, czy czego nie potrzebuje, a potem dopiero pójść kupić herbaty, cukru, węgla, nafty, mleka i parę bułek. Wyliczył, że mu rubel wystarczy na zakupienie wszystkiego tego potrochu.

Pani Warbicka kaszlała jak zwykle, i niecierpliwie wy-czełiwała Józika, bo pragnęła, by jej chłopiec łóżko przesłał.

Józik z trudem przeprowadził staruszkę na fotel, a że miał sił mało, więc aż się ugiął pod jej ciężarem; potem strząsnął siennik, przewrócił materac, poduszkę przetrzepał i znowu przeprowadził ją, prawie przeniósł na łóżko. Aż mu grube krople potu na czoło wystąpiły, przed oczami ciemno się zrobiło, serce biło jak młotem. Usiadł na sofce żeby trochę wypocząć i zaraz zaczął myśleć o tem, że trzeba biedz po mleko, którem chora żyła. Wstał wkrótce z sofki i choć czuł, że się nogi pod nim trzęsą, jednak postanowił wyjść zaraz po sprawunki. Wziął starą portmonetkę i chciał włożyć w nią zatłuszczonego rubla Piotrowej. Zaczął go szukać w kieszeni, w którą go włożył i nagle cała krew buchnęła mu do twarzy. Szukał coraz to niespokojniej, coraz to gorączkowiej; szukał w drugiej kieszeni i trzeciej. Wszystkie były puste. Józik wydał okrzyk trwogi i rozpaczy a czując, że się na nogach chwieje, rzucił się z jękiem na sofkę.

Pani Warbicka otworzyła oczy, zwróciła głowę ku Józikowi i widząc go bladego jak ściana, poczęła wołać przerażonym głosem:

— Józiku, moje dziecko, moje najdroższe dziecko! O, Boże, czemu nie zabierzesz mnie, która mu jestem tylko ciężarem, a jego nie wyrwiesz z tej nędzy! Józiku, Józiku!

Pani Warbicka w przestachu i wyobraziwszy sobie w swej skołatanej głowie, że Józik umiera, nie obliczyła sił swoich. Podniosła się, zwlokła z łóżka i parę kroków naprzód postąpiwszy, upadła na podłogę z krzykiem. Leżącą, kaszel dusić poczęła.

Bosy, który już przy pierwszym krzyku Józika skoczył ku niemu i trzymał łapy wprost na piersiach chłopca, skom-ląc żałośnie, teraz przybiegł do pani Warbickiej, kręcił się koło niej niespokojnie, lizał jej ręce i nogi, wreszcie zabrał się do lizania twarzy. Widząc jednak, że to nic nie pomaga, poczęł zębami szarpać za koszulę, która była stara i darła się wszędzie, gdzie zęby Bosego ją pociągnęły. I ten sposób

nic nie pomagał, Bory więc skoczył ku drzwiom, położył łapy na klamce, otworzył i skomląc skoczył na schody. Kilku rozpaczliwymi susami dostał się do drzwi kuchni państwa z pierwszego piętra i tak niespokojnie drapać w nie począł, że Wojciechowa siedząca wygodnie na krześle, obierając kartofle, zawołała:

— A cóż tam temu psu się stało? No, czekaj ty kulażcu, otworzę ci, bo mi dziurę we drzwiach wydrapiesz!

(d. c. n.)

W OTCHŁANIACH MORSKICH.

PRZEZ

Dr. M. Stefanowską.

(Dalszy ciąg).

Pamiętajmy jednak, że w wielkich otchłaniach morskich żyją także zwierzęta, mające oczy doskonale rozwinięte. Zauważono też, że u tego samego gatunku, oczy były w rozmaitym stopniu zanikania, zależnie od głębokości morza.

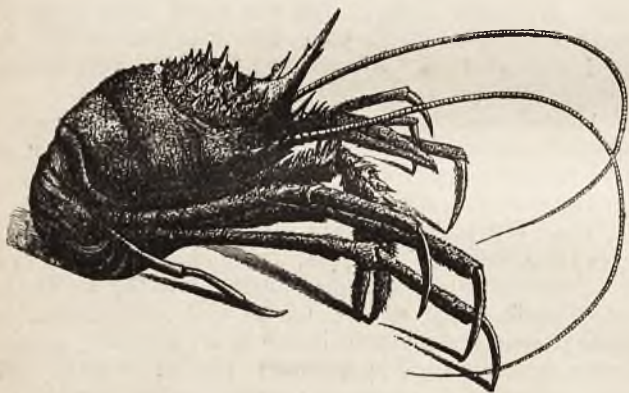


Fig. 158. Galathodes, ślepy rak znaleziony w otchłani morskiej 4000 metrów głębokiej.

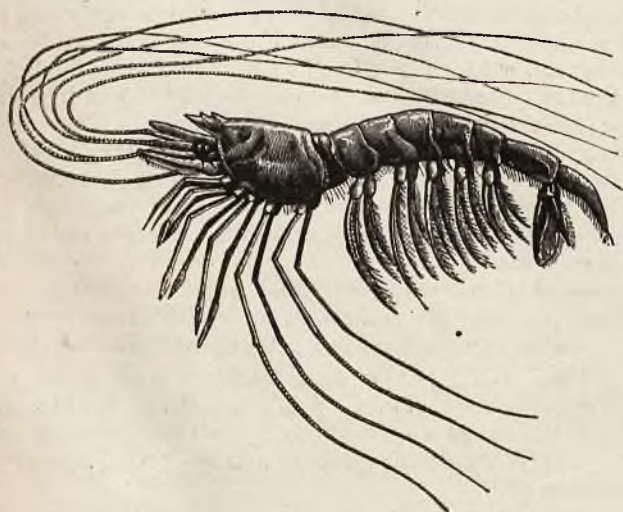


Fig. 159. Hapalopoda investigator. Rak z nadzwyczajnie długimi wąsami, żyje w otchłaniach morskich 2000 m.

Tak np. znajdowano niektóre raki z doskonale rozwiniętymi oczami; też same raki, złowione głębiej, miały oczy już nie-

kompletne, a raki tegoż gatunku, pochodzące z głębin jeszcze większych, były zupełnie ślepe, jak np. Galathodes, (fig. 158).

Ale zauważono jednocześnie, że owe ślepe raki, były to zwierzęta mało ruchliwe, wolno pełzające po dnie, albo nawet zagrzebujące się w mule w oczekiwaniu na zdobycz, którą chwytają swymi długimi kleszczami.

Przeciwnie, raki bardzo zwinne, szybko pływające w otchłaniach, jak np. Hapalopoda (fig. 159) wzrok swój zachowały i mają oczy ogromne a prócz tego opatrzone są niezwykle długimi wąsami, które są nader czułym narzędziem dotyku; długie a cienkie ich nogi odbierają wrażenia tegoż rodzaju.

To cośmy powiedzieli o rakach, da się zastosować i do ryb. Są to zwierzęta doskonale pływające, dlatego też ślepe ryby w otchłaniach są wielką rzadkością, a przy doskona-

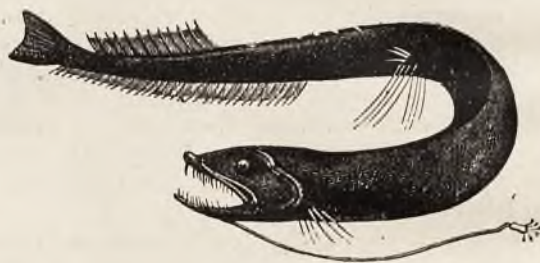


Fig. 160. Eustomias obscurus, długi wąs jest narzędziem dotyku.

le rozwiniętych wielkich oczach, ryby posiadają zarazem właściwe sobie nitkowate przysadki, nader czułe na dotyk; przysadki takie widać u ryby Eustomias (fig. 160) Bathypterois (fig. 161) i innych, których wizerunki podaliśmy poprzednio. Widzimy tedy że, zwierzęta czynne, trudniące się wciąganiem, zachowały nawet w otchłaniach dobry wzrok i zarazem dobrze rozwinięte narzędzia dotyku.



Fig. 161. Bathypterois, para wydłużonych promieni pletwowych, służy za narzędzie dotyku.

Mówiliśmy wyżej, że oczy u wielu zwierząt marnieją i zanikają od długiego przebywania w ciemności. Jeżeli przeto niektóre gatunki raków oraz liczne ryby głębinowe oczy swe zachowały, to przypuścić trzeba, że oczy służą im do patrzenia. A zatem dno morskie w braku światła słonecznego musi posiadać inne jakieś światło, niezbędne dla oczu mieszkańców otchłani. Zkąd pochodzi owo światło?

Z poprzednich rozdziałów, wiemy z jaką łatwością zwierzęta morskie promieniają z siebie światło. Kubek świeżo zaczerpniętej wody morskiej połyskuje tysiącami iskry, gdy poruszać nią w ciemności. Rzucony w powietrze pęk wodorostów staje się świetnym fajerwerkiem. Mnóstwo drobniuchnych roślinek i mikroskopijnych zwierzątek iskrzy się przy najlżejszym ich dotknięciu; świetliczki sprawiają wspaniałe iskrzenie się morza na wielkich obszarach. Meduzy, solpy, iskrzyłudy, często promieniają silnym światłem; gdy uciąć ramię gwiazdzie morskiej, to obie powierzchnie przeciętego ramienia świecą się natychmiast; podobnież zra-

nione pierścienice, gdy pływają, to pozostawiają za sobą, świetlany ślad, niby drogę mleczną; jest to świecący płyn, który wycieka z ich rany.

Widzimy przeto z jaką łatwością zwierzęta morskie stają się iskrzącemi; własnością tą w najwyższym stopniu obdarzone są zwierzęta pelagiczne oraz głębinowe. Gałązki polipów, gwiazdy morskie, pierścienice często rżęsiście oświetlają sieć całą, wyciąganą z głębin morskich; przypominamy sobie także, że przy świetle gaściołów (*Mopsea*) można było czytać w nocy książkę. Dodajmy na koniec, że namul morski przepelniony jest żywymi pierwotniakami, które prawdopodobnie łatwo świecą, tak jak pokrewne im zwierzątka, pływające po powierzchni morza.

Jeżeli tak jest w istocie, to dno otchłani morskich powinny się świecić na wielkich obszarach, podobnie jak iskrzy się często powierzchnia morza. Coprawda, światło zjawia się na powierzchni wtedy, gdy woda jest w ruchu; zwykle najsilniej iskrzą się grzbiety fal oraz ich brzegi, biegnące śladem okrętów. W otchłaniach zaś panuje cisza; jednakże nie brak ruchu tam, gdzie żyje tyle stworzeń, a każde zwierzątko, gdy pływa lub chodzi, prawdopodobnie rozprasza dokoła siebie promienie światła. Gdy przypuścimy, że głębin morskie na wielkich obszarach oświetlone są słabem chociażby światłem, to jedynie wtedy zrozumieć możemy, dlaczego w nich żyje tyle zwierząt, które nie straciły swego wzroku.

(d. n.)

NIEDŹWIEDŹ

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

p. Zuzannę Morawską.

(Ciąg dalszy).

Lecz mimo na pozór łaskawych wyrazów, dźwięk jej mowy był tak przykry i syczący, że Fogelfeder mimowoli podniósł na nią oczy i zadrżał, jak gdyby przed obietnicą groźby i najsroźszego gniewu.

Bona wyszła szybko z izby, trzasnąwszy własnoręcznie drzwiami, które służebna chciała przed nią otworzyć.

Kazik tymczasem powoli zapadał w jakiś sen gorączkowy, twarz mu nabrzmiała, a oczy błyszczały niezwykłym, chorobliwym blaskiem.

Fogelfeder był w rozpacz; zmieniał bezustannie leki, które jednak niewielką przynosiły ulgę.

Nie mógł też poświęcić się mu wyłącznie, bo królowa, która nieraz całymi tygodniami nie widziała nadwornego lekarza, dnia tego wzywała go co chwila. To kazała mu badać przy sobie królewicza, czy przestrach nie wywarł złych skutków, to ją właśnie zabolął palec i musiał go balsamami okładać, to pytała go o aurę i możliwość jej zmiany, słowem, odrywała go z izby Kazika pod rozmaitemi pozorami.

Młody lekarz miał doskonałego zastępcę z Ciemnosą, który mrużąc ciągle niechętnie, pilnował jednak chorego i nie dopuszczał nikogo, zasłaniając wejście swoją olbrzymią postacią.

Zygmunta nudziły te oględziny, że zaś lubił swego lekarza, żartował z nim w braku Niedźwiedzia; rad był jak najdłużej go zatrzymać.

Pytał zaś troskliwie:

— Co Niedźwiedź robi?

— Spi — odpowiadał lekarz.

— Kiedy będzie zdrow?

— Bóg tylko wie o tem.

— Ale waszmość go wyleczy? — zapytał z pewnym niepokojem królewicz.

— Staram się, lecz życie człowieka jest w ręku Boga — odrzekł lekarz, który od chwili odwiedzin królowej, sam zwątpił o wyzdrowieniu młodzieńca.



Fig. 162. Zwierzęta żyjące w Atlantyku na głębokości 2500 m. 1) Meduza, 2) Ryba, *Malacosteus niger*. 3) Gąbeżak podobny do tiulu. 4) Gąbeżak koronkowiec. 5 i 6 Raki. 7) Pająk (*Colossandais Titan*). 8) Pierścienica (robak). 9 i 10 Strzykwki pełzające. 11) Meduza.

— Biedny Niedźwiedź, cierpi przezemnie! — zawołał z całą serdecznością Zygmun. To mój prawdziwy przyjaciel, on mnie zawsze broni! — dodał.

— Dziś wieczorem wyjedziemy! — rzekła Bona nagle, przysłuchując się rozmowie syna.

— Nie możemy go zabrać, a czekać też nie będziemy! — odrzekła.

— Ależ ja bez Niedźwiedzia nie pojedę! — zawołał Zygmun.

Królowa nie zwróciła nawet uwagi na odezwanie się syna, poczęła tylko przywoływać rozmaite osoby, wydając jak zwykle rozkazy, dotyczące się wyjazdu.

Nadąsanego królewicza zabrał ochmistrz, a lekarz korzystając z zamieszania, jakie tworzyły osoby wchodzące i wychodzące z rozkazu Bony, wymknął się do Kazika.

— Najjaśniejsza pani, mroz nagle zelżał, deszcz zaczyna padać, a noc zapowiada się ciemna... — przekładał Basaty.

— Pochodnie oświecą drogę! — odrzekła stanowczym głosem Bona.

Nie było rady, trzeba się było zbierać do drogi.

Wozy miały wyjść za godzinę, królowa zaś z synem i przybocznym dworem postanowiła wyjechać zaraz po zachodzie słońca i wieczornym posiłku.

Nikt jednak nie wiedział, dokąd miano jechać, zbierano się tylko jak można najprędzej. Przekroczenie bowiem rozkazu, groziło wydaleniem ze dworu, a każdy mimo ciężkiej służby, trzymał się pańskiej klanki, mając nadzieję przy wielkim ogniu, tłustą pieczeń dla siebie upiec.

Aura tylko jedna nie bała się nikogo i znikim się nie liczyła. Mroz nagle w nocy kark skrecił, rankiem zawisła nad światem mgła gęsta, a teraz oto otworzyły się upusty niebieskie i deszcz wielkimi strumieniami zalewał przestworze. Brudził on śnieg jeszcze wczoraj tak biały i splukiwał go z wielkim hałasem i szumem z drzemiącej pod jego powłoką ziemi.

Zrobiło się też tak ciemno, iż chociaż jeszcze było daleko do zachodu słońca, musiano rozniecić większy ogień na kominie i zapalić olejną lampę w komnacie królowej.

Mimo to Bona nie cofnęła rozkazów do wyjazdu.

Wtem deszcz przestał, lecz zrobiła się noc zupełna, groźna chmura wiosenna nadszła, a wśród ciemności niebo nagle się rozdarło oslepiającym światłem, zahuczał w dali grom i począł rzucać piorunami, prawie wprost w okna komnaty królowej.

— Cielo! Misericordia! — wołała Bona.

Drżąc z przestachu padła na kolana w najciemniejszym zakątku komnaty i głośno zanosiła modły, wśród których robiła postanowienia złożenia bogatego wotum, w jednym z najbliższych kościołów, jeżeli ją Bóg od pioruna uchroni raczy.

Burza trwała bardzo krótko, niebo się nieco wyjaśniło, lecz deszcz lał jak poprzednio. O wyjeździe nie można było nawet myśleć!

Z tem wszystkiem chociaż o świtanie jeszcze deszcz drobny padał, Bona zbudziła dwór, kazała przywołać Bassatego, dała mu rozkaz tajemny, w którą stronę ma ruszać z wozami i gdzie nocleg przygotować. Mimo też popsutych i powyrywanych dróg, około południa królowa wraz z synem i całym dworem opuściła Knyszyn. Jakież jednak było zdziwienie dworu, gdy się dowiedziano, że mają się kierować z powrotem do stolicy.

— JAKO nie pojedziecie do Wilna? — zapytał Zygmunt.

— Do Krakowa! — odrzekła sucho matka.

I nic nie pomogło, mimo niezadowolenia królewicza, wracano tą samą drogą, którą przebyć musiano wśród najokropniejszych wybojów w rozmiękłym śniegu. Saniami trudno było przejechać, na kołach jeszcze gorzej; kołebka królewska wlokła się, podtrzymywana z obu stron przez czterech dzielnych hajduków.

Królowa jednak nie narzekała, owszem, z pewnem rozradowaniem znosiła trudy. Lecz dla młodego króla podróż ta tem więcej była przykra, że Niedźwiedź musiał pozostać pod opieką zarządzającego dworem knyszyńskim.

Fogelfeder zapytany przy wyjeździe co myśli o chorym, odrzekł wymijająco, jak zwykle:

— Wszystko w rękę Boga!

W oczach królowej błysnęła źle ukryta radość; królewicz zaś szczerze się zasępił i rzekł:

— Poczciwy mój Niedźwiedź, mnie ocalił, a sam może zginie!

Lecz siniora zaczęła zaraz coś ciekawego opowiadać, ażeby zagłuszyć szlachetne porywy swego młodego pana i stłumić w nim wszelkie serdeczniejsze objawy.

Tłumiono tak w królewicu nietylko w podróży, lecz i po przybyciu do stolicy wszystko, coby go mogło do czynu popchnąć, ducha zahartować i zespolić z narodem, który go sobie tak wcześniej przysposobił za pana.

W Krakowie życie popłynęło dawnym torem. Chmury zbierały się nad krajem, lecz o chmurach tych, jak w ogóle o sprawach państwa, młody król nie wiedział. W ogóle też do Zygmunta dochodziły tylko pieśni i muzyka, nie zaś odgłos surmy wojennej i spraw, któremi przyszły król powinien się zajmować.

Wprawdzie Opaliński starał się rozbudzić w królewicu najszlachetniejsze uczucia, znosił nawet dużo upokorzeń i przykrości, byleby wytrwać na stanowisku i spełnić obowiązek, który nań włożył król ojciec i radni panowie.

Wpływ jednak zacnego ochmistrza zacierał się wpływami dworu królowej matki. To też w sercu Zygmunta Augusta dziwna panowała rozterka; kielkujące szlachetne porywy, chęć czynu i rycerska natura odziedziczona po Jagiellonach, prowadziła bezprzebraną walkę z miękkiem, delikatnem wychowaniem, jakie dawała mu Bona.

Po powrocie do stolicy, Zygmunt pytał często o Niedźwiedzia, żądał o nim wieści, posyłał nawet do Knyszyna ażeby się coś o swoim ulubieńcu dowiedzieć, lecz usiłowania jego w tym celu były daremne. Z początku mówiono mu, że Niedźwiedź jeszcze chory, potem łudzono, że wkrótce powróci, wreszcie wysłany goniec przyniósł wieści, że strzelec królewski wyzdrowiał i wyjechał. Dokąd, nikt nie umiał powiedzieć.

Raz jakoś już w jesieni, królewicz z ochmistrem i niewielkim pocztem przejeżdżał ulicą św. Anny, wtem wykrzyknął nagle z radości i konia zatrzymał. Cały poczet stanął a Zygmunt zawołał:

— Biegnijcie za tym chłopcem, co skrecił w boczną ulicę.

I wskazał ręką na lewo.

Ochmistrz zmarszczył brwi niechętnie, lecz dworzanin pogalopował spełnić wolę królewicza.

Ten jechał stępą, po chwili konia zatrzymał, a przed nim stanął młodszy syn kasztelana zakroczymskiego.

— Toś ty w Krakowie, a nie przyjdiesz do mnie!

Marcin, który wyrósł i zmężniał, skłonił się układnie i rzekł:

— Nie miałem rozkazu waszej królewskiej mości.

— Więc teraz ci rozkazuje, żebyś przyszedł dziś jeszcze — rzekł Zygmunt.

I zaraz jednym tchem zapytał:

— A Jędrus, Piotruś?

— Jędrzek i Piotruś są też w Krakowie, jeno Piotrek jest w szkole Panny Maryi, a ja i Jędrzek weszliśmy do akademii — odrzekł kasztelanic.

— A Anusia? — pytał królewicz.

— Doma u ojców — rzekł Jędrus i westchnął, bo przypomniał sobie zmarłą siostrę.

— O Niedźwiedziu nie wiesz?

Jędrus zarumienił się po same uszy, spojrział z jakimś żalem na królewicza i rzekł:

— Nic nie wiem!

— Niedźwiedź gdzieś przepadł, ani go odnaleźć! — zawołał Zygmunt.

Wtem ochmistrz zaczął naglić do powrotu.

— Przyjdźcie do mnie wszyscy trzej. Rozkażę, to zaraz was wpuszczą! — rzekł królewicz, odjeżdżając.

Z przybyłymi nazajutrz kasztelanicami nie mógł się dość nacieszyć. Wypytywał ich o Zakroczym, o Anusię i o Niedźwiedzia, ale ilekroć o niego zapytał, chłopcy czerwienili się i na co innego skręcali rozmowę.

Królewicz prawie rok cały rozsyłał w rozmaite strony, ażeby się cośkolwiek o swym ulubieńcu dowiedzieć, płacił, gniewał się; sprawa oparła się o samego króla; nawet Bona wrzekomo wzięła ją do serca, wszystko jednak nie pomogło, Niedźwiedzia jak nie było, tak nie było!

XV.

Upłynął rok z górą od opisanych wypadków.

Nad krajem zaczęły się zbierać groźne chmury, a intrygi i knowania Bony zawiechrzyły wewnętrzny spokój i zgodę. W intrygach tych dopomagał jej Piotr Kmita, pan możny, słynący z bogactw, wielkiej oglądy ale też i nader przewrotnego charakteru. Dwór królewski, który dotąd dawał dobry przykład krajowi, stał się widownią scen gorszących, przekupstwa, a nawet i zbrodni.

Włoszka rzuciła cień na gniazdo Jagiellonów.

Starego króla martwiło to wszystko niepomiernie, lecz nie miał dość siły, aby samowolę Bony ukroć.

Wśród trosk wszystkich osłoda mu był ukochany jedynak, w którym pokładał nadzieję.

Mysłał też sobie:

— Niechno Zygmunt August dorosnie i obejmie rządy, wtedy złe naprawi, a młodą swą dłońią samowolę ukroci.

Głównym doradcą króla i podporą w troskach był Jan Tarnowski, który w r. 1527 mianowany hetmanem, silną dłońią dzierżył bulawę i w każdej potrzebie nietylko piersią lecz i wielkim umysłem kraj od złego ochraniał. Często też wraz z Opalińskim oraz panami radnymi zastanawiał się, jakby młodego króla usunąć z pod wpływu dworu królowej, wdrażać go powoli w inne życie, zahartować tak umysł jako i ciało do trudów, jakie go w przyszłości czekały.

— Waszmość staraj się umysł przygotować, ja go wojennej sztuki nauczę — mówił hetman poufnie do pana Piotra...

— Wszystko uczynię, co można, lecz wiecie, mości hetmanie...

— Wiem, wiem, lecz tem więcej trzeba baczyć na wszystko — odpowiedział tenże.

— Szkoda nam Niedźwiedzia, chłopak to wysokich zdolności, w niejednym byłby nam pomocny! — mówił Opaliński.

— Lecz byłby tych zdolności nie rozwinął, i wśród dworskiego życia zmarniał do szczytu — odrzekł hetman.

Oprócz zaś trosk wewnętrznych, spadł jeszcze na kark rzeczypospolitej nieprzyjacieli, którego się jakoś wtedy nie spodziewano. Roku 1531 Piotr, wojewoda wołoski złożył hołd Solimanowi, sultanowi tureckiemu, a mając jego plecy za sobą, najechał Pokucie i zagony swoje aż do Halicza rozesał.

— Boga-mi, zanadto tego! — zawołał hetman i z wielkiem pospiechem szkował chorągwie, pod które młódź ciągnęła ze wszystkich stron kraju.

Nagle przyszła mu myśl, z którą niezwłocznie do króla się udał.

— Miłościwy królu, panie nasz i ojcie, mam wielką prośbę! — rzekł, obejmując monarchę za kolana.

— Mówcie, hetmanie — rzekł król łaskawie.

— Pozwól najjaśniejszy panie Zygmunтови Augustowi, przysłemu królowi, pójść z nami na wojnę!

— Ba, czemu nie, toć to rycerskie a więc i królewskie rzemiosło — odrzekł król.

Lecz w tej chwili, jak gdyby sobie coś nagle przypomniał, zawołał:

— Toć to jeszcze dzieciuch!

— Dwanaście lat bez mała, a młodzi przecie szadzali — rzekł, nie ustępując hetman.

— Toć i miecza nie udźwignie... — bronił się król.

— Broń stosowną do swego wieku i wzrostu ima dzielnie, a też na duchu i rycerskim animuszu wcale mu nie zbywa; — mówił stanowczym głosem Tarnowski.

Król na tę pochwałę uśmiechnął się z zadowoleniem i szepnął do siebie:

— Moja krew, mój jedynak!

Hetman tymczasem ciągnął dalej:

— Do walki przecie nie stanie, a strzedz go będziemy jak własnej żrenicy.

— Tak to wygląda delikatnie, a i matka też nie rada się ze swym jedynakiem rozstawać — mówił król powoli, jakby walczył sam ze sobą, a myśl ciężka głowę jego trapiła.

— Właśnie też, że delikatnie wygląda i narowi krew rycerską w niewieściem wychowaniu, trzeba, żeby innego życia pokosztował — nastawał dalej Tarnowski.

Król mileczał, przebierając palcami po stole, a hetman skłoniwszy się do jego kolan, rzekł:

— Nie odmawiaj nam miłościwy królu, idzie tu o przyszłość waszego syna, o przyszłość całego narodu, który nań oczy ma wciąż zwrócone.

Zygmunt, stary, potarł ręką po czole, jak gdyby chciał zeń spędzić osiadłą na nim troskę, a potem rzekł:

— Wiecie, jabym pragnął...

I przerwał nagle.

— Królowę postaramy się przyjaźnie ku temu usposobić i pozwolenie wyjednać — ozwał się Tarnowski, wchodząc w ukrytą myśl zafrasowanego monarchy.

Zygmunt podniósł wzrok na mówiącego i spytał niedowierzająco:

— Zdołacie?

— Otrzymałszy pozwolenie waszej królewskiej mości, spróbuję.

— Ha, próbujcie! — rzekł król z uśmiechem.

I dodał dobroduszenie:

— Radbym, żeby mój chłopak przewietrzył się trochę. Hetman skłonił się znów do kolan królowi. W tym ukłonie jednak nie było przesadnej uniżoności dygnitarza, chcącego sobie zjednać łaskę monarchy, lecz serdeczne, pocziwe synowskie uczucie, które rzeczywiście dla zniechęconego nieco króla, gorzało w piersi hetmana.

Po wyjściu z królewskiej komnaty, spotkał się Tarnowski z Kmitą. Na widok stronnika królowej, nagle jakaś myśl błysnęła na twarzy hetmana. Nie lubili się oni wzajem, chociaż byli spokrewnieni, na ten raz jednak hetman nie zбочzył z drogi na widok Kmity, lecz uśmiechnął się do niego przyjaźnie.

Kmita spostrzegł ten uśmiech i z całą dworską grzecznością stanął w pełnej uszanowania postawie i oczekiwał, aż przyjdzie starszy od niego laty i godnością hetman.

Ten zaś bez wszelkiego wstępu rzekł:

— Jest sprawa, o której z waszmością chcę pomówić.

— Do usług! — skłonił się Kmita.

I począł przyciszoną rozmowę, idąc wzdłuż korytarza, wiodącego do komnat królowej.

Tarnowski mówił, Kmita słuchał uważnie, czasem rzucił jakieś słowo, w miarę zaś rozmowy, twarz jego z natury piękna, przybierała czasem wyraz chytry a oczy starały się przeniknąć do głębi myśli hetmana.

Rozeszli się w najlepszej, pocziwej zgodzie, zachowując układność i grzeczność dworską, jak przystało na ludzi zajmujących wysokie stanowisko tak na dworze, jako i w całym kraju.

Co zaś Kmita mówił z królową, pozostało tajemnicą. Dość, że gdy nazajutrz przedstawiono jej, aby pozwoliła synowi wyjechać z obozem na potrzebę wołoską, chętnie się zgodziła.

Królewicz nie posiadał się z radości. Oddalenie od dworu, życie inne, jakie wiodł dotąd pociągało umysł młodzińca, chciwego coraz to nowych wrażeń i budzącego się do życia, które powinno być jego udziałem.

— Może gdzie po drodze Niedźwiedzia spotkamy? — mówił do ochmistrza.

— Może — odrzekł tenże z uśmiechem.

Jakież rzeczywiście było jego zdziwienie i radość, gdy zaraz na pierwszym noclegu, Kazik przystąpił powitać swego pana.

Rok przeszło zrobił ogromną w nim zmianę. Wyrósł, zmężniał, szerokie barki oznaczały siłę i zdawały się mówić:

— Biada temu, kto wejdzie mi w drogę!

Ubrany był jak żołnierz w obcisły skórzany kaftan, u pasa wisiał miecz nie dla kształtu, a twarz, na której runiały ciemne wąsy, oznaczała męstwo i odwagę.

— Niedźwiedź, kochany mój Niedźwiedź! — zawołał z nadzwyczajną radością Zygmunt.

I zapomniawszy o wszelkiej dworskiej etykiecie, rzucił mu się z radością na szyję.

— Co się z tobą działo? zdrow jesteś? czemuś do mnie nie wrócił! — pytał jednym tchem królewicz. — No mów! — nalegał.

— Poszedłem do chorągwi, ażeby czekać jego królewskiej mości — odrzekł wymijająco, rozradowany serdecznym przyjęciem Kazik.

— Oho, teraz się już nie rozłączymy! patrz, i ja jestem prawie tak samo jak ty ubrany, i ja jestem żołnierzem! — mówił żywo Zygmunt.

— Ale ja mam i broję, tylko teraz, podczas podróży nie trzeba jej nosić; włożę, gdy spotkamy nieprzyjaciela. A ty, czy masz broję? jeżeli nie, każę, żeby ci dali! — ciągnął dalej.

— Dziękuję waszej królewskiej mości, mam pół zbroiczkę — rzekł z pewną chlubą Kazik. — Ale również nie noszę jej w podróży, zaś potem, gdy będzie trzeba, przywdzieję! — dodał, zarumieniwszy się na myśl, że stanie wkrótce do walki.

— Ale jakies ty wypiękniał, jakie masz ładne wąsy — mówił królewicz, skubiąc maleńkie wąsiki swego ulubieńca. — I ja jak urosnę, będę miał wąsy! Zobaczysz, może mi już rosnąć! — dodał wydymając wargi.

Kazik przypatrywał się, lecz nie mógł ich dostrzedz. Dla pocieszenia jednak bardzo jeszcze dzieciennego młodego króla, odrzekł z uśmiechem:

— Jeno co ich nie widać, wkrótce urosną!

— Skąd wiesz?

— Bo, bo, i jego królewska mość urósł przez ten rok znacznie! — odrzekł zakłopotany nieco pytaniem Kazik.

(d. n.)



Vasco de Gama.

Dnia 20 maja minęło lat czterysta, jak dokonaniem zostało przez marynarza portugalskiego Vasco de Gama, jedno z najwybitniejszych odkryć geograficznych, mianowicie — odkrycie drogi do Indyi Wschodnich morzem naokoło lądu afrykańskiego.

Już w r. 1487 Bartolomeo Diaz, również Portugalczyk dosięgnął południowego krańca Afryki i nazwał go przyładkiem Burzliwym (Tormentoso). Później z uwagi na nadzieje jakie w odkryciu tem pokładano, zmieniono tę nazwę na Przyładek dobrej Nadziei.

Chociaż obok wielkich braków w ówczesnych mapach morskich, zdawano sobie już sprawę z istnienia drogi morskiej do Indyi wschodnich, mimo to upłynęło jeszcze lat siedm od powrotu Diaza, zanim podjęto wyprawę dla zbadania tej drogi.

Po czteroletnich przygotowaniach, wypłynęły z Lizbony d. 8 lipca 1497 r. cztery okręty, wyekwipowane staraniem króla Emanuela Wielkiego.

Admirałem tej maleńkiej eskadry mianowany został Vasco de Gama, urodzony w r. 1469 w Sinez, a więc liczący wówczas zaledwie lat 28 wieku.

Dnia 25 lipca dosięgła eskadra wysp Zielonego przyładka, w październiku zbliżyła się do brzegów brazylijskich. W listopadzie już ujrzano przyładek Dobrej Nadziei.

Okrażono go i puściwszy się w drogę ku północy, po uciążliwej żegludze wśród prądów kanału Mozambickiego, d. 23 stycznia dopłynęto do ujścia Zambezi. W porcie Mozambickim powitana wrogo, w Melindzie przyjaźnie, znalazła wyprawa w tej ostatniej miejscowości sternika arabskiego, który podjął się wskazać drogę do Indyi.

Dnia 24 kwietnia wypłynęła wyprawa znów na morze, a dnia 23 czy 24 maja 1418 r. okręty zawinęły do Calicutu na wschodnim wybrzeżu półwyspu Indyjskiego. Tu usłyszeli marynarze portugalscy w znanym jeszcze z ojczyzny języku arabskim powitanie: „Witajcie wszyscy! Chwalcie Boga, Który was do najbogatszego kraju na ziemi doprowadził”.

Swoją drogą, Arabom wielce się nie podobało ukazanie się Portugalczyków w tych krajach, których handel z Europą spoczywał dotąd w ich rękach. Zaczęli więc stawiać rozmaite przeszkody, które Vasco de Gama nawet siłą oręża musiał usuwać.

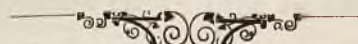
Ostatecznie zamiarkowawszy, że posiada zbyt mało sił, gdyż ze 148 ludzi początkowej załogi wielu w drodze ubyło, postanowił ruszyć z powrotem.

Tu zaznaczyć należy wielce charakterystyczną okoliczność. Oto w drodze powrotnej z Indyi służył za sternika wyprawie, zabrany z Calicutu, żyd polski, rodem z Poznania, znający język włoski. — Niestety, historia nie przechowała nazwiska tego sternika.

Nareszcie d. 10 lipca 1499 r. pierwszy okręt wyprawy powrócił do Lizbony. Vasco de Gama, wstrzymany w drodze śmiercią brata, zawinął do tegoż portu d. 29 sierpnia.

Tytuł szlachecki, dostojęństwo admirałskie i pensya dożywotnia stanowiły nagrodę za jego trudy.

Droga morska do Indyi była odkrytą. Należało z niej skorzystać. Wkrótce Portugalczycy dokonali i tego zadania.



PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

TREŚĆ: Maryusz na ruinach Kartaginy (z ryc.) — Do dziewczki naszej, wiersz przez Lucyana Uziębło. — Dzielný chłopiec przez Zofię Kowerską. — W otchłaniach morskich przez dr. M. Stefanowską (z ryc.) — Niedźwiedź, powieść z XVI w. przez Zuzannę Morawską. — Vasco de Gama. — Dodatek: Przygoda żabki, wiersz przez M. B. — U cioci Polci (z ryc.) — Królowa poziomek i paproci, bajka czarodziejska przez Wacława Sulimę. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

WIECZORY RODZINNE



Przygoda żabki.

Dwie zielone żabki młode,
Świeżo wyszłe na swobodę,
Raz zdybały się przy stawie,
W gęstej trawie.

I wnet jedna drugiej skrzeczy
Różne rzeczy.

— Wiesz! odkryłam dzisiaj rano
Dróżkę, piaskiem wysypaną.
Pysnie się do skoków nada,
Więc w podrygach zdążam rada.
Wtem spostrzegam w swej podróży,
Idzie człowiek, lecz nie duży,

Nie ten, który łowi ryby,
O połowę mniejszy pewnie.
Stopki żółte ma jak grzyby,
Strój okrywa go powiewnie.
A nad główką niby kłosa,
Chwieją mu się jasne włosy.

Myślę zaraz, czy to aby
Nie jest ludzkie dziecko sobie,
Jak ja jestem dzieckiem żaby,
Nim wyrosnę w letniej dobie.
I wnet bierze mnie ochota
Rówieśniczkę poznać ową;
Człowiek, mądra to istota,
Wskaże mi zabawę nową.

Więc gdy mija moją dróżkę,
Ja jej z rowku hyc! na nóżkę...

Byłaż tam zabawa właśnie!
Ta dziecina jak nie wrzaśnie:
Aj! aj! żaba! — jak nie skoczy,
Już nie widzą jej me oczy,
Bo tak prędko się schowała,
Jakby biedna żabka mała,
Gdy spostrzeże zadyszana
Cień potwora, cień bociana!
Ale bocian dziób ma ostry
I pożera nasze siostry;
Czemu jednak uciekało
Dziecko to przed żabką małą,
Nie rozumiem... Ludzie pono,
Nie tak mądrzy, jak mówiono!

M. B.



U cioci Polci.

(Dalszy ciąg).

— Jak będziemy na przyszły raz robić świnę, to spróbujemy zrobić dzika. — Może wam się lepiej spodoba rzekła ciocia.

— Jakaż jest różnica między świnią domową a dzikiem? — zapytał Kazio.

— Kto nam to powie? — spytała ciocia.

— Dzik jest zwawszy — rzekła Zosia.

— To prawda, ale jest jeszcze inna różnica.

— Dzik ma dwa kły — zawołał Henryś. — Ale jak je zrobić?

— To bardzo łatwe. Zobaczycie, jak będziemy wy-cinali słonia dla Zosi.

— Czy możemy zaraz zacząć?

— Nie, pierwszej zrobimy niedźwiedzia.

— Niedźwiedzia — krzyknęła Irenka. — Ja się boję niedźwiedzia!

— E, chyba cię nie zje — żartował Henryś.

Ale ciocia uspokoiła małą, że to przecie tylko niedźwiedź papierowy będzie, i kazała dzieciom odkroić papier na cztery i pół cala długi a pięć szeroki.

— Ależ to prawie kwadratowy kawałek — zdziwił się Henryś.

— Prawie — odrzekła ciocia. — Musicie uważnie rysować, gdyż niedźwiedź jest trudniejszy do wykonania niż to coście dotąd robili.

— Jakie on ma nogi, proszę cioci — spytał Kazio. — Nigdy nie widziałem żywego niedźwiedzia i na obrazku też nie często.

— Chodzi bardzo wolno — rzekł Henryś.

— A łapy ma płaskie i szerokie — objaśniała ciocia. To najważniejszy szczegół (fig. 10).

— Zapomnieliśmy o ogonie — zawołał Kazio.

— Nie zapomnieliśmy, tylko jest tak króciutki, że lepiej go wcale nie odznaczać.

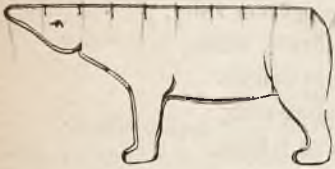


Fig. 10.

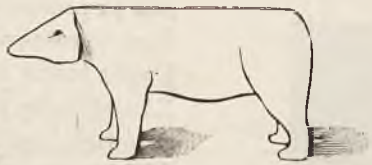


Fig. 11.

— I szyję ma bardzo krótką — rzekła Zosia. — Nie można jej zgiąć.

— Trzeba z nią tak zrobić, jak było u tej świnki (fig. 11).

— A teraz czy możemy zrobić słonia? — prosiła Zosia, gdy już niedźwiedź został skończony.

— Możecie. Weźcie papier ośm cali długi, a sześć szeroki.

Dzieci przykładały papiery, poznały i z pomocą cioci Polci wyrysowały tak wspaniałego słonia, że Zosia nie mogła się na niego dość napatrzeć.

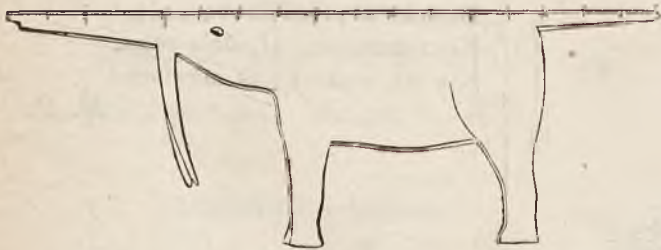


Fig. 12.

— Wytnij go ostrożnie, Zosiu, i nie zapomnij zrobić trąby cieńszej na końcu (fig. 12). Głowę trzeba przygiąć jak zwykle, ogon lekko spuścić a kły zagiąć mocno do góry z każdej strony trąby, to już wszystko (fig. 13).

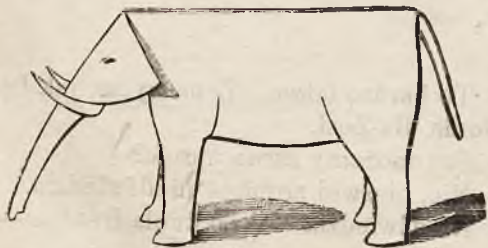


Fig. 13.

— Jeżeli chcecie, żeby miał dzikszą minę — rzekła Zosia — to trzeba mu ogon wyprostować, a trąbę wygiąć do góry.

Wszyscy zaczęli się śmiać z słonia Zosi, tak wyglądał dziko i energicznie.

— Pewnie się gotuje do walki — zawołali chłopcy.

— Trzeba go uspokoić — rzekła Zosia. — My nie chcemy tu żadnej bitwy.

Spuściła więc swemu słoniowi trąbę i ogon i wyglądał znów tak potulnie, że dzieci przeważły go „Jumbo.”

— No, moi państwo, do roboty — rzekła ciocia — gdyż inaczej nasz zoologiczny ogród, nigdy nie będzie skończony. Cóż teraz zrobimy?

— Chciałabym zrobić jakie zwierzę z długimi uszami — rzekła ciocia. Kto mi poradzi, jakie ma być?

— Czy długie uszy są trudne do zrobienia?

— Nie trudne, ale wymagają starania.

(d. c. n.)

KROLOWA POZIOMEK I PAPROCI.

BAJKA CZARODZIEJSKA

przez Wacława Sulimę.

(Dalszy ciąg)

— Leśna paprotka — pomyślała.

Wtem z zarośli wysunęła się mała i brzydka staruszka, ubrana w zielony śpiczasty czepiec i w suknię z pokrzywy.

— Ha, ha — zaśmiała się — dobrze się Halinka przyśłużyła Królowej Paproci. Dziękujemy ci. Na tę kotlinkę ja i moje dziewczynki miałyśmy zdawna ochotę. Ale sarenka broniła przystępu do królowej i beczeniem swoim zwotywała Poziomki-dziewczynki; ty się postarałaś o zielony sznurek, który ci mój przyjaciel jastrząb wykradł; złapałyśmy sarenkę w sidła, królowa nie przyjechała, Poziomki się rozbiegły. Niech teraz wrócą, znajdując ptaka w gnieździe. Hi, hi, hi, dziękujemy ci Halinko.

— Dziękujemy dziękujemy! — zapiszczały inne głosy i z zarośli wysunął się cały tłum podobnych staruszek. Halinka na wszystkie strony ujrzała się otoczoną; szeleściły czepce, suknie, staruszki otoczyły ją kołem i zaczęły tańczyć, przeplatając chichotem i żartami.

Niektóre spuszczały się na dół, a ocierając się o Halinkę, parzyły ją nieznośnie, inne tańczyły jeszcze, opasując dziewczynkę, coraz ciaśniejszym pierścieniem którą zimny pot oblewał.

— Chodź-no do nas na ucztę, na tańce — wołały.

Nagle dał się słyszeć tentent i turkot, małe jędze rozpięchły się i zbiegły do kotlinki, a Halinka zemdlona osunęła się na ziemię.

V.

Dębowy dziadek.

Wróćmy teraz do Jagusi, która została sama w lesie. Biegła ona ciągle przed siebie, zapuszczając się w coraz większą i coraz mniej znaną gęstwinę.

W końcu siły ją opuściły, upadła na pień i wybuchła płaczem. Szlochała głośno, wołając: Mamo! Janku! Elżbietko! Halinko!.. ale tylko echo powtarzało te imiona.

Wtem dał się słyszeć trzask gałęzi i jakiś głos zapytał:

— Czego płaczesz, dziewczeczko?

Przestraszona podniosła głowę i ujrzała siwego, brodatego dziadka, który oparty na sękatym kiju, przypatrywał jej się ciekawie.

— Płacę, bo zabłądziłam — odpowiedziała z płaczem Jagusia! Mój dobry panie, pokażcie mi drogę do Leśniczówki, bo ja tam mieszkam.

— Moja dobra panienko, mogę ci tylko pokazać drogę do mego mieszkania, bo żadnej innej nie znam.

— A cóż się ze mną stanie!

— Z pewnością nic złego, jeśli pójdziesz ze mną, jeśli zaś tutaj zostaniesz, to może być rozmaicie.

— A gdzie mieszkacie?

— Niedaleko stąd; jeśli chcesz iść to chodź, bo nie mam czasu.

Jagusia wstała i zaczęła iść za dziadkiem. Przetarłszy oczy z łez, przyjrzała mu się uważnie. Zdawał się być bardzo krzepki i żwawy, ubrany był w płachtę z dębowych liści i w czapkę z żołądźi; w ręku miał dębową, sękatą pałkę.

Szedł prędko, aż wreszcie doszedł do ogromnego dębu, uderzył weń pałką, dąb się otworzył i dziadek wprowadził dziewczynkę krętymi schodami do niewielkiej izby. Siedziała w niej stara i brzydka stara kobieta i dwie małe dziewczynki.

— Żono — rzekł dziadek, biorąc wylekłą Jagusię za rękę — spotkałem tę małą w lesie i przyprowadziłem ci ją.

— Bardzo potrzebnie — mruknęła babka — mam ja i tak o czem myśleć bez tej przybłądy; wypędź ją zaraz, nie chcę jej widzieć.

— Jak chcesz, ale może ją lepiej zostawić, czyż ci się nie przyda w domu?

— Pewnie nic robić nie potrafi, ale zostaw ją zresztą. Wieczera gotowa, siadaj.

Dziadek usiadł, a Jagusia bardzo przestraszona wtuliła się w kąt i nieśmiało rozglądać się zaczęła.

Izdebka była niewielka, ściany pokryte dębową korą, podłoga zasłana liśćmi.

Wszyscy zajadali z miseczek żołądźnych jakąś polewkę. Kiedy się wieczerza skończyła, dziewczynki zerwały się z miejsca i opadły Jagusię.

— Nazywamy się Kora i Szyszka, a ty jak się nazywasz? Skąd się tu wzięłaś, ale to dobrze, że jesteś, będziesz nam słała łożka i sprzątała.

— I będziesz nam ubranie czyściła, tylko pamiętaj, żebyś z płasną nie przyniosła. Musisz nas słuchać, bo inaczej będzie źle z tobą. To jest mnie musisz słuchać bo ja jestem starsza.

— Wcale nie ciebie, tylko mnie, ty wszystko chcesz na opak.

Jagusia oszołomiona tym potokiem słów, nic nie odpowiedziała, kiedy zawołał na nią dziadek.

— Słuchaj mała — rzekł — ja jestem dębowy dziadek, to moja żona i córki, damy ci przytułek pod warunkiem, że będziesz pilną i posłuszną. Musisz pomagać moim córkom w zajęciach domowych.

— Ależ ja nie chcę tutaj zostać — wykrzyknęła Jagusia — ja chcę wrócić do Leśniczówki.

— Chcesz? bardzo mnie to cieszy, no więc idź.

I otworzywszy drzwi, chciał wypchnąć na dwór dziewczynkę, która zawołała:

— Ja sama nie trafię, odprowadźcie mnie, mój ojciec wam zapłaci.

— Moja panienko, odprowadzaj się sama, ja się po lesie włóczyć nie myślę, żadnej Leśniczówki nie znam i zapowiadam ci, będziesz posłuszną i pracowitą, to zostaniesz, a nie, to cię wyprowadzę do lasu i niech się z tobą co chce dzieje.

Rada nie rada, Jagusia stłumiła płacz, bojąc się, żeby jej na noc nie wypędzono. Była ona bardzo tchórzliwą; Elżbietka i Halinka w jej wieku chodziły same po lesie, Jagusia zaś bała się odejść o dziesięć kroków od domu.

Zmęczona i głodna poszła spać.

— Może dębowy dziadek będzie którego dnia w dobremsposobieniu — pomyślała — i zechce mnie odprowadzić. Muszę się starać, aby byli ze mnie zadowoleni.

Nazajutrz zbudził ją hałas. Szyszka i Kora ciągnęły ją za sukienkę, piskliwie wołając:

— Czy ty nie wstaniesz dzisiaj, próżniaku? Myślisz, że cię będziemy darmo żywić, a ty będziesz wylegiwała do południa.

Jagusia zerwała się. Szyszka kazała jej sprzątać izby, Kora czyścić ubranie, Dębowa Babka wołała, aby przygotowała śniadanie.

Biedna Jagusia ledwie mogła wydażyć. Usiłowała wszystkim dogodzić, ale to nie było łatwo. Po śniadaniu dębowa babka kazała im myć naczynia, Szyszka biorąc się bardzo niechętnie, zbiła ładną miseczkę.

— Co się tu stało? — spytała Dębowa Babka, usłyszawszy trzask.

— Jagusia zbiła miseczkę — odparła nie zmieszana winowajczyni.

— Ty niedołego mała! — krzyknęła Dębowa Babka — i naczynia zmyć nie potrafisz. Jeśli jeszcze raz szkodę zrobisz, to nie dostaniesz obiadu.

— Czemu skłamałaś? — zapytała Jagusia Szyszki z gniewem, skoro zostały same.

— Bo wolę żeby się gniewano na ciebie, niż na mnie — odparła szczerze Szyszka.

Jagusia już otwierała usta, żeby wyrazić swoje oburzenie, kiedy Kora zawołała:

— Będziesz się z nami jeszcze kłóciła, cóż to, nie dosyć, że cię darmo żywimy, i że u nas mieszkasz. Pamiętaj o tem, że jesteś na naszej łasce.

Jagusia ugryzła się w język, czując, że trzeba ustąpić.

Przy obiedzie dostały się jej najgorsze kąski. Kora i Szyszka rade, że się mają kim wyręczyć, wyzyskiwały ją nielitościwie, spychając wszystko na nią, a w dodatku żadna nie podziękowała inaczej, jak przypomnieniem, że jest „na łasce”.

(d. c. n.)

SZARADA.

Pierwsze z drugim to owad, co wiosną i w lecie
Uprzykrza się natrętnie każdemu na świecie.
Trzecie jest to zebranie dobrze znane w dziejach,
Gdzie u Słowian radzono o kraju kolejach.
A *wszystko* dopływ Bugu, dosyć bystra rzeka,
Co w biegu swym gubernię Grodzieńską przecieka.

ARYTMOGRYF.

od Puszczyka z Pil. dla Kurki z Polesia.

- 1) 15, 5, 18, 15, 13. Wieś w powiecie Olkuskim.
- 2) 16, 15, 9, 17, 19. Grecki półwysep.
- 3) 7, 19, 9, 17, 13. Dopływ Bugu.
- 4) 15, 18, 17, 19, 7. Zbiór wód.
- 5) 18, 4, 8, 7, 14. Państwo w Azji.
- 6) 21, 8, 5, 15, 13. Miasto nad Dnieprem.
- 7) 22, 16, 8, 5, 19. Gad jadowity.
- 8) 15, 10, 15, 6, 17. Miasto nad Odrą.
- 9) 22, 17, 1, 9, 19. Gatunek koni w Afryce.
- 10) 13, 18, 19, 6, 17. Przysłówek.
- 11) 15, 18, 22, 21, 15. Znakomity lekarz z XVI wieku.
- 12) 15, 18, 22, 21, 15. Rzeka w Afryce.

Zastąpić liczbę literami, ażeby litery drugie każdego wyrazu złożyły imię i nazwisko dostojnika Kościoła.

LAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

p. Wacława J. L.

Zastąpić kropki literami i utworzyć wyrazy, którychby pierwsze litery pionowo i poziomo, złożyły nazwę jednej z największych pustyń na świecie. 2) Miasto w Grecyi. 3) Fabryka szkła 4) Rzeka w Szwajcaryi. 5) Włoska nazwa nuty. 6) Samogłoska.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 21.

Szarady: Ewa — Ave.

Lamigłówniki sylabowej:

- 1) Wanda. 2) Obelisk. 3) Illinois. 4) Nankin. 5) Abazya.
- 6) Hamak. 7) Ignacy. 8) Styry. 9) Zakopane. 10) Perm. 11) Ameryka. 12) Negro. 13) Skagerak.

Wojna hiszpańsko-amerykańska.

Lamigłówniki w kwadracie:

K a l i s z
B o r n e o
M a r t w e
H o r t e n
D o n i e c
K a u k a z

Skrzynka do listów.

Puszczyk z Pilawy nabrał już wprawy w układaniu łamigłówek, bo często nas niemi obdarza; ostatnią postaramy się wkrótce pomieścić. Rozwiązania dobre.

Serdeczne podziękowania zasyłają Powiślanec i Danusi biedne dzieci z ochronki św. Pawła, za pięć sukienek i pięć fartuszków, własnoręcznie uszytych; a są tam dzieci tak biedne, że nie mają się prawie czem odziać. Raz więc jeszcze w ich imieniu Bóg zapłać za pocziwe wasze serduszka.

Róży czerwonej żądania załatwione, marki były zbyt cenne. Wystawiam sobie jak wam teraz czas wolny od nauki miło upływa, najpiękniejsza to pora na wsi. Pseudonimy braciszka i siostreczki twojej **Zywe srebro** i **Bystre oko** dobre i oryginalne. Mam nadzieję, że wszystkie troje częściej do mnie pisywać będziecie. Radabym bardzo wiedzieć, co się dzieje w waszych ogródkach, co w nich sadzicie, czy same kwiatki czy też jarzyny i jakie? Proszę, donieście cokolwiek o własnem gospodarstwie. Sprawicie mi tem prawdziwą przyjemność, bo wieś bardzo lubię, a zajęcia wiejskie zajmują mnie bardzo.

Miłe to stworzenia kurki czubate, białe i pstrokate, lecz najmilsza z nich chyba to moja korespondentka **Kurka z Polesia**, która pisuje do mnie czasami takie pocieszne i ciekawe liściki. Nazwiska księżniczki Elżuni nie wiemy, wolno go się tylko domyślać, może kiedyś uda się jeszcze dostać jakąś kartkę z tegoż samego dzienniczka i pomieścić ją w Wieczorach. Konkurs na wypracowania przedłużony, a że redakcyja podała go dla starszych czytelników, może i ty zechcesz do niego należeć. Wszystkie lamigłówniki i zagadki pilnie bywają przeglądane i poprawiane, przyładkiem tylko wkłada się czasami omyłką w druk.

Nowej mojej przyjaciółce **Topolce** pospieszam donieść, że opis drzew, kwiatów i roślin znajdziesz w botanice, zoologia pouczy cię o ptakach i zwierzętach. Oba te działy przyrody znajdziesz w książce p. t. Początki historii naturalnej p. Józefa Restafińskiego, profesora Akademii. Cena rub. 1 kop. 20 w oprawie, bez przesyłki. Dziękuję ci za twój pierwszy miły liścik i spodziewam się, że na następne nie każesz mi długo czekać.

Nie zapomniałam o kochanych **Trzech Rakach z Siedlisk**, przeciwnie, was to o zapomnienie posądzałam. Całem sercem współczuję z wami w stracie, jakąście poniosły przez śmierć waszej cioci, żalowałam też biednego chorego Raczka, dzięki Bogu, że zdrowie już powróciło. Kiedy wybieracie się do morza i gdzie? Nie wątpię, że napiszecie do mnie przed wyjazdem, a później podzielicie się wrażeniem, jakie na was wywarła tak wielka przestrzeń wodna, której zdaje się niema końca, bo zlewa się w jedną całość ze sklepieniem niebieskiem. Poleca się waszej pamięci przyjacielna wam zawsze

Jaskółka.

Sprostowanie: W numerze 20, w lamigłównice w trójkącie, określenie wyrazu dziewiątego mylnie wydrukowano: bożek czeski, powinno być — grecki.

NA KOLONIE LETNIE ZŁOŻYLI:

Janek Olszak rub. 1. St. W. rub. 3. Stokrotka z Jabłonny rub. 1. Jaskółka z Mszanki rub. 1. Stokrotka Martwiej: z ciocią rub. 1. Pliszka Biała i Goryczka rub. 2. Laszka rub. 5. Mela Wazgird. rub. 1.

Dla najbiedniejszych dzieci: Helenka Szuld. rub. 3.
Ną nędzę wyjątkową A. B. rub. 4.



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

Do baśni „Dla matki.“



... No prędzej, zaczerpnij wody! — rzekła wróżka.

DLA MATKI

DAWNA BAŚŃ CZESKA.

Była raz sobie uboga rodzina: stara matka z dwojgiem dzieci, córeczką Marysią i synkiem Jankiem. Ojca już nie miały biedne dzieci, śmierć go zabrała, a ludzie pochowali w ziemi. Nic im po nim nie zostało, tylko drewniana, pochylona chatka.

Chatka stała na skraju wielkiego lasu jak noc czarnego. Drzewa w tym lesie miały setki lat, a były tak wysokie, że wierzchołkami sięgały, zda się, obłoków. Cały dzień las szumiał aż ludzi strach przejmował, patrzyli na niego z daleka, lecz wejść nikt się tam nie odważał. Dziwne rzeczy opowiadali o tym lesie. W najgłębszej kotlinie znajdowało się tam leśne źródło, ale nawet w najjaśniejszy dzień słońce nie przeglądało się w jego kryształowych wodach, bo złota paproć zasłaniała je zupełnie, a woda ta miała moc cudowną, wracała podobno ludziom utracone zdrowie. Mało jednak komu udało się jej zaczerpnąć.

Dzieci słuchały z zajęciem opowiadań matki o tym lesie bezgranicznie wielkim i o cudownym źródle. W zimie, gdy na dworze wiał zimny wiatr północny, zasypując drogi śniegiem, gdy mróz na oknach porysował kwiaty, słuchało się im najlepiej, siedząc przy płonącym łuczywie. Las szumiał groźnie, a matka nieraz dzieciom mówiła, by o takiej porze nigdy do lasu nie wchodzili: „złe duchy tam czatują, aby człowiekowi krzywdę wyrządzić. Nawet rusałce, która strzeże cudownego źródła, wierzyć nie można. Wielu już źródło pięknością swą zwabiło do lasu, gdzie wszakże wilkołaki ich rozszarpały”. Jaś i Marysia z westchnieniem słuchali tych opowiadań.

W chacie często bywała bieda. Ostatniego roku był nieurodzaj, i dzieci nieraz głód cierpiały. W ślad za głodem przyszła choroba, zaniemogła ciężko sierotom matka. Żal dzieciom było matki, lecz pomódz jej nie umiały, po kątach tylko płakały, aby ich nie słyszała. Miłosierni ludzie przynosili im chleba i strawy. Przychodziła też stara Meta, która chciała matkę leczyć, bo znała się na różnych ziołach.

Razu jednego, odchodząc do domu, odwołała dzieci na bok, mówiąc:

— Biedne dzieci! już moje leki nie waszej matce nie pomogą, tylko woda z cudownego źródła może ją uzdrowić.

Gdy odeszła, dzieci stały chwilę przerażone, potem usiadły na progu i płacząc poczęły się naradzać, jakby to dostać tej cudownej wody.

— Słuchaj Maryś, jutro, gdy matka uśnie, pójdę do lasu, prosić będę dobrej wróżki, żeby mi wody ze źródła dała.

— Janku, co ty mówisz! chcesz, aby cię rusałka do głębi lasu zawiodła, żebyś nie wrócił więcej. Nie puszczać cię, nie!

— Nie bój się, będziemy prosić Boga, żeby mnie strzegł i wrócić szczęśliwie, pocieszał Janek przestraszoną siostrę, aż ta wreszcie pozwoliła mu iść do lasu. Matka w nocy cierpiała bardzo, lecz ze wschodem słońca usnęła.

Jaś wyszedł z izby, za nim wybiegła Marysia, przyniosła mu dzbanek i dała kawałek czarnego chleba. Chłopak pożegnał siostrę i poszedł.

Długo chodził po lesie, wołał na wróżkę najśladźszymi słowami, nikt się nie odezwał. Widział wiele źródeł i strumieni, ale nad żadnym nie sianiała się złota paproć, nigdzie wody cudownej nie było. Im głębiej wchodził w las, tem większe otaczały go ciemności. Zjadł już wszystek chleb, był głodny, lękał się żeby go noc nie zaskoczyła w tej groźnej pustyni. Chciał już nawet powracać z sercem pełnym żalu, że drogą matce nie pomoże, ale im szybciej szedł, tem bardziej tracił nadzieję wybrnięcia z lasu. Już zaledwie drzewa dostrzegał

przed sobą, taki mrok go otaczał. Przejął go niepokój i strach, w gardle mu zaschło, ledwo mógł oddychać, łzy mu napływały do oczu, nogi się trzęsły, upadł wreszcie, łkając.

— Boże, mój Boże, dopomóż mi, wyprowadź mnie z tego straszego lasu, toż matuchna i Maryś umarłyby z żalu, gdybym tu zginął!

Lecz echo tylko odpowiadało na te słowa, w końcu z płaczu i zmęczenia chłopiec usnął. Spał długo, aż uczuł lekkie muśnięcie po twarzy, otworzył oczy i spojrzal w około, przed nim stała rusałka. Unosiła się nad mchem, w rękę trzymała złotą różczkę, którą dotknęła Jasia. Miała szatę lekką jak mgła, a patrzyła na chłopca z uśmiechem. Biedak zląkł się z razu, oczom wierzyć nie chciał, lecz gdy przetarł powieki i przekonał się o rzeczywistości widzenia, nabral otuchy.

Kiedy się tak mile uśmiecha, krzywdy mi nie zrobi — pomyślał.

— Czego żadasz odemnie? zapytała strażniczka źródła leśnego.

— Ach! wróżka dobra, jestem z chaty pod lasem, matka moja chora, i nic jej nie pomoże tylko cudowna woda, co wytryska ze źródła pod złotą paprocią. Ty wiesz, dobra pani, gdzie jest to źródło ukryte, pokaż mi i pozwól nabrać wody dla matki.

— Sam nigdybyś nie znalazł drogi, ale kiedy tak bardzo matkę kochasz, chodź, to ci pokażę źródło i wody zaczerpnąć pozwolę.

Janek poszedł za rusałką; ta niedługo stanęła pod wielkim dębem, różczką ziemi dotknęła i zaraz ukazało się źródło wśród złotych paproci. Świeciło jaśniej, niż słońce i Janek stanął olśniony.

— No prędzej zaczerpnij wody, dziecko! — wołała rusałka — śpiesz się nim północ nastanie.

Janek spostrzega dopiero, że nie ma dzbanuszka, musiał go zostawić na mchu, tam gdzie spał.

— Straciłem naczynie, nie mam w co wody zaczerpnąć — biadał.

— Podnieś muszlę, która leży na piasku przy źródle, i nabierz w nią wody; kilka kropel starczy dla uzdrowienia matki.

Chłopiec usłuchał, odgarnął paprocie i nabrał w muszlę wody. Była czysta jak kryształ, a lśniła jak srebro. Gdy wstał, wróżka dotknęła różczką ziemi i źródło zniknęło, potem skinęła na Janka, aby szedł za nią. Wzniosła się, i mknąc naprzód oświecała drogę swoją szatą. Tu Janek wspominał opowiadanie matki i groza go przejęła.

— Teraz zaprowadzi mnie do lasu i odda na pastwę wilkołakom.

I dreszcz go przejął. Chciał krzyknąć na wróżkę, ale zanim się ośmielił, był już na skraju lasu i ujrzał zdaleka światło: to ogień w ich chatce. Chciał wróżce podziękować, ale jej już nie było, został sam. Wszystko wydało mu się snem, tylko muszla którą trzymał w rękę świadczyła o rzeczywistości jego przygody. Szybko biegł ku chatce, kierując się światłem z okienka.

Za chwilę był już Janek w domu, zlekka zastukał, żeby nie obudzić śpiącej matki. Marysia oczekiwała go z niepokojem i natychmiast drzwi otworzyła.

Trudno opisać uszczęśliwienie dzieci, gdy podały matce cudowną wodę, a ona wstała zaraz zupełnie zdrowa. Jaś i Marysia płakali z radości, na klęczkach dziękując Bogu. Jakże się zdziwili, gdy spojrzawszy na stół ujrzeni muszlę, którą Janek przyniósł. Była ze szczerego złota, a ziarenka piasku zmieniły się w perły.

Odtąd nędza opuściła ich chatę, odeszła do lasu, gdzie może ją wilkołak udusił, bo już więcej do nich nie wróciła.

Tak to Pan Bóg nagradza miłość i poświęcenie dzieci dla rodziców. A jeśli nie dzieje się to za pośrednictwem wróżek, jak głosi stara baśń ludowa, ma On niezliczone sposoby okazywania Swej łaski.

W OTCHŁANIACH MORSKICH.

PRZEZ

Dr. M. Stefanowską.

(Dalszy ciąg).

Dodajmy jeszcze, że ryby i raki głębinowe często posiadają udzielne przyrządy, z których, jak z małych latarni, bije światło. Tak na przykład z głębokości 500 metrów nader często wydobywają pięknego różowego raka (podobnego do raka wyobrażonego na fig. 162, Nr. 1) Z wielkimi oczami. Ciekawe to stworzenie posiada na głowie i na nogach liczne przyrządy, z których bije silne światło i oświeca raka dookoła. Podobne przyrządy świecące posiadają również liczne inne raki głębinowe; u niektórych gatunków przyrządy świecące mają nader skomplikowaną budowę i podobne są do oczu. Bywają one umieszczone często obok rzeczywistych oczu, a prócz tego bywają osadzone na grzbiecie, brzuchu i nogach. Nie jest to jeszcze dokładnie wyjaśnionem, czy te przyrządy uważać należy za oczy dodatkowe, czy też jedynie za organy świecące, w których soczewka zbiera światło, tak jak w latarni czarnoksiężkiej. Bądź co bądź, przyrodnicy często widzieli już, że z owych zagadkowych punkcików tryskało rześiste światło.

Ale zdarza się, że i z prawdziwych oczu także promienie światła. Utrzymują, że oczy wielu ryb głębinowych świecą w ciemności; wyjaśnienie tego zjawiska wymaga jeszcze głębszych badań. Natomiast nie ulega wątpliwości, że oczy niektórych raków głębinowych istotnie świecą jak ogniki; zauważono to także u raków pelagicznych (*Mysis*); jednakże dostrzeżono zarazem, że w tych wypadkach, same oko jest ciemne, świeci się zaś tylko jego oprawa, tym sposobem oko ma tuż koło siebie źródło światła!

Wspominaliśmy już w poprzednim rozdziale, że wiele ryb głębinowych, a także niektóre ryby pelagiczne mają wzdłuż ciała dwa szeregi świecących narządów, które być może spełniają zarazem czynność oczu. Inne ryby mają takie udoskonalone narzędzia jedynie na głowie, jak np. *Melacosteus niger* (fig. 162 Nr. 2) posiada takowych parę na każdym policzku. Nakoniec zaznaczyć należy, że u niektórych ryb świeci w ciemności kleista ciecz, wypływająca ze skóry.

Dochodzimy przeto do wniosku, że chociaż żaden promyk słońca nie może przedrzeć się do głębin morskich, prawdopodobnym jest jednak, że one nie są pogrążone w czarnej nocy; wydaje się możliwem, że w otchłaniach rozlane jest słabe chociażby pół światło, pochodzące z ciał niezliczonych stworzeń świecących. Światło to możemy nazwać *światłem żywym* albo *biologicznem*.

Pozostaje nam teraz jeszcze do rozpatrzenia, jakie barwy posiadają zwierzęta żyjące w głębiach morskich. Zauważono, że zwierzęta jaskiniowe oraz zwierzęta żyjące w głębi ziemi, stają się bezbarwnymi w porównaniu z temiż gatunkami, ale żyjącymi na świetle; przypominamy sobie także, że u wielu zwierząt pelagicznych, spodnia strona ciała, jest mniej zabarwioną od górnej, która wystawioną jest na promienie słońca. Z powyższych faktów wywnioskowano, że barwy u zwierząt nie mogą powstawać bez światła. Atoli jest to wniosek mylny, należy go sprostować i powiedzieć raczej, że *niektóre barwniki* powstawać mogą jedynie pod wpływem światła. Nie znaczy to jednak, aby wszystkie zwierzęta żyjące w ciemności miały być bezbarwne. Wiemy, że w otchłaniach morskich istnieją rzeczywiście niektóre zwierzęta bezbarwne, białe. Ale obok nich żyje mnóstwo zwierząt, które pod względem piękności barw nie ustępują zwierzętom żyjącym u wybrzeży. I tak większość polipów głębinowych posiada barwy fioletową, żółtą i zieloną; lilie morskie są żółte, zielone i czerwone; gwiazdy morskie szkarłatne i pomarańczowe, a gwiazda *Hymenoster* (fig. 163

Nr. 10) ma prześliczną barwę różową, zmieszaną z fioletową; strzykwy bywają różowe, jeżowce purpurowe i fiołkowe; nakoniec raki głębinowe bywają najczęściej karminowej barwy.

Gdy uprzytomnimy teraz sobie wszystko co wiemy o faunie głębinowej, to wysnujemy następujące wnioski.

Po pierwsze, większość zwierząt głębinowych odznacza się charakterystycznym wyglądem, który wyróżnia je od innych zwierząt wodnych, czyli innymi słowy, życie w głębinach morskich wpłynęło na zmianę kształtów zwierząt i nadało im cechy właściwe. Jednakże pomimo licznych zmian, o których już mówiliśmy wyżej, zwierzęta głębinowe posiadają wiele podobieństwa z fauną pobrzeżną. Nie znaleziono w otchłaniach ani jednego zwierzęcia, o któremby nie wiadano, do jakiego typu zaliczyć go należy. W faunie głębinowej nie znaleziono żadnych nowych działów zwierzęcych, żadnej nowej gromady ani nowego rzędu; nawet rodziny są też same co u wybrzeży. W otchłaniach znaleziono jedynie *nowe rodzaje* zwierząt, lecz zaliczające się do znanych już dawniej gatunków.

Powtóre, w faunie głębinowej uderzający jest ten fakt, iż brak w niej licznych gromad zwierzęcych, znanych u wybrzeży. Mało jest w niej korzenionówek; obfite są jedynie gąbczaki szkliste, innych gąbczaków niema zupełnie; stulbie i meduzy są nader rzadkie w otchłaniach, liczne są tylko tołpie; dalej brak w tej faunie wielu rodzin gwiazd morskich i jeżowców; niema strzykw promienistych, zamiast nich są strzykwy *bocznie umiarowe*. Między skorupiakami zupełny prawie brak niższych gromad; między robakami i mięczakami brak również wielu grup, a ryby chociaż są obfite, ale wszystkie prawie należą do kostnoszkieletowych, z których w dodatku jedynie nieliczne rodziny mają tam swych przedstawicieli.

Ogólnikowo tedy powiedzieć możemy, że otchłanie morskie obfitują w osobniki i gatunki zwierzęce, ale owe gatunki należą do nielicznych rodzin; prócz tego niema żadnego związku między istniejącymi tam rodzinami; są one jakby oddzielnymi kartkami, wyrwanymi z jakiejś księgi.

Nasuwa się teraz pytanie, skąd się wzięły zwierzęta w otchłaniach morskich? Jakie jest pochodzenie tej fauny? Rozwiązanie tego pytania stanowić będzie treść następnego rozdziału, który podamy później.



Zofia Kowerska

DZIELNY CHŁOPIEC.

(Dalszy ciąg).

Gdy mu Wojciechowa otworzyła i spojrzała na niego, pies miał w oczach wyraz rozpacz i prośby. Chciał skomleciem powiedzieć to, co się stało w pokoju na strychu, ale, że Wojciechowa nie rozumiała, więc ją zębami ujął za spódnicę i ku drzwiom ciągnąć począł.

— O, a temu co znowu do łba przystąpiło? Wściekł się czy co? A czegoż ty chcesz odemnie?

Pies ciągle kobietę za spódnicę ciągnął i tak na nią pa-trzał pokornie i błagalnie, że wreszcie zawołała:

— A gdzie ty mię prowadzisz?

Lecz szła za Bosym, więc pies tak się uradował, że począł machać ogonem i ciągnąć Wojciechową do sieni i na schody.

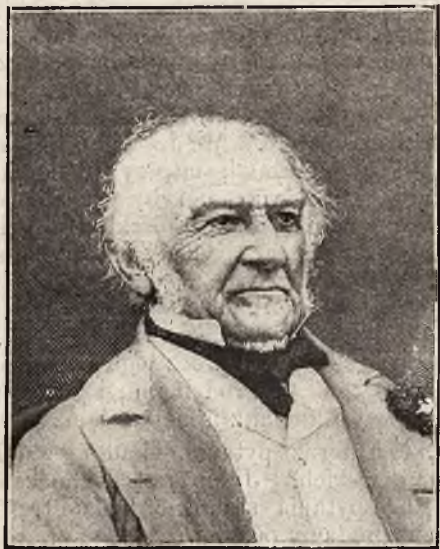
— A czekajże ty, czekaj — mówiła kobieta. — Cóż ty nie rozumiesz, że muszę przecie drzwi na klucz zamknąć, boby mi tu kto wszystko z kuchni powynosił!

Zamknęła drzwi i poszła za psem, dającym ciągle znaki najwyższego niepokoju.

Drzwi od stancyjki na strychu stały otworem, gdyż Bosa umiał je otwierać, lecz zamknąć nie mógł i Wojciechowa od razu spostrzegła panią Warbicką, leżącą na ziemi i zanoszącą się od kaszlu i Józika nawpół zemdłego na sofce. Teraz zrozumiała po co ją tu pies przyprowadził. Tu trzeba było ratunku! Pocziwa kobieta podniosła staruszkę, odprowadziła do łóżka, położyła, otuliła kołdrą, dała jej się napić kilka kropel wina, jakie w butelce znalazła, potem poszła do Józika, który właśnie z zemdlenia do siebie przyszedłszy, otworzył oczy.

— Jezus, Maryja! — mówiła kobieta — cóż się tu stało? Co tobie jest chłopcze?

— Nic, proszę pani — odparł Józik słabym głosem — nic mi nie jest, tylko mi się jakoś ciemno przed oczami zrobiło i tyle. Ja zaraz wstanę... Czy pani co od nas potrzebuje?



William Gladstone.

— To wy potrzebujecie odemnie! — zawołała Wojciechowa. — Co wam się stało, zaszadzieliście czy co?

— Nie, proszę pani, tylko, tylko... sam nie wiem co mi się stało... już nie pamiętam...

Nagle biedny chłopiec przypomniał sobie, że w kieszeni nie było rubla, którego w nią włożył.

— A! — zawołał — rubla zgubiłem, a miałem za niego kupić tyle rzeczy!

— Rubla zgubiłeś? Jakże to było?

Józik opowiedział wszystko, a pani Warbicka i Wojciechowa słuchały.

— A nic nie mówisz — ozwała się chora złamanym głosem — że już grosza w domu niema!

— I cóż pomoże choć powiem? — zapytał Józik. — Pani taka chora... przecie nie mogłem wciąż pani martwić...

— E, czekajno — rzekła Wojciechowa — tyś za mały i za słaby na taką wielką i uciążliwą biedę! Ty jej nie zmóżesz, tobie trza pomocy. Zebyś tak czasem dobrych ludzi na na ulicy poprosił...

— Miałbym żebrać? — zawołał Józik rozpaczliwym głosem. — Ja miałbym żebrać?

Po tym wykrzykniku spuścił nagle głowę na piersi i rzekł cicho, podczas gdy tłumione łzy puściły mu się po twarzy:

— Ha, dla mojej pani nawet żebrać jestem gotów.

Coś Wojciechowę zaszczypało pod powiekami. Poniosła fartuszek do oczu, a pani Warbicka zawołała ile miała sił.

— Żebrać dla mnie? Cóż to, już śmierci dla starych i chorych niema, żeby aż żebrać potrzebowali i dzieci na włóczęgę wysyłali? Przecie Pan Bóg śmierć ludziom daje!

— Ale daje też i ludzi, co mają serca a nie kamienie w piersiach — rzekła Wojciechowa, trac fartuchem, na którym były ślady od niezbyt czystych łupin kartoflanych swe czerwone od łez oczy. — No, czego tu najpilniej potrzeba? Jak pani wyzdrowieje, to mi pani odda wszystko co do grosza.

Pani Warbicka uśmiechnęła się smutnie.

— Oj, nie oddam ja już nic nikomu, prócz duszy Panu Bogu — rzekła żałośnie.

Józik zaś wyprostował się dumnie, jakby był jakim królem i zawołał:

— Ja oddam co do groszika! Niech tylko będę starszy i silniejszy, żebym mógł pracować!

A Wojciechowa rozbeczała się na dobre.

— O, o — rzekła, pragnąc ukryć swoje rozrzewnienie — co się to takiemu malcowi po głowie roi? Wyprostował ci się tu przedemną, jak żołnierz przed generałem i udaje dumnego! Chodź, robaku ty jakiś, może tam jaki grosz dla ciebie ze starej pończochy wyduszę!

— Ale niech sobie to pani zapisze — rzekł Józik — i ja też zapiszę sobie w książeczkę, co pani zostanie winien. I oddam, jakem katolik, chyba, że żyw nie będę!

Wojciechowa ruszyła ramionami.

— Młode to, to i niemądre — rzekła do pani Warbickiej. Potem zwróciła się do Józika:

— No, chodź, bo ja nie mam czasu na dyrdymałki!

Józik poszedł za nią do kuchni, gdzie otworzyła skrzynkę, ze skrzynki wydobyła pudełko łubiane, z pudełka puszkę blaszaną, z puski pudełko papierowe na którym było napisane *soda*, z tego pudełka dobiła dziurawą i wycerowaną pończochę, z której wytrząsnęła kilka papierków i trochę pieniędzy srebrnych.

— No — rzekła wspaniałomyślnie — zginął ci rubel, to ci się i znalazł! Masz rubla, ty pędraku, co ci się to zdaje, żeś już wyszedł na ludzi!

Józik wziął spracowaną, spierzchłą i jakby na czarno nasiekaną rękę Wojciechowej, pocałował ją i powiedział:

— Nie wyszedłem jeszcze — nie — na człowieka, ale wyjdę! Dziękuję pani!

Wojciechowa spojrzała w jego pocziwe, niebieskie oczy patrzące na nią śmiało i wdzięcznie. Dobrą kobiecinę znowu lzy zmoczyły, bo łatwo się rozczułała. Zawołała więc głośno Józika po głowie.

— Będą z ciebie ludzie, będą! I to pocziwi ludzie!

Od tej pory Wojciechowa codziennie po kilka razy zabiegała na górę do pani Warbickiej. Pocziwa kobiecina okrutnie dużo mówić lubiła, tak, że się jej usta nie zamykały, chora znowu nudziła się; przykrzyło jej się leżeć w łóżku i dzień wydawał jej się długi jak rok. Więc sobie rozmawiała, jakby się znały od dzieciństwa. Pani Warbicka opowiadała o Wólce Kościelnej, o tem, jak to tam było dobrze i wygodnie, o Marcinie Kilowskim, o Józiku. A jak zaczęła mówić o Józiku, to się nie mogła chłopca nachwalić, ręce składała, błogosławiła go, a modliła się głośno za niego. Wojciechowa znowu opowiadała o różnych paniach, u których za kucharkę służyła, o różnych panach, a najwięcej o nieboszczyku swoim Wojciechu, przyczem nieboga zawsze się serdecznie spłakała, aż jej się na sercu lżej robiło, a zawsze tak kończyła:

— Już ja powiadam, że nie daj Boże być wdową! Wdowa a sierota to wszystko jedno! I żeby mi się była choć moja Brońcia chowała! Ale ją Pan Bóg zabrał do swojej chwały!

A pani Warbicka, która zawsze do swojego wracała, mówiła zwykłe:

— Mnie Pan Bóg dzieci nie dał, ale za to na stare lata dał takie, co by mi go każdy pozazdrościł, żeby wiedział jakie to jest.

Józik potrochu od Piotrowej odbierał to po rublu, to pół rubla, to parę złotych. Zawsze się kobieta gniewała, krzyczała, ale Józik nie ustępował i jakoś tam choć z trudem wyżyli z tego z panią Warbicką.

Pierwszy raz co znowu od Piotrowej niósł pieniądze, Walek zastąpił mu drogę i znowu chciał się dziwować, jakie Józik ma odzienie, ale Józik naucozno doświadczeniem.

— Ani się mnie tknij! — zawołał groźnie. — Zabrałeś mi rubla, ale teraz już się okradać nie dam. I pamiętaj sobie, że ja cię już znać nie chcę. Z takimi jak ty, uczciwy chłopiec zadawać się nie może! Wolalbym się dotknąć najczarniejszego węgla, niż twojej ręki; bo dotknięcie ręki złodzieja, smoli rękę poczciwego człowieka! Idź sobie odemnie!

Walek począł Józika przeklinać. Wywoływał i wymyślał na niego różne przezwiska. Józik przecież nie odpowiadał, lecz szedł spokojnie swoją drogą. Nie lubił się kłócić i myślał sobie, że do takiego chłopaka szkoda się nawet odezwać. Walek nakoniec zawołał:

— Ha, ha, ha! Już ja teraz wiem co ci zrobę, a zrobię z pewnością! Ten twój pies niegdyś ukąsił mię w nogę. Żem leżeć musiał, to ja go teraz tak ukąszę, że jak się położysz, to już i więcej nie wstanie!

I śmiał się jakimś ohydny głosem, aż Józikowi po plecach ciarki przeszły. Lubił on Bosego jak przyjaciela, pomyślał więc ze strachem, że Walek mógł naprawdę zabić Bosego i uciec, aby nie mieć potem za to żadnej odpowiedzialności. Józik postanowił przeto nad psem czuwać i prosić jeszcze o opiekę Wojciechowej.

— Jakże to zwierzęta biedne — pomyślał — że się ludzkie nad nimi znęcają i nikt się o ich cierpienie nie upomni!

Józik siedział raz przy łóżku pani Warbickiej i czytał jej głośno książkę, którą mu dała Wojciechowa, pożyczony jej od lokaja. Okrutnie się ta książka Józikowi podobała, że przy niej i o jedzeniu i o piciu i o spaniu zapominał, a tytuł jej był: „Ogniem i mieczem”. Otóż czytał głośno swojej opiekunce, której teraz on stał się opiekunem, aż tu drzwi się otworzyły i stanął w nich skrzywiony Płaksa. Zaczął zaraz zrzędzić na Józika, ale także i na Wesołowskiego i na Aliganta.

— Ci weseli koleżkowie siedzą dotąd na wsi — mówił — i używają na zecerstwie święconem, a ty ani się pokażesz... jakby ciebie w mieście nie było, a ja tu sam w zimnem mieszkaniu. Przecie od tego cię mamy, żebyś choć w piecu napalił i buty wyczyścił.

— Przepraszam pana — rzekł Józik — ale panowie mówili, że nie wrócą, dopiero 26-go kwietnia.

— A cóż to wcześniej wrócić mi nie wolno? — zrzędził Płaksa, który wyglądał, jak gdyby się octu napił. — Cóż to, ja mam się stosować do ciebie?

Józik widział, że Płaksa był w bardzo złym humorze, więc już się nic nie tłumaczył, tylko rzekł:

— Przepraszam pana. Zaraz skoczę na Wilczą.

Gdy Płaksa zobaczył pokorę Józika, tak sobie nareszcie przypomniał, że miał przed sobą chorą panią Warbicką. Podał jej rękę, wziął za puls, wypytał się o zdrowie, o apetyt, o siły, przyłożył ucho do piersi, ale wszystko to z takim skrzywieniem, jakby mu już życie całkiem obrzydło. Kiwał głową, miał minę, jak gdyby szedł za pogrzebem... Aż się pani Warbickiej gorzej zrobiło.

W parę dni później wpadł żywo do jej pokoju Wesołowski.

— No cóż? to pani jeszcze leży? — zawołał. — Wiosna za pasem, to kto żyw, niech się zrywa z łóżka!

— Oj, zerwałabym ja się i bez zciągania kołdry i bez kropidla, żeby tylko miała siłę — odrzekła pani Warbicka.



Fig. 163. Zwierzęta, żyjące w Atlantyku na głębokości 3000 metrów. 1 Rak purpurowy. — 2) Ryba Holozaurus. — 3 Ukwiał biały z różowymi mackami. — 4 i 5 Liliowce — 6 i 7 Gwiazdy morskie. — 8 i 9 Raki. — 10 Hymenaster, gwiazda morska, z rozpiętym namiotem na grzbiecie, pod którym kryją się jej dzieci. 11 Strzykwa.

— A, widzę, że ten plotkarz już pani powiedział o kropidle! Przekropię ja go za ten długi język!

Chora uśmiechnęła się słabo.

— Ej, ja widzę, że pan tego plotkarza też kocha — szepnęła.

Wesołowski ruszył ramionami.

— Ja kocham mocno, ale i kropić umiem mocno.

— Ale pan Józika nie opuści, gdy ja umrę?

— Czemu pani ma umierać? Trzymać się mocno życia, nie dawać się, bronić się!

— Nic nie pomoże! Choćbym miała taką wesołość jak pan, to ona nie uśmiechnie się i nie daruje mi!

— Jaka ona?

A no ta, co z woli Bożej wszystkich czeka.

(d. c. n.)

Wiliam Gladstone.

Dnia 19 maja zmarł znakomity mąż stanu i uczony angielski Gladstone, którego nazwisko znane było całemu światu i poważane nawet przez przeciwników.

„Wielki starzec”, bo tak go nazywano w Anglii, urodził się w roku 1809, i od najmłodszego wieku odznaczał się wybitnymi zdolnościami i nadzwyczajną pracowitością. Jako uczeń szkoły etońskiej, a następnie uniwersytetu Oksfordzkiego, pracował i studyował z zapalem rozmaite przedmioty, zwłaszcza historię, filozofię, literaturę grecką i łacińską, oraz ekonomię polityczną. Przez całe swe długie życie nie ustawał w ciągłym kształceniu umysłu, umiejętnie i systematycznie dzieląc czas między pracę i odpoczynkiem i nie zaniedbując ruchu fizycznego. Ulubionem jego ćwiczeniem było rąbanie starych drzew w parku swoim w Hawarden, gdzie przemieszczał w chwilach wolnych od zajęć politycznych.

Od 24 roku życia był posłem do parlamentu, a po kilka razy prezesem ministrów Wielkiej Brytanii. Piastując tę godność, zrobił wiele dobrego dla swego kraju przez wprowadzenie rozmaitych reform nie tylko w prawodawstwie lecz i w poglądach swego społeczeństwa, a kierował się zawsze poczuciem wysokiej sprawiedliwości i szlachetności. Do największych jego zasług należy poprawienie doli katolików irlandzkich, drobnych dzierżawców i robotników, a zawsze i wszędzie ujmował się za biednych i cierpiących.

W życiu prywatnym cechowała go wielka skromność, pogoda i słodczy charakter. Kochał niezmiernie dzieci i rad z nimi obcował. Na kilka dni przed śmiercią, już nieprzytomny prawie, kazał przywołać swą kilkoletnią wnuczkę i długo trzymał w zimnej dłoni jej małą rączkę. Lubił też czasami w wolnych chwilach czytać książki dla młodzieży, zwłaszcza podróże i powieści w rodzaju Juliusza Verne'a, Mayne-Reyda i Stevensona, twierdząc, że tego rodzaju utwory są doskonałym i zdrowym pokarmem dla wyobraźni młodzieńczej.

Zwłoki jego złożone zostały w Opactwie Westminster-skim w Londynie. Jest to wspaniała świątynia w stylu gotyckim, gdzie znajdują się groby najznakomitszych mężów Anglii.

NIEDŹWIEDŹ

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

p. Zuzannę Morawską.

(Dokończenie).

Odpowiedź zadowoliła Zygmunta, wzięwszy się więc pod boki, zawołał:

— Prawda, urosłem, wkrótce będę mężczyzną, nie będę siedział między babami.

I zaraz dodał:

— Spotkałem w Krakowie Jędrka, są wszyscy trzej w szkołach, byli u mnie, ale Anusia siedzi z rodzicami w Zakrocymiu. Wiesz, jak powrócimy, pojedziemy i przywieziemy ją do Krakowa.

Kazik nic nie odpowiedział, lecz po tej obietnicy fala

krwi twarz mu oblała. Wiedział on doskonale co się dzieje z jego krewniakami i Anusią; po wyzdrowieniu przepędził nawet jakiś tydzień w zakroczyńskim zamku, lecz nie rad był jakoś, żeby tam królewicz zawitał; szczególnie nie uśmiechała mu się myśl zabrania na dwór królewski Anusi.

— Anusia moja serdeczna siostrzyczka, na dworze, pod opieką siniory! coby z niej zrobili! jakby nią poniewierali! Nie, nie! to być nie może, trzeba koniecznie temu przeszkodzić! — postanowił sobie

Czuł on, że dwór i dla niego nie był zdrowy, wśród jego obyczajów byłby zgnuszał, rozmarzył się, zniżył i stał się może podobnym do tych, którzy otaczali królowę. Nawet pieśń jego, ta muzyka, którą ukochał i czcił w swojej piersi, sławała się inną, mniej jędrną i dziarską, powoli byłaby zatraciła swój rodzinny pierwiastek!

Tak myślał Kazik. A chociaż miłował królewicza i życie byłby zań pościł, jednak, gdy pan Opaliński zniósł się potajemnie ze stryjem, i wyrobiono mu miejsce w chorągwi hetmańskiej, przyjął je z najwyższą radością, dziękując Opatrzności, że mu takich opiekunów zesłała.

A teraz, teraz kiedy już od roku zasnawał życia obzowego, miałby je porzucić dla dworu?

— Nigdy, przenigdy! — szepnął sam do siebie. — Chyba gdyby szło o obronę życia królewicza — odpowiadał sobie.

— On idzie na wojnę, będę go uczył jak nacierać na nieprzyjaciela — myślał dalej. — Och tak, będę go bronił w każdej chwili, teraz i później, gdy prawdziwym królem zostanie. Więc trzeba, żebym sam umiał walczyć! — dodał, jakby na zakończenie swych myśli.

— Zagraj mi co, czy grywasz w obozie? — zawołał nagle Zygmunta, który położywszy się na obozowym łożku, do snu się zabierał.

— W tej chwili! — odrzekł Kazik, ze swych marzeń zbudzony.

I wyjąwszy flecik, zaczął wydobywać z niego najpierw tęskne i smętne tony, potem pochwycił skoczną nutę, wreszcie przeszedł z niej w jakieś głucho nawoływanie, i zakończył bitwą, w której było słyhać chrzęst, huk, jęki rannych, wreszcie okrzyki zwycięstwa!...

Zygmunta znużony podróżą zasnął przy pierwszych prawie dźwiękach i nie słyszał tej pięknej i nad podziw zastosowanej do chwili całości.

Zrozumieli ją za to wojacy, którzy podsunawszy się pod namiot królewicza, z wielką lubością przysłuchiwali się dźwiękom, które wśród cichej, ciepłej nocy sierpniowej przez otwarte drzwi namiotu rozchodziły się daleko w przestworze.

— Zrozumiałeś? — zapytał jeden z siwowłosych żołnierzy.

— Ba, toby nie rozumiał takiego grania! — odrzekł inny!

— To ci gra! — powtarzano dokoła z zachwytem.

Lecz nie tylko żołnierze słuchali tej pieśni, podziwiał ją nawet sam hetman. Usłyszawszy granie wyszedł ze swego namiotu, stojącego tuż obok królewskiego i niepostrzeżony przez nikogo, przysłuchiwał się muzyce z lubością.

A gdy ostatnie jej dźwięki rozplynęły się w powietrzu, rzekł do siebie w zamyśleniu:

— Dobry omen, zakończył zwycięstwem!

I spojrzął w niebo, jakby razem z tą pieśnią, posyłał modlitwę do Pana nad Pany, błagając o opiekę nad krajem i pomyślność swego oręża.

A niebo pogodne patrzyło nań miliardami gwiazd jasnych, aż nagle zaczął się sypać z nich deszcz świetlany.

Jasne punkta odrywały się w górze od swoich orbit i grzęzły w nieskończoności!...

Hetman westchnął i rzekł sobie w myśli:

— Czyż istnienie ludzi nie jest podobne do owych gwiazd spadających?

Ale i Kazik widząc, że królewicz zasnął, wymknął się pociechu z namiotu; patrzył również w niebo i myślał:

— One tak samo świecą nad Zakrocymiem, ale czy je tam widzi Anusia? Pewnie nie, tam śpią już wszyscy, wszakże północ już blisko.

A gdy gwiazdy spadały zrobiło mu się smutno i lży stały w oczach.

— Jeżeli to prawda, że z każdą spadającą gwiazdą, ktoś umiera, ileż to ludzi w tej chwili skończyło życie.

Wtem uczuł ciężką dłoń na swoim ramieniu.

— Wróżysz nam swoją pieśnią zwycięstwo! — rzekł Tarnowski łagodnie.

— Miłościwy panie, ufam Bogu i ramieniu! — rzekł Kazik, składając się do kolan hetmańskich.

— Daj Bóg! — szepnął hetman.

I zaraz spytał:

— A królewicz?

— Zasnął!

— I nam już pora spocząć — rzekł Tarnowski.

I zwrócił się ku namiotowi.

Lecz nie uszedł jeszcze i dziesięciu kroków, gdy jakiś szmer i głosy idące od porozstawianych straży dały się słyszeć.

Staął więc i począł się wsłuchiwać.

Potem zwrócił się nagle w stronę, gdzie zostawił Kazika. Ten stał na tem samym miejscu i wsłuchiwał się również w dolatujące przyciszone głosy, nie ruszał się jednak z miejsca.

— Będzie z niego żołnierz, nie płoszy się byle czem i nie rznosi popłochu — pomyślał hetman.

I skinął na młodzieńca.

Kazik przysunął się nie robiąc żadnego szmeru.

— Podsuń się do najbliższej straży i wracaj! — rozkazał hetman.

Tymczasem w obozie zrobił się ruch, wszyscy podawali ucho dochodzącym w nocnej ciszy głosem. Nie spodziewano się, ażeby nieprzyjaciół aż pod Biecz się podsunął, gdzie właśnie obozowano, z tem wszystkiem czujność żołnierska kazała im być w pogotowiu na pierwszy rozkaz hetmana.

Kroki idących coraz się więcej zbliżały.

Wkrótce też prowadzony przez dwóch żołnierzy, stanął przed hetmanem Bassaty, a dwóch jego pacholców zostało zdala.

— Pismo od królowej jejmości i rozkaz jego królewskiej mości, aby królewicz w tej chwili wracał.

— Jego królewskiej mości? — zapytał, kipiąc gniewem Tarnowski.

— Boga mi, takie otrzymałem słowa od królowej — odrzekł przybyły.

— Od królowej! — rzekł hetman przeciągle, zaciskając zęby i targając brodę niecierpliwie.

— Pismo mam własnoręcznie oddać jego królewiczowskiej mości, Zygmuntowi Augustowi — mówił, kłaniając się szlachcic.

— Pozwólcież mu noc przespać spokojnie! — rzucił Tarnowski i dodał:

— Wziąć go pod straż, o świcie zaprowadzić do imci pana Opalińskiego, ochmistrza królewskiego.

I szepnąwszy coś Kazikowi, poszedł do swego namiotu!

— Toż samo, co w zakroczymskim zamku... — pomyślał sobie ze smutkiem Kazik, idąc do ochmistrza.

Wkrótce pan Opaliński naradzał się z hetmanem, a gdy rozeszli się, na obliczu obudwóch malował się smutek i jakaś myśl przygnębiająca.

Nie pomogła też narada dwóch zacnych mężów, ani opór Zygmunta Augusta, który o świcie zamiast z obozem hetmańskim, wyruszył z całym swem otoczeniem do Krakowa.

Nie pozwolono mu też zabrać Kazika, oparł się temu tak ochmistrz jako i hetman, dowodząc, że w rozkazie królewskim nic o Niedźwiedziu nie było.

A kiedy królewicz utonął znów w przyjemnościach dworu, pod Obertynem wrzała walka dwudziestotysięcznego tłumu Wołochów z czterotysięcznym hetmańskim wojskiem...

Lecz tą garstką dowodził Tarnowski. Więc 22 sierpnia 1531 r. odniósł nietylko świetne zwycięstwo, ale odebrał i kilka chorągwi zabranych nam przez Wołochów jeszcze podczas bukowińskiej klęski.

Gdy hufce Tarnowskiego do Krakowa wracały, tłumy ludu wyszły witać zwycięzcę, a stary król we własnej osobie ukazał się na krużganku zamkowym, aby powitać dzielnego wodza.

Obok króla był też i królewicz. Ten przypatrując się przeciągającym przed zamkiem zwycięskim chorągwiom, nagle zawołał:

— Niedźwiedź, Niedźwiedź! ale czemu on ma rękę owiniętą i zawieszoną na chuście?

A Kazik z dumą wznosił ku swemu panu trzymanym w lewej ręce sztandarem, prawą bowiem miał silnie zranioną. Nią to właśnie odebrał, zabraną podczas bukowińskiej klęski, chorągiew.

Lata płynęły przynosząc złą i dobrą dolę.

Roku 1548 zmarł Zygmunt stary, a koronowany oddawna syn jego Zygmunt August, objął na siebie rządy.

Oj, miał on pierwsze chwile swego panowania zatrute, a i potem obok wielkich prac i pomysłego ich rozwoju, nie brakło mu na serdecznych bólach i trosce. Jako król miał pociechę, że kraj i naród pod jego rządami się rozwija i w potęgę wzrasta, lecz jako człowiek miał zmartwieć i kłopotów po wyżej głowy.

Śmierć mu zabrała ukochaną małżonkę, Barbarę, Bona wiechrzyła ciągle, prowadząc intrygi na królewskim dworze i sprzedając urzędy najniegodniejszym częstokroć ludziom.

Przykre więc było położenie Zygmunta Augusta; matkę kochał i szanował, a nie mógł przecie pozwolić, aby znęcała się nad krajem, którego on był ojcem i panem. Wychowanie zniewieściałe nie dało mu też siły woli i energii tak potrzebnych monarsze. To też nie zawsze mógł przeprowadzić najlepsze swoje i najszlachetniejsze dla kraju zamiary. A jednak dokonał on r. 1569 wiekopomnego czynu, zjednoczył ludy zostające pod jego berłem. Chcąc zaś mieć wojsko stałe, aby w każdej potrzebie stanęło ku obronie kraju, rzekł się czwartej części swoich własnych dochodów, ażeby z nich wojsko to utrzymywać. Wojsko to nazwano kwarcianem, a ozdobą jego byli trzej kasztelanice zakroczymscy i wielu z tych, którzy podczas koronacji przyrzekli, iż zawsze wierni będą monarsze. Najwybitniejsze zaś miejsce zajął pułkownik Kazimierz Zaręba-Niedźwiedź. Przewisko to bowiem tak doń przyrośło, iż o rodzinnem prawie zapomniano.

Król wśród największego nawet zniechęcenia zwykł był też mawiać:

— Jednego mam tylko przyjaciela, mego pocziwego, zacnego Niedźwiedzia.

I prawda; Niedźwiedź nigdy nic nie żądał dla siebie, nie otrzymywał urzędów, nie zajmował wysokiego stanowiska na dworze, lecz dzielną prawicą i rozsądną a zdrową radą, wiernie stał przy swoim panu.

A kiedy król zachorzał w tym samym Knyszynie, gdzie on obronił go od niedźwiedzia młody Kazik, pan Kazimierz Zaręba-Niedźwiedź, i jego żona Anna, znana nam kasztelanica zakroczymska, nie odstępowali go ani na chwilę.

Jedne też to były osoby przychylnie, które wśród zgrai cheiowych dworaków, otaczały opieką i miłością umierającego króla.

Dnia 7 lipca 1572 roku, schyłony wiekiem lekarz Stanisław Fogelfeder oznajmił, iż niema żadnej nadziei i śmierć nad łóżem monarchy już stoi.

Wszyscy dworzanie rozpierzchli się po komnatach, aby resztę szat i kosztowności królewskich zagrabić. Został tylko Fogelfeder i Niedźwiedź z żoną. A Zygmunt August zwrócił ku nim wzrok konający i zawołał:

— Dzięki wam!... Niedźwiedziu, ratuj!...

Lecz z taką potęgą i siłą Niedźwiedź nie mocen był walczyć; padł więc tylko na kolana i trzymając rękę zmarłego, gorącemi oblewał ją łzami.

muzyce warta pałacowa. Król przypatruje się zwykle tej ceremonii i zdaleka poznaje pułk, idący na służbę. Młody król jest chłopcem wesołego usposobienia, zdolnym i posiada wielką łatwość do obcych języków.



Alfons XIII król hiszpański.

Młody król hiszpański skończył w dniu 17 maja lat dwanaście, zaś starsza księżniczka Maria de las Mercedes skończy w sierpniu lat ośmnaście, młodsza Marya Teresa w październiku 15 lat. Młody król nosi mundur piechoty, szkoły kadetów, w pierwszym roku pozbawiony wszelkich oznak oficerskich; tylko na wstążce u szyi błyszczą order złotego runa. Król Alfons pobiera od profesorów gimnazjalnych lekcje: religii, łaciny, historii, geografii, algebry, geometrii i nauk przyrodniczych oraz języków: angielskiego francuskiego, niemieckiego i muzyki. Nauki rozpoczynają się pomiędzy godz. 8 a 9 rano i trwają trzy godziny, poczem następują ćwiczenia w jeździe konnej. Po obiedzie królowa zazwyczaj wyjeżdża z dziećmi w landzie, zaprzężonym w cztery muły, w otoczeniu młodych jeźdźców ze szlachty hiszpańskiej, zwykle daleko poza miasto. Po powrocie i krótkim wypoczynku rozpoczynają się znowu nauki, które trwają od 2 do 3 godzin i kończą się lekcją gimnastyki. Najulubieńszem zajęciem króla, posiadającego usposobienie bardzo żywe, jest czytanie opisów podróży i historii wojen. W specjalnie ku temu urządzonym pokoju na pięciu wielkich stołach ustawia on pod kierunkiem oficerów żołnierzy w szyku bojowym i manewruje nimi. Co dzień o godz. 10 rano zmienia się przy

NOWE KSIĄŻKI

Miłą i pożyteczną dla młodzieży jest nowa książka znanego popularyzatora p. Władysława Umińskiego p. t. „*Cuda przemysłu*”, licznymi opatrzona ilustracjami. Autor zaczyna od opowiadania jak żyją dzicy ludzie i jak nasi przodkowie żyli w dawnych czasach, pokazuje narzędzia jakimi się posługiwali mówi o wzmagających się stopniowo ich potrzebach i wynalazkach, służących do zaspokojenia tych potrzeb. Czytamy więc w jego książce o pierwotnych sposobach rozniecania ognia i o zastosowaniu pary do kolei żelaznych, skracających odległość między krajami, o statkach parowych, maszynach i fabrykach, o dziwacznych elektryczności i balonach, telegrafach, telefonach, chemii, słowem o wielu zdobyczach cywilizacji. Ku końcowi książki znajduje się rozdział poświęcony mieszkaniom ludzkim i budynkom. Począwszy od budowli nawodnych stawianych na palach, dla utrudnienia dostępu dzikim zwierzętom w zamierchłych czasach, autor przechodzi kolejno do najwspanialszych tegoczesnych dzieł ludzkiej. Jest tam i wieża Eifel i most na rzece Forth. Wszystko to czyta się przyjemnie i łatwo. Książkę wydała księgarnia Borkowskiego i Karpowicza.

Księgarnia Sadowskiego nadesłała nam podręcznik z wzorami listów w trzech językach p. t.: *Recueil de lettres à l'usage de la jeunesse*, który zalecić możemy.

Ukazała się też w taniem wydaniu skrócona dla młodzieży powieść J. I. Kraszewskiego p. t. „Kazimierz Wielki”.

W końcu zaznaczamy, że od 1-go lipca r. b. zacznie wychodzić zeszytami nowy, obszerny „*Słownik języka polskiego*”, opracowany przez najwybitniejszych naszych językoznawców. Wobec zupełnego wyczerpania słownika Lindego i Wileńskiego i wielkiego wzrostu zasobu językowego, słownik ten jest niezmiernie potrzebny i powinien znajdować się w każdym domu, zwłaszcza, że cena jego w przedpłacie wyniesie tylko rub. 10, za cztery grube tomy.

Przypominamy o wczesnem ODNOWIENIU PRENUMERATY na kwartał III-ci dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

TREŚĆ: Dla matki (z ryc.) — W otchłaniach morskich przez dr. M. Stefanowską (z ryc.) — Dzielný chłopiec przez Zofię Kowerską. — Wiliam Gladstone (z portretem) — Niedźwiedź, powieść z XVI w. przez Zuzannę Morawską (dokoń.) — Alfons XIII król hiszpański (z port.) **Dodatek:** Miłosierdzie, komedyjka w 1 ym akcie. — U cioci Polci (z ryc.) — Królowa poziomek i paproci, bajka czarodziejska przez Wacława Sulimę. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

WIECZORY RODZINNE



MIŁOSIĘRDZIE.

OBRAZEK DRAMATYCZNY W 1-ym AKCIE

przez

Ignacego Szabowskiego.

OSOBY:

NINKA, STEFCIA, LEON, TOLO.

(Ninka siedzi przy stole z dużą lalką, do której mówi).

„Niech lalka będzie grzeczna, nie płacze, nie beczy
Grzecznie mi się ukloni i uszko nachyli,
A ja lalce opowiem wiele pięknych rzeczy...”

(pauza).

Przyjdzie ciepło, przyjdzie lato,
Słońce upał ześle z góry,
Ja wraz z tobą, z mamą, tatą,
Opuścimy skwarne mury.
Pojedziem do Nałęczowa,
Chodzić z tobą będę w lesie,
Czasem Ninka w krzak się schowa,
To laleczka przelęknie się.
Lub pójdziemy tam nad stawy
Żab podsłuchać rechotania
A w zielonym gąszczu trawy
Skowroneczków świergotania.
Zaś wieczorem, gdy laleczko,
Zmęczymy się po spacerze,
Ninka włoży cię w łóżeczko,
I z sukienek cię rozbierze.

(pauza).

Muszę sprawić ci sukienkę
Muślinową w trzy falbany,
Kapelusik na panienkę
Włożę duży, wywijany.
Będiesz śliczna, moja lalu,
Najsłodsza w Nałęczowie,
Będą wszyscy, jak po balu,
Wizytować cię panowie.
Nie wąż o tem, mam ja grosze.
Dużo groszy, cztery złote.

Panny Emmy wnet poproszę,
Ta wyjść zawsze ma ochotę.
Pójdziem zatem na Wierzbową,
Świętokrzyską lub Miodową,
Gdy gustowne coś się zdarzy,
Kupimy na wyprzedaży.

(Wbiegają szybko Stefcia i Leon).

STEF CIA. Ninko, Ninko!

NINKA. Co takiego?

Czyliż stało się co złego,
Że tak biegniesz wystraszona?

LEON. Ja ci powiem!

STEF CIA. Ja, ja pierwsza!

LEON. Jestem starszy.

STEF CIA. Ja, ja pierwsza!

(Mówią razem).

LEON.

Przyszła baba
Z kijem w ręce,
Kij sękaty!

STEF CIA.

Przygarbiona
Starowina.

STEF CIA.

Z nią dziewczyna
Taka biedna, Józia mała.

LEON (z gniewem).

Stefciu! mówię, bądźże cicho.
Gdy się będziesz sprzeciwiała,
Może jeszcze jakie licho
Mnie podkusić...

STEF CIA.

Junak jaki!

Patrzcie państwo, mówić broni...
Obrzydliwe te chłopaki!
Naumyślnie, będę, będę... (tupie nogą).
(Leon robi ruch jakby chciał Stefcie uderzyć).

On się bije...

NINKA.

Że też nie wstyd ci, Leonie,
Stefciu! siądzem tu na stronie,
Niech do siebie Leon gada,
Z złościami taka rada.

(odprowadza Stefcie na bok).

LEON.

Wiedźcie o tem, żem mężczyzna.

NINKA.

Żeś niegrzeczny, każdy przyzna.

LEON.

Poco ona zaczynała?

STEFCIA.

Ja zaczęłam? Jak on kłamie!

O! poczekaj, powiem mamie!

NINKA.

Tybyś brata oskarżała?

Nie, nie, Stefciu, dosyć kary

Już to będzie dla Leona,

Gdy z nim mówić nie będziemy.

LEON (*wymiośle*).

Ja się zrzekam tej ofiary.

NINKA.

Niech pan Leon się przekona,

Że się bawić z nim nie chcemy,

Niech samotnie się ponudzi,

Niech po kątach się wymruczy,

A od złości się oduczy,

Grzeczność wnet się w nim obudzi.

LEON.

Wielkie rzeczy! małe damy!

NINKA I STEFCIA (*razem*).

Zobaczmy — kawalerze.

LEON.

Tak się zawsze człek ubierze,

Gdy przestaje z kobietami.

(*Ninka i Stefcia siadają opodal Leona, który zdaleka przypatruje się im*).

(*pausa*).

(*d. n.*)

U cioci Polci.

(Dalszy ciąg).

— Może zajęc byłby dobry? — spytał Kazio.

— Bardzo dobrze. Papier musi mieć pięć i pół cali długości a trzy i pół szerokości.

Dzieci poznały i narysowały zajęca (fig. 17).

— Ciociu, czy czasem nie zbyt długie uszy zrobiliśmy? — spytała Zosia.

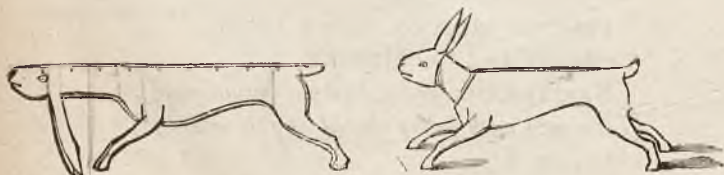


Fig. 17.

Fig. 18.

— Nie, Zosiu, przekonasz się, że nie za długie — rzekła ciocia.

— Czy trzeba je zagiąć w tył? — spytał Henryś.

— Nie, trzeba zagiąć je do środka, wewnątrz głowy,

a na wierzchu jej należy wyciąć małą szparkę i przez nią wysunąć uszy do góry. Szyję zaś trzeba nagiąć w tył tak jak się to robiło u psa (fig. 18).

— Śliczny zajęczek — rzekł Kazio — a czy można zrobić też jakie zwierzę z rogami?

— Owszem, może być i rogate zwierzę.

— Czy z rogami robi się to samo co z uszami, że się kraje bardzo długie i zagina wewnątrz.

— To samo, tylko zamiast wsunąć oba w jedną szparkę, nacina się papier w dwóch miejscach i w każdą szparkę wsuwa się róg, z dwóch stron głowy.

— Nie bardzo dobrze rozumiem — rzekł Henryś.

— Więc zrobmy gemzę — rzekła ciocia. — Czy wiecie, co to jest *gemza*?

— Zdaje mi się, że to szwajcarska koza — zawołał Henryś.

— Tak, a raczej alpejska koza, która żyje na wysokich górach w Szwajcaryi. Ma ona dwa ładne rogi, więc będę mogła wam pokazać jak je umieścić na głowie. Papier musi być sześć cali długi, a cztery i pół cala szeroki. Jak go złożycie i wymierzycie, poznaście i wyrysujecie tak jak u mnie (fig. 19). Teraz uważajcie, końcem nożyczek robie dziurkę nieco poniżej górnego brzegu, zaraz za drugą kreską. Te dwie małe szparki nazwiemy *a*.

— Rozumiem teraz — rzekł Henryś — zrobiła ciocia odrazu dwie dziurki w podwójnie złożonym papierze, a teraz można zagiąć rogi i wsunąć każdy w osobną szparkę.

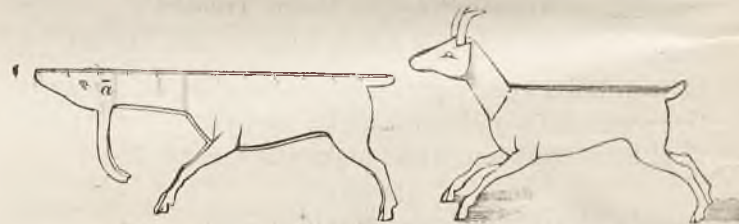


Fig. 19.

Fig. 20.

— Wyglądają jakby naprawdę z głowy wyrosły — rzekła Zosia.

— Pozaginajcie szyję i głowę jak zwykle i gemza gotowa (fig. 20) — objaśniła ciocia.

— Czy możemy teraz zrobić inne jakie zwierzę z rogami — spytał Kazio. — Ja znam jedno z bardzo długimi rogami.

— Jakież to? — spytała ciocia.

Kazio za odpowiedź krzyknął: muu...

— Krówka — krzyknęła Irenka uradowana ze swej domysłności.

— Dobrze. Weźcie papier ośm i pół cala długi a ośm szeroki. Przy rysowaniu głowy uważajcie; trzeba dobrze odznaczyć pysk. Zróbcie dość długie rogi i zgrabne racice czyli podwójne kopyta.

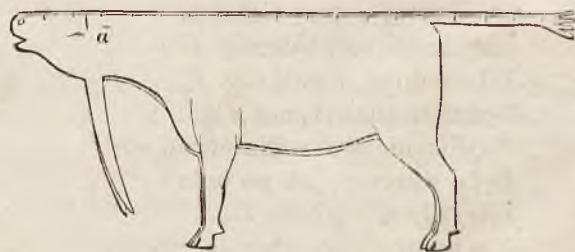


Fig. 21.

Przez parę chwil panowało milczenie; dzieci pracowały pilnie, przypatrując się się od czasu do czasu robotcie cioci.

— Już moja krówka wycięta — zawołał Henryś — niech mi ciocia pokaże, proszę, gdzie umieścić otworki a.

— Na przeciwko trzeciej linijki (fig. 21).

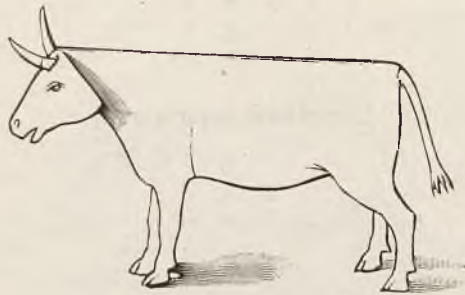


Fig. 22.

— Nie można zgiąć szyi bo za krótka, trzeba tylko zagiąć boki głowy — rzekła ciocia.

— Patrz Kaziu, fig. 22.

— Ale ciocia zapomniała o zwierzęciu z długą szyją — rzekła Irenka.

— Nie, nie zapomniałam, tylko na teraz dosyć już tej roboty, słońce tak ładnie świeci, chodźmy na spacer *).

— A brzydkie, niegodziwe dziewczęta — myślała z gniewem — ja tu nie wytrzymam. Co tu robić, co tu robić!

Wieczór nadszedł; trzeba było przygotować wieczrę. Kora i Szyszka bawiły się i sprzeczały, nie biorąc się do niczego.

— Żeby mama wiedziała, jaka ta Jagusia niezgrabna, — rzekła Szyszka, siedząc już przy stole; — ciągle coś rozlewa i tłucze, a jakie przytem miny robi, ot tak się krzywi.

— Nie ,tak — poprawiła Kora, i zrobiła szkaradny grymas.

— Albo i tak.

Wszyscy się roześmieli, a Jagusia czerwona z gniewu wykrzyknęła:

— Nie przedrzeźniajcie mnie!

— O widzisz, jak się teraz zaperzyła, a jak jej się włosy najeżyły jak u dudka — zawoła Kora, a Szyszka naśladując Jagusię, wykrzyknęła:

— Nie przedrzeźniajcie mnie!

Nowy śmiech, Jagusia wybuchnęła płaczem.

— Czego się ty mażesz? — rzekła ostro dębowa babka. — Cóż to, żartować nie można, masz beczeć to idź od stołu.

— Ona pewnie nawet nie głodna, taki suty podwieczorek zjadła — krzyknęła za nią Kora.

Jagusia wybiegła z izby, ale przeze drzwi słyszała, jak dębowy dziadek mówił:

— Tylko jej znowu nie dokuczajcie.

A Szyszka odpowiadała:

— My jej wcale nie dokuczamy, ale ona taka kłótniwa, łakoma i leniwa; prawie cały dzień nic nie robiła.

Jadwisia uciekła do kuchenki, gdzie było jej postanie i zalewała się łzami.

— Jaka ja nieszczęśliwa jestem — mówiła sobie — dostałam się do tych złych ludzi i do tych szkaradnych dziewcząt, które mnie zamęczą. Ja tu w żaden sposób nie wytrzymam.

— Nazajutrz rano ubierając się, daremnie szukała ładnych koralików, które miała na szyi. Przypomniała sobie w końcu, że je zdjęła dnia poprzedniego na żądanie Szyszki, która je oglądała.

— Szyszko, oddaj mi korale — rzekła do dziewczynki, która ustrojona w nie przysłała do kuchenki.

— Ani myślę — odparła Szyszka — bardzo mi się podobają i do twarzy mi w nich.

— Ależ ja ci ich nie darowałam, one są moje.

— Nie twoje, tylko moje, bo je sobie wzięłam.

Daremne były wszelkie wyrzekania Jagusi, Szyszka przywłaszczyła sobie koraliki i oddać ich nie chciała.

Tego samego dnia Kora wzięła jej wstążkę od włosów, a nazajutrz fartuszek. Jagusia zniecierpliwna poskarżyła się dębowej babce, ale wtedy obie siostry wystąpiły z takim potokiem zarzutów, z taką ilością skarg, że dębowa babka wykrzyczawszy Jagusię, zamknęła ją w ciemnej komórcie bez obiadu, a Kora i Szyszka tak ją później wyszturchały, iż Jagusia obiecała sobie nigdy się nie skarżyć.

Jednak było jej coraz gorzej. Nikt jej nie myślał odprowadzać do Leśniczówki, kazano jej ciągle praco-

KRÓLOWA POZIOMEK I PAPROCI.

BAJKA CZARODZIEJSKA

przez Wacława Sulimę.

(Dalszy ciąg)

Pod wieczór dębowa babka posłała Jagusię z jakimś poleceniem do kuchenki.

— Gdy skończysz, wróć na podwieczorek — rzekła.

Jagusia skończywszy wróciła i zastała Korę i Szyszkę, zajadające chleb z miodem.

— Tam też jest dla ciebie — rzekła Kora.

Jagusia spostrzegłszy mały kawałek chleba widocznie ułamany.

— Ułamałaś go! — wykrzyknęła.

Kora roześmiała się.

— Ułamałam, bo bardzo mi smakował.

— Przecież to nie dla ciebie było, tylko dla mnie.

— Widzicie ją — zawołała opryskliwie Szyszka — będzie się jeszcze z nami kłóciła. Czy nie wiesz, że i ten kawałeczek, któryśmy ci zostawiły, jest tylko z łaski, to wszystko nasze, ty do niczego nie masz prawa.

— No to go sobie weźcie! — krzyknęła Jagusia, i rzuciwszy chleb, uciekła, goniona szyderyczym śmiechem.

*) Dalszy ciąg różnych ciekawych robótek cioci Polci, zamienimy pomieszczać jesienią, gdy się już zaczną dłuższe wieczory, bo w lecie miłsze i odpowiedniejsze zabawy czekają was na świeżym powietrzu. (przyp. Red.)

wać, a Szyszka i Kora dokuczały jej ustawicznie, przypominając przytem, że jest „na łasce.”

— Jakąż wy mnie łaskę robicie?—mówiła z płaczem Jagusia — gdybym tylko mogła wrócić do domu pewnie bym jednej chwili tutaj nie została.

— To wracaj — mówiła, śmiejąc się Kora — właśnie wczoraj słyszałam jak wilki wyły i węże syczały.

Jagusia wzdrygnęła się; Kora dobrze wiedziała, że węży ani wilków niema w lesie, ale bawiła się straszaniem jej.

— Tak, wyły całą noc: ahu! ahu! Poznasz się z nimi, bo zaraz powiem ojcu, żeby cię wypędził, już cię nie będziemy darmo żywili.

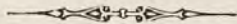
Jagusia bojąc się wszystkich okropności, o których jej ciągle opowiadały Kora i Szyszka, nie śmiała się zapuścić w las, który z tej strony był jej zupełnie nieznanym. Codziennie płakała z tęsknoty i żalu, bo życie jej rzeczywiście było ciężkie. Figłom, które jej płatano nie było końca i miary.

Jagusia czasami klóciła się do upadłego, a nawet próbowała się mścić, ale wtedy Szyszka odwoływała się do dębowej babki i zawsze spadała na biedaczkę surowa kara.

Czasem znowu zacinała się i milczała, myśląc:

— Ach, żebym ja mogła odplacić im kiedy za to, że mi tak dokuczają, z jakąż przyjemnością zrobiłabym to!

(d. c. n.)



ZAGADKA.

p. Zerbę.

Bywam czasem taka czarna
 Że choć wykol oko,
 'To jaśniejsza — gdy srebrzysty
 Miesiąc lśni wysoko.
 Czasem cicha i milcząca,
 To wichrem miotana,
 Ale zawsze na spoczynek
 Dla ziemi zsyłana.

ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

przez Amatora Ptaków.

1	Wyszukać 6 wyrazów 6-cio głoskowych, aby litery oznaczone liczbami
. 2	złożyły nazwę miasta znanego z kopalni kruszców już za Kazimierza
. . . 3	W. 1) Rzeka i Stan w Ameryce.
. . . . 4 . . .	2) Pierwszy książę pruski. 3) Władca Japonii. 4) Zakończenie dachu ko-
. 5 . .	ścioła w stylu romańskim. 5) Imię żeńskie. 6) Potrawa węgierska.
. 6 . . .	Sylaby: Lasz — a — te — re — ko — ka — a — gon — do — lu — pa — gu — sa — bert — ni — re.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 22.

Metagramu: Rola — Wola — Dola.

Łamigłówki literowej:

N	o	r	m	A	n	d	y	u
s	a	n	d	a	c	z		
		k	r	a	b	y		
				é	m	a		
				s	p	a	(a)	
				g	o	ł	ą	b
		z	a	p	u	s	t	y
w	i	n	o	g	r	o	n	a

Łamigłówki kryształowej

		W		
	T	a	g	
W	a	n	d	z
	o	d	a	
		a		

Skrzynka do listów.

Z przyjemnością zaliczamy Wiedenkę do grona naszych korespondentek. Czytałaś zapewne w ostatnim numerze Wieczorów, że na życzenia niektórych czytelników termin konkursu odłożymy do sierpnia, więc i twoje wypracowanie poczekać musi na osądzenie. Wierszyk przysłany chociaż myśl ma wzniosłą, pod względem rytmu t. j. akcentu muzycznego bardzo wiele pozostawia do życzenia, o czem łatwo możesz się przekonać, czytając go głośno. Początek „Jurasia i Anulki“ — wysyłamy.

Aleksandrowi W. List ostatni bynajmniej nudnym nam się nie wydał, stosunki miejscowe są ciekawe i warto się z nimi zapoznać, wdzięczni więc jesteśmy naszemu kochanemu czytelnikowi, że się tego trudu zechciał podjąć. Dalszego ciągu oczekujemy. Zadania przejrzymy, zdaje się jednak, że rebusiki nie będą mogły być drukowane.

Tylko pierwsze początki bywają trudne, nie wątpimy, że **Stas Wid.** nabierze wprawy i z łatwością łamigłówki układać będzie. Do łamigłówek kropkowanej lepiej jest użyć wierszyk znany, bo to ułatwia rozwiązanie.

Stoniowi z Nubii, kilka wierszy które skreśliłeś poniżej rozwiązań zadań i łamigłówki własnego układu, ucieszyło mnie serdecznie. Przysyłam ci szczerze powinszowania, żeś z takim odznaczeniem, jak pierwsza nagroda, przeszedł do klasy czwartej. Zapowiedzianego listu oczekiwać będę, bo teraz czas ci pozwoli napisać obszerniej.

Do **Zorusia M.** nie miałam najmniejszej pretensyi, że po odebraniu książek nic do mnie nie napisał. Listy wasze bardzo mi są mile i nie mylisz cię, pisząc, że muszę bardzo kochać dzieci, ale przyznać muszę, że kocham najwięcej miłych moich korespondentów, którzy tak serdecznie odzywają się do mnie. Szanownej twej mamie za łaskawe wyrazy dziękuję, w redakcyi i mojem imieniu.

Bardzo mnie cieszy radość wasza z odznaczenia na konkursie kaligraficznym. Nagroda dla **Romany G.** i dla **Chróścika** wysłana. Tatusz żartował zapewne z ciebie Chróściku mówiąc, że o nagrodę ubiegać się nie możesz, względnie do młodego wieku piszesz słabiej i dobrze; mamy nadzieję, że nagroda zachęci cię do dalszej pracy i w przyszłym roku wielkie postępy w piśmie twojem znajdziemy.

Sarence modrookiej. Nie wiem jeszcze jakie książki przeznaczone będą na nagrodę za wypracowania, bo jak ci wiadomo termin nadsyłania wypracowań konkursowych odłożony został do 1-go sierpnia. Za miły i serdeczny liścik wdzięczną ci jestem, a następnym powitam z przyjemnością.

Łamigłówki **Czarnuszki** i **Bielaska** oddałam redakcyi.

Jaskółka.

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

Klementyna z Tańskich Hofmanowa.

(1798 — 1845).

W tym roku w listopadzie przypada setna rocznica urodzin niewiasty, której imię wszyscy nasi czytelnicy znać muszą, a zapewne nie tylko słyszeli jej nazwisko, ale czytali niektóre dzieła jak: „Wiązanie Helenki”, „Listy Elżbietki Rzeczyckiej”, „Rozrywki dla dzieci”.

Klementyna z Tańskich Hofmanowa, była to jedna z tych kobiet, których na szczęście nigdy nie brakło w naszym kraju, a które całe życie poświęcały rozumnej, pożytecznej działalności, zapominając o sobie i pracowały niezmiernie nad rozpowszechnieniem tego wszystkiego, co dobru ogólnemu służyć może.

Urodziła się w Warszawie w 1798 roku, wkrótce jednak rodzice jej wynieśli się na wieś. Ojciec był czas jakiś sekretarzem księcia Czartoryskiego, musiał być zatem człowiekiem wykształconym i zacnym, bo dwór puławski takich tylko w koło siebie gromadził. Ojciec zmarł młodo, gdy Klementyna miała zaledwie lat siedm.

O dzieciństwie jej mamy mało wiadomości, chowała się po części u panny Szymanowskiej w Izdebnie a później u pani kasztelanowej Połonieckiej, matrony słynnej z wielkich cnót i rozumu.

Młodość jej przypadła na czasy bardzo różne od obecnych. Wychowanie kobiet zwłaszcza, było zupełnie odmienne od tego, czem jest dzisiaj. Panienki uczyły się wówczas tak nie wiele, iż nauką nazwać to trudno. Za rzecz najważniejszą uważano naukę francuskiego języka. Istniał bowiem ogólnie niedorzeczny zwyczaj wyłącznego używania tego języka, nawet w domu i najbliższym kółku rodzinnem, tak, iż wiele kobiet ówczesnych prawie nie znało własnego języka i nie umiało się nim wyrażać. Reformę w tym względzie panna Tańska zaczęła od samej siebie; zrozumiała jak niedokładną była jej znajomość ojczystego języka, wzięła się więc do czytania dawnych wzorowych dzieł polskich: Skargi, Jana Kochanowskiego, Górnickiego, a z bliższych wczytywała się w Krasickiego a szczególnie Woroni-



Klementyna z Tańskich Hofmanowa.

cza, który nie ustępował pięknością języka autorom tak zwanego złotego wieku. Tym sposobem nie tylko nauczyła się dobrze pisać po polsku, ale wykształciła swój smak literacki i wyrobiła sobie sąd zdrowy, oparty na porównaniu tych autorów z modną literaturą francuską, która chociaż modna, nie mogła się równać z poważną literaturą naszą.

Zawód swój autorski rozpoczęła Klementyna mając zaledwie lat osiemnaście, a pełna zawsze skromności pisać zaczęła pod imieniem „Młodej Polki”. Pierwsza jej książka, był to zbiór rad dla dziewcząt, jakoby przez umierającą matkę zostawionych córce pod tytułem: „Pamiętka po dobrej matce”. Książka pełna zacności, bogobojności i rozumu, podobala się powszechnie, tak, iż musiano przedrukowywać ją kilkakrotnie, od razu też przyniosła swojej autorce sławę, a co więcej, dała szerokiemu ogółowi poznać jej poglądy.

Klementyna, ciesząc się, że pożyteczna ta książka rozpowszechniła się szybko, na następnych podpisywała się już „Autorka pamiętki po dobrej matce”.

Najmilszem zadaniem życia Klementyny było nauczanie. Zajmowało ją całe młode pokolenie kobiet, bo czuła jak wiele zależy od dobrych matek i nauczycielek. Dla tego też jako dalszy ciąg „Pamiętki po dobrej matce” napisała: „Amelia matką”. Amelia była to owa córka, do której matka zwracała swe nauki; w tej drugiej książce wskazywała autorka jak Amelia z tych rad skorzystała i jak według nich wychowywała swoje dzieci.

Młodsza siostra Klementyny Tańskiej poszła za mąż i miała córeczkę Helenkę, dla której rozumna i kochająca ciocia napisała najprzód „Wiązanie Helenki”, przeznaczone dla bardzo małych dzieci, a następnie „Drugie wiązanie” dla trochę starszych.

„Wiązanie Helenki” znaczy prawdziwą epokę w ogólnem naszym wykształceniu, gdyż była to pierwsza polska książka nie naukowa dla małych dzieci, które do tego czasu dla rozrywki albo czytały po francusku, albo nie czytały wcale.

Po Helence napisano mnóstwo książek w tym rodzaju, niektóre nawet pilnie ją naśladowały, można jednak śmiało powiedzieć, że żadna jej nie dorównała, żadna nie była tak przystępną i zajmującą dla małych czytelników i równocześnie tak pożyteczną.

Zachęcona przyjęciem jakie znajdowały jej dzieła, Klementyna Tańska zaczęła wydawać pismo peryodyczne dla młodzieży: „Rozrywki dla dzieci”, które miały wielkie powodzenie. Zajęcia jednak literackie nie oderwały autorki od czynnego życia. W r. 1825 ówczesna Komisya Oświecenia, mianowała Klementynę Tańską nadzorczynią i wizytatorką szkół żeńskich w Warszawie, zajmowała się więc niemi gorliwie. Za jej wpływem wykształcenie kobiet postąpiło znacznie, zaczęto uczyć dziewczęta historyi, własnego języka, własnej literatury, a co najważniejsze, nadano wychowaniu kierunek praktyczny.

W 1829 r. Klementyna Tańska poślubiła historyka Karola Hofmana, który umiał ocenić jej rozum i wielkie zalety. Pani Hofmanowa udała się z mężem za granicę i wraz z nim osiadła w Paryżu. Pisała teraz bardzo wiele zawsze w tym samym duchu, a pomiędzy innemi kilka powieści: Karolinę, Krystynę, Jana Kochanowskiego w Czarnolesiu. W dwóch pierwszych skreśliła wzór, jaką ma być kobieta w małżeństwie a jaką, jeżeli za mąż nie pójdzie. W Janie Kochanowskim, na tle życia wiejskiego poety, dała wdzięczny obraz wiejskiego dworu w XVI wieku, jego wyglądu, charakteru, zajęć, obyczajów i rozrywek.

Liczna dziatwa Kochanowskiego występuje w tej powieści; ze szczególnem zamięłowaniem autorka opisuje cudowne dziecię — Urszulkę i jej śmierć, która zostawiła w sercu

ojca żal wieczny i wywołała jeden z najpiękniejszych jego utworów — „Treny”.

Napisała jeszcze Hofmanowa „Święte niewiasty” i wiele dzieł wychowawczych i moralnych, oraz „Nowe rozrywki dla dzieci”; bo do tego rodzaju literatury miała zawsze zamiłowanie. Śmierć przecięła zbyt wczesnie pasmo tego pracowitego i pożytecznego życia.

Klementyna z Tańskich Hofmanowa umarła w Passy pod Paryżem w r. 1845, opłakiwana najwięcej przez tych, co mieli sposobność ją poznać i widzieć, jak zasady swoje stosowała w życiu, zawsze skromna, dobra, czynna, gotowa była zapomnieć o sobie dla drugich, i nie myśląc nigdy o własnych zasługach, umiała ocenić je i uczcić u innych.

Pamięć jej pozostanie na zawsze wrytą w historii naszego umysłowego rozwoju, a każda kobieta odbierająca dzisiaj staranne i praktyczne wykształcenie, z wdzięcznością myśleć powinna o Klementynie, która pierwsze kroki uczyniła w tym kierunku i tym sposobem utorowała drogę następnym pokoleniom.

W. M.



Zofia Kowerska

DZIELNY CHŁOPIEC.

(Dalszy ciąg).

— To niech się ona wprzódy za mną rozmówi! Ze mną źle mieć do czynienia, bo ja mam silne pięści!

— Nie ustępuje ona i przed silnemi pięściami.

— No, będziemy ją odpędzać, jak będziemy mogli. Niech tylko pani będzie dobrej myśli, bo wesołość i myśl swobodna, to też lekarstwo. Nie jest pani opuszczona. Ma pani tego dobrego Józika, ma pani życzliwych ludzi...

Ile razy Wesołowski odwiedził panią Warbicką, tyle razy raźniej na duszy i ciele jej się robiło. Zdawało się, że Wesołowski udzielił jej trochę swojej młodości i zdrowia.

Józik z coraz gorszym wstrętem chodził do Piotrowej odbierać potrochu swoje pieniądze. Pokazało się, że to była niedobra kobieta, która myślała, że obietnica oddania pieniędzy, to to samo, co pieniądze. Wreszcie musiał się w to wdać Wesołowski, który Piotrowej opowiedział tak jak i pani Warbickiej o swoich silnych pięściach. Kapaniną wreszcie Józik odebrał swoje. Gdy odchodził, resztę długu prośbą i groźbą wycisnąwszy z Piotrowej, ujrzał Walka, który mu pogroził i zębami zgrzytnął.

Potem spotkał kilka razy tego włóczęgę około domu, w którym mieszkała pani Warbicka. Bał się o Bosego, więc ile razy wychodził zamykał drzwi na klucz, który brał z sobą. Bosy musiał leżeć na sienniku i nic nie pomogło choć drapał do drzwi i spinał się łapami na klamkę.

Ale raz Bosy idąc po schodach za Józikiem, usłyszał nagle miauknięcie kota, rzucił się w podwórze, głuchy na wołanie Józika, nie zdolny oprzeć się pochłaniającej go żądzy uskubnięcia nieprzyjaciela. Józik pobiegł za Bosym i ujrzał Walka, rzucającego kamieniami na psa. Bosy mając zagrożony odwrót, rzucił się ku bramie i wyskoczył na ulicę. Za nim pobiegł Walek z kamieniem w rękę, a za nimi przestraszony Józik. Było to jeszcze bardzo rano, słońce zaledwie zaczęło się ukazywać a więc chwila w której Bosy nigdy się na ulicy nie pokazywał, bo czuł przejście czyszcicieli

Tego dnia właśnie się zdarzyło, że furgon ich i oni sami znajdowali się w pobliżu i uciekający Bosa, któremu kamień rzucony przez Walka przetrzącił nogę, poczuł nagle wkoło szyi duszący sznur i zrozumiał, że wszystko dla niego było już skończone. Pomyślał o swej pani, pomyślał o Józiku i Wojciechowej i być może postanowił, że gdyby teraz nadzwyczajny wypadek uratował mu życie, toby już nigdy za kotami nie gonił, bo to było początkiem jego zguby.

Walek śmiał się, patrząc na Bosego, którego oprawcy rzucili do furgonu, mieszczącego już niejedną ofiarę. Józik widział zdala jaki los spotkał biednego psa. Podbiegł do furgonu i błagać począł o życie Bosego.

— Sameś sobie winien — odparł mu człowiek — poco puszczasz psa samopas bez obroży.

Skończyło się na tem, że Józik dał jednemu z tych ludzi szczyryk, który niedawno dostał od Aliganta, drugiemu dwa złote, za które miał kupić lekarstwo dla pani Warbickiej i nareszcie Bosa wyjącego żałośnie, ujrzał na nowo światło dzienne. Trzymając się nóg Józika na trzech łapach, bo na czwartą stanąć nie mógł, dostał się nareszcie na swój siennik, na którym spocząwszy, patrzył na Józika rozdzierającym wzrokiem, w którym był wyraz cierpienia, pokory, wdzięczności i skruchy.

Józik opowiedział całe to wydarzenie pani Warbickiej a pies rozumiał, że o nim mówiono i chwilami pomrukiwał żałośnie.

W ciągu dnia dostał silnej gorączki. Nie ruszał się wcale z siennika, nic jeść nie chciał, pił tylko wodę łapczywie. Łapa coraz bardziej puchła i pani Warbicka przypuszczać zaczęła, że była zgruchotana. Ile razy Józik jej dotykał, tyle razy pies skomlał. Widocznie było źle, i zapewne byłby już kaleką pozostał na całe życie, gdyby nie Wesołowski, który tego dnia odwiedził chorą. Zbadał on dokładnie przetrąconą nogę i oświadczył, że jest potrzebna operacja.

— Ale przedtem, dla mojej spokojności, proszę o zwołanie konsylium — dodał tak poważnie, jakby chodziło o człowieka.

— Konsylium?

— Tak pani, i nawet wymienię kolegów, których chciałbym widzieć przy łóżku... przy sienniku pacjenta. Pragnę, by wezwani zostali kolega Płaksa i kolega Aligant, z którymi, jeżeli potwierdzą moją opinię, dopełnię nad pacjentem operacji pod chloroformem. Ludzi jeszcze ani leczymy ani operujemy, ale Bosemu mamy prawo udzielić światłej naszej rady i skutecznej naszej pomocy.

Ustawiono stół na strychu, w składziku należącym do pani Warbickiej. Pod wieczór zjawili się studenci i po naradzie prowadzonej po łacinie, z której ani pani Warbicka ani Józik nie rozumieli ni słowa, przeniesiono Bosego na strych i przystąpiono do wyjęcia z łapy pogruchotanej kości. Józik trzymał chloroform przy pysku pacjenta, Aligant trzymał rękę na jego psiem sercu, a Wesołowski z Płaksą wyjęli połamane kości, ogipsowali, owinęli bandażem i Bosa na swój siennik przeniesiony został.

Cierpienia jego były długie, lecz powstał zdrów zupełnie i nawet wkrótce ślady lancetu pokryły się bujnym włosem. Wojciechowa pamiętała o biedaku przez cały ciąg jego choroby, wstał więc lśniący i tłusty, bo do utycia dopomógł mu zupełny brak ruchu.

* * *

Przeszła wiosna a nastąpiło bardzo skwarne lato. Studenci przebywali ostatnie egzamina, pocili się nad książkami, ślęczyli nad niemi po nocach, pomizernieli i pobledli, ale nareszcie męka ich się skończyła. Wszyscy trzej złożyli egzamina bardzo świetnie i wyjechali z Warszawy na wakacje do rodziców dla odpoczynku, już jako skończeni lekarze. Józikowi ogromnie pusto bez nich się zrobiło. Wynieśli się ze swego mieszkania zupełnie, trochę starych gratów, niepotrzebnych książek i kajetów, zostawiając Józikowi. Ten spieniężył spieszenie wszystko, bo gospodarz domu, w którym

mieszkała pani Warbicka, groził wyrzuceniem jej i Józik musiał go choć kilku rublami zaspokoić. Nie wykonał przecież swej groźby. Pani Warbicka ustąpiła sama. Pewnego dnia posłała Józika po księdza, wypowiadała się i ostatnie Sakramenta z rąk jego przyjęła, a wieczorem tego samego dnia już nie żyła.

Urządzeniem pogrzebu zajęła się Wojciechowa. Józik, za ostatni grosz jaki posiadał, kupił trochę kwiatów na trumnę, za którą idąc, uczuł się strasznie samotnym. Oto odchodziła od niego opiekunka, która go jak własne dziecko kochała i obok niego idący Bosa, był na tę chwilę jedynym towarzyszem jego. Józik płakał żałośnie i sam jeden z kościółka na Powązki zmarłą swoją opiekunkę odprowadził, modląc się gorąco do Boga, za spokój jej zacnej duszy i błagając go o opiekę nad sobą. Wojciechowa nie mogła się od swoich zajęć uwolnić, a Wesołowski, który byłby poszedł niezawodnie, był daleko.

Żał nie pozwolił Józikowi myśleć z początku o sobie. Dopiero gdy po powrocie z pogrzebu wszedł do pokoju, w którym z panią Warbicką mieszkał i zobaczył go pustym zupełnie, okropna rzeczywistość groźnie stanęła przed nim. Stróżowa z miotłą i ścierką kręciła się po dobrze znanych mu kątach i zawołała ujrawszy Józika:

— Trochę tych tam rupieci co po nieboszczce zostało, gospodarz kazał znieść do składziku i kazał ci powiedzieć, że ci ich nie wyda, aż mu oddasz 12 rubli, coś mu winien za mieszkanie!

Józik osłupiał zupełnie, Bosa zaś stanawszy w progu pustego pokoju, zaczął wyć tak żałośnie, że stróżowa poczęstowała go uderzeniem miotły i wykrzyknikiem:

— A nie pójdziesz ty stąd, ty szkaradniku!

— Gdzież ja się teraz podzieję? — zawołał żałośnie Józik.

— Ha, nie ty pierwszy i nie ostatni! — odparła stróżowa.

— Prawda — pomyślał Józik — nie ja pierwszy i nie ja ostatni! Dużo jest sierot na Bożym świecie gorszych niżeli ja, a przecież Bóg miłościwy zginąć im nie daje. Są chorzy, są kalecy, są maleńkie dzieci głodne! Ja mam przeciw zdrowie i trochę już siły i z łaski pani Warbickiej znam katechizm, czytać, pisać i rachować umiem! I mam tego poczęstowanego psa!

Bosa, jakby odgadł myśli Józika, wspinał się na niego, patrzył mądrymi oczami, wreszcie zaszczekał, jak gdyby chciał powiedzieć:

— Panie, ja tu jestem!

Józik zwrócił się do stróżowej:

— Pan gospodarz kazał znieść wszystko do składziku... ale tam są także moje koszule i trochę odzienia. Poproszę go żeby mi choć to oddał.

— Daremnie będziesz prosił! On nie z takich, o to na prośby uważają! Wreszcie i on musi swego pilnować! I jemu z podatkami nie poczekaają. Kazał powiedzieć, że nie odda!

Józik zwiesił głowę i zwrócił się ku schodom, schodził powoli, jakby miał nogi z ołowiu, a on tylko miał głowę pełną smutnych myśli i ciężko mu było na sercu. Gdy się znalazł w bramie, usiadł na ławce, na której siadał zwykle stróż, i głowę ująwszy w dłonie zadumał się głęboko. Był strasznie zmęczony. Posługi przy umierającej, pogrzeb, płacz, żal, wszystko to wyczerpało jego siły.

— Żeby się tak wyciągnąć gdzie na jakiej wiązecie słomy — myślał biedny Józik — i leżeć, choć z godzinę, bez ruchu!

I nagle mimo, że nigdy wsi nie widział i znał ją tylko z opowiadań pani Warbickiej, zatęsknił za nią. Z ulicy dochodził ciągiły odgłos toczących się po bruku kół, jakichś dwóch ludzi kłóciło się z sobą na dziedzińcu, a Józik chciałby mieć wkoło siebie ciszę zupełną i zieloną łąkę pod stopami i mógł się rozciągnąć na murawie...

Z zadumy wyrwał go Bosa, który go po rękach zakrywających twarz lizać począł.

— W mieście tyle, tyle ludzi! — pomyślał Józik — a człowiek jest jak na pustyni, bo niema do kogo udać się po ratunek!

Ledwie to pomyślał, już poczuł, że był niesprawiedliwy. To tylko żal tak mi ludzi niesprawiedliwymi czyni! Przecie byli dobrzy ludzie! O i jacy dobrzy!

Wstał i poszedł na schody wiodące do kuchni, gdzie rządziła Wojciechowa.

— Przecie żeś przyszedł! — zawołała kobieta. — Obiad ci wystygnie! Jużci ja sama biedna i nie przelewa się u mnie, ale póki tam sobie gdzie jakiej służby nie znajdziesz...

(d. c. n.)



POD STROPEM CYRKU.

Nader trudne a niebezpieczne ćwiczenie, jak widać z załączonej ryciny, przedstawiają obecnie w cyrkach dwaj sztukmistrze. Żałować należy, że są ludzie, którzy poświęcają niemal całe swe życie na kształcenie się w sztukach karkołomnych, a nie przynoszących nikomu żadnego pożytku, jednak służą one za dowód, do jakiej zręczności i siły można dojść, pracując usilnie w jednym kierunku.

Jeździec, jak widzimy, jedzie na rowerze do góry nogami, pod stropem cyrku. Po szynie, umocowanej silnie do

sklepienia, biegną dwa koła bicyklu, uciepione wiązaniem żelaznym, które również toczy się na maleńkich, niewidzialnych kółkach. Dla zwiększenia wrażenia, jeździec, opierający się na mocnym i nieruchomym kierowniku bicyklu, jak na trapezie, trzyma w zębach sznur, na którym zawieszona jest jego towarzyszyca.

Trudno nazwać tę jazdę przyjemną i bezpieczną, pomimo, że pod gimnastykami zawieszona jest siatka.

Kościół św. Antoniego w Padwie.

W niewielkiej odległości od Wenecji, a więc w północno-wschodniej części Włoch, leży starożytne miasto Padwa, zwane przez Rzymian Patavium, nad rzeką Bacchiglione. Liczy ono obecnie około 75000 mieszkańców, a oprócz kilku pięknych gmachów i kościołów z epoki średniowiecznej, posiada starodawny uniwersytet, do którego przed kilku wiekami uczęszczało w młodości wielu znakomitych cudzoziemców, między innymi Jan Zamojski, Stefan Batory i Jan Sobieski; jest tu również wspaniały kościół, wzniesiony w XIV, ku czci słynnego cudami patrona miasta, świętego Antoniego Padewskiego.

Święty Antoni urodził się w Lizbonie w r. 1195, jako syn zamożnej rodziny szlacheckiej. W młodym wieku wstąpił do zakonu Franciszkanów i poświęcił się żarliwie służbie Bożej, nauczając, a zwłaszcza pomagając biednych i cierpiących. Swą świętobliwością i nadzwyczajną łaską Boską, której za życia Bóg mu udzielał ku ratowaniu i wspomoczeniu wielu nieszczęśliwych, zyskał sobie ogólną miłość i cześć wśród wiernych, a w rok po śmierci, która nastąpiła w Padwie dnia 13 czerwca 1231 roku, uznany został za świętego.

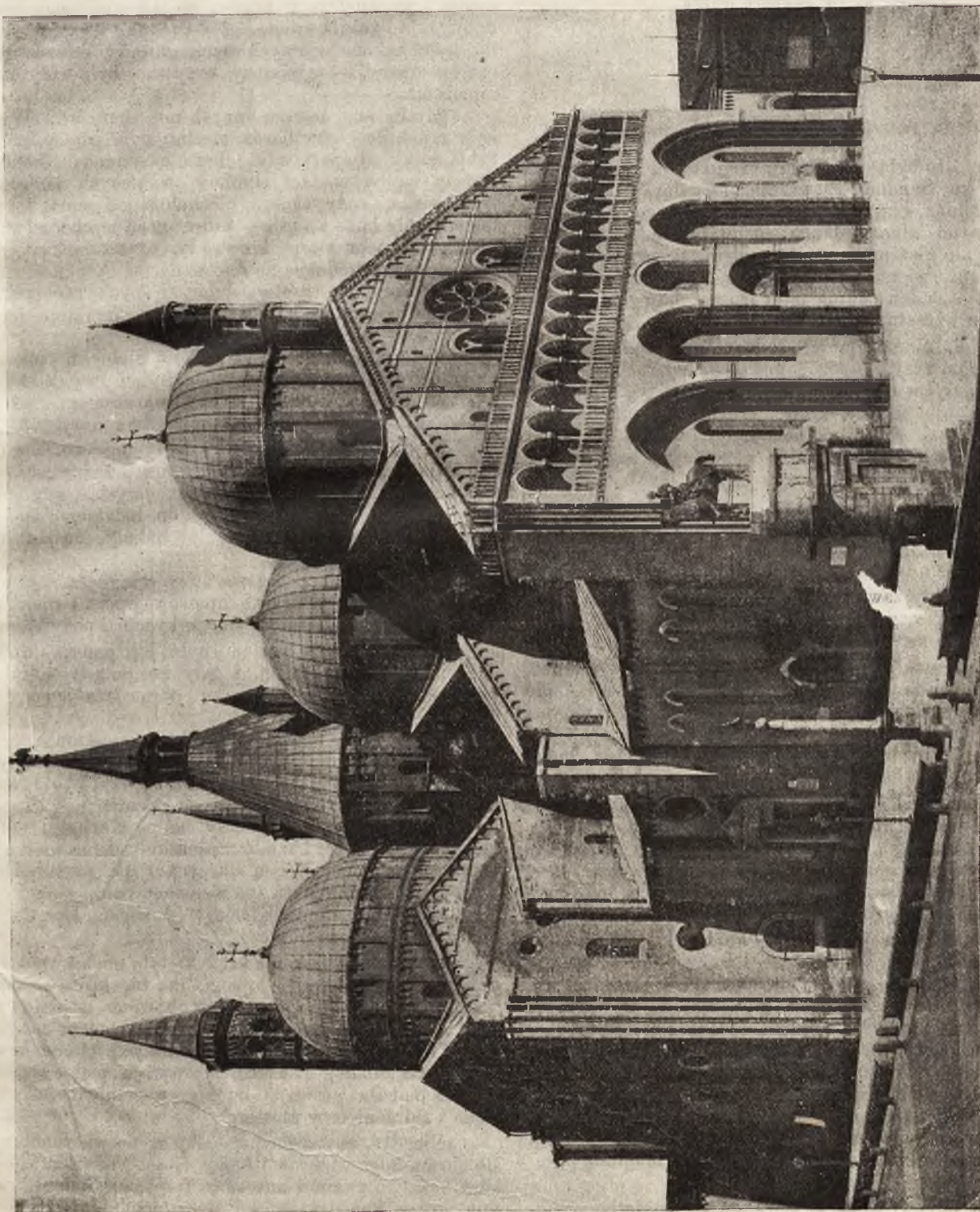
Rychło też Padwańczycy zaczęli przemyślać nad zbudowaniem wspaniałej świątyni dla uczczenia swego patrona i przeniesienia jego grobu, do którego jak wówczas tak i dzisiaj, licznie ze wszystkich krajów świata przyjeżdżają pielgrzymi.

W ciągu stu lat (między 1256 i 1350 r.) stanął kościół, przedstawiony na rycinie naszej, a łączący dwa style: w części bizantyjski według kościoła św. Marka w Wenecji, w części gotycki.

W lewej nawie poprzecznej znajduje się wielce ozdobna kaplica, gdzie, pod ołtarzem spoczywają zwłoki świętego Antoniego. Ściany tej kaplicy pokrywają znakomite marmurowe płaskorzeźby, przedstawiające główne jego cuda. W kościele znajduje się wiele kaplic i ołtarzy, między innymi ołtarz św. Stanisława biskupa, fundowany w roku 1607 przez Mikołaja Ossolińskiego za staraniem studentów Polaków.

Obecnie dla uczczenia ubiegłej w r. 1895 siedemsetnej rocznicy urodzin świętego Antoniego, rozpoczęto odnowienie całego wnętrza kościoła, z zamiarem przywrócenia w całej czystości pierwotnego stylu z XIV wieku. Z tego powodu wiele później powstałych kaplic i ołtarzy, a w ich liczbie i ołtarz św. Stanisława, ulegnie przeróbce, którą kieruje miejscowy spowiednik polski, ksiądz Warchał.

Konny posąg przed kościołem dłuta słynnego rzeźbiarza Donateliego, wyobraża wodza weneckiego Gattamelatę, który w XV wieku ocalił posiadłości tej rzeczypospolitej od napadów książąt medyolańskich. Padwa bowiem po dwuwiekowym niezależnym istnieniu, jako jedno z miast związku lombardzkiego, w r. 1405 przeszła pod władzę Wenecji i od tego czasu dzieliła losy tego grodu.



Kościół św. Antoniego w Padwie.

Marya Łopuszańska.

OBRONCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

W S T Ę P.

...Duch puszczy szumiał nad dzikim przestworem

A puszcza to była olbrzymia i ciemna; od gór Łysych aż do Kielc, ku Sandomierzowi, ku brzegom Wisły starej, wyciągała ramiona, czarna, nieprzebyta, milcząca.

Bo gdy po wierzchołkach rozbiły się wichry, wewnątrz panowała niczem niezmacona cisza, przerywana tylko niekiedy rykiem zwierza lub łoskotem drzew, upadających ze starości; — a żaden powiew nie poruszył bujnych paproci, i innych roślin wzrastających u ich stóp.

Ciemności, nierozjaśnione żadnym promieniem słońca, zaległy głębie puszczy, napozór martwe i bez ruchu; — lecz ktoby się wpatrzył w nie bliżej, poznałby, że w tych mrokach wilgotnych wrzało ukryte życie. Gdyś nastąpił na stos zmruszałych gałęzi, z pod nóg uchodziły ci obmierzłe jakieś gady, spiesząc co prędzej skryć się w ciemnych kryjówkach. Krzyk ptactwa drapieżnego często też rozlegał się ponad wierzchołkami drzew.

Niedźwiedź, żubr, tur siwy, o grzbiecie, przerzniętym ciemną pręgą, dzik i ryś centkowany, oto byli mieszkańcy i królowie czarnego boru.

Gdy nastawały zawałne zimy, stada wilków, liczące po sto i więcej sztuk, wpadały na wsie, stojące wśród lasów i siedlacy nieraz musieli z nimi staczać krwawe walki.

Drzewa dorastały w owe czasy do niewidzianych dziś rozmiarów, tak co do objętości, jak i co do wysokości. A nie rosły, jak teraz, przeważnie w jednym gatunku, ale wszystkie prawie odmiany północne wznosiły się zgodnie obok siebie, od dębu aż do modrzewia, od jesionu do cisu, buka, sosny, klonu, lipy, świerka i jodły.

W mrokach tych bezustanku poruszały się jakieś stworzenia, które mogło rozpoznać tylko oko, obyte z ciemnością, wciąż tu panującą. Kuny i łasice, borsuki i żbiki wyskakiwały z pod nóg wędrowca i kryły się w gąszczach.

Powietrze, nieodświeżane przewiewem wiatru, było ciężkie i przesycone wonią gnijącej roślinności.

Ale całkiem inaczej było, gdy burza rozegrała się nad puszcza.

Wówczas, miasto głuchej ciszy, rozlegały się łoskoty, powtarzane przez odwieczne echa ciemnego boru; stuletnie drzewa waliły się, ciężarem swoim przytłaczając towarzyszy i tym sposobem odkrywając znaczne przestrzenie; błyskawice rozświetlały wnętrza nieprzebytych wertepów, nietkniętych nogą ludzką, — bo owe puszcze olbrzymie przyciągały straszne burze, które tu szalały z niesłychaną wściekłością, na długo pozostawiając ślady swego przejścia i robiąc często drogi szerokie, tam, gdzie dawniej zwierz zaledwie mógł się przez gąszcze przecisnąć.

Olbrzym burz, Świst-Poświst, stapał po drzew wierzchołkach, uginających się pod jego nogą, jak kłosa.

Te to burze robiły puszcze jeszcze bardziej nieprzebytą, bo zawały ją stosami łomu i pniami obalonemi, co sprawiało, iż w niektórych miejscach niepodobna było przejść człowiekowi, gdyż gałęzie, jak kłęby poplątanych węzłów, więziły mu stopy.

A jednak, pomimo to wszystko, puszcza, przynajmniej na krańcach, miała swoich mieszkańców. Byli nimi drwale i łowcy, zamieszkujący od urodzenia te głuche wnętrza boru

i tworzący osobne osady, rozłożone u skraju lasu nad wodami.

Samotność jednak, nieustanne obcowanie z dziką przyrodą i ze zwierzem leśnym była przyczyną, iż sami nie różnili się od tego ostatniego. Głuche chodzący wieści, że pomimo, iż upłynęło już lat kilkadziesiąt, jak Mieczysław i Dąbrówka zaprowadzili chrześcijańską wiarę, a król Bolesław, obecnie panujący, usilnie starał się o utrzymanie jej i rozprzestrzenienie, — we wnętrzach borów, po staremu, czczono jeszcze dęby, gaje i źródła święte. Nikt jednak stwierdzić nie mógł, ilu było takich wiernych zachowawców odwiecznych obyczajów ojców, — w puszczy wszystko było ukrytem i tajemniczem.

Miała ona jeszcze innych mieszkańców. Wyobraźni ludu zapełniła głębie borów niezliczonym rojem duchów, sabiających siły przyrody. Tam na bagnach błędnie zwały się w postaci ogników, wabiących podróżnego na trzasańska, kędy śmierć niechybna. Jeziora i źródła zamieszkiwały hoże wodnice, które nocą wychodziły na brzo, prowadząc tam swoje korowody, oraz topielce i pluskociągające przechodniów na dno wody.

Wertepnicy, psotne duchy leśnych uroczysk, nie po całych nocach wodziły wędrowców, nie dając im przy do domu.

A skoro miesiąc wypłynął na niebiosa, nocnice o motoperzowych skrzydłach przychodziły pić rosę z ziół leśnych, a potem leciały w różne strony, unosząc się nad sennymi ludźmi, ukazując im sny straszne i nocne mary.

To też, gdy cienie nocy zaległy puszcze, nie było wie śmiałka, coby się ważył przez nią przedzierać. — Strach zabobonny zdejmował najodważniejszych, gdy olbrzymie sowy-puhacze, głosem zupełnie do ludzkiego śmiechu podobnym, chichotały po lesie, lub hukwały, naśladując hasło nawołujących się drwali.

A gdy Marana, bóstwo zimy, ciągnęła lasami, towarzyszył jej ponury orszak upiórów, widm i zmór nocnych, lecących wraz z tumanami śniegu i wichru poświstem.

Tam w puszczy bowiem było jej państwo dzikie, tam ona królowała najdłużej, i gdy po polach rolnik dawno już ziemię orał, we wnętrzu boru leżały jeszcze zasy śnieżne.

Zatem mgły białe otulały bory, rankami i wieczorami wszystkiemu dokoła nadawały fantastyczne kształty; i przysiągłbyś, że wśród tych tumanów pływają istoty nadprzyrodzone, a całe ich roje lęgną się po gąszczach.

W owej epoce kraj cały, aż po Karpaty, porosły był lasami; Małopolskę nazwać można było jedną wielką puszcza, która tylko ponad Wisłą zaczynała się przerzedzać i osiedlać. Jak białe punkta na zielonem polu, świeciły zdaleka Kraków, Sandomierz, Kielce i Wiślica. Dokoła zaś szumiały niezbrodzone puszcze.

O żadnej jednak nie krążyło tyle podań i powieści, żadna nie budziła takiej trwogi, jak ta, która rozciągała się u stóp gór Łysych. Od wieków bowiem istniało przekonanie, iż na najwyższym szczycie, znanym teraz pod imieniem Ś-to-Krzyżkiej, czarownice z najdalszych okolic kraju zbierają się na zabawy i harce wyprawiają piekielne; — to też góra ta budziła postrach ogólny, wspomniano o niej tylko cicho i z drżeniem w głosie.

Niegdyś, za czasów pogańskich, na wierzchołku wznosił się chram boga wiatrów i burzy: Świst-Pośwista, ale Mieczysław kazał go zwalić i natomiast postawić kościół, osadzając tam kilku Benedyktynów. Lecz poganie zburzyli wkrótce świątynię, zakonnicy zginęli męczeńską śmiercią i na wierzchołku góry piętrzył się tylko stos gruzów. Stała się ona znów pogańską i szerzyła nadal tajemniczą grozę dokoła.

Twierdzono, że wśród nocnych tumanów ukazywały się jakieś migotliwe ognie, to gasnąc, to zapalając się znowu. Szczególnie od niejakiego czasu owo tajemnicze światło coraz częściej purpurowym płaszczem odziewało szczyt góry i prawie co nocy, jeśli wierzyć ogólnym pogłoskom, ciemności rozdarły się krwawą łuną w tej stronie.

Słyszając to, jedni żegnali się pobożnie, inni zaś, jakby nie chcąc się wydawać z tem, co wiedzą, zachowywali wiele znaczące milczenie.

Cudowna opowieść o Łysej górze, zasnutą w to pasmo podań, spłotła w jeden wieniec ów świat czarów i bajek ze świtem nowej ery chrześcijańskiej, a krążąc długo z ust do ust, powtarzana z poszanowaniem i trwogą, niby nie złota rozświecała ciemnie owych zamierzchłych wieków, aż w postaci legendy doszła do naszych czasów.

A brzmiała ona w ten sposób:

Król Chrobry bawił wówczas wraz z dworem w Kielcach, gdzie w odwiedziny do niego przybył siostrzan, królewicz Emeryk, syn Stefana węgierskiego. Było to książę pobożne i dbałe o chwałę Bożą, ale zwyczajem ówczesnym, jak wszyscy mężowie, namiętnie zamięłowany do łowów. Razu jednego, kiedy obaj z królem Bolesławem, oddając się zabawom łowieckim, przetrząsali puszcze okoliczne, królewicz, odłączony od swego orszaku, zbłąkał się, pogoniwszy za zwierzem. Długo tak błądził po ciemnym borze, aż w końcu koń go zaniósł do stóp wyniosłej góry, pokrytej lasem i gęszczą nieprzebytą, — była to góra Łysa. Królewicz wiedział, jakie podania krążyły o niej, ale pobożny i mężnego serca pan, nie bał się czarów i postanowił piąć się aż na sam szczyt góry. Owóż, gdy już był niedaleko wierzchołka, stanął nagle koń jego, jak wryty, drżąc z trwogi, jak gdyby dokoła siebie czuł coś nadprzyrodzonego, — i mimo wszelkie nalegania królewicza, który, zeskoczywszy, bił go i zachęcał, z miejsca ruszyć się nie chciał.

W końcu Emeryk przypomniał sobie wszystkie wieści, krążące o tem miejscu, uczuł dziwną trwogę i trzykroć przeżegnawszy się, polecał Bogu, — gdy nagle, nad głową jego dał się słyszeć głos uroczysty:

„Ani koń twój, ani ty stąd nie wyjdiesz, dokąd nie złożysz tu, co masz najdroższego przy sobie.”

Padł na kolana pobożny królewicz i w świętej trwodze, domyślając się, że głos ów był głosem z nieba, z pokorą zawołał:

— O, Panie, ślubuję, iż złożę tu, co mam najdroższego, a tem jest szczytek krzyża Twego Boskiego Syna, niech tylko stanie w tem miejscu dom, poświęcony Twojej chwale.

Zaledwie wyrzekł te słowa, gdy urok znikł natychmiast, koń, posłuszny, ruszył z miejsca i królewicz, szczęśliwie do Kielc powróciwszy, opowiedział Bolesławowi całą swą przygodę, a król przejęty tym cudem, przyrzekł uroczyste, iż zbuduje kościół na Łysej górze.

ciągle jednak boje i inne przeszkody, nie dały mu spełnić obietnicy i choć już kilka lat upłynęło od owego wydarzenia, nie rozpoczęto jednak budowy kościoła. Tymczasem Łysa góra, po dawnemu, budziła u ludu postrach i grozę. Posępna, ukryta w mgły białe, ponad całą okolicę wznosiła szczyt swój, pełen tajemnic i czarów.

I.

Odwiecznym zwyczajem u Polan i Chorbatów było, że gdy następowała wiosna, obchodzono święto Marany, czyli Marzanny.

Duchowieństwo nie mogło, po wprowadzeniu chrześcijaństwa, wpłynąć na zarzucenia owego zwyczaju, gdyż wywołałoby to oburzenie między ludem, całym sercem przywiązanym do dawnych obchodów. Długo też niektóre z nich się zachowały, chociaż nawet zatracono pojęcie o ich starożytnem znaczeniu.

Jednym z takich, był obchód Marzanny, czyli Marany, odprawiany jeszcze później, przez długie wieki *).

Tegoroczna wiosna była piękna i wczesna; na Wiśle lody puściły prędko, w puszczy pękały pączki na drzewach, stada sarn i jeleni wychodziły się kapać w leśnych wodach,

łoś ocierał nowe rogi, niedźwiedź wychodził z legowiska, ptactwo budowało sobie nowe gniazda na gałęziach drzew.

Król Chrobry znów zjechał do Kielc ze swoim dworem, sprawiając nieraz osobiście sądy, na które zbiegano się wsząd, by oglądać oblicze monarchy.

Ludzie przygotowywali się tymczasem do obchodu Marany, mającego się odbyć w pobliżu grodu, na rozległej równinie, pod lasem. W przededniu jeszcze ciągnęły wielkie gromady ludu z zapasami żywności; szły naprzód dziewczyny i chłopcy, postrojeni odświętnie, dalej starsi mężowie i niewiasty wszyscy weseli i pełni nadziei, bo pogoda nazajutrz zapowiadała się pięknie, a według niej rokowano jakie ma być rozpoczynające się lato.

Wesoły tłum, zgromadzony z najdalszych okolic, obzował na równinie, rozpaliwszy wielkie ogniska. — Nazajutrz dzień wstał jasny i pogodny, ani jednej chmurki na niebie, ani najlżejszego technienia wiatru w powietrzu.

Obszerna równina, porośnięta zieloną, dotychczas niezdeptaną stopami zgromadzonych murawą, rozciągała się aż do lasu, którego czarna ściana widniała w dali, przez pół jeszcze przesłonięta porannymi mgłami. Wiosenny świergot ptactwa rozlegał się po gajach, tysiące much, komarów, wznosiło się w powietrzu, hrzącąc cieniutkim głosem i ciesząc się jasnym słońcem; od czasu do czasu trzmiel przeleciał, nucąc grubym basem i milkł nagle, usadowiwszy się na wonnym kwiecie, z którego miód słodki wysysał. W pobliskim potoku rechotały żaby różnemi głosy, a bąk wodny huczał, zanurzony głowę w mule. Stosy pieczywa wznosiły się na murawie, dalej stały beczki z miodem, u ognisk zaś pieczono mięso na wielkich kamieniach.

Dziewczęta zabrały się do przystrojenia bałwana Marany w kwiaty i wstęgi, czemu towarzyszyły pieśni i śmiechy wesołe.

Dziady gęślarze, krążyli wśród tłumu, przygrywając na gęślach, a choć wzbronionem było śpiewać pieśni pogańskie na cześć bogów, odzywały się one po dawnemu, bo lud nie był zdolnym zapomnieć o przedmiotach czci odwiecznej.

Czasami wśród zgromadzenia ukazywały się dziwne jakieś postacie mężów o twarzy surowej i zarosniętej, odziane w skóry sierścią na wierzch, z łukami na plecach. Spoglądali oni dokoła siebie wzrokiem dzikim, jakby coś niedobrego zamyślając. Ludzie szeptali między sobą, że to są łowcy i drwale, mający osady w puszczy łysogórskiej.

Wreszcie dziewczęta przystroiły bałwana Marany w co która miała najpiękniejszego, więc w szklane paciorki, chustki, wstęgi i wieńce, postawiono go w środku koła i kazano podtrzymywać dwóm małym chłopcom, nader dumnym z tego obowiązku, a dziewczęta wzięwszy się za ręce w koło, rozpoczęły śpiewy i tańce.

Piosenki były to weselsze to, smutniejsze, w ogóle jednak przebijająca się w nich radość, że panowanie zimy już skończone, że krasna wiosna nastąpiła, ciesząc ludzi i zwierza wszelkiego.

Reszta zgromadzenia, chłopcy, starsi mężowie, niewiasty i dzieci stali na boku, przypatrując się i słuchając pieśni.

Byli tam ludzie z pod Sandomierza, z pod Wiślicy i z pod Krakowa, wielu zaś było, o których nikt nie wiedział z kąd przyszli i żadna gromada do nich się nie przyznawała.

Gdy już wszystkie pieśni zostały odśpiewane, zwołano bałwana Marany na ziemię i powleczono do pobliskiego potoku, by go tam utopić, śpiewając przy tem odwieczną pieśń:

„Śmierć się wijąc u płotu, szukając kłopotu i. t. d.”

Dzika jakaś, do szału posunięta radością ogarnęła te tłumy, które z wściekłością szarpiając, ciągnęły bałwana; dziewczęta z krzykiem obdzierały go z ozdób, a wszyscy obecni, zaprzęgnięszy się doń, wlekli po murawie.

Gdy go wreszcie pograżyli w wodzie, zaczęli uciekać ztamtąd śpiesznie strzegąc się jednak pilnie, by nie upaść, co byłoby przepowiednią śmierci w ciągu roku.

Zima już została utopioną, nastąpiło królowanie wiosny hożej, która mai pola i lasy i budzi tęskność w młodem ser-

*) Bielski.

cu, nie wiedzieć dla czego; wiosny - czarownicy psotnej, która każe kukułce smętnie się odzywać, słowikowi po nocach zawodzić, a duszy ludzkiej pragnąć czegoś nieznanego.

(d. c. n.)

ZE ŚWIATA.

Przestrzeń i zaludnienie ziemi. — Ostatnie obliczenia. — Deszcz pyłu. — Połów w morzu Czerwem. — Nowe wyprawy podbiegunowe. — Hotel karłów.

Ostatnie obliczenia, dokonane przez prof. Ravensteina, członka królewskiego Towarzystwa geograficznego w Londynie, stwierdzają, iż pięć części świata mają powierzchnię 133 milionów kilometrów kwadratowych, nie licząc przestrzeni podbiegunowych. Z tego przypada 89 mil. kil. kw. na ziemię uprawną, 40 mil. kil. kw. na ziemię nieuprawną i 4 mil. kil. kw. na pustynie. Europa ma 367 milionów mieszkańców, Azja 890, Afryka 200, Ameryka 126, Oceania 40 milionów; razem tedy kula ziemiska ma 1623 milionów mieszkańców.

W lutym r. b. bardzo obfity deszcz pyłu opadł na wodach Atlantyku południowego, na zachód od Afryki. Parowiec „Roslyn Castle”, napotkał tę chmurę i na przestrzeni 1,200 km. pokład jego wciąż był pyłem zasypywany. Kurz tak gęsto się unosił, że tworzył mgłę nieprzerwaną, złożony zaś był z nader drobnych płytek kwarcu i czarnej miki. Nie znaleziono w nim zgoła cząstek zeszlonych, ani żadnych innych śladów pochodzenia wulkanicznego, a według wszelkiego prawdopodobieństwa pochodził on z pustyni Sahary. W tym czasie srożyły się burze w Algeryi, one to zapewne uniosły ten obłok piaszczysty. Znane są zresztą przykłady przenoszenia piasku na odległości znaczniejsze jeszcze; deszcze pyłu pochodzącego z Sahary spadały na wyspach Kanaryjskich, a dochodziły nawet do Boulogne sur mer.

Komendant okrętu Yang-Tsé, nadesłał akademii nauk w Paryżu wiadomość, że podczas przepływu przez morze Czerwone załoga okrętu schwytała olbrzymią rybę, która stawiała tak znaczny opór, że gdy ją ciągnięto, dało się natychmiast dostrzedz zmniejszenie szybkości statku! Starano się wyciągnąć ją na pokład, ciężar jej wszakże tak był znaczny, że łańcuch się zerwał, pozostawiono ją więc w wodzie, przywiązaną do przodu okrętu. W Dżibuti znalazł się lekarz, który poznał, że mniemana ta ryba była, zwierzęciem z rzędu wielorybów, a mianowicie krową morską (Manatus) z rodzaju dugon (Halicore dugong), który niegdyś pospolity był w morzach indyjskich, od stu lat już wszakże uważany za gatunek zaginiony.

Kapitan Bernier przedstawił Towarzystwu geograficznemu w Kwebek projekt podróży podbiegunowej, którą wkrótce ma podjąć. Zamierza on najpierw udać się okrętem aż do punktu, położonego na północ Syberyi, gdzie okręt Nansena, „Fram”, przesunął się przez równoleżnik 80° szerokości. Tam opuści okręt i w dalszą podróż uda się po lodzie w towarzystwie 80 ludzi, 50 psów i 50 reniferów, zabierając zapas żywności na dwa lata. Wyprawa nadto posiadać ma łyżwy „ski”, kajaki oraz statek przenośny, zbudowany z glinu i drzewa. Kapitan Bernier jest pełen otuchy i sądzi, że w ciągu stu dni zdoła dotrzeć do bieguna, z kąd wróci przez Spicberg lub ziemię Franciszka-Józefa. Wyprawa wyruszyć ma już w czerwcu z Wiktoryi, by przez cieśninę Berynga dopłynąć we wrześniu do wsp. Syberyjskich.

W tymże czasie udaje się w tamte strony i Walter Welman, który przewozi kilku Szwedów, zamierzających poszukiwać śladów aeronauty Andrégo; poszukiwania te, które prowadzić mają kosztem króla szwedzkiego, rozpoczną od ziemi Franciszka-Józefa.

W mieście White-Plains w stanie New-York znajduje się hotel w którym czynni są tylko karły, a i gospodarzami jego są mister i madame Dot, również karły; zanim zostali właścicielami hotelu, pokazywali się w cyrku. Mister Dot liczy lat 32 i jest wysokości 77 cm., żona jego jeszcze mniejsza, trzyletni zaś ich synek ma wysokości 40 cm. Cała służba: kucharze, służące i t. p., nie dochodzą wyżej metra wysokości.

Niebo w Czerwcu.

W pogodne choć krótkie noce czerwcowe, można obserwować ważniejsze gwiazdozbiory, ale słońce zachodzi tak późno, że już sen zaczyna mroczyć powieki, kiedy się ściemni zupełnie. W dniu 21 czerwca (początek lata) słońce świeci najdłużej, bo przez 16 godzin i 46 minuta na tak zwanem kole biegunowem, które przechodzi przez północny kraniec Norwegii, słońce dnia tego zupełnie nie chowa się za horyzontem i świeci nawet o północy. Ale jest to dzień przełomowy, odtąd noce zaczynają się z kolei przedłużać.

Z planet oglądać można w tym miesiącu tylko Wenerę, Jowisza i Saturna. Pierwsza z tych planet widzialną jest przez dwie godziny po zachodzie słońca, a wydaje się dosyć dużą, bo widać $\frac{4}{5}$ części jej tarczy. Posuwa się ruchem prostym w gwiazdozbiorach Bliźniąt i Raka.

Nów księżycy przypada 19 czerwca, pierwsza kwadra 27-go.

Przypominamy o wczesnem ODNOWIENIU PRENUMERATY na kwartał III-ci dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

TREŚĆ: Klementyna z Tańskich Hofmanowa (z portretem). — Dzielný chłopiec przez Zofię Kowerską. — Pod stropem cyrku (z ryc.) Kościół św. Antoniego w Padwie (z ryc.) — Obrońcy bogów przez M. Łopuszańską. — Niebo w Czerwcu. — Ze świata. Dodatek: Kolczaste zwierzątko (z ryc.) — Miłosierdzie, komedyjka w 1-ym akcie. — Królowa poziomek i paproci, bajka czarodziejska przez Wacława Sulimę. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

WIECZORY RODZINNE



KOLCZASTE ZWIERZĄTKO.

— Co to za kula kolczasta, mamó, niby kłębek spilkami napchany a tak się porusza, jakby w nim jakie żywe siedziało zwierzątko.

— Nie mylisz się, Józiu — odpowiedziała mama — ten kłębek kolczasty to jeż, o którym już nieraz słyszałeś. Zobaczysz go wkrótce, jeśli chwil kilka stać będziesz spokojnie, nie robiąc najmniejszego hałasu.

Józio posłuchał mamy, czekał cierpliwie i wkrótce ujrzał, jak z pod kolczastej powłoki jeż wysunął pyszczyk ryjkowato podłużny, i na krótkich, pięciopalcowych, w pazury uzbrojonych nóżkach zaczął posuwać się zwolna.

Józio przypatrywał mu się ciekawie.

— Jakież to osobliwe zwierzątko! — mówił przyciszonym głosem — na co mu te gęste i ostre kolce przydać się mogą?

— Służą mu, jak rycerzowi, pancerz do obrony — tłumaczyła matka — zaraz się o tem przekonasz.

To rzekłszy, przywołała Kruczka, psa podwórzowego. Jeż dostrzegłszy zdala grożące mu niebezpieczeństwo zwinął się zaraz w kłębek, nadstawiając ostro kłujące kolce, tak, że pies warcząc i skacząc dokoła, obwąchiwał wroga, nie śmiał go jednak dotknąć.

— Widzisz Józiu — zauważyła matka — jak to Opatrzność nawet takim małym stworzeniom, daje środki

obrony wobec licznych jego nieprzyjaciół. Rzadko które ze zwierząt drapieżnych z jeżem w kłębek zwinęty, poradzić sobie może; jeden tylko wśród czworonożnych, borsuk, nie obawia się tych kolców, a wśród ptaków pułacz, potrafi zadusić go szponami i zjeść do szczytu, że tylko skóra kolczasta pozostaje.

— A jeż czem się sam żywi? — pytał Józio.

Nocą wychodzi zwykle na zdobycz, chwytając jaszczurki, żaby, myszy, chrabąszcze i t. p., tępiąc w taki sposób domowych i ogrodowych szkodników. Długi czas przypuszczano, że jeż żywi się roślinami, że zbiera jabłka, nadziejąc je na kolce gdy tarza się po ziemi, przekonano się jednak, iż było to błędne mniemanie, stąd prawdopodobnie powstało, że, jak widzimy na dołączonej rycinie, tych jego kolców czepiają się różne, napotymane przypadkowo rośliny.

— Gdzie jeża najłatwiej znaleźć można? — pytał dalej Józio.

— Jest on pospolity w całej Europie; w dzień ukrywa się w gąszczu lub pod kupkami gałęzi; z mchu i liści urządza sobie wygodne legowisko, w którym w porze zimowej na czas dłuższy zasypia, budząc się dopiero w ciepłych dniach kwietnia do życia.

— Więc jeż człowiekowi nic złego nie wyrządza? — zagadnął Józio.

— Przeciwnie, moje dziecko, niewinne to zwierzątko tępieniem rzeczywistych szkodników pożytek ludziom przynosi, a lekkomyślnem niszczeniem go sami sobie krzywdę wyrządzamy.

MIŁOSIĘRDZIE.

OBRAZEK DRAMATYCZNY W 1-ym AKCIE

przez

Ignacego Szabowskiego.

(Dokończenie).

NINKA.

Dokończ, Stefcu, mi do uszka,
Coś przed chwilą powiadała.
Co to była za staruszka,
I dziewczynka, Józia mała?

STEFCIA.

Staruszcza niewidoma,
Już nie trafi słonko Boże

Do jej oczu — w głodzie, w morze
Od doma chodzi do doma.
Po ulicach zaś prowadzi
Wnuczka Józia ją za rękę,
A gdzie przyjdą, to im radzi,
Bo śpiewają Bożą Mękę.
Każdy chętnie je zaprasza,
A pieniędzy da potrosze,
I Marynka nawet nasza
Dała starej cztery grosze.

LEON.

A, nieprawda, bo aż ośm.

STEFCIA. Cztery.

LEON. Ośm.

STEFCIA. Cztery.

LEON. Ośm.

NINKA (*do Leona*).

O nic pana my nie prosim!

Lepiej zostaw nas w spokoju.

LEON (*ironicznie*).

Zobaczmy, jak też długo

Z uniożonym waszym sługą

Trwać będziecie w srogim boju!

NINKA (*do Stefcia*).

Więc staruszka to uboga?

STEFCIA.

Ubożuchna, jak te dziadki,

Co u kościelnego proga

Wyciągają dłoń po datki.

NINKA.

Czemuż Bozia jej w potrzebie

Nie pomoże? w takiej nędzy?

Wszakże Pan Bóg ma tam w niebie

Dużo, o dużo pieniędzy?

STEFCIA.

Chyba posag roztrwonila,

Jaki Bóg panienkom zsyła,

Kiedy za mąż się wychodzi.

LEON.

Czy ty myślisz, że to z nieba

Złoty deszcz pieniędzy spada?

Pracę tylko Bóg nagrodzi.

Pracuj, jeśli ci potrzeba,

Nie pracujesz, trudna rada,

Będziesz biedny! mówi tatuś.

NINKA.

Co innego mówi tatuś:

„Moje dziecko, tu, na ziemi

Płaczą łzami gorącemi,

Nieszczęśliwych jest tak wiele,

Że na każde cztery świątki

Ledwie jedno jest wesele.„

Stefciu! czy ty nie masz chętki

Dać jej datek choć niewielki?

STEFCIA.

Jabym... jabym... jabym dała,

Lecz wydałam na karmelki,

Gdybyś, Ninko tak zechciała

Mi pożyczyć — czterdziestówkę,

Albo, albo choć złotówkę.

NINKA.

Oddasz?

STEFCIA.

Oddam. Jak mamusię

Kocham, oddam. Wszakże dziadzio.

Dał mi coś na imieniny.

LEON.

Mnie też pożycz!

NINKA.

Ty złośniku!

LEON.

Ja przeproszę już Stefunię,

A dać muszę. (*całuje Stefcia*).

STEFCIA.

Szkaradniku!

LEON.

Wnet ci oddam. Wszakże babcia

Da mi coś na urodziny!

STEFCIA.

Daj mu, Ninko! Poproś Niny!

NINKA (*daje Leonowi i Stefcia*).

No masz! macie po złotemu,

Złoty tobie, złoty jemu!

A ja resztę dam babinie

(*do lalki*).

Lalu, ty pozwolisz Nince. (*wchodzi Tolo*).

TOLO (*zdaleka woła*).

I mnie także daj pieniędzy!...

NINKA (*daje Tolowi*).

Masz dziesiątkę. Chodźmy prędzej.

NINKA, LEON I STEFCIA (*razem*).

Chodźmy, chodźmy!

(*Wybiegają. Nina powraca od drzwi na chwilę do lalki*).

NINKA (*sama*).

Moja lalu,

Ty się gniewasz, moja lalu,

Że po twojej już zabawie,

Że sukienki ci nie sprawię,

W starej chodzić ci wypadnie.

(*pauza*).

E! i tak ci będzie ładnie!

(*machnąwszy ręką wybiega*).

KRÓLOWA POZIOMEK I PAPROCI.

BAJKA CZARODZIEJSKA

przez Wacława Sulimę.

(Dalszy ciąg)

I marzyła o sposobności spleatania im kiedy potężnej psoty.

Pewnego dnia Jagusia płakała znowu w kuchence, kiedy wprost naprzeciw okienka usiadł śnieżnopióry gołąbek.

— Czego płaczesz dziewczeczko? — zagruchał.

— Płaczę, bo niema nieszczęśliwszej istoty ode mnie — odpowiedziała i bezładnie mówić gołąbkowi zaczęła, jak jej tu smutno i źle.

— Powiedz mi dziewczeczko — rzekła ptaszyna — czyś ty zawsze dla wszystkich dobra była i uprzejma?

— Była w naszym domu sierotka Halinka — odparła, spuszczając głowę Jagusia — tej nieraz dokuczałam.

— Czyś jej nie wymawiała, że jest na łasce?

— Owszem, bardzo często.

— A przecież ona pewnie nie ze zbytków, ale z mu- su przyjmowała wasze dobrodziejstwa.

Jagusia westchnęła, rozbudzone sumienie przypominać jej zaczęło mnóstwo okoliczności dotyczących się Halinki, z których wynnioskowała, że jej nie było lepiej w Leśniczówce, niż Jagusi teraz w dębie, a w takim razie nie było co wymawiać.

— Czyś się na nią nigdy nie skarżyła, czyś jej nie obmawiała? — pytał dalej gołąbek.

— O nieraz, jak byłam rozgniewana — szepnęła cicho dziewczynka.

— Czyś nie zabierała jej rzeczy, wiedząc, że się nie będzie skarżyć, czyś jej nie dokuczała, wiedząc, że się nie może bronić?

— Owszem, zdarzało mi się to nieraz — odparła ciszszej jeszcze Jagusia.

— Czyś jej nie wyzyskiwała i nie wyręczała się nią?

Jagusia już nic nie odpowiedziała, tylko zapytała nieśmiało:

— Skąd ty wiesz o tem wszystkim, gołąbku?

— Fruwałem nieraz po lesie i widywałem was razem. Tyś nigdy nie pomyślała jak było ciężkie, dzięki wam, życie tej biednej sierotki. Widziałem nieraz jak usiadłszy pod drzewem, zalewała się gorzkimi łzami; ty zaledwie parę dni tu jesteś, a już wytrzymać nie możesz, a od wielu to miesięcy ta biedaczka znosić musi wasze przykre obejście.

— Oh, ja nie myślałam, żeby jej było tak źle — szepnęła dziewczynka.

— Rozumiesz to dopiero teraz, kiedyś sama biedy zakosztowała, o ileż by to lepiej było, gdybyśmy częściej myśleli o tem, co drugim może zrobić przykrość, czy ciebie więc niesłusznie spotyka kara? Ale taką karę najlepiej przyjmując z pokorą i skorzystać z niej, aby się poprawić.

Gołąbek odleciał, a Jagusia zaczęła się zastanawiać nad jego słowami.

— Prawda, życie Halinki musiało być bardzo ciężkie, a mimo to, jaka ona zawsze była słodka i cierpliwa, jak się starała przejednać je swoją dobrocią, jak im zawsze chętnie pomagała, płacąc ciągle dobrem za złe..

Myśląc o tem wszystkim, dziewczynka zalała się łzami szczerego żalu.

— Jak wrócę do Leśniczówki — powiedziała sobie — przeproszę Halinkę i będę inną, Elżbietce też wytłomaczę, żeśmy źle postępowały. A dla Kory i Szyszki postaram się być taką, jak Halinka dla nas.

VI.

Królestwo grzybków.

Kiedy Halinka otworzyła oczy, uderzył ją nowy, a niespodziany widok. Leżała na noszach, zasłanych

mchem, niosło ją czterech karzelków, ubranych w szare odzienie i nadzwyczaj duże brązowe kapelusze. Wiele takich małych istot otaczało ją i podążało za noszami, a wszystkie albo miały ogromne kapelusze: czerwone, brązowe, białe, żółte, albo też tuliły się pod parasolami różowemi, zielonemi, czerwonemi i t. d. Tak, że cały pochód wyglądał jak gdyby gromada grzybów najrozmaitszych, oderwała się od ziemi i szła, kołysząc się i kiwając na wszystkie strony.

— Co się ze mną dzieje? — myślała Halinka.

Kilkanaście większych i strojnie ubranych grzybów jechało przodem na zajęczach, a wśród nich wyróżniał się, górujący wzrostem nad innymi, jeden grzybek ubrany w czerwień i perły, siedzący pod baldachimem. Pochód odbywał się przy świetle księżycy, noc była widna, orszak posuwał się szybko.

Halinka przymknęła oczy i wpadła w jakieś półsenne odrętwienie.

Po dłuższej chwili uczuła, że niosący nosze zatrzymali się, że ją zdejmują, przenoszą i kładą na miękkie posłanie.

Kiedy się obudziła powtórnie, był już dzień, leżała we wspaniałej komnacie na posłaniu z aksamitnego mchu, nad nią stały dwie małe dziewczynki, jedna w zielonej, druga w czerwonej sukience.

— Gdzie ja jestem? — zapytała Halinka.

— W królestwie grzybków — odpowiedziała Zielonka.

— Jakimże sposobem dostałam się tutaj?

— Król nasz wracając wczoraj od swego przyjaciela księcia wrzosów, znalazł cię leżącą bez przytomności i kazał cię przynieść tutaj. Jeśli chcesz wstać, szaty dla ciebie przygotowane. Król pragnie cię uważać za swego gościa, jest on bezdzietny i stary, a bardzo dzieci lubi.

Halinka zdziwiona przyjemnie, ubrała się w śliczne aksamitne szaty i dała się poprowadzić do króla, który ją przyjął bardzo łaskawie.

Pałac królewski był wspaniały, choć niezbyt wysoki, otoczony lasem, rzeką i ślicznymi polankami. Uwijało się w nim mnóstwo służby i dworzan, którym nadawano imiona od kształtu kapeluszy.

Kraśniak i kozaki stanowiły służbę domową, rydze były gwardyą, gołąbki i zielonki pełniły obowiązki paziów i panien służebnych, borowiki czyli grzyby stanowiły arystokrację rodową, a muchomory pieniążną, ale na tych krzywo patrzano i rozmaicie o nich po cichu mówiono.

Państwo było zasobne, dwór bogaty, król ogólnie kochany.

A ten odrazu polubił Halinkę. Dziewczynka oczarowana była i ucieszona wszystkim co widziała, tak tu pięknie było i wesoło, wszyscy tak grzeczni i uprzejmi byli dla niej.

— Zostań ze mną, dziewczeczko — mówił król — przybiorę cię za córkę i będziesz moją dziedziczką, postaram się, aby ci dobrze było u nas.

I Halince dobrze było bo nikt jej nie dokuczał, nikt jej nie wymawiał, że jest na łasce, przeciwnie wszyscy ubiegali się o jej względy i starali się jej dogadzać.

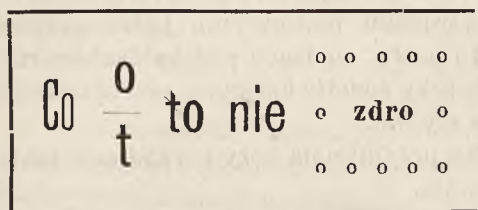
(d. c. n.)

SZARADA.

Pierwsze przeczy, a *drugie* swe wody wspaniale,
Rozdwojonym korytem zlewa w Renu fale.
Wszystko wraz jest to rzeka, której wód bieg rączy,
Z poezją i pieśniami w pamięci się łączy,
Pełna wdzięku po brzegach w urodzie prostaczej,
A przy ujściu do morza zowią ją inaczej.

REBUSIK.

Od Aleksandra W. dla Mani i Wańdzy Z.



ROZWIĄZANIA DO N-ru 23-go

Szarady: Mu — cha — wiec.

Arytmogryfu:

- 1) Ojców. 2) Morea. 3) Narew. 4) Ocean. 5) Chiny.
6) Kijów. 7) Żmija. 8) Opole. 9) Zebra. 10) Wcale. 11) Oczko.
12) Niger.

(Imię i nazwisko Ojca św. Leona XIII). Joachim Pecci.

Łamigłówki w trójkącie:

S a h a r a
A t e u y
H u t a
A a r
R e
A

Skrzynka do listów.

PP. Anieli i Stanisławowi S. Przyznaną nagrodę małeńka ich córeczka zasłużyła w zupełności, mimo tego radość jej wielce nam jest miłą. Za pomyłkę drukarską w sprawozdaniu konkursowym w nazwisku Irenki Straszewskiej, przepraszamy.

Skoro **Leśna Malina** jest stałą czytelniczką *Wieczorów*, mamy nadzieję, że będzie też stałą naszą korespondentką, i również brać będzie udział we wszystkich konkursach, ku czemu szczerze ją zachęcamy. Rozwiązanie łamigłówki dobre, zagadka wszakże nie nadaje się do druku.

Zwracamy uwagę korespondentów na często zdarzające się w ich listach błędy w użyciu przypadków. Tak więc nie należy pisać lub mówić: posyłam *dwie marek* lecz *dwie marki*; liczby bowiem dwa, trzy i cztery rządzą 4-tym przypadkiem, gdy następne dopiero wymagają 2 go przypadku, a więc będzie już pięć, sześć, siedm i t. d. *marek*.

Miło nam, że wiadomość o przyznanej nagrodzie tak bardzo ucieszyła **Tadzio Las.**, a jeszcze przyjemniejszą jest obietnica do-

kładania starań, by pismo jego coraz lepsze było, taki bowiem, jest właśnie cel, ogłaszanego przez nas konkursu. Z zajęciem też prawdziwym śledzić odtąd będziemy postępy w tym kierunku wszystkich korespondentów naszych, prosząc o częste liściki.

Nagrodę **Jerzemu Sar.** wysłano. Przyjemność, jakiej doznał z tego powodu, ucieszyła nas bardzo.

Zapewne przez nieuwagę *autor* jednego z nadesłanych logogryfów nie podpisał się wcale, czem oczywiście pozbawia się przyjemności, jakaby mu niezawodnie sprawiło podanie jego nazwiska przy wydrukowanej łamigłówce.

Rozwiązanie arytmogryfu nadesłane przez **Kadłubka** jest dobre. Zwracamy wszakże uwagę, że na listy zamknięte miejskie nakleja się markę 3 kopiejkową, a nie dostateczna jednokopiejkowa marka, naraża redakcyę na karę podwójnej opłaty.

Za list i udzielone nam szczegóły odbytej podróży, dziękujemy **Aleksandrowi W.**, a prosząc o następne wiadomości przesyłamy życzenia, by pobyt w R. był mu jaknajprzyjemniejszy. Łamigłówka nie nadaje się do druku.

Łamigłówki układu **Fiołka i Stokrotki, Tadzia W., Giermka, Ułana, Mani Z., Wierzy i Konrada,** odebraliśmy, dobre rozwiązania nadesłali: **Miraż, Słoń z Nubii, Czarnuszka i Bielasek, Smok i Giermek.**

Przyznanie się do winy, bywa zwykle zapowiedzią poprawy i tej spodziewam się mieć dowody w postaci częstych liścików od **Lusi z Bohajówki.** Za pamięć o dzieciach z kolonii letnich i przysłane dla nich rub. 3, w ich imieniu serdecznie dziękuję. Bo rzeczywiście na współczucie nasze zasługują w zupełności owe dzieci mizerne i chorowite, z powodu braku ruchu na świeżem, zdrowem powietrzu wiejskiem.

A że ślicznie teraz być musi wśród pól i lasów, nie wątpię do tego stopnia, że i ja sama zamysłam wkrótce tam pofrunąć, i przed odjazdem na czas wakacyjny przesyłam wszystkim moim korespondentom serdeczne pożegnania wraz z życzeniami zdrowia i najweselejszych wakacji, które się lada dzień rozpoczną. Odtąd na wasze odezwy tylko redakcyja odpowiadać będzie.

Dobrze zrobiła **Firlełka**, że zdecydowała się wreszcie należeć do konkursu wypracowań, bo zawsze lepiej późno, aniżeli nigdy, mówi przysłowie. Jaki zaś wypadnie sąd o twej pracy, nie wiem, to tylko rzecz pewna, że sędziowie z wielką względnością oceniają w wypracowaniach przedewszystkiem staranność i widne zawsze dążenie ku zdobyciu wyżyn rzeczywistego wykształcenia. Jako nową korespondentkę witam cię z prawdziwą przyjemnością i mam nadzieję, że zawiązaną znajomością zacieśni węzeł przyjaźni, przez częstą wymianę listów. Za udzielone o sobie wiadomości dziękuję i przesyłam pozdrowienia zarówno tobie, jak i siostrze twym i braciom, w których gronie tak ci wesoło życie upływa.

Szpak z nad Worskły pisze, że nie czekając mej odpowiedzi na list ostatni, odzywa się znowu. Przypuszczam, że nie czytałeś chyba skrzynki do listów, bobyś tam znalazł odpowiedź na każdy z twych listów, które czytuję z prawdziwym zajęciem i zaraz na nie odpowiadam. Wiosna pobyt na wsi czyni ci teraz o wiele przyjemniejszym, więcej pewno czasu spędzasz na świeżem powietrzu, jak na czytaniu chociażby najciekawszych książek. Donieś mi jaki rodzaj czytania poważniejszy, czy też lżejszy przypada ci więcej do gustu i jakie książki czytałeś tej zimy? Może zbierasz marki, bo mogłabym ci przysłać rzadką markę transwalską z listu jednego naszego korespondenta z południowej Afryki.

Jaskółka.

NA KOLONIE LETNIE ZŁOŻYLI:

Wala, Stefcia, Zygmus i Wilus Mieszkowscy rub. 1. — M. K. rub. 3. — S. W. rub. 3. — Lunia z Bohajówki rub. 3. — Bezimiennie rub. 1. — Staś, Frania, Maryan z Gródka rub. 1. — p. Anna Biskupska, zebrane z loteryi fantowej rub. 5.

Na Szpitalik dziecinny: Bezimiennie rub. 2.

Na wpis dla ubogiego ucznia: Stefanek Wolbek: rub. 1.



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

Wł. Umiński.

POGADANKI NAUKOWE.

I. O g i e ń.

Patrzając na płonące drzewo, świecę lub węgiel, nie zastanawiamy się już nad tem zjawiskiem, bo nam ono spowszedniało, a jednak, jest to zjawisko niezmiernie ważne i pouczające.

Najprzód spostrzegamy rzecz dziwną: to co się pali, drzewo lub węgiel znika, na jego miejscu zaś pozostaje trochę lekkiego popiołu. Co się stało z resztą?

Spaliło się, odpowiecie. Proste to, ale nic nie objaśnia, jak wiele utartych odpowiedzi, któremi ludzie nie umiejący się zastanawiać, zadawalniają się chętnie.

Gdzie się podziały substancje, wchodzące w skład drzewa, lub żarzących się węgla w samowarze? Czy zamieniły się w nic, znikły bezpowrotnie? Chyba nie! boć przecie coś może zniknąć dla naszych zmysłów, a jednak istnieć dalej w odmiennej postaci.

Np. woda wysycha, lecz nie ginie, tylko przestacza się w niewidzialną parę, której nie widzimy, dlatego, że jest gazem. Cukier znika w herbacie, ale można go przez wygotowanie jej otrzymać z powrotem. Jakże więc zbadać losy kawałka żarzącego się węgla?

Jeżeli przeobraził się w gaz, to powinien znajdować się w otaczającym powietrzu. Dla sprawdzenia tego przypuszczenia, urządzmy proste doświadczenie.

Doświadczenie I. Bierzemy butelkę z białego szkła, z szeroką szyjką, myjemy ją czysto, następnie osadzamy na drucie kawałek żarzącego się dobrze węgla i wsuwamy do wnętrza butelki.

Będzie się on żarzył przez jakiś czas, nie stliwszy się w całości.

Rozżarzymy go na nowo i jeszcze raz włóżmy do butelki, i teraz zamienił się zupełnie w popiół: mówiąc zwykłym językiem: spalił się.

Wnętrze butelki pozostaje czyste; nie wydobywa się z niego żadna szczególna woń, a jednak zawarte w niej powietrze uległo widocznym zmianom, gdyż nawet stoczek nie chce się już w niem palić.

Ponieważ we flaszcze zachodziło tylko zjawisko palenia się, przeto słusznie przypuszczać można, że owe zmiany są jego skutkiem, że węgiel stłony powinien się odnaleźć w zmienionem powietrzu.

Wlejmy do butelki trochę wody wapiennej, której łatwo dostać w aptece. Zabieliła się niebawem, chociaż była przezroczystą. Przepędziwszy ją przez płótno, otrzymamy trochę białego proszku, po bliższem zbadaniu go, dochodzimy do przekonania, że to jest kreda.

Kreda, oprócz wapna, zawiera w sobie kwas węglany, albo raczej dwutlenek węgla; wapno znajdowało się w wodzie wapiennej, a więc kwas węglany pochodzić musi z wnętrza butelki.

Oblejmy ów proszek octem, a natychmiast zacznie się z niego wydzielać z szumem gaz przezroczysty, bezwonny; jest to właśnie dwutlenek węgla.

Ma on własności odmienne od zwyczajnego powietrza;



W Japonii. (Do art. Osobliwe dorożki).

jest od tego ostatniego znacznie cięższym, tak, że daje się przelewać z jednego naczynia do drugiego i pozostaje w szklance, gdzieśmy oblewali kredę zwykłą octem. Włożyliśmy do tej szklanki zapalony stoczek a zgaśnie, tak samo jak w butelce, w której żarzył się węgiel. Znajdujemy więc, że gaz, powstały z powietrza skutkiem tlenia się węgla, jest kwasem węglowym, a to znaczy, że węgiel spaliwszy się, zamienia się w dwutlenek węgla a nie obraca się w niwecz, jak ktoś mógłby zrazu mniemać.

Czem jest w gruncie rzeczy palenie się?

Wiemy już, że pewnego rodzaju przeobrażeniem, bo węgiel zamienił się w kwas węglany. Ale tego nie dosyć; trzeba jeszcze dowiedzieć się, jaką rolę odgrywa w tem zjawisku powietrze bez którego spalanie nie może się odbywać.

Doświadczenie II. Wyszukajmy sobie gąsiorek, wysuszmy go starannie po wymyciu, potem weźmy kawałek węgla żarzącego i garstkę niegaszonego wapna. Wapno należy zważyć jak najstaranniej, wrzucić je do gąsiorka zupełnie suchego, potem wprowadzić węgielek na druciku, zakończonym korkiem i zatkać mocno szyjkę, żeby powietrze zewnętrzne nie mogło brać udziału w doświadczeniu.

Węgiel, przed włożeniem go do butelki także zważyliśmy i kiedy przestał się żarzyć, sprawdzamy jego wagę powtórnie. Ubyło trochę ciężaru, rzecz naturalna, bo węgiel zamienił się w kwas węglany. Wapno pochłania chciwie ten gaz, powinniśmy przeto zważyć po skończeniu doświadczenia, grudki, leżące na dnie gąsiorka. Przekonywamy się z pewnem zdziwieniem, że waga wapna wzrasta znacznie i przyrost wynosi więcej aniżeli strata w stłonym węglu. Widocznie zatem kwas węglany, oprócz węgla spalonego, zawiera w sobie jeszcze część powietrza, zawartego w butelce. Część, dla tego, że w gąsiorku pozostało jeszcze dużo tego gazu.

Z owym składnikiem powietrza, podtrzymującym palenie się ciał, zapoznamy się bliżej w następnej pogadance; teraz powiemy tylko, że się on nazywa *tlenem* (*odtlenia się*).

Doświadczenia doprowadziły nas zatem do następujących wniosków:

Że węgiel (drzewo, świeca) paląc się, nie zamienia się w nicosć, lecz wraz z częścią powietrza otaczającego, przeobraża się w gaz bez woni i barwy, w dwutlenek węgla, i że zjawisku palenia się towarzyszy ciepło.

Ale oprócz węgla, palą się jeszcze inne ciała; drzewo, słoma, papier, nafta, spirytus i te nie żarzą się, lecz dają płomień, ogień.

Weźmy za przykład terpentynę, znaną każdemu. Płyn ten pali się, kopiąc, to jest wydzielając sadzę, która jest węglem w stanie pyłu. Terpentyna zawiera więc węgiel; stąd też płomień jej, z powietrzem daje kwas węglany, jak to łatwo sprawdzić w ten sam sposób, jakiego użyliśmy powyżej. Dla czego jednak daje płomień?

Żeby to zrozumieć, należy wiedzieć, że terpentyna, oprócz węgla, zawiera w sobie jeszcze pewien gaz, zwany *wodorem*.

Wodór, który stanowi część składową wody, jest lekkim gazem, łatwo palnym, bezwonnym i bezbarwnym, chcąc go otrzymać, oblewamy gwoździe rozcieńczonym kwasem siarczanym w butelce, zatkamy korkiem, przez który przechodzi rurka.

Poczekawszy z kwadrans (inaczej może nastąpić wybuch!) zapalamy wydzielający się wodór na końcu rurki. Płonie on

niebieskawym, ledwie dostrzegalnym płomykiem, bardzo gorącym. Zapalać należy po kwadransie, bardzo *ostrożnie*. I tutaj jest niezbędnem powietrze, jak i przy paleniu się węgla; wodór, płonąc łączy się z tlenem powietrza i daje wodę. Łatwo się o tem przekonać, umieszczając nad płomykiem zimną, czystą szklankę do góry dnem; ścianki jej pokryją się natychmiast drobnymi kropelkami wody.

Ponieważ terpentyna zawiera węgiel i wodór, przeto obie te substancje płoną równocześnie. Ciepło zmusza płyn do ulatniania się, do zmieniania się w gaz, który łączy się z powietrzem. Płomień pochodzi właściwie od wodoru; wewnątrz tego gazu są zamieszczone drobne cząsteczki węgla, które w wysokiej temperaturze rozżarzają się i dają światło.

Zbadawszy, tak jak wyżej, ciała powstające przy paleniu się terpentyny, znajdziemy obok kwasu węglanego i wodę.

Widzimy zatem, że 1) terpentyna pali się płomieniem, gdyż zawiera obok węgla i wodór, 2) że wodór terpentyny, łączy się podczas palenia z tlenem powietrza i daje wodę.

Z dwóch tych pierwiastków składa się także benzyna, nafta, wosk, żywica, smoła i t. d. i wszystkie te ciała, nazwane węglowodorami, płoną łatwo na powietrzu, zamieniają się w wodę i kwas węglany. Drzewo, także w temperaturze wyższej rozkłada się na takie gazowe węglowodory, które tworzą płomień, czyli ogień, oraz na węgiel, który się żarzy. Ogień jest więc w gruncie rzeczy łączącymi się z tlenem węglowodorami, kolumną gazów rozpalonych, w której świecą drobnutkie cząsteczki węgla. Zjawisku temu towarzyszy ciepło, które zresztą wytwarza się także i w wielu innych przemianach chemicznych.

— — — — —
Sofia Kłowska

DZIELNY CHŁOPIEC.

(Dalszy ciąg.)

— Będę szukał — rzekł Józik — ale takich jak ja nie bardzo kto potrzebuje. — Dziękuję pani za obiad. Pani jest bardzo dobra!

— O, będziesz mi się przypochlebiał! Dobra, nie dobra, a zawsze głodne dziecko nakarmić trzeba!

Józik zasiadł przed talerzem zupy szczawiowej, z której wyglądał kawałeczek mięsa i począł jeść z wielkim apetytem, gdy we drzwiach wiodących do pokojów państwa, ukazał się lokaj Walenty.

— Już się ten chłopiec wgnęcił do Wojciechowej! — zawołał ze złością. — Wojciechowa mnie skąpi, a karmi to psa, to tego przybłądę. Jak tu co w mieszkaniu zginie, to ja nie będę odpowiadał! Powiem, że Wojciechowa lada oberwańca z ulicy przyjmuje...

— A, wara panu Walentemu odemnie! — zawołała Wojciechowa, — jeżeli mi się podoba swoje jedzenie oddać głodnemu to oddam i kwita! A jak co zginie to niech pan Walenty mi tym chłopcem oczu nie wypieka, bo ja mu daję jeść w kuchni u siebie, a nie prowadzę go do biurka, w którym nasz pan trzyma pieniądze!

Lokaj z kucharką pokłócili się nadobrze. Józik jadł swoją zupę ale drżał cały z gniewu i wielkiej przykrości. Nie

chciał się odzywać, tylko w duchu sobie przysięgał, że więcej do Wojciechowej na obiad nie przyjdzie.

Lokaj wyszedł wreszcie, trzaskając drzwiami, a Józik obtarłszy usta, pocałował Wojciechową w rękę, mówiąc:

— Pan Walenty miał słuszość... ja nie powinienem... przecie ja czy tak czy owak zapracować sobie mogę. Już tu więcej nie przyjdę... dziękuję pani za wszystko dobre!

Wojciechowa lubiła popłakać, więc się nad chłopcem spłakała i wymogła na nim przyrzeczenie, że będzie do niej choć od czasu do czasu przychodził. Żeby zawsze wiedziała co się z nim dzieje!

Znowu więc, biedny Józik znalazł się z Bosym na ulicy. Zaczął mówić „Kto się w opiekę poda Panu swemu”, i trochę otuchy wstąpiło w serce jego. Ha, było przecie lato, pogoda, upał... można było nawet na ulicy się gdzie przespać. Jeżeli nie znajdzie sobie żadnego zajęcia, to wieczorem przyjdzie i poprosi, żeby mu stróż pozwolił przemocować w bramie. Przecie stróż go zna i taką drobną łaskę mu wyświadczy.

Przyszedł mu na myśl nieszczęśliwy ojciec i jego rady. Wszak Marcin chciał, by syn jego koniecznie był szwecem. Józik począł więc chodzić od jednego sklepu z obuwiami do drugiego i prosić aby go przyjęto na naukę, jako przyszedłego czeladnika. Wszędzie patrzano na niego podejrzliwie i nie chciano przyjmując, tembardziej, że kładł za warunek, by Bosy z nim pozostał. Musiał biedny chłopiec prosić stróża o nocleg i przespał się bardzo smacznie w bramie, na ziemi obok Bosego, który się do niego przytulił.

Nazajutrz, o głodzie, poszedł znowu kolatać i szukać pracy. Nareszcie, na Pradze, przyjęto go do małego zakładu szewskiego, który się zajmował szczególniej łataniem obuwia i wyrabianiem niezgrabnych ciżmów dla robotnic i służących. Józik widział dobrze, że tam ozdoby roboty obuwia się nie nauczy, ale go to wcale nie zraziło. Byle znaleźć pracę uczciwą i nie potrzebować ręki wyciągać. Majster, u którego przyjął służbę z Bosym, był człowiekiem surowym, ostrym, podejrzliwym i lubiącym pocięciem częstować swoich chłopców i czeladników. Majstrowa była ogromnie skąpa. Prawie, że liczyła krupy, które do garnka kładła, i odrazu zmyła mężowi głowę za to, że się zgodził by Józik miał przy sobie Bosego

— Ja sobie i własnym dzieciom żałuję jadła — krzychała majstrowa — a psa mam karmić? O, prędzej zdechnie on z głodu, a nie dam mu nawet kosteczki!

Majstrowie mieli pięcioro dzieci, z których najstarszy chłopiec był młodszy o rok od Józika i prawie zawsze leżał, bo miał jakiś bardzo ciężki ból nogi. Matka kochała tego chłopca, gdyż każda matka dziecko swoje kocha, ale była to kobieta, której skąpstwo zasłaniało nawet miłość do własnych dzieci. Czeladnicy i chłopcy wytrzymać w tym domu nie mogli, bo pan ich bił, a pani głodziła, ale najbiedniejszy był kulawy syn gospodarstwa. Franus. Ojciec nie zwałniał go od roboty, choć chory chłopiec cierpiał czasem męczarnie, matka wymawiała mu koszta poniesione na jego kurację i nie rozumiała, że Franus każdej strawy jeść nie mógł. To raz go żałowała i lamentowała nad nim, to znowu z nim się obchodziła surowo. Józik i Bosy odrazu też poczuli przyjaźń dla biednego Franusia. Na wszystkich innych Bosy patrzył podejrzliwie i dziwił się swemu panu, że przebywał w domu, gdzie pies otrzymywał tylko kopnięcia, a żadnego jedzenia, był to bardzo podejrzany dom! Bosy mówił to Józikowi wzrokiem i widocznie szczególnie o ukochanego pana mu chodziło, bo sam wcale nie chudł, a kudłata szerść lśniła się jak jedwab. Wieczorem, gdy się zupełnie ściemniło, odbywał on codzienne jakiś długi spacer, biegnąc bardzo szybko. Spacer ten miał na celu odwiedzenie Wojciechowej i wiadomość co do niej mocniej ciągnęło Bosego, przywiązanie do przyjaciółki, czy nadzieja, którą mu podsuwał głodny żołądek. Wojciechowa w dalszym ciągu tylko grubsze kości sprzedawała i miała osobny garnek, w którym robiła się osobliwsza mieszanina zup z mięsem, jarzynami, leguminami... to wszystko przekładane kośćmi i resztkami odrzuconymi przez ludzi. Nikt nie pytał Bosego czy ta mieszanina była dobra, ale gdy

się do niej zabierał powoli, odwracał co chwila pysk ku swej dobrodziejce, wzrok jego mieścił w sobie gorącą pochwałę dla sztuki kucharskiej Wojciechowej.

Już zaraz pierwszych dni pobytu Józika u szewca Dratwińskiego, sąsiedzi i czeladnicy zaczęli mu szeptać, że on w tym domu nie nabędzie, że wszyscy chłopcy od pocięgła majstra i obiadów majstrowej uciekają, i że żaden nie był nawet całego miesiąca. Jeszcze dla czeladników to majster i majstrowa mają jakiś wzgląd, ale chłopcem wysługują się gorzej niż baba starą miotłą. Żaden tego nie wytrzyma!

Ale Józik wytrzymywał. Był posłuszny, uległy, usłużny, nie dąsał się i nie wyrzekał, gdy mu najgorsze kawalki zostawiono, zaś do głodu u pani Warbickiej już był tak przyzwyczajony, że nawet majstrowa zauważyła z wielką radością, że jeszcze jej się nie zdarzyło mieć chłopca, któryby tak mało jadł! Majstrowi chociaż się podobało, że Józik doskonale pisać, czytać i rachować umiał, nazywał go jednak „paniątkiem.” Sam był wielkim gburem więc gniewało go, że Józik nie kłął, mówił głosem miłym i cichym, siedział przy stole prosto, jadł przyzwyczajony, bo tego wszystkiego pani Warbicka przestrzegała. Ilekroć więc majster był zły na Józika, to zaraz wyjeżdżał z paniątkiem. Czepiał się go sam nie wiedział o co. Gdy Józik jadł więcej, majstrowa rzucała na niego groźne spojrzenia, gdy jadł mało majster wołał:

— A co, paniątko tego nie lubi? Proste jadło w ząbki kole? Marcepanów się zachciewa? a nie łaska pocięciem po plecach?

Już jak powiedział na Józika paniątko, to mu się zdawało, że mu najgorszą rzucił obelgę.

Józik skarżył się przed chorym Franusiem:

— Przecie ja nie żadne paniątko, ale z takiego samego stanu jak majster. Mój ojciec miał być szwecem, ale mu maszyna palce urwała...

Franus się zamyślił, swoje blade oczy podniósł na Józika, potem spuścił je na swoje ręce, które zawsze były brudne, bo majstrowa mydła żałowała i ożwał się bardzo poważnie:

— Ja wiem, dla czego tatuś nazywa cię paniątkiem. Oto dla tego, że ty masz zawsze czyste ręce.

Józik się rześmiał.

— Porządny rzemieślnik też czyste ręce mieć powinien.

Wielkie było wzburzenie w całej rodzinie, gdy raz majstrowa dostrzegła, że Józik nalał sobie ciepłej wody w starą, wyszczerbioną miednicę i umył nogi.

— Patrzcie go! — wołała majstrowa. — Co ten se znowu wymyślił! Czy to wody nie szkoda, czy to gałgana do obcierania nóg nie szkoda!

Majster z pogardą i dumą zawołał:

— Ja nóg nie myję, a jestem sobie majstrem i mam warsztat, mam sklep, mam co jeść i chłopców i czeladników trzymam! Ja cię tu nauczę nogi myć!

I majster paskiem rzemieennym, który trzymał w rękę, mocne uderzenie wymierzył w plecy Józika.

Józik zaczerwienił się mocno, jakby mu krew miała trysnąć z policzków, potem zbłądł bardzo, ale milczał. Postanowił opuścić tych ludzi, którzy się z nim źle obchodzili. Bosego nie było wtedy w domu i właśnie leżąc na środku kuchni pani Wojciechowej, wypoczywał po wybornej uczcie. O, gdyby był wtedy przy Józiku, rzecz cała hardzoby się smutnie pewno skończyła, niezawodnie schwyliłby on rękę, która jego panu cios wymierzyła.

W nocy Józik na brzegu wąskiego, twardego swego postłania siedział smutnie zadumany. Już tylko jedną tę noc postanowił przebyć w domu majstra Dratwińskiego, ale gdzie miał iść, co miał z sobą pociąć? W izbie ciemno było zupełnie. Majster, majstrowa i dzieci spały, nawet Bosy mocno chrapał. Nagle Józik usłyszał cichą skargę, potem jęk, który się kilkakrotnie powtórzył, wreszcie tłumione łkanie. Skoczył na równe nogi, począł nasłuchiwać, po chwili szepnął:

— Czy to ty Franusiu?

— Ja — odpowiedział mu głos Franusia — okropnie mnie noga boli! Ach, Józiku cóż to za straszny ból!

Józik poszukał rękę Franusia, ujął ją w gorące swe dłonie i począł chłopcu szeptać do ucha słowa pociechy. Mówił mu o Świętych, którzy gorsze męki bez szemrania znosili, potem opowiadał mu tę powieść, którą mu pożyczyła Wojciechowa, wzięwszy ją od lokaja Walentego: „Ogniem i mieczem.”

Franus słuchał, uspokajał się powoli, zapominał o swojej biedzie, a ciągle trzymając mocno za rękę Józika począł biedak opowiadać jak był nieszczęśliwym, jak cierpiał, wi-



W Hong-Kong. (do art. Osobliwe dorożki.)

dząc inne dzieci biegające, bawiące się wesoło, gdy on często nawet w łóżku poruszyć się nie mógł.

Józik ułożył sobie w głowie, że rankiem zabierze Bosego i pójdzie sobie tak, jak trzy tygodnie temu przyszedł. Nie nikomu nie powie boby go może jeszcze majster wybił, albo też gdzie zamknął, żeby go gwałtem zatrzymać. Ale gdy w nocy trzymał rękę Franusia i słuchał skarg jego, przyszło mu na myśl, że nie może tak milczkiem odejść, nie powiedziawszy temu chłopcu, który się z zaufaniem do niego zwracał.

(d. c. n.)

OSOBLIWE DOROŻKI.

— Dorożka, wolna?

— Wolna, proszę pana! — odpowiada dorożkarz w granatowej liberyi, i zaciąwszy konia lub parę koni, zajeżdża raptownie przed oczekującego pasażera, który pragnie się przejechać po ulicach Warszawy.

Taka sama scena powtarza się we wszystkich miastach Europy i Ameryki północnej. Wszędzie mniej więcej typ dorożki jest podobny: faetonik, koń, jako siła pociągowa, i woźnica na koźle. Różne bywają tylko kształty powozu, ubiór woźnicy i jakoś rumaków. W ostatnich czasach dopiero wprowadzają w wielkich miastach samochody.

Ale w krajach gorących, z powodu odmiennych warunków klimatycznych i gruntowych, wehikuły służące do komunikacji miejskiej lub podmiejskiej, zupełnie inaczej się przedstawiają. Niektóre z tych osobliwych dorożek podajemy na załączonych rycinach wraz z opisem.

Na pierwszej rycinie widzimy powozik japoński, zwany *genicksha*, który ciągnie nie koń, lecz człowiek z gminu,

w dziwaczny strój przybrany. Na głowie nosi kapelusz słomiany w kształcie grzyba, a plecy okrywa peleryną ze zwyczajnej plecionej słomy. Los przecież takich ludzi, w Yokohamie, Kobe, Kioto i innych większych miastach Japonii nie jest znowu tak bardzo godnym politowania; praca nie utrudza ich zbyt i mogą bez nadmiernego wysiłku ciągnąć swój powozik choćby 20 wiorst. Powozik, mieszczący zwykle dwie osoby, przypomina kształtem wózki dzieciinne, a parasole o jaskrawych barwach, chronią jadących od gorących promieni słonecznych.

W Hong-Kong Chińczycy używają rodzaju lektyk, z ławeczkami bambusowymi wewnątrz i lekkim daszkiem na wierzchu. Jest to wygodny sposób podróżowania, gdyż tragarze nosząc na dwóch długich dragach lektykę, unoszą ją w ten sposób, że siedzące w niej osoby nie odczuwają najłżejszego nawet wstrząśnienia.

Na wyspie Maderze, lektyka podróżna, kierowana, jak widzimy na obrazku, przez dwóch ludzi, opiera się na płozach, jak *sanki*. Po tamtejszych szosach, robionych po większej części z ciosowego kamienia, lektyka po pochyłościach zsuwa się tak szybko, że kierownicy głównie powstrzymać ją potrzebują, a ludzie ci są tak wprawni w swoje rzemiosło, iż podróżni po najbardziej spadzistych i krętych drogach, nie bywają narażeni na wypadki.

W Madras, w Indjach wschodnich, jeżdżą wozem nakrytym, zwanym *raikla*, zaprzężonym w parę młodych wołów, którym



Na Maderze. (do art. Osobliwe dorożki.)

przeciągają lejce przez nozdrza. Woły te, popędzane przez woźnicę, biegną galopem tak szybko, że często, zwłaszcza na zakrętach drogi, przez niezręczność powoźczych, jadący narażeni bywają na niebezpieczeństwo wywrócenia.

Osobliwym, używanym również w Indjach północnych, jest ekwipaż ciągniony przez wielbłądy, a stanowiący rodzaj wolantu. Trudno zrozumieć w jakim celu woźnica zajmuje w nim miejsce na koźle, gdyż każdy z wielbłądów oddzielnego ma kierownika. Na dalszą zwłaszcza odległość, podróż z pomocą tych wytrwałych zwierząt, odbywa się dość szybko, mimo trudnego kierowania nimi.

Marya Łopuszańska.

OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg).

Po odprawieniu obchodu, tłumy zebrane zasiedły na murawie, uczując dokoła przyniesionych zapasów. Choć surowo było wzbromionem składanie obłat bogom, mimo to niejeden wylał ukradkiem czarę miodu na trawę, żeby pasieka wiodła się tego lata.

Reszta dnia zeszła na śpiewach i piasach; wciąż rozlegały się wesołe wybuchy śmiechu; na zdeptanej murawie leżały jeszcze szczątki owych wieńców i wstęg, w które był przystrojony bałwan Marany.

Stary, siwobrody dziad, biało odziany, z gęślą na plecach, usiadł pod rozłożystym drzewem, gromadząc w około siebie grono ciekawych, przysłuchujących się pieśniom i starym opowieściom. A umiał on prawie bardzo pięknie, był to bowiem jeden z najmędrzych dziadów od Kiele aż do Krakowa i pamiętał dobrze co się działo za dawnych czasów, kiedy to rozbijano posągi bogów i walono ich chramy.

Przymknąwszy oczy i wsparłszy głowę o pień dębu, mówił słuchającej go gromadce, kiedy ta dopominała się natarczywie o gadkę:

— Gadki wam się zachciało? Nowi ludzie chcą gadki starego dziada? A przecie wam tam księża piękniejsze prawią w złoconych kościołach?... Mówią wam tam o Świętych, o anio-

Boga bogatemi darami owymi, ale nam, biedakom, co robić? Czy tam przez ten tłum Świętych, odzianych w złote szaty aniołów jasnych, przecieśnie się latana siermięga? Insza to rzecz była z Kupałą, Żywie, Borowidem a choćby i wielkim Jesse. Przyjdiesz bywało do każdego z nich, jak do swego, on cię pojmie, czego ci trzeba, co ci dolega; przyjmie twą najmniejszą ofiarę; bogi swoje, kapłan swój, to nie jacyś przybysze z obczyzny.

Bo powiedziecież, czy taki Bóg co dopiero niedawno przybył do nas i jeszcze się nawet nie rozpatrzył, może wiedzieć, co nam dolega, tak jak Jesse i Żywie, co tu od wieków panują?..



W północnych Indyach. (do art. Osobliwe dorożki).



W Madras. (do art. Osobliwe dorożki).

łach ze srebnymi skrzydłami, o dyablach, którzy męczą dusze w piekle... Ja ciemny, głupi dziad, znam tylko odwieczne powieści ojców naszych, o starych bogach, wilkołakach i boginkach; nie stać mnie na inne; szukajcie więc sobie mędrszego odemnie, by wam ciekawsze bajki rozpowiadał.

— Ej co tam, ozwano się z gromady, niech tam ksiądz władynom i wojewodom z ambony prawi o Świętych i aniołach, a nam, biednym kmieciom, rozpowiedzie ojcze Zuborze, po dawnemu, jaką gadkę o starych rzeczach.

— Hej, hej, stare rzeczy! westchnął dziad, — a gdzie to się one podziały? Władynom i wojewodom dobrze, bo dają na ołtarz w kościele, zaskarbiają sobie łaskę wielkiego

— Ot, wiadomo, niejednego nie pojmie co nam na sercu cięży...

— Wasza prawda, ojcze Luborze — ozwał się kilka głosów — ze starymi bogami lepiej było. Ale cóż z tego? Albo to za naszą wolą wszystko się dzieje? Jak król i władcy postanowili, tak i będzie; nie nam to przeznaczać.

Dziad westchnął tylko i pokiwał smutnie głową, na te słowa. Wreszcie, by przerwać rozmowę mogącą się stać niebezpieczną, gdyby doszła do uszu kogoś z wyżej położonych, ozwał się nagle:

— No, chcieliście gadki to słuchajcie: — Był sobie raz młody junak, który chciał koniecznie wiedzieć dla czego słonko wstając, ma zwykle tak rumiane liczko i wciąż się z tem naprzykrzał starym ludziom. — Aż wreszcie rzekli mu: „Kiedyś tak ciekawy, to idź sam do nieba i zapytaj słonka o to.” Powiedzieli mu tak na żart, ale młodzian naprawdę postanowił wybrać się w drogę i zapytać słonka, dla czego płonie rumieńcem z rana i wieczorem. — Jak pomyślał tak zrobił. Przyszedł do nieba, ale nie zastał słonka; wyszło na codzienną wędrówkę niebieską, została tylko stara macierz w domu. Trzeba wam wiedzieć bowiem że słonko ma matkę która go co rano wypuszcza w świat boży hożym, złotowłosym młodzianem, przez wschodnie okienko, a wieczorem, gdy zmorduje się całodzienną podróżą wraca starcem siwym, przez okno zachodnie i składa strudzoną głowę na kolanach mateńki. Otóż ta macierz stara rzekła młodemu junakowi:

„Młodzieńcze-sokole, dla tego się płonie liczko słonka z rana i wieczorem, bo w morzu sinem mieszkają dwie hoże dziewy; jedna się zowie zorzą poranną, druga zorzą wieczorną. Gdy słonko przybliży się ku morzu sinemu one, te dziewy wodne, pluskają mu swawolnie w twarz wodą, a wówczas

liczko syna mojego płoni się rumieńcem dziewiczego wstydu. Dla tego to słońce rumiane wschodzi i zachodzi.

A ot, co jeszcze ludzie mówią:

„Jednego razu słonko dostało się w niewolę zimowej dziewczicy, Marany. Była ona groźną królową w północnej stronie, miała pałac ze śniegu i lodu, służył jej zaś dwór samych upiórów, zmor i duchów nocnych. Obcięła słonku złote kędziory i zamknęła w ciemnej wieży. Płakało słonko i tęskniło w więzieniu, ale dziewczica zimy była nieublaganą.

— Tymczasem wierna małżonka słońca, krasna wiosenka, rozesłała po całym świecie posły, by się wywiedzieli, co się dzieje z jej miłym. Wiatr wreszcie przyniósł jej wieść, iż się on znajduje w niewoli u Marany. Wiosna stęskniona zasłyszawszy o tem, wybrała się natychmiast by go wyswobodzić. Zaprzęła do wozu dwa białe łabędzie; kędy wóz ten przejechał, tam kwiaty i zioła wonne zakwitły na ziemi; bociany długodziobe i żórawie leciały naprzód, przyjscie jej zwiastując. Za nią leciał dwór jej z ptaszek, motyli, chrząszczów i muszek różnych złożony. A wszystko to leci, pokračuje, a świegoce, a brzęczy aż się dusza raduje. Między nimi słowik, niby gęślarz, co pieśni śpiewa królom, czasami się tylko odzywał, bo wiedział, że królowie nie zawsze mają czas i chęć pieśni słuchać, a narzucać się nie chciał.

Ot, przybyła wiosna szczęśliwie do krainy zimy; wierny wiatr towarzyszył jej w onej podróży. Wysłała naprzeciw niej wroga Marana, wyszła z całym dworem; szata jej była z białych puchów śniegowych, korona z igieł lodowych, oddech mroził wszystko dokoła. Tumany śnieżne niosły ją na skrzydłach, a w tych tumanach leciały roje duchów nocnych, nucących posępne pieśni.

— Czego chcesz? — zapytała groźnie.

Wiosna zrazu nic nie odrzekła, bo trwogą ją przejął widok strasznej Marany; zalała się łzami wiosennego deszczu, lecz łzy te marzły na jej licach. Ale wiatr wierny nie przeląkł się; powiał ciepłym oddechem na cały ów groźny orszak, i śnieżne tumany poczęły topnieć. Marana zrazu bronić się chciała i wysłała do walki Mróz, który był jej bratem młodszym. Lecz wiatr wionął i na niego i musiał do ucieczki. Groźne czoło Marany poczęło blednąć, stawała się coraz bezsilniejszą i przezrocystszą. Wiatr tchnął na wieżę śniegową i rozsypał w gruzy, wyrzucił więc z niej słonko, ale jakże blade i słabe. Wiosna zaledwo poznać mogła miłego. Skoro jednak słonko skapało się w morzu, odzyskało moc i ogień dawny i złotemi strzałami począwszy ciskać w Maranę i jej orszak, zmusiło ją do ucieczki. Czarne duchy z wyciem uchodziły w dalekie północne strony, a Marana roztopiła się wreszcie w tumany białe, miejsce zaś gdzie stała zasyłała wonnym kwieciem i ziołami wiosna-królowa, i oboje małżonkowie na wozie ciągnionym przez białe łabędzie, powrócili z całym dworem do kraju rodzinnego.

— Tak to ludzie rozpowiadają; słyszałem to dawno od ojców, a teraz wam mówię co mi w pamięci zostało. Prawie gadki stare, bo nie stać mię na nowe, choć wszystko stare w poniewierkę u nas poszło; ale przyjmijcie chętnem sercem co wam chętnem sercem daję. Jeśli mądry przyjmie, to mu sława, głupiemu zaś niech będzie zabawa, a wszystkim dobre słowo.

Zmrok wreszcie począł zapadać, ów przejrzysty zmrok wiosenny.

Od lasu powiało chłodem, tu i tam zapalały się gwiazdy na niebie, ponad wierzchołki drzew wypłynął miesiąc bładny i przeglądał się w kroplach rosy błyszczącej na liściach.

W borze, w miarę jak mrok zapadał, zdawało się coś budzić do życia. Po wierzchołkach drzew przeszedł jeden powiew wiatru, potem drugi, białe tumany wstawały powoli, czepiając się gałęzi. Gdzieś daleko, daleko rozlegał się donośny głos puhacza: Hop, hop! Hop, hop! Żaby z większą siłą rozpoczęły chór wieczorny.

Z oddali, z głębi lasu dochodziły jakieś jęki, niby północne zawodzenia wodnicy, a była to właśnie pora, kiedy wychodzą one na rosę wieczorną.

Wesołe śpiewy i śmiechy umilkły, dziewczęta poczęły zeicha nucić, gromadki skupiały się coraz bardziej.

Wreszcie tuż blisko rozległ się śpiew jakiś smętny.

— Wodnica! — zawołano zewsząd — dziewczyna-wodnica.

Od lasu w istocie szła dziewczyna; długie jej, czarne kosy rozwiewał wiatr wieczorny; wyniosła, smukła, biała odziana, wyglądała jak widmo wśród mroków. Idąc, śpiewała pieśń, której dźwięki rozplywały się w eichem, wiosennem powietrzu.

Zbliżyła się do gromady, lecz zatrzymawszy się przestała śpiewać i długo patrzyła na obecnych. Lica jej były bladawe, tylko usta odznaczały się, jak kalinowe jagody; oczy wielkie, głębokie i zielonawe jak toń wodna, miały wyraz nawpół smutny, nawpół dziki; nad niemi brwi kručze, nieco ściągnięte, czerniły na czoło, które okrywał rucian, dziewczicy wianek.

Przez wisko jej dawane pochodziło stąd, iż istniało mniemanie, że była w rzeczy samej córką wodnic; do owej wiary przyczyniała się jeszcze dziwaczna jej natura.

Krażyła wciąż bez celu od wioski do wioski, widywano ją również w puszczy, a zwierz dziki nie czynił jej szkody.

Wśród ludu budziła bojaźń połączoną z uszanowaniem; mogła chodzić wszędzie bez obawy, nikt nie ośmieliłby się wyrządzić jej jakiegokolwiek krzywdy; tylko dzieci jej się nie bały i zbiegały się dokoła niej jak psaczki, kiedy zawitała do wsi; bo wodnica zdawała się je lubić, pieściła je, i igrała z niemi; z dorosłymi za to była zawsze dzika i nieprzystępna. Matki ze strachem patrzyły na te zabawy z dziećmi, drżąc, by które nie porwała; powszechne bowiem było mniemanie, że wodnica lubi kraść dzieci i młode dziewczęta.

Po chwili długiego milczenia, ozwała się wreszcie śpiwnym głosem:

— Wesoło bawicie się, wesoło, pieśni wam płyną jak woda, ale przyjdzie czas, że i wasze usta umilkną dla śpiwów radosnych, jak i moje umilkły.

Ot, oczarował ktoś usta moje, że tylko smętnie nucić umię! Ale co tam; zdejmę owe czary, znam takie ziele! A wtedy zaśpiewam wesoło, aż mi się odśmieją bory i puszcze. Bo teraz gdy idę borem to drzewa się pochylają, pytając: „Dziewieńko, czegoś ty taka smutna?” A kukulka w lesie kręci główką zagłada i pyta: „Czemu ty śpiewasz tak żałośnie?...”

Ale powiadam wam — zawołała nagle, dziko potrząsając ręką — nadejdzie dzień, kiedy i ja się radośnie rozśmieję; nadejdzie niedługo, obaczycie!

Och, te zmyry nocne — mówiła ze skargą w głosie — te zmyry co mnie nocą nawiedzają! Czyż nigdy nie spocznę? Czyż zawsze nocnicie będą nawodzić na mnie sny niespokojne, gdzie tylko śmierć, krew!...

Oczy jej zaczęły błyskać dziko, patrzyła przed siebie jakby w przerażeniu, jak gdyby spoglądała na straszne obrazy, jej tylko widome.

— Ale trzeba pieśnią odegnać ten urok; — zawołała nagle, ocknąwszy się.

I poczęła nucić cicho:

— Czegoś mi tęskno; pójdę w las zielony, kędy zuzula ulata,
Las taki pusty, las taki ciemny, nie znajdzie mię w nim tęsknota,
Poszła dziewczyna w puszcę zieloną, tęsknica za nią w ślady.
Gdzież ja przytulę główkę zbiedzoną, jakże smutkowi dam rady?

Albo mi trzeba siwym kaczołem, po czarnem morzu popłynąć
Albo mi trzeba bystrym sokołem, wlecieć w obłoki i zginąć.
Albo przeciekać modrym potokiem, i w ciemnej łozie się schronić
Aby mię w polu, w polu szerokim, smutek już nie mógł dogonić.

Nie płyn dziewczyno siwym kaczołem, po czarnej morskiej toni,
Bo cię tam smutek dojrzy zdaleka, białą kaczuszką dogoni.
I nie leć w górę bystrym sokołem, smutek bystrzejsze ma pióra
Jastrzębiem spadnie na cię z obłoku, krew twą wypije jak zmora.

I nie płyn w łodzi modrym potokiem, smutek cię w bagno przerzuci
 Będzie ci macił spokojne wody; nurt twój przejrzysty zakłóci...
 Po białym świecie we łzach się błąkam; głowy swej nie mam gdzie
 [skłonić,
 Kiedyż ja pójdę, w jaką krainę, by smutek nie mógł dogonić?
 Oj nie masz dziewczę krainy takiej; wszędy tęsknica dogoni
 Chyba się w ziemię skryjesz głęboko; i usniesz cicho w jej łonie...

Milczenie zapanowało dokoła; wodnica przestała śpiewać;
 dziewczęta smutnie pochyliły głowy, zdawało się, iż wszyscy
 poczuli szpony tego jastrzębia co się smutkiem zowie...

(d. c. n.)

Pan Mieczysław Celujący

KOMEDYJKA W I-ym AKCIE

przez

NAGODĘ.

OSOBY:

MIECIO	}	rodzeństwo.
TADZIO		
MARYNIA		
HEL CIA		
KAROLEK.		
JULISIA, służąca.		

(Teatr przedstawia pokój szkolny, dzieci siedzą przy książkach i uczą się.)

SCENA I.

MIECIO, TADZIO, MARYNIA.

MIECIO (*deklinuje głośno*). Dare, do, das, dat.

MARYNIA. Mój Mieczu, proszę cię, ucz się trochę ciszej, bo mi strasznie przeszkadzasz.

MIECIO. Ja nie umiem się uczyć inaczej, jak głośno.

MARYNIA. Ale kiedy ja znowu nie a nic nie rozumiem, co czytam, gdy mi kto krzyczy nad głową.

MIECIO. Ha, to trudno, ja na to nic nie poradzę. Jak chcesz, to idź sobie do jadalnego pokoju. Moje lekcje ważniejsze, niż twoje francuskie rozmówki, świat nie przepadnie, choć nie będziesz wiedziała, czy się mówi „Je vous prie du pain,” czy „de pain.”

MARYNIA. A z pewnością by przepadł, gdybyś ty trochę ciszej bębnił swoje łacińskie deklinacje.

MIECIO (*prostując się*). Żebyś wiedziała, że z mojej nauki, to przynajmniej będzie pożytek; zostanę wielkim uczonym i profesorem uniwersytetu.

MARYNIA. Oho! jeszcze to na dwoje babka wróżyła.

MIECIO. Wcale nie na dwoje; kto miał w pierwszym kursie same celujące...

TADZIO (*podnosząc głowę z nad książki*). Ach, nie chwał się tak Mieczu, bo aż słuchać nie miło; wszyscy wiedzą, że masz dobrą pamięć i dobrze się uczysz, poco to powtarzać przy każdej okazji.

MIECIO. Mówię ot tak sobie i nie wiem dla czego bym nie miał mówić, kiedy to prawda.

SCENA II.

Ciż SAMI I HELCIA.

HEL CIA (*wbiegając*). Ach, bibuły, dawajcie prędko bibuły! albo wody, albo czego!...

TADZIO. Wody, na co? przecież się nie pali.

HEL CIA. Wylałam atrament na moją robotę, taka śliczna podstawka, dawajcie bibułę, może jeszcze wywabię.

(*Tadzio i Marynia szukają po szufladach*).

TADZIO. Dałbym ci chętnie, ale moje zeszyty są jeszcze spakowane razem z książkami w jadalnym pokoju, zosta-wiłem je tam, wracając ze szkoły.

MARYNIA. A ja moją bibułę dziś właśnie podarłam i wyrzuciłam.

HEL CIA. Mieczu, ty pewnie masz, pożycz mi prędko.

MIECIO. Mam, ale dać nie mogę, bo właśnie powkleja-łem do zeszytów zupełnie świeże bibuły i chcę, żeby pan pro-fesor zobaczył, jak to porządnie wygląda.

HEL CIA. Ach, jaki ty jesteś nieuczynny! Moja robota przepadnie. (*wybiega*).

SCENA III.

Ciż SAMI PRÓCZ HELCI.

MARYNIA. To prawda, że jesteś niedobry.

MIECIO. Trudno, żeby mnie jakaś nędzna podstawka obchodziła więcej niż moje zeszyty. Zresztą, czemuż ta Helenka taka roztrzepana, jeszcze jak żyję, nie wylałam atra-mentu i dla tego też moje zeszyty mogą iść na wystawę.

TADZIO. I ty sam razem z nimi, taki wzór! ale gdyby wszyscy byli tacy, toby wytrzymać było trudno.

MIECIO (*urazony*). Boleję nad tem, że nie umiem zado-wolnić pana Tadeusza, ale pociesza mnie to, że profesorowie nie podzielają w zupełności jego zdania, o ile wiem, mam ze sprawowania same celujące.

MARYNIA (*z niecierpliwością*). Ty bo cały jesteś celu-jący, ale przytem nieznośny; nie pamiętam, żebyś komu wy-świadczył najdrobniejszą przysługę.

MIECIO. Nikogo też za to nie napastuję, żeby mi przy-chodził z pomocą, każdy dla siebie, to jest moja zasada.

TADZIO. Bardzo piękna, niema co mówić.

MIECIO. Przynajmniej bardzo praktyczna. Nie wiem, czemu ja miałbym pokutować za cudze winy, plamić sobie dla kogoś bibułę, nie uczyć się głośno, żeby francuskie roz-mówki łatwiej wchodziły do głowy leniwym panienkom i t. d. żebyś chciał tak ciągle na drugich uważać, tobym sobie w niczem nie mógł dogodzić.

MARYNIA. Ale drudzy, dogadzaliby ci i takby cię ko-chali za to.

MIECIO. Wolę nie czekać cudzej łaski i sam myśleć o sobie.

SCENA IV.

Ciż SAMI, HELENKA.

MARYNIA. I cóż zrobiłaś z twoją podstawką?

HEL CIA. Mama kazała ją napuścić cytryną i tak zo-stawić, ale zdaje mi się, że jeden kwadracik będę musiała zupełnie wypruć i dać nowy. (*zbliża się do okna*). Oho! Ka-rolek tu idzie i tak prędko biegnie.

MIECIO. Pewnie po jakąś książkę, albo coś podobnego; on wiecznie ma interesa.

TADZIO. Ale też i sam uczynny jak mało.

MIECIO. Ciekawym, kto tak dalece potrzebuje jego uczynności; roztrzepaniec, sam nie wie, na jakim świecie żyje, poprosz go o atrament, to ci poda piasku.

SCENA V.

Ciż SAMI I KAROLEK.

KAROLEK (*wpadając*). Jak się macie? Cóż, jeste-scie wszyscy zdrowi?

MARYNIA (*śmiejąc się*). A to piękne powitanie, dlacze-gożbyśmy mieli być chorzy?

KAROLEK. A bo przecież czytałem w gazecie, że u was wybuchła ospa. Aha, prawda, to nie u was, to u pp. Zielińskich, przepraszam.

MIECIO. Ślicznie dziękuję za taką omyłkę.

KAROLEK. No, mniejsza o to, chwała Bogu, żeście zdrowi. Co to ja miałem mówić?.. Aha! prawda! chciałem się was spytać, czym synem był Kazimierz Jagiellończyk, bo mi to potrzebne.

TADZIO. Jakto, czym był synem, przecież Władysława Jagiły.

KAROLEK (*uderzając się w czoło*). Ach, jakiż ja niemądry, żeby taką rzecz zapomnieć, całą godzinę nad tem myślałem; nie, wiecie, że z tą moją głową, to już nie wiem co robić.

MIECIO (*złościwie*). Powinieneś raczej powiedzieć, że bez tej twojej głowy, bo gdybyś miał głowę na swoim miejscu...

KAROLEK. Masz rację, wiesz, że ty jesteś bardzo do wciipny!

MIECIO (*zadowolony*). Jeżeli ci potrzeba innych szczegółów z życia Kazimierza, to ci mogę ich udzielić.

KAROLEK. Nie, nie, nie potrzeba, dziękuję ci, poco mam sobie nadaremnie umysł obciążać, kiedy mi nic z tego więcej nie trzeba.

HEL CIA (*wesoło*). Karolek, obawiając się przeładowania, chce swój umysł utrzymywać na nadzwyczaj ścisłej dyjeccie, ale jak dotąd to głodowa kuracja nie wydaje bardzo świetnych rezultatów. (*wszysy się śmieją nie wyłączając Karolka*).

KAROLEK (*do Miecica*). Ja tu właściwie przyszedłem do ciebie z inną prośbą.

MIECIO (*obojętnie*). Z prośbą?

KAROLEK. Żebyś mi dopomógł odrobić łacińskie tłumaczenie; takie jest trudne, że sobie sam w żaden sposób rady dać nie mogę.

MIECIO. Bardzo żałuję, że nie mogę ci służyć, ale zupełnie czasu nie mam, w tej chwili właśnie idę ćwiczyć się na fortepianie.

KAROLEK. Daruj mi choć kwadrans na to ćwiczenie. to dla mnie taka ważna rzecz, a tak mi się jakoś czasy po balałmuciły...

MARYNIA (*do Miecica*). Mógłbyś mu dopomódz, przecież już umiesz tę twoją sonatę.

MIECIO. Właśnie, że się jeszcze w jednym miejscu zacinam, a ja mam zwyczaj przygotowywać się świetnie do moich lekcji i dla tego też mam same...

TADZIO (*przerywając*). Celujące — możecie tego jeszcze nie wiedzieli, moi państwo? to zapamiętajcie sobie to dobrze, bo Miecio nie powtórzy wam już tego prędzej jak za dziesięć minut.

HEL CIA. O, powtórzy i za pięć, ręczę.

MIECIO (*z godnością*). Nie zwracam uwagi na takie śmieszne zaczepki, tylko robię swoje i dobrze robię.

TADZIO (*śmiejąc się*). Oto jest pan Mieczysław Celujący, przedstawiam go wszem wobec i każdemu z osobna i proszę być z należnem uszanowaniem dla jego wysokości. (*ogólny śmiech, Miecicio obrażony*).

KAROLEK. Z tem wszystkim muszę iść szukać pomocy u innego kolegi, bo moje zadanie samo się nie zrobi. Bywajcie zdrowi.

TADZIO. Do widzenia, Karolku. Bardzo żałuję, że u nas nie uczą łaciny, chętniebym ci dopomógł.

KAROLEK. Dziękuję, jakoś sobie poradzę, do zobaczenia.

WSZYSCY RAZEM. Do widzenia, do widzenia!

(*d. n.*)

KONKURS NA ROBOTY RĘCZNE DLA PANIENEK.

Wiedząc z doświadczenia lat poprzednich, jak gorliwy współudział brały czytelniczki nasze w konkursie robót ręcznych, nie wątpimy, że i w tym roku chętnie zaborą się do pracy, której cel jest podwójny: po pierwsze, wprawa w robotach ręcznych, każdej panience nieodzownie potrzebna i przydająca się w dalszem życiu; z drugiej zaś strony prace przysłane na konkurs, będą służyły dla biednych dzieci, którym wielką radość i prawdziwy pożytek sprawicie uszytą sukienką lub koszulką.

W tym roku ogłaszamy konkurs na 3 rodzaje robót:

1. Bielizna dziecienna.
2. Sukienki i ubranka.
3. Roboty włóczkowe (kaftaniki, spódniczki i t. p.)

Zalecamy aby materiały były jak najprostsze i najtańsze, a cała robota wykonaną była starannie i własnoręcznie. Za najlepsze roboty z *każdego działu*, oprócz odznaczeń redakcyjnych udzieli *po 4 nagrody* w książkach.

Warunki konkursu następujące:

Do każdej roboty przyszytą być powinna kartka z wypisanym *pseudonymem, nazwiskiem, wiekiem i dokładnym adresem*. Termin ostateczny nadsyłania robót naznaczamy do 1-go października r. b.

Posyłki adresować należy wprost do redakcji, *Mazowiecka Nr. 10*.

Chociaż do współzawodnictwa należeć mogą panienki do lat 15 tu, jednak i starsze prosimy o udział w tym dobrym uczynku, prace ich będą uważane nie jako próby umiejętności, ale jako dar dla biednych dzieci.

Od Redakcyi.

Po ukończeniu powieści p. *Zofii Kowerskiej „Dzielny chłopiec“*, rozpoczniemy w III-cim kwartale niezmiernie ciekawą podróż pełną wyjątkowych przygód, pod tytułem:

W obłokach i pod wodą. Wyprawy latającej ryby.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

TREŚĆ: Pogadanki naukowe przez Wł. Umińskiego. — Dzielny chłopiec przez Zofię Kowerską. — Osobliwe dorożki (z rycinami). — Obrońcy bogów przez M. Łopuszańską. — Pan Mieczysław Celujący, komedyjka w 1-m akcie. — Konkurs na roboty ręczne dla panienek. — **Dodatek:** Na jednej ławce przez A. Z. (z ryc.) — Fiolek, wiersz przez A. E. Odyńca. — Nieproszeni goście. — Królowa poziomek i paproci, bajka czarodziejska przez Wacława Sulimę. — Zamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

WIECZORY RODZINNE

NA JEDNEJ ŁAWCE.

Mówcie sobie, co chcecie, to jest rzecz bardzo przykra, że ja przy takim Antku siedzieć muszę. Nie będę też wcale zważał na niego, nietylko jakby go na ławce obok mnie, ale i na świecie nie było, tak mówił do dwóch przyjaciół swoich mały Henryś, wracając z gimnazjum do domu. Mróz tego dnia był silny, ale jemu nie dokuczał, bo był dostatnio i ciepło ubrany.

W tej chwili minął ich, biegnąc szybko, chłopczyzna w tym samym prawie co i on wieku. Ubranie jego było szczupłe i wytarte, z którego wyrósł już oddawna; z krótkich rękawów wyglądały zsiniałe ręce.

Henryś ruszył ramionami, wskazując kolegom mijającego.

— No, biedak, to widać — rzekł rozsądniejszy Ludwiś — ale uczy się pilnie, zdolny jest i wszyscy go lubimy. Ciebie, coś świeżo przybył do szkoły może to razi, u nas jednak jest już taki zwyczaj, że wszyscy wobec profesora i nauki, jesteśmy sobie równi. Nikt nie pyta o majątek ucznia, ale o jego stopnie.

— Ej, bo wy tego nie wiecie, co ja wiem, gdybyście go znali, gdybyście się domyślali, co to za jeden ten Antek, myślelibyście to samo, co ja. Aż wstyd pomyśleć, czem on się zajmował nim go do szkół oddali.

Chłopcy z zaciekawieniem spojrzeli na Henrysia.

— No to powiedz nam, chociaż zaczynam się domyślać — rzekł Ludwiś. — On zapewne należał do jakiegoś złodziejskiego towarzystwa i wyciągał przechodniom pieniądze z kieszeni.

— Nie, nie, tego nie mówiłem — zawołał Henryś — ale kiedy nawet takie rzeczy przypuszczacie, to lepiej wszystko wam opowiem. Otóż w naszym domu, w suterenie, mieszka szewc, a Antek jest jego synem, sam widziałem na własne oczy, jak odnosił buty i to nie nam, ale naszemu lokajowi.

Chłopcy zamilkli; widać, że i im nie do smaku był ten zawód kolegi. Po chwili jednak Ludwiś rzekł:

— Mnie nic do tego czem on jest w domu, a wiem, że w szkole uważany jest za dobrego ucznia. Do niczego więcej się nie mieszam. Bądź zdrów, Henryku, mnie wypadła droga przez Trębacką. Z obiadem rodzice czekają i Adasia zabieram, bo i on idzie w tę stronę.

— Do widzenia — rzekł Henryś — jutro niedziela, więc o dwunastej zobaczymy się na ślizgawce.

I chłopcy rozeszli się, każdy w swoją stronę.

Kilka miesięcy upłynęło od owej rozmowy. Przeszła wiosna i zbliżały się wakacje, a z niemi wyjazd na wieś. To też chłopcy wyglądali końca kwartału i rozdania cenzur z upragnieniem.

Właśnie zadzwoniono na pauzę, kiedy gospodarz klasy, wszedł do klasy i rzekł:

— Oznajmiam wam, że będziecie dziś mieli ćwiczenia klasowe z geometryi, od którego zależą stopnie na cenzurę. Szczególniej wielką uwagę zalecam tym, którzy mieli dwójki z tego przedmiotu. Jeszcze jeden taki stopień, a przepadnie tegoroczna promocya.

To rzekłszy, wyszedł, a chłopcy wybiegli także na korytarz, żeby użyć trochę ruchu przed nową pracą i posilić się drugim śniadaniem.

Ale Henryś zapomniał, że głodny, i że miał z domu pakiecik z ciastkami, podparł głowę na rękę, wpatrywał



Henryś biegł do domu...

się w swój kajet z geometryą i myślał z żalem, że ta smutna przestroga pana profesora o dwójce na cenzurę, a zatem o niedostaniu promocyi, jego dotyczyła. On był słaby w matematyce, a ostatniego zadania nie rozumiał wcale. Ojciec zaś zapowiedział mu wyraźnie, że w razie gdyby nie przeszedł do następnej klasy, musi się z wszelkimi wakacyjnymi przyjemnościami pożegnać; bo i bułanek pójdzie na pastwisko i strzelba z kółka się nie ruszy.

Więcej jednak od tych wszystkich przykrości, bolesną mu była myśl o zmartwieniu, jakiego rodzicom spr-

wił i o własnem upokorzeniu; to też Henryś westchnął głośno i na płacz mu się zbierało.

— Możebyśmy razem to zadanie zrobić próbowali— odezwał się obok niego głos trochę nieśmiały; — byłbym pewniejszy, że mi się uda ćwiczenie klasowe, gdybym teraz kilka podobnych odrobił.

Henryś obejrzał się; obok niego stał Antek z piórem w rękę. Henryś poczerwieniał, bo uparty w powziętem postanowieniu, nigdy nie rozmawiał ze swoim szkolnym sąsiadem; ale ten z taką serdeczną uprzejmością, narzucił mu się teraz tak mile, jakby o łaskę dla siebie prosił. Chociaż więc myśl o poprawieniu stopnia bardzo się uśmiechała Henrysiowi, odrzekł z pewnem wahaniem:

— Dla mnie by to było dobrze, ale kolega nie potrzebujesz poprawiać stopni, bo dostałeś czwórkę w poniedziałek. Pocóż miałbyś tracić czas przeznaczony na drugie śniadanie. Dziękuję za dobre chęci, idź lepiej tjesz teraz, bo pewno jesteś głodny,

Antoś uśmiechnął się trochę smutno.

— Nie, nie jestem głodny; nigdy nie jadam drugiego śniadania. W czasie tej pół godziny powtarzam zawsze lekcye; pozwól, kolego, żebyśmy się dziś razem uczyli — i usiadł obok Henrysia, który już przestał się opierać, więc pilnie wzięli się do nauki.

Uczynność Antka została uwieńczona dobrym skutkiem, bo co się rzadko zdarzało, wszystkie zadania dnia tego Henrysiowi wyszły dobrze. Dostał potem dobry stopień na cenzurę; ojciec go pochwalił i napisał do rządcy, żeby bułanka w stajni trzymał i dużo mu owsa dawał.

Ale inne jeszcze ważniejsze były tego następstwa. Henryś, który w gruncie miał uczciwe i szlachetne serce, zrozumiał teraz, że wobec zasługi osobistej, nie powinien przywiązywać wagi do majątku.

Pogardzonego przedtem kolegę szczerze polubił, chętnie z nim rozmawiał; a Antoś równie zdolny jak pilny, nieraz dopomógł Henrysiowi, przypominając, gdy ten nie bardzo uważny, zapomniał coś z wykładu nauczyciela. — Henryś zaś dopomagał mu w tłumaczeniach francuskich i niemieckich, bo tych języków w domu się jeszcze uczył.

Gdy po skończonych egzaminach, Henryś biegł do domu, obaj chłopcy z dobrmi cenzurami w rękę, spotkali się w bramie, ten, którego rodzice zajmowali pierwsze piętro, pochwycił rękę mieszkającego w suterrenach.

— Antosiu — rzekł — zaprowadź mnie do rodziców twoich.

— Dobrze — odrzekł zdziwiony Antoś — ale czego sobie życzysz?

— Pójdę, żeby cię zaprosić do nas na wieś na całe wakacje. Mój ojciec, którego prosiłem o pozwolenie zabrania cię z sobą, zgodził się na to chętnie, mówiąc, że tobie świeże powietrze, jazda konna, mleko wiejskie, a mnie towarzystwo dobrego ucznia i dobrego kolegi bardzo się przydadzą.

A. Z.

FIOŁEK.

Skromnej barwy i woni
Kwitł fiołeczek na błoni
Fiołeczek maleńki.
A widząc dokoła
Wyższe kwiaty i zioła
Ich wzrost, barwy i wdzięki,
Strwożył się i w milczeniu,
Krył się w liściach i cieniu.
Ach fiołeczku, fiołeczku
Jaki ty dziecinny!
Jak każdemu stworzeniu
Tak i każdemu ziółku,
Pan Bóg zakreslił cel inny,
Imne swe dary dał w podział,
Lecz w tych darach nie kształtach
Jest wartość, wdzięk i chwała,
Każdego z nich, cała
I chociaż różę, kwiatów królową,
Lilję, kwiatów kapłanką zowią,
Któż kiedy z ludzi nie uczył fiołka,
Kwiatów aniołka.
Bo i w kwiecie, jak na świecie,
Gdzie tylko będzie zasługa prawdziwa
Świat ją odkrywa,
A kto o sobie sam trzyma najskromniej,
O tym najlepiej Bóg pomni.

A. E. Odyniec.

NIEPROSZENI GOSCI.



Świerszcz.

— Czyip! Czyip! — woła — przeraźliwie świecz, siedząc w szparze ściany. — Czyip! powtarza już może setny raz dzi-

siaj, jakby mu się zdawało, że właśnie wszyscy z niecierpliwością oczekują kiedy się odezwie.

A ludzie radziby czempredziej pozbyć się owego muzykanta nieproszonego, bowiem jednostajne jego ćwierkanie dawno ich znudziło. Tylko, że go odnaleźć nie tak łatwo. Świerszcz jest stworzonkiem niezmiernie ostrożnym i lęklivem. On by się w żaden sposób nie chciał pokazać, choć ma się czem pochwalić. Posiada zatem tylne nogi, silne, duże, na których skaćże jak zajac, ma ładne długie wasy, ma bardzo dobre skrzydła, które ocierając się jedno od drugie wydają właśnie ów głoś doniosły. Ale on się do tego nigdy ludziom nie przyzna, niechże raczej myśla, że nosi przy sobie jaki instrument i na nim wtygrywa.

Czasem nawet gdy siedzi w szparze ściany, w której sobie obrał kryjówkę, okrutnie mu głód dokucza, woli wszakże cierpieć i czekać aż noc nastanie i ludziska spać się pokładą, bo wtedy już niema się czego obawiać i całe mieszkanie do niego należy.

Najchętniej dobraby się do mąki, lecz gdy o nią trudno, to chlebem lub bułką też się pożywi. Słonina smakuje mu również dobrze. Lecz chociaż czasem bieda dokuczy, przecież samemu łatwiej jest dać radę, niż z dziećmi; te nie zawsze mogą do wieczora bez pożywienia doczekać, a i pokarm dla nich musi być lepszy. Poświęca się więc matka i prowadzi je po zakątkach, a wciąż się ogląda, czy kto ich nie dojrzy, boć o nieszczęście nie trudno.

Z takim drobiazgiem kłopot nie mały, ani to sobie pożywienia samo wynajdzie, ani wie gdzie pójść, jak się ukryć.

Szczęściem świerszcze, wylęgają się z jajka zupełnie rozwinięte, nie tak jak muchy lub chrabąszcze, które są najpierw pędrakami, później poczwarkami, a w końcu dopiero owadami. Świerszcze małe różnią się od dużych tylko tem, że skrzydeł nie mają.

Pewnie też z niecierpliwością oczekują tej chwili, kiedy staną się dorosłymi, żeby móżdżek tak ładnie wygrywać.

Nie tak to jednak prędko nastąpi, gdyż dopiero na rok przyszły należycie urosnąć. Mimo tego nie powinno im dłużyć się zbytecznie, przez całą bowiem zimę drzemią one snem, właściwym większej części naszych owadów.

Marya Weryho.

KRÓLOWA POZIOMEK I PAPROCI.

BAJKA CZARODZIEJSKA

przez *Wacława Sulimę.*

(Dalszy ciąg).

Co rano kąpała się w przezroczym źródełku, bawiła się ze swojemi towarzyszkami, przechadzała się po ślicznych ustroniach leśnych. Codzień zastawiano wspaniałą ucztę w pałacu królewskim, a potem urządzano jaką świetną zabawę np. wyścigi na zającach, tańce przy świetle gwiazd, przejażdżki łódką przy blasku księżyca.

Wszyscy lgnęli do Halinki, która była zawsze dobra i miła; wielką przyjemnością było dla niej uprosić u króla jaką łaskę, wkrótce ją też poznano z tej strony i udawano się do niej, prosząc o pośrednictwo i wsparcie. Więc Halinka myślała sobie:

— Poco mam wracać do Leśniczówki, tam siostry zawsze mi powtarzają, że do niczego nie mam prawa, i że jestem na łasce krewnych. Poco mam im zawadzać? zostanę tutaj, przywiążę się do tego dobrego króla i będę królową grzybków.

Król ucieszył się bardzo, kiedy się dowiedział o tem postanowieniu dziewczynki, wyprawił wystawną biesiadę i ogłosił ją swoją spadkobierczynią.

Pewnego dnia, Halinka wybiegła z ranną rosą, aby w gronie towarzyszek użyć kąpieli. Szły wesoło śpiewając. Wtem z daleka przy strumyku ujrzały jakąś panienkę bardzo skromnie ubraną.

— Ona pewnie chce królownę prosić o jaką łaskę i dla tego tu czeka — rzekła Gołąbka.

— Idź do niej — powiedziała Halinka — i zapytaj, czem jej się mogę przysłużyć?

Gołąbka pobiegła i wkrótce wróciła.

— To biedna dziewczeczka, która chce królownę prosić o jakie zajęcie, pewnieby królowna była z niej zadowolona bo taka miła i ładna.

— Przyprowadź ją do mnie — rzekła Halinka.

Gołąbka pospieszyła wykonać rozkaz i wróciła wkrótce z nieznaną. Gdy Halinka spojrzała na nią, obie wydały okrzyk zdziwienia, poznała... Leśną Paprotkę.

— Czy to żart, królowo — rzekła Halinka — co znaczy to przebranie? Ale czemuś tak blada i wynędzniała, czego żadasz, czem ci służyć mogę?

— Nie spodziewałam się spotkać w królownie grzybków mojej znajomej Halinki — odpowiedziała łagodnie Paprotka; — twoja służebnica zapewne powtórzyła ci moją prośbę.

— Ależ to niemożliwe! — wykrzyknęła zdumiona dziewczynka; — ty, królowa poziomek i paproci, prosisz mnie o jakie zajęcie?

— Nie jestem już królową, Halinko, nieprzyjaciele wyzuli mnie z mojego państwa, poddane moje się rozpierchły, moja wielkość już przeminęła. A że jestem sama, opuszczona, chciałam szukać przytułku w królestwie grzybków i aby znaleźć jaką pracę, postanowiłam zataić moją godność.

Halinka wybuchnęła płaczem.

— Co ci jest, czemu płaczesz? — pytała, obejmując ją Leśna Paprotka — czy mnie żalujesz? Nie martw się Halinko, ja się już pogodziłam z moim losem. Będąc królową, wiedziałam, że żadne szczęście, żadna potęga tak trwałe nie są, żeby ich los nieprzyjazny zburzyć nie mógł i dla tego zawsze byłam litościwą dla biednych.

— O — rzekła, łkając Halinka — ja to jestem wszystkiemu winna.

— Ty? — spytała zdziwiona królowa — a to jakim sposobem?

Halinka ujęła jej rękę.

— Chodź do mojej komnaty — rzekła — tam ci wszystko opowiem, może się też znajdzie jaki ratunek, bo z chęcią poniosłabym największą ofiarę, byle tylko uzyskać twoje przebaczenie. Tymczasem jesteś moim najdroższym gościem, bądź tutaj jak u siebie.

I zaprowadziwszy ją do ślicznej komnatki, którą zamieszkiwała, opowiedziała jej szczegółowo wszystko co się zdarzyło odkąd się przedostatni raz widziały i ze łzami wyraziła żal, że się stała powodem jej nieszczęścia, choć bez woli i wiedzy.

— Stara Pokrzywka była zdawna moją nieprzyjaciółką — rzekła łagodnie Paprotka. — Wyrugowałam ją i jej towarzyszki z kotlinki, którą nieprawnie zajmowała i odtąd marzeniem jej było tam powrócić. Kiedy sarenka mi znikła i nie przyjechałam na czas, poziomki się rozbiegły i pokrzywy zajęły ich miejsce. Zrazu szukałam sarenki, a później skierowałam się do kotlinki, ale z góry spostrzegłam, że tam niema już po co wracać.

— Ach i to wszystko z mojej winy! — szepnęła żalownie Halinka.

(d. c. n.)

HOMONIM.

Czy to przed niejednym wiekiem,
Żyjąc na świecie człowiekiem;
Czy jak ptaszyna, wszystkim wszędzie znana,
Nawykiem świergotić ku czci mego Pana.

ŁAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

ułożył Orzeł czubaty.

. Zastąpić kropki literami, ażeby
. rząd pierwszy oraz pierwsze litery
. złożyły imię sławnego bohatera z po-
. czątku bieżącego stulecia. 2) Imię wielu
. królów syryjskich. 3) Międzymorze w Ame-
. ryce. 4) Ptak drapieżny. 5) Zwierzę przeżuwa-
. jące z Ameryki połud. 6) Okres czasu. 7) Rzeka
. w Syberyi. 8) Spółgłoska.

NITECZKA ARYADNY.

Puszczyk z Pilawy dla Smoka.

Nubie *ty* *wio* *ze*

Tak	Bo	cha	dąc	a	zoi	sto	cie
tku	ma	ska	i	kiel	nio	za	pro
rzy	Ma	ry	co	łów	so	chej	się
a	wio	gó	dwo	wy	er	w lo	ci
ska	nie	mi	ra	szak	bios	wi	cie
li	w ci	ply	ne	z nie	skrzy	i	sta
chej	do	lo	nie	dla	ty	go	blo

schy *nad*

ROZWIĄZANIA DO Nr. 24.

Zagadki: N o c.

Łamigłówny w kwadracie:

O r e g o n
A l b e r t
M i k a d o
K o p u ł a
T e r e s a
G u l a s z

Skrzynka do listów.

P. Lucynie Z. Serdecznie współczujemy z ciężkim zmartwieniem, które dotknęło dom pp. H. i pojmujemy w zupełności, jaką żalobą cios ten niespodziewany, okryć musiał serca zarówno rodziny, jak przyjaciół. Niechże Bóg miłosierny zesłać im raczy pociechę i ukojenie. Przyznane nagrody **Mimi** i **Kaziowi** pospieszamy wysłać z życzeniem, by czytanie tych książeczek, sprawiło im dużo przyjemności. Szkoda, iż choć późno nie upomniał się **Kazio** o zeszluszczoną nagrodę, redakcyja bowiem nie spieszy z wysłaniem takowych pocztą, ponieważ wiele osób woli odbierać je przez okazyje. O przysłanie wierszyka prosimy.

P. A. W. Przyznaną nagrodę **Stefanowi W.** wysłaliśmy, ciesząc się przyjemnością, jaką mu to sprawia. Spodziewamy się też, że w czasie wakacyi znajdzie się swobodna chwila, w której **Stefanek** i **Maryś** wypełnią obietnicę napisania do nas.

Irenka i **Ewcia J.** dobre mają serduszka, skoro pamiętają o najbiedniejszych dzieciach Warszawy, w których imieniu dziękujemy za przysłanego rubla. Liścik **Irenki** tak jest starannie napisany, że mielibyśmy ochotę odbierać podobnych więcej.

Łamigłówny układu **Aleksandra St.** przejrzymy. Nadesłane rozwiązania dobre. Komedyjka nie nadaje się do druku.

Liszt Szpaka z nad Worskły pisany do **Jaskółki** już jej w Warszawie nie zastał, gdyż jak o tem donosiła swym korespondentem, pofrunęła do ciszy i zieleni wiejskiej. Niechże więc do jej powrotu miły **Szpaczek** częściej natomiast pisuje do redakcyi, czem nam zawsze przyjemność sprawi, tem więcej, że już teraz poznał się nieco bliżej. Życzymy też **Szpakowi** jak najprzyjemniejszych wakacyi.

Jaskółka na samym odlocie otrzymała jeszcze pożegnanie **Słonia z Nubii** i w zamian szle mu życzenia wesołego pobytu na wsi. Ułożoną łamigłówną przejrzymy.

Stefanowi W. Bursztyń ceniony na równi ze złotem przez starożytnych, nie jest ani kruszcem ani kamieniem, lecz tylko skamieniała w głębi ziemi żywica drzewna, z gatunku tej, jaką i dzisiaj napotykamy na korze drzew iglastych. Stąd też zawarte są często w bryłkach bursztynu drobne owady lub odłamki roślinne, które żywica, w odległych czasach przedhistorycznych, zciekając z drzew do piaszczystego gruntu, zatapiała w sobie. Najwięcej obfitują w bursztyń brzegi Bałtyku, a nawet wylawiany bywa sieciami z głębin tego morza. Siła elektryczna, przyciągająca lekkie przedmioty, a wzbudzana tarcieniem w bursztyń, nie jest wyjątkową, własność tę bowiem posiadają ogólnie żywice. Liczba ciał kopalnych pochodzenia roślinnego jest bardzo znaczną, może **Stefan W.** w przyszłym swym liście wymieni nam te, które mu są lepiej znane.

Maryni i **Ludwice OI.** za przysłany szynel dla najbiedniejszego ucznia dziękujemy.

Dla chorych dzieci w Szpitaliku przysłany kajet z obrazkami od **Janinki** i **Jadwisi Kow.** otrzymaliśmy i nie wątpimy, że biedne te dzieci wielce się nim ucieszą.

Łamigłówny i szarady **Stasia W.**, **Giermka**, **Araba**, **Karola Z.**, **Anuli B.**, **Białej Brzozy** i **Orła karpackiego** odebraliśmy.

Dobre rozwiązania nadesłali: **Staś W.**, **Nina**, **Marynia** i **Zosia A.**, **Gałązka Heliotropu**, **Smok**, **Tymon** i **Sokoł**.

Maryna Matuszewska

PRZEŁOŻONA 6 KLASOWEJ PENSJI ŻEŃSKIEJ W WARSZAWIE
przy ulicy Leszno Nr. 28.

Przyjmuje uczennice przychodzące i pensyonarki na warunkach przystępnych.

№ 27. Rok XVIII.

Dnia 20 Czerwca (2 Lipca) 1898 r.

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Widok z Tatr.

Wł. Umiński.

POGADANKI NAUKOWE.

II.

P o w i e t r z e.

Badając ogień i zastanawiając się nad robionemi z nim doświadczeniami, doszliśmy do powietrza, które musimy teraz poznać bliżej.

Powietrze otacza nas ze wszystkich stron, przenika nawet przy oddychaniu do naszych płuc; nie widzimy go jednak, bo nie posiada żadnej barwy i jest przezroczyste; nie ma ono przytem woni, o obecności jego możemy wszakże dowiedzieć się, biegnąc, lub machając ręką. Wiatr jest też prądem powietrza, przenoszącego się z miejsca na miejsce.

Wiemy, że powietrze jest niezbędne dla palenia się ognia; powstrzymując oddech, doznajemy duszności dla braku powietrza; koniecznem więc jest ono dla życia ludzi i zwierząt.

Niewidzialny ten gaz oblewa, niby wielkie morze, powierzchnię ziemi i sięga na kilka mil ponad najwyższe góry.

Co to jest to powietrze? Ani wzrokiem, ani powonieniem, ani smakiem nic się o niem nie dowiemy. Doświadczenia nasze z ogniem nauczyły nas już, że w powietrzu znajduje się gaz, łączący się chemicznie z węglem i wodorem.

Gaz ten wartoby było oddzielić z powietrza w jakibądź sposób i zbadać lepiej jego własności.

Jakże wziąć się do tego?

Oto trzeba znaleźć ciało, zdolne pochłonąć tlen z powietrza, a następnie oddać go napowrót.

Takiem ciałem jest rtęć, nazywana też żywym srebrem.

Jeżeli będziemy ogrzewali w płaskiej glinianej miseczce przez kilka dni ten płynny metal, to połączy się on chemicznie z tlenem powietrza; przyczem na jego powierzchni zbierze się cieniutka warstewka czerwonego, ceglastego proszku, nazywanego tlenkiem rtęci. Proszek ten, ogrzewany mocno, oswabada się jako tlen czysty. My jednak otrzymany tlen daleko prędzej i łatwiej innym sposobem.

Doświadczenie. W butelkę z cienkiego szkła (najlepiej epruwetkę) wsypujemy sól Bertoleta w proszku i ogrzewamy na lampie spirytusowej. Sól ta niebawem stopi się i wydzieli z siebie tlen.

Teraz mamy pożądaną gaz i możemy rozpoznawać jego własności.

Doświadczenie. Przyczepiamy na końcu drucika kawałeczek drzewnego węgla, rozżarzamy go i wpuszczamy do butelki z tlenem. Węgiel natychmiast rozpala się do jasnej białości i spala prędko, zostawiając trochę popiołu.

Jeżeli zbadamy gaz w butelce po dokonaniu tego doświadczenia, to przekonamy się, iż tlen zamienił się na kwas węglany. Widzimy więc, że węgiel, żarząc się, łączy się chemicznie z tlenem, zawartym w powietrzu i daje kwas węglany.

Doświadczenie. Umoczymy koniec żelaznego drutu w roztopionej siarce, zapalmy ją i wsadzmy do butelki, napełnionej świeżym tlenem. Zobaczymy wtedy, iż siarka znacznie gorąc oślepiająco jasnym fioletowym płomieniem; ogień niebawem przeniesie się na żelazny drucik, który z kolei sam się zajmie i spłonie, rozsiewając błyszczące iskry. Jeżeli poprzednio wleliśmy na dno butelki trochę wody, to odnajdziemy w niej potem drobne kuleczki, które nie są niczem innym, jak połączeniem żelaza z tlenem. Połączenie to odbywa się w powietrzu powoli; wtedy mówimy, iż żelazo rdzewieje.

Tak samo możemy spalić w tlenie miedź, cynk i inne metale. To, co otrzymamy po spalaniu, będzie zawsze wa-

żyło więcej, aniżeli spalony metal. Łatwo zrozumieć, dlaczego. Oto, do metalu przyłączył się, przybył tlen, który także posiada swój ciężar.

Poznawszy przyczynę pojawiania się rdzy, łatwo teraz potrafimy uchronić od niej nasze narzędzia rolnicze, naczynia, rury i inne żelazne przedmioty. W tym celu dość jest pokryć je lakierem, lub jakąkolwiek farbą, któraby zabezpieczała je od zetknięcia z powietrzem.

Rdza pokrywa żelazo daleko prędzej w wilgoci; stąd też należy żelazne przedmioty, niezabezpieczone żadną ochronną farbą, trzymać w suchem miejscu, lub pociągnąć z wierzchu tłuszczem. Cyna nie zmienia się na powietrzu, to też używają jej do powlekania, czyli, jak mówią, do bierzenia żelaznej blachy, służącej do wyrabiania naczyń.

Co się znajduje w powietrzu oprócz tlenu?

Zanurzając w butelce napełnionej samym tlenem rozżarzony węgiel lub palącą się siarkę, dostrzegliśmy, iż ciała te gorą w nim znacznie jaśniej i szybciej, aniżeli w zwyczajnem powietrzu. To może nas naprowadzić na myśl, iż powietrze, oprócz tlenu, zawiera jeszcze inny jakiś gaz, który przeszkadza paleniu się.

Czy tak jest, przekonamy się za pomocą doświadczenia.

Doświadczenie. Zauważyliście pewno, iż zwyczajne groszowe zapalki mają łebki pokryte czerną brzoźwem, świecącym w ciemności.

Jestto fosfor; ciało nadzwyczaj łatwo zapalające się w ciepłe, lub nawet za potarcia; inaczej mówiąc, łączy się ono z tlenem powietrza tak chciwie, iż przy tem pojawia się ogień.

Otóż weźmy kilkadziesiąt takich fosforowych zapalek i poobcinajmy im ostrożnie łebki, połóżmy takowe na małej pokrywce od blaszanego pudełka i puśćmy ją na talerz, napełniony wodą, tak, żeby pływała.

Teraz postarajmy się o białą butelkę bez dna, zatkajmy mocno korkiem szyjkę, zapalmy następnie fosfor na miseczce i przykryjmy go natychmiast przygotowaną butelką. Łebki będą płonęły przez chwilę i zgasną; wnętrze butelki napełni się białym dymem, który jest związkiem chemicznym fosforu z tlenem powietrza. Zaraz zauważymy, iż na miejsce tlenu, zużytego przy paleniu się fosforu, weszła do butelki część wody z talerza. Ponieważ nie zajęła ona całej butelki, przeto w takowej musiał jeszcze pozostać jakiś gaz, w którym reszta fosforu nie mogła się już spalić.

Poczekajmy, aż woda pochłonie białe dymy i zabierzmy się do zbadania gazu, znajdującego się teraz w butelce.

Odetkawszy ostrożnie korek, zapuszczamy do flaszki na druciku zapalony stoczek; gaśnie on natychmiast. Gaz, znajdujący się w butelce, nie jest jednak kwasem węglanym, gdyż woda wapienna nie męci się w nim; niema on, podobnie jak powietrze, żadnej woni ani barwy.

Gaz ten nazywa się *azotem*.

Powietrze zatem jest mieszaniną dwóch odmiennych gazów:

- 1) *tlenu*, który podtrzymuje palenie się świecy, węgla i metali, oraz służy do oddychania;
- 2) *azotu*, w którym ogień gaśnie, a zwierzęta i ludzie nie mogą oddychać.

Zofia Kowerska

DZIELNY CHŁOPIEC.

(Dalszy ciąg).

Wyznał więc Franusiowi, że nie może znosić bicia, na które nie zasłużył, i że musi iść szukać chleba gdzieindziej. Na te słowa Franuś przyciągnął go ku sobie, objął jego szyję

swemi chudemi rękami i przycisnął do jego twarzy swoją biedną, wymizerowaną twarz zalaną łzami.

— Nie odchodź odemnie — błagał żalonym głosem — ja tu jestem taki nieszczęśliwy! Mama mię kocha i tatuś mię kocha i ja ich kocham oboje, ale wiem, że im jestem ciężarem! Mało co robić mogę i jakoś szewstwo idzie mi niezręcznie, a dla mnie umyślnie rodzice muszą uleko kupować i lepsze jadlo... nie dziwnego, że mi to mama wypomina! Już ci jestem niedołągą do niczego, i lepiejby było, żeby mię Pan Bóg zabrał. Ale póki się nademną nie zmiłuje, to ty mię nie odchodź! Już ja cię przepaszam za wszystko co złego doznajesz, już ja cię bardzo przepaszam!

I biedny Franuś poniósł nagle rękę Józika do ust, złożył na niej pocałunek i zmoczył ją łzami, które obficie wylewał.

— Kiedy widzisz — bronił się jeszcze Józik, któremu serce miękło — kiedy widzisz, człowiek to nie pies... człowiek to człowiek... nie powinien znosić upokorzenia, gdy na nie nie zasłużył... to trzeba mieć swoją dumę... pani Warbicka mówiła: „Jakes zasłużył, to cierp, a jakes niewinny, to się broń!” Ja się bronić nie mogę, ale mogę stąd odejść..

— A Chrystus? — szepnął łkając Franuś.

Na to imię naszego Zbawiciela, które Franuś wymówił, Józik zadrżał, zmieszał się a potem zamyślił.

— Byłem podłym samolubem — ośwał się po chwili. — Przez złość za marne uderzenie, które mi przecie kości nie połamało chciałem opuścić ciebie, któremu mogę choć trochę być pomocą i pociechą...

— Zostaniesz? — krzyknął Franuś tak głośno, że aż się majster obudził.

— Zostanę! — szepnął Józik i cichutko, żeby gniewu pana Dratwińskiego nie wywołać, przemykać się począł ku swemu posłaniu.

Ale gniew pana Dratwińskiego już był obudzony.

— Co tam za gadanie — krzyknął — co za konszachty, co tam za spiski!

I nagle pociągnął zapalną o szorstką powłokę pudełka. Przy jej blasku ujrzał siedzącego na łóżku, zapłakanego Franusia i Józika bosego, który pociemku nie trafił do swego posłania, a wyciągniętymi przed siebie rękami macał po drzwiach wchodowych.

Majster zapalił knotek lampki i zerwał się z posłania. Stanął nad łóżkiem Franusia, wołając:

— Co on ci zrobił ten przybłęda, to paniątko co nogi myje, a po nocy dzieci chore krzywdzi! Co on ci zrobił?

— Nic mi nie zrobił!

— Przyznaj się do wszystkiego, bo was obu zbije na kwaśne jabłko! Powiedz prawdę, bo ja się na wykrętach zaraz poznam!

— Bo, bo — zaczął łkając Franuś — bo mnie bardzo noga bolała. i zacząłem jęczeć a on przyszedł... i pocieszał mię... i opowiedział mi taką śliczną historię...

— I tego płaczesz? Nie kłam bo ci kości połamię!

— Nie kłamie, tatusiu! Opowiedział mi śliczną historię.. a potem... potem powiedział...

Chłopiec przełkniętymi oczami patrzył na ojca.

— Mów prawdę, bo!...

— Powiedział, że człowiek to nie pies...

— I co dalej?

— Że człowiek, to człowiek...

Majster groźnie przystąpił do łóżka Franusia. Chłopiec przerażony mówił dalej:

— Powiedział, że tatuś niesprawiedliwie... ma czerwona pręgę na plecach... więc powiedział, że jutro, że jutro zabierze psa i pójdzie gdzie go oczy poniosą...

— Pokażę ja mu! — krzyknął majster, aż szyby zadrżały i gospodyni się obudziła z przestachem, najmłodsze zaś dziecko płakać zaczęło.

Franuś mówił dalej przerywanym głosem:

— Więc powiedział, że pójdzie... ale ja go zacząłem prosić... bo ja go lubię i on mię lubi... więc on już potem

przrzekł, że zostanie... Powiedział, że mu przecie tatuś kości nie połamał, to nie nie szkodzi, że go trochę plecy bolą...

— Ośły! — huknął majster — na miejsce mi obadwaj, i spać! Ludzi budzicie po nocy! A ty, paniątko, ani mi się waż uciekać, bo ja cię w mysiej dziurze znajdę, ja cię z pod ziemi wykopię, ja cię z dna morskiego wyciągnę!

Majster się położył i wkrótce chrapać zaczął, a chłopcy przytulili się, każdy do swej poduszki i oprócz Franusia, którego noga ciągle bolała, wszyscy w izbie zasnęli.

Od tej pory Franuś z Józikiem jeszcze bardziej się lubili. W niedzielę, całymi godzinami Józik czytywał przyjacielowi Gazetę Święteczną, którą sobie pożyczali od sąsiadki; począł też uczyć Franusia pisać na tablicy kredą. W dzień powszedni nie było ani na naukę, ani na czytanie czasu.

Józik uczył się pilnie szewstwa w warsztacie, a że był pojętny do wszystkiego, więc wkrótce umiał już i trzewik porządnie załatać i przy nowych ciżmach zszywał połówki. Najlepiej lubił odnosić obstalowane obuwie. Młode nogi jego potrzebowały ruchu, biegł też nieraz zwawo z parą dużych ciżmów w rękę, lub dawał je do niesienia Bosemu, który zabawnie wyglądał z butami w pysku.

Bosy sprawiał się doskonale. Był wśród rodziny państwa Dratwińskich tak cichy, tak pokorny, tak usłużny, że dzieci bardzo go polubiły a i majstrowa uniała to ocenić, że nie nie jadł w jej domu, i dzieci zabawiał, a nie wiedziała, że oprócz tego, przechodził on sam siebie swą powściągliwością. Lubiła ona koty i często mawiała, że kot to dopiero przyjemne zwierzę. Łasi się, mruczy tak ładnie, jakby pacierz mówił, a przytem sam się żywi, łapiąc myszy po strychach i piwnicach, tak, że dla niego wcale gotować nie potrzeba. Miała też majstrowa śliczną kotkę, Bosy miewał na nią chrapkę ogromną, ale się wstrzymywał. Patrzyli tylko czasem na siebie jak dwaj zapaśnicy, aż iskry im się z oczu sypały. Kizia wydymała grzbiet, jeżyła wąsy; Bosy kiwał ogonem z niecierpliwej żądzy napaadnięcia na wroga, nastawiał uszy, szczyrzył zęby i czasem rzuciwszy się naprzód oberwał od Kizi drapieżny policzek, przyczem parsknęła mu w oczy, czego Bosy nie lubił, a nawet, mówiąc prawdę, bał się trochę, choć miał bohaterskie serce.

Takie drobne utarczki bawiły dzieci niezmiernie, radowały majstrową, która kotkę swoją zachęcała do oporu i wszystko szło jakoś dobrze.

Aż raz kotka wróciła z dziedzińca z poturbowaną szerścią, z uchem rozdrapanem, bardzo zmęczona i jakby szukająca bezpiecznego schronienia. Czyniono różne, co do tej wycieczki domysły; Franuś utrzymywał, że Kizia musiała się dostać do gniazda szczurów; Marynka, młodsza siostra mówiła, że Kizie pewno chciał złapać czyszciciel dla pięknego futra, lecz choć poturbowana, zdołała z furgonu wydostać się; majstrowa była pewna, że to ten łobuz Antek, syn stróża przywiązał jej pęcherz z grochem, a biedna kotka uciekając z przerażenia, postradała część futra i poniosła ranę w ucho. Tylko Józik nic nie mówił ale miał silne podejrzenie a nawet przekonanie, że to była sprawka Bosego, i że jego zęby...

Ale Józik nic nie mówił, bo przecie nie miał żadnych dowodów, a bez dowodów nikogo oskarżać nie należy. Można się czasem, oskarżając tak na wiatr, bardzo pomylić i gorzko potem tego żałować.

Otóż, nie było Józikowi teraz dobrze u państwa Dratwińskich, ale nie było też i tak bardzo źle. Majstrowa nawet raz powiedziała, że trudno o tak porządnego, jak Józik chłopca, „bo to i mało je, posłuchliwy i cichy i pracowity.” Tylko, że Józikowi nic nie płacili, a on się dobrze napracował zawsze przez cały dzień, kupili mu jedną tylko koszulę i buty pozwolili sobie uszyć. Uszył je porządnie i sam z tego był bardzo kontent. Przytem myślał:

— Jakiby to mój biedny tatuś był zadowolony, gdyby był doczekał tego, że ja już buty umiem uszyć. I to buty wcale porządne! Nie nosiłby ich wprawdzie pan Aligant, co to musiał mieć wszystko takie śliczne. Ale dla mnie i takie doskonale! Ale co toż to teraz robią moi panowie z ulicy Wilczej?

Gdy Józik odnosił robotę, a czasem odnosił ją z Pragi aż do Warszawy, lub był przez majstra posłany z jakim interesem, zawsze sobie obiecywał, że którego z młodych lekarzy, którym dawniej usługiwał, spotka na ulicy. Czasem spostrzegłszy z daleka jakiegoś przechodnia, biegł za nim prędko, bo mu się zdawało, że to Wesołowski lub Aligant. Serce

wiedziało, że w Warszawie nie mieszkali. Raz tylko ujrzał Płaksę, jadącego dorożką ze smutnie zwieszoną głową. Krzyczał i biegł za dorożką co sił, ale go stójkowy za kołnierz schwycił, mówiąc spokojnie:

— Nie można tak ulicą między powozami biegać. Idź na trotuar.



Obłężenie Częstochowy przez Szwedów. (strona lewa obrazu).

biło mu z radości, ale gdy się zrównał z przechodniem, przekonywał się, że to ktoś nieznan, który patrzył na niego ze zdziwieniem. Wesołowski aż się śnił Józikowi. Zeby tak tego przyjaciela zobaczyć, toby już Józikowi niczego nie brakowało! Ale nigdzie żadnego z młodych lekarzy nie spotkał. Zebrawszy sobie kilka groszy z małych datków, otrzymanych za odniesienie roboty, szukał za te pieniądze nazwisk upragnionych przyjaciół w biurze adresowem, ale mu odpo-

Józik znowu poszedł do biura adresowego, ale Płaksy nie było w Warszawie, widocznie gościł w niej tylko przejazdem.

— Czy ja już ich nigdy w życiu nie zobaczę? — myślał smutnie Józik.

Był już trzy miesiące u państwa Dratwińskich i nie myślał o opuszczeniu ich, szczególnie dla tego, że z Franuśiem kochali się jak bracia, gdy z powodu Bosego nastąpiło

nagle rozstanie. W oczach majstrowej pies rzucił się w dzielnicy na uciekającą Kizię i poturbował ją tak że musiano ją zlewać zimną wodą, by do siebie przysła. Od czasu zranionego ucha i poszarpanej szerści, utraciła do Bosego dawną swą śmiałość. Zamiast stawiać mu się hardo, jak dawniej, zamiast rzucać iskry spojrzeniem, jeżyć wasy i parskać ukazując białe kły, uciekała tchórzliwie, a wtedy też Bosy tracił panowanie nad sobą, było to już nad jego siły. Rzucał się za Kizią, której zwykle ucieczka się udawała, ale w końcu byłaby może tchórzostwo swoje życiem przypłaciła, gdyby nie majstrowa, która jej na ratunek w porę przybiegła.

(d. c. n.)

Obleżenie Częstochowy przez Szwedów.

Obrona Częstochowy przed Szwedami, co zajmawszy w połowie XVII wieku cały niemal kraj, nie zdołali zdobyć klasztoru Częstochowskiego, w którego murach znajduje się cudowny wizerunek Matki Boskiej — znaną jest wszystkim.



Obleżenie Częstochowy przez Szwedów. (strona prawa obrazu).

Obraz p. Ryszkiewicza przedstawia właśnie jeden ze szturmów generała szwedzkiego Millera, w czasie tego obleżenia. Rozpoczęło się ono w końcu listopada 1655 roku i trwało sześć tygodni, to też śnieg, jak widzimy pokrywa ziemię. Garstka załogi pod przewodnictwem miecznika Zamoyskiego wraca do twierdzy, ze szczęśliwej wycieczki, pod okiem przeora Kordeckiego, patrzącego z baszty warownej. Część Szwedów goni za nią, część ustawia armaty i moździerze. Po

lewej stronie obrazu stoi generał Miller ze swym sztabem, na przodzie zaś widać starą żebraczkę, Kostuchę, która zbierała kule i podrzucała pod mury klasztoru do powtórnego użytku.

Marya Łopuszańska.

OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg).

Miesiąc już wypłynął wysoko i srebrne pasma rozciągały się na murawie.

Woń wiosennych kwiatów unosiła się w powietrzu, lekkie wietrzyki szeleściły w łożu rosnącej nad potokiem, kędy już słowik odzywał się nieśmiało. Las kołysał się poważnie i odziany w białe tumany szeptał coś tajemniczo.

Spokój wiosennego wieczoru rozlewał się w około — wszystko było łagodne, ciche, niby rozmarzone — gdy nagle jakaś wrzawa rozległa się w oddali; rosła, wzmagała się z każdą chwilą, wreszcie napełniła całą okolicę.

— Coś się stało! zawołali obecni, zrywając się, coś się stało! Matki poczęły z trwogą zwoływać dzieci, nawoływania ich rozlegały się szeroko ponad wodą i w zaroślach leśnych.

Człowiek zdyszany nadbiegł, krzyząc: — Ludzie, ludzie nie wiecie co się dzieje? — Obalono krzyż stojący nad drogą na rozstaju, tuż koło bram grodu!

— Kto, kto go obalił? pytano skupiając się dokoła nowo przybyłego.

— Nikt jeszcze nie wie, ale chwytają ich tam. Ani chybi poganie z puszczy to zrobili; któżby inny?

— Tak ani chybi, to oni, potwierdzili zgromadzeni, żegnając się pobożnie. — Pewnie owi myśliwi, którzy tu się kręcili wśród tłumu.

— Powiadają, że pojmano jakiegoś dziada gęslarza, ale się z rąk wymknął, — ozwał się drugi, przybywający z miejsca wypadku.

— Królewscy pachołkowie ścigają zbójów.

Wszyscy zaczęli dążyć w stronę miasta, zdjęci ciekawością. Czem bliżej grodu, tem bardziej tłumy się zwiększały, cisnąc się, by ujrzeć co się dzieje.

— Król srodze ukarze sprawców owego bezprawia, ozwał się ktoś w tłumie.

— Jeśli ich tylko pojماją? mruknął drugi.

— Pojmali! Pojmali! — rozległ się krzyk niedaleko.

Kilkunastu pachołków królewskich na koniach, zbrojni w miecze i łuki, zbliżało się wiodąc w pośrodku człowieka, odzianego, jak zwykle siedlacy, w szarą switkę i lipowe chodaki.

Twarz jego łagodna, była w tej chwili wielce zależnioma, i jakby sam nie wiedział co się z nim dzieje, rzucał dokoła wzrok trwożny i niespokojny.

— Patrzcie go! Poganin przeklęty! wołano zewsząd — jaki teraz z niego baranek! Do grodu z nim, powiesić!

— Utopić! krzyczeli inni.

Niektórzy nawet rzucili się, chcąc go wyrwać z rąk straży, by spełnić ową groźbę, ale pachołcy rozpędzili ich płazem miecza.

Wieczór już był zupełny, gdy tłumy stanęły u bram grodu.

Kielce były wówczas niewielkiem miastem.

wem głębokim, napełnionym wodą, ponad tem wznosił się wał z ostrokołem.

Wewnątrz znajdowało się kilkadziesiąt drewnianych budowli krytych słomą, kędy mieszkali rzemieślnicy i handlarze, oraz ludzie należący do dworu króla Chrobrego. — W środku był wielki plac służący za miejsce zgromadzenia oraz za salę sądową niekiedy. W dniu targowe napełniał się on przekupniami i handlarzami z różnych stron przybyłymi. Na jednym końcu wznosił się dwór królewski, zbudowany z modrzewia, stał na podmurowaniu kamiennem w środku obszernego podwórca otoczonego ostrokołem.

W oknach jego płonęły już światła.

Kiedy pacholki owi wiodący winowajcę znaleźli się na placu, naprzeciw nich wyjechał mąż jakiś, na koniu, ubrany bogato, widocznie z dworu królewskiego i zawołał na zbliżających się:

— Odprowadzić go do ciemnicy! Jutro król sam rozsądzi sprawę.

Pacholcy natychmiast skęcili w boczną uliczkę, a tłum zwolna rozpraszać się począł, z zamiarem jednak zgromadzenia się tu na jutro, by ujrzeć sądy królewskie.

— Strach co to jutro będzie — mówiono w tłumie — nie długo nosić głowę na karku temu poganinowi.

— O król go pewnie nie pożałuje! Będzie miał za swoje! Nasz król wielce srogi na podobne świętokradztwo. (Czy pamiętacie jak ukarał tego, co nie zdjął czapki przed Najświętszym Sakramentem?)

— A kto by tego nie pamiętał? — Oj, niech nas Bóg obroni od jego gniewu; — wołałbym, ot, choćby zaraz utopił się w Wiśle, niż się na niego narazić.

— I ja to samo.

— Ale to dziw, że tylko jednego pojмали — musiało przecie być ich tam więcej.

— Co za dziw? Uszli w las, jak ten dziad ladaco. — Oni sobie pomagają wzajemnie.

— Mówią — dodał inny, zbliżywszy się i głos zniżając tajemniczo — mówią, że w puszczy jest ich, jak mrowiu, a władzę nad nimi trzyma jakowyś książę, czy wojewoda starszy, który gdy spojrzy, to drzewa schną pod jego wzrokiem.

Nad nimi sam dyabeł władzę dźierży, bo na Łysej górze ukazują się teraz co nocy jakieś krwawe ognie, jakby tam szatany zbierały się na harce piekielne. Onegdaj, powiadam wam, mój chłopak omal nie umarł ze strachu. Wstał w nocy, by zapędzić krowę, która wyszła z obórki, w tem patrzy a szczyt góry, niby cały w ogniu: obejrzał się a tu już i znikło wszystko. — Oczy sobie przecierał, nie wierząc, czyli śni, czy widzi na jawie.

— Nie pierwszy to raz ludzie widywali to przed waszym chłopcem; i to właśnie nie wróży nic dobrego, pewnie jakaś bieda będzie na świecie — może powróci panowanie onych piekielnych bogów pogańskich, których król Mieszko powyrzuczał ze świątyni.

— Nie mówcie tego, abyście nie wywołali licha. — Niech szczęście, niech przepada na cztery wiatry! — przerwał towarzysz mówiącego, żegnając się przy tem trwożliwie.

— Gdyby świst — Poświst powrócił, mściłby się strasznie na nas, żeśmy go odstąpili

— Cicho tam obaj! bo jakby was księga posłyszeli mielibyście się z pyszna, zawołał trzeci. — Nie boję się powrotu starych bogów, bo nasz wielki Bóg silniejszy, każe sobie budować piękne murowane świątynie, kiedy tamci przestawali na nędznych, drewnianych kłitkach, gdzie im pewnie nieraz woda ciekła na głowę, każe sobie wciąż śpiewać i bić we dzwony; jest daleko bogatszym od tamtych. — Czemuż zresztą tamci, kiedy tacy mądrzy i silni, nie bronili się, gdy ich wyrzucano?

— Nie, nie boję się ja powrotu starych bogów, oni na to głupi!

† zawrokowawszy poszedł dalej.

wiających coraz bardziej się oddalały w wreszcie całkiem. Rozchodzili się

Miesiące tymczasem w kształcie wielkiej, czerwonej kuli zapadał za lasy, dalekie wycia wilków zdawały się go żegnać przy odejściu, z głębi boru raz po raz rozlegał się krzyk pułhacza.

Dziewczyna — wodnica szła przed siebie, w stronę zapałającego miesiąca, szaty jej długo białeły w nocnych ciemnościach i długo jeszcze, gdy znikła, słychać było śpiew jej na wpół smętny, na wpół dziki.

II.

Nastał wreszcie ranek, słoneczny, ciepły, pełen szczerbionym ptactwa. Na targowym placu, w grodzie, zgromadziły się tłumy ludzi, ciekawe jak król osądzi świętokradzcę.

Podwórzec przed królewskim dworcem roił się od dworzan i służby, przygotowującej wszystko przed ukazaniem się pana.

Nagle uwaga ludu odwróciła się w inną stronę. Z bocznej uliczki ukazali się pacholki, wiodąc owego człowieka, wczoraj pojmanego. Był osłupiały i wylekły, jak wczoraj, od czasu do czasu zaś uśmiechał się z miną ogłupiałą. Tłum zaczepiał go drwinami i żarcikami, lecz on nie odpowiadał na nie. Wtrącono go wreszcie w podwórze, brama się otwarła, a pacholki stanęły przy niej na straży, nie wpuszczając nikogo do wnętrza. Lud cisnął się ciekawie, by dojrzyć coś przez ostrokoł przynajmniej. Przed dworem był rodzaj przedsionka, wspartego na czterech słupach, tam zgromadził się cały orszak królewski który był teraz postawiony na stopie niezwyklej okazałości, gdyż król Chrobry przyjmował posłów szwagra swego, Swenona, króla Danii.

Powróciwszy niedawno ze zwycięskiej wojny z cesarzem Henrykiem, król objeżdżał swoim zwyczajem kraj cały, czujnym okiem śledząc wszystko co się tyczyło pomyślności jego. Choć to nie był dzień oznaczony na sądy, Bolesław ilekroć ukazywał się ludowi, lubił by się to odbywało z pewną okazałością, starając się tem oddziaływać na barbarzyńskie jeszcze umysły. I teraz więc przedsiunek cały obwieszony był i wysłany makatami i czerwonym sukniem; na wzniesieniu przygotowano miejsce dla króla, a dokoła ławy dla jego orszaku.

Właśnie, gdy przyprowadzono więźnia, dwór znajdował się już tam zgromadzony; starzy dostojnicy, po większej części składający jeszcze radę króla Mieszka, zasiedli na ławkach w półkole. Byli to owi dwunastu wojewodów, nieodstępni doradcy Bolesława; wśród nich wyróżniał się Sieciech Toporczyk, jeden z najzamożniejszych i najzasłużeńszych; bogaty tak, że mógł w lat kilka potem, dopomódz św. Brunonowi, gdy kapłan ten wybierał się apostołować w Prusiech.

Dalej zasiedli duńscy rycerze, posłowie króla Swenona, odziani w swój strój narodowy o orlich rysach, jeszcze ostrzej odbijających od łagodniejszych, okrągłych twarzy słowiańskich, najbardziej jednak wyróżniali się, w tem kole ową dumną nieugiętością, cechującą każdy ich ruch i spojrzenie. Znać było, iż należeli do owych śmiałych królów morza, którzy wraz ze Swenonem mieli wkrótce podbić Anglię.

W pośrodku koła siedział mąż w sile wieku, bo liczący zaledwie lat trzydzieści kilka, niezbyt wysoki, ale silnie zbudowany o obliczu wspaniałem i energicznym z którego biła odwaga i wielkość umysłu; uosabiał on dostojność i majestat prawdziwie królewski.

Był śniadej cery; krótka czarna, nieco kędzierzawa broda ocieniała twarz jego; z pod brwi, jak dwa skrzydła kruźce, patrzył wzrok sokoli, zdający się na wskroś wszystko przenikać; a była w tym wzroku taka potęga i tyle mocy niepokonanej, że nie było człowieka coby się nie uczuł małym wobec niego; po iskrach też które się zapalały niekiedy w tych oczach, można się było domyślać, jakie straszne błyskawice ciskały one w gniewie, albo wśród boju; jakie pioruny drzemały w tej ciszy.

Pan Mieczysław Celujący

KOMEDIJKA W 1-ym AKCIE

przez

Nasodę.

(Dokończenie).

SCENA VI.

Ciż SAMI BEZ KAROLKA.

MARYNIA (*do Miecicia*). Przyznaj się, że z ciebie nie-
szczególny kolega; zamiast przegrać ze trzy razy więcej swoją
sonatę, mógłbyś mu trochę pomódz w zadaniu.

MIECIO. A to dobre! ciekawym, co mnie jego zadanie
obchodzi? Czy ja go kiedy o co proszę, niech każdy sam
o sobie pamięta, to będzie najlepiej. (*wychodzi, mrużąc z nie-
zadowolaniem*).

TADZIO. Wiecie co, z tego Miecicia robi się okropny
samolub, jak to można tak w każdej chwili jedynie o sobie
myśleć.

HEL CIA. I jeszcze chwali się tem w najlepsze, wymy-
ślił sobie jakąś zasadę, że każdy dla siebie, i powtarza ją co
pięć minut, jakby coś najmądrzejszego.

MARYNIA. Mnie się zdaje, że on się chyba nie zasta-
nowił nad tem, jaka to szkaradna wada taki egoizm, przecież
dawniej nie miał tak złego serca, a teraz tylko o sobie myśli,
o sobie mówi, poza sobą świata nie widzi.

TADZIO. To od czasu, jak spędził kilka tygodni na wsi
z tym Jankiem Wirskim, tak się zmienił i popsuł. To tam-
ten miał zwyczaj wygłaszania takich mądrych zdań. Zdawało
mu się, że udaje filozofa i imponuje drugim.

MARYNIA. No, ale Miecicia trzebaby koniecznie prze-
konać, że to nie jest żadna filozofia, tylko dowód złego serca.

TADZIO. Wiecie, ja mam jedną myśl, chodzi tylko
o to, żeby ją sprytnie wprowadzić w wykonanie, a nasz Mie-
cio z pewnością się poprawi.

HEL CIA. Cóż to za myśl? mów prędko.

TADZIO. Trzeba, żebyśmy wszyscy przez jakiś czas
udawali jeszcze gorszych od niego samolubów; ręczę, że gdy
kilka razy doświadczy braku uczynności z naszej strony, gdy
usłyszy, jak to śmiesznie i wstrętne, gdy ktoś ciągle o sobie
tylko mówi i myśli, sam uzna swój błąd i będzie się starał
poprawić.

MARYNIA. Zapewne, mogłoby tak być, ale na sposo-
bność okazania naszej nieuczynności Mieciciowi, możemy długo
czekać, on rzeczywiście bardzo rzadko szuka cudzej pomocy.

TADZIO. Ale moja Maryniu, uwierzyłaś w to, bo on ci
to ciągle powtarza, w rzeczywistości on tak samo potrzebuje
co chwila jakiejś drobnej przysługi od drugich, jak drudzy
od niego, tylko, że my się tak nie drożymy, więc się o tem
zapomina.

HEL CIA. W każdym razie spróbujmy — otóż i on!

SCENA VII.

Ciż SAMI I MIECIO.

(*Miecicio idzie wprost do półki z książkami i zaczyna na niej
czegoś szukać*).

MIECIO. Czy nie widzieliście gdzie moich wypisów nie-
mieckich?

TADZIO. Owszem, widziałem, tylko nie pamiętam gdzie.
(*Marynia wstaje i zbliża się ku drzwiom*).

MIECIO. Maryniu, jeśli idziesz do jadalnego pokoju,
to popatrz czy tam na stole niema moich wypisów.

MARYNIA. Idę do jadalnego pokoju, ale nie mam cza-
su szukać twoich wypisów. (*wychodzi*).

MIECIO. A to grzeczna siostrzyczka! (*szuka w szufladzie*)
Ciekawym, gdzie się mogły zapodziać, czyby wypadkiem nie zo-
stały w szkole, bo jakoś sobie nie przypominam, czy wyjąłem
je z szuflady. (*do Tadzia*). Może zechcesz mi przynajmniej po-
wiedzieć, czy widziałeś je dzisiaj, czy wczoraj jeszcze.

TADZIO. Bardzo żałuję, ale nie potrafię ci tego powie-
dzieć; może to było dzisiaj, a może jeszcze przed miesiącem,
wiem tylko, że je widziałem (*śmieje się*).

MIECIO (*zniecierpliwiony*). Zamiast się śmiać, mógłbyś
się nad tem zastanowić i przypomnieć sobie.

TADZIO. Dla czego nie mam się śmiać? Twoje wypisy
wcale mnie nie obchodzą.

MIECIO (*gniewnie*). Ale mnie obchodzą, bo już jest go-
dzina szósta, a ja jeszcze nic nie umiem.

TADZIO. A cóż to mnie obchodzi? ja już umiem prawie
wszystko, a pan Mieczysław Celujący niech sam o sobie
myśli.

(*Miecicio spogląda na brata ze zdziwieniem*).

SCENA VIII.

Ciż SAMI, MARYNIA za nią JULISIA.

JULISIA. Pani się pyta, czy panicze prędko skończą
z lekcjami, żeby pójść do hotelu?

TADZIO i MIECIO (*razem*). Do jakiego hotelu? po co?

JULISIA. A bo przecież wujcio przyjechał z paniczem
Stasiem i pisał, żeby panicze przyszli na herbatę.

TADZIO (*podrzucając do góry książkę*). Wiwat! Staś
przyjechał! Zbierajmyż się prędkiej. (*Julisiu wychodzi*).

MIECIO. Aha! zbierajmy się! kiedy ja mam jeszcze
tyle nauki! Ach, mój Boże, żebym był przeczuł, że wuj-
cio przyjedzie, nie byłbym grał na fortepianie, tylko przygo-
towywał się na jutro.

MARYNIA. Toś ty nic nie wiedział? Ja już od obiadu
wiem, że jesteście zaproszeni.

MIECIO. Jakto, wiesz? jakże mogłaś mi nic nie po-
wiedzieć?

MARYNIA. A cóż mnie to może obchodzić? ja przecież
i tak nie idę. Najlepiej, żeby każdy o sobie tylko pamiętał.

TADZIO. Bardzo słusznie. (*pocichu do Maryni*). Ty
naprawdę wiedziałaś?

MARYNIA (*cicho*). Ale gdzież tam, przecież list dopiero
co przyszedł, umyślnie tak powiedziałam.

MIECIO. Cóż ja zrobię, dopóki nie będę miał tych wy-
pisów, ruszyć się z domu nie mogę.

TADZIO. Jak ci się podoba; ja zaraz ubieram się i idę,
bo już skończyłem lekeye.

MIECIO. Jakto? i poszedłbyś sam, bezemnie?

TADZIO. Cóż dziwnego, mój kochany, przecież każdy
o sobie tylko myśleć powinien.

HEL CIA (*poważnie*). Niech nikt nie pokutuje za cudze
winy.

MIECIO (*zniecierpliwiony, prawie ze łzami*). Uwzieliście
się dziś, żeby mi dokucać.

MARYNIA. Bynajmniej; przejęliśmy się tylko twojami
zasadami i znajdujemy, że są doskonałe.

TADZIO. Dziwię się sam sobie, że ich dawniej nie po-
dzielałem.

(*Miecicio siada na uboczu chmurny i opiera głowę na rękach*).

SCENA IX.

Ciż SAMI, KAROLEK.

KAROLEK (*ubiega szybko, jedną czapkę ma na głowie,
drugą trzyma w ręku*). Wyobraźcie sobie, co mi się stało,
wziąłem z przedpokoju czapkę Tadzia na głowę, a swoją ni-
słem w rękę i tak doszedłem aż do domu, dopiero na naszych
schodach spostrzegłem i wróciłem natychmiast, żeby
odać. (*Wszyscy prócz Miecicia śmieją się głośno*).

TADZIO. To nie tobie się stało, tylko mnie stać się mogło, bo właśnie mamy iść do wujcia na herbatę i nie byłbym miał w czem pójść.

KAROLEK. Idziecie do wujcia? ej, to będziecie się pysznie bawili! A dla czegoż pan Mieczysław Celujący siedzi taki zasepiony.

HEL CIA. Bo jemy brakuje jakiejś tam historii.

MIECIO. Wcaie nie historii, tylko niemieckich wypisów.

TADZIO. Które pewnie zostawił w szkole, przyznam się, że ja jeszcze jak żyję nie zostawiłem w klasie żadnej książki.

KAROLEK (*zbliżając się do Miecia*). Potrzebne ci do lekcji wypisy i dla tego taki jesteś zmartwiony?

MIECIO. Dla tego i... (*bliski płaczu*) i jeszcze oni wszyscy dokuczają mi dziś.

KAROLEK. Dokuczają ci? ależ to chyba na żarty, nie martw się, a jeśli ci wypisów postrzeba, to ja skoczę do domu i przyniosę ci moje,

MIECIO. Jaktó, ty?... ale, kiedy ty dopiero co, dwa razy chodziłeś już na takie zimno.

KAROLEK. No, to pójdę trzeci, wielka rzecz.

MIECIO (*zmięszany*). Mój Karolku, kiedy to naprawdę, kiedy ja... ja.. tobie nie oddałem nigdy żadnej przysługi.

KAROLEK. Ale cóż z tego! czyż ja zaraz wymagam, żebyś mi się wypłacał za taką drobnostkę?

MIECIO (*podrzucając czapkę Tadzia*). Ach, jaki ty poczciwy mój Karolku! tysiąc razy jesteś więcej wart odemnie.

KAROLEK (*śmiejąc się*). Ej, co też ty mówisz, przecież ty jesteś Mieczysław Celujący, a ja sobie zwyczajny, roztrzepany Karolek.

MIECIO. Ach, mój drogi, nie przypominaj mi już tego „celującego”, ja teraz widzę doskonale, że to wcaie nie wystarczy mieć celujące stopnie, jeżeli przytem ktoś jest nieuczynny i zarozumiały. Pomimo moich dobrych stopni, kiedy znalazłem się w kłopotcie, ty jeden ofiarowałeś mi się z pomocą, a wszyscy inni tylko śmieli się ze mnie i przedrwiwali. I mieli słusność, bo ja sam czuję, że na to mojem postępowaniem zasłużyłem.

MARYNIA. Nie, nie, Mieciu, my nie drwiliśmy z ciebie naprawdę, tylko chcieliśmy cię przekonać, jakby to źle było, gdyby na świecie każdy sam o sobie tylko pamiętał i siebie tylko za wzór stawiał.

TADZIO. Jesteśmy wszyscy gotowi pomóc ci w każdym kłopotcie, tylko ty nie usuwaj się także od oddawania drobnych przysług drugim, bo przecież ojciec powiada, że tylko na wzajemnych ustępstwach polegają wszystkie stosunki między ludźmi.

MIECIO. O, bądźcie spokojni, już nigdy nie będę takim nieuczynnym; poznałem, jak to przykro mieć do czynienia z samolubami, choćby oni tylko udawali. Od dziś już będę zupełnie innym.

HEL CIA. A zatem od dziś dopiero będziesz prawdziwie celującym!

KAROLEK. Brawo! a ja teraz biegnę po wypisy (*rzucając czapkę Tadziowi*). Trzymaj swoją czapkę, żebym ci jej znowu nie zabrał.

TADZIO (*wroczyście*). Panowie i panie! nadaję obecnemu tu Karolowi Milskiemu celujący stopień z roztrzepania i z dobrego serca.

WSZYSZY RAZEM. Brawo! niech żyje Karolek! będziemy zatem mieli aż dwóch celujących.

(*Wszyscy śmieją się — zasłona spada*).

ZE ŚWIATA.

Wezuwisz. — Polowanie na tygrysy

Wezuwisz przedstawia obecnie widowisko niezwykle. Oto południowa część ściany kraterowej runęła w otwór krateru i zatkała go prawie zupełnie. Ogień wulkaniczny rozżarzył zalegające krater odłamy skalne, które płoną wysokimi na metr płomieniami zielonemi i niebieskimi. Dym i lava z trudnością szukają sobie bokami ujścia przy nieustannym grzmocie podziemnym, w chwili zaś, gdy ujście sobie znajdą, z wnętrza wulkanu biją pod niebo 50 metrowe smugi świetlane, dopóki opadające kamienie na nowo nie zawałają krateru.

Inżynier angielski, Walter Brook, przebywający w Indjach przy budowie kolei żelaznej, uległ niedawno strasznejmu wypadkowi. Był on wielkim zwolennikiem polowania na tygrysy, a wyprawę jego myśliwskie kończył się zwykle pomyslnie; w końcu jednak padł ofiarą swego upodobania. Posiadał on już liczny zbiór przez siebie upolowanych wspaniałych i rzadkich okazów tygrysów. Wybierał się właśnie z powrotem do Anglii, gdy mu doniesiono, iż w okolicy widziano straszego tygrysa, nie namyślając się długo spieszy więc tam z dwoma jeszcze towarzyszami; wkrótce też odkryto legowisko zwierza, był to rzeczywiście wspaniały w swoim rodzaju okaz. Inżynier pierwszym strzałem ugodził tygrysa, lecz ten ciężko tylko ranny powłókł się w zarośla. Inżynier pomimo znacznego oddalenia od swoich towarzyszy, postępował za zwierzem, który wkrótce runął na ziemię bez ruchu; dla bezpieczeństwa przed zbliżeniem się, inżynier rzucił nań kamieniem. W tejsze chwili tygrys porwał się z ziemi i rzucił na myśliwego zanim ten zdolał broń pochwycić i nim na krzyk jego towarzysze nadbiegli, tygrys strasznie pokaleczył i poszarpał swoją ofiarę, odpędzony powłókł się dalej w zarośla, gdzie go drugiego dnia znaleziono nieżywego. Inżynier, pomimo pomocy lekarskiej, zmarł w kilkanaście godzin.

Marya Matuszewska

PRZEŁOŻONA 6 KLASOWEJ PENSYI ŻEŃSKIEJ W WARSZAWIE
przy ulicy Leszno Nr. 28.

Przyjmuje uczennice przechodzące i pensyonarki na warunkach przystępnych.

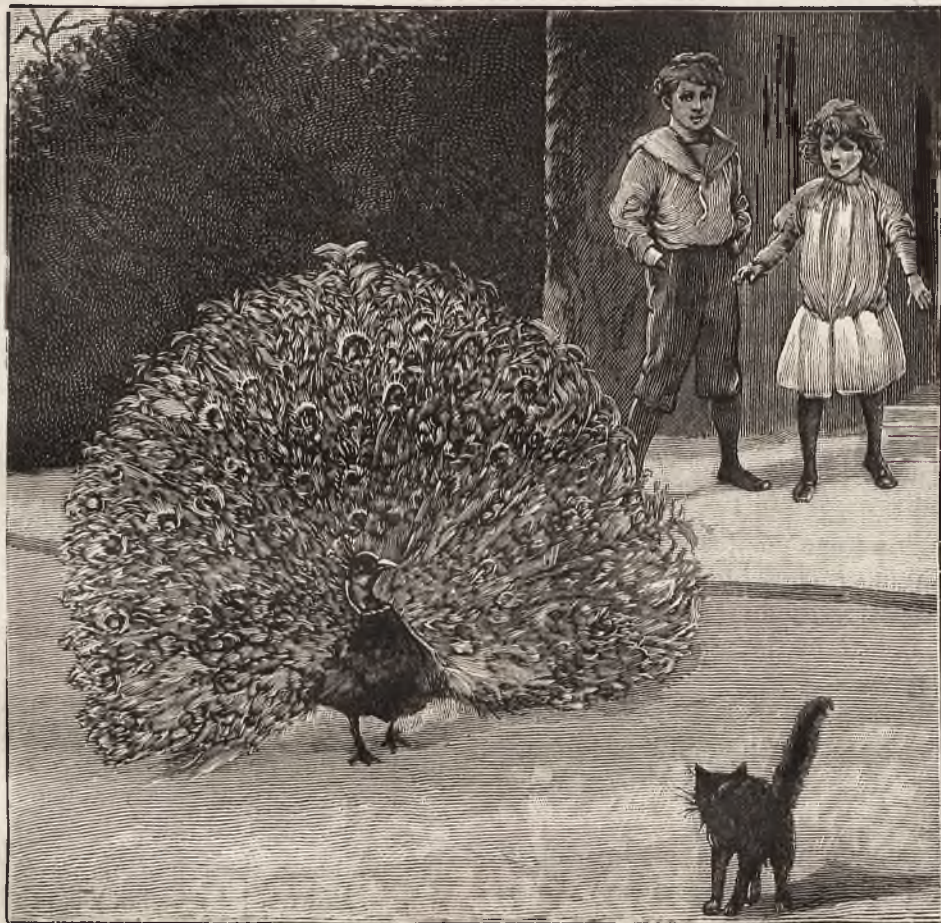
PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Widok z Tatr (rycina) — Pogadanki naukowe przez Wł. Umińskiego. — Dzielný chłopiec przez Zofię Kowerską. — Obłężenie Częstochowy przez Szwedów (z ryc.) — Obrońcy bogów przez M. Łopuszańską. — Pan Mieczysław Celujący, komedijka w 1-m akcie. — Ze świata. — Dodatek: Nie sądź z pozoru, wiersz przez M. D. (z ryc.) — Wojna o Kubę. — Królowa i paproci, bajka czarodziejska przez Wacława Sulimę. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka dolistów. — Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitek. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

WIECZORY RODZINNE



NIE SĄDŹ Z POZORU.

Ach sporzyj tylko Zosiu cóż to tam za dziwy,
Aż wierzyć mi się nie chce, że to ptak prawdziwy...
Sukienka jego złotem wspaniale się mieni,
A długi ogon błyszczy barwami kamieni...
Gdybyż nam chciał zaśpiewać, bo w takim odzieniu,
Wszystkie ptaki przewyższa pewnie w swoim pieniu!

Tak wołał Władzio, pawia spotkawszy w ogrodzie
Gdzie przechadzał się pyszny przy słońca zachodzie;
Aż nagle krzyk szkaradny razi chłopca uszy.
Krzyk, co miły śpiew ptasząt nieprzyjemnie głuszy...
Więc poznał Władzio zaraz, że ten często błądzi
Kto jedynie z pozoru drugiego osądzi.

M. D.

Wojna o Kube.

— Nie wiesz co Bomba dostał z łaciny?
— Czwórę, a Mydłek trzy, Sledź trzy, Ryba dwa,
jeden tylko Kurta będzie miał pięć.
— To Ryba obcięty?

— Ej nie, ale musi kuć całe wakacje, żeby popra-
wić stopień.
— Ja tam książki nie ruszę, będę pomagał ojcu
w gospodarstwie.

— Szczęśliwyś Gomółka, że jedziesz na wieś, na letniem mieszkaniu daleko nudniej, niema ani żniwa, ani koni wierzchowych. Raz tylko byłem na wsi u wuja i żebyś wiedział jak zwoziłem snopki, ty pewnie tak podawać i zwozić nie potrafisz.

Wicuş Molski, którego w klasie zwano Śledziem, trafił w najdrażliwszą stronę kolegi. Jaś Kowalski czyli Gomółka, miał się za najsilniejszego i najzręczniejszego wśród towarzyszy.

— Nie potrafie! — zawołał oburzony. — Przyjdz i zobacz jak szmyrgam snopkami, karbowy rachując krzyczy „dwa dwadzieścia”, a ja już „trzy dwadzieścia” po nim poprawiam.

— Nie naciągasz Gomuła?

— Słowo, że nie, zresztą przyjedź i zobacz, cóż tam będziesz na letniem mieszkaniu robił?

— Będę się kąpał, ryby wędką łapał, na stacyę po gazety chodził.

— To na letnim mieszkaniu miewacie gazety?

— Dobry mi, a cóżes ty myślał? Ja w przeszłym roku nigdy gazet nie czytałem, ale druga klasa wcale co innego, niż pryma, tam same malcy. Teraz skoro wiem, że dostałem promorę, zawsze czytałem już telegramy.

— Nie zawracaj, mój Śledziu, czytasz, bo tam piszą o wojnie, to i ja czytam.

— A jak myślisz, kto kogo pobije?

— U nas w realnym, różnie bywa. Bo trzeba ci wiedzieć, że są dwie partye, jedna za Amerykanami, druga za Hiszpanami, i okrutnie, mówię ci, kłócą się na pauzie.

— Toś ty może Hiszpan?

— Bo co? pewnie, że jestem Hiszpan i nasi górą.

— A wcale nie, w ostatniej gazecie było o zwycięstwie Amerykanów.

— No to w gazecie, ale w klasie jest inaczej. Hiszpanie wykropili skórę tamtym, bo też między Amerykanami najmniej było wstępniaków.

— I ty naprawdę trzymasz z Hiszpanami? — zapytał Śledź.

Gomułka stał zakłopotany, nie wiedząc co odpowiedzieć.

— Ja bo nie wiem komu życzyć, za kim słusność.

Śledź uśmiechnął się wzgardliwie.

— A wiesz przynajmniej co o Kubie? — zapytał po chwili.

— Nie wiedziałbym o Kubie. Kuba służy u nas za fornała przy gniadych koniach.

Tu już Śledź rozśmiał się głośno. Właśnie nadbiegło kilku kolegów.

— Słyszycie, panowie, Gomułka nie wie co to Kuba.

Biedny Gomułka, nie miał dziś szczęścia, trzej uczniowie a zwłaszcza Kurta, byli zaciętymi Amerykanami i chciwie chwyтали wiadomości z pola bitwy. Wytłomaczono więc Gomółce, że Kuba jest wyspą na oceanie Atlantyckim w gromadzie wysp Antylskich. Kurta i Bomba czytali jej opis w „Wieczorach Rodziny.”

— Dajmy pamiątkę Gomóle, żeby pamiętał Kubę — zaproponował Śledź.

Co się potem stało, nie powiem. Wiadome jest przysłowie, że „choćby cię smażono w smole” i t. d.

Działo się to wprawdzie to na podwórzu, nie w szkole, sekretu jednak nie wydam. Powiem tylko, że Gomółka na wsi niechętnie patrzył na Kubę, widać imię fornała smutne miało dla niego wspomnienia.

Z. B.

KRÓLOWA POZIOMEK I PAPROCI.

BAJKA CZARODZIEJSKA

przez Wacława Sulimę.

(Dalszy ciąg)

— Nie Halinko, to nie twoja wina, że użyto względem ciebie podstępu, ty zasłużyłaś na jeden tylko zarzut. Wszakże znałaś mnie dobrze, nieraz ci mówiłam, że zawziętość jest nieszlachetną; czemu na pierwsze słowo uwierzyłaś, że jestem fałszywą i mściwą; jaki miałaś dowód, że ona mówi prawdę? A czy wiesz, że właśnie to jest źródłem mnóstwa nieszczęść na świecie, iż ludzie tak odrazu i tak zupełnie wierzą jeśli o kim co złego posłyszą, nikt nie bwa tak łatwowierny kiedy jest mowa o jakim świetnym czynie, albo o szlachetnym postępku jak wobec oszczerstwa, z którego wypływają kłótnie, niezgody w rodzinie i poróżnienia między znajomymi. Niejednych przyjaciół tym sposobem powaśniono, bo mało kto zadaje sobie pracę sprawdzić, o ile zarzut jest słuszny i najczęściej wierzy się na słowo, albo najmniejszy pozór uważa się za niezbity dowód, z czego powstają tysiączne nieporozumienia. Przyniecz mi Halinko, że nigdy, drugi raz tego błędu nie popelnisz, a nie będę żałowała, że się moim kosztem z takiej wady wyleczyłaś.

Halinka, wzruszona dobrocią i szlachetnością królowej, ucałowała jej ręce i obiecała nie być już nigdy łatwowierną, ale sama nie zadowolniła się tem, bo pragnęła gorąco wynagrodzić krzywdę, choć mimowolnie wyrządzoną.

— Czy niema żadnego sposobu naprawić tego co się stało? — spytała.

Królowa westchnęła.

— Byłoby to bardzo trudnem — rzekła — nie wiem wcale gdzie są poziomki, zbiegłyby się wprawdzie na głos sarenki, ale ta jest uwięzioną i ukrytą. Przytem wątpię, abyśmy zdołały pokonać Pokrzywy, które w znacznie większej ilości przybyły. Niema już co o tem myśleć, zmieniły się nasze stanowiska, ty jesteś teraz królową, a ja nieznaną dziewczeczką, która ci jednak serdecznie wieszczę i szczerze się cieszy ze szczęścia, jakie cię spotkało.

— Racz być tutaj jak u siebie, przedstawię cię dziś królowi i jestem pewną, że ci będzie bardzo rad.

Królowa nie chciała, aby wiedziano o jej godności, została więc przedstawioną jako przyjaciółka Halinki. Dziewczynka otoczyła ją największą troskliwością, starając się usilnie dostarczyć jej wszelkich wygod i przyjemności.

Paprotka była jak zawsze uprzejmą i pogodną, dziękowała serdecznie za wszystko, ale Halince spokoju nie dawała świadomość wyrządzonej krzywdy. Spozrzęta,

że Paprotka pobladła i zeszczupiała, zgadywała, że cierpi, tylko w sobie to tai. A król bardzo ją polubił, całe otoczenie równie było pod urokiem tej leśnej królowej, która choć przebrana nie straciła wdzięku i królewskiego ułożenia.

Był w państwie grzybków stary jeden biały mech, mędrzec tak sędziwy, że go najstarsze grzybki siwym tyłko znaly. Biała jego broda spadała aż do ziemi; miał płaszczyk z piasku, z którego prawie nigdy nie wychodził i w którym przyjmował wszystkich, którzy po naukę, radę lub przestrożę przychodzili do niego. Znany zaś był z tego, że wszystkim mówił prawdę w oczy i był nieposzlakowanej prawości.

— Pójdę do białego mchu — pomyślała raz Halinka — może mi poradzi, jak mam postąpić z Paprotką.

Lekkim powozikiem zaprzęgniętym w dwa zające z jedną tylko towarzyszką, królowa grzybków udała się do piaskowego pałacu. Mędrzec siedział zatopiony w swoich myślach, kiedy weszła. Powitał ją przecieź życzliwie, i z uszanowaniem zapytał czego żąda.

Dziewczynka odprawiwszy skinieniem służbę i usiadłszy na niskim krzeselku, opowiedziała starcowi całą swoją historję.

— Poradz mi co mam uczynić, jak wynagrodzić krzywdę, którą jej mimowolnie wyrządziłam?

Starzec odpowiedział poważnie:

— Jeśli się kogoś skrzywdzi, choćby mimowolnie, należy to wynagrodzić, nie wahając się poświęcić siebie.

Czyś zdolną do ofiary?

— Tak.

— Dobrze, każda łza wyciśnięta drugim jest, jeżeli nie plamą, to ciężarem. Twoja wina, choć nie twoja chęć i wola. A teraz powiedz mi, dobrze ci tutaj?

— O jak dobrze! tak jestem szczęśliwą, wszyscy mnie kochają, opływam w dostatki. Gdyby nie los Paprotki niczego bym więcej nie pragnęła.

— Domyślałem się tego. A teraz słuchaj, gdybyś zniknęła, więc coby się stało? Oto król uznałby Paprotkę za swoją spadkobierczynię, wiesz, jak się jemu i wszystkim podobała. Jej wówczas byłoby tak dobrze jak tobie teraz, a nawet lepiej, bo odzyskałaby to, w czem wzrosła i do czego przyzwyczajona.

— A ja?

— Tybyś wróciła do Leśniczówki i zostałabyś tam, czem byłaś pierwej. Widzisz jak się można prędko do dobrego przyzwyczaić; już ci się dziś smutnem wydaje życie w chatce, osądź z tego, jak jest trudno odzwyczaić się temu, kto od dziecka żył w pałacu.

Po twarzy Halinki spłynęły duże łzy. Gdybyż tylko nie to wzgarliwe i przykre obejście, gdyby nie ciągte przykrości! Tak jej dobrze było tutaj, a w Leśniczówce tak smutno.

— Póki zostawać będziesz tutaj — mówił starzec, Paprotka może być tylko drugą po tobie. Czuję się ona wygnanką na twojej łasce i ukrywa swoją godność. Jeśli się usuniesz, będzie znowu królową i wkrótce pozyska miłość i uwielbienie powszechne. Postępek twój będzie szlachetny, a świadomość, żeś się umiała poświęcić i krzywdę wyrządzoną naprawiła, powinna ci stać za nagrodę.

— O! szepnęła Halinka, jeśli takim kosztem naprawić trzeba krzywdę mimowolną, to cóżby było, gdybym ją skrzywdziła rozmyślnie i z wyrachowaniem?

— W takim razie ciężko i długo musiałabyś pokutować. Nie dosyć byłoby wynagrodzić krzywdę, trzeba by jeszcze żalem i pokutą zmyć plamę, którąby ta wina na twojem sumieniu pozostawiła. Lepszy łachman żebraka, niż płaszcz królewski cudzą krzywdą pozyskany; gorsze, niż bieda i choroba, wyrzut sumienia; to trucizna, której jedna kropla największą czarę słodocy, goryczą zaprawi. Teraz możesz być szlachetną, wówczas byłabyś tylko uczciwą, ustępując jej miejsca.

— Pójdę — szepnęła Halinka i pochyliła się do ręki starca.

Do pałacu wróciła zamyślona. Piękny gmach tak uroczo wyglądał wśród zieleni drzew, pyszne zielone mchy odbijały się w jeziorkach, potoki spadały z szumem, a gdzieś tam, widniały różnokolorowe kapelusze grzybków, przyjaźnie ją witających.

Pomiędzy krzewami jałowcu Halinka ujrzała Leśną Paprotkę.

W skromnej sukience zajęta była jakąś robotą, siedziała cicho na uboczu, trochę blejsza, niż zwykle.

Widok ten wzruszył Halinkę.

Ona nie zrobiła mi żadnej wymówki, pomyślała, ale czyż dla tego właśnie nie powinnam się tem mocniej poczuwać do winy. O ileż jest szlachetniejszą ode mnie. Usunę się dziś i to w tajemnicy, bo ona nigdy by ofiary takiej nie przyjęła.

Powziąwszy mocne postanowienie, dziewczynka doznała zaraz zadowolenia, jakiego doznają ci, którzy wypełniają przykry i trudny obowiązek.

Podczas dnia uprzejmiejszą była niż zwykle, a wstając od uczyt uściskała serdecznie Paprotkę i ręce królewskie, uważając to już za pożegnanie.

Wieczorem miała być zabawa na rzece, przy świetle pochodni.

Halinka odprawiwszy swoje panny służebne, przywdziała ubranie, jakie miała, gdy ją w lesie znaleziono, przykryła się bogatym płaszczykiem, a na głowę włożyła wielki kapelusz, jaki tu był modny.

— Żegnam, cię miła komnatko — szepnęła — dobrze mi tu było, ale cię już opuszczę.

Wzrok jej przebiegając bogate sprząty i śliczne gracki, których była właścicielką zatrzymał się na małym sztyleciku w bogatej oprawie. Był to podarunek króla. Dając jej ten sztylecik, w dzień ogłoszenia jej spadkobierczynią, rzekł: ostrze jest srebrne, rękojeść złota, ale to jeszcze najmniejszy z jego przymiotów, gdyż to czarodziejski sztylecik.

— Wezmę go na pamiątkę — pomyślała — i schowała go starannie.

Noc była ciemna, pieniała się i szumiała rzeka. Na środek jej wypłynęła wielka tratwa oświetlona pięćdziesięcioma pochodniami, które rzucały czerwone, migotliwe światło na wodę i las daleko rozjaśniały.

Pod wspaniałym baldachimem siedział król, mnóstwo służby i dworzan otaczało go, łódki płynęły za tratwą.

ZAGADKA.

Ułożył Aleksander W.

Jedną tylko nogę dała mu przyroda,
A choć bardzo różną jest jego uroda
Zawsze w cieniu stoi, nigdy się nie rusza
I nigdy nie zdejmuje swego kapelusza.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

uł. Puszczyk z Pilawy.

Z następujących sylab ułożyć 9 wyrazów, których początkowe i końcowe litery złożone powinny nazwisko i imię, nieżyjącej autorki powieści dla młodzieży. A—bar—ba—bra—ce—con—dix—ir—ka—ka—ka—ma—o—o—pal—ra—ra—sin—skud—zou—wis. Znaczenie wyrazów: 1) Św. patronka górników. 2) Drogi kamień. 3) Ognie sztuczne. 4) Miasto w Hiszpanii założone przez Fenicyan. 5) Dopływ Warty. 6) Stan w Ameryce pół. 7) Włoska moneta. 8) Miasto nad Nilem. 8) Rzeka w Ameryce.

ŁAMIGŁÓWKA LICZBOWA.

ułożył X. Y. Z.

W kwadracie o czterech przedziałkach rozłożyć liczby 10, 40, 50, 100 w ten sposób, aby nie powtarzając liczby tej samej w jednym rzędzie w każdym kierunku wypadła liczba 200.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 25.

Szarady: Nie — men.

Rebusiku:

Co zanadto to nie zdrowo.

Skrzynka do listów.

Robaczek świętojański nie podaje w liście swego adresu, bez którego oczywiście wysyłka brakujących numerów jest niemożliwą. Prosimy zatem pomyłkę tę naprawić. Numeru 11-go z przeszłego roku zabrakło już w redakcyi. Pewni jesteśmy, że Jaskółka za swym powrotem mile powita nowego korespondenta, któremu przesyłamy pozdrowienia.

List wraz z pieniędzmi od Korala morskiego redakcyja odebrała; żądane numera wysyłamy. Zapewniamy, że wobec szczerzej przyjaźni jaką mamy dla młodzieży, listy masznych czytelników nigdy nas zdudzić nie mogą. Niechże więc Koral pisuje zawsze śmiało, ilekroć ma do tego ochotę.

Z przyjemnością dowiadujemy się od Aleksandra W., iż wizyty jego w kraju u rodziny i znajomych tak mu się w zupełności udały, i że widok dawniej znanych osób i miejsc tak wielce był mu miłym, lecz pojmujemy też, że z tęsknotą wyczekuje już chwili połączenia się z rodzicami. Nadesłane łamigłówni przejrzy mi, spodziewając się znowu wkrótce otrzymać nowy liścik.

Topolce wysłano już życzoną książkę. Jakże to dobrze, że ukochany braciszek wraca na wakacje, by dzielić rozrywki swego

rodzeństwa. Cieszy nas też, że Topolka lubi zając się ogródkiem. Praca taka przynosi wielorakie korzyści, gdyż obok zabawy dobrze wpływa na zdrowie i uczy nas lepiej oceniać trudy i pracę drugich. Życzymy więc aby kochana Topolka w zamilowaniu tem nie ustawała.

Małej literatce zasylamy pozdrowienia i witamy w niej nową i miłą nam korespondentkę.

Bodaj, że nie mylimy się przyznając Mary Lud. zalety pilnej i starannej uczennicy. Gdy więc tak dobre były stopnie w dzienniczku, wypoczynek tem słuszniej się należy, czego też szczerze życzymy.

Wszystko byłoby dobrze w naukach, gdyby nie roztrzepanie, przyznaje się szczerze w liściku swym Mania O., a ta szczerść, jak rozbraja bezwątpe naucezcielkę, tak i nam daje pewność, że niezadługo Manieczka będzie umiała zbytnią swą żywość, trzymać na wodzy w godzinach nauki.

Polnej Róży. Do udziału w konkursach zachęcamy, bo wierz nam Różycko, że tylko początek jest trudny, a nie idzie tu jedynie o otrzymanie nagrody, lecz przyznana pochwała, dla stojących wiekiem już poza konkursem, również wielkie zadowolenie dać powinna. Jeszcze jedna życziwa rada: oto niech Różycka stara się pisać zawsze większemi literkami, tak drobne bowiem pismo, choćby było najstaranniejsze, nigdy nie będzie piękne ani czytelne.

Jakże ładnie być musi w ogródku, który nam opisuje Gwiazdka, jak wesolo niezawodnie zabawiasz się ona wraz ze swem rodzeństwem. Przysłanym zabawkom biedne dzieci ucieszą się pewno, w ich też imieniu dziękujemy Gwiazdce.

Bardzo nam przykro, iż jedynie przez zaszłą pomyłkę przyczyniliśmy tyle zmartwienia Lolowi R., nie wysyłając obu książeczek razem; mamy wszakże nadzieję, że obecnie Lolo już nagrodę swoją otrzymał i pocieszył się w zupełności.

Łączymy serdeczne pozdrowienia dla Chróścika, jako dla dobrego braciszka.

Długi list Kurki z Polesia odczytaliśmy z prawdziwą przyjemnością, tem większą, że barwny opis Zofijówki obudził nasze wspomnienia o tej znanej przed laty, a rzeczywicie wyjątkowo pięknej miejscowości. Jakże podróż podobna po kraju kształci i rozwija, jak wyrabia smak estetyczny! Słusznie też oddawna zaliczono ją nie tylko do przemijających i chwilowych przyjemności, lecz do warunków ogólnego wykształcenia. Łamigłówni przeżyjemy, rozwiązania dobre.

Otrzymaliśmy również łamigłówni i szarady od Smoka, Ułana, Orła karpackiego, Anulki i Zosi; dobre zaś rozwiązania nadesłali: Władzio K., Józio Z., Nina. Ułan i Wierzb.

Bodaj, że Wiatraczek stosowny wybrał sobie pseudonym; ruchliwość jego bowiem, aż nadto jest widną w obu liścikach, któremi nas obdarzył. Gdy jednak i prawdziwe wiatraczki pozostają czasem w spokoju, jeśli tego okaże się potrzeba, z przyjemnością widzielibyśmy, że również nasz miły korespondent umie zdobyć się na taki czyn heroiczny. Więc przyszły list jego, o który bardzo prosimy, mamy nadzieję, będzie już o wiele staranniej napisany, tem więcej, że obecnie pozostało mu dużo czasu wolnego. Wesolą pozdrawiamy i prosimy o obiecany liścik.

Stokrotce z Sobolówki. W Warszawie stosujemy się we wszystkim do kalendarza nowego stylu. Przedpłatę kwartalną należy uiszczyć przed 1-ym lipca, o czem redakcyja przypomni nam w stosownej chwili swym czytelnikom. Przy większej wprawie odgadywanie łamigłówek, mniej niezawodnie trudności przedstawiać ci będzie, a niektóre nieznanne ci dotąd miejscowości, za podaniem wskazówek łatwo w geografii odszukasz, co niezawodnie nie zostanie bez korzyści.





WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

Nieudany połów.

Modrej się fali kryształowe szkiełka
Błyszcza, zieleni odbijając wianki,
Czasem na wierzchu srebrzysta perelka
Wytryśnie, z lekkiej utworzona pianki,
Gdy woda zwolna o brzeg bijąc, pluśnie.
Czasami rybka mieniącą się skrzelą
Pod wierzch wypłynie, fal powierzchnię
I znowu niknie w głębi pod topielą.
Chłopię wieśniacze usiadło nad brzegiem,
Do wędki wabik przyczepia — żer ciska,
I goni wzrokiem za fal rzecznych biegiem
W oczach mu chętką zdobyczy połyska.
Ale daremnie — czas płynie jak woda,
Ni jednej dotąd rybki na haczyku,
Trud bez owocu snąc chęci nie doda.
Żleś się na połów dziś wybrał chłopczyku,
Rybki zbyt mądre, by iść do przynęty
Wiedzą, że godzisz na biedne ich życie
Każda omija ostry haczyk zgięty,



I w fal srebrzyste zagłębia nakrycie.
Żle się wybrałeś, rzuć brzegi jeziora
Niech sieć na połów zarzucą rybacy,
Ty zaś idź w pole, gdzie żniwa jest pora
Weź się do innej pożytecznej pracy.

Marya S.



L. W. Szczerbowicz.

ALKAIOS W MOTONIE.

OBRAZEK Z CZASÓW STAROŻYTNICH

GRECYI.

I.

Rozbitek i Teano.

Ucichła już burza nocna, jedna z tych, które im rzadziej tem z większą gwałtownością nawiedzają szafirowe morza Grecyi. Ciszą zapanowała na powierzchni fal, niedawno szalejących i wzburzonych, swawolne wiatry i wiehry snać zostały już przez swego bożka Eola zapędzone do pieczary sycylijskiej i przywalone tam głazem olbrzymim. Chwilami tylko zrywał się silny podmuch Zefira, który jakby uspokajał, muskając pieszczotliwie, zmęczone burzą fale morskie. Tu i owdzie pędziły jeszcze obok siebie ostatnie bałwany pomniejsze, niby rumaki ogniste, o grzywach powiewnych z biało-śnieżnej piany, twórcza wyobraźnia Hellenów widziała w nich konie zaprzęgu, którym bożek mórz Posejdon przesuwiał się po falach, machając trójzębem, dla ostatecznego zażegnania burzy, oraz poskromienia swawolnej zgrai Trytonów i Nereid, bezkarnie plądrujących z wichrami w zawody.

Zefir, sam jeden pozostawiony na wolności przez Eola, poprzedzał zjawienie się jutrzienki i wschód słońca. Oto już coraz szerszą smugą, coraz wyżej i wyżej rozjaśnia się oddalony widnokrąg, blednie księżyc i gasną gwiazdy; aż wreszcie Eos purpurowa z pochodnią zaranną wypływa z poza białej, skalistej wysepki, umajonej gajem myrtowym, a w ślad za swą wierną poprzedniczką wtacza się na niebios sklepienie złocisty wóz Heliosa, jakby wynurzając się z głębi oceanu — tam daleko, gdzie sinieją zarysy innej jakiejś wyspy. Owa zieleniejąca myrtem wysepka, to Cytera, poświęcona uroczemu dziecięciu piany morskiej, bogini Afrodycie; dalej zaś ostrów, to Delos, kolebka Apollina: nie dziwota więc, że stamtąd właśnie wynurza się na świat słońce poranne. Znajdujemy się bowiem u skalistych, a nagich i niegościnnych wybrzeży Poloponcu.

Na cyplu wyniosłym, nieco mniej stromym i przystępniejszym od innych, tuż nad morzem, siedział mąż poważny w wieku, który jest już jesienią żywota. Szron ubielił mu skronie; troski oraz zawody zorały twarz bronzowo-śniadą i wyniosłe czoło; tylko duże czarne oczy były zawsze jeszcze młode i ogniste, aczkolwiek spojrzenie ich, daleko w przetrzeń skierowane, przysłaniał w tej chwili kir smutku. Musiał być wojownikiem, gdyż okrywała go chlamyda, jaką żołnierze przywdziewali zwykle na zbroję; z pod tego płaszcza widać mu było lekki pancerz assyryjski, a i u boku męża nie brakowało miecza. Głowę miał odkrytą, zapewne zgubił hełm swój albo kapelusz okrągły, jakiego Grecy używali w podróży, wzorem bożka Hermesa. W lewej ręce, na krawędzi skały opartej, wojownik trzymał cytry o siedmiu strunach: widocznie musiał być zarówno gorliwym sługą Aresa, jak ulubieńcem Muz mioudustych.

Długo patrzył mąż poważny na morze, goniąc teraz przy jaskrawych promieniach wschodzącego słońca małą łódkę, przewróconą dnem do góry i kołyszącą się zwolna na uspokojonej tafli morskiej, niby porzucona łupina orzecha. Nareszcie oderwał wzrok swój od tego widoku, westchnął i uderzył w struny cytry. Na pustem wybrzeżu rozległ się śpiew mężki w słodkim narzeczu eolskiem.

Witaj, Eos rumiana! Pozdrawiam cię, synu Latony!

Witan! złocisty twój wóz: przed nim pierzchła już noc,

Hades ponury już po mnie wyciągał swoje ramiona —

Spłoszył Apollo mą śmierć, jeszcze mi zesłał ten dzień.

Zdała od ziemi ojczystej mam pędzić lata wygnania:

Zeus i bogowie tak chcą — przyjmę z pokorą swój los
O Antimenidasie, o towarzyszu jedyny!

Nie chciał Posejdon byś żył — morską poślknęła cię toń.

Tyś szczęśliwszy odemnie: swobody pięknego Lesbosu

Nie przeżyłeś, lecz sam, lecz sam, poszedłeś z nią w grób.

Ja cię uczcić nie mogę pogrzebem ani kurbanem:

Ten pożegnalny więc śpiew w zmarłych krainę ci ślę.

Persefona i Charon niech będą dla ciebie łaskawi —

Oby się cieszył twój duch śród elizejskich pól.

Ostatni wiersz tej smętnej elegii odbijał się głuchem echem od skał nadbrzeżnych. Umilkł śpiewak i przez chwilę kilka siedział zadumany, na swej lutni oparty. Wstał wreszcie i rzuciwszy okiem dokoła, począł wspinać się po śliskiej i stromej ścieżynie w górę, w głąb nieznanego sobie ładu. Na lewo widział małą, okrągłą zatokę, która mogła być portem wygodnym; w około niej sterczały stopy kamieni oraz kilkadziesiąt domków, mniej lub więcej zniszczonych i zrujnowanych; widocznie tu teraz ludzie nie mieszkali. Wprost zieleńiły się tu i owdzie pomiędzy skałami chude łąki oraz kawałki roli uprawnej, ocienione już to kępami szarych karłowatych drzew oliwnych. Wędrowiec spuścił się do ciasnego wąwozu i niebawem stanął u łożyska wartkiego potoku. Chciał ugasić tu pragnienie, ale właśnie młoda dziewczica, podtrzymując na głowie amforę, odchodziła od strumienia.

Ubrana była ubogo, w długą tunikę bez rękawów z grubego domowego materiału, utkanego z szarej, nie farbowanej wełny, spiętą wąskim paskiem czerwonym.

Widok cudzoziemca nie zmieszał dziewicy; powitała go swobodnie zwykłą formułą grzeczności helleńskiej, względem osób starszych wiekiem używaną.

— Witaj, ojcze cudzoziemcze — rzekła dźwięcznym głosem.

— Witaj, córko — odparł przybysz. — Nie odmówisz pewnie wody spragnionemu.

Z uśmiechem nachyliła amforę, a gdy pił, przyglądała się mu ciekawie.

— Dzięki ci, piękna dziewczico — rzekł wędrowiec, ugasiwszy pragnienie. — Czy ty jesteś jedną z nimf, mających zapewne siedlisko w jaskiniach tych skał, czyli też jaką królową, którą bogowie pozwalają mi spotkać, jak niegdyś Nausikę Odysseuszowi, powiedz, gdzie się znajduje?

Dziewczyna roześmiała się, pokazując dwa rzędy białych zębów.

— Nimf u nas nie ma; nie jestem też królową ale biedną, bardzo biedną dziewczyną. Imię moje Teano, córka Damofona. Ojciec powiada, że pochodzimy z rodu Epytosa, który był kiedyś królem tej ziemi, ale dziś ten tytuł byłby wart niewiele...

— Widzisz tedy, piękna Teano, że nie bardzo się myliłem, przypuszczając, żeś królowa i porównyując cię do Nausikai. Ale powiedz, proszę, gdzie jestem?

— Otóż ze mnie roztargniona dziewczyna! Wybacz, gościu, żem nie odpowiedziała na twe pytanie. Znajdujesz się w Messenii: zburzone to miasto nazywa się Motona; panami naszymi są Spartanie. Chata nasza tam na lewo za pagórkami. Czy chcesz pójść ze mną?

— Tak córko; zmuszony jestem szukać gdziekolwiek chwilowego przytułku.

Szli zwolna obok siebie wzdłuż strumienia, kierując się ku pagórkowi, ocienionemu kępą drzew oliwnych.

— Czy to ty gościu, śpiewałeś tak pięknie? — spytała Teano.

— Ja śpiewałem, Teano, ale niestety, wiem, że z latami głos mój, niegdyś może przyjemny, stał się ochryplym i przykrym...

— Zawsze jednak śpiewasz pięknie od mego ojca i chociaż jakoś niezupełnie po naszymu brzmi twoja mowa, rozumiem wszystko.

Bom — Eolczyk, a wyście Dorowie, bracia nasi. O czemże śpiewa twój ojciec?

— Słyszałam od niego i o Odysseuszu i o Nausikaj, o których mówiłeś, gościu; ale najczęściej śpiewa dawne podania messeńskie. Stare to dzieje...

— Nie lubisz starych dziejów, dziewczyno?

— Lubię, lecz lubię także nową a piękną sukienkę, oraz klejnoty, choćby takie tylko, jakie widziałam w Sparcie, bo tam zbyt pięknych szat ani za drogie ozdoby nie wolno używać, nawet kobietom.

— Więc byłeś w Sparcie?

— Zeszłego roku, na pogrzebie króla Leocharesa. Niewiasty i dziewice messeńskie, muszą tam chodzić w takich razach, odziane w suknie czarne.

— Daleko stąd do Sparty?

— Dwa dni drogi.

Postępowali czas jakiś obok siebie w milczeniu. Teano posmutniała i wdychała ukradkiem.

— A ty nie śpiewasz, Teano? — odezwał się wędrowiec.

— Nie, u nas dziewczętom śpiewać nie uchodzi.

— Doprawdy? A to dziwny kraj! Zabraniać śpiewu dziewczętom czy ptaszkom leśnym, to jedno. W moim kraju właśnie dziewczęta najpiękniej śpiewają. Jedna z nich umie układać przesłiczne pieśni, które śpiewacy chętnie powtarzają, roznosząc sławę poetki po świecie całym.

— Jej imię, ojczcze?

— Imię jej Psapho, niektórzy wymawiają Safo.

Tak rozmawiając, doszli do chaty Damofona.

(d. c. n.)

Wł. Umiński.

POGADANKI NAUKOWE.

III.

O oddychaniu.

Oprócz tlenu i azotu w powietrzu znajduje się także cokolwiek kwasu węglanego. Możemy się o tem przekonać, wystawiając w izbie przez dłuższy czas na miseczce czystą wodę wapienną, która w końcu pokrywa się na powierzchni cieniutką błonką kredy.

Skąd bierze się kwas węglany w powietrzu?

Dmuchać się słomką na wodę wapienną w szklance, a dowiecie się zaraz. Woda zmaciła się; kwas węglany wydobywa się więc z naszych piersi wraz z oddechem. Do płuc wciągamy świeże powietrze, zawierające tlen, a wydychamy zepsute, w którym, zamiast tlenu, znajduje się kwas węglany. W ciele naszym odbywa się więc coś podobnego do palenia się; tlen powietrza w płucach łączy się chemicznie z węglem zawartym w krwi i daje ciepło, które rozchodzi się po całym ciele. Skoro oddychanie ustaje po śmierci, zwierzęta i ludzie natychmiast stają się zimnymi, jak i wszystkie przedmioty martwe. Ma się rozumieć, iż łączenie się tlenu z krwią odbywa się pomału, inaczej spalilibyśmy się na podobieństwo węgla w piecu.

O tem, iż krew zawiera węgiel łatwo się przekonać, przypalając ją w naczyniu jakimś przy ogniu.

Człowiek lub zwierzę, przebywając w zamkniętem miejscu, w izbie np. zużywa ciągle ożywczy tlen, zamieniając go na kwas węglany, niezdalny do oddychania. Powietrze w izbie, gdzie się znajduje kilkoro ludzi, jest więc dusznem i niezdrowem. Chcąc uniknąć chorób, które mogą być spowodowane przez oddychanie takim zepsutem powietrzem, należy izbę przewietrzać codziennie. Latem, jest to niepotrzebne, bo otwarte są okna. Zimą jednak trzeba koniecznie choć na krótko odemknąć z rana lufcik, lub uchylić drzwi, żeby na miejsce zepsutego powietrza weszło świeże. Gdyby

ludzie zawsze pamiętali o tem, to napewno mniej by chorowali, aniżeli obecnie.

Gdzie się podziewa w powietrzu kwas węglany?

Wiemy, że w powietrzu znajduje się cokolwiek kwasu węglanego, który wytwarzają przy oddychaniu ludzie i zwierzęta, oraz zapalane przez nas ogniska.

Żywych stworzeń jest jednak na świecie nieobliczona mnogość; wszystkie one oddychając, wydzielają codziennie bardzo dużo kwasu węglanego. Gaz ten, nagromadzając się ciągle w powietrzu powinien więc uczynić je dusznem. Tak jednak nie jest, kwasu węglanego nie przybywa wcale, gdzież on się zatem podziewa?

Ażebymóż sobie odpowiedzieć na to pytanie, zrobimy bardzo ciekawe i pouczające doświadczenie.

Doświadczenie. Nasypmy garść czystego, mokrego piasku do szerokiej butelki z białego szkła i rzućmy na dno szczyptę nasienia gorzycy lub rzeżuchy. Następnie przygotujmy, wskazanym na początku sposobem (z kredy i octu) w innej butelce kwasu węglanego, przelejmy go ostrożnie do flaszki i postawmy na słońcu. Nasionka niebawem poczną kiełkować, a po trzech lub czterech dniach dno butelki pokryje się zielenią. Kiedyśmy spostrzegli, iż rzeżucha już nie rośnie dalej, wyjmujemy z butelki korek i wkładamy do jej wnętrza tlejącą lekko drzazgę.

Ze zdziwieniem ujrzymy, iż takowa zapłonie niezwłocznie jasnym płomieniem, zupełnie jak w doświadczeniu z tlenem.

Z tego poznajemy, iż w butelce znajduje się teraz tlen, kwas węglany zaś zniknął. Co się z nim zrobiło? Oto rzeżucha rosnąc, rozłożyła go na jego części składowe; tlen, który właśnie znaleźliśmy w butelce i na węgiel, który posłużył jej za materiał na łodygi i liście.

Węgla, rzecz prosta, nie było ani w czystym piasku, ani w wodzie, ani w szkle butelki, nie mógł on zatem wziąć się znikąd indziej, jak tylko z kwasu węglanego, który jak nam wiadomo, jest połączeniem węgla z tlenem.

Na pytanie więc nasze, gdzie się podziewa w powietrzu wytwarzany ciągle przez zwierzęta i ludzi kwas węglany, znaleźliśmy, przy pomocy powyższego doświadczenia, następującą odpowiedź:

Rośliny, wzrastając, pochłaniają z powietrza kwas węglany, rozkładają go w świetle na węgiel, z którego tworzą się ich łodygi i liście, i na tlen, który wydziela się swobodnie jako gaz.

Zofia Kowerska

DZIELNY CHŁOPIEC.

(Dalszy ciąg).

Majstrowa zapalała do Józika i jego psa gniewem wielkim. Oświadczyła, że Bosa musi być ukarany śmiercią przez powieszenie i tylko z tym warunkiem chciała Józika zatrzymać. Wtedy Józik uściskał Franusia, któremu przyrzekł, że będzie przychodził czytać mu co niedziela, pożegnał dzieci i czeladników w warsztacie, świsnął na psa i poszedł znów szukać dobrych ludzi i kawałka chleba. Ale mu było ciężko na sercu. Taki z niego był sierota opuszczony! Miał wprawdzie przyjaciół na szerokim świecie, ale nawet nie wiedział gdzie ich mógł szukać myślą. Żeby się już raz dostać do takiego kącika na ziemi, skądby nie potrzebował odchodzić. Smutno jest żegnać się, kiedy nikt na nas z powitaniem nie czeka. Jedynym towarzyszem i przyjacielem jego był zawsze Bosa, ale przecie psa nie można tak kochać jak człowieka, tak jak na przykład, Józik kochał Franusia, którego mu było

zał strasznie! Miał łzy w oczach i szedł ze spuszczoną głową, gdy naprzeciwko siebie zobaczył jakąś panią niemłodą, bardzo wystrojoną, prowadzącą na sznureczkach sześć piesków różnej wielkości. Bosy stanął jak wryty. Nie wiedział co znaczy to grono nieznanym mu współbraci. Pieski też były bardzo zajęte widokiem Bosego. Nastąpiło zbliżenie się, powitanie. Pieski były trochę przestraszone i bardzo pokorne, Bosy przybierał minę pełną wyższości i łaskawej wyrozumiałości. Pani zawołała na Józika:

— Chodź-no tu chłopcze! Widzę, że masz bardzo rozumnego psa!

— Tak pani; jest rzeczywiście bardzo rozumny.

— Czy może wyratował kiedy tonącego?

— Nie, proszę pani.

— A cóż on zrobił mądrego?

Józik opowiedział, jak Bosy ukąsił Walka w nogę, jak przyprowadził Wojciechowę do leżącej na ziemi pani Warbickiej.



Franciszek Palacki.

— Sprzedaj mi twego psa! — rzekła wystrojona dama.

— Ten pies nie jest do sprzedania, proszę pani.

— Ale ja ci za niego dobrze zapłacę!

— Nie mogę go sprzedać proszę pani!

— Dla czego?

— Bo przyjaciół się nie sprzedaje!

Wystrojona pani popatrzyła na Józika ze zdziwieniem.

— Jesteś ubrany ubogo — ozwała się — ale widzę, że ubogi nie jesteś, kiedy nie chcesz dobrej za psa zapłaty.

— Jestem zupełnie ubogi, proszę pani, idę szukać jakiej służby, jakiego chleba...

— To pies będzie ci tylko ciężarem.

— Przepraszam panią, ale sprzedać go nie mogę.

— A gdybym ci dała ..

— Za żadną cenę go nie sprzedam.

— A to szczególnie chłopiec! — zawołała pani. — I jakiegoż ty chleba szukasz? Jakiego szukasz zajęcia?

— Chciałbym być chłopcem u szewca.

— Umiesz już rzemiosło?

— Byłem kilka miesięcy w warsztacie szewckim. Uszyłem sobie sam te buty...

— No, nie są bardzo piękne, nie masz się z czem chwalić!

Józik zawołał swego psa i poszedł dalej, pani poprawiła zaplątane sznurki, na których prowadziła swoje pieski i ruszyła też w swoją drogę, gdy nagle obejrzała się i poczęła wołać:

— Chłopcze, chłopcze!

Józik obejrzał się i wrócił do pani z pieskami.

— Jeśli chcesz, to cię zaprowadzę do szewca, który mi od 30-tu lat robi obuwie. Powiem mu, że jesteś porządnym chłopcem kiedy psa swego kochasz. Bo widzisz, psy nie są takie złe, takie niegodziwe, takie niewdzięczne jak ludzie! Mniew ludzie zdradzili, zakrwawili serce i już tylko w psią przyjaźń wierzę!

— O, jaka pani biedna! — zawołał Józik.

— Bardzo biedna! — odparła pani. — Zawołaj, chłopcze, dorożkę, pomożesz mi wsiąść do niej, wsadzisz moje pieski, usiądziesz na koźle i pojedziemy na Marszałkowską.

Józik spełnił rozkaz pani, sam usiadł na koźle, Bosemu rozkazał iść za dorożką.

— Ta pani jest pewno bardzo bogata—myślał Józik — ale ja jestem szczęśliwszy od niej. Wiem, że są źli ludzie na świecie, ale są i dobrzy; są tacy jak była pani Warbicka, jak jest pan Wesołowski, jak Franuś i Wojciechowa. Ta pani, która tylko pieski kocha jest bardzo nieszczęśliwa, skoro nie wierzy w przyjaźń ludzką i skoro na świecie całym niema nikogo do kochania!

Pani tymczasem rozmawiała ze swemi pieskami. To je pieściła, to karciała, przemawiała do nich tak czule, zupełnie jak gdyby pieski były jej dziećmi.

Wreszcie dorożka się zatrzymała. Józik wysadził z niej Fibsa, Bibę, Mirzę, Ralfa, Boksa i Spircia, wreszcie samą panią i wszedł za nią do sklepu. Pani zaczęła mówić z właścicielem sklepu co przerwało nieporozumienie, wynikłe nagle między Bosym i Ralfem, który wyrwał się wraz ze sznurkiem z rąk swej pani i zapomniawszy o swym wzroście mizernym, stanął do walki z Bosym. Nierówna walka byłaby może miała groźne następstwa, gdyby właściciel sklepu nie był najspokojniej wylał na zapastników całą kwartę zimnej wody, co w jednej chwili przywróciło spokój; wtedy bogata pani zaleciła Józika panu Wirwońskiemu, który po różnych targach, tłumaczeniach, wypraszaniu się, przyjął nareszcie Józika wraz z psem. Krzywił się wprawdzie do końca i oświadczył, że bierze Józika tylko na próbę, ale chłopiec był uszczęśliwiony. Dawano mu pracę, dach nad głową i kąpiel przy ognisku rodzinnym, choć cudzem. Rzucił się by ucałować ręce pani, która się za nim wstawiła.

— Dziękuję pani! — mówił gorąco. — Pani w dobrych ludzi nie wierzy, a jednak sama pani taka dobra...

— Za co mi dziękujesz? — rzekła kwaśno — przecie ja nie dla ciebie to zrobiłam, tylko dla twego psa, który mi się podobał, a sprzedać mi go nie chcesz! Żaden człowiek nie wart jest bym za nim słowo przemówiła! Jaki z ciebie niemądry chłopiec! Więc ty myślałeś, że ja dla ciebie z Krakowskiego Przedmieścia aż na Marszałkowską przyjechałam?

Józik zapomniał języka w ustach. Nie wiedział co odpowiedzieć.

— Ja to zrobiłam tylko dla tego, by pies, który potrafił bronić swoją panią od złodzieja, który potrafił sprowadzić dla niej ratunek, gdy była chora, miał przecie kawałek chleba i trochę słomy na posłanie. Pamiętaj żebyś mu uszył sieniczek. I pan, panie Wirwoński, niech pan będzie dla psa dobry. A teraz, chodź chłopcze i wsadź mię znowu do dorożki. Naprzód daj mi Ralfa, tego kasztanowatego, potem Spircia... Co ty robisz, to nie Spircio ale Boksi!...

Nareszcie pani i wszystkie pieski umieszczone zostały i dorożka oddaliła się. Pan Wirwoński przeprowadził ją wzrokiem, poczem wszedł napowrót do sklepu, ruszając ramionami.

— A to dziwaczka! — rzekł jakby sam do siebie. — Biedne kobiecisko!

— Bardzo biedna! — odparł Józik. — Chyba ona...

Tu pokazał znacząco na czoło.



Lwy afrykańskie.

— Gdzietam! — odparł pan Wirwoński. — To bardzo dobra kobieta, ale rodzony brat źle się z nią obszedł i ona tak z rozpacz chorowała, że mało nie umarła. Kochała bardzo tego niedobrego brata. I teraz jej się zdaje, że skoro ten ukochany brat okazał się złym człowiekiem, więc już dobrych ludzi niema i są tylko sami źli i niegodziwi na świecie. Ale, że człowiek nie może żyć bez żadnego ukochania, więc biedne kobiecisko kocha tę zgrają psiaków, które szciekają zajadle na każdego, co do jej mieszkania wchodzi, a ona mówi wtedy, że psy czują złych ludzi.

— O jakże mi żal tej biednej pani! — zawołał Józik.

— No chodź, chłopcze — rzekł pan Wirwoński — spróbuję, czy się da z ciebie co zrobić. Z oczu patrzy ci dobrze i mam nadzieję, że nie jesteś jednym z tych włóczęgów, co to na nieszczęście porządnych ludzi, do ich rodzin się weiskają. Skąd pochodzisz i co dotąd robiłeś?

Józik opowiedział całą historję swoją, a pan Wirwoński zapytał:

— A czy ty nie kłamiesz?

— Nie kłamię, proszę pana.

— Tyle już miałem kłamców i złych chłopaków u siebie, i to ich wina, że się potem i dobrym nie wierzy. No, zobaczymy! Pokaże się, czyś dobry czy zły!

Pan Wirwoński był już nie młody. Miał córkę zamężną i synów dwóch w szkołach. Józik nie siał z państwem do stołu, tylko z innemi chłopcami i czeladnikami. Wszystko w tym domu działo się akuratnie i porządnie. Robota z warsztatu wychodziła piękna i mocna, żadnego tam nie było oszukaństwa. Pani Wirwońska była gospodynią co się zowie. O wszystkim wiedziała i bardzo się jej nie podobało to, że Józik miał tylko dwie koszule. Z tego powodu patrzyła nawet na niego podejrzliwie. Ale powoli nabrała do niego zaufania. W jej domu chłopcy musieli często zmieniać białinę, bo pani nie znosiła brudu. Po miesiącu sprawiła Józikowi parę koszul i ubranie. Było mu tu dobrze, ale mu brakło życzliwej duszy. I pan i pani nie wiedzieli jeszcze co o Józiku myśleć, chłopcy i czeladnicy bali się, by na nich nie skarżył i nie powiedział państwu tego, że nieraz zamiast szyć obuwie, próżnowali i w karty grali. Józik pracował sumiennie, uczył się porządnej roboty i marzył o tem, by zostać czeladnikiem. Przecie miał długi, winien był Wojciechowej kilka rubli i musiał je oddać koniecznie; chciał też od gospodarza domu, w którym mieszkał z panią Warbicką, wykupić kilka pamiątek po swojej opiekunce. Przytem chciał też by jego robota była coś warta, skoro mu za nią płacą. Ale o nic się nie upominał i czekał spokojnie aż sam pan Wirwoński uzna, że mu coś płacić warto.

W niedzielę chodził Józik z pozwoleniem swoich państwa do Franusia. Pani Wirwońska pożyczała nawet książkę, które Józik czytywał choremu chłopcu. Z Franusiem zamiast być lepiej, było coraz gorzej, ale Dratwińskim jakoś nie dobrze się powodziło i nie mieli za co oddać chorego dziecka do szpitala.

Upłynęło tak półtora roku, Józik miał już lat 15 i w ostatnich czasach wyrósł ogromnie. Miał u państwa Wirwońskich dobre pożywienie, miał spokój, był zdrow, pracował dużo, ale nie nad siły, więc się i wyciągnął i rozrósł. Był z niego tęgii chłopiec co się zowie. Jeden z synów pana Wirwońskiego tak go polubił, że wieczorami w zimie, po skończonej robocie uczył go, a Józik do nauki aż drżał. Gdy mu Bolesław Wirwoński, tak się nazywał jego nauczyciel, zadał do nauczenia się dwie stronicę, on się nauczył cztery.

Raz, pan Wirwoński, wszedłszy do warsztatu zobaczył, że Józik szył but męzki siedząc na stołeczku, przed nim zaś na ziemi, oparta o drugi but, stała otwarta książka, a Józik szycząc zawzięcie, powtarzał sobie nazwy rzek, które wpadają do morza Bałtyckiego. Pan Wirwoński stanął nad nim, a on szyje bez pamięci, a powtarza głośno:

— Odra z Notecią i Wartą, Wisła z Narwią, Bugiem, Sanem i Pilicą, dalej Przegola, Niemen, wpadający do zatoki Kurońskiej...

Pan Wirwoński stał nad nim długą chwile, inni chłop-

cy i czeladnicy się śmieli, a on nie wiedział o całym Bożym świecie.

— Ten Józik Kilowski, to niezgorszy chłopiec — rzekł tego samego dnia wieczorem pan Wirwoński do żony.

— Ee, to nie jest niezgorszy chłopiec, ale bardzo porządny chłopiec — odparła pani.

— Trzeba mu będzie dać małą pensję.

— Niema tu krzywdy, je dużo, bo ma apetyt za dwóch, to się z pensją można jeszcze wstrzymać.

— No i pies jego też powietrzem nie żyje.

— Na psa nic nie wydaję. Gdzieś on wieczorami biega i powraca objedzony jak bąk.

Państwo Wirwońscy uradzili tedy, żeby jeszcze Józikowi nie płacić, tymczasem jeden z czeladników, który poprzednio pracował u państwa Wirwońskich przeniósł się do innego zakładu i począł Józika buntować. Szedł z nim jednej niedzieli aż na samą Pragę i wciąż mu obiecywał złote góry. Namawiał go, aby się zgodził do tego majstra u którego on teraz pracował. Miał tam pobierać 20 kopiejek dziennie i całe utrzymanie.

Było to dla Józika bardzo ponętne, ale się nie zgodził.

(d. c. n.)

Franciszek Palacky.

W czerwcu r. b. naród czeski obchodził uroczyste setną rocznicę urodzin wielkiego historyka swego, któremu zawdzięcza odrodzenie mowy rodzinnej i wiadomości dziejów ojczystych. Historykiem tym był Franciszek Palacky, urodzony w małej wiosce morawskiej 14 czerwca 1798, a zmarły 26 maja 1876 roku.

Syn nauczyciela wiejskiego od młodości odznaczał się wielkimi zdolnościami i nadzwyczajną pracowitością, to też rychło dał się poznać swemi pracami z dziedziny historyi i językoznawstwa. W r. 1829 Towarzystwo Naukowe Czeskie poleciło mu napisanie historyi Czech, i Palacky poświęcił całe życie pracy tej, tworząc pomnikowe swe dzieło p. t. „Dzieje narodu czeskiego”. Jest to pierwsza źródłowa i krytyczna historia Czech, doprowadzona aż do roku 1526. Stała się ona podstawą do dalszych badań i prac młodszych historyków.

Oprócz tego wpłynął Palacky na rozwój języka czeskiego przedtem nader zaniedbanego, na rozpowszechnienie jego wśród współziomków i w ogóle na podniesienie się wszystkich stron bytu narodowego, za co Czesi nazywają go „Ojcem narodu”.

Na uroczystość Palacky'ego zjechali się do Pragi przedstawiciele nauki i literatury wszystkich narodów słowiańskich. W Panteonie pragskim odsłonięto bronzowy posąg zasłużonego męża, a jednocześnie położono kamień węgielny pod pomnik, który ma stanąć przy moście jego imienia.

Uroczystości trwały dni kilka i miały charakter bardzo wspaniałe i serdeczny.

Lwy afrykańskie.

Wspaniałe te zwierzęta, obdarzone niezwykłą siłą i odwagą, dawniej więcej daleko niżeli dzisiaj były rozpowszechnione. Wyprawiane igrzyska w Rzymie, w czasie których po kilkaset naraz lwów wyprowadzano na arenę, przyczyniły się w znacznej części do ich wytopienia. Obecnie najwięcej tych zwierząt znajduje się jeszcze w Afryce, na przestrzeni między pustynią Sahary a przylądkiem Dobrej Nadziei.

Lew ma ogon długi, zakończony gęstą kitą włosów, głową wielką, postawą okazałą. Samca zdoła grzywa, obejmująca szyję i piersi; lwica i małe lwiatka grzywy tej nie posiadają. Ryk lwa rozlega się daleko i przejmując strachem inne zwierzęta. Czatuje on na zdobycz wieczorem i nad ranem, najczęściej gości przy wodzie, jednym skokiem dosięga swą ofiarę i łapami obala na ziemię. Człowieka nie zwykł napadać, ale zaczepiony, stawia opór zacięty. Obłaskawienie króla pustyni nie jest zbyt trudnem; cesarz rzymski Marek Antoniusz, ukazywał się zwykle ludowi na wozie przez dwa lwy ciągnionym, a w obecnych czasach dla zabawy publiczności tak zwani pogromcy lwów dają w menażeryach przedstawienia, często jednak padają ofiarą rozdrażnionych zwierząt, nie zawsze usposobionych do bezcelowych popisów.

Marya Łopuszańska.

OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg).

Purpurowy płaszcz spięty bogatą klamrą, na prawem ramieniu zwieszał się i spadał na dół w bogatych fałdach.

Zdjął właśnie z głowy pokrytej ciemnym, bujnym włosem, piękny soboli kołpak, z czapłą kitką i na dumną tę głowę i czoło wyniosłe padł złocisty, gorący promień słońca i ognistą iskrę zapalając w purpurowej tkaninie i dyamentowej spince u kołpaka, takie światło rozlał dokoła, że cała postać króla zdawała się rzucać blask od siebie.

Za królem stali wojacy młodzi po większej części, ze złotemi na szyi łańcuchami w nagrodę męstwa i zasług wojennych. Wszystkim też odwaga i męstwo patrzyło z oczu, bo takimi tylko król Chrobry lubił się otaczać. Znajdował się tam również opat Tuni, cieszący się wielkiem szacunkiem króla, powiernik jego najskrytszych zamiarów. Był to człowiek niewielkiego wzrostu, średniego wieku, suchy i zawiedły, tylko czarne, głębokie oczy świeciły w jego twarzy żywym, niekiedy niespokojnym blaskiem, miarkowanym jednak powagą i pobożnością, właściwą duchownej jego sukni.

Gdy więzień spojrział na owego męża siedzącego w porośniętym, upadł na twarz, bo domyślił się, że stanął przed obliczem królewskim.

Bolesław zdawał się być bardzo zagniewany; twarz jego na pozor była spokojna, ale oczy sypały iskry; wyglądał jak lew, który potrząsa grzywą i gotuje się zaryczeć, by rykiem tym zachwiać posady ziemi. Nie zauważył jeszcze przybycia więźnia.

— Pięknie się tu rządzi w mojej nieobecności—mówił, mnąc gniewnie koniec purpurowej delii—dopuszcili, by pogaństwo znów podniosło głowę zuchwale; ale ja nie zezwolę na to, jako Bóg żywy nie zezwoli. Kto nie ugnie głowy, ten ją straci!

I machnął ręką, jakby wskazując co zrobi ze wszystkimi owemi zuchwałemi głowami.

Za królem stał ulubieniec jego, nieodstępny towarzysz Stoigniew.

— Miłościwy panie — rzekł, pochylając się nieco, by być posłyszany — przyprowadzono owego człowieka, którego pojmano wczoraj.

Krół spuścił wzrok gniewny, na wciąż jeszcze leżącego więźnia.

— Podnieś się! — zawołał rozkazująco.

Lecz przestraszony biedak nie słysząc lub też nie spodziewając się, by słowa owe do niego skierowane były, nie ruszył się wcale.

— Ładonie! — ozwał się król do jednego z młodych rycerzy, stojących za nim, — idź, powiedz temu głupcowi by wstał!

Wezwany zbliżył się do wieśniaka i dotknawszy jego ramienia, rzekł:

— Podnieś się, król chce z tobą mówić.

Wieśniak zerwał się na równe nogi, jakby poruszony sprężyną.

— Czy to prawda żeś ośmielił się zwalić krzyż stojący przy drodze? — spytał król, ściągając brwi.

— Wasza miłość... panie miłościwy — jękał się przerażony biedak — ja nie, ja nie wiem, to tamci... ja tylko zdaleka patrzyłem.

— Mów prawdę — rzekł król surowo — poznam zaraz gdy skłamiesz. Kto, tamci? kto był więcej z tobą?

— Albo ja wiem, panie miłościwy?... Było ich tam dużo, czyż mogłem wiedzieć kto oni? Bies ich tam wie — mówił wieśniak, mnąc czapkę w rękę.

— Powtarzam ci, mów prawdę, bo źle wyjdiesz na tem gdy zechcesz oszukiwać — ozwał się znów król. — Naprzód powiedz: Czy jesteś ochrzczony?

— Tak se niby... — odrzekł wieśniak, a nogi pod nim drżały, gdy poczuł na sobie ów gniewny wzrok króla.

— Ochrzczonym — wybelkotał wreszcie.

— A no, zobaczmy zaraz... Przeżegnaj się!

Wieśniak wahał się nie wiedząc co zrobić.

Przeżegnaj się — powtórzono dokoła!

Wieśniak zrobił znak krzyża, ale lewą ręką.

— Lewą ręką się żegna — powtórzili obecni ze śmiechem.

— Widać zaraz, jaki z ciebie chrześcijanin — rzekł król surowo — nawet przeżegnać się nie umiesz... Czy nie ma księdza w waszej okolicy?

— A ino, miłościwy panie — odparł wieśniak — nasza osada wśród puszczy... Starzy ludzie rozpowiadają, że był u nas raz ksiądz i ochrzcił wszystkie dzieci, ale ja tego nie pomnę; tylo macierz moja mówili, że ochrzczony także.

— Stoigniewie — rzekł król — trzeba im tam zaraz posłać księdza, pierwszego lepszego, jaki się znajdzie pod ręką.

A zwróciwszy — się do wieśniaka, spytał:

— Jak ci na imię? Jak się zowie wasza osada?

— Ja się zowią Chrząszcz, a nasza osada Bednary, bo tam sami bednarze — odrzekł chłop.

— A teraz mów dalej: kto zwał krzyż? Przyznaj się, to ci daruję, inaczej srodze zostaniesz ukarany — rzekł król.

— A dyć ja nie wiem, miłościwy królu! — zawołał wieśniak, padając na kolana — pomiłujcie mię... nic nie wiem!

Okrągłe jego oczy przybrały wyraz przerażenia.

— Mów prawdę! — krzyknął król, porywając się z błyszczącym okiem. — znam was! Pokrywacie się wzajemnie, ale ja wiem wszystko; daremnie chcecie mię oszukać. To zrobili myśliwi i drwale z puszczy, za namową dziada owego! Wszakże tak? Nie możesz teraz zaprzeczyć, skoro wiem wszystko!

Wieśniak popatrzył zdziwiony na króla; nie mogło mu się pomieścić w głowie, iż wiedział wszystko tak dokładnie.

— A więc tak, wasza prawda, wielki królu! — odrzekł, drżąc na całym ciele, bo był teraz przekonania, że król jest wszechwiedzącym — to oni rzucili krzyż, ale jam nie winien... niech mię piorun spali, jeśli kłamie...

Bolesław zdawał się rozbrojonym jego szczerym przestachem; wielka jego dusza gardziła pastwieniem się nad słabą, nędzną istotą, rzekł więc łagodniej:

— Widzisz, że wiem wszystko. Dlaczegożeś odrazu nie powiedział? Kto inny zawinił, a ty byłbyś ukarany. Mówiłem ci przecież, że jeśli powiesz prawdę, to będzie ci darowanem.

— Wasza miłość — odrzekł wieśniak, drapiąc się w głowę.

wę, ośmielony nieco łaskawszym tonem króla—albo to zawdy można wierzyć temu, co wiele obiecują?

I przelękniony tem, co mu się w prędkości wypowiedziało, nagle spuścił głowę.

— A często cię wiele oszukiwali? — spytał go król z uśmiechem.

Wieśniak obejrzał się po otaczających króla panach; na twarzy jego odbił się ów charakterystyczny wyraz chłopskiej chytryści, ale nic nie odrzekł.

— No, abyś wiedział, że ja do tych wielkich nie należę — ozwał się król po chwili — i że zawsze zdzierzę słowo, puszczaam cię wolno; możesz sobie iść, gdzie chcesz.

Na te słowa wieśniak padł na kolana znowu i czołem uderzył o ziemię, wyrażając swoją wdzięczność.

Potem oddalił się uradowany, a gdy znalazł się na placu, podrzucił kilka razy czapkę w górę z radości. Wśród tłumu ozwały się okrzyki na cześć króla; bo choć wczoraj srożyli się na poganina, jednak radzi byli, że król łaskaw na biednych ludzi.

— Miłościwy panie — ozwał się jeden z wojewodów, któremu nie do smaku były ostatnie słowa wieśniaka — puściliście tego człowieka, a on może nie tak niewinny, jak się wydaje, ino postać taką przybrał na siebie.

— Wojewodo — odparł król — ciekaw jestem, czybyście radzi byli wszyscy, gdybym chciał dochodzić tak ściśle każdej winy waszej. Jeśli człek ten zawinił, to zgrzeszył bardziej ciemnotą i nieświadomością, niż złą wolą. A teraz dość już o tem.

Posłowie duńscy dziwowali się wielce, iż król tak się troszczy o zrzucenie jednego krzyża; ich bowiem monarcha obalał sam owe godła chrześcijaństwa, wracając do dawnej wiary przodków, której ojciec jego Harald wyrzekł się był przed laty. Teraz więc przyznawali słuszność wyrokowi Bolesława.

— Na Odyna! — ozwał się jeden z nich półgłosem — nasz król Sweno jeszczeby podobny czyn nagrodził!

— Daleko jednak Swenonowi z rozdwojoną brodą do tego mądrego króla Polanów! — szepnął jego towarzysz.

— Bo też ich kraj daleko bogatszy i potężniejszy.

— A ich król wielki! To trzeci główna, bracie — rzekł cicho trzeci poseł.

— Co mówicie, rycerze? — ozwał się król, spostrzegłszy, iż Duńczycy rozmawiają o nim — czy może nie do smaku wam mój wyrok, jak wojewodzie Sobiesławowi?

— Nie, królu — odrzekł najstarszy z rycerzy duńskich — podziwialiśmy owzem mądrość waszą w tym wyroku i powiadamy, że nie dziw, iż nasz król u was szukał sobie małżonki, bo gdym się przyjrzał bliżej, to widzę, że między naszym a waszym narodem wiele jest podobieństwa.

— Jakież to podobieństwo? — spytał król.

— Jakto! więc go nie widzicie? — odrzekł Duńczyk. — A ot takie, że wy pijecie miód i my go pijemy; wy nienawidzicie Niemców i my też zbytńio ich nie miłujemy; wy ich bijecie i my często mieczem ich po łbie głaszczemy. Małoż więc między nami podobieństwa?

— O, co do tego, żeby bić Niemca — odparł król z uśmiechem — to zgadzam się, że jedna u nas natura z wami! Lecz między mną a waszym królem jest wielka różnica — dodał nagle, powracając do zwykłej powagi, a na twarzy jego odbiła się myśl jakaś wielka. — Różnica jest taka, że ja stawiam kościoły, a on je burzy.

A wojewoda Sieciech szepnął do Sobiesława:

— Trzeba było dodać, że księżę Mieszko umarł swoją śmiercią, a Sweno ponoś tam pomógł ojcu swemu Haraldowi, by mu prędzej tronu ustąpił.

— Miłościwy królu — ozwał się rycerz duński po chwili milczenia — to właśnie przywiązanie do starej wiary jednym jest jeszcze dowodem nienawiści naszej do Niemców. Nie chcemy nawet wierzyć w to, co oni.

Tymczasem lud zgromadzony na placu rozchodzić się począł powoli; słońce, wypłynawszy do połowy nieba, dogrzewało już dobrze i służba zgromadzona na podwórzu, usunęła się w cień, pobliskich drzew.

Posłowie duńscy oddalili się również, przy królu więc pozostało tylko poufałe kółko. Rozmowa też stała się swobodniejszą.

— Widzę, że zaniedbałem tę część królestwa — mówił Bolesław w zamyśleniu — więc o ile mi teraz czas pozwoli, całą mą baczność tu właśnie skieruję. Trzeba koniecznie wykorzenić ostatki pogaństwa; gdy inaczej nie można będzie, to choćby mieczem nawet. Miecz niekiedy lepiej chrzei upartych, niż woda!

— Nie, królu — ozwał się opat Tuni — pozwólcio rzec sobie, że źle jest uciekać się najpierw do miecza; pomnijcie, że kto mieczem wojuje, od miecza ginie. Niech tam wprzód pójdzie słowo Boże, a gdy ono nie podoła, będzie się można uciec do miecza.

— Tak, a tymczasem będą myśleli, że się ich boję — odparł król. — Już i tak ich zuchwalstwo doszło do niesłychanej miary. Dość mam kłopotu na granicach z obcymi, jeszcze i ci będą mi tutaj bruździć! Nie myślę wcale długo się z nimi wodzić, nie mam na to czasu, bo jest dosyć ważniejszych rzeczy na głowie. Tylko co nie widać, jak cesarz zrobi nam znów jaką sztukę; czuję to dobrze; nie czas więc zajmować się wtedy łotrami; trzeba z nimi teraz skończyć, zgnieść w samym zarodku, bo inaczej mogą jeszcze podnieść głowę kiedyś groźnie.

— Miłościwy królu — ozwał się opat Tuni — posłuchajcie mojej rady; trzeba najpierw spełnić obietnicę, którąście zrobili siostrzanowi, księciu Emerykowi, to jest wystawić kościół na Łysej górze, a najlepiej i klasztor przy nim zbudować, sprowadzić do niego Benedyktynów z Włoch. Gdy tak to ostatnie schronienie pogaństwa zostanie poświęcone słuźbie Bożej, to i lud wyjdzie z grubej ciemnoty i zabobonów, w których jest dotąd pogrążony, bez użycia gwałtownych środków.

(d. c. n.)

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TRĘŚĆ: Niudany połów, wiersz przez Maryę S. (z ryc.) — Alkaios w Motonie przez L. W. Szczerbowicza. — Pogadanki naukowe przez Wł. Umińskiego. — Dzielný chłopiec przez Zofię Kowerską. — Franciszek Palacký (z port.) — Lwy afrykańskie (z ryc.) — Obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — Dodatek: Kwiat paproci przez Ludwikę Życką (z ryc.) — Piosnka, wiersz przez E. L. Nieproszeni goście. — Królowa poziomek i paproci, bajka czarodziejska przez Wacława Sulimę. — Zamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitek. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

WIECZORY RODZINNE

KWIAT PAPROCI.

Janinka słyszała od starej swej niani, że jest czarodziejski kwiat paproci, który rozkwita tylko raz w rok w nocy o 12-tej godzinie, w wigilię św. Jana. Otóż, jak upewniała niania, kto taki kwiat znajdzie, ten będzie wiedział wszystkie tajemnice, będzie znał wszystkie zaczarowane skarby i bogactwa ukryte w ziemi, i ten będzie raz na zawsze szczęśliwy!

Janinka była wielką ciekawską i chciała zawsze wiedzieć i słyszeć wszystko, co mówiono w domu i zobaczyć wszystko co kto ze starszych robił.

By dogodzić swej ciekawości, musiała nieraz nabiegać się z kąta w kąt po całym domu, i nieraz też być zawstydzoną, gdy ją ktoś schwytał pod drzwiami, lub pod oknem. A przez to zajmowanie się cudzemi sprawami opuszczała oczywiście własne obowiązki, i bywała strofowana przez matkę i nauczycielkę za niedokładność w lekcyach i nieporządek w swej szafce i komóдке.

— Mój Boże! myślała sobie, jaka ja jestem nieszczęśliwa! Ciągłe mnie łajają! Gdybym to znalazła taki kwiat paproci, któryby mi opowiadał, gdzie się co dzieje i jeszcze za mnie zadania arytmetyczne porobił, to dopiero byłabym szczęśliwą!

Nadszedł dzień św. Jana, 24-go czerwca. W wigilię dnia tego późno wieczorem, Janinka wymknęła się z domu, sama jedna, i pobiegła dróżką do starego parku. Tam na wzgórkach rosły paprocie i przy blasku księżyca, rzucały cień na trawy, rysując się w świetle letniej nocy, jak prawdziwie zaczarowane bukiety. Rosa była obfita; nad rzeką słały się mgły, a z poza nich dochodziło skrzeczenie żabek, pokrzykiwanie derkaczy i wodnych kurek.

Janinka poczęła drzeć ze strachu i wilgoci, która ją na wskroś przejęła: przypomniało się jej, że niania opowiadała iż takiego kwiatu paproci, strzegą różne straszne stworzenia, i dopiero kto się ich nie złąknie ten znajdzie i zdobędzie kwiat cudowny.

Nagle zatrzymała się nie śmiać postąpić dalej, bo jakaś wielka trawa, zroszonemi liśćmi musnęła ją po twarzy, a jej się wydało, że to latający smok, chce ją pożreć. Krzyknęła, i byłaby uciekła, ale chęć zdobycia szczęścia na całe życie, przemogła. Opanowała się, skoczyła naprzód i drząc całą, rwała wspaniałe zielone pióropusze liści paprociowych. Ale kwiatu między niemi, nie było! Rozgarniała krzaki jedne po drugich nagle!... coś ogromnego, czarnego skoczyło na nią z pobliskiego drzewa! Tu już Janinka prawie nieprzytomna ze strachu krzyknęła, i puściła się lotem strzały do domu, gubiąc zebrane liście. Błada, zmoczona wbiegła prosto do mamy, i z płaczem przyznała się do wszystkiego. Za nią przybiegł z parku wielki czarny kot, który tam czatował na ptaszki, i był sprawcą całego jej strachu.

— Uwierzyłaś bajce — mówiła mama. — Takiego kwiatu niema na całym świecie. Szczęście i wiedzę pożyteczną, człowiek musi sam zdobyć i wypracować — a wtedy znajdzie je zawsze w sobie samym.

Ludwika Życka.



... rwała wspaniałe zielone pióropusze liści paprociowych...

PIOSNKA

(na nutę „w Gaiku zielonym“).

Jagódek tysiące,
Tu jedna, tam druga:
A wszystkie tak lśniące,
Jakby krasna smuga.

Wstanę ja raniutko,
I z domu wyskoczę,
Uzbieram prędziutko,
To wszystko co zoczę.

Ej dana, ej dana!
Jak piękny świat Boży,
Szczęśliwam od rana,
Przy tych blaskach zorzy.

Aż się oczy śmieją
Do jagód czerwieni,
Serce mi wyskoczy
Pośród tej zieleni.

Biednaś ty, jagódko,
Kryjesz się w listeczki,
Pójdź do mnie, filutko
Będziesz dla mateczki.

A ty, czarny taki
Jak węgiel w kominie,
Pójdiesz na przysmaki,
Los ciebie nie minie.

O Boże mój, Boże,
Cóż ci oddam za to?
Za te piękne zorze,
Za to cudne lato?

Ot serduszko swoje,
W ofierze dziś złożę,
Przyjm za dary Twoje,
Mój serdeczny Boże!

E. K.

NIEPROSZENI GOŚCIE.

I

Persaki czyli Prusaki.



Fee! powiecie niezawodnie, przeczytawszy tytuł „fee! cóż za brzydkie stworzenia!”

A jednak stworzenie to nie jest mniej ciekawe od wielu innych; jeżeli zaś chodzi o wygląd jego, to przecie są stworzenia stokroć brzydsze. Ot choćby turkuć! Jakby wszakże wiedziały prusaki, że ludzie taki wstręt do nich czują, bo starają się nie pokazywać im we dnie i dopiero

w nocy, gdy zupełna ciemność i cisza wokoło, wychodzą z kryjówek szukając pożywienia. Najliczniej gromadzą się tam, gdzie kucharka resztki jedzenia w garnku zostawiła, lub złożyła kości dla biednej kościarki, bo dla prusaków nic nad to nie potrzeba, uczta podobna wystarcza im zupełnie. Zajadają chciwie, byle więcej, byle prędzej, tylko wąsami z uciechy poruszają. Już mają wracać, a tu dostrzegają, że szafa niezupełnie przymknięta. Szpara wprawdzie nieduża, wejść jednak można z łatwością.

Więc jeden za drugim, jeden za drugim cisną się do szafy. Istny raj, co tu przysmaków! Chleb, cukier, kasza gotowana, bułki, słowem jakby kto umyślnie, dla nich najdoskonalsze przygotował potrawy. Do świtu tam przesiedziały racząc się nadmiernie, bo żarłoczne są bardzo.

A czy widzieliście też kiedy małe persaki? Są to zaraz po wyjściu z jajek podłużne, białe robaczki o małych nóżkach i czarnych oczkach. Troskliwa o ich byt matka przyprowadza je czempędzej do szpary w podłodze, gdzie znajdują się odrobinki chleba. Robaczki chciwie poczynają zajadać i o dziwo, w kilka godzin przekształcają się już na płaskie, bure owady. Matka jednak

nie pozostawia ich jeszcze bez opieki; prowadzi za sobą od jednej szpary do drugiej, od jednego kąta do drugiego, wyszukując pożywienia. Widać, że polowanie dobrze im służy, gdyż maleństwo wzrasta widocznie. W końcu ubranie dawne staje się za ciasne i pęka na łepku. Młody owad wyłazi ze starej skóry jak z futerała, ale znowu inny: białutki i na tak słabych nóżkach, że z trudnością chodzi. Mija znów kilka godzin, a prusak, wzmacnia się w sile i przybiera barwę ciemną.

Taka przemiana odbywa się z pięć razy, dopóki młode prusaki dostaną skrzydła i stają się zupełnie do rodziców podobne. Ale na co potrzeba od czterech do sześciu miesięcy.

Wszystko byłoby dobrze gdyby w domu, w którego kuchni tak się prusaki rozgościły nie nastąpiła inna służąca. Ta skoro zobaczyła jednego wieczora na kominie wielkie ich mnóstwo, aż się za głowę chwyciła.

A też tego robactwa tu nie brak — zawołała, i dalejże porządkować i sprzątać. Jak więc zaczęła wszystkie kąty czyścić, myć, szorować; jedzenie chować, zamykać, przykrywać, biedne prusaki nie miały gdzie się podziąć i z głodu aż osłabły.

Na domiar złego, zawzięta kucharka porozsypywała wszędzie jakiegoś proszku żółtego i boraksu z cukrem. Prusaki nie przeczuwając zdrady, rzuciły się na upragnione pożywienie, lecz połowa ich na miejscu śmierć znalazła.

Zwołały więc naradę ogólną, na którą zaprosiły nawet kuzynów swoich dużych, czarnych karaluchów. Radziły noc i dzień cały, w końcu postanowiły przenieść się na drugie piętro. Tam podobno służąca mniej jest porządna, to sobie łatwiej poradzą w zdobyciu pożywienia.

Marya Weryho.

KRÓLOWA POZIOMEK I PAPROCI.

BAJKA CZARODZIEJSKA

przez Wacława Sulimę.

(Dalszy ciąg)

Zabrzmiały chóry, śpiew rozległ się poważnie wśród ciszy. Wszyscy słuchali z zachwytem.

Potem zaczęto zapalać ognie kolorowe i fajerwerki. Rzeka wydawała się na przemiany to ognista, to srebrna; to pieniała się lanem słońcem, to bryzgała szmaragdową pianą. Czerwone zygzaki latały w powietrzu, snopy iskier i słupy ogniste wzbijały się w górę.

Korzystając z ogólnego zajęcia, Halinka przesunęła się cicho między dworzanami i odczepiła małą łódkę. Cień padający od namiotu królewskiego zasłonił ją, łódka niesiona prądem, pomknęła szybko.

Dziewczynka rzuciła na wodę płaszcz swój i kapełusz i wzięwszy wiosło kierować zaczęła do przeciwnego brzegu. Choćby ją zdaleka ujrano, nikt, w tem skromnym przebraniu nie poznałby królową grzybków.

Dopłynąwszy, wysiadła na brzeg i puściła łódkę z biegiem rzeki.

Las szumił poważnie, chwilami rysowały się na ziemi złote pasy, lub drzewo oświeślało się nagle, wiatr niósł echo radosnych krzyków i wiewatów.

— Muszę prędko iść, aby się od rzeki oddalić, myślała, choć wątpię, żeby mnie szukali w borze; znalazłszy płaszcz i kapelusz pomyślała że utonęła. Trzeba poszukać jakiego schronienia gdziebym noc spędzić mogła.

Zaczęła biedz szybko, las w tem miejscu był rzadszy, a Halinka przyzwyczajona była chodzić po ciemku. Wreszcie zaszarzał przed nią wielki dąb i poczuła, że stoi na warstwie mchu.

— Położę się i zasnę — pomyślała.

Poczęła się układać na mchach, przyczem poruszyła się parę razy i posunęła naprzód.

Raptem uczuła, że się stacza, i że leci w jakąś przepaść. Chciała się czegoś przytrzymać — nie mogła.

Wysokość była znaczna. Dziewczynka czuła, że się stacza, jakby po piasku i że pada na coś miękkiego.

Zrazu ogłuszona leżała bez ruchu, a tymczasem księżyc oblał niebo srebrnym światłem i wytoczył swoją szeroką tarczę nad jej głową.

Halinka otworzyła oczy.

Leżała na dnie głębokiego parowu, wrzosi i mchy zaścielały go.

Jednocześnie usłyszała żalosne beczenie i spostrzegła coś szarego, co zdawało się być przykute do skały, a rwało się i szarpało. Wstawszy zbliżyła się i... osłupiała — poznała sarenkę Leśnej Paprotki, która uplątana w sieć z zielonego jedwabnego sznura, daremnie się szamotała nie mogąc się oswobodzić.

— O biedna sarenko! — zawołała dziewczynka i ty uwięzioną jesteś z mojej winy.

Spróbowała rozerwać sznur, ale był zbyt mocny; księżyc jasno świecił, Halinka widziała smutne oczy sarenki i lśniące nitki sznura.

Gdy się tak wysilała, wypadło coś z jej zanadrza i na ziemi zamigotał sztylecik, który z sobą wzięła.

— Ach zawołała uradowana, król mówił, że ten sztylecik ma czarodziejską własność, może się uda sznurek nim przeciąć.

Spróbowała — srebrnym ostrze z największą łatwością rozciąła siłą; sarenka czując się swobodną zaczęła beczeć radośnie i brykać wesoło.

— Twoja pani jest w królestwie grzybków — rzekła Halinka i znużona wrażeniami całego dnia upadła na ziemię i niebawem zasnęła.

VII

N a g r o d a .

Elżbietka wróciwszy z miasteczka, do którego się udała nazajutrz po rozmowie z jastrzębiem, nie zastała już Halinki. Ciekawa i niespokojna pobiegła szukać starej Pokrzywki, ale jej nie znalazła. Wróciła do domu oczekując jakiej wiadomości o skutkach tak zręcznie obmyślonego podstępu — Halinka jednak nie wracała, a dni upływały jednostajnie.

Leśniczowa przestraszona zniknięciem drugiego dziecka, zabroniła jej odchodzić daleko od domu, Elżbietka

niepokoila się, grymasiła i gniewała, bo matka ustawicznie potrzebowała jej pomocy i co dawniej we trzy robiły, teraz musiała robić ona sama.

Wreszcie zniecierpliwiona postanowiła bądź co bądź odszukać kotlinkę paproci i zobaczyć, co się w niej dzieje.

Nie było to jednak łatwym. Elżbietka wymknęła się niespostrzeżenie i długo szukała, tak, że dopiero o zmierzchu znalazła ścieżkę która prowadziła do kotlinki.

— Zobaczę tylko z góry i jeśli są tam jeszcze poziomki zaraz wrócę, myślała. Co się mogło stać ze starą Pokrzywką. Tak mnie zapewniała o swoim przywiązaniu i uwielbieniu dla mnie. Namawiając mnie do wykradzenia sznurka, upewniała przecie, że jeżeli zajmie kotlinkę, to ja tam właściwie będę panią, a ona z radością każdy mój rozkaz wykona. Jeśli ją spotkam, złamię ją, ostro, że mi żadnej wiadomości nie daje o tem, jak się powiodło nasze przedsięwzięcie. Wreszcie doszła do brzegów pagórka i spojrzała. W dole gotowało się, jak w garnku, małe jędze w zielonych śpiczastych czepcach biegaly i szwargotały, nietoperze fruwały w powietrzu. Słychać było pisk i gwar, trawa była podeptana, drzewa pokaleczone, żaden ptak się nie odzywał.

Elżbietka przypomniałszy sobie, jak pięknie i pogodnie tu było, gdy Leśna Paprotka rządziła i gdy śliczne Poziomki-dziewczynki uwijały się między paprocią, uczuła jakby żal, że się to wszystko zmieniło. I gdy te szkaradne, odrażające pokrzywki, dzięki jej, zakwaterowały się tutaj, to cóż się stało z leśną królową i z jej wdzięcznymi poddanymi?

Powodowana więc ciekawością i pewna najlepszego przyjęcia, Elżbietka spuściła się po stoku wzgórza.

Wnet zapiszczały głośniejsze jeszcze nietoperze, a ją opadł tłum małych jędz, pytających opryskliwie po co tu przyszła?

— Chcę się widzieć ze starą Pokrzywką, rzekła wyniosłym i rozkazującym tonem Elżbietka, uprzedźcie ją o tem i powiedźcie, żeby natychmiast tu przyszła.

— Dobrze, zaraz, biegnę, leczę, zapiszczała jędza, podobna do ropuchy; spieszyć się trzeba, bo jaśnie pani chce widzieć Pokrzywkę. Jakaś dama się tu przybłąkała, spełniajcie jej rozkazy.

— Głupie stworzenie, zawołała rozgniewana Elżbietka, nie wiesz do kogo mówisz; powtarzam raz jeszcze idź natychmiast zawołaj starej Pokrzywki.

— Ej moja dameczko, lepiej byś pilnowała swojego kąta, my tu nie bardzo rade jesteśmy nieproszonym gościom, zakrzyczały chórem małe jędze.

— Czego tu jejność chcesz? Stara Pokrzywka nie słucha rozkazów od takich, jak ty, wynoś się pókiś cała — wykrzyknęła pierwsza.

Nacierając na nią, kolczastymi sukniemi parzyły niezdolnie brzydkie złośnie. Elżbietka przestraszona, nie mogła postąpić ani w tył ani naprzód.

Otoczona ze wszystkich stron, ogłuszona wrzawą chciała się wydostać, ale tyle małych wiedźm wypełzło z różnych stron, że był ich tłum cały.

(d. c. n.)

SZARADA.

Pierwsze jest to wykrzyknik, albo wprost litera,
Drugie nazwę jeziora w swem brzmieniu zawiera.
 Znanym statkiem domowym jest *drugie* i *trzecie*,
Wszystko wraz głośne teraz w politycznym świecie.
 Jako złączone z wyspą, co kością niezgody
 Padła, między dwa wregie dla siebie narody.

ŁAMIGŁÓWKA LITEROWA.

ułożył Słoń z Nubii.

a	a	c	c	d	Z rozrzuconych tych liter ułożyć nazwiska czterech głównych dowódców obecnej wojny.
e	e	e	e	e	
h	l	m	n	o	
p	r	r	s	s	
s	v	v	y	y	

REBUSIK.

ułożył Aleksander St.

ar	ar	ar	a	a	a	zy	ym	ym	ym	i	i	i	i
ar	sza	ar	a	le	a	le	ym	brze	ym	gu	i	sły	i
ar	ar	ar	a	a	a	le	ym	ym	ym	i	i	i	i

ROZWIĄZANIA DO N-ru 26.

Łamigłówniki w trójkącie:

N a p o l e o n
 A u t y o c h
 P a n a m a
 O r z e ł
 L a m a
 E r a
 O b
 N.

Niteczki Aryadny:

Tak marzy wioska
 W cichej dolinie —
 A Matka Boska
 Co górą górą płynie,
 Nad schylonemi¹
 Dwory i chaty,²
 Wiodąc aniołów³
 Orszak skrzydlaty,⁴
 Z niebios wysokich⁵
 Zniża się w locie,
 I błogosławi
 Cichej prostocie.

METAGRAMU:

Wróbel, pierwszy tłumacz psalterza Dawidowego w XVI wieku, wróbel, ptaszek.

Skrzynka do listów.

Proście **Wichury** chętnie czynimy zadość, wysyłając zagubiony dodatek, w którym losy Jurasia i Anulki tak ją niezmiernie zaciekawiają. Upodobanie, jakie Wichura objawia dla wszelkiego rodzaju łamigłówek, możemy tylko pochwalić, gdyż jest to rodzaj zabawy, która rozwija i kształci umysł. Rozwiązanie dobre, łamigłówniki, jeżeli tylko nadadzą się do druku, umieszczone zostaną.

Szkoda, że **Stanisław Z.** nie podał w liście swym adresu, bo dopóki takowego nie otrzymamy, brakującego początku powieści wysłać nie możemy. Podróż Nansena już w paru wydaniach ukazała się w języku polskim. Jedno z nich w dwóch małych tomikach z rycinami, w oprawie, kosztuje bez przesyłki 80 kop.; wychodzi także zeszytami obszernie także również ilustrowane pod tyt.: *Wśród nocy i lodów*. Zeszytów ma być 12; cena każdego 1 rub. 25 kop.

Cieszy nas, że **Manusia C.** mogła jeszcze korzystać z wysłanych wierszyków. Za przeznaczone pieniądze dla ubogich, w imieniu tychże dziękujemy, nadmieniając, że chętnie znów odbierzemy równie jak ten starannie, napisany liścik.

Zosi W. Zaginiony prawdopodobnie na poczcie numer *Wieszczorów* wysłany zostanie.

Halinie Tom. Pojedyncze tomy z całkowitego wydawnictwa utworów Klementyny z Tańskich Hofmanowej, niechętnie w księgarniach sprzedają. Więc tylko wyjątkowo mogliśmy dostać takowe. Cena jednego tomu wynosi 1 rub. bez przesyłki.

Z nadesłanych pieniędzy zapisaliśmy już 1 rub. 25 kop. na przyszłoroczną opłatę, jak sobie tego życzy **Aleksander W.** Łamigłówniki przejrzymy, łącząc tymczasem miłe pozdrowienia.

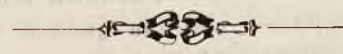
Szpakowi z nad Worskły. Jaskółka za swym powrotem odpisze, donosząc coś o wspomnianych markach pocz.

Stefci K. Jaskółce pobyt na wsi bardzo jest przyjemny. Pewni jesteśmy, że gdyby Stefci raz spróbowała choć jeden list bez pomocy sama napisać, jużby następne nie wydały się jej tak trudnymi.

Jaskółka ucieszy się niezawodnie miłemu liścikowi **Zuzuli**, której szeroki program naukowy, w niedalekiej już przyszłości podoba nam się bardzo, wnosimy z tego bowiem, że wielkie musi może **Zuzula** zamiłowanie do pracy umysłowej. Nie wątpimy też, iż raz zawiązana znajomość z redakcją, utrzyma się dłużej, wspierana częstą wymianą listów. Tymczasem zasyłamy tak jej jak **Dzwonkowi leśnemu** serdeczne pozdrowienia, w nadziei, że i on przedstawi się nam wkrótce.

List **Wisienki** ładnie i z widocznym staraniem napisany, odczytaliśmy z przyjemnością i prawie pewni jesteśmy, że też owa robotka, do której **Wisienka** śpieszyła, jest równie miłą dla oka. Powiastka o „**Królowej poziomki i paproci**” nie koniecznie tylko małym dzieciom podobać się może, gdyż i starsi, jak to wiemy z korespondencji, z przyjemnością ją czytają. Dla wysłania nagrody prosimy o adres

Liczne łamigłówniki i szarady nadesłali: **Konwalia, Janek i Zochna, Giermek, Orzeł karpacki, Stefan L. Józio W. i Marysieńka.** Dobre zaś rozwiązania dali: **Zenio, Rusałka, Giermek, Józio W. i Orzeł karpacki.**





WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

KSIEGA PRZYRODY.

Drogie dzieci, ot przed wami
Księga wielka rozpostarta,
Obłokami i gwiazdami
Malowana każda karta.
A obrazków tyle, tyle!
Tu barwione tęczą chmury,
Tutaj kwiaty, tam motyle.
Cudna księga ta natury,
Bo Bóg na niej dłoń położył,
I malował sam te gaje,
Wonne łąki i ruczaje,
Każdy kwiatek, muszkę stworzył,
I w malutkiej trawce, kwiecie,
W każdym złotym kłosie żyta,
Tak jak w całym tym wszechświecie
Wielka, Boża myśl ukryta.
Więc się ucz z niej dziatwo droga,
Czuć i myśleć, chwalić Boga.
Ucz się z księgi tej przyrody
Obowiązków życia, zgody...
Ucz zrozumieć sercem, duchem
Co nie pojdziesz okiem, słuchem.

M. S.



L. W. Szczerbowski.

ALKAIOS W MOTONIE.

OBRAZEK Z CZASÓW STAROŻYTNICH

GRECYI.

II.

W chacie Heloty.

Dziwny to dom był, zaiste; przyparty do skały, a zbudowany, czyli raczej ułożony z niekształtnych głazów rozmaitej wielkości, które trzymały się własnym ciężarem, jak owe prastare budowle cyklopejskie. Pomiedzy bryłami kamieniami bielą tu i owdzie odłamy kolumn i szczątki posągów: tu wprawiono przewrócony kapitel dorycki, owdzie odłuczony ramię, tam pół twarzy grubej rzeźby z pierwotnego okresu sztuki niedoskonałej. Schronienie to zostało widocznie skleconem po jakiejś katastrofie, która zniszczyła miasto. W tak zbudowanych ścianach nie brakło szpar i szczelin, już to pozostawionych umyślnie, już to przypadkowych: jedna z nich środkowa i największa, służyła za drzwi; inne boczne odgrywały rolę okien, wpuszczając nieco światła do ponurego wnętrza; na dachu zaś, pokrytym gliną i suchemi gałęziami, kilka dużych szczelin zastępowało widocznie kominy, bo z nich wydobywały się wąskie smugi płowego dymu.

Teano, wyprzedziwszy gościa, żwawo weszła do wnętrza chaty i wnet zaczęła krzątać się około ogniska, położonego wprost wejścia. Stary Damofon stał przed chatą. Te same miał rysy twarzy, co Teano, tylko, że zwiędłe; podobnemi oczami, ale przygasłemi, spoglądał na cudzoziemca.

— Witaj, gościu! — rzekł, pochylając się nieco i spuszcżając prawą dłoń ku ziemi. Skoro bogowie cię tu przywiedli, nie wzgardzisz ubogą chatą i chlebem niewolnika heloty.

— Dzięki niech będą Zeusowi — odpowiedział podróżny — za to, że skierował mię w gościnne twe progi, o Damofonie. Wszyscy jesteście bracia, bo wspólna matka ziemia nas zrodziła i napowrót przyjmie do swego łona; wszyscyśmy niewolnicy wobec potęgi losu i bogów nieśmiertelnych.

Tak mówiąc, razem z gospodarzem wszedł do wnętrza chaty. Ubogo tu było: oprócz kilku sprzętów gospodarskich w głębi przy ognisku, znajdowało się tu zaledwie kilka sieniów i grubych dywanów, a przy drzwiach stał prostej roboty stół kamienny i kilka ławek drewnianych. Po izbie uwiła się biała koza z czarnem koźlatkiem i kręcił się duży pies żółty — tych gospodarz niebawem za drzwi wypędził. Na jednej z ławek posadził gościa, uwolnił go od płaszcza, miecza i lutni, a położwszy to wszystko w kącie na swoim posłaniu, wrócił do stołu i zajął miejsce na drugiej ławce.

— Pięknie powiedziałeś, gościu — rzekł gospodarz — żeśmy wszyscy bracia, myślę o tem często, ale niestety, na ziemi takiego braterstwa, nigdy chyba nie było i nie będzie.

Skinął na córkę, która zbliżyła się do nich.

— Pozwól, gościu — rzekł — iż według obyczaju, córka moja umyje ci nogi, zanim posilimy się ubogą strawą.

— Dziękuję wam — odparł wędrowiec, ale na ten raz zbyt czyste: w wodzie pluskałem się dosyć, więcej niżbym chciał i wolę teraz zdaleka suszyć się u tego ogniska.

— Niech będzie, jak żądasz, cudzoziemcze — mówił Damofon.

Teano postawiła na stole dzbanek z winem, kubki cynowe, chleb, figi, ser i nieco zimnej koziny. Podawała miednicę i ręcznik — obydwaj umyli ręce.

— Niewykwintne to jadło — rzekł ze smutnym uśmiechem gospodarz — ale przyjmij, gościu, na co stać nas ubogich.

— Dla podróżnych i rozbitków to aż nadto dobre — odparł cudzoziemiec.

— To też do takich potraw — mówił Damofon, nalewając kubki — nie potrzebujemy kłaść się na miękkich łożach, jak to gdzieindziej w Grecyi czynią: my Dorowie siadamy do stołu, obyczajem dawnych wieków. Podnieśli w górę kubki i ulali nieco na ziemię, jako libację dla bogów.

— Cześć Zeusowi oraz Heraklesowi — rzekł gospodarz.

— Apollinowi, Afrodycie i wszystkim bogom Olimpu — dodał gość.

Gdy wędrowiec głód zaspokoił i kubki już kilkakrotnie zostały opróżnione, gospodarz i gość powtórnie ręce umyli. Damofon, nalewając wina na nowo, tak się odezwał:

— Teraz, gościu, jak obyczaj każę, powiedz, gdzie twój ojczyzna, skąd przybywasz i dokąd dążysz?

— Jestem Alkaios, żołnierz i śpiewak. Ojczyzną moją jest piękna wyspa Mytilena, perła Sporadów, słynna z wiecznej wiosny, czystego nieba i najlepszej oliwy. Na nieszczęście, w tym rajy nie masz spokoju i zgody między ludźmi. Skoro tylko który z obywateli urośnie w bogactwa oraz znaczenie, wnet dąży do władzy i dopuszcza się gwałtów, aby zostać panem, czyli, jak mówimy, tyranem rzeczypospolitej. Stąd walki bratobójcze, morderstwa, wygnania. Od lat trzydziestu należę do tych, którzy zwalczają takich panów, ale zaledwie wypędzimy jednego, wnet pojawia się drugi. Usunęliśmy Melanchrosa, wypędziliśmy Megalagry, a oto teraz Pittak, niegdyś mój przyjaciel, z którym razem dawniej walczyłem, sam ogłosił się władcą i muszę przed nim uchodzić. Pokusie panowania nie mógł oprzeć się nawet ten mąż, którego zawsze miałem za cnotliwego, który uchodzi za mędra w świecie helleńskim...

Umknęliśmy we dwóch na małej, wątłej łódce, zamierzając szukać schronienia na pobliskim Samosie lub w którymś z miast jońskich, ale burza zagnała nas aż tutaj. Towarzysz mój Antimenidas utonął, mnie Zeus i Posejdon ocalili. Zamierzam udać się do Sparty, a może i do innych miast Hellady, aby szukać pomocy przeciw przywłasczycielowi.

Damofon westchnął.

— Wszędzie więc to samo — rzekł. — Wszędzie bracia walczą z braćmi, za walką idą zniszczenie i upadek. Tu oto, gościu, jesteś w mieście nawpół umarłem. Piękny ten port i gród kamienny założył niegdyś Epytos, potomek Heraklesa; ale dziś żaden już kupiec nie przybywa do Motony ze swym statkiem, domy i świątynie leżą w gruzach.

— Oddawna? — pytał gość.

— Od ostatniej wojny Messeńożyków ze Spartą, będzie temu już lat siedmdziesiąt. Dziad mój zginął wtedy przy boku Arystomenesa. Mieszkańcy jedni polegli, drudzy wywędrowali do Elidy, pozostali musieli poddać się Lacedemonczykom i zostali obrócenii w niewolników — helotów. Ojciec mój byłby może wywędrował, ale był wtedy zbyt młodym chłopięciem. Mieszka nas tu kilku zaledwie, w chatach jak moja, uprawiając ziemię dla swych panów spartańskich.

— Nie jesteście więc niewolnikami z urodzenia — mówił Alkaios — lecz w skutek losów wojny.

— Wszak jesteście Doryjczykami, jak i Spartanie a mój ród pochodzi od króla Epytosa — rzekł z dumą gospodarz.

— O ile słyzałem — mówił gość — heloci oddają swym panom tylko pewną część plodów ziemi, a reszta do nich należy. Pozwala się też im podobno kupić sobie swobodę, a Spartanie ani ich zabijać, ani sprzedawać nie mogą. Niezbyt to więc sroga niewola.

— Tak mniemasz, gościu? — zapytał z goryczą Damofon.

Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale się wstrzymał i za milkł.

— Według podania — mówił po chwili — gdy potomkowie Heraklesa dzielili się zdobytym Peloponezem, powstał między Kresfontesem a jego bratankami spór o posiadanie tego kraju, gdyż obie strony wołały urodzajną Messenię od nagiej i jałowej Lakonii. Zgodzono się wreszcie na wyrok losu: do napełnionego wodą naczynia Kresfontes rzucił dwie gałki gliniane — jedną za siebie, drugą za bratanków; ten, czyją gałkę wyciągnętoby pierwej, miał swobodę wyboru między Messenią i Lakonią. Ale Kresfontes ulepił gałkę bratanków z gliny miękkiej, swoją zaś z gliny palonej: tamta więc rozpuściła się w wodzie i wyciągnęto gałkę Kresfontesa, który wybrał sobie Messenię. Stąd początek waśni bratniej, bo królowie Sparty uważali się zawsze za pokrzywdzonych, za pozbawionych podstępnie posiadania pięknego naszego kraju.

— Zapewne i Spartanie — rzekł gość — w wojnach z wami uciekali się nieraz do podstępów.

— Tak, a nawet więcej dokonali podstępem, niż siłą. Nieraz zbrojna młodzież spartańska w przebraniu kobiecym, zbierała się u pogranicznej świątyni Artemidy, ukrywając oręż pod sukniemi. Nieraz zarówno w czasie obrony Itony za Arystodema, zjawiali się u Messeńczyków mniemani zbiegowie, a w rzeczywistości zdrajcy spartańscy, wszak jeden z takich zbiegów fałszywych, przyniósł w worku dwanaście trójnogów glinianych do świątyni Zeusa w Itomie, gdy Spartanie dowiedzieli się, że wyrocznia obiecuje posiadanie miasta temu z obu walczących, który pierwej ofiary tej dokona. W walce otwartej Spartanie rzadko dorównywali Messeńczykom: gromił ich nieraz Arystodem, a przed Arystomenesem zastępy lacedemońskie często uciekały w nieładzie przez całą dolinę Stenyklaru. Wszak w ostateczności, nie mogąc sprostać w boju przodkom naszym, musieli wezwać z Aten kulawego śpiewaka Tyrteusza, żeby wzbudzał i podtrzymywał gaśnące ich męstwo.

— Jakże więc ulegliście w końcu? — pytał Alkaios.

— Gniew bogów podał Messenię w jarzmo Spartan; głód wydał w ich ręce Iry po jedenastoletniem oblężeniu. Zawodziły nas wyrocznie, zawsze złośliwe dla śmiertelników, ślepych na ich prawdziwe znaczenie. Przy końcu oblężenia Iry, Pytia ogłosiła, że gród ten upadnie wtedy, gdy kozieł napije się z rzeki Nedy: nie dopuszczano więc do niej tych stworzeń brodatych, aż oto pewnego razu, dotknęły powierzchni fal zwieszono nad wodą gałęzie rosnącej na brzegu dzikiej figi, a drzewo to lud także kozłem nazywa...

Dumali czas jakiś w milczeniu.

— Gościu — przemówił powstawszy, gospodarz. — Potrzebujesz zapewne spoczynku: zaśnij więc, proszę, na mojem ubożem posłaniu, a ja zakrzętnę się około gospodarstwa.

(d. n.)

Zofia Kowerska

DZIELNY CHŁOPIEC.

(Dalszy ciąg).

— Żebym potrzebował pracować na matkę lub ojca, tobym tak zrobił jak mi radzisz — rzekł do czeladnika — ale, że jestem sam jeden na świecie, to nie odejdę od tych państwa, u których mi jest dobrze i którzy mnie na ludzi wyprowadzą.

Spotkała też Józika i druga propozycya. Pan Dratwiński stanął nad nim, gdy czytał głośno Franusiowi i zawołał gburowato:

— No, paniątko, możebyś teraz wrócił do mnie? Płaciłbym ci dobrze bo mi potrzeba do sklepu kogoś uczciwego,

cooby umiał rachować i zapisywać. Sam muszę siedzieć z pięcigłem w warsztacie, bo tam czeladnicy na głowach stawają, dokazują tylko i próżnują. Trzeba ich lepiej pilnować! Tyłko im śmiechy w głowie, a o robocie to żaden nie myśli.

— Nie, panie majstrze, zgodziłem się u państwa Wirwońskich i tam już będę, dopóki mię nie odpędzą!

— Dałbym ci pięć rubli miesięcznie, no, dałbym ci i sześć, a może nawet i siedm.

— Nie mogę, panie majstrze.

— Kotkę mojej żony zabił kamieniem ten łobuz, syn stróża, toby i pies mógł sobie być...

— Nie mogę, proszę pana.

— Cóż tobie tam płacą?

— Dotąd nic, proszę pana.

— Ot głupie paniątko! Nigdy się niczego nie dorobisz jak tak będziesz dbał o swoje dobro! ale z głupim niema co mówić.

I pan Dratwiński odszedł zły i nadąsany, ruszając ramionami.

Od czasu do czasu Józik odwiedzał też Wojciechową, która teraz służyła już u innych państwa, ale Bosa i tam ją odnalazł. Nikomu się nie zwierzył więc niewiedomo jakiego użył sposobu do wykrycia mieszkania swej dobrodziejki, to tylko pewna, że Wojciechowa mówiła właśnie do pokojówki:

— Jednego mi żal, to tego psiny, co mię tam teraz szuka na dawnym mieszkaniu i nie wie gdzie się podziałam. Ha, może to i lepiej! Józik pożyczył to niby odemnie pieniądze, aleś na wieczne oddanie! Dobrze, że teraz czasem choć trochę kości sprzedam!

Aż tu — skrob, skrob! — do drzwi. Wojciechowa zerwała się, otworzyła i chwyciwszy Bosego za szyję, ucałowała go w czoło.

— A to nie jak pies, ale jak człowiek mądry! — wołała rozczulona. — Dopytał się o mnie, jakby umiał mówić! Chodź tu, piesku, nie schowałam ci resztek, bo nie wiedziałam, że przyjdiesz, ale ci oddam moją własną kolacyę!

Bosa miał jeszcze drugą taką osobę, co o nim myślała.

Jednego dnia, przed sklepem pana Wirwońskiego zatrzymała się karetka. Z kozła zsiadł lokaj, otworzył drzwiczki i wysadził naprzód Boksa, który miał katar, był smutny, ociężały i cały okryty był watowaną kołderką, potem Fbsa, Bibę, Mirzę, Ralfa i Spircia. Podał następnie rękę wystrojonej pani, która wzięwszy w rękę sznureczki, na których uwiązane były psy, weszła do sklepu pana Wirwońskiego.

— Czem mogę służyć?... — zapytał grzecznie pan Wirwoński.

— Czy jest w domu...

— Ach, zapewne pani pyta o Józika Kilowskiego?

— O Józika Kilowskiego? A cóż on mnie może obchodzić? Pytam, czy jest w domu ten pies czarny z białemi łapkami?

— Musi być. On tylko wieczorem z domu wybiega.

— Więc proszę... niech tu wejdzie ten Józik ze swoim psem.

Pan Wirwoński posłał do warsztatu po Józika i Bosego. Obadwaj wkrótce stanęli przed wystrojoną panią, a Bosa, zapewne przez litość nad chorym Boksem, począł wachać jego kołderkę i przypatrywać się jego osowiłej minie.

— Przyszłam zaprosić twego psa na podwieczorek — rzekła wystrojona pani. — W niedzielę przypadają właśnie urodziny Spircia i żeby mu zrobić przyjemność, zapraszam jego znajomych na podwieczorek. Sam Bosa by nie przyszedł, więc proszę, byś go, mój chłopcze, przyprowadził.

Józikowi ogromnie się śmiać chciało tembardziej, że pan Wirwoński odwrócił się i zakrył usta chustką i aż się dusił ze śmiechu. Ale chłopiec przypomniał sobie, że z tą biedną panią źle się obszedł jej brat rodzony, i że ona tak kochała psy z żalu do ludzi. Miała serce gorące, ale zostało tak nielitościwie zranione, że aż psy ukochało zamiast kochać ludzi. Więc gdy Józik pomyślał to sobie, zdjęła go wielka

litość nad wystrojoną panią i patrząc na nią swojemi dobrymi, niebieskimi oczami, odpowiedział:

— Bosy stawi się na rozkazy, byłem wiedział adres.

Pani dała swój adres, odchodząc tylko dodała:

— Jeżeli by Boksowi było gorzej, to urodziny Spircia będą obchodzone w oktawę, czyli od niedzieli za tydzień.

I wyszła blada i wystrojona pani, wsiadła do karety a za nią lokaj wsadził naprzód Boksa z wielkimi ostrożnościami, a następnie inne pieski.

W niedzielę Józik z Bosym poszli na podwieczorek i zostali wprowadzeni do wykwintnie urządzonego mieszkania. Józik rozglądał się ciekawie, bo nigdy przedtem nie

— Jakże dziś zdrowie Boksia? — zapytała panna Franciszka.

— Ma się znacznie lepiej — odparła pani domu — jest weselszy, tylko jeszcze trochę osłabiony.

— Biedny kochaneczek tak się nacierpia! — mówiła panna Franciszka. — A któż to jest ten chłopiec? — dodała spostrzegłszy Józika.

— To jest właściciel tego ślicznego czarnego psa, co przy mnie stoi. Prawda, jaki piękny? Nazywa się Bosy.

— Żadne stworzenie, tylko szkoda, że ma takie pospolite imię. Lepiejby do niego pasowało: Fakir albo Hermes... Lofki albo... Czerry.

— On się od urodzenia nazywa Bosy, proszę pani — odparł Józik.

Podczas tej rozmowy psy wzajemną ze sobą zabrały znajomość. Zbliżyły się jedne do drugich, wietrząc z niedowierzaniem, to znów się oddalały. Ciuk, duży, biały pudel, widocznie głodny, zaczął szperać po wszystkich kątach, szukając zapewne jedzenia. Milusia, mała angielska, nie przyzwyczajona do licznego towarzystwa, była niem tak onieśmielona, że się schowała pod fotel i za nic w świecie stamtąd wyjść nie chciała. Mopuchna śmielsza, od razu zaprzyjaźniła się z chorym Boksem (zapewne przez dobroć serca). Flink czupurny, czarny, podpalany taksik, poznajomiwszy się pospiesznie ze wszystkimi, zbliżył się do Spircia lecz zamiast mu powinszować, zaczął na niego warczeć. Bosy stał nieruchomy przy Józiku, oszołomiony i zaniepokojony.

Wreszcie, w stołowym pokoju rozległ się odgłos dzwonka, drzwi się otworzyły i domowe pieski w radosnych podskokach wbiegły do swojej jadalni a za nimi pospieszyli goście. Miejsc nakrytych było tyle, ile było psów; na każdym stała porcelanowa miseczka z zupą — doskonałym, wonnym rosółem. Domowe pieski tak były wytresowane, że każdy, pozwoliwszy sobie uwiązać przez służącego serwetkę, szedł zawsze na swoje miejsce i jadł tylko ze swojej miseczki. Tym razem też, wedle zwyczaju poszły po serwetki a goście tymczasem, szczególnie Ciuk, rzucili się na przygotowane porce, nie bacząc dla kogo były przeznaczone i pozjadały wszystko zanim domownicy zdążyli do swoich miejsc docisnąć się. Powstał więc straszny zgiewk, warczenie, szczekanie i piski; byłoby pewnie doszło do zaciętej bójk, gdyby obie panie i Józik nie pospieszyli na ratunek. Z wielkim trudem uspokoiono zwaśnionych, ale już wszyscy jakoś stracili humor.

Tymczasem wniesiono drugą potrawę: doskonałe, siekane kotlety cielece. Pani porozdzielała je na osobne talerze, które lokaj roznosił psom, szemrzając przytem i wyrzekając po cichu:

— A to ci dopiero z tymi psiskami! I na co to człowiekowi szesło, że musi usługiwać takiej hołocie! Płacą mi za to dobrze, to prawda, ale zawsze...

— Flink, połknąwszy szybko swoją porcję, rzucił się na talerz swego sąsiada Ralfa i chwycił jego kotlet. Ralf rozżłoszczony rzucił się na niegrzecznego gościa i dalej go gryźć, skubać za uszy warcząc przytem groźnie. Do takiej samej kłótni doszło między Bibą a Mopuchną. Tym razem trudniej było sprawę załagodzić, bo psy były poprzednim sporem rozdrażnione i o zgodzie słyszeć nie chciały. W dodatku Bosy widząc, że Ralf, jako silniejszy srodze się pastwi nad Flinkiem, pospieszył mu na ratunek, co widząc inne psy i pieski rzuciły się między walczących. Trzeba było zawołać więcej służby by psy uspokoić.

(d. c. n.)



Wodospad Niagary latem.

podobnego nie widział. W przedpokoju wisały różnej wielkości i rozmaitego koloru czapraki, obroże, kagańce i wstążki, jednym słowem spacerowe ubranka piesków. W jadalnym pokoju były niskie stołeczki, na których się stawiało osobne miseczki dla każdego z piesków; na ścianach mnóstwo fotografii i portrecików rozmaitych, żyjących jeszcze lub dawniejszych ulubieńców. Za jadalnym pokojem znajdował się salonik a zarazem sypialnia piesków. Podłoga wysłana była miękkim dywanem, a wzdłuż ścian stały kwadratowe łóżeczka z poduszczkami, kołderkami i pierzynkami.

Podczas kiedy Józik zwiedzał mieszkanie, po którym oprowadzała go sama pani, zaczęli się schodzić inni goście Spircia. A więc naprzód przyprowadzono Milusię z drugiego piętra, potem Ciuka ze sklepu, gdzie pani zawsze kupowała towary kolonialne, wreszcie przyszła z dwoma swoimi ulubieńcami niemłoda osoba, którą pani domu nazywała panną Franciszką. Pieski jej nazywały się: Flink i Mopuchna.

WODOSPAD NIAGARY.

Mało bezwątpienia znajdzie się widoków równie silnie oddziaływających na widza swą potęgą i pięknem, jak sławny, wysoki na 120 metrów, wodospad Niagary, rzeki, płynącej w północnej Ameryce na pograniczu Kanady i stanu Nowego-Yorku i łączącej jeziora Erie i Ontario.

Przyczynę tak wysokiego i gwałtownego spadku stanowi różnica poziomu obu wzmiankowanych jezior.

Wzburzona i pieniaąca się Niagara przeskakuje lekko górne odłamy skały, tworząc mniejszych rozmiarów katarakty, aż gdy dochodzi do ostaniej głębi wynoszącej około 50 metrów, zdaje się cichnąć i jakby lekko namyślać, zanim rzuci się w przepaść, która na nią czeka.

Owa niezmierna ilość wody zlewająca się bez przestanku z niepojętą siłą, tworząc linię nieco kolistą, wydaje się wreszcie oczom zdumionego widza jakimś ciałem stałym a migotliwych blaskach kryształu. Gwałtowność spadku jest tak wielką, iż woda rozbita w głębiach unosi się w około mglistym obłokiem mokrego pyłu. (rycyma I).

Wyspy *Gout Island* czyli *Kozia*, i *Tree Sisters* albo *Trzech Sióstr*, rozdzielają wodospad na dwa nierówne ramiona; jedno zwane spadkiem amerykańskim, jest szerokie na 350 metrów, drugie noszące miano *Horse shoe-fall* (podkowa końska), dochodzi 633 metrów.

Uгода międzynarodowa z 1814-go roku, zakreśliła właśnie w środku tejże Podkowy, linię graniczną, która w ten sposób przypada na największą głębię wodospadu.

Pokryte roślinnością obie wyspy, połączone są między sobą, jako też z terytorium amerykańskim mostami, które pozwalają podróżnym podziwiać z góry imponujący widok spadających wód, gdy znowu do skalnego podnóża wyspy *Koźlej*, tuż przy znacznej wklęsłości zwanej wgłębieniem wiatrów, (*Cave of the winds*), jaką tworzy z tej strony jej ściana, można zejść po umieszczonych drewnianych schodach, aż do samego dołu, aby się znaleźć w wyjątkowym położeniu między skałą, a wodospadem.

Wówczas w nieodzownym ubraniu gumowem, ciekawy turysta, nie dający się odstraszyć iście piekielnym hukem, jaki sprawia staczająca się woda, ma w zamian za swe trudy jedno z najciekawszych zjawisk w przyrodzie, wywołanych grą promieni słońca, przez płynną masę i unoszące się mgły, zja-

wisko z nieczem nieporównane, migotliwych, jaśniejących, a ciągle zmiennych barw tęczyowych.

Gdy wszakże od granicy amerykańskiej grubość spadającej wody nie przechodzi dwóch metrów, od strony wyspy, *Podkova Końskiej*, dochodzi aż siedmiu metrów i odbija charakterystycznie swą ciemno-zieloną barwą, od białosci pierwszego spadku.

Ale jeżeli w ogóle widok wodospadu Niagary, jest wyjątkowo wspaniałym zjawiskiem, to bodaj najoryginalniejszym bywa w porze zimowej, gdy silne mrozy zamieniają burzący się żywioł na stałą, błyskotliwą masę, zwieszającą się z wyżyn skalnych, niby olbrzymie kryształowe stalaktyty, w których blask słońca w brylantowych załamuje się połyskach.

Więc też kiedy przed spadkiem kanadyjskim utworzy się gruba powłoka lodowa, o kilka zaledwie metrów, od spływającej wciąż do przepaści, po kryształowych soplach wody, wtenczas zbierają się liczne tłumy widzów i podchodzą tam, aby podziwiać zbliska ten całkiem odmienny obraz wodospadu, który nam przedstawia rycyma II.

Inny znów widok, nie ustępujący pierwszemu w nieczem, daje nam w tej porze *Wyspa Koźla*, której olbrzymie a delikatnie rzeźbione lodowe słupy, wieńczy korona drzew, pokryta białą szadzią zmarzłej pary wodnej. Gdy słońce zaświeci a wiatr poruszy tak przystrojonymi gałęziami, zdaje się zdumionym widzom, iż znaleźli się w jakimś zaczarowanym kraju baśni i legend.

A tymczasem płynny żywioł ginąc zrazu w przepaści, ukazuje się w pewnej odległości spokojny, ponury, prawie nieruchomy.

Jednakże z roku na rok *Podkova Końska* zmienia swój kształt, rozszerzając coraz więcej ramiona. Miano-

wicie porą zimową, najwyraźniej zauważyć można tę różnicę, spowodowaną bądź to powolnym wpływem przesiąkającej wciąż wody, bądź też działaniem masy lodowej, której spadające bryły kruszą ją i obłamują.

Mimo tego wszakże, wedle obliczeń uczonych geologów, wspaniałe zjawisko wodospadu Niagary, może trwać jeszcze kilkadziesiąt wieków, nie straciwszy nic na swej imponującej wielkości doby obecnej.

Obecnie wzdłuż wybrzeży Niagary wznoszą się wspaniałe hotele, dla napływających tam tysiącami turystów. O ile jednak miejscowość zyskała przez to na wygodzie, o tyle bodaj straciła na właściwym sobie charakterze dzikości, która tak doskonale harmonizowała z potęgą olbrzymiego wodospadu.



Wodospad Niagary zimą.

Marya Łopuszańska.

OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg).

— Słusznie mówicie, ojcze — podchwycił król żywo. — Ciągłe wojny i niepokoje nie dozwoliły mi spełnić danej siostrzanowi obietnicy, choć mi to nieraz już przychodziło na myśl. A nawet doznałem szczególniejszej łaski św. Maurycego, że po kilka razy we śnie przypominał mi ślub uczyniony. Szczęśliwy więc będę teraz, mogąc go spełnić. Kto wie — dodał w zamyśleniu — może to ma większe znaczenie tam w górze, niż, my ludzie słabym rozumem dojść możemy; może Bóg przez Świętych swych we śnie chciał mi ostrzedz, że od tego zależy bezpieczeństwo wiary świętej w naszym kraju. Wam, ojcze, polecam tę sprawę; zajmijcie się sprowadzeniem owych Benedyktynów; ofiaruję na to złota, ile tylko będzie potrzeba, jak również na budowę klasztoru.

— Jutro zaraz napiszę list do przeora klasztoru w Monte-Casino — odrzekł opat spokojnie — i sądzę, że można go będzie wkrótce wysłać... niech tylko goniec będzie w pogotowiu.

— A więc wszystko dobrze — rzekł król uradowany; — trzeba teraz zająć się budową klasztoru. Do was, wojewodo Sieciechu, należy dostawienie robotnika i budowniczych; postarajcie się, by wszystko było jak można najprędzej.

— Trzeba, miłościwy panie, sprowadzić ich z niemieckiej ziemi — odparł Sieciech — jak wówczas, gdy stawialiśmy klasztor w Międzyrzeczu.

— Z niemieckiej ziemi! — powtórzył król. — Kiedyż przestaniemy sprowadzać wszystko z niemieckiej ziemi! Kiedyż będziemy mieli u siebie co nam potrzeba!

— Przyjdzie kiedyś ów czas, miłościwy królu — wnięszal się Stoigniew — jeszcze Niemcy będą od nas niejedną rzecz brali.

— No, nie powiem, by i teraz nie od nas nie brali — rozśmiał się jeden z wojewodów, Nawój. — Biorą od nas po łbie, gdy go wsuwają w nasze granice.

Głośny śmiech rozległ się po tych słowach i rozmowa przeszła na ton lżejszy.

— Oj! za mało, widać, wzięli od nas wojewodo — wy-rzekł król — bo wciąż nam brózdzą.

— To im dołożymy, miłościwy panie — odrzekł żywo wojewoda.

— Mam i ja w Bogu nadzieję, że im jeszcze dołożymy z pomocą moich dzielnych zuchów, którzy już nieraz Niemcom dali się we znaki — zawołał król.

I z uśmiechem obrócił się do kilku wojaków, stojących nieopodal.

— Niechby już prędzej iść na tych Szwabów! — odezwał któryś z nich rażno.

— Tak wam się śpieszy? — spytał król. — Czyście dawno wrócili z wyprawy na nich?

— Cóż z tego, miłościwy panie? Gdy człek do czego przywyknie, to bez tego żyć nie może — odrzekł jeden z wojaków, Zbilut, małego wzrostu, żwawy, z czarnymi bystremi oczyma.

— A jednak był czas, iż ochotnie biłeś się za Niemców — rzekł mu król.

— Eh, miłościwy panie, wówczas to było co innego. Cesarzowi Ottonowi nie żal było służyć, bo był to pan dobry i mądry, a wielce nam przyjazny — odparł Zbilut. — Gdyście nas, miłościwy panie, posłali z nim do włoskiej ziemi, to było nam tak dobrze, że trudno już lepiej, bo cesarz patrzył

na nas okiem nader łaskawem i hojnie nagradzał. Prawda, że choć nas było tylko trzystu, aleśmy mu nie małą byli pomocą, a po jednej bitwie w pobliżu jakiegoś grodu... nie pomnę już jak go zwano... każdego z nas obdarzył pasem rycerskim i złotym łańcuchem.

— Miłościwy królu — ozwał się wojewoda Bożydar z uśmiechem — na drugi raz nie wysyłajcie w pomoc obcym panom najdzielniejszej naszej młodzie, bo jeszcze na zawsze zostaną na obczyźnie... tak im się tam spodobało. Mój syn, od kiedy wrócił, to jeszcze zapomnieć nie może owej pięknej włoskiej krainy, kędy mówią, wieczne słońce świeci; wciąż o niej ino marzy, we śnie i na jawie.

— Prawdaż to, Ładonie? — spytał król stojącego za nim młodego rycerza.

Był on pięknej, wyniosłej postawy, jasnych włosów i niebieskich oczu, o śmiałym, ale łagodnym wejrzeniu. Na zapytanie króla rzekł swobodnie:

— Prawda, miłościwy panie, bo gdy wspomnę o pięknych warownych grodach italskich, to zawsze żałuję, czemu u nas niema jeszcze podobnych.

— A Gniezno? — ozwał się ktoś z obecnych.

— Zaraz znać, żeście nigdzie więcej nie byli — odrzekł Ładon z zapalem. — Gdzie Gniezno równać można, nie mówię z Rzymem, ale choćby z innymi pomniejszych grodami włoskiej ziemi! Gdzie u nas aby jeden taki kościół mурowany, jaki u nich w każdym grodzie! A gdy staniesz przed którym malowaniem, to ci się zdaje, że naprawdę żywi Święci zstępują z nieba. I śpiewają też po kościołach pięknie, jak aniołowie, że u nas nikt nawet nie słyszał czegoś podobnego.

— Ejże! cości zanadto wspominasz owe grody italskie! — przerwał król z uśmiechem — widzę i ja teraz, że bardzo cię tam coś ciągnie.

— Nic innego, tylko to co mówiłem, miłościwy panie — odrzekł Ładon; — bo co do reszty, to wiele rzeczy tam nie przypadło mi do smaku i myślałem, że u nas jest lepiej. Naprzód, nie mordują się tak i nie zabijają u nas na każdym kroku...

— Niechaj ich tam, tych Włochów! — przerwał Zbilut — ja znów myślałem nieraz, że nie chciałbym ich świętości, ni bogactw, gdybym miał wciąż się obawiać noża albo trucizny. Gdy wdowa po owym Krescencyuszu, którego cesarz Otton na śmierć skazał, otruła później cesarza, rzekł sobie: „Niech was, mili Włosi, jasny piorun trzaśnie z waszymi grodami, murami i słońcem! Wolę ja nasze niebo, często chmurne, i naszych ludzi, prawda, nie bardzo świętych, lecz z sercem szczerem i bez zdrady w duszy. Nie wiem, co tam Ładonowi tak się podobało; bo, co do mnie, rad byłem, gdyśmy już stamtąd wyszli nareszcie, bo a nużby mię żgnął który w bok nożem? Wcale nie jestem tchórzem, ale takiego upominku nie życzyłbym sobie.

— Ja nie miałem przyczyny obawiać się ich noża, to też nie tak mi się śpieszyło — odrzekł Ładon spokojnie; — wiedziałem, że na niego nie zasłużyłem, to pocóż miałem bać się. Ale, co prawda, to prawda; pięknie tam u nich: szerokie gościńce, bogate grody, kędy się zbierają kupcy z czterech końców świata; kościoły, zamki! Żeby u nas choć połowa tego była, dopiero byłibyśmy potężni i Niemcy nie drwiliby z nas, że mieszkamy w chlewach.

— Ot, miłościwy panie — ozwał się wojewoda Nawój, na Ładona wskazując — młody, a jak zaczął opowiadać o tych krajach dalekich, to my starzy geby pootwieraliśmy z podziwu. Zebyż to Bóg dał, by i u nas było tak kiedy!

— Będzie — odparł król — jeśli mi wszyscy w tem pomagać będziecie, i starzy i młodzi, by wykorzeniać ślady dawnej dzikości; bo mnie, jednego człowieka, nie stać na to, jeżeli nie znajdzie pomocy w poddanych.

— O, miłościwy panie — zawołał Ładon z zapalem — któżby wam nie chciał w tem pomagać? Wszyscy jesteśmy gotowi...

Ale umilkł, przypomniawszy sobie, że nie do niego wprost zwrócona była mowa i że wnięszal się do rozmowy starszych.

— Wiem, że każdy z was, tu obecnych, gotów mi w tem pomagać — odrzekł Bolesław, który zdawał się zadowolonym z zapadu, z jakim przyjęto jego wezwanie — i liczę też na was i teraz.

— Nie wiele wprawdzie mamy na to czasu, bo wciąż prawie trzeba ucierać się z wrogiem, który usilnie pragnie uas połknąć, ale przecie, przy dobrej woli potrafimy pokazać Niemcom, żeśmy nie taka dziec, za jaką nas głoszą...

— A co najważniejsze, potrafimy im stanąć kością w gardle — ozwał się wojewoda Nawój, żywym ruchem wskazując na gardło, na co Bolesław uśmiechnął się.

Jeszcze czas jakiś trwała rozmowa, poczem król oddalił się do swoich komnat, w towarzystwie najbliższego orszaku sług i dworzan.

III.

Długa, o małych oknach izba, z podłogą czerwonym sukniem wysłaną, pełna była gwaru i brzęku ostróg. Bolesław bowiem codziennie kazał zastawiać czterdzieści stołów, przy których zasiadali rycerze zagraniczni: Czesi, Morawianie, Łużycanie, Normandowie, walczący w zastępach królewskich. Przyciągnęła ich tutaj hojność króla, obsypującego ich różnemi darami i łaskami, jak zresztą w ogóle wszystkich mężnych wojaków, bo nawet ludzi nie wolnych za odznaczenie się w boju, podnosił do godności rycerzy.

Wielkie dębowe stoły uginały się od mis i dzbanów srebrnych oraz złotych; pacholkiwie roznosili stopy mięsiva, a czary miodu krążyły bezustannie

Bolesław zasiadł u pierwszego stołu wraz z opatem Tuni i dwunastoma wojewodami, po prawej stronie mając syna Mieszka, hożego młodzieńca, liczącego obecnie lat ośmnaście. Widać było po nim, iż nie odziedziczył zdolności po ojcu, lecz w twarzy tej młodzieńczej malowała się odwaga i męstwo, połączone z tak zwaną — szczęśliwą naturą, — to jest dobrą, wesołą i lekką, nie stworzoną do burzliwych walk. Z oblicza przypominał swego ojca, lecz wszystko, co w tamtym było wspaniałem, męskim, nadającym twarzy króla coś łwiego — w nim było złagodzone, zdrobniałem, jak i duch jego był słabem odbiciem ojcowskiego ducha. Bolesław spoglądał jednak na syna z radością i widocznie się nim pysznił; Mieszko bowiem w kilku bitwach mężnie się odznaczył i obiecywał być dzielnym rycerzem. Wszyscy otaczający również go lubili, bo hojny był i dobry, charakteru otwartego, ujmującego ludzkie serca swą szczerością. Słowem, byłby najlepszym i najszcześniejszym z ludzi, gdyby los nie kazał mu się urodzić na tronie.

Choć tak młody, był już zaręczony jeszcze w dwunastu latach z Ryksą, siostrzenicą cesarza Ottona, i wkrótce małżeństwo to miało przyjść do skutku. Wszyscy wiedzieli, że prośba królewicza była wszechwładną u ojca, to też gdy obawiano się gniewu króla, zwracano się do Mieszka, a on wyjednywał przebaczenie. Bolesław bowiem, zrażony do najstarszego syna, Bezbraina, całą swoją miłość i dumę złał na Mieczysława.

Wkrótce na salę weszła królowa Hemilda, druga i najukochańsza małżonka Bolesława; piękne jej oblicze cechował wyraz niezwykłej dobroci i łagodności; król też okazywał jej wielką cześć i przywiązanie. Wraz ze swoim dworem niewieścim zajęła ona miejsce przy drugim stole.

Pomiędzy biesiadującymi kręcił się wesołek, mały człeczek, niski i gruby, jaskrawo odziany. Zwano go Osą, dla zjadliwego języka, a może i z powodu sprzeczności pomiędzy smukłą postacią tego owadu, a baryłkowatą figurką wesołka.

— Wielki królu — mówił głosem piskliwym — gdy pójdziesz znów na Niemca, to zabierz i mnie z sobą.

— Na cóż się nam tam przydasz, malec? — spytał król. — Czy myślisz, że go przestraszysz swą krągłą, jak piłka postacią?

— Ja obawiam się tylko tego, że twoi dzielni rycerze, królu, tak go już przestraszyli, że nie wylezie ze swej nory

i widzieć go nie będę, choćbym siarczyście tego pragnął — rzekł błazen. — Boć słuchając ich przechwałek, myślę, że wiele to płochliwa zwierzyna ten Niemiec i łatwo go pokonać... więc może i ja chudziaczek potrafię mu dać radę z moją grzechotką.

— A ty złośliwa oso, — wyrwę ja ci żądło! — mruknął wojewoda Nawój.

— A wojewoda Nawój, królu — prawil Osa coraz to piskliwiej i głośniejsz — to ci dopiero mąż straszny... on jeden pokona stu Niemców! Radzę, posłajcie go naprzód samego, a spróbujecie.

— Cóż myślisz, głupcze, że się ich przestraszę? — krzyknął wojewoda. — Gdy będziemy dobijać się do jakiego niemieckiego grodu, to tobą kuszę nabije!

— A co to za stateczny i rozważny mąż, królu, ten wojewoda Nawój — mówił dalej błazen, jakby nie słysząc słów wojewody: — on jeden za całą radę stanie!

— Ty zuchwała piłko! — krzyknął wojewoda w niedanym gniewie, a wszyscy się rozśmiali mimowoli, bo wiedzianno, że wojewoda był nader porywczym w sądzie i król przypuścił go do rady tylko dla jego wielkiej znajomości w rzeczach wojennych.

Nawój zamierzył się na malca, lecz ten zręcznie uskokzył w bok.

— Za krótkie ręce, wojewodo! — zawołał, odbiegając. — Natrę ja ci uszu kiedyś, poczekaj! — mruknął wojewoda.

— Będzie to wtedy, gdy rak świśnie, albo gdy nasz król odbierze Pragę! — zapiszczał Osa.

— Ale, nim ci wojewoda natrze uszu, to wpierw ja to zrobię — ozwał się król; nadto sobie pozwałasz, błażnie!

Nie bowiem nie mogło bardziej rozdrażnić króla Chrobrego, jak wspomnienie o utracie Czech. Błazen poznał, iż za daleko zaszedł tym razem, i oddalił się przezornie do innych stołów, gdzie siedzieli rycerze.

Właśnie przy jednym z nich Ładon rozmawiał z duńskimi posłami, którzy dziwili się licznemu zbiorowisku zagranicznych wojowników na dworze króla polskiego.

— Nasz król wielce wspaniały dla obcych gości, uważając ich jakoby za synów swoich, a nie przybyszów, to też mu wszyscy wiernie służą — rzekł Ładon. — Gdy niedawno jeden z obecnych tu rycerzy morawskich, poniósł znaczną stratę na mieniu, król niezliczonemi obsypał go darami i rzekł do obecnych: „Gdybym tego walecznego rycerza mógł wykupić złotem od śmierci, jak skarabami memi zaradzić mogę jego niedostatkowi, tedy samą chciwość śmierci przesyłałbym bogactwami” *). Jakże tu nie służyć takiemu królowi?

— Ponoś tylko nie wszystkim wam, waleczny rycerzu, do smaku owa zbytńa hojność króla dla obcych przybyszów — ozwał się szyderczo błazen, nadechodząc. — Niejeden mąż, chwając inne niewiasty, powiada do swojej, by jej nie gniewać: „Aleś ty z nich wszystkich najurodziwsza; krasnaś, jak słonko na niebie.” A baba temu wierzy, choćby była brzydka jak wiedźma. Tak i król, by uspokoić zazdrosne szemrania, chwali i obdarza niejednego ze swoich, który wart tego tyle, co ja, ale zdaje mu się jednak, iż jest mężem wielkiej zasługi. Trzeba i mnie, widzę, zacząć szemrać, że obcy zabrali pierwsze miejsca na dworze, a może co dostanę... może król mnie zrobi wojewodą? Jak mi Bóg miły, nie gorszy byłbym od innych, a może nieraz lepiejbym poradził królowi, niż niejeden z jego doradców. Błaznem każdy pogardza, a nie pomyśli, że błazen, choć niby to kłamię, zawsze jakoś prawdę powie, podczas gdy są u nas tacy, co gdy nawet przypadkiem powiedzą prawdę, zawsze wyjdzie jakoś w końcu, że skłamali.

— Nie wiem, może są tacy zazdrośni, jak powiadasz — rzekł Ładon — ale ja się do nich nie zaliczam. Nie za-

*) Historyczne.

zdroszczę nikomu łaski królewskiej; wiem, że naszego króla stać na to, by był hojnym i dla swoich i dla obcych.

— Ej, rycerzu waleczny, synu wojewody, przyznaj jednak, żeś i ty nie bardzo rad temu, że król wyzwoleńców podnosi do godności waszych towarzyszy — zapiszczał znowu Osa. — Wy, władcy, nie chcecie nawet przypuścić tego, by chłop mógł się bić walecznie... gdzieżby to być mogło? To wy tylko jedni na świecie jesteście mężni, rozumni, wielcy... nikt więcej. Także to król dotąd pojąć nie mógł tego, co sam Bóg zapisał w niebie? Nawet gdy który z władyków głupi i tchórz, zawsze on wart więcej, niż chłop, co ma rozum. Nieprawdaż, rycerzu? No, nie patrz na mnie tak groźnie, a przyznaj, żeś i ty niezbyt rad takim towarzyszom broni; a nużby, uchowaj Boże, chłop który mężniejszym się od was okazał? Co wtedy?

— Jeśli kiedy okażę niezadowolenie z tego, co król czyni, to wówczas będziesz mógł gadać, co ci się podoba — odparł Ładon niechętnie; — jak dotąd, nie masz prawa! Zapominam jednak, że wdaję się w rozmowę z błaznem, jak z rozsądnym człowiekiem...

— To jest stajesz się mu podobnym, szlachetny rycerzu — odrzekł Osa z ukłonem — bo kto mówi z błaznem jak z człowiekiem, sam się błażni. Wprawdzie nie bardzo mi to pochlebia, bo cóż się stanie z naszym błazeńskim rzemiosłem, jeśli do niego ot tak, lada władca, lada wojewoda, słowem lada kto przystawać będzie, by je po partacku pełnić? Dość już biedny król ma partaczy! zaraz policzmy: między rycerzami, między radą, między urzędnikami... ktoby ich tam wreszcie zliczył... Ja zaś u siebie partaczy nie zniosę. Coście wy warci zresztą?... z błazna łaćno może być wojewoda, a nawet rycerz w potrzebie, a z rycerza albo wojewody nawet błazen będzie lichy!

— Kto ci w mowie dotrzyma, ty oso złośliwa! — zawołał Ładon, śmiejąc się. — Nie bój się, nie mam najmniejszej ochoty do twego rzemiosła.

— Słuchajcie mnie, szlachetni witezie, tu zgromadzeni! — przemówił Osa, wążąc na ławę i tupiąc na niej, by być lepiej widzianym: — Razu jednego osieł patrzył, jak ksiądz czytał brewiarz, chodząc po łące. Gdy ksiądz odszedł, pozostawwszy księgę na trawie, osieł podszedł i zaczął karty przewracać i obwąchiwać; lecz daremnie się biedził, nie zrozumieć nie mógł. Rzekł w końcu: „Ej, lepsza trawa, niż taka zabawa; głupstwo to wszystko, tylko to mądre, co ja wiem.” Otóż tak samo ten oto rycerz powiada, że nie ma ochoty do błazeńskiego rzemiosła.

Głośny śmiech był odpowiedzią na to porównanie. Ładon śmiał się wraz z innymi, nie urażając się bynajmniej, a nawet rzucił błaznowi sztukę złota, mówiąc:

— Masz, złośliwa oso, i schowaj żądło.

— O, to nie po naszymu — rzekł Osa, kręcąc głową — znać zaraz, żeś bywał na obczyźnie, bo u nas błazen prędzej może się spodziewać kułaka, niż złota. A cóż, czy nie prawda? — dodał, obracając się dokoła — czyż sami nie poświadczycie, że odkąd służę błaznem na królewskim dworze, więcej dostałem szturchańców, niż sztuk złota.

— Co tam prawi ten szerszeń zjadliwy? — ozwał się któryś z rycerzy, zbliżając się do rozmawiających.

— Że dużo jest trutniów na świecie — odparł krótko błazen.

Tymczasem przerwana rozmowa Ładona z duńskimi posłami, znowu się toczyła dalej.

(d. c. n.)

Niebo w lipcu.

Już w początkach lipca poczyna dnia ubywać; słońce zostaje nad poziomem codzien krócej, wschodząc coraz później, a zachodząc coraz wcześniej o parę minut, tak, że gdy najdłuższy dzień w czerwcu trwał 16 g. 46 m., z końcem lipca długość dnia wynosi już tylko 15 g. 32 m., jakkolwiek ogólnie nie odczuwamy jeszcze tego ubytku.

Największa odległość ziemi od słońca przypada na 2-go lipca, pomimo to właśnie w tym czasie słońce działa silniej niżeli w swej najmniejszej odległości od ziemi, ponieważ zakreśla teraz największy łuk na niebie, przyczem promienie jego padają najmniej ukośnie na naszą półkulę.

Dnia 3 lipca w czasie pełni księżyca, przypadło zapowiedziane nam przez astronomów, jego zaćmienie spowodowane tem, że środki trzech ciał niebieskich: słońca, ziemi i księżyca znalazły się w swych obrotach prawie na jednej linii prostej i ziemia będąca między słońcem i księżycem rzuciła na niego swój cień.

Zaćmienie postępując zwolna, jak to niezawodnie wielu z was zauważyło nie było zupełne, została bowiem w dolnej stronie tarczy księżycowej wąska, świetlana obrączka, wynosząca $\frac{1}{10}$ części średnicy księżyca, podczas gdy pozostałe $\frac{9}{10}$ ciemnem, nieco czerwonym odznaczało się blaskiem. W Warszawie początek tego zaćmienia przypadł na godz. 9 m. 10, koniec zaś na godz. 12 m. 13. Razem więc całe zaćmienie trwało 3 godziny i 3 minuty, widzialne zaś było w Europie, w Azji z wyjątkiem północno-wschodniej, Afryce, południowej Ameryce i Australii.

Z planet widzialne obecnie są: Venus, Mars, Jowisz. Venus wschodząc między 6-tą a 8-ą rano, widzialną jest w końcu miesiąca zaledwie około dwóch godzin po zachodzie słońca. Posuwa się w gwiazdozbiorach Lwa i Panny.

Marsa można dostrzedz na północno-wschodniej stronie nieba w końcu lipca do godz. 11 m. 45 wieczorem, jako małą czerwoną gwiazdkę.

Jowisz, planeta przez długi czas najświetniejsza, stopniowo już znika nam teraz z oczu, zachód jego w końcu miesiąca przypada przed 10-tą wieczorem.

Saturn znajduje się bardzo nisko nad poziomem i tylko z trudnością bywa odnaleziony, zachodzi po północy.

Jedynie z pomocą przyrządów astronomicznych obserwują obecnie na niebie kilka komet. Droga mleczna przebiega teraz z północy na południe, wznosząc się coraz wyżej nad poziom.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Księga przyrody, wiersz przez M. S. — Alkaios w Motonie przez L. W. Szczerbowicza (z ryc.) — Dzielnny chłopiec przez Zofię Kowerską. — Wodospad Niagary (z ryc.) — Obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — Niebo w lipcu. — Dodatek: Dwie kozy, wiersz przez E. L. (z ryc.) — Władzio i Ignasz. — Królowa poziomek i paproci, bajka czarodziejska przez Wacława Sulimę. — Żywe zabawki. Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

WIECZORY RODZINNE

DWIE KOZY.

Ponad przepaścią, pełną dzikiej grozy,
Wśród skał tatrzańskich sięgających w chmury
Zeszły się z sobą dwie młodziuchne kozy,
Na wąskiej ścieżce, która wiodła w góry.
— Hej! na bok! z drogi! jedna z nich zawoła,
Puszczaj mnie naprzód! — Ejże nie tak ostro!
Ja ci ustąpić ani myślę zgoła.
Takam ja dobra, jak ty, moja siostró!
Więc w marnej walce, z uporu wyrazem,
Jedna i druga z miną równie butną,
Skoczą ku sobie; by znalazły razem,
W głębi przepaści śmierć dla się okrutną.
O biedne kózki! zacięte w uporze,
W tak marnej walce zgubiły się wzajem.
Żał mi ich szczerze! ale więcej może,
Ludzi, co równym rządzą się zwyczajem.
Niech im kóz przykład tych nauk nie skąpi:
Że zło za sobą wszelkie spory wiodą,
I że ten mędrszy zawsze co ustąpi,
Niepewny tryumf zastępując zgodą.

E. L.



Władzio i Ignas.

Władzio i Ignas.

Władzio miał lat ośm i był bardzo miłym chłopczykiem. Uczył się doskonale, umiał głośno czytać, wiedział ile jest części świata i jakie są znaczniejsze kraje w Europie; wiedział nawet jakie są rzeki i miasta w Polsce; lubił jak mu opowiadano różne ciekawe rzeczy, tylko z arytmetyką szło mu najtrudniej. Powoli jednak i z tem dawał sobie radę, ale przy tej nauce takiego nabrał zarozumienia, iż nieraz śmiał się z Ignasia, młodszego od siebie o rok braciszka.

— Jesteś niedołęga — wołał — czytasz powoli, nie można cię zrozumieć.

— No, no — mówił Ignas — zaczekaj i ja za rok będę czytał prędzej.

— Ba, za rok, ja już wtenczas Bóg wie co będę umiał, może nawet do szkół mnie oddadzą.

— Jeżeli ty pójdiesz za rok, to ja pójdę za dwa lata, bo ja jestem od ciebie o rok młodszy — odpowiadał mu rozważny Ignas.

— Gdzie ty tam pójdiesz! i za trzy lata nie pój-

dziesz; ty nie tylko przy nauce, ale we wszystkim jesteś słamazara — wołał dalej, podskakując Władzio.

— No, proszę bardzo, nie nazywaj mnie tak, bo to nie ładnie — bronił się z powagą Ignas.

— A bo jesteś słamazarny, wczoraj, jakeśmy się bawili pałaszami, to nim dobyłeś pałasza, ja już trzy razy swoim wywinąłem.

— A tak, boś ty stał z gołym pałaszem, a ja swój dopiero przypasywałem.

— Eh, próżne gadanie, nie tylko żeś słamazara ale i tchórz w dodatku — zawołał Władzio.

— O, co to, to nieprawda, tchórzem wcale nie jestem, ty się boisz zostać w ciemnym pokoju, a ja nawet do tej wielkiej sali pójdę wieczorem i wcale się nie boję.

— Tak, ale pałasza się boisz! — mówił mały śmiałek, wywijając drewnianą szabelką.

— I pałasza się nie boję, poczekaj, przyniosę swój to się sprobujemy! — rzekł Ignas i pobiegł do pokoju, a Władzio został w ogrodzie, gdzie rozmawiali.

Wtem nagle mama, siedząca na ganku, usłyszała krzyk przeraźliwy. Przelekła się bardzo, wybiegła i widzi Władzia zanoszącego się od płaczu. Ogląda się dokoła lecz nie dostrzega, coby mogło krzywdę zrobić jej synkowi.

— Co ci jest? — pyta jednak troskliwie.

— Ba-a-wi-tem się pa-a-łaszem i uderzyłem się w rękę.

— I tego płaczesz?

— Bo, bo... mnie bardzo boli! — rzekł Władzio i schował lewą rękę mocno od uderzenia zaczerwioną.

— No, będziemy się bić na pałasze? — rzekł Ignaś, który właśnie nadszedł, wywijając zręcznie szabelką.

— E, to może później! — zawołał Władzio.

— Niech będzie później, tylko nie nazywaj mnie tchórzem, bardzo proszę! — rzekł Ignaś.

— A widzisz — szepnęła mama do ucha Władziowi — nazywałeś brata tchórzem, a sam?...

Władzio bardzo się zawstydził, a chociaż go ręka bardzo bolała, nie skarżył się już wcale. Mama zaś taki wierszyk im powiedziała:

— Moi drodzy synkowie, żyćcie z sobą w zgodzie,
Czy w domu, czy przy książce, zabawie, w ogrodzie;
Niechaj się nie przechwała żaden z was z niczego,
Lecz gdy umie co lepiej, nauczycy drugiego.

Z. Morawska.

KRÓLOWA POZIOMEK I PAPROCI.

BAJKA CZARODZIEJSKA

przez *Wacława Sulimę.*

(Dalszy ciąg)

— Pozwólcie mi odejść szkaradne stworzenia wykrzyknęła, zwracając się na wszystkie strony, pożałujecie zeście mnie tak przyjęły.

— Zaraz, zaraz, a pociś tu przysła, tylko szpieg i złodziej tak wchodzi i ucieka, pokaż no się, jak ty wyglądasz, coś za jedna.

Mnóstwo szponów uchwyciło ją za suknię i ręce, parzące czepce musnęły jej twarz. Elżbietka zaczęła głośno krzyżeć i wrywać się, odpowiedział jej piskliwy śmiech, tłum rósł co chwila. Przerażona coraz więcej wrywała się i rzucała na oślep, ze wszystkich stron piekło ją i kłuło; zrobiła się okropna wrzawa. Małe jędze poczęły skakać jej do oczu i rwać za włosy.

Prawie nieprzytomna ze strachu i wyczerpana na siłach Elżbietka pośliznęła się i upadła. Pokrzywy rzuciły się na nią; już myślała, że ją stratuja, kiedy nagle roztańczyły się i uciszyły, a dziewczynka usłyszała głos starej Pokrzywki.

Zerwała się, dobywając ostatnich sił.

— Pokrzywko! zawołała pomóż mi wydobyć się z tego piekielka, wszak pamiętasz jaką ci przysługę oddałam.

Podniosła głowę, ale stara pokrzywka widząc jej

włosy w nieładzie, nabrzękłą i pokaleczoną twarz wybuchła głośnym śmiechem.

— Pokrzywko! wykrzyknęła Elżbietka, zrozpaczona jej śmiechem, twoje towarzyski niegodziwie się ze mną obeszły i żądam, abys je przykładnie ukarała. Wszak dzięki mnie tylko zajęłaś tę kotlinkę, powinnaś mi być wdzięczną, a nie śmiać się, że mnie te szkaradne stworzenia napastują.

— Najpierw, moja ty ślicznotko, nie mam za co być ci wdzięczną, nie chodziło ci wcale o oddanie mi przysługi tylko o wypłatanie figla Leśnej Paprotce, co ci się też zupełnie udało. Moja to zasługa, że przy twem ogniu swoją pieczeń upiekła. A śmieję się bo takiej maskary jak żyję, nie widziałam.

— Potworo! wykrzyknęła Elżbietka, zapominając w gniewie o wszelkiej ostrożności, obys się tu nigdy nie była dostała! Królowa Paproci, którą ci pomogłam skrzywdzić, z pewnością lepiejby umiała ocenić wyrządzoną przysługę. Powiedz mi przynajmniej, co się dzieję z nią i z Halinką?

— Co się z niemi dzieje nie wiem, ale wiem co się stanie z tobą. Czy myślisz moja pięknotko, że stara Pokrzywka pozwoli byle komu wymyślać sobie? Mogłam ja być pokorną dawniej, ale teraz nikomu się nie dam, a ty zasługujesz na podwójną karę, najpierw za nieuszanowanie mojej osoby i lekceważenie moich towarzyszek, po drugie za to, żeś oszukała Halinkę i podmówiła ją do szukania Leśnej Paprotki. Ja kłamstwem zawsze się brzydę, czego ci natychmiast dam dowód. Na ten złośliwy żart małe jędze zachichotały, a następnie na skinienie starej Pokrzywki rzuciły się na Elżbietkę, przewróciły ją i zaczęły dotkliwie chłostać. Dziewczynka krzychała w niebogłosy, a stara Pokrzywka wzięwszy się pod boki przymawiała.

— A widzisz nie kłam, nie oszukuj, a co, żal ci poziomek, nie chciałabys, żebyśmy tu były, a co szkaradne z nas stworzenia, jak żyjesz nie widziałaś takiej jak ja maskary? Masz pamiątkę, jak trzeba starą Pokrzywkę szanować. No, dosyć na dzisiaj, zaprowadźcie tę lałę do ciemnej piwniczki, a jutro zasadzimy ją do jakiej roboty.

Elżbietkę ochryplą od krzyku i wijącą się z bólu wepchnięto do ciemnej dziury i drzwi zatrzaśnięto. Przez szpary dochodziły jeszcze do niej wrzaski i chichoty złośliwych jędz, które ją tak nielitościwie wysmagały.

VIII

Śnieżnopióry gołąbek.

Jagusia powziąwszy dobre postanowienie, starała się wprowadzić je w czyn. Kiedy ją Szyszka drażniła i męczyła, kiedy Kora wyśmiewała ją i przedrzeźniała, przypominała sobie ile to ona razy dokuczała w ten sposób Halince i z westchnieniem uzbierała się w cierpliwość.

Nie było to jednak łatwym. Codzienne śpileczki kłóły dotkliwie, a Jagusia nie była przyzwyczajoną do ustępowania, nie ćwiczyła się nigdy w łagodności i uprzejmości.

Pewnego dnia pracowała znowu w kuchence i zastanawiając się nad swoim położeniem zadumała się smutno.

— Kiedy ja wrócę do domu i do rodziców! myślała — jak tam niechętnie brałam się do roboty, chociaż wymagano odemnie tak mało. Wszyscy byli tacy dobrzy dla mnie, a ja byłam często zła i opryskliwa. Jakże inną, byłabym teraz dla Halinki. Ona przebaczyłaby mi pewnie wszystkie przykrości, które jej dawniej wyrządziłam, bo jest taka dobra, a ja uczyłabym się od niej cierpliwości i słodyczy.

Podniosła głowę, śnieżnopióry gołąbek siedział wprost okienka.

— Dobry wieczór dziewczeczko, zagruchał.

— Dobry wieczór ptaszynko, odpowiedziała smutno Jagusia.

— Nie gniewasz się za to, com ci ostatnim razem powiedział?

— O, nie, gołąbku bo to szczerą prawdą, ja sama zastanawiałam się i widzę, że mnie słuszna kara spotyka. Staram się też wszystko cierpliwie znosić, ale mi bardzo, bardzo ciężko. O gdybym mogła wrócić do domu, zupełnie byłabym inną niż przedtem.

— Dobrze, dziewczeczko, widzę że nie stracony był czas któryś tu przebyła. Fruwając nad dębem, słyszałem cię nieraz i wiem, żeś starała się płacić dobrem za złe twoim prześladowcom i że naprawdę myślisz o poprawie. Kara twoja już się skończy, sama jesteś, wyjdź do mnie, ja cię odprowadzę.

Jagusia wydała okrzyk radości i wybiegła. Poranna rosa operliła trawę, powietrze było świeże i orzeźwiający, wschodzące słońce ognistymi blaskami malowało niebo, ozłacając przytem mchy i drzewa, rozkładając świetlane pasy na ziemi.

Śnieżnopióry gołąbek zagruchał radośnie, inni śpiwacy leśni odzywać się też poczęli.

Jagusia czuła się wesołą i swobodną. jak ptak wypuszczony z klatki.

— Prędzej gołąbeczku, wołała, prowadź mnie do Leśniczówki, tak mi już tęskno do rodziców, do rodzeństwa i Halinki.

Gołąbek zatrzepotał skrzydłami i pofrunął, Jagusia, biegnąc w ślad za nim, zaczęła się spuszczać w jakiś wąwóz, nie wiedząc gdzie idzie, ale ufając zupełnie dobrej ptaszynie. Nagle wydała okrzyk zdziwienia, na murawie, w głębi parowu spała Halinka, która zbudzona jej okrzykiem zerwała się i poznawszy ją, rzuciła jej się na szyję.

— Gdzieżeś ty była, Jagusiu?

— Skądęś się wzięła Halinko?

Pytania i odpowiedzi krzyżowały się, obie dziewczynki opowiadać sobie zaczęły swoje przygody, przeplatając je wykrzyknikami zdziwienia i pieszczotami.

— Jakże mi przykro, moja Halinko — mówiła Jagusia — że tak ci dokuczałam, rozumiem teraz coś od nas wycierpiała, przebacz mi, zobaczysz, że się poprawię.

Halinka uściskała ją ze łzami, w szlachetnym swem serduszką nie chowała żadnej uwazy i gotową była odpłacić przyjaźnią za przyjaźń. Wydało jej się, że ta szczęśliwa zmiana, która zaszła w Jagusi, jest nagrodą za ofiarę, którą zrobiła Leśnej Paprotce i serce jej wezbrało wdzięcznością

(d. n.)

ŻYWE ZABAWKI.

— Jak urosnę — mówił pięcioletni Adaś — kupię sobie pałasz, zostanę zaraz generałem.

— A ja jak urosnę — dodała starsza o dwa lata Kocia — kupię sobie wieś i będę panią.

— Nie kupisz wsi, bo nie masz pieniędzy — zaprzeczył Adaś.

— I ty nie kupisz pałasza i nie będziesz generałem — zawołała z gniewem Kocia.

— Kupię! — krzyknął chłopczyk i tupnął nogą.

— I ja kupię! — jeszcze głośniej zawołała Kocia.

Jak się zaczęli sprzeczać, powstał taki gwar, że aż mama przysłała z drugiego pokoju.

Dzieciom dostała się nagana, a co więcej, mama ze smutkiem powiedziała, że przestanie je kochać, jeżeli tacy będą niegrzeczni.

Uspokoili się więc, bo mamę kochali bardzo.

Wieczorem przyjechała ciocia, Kocia przywiozła śliczną lalkę, Adasiowi bębenek i pałasz. Radość dzieci granic nie miała, Kocia swoją lalkę nazwała Filą, Adaś powiedział, że napewno będzie generałem, bo nietylko, że ma pałasz, ale i bęben.

— Generał nie bębni — zauważyła Kocia.

— Jak chce to bębni, może nawet i trąbić, wszystko mu wolno — odpowiedział chłopczyk.

— Moja Filą ze mną sypiać będzie — rzekła Kocia.

— I mój bęben ze mną sypiać będzie — dodał Adaś.

— Bębny nie sypiają — zaprzeczyła Kocia.

— Sypiają! — krzyknął chłopczyk, to lalki nie sypiają, bo one są z gliny.

— Przepraszam — żywo zaczęła Kocia — moja lalka nie z gliny, tylko z gipsu, mamusia mi to raz mówiła, a twój bęben ze skóry i z drzewa. Moja lalka ma nogi, ręce, ma głowę i oczy które otwiera, więc spać może, bo moja lalka żywa.

— I mój bęben żywy! i mój pałasz żywy — wołał Adaś zaperzony.

— Aha, prawda! — żywo wtrąciła Kocia.

— Żywy! to twoja lalka nieżywa — głośno krzyknął chłopczyk, przyczem powstał taki hałas i krzyk, aż starsza siostrzyczka Celinka przysłała z zapytaniem od mamy, co ten hałas znowu znaczy.

Rozpoczęło się opowiadanie tak głośne, przeplatane płaczem, że Celinka zastoniła sobie uszy i powiedziała, że chyba ogłuchnie.

— Adaś mówił, że moja lalka nie... nie żywa — szlochała Kocia.

— Kocia. . Kocia... sprze... sprzeczała, że mój bębenek... nie żywy — mówił Adaś łkając.

Celinka pogodziła wreszcie malców, powiadając, że i lalka żywa i bębenek żywy, żeby sobie dobrze to zapamiętali.

Gdy się po kolacyi spać pokładli, Kocia ułożyła przy sobie pięknie ubraną lalkę, a Adaś z jednej strony bębenek, z drugiej pałasz.

Daremnie Franusia persadowała, że zabawki mogą leżeć na sofce, że nieżywe rzeczy sypiać nie potrzebują, ale dzieci utrzymywały, że właśnie lalka żywa, i bębe-

nek żywy, więc spać muszą. Nie obeszło się znowu bez sprzeczek, aż znów Celinka przysłała i powiedziała Franusi:

— Moja Franusiu, nie sprzeczasz się, przecież widzisz, że Kocia i Adaś nie są dwuletnie dzieci, skoro więc utrzymują, że lalka i bębenek są żywe, to muszą być żywe z pewnością.

— Ha, to może i żywe — rzekła Franusia wzruszając ramionami.

— Mama powiedziała — mówiła dalej Celinka — że od dnia dzisiejszego, wszystko będzie prawda co powie Kocia lub Adaś, i podług tego postępować się będzie. Już te krzyki, kłótnie i płacze uprzykrzyły się wszystkim w całym domu, raz trzeba temu położyć koniec.

(d. c. n.)



ZAGADKA.

jestem rzeką co przestrzeń obliczywszy ściśle,
W kraju, tylko pierwszeństwa ustępuje Wiśle,
Lecz zrób w mem zakończeniu jedną tylko zmianę,
A ujrzysz, że się z rzeki zaraz drzewem stanę.
Co choć daje pożytek i osłania cieniem,
Ze strasznej klęski w dziejach łączy się wspomnieniem.

ŁAMIGŁÓWKA KRYSZTAŁOWA.

ulożyła Niezabudka.

1. Spółgłoska.
2. Dopływ Wisły.
3. Miasto nad Sanem.
4. Dopływ rzeki Missisipi.
5. Wąwoz historyczny w Grecyi.
6.
7. Twierdza nad zatoką Tarencką.
8. Grecka bogini myślistwa.
9. Dopływ Dniepru.
10. Dopływ Wołgi.
11. Samogłoska.

Rząd środkowy oraz środkowe litery złożony powinny imię i nazwisko króla polskiego, panującego w XVII wieku.

ŁAMIGŁÓWKA KROPKOWANA.

Wichura dla Polskiej Różyczki.

Cn . t . sk . rb w . . czn . cn . t . kl . . n . t dr . g . ,
T . g . é n . . w . drz . n . . prz . j . c . . l sr . g . ,
O . . sp . . l . . g . . n . . z . b . . rz . w . d .
N . d wsz . stk . . m . nn . m p . u . j . prz . g . d . .

ROZWIĄZANIA DO Nr. 27.

Zagadki: G r z y b .

Łamigłówek sylabowej:

- 1) Barbara (św.) 2) Opał. 3) Race. 4) Kadyx. 5) Obrab.
- 6) Wisconsin. 7) Skud. 8) Kair. 9) Amazonka.

Borkowska Alexandra.

Łamigłówek liczbowej:

100	10	50	40
40	50	10	100
10	100	40	50
50	40	100	10

Skrzynka do listów.

P. Wańdzie N. Ponieważ zmiana adresu kosztuje tylko 15 kop. przeto reszta nadesłanych pieniędzy, pozostaje do rozporządzenia.

W imieniu biednych dzieci z kolonii letnich, którym przysłane ubrania bardzo się przydadzą, dziękujemy Zielonej żabce pozdrawiając ją serdecznie

Z przyjemnością dowiedzieliśmy się, że Wieczory tak wielkie zadowolenie sprawiają **Eleonorze C.** która sama mianuje się najciekawszą naszą czytelniczką. Pojmujemy też jej radość z powodu dalszej prenumeraty, na którą dobra mamusia się godzi. Niechże jednak miła czytelniczka nie zamilknie nadal, i po tym pierwszym liściku doniesie nam obszerniej o swej pracy w nauce i ulubionych rozrywkach.

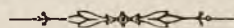
Puszczykowi z Piławy przesyłamy szczerę powinszowania promocji przy tak dobrych stopniach w cenzurze. Wyobrażamy też sobie jak miły mu być teraz musi odpoczynek, na który w zupełności zasłużył. Niechże tylko "poważny" tytuł czwartoklasisty nie przeszkodzi w utrzymaniu dawnej naszej znajomości. Z nadesłanych szarad i łamigłówek znajdzie się zapewne po przejrzeniu coś podatnego do druku.

Aleksandrowi W. List ostatni oraz nowe łamigłówki odebraliśmy. Niewątpliwie powrót w strony wszechwładnego jeszcze panowania zimy, gdy u nas już wiosna oddawna obdarzyła kraj ciepłem słońca i zielenią, musiała wywołać dość silne wrażenie. I trzeba sobie uprzytomnić ową olbrzymią odległość ku mroźnym stronom, aby się nie dziwić tak znacznej różnicy klimatu.

Weześniejsze nadesłanie pracy konkursowej nie pociąga za sobą najmniejszej różnicy, przeciwnie, jest nam miłym dowodem gorliwości i zapału z jakim **Wiedenka** stawiała się na wezwanie redakcyi. Łamigłówkę przejrzymy, zasyłając tymczasem pozdrowienia obok życzeń przyjemnej zabawy w zamierzonej podróży.

Dopiero za swym powrotem Jaskółka może przesłać **Piotrusiowi Hry.** zawiadomienie czy tę osobliwą markę jeszcze posiada, tymczasem pragnęlibyśmy, aby mały amator marek popracował troszeczkę zarówno w kaligrafii jak w pisowni i niezadługo złożył nam dowody postępów w tym kierunku, a może Jaskółka zachwycona ładnym listem, zechce postarać się o jaki inny jeszcze osobliwy okaz do zbiorów Piotrusia.

Łamigłówek własnego układu nadesłali: **Giermek, Orzeł karpcki, Marynia Z., Lusja, Władysław i Zygmunt, Inżynier i Anula,** dobre zaś rozwiązania nadesłali: **Aleksander W., Juliś, Anula, Zygmunt, Pawik dzienny i Skowronek.**



№ 30. Rok XVIII.

Dnia 11 (23) Lipca 1898 r.



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



L. W. Szczerbowicz.

ALKAIOS W MOTONIE.

OBRAZEK Z CZASÓW STAROŻYTNYCH

GRECYI.

III.

I d a s.

Około południa Alkaios poszedł oglądać zwałiska Motony. Miasto było niewielkie, zbudowane półkolem nad zatoką, z półkolistym placem publicznym czyli agorą, ozdobioną niegdyś trzema świątyniami w surowym stylu doryckim. Nie było tu śladu wytworności jońskiej ani zabytków sztuki; widocznie nieszkańcy trudnili się rzemiosłem wojennem, mniej dbając o wykwintne wygody. Domy prawie wszystkie były zburzone, niektóre zdradzały niszczącą potęgę ognia.

Nawykły do gwarnych, rojących się wesołym życiem miast azjatyckich, poeta lesbijski w smętnym zamyśleniu błakał się wśród głazów i gruzów, odgadując w swej wyobraźni koleje życia i działalność dawnych mieszkańców. Tu oto na placu publicznym, tłoczyli się niegdyś kupcy i handlarze, wystawiano na sprzedaż towary fenickie, przywiezione na stojących w porcie statkach: klejnoty bursztynowe, wyroby z cyny, purpurę, tkaniny i pachnidła Wschodu. Przed świątynią może właśnie koło podwójne, z uwiecznionych kwiatami dziewic i młodzieńców złożone, odbywało ruchem poważnym święty taniec na cześć bogów, śpiewając kolejno zwrotki peanu, sławiącego Apollina i Artemidę, gdy Ares zapalił krwią pochodnię wojny i wszystko rozbiegło się w popłochu.

W tym oto domu może została tylko para starców, w tańcym grono strwożonych kobiet i dzieci, gdy cała młodzież pospieszyla do boku Arystomenesa. Co zaś tu dzieć się musiało, gdy Spartańczyk wniósł pożogę i zniszczenie, gdy walono i rozbijano mury, nie szcędząc świątyń bogów, gdy zwycięzca zabijał bez miłosierdzia niedołężnych starców i niemowlęta w własnych ich ognisk i ołtarzy domowych lub rzucał tłumnie do morza, gdy włókił do niewoli płaczące niewiasty i dziewice, gdy gonił szczupłą garstkę tych, którzy wyrzekali się ziemi rodzinnej i spieszyli ratować się na wątych statkach do litościwszych cudzoziemców...

Tak dumając, poeta lesbijski usiadł na wyniosłym zielonym pagórku nad morzem, pod cieniem karłowatych drzew figowych i zapuścił wzrok w stronę północną. Jasne niebo i przezroczyście powietrze dozwoliły mu ujrzeć w oddali miejsca, wstawione przez bohaterów, o których mówił mu Damofon. Na prawo sterczała góra Itomy ze zwałiskami świątyni Zeusa; na lewo siniała Ira, okolona wąską błyszczącą wstęgą Nedy, a w pośrodku rozciągała się aż ku granicom Lakonii słynna dolina Stenyklarzu.

Po południu Damofon podejmował swego gościa ucztą nierównie pokaźniejszą od porannej. Teano przyniosła lepszego i starszego wina, które zmieszała z wodą w dużym glinianym kraterze. Ona siedziała także z gościem u stołu, smutna i zamyślona. Gospodarz był ponury jak zwykle, a i w duszy Alkaiosa nie świecił żaden promyk wesołości. Wieszczeni lesbijski, który za młodu opiewał chętnie rozkosze życia, miał duszę nawskroś helleńską, żadną pogodą promiennej, jako właściwego sobie żywiołu, niezdołną karmić się długo smutkiem i boleścią. Smutnem było jego własne położenie obecne i dla tego wołałby dostać się między ludzi zadowolonych i szczęśliwych, radośnie i ze śmiechem używających darów żywota, trafił zaś na zgłiszczą minionej potęgi, znalazł przytułek na cmentarzysku przeszłości, a i gospodarz żył duchem jedynie wśród grobów, wylewał w rozmowie uczucia ponure. Nic więc dziwnego, że Alkaios zapragnął wyrwać się

z Motony jak najprędzej. Właśnie rozmyślał, jakim sposobem ma wypowiedzieć chęć puszczania się w dalszą drogę, wiedząc, że prawa gościnności greckiej nie pozwalają gospodarzowi o tem wspominać, a i gościom nakazują oględność, gdy Teano odezwała się głosem przyciszonym:

— Ojcie gościu, jeśli łaska, może zaśpiewałbyś nam jedną ze swych pieśni.

Alkaios uśmiechnął się smętnie.

— W młodości mojej, o Teano — rzekł — układałem piosenki, lecz wysławiałem w nich wesołego Bachusa, groźnego Aresa lub złotą Afrodytę, to wszystko więc nie dla ciebie.

— Ale Damofonie, widzę tam w kącie twoją cytrę. Zaśpiewaj nam co ze starych pieśni; radbym poznać muzę dorycką.

— Gościu — odpowiedział gospodarz, biorąc cytrę z rąk córki — chcesz, to posłuchaj; ale pieśń moja będzie twarda i dzika, jak nasza przeszłość i podania messeńskie, szorstka, jak mowa Dorów.

Poruszył leko struny starożytnej liry i zaśpiewał smętną melodyą z podań bohaterskich Messenii: o Arystomenesie i Arystomenesie.

Wybrał pieśń, której treścią była cudowna przygoda Arystomenesa. Dzielnny wódz Messeńczyków, gromiąc i goniąc przed sobą zastępy spartańskie, zapędził się raz aż do Lakonii, spłądował Amyklę i zagroził samej Sparcie. Strwożeni królowie Lacedomonu, zebrawszy sił ostatek, pobili Arystomenesa i zniszczyli jego oddział: sam wódz z 50 towarzyszami dostał się w ich ręce. Zdawało się, że wybiła już godzina zguby bohatera, gdyż Spartanie rzucili wszystkich jeńców do głębokiej przepaści, zwanej Keada. Widocznie jednak czarne Mojry *) nie przecięły jeszcze wtedy nici żywota Arystomenesa, a Zeus go ocalił, bo gdy wszyscy inni polamali członki i wyzionęli ducha na dnie przepaści, bohater Messenii podtrzymał w upadku rozpostartemi skrzydły orzeł, święty ptak Zeusa, przez ojca bogów zesłany. Żył więc Arystomenes przez trzy dni w przepaści; czwartego zaś dnia, pochwytywszy za ogon lisa, który tu spuścił się dla pożarcia trupów, wydobył się na świat i długo jeszcze bronił Iry od przemocy oblegających Spartan.

Zamilkł Damofon, blady był, a oczy jego ciskały błyskawice. Teano, chociaż zapewne słyszała nieraz te pieśni, również zbladła i drżała nieco. Alkaios w zamyśleniu spoglądał to na ojca, to na córkę; żałował może, iż wywołał śpiewy, pełne grozy; spodziewał się pewnie czegoś weselszego.

— Dobrze to — odezwał się wreszcie — że teraz niema tak strasznych zdarzeń. — Ale czy nie masz syna Damofonie? — zapytał po chwili.

Zamiast odpowiedzi, starzec zwrócił głowę ku wejściu, gdzie ukazał się właśnie młodzieniec, do ojca podobny, lecz kwitnący zdrowiem i siłą, jakby jeden z Dioskurów messeńskich, którego imię nosił.

— Oto syn mój, Idas — rzekł Damofon.

Młodzieniec pokłonił się do kolan ojcu, następnie gościowi, a wzięwszy kubek z rąk Damofona, wychylił go, uczyniwszy wprzód bogom libację. Po dopełnieniu tych ceremonii usiadł w milczeniu, czekając, aż ojciec doń przemówi.

— Przybyłeś ze Sparty? — pytał starzec.

— Tak, ojcie. Jest tu cały oddział młodzieży spartańskiej, gdyż ogłoszono krypteję na dziś od zachodu słońca do jutrzejszego południa. Przychodzę cię o tem zawiadomić.

Ojciec uśmiechnął się gorzko.

— Zapewne, o Alkaiosie — rzekł zwracając się do gościa — nie wiesz co to krypteja?

— Nie słyszałem, Damofonie.

*) Mojry, czyli Parki, boginie, snujące według mitologii greckiej nić żywota każdego człowieka.

— Jest to polowanie na helotów, urządzone dla młodzieży spartańskiej w czasie pokoju, żeby nie zapomniła sztuki ścigania i zabijania ludzi. Młodzi obywatele, zwykle podchmieleni (w tym razie bowiem wyjątkowo upić się im wolno), uzbrojeni w sztylety, upędzają się po okolicy, zabijając bezkarnie każdego helotę, którego napotkają, w oznaczonym czasie. Towarzyszą im wielkie psy lakońskie, ułożone do tropienia zwierzyny.

— Wprawdzie heloci — wtracił Idas — bywają czasami uprzedzeni, jak i teraz: siedzą więc w domu i cała krypteja staje się nieszkodliwą zabawą, kończy się bez krwi przelewu, jedynie jako próba czujności dla stron obu.

— Tak — rzekł gospodarz — zdarzają się jednak ofiary...

— I uwłacza to godności naszej — dodał syn z chmurnym wyrazem twarzy.

* * *

Tym razem krypteja zakończyła się smutnie: ofiarą jej padł Cheilon, jeden z sąsiadów Damofona.

Smutny ten wypadek zasępił czoła wszystkich i przyspieszył odjazd Alkaiosa.

Opuściwszy gród na w pół zamarły, odetchnął on swobodniej i rzekł do siebie:

— Nieznośnym byłby żywot starców, gdyby nie widok rozpoczynającej życie młodzieży i gdyby nie nadzieja, która jest zawsze nieoddzielną towarzyszką młodości.

LEGENDA O DESZCZU.

Kiedy deszczyc na spalone niwy,
Sypie z nieba swe perłowe rosy;
Kiedy chmura zakryje niebiosy,
Z jasną tęczą u pierzastej grzywy,
I podnoszą główki trawy, ziola,
Otrząsając krople wody szklane,
Mówią, że to duchów łzy wylane,
I rozlane tutaj przez anioła.
Bo te małki, których dusze białe
Anioł śmierci skrzydłami srebrnymi
Unióś w jasne błękity od ziemi,
Zostawiły swe sierotki małe. —
I choć w niebie, wśród łąk lilijowych,
Grząd złotemi gwiazdami zasianych,
I owoców tęczą małowanych,
Róż jutrzeńką kwitnących różowych,
One płaczą za dziećmi swojemi,
Sierotkami, co w smutnej żalobie
Strojąc krzyżyk, modlą się na grobie.
I smutniejsza ich dola na ziemi.
Więc te łezki Pan Bóg przez anioła,
Śle ku ziemi na tęczowej chmurze,
Pod ich technieniem zakwitają róże,
Pola żytne i lasy i ziola.

Marya S.

Zofia Kowerska

DZIELNY CHŁOPIEC.

(Dalszy ciąg.)

Wniesiono potem trzecią a następnie czwartą potrawę, wreszcie leguminę składającą się z grzanecek smarowanych masłem, pływających w śmieiance. Psy były bardzo najedzone, co znacznie na uspokojenie się ich złości wpłynęło. Niektóre posnęły i sapły głośno, inne biegały po mieszkaniu, wietrząc po kątach, Boksowi zrobiło się znowu gorzej po zbyt sutej uczcie. Widocznie tak suty podwieczorek nie posłużył mu. Posłano po weterynarza a biedna jego pani była tak zaniepokojona, że aż żal było na nią patrzeć. Panna Franciszka pocieszała ją jak mogła, Józik zaś nie dostawszy dla siebie ani kawałeczka chleba, z objędnym Bosym wysunął się cicho z mieszkania, aby pożegnaniem się z panną, nie zajmować jej czasu, który chciała widocznie poświęcić jedynie choremu Boksowi.

Upłynęło odtąd znowu pół roku. Jednego dnia, gdy Józik siedział zatopiony w pracy i szyjąc pantofelek damski, potwarzał sobie katechizm, który miał zadany na lekcję przez Bolesława Wirwońskiego, weszła panna sklepowa i zawołała Józika do pana. Józik myślał, że mu każą odnieść jaką zamówioną robotę lub ułożyć inaczey buty i buciki w wystawie, ale pan Wirwoński odesławszy pannę, rzekł do Józika:

— Mój chłopcze, jestem z ciebie bardzo kontent. Od czasu, jak jesteś w moim domu, nietylko nie byłeś dla mnie powodem najmniejszego zmartwienia ani kłopotu, ale owszem sprawiałeś się przykładnie i mogę powiedzieć, że cię polubiłem bardzo. Zaslugujesz na to, żebyś pobierał zapłatę za swoją robotę. Pracujesz sumiennie i jesteś dobrym przykładem dla towarzyszy. Odtąd będę ci płacił złoty za dzień roboczy.

Józik podziękował panu Wirwońskiego za to wszystko, co od niego odebrał, za naukę rzemiosła, za opiekę i za lekcye, które mu dawał pan Bolesław. Podziękował mu też za obiecaną zapłatę i dodał:

— O jedno tylko prosić będę pana majstra. Oto chciałbym, żeby pan tej zapłaty mi nie oddawał, tylko chował ją u siebie i oddał mi ją dopiero, aż się zbierze siedm rubli. Bo ja mam długi.

— Ty masz długi?

— Tak, proszę pana. Potrzeba było na lekarstwa dla pani Warbickiej, więc pożyczylem od Wojciechowej, kucharki, która służyła na pierwszem piętrze. A teraz do niej Bosy wieczorem chodzi jadać.

— Dobrze, mój chłopcze — rzekł pan Wirwoński — przedewszystkiem zapłacić trzeba co się komu winno!

— I od gospodarza domu chciałbym wykupić okulary pani Warbickiej, naparstek, książkę do nabożeństwa i druty do robienia pończochy.

— Druty do robienia pończochy? Naparstek? Okulary? A tobie to na co?

— Na pamiątkę po mojej opiekunce.

— Dobrze, będę zbierał to co zarobisz i oddam ci, gdy sam zażadasz.

Teraz już Józik wpadł w wielkie łaski u państwa Wirwońskich. Powierzali mu pilnowanie domu, gdy sami na jakie parę dni świąt, z dziećmi wyjeżdżali; posyłali go po odbiór pieniędzy; posyłali z pieniędzmi, które składali do kasy oszczędności; ufali mu zupełnie. Siadywał on w sklepie i sprzedawał obuwie, gdy pan Wirwoński szedł na obiad lub na miasto; zapisywał wydatki i przychody. Znał się już na skórze, więc często robił zakupy. Był tak potrzebny państwu Wirwońskim, że już nie rozumieli jakby się mogli bez niego obejść.

Wreszcie, nadszedł dzień, w którym Józik odniósł pieniądze Wojciechowej. Kobieta stanęła jak wryta.

— Co? — zawołała. — Odnosisz mi pieniądze? A toć ja myślałam, że prędzej zeszlóroczny śnieg zobacze, niż te moje kilka rubli! Widziane to rzeczy, żeby taki pędrak dług oddawał? Przeciem ja, zresztą, nie tobie pożyczę, tylko dawałam tej biednej staruszce, coby tam była na strychu z głodu umarła, pierwej nim umarła z choroby! Tobiem tylko jednego rubla dała, coś go zgubił, i ażes mdał z żalu po nim! To mi już oddaj tego rubla, a więcej nie chcę!

— Wszystko oddam — rzekł stanowczo Józik. — Obliczałem ja sobie dobrze wszystko co pani Wojciechowa pani Warbickiej i mnie dawała i odniosłem dziś wszystko!



Pożar fontanny naftowej.

— Nie wezmę twojej krawicy! — wołała kobieta.

— To mech ją pani komu chce odda, ale ja jestem taki szczęśliwy, że ten dług spłacam, że mego szczęścia nie ustąpię nikomu!

I rzeczywiście, szczęście promieniało z oczu Józika.

— Widzi pani — mówił Józik z radością — ja to sam zarobiłem własną pracą! Ja już mogę pracować i zarabiać! Mogę już nawet drugim czasem pomagać! O, jaki ja jestem szczęśliwy!

Wojciechowa lubiła zawsze popłakać, więc się nagle niewiadomo czego rozżaliła, poczęła szlochać i lzy obcierała fartuchem, a udawała, że się gniewa.

— A to pędrak! — mówiła — a to berbec! Będzie mi tu swemi zarobkami oczy wypiekał! Będzie mi się tu stawiał ze swoją uczciwą pracą! Ale kiedy ci te pieniądze niepo-

trebne, to dawaj! Znajdzie się na nie miejsce! Już i spódniczyny mi się wydarły i ciepłego kaftana nie mam!

Wojciechowa otworzyła skrzynkę, ze skrzynki wydobyła pudełko lubiane, z pudełka puszkę blaszaną, z puszkii pudełko papierowe na którym było napisane *soda*, z tego pudełka dobyła dziurawą i wycerowaną pończochę i włożyła w nią przez Józika przyniesione pieniądze. Gdy już wszystko na miejscu postawiła i skrzynkę zamknęła, rozżaliła się na nowo:

— I widzicie państwo! — mówiła, obcieraając lzy fartuchem. — I to z tego pędraka, z tego sieroty, wyrósł taki tęgi chłopiec, a już i na siebie zapracuje i jeszcze oddaje co komu winien! Jak też to Pan Bóg nad takimi sierotami czuwa i opiekuje się lepiej, niż najtroskliwsza matka! No, chodź, mam tu kawałek doskonałej pieczeni, to sobie zjedz!

— Dziękuję pani. Jestem teraz zawsze syty. Mam jedzenia podostatkiem.

— Ale w twoim wieku to i dwa obiady jeść można! No, nie daj się prosić tylko jedz!

— Ha, zjeść mogę!

I Józik zasiadł do pieczeni, a Wojciechowa rozczulona, kiwając głową, wzięła się pod boki, patrzyła na jego młody i doskonały apetyt.

— Co to ci może zjeść taki chłopak! — mówiła. — No, niech ci będzie na zdrowie i rosnij pędraku, bo ja dawno mówiłam, że z ciebie będą ludzie!

Teraz Józik zaczął składać na kupno pamiątek po pani Warbickiej. I znowu przyszedł taki dzień szczęśliwy, w którym poszedł do gospodarza domu, gdzie dawniej mieszkał i kupił sobie pamiątki po swojej opiekunce. Ach, jakże on dobrze znał te stare, w czarną kość oprawne okulary, przez które staruszka czytywała, przez które patrzyła na książkę, na której on uczył się naprzód liter, sylabizowaniu a potem płynnego czytania. Jakże dobrze pamiętał te druty, które dla niego zrobili pojedną parę skarpetek i tę książkę do nabożeństwa, z której się codziennie modlił! Naparstek on sam jej kupił w zamian za ten który ukradł jej Walek, a ona mówiła, że woli ten brzydki, tombakowy, niż dawny srebrny, bo kupił go jej Józik, za zarobione na usługiwaniu studentom, pieniądze.

Józik miał głowę pełną wspomnień i żalu po swojej opiekunce. Wszedł do kościoła żeby się za nią pomodlić, ukląkł na zimnych kamieniach posadzki i otworzywszy starą książkę do nabożeństwa o wyśódkłych kartkach, modlił się gorąco. Potem wznosił oczy ku niebu i szepnął:

— Czy jesteś ze mnie zadowolona, opiekunko moja?

I wydało mu się, że dusza pani Warbickiej rzeczywiście radowała się w niebie z tego, że jej wychowaniec szedł drogą cnoty i uczciwości.

Józik wróciwszy z tej wyprawy pokazał panu Wirwońskiemu przedmioty pamiątkowe, wyrażając mu swoje zadowolenie z ich nabycia.

— Bardzo dobrze! — rzekł pan Wirwoński. — Spłaciłeś tedy długi i kupiłeś te pamiątki. Spełniłeś to, coś uważałem za twój pierwszy obowiązek. Teraz nie masz już koniecznych wydatków, zatem cię proszę abyś koniecznie zarobki swoje składał w kasie oszczędności. Byś, na przykład, wnosił do niej każdy twój zarobek miesięczny, o ile ci nie będzie potrzebny na kupienie ubrania. Jesteś wprawdzie młody ale i młodym się zdarza, że popadają w chorobę, a wtedy zarobione oszczędności, okazują się bardzo pożyteczne.

Józik zgodził się chętnie na uwagi swego majstra. Czuli, że były one zupełnie słuszne. Zaczął też zarabiać coraz więcej, bo porządny chłopiec i dobry rzemieślnik dobre za robki mieć musi. Coraz częściej zastępował majstra w sklepie i warsztacie, a pan Wirwoński powiedział mu raz, że szczęśliwą była ta godzina, w której pani z pieskami wprowadziła Józika do jego sklepu.

Przez to, że w domu lubiono tak bardzo Józika, więc lubiono i Bosego. To też pies czuł się tu zupełnie na swoich śmieciach. Chodził jeszcze do Wojciechowej, ale nie gardził też darami pani Wirwońskiej. Tylko z wiekiem

i przy wzrastającym dostatku, stawał się wymyślnym. Byle co mu nie smakowało, śmietankę, toby jadł, na mleko kręcił nosem. Lubił tylko lepsze kaski mięsa, na kości już patrzeć nie chciał. Chleb musiał dla niego być smarowany masłem. Suchego nie jadał wcale; powąchał go tylko i odchodził z pogardą. Powodzenie zupełnie go zepsuło. Nie pamiętał wcale chwil niedoli i głodu, które niegdyś przeżył. Bardzo mu to miano za złe, ale że go lubiono, ulegano jego kaprysom. Pani Wirwońska nawet odkryła, że wolał smalec niż masło i nie szczydziła mu smalcu. Jedną tylko Wojciechowa była oburzona.

— Nędza nogi a chleb rogi! — gderiała. — Dokąd byłeś w biedzie to ci wszystko smakowało, a teraz to niby z ła-
ski wybierasz najlepsze kawałki! Oj, żeby ci tylko znowu na biedę nie przyszło!

— A to jakiś łotr! zawołam zaraz policyanta! Spił się i robi tu chałasy!

Obdarty, podrapany i brudny chłopak spojrział z pod oka na Józika i rzekł:

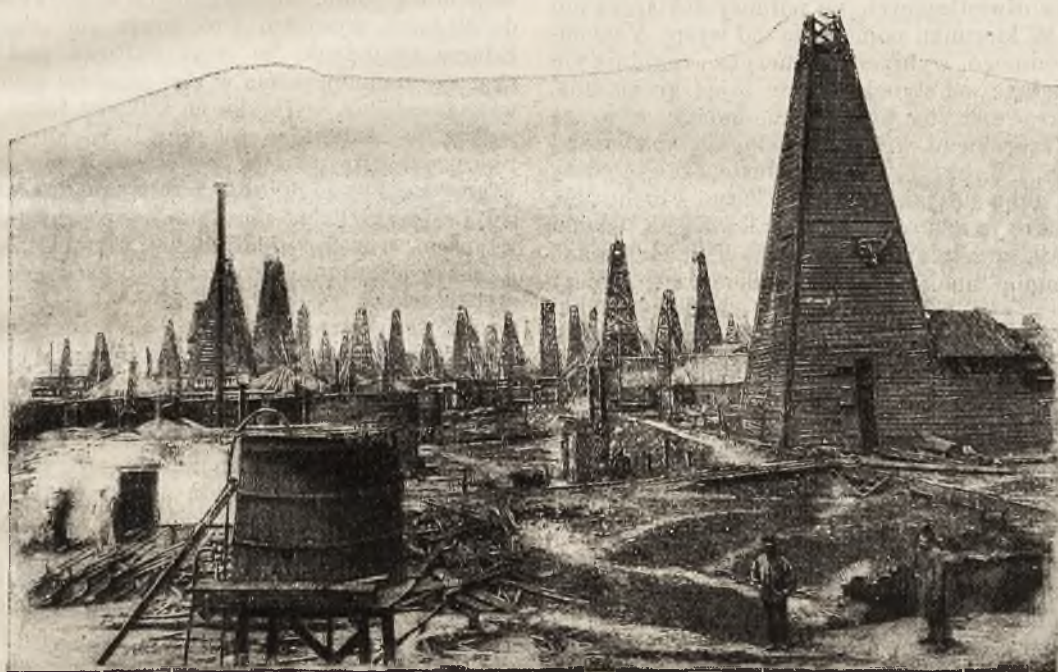
— A, Józik Kilowski! Cóż ty mię nie poznajesz? Toć my przecie starzy przyjaciele!

Józik ani twarzy ani głosu chłopca nie poznawał. Miał ochotę conajprędzej zabrać Bosego i iść swoją drogą, ale obdartus schwyił go za ramię.

— Daj dyskę na wódkę — rzekł zachrypłym głosem — nie puszcę cię aż dasz dyskę!

Coś ty za jeden? — krzyknął Józik — ja ciebie nie znam!

— O, znasz ty mnie dobrze... ja twój przyjaciel od ser-
ca... Walek.



Studnie naftowe na półwyspie Apszerońskim.

Bosy w dobrobycie stał się ociężały i leniwy. Spał bez końca, chodził powoli, nawet z lenistwa, za kotami nie gonił. Na obcych ludzi nie warczał i zachowywał się ze spokojem pełnym taktu. To też Józik ogromnie się zadziwił, gdy pewnego razu, Bosy idący obok niego ociężałe, gdyż wzmaga-
ca się tusza na lekość mu nie pozwalała, podniósł nagle nos do góry, zastrzygł uszami i rzuciwszy się ku otwartym drzwiom bramy, ujadać począł zapamiętałe.

Józik był pewien, że chodziło znowu o rodowego nie-
przyjaciela, kota. Pobiegł za Bosym i ujrzał jakiegoś obdar-
tego chłopca, z twarzą posiniałą i podrapaną, z włosami nieu-
czesanymi i pełnemi słomy, z oczami nabiegłemi krwią, który
szamotał się ze stróżem, chcącym go na ulicę wyrzucić. Bosy
szarpał zębami za łachmany chłopca, jak gdyby był w przy-
mierzu ze stróżem.

Józik począł wołać na zajadłego psa, podczas kiedy
stróż krzyczał:

— Walek? — zawołał Józik — toś ty już do tego do-
szedł?

— Bieda mię przesładuje... ludzie oszukali... nie moge
się dorobić... Tyś wyszedł na pana to daj choć dyskę, bo
mnie pragnienie pali.

— Nie dam ci ani grosza — zawołał Józik — takiemu
jak ty dawać pieniądze, to grzech! Dyskę lepiej zostawić dla
biedaka starego, który pracować już nie może!

Potrafił się oswobodzić z ręki Walka, który jego ramię
trzymał jakby w kleszczach, zawołał na psa i poszedł w swoją
drogę.

(d. c. n.)

Źródła naftowe w Baku.

Patrząc na palącą się jasno w pokoju świecę stearynową lub lampę naftową, nasuwa się nam w myśli pytanie, czem w odległych krajach, nie znających jeszcze wynalazków nowożytnego przemysłu, ludzie nędzne mieszkania swoje oświecać zwykli?

W gorących, podzwrotnikowych stronach, na wyspach Malajskich i Madagaskarze, rośnie drzewo, którego owoc w rodzaju orzecha służy mieszkańcom nie tylko za pożywienie lecz i za świecę. Kobiety tamtejsze pieką owe orzechy w piecu, a przebiwszy w nich następnie dziurkę, nawlekają je niby paciorki na sznurek i zawieszają na ścianach. W razie potrzeby ucinają dowolną długość tych wianków orzechowych wysuszonych, obwijając je w szerokie liście i zapalają. Jest to rodzaj pochodni, która nie tylko wewnątrz mieszkań oddaje przysługi, ale i rybakom na wodzie w nocy, gdy światłem nęcą ryby.

Gdy tak na południu ludzie w królestwie roślinnym szukają materiałów oświetlających, na północy dostarcza ich świat zwierzęcy. W kierunku północnym od wyspy Vancouver, wzdłuż wschodniego wybrzeża Ameryki, znajdują się małe rybki, nie większe od stynek, które żyjąc gromadnie, pokrywają częstokroć znaczne przestrzenie morza; wówczas mieszkańcy lądu szerokimi grabiami ściągają niezliczoną ich ilość na brzegi. Rybki te są tak tłuste, że gotowane przed ususzeniem, topią się jak smalec. Chcąc z nich robić zapasy na zimę, suszą je nad ogniem, nadziewają na rożenki drewniane i układają szczelnie w skrzynkach. Tak zachowane rybki w jedzeniu mają smak dobry, do palenia zaś, kobiety przeciągają przez nie knotki ze szmat lub włókien. Rybki palą się jak świece, wydzielając przyjemny zapach; łatwo też sobie wyobrazić, jak drogocennym darem przyrody są one podczas długich nocy zimowych dla biednych mieszkańców północy.

Porównyując jednak tego rodzaju oświetlenie z naszymi, jasno płonącymi lampami, widzimy, w jak szczęśliwych jesteśmy warunkach, dzięki przemysłowości ludzkiej i ciągłemu doskonaleniu się wynalazków.

Świecę łożową, przy której słabem świetle pracowali ojcowie i dziadowie nasi przed pięćdziesięciu laty, zastąpiła znacznie jaśniejsza lampa olejna, która z kolei jako nazbyt kosztowną, zastąpiła w części świeca staerynowa, wynaleziona przed pół wiekiem; lecz praktyczniejszą, widniejszą od świec stearynowych i lamp olejnych, okazała się będąca dziś w powszechnym użyciu lampa naftowa. Spoglądając na plyn dający nam tak jasny płomień, nie domyślacie się może, że jest on wytworem świata zwierzęcego. Badania naukowe wykazały, iż ten rodzaj oleju ziemnego, powstał z gnicia niezmiernych ilości drobnych żyjątek morskich, przeszedłszy różne zmiany w głębi ziemi.

Początkowo najwięcej nafty dobywano w Ameryce północnej, gdy jednak okazało się coraz znaczniejsze zapotrzebowanie tego produktu, zaczęto poszukiwać źródeł naftowych w Europie. Znaleziono obfite kopalnie nafty w Galicyi i w Pireneach, ale najbogatsze, dorównyujące obfitością źródłom amerykańskim, są kopalnie nafty na półwyspie Apszeronskim w pobliżu miasta Baku, nad morzem Kaspijskim. ryc. II.

Pierwsza studnia naftowa urządzoną tam została r. 1863, dziś fabryki przetworów naftowych w tej miejscowości liczą się na setki, a studnie z których czerpaną jest ropa, na tysiące. Dzielnica naftowa otoczona murem, z lasem czarnych, wysokich kominów, otrzymała nazwę: „Czarne miasta.”

Lubo przemysł naftowy istnieje dopiero lat kilkadziesiąt, olej ziemny znany już był w dawnych bardzo czasach. W księgach Machabeuszów, o których wiemy z historii świętej, jest wzmianka, że żydzi w niewoli u Persów zauważyli w ich kraju studnie, w których tamtejsi kapłani przechowywali nigdy nie gasnący, wypływający z ziemi ogień. Miejsce

owych źródeł wiecznego ognia zwane jest „Neftar” czyli „Naftoj,” co ma znaczyć „przybytek pojednania.” Stąd pochodzi nazwa nafty, którą w Ameryce zowią „petroleum” (olej skalny) lub „kaufina.” Ta ostatnia jest olejem skalnym przedystylovanym.

Nafta, jak wiemy, łatwo zajmuje się ogniem; za zbliżeniem zapalki do studni zapalają się gazy, które z trudnością tylko można ugasić. Wpływ tych gazów w głębi ziemi jest często widocznym; między innymi w Iwonicy, znanej miejscowości kuracyjnej, znajduje się źródło wody zwane „Bełhatką,” kłębiące się nieustannie i wydzielające gaz łatwo zapalny.

Nafta niekiedy wytryska z taką siłą z ziemi, że tworzy fontanny na kilkaset metrów wysokie.

Kopalnie nafty w pobliżu Baku, oddalone są o 1/2 do 2 mil od Czarnego miasta, a nafta odpływa do fabryk rurami. Zbliżając się do owych kopalni, widzi się z daleka gęsty las wysokich kominów i unosząca się nad nimi bezustannie czarna chmura dymu; owe na pozór kominy są to studnie wiertnicze, w których pracują ludzie wydobywający z głębokości nieraz stu metrów z pod ziemi, materiał przerabiany potem na produkt oświetlający. Ropę naftową dostaje się za pomocą pomp, umieszczonych w drewnianych budach, 20 do 30 łokci wysokich i to zowie się „studnią wiertniczą.” Zdarza się jednak, że ropa naftowa pod ciśnieniem silnym skorupy ziemnej, sama w niej przebija sobie otwór i, jak już wspominaliśmy, wytryska na kilkaset łokci w górę, deszczem naftowym zalewając okolice. Wybuch taki poprzedza huk podziemny poczem wydobywają się gazy, wyrzucające w górę na 200 do 300 łokci kamienie znacznej wielkości, piasek i szlam. Taka fontanna naftowa tryska zwykle dni kilkanaście, czasem jednak dłużej, przez kilka miesięcy z rzędu, a niektóre fontanny wytryskują peryodycznie, w równych odstępach czasu.

Z wytryskami temi łączy się niebezpieczeństwo pożarów, które też w przerażających rozmiarach ponawiają się często w Baku.

Niedawno w jednej ze studzien należących do domu bankierskiego Rotschildów, fontanna wydająca ogromną ilość ropy dziennie, w kilka godzin po wytrysku, zapaliła się nie wiadomo z jakiego powodu i płonęła dziesięć dni i nocy, przedstawiając wspaniałą, ale pełen grozy widok (ryc. I). O ugaszeniu takiego pożaru nie może być mowy, bo straszny żar nie dozwala nawet na 200 kroków zbliżyć się człowiekowi i ogień wtedy dopiero gaśnie, gdy wypali się wszystkiego materiału wybuchowy.

Naftę dobywaną z ziemi trzeba do użytku jeszcze oczyścić, czyli poddać rafinerii. Zadaniem owej rafinerii jest przerobienie ropy naftowej za pomocą środków chemicznych na benzynę, naftę do palenia i musut, z którego znowu robią smary do maszyn. Z ropy galicyjskiej wyrabiają prócz tego parafinę (rodzaj wosku skalnego, używanego na wyrób świec) ligroinę i gazolinę.

Z Baku wyroby naftowe statkami parowymi i kolejami żelaznymi rozchodzą się po najdalszych zakątkach świata.

Marya Łopuszańska.

OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg).

— Prawda, że u waszego króla dużo mężnych wojaków — mówił jeden z rycerzy duńskich, imieniem Sigurd — ale niema jak u nas, drużyny rycerskich, mających osobnego

naczelnika, równego każdemu z towarzyszy poza polem bitwy, niema owego braterstwa, poprzyśnięganego wzajemnie między rycerzami, co tak podnosi męstwo i odwagę.

— Nie wiem, o jakich mówicie drużynach — odrzekł Ładon — ale co do braterstwa, to ono u nas także istnieje; wielu jest takich, co je sobie ślubują aż do zgonu. Wszyscy zaś, ilu tu nas widzicie, jesteśmy rycerzami, pasowanymi na wzór zagranicznych, wszyscyśmy sobie równi, ani jeden nie może się wynosić nad drugich; gdyby zaś który popelił jakiś czyn nieczny, byłby zaraz z naszego koła wygnany.

— A toć to samo nasze dróżyny! — zawołał Sigurd. — Zupełnie jak między rycerzami króla Swenona. Teraz widzę, żeście naprawdę w wielu rzeczach do nas podobni.

— Cieszy mię to, bo radbym być podobnym do tak męźnych rycerzy — odrzekł Ładon uprzejmie.

— Więc u was także istnieje równość między towarzyszami broni? — spytał drugi z rycerzy duńskich, Torkil. Bo u nas nawet sam król Sweno jest mi równym podczas uczty, a przywodzi tylko na polu boju i tam jedynie winniśmy mu posłuszeństwo.

— Chciałbym widzieć — rzekł Ładon z uśmiechem — jakby wyglądał ten, coby naszemu królowi okazał nieposłuszeństwo w pokoju czy na wojnie. Niema takiego śmiałka na świecie, co by bez trwogi stanął przed jego obliczem zagniewanem, bo wówczas straszny jest. To, czegoście byli świadkami dziś rano, to jeszcze nic; ale niechno go co bardzo rozsierdził wówczas oczy mu płoną jak żar, brwi schodzą się w jedną linię na czole... Widzieliście nieraz żubra rozwścieczonego, gdy tratując wszystko nogami, łamiąc gałęzie, pędzi przed siebie i potężnym łbem swym rozbija wszelkie przeszkody? Otóż w takich chwilach król nasz staje się jemu podobien... i niech nikt wówczas nie waży się stawać mu na drodze; nie wyszłoby mu to bowiem na dobre. Niekiedy, gdy m patrzył na niego w boju, myślałem sobie, że wróg bardziej jeszcze może się zleknać błysku jego oczu, niż miecza, bo mnie samemu zdawało się, że za chwilę grom z nich wypadnie. Ale za to po bitwie zwycięskiej rozmawia z nami i ucztuje jak brat.

— Nasz król Sweno równie mężnym jest w boju — odrzekł Sigurd — a jeśli bogowie dopomogą mu spełnić ślub jaki uczynił, to świat usłyszy coś o nas.

— Jakiż to ślub? — spytał Ładon.

— A ot, jak to było — odrzekł Torkil — opowiem wam, bom był przy tem. Król Sweno ucztował z Sigwaldem, naczelnikiem rycerzy Wolińskich, na pogrzebie ojca Sigwaldowego, starego Strutharalda. Król ozwał się, że każdy z nich powinien złożyć dziś jakieś przyrzeczenie, godne bohaterów, którego pamięci, ani śmierć, ani czas niszczytel wstyłskiego, zatrzećby nie mógł.

— Daj przykład, królu — rzekł mu wówczas Sigwald.

— A więc ślubuję — rzekł król — wygnać z Angli króla Etelreda i zabrać jego państwo! — „A ja ślubuję postąpić tak samo z Hakonem, rządcą Norwegii! — zawołał Sigwald. My wszyscy obecni tam rycerze z okrzykami zapędu przyjęliśmy bohaterские śluby. — Ale cóż, Sigwald teraz w nieprzyjaźni z naszym królem, zdradziecko go zatrzymał w swojej twierdzy w Tomsburgu i spełnienie ślubu odwlecze się na długo, jeżeli wasz król Bolesław, nie wspomóż nas w nie-szczęściu, bo on jeden ma zwierzchnictwo nad Tomsburgiem.

W tejże chwili król dał znak do wstawania od stołu, ruch się zrobił w izbie i rozmowa się przerwała. Wesołek znów począł się kręcić i piskliwie wypowiadać złośliwe swe docinki. Gdy książę Mieszko spytał go żartem, czy nie chciałby być jego giermkim, błazen odpowiedział:

— Miły królewiczu, nietylko giermkim ale błaznem nie chciałbym być u takiego jak ty.

— A toż dla czego? — spytał zdumiony królewicz.

— Bo ja tylko królom służę, a tyś książę na króla nie stworzon — rzekł Osa, kręcąc głową. Bolesław, to mi król prawdziwy, tyś mu nie dorósł nawet do kolan. Gdyby mię sam cesarz Henryk chciał wziąć na służbę, tobym nie chciał, a cóż dopiero ty, królewiczu. Henryk dla mnie za wielki,

Mieczysław za mały, a Bolesław w sam raz!.. — Ale — przerwał nagle, zasłaniając sobie usta — widzę, że chleb odbieram dworakom; przecie błazen nie od tego, żeby pochlebiał, tylko żeby drwił z wszystkiego. Dalejże, stary, do twe-go rzemiosła!

I poskoczył, potrząsając dzwoneczkami, ku najbliższej gromadzie. Książę Mieszko nie uraził się wcale słowami błazna, zaśmiał się tylko dobrodusznie i podszedł także do koła rozmawiających rycerzy.

IV.

Opat Tuni miał mieszkanie niedaleko dworu królewskiego, bo często król, potrzebując jego rady, wzywał go nawet późno wieczorem do siebie. Opat zazwyczaj pisywał listy, gdy zaszła tego potrzeba; wprawdzie ówczesni ludzie bardzo rzadko uciekali się do pisma, jednakże i wtedy zachodziła czasami konieczność tego.

Jednego wieczoru wicher na dworze szumiał i zawodził, puszcza łysogórska huczała, gnąc wierzchołki odwiecznych drzew, które trzeszczały raz po raz, jakby o nie zaczepiały się wszystkie czarownice i czarodzieje, lecący na Łysą górę. Niebo było zasute ciężkimi, gęstymi chmurami, okrywającymi je jak całun.

W izbie opata palił się suty ogień, a on siedział, zapatrzyony w płomień, wsparłszy głowę na rękę. Czerwone płomyki wiły się i lizały suche drzewo; czasem płomień buchnął jaskrawo, a wówczas oświecał izbę i wszystkie sprzęty w niej się znajdujące, oraz płoną głowę Maćka, małego pacholika, który drzemał w kącie, owinąwszy się w kożuszek. Izba była niewielka; na ścianie wisiał krucyfiks, na stole zaś leżały zwoje rozmaitych rękopismów, budzące podziw odwiedzających. Bo też niektóre z nich były tak pięknie złocone i malowane, że aż oczy pociągały do siebie. Niekiedy znów ogień przygasał i wszystko dokoła nikoło w ciemności. Płomień syczał, robak więziony w spróchniałem drzewie skarzył się, zawodził cicho; na dworze pies wył gdzieś daleko, a świerszcz ćwierkał w szczelinach ściany. Opat siedział tak samotny i patrząc na ogień, przypominał sobie rozmaite dawno minionie rzeczy, poważne myśli napływały mu do głowy.

— Człowiek — mówił sobie — dokąd żyje podobien jest temu robakowi, który tam jęczy, uwięziony w pniu spróchniałym; nic nie wiedząc co się dzieje gdzieś tam poza granicami tego świata widzialnego; słaby jest i bezsilny, aż go śmierć wyswobodzi z niewoli, a wówczas przejrzy. Oto zaledwie kilka lat upłynęło od owego strasznego roku tysięcznego, o którym mniemano, że jest ostatnim rokiem świata. Jaka to trwoga panowała wówczas, jakie modły zasyłano do Boga, a jednak rok ten przeminał, a nic się nie zmieniło w porządku wszechświata, ludzkie rachuby omyliły tym razem, jak już myliły nieraz. Czyż po tem wszystkim człowiek może jeszcze wierzyć sobie. A jednak są, wielu jest takich, co sądzą zuchwale, iż posiadają wiedzę dobrego i złego; wdzierają się w tajniki życia zakryte dla oczu śmiertelnych, a tym sposobem dostają się na bezdroża, wiodące prosto na potępienie wieczne. Czyż nie twierdżono nawet, że sam niedawno zmarły papież, Sylwester, dokąd jeszcze zwał się mnichem Gerbertem i był nauczycielem cesarza Ottona, oddawał się pokryjomu czarnej magii? *)

Opat przeżegnał się na to wspomnienie; mimowoli stanęło mu w myśli, że i on, on sam nawet za młodu, czuł grzeszny pociąg do nauk zakazanych; pragnął zgłębić wszystko co go otaczało, poznać owe tajemnicze istoty, które niewidzialnie napelniają cztery żywioły i unoszą się wciąż w powietrzu, ogniu i wodzie, oraz zamieszkują wnętrza ziemi. Ileż to razy wówczas, gdy patrzył jak dziś, w płonący ogień, zdawało mu się, że widzi tańczące salamandry, owe duchy ognia, które z niego biorą życie... Ta gorąca żądza wiedzy

*) Takie mniemanie krążyło o uczonej papieżu w owym wieku zabobonów.

byłaby go w końcu zawiodła na potępienie, jak tylu innych, lecz Bóg zlitował się nad nim. natchnął go dobrą myślą i poznał w końcu gdzie jest światło prawdziwe. Lecz przedtem, ileż to pokus musiał przeżyć; szatan wciąż stawał mu przed oczy potęgę otrzymaną z pomocą wiedzy, potęgę wyższą nawet nad władzę królów.

Zwalczył jednak to wszystko i obrał drogę zbawienia. Dziś czuje on, że wszystko nic więcej, tylko próżność, choć zajął teraz wysokie stanowisko w świecie, został doradcą wielkiego króla, pogarda dla blasków doczesnych nie opuszcza go; nie jest-że to: vanitas vanitatum.

— Vanitas vanitatum! — powtórzył z westchnieniem, poprawiając ognia. — Próżność próżności, wszystko próżność!

Tymczasem wichura wciąż szalała na dworze, Maciek rozbudzony wyciem wiatru, który wstrząsała drzwiami i okiennicami, żegnał się pocichu, przypominając sobie wszystkie gadki, opowiadane na wieczornicach. W taką to noc latawice i zmory latają, a nocnice chodzą po lesie i wychodzą pić we śnie krew ludzką...

W tej chwili ktoś leko zastukał do drzwi. Maciek wstrząsnął się i spojrzał trwożliwie na opata. Ten nic nie słyszał, siedział pogrążony w myślach, cień jego odbijając się czarno, na przeciwległej ścianie, oświetlonej migotliwym blaskiem płomienia, dziwaczne przybierał kształty. Znowu ktoś zastukał.

— Wejdźcie! — rzekł opat usłyszawszy.

Drzwi się otwały, w progu stanął człowiek.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekł na wstępie.

— Na wieki! — odpowiedział opat, przypatrując się nowoprzybyłemu. — Cóż was do mnie sprowadza? i kto jesteście?

— Jestem Przemko, syn Zaboja — odparł zapytany — musieliście słyszeć o mnie, bom niegdyś wojował z królem w obcych krajach, a teraz osiadłem na roli, we własnym opolu. Gródek mój o pół dnia drogi stąd, w puszczy, więc przybyłem do was, by się poradzić w ważnej sprawie.

— Cóż to takiego? Siadajcie ot, tu na ławie, to mi rozpowiecie — rzekł opat.

Nowoprzybyły obejrzał się na Maćka, jakby nie chciał przy nim mówić.

— Maciek, możesz iść do czeladzi, nie potrzebuję cię teraz — rzekł opat.

Pacholik wysunął się z izby.

Przemko rozpoczął głosem niższym:

— Sprawa, z którą do was przybywam, ojcze, bardzo, bardzo ważna. Trzeba wam wiedzieć, że choć ja rządę opolem, lecz mam jeszcze ojca starego, ale to tak starego, że już tylko z dziećmi się bawi i za piecem siedzi; pewnie mu już nie wiele braknie do setki. Otóż podpatrzyłem od niejakiego czasu, że stary nocami wymyka się z gródka, bierze konia, jedzie gdzieś w puszcze, kędy go oczy poniosą i dopiero nad ranem wraca, nic nikomu nie mówiąc, gdzie był. Z początku służba gadała o jakimś duchu, ale ja dobrze się przypatrzyłem, że to nie duch, ino mój ojciec.

A choćby bramy pozawierać, to zawsze się wymknie. Już teraz nic innego nie myślę, tylko, że go kto oczarował

i dla tego tak się włóczy po nocach. Bo jakaż może być tego inna przyczyna, powiedzcie ojcze?

Człowiek gdy się napracuje i nawłóczy cały dzień po polach, to legnie jak kamień z wieczora, i śpi; to też nie miałem nigdy cierpliwości iść i śledzić za nim, gdzie się obraca. Prócz tego, o tej puszczy tyle strasznych wieści krąży, różne głosy rozlegają się nocą, że nie wiem ktoby się ośmielił wędrować po niej o tej porze, chyba oczarowany, bo tego coś ciągnie nieprzeparcie do niej.

— Trzeba jednak byćcie go przypilnowali i dojrzeni raz, gdzie to się odbywają owe nocne wędrowki — ozwał się opat — a wtedy dopiero można będzie zdjąć ów szatański urok; inaczej nie nie poradzimy!

— Ta już widzę, ojcze, że inaczej nie można — odrzekł Przemko, drapiąc się w głowę — ale włóczyć się po puszczy, a do tego łysogórskiej, nocą, to także rzecz nie nazbyt miła. Ale cóż robić, skoro mówicie, że trzeba. Ani chybi, że go jakieś złe duchy oplątały, bo dawniej nawet nie zląził z pieca, a teraz chce mu się po nocach chodzić.

— Słuchajcie — rzekł opat poważnie — czy w waszym domu zachowują wiernie wszelkie przepisy chrześcijańskie? Odpowiedzcie mi na to szczerze.

— Ojcze miły, a jakżeby inaczej? I ja, i moja niewiasta i czeladź cała, wszyscyśmy pobożni chrześcijanie — odparł Przemko.

— A ojciec wasz?

— No, on, co prawda nie bardzo lubi księży, bo jest jeszcze z tych starych, co to pamiętają dawne czasy, ale przecie i on chrzcony, jeszcze gdy to król Mieszko burzył dawne świątynie, i stawiał ołtarze chrześcijańskie.

— Dla tego was tak pytam — rzekł opat — że bardzo być może, iż szatan opętał waszego ojca, by się wyrzekł Chrystusa, a powrócił do dawnych bałwanów, bo wiem, że niejednen stary w tych stronach tęskni jeszcze za nimi i choć pozornie chrzest przyjął, wciąż myślą zwraca się w tamtą stronę. Uważajcie więc dobrze, czy to samo nie jest z waszym ojcem, śledźcie za nim wciąż, a gdy co dostrzeżecie, wówczas przyjdźcie mi donieść znowu.

Gdy Przemko się oddalił, opat Tuni zamyślił się nad tem co usłyszał. Między ludem wciąż krążyły głuche wieści, że gdzieś w puszczy, w niedostępnych ustroniach, żyli jeszcze czciciele starych bogów; istniało nawet podanie, że bałwan bożka Świst-Poświst nie był zniszczonym, lecz kapłani uchronili go od zagłady, skrywając go kędyś w skałach. Wieści te rozsiewali dziady wędrowni, ślepi gęślarze, których lud słuchał najchętniej, bo mu śpiewali dawne pogańskie pieśni i podania zabronione, a jednak wiecznie miłe. Bo daremnie duchowieństwo wszelkiemi siłami starało się, by śpiewy te poszły w zapomnienie, ucząc natomiast lud różnych pobożnych hymnów, szatańskie owe piosenki, prawiące o bożkach, boginkach leśnych, albo wyrażające rozmaite zakłęcia pogańskie, przylgnęły tak do duszy narodu, że nie mógł się z nimi rozstać, jak gdyby były częścią jego samego. Gdzieindziej, w stronach bardziej otwartych dla nowego światła, lud zapominał o dawnych zabobonach powoli, tu jednak, wśród puszczy niedostępnych, chrześcijańska wiara bardzo słabo przeniknęła i nie rozlewała się dalej.

(d. c. n.)

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TRĘŚĆ: Pieski i kot (rycina). — Alkaios w Motonie przez L. W. Szczerbowicza — Legenda o deszczu wiersz przez Maryę S. — Dzielnny chłopiec przez Zofię Kowerską. — Źródła naftowe w Baku (z ryc.) — Obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — Dodatek: Kanarek (z ryc.) — Królowa poziomok i paproci, bajka czarodziejska przez Wacława Sulimę. — Gdybym ja była... wiersz. — Żywe zabawki. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

WIECZORY RODZINNE



KANAREK.

— Widzisz, jak kanarek ładnie śpiewa i wesoło trzepocze skrzydełkami — mówiła Zuzia do młodszej siostrzyczki Olesia. — On chyba wiedzieć musi, że dziś właśnie rocznica jego urodzin.

— Pamiętam — odparła Olesia — jakeśmy się cieszyły gdy wydostał się ze skorupki jajka, choć był taki brzydki bez piórek, z ogromną głową i szerokim żółtym dziobkiem.

— Mnie — zauważyła Zuzia — bawiło najwięcej, jak go matka karmiła troskliwie, wsuwając ostrożnie pożywienie w otwarty dziobek.

— Jak on teraz wyrósł i jak mu ładnie z temi złotymi piórkami — dowodziła młodsza dziewczynka. — Musimy obchodzić jego urodziny, jak mama obchodzi nasze; ja mu dam na wiązanie różowy cukierek, który wczoraj dostałam od dziadzi.

— Może lepiej puścić go na wolność — zagadnęła Zuzia — smutno nam będzie bez kanarka, ale mama zawsze nas uczy, że więcej powinniśmy pamiętać o korzyści dla drugich, niż o własnej przyjemności.

— A mnie mama upomina — dodała Olesia — że-

bym ptaków nie dręczyła i nie więziła w klatce, bo dla nich, jak i dla nas najmilsza swoboda.

— To wiesz co, chodźmy do mamy. Ona najlepiej nam poradzi, co zrobić, aby dogodzić naszemu ślicznemu kanarkowi.

Mama pochwaliła córeczki za ich dobre serca, że gotowe nawet były wyrzec się posiadania ładnego ptaszka, byle mu przysporzyć radości, ale jednocześnie wytłomaczyła, iż w naszym kraju wolność kanarkowi nie wysłaby na dobre, że ptaki tego gatunku przywiezione do Europy więcej jak przed stu laty z wysp Kanaryjskich, leżących na zachodnim brzegu Afryki, przywykłe do gorąca, nie mogłyby u nas znieść chłodu pod gołym niebem i albo zginęłyby z zimna, albo, uszedłszy szczęśliwym trafem drapieżnych pazurów kocich, zadziobane zostałyby przez wróble lub inne jakie niegościnnie ptaki.

— Kanarek wasz w klatce urodzony, w klatce też żyć musi — kończyła mama — wy tylko staraniem o utrzymanie porządku jego siedziby, pamięcią w dostarczaniu świeżego zawsze pokarmu i świeżej wody, odwdzięczajcie mu się za przyjemność jaką wam sprawia swoim śpiewem i osładzajcie mu jego niewolę.

KRÓLOWA POZIOMEK I PAPROCI.

BAJKA CZARODZIEJSKA

przez Wacława Sulimę.

(Dokończenie).

— Trzeba nam myśleć o powrocie — rzekła wrzeszcie — nie wiem gdzie się znajdujemy, ale nas śnieżnopióry gołąbek odprowadzi.

Wydobyły się z wąwozu i zaczęły iść szybko, trzymając się za ręce, ptaszyna uprzedziła ich, że mają przed sobą długą drogę.

Wtem w środku lasu usłyszały jakiś dziwny hałas: pisk i krzyk mieszał się z hukami i tententem, słychać było trzask gałęzi, wrzawa zdawała się przybliżyć.

— Co to jest? — zapytała Halinka, wtrzymując się zaniepokojona.

— Nie wiem — odpowiedział gołąbek, pofrunę naprzód, wy wejdźcie na drzewo i czekajcie na mnie.

Dziewczynki wspięły się na pochyłą brzozę, a gołąbek odleciał.

Upłynęła długa chwila, gołąbek nie wracał, natomiast wrzawa nie ustawała, a odzywała się jednocześnie ze wszystkich stron.

— Halinko, ja się boję — szepnęła Jagusia.

— Nie bój się, gołąbek zaraz wróci — odpowiedziała cicho Halinka.

Naraz las zaroił się jakimiś małymi istotami.

— Co to za maskary! — wykrzyknęła Jagusia, a Halinka poznała tłumy pokrzywek, uciekających w popłochu i z przeraźliwym wrzaskiem. Za nimi wynurzyły się gromady goniących je grzybków, widocznie po zaciętej bitwie gromiono uciekających.

W chwilę później wysunął się z lasu orszak, w którym bystre oko Halinki dostrzegło króla grzybków, pod baldachimem i Leśną Paprotkę, jadącą na sarence.

Dziewczynka wydała okrzyk radości, zrozumiała teraz co się dzieje, zsunęła się z drzewa i pobięła rzucić się na szyję Leśnej Paprotce, której już teraz mogła wytłumaczyć swoje postępowanie.

Przywitano ją z wielką radością. Tak jak przewidywała, znaleziony płaszcz i kapelusz naprowadził domysł, że utonąła i wypadek ten głęboko wszystkich zasmucił. Ale sarenka odnalazszy swoją panią, powiedziała komu zawdzięcza wolność, królowa zaś odzyskawszy swoją sarenkę, opowiedziała całą prawdę królowi, a ten obiecał jej wszelką pomoc.

Jakoż z rannym brzaskiem oddziały grzybków ruszyły na kotlinkę i po zaciętej walce wyгнаły pokrzywki, pobiwszy je tak, że już nie było obawy, aby wrócić mogły.

Po wzajemnych objaśnieniach, obie dziewczynki udały się z Leśną Paprotką i z orszakiem królewskim do kotlinki, do której na głos Sarenki, poziomki-dziewczynki zbiegać się zaczęły, zrazu nieśmiało i pojedynczo, potem radośnie i gromadnie.

Okrażając kotlinkę, znalazły w głębi piwniczki jakąś

dzieweczkę; doniosły o tem zaraz królowej, która kazała ją przyprowadzić i ku wielkiemu zdziwieniu wszystkich, ukazała się Elżbietka blada, wygłodzona i poraniona.

— Elżbietko, co się z tobą stało? — wykrzyknęła Halinka, rzucając się ku niej.

Elżbietka z płaczem opowiedziała, że ją niegodziwe pokrzywki uwięziły, a potem obchodziły się z nią jak z niewolnicą, zmuszały do pracy, biły i męczyły za byle co.

— O jakże ciężko ukaraną byłam za to, że się zemścić chciałam nad wami — mówiła płacząc — ale przebaczcie mi już, bo gorzko żalowałam i oplakałam swoje winy.

Naturalnie, że ani Leśna Paprotka, ani Halinka nie chowały żadnej urazy, a Halinka podziwiając jak zawsze złych spotyka kara, a dobrych nagroda, okazała jej jednak tyle serdecznego współczucia, że Elżbietka rozplakała się wzruszona.

— Jakaś ty dobra — rzekła — ja ci tyle razy dokuczałam, że powinnaś się cieszyć, iż mnie nieszcześnie spotkało.

Śnieżnopióry gołąbek zagruchał przypominając Leśniczówkę. Zaczęły się serdeczne pożegnania.

— Ale ty wrócisz do nas, Halinko — rzekł król — smutnoby nam było bez ciebie.

— Albo ze mną zostaniesz — zawołała Leśna Paprotka — moja Halinko droga, będziesz mi siostrą i towarzyszką.

— Halinko! — wykrzyknęła Jagusia — nie odchodź od nas, ja się bez ciebie nie potrafię poprawić, a ty mnie swoim przykładem nauczysz, jak być cierpliwą i szlachetną.

— I mnie także przebacz — dodała Elżbietka — i nie rozłączaj się z nami.

— Królu — odpowiedziała Halinka, schylając się do jego ręki — kiedym was opuszczała, ustępując miejsca Leśnej Paprotce, nie przewidywałam, że szczęśliwym trafem przyczynię się do tego, iż odzyska ona swoją kotlinkę. Teraz jednak darujcie mi; będę do was często przychodziła, ale z wami nie zostanę. Paprotka będzie wam córką i połączy kiedyś pod swoim panowaniem grzybki i poziomki. Ja już teraz mam rodzinę, wujostwo tęsknią do mnie, a siostry mnie kochają, dla nich mam pierwsze obowiązki. Wróć do Leśniczówki.

Jagusia i Elżbietka zaczęły ją ścisnąć i dziękować. Król i Paprotka nie zdołali zmienić jej postanowienia.

Po serdecznych pożegnaniach dziewczynki wróciły wszystkie trzy razem.

Od dnia tego Jagusia i Elżbietka zmieniły się do niepoznania, zaczęły gorliwie nad sobą pracować, a dobra Halinka uczyła je przykładem, nie przybierając nigdy tonu wyższości, albo zarozumienia.

Wujostwo przywiązali się do niej jeszcze więcej. Ukochana przez całą rodzinę wyrosła na dzielną i rozumną kobietę i poślubiła Janka. Złączona też pozostała zawsze węzłem ścisłej przyjaźni z Leśną Paprotką, która jako królowa grzybków i poziomek, oba państwa doprowadziła do kwitnącego stanu.



Gdybym ja była...

Gdybym ja była chryzą ptaszyną,
 Tobym na skrzydłach latała ino,
 Tam gdzie szumiące wodne potoki,
 Gdzie złote gwiazdy, lekkie obłoki.
 Gdzie te zbóż w polu złociste pasy,
 Gdzie łąki wonne, szumiące lasy.
 Gdybym ja była złocistym kłosem,
 Co się pod żniwa schyla pokosem,
 Tobym ja rosła, gdzie rola czarna,
 Dla biednych ludzi — w pożywne ziarna.
 A gdybym była słonkiem wiosennem,
 Co to zagłada oczkiem promiennem
 Przez małą szparkę do każdej chatki,
 Tobym tam poszła, gdzie biedne dziatki,
 Co w takich smutnych chatkach mieszkają,
 Że nawet słońca blasku nie znają.
 Jabym tam światła zaniosła wiele,
 Na radość wspólną i na wesele.
 A gdybym była kwiatkiem na łące,
 Co to ma takie dzwonki pachnące,
 Tobym już zawsze, a zawsze chciała,
 Żeby mnie jakaś pastuszka rwała,
 I barwne ze mnie wianuszki wiła,
 I krzyż nad drogą niemi stroiła.
 Krzyż taki smutny, tak opuszczony,
 A taki stary i pochylony...
 Ale mi nie być ptaszkiem na chmurze,
 Ani mi z pączka zakwitnąć w różę,
 Ani słoneczkiem, co świeci z wiosną,
 Ani kłosami, co w polu rosną,
 Lecz być dziewczyną, u ojca, matki,
 Kopać zagony, podlewać kwiatki,
 Z błyszczącym sierpem chodzić na żniwa,
 Ze lnu wysnuwać białe przędziwa.
 Więc będę, będę dziewoją hożą,
 Taj w mojej chacie słoneczną zorzą.

M. S.

ZYWE ZABAWKI.

(Dokończenie).

— A widzisz? — odezwały się dzieci do Franusi — i mama powiedziała, że mówimy prawdę, moja lalka żywa.

— A jakże, żywa — odpowiedziała Franusia.

— I mój bębenek żywy i pałasz żywy — wykrzyknął Adaś, wyciągając głowę z pod kołderki.

— A jakże żywy — potwierdziła Franusia.

— Dobranoc Filo — rzekła Kocia, otulając lalkę.

— Dobranoc bębnie i pałazu — mówił także Adaś, naciągając kołderkę na bębenek i pałasz.

— Dobranoc wszystkim państwu — rzekła Franusia ze śmiechem — proszę już teraz nie mówić, tylko spać.

Dzieci znużone wkrótce zasnęły.

Obudziwszy się na drugi dzień rano, jakież było ich przerażenie, gdy ani lalki, ani bębenka i pałasza nie ujrzeni przy sobie, tylko Franusia układała rzeczy i sprzątała.

— Moja Fila! moja Fila! — krzyknęła Kocia.

W tej chwili zawtórował głos drugi:

— Franusiu! gdzie mój bębenek?

— Poszedł do ogrodu z pałaszem — odpowiedziała Franusia spokojnie.

— Gdzie moja lalka, Franusiu! — pytała przez łyżę Kocia.

— Panna Fila poszła także do ogrodu, zdaje mi się, że podlewa kwiatki w Koci ogródku — rzekła Franusia.

— To nieprawda! — wykrzyknął Adaś — bębenek nie poszedł, bo niema nóg.

— To może pofrunął — rzekła Franusia, nie przestając sprzątań w pokoju.

— Bębenek niema skrzydełek — krzyczał Adaś, a oczy błyszczały mu z gniewu.

— Moja lalka ma nóżki, ale sama nie chodzi — wołała Kocia, siadając także na łóżeczku.

— To już sama nie wiem co jest prawdą, przecie Kocia i Adaś mówili, że i lalka żywa, i bębenek żywy i pałasz żywy — mówiła Franusia — jeżeli żywe, to mogły iść, pani mówiła, że wszystko co dzieci mówią, to prawdą teraz będzie.

Kocia pytając spojrziała na braciszka, ale chłopczyk tylko buzię otworzył i zdawało się, iż nic nie wie w tej chwili, co się przy nim dzieje.

Malcy mieli tak zabawne miny, że Franusia parsknęła śmiechem.

Adaś ocknął się z zamyślenia.

— No, nie śmieję się — rzekł gniewnie.

— Nie śmieję się — jak echo powtórzyła Kocia.

— Jakże się nie mam śmiać, kiedy dzieci takie śmieszne — rzekła Franusia. — Ale lepiej wstać prędko, pójść do ogrodu, może odnajdziemy zbiegów.

Dzieci ubrały się spieszenie, i co się rzadko zdarzało bez żadnych grymasów. W ogrodzie spotkali Celinę, która chodząc uczyła się lekcyi, zaczęli jej opowiadać o zniknięciu lalki, bębenka i pałasza, a Celinka wystuchawszy uważnie, uśmiechnęła się tylko i rzekła:

— To prawdziwy kłopot, widzicie, co to za bieda mieć żywe zabawki, powędrowało to wszystko w świat, i gdzie ich teraz szukać?

— Ale, bo widzisz — rzekła Kocia trochę nieśmiało — moja lalka... była żywa... tylko na żarty.

— I mój bębenek był żywy na żarty — dodał chłopczyk.

— To być nie może — rzekła Celinka — na żarty nikt nie żyje, przecie wczoraj zrobiliście o to awanturę i tyle było krzyku i hałasu.

— Eh... myśmy żartowali — szepnęła Kocia.

— Niepodobna, z żartów nikt nie płacze, nie tupie, nie kłóci się — odpowiedziała Celinka poważnie — mama mówiła, że mówiliście prawdę; skoro zabawki były żywe, musiały pójść gdzie im się podobało.

Nie pomogły żadne poszukiwania, sprawa wytoczyła się przez mamę, która powiedziała, że z pewnością zabawki uciekły od niegrzecznych dzieci i wrócą dopiero wtedy, gdy ustaną sprzeczki i płacze.

Upłynął tydzień, dzieci tak samo się sprzeczały i płakały, w drugim trochę już tego było mniej, bo dzieci bardzo pragnęły powrotu ślicznych swych zabawek, upłynął trzeci tydzień, a wszyscy w domu dziwili się, że dzieci są coraz grzeczniejsze; piąty tydzień upłynął i ani razu nikt sprzeczeki nie słyszał; lalka jednak i bębenek nie wracały, gdy przecież i szósty tydzień zeszedł tak samo zgodnie i dzieci uczyły się pilnie, jednego poranku otworzywszy rano oczy, o radości! ujrzeni na sofce lalkę, zarumienioną jakby od zmęczenia i długiej przechadzki, przy niej leżał spokojnie bębenek i pałasz.

Bronisława Porawska.

SZARADA.

od Puszczyka z Pilawy dla siostrzyczki.

Pierwsze jest męskie imię zdrobniałe,
Przysłówkiem *drugie*, wspaniale, wspaniale,
Wszystko ci nazwie krzew dobrze znany,
Z wonności kwiecia wiele lubiany.
Więc zgadnij prędko, bardzo cię proszę,
Szaradkę małą, którą przynoszę.

ŁAMIGŁÓWKA.

ułożyła Kurka z P. dla Puszczyka z P.

Ułożyć 13 wyrazów, których pierwsza litera pierwszego wyrazu, ostatnia drugiego, pierwsza trzeciego i t. d. złożyć powinny imię i nazwisko niedawno zmarłego poety. Znaczenie wyrazów: 1) Owad z rzędu dwuskrzydłych. 2) Organ zmysłu. 3) Kwiat piękny i wonny. 4) Słynny podróżnik ostatnich czasów. 5) Rzeka w Niemczech. 6) Rzeka w Afryce. 7) Miasto w Rosji. 8) Nazwa miesiąca. 9) W starożytności miasto w Małej Azji. 10) Pasma gór w Azji. 11) Nazwa północnej części Afryki. 12) Ptak z rodz. wróblowatych. 13) Dopływ rz. Ural.

Sylaby:

KWADRAT MAGICZNY.

ułożył Aleksander W.

a a o o	Zwierzę ssące pletwonogie.
o o m n	Miasto w Algierze.
n n r r	Pora dnia.
r s s p	Wiązka zboża.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 28-go

Szarady: Ha — wan — na.

Łamigłówniki literowej:

Sampson — Schley — Cervera — Devey.

Rebusiku: Warszawa leży na lewym brzegu Wisły.

Skrzynka do listów.

Tadziowi W. Krzaki leszczyny rodzą owoce w pięć lat po zasadzeniu. Za najlepsze orzechy laskowe uważają ogólnie tak zwane tureckie; w okolicach też miasta Trapezuntu, nad morzem Czarnem, hodują krzew leszczyny w tak wielkiej ilości, że wywóz roczny owocu przynosi około miliona rubli, zapewniając utrzymanie tysiącom ludzi.

Jakkolwiek **Zosia K.** zdziwiona jest wiadomością o roślinach, które się żywią owadami, niemniej wszakże fakt ten jest stwierdzonym przez badaczy przyrody, z czym niejednokrotnie już w ubiegłych latach obznajmialiśmy czytelników naszych, podając odpowiednie ryciny i opisy. Ale większą jeszcze od tamtych osobliwością jest *Utricularia*, roślina wodna, która się żywi rybami. Ojczyzną jej są jeziora południowej Ameryki, gdzie w porze deszczów kryje się w głębie, mając pozór martwych wiązek włókien i dopiero z powrotem pięknej pory, wypływa na powierzchnię, rozwijając śliczne swe kwiaty. U gałązek jej znajdują się pęcherzyki czyli woreczki napełnione wodą, a opatrzone ruchomą, przejrzystą, błyszczącą klapką. Woreczki te dochodzą niekiedy do 50 milimetrów średnicy. Skoro drobne rybki lub owady przygnęcone blaskiem, wpadną do nich, już z powrotem wydobyć się nie mogą, klapka bowiem otwiera się tylko na wewnątrz i zamknięta w tem węższym rybkę, czeka już tylko śmierć, gdy soki jej roślina wciąga w swe tkanki jako pożywienie.

Liścik **Stokrotki z Sobolówki** Jaskółka za powrotem swym odbierze, tymczasem radziłyśmy poznać owe łamigłówniki i t. d., o których Stokrotka wspomina.

Tygrys zębaty daje niezaprzeczony dowód, że w czytaniu pisma naszego znajduje dużo przyjemności, skoro oplaca prenumeratę z własnych oszczędności. Miło nam też będzie zapoznać się bliżej z tak sympatycznym czytelnikiem i oczekujemy następnego listu. Rozwiązania łamigłówek i zagadek dobre.

Aleksandrowi W. Historia dotychczas nie wspomina o Napoleonie Wielkim, bo jakkolwiek Napoleon I wielkim był zdobywcą i dokonał czynów wyjątkowych w dziejach ludzkości, jednakże ani współcześni ani nawet potomność nie przyznała mu przydomka „Wielkiego”. Samo więc już założenie łamigłówniki jest fałszywe.

Prośbie **Nini z Ożen.** uczynilibyśmy chętnie zadość, lecz oddawna redakcja doręcza wszystkie marki, jakimi rozporządzać może, Siostrom miłosierdzia, które, o ile sobie przypominamy, zbierają je na tenże sam piękny cel, jaki nam Nina przedstawia. Numer dodatku wysłany zostanie.

Przyjemnie nam, że **Manusia Ł.** z odnowieniem prenumeraty sama list napisała.

Wanilla, o którą zapytuje **Zygmunt R.** jest owocem rośliny pnącej, pasożytnej, oplatającej zwykle silny pień drzewa; rośnie ona głównie w Meksyku, na wyspach Sundzkich i wyspie Reunion. Widok plantacji podczas kwitnienia jest czarujący. Dopiero po wyschnięciu czarne strączki wanilli nabierają owego zapachu, służącego za przyprawę niektórych potraw i ciast, a mianowicie czekolady. Mimo, że sama wyspa Reunion dostarcza około 50,000 kilogr. suszonej wanilli, jest to zawsze produkt w handlu dość drogi.

Gołąb pocztowy myli się sądząc, iż choroba dżumą zwana w obecnych czasach zaginęła zupełnie; przeciwnie Wsłód a mianowicie Indye, są właśnie teraz widownią bardzo licznych wypadków takiej śmierci, a zaraza coraz groźniejsza przybiera rozmiary, gdyż zaślepieni w swej niechęci Indyanie nie chcą w żaden sposób poddać się warunkom zdrowotnym, jakie rząd angielski usiłuje zaprowadzić w tym kraju, który zagarnął pod swoje rządy. Tłumy burzą szpitale, zabijają lekarzy, zrywają druty telegraficzne, niszczą listy i przesyłki, rozbijają butelki z lekarstwami, a tymczasem tysiące ludzi pada codziennie ofiarą strasznej zarazy, przed którą Europa zabezpieczyć się usiłuje zaprowadzoną kwarantanną.

Liczne łamigłówniki i szarady nadesłali: **Giermek, Orzeł karpacki, Gołąb pocztowy, Marysieńka, Zenia i Lucio, Świsł-Poswisł i Gwiazdka**, dobre zaś rozwiązania: **Różowa stokrotka, Sikorka, Anulka R. i Giermek.**



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



WAŻNIEJSZE OWOCY I JARZYNY STREF POŁUDNIOWYCH.

Podajemy wam kochani czytelnicy, całą zastawę miłych dla oka, a jeszcze miłszych dla podniebienia owoców i jarzyn z krajów podzwrotnikowych. Aż ślinka idzie, patrząc na niektóre z nich; żałujemy tylko, że nie możemy ich podać naprawdę w ładnym koszyczku, wyłożonym liśćmi; byłby to pyszny podwieczorek. Ale cóż robić! trzeba się zadowolnić jedynie rysunkiem. A oto spis mniej znanych:

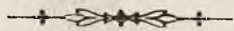
Mangostana (1) wielkości pomarańczy, wytwornego smaku i woni, ulubiony owoc w Indiach Wschodnich. *Figi beryjskie* (4) tak soczyste, że gaszą pragnienie podróżników w Algeryi. *Słodka cytryna* (11) smakiem pośredniczy między pospolitą cytryną a pomarańczą; ojczyzną jej Azja Środko-

wa. *Banan* (27) mający dla mieszkańców stref gorących takie znaczenie, jak dla nas zboże. Różne gatunki *Orzechów kokosowych* (12 — 16) owoce drzewa palmowego, rosnącego na wybrzeżach mórz podzwrotnikowych; wewnątrz olbrzymich tych orzechów znajduje się płyn mleczny, smaczny i orzeźwiający. *Daktyle* (29) rosnące na palmach daktylowych, stanowią jeden z głównych pokarmów mieszkańców Afryki. *Ananas* (20) hodowany i w naszych cieplarniach, rodem z Ameryki południowej; smakołyk co się zowie, jako owoc i konfitura. Jagody z drzewa indyjskiego *Gwajawa* i wiele innych mniej znanych, jak: *Kaki* owoc z drzewa *Diospyros*, z którego wyrabiają różne cenne przedmioty. *Awoca* (2) owoc

pochodzący z Brazylii, doskonały w smaku, zwłaszcza gdy go się przyprawi cukrem i pewną ilością koniaku lub wina szampańskiego. Chiński owoc *Letchy* (3) po usmażeniu przypominający powidła i wiele innych.

Wśród gatunków jarzyn jadalnych nie spotykamy tak wielkiej różnorodności jak wśród owoców i nie wszystkie sprowadzane z dalekich stron przypadają Europejczykom do gustu. Na dołączonej rycinie widzimy *Kartofel* osobliwego kształtu (9), dalej *Ignam* albo *Sam*, delikatnego, słodkiego smaku; rośnie dziko w Indyach Wschodnich, a bywa uprawiany w krajach gorących dla swoich długich, mączystych korzeni, które, jak u nas ziemniaki, są tam w powszechnym użyciu. Kilka gatunków *dyni* (17) odznaczających się niekiedy olbrzymią wielkością i ważących czasem do 200 funtów. *Tykwia* (28), pochodząca z Brazylii. *Trybula*, cebulowata roślinina do przypraw kuchennych używana (7).

Z nasion aromatycznych, podnoszących smak potraw, widzimy tu *Koper włoski* (23) mało dotąd rozpowszechniony a przez smakoszów ceniony bardzo; różne gatunki pieprzu z których pieprz turecki czyli hiszpański (26) posiada owoce czerwone, strączkowate, nadzwyczaj ostrego i palącego smaku.



DAWNI NASI MALARZE.

I.

Śliczna to rzecz piękny obraz! A jakże to miło patrzeć na wizerunek osoby ukochanej, która jakby żywa, zdaje się na nas spoglądać ze ściany. Nieraz matka, ojciec, które z rodzeństwa bywa oddalone, jednak mimo to można oglądać drogą twarz z wyrazem miłości, słodyczy, pogody czy smutku, z jakim patrzeć zwykła. A cóż dopiero, gdy śmierć kogo z ukochanych zabierze. Portret staje się jeszcze droższym, przypomina cośmy utracili i stawia przed oczy, jakby na świadectwo, żeśmy jej nie utracili na zawsze, że duch jej spogląda na nas z wysoka. Dobry portret to skarb rodzinny.

Wprawdzie fotografia sili się go zastąpić, ale cóż to za różnica! Fotografia nie zawsze jest podobną, jest to jakby cień tylko, który rzadko daje wyobrażenie osoby. Trudno, nigdy maszyna nie potrafi zastąpić umiejętnej ręki; swoją drogą jednak maszyna ma wielką zasługę, bo fotografię mieć może niemal każdy, a portret wykonany przez dobrego malarza kosztuje drogo, nie jest zatem dla wszystkich dostępny. A żeby zrobić prawdziwie dobry portret, trzeba wielu lat poprzedniej pracy i nauki, a oprócz tego trzeba posiadać talent — ten dar Boży, którego nie zastąpić nie może, ale który znów marnuje się bez pracy.

U nas przez czas długi mało zajmowano się malarstwem. Ogół nie odczuwał jego potrzeby, a ludzie możni, kiedy chcieli przyozdobić kościoły albo też własne pałace malowidłami lub rzeźbami, sprowadzali artystów zagranicznych. Jeżeli nawet Polak został malarzem i sztuki swej wyczył się u obcych mistrzów, najczęściej nie był w kraju oceniony i musiał zagranicą szukać chleba i sławy. Malarzy takich było kilku w końcu XVII i początku XVIII wieku.

Niektórych z takich zagarnęli Niemcy, którzy oddawna lubili sobie przywłaszczać obce sławy, skoro nawet Kopernika, co sam zawsze mianował się Polakiem, stale za Niemca uważają i wbrew historycznym dowodom, umieścili go w Monachium, w Walhali, zawierającej popiersia wszystkich znakomitości germańskich.

My na szczęście, nie jesteśmy tak ubodzy w sławnych ludzi, ażebyśmy potrzebowali sobie obcych przywłaszczać, a przytem wstydzilibyśmy się podobnego grzechu przeciw zinarłym, którzy się bronić nie mogą i przeciw prawdzie. Mówiąc więc o malarzach Polakach, wymieniamy tylko takich, którzy chociaż przebywali na obczyźnie, jednakże zawsze szcycili się polskim pochodzeniem. Do takich należał Daniel Chodowiecki, ur. 1726 w Gdańsku; że był Polakiem tego dowodzi, oprócz samego nazwiska list jego własnoręczny do Łęckiego, profesora akademii w Krakowie, przechowany w bibliotece Jagiellońskiej. Chodowiecki pisze w nim, że cały ród jego, którego genealogię kreśli, pochodził z Wielkopolski. Ojciec Daniela, kupiec zbożowy, kształcił syna w swoim zawodzie, sam jednak malował w chwilach wolnych miniatury, synowi też pierwszych początków udzielał. Obudziło to zamiłowanie chłopca, który nie mając sposobności uczenia się rysunku, kopiował ryciny jakie mu wpadły w ręce.

Można powiedzieć, iż Chodowiecki był samoukiem i to w epoce, gdzie kształcić się samemu było daleko trudniej niż dzisiaj. Brakło bowiem podręczników, szkół pomocniczych, wskazówek, galeryi obrazów, które w Niemczech, Francji, Anglii, Włoszech istnieją dzisiaj we wszystkich większych miastach. Gdańsk np. posiada dzisiaj wcale bogatą galeryę, łatwo więc kształcić się w sztuce, mając wzory, ale wcale inaczej było w pierwszej połowie zeszłego wieku. Młody Daniel przeniósł się z Gdańska do Berlina, pracował jednak nie w umiłowanym zawodzie ale w handlu. Tylko wypadek postawił na jego drodze malarza Hayd'a, posiadającego wielką znajomość rysunku i od niego zaczął się gruntownie uczyć rysunku, oraz rytownictwa.

Odtąd Chodowiecki poświęcił się wyłącznie sztuce. Malował miniatury i malował na emalii, ale to przynosiło mu zbyt mało i nie pozwalało utrzymać rodziny, a on właśnie ożenił się, mając lat około trzydziestu. Więc zajmował się głównie rytownictwem, oraz kompozycjami rysunkowymi, bo te były więcej poszukiwane. Chodowiecki jednak jakkolwiek kształcił się na kupca, nie umiał przez czas długi swojego powołania wyzyskać i ciągle był w trudnych warunkach materialnych. Posiadał za to ogromną pracowitość. Najlepszym jej dowodem jest to, że badacze sztuki liczą do trzech tysięcy jego rycin; malował też obrazy olejne. Najsławniejszym z nich jest pożegnanie z rodziną skazanego niewinnie na śmierć Calas'a, obraz pełen uczucia i rzewności, bo temi przymiotami odznaczały się wszystkie utwory Chodowieckiego.

Na wystawie prac nieżyjących malarzy polskich, otwartej obecnie w salach reductowych, znajduje się olejny obraz naszego artysty „Menuet w ogrodzie” oraz miniaturowej roboty „Puszczanie fimfy”, którym się przypatrzeć warto, bo dużo w nich wdzięku i dowcipu.

Chodowiecki umarł w r. 1801 w Berlinie, gdzie był dyrektorem akademii. Pracował do samej śmierci. Jako człowiek, posiadał wielkie przymioty. Przywiązany bardzo do rodziny, był najlepszym synem, mężem i bratem. Szczodrość miał prawdziwie polską, każdemu potrzebującemu o ile mógł przychodził z pomocą. Opowiadają o nim, że gdy raz ubogi nauczyciel chwalił jego dzieła i ubolewał, że ich posiadać nie może, posłał mu zbiór swoich rycin.

Innym sławnym bardzo rytownikiem polskim, którym Niemcy szcycą się także chętnie, był Jeremiasz Falck, urodzony w Gdańsku r. 1619. Falck, zapewne z powodu cudzoziemskiego nazwiska, dodawał do niego często *Polonus*, ażeby zaznaczyć swoją narodowość.

Pochodził on z rodziny uczonych, nie doznał też trudności w oddaniu się sztuce, kształcił się w Paryżu a potem w Amsterdamie, gdzie sztuka stała bardzo wysoko w XVIII wieku. Pomiędzy jego rycinami znajdują się wizerunki najznakomitszych osób w Polsce. Mało mamy wiadomości o życiu tego prawdziwego artysty, nawet data i miejsce jego śmierci pewnymi nie są, chociaż dostąpił wielkiej sławy między obcemi, a ryciny jego mają dziś ogromną wartość. To tylko pewne, że do roku 1663 był w Hamburgu, potem miał

powrócić do Gdańska i tam umrzeć w późnym wieku, ale już od podanej daty nie zaznaczył się w dziejach sztuki, nie też o nim nie wiemy.

Szczęśliwszym od Faleka był Eleuter Semiganowski, chociaż pod względem artystycznym równać się z nim mógł, dostąpił on tego zaszczytu, że był nadwornym malarzem króla Jana III. Jego to pędzla są wizerunki wszystkich członków rodziny Sobieskich, znajdujące się w Wilanowie. Musiał być w łaskach u monarchy, skoro ten nie szukał znakomitszych malarzy, bo przecież znając kraje i stolice, nie mógł się ludzić co do wartości swojskiego artysty.

Nie wiemy daty urodzenia Semiganowskiego, nie wiemy gdzie się kształcił; ale za to wiadomo, że otrzymał od króla, którego był także sekretarzem szlachectwo, że on to dał projekt na kaplicę Św. Jana Kantego w kościele S tej Anny w Krakowie i że umarł w tem mieście r. 1711.

Semiganowski miał niezawodnie przymioty osobiste, które zyskały mu łaskę króla i przeważały niedobory artystyczne. Swoją drogą jednak patrząc na jego obrazy, żal nam, że tak nieumiejętne ręce miały, wielkie zadanie skreślenia wizerunku bohatera Chrześcijaństwa. Gdyby na dworze Sobieskiego był malarz odpowiedniej miary, ileżby z pod jego pędzla wyszło zajmujących obrazów. Np. ta chwila, gdy król Jan dowiaduje się o klęsce grożącej Wiedniowi, gdy legat papieżki błaga go ze łzami by bronił Chrześcijaństwa przed naporem muzułmanów. Albo ten obraz rozstania króla z najdroższą Marysienką, z dziećmi, które kochał czule, ażeby rzucić się na straszne hazardy wiedeńskiej wyprawy.

Semiganowski robił co mógł, ale przyznać mu trzeba, że mógł bardzo niewiele, a ostatecznie obrazy jego są dowodem jak mało był rozwinięty smak estetyczny w naszym kraju i tłumaczy czemu Falek i Chodowiecki pracowali u obcych. Sztuka wymaga odpowiedniego środowiska ludzi, którzy ją znają i rozumieją, ażeby zakwitnąć mogła. Widocznie u nas takiego środowiska nie było.

Na wystawie jest parę obrazów Semiganowskiego przysłanych z Wilanowa. Jego też pędzla jest wizerunek Chrystusa Pana w głównym ołtarzu kościoła Św. Krzyża.

(d. c. n.)

Zofia Kowerska

DZIELNY CHŁOPIEC.

(Dalszy ciąg).

Walek zataczając się szedł za nim mrużąc złośliwie. Że Józik wracał właśnie do domu, załatwiwszy polecenia swego majstra, więc wkrótce wszedł do sklepu pana Wirwońskiego. Walek wtoczył się za nim. Zrobiło się w sklepie zamieszanie. Walek krzychał, że przyjaciel jego od serca, co się z nim znał od kolebki, musi mu dać choć dyskę na kieliszek wódki, bo mu doktor zalecił pić wódkę a on na to lekarstwo nie ma pieniędzy. Pan Wirwoński groził zawołaniem policyi, Józik chciał biedz by zawołać stójkowego, gdy Bosy, zapomniawszy o swoim lenistwie, poczuł, że do niego należało załatwienie tej sprawy. Rzucił się na Walka, który nagle oprzytomniawszy przypomniał sobie ranę odebraną niegdyś przy rewidowaniu siennika pani Warbickiej. Strach go zdjął, wyszedł więc z przekleństwem na ustach.

— Zapamiętam ja ten dom — wołał — i nie daruję ci ty kutwo jakiś, co nie poratujesz przyjaciela w nieszczęściu i w chorobie!

Zatoczył się, bo go wódka mroczyła znowu, a stójkowy, który to zobaczył, wziął go pod ramię i wyprowadził.

Odtąd upłynął znowu kawał czasu, a Józik nic o Walku więcej nie słyszał, gdy raz wywołano go z warsztatu mówiąc, że przyszła do niego jakaś kobieta, która utrzymuje, że ma ważny interes.

Józik się zdziwił bardzo, poznawszy Piotrowę. Kobieta była już siwa, pomarszczona lecz widocznie nie wiek twarz jej porała, lecz łzy, które w ciągu życia wylała. Jak się zdaje zapomniiała ona, że ostatnie rozstanie się z Józikiem, nie było zupełnie przyjacielskie, bo się rozplakała na widok wysokiego, tegiego chłopca o pogodnym spojrzeniu.

— Oj, takie mieć dziecko jak ty, to dopiero błogosławieństwo Boże! — mówiła. — I to patrzcie państwo, taki sierota bez ojca i bez matki a dał sobie radę na świecie i wyszedł na ludzi!

— Czego chcecie, Piotrowo? — zapytał Józik.

— Przyszłam do ciebie, bo nie mam się do kogo udać! Pożycz mi z parę rubli, aby na kolej do Lublina! Tam na wsi, koło Lublina mam brata; dostanę się do niego to sobie trochę wypocznę. Już nie sił nie mam! Tak mnie ten ladaco zmarnował!

— Cóż się dzieje z Walkiem?

— A cóż, okradł mię ten ladaco ze szczętem! a teraz w kryminale siedzi! Byłam u adwokata... Mówi, że Walka z pewnością nie puszcza. Zeby był pełnoletni, toby poszedł na Syberyę, a tak to pójdzie do Studzieńca.

— Cóż on takiego zrobił?

— Ha, pewno należał do okradzenia sklepu na Nalewkach. Wybili drzwi w nocy...

— Czytałem w Kurjerku — rzekł Józik. — Dam wam dwa ruble moja Piotrowo i jedźcie do Lublina. Widzę, że potrzebujecie wypoczynku i spokoju.

— Oddam ci jak tylko będę miała; oddam co do grosika!

Józik wiedział co były warte obietnice Piotrowej, ruszył więc tylko ramionami, kiwnął ręką i dawszy dwa ruble, pożegnał Piotrowę.

Wkrótce potem spotkała go wielka radość. Został przyjętym do cechu jako czeladnik. Wieczorem, dnia tego, przed zaśnięciem, myślał długo o swoim nieszczęśliwym ojcu, któryby się niezawodnie ogromnie radował, gdyby żył dotąd i gdyby ujrział swego chłopca czeladnikiem szewckim. Potem Józik pomyślał o trzech studentach, którym niegdyś usługiwał, a których zupełnie z oczu stracił. Co się też z nimi działo? Szczególniej, co się działo z Wesołowskim? Czy to już drogi ich nigdy w życiu się nie zjedną? Czy to może być, by dwóch przyjaciół nic o sobie nie wiedziało?

Tylko jeden Franuś zostawał Józikowi z dawnych, dobrych znajomych. Chory chłopiec miał się coraz gorzej. Wysechł, wymizerniał, był blady jak opłatek, a bezsilny jak dziecko. Wyglądał zawsze niedzieli jak zbawienia, a w niedzielę nie mógł się doczekać chwili, w której nareszcie ujrzy Józika. Witął go zawsze okrzykiem radości. Potem opowiadał mu o swoich okropnych cierpieniach, o swoich nocach bezsennych, o długich dniach w których był sam jeden podczas kiedy inni szli do pracy lub zabawy.

Od niego Józik wiedział, że państwu Dratwińskim coraz gorzej się wiodło. Jakoś interes szedł źle, ani czeladników, ani chłopców utrzymać nie mogli, wszystko się dziwnie rozpręgało. Pan Dratwiński bywał w coraz to gorszym humorze, pani coraz to bardziej skąpiła. Nawet chory Franuś bywał często bardzo głodny i mile przyjmował szynkę, bulki, jabłka i pomarańcze, które Józik mu zawsze w niedzielę przynosił.

Jednego razu, gdy Franuś opowiedział mu o swoich, ciagle wzmagających się cierpieniach, Józik zapytał:

— Cóż na to mówi doktor?

— Już od paru lat doktora nie widziałem. Rodzice nie mają na doktora dla mnie. Wreszcie cóż mi doktor pomoże? Już na taką chorobę jak moja, niema ratunku!

— Skąd to możesz wiedzieć? Może właśnie ratunek by się znalazł! Wiesz co, Franusiu, ja ci przyprowadzę doktora!

Franusiowi, jak prawie każdemu choremu, łatwo się nadzieja uśmiechnęła. Rzekł więc żywo.

— Ach, dobrze, sprowadź doktora!

Potem zwiesił głowę na piersi i dodał:

— Ale na doktora trzeba pieniędzy...

— Ja teraz dużo zarabiam — rzekł Józik — pożyczę ci, a jak będziesz zdrów to mi oddasz.

— Nie — odparł Franuś — po co ja cię mam oszukiwać? Ja tych pieniędzy pewno ci nie oddam, bo ja umrę! Chyba, że mię chcesz poratować jako ubogiego.

— Chcę cię poratować jak przyjaciela. Od przyjaciela wszystko przyjąć można.. No, poczekaj chwilę, skoczę po doktora. Wszak tu doktor mieszka w tym samym domu?

Józik wybiegł z izby i wkrótce przyprowadził do łóżka Franusia doktora, który chorego chłopca zbadał, powiedział mu kilka słów pociechy, potem zaś, gdy Józik odprowadził go do sieni, odezwał się szeptem:

— Tu jest tylko jeden ratunek: odcięcie chorej nogi. Choroba została zupełnie zaniedbana przez długie lata. Może z początku skrobanie kości byłoby wystarczające. Teraz już na to za późno i chorą nogę usunąć trzeba.

— I potem ten chłopiec mógłby być zdrów?

— Tak, byłby zdrów. Chodziłby o kuli, ale mógłby rękami pracować, a niezawodnie wyglądałby lepiej, mógłby spać, nie cierpiałby wcale...

— Ach, mój Boże, cóżby to było za szczęście!

Józik udał się do pana Dratwińskiego.

— Cóż to paniatko chce odemnie? — zapytał gburowato majster. Może koza przyszła do woza i chcesz u mnie być czeladnikiem?

— Nie, panie majstrze, tylko przyszedłem panu powiedzieć, że u Franusia był doktor... ja go przyprowadziłem... Doktor mówi, że trzeba koniecznie Franusiowi nogę obciąć, a będzie zdrów, będzie mógł rękami pracować, chodzić o kuli...

Majster, który na Józika patrzył od chwili groźnie, huknął nagle:

— A tobie co, paniatko, do tego? Cóż ty myślisz, że te doktory co wiedzą! Im się chce krajać tylko jak rzeźnikom!

— Ale Franuś cierpi okropnie!

— Po prostu niema cierpliwości! Tylko by ciągle stękał i jęczał!

— Ale go przecie trzeba ratować!

— To go sobie ratuj, kiedyś jego taki przyjaciel! Ja nie mam pieniędzy na takie wydatki! Niewiadomo czyby po operacji żył, czyby umarł, ale ta zabawka kosztowałaby jakie kilkadziesiąt, a może i sto rubli! To nie na moją kieszeń! A tobie dam jedną radę: nie wtrącaj się do tego co do ciebie nie należy! Pilnuj swęga nosa i kwita!

Józik wrócił do Franusia, czytał mu głośno, opowiadał mu różne nowiny, które w mieście słyszał, wreszcie poszedł do domu w głębokim zamyśleniu.

Następnej niedzieli udał się do pani Dratwińskiej z wiadomością, że doktor amputację nogi radził. Kobieta, tak

jak jej mąż, nie wierzyła w doktorów, ale miała jeszcze mniej rozumu od męża.

— Co, jabym miała pozwolić na to, żeby moje dziecko krajali? Tego się nie doczekasz! Wolę żeby Franuś tu w domu umarł, niż żeby był oddany do szpitala!

— Kiedy doktor powiada...

Józik szył buty w warsztacie, brał lekcje od Bolesława Wirwońskiego, chodził na miasto z rozmaitemi interesami pana Wirwońskiego, sprzedawał w sklepie, prowadził rachunki, a wśród tego wszystkiego prześladowała go myśl jedna: wciąż szukał i szukał w swej głowie sposobu ratowania Franusia,

masz jakieś zmartwienie. Powiedz mi co cię trapi. Przecie lepszego przyjaciela nademnie nie masz!

— Bo to, proszę pana — tłumaczył się Józik — ja mam chorego znajomego... To ten Franuś co do niego chodzę co niedziela... Otóż sprowadziłem do niego doktora...

— Ty sprowadziłeś doktora?

— Tak, proszę pana, bo jego rodzice nie bardzo mają za co go leczyć i jakoś się tak przyzwyczaili do tej choroby, że już nie widzą cierpień syna. Otóż doktor mówi, że Franuś mógłby chodzić o kuli, że mógłby pracować rękami i być zdrowym, ale trzeba koniecznie odjąć chorą nogę, której już wyleczyć nie można.

— Więc cierpienia tego przyjaciela tak bardzo cię bolą?

— Jabym chciał coś zrobić... wymyślić jaki sposób... chciałbym moim kosztem oddać chłopca do szpitala!

— Przecież on ma rodziców!

— Ale oni o tem nie myślą. Oni z pewnością ratować go nie będą!

Pan Wirwoński się zamyślił.

— Widzisz, mój Józiku — rzekł — ja rozumiem, że cię serce boli gdy patrzysz na tego biednego chłopca, ale ty sam bogatym nie jesteś. Masz wprawdzie przeszło sto rubli w kasie oszczędności, ale musisz o tem pamiętać, że i ty zachorować możesz.

— Pan Bóg się mną do tej chwili opiekował, dobrzy ludzie mię wspomagali! I nadal Pan Bóg i ludzie mię nie opuszczą! Nie mogę zasnąć ani chwili spokoju odkąd wiem, że ten chłopiec mógłby być uratowany, a tymczasem umrze z wycieńczenia, bezsenności i cierpień nieznośnych!

— Namysł się dobrze, Józiku! A jeżeli te pieniądze wyrzucisz naprzódo? Jeżeli chłopca nie uratujesz? I lekarze często się mylą.

— Ale będę miał sumienie spokojne, że w nieszczęściu przyjaciela nie opuścił!

— Ha, moje dziecko, nie jestem twoim opiekunem, bo sam już o swojej sile idziesz i sam na siebie pracujesz. Zatem nie mam prawa zakazać ci tego dobrego uczynku. Zrobiłem ci przedstawienie, ale skoro nie odstępujesz od zamiaru...

— Niech się pan na mnie nie gniewa, niech mi pan pozwoli spróbować!

— Więc chcesz odebrać swoje pieniądze z kasy oszczędności?

Tak panie! Ale pierwszej muszę namówić państwa Dratwińskich... muszę nad tem pracować, żeby się zgodzili...

W niedzielę Józik nie jadał śniadania, bo na nie czekać nie chciał i ranniutko pobiegł do Franusia. Chłopiec cierpiał jeszcze bardziej. Już z niego

tylko cień został i zwierzył się Józikowi, że chciał prosić rodziców, by mu sprowadzili księdza. Ociągał się z tem dotąd, bo wiedział, że na matkę, która go kochała bardzo, uczyni to przykre wrażenie. Pani Dratwińska co chwila przychodziła do Franusia, przyniosła mu nawet, wracając z kościoła paczkę pierników. Widocznie była mocniej zaniepokojona, i zaczynała spozstrzegać, że z jej synem było źle. Do tej chwili się, ludziła, że Franuś z tej biedy wyrośnie. Pan



WESOŚCIANIE W PODOLSKIEJ.

— Matka najlepiej wie co jej dziecku potrzeba!

— Ach, proszę pani — zawołał Józik — to źle, że my doktorom nie wierzymy! Ja służyłem u trzech studentów... oni się uczyli, oni po nocach śleczyli... uczyli się gdzie leży w człowieku każda kostka, każda żyłka! Oni lepiej wiedzą co robić z chorem dzieckiem niż matki, choć one bardzo dzieci swoje kochają!

— Jeszcze mnie ty będziesz uczył! — krzyknęła majstrowa.

— Żeby tak były pieniądze na ten szpital — myślał — toby może pan Dratwiński namówił żonę do oddania Franusia w ręce lekarzy!

Wreszcie tak miał tym szpitalem głowę nabitą, że mu się on snił, że go na jawie czynił zamysłonym i stroskanym.

Pan Wirwoński dostrzegł, że Józik był innym niż zwykle i zagadnął go raz:

— Mój Józiku, tobie coś jest! albo jesteś chory, albo

Dratwiński udawał srogość i gburowatość, ale też widocznie spostrzegł grożące nieszczęście.

Józik upatrzył chwilę, w której mógł mówić z nim sam na sam i postanowił jeszcze raz szturm przypuścić. Serce biło mu jak młotem w piersi, gdy się zbliżał do pana Dratwińskiego. Głos mu drżał, wyglądał jak winowajca. Ale wiedział, że musi pomówić z ojcem Franusia, więc zaczął:

— Proszę pana... ja mam sto dwadzieścia trzy ruble i kopiejek pięćdziesiąt w kasie oszczędności.

— A, to ci wiesz!

— Ja je chcę panu oddać...

(d. n.)

Marya Łopuszańska.

OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg.)

Opat czuł, że wiara Chrystusa znajduje się w niebezpieczeństwie, bo widocznie lud był skłonny, gdyby tylko okoliczności temu sprzyjały, powrócić do dawnych bogów. Co zaś najbardziej go niepokoiło, to owe pogłoski o jakimś wodzu cudownym, którego jakoby posiadali poganie, wodzu, który nigdy nie miał umierać, i cbarzony był niezwykłą, nadprzyrodzoną potęgą, daną mu przez duchy leśne. Lud wierzył święcie w tego wodza i mimowoli, coraz częściej oglądał się w tę stronę, kędy sterczał szczyt Łysej Góry, jak zawsze, groźny, tajemniczy, skryty w mgły białe.

Opat otworzył drzwi, doświadczając jakiegoś niewytłomaczonego pragnienia, by również spojrzeć na ten wierzchołek, mający daleko na chmurnym niebie i budzący mimowolną trwogę, a zarazem pociąg nieprzeparty.

Wicher przycichł nieco, zdaleka jednak widać było jak korony drzew puszczy uginały się i kołysały jeszcze, niby fale; po niebie pędziły poszarpane płaty chmur; Łysa Góra wznosiła się otulona mgłami, milcząca a groźna, jakby uosobienie pogaństwa, które w ciemnościach podnosiło głowę, także ciche, lecz niemniej groźne.

Nagle szczyt góry oblał się purpurowym światłem, rozciągającym się jaskrawą luną ponad uśpioną okolicą; po trzykroć zapalało się ono i po trzykroć gasło; aż wreszcie wszystko zapadło znów w ciemność i tylko słychać było jak puszcza huczała.

Opat przeżegnał się i powrócił drżący do izby.

— O Panie — wyszeptał — szatan nie śpi, walka z nim nieunikniona, czuję to. Czyż nie wesprzesz tych, którzy walczyć będą w Twem Imieniu?

V.

Dzień był słoneczny i ciepły; w puszczy pachniało wiosną, gdy Ładon, uzbrojony w łuk i toporek, wyjechał samotnie na łowy. Nad jego głowę roztaczało się zielone sklepienie, na ziemi kwitło mnóstwo ziół wiosennych, nie zagłuszonych jeszcze zbyt gęstym cieniem. Gruby mech, zielony jak szmaragd, zaścielał ziemię; koń stąpał po nim cicho, prawie niedosłyszalnie.

Tam gdzieś wysoko, w górze, szumiały wierzchołki drzew i kołysały się, tworząc u stóp swych nieustanną grę to światła, to cieni. Zapach rozwijających się pączków unosił się dokoła. Od czasu do czasu z zarośli podnosiła się czapla lub kulik, zdradzając bliskość wody. Ładon też wiedział, że niedaleko znajduje się jezioro, zwane przez lud jeziorom

wodnic, bo mówiono, że te boginki pokazują się tam często nocami, i niejedyn widział je, jak płały na wybrzeżu w promieniach księżyca.

Wkrótce dostał się tam. Jezioro leżało w głębokiej kotlinie, porośnięte dookoła trzciną, ajerem i łożą; głębokie jego wody, zielonawej barwy, były spokojne i ciche; — stado sarn kapało się w niem w tej chwili, igrając swobodnie.

Piękny to był widok. Zwierzęta pluskały się i płynęły zostawiając za sobą ślad na wodzie. Znajdowało się tam kilkanaście sarn młodych, oraz stary kozieł, o rosochatych rogach, dumny i wspaniały, który płynąc po jeziorze, podobnym był do jakiegoś fantastycznego zwierzęcia z bajki. Sarny wyciągały wysoko smukłe szyje, i wznosiły uszy nasłuchując, czy nie dosłyszą jakiego szmeru. Zadne z nich nie spostrzegło zbliżającego się nieprzyjaciela, gdyż Ładon ukrył się starannie za drzewem by nie być widzianym; lecz nie nakładał strzaly, bo żał mu było zabijać te wdzięczne stworzenia, z taką ufnością igrające przed jego oczami. Prócz tego przychodziło mu na myśl, że może to wodnice w dzień przybrały na siebie postać sarn, niektóre bowiem miały dziwnie rozumne spojrzenia.

Nagle całe stado pierzchnęło, a na ścieżce, prowadzącej do jeziora, dał się słyszeć szelest; z zarośli wysunął się jeździec.

Miał na głowie rysi kołpak, łuk na plecach i miecz przy boku, u siodła zaś przywieszony był oszczep. Ładon ze swego ukrycia dobrze mógł mu się przyjrzeć. Był niewielkiego wzrostu, ale barczysty i niezwykle silny; na niskie, ale otwarte ku skroniom czoło, spadały gęste, czarne włosy w kształcie grzywy, z pod których błyszczały dziko ciemne oczy. Młody był jeszcze bardzo, ale już na obliczu jego czytać się dawał wyraz niezmierniej dzikości. Oko podziwiała mimowoli jego silną postawę, tak jak podziwiała potężnego żubra. mieszkańca puszczy ciemnej, ale — żadnego śladu ludzkich uczuć w nim nie było.

Stał na brzegu, rozglądając się dokoła, i pozwalając koniowi napić się wody.

Ładon postanowił także napić swego konia i wyjechał z zarośli. Jeździec spostrzegł go i zaklął przez zęby, jakby mu nie na rękę było to spotkanie. Chmurnym wzrokiem zmierzył zbliżającego się i stał, patrząc i zdając się oczekiwać kiedy napoi konia i odjedzie sobie.

Ładon, oddalając się widział jak jeździec stał jeszcze długo i spoglądał za nim, potem człowiek jakiś, odziany w skóry wyszedł z zarośli, dał znak jeźdźcowi i obaj znikli.

Powracając puszcza, myślał długo, kto mógł być ów jeździec o chmurnym wejrzeniu i dumnej, nakazującej postaci.

Nigdy jeszcze nie zdawało mu się widzieć go, ani między wojakami królewskimi, ani między władkami miejscowymi bywającym na dworze w Kielcach. Można też było poznać łatwo, że pomimo dumnego wyrazu, nie musiał należeć do znacznego rodu, a raczej wyraz ten nadawało mu przekonanie o potędze własnej woli, zdolnej do największych wysiłków. W tej twarzy młodej jeszcze, była dziwna mieszanina odwagi i okrucieństwa, mocy duszy i pogardy dla ludzi.

— Nie, to darmo, nigdy nie dojdę kto to taki, rzekł sobie w końcu Ładon — z pewnością gdybym go raz kiedy dawniej widział choć na mgnienie oka nie zapomnielibym go nigdy, bo oblicze to od razu rzuca się w oczy.

Tymczasem tajemniczy jeździec podążał wąską ścieżką, ukrytą wśród zarośli, przez rozmaite wertopy i trzęsawiska. Widocznie droga ta musiała mu być dokładnie znana bo jechał, nie namyślając się, przed siebie. Puszcza stawała się z każdym krokiem coraz dziksza i niedostępniejsza; olbrzymie złomy suchych konarów, co chwila zastępowały mu drogę; miejscami wiekiem zgrzybiałe drzewa, upadające ze starości, zatrzymywane w upadku przez swych młodszych towarzyszy, tworzyły jakieś fantastyczne bramy i łuki.

Wreszcie jeździec stanął nad brzegiem głębokiego wąwozu. Tam, na ciemnym dnie jego słychać było szum wody, ale oko dostrzedz jej nie mogło, bo gęsta roślinność ją zakry-

wala. Był to tak głęboki parów, że korony wielkich drzew, rosnących na dnie, kołysały się tuż u stóp tego, kto stał na wierzchołku.

Z głębi dochodziło szczekanie psa. Jeździec puścił się wąską ścieżynką wijącą się bokiem i wkrótce był już na dole.

W miejscu najbardziej ukrytem przez zarośla, widać było małą chatkę, jakby wtuloną, między dwie odwieczne lipy, osłaniające je zupełnie gałęziami. Wielki pies, kudłaty, wybiegł naprzeciw jeźdźcy szczekając, i w podskokach począł krążyć dokoła niego.

Drzwi od chaty się otworzyły i wyszedł z nich siwy starzec, wsparty na kij, w białej, linaonej odzieży.

Ujrawszy nowoprzybyłego, wyciągnął doń ręce, wólkując.

— Domyśliłem się zaraz żeś to ty przybył, synu mój, bo Rudy, tak wita tylko przyjaciół.

Jeździec zsiadł tymczasem z konia, i przywiązał go do drzewa:

— Pójdź mój synu — rzekł mu starzec, usiądźmy tu, na tej kłodzie, w cieniu lipy; opowiesz mi gdzieś bywałeś, coś zrobiłeś? Nie mogłem się doczekać twego powrotu.

Nowoprzybyły usiadł obok starca, który patrzył nań z radością i oczekiwaniem; nawet w pół przygasałe jego oczy odzyskały nieco blask swój dawny; wychudła, żółtka twarz ożywiła się. W ogóle, w wyrazie jego oblicza, jak i w całej postawie, widoczne były chwilami niejaki ślady podniecenia duchowego, graniczącego z obłąkaniem.

Nieznamy jeździec potarł ręką czoło.

— Gdzieś ja był ojcze? — rozpoczął. — Pytajcie gdzieś ja nie był raczej? Bywałem ci ja w dalekich stronach, aż ku siemu morzu zagnałem się. Byłem u Obotrytów, u Sorabów, u Lutyków, byłem na świętej Ranie i pokłoniłem się wielkiemu Światowidowi, co patrzy na cztery strony świata — Wszędzie, wszędzie byłem.

— Ale jakże ci poszło?

Nowoprzybyły uśmiechnął się:

— Myślę, że nieźle — odrzekł. — Podburzyłem wszystkie owe ludy nadłabańskie; teraz niech Bolesław spróbuje iść z nimi na Niemca; oskarżą go raczej sami przed cesarzem, że ich podmawia na niego. — Dobrze idzie, ojcze. Ten dumny król będzie musiał sam jeden uciierać się z cesarzem; twardy będzie miał orzech do zgryzienia. Wszyscy połabscy knaziowie go odstąpią, za to ręczyć mogę...

— Aż teraz przyjdzie więc może dzień oswobodzenia — zawołał starzec z uniesieniem. — Oto lat kilkadziesiąt siedzę tu na puszczy, słońca bożego nie widząc, żyjąc z dzikim zwierzem wspólnie, patrzę i czekam, bo cóż innego mogę robić, ja, starzec bezsilny, ostatni kapłan znieważonych bogów! Wszyscy ich odstąpili, rzucili, ja jeden tylko pozostałem wierny, ale płakać tylko mogę nad ich upadkiem, tak, płakać tylko mogę, bo nie ma już dzielnych witezów, których ramię podniosłoby się w obronie ich czci.

Synu, mój, Masławie, jam ciebie wychował na takiego mściciela, alem ja stary już, może nie dożyję dnia odrodzenia, gdy więc umrę, usypcie mi mogiłę, tam, u stóp góry świętej kędy stał chram dawny, a skoro Świst-Poświst obejmie znów panowanie nad światem, rzekniecie mu: „Wielkie bóstwo, oto modlitwa ostatniego kapłana twego, który do ostatka był ci wiernym, który nie chciał podle przejść na służbę nowego boga, ale tobie jednemu chciał służyć, do końca dni swoich!” „A wówczas Świst-Poświst zstąpi z niebios w całej swej potędze, w wicherze, burzy i błyskawicach, i porwie ducha mego, aby spłonął w tym ogniu niebieskim i tak się połączył z bóstwem!”

Podniósł się z miejsca, jakby porwany nagle natchnieniem, podobnym do szału; włosy na głowie i szata były rozwiane, oczy wzniesione w górę, pałały niezwykłym blaskiem; zdawało się, że słyszy jakieś głosy, niesłyszane przez innych ludzi, że otaczają go nadprzyrodzone siły, i unoszą jego ducha wraz z sobą. Bo głos jego dźwięczał jakby w śnie natchnionym, a wzrok tonął gdzieś w dali, pragnąc przebić mgłą tajemniczą, zakrywającą przyszłość.

— Potężne bogi — mówił — nieprawdaż, wyście nieraz przemawiali do mnie w ciszy i samotności lasów? Głos wasz słyszałem w ryku burzy, w szumie puszczy odwiecznej. — Głos wasz potężny; gdy siedzi przez puszcze to wierzchołki drzew schylały się pod nim, a mnie włos na głowie się jeżył, i zimny pot okrył skroń moją. Bo któreż stworzenie bez trwogi słuchać może głosu bogów wielkich? Widziałem jak wilk uchodził strwożony do legowiska, żubr stawał w osłupieniu, a tur silny głowę pochylał, na znak zblżenia się waszego. A jednak ja, kapłan wasz, śmiałem zwracać ku wam mowę, i zapytywałem was: Bogi wielkie, czy może być, by cześć wasza już przeminęła, czy zezwolicie na to? A tam z głębi puszczy, w szumie wichru, odpowiadaliście mi tajemniczym głosem swoim:

— Nie, to być nie może — wy starzy już wprawdzie nie dzwigniecie starej wiary, lecz przyjdzie młody, silny mąż, co wszystko powróci, jak dawniej było! — Ja wiem, że mężem tym będziesz ty, Masławie — bo czyż daremnie wychowałem cię na zgłiszczach zburzonego chramu, czyż daremnie kryłem cię w cieniach puszczy, czyż daremnie wreszcie uczyłem cię byś nie zapomniał o starych bogach. Lud w puszczy zamieszkały, który wierny pozostał ojców wierze, śpiewa o tobie pieśni oczekując twego przyjścia, jako przyjścia wielkiego witezia, mającego podnieść zburzone ołtarze. I to ja, jam to zrobił, jam rozprzestrzenił one wieści między ludem. Tem jednym żyję tylko, i gdyby nadzieja owa mię nie podtrzymywała, czyżbym żył dotąd? O jak straszny jest żywot, skoro się przeżyje, wszystko co się czciło i miłowało! O bogi, bogi wielkie, dlaczegoż mię jeszcze trzymacie tu na ziemi?

Masław słuchał tej mowy z uszanowaniem, lecz zdawało się, że nudziło go owo biadanie, którego zapewne już nie pierwszy raz musiał być świadkiem.

— Ojcze, — przerwał po chwili, wszystko to dobrze, ale czyście co zrobili w mej nieobecności, czy czas nie stracony?

— Tak, mój synu, odrzekł kapłan, rozmyślałem co mogłem, rozsyłałem dziadów gęślarzy pomiędzy lud, próbowałem nawet za pomocą nich podburzyć go w czasie święta Marany — na próbę, by wiedzieć do czego jest zdolnym — ale nie udało się to, z powodu obecności Bolesława w Kielcach.

— A więc nasz potężny król bawi teraz w Kielcach? spytał Masław sztycherzo. Dla tego to spotkałem dziś w puszczy jednego z jego rycerzy. I nie więcej nie zrobiłście?

— A cóż więcej mieliśmy robić? — spytał kapłan. — Czyż to tak łatwo, gdy Bolesław jest w pobliżu? Czy nie znasz jego mocy?

— Widzę, że wszyscy wy biadać tylko umiecie, nie więcej! — mruknął szorstko Masław. — Sami starcy niedołężni się pozbierali, co nic nie potrafią dokonać! Przecież ja jeden na wszystko nie wystarczę! To zupełnie jakby żywego człeka związać z umarłym. Miotasz się, miotasz, a trup ciągnie cię na duo wody!

— Nie gniewaj się, Masławie — rzekł kapłan — trzeba nam było powiedzieć co robić mamy.

— Co wam miałem mówić? — zawołał Masław, zrywając się niecierpliwie. — Albo ten kneź Mszczuj i syn jego na nic się sami zdobyć nie umieją? tylkoż ja muszę myśleć za każdego! Tak to idzie z wami!

I miotał się wzburzony, nie mogąc miejsca znaleźć, a białe zęby jak u wilka, błyskały mu z pod warg, drżących od gniewu.

— Miły mój synu — rzekł kapłan uspakajająco, bo wiedział, że Masław łatwo wpadał w gniew szalony — twoja prawda, ale cóż robić? Tyś młody i ty możesz dokonać więcej, niż stu nas, bezsilnych starców. Ty swoją obecnością wszystko naprawisz.

— A tak, naprawię, tylko, że niedługo wy mi znów popuszczacie — odparł Masław, już nieco uspokojony. — Ale zdaje mi się — dodał po chwili — że pomimo wszelkie przeskody, teraz sprawa stoi na dobrej stopie; nasz potężny król nie mało się napoci, nim rozplącze sieci, jakie dokoła niego

naplątałem; będzie miał ciężką rozprawę z Niemcami, a przez ten czas można tu będzie wielu rzeczy dokonać.

I uśmiechnął się zadowolony z siebie.

— A wtedy przyjdzie i na nas kolej panowania! — zawołał z wyrazem jakiejś dzikiej chciwości. Podniosę bogów, postawię im świątynie, ale niech mi dadzą choć dzień jeden panowania, dzień jeden, w którym by tysiące ludzi padało mi do stóp, dzień jeden potęgi, a potem niech się co chce dzieje!

Mówicie żem ja z rodziców niewolnych — a jednak pokazę kiedyś tym dumnym pansom, kneziom wojewodom, rycerzom, co może syn chłopski! Oni spoglądają na mnie teraz z pogardą, a ja stanę wyżej od nich; a nie będę wówczas dobrym, niech się więc strzeżę, bo dam im poczuć moją rękę! — Nie będzie to dziś, to jutro; nie za rok, to za dwadzieścia lat; ale będzie, bom tak postanowił. I wiem, że nie umrę, dokąd tych zamiarów nie spełnię. Z bogami białymi i z czarnobogiem wejść w przymierze niech mi tylko pomogą. — Co wy tam starzy jęczycie i biadacie nad upadkiem tego coście miłowali; ja nie nie miłuję, krom potęgi; władza, to bóg mój; bogom innym składam ofiary by mi nie szkodzili, bo czyż byłbym na tyle głupim, by nadstawiać głowy bez żadnej korzyści dla siebie. Oni mi będą tylko stopniem do wyniesienia się.

Stary kapłan podniósł ze zgrozą ręce w górę, słuchając tej mowy; pierwszy to raz wychowaniec jego odkrył się przed nim. Masław zaś siedział, patrząc przed siebie okiem władcy, z drgającym nozdrzami, z okiem połyskującym dzi kim ogniem, niby tygrys, gotujący się do skoku.

— Więc ty nie dla bogów wszystko to robisz, a dla siebie! — wyjąknął wreszcie kapłan. — Więc upada nadzieja, która mię przy życiu trzymała!

(d. c. u.)

ZE ŚWIATA.

Piorunochrony w świątyni Jerozolimskiej. — Stare marki pocztowe.

Już niejednokrotnie archeologowie, t. j. uczeni badacze starożytności, przekonali nas, że wynalazki jakimi szczyści się obecna doba, znane już były i praktycznie zastosowane w zamierzchłych wiekach, poprzedzających erę naszą.

Do tych osobliwości zaliczyć należy piorunochrony, które Franklin w XVIII wieku stał się twórcą, a które miały być już znane w Egipcie na 1500 lat przed Chr. Mądrość bowiem egipska starająca się zgłębić tajniki przyrody, poznała, że jeżeli żelazo przyciąga elektryczność nagromadzoną w chmurach, złoto jest złem także siły przewodnikiem.

Wiadomości te przyswoili sobie sąsiedni Egipcjowi a ru chliwi i zdolni pod każdym względem Fenicyanie, których pomocy, jak wiemy, użył Salomon przy budowie owej pięknej i bogatej świątyni, jaką wznosił na chwałę Boga w Jerozolimie.

Znanem jest, że Palestyna narażoną była na częste i gwałtowne burze, a jednak pismo św. nie wspomina, aby piorun uderzył kiedykolwiek w tę świątynię; natomiast do wiadujemy się z tego samego źródła, że belki drewniane na dachu i ścianach budynku, powleczone były grubą warstwą złota, a nawet rury metalowe, odprowadzające ściekającą z dachów do cystern wodę, również były pozłoczone. A nie stało się to jedynie gwoli piękna i przepychu, ale jak ostatnie badania uczonych wykazały, ta wielka ilość złota użytą tam została dla odwrócenia piorunów.

Znaczną jest liczba dorosłych, a większy jeszcze zastęp młodzieży i dzieci, którzy bawią się zbieraniem do albumów marek pocztowych. Oczywiście zależy im głównie na doborze najosobliwszych, najtrudniejszych do zdobycia okazów, podczas gdy marki będące w kraju w ciągłym użyciu z pogardą są odrzucane. A jednak one to właśnie przedstawić mogą wartość niemałą, jak nas o tem przekonuje stowarzysze nie belgijskie w mieście Liège, które ze sprzedaży starych marek zdołało zebrać czystego dochodu 40,000 franków.

Oczywiście też ilość marek musiała być wielką, i Towarzystwo podaje ich cyfrę 200 milionów od czasu swego założenia t. j. 1890 roku.

Sprzedaż marek trwa ciągle, ceny są wysokie, a dochody osiągnięte idą na utrzymanie dwóch wiosek chrześcijańskich w Congo niepodległym, które to osady powstały staraniem Misyonarzy ze zgomadzenia Ojców Białych, założone go przez kardynała Lavigerie.

Temperatura tej krainy afrykańskiej jest znośną, a życie misyonarzy choć uciążliwe, nie pozbawione jednak pociechy, gdyż nawrócenia są liczne a charakter krajowców o wiele łagodniejszy i lepszy, niż innych plemion murzyńskich.

Istotną natomiast plagą okolicy są lwy, tygrysy i węże w takiej ilości, że nieraz aż do wioski podchodzą.

Miejscowa ludność okazuje ogólnie wiele życzliwości dla białych i krąży liczne opowiadania, jak z narażeniem własnego życia niosą im ratunek w nagłej potrzebie.

Działalność tych zacnych misyonarzy wspiera materyalnie, jak już powiedzieliśmy Towarzystwo sprzedaży marek, łożąc oprócz tego na utrzymanie kilkorga dzieci murzyńskich w zakładzie, które powstało w Belgii staraniem ks. Van Impe, jedynie w celu zaszczerpienia oświaty i wiary Chrystusa w młodych pokoleniach ludów Afryki.

Ojciec św. ocenając te zasługi, udzielił właśnie teraz Towarzystwu swego pasterskiego błogosławieństwa, i zachęcił do dalszych w tym kierunku zabiegów, w czym i my możemy wziąć czynny udział, jeżeli zadamy sobie nieco trudu w zbieraniu owych starych marek, wyrzucanych często na śmiecie wraz z niepotrzebnymi papierami.

Adres przesyłki z markami jest następujący: *Mrs. l'Abbé Rappea. Liège. Grand Séminère. Belgique.*

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

TREŚĆ: Ważniejsze owoce i jarzyny stref południowych (z ryc.) — Dawni nasi malarze. — Dzielnny chłopiec przez Zofię Kowerską. — Włóscianie z gub. Podolskiej (rycina). — Obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — Ze świata. — Dodatek: Żniwa, komedyjka przez Z. Bukowiecką. — Nieproszeni goście (z ryc.) — Prześladowca owadów. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

WIECZORY RODZINNE



ŻNIWA.

KOMEDYJKA.

OSOBY.

KASIA, STACH, WICUŚ, *rodzeństwo.* — JÓZIA, *córka wdowy Marcinowej.*

SCENA 1-a.

(Teatr przedstawia izbę w chacie wiejskiej. Dzieci przebrane są po krakowsku.)

KASIA *(porządkując śpiewa).*
Pójdźcie żąć! przepióreczka
Na żeńców wołała,
Oj będzie się Kasieczka
Przy żniwie zwiјаła.
(Staje we drzwiach i woła.)

SCENA 2-ga.

STACH, KASIA.

STAŚ *(wbiega śpiewając).*
Parobeczek ci ja,
Parobeczek ostry,
Gotów zawsze w służbę
Lecz ino do siostry.

KASIA. Ho! ho! jaki mi galant, cóż ty dziś taki wesoly?

STACH. A czemuż ty sama śpiewasz?

KASIA. Ja tak sobie z radości, że będziemy obie z Józią żęły na jednym zagonie we dworze, a potem kupimy sobie jednakusieńkie korale.

STAŚ. Ja też śpiewam z radości, bo i mnie aż ręka porywa do sierpa. Gdzie Wicek?

KASIA. Dopiero co wyszedł *(śpiewa).*

Korale czerwone
Kasia będzie miała
I nikt jej nie powie,
Że źle pracowała.

SCENA 3-cia.

Ciż i JÓZIA.

(Józia wchodzi zapłakana, ociera oczy fartuszkami.)

KASIA. Dla Boga! co ci się stało, Józiu?

JÓZIA *(szlochając).* Ma-tu sia ska-le-czy-li rękę przy żniwie, nie mogą żąć, nie pójdą z tobą na zarobek do dworu, bo na naszym polu jeszcze dużo roboty.

KASIA. I nie będziesz miała korali?

JÓZIA. Nie będę miała, nie będę żęła u dziedziczki, biedna ja, biedna!

KASIA *(całuje Józię).* No, nie płacz, nie, już my coś na to poradzimy. Prawda Stachu?

STACH. Juści, że prawda, co zaradziwa to zaradziwa, a nie płacz Jóźka, bo mnie aż coś w sercu kole.

KASIA *(stoi zamyślona, nagle z radością).* Już wiem, już wiem! Najświętsza Paniienka dała mi taką myśl. Słuchaj Stach, przecie ty, ja i Wicek to troje, prawda?

STACH. Juści niby tak wypada. A bo co?

KASIA. I nic nie mniarkujesz?

STACH. Cóż ja mogę zmiarkować, kiedy nie wiem co chcesz.

KASIA. Jakie te chłopcy nie domyślni, zawdy kobieta prędzej skalkuluje. Otóż to chcę, że zamiast do dworu, pójdziemy na pole Marcinowej...

STACH *(przerywając macha rękami jak gdyby żął).* Pójdziemy i ciach, ciach zmieciemy wszystko zboże, a potem dalej do dworu na zarobek.

KASIA. O widzisz! to właśnie myślałam, braciszku.

JÓZIA *(przestaje płakać i ściska Kasię).* O, moja Kasieńko złoła! jaka ty dobra, jaka dobra, to od tej dobroci, aż mi serce topnieje.

STACH. A ja to zły? a mnie to Józia żadnego słówka nie rzeknie?

SCENA 4-ta.

KASIA, JÓZIA, STACH, WICEK.

WICEK *(wbiegając).* Wielka nowina! wielka nowina! Co dacie to powiem.

JÓZIA i KASIA. Powiedz, powiedz, bośmy okrutnie ciekawe.

WICEK. No to słuchajcie, we dworze będą dożynki, będziemy tańczyli aż się iskry posypią z podkówek *(śpiewa i tańczy).*

Orze pole parobeczek
W siwe wółki orze,
Będziem tańczyć na dożynku
U pani we dworze.

KASIA i JÓZIA *(razem).* Prawdę mówisz, Wicek?

WICEK. Juści, że nie cyganię, sama dziedziczka mówiła.

Wszyscy. Kiej dziedziczka tak mówiła
To już prawda święta,
Bo dziedziczka dane słowo,
Uczciwie pamięta.

KASIA. Ale teraz nie o dożynkach myśleć, tylko sierpy brać i na Marcinowe pole.

WICEK. Po co na Marcinowe?

JÓZIA, Prawda, on nic nie wie.

STACH. Nie będzie tam z nim żadnej turbacyi, bierz sierp i idźwiera na Marcinowe pole, bo Józina matka skaleczyła rękę i sama żąć nie może.

WICEK. A Józia idzie z nami?

STACH. Juści, że idzie, a bo co?

WICEK. Ej nic, tylko okrutnie lubię jak się żnie gromadą, a dziewczuchy przyśpiewują. Będziesz śpiewała Józiu?

KASIA. Nie bałamuć po próżnicy i dalej za sierpy. *(Bierze swój i śpiewa).*

Na tom cię sierpeczku
Osełką ostrzyła,
Żeby się swej pracy
Kasia nie wstydziała.

JÓZIA. Jakże ja ci Kasiu
Teraz podziękuję,
Chyba, że jak siostrę
Z serca ucałuję.

WICEK I STACH *(razem).*

Nie dziękuj Józieńko,
Jeszcze nie masz za co,
A przez te całusy
Żeńcy czas swój tracą.

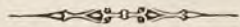
WSZYSZY. Dalej wiara do roboty
Czas do żniwa, czas,
Przepiórka doda ochoty
Nie wyprzedzą nas.

KASIA. Poratować biedną wdowę
Miła to robota,
Więc do pracy aż się zrywa
W mem sereu ochota.

JÓZIA. A ja biedna sieroteńka,
Cóż wam rzeknę za to?
Że za dobry czyn na ziemi
Bóg w niebie zapłata.

WSZYSZY. Dzwonią sierpy, dzwonią kosy,
Na pszenicznym łanie,
Biją w niebo żeńców głosy
Błogosław nam Panie.

Z. Bukowiecka.



NIEPROSZENI GOŚCIE.

M O L.

Wielkie zmartwienie ma pani Pawłowa, właścicielka sklepiku; mole wyrządziły jej znaczną szkodę: futro zniszczyły, suknię pocięły na strzępy, a najwięcej jej żal mufki karakułowej.

Co prawda sama ona trochę temu winna, dawno nie zaglądała do szafy. Zabiera się więc pani Pawłowa do zrobienia porządku: trzepie, czyści szczotką, ale żadnego mola nie widać; przygląda się bliżej, o mało w każdy włossek nie zajrzy; moli niema, ale za to zobaczyła jakieś

małe, szare... niby ziarnka czy jajeczka, które trzymały się włosów futra.

Pani Pawłowa zdecydowała zrazu, że to pewno są jajka moli. Wkrótce jednak, rozsuwając jeszcze włos futra, znalazła inne prawdziwe jajeczka moli.

Ale w takim razie czemu były te pierwsze?

Przyszło jej na myśl, że niezawodnie są to jakieś nowe robaczki. Zaciekawiona pokazała je sąsiadce z podwórka, ta znowu innej, aż nareszcie doszły do takiej, która im rozwiązała zagadkę.

— To, moja pani, jest liszka mola, tylko, że się cała w woreczku schowała, bo się przeległa, zostawcie ją na chwilę w spokoju, wysunie się zaraz ze swej kryjówki i zacznie broić.

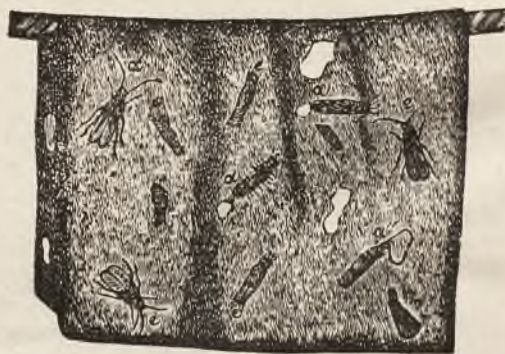
— Widzę, że pani masz już doświadczenie — mówi pani Pawłowa — to powiedz mi skąd się bierze ten woreczek?

— Same liszki molowe zlepiają go sobie z włosków, które ogryzają. Gdy woreczek z czasem staje się za ciasny, bo przecież liszka rośnie, to ona go przecina i wstawia łąkę z nowego materiału. Tak, tak, moja pani, tyle rozumu mają owe szkodniki!..

Woreczki te z przodu są otwarte i liszki noszą je na grzbiecie, niby ślimak swoją skorupę, a gdy potrzeba to się w niej całe schowają, ot jak ten teraz zrobił.

— A la Boga, la Boga! człowiek pięćdziesiąt lat na świecie przeżył, a o niczem podobnem nie słyszał.

— Ani ja — mówi druga sąsiadka — mole nieraz widziałam, wieczorem zwykle latają, widać światła dziennego się wstydzą. Nieraz też sobie myślałam, taka mała ćma, a takie duże szkody wyrządza. Sam owad nic nam złego nie robi, tylko jajka składa; dopiero liszka wylęgła z tego jajka jest szkodliwą, bo żywi się futrem i wełną.



— I to, proszę pani z owej liszki mól skrzydlaty wyleci? — pyta Pawłowa.

— O jeszcze nie tak prędko; liszka musi zamienić się w poczwarkę. Ta przemiana często odbywa się w dawnem miejscu, a często liszka wyjdzie i ukryje się gdzieś w ciemnym kącie lub zawiesza na suficie i dopiero po czterech tygodniach przekształca się w mola o jasnych, świecących skrzydłach.

— I co tu na nie poradzić? — pyta zafrasowana

pani Pawłowa — przyznam się, że nigdy nie miałam jeszcze takiego kłopotu.

— Kamforą i machorką poprzesypujcie ubranie, a wszystkie mole powymierają.

— Jeszcze lepiej kupić w składzie aptecznym naftaliny, która silny ma bardzo i nieprzyjemny zapach, ale zabije od razu owe szkodniki — mówi druga sąsiadka.

— A ja — mówi trzecia, ta, która o molach opowiadała — nic nie kładę w ubranie, tylko bardzo często i mocno trzepię i żadnego mola nie mam w domu. Nauczył mię tego kuśnierz, który przecie setki futer ma w lecie na przechowaniu. i tylko też często wytrzepuje, nie używając żadnych innych środków. Jajka moli są bardzo słabo uczepione do włosów futra lub włókien wełny, więc trzepiąc, z łatwością można się ich pozbyć.

— Dziękuję wam, moje panie, za radę, teraz już wiem co zrobię, użyję wszystkiego naraz: wytrzepię wszyscyścieńkie ubrania, kupię naftaliny kamfory i machorki i wyprawię molom taką ucztę, że mnie popamiętają!

Uśmiechnęły się na to sąsiadki i rozeszły do swych obowiązków, ale trzepanie rzeczy słycać było aż do obiadu.

Nazajutrz przez otwarte okno mieszkania pani Pawłowej rozchodziło się raz po raz głośne kichanie, które oznajmiało sąsiadkom, że kupcowa zakrzętała się na na dobre około tępienia nieproszonych gości, przesypując swe ubrania pieprzem tureckim, kamforą i machorką.

Marya Weryho.

PRZEŚLADOWCA OWADÓW.

Wracali ku domowi z dalekiej przechadzki. Na przodzie, widocznie zmęczona, szła pani Drozdowska, nauczycielka, z dziesięcioletnią Emilcią, która, dźwigając w ręku ogromny bukiet polnych kwiatów, odbiegała co chwila, by go jeszcze jakimś nowym z bogacić.

— A cóż się z Czesiem zrobiło? — zauważyła pani Drozdowska, oglądając się. — Tyle już dziś nabiegał, że mógłby iść spokojnie. Co on tam robi?

— Czesiu, pani się pyta. co ty tam oglądasz — zawołała Emilcia, podbiegając ku niemu.

Cześ, ośmioletni chłopczyk, w wysokich butach i białym krawacie, podparłszy się na grubej, sękatej lasce, pozostał w tyle o kilkadziesiąt kroków. Głowę miał ku ziemi spuszczoną, czemuś uważnie się przypatrując, a nogą, jakby w takt mazura, uderzał ciągle o ziemię, za każdym razem podnosząc tumany kurzu.

— Chodźno tu, Emilciu! Pokażę ci rzecz zabawną — wołał — wędrowkę mrówek; patrz, ile ich tu jest!

— Proszę pani, proszę pani zobaczyć, co one tu robią, co one niosą? — wołała zaciekawiona Emilcia.

Nauczycielka, chcąc przekonać się, co dzieci tak zajęło, zbliżyła się do nich i wraz z nimi przypatrywać się zaczęła. Droga dość szeroka, prowadząca ku wsi przez obsiane pola, była w tem miejscu przecięta ukośnie ciemniejszym trochę, poruszającym się szlakiem; tworzyły go tysiące mrówek, dążących jedne za drugimi, ka-

żda z nich dźwigała białe, większe od siebie jajko, wszystkie dążyły pospiesznie w tę samą kierując się stronę.

— Zobaczmy, jak długo się ciągnie ten pochód i dokąd się one wybrały — wołały dzieci, i wyprzedzając jedne szeregi mrówek, doganiały i miały coraz dalsze ich zastępy.

Już gładka, równa droga się skończyła i zaczęło się pole marchwi, uprawione w wysokie redlonki. Ale te redlonki, które w stosunku do wielkości owadów, zdawały się pasmem gór trudnych do przebycia, nie stanowiły przeszkody, dla widocznie doskonale wiedzącej dokąd dąży, gromady.

Zabawnie było widzieć, jak jedne wdrapowały się, z mazołem swój ciężar dźwigając, drugie schodziły, by za chwilę na nowe pasmo gór natrafić, a żadna nie zmieniła kierunku, żadnej nie zniechęciły wielkie grudy ziemi, spotykane co chwila, ani wystające korzenie, ani liść rozpostarty na ziemi, poza którym nic dojrzeć nie mogły. Żadne przeszkody ich nie wstrzymały, postępowały ciągle naprzód, dążąc do jednego celu, jakby dobrze uorganizowane wojsko.

Nareszcie udało się pani Drozdowskiej i Emilci dojrzeć ten cel ich podróży. Pod krzaczastą marchwią, znaczniejsza gromadka czarnych, ruchliwych istotek, krzątała się, jakby na powitanie przybyszów. Witające nie dźwigały jajek, były trochę drobniejsze. Prawdopodobnie one to przygotowały w tej przeprowadzce mieszkanie dla swych towarzyszek, bo nowo przybyłe znikały w niewielkich otworach, znajdujących się w twardej ziemi.

Emilka z zajęciem przypatrywała się temu ruchowi.

— Widzi pani — mówiła — te otwory prowadzą widocznie do długich kanałów, które aż na drugą stronę redlonki przechodzą. Tak, one mają tam pewnie całą sieć korytarzy, całe mieszkanie podziemne, do którego się wprowadzają. Ciekawa rzecz, dla czego podjęły to trudne zadanie, pójdźmy zobaczyć po tamtej stronie, dla czego dawne opuściły siedziby, co im tam złego było!

— O, niech się pani nie trudzi — zawołał Cześ ze śmiechem — ja to wiem, a raczej się domyślam. Wczoraj moja laska porobiła im dziury w mrówisku, pokopałem im gniazda, które miały z tamtej strony drogi. Jakie one były śmieszne, jak biegaly przestraszone, widziałem to dobrze i naśmiałem się niemało. Snać obawiając się powtórnego napadu szukają bezpieczniejszego schronienia.

— Nieznośny jesteś zawsze! Dzielny z ciebie wojownik przeciw tak słabym istotom! Czy im teraz takt wybijas, aby smutny pochód rozweselić? — mówiła z żalem Emilka.

Cześ spojrział na siostrę i zarumienił się trochę, on nie myślał wcale o muzyce, tylko małe, biedne mrówki, biegnące drogą, przydeptywał obcasem. Sposprzegła to pani Drozdowska i spojrziała surowo na Czesia.

— Nie masz się czem chwalić, nie postąpiłeś wczoraj ani mądrze ani pocziwie; zburzyć coś i popsuć jest zawsze łatwo; łatwo też małe, bezbronne stworzenia zgnieść i życia pozbawić; ale czy szlachetnie? Doprawdy, pojąć nie mogę twej niepocziwości!

SZARADA.

ułożył Aleksander Ster.

Wprost — w Sybirskiej płynę krainie,
Wspak — spółnikami mogą być jedynie.

ŁAMIGŁÓWKA GEOGRAFICZNA.

od Aleksandra W. dla Mani i Wańdzi Z.

. Zastąpić kropki literami
. aby litery oznaczone
B * * * * * gwiazdkami złożyły na-
. zwę miasteczka znanego
. ze zwycięstwa w połowie
. XVII wieku.

Znaczenie wyrazów w kierunku pionowym: 1) Wyspa na m. Egejskim. 2) Rzeka w Hiszpanii. 3) Miasto we Włoszech. 4) Wyspa na m. Śródziemnym. 5) Rzeka w królestwie polskim. 6) Miasto nad m. Czarnym. 7) Dopływ Elby. 8) Miasto w gub. Witeb. gdzie zwałiska zanku Krzyżackiego. 9) Forteca nad Renem. 10) Wulkan w Europie. 11) Miasto w Galicyi.

ŁAMIGŁÓWKA KRYSZTAŁOWA.

ułożyła Polska Różyczka.

1. Spółgłoska.
2. Przyimek.
3.
4. Zaimek pytający.
5. Samogłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery złożyć mają imię żeńskie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 29.

Zagadki: Bug, buk.

Łamigłównki kryształowej

J
S a n
S a n o k
M i s S u r i
T e r m o p i l e
J a n S o b i e s k i
G a l l i p o l i
A r t e m i s
D e s n a
O k a
i

Łamigłównki kropkowanej:

skarb wieczny, cnota klejnot drogi,
legoc nie wydrze nieprzyjaciół srogi,
Nie spali ogień, nie zabierze woda,
Nad wszystkim innym panuje przygoda.

Jan Kochanowski.

Skrzynka do listów.

Switeziance. Nietylko panowanie Bolesława Wstydliwego było nieszczęśliwe, bo zaznaczone wojną domową i dwukrotnym napadem Tatarów, ale odznacza je jeszcze długość wyjątkowa. Bolesław bowiem po zgonie ojca swego, Leszka Białego, został księciem krakowskim i sandomierskim w wieku zaledwie lat siedmiu i zbyt ciężkie dla się obowiązki monarchy, sprawował do śmierci swej przez lat 52. Długiem również i nieszczęśliwym było panowanie Zygmunta III-go Wazy, które trwało lat 45.

Serdeczne słowa listu **Wróżbiarki szczęścia**, tak dawnej przyjaciółki i czytelniczki **Wieczorów**, są nam wielce przyjemne, a żal po stracie „Kochanej Pani,” której życie promieniało szeregami rzadkich cnót i zasług, uważamy jako kwiatek pamięci i wdzięczności złożony na jej grobie. Pragniemy też idąc jej śladem, zyskać ową miłość i zaufanie, jakie ona wzbudzić umiała w młodzieży, ku czemu dopomoże nam niewątpliwie szczerą przyjaźń nasza dla wieku młodzieńczego. Miano więc, kochanej Pani, jakie nam **Wróżbiarka** daje, będzie nam zawsze najmiłsze, a liściki naszych młodych przyjaciół, rzeczywistą przyjemnością, i niema obawy, aby nas kiedy znudzić mogły. Niewątpliwie choroba drogich sercu naszemu osób, jest wielkiem zmartwieniem, niechże więc Bóg udzieli raczy zdrowia, zarówno drogiej **Wróżbiarce** jak jej ukochanej manusi.

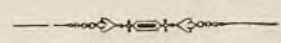
W imieniu biednych dzieci z Kolonii letnich dziękujemy **Waluchnie i jej nauczycielce** za nadesłanego rubla oraz **Zosi M.** za dwie sukienki własnej roboty. Dary te tym więcej nabierają wartości, o ile miłe nasze korespondentki używając w pełni przyjemności życia wiejskiego, umiały zrozumieć i odczuć jak bardzo pokrzywdzeni są ci, którzy skazani są jedynie na oddychanie żółkciem i niezdrowym powietrzem wielkiego miasta, przy wsłinnym niedostatku.

Jeżeli głowa konia narysowana jako winiętka na **Lusi W.** jest jej dziełem, to wcale nieźle się udała i gotowiś. Jej próby sądząc, zachęcić **Lusię**, by nie zaniedbała kształcić powoli wrodzony, a tak miły w życiu talenik.

Prośbie **Stonia z Nubii** **Jaskółka** za swym powrotem niezawodnie z miłą chęcią uczyni zadość, jeżeli tylko będzie jej to możliwe. Rzeczywiście, nie omylił się **Stoń** w obrachunku, jak długo list jego wędrować będzie do naszej redakcyi, bo zaledwie w tych dniach odebraliśmy go; zatem od wysłania minęło z górą dwa tygodnie. Zdarza się najczęściej, że dopiero poznawszy z bliska jak wiele sił robotnika pochłania dana praca, umiemy takową należycie ocenić, a kamieniarstwo niewątpliwie należy do rzędu najcięższych i bodaj najmniej dochodowych. Niestety lato tegoroczne wywołuje z wielu stron kraju naszego liczne skargi i my w Warszawie pragniemy nieco ustalonej pogody, której z całego serca życzymy również młodzieży naszej na wakacyach. Rozwiązania łamigłównki dobre.

Sądzymy, iż zbytecznem będzie zapewnienie **Aleksandra W.**, że w równym stopniu jak jemu pisanie, nam przyjemnem jest odczytywanie jego listów, których wymiana zapoznała nas już tak dobrze, iż jesteśmy, jak starzy znajomi. Podzielamy też w zupełności upodobanie jego do powieści historycznych; obrazki te bowiem rzucają nieco światła, o ile naturalnie są wierne, na minione wypadki dziejowe, na drobne stosunki i szczegółowy koloryt danej chwili, są więc cennym dodatkiem do poważniejszych studyów. Wczesne odrabianie zadań szkolnych świadczy o umiejętnem użyciu czasu, co jest wielką zaletą w wieku młodzieńczym, które nas przysposabiać powinno do poważniejszych jeszcze obowiązków. Łamigłównki i szarady przejrzymy później, dziś przesyłamy miłe pozdrowienia.

Własnego układu łamigłównki nadesłali: **Orzeł karpacki**, **Tadzio W.**, **Gofał pocztowy Anulka i Marynia** oraz **Smok**; dobre zaś rozwiązania: **Mieczysław B.**, **Giermek**, **Marylka** i **Stokrotka nadnie-meńska**.





WIECZORY RODZINNE



POMNIK ADAMA MICKIEWICZA W KRAKOWIE.

DAWNI NASI MALARZE.

(Dalszy ciąg)

Mieliśmy także znanego za granicą malarza Tadeusza Konicza, zwanego również Konicem, Kończą, a przez Niemców Kuntze. Był on rodem z Krakowa, pochodził z gminu jak to nawet odmiany jego nazwiska wskazują; posługiwał przy kuchni Andrzeja Załuskiego biskupa krakowskiego, który spostrzegłszy w nim zdolności do rysunku, oddał go najprzód do szkół a potem wysłał do Rzymu na naukę malarstwa w którym się kształcił u słynnego wówczas Karola Maratti, mistrza również Szymona Czechowicza.

Konicz, wróciwszy do Krakowa, malował obrazy religijne. W połowie XVIII wieku wyjechał znowu do Rzymu a zamtąd wezwany na dwór króla hiszpańskiego, pozostał już w Hiszpanii i umarł tam w bardzo późnym wieku. Wezwane to świadczy, że musiał być niepospolitym artystą, bo Hiszpania—ojczyzna Murilla i Velasqueza, stała w owej epoce wysoko pod względem sztuki.

Wszyscy więc nasi artyści, o ile byli znakomici, pozostawali za granicą, gdzie znajdowali uznanie. Pierwszym, który pracował w kraju i dla kraju, bo starał się w nim szerzyć zamiłowanie i znajomość sztuki był Czechowicz. Urodzony w Krakowie r. 1689 znalazł zanego opiekuna, w osobie Ossolińskiego, który go wysłał do Rzymu. Trzydzieści lat przebył Czechowicz we Włoszech, przejął się zupełnie sposobem malowania i kolorytem swego mistrza Karola Maratti. Po powrocie do Polski osiadł w Warszawie i w domu własnym otworzył bezpłatną szkołę malarstwa. Sztuka zastępowała mu rodzinę, której nie miał nigdy i jej też poświęcił się cały. Pod koniec życia, które było bardzo długie, gdyż umarł dopiero w r. 1775, wstąpił do zakonu księży Kapucynów w Warszawie, jako tereciarz i tam życie zakończył.

Zostawił mnóstwo obrazów religijnych, kilka z nich jest na obecnej wystawie. Wszystkie odznaczały się jasnym układem kompozycji, dobrym rysunkiem i pięknym kolorytem.

Następcą jego był bliższy nam epoką Franciszek Smuglewicz, ur. w Warszawie r. 1745. Był on synem malarza, który nie zaznaczył się w dziejach sztuki, ale był przynajmniej pierwszym nauczycielem syna i poznał się na jego zdolnościach. Kształcił go Czechowicz, z którego siostrzenicą później się ożenił. Głównie też za sprawą tego prawdziwego artysty i miłośnika swej sztuki, ośmastoletni Smuglewicz wyjechał do Włoch. W Rzymie wszedł do szkoły Rafaela Mengsa, bardzo w swoim czasie słynnego mistrza, tam kolegował z francuzem David'em, który później dostąpił także wielkiej sławy w swojej ojczyźnie. Ofiarowano korzystną posadę i pracę naszemu artyście w Anglii, ale on wolał wrócić do kraju, gdzie założył najprzód własną szkołę malarstwa a od r. 1797 aż do śmierci r. 1807 był profesorem w akademii Wileńskiej, gdzie też umarł.

Posiadamy bardzo dużo jego obrazów, przeważnie religijnych i historycznych, ale niestety wiele pięknych dzieł jego uległo zniszczeniu. W kościele np. u-go Krzyża na Łysej Górze piękne jego freski czyli obrazy malowane na świeżym murze znajdują się dziś w opłakanym stanie. Artysta przedstawił w nich całą legendę o założeniu tego kościoła i o przewiezieniu relikwii Krzyża Świętego, jaka się w nim znajduje *).

Na wystawie obecnej jest kilka prac Smuglewicza, między innymi obraz olejny „Bitwa pod Beresteczkiem” i rycina „Bitwa pod Raszynem”.

W Smuglewiczu znać przejęcie się szkołą włoską. Współczesnym mu, prawdziwie swojskim malarzem, był krakowianin, Michał Stachowicz, który żył i umarł w swem ro-

dzinem mieście. Ur. 1768 r., um. 1825. Nie miał on sposobności kształcenia się u zagranicznych mistrzów, ani podziwiania arcydzieł sztuki, wszystko co umiał, zawdzięczał swej pracy i malarzom cudzoziemcom w Polsce osiadłym. Obrazy jego świadczą, że posiadał wielkie zdolności, którym jednak brakło należytego kierunku. Oprócz obrazów religijnych i historycznych zyskały mu największą sławę utwory, w których najpierwszy przedstawił sceny z życia naszego ludu, stroje, obyczaje i typy. Tym sposobem więcej zrobił dla naszej sztuki, niż szczęśliwsi od niego artyści, którzy wprowadzili lepiej się wykształceni za granicą, ale przytem zatracili cechy narodowe. Wszyscy malarze, o których mówiliśmy dotąd mogli być tak dobrze Włochami lub Francuzami, w Stachowiczu zaś odrazu poznać można polskiego malarza.

W. Marré.

(d. c. n.)

Zofia Kowerska

DZIELNY CHŁOPIEC.

(Dokończenie).

— Dobrze! Dawaj, pieniądze się u mnie nie przelewają i potrzebuję ich!

— Nie, proszę pana, ja tylko chcę żeby pan był łaskaw... żeby pan pozwolił... żeby pan się nie gniewał...

— Cóż ty, paniątko, zapominasz języka w gębie!

— Ja proszę żeby Franusia oddać do szpitala, a ja za niego zapłacę wszystko.

Pan Dratwiński z pod chmurnego czoła i krzaczastych brwi spojrzął na Józika i nagle coś się dziwnego stało z tym ostrym i gburowatym człowiekiem. Rysy jego przybrały wyraz wielkiego rozrzewnienia, w oczach zabłyśły łzy, otworzył ramiona i do bijącego wzruszeniem serca, zamkniętego w szerokiej piersi, przycisnął Józika.

Ale nie powiedział ani słowa. Bał się, by się głośno nie rozplakał, a nie był przecie płakliwą babą, wyszedł więc z izby, nie wyrzekłszy ani słowa.

Józik jednak poczuł, że zwycięstwo było po jego stronie. Teraz zostawała tylko pani Dratwińska. Józik myślał, że sobie łatwo z nią poradzi, tymczasem kobieta ani słyszeć chciała:

— Co, miałabym dziecko oddać do szpitala? Czy to ono już takie ostatnie? Czy to ono już taka sierota bez ojca i matki, żeby je do szpitala oddawać!

Nie było rady, bo z głupotą rada najtrudniejsza. Józik wrócił do domu strapiiony i zamyślony. Miał ciągle w oczach wymizerowaną twarz Franusia i jego spojrzenie, w którym malowały się wszystkie jego cierpienia.

Zwierzył się panu Wirwońskiemu, który odpowiedział:

— Kontent jestem, że się tak stało. Możeby w szpitalu tego chłopca nie uratowali, a tybyś stracił zarobek twój cały.

Józik z niepokojem oczekiwał następnej niedzieli. Może już biednego Franusia przy życiu nie zastanie?

Tymczasem we wtorek przyszedł z Pragi posłaniec z prośbą od państwa Dratwińskich, by Józik natychmiast do nich przybył, bo chodziło o ważną sprawę. Józik odpowiedział, że majstra nie było w domu i musiał czekać na jego powrót, by dostać pozwolenie odejścia od roboty w dzień powszedni. Po obiedzie, dostawszy pozwolenie, ruszył na Pragę.

Został scenę taką:

Pan Dratwiński chodził wielkimi krokami po izbie, pani w kącie płakała, Franuś jęczał i zdawało się, że kona. Ksiądz właśnie odchodził od niego.

*) Legendę tę zamieściła p. Łopuszańska w „Obronie bogów.”

— A rób ty z nim co chcesz! — zawołała do Józika pani Dratwińska — ksiądz mówi, że go trzeba oddać do szpitala! Ja już na nie nie mam głowy, róbcie sobie co chcecie! Już mi i sił nie staje patrzeć jak to dziecko się męczy! Może ty, Józiku, masz jakie natchnienie od Pana Boga!

Pan Dratwiński wyciągnął rękę do Józika i rzekł gburawo, bo chciał ukryć wzruszenie i żal, który go ścisnął za gardło:

— Nie mam ani grosza w domu i pożyczyc mi ciężko... oddam ci gdy będę mógł.

Józik aż krzyknął z radości:

— A, chwała Bogu!

Z wielkimi ostrożnościami umieszczono Franusia na materacach i poduszkach, z których zrobiono rodzaj posłania w dorożce. Po em kazano jechać wolno. Pan Dratwiński szedł z jednej strony dorożki, Józik z drugiej. Wieziono Franusia do Warszawy, gdyż prosił, by go umieszczono w szpitalu najbliższym tej ulicy, przy której mieszkał Józik. Złożono go na czystym, białym szpitalnym posłaniu, do którego zbliżyła się zaraz Siostra Miłosierdzia, mająca wziąć Franusia w opiekę.

— Jutro rano przyjdą lekarze — mówiła — to zadecydują co jest do zrobienia, a tymczasem będziesz należał do mnie, mój biedny chłopce.

Józik pożegnał Franusia. Obiecał mu, że codziennie, w godzinie obiadowej, gdy miał czas na odpoczynek, będzie przybiegał do szpitala, który był niedaleko od sklepu pana Wirwońskiego. Może wszystkiego jaki kwadrans trzeba było iść spiesznym krokiem, a Józikowi, gdy biegł po swoje, to i dziesięć minut wystarczało. Poprosił on Siostry Miłosierdzia, żeby mu pozwoliła choć na parę minut widywać się codziennie z Franusiem. Potem poszedł prosić pana Wirwońskiego, by odebrał z kasy oszczędności pieniądze, które tam składał na jego imię.

Nazajutrz w porze obiadowej, Józik zjawił się w szpitalu. Zastał Franusia cierpiącego bardzo, ale ożywionego trochę nadziei. Operacja miała się odbyć nazajutrz a lekarze oświadczyli, że jeżeli tylko siły Franusia nie są zbyt wyczerpane, to powinien przyjść do zdrowia. Byłe tylko miał dość sił do przetrwania operacji!

Franus błagał Józika, żeby przyszedł nazajutrz rano przed operacją. Chciał się z nim pożegnać i prosił by też sprowadził rodziców. Czuł, że mu niewiele brakowało do śmierci i chciał, nim go zabiorą do sali operacyjnej, widzieć wszystkich tych, których kochał najbardziej.

Józik posłał kartkę do państwa Dratwińskich i z nieśmiałością przyszedł prosić pana Wirwońskiego o uwolnienie nazajutrz na pół dnia.

— Uwalniam cię — rzekł pan Wirwoński. — Od tego czasu jak tu jesteś, dopiero pół dnia powszedniego spróżnowałeś. Jutro będzie drugie pół dnia.

Już od godziny ósmej Józik czekał w szpitalu. Dopiero o dziesiątej wpuszczono go do Franusia i to tylko na chwilę, gdyż czekali właśnie na przybycie lekarzy, a wtedy nikomu przy chorym być nie pozwalano. Franus żegnał się z rodzicami i Józikiem, jakby miał iść na śmierć. Pani Dratwińska cały szpital napelniła krzykliwym płaczem.

Nareszcie rozeszła się wiadomość, że lekarze już są i zdrowych wszystkich wyprawiono. Wyszli państwo Dratwińscy i Józik byłby wyszedł gdyby nie to, że Franus tak się rękami uczeplił jego szyi, że go od niej oderwać nie było można. W końcu Józik wyperswadował Franusowi, że nie mógł zostać przy nim i uwolnwszy się od jego uścisku, usiłował conajprędzej wymknąć się z sali, gdy ujrzał wchodzących kilku mężczyzn w białych fartuchach, przypominających wyglądem swoim kucharzy. Na przedzie szedł jakiś mężczyzna starszy, tuż za nim młody, na którego widok Józik zaczerwienił się, potem zaś zbladł jak chusta. Zapomniał gdzie się znajduje, zapomniał, że nie miał prawa osobą swoją zajmować czasu tym ludziom, zapomniał o wszystkim na świecie. Podbiegł do młodego lekarza i chwyciwszy rękę

jego w swoje drżące dłonie, przycisnął ją do ust gorących, i wyszeptał:

— Mój Boże, mój Boże!.. Co to za szczęście!..

Wesołowski, gdyż to był on właśnie, podniósł głowę chłopca, by spojrzeć w twarz jego, potem głosem, za którego dźwiękiem Józik tak długo tęsknił, zawołał:

— Józik! Skąd się tu wziąłeś? Szukałem cię od sześciu miesięcy po całej Warszawie!.. Józik, czy być może!

Uściskali się serdecznie.

— Ja tu oddałem do szpitala chłopca...

— Ty oddałeś? Jakiego chłopca?

— Mają mu obciąć nogę!

— Aha! Ta noga to się pod mój nóż dostanie! Czy możesz na mnie w przedśionku poczekać? Stęskniłem się do ciebie i nie puszczę cię tak łatwo!

— Poczekał panie, poczekał, choćby dzień cały!

Po godzinie czekania, Józik poczuł, że jakaś ręka chwytła go za ucho. Odwrócił się; miał za sobą Wesołowskiego.

— A czy to nie warto dać ci dobrze za uszy, za to, żeś się do mnie nie zgłosił. Przecie musiałeś wiedzieć, że jestem w Warszawie?

Poszli razem ku mieszkaniu Wesołowskiego, opowiadając sobie wzajemnie, jakie przechodzili koleje. Wesołowski przez lat parę był przy jednym ze szpitali paryskich. Teraz od pół roku osiedlił się w Warszawie, gdzie miał nadzieję zdobyć sobie praktykę, jako operator. Był zawsze wesóły i szczęśliwy. Wszystko mu się wiodło, on lubił ludzi i ludzie go lubili. Mówiono powszechnie, że miał wielką zręczność jako operator. Był jeszcze szczęśliwy z tego względu, że się zenił z bardzo dobrą i miłą panienką. Brał żonę zupełnie ubogą, ale znał jej przymioty i wiedział, że mu będzie w życiu pomocą i radością. Zapraszał Józika na wesele.

Józik się wymawiał:

— Gdzież ja tam między panami...

— Józik! — krzyknął Wesołowski — nie bądź głupi! Cóż to, nie wiesz, że przyjaciel na weselu przyjaciela być musi?

Józik nie bardzo długo mógł być u Wesołowskiego, bo doktora wezwano do jakiegoś chorego. Gdy się Wesołowski zabierał do wyjścia, Józik zapytał:

— Czy Franus... z nogą amputowaną, żyć będzie?

— Operacja się udała. Powinno być dobrze! Tylko tam sił za grosz nie ma! Ratunek może być spóźniony. Żeby tak kilka miesięcy wcześniej, toby żył z pewnością. No, pamiętaj, że moje wesele w niedziele. Przyjdziesz do mnie rano i już ja cię do mojej narzeczonej zaprowadzę.

Józik, na weselu, doznał tej wielkiej przyjemności, że zobaczył Płaksę i Aliganta. Ostatni był lekarzem w Kaliszu, zaś Płaksa osiedlił się w małym miasteczku niedaleko Radomia. Aligant był tak wystrojony, że się każdy oglądał na niego, miał na sobie prześliczny krawat, który mu Wesołowski przywiózł z Paryża. Płaksa był zawsze kwaśny, i choć był na weselu, miał minę pogrzebową. Nie dobrze mu się wiodło w miasteczku i ludzie mówili, że chorzy jego umierają ze znudzenia, patrząc na niego. Przy obiedzie weselnym Wesołowski pił zdrowie swoich najlepszych przyjaciół: Aliganta, Płaksy i Józika. Panna młoda stuknęła swym kieliszkiem w kieliszek Józika, mówiąc:

— A niech Józik pamięta, że powinien uważać dom nasz za dom najbliższych sobie i najżyczliwszych ludzi. Mój mąż mówił mi wiele o Józiku.. A czy żyje jeszcze Bosy?

— Żyje, proszę pani.

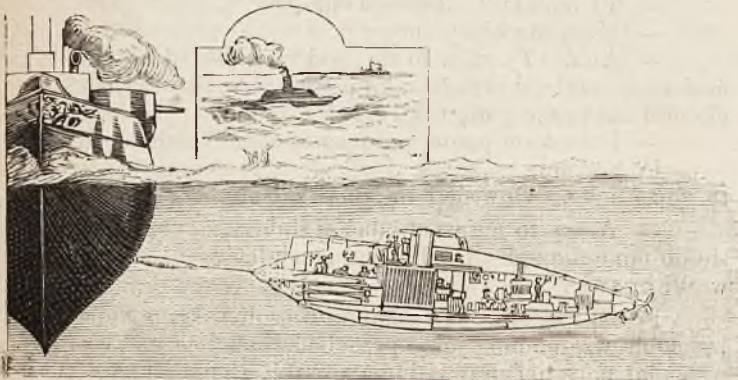
— To i Bosego proszę przyprowadzić.

Franus długi jeszcze czas nie mógł przyjść do siebie. Noga mu się powoli goiła, ale daleko już mniej go bolała i mógł przynajmniej sypiać w nocy. Po paru tygodniach rodzice zabrali go ze szpitala do domu, a Wesołowski dla Józika to zrobił, że raz na tydzień jeździł opatrywać chorą nogę. Sen przynosił choremu pokrzepienie, apetyt powrócił i pewnego dnia Franus zażądał, by mu dano jaką robotę, bo już dosyć się napróżnował i pragnął być rodzicom pożytecz-

nym. Pani Dratwińska z radością opowiedziała to Józikowi w niedzielę.

I rzeczywiście aż się serce radowało, gdy się patrzyło na Franusia, na którego twarzy, już trochę pełniejszej poczynił się ukazywać rumieniec zdrowia i młodości.

Powrót do zdrowia Franusia był dla państwa Dratwińskich początkiem lepszych czasów. Chłopiec, choć chodził o kulach, okazał się pracowitym, zapobiegliwym i bardzo sprytnym w prowadzeniu wszystkiego w sklepie i warsztacie.



Statek podwodny „Holland.”

Był sprawiedliwym i uprzejmym dla chłopców i czeladników, u matki wyrabiał dla nich mniej skąpo wydzielane jedzenie więc przestali uciekać z zakładu pana Dratwińskiego, który prędko spostrzegł, że miał w kalekim synu dzielnego pomocnika i doradcę.

Franuś utrzymuje, że wydane przez Józika na szpital pieniądze, odda mu co do grosza.

Józik jest zawsze u pana Wirwońskiego, który kilka dni temu przywołał go do siebie i powiedział mu:

— Moi synowie są w uniwersytecie. Jeden będzie lekarzem, drugi prawnikiem, ty więc Józiku, musisz interes cały, sklep i warsztat prowadzić wraz ze mną, z tą myślą, że kiedyś, gdy ja już będę za stary, bym mógł pracować, ty mnie ze swego zarobku spłacisz i moją firmę odziedziczysz, to znaczy, że obok mego nazwiska, na szyldzie postawisz swoje nazwisko.

Józik zgodził się chętnie i od tej chwili pracuje on jeszcze gorliwiej. Pan Wirwoński wtajemnicza go we wszystko co dobry i uczciwy przemysłowiec umieć i rozumieć powinien. Może za jakie lat dziesięć na sklepie z obuwiem przechodnie czytać będą: *Józef Kilowski*.

Bosy już nie istnieje. Zginął bohaterską śmiercią. Pewnego dnia państwo Wesołowscy zaprosili Józika na majówkę. Wyjechali z nim na Morysinek. Mieli w koszyku zapasy i usiedli w cieniu na trawie, żeby je spożyć. Wtem, pies wściekły, za którym z daleka ludzie gonili, rzucił się na panią Wesołowską i nawet rozdarł jej suknię. Wtedy Bosy zrozumiał, jaki był jego obowiązek. Rzucił się na wściekłego psa i stoczył z nim zjadłą walkę. Tymczasem nadbiegli żołnierze, sprowadzeni przez włóścian, goniących z kijami za psem i kilku wystrzałami położyli na miejscu i Bosego i jego przeciwnika.

Bosy ocalił panią Wesołowską, ale sam nie powrócił już z majówki. Józik oplakał zgon jego łzami szczerego żalu.

Wesołowski bywa często jako lekarz u tej pani, którą Józik pożegnawszy państwa Dratwińskich, spotkał na ulicy z sześcioma pieskami na sznureczkach. Pieski te żyją i mają u swej pani utrzymanie, ale przestała już ona kochać je więcej od ludzi. W jej domu, w jednym tygodniu umarli z tyfusu, stróż i stróżowa, zostawiając troje drobnych dzieci. Pani z pieskami idąca na spacer, usłyszała płacz opuszczonych dzieci, które jakaś krewna zabierała, bijąc je i przeklinając. Wtedy to pani, która miała dobre i ludzkie serce, tylko za-

krwawione przez brata, poczuła litość wielką i dzieci zabrała do siebie. Odtąd pieski przestały być jej jedynym szczęściem. Wyznała ona Wesołowskiemu, że świat innym, lepszym jej się wydaje, odkąd czuje się pożyteczną, bo troje dzieci postanowiła wychować na zacnych i porządnych ludzi.



W OBŁOKACH I POD WODĄ

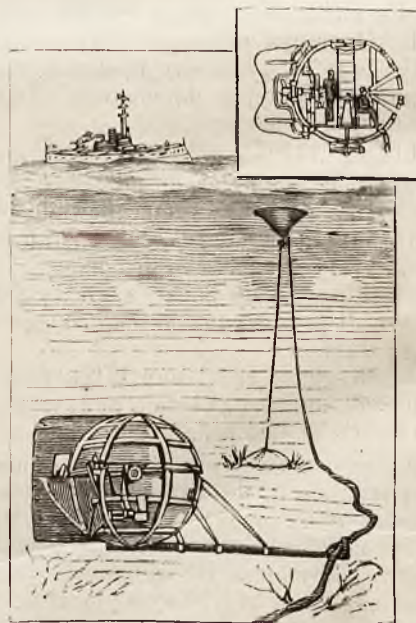
WYPRAWY „LATAJĄCEJ RYBY.”

opisał H. C.

Od autora.

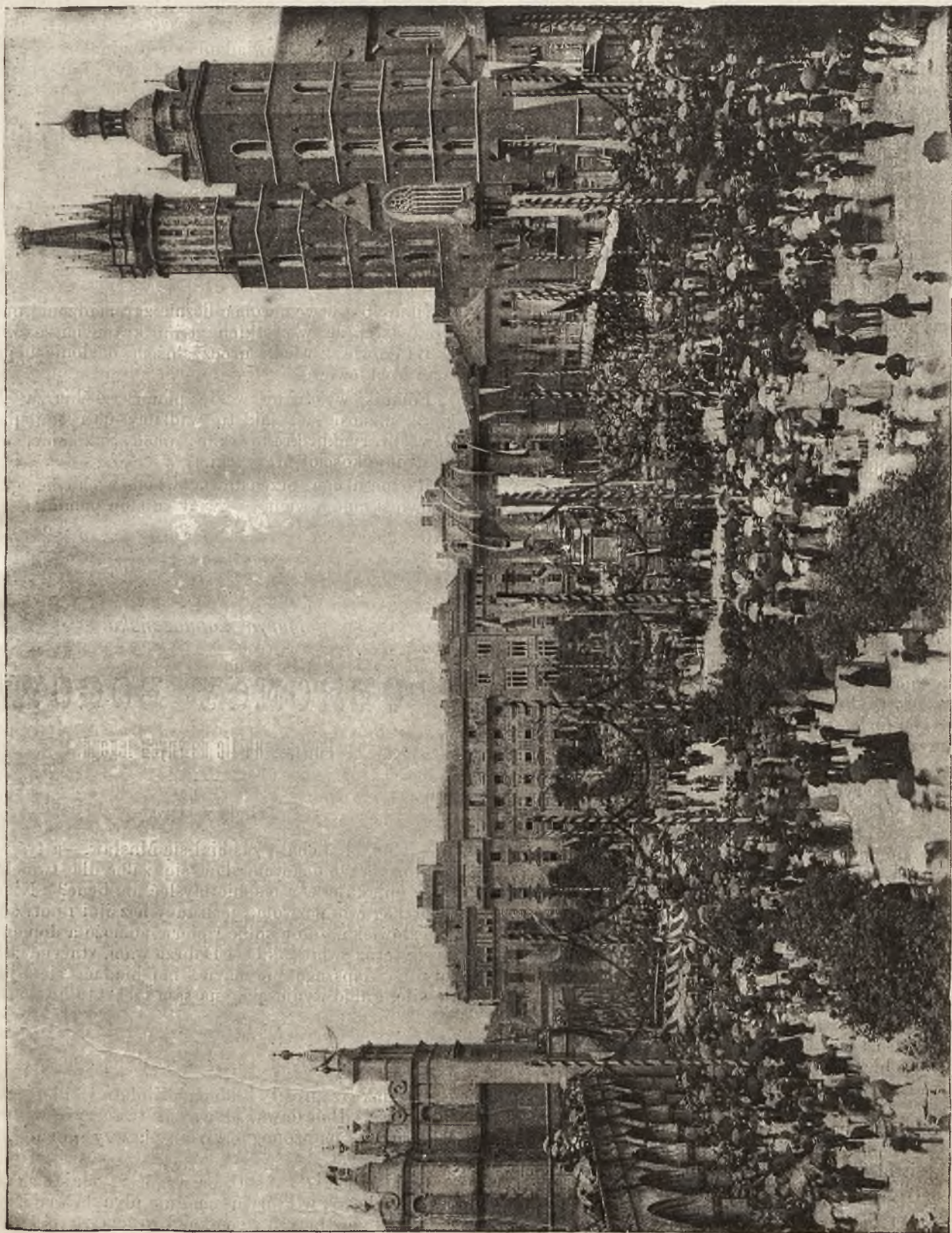
Od czasu, gdy przed trzydziestu laty Juliusz Verne w swej żywej a nieraz wieszczęj wyobraźni odtworzył statek podwodny, Nautilus, poruszany elektrycznością, i opisał jego podróże po wszystkich morzach kuli ziemskiej, pod kierunkiem tajemniczego kapitana Nemo, technika i wynalazczość ludzka uczyniła olbrzymie postępy. Można śmiało twierdzić, że kwestya statków podwodnych została w zasadzie rozwiązana. Dowodem tego najlepszym jest ta okoliczność, iż wojujące obecnie państwa, to jest Stany Zjednoczone Ameryki północnej i Hiszpania posiadają po jednym statku, różnej wprawdzie, lecz podobnej konstrukcyi, które mogą przebywać i pływać pod powierzchnią morza około 10 godzin z rzędu.

Rzeczpospolita amerykańska liczy w spisie swej floty statek podwodny „Holland,” zbudowany w r. 1890 przez



Statek „Robotnik podwodny.”

Irlandczyka J. P. Hollanda. Jak widać z załączonego przeznienie rysunku, jest to podwodny torpedowiec, kształtu cygara, mającego 53 stopy długości. Ciężar jego wynosi 16 tonn a powiększa się do 26 tonn, jeżeli do specjalnych przegródek wejdzie woda, potrzebna, aby swym ciężarem statek zanurzyć. Za pomocą maszyn reguluje się ilość wody, stanowiącej balast, i w ten sposób statek może pływać na dowolnej głębokości; stosownie zaś urządzony ster pozwala mu zmieniać kierunek ku dnu lub ku powierzchni morza. Podwodny ten torpedowiec wyrzuca z siebie torpedy, których wybuch zatapia okrę-



ODSEŻNIĘCIE POMNIKA ADAMA MICKIEWICZA W KRAKOWIE.

ty nieprzyjacielskie, a do wyrzucania torped za pomocą ścięsnionego powietrza, posiada armatę wynalazku kapitana Zalińskiego.

Na wyjątkową uwagę zasługuje jedno urządzenie, pozwalające załodze, złożonej z ośmiu ludzi, widzieć z głębi morza to, co się dzieje na jego powierzchni. W tym celu z grzbietu statku wysuwa się długa rura, zaopatrzona w przyrząd podobny do ciemni optycznej (camera obscura), widok morza, odbity od lustra, pada na tafłę szkła matowego wewnątrz statku tak, że zamknięci pod wodą ludzie widzą, co się dzieje na morzu lecz w niewielkim tylko promieniu. Zbyteczną też rzeczą dodawać, że w ścianach swych „Holland” posiada szyby szklane, przez które można obserwować głębie morskie, oświetlone snopem promieni elektrycznych.

Szybkość statku wynosi 16 węzłów na godzinę na powierzchni morza, a 8 pod wodą, ale główną jego niedogodnością jest to, że ze względu na konieczną oszczędność miejsca, niema tam ani łożek, ani żadnego składu żywności tak, że statek musi zawsze znajdować się w pobliżu jakiegoś zycznego okrętu, który przynajmniej dwa razy na dzień dostarcza żywności i zmienia załogę.

Podobną niedogodność posiada i hiszpański „Robotnik podwodny,” zbudowany we Francji według planu hr. Piatti del Pozzo.

Jest to kula metalowa, mająca w diametrze 9 stóp; waga 9 tonn. Powietrze ścięsnione w środku wystarcza dla trzech ludzi w ciągu 8 godzin. Poruszany maszyną elektryczną, statek ten płynie z szybkością 8 do 9 węzłów na godzinę, i oświetlając sobie drogę elektrycznością, może z łatwością prowadzić okręty wojenne po wodach, usianych torpedami, albo zakładać miny pod okręty nieprzyjacielskie. Nadto z przodu jego w razie potrzeby wysuwają się długie nożyce, czy też szczypce, łączące stacye elektryczne z torpedami na dnie morza, zapobiegając przez to ich wybuchowi.

Ale oba te statki są niczem, są nieudolną zabawką wobec statku, którego opis i dotychczasowe dzieje opowiedział mi dawny mój przyjaciel, baronet Reginald Elphinstone. Nie widziałem się z nim w ciągu lat kilku i najnie spodziewaniej spotkałem go na pokładzie Aurory. Płynęliśmy razem z Dwuru do Calais, a następnie jechaliśmy przez całą Francję i Włochy; ja do Rzymu, on dalej, do Brindisi, a stamtąd przez Suez do Kalkuty.

Było to w końcu kwietnia, w kilka dni po wypowiedzeniu wojny przez Amerykę.

Kiedy z zapalem rozwodziłem się przed nim nad zalecaniami „Hollanda” i „Robotnika podwodnego”, wzruszył on lekceważąco ramionami i rzekł z widocznym ożywieniem:

— Mój Henryku! co znaczą te dwa niedołączne żółwie, któremi się chętniej wojujące strony. Co one znaczą wobec mojej „Latającej Ryby”, wobec tego cudownego statku, który za pociśnięciem kilku guziczków, puł powietrze, jak strzała, latał wśród obłoków, lub szybował w głębi morza. I powiedzcie, że ten statek należał do mnie, że rok temu chodziłem po jego pokładzie, spałem, jadłem, mieszkałem razem z tym nieocenionym profesorem, z Mildmay'em i Lethbrid'em! Ja, który leciałem na nim z szybkością stu pięćdziesięciu mil na godzinę, aż na biegun północny, muszę teraz sunąć się na zwykłym parowcu, rzućany i targany przez te marne fale kanału la Manche!

Spojrzałem na niego zadziwiony, zapomniawszy, jak to mówią, języka w gębie. On ciągnął dalej:

— Tak, istnieje taki statek i ja jestem jego właścicielem! Ach! gdyby ten stary profesor, ten genialny Karliński odzyskał przedź przytomność!...

— Przepraszam, rzekłem, przerywając mu. Uważałem cię zawsze za człowieka wesołego i dowcipnego, lecz poważnego i prawdziwego. Twierdzisz więc, że jesteś posiadaczem statku, który lata w powietrzu i pływa pod wodą, że odbyłeś na nim podróż napowietrzną do bieguna północnego. Wybac, ale temu trudno dać wiarę.

— Tak, byłem na biegunie, byłem na dnie oceanu, w głębiach Afryki i na szczycie Himalaja! Tak, twierdzą to

stanowczo, jakem sir Reginald Elphinstone, a jeśli nie wierzysz, potwierdzą ci to samo Mildmay, Lethbridge, wreszcie Jerzy mój lokaj, który płynie w tej chwili z nami, i kucharz którego zostawiłem w domu. Oni razem ze mną odbyli tę próbną wyprawę, po ukończeniu której mieliśmy całemu światu przedstawić nasz cudowny statek. I byłoby to nastąpiło z pewnością, gdyby... Ale słuchaj! wolę ci wszystko opowiedzieć od początku; czasu mamy dosyć.

Z tego właśnie opowiadania sir Reginalda i jego notatek skreśliłem opis nadzwyczajnej wyprawy „Latającej Ryby,” który tu w bardziej zajmującej formie opowieści pomieszcza.

(d. c. n.)

Pomnik Adama Mickiewicza w Krakowie.

Dnia 26 czerwca, wobec licznie zgromadzonej publiczności, przybyłej ze wszystkich stron kraju naszego, odbyło się w Krakowie z wielką uroczystością odsłonięcie pomnika, Adama Mickiewicza.

Pomnik wykonany wedle planu rzeźbiarza Teodora Rygiera, wznosi się, jak to widzimy na rycinie pierwszej, w głównym rynku krakowskim, obok Sukiennic, mając po lewej stronie kościół Maryacki.

Rycina druga przedstawia właśnie chwilę, gdy liczne delegacje składają wieńce i kwiaty u stóp pomnika.

Marya Łopuszańska.

OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg).

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się Masław, — a tyś wciąż sądził, starcze, że ochotnie dam się zabić dla twoich bogów, których oplakujesz, a o sobie myśleć nie będę? Niechże tedy twoi bogowie pozwolą, jeśli tacy bezsilni i potrzebują pomocy człowieka, że on sobie wpierw pomoże a dopiero o nich pomyśli; teraz świat taki! — Dobrze wam, starym, którzy do roboty nie lepszego nie macie, ino biadać, alem ja młody, czuję siłę, i albo wyniosę się na sam szczyt, albo padnę!...

VI.

Przemko zaprosił Ładonę, Zbiluta i kilku jeszcze innych rycerzy Bolesława, dawnych towarzyszków broni, do swego gródka, położonego wśród puszczy głuchej, o dzień drogi od Kiele.

Gród Przemkowy stał na wzgórzu, mając za sobą głęboki parów leśny, w którym na dnie płynęła woda. Szeroki rów otaczał go z innych stron, nad rowem ostrokół, stawiony na wale, mocno ubitym z gliny i udarnionym.

Wewnątrz stało domostwo i zabudowania gospodarskie, wszystko pokryte dachem trzcinowym, w głąb, dla zabezpieczenia od ognia.

Wyżej, ponad to, wznosiła się wieża drewniana, na kamiennym podmurowaniu, służąca zarazem za więzienie, skład na domowe sprzęty i strażnicę.

Spichrza na zboże nie było, bo wymłócone składano w parsku to jest w jamie, wykopanej na suchym miejscu, którą jeszcze gdy była w piaszczystym gruncie, wykładano korą brzoową, a jeśli w gliniastym, wypalano; zasypane później ziemią zboże w ten sposób mogło stać lata całe.

Pod dachem, wspartym na czterech słupach, stały sochy, brony i wóz. W oborze mieściło się kilkadziesiąt sztuk bydła, płowej maści, pochodzących od dzikiego mieszkańca ówczesnych borów, od tura.

W chlewku znajdowało się stado owiec czarno-runych oraz kóz i świń krzyżowanych z dzikami.

W stajence było kilka koni, małego wzrostu, ale silnych i wytrzymałych.

Pod dachem, na żerdziach, suszyły się ryby na zimę; rozłożone na słońcu, u stoku pagórka, bielilo się płótno, które właśnie teraz kilka dziewcząt zbierało przed nastąpieniem wieczoru.

Kury, będące wówczas, prócz gołębi, jedynym domowym ptastwem, chodziły po podwórce i grzebały.

Parę psów ogromnych, z rasy wilczej strzegło dzień i noc domostwa. Za domem było coś w rodzaju sadu, gdzie dzikie czereśnie i jabłonie bielily się kwieciami, a pod nimi stało kilka uli słomianych. W ogrodzie rosły grzedy rzepy, którą starannie wówczas zachowywano na zimę.

Gdy młodzi rycerze przybyli na gródek, było już pod wieczór, właśnie tylko co pastuchy przygnali trzody z pastwiska i poili u strugi, przepływającej w pobliżu. Ryk bydła mieszał się z gwarem rozmów i śmiechami dziewczek, zabierających się do dojenia owiec. Niekiedy rozlegał się odgłos fujarki lipowej; przygrywał na niej jeden z parobczaków, którzy pędzili konie na noc do lasu. Inni powracali z pola, uznojeni po pracy całodziśniej. Wszyscy niemal odziani byli w długie koszule, oraz w krótkie kożuski bez rękawów, z pod których widać było nagie ramiona silne, i ogorzałe; na nogach zaś mieli łapcie z łyka lipowego.

Wesoły gwar wzmógł się jeszcze, skoro z wewnątrz domu wezwano na wieczerzę; dziewczęta, niosąc skopce mleka, biegły przez podwórze, ze śmiechem odpowiadając na żarty chłopców, którzy zarzuciwszy paszę bydłu, spieszyli wraz z niemi do izby.

Ale śmiechy te ustały, gdy goście wjechali w bramę i stanęli przed podsieniem, zsiadając z koni; dziewczęta natychmiast pierzchły w różne strony, niby stado spłoszonych gołębi, a sam Przemko wyszedł na spotkanie nowoprzybyłych, witając ich u proga.

Z podsienia weszli do wielkiej izby środkowej, która miała na jednym końcu ognisko, wyłożone kamieniami. Dym wychodził przez otwór w powale. Pod ścianą stały ciężkie ławy dębowe, na dnie uroczyste, okrywane zazwyczaj krasnemi makatami, które Waregi, zrabowawszy w Carogrodzie, sprzedawali później Polanom i Chrobotom.

Na długim stole, czysto zawsze wymytym, stały chleb i sól, na przyjęcie gościa, którego zwykle sadzano w narożnym miejscu, jako najzaszczytniejszem. W drugim rogu stały krosna, dalej stępa, żarna i miedlica. Półki aż ugięły się od naczyń, prostych gliniannych, lub też z pięknej, błyszczącej miedzi, kupionych od niemieckich kupców. Dzieńca na chleb znajdowała się przy ognisku, bednie zaś, służące za skład na przyodziewek, stały po kątach izby. Na ścianach wisiała broń rozmaita, a było się czem pochlubić; od prostej maczugi, nabijanej krzemieniem, aż do łuku cisowego, toporka, normandzkiego miecza, wszystko tam zgromadził gospodarz.

Okienka były małe, zaciągnięte błonami, na noc zaś zamykały je okiennice.

Na progu izby czekała gości z pokłonem żona Przemka, młoda, wesoła, jasnowłosa kobieta, odziana w kabacik z sinego sukna, sznurowany z przodu na czerwone tasiemki, białe zaś okrycie zdobiło jej głowę. Proste siedlaczki miały je zazwyczaj z domowego płótna, ale bogata żona władcy kupowała od kupców z Pragi piękne, białe, cieniutkie płótno na owe namiotki.

Kilka dziewczek krzątało się już, stawiając na stół dymiące misy z jadłem; pomagały one kobiecie w gospodarstwie, bo dość było przy niem zajęcia; oprócz zwykłych robót, przy dojeniu bydła i przygotowaniu posiłku, trzeba było jeszcze tkać i barwić płótno, zbierać na wodzie pławuchę, zwaną teraz manną, suszyć i nawlekać na nitki rzepę, zbierać gruszki dzikie, tarninę, grzyby i t. p. płody leśne na zimę. Cały rok nie był wolnym od pracy, zimą i latem ona trwała; pracowano bezustanku z wesołą pieśnią na ustach, bo Słowianin nie mógł nie robić bez niej, czy to miesiono chleb, czy mielono zboże w ziarnach, zwykle śpiew towarzyszył owym zajęciom. Mężczyźni podczas pory zimowej przygotowywali sieci, wyprawiali skóry na kożuchy i zastawiali pułapki na dzikiego zwierza, który nieraz robił znaczne szkody w zasiewach i dobytku.

Gdy rycerze weszli do izby i zasiedli przy stole, powoli poczęli się schodzić za nimi ludzie Przemkowi na wieczerzę, Dziwną sprzeczność stanowili owi wojacy, odziani strojnie w płaszcze i kołpaki bogate, z tymi prostymi, pół dzikimi rolnikami, przybranymi w skóry. Po wieczerzy mężczyźni rozeszli się na spoczynek, kobiety także gdzieś znikły; w izbie zostali tylko Przemko i jego goście. Cisza zaległa dokoła, tylko strażnik przechadzał się na wierzchu wieżycy, i psy naszczekiwały, czując gdzieś wilka. Przemko do późna przesiadzał z dawnymi towarzyszami, wspominając ubiegłe czasy, i opowiadając sobie wzajem wszystko, co się działo od chwili, gdy się rozstali.

Rad był niezmiernie spotkaniu z druhami, i przyjmował ich gościnnie i serdecznie.

— Dobre to były czasy—mówił Przemko z westchnieniem — podrzucając gruby kawał drzewa do ogniska, płonącego w rogu; niech mię piorun spali, jeśliś w własnej woli porzucił to wszystko. Ale cóż, ojciec postarzał się, nie było komu rządzić opolem, trzeba było wracać na rolę, rad nie rad. A gdy wspomnę owe lata, gdyśmy to z królem na wojaczkę chodzili! Człek był wolny wówczas, o nic się nie troskał — a teraz! Pracuj jak wół, tu w tej puszczy, by mieć kęs ziemi pod uprawę; rąb, karczuj, poć się, a do tego żyj jako wilk w legowisku, albo ów niedzwiedz lasowy. Stokroć lepiej było rąbać po łbach niemieckich, a po tem brać łupy z grodów dobytých — to daleko lżejsza praca.

— Nie przeczę — że nasze życie weselsze — ozwał się jeden z dawnych towarzyszy, ale praca? Jaka tu u was tak wielka praca, albo to mało was jest tutaj do pomocy?

— Ano, spróbuj iść na moje miejsce — zawałał Przemko — prędko odrzekłbyś się wszystkiego. Bo czego wam brak, wy, pieszczochy królewskie? Chodźcie strojni, na podziw innym, a król o was dba jak o żrenicę oka — wyście u niego pierwsi...

— Nie tak to bracie wszystko, jak ci się zdaje — ozwał się drugi — to prawda, że król o nas dbały, ale nie w smak to nikomu z nas, że niewolnych podnosi do godności rycerskiej, i daje nam za towarzyszy...

— Tak, tak — potwierdził pierwszy — to nikomu nie może być do smaku. Król zapomina, żeśmy wszyscy z rodu władyków.

Eh, bracie, nie wyrzekadbyś — rzekł Przemko, uderzając go po ramieniu. — Ciesz się lepiej tem, co masz, czego ci się jeszcze zachciowa? Sam powiedz, co lepsze, czy z mieczykiem przy boku i w kołpaku rysim jechać w orszaku królewskim na dalekie wyprawy, w świat, czy w śmierdzącym kożuchu za pługiem chodzić? A on jeszcze wydziwia i wymyśla różne rzeczy. Jabym dziś z chęcią wrócił...

— Ej, wilczyśko się ożeniło, uszy opuściło! — zaśmiał się Zbilut. — Już tyś nie ten, co dawniej.

— Nie ten, nie ten bracie — odparł Przemko, kiwając głową. — Pamiętasz oną wyprawę cesarza Ottona, kiedyśmy to szli przez różne piękne grody a kraje. Ot, było życie! I że też są u nas jeszcze starzy, co wyrzekają na nowy porządek, i mówią, że król — niemiecki obyczaj wprowadza...

— Ktoby ich tam słuchał, starych zrzedów! — machnął ręką Zbilut. — Wiadoma rzecz, co wszyscy musimy znosić od naszych ojców za to, że na królewskim dworze jesteśmy...

— Ot, powtarzam ci bracie—ozwał się znów Przemko— żeby mi tak nie nicwiała i dziecko, no i gospodarstwo, to rzuciłbym tę wileczą norę i poszedłbym znów z królem i z wami w świat szeroki. Ale cóż robić, kiedyś grzyb to leż do kosza, niema rady! A jeszcze w tej puszczy niezbyt rażno żyć, bo ma złą sławę. Powiadam wam, gdy noc nastanie to my tu takie głosy słyszymy, że strach. Nieraz strażnik ledwie żyw stoi na wieży bo powiada, że widuje całe gromady widm białych, jak się snują między drzewami.—Tu zniżył głos.

„A jeszcze to sąsiedztwo Łysej góry także nie dodaje ducha. Przekłęci czarownicy pogańscy, jeszcze nie zapomnieli, że tam odwieczne miejsce ich zgromadzenia! Skoro więc noc zapada, każę wszystkie bramy zamykać szczelnie, bo jakoś człowiek wtedy czuje się bezpieczniejszym choć to ponoś nie ochroni od złych duchów. A jeszcze co wam powiem, jako dobrym przyjaciółom, tylko nie mówcie tego nikomu; ojca mego zły duch nocami po puszczy wodzi.”

— Nie może być! — zawołano zewsząd.

— Nieinaczej. Radziłem się o tem z opatem Tuni, a on powiada, że trzeba go przypilnować i zobaczyć gdzie to on się udaje, gdyż inaczej nic na to poradzić nie można. — Ale dobrze mu gadać, czy to tak łatwo i bezpiecznie włóczyć się nocą po puszczy, gdzie tyle strachów. Wolalibyśmy ze stoma Niemcami naraz się potykać.

— Ot, wiesz co, bracie — zawołał nagle Zbilut — zdaj to na nas, my go przypilnujemy.

— A gdzież wam chodzić kędyś nocami po wertepach, żeby was jeszcze błędnie na bagna zawiodły?

— Nie będzie nam nic, zobaczysz — odparł Zbilut—my się nie boimy strachów. Ot, powiedz tylko kiedy stary się wyryka a już my go podpatrzemy.

— Niech i tak będzie skoro tego chcecie — koniecznie — odparł Przemko wzruszając ramionami. — Nie miejciez tylko do mnie urazy, jeżeli wam bezpięty karki pokręci.

— Nie bój się bracie, ja się naprzód piszę, że żadnej a żadnej urazy do ciebie mieć nie będę, jeśli to się stanie — odrzekł śmiejąc się Zbilut. — Ale wszyscy iść razem nie możemy, bo byśmy niczego niedokonali. Dalejże chłopcy, kto pierwszy? Jeśli nikt niechce zrobić początku, to ja się na to ofiaruję.

— Bracie — rzekł, kładąc rękę na ramieniu Zbyszka milczący dotąd Ładon — pozwólcie mi iść pierwszemu.

— Tak nie idzie, trzeba losy ciągnąć! — zawołano dokoła.

— A ja was proszę, powtórzył Ładon, pozwólcie mi iść pierwszemu.

— No, niech idzie — ozwał się Zbilut—o cóż wam chodzi tak bardzo: nie uda się jemu, to wy pójdziecie.

A nalewając czarę miodu zanucił:

„Kiedy mi czarny zastąpi drogę
To czarę miodu mu podam;
Miły bezpięty teraz nie mogę
Lecz potem więcej ci dodam.”

— A no, czy chcesz jeszcze jakiego licha napytać? — zawołał Przemko przez pół żartem, przez pół naprawdę za-

niepokojony. — Ciekawość cobyś robił gdyby ci bezpięty naprawdę zaszedł drogą?

— A cóż, zapytałbym go o zdrowie — odparł Zbilut.

— Ejże, daj pokój, mówię ci — wyrzekł Przemko niechętny.

— Dobrze tobie; ty sobie jutro pójdiesz gdzie cię oczy poniosą, a ja zostanę i gdy z was który go obrazi, to czarny będzie się mścił później na mym dobytku. Ja tu w puszczy, ze wszystkimi muszę żyć dobrze, bo niech sobie księża co chcą mówią, ale i dyabła gniewać nie można.

— Ja go też wcale gniewać nie myślę — odparł Zbilut przeciwnie — chcę z nim zawrzeć przymierze na wypadek gdyby przyszło bliższą z nim zabrać znajomość.

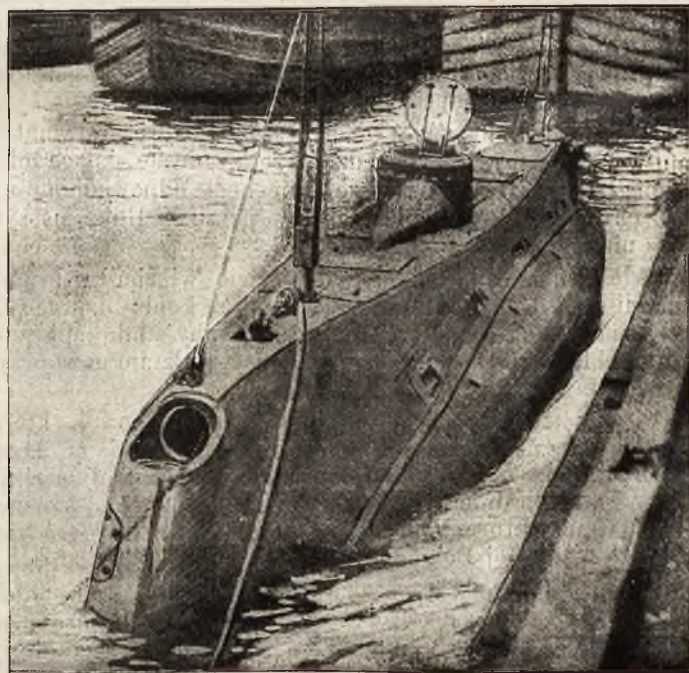
— No, ale zobaczymy jak się Ładonowi powiedzie; życzymy mu szczęścia na drogę i wypijmy jego zdrowie.

— Niech mu żadne nieprzyjazne duchy nie zachodzą w drogę! — zawołał ktoś inny.

— Nie tak, bracie, przerwał trzeci z towarzyszy, niech raczej ujrzy jaką hożą boginkę, pluskającą na brzegu wody, w poświacie miesiąca.

— Żeby go jeszcze zwabiła do wody?—odparł tamten— i stracilibyśmy druha? Żle mu życzysz!

(d. c. n.)



Widok podmorskiego statku „Holland“ (do pow. Latająca ryba).

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Dawni nasi malarze p. W. Marréne. — Dzielný chłopiec przez Zofię Kowerską. — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej ryby“, opisał H. C. — Pomnik Adama Mickiewicza w Krakowie (z ryc.) — Obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — **Dodatek:** Śpiew kosarzy, wiersz przez E. K. — Ukarana ciekawość przez J. P. — Prześladowca owadów. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — **Dodatek książkowy:** Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.



Śpiew kosarzy.

Brzęczą, brzęczą kosi
Tną złociste kłosa,
Brzęk, brzęk, brzęk!
Smutny kłosów jęk!
Główka habru pada,
Kąkol woła biada!
Brzęk, brzęk, brzęk!
Smutny habrów jęk!

Maczek chyli skronie,
Na purpury łonie.
Brzęk, brzęk, brzęk!
Smutny maków jęk!
Dzwonek tkliwie dzwoni,
Od kosi się chroni,
Brzęk, brzęk, brzęk!
Smutny dzwonek jęk!
Już skończone, już!
Ścięte morze zbóż,
Brzęk, brzęk, brzęk!
Smutny zboża jęk.

E. K.

UKARANA CIEKAWOŚĆ.

Helenka, córeczka państwa P. miała bardzo brzydkią wadę, była nadzwyczaj ciekawą. Jak tylko mama wyszła z pokoju i zostawiła otworzoną komodę lub toaletę, w tej chwili wchodziła na krzesło i dalejze przeglądając wszystko. Otwierała każde pudełko, brała wszystko do ręki, a że często jeszcze chciała się dowiedzieć, co np. jest w zegarku, otworzywszy go, dotykała palcem obracające się kółka i tym sposobem zepsuła go nieraz. Mama bardzo się o to gniewała, naznaczała kary, ale to nic nie pomagało. Helenka przyrzekała poprawę, a drugiego dnia już o niej zapomniła. Razu pewnego, mama pozostawiwszy otworzoną szufladę, rzekła:

— Moja Helenko, muszę odejść, a komoda niezam-

knięta, zapowiadam żebyś nie ruszała, bo będę się gniewała, gdy za chwilę powrócę!

Dziewczynka przyrzekła, że do komody zbliżyć się nie będzie, ale jak tylko mama wyszła, zaraz na paluszkach pobiegła do niej. Chwilkę przypatrywała się niczego nie dotykając, ale zapomniawszy o przyrzeczeniu, zaczęła w niej gospodarować na dobre. Wszystko obejrzała i już miała wziąć się do uporządkowania, aby mama nie poznała jej nieposłuszeństwa, gdy wtem posłyszała czyjeś kroki w sąsiednim pokoju. Zapominając o wszystkim, przestraszona, chcąc ten nieład ukryć, popchnęła szufladę tak nieuważnie, że przycięła sobie fartuszek. Chce odbiedz, nie może, ciągnie fartuszek, ani sposób go wyciągnąć, a tu za drzwiami słyszy głosy swoich rówieśniczek! Przyszła Zosia, Felunia, Mania, przyniosły lalki, piłkę, i dopytują się gdzie Helenka. Mama otwiera drzwi:

— Helenko, Helenko, chodź-no prędko, dzieci przyszły, będziecie się bawili.

Ale Helenka nie rusza się z miejsca. Mama podchodzi do niej i bierze za rękę, aby zaprowadzić do drugiego pokoju i naraz widzi co się stało.

— A to tak — zawołała mama — widzisz, za twoją ciekawość sama się ukarałaś, ani myślę zwalniać cię z tej pułapki. Stójże sobie, kiedyś mamy nie słuchała, słusznie należy ci się kara.

Wyszła z pokoju, pozostawiając płaczącą Helenkę; przybyłym dzieciom przyniosła ciastek, cukierków i rzekła:

— Macie, moje drogie dzieci, bawcie się zgotujcie sobie w rądelkach obiad, Helenka dziś z wami bawić się nie będzie, bo była niegrzeczna i teraz ma karę, którą sobie sama zadała.

Dzieci zaczęły bawić się wesoło, a biedna Helenka z drugiego pokoju słysząc ich rozmowy i śmiech przyrzekała sobie, że już nigdy do żadnej komody zaglądać nie będzie.

Pod wieczór, kiedy dzieci poszły do domu, mama przyszła uwolnić ją i rzekła:

— Myślę, Helenko, że to już ostatnie twoje przewinienie, drugi raz nie chciałabyś chyba narażać się na taką przykrość.

Dziewczynka przyrzekła poprawę, ucałowała rękę mamy i zawstydzona położyła się spać. Nazajutrz rano, gdy wstała, ujrzała mamę ubraną już w kapelusz i okrycie.

— Idę do miasta, Helenko — rzekła — a ponieważ przyrzekłaś mi wczoraj, że pozbędziesz się ciekawości, przyniosę ci dawno obiecaną lalkę i lamigłówkę. Nie przestrzegam cię już, abyś czego nie ruszała i nie psuła, bo pewna jestem, że pamiętasz wczorajsze zdarzenie.

Wyszła, a Helenka wzięwszy swoje zabawki, poszła do jadalnego pokoju. Ale zaledwie próg przestąpiła, gdy ujrzała na stole pudełko owinięte papierem i obwiązane sznurkiem.

— Co to jest — pomyślała — coś widać przynieśli z miasta. Co też to być może! Pewnie ciastka albo cukierki!

Przystawiła krzesło do stołu, sięgnęła po paczkę. O przyrzeczeniu zapomniała i na wszystkie strony oglądać ją zaczęła.

— Ej, zobaczę co tam być może, mama nie będzie wiedziała, bo zawiążę tak samo, przecież potrafię. Wczoraj z komodą mógł mi się zdarzyć taki wypadek, ale z pudełkiem to co innego!

Rozwiązała więc sznurek, odwinęła papier, uchyliła wierzch pudełka, gdy wtem tuż koło uszu zabręczało naraz jak w ulu: Bzzz! bzzz! bzzz!

Helenka wystraszona, rzuciła pudełko na ziemię, z którego wyleciało na pokój kilkanaście much i zaczęły krążyć nad głową dziewczynki, próbując usiąść na nosku, uszach i buzi, zadowolone z oswobodzenia. Przestraszona, zaczęła się rękami zasłaniać, obawiając się, aby jej nie pokąsały, ale te złośliwe stworzonka jakby umyślnie czepiały się jej tylko. Z płaczem więc ogromnym, nie mogąc się oswobodzić, wcisnęła się w kącik za kanapę, krzycząc co sił starczyło.

— Na pomoc, na pomoc, chodźcie, ratujcie!

Nikt nie przychodził, bo służąca będąca w kuchni, nie słyszała jej wołania, ale po chwili dał się słyszeć dzwonek, a później głos i kroki mamy. Poszła do swego pokoju, zdjęła kapelusz i niosąc w jednej ręce prześliczną lalkę, ubraną po krakowsku, a w drugiej pudełko z łamigłówką, weszła do jadalnego pokoju, mówiąc:

— Patrzaj Helenko, co ci przyniosłam!

Lecz jakież było zdziwienie mamy, gdy ujrzała pudełko leżące na ziemi, a z kąta wychodzącą zapłakaną Helenkę, z zaczerwienionem i spuchniętym czołem.

— Mamusiu, mamusiu, ta obrzydliwa mucha tak mnie ukąsiła, patrz, ah! jak mnie boli, jak boli!

— Dobrze ci tak, niedobre dziecko, zasłużyłaś na to — rzekła mama. — Patrz, oto lalka i łamigłówka przeznaczone dla ciebie, darowane będą grzecznej zawsze Zosi, a ty, za ciekawość i nieposłuszeństwo, słusznie cierpisz i ukaraną jesteś. Umyślnie kazałam nałapać pszczoł do pudełka, aby się przekonać, czy choć raz potrafisz słowa dotrzymać; widzę niestety, że ci jeszcze wierzyć nie mogę.

I tym razem przeprosiny i obietnice nic nie pomogły, mama oddała lalkę i łamigłówkę Zosi, ale Helenka od tego już dnia poczęła szczerze pracować nad sobą i w krótkim czasie pozbyła się swej ciekawości na zawsze.

J. P.



PRZEŚLADOWCA OWADÓW.

(Dalszy ciąg)

I wzięwszy chłopca za rękę pociągnęła za sobą.

— Niech mnie pani puści, już nic mrówkom złego nie zrobię — prosił Cześ po chwili, i wysunąwszy rękę,

rad z odzyskanej swobody, na wszystkie strony biegać i rozglądać się zaczął.

Znowu coś Czesia zatrzymało — zauważyła po chwili nauczycielka.

Emilka obejrzała się za bratem; ten stał nad małym rowkiem z miną bohatera; kapelusz zsunął mu się na tył głowy, włosy rozrzuciły nad czołem.

— Zdusiłem go — zawołał, patrząc zwycięzko przed siebie.

— Kogo?

— Ot, tego szkaradnego żuka — rzekł wskazując końcem buta na chrabąszcza.

— Oh! ty niedobry chłopcze — zawołała Emilka, odwracając się ze wstrętem.

— Czy ci nie żal odbierać biednemu stworzeniu życia, którego nie możesz mu wrócić? Niedobry jesteś! niepoprawny. Rodzice dosyć się tobą martwią — mówiła z niezadowolaniem nauczycielka. — Ot i ten motyl, któregoś sobie przypiął do kapelusza, tak swobodnie latał z kwiatka na kwiatek, a ty go zamęczyłeś.

— O, przepraszam panią, męczenia tu żadnego nie było. Mam sposób, który jak piorun na miejscu zabija motyla.

— A ta glista ziemna, coś ją wczoraj porąbał, cóż ci zawiniła?

— Wstrętna była, okropnie brzydka, proszę pani, po co ona z pod ziemi wylazła?

— Wielką rzeczywiście popełniła zbrodnię, pragnęła odetchnąć świeżem powietrzem, zobaczyć słońce, może pierwszy raz w życiu. I na swoje nieszczęście spotkała się z muchokatem — mówiła nadąsana na brata Emilka.

— Tylko proszę, nie mieszaj się do mnie. Przecież i Jędrzej, nasz służący, truje muchy, zabija pająki i poluje na myszy, a jednak wszyscy go mają za dobrego człowieka i nikt mu przezwisk nie nadaje.

— O to wcale co innego. Jędrzej musi dom utrzymywać w porządku i niszczy wszelkie stworzenia, które go zanieczyszczają. W polu zaś, w ogrodzie, na gościńcu, nikomu one nie szkodzą i można pozwolić żyć im spokojnie.

— Już ja się poprawię, proszę pani — mówił Cześ, idąc ze spuszczoną głową.

Ale pani Drozdowska nie miała tej nadziei; tak często upominała Czesia, on przyrzekał poprawę i znów ten sam czyn popełniał.

Rozmyślnie zabijał nieszkodzące nikomu stworzonka, tak jak teraz, idąc zawstydzony obok niej, ścinał uderzeniem laseczki bławaty i jaskry, rosnące przy drodze. Dziwne to było przyzwyczajenie, ta chęć niszczenia; gdy Czesio spostrzegał grzybek rosnący wśród trawnika, spieszył jakby ze spełnieniem pożytecznego czynu i trącał go nogą. Nieraz nawet przychodziła mu ochota zrzucić końcem laski gniazdko dojrzane wśród gałęzi, choć od tego się już wstrzymywał, a nawet oduczył swego towarzysza zabaw, Jaśka, syna ogrodnika.

W parę dni po owej przechadzce, Cześ i Emilka zauważyli, że matka ich od jakiegoś czasu dłużej przebywała w swojej apteczce. Był to pokoik położony w końcu domu, gdzie stała szafa z rozmaitemi lekarstwami. Tam zwykle w rannych godzinach schodziły się kobiety

wiejskie, jeżeli miały kogo w domu chorego, prosić o radę i leki. Wstęp do tego pokoju był zwykle dzieciom wzbroniony, a w tym czasie przestrzegano jeszcze pilniej tego zakazu. Mama, po każdym przebywaniu w apteczce, nim się zbliżyła do dzieci, myła ręce i cała przejęta była jakimś silnym zapachem.

Dzieci spostrzegły także, że częściej teraz przed kościołem wiejski, który niedaleko od dworu wznosił się na górze, otoczony lipami, zatrzymywał się orszak ludzi, niosący małą trumienkę, że w niezwykłych godzinach smutne dźwięki dzwonów rozchodziły się w około, a na pobliskim cmentarzu wśród zieleni i białych krzyżów coraz to nowe, ciemne przybywały mogilki.

Silna epidemia wybuchnęła na wsi, i pomimo ratunku zabierała liczne ofiary pomiędzy dziećmi. Pani Drodzowska w czasie spacerów widocznie unikała zbliżania się do chat wiejskich i odmówiła prośbie Emilki, gdy ta miała ochotę odwiedzić dawną sługę, mieszkającą na wsi.

Jednego dnia Cześ i Emilka byli sami w ogrodzie, kiedy przybiegła tam żona ogrodnika, płacząc i żaląc się przed mężem, że dzieciom jej, które od kilku już dni zaniemogły, pogorszyło się bardzo, osobliwie Jasiek wydawał się jej niebezpiecznie chory.

Ogrodnik zmartwiony pobiegł zaraz do domu, a pozostali przy robocie ludzie, zaczęli sobie opowiadać, ile to już ofiar ta choroba zabrała i jak rzadko się zdarzało, by kto dotknięty nią wyzdrowiał.

Dzieci, stojące pod drzewem przysłuchiwały się tej rozmowie.

— I cóż ich tak boli, tych, co umrzeć mają? — zapytała smutnie Emilcia.

— A któż to wie, panienko! Najprzód trzęsą się od zimna, później dostają gorączki, kaszlu i po kilku dniach już ich niema na świecie.

Wtem dzieci usłyszały, że ich wołają na podwieczorek; pobiegły do domu, zasmucone tem co usłyszały.

Nazajutrz zaczęły szukać ogrodnika, żeby się o zdrowiu Jaśka dowiedzieć, ale nigdzie go nie było, a pomocnik jego powiedział dzieciom, że tej nocy jeszcze Jasiek życie zakończył.

Wiadomość ta wielkie na dzieciach uczyniła wrażenie; straciły ochotę do zabawy, ale nikomu nie powiedziały dla czego, bo wiedziały, że w tym czasie wzbronione im było wdawać się w rozmowy ze spotykanymi ludźmi.

Gdy w parę dni później ujrzały zdaleka czarną chorągiew przed kościołem i poznały siwą głowę ogrodnika i dobrze im znaną żółtą chustkę jego żony, która szła ręce załamując, domyśliły się, że to pogrzeb biednego Jaśka i serdecznie się spłakały.

Mama, która często na dzieci z niepokojem spoglądała, dnia tego przy herbacie, zawołała Czesia, a przytrzymując rękę jego w swych dłoniach, zapytała, co mu jest, że tak mało zjadł kluseczek z serem, które mu zwykle dobrze smakują.

— Nie głodny jestem, mamusiu, jakoś mi zimno i nogi mnie bolą — odrzekł chłopiec.

— A to z czego, czy może biegałeś zanadto?

— Nie, mamu; nie miałem dziś ochoty do biegania.

— No to synku, połóż się wcześniej.

I zaprowadziwszy go do sypialnego pokoju, sama pomogła mu się rozebrać i położyła do łóżka. Gdy parę razy zakaszła, przyniosła mu ulubione przez dzieci lekarstwo, jajko z cukrem, polecając, by się dobrze nakrył i spokojnie leżał.

Służące w drugim pokoju, myśląc, że zapewne usnął, zaczęły nieuważnie szeptać między sobą:

— O jak to nasza pani zaraz się zafrasuje, że Czesiowi trochę zimno, już cała zmieniona. Ręce jej drżały, gdy za kłamkę brała.

— Cóż dziwnego — odrzekła druga — przecież wszystkie krosty od małego się zaczynają. Któż może wiedzieć, co będzie z naszym Czesiem.

— Ha, wszystko w ręku miłosiernego Boga.

Przerażenie ogarnęło Czesia. Więc być może, że i on dostał tej choroby, od której tyle dzieci pomarło? więc i jego zaniosą na cmentarz i już go nie będzie na tym miłym świecie, a tak by mu żal było go opuszczać.

Rozmowę służących przerwał powrót mamy, która za sobą drzwi zamknęła.

Cześ napił się słodkiego lekarstwa, a gdy rozgrzany usypiać zaczął, różne straszne obrazy we śnie mu się pojawiały: Zdawało mu się, że śpi na dużym błoniu, a w około niego latają rozmaite owady, wielkie chrabąscze i polne koniki; nad niemi słońce świeci jasne i kwiaty kwitną w około.

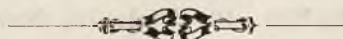
Wtem on się przebudził i wywijając długą laską, rozsiewał wkoło przestkach i spustoszenie, choć go wszystko głosem ludzkim o zmiłowanie prosiło. Znów po chwili on był dużą muchą, a podobny do niego mały okrutnik groził mu i życia chciał pozbawić.

Rzucał się Cześ, majaczył, zrywał noc całą, a gdy czasem oczy otworzył, widział nad sobą twarz matki, bladą i spłakaną.

Nad ranem zrobiło mu się lepiej, usnął spokojnie, a wezwany lekarz zapewnił, że choroba Czesia była tylko paroksyzmem febry, którą kilka proszków gorzkiej chinu usuną.

Miło było Czesiowi, gdy poznał, że wszyscy co go otaczają, są zupełnie uspokojeni co do jego zdrowia. Lekarz się nie mylił, gorączka nie wróciła, a za kilka dni Cześ z siostrą i nauczycielką znów wyszedł na przechadzkę.

(d. n.)



KWADRAT LITEROWY.

od Puszczyka z Pilawy dla Wichury.

a	a	a	a	a
b	c	e	e	k
k	k	l	l	r
s	s	s	s	s
t	t	u	y	y

Z rozrzuconych liter ułożyć 5 wyrazów, aby trzeci wyraz, oraz środkowy rząd pionowy złożył nazwisko współczesnego polskiego malarza. 1) Zwierzę ssące z rodziny wiewiórek. 2) Instrument muzyczny. 3) 4) Ptak błotny.

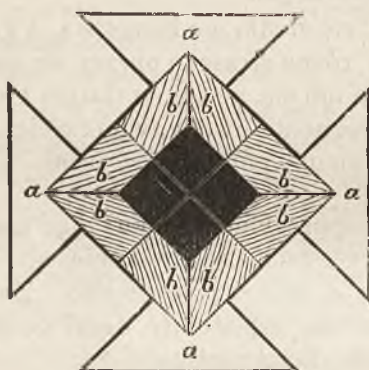
5) Miasteczko w Galicji, niszczone kilkakrotnie przez Tatarów i Wołochów.

SZARADA.

od Smoka dla Puszczyka z Pilawy.

Pierwsze z drugą: dar wielki, dar to niezrównany
Co każdemu stworzeniu od Boga jest dany,
Z jego pomocą znamy cudu świata tego,
I cieszyć się możemy światłem dnia jasnego.
Drugie z trzecim, to sługi do zdrady niezdolne,
Dzielące z panem walki i drogi mozolne,
Posłuszne jego woli, jako dziecko małe,
Szlachetne, w kształtach piękne, a w trudach wytrwałe.
Wszystko natomiast szukaj w rzek przejrzystej toni,
Wiedząc, że za zdobyczą bezustannie goni,
I choć w cierniopromiennych stawiają je rzędzie
Rad jest rybak, gdy w sieci sporo ich zdobędzie.

ŁAMIGŁÓWKA GEOMETRYCZNA.



Z oddzielnych części powyższej figury złożyć prostokąt podłużny.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 30.

Szarady: Jaś — min.

Łamigłówki:

- 1) Komar. 2) Oko. 3) Róża 4) Nansen. 5) Elba. 6) Nił.
7) Ufa. 8) Maj. 9) Efez. 10) Altaj. 11) Sudan. 12) Szpak.
13) Ilek.

Kornel Ujejski.

Kwadratu magicznego:

M o r s
O r a n
R a n o
S n o p

Skrzynka do listów.

Obszerny list Puszczyka z Pilawy czytaliśmy z zajęciem tem. większem, że widoczną w nim jest wrażliwość autora na piękno przyrody, oraz zamiłowanie z jakim oddawać się musi czytelniku arcydzieł naszego wieszczą, skoro tak trafnie przytaczać umie ustępy z Pana Tadeusza. Dalecy też jesteśmy od powtórzenia dwuwierszowej parafrazy, którą nas Puszczyk prawdziwie zabawił, a życząc mu jaknajwięcej przyjemności w dalszym ciągu wakacji, przesyłamy miłe pozdrowienia.

Nietylko, że każdy z nas, równie nasza Świtezianka ma ulubione sobie kwiaty, lecz nawet całe narody wyrażały od dawna swe upodobania, przybraniem jakiegoś kwiatu lub rośliny za godło swoje z czem zazwyczaj łączy się legenda lub zdarzenie historyczne. Tak więc wszystkie pomniki starożytnego Egiptu, zdobi kwiat lotosu, symbol wieczności, święty dla krainy nadnilowej. Ścisłe związany z dziejami królestwa francuskiego, a mianowicie domem Burbonów jest znowu kwiat białej lilii, bowiem według podania Ludwik Św. otrzymywał ją z rąk anioła. W historii angielskiej ważną rolę odgrywała róża, mianowicie w czasie wojen domowych, gdy dom Lancastrów przyjął za symbol różą białą, dom zaś Yorków, czerwoną. Na tarczy herbowej Szkocji widzimy nędzny osiet rosący obficie w tymże kraju, podczas, gdy trójlistna gałązka zielonej koniczyny jest talizmanem Irlandczyków. Wreszcie chryzantemy czyli jastrunie są herbem Japonii.

Orłowi karpackiemu. Najdłuższą linię telegrafu podmorskiego założono właśnie w tym roku między Nowym Yorkiem a Brestem. Długość jej wynosi 3,250 mil, a ogólna waga drutów dochodząca 11,000 tonn, zajęła cztery wielkie okręty, które były czynne przy spuszczeniu jej na dno oceanu.

Słoniowi z Nubii Jaskółka niezadługo pewnie odpisze, rozstrzygając kwestyę marki transwaalskiej. Logogryf przejrzymy, tymczasem zasyłamy pozdrowienia.

Nigdy nazbyt często nie odbieramy listów od miłej Wichury, zawsze je bowiem czytamy z przyjemnością, tem większą, że są z widocznem pisane staraniem, Jaskółka dotychczas cieszy się swobodą wiejską, prawdopodobnie jednak niedługo już powróci do grodu naszego, jakkolwiek i jej równie jak Wichurze miło bardzo patrzeć na rozwijające się nowe kwiatki i dojrzewające owoce. Łamigłówki i zagadki przejrzymy; rozwiązania dobre.

Nie wątpimy, że przygody w drodze jakich doznawał Aleksander W. nie należały do przyjemności, a podobne chwile pamięta się długo, o tem wiemy z własnego doświadczenia. Życzymy też, by następne wyjazdy nie przedstawiały tak mało pożądanym urozmaiceń. Łamigłówki otrzymaliśmy i przejrzymy.

Zadanie konkursowe Jastrzębia otrzymaliśmy wraz z dobrem rozwiązaniem łamigłówki. Szkoda, że ułożony przez niego arytmogryf nie może być drukowanym, niedawno bowiem podobny był już umieszczony w Wieczorach. Niechże to jednak nie zniechęca Jastrzębia od dalszych prób, które może szczęśliwsze będą.

Zwracamy uwagę niektórych korespondentów naszych, że przysłówek przeczenia *nie* powinien być oddzielnie pisany przy czasownikach, łączy się zaś z przymiotnikami i t. p.

Własnego układu łamigłówki nadesłali: Orzeł karpacki, Smok, Marychna i Zochna, Zygmunt L., Lolo i Gwiazdka. Dobre zaś rozwiązania: Giermek, Ułanka, Prymulka, Sokół, Szczygiełek. T. Ch. i Żniwiarz.

MARVA MATUSZEWSKA.

Przełożona pensyi 6-o klasowej żeńskiej z klasą wstępną w Warszawie przy ul. Leszno Nr. 28 zawiadamia, iż zapisy na rok szkolny 1898/9 uczennice tak przychodnich jak pensyonarek, na warunkach przystępnych, odbywają się codziennie od 11-ej do 5-ej. Kurs nauk zacznie się 1-go września 1898 r.

№ 33 Rok XIX.

Dnia 1 (13) Sierpnia 1898.



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Z obrazu Murilla.

W NIEBOWZIĘCIE.

Na Wniebowzięcie.

ZDROWAŚ MARYA,

Na zachód idzie złocista zorza,
Zdrowaś Marya, Mateńko Boża!
Królowo jasna nad aniołami,
Co siejesz kwiaty między zbożami,
Co złocisz w polu pszeniczne kłosy,
I srebrzysz plony kropkami rosy.
Co siejesz w lasach ziola pachnące,
Stroisz jagody w barwy błyszczące,
Rozwijasz liże ponad wodami!
Zdrowaś Maryo, módl się za nami.

— Czy to tak srebrne strumienie cieką,
I szum rozbrzmiewa w echu daleko?
Czy na fujaree kto gra z wierzbiny?
Czy to tak w gniazdku gwarzą ptaszyny?
Czy tak szum wiatru las górą niesie?
Czy kto tam huka zbłąkany w lesie?
Ni to gwar ptaków, strumień na łące,
Jeno to dzwonów echo grające,
Płynie łąkami, płynie lasami...
Królowo jasna nad aniołami,
A słowo ciałem! — Zdrowaś Marya,
Echo się dzwonów aż w niebo wzbija,
Do Ciebie płynie Mateńko Boża,
A zaświeć że nam jak jasna zorza,
I pokrzep dusze, jak te na łące
Odżywiasz kwiaty od żaru mrące,
Te białe lilie ponad wodami!
Zdrowaś Maryo, módl się za nami.

DAWNI NASI MALARZE.

II.

Oprócz Smuglewicza przy końcu zeszłego wieku, było u nas kilku malarzy cudzoziemców, którzy wywarli wpływ na naszą początkującą sztukę. Jak Czechowicz i Smuglewicz naśladowali upadającą już wówczas sztukę włoską, tak Marceli Bacciarelli, ulubieniec króla Stanisława Augusta, przejęty był wymyślną, a nienaturalną szkołą francuskiego malarza Boucher'a, który słynął w XVIII wieku. Malował też Bacciarelli lekkomyślny dwór Stanisława Augusta i wybitniejsze osobistości owego czasu. Z tego powodu ciekawe są jego wizerunki, chociaż chodziło mu więcej o wdzięk, niżeli o charakter portretowanej osoby, gdyż za przykładem Boucher'a, chciał upiększać naturę.

Przy Bacciarellim i więcej od niego zaznaczył się w sztuce polskiej, Francuz Norblin de la Gourdain, uzyskał on indygenat i szlachectwo, na które dobrze zasłużył założeniem szkoły malarskiej.

Również zostawiła liczne ślady swego pobytu w Polsce rodzina Lampich — ojciec i dwaj synowie, z których jeden Franciszek umarł w Warszawie w połowie tego wieku.

Wszyscy prawie malarze nasi, którzy dali się poznać przed kilku dziesiątkami lat i torowali z trudnością drogę swoim następcom, byli uczniami Franciszka Lampiego, bo zawsze pamiętajmy o tem, że nie dowierzaliśmy przez czas długi własnym artystom. Zapewne działo się to dzięki cudzoziemskiemu wychowaniu, jakie niestety odbierało u nas tyle pokoleń i dziś jeszcze odbiera, dzięki owym bonom i nauczyciel-

kom francuskom, które ciągle kładą w uszy naszym dzieciom, że tylko zagranicą rodzić się mogą talenta, a w Polsce, wszystko być musi złe i niezdarne. To też artystom Polakom trudno było pracować we własnym kraju, nazwisko i akcent cudzoziemski zdawały się najlepszym dowodem uzdolnienia. Trzeba więc było aż takich mistrzów jak Matejko, Siemiradzki, Gieryski, Pochwalski i tylu innych, którzy zdobyli sobie znakomite imię wśród obcych, ażebyśmy wreszcie sami uwierzyli, że pod tym względem jak i pod wielu innymi, nie jesteśmy wcale upośledzeni, bo nasze malarstwo tak jak i nasza muzyka, zajmuje dziś poważne miejsce w ogólnym obrazie współczesnej sztuki.

W połowie jednak bieżącego wieku, ogół jeszcze się o tem nie przekonał, to też malarze musieli walczyć z obcą jętnością, lekceważeniem i brakiem znawstwa, które sprawiało, że mało rozumiano artystyczną wartość obrazów, oglądano się tylko za cudzem uznaniem.

I tu znowu trzeba przypomnieć, że nie mamy żadnej publicznej galeryi, w którejby przez samo patrzenie, można nabrać wyobrażenia o sztuce.

Jeśli więc nawet na początku i w połowie tego wieku, Polak w kraju oddawał się malarstwu, nie mogło mu ono dać ani stanowiska, ani zapewnić bytu i musiał go szukać na innej drodze, jeżeli nie był bogatym sam przez się. Doświadczył tego Aleksander Orłowski, urodzony w Warszawie jeszcze w zeszłym wieku, ale którego działalność artystyczna przypada na początek XIX.

Nazwisko Orłowskiego nie jest nam obce. Nieprawdaż? Poszukajcie tylko w pamięci a przypomniecie sobie niezawodnie Pana Tadeusza i ową Telimenę, tak niewpoprowadzanie śmieszna, ze swojemi strojami, blanszem, różem, fałszywym sentymentalizmem, a nadewszystko zamiłowaniem obczyzny. Otóż ta Telimena, wspomina o Orłowskim, nie dla tego jednak, żeby go potrafiła ocenić, ale, że był modnym u obcych. Więc mówi w księdze trzeciej: „Orłowski który życie strawił w Peterburku. Sławny malarz, mam jego kilka szkiców w biurku.”

Orłowski był uczniem Norblina, na naukę jego łożył książkę Adam Czartoryski, widząc jego talent i zamiłowanie. Była to jednak natura niesforna i kapryśna, pogniwał się o coś z nauczycielem, rzucił go i puścił się na hazardy awanturniczego życia. Odszukano go wśród towarzystwa skoczków, bawiącego wówczas w Warszawie i z wielką trudnością nakłoniono, by powrócił do szkoły.

Cały Orłowski maluje się w tym wybryku. Gwałtowny charakter, rzutność, buńczuczność, są to cechy większej części jego obrazów, a raczej obrazków. Rzucał bowiem tylko szkice albo też malował niewielkie akwarolle (akwarellami nazywają wodne farby) a do większych rzeczy się nie brał, może dla tego, iż sam czuł niedostateczność swej przerywanej nauki, a może też z powodu lekkomyślnego usposobienia, które nie pozwalało mu na porządną pracę.

Zresztą był to człowiek ubogi, ale zawsze w wymienionym humorze. Talent i weselość otworzyły mu dom księcia Józefa Poniatowskiego, który go bardzo lubił i dawał mu dziennie dukata oraz wierzchowca do użytku. Zapewne artysta odpłacał za to owemi dzielnymi obrazkami, pełnemi ognia i życia, charakteru, które choć czasem niezbyt dobrze narysowane, mają przecieć urok prawdziwego talentu.

Orłowski wyjechał potem do Petersburga z Włochem, handlującym rycinami i już do kraju nie wrócił. Zestarzał się i umarł w Petersburgu, jakkolwiek Mickiewicz, który go znał niezawodnie w tem mieście, bo Orłowski umarł w 18 roku twierdzi przez usta Tolimieny, że zawsze tęsknił do kraju. Dla czegoż więc nie wrócił? Prawdopodobnie stanął mu na przeszkodzie brak środków. Komunikacje były wówczas trudne i kosztowne, przytem Orłowski nie miał do czego wracać, protektorowie jego warszawscy albo nie żyli, albo rozproszeni byli po szerokim świecie, a prawdziwie cygańska natura, nie pozwoliła mu nigdy myśleć o przyszłości. Ja widzimy smutny był los biednego, a tak dzielnego artysty.

W dziejach naszej sztuki Orłowski ma wielkie znaczenie. On to pierwszy malował przedmioty swojskie, takimi jakie je widział a nie według akademicznych wzorów obcych, konwencyonalnych szkół. Jego konie i jeźdźcy nie przypominają wcale ciężkich ruinaków starożytnych, są to nasze mierzyńny i wierzchowce, jak naszemi po większej części są typy jeźdźców. Zapoczątkował on więc rzeczywiście szkołę polską, która jednak z powodu niedowierzania, jakie budziła, nie rozwinęła się od razu, tembardziej, że Orłowski nie zostawił uczeni, i zapewne sam nie zdawał sobie sprawy ze stanowiska, jakie zajął, idąc wprost za natchnieniem chwili.

Antoni Brodowski także Warszawianin, współczesny Orłowskiemu, który odebrał możliwie najlepsze wykształcenie artystyczne i pod względem umiejętności stał od niego daleko wyżej, nie ma przecież w naszej sztuce takiego znaczenia. Zdolny bardzo portrecista i malarz historyczny, uczeń Gerarda, słynnego w swoim czasie francuzkiego malarza, był profesorem malarstwa w uniwersytecie warszawskim i trzymał się francuskiej szkoły. Syn jego Tadeusz bardzo obiecujący, wysłany kosztem rządu do Paryża, gdzie się kształcił u Horacego Vernet'a, umarł młodo zagranicą. Tradycję tej rodziny niepospolicie obdarzonej talentem malarskim, utrzymuje dzisiaj Józef Brodowski, wnuk Antoniego, a synowiec Tadeusza, którego swojskie krajobrazy, ze ślicznymi okazami koni i bydła, widzujemy często w salonach Wystawy Zachęty. Dziwnym zbiegiem okoliczności, jednocześnie z Antonim, na początku tego wieku, zasłynął w kraju drugi Brodowski, także Warszawianin imieniem Józef, wcale jednak nie krewny swego imiennika. Józef Brodowski jest także znany jako portrecista i malarz historyczny. Kształcił się za granicą, a od roku 1811 osiadł w Krakowie, gdzie był do śmierci, nastąpionej w r. 1853 profesorem akademii sztuk pięknych.

W. Marréne.

W OBŁOKACH I POD WODĄ

WYPRAWY „LATAJĄCEJ RYBY.”

opisał H. C.

I.

Zdumiewająca propozycja profesora Karlińskiego.

Gmach klubu „podróżników” wznosi się w najpiękniejszej dzielnicy Londynu, a osoby, które do niego uczęszczają, twierdzą, że to jeden z najpiękniej i najwygodniej urządzonych klubów tej olbrzymiej stolicy.

Liczni członkowie rzeczonoego klubu składają się z podróżników, wędrujących nieustannie po szerokim świecie, z myśliwych, czyniących dalekie wyprawy, z uczonych i badaczy przyrody, oraz z kilkunastu wojskowych i marynarzy z powołania. Rzadko tylko i w znacznych odstępach czasu mogą oni swój klub odwiedzać, ale będąc w Londynie używają chętnie wszelkich wygód jego zbytkownego urządzenia.

Pewnego zimowego wieczoru, w lutym, kilka lat temu, jedna z sal klubowych, nader miły przedstawiała widok. Podczas gdy wiatr wył przeraźliwie na dworze, tam na kominku jasny palił się ogień, a plusk deszczu o szyby tem pożądańszą czynił ciepłą atmosferę pokoju. Tuzin gazowych lamp, przysłoniętych abażurami, rzucało łagodne światło na rzeźbione meble, miękko wysłane kanapy, ob szerne fotele, gustowne pianino i stół zarzucony dziennikami. Zegar wydzwaniał metalicznym dźwiękiem godziny, na ścianach wisiły obrazy prawdziwej artystycznej wartości, przedstawiające po większej części okolice przez członków klubu zwiedzane, lub doznane przez nich przygody.

Owego wieczoru, czterech panów zebranych było w tej sali będącej palarnią. Jeden z nich, Polak, profesor Karliński, siedział w fotelu, i puszczać co chwila kłęby dymu z fajki o długim wisniowym cybuchu, zatopiony był w czytaniu „Przeglądu naukowego”. Błyszczące, pełne ognia wejście, jakie przez okulary rzucał na trzymane w ręku czasopismo, niecierpliwy ruch palcy, którymi niekiedy przegarniał gęste, siwiejące włosy, wydzierające mu się z ust wykrzykniki: „tfu!” „do licha!” wszystko to świadczyło, że nie godził się ze zdaniem autora czytanego artykułu. Profesor Karliński był uczonym badaczem przyrody; przed trzydziestu kilku laty opuścił kraj; podróżował po całym świecie, a następnie przez czas dłuższy był profesorem w wyższych szkołach technicznych w Ameryce.

Obok niego na sofie, w niedbałej postawie spoczywał sir Reginald Elfinstone, przez przyjaciół zwany „pięknym baronetem”, a przez wszystkich poczytywany za jednego z najbogatszych obywateli Anglii. Do trzydziestego piątego roku życia uganiał się ciągle za niezwykle przygodami i zakosztował już wszelkiego rodzaju niebezpieczeństw, z wyjątkiem jedynie upragnionej przez niego wyprawy do bieguna północnego. Teraz jednak na pół leżąc na sofie, zajęty był puszczeniem kółek dymu i śledził za nimi wzrokiem z taką uwagą, jakby nad to nie miał nic ważniejszego do spełnienia w życiu.

Wprost kominka, obojętnie paląc cygaro i pozornie przypatrzyć się obrazom wiszącym na ścianie, siedział Cyryl Lethbridge, były pułkownik korpusu inżynierów wojskowych, szczęśliwy poszukiwacz rudy złotej i lubownik wszelkich ryzykownych przedsięwzięć.

Nieco opodal porucznik Mildemay przeglądał od niechcenia gazety i naraz zwrócił się do pułkownika z uwagą:

— Francuzi czynią nowe doświadczenia z balonami.

— Czy tak? — odparł pułkownik, ze wzrokiem uparcie utkwionym w jednym z obrazów — jakże im się powiodły?

— Naturalnie, że im się nie powiodły wcale.

— Nie mogło być inaczej — zauważył pułkownik — rzecz to niemożliwa do wykonania.

— Przepraszam cię pułkowniku — wtrącił profesor — mojem zdaniem przeciwnie, rzecz ta najzupełniej do wykonania możliwa.

— Ciekawy jestem, jak tego dowiedziesz, profesorze? Dotąd zawodziły wszystkie czynione w tym kierunku próby.

— To żeglarze napowietrzni — dotychczas nie umieli zastosować koniecznych warunków powodzenia, — zawyrokował profesor, odkładając na bok czytany zeszyt, jakby się gotował do szerszego rozwinięcia podjętej kwestyi.

Pułkownik, przenikając zamiary jego, podniósł się z krzesła i zapytał:

— Zechce nas objaśnić, profesorze — co uważasz za konieczny warunek powodzenia w tym względzie?

Profesor wytrząsnął do kominka popiół z wypalanej fajki, nałożył ją świeżym tytanem, zapalił na nowo, i zaciągawszy się razy kilka dymem, odparł po chwili:

— Warunki powodzenia w żegludze napowietrznej są te same, co w żegludze wodnej. Gdy człowiek chce przepłynąć ocean, wsiada na okręt, a nie na tratwę bez steru. Balony dotąd używane są takimi tratwami bez steru, unosi je prąd wiatru, jak tratwę pędzą fale; jedyną przewagą aeronauty nad rozbitkiem morskim stanowi to, że może spuszczać się lub podnosić w górę, szukając odpowiedniejszego dla siebie kierunku wiatru, podczas gdy człowiek na tratwie, zdać się musi na łaskę unoszącej go fali.

— To prawda — zauważył pułkownik — cóż jednak za wnioski wyciągnąć stąd można?

— Takie, że żeglarz napowietrzny musi podobnie jak jego kolega marynarz, zbudować sobie okręt?

— Możesz go sobie pan tak nazywać, jeśli ci się podoba, ja wszelako nie godzę się na takie określenie. Gdy bowiem okręt może obrać dowolny kierunek na wodzie, bieg balonu zawisły jest wyłącznie od prądów powietrza; należy więc dla niego

wynaleść siłę ruchu, zdolną wyzwolić go choć w części od takiej zależności.

— Próbowano już tego — wtrącił pułkownik — ale niezbędna dla balonu lekkość nie pozwala na umieszczenie w nim maszyny z kotłem parowym.

— Co byś powiedział, mój przyjacielu, o człowieku, któryby chciał ciężką maszynę okrętu liniowego przenieść na łódkę maleńką?



Malowanie bez nauczyciela (ryc. 2 ga).

— Nazwałbym go istotą ograniczoną — rzekł pułkownik.

— A cóż innego usiłowali robić dotąd aeronauci? — odparł profesor.

— Na wątle łódki przenosili ciężkie maszyny. Inaczej mówiąc robili swoje balony zbyt małymi.

— Zdaniem więc pana, balony nie dosięgły dotąd właściwych rozmiarów? — zagadnął pułkownik.

— Przeciwnie, są one aż nazbyt obszerne, jeśli mają być wyrabiane wyłącznie jak teraz z jedwabnych materyi — ciągnął profesor. — Gdyby jednak chciano je uczynić odpowiedniami do żeglugi powietrznej, aeronauci powinni użyć do nich innego materiału i inny kształt im nadawać. Jak wspomniałem poprzednio, należy zbudować statek dostatecznej wielkości do pomieszczenia na nim potrzebnych maszyn.

— Ależ taki statek byłby olbrzymim latającym potworem — zauważył pułkownik.

— Takiemi olbrzymiami potworami są okręty, płynące dziś po Atlantyku — odparł powoli profesor.

Baronet wstał z kanapy, rzucił niedopalone cygaro i zaczął się pilniej przysłuchiwać, jakby gotów był wziąć udział w rozmowie.

— Z czego chciałbyś zbudować twój statek nadpowietrzny, profesorze? — zapytał po chwili namysłu pułkownik.

— Z możliwie najlżejszego, a jednocześnie najtrwalszego materiału — odpowiedział profesor. — Gdybym był aeronautą, spróbowałbym wziąć do tego metal.

— Metal! — zawołał z niedowierzaniem pułkownik — żartujesz, kochany profesorze; statek metalowy nie mógłby szybować w powietrzu.

— To samo dowodzą kilkadziesiąt lat temu, gdy powstała myśl użycia stali i żelaza do budowy okrętów — zau-

ważył profesor. — Obecnie zaś tysiące z tego właśnie materiału zrobionych statków, pływa po morzu. Powtórzy się to niewątpliwie z balonami. Jediną trudność do przezwyciężenia w tym względzie stanowi okoliczność, że powietrze jest ośmset razy lżejsze od wody; z tego względu odpowiednich rozmiarów balon musi być również ośmset razy lżejszy od okrętów morskich, aby mógł szybować po powietrzu. Rozwiązanie zadania na tem polega: jak zbudować balon właściwych rozmiarów, dość mocny, aby wytrzymał uderzenie o ziemię, a lżejszy od zawartej w nim ilości powietrza. Jakkolwiek przyznaje, że to zadanie trudne, nie uważam go bynajmniej za niemożliwe do rozwiązania. Okręt wymaga niepomiernej grubości a tem samem bardzo ciężkiej blachy metalowej, musi bowiem nie tylko unieść ładunek, przenoszący nieraz 1,000 ton, ale jeszcze wytrzymać gwałtowny napór bałwanów wzburzonego morza. Takiej odporności i grubości metalu nie wymaga budowa balonu, nikt bowiem nie chciałby zabierać choćby jednego funta ładunku więcej nad to, co konieczne potrzebne w podróży powietrznej. Powinniśmy ciągle pamiętać, że balon zostaje w bliższym powinowactwie z okrętem. Ten ostatni zbudowany z cięższej gatunkowo od wody stali, utrzymuje się jednak na powierzchni morza i tonie dopiero wtedy, gdy go woda zaleje. Wypompujemy z wnętrza okrętu wodę, a znowu na wierzch wypłynie. To samo dzieje się z balonem; jeśli usuniemy z niego powietrze, i utworzymy wewnątrz próżnię, to z łatwością wzniesie się w górę i krążyć będzie w lżejszej od siebie atmosferze.

— Słowo daję, profesorze — zawołał pułkownik — dobrze broniłeś założenia swego. Przekonałeś mnie, że główną przeszkodą w udoskonaleniu balonów, jest niemożność uczynienia ich wraz z potrzebną maszyną dość lekkimi, aby mogły swobodnie szybować w powietrzu.

— Tę przeszkodę potrafię usunąć — rzekł profesor, zrywając się z siedzenia. — Henrykowi Karlińskiemu — do-



Malowanie bez nauczyciela (ryc. 1-sza).

dał triumfująco — przypadnie zasługa i chwała dwóch niesłychanej wagi wynalazków, pozwalających człowiekowi wedle woli bujać w wyżynach przestworów powietrznych, lub zanurzać się w głębie oceanów.

— Brawo, profesorze! — odezwał się baronet — obdarzony jesteś niepospolitym talentem dramatycznym; chybiłeś przeznaczenia swego, nie zostawszy aktorem; chciej nas jednak objaśnić dokładniej z temi dwoma wynalazkami, o których mówiłeś z takim zapałem.

— Bardzo chętnie — odparł profesor — jest to nowo wynaleziony przezemnie rodzaj metalu i nowy motor.

To rzekłszy, wyjął z kieszeni małą czworokanciastą płytę, jakby z polerowanego srebra.



ZATONIĘCIE OKRĘTU „BOURGOGNE.”

— Jak ci się to podoba, sir Reginaldzie? — dodał, podając płytę baronetowi.

— Z pozoru ładnie wygląda — odparł baronet, biorąc do ręki podany sobie przedmiot. — Jaki to metal, co ma połysk srebra, a jest bez porównania od niego lżejszy?

— Dla tej jego lekkości nazwałem go „etereum”, czy słusznie, sami możecie osądzić.

Na stole stała karafka i piękna porcelanowa salaterka; tę ostatnią profesor napełnił wodą po brzegi i wrzucił do niej swoją metalową płytę, która pływała po wierzchu jak korek.

Profesor wstrząsnął razy kilka salaterką, aby przekonać widzów o oporności metalowej blaszki, utrzymującej się ciągle na powierzchni wody.

— Rzeczywiście pływa, jak korek - zawołał pułkownik zdziwiony.

— Co pan mówisz, korek! — oburzył się profesor — korek daleko od niej cięższy! jest to najlżejszy i najtrwalszy z wynalezionych dotychczas materiałów.

Karliński wyjął płytę z wody, obtarł starannie jedwabną chustką, od nosa i ująwszy ją w dwa palce, podrzucił

w górę. Metalowa blaszka jak lekkie piórko kołysała się w powietrzu i ku zdumieniu przypatrujących się, zwolna zaczęła opadać na ziemię.

— Przekonałście się panowie, jak cudownie lekkim jest mój metal — mówił w dalszym ciągu profesor — zalet jego trwałości o wiele stał przewyższającej, nie mogę udowodnić na razie, więc musicie w tym względzie jedynie na słowie mojem polegać.

— Skoro tak jest, profesorze, rozstrzygnąłeś ostatecznie kwestyę, żeglugi powietrznej — zauważył pułkownik. — Wspominałeś jednak jeszcze o odkrytej przez siebie sile poruszającej; zechciej nas z nią zapoznać.

(d. c. n.)

Sztuka malowania bez nauczyciela.

Podajemy miłe zajęcie na lato i jesień; przy pewnej zręczności każdy będzie mógł stać się niby malarzem roślin i kwiatów.

W tym celu należy wcześniej zasuszyć liście paproci i innego rodzaju roślin leśnych, polnych lub ogrodowych. Z zebranych i zasuszonych starannie, układa się wedle upodobania gustowne, fantazyjne bukiety na kawałku płótna lub atłasu, rozciągniętym na desce, albo też wprost na drzewie jeśli chcemy ozdobić np. stolik, szkatułkę, patarafkę i t. d. Wybrane gałązki i liście przytwierdza się do materiału cienutkami szpileczkami albo sztyfcikami, co wypada czynić bardzo uważnie, żeby liście nie zsuwały się i nie kurczyły w ciągu roboty. Na tło do tego malowidła rozpuszcza się farbę wodną w takim kolorze, jaki sobie kto życzy; następnie w tej farbie macza się małą szczoteczkę, uważając, aby nie nabrać zbyt dużo płynu, co by tworzyło plamy i psuło całą robotę, nadto płyn ten powinien być gęsty. Tą zwilżoną szczoteczką naciera się cienką, gęstą siatkę drucianą, trzymaną nad płótnem i przytwierdzonym bukietem (ryc. 1-a). Farba przenika drobnymi kropelkami przez oczka siatki, tworząc jednolite tło, za wyjątkiem miejsc wyłożonych liśćmi.

Po wyschnięciu farby, gdy liście owe odejmie się ostrożnie, kształty ich pozostają dokładnie na tle odbite (ryc. 2). Jak widzimy, zajęcie to łatwe i przyjemne, a służyć może do upiększenia ekranów, poduszek i t. p.

Zatonięcie okrętu „Bourgogne.“

Nietylko wśród bitw morskich lub burz gwałtownych toną statki, zarówno niebezpiecznymi bywają dla nich długotrwałe i gęste mgły, podczas których załoga nie może dojrzeć ani dosłyszeć żadnych sygnałów. Nic łatwiejszego wówczas jak spotkać się z jakimś drugim okrętem.

Spotkaniom ulegają najczęściej statki pasażerskie, kursujące po pewnych stałych drogach morskich, zwykle licznie uczęszczanych, to też katastrofy te są straszne nietylko dla marynarzy z powołania, ale i dla podróżnych, którzy udają się w zamorskie kraje lub z nich wracają.

Przed trzema tygodniami ofiarą takiego spotkania padł olbrzymi parowiec pasażerski francuski „Bourgogne.“ Należał on do kompanii Transatlantycznej i nieraz już szczęśliwie przewoził setki podróżnych z Hawru do New-Yorku i napowrót.

Był to statek wspaniale urządzone, posiadał wygodne kajuty, salony, sale jadalne i t. d., cieszył się więc wielkim uznaniem wśród podróżujących, zwłaszcza, że kapitan jego był dzielny i doświadczony, pan Deloncle.

Tym razem jednak inne były wyroki Opatrzności. Na drugi dzień po opuszczeniu New-Yorku, około piątej rano „Bourgogne“ znajdował się około tak zwanych Sable-Island. Mgła była tak gęsta, że nietylko nie można było dojrzeć najbliższych przedmiotów, ale nawet świst potężnej syreny głuchł i nie sięgał daleko.

Podróźni spali najspokojniej w kajutach, a było ich z górą sześćset, nie licząc załogi i służby. Było też wiele kobiet i dzieci, które dnia poprzedniego bawiły się na pokładzie i przyglądały się z lekka bałwanującym się falam, nie przypuszczając, że wkrótce spoczną na wieki w ich głębi.

Tymczasem z przeciwnej strony, także nic nie widząc ani słysząc przed sobą, płynął żaglowiec angielski „Cromartysshire.“ Uderzył on dziobem w sam środek „Bourgogne“ i przedziurawił jego ścianę, poczem oba statki odskoczyły od siebie

W czterdzieści minut po uderzeniu, „Bourgogne“ zatonała! Co się działo w ciągu tego krótkiego czasu, żadne pióro opisać nie zdoła. W pierwszej części drukującej się w dodatku Wieczorów, powieści: „Juraś i Anulka“, mieści się opis takiej katastrofy, ale rzeczywistość bywa zawsze straszniejszą od utworów wyobraźni. Z siedmiuset osób, będących na statku, półtora sta tylko zdołało się ocalić i na łodziach dostać na żaglowiec „Cromartysshire“, który tylko przód swój nadwerzężył; reszta znalazła grób w falach oceanu, wraz z kapitanem Deloncle, który aż do końca stał na swoim pomoście. Tysiące rodzin pokryło się żałobą, Bóg je tylko pocieszyć zdoła. Ludzie zaś powinni się starać, aby wynaleść jakieś bardziej potężne sygnały, któreby i w czasie najgęstszej mgły mogły ostrzegać skutecznie płynące statki o waznem sąsiedztwie.

Marya Łopuszańska.

OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg).

— Niech tylko stara się, by mu się powiodło, inaczej nie go nie obroni od naszych żartów; mówcie mu to naprzód — rzekł trzeci.

— Tak samo on z ciebie drwić będzie gdy ci nie dopisze — odparł Zbilut — nie bądź tak pewnym siebie.

Ale wiem, że Ładonowi powinno się udać bo on najrozwazniejszy z nas wszystkich, a gdy już raz co postanowi, to dokona choćby stu biesów sprzyściego się przeciw niemu. Pamiętam nieraz, gdy król nas wysyłał na podjazdy przeciw nieprzyjacielowi, Ładon zawsze sprawił się najlepiej, choć wszystko robił cicho a nie odgrażał się ani chełpił, jak inni. I teraz mam dobrą nadzieję; my tu gadamy i krzeczymy a on milczy i zobaczycie, że ten co milczy, stokroć więcej zrobi; przekonałem się o tem, choć sam nie mogę wyżyć bez tego, by się nie wygadać, gdy mi co na sercu leży.

— Będę się starał nie zawieść tej nadziei bracie — rzekł Ładon z uśmiechem. O jedno was tylko proszę; do czasu nie nikomu o tem mie mówcie, niech to zostanie między wami. Czy zgoda?

— Zgoda! — odparł Zbilut — ale gdy nie powrócisz w porę, wszyscy, ilu nas tu jest, pospieszy szukać cię, a jeśli by się co z tobą stało — pomóc.

— Tak, tak! wszyscy! powtórzyło kilka głosów.

— Będę zawsze pamiętał o waszych dobrych chęciach — odrzekł Ładon — i bądźcie pewni, iż postaram się za nie od-

placić. Nie wiem, gdzie jest Przemko sądzą, że już wkrótce będzie pora wyruszyć na nocną wyprawę.

— Wyszedł niedawno, pewnie powróci i powie nam co się dzieje — odrzekł ktoś z obecnych.

Gdy tak rozmawiali nastąpiła tymczasem północ. Przemko, który wyszedł był na chwilę, powrócił wkrótce i rzekł cicho:

— Kur już zapiał, nastąpiła właśnie pora, kiedy mój ojciec wymyka się w puszcze. Chodźcie za mną tylko niech żaden nie piśnie ani słówka, bo wszystko przepadnie. Koń twój, Ładonie, stoi uwiązany do ostrokołu; kazałem mu nogi owinać szmatami by stąpania słyhać nie było.

Wszyscy wyszli w milczeniu za gospodarzem. Miesiąc już wypłynął wysoko na niebo, oświecając jasno całą otwartą polankę, na której wznosił się gródek.

Czarna ściana puszczy stała nieruchomie jak skamieniała, żaden listek nie drgnął na drzewie. Długie cienie od zabudowań kładły się na trawie, rosą zwilżonej! Widno było jak w dzień, najmniejszy przedmiot przesuwający się na przestrzeni między lasem a gródkiem, nie mógł ujść oka pilnujących. Przemko i jego goście ukryli się za węglem czekając. Drzwi od świetlicy otwarły się cicho, ostrożnie... Na progu stanął starzec siwy, trzęsący się.

Długie jego białe włosy oświecał teraz blask miesiąca odbijający się także na ostrzu topora który miał za pasem i w blasku tym starzec wyglądał tak pomarszczonym zgrzybiałym, że wydawał się jak jakaś nadprzyrodzona istota, jak trup, który nagle powstał, by iść kędyś za głosem jemu tylko zrozumiałym. Bo oto nadstawił ucha jakby na czyjeś wołanie, oczy bez blasku, martwe zwrócił do twarzy miesiąca i stał tak niemy przez chwilę. Dziwny to był widok, dziwny i straszny zarazem, gdy ta postać grobowa zbliżyła się do konia stojącego w kącie stajenki i wyprowadziła go na podwórce. Psy zbudzone zaszczeły, lecz on rzucił im coś i natychmiast umilkły. Otworzył bramę a wsiadłszy na koń skierował się w stronę lasu, który wznosił się przed nim senny, czarny, milozący... Jechał wciąż w księżyc wpatrzony jakby posłuszny jakiemuś tajemniczemu głosowi wołającemu go gdzieś w dal, w nieprzebyte głębie puszczy.

Ładon tymczasem poszedł cicho do swego konia i uzbroiłszy się w łuk i topór, wskoczył nań bez żadnego szmeru i podążył za jadącym, trzymając się w pewnej odległości, by nie być przezeń dostrzeżonym. Koń jego jakby rozumiejąc położenie, nie parsknął nawet. Zresztą łatwo było śledzić za starcem mającym słuch osłabiony przez wiek i prócz tego połączonym jakby w śnie letargicznym.

Przed nim leżała obszerna przestrzeń biała i cicha a zioła i trawy ugiwały się pod kopytami końskimi, by znów podnieść się za chwilę. Srebrne tumany podniosły się z lasu, i czepiając gałęzi, rozplywały się powoli wśród drzew. Słyhać było, jak rosa opada z traw; cisza głucha, senna, leżała nad całym otoczeniem, przerywana tylko ćwierkaniem świerszcza polnego, który odzywał się raz po raz tak monotennie, że ucho przywykające do tego głosu, nieodróżniało go w końcu od innych szmerów natury.

Wjechali w las. Było tam ciemno zupełnie, tylko gdzieś przez otwór między gałęziami, przedzierał się błędny promień księżycy, ale i on nie rozświecał grubych ciemności dokoła, bo od światła jego nabierały srebrzystego połysku tumany zalegające puszcze, nic dojrzeć nie dając oku. Ładon słyszał tylko przed sobą stąpanie konia starego Zaboja i kierował się za nim. Niekiedy własny jego koń parsknął i trwożliwie rzucił się w bok; a przeciągłe syczenie dawało się zwykle słyszeć potem. Mimowolny przestrasz i trwoża uroczyście przejęła go, gdy wjechał w te wilgotne głębie, gdzie na każdym kroku poruszały się w ciemnościach jakiegoś nieokreślone istoty. Tam coś mignęło na dróźnie, oblanej światłem miesiąca, może to zajęc przeskoczył, a może jaki duch leśny skrył się w gąszczach. Głuchą ciszę przerywały teraz od czasu do czasu głosy straszne, rozlegające się wśród nocy. Raz było to wycie wilków, powtarzane przez echo borów, to

znów chichot jakiś okropny, napełniający las cały, jakby stu szatanów zanosilo się od śmiechu piekielnego.

Wśród puszczy miejscami leżały całe stopy pni spruchniałych, których pruchno przesiąkłe wilgocią, za poruszeniem kopyt, świeciło w ciemności. Koń starego Zaboja postępując na przodzie, zostawiał za sobą niekiedy takie ślady, ogniste, niby koń upiora, o którym pieśń mówi, iż porwał dziewczynę. Po tych śladach jechał za nim Ładon, choć jazda była coraz trudniejsza, bo puszcza z każdym krokiem stawała się ciemniejszą i bardziej nieprzenikloną; czasem zarośla były tak gęste, iż zdawało się niepodobieństwem chcieć się przedrzeć przez nie. Zwalone i leżące na ziemi konary, niby jakieś suche, wyciągnięte ramiona, chwytaly i obejmowały nogi konia. Zaboj jednak śmiało, bez wahania, jechał przed siebie; widocznem było, iż często tę drogę odbywał. Wreszcie przed jeźdźcami odkrył się dół skalisty i porośły gestwiną, starzec spuścił się do wądołu i nagle Ładon stracił go z oczu; a gdy się sam tam znalazł z kolei, już Zaboja nie było. Daremnie przeszukał wszystkie zarośla, daremnie wyjechał na drugą stronę parowu, stary znikł, jakby się pod ziemię zapadł.

Stanął namyślając się, co ma czynić.

Przed nim stała puszcza, pełna strachów, ciemna, niezbadana, w której łatwo było zbłąkać się straciwszy z oczu tego, kogo śledził i kto zarazem służył mu za przewodnika. Ale z drugiej strony wracać i wyrzec się tak łatwo swego zamiaru, byłoby to narazić się na śmiech i żarty towarzyszy. Postanowił więc jechać dalej bądź co bądź; chciał bowiem koniecznie dowiedzieć się gdzie udaje się nocą ten starzec zgrzybiały, który napozór zdawał się mieć tyle siły zaledwie, aby przesunąć się po izbie. Jechał więc wciąż przed siebie kierując się, jak mógł wśród gąszczy; gałęzie były go po twarzy, koń co chwila potykał się na stosach łomu, pod nogami coś się poruszało, syczało, gwizdało, a wierzehowiec strzygł uszami. Wydostał się wreszcie uradowany, na jakąś niewielką polankę, porośłą trawą i krzakami czarnego jałowcu.

Polana tonęła cała w świetle miesiąca tak, że każde najmniejsze ziółko, każde źdźbło trawy, odróżnić było można. Lekka tylko mgła snuła się po niej. Nagle coś wyskoczyło z pod nóg konia i Ładon sądził zrazu, że to zajęc lub lis, lecz stworzenie to, zamiast zniknąć w zaroślach, znów nie wiedzieć zkąd znalazło się pod koniem. Siwy sploszony, począł głośno sapać i okazywać oznaki zaniepokojenia, a owo zwierzę, czy cokolwiek było, wciąż to wyskakując to kryjąc się w zarośla, wpadło pod nogi konia. Było ciemnej maści, nie większe od lisa lecz znikło tak szybko, że nie można mu się było przyjrzeć bliżej. Ukazywało się tak razy kilkanaście i opuściło go dopiero, aż przebył polankę. Był przekonany, że to wertepnik przybrał na siebie tę postać, by go obłąkać w lesie i wiedział już, że do rana nie odnajdzie drogi w tej puszczy.

Znów zamknęło się nad nim to samo sklepienie, drzew, te same zarośla otoczyły go, i zdawały się szarpać, że wszech stron, a szelest ich brzmiał niby słowa: „Nie jedź dalej! Nie jedź dalej!”

Puszcza także zbudziła się i szumiała groźnie. złowrogo drzewa szeptały: „Świętokradzco, chcesz wydrzeć naszą tajemnicę,” Niedość, że zakłóciliście nasz spokój, rąbiąc stare dęby, które niegdyś czcili twoi ojcowie, ale i teraz wdzieracie się w to państwo, gdzie opiekuńcze duchy lasów mają swoje siedziby. Wygnaliście je zewsząd, wasi to księża zrobili szatanów z tych istot dobrych i przyjaznych, które, jak wy, wzięły życie z ziemi świętej, z wód tych modrych, ze strumieni żywych, a teraz, gdy my im daliśmy schronienie u siebie, aż tu wdzieracie się, by spokój ich zamącić!

Tak szeptały drzewa. Szept ten nie ustawał ani na chwilę, wzmagał się owszem i w groźny chór w końcu przeszedł. Dęby, lipy, jodły, sosny, świerki, brzozy, wszystkie gniewnie hucały nad głową jeźdźca, wołając przeciągłe: „Nie puścimy! Nie puścimy!” A choć rycerz króla Chrobrego mężnego był serca, nie bał się w dzień choćby stu Niemcom zajrzeć w oczy, tu jednak, na ów groźny szum puszczy, uczuł,

że trwoga obejmuje go coraz bardziej. Z za każdego pnia, z za każdego liścia zdawało się spoglądać nań jakieś oko mściwe, każda gałąź stercząca, była jak ramię, chwytające go by gwałtem powstrzymać. Nieprzytomny niemal, z głową palającą, nie wiedział zupełnie dokąd jedzie i z głębokiem zdziwieniem, po godzinem może błąkanii się, znalazł się znów na tej samej polanie, którą niedawno opuścił. Wertepnik to znów go zawiódł na nią. Zsiadł z konia, a wdrapawszy się na drzewo, rzucił okiem dokoła, by widzieć gdzie się znajduje.

Jak okiem zajrzeć, w tumanie białym kołysały się wierzchołki nieprzebytej puszczy; góra Łysa sterczała na pozór tak blisko, że dość było kilka kroków zrobić, by znaleźć się u jej stóp. Ale Ładon wiedział, że oddzielała go od niej jeszcze znaczne przestrzenie lasu. Na lewo, niedaleko od polanki, błyszczało zwierciadło wody; było to jezioro Wodnic.

Zlązł z drzewa, rad, że znajduje się nieopodal od znanej miejscowości i postanowił skierować się w tę stronę. Przejechał jeszcze kawałek puszczy zawalnej i wkrótce drzewa rzadnie zaczęły, zamiast dębów, jodeł i lip, ukazywały się olchy i osinki. Wreszcie znalazł się w kotlinie na dnie której blade i osnute mgłą białą, leżało jezioro Wodnic.

Miesiące kąpał się w jeziorze, mgły długie, białe, wyciągały się i podnosiły, podobne widmom; słowik zawodził w łozie, smutny głos podjadka rozlegał się w trawie. Ładon postanowił zatrzymać się tu, by dać wypocząć siwemu, zsiadł zeń i napoiwszy puścił go na paszę. Sam zaś uzbierawszy suchych gałęzi, rozniecił ogień i legł przy nim, bo wilgotna mgła nawskroś go przejmowała. Ogień szybko pożerał suche paliwo i by nie wygasł, Ładon musiał wciąż dorzucać gałęzi, a utrzymywać go było trzeba, bo ogień jedynie oddala dzikiego zwierza.

Niedługo jednak tak leżał, gdy usłyszał nagle tentent konia. Przybliżał się on szybko i wkrótce z zarośli ukazał się jeździec. Był to ten sam, którego widział owego ranka, tu nad jeziorem, prawie w tem samym miejscu. Widocznie dostrzegł ogień, bo natychmiast zbliżył się w jego stronę. Ładon podniósł się, szukając koło siebie topora, bo nie wiedział; przyjaciel, czy wróg się zbliżał?

Stanęli naprzeciw siebie.

— Hej, ty służko królewski, zawołał Masław, spojrzawszy nań — kogóż to śledzisz tutaj w puszczy? Jaką nocną zwierzynę tropisz?

Puszcza wolna każdemu — odparł Ładon spokojnie, patrząc mu w oczy — i wolno tropić w niej taką zwierzynę, jaką się komu podoba. Czemu mi w drogę zachodzisz, jeśli ja tobie nie wchodzę?

— Nie wchodzisz mi w drogę, nie wchodzisz? — powtórzył Masław szyderczo. A czemuż to już poraz drugi spotykam cię w tem miejscu? Czemu się włóczysz po nocach?

— Mnie tak samo wolno się ciebie zapytać: Czemu się włóczysz po nocach, i oka ludzkiego się obawiasz? — odrzekł Ładon. — Jam cię nie śledził, ale sam się zdradzasz, kto jesteś. Ustąp mi z drogi, bo i ja mam miecz przy boku i użyć go potrafię.

I dobywszy miecza stanął w postawie obronnej.

— Poczekaj, czy długo go używać potrafisz, ty szpiegu królewski! — mruknął Masław, dobywając także miecza i najeżdżając koniem na przeciwnika.

W tej samej jednak chwili kiedy Ładon, uskokczywszy w bok, gotował się do obrony, z zarośli świsnęła strzała i uwięzła mu poniżej ramienia. Jęknął i powalił się na trawę.

Z gęstwiny wysunął się człowiek, odziany w skóry, z łukiem na plecach.

— A co, czy dobrze trafiłem? — pytał z zadowoleniem, podczasz gdy Masław, pochyliwszy się z konia, przypatrywał się leżącemu, a widząc krew płynącą obficie z rany, skinął głową, podczas gdy w oczach błysnęła mu jakaś okrutna radość.

— Może go dokonać? — spytał nowo przybyły, równie przyglądając się powalonymu rycerzowi. Masław potrząsnął głową.

— Nie trzeba — odparł — dziki zwierz zrobi to za nas.

Wyprostował się, jeszcze raz zwycięsko spojrzął na leżącego przeciwnika i zawróciwszy konia, wraz z towarzyszem swym znikł w zaroślach, pozostawiając za sobą ogień, płonący samotnie wśród puszczy i połyskujący wśród niej niby gwiazda.

(d. c. n.)

ZE ŚWIATA.

Książę Bismarck. — Dzielnym budowniczym.

W sobotę 30 lipca zmarł w 84 roku życia, książę Otton Bismarck, były kanclerz cesarstwa niemieckiego, jeden z naj-słynniejszych i najbardziej wpływowych mężów stanu w ostatniej połowie bieżącego wieku. Głównem jego dziełem było rozszerzenie królestwa pruskiego, oraz utworzenie cesarstwa niemieckiego w 1871 r. po zwycięstwie nad Francją.

Zmarł i pochowany został w dobrach swych Friedrichsruh, niedaleko Hamburga.

W Ameryce, w stanie Georgia, pewien mularz, nazwiskiem Andrzej Bonner, postanowił zbudować kościół sam, bez niczyjej pomocy. Pracuje on nad tem dziełem już od dwóch lat; narzędzia sam sobie przygotował, a materiałów dostarczył mu bezpłatnie pewien właściciel sąsiedniej cegielni. Mularz ów wykopał fundamenta, wznosił rusztowanie, postawił mury, dach, wieżę, wszystko własnymi rękoma. Teraz chodzi już tylko o odmalowanie kościoła, mającego długości 60 metrów, 45 szerokości i 18 wysokości. Wnętrze zaopatrzone jest w ławki, także roboty tego oryginalnego budowniczego. Poświęcenie nowego kościoła ma nastąpić wkrótce. Andrzej Bonner jest katolikiem, nawróconym z protestantyzmu.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Wniebowzięcie, wiersz (z ryc.) — Dawni nasi malarze p. W. Marréne. — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej ryby,” opisał H. C. — Sztuka malowania bez nauczyciela (z ryc.) — Zatonięcie okrętu „Bourgogne” (z ryc.) — Obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — Ze świata. — Dodatek: Nieproszeni goście przez Maryę Weryho (z ryc.) — Prześladowca owadów. — Gwiaźda wieczorna, wiersz przez M. L. — Panna Musia. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

WIECZORY RODZINNE

NIEPROSZENI GOŚCIE.

Komary.

Wczesną wiosną wyjechaliśmy w zeszłym roku na wieś.

Prześliczna jest nasza okolica: lasy pełne śpiewającego ptactwa, łąki usiane kwiatami, a w sadzie dwa duże stawy, po których jeździmy łódką; słowem są tu wszystkie przyjemności, jakich tylko zapragnąć można, gdyby nie jedna straszna plaga, co życie zatruwa, gdyby nie komary!

Jakie jest ich mnóstwo, trudno sobie wyobrazić, chyba tu właśnie założyły sobie królestwo i stąd rozlatują się po całym świecie. Pocięły mię tak okropnie, że jestem cały spuchnięty, a moja siostra Zosia, która chodzi w krótkich pończoszkach i wyciętej sukience, ma do krwi poranione ciało.



Komary naturalnej wielkości i komar znacznie powiększony.

Skarżę się też naturalnie wszystkim w domu, że mi tak te stworzenia dokuczają, każdy mnie wysłucha, ale nic poradzić nie może. Nawet ojciec jeszcze sobie z nas żartuje.

— Cóż one temu winne, że się nam stają tak dokuczliwe, rozumu przecież nie mają, by jak człowiek pojąć mogły zło, drugim wyrządzane. Ale każda rzecz ma dwie strony, dobrą i złą. Że za dużo mamy komarów, to prawda, lecz i z tego możecie odnieść korzyść pewną, zapoznając się z nimi bliżej. Starajcie się podpatrzyć ich życie, zbadać budowę drobnego ich ciała; mam ze sobą lupę, czego nie dojrzycie gołym okiem, zobaczycie przez szkło powiększające. Wszyscy ludzie znają komary, ale powierzchownie tylko, obcemi im są zupełnie tajemnice ich życia i przemiany, którym ulegają.

Podobała się nam myśl ojczulka, i zemściliśmy się na komarach, podpatrując je ciekawie.

— Dzzi... dzzi — brzęczy komar cieniutkim głosem — więc podstawiam mu rękę, na której przysiadła natychmiast, poprawia skrzydełka, ustawia nóżki widać dla tego, żeby mógł zająć jaknajlepsze położenie, wreszcie wsuwa swą trąbkę w mą skórę i ssie krew moją. Widzę jak coraz więcej pęcznieje, jak się krwią napełnia. Wtedy delikatnie go chwytam i przyglądam się uważnie. Dużo ich miałem w ręku i przypatrywałem się każdemu doskonale przez lupę. Przekonałem się zatem, że nie każdy komar kąsać nas może.

Tylko samiczki bowiem mają tak ostre na końcu trąbki, jak sztyleciki i niemi to przekłuwają skórę; samce zaś posiadają na głowie prześliczne pióropusze, które naturalnie nic nam złego zrobić nie mogą. Nakłuwając skórę, komar jednocześnie zapuszcza trochę jadu, i dla tego na tem miejscu wyskakuje biały bąbelek, który mocno swędzi, a gdy go pocieramy, jad wsiąka głębiej i wywołuje opuchnięcie.

A teraz wiem także skąd u nas tak dużo komarów. Otóż mamy w pobliżu dwa stawy, a owady te właśnie szukają zawsze stojącej wody. W niej bowiem składają jajka, w niej dzieci się ich hodują, z niej też same wyszły. Jakże więc mają nie trzymać się wody, która jest im tak niezbędną. Jajek komarów nie mogliśmy znaleźć w wodzie, choć ojciec mówił, że pływają przyczepione do liści; może już było zapóźno, albo też są niewidoczne dla nadzwyczajnej ich małości, ale za to zaczerpnąwszy w szklany słój wody ze stawu, schwytałem kilka liszek komarów. Z początku zdawało się nam, że to są bardzo młode kijanki, ale wkrótce przekonaliśmy się, że tak nie jest. Młode komary wyglądały jak robaczki przezroczyste z rozdwojonym ogonkiem, z których jeden jest właściwym ogonkiem a drugi służy do oddychania. Liszka ta niezmiernie jest ruchliwą. Zanurza się co chwili w wodę i znowu wypływa na wierzch, aby zaczerpnąć powietrza, a zabawnie nieraz przytem wygląda, szczególnie gdy czasem w rurkę przez którą oddycha, wejdzie nieco wody, którą ona na swój sposób spożytkować umie.

Całemi godzinami przypatrywaliśmy się z Zosią tym stworzeniom, już to w pokoju, już na stawie.

Tam jednak ginęło ich mnóstwo, bo widzieliśmy jak kijanki, pływaki, rybki, a pewno inne jeszcze stworzenia wodne chwytaly je i pożerały.

Po kilku dniach nasze liszki zmieniły zupełnie swój wygląd, przybrały kształt podobny do pisanej dziewiątki i choć pływały po wodzie, nie miały tej żwawości jak dawniej. Jednego razu woła Zosia: „Jurku, Jurku, chodź-no prędzej.”

Patrzę, a tu poczwarka przewróciła się, przyczem skorupka zamieniła się niby w łódkę, z której wysunął się komar bardzo nieśmiało i tylko do połowy.

Łódka powoli posuwała się to w jedną to w drugą stronę aż po długiej podróży dopłynęła do ścianki słoika. Tu komar wysunął się żwawo, oparł o czótenko i usiadł na szkle, poruszył parę razy skrzydełkami, nóżki wyprostował i wzleciał w górę.

Chcąc przyjść z pomocą innym komarom, wrzuciliśmy mały listek do słoika i wtedy owe łódeczki podpływały do listka i z większą łatwością wydostawały się na wierzch. Niestety, jednak kilka komarów utonęło, widać nie dość zręcznie wychodziły z czótenka i wpadały do wody. Wylęgnięte komary leciały prędko do otwartego okna.

I dziwna rzecz, tak przywiązaliśmy się do komarów, wylęgniętych w naszym słoiku, że nie zabiliśmy z nich żadnego, a nawet broniliśmy, gdy ktokolwiek chciał to zrobić.

— Co tam — mówiła Zosia — one i bez nas mają dużo nieprzyjaciół, niech pożyją troszeczkę.

Naturalnie, choć poznaliśmy tak dokładnie komary, nie wynaleźliśmy środka do ich tępienia, dużo wszakże rzeczy stało się nam odtąd łatwiejszymi do zrozumienia. Pojąłem teraz dlaczego jaskółki tak często nad wodą przelatują; dla czego pajak snuje pajęczynę w trzcinie lub pobliskich trawach i krzewach; dlaczego szklarki, i ważki przylatują nad staw? Oto wszystkie te stworzenia żywiąc się komarami, łowią je tam w znacznej ilości, każde na swój sposób. Wiem także dla czego komarów wieczorem jest więcej, niżeli gdy słońce dopieka. W pogodny dzień bowiem unoszą się one gromadnie wysoko w powietrzu, pod wieczór dopiero gdy mgła opada, komary mając słabe skrzydełka, nie mogą się oprzeć i spuszczają niżej, w ten czas to całymi gromadami widzimy je w okół, a gdy słońce zajdzie i mgła jeszcze więcej opadnie, starają się pożywiać, ssąc krew naszą.

Trzeba jednak przyznać, że przy końcu lata, jakoś nas mniej gryzły, tak, że wracając już do miasta, nie mieliśmy do nich wielkiego żalu.

Marya Weryho.



PRZEŚLADOWCA OWADÓW.

(Dokończenie).

Był jeszcze trochę mizerny, ale biegł już żwawo i w rękę trzymał tekturowe pudełko gęsto szpilką nakłóte, widocznie na to, żeby do środka dochodziło powietrze.

— Co tam masz, Czesiu? — zapytała siostra, widząc jak ostrożnie je niesie.

— A to nic, tylko kilka pajaków, które przez czas mojej choroby rozmnożyły się w pokoju i Jędrzej chciał je szczotką zabić, ale uprosiłem, żeby biedakom darował życie, obiecując, że wyniosę je daleko do lasu i tam do-

piero puszczyć, żeby w domu pajęczyn nie robiły. Biedne pajaki byłyby już nie żyły, a tak między gałęziami będą sobie spokojnie swoje cienkie nitki przędły.

Pani Drozdowska z Emilcią spojrzały na siebie zdziwione, ale żadnej nie zrobiły uwagi.

Szli wszyscy razem szeroką drogą, rozmawiając wesoło. Pani Drozdowska opowiadała dzieciom, że epidemia na wsi już dzięki Bogu ustaje, że od kilku dni nikt nie zachorował; że wszyscy we wsi przejęci są dla mamy wdzięcznością za umiejętną i gorliwą pomoc, której od niej w tych nieszczęśliwych chwilach doznawali.

Cześ cieszył się bardzo słysząc to, rozmawiał i śmiał się głośno. Nagle pochylił się: u stóp jego otrząśnięta wiatrem leżała liszka wśród piasku; biedaczka wiała się na grzbiecie w wielkim kłopotcie, bo nawet gdyby jej umiejętności gimnastyczne wystarczyły do odzyskania pozycji naturalnej, dostać się na pole byłoby jej bardzo trudno, drogę miałyby daleką i przykrą, a tymczasem na uczęszczanym szerokim gościńcu, tysiące groziło jej niebezpieczeństw.

Zrozumiał widać Cześ to przykre położenie, bo nie przerywając rozmowy, urwał zieloną gałązkę, szarą liszkę na liściu złożył i zaniósł ją pod pobliską topolę.

W kilka minut później, Emilka ujrzała śliczną polną różę, wijącą się wysoko na grabinie, podeszła więc bliżej i wspięła na palcach, żeby zerwać śliczny kwiatek. Pod krzakiem pełzał sobie pomaleńku ślimak, z pod swej skorupy dojrzał grożące mu niebezpieczeństwo, i różki wyciągnął do góry, jakby wzywając ratunku, ale głosu żadnego wydać nie mógł, ani pospieszną ratować się ucieczką. Emilcia nie widziała go i już miała go nadepnąć, gdy Cześ powstrzymał ją okrzykiem:

— Czekaj Milko, bo rozgnieciesz ślimaka? Ach, jaka jesteś nieuważna.

— Dziękuję ci, braciszku, żeś mnie ostrzegł — mówiła Emilka z uśmiechem, cofając się troszkę — byłoby to dla mnie wielką przykrością. Ale cóż się tobie stało, że stajesz w obronie maluczkich, nie miewałeś dotąd tak czułego serca?

Cześ ze wstydu zarumienił się, lecz po chwili podniósłszy ku siostrze oczy błyszczące poczciwym postanowieniem i rzekł:

— Bo nie rozumiałem dotąd, jak każdemu miłem jest życie, nawet robaczkiowi najmniejszemu, dla którego jest wszystkim, tracąc je, traci on wszystko zarazem. Choć nie raz mi to tłómaczono, nie czułem znaczenia tych słów, teraz zaś rozumiem je doskonale.

Tu Cześ opowiedział ze wzruszeniem, to co nam już wiadome; o wrażeniu jakie na nim uczyniła rozmowa, którą słyszał w czasie choroby, o snach gorączkowych.

Pani Drozdowska, a później mama z wielkiem zajęciem wysłuchały go, ciesząc się, że przebyte przykrości dobry wpływ na usposobienie, nie złego, jak się pokazuje, ale lekkomyślnego chłopca wywarły.

Poprawa Czesia nie była chwilowa. Zupełny zwrót nastąpił odtąd w jego postępowaniu, bez potrzeby nigdy już nie krzywdził robaczek, a nawet żałował zrywać kwiaty dla zabawy. Za to oddawał się z zapałem naukom o owadach i roślinach, których życie odtąd zaczęło go bardzo zajmować, przypatrywał się im pilnie, czasami

nawet zbierał owady i zrywał kwiaty, ale już nie w chęci bezmyślnego niszczenia, tylko pod przewodnictwem nauczycielki układał zielniki i zbiory, które pomagały mu do dokładniejszego poznania tej olbrzymiej, wiecznie zajmującej księgi przyrody, dla której coraz większe okazywał zamiłowanie i zdolności.

Matka jego cieszyła się teraz nadzieją, że z czasem, pracując poważnie na tem polu, własnym badaniem i doświadczeniem, nie jedną tajemnicę z życia owadów i własności roślin podpatrzy i tem przysłużyć się będzie mógł swemu społeczeństwu.

A. Załęska.

Gwiazda wieczorna.

Gwiazda wieczorna na niebie wyjrzała,
Serdecznie patrzy ku ziemi;
Wszystkie dziateczki zebrały już chciała,
Paciorek chce zmówić z niemi.

Spojrzała cicha, a taka świetlana:
Nad każdym drgnęła cierpieniem,
A jeśli która dziecina s płakana,
Łzy zbiera jasnym promieniem.

I smutne oczki przyciąga do nieba,
„Tam tak spokojnie, kochanie!
Bóg cię utuli, pomodlić się trzeba,
We śnie uciszyć płkanie.”

Wezwała także i szczęśliwe dziatki...
Chodźcie, już ciemność się szerzy!
Chodźcie, dla sierot, co nie mają matki,
Bóg żąda waszych pacierzy.

Proście, by z nieba zesłał im pociechę,
By anioł łzy ich ocierał,
By chleb znalazły i rodzinną strzechę,
By Bóg ich kochał i wspierał.

I proście także, byście korzystały
Z rodziców waszych kochania,
Im na pociechę byście wyrastały,
A On nagroził starania...

Wieczorna gwiazda pół senna wyjrzała:
Już dzień znów kończy się, dzieci!
W ciszy przed Bogiem kłęczą ziemia cała,
Wasz pacierz w niebo niech wzleci.

M. L.

Panna Musia.

Działo się to w pogodny dzień majowy, w sobotę. Przed gmachem szkolnym gromadki wesołych uczniów, wychodzących z klasy, zatrzymały się na chwilę, by z bliżej znajomymi pogawędzić i ułożyć plan zabawy i przechadzki, którą według zwyczaju, korzystając z swobodnego dnia odbyć miano.

— My już mamy gotowy pomysł, stanowczo ułożo-

ny — mówił do kolegów Boguś, uczeń klasy 1-szej — obaj z Tadzkiem przez cały tydzień oszczędzaliśmy nasze śniadaniowe pieniądze, żeby go mózdz wykonać.

— I cóż to zamysłacie? mów prędko Bogusiu, bo już czuję, że przyłączymy się do was, wy miewacie pomysły doskonałe.

— Prawdę mówiąc, mama nasza w tem cokolwiek pomaga, zawsze się dowie o czemś, co widzieć warto, coby nas zabawić mogło. I tak, powiedziała nam wczoraj, że przywieźli do Warszawy bardzo interesujących czworonogich cudzoziemców — wybieramy się do tej menażeryi z panem Henrykiem, naszym korepetytorem.

— Wiwat, wiwat! — zawołali chłopcy, Staś, Janek i Feliś, podrzucając w górę czapeczki — niech żyje Boguś i Tadzio... a także lwy, tygrysy, pantery i małpy; i my uzbieraliśmy złotówki, i my pójdziemy menażeryę oglądać.

— No prosimy — rzekł Tadzio — zejdźcie się do nas o czwartej, mama mnie upoważniła zaprosić was na podwieczorek, a potem razem wyruszmy na Mokotów.

— Do widzenia, do widzenia... i rozbiegli się ku swoim mieszkaniom.

Boguś i Tadzio mieli najdalej. Szli rozmawiając wesoło, kiedy usłyszeli obok siebie brzęk tłukącego się szkła, a zaraz potem wykrzyknik żalostny. O parę kroków stał chłopiec mniej więcej w ich wieku i załamawszy ręce patrzył smutnie, na ziemi, przed nim leżały dwie apteczne flaszki, z jednej wylewał się jakiś ciemny płyn.

— Co ja pocznę, co ja, biedny teraz pocznę — szeptał do siebie — co ja mamie zaniosę, kiedy już niema lekarstwa.

Obaj bracia zatrzymali się.

— Trzeba żebyś powrócił do apteki po drugie — rzekł Boguś, podnosząc z ziemi przywiązaną do stłuczonej flaszki receptę, na której wyczytał, że lekarstwo kosztowało całą złotówkę.

— Tak — powtórzył Tadzio dobra rada — wróc do apteki, na tę samą receptę drugi raz ci lekarstwo wydadzą.

Biedny chłopczyzna spojrzał na nich smutno.

— Nie wydadzą mi drugi raz lekarstwa, bo nie mam za nie czem zapłacić.

Boguś i Tadzio jednym ruchem szybko wsunęli rękę do kieszeni. Boguś wyjął woreczek, i zatrzymuje chłopca, który już pobierawszy recepty, zabierał się do odejścia, wsunął mu w rękę pieniądze.

— Nie, nie paniczu — szeptał zmieszany, widać nie przyzwyczajony do zebrania — ja o nie nie prosiłem.

— Nie prosiłeś, ja wiem — rzekł pocziwy Boguś — ale przyjm to odemnie, mnie te pieniądze teraz nie potrzebne, a ty je weź dla twojej matki, jak sam mieć będziesz więcej, jak sobie zarobisz, to je oddasz potrzebującemu.

Chłopiec się zarumienił, łzy wdzięczności w oczach mu zabłysły.

— Bóg zapłać — rzekł serdecznie — i szybko pobiegł w przeciwną stronę, wdzięcznie przyjmawszy dar, który mógł matce jego w cierpieniu przynieść ulgę.

Przez cały ten czas Tadzio stał milczący, z ręką w kieszeni, bo w chwili gdy już miał także wyjąć swoje

pieniądze, przypomniał sobie przechadzkę poobiednią, nadzieję zobaczenia dzikich afrykańskich zwierząt, i jak zaczął myśleć nad przyjemnościami, którychby się musiał wyrzec, oddając swoje pieniądze, jak zaczął się wahać, już ubogi chłopczyk był daleko.

— No, to wracajmy do domu, bo mama czeka na nas z obiadem — zauważył Boguś — i poszli dalej, ale rozmowa jakoś się urwała, obadwaj bracia byli zamyśleni.
(d. c. n.)

ZAGADKA.

przez Polną Różyczkę.

W jednym słowie dwa znaczenia
Więc myśl tylko postać zmienia,
Raz przyimkiem krótkim bywa,
To znów miły krzew nazywa
Z wonnym kwiatem, dobrze znanym
Po ogrodach hodowanym.

ŁAMIGŁÓWKA KRYSTAŁOWA.

Słoń z Nubii.

1. Spółgłoska.
2. Dopływ Wisły.
3.
4. Dopływ Dunaju.
5. Samogłoska.

Rząd środkowy oraz środkowe litery złożą warowne miasto w Bulgarii pamiętne z roku 1444.

ŁAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

- Zapelnąć kropki literami, aby
- pierwszy rząd oraz pierwsze litery
- złożyły imię największego greckiego
- bohatera; rząd 2) Bożek sztuki lekarskiej.
- 3) Linia dzieląca ziemię na dwie półkule.
- 4) Księga święta mahometan. 5) Naczynie do
- przechowania w staroż. popiołów zmarłych. 6) Ro-
- ślina z rodz. krzyżowych. 7) Wykrzyknik. 8) Samo-
- głoska.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 31-go

Szarady: Ob — bo.

Łamigłównki geograficznej:

E D T K W B I L W H B
u u u r i a z u e e r
B e r e s t e c z k o
e r y t ł u r y e l d
a o n a a m a n l a y

Łamigłównki kryształowej:

M
n a d
M a r t a
k t o
a

Skrzynka do listów.

Pani J. K. List wraz z pieniędzmi odebraliśmy; za ofiarę dla ubogich, w ich imieniu dziękujemy.

Pani X. Chętnie spróbujemy uczynić zadość jej życzeniu, trzeba jednak przeczekać czas wakacyjny, w którym tak wiele osób opuściło Warszawę. Tymczasem prosimy o wyszczególnienie warunków, mianowicie jaki jest wymagany stopień ogólnego wykształcenia, które z języków są konieczne i jaka znajomość muzyki, wreszcie ofiarowane honorarium i t. d. Są to bowiem ważne kwestye, decydujące o wyborze.

Nadesłane od **M. Br. i M.** rubli 4 otrzymaliśmy i dziękujemy w imieniu dzieci z Kolonii letnich, dla których ofiara ta jest przeznaczoną.

Witamy miłą **Ż.** w gronie naszych korespondentek, pewni, że pierwszy jej list jest zapowiedzią wielu następnych. Przyjemnie też było nam poznać, że **Ż.** nie ma zarozumienia, aby łamigłównki jej układu odrazu drukowane były; skromność taka o ile jest szczerą, o tyle wielką jest zaletą. Zostawiając na później przejrzenie tych łamigłówek, zwracamy dziś uwagę, aby tematy ich nie były powtórzeniem niedawno pomieszczanych w piśmie naszym, oraz aby przy każdej znajdowało się całkowite rozwiązanie.

Nadesłany wierszyk **Niepoetki** ma usterki, dla których nie nadaje się do druku; że jednak jest to pierwsza jej próba w tym kierunku, może następne, przy koniecznej wprawie i wczytywaniu się w piękne utwory literatury naszej, okazać się lepsze. W każdym razie znajdujemy już pewne poczucie rytmu.

Michalinie Ol. Numera „Wieczorów” z bieżącego kwartału wysłaliśmy już, wkrótce więc miła nasza czytelniczka ukoi smutek, o którym w liście swym wspomina. Łamigłównkę **Wróbelka** przejrzymy, niezależnie jednak czy ta nada się do druku, prosimy o przysłanie innych, bo z większej ilości prędzej się coś wybierze.

Słusznie **Marychna W.** skarży się na tegoroczne lato, które odmawia nam dotychczas pogody i ciepła, i jeżeli nam tu w mieście dokuczają ciągle deszcze, o ile przykrzejszem być to musi na wsi, gdzie wyjechała **Marychna** właśnie po to, aby użyć swobody i świeżego powietrza po całorocznej pracy na pensyi. Miejmy jednak nadzieję, że miesiąc sierpień będzie grzeczniejszy od lipca, bo jakoś niebo zaczyna się wypogadzać, i od paru dni częściej ukazuje się jasne słończko.

Zasłała pomyłka w wysyłaniu **Wieczorów** sprostowaną została i zaległe numera **Szafirka** zapewne już odebrała. Nagrody przeznaczone są po 4 na każdy rodzaj robotki konkursowej.

Własnego układu łamigłównki nadesłali: **Orzeł karpacki, Władzio Z., Mania i Zochna, Giermek, Ignasz W. i Prymulka**, dobre zaś rozwiązania: **Giermek, Mechanik, Gwiazdka, Anulka i Różyczka biała.**

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Królewna Prawda

Bajka żmudzka.

Wśród żytnich łąnów zbożowych,
I leśnych borów sosnowych,
Za rzek szerokich granicą,
Za puszcze odwiecznych ciemnicą,
Tam gdzie pieśń ptasząt brzmi rzewna, —
Żyła królewna.

* * *

Na tronie z mchów i paproci,
Z uśmiechem wielkiej dobroci,
W koronie, zdobnej bursztynem,
Dzierżyła władzę nad gminem,
Rządziła berłem z koralu
Ludźmi w tej dali.

* * *

Na wieść o żmudzkiej dziewicy,
Z dalekiej kraju dzielnicy
Zewsząd się tłumnie zbiegano;
Lecz usłyszawszy jej miano,
Nie jeden żalił się smutny
Na los okrutny.

* * *

„Natura zimna w niej, rybia,
A zwie się: *Tikra Tejsibia* ¹⁾,
A widzi do dna człowieka!
Wie, co zakrywa powieka,
Co w tajemnicach duszy złożono”...
Tak się skarżono!

* * *

¹⁾ *Tikra Tejsibia* po żmudzku: znaczy: *Szczała prawda*.

Aż raz, znaleźli się śmiali
Trzej królewicze z oddali
I każdy stanął osobno
Przed tronem, z mową ozdobną.
Każdy rachuby miał pewne
Zdobyć królewnę!

* * *

Rankielis ¹⁾ z nad brzegów *Wenty* ²⁾,
Obiecał skarbiec zaklęty,
I ziemie zbożem słynące,
I monet srebrnych tysiące,
I złota olbrzymie stogi
Rzucić pod nogi.

* * *

Galwelis ³⁾ z *Dubisy* ⁴⁾ brzegu
W biegłych słów długim szeregu
Obiecał waleczne czyny,
Mądrości, sławy wawrzyny,
Potęgi i władzy morze
Oddać w pokorze.

* * *

Szyrdelis ⁵⁾ z brzegów *Ławeny* ⁶⁾
Na skarb ten nie znalazł ceny
I słów nie wybuchł potokiem!
Lecz rzekł z westchnieniem głębokiem:
„Daję ci siebie, weź moje
Serce za swoje!”

* * *

Królewna-prawda, wzruszona,
Rzekła: „Twa wola spełniona!
Bo ręka bywa bezsilna,
I głowa często jest mylna,
Lecz z prawdą — nigdy w rozterce,
Kto patrzy w serce!”

Ludwika Życka.

¹⁾ *Ranka* po żmudzku ręka — *rankielu* rączka.
²⁾ *Wenta* rzeka; przepływa powiat szawelski inaczej *Windawa*.

³⁾ *Galwa* po żmudzku głowa — *galwela* główka.
⁴⁾ *Dubisa* rzeka; przepływa powiat rosieński.

⁵⁾ *Szyrdelis* znaczy po żmudzku *serduszko* (szydis — serce).

⁶⁾ *Ławena* rzeka; przepływa powiat poniewiezki.

DAWNI NASI MALARZE.

III.

Tradycję polskiej szkoły wznowił poniekąd January Suchodolski. Jakkolwiek był malarzem z przypadku, gdyż zawodem jego była żołnierka, i tylko okoliczności popchnęły go na drogę artystyczną. Urodzony na końcu zeszłego wieku, z rodziny oddawna osiadłej na roli, służył w wojsku od wczesnej młodości do 1831 roku i bił się dzielnie. Potem dopiero przyszło mu na myśl kształcić talent jaki posiadał, pojechał więc do Rzymu, ale nauka jego trwała stosunkowo krótko i powróciwszy do kraju oddał się malarstwu.

Jak wiemy, nie były to czasy dla artystów pomyślne, jednakże pan January, jak go powszechnie nazywano, miał szczęśliwą specyjalność, która zyskała mu względne powodzenie. Malował przeważnie konie, bitwy, utarczki, a ponieważ koń był ulubionym przedmiotem dla obywateli wiejskich, stanowiących wówczas najzamożniejszą część społeczeństwa, a Suchodolski malował szybko i nie drożył się ze swemi obrazkami, kupowano je chętnie, trochę dla talentu, trochę dla powszechnie lubianego artysty, bo był to człowiek zacny, szczerzy, gościnnie, którego sama powierzchowność żołnierska, jednała serca, to też nie było zamożniejszego domu na wsi, w którymby się nie było na ścianie, jakiego jeźdźca na koniu z rozdetymi chrapami, jego pendzla.

Większe obrazy Suchodolskiego, mniej mają wartości, bo nie oglądał się na naturę, a jeżeli malował jaką bitwę, nie przyszło mu na myśl obejrzeć miejscowość. Prawda, że nikt tego nie wymagał, że podróże były uciążliwe i drogie a malarz nie mógł czynić takich nakładów, bo obrazy bardzo tanio kupowano. Suchodolski malował przeważnie bitwy z naszych dziejów, malował je po szkolarsku, nie zadając sobie zbyt dużego trudu co do szczegółów historycznych, ale już przez to samo, przeważną rolę w jego obrazach grały konie, był popularnym. Na wystawie obecnej znajduje się jego zwycięstwo wawozu pod Somosiery, dokonano przez oddział polski w Hiszpanii za wojen napoleońskich pod dowództwem Kozieltulskiego.

Po nim wielkie zasługi w historii naszej sztuki położył Aleksander Lesser, urodzony w trzecim dziesiątku obecnego wieku. Poświęcił się on sztuce nie z potrzeby ale z zamiłowania i traktował ją z największym poszanowaniem. Zamożny i swobodny, oddał się jej cały, pracował z sumiennością niezmierną, której mówiąc szczerze, dotąd od artystów nie wymagano.

Głęboko i wszechstronnie wykształcony, Lesser zrozumiał dobrze, jakie być powinno zadanie artysty, zrozumiał, że sztuki nie można odosabniać od innych nauk, że łączy się ona z historią i z archeologią, ażeby, malując obraz z dawnych czasów, wiernie odtworzyć ubiory, sprzęty, uzbrojenia przedstawionej epoki i narodu.

O tych rzeczach dawniej artyści nie myśleli, bo wielcy mistrze odrodzenia przedstawiali bez ceremonii osoby z historii świętej w strojach sobie współczesnych. Paweł z Weroni np. malując gody w Kanie galilejskiej przebrał wszystkich jej uczestników za panów i panie weneckie. Pomimo to Gody w Kanie należą do arcydzieł sztuki. Tak w ogóle wówczas robili wszyscy artyści, troszczyli się o dobry rysunek, o prawdę w kolorze i wyrazie ale nie o tę historyczną prawdę, której dopiero wiek nasz zaczął poszukiwać.

Pierwszy też Lesser z naszych artystów kształcił się w Monachium, które wówczas, mając znakomitych mistrzów, stało się jednym z najbardziej ożywionych środowisk sztuki. Lesser wyniósł ze szkoły monachijskiej niezmierną sumiennność a w głębi własnego serca, miał gorącą miłość dla polskiej oświaty. Malował też przeważnie obrazy z historii polskiej, oddając z archeologiczną wiernością stroje i uzbrojenia. A nie było to wcale rzeczą łatwą w jego czasach,

mało mieliśmy wówczas dzieł pomocniczych. Trzeba więc było samemu wyszukiwać każdego szczegółu. Lesser się tego nie uląkł, przeciwnie, trudności podniecały jego zapal do pracy. Między innymi malował małego Bolesława Krzywostego w chwili, gdy prosi ojca by mu pozwolił uczestniczyć w wyprawie wojennej; „sen Gedymina,” gdy śpiącemu wśród lasu nad brzegami Wilii księżęciu, ukazuje się wilk żelazny na znak potęgi miasta, które według wieszczby kapłanów w tem miejscu założył i nazwał Wilnem; „Śmierć Wandy,” której zwłoki otacza lud rozpaczający, Królowę Jadwigę, i wiele innych obrazów poczerpniętych z naszych dziejów.

Lesser był w tym kierunku poprzedzicielem Matejki, na nieszczęście jednak nie posiadał talentu, któryby się równał pracy i dobrym chęciom, to też obrazy jego są sztywne i nie robią tego wrażenia, jakie artysta pragnął wywołać, lecz były bardzo pożyteczne, bo wskazały sztuce naszej kierunek. Na obecnej wystawie jakby nie było dzieł Lesera, chociaż zostawił ich wiele. Zapomniał jednak o nim za życia jeszcze nasze społeczeństwo, wobec młodego Józefa Simmlera, także ucznia szkoły monachijskiej, który zyskał sobie ogromną sławę „Śmiercią królowej Barbary”, bo rzeczywiście jest to obraz pysznie wykonany i pełen uczucia, historyczny a przedstawiający tę straszną chwilę, dla wszystkich jednako zrozumiałą — utraty ukochanej osoby. Simmler stosunkowo mało zostawił obrazów, gdyż zarzucono byk żądaniami portretów, które umiał urozmaicać jak każdy znakomity artysta, robiąc z nich prawdziwe obrazy bez zatracenia podobieństwa. Takim jest portret pani Reszkowej, matki znanych artystów, i Wilhelma Troszla, śpiewaka naszej opery, który wraz z Dobrskim cieszył się słuszną sympatją publiczności.

Simmler umarł zbyt młodo w pełni swego talentu, a po nim podniósł wysoko sztandar sztuki polskiej krakowianin, Jan Matejko († 1893 r.), który posiada europejską sławę i śmiało może być zaliczony do najznakomitszych malarzy XIX wieku.

Od pierwszego obrazu jaki ujrano w Warszawie, Kochanowski nad zwłokami Orszulki, kraj zrozumiał, że posiada wielkiego artystę. Nieszczęśliwy ojciec, który miał tak wymowny pomnik postawić ukochanemu dziecku swemu Trenami; — Treny niezawodnie znane są naszym czytelnikom — układa w trumnie tę pociechę, tę wesołość i światło swego domu, a czyni to z taką troskliwością, widocznie drżącymi rękoma, jak gdyby to martwe ciało odezwać mogło zbyt szorstkie dotknięcie. Nie można się było omylić na znaczeniu tego obrazu — objawił nam się mistrz.

Odtąd dzieła Matejki ukazywały się często w Warszawie. Oczekiwano ich z gorączkową niecierpliwością, zbiegały się tłumy by je oglądać, a wszystkie z wyjątkiem może jednej „Dziwicy Orleańskiej” stanowiły ilustracje naszych dziejów. Sam ich spis musiałby być bardzo długi, bo artysta odtwarzał zarówno chwile radosne i pełne sławy, jak i nieszczęśliwe: Urodzenie pierwszego syna Jagiełły, Uczta Wierzyńka wydana zgromadzonym w Krakowie monarchom, Bitwa pod Grunwaldem, Hołd pruski, gdy dumny Brandeburczyk kłęczy u stóp Zygmunta I-go na rynku krakowskim, i tyle, tyle innych. Tu załączona rycina należy do cyklu obrazów smutnych, przedstawia Jana Kazimierza, który widzi z klasztoru Kamedułów na Bielanach pod Krakowem, jak Szwedzi palą stolicę przez niego opuszczoną. W oczach nieszczęśliwego króla maluje się bezsilna rozpacz, bo też to tylko mógł i chciał artysta przedstawić. Do smutnych, wstrząsających obrazów należy także jedno z arcydzieł mistrza „Kazanie Skargi”, gdy wobec całego dworu Zygmunta III i sejmu, kapłan wzywa do poprawy i rzuca straszliwe przepowiednie. Rycina nasza przedstawia jeszcze Chmielnickiego pod Lwowem, któremu święty patron miasta, ukazuje się w obłokach, zagradzając drogę i Jana Odrowąża, kładącego kamień węgielny pod budowę Maryackiego kościoła.

Wiele z tych obrazów znajduje się na obecnej wystawie; jakby to dobrze było, żeby je nasi czytelnicy widzieli. Takiego zbioru dzieł niezwykłych malarzy, przy braku galery publicznej, u nas zobaczyć trudno bardzo, należy więc korzystać ze sposobności i kto tylko może, zwiedzić ją uważnie

powinien, chociażby tylko dla dzieł Matejki, będących wszystkimi w prywatnych rękach, a zatem niedostępnych dla publiczności.

(d. n.)

W. Marréne.

W OBŁOKACH I POD WODĄ

WYPRAWY „LATAJĄCEJ RYBY.”

opisał H. C.

(Ciąg dalszy).

Profesor po raz drugi sięgnął ręką do kieszeni i wyciągnął z niej szczyptę drobnych, zielonkawych kryształków, starannie w papier zawiniętych.

— Hum! nie znam tego — rzekł pułkownik, rozcierając ostrożnie w palcach trochę podanego sobie proszku. — Jakaż to siła ma w tem być ukrytą?

— Kryształki te w pewien sposób użyte, służyć mogą do wytwarzania elektryczności, a w odmiennem zastosowaniu wydzielają gaz wybuchowy tak silny, że zastąpić może proch strzelniczy — tłumaczył profesor.

— Zatem wypada się z nimi ostrożnie obchodzić? — pytał pułkownik.

— W obecnym składzie nie przedstawiają żadnego niebezpieczeństwa — uspokajał profesor — możecie je nawet panowie bezkarnie rzucić do kominka w ogień; dopiero z domieszką pewnego rodzaju kwasu, ta mała ilość kryształków, jaką trzymacie w rękach waszych, starczyłaby na wysadzenie w powietrze gmachu, w którym się znajdujemy.

Obecni z niedowierzaniem spojrzeli na profesora.

— O prawdzie dowodzenia mego najsumienniejszą zapewnić panów mogę.

Karliński mówił to z tak głębokim przekonaniem, a w świecie naukowem słowa jego budziły takie zaufanie, że dane przez niego zapewnienie, usuwało wszelkie wątpliwości.

— O ile wnosić mogę — odezwał się pułkownik — zamierzasz, profesorze, z wynalezionego przez siebie metalu, zbudować balon i zastosować do niego jako motor nowo odkrytą siłę?

— Takbym chciał zrobić, gdybym posiadał na to odpowiednie środki. Jestem tylko jednak mołem naukowym, a tem samem człowiekiem biednym. Rachuję na to jedynie, że gdy zapoznam ludzi z moim wynalazkiem, znajdzie się jaki przedsiębiorczy kapitalista, który na wykonanie planów moich zaryzykuje swoje pieniądze.

— Ile może kosztować zbudowanie takiego napowietrznego statku? — zagadnął baronet.

— Z góry nie można kosztów stanowczo określić — odparł profesor — może około 100,000 funtów szterlingów *).

— No, to stanowi okragłą sumkę, jak twierdzą Yankee, ale z drugiej strony przysłowie mówi: z rąk szaleńców pieniądze łatwo się wyśliznie. Jeśli więc profesorze masz niezłomne przekonanie o możliwości urzeczywistnienia twoich planów, podjąłbym się może dostarczyć potrzebnych na ich wykonanie środków — oświadczył baronet.

— Możliwość wykonania tych planów jest tak niewątpliwą, jak niewątpliwem jest budowanie okrętów, pływających po oceanie. Skoro dasz pan na to fundusz potrzebny, będziesz mógł niezadługo wznieść się na moim statku na szczyt najwyższej góry Ewerest lub zapuścić się w bezdenne głębie morza.

— Zgoda! — zawołał baronet — umowa między nami zawarta. Przyjdź tu jutro po południu, profesorze, pójdzie-

my razem do mego bankiera, gdzie ci dam przekaz na sumę 100,000 fun. szter. Cóż jednak panowie na to mówicie — dodał, zwracając się do pułkownika. — Gdy cudowny statek zostanie zbudowany, czy zechcecie mnie i profesorowi towarzyszyć w wycieczce próbnej naokoło świata?

— Pójdę chętnie z wami — odpowiedział pułkownik.

— I ja z niemiejszą radością skorzystam ze sposobności odbycia takiej podróży — dorzucił porucznik.

W ten sposób wszystko zgodnie ułożone zostało.

II.

Urzeczywistnienie marzeń uczonego.

Nazajutrz, w chwili gdy zegar wydzwaniał dwunastą, profesor Karliński wchodził do klubu. Czekał już tam na niego sir Reginald i zamieniwszy uścisk dłoni, udał się z nim do bankiera, gdzie interes pieniężny szybko został załatwiony.

W ciągu paru następnych tygodni profesor spędzał całe dni i część nocy nad cyframi i rysunkami. Ukończywszy mozolną pracę i mając już plany gotowe, wsiadł pewnego dnia na statek parowy, a płynąc w dół Tamizy, rozglądał się pilnie dokoła. Dojeżdżając do Blackwell, spostrzegł gmach fabryczny, na którym wypisane było dużemi literami: „Fabryka budowy okrętów do sprzedania lub wydzierżawienia.” Profesor przeczytawszy to ogłoszenie, wysiadł zaraz z parowca, zadzwonił do szalenie ogrodzonego dziedzińca fabrycznego, a skoro tylko odzwierny wpuścił go do środka, odbył szczegółowy przegląd całego zakładu. Przekonawszy się w ten sposób, że odpowiada na warunkom zamierzonej przez niego budowy napowietrznego statku, wziął adres właściciela fabryki, do którego, nie tracąc czasu, udał się na drugi dzień rano. Fabryka była już od dłuższego czasu nieczynną, właściciel jej przeto zgodził się chętnie na stawiane przez profesora warunki i wydzierżawił mu ją na dwa lata.

Po zawarciu umowy, najpilniejszą rzeczą było zgromadzenie, potrzebnych do budowy materiałów, a profesor tak energicznie zabrał się do tego, że po sześciu miesiącach wszystko już gotowe było do rozpoczęcia dzieła.

Teraz jednak zaczęły się najcięższe kłopoty dla Karlińskiego; największą trudność stanowiło wyszukanie dwustu zdolnych i pracowitych rzemieślników, którzyby chcieli i umieli sumiennie wykonać tak trudną pracę. Poszukiwania te zajęły dosyć czasu i zaledwie w ośm miesięcy po owej pamiętnej rozmowie, prowadzonej w klubie, kłęby czarnego dymu, wychodzące z komina fabrycznego świadczyły, że roboty na dobre zostały rozpoczęte. Roboty te jednak prowadzone były szybko. Dzień za dniem ciągnęły na dziedzińiec fabryczny wozy naładowane różnemi materiałami. Stosy jakiegoś metalu, przechodząc kolejno różne procesy chemiczne, poddawane działaniu ognia, wychodziły z pod ogromnych walców parowych, w kształcie długich, gładkich arkuszy blachy. Gdzieindziej wyrabiano kółka i śruby metalowe srebrnego połysku różnych wielkości. Najciekawszy jednak widok przedstawiała kuźnia fabryczna, w której obrabiane były składowe części statku, wykuwane na olbrzymich kowadłach olbrzymiemi młotami, a po wystudzeniu, przez kilku ludzi z powodu wyjątkowej lekkości swojej, przenoszone z łatwością do oddziału maszyn i oddawane do ostatecznego wykończenia tokarzom i ślusarzom.

W taki sposób budowa postępowała szybko; nadszedł wreszcie dzień, w którym malarze i tapicerzy ukończyli wewnętrzne przyozdobienie napowietrznego statku, a profesor za zezwoleniem Elphinstona, nagrodziwszy hojnie rzemieślników, za ostatnim z nich zamknął drzwi na klucz i znalazł się sam jeden na statku.

Trudno określić uczucia, jakich musiał doznawać na widok szczęśliwie ukończonego dzieła; przypuszczać można, że profesor, jakkolwiek wyłącznie oddany nauce, nie był zupełnie wolnym od zwykłych słabostek ludzkich, i że z rodzajem dumy oglądał każdy szczegół budowy, której plan zro-

*) Około milion rubli.

dził się w jego głowie. Zadowolenie wewnętrzne odbijało się na zacnej twarzy Karlińskiego i, gdy po obejrzeniu starym statku i przekonaniu się o jego dokładnym wykonaniu, klucze od zamkniętej fabryki oddawał odźwiernemu, wyglądał na zupełnie szczęśliwego człowieka.

(d. c. n.)

koniki szeleszczą piosnkę zwyczajną, a kwiaty w ogrodzie woń rozsyłają silniejszą niż we dnie.

Ściany białego dworku jaśnieją w ciemności, wśród zielonych festonów niby kosztowne marmury, dach rosą posrebrzony błyszczy jak tafla lustrzana, okna płoną czerwono w głębi pod dachem werendy, a na drewnianych schodkach z twarzą opartą na dłoni, w jasnej sukience jakaś postać drobna czuwa, czy marzy, zapatrzona w niebo, w te nieskoń-



OBRAZY JANA MATEJKI.

Noc sierpniowa.

Na szafirowym niebie błysnął sierp księżycy, rogaty, brylantowy. I na ciemnym sklepieniu świeci sam jeden, sam jeden. Nie, obok gwiazdka maleńka, a jasna, niby kosztowna szpilka przy królewskim dyademie.

Zresztą pusto jeszcze na nocnym błękitcie, pusto na szarej ziemi. Noc zapadła. Po skwarzym dniu i pracy ludzie spoczywają, w chatkach pogasły światła, drzewa stoją ciche, niby drzemiące, bez ruchu i szmeru, na łąkach tylko

czone błękitne przestworza, gdzie tak inaczej musi być niż u nas, na niskiej, szarej ziemi.

Nagle szklane drzwi werendy otwarto i z pokoju uderzył gwar śmiechu, rozmów i wrzawy. Dziewczę w jasnej sukni w milczeniu odwróciło się ku nadechodzącym i wnet powitał ją chór wykrzykników.

— Oto jest lunatyczka, która dla księżycy wyrzeka się wieczery, towarzystwa i siedzi tutaj sama, zapatrzona w niebo.

— Mamo, mamo, Marynia jest tu, na werendzie.

— Maryniu, mama woła na herbatę.

— Maryniu, weź chusteczkę.



Elżunia lubi bardzo młode pieski swoje,
Lecz, że trudno nieść wszystkie razem na pokoje,

Ćodzień bierze jednego sobie dla zabawy
A resztę pozostawia wśród pisku i wrzawy.

— Czego tak składasz ręce? Co ci jest? — pytano, widząc, iż prosi o coś ze złożonymi rękoma.

— Coś wam powiem — szepnęła cichutko Marynia — coś wam powiem ciekawego, tylko się uspokójdźcie. Nic nie zobaczymy przy takim hałasie.

— A cóż mamy zobaczyć? — pytał dowcipny Romek.

— Deszcz gwiazdzisty.

— Deszcz gwiazdzisty?

— Wyczytałam w Wieczorach Rodziny; możecie się przekonać sami, w artykule „Niebo w sierpniu.”

— Czy to prawda, panie Adamie? — zapytał gruby Franek korepetytora.

— Panna Maryja ma słusność, dziś jest 11, a spadanie gwiazd w sierpniu trwa zazwyczaj od 10 do 12-go. Piękne to zjawisko, ale za parę godzin dopiero się zacznie, może przed północą, teraz żadnych gwiazd nie widać, więc możecie spokojnie zabawić się jeszcze.

— Jakto, spadanie gwiazd — zapytał Franek. — Przecież gwiazdy to takie wielkie ziemie, jak nasza, więc jeśli na nas spadną...

— To ci wybiją oko — dokończył wesół Romek.

— Cicho, Romek, proszę pana? — pytał drżącym trochę głosem Franek.

— On się boi! — wybuchnęli śmiechem chłopcy i dziewczęta.

— Nie boję się, ale przecież...

— Uciszcie się dzieci — odezwał się p. Adam — Franek rozsądniejszy jest od was. Nie rozumie zjawiska, więc pyta o wytłumaczenie. A wy czy je rozumiecie?

— Naturalnie — odparł Romek — to nie żadne gwiazdy, tylko kamienie, krążące w przestrzeni, jak nasza ziemia, spadają lub przebiegają przez atmosferę naszą w sierpniu i listopadzie, bo w tych dwóch miesiącach droga ziemi właśnie przecina ich drogę.

— No, pamiętasz coś o tem — powiedział p. Adam — ale wątpię, czy Franek zrozumiał twoje objaśnienie.

— Nic a nic — zapewniał Franek.

— Niech nam pan powie — prosili chłopcy i panienki. — Więc to nie prawdziwe gwiazdy spadać będą?

Pan Adam się zastanowił.

— Powiedzcie mi — zapytał — co to znaczy „prawdziwe gwiazdy?”

— Prawdziwe gwiazdy? To takie ziemie, jak i nasza.

— Zapewne! — zaśmiał się Romek. — Takich jest tylko 7 oprócz naszej ziemi, więc choćby wszystkie spadły, jeszcze deszcz byłby nadzwyczajnie rzadki.

— Cicho bądź, Romek, nie kpj. Proszę pana, czy to prawda, że tylko 7 jest takich gwiazd, jak nasza ziemia?

— Zupełnie takiej, pewno niema ani jednej — odpowiedział p. Adam — ale jest 7 planet, t. j. ciał podobnych do naszej ziemi, tylko mniejszych albo większych od niej, bliżej słońca lub dalej, niż ziemia się znajdujących, ciemnych, krążących naokoło słońca i świecących światłem jego, odbitem od swej powierzchni. Takich planet koło słońca krąży siedm.

— Tylko siedm! — zawołała ze szczerym żalem Marynia — a ja myślałam, że tysiące gwiazd krąży koło słońca. Tylko siedm?

— Tylko siedm większych planet — uzupełnił pan Adam — ale kilkaset małych, takich jak księżyc np. i mniejszych, zwanych asteroidami; no, nie licząc i kilka komet.

— A czy na tych planetach żyją także ludzie? — zapytała Marynia.

— Nauka dotychczas nie umie odpowiedzieć na to ciekawe pytanie; przypuszczać tylko możemy, że jeśli niewielka ziemia jest zaludnioną, dla czegoż na planetach większych od niej i wspanialszych, lub na tych, którym słońce więcej ciepła daje, nie miało istnieć życie. Może nie takie same jak nasze, ale podobne jemu. Jeśli na tej samej ziemi pośród istot żyjących, tak ogromną spotykamy różnorodność, o ileż bardziej odrębne istoty mogłyby na tych odległych znajdować się światach.

— Ach! żeby się tam dostać można — westchnął Lutek.

— Bajże baj, będziesz w raju — zawyrokował Romek.

— Mój kochany, nikt nie wie, co człowiek jeszcze odkryć i wynaleść może — bronił się oburzony Lutek.

— Mój kochany, napij się wody. Człowiek nie wynajdzie sobie nieśmiertelności, ani nauczy się kiedy obchodzić bez powietrza.

— Nie potrzeba nieśmiertelności, żeby się dostać na księżyc. czytałem w geografii, że koleją w lat 50 mógłbym tam zajechać.

— Szczęśliwej podróży. A stamtąd wybierz się na słońce, tylko 300 kilkadziesiąt lat drogi kuryerem, naturalnie bez stacy, bo ich niema gdzie budować.

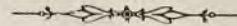
— Kolej nie jest najszybszym środkiem komunikacji.

— Naturalnie, możesz kazać się wystrzelić w jakiej kuli armatniej, tak radzi Verne w jednej ze swoich powieści. Albo też wierzchem na promieniu światła, ten zaniesie cię w 8 minut, tylko nie wiem, jak ci posłuży taka szybka jazda i czy trochę za ciepło nie byłoby ci na słońcu.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Lutek był oburzony.

— Proszę pana — zwrócił się do p. Adama — wszakże rozum ludzki...

(d. n.)



Marya Łopuszańska.

OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg).

Ładon sam nie wiedział jak długo pozostawał tak bezwładny i bezprzytomny; w końcu jednak ból i chłód nocny obudziły go. Obejrzał się dokoła siebie; ognisko jeszcze tlało, koń jego pasł się na brzegu jeziora, które tak jak pierwiej leżało ciche w zwojach mgły, to się podnoszącej, to opadającej znowu. Drzewa pochylały się nad nim nisko, maczając gałęzie w wodzie.

Lecz powoli brzegi zaczynają się zaludniać; jakieś białe postacie, niby z mgły utkane, występują z łona wód; oto cała ich gromada, wzięwszy się za ręce, zawodzi płasy po trawie nabrzeżnej. Ich mokre warkocze, w których wiszą zioła wodne, rozwiewają się w tańcu, a krople z nich padają niekiedy na rozpalone czoło Ładona, i jakżeż go orzeźwiają, zda się, że to deszczyk wiosenny nań spada. Na pozór wodnice zdają się być piękne; białe jak łabędzie, z włosami rudymi lub złotymi, lecz oczy ich świecą zimno, martwo, jak ta toń wodna, która i pociąga do siebie i straszy swą zimną głębiną. Jedna tylko postać wśród owego koła wygląda bardziej na ludzką istotę; oczy jej błyszczą cieplejszym blaskiem, kosa jej, czarne jak skrzydło krucze, nie zmoczone wodą jeziora, lecz trudno ją zrazu odróżnić od gromady jej sióstr, gdyż wzięwszy się z niemi za ręce, tańczy i śpiewa tak samo jak one.

Ładonowi zdawało się, że ją już gdzieś widział, lecz obecnie nie mógł sobie tego przypomnieć; w głowie czuł dziwny zamęt.

Wodnice tymczasem tańczyły wciąż i śpiewały, a jakże śpiew ich był słodki, niby szmer wody, płynącej po kamieniach, w piękny dzień letni, niby szum sitowia na jeziorze, kiedy wiatr pójdzie po nim i poruszy wszystkie drzewa i trawy nabrzeżne. Ze szmeru tego wyłaniały się słowa pieśni smętnej i dzikiej:

Tańczmy nad wodą, tańczmy wesoło
Nikt nas nie widzi o tej godzinie,
Gdzieś sowa tylko huka w gęstwinie,
Płaszajmy, płaszajmy w koło!

Mgły białe wstają nad cichą tonią,
W dalekiej puszczy wleżyca woła,
Czarne olszyny nisko się kłonią.
Zawiedźmy taneczne koła!

Nasza pieśń słodka niech o tej porze,
Hożych młodzieńców w głębinę woła;
Niejeden spoczął już tam w jeziorze;
Zawiedźmy taneczne koła!

Lecz śpieszmy siostry, bo czas przychodzi,
Gdy dzwon zagłuszy pieśń tę wesołą,
Czuje jak wroga już moc nadchodzi...
Płaszajmy, płaszajmy w koło!

Wkrótce jednak postacię płasających wodnic poczęły się męsząć w oczach Ładona; wreszcie zamieniły się w jeden biały tunian, który rozplynął się w końcu i osiadł nad jeziorem, jako mgła srebrna.

Na niebie od wschodu, ukazał się skrawek bladego świtu. Przed okiem Ładona wszystko zaczęło się mącić i przybierać nieokreślone jakieś kształty; drzewa zamieniły się w olbrzymie, czarne istoty, cisnące się ku niemu patrzyły z szyderstwem jak na pokonanego wroga.

VII.

W Kielcach dwór królewski był w poruszeniu.

Na same święta Wielkanocne przybył dziewierz Bolesława, Herman, margrabia Miśni, w poselstwie od cesarza, srodze zagniewanego na króla za podburzenie Słowian nadelbiańskich, którzy mu o tem sami następnie donieśli, gdy bawił na Wielkanoc w Ratysbonie.

— Chcesz wojny, będziesz ją miał — kazał cesarz powiedzieć Bolesławowi.

Wszyscy wojewodowie zostali wezwani do króla, radzono o opatrzeniu grodów nad Odrą, mnóstwo gońców wysłano w rozmaite strony, rozesłano wieści natychmiast w najdalsze krańce królestwa i wszystko dokoła było w poruszeniu. Każdy spełniał otrzymane polecenie z pospiechem, bo król nie cierpiał ospałości i sam wglądał wszędzie. Wojna za owych czasów nie była rzeczą nadzwyczajną, lecz stanem zwykłym; wiadomość o niej nie sprawiła żadnego zamieszania; wiadzano już z doświadczenia, co w takim razie czynić należy; przytem karność i porządek, wszędzie zaprowadzone przez Bolesława, sprawiły, iż nie było zwykłego w owych wiekach ociągania się w zebraniu sił zbrojnych. Na pierwszą wieść o wojnie, która piorunem przeleciała przez kraj cały, każdy był już na stanowisku. Wszędzie czuć było silną dłoń, wszędzie oko nieustrudzone czuwało, i nie było człowieka, któremu by się nie zdawało, że oko to wciąż na niego patrzy; ta myśl dodawała bodźca nawet najopieszałym.

Bolesław zamierzał wielką wyprawę na Niemców z pomocą Lutyków, Obodrytów i innych nadelbiańskich plemion, lecz te nie pojmując własnego interesu, zdradziły go przed cesarzem Henrykiem, i teraz trzeba było wieść wojnę nie zaczepną ale odporną. Bolesław zagniewany poprzysiągł, że „zdrajcy będą krwawymi łzami oplakiwać swą zdradę.”

Dwór przez cały ten czas chodził na palcach, wiadzano bowiem, że nie dobrze jest narazić się na gniew króla, a lada co mogło go wzniecić w takiej chwili.

Ocho było dokoła, jak makiem zasiał; mówiono tylko szeptem, stapano jak po rozżarzonych węglach.

Chociaż tydzień już upłynął, jak Ładon był nieobecnym, nikt jednak nie zdawał się tego spostrzegać; wojewoda Bożydar wcale się nie niepokoił długiem oczekiwaniem powrotu syna, sądząc, że się zabawił w gródki którego ze znajomych władcyków. Zbyszek zaś i inni dziwili się wprawdzie, że Ładon nie

przybywa, lecz przyobiecawszy sobie nawzajem tajemnicę, nie nikomu nie mówili o tem.

Margraf Herman dotąd jeszcze bawił w Kielcach ze swoim dworem, licznym i dość wspaniałym i naturalnie, z samych Niemców złożonym. Zbilut i inni młodzi rycerze często miewali utarczki z tymi ostatnimi, z powodu wzgardy przez nich okazywanej dla wszystkiego, co widzieli w nienawistnej im, słowiańskiej ziemi.

Jednego dnia, wieczorem, Zbilut wsunął się do mieszkania opata z miną, która okazywała, że chce coś powiedzieć a nie wie, od czego zacząć.

Opat, który go znał dobrze, popatrzył i natychmiast domyślił się, że z czemś przychodzi, ale nie zrazu nie mówił.

Zbilut powitał opata, całując go w rękę i począł kręcić się, przestępować z nogi na nogę, nie mogąc się zdobyć na słowo.

Wreszcie ozwał się nieśmiało:

— Ojcie miły, przyszedłem..., chciałbym..

— Pewnie już co zbroił swoim zwyczajem — rzekł opat spokojnie.

— Jak wy ojcie zaraz poznacie! A toć ja jeszcze nie nie rzekłem..

— No, no, zaczynaj — przerwał opat — znam już cię dobrze; musiałeś pewnie jakieś nowe głupstwo popełnić, a teraz chciałbyś bym ci dopomógł je zagładzić.

— A tak, niby.. — rzekł Zbilut zakłopotany.

— A widzisz, zgadłem — rzek opat — cóż tam znowu nowego?

— A ot, napytałem sobie biedy z tymi Niemcami. Bo też to plenię; niczem im dogodzić nie można! Chleb nasz im nie do smaku, miód nasz im nie słodki, miałem nieraz ochotę zapytać czy pięście nasze nie będą im lepiej smakować, ale m się powstrzymał, dla milego spokoju..

— Oczywiście — potwierdził opat — ty zawsze wielce miłowałaś spokój..

— Prawdę rzekłszy, najbardziej bałem się gniewu króla — rzekł Zbilut, nie zwróciwszy uwagi na ironiczny ton opata. — Ale ze wszystkich najbardziej mię gniewa ten grubby Kurtz, podczaszy margrafa; je, hulaj za trzech, a wciąż znajduje coś do przygany, tak w jadłe jak w napoju. Już wreszcie nie stało nam cierpliwości, postanowiliśmy go nauczyć..

Tu Zbilut uśmiechnął się z zadowoleniem na wspomnienie psoty.

— Puściliśmy na niego Maruchę..

— Jakto, puściliście niedźwiedzia? — zawołał opat.

— A tak, przecież on nikomu nie złego nie robi, tylko ten głupi Niemiec bał się go. Otóż raz pojechaliśmy z nim na łowy do lasu, i pocichu zostawiliśmy go pod drzewem samego, aż tu z za krzaka wychodzi Marucha.. Niemiec rzucił oszczep i w nogi, a Marucha za nim, bo przywykł gonić służbę dworską.. My, śmiejąc się, przypatrywaliśmy się zdaleka tej gonitwie, ale w końcu mówimy sobie, że trzeba uspokoić Niemca, że to nie dziki niedźwiedź za nim goni, tylko oswojony, cóż, kiedy niepodobna go było dopędzić.. Cośmy się nakrzyczeli, cośmy się nawołali, nic nie pomogło! Niemiec przepadł gdzieś jak kamień w wodę.. W ziemię się zapadł, czy go boginki porwały!..

— Mówiłem ci już nieraz, żebyś przy mnie nie wspominał o tych pogańskich zabobnach! — przerwał opat surowo.

— Nie będę ojcie — odparł Zbilut skruszony — ale naprawdę w pierwszej chwili nic innego pomyśleć nie można było. Dopiero później spostrzegliśmy, że musiał on spaść na dno głębokiego parowu, który tam w lesie się znajduje, bo nawet w jednym miejscu widać połamane krzaki i ziemię oberwaną, ale gdzie się stamtąd podział, tego zgadnąć nie umiem..

— Kiedy już wreszcie wywietrzeją wam z głowy głupstwa podobne? — zawołał opat. — I to rycerze królewscy zabawiają się takimi psotami, godnymi niedorośliwych chłopu!

— Wiem już dobrze i sam, że byłem głupi, kiedy podałem myśl do tej psoty, ale teraz powiedzcie ojcie, co czynić, żeby uniknąć gniewu naszego króla?

— Bardzo słusznie, że sobie oddajesz sprawiedliwość, tylko szkoda, że poniewczasie — rzekł opat spokojnie, patrząc na Zbilutę, który chodził, miotał się, nie mogąc ustać na miejscu i wszystkie włosy potargał sobie na głowie z wielkiego wzruszenia.

— Czy margraf już wie o zniknięciu podczaszego?

— Dzisiaj się dowiedział i podobno chce iść na skargę do króla. Tego tylko brakowało! Król teraz taki, że zda się, byle mucha przeleciała przez izbę, to się rozgniewa... Nie śmiem nawet myśleć, co to będzie, gdy się dowie o wszystkim...

— Sprawa to rzeczywiście bardzo zła, król się napewno rozgniewa, skoro się dowie, że w chwili, gdy idzie o tak ważne sprawy, wam w głowie podobne psoty — rzekł opat poważnie i surowo.

— Ale powiedzcie ojczu, co ja teraz mam czynić? — zawołał Zbilut rozpaczliwie.

— Obiecuję ci, że będę się starał wytłumaczyć, o ile w mej mocy przed królem waszą psotę, ale nie ręczę, czy mi się uda; wiesz, że nawet dla mnie trudny przystęp do króla, gdy jest zagniewany.

— Już ja wiem, ojczu, że dla was wszystko łatwe, gdybyście tylko zechcieli — rzekł Zbilut, znów całując rękę opata — wasza mądrość znajdzie zawsze sposób, bo już niema chyba na świecie mędrszego od was człowieka.

— A osobiwie gdy wy głupstw jakich narobicie, bo to już nie pierwszy raz, przypomnij sobie tylko, ochraniam was od gniewu królewskiego, oby przynajmniej był ostatnim.

— O, zaręczam was, ojczu, że to ostatni! — zawołał Zbilut.

Wkrótce po tej rozmowie z opatem, Zbilut został wezwany do wojewody Sieciecha. Na wstępie zaraz wojewoda zapytał go surowo:

— Coście zrobili z Kurtzem, podczaszym margrafa? Powiadają, że wczoraj po południu poszedł z wami na łowy do lasu i nie wrócił dotąd. Margraf wciąż się o niego dopytuje i z pewnością ta sprawa dojdzie do króla, jeśli podczaszy się nie znajdzie. Co to wszystko znaczy? Czy myślicie, że król daruje podobną swawolę? I teraz jeszcze, kiedy bynajmniej nie jest skłonny do żartów!

— Wojewodo — rzekł Zbilut — bieda się stała, ot, sam nie wiem jakim sposobem; zmiłujcie się, zróbcie tak, by król o niczem nie wiedział!

— Czyż nie mówiłem, że tu jest jakaś swawola! — zawołał wojewoda. — Coście zrobili z Kurtzem?

Tu Zbilut jął opowiadać wszystko, jak było, mówiąc, że Niemiec musiał to uczynić naumyślnie, aby im na złość zrobić. Wojewoda uśmiechnął się mimowoli na te słowa, ale wnet przybrał ton surowy.

— Wasza psota jest nie do darowania! — Szczęście wasze, że król jeszcze o niczem nie wie, inaczej na zawsze odbiegłaby was chęć do żartów! Chciałbym nawet by się dowiedział, bo przechodzi to już wszelką miarę!

— Nie, wojewodo — zawołał Zbilut — ja wiem, wyście dobrzy, spełnicie moją prośbę. Jeśli zechcecie, potrafcie tak obrócić tę sprawę, że król się o niczem nie dowie; potrafcie także uspokoić margrafa, a może tymczasem ów utra-

piony Niemiec się znajdzie. Tylko nie opuszczajcie nas, bo bez was przepadniemy! Nie wiem cobym oddał teraz za to, żeby podczaszy był tutaj! Wierzajcie mi, że gdyby można było gdzie dostać jakiego fałszywego Kurtza, z takim samym nosem czerwonym, z takim samym dużym brzuchem i grubemi łydkami, zarazbym go wam dostawił, abyście mieli czem uspokoić margrafa, ale cóż, jestem pewien, że gdybym zjechał kraj cały, od Poznania do Krakowa, jeszczebym drugiego, żywego Kurtza nie znalazł a na wypchanym zaraz by się poznali! Cóż więc mam robić?

No, no — rzekł wojewoda — napół śmiejąc się, napół grożąc, tym razem was wyratuję ale pamiętajcie by to było poraż ostatni. Tu nie idzie o jednego grubego Niemca, jest ich i tak aż nadto na świecie — ale o to, że zniknięcie podczaszego może obrazić margrafa, który snadno mógłby to poczytać za umyślną zniewagę dla siebie. Trzeba więc starać się wybić mu z głowy myśl podobną, nad czem będę pracował, a wy starajcie się odszukać Kurtza.

Po tej rozmowie wojewoda rzeczywiście udał się do margrafa Hermana, bo dowiedział się, że ten był nadzwyczaj oburzony zniknięciem swojego podczaszego, zwłaszcza, że kilku złośliwych i nieprzyjaznych Zbilutowi napomknęło mu o psotach jakie ten wyrządzał Kurtzowi.

Wojewoda zastał margrafa nader wzburzonym; siedział przy dzbanie piwa, czerwony i zagniewany — gdy tylko ujrzał wchodzącego Sieciecha, zawołał zdaleka.

(d. c. n.)

Niebo w sierpniu.

Wschód słońca w sierpniu staje się coraz późniejszy, a zachód wcześniejszy. W dzień 1 sierpnia słońce wschodziło o godz. 4 m. 21, zachodziło o 7-ej m. 50, w dniu 31 września o 50 minut później, to jest o 5 m. 11 rano, a zajdzie o 6 m. 49 wieczorem, tak, że dzień będzie liczył w końcu miesiąca tylko 13 godzin 38 minut.

Wysokość słońca nad poziomem o południu maleje także z 56° do 47°.

Noce są coraz dłuższe, nów przypada 17-go, a druga pełnia księżycy w tym miesiącu 31-go.

Z planet widzialne są wieczorem: Wenus, Mars, Jowisz i Saturn

Między 10 a 12 sierpnia widzialne będą roje tak zwanych gwiazd spadających. Astronomowie zowią te roje Perseidami, ponieważ kierunki pozornych dróg tych meteorów, przedłużone wstecz, schodzą się w jednym punkcie — w gwiazdozbiórze Perseusza.

Lud nasz nazywa te gwiazdy łzami św. Wawrzyńca, bo dzień tego św. męczennika przypada 10 sierpnia. Roje, sierpniowy i listopadowy należą do najświetniejszych, wyglądają czasami, jak deszcz gwiazdzisty.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Królewna Prawda, bajka żmudzka, wiersz przez Ludwikę Życką. — Dawni nasi malarze p. W. Marréne. (z ryc.) — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej ryby”, opisał H. C. — Noc sierpniowa. — Elżunia, rycina. — Obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — Niebo w sierpniu. — **Dodatek:** Wisienki, wiersz przez Z. M. (z ryc.) — Bajka dla panienek szyjących na konkurs. — Panna Musia. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — **Dodatek książkowy:** Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

WIECZORY RODZINNE

WISIENKI.

Co tu malin na krzaczku!
Co wisienek na drzewie!
Które zrywać najpierwej
Helcia sama aż nie wie...

Ona woli malinki:
Z mlekiem, z cukrem je zjada
Lecz znów, tatuś dziewczynki
Kwaśne wiśnie przekłada...

I już Helcia się zrywa,
Długi namysł skończony;
Tatuś zawsze od żniwa
Taki wraca zmęczony,

Więc go zaraz córeczka
Wisienkami przywita —
„Kto mi narwał wisienek?”
Może tatuś zapyta.

Wtedy Helcia na szyję
Rączki rzuci mu obie:
„Twoja tatka pieczętotka
Tak myślała o tobie.”

Z. M.



BAJKA

DLA DZIEWCZYNEK SZYJĄCYCH NA KONKURS.

Była raz, nie królowa wprawdzie ani wróżka, ale mała istotka, która żyła w zakętym pałacu, zwanym szufladą. Nie zbywało jej tam na niczem; sukienkę miała zawsze lśniącą jak srebro, albo jak nów księżycy, a choć nigdy nie jadła ani nie piła, głód nie dokuczał jej wcale, bo już z natury była bardzo wstrzemięźliwa. Cały światek koło niej żyjący miał to samo usposobienie — ale za to używano tam poddostatkiem powietrza, oraz miłego szarego mroku, który dniem i nocą napełniał każdy kącik pałacu; a cóż to dopiero była za radość, jeśli przez jaką szczelinę w sklepieniu, albo przez dziurkę, od potężnego klucza, który zamykał ten świat dziwów, wdarł się promień dalekiego słońca i oświecił tajemnice pałacu.

Ku światłu podnosił się wtedy rój małych istotek, pogardliwie przez olbrzymów owej krainy pyłem nazwanych, tańczyły one szalenie słupem i wirem w promieniu, szczęśliwsze teraz od swych wspaniałych, ale ciężkich towarzyszy, którzy się podnieść nie mogli. Wszystko co żyło, starało się skąpać w tem świetle, pokazywano sobie wzajem swoje sukienki, oglądano się, chwalono, podziwiano...

A nawet gdy promień już zniknął, co to jeszcze

było rozmów i powieści o tym gościu z nieba, jak długo wspomniano jego odwiedziny w miłych pogawędkach o zmroku!

Jednak, mimo tylu rozrywek i przyjemności, istotka o której najpierw zaczęliśmy mówić, nie była szczęśliwą w zakętym pałacu, a wypływało to z tego, że nie miała tam nikogo ze swej rodziny, nikt nie chciał z nią być w przyjaźni, a nawet nikt się o nią nie troszczył. Leżała sobie smutna i cicha, i nawet nie mięszała się nigdy do żadnej rozmowy. — Dawniej próbowała ona poznać się ze swymi sąsiadami, ale się to nie udało. Na prawo od niej było wielkie mieszkanie kupców; żyli sobie w woreczku z zielonego jedwabiu, a że w nim zawsze wesolo błyszcząło i brzęczało, do nich najpierw zwróciła się nasza znajoma, i zapukawszy poufale, spytała czy zechcą przyjąć ją do zabawy. — Ale panowie kupcy odrzekli:

— Nas tu i tak dosyć, na co nam wpuszczać kogo obcego? a zresztą cóżes ty warta? Tyś proste żelazo, gdy my cennem jesteśmy złotem!

Ta odpowiedź bardzo ją obraziła, bo przecież, jak wam mówiłam, sukienka jej błyszcząca niby nów księżycy-

ca, i zamiast się wstydić swego pochodzenia, dumna była z dziadka swego, żelaza, i mamy stali.

Nie popatrzyła też już nawet na niegrzeczne dukaty, a obróciła się na lewo, gdzie żyła w zgodzie i spokoju para małżonków, państwo Pierścionkowie, i prosiła, aby ją zaszczylicili przypuszczeniem do znajomości.

— Ha, dobrze — odrzekli — ale czy umiesz tak jak my, zwinąć się w kółko i zaświecić oczkiem? Czy wiesz co znaczy kółko, które niema początku ani końca?”

Przestraszona tą mądrością umilkła, i już nigdy nie śmiała ode zwać się do uezonych, bo choćby nie wiem jak chciała, nie mogła zwinąć się w kółko. Pozostały jej już z sąsiadów tylko szeregi żołnierzy szpilek, które poza nią tkwiły w białym papierku; o tych już nie wątpiła, że ją przyjmą skapliwie i jeszcze dumne będą z jej znajomości, bo sama uważała się za coś lepszego. Jakież więc było jej zdumienie, gdy na jej grzeczne, choć cokolwiek wyniosłe powitanie, rozległ się rubaszny śmiech po szeregach.

„Ha, ha, ha! patrzcie na to stworzonko! Bez głowy a śmie się wpraszać między szpilki — ciekawam, czem by się ta śliska słoma utrzymała w szeregu, albo to ma się oprzeć na czem?” i obracały się do siebie okrągłemi głowami i szydziły.

Nasza znajoma nie mogła się wstrzymać od zawołania: „Lepiej nie mieć żadnej głowy, jak płaską! a już bez ucha być, to wstyd doprawdy!”

„Ha, ha, ha! — zachuczały szpilki — gniewa się uszko bez głowy!”

I na tem skończyły się stosunki z sąsiadami, bo nasza przyjaciółka, tak już była zgryziona i upokorzona, że nie miała odwagi zaczepiać ostatniego, leżącego w odosobnieniu pana Gwoździa; zresztą musiał on być samolubem, bo szorstki i ponury, wyglądał całkiem, jakby swym zakrzywionym końcem chciał drapać wszystkich naokoło. Smutne myśli zaczęły ją trapić, gdy duma-

ła w milczeniu; zdawało się jej, że chyba doprawdy na nie się nie zda na świecie, kiedy nie umie ani brzęczeć jak dukaty, ani zwinąć się w kółko jak pierścionki, ani nawet utrzymać się na papierze w szeregu jak szpilki — wszystko przestało ją cieszyć, i już nawet nie błyskała sukienką, gdy wkradł się promień słońca do jej pałacu. Jak długo tak leżała pogrążona w żalobie, nie wiedziała sama, aż razu jednego przeraził ją niesłychany jakiś szum, tupot, turkot i łoskot — nawet kupcy przerwali swoje obrady i w niemem osłupieniu patrzyli na widmo jakiegoś czarne, które z końca w koniec przebiegało całe państwo szuflady, tratując wszystko po drodze. Tuż za nim toczyło się z hałasem coś dziwnego, co wreszcie zatrzymało się obok naszej znajomej, i odezwało grzecznym głosem:

„Przepraszam, mozem potrącić lub przestraszyć, ale gdy się kto rozpędzi, to mi i stanąć trudno”.

„Co to było? spytała słabym głosem nasza przyjaciółka, na wpół jeszcze mdlejąc z przerażenia.

— To mysz przebiegła. Ja tu bywalec i krajowiec oddawna, tom już nie jedną widział, a ta mi wielką przysługę zrobiła; bo trzeba pani wiedzieć, że już taka natura moja, sam się ruszyć nie mogę, ale niech mi co z miejsca pomoże, to potem już idzie jak po maśle. Otóż, oddawna pragnąłem się przenieść w sąsiedztwo pani, bo mi się podobałaś, ale dopiero dziś ta mysz biegnąc potrąciła mnie i dopomogła moim chęciom”.

Nasza przyjaciółka przyszła już całkiem do siebie i ciekawie przypatrywała się swemu gadatliwemu sąsiadowi, który wyglądał jak rycerz w hełmie ogromnym, albo lepiej jeszcze, jak hełm rycerza.

„Z kimże mam honor?”

„Pan Naparstek”.

„Panna Igła — bardzo mi przyjemnie”.

„O pani dobrodziejko! cała przyjemność po mojej stronie.

(d. n.)



Panna Musia.

(Dokończenie).

Przy obiedzie mała Musia, siostrzyczka ich zauważyła, że Tadzio jakiś nie swój, ale on na jej uwagi odpowiedział nie bardzo grzecznie, żeby siebie samej pilnowała. Musieńka się obraziła i tak obiad przeszedł nie wesoło.

— Otóż ktoś dzwoni — rzekł o czwartej pan Henryk — pewno wasi koledzy idą, zbierajcie się chłopcy,

a niech panna Musia prędko koło podwieczorku dla gości się zakrzętnie, żebyśmy się nie spóźnili.

— Chciałbym — rzekł, zwracając się do mamy — trafić na tę chwilę, kiedy w menażeryi roznoszą jedzenie po klatkach, to się zwierzęta najgroźniej wtedy przedstawiają, w chwilach bezczynności zanadto znać na nich zgnuśnienie, wywołane długim więzieniem i ostrem obchodzeniem się z nimi. Wyglądają trwożliwie i ospale.

— Już ja tam wcale nie jestem ciekawa tych potworów — rzekła Musia, pomagając mamie w ustawianiu filiżanek i bułeczek — jakby który ryknął, tobym się bała; wolę pójść z mamą do Łazienek.

— I ja, jeżeli mama pozwoli, pójdę także do Łazienek z wami — rzekł Boguś po przywitaniu z kolegami.

— A to dla czego? — zawołali wszyscy — czy i ty jak panna Musia boisz się przez żelazną kratę ryczącego lwa zobaczać.

Boguś zaprzeczył temu skwapliwie, ale tak nie miał dziś ochoty, wołał zostać z paniami.

— Kiedy indziej menażeryę zobaczyć może, bo przecież jeszcze parę tygodni zostanie w Warszawie.

Dziwiły się temu postanowieniu mama i Musieńka, dziwił się pan Henryk i koledzy, ale że czas ucieka, więc po wypiciu czekolady zabierali się do odejścia.

— Bogusiu, czy ci nie żal, że z nami nie idziesz? — rzekł do niego półgłosem.

— Trochę mi żal, ale bardziej jeszcze jestem kontent, i już wolę, że się tak stało — rzekł Boguś.

— Bogusiu — rzekł na to Tadzio — a ja ci powiem, nie żałuj nic, tyś bardzo szczęśliwy, mnie tak jest smutno, że byłem taki skąpy; ciągle mam na pamięci tego biednego chłopca i jego chorą matkę, której tylko jedno mógł zanieść lekarstwo, bo na drugie już nie miał pieniędzy dla tego, że mi się tak bardzo chciało widzieć menażeryę.

I westchnął poczciwy, choć po niewczasie żałujący Tadzio, że nie usłuchał głosu serca a samolubstwu pozwolił zwyciężyć; ale że całe towarzystwo było już na schodach, wybiegł za wszystkimi, oglądając się jeszcze we drzwiach na Bogusia.

— Cóż to znaczy, powiedz mi mój synku — rzekła pani R., gdy już sama tylko z Musią i Bogusiem została — dla czego wyłączyłeś się dziś i nie chcesz dzielić zabawy przyjaciół swoich; ty co zwykle tak lubisz ich towarzystwo, czy się na nich o co obraziłeś? czy jaką przykrość ci wyrządzili?

— Nie mam moją, nie gniewam się na nich, tylko nie mogłem im towarzyszyć, bo nie miałem pieniędzy na kupienie biletu.

Zadziwiła się pani R., bo wiedziała dobrze, że każdy z jej synków mógł, a nawet powinien przy końcu tygodnia mieć małą zaoszczędzoną sumkę, umyślnie przyzwyczajają ich do tego; wiedziała też, że taką sumkę miał Boguś już gotową rano, kiedy do szkoły wychodził, i już chciała się go zapytać, gdzie ją podział, na co wydał, gdy na schodach usłyszano głośną rozmowę i takie stąpanie hałaśliwe, jakby po trzy schody naraz przeskakiwano. Dzwonek rozległ się donośnie.

— Dla Boga, co się stało — rzekła służąca, która pospieszyła otworzyć, a na widok cisnących się razem: Stasia, Janka, Felisia i Tadzia, odskoczyła ode drzwi udając przestrah.

— Co to! panice jakby się w wojnę bawili i szturmem mieszkanie nasze zdobywać chcieli.

— Już powróciliście! — zawołała Musia — tak prędko z tej Afryki, ja myślałam, że lwy i tygrysy gdzieś są daleko za morzem; i cóż, czy silnie ryczały, czy bardzo otwierały paszcze i zjeść was chciały, żeście tak prędko uciekli?

Mama była także zdziwiona a nawet zaniepokojona, lecz uśmiechnięta twarz pana Henryka, upewniła ją, że

nie przykrego nie było przyczyną tak spieszego powrotu.

Gdy ogólny gwar trochę się uspokoił, pan Henryk opowiedział, że nim wyszli na ulicę, w sieni domu jeszcze, koledzy zdziwieni nieobecnością Bogusia i wyraźnym smutkiem Tadzia, zaczęli go badać i dowiedzieli się od niego o przygodzie z lekarstwem, o dobrym uczynku Bogusia i wymówkach jakie sobie czynił Tadzio. Spostrzegli, że tak go to trapiło, że chociażby i poszedł z nimi dalej, nie będzie się dnia tego swobodnie i wesoło bawił, za te pieniądze, które mu na sumieniu ciążyły.

— Więc nie idziemy dziś wcale — zawołał wtedy Staś, najszybszy do decyzji — poprosimy waszą mamę, abyśmy razem wszyscy mogli pójść do Łazienek.

— Dobrze, dobrze, wracajmy na górę, ale pozwólcie panowie koledzy, że i ja podam mój plan — rzekł trochę uroczyście Feliś, który przypatrywał się ciągle Tadzio wi — otóż złożmy wszyscy te nasze pieniądze na dzisiajszą zabawę przeznaczoną, w ręce pana Henryka. Może nam się uda odnaleźć tego samego chłopca co ma chorą matkę, a nie chciałby żebrać, bo zdaje się, że on mieszka gdzieś przy tej ulicy, którą do szkoły chodzimy, może go kiedy spotkamy.

— A jak go już nie zobaczymy? — rzekł Tadzio.

— To użyjemy tych pieniędzy dla jakiej innej biednej rodziny — rzekła mama — niestety dużo jest takich którzy potrzebują wsparcia. Ale teraz proszę panów z sobą do Łazienek; cieszę się, że tak miłe i liczne towarzystwo dziś mieć będziemy.

Doskonale się dnia tego na spacerze bawiono. Pani R. wynajęła dzieciom dużą łódkę, pływano więc po stawie; z powrotem około budki z piernikami, urządzono mały wypoczynek.

Powracając, przechodzili niedaleko od miejsca, gdzie była menażerya; na wielkiej tablicy wymalowany był słon olbrzymi, na grzbiecie jego na czerwonym czapraku siedział Murzyn i dwie małpeczki.

— Mamo, jakie wspaniałe zwierzęta są te słonie — rzekła Musia, z ciekawością przypatrując się wielkiej tablicy.

— I nie bałabyś się zobaczyć takiego słonia żywego? — spytał Boguś.

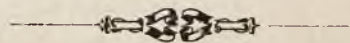
Musia, której się bardzo podobała przechadzka w towarzystwie braciszków i ich grzecznych kolegów, spojrziała prosząco na swoją mamę.

— Wśród tylu walecznych obrońców, to pewnie i Musia odważyłaby się — rzekła mama, zrozumiałwszy jej nieme błaganie — a więc w przyszłą sobotę wszyscy razem pójdziemy oglądać te zwierzęta.

— A przedtem ja panience Musi opowiem, do jakiego rzędu i rodziny, każde z tych zwierząt należy i potrochu opiszę naturę każdego — dodał pan Henryk.

— Wiwat, wiwat — zawołali Staś, Janek i Feliś, podrzucając w górę czapeczki, a nie śmiejąc wymienić starszych, dodali wesoło: niech żyje odważna p. Musia!

A. Z.



ZAGADKA:
ulożył Aleksandr W.

Wielka jest siła we mnie, i na ziemi całej,
Istność moja jest wagi doprawdy niemałej.
Bezemnie niema życia ni człowiek ni zwierzę,
I roślina mię pragnie także w równej mierze.
Lecz choć darem ja nieba, jednak nieraz bywam
Nieszczęściem, skoro masą nadmierną przybywam,
Bo wtenczas śmierć przynoszę i zniszczenie srogie,
Co dziejowe wypadki potwierdzają mnogie.

PROZA DO PRZEROBIECIA NA WIERSZE.

Miłe mi śnieżne zamiecie, burze, błyskawice i grom ojczysty
miły, bo pięknie na świecie i świat szeroki, ale nad moją ziemieć
niema ziemi.

LAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

p. Słonia z Nubii.

Z następujących sylab ułożył 15 wyrazów, których początko-
we litery złożyć mają tytuł drukowanego w Wieczorach obrazka:
A—a—ak—bo—dye—cki—e—cap—el—lio—in—i—ka—la—le
—ma—ma—mo—mi—na—nord—nu—o—o—o—ryk—rea—rzeł
—pal—sło—szyng—wa—ta—ton—e—za—za.—Znaczenie wyrazów:
1) Miasto w Finlandyi. 2) Rzeka w Syberyi. 3) Dopływ Wołgi.
4) Król Gotów. 5) Postać biblijna. 6) Dopływ rz. Missisipi. 7)
Poeta polski. 8) Miasto w Ameryce. 9) Półwysep grecki. 10) Ko-
sztowny kamień. 11) Rzeka w Anglii. 12) Ptak drapieżny. 13)
Góry na samej północy Europy. 14) Kraje w Azji. 15) Imię króla
włoskiego.

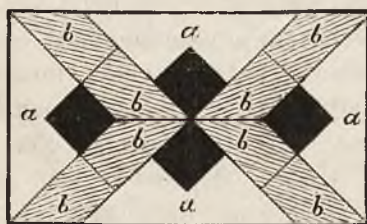
ROZWIĄZANIA DO N-ru 32.

Szarady: O — ko — nie.

Kwadratu literowego:

S u S e l
C y t r a
S t y k a
B e k a s
S k a l a

Lamigłównki geometrycznej:



Skrzynka do listów.

Ortowi karpackiemu. Obserwowanie księżycy, który jako sa-
telita ziemi, ściśle z nią jest połączony i tworzy najbliższe, zatem
i najwyraźniejsze dla nas ciało niebieskie, dało niezawodnie począ-
tek nauce astronomii. Przypatrując się księżycowi, zauważyli
ludzie od wielu już tysięcy lat, na srebrzystym tle jego ciemne pla-
my, które rzeczywiście dziwnie przypominają w grubych zarysach
twarz ludzką. Dla tego też u wszystkich narodów i we wszystkich
stuleciach uwidatniano te niewyraźne linie ilekroć zamierzano
w rzeźbie czy malarstwie przedstawić księżyc. Podobieństwo to
jednak jest całkiem wypadkowe i powstało z geograficznej budowy
naszego satelity, którego powierzchnia najeżona jest olbrzymimi
górami, rzucającemi w świetle słonecznym głębokie cienie na doli-
ny. Znika też ono zupełnie przy badaniach teleskopowych. Że
zaś księżyc podczas swego obrotu miesięcznego, trwającego 27 dni
7 godzin 43 minut i 11 sekund, w którym zakreśla elipsę koło
ziemi, równocześnie raz tylko obraca się około swej osi, więc zwró-
cony jest zawsze do nas tą jedną tylko stroną, tak, że druga jego
półkula pozostaje nam nieznaną, co nam tłumaczy, że tylko zawsze
te same plamy dostrzedz na nim możemy. Zwracamy jeszcze uwa-
gę Orła, że w skutek właśnie tak powolnego obrotu księżycy oko-
ło siebie samego, jeden dzień jego równa się prawie 14 dniom na-
szym.

Pani X. Pospieszamy załączyć pominiętą przez zapomnienie
w przeszłym numerze odpowiedź, że najwięcej dotychczas używaną
jest dla początkujących dzieci „Mała gramatyka” Jeskego. Cena
bez przesyłki kop. 50.

Tadziowi W. Wprawdzie u nas jako i w całej Europie coraz
dotkliwiej daje się uczuwać brak lasów, są jednak jeszcze na świe-
cie olbrzymie i niezbadane dotąd obszary zacienione odwiecznymi
drzewami. Ameryka posiada ich najwięcej. Mianowicie w prowincy-
ach Kwebek i Ontario, oraz w dolinie Amazonki, ciągną się lasy
dziewiczymi zwane, przez których lianami splecione gestwiny, siekie-
rą torować sobie trzeba drogę, to też głębokie ich są dotychczas zu-
pełnie nieznanne. Największy jednak podobno obszar zajmuje
puszcza leśna we wnętrzu Afryki; długość jej bowiem wynosi aż
4,800 kilometrów, a szerokość, choć dotychczas nie przemierzona,
ma być równie znaczną.

List Szarotki wraz z zadaniem konkursowem odebraliśmy
i miło nam poznać naszą młodą czytelniczkę, która tak widocznego
dołożyła starania, aby pismo jej było równe i czyste. Liściki ta-
kie zawsze z prawdziwą przyjemnością odczytywać będziemy.

Liczne lamigłównki i szarady układu **Stokrotki z Sobolówki**
odebraliśmy i następnie przejrzyliśmy. Bajeczki wierszem pisane nie
są łatwą rzeczą, samo już bowiem wierszowanie obok wrodzonego
talentu, wymaga dużo nauki i pracy. Mimo tego, choćby utwory
Stokrotki nie nadawały się zaraz do druku, miło nam będzie z
niemi się zapoznać.

Słoniowi z Nubii Jaskółka jeszcze odpowiedzi dać nie może,
gdyż dotychczas niema jej w Warszawie; niewątpliwie jednak
w krótkim czasie powróci i zadowolni miłych swych koresponden-
tów. I my rzadzi jesteśmy, że pogoda ustaliła się nieco, dozwała-
jąc rolnikom sprzęt zboża, a młodzieży na wakacjach, więcej swo-
body i ruchu.

Odczytując list **Puszczyka z Pilawy** pragnęlibyśmy, aby wy-
cieczki jego poza mury Warszawy, jaknajczęściej się powtarzały,
bo kto umie tak ocenić i cieszyć się wdziękami pięknego naszego
kraju, dla kogo przyroda jest niejako księgą, z której uczy się
czytać, czerpiąc pokarm dla swego umysłu, ten przed wszystkiemi
zasługuje na to, by miał ją zawsze przed oczami. Zadanie konkur-
sowe odebraliśmy; szarady i lamigłównki przejrzymy

Lamigłównki własnego układu przysłali: **Orzeł karpacki,**
Smok, Władzio, Giermek, Tadzio W., Anulka i Marynia; dobre zaś
rowiązania: **Prymulka, Skowronek, Jagódka leśna, Orzeł karpacki**
i Czarny rycerz.

№ 35 Rok XIX.

Dnia 15 (27) Sierpnia 1898 r.



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



PIELGRZYM I PACHOLE.

DAWNI NASI MALARZE.

(Dokończenie).

IV.

Przez pewien przeciąg czasu istniała w Warszawie szkoła sztuk pięknych, zniesiona w r. 1863 z której wyszło wielu artystów. Wprawdzie nie mogli oni na niej poprzestać, bo malarstwo tak samo jak inne sztuki, wymaga koniecznie wpa- trzenia się w arcydzieła mistrzów. Trudno bowiem iść dalej, nie wiedząc o tem, co inni przed nami zrobili, a żaden opis ani nawet rycina, chociażby najlepsza, nie da wyobrażenia o obrazie, gdyż idzie w nim nietylko o sam rysunek, ale także o barwę. Zawsze jednak szkoła warszawska dawała swoim uczniom dobre podstawy, a przytem młodzi ludzie chcący poświęcić się sztuce, mogli wypróbować w kraju swoje po- wołanie i zdolności. Podróże za granicę są zawsze kosztowne i nie każdy wyjechać może, a dawniej były jeszcze o wiele kosztowniejsze i bardziej utrudnione niż dzisiaj. Szkoła więc warszawska, przyłożyła się dzielnie do rozwoju sztuki u nas a uczniowie jej, rozszerzyli zamilowanie do sztuki. Z niej wyszedł Wojciech Gerson, jeden z głównych założy- cieli Towarzystwa Zachęty sztuk pięknych. Towarzystwo to urządza ciągiłą wystawę rzeźb i obrazów, którą niezawodnie wielu z naszych czytelników zna dobrze i często zwiedza; wy- szło też z tej szkoły wielu artystów nieżyjących, których dzieła poznać można na obecnej wystawie zwanej z francuska retrospektywną.

Byli w tej szkole profesorami między innymi Rafał Ha- dziewicz, twórca wielu obrazów religijnych. (Na wystawie jest jego św. Franciszek). Ksawery Kaniewski, dobry por- trecista, Jan Feliks Piwarski poprzednik Kostrzewskiego, umiejący rysować zabawne karykatury i doskonale chwycić typy współczesne sobie, na wystawie jest Piwarskiego chłop z dzbankiem. Te typy zmieniają się ciągle przy zmie- niających się warunkach, bo czy można było mieć wyobraże- nie np. o konduktorach tramwajowych, kiedy nie było tram- wajów albo o wioślarzach, cyklistach, łyżwiarzach, kiedy się wcale nie oddawano tym zabawom i nie istniały dzisiejsze stowarzyszenia. Naturalnie, że i karykatury musiały być od dzisiejszych odmienne. Naprzykład dawniej cukier wyrab- iano tylko z trzciny cukrowej, tymczasem chemia zrobiła odkrycie, któremu z początku nie wierzono, że z buraków można równie dobry cukier otrzymać. Napoleon I wynalaz- ek ten popierał w celach politycznych, zrobiono wówczas na- stępującą karykaturę: Mały król rzymski gryzł buraka, krzywiąc się najokropniej i mówił: „Papa powiada, że to cu- kier.” Karykatura taka dziś nie miałaby żadnego sensu i niktby jej też nie narysował, a wówczas śmiała się z niej cała Europa. Otóż karykatury Piwarskiego mają tę zaletę, że przedstawiają rzeczy i myśli dawno minione i dają nam wierny obraz ówczesnego społeczeństwa.

Pomiędzy zmarłymi już wychowawcami naszej szkoły sztuk pięknych trzeba wymienić Józefa Szermentowskiego, malował głównie krajobrazy (dwa znajdują się na wystawie). Dawniej zaś krajobrazy mniej niż inne rodzaje miały u nas powodzenia; jeżeli ceniono obrazy, to głównie z powodu scen jakie przedstawiały, bo taka scena każdego co ją widzi wzruszyć lub zająć musi. Któż np. patrząc na śmierć kró- lowej Barbary — najlepszy obraz Simlera — nie pożałuje tej pięknej, młodej, ukochanej przez męża kobiety, która umiera doszedłszy najwyższego stanowiska, uznana królową przez naród, umiera w chwili, gdy były spełnione jej wszystkie mar- zenia, któż nie będzie współczuł z nieszczęśliwym Zygmun- tem Augustem, patrzącym na konanie umiłowanej żony? Otóż jest rzeczą naturalną, że przedmiot obrazu, wpływa bardzo na jego powodzenie, ale znowu doskonałe wykonanie nadaje wartość najwykolejszym scenom a nawet martwym rzeczom, tylko ażeby tę doskonałość ocenić potrzeba, już nie zwykłego ludzkiego współczucia, ale artystycznego znawstwa.

Znawstwa u nas było i jest nie wiele. Dzisiaj jednak krajobrazy są modne na całym świecie, więc i my je cenimy, za czasów zaś Szermentowskiego, krajobraz sam przez się nie nabył tego znaczenia, więc choć Szermentowski malował je prześliznie, w kraju nie znalazł uznania i co zatem idzie, chleba. Musiał wyjechać do Paryża pomimo, że bardzo za krajem tęsknił. Pragnął przynajmniej stworzyć sobie pol- skie ognisko domowe, ożenił się z Polką i malował zamiast mazowieckich równin, które kochał i rozumiał widoki z obce- go świata, chociaż byłby tak chętnie powtórzył za Brodziń- skim wracającym z podróży: „Wy brzozy i sosny! Drzewa mojej ojczyzny, witam was radosny.” Szczęście to danem mu nie było. Umarł za granicą w młodem jeszcze wieku.

Do najślawniejszych naszych malarzy należał także za- wcześnie zgasły Maksymilian Gierymski, brat żyjącego i bar- dzo także wysoko cenionego malarza Aleksandra; Maksy- milian nabył u obcych nadzwyczajnej sławy, obrazki jego dziś kupowane są na wagę złota i stanowią chlubę zbiorów, które je posiadają.

Wystawa zawiera także wiele utworów Andriollego, artysty i człowieka, który zostawił głęboki żal w sercach wszystkich tych, którzy go znali. Andriolli był znakomitym rysownikiem. Mickiewicz nie miał lepszego ilustratora. Umiał on na pamięć całego Pana Tadeusza, Wallenroda, Grażynę i do każdej sceny z tych poematów, dorabiał tem piękniejsze rysunki, że odczuwał je głęboko. Andriolli miał ojca Włocha, ale urodził się i wychował na Litwie, gdzie ożeniwszy się z Litwinką ojciec jego zamieszkał. Wszystkie prawie znakomite utwory naszych poetów ilustrował An- driolli, szczególnie udawały mu się sceny walk i bitew, tam pokazywała się najlepiej gorąca jego południowa natura.

Musiał być Andriolli doskonałym ilustratorem, skoro Francuzi, którzy mają tę zasługę, że najwięcej cenią swoich, powierzali mu kilka razy ważne prace i wzywali w tym celu do Paryża. Pomimo to artysta nasz powracał zawsze do ro- dzinnego kraju, bo tutaj pomiędzy swoimi było mu najlepiej. Do prześliznych prac jego należą rysunki objęte ogólnym tytułem: „Z wiejskich dworów“. Są to codzienne obrazki, przedstawiające zwykłe zabawy i zajęcia, dobrze znane wszy- stkim mieszkańcom wsi. To kolendnicy przyszli z gwiazdką na Boże Narodzenie, to organista przyniósł opłatki, to łamią się niemi przy wigili lub też dzielą jajkiem przy zastawionem święconem. To babcia z dzieckiem przy kominku, zasiadają do maryasza. A każdy z tych obrazków, przedstawia ludzi dobrych, zacnych, z którymi chciałoby się łączyć i opłatkami i sercem, bo z taką miłością narysował ich artysta, a jednak nie są to wcale wymarzeni bohaterowie, ale właśnie ci ludzie, codziennie spotykani, których on tylko głębi duszy rozumiał, wy dostał na jaw i odkrył przed okiem wszystkich.

A proszę nie sądzić, że Andriolli zatopiony w swoich rysunkach, zapominał o zwykłym życiu, przeciwnie, był on jak to mówią: i do różańca i do tańca, a wszędzie umiał być na właściwym miejscu i dawał sobie radę w najtrudniejszych okolicznościach. Posiadał bowiem zmysł praktyczny, stanowią- cy szczęśliwe dopełnienie talentu i charakteru, który pozwala najlepiej ten talent spożytkować. Miał też dar zjednywania sobie ludzi. A jeśli niektóre jego rysunki wywołują szczerą uśmiech na usta, lub wyciskają łzy z oczu patrzących, to dla tego, że twórca ich umiał zarówno śmiać się z wesołymi, jak smucić z tymi co płaczą.

Największym jednak rysownikiem naszym był zmarły przed paru dziesiątkami lat Artur Grotger. Posiadał on sprzeczne z pozoru przynioty: ogromną siłę gdy tego było potrzeba, a przytem nieporównany wdzięk i rzewność. Umiał przedstawiać w sposób tragiczny wielkie nieszczęścia ludzkie, ale nie sięgając tak wysoko, dość przejrzyć tękę drobnych obrazków i szkiców, zebranych pod tytułem *Silva rerum*, by poznać odrazu genialnego artystę: „Ślepy grajek” prowadzo- ny przez młodą dziewczkę, „Organista grający na chórze,” „Wiejskie chłopaki z kolendą,” „Piastunka opowiadająca straszną bajkę” dzieciom, które ją słuchają pełne przeraże- nia, są to bardzo zwyczajne rzeczy, a jednak napatrzeć im

się nie można. Piękniejszemi jeszcze są te rysunki co przedstawiają dramatyczniejsze sceny, jak rozstanie Zygmunta Augusta z Barbarą, albo też wrażenie wywołane widokiem komety, gdyż dawniej uważano, że ta niezwykła gwiazda, przynosi zapowiedź strasznych nieszczęść. My wiemy dzisiaj jakie prawa rządzą całym systematem słonecznym, wiemy, że obrachowano bieg komet, które peryodycznie w większym lub mniejszym okresie czasu, ukazują się na naszym horyzoncie, ale rodzina, którą przedstawił wielki artysta, spogląda na zjawisko pełna dawnej przecuciowej trwogi. Stara babka, ze złożonymi rękoma modli się gorąco, dziadek podparł głowę smutnie zadumany, młody człowiek patrzy na złowrogą gwiazdę z posępnym wyrazem i jakąś energią w twarzy, która mówi, że się nie ugnie przed złym losem; gdy żona niespokojne oczy wlepiała w twarz jego. Najbardziej jednak wymówną jest twarz młodej matki, która trwożnym wzrokiem obejmuje swoje niemowlę, lękając się tylko o niego.

Najpiękniejszym jednak z całej teki jest stary pielgrzym, wskazujący nakazującym ruchem młodemu pacholęciu, twarzą drogę wśród spiekłej pustyni, pełnej ostrych skał, kolczastych roślin i ruin. Twarz starego pielgrzyma jest surową i nakazującą, pacholę patrzy z niewymownym wyrazem przed siebie, trzyma w złożonych rękach kostur z krzyżem u szczytu, znać w nim wolę podołania zadaniu, znać, że paść może ale się nie cofnie, chociaż bojaźnią przejmuje go ta straszna pielgrzymka. Jest tu prześlizgnięta myśl, prześlizgnięta oddana.

Grotger jednak nie był oceniony zrazu, jak na to zasługiwał i całe życie walczył z trudnymi warunkami bytu. Umarł młodo a z nim zstąpił do grobu jeden z największych talentów obecnego wieku. Poznały się na nim tylko wyjątkowe jednostki, ale te oddały mu hołd zasłużony. Dzisiaj zaś imię jego jest sławne.

W. Marréne.

Dożynki.

Chociaż słońko jeszcze pali,
Z całej, bujnej zboża fali
Już ni słomki, ani kłoska;
Tylko cała wznosi wioska
Rażnej piosnki ton.
Już w stodole leżą zbiory,
Pierzchła groźba słotnej pory.
Teraz, Boże mój kochany!
Sama radość, pieśni, tany,
Plon niesiemy, plon!
Przodownica już ze skrzywni
Bierze stroje na dożynki.
Smagłe liczko radość krasi,
Co swym bożym blaskiem gasi,
Białość miejskich lic.
Pracowała dzień po dzionku,
W brzasku świtu, w skwarnym słońku,
Przy chmur cieniu, wśród dżdżu trwogi,
Dziś z tej troski, Boże drogi,
Nie zostało nic.
Hej żniwiarze! już wam pora,
Z wieńcem, pieśnią iść do dwora,
Z szczerem słowem, dobrą wolą,
Tam nas czeka z chlebem, solą —
I pani i pan.
Dwór nas przyjmie i ugości,
I powita wśród radości,
Uściśnieniem ciepłej dłoni,
Czarką miodu pełną woni,
Co poprzedzi tan,

Hej! dożynki, śliczne święto,
Gdy już zboże z niw sprzątnięto,
Kiedy z pracą wciąż wytrwała,
Zwieź do stodoł się udalo
Już ostatni snop.
W górę serca, w górę czoła;
Niech nam zabrzmi pieśń wesoła,
Niech ku wspólnej dziś ucieśze,
Podkóweczka ognia skrzese.
Hejże! hop! hop! hop!

E. Lejowa.

W OBŁOKACH I POD WODĄ

WYPRAWY „LATAJĄCEJ RYBY.”

opisał H. C.

(Ciąg dalszy).

III.

Latająca Ryba.

Przez cały następny tydzień zwożono na statek różnego rodzaju zapasy żywności i przedmioty, zabezpieczające wygodę podróży; do usługi zabierali oni z sobą tylko kucharza i lokaja, oddanych pod komendę dbałego o porządek całej wyprawy profesora. Z dostawą potrzebnych artykułów załatwiono się tak prędko, że w sobotę przed wieczorem wszystkie przygotowania były skończone.

W poniedziałek tedy towarzysze podróży zebrali się na umówioną godzinę w klubie, a nie zdradzając tajemnicy zamierzonej wycieczki, spotykanych znajomych pożegnali słowem: do widzenia, poczem wsiedli na pociąg idący do Blackwell i stamtąd, prowadzeni przez profesora, udali się do fabryki.

Uczestnicy wyprawy nie widzieli dotychczas osobliwego statku, Karliński bowiem ukrywał starannie dzieło swoje przed wzrokiem ludzkim, a baronet, pułkownik i porucznik, jako prawdziwi Anglicy, umieli hamować ciekawość swoją i rozmawiać spokojnie o rzeczach obojętnych, nie dotykając przedmiotu, obchodzącego ich najżywiej.

Ten spokój umysłowy u baroneta chwilowo został zachwiany, gdy profesor, otworzywszy z powagą drzwi fabryki, zawołał z odcieniem dumy w głosie:

— Widzicie panowie urzeczywistnienie mojego marzenia — oto jest *ryba latająca!*

— Na miłość Boga! — zaprotestował sir Reginald — czemu tak nietrafną nazwę nadałeś temu statkowi? — potworny kadłub jego nie będzie mógł wznieść się w powietrze, a o puszczaniu go na wodę myśleć niepodobna!

Pułkownik i porucznik zarówno jak baronet z powątpiewaniem kiwali głowami. Powątpiewanie to zdawało się być zupełnie uzasadnionem: mieli bowiem przed sobą olbrzymi cylinder, piętrzący się od ziemi aż pod więzanie dachu, z dwóch stron ostro zakończony, a zrobiony z metalu podobnego do srebra. Spód obszernego pudła statku opierał się na dwóch poprzecznych belkach, a wzdłuż całego okrętu szła inna belka, zawieszona na ruchomych zawiasach. Do tej belki, stanowiącej jakby oś statku, przytwierdzona była olbrzymia śruba z czterema wielkimi wklęsłymi łopatami, skupiającymi powietrze lub nabierającą wodę, które następnie wyrzucały z ogromną siłą w kierunku osi statku, nadając jej tym sposobem ruch wirowy, a całemu statkowi postępowy lub wsteczny, jak śruba parowca.

Cały kadłub okrętu, nie pociągnięty farbą, świecił się jak zwierciadło; pokład zaś znajdujący się na wierzchu, po-

malowany był na jasno popielaty kolor i otoczony złotą baryerką, z dwiema flagami ponsowemi. Na flagach złotemi literami umieszczony był napis: „Latająca ryba.”

Mimo olbrzymich rozmiarów i niezwyklej budowy swojej, napowietrzny ten statek przedstawiał harmonijną całość.

Nie zrażało też profesora niedowierzenie objawiające się w wykrzyknikach baroneta; pewność powodzenia usposa-

— I twierdzisz, że olbrzym taki wznieść się może w powietrze? — zawołał baronet z niedowierzaniem.

— Jestem tego pewny — odpowiedział profesor z pewną urazą w głosie. — Nie później jak dziś, wzniesiemy się na tym statku w powietrze, wyżej niż wszyscy współcześni aeronauci, a następnie, jeśli zechcecie, będziecie mogli spać snem sprawiedliwych na dnie morza! Podczas obiadu postaram się wytłómaczyć wam, kochani przyjaciele, że właśnie ta



POMNIK A. GROTGERA WE LWOWIE.

biała go pobłażliwie, a brak znajomości rzeczy u przyszłego towarzysza podróży, wywoływał na ustach jego uśmiech politowania.

Uśmiech ten natchnął spokojem sir Reginalda, który już mniej krytycznym okiem przypatrywał się nowej własności swojej.

— Sądzę — rzekł do profesora — iż statek ten większy być musi od największych okrętów liniowych, pływających po Atlantyku, o jakich pan wspominałeś.

— Ma sześćset stóp długości, a sześćdziesiąt szerokości — odparł spokojnie profesor.

znaczna objętość naszego statku pozwala szybować w warstwach atmosfery niepomiernej wysokości.

— Niech tak będzie — mówił baronet tonem człowieka nie zupełnie przekonanego — muszę temu wierzyć, skoro pan to utrzymujesz; zechciej nas jednak poznać dokładniej ze szczegółami budowy tego cudownego okrętu.

— Bardzo chętnie — oświadczył profesor, którego twarz rozpodziła się przy tych słowach. — Kilka chwil wystarczy na rozejrzenie się w jego stronie zewnętrznej. Okrągłe oszklone otwory są, jak się panowie domyślicie, zez które będziemy mogli czynić obserwacje. Dwa

większe na przodzie i w tyle okrętu służą do zabezpieczenia lamp elektrycznych o silnym bardzo płomieniu, mających nam rozświetlać głębie morskie. Pod temi poziomemi drzwiczkami na spodzie okrętu, jest kryjówka na kotwicę, a temi znów okrągłemi drzwiami po drugiej stronie wychodzić będziemy na wycieczki po dnie morskiem?

— Jakto — zawołał baronet — przypuszczasz, że będziemy mogli dowolnie spacerować po dnie morskiem?

— Nieinaczej — przytwardził profesor — zwiedzenie łożyska oceanów będzie niewątpliwie najciekawszym wstępem naszej podróży.

— Dla czego profesorze, nie kazałeś farbą pociągnąć całego statku? — zagadnął pułkownik — musiałeś mieć słuszne do tego powody?

obserwatorzy dojrzą tylko osłepiającą jasność, nie pozwalającą odróżnić kształtów naszego statku.

— I gotowi nas wziąć za jakiś meteor — wtrącił baronet. — Muszę ci powinszować, profesorze, przezorności, z jaką przewidujesz wszelkie możliwe wypadki. Z tem wszystkiem jakie cuda nowe w dalszym ciągu każesz nam podziwiać?

— Na spodzie nie mamy nic więcej do obejrzenia — rzekł Karliński, prowadząc towarzyszy po ozdobnie rzeźbionych schodach na pokład.

Patrząc z tego wyniosłego punktu na podwórze fabryczne, można było dokładnie uprzytomnić sobie, jak wielką jest wysokość, czyli grubość statku, a baronet wznosił ramiona z podziwu nad olbrzymimi rozmiarami swego nowego



WYPRAWA NAUKOWA NA ŁODZIACH Z KORY.

— Powodów miałem aż kilka — odparł Karliński. — Najpierw etereum jest nieczułe na działanie tak powietrza, jak wody, nie rdzewieje, a tem samem nie potrzebuje farby, zabezpieczającej od rdzy. Następnie ilość farby użytej do pomalowania statku tak wielkich rozmiarów, powiększyłaby jego wagę, ja zaś unikałem starannie dodania mu choćby jednego funta ciężaru nad konieczną potrzebę. Nakoniec, pożądanem jest dla nas do czasu nie zwracać na siebie ile możliwości uwagi ludzkiej, z tego względu uznałem za właściwe zachować statkowi naturalny jego połysk metaliczny, gdyż odbicie od niego barwy otaczającej atmosfery, utrudni śledzenie nas w powietrzu.

— Z wyjątkiem, gdy promienie słoneczne padną na okręt prostopadle; wszak prawda, profesorze? — zagadnął Mildmay.

— W tym razie — dowodził Karliński — ciekawi

nabytku. Nie zdradzając jednak zdumienia, szedł w milczeniu za profesorem, który ich na przód statku poprowadził.

— Wspomniałeś pan — odezwał się Mildmay do Karlińskiego — że starałeś się uniknąć powiększenia wagi statku nawet przez użycie farby, a jednak wyłożyłeś pokład taflami drewnianymi.

(d. c. n.)

Wyprawa naukowa na łodziach z kory.

Głębie olbrzymiego państwa Brazylijskiego, zwłaszcza źródła Amazonki i jej licznych dopływów, są jeszcze bardzo mało znane. To też udają się tam w ostatnich czasach wy-

prawy naukowe, dla zbadania kraju, a zwłaszcza istniejącego w dorzeczu rzeki Szango plemienia karłów.

Głównym, że tak powiemy, gościńcem dla dostania się przez całą Brazylię aż do granie Peru jest Amazonka, po której można płynąć większemi statkami; ale strumienie górskie pełne wodospadów i kamieni niedostępne są nawet dla większych łodzi.

Muszą więc uczeni podróżni używać maleńkich łódek z kory, wyrabianych przez krajowców. Łódka taka może pomieścić dwóch ludzi, a jest tak lekka, że jeden człowiek bez trudu unosi ją na plecach. Ale trzeba w niej siedzieć bardzo spokojnie, bo za lada żywszym ruchem, wywrócić się może.

Podobne łódki tylko nie tak lekkie, bo wyłobione w pniu drzewa, jak koryta, używane są też w Pińszczyźnie na polowania a nawet na podróże po licznych dopływach Prypeci i Jasioldy. Nazywają je miejscowi mieszkańcy, duszehubkami z powodu ich chwiejności.

Noc sierpniowa.

(Dalszy ciąg)

— Tak! umysł ludzki jest ograniczony — dokończył nauczyciel. Bóg nam pozwala badać i podziwiać niesmiertelne swe dzieła, lecz tylko do pewnych granic, byśmy tem lepiej własną nicość spostrzedz mogli. Bo i czemuż jest człowiek, ten drobnutki pyłek na jednym z drobnych planet wobec ogromu światów, wobec milionów słońc, większych niż nasze, wobec pojęć Stwórcy rzeczy nieskończonych? Gdy nas pokusa bierze przeceniać swój rozum, przypomnijmy sobie, że nie umiemy zrozumieć nieskończoności czasu i przestrzeni, ani początku wszechrzeczy, ani objąć ilości istniejących światów, ani zbadać dokładnie nawet tych najbliższych.

Chwila milczenia trwała dosyć długo, Marynia pierwsza przerwała ją z cicha:

— A na księżycu czy niema mieszkańców? — pytała, żegnając wzrokiem sierp miesiąca, znikający pod horyzontem.

— O ile dziś pozwalają sądzić nasze wiadomości, niema ich tam na pewno, już dla tego, że niema wody ani powietrza, a my nie znamy istot, któreby żyć mogły bez tych niezbędnych dla nas dwóch żywiołów.

— Dajno pokój, Maryniu — przerwał żywo Franek — bo nie o tem mieliśmy mówić. — Przecież miał pan nam powiedzieć, jakieto gwiazdy deszczem będą spadały na ziemię, jeżeli nie prawdziwe.

— A wy mieliście mi powiedzieć naprzód, co to znaczy, prawdziwe gwiazdy?

— Prawdziwe gwiazdy — rzekł dobitnie Lutek — to wcale nie planety, krążące dokoła naszego słońca, ale słońca także, inne, większe, wspanialsze, a tak oddalone od ziemi naszej, że promień światła, na którym podług wyrażenia Romka w 8 minut mógłbym zajechać na słońce, na najbliższą gwiazdkę niosłby mię lat trzy tysiące. No, teraz pomyśl sobie, ile tysięcy czy milionów lat taka pani gwiazda musiałaby wędrować we własnej osobie, żeby się dostać na ziemię? A każda przecież w innej znajduje się odległości i porozumieć się z drugą nie może, jakże więc miałyby się umówić i tej nocy urządzić sobie ogólne zebranie na ziemi?

— Czy to prawda, co on mówi, proszę pana? — pytał Franek z niedowierzaniem.

— To prawda, moje dziecko, że gwiazdami nazywamy słońca, takie jak nasze, mające własne światło, tylko wspanialsze i większe, a tak oddalone od ziemi, że światło, które od słońca biegnie 8 minut, od najbliższej gwiazdy tysiące lat

przebywa przestrzeń między nią a ziemią. Więc nie może być mowy, żeby takie gwiazdy na ziemię spaść miały.

— No, ale w takim razie, cóż więc spadać będzie? Ja nic nie wiem, co to za kamienie, o których mówił Romek. Przecież kamienie między gwiazdami nie krążą?

— Tak — powtórzył pan Adam — dokładnie nie wiemy, co to za kamienie spadają w noc sierpniową na ziemię. Krąży ich wiele naokoło słońca, ale skąd się wzięły na tej wspólnej drodze? Dawniej myślano, że to szczątki pewnej roztrzaskanej, w skutek jakiegoś wypadku planety, dziś uczeni odrzucają już to przypuszczenie. Sądzą niektórzy, że to szczątki komet, których ciało składa się z bardzo drobnych pyłków, rozpraszających się zwykle po drodze. Otóż gdy ziemia w biegu naokoło słońca przechodzi drogę, zasypaną owemi szczątkami, przyciąga je swoją masą, pyłki maleńkie i większe kamienie, spadając na ziemię, trą się o powietrze, w skutek tego rozpalają się gwałtownie, nie doleciawszy nawet do powierzchni ziemi. Te błyski, te zapalania się i to gaśnięcie sprawia na nas wrażenie deszczu gwiazdzistego, jakiego właśnie spodziewamy się tej nocy.

— To musi pięknie, wspaniale wyglądać? — dopytywała pół-szeptem Marynia.

— Przekonamy się o tem już chyba niedługo, jedenaśta się zbliża, a chociaż najwięcej spada zazwyczaj w parę godzin po północy, powinniśmy niedługo zobaczyć ich dosyć.

— Ze sto spadnie? proszę pana — dopytywał Franek.

— Nie wiem, mój drogi, przypuszczam, że więcej, sam nigdy dotąd bardzo pilnie nie obserwowałem tego zajmującego zjawiska, ale nauka mówi, że w ciągu godziny naliczono ich nieraz po kilka tysięcy.

— Kilka tysięcy! — zawołano chórem. — W ciągu jednej godziny! I pan tego nigdy nie widział?

— Nie widziałem — z pewnym żalem potwierdził pan Adam. — Ręczę wam jednak, że dzisiaj zobaczę. No, ale widziałem coś ciekawego w tym rodzaju.

— Pewno zaćmienie słońca?

— Jeszcze coś innego.

— Cóż takiego? Niech pan powie.

— Spadający meteor czyli aerolit.

— Meteor? To także kamień?

— Niezupełnie.

— I dawno pan to widział?

— Dzieckiem jeszcze byłem.

— To niech nam pan opowie.

— Bardzo chętnie. Wytlómaczę wam później, co to znaczy aerolit. Otóż razu pewnego, miałem może lat 9, za niegrzeczne sprawowanie się przy kolacy, kazano mi odejść od stołu i w sąsiednim ciemnym pokoju rozmyślać nad swoją winą. Byłem upartym chłopcem, więc nie przepraszałem matki, ale poszedłem sobie na pokutę, od razu nową psotę mając w głowie. Mieszkaliśmy na dole, więc chciałem otworzyć okno i wymknąć się po cichu na podwórze. Niech mię potem szukają, jeszcze się martwić będą, żeby mi się co złego nie stało, myślę sobie. I stanąwszy na oknie, dalej cichutko odsuwać zawiasy... Nagle! nie potrafię wam nigdy opisać okropnego wrażenia, od którego włosy podniosły mi się na głowie, jak druciki, a ciało zesztyniało. Gdy ze złą myślą majstruję przy oknie, spostrzegam nagle na niebie olbrzymią kulę ognistą, niby księżyc prosto na mnie spadający, czerwony, wielki, straszny. Dokoła wzbil się krzyk nieopisany, huk tysiąca wystrzałów wstrząsnął powietrze, szyby zadzwęczały i wszystko zgasło.

Koniec świata — pomyślałem i byłem zupełnie pewny, że sąd się zacznie nademną za chwilę. Dnia tego czytałem o nim właśnie przy lekcji religii i wszystkie winy moje, wszystkie dziecięce psoty jak obraz jasny stanęły w pamięci, zdawało mi się, że jestem zbrodniarzem, godnym ostatecznego potępienia, i chciałem się poprawić, a tu czasu już niema.

Płacz i jęki rodzeństwa przerażały mię coraz bardziej, nie śmiałem otworzyć oczu, ani ruszyć się z miejsca, oczekując wyroku.

Co się stało, o Boże! Za oknami płacz, krzyki, rozinowa, oczwyście coś straszego się tam działo.

Wtem ktoś mię dotknął. Skuliłem się bardziej.
— Co ci, Adasiu? — dał się słyszeć łagodny głos matki.

Możecie wyobrazić sobie, jak ją przeproszałem.

(d. n.)

Marya Łopuszańska.

OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg).

— Cóż, nie powrócicie mi mego podczaszego? Co to za porządek u was na dworze, by jakieś młokosy ośmielali się stroić żarty z najstarszego z moich dworzan! Ja tego tak nie przepuszczę, udam się z tem do króla, niech winnych ukarze i niech mi powróci Kurtza! Twarz jego jeszcze bardziej się zaczerwieniła, gdy to mówił, począł bić pięścią w stół, sapiąc przytem głośno.

— Wasza miłość — ozwał się wojewoda spokojnie, któżby się ośmielił stroić żarty z waszych dworzan; każdy przecie, zna należną wam cześć i zachowanie, i wie, że gdyby uchybił w czem krewnemu naszego pana, naraziłby się na gniew jego. Bądźcie pewni, że zarządzymy najstaranniejsze poszukiwania aby odnaleść waszego dworzanina; roześle nawet zaraz kilku gońców w różne strony a jestem pewien, że prędko odszukają zgubę. Musiał on się zbłąkać w puszczy, w czasie łowów, ale mam niepłodną nadzieję, że nic mu się złego nie stało.

Wojewoda mówił z takim przekonaniem, że potrafił uspokoić margrafa i tak straszna burza została zażegnana. Margraf Herman opłakiwał tylko pocichu swego wiernego Kurtza, w czem mu towarzyszył dwór cały, pragnąc tym sposobem zaskarbić jego względy.

Tymczasem do Kielc przybył Przemko ze swego gródka, donosząc, że żadnej wieści nie miał dotąd o Ładonie, ale że ludzie jego znaleźli nad jeziorem wodnic miecz należący do młodego rycerza oraz zauważyli ślady krwi na zdeptanej trawie

Wojewoda Bożydar, skoro ujrzał ów miecz i wysłuchał Przemkowych doniesień, był przekonany, że syn jego padł ofiarą jakiejś napaści. Skoro wszedł do króla, oblicze jego było tak zmienione, że Bolesław zapytał natychmiast:

— Cóż to się stało, wojewodo?

— Miłościwy Panie — rzekł wojewoda, starając się opanować wzruszenie które mu głos ściskało w gardle — dowiedziałem się teraz, dla czego syn mój nie wracał dotąd... oczy moje nie ujrzą go więcej...

— Jakto, co się z nim stało?

Wojewoda opowiedział wszystko, co mu doniósł Przemko i czego się dowiedział od towarzyszy Ładona.

— Cóż to za szalone głowy! — zawołał król niecierpliwie. — Wiedziałem, że Zbilut jest wartogłowem, ale niespodziewałem się że i Ładon...

Trzeba go jednak szukać wojewodo, wyślijcie ludzi do puszczy... Dobrze wyjdę, jeśli najlepszych rycerzy potracę przed wojną!

— Wy, miłościwy panie, straciliście jednego z najlepszych rycerzy, a ja więcej jeszcze, bo jedyne go syna i dziedzica, odrzekł wojewoda ponuro.

— Prawda — odrzekł król z westchnieniem — żał mi was szczerze, wojewodo, boć i ja jestem ojcem i pojmuję waszą boleść. No, ale nie wszystko jeszcze stracone, toć niema żadnej pewnej wieści o jego śmierci, bądźcie lepszej myśli...

— Staram się, miłościwy panie, ale trudno mi to przychodzi — odrzekł wojewoda, a chcąc stłumić żal gwałtowny, jaki nim miotał, zacisnął obie pięście na piersiach szerokich.

Nagle dodał, zmieniając rozmowę.

— Jakie macie dla mnie polecenia, miłościwy panie?

— Chciałem was posłać jutro do Krakowa — odrzekł król zdziwiony tym nagłym zwrotem — ale teraz...

— To nic, miłościwy panie, zawsze poślijcie...

— Może się co podrodze dowiecie — dodał król.

— Na to małą mam nadzieję, miłościwy panie — odparł wojewoda z ponurem przekonaniem, ale troszkę trzeba strząsnąć z siebie by nas nie zjadła albo nie przemieniła w babę, co tylko zawodzi i ręce łamie. Dla tego też proszę was, miłościwy panie, dajcie mi jakie trudne polecenie, a zaręczam, że je spełnię dobrze, bo gdy na miejscu będę siedział, to w głowie mi się coś przewróci a wówczas na nic się wam nie przydam.

— Dla czegoż nie macie nadziei, przecie nic niema jeszcze pewnego, że wasz syn zginął? — spytał król.

Poznałem miecz mego syna — odrzekł posepnie wojewoda — wiem, jestem pewny, że żywy nie roztałby się z nim nigdy... Nie mogę już spodziewać się niczego dobrego...

W tym czasie przygotowania do wojny były ukończone i zbrojne hufce pociągnęły ku Magdeburgowi, po drodze karcąc okropnie odstępce plemiona, wszędzie rozlegały się jęki i wznosiły w górę dymy pożogi.

Margraf Herman pojechał jednocześnie do Ratysbony, do cesarza Henryka, z odpowiedzią od szwagra, która brzmiała w te słowa:

„Chrystus świadkiem, jak niechętnie przedsiębiorę co czynić teraz będę, ale nie zwykłem uchylać się od wojny.”

VIII.

Ładon, utraciwszy przytomność, nie wiedział jak długo przeleżał nad jeziorem, ani co się przez ten czas z nim działo; gdy poraz drugi otworzył oczy, ujrzał się w niskiej chacie, zbudowanej z sosnowych bierwion; leżał na łożu usłanem owczemi skórami; pośrodku, w zagłębieniu, płonął ogień na kamieniach, a przy nim gotowało się jadło. Na stole płońskiego łuczywo a przy łuczywie człowiek jakiś naprawiał sieć rybacką. Twarzy łagodnej, ciemne włosy obcięte miał okrągło, odziany zaś był w postoły z lyka lipowego i białą świtkę, zarzuconą na jedno ramię, po wierzach długiej koszuli, przepasanej skórzanym pasem. Nieopodal, na ławce, siedziała młoda, hoża niewiasta, w białej namiotce, i kołysała dziecię w kolebce, nucąc mu coś pół-sennym głosem.

W chacie było spokojnie i zacisznie, okiennice pozasuwane, płomień trzeszczał na ognisku, przy którym wygrzewał się wielki pies kudłaty. Ściany nie były wylepione gliną a wprost drewniane, stawiane w zrąb, szpary starannie mchem poutykane; woń żywicy unosiła się dokoła. Po kątach leżała broń: oszczep, łuk i topór, dalej porozwieszane sieci, na półkach porozstawiane widniały statki drewniane, a jedna półka, najwyżej, pod pułapem umieszczona, była zajęta przez kamienne bałwanki, wraz z ziołami i innymi przedmiotami, składanymi im w ofierze.

Ładon mimowoli począł się przysłuchiwać słowom pieśni, śpiewanej przez kobietę; nuta jej dźwięczała mu jak dalekie przypomnienie dzieciństwa, ale słowa były dziwne i dobywały się z ust niewiasty niby we śnie, jakby śpiewała nie ona a inny ktoś przez jej usta.

— Śpij dziecino, śpij — w lesie zmyry wstają
Siwy wilk już bieży — niedźwiedz w gąszczach leży,
Sowa huką w krzacz.
Sokolica dzieciom dról — ym żer ciepły podala,
I przykręca je skrzydłami, piersiami ogrzała;
W borze czyha strach, w borze czyha strach!
Śpij dziecino, śpij — zmyry ponad wody
Tańczą w korowody,

Wilk ściga łanię przy blasku miesiąca,
Woda stoi śpiąca;
W trzcinach na wybrzeżu żaby rechotają,
W olszynie, gęstwinie puhacze hukają
Śpij dziecińco, spij!

Piosnka zdawała się usypiać jednakowo i matkę i dziecko; kobieta pochyliła głowę na piersi i widocznie drzemała.

Na dwerze słycać było tymczasem, jak ciepły deszcz wiosenny uderzał o okiennice i spływał po dachu; od czasu do czasu nawet grom rozlegał się słabo. Tutaj jednak było tak zacisznie, iż zapominało się całkiem, że tam kędyś grzmoty huczały nad puszcza.

Ładon starał się przypomnieć sobie i zrozumieć skąd się mógł wziąć tutaj. Chata i ludzie byli mu całkiem nieznanymi; prócz tego pamiętał dobrze, że gdy stracił przytomność, na niebie zaczynało już świtać, teraz zaś widocznie była noc czy wieczór, czyż więc tak długo był bezprzytomnym? Ramię jego było przewiązane, i nie czuł już w niem prawie żadnego bólu, gdy się poruszył, by lepiej rozejrzeć się po chacie.

Ruch ten zwrócił uwagę człowieka, naprawiającego się; wstał z miejsca i podszedł doń.

— A, jużście przyszli do siebie — ozwał się uradowanym głosem; — cały dzień czekaliśmy na to z moją niewiastą, aleście wciąż byli jak nieżywi.

Kobieta, zbudzona głosem męża, zbliżyła się również, patrząc ciekawie na młodego rycerza.

— Skądże się u was wzięłem? — spytał Ładon, podnosząc się na wpół na posłaniu. Wówczas niewiasta jęła rozpowiadać:

— A ot, mój poszedł dziś raniutko łowić ryby na jeziorze, i ja też byłam wraz z nim, by pomódz mu zarzucać sieci, bo my tu samiutcy jedni siedzimy w puszczy. Aż tu na brzegu ujrzeliliśmy was i zrazu myśleliśmy żeście nieżywi... Zdziwiliśmy się skąd w naszej puszczy wziął się taki witeź znaczny, z błyszczącym łańcuchem na szyi, ale mój rzecze do mnie: „Jaga, czy to będzie pan jaki, czy prosty jak my człek, zabierzmy go stąd, może jeszcze nie zupełnie umarł; zawszeć bowiem godzi się pomódz człeku. a nie zostawiać go w puszczy, na pastwę dzikiego zwierza.” Ta pewnie, mówię mu...

— Ot, baba jak się rozgada, to już końca temu niema — przerwał mąż. — Dałabyś pokój trajkotaniu, a poszła tam, bo jeszcze dziecko z kołyski wypadnie.

— Ale, wypadnie — odparła, odchodząc urażona nieco kobieta — nie twoja to troska, potrafię przecie dziecka dojrzyć.

— Jutro już będziecie zdrowi — mówił tymczasem człowiek do Ładona — zioła, które się zbiera w noc kupalną w puszczy, najlepiej pomagają na wszelkie rany. Kon wasz także stoi w stajence, nakarmiłem go dobrze i napoiłem; spokojne to jak dziecko i samo do rąk człeku idzie.

— Dziękuję wam, dobry człowieku — rzekł Ładon i radbym czem wam się wypłacić.

— Za co? — rzekł ze zdziwieniem wieśniak. — Toć przecie każdy by uratował człeka, gdyby go ujrzał umierającego w głuchej puszczy; cóż to za dziw? A toć by było do-

brze — dodał, śmiejąc się — gdybyśmy was zostawili w puszczy bez pomocy, tak, nie przymierzając, niby jakiego psa.

Ze wszystkiego widać było, że ci ludzie żyli od lat wielu w puszczy, nie wychodząc z niej nigdy i nie wiedząc co się na świecie dzieje. Dla nich jeszcze było jednak, jak za czasów ich ojców: ten sam obyczaj, tę samą wiarę wciąż zachowywali bez zmiany żadnej.

Kobieta była niezmiernie zdziwiona, ujrawszy krzyżyk na piersiach Ładona; nie mogła pojąć do czego on służy.

— To obraz Boga — odrzekł Ładon, gdy się zapytała o to.

— Bóg taki mały? — zapytała.

— Nie Bóg, tylko znak jego, którego czcic należy. Czyż go nigdy nie widzieliście?

— Nigdy; my czcimy drzewa, święte źródła...

Lecz zatrzymała się, bo mąż spojrział na nią znacząco. Od tej pory nie było już mowy o tych rzeczach; widocznie obawiali się swego gościa.

Nazajutrz cudny ranek zaświtał nad puszcza. Na każdym listku błyszczała kropelka wczorajszego deszczu; orzeźwiający wonie płynęły z wiatru powiewem. Ptaki szczebiotały w gęstwinie; gdzie tylko zajrzał promień słońca, tam unosiły się roje brzęczących owadów; krasne, różnobarwne motyle bujały tu i owdzie.

Ładon podniósł się i wyszedł przed chatę; nie czuł jeszcze dość siły by wyruszyć w drogę, usiadł więc spokojnie na przyzbie, patrząc przed siebie i oddychając świeżością wiosennego poranku. Nieopodal na zielonej trawie, pasł się siewy i na głos swego pana natychmiast przybiegł, wesoło potrząsając grzywą.

Dokoła była cisza; echo tylko powtarzało klekot terlicy, na której kobieta tarła konopie. Niedaleko bawiło się dziecko, strzeżone przez wiernego Kruczka, podczas gdy gospodarz naprawiał coś około brony.

Przy robocie kobieta śpiewała odwieczne, zapomniane już gdzieindziej pieśni pogańskie; brzmiały w nich imiona Żywie, Nya, Kupała; wzywała też opieki białych bogów, którzy darzą zbiorami i chronią od nieszczęścia, a zakłęciami odganiały czarnych duchów i zażegnywały uroki. Nuta śpiewu była poważna, uroczysta, to znów dziwaczna i urywana. Przeciągły i majestatyczny szum puszczy towarzyszył pieśniom.

Ładon tymczasem myślał o wszystkim, co mu się przytrafiło; owo spotkanie z Masławem stanęło znów przed jego okiem, i zrodziło posądzenie, że nocne wycieczki Zaboja muszą mieć z tem jakiś związek. Postanowił sobie, iż dociecze koniecznie co to był za związek. Wszystkie pogłoski głuche o Łysej górze przypominały mu się również; był teraz pewny że Żabój tam się udawał, a może i Masław... W pamięci stanęła mu obietnica, jaką dał królowi, iż będzie pomagał w wykorzenieniu dzikości. A kiedyż lepsza sposobność się znajdzie do spełnienia jej? Czyż nie było jego obowiązkiem wysledzić te tajemnice i odkryć ostatnie szczątki pogaństwa, kryjące się wśród mroków puszczy i zagrażające rozprzestrzenieniu prawdziwej wiary? Czyż nie pozyskałby tym sposobem zasługi u Boga i u króla, który starał się wszelkimi siłami tępić barbarzyństwo? (d. c. n.)

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Dawni nasi malarze p. W. Marréne (z ryc.) — Dożynki, piosnka przez E. I. ejową. — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Łatającej ryby,” opisał H. C. — Wyprawa naukowa w Brazylii na łodziach z kory (z ryc.) — Noc sierpniowa. — Obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — Dodatek: Mały dobosz, wiersz (z ryc.) — Nieproszeni goście (z ryc.) — Bajka, dla panierek szyjących na konkurs. — Dług wdzięczności przez Zofię Rudnicką. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доволено Цензурою. Варшава 7 Августа 1898 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

WIECZORY RODZINNE

NIEPROSZENI GOŚCIE.

P a j a k .

W szparze małego wiejskiego domu siedział krzyżak. Oczami rzucał na wszystkie strony, a że miał ich 8 mógł zatem dużo na raz widzieć.

Wkrótce zauważył, że firanka nade drzwami podnosi się za każdym razem, gdy drzwi otwierają; wywnioskował, że w owym kącie musi być przeciąg. Nie namyślając się długo, począł tam snuć swoją pajęczynę: najpierw przeciągnął poprzeczne włókienka, a potem kilka nitek obwodowych.

Gdy robota była skończoną, usunął się kilka kroków na bok, by przyrzeć się zdaleka, czy sieć jego nie jest widoczną.

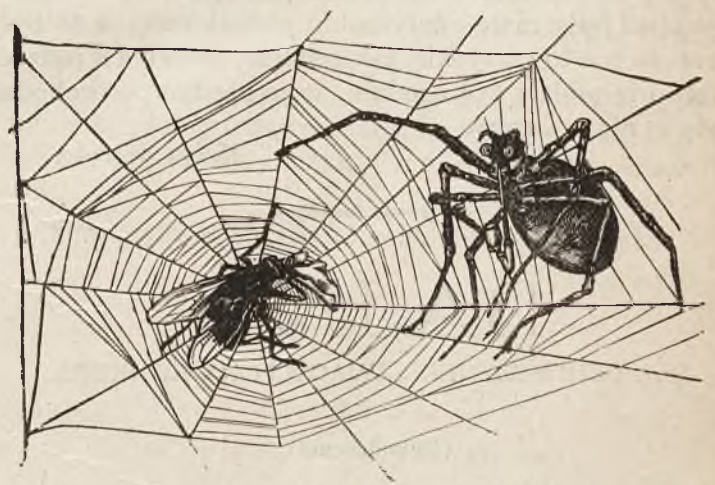
Ale włókna pajęczyny były tak cienkie, że niktby nie podejrzewał, iż to były zastawione sidła. Czwartą to już pracę swoją skończył krzyżak: jedną nad oknem, dwie nade drzwiami w przedpokoju, a wszystkie stara się umieścić na przeciągu, sądząc, że wiatr mu owady napędzi.

I nie zawiódł się.

Zaledwie wziął się do nowej roboty, mały woreczek budując sobie, gdy posłyszał przeraźliwe brzęczenie. Pająk ma czujny słuch; wie, że to mucha wpadła w jego sidła.

Biedaczka próbowała wydostać się z uwięzi, lecz im więcej się kręciła, tem więcej oplątywała się cienkimi, a lepkiemi włóknami.

Ale niedługo to trwało, pająk już był przy niej, zapuścił w nią jad i tem zabił ją odrazu. Potem wyssał z niej chciwie soki.



Mucha przedziurawiła mu sieć, czego przecie nie można tak zostawić, naprawił więc ją, zacerował i znów do dawnej roboty pospieszył.

Woreczek bardzo mu się udał, z pajęczyny też delikatnie utkany; wygodnie będzie mu kryć się w nim



Mały Dobosz.

Hej w szeregi bracia żwawo,
Odgłos trąbki wzywa was,
Ten na lewo, ten na prawo,
Stawać prędko, bo już czas!

Tra - ra - ra, trąbka gra,
Tra - ra - ra - ra...

Gotów zawsze każdy żołnierz
Mustrę też on dobrą zna,
Hełm na głowie z gwiazdką kołnierz,
A przy boku pałasz ma.

Woła bęben, drum, drum, dru,
Więc żołnierz stawaj tu!

W takt bębena pewnym krokiem,
Maszerujemy przez ten świat —
Z butną miną, śmiałym wzrokiem,
Zły nam wrogiem, dobry — brat.

Drum - drum - drum, tra - ra - ra,
Woła bęben, trąbka gra...



przez całe lato, a na jesieni złoży w nim 1000 jaj, gdzie przechowają się bezpiecznie przez zimę.

Kiedy tak rozmyślał, w przedpokojach rozległo się przeraźliwe brzęczenie, taki głos pająkowi niemiły. Biegnie więc prędko, bo ma nie napróżno nóg ośm.

Do pajęczyny wpadła osa. Pająk tego bardzo nie lubi. Zatruc jej nie potrafi, bo niema tyle siły, więc korzyści z niej niema żadnej, a straty wielkie, bo mu strasznie pajęczynę porozrywa.

Zbliża się więc pająk i dopomaga osie wyswobodzić się. Ale nim się to stało, z pajęczyny pozostały same strzępy. Lecz pająk nie jest próżniakiem i dnia tego jeszcze usnął dwie nowe sieci. Wkrótce tak się zagospodarował w owym małym domku, iż zdawało mu się, że właśnie dla niego zbudowano go tylko.

Zazdrościły mu nieraz inne pająki, próbowały nawet wejść do tego domu, ale krzyżak był tak nietowarzystki, taki samolub, że rzucał się na każdego przybysza i dopóty walczył, póki go nie pokonał.

Widząc to małe czarne i zielone pająki, nie odważały się już wejść i tylko przez szparkę zaglądały i myślały sobie: „Takiemu panu to się dobrze dzieje, ani go ptak nie porwie, ani mu zimno dokuczy.” Aż tu raz jednego rozniosła się wieść: letnicy przyjeżdżają! Od rana więc do nocy myto, szorowano i urządzano mieszkanie. Na dużą szczerką sprząającą kobieta nawinęła wilgotną ścierkę, a jak poczęła wycierać wszystkie ściany i kąty, tak pościagała wszystkie pajęczyny!

Krzyżak z żalem przyglądał się tej robocie, zły był na kobietę, onby ją zakłócił na śmierć, jak muchę, ale cóż, nawet ugryźć jej nie może, jad jego dla ludzi jest nieszkodliwy.

Nie było innej rady, trzeba było wynieść się na strych.

Przed ostateczną przeprowadzką próbował raz jeszcze założyć pajęczynę, pomiędzy świeżo zawieszonymi firankami nad oknem, ale i ta została zniszczoną przez tę samą okrutną kobietę. Z jajek złożonych przez krzyżaka na przyszlą wiosnę wyległy się małe pajączki, a że były odrazu podobne do swoich rodziców, zupełnie rozwinięte, więc choć były małe, dały sobie jednak radę, a że były tak samo nie towarzyskie, jak rodzice, nawet i z rodzeństwem nie umiały żyć zgodnie, więc prędko porozchodzily się w różne strony.

Marya Weryho.

BAJKA

DLA DZIEWCZYNEK SZYJĄCYCH NA KONKURS.

(Dokończenie).

Od tej błogiej chwili inne życie zaczęło się dla pogardzanej dawniej istotki. — Naparstek tak był miły, tak był mądry, że prawie sam chodzić umiał, niechby go tylko mysz ogonkiem trąciła! — Mówił Igiełce, że ją oddawa już uważał, że go zachwycało jej złocone uszko, ona znowu, wypowiedziała mu się ze swego smutku i zwątpienia, z obawy, że do niczego się nie zda na świecie. To

coś jak ze mną — odpowiedział — ja także dotąd nic nie zrobiłem dobrego, a nawet nic zgoła nie umiem.

— Widać, że równa dola nasza, byliśmy dotychczas do niczego.

— Ha, więc próbujmy wspólnej drogi, może się razem na coś więcej przydamy.

Postanowiono nie rozłączyć się nigdy. Na pogawędce i układaniu planów, tak szybko czas schodził tym państwu, że ani się spostrzegli, jak wielka czarodziejka, która w swej straży miała klucz do zakłętego pałacu, otworzyła razu pewnego podwoje, i strumień białego światła oblał nagle zgromadzone w niem towarzystwo. Czarodziejka wpuściła w zakłęte progi dziesięć różowych służek swoich, które po jednym chwytaly wszystkich mieszkańców, widocznie chcąc sprawić wielkie przenosiny.

— Panno Igiełko — odezwał się Naparstek — pójdźmy w służbę do tej wielkiej pani.

— A pójdźmy, panie Naparstku; ona nam pewno znajdzie robotę.

— I będzie mi pani mówiła ty, gdy zostanie moją żoną.

— A będę, panie Naparstku.

Czarodziejka, jak tylko ich zobaczyła, domyśliła się zaraz, bo od tego była czarodziejką, że ci dwoje chcą życie spędzić w zgodzie i miłości, więc sprawiła im sute wesele, na które panna młoda miała suknię z długim ogonem, przewieszoną przez ucho. Odtąd żyją sobie razem szczęśliwie i przekonali się, że pomagając sobie wzajemnie, mogą się stać bardzo użytecznymi. Teraz np. czarodziejka zaprzęła ich oboje do wielkiej pracy na konkurs „Wieczorów rodzinnych” i mogę wam zaręczyć, że wywiązują się doskonale ze swego zadania!

Niechże się zastanowi każda z dziewczynek, które czytają te słowa, czy w zakłętych pałacach, jej władzy powierzonych — w szafkach, pudełkach, szufladach — nie smucą się gdzie w rozłączeniu takie stalowe serduszka? a gdyby tak w istocie być miało, niechże je jaknajprędzej pocieszy i przewiesiwszy pannie młodej długą suknię przez ucho, niech im sprawi corychlej wesele! Niechaj pamięta, że chociaż każde z osobna na nic się nie zdadzą, oboje razem, w służbie jej czarodziejskich rączek, krok każdy drogi swojej znaczą tak pięknym, równym i pożytecznym śladem, że bodajby z nich ludzie przykład brali, w swem życiu!

Kto jeszcze mi nie wierzy, niech spróbuje się przekonać. — Konkurs „Wieczorów rodzinnych” doskonałą do tego nastęrcza sposobność.

Ot i bajka skończona!

Zofia Mrozowicka.

DŁUG Wdzięczności

przez

Zofię Rudnicką.

(Białą Babcie).

— Dziadziu! byłem bardzo grzeczny, proszę więc dać mi pobawić się szablą, — wołał, wbiegając

do komnaty, dziewięcioletni, Janek, wnuk imci pana Sępa.

Ten, siedział właśnie przed kominkiem, w głębokim zamyśleniu, a choć na widok wnuka uśmiechnął się, lecz w uśmiechu tym widny był wielki smutek. I nie dziw! sędziwy pan starosta przeżył wszystkich swoich i ostatnim z rodu pozostało mu już tylko to złotowłose wnuczę.

Janek przybiegł do kolan dziadka, a ucałowałszy jego rękę, prowtórzył swoją prośbę. Pan starosta klasnął w dłonie: boczne drzwi otworzyły się i stanął w nich chłopak służebny.

— Przyniesz szablę, która wisi w komnacie sypialnej nad mojem lożem.

Chłopak zniknął we drzwiach, a Janek aż podskoczył z radości. Za chwilę podbiegł do wracającego chłopca, odebrał mu z rąk ogromną szablę, oprawną w jaszczur, ciężką i tak dużą, że musiał ją trzymać oburącz.

— Niechże teraz dziadzio potrzyma, ja sam wyciągnę z pochwy. To tak przyjemnie wyciągać taką śliczną szablę!

W tej chwili weszła do komnaty kobieta w czarnym stroju, kroju zakonnego, młoda była i piękna, ale podobnie, jak dziadek, z wyrazem bólu i smutku w rysach. Złożywszy ręce na piersiach, patrzyła na syna, który wymawiając te gorące wyrazy, wydał się jej tak podobnym do ojca swego — ukochanego jej męża. Patrzyła na to chłopię małe, pieszczące się z szablą ojcowską, niemal jak z żywą osobą. Oczy jej zasłyły łzami, usta się poruszyły — modliła się. Modliła się za duszę ojca — o szczęście syna... Usiadła cicho przy oknie i poczęła złotemini wyszywać w krosnach krzyż z cierniową koroną. Janek tymczasem prosił dziadka, by mu opowiadał o owych wojnach, o bitwach, w których walczyli jego stryjowie i ojciec.

Między innemi opowiadał pan starosta, jak nasi łagodnie obchodzili się z jeńcami tatarskimi, których wielu dostało się im do niewoli.

— Jeden z tych jeńców, Janku — dodał dziadek — tak się przywiązał do twego ojca, że uprosił sobie u hetmana, by został jego własnością. Gdy po wyprawie ojciec twój powrócił do domu, przywiózł tego Tatara z sobą. Dziwny był ten jeńiec, pomimo, że obchodzono się z nim łagodnie, że miał wszystkiego pod dostatkiem, zawsze był smutny. Myśleliśmy, że tak tęskni za końmi, bo to Tatar życie całe prawie przepędza na koniu, a że wszyscy polubili tego smutnego niewolnika, więc ojciec twój przeznaczył go do tabunu, to jest do dozorowania tych koni, które dzień i noc pasą się na pastwiskach. Ale ku naszemu zdziwieniu jeńiec po kilkunastu godzinach przypędził tabun na dziedziniec folwarczny, a sam rzucił się do nóg twemu ojcu, prosząc by mu wyznaczył inną, chociażby najcięższą robotę byle w murach zamkowych a nie przy koniach na stepie.

— Kamienie będę dźwigał przy naprawie murów, fosy dzień i noc kopał, a nie wysyłajcie mnie, panie z końmi w czyste pole... — błagał, łkając w płaczu.

Ździwienie nasze granic nie miało; pytany o powód, Tatar nie dawał odpowiedzi. Aż w końcu, przynaglony, rzekł z dzikim błyskiem w oczach:

— Nie dawajcie mi konia — bo ucieknę... tam na moich stepach, moje konie, żona moja, maleńki mój syn!...

Schwycił się oburącz za głowę, wpił palce w gęste, kędzierzawe włosy i targał, jakby je chciał wyrwać co do jednego,— przytem wydawał dzikie głosy rozpaczcy. Rzucił się do nóg twemu ojcu, nurzał twarz i głowę w prochu na znak pokory i wołał:

— Zabij mnie panie, zabij — ja nie chcę twojej krzywdy, ty dobry pan, ja twój, ale przy koniach ja nie wytrzymam — zabij mnie, ulituj się nademną panie i zabij...

Janek, który słuchał z szeroko otwartymi oczyma, zawołał ze łzami w głosie:

— Ale ojciec nie zabił go przecie?

— Bądź spokojny, mój wnuku, nie zabił go.

— A dla czegoż on prosił o to?

— Tęsknota długo tłumiona, wybuchła tak gwałtownie, gdy poczuł, że siedząc na koniu, uciec może. Wiedział jednak, że jeńiec na wojnie wzięty, jest własnością tego, który go zdobył. Jego prosta natura prawą była i szlachetną: nie chciał skrzywdzić pana swego, który tak łagodnie z nim się obchodził; czując się więc słabym wobec pokusy, prosił, aby go na nią nie narażano. Ojciec twój podniósł go z ziemi, czekał, żeby się uspokoił i powiedział mu — że go już więcej nie wyśle na pastwisko z końmi...

— Jakto? i nic więcej? — zawołał Janek, patrząc dziadkowi w oczy.

— A cóż ty byś zrobił z tym jeńcem? — zapytał dziadek.

— O, ja bym go uradował wolnością! — zawołał chłopczyzna gorąco—ja bym mu pozwolił wrócić na stepy, do swoich!

Matka od chwili już złożyła robotę i z rozrzwaniem patrzyła na syna, teraz wyciągnęła ręce do niego, szepcząc stłumionym przez łyzy głosem.

— Nieodrodne dziecko swego ojca...

Janek rzucił się matce na szyję i ściskając ją pytał.

— Więc ojciec uwolnił jeńca?

— Tak moje dziecko, uwolnił go i obdarzył na drogę koniem, pieniędzmi i dla bezpieczeństwa, urzędowym świadectwem, że nie ucieka, lecz uwolniony, wraca do swoich.

Chłopczyk, aż w ręce klasnął, tak się ucieszył.

(d. c. n.)



SZARADA.

od Puszczyka z Pilawy dla Giermka.

Kiedy *pierwszą* wspank stawiamy
To przysłówek miejsca mamy
A wprost — w szachach spotykamy.
To co *druga* zaś zawiera,
Będzie znana nam litera.
Wszystko najdroższa na ziemi
Istota między swojemi.

ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

p. Stokrotkę.

- 1 Zastąpić kropki literami w ten
 . 2 sposób, aby litery oznaczone liczbami
 . 3 złożyły na zwiśko znane
 . 4 go poety. Znaczenie wyrazów
 . 5 w kierunku poziomym: 1) Szczyt
 . 6 w Alpach tyrolskich. 2) Miasto
 . 7 na wyspie Fionii. 3) Greckie
 morskie bóstwa. 4) Państwo

w Europie. 5) Miasto na Szląsku. 6) Miasto w Kroacji. 7) Miasto na Podolu nad Dniestrem.

Sylaby: Or—o—za—zwa—ca—cya—den—les—li—te—try—fran—to—gni—grzeb—ny—niec—see.

NITECZKA ARYADNY.

Gdzie	bę	dzie	ga	praw	świat	ją
tyl	ko	za	słu	dzi	wa	od
ni.	naj	tym	ma	trzy	wa	kry
pom	le	o	naj	sam	a	kto
Bóg	piej	niej	skrom	bie	so	o

ROZWIĄZANIA DO Nr. 33.

Zagadki: B e z .

Łamigłównki kryształowej:

W
 S a n
 W a r n a
 I n n
 a

Łamigłównki w trójkącie:

H e r k u l e s
 E s k u l a p
 R ó w n i k
 K o r a n
 U r n a
 L a k
 E h
 S

Skrzynka do listów.

Giermkowi. Gołąb choć chyży jest w locie, ustępuje jednak pierwszeństwa wielu innym ptakom. Doświadczenia przyrodników

stwierdziły, że najszybszym ze wszystkich jest fregata, ptak morski, żyjący przeważnie w okolicach podzwrotnikowych. Obok szybkości lotu jest ona także i najwytrzymalszą, może bowiem zstawać w podróży choćby tydzień cały, nie odpocząwszy ani razu. Oczywiście, wielkość czyli długość skrzydeł gra bardzo ważną rolę w wytrzymałości i szybkości ruchu, co stwierdza wymiar skrzydeł fregaty, która w siągu, t. j. w szerokości rozpostartych skrzydeł, dochodzi do 14 stóp, podczas gdy wielkość jej równa się zaledwie wymiarom dużej kury domowej. To też jeden z naturalistów nazywa fregatę: „tryumfem skrzydeł i żeglarzem powietrznym, nigdy nie zwijającym żagli, panem wicherów, gardzącym każdym niebezpieczeństwem.”

Jagódka leśna miłą zrobiła nam niespodziankę, ślicznie zasuszonym bukietem kwiatów tatrzańskich, których widok przypomniiał nam żywo te cudowne okolice, jakie sami zwiedzaliśmy parę lat temu, a które rzeczywiście są przedmiotem zachwytu nie tylko dla nas, lecz i dla turystów cudzoziemców, porównujących nasze Karpaty z najpiękniejszymi miejscowościami świata. Zasyłając serdeczne pozdrowienia Jagódce, dziękujemy za pamięć.

Orzeł karpacki piękne ma plany, które dowodzą wyższych jego pragnień i dążeń, a zdaniem naszym, ten tylko wznieść się potrafi ponad zwykły poziom miernoty, kto szczerze dąży do wytkniętego celu, choćby ten był trudny do osiągnięcia, i wymagał dużo pracy i wysiłku woli. Każde też zajęcie może być szlachetne — o ile znaczne są pobudki i jakimi człowiek je wykonuje. Z tego też względu przesyłamy Orłowi szczerze życzenia potrzebnej siły i błogosławieństwa Bożego — pewni, że z taką pomocą zdobędzie te wyższe nauki, które nie tylko jemu samemu zapewnią byt, lecz dozwolą otoczyć na starość wygodami zacząć jego matkę.

Nie wszystkie farby, Marylko, pochodzą z minerałów; dużo barwników dostarczają nam soki roślinne. Fabrykacja farb wymaga znajomości chemicznych i odpowiednich przyrządów. Farby olejne są te, do których ostatecznego urobienia czyli utarcia użyte są pewnego gatunku oleje np. siemienny lub makowy. Akwarellami nazywamy farby, które rozprowadzają się z pomocą wody, tak, aby powoli wsiąkały w biały papier, na którym artysta pragnie stworzyć obrazek. Wreszcie pastelle, są to suche, miękkie jak pyłek farby, które rozcierają się na odpowiednio chropowatej powierzchni papieru. Portrety pastelowe bywają bardzo piękne, lecz łatwo ulegają zniszczeniu

Nie dziwi nas bynajmniej, że Stefan W. z takim zajęciem oddaje się naukom przyrodniczym, bowiem potrzeba poznania świata, który nas otacza, objawiała się już wybitnie u ludów starożytnych. Ale też począwszy od najprostszycich objawów życia roślinnego, do zawikłanych doświadczeń dzisiejszej chemii i fizyki, ileż mamy przed sobą tajemnic i jak gruntownego przygotowania wymaga nasz umysł, aby choć w części objąć zdołał ten wszechświat pełen cudowności.

Karolci O. Zawsze chętniej widzimy ręczne szycie aniżeli maszynowe w robótkach konkursowych, bowiem umiejętność poprawnego użycia igielki, jest podstawą każdej innej pracy wchodzącej w zakres robót ręcznych, i gdy nie każdy może posługiwać się maszyną, igielka dla każdego i w każdej okoliczności bywa dostępną. Nie odrzucamy wszakże i szycia maszynowego, jeżeli która z pańienek sama z niem sobie radę dać już umie. Życzony numer dodatku wysłany.

Własnego układu łamigłównki nadesłali: Słoń z Nubii, Giermek, Tadzio W., Gwiazdka, Anulka i Czarny rycerz. Dobre zaś rozwiązania: Orzeł karpacki, Nieznośny Chrabąszcz, Marylka, Gwiazdka i Smok.

MAGAZYN DZIECINNY.

JANINY

Marszałkowska Nr. 151.

Stale zaopatrzany w najmodniejsze ubrania dziecinne, poleca: koszule, kalessony, kołnierzyki, mankiety i szelki dla uczni oraz wszelką bieliznę dziecinną.



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

STO LAT TEMU NAD NILEM.



I.

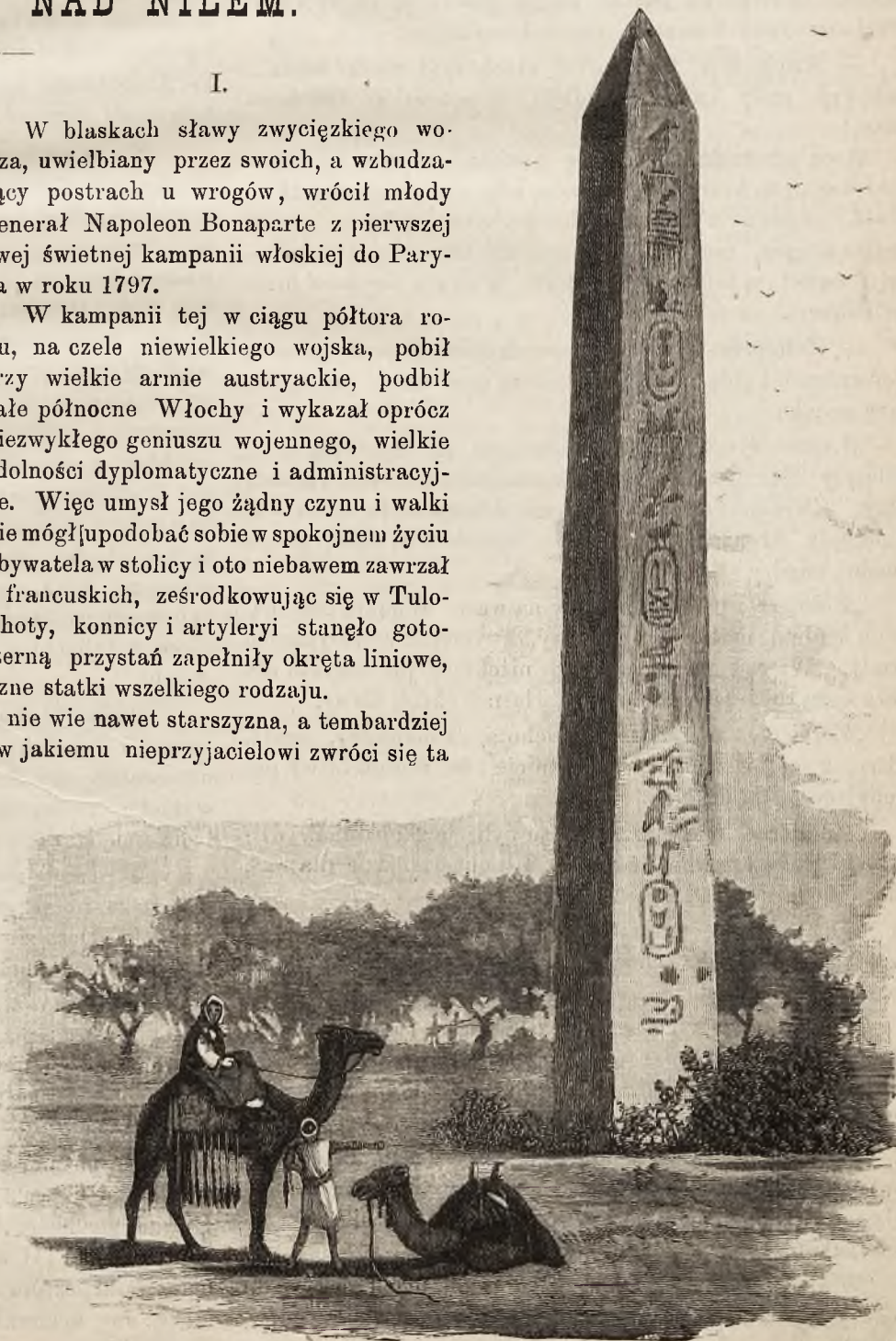
W blaskach sławy zwyciężkiego wodza, uwielbiany przez swoich, a wzbudzający postrach u wrogów, wrócił młody generał Napoleon Bonaparte z pierwszej swej świetnej kampanii włoskiej do Paryża w roku 1797.

W kampanii tej w ciągu półtora roku, na czele niewielkiego wojska, pobił trzy wielkie armie austriackie, podbił całe północne Włochy i wykazał oprócz niezwykłego geniuszu wojennego, wielkie zdolności dyplomatyczne i administracyjne. Więc umysł jego żądny czynu i walki nie mógł upodobać sobie w spokojnem życiu obywatela w stolicy i oto niebawem zawrzał

ruch nadzwyczajny we wszystkich portach francuskich, ześrodkowując się w Tulonie, gdzie tysiące dzielnego żołnierza: piechoty, konnicy i artylerji stanęło gotowych na rozkazy głównego wodza, a obszerną przystań zapełniły okręta liniowe, fregaty, korwety, szalupy kanonierskie i liczne statki wszelkiego rodzaju.

Nie wie jednak dotychczas wojsko, nie wie nawet starszyzna, a tembardziej naród cały i zaniepokojona Europa, przeciw jakiemu nieprzyjacielowi zwróci się ta najlepsza część siły wojskowej młodej Rzeczypospolitej francuskiej; gdzie także rozwinąć zwyciężkie sztandary śmiały Bonaparte.

Plan bowiem ułożonej kampanii pozostał, ze względów politycznych, tajemnicą między rządzącym wówczas Francją Dyrektoryatem a samym generałem, który z tą nadzwyczajną czynnością i energią, jaką okazywał zawsze w wykonaniu wielkich swych zamiarów, wziął się i teraz do dzieła. Mając przyznane do rozporządzenia ze skarbu państwa cztery i pół miliona franków, dobiera żołnierza, oficerów, generałów, zaprasza uczonych i inżynierów, gromadzi robotników i rzemieślników, podczas gdy wyznaczona



przez niego komisya zwiedza porty, uzbraja flotę, dostarcza zapasów żywności, broni i amunicyi.

Najsławniejsze nazwiska ówczesnej Francyi łączą się do wyprawy.

Oto wyniosła postać nieocenionych zdolności i wielkich już zasług generała Klebera; obok niego stoi waleczny i uczony generał Caffarelli-Dufalga, wspierający się na drewnianem szczudle od czasu utraty nogi nad Renem; dalej generałowie: Bon, Vaubois, Regnier, Menon, Dugua i adjutanci: Murat, Launes, Belliard, Dummartin wreszcie Polak Sulkowski; z dziedziny zaś nauki i sztuki: Monge, Bartholet, Fourier, Dolomieux, Degenette, Larrey, Dubois. A każdy z nich czuł się szczęśliwym, iż dąży podzielić losy młodego generała.

Już wielotysięczna armia zwana włoską stoi w Tulonie, ta sama, która śladami Hanibala przekroczyła Alpy, zdobywając poza niemi imię niezwyciężonej.

Gdy po ośmiomiesięcznej rozłące, ujrzeni teraz dzielni żołnierze ubóstwianą postać swego generała, zapal wielki ożywił marsowe ich twarze, a gromkie okrzyki:

— Niech żyje Bonaparte, niech żyje wielki wódz!... niech żyje mały kapral! — odbiły się echem na dalekiem morzu.

A on przeczekawszy burzę powitania z tym spokojem niewzruszonym, który magnetyczną siłą ujarzmił wszystkich dokoła, przemawia w słowach godnych wielkiego swego przedsięwzięcia, nie uchylając wszakże tajemniczej jego zasłony, nawet w tej ostatniej chwili, w chwili żegnania brzegów Francyi.

— Żołnierze — mówi — prowadziliście wojnę w górach, na równinach i obłężniczą. Pozostaje nam teraz prowadzić wojnę morską.

„Legie rzymskie, (ale jeszcze im nie dorównaliście), zwalczyły Kartaginę kolejno na tem morzu i na równinach Zamy. Zwycięztwo nigdy ich nie odstępowało, ponieważ ciągle były odważne, cierpliwe w znoszeniu trudów, karne i zgodne między sobą.

„Żołnierze, Europa patrzy na was! Wielkie przeznaczenie spełnić macie: toczyć bitwy, zwyciężać nieprzyjaciela i trudy. Więcej uczynicie teraz, niżeliście już uczynili dla dobra ojczyzny, szczęścia ludów i własnej naszej sławy.

„Żołnierze, marynarze, piechota, kanonierzy, jazda, bądźcie z sobą w zgodzie, pamiętajcie, że w dniu bitwy potrzebujecie jedni drugich.

„Żołnierze, marynarze, dotąd byliście zaniedbani, dzisiaj największa troskliwość rzeczypospolitej będzie dla was, bądźcie godni armii, której część składacie.

„Duch, który uczynił rzeczypospolitą od samego jej początku, panią lądu, chce aby ona była panią mórz i narodów najodleglejszych!”

Nareszcie wschodzące słońce 19 maja 1798 roku oblało złotemi promieniami 500 rozwiniętych żagli w porcie tulońskim. Był to pamiętny dzień odjazdu największej floty, jaka kiedykolwiek pokryła wody morza Środiemnego.

Przy huku salw działowych, okrzykach zebranego u brzegów ludu i dźwiękach pieśni narodowej, Marsylianki, ruszyły jedne za drugimi ciężkie i poważne statki, niby olbrzymie ptactwo zrywające się do lotu.

W ślad za sześcioma fregatami należącemi niegdyś do Wenecyi i ośmiu francuskimi, płynie wielka eskadra admi-

rała Brueys'a, składająca się z trzynastu okrętów liniowych, z których olbrzymi „Orient” o 120 działach wiezie naczelnego wodza. Dalej ruszają dwa okręty weneckie o 64 działach, dwie korwety, liczne kutry i szalupy, a płynące te gmachy unoszą razem 40.000 żołnierza i 10,000 marynarzy.

Wszelako wiatr gwałtowny, utrudniający pierwsze ruchy, okazuje się przyjaznym, zmuszając Nelsona, angielskiego admirała, do usunięcia się ze swoją flotą dla naprawy poniesionych uszkodzeń aż ku wyspom Saint Pierre.

Nieprzyjaciel więc, przed którym strzeżono tak pilnie tajemnicy celu wyprawy, ten nieprzyjaciel, czyhający tu na jej zgubę, nie widzi nawet wyruszającej floty.

Jest to jakby zapowiedzią dalszych powodzeń.

I niebawem rozchodzi się wieść wśród płynącej armii, wieść przyjęta z niezmiernym zapalem, że wspaniały Egipt, że bogaty Wschód ma stać się polem walk jej i trudów, że wielki wódz, któremu Europa zbyt ciasną się wydała, zapragnął uszczknąć listek wawrzynu w prastarym kraju Faraonów i podążyć bohaterskimi śladami Aleksandra, Cezara i Marka Antoniusza, by zapisać swe imię na piramidach, gdzie byli tamci zapisani.

Nie sama wszakże sława wojenna kieruje w te odległe strony oręż Bonapartego. Bo gdy w polityce zwycięskiej już rzeczypospolitej zaważyła mocno kwestya pogńębienia Anglii, tej odwiecznej nieprzyjaciółki Francyi, generał nie uważał jeszcze chwili za odpowiednią, by uderzyć na nią bezpośrednio, lecz zamyslił tymczasem zadać jej cios bolesny przez zajęcie Egiptu i opauowanie morza Środiemnego, na którem coraz większą brała przewagę. Czynem tym śmiałym zamysłał równocześnie zyskać nieobliczone korzyści dla Francyi. Przy stosownym bowiem zarządzie Egipt mógł stać się łatwo punktem środkowym komunikacji i handlu ze Wschodem, bez dalekiego okrażania przyładka Dobrej Nadziei. Porozumienie w tym celu z Turcyą nie miało przedstawiać wielkich trudności, Egipt bowiem dla niej był już od dawna straconą prowincją z powodu, iż główną władzę dzierżyli w niej niekarni lecz bitni Mamelucy. Należało tylko zachować tajemnicę przed zainteresowaną w tem najwięcej Anglią.

Doniosłość zajęcia Egiptu zjednała Bonapartemu oporny zrazu Dyrektoryat, który też w końcu udzielił mu zupełnej swobody działania, ufając jego geniuszowi, i ciesząc się w duchu, że popularny a zdolny wódz zdala od Francyi nie będzie się starał o pozyskanie naczelną władzy w kraju.

W dwadzieścia dni po opuszczeniu Tulonu eskadra francuska, połączywszy się z mniejszemi oddziałami generała Vaubois i Desaix'a, którzy wypłynęli z Genui, Ajaccio i Civita-Vecchia, stanęła u skalistych wybrzeży wyspy Malty.

Leżało bowiem w ogólnym planie całej wyprawy zajęcie tej wyspy, która stanowiąc ważny nader punkt strategiczny i handlowy na morzu Środiemnem, niechybnie dostałaby się wkrótce w ręce Anglików, gdyby ich nie uprzedzono.

Powstały w czasie wojen krzyżowych zakon rycerzy św. Jana, później kawalerów Rodyjskich, otrzymał w 1530 r. od cesarza Karola V wyspę tę w lenność i obrał tu sobie główne siedlisko, przybierając nazwę Kawalerów Maltańskich. W XVIII w. stracił on już właściwy cel swego istnienia—walki przeciw nieprzyjaciołom wiary Chrystusowej, i utracił też swe znaczenie i siłę. W beczynnem bowiem używaniu

licznych dochodów ściąganych z przynależnych im dóbr w różnych krajach Europy, zniewieścili rycerze zaniedbali w zupełności sztukę wojenną.

M. D.

(d. c. n.)

W OBŁOKACH I POD WODĄ

WYPRAWY „LATAJĄCEJ RYBY.”

opisał H. C.

(Ciąg dalszy).

— To tylko fornir z drzewa, mający nam służyć za posadzkę — odparł profesor, zatrzymując się przy okrągłych, poziomo w pokładzie umieszczonych drzwiczkach.

— Nie będziemy przecież zawsze — dodał — bujać po powietrzu lub błądzić po dnie morskiem. Wypada nam tak że robić wycieczki po wodzie i w tym celu przygotowałem kilka łodzi. Jedną z nich zaraz panom pokażę

To mówiąc, otworzył drzwiczki, nacisnął znajdującą się pod nimi sprężynę i jakby za dotknięciem czarodziejskiej laseczki, usunęła się kłapa i ukazała ozdobna łódź zawieszona na linach.

— Brawo, profesorze! — zawołał Mildway — urządziłeś to bardzo dowcipnie; ale co znaczą te cztery zagięte rury zwrócone w dwie przeciwne strony?

— Służą one za motor, popychający łódź naprzód. Zbudowana z etereum, jest ona bardzo lekka i mało zanurza się w wodzie. Cała jej maszynerya składa się z pompy o trzech cylindrach, która wyrzucając z impetem wodę w dwie przednie rury, posuwa ją naprzód z szybkością 12 węzłów na godzinę, lub nadaje mu równie prędko ruch wsteczny, jeśli pęd wody skierowany na rury tylne. Sądzę, że ta szybkość okaże się dla nas dostateczną.

Po wsunięciu napowrót łodzi do kryjówki, profesor poprowadził towarzyszy swoich do kajuta, zajmującej środek pokładu. Była to dość duża, okrągła przestrzeń z kilku okienkami, ale bez drzwi widocznych.

— Jakto, profesorze! zbudowałeś kajutę sternika bez wejścia do środka? — zawołał baronet, odzyskując dobry humor na myśl, że za swoje pieniądze będzie posiadaczem „ryby latającej”, która choćby nie latała po powietrzu, odznacza się jednak osobiwszem urządzeniem.

— Ogdadłeś pan trafnie, że to kajuta sternika — odparł profesor — mylisz się tylko, przypuszczając, że niema do niej wejścia.

To rzekłszy dotknął lekko jedną ze ścian, w której ukryte drzwiczki odemknęły się natychmiast.

— Z ciebie widzę czarodziej prawdziwy — zawołał pułkownik — w jaki to sposób urządziłeś?

— W sposób bardzo prosty — odpowiedział profesor — każdego z was nauczyć muszę, gdzie szukać sprężyny i jak sobie z nią radzić.

Gdy wszyscy umieli już otwierać tajemnicze drzwiczki, profesor zaprosił towarzyszy do środka kajuty, mającej jakby dwa piętra. Szerokimi schodami wyłożonemi dywanem, ze świecą metalową poręczą, sprowadził ich na dół. Wprost głównych schodów znajdowały się mniejsze, prowadzące na okratowaną wystawkę dokoła domku sternika, ułatwiającą porozumiewanie się ustne osobom, znajdującym się na górnym i dolnym piętrze. Przez kratę widać było różne maszyny i przyrządy, których znaczenie podróźni poznać mieli i tu również poprowadził ich profesor.

Pierwszy przedmiot, jaki zwrócił ich uwagę, była szta-
ba z etereum idąca przez oba piętra.

— Jest to najważniejsza część całej maszyneryi — tłumaczył profesor — niby ster okrętu. Można nakierować ją

w różne strony, a łączy się ona z głównym motorem ruchu, jak się o tem zaraz przekonacie.

Idąc za radą profesora, trzech towarzysze, wyrzawszy przez kratę, widzieli jak za każdym poruszeniem szta-
by, oś główna statku ze śrubą odmienny przybierała kierunek. Obok znajdował się kompas szafkowy, a dalej cyferblat, kontrolujący ruch maszyny.

— Ten przyrząd — objaśniał profesor — jest regulatorem ruchu, jak w lokomotywach. Korba postawiona prostopadle zatrzymuje maszynę; obrócona naprzód, daje ruch postępowy, a zwrócona w tył — ruch wsteczny. Równie prostem jest oznaczenie na tym cyferblacie stopni ruchu według podziału z napisami: „Spokój” „ $\frac{1}{4}$ szybkości” „ $\frac{1}{2}$ szybkości” „cała szybkość,” określający prędszy lub powolniejszy bieg statku, niemniej jak jego kierunek według wskazówek: „naprzód” „w tył.”

A co znaczy ten rodzaj wahadła? — zapytał pułkownik.

— To nowy mój wynalazek — odparł Karliński — regulujący ciężar czyli balast statku, gdy szybuje po powietrzu. Łatwo zrozumieć, że jeśli statek puszczoney będzie w powietrze bez odpowiedniego ciężaru, to najmniejsza drobność może zachwiać jego równowagę; starczyłoby przejście którego z nas z jednej strony pokładu na drugą, aby statek pochylał się również w tę stronę, stracił położenie poziome i przekreślił się. Wahadło to wykazuje bezzwłocznie najbliższe zbroczenie od linii horyzontalnej i potrąca o jedną ze znajdujących się dokoła niego sprężyn. Wówczas odpowiednia maszynerya za pomocą prądu elektrycznego przywraca równowagę.

— Wybornie! Podziwiam przezorność twoją, profesorze. — A to co znaczy? — pytał dalej baronet.

— To sprężyna kierująca pompą powietrzną. Gdy zamierzamy spuścić się w głąb oceanów, zwróciwszy sprężynę naprawo, otrzymujemy przyływ powietrza do statku.

— Chyba chcesz raczej powiedzieć odpływ — zaprotestował baronet.

— Przeciwnie — dowodził profesor — statek nasz będzie się powietrzem wypełniał. Powietrze, jak każde inne ciało, ma swoją gatunkową ciężkość. Wszak pierze lekkie jest bardzo, a jednak poduszka niem wypchana, staje się ciężką. Chcąc przejść z powietrza pod wodę, najprzód napełniamy odpowiednie przyrządy powietrzem, następnie, gdy pływać będzie po wodzie i zanurzy się do $\frac{1}{3}$ wysokości, wówczas wstrzymamy tłok pompy powietrznej, a otworzywszy kłapy rur wodnych napuszczamy do innych przegród tyle wody, że pod jej ciśnieniem statek zatoni i znajdzie się pod wodą na dowolnej głębokości.

— Te krany z napisami, które widzicie w kajucie sternika — ciągnął dalej profesor — otwierają i zamykają kłapy rezerwoarów wodnych i powietrznych. Ta zaś puszka mieści przyrząd do zapalania torped.

Baronet ruszył znacząco ramionami i spojrzął na towarzyszy, jakby chciał powiedzieć: co on tam jeszcze wymyśli!

— Doskonale, profesorze — odezwał się porucznik — w razie potrzeby mamy środki prowadzenia walki na morzu. Gdzież jest jednak skład na torpedy? Nie pokazałeś nam go gdyśmy zwiedzali środek okrętu.

— Bo nie miałem nic do pokazania — odparł profesor. — Rzecz całą zaraz wam wyjaśnię: Stożkowaty koniec przedni, czyli dziób naszego statku jest ruchomy; gdy potrzeba wyrzucić torpedę, część ruchoma się usuwa, nabój wkłada się w otwór i zapala. Nadto mamy dwie armatki z etereum, umieszczone w burcie okrętowej i sześć wybornych karabinów, wynalazku jednego z moich przyjaciół: mogą dać sześćdziesiąt strzałów na minutę, o ile są zaopatrzone w naboje. Prócz tego jeszcze przygotowałem znaczną ilość zwykłych strzelb, pałaszy, lanc, pistoletów, słowem wszelkiego rodzaju broni jaka nam może być potrzebną w zaczepnej i odpornej walce

Teraz panowie, zechciejcie przypatrzeć się urządzeniu maszyneryi wewnętrznej, która to wszystko porusza.

Po szczegółowym obejrzeniu maszyn, kotłów, tłoków i t. p., które tylko dobry mechanik zrozumieć by potrafił, udali się do innego oddziału, na którego drzwiach był napis: „Dla nurków.”

Wszedłszy, znaleźli się w sali, około dwadzieścia stóp szerokiej z czterema przedziałami nad którymi wypisane było: Sir Reginald Elphinstone, pułkownik Lethbridge, porucznik Mildmay, profesor Karliński.

— Tu czynić będziemy przygotowania do naszych wycieczek podmorskich — tłumaczył profesor, a otwierając jeden z przedziałów, dodał: — Oto są ubiory, których w takich okolicznościach używać mamy. W szafie wisiało zwykłe kauczukowe ubranie nurka, rodzaj tornistra, różne przybory i rozmaitego rodzaju broń.

— To chyba żart z twej strony, profesorze — zagadnął baronet. — Czyż musimy przypatrywać się rybom pod wodą uzbrojeni, jak średniowieczni rycerze?



Ś. p. ksiądz Franciszek Krupiński.

— Wytłomaczę to panu zaraz — odparł profesor. — W zwykłym ubraniu nurka człowiek może chodzić pod wodą zaledwie do głębokości 15 sążni, a nieco głębiej tylko w rzadkich wyjątkowych. Cyfra jednak 15 sążni przyjęta jest za normę, z tego powodu, że poniżej ciśnienie wody jest tak silne, iż sprowadza napływ krwi do głowy, skutkiem czego następują ciężkie omdlenia a niekiedy nawet śmierć. Otóż gdyby nasze wycieczki podwodne ograniczać się miały tylko do 15 sążni głębokości, nie warto byłoby czynić tak kosztownej wyprawy. Obmyśliłem zatem rodzaj pancerzy, w których możemy bezpiecznie zwiędzać najgłębsze dna oceanów, dokąd tylko dotrze nasza „ryba latająca”. Pancerz ten, jak widzicie, składa się z drobnych blaszek z etereum, niby łuszczynek rybich, przystających szczelnie, a mimo to tak elastycznych, że zostawiają nurkowi wszelką swobodę ruchów, zabezpieczają od ciśnienia wody i dają płucom możność oddychania napływającym przez rury powietrzem.

Szykując się do wycieczki podwodnej, każdy z nas będzie potrzebował włożyć najprzód zwykłe kauczukowe ubranie nurka, na to dwa tornistry, z których tylny na plecach

mieści przyrząd z rurką, dostarczający świeżego powietrza, przedni zaś na piersiach zawiera podobny przyrząd odprowadzający zepsute, wytehnione z płuc powietrze. W końcu nakładać będziemy na siebie pancerz i opaszemy się pasem. Z lampką elektryczną i sztyletem u boku. Sztylet ów, o podwójnym ostrzu, zatopiony w ciele jakiego potwora, nie tylko zrani go, jak nóż, lecz jednocześnie prześle silny prąd elektryczny, który zabije go jak piorun.

(d. c. n.)

Ś. p. ksiądz Franciszek Krupiński.

W dniu 16 sierpnia r. b. spoczął w Bogu zacny i rozumny kapłan, który przez ćwierć wieku był nauczycielem religii w IV gimnazjum męskim i miał liczny poczet uczni, którzy go szanowali i miłowali głęboko, bo wiele mu mają do zawdzięczenia. Kapłanem tym był ksiądz Franciszek Krupiński, rektor kościoła po-pijarskiego w Warszawie, znakomity kaznodzieja i filozof.

Urodzony w Łukowie w r. 1836 wstąpił młodo do zgromadzenia OO. Pijarów w Opolu i z wielkim zapałem poświęcił się nietylko studiom teologicznym lecz filozoficznym i przyrodniczym, to też wkrótce zajął poważne miejsce w rządzie pisarzy współczesnych, jako autor i tłumacz wielu dzieł poważnych. Z pod jego pióra wyszedł pierwszy zarys historii filozofii polskiej.

Młodość ukochał sercem całym, oświecał ją i utrwalał gorliwie w zasadach wiary i moralności, a zarazem zachęcał do poważnej i pożytecznej pracy w życiu i dbał niezmiernie o rozwinięcie w niej logicznego, trzeźwego myślenia i poprawnego, jasnego wyrażania swoich myśli.

Na początku roku bieżącego za zezwoleniem władzy, grono byłych uczni powzięło myśl utworzenia stypendyumu imienia ks. Krupińskiego dla wychowawca gimnazjum IV-go, na co zbiera się już potrzebny fundusz. Gdy ciężko choremu powiedziano o tem, uśmiechnął się i wyszeptał: „pocziwe moje chłopaki.”

Liczne też grono „tych chłopaków,” starszych i młodszych odniosło i odprowadziło zwłoki ś. p. ks. Franciszka na cmentarz powązkowski 18 sierpnia r. b.

Noc sierpniowa.

(Dokończenie).

— Czy to naprawdę było? — spytał Romek.

— Tak, w r. 1868, ognisty aerolit przebiegł nad Warszawą, niemało ludziom napędziwszy strachu, i z wielkim hukiem upadł pod Pułtuskim. Od tego czasu z opowiadania wiemy, jak wygląda aerolit czyli bolid.

— Ale cóż to jest takiego?

— Zdaje się, iż są to niezbyt wielkie ciała, mniej więcej kulistego kształtu, które krążą jak planety naokoło słońca. Jeśli zbyt blisko ziemi przebiegają, przyciąga je i wtedy, lecąc przez powietrze, rozpalają się gwałtownie, pękają i spadają w postaci kamieni i odłamków, zawierających w sobie często czyste żelazo.

— Więc takie aerolity to niby malutkie ziemie? Czy takie, jak pomarańcza?

— Bywają i znacznie większe, po kilkadziesiąt, może i sto funtów, któż zresztą zgadnąć może wszystkie ich rozmiary.

— Chciałabym widzieć kiedy taki bolid — rzekła Marynia. — Jużbym się teraz nie przestraszyła.

— Zahartowało panią moje opowiadanie?

— Rzeczywiście. Ach! ach! ach!

W tej samej chwili aż trzy jasne gwiazdy prawie z jednego punktu, niby lży błyszczące, zsunęły się po niebie pomiędzy gwiazdami i zagasły tak szybko, że prawie niepodobna było na nie wskazać.

— Dwunasta, dzieci — odezwała się prawie jednocześnie matka, stając we drzwiach werendy.

a jednak wątpić trudno, iż niezwykle rzeczy dzieją się tam dziś w górze.

I gromadka widzów zachwycona, wpatrzona, o śnie zapomniiała, bo któżby mógł spać w tę noc czarodziejską? I któżby wyrzec się mógł dobrowolnie widoku tego? Marynia w zachwycie ręce złożyła niby do modlitwy, Franek aż pobladł, patrząc i trzymając się mocno ręki swego opiekuna, Lutek brwi zmarszczył, jakby myśl natężał dla zrozumienia



STRASZNY WYSCIG.

— O, mamo! teraz właśnie się zaczyna.

Istotnie, z każdą chwilą prawie więcej łez srebrnych biegło w przeróżnych kierunkach, po usianem gwiazdami niebie. Był to cudowny widok. Zdawałoby się mogło, że obłąd jakiś opanował gwiazdy, że burza rozszalała tam, pomiędzy niemi i strąca światy całe. Długie, proste szlaki krzyżują się i łamią na ciemnym błękitcie, cała sieć nici błyska, płacze się wzajem, wybucha jasnością i kona zaraz, a wszetelko w milczeniu, bez najłżejszego szmeru ani huku,

tych cudów natury i Romek nawet stał cichy, poważny, daremnie śledząc w chaosie koleje gwiazd pojedynczych.

— Wpół do drugiej, dzieci, stanowczo żądam, abyście spać poszły.

— Mamo, najdroższa mamo!

— Nie, Maryniu, już widziałaś, nic innego nie zobaczysz.

Chłopcy mrugnęli na siebie nieznacznie.

— Więc dobranoc, mameczko, idziemy na górę.

— Proszę mi tylko nie patrzeć z balkonu, bo się po-
przeziębiacie.

— Pan Adam jest z nami.

I odeszli szczęśliwi; Marynia została.

— Możesz nie spuszczać rolety i patrzeć z łóżka, póki
nie zaśniesz — powiedziała matka.

Pogasły światła, cisza, świat cały uspiony, a tam na
niebie palą się gromady światel odwiecznych, giną światy
całe, powstają nowe, płoną nieznanie nam słońca, grają potę-
gi nieznanym żywiołów, śmierć, życie, walczą, rodzą się, ko-
nąją pod skinieniem wszechmocnej ręki Pana światów, a ma-
luczki proch ziemski tą iskrą nieśmiertelną, którą go Stwór-
ca obdarzył, pragnie odgadnąć te wielkie tajemnice.

C. Niewiadomska.

Marya Łopuszańska.

OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg).

Postanowił, że dotrze koniecznie do góry Łysej, choćby
miał się znowu narazić niewiedzieć na jakie niebezpieczeń-
stwo. Trzeba było tylko czekać wieczoru dnia następnego.

Na drugi dzień gdy słońce zaszło, Ładon osiodłał ko-
nia i pożegnawszy się z poczciwymi ludźmi którzy mu dali
opiekę postanowił puścić się w drogę. Wprzód jednak nie wie-
dząc jak ich wynagrodzić za przytułek ofiarował sztukę złota
kobiecie. To poczęła z naiwnem zdziwieniem oglądać ją ze
wszystkich stron, wreszcie zawołała:

— Tóż się mały będzie cieszył, gdy mu dam taką cace!

Mąż poznał jednak, że to coś innego być musi niż caca
dla małego i rzekł, zwracając się do rycerza:

— Głupia niewiasta nie wie co to takiego; toć przecie
pewnie nie zabawka dla dziecka, a coś wedle uroków albo
może także obraz waszego boga? Ładon poznał wtedy, że
ci szczęśliwi ludzie nie wiedzą, co to pieniądze.

— Wyprowadzę was aż na drogę, bo nie wiecie którądy
jechać — odezwał się wieśniak po chwili, u nas to w puszczy
trzeba się urodzić jak ja, by znać wszystkie wertepy
i uroczyiska.

I wyprowadził go aż na drogę, zegnając słowami:

— Niech bogi was prowadzą.

W puszczy mrok zapadł już na dobre, ale na drodze
było jeszcze dość jasno. Ładon przypominał sobie w której
stronie widział wczoraj przed sobą górę Łysą; pamiętał do-
brze, że to było od zachodu, niby odbicie łuny kryjącego się
słońca. Puścił się więc i teraz w tą stronę. Góra Łysa znaj-
dowała się wprost w obranym przezeń kierunku. Musiało
być do niej ze trzy dobre godziny drogi na przełaj, jeśli oczy-
wiście nie znajdą się wąwozy, bagna, wertepy, które trzeba
będzie omijać.

W każdym razie miał jeszcze przed sobą noc całą.

Droga czas jakiś była dość znośną, lecz w końcu roz-
dzieliła się na kilka wązkich ścieżek, ginących w zaroślach.
Ładon stanął, namyślając się, którądy jechać, wreszcie pu-
ścił się ścieżką naprawo. Miesiąc jeszcze nie zeszedł i było
bardzo ciemno, ale koń kierowany instynktem, szedł, nie poty-
kając się nawet. Teraz i jeździec i koń obyli się z puszczą
i strachy jej nie budziły już w nich takiego przerażenia.

Ścieżyna wiła się w gąszczach, raz spuszczając się
w dół, drugi raz pnąc się po urwiskach skalnych, gdyż grunt
w puszczy stawał się coraz nierówniejszym i skalistszym; głę-
bokie parowy co chwila zastępowały drogę, ale siwy dzielnie

je przebywał, wspinając się po urwiskach. Wszędzie po
drodze natrafiali na wypłuczyska, utworzone przez wiosenne
strumienie i zasypaane ostremi kamieniami.

Wreszcie grunt zaczął się znacznie podnosić, czuć było,
że wjeżdżają pod górę. W miejscu dębów i brzoź, ukazywa-
ły się sosny, modrzewie i świerki; po bokach wznosiły się dzi-
kie urwiska, porośnięte jałowcem; miejscowość przybierała coraz
bardziej surowy i groźny pozór. Ogromne rozłożyste buki
roztaczały swoje ciemne sklepienia, obok nich rosły świerki,
jakby zawieszane nad przepaścią, a gdzieś w ciemnościach,
pod osłoną krzewów, szumiał po kamieniach niewidzialny
potok.

Miejscami widać było wielkie głazy, rozrzucone na sto-
ku góry, która z każdą chwilą stawała się bardziej stromą.

Wkrótce Ładon wjechał w las jodłowy. Nad jego
głową roztoczyły się ciemne sklepienia, podobne do naw go-
tyckiej katedry. Olbrzymie, stuletnie jodły wznosiły się
wysoko, proste, wysmukłe i silne na kształt filarów, a wier-
chołki ich tonęły w niebiosach. Miejscami niektóre z nich
leżały, obalone przez wiatr, a korzenie ich sterczały wysoko,
zagradzając drogę jeźdźcowi. Cichy, przeciągły szum szedł
po wierchołkach puszczy, to wzmagając się to słabnąc,
a w szumie tym było coś rytmicznego, niby jakaś pieśń wiel-
ka, potężna, szeroka, która płynęła w dal na skrzydłach wie-
czornego wiatru.

Ładon jechał rozpadliną, wrytą przez wiosenne potoki
i napełnioną ostremi kamykami, które kaleczyły nogi konio-
wi. Wkrótce jodły poczęły znikać a ukazały się świerki tak
gęste, że przez nie trudno było się przedrzeć. Pod gałęziami
ich spuszczającemi się horyzontalnie panowały straszliwe
ciemności, których żaden wzrok przebić nie mógł; w ciemno-
ściach tych co chwila coś się poruszało, szeleściło. Mino-
wolny strach przejął duszą Ładona, gdy wjechał w owe dzi-
kie wertepy, tak jak gdyby miał popełnić jakieś święto-
kradstwo.

Wreszcie z pomiędzy drzew błysnęło światło. Ładon
sądził zrazu, że to świeci ognisko, rozpalone w lesie, i strzegł
się zbliżyć w tę stronę; by nie spotkać się z ludźmi, gdyż
prędzej mógł natrafić na wroga niż na przyjaciela, rozumiał
bowiem teraz, że poganie strzegli dobrze wstępu do swego
schronienia. Przekonał się jednak wkrótce, że to świeci
ogień na górze Łysej. Migotał wciąż przez gałęzie, zdawał
się to gasnąć to znowu zapalać; krwawy blask jego świecił
przez mgły, okrywające górę.

Tymczasem ponad drzewami wysunął się księżyc wiel-
ki, czerwony, jak tarcza, płynął po niebie, wzbijając się co-
raz wyżej, aż oblał wreszcie blaskiem całą dziką okolicę.

Ładon spostrzegł wówczas, że stoi u samych stóp góry
Łysej, i zatrzymał konia. Wszystko co dnem jeszcze słyszał
o tej strasznej górze, owe powieści o boginkach leśnych, ma-
jących strzedz do niej przystępu, wszystko to nagle stanęło
mu w myśli i zimny pot wystąpił mu na czoło, groza przejęła
serce dreszczem. Cóż jeśli nagle z za krzaków ukaze się
jakaś postać potworna, i straszna, coż jeśli wilkołak lub
zmora spojrzy nań krwawemi oczyma? Nadstawiał pilnie
ucha czy krzyk jaki nie rozdrze ciszy nocnej, lub czy nie
usłyszy gdzieś w dali srebrzystego śmiechu złośliwych bogi-
nek. Ale nie, dokoła wciąż trwało głębokie milczenie, prze-
rywane tylko głuchym szumem puszczy.

Przeżegnał się i poklepał siwego po szyi, mówiąc mu:

— No, stary druhu, w drogę; strachy nic nam nie zro-
bią teraz.

— Mądre zwierzę, jakby zrozumiawszy te słowa, ruszy-
ło z miejsca, drząc tylko lekko na całej skórze, jakby strach
czuło przed czemś nieznanem. Pan jego wciąż go zachęcał
głosem, co uspokajało nieco wiernego konia; obaj odzyskali
wkrótce odwagę. Ładon pomyślał, że jako rycerz chrześci-
jański, nie powinien się obawiać czarów ani pogańskich du-
chów, bo znak krzyża potrafi je wszystkie rozproszyć. Zresz-
tą cisza, panująca dokoła, dodawała mu zaufania.

Nagle koń strzygnął uszami; Ładon począł się przysłu-
chiwać; jakieś dalekie okrzyki rozlegały się po lesie, jakby

sto wiedźm zgromadziło się na harce z szatanami, bo w głosach tych brzmiała radość piekielna i szal opętania, który tak przenikał wszystko dokoła, że Ładon tylko czekał kiedy drzewa i krzaki, stojące przy drodze, jak czarne potwory, wezmą się za ręce i puszcza się w dziki, zawrotny taniec.

Jechał wąską, stromą ścieżyną, gdy na zakręcie jej nagle ukazał się dziad ślepy, z gęsłą, i wzięwszy za uzdę jego konia, spytał cicho:

— Czyś ty Mściwój?

— Tak, odrzekł Ładon szeptem, by głos go nie zdradził.

— Kneź Mszczuj i inni czekają cię na uroczysku, rzekł dziad i zniknął między drzewami.

Ładon jechał, myśląc nad tem, gdzie się znajduje owo uroczysko; zapewne w stronie gdzie świeci ów ogień tajemniczy, przy nim to poganie i kneź Mszczuj zgromadzali się zapewne na nocne jakieś obrzędy.

Oto ogień coraz więcej się przybliża; słyhać nawet jakiś śpiew przeciągły a smutny, który tonie, to znów głośno rozbrzmiewa wśród ciszy nocnej, jednostajnie i ponuro.

Ujrzał wreszcie obszerną przestrzeń, wolną od lasu, tak zwane gołoborze, zasypane złomami skał, wśród których miejscami tylko wznosiły się kępy sosen i świerków. Ogromne głazy, porośnięte mchem, sterczały groźnie w świetle miesiąca niby cmentarze jakichś wymarłych dawno plemion, niby grobowiska olbrzymów, niegdys świat zaludniających.

Ładon jechał dalej. Mijał głazy, krzaki, drzewa; wreszcie w jednym miejscu ujrzał zdala wielkie koło, utworzone z olbrzymich kamieni, w pośrodku którego palił się obfity ogień, przy tem płomieniu poruszały się jakieś postacie, których jeszcze rozróżnić nie mógł.

Ładon zsiadł z konia, a pozostawiwszy go pomiędzy skałami, przybliżył się cicho, kryjąc się za krzakami jałowcu, i za odłamami kamieni.

Dokoła ogniska, wzięwszy się za ręce, płaśało kilkanaście bab starych z rozwianym siwym włosem. Trzech dziadów gęsłarzy siedziało pod drzewem uderzając w struny gęsli i śpiewając jakąś pieśń pogańską. Obok stał kamień ofiarny, a na nim trójnóg.

Wiedźmy obracały się dokoła płomienia, w szalonych podskokach, wydając od czasu do czasu dzikie okrzyki, rozlegające się daleko po lesie.

Dalej zaś, na kilkunastu kamieniach, ułożonych w półkole, siedzieli znaczniejsi z pomiędzy pogan; siwobrodzi starce, bo młodzi dawno już odstąpili starej wiary.

Ładon ujrzał tam i sędziwego Zaboja, ojca Przemkowego.

Reszta obecnych stała w cieniu, padającym od wielkich kamieni i nie mógł rozróżnić ich twarzy, widział tylko, że ich było dużo; widocznie poganie z całej okolicy zgromadzili się tu na nocne obchody.

Wiedźmy zaprzestały wreszcie swego wściekłego tańca, a na ich miejsce zbliżyła się gromada poważnych starców. Głosy ich rozlegały się w ciszy nocnej; śpiewali pieśń o nucie wolnej i smutnej, tak smutnej, jak niebo czarnymi chmurami zasnutę.

Ładon przysłuchiwał się śpiewowi, który mimowiednie przeniknął go jakimś smętnem, żalonym uczuciem, było to jakby ostatnia skarga upadającego bezsilnie pogaństwa, jedynie jeszcze przez starców podtrzymywanego.

Na gruzach dziś zburzonych świątyń stoimy
I patrzym w dal — i patrzym, azali
Nie wstanie witeż i nieczem ze stali,
Nie pomści się za srom.

O Nya wielka, bogini zniszczenia,
Pocoś bezsilnych starców oszczędziła,
Aby patrzyli jak wszystko się zmienia
Gdy zapanował tu niemiecki bóg?

Wilk, gdy mu dzieci zabierze wróg srogi,
Po śladach zbójcę dzieci swych wytropi,
Nam, kiedy przemoc odebrała bogi,
Pozostał tylko grób!

Lecz wy, nieszczęśni, co chramy niszczyście,
Dla was świętego już nic nie zostało,
Wy nawet ojców mogli zburzyćcie,
By na nich stanął krzyż!

Potem jeden ze starców, odziany w długą, białą szatę lnianą, i podpierający się na wysokiej lasce, zakrzywionej u góry, widocznie kapłan ofiarnik, zbliżył się do kamienia z trójnogiem.

Dwóch ludzi przyniosło związane jagnię, przeznaczone na ofiarę; położono je na kamieniu i kapłan zakrzywionym nożem, zadał mu cios śmiertelny.

Lecz gdy począł oglądać wnętrze ofiary, z których robiono dobre lub złe przepowiednie, zawołał nagle z wyrazem przerażenia:

— Złe znaki, krew płynie czarna jak noc, jakieś wrogie oczy patrzą na naszą ofiarę!

A po chwili zawołał grobowym głosem:

— Wróg jest wpośród nas!

Zrobiło się zamieszanie tłum skupił się dokoła kamienia, strwożony; rzucono się wreszcie w różne strony, szukając nieprzyjaciela, którego obecność zepsuła ofiarę. Każdy spoglądał na drugiego z nieufnością, podejrzewając się nawzajem.

Ale wkrótce rozległy się dzikie okrzyki wpośród skał:

— Jest, jest, pojaliśmy go! Nie ujdzie nam teraz, szpieg przeklęty!

Wszystkie oczy zwróciły się na pojmanego Ładona, którego wtrącono w środek koła. Widział dokoła siebie twarze groźne i oczy dziko świecące. Z pośród gromady ludu wyszedł człowiek i przystąpił do niego. Poznał w nim Masława i został przezeń poznany.

— Znów on! — zawołał Masław, zajrzawszy mu w oczy. — Czyś zmartwychwstał? Jaki bies stawia cię wiecznie na mej drodze?

A potem obrócił się do siedzących na kamieniu starców:

— On jest z dworu Bolesława, który go zapewne przyśłał, by nas szpiegował. Trzeci raz już spotykam go na mej drodze i żądam, by śmiercią był ukarany.

— Tak, tak — zawołali inni — sąd nad nim zrobić!

Powstał gwar niezmierny, zewsząd rozlegały się okrzyki i przekleństwa.

Po nad to wszystko dał się słyszeć spokojny głos pojmanego:

— Nie macie prawa mię sądzić, bo tylko król jeden posiada prawo sądu nad rycerzami ze swego orszaku!

Lecz odpowiedział mu tylko szyderczy śmiech Masława.

— Kneź Mszczuj, jako najstarszy, niech rozstrzygnie, czy mamy go zabić bogom na ofiarę, czy też uwięzić tylko? — ozwał się jeden ze starców.

— Co tu sądzić? — zawołał dziko Masław — złowiliśmy go, gdy nas szpiegował, a więc pod noż z nim! Nie potrzebujemy czekać sądu knezia!

Tymczasem ostrożniejsi mówili:

— Nie można go zabijać; król srodze by się pomścił za śmierć swego rycerza! On o nich dba, jak o oko w głowie!

— A jeśli nas wyda? — odpowiadali inni.

— Pod noż go, pod noż ofiarny! — rozlegały się głosy.

Dokoła stali drwale z puszczy, wszystko ludzie olbrzymiego wzrostu, obrośnięci, o dzikim wejrzaniu, odziani w skóry; byli oni oddani Masławowi, wszyscy też domagali się śmierci jeńca.

Starcy jednak składający radę, jeszcze się wahali, bali się zemsty króla.

— Słuchajcie mię! — ozwał się nagle Masław — powiem wam gadkę: Razu jednego człowiek znalazł gniazdo czajki i chciał jej i jej pisklętom poukręcać głowy. Lecz czajka zaczęła się prosić: „Zlituj się człeczce, nie zabijaj nas,

jam ci nic złego nie zrobiła!” Człowiek zlitował się i został czajką w spokoju. Ale zdarzyło się, że wróg najechał krainę; człowiek musiał, jak wilk chronić się w łozie. Jednego dnia, kiedy tam siedział ukryty, nieprzyjaciół przechodził w pobliżu. Otóż czajka zaczęła zataczać koła nad łożą, gdzie się zbieg ukrył, wydając żalosne krzyki. Wróg wówczas zawołał.

„On jest tam!” poszedł i zabił człowieka. — Skończyłem.

— Masław dobrze mówi — ozwali się niektórzy — jeśli ma nas wydać, raczej go zabijmy!

— A wy jak powiadacie, kneziu Mszczuju? — ozwał się jeden z rady do starca, siedzącego w środku półkola. Śmierć czy życie.

Śmierć! — odrzekł twardo kneź Mszczuj.

— Śmierć — wyrzekł również brat jego, kneź Odylon i inni.

Obaj kneziowie bracia siedzieli w pośrodku koła obradnego i obaj byli siwymi starcami, na pierwszy rzut oka zupełnie do siebie podobni. Lecz kto się im bliżej przyjrzał, dostrzegł pomiędzy nimi różnicę znaczną. Kneź Mszczuj, choć starszy o lat parę, trzymał się prosto, był wysoki i silny, wzrok miał ostry a na obliczu jego malowała się kamienna surowość. Długa, biała broda spadała mu na pierś szeroką i obrośniętą, czoło wysokie, obnażone już z włosów, jeszcze się wyższym zdawało, rysy, jak z granitu wykute, nigdy prawie nie rozjaśniały się i nie zmieniały swego groźnego wyrazu; jego ściągnięcie brwi było strasznym. Zowano go pospolicie: Kneź-wilk, a sławnym był ze swej srogości. Brat jego, Odylon, bardziej był pochylony ku ziemi, nieszczęścia nadały obliczu jego wyraz ponurego bólu, a przytem jakiegoś zniechęcenia. Gdy graf Gero wymordował na uczcie trzydziestu książąt słowiańskich, padli tam także wszyscy trzej synowie Odylona, wraz z dwoma starszymi synami knezia Mszczuja. Od tej pory choć już upłynęło lat wiele, nie nie mogło pocieszyć knezia Odylona i był jak dąb, któremu obrabano konary. Siwe włosy spadały mu na czoło, poorane głębokimi zmarszczkami, a oczy błędziły często gdzieś daleko, jakby myśląc uciekał w ubiegłe, szczęśliwsze czasy. Tacy byli obaj kneziowie: Mszczuj i Odylon.

(d. c. n.)

STRASZNY WYŚCIG.

Cykliści europejscy narzekają nieraz, że psy wioskowe wypadają na nich i kasaają boleśnie, choć niezbyt niebezpiecznie. Jakże się muszą śmiać z tych narzekań odważni cykliści afrykańscy, którym nie tak niewinne grożą spotkania.

Jeden z mieszkańców Kaplandu, zapalony cyklista, oddalił się o kilkanaście kilometrów od swojej osady i niespodzianie ujrzał dwa lwy i lwicę, goniące za nim.

— „Włosy stanęły mi na głowie” — opowiadał potem — zawróciłem natychmiast i puściłem się w drogę powrotną, a te trzy olbrzymie bestye w podskokach sunęły za mną.

Nieraz brałem udział w wyścigach, ale, możecie mi wierzyć, że nigdy mi tak nie szło o wygraną, jak w tym strasznym wyścigu, w którym chodziło o moją skórę. Szczęściem znalazłem już dobrze tę powrotną drogę i wiedziałem, gdzie są najlepsze ścieżki. Lwy goniły mnie zajadłe, ale nie z takim zapalem, jak pieszego lub konnego jeźdźca. Snać dziwił ich i straszyl trochę niezwykle widok roweru.

O kilkaset kroków od osady lwy się zatrzymały, a ja wyczerpany, zaledwie zdołałem ostrzedz sąsiadów o tych groźnych wrogach. Z łaski Boskiej starczyło mi sił i żaden przypadek nie naraził na wyrócenie się, ale wyścigu tego nie zapomnę aż do śmierci.”

ZE ŚWIATA.

Balonem przez Saharę. — Za Andréem. — Wpływ muzyki na zwierzęta.

Trzech oficerów armii francuskiej, mianowicie: porucznik Hurst, dyplomowany żeglarz powietrzny Leon Dex i oficer inżynierii Dibos, przedstawili radzie miasta Paryża projekt przelecenia balonem ponad pustynią Sahary. Miejscem wlotu ma być przystań Gabu, a dopiero nad brzegami Nigru balon miałby spuścić się na ziemię. Śmiały areonauca liczą, że więcej stale w tej części Afryki wiatr północny, ułatwi przeprawę. Balon nazywa się „Leon Dex” i ma objętości około 13,000 kubicznych metrów. Czas żeglugi napowietrznej obrachowany jest na 40 do 60 dni.

Znany podróżnik po lodowatych morzach północy, Sievert-Bråkmoe, puścił się w tych dniach w drogę na statku swym „Nora” z przystani na Szpitzbergu, dla odszukania Andreego, o którym mimo żywego zajęcia ogółu, dotychczas żadna nie nadeszła wiadomość, i bodaj uzasadnioną jest obawa, że nieustraszony żeglarz napowietrzny, który zamierzał dotrzeć aż do samego bieguna, uleść musiał w tej podróży jakiemuś nieszczęściu.

W Anglii robiono doświadczenie, aby się przekonać, jak oddziaływają dźwięki muzyki na dzikie zwierzęta. Wybrano do prób: skrzypce, piszczałkę i flet. Skrzypce podobną się wszystkim zwierzętom bez wyjątku: odwracały one głowę w kierunku, skąd pochodziły tony; lew wymachiwał ogonem, lwica krążyła po klatce, biały niedźwiedź siadał na tylnych łapach i mruczał z widocznym zadowoleniem; nawet węże poruszały w takt głowami i syczały radośnie; tygrys przysłuchiwał się, podniósłszy łapę do góry. Natomiast dźwięk piszczałki doprowadził wszystkie zwierzęta do wściekłości. Słoń stulił uszy i odszedł jak mógł najdalej; struś trzepotał skrzydłami i chciał uciekać; tygrys chłostał ziemię ogonem: węże wily się jak w bólach. Lecz tony fletu uspokoiły odrazu to ogólne wzburzenie. Zupełną obojętność na muzykę objawiły tylko tarantule, żółwie i okularniki. Wszystkie inne zwierzęta okazywały niesłychaną wrażliwość na dźwięki fałszywe. Gdy struna w skrzypcach pękła, wilk podłożył ogon pod siebie, skulił się i ukrył w najdalszym kącie klatki.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Sto lat temu nad Nilem (z ryc.) — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej ryby,” opisał H. C. — Ś. p. książd Franciszek Krupiński (z portretem). — Noc sierpniowa. — Obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — Straszny wyścig (z ryc.) — Ze świata. Dodatek: Kurczę i lis, wiersz przez Adama Pługa (z ryc.) — Pożyteczni przez Zofię Ziemborską. — Dług wdzięczności przez Zofię Rudnicką. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

WIECZORY RODZINNE

KURCZĘ I LIS.

Raz nierozważne jedno kurczę małe,
Od sióstr i braci swych stadka
Odbiegło w pole, nie bacząc zuchwale,
Że mu zabraniała matka.
Nawet mu wcale nie powstało w głowie,
Co ona biedna uczuje, co powie,
Gdy go wśród innej dziatwy nie zobaczy?
A ta nieboga biegając w rozpacz,
Całe podwórko napełniała krzykiem:
— O ja nieszczęsna! jak się z lisem spotka...
Lub innym zwierzęciem dzikiem,
To marnie zginie luba ma pieszczotka!..
Jakoż istotnie lis mu zaszedł drogę.
— A! witam, witam! — rzecze ucieszony,
Jakżem szczęśliwy, że cię widzieć mogę!
Co za pomyślny wiatr przywiódł w te strony,
Ciebie, moje ty kochanie?
— Czas taki śliczny! więc mimo gđkanie
Upartej matki, co mię ciągle trzyma
W nudnym kurniku, — tu, za jej oczyma,
Wybiegłem sobie poigrać na pole;
Bo chcę mieć własną swą wolę! —
— Ja też cię za to całym sercem chwale,
Gdyż dziś bez ciebie byłbym nie jadł wcale, —
Rzekł wilk i kurczę, co żałośnie kwili,
Schrupał smacznie w tejże chwili.

Adam Pług.



POŻYTECZNI.

Czy znacie dzieci państwa R? Jeśli nie, to wielka szkoda, bo moglibyście nie jednego nauczyć się od nich. Może ich kiedy spotkacie, tymczasem zaś opowiem o nich choć trochę.

Jest ich troje: Staś, Lodka, i Marylka.

Staś, wysoki szczupły blondynek, ma ogromne zamiłowanie do geografii i wybiera się, jak dorośnie, opłynąć świat cały.

W tym celu uszył już sobie na drogę z grubego płótna pugilares i składa do niego połowę otrzymanych pieniędzy.

Oprócz tego, zbiera rozmaite kolorowe szkiełka, stare guziki, paciorki, nawet kolorowe skrawki papieru,

wszystko to bowiem chce ofiarować rozmaitym „dzikim dzieciom”, które spotka w podróży.

W domu śmieją się z tego potrosze, ale każdy przyznać musi, że uczeń z niego doskonały.

Idąca z kolei Lodka, właściwie nazywa się Leokadyą; ale że ogromnie jest żywa, że wszędzie jej pełno i w bieganiu prześcignąć się nie da, przezwano ją żartami „Lodką” i tak już chyba na całe życie zostanie.

Jest to szczupła brunetka, z krótko obciętą czuprynką, która co chwila wysuwa się uparcie z pod okrągłego grzebyka i spada Lodce na oczy. Marzy ona o nauczaniu się ogrodnictwa i na rozmaitych ziołach i warzywach zna się wcale nieźle, choć ma dopiero lat dziewięć.

Marylka, najmłodsza z rodzeństwa tej wiosny właśnie zaczęła rok siódmy. Za parę tygodni ma się zabrać do książki, tymczasem zaś robi bardzo porządnie pończochy dla babuni na imieniny.

Dzieci te nazwałam pożytecznymi, bo istotnie zasługują na to.

Po 1) lekcye swoje odbywają wzorowo, po 2) bardzo porządnie obchodzą się z ubraniami i książkami, a po 3) mają pewnie bardzo dobry zwyczaj, nie wiem nawet skąd nabyty.

Oto po lekcjach i spacerze biegają do starszych i pytają bardzo poważnie, czy niema dla nich jakiejś roboty. Nazywają to sobie „pomaganiem starszym” i tak się już przyzwyczyły, że jednego dnia w zajęciach tych nie chybą.

— Moja mamusiu — mówi Staś — ja się uczyłem dla siebie, spacerowałem także dla siebie, a teraz chciałbym co dla mamusi zrobić... i ja... i ja — dodają dziewczynki.

Zawsze też znajduje się jakieś zajęcie, którem naprawdę mali robotnicy przynoszą starszym prawdziwy pożytek.

Lodka np. miała zawsze kawę, a stara nianka, która to dawniej robiła, uprzedzie tymczasem jedno pasmo więcej ciepłej wełny na domowy użytek; ona też podlewa kwiatki, a służąca, mająca to zrobić, ceruje tymczasem pończochy. Lodka przyszywa oderwane guziki — a mama robi za to inną pożyteczną robotę, lub odpoczywa nieco po pracy. I tak codziennie nieznanie, jakąś niewielką na razie załatwiają robotę, przysługuje się nią naprawdę.

Staś znowu zszywa ojcu gospodarskie kwity, czytuje dziadzi gazety, klei mamie formy i torebki, a nawet robi znakomite siatki na sery i gomółki.

I Marylka, choć mała, nie daje się wyprzedzić. Trzyma babuni motki z bawełną, ściera kurze w szkolnym pokoju, zbiera w pudełko okruszynki dla wróbelków, układa pisma, gazety i t. d.

I tak wszystko troje spełniają codziennie te drobne a potrzebne posługi domowe; weszło już w użycie odkładanie ich dla dzieci.

Czyż więc nie słusznie Stasia, Lodkę i Marylkę nazwałam pożytecznymi?...

Z dnia na dzień, z roku na rok wzrastając w siły i wprawę, wykonywać będą coraz ważniejsze prace i z pożytecznych dzieci, wyrosną z czasem na pożytecznych ludzi.

Chciałabym bardzo, byście je kiedy poznali, a tymczasem choć trochę naśladować je zaczęli. Czy dobrze?

Zofia Ziemborska.

DŁUG Wdzięczności

przez

Zofię Rudnicką.

(Dalszy ciąg)

Rycerskie to było dziecię, ten Janek Sęp; opowiadania bojów przenosił nad wszelkie inne opowieści, a najmilsze zabawy jego były to turnieje, bitwy i szturm do warowni i fortec.

Zbierał rówieśników swoich, synów dworzan i sług zamkowych, ustawiał, jak wojsko, losami ciągnął, którzy będą przedstawiali swoich, a którzy Turków, lub Tatarów. Zdobywał zamki, warownie, lub bronił takowych, a były nie mi krzaki i drzewa w ogrodzie.

Wśród takich to opowiadań i zabaw wzrastał ten rycerski chłopiec. Dziadek, patrząc na to pacholę rozmiłowane w żołnierskich zabawach, często miał łzę w oku a nie zgadywał nikt, że jeszcze w dzieciennych latach czeka Janka ciężka przygoda, która wiele, wiele łez i bólu będzie kosztowała tych, dla których był jedynym ukończeniem na ziemi...

Tymczasem chłopiec uczył się także wielu nauk, wreszcie i jazdy konnej, pod okiem starego i zaufanego dworzanina imię pana Jakóba Rogali.

Z jakąż przyjemnością pod okiem i w towarzystwie jego, bujał po szerokich stepach podolskich!...

* * *

Czas biegł szybko i Janek rósł i rozwijał się bujnie. Coraz dzielniejsze dosiadał konie, ojcowską szablę podnosił już bez pomocy dziadka, który, jakby siłę swoją oddawał wnukowi, sam tracił ją z dniem każdym i pochylał się coraz bardziej. Janek Sęp miał już wreszcie skończonych lat dwanaście.

Zawitała wiosna wczesna i ciepła. Wody ze stopionych śniegów spłynęły już do stawów i rzek — step się zazielenił i gdzieniegdzie umiał już nawet pierwszym kwieciami. Ptaszki rade ciepłym promieniom słonecznym śpiewały wesoło po sadach i ogrodach, pszczoły i rozliczne skrzydlate muszki, rozpościerały zmartwiałe zimnem skrzydła i brzęcząc wylatywały ochotnie ze swoich zimowych kryjówek. Cała przyroda, zbudzona ze snu zimowego, radowała się życiem, ciepłem i wiosną.

Janek także szczęśliwy i wesół, jak ptak na swobodzie, oddawał się z radością ulubionej rozrywce, konnej jeździe. Nie było dla niego większej radości jak dosiąść rączego konia i w towarzystwie pana Jakóba wyjeżdżać w step, a zapuszczać się jak można najdalej. Nierzadko pół dnia minęło, nim pan Jakób namówił wychowanka swego do powrotu do domu. Matka czasem gładząc pieśczołtliwie bujne, jasne jego włosy, robiła synowi wymówki za to upodobanie w zbyt dalekich wycieczkach.

— Mój Janku, ty nie wiesz jak ja się nieraz niepokoję, gdy ciebie długo nie ma z powrotem ze stepu, jakież mi smutne myśli snują się po głowie!

— Dlaczego, mateczko? — zapytywał — patrząc matce w oczy, wszak pod opieką pana Jakóba nic złego stać mi się nie może.

— Zapewne moje dziecko, ale my tu mieszkamy na rubieży kraju, tak często słyszymy, że jakiś oddział Tatarów wpadł nocą na step, uprowadził bydło i konie z pastwiska, nie rzadko i ludzi pilnujących, i nikt ich nawet nie widział, w którą stronę umknęli.

— Ach, jak jabym chciał zobaczyć kiedyś Tatarów — zawołał chłopczyzna — i oczy zabłyśły mu ciekawością.

— Niebaczne dziecię — zgromiła go matka — nie zastanowiłeś się nad tem coś wyrzekł... każde pojawienie się Tatarów prowadzi za sobą szkodę wyrządzoną ludziom, rozlew krwi... jasyr...

Janek ucałował rękę matki w pokorze, ale wyjeżdżając tego dnia na zwykłą wycieczkę konną z panem Jakóbem, rzekł mu:

— Ach, takbym chciał kiedyś zajrzeć Tatarom w oczy...

Pan Jakób uśmiechnął się pod wąsem i szepnął:

— Rycerskie dziecię, nieodrodny syn swego ojca, już w dzieciństwie zachciewa mu się harców z Tatarami.

Raz, podczas takiej wycieczki konnej spełniło się życzenie Janka: zobaczył Tatarów, a nawet dwóch — wprawdzie tylko uciekających, ale zawsze była to radość dla niego wielka. Niespodziewanie nadjechali na nich blisko nawet bardzo. Spostrzegli zdala, że w jednym miejscu, bujne trawy pochylają się i falują jak gdyby z dołu czemś poruszane; zaciekawieni, chcieli się przekonać coby to było, pocisnęli konie i zbliżyli się pędem. Wtem, w jednej chwili, z traw tych wysokich, wysunęło się dwóch jeźdźców, widocznie poprzednio czatujących na coś. A tak byli blisko, że Janek dojrzał wzrok ich dziłki, którym go obrzucili i jego ślicznego wierzchowca, i jak wiatr pomknęli stepem w kierunku Dniestru. Janek chciał koniecznie ścigać ich, ale rozważny i doświadczony pan Jakób nie pozwolił na to, utrzymując, że to może być zasadzka, w którą ci dwaj wprowadzić ich pragną. Z wielkim żalem Janka powócili do domu, zostawiając w spokoju uciekających Tatarów.

Od tej pory pan Jakób, wyjeżdżając konno z Jankiem, brał pistolety w olstry i kindżał turecki, dar pana starosty, wsuwał za pas.

Zaledwie w tydzień, od dnia gdy widziano Tatarów owych, stało się straszne nieszczęście!...

Jak zwykle wyjechał pan Jakób z Jankiem na ulubiony spacer. Zapuscili się dość daleko w step, i właśnie, gdy pan Jakób naglił już do powrotu chcącego pobujać jeszcze trochę młodzieniaszka, z niedalekich zarośli w jednym mgnieniu oka, wysunęło się kilkunastu Tatarów na koniach.

Janek chciał natrzeć koniem na nich, lecz pan Jakób przerażony, chwycił jego rumaka za lejce i silnym szarpnięciem cofnął go wstecz, zasłaniając chłopca sobą.

Tym razem Tatarzy nie myśleli o ucieczce, lecz śmiało i szybko zwrócili się na naszych jeźdźców. O odwrocie mowy nie było, w jednej chwili otoczyli ich kołem, i choć pan Jakób celnymi strzałami z pistoletów powalił dwóch z konia, a kindżałem ranił kilku naciera-

jących na niego, otoczony był tak przeważającą siłą, że pomimo rozpaczliwej obrony, pomimo cudów waleczności, obronić Janka nie mógł! W chwili, gdy on sam ciężty pałaszem przez głowę, zwałił się z konia na ziemię, Janek, związany i skrępowany tak silnie, że ani ręką ani nogą ruszyć nie mógł, leżał już na koniu Tatarzyna.

Rozpacz biednego chłopca była nie do opisania. Widok leżącego we krwi pana Jakóba, do którego bardzo był przywiązany, wyrwał mu z piersi krzyk rozpaczliwego bólu! Tatar, trzymając go na siodle przed sobą, silnym uderzeniem w głowę zmusił do milczenia, pociemniało mu w oczach i na chwilę nie wiedział co się z nim dzieje... A Tatarzy tymczasem swoich zabitych zabrali na konie, wierzchowce Janka i pana Jakóba związali lejcami i przymocowali do swoich, potem pomknęli w cwał przez step.

Kiedy biedny Janek, pieszczony jedynak, przyszedłszy do przytomności, zrozumiał, że jest uprowadzony przez Tatarów, i że skoro pan Jakób zabity został, nikt nawet nie doniesie do domu, co się z nim stało, nikt przyjsć mu w pomoc nie może, że... że... czeka go straszny jasyr tatarski.

— Biedny dziadek! Och, nieszczęśliwa matka! przysły mu teraz jej słowa na myśl... i wszystko co kiedy słyszał o niewoli tatarskiej, błyskawicą przesunęło mu się przez głowę... więzy, głód, praca nad siły, garść zgniłej stomy na postanie, bezlitośni i srodzy stróże... Zakreśliło mu się w głowie, pociemniało w oczach, bezwładny pochylił się z konia. Tatar szarpnął silnie za sznur, którym był związany, i nieszczęśliwy Janek uczył ból dotkliwy, lecz nie jęknął nawet, tylko wyprostował się, Tatarzy lecieli jak wiatr. Nie obawiali się pościgu, lecz chcieli dopaść jak najprędzej brzegów Dniestru, przeprawić się i czuć się bezpieczni ze swoją zdobyczą.

* * *

W tym czasie, gdy Janka uwożą Tatarzy, na zamku pana starosty oczekują spokojnie powrotu jego z panem Jakóbem z dalekiej przejażdżki. Lecz gdy do południa nie wrócili, gdy minęła godzina obiadowa, a ich nie było, matka zaniepokoiła się, uprosiła dziadka, by wysłał konnego w step odszukać ich i upomnieć, że nie powinni dziadkowi i matce tak długo dać czekać na siebie. Pan starosta nie powiedział biednej matce, że już wysłał gońców, gdyż sam jest niespokojny, co tak długo wstrzymuje ich powrót. Ale gdy posłaniec nie wracał, wysłano drugiego... Już dziadek i matka nie ukrywali przed sobą miotającego nimi niepokoju!...

(d. c. n.)

SZARADA.

*Pierwsze jest zgłoską, drugie z pierwszym ku wygodzie
Służy wielu roślinom w polu i w ogrodzie,
Trzecie z czwartem na statkach w dość znacznym zapasie,
Przezorni marynarze mają w każdym czasie.
Pierwsze trzecie i czwarte, to swojska krzewina,
Co nam aż dwóch pieśniarzy naszych przypomina,
Wszystko wraz jest niesławą naznaczone imię,
Złego obywatela w starożytnym Rzymie.*

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

p. Wichurę dla czytelników Wieczorów.

Ułożyć 13 wyrazów, którychby pierwsze litery złożyły imię i nazwisko współczesnej autorki. Znaczenie wyrazów: 1) Słynna miejscowość pod Humanem. 2) Największy gwiazdozbiór. 3) Taniec hiszpański. 4) Miasto w Syberyi. 5) Bogini grecka. 6) Współczesna poetka. 7) Jezioro w Rosyi. 8) Nazwisko trzech królów pols. 9) Góry w Saksonii. 10) Drogi kamień. 11) Syn Jakóba. 12) Wyspa na morzu Śródziemnem. 13) Rzeka we Włoszech.

Sylaby: A—ar—bin—dy—dan—erz—fi—fan—fro—go—ga—ir—jów—ka—cka—ka—ko—kor—kuck—me—no—ne—no—ni—o—o—on—rion—ru—sy—sy—ta—wa—za—zo.

ŁAMIGŁÓWKA LICZBOWA.

p. A. W.



W załączonym kwadracie liczbę 22 rozłożyć w 13 kratkach w ten sposób, aby w rzędach poziomych i pionowych wypadła liczba 6, a na krzyż 4.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 34.

Zagadki: W o d a.

Wiersze przerobione z prozy.

Miłe mi burze i śnieżne zamiecie,
Miły ojczysty grom i błyskawice,
Bo świat szeroki i pięknie na świecie,
Lecz niema ziemi nad moją ziemię,

Syrokomla.

ŁamigłóWKi sylabowej:

1) Abo. 2) Lena. 3) Kama. 4) Alaryk. 5) Izaak. 6) Ohio. 7) Słowacki. 8) Waszyngton. 9) Morea. 10) Opal. 11) Tamiza. 12) Orzeł. 13) Nordcap. 14) Indyje. 15) Emanuel.

Alkaios w Motonie.

Skrzynka do listów.

Pani S. B. Nadesłaną robótkę ośmioletniej jej córeczki otrzymaliśmy. Podzielamy też w zupełności zdanie jej nie tylko odnośnie w naszczepianiu w młode serduszka dzieci miłości bezwzględnej prawdy, ale również potrzebę wyrabiania w nich poczucia samopomocy, co przy poważnych obowiązkach życia, jakie ich czeka, jest jednym z pierwszych warunków bytu. Brak bowiem woli i samodzielności daje się następnie często smutnie odczuwać. Za życiowe wyrazy dziękujemy, koszyczek jest do odebrania.

Miły liścik Szarotki zyskał odrazu sympatyę naszą dla niej, i wdzięczny jej pseudonym zapisany jest w liście stałych naszych korespondentów. Za bardzo dobry objaw uważamy, że Szarotka polubiła tak naukę i życie koleżeńskie, iż bez żadnej przykrości wraca do miasta, porzucając swobodę wiejską, bo gdy bez przymusu zabieramy się do pracy łatwiej też otrzymujemy pożądaną z niej korzyść. Braciszkwowi ze wstępnej klasy, oraz maleńkiej siostrzyczce przesyłamy pozdrowienia.

Witamy Słonia z Nubii z powrotem w Warszawie i życzymy jaknajlepszego powodzenia w nowo rozpoczynającym się niezadługo roku szkolnym. Jaskółka wkrótce odpowie. Rozwiązanie dobre.

Tadziowi W. Dopiero na tysiąc dwieście lat przed Chr. został wyrób i użytek żelaza wprowadzony z Egiptu do Grecyi, i gdy w kraju Faraonów znanym już był ten kruszec od 6 tysięcy lat, mieszkańcy Europy posługiwali się do owej pracy narzędziami z brązu. Epokę brązu poprzedza epoka kamienna, gdzie miejsce kruszczów zastępował twardy kamień, krzemieniem zwany. Wyroby krzemienne z owych zamierzchłych czasów znajdowane w wykopaliskach, widzieć możemy po muzeach archeologicznych czyli zbiorach starożytności.

Jak zawsze, tak i tym razem odczytaliśmy z rzeczywistością przyjemnością serdeczne słowa przyjaźni, z jakimi zwraca się do nas Aleksander W, a wspomnienia jego z lat wczesnego dzieciństwa i pierwszych nauk są dla nas miłym obrazem przypominającym nam również niejedną chwilę z wiele już dalszej naszej przeszłości. ŁamigłóWKi przejrzymy zasyłając tymczasem przyjazne pozdrowienia.

Podróżnikowi. Wyspa na której żył samotnie przez długie lata znany nam z powieści Robinsena Kruzoa nazywała się Juan Fernandez i leżała na Oceanie Spokojnym. Ale nasz Podróżnik nie odnajdzie już jej nigdy, bowiem w czasie nagłego wybuchu ognia wulkanicznych drobna ta ziemia, zamieszkała jedynie przez rybaków, zapadła się tak zupełnie, że śladu po niej nie zostało.

Maryni Z. Najlepszego tuszu rysunkowego dostarcza nam ciągle jeszcze przemysł chiński, który tak pilnie strzeże tajemnicy tego wyrobu, że wszelkie próby naśladowania dorównać mu nie mogą. Głównie użytym tu materiałem mają być podobno sadze, zbierane z porcelanowych kloszów, nakrywających płonące lampki w wielkim naczyniu napelnionem wodą. Przesiane i ugniecione sadze owe wraz z czystym klejem rybim i jakąś trzecią, nieznaną przymieszką, bywają gotowane i suszone po wiele razy i na rozmaite sposoby, aż ugniecione w laski, otrzymują tę twardość i połysk, a zarazem ową niezmierną podzielność, która jest główną zaletą prawdziwego tuszu chińskiego.

Nie myli się Czarny rycerz, że znany już jest chemikom sposób sztucznego otrzymania prawdziwych brylantów. Wyrób ten wszakże byłby tak kosztowny, że nie zniżyłby ceny prawdziwych drogich kamieni, zatem niema racji zastosowania go w przemyśle.

Nie dla wszystkich Anulko jesień jest smutną porą roku, posiada ona, szczególnie w kraju naszym, wiele piękna i wdzięku, ale trzeba bez uprzedzenia umieć patrzeć w około siebie.

Własnego układu łamigłóWKi przesłali nam: Orzeł karpacki, Samotnik, Julka M., Cesia i Zochna oraz Kwiat paproci; dobre zaś rozwiązanie: Marychna, Polny kwiatek, Sabinka N., Władzio R. i Pilny czytelnik.

Wyszedł z druku i sprzedaje się po rub. 1 kop. 50 z przesyłką i po rub. 1 kop. 30 bez przesyłki, dla prenumeratorów „Przeglądu Pedagogicznego” po rub. 1 kop. 20 i rub. 1.

METODYCZNY KURS NAUK

Rok I i II.

Ułożony przez J. Wł. Dawida, W. Osterloff'a i Anielę Szyg.

Zawiera: Naukę o rzeczach. Naukę czytania i pisania, arytmetykę, kaligrafię.

Wydawnictwo „Przeglądu pedagogicznego”. Skład główny w Administracji Przeglądu — ul. Hortensya N. 2.

№ 37 Rok XIX.

Dnia 29 Sierpnia (10 Września) 1898 .



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



WYLEW NILU.

Sprawozdanie z konkursu na str. 296.

STO LAT TEMU NAD NILEM.

(Dalszy ciąg).

Wiedział o tem dobrze Bonaparte, z zawiązanych poprzednio stosunków, liczył też więcej na przerażenie, jakie wywoła śmiały jego zamach i rozkaz dobrowolnego poddania się, aniżeli na sztukę wojenną, ponieważ nie miał ani czasu, ani środków do zdobywania twierdzy, uważanej zresztą do tychczas za niezdobytą.

Dla upozorowania wszakże przybycia swego, oraz szukając zaczepki, zażądał pozwolenia zabrania świeżego zapasu wody. A gdy Wielki Mistrz, Ferdynand Hompesch, żyjący w przyjaznych stosunkach z Anglią, wprost odmówił żądaniu, Bonaparte oczywiście uznał to za dowód niezychliwości i niezwłocznie rozkazał wysiąć wojsku na ląd, aby opasać Lavalettę, jedną z najwarowniejszych twierdz Europejskich, liczącą blisko 30,000 ludności.

Kawalerowie poczęli się bronić, lecz bardzo nieudolnie, a w przedsięwziętej wycieczce znaczna ich liczba dostała się do niewoli, podczas gdy wielu rycerzy francuskiego pochodzenia oświadczyło, iż przeciw współziomkom bić się nie będą.

Tak więc niebawem Wielki mistrz ujrzał się zmuszonym do traktowania o pokój, który też wkrótce zawarty został.

Kawalerowie zrzekli się zwierzchnictwa nad Maltą na rzecz Francji. ta zaś w zamian obiecała im swe poparcie na kongresie w Rastad, oraz zobowiązała się wypłacić 60,000 franków i dożywnie pensje rycerzom.

Zaprawdę, potrzeba było śmiałości Bonapartego, aby odważyć się na stracenie tu kilku dni, mając za sobą pogoń Anglików, i potrzeba było nadto jego szczęścia, aby prawie bez bitwy zyskać tak ważną pozycję.

To też generał Caffarelli równie dowcipny, jak waleczny, podziwiając fortyfikacje warowni rzekł:

— Szczęście nasze, że był ktoś w tej twierdzy, by mógł otworzyć jej bramy

Zostawiwszy generała Vaubois i wydawszy odpowiednie rozporządzenia administracyjne, pospieszył naczelny wódz pod żagle, by conajprędzej osiągnąć brzegów Egiptu, bez spotkania Anglików.

Pomimo, że przez cały czas przeprawy eskadra francuska trzymała się w pogotowiu do bitwy, wesołość panowała wśród wojska.

Przyjętym od początku wyprawy zwyczajem uczeni i generałowie, będący na pokładzie okrętu „Orient”, zbierali się u naczelnego wodza na wspólne rozprawy, których obecnie wyłącznym prawie przedmiotem był bogaty kraj Nilu.

Tymczasem Nelson po naprawie czterech swych statków, otrzymał jeszcze z Anglii posiłki z dziewięciu liniowych okrętów i licznych fregat, więc dnia 18go czerwca wrócił pod Tulon, gdzie nie zastawszy już eskadry francuskiej, pospieszył do Neapolu. Tu stanął 20go czerwca równocześnie, kiedy Bonaparte opuszczał już Maltę. Zasięgnąwszy wiadomości, że Francuzi pokazali się w okolicy tej wyspy, płynął tym kierunkiem i była chwila, w której eskadra angielska mijająca tylko o mil kilka ogromną eskadrę francuską, choć obie strony nie wiedziały o tem.

Wreszcie Nelson zaczął się domyslać, że Francuzi pociągali ku Egiptowi, zwrócił się więc do Aleksandryi i tam ich uprzedził. Nie znalazłszy nikogo popłynął ku Dardanelom, podczas, gdy szczęśliwym wypadkiem w trzy dni dopiero potem, t. j. dnia 1go lipca wyprawa francuska stanęła pod Aleksandryą.

II

Skreśliśmy wkrótce ówczesne położenie Egiptu, kiedy jeszcze między morze Suez nie było przecięte kanałem.

Starodawny Egipt, ciągnący się równolegle do morza

Czerwonego, składa się, jak wiemy, z urodzajnej doliny zaledwie na 6 mil franc. szerokiej, a dłuższej na 200. którą przerywa wzdłuż wstęga Nilu, a z jednej i z drugiej strony, otacza ocean piasków, wśród którego bezmiarów, niby wyspy, zielenią się gdzie niegdzie oazy.

Z siedmiu przytaczanych w starożytności ujść Nilu, dwa tylko były spławne w tym czasie, obejmując trójkąt ziemi zwany Delta.

Jest to najurodzajniejsza część kraju, dzięki obfitemu nawodnieniu, a zowią ją jeszcze Egiptem Dolnym albo Bahirech. Głównem miastem jest Kair, będący zarazem stolicą całego kraju.

Więcej peryodycznie wiatr od strony morza zabiera wszelką wilgoć powietrza, która dopiero w górach Abisynii gromadzi się w chmury i spada tam ulewnymi deszczami.

Te to właśnie deszcze wywołują następnie słynne wylewy Nilu, który zalewa całą dolinę Egiptu i jest dlań prawdziwym dobrodziejstwem.

Namiesiony bowiem przez wodę muł użyznia w nieporównany sposób ziemię, która staje się urodzajną, gdzie tylko wody dosięgną. Tak więc słusznie rzec można, iż Nil i pustynia wiodą odwieczny spór o Egipt.

Gdy we wrześniu wylew opada, zaczynają się prace około roli i w następnych miesiącach, aż do lutego, Egipt przedstawia widok czarujący bujnością pól.

Wtenczas też, jakoby floty z obu stron pustyni przybywają do Kairu liczne karawany, przywożąc z Syrii, Arabii, z głębi Afryki i Berberji wszystko, co jest właściwym tym krainom słońca. I Kair staje się wspaniałym składem najpiękniejszych płodów kuli ziemskiej.

Ludność Egiptu, jest podobnie, jak zwaliska zalegających go grodów, zbiorem szczątków rozmaitych narodów. A zatem więc: Koptowie najdawniejsi jego mieszkańcy; Arabowie, zdobywcy na Koptach Turcy, zdobywcy na Arabach; wszyscy zaś żyli tam wówczas nędznie, nie umiejąc korzystać z warunków miejscowych.

W chwili nadejścia armii Bonapartego, Koptowie w liczbie zaledwie 200 tu tysięcy zostawali w pogardzie u wszystkich. Arabowie, tworząc liczną przewagę popodzieleni byli na stany... Pierwszą stanowili właściciele obszernych ziem, znani pod nazwą szeków; byli oni razem nauczycielami i kapłanami; drugą — liczni, mniejsi właściciele; trzecią — biedne pospólstwo, niby chłopstwo najemne pracujące na roli; nakoniec oddzielnie zupełnie żyjący Beduii, dzicy synowie pustyni, którzy na koniach lub wielbłądach, kryjąc się po oazach, żyli przeważnie z rozboju.

Lecz właściwymi panami Egiptu byli Turcy, ostateczni zdobywcy kraju, wraz z paszą przedstawicielem władzy sułtańskiej z Konstantynopola. Pasza jednak otoczony nieliczną garstką janczarów, widział niktąca swą władzę wobec wszechwładnego wojska Mameluków, których sułtan postawił tu na straży praw swoich, a którzy ufni w swą siłę rządzą krajem, nie dbając o paszę.

Jako potomkowie najdzielniejszych synów gór Kaukaskich, Mameluci byli najzręczniejszymi i najodważniejszymi jeźdźcami w Turcji całej.

Wliczono 12 tysięcy, ulegali tu władzy 24 bejów, którzy nakładali dowolnie podatki. Od czasu do czasu jeden z bejów brał górę nad innymi.

W owym czasie było dwóch bejów, panujących wszechwładnie: bogaty, chytry i możny Ibrahim-Bej, a obok niego nieustraszony, waleczny, pełen zapалу Murad-Bej. Pierwszy rządził krajem, drugi zajmował się sprawami wojennymi.

Otrzymałszy od konsula francuskiego zapewnienie, że Anglicy opuścili przed trzema dniami Aleksandryę, naczelny wódz postanowił korzystać z chwili i wyładować natychmiast.

Napróżno Brueys starał się go powstrzymać do dnia następnego

— Nie mamy czasu do stracenia — odrzekł. — Los daje mi tę chwilę, jeśli z niej nie skorzystam, jesteśmy zgubieni.

Ze jednak forteca bronić się zamierzała, i okręty nie mogły wejść do portu, przeto Bonaparte wydaje rozkaz zatrzymania się przy sąsiednich piaskach, w małej przystani zwanej Marabut, i chociaż pod wieczór straszna podniosła się burza, pierwszy wsiada do szalupy.

Wierni żołnierze domagają się towarzyszyć swemu generałowi i spuszczać na morze liczne szalupy mimo, że grozi im co chwila zdruzgotanie wśród wzburzonych bałwanów.

Nareszcie po wielu niebezpieczeństwach przybija o 1-ej godzinie w nocy do brzegu, w oddaleniu 4 mil od Aleksandryi, 5 tysięcy żołnierza, z którymi Bonaparte natychmiast podąża pod twierdzę, by co prędzej zaskoczyć nieprzygotowanych do obrony Turków.

Choć w przemokniętym na wskroś ubraniu wódz nie chce go zmienić, odpowiadając na przedstawienia czynione przez troskliwych oficerów.

— Czy moglibyście dać suche mundury wszystkim tym dzielny? A więc ja nie jestem z innego ciała i należy mi ponosić na równi z nimi wszelkie trudy i niebezpieczeństwa!...

Ponieważ nie wysadzono na ląd ani jednego konia, przeto zarówno sztab, jak Bonaparte, a nawet gen. Caffareli bez względu na drewnianą nogę, szli piechotą po głębokich piaskach, dając swą wytrzymałością przykład żołnierzom.

Z brzaskiem dnia stanęli pod murami Aleksandryi, spotkawszy na piaszczystej płaszczyźnie garstkę jeźdźców arabskich, którzy po kilku wystrzałach karabinowych zniknęli w pustyni.

Naczelną wódz podzielił żołnierzy na 3 kolumny. Bon z pierwszą szedł ku bramie Rozetty, Kleber w środku do bramy kolumny, na lewo zaś ku bramie katakumb posuwał się Menou.

Pierwszy to raz od czasu wojen krzyżowych miały się znów na lądzie afrykańskim spotkać w wojennych zapasach ludy Wschodu i Zachodu.

(d. c. n.)

W OBŁOKACH I POD WODĄ

WYPRAWY „LATAJĄCEJ RYBY.”

opisał H. C.

(Ciąg dalszy).

Teraz przejdźmy do sąsiedniej sali; uprzedzam tylko, że drzwi starannie za sobą zamykać trzeba.

To rzekłszy, profesor wprowadził towarzyszy do niezbyt wielkiego pokoju, gdzie paliła się lampa elektryczna, opatrzona niezwykle grubym szkłem.

— Stąd — objaśniał profesor — udawać się będziemy na nasze podwodne wycieczki, najprzód otworzymy kłapę i wypełnimy pokój wodą, a potem przez te drzwi u spodu spuścimy się na dno morza.

To rzekłszy, Karliński otworzył owe drzwi, ale zamiast na dnie oceanu, podróżni znaleźli się na stałym gruncie podwórza fabrycznego.

Idąc z powrotem do okrętu, posłyszeli pomieszane głosy robotników i huk młotów; byli to cieśle zdejmujący rusztowania, jakie zasłaniały statek od strony rzeki, aby ułatwić jego spuszczenie na wodę. Jednocześnie z wnętrza okrętu rozległ się donośny głos dzwonu.

— W samą porę! — zawołał profesor, zacierając ręce z zadowoleniem — bom głodny a więc zły jak prawdziwy Polak! Dzwon ten powołuje nas na pierwszy obiad z rzędu tych, które, mam nadzieję, z dobrym apetytem i wesołem usposobieniu razem spożywać będziemy w podróży.

IV.

Początek nadzwyczajnej podróży.

Doszedłszy do szczytu kręconych schodów, profesor przystanął i wskazał towarzysiom długi korytarz, ciągnący się przez środek okrętu, z sufitem szklanym, przepuszczającym światło z góry.

— W tej stronie — rzekł Karliński — znajdują się kuchnie i spiżarnie, dalej moja pracownia, warsztaty; naprzeciwko kwatery kucharza i służącego, za nią łazienki, a na końcu korytarza nasze sypialnie i cztery pokoje gościnne.

Jerzy, służący, który na „Latającej rybie” pełnił jednocześnie obowiązki marszałka dworu i kamerdynera, podczas tych wyjaśnień stał ciągle z ręką na klamce od sali jadalnej; na znak dany przez profesora otworzył drzwi na oścież, wpuszczając gości do środka.

Była to obszerna, trzydzieści łokci kwadratowych mająca sala; ściany z błyszczącego etereum, objęte w ramy pięknie rzeźbionych boazeryi z wysokimi filarami po bokach, czyniły wrażenie ogromnych lusterek, w których się odbijały znajdujące się dokoła przedmioty. Podłogę zaściełał miękki, turecki kobierzec; krzesła, kanapy, kredens, słowem całe umeblowanie, odrobione artystycznie ze świeżego metalu, wybite było blado-niebieskim aksamitem. Na stole stała bogata kryształowa i porcelanowa zastawa, a na wszystko spadało z góry jasne światło, łamiące się w tęczowe blaski.

— Wspaniałe!

— Przepyszne!

— Niezrównane!

Takie wykrzykniki wrywały się z ust towarzyszy profesora, podziwiających z kolei każdy szczegół wytwornego urządzenia. Zarzucano Karlińskiego coraz nowymi pytaniami, ale profesor głodny, skłonił się w milczeniu głęboko i wskazał ręką na stojącą na stole wazę.

— Siadajmy, panowie! — zawołał, śmiejąc się baronet — wyczerpaliśmy widocznie siły i cierpliwość profesora, nie zyskamy od niego dalszych objaśnień, póki razem z nim nie spożyjemy obiadu.

Po tych słowach sir Reginald, jako właściciel „Latającej ryby”, wskazał wszystkim ich miejsca.

Obiad był wyśmienity, godny tej niezwyklej uroczystości, a kilka kieliszków wytrawnego wina podnieciło jeszcze ożywioną rozmowę. Przedmiotem jej były ciekawe szczegóły urządzenia napowietrznego statku. Profesor, stosownie do danej poprzednio obietnicy, tłumaczył na jakiej zasadzie tak znaczne rozmiary okrętu stanowić mogą rękojmię bezpieczeństwa i powodzenia w zamierzonej podróży.

Gdy rzecz ta na podstawie rachunku została wyjaśnioną, porucznik Mildmay poprosił o zaznajomienie go z obcym mu dotąd szczegółem w urządzeniu busoli.

— Zauważyłem — mówił — małe wskazówki umieszczone po czterech stronach cyferblatu; radbym wiedzieć, jakie ich znaczenie?

— Nie dziwi mnie — odparł profesor — że jako marynarza zwrócili one uwagę pana. Przeznaczeniem ich jest wskazywanie kierunku statku; zastępują one zwykły ster okrętu i dla tego połączone są prądem elektrycznym z głównym motorem ruchu.

— Daję słowo, profesorze, można cię nazwać prawdziwym czarodziejem; pokazujesz nam cuda niby z bajki Tysiāca i jednej nocy.

— Nie, kochany panie — odpowiedział, śmiejąc się profesor — nie jestem żadnym czarodziejem, tylko prostym, skromnym robotnikiem na polu naukowym. Wyznać jednak należy, że dokonane w tem stuleciu wynalazki, przewyższyły o wiele cuda arabskich bajek z Tysiāca i jednej nocy i nagradzają hojnie tych, co się poświęcają nauce.

Przy zajmującej, ożywionej gawędce posiedzenie przeciągnęło się długo, a lubo nikt, z wyjątkiem może profesora, nie zauważył spóźnionej pory, było już po północy, gdy przedsięwzięta czwórka, zabrawszy z sobą cygara i kawę, przeszła

do sali koncertowej, pozwalając znużonemu Jerzemu udać się na spoczynek.

Sala koncertowa większą była jeszcze od sali jadalnej i wytworniej umeblowaną. Na ścianach wisiały piękne obrazy, a w pewnych dokoła odstępach stały okazałe posągi, odlane z etereum. Sufit zdobny w bogate gzymsy, miał podobnie jak w sali jadalnej, ogromną kryształową tafłę pośrodku, skąd spływało światło. Fortepian i melodykon również z etereum, ustawione były na dwóch końcach sali. Zegar, wydzwaniający srebrzystym dźwiękiem kwadranse i godziny, krzesła, fotele, kanapy miękko wysłane, puszysty pod nogami kobierzec, stół pośrodku z pełnemi koszami rzadkich cieplarnianych kwiatów, wszystko obmyślane i zebrane było ku wygodzie i przyjemności podróżnych.

— Co to znaczy? — zagadnął pułkownik, siadając na łagodnie kołyszącym się fotelu — zegar ten źle chyba idzie

przez które przechodzi światło lampy elektrycznej, odbite następnie w taflach lustrzanych, skąd mieniącemi się barwami oświeca z góry salon.

Przy rozmowie czas niepostrzeżenie ubiegał; gdy zegar wybił 2-gą po północy, profesor wstał i rzekł głosem, zdradzającym głębokie wzruszenie:

— Panowie, nadeszła godzina odjazdu, godzina mająca rozstrzygnąć o powodzeniu lub upadku naszego przedsięwzięcia. Ulice miasta i rzeka o tej porze są niemal puste; możemy zatem mieć nadzieję, że poruszenia „Latającej Ryby” ujdą uwagi ciekawego tłumu. Czy jesteście do drogi gotowi?

— Czy jesteście gotowi? Jak możesz o tem wątpić, profesorze? — zawołał baronet. — Czekaliśmy tej chwili z niecierpliwością całe dwa lata. Śmiało naprzód, panie



Bonaparte ze swym sztabem, maszerujący piechotą ku Aleksandryi.

i mój zepsuć się także musiał; pokazuje oba kwadransy po północy, kiedy tymczasem słońce jeszcze nie zaszło — dodał, wskazując na światło słoneczne, spływające z góry.

— Sądziś więc pan istotnie, że słońce jeszcze nie zaszło? — pytał z uśmiechem profesor. — Na żądanie usuniemy je z horyzontu niezwłocznie.

To rzekłszy, Karliński zbliżył się do jednego z filarów przy ścianie i zaczął dotykać małych guziczków. Za pościśnięciem owych ukrytych sprężyn, złocisty blask słoneczny przeszedł kolejno w odcień pomarańczowy, następnie jasno popielaty, aż wreszcie zapanował mrok zupełny, nie pozwalający rozróżnić przedmiotów. Po chwili zaczęło się rozjaśniać, salę oświeciło srebrzyste światło księżycy; w końcu znów nastąpiła nagle zmiana i pierwotny blask słoneczny został przywrócony.

— Nowe pyszne zjawisko! — zawołał sir Reginald z zachwytem. — Jak to urządziłeś profesorze?

— W sposób bardzo łatwy — brzmiała odpowiedź. — Jest to skutek odpowiednio ułożonych kolorowych szkieł,

Karliński, pójdziemy wszyscy za przewodnikiem naszym i spełnimy dokładnie jego wskazówki.

Profesor przez salę jadalną poprowadził towarzyszy na główne schody, a stamtąd przez kajutę sterniczą na pokład. Po jasnym oświetleniu salonów zrazu ogarnęła ich ciemność zupełna, dopiero po upływie kilku minut zaczęli rozróżniać przedmioty i dostrzegli, że cieśle, usunąwszy rusztowanie, przygotowali wszystko do spuszczenia okrętu na rzekę. W ciemności nocy dochodził ich uszu plusk wody, mogli nawet dożyć rzeź srebrzysty połysk jej fali.

— Wybraliśmy najprzyjemniejszą dla siebie porę — odezwał się profesor — niema najmniejszego wiatru, któryby nam przeszkadzał wyswobodzić „rybę” z jej więzów i puścić w nurty Tamizy. Sami też, bez niczyjej pomocy zdołamy sprostać temu zadaniu. Porucznik obejmie obowiązki strażnika, jak mówią w marynarce; da baczenie, aby statek przy spuszczeniu na rzekę nie uderzył przodem o jaką zawadę. Pułkownik zechce tę samą czujność rozciągnąć w tylnej części okrętu. Ciebie, sir Reginaldzie, proszę, abyś strzegł

lampy elektrycznej i pilnował, aby nam przyświecała w kierunku właściwym. Pierwej jednak trzeba, iżbyście się dokładnie zaznajomili z maszyneryą statku, pozostaniecie więc przy mnie w kajucie sterniczej, póki wszystko ostatecznie nie będzie przygotowane.

— Pierwszem zadaniem — ciągnął dalej profesor, gdy zeszli do kajuty oświetlonej światłem elektrycznym — jest ustawienie steru w kierunku horyzontalnym i wprowadzenie w ruch wahań. Ot, widzicie, już to zrobione.

Następnie, najpilniejszą rzeczą jest usunięcie ze statku powietrza, z wyjątkiem małej stosunkowo jego ilości potrzebnej w oddziałach mieszkalnych do oddychania. Usunięcia tego dokonywam za pomocą pary wpuszczanej do kanałów. Para po wyparciu powietrza, ulatnia się i tworzy próżnię. Zechciejcie teraz zwrócić uwagę, co wyniknie z obrotu, jaki nadam temu dużemu kołu.

W kajucie sterniczej znajdowały się dwa cyferblaty jeden obok drugiego; profesor po zamknięciu klapy, otworzonej poprzednio dla dopuszczenia pary, śledził pilnie poruszanie się na nich wskazówek.

— Wszystko dobrze pójdzie, możemy sobie powinszować! — zawołał po chwili.

— Z czego to wnosisz, profesorze? — pytali ciekawie towarzysze.

— Odpowiedź dadzą wam cyferblaty — dowodził zagadniony. — Pierwszy z nich wskazuje siłę ciśnienia powietrza. Miara tej siły nie przechodzi w obecnej chwili jednej tonny. Zechciej jednak poruczniku wpuścić jeszcze więcej pary.

(d. c. n.)

Nowe ochronki

W WARSZAWIE.

Warszawa liczy już około 630,000 mieszkańców, a ludność jej wzrasta z każdym rokiem. Cieszyć się też trzeba, że przybywa w niej, dzięki ofiarności i zabiegom osób dobrej woli, coraz więcej zakładów dobroczynnych, bo potrzebatych zakładów staje się coraz konieczniejszą. Do najważniejszych należą bez wątpienia ochronki zakładane dla opieki nad

sierotami i dziećmi ubogich rodziców, zajętych cały dzień pracą poza domem.

Otrzymują tam biedne maleństwa oprócz utrzymania i ubrania, pierwsze zasady wiary i moralności, które pełne poświęcenia Siostry Miłosierdzia i dozoreczynie żywem słowem i przykładem w nie wpajają.

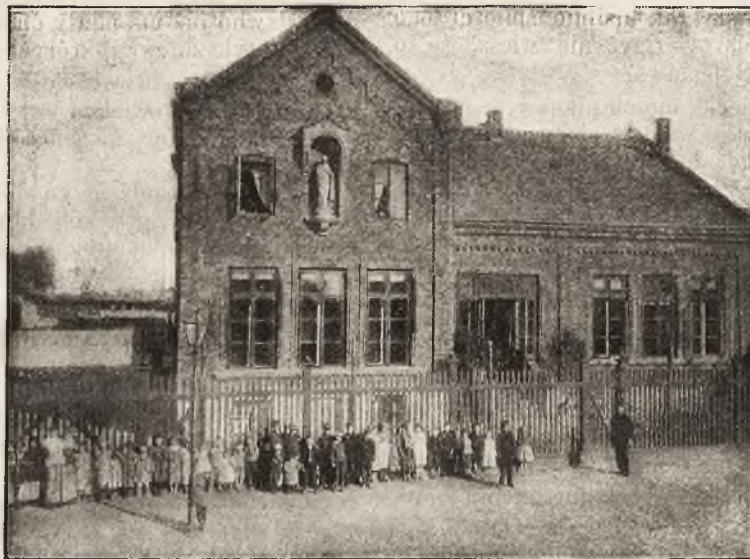
Dzięki gorliwym staraniom ks. kanonika Seroczyńskiego, proboszcza parafii św. Piotra i Pawła, zbudowany został i otwarty w tym roku własny dom dla ochronki XXXIII za rogatkami jerozolimskimi, to jest w dzielnicy bardzo biednej a ubogiej.

Ochronka ta powstała przed kilku laty i utrzymuje się z ofiar p. Erazma Jerzmanowskiego, ale musiała się mieścić w kilku izdebkach, gdzie dwustu kilkudziesięciu dzieciom było bardzo ciasno i niewygodnie.

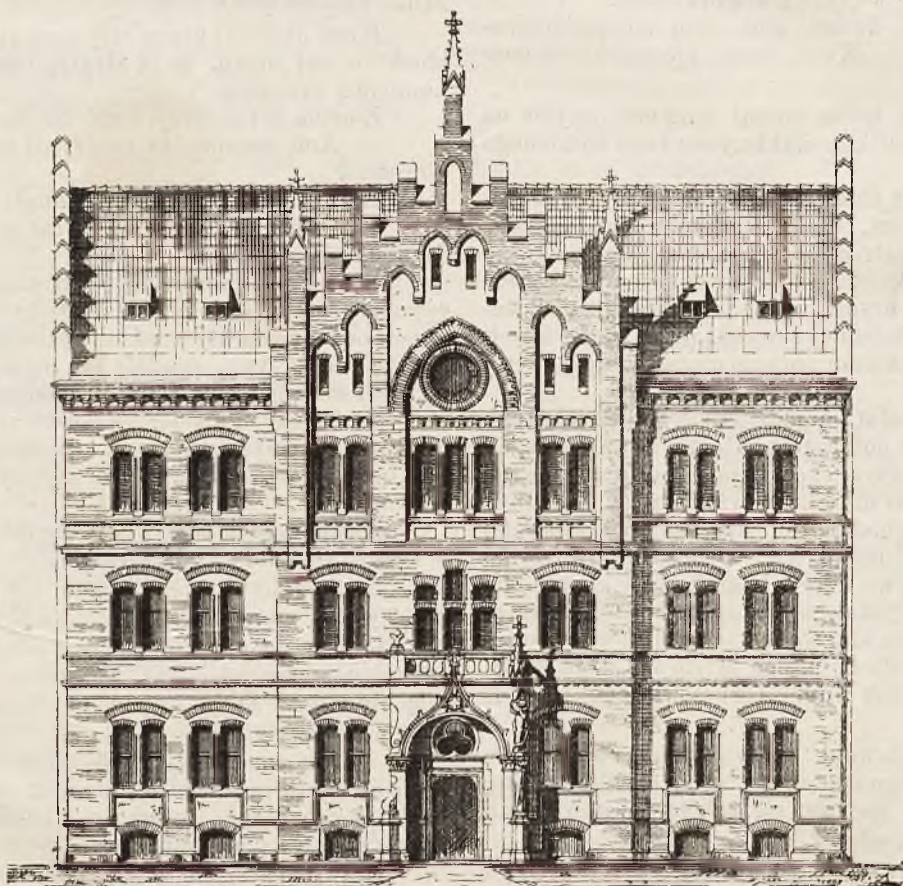
Ks. Seroczyński, wydawnawszy od p. Pohoreckiego dar placu, i od s. p. Józefy Markowskiej sumę 5000 rubli i dopełniwszy resztę potrzebnych fundusów z własnych oszczędności, wniósł dla tej ochronki przy bezinteresownej pomocy budowniczych i ustępstwach ze strony rzemieślników, obszerny dom, w którym zastosowane zostały wszystkie konieczne dla zdrowia i czystości urządzenia.

W maju r. b. w obecności J. E. Arcybiskupa i przedstawicieli Towarzystwa dobroczynności dopełniono uroczystego poświęcenia tego pięknego a tak pożytecznego budynku.

Na przeciwległej stronie miasta przy ulicy Lipowej, na początku w lipcu r. b. nastąpiło znowu poświęcenie kamienia węgielnego pod budowę „Domu dla ubogich chłopców”, którego inicjatorem i założycielem jest ks. Siemiec, proboszcz parafii św. Antoniego. Jak widzimy z rysunku dom ten będzie bardzo duży, aby odpowiedzieć potrzebom licznej a bardzo ubogiej ludności powiśla. Na zbudowanie jego trzeba jeszcze dużo, dużo środków, na co zwracamy uwagę szczęśliwych rówieśników, przyszłych mieszkańców tego domu.



Dom własny ochronki XXXIII.



Dom dla ubogich chłopców przy ulicy Lipowej.

Marya Łopuszańska.

OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg).

Stary kapłan przybliżył się do Masława, gdy ten przestał mówić i odciągnął go na bok.

— Dla czego domagasz się tak usilnie śmierci tego młodego rycerza? — spytał cicho — Czyż nie wiesz, że to nas narazi na straszną zemstę Bolesława?

— Wy nigdy nie pojmujecie moich planów — odparł Masław niecierpliwie. — Wszystko wam trzeba szeroko objaśnić. Właśnie chcę skłonić lud, by wreszcie na coś się wazył; pierwszą krew zawsze najtrudniej przelać, ale raz gdy ją wyleją, reszta pójdzie łatwo. Sama myśl o zemście Bolesława będzie dla nich bodźcem, bo już wtedy nie pomoże siedzieć cicho. Gdy się krwi napiją, będą straszni. Ze swej strony postarałem się uwagę Bolesława gdzieindziej odwrócić, nie będzie on miał teraz czasu nami się zajmować; inny, liczniejszy wróg wkrótce przeciw niemu wystąpi, bo cesarz nie przebaczy mu podburzenia ludów połabskich.

— Ha, rób jak chcesz, mój synu — rzekł kapłan z westchnieniem — ty wiesz lepiej co czynić należy.

Znajdowało się jednak wielu bojaźliwszych, czy też umiarkowańszych, którzy byli przeciwni tak doraźnemu sądowi i poczeli szemrać.

Kneź Mszczuj dosłyszał owego szemrania; obracając głowę w tę stronę, spytał surowo:

— Kto się ośmiela szemrać przeciw wyrokowi?

Ale wzbudził jeszcze większe niezadowolenie.

— Wolno każdemu dawać głos swój na zgromadzeniu — mrużano dokoła. — Kneź niech nie myśli, że nam gęby pozamyka.

Lecz kneź spojrział tylko swemi srogimi oczyma na opornych i natychmiast umilkli, zląkwszy się tego kamiennego oblicza.

Wśród owych twarzy dzikich i roznamiętnionych wyróżniało się tylko oblicze jeńca, blade z powodu niedawno odniesionej rany, ale nie ze strachu; przeciwnie, był spokojny i nie spuścił wzroku, gdy kneź Mszczuj zwrócił nań swe straszne żrenice. Był jakby uosobieniem tej młodej, nowozaszczepionej cywilizacji, otoczonej zewsząd przez dziczy, a jednak opierającej się wszystkiemu jedynie mocą świeżo nabytej wiary.

Czuł teraz, że jego ostatnia godzina się zbliża, a jednak nie mógł się oswobodzić z pod tego wrażenia, że znajduje się tylko w jakimś śnie strasznym, tak świat otaczający go był różnym od tego, który znał dotąd. Czyż ci starcy, siedzący na kamieniach dokoła ogniska, nie byli jakimiś widmami poza grobowymi, czyż te tłumy dzikie, wyjące nie były tylko zmorami, ukazującymi się we śnie? Lecz bywały chwile gdy straszna rzeczywistość błyskawicą stawała przed jego wzrokiem, a wtedy znów czuł, że stoi wobec śmierci, nie tej, o której marzył niegdyś, na polu boju, pod okiem mężnego króla, ale śmierci bezsławnej, z rąk tłumu rozbestwionego, w głuchej puszczy...

A jednak nie czuł trwogi, tylko jeszcze obejrzał się po świecie, jakby go żegnał poraz ostatni, przeżegnał się, mówił krótką modlitwę, gotując się do zgonu, który, jak sądził, natychmiast miał nastąpić.

Wzrok jego, spuściwszy się znów na otaczających go ludzi, ze zdziwieniem spostrzegł dopiero teraz, że wpośród gromadzenia znajduje się piękne dziewczę, jasnowłose, w rucianym wianku na głowie. Była to córka knezia Mszczu-

ja, Ziezilia, bogom poświęcona dziewa. Biała odziana, z rozpuszczonym na ramiona długim włosom, stała przy kamieniu ofiarnym, wyglądając niby jakieś widzenie w tej księżycowej poświacie, oblewającej ją od stóp do głowy srebrnym blaskiem. Łzawym i błagalnym wzrokiem zdawała się prosić o litość dla młodego jeńca, lecz straszny kneź nie patrzył na nią wcale.

Tak przeszła może godzina na naradach i sporach, jedni domagali się śmierci jeńca, drudzy się temu opierali. Płomień ogniska oświetlał niepewnym, drgającym blaskiem postacie kłócących się, ich dzikie, roznamiętnione twarze i gwałtowne ruchy. Dokoła stały potężne głazy, zdające się pochyłać ciekawie, by usłyszeć co radzono.

— Dość tego! — krzyknął wreszcie Masław — on musi zginąć, bo inaczej wszystko przepadnie! Poświęćmy go bogom; dawno już nie miały ofiar ludzkich, należy im się cześć taka za tyle zniewag, których doznały.

— Tak — ozwał się stary kapłan Borun — bogowie chcą ofiary z człowieka...

A wskazując na jeńca długą swą białą laską, rzekł uroczysto:

— Odprowadźcie go do pieczary, jutro niech wszyscy znów się tu zbiją w kole obradnem, a czyste ręce dziewicy bogom poświęconej, jako najgodniejsze takiego dzieła, zadadzą mu cios śmiertelny tu, na kamieniu ofiarnym, dla przeblągania bogów za zniewagi, zadane im przez chrześcijan.

Na kilku twarzach błysnęła dzika radość na te słowa, inni milczeli ponuro.

Ale nic nie mogło się równać rozpacz i przerażenia Ziezili, gdy usłyszała, że to ona ma spełnić krwawe dzieło.

— Ja, mój ojcze — wołała, podnosząc w górę białe ramiona i wyciągając je do knezia Mszczuja, wciąż zachowującego surowe milczenie, ja mam zabić człowieka?

O nie, nie, to zbyt straszne! Dotąd moje ręce były czyste od krwi — litości, ojcze, litości — nie mogę patrzeć na krew!

O bogi, czyż naprawdę możecie być tak okrutnymi, by żądać śmierci człowieka?

Kneź Mszczuj przez cały czas jej mowy ani jednym ruchem nie dał znaku, że ją słyszy; twarz jego wciąż wyrażała kamienną surowość.

Ziezilia w rozpacz, zwróciła się do jeńca, wołając:

— Ach, czemuś tu przyszedł na swoje i na moje nieszczęście?

Lecz nagle nowa postać stanęła wśród koła obradnego.

— Co się tu dzieje? — spytał nowo przybyły, podchodząc do płomienia.

Był to mąż olbrzymiego wzrostu, dumnego lica, o orlich rysach; postawa jego zdradzała żelazną siłę muskulów, a zarazem odznaczała się wrodzoną szlachetnością. Długie włosy, barwy lwiej grzywy, spadały mu na szerokie i potężne ramiona; oczy siwe patrzyły śmiało i nieustraszenie.

— Co się tu dzieje? — powtórzył mocnym głosem.

— Pojmaliśmy szpiega królewskiego i chcemy go oddać pod nóż ofiarny, jak na to zasłużył — odpowiedziano mu z gromady.

Nowoprzybyły przybliżył się do jeńca i spojrzawszy mu w twarz, zawołał ze zdziwieniem:

— Ładon! Tyś tu; skąd się tu wzięłeś? Czy może być, byś był szpiegiem?

— Nie jestem szpiegiem — odrzekł Ładon z dumnym spokojem, lecz jeśli i ty, któregom za brata liczył, sądzisz mię winnym, to oddaj mię choćby zaraz pod nóż waszego kapłana, jestem gotów!

— Nie, tak nie będzie — odparł nowo przybyły; — nie wiem co cię tu przywiodło, ale nikt nie powie, że Drahomir pozwolił zabić tego, co mu życie ocalił, któremu braterstwo poprzysiął na polu boju!

A zwróciwszy się do zgromadzenia, rzekł spokojnie:

— Ten młody rycerz nie może zginąć...

— A któż ośmieli się sprzeciwić temu? — spytał Masław szyderczo.

— Ja, kneź Drahomir, syn Mszczuja — odparł dumnie młody kneź.

— Nie, kneziu Drahomirze, nie ośmielisz się zwalić wyroku, który ktoś starszy od ciebie wydał.

— A któż go wydał? — spytał kneź wyniośle.

— Twój ojciec, kneziu, twój własny ojciec, i cała starszyzna tu zebrana — odparł z szyderezym śmiechem Masław. Drahomir podszedł do starego knezia i rzekł śmiało:

— Ojcze, musicie zmienić wyrok, ten rycerz nie zginie.

— Dla czegoż to? — spytał kneź, mierząc syna swym straszonym wzrokiem.

— Dla tego, iż mi ocalił życie na polu boju i przysięgłszy mi braterstwo — odrzekł Drahomir. — Jest to syn wojewody Bożydara, z rodu Jastrzębców.

— Dobrze mój synu — odparł kneź zimno — ale ja także poprzysięgłem, że zginie ten, kto podpatrzy nasze obchody i zgromadzenia; jakże więc będzie?

— I ja was także pytałem, ojcze, jak to będzie? — rzekł spokojnie Drahomir. — Bo mimo całej czci, jaką mam dla was i dla wszystkich waszych wyroków, nie zezwolę by ten rycerz zginął! klnę się na wszystkie bogi, klnę się na Żywie, Nyę i Kupale, że nie zezwolę na to! I bić się będę, ojcze, z każdym co go dotknąć zechce, i nie dam, by mu włos spadł z głowy, gdyż jest mi bratem!

Dokoła dały się słyszeć szemrania niechętne. Kneź Drahomir głos podniósł:

— Cześć mam dla wyroków starszyzny i koła wiecowego — mówił — i wszyscy wiedzą, że w każdym wypadku im uległem, ale tym razem muszę sprzeciwić się, muszę, by mię nie nazwano podłym i tchórzem, który nie stanął w obronie swego brata po mieczu! Powtarzam więc, kto się dotknie tego rycerza, ten ze mną będzie miał do czynienia!

Tu szemrania w tłumie stały się głośniejsze; kneź Drahomir obejrzał się i zawołał rozkazująco:

— Ze starszyzną mówię, motłoch niech milczy!

Lecz natychmiast podniosły się krzyki oburzenia.

— Co to, ci kneziowie myślą, że jeszcze nam panują, jak ongi? Minęły te czasy, minęły, dziś wam nie rozkazywać już ludziom! każdemu wolno mówić na wiecu co mu się podoba.

— Jesteście rozzuchwaleni tylko! — odparł Drahomir z pogardą — i gdybym nad wami panował, to nie śmielibyście pisać i słówka!

Tu już wszczął się hałas okropny, lecz młody kneź na to nie zważał; obie swe potężne dłonie wsparł na mieczu i tak stał wciąż w pośrodku koła obradnego, głową przenosząc całe zgromadzenie, i osłaniając swą osobą Ładona.

Masław przystąpił doń:

— Starszyzna wyrok wydała i człowiek ten musi zginąć — rzekł wstrzymując się, lecz widać było, że gniew go nurtuje.

— A ja nie pozwolę, by zginął — odparł młody kneź gwałtownie. — Jest mi bratem i nie pozwolę na to!

— Ejże, nie zachodź mi w drogę, ty kneźku zuchwały! — zawołał wreszcie Masław, wybuchając. — Znam was, jeden za drugim stoicie murem, poznał swój swego! Ale nic z tego, co starszyzna postanowiła, to musi być! Już nie te czasy kiedy wyście panowali, nie te!

Kneź obejrzał się tylko, jak gdyby się opędział od dokuczliwego owadu.

— A ty synu niewolnika, nie wywódź mię z cierpliwości, bo nie będę długo znosił twego szczekania — odrzekł wreszcie.

— A ty... ty synu książęcy — zawołał Masław, pieniąc się z wściekłości, ty, wilcze plemię, czy ty myślisz, że i z tobą nie dam rady! Patrz, wszyscy ci ludzie, rybacy, drwale, łowcy za mną stoją i jeśli na nich skinę, to pójdą na ciebie, ty zuchwały kneziu. Pójdą na moje jedno słowo, a wtedy ugniesz się i ty, choć takiś hardy!

— Spróbuj, niewolniku — odparł Drahomir z wyniosłym spokojem.

— Tak, jam niewolnik — wybuchnął Masław — ale zdrzą kiedyś knezie i wojewody przed tym niewolnikiem! Ach wy, wy — wołał dalej rozwścieczony — wy gotowicie każdą sprawę zgubić dla dogodzenia własnej dumie, a wasza głowa może naraz pomieścić tylko jedną myśl, nie więcej! Sam sobie zgubę przyniesiesz, gdy wypuścisz owego człowieka, ale twoją ciasną głową tego nie chce pojąć!

Wyglądał jak ryś rozwścieczony, który rzuca się na spokojnego i dumnego tura, oczy mu błyszczały, białe zęby świeciły jak u wilka. Stali obaj i mierzyli się wzrokiem, lecz żaden go nie spuścił!

— Kneziu Drahomirze — ozwał się wreszcie jeden ze starców — obmyśl więc jaki sposób, by ten człowiek nie zdradził naszego schronienia, a wówczas starszyzna przystanie na żądanie twoje.

— On może złożyć przysięgę, że nas nie zdradzi — rzekł Drahomir — a ja zaręczam, że jej nie złamię!

— Nie, bracie — ozwał się Ładon — dzięki za twą przyjaźń i chęć ocalenia mnie, ale ja tej przysięgi nie złożę, bo jej dotrzymać nie mogę.

— I my jej też nie przyjmujemy! — odparł szyderezco Masław. — Bądź spokojny o cześć swoją!

Ładon zbył jego słowa pogardliwym milczeniem.

Kapłan Borun ozwał się poważnie:

— Ja znalazłem sposób aby wszystkich pogodzić. Słuchajcie mię: Niech ten witeź pozostanie u nas jako jeniec, a tak nie będzie mógł nas wydać, a nie mu się złego nie stanie. Czy zgoda?

— Zgoda! — ozwali się umiarkowani.

Masław zaś milczał ponuro.

Kneź Drahomir zbliżył się doń na środek koła i rzekł: — Jeśli starszyzna wymaga tego, to mogę za niego poręczyć, ale niech więzień pozostanie u mnie.

Kneź Mszczuj w milczeniu słuchał wszystkich tych rozpraw, lecz na ostatnie słowa syna, ozwał się zimno, patrząc mu w oczy: — Wszystko to dobrze, ale kto nam zaręczy, mój synu, że pewnej ciemnej nocy jeniec nie ujdzie z więzienia, by odkryć Bolesławowi wszystkie nasze tajemnice?

Drahomir zarumienił się oburzony, ale rzekł spokojnie:

— Ja ręczę za to, ja, a dotąd nie dałem jeszcze przyrzeczenia, by nie ufano memu słowu. A więc, czy starszyzna przystaje na to co rzekłem?

— Przystajemy — odrzekł jeden ze starców, po krótkiej, cichej naradzie — daj poręczenie, kneziu Drahomirze, a jeniec jest twoim. Przysięż tylko, że strzedz go będziesz dobrze, bo od tego zależy bezpieczeństwo nas wszystkich.

Kneź Drahomir pokłonił się naprzód kamieniowi ofiar-nemu, potem kołu starców i rzekł, prostując się:

— Sładam dzięki starszyźnie, iż mi zaufała, a za więźnia gotów jestem poręczyć i złożyć przysięgę na ziemię i wodę, iż nie zawiodę ufności we mnie położonej.

— Wielka to przysięga — rzekł kapłan uroczyście — kto ją złamię tego ziemia i woda pochłoną. Niech więc się stanie, jako rzekłeś.

Tymczasem Masław nie posiadał się z wściekłości:

— Oni mi wszystko zepsują! — mówił do siebie — a najbardziej ten opętany kneź Drahomir! Ale czekaj, wilcze plemię, kiedyś i na ciebie przyjdzie kolej; będziecie musieli mi uleźć!

IX.

Podczas gdy to się działo w lechickiej ziemi, posłowie, wysłani do Monte-Cassino, przybliżali się do celu swej podróży, z radością witając z dala klasztor, bo droga ich ciężką była przez krainy poddane zaburzeniom i walkom nieustannym.

(d. c. u.)

Sprawozdanie z konkursu na wypracowanie.

Konkurs nasz na temat „*Oszczędność i skąpstwo*” przyniósł plon obfity. Z prawdziwą przyjemnością zaznaczamy, że pomimo dość trudnego tematu i pory letniej, niezbyt zachęcającej do nadprogramowej pracy umysłowej, otrzymaliśmy kilkadziesiąt wypracowań, a wszystkie — z nielicznymi wyjątkami — pisane porządnie, piśmem wyraźnym, i stylem poprawnym.

Treść wypracowań świadczy, że piszący zdawali sobie dokładnie sprawę z tego, co znaczą oszczędność i skąpstwo i jaka jest między nimi różnica, oraz rozumieją dobrze konieczność i pożyteczność oszczędności w życiu ludzi pojedynczych i całego społeczeństwa, a brzydzą się brudnym skąpstwem i chciwością. Z radością zauważyliśmy także, iż układanie zdań i tok rozumowania prowadzony jest prawie u wszystkich, nawet u najmłodszych jasno, ściśle i logicznie. A jest to cechą nader ważną i dodatnią, gdyż tylko przy umiejętności prawidłowego rozumowania i jasnego wyrażania myśli, możemy prawdziwie pożytecznie zużytkować wiadomości nabyte przez naukę i doświadczenie życiowe.

Większość piszących nie poprzestając na rozumowaniach, popierała swoje wywody trafnie doboranymi przykładami z życia, cytowaniem przysłów, tej „mądrości narodów” lub ustępów z dzieł naszych autorów. Jednym słowem, redakcja jest bardzo zadowolona z rezultatu konkursu, a Jaskółka, która w tych dniach powróciła i przeglądała także te wypracowania z radością znalazła tam wiele podpisów swych stałych korespondentów i korespondentek.

Przy ocenianiu wypracowań musieliśmy dla słuszności rozdzielić je na grupy według wieku piszących, i oddzielnie oceniać każdą, wyznaczając nagrody dla najlepszych w każdej grupie. Inaczej starsi mieliby w większości wypadków pierwszeństwo nad młodszymi.

Grupa *10 letnich* stawiała się nielicznie, lecz jak na swój wiek doborowo. Na nagrody 2-go stopnia zasłużyli: Sokół z nad Wisły (Warszawa), Irenka Pla. z Abramowska, Szarota (z Krza), która zamieściła bardzo dobre opowiadania z życia, Jodelka (z Warszawy) i Stefcio Smol. z Kamionnej. Na odznaczenia: Cesia Morst. ze Strzelewa, Kazio Iw. z Żytom. i Henryczek Zamn.

Wśród *11-o letnich* nagrodę 1-go rzędu przyznaliśmy Błędemu ognikowi z Pińska tak za piękne myśli, jak i za styl żywy i barwny. Nagrody 2-go stopnia: Wielkopolanec z Pomarzanowic, Helence Morst. ze Strzelewa i Muszce kujawskiej z Bądkowa, której opowiadanie o wyborze krokietu, doskonale charakteryzuje rozumną oszczędność. Odznaczenia: Amatorowi czytania, Marynia Morz. z Cieśli, Kazio wi T. i Morysowi U. z Warszawy.

W grupie *12-letnich* wybór do nagród był dość trudny, bo wypracowania już obszerniejsze, mniej więcej temi samymi odznaczają się zaletami. Na nagrody zasługują: Wala Saw. z Mitrin, której opowiadanie o oszczędnej Kazi jest bardzo udatne, Walerka Jań. z Częstochowy, Reginka Sroc. z Koryszowa i Szumigłówka z Chrzanowa. Odznaczenia

i pochwały należą się Antosowi R. z Warszawy, Sarence modrookiej z Kraśnika, Stokrotce z Sobolówki, która ozdobiła swe wypracowanie ładnymi rysunkami piórkiem, Maryni Łaz. z Grójca i Konikowi z ulicy Polnej.

Dla *13-o letnich* stawialiśmy już większe wymagania tak co do treści, jak i formy. Nagrodę 1-go stopnia otrzymuje Puszczyk z Pilawy, znany czytelnikom *Wieczorów*, jako autor wielu udatnych łamigłówek i szarad. Jest on bardzo czytany, powołuje się na zdania ks. Hołowińskiego i innych poważnych autorów, a nawet dla potwierdzenia, że skąpstwo bywa zwykle przedmiotem ogólnej niechęci i szyderstwa cytuje kilka zabawnych żartów z Momusa, dawnego czasopisma satyrycznego. Nagrody 2-go stopnia przyznajemy: Boguni Noisz. z Dźwińska, która słusznie zaznacza, że nie można nazywać sknerami takich ludzi, którzy wprawdzie odmawiają sobie często rzeczy potrzebnych, ale zbierają jakieś cenne przedmioty, np. książki, starożytności, stare druki i t. p. lub używają swych dochodów kosztem osobistych przywacyi na piękne cele dobrego.

Takież nagrody otrzymują i Joasia Tacz. z Wilczyna, (trafnie zacytowała bajkę Krasickiego), Guścia Gross. z Warszawy, Konwalijka z nad Bachorzy. Odznaczenia: Staś P. z Wilna, Zawierucha, Wańdzia Cepr. ze Starosiela Różia Br. i Zosia Par. z Warszawy, Poziomka leśna z Birż. i Jaś Ir. Nap. z Piasecznicy, który zapomniał podać swego wieku.

Z rzędu *14-o letnich* najlepsze rozprawki przysłali nam: Mieczysław Uj. z Niemirowic, Aleksander Woj. z Trościańca, Staś Zdan. z Warszawy i Skowronek z Birż. Ci otrzymują nagrody 2-go stopnia, odznaczenia zaś: Jadwinia Smol. z Kamionnej, Józef M. i Wiedenka z Kaczórek, która wypracowanie swe napisała wierszami.

Jedno z wypracowań, bardzo dobrze napisane, z powołaniem się na żywot Staszycy, otrzymaliśmy bez podpisu i nie wiemy, niestety od kogo, ani skąd pochodzi.

Na zakończenie życzymy z całego serca wszystkim naszym czytelnikom, których cząstka tak dobrze wyraziła swe poglądy na znaczenie oszczędności, aby mieli zawsze z czego oszczędzać, ku czemu jedynym i najlepszym środkiem jest praca, zapobiegliwość i porządne prowadzenie rachunków.

„Pamiętaj przychodzie żyć z rozchodem w zgodzie”. Radzimy im także, żeby w wydatkach swoich mieli zawsze na względzie, z jednej strony przyłowie: „Ziarnko do ziarnka zbierze się miarka”, z drugiej zaś tę maksymę ewangeliczną: „komu więcej dano, od tego będzie więcej wymagano,” że zatem w miarę możliwości powinien każdy nie żałować środków i zabiegów, aby zarówno duchowo, jak fizycznie wspomagać i podnosić nieoświeconych, ubogich i cierpiących.

Po odbiór książek, stanowiących nagrody, upraszamy o zgłaszanie się do redakcyi „*Wieczorów Rodziny*” *Muzowiecka Nr. 10*, przez co oszczędzi się kosztów przesyłki i zwłoki. Nagrodzeni z poza Warszawy, nie mający tu znajomych, zechcą nadesłać 14 kop. markami na przesyłkę.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TRESC: Sto lat temu nad Nilem (z ryc.) — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej ryby,” opisał H. C. — Nowe ochronki w Warszawie (z ryc.) — Obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — Sprawozdanie z konkursu na wypracowanie. — Dodatek: Przed obiadem, wiersz (z ryc.) — Nieproszeni goście. — Dobry uczynek. — Dług wdzięczności przez Zofię Rudnicką. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitek. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

Przed obiadem.

Do obiadu ot już czas,
Dzwonek wszystkich zwołał nas.
Ach, jak czas ten szybko mknie,
Kiedy człowiek uczy się.
Ledwo srebrny ranek wstał,
Białą rosę z nieba siał,
Budził świty barwnych zórz,
Ot, południe złote już.
Do obiadu usiąść trza,
Wszystko jeść, co mama da.
Błyszczą piesku ślepki twe,
Jeść dostaniesz, nie bój się,
Wszak wszystkiego nie zjem sam,
I dla ciebie kęs mam,
A nie grymaś, piesku, nie!
Bo to bardzo, bardzo źle.
Nie by jeść, ja muszę żyć,
Pożytecznym trzeba być.

NIEPROSZENI GOŚCIE.

Wiele jest stworzeń ze świata owadów, które bardzo dokuczają człowiekowi, ale może żadne z nich nie są tak przykre, jak pluskwy. Co najgorsze, że z wielką trudnością dają się tępić, a skutkiem przykrej woni, którą wydzielają, żadne inne stworzenie prawie nie poluje na nie. A jednak i te owady mają swoje gusta, a nawet grymasy; trzeba więc je poznać choćby dla tego, żeby mózdz się od nich obronić; z tego powodu musimy i o tem najbrzydszym nieproszonym gościu napisać.

Owady te nie lubią bardzo wilgoci i wolą mieszkać w drewnianych domach niż w murowanych. Najulubieńszym ich siedliskiem są szpary w ścianach, za tapetami, w meblach, w materacach, łózkach. Tam to zakładają całe kolonie, stamtąd robią wycieczki.

Niech tylko człowiek zgasi wieczorem światło, brzydkie te pasożyty zaczynają się zaraz schodzić. W szukaniu pokarmu okazują wiele zmyślności: gdy np. z jakiegobądź powodu trudno im się dostać do łóżka, wślazą na sufit i stamtąd spadają wprost na śpiącego.

Nie więc dziwnego, że wielu lu-



dzi nie znając ich zmyślności, posądza je o umiejętność latania, co nie może mieć miejsca dla braku skrzydeł.

Owad ten umie i głód znosić. Uczeni ludzie sprawdzili, że może od 5 do 6 lat przeżyć bez pożywienia. Wymizernieje, wychudnie, stanie się zupełnie przezroczystym i wygląda jakby uschły, lecz wystarcza jeden dobry posiłek, aby przyszedł do siebie.

Również i na zimno jest wytrzymały.

W nieopalanem przez dłuższy czas mieszkaniu, wszystkie szkodliwe owady wyginą, a ten siedzi gdzieś w szparze i drzemie. Parę ciepłych promieni słońca przywoła go do życia i nasunie nowe pomysły do ratowania siebie a zatruwania ludziom snu, spokoju i dobrego humoru, zwłaszcza w zajazdach i hotelach.

Najgorszą zaś plagą jest to, że rozmnaża się bardzo prędko. Od października do marca składa pluskwa ze 6 razy po 40 jajek. Przytem tak umiejętnie je ukryje, iż pra-

wie żadne nie zmarnieje i ze wszystkich wylegną się małe, które po trzech miesiącach dosięgają wzrostem swoich rodziców.

Żyją one zgodnie, trzymają się gromadnie, więc często po kilka pokoleń przebywa w jednym miejscu. Żyją zaś po kilka lat.

Nie więc dziwnego, że ludzie próbują różnych środków aby je wytępić: czyszczą wszystkie kąty, wysypują perskim proszkiem, wylewają naftą lub terpentyną najmniejsze szpary; największym jednak ich wrogiem jest ciągła i stała czystość w mieszkaniu i meblach.

Marya Weryho.

DOBRY UCZYNEK.

W piękny dzień letni mały Franio, korzystając z pogody, po ukończeniu wszystkich lekcji, biegł ulicą do znajomych chłopczyków, aby zabawić się w piłkę. Szczęśliwy, że kilka godzin przyjemnie przepędzi, myślał tylko, czy się zbiorą wszyscy, tak, jak się dnia poprzedniego umówili, naraz tuż za sobą posłyszał bolesne stęknienie i drżącym głosem wymówione wyrazy:

— O Boże, Boże, jakże mi ciężko!

Obejrzał się, tuż za sobą ujrzał siwego jak gołąb staruszka, zgiętego prawie do ziemi pod ciężarem ogromnej wiązki trzciny, którą niósł na plecach, mając zajęte obie ręce pękami koszów i koszyków różnej wielkości.

Franio miał dobre serce, żał mu się zrobiło staruszka, zatrzymał się więc i rzekł uprzejmie:

— Możeby wam, dziaduniu, dopomóż, chętnie poniosę koszyki.

Staruszek spojrział z wdzięcznością na Frania.

— Poczciwe z ciebie dziecko — rzekł — mam jeszcze kawałek drogi, a już prawie iść nie mogę, więc z wdzięcznością przyjmę twą pomoc.

Franio wziął zaraz wiązki koszyków, jedną zarzucił sobie na plecy, drugą niósł w rękę, a tak zabawnie wyglądała mała jego postać pod temi piętzącymi się z tyłu z przodu koszami, że przechodnie uśmiechali się do niego życzliwie. Franio miał minę bardzo poważną, szedł miało, zagadując od czasu do czasu staruszka.

— A daleko dziaduniu mieszkacie?

— A tam niedaleko, jak tę wąską uliczkę przejdziemy, to zaraz za przejazdem stoi mały domek, w którym mieszkam.

— Koło przejazdu? ja tam bardzo często chodzę tatusiem na spacer! Jeszcze kilka kroków, a będziemy tu miejscu.

Dla zdrowych i młodych nóg Frania, była to drobnostka, ale dla staruszka cała podróż. Uśmiechnął się do swego młodego towarzysza i odpowiedział:

— Niedaleko, moje dziecię, ale dla moich starych nóg to i kilkanaście kroków dużo znaczy, teraz przy twojej pomocy to mi wiele lżej, ale z temi koszami, nie wiem jakbym zaszedł.

W pół godziny doszli jednak szczęśliwie do chaty. Na spotkanie staruszka wybiegł mały kudłaty piesek i zaczął mu się ogromnie radować, podskakując i chwytając zębami za ubranie, na Frania spoglądał nieufnie i poszczekiwał. Starzec zrzucił swój ciężar na ziemię i usiadł na ławce.

— Kruczek tu, do nogi, cicho zaraz, będziesz tu na tak dobrego chłopczyka czekał, wstydź się, on twe-mu panu wielką grzeczność wyświadczył, trzeba być wdzięcznym, mój piesku.

Wskazał Franusiowi ławkę, aby odpoczął, a gdy ten usiadł, Kruczek jakby zrozumiał słowa swego pana, stanął przed nim na dwóch łapkach i tak zabawnie zaczął piszczeć, jakby chciał powiedzieć, że przeprasza Franusia. Chłopczyka rozweseliło to ogromnie, a że bardzo lubił pieski, więc nuż się z nim gonić, pokazywać różne figle, podrzucać w górę chustkę, którą Kruczek zawsze chwycił i uciął z nią do swego pana.

Wesoła zabawa przeciągnęła się dłużej, ale Franio pamiętał, że do domu miał wrócić o oznaczonej godzinie, pożegnawszy więc koszykarza, który dziękując mu za pomoc, błogosławił na drogę, pobiegł jak strzała do miasta.

— Jakżeś się synku zabawił — zapytał ojciec Franio po powrocie, cóż, palant dobrze poszedł?

— O, zabawiłem się wybornie, tatusiu, chociaż na palancie nie byłem.

— A gdzie i w co się bawiłeś?

Franio opowiedział swoje spotkanie ze starym koszykarzem i zabawę z jego Kruczkiem, a ojciec rzekł na to:

— Poczciwie postąpiłeś moje dziecko, żeś staruszkowi dopomógł i dzień ten pewnie Bóg zapisze jako jeden z piękniejszych w twojem życiu!

Od dnia tego upłynęło kilka tygodni, ojciec i syn zapomnieli zupełnie o tem zdarzeniu, gdy razu pewnego powracając z dalekiej przechadzki, Franio uczuł ogromne pragnienie, bo upał był nieznośny, a w polu nigdzie wody nie było, stracił więc humor i szeptał ustawicznie:

— Ach Boże, jak gorąco, żeby też choć kropelkę wody skąd dostać można. Do miasta daleko jeszcze, ach wody, wody!

— Cóż moje dziecko na to poradzić, do miasta daleko to prawda, ale skręciwszy w bok dostaniemy się na plant kolejowy, w budce dróżnika łatwo pragnienie zaspokoić będziemy mogli.

Franio uszczęśliwiony pobiegł naprzód, a gdy w kilka minut znaleźli się na placie, ujrzał zdala odpoczywającego człowieka, obok którego stały dwa kosze przelicznych wiśni. Radość Franio nie miała granic.

— Ach ojczulku, Pan Bóg go chyba tu zesłał, wszak kupisz mi wisienek, prawda, one doskonale zaspokoją pragnienie.

— I owszem, moje dziecko, czy tylko człowiek ten ma wiśnie do sprzedania?

Przyspieszyli kroku, a gdy stanęli przed siedzącym, Franio wykrzyknął:

— Ach, to wy, dziaduniu, a ojciec zapytał jednocześnie:

— Jeśli macie wiśnie do sprzedania, przyjacielu, namierzcie dobrą kwartę dla tego matego, bo się boję, aby mój z pragnienia języczek nie uciekł, miałbym biedę szulca go później.

Starzec zaśmiał się serdecznie, a przyjrząwszy się uważnie Franiowi, zawołał:

— Ach to mój mały pomocnik! bierz proszę, ile tylko zechcesz.

Podsunał mu koszyk, a zwracając się do ojca, rzekł:

— Pańskiego synka znam dobrze, i szczęśliwy jestem, że dziś choć taką drobnostką wywdzięczyć się mogę. Synek pana nie wstydził się biednemu koszykarzowi przyjść z pomocą w dźwiganiu ciężaru, ja mu też chętnie służę dzisiaj wiśniami z mojego ogródka.

Frano zaspokoił pragnienie, podziękował uprzejmie staruszkowi i obiecał odwiedzić go kiedy w jego chacie i pobawić się z Kruczkiem.

J. P.

DŁUG WYDZIĘCZNOŚCI

przez

Zofię Rudnicką.

(Dalszy ciąg)

A czyż jest pióro, zdolne opisać ich rozpacz, gdy w końcu, po kilku godzinach, przywieziono pana Jakóba nieprzytomnego, z rozciętą głową.

Na prędko opatrzone rany na głowie, szczęściem nie były głębokie, lecz tak był utratą krwi osłabiony i nieprzytomny, że nic od niego dowiedzieć się nie można było... W końcu jedno słowo, które zdołał wymówić dało miarę całej okropności...

— Tatarzy — powtarzał — Tatarzy...

— Tatarzy!... — wykrzyknęła nieszczęśliwa matka — Tatarzy go porwali!... O Boże ulituj się nad dzieckiem mojem... Padła na kolana przed ukrzyżowanym Chrystusem i łkając w ciężkim płaczu, wzywała litości Syna Bożego.

Dziadek załamał ręce... i na usta wybiegły mu słowa:

— Nieszczęście! nieszczęście! ostatni z rodu! Któż pomści śmierć synów moich... Radzić trzeba, ratować — zaledwie mógł wyrzec złamanym głosem.

Kazał zebrać jaknajprędzej hufiec dworzan i ścigać Tatarów. Dał taki rozkaz, choć w osiągnięciu celu sam nie wierzył... po skrzepłej krwi, w jakiej znaleziono pana Jakóba, wiedział, że upłynęło sporo czasu od chwili walki i porwania Janka, że Tatarzy ze swą zdobyczą muszą być już za Dniestrem.

Istotnie, dworzanie powrócili nazajutrz od przeprawy Dniestrowej ze smutną wieścią, że widziano wczoraj nad wieczorem kilkunastu Tatarów przepływających się wpław przez rzekę. Czy mieli jakie łupy, nie wiadano... Tatarzy zawsze przestraszali lud okoliczny; nikt się do nich nie zbliżał; ujrząwszy ich, wszyscy uciekali.

Od tej pory zamek pana starosty pokrył się żałobą, lecz nie zaprzestano poszukiwań. Słano posłańców z okupem do Turcyi, wysłano sekretnie do osad tatarskich, dowiadywano się wszędzie o Janka Sępa — wszystko na próżno, ślad za nim zaginął...

* * *

Tatarzy, pochwywszy swoją zdobycz, pędzili jak wiatr szybko, dzień cały bez przestanku; wieczorem, jak to już wiemy, przepawali się przez Dniestr. Janek, pomimo rozpacz, jaka nim miotła, strasznego żalu za matką i dziadkiem, pomimo obrazu pana Jakóba leżącego bez życia, uczuł dotkliwy głód. Od wczesnego śniadania nie miał nic w ustach. Nie wiedział, jaka wieczorem czeka go uczta!... Gdy zatrzymano w końcu konie i poczęto zsiadać, najpierwej pomyślał, że przecież sami coś jeść będą, to i jemu dadzą. Zsadzono go z konia, zawsze ze związanymi rękami, padł jak martwy w trawę i teraz dopiero uczuł niesłychane zmęczenie, ból we wszystkich stawach, a nawet nie mógł się wyciągnąć, bo zaraz Tatar przystąpił, związał mu nogi sznurem i przywiązał do rąk.

— O Boże! ulituj się nademną — jęknął nieszczęśliwy chłopiec.

Chciał się modlić, lecz ani przeżegnać się, ani ukłęknać nie mógł. Słowa modlitwy plątały mu się, tak był zmęczony. Wzywał tylko gorączką spieczonemi usty litości Boskiej. Tatarzy tymczasem rozniecili ognisko, konie popętano i puszczone na paszę; tylko te dwa zrabowane Tatar trzymał na długim sznurku i tak je pał.

Przy blasku ognia dziwną rzecz ujrzał Janek: Do jednego z koni Tatarskich było przywiązane coś, jak kawał mięsa pokrytego skórą końską. Przypatrywał się ze wstrętem i widział wyraźnie, że była to część konia... Tatar odwiązał mięso, położył na ziemi, skórę obkroił krzywym nożem i odciął kawał krwią ciekący. — Co on z tem robić będzie — zapytywał sam siebie Janek. I widział jak włożył na kij zaledwie ostrugany i począł przypiekać nad ogniskiem.

— Zapewnie — pomyślał — muszą mieć psy ze sobą, więc je karmić będą...

Lecz o zgrozo!... zaledwie mięso obeszło trochę ze świeżej krwi, gdy Tatarzy, ilu ich było, zesłi się w około ogniska i poczęli je rozrywać! Janek z obrzydzeniem odwrócił głowę, przymknął oczy. Po chwili dość długiej, uczuł nad sobą oddech nieprzyjemny, spojrział i spotkał się z dzikim wzrokiem Tatarzyna: Był to ten sam, którego pierwszy raz widział w stepie! a więc już wówczas była to zasadzka na niego?... już był uknuty plan porwania go, podjeżdżali i śledzili wycieczki jego i pana Jakóba!... Tatar szarpnął sznurem, którym Janek był związany, nieszczęśliwy chłopiec chciał powstać, lecz nie mógł. Wtedy Tatar rozwiązał mu ręce, a gdy Janek podniósł się i usiadł, rzucił mu na kolana kawał tego wstrętnego mięsa, które wyglądało tak surowe, jak gdyby nie było nigdy przy ogniu, było zimne i krwawiące. Janek, pomimo piekącego głodu dotknąć go nie mógł i gdy Tatar oddalił się, odrzucił je daleko od siebie. Przesunęła mu się jednak zaraz myśl przez głowę, że gdy nic innego nie dadzą mu na zaspokojenie głodu — to umrze...

SZARADA.

Ułożył Aleksander W.

Pierwsza przyimek, przyznacie to sami
Co rządzi w mowie dwoma przypadkami.
Druga jest znaną na południu rzeką,
A której wody w Alp sąsiedztwie cieką.
Imieniem własnem jest *trzecie i czwarte*
Dziejów kościoła często zdobi kartę.
Wszystko to imię wielkiego człowieka,
Co żył nie wiele więcej od pół wieka,
Lecz wiekopomnych on czynów dokonał,
Na wyspie zrodzon, na wyspie też skonał.

ŁAMIGŁÓWKA KROPKOWANA.

Dla Murzynki od Puszczyka z Pilawy.

T . m . p r z . z . r . z p . . t . b r z . z , w . . r z b g . ł . z k .
P . d s z . l . s z c z . c . c h l . s t k . w n . m . . t . m
S r . b r z . s . . s t r . m . . ũ p r z . j r z . s t . w . s k .
K ł . c . c s . . z w . . t r . d ź w . . c z n . m k l . k . t . m .

W . ż . j t . ż n . d n . m g r . s z . . t . r n .
R . s n . z w . . s z . n . z p . d n . ż . g . r .
. w . ż . j j . s z c z . l . s g . s t . c z . r n .
P i . t r . m p . p . . t r z . p n . . s . . p . d c h m . r . .

ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

Od Żywili dla Waluni z Dąbr. Gór.

1	W siedmiu rzędach kwadratu u-
. 2	żyć wyrazy siedmiogłoskowe, aby
. . 3	litery oznaczone liczbami, złożyły
. . . 4	nazwę dopływu Wisły. Znaczenie
. . . . 5	wyrazów: 1) Miasto w Grecji
. 6	znane z bitwy w 490 r. przed
. 7	Chr. 2) Prorok izraelski. 3) Mi-

steczko w Syrii. 4) Miasto nad Wisłą w Prusach Zachodnich. 5) Najwierniejszy przyjaciel i towarzysz Napoleona I. 6) Osada gór. n. Czarną Pszemszą. 7) Rzpl. w połud. Ameryce. Sylaby: Ber—be—biasz—bo—bro—cheł—da—em—li—ma—nard—mno—ra—tle—ton—to—wa—wia.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 35-go

Szarady: Mat — ka.

Łamigłównki w kwadracie:

O r t e l e s
O d e n s e e
T r y t o n y
F r a n c y a
L i g n i c a
Z a g r z e b
Ż w a n i e c

Niteczki Aryadny:

Gdzie tylko będzie zasługa prawdziwa
Świat ją odkrywa,
A kto o sobie sam trzyma najskromniej,
O tym najlepiej Bóg pomni.

Fioltek A. E. Odyńca.

Skrzynka do listów.

Orłowi karpackiemu. Czerwiec jest to owad zrzędu półpokrywych. Niektóre jego gatunki, są rzeczywiście użyteczne w przemyśle z powodu barwnika, jaki zawierają. Do takich należą żyjący w Meksyku, barwy błękitnawo-czerwonej, a wielkości około 6-10 milimetrów *czerwiec koszenilla*, dostarczająca wspaniałego barwnika, który wysuszony i sproszkowany wchodzi w skład karminu, jednej z najkosztowniejszych farb.

Skoro **Anulce** tak bardzo przykro, że robione przez nią kwiaty papierowe prędko tracą swą świeżość, możemy jej poradzić, aby w rozpuszczonej na wolnym ogniu parafinie, której na wagę dostać można nie drogo w sklepie mydlarskim umaczała prędko i zrecznie każdy wykończony już kwiatek. Pokryty bowiem cieniutką warstwą bezbarwnej parafiny papier nie traci nic na kolorze, a nabiera natomiast większej oporności nie tylko na osiadający nań pył, ale nawet na wilgoć, i kwiaty papierowe w ten sposób przysobione nadają się doskonale na bukiety do kościołów i na wianki cmentarne.

Serdeczny listek **Małej Muszki** był nam wielce miły, a tak staranne i czyste pismo jest niezawodnym świadectwem pilności i zamiłowania w porządku. Życząc więc aby te zalety Muszka zachowała na całe życie, przesyłamy jej szczere nasze pozdrowienia.

Ponieważ **Jaskółka** zaledwie powróciła do Warszawy, zatem na odpowiedź jej poczeka **Mary L.** jeszcze trochę, tymczasem przesyłamy miłej naszej korespondentce życzenia jaknajwiększych postępów w nauce, do której tak widoczne ma zamiłowanie; przyjemnie też było nam dowiedzieć się, że wakacje wesoło i swobodnie jej upłynęły.

Aleksandrowi W. „Szczęść Boże” z nowo rozpoczynającym się okresem nauk. Zapowiedzianej dalszej korespondencji oczekiwac będziemy.

List i robotkę konkursową **Olgi N.** otrzymaliśmy, oraz spódniczkę roboty jej kuzynki **Anny Ł.**, która jako 15-to letnia panienka, liczy się u nas już do „staruszek” stojących poza konkursem; Nie mniej jednak uznajemy ten dowód pamięci o biednych dzieciach.

Łamigłównki jakie nam **Zielony listek** przesał przejrzymy i mamy nadzieję, że jeżeli to są pierwsze jego w tym rodzaju próby nie będą ostatnimi. Chętnie też poznaliśmy bliżej milego czytelnika, kryjącego się pod skromnym pseudonimem **Zielonego listka**.

Z największą chęcią przyjmujemy **Góralkę** do grona naszych stałych korespondentów, tymwięcej, że już pierwszym swym listem jaknajlepiej usposabia nas dla siebie. Ułożone łamigłównki przejrzymy, zachęcając do dalszych prób w tym rodzaju jako do rozrywkę przyjemnej, a dla umułu pożytecznej.

Tadzio W. słuszną robi uwagę, że lato tegoroczne niezwykle było burzliwe, my zaś dodajemy, że nie tylko u nas; leczne bowiem szkody wyrządziły burze również w innych krajach Europy. Jeżeli wszakże niema zapewne człowieka, któryby zupełnie obojętnie był świadkiem tego potężnego zjawiska w naturze, jakimi bywają błyskawice i grzmoty, towarzyszące uderzeniom piorunów, nie powinuśmy podawać się chorobliwej obawie, która często w śmieśność przechodzi, a nad którą wcześniej zapanować potrzeba.

Własnego układu łamigłównki nadesłali: **Czarny rycerz, Marylka, Władzio, Aleksander W., Stały czytelnik i Prządka** — dobre zaś rozwiązania; **Smok, Orzeł Karpacki, Zochna, Warszawianka i Emilka Z.**



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

Modlitwa wieczorna.

Bądź pochwalony Boże, Ojcze z Nieba!
Pracowałam, igrałam, teraz spocząć trzeba;
Ale nim do snu zamknę swe powieki,
Dzięki i chwała Ci, Boże, na wieki.

Dzięki za wszystkie twe dary i łaski!
Dzięki za słońce, za ptaszki, za kwiaty,
Za dzionek w takie rozkosze bogaty!...
Ale już oto zgasły jego blaski.
Oto noc cicha już na ziemię schodzi,
I za nią dzięki złożyć Ci się godzi,
Bo śród jej mroku Ty nas strzeżesz, Boże,
I małe dziecię spać bezpiecznie może

Życie w tysiączone ty mi zdobisz wdzięki;
Tyś mi dał ojca, matkę i rodzinę,
Bo wszelkie dobro płynie z Twojej ręki,
Boś Ty sam dobro najwyższe, jedyne!
Blask to dobroci Twojej rozpromienia
Tak cudnie moich rodziców spojrzenia.
Twoja to miłość tak mię pieści czule,
Gdy się do drogich piersi ich przytulę!

Lecz gdy mi dajesz szczęście i wesele,
Są, słyszę, inni bardzo nieszczęśliwi,
Którym łez gorzkich płynie wiele, wiele,
A radość nigdy duszy nie ożywi!
Są oczy, którym światło dnia nie znane,
Są smutne serca, nigdy nie kochane,
Są chorzy, głodni i nadzy, i tacy
Co i przytulku nie mają biedacy!

Są i sieroty, mówią mi, na ziemi!
O jakże szczyrze boleję nad niemi!..
Biedne! bez matki!.. O Boże dobroci!
Ach, niechaj moja maie nie osieroci!..
Im zaś sam ojcem bądź, mój Boże miły!
Niech w Twej opiece rosną na Twą chwałę!
Smutnym pociechę, znękanym daj siły,
Chorym wróć zdrowie, a posil zgłodniałe!

Teraz się tylko modlić mogę za nie,
Lecz, jak wyrosnę, dozwól mi o Panie,
Abym z miłością w pomoc im spieszyła,
Bym ratowała, karmiła, cieszyła,



Nie zapomniała w żadnej życia chwili,
Żeś ty nas stworzył na to, byśmy Ciebie,
Znali, kochali i w każdej potrzebie
Bliźnim swym służąc, Tobie w nich służyli.

A dziś o Boże, przed którym niczyje
Uczucie, ani myśl się nie ukryje,
Jeślim zbłądziła, niech Cię żal mój wzruszy.
A bądź miłościw młodej mojej duszy!
Odpuść mi Ojcze! wzmóż me dobre chęci,
Bym wzrosła w rozum i cnotę bogata,
By mojej duszy czysta, biała szata
Miłą Ci była jak anieli święci!

Adam Pług.

STO LAT TEMU NAD NILEM.

(Dalszy ciąg).

Aleksandrya, założona przez wielkiego zdobywcę macedońskiego, nie przedstawiała już w onej chwili dawnej swej świetności. Wielkie jej gmachy leżały w ruinach, a Turcy, zamożni Egipcyanie i kupcy europejscy, mieszkali w nowożytnem mieście, gdy w zwaliskach starożytnego grodu gnieździł się Arabowie. Szeroki wszakże mur opasywał zarówno stare jak nowe miasto, a dokoła niego zalegały piaski, które w Egipcie wszędzie posuwają się naprzód, gdzie tylko cywilizacja się cofa.

Chociaż Arabowie i Turcy gęsto sypali ogień, Francuzi po drabinach wdarli się na te mury forteczne, przyczem generał Kleber ugodzony został kulą w czoło, co go zmusiło do względnej bezczynności przez czas jakiś. Wielką też śmiałością i mężstwem odznaczył się dnia tego młody Sułkowski, adjutant Bonapartego, zyskując wyróżnienie ze strony wodza.

Tymczasem wojsko francuskie wypierało Arabów od zwalisk aż do nowego miasta, i walka miała się już zamienić w rzeź, gdy jeden z wziętych do niewoli dowódców tureckich posłużył za pośrednika do układów.

Bonaparte oświadczył, iż nie przychodzi niszczyć kraju ani go wydrzeć sułtanowi, a tylko wyzwolić go z pod przemocy Mameluków. Dodał przytem, że władze istniejące zostaną utrzymane, że obrządy religijne odbywać się mogą jak dawniej, a własność każdego będzie szanowaną.

Ustał więc zaraz opór i Francuzi tegoż dnia jeszcze zostali panami Aleksandryi, której mieszkańcy nie mogli dosyć podziwiać karności i porządku, w jakim główny generał umiał utrzymać swego żołnierza.

Nie trudno było Bonapartemu, znającemu wewnętrzną stan kraju, utworzyć sobie program polityki, jaką tu zastosować należało.

Jako główne więc zadanie postawił zniszczenie władzy Mameluków, którzy zawsze byli nieprzychylni interesom francuskim i gnębili kraj cały.

Szanując zaś żywioł arabski i szejków, głaszcząc ich starą dumę, pochlebając tajemnej ich nadziei wskrzeszenia ojczyzny, mógł zapewnić sobie panowanie nad krajem i przychylność jego mieszkańców.

Tą też myślą i duchem przejęte były odezwy, które w języku arabskim rozrzucono po kraju.

Pośpiech w działaniu okazywał się ze wszech miar koniecznym, to też 6-go lipca wyruszyło już z Aleksandryi wojsko, które po zostawieniu jednej załogi na Malcie, a drugiej w tem mieście pod rozkazami Klebera, liczyło teraz około 30 tysięcy.

Przed odejściem, Bonaparte zwołał jeszcze dywan czyli radę przedniejszych szejków, aby zasięgnąć i udzielić wskazówek co do rządzenia krajem.

Teraz głównym celem wyprawy był Kair, jako środkowy punkt siły Mameluków. Dwie były drogi, prowadzące tam z Aleksandryi, jedna, przez kraj zamieszkały między morzem a Nilem, druga krótsza i prostsza, lecz przez pustyń Damanhur.

Bonaparte nie wahał się wybrać krótszej. I gdy wojsko szło wśród piasków, flotylla szalup płynęła równocześnie wodami Nilu.

Ale skoro armia znalazła się na tej płaszczyźnie bez granic, wśród przelewającego się pod nogami piasku, gdzie w braku jakiegokolwiek cienia, żar słońca palił głowy, a oko widziało przed sobą tylko pusty bezmiar, albo złudne fatamorgana, drażniące zmysły zielenią lasów i isniące powierzchnią wód; gdy poczęło dokuczać straszne pragnienie, którego nie było czem zaspokoić, wszystkie bowiem studnie po drodze znajdowano zasypane przez Arabów, których nie-

kiedy pojedyncze hufce przesuwają się zdala, lub czyhały za zaspami piasków, by mordować opóźnionych — wtedy rozpacz ogarnęła nawet najodważniejszych.

I Bonaparte widział, jak waleczny Lannes i Murat w rozpacz zrywali z głowy swe kapelusze i rzucali je na piasek, depcząc nogami, w chwili kiedy przybywszy do studni Beda i Berket znaleziono je zasypanemi, a do ostatka wyczerpani żołnierze padali martwi w okolo.

Wreszcie 8 go lipca stanęła armia w pewnej osadzie.

Obiecywano tu sobie wygodny spoczynek i obfitość żywności. Niestety, znaleziono tylko nędzne szałaszy, bardzo niedostateczną ilość brudnej cuchnącej wody, i zamiast chleba, trochę soczewicy

Lecz obecność wielkiego wodza, dzielącego na równi ze wszystkimi wszelkie trudy i znoje, nakazywała milczenie. Nawet wesołość poczęła się objawiać w armii, i przywiązany do swego wielkiego generała żołnierz nie jego winił o znoszoną niedolę, lecz gniewał się nauczonych, których widział zajętych badaniem kraju, szperaniem w najdrobniejszych zwaliskach, i żartował, że dla ich jedynie przyjemności wszyscy tu przybyli.

Szczególniej Caffarelli, łączący do swej waleczności ciekawość badacza, był w ich oczach człowiekiem, który zawinił najwięcej, bo oszukał generała, wciągając go tej odległej krainy.

— Ale on sobie drwi ze wszystkiego — mówili — stoi przecież jedną nogą we Francji.

Zdarzyło się, iż sam Bonaparte, odsunawszy się nieco od głównego sztabu, został nagle z kiku zaledwie oficerami, otoczony przez oddział Beduinów i tylko cudem uszedł niebezpieczeństwa. Na prośby jednak, by nie nurażał się więcej w ten sposób, rzekł wesoło:

— Nie jest napisane tam w górze, abym zginął, jako jeniec arabski.

Dnia 10-go lipca, po czterodniowym pochodzie przez puszcze, stanęła wreszcie armia u brzegów Nilu w Ramanich.

Na widok wody tyle pożądanej, żołnierze rzucili się do rzeki, i po orzeźwiającej kąpieli zapomnieli prędko o przebytych trudach.

Ale drobny oddział Mameluków, który ukazał się w pobliżu, był zapowiedzią rychłego spotkania z wojskiem nieprzyjacielskim.

I w rzeczy samej waleczny, Murad-Bej, jak tylko dowiedział się o wtargnięciu Bonapartego do Egiptu gromadził swe siły około Kairu, starając się przez wysyłane pojedyncze hufce, poznać nieco skład francuskiej armii.

Doczekawszy się wreszcie przybycia floty, ruszyli Francuzi z Ramanich do Chebreis, gdzie Murad-Bej stał gotowy do walki.

Zaatakował on najpierw flotylę, która wyprzedziła armię, lecz stawiła ona silny opór. Z wielką odwagą oficer marynarki Perrée, wspierany przez kawalerzystów, (którzy, w nadziei zdobycia pięknych wierzchowców arabskich, przybyli tu bez koni i płynęli teraz wodą,) odparł nieprzyjaciela, zabierając mu dwie szalupy. Niebawem nadeciągnęła cała armia...

Bonaparte uszykował wojsko w pięć czworoboków, w środku których umieścił pakunki i sztab.

Gwałtowne natarcie jeźdźców mameluckich wytrzymało wojsko francuskie ze spokojem fortecznego muru. Więc Murad-Bej po znacznej stracie cofnął się pod Kair.

Drobna ta potyczka wystarczała Bonapartemu do obrania taktyki, jakiej się trzymać należało wobec nieznanego mu dotychczas nieprzyjaciela.

Ciągnięto więc dalej wybrzeżem ku Kairowi.

I teraz jeszcze trudy wywoływały czasem wśród wojska ciche sarkania, choć ogólnie powrócił dobry humor i dawny zapal wojenny.

Nawet uczeni zyskali powszechny szacunek w żołnierzu, który patrzył pod Chebreis na białe kio męstwo Mongea i Bertholeta.

Na spoczynkach, zając w braku chleba soczewicę, opowiadano sobie powieści z „Tysiąca i jednej nocy” w nadziei znalezienia w Kairze wszystkich opisywanych tam bogactw.

Tymczasem Murad-Bej zgromadził już całą swą siłę składającą się z 10 tysięcy Mameluków, tyluż zbrojnych Felachów oraz kilku tysięcy jańczarów udzielonych mu przez paszę, który mimo listu Bonapartego dał się przeciągnąć na stronę swoich ciemiężców.

Kair leży na prawym brzegu Nilu, a Murad Bej rozłożył się obozem po przeciwnej stronie, na obszernej płaszczynie, ciągnącej się między rzeką a piramidami Giseh, najwyższymi w Egipcie. Tu znajdowała się wioska Embabeh, otoczona na prędce prostym okopem, poza którym umieszczono działa.

24 tysięcy Felachów i jańczarów miało się tam bić z uporem zwykłym u Turków, gdy znowu między rzeką, a piramidami, stało 10 tysięczne wojsko Mameluków, obok zaś kilkotsięczna jazda Beduinów, czyhających na rabunek w razie zwycięstwa.

Mniej waleczny i do wygod nawykły Ibrahim-Bej stał na drugim brzegu Nilu z 1,000 Mameluków, z żonami, niewolnikami i wielkimi bogactwami, gotów każdej chwili szukać schronienia w Syrii, w razie pogromu.

Wraz ze wschodem słońca dnia 21-go lipca, armia Bonapartego, podszedłszy pod Kair ujrzała za rzeką: wysmukłe wieże minaretów stolicy, naprzeciw siebie nieprzyjaciela, a na prawo, wśród pustyni, olbrzymie piramidy.

Na widok tych odwiecznych pomników zaginionej wielkości, wstrzymała pochód, przejęta ciekawością i podziwem.

Twarz Bonapartego promieniała wielkim zapałem. Jądcąc galopem przed szeregami, wskazywał na piramidy wołając:

— „Zołnierze, czeka nas walka! Pamiętajcie, że z wysokości tych piramid 40 wieków spogląda na was!...

Szybkim krokiem zbliżano się do nieprzyjaciela, błyszczącego od złota i stali.

(d. c. n.)

W OBŁOKACH I POD WODĄ

WYPRAWY „LATAJĄCEJ RYBY.”

opisał H. C.

(Ciąg dalszy).

— Dostyc — dodał profesor po pewnym czasie — wskazówka dosięgła zera. Okręt twój, sir Reginaldzie, doszedł do możliwej lekkości i gdyby pod nim znalazł się człowiek, mógłby ciężar jego unieść na ramionach. Teraz z kolei mamy najtrudniejsze do spełnienia zadanie. Niech każdy z was zajmie wyznaczone mu na pokładzie stanowisko!

Towarzysze profesora pospieszyli na wskazane miejsca a Karliński przez otwarte okienka kajuty, usłyszał wnet głosy:

— W tyle okrętu wszystko gotowe — wołał pułkownik.

— Na przodzie jesteście w porządku — wtórował porucznik.

Profesor zachował dla siebie puszczenie w ruch maszyn; stopniowo dodawał pary i niebawem główne koło rozpędowe robić zaczęło sześćdziesiąt obrotów na minutę.

W skutek gorączkowego wyczekiwania stanowczej chwili, krople potu występowały na czole Karlińskiego.

— Wiwat! — zawołał wreszcie porucznik — okręt się porusza.

— I w tyle już ruch widoczny — dorzucił pułkownik.

— Wiwat! podróż rozpoczęta! — przywócił baronet. „Latająca Ryba” ruchem powolnym wysunęła się, a raczej wyleciała poza ogrodzenie fabryczne.

— Skoro wyminieliśmy szczęśliwie najbliższe przeszkody, utrudniające pierwsze poruszenie statku — rzekł profesor, zwracając się do sir Reginalda — należy zagasić światło lampy, które mogłoby na nas zwrócić uwagę przechodniów. Gdy niebawem szybszy ruch maszyny zepchnął statek z łądu na powierzchnię rzeki, Karliński jednym obrotem koła skierował parę w kanały boczne i po pewnym czasie, olbrzymi okręt zaczął zwolna unosić się w górę. Kiedy wzniósł się już ponad najwyższe kominy fabryk, stojących po obu brzegach Tamizy, wówczas profesor wyszedł na pokład i zapytał baroneta z nietajonem zadowoleniem, co myśli o „Latającej Rybie?”

— Myślę, że to jest nadzwyczajne dzieło, a raczej profesorze, że ty jesteś nadzwyczajnym człowiekiem. Widzę, iż wznosimy się w powietrze, a nie mogę dotąd pojąć rzeczywistości tego faktu. Zdaje mi się, że to sen ułudny, nie dowierzam bowiem, że jestem świadkiem nowego tryumfu nauki. Przekonałeś mnie jednak, że nie możemy dłużej wątpić o powodzeniu twego przedsięwzięcia i obok powinszowań składam ci za to najszczerze podziękowanie.

Pułkownik i porucznik w równie gorących słowach wyrażali uznanie podziwu dla dzieła i wdzięczności dla jego twórcy, przypatrując się jednocześnie z ciekawością widokom, przesuwanym się w dole.

Dostrzedz ich jednak wyraźnie nie mogli, gęste chmury przeciągały po niebie, a księżyc w ostatniej kwadrze nie wszedł jeszcze. Na ciemnym tle krajobrazu odbijały sznurkiem świetlanym latarnie, palące się na ulicach Londynu, a w miarę jak statek wznosił się wyżej w powietrze, całe miasto czyniło wrażenie wypukłej mapy, z konturami nakreślonymi ognistymi płomykami. Uszu podróżnych dochodziły różne niezgodne głosy: turkot ładowanych wozów, wagonów, szczerkanie czujnych psów, pianie kogutów, dźwięk dzwonek kolejowych na stacjach, świst lokomotyw, wszystkie te odgłosy słyszeli z zadziwiającą zrazu wyrazistością, słabły one dopiero w miarę jak „Ryba” wznosiła się coraz wyżej w powietrze. Gdy podróżni dosięgli chmur, przeciągających nad miastem, uczyli przejmujące zimno.

— Teraz — oświadczył profesor — póki statek nie zacznie na nowo spuszczać się ku dołowi, nie będziemy mieli nic ciekawego do oglądania, proponuję zatem, iżbyśmy zamknęli się w kajucie sterniczej i tam wypróbowali siłę wzbijania się w górę „Latającej Ryby.”

— Zgoda! — zawołał baronet — tylko dla czego zalecasz profesorze zamknięcie się w kajucie?

— Dlatego — odparł profesor — że nie tylko w miarę podnoszenia się w górę zimno coraz dotkliwiej odczuwać będziemy, ale jeszcze coraz trudniej oddychać nam przyjdzie rozrzedzonym powietrzem.

Idąc tedy za radą Karlińskiego, podróżni weszli do kajuty, drzwi i okna szczelnie zamykając. Następnie profesor puścił parę w kanały i statek szybko unosił się w górę, co sprawdzić można było na barometrze, zawieszonym na zewnątrz kajuty.

Lubo zimno nie łatwo przedostać się mogło do starannie opatrzonego przedziału, z chwilą gdy barometr pokazał 10°, podróżni doświadczać zaczęli przykrego uczucia chłodu, a na okienkach wystąpił gruby szron lodowy. Ciągłe, choć wolne wznoszenie się barometru świadczyło, że statek podnosił się coraz wyżej, z każdym zaś stopniem profesor okazywał większe zadowolenie z pewną domieszką niepokoju. Gdy barometr stanął na 15°, Karliński nie mogąc dłużej ukrywać radości swojej, zawołał:

— Cieszcie się wraz ze mną, panowie; zdobyliśmy możliwość zwiedzania najwyższych szczytów górskich. W obecnej chwili dosięgliśmy wysokości wierzchołka góry Ewerest, to jest najwyższego znanego punktu na powierzchni ziemi. W niedalekiej przyszłości stąpać będziemy po miejscowo-

ściach, gdzie dotąd noga ludzka nie powstała i z bogacimy wiedzę owocem doświadczeń naszych.

Wkrótce merkuryusz stanął na barometrze; dowodziło to, że „Latająca Ryba” dosięgła najwyższego punktu wlotu. Profesor przypatrywał się temu czas dłuższy, a potem zawałak:

— Jesteśmy świadkami ciekawego faktu; barometr wskazuje, że znajdujemy się w większej odległości od matki ziemi, niżeli był dotąd którykolwiek z jej mieszkańców. Humboldt i Bonpland wzniesli się na Chimborasso do wyso-



Małpeczka upiór.

kości 8,576 stóp. Gay Lussac, dosięgnął balonem do 23,000 stóp; prześcignął go Anglik Green, który wznosił się na 27,600 stóp. My jednak posunęliśmy się znacznie wyżej; znajdujemy się na niebywalej wysokości 34,600 stóp, czyli w prostopadłej linii jesteśmy sześć i pół mili (angielskiej) nad poziomem morza.

— Ale nie na tem koniec musimy teraz doświadczyć raczości naszej „Ryby” w szybowaniu po powietrzu, a następnie przekonać się jak też zanurzać się będzie pod wodą — rzekł Karliński. — Największa głębina w kanale La Manche przypadająca w miejscu zwanem „Herd Deep,” wynosi 564 stóp. Proponuję, abyśmy żeglując w powietrzu, dosięgli tego punktu, a tam opuścili się na dno morskie.

Zgodzono się chętnie na tę propozycję, a profesor zajął się zaraz jej wykonaniem. Wyjął z szafy mapę kanału La

Manche, wskazując zaś na niej miejsce, gdzie zatrzymać się mieli, prosił porucznika, aby zmierzył odległość i wytknął prostą linię drogi. Odległość ta została obliczona na 150 mil angielskich.

— Przy sprzyjających warunkach atmosferycznych — rzekł profesor — przestrzeń tę powinniśmy przebyć w pięć kwadransów, ale szybkość jazdy wymaga iżbyśmy pozostali w kajucie. chyba że dla przyjemności oddychania świeżem powietrzem przekładacie wolniejszą jazdę.

Uchwalono pozostanie w kajucie dla przekonania się o możliwej szybkości statku. Profesor zatem wzmógł ruch maszyny, zwrócił przód okrętu w kierunku wybranym a następnie otworzył kanały dla wpuszczenia do nich powietrza, co spowodowało stopniowe obniżanie się „Latającej Ryby”.

— Zostajemy na wysokości 1000 stóp nad powierzchnią morza — tłumaczył Karliński — przywróci nam to znośną dla płuc temperaturę i dozwoli rozejrzeć się po okolicach jakże przebywać będziemy. Góra „Leith Hill” 967 stóp wysoko, jest punktem najwyższym na naszej drodze; wyminiemy ją w odległości trzech mil, ponieważ zaś wzgórze św. Katarzyny, nad którem koniecznie szybować nam przyjdzie, ma tylko 775 stóp wysokości, przeto nie potrzebujemy w tym względzie obawiać się niczego.

W kilka minut później „Latająca Ryba” spuściła się do wskazanej przez profesora wysokości nad ziemię, a przez obtarte starannie ze szronu okienka widać było księżyc, którego bladawe światło dozwalało podróżnym zauważyć szybkość z jaką statek mknął nad lądem. Prędki ruch maszyn dokonywał się bez najmniejszego hałasu i nawet główne koło rozpedowe nie wywoływało najlżejszego wstrząśnienia, lubo jego warczenie dochodziło do kajuty.

Okrażono wkrótce „Leith Hill” i podróżni dosięgli kanału, którego wody świeciły srebrnym połyskiem w promieniach księżyca. Przesunęli się niepostrzeżenie ponad wyspą Wight; statek pruł powietrze, unosząc się nad morzem.

Tymczasem brzask od wschodu rozjaśniał widnokrąg na wodzie; okręty i parowce gasiły już lampy sygnałowe, a w chwili gdy podróżni nasi dosięgli oznaczonego punktu i statek swój spuścili lekko, niby płatek śniegu na wody kanału, słońce zajaśniało w całym blasku, oświecając niebo i ziemię, i złotymi promieniami swemi budząc ze snu całą naturę.

— Tak, jak to z góry zapowiedziałem — odezwał się profesor, spoglądając na zegarek — w pięć kwadransów przebyliśmy przestrzeń 150 mil angielskich. Teraz puścimy w ruch pompę wodną, a gdy statek zacznie się zanurzać w głąb morza, łagodny zmrok zastąpi nam olśniewające światło słoneczne. W chwili obecnej krążą dokoła nas łodzie rybackie i nie wątpię, że zwróciliśmy na siebie uwagę latarnika w „Casquets.” Nie wypada nam zagłębiać się w wodę pod okiem tych ludzi; wywołałoby to trwogę i przypuszczenie jakiej złowrogiej katastrofy. Tymczasem możemy dla odetchnięcia świeżem powietrzem poranku, możemy wyjść na pokład lub użyć przyjemnej morskiej kąpieli. Pierwej jednak zatrzymamy ruch maszyny; pompa napełniająca z wolna statek wodą, dokona jego zatopienia tak stopniowo, że będzie to mogło ująć uwagi znajdujących się w pobliżu ludzi.

(d. c. n.)

MALPECZKA-UPIÓR.

Do ciekawych i nadzwyczaj oryginalnych okazów świata zwierzęcego, zaliczyć wypada drobne, bo zaledwie 17 cm. mające stworzonko, które należąc do wielkiego działu małp, a właściwie *malpozwierzy*, otrzymało od krajowców wysp Malajskich, będących jego ojczyzną, odstraszaające miano *upiora*.

A jednak jest to zwierzątko zupełnie niewinne, łagodne nawet i, jak stwierdzono, łatwo dające się oswoić, gdyż już

w stanie dzikim okazuje tak mało lekkości, że z zarośli, w których żyje, skacze na ramiona człowieka, jakby się garnęło do jego pieszczot.

Tylko wygląd tej drobnej małpeczki jest dziwnym i niemilym. Przedewszystkiem rażą u niej olbrzymie stosunkowo oczy o ciemno żółtej barwie, które błyszczą w ciemności fosforycznym blaskiem, a zajmując większą część twarzy, zostawiają zaledwie trochę miejsca na krótki, spiczasty nossek i przecięcie ust, co nadaje jej pewne podobieństwo do sowy. A o ile nieproporcjonalnie wielkie są te oczy, tak brak też harmonii w budowie całego ciała — bo jak to łatwo stwierdzić na załączonej rycinie, małpeczka - upiór ma znacznie dłuższe łapki tylne od przednich, na których skacze niby australski kangur, i ogon na 24 cm. długi, zakończony puszystą, żółtawą kiścią włosów. Ogon ten wszakże nie jest chwytnym jak u innych małpozwierców, lecz opada na dół. Zarówno zaś tylne jak przednie nogi zakończają długie palce opatrzone jakby brodawkowatymi poduszczkami, podobne do tych jakie się znajdują na łapkach żaby drzewnej.

Ruchliwe to i zwinne zwierzątko, żyjące parami a dość rzadko napotykanie, pokrywa sierść puszysta, miękka, koloru ciemno-brunatnego na grzbiecie, a żółtawosiwego pod spodem. Nad czołem sterczą małe czerwone uszy.

Nie zostało jeszcze dokładnie zbadaniem, co służy za pożywienie naszej małpeczce, i gdy jedni przyrodnicy twierdzą, iż jest wyłącznie roślinożerną, inni utrzymują, że żywi się również owadami, żabami i jaszczurkami, a tę niepewność tłumaczy nam sposób jej życia, gdyż we dnie kryjąc się w dziuplach drzew, nocą dopiero wychodzi na żer.

Dla tego też podobnie jak sowa, ma tak ogromne oczy, które zdaleka robią wrażenie okularów.

Pieszko przez Atlantyk.

(Rycina na str. 304).

Kapitan Wilhelm Oldriewe z Bostonu ma zamiar przebyć ocean Atlantycki pieszko aż do Hawru, a stamtąd po Sekwanie także pieszko do Paryża. Towarzyszyć mu będzie w tej nadzwyczajnej wyprawie kapitan Andrews na malej

swej łódce żaglowej, na której już dwa razy w 1887 i 1892 roku odbył tę przeprawę.

Na pozór wydaje się to żartem, a jednak kapitan Oldriewe w istocie umie chodzić po wodzie, a skutecznością to dzięki wynalezionym przez siebie butom.

Buty te długie na półtora metra, zrobione są z drzewa cedrowego i posiadają wyżłobienia, w które wsuwają się nogi przez odpowiednie otwory, szczerlnie do kostek przylegające. Unoszą one na wodzie 140-sci funtów ciężaru, a że śmiały kapitan waży tylko 130 funtów, czuje się więc w nich zupełnie bezpiecznym, nawet wśród wzburzonych fal morskich i nieraz już odbywał dłuższe wycieczki przy wybrzeżach amerykańskich.

Chód jego jest właściwie ślizganiem się ze szczytu fali w dół i spokojne oczekiwanie na nową falę, po której znów się ześlizguje. W ten sposób, nie męcząc się bardzo, przebywać może wielkie przestrzenie. Łódź towarzysza będzie mu służyła za sypialnię i jadalnię.

O losach tej wyprawy nie omieszkamy zawiadomić czytelników Wieczorów, tymczasem podajemy wizerunek kapitana i jego nadzwyczajnych butów.



Piramida i sfinks.



Dręczeni pragnieniem żołnierze nad zasypanymi studniami.

Marya Łopuszańska.

OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg).

Bo też były to czasy straszliwego rozpasania się namiętności na Zachodzie Europy. Ludność, na pół do jero okrze-

sana z barbarzyństwa, przechodziła właśnie epokę wielkiego rozstroju, któremu daremnie silono się tamę położyć, bo złe osiągało wszędzie, jak zgnilizna, szerząc się bezkarnie. Ale teatrem największych bezpraw stały się Włochy. Mimo-wolna groza przejmując na widok występków mnożących się wówczas tam zuchwale w świetle słonecznym. Rozbój, grabież, zbrodnie, otrucia były na porządku dziennym. Nie dziw też, że gdy przyszedł rok tysięczny, ludzie ze strachem oczekiwali skończenia świata, sądząc, że Bóg nie może ścierpieć dłużej widoku ludzkich występków, przybierających tak wielkie rozmiary. Ale gdy przeminęła owa groźna epoka i trwo-ga się uspokoiła, powrócono znów do dawnych bezpraw i z większem może jeszcze zuchwalstwem. Wielkie zamiary reformy obyczajów powzięte przez cesarza Ottona III-go oraz papieża Sylwestra, dawnego jego nauczyciela, legły w grobie wraz z nimi, a obok tego jeszcze może niejedna myśl, dotycząca niektórych państw północnych. Cesarz bowiem nosił się z zamiarem stworzenia z nich sobie wier-nych sprzymierzeńców i wasali, na których w każdej chwili mógł polegać, a potrzebował takich dla przeprowadzenia swego olbrzymiego przedsięwzięcia — odtworzenia państwa rzymskiego, jak to było jego marzeniem. Olsniony tem świe-tnem widmem, działał on w ten sposób, jak mu nakazywały jego widoki, nie mając na względzie interesów wiary Stolicy Apostolskiej, w duchu których postępował Sylwester. Papież bowiem pragnął zrobić z Lechii i Czech państwa niezależne od cesarstwa germańskiego, a tylko podlegające stolicy rzymskiej.

W kilka lat potem i cesarz i papież spoczęli w grobie; na tron cesarski wstąpił Henryk II, który zaraz na wstępie znalazł we Włoszech przeciwnika w osobie Arduina, margra-biego Yvres, zowiącego się królem lombardzkim.

Z nim to dotychczas nie mogąc podolać, cesarz posyłał wojsko do Włoch, które okropnie ucierpiało od tych zamieszek wewnętrznych, bo ani jedna ani druga strona nie żałowała kraju. Szerzyło się więc spustoszenie dokoła, wioski i mia-steczka pustoszały, a Arduin wciąż się trzymał i nie chciał uleść władzy cesarskiej.

Z drugiej strony, sycylijscy Arabowie częste czynili napaści na południowe wybrzeża, na których znajdowały się miasta kwitnące, i których wąski skrawek pozostał jeszcze przy cesarstwie greckiem, wraz z Neapolem i miastami przy-ległemi, pod imieniem Sycylii; bo Grecy, chcąc się pocieszyć po utracie rzeczywistej Sycylii, chcieli być przynajmniej pa-nami jej cienia.

W takich to czasach, drogą wiodącą z Neapolu do Monte-Casino, kroczyła gromadka pielgrzymów polskich.

Uznojone ich czoła, krok niepewny, zakurzone odzienie świadczyły o uciążliwej podróży. Orszakowi przewodniczył Scibor z Żarnowca, oraz przydany mu za tłumacza braciszek z Międzyrzecza; za nimi postępowało grono służby uzbrojo-nej. Oblicza ich wynędziałe, zapadnięte policzki wykazy-wały aż nadto, że głód a omze niewola towarzyszyły ich da-lekim wędrowce.

Przybywali z oddalonej północy, i zamiast napawać się widokiem czarującej natury południa, na wstępie zaraz ude-rzeni zostali obrazem rozpasania, mordów i krwi, w której broczyły nieszczęśliwą Italię najeźdnicze hordy. Nierzadko oni sami stawali się ofiarami, ale zawsze cel święty ich po-dróży ocalał ich i zdawał się czuwać nad ich krokami.

Wreszcie oczom ich zarysowały się w oddali niebieskawe czoły gór i wkrótce doszli do leżącej u stóp ich małej osady an Germano. Nieliczni jej mieszkańcy obojętnie przypatrywał się kroczącej gromadce, która też nie zatrzymując się, poczę-ła powoli wdzierać się na strome urwiska gór, gdzie u same-go szczytu wznosił się wyębiony czworobok klasztoru Monte-Casino.

Tu już u tego przybytku spokoju i modlitwy kona-ły wszelkie odgłosy walki i zapasów ludzkich; a kiedy mały orszak dotarł wreszcie po drodze nad przepaścią do murów klasztoru, z za mgieł przesłaniających, wyłoniły się przed

nim potężne masy gór, dźwigające na swych ramionach kla-sztor, otoczony murem fortecznym.

Scibor stanął w zdumieniu.

Przed nim, nad nim i pod nim występowały szczyty gór, zwieszały się urwiska i złomy w kształtach olbrzymich, wpół ukrytych pod zielenią bukszpanów...

Daleko, daleko tonęło oko w tych masach, a kiedy wkońcu ukośny promień zachodzącego słońca przedarł z po-środka piętrzących się obłoków, szczyty gór, klasztor, białe fale obłoczne, utworzyły jeden obraz nadpowietrzny, zaświa-towy.

W tej chwili rozległ się dzwon na Angelus, Scibor a za nim jego orszak, padł na kolana, twarzą dotykając za-pylonych progów klasztoru. Czyste, chłodne powietrze gór-skie, modlitwa a może i myśl, że dotarli wreszcie do kresu podróży, orzeźwiły biednych pielgrzymów i z otuchą zadzwoni-li u bramy. Ciężko okute drzwi zaskrzypiały, a gdy brat furtyan otworzył je, znaleźli się w czworokątym podwór-cu, ze wszech stron opasanym zębatego murami i strzelnicami; bo w owej epoce klasztorzy musiały się nieraz bronić od napałów.

Klasztor Monte-Casino najstarsze schronienie Benedy-ktynów, założony przez samego twórcę zakonu św. Benedy-кта, stoi na wyniosłej górze, na miejscu zburzonej w VI-ym wieku świątyni Apollina. Częste trzęsienia ziemi, prze-kształciły go obecnie, ale w opoce owej klasztor był budowlą podobniejszą raczej do twierdzy, w której można się było bronić przez lata całe. Położony na wyniosłym i niedostę-pnym niemal szczycie, warowny i zbrojny, od niepamiętnych czasów budził uszanowanie, zmieszane z pewną bojaźnią we wszystkich hordach przeciągających przez Włochy rozmaite-mi czasami.

Powagą też i spokojem wiało od tych murów, odgłosy burzy milkły u ich stóp i nie zakłócało ciszy, wśród któ-rej schronieni tam zakonnicy w samotnych celach odławiali się naukom.

Starożytna oświata, zdeptana stopami barbarzyńców, zasypana gruzami wiekowemi, zdawała się gasnąć zupełnie, w miejscu jej zapanowała powoli ciemnota i przesady, ale ostatnie jej iskielki tlejące jeszcze w ukryciu, przechowywane starannie, miały znów zajaśnieć świetnie. Stare rękopisy, cenne zabytki, opłacane w kilka wieków później na wagę zło-ta, spoczywały teraz pokryte pyłem po klasztorach; tylko mnich w ciszy zakonnej przeglądał owe skarby, grzebiąc w pergaminach, odczytując starożytnych historyków i poetów a szczególnie ulubionego Wirgiliusza, cieszącego się osobli-wszem w wiekach średnich uwielbieniem. Więc też kiedy dokoła ryczały burze i gromy bojów, w spokojnej celi kla-sztoru zakonnik siedział nad kartą pergaminu i kopiował autorów starożytnych lub zapisywał wypadki zaszłe za jego czasów.

Dumni książęta, baronowie, rycerze, nie domyślali się nawet, że sława ich wielkich czynów leży w ręku skromnego, nieznanego nikomu mnicha, który jedynie wieś o nich prze-kazać mógł wiekom potomnym.

Oczom Scibora ukazały się przestronne, wsparte na niskich arkadach, korytarze. Posągi świętych i królów, któ-ry kiedykolwiek obdarowali klasztor, wznosiły się dokoła; grube, wyciosane z kamienia rzeźby te wprawiały jednak w zdumienie polskiego wędrowca. Nie mógł się on im na-patrzeć, zrazu nie zwracając niemal uwagi, na liczne pytania jakie mu mnich zadawał, dopiero po niejakiem chwili porozu-miawszy się z nim o ile mógł z pomocą brata Bernardo, wy-tłómaczył mu, że wiezie list z dalekiego kraju do samego przeora. Mnich wyrozumiawszy o co idzie, odpowiedział, że przeor wraz ze wszystkimi braćmi jest teraz na wieczornem nabożeństwie, a widząc, iż jeden z orszaku upadł znużony, chciał ich zabrać do refektarza. W tej chwili jednak przez otwarte drzwi kościoła rozległ się śpiew pobożny; Scibor po-ciągnięty wszedł. — Cóż za wspaniały widok uderzył jego oczy!

Głębie kościoła ginęły w półcieniu; tylko gdzieś tam na końcu płonął ołtarz pełen świec jarzących. Tu i owdzie, w tajemniczych mrokach migotały złocenia, ukazywały się bogate mozaiki bizantyńskie, których sztukę Grecy przynieśli z Konstantynopola. Matka Boża w koronie z drogiej kamieni, otoczona chórem skrzydlatych aniołów, promieniała w migotliwym blasku. Z chóru rozlegały się głosy niebiańskie, ciche, to znów głośniejsze, niby śpiew duchów błogosławionych; Scibor padł na twarz bo mu się zdawało, że jest przeniesiony do nieba.

W Polsce nabożeństwo odbywało się jeszcze z całą prostotą pierwotną, a kościoły nie mogły się równać z włoskimi. Jeden gnieźnieński zbliżał się cokolwiek do nich, lecz i tam Scibor nie słyszał nigdy śpiewu podobnego. Ta wiara wyznawana przezeń na wół jeszcze powierzchownie, po barbarzyńsku, przemocą teraz wdarła się do jego serca, na skrzydłach owych dźwięków słodkich, w atmosferze całego tego otoczenia, mającego w sobie coś uroczystego ale zarazem cichego i łagodnego. Czuł prawie obecność Boga przy sobie. Był to Bog wielki, potężny, ale i dobry... ach, jak niewystowienie dobry!

Miękkie serce Słowianina rozpyływało się w poczuciu tej dobroci i miłosierdzia, kołyszących jego istotą całą tak słodko i łagodnie...

Dawno już nabożeństwo skończyło się, przeor odszedł od ołtarza, głębie kościoła zaległy powoli mroki wieczorne, a on wciąż jeszcze kłęczał zasluchany w tony rozlegające się aż dotąd w jego duszy. Zakonnicy w milczącym szeregu przeszli około kłęzącego, ręka jakaś dotknęła lekko jego ramienia i cichy głos wyrwał go z tego błędnego zachwytu.

— Pójdź, bracie, przeor czeka na ciebie — przemówiono tuż obok.

Podniósł głowę; nad nim pochylił się zakonnik, a oblicze jego młodociane oddychało taką szczerością, że Scibor w jednej chwili przeniósł na nie część tego zachwytu, jakim go przejmowały otaczające go freski i wizerunki świętych.

Młodzieńcza żywość ruchów, pogodny, słodczy pełen wyraz niebieskich oczu coś dziecięcego, radosnego, promieniającego z tej całej postaci, tak wyróżniało ją od wszystkich twarzy południowych, przesuujących się w tej chwili około Scibora, że mimowoli czuł się pociągnięty i rozpoczął w łamanym języku opowiadać swój zachwyty. Kilka zabłąkanych wyrazów łaciny, nie wiele mogły nauczyć brata Angelo, takie bowiem miano nosił zakonnik, ale z serdeczną swą prostotą zrozumiał ten wybuch przepełnionego serca i przeprowadzając go przez wspaniałe galerie, ze szlachetną dumą pokazywał mu całą wspaniałość swojego klasztoru, który słusznie uważał za najpiękniejsze miejsce w świecie.

Od dzieciństwa, jako przybrany syn wychowany w klasztorze, uważał go za swoją ojczyznę. Wesoly jak dziecko, szczęśliwy ze swego powołania, brat Angelo nie tęsknił za niczem; klasztor był jego rodziną i światem, którego zresztą nie znał; tylko też w ukryciu i oddaleniu od świata, mogła się wyrodzić taka natura jasna i czysta. Nikt, wyjąwszy może przeora i dwóch najstarszych braci, nie wiedział skąd się wziął w klasztorze; reszta młodszych, później przybywających braci mogła tylko powiedzieć, że go już zastała. Prawdopodobnie musiał pochodzić gdzieś z dalekich krajów, co nawet oblicze jego zdradzało; włos miał jasny i oczy niebieskie. Zakonnicy kochali go bardzo, być może dla tego nieznanego pochodzenia, a bardziej jeszcze za tę naturę, dziwnie dobrą, pogodną i pełną pobożności dla drugich.

I teraz głos jego łagodny krzepił biednego wędrowca, który dopiero dobiwszy się do portu, począł odczuwać skutki tej uciążliwej podróży. Przeszli kilka jeszcze korytarzy, aż się znaleźli w celi przeora.

Przeor, starszek o twarzy łagodnej, siedział w wysokim krześle, a wzięwszy list gońca, czytał go długo. Przez ten czas, Scibor rozglądał się po celi.

Wreszcie przeor skończył czytać i spojrzął na Scibora a dostrzegłszy, że upada ze znużenia, zwrócił się do stojącego obok mnicha:

— Bracie — rzekł łagodnie — trzeba odprowadzić tego człowieka do refektarza; musi być strudzonym i zgłodniałym.

Brat Angelo skinął na Scibora, by szedł za nim. Znowu przeszli przez długie, klepione korytarze, ledwie słabo oświetlone; wreszcie otwarła się przed nimi ogromna sala refektarza, wsparta na dwóch rzędach grubych filarów.

Ściany jak w kościele pokryte były malowidłami, okna z mozaiki; gdzieś tam stał posąg świętego, wykuty z marmuru; Scibor rozglądał się ciekawie dokoła.

Kilku zakonników przechadzających się z wolna obstępowało przybywających, ale po niefortunnych próbach rozmówienia się ze Sciborem, zaprzestali daremnych usiłowań.

— Sancta Maria — ozwał się ze współczuciem, patrząc na podróżnych jeden stasuszek — jakże to straszno podróżować teraz po świecie! Rabusie, złodzieje na każdym kroku! żałuję tych co są do tego zmuszeni.

— O prawda, że straszno — potwierdził drugi. — Gdy mnie raz wielceby ojciec posyłał do Neapolu, to nacieszyć się nie mogłem znalazłszy też znowu w naszych murach spokojnych; dziękowałem też Bogu miłosiernemu, że mię raczył szczęśliwie do nich powrócić, bo straszno tam na świecie.

— Powiadają — ozwał się trzeci — że gdzieś na zamku koło Neapolu, mieszka rycerz, który każdego spotkanego zakonnika lub świeckiego zabija po długich męczarniach.

— Słyszałem coś o tem, lubo nie wiem czy tak jest w istocie — odezwał się ojciec Augustyn — wierzajcie mi jednak, że nie minie go kara Boża, jeżeli to prawda. Musieliście słyszeć o rycerzu Alberyku, który przed laty robił to samo. Żaden sługa Boży nie mógł przejść w pobliżu jego zamku, by nie zostać pochwyconym i zwyczajnie kończył życie męczeńską śmiercią... I cóż? w końcu i sam rycerz umarł w grzechach, a dusza jego po śmierci nie mając pokoju, błędziła nocą po drogach, prosząc o modły każdego napotkanego kapłana... Ja sam, który to mówię, miałem takie wydarzenie: Powracałem, będzie temu lat dwadzieścia z wioski pobliskiej od chorego, ściemniło się zupełnie, droga po górach ciężka, jak wiecie, myślałem więc o tem jak późno powrócę do klasztoru... Aż oto przechodząc koło kapliczki św. Germana, którą znacie na rozstaju, nagle słyszę za sobą głos: „Ojciec Augustynie, zmów pacierz za duszę tego, który tyłu braci twych wymordował.” Obejrzałem się; poczułem tylko jak wiatr zimny pociągnął mnie po twarzy. Drżąc, ukląknęłam i zmówiwszy trzy Ave Maria, za spokój jego duszy grzesznej, powróciłem szczęśliwie do klasztoru... I nie jeden raz późnij.

W tej chwili drzwi od refektarza otwarły się, przeciągły świst wiatru górskiego zawył po korytarzach; obecni przeżegnali się trwożliwie, lecz ujrzeni tylko przeora w towarzystwie kilku starszych braci.

Przeor wydawał się zafrasowanym; stare swe, wychudłe ręce zbliżył do żarzących się węgli; na tych bowiem wyżynach gdzie zimny wiatr górski często dotkliwie dokuczał, brasero była jedynym środkiem ogrzania się; spojrzął po zgromadzonych braciach, w końcu rzekł:

— Moi mili bracia, otrzymałem list od opata Tunii, który zajmuje wysoką godność doradcy przy potężnym królu Polanów. Król Bolesław zakłada nowy klasztor i opat Tunii prosi o przysłanie kilkunastu naszych braci, by tam zanieśli nową pochodnię światła i wiary. Od braci, którzy przed laty opuścili nasz klasztor, wiemy, iż król Bolesław jest pobożnym i światłym monarchą; duchowieństwo jego kraju ma w nim opiekuna i dobroczyńcę hojnego. Wysłał nawet w kraje ościenne, między dzicz nieoświeconą sługi Boże, aby tam nauczali wiary świętej... Tu przeor zatrzymał się, spojrzaniem jego padło na brata Angelo. Oblicze młodego zakonnika wyrażało taki gorący zapal i pożądanie świętej misji apostołstwa wiary, że widocznem było, iż tylko nawyknięcie do posłuszeństwa i pokory zakonnej powstrzymywało ten wybuch serca; usta jego drżały, oczy paliły się niezwyczajnym ogniem; powstrzymując oddech, przysłuchiwał się słowom przełożonego.

Po twarzy przeora przemknął przelotny wyraz wzruszenia, usta poruszyły się cichym szeptem modlitwy czy błogosławieństwa; i była chwila milczenia między bracia.

Przeor mówił dalej poważnie:

— Postanowiliśmy spełnić to pobożne żądanie i wysłać dwunastu braci do Polonii. Jutro, bracia mili, odprawimy na ten cel uroczyste nabożeństwo i wezwawszy na pomoc Du-

ciemnym, którym nigdy dość napatrzeć się nie mógł. Nadaremnie starał się dojść, jak to się działo, ze oczy świętych poglądały za nim gdziekolwiek się obrócił i łamał sobie nad tem głowę.

(d. c. n.)

Niebo we wrześniu.

Już jesień za pasem, a jednym z jej zwiastunów jest skracanie się ciągle dnia, do którego z początku trudno przywyknąć. Ale cóż robić! Pogodzić się trzeba z myślą, iż dnia 22 września na całej kuli ziemskiej dzień będzie równy nocy, poczem na naszej półkuli noc weźmie górę, dnia znacznie ubywać.

Ale słońce nie tylko krócej przyświecać nam będzie, lecz coraz mniejszy łuk zataczać i coraz wyżej wznosić się nad poziomem w przejściu przez południk. Wysokość jego będzie wynosiła przy końcu miesiąca tylko 35°.

W dzień św. Michała, to jest 29 września przypadnie pełnia księżyca.

Z planet najlepiej widzialnym będzie Mars; świeci on noc całą, począwszy od 10-ej wieczorem i łatwo go rozróżnić od gwiazd stałych po równym blasku i kolorze czerwonym.



Pieszko przez Atlantyk.

cha świętego, by nas oświecił, kto najgodniejszy pracować w winnicy Pańskiej, zadecydujemy, którzy z braci naszych mają się udać w tę daleką pielgrzymkę: dzisiaj prosimy was tylko, abyście na naszą intencję zmówili trzy Ave Maria, czujemy bowiem mocno, jaka odpowiedzialność ciąży na nas obecnie.

To powiedziawszy, przeor dał wszystkim swoje błogosławieństwo i udał się do siebie, rozkazawszy zawezwać brata Bernarda dla zasięgnięcia informacji; kazał także wezwać do siebie Scibora, ale pokazało się, że ten usnął w kącie na ławie i przeor nie kazał go budzić.

Scibor tymczasem przespawszy się długo siedział samotny i pozbawiony swojego tłumacza, brata Bernardo, daremnie przysłuchując się rozmowie, której nie rozumiał ani słowa, począł wreszcie znudzony przypatrywać się malowidłom

Od Redakcyi.

Po ukończeniu w dodatku powieściowym ciekawych przygód Jurasia i Anulki, mieliśmy drukować zajmującą powieść obyczajową p. Teresy Jadwigi p. t.

Powrócili.

Z powodu jednak braku miejsca, odkładamy ją na rok przyszły, a w IV kwartale r. b. damy w dodatku krótsze opowiadanie p. Julii Piaseckiej

„Wspomnienia Haliny,”

Przypominamy o odnowieniu prenumeraty na **Wieczory Rodzinne**, które pod temi samemi co dotąd warunkami wychodzić będą w kwartale czwartym.

Numer pojedynczy kop. 10. — Zmiana adresu kop. 15.

Do dzisiejszego numeru **Wieczorów** dla zamiejscowych prenumeratorów załączamy prospekt „**Gazety Polskiej**,” dziennika politycznego, literackiego i społecznego, która od 1 października r. b. będzie dawała co tydzień *bezpłatnie książkę*. Cena kwartalnie w Warszawie 2 rub. 40 kop., na prowincyi 3 r. — Warecka Nr. 14

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zlr. 1 cent. 75 (3½ korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10**

TREŚĆ: Modlitwa wieczorna, wiersz przez Adama Pługa (z ryc.) — Sto lat temu nad Nilem (z ryc.) — W obłokach i pod wodą, wprawdy „Latającej ryby,” opisał H. C. — Malpeczka upiór (z ryc.) — Pieszko przez Atlantyk (z ryc.) — Obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — Niebo we wrześniu. — Od redakcyi. — Dodatek: W lasku przez W. S. (z ryc.) — Dobra siostrzyczka, wiersz przez Helenę Bojarską. — Dług wdzięczności przez Zofię Rudnicką. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. —

Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.



W LASKU.

Zadzwoniono na południe, robotnicy porzucili zaczęłą robotę i poszli spożyć obiad, a natomiast na polankę leśną wbiegła wesola czwórka dzieci. Lasek zabrzmiał gwarem rozmów i odgłosem śmiechu. Kocio spostrzegł, że świeżo ścięty dąbczak, przełożony przez grubą kłodę może na razie zastąpić huśtawkę i zawołał na siostrzyczki, aby przyszły z nim się pobujać. Kocio jest jedynakiem więc jest dosyć rozpieszczony i lubi przewodzić. Adelcia znowu jest bardzo ładną i trochę dumną ze swojej urody, a Lodzia żywa i wesola, zdolna jest ogromnie, pyszni się, że ma zawsze najlepsze stopnie i że dwa razy prędzej od innych wszystkiego się nauczy. Natomiast Mania nie jest ani ładną, ani zdolną, jąka się trochę w mowie i uczy się z nadzwyczajnym trudem. Kocio nad nią najwięcej przewodzi, Adelcia nieraz się nią posługuje a Lodzia bierze ją najczęściej za przedmiot swych żartów. Lodzia uchodzi, zwłaszcza w swoim przekonaniu, za bardzo dowcipną, lubi wyśmiewać i przedrzeźniać, bo cóż to szkodzi, choć się tam kogo i draśnie...

— Zgadnijcie zagadkę — woła Kocio: „Nie pies, nie człek, nie owad, nie zwierzę. — A całego domu strzeże.

— To dopiero wielka mądrość! — odpowiada Lodzia — przecież od razu wiadomo, że to zamek.

— Tyś musiała znać tę zagadkę — odzywa się Mania — tak byś odrazu nie od-ga-gadła.

— Musiałam znać doprawdy? Jeszcze nie było zagadki w Wieczorach, którejbym odrazu nie rozwiązała, a zresztą przecież i ty zagadki umiesz rozwiązywać.

— Ja, nie — odrzekła Mania, nie umiem odgadywać.

— A no spróbuj — zawołała Lodzia i mru-gnąwszy na rodzeństwo, dodała: taką ci łatwą powiem, umyślnie dla ciebie:

— Największa gapa na świecie.

Jak się nazywa nie wiecie?

Imię jej pięć liter składa.

Kto z was pierwszy odpowiada?

Kocio i Adelcia wybuchnęli śmiechem.

Doskonała zagadka! — wołała śmiejąc się Adelcia, — no cóż Maniu, nie zgadniesz?

— Nie, ja nie umiem zgady-dywać — odpowiada niedomyślając się niczego dziewczynka.

— Powiedz no jeszcze jaką zagadkę dla Mani — mówi Adelcia do siostry.

Lodzias rada, że się tak dobrze udało, nie każe się długo prosić: Wymowę ma miódopłynną, Nader jest zgrabną i zwinną. Góruje wielką pięknnością i odznacza się bystrością.

Znowu zabrzmiał śmiech.

— No cóż, Maniu nie zgadniesz? — wołają dzieci, przecież Lodzia umyślnie dla ciebie ją ułożyła, no spróbuj, zgadnij koniecznie.

— Kiedy nie umiem.

— Jakto nie wiesz kto góruje pięknnością i odznacza się bystrością — mówi Adelcia, trącając łokciem Lodzie i mrugając na Kocia, króry powiada.

— Jaka ta Lodzia dowcipna!

— No, tę to już napewno zgadniesz... — woła zachęcona pochwałą Lodzia.

— Ależ nie, dajcie mi pokój, wiecie, że ja nie potrafię.

— Ależ po-po-posłuchaj:

Gdyby miała czubek — rzekłabym, że dudek.

Gdyby skrzydła miała — że to gaska biała.

Ogonkiem nie miele — więc chyba nie cielę.

Ach fartuch mnie skłania — Mówić, że to...

— Mania, Mania, ha, ha, Mania — dokończyły, z wybuchem głośnego śmiechu dzieci. — Jakaż ta Lodzia dowcipna „gdyby skrzydła miała, byłaby gaską, ha, ha, trzeba się przypatrzeć dobre, że to nie cielátko ha, ha, ha. No cóż Maniu, zgadłaś już teraz?

— Może jeszcze nie—woła Lodzia „górować pięknością i nadzwyczajną bystrością. Czyś siebie nie poznała?

— A kto jest największą gapą i ma imię z pięciu liter — śmieje się Adela.

Mani łyzy stanęły w oczach, dzieci rozochocone bawiły się doskonale, dziewczynka zsunęła się z pnia i odbiegła na stronę. Nie pierwszy to raz wyśmiewano jej niezgrabność i nieudolność. Żarty i przycinki gonily ją, aż wtem... wszystko ucichło... na zakręcie drogi ukazała się p. Wolska.

— Mama idzie, szepnęły dzieci.

Mama podeszła najpierw ku Mani. — Co masz takie czerwone oczy, córeczko, nie boli cię główka?

— Nie mateczko. — P. Wolska uściskała ją i trzymając za rękę zwróciła się ku dzieciom.

— Słuchajcie dzieci — rzekła — wczoraj chodząc po tym lasku zgubiłam pierścionek, które z was go znajdzie dostanie tabliczkę czekolady.

— Dobrze, dobrze!—wołają dzieci. Kocio, Adelfia i Lodzia przepadają za łakociami, rozbiegają się zaraz po lasku. Kociowi chodzi głównie o czekoladę, Lodzi o to, żeby zawsze i wszędzie być pierwszą, Adelfi żeby dorównać Lodzi.

— A ty się lepiej nie męcz, córeczko,—mówi mama do Mani,—tak mizernie dziś wyglądasz... tobie chyba coś jest.

— Nie mateczko, zdrowa jestem, pójdę i ja szukać choć pewnie nic nie znajdę.

— Lodziu, wiesz kto znajdzie pierścionek — woła Kocio, pewnie nikt inny tylko Mania.

— O to, to z pewnością—odpowiada pogardliwie Lodzia, szukająca z zapalem zguby w trawie.

Mania oddaliła się od nich znowu, czuła ból głowy, choć się przyznać nie chciała, aby matki nie niepokoić. A smutno jej było bardzo.

— Tak mi ciągle dokuczają, tak dokuczają — myślało biedactwo ze łzami, com ja winna, że nie taka bystra, rozumna jak oni.

Wyrzekła się też szukania pierścionka przekonana, że go nie znajdzie, usiadła w cieniu i zamyśliła się.

Tak ładnie na dworze, słowik słicznie śpiewa, tu pod dębem kwiaty tak pachną. Ptaszki uwijają się wesoło, przelatują motyle, brzęczą pszczołki. Tak wesoło w tym lasku, błogo i spokojnie. Nikt tu nie dokucza... A niebo jakie piękne, różne białe obłoczki suną po niem. To wyglądają jak góry śniegu, to jak potworne ryby, coraz to jakiś inny obrazek namaluje się na niebie... a tam w niebie jest Pan Bóg „Który żywi ptaszęta polne i lilie w najpiękniejsze szaty przyodziewa.” Mania katechizm dobrze rozumie i pamięta. Mama sama go uczy, ze wzruszeniem mówi jej o dobroci, wielkości, miłosierdziu Boga... Mania wie, że On bardzo dzieci kocha, że ten słiczny świat jest dziełem Jego wszechmocy i, że im kto bardziej biedny i słaby, tem Bogu miłszy. A ona jest bardzo biedna, tak ją ciągle wyśmiewają i prześladują... Lodzia osobliwie... Mania przypomina sobie ze łzami złośliwe zagadki.

— Ja jej przecież nigdy nic złego nie zrobiłam, za co ona mi zawsze robi prz...

— Nie płacz, nie płacz dziewczeczko — szemrzą drzewa, przebacz i zapomnij.

— Przebacz, zapomnij i kochaj je po dawnemu — śpiewa ptaszek, tak Pan Jezus kazał.

Mania podnosi głowę uspokojona, już nie ma urazy do nikogo i mówi sobie: przebaczę i zapomnę. Wstaje... a wtem spostrzega tuż koło nogi błyszczący pierścionek.

— Jak to dobrze, woła z radością, mama się ucieszy! Znalazłam pierścionek, przynajmniej raz nie powiedzą że do niczego!

Chwyta go uradowana.— Dzięki Bogu, że go znalazłam, nie będą się już śmieli ze mnie...

— Ach jakżem strasznie zmęczona!—rozlega się na wpół z płaczem głos Lodzi—ręce poparzyłam pokrzywami nigdzie tego nieznośnego pierścionka niema. Takbym go chciała znaleźć, takbym chciała!..

Mania już otwiera usta aby powiedzieć: Już go nie znajdziesz; ale nagle przychodzi jej inna myśl, Lodzia jej tak dokucza... właśnie jej odpłaci dobrem za złe. Kładzie pierścionek pod pniem, wprost do którego dąży Lodzia, bardzo widocznie... i oddala się uszczęśliwiona zwycięstwem, które nad sobą, odniosła.

— Znalazłam! znalazłam! znalazłam! — woła Lodzia na cały głos. Mam pierścionek! nie szukajcie już, odrazu powiedziałam, że ja go znajdę.

— Gdzie był? gdzie był?—wołają nadbiegając Kocio i Adelfia.

— A tu, leżał pod pniem—odpowiada, tańcząc z radości Lodzia — wyobraźcie sobie, Mania siedziała tu z pół godziny i nie widziała go.

— Ona zawsze uważna—mówi pogardliwie Adelfia.

Mania to słyszy, ale ją te słowa nie boją już, na jej twarzyczce jaśnieje uśmiech szczęścia i choć nikt wiedzieć o niczem nie będzie, czuje się do głębi uradowaną i w odpowiedzi na drwinki odpowiada serdecznie:

— Bardzom rada, żeś ty go znalazła.

W. S.



Dobra siostrzyczka.

Gdy Teczka otrzyma od mamy ciasteczko, Wnet pyta: — A Jania dostanie, mateczko? Gdy niema dla Jani, to sama nie zjada, O! zaraz z siostrzyczką podzielić się rada. Najmniejszy cukierek rozkłada na dwoje I mówi: bierz, Janiu, to twoje, to moje, Chcesz jeszcze, to dobrze, masz na to ochotę? I nieraz da wszystko, bo serce ma złote. Gdy nową zabawkę od kogo dostanie, Dziękując, z uśmiechem spogląda na Janię, I wnet ją do siebie serdecznie przywoła, I bawi się z siostrą szczęśliwa, wesoła. Gdy Janię co boli, gdy w oczkach łza świeci, To zaraz z żalami przybiega do Teci, Cierpienie wnet minie lub zmniejszy się troszkę, Gdy Teczka utuli, uściska pieszczoszkę.

Kochają się obie, kochają się szczerze,
A Anioł-stróż Boży od złego je strzeże,
Bóg dobry opiekę i łaskę im zsyła,
Bo zgoda w rodzeństwie jest bardzo Mu miła!

Helena Bojarska.

DLUG WODZIĘCZNOŚCI

przez

Zofię Rudnicką.

(Dalszy ciąg)

— O, biedna matka moja... biedny dziadek... Jeżeli bym żył, to może Bóg kiedyś powróciłby mnie z niewoli do nich!

I pożałował, że nie przemógł się i choć kęsa jednego nie przełknął. Padł znowu w trawę, twarz ukrył w dłoń i zapłakał gorzko... Jak wiele czasu upłynęło nie wiedział, nagle poczuł coś ciepłego na swojej twarzy: podniósł oczy, ujrzał głowę końską pochyloną nad sobą, poznał przy blasku dogorywającego ogniska swego konia wierzchowego! Gdyby mu kto przed chwilą powiedział, że tej strasznej nocy dozna radości, zaprzeczyłby oburzony, a przecież teraz, tuląc się pieczołtliwie do głowy i szyi tego pięknego i szlachetnego zwierzęcia, które dzieląc jego niedolę ulitowało się nad nim i pocieszyć go przyszło, doznał dziwnie miłego uczucia; zdawało mu się, że ma przyjaciela wśród tych dzikich barbarzyńców! Objął go rękami za szyję.

— O koniku mój ukochany — powtarzał — gdybyś mnie mógł odwieść do matki mojej, do dziadka, do domu mego... mój koniku... och, gdyby tak wskoczyć na ciebie...

Koń grzebał nogą, chrapy rozdymał, okazywał, że rozumie pana swego i jest gotów do drogi... Lecz niestety! Janek związany silnie poruszyć się nawet nie mógł! Po chwili doszedł uszu jego głos chrapliwy, rozespany — jakies wyrazy twarde, dzikie, brzmiające jak złorzeczenie — a zarazem szarpnięto konia i wyrwano głowę jego z objęć Janka. Koń furknął chrapami, poderwał głowę w górę, ale pociągnięty silnie, cofnąć się musiał. Janek zrozumiał, że i koń jego jest na uwęzi.

Serce jego wezbrało nowym żalem... złożył ręce do pacierza i modlił się gorąco, skarżył się Bogu, prosił o zmiłowanie, polecał matkę i dziadka, odmówił pacierz za duszę pana Jakóba, będąc przekonany, że tenże został zabitym. Uczuł się pokrzepionym tą modlitwą gorącą i pokorną i usnął w końcu, pomimo chrapliwych głosów otaczającej go dzicy.

Sen go pokrzepił, lecz jakież miał przykre i bolesne przebudzenie! W domu, ponieważ dziadek utrzymywał, że ranne wstawanie daje umysłowi i ciału rzeźwość i gnuśnieć nie pozwala, więc matka, aby nie zasnął budziła swego ukochanego jedynaka, pocałunkiem składanym na jasnej głowce pieśczocho! On jej zarzucał ręce na szyję, pospiesznie zrywał się z posłania, odziewał prędko i wypluskawszy się jak rybka w zimnej studzien-

nej wodzie, klękał do pacierza wraz z matką i swą przybraną siostrzyczką — o trzy lata młodszą od siebie, daleką krewną, która będąc sierotą, wychowała się u jego matki. Po odmówieniu modlitwy spieszył do dziadunia, na smaczne śniadanie.

W jakże odmiennych warunkach rozpoczynał się dziś dla niego ten dzień... Zbudziło go silne uderzenie w bok, a gdy otworzył oczy ujrzał stojącego nad sobą Tatarę, który pomimo, że Janek już usiłował podnieść się posłusznie, powtórzył swoje kopnięcie nogą. Gdy chłopczyna usiadł z trudem, z powodu ciągle związanych i wskutek tego zdrętwiałych nóg, podał mu Tatar nieco kobyłego mleka w skórzanym, cuchnącem naczyniu. Janek, pomimo że się wzdrygnął ze wstrętu, wziął z rąk swego prześladowcy ów kubek, przeżegnał się i chciał choć krótką modlitwę odmówić, nie będąc przyzwyczajony cośkolwiek do ust włożyć przed pacierzem. Tatar, myśląc że chłopiec ociąga się z przyjęciem podawanego pokarmu, z dzikim błyskiem w oczach podniósł w górę krótki bat, którym podczas jazdy zacinał swego konia, zmuszając go do szybkiego biegu, i już chciał nim uderzyć Janka po głowie. W tej chwili jakiś Tatar starszy wiekiem, a może i stanowiskiem, wstrzymał wzniesioną rękę i widocznie zgromił swojego podwładnego, gdyż ten odszedł, przesywając tylko Janka wzrokiem jadowitego gadu. Janek z wdzięcznością popatrzył na swego obrońcę, lecz nie dojrzał w oczach jego litości, owszem zdziwił się spotkawszy w nich ten sam wyraz dziki, jakim zdawało się mu, że odznaczał się tylko ów poganin, który go wiozł na swoim koniu. Nie wiedział biedak, że dokonano już podziału łupem i że on jako własność przypada w dziale obecnemu obrońcy; ten więc bronił go nie ze współczucia dla uciemiężonego, lecz strzegł jako swej własności od uszkodzenia. Ze skaleczoną głową lub zeszpecony na twarzy, Janek mniejszą by wartość przedstawiał, obniżyłaby się cena pieniężna, jaką na targu spodziewał się jego właściciel wziąć za dorodnego i silnego chłopca.

Parę dni jeszcze odbywała się w ten sam nużący sposób podróż, a raczej ucieczka małego *czumbutu* i noclegi do pierwszego podobne. Janek żył tylko mlekiem kobyli, brudnym, wstrętnym, a podawanym, zawsze w owym cuchnącym skórzanym kubku; jednak łatwiej było mu je przełknąć, niżeli surowe końskie mięso.

Przejeżdżali najpierwej kraj, gdzieniegdzie wzgórzysty, aż wjechali w końcu na szerokie bezbrzeżne stopy, poprzerywane tylko jarami i bałkami. Spotykali tam już pierwsze osady tatarskie; były to niby wioski, ach, ale jakże niepodobne do ślicznych wsi podolskich, rozłożonych w wieńcu drzew i sadów, pełnych śpiewającego ptactwa! Tatarskie wioski w pustym stepie bez drzew, z chatami niby szalasy, niby jakies namioty wyglądały, jak tymczasowe tylko schronienia tych dzikich hord. A wszędzie brud, nieczystość, kupy śmiecia, po których igrały nagie dzieci. Już z tych oczu dziecinnych świeciła dzikość i nad wyraz przykre robiła wrażenie.

W jednej z takich osad zatrzymali się dłużej Tatarzy. Janka na nowo ogarnął żal straszny... Czyż tu ma pędzić życie swoje?... Zdała od matki, siostrzyczki, od

№ 39 Rok XIX.

Dnia 12 (24) Września 1898 r.



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



WILHELMINA, KRÓLOWA HOLANDYI.

Królowa Holenderska Wilhelmina.

Po raz trzeci w tym wieku wstępuje na tron młodziutka dziewczeczka. Pierwszą była w r. 1837 siedmastoletnia królowa Wiktorya angielska, drugą w r. 1840 królowa Izabella II-ga. Hiszpanka, w tym roku nakoniec w dniu 31 sierpnia skończyła 18 lat królowa Holandyi, Wilhelmina, i objęła nad tym pięknym i bogatym krajem samoistne rządy, które od od śmierci króla Wilhelma Orańskiego, zaszłej w r. 1890, sprawowała w jej imieniu matka, jako regentka.

Państwo Niderlandzkie, choć w Europie niewiele zawiewiera ziemi, a i tę bronić musi od zalewów morza Północnego, posiada jednak bardzo rozległe i bogate kolonie. Pierwsze miejsce w ich rządzie zajmuje archipelag Sundzki, leżący między Azją i Australią, poniżej wysp Filipińskich: Borneo, największa wyspa na świecie, Sumatra, Jawa i dziwacznych kształtów Celebes. Oprócz tych olbrzymich wysp podzwrotnikowych posiada jeszcze Holandya część Nowej Gwinei, kilka małych wysp Antylskich i wielką przestrzeń w Ameryce południowej, zwaną Guyaną holenderską. Słowem, młoda królowa ma około 35 milionów poddanych, których większość, dodać trzeba, stanowią dzicy.

Kilku książąt miejscowych z wysp Sundzkich, przybyło na uroczystość koronacyjną, aby oddać hołd swej zwierzchniczej. Ze zdziwieniem podobno przyglądali się jej młodziutkiej postaci, ale hołd swój i zachwyt, wyrazili licznymi i nad kosztownymi подарunkami.

Uroczystość objęcia rządów odbyła się bardzo wspaniale w Amsterdamie. Najważniejsze jej chwile stanowiły wjazd do miasta, w złotej karecie, ofiarowanej przez naród i złożenie przysięgi na konstytucyę, po której młodziutka królowa przybrana w białą suknię i płaszcz purpurowy, wygłosiła do przedstawicieli narodu przemowę. Pomimo wzruszenia mowa została wypowiedzianą bardzo wdzięcznie i udatnie.

A teraz musimy powiedzieć słów kilka o samej królowej, która tak niedawno jeszcze była rówieśniczką naszych czytelniczek.

Główną jej kierowniczką była ukochana matczka, osoba wielkiego serca i umysłu. Wychowaniem religijnem kierował znakomity kaznodzieja pastor Flüter, a naukowem — marszałek dworu Salvedra de Grave, oprócz tego otaczał ją rój nauczycielek różnej narodowości, gdyż władczyni Holendrów musiała się uczyć bardzo wiele, daleko więcej niż większość jej rówieśniczek, i czasu w dzieciństwie nie marnowała.

Od pierwszych lat życia, młoda królowa odznaczała się niewysłowioną dobrocią serca i była niewyczerpaną w świadczaniu dobrodziejstw, zarazem jednak bywała prędką i upartą.

Ofiarą jej gniewów padała najczęściej surowa i sztywna nauczycielka angielska, miss Winter. Doprowadzała ją do rozpacz, zwłaszcza przy lekcjach geografii, bo robiąc dla ćwiczenia mapki, przedstawiała zawsze Holandję w rozmiarach olbrzymich, Anglię zaś zmniejszała znacznie. Gdy zaś oburzona miss Winter głosiła jej niezrównaną wielkość Albionu, ona przypominała, że chociaż Anglia zabrała jej krajowi Kaplandję, to jest południową Afrykę, jednak Holender Van Tromp spalił raz port londyński.

Pewnego dnia pragnęła królowa powiedzieć dzień dobry swojej matczeczce. Zatrzymano ją w pierwszej sali, gdyż matka była zajęta z dygnitarzami państwa. Napróżno pukała coraz niecierpliwiej do zamkniętych drzwi. Regentka pyta wreszcie, kto tam przeszkadza.

— Królowa — brzmi odpowiedź.

— Nie mam czasu — odpowiada głos matki.

Wówczas biedaczka woła raz jeszcze:

— To Wilhelmina pragnie matczekę uścisnąć!

Wtedy otwały się drzwi i matka pochwyciła dziewczkę w objęcia.

Królowa Wilhelmina żywi gorące zamiłowanie do sztuk pięknych, najmniej lubi muzykę, bo nie posiada ucha muzycznego. Jest więc wszechstronnie wykształconą, a oprócz tego doskonale jeździ konno i łyżwuje, podobno nawet w parku Loo próbowała z powodzeniem bicyklu.

Niedługo czeka ją nowa uroczystość: zaręczyny z jednym z książąt niemieckich.



BEZ PRZEWODNIKA.

KARTKA Z ZAKOPANEGO.

I.

— Wierzysz, że nam się nie śni?

Szczupły i blady chłopiec w szkolnej bluzce podniósł na brata zdziwione spojrzenie wielkich, niebieskich oczu.

Starszy chłopiec czarnooki, śniady i opalony, zniecierpliwił się widać brakiem odpowiedzi.

— Cóż, milczysz? — rzekł porywco. — Czternaście lat skończyłeś, a zdaje ci się chyba, że nie masz jeszcze siedmiu, i żeś powinien być niemy, jak ryba. Teraz nie wiem doprawdy, skąd ci się wzięła odwaga wypowiedzenia stryjowi, że zgadzasz się na jego projekt, a raczej, że masz ochotę zobaczenia morza po sześciokrotnem spędzeniu lata w Zakopanem. Takie natury, jak twoja, na nic zdobyć się nie potrafią, nawet na prostą szczerzość.

Blada twarz młodego chłopca pokryła się lekkim rumieńcem, lecz w jasnych jego oczach nie było gniewu ni obrazy.

— Nie gniewaj się, Janku — zaczął trochę nieśmiałym głosem — ale widząc, że brat wygląda przez okno wagonu, nie dokończył nawet zdania.

Po chwili Janek usiadł znów na ławce, spojrzawszy na brata niezwykle łagodnie, jak gdyby pragnął zatrzeć poprzednie wrażenie i zapytał dość miękko.

— Głodny jesteś?

— Pić mi się chce — odparł Tadek — ale zaczekam do Chabówki.

— Do Chabówki! Dobry sobie! Jakbyś nie wiedział o tem, że do Chabówki jeszcze z półtorej godziny. Ale ty byś się wyrzekł jedzenia i picia, byle nie mieć kłopotu. Powiadam ci, Tadek, co ty na świecie zrobisz? Dobrze, póki jesteśmy razem i wiesz, że za ciebie myślą brat, ojciec, siostra, no, ale jesteś mężczyzną, masz być w przyszłości opiekunem swojej rodziny i co ty pocznie-z wtedy?

Tadek zarumienił się znowu po same włosy i spoglądał na brata łagodnym, proszącym wzrokiem, ale na odpowiedź nie zdobył się żadną. Janek ruszył też ramionami i sięgnął po koszyczek, umieszczony na półce.

— Co to? — rzekł, wydobywając z niego dość dużą butelkę.

— To woda z czerwonem winem — cicho odpowiedział uczeń.

— Czemuż się nie napijesz?

— E nie... tam już niewiele... ty możesz mieć pragnienie...

— Co? — zawołał Janek z oburzeniem — będziesz się męczył pragnieniem i kwasiał tę trochę wody do samego Zakopanego, bo — ja mogę jej potrzebować! Czy wiesz, jak się nazywa takie postępowanie?

— Pewnie niedołęstwo — rzekł Tadek z łagodnym uśmiechem.

Janek zmieszał się trochę odpowiedzią brata, ale spostrzegł się prędko.

W OBŁOKACH I POD WODĄ

WYPRAWY „LATAJĄCEJ RYBY.”

opisał **H. C.**

(Ciąg dalszy).

— A widzisz — rzekł — sam uznajesz; czy myślisz, że mnie przyjemnie tak cię ciągle strofować i nazywać po imieniu twoje wady? Ale to dla dobra twego, święty straciłby resztę cierpliwości z twoją biernością. Tak! nie! chcę! nie chcę! krzyez, pchaj się, żądaj — a ty wiecznie milczysz, myślisz i ze wszystkim się zgadzasz — ja tego znieść nie mogę. No, pij.

— Dziękuję.

— Nie chcesz?

— N-ie, już nie chcę.

— To wypiję; na widok tego nektaru sucho mi się w gardle zrobiło. Za twoją — energię.

Tadek się uśmiechnął.

— Przynajmniej na ten tydzień zdobędziesz się na jakąś wolę — prawil dalej Janek, ogryzając udko kurczęcia — pamiętaj, że od naszego sprytu i energii zależy powodzenie całej sprawy. Znasz stryja: nie wrócimy na czas, to sam pojedzie, dnia jednego dłużej nie zaczeka. A choć to niby nic odnaleś Zoskę w Zakopanem i zabrać ją razem z ciocią, ale nie mamy jej adresu, a te panie wcale nas się nie spodziewają. Mogą być na jakiej wycieczce, może trzeba je będzie gonić, a czas płynie. W Zakopanem znamy już wszystko, a morza nikt z nas nie widział i pewno nie prędko zdarzy nam się taka sposobność, więc nie chciałbym po tyłu nadziejach zostać na koszu, z niczem!

— Trzeba się będzie zaraz dowiedzieć o nie w klimatyce, muszą tam być zameldowane i znajdziemy je w godzinę po przybyciu na miejsce.

Właśnie, podług twojej teorii! Czy nie wiesz, że przyjedziemy koło siódmej wieczorem i klimatyka będzie już zamknięta? Ja myślę, że tylko przypadkiem tego samego dnia spotkać możemy je na Krupówkach, a na dobre trzeba zacząć poszukiwania nazajutrz od rana. Wyobrażam sobie zadziwienie cioci, bo nie spodziewa się nas wcześniej jak za dwa tygodnie. Nie mogła naturalnie przeczuć projektu stryja, zgody ojca, misji naszej i zamierzonego porwania.

— Chabówka! — szepnął Tadek z rozpromienioną twarzą.

Janek zerwał się z miejsca.

— Chwała Bogu. A to prędko! Zamknij koszyk, zwin paski, te zapasy chyba zostawimy? Co zrobić z tą butelką? A walizka? gdzie walizka? aha; jest wszystko? Hej, jest tam kto? Po rzeczy! — wołał, wychylając się z okna.

— A podajcie mi te węzłki, to je wnet na wózek włożę. Pięknie pojedziemy, grzecznie, podług taksy, wesoło.

Tak zachęcał młody góral, stojąc przed oknem wagonu, a Janek też bez namysłu zaczął mu podawać tłomoczki.

— Podług taksy pojedziesz? — spytał tylko wyraźnie.

— Podług taksy, toć mówię, a grzecznie, a wesoło, pierwsi staniemy w Zakopanem.

— A to co, nie wiesz, że wam tu nie wolno? — dał się słyszeć surowy głos jakiegoś urzędnika, zwrócony do górala, który najspokojniej odbierał przez okno pakunki naszych znajomych.

— Goście mię zawołali, zgodzony jestem, umówiony — tłomaczył się sprytny chłopak, podając Jankowi książeczkę, w którą zaopatrzony jest każdy z miejscowych właścicieli wózków.

— Tak jest — potwierdził Janek — umówiłem tego człowieka. To już wszystko. Idźcież sobie, a my przyjdziemy zaraz, tylko zjemy obiad.

— Chodź — zwrócił się do brata — widzisz, co to znaczy energia: góral zabrał rzeczy wprost z wagonu i nie potrzebujemy płacić za przenoszenie osobno.

— Zeby tylko miał dobrego konia — zwrócił uwagę Tadzio.

— Boisz się, że przez litość będziesz szedł piechotą? Nie bój się, dobrze z oczu patrzy chłopakowi, jestem pewny, że ma konika aż miodo.

C. Nicwiadomska.

(d. c. n.)

W pięć minut później profesor i jego towarzysze pływali niby delfiny w około „Latającej Ryby”, używając z rozkoszą kąpieli w chłodnej, czystej wodzie morskiej. Gdy wrócili na statek zastali już przygotowane przez Jerzego śniadanie, składające się z czekolady i biszkoptów. Zanim zdążyli je spożyć i wypalić cygara, woda zalała już pokład, i zaległ zmrok, zapowiedziany przez profesora. Karliński głosował za spuszczeniem się natychmiastowem na dno morza. Weszli tedy wszyscy do dolnego przedziału kajuty, drzwi szczelnie zamknęli za sobą, otworzyli krany rur wodnych i statek, opadając na dół ruchem niedostrzegalnym, w parę minut później znalazł się na żwirowatym dnie kanału.

— Jest już godzina ósma — rzekł profesor, gdy kotwica zarzuconą została — czujemy się trochę znużeni a kąpiel i lekki posiłek usposobiły nas do snu. Możemy teraz udać się do naszych sypialni i użyć tam wycieczki do 2 ej południu. Jerzy, przygotowawszy gorące śniadanie, obudzi nas o tej porze, a przed obiadem będziemy mieli jeszcze dość czasu na wypróbowanie naszych przyrządów nurkowych. Spijcie panowie spokojnie; zapasu powietrza starczy nam na 24 godzin.

Propozycja profesora chętnie przyjętą postąpiła; w pół godziny później czterej podróżnicy spali snem tak spokojnym, jakby od dzieciństwa nawykli kłaść się do snu na dnie oceanu.

V.

Wycieczka podmorska.

O naznaczonej godzinie Jerzy, który ufał ślepo swemu panu i w najniezwyklejszych nawet okolicznościach, nie okazywał nigdy zdumienia, obudził czterech podróżników i zastał przed nimi śniadanie z tą samą zimną krwią, z jaką pełnił służbę w pałacu baroneta na stałym lądzie. Po posiłku profesor poprowadził towarzyszy do sali nurków, gdzie włożyli na siebie opisane poprzednio ubranie i pancerz. Professor pomagał drugim, więc ubrał się ostatni, a gdy wszyscy byli gotowi, zesłi do dolnego przedziału, drzwi szczelnie za sobą zamknawszy. Pokój ten, oświetlony lampą elektryczną, w kilka minut po otwarciu przez Karlińskiego kranów wodnych, został zalany.

— Słuchajcie panowie — rzekł wówczas profesor — gdyby teraz lub w przyszłości który z was przy stopniowem podnoszeniu się wody, doznawał zawrotu głowy, osłabienia, nerwowego niepokoju i t. p. fizycznych przypadłości, niech dla zaradzenia temu otworzy te ote krany, wówczas napłynie tu ściśnione powietrze, szybko wyprze wodę, a po zamknięciu obu kranów, powróci na górę do sali nurków dla zmienienia ubrania. Wiedząc już jak macie w danyu razie postąpić, pytam, czy jesteście gotowi spuścić się na dno morza?

Lubo pokój przez ten czas wypełnił się wodą i podróżni ciśnieniem jej znosić musieli, pancerz nurków okazał się zupełnie odpowiednim, gdyż odpierał nacisk wody i nie krępował w niczem ruchów, nawet dźwięk głosu dochodził ich uszu wyraźnie.

— Więc słyszycie mowę moją? — zagadnął Karliński, i otrzymawszy od towarzyszy potwierdzającą odpowiedź — dodał — cieszy mnie to, z uwagi, że nam będzie potrzeba porozumiewać się wzajemnie pod wodą; w tym właśnie celu umieściłem w szyszakach mikrofony.

To rzekłszy, otworzył przeciwne drzwiczki w głębi i czarna przepaść ukazała się ich oczom.

— Niech każdy zapali obie lampki swoje, niech stąpa ostrożnie po nieznanym gruncie — przestrzegał profesor.

Sam poszedł przodem; postać jego w kregach światła rzucanego przez lampki na toń wodną, przybierała olbrzymie kształty. Drudzy szli w ślad za nim. Spuściwszy się z okrętu zawrócili na lewo i niebawem uczyli pod nogami twarde,

sztych nurków. Gdybyśmy niczego więcej nad to nie dowiedzieli, byłby to już nie mały tryumf. Teraz jednak spuścimy się w największe zagłębienie doliny podwodnej i mam nadzieję, że tam ujrzymy ciekawe rzeczy. Zwrócimy się teraz na zachód; idąc po tej pochyłości, powinniśmy niebawem dojść do celu.

Trzej towarzysze udali się za profesorem, nie doświadczając zbyt wielkiej trudności w brodzeniu po wodzie i wkrótce stanęli nad brzegiem rozpadliny. Zabim w głąb jej zapuścili



WALKA NA DNIE MORZA. (Do „Latającej Ryby”).

żwirowaty grunt. Dla próby zgasili na chwilę lampy swoje. Woda tak była przezroczystą, że przez zielonawe jej fale rozróżniali wyraźnie kadłub zostawionej za sobą „Latającej Ryby”, w pół mroku odbijało jaskrawie światło elektryczne dwóch lamp, zapalonych na przodzie i w tyle okrętu.

— To są nasze drogowskazy — rzekł przezorny profesor, musimy nie tracić z oczu światła tych lamp, inaczej moglibyśmy nie znaleźć nigdy powrotnej drogi do statku. W obecnej chwili znajdujemy się na 540 stóp pod powierzchnią morza, to jest 336 stóp głębiej od najwytrzymal-

się, rzucili wzrokiem za siebie. Nie dostrzegali w ciemności okrętu, ale lampy elektryczne świeciły jasno, niby latarnie morskie. Czując się z tej strony bezpieczni, podróżnicy nasi śmiało puścili się naprzód i po chwili znaleźli się na samym dnie tej wklęsłości morskiej. Ujrzeni tam stosy różnego rodzaju szczątków: kawałki butelek, desek, żelastwa, zbitych w jedną masę naniesionym przez długie lata mulem, części rozbitych okrętów i t. p.

— Przewidywałem to z góry — zawołał profesor, wskazując na stosy różnorodnych szczątków — wszędzie na dnie

w zagłębieniach oceanów, natrafiać będziemy na takie zwaliska, naniesione przez prądy morskie. Obejrzymy dokoła to sztuczne wzgórze, bo nie wątpię, że ujrzymy tam coś niezwykłego.

Nie zawiodły przepowiednie profesora; gdy podróżnicy przystanęli dla przypatrzenia się odłamowi masztu okrętowego, porośniętego trawą, niebawem z pośród zarośli wysunęła się niby głowa węża z błyszczącymi oczami a po chwili, osobliwszych kształtów i olbrzymich rozmiarów węgorz morski wypełznął z kryjówki, snać zwabiony światłem lamp elektrycznych.

Słuszne też było przypuszczenie Mildmaya co do zamiarów potworów morskich; zanim podróżnicy mogli zdać sobie sprawę z położenia rzeczy, ze trzydzieści węgorzy opasało ich, okręcając członki pierścieniami węzowemi, usiłując daremnie przebić zębami ogniwa metalowych pancerzy. Jakkolwiek jednak napastnicze zwierzęta nacierały uparcie, dla ludzi walka rychło pomyślny wzięła obrót; zręcznym wysiłkiem oswobodziwszy ręce, jednym uderzeniem sztyletu zadawali śmierć rybom, które mimo to w zaciętości swojej nie ustępowały i dopiero z powaleniem ostatniej, bój został zakończony. Węgorze były ogromnych rozmiarów; większe



KOŚCIÓŁ W ASTRACHANIU.

— Co za szkaradny potwór! — zawołał pułkownik.
 — Baczność! chce się na nas rzucić — dodał Midway.
 — Do licha! tych potworów coraz więcej wylazi z ukrycia — krzyknął baronet.
 — Bierzcie prędko za sztylety — krzyknął profesor — nie bójcie się jednak; od napaści potrafimy się obronić, a żeby napastników nie zdołają przebić łuski naszych pancerzy.

Słowa uspokojenia, świadczące o przytomności umysłu profesora, w porę były wypowiedziane, towarzysze jego bowiem, jakkolwiek wypróbowanej odwagi ludzie, nie mogli oswoić się jeszcze z obcym dla nich żywiołem, a widok żarłocznych ryb z otwartą paszczą, o podwójnym rzędzie ostrych zębów, najśmielszych mógł natchnąć obawą.

dochodziły ośmnaście stóp długości, a nie było mniejszych nad stóp dziesięć.

Dalsza wycieczka podmorska odbyła się bez nadzwyczajnych przygód; jasno świecące lampy ułatwiły podróżnikom powrót do okrętu, gdzie przybyli znużeni wysiłkiem, zabijwszy jeszcze jednego rekina.

Doznane wrażenia służyły za przedmiot rozmowy podczas obiadu, w końcu profesor dodał:

— Dwom jeszcze próbom musimy poddać naszą „Rybę Latającą.” próbie szybkości pływania pod wodą i na powierzchni morza. Doświadczeń tych zaraz dokonacie wypadu, jeśli zgodzisz się na to sir Reginaldzie?

STO LAT TEMU NAD NILEM.

(Dalszy ciąg).

Naczelną wódz podzielił armię na 5 dywizji, z których każda, podobnie jak pod Chebreis, składała czworobok. Podczas gdy z tyłu stały kompanie grenadyerów, gotowe wzmoć słabe punkta.

Jedną tylko obawę miał wódz naczelną, a mianowicie, by żołnierze jego przywykli w kompanii włoskiej do szturmowego ataku, nie przykryli sobie tej niernohomości, jaka konieczną była w przyjętej taktyce. Więc starał się przysposobić go do tego.

Na dane hasło generał Desaix, zajmujący prawe skrzydło tej ruchomej twierdzy, wystąpił naprzód, za nim poszedł Regner, potem generał Dugua gdzie znajdował się Bonaparte.

Wprawdzie Murad-Bej nie posiadał nauki wojennej, lecz obdarzony wielką bystrością odgadł od razu zamiar przeciwnika. Zostawił więc 2 tysiące Mameluków dla wsparcia Embabeh a całą masą ośmiotysięczną, galopującej jazdy, uderzył na Desaix'a.

Natarcie było gwałtowne, lecz żołnierz francuski, zimny teraz jak przedtem ognisty, dopuścił nieprzyjaciela bardzo blisko, i przyjął go strasznym ogniem karabinowym i kartaczami.

Poniosłszy wielkie straty, jazda rzuciła się od czworoboków Desaix a na Reniera, ale i tu przywitana takimże ogniem, zamysłała wrócić na stanowisko, gdy znalazła za sobą dywizję Dugua.

Więc w strasznym popłochu uciekać zaczęła, wnosząc przerażenia do obozu.

Postrzegłszy to Bonaparte, wysłał generałów Bon i Menou do ataku na wioskę Embabeh, lecz Mamelucy znów uderzyli na nich.

Walka stawała się coraz więcej krwawą. Wielu z nieprzyjaciół legło trupem, wielu zepchniętych zostało do Nilu. Embabeh zdobyto i Arabowie, czekający pod piramidami na zwycięstwo Mameluków i pewny rabunek, puścili się w głąb pustyni.

Murad-Bej ze szczątkami jazdy cofnął się ku górnemu Egiptowi, a Ibrahim-Bej z drugiego brzegu udał się do Belbejs, by następnie w Syrii szukać schronienia.

Uciekający wszakże Mamelucy podpalili dżermy t j statki, wiozące ich bogactwa, pozbawiając zwycięskie wojsko tej świetnej zdobyczy.

Bonaparte założył główną kwaterę w Giseh, na brzegach Nilu, gdzie było przepyszne mieszkanie Murad Beja.

Tutaj, jako też i w Embabeh, znaleziono zapasy żywności i żołnierze francuscy mogli sobie wynagrodzić długi niedostatek. Liczne też łupy zyskali na polu bitwy w kosztownych szalach wschodnich, ślicznej broni, niezrównanych koniach arabskich i kieszach pełnych złota.

Zajęcie Kairu nastąpiło drogą ugody, skoro tylko wielki wódz zapewnił mieszkańcom zupełne bezpieczeństwo.

Trzeciego więc już dnia po świetnem zwycięstwie pod Piramidami wszedł Bonaparte do stolicy Egiptu i zajął pałac Murad-Beja.

Tutaj trzymając się tej samej polityki, jak w Aleksandryi, odwiedził znakomitych szejków, a nadzieją bliskiego wskrzeszenia dawnej świetności arabskiej zyskał ich sobie w zupełności tak, że wkrótce wydali odezwę wzywającą Egipcyan, by się poddali posłowi Bożemu, który szanuje Proka i przyszedł pomścić tyranię Mameluków.

Wkrótce dywan złożony z przedniejszych szejków i najznakomitszych mieszkańców Kairu, udzielił zdobywcy rad i wiadomości co do szczegółów zarządu wewnętrznego.

Postanowiwszy wejść w prawa Mameluków, zabrał Bonaparte ich własność, przyznając równocześnie na rzecz armii francuskiej pobór podatków, dawniej już nałożonych, lecz

wprowadzając porządek i sprawiedliwość w rozkładzie tych ciężarów, zyskał zaufanie biedniejszej ludności.

Sam zająwszy się zarządkiem kraju, wyprawił niezwłocznie jednych generałów, by dokonali opanowania Deltę, którą wpierw tylko przeszli, innych zaś na zajęcie Egiptu środkowego.

Nie zapomniał też uwielbiany wódz o wiernej sobie armii, dając jej teraz w zdrowym klimacie pożądany odpoczynek i wymarzony dostatek.

Wkrótce Arabowie, poznawszy charakter rządów młodego zdobywcy nie mogli pojąć, by zwykły śmiertelnik tak groźny wśród wojny tyle był łagodny w czasie pokoju. Nazywali go więc synem proroka i ulubieńcem wielkiego Ałłacha, i śpiewali mu w meczetach hymny pochwalne.

Aby złączyć się ściśle z podbitym ludem, brał naczelną wódz udział w jego życiu, i był obecnym na największej w Egipcie uroczystości Nilu.

Ponieważ rzeka ta jest dobrodziejką kraju, przeto jest też przedmiotem czci mieszkańców. W czasie wezbrania, wprowadzają jej wody do miasta wielkim kanałem, zamkniętym przez tunel, którą otwierają, gdy woda dosięgnie największego poziomu. Wraz z zerwaniem tamy rozpoczyna się wielkie święto, przypadające zwykle na 18-go sierpnia.

Bonaparte kazał całemu wojsku stanąć pod bronią i uszykował je na brzegach kanału, a gdy szejk wedle przyjętej formy ogłosił wysokość wody, która doszła w tym roku aż do 25-ciu stóp, radość wielką zapanowała wśród tłumu, i wraz z jego okrzykami zagrzmiała ustawiona tam artyleria francuska.

Gromady ludzi wszelkiego wieku zanurzały się w wezbranych wodach, przywiązując do tej kąpieli dobroczynne skutki.

(d. c. n.)

ASTRACHAŃ.

Na wschodnim krańcu Europy przy ujściu Wołgi do morza Kaspjskiego, leży miasto Astrachań, ongi stolica jednego z mniejszych chanatów tatarskich, podbitego w połowie XVI wieku przez cara Iwana Groźnego.

Miasto to jest ogniskiem handlu rybą, których setki tysięcy pudów wysyłają się co roku po Wołdze na zachód, a oprócz tego jest głównem miejscem, gdzie się przygotowuje kawior rybi, tak obecnie rozpowszechniony w całej Europie.

Przystań astrachańska przedstawia nie tyle malowniczy, ile nader ożywny widok, mnóstwo tam ludzi różnych ras, ubiorów i narodowości, przeważnie jednak spotykają się Kal-mucy, Persi i Ormianie.

Samo miasto, choć porządnie zabudowane, pozostawia wiele do życzenia pod względem czystości i bruków. Posiada ono piękny kościół katolicki, którego historia jest dość ciekawą.

Jeszcze w r. 1720 przez przybyłych do Astrachania OO. Kapucynów, został postawiony kościółek drewniany. W roku 1762 przybył O. Romuald, zakonnik i jednocześnie lekarz. Ciężąc się wielkiem poważaniem wśród ludności miejscowej, potrafił zebrać ze składek dobrowolnych fundusz na zbudowanie kościoła murowanego, przedstawionego na naszej rycinie.

Od roku 1805 do 1820 przebywali przy kościele OO. Jezuitów, którzy zaopatryli kościół w wiele potrzebnych aparatów i ozdobili jego wnętrze.

Obecnie jest to kościół parafialny, którego parafianie są Polacy dość licznie tu osiadli i Ormianie. Proboszczem jest ks. Leon Kozłowski.

Marya Łopuszańska.

OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg)

603

— Ot, dziwowisko nie więcej! — mruknął, kiwając głową — gdyby tak gdzieindziej a nie w klasztorze, myślałbym, że to czary. Kiedy zacznę rozpowiadać tam u nas, to mi nie uwierzą zrazu. I w ślad za tem myśli jego pobiegły ku ojczyzynom.

Na drugi dzień po uroczystym odprawionem nabożeństwie, na którym obecni byli nasi pielgrzymi, przeor po długich ze starszą zakonną naradach, zawezwał do siebie braci przeznaczonych do dalekiej na północ pielgrzymki. W liczbie ich był brat Angelo.

Zakonnicy w postusznym milczeniu przyjęli wyrok nakazujący im opuścić klasztor i kraj rodziyny. Niejeden w duszy, żegnając się z piękną Italią może na wieki obejrzał się po całym tem otoczeniu klasztornym, z którym zrósł się już sercem i zabiegł myślą do owej Polonii dzikiej, gdzie, mówią, prawie rok cały śnieg leży, a kraj jedną puszcza wielką, gdzie zwierzę dziki porywa ludzi w dzień biały, człowiek zaś chodzi tam zaszyty w skóry...

Tylko brat Angelo z taką otuchą jakąś z taką radosną wdzięcznością przyjął swoje przeznaczenie, że nawet przełamując pokorę, do jakiej go wdrożyło wychowanie zakonne, jął się rozpytywać przeora o ten kraj daleki, do którego go ciągnęło jego powołanie. Zakonnicy z pobożnym zdumieniem, przysłuchiwali się pełnym zapału słowom młodego apostoła. W końcu przeor wyczerpawszy szczupły zapas wiadomości, jaki posiadał o tym dalekim kraju, zakończył posłuchanie, robiąc znak krzyża nad głowami przyszytych apostołów Polski.

— O bracie Angelo — przemówił ojciec Bonifacy po wyjściu z celi przeora — podziwiam waszą gorliwość w służbie Bożej. Podobno najmłodszy z braci będzie służył za przykład nam wszystkim... bo jeśli mam prawdę rzec, to, choć grzechem jest przywiązywać się tak do rzeczy znikomych, uczułem wielką boleść na wieść, że mamy opuścić nasz klasztor ukochany... Tem większe mam dla was uwielbienie, bracie Angelo.

— Oóż w tem jest nadzwyczajnego — przerwał wesoło brat Angelo — najwięcej mię popycha ciekawość ujżenia tych krajów nieznanych.

Od tej chwili brat Angelo nie odchodził już od boku Scibora, ucząc się od niego języka tego kraju, o którym w młodzieńczej swej wyobraźni marzył dnie i noc.

Zdarzyło się, że w czasie wyznaczonym przez przeora na odpoczynek pielgrzymów polskich, oraz na przygotowanie się do podróży braci zakonnych, jeden z nich zapadł na zdrowiu. Przeor myślał właśnie kogoby naznaczyć na jego miejsce, gdy do celi wsunął się ojciec Augustyn, prosząc by mu pozwolono zastąpić miejsce chorego zakonnika.

Przeor zdumiał się i nawet nie chciał przystać zrazu, mając na względzie jego wiek podeszły oraz znane spokojne usposobienie starca, co uważał za niestosowne z posłannictwem, którego się domagał; ale ojciec Augustyn począł gorąco prosić, a gdy nadto, okazało się, iż przysłuchując się rozmowom brata Angelo ze Sciborem i bratem Bernardo, zdobył dużo wiadomości o Polsce i był już niejako przygotowany do podróży, zważywszy zwłaszcza krótkość pozostającego im czasu, przychylił się w końcu do jego prośby i ojciec Augustynaliczony został w poczet udających się do Polski zakonników.

Nadszedł nareszcie dzień odjazdu. Okolica jakby na pożegnanie, wystąpiła w całym przepychu blasków słonecznych; góry opuszczały zwolna z ramion swój płaszcz tioletowy i po królewsku odziewały się w przezroczystą, lekką

mgłę złotawą, z pod której potężne ich kształty występowały jeszcze wspanialej i groźniej.

Przeor błogosławił każdego i żegnał temi słowy:

— Idźcie bracia moi, klasztor jak dobra matka, darzy was błogosławieństwem na drogę, do którego i ja przyłączam swoje. Niech Bóg strzeże każdego kroku waszego, niech chroni was od niebezpieczeństw i upadku, aż doprowadzi szczęśliwie do celu. Zanieście tam światło, gdzie są tylko ciemności, zanieście łagodność obyczajów, gdzie istnieje jeszcze dzikość i barbarzyństwo, zanieście naukę tam, gdzie umysły pogrążone są w grubej niewiadomości. Bądźcie pochodnią niebieską, rozświecającą mroki, w jakich ten biedny lud jeszcze pogrążony.

Temi słowy żegnał wędrowców ich przeor sędziwy, a pozostali bracia łączyli swoje życzenia i modlitwy za ich pomyślność.

Dwunastu zakonników stało już w pogotowiu do odjazdu, spoglądając po raz ostatni zapewne w życiu na ukochaną ojczyznę, uroczy Italię, której się wyrzec mieli.

Niejeden z trudnością powstrzymywał łzę pod powieką, na widok klasztoru, tego spokojnego ustronia, gdzie spędził połowę życia w ciszy i spokoju ducha.

...Ale pora już; przeor drżącą ręką zakreślił w powietrzu znak krzyża nad głowami pochylonemi, i mały orszak ruszył z miejsca, bo chociaż tu na górze panowała jeszcze świeżość górskiego powietrza, tam na dole południowe słońce sypało żarem z bezchmurnego nieba. Zakonnicy raz jeszcze z westchnieniem obejrżeli się poza siebie, i wkrótce dwunastu Benedyktynów było już na drodze do ziemi Polaków.

X.

Bolesław, przed udaniem się na wojnę nakazał, by zgromadzono materiał do zamierzonej budowy klasztoru na Łysej górze, która miała się wnet rozpocząć, skoro tylko budowniczowie z Niemiec przybędą. Nie zdawało się to zbyt trudną rzeczą, bo kamień był na miejscu a drzewa chyba także zabraknąć nie mogło w puszczy. Nawet modrzewia, budulec najbardziej cenionego, było tam podostatkiem.

Wzięto się więc natychmiast do szybkiego wykonania królewskiego rozkazu. Lecz nie okazało się to tak łatwym, jak się z pozoru zdawało.

Wyprawiono kilkudziesięciu cieśłów oraz kamieniarzy, by ścinał i obrabiał drzewo, oraz cięsał kamień na górze.

Lecz ludzie ci, gdy zagłębili się w puszczy zostali nagle napadnięci; dwóch z nich zabito, kilku raniono, a reszta rozbiegła się w różne strony; dopiero w kilka dni przybyli do Kiele, donosząc o swej porażce.

Strażnikiem grodu, kasztelanem (jak ich później zwano) w Kielcach był wówczas Dobrogost, z rodu Gryfów, człek mądry i przedsiębiorczy wielce.

Poznał on, że teraz już sprawa nie z duchami a z prawdziwymi ludźmi z ciała i kości; drugą więc partyę robotników wysłał pod osłoną zbrojnych. Lecz i ich spotkał los podobny poprzednim; choć szli ostrożnie, oglądając się wciąż poza siebie i po bokach, nagle w najdzikszej miejscowości puszczy, niby z pod ziemi, wyskoczyła gromada jakichś ludzi i pomimo oporu, rozproszyła ich jak tamtych. Tym razem dwóch pozostało na polu walki.

Teraz do urojonej obawy przybyła jeszcze rzeczywista; w puszczy nie tylko było można spotkać duchy i widma, ale i życie postradać w walce z żywymi z krwi i kości, w maczugach uzbrojonymi napastnikami.

Ale Dobrogost nie był z ludzi dających się nastraszyć; był on ze szkoły Bolesława i znał tylko rozkaz królewski. Gdyby całe wojsko duchów, oraz żywych ludzi stanęło mu na przeszkodzie, poszedłby na nich, by spełnić wolę króla. Pomimo więc powszechnego oporu, zebrał nową partyę robotników i pod silniejszą jeszcze strażą wysłał ich w puszczy.

Tym razem wysłani mieli się na baczności, za każdym

bowiem krzakiem mógł czyhać zbój; nawet cisza panująca w odwiecznym borze ich trwożyła. Niekiedy też z zarośli wypadła strzała, nie wiedzieć czyją ręką puszczone, kroki jakieś ostrożne zaszeleściły w gęstwinie, to znów na wierzchołkach olbrzymich drzew rozlegał się łomot i trzask straszliwy i dąb odwieczny, jakby podcięty niewidzialną siekierą, padał pod stopy podróżnych, ale nadaremne były wszelkie poszukiwania; puszcza znów stała niema i groźna. Kiedy zaś nastąpiła pełna strachów noc w puszczy, zostali nie wiedzieć przez kogo wprowadzeni na bagna i trzęsawiska, gdzie omal wszyscy nie poginęli.

Powrócili więc, mówiąc, że daremnie kusić Pana Boga, bo niema człowieka, któryby mógł przebyć żyw tę przeklętą puszcze.

Dobrogost nie wiedział, co teraz począć, bo jak tu walczyć z nieprzyjacielem, który się wciąż kryje a mimo to nie ujdzie mu żadno poruszenie przeciwnika?

Kazał przywołać do siebie swego najwierniejszego sługę, nazwiskiem Mroczek, który był nadzwyczaj sprawny i pojętny i postanowił wysłać go na czele wyprawy.

— Mroczku — rzekł — to taka sprawa, że jak ty jej nie dasz rady, to na nie już nie liczę. Powiedz mi, czy chciałbyś dostać dobrą nagrodę?

— A któżby tego nie chciał? — odrzekł zapytany.

— A więc wybierz sobie trzydziestu czy czterdziestu dzielnych ludzi, dobrze uzbrojonych w topory i postaraj się dotrzeć do Łysej góry, bądź co bądź, choćby sam bies stawał ci na drodze, choćby upiory, wodnice i inne szatańskie wory, któremi, jak lud mówi, zapełniona jest ta puszcza, aby ci szkodzić, na nie nie zważaj. Rozumiesz?

— Rozumiem.

— Dotrzesz do Łysej góry?

— Postaram się.

— Choćby ci stu szatanów zastąpiło drogę, pamiętaj! Bo co do ludzi, to sam wiesz...

— No, tego to już nie potrzeba mi mówić; wprost maczuga po łbie, jeśli się jaki nawinie...

Mroczek nie lubił dużo gadać, ale gdy obiecał, dotrzymał. Dobrogost znał go z tej strony, zatarł też ręce z zadowoleniem, pewny, że tym razem wyprawa się uda.

Mroczek wybrał sobie kilkudziesięciu ludzi, którzy poszli sami, na ochotnika, silnych i odważnych, uzbroił ich w łuki, topory i maczugi i udali się w puszcze pełni otuchy.

Kilka dni upłynęło bez żadnej wieści, Dobrogost cieszył się myślą, że oddział Mroczka dotarł już niewątpliwie do Łysej Góry.

Tymczasem w okolicy zaczęli się snuć dziady bardzo podejrzanej postaci, szczególnie krążyło ich wielu w dnie targowe, kiedy lud się najliczniej zbierał.

Wreszcie dnia jednego przed Dobrogostem stanął człowiek jakiś, obdarty, zbiedzony, blady, w którym po jakimś czasie dopiero poznał Mroczka.

— Cóż to się stało, dlaczegoś powrócił?

— A trzeba było spróbować, jak tam dobrze w puszczy — odrzekł posępnie sługa. Trzy dni błakałem się bez jadła, myślałem, że zamrę gdzie w drodze.

— Więc rozbito was?

— Ze szczętem, nie wiem nawet, co się z moimi ludźmi dzieje, bo zapędzono nas na trzęsawiska, gdzie kilku zdaje się, że utonęło. Tej puszczy sam bies strzeże, człowiek jej żyw nie przejdzie.

Dobrogost szarpnął brodę ze złości, co on powie królowi, jak się wytłomaczy z tego, że nie spełnił jeszcze polecenia?

— Do krośset biesów! — zawołał wielkim głosem, pięścią uderzając w stół. — Ja się nie dam odstraszyć tym zbójcom! Budulec musi być zwieziony, choćbym miał utracić wszystkich ludzi, choćby w tej puszczy na każdym drzewie gnieździło się dziesięciu szatanów. Zrobię wyprawę na tych zbójów i sam stanę na czele!

Natychmiast też zebrał wszystkich ludzi jakich miał pod ręką, wziął przewodników znających dobrze puszcze i sam wyprawił się wraz z nimi na odkrycie owych zbójów, postanowiwszy stoczyć z nimi ostateczną walkę. Lecz nadaremne były wszelkie poszukiwania; zbrodzono większą część boru, wszystko było cicho dokoła. Puszcza dochowała swej tajemnicy.

Wśród lasu stała wioska samotna, otoczona niezbyt rozległym polem uprawnym i pastwiskami. Wieczór rozciął już cienie nad lasem i polem, błękitne dymy stały się po łąkach, gdzie derkacz się odzywał.

Siola było okopane rowem i obwarowane wałem, gęsto nabitym ostrokołem; wąska tylko wjazdowa droga między opłotkami, tak zwana wągroda, wiodła wewnątrz wsi. Chaty były postawione w podkowę, w pośrodku zaś zostawiono obszernie miejsce puste, gdzie była studnia z żórawiem, zapelnione było w tej chwili cisnącą się z rykiem spragnioną trzodą bydła.

Drogą między opłotkami szedł w tej chwili dziad samotny, na pozór wydawał się on ślepy, koby jednak przyjrzał mu się uważniej, dostrzegłby, że widzi dobrze. Psy zaszelekały, ujrawszy go, lecz on nie zważał i kroczył dalej powoli.

Prawie cała ludność siola, starzy i młodzi byli zgromadzeni na placu u studni. Chłopcy poili konie, dziewczęta brały wodę. Niekiedy rozlegały się wesołe wybuchy śmiechu.

Dziad wkrótce znalazł się w pośrodku nich; wszyscy spojrzeli nań ciekawie, lecz nikt go nie znał.

Dzieci z krzykiem schroniły się do chat, matki poczęły je strofować, lecz gdy się bliżej przyjrzały dziadowi, nie dziwiły się już lekowi dzieci.

Człowiek ów miał włosy i brodę siwo-rudawe, długie i skoltunione, wyraz twarzy zarazem dziki i chytry; skóra owcza zarzucona na plecy, ramiona żyłaste i obnażone, czyniły go podobnym raczej do zbója, niż do spokojnie wędrującego dziada.

(d. n.)

PRENUMERATA W YNOSI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zhr. 1 cent. 75 (3½ korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10

TREŚĆ: Wilhelmina, królowa Holandyi (z portretem). — Bez przewodnika. — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej ryby,” opisał H. C. (z ryc.) — Sto lat temu nad Nilem (z ryc.) — Astrachań (z ryc.) — Obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — Dodatek: Pożegnanie jaskółek, wiersz (z ryc.) — Osiołek Wojtusia. — Nieproszeni goście. — Dług wdzięczności przez Zofię Rudnicką. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

WIECZORY RODZINNE



POŻEGNANIE JASKÓŁEK.

Wzrokiem was gonię jaskółki kochane,
Słucham waszego miłego szczebiotu
Z żalem serdecznym, że w strony nieznane,
Tak wam już śpieszno do lotu.

Alboż wam kiedy źle tu było z nami,
Czyli nie dosyć miałyście swobody,
Czy mało muszek było nad wodami,
Czyście doznały tu szkody?..:

Ale wy wiecie, o ptaszęta wieszczce,
Że wkrótce słońko zaćmi swe promienie,
Jesień nadejdzie, a tuż za nią jeszcze
Zima roztoczy swe cienie.

Więc się spieszycie, tam gdzie wieczna wiosna,
Gdzie nie zaznacie okrutnego chłodu,
Gdzie wciąż rozbrzmiewać może pieśń radosna,
Gdzie obce uczucie głodu.

Toż skoro dola mi przypadła smutna,
Bym cię żegnała, miła jaskółeczko,
Proszę, gdy przejdzie ta zima okrutna,
Wracaj na swoje gniazdeczko.

Ja cię tu będę z wiosenką czekała,
Powrotu twego dzień za dniem liczyła,
Bo pewną jestem o ptaszyno mała
Że i ty będziesz tęskniła:

Za rodzinnego nieba błękitami,
Za srebrnej Wisły tą falą przejrzystą,
Za naszym domkiem, wonnemi łąkami,
Za swoją ziemią ojczyzną.

M. D.

OSIOŁEK WOJTUSIA.

Był raz mały i dobry chłopczyzna, zawsze pilny i posłuszny i bardzo od wszystkich kochany.

Rodzice jego, straciwszy cały majątek, martwili się tem bardzo, więc i Wojtuś widząc smutek rodziców, zapłakał nieraz serdecznie. Wojtuś był przytem bardzo delikatnego zdrowia. Często więc bardzo leżał w łóżeczku, tłumiając łzy, gwałtem cisnące mu się do oczu, aby tylko strwożonej mamy nie martwić.

Chociaż rodzice odejmowali sobie nieraz od ust, aby wążtemu dziecku dogodzić, trafiało się przecież, że chory Wojtuś zapragnął jakiejś ulubionej potrawy lub napoju, a mama dać mu tylko mogła suchy kawałek chleba i szklanę mleka.

Nieszczęśliwy więc był ten mały blady Wojtuś, w lecie bosi najczęściej, a w zimie nie zawsze w dość ciepłej sukience.

To też niepodobna opisać niezmiernej radości chłopca, gdy dnia jednego niespodzianie od wuja dostał dużego, żywego osiołka.

Wojtuś nie mając dotąd żadnej własności, długo uwierzyć nie mógł swemu szczęściu. Gdy zaś przekonał się, że to prawda, prawdziwa prawda, jak zwykł mówić, ucałował najpierw wujowi ręce, potem rzucił się mamie na szyję i pędem wybiegł z pokoju.

Przed domem stał już osiołek, jakby czekał na swego młodziutkiego pana.

— Hi... ha! Hi... ha! — ryknął wesoło, gdy Wojtuś upojony szczęściem na szyję mu się rzucił, a potem obwąchał jasną główkę chłopca i bardzo łaskawie przyjął garstkę trawy, podanej mu na dłoni.

— Osiołku, osiołku! — powtarzał Wojtuś co chwila — osiołku mój kochany, głaskał go, karmił, i prowadził do wody, od rana do wieczora zajęty swym towarzyszem.

Osiołek był młody, lubił świeżą trawę i wodę a Wojtusia polubił tak bardzo, jak tylko osiołek kochać potrafi.

A więc, na głos chłopca rżał hi... ha! tak donośnie, że piejące koguty milkły, a kot domowy na dach wskakiwał. Jeden tylko Burek w swej budzie słucał tego ryku spokojnie — ale nie dziw — bo był już bardzo sędziwy i poważny, dużo w życiu widział i słyszał i nie już sobie nie robił z ryku osiołka.

Tydzień cały przeszedł w tej radości, która jakby na zdrowie posłużyła Wojtusiu, taki był ożywiony i czerstwy. Już sobie obmyślał, gdzie postawi osiołka na zimę; jak ojca o furkę trawy poprosi, jak własny chleb od obiadu przyjacielowi zanościć będzie.

Rodzice tymczasem jakiś znowu mieli smutek. Dnia jednego Wojtuś zajęty szyciem derki z dwóch starych serwet, usłyszał z drugiego pokoju głośną lecz smutną rozmowę.

Oboje rodzice upraszali o cierpliwość jednego z dawnych wierzycieli, któremu już tylko dziesięć rubli zostali winni. Ale tych dziesięciu rubli nie było właśnie, a wierzyciel nalegał gwałtownie.

— Więc cóż zrobić — rzekł ojciec — skoro nie mam.

Byłeś pan cierpliwy dotąd, proszę jeszcze miesiąc poczekać, omłócę groch tymczasem.

— Wiem, że u państwa więcej długów jak pieniędzy i nie ustąpię, póki moich nie odbiorę — powiedział wierzyciel głośno — ostro prawie.

Po chwili do pokoju, gdzie siedział Wojtuś, weszła mama, z twarzą zalaną łzami. Nie widząc nawet tyna, osunęła się na krzesło i zakrywszy oczy, załkała.

Wojtuś strwożony, tłumiając płacz dławiący go także stał długo w osłupieniu i rozpacz; co począć? co zrobić? aby mamę uspokoić. Stał, myślał, aż wreszcie odetchnął głęboko i przypadł do kołan matki.

— Mamo, mam, mamusiu moja!.. odjął dłonie jej od oczu i drżąc ze wzruszenia mówił prędko.

— Moja złota mam, mnie ten osiołek wcale nie potrzebny, jemu będzie u nas bieda, w tym chlewku będzie mu zimno; niech go tatuś sprzeda jakiemu drugiemu chłopczykowi i niech zapłaci te dziesięć rubli. Moja droga, moja najdroż... gwałtowne łkanie przerwało mu mowę...

Ostry wierzyciel, mający również niedużego synka, wziął chętnie ładnego osiołka i pokwitował rodziców z reszty długu. Zalawiony Wojtuś ostatni raz jeszcze przyniósł ulubieńcowi trawy i wody i uściskał kochane zwierzątko w milczeniu. Długi czas jeszcze dławiał go żal serdeczny... lecz nigdy nie pożałował postępków swego, bo w sercu i pamięci tkwił mu wzruszony głos ojca: „Niech cię Bóg błogosławi mój synu!”

Zofia Ziemborska.



NIEPROSZENI GOŚCIE.

Muchy.

W piękny majowy poranek muchy po raz pierwszy pojawiły się w pokoju i odtąd już tam były stałemi mieszkankami. A trzeba przyznać, że zachowywały się bardzo niewłaściwie. Od pierwszego dnia były jak u siebie: w każdy kąt zajrzały, wszystkiego skosztowały. Zaledwie podano do stołu, muchy nie czekają czy państwo zasiedli, nie zważają kto starszy, lecz zawsze były pierwsze. Jadały wprawdzie bardzo mało, wyłącznie same płyny, które wypijały trąbką, ale za to były bardzo łakome.

Chętnie pijały mleko, ale wołały śmietankę i kawę, herbatę kosztowały tylko wtedy, gdy była dobrze ocukrzona, za to za miodem i konfiturami wprost przepadały. Cukru, zwłaszcza drobnego nie ominęły nigdy, rozpuszczały go własną śliną i wysysały.

Nie przeszkadzało im to jednak wszystkiego próbować, a choć miały znakomite oczy nie ufały im i wszystkiego językiem dotykały. Muchy są tak zręczne, niby najzręczniejsi akrobaci. Umieją chodzić po suficie i gładkiem szkłem, czego zazdroszczą im inne owady. Jest to ich tajemnicą i nikomu jej nie wyjawiają, my jednak wiemy, że mają na każdej łapce po dwa pazurki, a pod każdym mieści się maleńka poduszczyca, więc gdy mucha przycisnie łapkę, poduszczycki te trzymają ją mocno na gładkiej powierzchni, a że pod sześcioma łapkami mają

aż 12 poduszeczek; nie dziwnego, że mogą śmiało spacerować po suficie, szybach i lustrach.

Muchy spiąją zwykle w kącikach i framugach, a gdy pierwsze ciepłe słoneczne promienie obudzą je ze snu, wtedy wyciągają się, rozprostowują nóżki, skrzydełka, muskają łapkami po głowie, niby to myjąc się i wylatują na ranne wycieczki, jedne do sypialnego pokoju, gdzie zaglądną dzieciom w uszy, nos, usta: zdaje im się, że chodzą po pagórkach. W końcu przecież szukają pożywienia swą trąbką, budzą dzieci i odpędzone uciekają dalek.

Drugie wpadły do szpizarki na gospodynię, tam natrafiły na niejeden smaczny kąsek. Inne poleciały do kuchni.

Lecz gdy zaczęto przygotowywać pierwsze śniadanie, muchy zleciały się ze wszystkich stron do jadalnego pokoju. I nim państwo zasiedli do stołu, spróbowały już śmietanki, zjadły cukier z sucharków i drobną mączką z cukierniczki się uraczyły.

Nie można przecież powiedzieć, żeby życie much upływało bez trosk, rzadko która ginie własną śmiercią. Najczęściej giną w młodym wieku: to wpadnie która niepostrzeżenie w sieć pajaka i płacze się i męczy, aż ją pajak uśmierci; to znów pijąc mleko lub kawę wpada i tonie; niech tylko wyleci na podwórko, porwie ją zaraz jaskółka, no i ludzie zawsze znajdują, że jest ich za dużo; a gospodyni zniecierpliwiona postanowiła je zupełnie wytępić.

Otworzyła okno w stołowym pokoju i zaczęła ręcznikiem wymachiwać. Niejedną muchę zabiła, uratowały się tylko te, które na suficie posiadały. Nie dość na tem, kupiła szklaną muchołapkę, nalała serwatki i postawiła na oknie. A muchy ciekawe spieszą czempredzaj przekonąć się, co to jest? I niezadługo na smacznej serwatce pływają setki ofiar swej ciekawości. Chociaż dużo much ginie, pozornie nie znać tego i liczba ich nie zmniejsza się wcale.

I skąd bierze się ich takie mnóstwo? Tępią i wypędzają je a zdaje się, że ich coraz więcej w mieszkaniu.

Tak się też dzieje, bo co jedne wyginą to drugie przybywają. A jak się to dzieje, zaraz wytłomaczę. Muchy od czasu do czasu wylatywały z mieszkania i składały jajka, czy to w stajni, czy w oborze, czy na śmietniku, każda złożyła 80 jaj.

Po 24 godzinach z małych jajeczek wyległy się białe liszki; żywiły się tem, co znalazły blisko siebie.

Przez 14 dni rosły, grubiały i były tak duże, prawie jak paznokieć małego palca.

Poczem straciły apetyt i nie ruszały się z miejsca, skóra ich pociemniała, ciało przyjęło kształt beczułki.

W takim stanie leżały jeszcze 14 dni, po których skóra z jednej strony pękła i z każdej beczułki wylatywała mucha.

Byłyby może pozostały w stajni, ale tu jaskółka strasznie je tępiła, więc postanowiły odlecieć, a widząc otwarte okna, powlatywały do pokoju.

A gospodyni nie domyśla się nawet, że to nowi nieproszeni goście przybyli do niej gromadnie. Niedługo i owe młode muchy złożyły po 80 jaj i nie minął miesiąc gdy nowy zastęp zjawił się ich w pokoju. A że ka-

żda mucha w ciągu lata 4 razy po 80 jaj składa, można sobie wyobrazić jak wiele ich przybywa. Pod koniec lata gospodyni nie tępi ich już, tylko czeka, aż je zimna jesienne uśmierca, bo to najlepszy na nie środek, a te, które pozostaną przy życiu pozasypiają w ciemnych kątach.

Marya Weryho.

DŁUG WdziECZNOŚCI

przez

Zofię Rudnicką.

(Dalszy ciąg)

Spojrzała na Janka z pod oka, porozumiała się z Tatarzem w swoim języku, weszła do drugiej jakiejś nory, zakrytej wiszącą brudną, obszarpaną płachtą i wyniosła stamtąd jakieś równie brudne szmaty. Po chwili przystąpiła do Janka i nic nie mówiąc, poczęła zdejmować z niego suknie, w których był dotąd ubrany, a natomiast włożyła nań koszulę grubą, czarną od brudu, poszarpaną i zaledwie sięgającą do kolan, dała mu w rękę kawałek sznurka i pokazała by się tem opasał!.. Biedny Janek wiedział już, że opór nic nie pomoże, zaciął zęby i nie sarknął nawet. Tatar włożył mu długi bat w rękę i wskazał, by szedł za nim. Wyprowadził go w step, dość daleko od całej osady, tam się pasły konie i owce. Janek miał trzody pilnować. Pan jego krzyknął ezy świsnął; gdyż trudno nawet byłoby określić głos, który wydał; i w tejże chwili zjawił się drugi Tatar na koniu. Rozmawiali krótko, wskazując na Janka i żywo coś gestykulując. Janek zrozumiał, że pan jego kazał go pilnować, a w razie gdyby chciał uciekać, pokazano mu, że spotkałaby go strzała z łuku, który ów konny Tatar miał przewieszony przez plecy wraz z kołczanem pełnym strzał ostrych. Łuk—to broń, z którą Tatarzy nie rozstawali się nigdy.

Od tej chwili los Janka się ustalił: został pastuchem trzód tatarskich! On, dziedzic mnogich włości, jedyny wnuk starosty grodzkiego — ostatni z rodu..

Wolał jednak jeszcze stokroć być dzień i noc w stepie z bydłem, niżeli w towarzystwie Tatarów w jurcie.

Pan jego niedługo gościł na stepach, wkrótce pojechał znowu ze swoją hordą, może po nowe tupy. Stara Tatarka raz na dzień przynosiła jedzenie starszemu pastuchowi i Jankowi, zawsze wstrętne, ale przynajmniej już nie surowe mięso. Za napój miał mleko kobyłe, które znajdował nawet dość smaczne.

I tak poczęły mu płynąć dni jednostajne, można powiedzieć między niebem i ziemią: step, nie objęty okiem otaczał go dokoła; nad nim, wznosiło się, myślą nawet niedoścignione, sklepienie niebios.. Nocą leżąc bezsen- nie na wilgotnej trawie, wpatrywał się Janek długimi godzinami w gwiazdy migocące i iskrzące nad ziemią, i myślał z rozrzewnieniem, że te same gwiazdy świecą i nad domem jego rodzinnym.. że może właśnie w tej chwili matka jego ukochana, w żalu i tęsknocie za nim,

patrzy na nie, jak i on... i marzył, że odbicie jej wzroku padnie z gwiazd tych na jego głowę... Marzył, tęsknił, nieraz, gdy nikt nie widział, zalewał się gorącymi łzami; nie rozpaczał wszakże i nie tracił nadziei, że Bóg przecież kiedyś wyprowadzi go z tej niewoli. Modlił się coraz goręcej.

W tej jednostajności stracił rachubę czasu; nigdy potem nawet nie umiał powiedzieć, jak długo pasł trzody tatarskie.

Jednego dnia, Tatar zjawił się na pastwisku, wraz z kilkunastu sztukami bydła, które widocznie z jakiejś świeżej grabieży przypędził; pogadał coś ze starszym pastuchem, bydło zostawił, a Jankowi kazał iść za sobą.

Jakże się wzruszył Janek, gdy przed chatą tatarską ujrzał dwóch ludzi nie Tatarów — ludzi, w których poznał włóścian podolskich! Rzucił się do nich z okrzykiem radości — błysnęła mu bowiem myśl, że to może wieść jakaś z domu, od matki: może to wysłańcy, którzy przybyli z okupem za niego...

(d. c. n.)

SZARADA.

Pierwsze z trzecim, gdy bywa żeńskiego rodzaju,
Do sprawdzania ciężkości służy w każdym kraju;
Gdy męskiego, przeważnie noszą je kobiety,
Jako strój i osłonę wysokiej zalety.

Drugie z pierwszym to pokarm bardzo pospolity,
Nie wykwiłtny, lecz za to w pożywność obfity.

Wszystko wraz, obce świata zamieszkuje strony,
Stanowi rodzaj zwierząt do psiego zbliżony.

ARYTMOGRYF.

p. Kubusia M.

- 1) 20, 18, 9, 20, 8, 7. Miasto nad Bystrzycą.
- 2) 1, 20, 14, 9, 8, 1, 24, 5. Imię żeńskie.
- 3) 7, 4, 13, 4, 17, 16, 4, 19. Miasto gub. w Rosyi.
- 4) 5, 24, 1, 7, 22. Miasto stołeczne w Europie.
- 5) 16, 18, 2, 18, 7, 8, 5. Królestwo n. morzem Gzarnem.
- 6) 24, 4, 16, 18, 7. Miasto nad Wisłą.
- 7) 4, 16, 23, 1, 21. Ptak drapieżny.
- 8) 13, 1, 7, 1, 12, 22, 5. Miasto we Włoszech.
- 9) 8, 17, 7, 5, 12, 22. Imię męskie.
- 10) 12, 3, 8, 7, 22. Cesarstwo w Azyi.
- 11) 23, 5, 2, 4, 6, 12. Miasto w gub. Lubelskiej.

Zastąpić liczby literami, aby pierwsze litery utworzonych wyrazów złożyły nazwisko nieżyjącego poety polskiego.

LAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

Ułożyła Żywila dla kochanych rodziców.

- Zastąpić kropki literami aby
. rząd pierwszy oraz pierwsze litery
. złożyły nazwisko znakomitego botani-
. ka z pierwszej połowy XVIII w., (rząd 2)
. Miasto w Persyi. 3) Rzeka w gub. Grodz.
. 4) Dopływ Bugu. 5) Rzeka w Hiszpanii. 6) Nie-
. gdyś wolne miasto n. Dunajem. 7) Liczba mn. czas
. teraźn. słowa. 8) Spółgłoska

ROZWIĄZANIA DO N-ru 37.

Szarady: Na — po — le — on.

Łamigłówni kropkowanej:

Tam przez rozpięte brzóz, wierzb gałązki,
Pod szeleszczących listków namiotem,
Srebrzy się strumień przejrzysty, wąski,
Kłócąc się z wiatry dźwięcznym klekotem.

Wyżej tuż nad nim, grusze i tarny
Rosną zwieszono z podnóża góry,
A wyżej jeszcze las gęsty, czarny
Piętrzem po piętrze pnie się pod chmury.

Łamigłówni w kwadracie:

M a r a t o n
T o b i a s z
B e t l e e m
C h e ł m n o
B e r n a r d
D a b r o w a
B o l i w i a

Skrzynka do listów.

Z prawdziwą przyjemnością wysłaliśmy **Wróżbiarce Szczęścia** żądane książki; kosztowały z przesyłką 5 r. 30 kop. Zawsze gotowi jesteśmy ułatwić naszym prenumeratorom wszelkiego rodzaju sprawunki i polecenia. Zapowiedzianego listu oczekujemy, przesyłając wieloletniej naszej czytelniczce serdeczne pozdrowienia.

Pseudonym twój, kochana **Żywilo**, oznaczający dawne bóstwo słowiańskie, jest bardzo poetyczny i brzmi ładnie, sądzymy więc, że jest zupełnie odpowiednim. Wkrótce o tej bogini będzie wzmianka w powieści p. Łopuszańskiej „W Obronie Bogów” dla czego lato obecne tak chłodne objaśnić dokładnie jest rzeczą nader trudną, meteorologia stanowczych danych na to jeszcze nie posiada. Wiadomo, że na temperaturę wpływają i zjawiska astronomiczne, jak plamy na słońcu i pora topnienia lodów w okolicach podbiegunowych oraz na większych łańcuchach gór i warunki miejscowe, jak ilość lasów i t. p. Zresztą sierpień tegoroczny i drugi tydzień września były znowu niezwykle gorące.

Puszczyk z Pilawy zagubiony Nr. dostać może. **Łamigłówni** i zadania jego ostrzymaliśmy jak również od **Czarnego Porucznika** i **Aligatora z nad Nilu**.

Winszujemy **Polnej Różyczce**, **Stokrotce**, **Maryni S.**, **Smokowi**, **Kaziowi R** i **Cyklisście**, że tak trafnie odgadli szarady i łamigłówni.

Miłe liściki **Powiślanki**, **Srebrnej topoli** i **Wierzby** oddaliśmy **Jaskółce**, która już przyjechała, ale z powodu niezdrowia dopiero, od przyszłego numeru zacznie odpowiadać swym korespondentom Tymczasem poleciła prosić ich o jaknajczęstsze i najdłuższe listy.

Przypominamy o odnowieniu prenumeraty na **Wieczory Rodzinne**, które pod temi samymi co dotąd warunkami wychodzić będą w kwartale czwartym.

Numer pojedynczy kop. 10. — Zmiana adresu kop. 15.



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

ELŻBIETA CESARZOWA AUSTRYACKA.

W poprzednim numerze *Wieczorów* umieściliśmy portret młodej królowej holenderskiej, z powodu jej koronacji, teraz podajemy wizerunek drugiej monarchini europejskiej, ale niestety inne zupełnie względy kierowały w tem nami.

Wszystkie ludy austriackie pograżyły się w żalobę, bo ukochana ich cesarzowa i królowa padła ofiarą strasznej zbrodni w Genewie dnia 10-go września r. b. Cały świat współczuje z boleścią cesarza Franciszka Józefa i jego rodziny, a na pogrzeb, który się odbył w Wiedniu, zjechało bardzo wiele panujących i książąt, nie licząc przedstawicieli wszystkich państw.

Cesarzowa Elżbieta urodziła się w 1837 roku, jako księżniczka bawarska, a w 17-ym roku swego życia poślubioną została cesarzowi. Aż do ostatnich lat słynęła z nadzwyczajnej piękności, wielkiej dobroci i miłosierdzia, oraz z upodobania do sztuk pięknych i poezji. Z wielkiem zamiłowaniem i doskonale jeździła konno, a podróże, odległe spacery i życie wśród natury przekładała zawsze nad świetne zabawy i przyjęcia dworskie.



W roku 1867 w Budzie ukoronowaną została na królową węgierską. Węgrzy ubóstwiali swoją królowę a ona, odpłacając im wzajemnością, najchętniej przebywała w Godöllö na Węgrzech, gdzie prowadziła życie samotne i ciche, bez żadnej wystawy. Nieraz gdy spotykała podczas swych codziennych spacerów jakąś dziewczynkę, wracającą ze szkoły, brała ją pod swój parasol w razie nagłego deszczu, a o biednych w całym swem państwie zawsze pamiętała, hojnie szafując ofiarami.

Bóg nawiedzał ją w życiu ciężko: przed laty straciła jedynego syna, następcę tronu, rok temu siostra jej księżna d'Alençon spaliła się w Paryżu w czasie pożaru Bazaru dobroczynnego, a ten rok, w którym przypadał pięćdziesięcioletni jubileusz panowania męża, zakończył się dla niej nagłą i przedwczesną śmiercią.

Zwłoki cesarzowej Elżbiety spoczęły w kościele dworskim OO. Kapucynów w Wiedniu, gdzie znajdują się groby rodzinne Habsburgów.

BEZ PRZEWODNIKA.

KARTKA Z ZAKOPANEGO.

(Dalszy ciąg).

— Wiesz — zauważył Tadzio z nagłym błyskiem w oczach — one się pewnie na Kościeliskiej umieściły. Ciocia i Zosia lubią tę ciepłą ulicę, trochę już za wsią, z widokiem na góry i łąki, no, i tamtędy droga do Kościeliskiej doliny, gdzie bywają przynajmniej raz na tydzień. Pamiętasz, jak marzyliśmy, żeby w Kościeliskiej mieszkać?

— To wy z Zosią, co do mnie, choć przyznaję, że doliny równie pięknej nie widziałem, nie jestem pustelnikiem, aby mi wystarczyła natura. Dobrze to zresztą w pogodę, ale w deszcz...

— Też pięknie, Janku, choć inaczej, ale pięknie: ten wezbrany biały potok, te płaczące skały, szare niebo i cisza i samotność, wszystko piękne.

— A no, mi że takie życie byłoby najstosowniejsze dla twego usposobienia, choć nie! rozmazgałbyś się tam do reszty i został skończonym niedołęgą. Czasy pustelników minęły, mój drogi, pomyśl tylko o ziemie, jakby ci tam było, bez ludzi, bez dróg, jak w grobie.

— W pięknym grobie, gdzie żyć można. Nieraz blisko krzyża Pola, wybierałem sobie miejsce na jaskinię w ziemi, rozmyślałem, czembym się żywił, jakbym sobie urządził życie. Bo tego jestem pewny, że nigdy, nigdy w życiu nie napatrylbym się do syta piękności tego ustronia, nie nasłuchał szumu potoku, nie nacieszył się ciszą, w której tak dobrze myśleć i słuchać i przeczekać...

Twarz chłopca zapłonęła dziwnym blaskiem, oczy jaśniały mu niby natchnione, widać było, że każde słowo, może bez woli i bez wiedzy jego płynie mu prosto z duszy, z gorącego serca.

Lecz Janek niecierpliwie wzruszył ramionami.

— Głód wyleczyłby cię prędko z tych zachwytów — rzekł z lekceważeniem. — Górale uciekają na zimę z Kościeliskiej.

— Bo góral sobie nie wystarczy, książka i myśli nie zastąpią mu ludzi, a co do głodu, mógłbym mieć owoce i zapasy zboża.

— A prędko ta pojedziemy do Zakopanego?

Uśmiechnięty góral stał o parę kroków i patrzył na rozmawiających. Janek zerwał się pierwszy.

— A to jedziemy — zawołał. — Dobrego masz konia.

— Ho, ho, takiej parki nie znajdziesz w Zakopanem. Z wiatkiem se śmigniemy, przed wieczorkiem będziemy!

I pokazał białe zęby.

— A nie poczęstujecie to panicu, górala?

Janek skinął na chłopca.

— Daj butelkę piwa.

— I jedźmy.

Góral pospieszył pierwszy, zapinając serdak, bo wiatr chłodny powiał i wesołe słonko zasępiło się jakoś. Za chwilę stanął przy dość dużym wózku parokonnym, jak wszystkie pokrytym białym płótnem, z jednego boku podciągniętym w górę.

— A to twój wózek? — rzekł zdziwiony Janek.

— A co?

— A cożeś nie powiedział, że parokenny? Co nam po tem? Dwa razy tyle płacić, 6 guldenów! Czy tyle rzeczy mamy? Ja nie chciałem parokonki.

— A toć mieliście książeczkę — zauważył góral.

Janek się zaczerwienił i spoehmurniał. Istotnie zrobił głupstwo, nie spojrzawszy nawet w książeczkę, on, co tak chętnie innym wytykał omyłki. Niema nawet o czem mówić; góral prawdopodobnie byłby znalazł pasażera; a jeżeli

ich podszedł, to nadzwyczaj zrećnie: oddał przecież książeczkę.

— Siadajmy — rzekł do brata krótko.

Góral poprawił koniom czerwone szaliki przy chomontach, ściągnął lepiej w górę płótno, przetarł dłonią ceratowe siedzenie i zrećnie dostał się na wózek.

— Wesoło pojedziemy — rzekł, zwracając się znów do chłopców — co tam będziecie żalowali parę guldenów, i góral przecie też zarobić musi.

I zaśpiewał po góralsku, dziwnym, przydechowym głosem, podobnym do niskiego krzyku, w którym trudno rozróżnić wyrazy:

Góry nasze, góry. — Moje wy komory,

Oj bukowe listeczki. — Moje poduszcзки.

Większość wózków już odjechała, zapóźnione potoczyły się długim łańcuchem, piękną szosą ku południowi.

Na skrajcu u nóg chłopców padł bukiet żółtych jaskrów. Janek potrącił go dosyć niechętnie, ale Tadzio wyrzucił centą w stronę małej ręki, która widniała gdzieś z boku przy wózku.

— Uczysz dzieci żebraniny — burknął Janek.

Tadzio milczał.

Drugi bukiet wpadł do wózka. Cent na szosę.

Za trzecim razem Janek z gniewem wyrzucił kwiaty.

Tadzio się zaczerwienił i spojrzął na brata, ale nie przemówił ani słowa.

II.

Jasne, wesołe słońce ciekawie zajrzało do pokoju na Chramcówkach, gdzie zatrzymali się nasi znajomi. Pokoik nie był wielki, ale dość wysoki; gładkie, świerkowe ściany lśniły połyskiem atlasu, rzeźbione ramy okna i drzwi, przyjemnie czyniły wrażenie. Skromne sprzęty zdawały się zupełnie nowe, a wszystko pociągało prostotą i czystością.

— Pogoda — ziewnął Janek — czas nam w drogę, gotowe uciec na jaką wycieczkę.

— Szkoda, żeśmy tu stanęli — zauważył Tadzio — daleko do klimatyki.

— Cóż ci ta klimatyka tak zajechała do głowy? Kpię sobie z klimatyki i żeby cię przekonać, że się bez niej obejść, wcale tam nie pójdziemy.

— Nie wiem, czy to będzie dobrze — szepnął nieśmiało Tadzio.

— To się dowiesz.

— Nie chodzi mi o podróż i o stryja, ale ojcę byłoby przykro, gdybyśmy Zosi na czas nie przywieźli; taki był uszczęśliwiony z tej naszej wycieczki. To dla niego większa przyjemność, niż gdyby sam mógł nareszcie wyjechać na dłużej z Warszawy.

— Czemu nie mamy przywieść Zosi na czas? Jeszcześ się nie ruszył z miejsca, a już wątpisz o wszystkim, jak gdyby Zakopane było co najjnniej Europą. Straszna sztuka odnaleźć tutaj dwie osoby, nawet bez klimatyki! Stryj 10 dni zaczeka, a to przecie wystarczy, chociażby się wybrała na dalszą wycieczkę.

— Już tylko 8, dwa zajęła nam droga.

— Nawet 6, bo dwa także na powrót odliczyć trzeba. Ale to także dosyć.

— Swoją drogą, gdyby to zależało odemnie, wyciąłbym te wszystkie lasy do jednego drzewka. To mi ozdoba! W Zakopanem gór nie widać. Nie wiem, co sobie ludzie do tych Chramcówek upatrzyli, najbrzydza część osady, bez żadnego widoku.

— Gór tylko nie widać — cicho wtrącił Tadzio. — Za to tyle przestrzeżeni, zieloności, słońca...

C. Niewiadomska.

(d. c. n.)

STO LAT TEMU NAD NILEM.

(Dalszy ciąg.)

Wieczorem Bonaparte kazał iluminować miasto, ku wielkiemu zadowoleniu mieszkańców oddających się swobodnie zabawie.

A gdy z kolei przypadło święto Proroka wódz udał się do wielkiego meczetu usiadł na poduszkach jak szejkiowie, z nogami na krzyż złożonemi, przez co zyskał sobie ogólne uznanie. Jeżeli jednak umiał pochlebiać panującym obyczajom a niekiedy i przesądom, pracował równocześnie nad rozszerzeniem nauk przez ustanowienie słynnego Instytutu Egipskiego, do którego zawezwał przybyłych z nim uczonych oraz najświetlejszych oficerów wyznaczając im szerokie pole działania w dziedzinie historii, przyrodoznawstwa, oraz możliwych ulepszeń ekonomicznych w zdobytym kraju. Pierwszym prezesem Instytutu został Monge.

Tymczasem zawojowanie Dolnego i Środkowego Egiptu odbyło się bez trudności i kosztem zaledwie kilku lekkich utarczek, a przyspieszony marsz wojska francuskiego na Bełeis skłonił Ibrahim-Beja do spieszenia ucieczki do Syrii.

Aby odebrać Górny Egipt Murat-Bejowi, czekał gen. Desaix jesieni, to jest opadnięcia wód.

Ale los tak przyjazny Bonapartem na lądzie stałym, zadał mu w tym czasie jeden z najstraszniejszych ciosów na morzu.

Admirał Brueys bowiem mimo otrzymanego zlecenia, by zabezpieczyć eskadrę przed Anglikami bądź to w porcie Aleksandryjskim, bądź wracając aż na wyspę Korfu pozostał jednak w przystani Abukirskiej, którą Bonaparte uważał za punkt mało bezpieczny.

Wprawdzie Brueys, wątpiąc czy będzie mógł prowadzić do portu w Aleksandryi ciężkie i wielkie statki, postanowił odpłynąć do Korfu zwlekał tylko z odjazdem chcąc się upewnić co do powodzenia oręża swego przyjaciela i do zajęcia Kairu. Ale oczekiwanie to właśnie, stało się przyczyną zguby.

Gdy bowiem 13 okrętów francuskich stało półkolem równoległe do brzegów przystani, oparte z jednej strony o wysepkę Abukir, admirał sądził, że za tę wysepkę żaden okręt przejść nie zdoła, umieścił więc tu najslabsze baterie, gromadząc całą siłę na drugim końcu półkola.

Tymczasem Nelson admirał angielski, przepłynąwszy Archipeląg wrócił na morze Adryatyckie, aby wreszcie znów podążyć do Aleksandryi, gdzie już teraz napewno wiedział, że znajdują się Francuzi.

Wysłana przez niego na zwiady fregata, podpatrzyła bez żadnej przeszkody pozycję eskadry Brueysa, który niestety nie zachował nawet tej ostrożności, by utrzymać w pewnem oddaleniu kilka lekkich statków, pełniących służbę strażniczą.

Nelson więc zawiadomiony o wszystkim, aż do drobnych szczegółów, przybył pod Aleksandryę 1-go sierpnia o godz. 6-tej wieczorem.

Admirał francuski zaskoczony najniespodziewaniej, wydaje natymczasem sygnały do boju, nie sądził on jednak, iż zostanie zaczepionym tegoż dnia jeszcze.

Ale Nelson przystępuje natychmiast do działania, i choć niebezpiecznym bardzo, lecz śmiałym obrotem, po kilkogodzinnej walce, w której szczęście zdawało się już przechylać ku Francuzom, bierze stanowczą przewagę, zajmując, stanowisko od strony brzegów poza wysepką.

Wzięta w dwa ognie eskadra francuska dokazuje cudów waleczności. Sam admirał ranny zostaje wszakże na pokładzie, mówiąc:

— Winienem umrzeć, wydając rozkazy! Niebawem też kula działowa kładzie go trupem.

Około godziny 11-ej w nocy ogień ogarnia wspaniałą okręt „Orient” a jego wybuch zawiesza na czas jakiś zaciętą

walkę, która niebawem znów się wzmagą, aż wreszcie kontr-admirał Villeneuve, stojący dotąd na drugim skrzydle bezczynnie, wątpił w możliwość zwycięstwa uszedł z dwoma pozostałymi liniowymi okrętami i kilku fregatami.

Walka trwała przeszło 15 godzin i cała wielka eskadra francuska uległa zniszczeniu, bo choć Nelson sam mając wielce uszkodzone statki, nie gonił okrętów Villeneuve'a, te jednak rozbite zostały przez burzę, tak iż dwie zaledwie fregaty przybiły do Korfu.

Straty więc były nieobliczone, a fatalne też miały być skutki tej najnieszcześniejszej walki, jaką kiedykolwiek do tego czasu wytrzymała marynarka francuska.

Bo oto flota, która przywoziła armię Bonapartego do Egiptu, która ją miała wspierać na brzegach Syrii, swemi działami i skłonić sultana do łatwiejszych układów, ta flota, która wreszcie miała odwieść armię francuską do ojczyzny, zginęła nagle i bezpowrotnie.

Lecz Bonaparte odebrał tę wiadomość z niezachwianym spokojem.

— Trzeba nam tu umrzeć, albo wyjść ztąd wielkimi jak starożytni — rzekł do otaczających go oficerów. Do Klebera zaś pisał:

— To nas zniewoli do dokonania większych jeszcze rzeczy, niżeliśmy zamysłali. Trzeba mieć się na pogotowiu.

A dzielna dusza Klebera godną była takiej mowy, co potwierdza przesłana odpowiedź:

— Tak jest, trzeba nam dokazać rzeczy olbrzymich, przygotowuję się do tego.

Przykład odwagi tych dwóch wielkich mężów musiał podzielać zbawiennie na zgnębionego ducha armii, którą wódz starał się rozerwać drobnymi wyprawami lub urządzeniem różnych uroczystości.

Z okazji więc święta rzeczypospolitej, kazał wryć na piramidzie nazwiska 40 żołnierzy, którzy polegli pierwsi w Egipcie, a ceremonię tę zakończył ową sławną przemową, streszczającą w kilku zdaniach, chlubną historję czynów swej nieśmiertelnej armii...

(d. c. n.)

W OBŁOKACH I POD WODĄ

WYPRAWY „LATAJĄCEJ RYBY.”

opisał H. C.

(Ciąg dalszy.)

Baronet nie miał nic przeciw temu, uchwalonem więc zostało wykonać te próby nazajutrz.

Ponieważ zawczasu postanowiono wcześniej wstawać w czasie podróży, następnego dnia podróżni zbudzeni zostali o 7-ej rano, o 8-ej zasiedli do śniadania, a następnie poszli do kajuty sterniczej. Tu profesor wyjął mapę, rozłożył ją na stole i rzekł, przywoławszy Mildmaya:

— Jako marynarz z powołania, musisz być bieglejszym od nas sternikiem, dla tego też tobie ster statku powierzamy. Tu — dodał, wskazując punkt na mapie — miejsce, w którym znajdujemy się w obecnej chwili, a najbliższym celem podróży naszej ma być przylądek Finister.

— Zgoda — odparł Mildmay — podejmuję się chętnie obowiązku sternika pod warunkiem, że przebywając dłuższe przestrzenie pod wodą, wypływać będziemy od czasu do czasu na powierzchnię morza, żebym mógł zebrać potrzebne wskazówki i sprawdzić trafność obranego kierunku.

— Słuszne żądanie — potwierdził Karliński, a widząc, że towarzysze gotowi są do drogi, nacisnął sprężynę podnoszącą kotwicę i wypchnął nieco wody ze zbiorników; statek w górę unosić się zaczął.

— Wzniesiemy się tak wysoko — objaśniał profesor —

aby latarnia nad kajutą sterniczą znajdowała się o sześć sążni pod wodą; w tej głębokości będziemy mogli nietylko bezpiecznie przepływać pod spotykanymi okrętami, ale jeszcze będziemy widzieć dokładnie przedmioty znajdujące się wkoło nas i nad nami. Dosyć już wypchnęliśmy wody — dodał, zamykając klapę kanału, gdy wskazówka na cyferblacie regulatora stanęła na żądanej przez niego liczbie, — na ciebie koleją, poruczniku, brać się do dzieła.

— Na to, żeby dostać się do przylądka Finister, wypadła nam przebieć przestrzeń 650 mil angielskich w kierunku zachodnio-południowym — zauważył Mildmay.

— W takim razie — odparł profesor — jazda nasza nie powinna trwać dłużej nad 5½ godzin, jeśli szybkość bie-

Z ZAKOPANEGO.



Brama Kraszewskiego w dolinie Kościeliskiej.

gu statku pod wodą dorówna szybkości jego lotu w powietrzu. Woda wprawdzie większy od powietrza stawia opór, ale za to możemy nadać większy pęd maszynie.

Rzekłszy to, Karliński bezzwłocznie zamiar swój wykonał i niebawem „Latająca Ryba” z niesłychaną szybkością przebiegać zaczęła głębie morskie.

— Obawy moje były płonne — odezwał się po pewnym czasie profesor, wskazując na igielkę regulatora, kreslącą na papierze długość przebywanej drogi. — Płyniemy z szybkością stu pięćdziesięciu mil na godzinę i przez te kilka minut oddaliliśmy się znacznie od punktu wyjścia.

Woda w głębokości, w jakiej się znajdowali, była przezroczystą jak kryształ zabarwioną na ciemno-zielony kolor, powierzchnia zaś jej połyskiwała złotawymi odbłaskami promieni słonecznych, łamiących się na falach poruszanych lekkim powiewem wiatru. Drobne nawet przedmioty, jak pływające kawałki drzewa, ryby, meduzy i t. p. ze znacznego odda-

lenia dostrzedz było można, a łodzie rybackie na milę odległości były widzialne. Gromada [napotkanych mew] czyniła wrażenie czarnych punkcików; dopiero z chwilą gdy ptak zanurzał się w wodę, kształty jego dla żeglarzy na statku stawały się widocznymi. Naraz zauważyli zbliżającą się ku nim flotę. Na widok okrętów profesor uśmiechnął się i rzekł do towarzyszy:

— Bierze mnie ochota wypłatać figla i załogom tych statków dostarczyć tematu do długich gawędek.

— Co chcesz uczynić, profesorze? — zapytał baronet.

— Ukazać się nagle z „Latającą Rybą” w środku tej floty. Siła naszej maszyny jest tak wielka, że zdoła w mgnieniu oka pchnąć nas na powierzchnię i natychmiast zanurzyć głęboko na kilka sążni. Obok tego drugiego okrętu, który zdaje się powracać z dalekich, podzwrotnikowych stron, znajdziemy dość miejsca na takie błyskawiczne ukazanie się. Zająwszy w okienkach kajut dogodne stanowiska obserwacyjne, będziecie mogli zauważyć, jakie wrażenie wśród załogi wywoła to nasze nagle zjawienie się i zniknięcie.

Podróżnicy stanęli przy okienkach, Karliński zwrócił ster ukośnie do góry i „Latająca Ryba” z hałasem i szumem wychyliła swój kadłub nad wodę i w tejże chwili zanurzyła się w głębie morza, tworząc wir po sobie.

Podróżni nasi zdążyli zaledwie rzucić okiem na licznę okręta floty, ale to jedno spojrzenie dostarczyło im wiele ciekawych spostrzeżeń.

Załoga wędrownych statków, korzystając z pogody, zajęta była czyszczeniem okrętów przed zawinięciem do portu. Wszyscy ze zdumieniem wpatrywali się w niespodziewane zjawisko ukazującej się nagle i równie nagle niknącej olbrzymiej ryby, która po chwili zjawiała się znowu na pół minuty w przeciwnym końcu floty.

— Figiel nasz wywoła niewątpliwie poważne artykuły w dziennikach — mówił profesor. — Jestem ciekawy, co tam o nas pisać będą.

Przepowiedziany artykuł ukazał się niebawem w rzeczywistości w gazetach londyńskich, a przepisany następnie i zachowany w notatkach profesora, brzmiał jak następuje:

Ukazanie się olbrzymiego potwora morskiego na wodach Kanału.

„We wtorek 27 b. m. flota, złożona z kilkudziesięciu okrętów żaglowych, płynęła Kanałem angielskim w kierunku wschodnim, przy pięknej pogodzie i spokojnem morzu. Ludzie załogi zajęci byli czyszczeniem statków, gdy uwagę ich zwrócił niezwykły ruch wody w pewnej ku wschodowi odległości. Gwałtowny prąd zbliżał się szybko i czynił wrażenie jakby niósł w sobie jakieś olbrzymie cielsko; niebawem dobił do środka floty, gdzie była większa pusta przestrzeń i tam wypłynęła nagle z wody ogromna ryba, długości od 400 do 800 stóp i po paru sekundach na nowo schowała się pod wodę. Gdy widzowie nie oprzytomieli jeszcze ze zdumienia, potworne stworzenie ukazało się raz jeszcze na dłuższą chwilę w przeciwną stronę w pobliżu okrętu *Oliwia*, płynącego do Londynu z Bangkok, pod kapitanem Wilhelmem Rogers. Kapitan, znajdujący się w owym czasie na pokładzie, opisuje dokładnie osobliwe zjawisko, a szczegóły przez niego podane zgadzają się w zupełności z opowiadaniem innych świadków tego wydarzenia. Ma to być rodzaj ryby z gatunku piły morskiej, z ostro zakończoną głową i czterema oczami: dwa na przedzie, i dwa w tyle tułowiu. Srebrna jej łuska świeci metalicznym połyskiem w promieniach słonecznych. Na grzbiecie olbrzymiego potwora znajduje się spłaszczona wypukłość a raczej okrągła narość, uwieczona niby koroną z okrągłymi dokoła oczyma. To osobliwe stworzenie pozbawione, zdaje się, pletw, musi oddychać powietrzem, gdyż po pierwszym ukazaniu się wśród okrętów i daniu natychmiast nurka, okrążyło flotę w przeciagu jednej minuty i wypłynęło znowu na kilkanaście sekund widocznie dla nabrania w płuca zapasu świeżego powietrza, poczem zniknęło bezpowrotnie. Kiedyż nareszcie admiralicya i uczeni nasi zajmą się skutecznie roztrzygnięciem kwestyi tych potworów morskich, które tym razem jakby na urągawisko tylokrotnym zaprzeczeniem ich istnienia, zjawily się na naszych wodach, przy samych prawie brzegach Anglii!”

V.

Zatopiony Okręt.

O godzinie 2-iej po południu porucznik Mildmay oświadczył, że według jego obliczenia muszą być niedaleko miejsca, wytkniętego na mapie przez profesora, i, że pragnie dostać się na powierzchnię morza, aby sprawdzić swoje obliczenia i rzeczywiste położenie statku. Wstrzymano więc maszynę, wypchnięto z kanałów wodę, a gdy „Latająca Ryba” wypłynęła na wierzch, podróżni skorzystali z tej sposobności, aby wyjść na pokład.

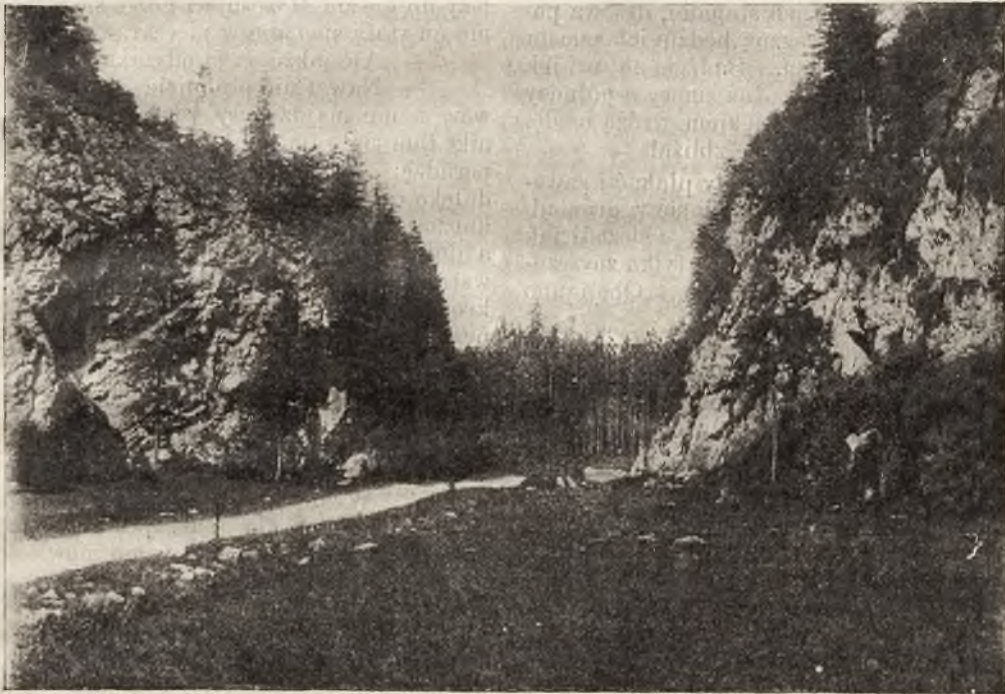
Zauważyli wtedy, że wiatr umiarkowany dął od strony wschodniej i że stamtąd szedł silny prąd wody, który dosięgając statku kołysał nim lekko, lubo nie zdołał wpłynąć na zmianę jego kierunku. Jednocześnie przez lunetę dojrzeli

Nagle zajaśniało sztuczne światło; blask lamp elektrycznych, zapalonych przez profesora, usunął ciemności, każdy szczegół dokładnie mógł być widziany, a w kręgu objętych świetlanymi promieniami ukazywały się od czasu do czasu okazy różnego gatunku mieszkańców głębin morskich. Karliński światło tam umyślnie skierował na zewnątrz, wewnątrz kajuty zostawiając w ciemności, iżby towarzysze jego dokładnie rozejrzeć się mogli w otaczających przedmiotach.

„Latająca Ryba” opadała coraz niżej, wreszcie po kilku chwilach, które się podróżnym bardzo długimi wydały, spoczęła na dnie morskim.

Uczestnicy wyprawy, wyglądając ciekawie przez okienka kajuty, zrazu nie spostrzegli nic osobliwego; lampy elektryczne w promieniu kilkuset łokci dokoła oświetlały równi-

Z ZAKOPANEGO,



Brama Kantaka w dolinie Kościeliskiej.

w odległości kilku mil angielskich zbliżający się ku nim duży parowiec, którego załoga, zaciekawiona prawdopodobnie niezwykle wyglądem „Latającej Ryby” usiłowała przeciąć jej drogę.

— Spiesz się z twymi pomiarami, poruczniku i trzeba się nam spuścić prędko pod wodę, nalegał baronet. Z tego parowca żądać od nas będą objaśnień, kto jesteśmy, dokąd płyniemy, a nie mam wcale ochoty zaspakajać ich ciekawości.

Mildmau po chwili odparł: skończyłem!

Gdy parowiec znalazł się w pobliżu, „Latająca Ryba” w jednej chwili zanurzyła się pod wodę, z niemałym zapewne zdumieniem tych, co za nią gonili. Równym choć szybkim ruchem statek spuszczał się w głąb morza, światło słabło stopniowo, aż znikło zupełnie i zapanowała tak wielka ciemność, że zebrani w kajucie sterniczej podróżni nie mogli widzieć jeden drugiego; głucha cisza dodawała jeszcze grozy położeniu.

nę najeżoną skałami, z których kilka znacznej wysokości porośniętych było trawą morską.

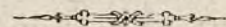
— Co spodziewałeś się znaleźć tu, profesorze?—pytał baronet.

— Kadłub zatopionego okrętu—odparł zagadniony. — Zatonął on w pobliżu miejsca wskazanego przezemnie na mapie i nie powinien być stąd daleko, jeśli nie pomyliłeś się w rachunku swoim, Mildemay’u.

— Rachunki te sprawdzić mogę natychmiast — oznajmił porucznik — proszę tylko o trochę światła we wnętrzu kajuty.

— Przepraszam za moją nieuwagę — tłumaczył się profesor, zapalając lampę nad stołem.

(d. c. n.)



Marya Łopuszańska.

OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg)

Wszedłszy na plac, gdzie byli zgromadzeni ludzie, stanął w pośrodku nich i począł mówić silnym głosem:

— Ludzie, wy sobie tu spokojnie żyjecie wśród lasów, nie wiedząc, co się tam na białym świecie dzieje. Ale posłuchajcie: oto widziano straszne znaki na niebie i na ziemi; miesiąc dwa razy mienił się krwawo, ze starych mogił słychać było nocą jęki i westchnienia, woda w kilku źródłach przemieniła się w krew... A wiecież wy co to wszystko znaczy? Oto, że stare bogi powrócą wkrótce. Powróci Jesse, Zywie, Nya, Kupala, Swist-Poświst i inni. Słyszycie, słyszycie? Już zdaleka ziemia drży pod ich stopami, drzewa pochylają wierzchołki. Idą bogi, a straszną będzie ich zemsta nad tymi, którzy ich nie uznają odrazu. Bądźcie gotowi ich przyjąć, by się od ich gniewu wykupić. Już zmory o północy włóczą się po omentarzach i płacem a jakim wróżą biedę. Spieszcie się, spieszcie, bo godzina sądu się zbliża!

Powstało zamieszanie; niewiasty poczęły płakać i zawodzić z wielkiego przerażenia; mężczyźni skupili się w gromadki, radząc gwarnie, a tymczasem dziad zniknął. Odszedł jak przyszedł, przez nikogo nie postrzeżony. Psy tylko zaszelekały, gdy szedł między opłotkami; znikł w lesie. Obejrzano się wreszcie, że odszedł:

— Hej dziadu, dziadu! — poczęli wołać mężczyźni, lecz echo tylko powtarzało po rosie: — Dziadu, dziadu! — a kilka wron, strwożonych porwało się z pobliskiej wierzby.

Gdy dziad znalazł się w lesie, wkrótce z za krzaku wyjechał jeździec, widocznie tam na niego oczekujący.

Był to Masław. Dziad ujrzawszy go, zatrzymał się:

— W ilu siolach dziś byłeś? — spytał Masław krótko.

— W trzech. W jednym mię psami poszczuto i utopić chciano, ale w drugim za to dobrze przyjęto i zawierzono temu, co mówiłem. Ale teraz już jestem ostrożny i znikam zaraz, nim się opamiętają; nie chcę być utopionym.

— Bądź spokojny, co ma wisieć, nie utonie. — odparł Masław. — Jutro udasz się w stronę Sandomierza.

— Ej, nie wiem, czy tam bezpiecznie; to nie to, co tu w puszczy; tam nad Wisłą co stąpisz, to się natkniesz na księdza. Jeszcze mię spławiają; nie, lepiej może tamtędy nie iść...

— Głupiec jesteś i tchórz — rzekł ostro — Masław. Jeśli cię spławiają, to mniej będzie jednego łotra na świecie, a z pewnością wszystkie ryby potrułyby się w Wiśle, gdyby cię tam wrzucono. Pójdiesz gdzie ci mówiłem i zajrzysz także do gródka Jaropelkowego, powiesz, że na niego czekam na Kraśnem uroczysku; pamiętaj tylko, omijaj strony gdzie gródki częściej rozsiane, bo władki nam niezbyt przyjaźni, mogliby cię gdzie obwiesić na gałęzi przydrożnej.

— To się rozumie — mruknął dziad. — Nie mam chęci podyndać na drzewie. A co dalej?

— Co dalej? — powtórzył, namyślając się Masław. — A powiedz mi — rzekł nagle — gdzie mieszka Rokitka?

Na to inie, niespodzianie wyrzeczzone, dziad cofnął się i rzekł zdziwiony i zmieszany:

— Rokitka? A toż na co on wam? Czy ja mogę wiedzieć, gdzie bies mieszka?

— No, no, nie udawaj! — zawołał Masław — wiem ja dobrze komu służysz. Dużo on ma was pod swą władzą, ale jeśli wszyscy takie łotry jak ty, to Czarnobóg ma lepsze sługi niż bogi białe.

— Cicho — rzekł — półgłosem dziad przestraszony — nie gadajcie tak, on wszystko słyszy, choćby nie wiem jak daleko; znajdzie się nagle w takim miejscu, gdzie się go nie spodziewali. On bies, umie się przerzucać w jakie chce, gady i zwierzęta; ja go znam.

W głosie dziada brzmiał przestach; oglądał się dokoła, jakby się obawiał ujrzeć Rokitkę.

Masław uśmiechnął się pogardliwie.

— Czy myślisz, że uwierzę tym bzdurstwom? — rzekł wreszcie. — Gadaj to sobie babom tchórzliwym na wieczornicach, nie mnie.

— Nie wierzycie? — zawołał dziad z przekonaniem. — A o, założmy się, że gdy opuścimy to miejsce, ujrzemy go wychodzącego gdzieś z jakiego wertepu lub trzęsawiska. Wtedy przekonacie się, czy Lutek kłamie!

Masława zastanowił nieco ton, pełen głębokiego przekonania, z jakim dziad przemawiał.

— No — rzekł — wierzę ci, może być, że się potrafi wszędzie weisnąć i dla tego wzbudził w nas wiarę, że jest wszędzie obecnym. Ale teraz nie o to idzie; gdzie go można spotkać na pewno?

— Nigdzie, tylko w dolinie nad Prądnikiem, która należy do knezia Mszczuja i gdzie się wznosi jego gródek. Tam ma on stałą siedzibę w pieczarze, na górze Hełmowej.

— Ale jakże ja ją odszukam?

— Nawet nie próbujecie jej szukać sami, bo upewniam was, że nie znajdziecie, gdyż wejście do niej tak ukryte, iż nikt tam się sam nie dostanie. Ale zróbcie tak jako wam poradzę: Jedźcie, jedźcie wciąż doliną Prądnika, a gdy już daleko ostawicie za sobą wysoką skałę, na której stoi gródek knezia, dostaniecie się w wąwóz, zewsząd ściśnięty skalami; a dojechawszy do wielkiej góry, porosłej lasem czarnym, wstrzymajcie konia. Wtedy zsiądźcie i krzyknijcie po trzykroć: „Wyjźdź, wyjźdź, wyjźdź Rokitko — niewolnik twój przybywał!”

Wtedy zaraz on wyjdzie gdzieś z za skały, taki maleńki, garbaty i zaprowadzi was do pieczary, a tam mu już powiecie, co macie rzec.

Masław rzucił się niecierpliwie.

— Dla czego mam mówić — niewolnik, kiedy nim nie jestem? Wcale nie idę do niego, by mu się oddać w niewolę!

— To nie, ale inaczej nie można — odparł Lutek — gdy nie powiecie tak jak wam mówiłem, to choćbyście nie wiem jak długo stali, on wam się nie ukaze. On zawzięty — obrażać go nie można — kneź Mszczuj jako straszny, a kiedy raz psami kazał zaszczyć Rokitkę, ujrzawszy go koło swego gródka, gdzie zbierał jakieś zioła, to później jak mu zaczęło bydło ginąć, tak wszystko wyginęło. Tak mści się Rokitka. A kto u niego raz na służbę stanął, ten już na wieki niewolnik jego, nigdy się nie oswobodzi.

Dziad mówił cicho, głosem tajemniczym, jakby przygluszonym od twrogi. Dokoła już wieczór coraz bardziej zapadał; las zaległy mroki, tylko ostatni jakiś, zablakany promień zapadającego słońca, wdzierał się ostro przez gałęzie, czerwony i jaskrawy. Gdzieś w dali turkawka ozwała się poraz ostatni.

Masław jechał powoli wąską ścieżką wśród zarośli, Lutek szedł obok. Wyjechali niedługo na miejsce odkryte; były to obszerne trzęsawiska, często trafiające się w owych czasach wśród głuchych lasów.

Masław i Lutek trzymali się brzegu, gdzie grunt twardszy umocniony był przez korzenie drzew. Przed ich wzrokiem rozciągała się cała ta gładka płaszczyna zielona, na której najmniejszy przedmiot zdala był widocznym; gdy oczom ich ukazała się nagle mała jakaś, garbata postać, o drobnej, koziej bródce, koloru zwiędłej trawy. Człowiek ten, czy duch, bo niekształtne owo stworzenie wyglądało ze swych ruchów dziwacznych, na jakąś nadprzyrodzoną istotę. przeskakiwało z kępy na kępę, oświeconej czerwonym promieniem słońca i znikło nagle w łożu, jak widmo.

Koń Masława rzucił się spłoszony.

— A widzicie, czyż nie mówiłem? — szepnął Lutek, a w głosie jego czuć było przestach.

Masław nie nadarmo dowiadywał się jednak o siedzibę Rokitki: nazajutrz bowiem natychmiast udał się w drogę ku dolinie Prądnika, by copędzej obaczyć się z tajemniczym jej władcą, który na równi ze straszynem kneziem, a może nawet więcej od niego trzymał ją w swym posiadaniu. Ta miejscowość, która otaczała jego siedlisko i do której po parodniowej podróży przez lasy, wjeżdżał właśnie Masław, była ogólnie unikana i nawet prędzej zbliżano się do gródka koczia Mszczuja, niż do ustronia zamieszkanego przez dziwną istotę, budzącą w okolicznym ludzku postrach pomieszany z pewną czcią.

Słońce kłoniło się za góry i za lasy, kiedy Masław wjechał do owego miejsca, tyle osławionego. Otoczyły go z obu stron skały dziwacznych kształtów, jak gdyby przyroda wysiliła się na nie. Tu wznosiły się jakby wieże i zamki wielkoludów, tam jakby łuki niewidzianych jakichś bram i kościołów, to znów najwyraźniej skała przybrała kształt olbrzymiej ręki; której pięć palców zarysowywały się najwidoczniej.

Drzewa, oraz bujna roślinność okrywały głazy płaszczem zieleni, dołem zaś wił się Prądnik po kamieniach.

Ani żywej duszy widać nie było w dolinie, bo któż na świecie ośmieliłby się zapuszczać wieczorem w owe miejsce zamieszkałe przez czarownika, czy też samego biesa, jak krążyła gadka między ludem.

Masław wreszcie stanął u stóp góry, okrytej płaszczem świerkowego lasu; czoło jej kryło się już we mgłach wieczornych; poznał, że była to góra chełmowa, o której mu Lutek mówił.

Niewielkie źródło wytryskiwało z cichym szelestem w pobliskich zaroślach; duże głazy leżały rozrzucone i napiętrzono je na drugich. Miejscowość dokoła miała pozór dziki, zasypana była całkiem rumowiskami wapienia i porośla krzewami karłowatemi, po których wiatr przechodził niekiedy, wydobywając żaloszny poświst.

Masław zsiadł z konia i po trzykroć zawołał: „Wyjdź, wyjdź, wyjdź Rokitko!” Echo powtórzyło jego wezwanie i znów nastało milczenie. Czekał, sądząc, że za chwilę z poza skał ukaże mu się dziwaczna istota, którą widział na bagnach, lecz nie się nie poruszyło, źródło tylko pluskało obok. Powtórzył znów swe wezwanie, oglądając się dokoła; każdy krzak, każdy kamień zdawał mu się w mrokach wieczornych niekształtną postacią karła, lecz głucha cisza otaczająca go, wkrótce go przekonała o pomyłce.

W końcu postanowił unżyć się przed dziwnym władcą owej miejscowości; zawołał znów po trzykroć: „Wyjdź, wyjdź Rokitko, niewolnik twój przybywał!”

Zaledwie ostatnie słowa rozplynęły się w cichym, wieczornym powietrzu, słyszał za sobą ostry wybuch śmiechu, podobny do zgrzytu zardzewiałego żelaza. Obrócił się; z poza załomów skały wyszła mała, garbata postać, o krótkiej koziej bródce, barwy zeschłej trawy.

— Cha, cha, cha! — śmiał się, a echa powtórzyły śmiech ten przeraźliwy. — Poniżyłeś więc pychę swą wreszcie i nazwałś się moim niewolnikiem. Tak, tyś dawno już mój niewolnik, choć się do tego nie przyznawałeś, a raczej niewolnik Czarnoboga, którego ja jestem kapłanem i sługą. Czekałem cię oddawna tutaj. Lecz pomnij, że kto raz dostanie się w moc moją, ten już w niej do końca życia pozostanie.

— Nie przyszedłem — odparł dumnie Masław — by oddać się w moc twoją, ale aby zawrzeć przymierze z tobą i twym panem. Poznałem, że jeden Czarnobóg jest godzien czci, bo on jeden tylko posiada siłę, inni są słabi i niedołężni, a ja jedynie siłę hołduję. Przychodzę więc ofiarować mu przymierze jak równy równemu; niech mi dopomoże do pozyskania władzy i potęgi, a postawię mu ołtarze, chramy, lud cały skłonię by mu cześć oddawał. Widzę bowiem, że on jedynie może mi w tem dopomóc, bo kiedy wszystkie bogi upadły, on wciąż pozostał na dawnym stanowisku. Ale sądzę, że i on nie będzie się gniewał, gdy pozyska nowego czciciela i sprzymierzeńca...

— On wiecznie pozostanie, dokąd ludzie trwać będą — odrzekł Rokitka z szyderstwem w głosie, bo wraz z nim i złe

istnieć będzie. O czcicieli on troszczyć się nie potrzebuje, dość ich ma i tak, bo czy myślisz, że my się o nich staramy? Nie, własne to ludzkie występki, własne ich złości oddają ich pod władzę Czarnoboga. Czarnobóg gardzi wami, robakami nędzными, którzy nawet w złem siły nie macie; waszego przymierza nie potrzebuje on. On, król ciemności, lata z wichrem nocnym po rozstajnych drogach, a gdy idzie, to las cały gnije się pod stopą jego. A ty, nędzny pyszałku, sądzisz, że on potrzebuje twojej czci, twoich chramów, twoich ołtarzy? On i bez ciebie nad całym światem panuje i nie dba o to panowanie, bo cóż jest ten nasz świat, podły, głupi? Mówisz, żeś nie przybył poddać się pod władzę jego? A skądże wiesz, że serce twe nie jest już oddawna w jego mocy? Chcesz temu zaprzeczyć? Powiedz mi: czy wyrzekasz się pychy swej? Nie. Czy wyrzekasz się żądzy panowania nad innymi, jedynie z pomocą gwałtów i krwi? Nie. Czy serce raz choć raz zaznało uczucia litości? Wiem, że nie. A więc czemuż zaprzeczasz, czemu się wzbranasz? Tyś nasz, nasz! nasz!

I znów zaśmiał się szyderczo a echa doliny odpowiedziały mu.

— Tak, jestem takim, jak powiadasz — rzekł Masław dziko — jestem dumnym, pysznym, nieubłaganym i takim zostanę do końca! Ale nie prawda, że w złem siły nie mam, twój pan niema prawa mną gardzić, gdyż godzien jestem jego. Jeśli nie chce przymierza jak równy z równym, to niech przyjmie wojnę!

— Szaleńcze, pyszałku — rzekł Rokitka szyderczo — i z kimże to równać się ośmielasz? Sama twoja pycha na wieki cię zapisuje w niewolę naszą. Czegoż więc przyszedłeś tu?

— Już powiedziałem — odrzekł Masław — chcę przymierza, chcę, aby sam Czarnobóg ukazał mi się w swej własnej postaci, czyż to tak trudnem dla ciebie?

— I ty, nędzny robaku, sądzisz, że zniesiesz obecność i widok pana ciemności? Mam litość nad tobą i dla tego go tobie nie ukażę, bo zginąłbyś, tak, zginąłbyś od razu, gdybyś spojrzął w jego oblicze!

— A więc chcę przynajmniej wiedzieć przyszłość z ust twoich; słyszałem, że umiesz ją przepowiadać. Niech wiem czy spełnią się me zamiary, czy stanę się kiedyś potężnym władcą?

— Mogę to zrobić dla ciebie — odrzekł Rokitka — ale poczekaj jeszcze trochę, dopiero o godzinie kiedy ciemności okryją zupełnie dolinę, kiedy sowa ozwie się w skałach, dopiero wówczas duch na mnie schodzi i wówczas powiem ci twą przyszłość, jeśliś tak szalony, że pragniesz ją poznać naprzód. Zostaw konia tu pod drzewem, a sam chodź za mną, do pieczary. Tam rozpalę ogień i przygotuję wszystko.

Począł sam wspinać się na górę, by pokazać drogę Masławowi. Szare cienie rozciągały się już dokoła; postać Rokitki, gdy po kociemu przeskakiwał ze skały na skałę, w mrokach można było wziąć za jakieś zwierzę nocne.

Doszli wreszcie do otworu pieczary. Był on tak dobrze osłonięty drzewami i krzakami, że przypadkiem nawet niepodobna go było odkryć. Wąskie przejście między dwoma skałami, okryte sklepieniem krzewów, wiodło do pieczary.

Masław przypomniał sobie różne wieści, obiegające między ludem o tej grocie. Mówiono, że ciągnie się ona niewiadomo jak daleko w głąb ziemi i nikt nie wie co tam jest wewnątrz, że Rokitka kradnie i zaciąga tam dzieci i zbłąkanych podróżnych, by ich zabijać na ofiarę Czarnobogowi. Mimowoli wszystko to stanęło mu teraz na myśli; ale Rokitka szedł wciąż naprzód, zagłębiając się coraz bardziej w ciemne przejście; Masław widział przed sobą jego małą postać, z długimi rękami, podobną do wielkiego pająka.

— Otóż jesteście w mej siedzibie — rzekł wreszcie karzeł, i skrzesawszy ognia, zapalił lucywo. Przy jego świetle Masław ujrzał, że stoją na brzegu obszernego kotłiska, znajdującego się wewnątrz pieczary. Nietoperze spłoszone światłem, poczęły krążyć nad ich głowami; w ciemności coś się



Jazda francuska w Egipcie na wielbłądach.

poruszyło, jakieś oczy zabłyszczały nagle zielono w kącie i znów znikły.

Zejsście w głąb było dość stromem, ale Rokitka zsunął się zręcznie w dół, mówiąc: „Za mną!” Masław z trudnością za nim podążył, aż znalazł się na dole. Łuczywo rozświecało zaledwo mały krąg dokoła nich, reszta obszernej pieczary tonęła w grubych ciemnościach. Ciszę przerywał tylko szelest kropel, ściekających po ścianach.

Nagle w kącie coś się poruszyło i ryś wyskoczył na środek; widocznie był oswojonym, bo zaczął krążyć dokoła Rokitki, jakby go witał.

Karzeł zaczął teraz znosić gałęzie suche z kąta pieczary, i rozpałił ognisko w pośrodku. Płomień zaigrał, oświetlając sklepienie, pokryte masą wapienną, nieprzezroczystą oraz nacieki, wiszące wszędzie, w kształcie sopłów. Boczne załomy tylko pograżone były w cieniach. Masław zdziwił się, nie widząc żadnego bałwana, jak w innych świątyniach; wielki tylko kamień stał pod jedną ze ścian. Rokitka domyślił się snuć jego zdziwienia, bo rzekł:

— Czarnobóg nie może być wyobrażony z kamienia ani z drzewa, gdyż niema żadnej widomej postaci, ukazuje się ludziom jak chce: raz w ogniu, drugi raz w postaci zwierza lub człeka. Wolny duch unosi się ponad ziemią i napelnia ciemności — one są jego żywiołem — sam Czarnobóg jest ciemnością.

Masław w milczeniu rozglądał się dokoła. Nigdzie nie widać było stosów kości ludzkich, ni zwierzęcych, które spodziewał się tu ujrzeć.

Rokitka, odgadując wszystkie jego myśli, zaśmiał się swym zwykłym śmiechem, mówiąc:

— Myślałeś, że i Czarnobóg, tak jak twoi bogowie, potrzebuje krwi z ludzi i zwierząt? Nie, on nie chce tego, dość mu serc ludzkich i tego jadu, który się w nich wyrabia; taka ofiara mu milsza nad mięso i krew, albo miód i pieczywa, które ofiarujecie tamtym. Czarnobóg, potężny pan ciemności, gardzi takimi ofiarami, dość mu panowania nad ludzką duszą.

To mówiąc, nasypał na ogień różnych ziół suchych; wonny dym rozszedł się po pieczarze, i wznosił się w gęstych kłębach aż pod sklepienie.

— Zbliź się i patrz — rzekł Rokitka do Masława — godzina nadeszła.

(d. c. n.)

ZE ŚWIATA.

Wystawy. — Nazaret. — Nadzwyczajny wiek.

W pierwszym tygodniu września urządzoną została w Kielcach wystawa rolniczo przemysłowa, na której, jak na podobnych wystawach warszawskich, zebrane zostały okazy działalności mieszkańców guberni kieleckiej na różnych polach, a więc bydło, konie, próby nasion, mleczywo, wyroby rzemieślnicze i fabryczne. Wystawa przedstawiała się bardzo dodatnio i ściągnęła wielką liczbę osób. Jednocześnie w Łomży otwarto wystawę artystyczno-archeologiczną.

Uzupełniając artykuł z N ru 35 o nowych zakładach dobroczynnych dla dzieci w Warszawie, wspomnieć musimy, że w zeszłym tygodniu poświęcony i otwarty został nowy dom wychowawczy dla chłopców, nie mających żadnej opieki, pod nazwaniem „Nazaret.” Dom ten, wzniesiony kosztem księcia Michała Radziwiłła, znajduje się przy ulicy Freta na placach po-dominikańskich, należących do Towarzystwa Dobroczynności.

Tak więc, dzięki ludziom dobrej woli, może zmniejszy się w naszym mieście ilość nieszczęśliwych dzieci, które z braku wszelkiego kierunku i opieki, umierają przedwcześnie lub schodzą na złe drogi.

Zmarła niedawno na Węgrzech pani Regina Desauer żyła lat 111 i zostawiła 114 potomków w linii prostej. Rodzina zawiadomiła znajomych o swej stracie w następujących słowach: „Przejęci głębokim żalem, donosimy o zgonie naszej matki teściowej, babki, prababki, praprababki.” Następują podpisy trzech synów nieboszczki, dwóch córek, 35 wnuków, 19 prawnuków, 12 praprawnuków i 3 prapraprawnuków. Matrona ta urodzona w r. 1788 żyła za panowania pięciu cesarzy, a mianowicie: Józefa II-go, Leopolda II-go, Franciszka I-go, Ferdynanda V-go i Franciszka-Józefa I-go.

PRENUMERATA WYKOSI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zlr. 1 cent. 75 (3½ korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Elżbieta cesarzowa austriacka (z portretem). — Bez przewodnika (z ryc.) — Sto lat temu nad Nilem — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej ryby,” opisał H. C. — Obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — Ze świata. — Dodatek: Przygoda pieska (z ryc.) — Józio opiekunem, komedyjka w jednej odsłonie. — Dług wdzięczności przez Zofię Rudnicką. — Zamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

WIECZORY RODZINNE

PRZYGODA PIESKA.

Z PRAWZIWEGO ZDARZENIA.

Mrówcia była bardzo poczciwą, posłuszną i wierną, a wcale nie łakomą.

Ale od pewnego czasu Mrówcia biegała niespokojnie po wszystkich zakątkach podwórza i chciwie łapała każdą kość, każdą skórkę chleba.

Wiecie dla czego? oto psina karmiła troje małych i pragnęła mieć dla nich dużo, bardzo dużo pożywienia.

Raz, a było to w święto, wybiegła z kuchni, skowycząc. Rozgniewany kucharz wypędził psinę, bo mu się naprzykrzała. W kredensie nie zastała nikogo i nie znalazła nawet okrucha chleba, zły to był dzień dla Mrówci. Spróbowała jeszcze zajrzeć do szafarki, właśnie piwnica stoi otwarta, może uda się jej dostać trochę maślanki.

Ale starą Grzegorzową odwołało do pani, daremnie szuka jej Mrówcia, a na pokusę głodnej psiny stoją rzędem garnki z mlekiem.

— Brać cudzą własność nieładnie — myśli pewnie Mrówcia, obchodząc piwnicę dokoła.

Węszy niespokojnie po ziemi, czy nie znajdzie coś do zjedzenia, pilno jej wracać, bo może małe skomlą w budzie, może zły człowiek skrada się po nie.

Biedną Mrówcię wstrząsnął dreszcz na tak okropne przypuszczenie.

Garnka pełnego nie ruszy, wie, że nie wolno, ale przy drzwiach stoi dzbanek, w którym było trochę mleka. Mrówcia przygląda mu się, wacha, już chce odejść, nagle

Dzbanek uwiązał jej na głowie, wybiegła na dziedzińiec, ale napróżno stara się go zedrzeć łapami, napróżno tłucze nim o ziemię.

Toż to wstyd dla wiernego psa! wszyscy się dowiedzą o łakomstwie Mrówci. Upokorzona tą myślą nie biega już, nie tłucze garnka o ziemię. Siadła i czeka cierpliwie, aż zdejmą go jej z głowy; choć pilno jej wracać do małych.



Szczęściem stara Grzegorzowa ma dobre serce. Ona wie, co to za przykrość patrzeć Mrówci na głodne dzieci. Nie bije więc jej i nie wstydzi. Zdjęła dzbanek z biednej psiny i dała jej jeszcze kromkę czarnego chleba na drogę.

Mrówcia spojrzała wdzięcznie w oczy szafarki, polizała poczciwe ręce Grzegorzowej i pobiegła do swej budy nakarmić małe.

Z. B.



pokusa zwyciężyła... Pije więc mleko łakomie, nachyla naczynie, żeby wylizać ostatnią kropelkę. O jakże się boi skutków swego czynu! chciałaby uciec coprędzej z piwnicy, gdy wtem!...

Spojrzyjcie na obrazek, a zrozumiecie co się stało.

Dodatek do N-ru 40 — 1898 r.

JÓZIO OPIEKUNEM.

KOMEDYJKA W JEDNEJ ODSZONIE.

OSOBY.

JÓZIO, ZOSIA, LUCIA. Rodzeństwo.

WAŃDZIA, HELENKA. Ich kuzynki.

MARCYSIA, służąca. ANTEK, wiejski chłopiec.

(Rzecz dzieje się na wsi, w domu rodziców Józia, Zosi i Luci. Scena przedstawia pokój skromnie umeblowany, z boku stoi stół, parę krzeseł, po drugiej stronie komoda, na niej lustro, grzebień, wazoniki z kwiatami; dalej okno i dwoje drzwi).

SCENA 1-a.

(Lucia stojąc przed lustrem czesze się z pośpiechem).

LUCIA. Marcysiu! Marcysiu! chodźże prędzej, przecież słyszysz, że cię wołam...

MARCYSIA (*za sceną*). Zaraz, zaraz idę, proszę panienki!

LUCIA (*niecierpliwie*). Nieznośna dziewczyna! Wołam i wołam, a ona odpowiada mi tylko: zaraz, zaraz! a nie przychodzi. Czas ucieka, powóz zajedzie, a ja nie będę ubrana, powiedzą znowu, że jestem marudna, że się trzy godziny ubieram. Tymczasem ja się tak spieszę, że mi wszystko z rąk wypada!... Już trzeci raz zaczynam warkocz zaplatać i za każdym razem włosy mi się plączą, muszę zaczynać na nowo. Więc cóż ja winną jestem, że tak długo muszę się czesać? (*rzuca grzebień niecierpliwie*). Ach, Boże! dzisiaj się chyba nie uczesz! Znowu włosy się spłatały! A ta Marcysia nie przychodzi!... (*woła płaczliwym głosem*). Marcysiu! Marcysiu!

MARCYSIA (*za sceną*). Idę panienko! Idę w tej chwili!

LUCIA. Chodź prędzej! Bo już nie wiem co mam robić!

MARCYSIA (*wchodząc*). Jestem już; czego panienka sobie życzy?

LUCIA. Zlituj się, Marcysiu, uczesz mnie! Bo sobie rady dać nie mogę.

MARCYSIA. A bo panienka taka prędka!... Wszystko prędko, prędko! I przez to żadna robota się nie udaje.

LUCIA. Ależ przestań mówić, tylko bierz grzebień i uczesz mnie, bo się bardzo spieszę.

MARCYSIA (*przysuwając krzesło*). Niech panienka siada, będzie wygodniej (*czesząc*). Gdzież to panienka tak się spieszy?

LUCIA. Jadę do Górek.

MARCYSIA. Sama?

LUCIA. Ale gdzież tam! Jedzie mama, ciocia, Zosia, Wańdzia, prawie wszyscy jedziemy.

MARCYSIA. Doprawdy? To się panna Julcia ucieszy, gdy tyle gości zobaczy!

LUCIA. Czy już, Marcysiu?

MARCYSIA. Niech panienka siedzi spokojnie, w tej chwili skończę.

LUCIA. Pędź, pędź, moja Marcysiu!...

MARCYSIA. Ach! jaka panienka niecierpliwa! Jakżeż ja mogę się pospieszyć, kiedy panienka tak się kręci na krzeselku.

LUCIA. Już będę spokojnie siedziała.

MARCYSIA (*kończąc czesanie*). No, już skończyłam, panienka jechać.

LUCIA (*wstając*). Dziękuję ci, Marcysiu! Idź teraz, przygotuj mi różową sukienkę, nowe pantofelki. Zaraz przyjdę ubrać się...

MARCYSIA. Dobrze, dobrze! Ależ się panienka dzisiaj wystroi! (*wychodzi*).

SCENA 2-ga.

(*Wbiega Zosia*).

ZOSIA. Ubierasz się już, Luciu?

LUCIA. Już, już, za chwilę będę gotową. Tyś już ubrana?

ZOSIA. Prawie że już, ale cóż mi z tego, kiedy muszę w domu pozostać.

LUCIA. A to dla czego?

ZOSIA. Helenka jest dzisiaj niezdrową, więc nie jedzie. Ciocia kazała zostać Wańdzi, ale ona jest naszym gościem, grzeczność wymaga, żebym ją zastąpiła.

LUCIA. A to paradne! Cóż to Helenka maleńkie dziecko, żeby niańki potrzebowała! Przecież ma już siedem lat, może pozostać w domu z Marcysią.

ZOSIA. Nie unós się, Luciu! ciocia ma rację, że jej nie chce samej zostawić. Marcysia ma dużo zajęcia, nie będzie jej mogła pilnować a wiesz przecież, jaka to grymasna i rozpieszczona dziewczynka.

LUCIA. Wiem, wiem!... Ale moja Zosiu, ja na to nie pozwolę, żebyś ty była pozbawioną przyjemności dla tego dziecka. Niech sobie Wańdzia zostaje, to jej obowiązek, Helenka jest jej rodzoną siostrą, idę jej to powiedzieć...

ZOSIA. Luciu, zastanów się, co by mama powiedziała na to? Czy nie pamiętasz, jak nas zawsze upomina, żebyśmy byli grzeczni i uprzejmi dla gości?

LUCIA. Przecież ja jestem bardzo uprzejmą, ale ty pojedziesz do Górek, Wańdzia niech sobie zostaje i na tem koniec.

ZOSIA. Nie, Luciu. Wańdzia jest gościem naszym, pojedzie więc, a ja zostanę.

LUCIA. Właśnie, że nie! Kiedy już Wańdzia koniecznie ma jechać, to niech sobie jedzie, ale i ty pojedziesz. Wiem, jak się kochacie z Julcią, byłoby więc wam obudwom przykro, gdybyście się dzisiaj nie zobaczyły. Jedź Zosiu, a ja zostanę.

ZOSIA. O! nie, nie, Luciu, dziękuję ci za dobre chęci, nie mogę przyjąć takiej ofiary.

SCENA 3-cia.

WAŃDZIA. Zosiu! Luciu! Jeszczeście nie gotowe?

ZOSIA. Ja przecież nie jadę.

LUCIA. I ja zostaję w domu.

WAŃDZIA. W takim razie żadna z nas nie jedzie, bo i ja zostaję w domu.

ZOSIA. Moja Wańdziu, nie rób mi tej przykrości, jedź, proszę cię!... Czy mi nie ufasz, że potrafię opiekować się Helenką?

WAŃDZIA. Cóż znowu... Jestem pewna, że lepiej to zrobisz, jesteś poważniejszą i rozsądniejszą.

ZOSIA. Czemuż więc nie chcesz mi Helenki powierzyć?

WAŃDZIA. Ależ moja droga. Jakżeż ja mogę przystać, żebyś się dla mnie poświęcała! Przecież to mój obowiązek pozostać przy Helci, przecież to moja siostra.

LUCIA. Tak, tak, prawdę mówisz Wańdziu! Ale jesteś naszym gościem, musisz więc jechać. Przyznaj sama, jakżeby to wyglądało, gdybyśmy ja i Zosia pojechały na wizytę, a ty zostałabyś w domu!... Niema innej rady, tylko zabierajcie się z Zosią, a ja zostanę.

WAŃDZIA. Dobrze, Luciu, przyznaję ci słuszność. Grzeczność wymaga, żeby która z was mnie zastąpiła przy Helence, ale przyznaj mi też, że nie będzie w tem nic złego, gdy pozostanę z tobą w domu.

ZOSIA. Więc tylko ja sama miałabym jechać? Nie, na to nigdy nie przystanę. Stanowczo zostaję w domu. (*Wbiega Józio*).

DŁUG Wdzięczności

przez

Zofię Rudnicką.

(Dalszy ciąg)

Lecz bat Tataru podniesiony nad jego głową powstrzymał ten wybuch radosny; spojrział teraz uważniej, z gorącą ciekawością na współzmiemian i spotkał ich wzrok zrozpaczony! Biedne dziecko, poznało swoją omyłkę, zrozumiało, że ci biedacy są tylko, podobnie jak on, porwani i do niewoli uprowadzeni. Ale dla czegoż Tatar, chociaż przywołał go do nich, zbliżyć się im do siebie nie pozwolił? czy tylko z wrodzonego okrucieństwa nie chciał im dozwolić nawet tej pociechy, jaką dałby im mogła rozmowa w ojczystym języku z towarzyszami niedoli!

Wkrótce przyprowadzono dwa konie przysposobione do drogi; Tatarka wyniosła czarny, brudny worek, napełniony podplomykami t. j. plackami pieczonemi w popiele i uwiązano te przysmaki do jednego konia.

Janek widział stąd, że Tatarzy sposobią się do dalszej drogi, ale na myśl mu nie przyszło, że i on tę drogę odbywać będzie. Gdy jednak wszystko było już w pogotowiu, i pan jego przystąpił do swoich niewolników z długim grubym sznurem i wszystkich trzech związał tym postronkiem za ręce, poczem sam ze swym towarzyszem wsiał na konia i nie mówiąc, koniec sznura przymocował do swojego siodła, a kłaśnięciem z bicia dawszy hasło pochodu, popędził ich batem przed sobą...

Janek, oszołomiony tem co zaszło i nie mogąc sobie jeszcze dobrze zdać sprawy co się dzieje, biegł przy koniu, z trudnością chwytając oddech i po dobrej chwili dopiero ośmielił się szeptem zapytać jednego ze swych towarzyszy:

— Co to jest? co oni z nami chcą zrobić?

— Widać nie znasz jeszcze obyczajów niewoli tatarskiej, mój chłopcze; prowadzą nas nasi panowie na jakieś nowe miejsce przeznaczenia...

Pomimo, że głos mówiącego był smutny, przybity gorącością, ucieszył się Janek niewypowiedzianie samym dźwiękiem mowy własnej, którą słyszał po raz pierwszy od tylu miesięcy.

— Och, mówcie, mówcie jeszcze! — zawołał z radością, przez zapomnienie głośno prawie — mówcie co chcecie, bylebym was słyszał!

— Cicho, dzieciaku, jeżeli nie chcesz być osmagany i na nas jeszcze karę ściągnąć — nie wolno nam mówić głośno. Tatarzy posłyszają!

Ponieważ konie w tej chwili szły stępą, zaczęli więc szeptać ze sobą po cichu, o ile tylko uwaga Tatarów na nich wprost skierowaną nie była. Tym sposobem dowiedział się Janek, z jakich okolic są ci jego towarzysze niedoli; gdy usłyszał nazwę wsi, serce mu zabiło jak młotem, zdawało mu się, że mu piersi rozsądzi — nazwa znajoma — miejscowość niezbyt oddalona od majątku jego dziadka... ci ludzie jednak nic mu nie umieli powiedzieć o jego rodzinie — wiedzieli tylko tyle z pogłosek, że

wnuka pana starosty Tatarzy porwali. Jakże się zdziwił, dowiedziawszy się, że to właśnie Janek jest tym porwanym wnukiem. To poznanie się zbliżyło ich bardziej jeszcze. Opowiadali, że zostali z nienacka napađnięci przez horde tatarską, gdy byli ze swym bydem na pastwiskach, zabrani przemocą wraz z dobytkiem i uprowadzeni do niewoli; że w domu, w rozpaczy za nimi, zostały żony i dzieci...

Od swoich starszych i doświadczeńszych towarzyszy dowiedział się Janek, że są obecnie wszyscy trzej pędzeni na sprzedaż, na targ niewolników do jakiegoś miasta, zapewne gdzieś aż w Turcyi; a tam dolą ich będzie los, zapewne jeszcze sroższy niż dotąd. Tatarzy używają swoich więźniów przeważnie tylko do paszenia trzód w stepie, i chociaż wstrętnie ich żywią i często okrutnie się z nimi obchodzą, ale samo przebywanie na świeżem powietrzu wiele wynagradza. Tymczasem w Turcyi niewolników trzymają w twierdzach i używają do bardzo ciężkich robót, przy budowie fortec i innych murów.

Wieśniak opowiadający te straszne wróżby przyszłości, wiedział to wszystko od swego ojca, który długie lata zostawał w tureckiej niewoli, aż w końcu po jakimś zwycięstwie odniesionem nad Turkami, wymieniony został wraz z innymi za jeńców tureckich.

— A więc i nas przecież spotkać to może — zawołał Janek, już po dziecinnemu ożywiony nadzieją — i my możemy być kiedyś wymienieni.

— Ta możemy, za miłosierdziem Boskiem, choć Bóg wie ile lat przedtem minąć może! Zawsze nie traćmy i my nadziei, że kiedyś powrócimy do kraju, wszystko w Boskiej mocy leży, w największem nieszczęściu jeszcze wierzyć i ufać trzeba!

Janek wiedział o tem dobrze — bo coby się było z nim stało, gdyby nie modlitwa i wiara w opieką Boską!

I teraz ileż potrzebował moralnych i fizycznych sił, by bez poddania się rozpaczy odbywać tę drogę pieszo, na sznurze Tataru; każde szarpnięcie sznura zadawało mu ból dotkliwy, chociaż towarzysze jego, przez wzgląd na jego lata prawie jeszcze dziecinne, robili co było w ich mocy, by ująć mu cierpienia, a nawet, gdy Tatar prowadzący ich, uderzeniem bata przynaglał do prędszego kroku oni obaj ciałem swoim zasłaniał Janka od tego ciosu. W czasie tej podróży, odbywanej w tak nad wyraz przykrych warunkach, przywiązali się wzajemnie do siebie. Jankowi zdawało się, że ci ludzie są jego najbliżsi krewni, oni pokochali go jak własne dziecko. Chłopiec w modlitwach swoich polecał gorąco opiece Boskiej towarzyszy.

d.) c. n.)

ZAGADKA 1-a.

Ułożył Puszczyc z Pilawy dla Wichury.

Gdy *i* w środku, jest to ryba
W rzece, w stawie, w wodzie płynie;
Gdy *e* to znów jest roślina:
Daje odzież, z tego słyńie.
A teraz, proszę cię bardzo
Poszukaj prędko ołówka;
I dla mnie jakie zadanie
Niechaj wymyśli twa główka.

ZAGADKA 2-a.

Szaleje ona kiedy deszcz
 Lub śnieg wciąż pada z góry,
 Gdy burza huczy i wyje,
 A niebo kryją chmury.
 Wtedy się nawet puszczyk
 W kąciku chowa swej dziury,
 Spytajcie go, a odpowie:
 Wszystko to sprawki... Czyje?

ZADANIE.

Pewien stary Arab, umierając, rzekł do trzech swoich synów: Zostawiam, jak wiecie 17 wielbłądów. Po mojej śmierci poproście pierwszego lepszego przejeżdżającego na wielbłądzie mułę*), aby rozdzielił spadek między wami w ten sposób: połowę wszystkich wielbłądów niech odda najstarszemu z was, trzecią część wszystkich wielbłądów — średniemu, a jedną dziewiątą — najmłodszemu.

Po pogrzebie ojca synowie rzekli: Poco mamy czekać na przejeżdżającego mułę, podzielimy odrazu wielbłądy według woli ojca, przecież to nie trudnego.

Zaczęli więc dzielić, ale napróżno męczą się, klócą i spierają. Żadną miarą nie mogą podzielić swych wielbłądów podług rozkazu ojca.

Na trzeci dzień ujrzeli jadącego na wielbłądzie mułę. Z radością wezwali go do siebie, powtórzyli mu słowa ojca i zaczęli błagać o radę.

Muła nie myśląc długo rozdzielił wielbłądy zgodnie z testamentem ojca i pojechał dalej.

Jak on to zrobił?

*) Duchowny mahometański..

ROZWIĄZANIA DO Nr. 38.

Zagadki: St ó ł.

Łamigłównki kryształowej:

B
 Ł u k
 H e k l a
 O n t a r i o
 B u k a r e s z ł
 S e n e g a l
 J e s s e
 Ł z y
 t

Zagadki: d ó ł — w ó ł.

Rebusiku: Praca jest podwaliną dobrobytu narodów.

Skrzynka do listów.

Tak przywykliśmy do odbierania częstych wiadomości od Aleksandra W., iż gdy parę tygodni przemienie, a listu nie ma, poczynamy go wyglądać z niecierpliwością. Gdy nadejdzie, witamy radośnie i znajdujemy zawsze jakąś ciekawą wiadomość, z którą

miły korespondent dzieli się z nami bo, w redakcyi *Wieczorów* ma życzliwych sobie, którzy serdecznie zajmują się nim i przesyłają życzenia powodzenia w naukach. Prosimy też w chwilce wolnej odzywać się do nas. Łamigłównkę rozpatrzmy.

Postarami się zadość uczynić żądaniu *Wichury*, i łamigłównkę jej, o ile tylko okaże się odpowiednią, wydrukujemy. Za miły liścik dziękujemy, spodziewając się, że gdy zima przeszkodzi długim spacerom i ciągłej zabawie na świeżem powietrzu, znajdzie się częściej wolna chwilka obdarzania nas kilku słowami.

Krótki liścik *Heli K.*, o nieszczęściu jakie ją spotkało, przejął nas prawdziwym smutkiem, i gdy trudno nam tu dobrać słów pociechy, przesyłamy jej tylko wyrazy głębokiego współczucia. Niechaj Bóg raczy pocieszyć ciebie i twą rodzinę. Za spódniczkę w imieniu biednych, dziękujemy.

Milo nam było wyczytać w listach kochanych korespondentek że otrzymane nagrody za wypracowanie konkursowe, sprawiły im wiele radości. Na każdy liścik nie odpowiadamy osobno, bo byśmy musieli mniej więcej powtarzać to samo, zaznaczamy więc tylko, że *Joasia Tacz.*, *Irena Plat.*, *Walerya Jan Błądny ognek* i *Wielkopolanka* przysłali marki na przesyłkę i nagrody zostały już wysłane.

Dobre rozwiązania łamigłówek i szarad nadesłali: *S Ch. Potęga*, *Gwiazdka szczęścia*. *Zet. Leos W. Antosia* i *Marysia. Staś B.*

Powiślanka zrobiła mi wielką przyjemność pamięcią swoją, w miejscach tak nam wspólnie miłych i drogich; dziękuję ci też serdecznie za liście pamiątkowe i za obrazek. Wystawiam sobie, że lato zeszło ci wesoło i pożytecznie w podróży i poznawaniu jednych z najpiękniejszych okolic naszego kraju, radabym się też dowiedzieć coś więcej o twój podróży i proszę cię o obdarzenie mnie dłuższym listem. Łamigłównkę oddałam redakcyi.

Dlaczego to *Srebrna Topolko*, będąc już oddawna czytelniczką *Wieczorów* i pragnąc zawrzeć znajomość z niżej tu podpisaną, teraz dopiero odezwałaś się do mnie. Lepiej jednak późno, jak nigdy, witam cię tedy jako nową korespondentkę i mam nadzieję, że do grona stałych zaliczyć się zechcesz, więc nie każ mi długo czekać na liścik następnny.

Bardzo cię żałuję kochana *Wierzbo*, że wśród wakacyi miałaś zmarwicznie spowodowane chorobą braciszka, dzięki Bogu, że przyszedł już do zdrowia! Za pamięć dziękuję, czas na wsi zeszedł mi bardzo wesoło, lecz i powrót do domu był niemniej przyjemny, bo się już stęskniłam za memi zajęciami a przede wszystkim za miłą korespondencją z wami.

Po spędzeniu tak wesołych wakacyi z podwójną chęcią i zasobem nowych sił umiałaś się zabrać do nauki kochana *Mary L.* i bardzo jesteś pocziwa, że nie zwlekając obdarzyłaś mnie takim miłym i ciekawym listem. Bardzo rada jestem, że zawsze z zajęciem czytujesz *Wieczory*, że ci się podobał „*Dzielny chłopiec*” i zajmują „*Obrońcy bogów*”, z ciekawością przeczytasz też pewno „*Dług wdzięczności*”, drukujący się obecnie w dodatku, bo mały Janek dużo doznał przygód tak smutnych jak pomyślnych.

Nagrodę dla *Raczka z Siedlisk* wysłaliśmy już, marki na przesyłkę redakcyja przyjmuje tak tutejsze jak i odpowiadające tej samej cenie zagraniczne. Bardzo się ucieszyłam, że moje *Raczki* dobrze się bawiły podczas wakacyi, a zgadzam się zupełnie z wami, że szkoda, wielka szkoda nam lata, przyjemności i swobody, jakie ono daje, ale pocieszajmy się nadzieją, że po zimie znów wiosną z radością witąć będziemy i, że przyszłoroczne lato obdarzy nas równie przyjemnymi wakacyami, o ile na nie zasłużymy pilną pracą zimową.

Taskółka.

Potrzebna dziewczynka lat 10 — 11 do wspólnej nauki w domu obywatelskim na wsi. Nauczycielki francuska i polka, muzyka. Bliższa wiadomość ulica Wiejska Nr. 1 m. 14 od g. 2—5.



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



POWRÓT Z WINOBRANIA W KAMPANII RZYMSKIEJ.

Panorama „Przeście przez Berezynę.“



Przed kilkunastu dniami otwartą została w Warszawie nowa panorama, przedstawiająca przeście wielkiej armii francuskiej w odwrocie z pod Moskwy, przez bagnistą rzekę Berezynę, w ostatnich dniach listopada 1812 roku.

Pisząc o panoramach „Golgota” i „Tatry” w zeszłym roku, objaśniliśmy szczegółowo naszym czytelnikom różnicę tego rodzaju dzieł sztuki od zwy-

kłych obrazów. Celem panoramy jest wywołać jaknajwiększe złudzenie rzeczywistości, a sztuka malarska i dekoracyjna doszła już do takiej doskonałości, że widzowi stojącemu na podium panoramy wydaje się, iż w istocie przeniesiony został nagle w środkowy punkt rozległego krajobrazu i jest świadkiem odbywających się na nim zdarzeń.

Panorama Berezyny jest dziełem pierwszorzędnym naszych malarzy: Juliana Fałata i Wojciecha Kossaka. Przy pomocy kolegów swych: Pułaskiego, Stanisławskiego, Wywiórkiego i Piotrowskiego, rzucili oni na przestrzeń 6 tysięcy łokci kwadratowych płótna ogromny, śnieżny krajobraz, przedstawiający wiernie wybrzeża Berezyny pod wioską Studzianką, zasiany tysiącami wojska, koni, wozów i armat, a ponad nim niebo zimowe, pokryte obłokami i gdzieniegdzie oświetlone promieniami zachodzącego słońca. Pod względem historycznym i artystycznym, panorama ta wywiera głębokie wrażenie i ze wszech miar na obejrzenie zasługuje.

Jak wiecie z historii, rok 1812 jest pamiętny w dziejach Europy i stanowi przełom w nadzwyczajnym życiu cesarza Napoleona. W tym właśnie roku wkroczył on na granicę Rosyi i po kilkunastu krwawych bitwach dotarł we wrześniu do Moskwy, która wkrótce potem przez własnych mieszkańców w większej części spalona została.

Nie mogąc dłużej pozostawać w tem mieście z uszczuploną znacznie armią i bez zapasów żywności, Napoleon musiał rozpocząć odwrót. Odwrót ten jednak stał się klęską dla armii, która z dniem każdym topniała i rzedniała, tak od kul ścigających ją wojsk księcia Kutuzowa i Witgenstejna, jak od mrozu, śniegu i głodu. Udało się jej jeszcze przeprawić przez Dniepr pod Orszą, ale gdy doszła do Berezyny, ciągnąc za sobą tysiące rannych i niedobitków, — mostów dawniejszych już nie było. Dzięki nadzwyczajnym wysiłkom generała Eblé i kompanii pontonierów ustawiono w mroźnej wodzie dwa mosty i po nich przeszły resztki regularnego wojska, a następnie rzuciły się tłumy niedobitków. Mosty kilka razy się zawałyły, mnóstwo ludzi utonęło, a jeszcze więcej zostało na lewym brzegu, na pastwę głodu i chłodu. A i tych co przeszli nie o wiele lepsza czekała dola. Napoleon z resztkami wojska szedł jeszcze do Smorgoni, stamtąd zaś pojechał szybko przez Warszawę i Drezno do Paryża, aby przygotowywać nową kampanię 1813 roku, która się zakończyła bitwą pod Lipskiem.

Rozproszeni na wielkiej śnieżnej przestrzeni wśród lasów i moczarów, niedobitki wielkiej armii, przemarznięci, ranni i głodni, wlekli się na zachód całymi miesiącami, to dostając się do ni woli, to umierając z wycieńczenia. Niewielka ich ilość stosunkowo powróciła do Francyi. Dopuszczali się też dla uratowania życia różnych rozbojów, często jeden drugiemu, kolega koledze, odbierał ostatni kawałek chleba. Bywały jednak i czyste przykłady poświęcenia; zdrowi i silniejsi pokrzepiali i nieśli starych lub ranionych. Jedno z takich zdarzeń opisał Syrokomla w gawędzie żołnierskiej: Kapral Terefera i kapitan Szerpentyna, której kilka strof przytaczamy.

Z pod Smoleńska nasza wiara
Zwawym marszem w odwrot kroczy,
Rzadko który miał suchara
A gorzałki — ani w oczy!

Pod jakowymś tam folwarkiem
Dano spocząć nam nareszcie,
A kozacy tuż nad karkiem,
A mróz stopni ze trzydzieści! —
Zapalono krzyż z mogiły,
Nuż się tłoczy przy ogieńku!
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefero tatuleńku!

Myśmy mieli kapitana,
Co nas jeszcze trzymał w wierze
I bywało codzień z rana
Każe mówić trzy pacierze.
Co do postów: gdy golizna
Nolens volens człowiek pości...
Kapitana czeći starszyzna
A kochają strzelcy prości.
Był to sobie dziad pochylony,
Mówił zcicha, pomaleńku...
Jezu Chryste, Panie miły
Terefero tatuleńku!

Otóż ten zacny kapitan raniiony w nogę, nie może podążyć za pułkiem, każe więc mu maszerować dalej, a sam zostaje w śniegu na śmierć niechybną. Ale kapral Terefera nie pozwoli zginąć staruszkowi, zostaje z nim i pomimo groźb i zakazu, bierze go na plecy i niesie.

Myślę sobie, mniejsza o to
Niech się złości, będę znosił!
Lecz z ciężarem brnąć piechotą,
W śniegowiskach trudno dosyć.
Człowiek spocznie sobie chwilę,
I marsz naprzód aż łeb potnie;
Do wieczoru ze trzy mile
Przetrzepaliśmy samotnie.
Stary wparł się w grzbiet pochylony,
Ani słówka... ani stęku...
Jezu Chryste panie miły,
Terefero tatuleńku!

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności dla obu wiarusów, gdy już siły zaczęły Tereferę opuszczać i nie było ani kawałka suchara, dopędził ich oddział francuski.

Ot na białej, dzielnej szkapce
Jakiś jeździec ku nam kroczy,
W szarej kurtce, w mskiej czapce,
Co mu spada aż za oczy.
Patrzę pilno... i struchlałem...
„Broń prezentuj, jak na wartę!”
Krzyknął kapitan z zapalem —
„To sam cesarz Bonaparte!”
Szerpentyna jak odżyły
Na śnieg skoczył z moich ręk...
Jezu Chryste, Panie miły
Terefero tatuleńku!

Cesarz, wysłuchawszy raportu, obdarzył kaprala krzyżem legii honorowej, ale gdy wrócili do pułku, kapitan za nieposłuszeństwo skazał go na trzy dni aresztu.

Słusznie zrobił, bo mospanie,
Ozy wodzowie, czy to prości,
Kiedy rozkaz człek dostanie.
Pilnuj ściśle powinności.

Wszystkie groźne sceny przejścia przez Berezynę, przedstawione zostały na obrazie z wielką wiernością. Podajemy tylko dwie części panoramy, które słabe zaledwie mogą dać pojęcie o samym obrazie i wrażeniu, jakie on wywiera. Jedna z tych części przedstawia ognisko, na którym z rozkazu cesarza palą sztandary tych — które wyginę-

ły. Przy ognisku na bębnie siedzi Napoleon, a przy nim stoją marszałkowie i kilku generalów: Murat, Ney, ks. Józef Poniatowski i inni.

Opodal w różnobarwnych mundurach stanął jak mur, tak zwany „święty szwadron,” składający się z oficerów różnych nieistniejących już pułków jazdy. W dali widać różninę śnieżną, krzyże mogiłek wioskowych, stogi siana i lasy.

Druga rycina przedstawia inną scenę: szarżę kawalerji, wozy i sanki, gdzie wiozą ranionych i t. d. Ale żaden opis ani fotografia nie może dać wyobrażenia o całości obrazu, który, jak powiedzieliśmy wyżej, sprawia zupełne złudzenie rzeczywistości.

I. B.

BEZ PRZEWODNIKA.

KARTKA Z ZAKOPANEGO.

(Dalszy ciąg).

— Dla ciebie wszystko piękne — mruknął Janek — na Kościeliską też stąd miła drogi.

Ja myślę, żebyśmy poszli do Ślimaka. — Dobrze nam u niego było w zeszłym roku, może i tam stanęły.

Za chwilę byli w drodze. Pogardziwszy szosą, przez park świerkowy skierowali się w stronę potoku, przeszli po kładce na brzeg kamienisty, a potem wprost przez łąki na Targową. Dzień był prześliczny, słoneczny, pogodny, niebo bez chmurki pieściło spojrzenie błękitem, na polach kołysały się zboża złociste; świeża zieloność lśniła przez rosę.

Janek zły był, że mu się wszystko podobało. Miał czas jeszcze napatrzeć się zielonych świerków i śpiącege Giewontu, Wirchów i Koszystej, czemu go to wszystko nęci? Nawet Gubałówka wabi oko wzorzystą swoją pochyłością i serce mimowolnie jakimś przyspieszonym tętnem wita starych znajomych i stare widoki.

Ile też skał, kamieni zmyły potoki wiosenne ze śpiących pod śniegiem olbrzymów? Ile szczerb nowych w ich ciałach odwiecznych? Ile zwalonych lasów przez wiatr halny zamknęło drogi? Jakie powstały nowe ścieżki i potoki?

Oj, poszedłby tam w góry, jak co roku, poszedł z ochotą, choć się przyznać nie chce i gniewem tłumii uczucie tęsknoty.

— Poszukamy ich u Ślimaka.

W chacie Ślimaków radość i zdziwienie. To się panie ucieszą, bo się i nie spodziewały tak prędko. A mieszkają od Kacprusia het! przez trochę na bok w pole, u szwagra, u Liptaka, co wybudował domek nowiusienki. Nikt w nim jeszcze nie mieszkał, ale się spodobało, że caluście góry widać, het, aż za Murań, a domów też niema w bliskości, to i przestronno, zielono i czysto.

Jankowi świeciły oczy, a serce szybko uderzało: ot, jak to trudno dopytać się w Zakopanem o mieszkanie znajomych. Przed godziną wyszli z domu i bez pomocy klimatyki wiedzą, co im potrzeba. Za pół godziny uciskają siostrę i jej opiekunkę a jutro lub pojutrze mogą wracać do Warszawy. Stryj ich pochwali i odbędzie z nim razem pouczającą podróż morzem z Gdańska do Kopenhagi. Powinni być bardzo radzi.

— Cóż — zwrócił się do brata — nie będzie się czem pochwalić przed stryjem, poszło nam jak po maśle, ośmioletni dzieciak dokazałby takiej sztuki. Chodźmy.

— A nie macie się co spieszyć — mówił Ślimak, wyjmując z ust krótką fajeczkę — bo poszli dzisiaj wszyscy do Morskiego.

— Co? — zawołali obaj chłopcy razem.

— A jakże, o świtaniu, Wojtek przecie poszedł do rzeczy, a Maciej przewodniczy. Toć wiem. Poszło gości ze 12 osób. Starsze kobiety pojechały szosą, a co młodsze to na Zawrat. A wracać mają pojutro na Wakszmundzkę, toć nie macie poco do Liptaka chodzić. Zaczekać trzeba.

Bracia patrzyli na siebie.

— A gdzieżście stanęli?

— Na Chramcówkach.

— Zapłacicie! — pokiwał Ślimak głową. — Jest tu u mnie izba pusta, gdybyście też chcieli.

— My na parę dni tylko do Zakopanego. Zabierzemy siostrę i wracamy.

Teraz Ślimak się zdziwił.

— A z mieszkaniem? — zapytał. — Toćby Liptak znalazł sobie na całe lato gości.

— Krzywdy mu przecie nie zrobimy.

— To wiadomo, przecie sprawiedliwiście, ale będziecie mieli szkodę.

— Cóż robić.

Wracali ku Krupówkom zamyśleni. Co teraz robić? Czekać trzy dni w Zakopanem? Szkoda czasu. Zwłaszcza w taką pogodę. Bliskie wycieczki mniej nęca: dolinki do siebie podobne, tyle razy w nich byli, a tam w góry, w góry, dalej, aż dusza rwie się.

— Pójdziemy chyba do Morskiego? — zagadnął wreszcie Janek.

— Jutro — dodał Tadzio.

— Rozunie się, że nie dzisiaj. Przecież to całodzienne droga. Tylko wiesz, co ci powiem: co nam po przewodniku? Byliśmy ze sześć razy, a drogę przez Wakszmundzką znamy jak własną kieszeń. Powrócimy zaś razem może inną drogą z Maciejem. Prawda.

— Zdaje mi się — rzekł Tadzio — że wybornie pamiętam drogę.

— Tylko nie mów o tem w domu, bo zaczną nam perswadować, straszyć. Bóg wie nie co. Ten się zabił, ten zginął, ten to, tamten owo. Górale chcą zarobku, a inni przez tehorzostwo wierzą wszystkim ich baśniom. Cóż, nie odpowiadasz?

— Zdaje mi się, że znam drogę — powtórzył Tadzio w zamyśleniu.

— A dzisiaj chodźmy na Czerwone Wirchy i wrócimy przez Giewont.

— Zmęczymy się przed jutrem.

— Co to za zmęczenie. Zresztą, siedź sobie w domu, kiedy się obawiasz.

— Nie obawiam się, ale przypomnij sobie, że to męcząca droga, a po pierwszych wycieczkach nogi bardzo boją.

— To chodź do Czarnego Stawu.

— Czy nie zapóźno?

— Dziesiąta

— Musimy coś kupić po drodze, herbatę, cukier, trochę wędliny, tam dostaniemy mleka, to i obiad będzie. Drogę znamy.

— Jeszczeby też. Jak do Saskiego ogrodu. Swoją drogą rad jestem, że Czarny Staw zobaczą; przykro byłoby jakoś stąd odjechać, nie pozdrowiwszy tego przyjaciela, nie spojrzawszy ani razu na Kościelec, na Zawrat. Dobrze zrobiła Zosia z tą wycieczką. Jutro na noc staniemy u Morskiego; zadziwią się kobieciny a nam przyjemnie będzie zabrać do Warszawy tę garstkę nowych wspomnień.

— Szkoda, że na Kościeliskę czasu już nie będzie.

— Przeczytaj sobie o niej w przewodniku Eliasza, to ci się będzie zdawało, żeś widział.

— Dobrze żeś mi przypomniał, jutro trzeba wziąć z sobą Eliasza.

— Może masz słusność, taki przewodnik niewiele kosztuje.

C. Niewiadomska.

(d. c. n.)

Jadwiga Warkówna.

BABIE LATO.

Rankiem i wieczorem, kiedy chłodne, jesienne rosy zwilżą stygnącą już ziemię, siedzi to sobie nie wiadomo gdzie. Chowa się zapewne wśród gęstwiny drzew leśnych, po tarninach i głogach, w kartofliskach, brunatną rdzą pokrytych, w stojących jeszcze zagonach końskiego zębu, albo też w rozkołysanych wiatru powiewem szumiących oczeretach. Nikt nie wie, gdzie ono się chowa wieczorem i kędy przebywa rankami...

Ale około południa, zwłaszcza gdy wiatr pozmiata obłoki z nieba i jasny błękit zaświeci, opromieniony blaskiem słońca, wtedy wychodzi ono ze swej kryjówki i wędruje po

przed zimą spuszcza na ziemię, aby nauczyć kobiety prząść tak cieniuchno.

— Kto ci to powiedział? Moja babusia mówi, że te nici przedzie samo Babie lato na koszule dla wszystkich sierot. Chodzi ono ze srebrnym wrzecionem od wioski do wioski, wysnuwa bieluchną przędzę i miałyby z niej wszystkie niebożątka bez ojca i matki dosyć okrycia na całą zimę, gdyby nie hultaj wiatr, który zrywa Babiemu latu nici bez ustanku i roznosi je stargane po całym świecie.

Babie lato nie słuchało ani nawoływania dziewcząt, ani rozmowy pastuszków, ale leciuchne, niepochwytnie, przejryste płynęło w powietrzu...

Spotkały się z niem z błękitach ptaki.

— Pit, pit, pit! — świergocą jaskółki. — Babie lato już przyleciało, czas nam zbierać się na wędrowkę.

— Tak, tak, tak! — odpowiadają skowronki.

Bociany ujrzali już także nić z sukienki Babiego lata, zaczeplone na łożach i trzcinach bagniska. Zwołały więc



Z PANORAMY „BEREZyna.”

świecie, ciągnąc po ostrych ścierniach, suchych trawach i zeschniętych badyłach swoją wiotką, długą szatę. A owa szata srebrno-biała, utkana jest z najcieńszych nitok pajęczych. Nie dziw więc, że się rozdziera łatwo, i że śnieżyste jej strzępki pozostają na polach, łąkach, albo też, unoszone podmuchem ciepłego wietrzyku, fruują w błękitach powietrza, kąpią się w słońca promieniach.

— „Babie lato! babie lato! — wołają wtedy dziewczęta przy kopaniu buraków, kartofli, suszeniu lnu, wycinaniu kapusty. Cieszcie się, babulki, wasze lato idzie! Dogrzejcie ono trochę przez parę dni o południu, ale nie na długo będzie tej radości... wnet rozpoczną się szarugi jesienne i babie lato przepadnie z kretesem.

— Jesień, jesień! Babie lato! Widzisz Franek — krzyczy Tomuś, pastucha.

Franek patrzy w górę, chwytając biczyskiem srebrzystą pajęczynkę i rzecze z powagą:

— A wiesz ty, skąd te nici? To Matka Boska przędzie je w niebie na złocistym kołowrotku i trochę tej przędzy

coprędzej wiec na obszernej łące i radzą, kiedy wyruszyć w drogę.

A żórawie, bekasy, słowiki nie pozostają za nimi w tyle. Widok babiego lata tak je przestraszył, że jedne już poleciały, a drugie szykują się do podróży w większych lub mniejszych gromadkach.

Uwiedomiwszy o swym przybyciu ptaki, Babie lato spuściło się niżej, aby oznajmić motyłom, pszczołom, komarom, żukom, że straszna zima niedługo nadejdzie. Pofrunęło więc na majdan pod lasem, gdzie różowiły się jeszcze wrzosi i gdzie owady wyprawiały sobie ostatnią tegoroczną pohulanekę.

— Do ula, pszczołki! A spać żuczki! Świerszcze, koniki, wróbelki, każde do swojej siedziby! Czy mnie nie widzicie, czy mnie nie znacie? Jestem Babie lato, poprzedniczka i zwiastunka zimy. Rozweselałam trochę, ogrzewam, ale zarazem oznajmiam, że mój pobyt tutaj niedługi, a po mnie nadejdą chłodne wiatry i ulewki jesiennie. Spieszcie się, spieszcie do swych kryjówek!

Owady jednakże tak były rozbawione graniem świerszczy, brzękiem pszczół, że nie zważały wcale na przemówienie Babiego lata i z tego powodu później przy pierwszym dżdżu jesiennym, namarnowało się ich takie mnóstwo.

Owe roztropne rady usłyszał tylko chomik, który przywędrował z pobliskiego pola, aby sobie trochę pospacerować na świeżem powietrzu; usłyszał je także jeź, zajęty zbieraniem liści w lesie, które starannie zatykał na swoje kolce.

— Hi, hi, hi! — zaśmiał się chomik. Ta z pajęczyny utkana pani każe się chować przed zimą, jakby każdy o tem sam nie pamiętał. Gdyby tylko zajrzeć chciała do mej spiżarni, przekonałaby się, że nie zaznam chłodu i głodu. Ja

W ogrodzie pełno było ruchu i życia. Dziewczeta uwi- jały się na zagonach, chłopcy w duże kosze zdejmowali owo- ce, a na trawniku pod drzewami biegała w ponsowej sukience dziewczynka wesoła, ożywiona, uśmiechnięta.

Naraz klasnęła w dłonie:

— Patrzcie, patrzcie, Babie lato uczepiło się na ga- łązce. Jakie cienkie, bieluchne! To dla tego tak ciepło. Marcinie, Marcinie, zerwijcie mi tę gałązkę razem ze śliwka- mi i z Babiem latem; zaniosę je babuni, bo to jej lato.

Ale ogrodnik, zajęty gatunkowaniem jabłek, nie słyszał, co mówiła dziewczynka, wskoczyła więc sama na drabinkę,



Z PANORAMY „BEREZyna.”

będę miał co jeść i gdzie się wyśpać, a o innych się nie troszczę. Ciekawy jestem, gdzie też ona zimę spędza? Gdy dobry wicher zadmie, to poszarpie ją chyba w kawałki, skoro już ten ciepłuchny wietrzyk drze jej suknię na drobne strzępki.

— Nie troszcz się o nią, bracie — odrzekł jeź. — Da ona sobie radę i nie zginie, bo przecież co rok nas nawie- dza. Ja jej do swojej nory nie zaproszę, bo to nie mieszka- nie dla takiej elegantki, co się stroi w tkaniny z nitek sre- brzystych. U mnie ciasno i ciemno...

Babie lato nie chcąc już usłyszeć zapewne odpowiedzi samoluba-chomika, uniosło się znowu w powietrze i pofrunęło przez zasiane świeżo pole, przeleciało ponad wioską i wpadło do drugiego ogrodu.

Wesoło tam było i pięknie.

Na drzewach czerwieniły się jabłka, niebiesciły śliw- ki, zieleniły gruszki. Na zagonach złożyły się stosy wykopa- nej marchwi i wybranej cebuli. Na grządkach kwitły jeszcze astry, reze... wspaniale różnokolorowe georginie.

przystawioną do śliwy, zerwała gałązkę i pędem pobiegła do dworu.

— Babuniu, niosę babuni lato! Takie białe, jak babci włoski.

To powiedziawszy, mała pieszczoszka położyła gałązkę na kolanach babuni i zdyszana usiadła u jej stóp.

.....

W kilka dni potem niebo spowiły ołowiane chmury. Wiatr zimny szumiał, a deszcz rześisty siekł gwałtownie w szyby dworku.

Dziewczynka w ponsowej sukience stała smutna przy oknie i patrząc na tę pierwszą szarugę jesienną, mówiła do swej babci:

— To babuni lato takie krótkie?

— Krótkie, krótkie, moje dziecko. Kilka dni słońce jaśniej zaświeci, ciepłe jego promienie pozłocą błękit nieba, biała pajęczyna pofruwa w powietrzu... i po wszystkim. Na- dejdą zimne wichry, ulewne deszcze i przepadnie Babie lato! Babie lato krótkie, jak i radość nas starych. Osobi-te szczę-

ście już dla nas minęło... Ale kiedy widzimy, że zapal do pracy i czynu ogarnia młodych, że w ich sercach rozkwita wielka miłość dla braci, to wtedy, choć włos nasz siwy i siły coraz słabsze, w duszy u nas jasno i promiennie, jak w dniu pogodnej jesieni, gdy Babie lato zawita.



W OBŁOKACH I POD WODĄ

WYPRAWY „LATAJĄCEJ RYBY.”

opisał H. C.

(Ciąg dalszy).

Porucznik dokonał zaraz, potrzebnych pomiarów, z których wynikało, że prąd morski uniósł ich o dwie mile angielskie w północno zachodnią stronę od miejsca wskazanego przez profesora. Wskutek tego podniesiono „Latającą Rybę” o 50 stóp w górę, puszczone w ruch maszyny, przód statku zwrócono w kierunku żądanym a podróżni stanęli w okienkach kajuty, wypatrując szczątków okrętu.

Ponieważ statek płynął z szybkością dwunastu węzłów na godzinę, należało spodziewać się, że potrzebną przestrzeń przebędą w dziesięć minut; zanim jednak minęła dziewiąta minuta, porucznik zawołał:

— Baczość, panowie! Najeżdżamy na jakąś wielką zaporę i możemy o nią się rozbić, profesor niech obroni nas od niebezpieczeństwa trafnym obrotem steru. Karliński wykonał niezwłocznie obrót żądany i „Latająca Ryba” przemknęła tak blisko groźnej przeszkody, iż można było dokładnie widzieć szczyty podwodnych skał. Znajdowali się teraz w miejscu wskazanym przez profesora na mapie, ale prócz sterczących dokoła raf, nie dostrzegali nic podobnego do kadłuba zatopionego okrętu.

— Niema dotąd śladu poszukiwanych szczątków — odezwał się baronet — czy przypuszczenia twoje profesorze, co do miejsca gdzie nastąpiła katastrofa na pewnych oparta podstawach?

— O tyle pewnych — odparł Karliński — że niezawodnym jest faktem, iż w tych stronach okręt zatonął, ponieważ zaś miejsce wypadku w przybliżeniu tylko da się określić, przeto miejsce to obrałem za punkt wyjścia do dalszych poszukiwań.

Na poparcie słów swoich profesor nadał maszynom ruch wirowy a wszyscy z lunetami w rękę stanęli w okienkach. Koło zakreślone przez „Latającą Rybę” nie miało więcej jak dwieście stóp średnicy i nic z tego, co mieściło się w jego obwodzie, nie mogło ująć uwagi podróżnych. Gdy pierwsze takie okrążenie okazało się bezowocnym, zakreślano stopniowo krąg coraz szerszy, co niechybnie doprowadzić musiało do odnalezienia zatopionego okrętu.

Profesor dostrzegł go pierwszy i natychmiast skierował statek w tę stronę. Oczy wszystkich zwrócili się ciekawie na poszukiwany przedmiot, a gdy już tylko przestrzeń stu stóp dzieliła ich od niego, Mildemay zawołał przerażonym głosem:

— Miałem przecucie! wszakże to „Labirynt”.

— Tak jest, potwierdził spokojnie profesor — to są resztki tego nieszczęśliwego okrętu. Pozwólcie teraz panowie, abymy zarzucili kotwicę i abym sam jeden udał się na zwiedzenie rozbitych szczątków.

Żądanie swoje wypowiedział Karliński z taką niezwykłą powagą iż łatwo można się było domyślić, że nie powodowała nim prosta ciekawość; towarzysze też jego w milczeniu lali znak przyzwolenia, spuszczone niezwłocznie „Latającą Rybę” na dno, zarzucono kotwicę a profesor zeszedł śpiesznie do pokoju nurków.

Pozostali w kajucie Anglicy mieli czas czynić szczególne spostrzeżenia nad zatopionym okrętem. Leżał on na wyłomach skalnych poziomo, z kadłubem i masztami mocno uszkodzonymi; nie było śladu pokładu, wysadzonego prawdopodobnie przez parę pękającego kotła, pozrywane liny zwieszały się z różnych stron, a woda poruszała kawałkami poszarpanych żagli.

Podróżni wspominali smutne szczegóły nieszczęśliwego a niedawnego wypadku. Z niewiadomej przyczyny prawdopodobnie wskutek najechnia na skałę podwodną w burzliwą noc październikową zatonął w tem miejscu okręt pasażerski „Labirynt” a z nim 500 ludzi. Nagle ukazała się im w mroku wód postać profesora, w stroju nurków, kroczącego śmiało ku szczątkom „Labiryntu”. W parę minut przebył on nie wielką rozdzielającą oba statki przestrzeń, wdarł się z trudem na skałę, wszedł do tylnej części okrętu i znikł.

Towarzysze jego pozostali w kajucie, chcąc usunąć z pamięci przykre wspomnienia, zeszli do sali koncertowej, nie odwiedzanej od chwili wyjazdu z Londynu; wprawdzie wyjazd ten zaledwie przed dwoma dniami nastąpił, ale podróżni przez te dwie doby tyle nowych rzeczy widzieli, tyle wrażeń doznali, że zdawało im się, jakby już parę miesięcy wycieczka ich trwała. Przy muzyce i śpiewie czas szybko im schodził, dopiero gdy Jerzy oznajmił, że obiad podany, Anglicy spostrzegli, iż nieobecność Karlińskiego trwała już około trzech godzin.

— Co on tak długo tam robi? — zagadnął baronet z niepokojem — może przytrafił mu się jaki wypadek?

— Nie sędzę — uspokajał go pułkownik — profesor nie należy do liczby ludzi, narażających się nierozważnie na niebezpieczeństwo. Przypuszczam raczej, że zrobił jakie ważne odkrycie i zatopiony w dociekaniach naukowych, zapomnia sprowadzić na zegarek. Zadzwonił Jerzy; woda jest dobrym przewodnikiem dźwięków; to przypomni profesorowi, że czekamy na niego.

Środek ten okazał się skutecznym; trzech towarzysze powróciwszy do kajuty, po kilku minutach ujrzeni Karlińskiego, wychodzącego z rozbitego okrętu i niebawem połączył się z nimi, niosąc w rękę małą jakąś paczkę. Gdy przeszli do sali jadalnej, profesor z twarzą trochę zachmurzoną zasiadł za stołem i zabrał się do jedzenia.

Zupę i rybę spożyto w milczeniu, dopiero kieliszek wina rozwiązał profesorowi usta.

— Czuję się w obowiązku — rzekł — wytłómaczyć wam, panowie, co mnie skłaniało do skierowania w to miejsce przedewszystkiem naszej wyprawy. Miałem do tego trzy ważne powody: najpierw chciałem się przekonać o możliwości odszukania na dnie morza przedmiotu, o którym w przybliżeniu tylko wiedzieć możemy gdzie się znajduje; powtórę pragnąłem odnaleźć zagubioną relikwię; po trzecie potrzebowałem odzyskać drogocenny dokument, o którym domyślałem się, że zatonął wraz z „Labiryntem.” O pomyślnym rezultacie pierwszego doświadczenia mieliście sami sposobność przekonać się; poszukiwane rzeczy z łaski Boga znalazłem też odnaleść szczęśliwie.

Po tych słowach profesor zamilkł na chwilę, ale było widocznym, że ma coś więcej do powiedzenia i słuchacze oczekiwali na dalsze jego słowa.

Karliński zamyslił się głęboko, a po dłuższej chwili rzekł z pewnem wzruszeniem:

— Zadziwi was może wyznanie, że i moje życie nie było wolne od przejść serdecznych. Trzydzieści parę lat temu, gdy jeszcze nie poświęcałem się tak jak później wyłącznie nauce, w kraju swoim poznałem i pokochałem całym sercem śliczną i zacną młodą osobę. Była to córka naszego sąsiada ze wsi. Zmuszony jednak opuścić na zawsze strony rodzinne, nie miałem sposobności ani śmiałości prosić o jej rękę, lecz pamięć o niej zachowałem w sercu. Dowiedziałem się później, że wyszła za męża, że mąż jej po kilkunastu latach z młodym synem dla poprawienia interesów, czy zrobienia fortuny, wyjechał do Ameryki i tam umarł, a syn po śmierci ojca powracał sam do matki. Ów syn jedynak, piętnasto-

letni chłopak, którym zaopiekowałem się na obczyźnie, popłynął do Europy na nieszczęsnym „Labiryncie”, i zginął wraz z innymi podróżnymi w falach morza, a biedna matka do dziś dnia stratę jego oplakuje, nie otrzymawszy nawet najmniejszej pamiątki po ukochanym dziecku. Tej pociechy przynajmniej będę mógł jej udzielić, odsyłając przy pierwszej sposobności osieroconej kobiecie zegarek, łańcuszek, obrączkę ślubną męża i pierścień z herbową pieczętką, znalezione u zmarłego jej syna.

(d. c. u.)

Marya Łopuszańska.

OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg)

Masław się zbliżył i wpatrzył w kłęby dymu, które powoli zaczęły przybierać jakieś bardziej określone kształty. Rokitka stał za nim; szyderycy uśmiech nie opuszczał ust jego.

— Widzisz — mówił — masz co chciałeś: potęgę, panowanie, pozyskane za cenę potoków krwi — wyniesiesz się i będziesz deptał po głowach ludzkich, a oni cię postawią nad sobą. Widzisz, widzisz, jak wszystko się składa?

Głos jego stawał się coraz więcej szyderyczym.

Twarz zaś Masława przybrała naprzód wyraz dumy, potęgi i dzikiej radości; stał, jakby już stopa jego deptała zwyciężonych; wyglądał jak sam władca ciemności, cieszący się dziełem zniszczenia. Lecz stopniowo oblicze jego pochmurniało; cofnął się wreszcie, jakby w kłębach dymu zobaczył coś okropnego,

— Cha, cha, cha! — rozległ się za nim śmiech, podobny do zgrzytu zardzewiałej piły, cha, cha, cha! Taki koniec potęgi i władzy bezprawnej, tak zawsze kończą podobni mocarze! Cóż, czyś zadowolony; wysoko pójdziesz przecie?

— Tak, zadowolony jestem — zawołał Masław dziko; — za jeden rok potęgi zgodzę się na wszystko! Tak, losy rzucione! Skoro przeznaczenie chce, bym posiadał władzę, niech i dalej będzie, tak jak być ma! Będę potężny, będę możny i będę bez litości, aż do końca! A tam niech się dzieje co chce!

— A ja ci w tem dopomogę — rzekł Rokitka, lecz poznać nie można było czy mówi szczerze, czy przez szyderystwo — mam dużo takich co się zapisali w moją służbę, rozkażę im teraz by tobie służyli tak wiernie, jako mnie samemu; gotów jestem dawać ci wszelką pomoc w zamiarach twoich, chcę bowiem, by twe świetne losy spełniły się co prędzej.

I znów śmiech jego rozległ się po pieczarze.

— Pamiętaj tylko o swej obietnicy, rzekł Masław.

— Bądź spokojny, nie zapomnę o niej — odparł karzeł drwiąco.

— A więc przymierze zawarte, jam twój! — zawołał dziko Masław, i wybiegł z pieczary a za nim pogonił w ciemnościach śmiech szyderycy, podobny do zgrzytu zardzewiałego żelaza.

XI.

W dolinie Prądnika jest skała wyniosła, zwana obecnie Grodziskiem. Dawnymi czasy nosiła ona na sobie kolejno twierdze, zamki obronne lub mieszkanie Bogu poświęconych niewiast; lecz przedtem jeszcze, w wiekach, które mrok kryje teraz przed nami, wznosiło się tu gniazdo rodu starego.

Ród kneziów, wywodzących swój początek od dawnych książąt, rządzących niegdyś w Krakowie, założył swą siedzibę na tej wysokości, stromej skale. Obecnie należała ona do starego knezia Mszczuja, knezia — wilka, jak go zwano. Ptaki drapieżne lubią mieszkać w nieprzystępnych skalach, skąd łatwiej zdobyć upatrują; kneź Mszczuj siedział też zawsze w swem rodzinnem gnieździe, i jak sęp, ostrzył szpony z wysoko. Trzymał on u siebie liczną, zbrojną drużynę, złożoną z ludzi śmiałych i mężnych; często, gdy dano znać, że kupcy wędrowni gdzieś w pobliżu ciągną ze swą karawaną, dzikie sokoły knezia Mszczuja spuszczały się z góry, a zaciąwszy się przy drodze, uderzały na zdobywcę i przynosiły do gródka bogate łupy.

Była tam więc zawsze obfitość wszystkiego: krasne makiaty z Carogrodu, zrabowane na kupcach greckich, zaścielały proste, dębowe ławy, złote i srebrne kubki stały obok drewnianej misy, a każdy z ludzi knezia chodził strojny, jak książę, mając u boku najlepszą broń niemiecką i normandzką. Ale każdy z nich drżał przed kneziem, gdy ten powiódł dokoła siebie okiem surowem i zawsze spokojnem.

I nie dziw; wiedziano bowiem, że gdy się zawzięcie, przed niczem się nie cofa, a zemsta jego bywa straszną; pamiętano jeszcze, jak przed kilkunastu laty, zagniewany na jednego z sąsiednich władcyków, najechał jego gródek, spalił, a ród cały wymordował.

Kneź niezego się nie bał, gdyż jego gródek miał tak obronne położenie że szturmem go zdobyć niepodobna było, a głodem wziąć także było trudno, bo w lochach i spichrzach znajdowały się zapasy, wystarczające na lat kilka.

Mieszkał więc wolny i niepodległy w swym gródku, bo było to w kraju dzikim, zarosłym nieprzebytymi lasami, często zajmowanym przez wroga. Taką była ówczesna Chrobacya.

W Wielkopolsce, bardziej już osiedlonej, pod okiem wreszcie króla, nigdyby się utrzymać nie mógł, ale tu był postrachem okolicy, a ród jego, korzystając ze swego wyjątkowego położenia, żył zawsze tak, jak gdyby nie uznawał teraźniejszych władców kraju, mimo, że Bolesław wielce łaskawym był na potomków dawnych książąt i niektórym z nich ponadawał sporo ziemi w posiadanie.

Na owej sławnej uczcie Geronowej padło także dwóch starszych synów knezia Mszczuja; odtąd poprzysiągł on wieczną nienawiść Niemcom; lecz i dla swoich nie był lepszym.

W późnym już wieku z drugiej żony, pochodzącej z rodu miejscowych władcyków, miał syna Drahomira i córkę.

Gródek knezia był przeciw ówczesnemu obyczajowi, murowany. Okrągła wieżycya, zaopatrzona w wązkie i rzadkie otwory, wznosiła się tuż ponad pionową skałą, z której, gdyś spojrział, to się zwracało w głowie. Z jednej strony leżał wąwóz, na dnie którego płynął Prądnik, z drugiej przepaść, a wierzchołki wysokich drzew, rosnących w dole, kołysały się na kilkadziesiąt stóp poniżej krawędzi skały.

Góra ta więc była tylko z jednej strony dostępną, ale ztamtąd bronił jej gruby mur i brama. Na wierzchu skały rosło kilka lip, a jedna z nich, wygięta, zwieszała się zupełnie nad przepaścią, tak, iż zdawało się, iż lada chwila wiatr ją wyrwie i zrzuca na dno. Oprócz wieży były tam jeszcze inne zabudowania, jak spichrze, stajnie oraz sam dwór knezia, wzniesiony z modrzewiowego drzewa.

Służba i zbrojni mieścili się wieżycy, gdzie na dole były lochy. Sam kneź, wraz z synem i bratem Odylonem, który od niejakićś czasu przebywał zazwyczaj przy bracie, nie mogąc żyć w swym gródku samotnym, mieszkali w dworcu. Wszędzie, na każdym kroku znać było, że jest to siedziba zamieszkała przez mężów jedynie; wszędzie spotykałeś tylko groźne surowe twarze, niewiasty, jeźeli i były, to się kryły trwożliwie, niby gołąbki w gnieździe sokołów.

W gródku rzeczywiście znajdowała się córka knezia, Ziezilia, ale była ona bogom poświęcona i pozostawała przy ojcu tylko dla tego, że nie było już żadnej świątyni w którejby im służyć mogła. Otaczało ją kilka dziewcząt, zwykle trwoźnych i cichych; nigdy też po świetlicach nie

rozległ się srebrny śmiech dziewczęcy, nigdy pieśń wesoła, zawiedziona nad kądziela, nie obila się o ściany, — obecność straszego knezia wszystko mroziła.

Ale za to, gdy się połów dobrze udał, kneź wydawał ucztę swoim dzielnym witezom; wówczas puchary dźwięczały, a pieśni płynęły daleko po dolinie, trwożąc wędrowca wieczornego, który copędzej uchodził jaknajdalej od drapieżnego gniazda. Twarze wszystkich biesiadników były wtedy wesołe, tylko oblicze knezia nie rozchmurzyło się nigdy; siedział na czele stołu, zimny i spokojny, niby posąg z kamienia, a nikt nie wiedział, jakie myśli ważyły się w tej posepnej duszy.

Tego rana wiał dość chłodny wiatr w dolinie, kneź Mszczuj siedział w wielkiej izbie, z ogniskiem w rogu, ze ścianami obwieszonymi rozmaitym bronią, oraz głowami łosów, dzików, turów i niedźwiedzi. Skóry tych zwierząt zaściełały ławy, a nawet miejscami podłogę, ułożoną z kamieni.

Gdziekolwiek rzucona była niedbale bogata makata, purpurą tkana, drogie puchary stały na stole. U ogniska grała się oswojony wilk knezia, zwany Luty, a obok niego duży, siwy pies. Sokoły, przysposobione do łowów siedziały na żerdziach, schowawszy głowy pod skrzydła. Kneź Mszczuj zasiadł przy ognisku, wsparłszy nogi na swoim wilku. Przy oknie, wychodzącym na ową przepaść, pełną zieleni, przędła młoda Ziezilia, milcząca i smutna, jak owa bogini, której nosiła miano. Drahomir siedział nieco opodal za stołem, zadumany, z głową wspartą na rękę, a nie musiały to być zbyt wesołe dumy, bo chmury często przechodziły po jego czole.

W izbie panowała cisza, gdyż w obecności starego knezia nikt nie śmiał się ozwać pierwszy, milczano więc.

— Drahomirze — ozwał się wreszcie kneź — zbliż się tu.

Drahomir wstał i podszedł do ogniska w milczeniu.

Kneź obrócił się do córki:

— Odejdź Ziezilio, rzekł rozkazująco i zimno, dziewczki nie potrzebują być obecne przy naradach mężów; to nie ich rzecz!

Ziezilia wyszła z izby, nie wyrzekłszy ani słowa.

Gdy drzwi się za nią zamknęły kneź rzekł do stojącego przed nim syna:

— Oddawna już chciałem z tobą pomówić. Ważna chwila teraz nadeszła, jeśli z niej nie skorzystamy, nigdy się już pewno druga podobna nie trafi. Sądzę, żeś nie zapomniał z jakiego rodu pochodzimy?

Mówił, jak zwykle, głosem spokojnym i chłodnym, z oczyma na wpół przymkniętymi, jakby chcąc przyćmić posepny ogień w nich błyszczący.

Dla czegoż mię pytacie o to, ojcze? rzekł Drahomir.

— Dla tego, iż teraz właśnie nadszedł czas, kiedy powinienś pokazać czyś jest godnym tego rodu, którego praszczur rządził kiedyś na Krakowie.

I dodał, głos nieco zniżając.

— Bolesław zajęty wojną, nie może przyjść na ratunek swego państwa; zresztą los wojny jest niepewny i kto wie co się z nim stanie. Tu tymczasem nie trudno podburzyć lud, który w wielu miejscach żałuje starych bogów, reszta będzie musiała pójść za większością.

— A kto go podburzy? spytał Drahomir.

— Masław podejmuje się to zrobić.

— Masław, powtórzył Drahomir niedowierzająco; ja Masławowi nie wierzę; on o sobie myśli, a nie o nas. Liczyć na lud, to wszystko jedno, co na piasku budować. On dziś z tym, jutro z tamtym, a zawsze stoi po stronie siły; szalony ktoby wierzył, że można rachować na jego stałość, na jego odwagę lub wierność..

— Czy myślisz, że ja na nią rachuję? spytał kneź spokojnie, czy myślisz, że nie znam tego motłochu? Lecz zręczny zawsze ma powodzenie; trzeba umieć tylko sterować ujęć w porę; niech sobie Masław myśli, że dla siebie pracuje, co nam to szkodzi? Oddał on nam zanadto wiele przysług, by go się już teraz pozbywać; będzie nam jeszcze czas jakis potrzebny.

A potem, co robimy z nieużytecznym już narzędziem? Łamiemy je lub odrzucamy. Ale na to będzie jeszcze czas. Jak podburzył ludy połabskie przeciw Bolesławowi, tak potrafi podburzyć i nas, a my tego zrobić nie możemy. Nie słuchanoby nas, więc też musimy go jeszcze zostawić.

— A cóż dalej? pytał chłodno Drahomir.

— Dalej? Dalej weźmiemy co nam się z prawa należy. Albo to przodkowie nasi nie panowali ongi w Krakowie, i my teraz to potrafimy.

— Czy nam dadzą tylko? spytał nieco ironicznie Drahomir. Zdaje mi się, że Bolesław ma dość siły, aby na to nie zezwolić.

(d. c. n.)

Powrót z winobrania w Kampanii rzymskiej.

Lud wiejski ma wszędzie prawie podobno zwyczaje i uroczystości. U nas, gdzie uprawa zbóż rozmaitych stanowi podstawę bytu rolników, najweselej obchodzą się dożynki czyli okrężne, po ukończeniu zbioru żyta i pszenicy. Rozlegają się wtedy wesołe gwary i piosenki a wieczorem przy dźwiękach skrzypceczek tańczą ochoczo parobczaki i dziewczuchy we dworach i wioskach. W innych krajach równie wesoło obchodzą ukończenie zbiorów winogron, oliwek i t. p. Rycina nasza na pierwszej stronie przedstawia powrót z winobrania wieśniaków włoskich, z okolic Rzymu. Uprawa winogron, z których wytłacza się wino, jest głównym zajęciem i źródłem dochodów ludności w tej pustej miejscami, błotnistej, miejscami kamienistej okolicy, zwanej „Kampanią.” Śnać tej jesieni zbiór się udał, bo w ogromnej dwukołowej biedzie brzmi tamburino, i rozmawiają ochoczo. Nawet poważne woły jakoś raźnie postępują: pewnie dziś z racji ogólnej wesołości dostaną więcej strawy. W dali widać ruiny dawnego staro-rzymskiego wodociągu, którym płynęła woda ze źródeł górskich do wiecznego miasta.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zhr. 1 cent. 75 (3¹/₂ korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10

TREŚĆ: Powrót z winobrania w Kampanii rzymskiej (z ryc.) — Panorama „Przejście przez Berezynę.” (z ryc.) — Bez przewodnika. — Babie lato przez Jadwigę Warnkównę. — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej ryby,” opisał H. C. — Obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — Dodatek: O Japonii (z ryc.) — Józio opiekunem, komedyjka w jednej odsłonie. — Dług wdzięczności przez Zofię Rudnicką. — Łamigłówki i rozwiązania. — Dodatek książkowy: Wspomnienia Haliny, przez Julię Piasecką.

O JAPONII.

Zgadnij, Wańdziu, jaką ja lekcję najwięcej lubię? — pytała Zosia swej przyjaciółki.

— Pewnie historię, bo dla mnie jest to nauka najbardziej zajmująca.

— Eh nie, ja nadewszystko przekładam geografie! Bo tylko pomyśl, ile to ciekawych rzeczy dowiedzieć się z niej można o różnych krajach i ludach, zamieszkujących ziemię. Ile razy też spojrzę na mapę, zaraz mię ochota bierze zwiedzać wszystkie te dalekie strony.

— I ja bym chciała podróżować, wielka musi to być przyjemność, i jak dorosnę, poproszę ojczulka, żebyśmy pojechali na Wschód. Nauczycielka mówiła mi, że Azja była kolebką rodu ludzkiego. to znaczy, że tam był raj ziemski, w którym mieszkali pierwsi nasi rodzice: Adam i Ewa; dla tego też historia powszechna zaczyna się przedewszystkiem od starożytnych ludów azyatyckich.

— Mogłybyśmy wybrać się tam razem, ale gdy ty zwiedzałaś Palestynę, Syryę, Persyę i ruiny dawnych miast: Niniwy i Babilonu, ja powędrowałabym do Japonii, bo mnie więcej zaciekawia to, co się teraz dzieje na świecie, niżeli to, co się działo przed wiekami.

— A cóż ciekawego słyszałaś o Japonii? — dopytywała Zosia.

— O, wiele rzeczy! Mówiono mi, że Japończycy są bardzo pracowici i przemyślni, wyrabiają też piękną porcelanę i materye słynne na świat cały. Są oni nadto wyjątkowo zamilowani w czystości, brzydzą się nieporządkiem i brudem, a kobiety lubią się stroić w jedwabne suknie o jaskrawych barwach, i chociaż nie są bardzo urodziwe, oryginalnie wyglądają w długich, wzorzystych ubraniach. objętych w pasie szeroką szarfą. Spacerują zawsze z ogromnemi parasolami, a w mieszkaniach nie wypuszczają z rąk dużych wachlarzy z liści albo malowanego papieru. Dziwaczniej jeszcze ma wyglądać Japończyk z podgolonemi od czoła włosami i spadającym z czubka warkoczem, odziany w płaszcz papierowy, który nasiąknięty jest oliwą, dla zabezpieczenia od wpływu wilgoci.

Ciocia Mania czytała mi też raz historię o dwóch dziewczynkach japońskich imieniem O-Yu i O-San. Były one jeszcze małe, gdy rodzice zanieśli je na plecach, w czasie dorocznej pielgrzymki na świętą górę Nan-tai-zan, a potem na pamiątkę wypisali ich imiona na wielkiej tablicy, umieszczonej przed świątynią.

— A co te dziewczynki zwyczajnie całe dnie robiły?

— O-Yu i O-San były córkami biednego rybaka, to pewno zabawek nie miały, ale ich ojciec brał je często do łodzi, kiedy wyjeżdżał na połów ryb, aby mu pomagały w zakładaniu wędek. Dowoził je też czasem na dalsze brzegi wyspy, na której mieszkali, bo wiesz, że cesarstwo

Japońskie składa się z samych wysp, leżących blisko obok siebie. Tam dziewczynki rwały kwiaty dziko rosnących azalei i przywiezione do domu bukiety wstawiały w gliniane, duże stągiewki, czyli wazy, ozdobione malowidłami. W pokoju, w którym mieszkały, prócz tych stągiewek i piecyków do żarzących węgla, nic więcej nie było, tylko na podłodze leżały białe maty, po których nie wolno im było chodzić w trzewikach.



Młode Japonki.

— Jakto, więc chodziły boso, chociaż miały trzewiki?

— Tak właśnie, bo w Japonii jest taki zwyczaj, że wszyscy zdejmują obuwie, zanim wejdą do pokoju, a deptanie trzewikami po czystych matach uważane byłoby za taką nieobyczajność, jak u nas chodzenie po stołach lub kanapach. We dnie Japończycy siedzą na tych matach, w nocy kładą się na nich, biorąc tylko małą poduszczkę pod głowę.

— To nam daleko wygodniej w naszych miękkich łóżeczkach, prawda Wańdziu?

— Niezawodnie, my mamy nasze wygodny, a Japończycy swoje. Dziwne jest też podobno urządzenie wewnątrz domu, którego oddzielne pokoje tworzą tylko ru-

chome parawany. Nie myśl wszakże by te małe Japonki, chociaż sypiały na ziemi, były brudne, jak to najczęściej widzimy u naszych dzieci wiejskich, przeciwnie, mama ich, choć uboga, pilnowała przedewszystkiem porządku, i pod każdym względem czułą i troskliwą była matczką.

— Bardzo to wszystko ciekawe, co mi powiadasz o Japonii, kochana Zosiu — odezwała się po chwili milczenia Wańdzia — ale ja przypominałam sobie, co mi babunia raz mówiła, że choć może być rzeczą przyjemną zwiedzać obce kraje i poznać ich mieszkańców, najmilej jednak mieszkać we własnym, gdzie przecież mamy tyle ciekawych i pięknych miejscowości, i tyle różnych zwyczajów wśród naszego ludu, z którym się bliżej poznać przedewszystkiem należy.

JÓZIO OPIEKUNEM.

KOMEDYJKA W JEDNEJ ODSŁONIE.

(Dalszy ciąg).

SCENA 4-ta.

JÓZIO. O cóż wam chodzi? Zdaje mi się, że nie możecie się zgodzić, która ma zostać w domu?

ZOSIA. No, bo powiedz tylko, Józiu...

LUCIA (*przerzywa*). Ja chcę zostać, więc zaraz Wańdzia chce także zostać.

WAŃDZIA. Bo samej będzie ci smutno.

JÓZIO. Ja wam najlepiej doradzę.

ZOSIA. Może losy mamy ciągnąć?

JÓZIO. Nie potrzeba; pojedziecie wszystkie.

LUCIA. A Helenka z kim zostanie?

JÓZIO. Ze mną. Przecież wiecie dobrze, że ja nie jadę.

LUCIA (*śmieje się*). Ha, ha, ha! Józio opiekunem Helenki.

JÓZIO (*obrażony*). Z czego się śmiejesz?

LUCIA. Z ciebie! Że jesteś taki zarozumiały i że myślisz, że to tak łatwo opiekować się dzieckiem?

JÓZIO. Helenka ma już lat siedm, nie jest znów tak małym dzieckiem, żebym ją ciągle musiał za rękę prowadzić i pilnować, żeby sobie guza nie nabiła.

WAŃDZIA. Ale Helenka jest bardzo rozpieszczoną, nie dasz sobie z nią rady.

JÓZIO (*z gniewem*). Tak! ja to sobie nie dam rady, a Lucia naprzykład, roztrzepaniec taki, może sobie dać radę?

LUCIA. No, no, bardzo proszę!...

ZOSIA. Co innego my dziewczynki, jesteśmy stworzone na to, żeby się dziećmi opiekować, ale wy, chłopcy nie macie o tem pojęcia.

JÓZIO. Proszę, proszę... jaka mądra osoba z tej Zosi!... Otóż dowiedźcie się moje panny, że wasze sprzeciżki nic nie znaczą, bo ja już rozmawiałem z mamą i ciocią; przystały na to, że Helenka zostanie pod moją opieką.

LUCIA. Doprawdy?

JÓZIO. Nieinaczej!... Nie traćcie więc czasu na próżno, bo już zajechano, idźcie się zabierać w drogę!... Helenkę proszę mi tutaj przysłać.

WAŃDZIA. No, no, no! dziwię się, że mama na to przystała!

ZOSIA. Ciekawam, jak sobie dasz radę z Helenką.

LUCIA. Kiedy Józio tak mówi, widocznie mama pozwoliła. Niech sobie będzie opiekunem! (*wychodzą*).

SCENA 5-ta.

JÓZIO. Nieznośne są te dziewczęta, takie zarozumiałe! Myślą, że żaden z nas nie potrafi zaopiekować się dzieckiem! Nie dziwiłbym się, żeby to dziecko miało pół roku, my mężczyźni nie jesteśmy stworzeni na niańki. Ale Helenka ma lat siedm! Zdaje mi się, że lepiej potrafię się nią opiekować, niż taka roztrzepana Lucia. (*wchodzi Helcia*). Chodź, Helenko bliżej tu do mnie. (*Siada z powagą na krześle*). Dzisiaj musisz mi być posłuszną we wszystkim, bo ja zastępuję ci ojca, matkę i ciotkę, jestem twoim opiekunem.

HEL CIA (*placzkliwie*). Ja nie chcę takiego opiekuna! Ja pojadę z mamą! (*chce wyjść*).

JÓZIO (*zastępując jej drogę*). Nie pójdziesz stąd nigdzie. Ja nie pozwolę!

HEL CIA (*tupie nogą niecierpliwie*). Właśnie pójde! Na złość pójde!...

JÓZIO. Zobaczymy! Sprobuj tylko!

HEL CIA (*odsuwając Józia*). No, Józiu, puść! Bo ja chcę wyjść stąd!

JÓZIO. Ja nie pozwalam!

HEL CIA (*niecierpliwie*). Kiedy ja chcę! Słyszysz! Ja chcę zaraz wyjść!

JÓZIO. Cóż mnie to obchodzi, że ty chcesz!... Ja nie pozwalam i koniec! Dzisiaj musisz mi być posłuszną.

HELENKA (*z płaczem*). Puść mnie! Ja sobie pójde! Nie chcę zostać z tobą! Ja chcę jechać z mamą.

JÓZIO. A to nieznośny dzieciak! Słuchaj Helenko; nie ci nie przyjdzie z tego płaczu i krzyku, bo mama już pojechała, a ponieważ zostawiono cię pod moją opieką, nie mogę cię stąd puścić, musisz być ciągle razem ze mną. Powtarzam ci więc stanowczo, że zostaniesz tutaj.

HEL CIA (*placząc głośno*). Ja nie chcę!... Jesteś nieznośny!...

JÓZIO. A to czyste utrapienie z tą dziewczyną! Nie ma innej rady, tylko muszę zawołać Marcysi, żeby zabiła tę bekę. (*woła głośno*). Marcysiu! Marcysiu!

MARCYSIA (*za sceną*). Zaraz! zaraz!

JÓZIO. Moja Marcysiu, proszę cię, przyjdź prędko!

(d. n.)

DŁUG WYDZIĘCZNOŚCI

przez

Zofię Rudnicką.

(Dalszy ciąg)

Po kilkunastu dniach takiej ciężkiej drogi ujrzeli zdała miasto; poznali po wysmukłych wieżyczkach, na których błyszcząły w słońcu półksiężyce, że jest to miasto tureckie. Tu losy ich miały się rozstrzygnąć! Jakże pragnęli, by przynajmniej razem byli sprzedani, by ich nie rozłączono! W oddali od miasta nad płynącym potokiem dotychczasowy pan ich wstrzymał pochód; sam ze swym towarzyszem zsiadł z konia, im wskazał, by konie napoili a potem rzucił im resztki niedojedzonych placzków i spać pozwolił. Janek znużony nad wyraz, legł w gęste i miękkie trawy, ale mimo zmęczenia zasnąć nie mógł: miotał nim niepokój, co dalej stanie się z nim i jego towarzyszami... Nie mógł zasnąć, więc zobaczył, jak jeden z Tatarów wsiadł znowu na konia i ruszył w kierunku miasta, drugi tymczasem pozostał przy nich na straży, jak zawsze sciskając bat w rękę i dzikim wzrokiem śledząc każdy ruch swoich ofiar. Oczy Janka spotkały się z tem skośnym spojrzeniem, które go zawsze dreszczem grozy przejmowało. Przymknął powieki by uniknąć tej przykrości i sam nie wiedział, kiedy Bóg zesłał mu sen twardy i spokojny.

Gdy się zbudził, słońce chyliło się już ku zachodowi, a więc spał kilka godzin! Towarzysze jego, także już obudzeni, siedzieli w ponurem milczeniu. Tatarzy pętali konie na noc. Odwrócili się na chwilę, wtedy jeden z włościan cicho rzekł do Janka.

— Dają nam wypoczywać w spokoju, karmią lepiej, ot tu jest świeży chleb, ryż z baraniną i mleko, widać więc, że wkrótce wyprowadzą nas na targ.

Chcą żebyśmy się przedtem poprawili w wyglądaniu, bo przez mękę tej okropnej drogi schudliśmy bardzo... My, kiedy woły wyprowadzamy na jarmark, to je karmimy, by lepiej sprzedać, i oni to samo robią z nami. Nie chciałem jeść, to mnie batem zmusili!

Janka nie trzeba było zmuszać do jedzenia; od czasu swej niewoli pierwszy raz dostał mniej wstrętne czyściejsze jedzenie; zjadł więc swoją porcyę ze smakiem. O zachodzie słońca kazano im się wykąpać w strumieniu. Była to prawdziwa rozkosz dla tych biedaków; Janek wyszedł z kąpieli jakby odrodzony; uczuł się znowu zdrowym i silnym. Duży był nad wiek, rozrośnięty, bo przebywał dzień i noc od dłuższego czasu na powietrzu, więc wzmocnił się jeszcze i urósł. Tatar spojrzawszy na niego uśmiechnął się z zadowoleniem. Wypoczywano tak kilka dni, karmiono ich i pędzono codziennie do kąpieli. W tych kilku dniach przybyło więcej takich Tatarów ze swymi jeńcami, bydłem i końmi. Rozkładano się nad tym samym strumieniem. Jankowi zdawało się, że w jednym z takich taborów poznał konia swego — serce mu uderzyło silniej, oczy zaszyły łzami, cała szczęśliwa przeszłość, cała obecna niedola dała mu się silniej odczuć..

— Jarmark będzie w mieście, więc spędzają bydło i jeńców na sprzedaż — zrobił uwagę jeden z włościan.

Janek wzdrygnął się.

Nareszcie jednego dnia weszli do miasta i minawszy kilka ulic ciemnych i brudnych, znaleźli się na otwartym placu, zapełnionym już mnóstwem niewolników wystawionych na sprzedaż. Z przerażeniem poznał Janek, jak wielu jest nieszczęśliwych, dzielących jego smutne losy... Stał przestraszony, nieprzytomnymi prawie oczyma patrzył, jak między tymi biedakami snuli się rozmaici ludzie, a najwięcej Turków. Tych poznał po ubraniu, po turbanach na głowie. W zamku jego dziadka był z drzewa wyrobiony Turek w sukniach tureckich z turbanem, to jest z zawojem na głowie. Służył jako cel do ćwiczenia się w strzałach. Ileż to razy on sam, pod okiem pana Jakóba lub dziadka, strzelał do tego udanego Turka! Na to wspomnienie łzy przystąpiły mu oczy. W tej chwili usłyszał gdzieś niedaleko krzyk przeraźliwy.

— Matko moja! Och, matko!

Wstrząsnął się cały, obejrzał i zobaczył dwie kobiety splecione w uścisku, które stary Turek przemocą rozrywał, nie zwracając uwagi na rozpaczliwy krzyk młodszej z nich. Rozdzielili je brutalnie, córkę z pomocą drugiego Turka wsadził na konia, sam siadł poza nią i nie zważając na jęki i płacz swojej ofiary, uderzył konia najaką i zniknął wśród tłumu, obojętnego na rozegrany przed chwilą dramat. Janek przerażony nie mógł oderwać oczu od miejsca, gdzie się ta scena odbywała; widział Tatarę stojącego nad zemdloną matką sprzedanej dziewczyny i obojętnie liczącego pieniądze wzięte za nią.

Janek przejęty grozą i litością zakrył oczy i odwrócił głowę. Nagle uczuł, że ktoś ujął go silnie za ramię, tak silnie, że aż go zabolalo. Odślonił oczy i ujrzął Turka, który go trzymał, ale głowę miał odwróconą i rozmawiał z Tatarem trzymającym ich na powrozie. Mówili, jakby się sprzeczali, potem zaczął Turek opatrywać Janka, dotykał pleców i ramion, potem podniósł mu grube mi i brudnymi palcami wargę górną, odchylił dolną, postukał zęby, słowem oglądał, tak jak się ogląda konia. Skinął głową i począł tak samo oglądać towarzyszy jego. Janek widział, że to był targ o niego, że go sprzedawano... jęknął cicho.

— O! matko moja, szczęście, że nie widzisz co się dzieje z dzieckiem twojem, bo serce pękłoby ci z żalu!

A towarzysze jego klęli:

— Psy niewierne, pohańce, Bóg się porachuje z wami, pójdziecie na dno piekła, na wieczne zatracenie.

A tymczasem Turek dobił targu z Tatarem. Ale jakież żal ścisnął serce Janka, gdy nowy ich pan zabrał tylko jego i młodszego z jego towarzyszy, starszy pozostał na powrozie Tataru i rozdzielony z nimi, gorzko zapłakał. Nowy nabywca popędził ich przez miasto, i wkrótce znaleźli się w ustronnem miejscu, gdzie nie było takiego zgiefku. Stały tam rzędem rozmaite wozy i wózki, jakich Janek dotąd nie widywał. Turek kazał im wsiąść na jeden, na którym już było kilku niewolników pod strażą, narzucił na nich jakiś rodzaj płachty i natychmiast ruszyli w drogę.

(d. c. n.)

SZARADA.

Od Wichury dla Puszczyka z P.

Ze *pierwsze* przeczy, o tem dobrze wiecie,
Bo takie już zadanie ma ono na świecie.
Drugie jest znowu maleńkim wyrazem,
Co zwykle w mowie naszej łączy zdania razem;
Lecz wspaniałe użyte, miano rzeki daje,
Która bystro przepływa zauralskie kraje.
Skoro zaś *wszystko* w całość jedną złożysz,
Wnet w swym umyśle piękne pojęcie utworzysz,
O miejscu błogiem, kędy dusze czyste
Dążą przez ziemi naszej te drogi cierniste.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Ułożyła Wichura.

1) Jedna z 9 muz. 2) Córka wiel. ks. litewskiego. 3) Wyspa na morzu Śródziemnem. 4) Postać z Pana Tadeusza. 5) Miasto w Hiszpanii. 6) Gatunek kruka. 7) Rzeka w Syberji. 8) Cesarz rzymki. 9) Miasto w Australii. Syłaby: Al—n—a—dus—de—do li—da—ga—ir—juez—ka—lio—na—laj—me—na—ne—pe—te—ron—ran—ro—tysz—wron.

Teraz was proszę czytelnicy mili,
Byście z tych sylab wyrazy złożyli
Których, gdy pierwsze litery poznacie
Nazwę dawnego miasta otrzymacie,
Co było wielkie chociaż z tego znane,
Że na wołowej skórze zbudowane.

ŁAMIGŁÓWKA LITEROWA.

Ułożył Aleksander W.

W kwadracie o 5-ciu przedziałkach rozłóżcie liczby od 1-go do 25 w ten sposób, aby tak w kierunku pionowym jak poziomym wypadła liczba 65.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 39.

Szarady: Sza — ka — le.

Arytmogryfu:

1) Lublin. 2) Elżbieta. 3) Nowogród. 4) Ateny. 5) Rumunia. 6) Toruń. 7) Orzeł. 8) Wenecya. 9) Ignacy. 10) Chiny. 11) Zamość. Lenartowicz.

Łamigłówniki w trójkącie:

L i n n e u s z
I s p a h a n
N i e m e n
N a r e w
E b r o
U l m
S a
Z

Skrzynka do listów.

Aleksandrowi W. Nagrodę wysyłamy, mając nadzieję, że gdy czas pozwoli nie będzie zwlekał z napisaniem dłuższego, i jak zwykle obfitego w ciekawe szczegóły listu.

Kwadrat magiczny Białego Zajączka przejrzymy i jeżeli tylko okaże się dobrym, wydrukujemy. Rozwiązanie rebusika dobre.

Laszce wysłaliśmy brakujący numer dodatku powieściowego.

Z przyjemnością odpowiadacie będziemy Kotce na wszystkie zapytania, a skorosmy ją zaliczyli już do rzędu stałych korespondentek, prosimy, aby często pisywała do nas, donosząc coś więcej o sobie, o zajęciach swych, rozrywkach i naukach. Dodatek powieściowy wyślemy, trzeba jednak pierwej zawiadomić nas które właściwie brakują numeru: Za pierwsze półrocze dodatków i kosztów przesyłki należy się kop. 21, które można przysłać markami pocztowymi do redakcyi. Przypominamy podanie dokładnego adresu.

Czyż doprawdy tak trudno było przemódz wrodzoną nieśmiałość kochanej Jutrzenki a kilkoletniej naszej prenumeratorce do napisania pierwszego liściku? Toż w odpowiedzi do twych rówieśnic i rówieśników przekonać się mogłaś z jaką przyjemnością listy wasze witamy i jak chętnie odpowiadamy na nie. Ale teraz gdy już pierwsze lody zostały przełamane, spodziewamy się, że nowa Jutrzenka, która nam wreszcie światelkiem swym błysnęła, przesyła od czasu do czasu jeden ze swych promieni do naszej redakcyi w postaci miłego liściku. Łamigłówniki, jeżeli tylko okażą się odpowiednie, pomieszcimy chętnie.

W. Bardzo jesteśmy radzi, że tak jesteś zadowolona z otrzymanej nagrody. W przysłaniu robótki na konkurs, z powodu formalności celnych, radzimy wystarać się o jakąś prywatną okazję a my przez wzgląd na tę trudność gotowi jesteśmy nawet po rozstrzygnięciu konkursu osądzić ją oddzielnie.

Podziwiamy porządek i systematyczność Marysi z Kuchar w zebraniu i ułożeniu tak wielkiej ilości marek, i sądzimy, że cel tego trudu jest jej najmiłą nagrodą. Wobec licznie nadsyłanych takich zbiorów niezawodnie wkrótce wyślemy pierwszy ich większy pakiet, do Belgii. Za miły liścik dziękujemy, zalecając byś wytrwała w dobrym zamiarze obdarzania nas częściej podobnemi, a prawdziwą zrobisz nam przyjemność.

Własnego układu łamigłówniki i szarady przysłali: Czarny rycerz, Giermek, Srebrna gwiazdka. Mania i Zosia. Dobre zaś rozwiązania: Romcio A., Stefan G., Filutek, Gucia M., i Lucio K.

Nie myli się Romcio A, gdy sądzi, że kocham dzieci, i że mi prawdziwą są przyjemnością ich miłe liściki, które chciałabym jak najliczniej odbierać. Witam też Romcia serdecznym pozdrowieniem pewna, że te pierwsze słowa są zapowiedzią wielu następnych, za pomocą których coraz lepiej zapoznawać się będziemy.

Helence Sz. oraz wszystkim moim dawnym korespondentom i przyjaciółom dziękuję za pamięć, i serdecznem pozdrowieniem, polecam się nadal ich serduszkom.

Jaskółka.

Gimnastyka szwedzka i masaż

pod kierunkiem dr. Sławińskiego dla dzieci, panieniek i pań.

Lekeye zbiorowe dla dorosłych w połączeniu ze śpiewem. Lekeye specjalne dla wątłych, nerwowych, źle się trzymających, przy zbożeniach kręgosłupa i łopatek.

Zakład p. HELENY KUCZALSKIEJ. MAZOWIECKA NR 5.

№ 42 Rok XIX.

Dnia 3 (15) Października 1898 r.



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



ŚW. JADWIGA BŁOGOSŁAWIĄCA SYNA.

(Z *Orazu* Buch indera).

Św. JADWIGA

ŻONA HENRYKA BRODATEGO, KSIĘCIA NA SZŁĄSKU.

Było to wtedy, gdy zbierały się pod Lignicą mężne hufce chrześcijańskie dla powstrzymania nawały tatarskiej, co spłądrowawszy Ruś i Polskę, ku Szląskowi ciągnęła. Na krążkanku wrocławskiego zamku gdzie dziś wspaniała katedra, siedziała niemłoda, poważnego i słodkiego oblicza niewiasta. Wkrótce rozwarły się podwoje i wszedł młody rycerz cały uzbrojony, a przyklękawszy na jedno kolano i schylając głowę przed poważną niewiastą, rzekł:

— Błogosław, matko!

Natenczas matka obie ręce w górę wzniosła i wyrzeka, błogosławiąc:

— Idź, walcz za wiarę i kraj!

Wyszedł rycerz, raz jeszcze do nóg matce się skłoniwszy. ona zaś w wyrazem nieograniczonej boleści padła na kolana przed wizerunkiem Chrystusa Pana.

W tej chwili pewnie w nadziemskim przeczuciu widziała śmierć niedaleką syna swego, bo usta jej powtarzały machinalnie wyrazy: „dziewiątego kwietnia.” To też kiedy rzeczywiście dziewiątego kwietnia 1241 roku zginął pod Lignicą, ona już łzy i łkania macierzyńskiego serca stłumić umiała, a rzekła tylko pokornie: „Dzięki Tobie Panie, żeś mi takiego syna dał, który mi się nigdy nie przykrzył, a teraz na obronę wiary chrześcijańskiej, przeciw krzyżu Twego nieprzyjaciółom walcząc, głowę swoją położył. Ja duszę jego Tobie polecam, o którym nie wątpię, iż się go ku Sobie przygarnąć raczył.”

Tą niewiastą była św. Jadwiga, matka Henryka, księcia Lignickiego, a żona Henryka Brodatego, jednego z najpotężniejszych książąt Piastowskiego plemienia na Szląsku, któremu dziejopisowie wiele dobrych ustaw przypisują, a który był takiej względności i łaskawości dla prostaczków, że gdy mu ubogi na skromnej misie jaj przyniósł, chętniej przyjmował, niż wielkie dary od panów i mawiał:

— Ten ubogi nędzniczek majątność mi swoją oddaje, czem sam żyw, niech tę wzdry ma pociechę, abym dar jego wdzięcznie przyjął.

Henryk był wnukiem owego Władysława, najstarszego syna Krzywoustego, który oddalony z kraju za niecne przeciw braciom zamachy, dostał Szląsk na wieczną dla siebie i swoich potomków posiadłość. O mało co nie zabity wraz z Leszkiem Białym przez Pomorzyczków w Głusawie, ocalał poświeceniem szlachetnego slugi, który osłoniwszy go własnym ciałem, prawie wszystkie zań odebrał razy. Schroniwszy się do siebie do Wrocławia, rozpoczął wkrótce z Konradem, księciem mazowieckim, krwawe zatargi o opiekę nad małoletnim synem Leszka. Wtedy występuje roztropności pełna, świątobliwa żona jego. Uśmierza gwałtowność męzowską, jedną zwaśnione umysły, układy pokoju ułatwia. Sama zjechała do Mazowsza, żeby przewodzić zgodzie i uwolnić męża z niewoli u Konrada.

W czasach tych, kiedy wojny między książętami zlewały krwią ziemię i wyludniały ją, Jadwiga rozprzestrzeniała w około siebie spokój i dobrobyt, goiła rany z ogólnych klęsk wynikłe, sprowadzała osadników do okolic wyludnionych, krzewiła nauki i rzemiosła. Szląsk oddychać zaczął swobodniej pod jej troskliwą opieką. Jakże bo ona troszczyła się o sprawiedliwość dla uboższego!... Wysyłała na sądy swoich kapłanów, żeby kniutków od krzywdy bronili, łaskę dla nich wypraszała sama u starostów, a w czasie głodu nie ustawała w udzielaniu zboża i różnej żywności potrzebującym. Całe też jej wiano bogate na to poszło; dla siebie nie potrzebowała wiele, nosiła jedną, grubą, własnej roboty odzież, zimną i latem, dla umartwienia rada nawet po śniegu boso chodziła, aż jej się nogi pękały i raniły. Rzadko tylko, kiedy jako

księżna dać musiała posłuchanie jakim poważnym osobom, brała na siebie odzież nieco wyszukańszą, a w czasie uczt pościła, żywiąc się potajemnie najgrubszymi potrawami. Założywszy wraz z mężem klasztor w Trzebnicy dla pp. Cystersów, oblokła ich odzież, lecz ślubów zakonnych nawet po śmierci męża nie czyniła, nie chcąc sobie tamować obietnicą ubóstwa drogi do jałmużny; wszystkie jednak ustawy zakonne pełniła, prześcigając w nich jeszcze siostry zakonne. Miała zawsze najmniej trzynastu ubogich chorych, których opatrywała, zapominając często o sobie, nigdy o drugich. Niezrównaną słodyczą i roztropnością wpłynęła nieraz na burzliwy charakter Henryka, a łzami i prośbami odwracała go od popełnienia niesprawiedliwości.

W roku 1268, to jest za ledwie we dwadzieścia lat po jej śmierci, za zezwoleniem Klemensa IV papieża, który ją w poczet świętych policzył, zwłoki jej w Trzebnicy, gdzie była pochowana, w przytomności Ottokara, króla czeskiego, Henryka Probusa, wrocławskiego księcia, innych książąt oraz panów, uroczystem nabożeństwem po raz pierwszy uczczono zostały.

Dzień dzisiejszy właśnie, to jest 15-go października, kościół jej czci poświęcił.

BEZ PRZEWODNIKA.

KARTKA Z ZAKOPANEGO.

(Dalszy ciąg).

III.

Nazajutrz o świcie chłopcy cicho i ostrożnie wymknęli się ze swego pokoiku. Nie powiedzieli wczoraj gospodyni o zamiarze wycieczki do Morskiego Oka; wracając z Czarne-go Stawu, kupili tylko na drogę butelkę wina, parę funtów szynki i niewielki bochenek chleba, a teraz dołączyli do bagaży nieoceniszonego Eliasza i sprawiedliwie rozdzielili wszystko na dwie równe paczki.

— Trzeba napisać parę słów do gospodyni, że nie wrócimy na noc — odezwał się Tadzio.

Po co? — zapytał Janek dość porywczo.

— No, gotowa nas szukać, będzie dużo gadania.

— Hm, to prawda. To napisz: „Idziemy na dalszą wycieczkę, zabawimy dni parę.” Tak, dobrze. A teraz ostrożnie, cicho.

— Po co się z tem kryjemy?

— Po to, że nie mam ochoty słuchać rad, uwag i perswazyi. Co komu do tego, gdzie idziemy, co robimy? Tu przecież nie jesteśmy pod niczyją opieką, nie mamy obowiązku zdawać sprawy z naszych czynów i zamiarów.

Podniósł głowę i dumnie spojrzął na brata z góry, jak człowiek wolny, który żadnej władzy nie widzi i nie uznaje nad sobą. Tadzio się zarumienił; widocznie był jeszcze dzieckiem, bo samodzielność taka przerastała jego odwagę. Lecz Janek wie, co robi.

Wiedział naturalnie, brat przyznawał mu to w duszy, kąpiąc się w świeżem i lekkim powietrzu, w jasnych promieniach słońca, podziwiając piękność nieba, gór i ziemi. I jak im dobrze samym. POCO tu przewodnik? Czyż nie znają dokładnie drogi? Jeszcze też takiej drogi: przez Waks-mundzkę! Ale już tę wybrali, żeby stanąć na czas, posłuchali rozsądku.

— Pójdziemy przez Kozieniec — proponował Tadzio.

— Naturalnie — potwierdził Janek. — Stauntąd powitamy góry w blaskach wschodzącego słońca. Niema w całym Zakopanem piękniejszego widoku; gdybym sobie kiedy stawał tutaj wille, to tylko na Kozieńcu.

Mówił to z wzrastającym zachwytem na widok piękności natury, odsłaniających się w miarę, jak młodzi nasi podróżnicy wydobywali się z ulic, zamkniętych szeregami domków i willi, na bardziej otwartą przestrzeń. Minawszy szybko Chramcówki i ulicę Chałubińskiego, koło Muzeum po kładce przeszli potok i zaczęli wstępować na łagodną pochyłość Kozieńca. Widok stąd rzeczywiście był wspaniały: na zachód przestrzeń otwarta bez końca wzdłuż łańcucha wierzchów i turni, zamykających widok od południa. W przezroczystym powietrzu góry występowały tak wyraźnie, iż widać było na nich każdą ścieżkę, każdy strumyk, rysujący ich stoki skaliste siecią jasnych gałązek. Tu i owdzie białeły najwyraźniej śniegi, świt różowił szczyty, a skały zdawały się być aksamitne.

— Ach! — szeptał Tadzio — nie piękniejszego nie umiem sobie wyobrazić.

Janek płonącym okiem obejmował wnętrze otwartego w tem miejscu gniazda gór spiętrzonych, Kopę królowej, Magurę, Granaty, i Żółte turnie; liczył je, podziwiał, chciałby popłynąć nad nie lotem ptaka.

Nie będziemy deptali w tym roku tych ścieżek, nie będziemy spoczywali w niedostępnych jarach, patrząc w niebo i zapominając o świecie. Dziwny urok mają te góry... Nagle potrząsnął głową.

— Chodźmy — rzekł — tak nie można, nie po to idziemy.

Minęli Bystre uśpione i ciche, w Jaszczurówce wypili gorące śniadanie, orzeźwili się przyjemną kąpielą i podążyli dalej. Od Cyrli droga już przez las prowadzi, wydeptana co roku stopami podróżnych, lecz nie lękali się zbłądzić, tyle razy szli tędy. Tu nie widać nieba, gór ani słońca, tylko stare drzewa, olbrzymie głazy, spękane, porośłe mchem zielonym i szarym, szumzące strumienie i kwiatów kępy całe: niezapominajki, goryczki i storczyki, pełno barw i woni, aż żal mijać.

A poziomki!

Nie mogli oprzeć się pokusie, aby nie zbierać chociaż najpiękniejszych. Co za wielkość, smak, zapach!

Droga coraz inna i piękniejsza. Od Toporowych Stawów do Psiej Trawki, szli więcej niż godzinę. Była już 10-ta kiedy się zatrzymali na tym pierwszym wypoczynku.

— Wiesz, Janku, że my dzisiaj może nie dojdziemy? — zauważył Tadzio nieśmiało.

Janek ruszył ramionami.

— Pleciesz, jak niedołęga. Straciliśmy trochę czasu, wielka szkoda! Nie będziemy za to robić dłuższych wypoczynków. Slimak zaszedłby tędy w ciągu dnia na miejsce. Patrz, co ludzie za nami spieszy.

Istotnie, dwa dość liczne towarzystwa zbliżyły się do schroniska. Na łączce w jednej chwili zrobiło się gwarno, otwierano butelki, śmiech, żarty, nawoływania rozległy się dokoła.

— Pójdźmy — szepnął Janek do brata.

Tadzio wstał natychmiast i skierowali się znowu ku drodze, gdy nagle otoczyła ich nowa gromadka.

— Janek! Tadzio! A wy tu co robicie o tej porze?

— Felek! Brońcia! Adaś! Ańdzia!

— Skądżeście się tu wzięli?

— Do Morskiego.

— Po Zosię?

— Naturalnie.

— Sami?

— Znamy drogę — zapewniał Janek.

— Chodźcie z nami. Weselej będzie!

Chłopcy nie mieli nic przeciwko temu, pożartowano wprawdzie trochę z ich zapasów i pospiesznego marszu, ale któżby o takie rzeczy obrażał się na przyjaciół? Odtąd istotnie, było tak wesoło, że nawet Tadek tylko od czasu do czasu marząc okiem rozglądał się po krajobrazie.

Na Waksmundzkiej odpoczywali niedługo, gdyż woleli popatrzeć z Suchej na Pieniny, które przy dniu pogodnym rysowały się wyraźnie. W ogóle widok z Suchej był prze-

pyszny, i Bronia tylko narzekała, że ją zwiedziono: wiedzieli przecież, że się obawia przepaści i każą jej przejść ścieżkę, parę stóp szeroką.

— Ależ tu przejechać można — perswaduje Felek.

— A gdybyś nawet spadła, pierwszy krzak by cię zatrzymał.

• C. Niewiudomska.

(d. c. n.)

STO LAT TEMU NAD NILEM.

(Dalszy ciąg).

III

Kiedy po bitwie pod Piramidami generał Dessex podążył ku Górnemu Egiptowi, aby ścigać chroniące się tam szczątki wojska Murad-Beja, wezbranie Nilu wstrzymało czasowo jego wyprawę.

Dopiero 7-go października 1798 r. stoczył we wsi Sedi-man walną bitwę, mając przeciw sobie znaczne jeszcze siły Mameluków i Fellahów. Jednak męstwo żołnierza francuskiego nie zawiodło nawet w tej dalekiej pustyni, rozproszony nieprzyjaciel zostawił na polu bitwy tysiące poległych, gdy Dessex stracił zaledwie 300 ludzi.

Po tem świetnem zwycięstwie dzielny generał posuwał się coraz dalej i zajął teje jeszcze zimy cały Górny Egipt aż do katarakt Nilowych. Wszędzie zaś, o ile lękano się jego waleczności, o tyle uwielbiano szlachetność, i gdy w Kairze nazwano Bonapartego sułtanem „Kebir” to znaczy „ognistym” — Dessex otrzymał miano sułtana sprawiedliwego.

Tymczasem rokosz wzniecony w stolicy przez tajemnych sprzymierzeńców Murad-Beja, szybko został poskromiony, a spokój i porządek pozwolił Napoleonowi odbyć dawno upragnioną wycieczkę w celu odszukania śladów starożytnego kanału, łączącego Nil z zatoką Arabską.

Wyruszył tam w grudniu w towarzystwie uczonych i oficerów, z małym tylko oddziałem wojska.

Wódz jechał powozem wraz z Bourrienne'm, Monge'm i Bertollet'em, przez piaski pustyni, gdzie po dokuczliwym upale dziennym nadeszła noc mroźna nieledwie.

Wielka ta pustynia, przez którą zwykły dążyć karawany z Suezu, Sinai i północnej Arabii, była przez szeregi wiodków widownią tylu wypadków śmierci pielgrzymów, kupców i żołnierzy, że bielejące wśród piasków szkielety znaczyły wśród niej szlak dla podróżnych i były niejako drogowskazami.

Po dwudniowej wędrówce przebył Bonaparte i towarzysze jego śladem ludu Izraelskiego suchą, w czasie odpływu, odnogę morza Czerwonego, później w powrocie jednakże musieli nieco zboczyć z drogi, noc już zapadła, gdy zdążyli dojść do wybrzeża morskiego przypływ już się rozpoczął.

Rzucono się coprędzej naprzód, ale woda wzbierała tak szybko, że o mało wszyscy nie znaleźli śmierci w jej falach. Nieprzytomnego generała Caffarellego uratował trębacz Krettly, znakomity pływak, czem zyskał sobie względy naczelnego wodza które utrzymał i nadal swą prawością i odwagą obok szczerzej choć rubasznej nieco wesołości.

Ale i sam Bonaparte był w poważnem niebezpieczeństwie, co mu wszakże następnie nie popsulo humoru, owszem w żartobliwym tonie odezwał się do oficerów:

— Szkoda jednak, żem nie zginał śmiercią Faraona, dałoby to bogaty materiał do rozmaitych opisów, a druga taka sposobność nie prędko się nadarzy.

Jeszcze jedną w tymże kierunku wycieczkę przedsięwziął naczelną wódz, aby upewnić się co do możliwości podą-

czenia kanałów morza, Śródziemnego z Czerwonem. Dzieła tego, jak wiemy dokonał Francuz Lesseps, za Napoleona III między 1860—1870 r. Tak mija zima z 1798 na 1799 rok, gdy otrzymano w Kairze wiadomości, że Wielka Porta wspierana przez Anglię, uzbraja dwie armie: jedną na wyspie Rodos, drugą w Syrii — w zamiarze rozpoczęcia wojny na wiosnę.

Bonaparte postanowił uprzędzić nieprzyjaciela i korzystając z pory zimowej, przebyć pustynię, zdobyć warowne miasta Syrii i zniszczyć wojska tureckie, przyczem porozumienie z Druzami oraz innym drobnym ludem gór Libanu miało mu być wielką pomocą w dostarczaniu żywności dla armii.

Znając zły ogólnie stan twierdz azjatyckich, wielki wódz marzył o szybkim za-wojowaniu krain aż po rzekę Eufrat, aby ująwszy w swe ręce wszystkie drogi do Indyi, przełamać wpływ Anglii, a równocześnie podnieść ojczyznę swą do najwyższej potęgi.

Wyprawa składająca się z dywizji generałów: Régnier, Lannes, Bon i Murat'a ruszyła z Kairu w pierwszych dniach lutego; towarzyszył im jeszcze, świeżo przez wodza utworzony regiment dromaderów, przeznaczony wyłącznie do ściągania Arabów.

W nowym tym rodzaju jazdy siedziało na każdym wielbłądzie tyłem do siebie, dwóch jeźdźców odpowiednio uzbrojonych. Zważywszy siłę i wytrzymałość ich wierzchowców, mogli oni w tej krainie prze-wyżyć nawet jazdę Murata.

Równocześnie przesłał też Bonaparte rozkaz admirałowi Perrée w Aleksandryi, by z trzema fregatami przewiózł na brzegi Syrii artylerję obłężniczą i potrzebną amunicję.

Mimo przyjaznej pory prze-prawa przez pustynię była wielce uciążliwą dla żołnierzy; znoszą jednak bez szemrania wszelkie trudy, biorąc przykład z wytrwałości swego wodza.

Dnia 17-go lutego zdobytą została po krótkim oporze twierdza El-Arisz, broniona przez Ibrahim-Beja, który zmuszony ostatecznie do ucieczki, zostawił na łup Francuzom bogaty swój obóz.

Po tem pierwszym zwycięstwie, szły kolejno inne równie szybko i szczęśliwie.

Tak więc zajęto bronioną do ostatka przez Dżezzar-paszę silnie ufortyfikowaną Gazę, wraz z bogatemi jej zapasami wojennymi i żywnością. poczem przystąpiono do Jaffy, którą opasywał gruby mur z basztami.

Po kilku szturmach Bonaparte wezwał komendanta twierdzy do poddania się, lecz ten zamiast odpowiedzi ściał głowę parlamentarzowi, czem oburzony wódz wydał miasto po zdobyciu na 30-to godzinny rabunek swoim wojskom. Była to surowa kara, lecz ogólnie wówczas praktykowana, za tak dzikie pogwałcenie praw wojennych.

Po wzięciu Jaffy, została jedna już tylko twierdza, po wzięciu której zdobywca mógłby się uważać za pana całej Syrii. Była nią starożytna Ptolemaida, zwana przez Krzyżowców Saint-Jean d'Acree, leżąca u stóp Karmelu. Jest to

jedna z najsilniejszych twierdz na świecie, jak od lądu, tak od morza dzięki swemu niedostępnemu położeniu.

Tutaj właśnie zamknął się Dżezzar-pasza z nieprzeliczonemi bogactwami i silną załogą, w oczekiwaniu mających rychło nadejść posiłków armii tureckiej i Sidney-Smith'a, który dostarczył mu już drogą morską inżynierów, kanonierów i amunicji.

d.) c. n.)

Jazda na Wezuwiusz.

Chociaż wulkan Wezuwiusz nie zdaje się na pozór zbyt odległym od Neapolu, jednak podróż na szczyt jego z miasta jest dość długa, a przytem bardzo urozmaiconą.

Przedewszystkiem jedzie się powozem około godziny, aż do miejsca zwanego „Casa Bianca,” (biały dom), skąd już żadną miarą nie można dążyć dalej inaczej, jak konno lub pieszo. Kiedy się odbędzie tę część podróży, która trwa także około godziny, bo droga bardzo stroma, a w niektórych miejscach ukazuje się ze szczelin biały dymek, następuje część najprzyjemniejsza — jazda koleją linową do krateru, to jest otworu wulkanu.

Od stacy patrząc wprost, kolej piętrząca się do góry wygląda jak drabina, prawie pionowo postawiona. Dwie szyny stanowią niby boczne słupy, a poprzecznicą, szczeble. Wagon posuwa się na niej, jak winda, za pomocą liny, która go ciągnie.

Jazda w otwartym wagonie na szczyt góry, z widokiem na błękitne morze w oddali, sprawia wielkie wrażenie. Ale oto i górna stacya, zapach siarki rozchodzi się dokoła, dymu coraz więcej. Na prawo wśród brył skamieniałej lawy widać biały budynek, jest to obserwatorium, założone przez profesora Palmieri.

Brnąc przez kwadrans w popiele, dochodzi się nareszcie do krawędzi krateru,

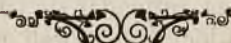
z którego wydziela się gęsty obłok dymu i pary. Czasami po silniejszym wybuchu zobaczyć można wewnętrzną powierzchnię ścian, jakby wylaną szklistą glazurą, a w głębi wrzący, jasno-czerwony płyn — to lawa!

W tym roku lawa wypływa obficie, niż zwykle i zachodzi obawa większego wybuchu. Część drogi od stacyi kolei do obserwatorium zalana lawą i komunikacja przerwana. Pomimo to są jeszcze odważni podróżni, którzy podążają do głównego krateru, wyrzucającego ciągle kamienie i popiół. W nocy ogniste strumienie, tryskające z wnętrza góry, przedstawiają groźny, lecz i wspaniały widok.

Z ZAKOPANEGO.



PRZEWODNICY TATRZAŃSCY.



W OBŁOKACH I POD WODĄ

WYPRAWY „LATAJĄCEJ RYBY.”

opisał H. C.

(Ciąg dalszy).

— Z chwilą, gdy przezwyciężyłem trudności połączone z budową „Latającej Ryby” i gdy za zezwoleniem naszego uprzejmego gospodarza, skierowałem wycieczkę naszą w tę stronę, ślubowałem sobie, że muszę odnaleźć jaką pamiątkę

jaciela na „Labiryncie”, i wiedząc gdzie chował zwykle swoje rękopisma, z łatwością je odnalazłem.

— Widok zwłok tylu topielców musiał być strasznym? — zagadnął baronet.

— W istocie! widok ten jest tak boleśnie wzruszającym, że nic nie byłoby w stanie skłonić mnie do powtórnego zwiedzenia rozbitego obrętu.

— Po tych słowach profesora, nie mam już ochoty oglądania szczątków „Labiryntu” — oświadczył sir Reginald.

— Ja też ciekawy ich nie jestem — przywodził pułkownik.

— Ja również zdania wasze dzielę — dodał porucznik.



JAZDA NA WEZUWIUSZ.

po zmarłym dla nieszczęśliwej jego matki; dzisiaj ślub mój spełniłem, ale zadowolenie to okupione zostało widokiem tak strasznych obrazów śmierci i zniszczenia, o jakich żaden chyba człowiek nie może mieć pojęcia i na opisanie których słów dobrać trudno!

— Urzeczywistnienie trzeciego celu wycieczki mojej na „Labirynt” leży przed wami w postaci tego małego pakieci-ku. Jest to rękopis zawierający zapiski i luźne notatki, owoc mozolnej pracy i doświadczeń czynionych w ciągu lat trzydziestu w różnych gałęziach nauk przez oficera marymarki francuskiej, z którym łączyły mnie przyjazne stosunki. On wiedząc, jak wielką cenę przywiązuje do tego rękopisu, zapisał mi go w testamencie, o czym mi nieraz wspominał, nie przypuszczał bowiem, że papiery te wraz z nim samym zatoną w głębiach morza. Odwiedzałem razy kilka mego przy-

— Dobrze robicie — zauważył profesor — widok tej podmorskiej kostnicy mógłby was zniechęcić do dalszej podróży.

— A gdzież teraz się udamy? — zagadnął baronet.

— Świat cały stoi przed nami otworem — odparł Karliński — wybór miejsca od was zależy.

— Głosuję ze zwiedzeniem stron nieznanych i niedostępnych ludziom dotychczas — oświadczył baronet, a gdy towarzysze przyklasnęli tej propozycji, dodał: — zaczniemy od najtrudniejszego! Ponieważ teraz mamy dnie najdłuższe i porę najlepszą, urządzimy wycieczkę do bieguna północnego. Zapolujemy na zwierzęta, które dotąd twarzy myśliwego nie oglądały, cha, cha! — Zapalonym był myśliwcem ten baronet.

— Dobry projekt — zawołał profesor — sądząc, że nic

nam nie przeszkodzi pobić Nansena i uprzedzić Andrego, który w tym roku wybiera się tam w balonie starej daty. Zanim jednak stąd odpłyniemy, może dokonamy dzieła zniszczenia nieszczęsnego „Labiryntu”. Jak przekonaliście się sami, okręt jest tak uszkodzony, że o wydobyciu go i rozebraniu nie może być mowy. Przyszła mi zatem myśl, że lepiej może rozbić go ostatecznie, a zarazem skorzystać ze sposobności wypróbowania naszych przyrządów torpedowych. Czy zgadzacie się na to, panowie?

— Zgadząmy jaknajchętniej — zawołali trzej podróżni.

— Nie wart lepszego losu okręt, który pozbawił życia pięćset osób — zawyrokował Mildmay.

— Zabierzemy się do dzieła zaraz po obiedzie — oznajmił profesor.

Wstawszy od stołu pospieszyli wszyscy do kajuty sterniczej, gdzie Karliński objaśnił towarzyszom sposób zapalania min podwodnych, a następnie z pomocą pułkownika czynił na przodzie statku potrzebne przygotowania. Zajęły one dziesięć minut czasu, to jest, zdaniem profesora, dziesięć razy więcej, aniżeli czynność ta trwać miała w przyszłości. Gdy wszystko już gotowe było, podróżni wrócili do kajuty i podnieśli kotwicę „Latająca Ryba” dwukrotnie okrążyła „Labirynt”, jakby szukając miejsca do natarcia, następnie obróciła się przodem do zatopionego okrętu, a profesor przycisnął sprężynę. Ogień błysnął; rozległ się huk straszliwy i „Labirynt” zniknął bez śladu. Wstrząśnienie przy wybuchu było tak gwałtowne, że „Latająca Ryba” mogła być uszkodzoną, gdyby jej budowa mniej mocną była. Wskutek tego wstrząśnienia czterej podróżni upadli na podłogę w kajucie. Gorzej było w kuchni: kucharz spadł z posłania, gdzie odpoczywał po wydaniu obiadu, a Jerzy stłukł kilka cennych półmisek, co mu się pierwszy raz w życiu zdarzyło. Wypadek ten zmniejszył nieco jego zaufanie w potęgę tego czarownika, jak nazywał przed kucharzem profesora. Ale popłoch służył nie mógł iść w porównanie z przestraszeniem jakiego doznał kapitan i załoga małego kupieckiego okrętu, który właśnie przepływał nad miejscem wybuchu. Wszyscy odczuli silne wstrząśnienie i zrazu przypuszczali, że uderzyli o drugi jaki statek; sternik o mało nie postradał zmysłów, widząc w pobliżu słup wody, wznoszący się do wysokości kilkudziesięciu stóp w górę. Gdy trochę ochłonął z przerażenia, zszedł do kajuty i zapisał w księdze sprawozdań, że tego a tego dnia, o tej a tej godzinie, pod takim a takim stopniem długości i szerokości geograficznej, przy najpiękniejszej pogodzie i spokojnym morzu dwumasztowy statek „Panama” doznał trzęsienia ziemi, przyczem o mało nie zatonął, zalany przez słup wyrzuconej w górę wody. Zeznanie to podpisał własnoręcznie w obecności świadków, a pokrzepiwszy siły i odwagę szklanką grogu, powrócił na swój posterunek.

VI.

W drodze do bieguna północnego.

Gdy już „Labirynt” został zniszczony „Latająca Ryba” posunęła się kilka mil ku północy, gdzie natrafiwszy na dogodne, piaszczyste łożysko, opuściła kotwicę.

Po spokojnie przespanej nocy, podróżni zjadłszy śniadanie, zebrał się w kajucie sterniczej. Profesor dla dokładnego zaznajomienia towarzyszy z użytkowaniem przyrządów, postawił baroneta przy sterze, sam zaś śledził poruszenia jego ręki, gotów błęd każdy natychmiast naprawić. Zrazu podnoszono statek przez ostrożność bardzo powoli; na pięć sażni mniej więcej pod powierzchnią wody zatrzymano go, aby przekonać się, czy przypadkiem nie nadpływa w tem miejscu jaki okręt, który przy zetknięciu się z „Latającą Rybą”, mogłby uleść uszkodzeniu. Przeworność ta okazała się uzasadnioną, gdyż podróżni dostrzegli niebawem dno parowca, rozbijającego śrubą fale i ciągnącego za sobą kępę traw morskich. Dla uniknięcia niebezpiecznego dla obu stron uderzenia, podwodni żeglarze usunęli się natychmiast na bok. Obniżwszy bieg o dziesięć sażni, „Latająca Ryba” pomknęła

szybko i dopiero po powtórnem, dokładnem rozejrzeniu się dookoła, wypłynęła na powierzchnię morza.

Widnokrąg czysty był zupełnie; na południu tylko czernił się komin spotkanego parowca. Wiatr dał południowo-zachodni; wszystkie warunki sprzyjały napowietrznej żegludze, do której zaraz zaczęto czynić przygotowania. Roztworzono kanały, z których ściśnione powietrze uchodziło z szumem i po chwili „Latająca Ryba”, niby bańka mydlana lekko unosząca się na wodzie. Następnie część pary zbytecznej wypuszczono z kotłów, a gdy w odpowiednich przedziałach wytworzyła się próżnia, statek jak ptak wznosił się w powietrze. Skierowano go z pędem wiatru i podróż do bieguna północnego zaczęła się na dobre.

(d. c. n.)

Marya Łopuszańska.

OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg)

— I my znajdziemy siłę by mu się oprzeć, odrzekł kneź zimno; na silnego znajdzie się silniejszy. Czyż nie mamy pewnego poparcia w cesarzu, który zawsze gotów Bolesławowi nogę podstawić, a jego margrafowie i teraz, jak słyszę, obiecują nam pomoc, czyż zresztą Czesi nie byli już w Krakowie?

— Co? zawołał Drahomir z oburzeniem, chcielibyście wiązać się z wrogiem, wprowadzać go we własne granice? Wroga mięszać do domowych kłótni? Nie, ojczu, wy tego nie uczynicie!

— Uczynię — odparł kneź stanowczo. Alboż Bolesław nie jest takim samym wrogiem naszym? Czyż jego przodkowie nie zajęli bezprawnie miejsca kneziów prawowitych? My przeciw mamy większe prawo do rządów, niż on, gdy mój pradziad zasiadł na stolicy książęcej, jego przaszczur chodził gdzieś za pługiem i nie byłby przypuszczonym nawet do stołu książęcego.

— Nie zaprzeczycie jednak, ojczu, że teraz ten potomek knieci jest mądrym królem, szanowanym od sąsiadów, ukoronowanym przez samego cesarza, o nas zaledwie wiedzą ludzie, że żyjemy, bo przez tyle lat usuwając się od wszystkiego, daliśmy zapomnieć o sobie, a zapomnienie to największy wróg, ojczu; gdy raz ludzie powiedzieli, że coś przestało istnieć, już na to niema rady.

A więc pokażmy im, że żyjemy! zawołał kneź, że ród nasz istnieje jeszcze, pokażmy to!

— Czemu? — spytał Drahomir z goryczą. — Wywoływanem sporów domowych, wzywaniem wroga we własne granice? Ależ wtedy gorzej będzie, bo powiedzą, że cały nasz ród książęcy, to nie innego tylko... zdrajcy!

— Co? krzyknął stary kneź, a w oczach jego błysło złowrogie światło.

— Zdrajcy! powtórzył Drahomir dobitnie.

— I ty to śmiesz mówić! ty? — ryknął kneź, gotów prawie rzucić się na syna, ze wrokiem błyszczącym, jak u wilka. Straszne było to nagłe przejście od spokoju do takiej gwałtowności, Drahomir jednak nie cofnął się, nie spuścił wzroku, stanął tylko z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

— Ojczu — rzekł spokojnie, pojmijcie — jam wasza krew — możecie mię zabić, ale nie ugiąć. To co myślę teraz będę zawsze myślał, i to samo powiem nawet w obec śmierci. Wybaczcie mi jeśli wam uchybił, lecz nie mogłem się powstrzymać, gdym usłyszał, że ród nasz ma ponieść taką stra-

szną plamę na sobie. O błagam was, ojcie — zawołał z wybuchem, nie czyście tego dla mnie, dla siebie samego, dla czci ludzkiej, o którą każdy dbać powinien! Nie wiążcie się ze zdrajcami, bo ściągniecie na nas nieszczęście a biedę na kraj cały!

— Odejdź, odparł kneź twardo. Widzę, że w tobie niema ani kropli krwi dawnych kneziów. Stworzony jesteś aby być wiecznie sługą królewskim, poddanym jego! Od kiedyś chodził na ową wyprawę, dostrzegłem, że blask owego króla cię olśnił, chciałbyś także mu służyć wraz z innymi, zapominając z jakiej krwi pochodzisz. Tyś nie wart być moim synem...

Drahomir w milczeniu wysłuchał tych wyrazów, nie wyrzekłszy ani słowa usprawiedliwienia; stał wciąż z rękami skrzyżowanymi i słuchał; tymczasem kneź powoli się uspokoił, straszny błysk jego oczu gasnął stopniowo. Oblicze jego znów się stało kamiennem, zdawało się, że chłód od niego wieje.

Nastało milczenie zapaśników, którzy zbierają siły by na siebie uderzyć.

— Nie zaprzeczycie jednak, ojcie — ozwał się wreszcie Drahomir, że ci władcy, na których pójdziemy na czele motłochu, to są bracia nasi?

— Nie, stokroć nie, zawołał kneź, porywając się z miejsca, prędzej bym rękę sobie uciął, niżbym ją miał podać któremu z nich jak bratu, im, których łaska pana według woli, kolejno podwyższa lub poniża! Prędzej mię ziemia pochłonie.

— To dlaczego z czernią się wiążecie? — spytał wyniosłe Drahomir.

— Czerń, to co innego; ja wiem, że oni ze mną nie staną na równi, bo znają co to kneź!

— Jak chcecie ojcie, ale ja w powodzenie naszej sprawy nie wierzę. Nie bójcie się, nie cofnę się przed niebezpieczeństwem, nie będę odstępcą. Spełnię waszą wolę we wszystkim, będę robił, co każecie dla podtrzymania upadającej sprawy, będę się bił za nią, zginę nawet, jeśli trzeba, ale w nią nie wierzę!

— Tak to zmieniły się czasy — ozwał się kneź głosem chłodnym jak zwykle — dawniej młodzi szli naprzód, a starzy ich powstrzymywali, dziś my starzy, stojący nad grobem musimy rozgrzewać serca młodych, bo niestety, ostygły już one dla śmiałych czynów.

— Daremnie mię oskarżacie, ojcie — rzekł Drahomir cóżem ja winien, że widzę, gdy wy wszyscy jesteście ślepi? Bo spojrzmy, kto tu stoi naprzeciw siebie? Z jednej strony kapłan Borun, starzec zniedołężniały i zgnębiony, który lat kilkadziesiąt w puszczy przeżył, i świata bożego nie widział; kilku jeszcze podobnych jemu; wy ojcie, coście również w gródki swoim tylko żyli, usunięci od spraw szerszych, no i ten Masław. Ale sami bogowie wiedzą jakie on knuje zamiary, co wszakże pewna, że nie dla nas pracuje, a dla siebie.

Za sobą prowadzi motłoch ciemny, który oszołomił obietnicami powrotu starej wiary i starego porządku. A naprzeciw?

Naprzeciw stoi król, którego słowo poruszy tysiące, naprzeciw stoją wojewodowie i wojownicy ich, wyćwiczeni w długich bojach, władcy, kmiecie, cały ten spokojny lud rolniczy, który nie chce gwałtów i bezprawia.

W tej chwili odgłos rogu, rozlegający się pod oknami przerwał rozmowę. Kneź klasnął w ręce; wszedł sługa.

— Co to? spytał kneź krótko.

— Drużyna nasza powróciła z wyprawy, odparł sługa z pokłonem.

Na podwórzu w istocie wjechał oddział zbrojny, na czele znajdował się dowódca, w pośrodku zaś widać było jakiegoś jeńca.

Widzę, że przywożą ze sobą połów, rzekł kneź, obaczmy co to jest.

To rzekłszy, wyszedł na podsienie, Drahomir zaś sam pozostał w izbie i pogrążył się w posępnym zamyśleniu; jego oblicze, zwykle noszące wyraz śmiały i otwarty, pokryło się te-

raz chmurą, jak gdyby przed jego okiem wstawały wcale nie wesołe obrazy.

— Ha, niechże i tak będzie, rzekł w końcu sam do siebie, ginąć to ginąć!

Kneź stanął na podsieniu, czekając, by oddział się zbliżył. Wszyscy jego ludzie byli dobrze uzbrojeni, na pięknych koniach, strojui w rysie kołpaki z czarnymi piórami, oraz w bogate płaszcze — wszyscy byli młodzi, rośli i silni jak dęby — bo kneź umiał dobierać sobie ludzi.

Dowódca podjechał, a zsiadłszy z konia, stanął przed kneziem, by mu zdać sprawę z kilkudniowej wyprawy w okolicy Kielec. Ludzie z jego oddziału pozostali nieco dalej.

— Co nowego, Leszku — spytał kneź półgłosem.

— Spełniliśmy wszystkie wasze zlecenia, miłościwy kneziu, posunęliśmy się aż ku Kielcom. Dobrogost zbiera drużyny zbrojne, i wysłał nowych robotników na górę Łysą, Masław zaś porozysłał różnych swoich podwładnych, by podburzali lud po siołach, a za kilka dni mają się wszyscy zjechać tutaj na naradę.

— Kto? — spytał kneź.

— Kapłan Borun, Masław i reszta.

— Dobrze — rzekł kneź spokojnie — cóż to za jeńca przywieśliście?

— A ot, spotkaliśmy w puszczy tego Niemca, to i przywieśliśmy go tu; ale nic nie można od niego się dobić, bies go chyba pojmie — odrzekł przywódca.

— A no, dajcie go tu! — rozkazał kneź.

— Hej, Mirek! — krzyknął dowódca — a podaj no tu tego psa niemego!

Natychmiast przyprowadzono Niemca przed knezia. Był to Kurtz, ale Kurtz o połowę zmniejszony, tak go błąkanie się po puszczy wychudziło. Błady był, nogi się chwiały pod nim; gdy spojrział w oblicze knezia, tak się przeląkł, że padł na kolana, bełkocząc coś po niemiecku.

— Ktoś ty? — spytał kneź ostro.

Niemiec znów wybelkotał coś niezrozumiałego, a całą drużyna wybuchła hucznym śmiechem.

— On biedny, zaniemiał — rzekł jeden.

— Język ma przyrośnięty, trzeba mu go poderznąć — ozwał się drugi.

— Pokaż, może masz miasto nóg kopyta? Możeś ty czarownik?

— Milczeć tam! — krzyknął kneź. A obróciwszy się do służby, rzekł:

— Odprowadzić tego Szwaba do izby, gdzie jest ów rycerz królewski, nie mamy czasu zajmować się nim.

Dwóch pachołków wzięło Kurtza i poprowadziło go w głąb domu. Oworzywszy drzwi od oznaczonej izby, wpełnęli tam jeńca, ten znalazł się w obecności Ładona, który zdziwiony był niepomątu tym towarzyszem, spadłym jakby z nieba.

Ale Kurtz domyślił się wkrótce, że ma przed sobą nie jakiegoś straszego poganina, lecz rycerza, człowieka podobnego innym, zawołał radośnie:

— Chwała Bogu, że wreszcie spotykam chrześcijanina a nie tych okrutnych pogan; bo wszak prawda, jesteście chrześcijaninem, rozumiecie po niemiecku?

— Tak, jestem chrześcijaninem i więźniem jak wy — odrzekł Ładon — pochodzę z dworu króla i należę do jego orszaku, ale skądże wyście tu się wzięli?

— Długa to historia, potem ją wam opowiem, bo teraz już sił mi nie staje. Dzięki niebu, że przecie znalazłem kogoś, z kim się rozmówić potrafię — odrzekł Kurtz, siadając na ławie — ci przelęci Słowianie, bodaj ich choroba zdusiła... Ale wy nie gniewajcie się — dodał natychmiast niepokojnie; — człowiek może już stracić cierpliwość nareszcie, kiedy cztery dni nawłóczył się po puszczy, a nadobitek popadł jeszcze w ręce zbójów...

— Musiało wam być ciężko — rzekł Ładon; — w naszych puszczech tylko człek obyty z niemi może nie zbłądzić; są tak dzikie...

— Co to dzikie, co to dzikie — zawołał Niemiec w uniesieniu, te przeklęte puszcze! tylko szatan jeden może po nich wędrować! Jeść niema co i jeszcze do tego różne strachy się ukazują. Nie, tylko w przeklętym, słowiańskim kraju znajdują się podobne puszcze, u nas takich niema! Ale wy się na mnie nie gniewacie, że tak mówię? — spytał z niepokojem.

— Bynajmniej — odparł Ładon. — Skądże przybywacie?

— Z Kielc, z królewskiego dworu, właśnie tydzień jak go opuściłem, bo trzeba wam wiedzieć, że dworzanin margrafa Hermana. Po was też zaraz poznałem, że nie należycie do tych zbójów i pomnę nawet, że coś tam gadano o waszem zniknięciu.

— Więc przybywacie z Kielc, ze dworu naszego króla? — zawołał Ładon. — Powiedzcie co tam się dzieje.

— Cóż ma się dzieć? — odparł Kurtz. — zabiera się na wojnę, król już pewnie wyruszył nawet, bo gdy opuściłem dwór, drużyny zbrojne ścigały zewsząd.

— Wojna, a mnie tam niema! — zawołał Ładon. — Przeklęta niewola; zdaje mi się, że ściany te mię duszą! Więc powiadacie, że król już wyruszył? — dodał po chwili.

— Tak sądzę — odrzekł Kurtz.

— Pomyśleć tylko, że moi towarzysze może już tam gdzie się biją pod okiem naszego króla, a ja tu siedzę jak przykuty! — rzekł Ładon wzburzony, stając przy oknie i patrząc roztargnionem okiem w dolinę — kiedyż to się skończy, i czy się skończy? Dwa tygodnie już tu siedzę; można oszaleć

— Ba, ba, gdy wy się troszczycie, to cóż mnie pozostanie? Chyba bić głową o ścianę, lub rzucić się z tej oto skały. A jednak ja nie tracę ducha, byle mi tylko jako tako jeść dawano, byłbym spokojny, a gdyby tak jeszcze dzban piwa, to już by mi było zupełnie lekko na duszy. Biedny mój pan tylko musi się obchodzić bez swego wiernego Kurtza. Czasem gdy na pół dnia się oddalę, to już pyta o mnie, a teraz ot już tydzień jest bezemnie. Ta myśl najbardziej mię dręczyła, gdy się błąkał po puszczy; mówiłem też owym psom słowiańskim: Odprowadźcie mię do margrafa, on się bezemnie obejść nie może. Ale gadaj im, wszystko jedno co rozmawiać z drzewami w lesie.

(d. c. n.)

Niebo w październiku.

W październiku i listopadzie mało kto po zachodzie słońca spogląda na niebo, najczęściej powlekają je obłoki lub zasłania mgła. Nie ustają jednak narzekania na krótkość dnia, którą w tym miesiącu, zanim się do niej przywyknie, odczuwamy najsilniej. Ostatniego miesiąca długość dnia wynosić będzie zaledwie 9 godzin 34 minut, a słońce o południu wznosić się będzie nad poziom zaledwie 23° 35'. Z wielkich planet tylko czerwony Mars zaczyna przyświecać noca-

mi, inne podróżują po niebie razem ze słońcem. Za to coraz świetniej świecą gwiazdy, mianowicie gwiazdozbiór Oriona i Syryusz.

Pełnia księżyca przypada 20-go.



ZE ŚWIATA.

Dzielny pies.

Psy skaczące coraz bardziej zaczynają się rozpowszechniać po cyrkach. Ale zdolność ich w tym kierunku może być daleko pożyteczniejszą użytą. Dowodem tego jest przedstawiony na rycinie w chwili wykonywania skoku pies pewien, neufundlandczyk, w mieście Saint-Malo we Francji. Pies ten skacze z wysokości 10 metrów, (około 24 łokci), a w wodzie pograża się na dwa metry. Jest to pies młody jeszcze, bo urodził się w sierpniu r. 1894, wabi się „Tryton,” a do tak wielkich skoków przyuczono go powoli. Pocziwie to zwierzę jest prawdziwym stróżem ludności nadbrzeżnej. Żaden strażnik stacyi ratunkowej nie może się poszczycić tylu wypadkami uratowania tonących, co Tryton. A umiejętność skakania ułatwia mu zadanie, gdyż brzegi w S. Malo i okolicach są wysokie i spadziste. Tryton nie namyśla się nigdy, skacze w wodę z bulwaru a nawet z murów fortu. Nie zdarzyło się nigdy dotąd, aby ktoś w jego obecności utonął.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zlr. 1 cent. 75 (3¹/₂ korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

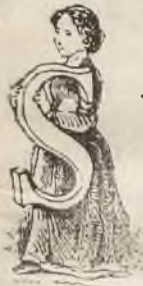
TREŚĆ: Św. Jadwiga, żona Henryka Brodatego, księcia na Szląsku (ryc.) — Bez przewodnika (z ryc.) — Sto lat temu nad Nilem. — Jazda na Wozuwiusz (z ryc.) — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej ryby.” opisał H. C. — Obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — Niebo w październiku. — Ze świata (z ryc.) — Dodatek: Imięcinny zajęczka (z ryc.) — Józio opiekunem, komedijka w jednej odsłonie. — Dług wdzięczności przez Zofię Rudnicką. — Kamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Dodatek książkowy: Wspomnienia Haliny, przez Julię Piasecką.

WIECZORY RODZINNE



IMIENINY ZAJĄCZKA.



cieżynką het! przez pole biegła raz myszka mała i płakała, narzekała. Napotkała wiewiórkę po drodze, a ta pyta: „Cóż ci to, niebodze, że tak myszko na głos lamentujesz, oczka sobie łzami psujesz?” — „Jakże nie mam płakać, lamentować, kiedym oto siostrzyczkę straciła! taka była szareńka i miła, miała ząbki drobniutkie i ostre, we dwie razem miałyśmy się chować, wczoraj jeszcze ze mną swawoliła, ale dzisiaj gdzieś znikła od rana. Wszędobylsia, siostrzyczka kochana! Pewno sowa porwała mi siostrę!...”

A wiewiórka do myszki przystała i z nią razem już biegła przez pole i płakała także, narzekała, lamentując na swoją niedolę. Spotkał je tak króliczek; zgubił w śniegu trzewiczek, chcąc je obie dogonić: — „Skąd wam, o co łzy ronić?” — „Oj biada! biada! biada! — wiewiórka odpowiada — jak mi nie lamentować: z siostrą się miałam chować, taka była rudeńka i miła, Wszystkogryzia, siostrzyczka kochana, była w kitkę bogatą ubrana, o orzeszki ząbki wciąż ścierala, wczoraj jeszcze ze mną swawoliła. ale dzisiaj gdzieś znikła od rana... Pewno kania siostrę mi porwała!”

A króliczek stanął z niemi trzeci i tak płacze, lamentuje srodze, że mu łza za łzą na wąsy leci, aż spotkali jeżaczka, po drodze. Zaś jegomość pan jeż, to był kolczaty zwierz; miał on ryjek malutki, serce czułe na smutki, gdy zobaczył królika jak płakał serdecznie, zaraz się doń przymyka: Czego?” pyta się grzecznie — „Oj, biada! biada! biada! — królik odpowiada — jak mi nie lamentować: z bratem się miałem chować — a braciszek mój, Białopuszek, miał parę długich uszek, oczka miał jak rubiny, pyszczkiem rozciętym na dwoje ruszał i stroił miny... oj smutneż życie moje, bez niego smutne życie: gdzieś przepadł od godziny, pewno lis porwał go skrycie”.

— E! e! płakać niema czego! A więc co nowego?

Pod miedzą, tam przy łące, gdzie mieszkają zajace, już od godziny dziś sprawia imieniny Szaruś, nasz sąsiad miły! Miał płakać, lamentować, pójdźmy mu powinszować — śpieszmy się co siły”.

Jak jeż radził, zrobili: wszyscy się zawrócili, gdzie pod miedzą, przy siwej tarninie, mieszkał sobie zajaczek w kotlinie, a ten widząc, że suną tu goście, wyszedł czekać ich grzecznie na moście, wyszedł witać przed bramą, pod krzaczkiem, biały krawat wdziawszy z szarym fraczkiem.

Pierwsza myszka dobiegła do niego i zaczęła winszować w te słowa: „Życzę, życzę wszystkiego dobrego. Niech pan Zajac zdrowo się nam chowa! i niech nigdy nie schwyci go sowa, jako moją siostrzyczkę niebogę, Wszędobylsię, po której z rozpaczy we łzach się utulić nie mogę!”

A zajaczek tak zastrzygł uszyna, że aż myszka nie wie co to znaczy: — „Więc już biednej Wszędobylsi niema! żal mi, żal mi, że nie jest inaczej..”

A po myszce zaraz przystępuje wiewióreczka i tak mu winszuje: „Sto lat życia, pomyślności życzę szczerze jegomości; niechaj mu się wszystko wie dzie, niech nie będzie nigdy w biedzie i niech nigdy się nie spotka oko w oko z kanią srogą, co to lata tak wysoko, dziś mi wzięła siostrę drogą „Wszystkogryzie”, me kochanie, pewno zjadła na śniadanie.

A zajaczek aż tupnął nóżkami i pokręcił noskiem na te słowa — ale jakoś nie zalał się łzami, a i mina nie grobowa: „Więc przepadła Wszystkogryzia luba? szczerze szczerze boli mnie jej zguba...”

Teraz królik się zbliżył, przed szarym jegomością skłonił głowę z godnością, nie bardzo się uniżył, bo myślał: „Jeszcze czego! wszak on moim kolegą, choć dziś w białym krawacie — i zagadnął go: Bracie! ja słów mych nie liczę, prosto z serca ci życzę, byś był wesół, zdrów, tłusty, miał po uszy kapusty, i by wszystkie szaraki miały srogi los taki, który dzisiaj biednego spotkał brata mojego. Wszak znałeś Białopuszka? nie kładł on się do łóżka, nie znał co to choroba — a dziś, nieszczęsna doba! nie ma go już na świecie, lis go zdusił w sekrecie

(d. n.)

JÓZIO OPIEKUNEM.

KOMEDYJKA W JEDNEJ ODSEONIE.

(Dokończenie).

SCENA 6-ta.

MARCYSIA (*wchodząc*). Jestem już, jestem! Co się tu stało takiego?

JÓZIO. Moja Marcysiu, uspokój Helenkę, bo ja sobie rady dać z nią nie mogę.

MARCYSIA. Doprawdy? No, no, jakoś początek opieki nie szczególny.

JÓZIO (*zmieszany*). Trudno wymagać, żebym wciąż stał nad takim nieznośnym dzieciakiem. Bo to maże się i maże bezustannie, a ja nie mam czasu. (*Bierze książkę i czyta z zajęciem*).

MARCYSIA. Heluniu, nie trzeba płakać, to nieładnie! Taka duża panienka grymasi, jak małe dziecko...

HELICIA. Bo ja nie chcę tutaj zostać!

MARCYSIA. A gdzież Helcia pójdzie? W całym domu niema nikogo, wszyscy wyjechali, więc sama chodzić będzie po pokojach? Lepiej tutaj siedzieć i bawić się grzecznie, tyle tutaj jest książeczek z obrazkami i laleczka leży w kąciuku, biedna płacze, że Helenka o niej zapomniała. (*wyjmuje lalkę z za komody*).

HELICIA (*biorąc lalkę*). Daj ją, daj Marcysiu! Biedna moja laleczka! Ona dzisiaj całą noc przeleżała na podłodze za komodą, a rano zapomniałam ją ubrać, umyć i uczesać.

MARCYSIA. A widzisz, Heluniu, to trzeba teraz zrobić.

HELICIA. E, teraz nie będę jej przebierać, już jest późno, niedługo spać położę, tymczasem pokażę jej obrazki, w tej dużej książce, przysuń mi Marcysiu krzesiśko do stołu.

MARCYSIA (*przysuwając krzesło*). O! tak niech Helenka pocieszy biedną laleczkę, bo jej musi być bardzo przykro, że tak długo leżała za komodą.

MARCYSIA (*zwracając się do Józia*). Paniczu, ja odchodzę, bo tam roboty, proszę o Helence pamiętać.

JÓZIO (*przestaje czytać*). Dobrze, dobrze, możesz być spokojną, Marcysiu, pod moją opieką nic jej się złego nie stanie.

MARCYSIA. Kiedy panicz jak zacznie czytać, to zapomina o całym świecie; doprawdy, ja się boję odejść.

JÓZIO. Idź, idź, Marcysiu, już więcej czytać nie będę.

MARCYSIA. Jeżeli tak, to mogę odejść. (*wychodzi*).

SCENA 7-a.

(*Helenka z zajęciem przegląda książkę, Józio przez chwilę stoi w milczeniu przy oknie*).

JÓZIO (*wychyla głowę za okno*). Antek! Antek!

ANTEK (*wbiega po chwili*). Panicz! panicz! co ja znalazłem!

JÓZIO. Co takiego, mów prędko.

ANTEK. Nie powiem, paniczu, nie powiem! niech panicz idzie ze mną to pokażę.

JÓZIO. Nie mogę w żaden sposób odejść, bo w domu niema nikogo i Helenka jest pod moją opieką.

ANTEK. Na chwileczkę może panicz przecież odejść, pójdziemy tylko za ogród, tam gdzie koszą łąkę.

JÓZIO. Nie mogę.

ANTEK. Ech! Ja powiadam, że panicz może odejść, bo to panienka taka maleńka, żeby nie mogła sama chwilkę posiedzieć? Przecież długo panicz tam nie będzie, pokażę tylko znalezione w trawie gniazdko, i takie małe jajeczka.

JÓZIO. Gniazdko znalazłeś?... Ach, żebym mógł odejść!

ANTEK. Niech panicz idzie prędeż, panienka siedzi sobie spokojnie, nic jej się nie stanie. Nasza Maryśka ma dopiero dwa lata, a bardzo często sama jedna w domu zostaje.

JÓZIO. Chodźmy więc; za kilka minut będę przecież z powrotem (*wybiegają*).

HELICIA (*wstaje szybko z krzeselka*). Poszedł sobie! To bardzo dobrze! i ja też sobie pójdę; dogonię jeszcze ciocię i mamusię i pojedę z niemi do Górek. Laleczkę wezmę też z sobą (*wychodzi*).

SCENA 8-a.

MARCYSIA (*wchodzi drugimi drzwiami*). Ani Józia, ani Helenki niema. Zapewne poszli do ogrodu. Żeby tylko Helenka nie jadła owoców; jest niezdrową, mogłoby jej to zaszkodzić!... Ale przecież Józio ma tyle rozumu, żeby jej nie pozwolił; chociaż ci chłopcy!... (*wzrusza ramionami*). Czy oni umieją obchodzić się z małymi dziewczynkami? Każdy z nich tylko figle i psoty ma w głowie... Ale muszę pójść do ogrodu poszukać Helusi, bo z pewnością ten wielki jej opiekun drażni się z nią, jak z pieskiem lub kotkiem. O! ja wiem, że on to lubi!... (*Chce wyjść, we drzwiach spotyka się z Józkiem*). Gdzież Helenka?

JÓZIO. Obrazki przegląda.

MARCYSIA. Gdzie? gdzie?... bo ja nie widzę!

JÓZIO (*zmieszany rozgląda się po pokoju*). Pozostawiłem ją tutaj; wyszedłem tylko na chwilkę...

MARCYSIA. A ja tu już dosyć dawno jestem i ani panicza, ani Helenki już nie zastałam.

JÓZIO. A to nieznośna dziewczyna! Zaraz musiała wyjść z pokoju!

MARCYSIA. Ładnie się panicz opiekował! Któż teraz wie gdzie poszła? Na dworze już chłodno, rosa, ziemnia się już, dziecko może się zaziębić... Co pani na to powie?...

JÓZIO. Moja Marcysiu, moja jedyna! Idź, poszukaj jej! Ja tymczasem, będę tu siedział i czekał, może sama powróci, to ci zaraz dam znać.

MARCYSIA. A gdzież ja jej będę szukała?

JÓZIO. Może jest w ogrodzie. Moja Marcysiu, poszukaj tylko! pamiętaj, nie mów o tem nikomu, bo śmieliby się ze mnie.

MARCYSIA. Żeby tylko co złego z tego nie wynikło! Helcia jest bardzo nieuważną, może wpaść do stawu... Biegnę jej szukać.

SCENA 9-ta.

JÓZIO. Co ja też narobiłem! Niepotrzebnie usłu-chałem rady Antka... (*chodzi po scenie niespokojny*). Żeby tylko Marcysia zaraz znalazła tę nieznośną dziewczynę. Wańdzia, Zosia, Lucia nie dadzą mi chwili spokoju, a szczególnie Lucia!... Jakże długo Marcysia nie wraca!.. Co jabym zrobił, gdyby się Helence co złego stało?... Pójdę sam, będę szukał w każdym zakątku, wszędzie, wszędzie!.. (*Wbiega Lucia z kapeluszem, ciągnąc za sobą wystraszoną Helcię*).

LUCIA (*kłaniając się*). Moje uszanowanie panu opiekunowi!

JÓZIO. A to co ma znaczyć?... Skąd wzięłyście się razem tutaj?

LUCIA. Cóż w tem dziwnego? Przyszliśmy oddać się w twoje opiekuńcze ręce.

JÓZIO. Zaczynasz już żartować ze mnie, to nieładnie!

LUCIA. A czy to ładnie, tak się opiekować, jak ty Helenką? Szczęście całe, że nie zastałyśmy nikogo w Górkach.

JÓZIO. Gdzież więc była Helenka?

LUCIA. Już blisko lasu; gdybyśmy kwadrans później wracali, z pewnością błędziłaby po lesie.

JÓZIO. Więc ona wybrała się do Górki?

HEL CIA. Boś mię samą zostawił.

LUCIA (*śmiejąc się*). Ha, ha, ha! to mi opiekun!..

JÓZIO (*chwytając się za głowę*). Dajcież mi spokój! Nie chcę już nigdy być opiekunem!.. Oj, będę ja miał od was!..

Nie...ka.

DŁUG WODZIĘCZNOŚCI

przez

Zofię Rudnicką.

(Dalszy ciąg)

Gdy wozy, wiozące nieszczęśliwych niewolników, zatrzymały się wreszcie, noc panowała już głęboka. Janek nie wiedział, ani nie widział, gdzie się znajduje; trzymał się ręki swego towarzysza, zsunęli się razem z wozu na ziemię. Przy bładem, migocącym światełku niewielkiej latarki, którą trzymał człowiek ogromnego wzrostu, ubrany na wpół po turecku, w turbanie na głowie, dojrzał nareszcie Janek kilkanaście postaci nędznych i nieszczęśliwych, jak i oni byli; domyślił się, że to również niewolnicy kupieni na jarmarku. Oswoiwszy się z ciemnością, zobaczył, że stali wszyscy przed jakimiś drzwiami otwartymi, okutymi w żelazo, które prowadziły w głąb czarną i jak mu się zdawało, przepaścistą — przybyłych niewolników zapędzano do tego lochu. Janek drżał na całym ciele, ścisnął silnie rękę swego towarzysza.

— Zimno mi — szepnął.

Noc była jednak gorąca i parna, jak bywają noce na południu, ale biedny chłopiec nie umiał sobie inaczej

wytlómaczyć tego drżenia wszystkich członków, po których przebiegał dreszcz grozy i niepewności. Przyszła w końcu kolej i na nich, wpędzono ich wraz z całą cizbą we drzwi otwarte. Tu w ciemności zeszli po kilku schodach wąskich, chwiejnych i spadzistych. Towarzysz Janka uczuł, że ten drży coraz silniej i zaledwie stąpa, ujął go mocno wpół i zaniósł prawie. Biedne dziecko, przytulone do poczciwej piersi wieśniaczej, zapłakało gorzko.

— Cicho, cicho, dziecino, Bóg nas nie opuści! Nie traćmy nadziei, ufajmy Mu — pocieszał wieśniak i krzepił Janka.

On też uspokoił się — poszukał ręki swego opiekuna i ucałował ją gorąco.

Strażnik z latarką wszedł na końcu i przybyli ujrze- li w tym słabym blasku dużą, sklepioną, wilgotną izbę — jeżeli izbą nazwać można piwnicę bez okien. Zastępowały je u samej góry dziury wybite w murze na szerokość jednej cegły. Powietrze było stęchłe, zaduszone, a ze wszystkich kątów odzywały się przeciągłe oddechy i chrapania — izba przepełniona była śpiącymi ludźmi. Nowo-przybyłych przepędzono do drugiej, takiej samej, tylko pustej jeszcze prawie. Strażnik nic nie mówiąc, odwrócił się i poszedł, zostawiając ich w ciemności. Pomimo, że było ich kilkunastu, nikt rozpaczliwego milczenia nie przerywał. W końcu wyrwało się z kilku piersi ciężkich kilka westchnień, kilka łkań bolesnych odbiło się o mury.

Towarzysz Janka szepnął mu:

— Klękniij, pomódlmy się!

Potem, na temże miejscu, gdzie się pomodlili z głębi duszy, oparli się do snu, na gaści słomy, która leżała na podłodze. Janek nadzwyczaj znużony przebytymi wrażeniami i drogą na trzęsącym, niewygodnym wozie, usypiał już, gdy rozbudził go dziwny dźwięk jakiś, niby żelaznego łańcucha, czy kluczy; nie umiał sobie wytłómaczyć tego odgłosu, który go przecież czegoś przeraził.

— Co to takiego? — zapytał.

— Nic, nic, śpij, żebyś miał siły na jutro, to ktoś dzwoni kluczami — uspokajał go poczciwy opiekun — lecz sam poznał, aż nadto dobrze, że to był brzęk kajdan. Wiedział, że i ich czeka ten sam los; wiedział od ojca swego, że niewolnicy tureccy używani do najcięższych robót, pracują mimo to w kajdanach. Spij spokojnie, Bóg czuwa nad nami.

Nie chciał dręczyć biednego dziecka myślą o kajdanach, dowie się o nich niestety aż nadto prędko! Aż nadto prędko, bo o wschodzie słońca dnia następnego, Janek był już zakuty w kajdany, przy taczce, którą wywozić miał ziemię z głębokiego rowu! W pierwszej chwili szarpał się biedny chłopiec z rozpaczą, jak gdyby myślał, że mu się uda porwać żelazne łańcuchy, pokrwawił ręce i uczuł się bezsilnym w obec tej przemocy. Rozłączono go z dotychczasowym towarzyszem, owym podolskim wieśniakiem Iwanem Skalką i to go boleśniej jeszcze dotknęło! Iwan poszedł dzwigać kamienie przy budowie muru, którym otaczano ogród baszy, obecnego ich pana. W południe dano im zaledwie po garści ryżu i kawale placka z kukurydzy.

(d. c. n.)

SZARADA.

Od Aleksandra W. dla Mani i Wańdzy Zaw. w G.

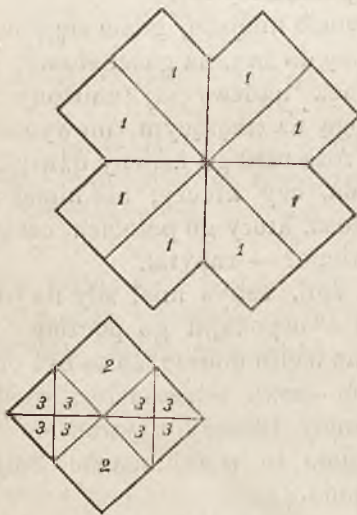
Pierwsza, druga i trzecia jest też głoską zwana
Czyli w mowie użyta, czy też drukowana.
Pierwsza znowu i trzecia instrument muzyczny
Chociaż w obecnej dobie bardzo już nieliczny.
Czwartą z piątą wśród zwierząt wielkich znajdziesz snadnie
Lecz go w drugim wypadku stawiać tu wypadnie.
Złóż teraz *wszystko* spolem, a otrzymasz miano
Tego co w jakim kraju śpiewano, pisano,
Co każdego narodu jest ducha wyrazem,
Epoki w dziejach jego wiernym jest obrazem.

ŁAMIGŁÓWKA KRYSZTAŁOWA.

Ułożył A. W.

1. Spółgłoska.
2. Zwierzę domowe.
3. Owad.
4. Miasto w Belgii.
5. Prawodawca Persów.
6.
7. Poeta polski z XVI w.
8. Przylądek w Patagonii.
9. Autor „Pamiętników” z XVII w.
10. Organ zmysłu.
11. Samogłoska.

Rząd środkowy poziomo i pionowo złożyć ma nazwisko poety polskiego.



Z powyższych figur ułożyć dwa równe kwadraty.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 37.

Zagadki 1-ej: lin — len. 2-ej: Wichura.

Z a d a n i a :

Gdy mulla na swoim wielbłądzie przyjechał do trzech braci, zamiast 17 wielbłądów, *wszystkich* wielbłądów było już 18. Mulla wydzielił najstarszemu połowę *wszystkich* wielbłądów, to jest 9, średniemu trzecią część to jest 6, a najmłodszemu dziewiątą część, to jest 2. Na ośmnastego swojego wsiadł i pojechał dalej. Tak stało się zadość woli starego Araba.

Skrzynka do listów.

Nie myli się Czarny Porucznik, że Redakcyja jaknajchętniej udziela swym czytelnikom wszelkich życzonych objaśnień i wskazówek. To też pośpieszamy mu donieść, że nie wielką, bo w jednym tomie, lecz starannie opracowaną jest znana „Encyklopedia kieszonkowa, którą w cenie rub. 3 bez przesyłki, nabyć można w księgarniach lub za naszym pośrednictwem.

W ostatnich dniach zeszłego miesiąca codziennie spora ilość paczek napływała do redakcyi, a były to roboty naszych kochanych czytelniczek, przysyłane na ogłoszony przez redakcyę konkurs. Na każdy z dołączonych liścików dla braku miejsca odpowiadać nie jesteśmy w stanie, do kilku zaledwie odezwać się możemy, a więc: Marcie i Halinie K., jak również i Stefci Kr., która pomimo choroby mamy i braku pomocy potrzebnej w tak młodym wieku, stawiała się na wezwanie, dziękujemy w imieniu biednych dzieci za dobre chęci, któremi byłyście ożywione przy wykonaniu robótek. Szczerość P. podobała nam się bardzo: przysyła ona sukienkę, ale ponieważ bez jej wiedzy bona pomogła w szyciu, więc do konkursu należeć nie chce, prosi tylko, by sukienkę oddano jakiejś biednej dziewczynce. Siostrzyczka jej, Jabłuszko z P. przysłała porządnie uszytą koszulkę.

Malinka i Morelka nie myślą również o nagrodzie, a cieszą się tylko, że dzięki ich pracowitości, biedna jaka dziecina odziana zostanie.

Od Mani N. z Lublina otrzymaliśmy dwie koszulki, wraz ze starannie napisanym listem, tylko zakończenie nam się nie podoba, bo jak można przypuszczać, aby tak miły i ciekawy liścik mógł nas znudzić. Prosimy, pisuj częściej. Nagrodę i żadaną książeczkę wręczymy osobie, która się po nie zgłosi.

Na listy Elżuni M., Broncj W., Różowej Panienci, jak również wielu bardzo innych odpisywać nie możemy, bo musielibyśmy ciągle to samo powtarzać.

Dobre rozwiązania zadań nadesłali: Kazio K., Grusza polna, Zielony listek., Stefan G., Józio i Lutka Z., Pilny chłopczyk i Litterka.

Bardzo się cieszę, że do bukietu przyjaciółek korespondentek, pisujących pod nazwą różnych kwiatków przybyła mi wonna Rezeda. Zawsze i zawsze proszę byście mnie inaczej jak: „Jaskółka” nie nazywały, ceremonialny tytuł pani odrzucam zupełnie. Koszulkę otrzymaliśmy. Pomna uczynionej obietnicy polecam się nadal twjej pamięci.

Gwiazdce złotej. Nie mogę jeszcze donieść komu się dostanie twoja sukienka, dopiero po rozstrzygnięciu konkursu, rozdajemy nadesłane ubrania, ale później udzieli ci żadanego objaśnienia.

Wali S. Odpisałabym z chęcią na „taki długi list”, ale miejsca mam mało. Donoszę ci tylko, że nagrodę wysłano, a sama bardzo jestem rada, żeś się jej otrzymaniem tak ucieszyła. Czy i na konkurs robót przysłałaś coś własnoręcznie uszytego? Na raz następny się odziewam się, że obszerniej do mnie napisać zechcesz.

Serdeczny list Żabiego Oczka był mi wielce miłym. Nie mogę też mieć żalu, za dłuższe milczenie, skoro przyczyną tego była choroba oczu. Wierzę bardzo, że rozdzielenie z mamusią musi być przykre, ale ileż to panienek w tych samych zostaje warunkach! Za własnoręcznie zrobioną spódniczkę biedne dzieci będą z pewnością bardzo wdzięczne. O następny liścik proszę.

Jaskółka.

MAGAZYN DZIECINNY.

JANINY

Marszałkowska Nr. 151.

Stale zaopatrzany w najmodniejsze ubrania dziecinne, poleca: koszule, kalessony, kołnierzyki, mankiety i szelki dla uczeni oraz wszelką bieliznę dziecinną.

№ 43 Rok XIX.

Dnia 10 (22) Października 1898 r.



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



PIERWSZA PRÓBA KONNEJ JAZDY.

STO LAT TEMU NAD NILEM.

(Dalszy ciąg).

Bonaparte przyspieszał marsze, aby zdobyć Akre zanimby nadeszły owe posiłki i zanimby Anglicy zdążyli dokończyć robót przy wzmocnieniu forticy. Oczywiście, liczył też wiele na swą artylerję, której rozkazał przybyć z Aleksandryi.

Lecz pod tym względem szczęście mu nie dopisało. Sidney Smith zdobył fregaty francuskie i armia została jedynie przy armatach małego kalibru, jakie prowadziła z sobą i szczyptym zapasem amunicyi.

Mimo wszakże tak trudnych warunków naczelny wódz ufał, że pokona nieprzyjaciela.

Z niebywałą wytrwałością i męstwem Francuzi ponawiali szturm za szturmem, pracując równocześnie przy podkopach pod niestannym ogniem ich własnych armat, które Sidney Smith nie omieszkał zwrócić przeciwko nim z wałów fortecznych.

Oblężenie trwało zaledwie dni kilka, gdy twierdza otrzymała posiłki w ludziach i amunicyi, a zapowiadano lada chwila nadejście armii tureckiej.

Nie ustając w robotach oblężniczych, wysłał Bonaparte trzytysieczną dywizję Klebera ku Jordanowi, aby broniła przeprawy Turkom. Ci jednak zdołali przejść rzekę, i dopiero w pobliżu Nazaretu spotkały się wojska.

Nieprzyjaciela liczone na 25 tysięcy.

Zawiadomiony o tem wódz, pośpieszył z dywizją generała Bon na pomoc Kleberowi.

Już walka wizała w całej zaciętości, już garstka Francuzów, wytrzymując szarżę wielotysiecznej armii tureckiej, wzniosła dokoła siebie wał z poległych ludzi i koni nieprzyjacielskich, gdy najniespodziewaniej nadszedł Bonaparte z Bon'em, a otoczywszy Turków ze wszystkich stron, zadał im cios stanowczy.

Tysiące przeciwników legło na polu bitwy, reszta w bezładnej ucieczce szukała ocalenia.

Cały obóz turecki, trzy buńczuki paszy, czterysta wielbłądów i wielkie bogactwa dostały się Francuzom, którzy w liczbie zaledwie 6 tysięcy, znieśli armię, będącą wedle obrazowej mowy Wschodu, „liczną, jako gwiazdy na niebie i piasek na brzegu morskim.”

Ale zwycięstwo to choć tak świetne, nie dopomogło do zdobycia Akry.

Oblężenie przeciągało się już dwa miesiące i straty w armii były znaczne, oddany bowiem wodzowi żołnierz szedł zawsze z równym zapalem, na oczywistą niemal śmierć.

Tu właśnie, jeśli już pominiemy innych zasłużonych i walecznych, zakończył życie wielkich zdolności generał Caffarelli po amputacyi lewej ręki, strzaskanej w czasie jednego ze szturmów.

Sam też Bonaparte znajdował się kilka razy w poważnym niebezpieczeństwie, na które się często bez obawy narażał.

Gdy jeszcze na domiar złego, dżuma zabierała coraz więcej ofiar i przeszło tysiąc rannych i chorych leżało po ambulansach, spieszny odwrót do Egiptu stał się konieczny.

A jednak wyprawa do Syrii nie była bez korzyści, gdyż zniweczyła armię turecką, która od strony lądu nie mogła już zagrażać Egiptowi.

Tymczasem w Egipcie oprócz spodziewanego lada chwila przybycia drugiej armii tureckiej do ujść Nilu, zagrażało nowe niebezpieczeństwo; pojawiły się bowiem wśród ludności miejscowej bunt i niepokoje, a w pozostałym na miejscu wojsku francuskim przygnębienie i niechęć wyraźna.

Mimo bowiem dostatku i wygod, jakimi tu był otoczony każdy żołnierz, tęsknota za ojczystym krajem doprowadzała go do rozpacz i najwierniejsi Bonapartemu żądali urlopu, by wrócić do Francyi.

Chociaż jednak ciężki smutek trapił serca dzielnych wojaków, pozbawionych już od 6 miesięcy wiadomości z Europy, przejmowali je bowiem strzegący Morza Środkowego Anglicy, wszyscy milkli wobec naczelnego wodza, ulegając temu niezwalczonemu wpływowi, jaki ten niezwykły człowiek wywierał zawsze na otaczających.

Prędko też poskromił Bonaparte powstańców arabskich, wspomaganych przez Mameluków. Wysłany bowiem oddział rozproszył rokoszan, skoro tylko dowódca ich El-Mahdy, manujący się aniołem przysłanym przez proroka, zabitym został.

Tak załatwiwszy sprawy najpilniejsze, nakazał Bonaparte w Kairze wspaniałe uroczystości dla uświetnienia swych zwycięstw w Syrii, a w nowych odezwach do mieszkańców Egiptu, zapewnił ich, iż posiada władzę poznania najskrytszych myśli i zamiarów każdego, czem wzbudził dla siebie wielkie poszanowanie i strach wśród zabobonnych tamtejszych ludów.

W czasie tych wypadków, rozszły się głuche wieści o mającej wkrótce wybuchnąć w Europie nowej wojnie z Francją. Bonaparte czekał niecierpliwie na szczegóły, gotów wrócić do kraju, gdyby się okazała potrzeba, pierwiej wszakże zamierzał jeszcze znieść drugą armię turecką, która skoncertowana na wyspie Rodus, miała niebawem wyładować w Afryce.

Jakoż 11-go lipca armia ta przewożona przez Sidney Smith'a stanęła pod Abukirem w tejże samej przystani, w której eskadra francuska zniszczoną została.

Półwysp, zamykający przystań, a noszący jej miano, tworzy wąski pas ziemi między morzem a jeziorem Madiel, na samym jego końcu wznosił się port.

Bonaparte wydał wcześniej rozporządzenia generałowi Marmontowi, dowódcemu w Aleksandryi, aby pracując nad wzmocnieniem forticy, zniszczył przedewszystkiem przylegającą do niej wioskę.

Ale Marmont nie dopełnił tego rozkazu; przeciwnie, umieściwszy tam żołnierzy, połączył redutą wioskę z fortecą zasłaniając ją od lądu.

To też artylerya turecka, którą dowodzili oficerowie angielscy, uderzyła przedewszystkiem na te okopy, a zdobywszy je bez trudu, załogę w pień wycięła, poczem i forteca poddać się musiała.

Na czele dwutysiecznego oddziału wyruszył Marmont z Aleksandryi do Abukir, lecz dowiedziawszy się, że Turków było 18 tysięcy i to. przeważnie dzielnych jańczarów, ułkł się ich przewagi i cofnął z powrotem.

Turecy więc zajęli prawie bez oporu cały półwysp i rozłożyli się na nim, oczekując przybycia Murad-Beja, który z Górnego Egiptu miał nadszednąć przez pustynię z kilku tysiącami Mameluków. Armii bowiem tureckiej brakowało właśnie jazdy.

Skoro naczelny wódz francuski odebrał te wiadomości, opuścił natychmiast Kair z dywizjami generałów Lannus, Bon i Murat'a i uskutečnił do Aleksandryi jeden z owych nadzwyczajnych marszów, jakimi zdumiewał w kampanii włoskiej i później tyle razy zapewniał sobie zwycięstwo.

(d. n.)

BEZ PRZEWODNIKA.

KARTKA Z ZAKOPANEGO.

(Dalszy ciąg).

Ale Brońcia jest bliską płaczu, zamyka oczy, każe się prowadzić, drży cała. Towarzysze tłumią śmiech przez łtósć.

— No, tu przecie szeroko!

— Nie mogę, nie mogę! Przywiążcie mię do drzewa, bo się stoczę po tej pochyłości.

— Patrz, szynka się nie stacza, chleb leży spokojnie, patrz, butelka.

— Ach!

Brońcia zasłoniła oczy, gdyż nieszczęsna butelka nie odpowiadała wcale zaufaniu swojego opiekuna i stoczyła się w krzaki.

— Cała, cała! — zawołali radośnie Staś i Felek i w mguieniu oka zsunęli się bokiem ku krzakom, aby pochwycić zbiega.

— Cała szyjka, nawet korek nie wyskoczył, tylko dna i wina brakuje.

Wszyscy się śmieli, wujenka i poważny wuj Stanisław, opiekunowie tego młodego grona; jedna Brońcia drżała. Poradzono jej, aby położyła się na ziemię i w tej dopiero pozycyi zdobyła się na odwagę popatrzenia na piękny widok.

— Dajcie reńskiego, a zejść po tej ścieżce prosto het, precz, aż na dół — odezwał się młody góralczyk, świecącemi oczami patrząc na wystraszone dziewczę.

— Trzymajcie go! — zawołała przerażona Brońcia, i twarz ukryła w dłoniach.

Z zejście nie było trudne, Brońcia jednak szła ciągle prowadzona przez brata i przewodnika, z zamkniętymi oczyma, blada, z wyrazem trwogi i zmęczenia. Dopiero na Gęsiej Szyi uspokoiła się trochę.

— Dziękuję za taką przyjemność — rzekła, siadając na miękkiej, aksamitnej trawie — nie chcę znać Morskiego Oka, ani podobnych awantur.

— Będziesz czekała tutaj naszego powrotu?

— Wstydź się żartować jeszcze! — zawołała Bronka. — Dla czego nie przeprowadziliście mię dołem? Mogłam przecież przejść tędy? Pociście mię wlekli na tę skałę?

— Ależ Broniu, to jeden z piękniejszych widoków w Tatrach.

Nie odpowiedziała, czuła się jednak w duszy pokrzywdzoną: piękny krajobraz sprawiał jej przyjemność wtedy, gdy mogła go oglądać z bezpiecznego miejsca.

Tymczasem zaczęto schodzić po dość łagodnej, miękkiej pochyłości góry, pokrytej aksamitną trawą. Nogi ślizgały się po tym kobiercu, stopy bolały od nienormalnego położenia, a końca góry ani widać.

— W zakosy idźcie, w zakosy! — nawoływali przewodnicy.

— Ach, chwilę odpoczynku na równym poziomie! — narzekała Brońcia.

— Usiądź i zjedz na dół — rzekł wesoło jej brat.

— Pewniebym usiadła, gdybym się nie bała, ale ktoby mnie wstrzymał potem, gdybym się zsuwać zaczęła zbyt szybko.

— Czekaj — rzekł Staś — masz pas mocny? No, to cię przepaszę sznurkiem i będę powstrzymywał. Dalej, jazda.

— Chodźmy naprzód — szepnął Janek — Brońcia strasznie przesadza ze swą obawą.

— Ja z wami — odezwała się też cicho Ańdzia. — Ja się nie boję. Zylabym tu w górach. Kocham niebezpieczeństwa. Uproszę mamę i pójdę do Morskiego na Rysy. Co za rozkosz pomyśleć sobie, że jedno złe stąpienie a spadnę w głębie bez końca, i zwyciężać te trudy i wdzierać się coraz wyżej, coraz wyżej, aż za chmury, do słońca, do samego nieba i świat widzieć u nóg, pod sobą!

Tadzio westchnął głęboko.

— My jeszcze nie byliśmy na Rysach — rzekł cicho.

— Na przyszły rok — odparł Janek z niemniej głębokim westchnieniem.

— Czemu? — spytała Ańdzia.

— Pić, pić — rozległy się za nimi głosy. — Zatrzymajcie tam chłopców, co pobiegli naprzód z tobołkami, słońce piecze, jakby nas chciało uwędzić.

Zatrzymajcie tam chłopców! łatwo to powiedzieć. Jak jelenie zbiegli z góry w zakosy, i zniknęli w kierunku drogi do

Roztoki. Znalezione ich dopiero pod Czerwonemi Brzeżkami. Siedzieli w czarnych jagodach, zjadając soczysty owoc, zarastający niezbyt łagodną pochyłość. Uczernili się przytem, jak małe potwory, ale miny rozkoszne mieli po tej uczie.

— Z pół godziny tu już jemy — przechwalali się zadowoleni.

Przewodnik gniewał się na nich, że nie trzymają się razem, ale oni słuchając, nie tracili czasu i co chwila podnosili do ust pełne garście jagód.

— Ach, jak chłodno i miło w ustach — zapewniali.

Goście za ich przykładem rozproszyli się po krzakach i byłby znów spoczynek mimowolny, gdyby przewodnik energicznie nie zaczął naglić do pospiechu.

— Wszyscy nas wyprzedzili, przyjdziemy ostatni i miejscą w Hotelu nie będzie. W Roztoce i tak trzeba odpocząć z godzinę.

— Czy to miasteczko jakie, ta Roztoka? — ciekawie zapytała Brońcia.

Staś i Felek jednocześnie wybuchnęli śmiechem.

— Miasteczko o godzinę drogi od Morskiego! W sercu gór! Co ty wygadujesz, Bronka?

Ale Brońcia się obraziła i nie chciała słuchać objaśnień.

— To schronisko zapewne? — zapytała Ańdzia.

— Naturalnie, duże schronisko, gdzie i zanocewać można, bo jest kilkanaście łóżek. Ale każdą butelkę piwa przywożą tam na osiołku, albo koniu, jak widziałś nieraz, w drewnianych naczyniach. Ciężka praca nawieżć dla gości potrzebnej żywności.

W Roztoce Staś i Felek uparli się zwiedzić koniecznie dzisiaj wodospady Mickiewicza. Poświęcą te pół godzinki ze swego odpoczynku, a Brońcia niech zostanie pod opieką starszych. Ale Brońcia nie chciała i narzekając, jęcząc, poszła jednak za wszystkiemi.

Tymczasem słońce dawno skryło się za Mięguszowickie. kiedy podróżni nasi ostatnim wysiłkiem przebywali kamienistą i przykrą część drogi pod samym już jeziorem. Wszyscy byli zmęczeni, Brońcia z utęsknieniem upatrywała dachu zapowiedzianego schroniska, Ańdzia nawet szła cicho, mało zwracając uwagi na piękności otoczenia. A hotelu ani śladu, ani śladu jeziora. Czy nie dojdą już nigdy?

Nagle — tuż pod nogami dach, budynek piętrowy, a dalej w cieniu wieczornego zmroku, pod strażą wyniosłego Mnicha, ostrych Rysów i Miedzianego, cicho zasypia poważne jezioro, otulając się zwolna mgłą przejrzystą.

IV.

— Co teraz będzie?

Tadzio milczał zamyślony.

— No, mów, radź, odezwij się, co zrobimy? — wołał Janek, niecierpliwie chodząc po pokoju. — Licho wie, gdzie ich szukać. Zdaje się, że były, ale gdzie poszły dzisiaj? Czy wrócą tu jeszcze? Czy wprost do Zakopanego? Mieszkania nie zamówiły i szukaj wiatru w lesie! No, cóż? Czyś zanie mówił?

— Cóż ja ci poradzę? — odezwał się wreszcie Tadzio. Prawdę mówiąc, w tej chwili tak mi dobrze, tak miło, żem zobaczył znowu to czarodziejskie miejsce, iż nie żałuję niczego, niczego, nawet tego, że ich tu niema.

— Niedołęstwo — szepnął Janek, wzruszając ramionami.

— Przyznaj, Janku, że i ty rad jesteś z tej wycieczki?

— Rad jesteś! No, rad jestem; ale co teraz, dalej? Ojciec czeka, stryj czeka, a my tu jak głupcy w lesie. I żebyśmy wiedzieli chociaż, gdzie ich szukać. Ale skąd? Nikt nic nie wie.

— Ślimak mówił, że jutro wrócić mają z wycieczki.

— Mówił, mówił, ale czy wrócą? Nie cierpię takiej niepewności, niech raz wiem, co mam robić i na czem się to skończy.

STRZELEC.

Czarne, spokojne patrzy Morskie oko,
Góry go w koło obsiadły,
A na gór szczytach daleko, wysoko,
Deszczowe chmury opadły.

Nad brzegiem stawu kamienie sterczą,
Świerkowe zielenią lasy,
A pod skałami ogniska skwierczą,
Przy ogniu siedzą juhasy.

Niżej po dołach z szumem się wali,
Spieniona rzuca się woda;
Dziarska jak dusza owych górali,
Gdy w nich zakipi krew młoda.

Ludzie mówili, że z biesem trzyma,
Nigdy pacierza nie mawia,
Ni w chacie świętych obrazów niema —
Ni się na odpust wyprawia.

Jeno się strzelbą lubi zabawiać,
Bezbożne piosneczki śpiewać,
Umie po górach kozy zamawiać
I złego ducha wyzywać.

A gdy on nie chciał, to nikt już, panie,
Żadnego zwierza nie ubił;
Choćby nie wiem co, próżne staranie!
Każdy źle mierzył, ślad zgubił.

Więc raz w niedzielę poszedł na górę,
Nad owym stawem stojącą —



MORSKIE OKO.

— A cóż, czy pójdziem dalej na góry?
Rzekłem jednemu z górali.
— Oho! nie pójdziem! na Mnichu chmury,
Lepiej zostaniem na hali.

Więc przy ognisku usiadłem z niemi:
Jeden na ogień nakładał,
A stary juhas leżąc na ziemi,
Różne mi wieści powiadał.

Byłci tu, rzeczce, strzelec nielada,
Na dzikie kozy polował,
Chłopcem pasł bydło u mego dziada
I jakoś dobrze się chował.

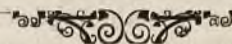
Służył w żołnierce, a kiedy wrócił,
Ze strzelbą po górach latał,
Co on też panie, kniei przerzucił!
A ile kozłów pozmiatał!

I nad tym stawem widział figurę,
W jasnych promieniach chodzącą.

I zeszedł z góry... i patrzył zdaleka...
Święta nań groźnie skinęła!
I nagle z oczu strzelca górala
Niewiada kędy zniknęła.

Widno mu karą Bożą groziła:
Strzelec się w grzechu nie smucił —
Pobiegł za kozą, noc się zrobiła,
A on skąd wyszedł, nie wrócił.

T. 1.



WESELE KRAKOWSKIE.

Wartko wóz toczą parskające konie
Mijają mostki i wzgórki i błonie.

(„Wiesław” Brodzińskiego).

Wesołą chwilę wybrał nieżyjący już dzisiaj malarz Lipnicki do swego obrazu: oto państwo młodzi, krakowiak i krakowianka wracają ze ślubu na ucztę weselną w otoczeniu družbów, druchen i sąsiadów. Konie mkną z kopyta, wóz za wozem toczy się szparko, w otoczeniu jeźdźców, muzyka brzmi na przedzie. Dzielny to lud ci krakowiacy, jak to mówią do tańca i do różańca, nawet własną swoją piosenkę i taniec wymyślili. Niedarmo śpiewają:

Wesół i szczęśliwy
Krakowiaczek ci ja,
A mój konik siwy
Rażno się uwija.



WESELE KRAKOWSKIE.

Ale i do pracy umieją się garnąć równie ochoczo, znają się dobrze na koniach i uprawie roli, a wszędzie potrafią sobie dać radę.

Ubiór krakowiaka znany ogólnie, pełen jest powabu i smaku. Składają się nań: koszula z wąskim kołnierzem, związanym czerwoną wstążeczką, spuszczoną na spodnie i spiętą w stanie paskiem skórzanym z mosiężnymi kółkami. Buty długie o żelaznych podkówkach, doskonałych do krzesania ognia w tańcu. Czapka niska o czterech rogach z karmazynowem wierzchem i piórem pawiem obszyta czarnym lub siwym barankiem. Zwierzchnia sukniara czyli kerezya granatowa z kołnierzem i rękawami, wyszywanemi karmazynowym jedwabiem i kółkami mosiężnymi, dopełnia stroju.

Dziewczęta noszą włosy splecione w dwa warkoczki, zakończone wstążką kolorową, gorsecik kolorowy i spódnicę po kostki. W czasie uroczystości wiejskich, przystrajają głowy w aksamitne lub lamowane złotem czółeczka, przybrane mnóstwem wstążek, a na szyję kładą sznury paciorek i korali.

W OBŁOKACH I POD WODĄ

WYPRAWY „LATAJĄCEJ RYBY.”

opisał H. C.

(Ciąg dalszy).

Przy połączonem działaniu wiatru i maszyn, statek pędził w powietrzu z szybkością 27 węzłów na godzinę, a podróżni obliczali, że około 5 rano dosięgną przyładka Clear na wybrzeżu Irlandyi.

W ciągu dnia szybowali na wysokości 1000 stóp nad powierzchnią morza, tylko gdy raz jeden napotkali okręt, dla nie zwrócenia uwagi załogi, wzniesli się znacznie wyżej, zaraz potem jednak wracali do pierwotnej wysokości, która im dozwalała używać swobodnie czystego powietrza i obejmować wzrokiem czterdziestomilową przestrzeń.

Nie zbywało im też na rozrywkach; woda morska w tem miejscu tak była przezroczystą, że mogli widzieć w znacznej głębokości uwijające się ryby, których znajdowało się mnóstwo w różnych gatunkach, a między niemi gromady delfinów i rekiny trzymające się pojedynczo.

Napatrzywszy się dowoli na tych mieszkańców morza, podróżni używali przechadzki po obszernym pokładzie, lub siedzieli wygodnie w fotelach, układając plany dalszej podróży.

Zauważyli też po pewnym czasie, że gdy chodzili po pokładzie, wytworzony przez ruch ich prąd powietrza, obniżał położenie statku, tak, iż wypadało przywracać równowagę. Profesor zaczął więc obmyślać środki zaradzenia temu i niebawem wymyślił przyrząd, utrzymujący statek na jednym poziomie, bez względu na ruchy znajdujących się na nim osób.

Do obiadu podróżni zasiedli z apetytem zaostrozonym świeżością powietrza morskiego, a następnie z pokładem rozglądali się po niebie zasianem gwiazdami. Około północy udali się na spoczynek do sypialni; pierwej jednak profesor

zeszedł przekonać się o prawidłowym działaniu maszyn. Znalazszy wszystko w porządku, podniósł statek do wysokości 4000 stóp nad powierzchnią morza, zabezpieczając się tym sposobem od możliwego opuszczenia się i spotkania z okretami, a w kwadrans później cała załoga pogrążona była w głębokim śnie, podczas gdy „Latająca Ryba” zostawiona sama sobie, szybowała spokojnie ku północy.

Nazajutrz o świcie profesor pierwszy ukazał się na pokładzie, obudzony dźwiękiem świstawki parowej. Rozejrzawszy się uważnie dokoła, spostrzegł, że już lecieli w powietrzu ponad ładem stałym, w skutek bowiem silniejszego wiatru, prędzej niżeli się tego spodziewał, dosięgli wybrzeży Irlandyi. Karliński przypatrywał się okolicy dla zamiarkowania gdzie się znajduje.

Poranek był śliczny; niebo pogodne bez chmur, tylko mgła, niby biała lekka zasłona, rozpościerała się nad ziemią, utrudniając dokładne rozejrzenie się w miejscowości. Za jedyną wskazówkę służyć mogło tymczasem jezioro, znajdujące się opodal i szereg pagórków w stronie południowo-wschodniej. Profesor przypuszczał, że to były góry Macgilllicuddy's i jezioro Killarnay; w dali zaś zarysowywał się łańcuch gór Stack. Miasta, wsie, folwarki, samotne chaty rozsiane były dokoła, w stronie zaś południowej i północno-zachodniej, błyszczało zwierciadło morza, po którym pływały łodzie rybackie i statki nadbrzeżne.

Uradowany tym widokiem, profesor powrócił do kajuty, starannie drzwi zamykając, aby nie dopuścić zimnego powietrza i podniósł następnie „Latającą Rybę” do wysokości 35,000 stóp ponad poziom morza. Załatwiwszy wszystko, poszedł użyć kąpieli w łaźnicy.

Przy śniadaniu profesor zawiadomił towarzyszy, jak wysoko nad ziemią szybują; pobudziło to ich ciekawość i zaraz objawili życzenie udania się na pokład.

— Musicie w takim razie włożyć ubranie i przyrządy nurkowe — zauważył Karliński — inaczej nie moglibyście oddychać tak rozrzedzonym powietrzem, w jakim znajdujemy się obecnie. Nadto należy zabezpieczyć się od zimna; bez tego gotowicie zmarznąć na dobre. Z drugiej strony jednak warto widzieć płat świata na 460 mil angielskich obwodu.

Idąc za radą profesora, podróżni przywdziali strój i rynsztunek nurków, biorąc pod spód ciepłe flanelowe ubranie i tak zabezpieczeni wyszli na pokład. Trudno opisać wspaniały widok, jaki przedstawił się ich oczom. Niebo w górze miało ciemno szafirowy kolor, przybierając coraz bledsze odcienia ku granicom widnokregu; gwiazdy świeciły jasno jakby wśród nocy; słońce ogołocone z promieni wisiało na niebie na podobieństwo bani miedzianej, a nieodstępny od niego księżyc przeblyskiwał srebrzystym sierpem swoim na wschodzie.

Podróżni w zachwycie długo oczu nie mogli oderwać od nieba; skierowawszy je wreszcie po pewnym czasie ku wschodniej stronie, ujrzeni tam równie piękny widok. Statek ich przesunął się nad odnogą morską, w której pułkownik, dokładnie znający Irlandyę, poznał zatokę Dingle. Nagle baronet zapytał:

— Czy to złudzenie tylko, lecz zdaje mi się, jakbyśmy się opuszczali w stronę zachodnią ku morzu?

— Tak, prawda! — odparł profesor; — przebywamy stręgę zmiennych wiatrów i statek nasz wystawiony jest obecnie na wpływ przeciwnego prądu, ciągnącego od północy. Tymczasem musimy przyspieszyć ruch „Ryby”, radzę więc wrócić do kajuty.

O 11-ej rano „Latająca Ryba” przeleciawszy nad Irlandyą, znalazła się nad Atlantykiem.

— Musimy teraz uradzić stanowczo, jaki kierunek obrać mamy — rzekł profesor do towarzyszy.

Wszystkie drogi stoją przed nami otworem, na dwie jednak głównie zwróć uwagę waszą. Pierwsza prowadzi do bieguna przez Islandyę, wyspę Jana Mayen'a, między Granlandyą a Szpicbergiem, ku mało znanym dotąd stronom Łodowatego morza. Druga jest zwykłą drogą wypraw śmia-

łych podróżników do bieguna; dążą oni ku wolnemu morzu podbiegunowemu, jeśli takie morze istnieje — przez cieśninę Dawis, odnogę Baffińską i kanał Kennedy. Trzymając się pierwszego szlaku mielibyśmy sposobność zwiedzenia wschodniego wybrzeża Grenlandyi; na drugiej drodze napotykać będziemy miejscowości, w których odnajdziemy ślady pobytu poprzedników naszych w podróży na północ. Na którąż z tych dwóch dróg wybór nasz padnie?

Pułkownik i Mildmay spoglądali na baroneta, do którego jako właściciela „Latającej Ryby” rozstrzygający głos należał.

— Co do mnie — odezwał się sir Reginald po chwili zastanowienia — wybrałbym drogę poprzedników naszych; radbym przekonać się o trudnościach jakie mieli do zwalczania, widzieć miejsca, gdzie się chronili przed mrozem, w ciągu ostrej i długiej podbiegunowej zimy, poznać przeszkody przed którymi ustąpić byli zmuszeni.

— Głosuję także za kierunkiem obranym przez baroneta — wtrącił Mildmay — ale przedewszystkiem chciałbym posłyszeć zdanie profesora w tym względzie; on, jako człowiek oddany wyłącznie badaniom naukowym, objaśni nas najlepiej, która z tych dróg więcej budzić może zajęcia.

— Z punktu widzenia naukowego — odparł Karliński — obiedwie te drogi zarówno są ciekawe do zwiedzenia, mimo to są powody, dla których skłonny jestem popierać wybór przez sir Reginalda uczyniony.

— Kwestya zatem rozstrzygnięta — oświadczył pułkownik — nie będziemy niewątpliwie żałowali drogi naszej.

Skierowano zatem statek w stronę północno-zachodnią, ku przyładkowi Farewell.

Przez godzinę jeszcze „Latająca Ryba” utrzymana była na poprzedniej wysokości, ale około południa, gdy już nie potrzebowano obawiać się spotkania z innym okrętem, opuszczono ją w dół na 1000 stóp nad poziom morza, aby podróżni znowu korzystać mogli z przyjemniejszej atmosfery i łagodnego wiatru.

Po 3-ej godzinie z okien kajuty spostrzeżono trzy niezbyt wielkich rozmiarów lodowce, a jednocześnie zauważono na południowym krańcu horyzontu duży parowiec, płynący od wschodu. Z pomocą lunet podróżni poznali, iż to był statek używany do połowu wielorybów. Z odległości dwunastu mil angielskich, widzieli dokładnie najdrobniejsze szczegóły, rozróżniali nawet twarze majtków, uwijających się na pokładzie i chłopca na bocianiem gnieździe, ludzie zaś owi przeciwnie, zdawali się nie dostrzegać „Ryby”. Profesor tłumaczył to bezbarwnością pudła ich statku, które świeciło tylko wtedy, gdy promienie słońca wprost odbijały od niego.

Zanim spotkany okręt znikł im z oczu, uwagę podróżnych zajęły lodowce piętrzące się od strony zachodniej, a wkrótce potem wielka ilość brył lodowych, która zapowiadała, że już się zbliżają do cieśniny Dawis.

O 6-ej, gdy na głos dzwonu mieli już iść do sali jadalnej, Mildmay ujrzał przez okno na dalekim horyzoncie bladoniebieskawy obłoczek i zaraz, jako doświadczony marynarz, zawołał z radością:

— Ziemia!

— Bardzo być może — rzekł profesor, spoglądając na zegar i biorąc za lunetę.

— Masz słusność, Mildmay'u — dodał po chwili, zbadawszy ów obłoczek niebieskawy. — Jest to przyładek Farewell, punkt najwięcej ku południowi posunięty tej wielkiej „terra incognita”, zwanej Grenlandyą. Jeśli zgadzasz się, sir Reginaldzie, to zwołnie bieg statku do dwudziestu mil ang. na godzinę, sądzę, że gdy po obiedzie przejdziemy na pokład, będziemy mieli widok godny podziwu.

(d. c. n.)

Marya Łopuszańska.

OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg)

— Bądźcie pewni — odrzekł Ładon z uśmiechem — że nie spełnili waszego żądania dla tego tylko, iż was nie pojęli, bo gdyby zrozumieli, iż tak wysoka osoba jak margraf, nie może się obejść bez swego dworzanina, puściliby was niechybnie.

— I ja tak myślę — rzekł Kurtz poważnie. — Ale możebyście wy im to wytłómaczyli.

— Postaram się, ale nie wiem czy stary kneź będzie zwał na tak ważną przyczynę bo to człek nieokrzesany i mało dbający o wielkiego margrafa.

— Powiedźcie mu więc — zawołał podczaszy, nabierając stopniowo coraz większej pewności siebie, prostując swą grubą osobę — powiedźcie mu, że mój pan, Herman, margraf Miśni straszny jest gdy się na kogo rozgniewa, i że mścić się będzie okropnie za porwanie swego ulubionego podczaszego. Nie wiem nawet jakim sposobem nie rozpoczęto dotąd poszukiwań. Przecie to nawet dla samego króla i dla całej waszej krainy będzie źle — dodał z zarozumiałością — gdy się mój pan rozgniewa.

Ładon nie mógł już dłużej patrzeć na pyszałkowaną minę grubego podczaszego, i zawołał zniecierpliwiony:

— Czy sądzicie naprawdę, że knezia wasz margraf obnodzi choć trochę? Czy wy, Niemcy, myślicie w zarozumiałości swej, że i u nas jesteście panami, jak tam, nad Elbą? A niech przyjdzie wasz margraf i spróbuje czy zębów nie połamie na kamiennym gródku.

Kurtz otworzył usta szeroko.

— Na Boga — wyrzekł wreszcie, przecie ja nie sądziłem, że się tak urazicie za tego knezia-rozbójnika, który i was uwieził przecie...

— Nie urażam się za niego, ale nie mogłem słuchać spokojnie, gdyście gadali tak, jak gdyby losy ziemi naszej od tego zależały, że margraf Herman utracił jednego grubego dworzanina! — zawołał Ładon, tracąc już cierpliwość.

— O — zawołał Kurtz urażony — gruby dworzanin? A cóż to, czyż to ja jestem jakiś nicpoń, że się o mnie tak dzywacie? Jam przecie pierwszy podczaszy margrafa!

Gdy to mówił, drzwi się otwały i wszedł Drahomir. Spojrzał dokoła siebie.

— Co to za człówek? — spytał, wskazując na Kurtza.

— Dworzanin margrafa Hermana — objaśnił Ładon.

A więc to Niemiec? — rzekł pogardliwie Drahomir.

— Tak — odparł Ładon. — Powiedział mi, że król nasz wyrusza na wojnę.

Drahomir popatrzył w milczeniu na Kurtza, który przerażony jego wejściem, stracił zupełnie niedawną, butną minę i wcisnął się w najciemniejszy kąt świetlicy.

Drahomir machnął ręką w końcu.

— Możemy mówić — rzekł — ten niemy pies pewno nie rozumie ani słowa z mowy naszej.

— Nie mylisz się — odparł Ładon — on nie a nie nie rozumie.

Młody kneź milcząc, usiadł na ławie pod ścianą; Ładon zaś pozostał przy oknie, patrząc w dolinę. Zaden z nich jakoś nie spieszył się z rozmową, bo i jeden i drugi zajęty był swymi myślami.

Drahomir starał się usilnie osładzać niewolę przyjacielowi i wymógł nawet na ojcu, by mu było dozwolono chodzić swobodnie po gródku, wzięwszy tylko słowo od Ładona, że nie będzie próbował uciezki. Codziennie też przychodził do niego, i rozmawiali obaj długo w zaufaniu przyjaźni; lecz tym razem rozmowa nie kleiła się jakoś.

Ładonowi wciąż nie wychodziła z głowy myśl o wojnie; dusza jego była tam, wraz z królem i wiernymi towarzyszami broni.

— Oni tam biją się — mówił do siebie, patrząc w dal, jakby widział przed sobą wszystkie wywoływane w myśli obrazy, król sam wiedzie nasze rycerstwo, by rozbijało niemieckie szyki; wojewoda Nawoj pewno prowadzi lekką konnicę i pędzi naprzód bez pamięci. Król go zawsze posyła, gdy trzeba gdzie nagle wpaść wrogom na karki, bo do tego on najlepszy. Ach, gdybyś ty wiedział — zwrócił się do Drahomira — jak on umie zręcznie podejść, by później uderzyć jak piorun, zniemacka! Ale czyż warto mówić o tem — dodał z westchnieniem, gdy tam być nie mogę z nimi.

Drahomir uśmiechnął się lekko:

— Jeszcze będziesz w niejednej wyprawie wraz z królem — rzekł; — nie żałuj więc zbyt czasu tu spędzonego. Wierz mi, pragnąłbym całym sercem by ci nie było zbyt nudno u nas.

— Ja wiem, żeś ty dobry — rzekł Ładon z wdzięcznością — ale sam to pojmiesz, że ciężko siedzieć w niewoli, podczas gdy inni biją się i zwyciężają...

— Czy zwyciężają, to jeszcze niezbyt pewne — odrzekł Drahomir — może im tam ciężko przychodzi, bo słyszałem, że połabskie ludy, na których pomoc król liczył, zdradziły go.

Mówiąc to, mimowoli uczuł się jakby zmieszany, spotkawszy się ze wzrokiem Ładona, bo zdawało mu się, że każdy już czyta w jego oczach zamiary zdrady, jaką zamyslał ojciec.

— Skądże wiesz tak dobrze o wszystkim? — spytał Ładon zdziwiony.

— Mam takich co nam donoszą — odparł Drahomir krótko.

Nastąpiło znów milczenie, aż wreszcie młody kneź ozwał się posępnie:

— Powiadasz, że cięży ci niewola, a jednak, wiedz o tem że, są położenia stokroć gorsze od niej.

Ładon potrząsnął głową.

— Ty nie wiesz — rzekł Drahomir z jakąś goryczą w głosie — że my jako potomkowie dawnych książąt powinniśmy mieć wszystko albo nic; tak mię przynajmniej uczył ojciec, nie wiem czy dobrze czy źle. Wiem tylko, że żyjemy jakoś inaczej jak reszta ludzi, tak jak przed wiekami chyba żyli dziadowie... Gdym brał udział w owej wyprawie na Pomorców, oczy mi się otworzyły i przekonałem się o tem do wódnie. Poznałem, że można żyć inaczej niż w gródku rozbójniczym, inaczej się odznaczać niż napadami na kupców wędrownych, że na dwór królewski nie cisną się, jak mi mówił ojciec, sami nędzni słudzy, pochlebcy i zausznicy, ale najporządniejsi rycerze z czterech stron świata, poznałem to, i odtąd nasze dawniejsze życie mi zbrzydło. Widzę jasno teraz, że wszystko tu dokoła jest starem, spróchniałem i dłużej utrzymać się nie może, że teraz nowy świat nastał, a my w nim jesteśmy jakby upiory. Ale nie mnie sądzić czynności mego ojca; w jego oczach my właśnie żyjemy szlachetnie i po książęcemu, jak dziadowie nasi żyli, inni zaś, to tylko motłoch służalczy. — Niech i tak będzie; z kneziem Mszczujem sprawa nie łatwa, on ma dłoń żelazną, pod którą się wszystko ugnie. Żyjmy więc po kneziowski, jakośmy żyli — rozbijajmy po kneziowski, aż wreszcie padniemy, ale także po kneziowski!

I zaśmiał się z goryczą.

Ładon wstał i zbliżywszy się doń w milczeniu, ze współczuciem ucisnął mu rękę.

XII.

Przy Ładonie i Kurtz nie ponosił zbyt ciężkiej niewoli; mógł nawet chodzić po gródku swobodnie, bo wiedziano, iż gruby podczaszy nie spuści się z tej strony skały.

Ludziom knezia służył on zawsze za cel pośmiewiska; gdy się ukazał, natychmiast ze wszech stron powstawały śmiechy i okrzyki. Kurtz z pogardą patrzył na to ze szczytu swej

godności i nie raczył zwracać uwagi na drwiny nieokrzesanych gburów słowiańskich. Trzymał się wciąż Ładona, widząc w nim jedyną obronę i nieraz go dobrze zdudził i zniecierpliwiał gadaniną. Aby uciec od niego Ładon szedł do stajni popatrzyć i popieścić wiernego konia. Spoglądając na swego siwego, wzdychał do chwili, kiedy znów na nim puści się w świat szeroki. W stajni knezia zwykle znajdował się stary niewolnik, imieniem Łyszczak, używany do najniższych posług w gródku, za co mu nikt nie dał dobrego słowa. Wiecznie też był zgięty, pokorny, niekiedy tylko pozwalając sobie zamruczeć coś pod nosem, gdy zamiatał podwórze lub czyścił stajnię; to była jedyna jego pociecha, bo zresztą życie jego było ciężkiem, bo zrzucano nań wszystko, co kto miał najtrudniejszego do spełnienia, a w nagrodę za to żywił się prawie wspólnie z psami knezia. Pierwszy Ładon odzwał się doń po ludzku, czem go tak sobie ujął, że zawsze odwał, gdy wszedł do stajni, zbliżał się doń, mówiąc po cichu:

Widzicie jaki wasz koń teraz? O, bo ja o nim pamiętam, zawsze mu najlepiej jeść dają. Ale tylko cicho, żeby tamci nie słyszeli — dodał, oglądając się poza siebie — oni wszyscy na mnie.. Bądźcie jednak spokojni, o koniu będę pamiętał, choćby mię zjeść mieli. Hej, hej, kiedyś to i ze mnie był jeździec niezgorszy, gdym z kneziem naszym na wyprawę chodził. Ale minęły już te czasy... teraz jam chyba zdolny stajnię tylko zamiatać.

I z głębokim westchnieniem brał się znów do jakiejś roboty.

Raz Ładon z nudów wdał się z nim w dłuższą rozmowę. Łyszczak rad, że może wspomnieć dawne czasy, począł opowiadać jak to on nieraz walczył przy boku knezia i raz nawet mu życie ocalił w boju.

— I tak o tobie zapomnieli teraz? — spytał Ładon, patrząc na niego z litością.

— A cóż, przecież szkapa, gdy się postarzoje, idzie brony włóczyć, choćby była dawniej wierzchowcem bojowym — rzekł Łyszczak z rezygnacją — taki już porządek na świecie, cóż robić? Tacy młodzi, jak wy, tego nie pojmują, ale ja stary dobrze wiem, że inaczej być nie może. Przecie jeśli należę do knezia, to powinienem bronić jego życia — czyż nie tak? A zachcieliście żeby on tam jeszcze o mnie pamiętał, jakby miał mało na głowie... Czy mi tam długo jeszcze żyć — dodał, machnąwszy ręką.

— Nasz kneź — ozwał się po chwili zamyślenia, a w głosie jego czuć było bojaźń zmieszana z dziwną jakąś czcią i przywiązaniem; ho, ho, nasz kneź był zawsze takim, jak teraz, ani troszkę się nie zmienił. Bywało, gdy spojrzy na kogo okiem srogim, to pod ziemię byś się schował ze strachu. Najodważniejsi drżeli przed nim, bo też strasznie karał najmniejsze nieposłuszeństwo. Hej, co tu się nieraz działo w tym gródku — dodał, głos zniżając i oglądając się poza siebie — ściany te niejedną rzecz straszną widziały. A w tych lochach co są pod wieżą, co tam ludzi jęczało i pomarło.. i nikt o nich nie słyszał później. Tak to, tak bywało u nas. O, gdy kneź się na kogo rozgniewał — mówił

dalej Łyszczak półgłosem — to już niema dla niego zmiłowania ni ratunku, a żadnej urazy nie przepuścił, lecz mścił się strasznie. Pamiętam noc ową, kiedy to ze swą drużyną zbrojną, kneź najechał gródek owego władcy Jaromira, do którego miał jakąś urazę; wszystkich co do jednego wyrzucił kazał i sługi i panów...

— I nikt nie ocalał? — zawołał Ładon.

— Powiadają — gadka taka krąży między ludźmi — że jeden stary sługa uszedł, unosząc z sobą najmłodsze dziecko swego pana ale co się z nimi stało, nikt nie wie, przepadli jak kamień w wodę.

Wejście kogoś ze służby przerwało ową rozmowę; Łyszczak pobiegł spiesźnie do roboty, a Ładon odszedł do dworu, gdzie już na niego czekał Kurtz, zdudzony jego długą nieobecnością.

Uwagę Ładona zwrócił także stary kneź Odylon, który jak mara wciąż snuł się po gródku; obcy wszystkiemu co się dokoła niego działo, nie mówił ani słowa do nikogo; niekiedy tylko, gdy był sam, z ust jego wybiegały jakieś tajemnicze wyrazy, na pozór bez związku, lecz nikt na nie nie zważał, ani im się przysłuchiwał.

W gródku bowiem od niejakiego czasu był wielki ruch, oddziały zbrojne wjeżdżały i wyjeżdżały zeń codziennie niemal. Kneź Mszczuj był bardzo czynnym, wszystkiego sam doglądał, zawsze z twarzą jednako surową i nieprzeniknioną.

Raz, gdy Ładon rozmawiał jak zazwyczaj z Drahomirem, a Kurtz również siedział tam, gdzie w kącie izby ukryty, we drzwiach stanął niespodzianie kneź Odylon. Obrzucił izbę wzrokiem, i oko jego padło na Kurtza.

— Niemiec! — zawołał, a wzrok jego zabłysnął dziwnym ogniem. Niemiec, Niemiec! Czego on tu chce, czy znów nieszczęście ma przynieść?

— Drahomirze — zwrócił się do młodego knezia — skąd tu się wziął ten ptak złowróżbny? Jak mogliście wpuścić w dom niemieckiego wilka? On nam znów nieszczęście przyniesie, ja to czuję; nieszczęście spadnie na ten dom!

Usiadł przy ognisku, oko jego utkwione było w płomień, usta poruszały się; widać było, iż zapomniał znów o tem co go otaczało i zagłębił się w wspomnieniach.

— Dzieci, dzieci — ozwał się wreszcie do siebie półgłosem — i wartoż to je chować, trząść się nad nimi. Gdy urosną, gdy mają być pociechą twej starości, zabiją ci je. O tak, ciesz się, ciesz twoim pierworodnym, niewiasto szalona! Będziesz ty go pieściła, tuliła jak gołąbka, wychowasz pięknego i silnego, aby był pociechą twoją, a wówczas Niemcy ci go wezmą lub zabiją!

Można było myśleć, że zwraca się do kogoś stojącego przy nim, słowa jego stawały się coraz wyraźniejsze.

(d. c. n.)

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zlr. 1 cent. 75 (3¹/₂ korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Pierwsza próba konnej jazdy (rycina). — Sto lat temu nad Nilem. — Bez przewodnika (z ryc.) Strzelec, wiersz. — Krakowskie wesele (z ryc.) — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej ryby.” opisał H. C. — Obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — Dodatek: Wacjo dentystą (z ryc.) — Imieniny zajęczka — Dług wdzięczności, przez Zofię Rudnicką. — Zamigłówki i rozwiązania. — Skrzyńka do listów. Dodatek książkowy: Wspomnienia Haliny, przez Julię Piasecką.

WACIO DENTYSTA.

Wacio i Irenka mieli bardzo dobrego wujaszka, który przyjeżdżając każdego roku na święta Bożego Narodzenia przywoził im śliczne książki i zabawki, opowiadał ciekawe historyjki i bawił się z niemi, jakby był ich rówieśnikiem. Tym razem przywiózł Waciowi pudełko z narzędziami stolarskimi, a Irencę prześliczną lalkę z długimi jasnymi włosami, szafirowymi oczkami i czerwonymi ustami, które ukazywały rząd białych i równych ząbków. Dzieci były uszczęśliwione, Irenka lalki z rąk nie spuszczała, a Wacio ciągle coś majstrował i psocił swemi narzędziami; to naciął w dwóch miejscach toaletę mamy, sheblował polityrę z komody, gwoździ nabijał w podłogę, a chociaż często usłyszał ostre połajanie i poprawę obiecywał, wkrótce o tem zapominał, i broił na nowo.

Najbardziej korciły Wacia obcegi; takie były zgrabne, mocne, stalowe, a nie miał sposobności użycia ich ani razu. Chciał powyciągać świeczki ze ściany, na których wisiały fotografie w pokoju mamy, ale bał się kary, bo ojciec zagroził, że w razie uszkodzenia jednego jeszcze mebla lub ściany, na czas długi odbierze mu wszystkie narzędzia.

Razu jednego, widząc jak Irena układa lalkę do łóżka i przemawia do niej jak do chorej, przyszedł mu do głowy pomysł całkiem nowy, zbliżył się do siostrzyczki i rzekł:

— Słuchaj Irenko niech twoją lalkę zęby bołą, a ja będę udawał dentystę. Irencę oczy błysnęły zadowoleniem:

— Ach! jak to będzie zabawnie — zawołała. Czempredziej starannie ubrała lalkę włożyła czepeczek na głowę i poczęła perswadować, że raz nareszcie trzeba skończyć z tym nieznośnym zębem, który od trzech dni dokucza biednej córeczce, zalecała jej przytem odwagę i cierpliwość, gdy przyjdzie doktor. Wacio tymczasem ubrał się, jak przystało jego powadze doktorskiej w kapelusz ojca, do kieszeni włożył potrzebne instrumenta i zapukał do drzwi swej nowej pacjentki.

— Panie doktorze — rzekła Irenka wychodząc na jego spotkanie z lalką na ręku, moją córkę ząb bardzo boli, trzeba jej go wyrwać, albo zaplombować.

— Wacio założył na nos okulary z zakręconej śpilki podwójnej i popatrzał w usta lalki.

— Trzeba wyrwać dwa zęby, zawyrokował.



— Ha, jak trzeba, to trzeba, westchnęła Irenka.. ale nie wyrwij naprawdę dodała ciszej.

— Nie bój się mam gumę arabską to choć wyrwę, przykleję go później.

— Czy tylko napewno?

— Spuść się na mnie! — powiedział z takim przekonaniem, że Irenka uspokoiła się, pełna wiary w sztukę brata.

— Proszę siedzieć spokojnie, najprzód ząbek znieczulę, a później wyrwę bez żadnego bólu. To mówiąc wyjął z kieszeni butelkę, w którą nalał poprzednio trochę terpentyny i wypróżnił ją w otwarte usta lalki. Większa część tłustego płynu wylała się na błękitną jej sukienkę, Irenka przecież zajęta przemawianiem do lalki czułemi wyrazami nie zauważyła tego. Wacek tymczasem zbliżył obcegi, pochwycił ząb tak głęboko i silnie, że głowa lalki wydała jakiś dźwięk szczególny, a Irenka uczuła, że się coś jakby rozsunęło pomiędzy jej palcami, spojrziała i zbladła: w obcęgach Wacia został wraz z zębem kawałek policzka lalki. Dziewczynka rozplakała się wołając: Coś ty zrobił Waciu, coś ty mi zrobił!

Wacio się zmieszał i zaniepokoił.

— Ja przecie nie chciałem, żeby jej głowa pękła i nie jestem winien, że ma taką słabą głowę, ty sama zgodziłaś się, żebym jej ząb wyrwał. Każdemu doktorowi może się zdarzyć wypadek.

Ale Irenka nie słuchała tego tłumaczenia, coraz głośniejszym głosem zanosząc się od płaczu. Nadbiegła mama, przyszedł ojciec, a Irenka wśród łkań opowiedziała całe wydarzenie.

— Zasłużyliście oboje na karę za taką nierozsądną zabawę, odezwał się ojciec surowo. Ty Irenko, nie powinnaś się była zgodzić na taką niemądrą zabawę, znasz Waciu i wiesz jak wszystko psuć umie, ale nigdy nic nie naprawi, a choćby mu się to udało, to i tak rzecz naprawiona nigdy całej nie zastąpi. Ale ty i tak ukaraną jesteś dostatecznie, Waciu zaś zasługuje aby mu zabrać zabawkę, której używa tylko do psucia i niszczenia wszystkiego, oddasz mi więc wraz z pudełkiem wszystkie narzędzia. Jeżeli w ciągu tego roku poprawisz się i podobnych figłów płatać nie będziesz oddam ci wtedy pudełko. Irenka tutaj mniej zawiniła, niż Wacek, jeżeli więc będzie grzeczną i posłuszną, za dwa miesiące, to jest w dzień swych imienin może się spodziewać nowej głowy dla swej lalki.

Irenka sprawowała się wzorowo i nim jeszcze śniegi stopniały uszczęśliwiona piastowała naprawioną lalkę z buzią jak dwie krople wody podobną do poprzedniej. Waciu czeka końca roku, miejmy nadzieję, że i on powróci do posiadania swych narzędzi i używać ich będzie nie do płatania karygodnych psót i figłów, ale zostanie porządnym majstrem i wyrabiać będzie skrzynki, wózki i taczki dla siebie i swej siostrzyczki.

IMIENINY ZAJĄCZKA.

(Dokończenie).

A zajączek uśmiechnął się dziwnie, wzajem głową skłoniwszy, rzekł sztywnie: Przykro słyszeć, że w me imieniny, takie smutne niesiecie nowiny. Cóż poradzić wam mogę? za późno na przestrożę, trudno oddać wet za wet, a pogrzebu nawet już sprawić nie możecie, gdy ich zjedli w sekrecie! Ha więc chyba zapijmy tę sprawę. Oto grono już gości łaskawe, w mej kotlinie zasiadło do stołu; jedzmy z niemi i pijmy pospołu. „I tak jeszcze zajączek powiada:” „Czem chata bogata tem rada”.

A na te słowa jeź, co był łakomy zwierz, zapomniawszy, że on nie wieszak, zaraz naprzód się sam wysforował i na czele nielicznej gromadki, do zajęczej skromnej zdążył chatki.

Ale nagle, o dziw! chyba cud to prawdziwy, w małej chatce pospołem siedzą sobie za stołem: Wszędobylsia, Wszystkogryzia kochana, co być miała przez kanię porwana i króliczek, śnieżny Białopuszek, który nawet nie postradał uszek — wszyscy razem przy stole zasiedli; obiad smaczny u zajęca jedli!

I cóż się okazało? że dziś, gdy dniało, zerwali się wszystko troje, nie czekali na nikogo, lecz przywdziewszy piękne stroje, mokrą jeszcze z rosy drogą, do zajęczka poszli razem, z szczerych życzeń swych wyrazem.

Wiele krzyku, śmiechu było, gdy się wszystko wyjaśniło — a zajączek aż z radości ścisnął w koleżki wszystkich gości. Wnet do stołu ich zaprosił i półmiski sam obnosił. A były tam przysmaki, każdy nie byle jaki!

Wszyscy goście chrupali, aż nóżkami tupali. A jeź, gdy się najadł do syta, zwinął się w kłębek — i kwita!

Tak wśród przyjaciół drużyny, odbyły się imieniny.
Zajączek.

DŁUG WODZIĘCZNOŚCI

przez

Zofię Rudnicką.

(Dalszy ciąg)

I tak rozpoczęło się dla Janka życie twarde, nędzne, wyczerpujące jego młode siły. Całą jego pociechą była modlitwa, którą w południe, w chwili odpoczynku odmawiał, upatrzwszy sobie rozłożyste drzewo gałęziami sięgające ziemi; to była jakby jego kapliczka, tu klękał zasłonięty spuszczonej gałęzią przed okiem ludzkim i całą mękę swoją, całą tęsknotę i ból serca przelewał w słowa modlitwy. Może tą właśnie gorącą modlitwą wyprosił łaskę u Boga, że na noc przynajmniej nie rozdzielano go z jego opiekunem, poczciwym Skałką. Sypiali obok siebie na jednym barłogu, jak pierwszej nocy. Po kilku dniach tej smutnej wspólnej niedoli, widząc jak Janek był w nocy nawet umęczony kajdanami, niedozwalającymi mu ruchów wolnych, jednej nocy, Iwan począł próbować czy delikatne, wąskie nogi obłopca nie dadzą się przesunąć przez pierścienie, opasujące je. Długo, na różne sposoby próbował nadaremnie, aż wreszcie udało mu się zsunąć kajdany z nóg Janka. Cóż to była za radość dla obu!

— Lecz gdy strażnik przyjdzie nas rano budzić do roboty, cóż powiemy? — zapytał z trwogą Janek.

— Przededniem włożę ci je tak, jak zdjąłem — odpowiedział wieśniak.

Od tej pory przynajmniej parę godzin na dobę miał Janek swobodnych.

Dni wlokły się jednostajnie, ciężkie w pracy nadmiernej, w tęsknocie za swoimi i za krajem. Z dni tych smutnych złożyły się miesiące, przyszła zima, nie przynosząc zmian żadnych dla naszych znajomych. Ciepły południowy klimat nie przerywał prawie robót, głębokimi rowami i murami otaczano jeden za drugim ogrody baszy; przeważnie niewolnicy zabrani w jassy lub kupieni jak Janek i Skałka, pracowali przy tych robotach, była także i część Tatarów najemnych.

Powróciła wczesna i piękna wiosna, a z nią jakby jakaś nadzieja wstępowała w serce Janka. Goręcej się modlił, głębiej ufał, że w końcu modlitwy jego wysłuchane będą. Anioł Stróż prędzej może po jasnych wiosennych promieniach słonecznych, zaniesie je przed tron Boga i uprosi mu łaskę.

Jednego dnia, gdy chwilę przystanął, by otrzeć czoło uznojone potem i rozejrzeć się choć raz w koło po wiosennem niebie, spostrzegł to strażnik znajdujący się w pobliżu; przyskoczył z krzykiem i podniósł na Janka

bat, którym nieraz nielitościwie smagał biednych niewolników. Janek dotąd nie zasłużył nigdy jeszcze, na to bolesne upomnienie, zdrzął na myśl, że może się stać także ofiarą twardego serca tego zbira.

Bat zaświstał już nad głową; ale w tejże chwili nim opadł na plecy Janka, nieludzki dozorca został pochwycony za rękaw od szerokiego kaftana, przez rączkę dziewczątka, dziesięcioletniego może, które z przerażeniem krzyknęło. Stało się to tak nagle, tak w jednym mgnieniu oka, że Janek nie wiedział nawet skąd się tu wzięła dziewczynka. Ona tymczasem, ochłonawszy widocznie z przestachu, tupnęła energicznie drobną nóżką, obutą w drewniany trzewiczek i z dumą wyniosłą, rzekła:

— Nie waż się odtąd nigdy tknąć tego chłopca, bo zażadam od ojca, by cię natychmiast zakuć kazał w kajdany i wtrącić do ciemnicy!

Dozorca opuścił bat, złożył ręce na krzyż na piersiach, pochylając głowę i zgiął się pokornie we dwoje.

Janek zdziwiony patrzył na tę scenę, a gdy podniósł oczy na swoją wybawicielkę, zdawało mu się, że widzi anioła przed sobą. Miła, choć obca twarzyczka dziewczęcia, tak różna od otaczających go już od dawna, samych groźnych i nieprzychylnych twarzy, przypominała mu swoją słodczą twarz przybranej jego siostrzyczki Hani, która tam, w kraju, daleko, chowała się pod okiem jego matki.

Mimowoli postąpił krok naprzód, ale wstrzymał się, gdyż w tej chwili nadbiegła drobnymi kroczkami, stukając drewnianymi pantoflami, starsza jakaś Turczynka, cała zakryta białymi muślinami tak, że tylko oczy jej świeciły się z za zasłony, a świeciły gniewem, niepokojem i niecierpliwością. Z daleka już wołała:

— Zulejka! Zulejka! co ty wyrabiasz? o, ja nie-szczęśliwa! nam tu nie wolno przychodzić, wiesz przecie! Nie mogła mówić więcej, zdyszana z gwałtownego biegu.

Dziewczynka śmiała się.

— Ja też nie przyszedłem, tylko przybiegłem, by się schować przed tobą i przybiegłem w samą porę, bo ten niedobry dozorca byłby już uderzył tego biednego chłopca — kończyła, krzywiąc usta jakby do płaczu.

— Ależ chodź, Zulejko, chodź stąd prędko, co ciebie obchodzą niewolnicy? chodź, nim cię tu kto zobaczy — wołała przestraszona Turczynka, odciągając dziewczynkę, za szeroki rękaw powiewnej niebieskiej jej szaty, bramowanej złotem.

Ale mała opierała się energicznie, a zwróciwszy się do Janka, zapytała:

— Dawno tu jesteś u nas?

Janek rozumiał już mowę turecką i nawet mówił niezłe tym językiem.

— Od pół roku — odpowiedział.

— Z jakiego kraju jesteś, niewolniku?

— Z Polski.

— Czy zawsze pracujesz w kajdanach?

— Zawsze.

— To źle, bo ci ciężko, żal mi ciebie!

Janek spojrzał znowu na dziewczynkę, lzy wdzięczności błysnęły mu w oczach!

Tymczasem stara Turczynka rozpaczliwie ciągnęła,

prosiła i namawiała małą do powrotu. Zulejka raz jeszcze odwróciła główkę i zawołała:

— Uspokój się niewolniku, pomyślę, by ci lepiej było — a zwracając się do dozorca, dodała:

— Nie broń mu odpoczywać, gdy jest zmęczony i ani go tknij! — pogroziła mu zaciśniętą pięścią.

Zniknęła w zaroślach. Dozorca teraz dopiero opuścił ręce, gdyż cały ten czas trzymał je skrzyżowane na piersiach. Janek poznał po tej pokorze, że to dziecko litościwe jest córką samego baszy, ale nie wiedział, że jest ukochaną jedynaczką, że stary basza spełnia wszelkie jej zachcianki i kaprysy z uległością i pośpiechem, byle tylko widział zawsze uśmiech na jej drobnych usteczkach. Janka przejęło rzewne uczucie na myśl, że serce czyjeś uderzyło litością dla niego, że przemówił ktoś do niego jak do człowieka; uczuł się temi słodkimi słowami wzmocniony, sił mu przybyło, ohotniej podjął swoją ciężką pracę. W południe ukrył się pod swoje drzewo — do swego jak w myśli nazwał, — kościoła, padł na kolana, modlił się gorąco, dziękował Bogu za tę pomoc, jakiej doznał. Łzy płynęły mu po licach, pierwsze od czasu niewoli, słodkie lzy wdzięczności i rozrzewnienia.

W kilka dni po tem spotkaniu z córką baszy, w południowej godzinie, dozorca przyprowadził przed Janka drugiego Turka, starszego dozorcę, który tylko od czasu do czasu przychodził, przeglądając postępy roboty, dawał czasem jakieś rozkazy, obliczał niewolników. Teraz, gdy stanął przed Jankiem, zapytał:

— Czy to ten?

— Ten — odpowiedział dozorca.

Turek podał klucz, dozorca schylił się i otworzył nim kłódkę zamykającą kajdany, które z brzękiem opadły z nóg Janka i odeszli obaj nie rzekłszy słowa. Janek stał odurzony, nie wiedział co się z nim stało, zdawało mu się, że mu urosło dwoje skrzydeł u ramion, tak się poczuł lekkim! Bał się poruszyć, by nie uczuć ciężaru kajdan, nie był pewny sensu to — czy jawa? Przestał chwilę w zdumieniu, aż go doszedł znany mu dobrze, przeciągły, jednostajny głos dozorca, naganiający do roboty. Podjął taczki, postąpił krok, ale jak pijany, zatoczył się, stracił równowagę, tak mu się nogi wydały lekkie. I na sercu lżej mu było, czuł, że Bóg nie odwrócił oka swego od jego głowy. Gdy poczeiwy towarzysz jego, Skalka, dowiedział się o tem szczęśliwym zajściu, rzekł z prostotą, a serdecznie:

(d. c. n.)

SZARADA.

*Pierwsze z trzeciem to imię biblijnej kobiety,
Trzecie z drugim to przedmiot słynny z tej zalety,
Że gdziekolwiek użyty, czy mały, czy duży
Do utrzymania innych doskonale służy.
Drugie z trzeciem to wytwór ludzkiej wyobraźni,
Który ciemne umysły zamęca i drażni,
Wszystko wraz jest to rzeka bystra w swoim biegu,
I miasto co się wznosi na jej samym brzegu.*

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Z następujących sylab ułożyć 9 wyrazów, których początkowe litery należy odczytać z góry na dół. Sylaby: An—a—brzo—ba—bi—dryan—e—gor—i—lon—le—la—lim—n—no—nal—ra—o—szka—ta—za—o. Znaczenie wyrazów: 1) Drzewo liściaste. 2) Ostatnia Jagiellonka. 3) W staroż. miasto nad Eufratem. 4) Leśny owoc. 5) Żona Michała Korybuta Wiśniowieckiego. 6) Nazwa kobiety pochodzenia lechickiego. 7) Cesarz rzymski z II w. po Chr. 8) Przejście podziemne. 9) Siedlisko greckich bogów.

ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

Ułożyła Bedunka.

1	Ułożyć 8 wyrazów, aby litery oznaczone liczbami złożyły tytuł ballady Mickiewiczza.
.	2	
.	.	3	.	.	.	
.	.	.	4	.	.	
.	.	.	.	5	.	
.	6	
.	
.	7	
.	
.	8	

Znaczenie wyrazów: 1) Córka Edypa. 2) Miasto na Szląsku niegdyś stolica. 3) Miasto na cyplu połud. Afryki. 4) Kraj w półn. Ameryce. 5) Rzeka w Brazylii. 6) Miasto n. Wisłą. 7) Szląskie miasto n. Odrą. 8) Szląskie miasto nad Odrą. Sylaby: An—bia—ba—bórz—ca—ci—ca—dni—go—hy—kap—ko—le—lum—na—pa—ra—ra—śni—stadt—sza—świ—ty—war—o—wa.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 41-go

Szarady: Nie — bo.

Łamigłówniki sylabowej:

- 1) Kaliope. 2) Aldona. 3) Rodus. 4) Telimena. 5) Aranjuez. 6) Gawron. 7) Irtysz. 8) Neron. 9) Adelajda.

Kartagina.

Łamigłówniki liczbowej:

3	16	9	22	15
20	8	21	14	2
7	25	13	1	19
24	12	5	18	6
11	4	17	10	23

Skrzynka do listów.

Łosiowi kazańskiemu brakujące numera dodatków posłano. Romcio A. rozwiązał dobrze szaradę i łamigłównkę, jak również Bolesł M., Zosia i Marynia W., Gałazka zielona, Janek i Stefica Z., Leonka B., Zgodne rodzeństwo i Stała czytelniczka.

Bardzo wyrozumiałą jestem na ogólną wadę lenistwa w pisaniu listów, bo i sama podlegam jej czasami, więc i tobie Skowronku nie dziwię się, że podczas wakacji zapominasz o wszelkiej korespondencji i używasz miłego wypoczynku. Miejsca które zwiedzałeś

w tym roku znam dobrze i każde prawie lato spędzam w tamtych stronach, a co do ślicznych okolic Wilna, podzielim twój zdanie. Namów braciszka by sobie wybrał pseudonym i napisał do mnie lub do Redakcyi. Nagrodę wysłano. Siostrzyczkę twoją Poziomkę leśną pozdrów odemnie i zapytaj co znaczy jej długie milczenie.

Czesiowi K. Zaczynam od gorącej pochwały, bo liścik twój tak ładnie i porządnie był napisany, żeś na nią zupełnie zasłużył. A teraz muszę ci powiedzieć, iż bardzo rada jestem, żeś się ze mną pragnął zapoznać i nie wątpię, że nie poprzestaniesz na jednym liściku, ale stale pisywać do mnie będziesz. Ja ze swej strony przyrzekam prędką odpowiedź i zapewniam, że z prawdziwą przyjemnością otrzymywać będę tak miłe liściki, od mego ośmioletniego korespondenta. Łamigłównki oddałam Redakcyi.

Konwalijsce z nad Bachorzy. Z listu twój mocno się uradowałam, bo nie odbierając od dość dawna, żadnej od ciebie wiadomości, sądziłam żeś już o mnie zapomniała, to też podwójnie miłym był mi dowód twej pamięci. Niepodobna mi się tylko, iż chesz być podobną do kwiatka, od którego nazwy zapożyczyłaś, do „konwalii białej”, i zaczynasz chorować na błednicę. Pfe, moja panienko, nie choruj, ruszaj się, biegaj i wyglądaj jak „rumiane jabłuszko”. Wszystkie twoje polecenia w redakcyi spełnione, pozdrowienia serdeczne dla ciebie i dla Muszki.

Śczęsnej z Płocka, dziękuję bardzo za troskliwość, miewam się zupełnie dobrze, czego też tobie i braciszce życzę, byście zupełnie o przebytej chorobie zapomnieli, a rozpoczęte lekcye by szły łatwo i pomyślnie.

Jaka pocziwa ta nagroda konkursowa, skoro zawdzięczam jej zwalczenie twej nieśmiałości Reginko S. wraz z miłym liścikiem, którym obdarzoną zostałam. Nie tracąc też czasu, poszłam do Redakcyi i prosiłam by książeczkę zaraz spakowano. Niech jedzie i przypomina obietnicę, że przy następnym konkursie postarasz się o drugą, a tymczasem gdy pierwsze trudności zwalczone, spodziewam się, że będziesz czasami pisywała do mnie.

Czerwony list, od moich kochanych Trzech Raków z Siedlisk powitałam uradowana, bo i tym razem oczekiwanie nie zawiodło i owa czerwona ćwiartka obdarzyła mnie wiadomościami o was, które są mi zawsze pożądane i miłe. Cieszę się, że ostatek lata i cieplejszej pogody, spędzacie wesoło w lesie lub w ogrodzie, a nie wątpię, że i zima da wam nie jedną rozrywkę, i śpiew kanarków przypominać będzie chóry leśne. Marki zwróciłam Redakcyi.

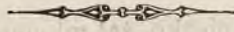
Szczygiełkowi. Bardzo miło mi będzie zawiązać z tobą znajomość i na przyszłość proszę cię o częste i długie liściki, na które z przyjemnością odpisywać będę. Rozwiązania wszystkich zadań dobre.

Pierwszy twój list Polna Różyczko pozostawiłam bez odpowiedzi, bo czas dłuższy nie byłam w Warszawie, a za drugi z krótkim lecz udanym opisem Zofijówki, dziękuję bardzo. Widać wiedzanie ładnych i ciekawych miejscowości nietylko robi ci przyjemność, ale i korzyść przynosi. Polecam się i nadal twej pamięci, z prośbą o list trzeci.

Dziękuję ci Rybitwo z nad Wisły, iż nie zapominasz o przyjaznej ci Jaskółce i ślesz jej powitanie w formie miłego liściku. Dwa zaginione numera, Wieczorów nie czekając na przyjazd twej mamy do Warszawy wysyłamy pocztą, abyś nie potrzebowała długo czekać. Konkurs z robót wkrótce ogłoszonym zostanie, a może i twoja sukienka zasłuży na nagrodę.

Jeżeli zamiana listów ze mną miła Stokrotko jest ci przyjemną, to pisuj jak najczęściej, do przyjaznego ci ptaszka, który i tobie i kuzynce twej Małej Literatce zawsze chętnie pośpieszy z odpowiedzią. Nie wiem jeszcze w jakim jesteście wieku, czy uczycie się razem? Dlaczego wybrałaś sobie pseudonym Literatki, czy lubisz tak czytać, czy też z innych względów? Donoszę ci, że wakacje spędziłam bardzo wesoło, w stronach dość dalekich, ale w kraju, nie zagranicą. Nie zapominajcie o życzliwej mam

Jaskółce.



№ 44 Rok XIX.

Dnia 17 (29) Października 1898 r.



WIECZORY RODZINNE



NA DZIEŃ ZADUSZNY.

Biały anioł cicho zleciał i duszyczkę czystą
Na swem łonie ponad ziemię uniósł w dal srebrzystą.

W DZIEŃ ZADUSZNY.

W dzień smutnych wspomnień, w ten dzień żaloby,
Światło i kwiecie niesiem na groby;
Więć i ty dziecię złóż rączki małe,
O wiekiustą światłość i chwałę,
Módl się wraz z tymi, którzy dziś płaczą,
Choć nie wiesz jeszcze, co te łzy znaczą.

Tobie ten cmentarz jarzący, złoty,
Nie sprawia jeszcze gorzkiej tęsknoty,
Dla ciebie barwne — żaloby kwiecie,
Lecz gdy wśród grobów grób ujrzysz, dziecię,
O który nie dba ręka niczyja,
To zmów serdecznie „Zdrowaś Maryja!”

Z. M.

BEZ PRZEWODNIKA.

KARTKA Z ZAKOPANEGO.

(Dalszy ciąg).

— Ja myślę, że musimy jutro wracać.

— Ty myślisz, ty zawsze myślisz, ty tylko myśleć umiesz. I po co powrócimy, jeśli ich w domu niema? A kto wie, gdzie poszły dalej? Może na węgierską stronę? Może za tydzień wrócą? A my lećmy z powrotem na złamanie karku, żeby się dowiedzieć w końcu, że o paniach nic nie wiadomo. Niechbym wiedział przynajmniej, że wrócą za trzy dni, tobym poszedł na Rysy, na Miękusowickie i byłbym jeszcze na czas, a tak...

— To wiesz, Janku, idź z Felkiem na Rysy, a ja sam wrócę jutro i będę pilnował. Bo ktoś powrócić musi, a jeśli masz ochotę należeć do tej wycieczki, to zostań. Zdażysz jeszcze w sobotę.

Janek spojrział na brata, chciał coś odpowiedzieć, ale tylko ruszył ramionami i milcząc, rzucił się na łóżko.

Na drugi dzień wstał pierwszy. Właśnie słońce weszło, różowe chmurki unosiły się ponad jeziorem, które leżało ciche i majestatyczne, wielkie i poważne pod strażą olbrzymów.

Janek obudził brata.

— Patrz — rzekł z płonąącym wzrokiem.

Obaj stanęli w oknie i długo, długo patrzyli na ciche fale i błękitną głębię, w której z dziwną wyrazistością odbijały się otaczające ją góry.

— I wracamy — rzekł wreszcie.

Tadzio zaczął się ubierać. Wkrótce wyszli z hotelu.

— Powracamy przez Liliowe.

— Przez Liliowe? Znasz drogę?

— Nie myślę wечно chodzić tą samą drogą. Mam Eliasza i dam sobie radę? A cóż nam się stać może? Ludzi pełno wszędzie, gdybyśmy zblądzili; zresztą Eliasz wystarczy.

— Wiesz, Janku, jabym radził...

— Nie pytam cię teraz o radę. Chodźmy stąd jak najprędzej, bo chcę uniknąć pytań Felka, Ańdzi etc. Skoro

będziemy sami i wolni od towarzystwa, przeczytamy uważnie, którądy iść trzeba, a tymczasem, aby z hotelu...

— Aby pogoda była — zauważył Tadzio. — Patrz, jakie białe chmury snują się po górach.

— To sucha mgła — dał się słyszeć obok głos górala — z tego deszczu nie będzie.

— Widzisz — zawołał Janek. — Chodźmy tylko.

Sucha mgła tego ranka zasnęła dolinę w niezwyklej obfitości, strzępy jej porwane czepiały się po skałach i gałęziach świerków, a niekiedy przejrystymi mgławicami spływały między drzewa aż ku ziemi, zasłaniając na chwilę widok.

— Słońce to wszystko rozproszy, gdy się podniesie wyżej — zrobił uwagę Janek.

Tadzio nic nie mówił. Skręcili w dolinę koło Miedzianego, podług Eliasza tędy właśnie droga.

Słońce jednak widocznie miało też kłopot z mgłą *suchą*, bo napływała zewsząd coraz większemi kłębiemi, wiła się, snuła, staczała, pękała i znów zrastała w jedną nieprzejrzaną masę, coraz grubszą, ciemniejszą.

— Janku, ja się boję deszczu — odezwał się Tadzio nieśmiało, przedzierając się przez Kosówkę.

— Deszczu się boisz? No, to mi nowina; nie wiedziałem, żeś z cukru.

— Ale nie znamy drogi.

— To sobie przeczytamy.

— Kiedy nic poznać nie można. Widzisz jakie szczyty? Nic nie widać, w jakiż sposób będziemy się orientowali?

Janek uważnie spojrział dokoła. Istotnie, zalewało ich morze mgły zewsząd. I nic nie było widać, nawet droga kończyła się o kilka kroków.

— Musimy tu poczekać — odezwał się głośno. — Jesteśmy w chmurze, ale chmura minie i znów słońce zaświeci. Usiądźmy tymczasem, masz co jeść?

— Mam butelkę wina, trochę szynki i chleba. Myślałem, że w Roztoce zjemy porcję jajecznic.

— Trzeba było nie myśleć, tylko zabrać więcej zapasów.

Tadzio w pokorze wysłuchał nagany.

— Dajno chociaż Eliasza.

Tadzio podał książkę.

— Zdaje się, idziemy dobrze, doliną za Mnichem powinniśmy dojść prosto do Wrót Chałubińskiego, poznamy je z opisu, żeby tylko mgła się rozeszła.

Usiedli na Kosówce, z mimowolną trwogą patrząc na zbliżające się ku nim bałwany chmur; wkrótce zaledwie mogli widzieć jeden drugiego.

— To minie — pocieszał Janek.

Istotnie, po dłuższej chwili mgła zaczęła przeświecać, podnosić się w górę, ujrzeni znów najbliższe kamienie, świerki, lecz dalsze plany zlewały się całkiem z szarem, bezbarwnym niebem. Deszcz drobny padać zaczął.

— Wróćmy się — szepnęła Tadzio.

— Janek zmarszczył czoło.

— Do Morskiego.

— Chodźmy drogą ku Roztoce. Znamy ją.

— Kiedy się boisz — zaczął Janek po namyśle.

I niechętnie iść zaczął drogą, którą przyszli. Deszcz padał coraz większy, serdaki przemokły im wkrótce, obuwie rozmiękło także, ruch rozgrzewał ich jednak. Młodość niewiele robi sobie z niepogody, to też zaczęli śpiewać dla dodania sobie humoru:

Wysokieście góry, wysokieście szczyty,
Oj, kto was przewędrował, góral rodowity.

— Nie pamiętam która droga: w prawo czy na lewo?

— W prawo — zdecydował Janek.

— Powinniśmy już widzieć Mnicha.

— Co dziś w tej mgłę zobaczysz?

— Żeby tylko gdzie Zosi nie zaskoczyła w górach.

Janek spojrział na brata zsuniętymi brwiami, ale roz-pogodził się zaraz

— Mają przewodnika, rzekł uspokojony.

— To prawda, ale zmoknie.

— Deszcz tatrzański nie szkodzi, nie dostanie nawet kataru.

— Patrzo, Janku, z tej góry nie schodziliśmy przecież?

— Tak ci się zdaje, musieliśmy ją obejść.

— To może inna droga?

— Przez tę mgłę wszystko się zmienia, ale szliśmy tędy napewno.

— Nie przypominam sobie — szepnął Tadzio.

— Ostrożnie, bo śliśko bardzo, po korzeniach nie stą...

Tadzio skamieniał: Janek krzyknął krótko i zsunął się jak kamień po wilgotnej ziemi, na szczęście niedaleko, lecz prosto w kałużę.

— Wróćmy się — zaczął Tadzio, wzruszony stanem garderoby brata. — To nie ta droga, zbłądziliśmy.

— Więc prowadź.

Wkrótce wiedzieli obaj, że zbłądzili: szli jakąś drogą, zupełnie nieznana, zalaną wodą w miejscach równych, na pochyłości pokrytą grubym, ostrym żwirem, który zsuwał się razem z nimi. Rozmiękle i pokrzywione obuwie dokuczalo im bardzo, deszcz przemoczył ubranie do bielizny, a droga jak zaklęta wiała się bez końca.

Janek ustał nakoniec, oparł się o drzewo, z którego popłynęły nań strumienie wody i przymknął oczy.

— Napij się wina — rzekł Tadzio, podając mu butelkę. Pił chciwie, długo. Wreszcie podał bratu.

— A ty nie pijesz?

— Nie jestem spragniony

— Cóż pocznjemy?

— Która godzina?...

— Wpół do drugiej.

— Przeszło sześć godzin idziemy.

— Aby gdzie zejść przed nocą. Zimno będzie.

Wstrząsnął się, przejęty dreszczem.

— Jesteśmy na ścieżce, więc musi nas gdzieś doprowadzić.

— Masz słusność — zawołał Janek — póki jesteście na ścieżce, niema powodu rozpaczać, wyjdziemy choć na jaką hałą czy schronisko.

— Byle przed nocą — dodał Tadzio.

— Do nocy daleko. Posilimy się i odpocznjemy, to nam i siły wróca.

Na nieszczęście nie wiele było tego posiłku: trochę szynki i chleba głód zaspokoilo, ale niezbyt gruntownie, a zapasu już nie zostało żadnego. Popili po łyku wina, żeby mieć trochę na rozgrzanie, bo przez wilgotną odzież chłód czuli coraz dotkliwszy.

— W którymkolwiek idziemy kierunku — odezwał się Janek — zrobiliśmy porządną kawał drogi i musimy być blisko jakiejś ludzkiej osady. Chodźmy tylko, bo zimno.

I szli wytrwale, nie zważając na kamienie, brnąc przez kałuże, zsuwając się po pochyłościach lub wdzierając na strome skały. Aby prędezej. To tylko bieda, że droga dość często dzieliła się na ścieżki, i wybieraj, którą wolisz! To znowu zdawało się, że już noc zapada, tak ciężkie chmury przesuwały się nad ich głowami. Ani widać słońca.

(d. n.)

STO LAT TEMU NAD NILEM.

(Dokończenie).

Natychmiast prawie po przybyciu zaatakował armię turecką i w ciągu trzech godzin pobił ją doszczętnie, wpędzając

do morza lub biorąc w niewolę tysiące Turków. Sam Mustafa-Pasza złożył szablę do rąk Murata. Tak więc przez wyprawę do Syrii i bitwę pod Abukirem, Egipt został oswobodzony na długo od zwierzchnictwa Porty Otomańskiej. Ten żyzny kraj stał się prowincją francuską, która mogłaby zeń z czasem ciągnąć nieobliczone korzyści. Bonaparte dokonał swego dzieła, należało je tylko prowadzić dalej.

Tymczasem losy tego kraju w XIX wieku inaczej się pokierowały.

Bonaparte nie wiedział nic o tem, co się dzieje we Francji. Wysłał więc parlamentarza do floty tureckiej aby pod pozorem układów, co do wymiany jeńców, starał się pozyskać jakieś wiadomości. Admirał angielski Sidney Smith, zamierkowawszy, że Francuzi nic nie wiedzą o porażkach swych współziomków we Włoszech i o kłopotach Dyrektoryatu, przez złośliwość dał parlamentarzowi całą paczkę gazet europejskich, które Bonaparte chciwie przeczytał i natychmiast postanowił dla ratowania kraju odplłynąć potajemnie do Francji, choćby narażając się na schwytanie przez Anglików.

Zdał więc naczelne dowództwo w ręce generała Klebera i sam z kilku adjutantami odplłynął nocą 21-go sierpnia 1799 r. z Aleksandryi na fregacie Muiron. Szczęście i tym razem mu sprzyjało, gdyż uniknął statków angielskich i wyładował bez żadnych przeszkód w przystani Trejos niedaleko Tulonu.

Tak się zakończyła wyprawa do Egiptu. Napoleon pragnął koniecznie zatrzymać kraj ten dla Francji, zajęty jednak ciągłymi wojnami na stałym lądzie, nie mógł tego dokonać. Dzielną Kleber został wkrótce zamordowany na ulicy w Kairze przez jakiegoś Turka, a wojsko francuskie w ciągu dwóch lat powróciło do Francji.

Egipt stał się znowu prowincją turecką, zarządzaną przez Mameluków. Jednakże wyprawa Bonapartego wpłynęła nader dodatnio na ludność miejscową, a Europa cała zwróciła uwagę na ten piękny, bogaty i tak ciekawy kraj.

Wice-królowie Egiptu zdołali w ciągu bieżącego wieku, rozszerzyć znacznie granice państwa na południe z biegiem Nilu, oraz uwolnić się prawie zupełnie z pod władzy sułtańskiej, nosząc oni obecnie tytuł khedywów i płacąc tylko haracz Porcie, będąc zresztą zupełnie niezależnymi.

Przeprowadzenie kanału Suozkiego w 1860-1870 latach powiększyło jeszcze bardziej znaczenie Egiptu, wzmogło ruch handlowy, przemysłowy i rolniczy.

Obecnie kraj ten jest miejscem licznych wycieczek, podróży z różnych stron świata, których ściągają niezmiernie suchy i zdrowy klimat oraz nadzwyczaj ciekawe i liczne zabytki starożytnych czasów: piramidy, świątynie, obeliski i t. p.

W roku 1880 południowy Egipt i prowincje sudańskie zostały podbite przez miejscowe plemiona mużulmańskie, zwane derwiszami. Skupił ich w jedną całość jeden z szejków, a ogłosiwszy się za proroka (Mahdi), począł rządzić z nadzwyczajną dzikością i surowością. Zdobywszy Chartum nad Nilem, osiadł tam jako w stolicy, prześladowając wszystkich Europejczyków i chrześcijan, których zdołał zabrać w niewolę. Kilkakrotne wyprawy Anglików i Egipcjan pozostawało bez skutku, wojska ich cofać się musiały przed bitnemi hufcami derwiszów. Dopiero po śmierci pierwszego Mahdiego, w tym roku, udało się Anglikom pod wodzą Kitchenera-paszy zdobyć Chartum i Omdurman, i doszczętnie zniszczyć siły derwiszów.

Obecnie więc na całej przestrzeni tego rozległego kraju, wzdłuż Nilu, tej najdłuższej rzeki na świecie, zacznie się bez przeszkód rozszerzać cywilizacja europejska, której pierwsze nasiona po długich wiekach rzucił przed stu laty Napoleon Bonaparte, nie spodziewał się jednak, że dzieło to poprowadzą najzaciętsi jego nieprzyjaciele, Anglicy.

W OBŁOKACH I POD WODĄ

WYPRAWY „LATAJĄCEJ RYBY.”

opisał H. C.

(Ciąg dalszy).

VII.

Wśród lodowców.

Profesor postarał się zatrzymać biesiadników przy stole do godziny 9-ej; gdy potem wyszli na pokład przyznać musieli jednogłośnie, iż obietnica Karlińskiego nie była czczem

— Tak, był to widok zachwycający — odparł profesor — myślę jednak, że równie czarować nas będzie widok słońca podbiegunowego i zorzy północnej. Ale czy nie uważacie panowie, że zimno zaczyna być coraz ostrzejsze i mgła gęsta napływa? Gdybyśmy się w ciągu nocy dostali między dwa takie lodowce, to nawet trwałość „Latającej Ryby” nie uchroniłaby jej od zniszczenia.

— Jakimże sposobem zaradzisz temu, profesorze?

— Dwa na to widzę sposoby — odparł zagadniony — możemy spuścić się na dno morskie, ale i ono w tem miejscu zasłane być musi również bryłami lodowemi. Pewniejszym tedy środkiem jest wzniesienie się w nieruchome warstwy powietrza i tam noc spędzić spokojnie.

— Godzę się na nocleg w górnych strefach, śpię w nich doskonale — rzekł baronet — radbym tylko wiedzieć, o jakich to warstwach powietrznych nieruchomych wspominaasz, profesorze?



WIDOK WSPÓCZESNEGO KAIRU.

słowem. Wspaniały widok przedstawił się ich oczom: po morzu pływały lodowce od drobnych bryłek, mających nie więcej nad dwa lub trzy sążnie obwodu, do olbrzymich gór lodowych, ciągnących się na $\frac{1}{2}$ do $\frac{3}{4}$ mili, a piętrzących się na 200 lub 300 stóp w górę nad powierzchnię morza. Skośne promienie zachodzącego słońca, odbijając się o te bryły, nadały im pozór gorejących płomieniem skał na tle blado-różowego horyzontu.

— Niezrównane!

— Prześliczne!

— Czarujące!

Takie wykrzykniki wrywały się z ust podróżnych, zachwyconych tą wspaniałą grą światła.

— Wdzięczny ci jestem, profesorze — odezwał się baronet — za daną nam sposobność oglądania tak cudownych zjawisk natury. W ciągu podróży moich napatrzyłem się na wiele ciekawych rzeczy, ale nie widziałem nic, coby mogło iść w porównanie z widkiem, jaki mieliśmy teraz przed oczyma. Chyba już nie wspanialszego oglądać nie będziemy w świecie podbiegunowym.

— Wiecie panowie — odparł Karliński — że istnieją w powietrzu dwa prądy peryodyczne, podobnie jak prądy morskie i z tej samej powstające przyczyny, a mianowicie cieplejsza atmosfera unosi się w górę, a chłodniejsza opada. Powietrze pod równikiem, rozgrzane silnie, unosi się w górę i ciągnie ku północy, powietrze zaś oziębione z pod bieguna dąży w odwrotnym kierunku, aby zająć tworzącą się próżnię. Stąd o kilka stopni na północ od równika, wierzchnie warstwy powietrza posuwają się w stronę północną i dosięgają mniej więcej 30° szerokości północnej, utraciwszy zaś w drodze dużo ciepła w skutek stopniowego oziębienia, opadają na dół. Prąd ten idący od równika, dąży ciągle ku północy, wznosząc się lub opadając, stosownie do swej temperatury; od bieguna zaś zupełnie oziębiony i mroźny leci dalej ku półkuli południowej. To samo się dzieje na półkuli południowej.

Tym sposobem istnieją na dwóch półkulach dwa prądy atmosferyczne: jeden idący od równika do bieguna, drugi od bieguna do równika. Niższy z tych dwóch prądów, płynący nad powierzchnią ziemi, napotyka na razie przeszkody i ule-

ga różnym wpływom, które kierunek jego zmieniają, czasem wsteczny bieg przybiera. Tym gwałtownym zmianom nie ulega kierunek prądu wyższego. Łatwo jednak zrozumieć, że tam gdzie się łączy spodnia warstwa wyższego prądu z górną warstwą prądu niższego, istnieje pewna równowaga i spokój. W tych to warstwach spokojnego powietrza, znajdującego się na wysokości od 3,000 do 12,000 stóp nad ziemią, proponuję spędzić noc dzisiejszą.

Słuchacze podziękowali profesorowi za udzielone objaśnienia i powrócili do kajuty, starannie drzwi zamykając dla niedopuszczenia zimna. Podniesiono następnie „Rybę” do wysokości 8000 stóp i przepędzono noc w tak cichej i spokojnej atmosferze, że nazajutrz statek znalazł się prawie w tem samym miejscu, co wczoraj.

bałwany były w górę, jak wśród najstraszliwszej burzy. Niebezpieczeństwo było wielkie i należało w tym celu podnieść statek o kilka sążni ponad rozhukane morze. Zaledwie to uczyniono, gdy runęła największa z gór lodowych, pociągając za sobą mniejsze lodowce.

Płynąc ciągle ku północy, podróżni ujrzeli nareszcie około południa brzegi Grenlandyi. Przedstawiły się one jako wzgórza pokryte śniegiem z połyskującymi, jak srebro wierzchołkami. W miarę zbliżania się do lądu, coraz mniej spotrzegało się lodu, a wody kanału, do którego podróżni wpłynęli, czyste były zupełnie. O godzinie 8-ej wieczorem, żeglarze nasi znaleźli się na wysokości koła biegunowego, o północy przepłynęli obok wyspy Disko, podziwiając wspaniałe widoki północnego słońca, dotykającego tarczą widnokregu.



ATAK DERWISZÓW NA ARMIE ANGIELSKĄ POD OMDURMANEM.

Podczas śniadania podróżni uradzili, aby dopłynąć morzem do najdalszego dostępnego i wolnego od lodów punktu. Posuwali się ostrożnie, z szybkością nie przechodzącą sześciu mil na godzinę z powodu wielkiej ilości brył i gór lodowych. Powolna jazda byłaby może przykrą dla ludzi nawykłych do wypraw podbiegunowych, ale dla naszych podróżnych wszystko było nowością, najbardziej zaś zaciękawiały ich owe góry lodowe, do których zbliżali się właśnie.

Dwie z nich były tak blisko siebie, że przepłynięcie między nimi zdawało się nader niebezpiecznym. Profesor i jego towarzysze zajęci byli rozstrzygnięciem kwestyi, jaką drogę obrać należy, gdy naraz jeden z wierzchołków lodowca, w odległości 250 stóp od nich, oderwał się od podstawy i z łoskotem straszliwym runął w wodę. Coraz nowe odłamy z hukiem przerażającym spadały z lodowców. W powietrzu rozlegał się łoskot trącających się i rozpryskujących brył;

W tem miejscu kanał oblewający brzegi Grenlandyi, zwał się tak dalece, że podróżni posuwać się po nim mogli tylko z szybkością trzech mil angielskich na godzinę; z tej powolnej jazdy korzystali wszakże, aby się dokładniej rozejrzeć po świecie podbiegunowym.

Traf zrządził, że nie spotkali dotąd żadnego okazu fauny polarnej, teraz dopiero ujrzeli daleko od strony północnej białego niedźwiedzia, dążącego w ich stronę, w pobliżu zaś inne zwierzę, które wzięli za cielę morskie. Wygrzewało się na słońcu, rozkoszując ciepłem, nie przeczuwając groźącego niebezpieczeństwa.

Pułkownik z młodzieńczym zapałem pobiegł coperędzej po strzelby, a wróciwszy już zaczął celować do cielęcia morskiego, gdy baronet, trzymający w ręku lunetę, zawołał:

— Nie strzelaj Leithbridge! to coś osobliwego! To cielę ma łuk!

Pułkownik z niedowierzaniem spojrzął na towarzysza, a wzięwszy z rąk jego lunetę, przypatrywać się zaczął uważnie.

— Masz rację, do licha — zawołał — mniemane zwierzę musi być człowiekiem. To Eskimos! Widzicie jak biedak ostrożnie naciąga na łuk cięciwo. Zdaje się, że umyślnie ruchami naśladował ciele morskie, aby przywabić drapieżne zwierzę! O! wypuścił strzał, ale nie trafił niedźwiedzia. Teraz uciekać musi przed nieprzyjacielem. Słowo daję, gonitwa ta zaczyna mnie zajmować. Wątpliwa rzecz, czy Eskimos zdoła ujęć pogoni rozdrażnionego zwierzęcia.

Człowiek, mimo krepującego go ubrania, uciekał zwinnie, ale niedźwiedź biegł prędzej jeszcze i miał już rzucić się na swą ofiarę, gdy myśliwi na statku chwycili za broń i strzelili. Niedźwiedź draśnięty tylko nieszkodliwie stanął już na tylnych łapach, Eskimos, jakby na to właśnie oczekiwał, skoczył w bok, a potem ruchem szybkim, jak błyskawica, zatopił nóż w cielsku zwierzęcia; ten z wściekłości i bólu wydał straszliwy ryk i runął na śnieg.

— Brawo! dobrze się spisałeś — mówił baronet do nie mogącego go słyszeć i rozumieć Eskimosa — śmiałość twoja i zręczność ocaliły ci życie. Ależ jaką lichą broń dałeś nam profesorze! Wszystkie strzały chybiły.

— Strzały wprawdzie zawiniły tym razem — odparł profesor — winę tego jednak nie bronisz, ale nam przypisać wypada; nie strzelaliśmy dość celnie. Zgrzeszyłem nadto brakiem przytomności umysłu, nie pamiętając was uprzedzić, że ta strzelba daje dwadzieścia strzałów z kolei. Szczęściem, że Eskimos sam sobie dał radę bez nas. Oho! musimy się jeszcze wprawiać w strzelaniu z tej broni i w tem oświetleniu.

Idąc za radą profesora, podróżni zaczęli strzelać do celu, nabierając coraz większej wprawy i celności.

Tymczasem żegluga po wąskim i zapchanym lodami kanale, stawała się coraz trudniejszą; wiatr wzmagał się od północy, przynosząc z sobą ostre zimno i gęstą mgłę. Podróżni walczyli wytrwale z temi przeciwnościami, w końcu jednak napór lodów okazał się tak szczelny, że zmuszeni byli wznieść się w powietrze.

(d. c. n.)

Marya Łopuszańska.

OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg)

— Ha! nie, niema w ludzkiej mowie przekleństwa na tych, którzy mi synów zabrali. Geronie, krwawy ty wilku, za moje dzieci, okrutnie pomordowane, postradałeś i ty jedynego syna! Powiedz, słodko ci było gdyś na pobojowisku odszukał skrwawione zwłoki, gdyś rwał włosy i przeklinał? A moje serce, tylu bólami stargane, moje serce, które Nya przemieniła w kamień, drgnęło z rozkoszy, gdyś ty, wrogu mój, cierpiał to, co ja cierpiełem. Lecz nie tyle, tyś jednego tylko syna stracił, a ja w trzech moich zamordowanych, trzy razy to samo przeboleiałem; trzy razy serce się moje rozdzierało!...

I wysiłony, prawie nieprzytomny, padł na ławę, dysząc ciężko.

— Co jest kneziowi? — spytał Ładon po chwili Drahomira. — Kogo tak przeklinał i za co?

— A to na niego często nachodzi — odparł Drahomir również cicho — gdy sobie przypomni swoich synów, zdra-

dziecko pomordowanych przez Gerona. Mówią jednak, że najbardziej go to trapić zaczęło od czasu, gdy mu skradziono ukochanego wnuka po najstarszym synie. Nie pomnę tego, bo sam byłem małym chłopcem wówczas, ale stało się to tutaj, w gródku. Dziecko wybiegło w dolinę, nad potok i zostało skradzione przez kupców niemieckich. Odtąd kneź Odył stał się ponurym jak noc, a niekiedy nachodzi na niego ów obłąd, którego dzisiaj byłeś świadkiem.

Po wyjściu Drahomira, Kurtz zbliżył się do Ładona, drżąc ze strachu, bo postać starego knezia budziła w nim przerażenie. Wkrótce jednak starzec wstał i powlókł się powolnymi krokami z izby na podwórze, kędy zrobił się właśnie ruch, bo straż doniosła, iż ujrzano kilku jeźdźców w dolinie.

— Mój Boże, gdzie to ja się dostałem — mówił Kurtz — wszyscy tutaj tacy straszni. Trzeba mi też było tego nie-szczęścia, żeby zbłądzić w puszczy, tak się dostałem w ręce tych okropnych pogan..

— Krzywdy jednak wielkiej wam nie wyrządzili — rzekł Ładon.

— Już oni nie nadarmo mię tutaj uprowadzili — odrzekł Kurtz, trzęsąc głową. Ujrawszy w puszczy gromadę jeźdźców, zbliżyłem się do nich sądząc, że to jakiś oddział kwólewski, a oni wzięli mię natychmiast pomiędzy siebie i gdy ich zapytywałem gdzie mię prowadzą, śmieli się tylko, jakby mnie wcale nie rozumieli.

Tymczasem Ładon dostrzegł przez okno jak otwierano bramę i kilkunastu jeźdźców wjechało na dziedziniec gródka; poznał prawie wszystkich owych starców, których widział w czasie obchodu nocnego na górze Łysej. Między nimi był Masław.

Wszyscy otoczeni byli ludźmi zbrojnymi, a zbliżywszy się do wejścia, przed którem czekał na nich kneź Mszczuj z synem, goście zsiadali z koni i oddawali je pachołkom i powitani przez knezia udawali się do wielkiej izby wehodowej; kneź witał ich u progu, prosząc by zaszli za stołem. Drahomir również nadszedł, stosując się do woli ojca. On i Masław spojrzeli na siebie chmurnie i wyzywająco.

— Przybyliśmy kneziu — ozwał się najpierwszy kapłan Borun, by się naradzić z wami wspólnie, co mamy czynić nadal. Bolesław wyruszył już na wojnę, zajęty jest tam, nad Łabą; godzi się więc korzystać nam z chwili i coś przedsięwziąć.

— Nim rozpoczniemy narady, wprzód wypijemy czarę miodu — rzekł kneź — miód rozgrzewa serce.

Masław siedział wpośród obradujących starców chmurny i zadumany. Otaczający dostrzegli w nim wielką zmianę od czasu jak powrócił z pieczary Rokitki; w obliczu jego czytać się dawała jakaś potęga i pewność zwycięstwa, która nie mogła nie podzielać na innych. Wszyscy też mimowoli podawali się jego wpływowi; stał się teraz rzeczywiście duszą i ramieniem całej sprawy.

W chwili gdy kneź przestał mówić, we drzwiach ukazała się księżniczka Ziezilia, a za nią dwie służebne niosły dzbany z miodem.

Ziezilia nalewała każdemu z obecnych czarę miodu, mówiąc:

— Niech wam bogi dają zdrowie i wiek długi.

Lecz gdy oczy jej spotkały śmiały, pyszny wzrok Masława, drgnęła, jakby za zbliżeniem się ducha ciemności.

— Jakże sądzicie, kneziu — ozwał się jeden ze starców, gdy wyszła Ziezilia — od czego mamy zacząć najpierwej. Powiedzcie, co myślicie?

— Iść na Kielce natychmiast i wypędzić Dobrogosta — rzekł krótko kneź, a gród obsadzić swoimi ludźmi.

— I cóż tam będziemy robili? — zawołał Masław. — Zamknijemy się w gródzie i wezmą nas odrazu, jak niedźwiedzia w ostępie. Nie, to się na nic nie zdało, lud do takiej wojny nie zdolny, ja go znam dobrze. Jedyna wojna, możliwa dla nas, w zaroślach leśnych, w puszczy; dręczyć wciąż przeciwników, szkodzić im na każdym kroku, nie dać im technąć, ale samym tak się ukrywać, by nas nawet nie widzieli, oto jak jedynie możemy wojować.

— To chłopska wojna — rzekł kneź chinurnie.

— A my kogo mamy pod ręką, jeśli nie chłopów? — zawołał Masław. Przecie nie mamy, jak Bolesław, rycerstwa, które umie zdobywać grody i twierdze; ten motłoch pogardzony, to cała nasza siła.

— Ale tym sposobem wojna może trwać lata całe, a nie nie stracimy ani też zyskamy — odparł kneź. — Trzeba coś ważyć, by coś mieć.

— Ale gdybyśmy poszli za waszą radą, kneziu — rzekł Masław — odrazu wszystko byłoby stracone, bo zgniecionoby nas ze szczętem. Przedewszystkiem musimy pociągnąć za sobą wszystkich drwali z puszczy, łowców, węglarzy, cieśli, rybaków, kuśnierzy — cały ten lud leśny, który wciąż w puszczech przebywa i dotąd żałuje starej wiary. Wprawdzie mało się oni troszczą o wielkich bogów: Jesse i Żywie, ale nie mogą zapomnieć świętych dębów i zasypanych źródeł świętych, bo te ich sercu najbliższe.

— A jeśli tego pożaru później nie będzie można ugasić — ozwał się jeden ze starców bojaźliwie.

Masław uśmiechnął się szyderczo.

— Kto nic nie waży, ten nic niema, tak wyrzekł kneź Mszczuj — powiedział drwiąco. — Gdy się boicie, to lepiej nie nie rozpoczynać.

— Lud będzie się obawiał Bolesława — ozwał się ktoś z obecnych.

— A czy to Bolesław nie może zginąć na wojnie. Jeśli nam tego będzie potrzeba? — rzekł Masław. — Czy to trudno rozpuścić pogłoskę o jego śmierci, jeśli ta śmierć sama nie domyśli się i nie pospieszy dopomóc nam w zamiarach?

— A gdy Bolesław nagle powróci, to cały motłoch, chcąc uzyskać przebaczenie, zwróci się przeciw nam — wtrącił Drahomir.

— Wtem też rzecz, żeby go tutaj nie puścić — odparł Masław. — Czy to trudno znaleźć sobie silnych sojuszników, gdy i tak potęga jego stworzyła mu już niejednego nieprzyjaciela. Dla czego mamy być wciąż pod wspólnym rządem wraz z Polanami, kiedy ziemia krakowska wprzód była osobno; żyją jeszcze ludzie, którzy to pamiętają!

— Więc sądzicie, że lepiej być pod Niemcem lub Czechem, niż pod Bolesławem? — spytał Drahomir, wciąż z ironią. — Jabym sądził, że nam ta zmiana chyba na dobre wyjść nie może...

— Cicho bądź, Drahomirze, rozkazuję ci! — krzyknął kneź Mszczuj surowo. — Niech nie słyszę więcej podobnej mowy.

Drahomir umilkł, ale obaj z Masławem mierzyli się groźnym wzrokiem.

Gwarna narada trwała jeszcze czas jakiś; lecz tylko Masław i kneź Mszczuj gotowi byli śmiało wystąpić, inni tak bali się Bolesława, że nie mogli się zdobyć na żaden krok stanowczy. Czuć było, że nawet w razie, gdyby się plan powiódł, oni nie potrafili nigdy działać śmiało i rzeźwiej. Niektórzy z synów owych starców byli teraz wraz z królem na wojnie, oni też, korzystając z ich nieobecności, ofiarowali swe gródki na schronienie dla pogan. Uradzono przedewszystkiem, że niepodobna dopuścić na zbudowanie klasztoru i osadzenie tam księży, którzyby natychmiast pozyskali wpływ na ludność okoliczną. Gdy już wszyscy zaczęli się zbierać do odjazdu, kneź znów kazał podać miód.

— Pijmy na Nyę! — zawołał Masław, podnosząc czarę. — Na zgubę wrogom naszym!

Wszyscy naśladowali za nim ów obyczaj starodawny, stosowany niegdyś u Słowian na stypie pogrzebowej, gdy przysięgano zemstę wrogom.

— Na zgubę wrogom naszym! — powtórzył kneź Mszczuj, wychylając czarę.

Tylko jeden Drahomir milczał posepnie.

Przed odjazdem, gdy już reszta gości zaczęła wsiadać na koń, Masław wziął na bok starego knezia i rzekł mu półgłosem ale stanowczo:

— Kneziu, obu nam wyjdzie na dobre gdy za jedno wciąż trzymać będziemy; wy mnie potrzebujecie a ja was. Nie

zawadziliby więc zawrzeć ściślejsze związki, przezemnie bowiem wszystko możecie zrobić, bezemnie nie. Gdy zaś będziemy razem, nikt nam nie da rady, nawet Bolesław. Ja bowiem mam straszną potęgę w rękę; wiecie, że lud tylko mnie jednego słucha...

— Do czegoż to zmierza? — spytał kneź zimno.

— Oto do tego, kneziu, byście mi oddali waszą dziewę, tę krasną dziewę, która miód nalewała. Wtedy ja wam przysięgnę wieczny sojusz...

— Ziezilia bogom poświęcona, nie może więc być oddana w małżeństwo, innej zaś dziewczki nie mam — odparł kneź dumnie.

— Wymawiacie się — wybuchnął Masław — dla tego, że wy kneź, a ja z chłopskiej krwi pochodzę! Znam was dobrze, wy dumne plemie, pogardzacie tymi, których macie za niższych od siebie!

— A choćby i tak — odparł kneź wyniośle.

— Ale my mamy zęby — odparł Masław szyderczo. — Strzeżcie się, strzeżcie, powiadam wam, i ty kneziu i ten twój syn dumny, bo kiedyś możecie pożałować żeście nie zrobili tego, czego od was żądałem.

— Gróżb się nie lękam i gardzę niemi, szczególnie gdy z takich ust pochodzą — odrzekł kneź zimno. — Na gróżby znajdują się gróżby, a dziewczkę choćbym mógł nie oddałbym chłopu!

— A ten chłop gardzi wami, wy, plemie pyszałków, i kiedyś przyjdzie może czas, że sami będziecie się ubiegali o związki z nim, ale wtedy on je podepcze nogami, ot tak!

I uderzył nogą w ziemię. Poczem, wypadłszy na podwórze, wskoczył na koń i oddalił się szybko. Reszta gości była już w dolinie i nikt nie wiedział co się przed chwilą odbyło między kneziem a Masławem.

Nazajutrz Ziezila przedła w świetlicy, przy oknie, gdy wszedł Drahomir. Nie wyrzekłszy słowa do siostry, usiadł przy stole, wsparłszy głowę na rękę, pogrążony w ciężkie dumy. Lecz nagle Ziezila wstała z miejsca i stanąwszy przed bratem, ozwała się nieśmiało:

— Pozwolisz mi bracie rzec sobie słowo szczerze? Wiem cześć, którą winnam ja, dziewczka, starszemu bratu; zawszem ci była posłuszna i podległa, jako przystoi siostrze. Ale na sercu mi leży sroga troska. Nie mieszam się do tego co czynicie oba z ojcem, boć to nie moja rzecz, lecz powiedz mi: wszak prawda, że chcecie się wiązać z tym Masławem, który był tu wczora? O, nie czyńcie tego, błagam was na bogi wielkie! To człowiek zły, to człowiek przeklęty, on z Czarnobogiem w zmowie, serce mi to powiada. On nam przyniesie nieszczęście, nie słuchajcie jego namów!

— Ziezilo, co ci to? — zawołał Drahomir, wstając. — Co dziewczka ma się mieszać do spraw męskich? Skąd ci to przyszło do głowy? Trzymać będę z tym, kogo ojciec mi wskaże, wszak wiesz, że jego wolą wszystko tu stoi.

— A więc i jego prosz, błagam, niech z nim nie trzyma. Ja nie wiem nic, prócz tego, że on nam przyniesie zgubę!

— Nie mogę nic radzić ani odradzać ojcu, znasz go, że on nikogo nie zwykł słuchać. Gdyby on wiedział o tem, że dziewczki do jego spraw się mieszaają!

— O, biada mi, biada — jęknęła Ziezila. — Nikt mię nie słucha, a ja przecieź czuję, że wy na zgubę idziecie! O, zlituj się bracie — zawołała nagle, padając mu do nóg — zlituj się sam nad sobą i nademną biedną. Jeden tyś mi pozostał na całym świecie białym, odkąd macierz nasza w mogile, jeden coś mię bronił zawsze przed srogim gniewem ojca, coś mię opieką osłaniał. Bez ciebie cóż ja pocznę nieszczęśliwa? Oto nie nie mam, jako ten świat szeroki, niby ta kalina samotna, miotana wichrem na polu! Z woli ojca zostałam bogom poświęcona, nigdy mi družki weselnej pieśni nie zanucą, nigdy nie przejdę w szczęśliwy dom małżonka, nie oplakana, samotna, z dziewiczym wiankiem na czole w grób się położę. W tobie jednym mam wszystko; jak ta kukulka co po lesie zawodzi, tak ja płacę teraz u nóg twoich i błagam zmiłowania. Nie darmo, ach, nie darmo nazwaną mię Zie-

zila, nie dla mnie słodka bogini Łado; od lat młodych tylko żalność mi znanal

Złote jej włosy okryły nogi Drahomira, wianek ruciany spadł z głowy, a łzy gorące oblewały stopy brata. Młody kneź uczuł, że jego bohaterskie serce mięknie od tych łez; podniósł siostrę z ziemi, usiłując ją pocieszyć i ukoić. Białe ramiona oplatały go, niby wiotkie gałęzie powoju, owijające dąb potężny; gdy burze dąb zwały, pozostanie mu przynajmniej sława, że był kiedyś najpiękniejszym i najdumniejszym w puszczy; może wysmukłe brzozy zapłaczą po nim chórem; lecz cóż się stanie z powojem?

(d. c. n.)

NOWE KSIĄŻKI

Nadesłane do redakcyi Wieczorów.

Dla dorosłych.

Na Kresach lasów. Powieść, *Wacław Sieroszewski* (Sirko).

Słowa Święte, pełne Boskiej mądrości w naukach, odpowiedziach, przypowieściach i przepowiedniach Pana naszego Jezusa Chrystusa z pism Ewangelistów, wybrane przez *Józefa Karpińskiego*. Książka ta aprobowana przez J. E. ks. arcybiskupa warszawskiego, zawiera wszystkie słowa Pana Jezusa w Ewangeliach przytoczone, z objaśnieniami gdzie, kiedy i w jakich okolicznościach wypowiedziane zostały.

Podręcznik dla ochronek do użytku wychowawczyń i matek chrześcijańskich. Niezmiernie pożyteczna książka dla wychowania i kształcenia małych dzieci.

Metoda poglądowa buchalteryi amerykańskiej przez *K. Jakobsona*.

Ze Starego Autoramentu. Typy i obrazki wołyńskie przez *Józefa Dunina Karwiewskiego*.

W złocie przez *Stańkę*, powieść dla dorosłych.

Włościańskie stowarzyszenia rolnicze przez *M. Malinowskiego*.

O kupnie gruntów, wiadomości praktyczne, prawne przez *Stefana Holewińskiego*.

Pan Gamajda, czyli wybory na wójta przez *Klemensa Junoszę*.

Dla młodzieży.

Adam Mickiewicz. Upominek jubileuszowy.

O morzach i łądach opowiedział *M. Brzeziński*.

Z życia ludzi i zwierząt.

Doczekali, powieść z dziejów Serbii przez *Terese Jadwigę*.

Samouczek, metody polsko francuskiej *Reusnera* zeszyt VI.

Krótką składnia języka polskiego łącznie z zasadami użycia znaków pisarskich, ułożył, *Wł. Kokowski*.

Tegoż: Krótka Entymologia języka polskiego.

ZE ŚWIATA.

Czarna lwica. — Jubileusz depeszy. — Walka pająka z osą.

W paryskim „Jardin des plantes” podziwiają obecnie zwiedzający niezwykle okaz lwiego rodu. Mianowicie z Timbaktu przywieziono czarną lwicę, znalezioną w oddaleniu 200 kilometrów od Timbaktu, w głębi puszczy. Jest to nader rzadki okaz, od czasu do czasu spotykany w Saharze. Lwica liczy 4 miesiące życia, karmi ją mlekiem i pieczonem mięsem.

Dnia 29 sierpnia r. b. minęło lat 40 od wysłania pierwszej depeszy przez ocean Atlantycki. Okręt angielski „Agamemnon” zetknął się w dniu 29 lipca 1853 roku na pełnym oceanie z amerykańskim okrętem „Niagara” i wówczas połączone zostały dwa końce drucianej liny podmorskiej. W d. 29 sierpnia jednak przesłała dopiero pierwszą depeszę królowa angielska Wiktoria, do prezydenta Binchamana. Nowy ten drut przetrwał zaledwie dwa tygodnie, przerwał się i pogryzł w głębiach morskich. Dopiero w roku 1866 przeprowadził okręt „Great Eastern” stałą linię podmorską pod oceanem Atlantyckim.

Ciekawy przykład walki pająka z osą opisuje pewien badacz. Pająk siedział najspokojniej w swej sieci, gdy wleciała w nią wielka osa; w tej chwili zerwał się z miejsca, rzucił w bok, przebiegł nad nią ze strony tylnej i zdaleka zarzucił nić, która, niby lasso, oplątała jedną z nóg osy. Po spełnieniu tego cofnął się i pozostał w położeniu wyczekującym.

Osa usiłowała się tymczasem uwolnić z tych pęt i gdy prawie jej się to już udało, pająk znów się zbliżył i nowe lasso zarzucił, poczem oddalił się, wyczekując z napiętą uwagą. Po chwili począł biegać w około osy, oplątując ją wielu zwojami nici, lecz wciąż trzymając się od niej w pewnym oddaleniu.

Gdy zaś owad przerwał na chwilę swe szamotanie, wówczas skorzystał z odpowiedniej okazji, rzucił się na osę i począł ją już owijać swemi niemi dokładnie, zbliżka. Po upływie niecałej minuty, osa wyglądała już jak poczwarka w kokonie; pająk jednak chodził w około niej, oplątując ją w dalszym ciągu i przerwał swą pracę dopiero wówczas, kiedy mógł się w zupełności uspokoić, albowiem z pod białoszarego pokrycia wcale już osy widać nie było.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austryi kwartalnie zlr. 1 cent. 75 (3½ korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Biały anioł (rycina). — Na dzień zaduszny, wiersz. — Bez przewodnika — Sto lat temu nad Nilem (z ryc.) — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej ryby,” opisał H. C. — Obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — Nowe książki. — Ze świata. **Dodatek:** Alabastrowa czara (z ryc.) — Tydzień, wiersz. — Nieproszeni goście. — Dług wdzięczności, przez Zofię Rudnicką. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Wspomnienia Haliny, przez Julię Piasecką.

ALABASTROWA CZARA.

W posępny dzień jesienny gromadka dzieci, siedząc koło kominka rozmawiała poważnie. Najstarsza dziewczynka przypominała słowa z Ewangelii, słyszanej rano w kościele o niewieście, która stłukła alabastrową czarę i wylała z niej wonny olejek na głowę Chrystusa Pana; a gdy uczniowie Pańscy zarzucali jej marnotrawstwo, Chrystus rzekł: Dajcie pokój, czemu jej przykrość czynicie? Dobry uczynek przeciwko mnie uczyniła.

(Ew. św. Marka roz. 14).



— Jakżebym i ja podobną ofiarę pragnęła zrobić dla Chrystusa Pana! — zawołała druga ze starszych dziewczynek — ale czyż to możliwe!

— To niemożliwe, bo przecie Pan Jezus nie pokazuje się już ludziom na ziemi, tłumaczył jej brat przekonująco.

Mimo tego serce dziewczynki przejęte było gotowością ofiary dla Chrystusa, i wciąż myślała o puszcze z drogocennymi wonnościami, zebranymi przez niewiastę z Ewangelii, a pod wpływem tych myśli miała jednego razu sen niezwykle:

Szła drogą wyłożoną różnokolorowemi kamieniami. Na jednym z kamieni dużemi literami wypisana była

„miłość”, na drugim „wiara,” na innym „dobroć,” to znowu „posłuszeństwo,” „cierpliwość,” „prawda” i t. p. a ona wiedziała jakie kamyki wybierać powinna i po jakich ma stąpać. Na samym końcu drogi zielenił się wspaniały ogród, pełen najpiękniejszych kwiatów, kielich każdego kwiatu zawierał kropelkę cudownie woniejącego balsamu. Pośrodku ogrodu, na złocistym słupku stała czara alabastrowa, misternie rzeźbiona, a ścieżką opodal szedł anioł srebrno-pióry. I rzecz niepojęta! owego anioła z kwiecistego ogrodu i dziewczynką idącą po kamienistej drodze łączyły cienkie, delikatne, jak włókna pajęczę struny srebrzyste.

Szła tak długo, bardzo długo, w tem posłyszała głosik dziecinnny: — Pomóż mi wejść na ten duży kamień! —

Była to jej mała siostrzyczka, usiłująca nadaremnie przejść dróżkę, na której leżał duży kamień. Dziewczynka natychmiast wyciągnęła ku niej ręce, a gdy tak spieszyła z pomocą siostrzyczce, struna łącząca ją z aniołem zadzwieczyła słodko i anioł, zerwawszy jeden z kwiatów, zebraną z niego kropkę wonności spuścił do czary alabastrowej. Potem matka jej odezwała się: — Moje dziecko, jestem bardzo zmęczoną, niech się wesprę na tobie. Dziewczynka skwapliwie nadstawiła ramię, na którym matka znalazła oparcie i znowu zadrgała srebrzysta struna, znowu kwiat przez anioła został zerwany i kropka balsamu przelana do czary. Powtarzało się to za każdym dobrym postępkim dziewczynki i tylko gdy przypadkiem upływały dni bez żadnej z jej strony zasługi, twarz anioła bladła i powlekała się smutkiem.

We śnie lata szybko mijają, niby krótkie chwilki; dziewczynka tedy ujrzała się na owej drodze dorosłą, dążącą wytrwale do zamierzonego celu, a anioł zbierał wciąż kwiaty jej zasług i sączył z nich kropki do czary, aż w końcu dziewczynka przemieniona w sędziwą staruszkę, stanęła u furtki ogrodu. Gdy ją otwierała, wszystkie struny łączące ją z aniołem stróżem poraz ostatni zadzwieczyły cudowną melodyą, a w ogrodzie oczekiwał na nią drugi anioł i wchodzącą powitał radośnie.

— Kto jesteś duchu przeczysty? pytała dziewczynka - staruszka.

— Jestem cnotliwą duszą twoją — odparł anioł — uświęconą gotowością do ofiar, pragnieniem uczczenia Chrystusa wonnościami zebranymi w alabastrowej czarze.

— Niestety, tej czary nie posiadam jeszcze — żaliła się staruszka.

Anioł wskazał jej wtedy stojącą na złocistym słupku czarę pełną balsamicznych woni, zebranych po kropelce z kwiatów jej dobrych uczynków, a gdy dziewczynka - staruszka ujęła ją w dłonie, dusza jej w postaci anioła zajaśniała blaskiem nieśmiertelnej młodości i piękności.



TY DZIEŃ.

Pamiętaj mały mój synku:
Niedziela — dzień odpoczynku!
Poniedziałek, gdy zaświta,
Niech go każdy pracą wita.
I ty synu, chociaż mały,
Pracuj pilnie dzionek cały.
Trzeci z rzędu idzie wtorek,
Jeśli chcesz mieć pełen worek,
Ucz się pilnie, bądź ochoczy,
Bo i to dzionek roboczy.
Środa, czwartek, piątek idzie,
Żyć jeżeli nie chcesz w biedzie,
Gdy się dzielić chcesz z rodziną,
Niech ci marnie dni nie płyną,
Niech twe serce kocha, czuje —
Niech myśl, ręka twa pracuje!
Zbliża się wreszcie sobota,
Kończy się w wieczór robota,
A nazajutrz znowu czeka
Odpoczynek dla człowieka.

NIEPROSZENI GOŚCIE.



Do rzędu nieproszonych i bardzo nawet nieproszonych gości należy bezwątpienia pchła, musimy więc i o niej wspomnieć z kolei, zwłaszcza, że jest nader natrętną w swych odwiedzinach, choć naturalnie za przedmiot do rozmowy służy bardzo rzadko.

Małe to jest i niepozorne stworzenie, a jednak zręczniejsze daleko od najlepiej wyćwiczonego akrobata. Gdyby człowiek skakał tak zręcznie jak pchła, mógłby przeskoczyć dużą kamienicę. Nie wierzycie? A jednak tak jest, bo pchła robi 1000 razy większe skoki niż długość jej ciała wynosi. I to jej szczęście, bo czemby się obronić mogła? Skrzydeł niema, uciekać też prędko nie potrafi, wyginęłaby już oddawna.

A przecież i ona jest żywym stworzeniem i ona chciałaby żyć trochę na świecie.

Wie dobrze, że człowiek jest jej największym nieprzyjacielem, więc stara się nie wchodzić mu w drogę. Mieszka sobie skromniutko w szparach podłogi, w dywanach, w meblach lub w ubraniu ludzkim. Trzeba przyznać, że to ostatnie mieszkanie najwięcej się jej podoba, bo tam i ciepło i miękko i pożywienie blisko. Ale do człowieka wtedy tylko się zbliża, gdy jest dorosłą, bo małe nie mogą jeszcze do niego się dostać.

Wyszedłszy z jajka, pchła mieszka w ciemnym zakurzonem kącie za szafą i wygląda wtedy jak mały mały robaczek z jasnymi oczami. U spodu ma malutkie

szczecinki, które zastępują jej nóżki, a że sama jest bardzo małą, więc przy ich pomocy z łatwością może biegać po ziemi. Ona by i na środek pokoju wybiegła, ale taki już zwyczaj u pcheł, że z ciemnego kąta wydostać się im nie wolno.

Matki nie opiekują się dziećmi, więc młoda liszka musi sama szukać sobie pożywienia. Przy ścianie znajdzie usniętą muchę, to jej na długo starczy, później żywi się odrobinką chleba i jakoś tam ośm dni przeżyje. Potem owinie się pajęczynką, którą z siebie wysnuje, zamieni się w poczwarkę i uśnie.

Jedenaście dni spała, a tak mocno, że nie czuła jak w ciele jej utworzyły się trzy części: główka, piersi i odwłok; jak jej sześć nówek urosło, z których jedna para jest bardzo silną, i jak cała przybrała barwę ciemno-brązową, połyskującą.

Aż nareszcie skórka poczwarki pękła! żywa i wesola pchła wyskoczyła, dziwiąc się, że taką jest inną niż dawniej.

Ciemny kąt stał się już dla niej niewłaściwy. Dosyć już miała kurzu i złej strawy, więc skierowała się do słonecznego pokoju i zawędrowała do łóżeczka małej Jani.

I dobrze byłoby tym stworzonkom na świecie, gdyby ludzie nie stawali im na przeszkodzie. Wprowadzili eni zwyczaj wysypywania szpar w łózkach proszkiem perskim.

Jakże to można! to zabójczy zapach dla pcheł. Inni znowu wszystko trzepią i czyszczą: ubranie, meble, dywany, pościel, gdzie wobec tego biedne pchły mogą się ukryć?

Nie dość na tem są i tacy co uwzięli się wymiatać kurze ze wszystkich kątów.

— Zrozumiejcie moi państwo — myśli zapewne pchła — jakie to barbarzyństwo! Gdzież będziemy składały nasze jajka, czem będą się żywiły nasze dzieci? Na szczęście, nie wszystkie gospodynie są takie porządne, więc sądzę, że nasz ród nie wyginie.

Dodać trzeba, że pchły są bardzo zmyślne i nadają się do tresowania. Od czasu do czasu przejeżdżają po miastach przedsiębiorcy i pokazują różne ćwiczenia tych malutkich owadów. Winszujemy im cierpliwości.

Marya Weryho.

DŁUG WODZIĘCZNOŚCI

przez

Zofię Rudnicką.

(Dalszy ciąg)

— Już mi się teraz moje kajdany lżejszemi wydawać będą — mówił Skalka.

Wiosna mijala — przyszło gorące lato. Janka zalewał pot kroplisty przy pracy i nieraz myślał, że gdyby nie litościwe serce tej dobrej dziewczynki, która go wyswobodziła z kajdan, byłby zginął z utrudzenia. Nieraz też myślał z tęsknotą, jakiby był szczęśliwy, gdyby mógł ją

jeszcze raz zobaczyć; ale dozorczyńni dobrze ją strzegła. Uływały mu dni jednostajne, nużące — nie wiele mógł nawet rozmawiać ze swoim towarzyszem; bo gdy się schodzili na nocleg, tak byli znużeni pracą całodzienną, że zaledwie słów kilka zamieniwszy, usypiali snem twarzym. Rok już minął od chwili, gdy Janek przez Tata- rów został porwany... Czyż dziadek mój żyje jeszcze? Biedna matka wyplakała oczy za mną — Hania pewnie nieraz także płacze — a ja nawet donieść im nie mogę, co się ze mną dzieje... może i lepiej, że nie wiedzą — ser- ca by im pękły z żalu". Tak nieraz myślał Janek — bo nigdy — nigdy tęsknota za swoimi, nie schodziła mu z serca.

Raz modląc się w południe, zawołał półgłosem:

— O Boże, kiedy już, kiedy powrócisz mnie do kra- ju, do mojej rodziny! Wszakże ja jestem ostatni z rodu: niech nie ginę marnie w niewoli tureckiej.

Gdy domawiał słów ostatnich, rozchyliły się gałęzie osłaniające go przed skwarem i ukazała się wśród nich głowa w turbanie tureckim, ale Janek po skośnych oczach, patrzących z pod tego turbanu, poznał Tata- ra. Zadrżał, myśląc, że głośna jego modlitwa wywołała we wrogu oburzenie, że nielitośnie skarci go ten barbarzy- niec, — a niema już Zulejki, by wstrzymała bolesny cios zawieszony nad jego głową. Lecz jakież było jego zdziwie- nie, gdy Tatar postąpił krok bliżej i stanął przy nim nie okazując gniewu, przeciwnie jakies miękkie uczucie lito- ści odbiło się na jego oliwkowej twarzy... O dziwo! Tatar przemówił po polsku — językiem złamanym, ale przecie zrozumiałym dla Janka. Biedny chłopiec tak niespodzie- wanie uderzony dźwiękiem mowy rodzinnej, rzucił się do nóg Tata- ra, objął je i na głos się rozplakał. Tatar pod- niósł go, — uważnie popatrzył mu w twarz, i zapytał:

— Skąd jesteś? Jak się nazywasz?

Janek drżąc na całym cieple, jak listek osiny, odpo- wiedział przecie wyraźnie.

— Jestem z Polski — nazywam się Jan Sęp.

Tatarowi mignęły w oczach jakies dziwne blaski, brwi ściągnął — coś przypominał sobie.

— Ojciec twój jak się nazywa?

— Ojciec mój dawno nie żyje — nazywał się An- rzej.

Tatar wznosił ręce do góry. — O Ałlach! Ałlach! Ałlach! — wykrzyknął po trzykroć. Ałlach postawił cię a mojej drodze, bym spłacił dług wdzięczności...

Po chwili znowu ściągnął brwi — coś ważył w my- lach.

— W jaki sposób dostałeś się do niewoli? — zapy- ał niespokojnie.

Janek opowiedział zwięźle losy swego porwania.

— Dzięki ci, Ałlachu! Ukradziony, może więc też yć odkradziony.

Janek stał osłupiały, nie rozumiejąc znaczenia ostat- nich słów Tata- ra. Ten zwrócił się do niego i rzekł:

— Idź do swojej roboty, Ałlach cię wysłuchał, jutro o tej samej porze przyjdę tu do ciebie. Rozchylił gałę- zie i wyszedł z pod drzewa. Po chwili świst przeraźli- wej piszczałki wezwał niewolników do pracy. Janek był tak wzruszony całym tem zajściem z nieznanym Tata- rem, tak zdziwiony, że nie otrzymał od niego razów

lub klątwy, lecz łagodne, dobre słowa, których nie poj- mował jeszcze dokładnie, ale które przecie przyniosły mu jakies ukojenie — że jak nieprzytomny jął się pracy. Co chwila stawał, taki czuł chaos myśli, których rozplą- tać nie mógł. Od dnia, gdy za wstawieniem się Zulejki, ukochanej córki baszy, (bo nie wątpił, że ona to sprawiła), kajdany opadły z nóg jego, był jakby pod wyjątkową, niewidzialną opieką; bo od tej pory, żaden dozorca nie podniósł nawet bata na niego. I teraz właśnie, kiedy ważył w swej głowie słowa słyszane przed godziną, i przystanął, trzymając w ręku taczki ciężkie, pełne wil- gotnej gliny i ziemi, przeszedł obok niego dozorca, od- wracając głowę na bok, żeby mógł go niby nie widzieć. Janek ocknął się, zrozumiał doniosłość jakiejś tajemni- czej opieki nad sobą — i wyszeptał:

— Bóg dobrotliwy otoczył mnie swoimi aniołami, matka mi tę łaskę wymodliła — oni mnie strzegą, na swoich rękach piastują i nie dają nic złego zrobić, a ja niewdzięczny, tyle razy upadałem na duchu, tyle łez gorzkich wylałem; traciłem cierpliwość... i nadzieję!

— Jął się znowu pracy z nową siłą, która wstąpiła weń z przekonaniem, że Bóg wysłuchał modłów matki jego i ma go w widocznej swej pieczy.

Nazajutrz Tatar stawiał się na słowo i zaledwie Ja- nek odmówił pierwszą modlitwę pod zieloną kopułą swe- go kościoła, gałęzie rozchyliły się jak wczoraj i Tatar stanął przed nim.

— Słuchaj — przemówił bez żadnego wstępu — przyszła chwila twego uwolnienia — ale potrzeba ci ze- brać się na wielką odwagę.

Janek wyprostował się — odbłask dumy strzelił mu z oczu.

— Z dziada pradziada nie znaleźmy braku odwagi — i ja go w żadnej okoliczności nie znam.

— Ojciec twój obdarował mię wolnością przed laty...

— Ach, to ty? — przerwał mu Janek zdumiony — toś ty ten jeniec, o którym mi tyle opowiadano; tak ko- chający swoje stopy, a taki wierny swojemu słowu.

— Tak, to ja byłem uwolniony przez twego ojca, i dziś Ałlach stawia ciebie na mojej drodze po to, bym spłacił dług wdzięczności.

— Jesteś tu panem? tyś basza? — wykrzyknął ura- dowany chłopak.

— Nie, jestem jednym z pierwszych sług jego. Wykradnę cię, ułatwię ucieczkę — ale i ty musisz dopo- móż mi w tem własną roztropnością i odwagą.

Janekowi oczy zaświeciły radością. — O Boże, dzięki Ci! — zawołał wzruszony. — Lecz po chwili posmutniał.

— Co ci? — zapytał Tatar.

Janek oczy spuścił i stał milczący.

— Co ci to? — powtórzył Tatar niecierpliwie.

— Czyż mogę wracać do swoich, bez wiadomości obecnego pana mego? Krzywdzić go przez to? Wszak i ty nie chciałeś wówczas uciekać samowolnie, by nie skrzywdzić mego ojca.

— Ja byłem prawowitą jego własnością, bo jeńcem wojennym; ojciec twój, zdobył mnie, narażając życie swoje! — tyś niewolnikiem ukradzionym — przehandlo- wanym — Ałlach chce twojej wolności, gdy mnie tu

sprowadził. Słuchaj i czyni co ci rozkażę. Nastają teraz nocy ciemne — dziś, jutro — może za kilka dni — może za tydzień, tego stanowczo powiedzieć nie mogę, w chwili gdy dozorca będą zapędzać niewolników na noc, zrobi się między nimi hałas, zgiełk, jakaś niby kłótnia; — dozorca stojący u wejścia, zwróci się naturalnie w stronę tego krzyku, by się przekonać o przyczynie zajścia; ty w tej chwili wymknij się i zamiast wejść we drzwi podziemia, przyciśnij się do muru, potem cicho posuwaj się wzdłuż kamieni — nad słuchując czy cię nie nawołują — to jest, czy dozorca nie spostrzegł, że cię niema na miejscu; gdyby się to stało, wróć jak najprędzej, tłómacząc jak bądź swe spóźnienie; jeżeli nic nie przerwie ciszy, to posuwaj się ciągle pod murem aż do miejsca, gdzie rośnie tamaryks, wsuń się pod jego gęste gałęzie i tam stój cicho, bez szmeru; choćby wtedy wołano, nie odzywaj się, czekaj! Ten, który przyjdzie po ciebie, zarządzi dalszą twoją ucieczkę! Nie obawiaj się go — to będzie syn mój, do którego tak tęskniłem w niewoli.

Rzekłszy to, odszedł spiesźnie.

Janek pozostał na miejscu zdumiony, szczęśliwy — w głowie mu szumiało.

(d. c. n.)

SZARADA.

Ułożył Aleksander W.

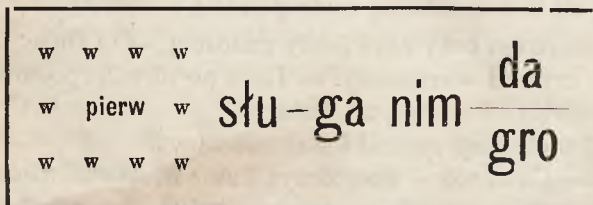
Że *pierwsze* znaczną rzeką, geografia uczy,
Drugie wspak, gdy nam praca lub upał dokuczy
 Oblewa czoła nasze. A znów *wszystko* razem
 Wprost, czyli wspak czytane jest zawsze obrazem,
 Ogólnego zniszczenia, jak biblia wskazuje,
 U nas zaś bardzo znana powieść opisuje.

PROZA DO PRZEROBIEŃ NA WIERSZE.

Dżdżysta już jesień, liść spada z drzewa, nie śpiewa ptaszek w nagich gałęziach. Jak stracone marnie dni młodości, zwarzone szronem liście pod stopą. Kruche, a wiotkie suche, bezbarwne, po lesie ciemnym niesie wiatr płochy.

REBUSIK.

ułożył A. W.



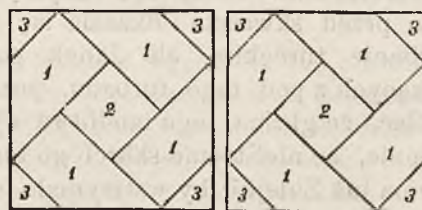
ROZWIĄZANIA DO N-ru 42.

Szarady: Li — te — ra — tu — ra.

Łamigłówki kryształowej:

K
 K o t
 M u c h a
 M e c h l i n
 Z o r o a s t e r
 K o c h a n o w s k i
 K l o n o w i c z
 F r o w a r d
 P a s e k
 O k o
 i

Łamigłówki geometrycznej:



Skrzynka do listów.

Pani C. Odpowiedź pocztą wkrótce szanownej pani wysłamy.

Kotce posyłamy żądane dodatki, a na dłuższe listy chętnie dłuższe odpowiedzi dawać będziemy.

Figlarnemu chłopczykowi za serdeczne wyrazy dziękujemy, cieszymy się bardzo, że czytanie *Wieczorów* sprawia ci tyle przyjemności. Nie wątpimy, że w położeniu Janka, bohatera „Długu wdzięczności” okazałbyś się równie dzielny i zacny chłopcem. Druga część „Latającej ryby,” stanowiąca całość odrębną, drukowaną będzie w roku przyszłym.

Dobre rozwiązania zadań i lamigłówek przysłali: Marya K., Złota rybka, Ignasz i Kasia B., Czarna wiewiórka, Sęp, Helenka Z., Józio Ch., Staś L. i Alina M.

Pocziwa moja Kurko z Polesia jakim miłym i serdecznym obdarzyłaś mnie listkiem! Dziękuję ci bardzo za przyjazne wyrazy i choć niezajoma, przyjaźń twoją cenię i odpłacam ci się wzajemnością. Zagubiony numer *Wieczorów* wysłamy. Na wypadanie włosów pomaga dość skutecznie wcieranie araku lub koniaku i zdaje się, że żaden z tych środków nie wpływa na kolor włosów. Przedewszystkiem jednak należy dbać o ogólny stan zdrowia, unikać zmęczenia, aż do zapotnienia głowy, wielkiej ilości śpilek, zawiązywania włosów plecionką, mocnego przytwierdzania grzebieniami, silnego czesania, nieuważnego wrywania, spełniając te warunki, włosy pozostaną długie, i obfite. Po recepcie poświęcam kawałek miejsca na przesłanie ci serdecznych wyrazów, z prośbą, byś wkrótce nowym listem obdarzyć chciała przyjazną ci

Jaskółkę.

WIECZORY RODZINNE

Władysław Smoleński.

KRYSTYN GOZDAWA.

Przed siedmiuset laty, po obu brzegach Wisły, tam, gdzie Płock i Warszawa, to jest w części kraju zwanej Mazowszem, panował wnuk Bolesława Krzywoustego, książę Konrad. Ojciec, Kazimierz Sprawiedliwy, kilkoletniem odumarł go dzieckiem i nie mógł w synu zacnych swoich zaszczyścić zasad; wyrósł przeto Konrad na młodziana tęgiego lecz bez rozumu i serca. Chociaż w chwili objęcia rządów miał lat szesnaście, żadnej jednak nie okazywał ochoty do czynów, nic nie przedsięwziął dla zjednania sobie miłości narodu lub sławy. Zamiast strzedz granic, ścigać złoczyńców, godzić zwaśnionych i pilnować porządku, po całych tygodniach ze zgrają swawolnych dworzan w puszczech rozległych polował na jelenie i dziki; podczas pobytu w stolicy we dnie spał, w nocy ucztował, słuchając pochlebstw, nedorzeczných piosenek i gawęd.

Próżnował książę, chociaż krainie poważne zagrażały niebezpieczeństwa. Na północ Mazowsza, ku morzu Bałtyckiemu, pomiędzy Wisłą i Niemnem mieszkał lud nieokrzesany, znany pod nazwą Prusaków. Obcą była Prusakom wiara chrześcijańska, obcemi urządzenia społeczne, które w Polsce i innych krajach dla pomyślności człowieka istniały już oddawna. Nie rozumieli oni jeszcze potrzeby pracy i żyli z dnia na dzień, jak zbóje, przeważnie z łupów zdobywanych na ludności sąsiedniego Mazowsza.

Właśnie zuchwalstwo dzikiego ludu do najwyższego dochodzić poczęło stopnia, kiedy Konrad zamiast na granicy czuwać z orężem, wypoczywał po łowach na skórach niedźwiedzi lub ucztował. Przy tak niedbałym i lekkomyślnym księciu zamarniałoby pewnie Mazowsze do szczytu, gdyby nie zabiegliwość i waleczność wojewody Krystyna.

Wedle zwyczajów rycerskich miał Krystyn wyrzynięty na pieczęci znak rodowy, wyobrażający malowaną na kolor czerwony tarczę z bukietem białych lilii w pośrodku, zwany Gozdawą. Wielu Gozdawów, to jest krewniaków, używających owego znaku, do wysokich doszło godności, a wszyscy dużego w narodzie doznawali szacunku. Książętom służyli wiernie, lecz nie płaszczyli się nigdy, umieli owszem w razie potrzeby wytknąć im zdrożność i śmiało powiedzieć prawdę.



Za takie przymioty Kazimierz Sprawiedliwy, jako pan mądry, Krystyna cenił i wyniósł; wojewoda znowu wielką dla księcia miał miłość, którą później przelał na synów jego: owego Konrada i starszego Leszka, zwanego Białym. Osieroconych młodzieńców zawsze z narażeniem osoby swojej gotów był bronić.

On to właśnie wslawiony wojewoda Krystyn Gozdawa, ratował Mazowsze wtenczas, kiedy wewnątrz krainy trapiły rozboje i inne złych ludzi łotrowstwa, kiedy nieokrzesani Prusacy, korzystając z lekkomyślności Konrada, coraz częściej czynili napady i ze zdobyczą bezkarnie do leśnych wracali kryjówek. Krystyn łotrowstwom złodziejów i zbójów położył koniec, sądząc i karząc; Prusaków wielokroć pobił, łupy odebrał i do szanowania granic przymusił. Tak się Krystyn dał Prusakom we znaki, że drżeli na samo o nim wspomnienie. Myśleli, że nie człowiekiem, lecz był jakimś istotą wyższą. Nazywali go bogiem mazowieckim.

Odetchnęli Mazurowie pod mądrymi rządami Krystyna i odzywali się głośno, że jemu by raczej, nie zaś Konradowi przystało być księciem. Lecz gdy zakwitła ku wojewodzie miłość wśród ludu, a ku młodemu księciu lekceważenie rosło i niechęć, — zazdrość ludzi nikczemnych przeciwko Krystynowi uknuła spisek i dzielnego męża zgubiła.

Był już Krystyn w wieku podeszłym, nie rokował sobie lat długich, więc nieraz zastanawiał się nad tem, co się po jego śmierci stanie z Mazowszem, nie znajdował godnego siebie następcy, w Konradzie żadnych nie widział zalet, słusznie przeto niepokoiła wojewodę przyszłość krainy, krewniaków i dzieci. Rozumiał, że młodego księcia możnaby jeszcze na lepszą naprowadzić drogę, więc, niby ojciec, jął się dawania mu mądrych wskazówek i przestróg. Zamykał się często z Konradem w izbie, wyrzucał płochosć i do życia statecznego nakłaniał. Książę udawał pokorę i szczerą do poprawy ochotę; skoro mu jednak wojewoda znikł z oczu, po dawnemu swawolił, owszem, w coraz większe wpadał próżniactwo.

Zaniepokojony tem Krystyn, gdy się razu pewnego licznie panowie zjechali do Płocka na radę, wobec wszystkich zdrożności księcia, wytknął i strofował go ostro. Konrad zapalał gniewem i zemstą, a nienawiść ku wojewodzie umieli podniecić jeszcze dworacy, między którymi rej wodził wysoki urzędnik książęcy, przewiskiem Czapla. On to Krystyna obmawiał, zazdrość w księciu budził, przypominając zdanie powszechne, że wojewodzie raczej, nie zaś Konradowi, przystało być panem korony. Złość srogą tak daleko w końcu posunął Czapla, że rozgłosił, niby rzecz pewną, jakoby wojewoda godził na życie Konrada, jakoby zostać chciał księciem. Konrad złośliwym plotkom uwierzył. Zemstą ku Krystynowi pałając, kazał go pojmać, wylupić mu oczy, do lochu ciemnego rzucić, a potem zabić. Dzieci nieszczęśliwego wojewody kazał wyzuć z majątku i z Mazowsza wypędzić.

Plakał lud mazowiecki po dzielnym wojewodzie Krystynie, cieszyli się dzieć Prusacy, że będą mogli łupić Mazowsze bezkarnie. Jakoż, wypadłszy rychło z kryjówek, wioski palili, lud zabijali, rabowali dobytek. Gdy się zbliżali do Płocka, książę Konrad z żoną i dziećmi haniebnie uciekł i na drugim brzegu Wisły, to w Wiskitkach, to w małej naówczas wiosce, Warszawie, szukał schronienia. Zamiast walczyć, dawał Prusakom odzież i bydło, prosząc, iżby wracali do siebie; skoro podarków zabrakło, zapraszał Konrad

panów mazowieckich na ucztę, szaty i konie zabierał im gwałtem i najezdnikom posyłał.

Zmiarkował książę, jakiej się zbrodni dopuścił, zabijając Krystyna; rozumiał także, że tylko złość zazdrosnych stworzyła plotkę, jakoby wojewoda czyhał na życie jego i zamierzał zostać panem Mazowsza. Kazał owego Czaplę, jako głównego winowajcę śmierci Krystyna, uwięzić, męczyć i wkońcu zabić; lecz tym postępkim nie uspokoił udrgężeń sumienia, ani zabezpieczył krainy od wrogów. Często na długie godziny zamykał się w sobie i w rozpaczy się targał. We dnie i w nocy nie dawały księciu spokoju spełnione zbrodnie i niebezpieczeństwa, wciąż grożące od dzikich Prusaków.

Aż poradzono Konradowi, żeby ku obronie Mazowsza zaprosił rycerzy niemieckich. Jął się książę tej myśli i zakon niemiecki, krzyżackim zwany, który po wyniesieniu się z Ziemi Świętej, beczynnie w Europie czas spędzał, sprowadził w roku 1227, wyznaczwszy im ziemie i zamki.

Oslaniali z początku Krzyżacy krainę od napaści Prusaków, lecz sami się później przeciwko swym dobrodziejom zwrócili i stali się dla kraju plagą najsroższą. Tak więc jedna zbrodnia Konrada pociągnęła za sobą na długie wieki nieszczęścia dla całego narodu.

PIERWSZY SNIEG.

Jak się kłębi tam u góry!
Czyż słońeczko już nie świeci?
Toż z tej wielkiej, sonej chmury,
Istny tuman piórek leci.

Lecą puchy w lewo, w prawo,
Nie przepuszczą już nikomu.
Ludzie pędzą ostro, żwawo,
By je prędzej strząsnąć w domu.

Co to będzie? co to będzie?
Już i drzewom się dostało,
Każdej kępce, każdej grzędzie,
Wszędzie równo, wszędzie biało.

Pola białe, łąka biała,
Kędy znikła rola czarna?
Śnieżna kołdra się zasiała,
By nie zmarzły źdźbła i ziarna.

Cisza, drzemka bezustanna
Już w naturze się zaczyna.
Lecz wraz ńci gładka sanna,
A na wodach lód się ścina.

Niech śpią ziarna, drzemią trawki,
Nim je zbudzi wiosna młoda...
Rozkosz sanny i ślizgawki,
Białej zimie wdzięku doda.

E. Lejowa.

W OBŁOKACH I POD WODĄ

WYPRAWY „LATAJĄCEJ RYBY.”

opisał H. C.

(Ciąg dalszy).

Podnieśli statek o 500 stóp nad poziom morza; tam mgła nie przesłaniała im widnokregu, tylko zimno stało się jeszcze dokuczliwszem. Temperatura oziębiała się z wielką szybkością, tak, że podróżni zeszli coprędzej do kajut po cieplejsze ubranie.

Gdy po krótkiej chwili wrócili na pokład, zastali już zamieć śnieżną; padający wielkimi płatami śnieg, utrudniał rozejrzenie się po statku, że zaś należało czuwać aby „Latająca Ryba” nie uderzyła o jaką bryłę lodową, przeto baronet i pułkownik zajęli posterunki na dwóch końcach, z przodu i z tyłu okrętu, a profesor z porucznikiem pozostali przy maszynach dla kierowania ruchem. Bardzo potrzebne okazały się te środki ostrożności, baronet bowiem dojrzał zaraz po zajęciu stanowiska występujące niewyraźnie w zmroku, ogromne masy lodowców i zaledwie zdążył krzykiem uprzedzić o grożącym niebezpieczeństwie. Mimo jednak mgły i śniegu, słuch podróżnych doznawał silnych wrażeń. Wycie wiatru nad zamrzniętym obszarem wód, odbijało się w ich uszach niby dźwięki potężnych organów, dotykanych palcami olbrzymia. Do tych dźwięków łączył się niustający huk rozbijanych lodowców.

Naraz śnieg przestał padać, mgła ustąpiła i obraz zniszczenia w całej grozie ukazał się oczom podróżnych. Pod nimi na milę długości rozbite na drobne kawałki lodowce tworzyły wysokie od 50 do 80 stóp stosy rozłamów lodowych. Lód na 15 stóp gruby, miało potłuczony jak kruche szkło, świadczył o strasznej sile żywiołów, powodujących to rozbicie.

Z każdą chwilą jednak zimno dawało się dotkliwiej odczuwać i gdy statek wzniósł się tak wysoko, że mu od lodowców nie groziło już niebezpieczeństwo, baronet i pułkownik powrócili coprędzej do kajuty rozgrzać przeziębłe członki.

IX.

Niebezpieczna przygoda.

W tej samej chwili Mildmay bystrym wzrokiem marynarza dojrzał daleko na północy coś nakształt żagla okrętu, za pomocą lunety przekonał się, że był to rzeczywiście statek otoczony zewsząd lodowcami. Dziwną tylko sprzeczność z różnym położeniem statku stanowiły różnokolorowe flagi, rozwieszane na rejach, jak gdyby załoga jego obchodziła jakąś wesołą uroczystość.

— Czy widzicie ten czarny punkcik w dali? — zapytał porucznik towarzyszy. Statek ten uwiązł w lodzie i stara się wydostać z tych więzów śmiertelnych. Nic jednak nie poradzi, bo najdalej za pół godziny bryły lodowe zmiażdżą go doszczętnie, chyba że nagle wiatr zmieni kierunek, lub my podążymy mu z pomocą.

— Rozumie się, że mu pomódz musimy — odparł profesor i natychmiast przyspieszył ruch maszyny.

„Latająca Ryba” pomyknęła szybko, a Karliński, zostawiając sir Reginalda przy sterze, wezwał pułkownika i Mildmaya, aby szli za nim. Podążyli do tylnej części okrętu i z pod pokładu wydobyli długą, zwiniętą linę drucianą, przeznaczoną do holowania statków. Jeden jej koniec przytwierdzili do kółka na pokładzie.

— Mam nadzieję — odezwał się profesor — że za pomocą tej liny ratunkowej, zdołamy nieszczęśliwych żeglarzy wydobyć z tego straszego położenia i wyciągnąć szybko ich statek na swobodne od lodu morze.

— Daj Boże — zauważył Mildmay — wątpię jednak czy potrafimy przerzucić tę linę na statek; drut ten bardzo gruby i ciężki, czy nie masz profesorze elastyczniejszej liny?

— Masz słuszność, nie zwróciłem na to uwagi; każdy przecież ma specjalność swoją.

To rzekłszy, profesor oddalił się i po chwili przyniósł inną linę odpowiednich rozmiarów.

Baronet przez ten czas z lunetą przy oczach śledził uwięziony wśród lodów statek i uznał położenie jego za tak groźne, iż przyspieszył gwałtownie bieg „Ryby.” Spowodowało to silny prąd powietrza; profesor, pułkownik i Mildmay, których wiatr o mało nie zmiótł z pokładu, nie mogąc utrzymać się na nogach, na czworakach przyczołgali się do kajuty. jednocześnie od pędu powietrza rozkręcać się zaczęła lina i wplątała się w śrubę, grożąc wielkiem niebezpieczeństwem. Szczęściem baronet spostrzegłszy co się dzieje, wstrzymał ruch maszyny.

Trzeba było niezwłocznie oswobodzić śrubę od tych niespodzianych więzów; podróżni spuścili okręt na powierzchnię wielkiego lodowca, o którego rozpadliny zaczepiono kółtwicę. Mildmay wyszedł na lód i przystawiwszy drabinę, poźdejmował kawałki poszarpanego drutu, potem wraz z towarzyszymi zajął się naprawą linki ratunkowej, a gdy to wszystko załatwione zostało i maszyny znówu w ruch puszczono, sir Reginald zapytał:

— Czy płynąc po wodzie, nie pospieszylibyśmy prędzej z ratunkiem nieszczęśliwym żeglarzom?

— Niewątpliwie w taki tylko sposób udzielić możemy pomocy zagrożonemu statkowi — odrzekł profesor. — Spuścimy się też na wodę, jak tylko natrafimy na kanał między lodami.

Po znalezieniu kanału „Latająca Ryba” została spuszczoną na wodę. Mildmay objął ster statku, profesor pilnował maszyn, a baronet przez lunetę upatrywał nieszczęśliwych żeglarzy. Po dłuższem poszukiwaniu dostrzegł ich za ogromną górą lodową i jednym rzutem oka przekonał się, że kilka minut tylko stanowi o życiu lub śmierci tych biednych ludzi, gdyż napierające z dwóch stron olbrzymie lodowce, groziły statkowi zmiążdżeniem.

Wązki przesmyk między lodowcami prowadził ich do miejsca, gdzie stał statek, a przesmyk ten zwęzał się coraz bardziej. Za chwilę „Latająca Ryba” przypląnęła pod okręt.

— Zatrzymać maszyny! — komenderował Mildmay — przysunąć się burtem o ile można najbliżej, a linę ratunkową rzucić na dany sygnał! Musimy się spieszyć, inaczej ratunek będzie zapóźny.

Stosownie do otrzymanego rozporządzenia, maszyny zatrzymane i baronet, występujący ciągle w roli sternika, nadał „Latającej Rybie” ruch wsteczny, przysuwając ją bokiem do zagrożonego statku.

— Baczność chłopcy na linę! — krzyknął Mildmay do załogi, która z otwartymi ze zdziwienia ustami, spoglądała na ukazujący się niby cudem dziwny ten okręt.

— Rzucaj pan! — odezwał się jeden z żeglarzy.

Mildmay ze zrecznnością wytrawnego marynarza podrzucił linę w górę, a koniec jej padając na statek, okręcił się około pasa oczekującego na nią majtka.

— Doskonale! — wołał porucznik — przytwierdzić ją do haków, w ten sposób wyrwiemy was z tych lodów.

— Bóg zapłać panom — dziękował wzruszonym głosem kapitan — już nam do zguby nie wiele brakowało.

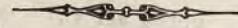
Z radosnym okrzykiem zabrali się ludzie na statku do przytwierdzenia liny ratunkowej, poczem baronet z wielką ostrożnością puścił w ruch maszyny i holując za sobą statek, popłynął z powrotem ciasnym przesmykiem, dzielącym dwa olbrzymie lodowce.

Straszna to była przeprawa. Wierzchołki gór lodowych, wysokich na jakie 500 stóp, pochylały się ku sobie i już, już zetknąć się miały. Wszyscy czekali z trwogą uderzenia potężnych brył lodowych, grożących zniszczeniem dookoła.

Szybko zmniejszała się przestrzeń dzieląca podróżnych od najwęższego przejścia; ostry wiatr północny ciał w twarze jak brzytwą, utrudniając jazdę i odejmując nadzieję ucieczki. Zdawało się niemożliwym dla „Latającej Ryby” przesunąć się przez wąski przesmyk, a zwieszające się z góry kryształowe sople groziły nieustannie zawaleniem.

W tej ciężkiej chwili ratunek zależał jedynie od przytomności umysłu baroneta. Zimna krew i rozwaga nie zawiodły go tym razem. Z twarzą trupio bladą, ale z malującym się na niej wyrazem stanowczości, jedną ręką trzymał

Ale można zaczynać od wyrobów łatwiejszych i mniejszych, a więc niepotrzebujących tyle materiału. Może który z naszych czytelników zachęcony temi wzorami, zbierze sobie pewną ilość pudełek od zapalek i skleji jaki przedmiot, będzie to miła ręczna robota na zimę.



BEZ PRZEWODNIKA.

KARTKA Z ZAKOPANEGO.

(Dokończenie).

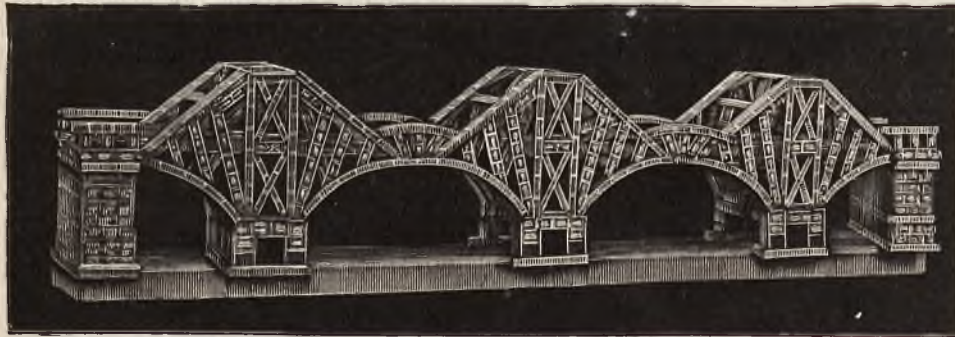
— Która godzina? — dopytywał Tazio.

— Piąta dochodzi.

Milczeli obadwaj. Myśl, że mogą przepędzić noc pod gołym niebem, bez ognia, bez okrycia ciepłego, na deszczu, zaczęła ich poważnie niepokoić. Droga niby zakłęta ciągnie się i ciągnie, przez lasy, z góry na dół i z dołu do góry i końca niema. Idą tyle godzin i nie wiedzą, gdzie zaszli. Czują ogromne zmęczenie, co a najgorsza wzajemną obawą o siebie: Tazio taki delikatny, zaziębi się na pewno, skoro tylko iść przestanie.

A nogi zaczynają odmawiać już posłuszeństwa i jak iść zresztą wśród ciemności? Chyba prosto w przepaść.

Tazio znów drży o Janka. Chorował niedawno na zapalenie oskrzeli, co to będzie? co to będzie? Nie osobliwość w nocy spotkać i niedźwiedzia, a zapalek nawet z sobą nie wzięli. Po prostu rozpacz!



Most na rzece Forth.

ster a drugą koło głównego motoru. W chwili, gdy „Latająca Ryba” wjeżdżała już w wąwóz lodowy i prawie dotykała bokami ścian jego, sir Reginald puścił całą parę i okręt nasz lotem błyskawicy znalazł się szczęśliwie po drugiej stronie na szerszej przestrzeni wodnej.

Czy żaglowiec za nimi zdoła jednak równie szczęśliwie ująć niebezpieczeństwa? Płynął on na linie w długości dwustu stóp, a prąd wody spowodowany przejazdem „Latającej Ryby”, musiał z konieczności przyspieszyć zwanie się lodowców. Baronet rozumiał dobrze, że każdy ruch pędzący powiększał niebezpieczeństwo, ale holował dalej statek z ogromną szybkością, bo nie było chwili do stracenia. Wsparty o parapet Mildmay z bijącym sercem przypatrywał się tej przerażającej gonitwie.

(d. c. n.)

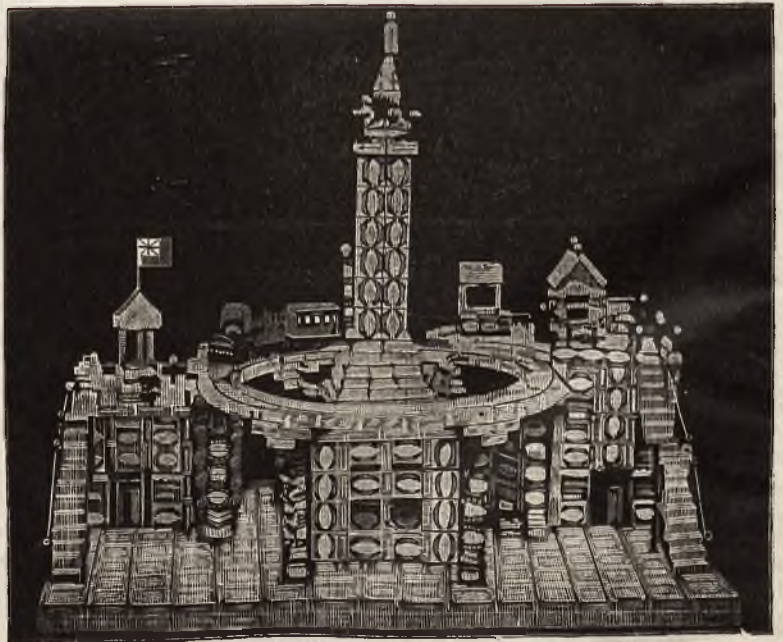


Zabawki z pudełek od zapalek.

Anglicy są bardzo praktyczni i pomysłowi we wszystkich kierunkach. Zarząd pewnej wielkiej fabryki zapalek wpadł na myśl, aby dla rozpowszechnienia swych wyrobów ogłosić konkurs na przedmioty, wyrobione z pustych pudełek od zapalek jej firmy. Wynaczono kilka nagród od 500 do 100 rubli, a za warunki postawiono, aby do każdego przedmiotu użyte były tylko pudełka od zapalek i to niemniej, niż tysiąc sztuk.

Konkurs powiódł się niespodzianie i odtąd co roku się powtarza, powiększając prawdopodobnie zapotrzebowanie zapalek pomysłowej firmy. Ale wywołał on też nowy rodzaj przyjemnego zajęcia na zimowe wieczory, bo okazało się, iż przy pewnej zręczności, można użytkowane niszczony zwykłe pudełka od zapalek i za pomocą szczyrka i kleju, budować z tego niekosztownego materiału bardzo ładne przedmioty, a mianowicie modele różnych sprzętów, domów, mostów, wież i t. p.

Podajemy tu dwa takie modele nagrodzone na konkursie: pierwszy przedstawia most na zatoce Forth w Szkocji, długości 10 stóp, o wysokości 1½ stopy, do którego użyto 3000 pudełeczek, i wieżę z kolejką okrężną, zrobioną z 1200 pudełeczek.



Wieża z pudełek od zapalek.

— Która godzina, Janku?

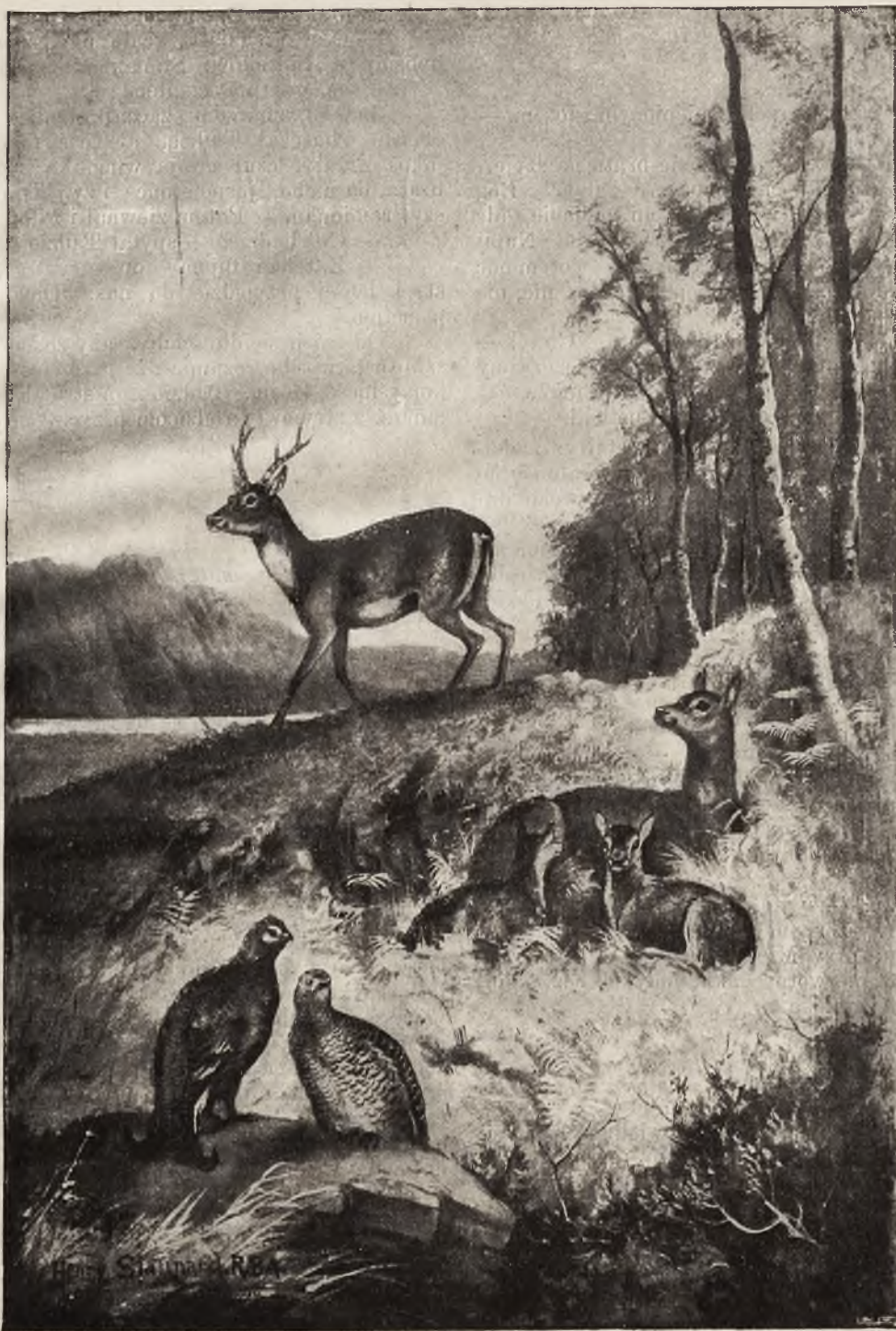
— Trzy na siódmą.

— Słońce około 9 zachodzi.

— Nie w górach i nie w dzień pochmurny.

Istotnie, w pół godziny później zrobiło się prawie ciemno. Z każdą chwilą wolniej mogli posuwać się naprzód, widocznym było, że wkrótce stanie się to niepodobieństwem.

— Masz wino? — spytał Janek. Nie masz szaczkę.



NA SKRAJU LASU ODGRZEWAJĄCE SIĘ SARNY I GUSZCZAK.

- Nie mogę, mam wstręt do wina.
- Rozgrzejesz się.
- Nie czuję zimna.
- To daj mnie, ja się napiję, wiatr taki chłodny, że ubranie pod niem sztywnieje. Nie mam pojęcia, jak przepejdziemy noc bez ognia.
- Żeby choć deszcz nie padał.

Mżyło jednak ciągle, a mgła lekka przybierała fantastyczne kształty. Chłopcy nie śmieli stanąć, czuli, że ruch to ich jedyny ratunek, ale drogę zżubili dawno. Szli, aby nie stać.

Nagle Janek ryknął jak zwierzę ranione i rzuciwszy się na ziemię, krzyknął z całej piersi.

Tadzio przerażony pochylił się nad nim.

— Co ci jest, Janku? Janku! Ja się boję!

Lecz Janek ryczał, aż mu tchu zabrakło.

— Czy cię co boli?

— Wściekam się, szaleję, ja nie chcę tu nocować!

— To nic nie pomoże.

Janek spojrzął na brata

— Może kto usłyszeć.

— Niedźwiedź chyba.

Janek podniósł się spokojnie.

— Więc gińmy, bracie — rzekł zmienionym głosem. —
Przebacz mi, to przezemnie.

Tadzio wybuchnął płaczem i rzucił się bratu na szyję.

— Nie, nie! — zawołał — nie możemy zginąć! Bóg jest dobry, jest miłosierny. Nie chodzi mi o siebie, ale mama, Zosia, ojciec nasz drogi! Nie, Bóg nie pozwoli. Napij się wina, to cię rozgrzeje, skaczymy, ruszajmy się; a potem noc krótka, zaświta może słońce. Nie zginiemy, Janku, nie, nie zginiemy, Pan Bóg nie pozwoli! Co to?

Krzyknął nagle i chwycił mocno rękę brata. Co to? — powtórzył, ukazując w dali blask jakis niewyraźny, czerwony i mglisty, niby ogień czy światło. Janek ujrzał je także.

— Bóg miłosierny — szepnął drżącymi ustami.

Światło jednak szczególne przybierało kształty: znikająco, gasło, wybuchowało znowu, strzelało znowu, słało się po ziemi i niby uciekało. Szli teraz wytrwale, a ono wciąż daleko.

Nakoniec wyraźnie widać postacie ludzkie: ogień się pali na ziemi, a ludzie wkoło dziwne wyprawiają skoki. Jeden przystanął, ujął się pod boki i huknął góralskim śpiewem, w którym trudno rozróżnić słowa:

Uczyła mnie matka śpiewać i tańcować,
A ojciec mnie uczył wziąć i dobrze schować hu, ha!

— Rozbójnicy! — szepnął Tadzio.

Ale Janek potrząsnął głową. Górali dwóch tylko było i dwóch „gości” w serdakach i zakopańskich beretach. Widocznie odpoczywające towarzystwo.

— Niech będzie pochwalony!

Zwrócono się ku nim.

— Gdzie jesteście? — spytał Janek drżącym głosem, podtrzymując zupełnie wyczerpanego z sił Tadzia.

— A za Mnichem, przy Miedzianem. Toć koleba! — dodał góral, wskazując pierwotny jakiś budynek bez okien, przytulony do skały. A zdaleka.

— Z Morskiego.

Gromadka skupiła się bliżej.

— Długo szliście? — spytał góral.

— A od rana.

Wybuch śmiechu górali całą był odpowiedzią, lecz nieznajomi zbliżyli się teraz do chłopców.

— Niech panowie wypoczną — rzekł jeden życzliwie. —

Może i przenocujemy w tem schronisku, mimo niewygód i zimna, bo nie mamy odwagi kończyć drogi po ciemku, choć przewodnicy z nas żartują. Ale panowie ziębli i przemokli, oto pleć suchy, serdak; Wacek, dajno nam koniakul...

V.

...Na miękkim materacu, pod wełnianym kocem, w czystej, suchej białźnie Janek spał snem zdrowym, gdy drzwi znanego nam już pokoiku na Chramcówkach skrzypnęły cicho i Tadzio w mundurku, z wyrazem pomieszania na bladej twarzy, stanął w progu.

Powoli drzwi zamknął za sobą i zbliżył się do brata: budzić czy nie budzić?

Janek otworzył oczy.

— Wstałeś? — spytał zdziwiony.

— Byłem u nich.

— U Zosi?

Chłopiec skinął głową.

— Powiedziałeś?

Tadzio milczał chwilę.

— Gadajże!

— Wróciły pozawczoraj, a wczoraj pojechały do Szczawnicy.

Janek usiadł na łóżku.

— Jakto? Być nie może! I nie czekały na nas?

— Nie wiedziały wcale o naszym przyjeździe. Nie byliśmy u Liptaków, Slimak nie zawiadomił, Liptakowie zdziwili się, gdy przyszedłem.

Janek wzburzony zaczął chodzić po pokoju. Byłby chętnie zbурzał Tadzia, ale coś nie mógł, nozdrza mu jakoś drżały, czuł swoją winę. Nagle stanął, spojrzął na brata, na niebo, jasne słońce i zwykłym swym gestem wzruszył ramionami. Potem ziewnął i wlaż pod koldrę.

— Cóż będzie? — spytał Tadzio.

— Zatelegrafujemy do stryja: „Zostajemy. Niech stryj lepiej przyjedzie do nas. Dużo tu jeszcze rzeczy do poznania.”

Odwrócił się do ściany, aby zasnąć znowu, ale nie poszło to łatwo, bo rozumiał, że przez jego zarozumiałość i lekomyślność, Zosia, Tadzio i on stracili sposobność poznania morza, a stryjowi i rodzicom przyczynili przykrości.

C. Niewiadomska.

Marya Łopuszańska.

OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg)

XIII.

Przemięła już piękna wiosna, nastąpiło lato upalne; do Kielc przybyli wreszcie Benedyktyni, wysłani z Monte-Cassino, choć budowa klasztoru nie była jeszcze rozpoczęta; za ledwie z wielkimi trudami udało się naćcinać dość drzewa i ociosać kamieni potrzebnych. Lecz pomimo wszelkich zasadzek w puszczy, Dobrogost dopiął swego; robotnicy pracowali już na górze Łysej, a huk topora rozlegał się po okolicy. Strzeżono się jednak dobrze; podczas roboty kilkunastu zbrojnych stało zawsze na czatach, by uniknąć nagłego napadu. Mimo to, zdarzyło się parę razy, że gdy który z drwali nadto się oddalił od towarzyszy, zniknął nagle, jakby go ziemia pochłonęła.

Przybył już i budowniczy z Niemiec, wraz z kilku pomocnikami, i kamień węgielny świętej budowy wkrótce miał być umieszczony.

Od króla nie było dotąd żadnej wieści; wojował kędyś za Elbą i nikt w kraju nie wiedział, co się z nim dzieje. Między ludem jednak, po siołach zapadłych wśród puszczy rozchodziły się pogłoski, że Bolesław poległ w boju; przychodziły one nie wiedzieć skąd, z powietrza, a lud im wierzył. Działów też coraz więcej włościło się po wioskach a były między nimi postacie, których nikt pierwaj nie widział; niepokój też powstał między niektórymi władzami, bo wśród ludu poddanego dostrzegać się dawał ruch jakiś dziwny, a nieraz i słowo jakieś, i spojrzenie padało znaczące ukradkiem i dawało wiele do myślenia. Dobrogost nakazał wprawdzie, by każdego podejrzanego dziada natychmiast chwytano i prowadzono do Kielc; w paru wioskach tak nawet zrobiono, lecz któż mógł ustrzedz od tego okolicy, pokrytą nieprzebytymi borami i poprzerynaną wąwozami, gdzie sposoby porozumienia się były tak trudne, że o wielu leżących wśród puszczy wioskach nie wiedziano wcale.

W jednym nawet miejscu zdarzył się napad na kościół,

lecz mieszkańcy wsi obronili księdza, którego poganie chcieli zabić.

W ogóle jednak ruch ten nie przybrał dotąd rozmiarów, jakich się spodziewał Masław; śmiałości, zapалу, wiary w powodzenie brakło; na każdym kroku widać było, że wszystko to jest sztucznie wywołanem. Spokojna ludność rolnicza, kmiecie osiadli, stali do tych podburzań wprost nieprzyjaźnie, całe oparcie więc było na pół dzikich mieszkańców puszczy, zachowujących dawną wiarę, ale ci byli zdolni tylko do skrytych napaści wśród lasu. Prócz tego poganie mieli kilka gródków, mogących im służyć w razie potrzeby za schronienie, a należących do owych starych władcyków, którzy wraz z kapłanem Borunem czcili jeszcze starych bogów.

Nie szło więc tak jak się zrazu spodziewał Masław, nie spieszono doń jak do oswobodziciela dawnej wiary, nie garnięto się do jego boku.

Wszystkich kępowała obawa powrotu króla, strach przed jego gniewem, nikt więc nie chciał naprzód się wysuwać. Nadaremnie Masław się wysilał, by tchnąć swój zapal w towarzyszy, nie mógł tego dokazać. Mimo to ufność w siebie nie opuszczała go; w pieczarze Rokitki widział przyszłe swoje wielkie losy i pewnym był teraz powodzenia własnych zamiarów. Kilka razy, w rozmaitych okolicznościach, doświadczył pomocy chytręgo tego króla, pomoc ta przychodziła zwykle w sposób tajemniczy, lecz domyślał się z jakiegoś pochodziła źródła; wiedział także, że wszystkie owe dziady, chodzący po wioskach, podlegają władzy Rokitki, i z jego rozkazu podburzają ludność.

* * *

Benedyktyni, przybywszy do Kielc, sami natychmiast zajęli się czynnie budową klasztoru, Dobrogost też posłał oddział zbrojnych pod wodzą rycerza Sławka, by szli naprzód, oczyszczając drogę, za nimi zaś wyruszył budowniczy ze swymi pomocnikami oraz gromadą miejscowych robotników, przydanych mu do pomocy. Dwóch Benedyktynów udało się z nimi, by dodawać ducha ludziom, oraz pobłogosławić miejsce i kamień węgielny przyszłego kościoła. Jeden z zakonników był już stary i zwano go O. Augustyanem, młodego zaś towarzysza jego, zwano bratem Angelo.

Był pogodny ranek letni, gdy ruszono w drogę, dzień zapowiadał się gorący, lecz teraz w powietrzu panowała świeżość rozkoszna. W puszczy, pod sklepieniami z zieleni, było nawet dość chłodno.

— Czy w tym kraju nigdy ciepło nie bywa — szeptał O. Augustyn, który drżał od zimna w wilgotnej puszczy. Staruszek modlił się po cichu, bo te straszne bory, jakich nigdy w życiu nie widział, przejmowały go trwogą; jednakże poleciwszy się opiece Boskiej, jechał spokojny.

Brat Angelo przeciwnie, nietylko nie doznawał żadnego niepokoju lecz zdawał się nawet z przyjemnem uczuciem zapuszczać w głębie boru, rozglądał się dokoła, jakby otaczające przedmioty miały dlań szczególny jakiś urok i mówił do ojca Augustyna:

— W snach nieraz widywałem podobne puszcze, z takimi samymi gąszczami, mechami i łomami suchych gałęzi.

Początek podróży odbywał się dość wesoło i rażno; nie była to jeszcze owa zawałna puszcza, która rozpoczęła się dopiero u samych stóp gór Łysych. Niektórzy z pacholków zaczęli śpiewać jakąś piosnkę wesołą, inni przygrywali na lipowej ligawce, a echo niosło głos ten po lesie.

Brat Angelo z przyjemnością przysłuchiwał się owym odgłosom, lub też zbliżywszy się do przewodnika, rozpoczął z nim rozmowę, bo choć tak niedawno przybył z włoskiej ziemi, nauczył się miejscowej mowy z zadziwiającą łatwością. Wszyscy towarzysze podróży odrazu uczyli pociąg do tego młodego księdza, wesołego jak dziecko i ujmującego każdego swą serdeczną dobrocią.

On zaś mówił niekiedy do ojca Augustyna:

— Jaki to lud dobry i poczciwy: Im więcej go poznaję, tem więcej go kocham; pragnąłbym z całej duszy być mu pomocą we wszystkich jego nędzach. Ciemny on jeszcze

i dziki, jak te jego puszcze, ale naturę ma szczerą i nie zepsuta. Niech będą dzięki Bogu najwyższemu, że mi dał takie pole do służenia Mu i pracowania dla dobra bliźnich. Bo czemuże ja, najędźniejszy ze sług Jego, na to zasłużyłem? Dotąd niczem jeszcze nie dokonał ani wycierpiał dla chwały Jego — szczęśliwym się czując, że mogę wielbić Go w pokoju; teraz dopiero zacznę pracować w winnicy Pańskiej. Jest tu bowiem jeszcze tak wiele, tak wiele do zrobienia!

Gdy to mówił, oczy jego błyszczały niezwykle jasnym zapalem.

Pół dnia upłynęło bez żadnych wypadków, ale Sławko, jako doświadczony, radził mieć się na baczności, mawiając swoim ludziom:

— Dyabeł nie śpi; nie dufajcie tak bardzo w tę ciszę i spokój, nie wiecie co w sobie kryją.

Gdy mrok zapadł, zatrzymano się w głębokim wąwozie i tam rozłożono obozowisko. Po drodze ubito kilka sztuk zwierzyny i natychmiast rozpalono wielkie ognisko, aby ją upiec. Sławko kazał wozy ustawić w czworobok, konie puścić na małą łączkę nad wodą, dokoła zaś porozstawiał czaty, mające się zmieniać z północy.

Noc była cicha i ciepła; przez wierzchołki drzew widać było połyskujące gwiazdy. Ponad głowami podróżnych kołysały się poważnie szczyty jodeł olbrzymich, a mały strumyczek szemrał wśród ciszy nocnej. Od czasu do czasu po wierzchołkach puszczy rozbrzmiewało coś, niby przeciągłe a głębokie westchnienie, rzekłby z piersi uspiętego człowieka. Czasem znów huk silny, powtórzony przez echo, przerywał ciszę: to olbrzymie, spróchniałe drzewo upadało gdzieś od starości. Miejscowi ludzie, przywykli do owych nocnych głosów, spali spokojnie, ale O. Augustyn zrywał się ze snu i żegnając się, szeptał strwożony:

— Sancta Maria! To z pewnością szatan tak się z nas naśmiewa!

— Nie bójcie się, ojcze, to tylko pułacz — mówił któryś z robotników, zbudzony jego szeptem. Ale biedny zakonnik nie chciał temu wierzyć i wciąż szeptał modlitwy.

Tymczasem Sławko obchodził wszystkie czaty, aby przekonać się czy nie śpią:

— To wy, Sławku? — zapytał go jakiś głos w ciemności, gdy przechodził koło rozłożystego drzewa.

— Tak, to ja, a czuwacie tam?

— Juści nie śpiemy.

Sławko poszedł dalej, lecz zaledwie uszedł kilkanaście kroków, gdy dziki okrzyk rozległ się w gęstwinie, gromada ludzi wypadła z zarośli i rzuciła się na obozowisko. Spiący porwali się na nogi, Sławko na czele swych ludzi, z dobytym mieczem rzucił się na napastujących; w ciemności słyhać było jak się zwaryły te dwie kupy i jak topory i maczugi uderzały o miecze, konie popłoszone poczęły rzeć i rozbiegać się po lesie. Napastnicy, wydawszy swój pierwszy okrzyk, potem znów milczeli i cała ta walka nocna odbywała się wśród głuchej ciszy, przerywanej tylko szcękaniem żelaza, zgrzytem zębów, cichem przekleństwem lub westchnieniem rannych i umierających.

Straszne były te zapasy, w których jedni drugich prawie nie widzieli i częstokroć swoi na swoich się rzucali, a wrogi chwytali się wpół i mocowali w ciemnościach, wśród najgłębszego milczenia, aż dokąd jeden z nich nie zmógł przeciwnika.

Wreszcie ludzie Sławkowi poczuli, że napastnicy zaczynają słabnąć i cofać się ku zaroślom; wkrótce też opuścili zupełnie pole bitwy, unosząc swoich rannych, a zostawiając kilku trupów. Pozostali nieśmieli ich ścigać w ciemności, z obawy zasadzki; Sławko kazał pozapalać ognie, i przy ich świetle obejrzano plac boju i pozbierano rannych, których opatrzone.

Reszta nocy przeszła spokojnie; ranek zaświtał błękitną barwą nadając otaczającej zieleni, gwiazdy gasły jedna po drugiej, senny światek ptactwa rozległ się wśród gałęzi, lekkie tchnienie wiatru zakołysało wierzchołkami jodeł... puszcza budziła się...

Gdyby nie ślady nocnej walki i rany u niektórych z żołnierzy, można było myśleć, że to sen tylko, że ona wcale nie istniała, tak wszystko dokoła zmieniło się pod wpływem słońca i życia, które wraz z nim spływało.

Ojciec Augustyn rozkazał pochować ciała poległych, co natychmiast spełniono, a na mogiłach rozpalono ognie, żeby dziki zwierzę ich nie rozgrzebało.

Tabor udał się w dalszą drogę, która była dziś uciążliwszą niż wczora, bo grunt podnosił się coraz bardziej w górę, coraz więcej wawozów spotykano i z wozami szczególnie było bardzo ciężko. Ludzie też, utrudzeni nocną walką, nie tak już ochoczo szli jak wczoraj.

Obaj zakonnicy, jak zawsze poprzedzający tabor, zanucili śpiew pobożny, który echo powtarzało i niosło gdzieś w dal.

Ave Maria rozległo się może poraz pierwszy pod sklepieniami dzikiej puszczy. Dziwili się ludzie i z zachwytem słuchali śpiewu pobożnego i uroczystego, śpiewanego zgodnymi głosy, i drzewa dziwiły się, usłyszawszy te nieznanne im dźwięki i szmerem swym wtórczyć im się zdawały...

XIV.

Przybyto wreszcie szczęśliwie na szczyt góry Łysej: robotnicy pracujący już tam nad ścinaniem i obrabianiem drzewa, powitali z radością nowoprzybyłych opowiadając o ciągłych napaściach pogan. Stosy drzewa i kamieni stały już gotowe do budowy, lecz nim przystąpiono do niej, O. Augustyn miał odprawić mszę w tem miejscu, by Pan Bóg pobłogosławił przyszłemu dziełu, poczem dopiero miano położyć kamień węgielny przyszłego kościoła.

Ustawiono ołtarz z prostego, porośniętego mchem kamienia, wszyscy ludzie Sławka, oraz robotnicy, zgromadzili się dokoła, z drugiej strony stał majster Hans z Kolonii z kielnią w ręku, a za nim jego podwładni ustawili się szeregiem; O. Augustyn przygotował wszystko do świętej ofiary i msza się rozpoczęła.

Dzień był jasny i słoneczny i cała okolica, leżąca u stóp gór, było teraz widną, jak na dłoni. Pasma gór, aż do Łysicy, godnej siostry góry Łysej, wznoszącej się na drugim końcu łańcucha, widać było wyraźnie; górzysty brzeg Wisły, wraz ze wzgórzami Pieprzowami. Sandomierz, okryty mgłą błękitną, bliżej Kielce, a tam daleko, daleko, jak gęste chmury sine i poszarpane, widniały Karpaty.

Gdy msza się rozpoczęła, powietrze było zupełnie spokojne, tak, że nawet płomień świec, gorejących na ołtarzu, wznosił się prosto w górę. Dokoła głęboka panowała cisza i tylko słychać było, jak ptaszki szczebiotały na drzewach pobliskich.

Lecz nagle wierzchołki puszczy zaczęły szumieć głucho, naprzód w oddali, potem coraz bliżej i bliżej; jedne drugim podawały szum ten, aż wreszcie cała puszcza ryknęła grznie, ze swych najdalszych głębin, jakby sprzeciwiając się wprowadzeniu innej czci tutaj, gdzie stare bogi dotąd jeszcze panowały w całej swej groźnej dzikości, jakby sam Świst-Poswist poraz ostatni stanął do walki z Bogiem chrześcijan.

A wystąpił on do tej walki z całą potęgą. Od tchnienia jego gięły się wierzchołki drzew stuletnich; na niebiosach błękitne zarzucił czarny płaszcz z chmur gęstych i szedł, szedł silny, niepowstrzymany, tumany pyłu, liści, igieł sosnowych pędząc przed sobą, na znak, że zbliża się król burzy.

Ludzie, osłepieni i ogłuszeni tym nagłym buntem żywiołów, zakrywali oczy i chronili się pod skały; lecz wicher ten jak przyszedł, tak poszedł; w kilka chwil wszystko uspokoiło się i ucichło, słońce wypłynęło znów na niebo; w dole tylko puszcza szumiała jeszcze głucho.

Msza ciągnęła się dalej, a dźwięk dzwonka i drżący głos ojca Augustyna panował nad szumem drzew, a gdy kapłan zawołał po trzykroć: Sanctus, Sanctus, Sanctus! głowy pochylały się w pokorze, a wierzchy drzew także się gięły, jak gdyby chcąc zaświadczyć, że odtąd bóg pogański przestał tu panować, lecz począł rządzić Pan, stokroć potężniejszy, który nie tylko nad burzą, ale nad całym niebem i ziemią króluje niepodzielnie.

Od tego dnia budowa klasztoru, rozpoczęła się na dobre, zaczęto stawiać podmurwanie na kościół, jak zwykle w kształcie krzyża, a majster Hans zapewniał, że będzie to kościół, jakiego nie było dotąd w państwie Bolesława. Wszyscy też z gorliwością i zapałem spełniali jego rozkazy, a brat Angelo dodawał zachęty.

Od czasu przybycia, spokój trwał ciągle; poganie nie dawali znaku życia i można było myśleć, że się zniechęcili do własnej sprawy. Tylko Sławko wciąż kręcił głową w milczeniu, i po nocach nakazywał baczność strażom.

* * *

Nad uroczyskiem, gdzie poganie się zgromadzali, noc zapadła, a nikt jeszcze dotąd nie przybył.

Ogromne, czarne kamienie tylko wznosiły się nieruchomie, wśród nich stała postać samotna. Był to kapłan Borun.

Jego lniana szata bieląca w nocnych cieniach, oczy podniósł ku gwiazdom, błyszczącym na niebie, a wiatr nocny rozwiał siwą jego brodę.

Sam jeden w tem miejscu dzikim, oczekiwał na mających się dziś zgromadzić czcicieli starych bogów, sam jeden pogrążony w ponurych dumach, stał, podobien posągowi z kamienia. W ostatnich czasach twarz jego jeszcze bardziej się postarzała, postać ugięła się ku ziemi, usta przybrały wyraz bolesny, jakby niczego już nie spodziewał się na tym świecie.

— Wy odchodzicie, wielcy bogowie — mówił, spoglądając w niebo, odchodzicie, zagniewani, że lud, któremuście tyle łask wyświadczyli, któremu dawaliście zawsze zwycięstwo nad wrogiem, obfitość płodów ziemskich, opiekę potężną, że lud ten niewdzięczny odwrócił się od was.

Odchodzi Jesse, wszechstworzyciel, którego dziełem są niebo i ziemia, którego istota przenika wszystko.

Jesse, to znaczy: ten co jest, to wielka istność, która daje początek wszystkiemu, co żyje.

(d. c. n.)

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zlr. 1 cent. 75 (3¹/₂ korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Krystyn Gozdawa przez Wł. Smoleńskiego (z ryc.) — Pierwszy śnieg, wiersz przez E. Lejową. — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej ryby,” opisał H. C. — Zabawki z pudełek od zapalek (z ryc.) — Bez przewodnika — Na skraju lasu (rycina) — Obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — Dodatek: Jak to nie trzeba zbyt ufać sobie, wiersz (z ryc.) — Na strychu. — U ciotki Polci (z ryc.) — Dług wdzięczności, przez Zofię Rudnicką. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek ksiązkowy: Wspomnienia Haliny, przez Julię Piasecką.

WIECZORY RODZINNE

Jak to nie trzeba zbyt ufać sobie.

Czarnula i Siwek dwa przystojne szczury
Pod okiem swej matki skromnie się chowały,
Spichlerza starego opuszczone mury
Dotąd znały tylko i dobrze się miały.

Ale otóż trzeba, że spokojne życie
Sprzykrzyło się młodym, więc rauka pewnego,
Poszły w świat szeroki, by w nim należycie,
Użyć raz do syta wszystkiego dobrego.

— Kto śmiały, odważny, ten nigdy nie traci,
Tchórz tylko niech siedzi całe życie w norze,
Łęklivość zbyt dużą niech głodem opłaci;
Z nas każde już sobie w potrzebie pomoże!

Tak zbyt ufając w swój rozum i siłę
Swobodnie hulają oba młode szczury,
A życie wesołe, a życie tak miłe
Zdaleka od nudnej w spichlerzu tem dziury.



Zdyszane, spotniałe, bezprzytomne prawie,
Nie wiedząc co począć w tej straszliwej dobie,
Wróciły do spichrza w największej obawie...
Nie trzeba więc nigdy zbyt ufać sobie.



Aż zdarzył wypadek, że w wędrówce śmiałej
Znalazły raz jakiś kosz szczelnie nakryty,
— O, już tam być musi rzecz wagi nie małej,
Oj, będzie posiłek wyborny, obfity!

Zbliżają się żwawo i na łapkach stają,
Chcą poznać co koszyk dobrego ukrywa,
Wzajemnie go zdobyć sobie pomagają.
Aż oto, o zgrozo... poczwara straszliwa

Wychyla łeb wielki, groźny z koszyka,
I łapę wysuwa z ostreimi pazury...

Żółtymi ślepiami, jak ogniami błyska...

A nigdzie schronienia — ni znajomej dziury.

— To kot, kot przebrzydły, o biada nam, biada—

Wołają wylekłe i biegną co siła,

— On straszny, okrutny, on nas tu pozjada,

Bo przecież nim zawsze nas matka straszyla!

Na strychu.

Śnieg zasłał całą ziemię, zlodowaciałe drzewa błyszcząły jak brylanty, na świecie było zimno i pusto. Była to noc zimowa, kiedy ludzie otuleni w poduszki i kołdry, śpią i śnią może o pięknej zielonej wiosnie. Psy nawet wtuliły się w głąb budy, kot zapomniał o myszach, a myśzy o niedogryzionem słoninie.

Tej właśnie zimy, lecz w jasną noc, na wysokim, nieopalonym strychu pewnego zamożnego domu, było strasznie gwaro. Zebrane tam towarzystwo, korzystając ze swobody, rozgadało się na dobre.

Najpierw wyrzekął głośno stary parasol o nadłamanej ręczce i pokrzywionych drutach.

— Nie, moi panowie, stanowczo wam powiadam, że już w tej norze wytrzymać dłużej nie mogę, bo choć stary jestem, wiem do czego służyłem w młodości i czuję, na co się jeszcze dzisiaj zdać mogę.

— Ja również — przerwała mu wypłowiała czapka — nie poniewierałam się pod starą miotłą, ale siedziałam na głowie bardzo porządnego człowieka. Codziennie rano...

— Co tam waćpani — przerwał znowu parasol — pani siedziała tylko na głowie, a mnie nad głowę noszono, hę! Kto z nas był wyższy na świecie?

Tu stara miotła zaszeleściła z oburzenia:

— Pani czapka z mojej starości szydzi, a nie wiem kto to starszy?

Na te słowa westchnęła cicho wytarta miotła, za

miotelką mruknęły kalosze, za kaloszami jęknął zgięty lichtarzyk, za lichtarzykiem podniósł się już chór cały, przeróżnych zmieszanych ze sobą głosów i gdyby ktokolwiek wszedł teraz na to poddasze, przysięgliby, że cały tłum zuchów wybiera się na wojnę.

Wrzało, grzmiało, huczało i trudno przewidzieć czy by się to tylko na słowach skończyło, gdyby nagle czysty, srebrzysty głos leżącego w rogu dzwoneczka nie zawołał:

— Ciszej, ciszej, szanowni państwo. A toż karczmę urządziliście tutaj.

Na te ostre, lecz słuszne słowa, umilkło zawstydzone towarzystwo, a dzwonek korzystając z tego, rzekł dźwięcznym głosem:

— Pan parasol, tu skłonił się, pan parasol — powtórzył — zupełną ma rację. Ja sam, tu westchnął dźwięcznie, ja sam już dawno trapię się mojem przymusem próżniactwem. I nie wiem doprawdy, dla czego ludzie tyle pożytecznych jeszcze sprzętów skazali na zniszczenie?

Wszystkich nas martwi to serdecznie i wszyscy widzę, mają ochotę uzalić się na swą dolę. Dla czegoż więc kłócić się zaraz mamy? Ja proponuję, aby kolejno wszyscy zabrali głos i wypowiedzieli pragnienia swoje. Może jaka przyjazna dusza usłysz nas i wysłucha.

Na te spokojne i rozumne słowa dzwonek, towarzystwo całe zaszemrało przyciszonym uwielbieniem, a mówca kłaniając się uprzejmie, dodał:

— Słuchamy pana Parasola.

— Noszono mnie wysoko — rzekł parasol — najczystsze krople deszczu spadały na mnie, a jasne promienie słońca suszyły w mgnieniu oka. Porządni ludzie osłaniali się mną lub wspierali na mnie i tego zapomnieć nie mogę. Prawda, że silny wiatr, mój zacięty wróg, pogiął mi raz druty, a jakiś nieuważny chłopczyk złamał rączkę; ale wiem, że takie złamania się leczą.

Dla czegoż więc i mnie uleczyć nie chcą? Pan parasolnik uczyniłby to z ochotą. Widziałem wprawdzie, że mój dawny właściciel kupił sobie już mego krewnego i paraduje z nim po świecie; ale... gdy widzę przez szczylinę w dachu, jak ten biedny staruszek co mieszka na przeciw, w deszcz i śnieżycę bez żadnej ochrony wychodzi do kościoła, to powiadam państwu, że mię rozpacz ogarnia. Takbym się mógł przydać temu biedakowi, a tak marnieję w tej norze!

— I ja tego pana widuję — odezwała się czapka — i czuję doskonale, że jeszcze ciepłem mojem ogrzałabym go lepiej od jego kapelusza, który na jesień nie na zimę jest dobry. Słowa te wyrzekła tak pocziwie, że dumny parasol skłonił się przed nią i rzekł:

— Przepraszam za poprzednią moją niegrzeczność, może się kiedy zejdziemy u tego biedaka.

— No, to i ja przepraszam pannę Miotłę — rzekła czapka, zachęcona dobrym przykładem i skłoniła się również.

— Ja — rzekła miotła — jednego już tylko pragnę — oto, żebym mogła raz jeszcze moją kuchnię zobaczyć i żeby pocziwa Marysia choć raz jeden rozpalaniem ognia męczyć się nie potrzebowała. Niechbym wreszcie na zakończenie mego życia posłużyła jej za podpałkę i jasnym blaskiem rozświeciła moje dawne mieszkanie.

— Pocziwa brzezina, pocziwa, słowo państwu daje — ozwał się donośny głos butelki. — Ja także chciałabym jeszcze kiedy pobujać po świecie, ale o takim poświęceniu nie pomyślałam nawet.

— My — zawołały zgodnym głosem stare kalosze — my chciałybyśmy jakie pocziwe trzewiki od brudnego błota uchronić, choćby tej biednej szwaczki, co tak kaszle, gdy wraca do domu. Przemacza biedactwo nogi, a mybyśmy ją od tego zabezpieczyły, bo przecież dość jeszcze zdrowe jesteśmy.

— Ja nosiłem światło! — zawołał zduszonym głosem pogięty lichtarz — chciałbym być podarowanym Jaśkowi, co to po nocach całych ślęczy nad książkami; a w dzień froteruje podłogi, Obsadziłby swoją łojówkę.

— I jabym mu się przydał — dodał stary stołek.

— A ja to nie? — wykrzyknął mały stoliczek... — Biedny chłopiec na ziemi się uczy!

— Ja fruwałabym jak ptaszek w powietrzu — zawołała zmięta piłka — byle mię tylko nadać i zalepić, jeszczebym się biednym dzieciom przydała.

— Ja przydałabym się jeszcze do wyczyszczenia mundurka stróżowemu siostrzeńcowi, który tak ciężko na chleb i naukę pracuje — szepnęła miotelka.

— A panie? — zapytał dzwonek kilku rozrzuconych książek.

— My... — rzekły drżącym głosem — chciałybyśmy, aby z nas dzieci znowu uczyć się mogły a nie myszy jadły.

I westchnęły głęboko, a za niemi zwolna, poczęło znowu wzdychać, zebrane pod dachem towarzystwo. I dzwoneczek nawet jęczał z cicha w nadziei, że ktoś może usłysz ich skargi.

A. Z.

U cioci Polci.*)

Zimna i deszcze w tym roku wcześniej się zaczęły, o zabawach na świeżem powietrzu nie było co myśleć, bywały nawet dni tak niepogodne, że i na spacer trudno wyjść było. To też dzieci przypomniały sobie obietnicę cici i dalej w prośby:

— Droga, kochana cioteczko — prosiła Zosia — powróćmy do naszych zabaw wieczornych, i wie ciocia, nie zwlekając dziś zaraz zasiądziemy na dawnych miejscach, zapalimy lampę i zabierzemy się do roboty.

— I owszem — odrzekła ciocia — ale kto mi powie jakie to było ostatnie zwierzę któreśmy wycięli?

— Krówka — zawołał Kazio.

— A potem mieliśmy zrobić żyrafę — wtrąciła Irenka.

— A czy wiesz, Irenko, jak żyrafa wygląda?

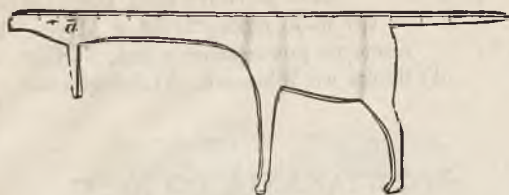
— Ma długą szyję, malutką główkę i... i nic już więcej nie wiem — odpowiedziała Irenka.

— A ty Kasiu, co mi powiesz o żyrafie?

Ale okazało się, że ani Kazio, ani starsze dzieci nie widziały nigdy tego zwierzęcia, więc ciocia Polcia wzięła

*) Ciąg dalszy przerwanych na czas letni w N-rze 24 zabawek i robótek z papieru. (Przyp. Red.)

się sama do roboty. Ucięła kawałek papieru 8 i pół cala długi a 6 szeroki, naznaczyła, wyrysowała i wycięła żyrafę (fig. 23).



(fig. 23).

— Zapomniałam, czy żyrafa ma rogi? — spytała Zosia.

— A jakże — odrzekła ciocia — ma, ale bardzo niewielkie. Widzicie, że znak *a* umieściłam wprost drugiej kreski, szyję i głowę trzeba zagiąć jak zawsze, a ponieważ żyrafa ma bardzo spadzisty grzbiet, więc trzeba wgiąć w środek górny brzeg papieru, tak jak zrobiliście u bociana (fig. 24).



(fig. 24).

— Jakie to dziwne zwierzę — rzekła Zosia.

— I niekoniecznie ładne — dodała ciocia.

— A mnie się najlepiej podoba — rzekła Irenka.

— Już mamy dużo zwierząt — zauważyła Zosia.

— A tylko jednego ptaka — rzekł Henryś. — Czy ciocia nam nie pokaże jeszcze jakiego innego?

— Mogę wam zrobić gąskę, ale to troszkę trudniejsze.

— To właśnie nam się podoba — zawołał z zapalem Henryś.

— Trzeba będzie bardzo starannie rysować.

— O! to ja nie zacznę — rzekła Zosia.

— Owszem, spróbuj lepiej; dotąd ci się udawało; zresztą dam wam sposób, jak ułatwić rysunek.

— No dobrze, będąc się starała — rzekła Zosia.

— Papier powinien mieć 4 i pół cala długości a 5 cali szerokości. Złóżcie go na pół i poróbcie półcalowe odstępy wzdłuż złożonego i boczego brzegu.

(d. c. n.)

DŁUG WODZIECZNOŚCI

przez

Zofię Rudnicką.

(Dalszy ciąg)

Powoli opanowało go dziwne, nieznanne uczucie; serce poczęło mu bić gwałtownie, począł drżeć na całym ciele, aż zęby zacisnąć musiał, by nie dzwoniły jedno o drugie. — Czyżby to była trwoga przed niebezpieczeń-

stwem uciezki? Ach! nie, odwagi mu nie braknie... To wzruszenie gwałtowne wzięło górę nad jego młodemi siłami. Całą wolą zapanował nad sobą i do wieczora pracował jak zwykle.

W nocy znalazł się obok Skałki, zarzucił mu ręce na szyję, przycisnął prawie usta do jego ucha i wyszeptał zaledwie dosłyszalnym głosem swoją tajemnicę. Uradował się pocziwy towarzysz jego niewoli, i gdy już ze wszystkich kątów ozwały się ciężkie oddechy i przeciągłe chrapania, zaczęły rozmawiać swobodniej.

— Gdy będę już w domu — rzekł Janek — uproszę dziadka, aby posłał wykup za ciebie.

— Daj Boże — odpowiedział Skałka — ale to nie tak łatwo, jak się tobie zdaje. — Upadły był na duchu i nadzieja nie miała już przystępu do jego serca.

— Gdybym tylko wiedział, jak się nazywa basza tujszy i miejscowość gdzie jesteśmy!

— Tak, trzeba wiedzieć — powtórzył wieśniak obojętnie.

Dotąd, nigdy nikogo o to nie zapytali.

Teraz rozpoczęły się dla Janka dni niespokojnego oczekiwania — „Może dziś”... wyrazy te pierwsze nasuwały mu się na myśl, gdy tylko budził się ze snu. — Może dziś! powtarzał wśród dnia. Gdy spędzano niewolników na noc, zamieniał się cały w słuch... Kilka dni minęło — żadnego znaku, Janek też już ani razu nie widział swego Tataru. Skałka nie chciał martwić chłopca, ale sam nie wierzył w to obiecane uwolnienie. Przecież, jednej nocy wsunął Jankowi kartkę w rękę i szepnął, że na niej napisano, to co dotąd wiadome im nie było — nazwa miejscowości i imię baszy. Jeden z niewolników, jeniec wojenny, z którym Skałka pracował przy jakiejś budowie, na jego prośbę napisał mu tę kartkę.

Tydzień minął — minęło dni dziesięć... nieskończenie długich. W końcu, jednego wieczora, po nadzwyczaj skwarным dniu, grube i wielkie chmury przysłoniły niebo i nieprzejrzaną ciemnością okryły wszelkie przedmioty; duszno było, choć wiatr szumiał po gałęziach ale nie niósł ochłody; nadleciał z południa, i gorącym swoim tchnieniem ciężkie powietrze robił cięższym jeszcze.

Pierwsi w szeregu niewolnicy już wsuwali się w otwór prowadzący do podziemia przeznaczonego na nocleg, gdy raptem w drugim końcu tego długiego szeregu zrobił się tumult i krzyk; — dozorca stojący u wejścia i przeglądający wchodzących niewolników, zwrócił się żywo w stronę skąd hałas dochodził, a zawołany przez tego, który zamykał pochód, zaczął przeciskać się ku niemu. Janek zrozumiał, że nadeszła stanowcza chwila: — popchnięty przez Skałkę, który znalazł się obok niego, przesunął się nieznacznie w tył i wy dostał z ciżby, która przystanęła nad słuchując — ale, że naciskali jedni drugich i tu więc wszczął się gwar, zmieszany z brzękiem kajdan. Janek, pod odsłoną nocy ciemnej i powstałego nagle zamieszania, dopadł muru i opierając się o niego ręką począł przesuwając się we wskazanym przez Tataru kierunku. W miarę jak się oddalał, głosy ludzkie i brzęk kajdan cichł coraz bardziej, szedł ciągle spiesznie a uważnie — zdawało mu się, że idzie już niezmiernie długo, a zapowiedzianej pochyłości nie czuł pod nogami.

Dzielne to było dziecko! — czuł w sobie odwagę,

i byłby z pewnością wśród dnia mężnie stawił czoło niejednemu niebezpieczeństwu — ale wśród ciemnej nocy, w niepewności, w zupełnie nieznanym miejscu — gdyż znał tylko tę część ogrodów baszy, w której pracował, nieokreślona trwoga przyspieszała mu bicie serca i tamowała oddech. Poczul w końcu, że grunt pod nogami obniża się, razem z murem przy którym postępował. Czyż daleko jeszcze to drzewo tamarksowe pod którym ma oczekiwać przewodnika swego? Wiatr w tej chwili rozsunął chmury na niebie, wyjrzało parę gwiazdek — przy ich blasku ujrzał Janek o parę kroków, ciemne kształty rozgałęzionego drzewa; odetchnął swobodniej, oto jest już u pierwszej mety swej ucieczki — przyspieszył kroku i objął pień drzewa rękami, jakby chroniąc się pod jego opiekę. Jak długo czekać tu będzie na swego przewodnika? A jeżeliby on wcale nie przyszedł? Co sam tutaj pocznie? Teraz dopiero ta myśl błysnęła mu w głowie. Letnia noc tak krótka — rozednieje — ludzie snuć się zaczną — opatrzą się, że go niema między niewolnikami, szukać poczną, no i znajdą go natychmiast.

Jakżeby strasznym był wtedy los biednego chłopca! o wiele ta nieudana ucieczka pogorszyłaby jego położenie! Nowy niepokój ogarnął go — przedtem myślał, że byle się dostał pod wskazane drzewo, już będzie bezpieczny, już wszystko pójdzie bez przeszkody — a teraz stokróć mu ciężiej, aniżeli w chwili, gdy począł się przesuwać pod murem.

— O Boże! nie opuszczaj mnie — wywiedź mnie z tej niewoli jak lud Twój wywiodłeś z egipskiej...

(d. c. n.)

SZARADA.

od Wichury dla drogich rodziców.

Pierwsze to zwierz drapieżny u nas spotykany,
Drugie znown zaimek, wskazującym zwany,
Trzecie to dawna nazwa rzeki z Alp płynącej,
Wszystko zaś społem: znajdziesz wśród roku miesięcy.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Ułożył Słoń z Nubii.

Ułożyć 6 wyrazów, aby początkowe i końcowe litery złożyły imiona dwóch książąt polskich, walczących o opiekę nad trzecim.

Sylaby: Al — ce — da — do — gha — gier — ko — le — man — ny —
na — ra — ty — ow — tek — zuch

Znaczenie wyrazów: 1) Ciepła odzież. 2) Zwierzęta domowe. 3) Rzeka wpad. do Bałtyku. 4) Książę niemiecki znany z bajecznej historii polskiej. 5) Pasma gór w Ameryce północnej. 6) To co wychodzi przy Wieczorach.

ŁAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

Ułożył Dąb.

Rząd pierwszy oraz pierwsze litery, złożyć mają nazwę kraju w Afryce. 2) Wzniesienie na powierzchni ziemi. 3) Góra na Krecie. 4) Rzeka we Włoszech. 5) Spółgłoska.

ROZWIĄZANIA DO Nr. 43.

Szarady: Sa — ma — ra.

Łamigłówki sylabowej:

1) Brzoza. 2) Anna. 3) Babilon. 4) Igor. 5) Eleonora. 6) Laszka. 7) Adryan. 8) Tunel. 9) Olimp.

Babie lato.

Łamigłówki w kwadracie:

A n t y g o n a
O l e ś n i c a
K a p s t a d t
K o l u m b i a
P a r a h y b a
W a r s z a w a
R a c i b o r z
Ś w i d n i c a

Skrzynka do listów.

Pani Maryi Sar. Tym razem zgadzamy się na ustępstwo, ale prosimy o bliższe szczegóły co do biednych dzieci, o których Sz. Pani wspomina.

Puszczykowi z Piławy za otrzymane łamigłówki dziękujemy, postaramy się je zużytkować w krótkim czasie. Przy ostatniej, pomieszczonej w zeszłym numerze *Wieczorów*, przez nieuwagę podpis twój, jako autora, opuszczony został.

Maniusi i Waci K. w imieniu biednych dzieci tak hojnie przez was obdarzonych, zasyłamy serdeczne podziękowanie.

Ciekawymi wiadomościami obdarzyłaś nas znowu *Wichuro*, a z pewnością nie mniejszą robi nam przyjemność otrzymywanie twoich liścików, jak tobie pisanie ich do Redakcyi. Pojmujemy twoje wzruszenie i żal na widok bliskiego pożaru, który zniszczył dobytek i plon pracy całorocznej kilku wieśniaków, sądzymy wszakże, że nie pozostaną bez pomocy. Co do artystek-malarek, to dawniejszymi czasy zarówno u nas, jak i w innych krajach kobiety nie garnęły się do malarstwa i nie zasłynęły na tem polu. Dopiero w tem stuleciu spotykamy w historii sztuki imiona kobiece. Wśród niezycujących malarek naszych najwięcej znaane są: Emilia Dukszta-Dukszyńska i Anna Bilińska. Z biegiem czasu jednak pojawia się coraz więcej talentów niewieścich.

Prenumeratorowie wnoszący całoroczną opłatę rub. 6 tak w Warszawie, jak i na prowincyi za „*Ogrodnik polski*“ dwutygodnik poświęcony sprawom ogrodnictwa krajowego *wprost w Redakcyi*, otrzymają premium w nasionach wyborowych odmian i nowości.

Adres Redakcyi: ul. Mazowiecka Nr. 11.

№ 46 Rok XIX.

Dnia 31 Października (12 Listopada) 1898 r.



WIECZORY RODZINNE



(Z rysunku A. Grotgera).

MAŁA MUZYKANTKA.

Sprawozdanie z konkursu robót str. 368.

Pierwsza robota panny Klementyny. *)

Nim Klementyna z Tańskich Hofmanowa wślawiła się jako autorka, była sobie najpierw małą Klimunią, potem panienką Klimcią, aż wreszcie została panną Klementyną i zaczęła pisać pełne prostoty i szlachetnych myśli książki, które dotąd z wielkiem zajęciem i pożytkiem przez wszystkich są czytane. Dziecięce swe lata spędziła w Izdebnie, w domu zacnej matrony Anieli ze Świdzińskich Szymanowskiej. Wychowaniem Klimuni zajęła się panna Dorota, córka pani Szymanowskiej. Dom był pański, Klimuni więc na niczem nie zbywało; uczono ją, ale uczono tylko po francusku, bo wtedy taka była moda, a książek polskich dla dzieci nikt prawie nie pisał. Klimunia więc modliła się nawet po francusku, o robotach zaś kobiecych to już najmniejszego wyobrażenia nie miała.

Tak przeżyła do szesnastego roku życia. W tym czasie t. j. 1814 r. umarł jej ojciec w Puławach, gdzie jako sekretarz przy bibliotece księcia Czartoryskiego, wraz z resztą rodziny przemieszkował. Pani Tańska po śmierci męża wyjechała do Warszawy i zabrała Klimcię do siebie.

Ale jakże różne było życie w domu matki od tego, jakie Klimcia w Izdebnie u swej opiekunki prowadziła!

Tam był dwór obszerny, dużo służby, tutaj matka mając bardzo małe fundusze, najeła trzy maleńkie pokoiki, trzymała tylko jedną służącą.

W Izdebnie Klimcia cały czas poświęcała nauce lub zabawie, tutaj trzeba było zająć się gospodarstwem, porządkiem domowym lub szyciem.

Ach, to szycie przysparzało nie mało kłopotu pannie Klementynie, lecz choć nieraz palce do krwi pokłuła, szyla jednakże.

Raz z domowych oszczędności kupiła dla matki ciemnozielonego merynosu na kaftan, ale na uszycie nie starczyło jej już pieniędzy.

— Eh, uszyję go sama — pomyślała sobie. — Ale kto mi go skroi? — dodała.

Lecz i w tem sobie poradziła.

Poszła do krawca, który za lepszych czasów szyl im sukienki i poprosiła o skrojenie kaftana.

— Teraz dam sobie już radę! — zawołała, — rozkładając robotę. I zabrała się do szycia.

Późno w noc siedziała nieraz, aby tylko kaftanik na imieniny matki wykończyć. Nareszcie w wigilią imienin kaftan był uszyty, a panna Klementyna z biciem serca spać się położyła.

Rano, gdy w najserdeczniejszych wyrazach wraz z młodszą siostrą wypowiedziała matce życzenia, złożyła również i ów kaftan, mówiąc:

— Przyjm, kochana mamó, to ja sama uszyłam!

I zarumieniła się z wewnętrznego zadowolenia.

Matka, uszczęśliwiona nie tyle z podarku ile z pracowitości córki, chce włożyć kaftan, niestety, jeden rękaw jest tak dziwnego kroju, iż żadnym sposobem wdziać go nie może, plecy zaś mają kształt wygięty, jak gdyby garb miał się w nie schować.

Fannie Klementynie lzy stanęły w oczach.

— Tyle kosztu, tyle pracy i wszystko na nic! A co najgorszej wstyd, że uszyć nie umiem! — zawołała z nieudanym smutkiem.

I zaczęła się swojej robocie przypatrywać.

I cóż się okazało?

*) W N-rze 27 m. Wieczorów zamieszczony był wizerunek i życiorys Klementyny z Tańskich Hofmanowej, urodzonej 23-go listopada 1798 roku. Obecnie podajemy miłe wspomnienie z jej młodości.

Oto plecy wszyła zamiast rękawa, rękaw zaś umieściła w miejsce pleców.

Zobaczywszy pomyłkę, popruła kaftan i póty nad nim pracowała, póki nie zszyła go zupełnie dokładnie.

Pomyłka ta jednak dała jej dużo do myślenia i stała się myślą przewodnią w późniejszych pracach literackich.

Wzięła sobie bowiem za cel, ażeby młode swe czytelniczki nakłaniać nie tylko do nauki lecz i do robót kobiecych, oraz do zajęcia się domem i gospodarstwem. To też we wszystkich prawie swych pracach, począwszy od „Wiązania Helenki,” kładzie ogromny nacisk na umiejętność szycia. W „Pamiętce po dobrej matce” i „Krystynie” wskazuje, iż nauka nie powinna przeszkadzać do zajęcia się najpospolitszymi nawet robotami kobiecymi, owszem, dopomóż do lepszego ich zrozumienia i wykonania.

Często też wśród poufnej gawędy powtarzała: „Nie umiałam uszyć kaftana i najadłam się wstydu, niechże inne od tego wstydu się uchronią.”

Z. Morawska.

O NIECENIU OGNIĄ.

W warszawskim Muzeum przemysłu odbywają się, jak i w roku zeszłym o tej porze, ciekawe odczyty popularne z dziedziny nauk przyrodniczych. Tej jesieni przedmiotem tych odczytów jest światło i ciepło, a głównie źródło i sposób ich otrzymywania. Mówili już profesorowie: S. Kramsztyk o słońcu, prof. B. Znatowicz o węglu i nafcie i prof. Milicer o nieceniu ognia. Niektóre wyjątki tego ostatniego odczytu zamieszczamy, aby dziś w wieku zapalek, kiedy niecenie ognia nie sprawia żadnej trudności, uprzytomnić sobie, jak powoli szedł postęp w tym kierunku i jak przed kilkudziesięciu jeszcze laty należało szanować raz zapalony ogień, bo utrzymanie jego połączone było z mniejszym lub większym wysiłkiem i stratą czasu.

Pierwszym żywym ogniem, jaki się ukazał oczom człowieka, był niewątpliwie pożar od piorunu, lub wulkan, wyrzucający deszcz iskier.

W wiekach już bardzo zamierzchłych nauczono się niecić ogień dowolnie. Świadczą o tem stopy węgla domowego, napotykanne przy wykopywaniu szczątków życia ludzkiego bardzo odległych epok. Ogień niecono za pomocą mechanicznego tarcia dwóch przedmiotów o siebie.

Prelegent pokazał drewniany przyrząd, znajdujący się w zbiorach etnograficznych Muzeum, a używany jeszcze obecnie przez włościan olkuskich. Od tarcia w panewkach kręcącego się drewnianego cylindra powstają iskry, zapalające suchy kawałek lnu.

W czasach, gdy człowiek zdobył sobie środki do ciosania kamieni, mógł rozporządzać krzemieniem. Ciało miękkiejsze, uderzane o kamień, rozpryskuje się na powierzchni w drobne cząsteczki, które rozpalone w skutek uderzenia, dają iskry. Nałożmy obok wiorów, albo suchego mechu, a ogień gotowy.

Takim sposobem niecenie ognia ludzkość posługiwała się przez tysiące lat. W życiu codziennem przetrwał on do 1809 roku, w zastosowaniu do broni palnej do r. 1850-go. Broń pistonowa liczy dopiero niecałe pięćdziesiąt lat istnienia. Dawniej w strzelbach skałkowych iskra, proch zapala jąca, powstawała od uderzenia krzemienia w stal.

W r. 1809-ym zjawily się po raz pierwszy zapalaki. Każda zapalka, czy dawna antymonowa, czy siarkowa, czy najnowsza szwedzka, składa się zawsze i wszędzie z czterech części:

a) z ciała zapalającego, którem może być siarka lub fosfor;

b) z materyi wybuchającej — zazwyczaj soli Bertoleta czyli chloranu potasu wraz z innymi domieszkami;

e) z ciała, szybko chwyającego płomień, jak wosk lub parafina.

d) z drzewa olszowego, zamazanego w tej parafinie.

Pierwsze zapalki, jakie wyrabiać zaczęto, składały się z drewnianka o główce stopionej z chloranu potasu i cukru. Ludzie nosili w kieszeni flaszki z papierkami amiantowemi, namoczonymi w kwasie siarczanym; przy potarciu o nie zapalki wybuchał płomień.

Ale wiek XIX zbyt lubi wygodę, aby mógł być poprzestać na tak niedogodnych, a przecież niezbędnych przedmiotach codziennego użytku. Siarka? rzecz bardzo nieprzyjemna, Fosfor? ten znacznie lepszy, bo zapala się równie łatwo, a dym wydaje bezwonny. W użycie weszły zapalki fosforowe.

Lecz biały, nawpół przezroczysty fosfor, wyrabiany z kości, ciało łatwo topliwe, dymiące na powietrzu, a w ciemności świecące niebieskawym ogniem, jest jedną z największych trucizn. Robotnicy, pracujący wśród dymów fosforowych, zapadają na ciężką chorobę. Z drugiej zaś strony niebezpiecznym było nosić w kieszeni zapalki, napojone trucizną i zapalające się za łada uderzeniem.

W r. 1845-ym, Schreter, z białego, trującego fosforu za pomocą silnego ogrzewania bez dostępu powietrza otrzymał inny fosfor, ciało czerwone, trudno zapalne, nieświecące i nieszkodliwe.

Od tego czasu zaczęto wyrabiać powszechnie używane obecnie zapalki szwedzkie. W zapalce tej fosforu nie ma wcale. Jest on tylko na powierzchni pudelka, napojonej mieszaniną z czerwonego fosforu, wody i gumy. Przy potarciu, czerwony fosfor, ogrzawszy się, przechodzi w biały, płonie, wydziela tlen z chlorem potasu, który zapala parafinę. Z parafiny płomień przechodzi na drzewo.

Przedstawiał on typ prawdziwego marynarza: niezbyt wysoki, barczysty, muskularny, ubrany był w płaszcz szeroki, pod którym miał krótką kurtkę, w czapkę ze skóry cielęcina morskiego i buty z wysokimi cholewami. Wszedłszy po drabinie na pokład, ze zdumieniem przyglądał się niezwykłym urządzeniom „Latającej Ryby”. Uściskiem rąk powitał przybyłego i wysłuchawszy gorących jego podziękowań, czterej podróżni zaprosili gościa do dolnych kajut, aby pokrzepić się i ogrzać szklanką ciepłego grogu. Kapitan nic nie wiedział o tem, że „Latająca Ryba” może latać w powietrzu i pływać pod wodą, ale i bez tego, łatwo sobie wyobrazić, jak go zdumiewało całe urządzenie, jak zachwycały wspaniałe salony i oświetlenie elektryczne.

Najwięcej jednak zadziwiła go wiadomość, że czterej panowie, którzy mu tak wielką wyświadczyli przysługę i podejmowali go tak gościnnie, łącznie z lokajem i kucharzem stanowili całą załogę wielkiego okrętu, i że dla przyjemności tylko przedsiębrali wyprawę w zimne okolice podbiegunowej strefy.

— Słusznie mówi przysłowie, że gusta ludzi się różnią — dowodził przybyły żeglarz. — Wprawdzie ja odwiedzam te strony dla połowu wielorybów od 25 lat, ale czynię to z konieczności, nie zaś z upodobania. Po dwóch lub trzech latach tego uciążliwego zajęcia, gdy przestało mieć dla mnie powab nowości, miałem jedno tylko wyłącznie pragnienie: zebrać dużo pieniędzy, aby móc się wycofać z tego ciężkiego trybu życia. Przechodziłem kolejno wszystkie stopnie służby: byłem chłopcem okrętowym, majtkiem pierwszego, drugiego, trzeciego rzędu, sternikiem, kapitanem, wreszcie zostałem właścicielem statku, dążąc niezmiennie do wytkniętego celu. Kiedy przed rokiem użyłem wszystkich moich długoletnich oszczędności na kupno tego starego „Walrusa,” sądziłem, że pragnienie moje bliskim jest urzeczywistnienia, że jedna, ostatnia wyprawa na północ da mi możność spędzenia reszty dni życia w spokoju, obok żony i małej mojej córeczki. Niech Bóg błogosławi tę dziecinę! Dziś właśnie rocznica jej urodzin; skończyła pięć lat.

— To zapewne dla uczczenia tej rocznicy — przerwał Mildmay — przybrałeś pan statek swój we flagi, których znaczenia nie umieliśmy sobie wyłomaczyć.

— A tak — potwierdził zagadniony. — To na urodziny mojej małej Florki przystroiłem dziś rano statek i nie zdjąłem chorągiewek nawet w chwili, gdy gwałtowny napór lodów groził nam śmiercią. Pomyślałem sobie, że jeśli taka wola Boska, zatoniemy razem z flagami poświęconymi pamięci Florki.

— A czy opłaciło ci się kupno statku? czy zebrałeś pan plon obfity w ciągu tej wyprawy? — zapytał baronet.

— Niestety! nie powiodło nam się w tym roku — objął kapitan. — Przez ostatnie dwanaście miesięcy zabiliśmy tylko trzy wieloryby, spędziwszy całą zimę wśród lodów. Jeden z moich przyjaciół, obrawszy w przeszłym roku tę samą drogę, trafił na łagodniejszą zimę, dosięgnął do zatoki Baffina, a w ciągu kilku miesięcy wyładował cały statek tranem i fiszbinem wielorybim. Znalazł miejsce nie nawiedzane przez poławiaczy, a że to jak wspomniałem, mój przyjaciel, udzielił mi w tajemnicy wiadomości pod jakim stopniem owo miejsce się znajduje; chciałem tam dotrzeć, ale lody i wiatr przeciwny powstrzymały mnie w drodze. Gdybym teraz jeszcze mógł tam dopłynąć, nagrodziłbym sobie poniesione straty. Niestety! nie mam na to środków i ludzie moi niechętni niepowodzeniom.

— Bądź dobrej myśli, kapitanie — zawołał baronet — wyprawa twoja przybrać jeszcze może obrót pomyślny. Przez wzgląd na małą Florę, statek twój przeciągniemy wśród lodów i dowieziemy cię do upragnionego celu. Nie traćmy tylko czasu; ty wracaj do siebie i pilnuj dobrze liny. A posadź także któregoś z majtków na bocianiem gnieździe, niech upatruje najdogodniejszej dla nas drogi po kanale. O 7-ej wieczorem zapraszamy cię na obiad, wypijemy za zdrowie małej twojej solenizantki!

W OBŁOKACH I POD WODĄ

WYPRAWY „LATAJĄCEJ RYBY.”

opisał H. C.

(Ciąg dalszy).

Nagle rozległ się huk straszliwy; profesor i jego towarzysze spodziewali się ujrzeć jedynie szczątki rozbitego statku. Łoskot ogłuszający, niby grzmot potężny odbił się kilkakrotnie złowrogim echem. Szcześnie, było to tylko zetknięcie się pochyłonych naprzód wierzchołków, które spowodowało chwilowe rozsuniecie się samych lodowców; rozstały się one gwałtownie a baronet korzystając z tego, szybkim ruchem pociągnął statek naprzód, wyzwalaając go z uścisków lodowych, zanim dwie olbrzymie góry powracając ku sobie, uderzyły się wzajem i zwały jedna na drugą.

Dopiero gdy statek odpłynął na jakie sześćdziesiąt sążni, załoga jego zrozumiała, że wyratowano ją od niechybnej zguby, a z piersi żeglarzy wzniosła się modlitwa dziękczynna do Boga.

Prawdziwie Opatrzności tylko przypisać mogli swoje ocalenie, gdyż jedynie chwilowy ruch wsteczny lodowców, będący następstwem silnego uderzenia wierzchołków, uchronił ich od zagłady.

Skoro tylko statek przepłynął szczęśliwie złowrogi przesmyk, „Latająca Ryba” zwolniła biegu. Znajdowali się już jakby na otwartym morzu, niewielkie bowiem tylko bryły lodowe pływały gdzieś po wodzie, a kanał w tem miejscu miał około trzech mil szerokości. Nareszcie można było zatrzymać się bezpiecznie.

Właściciel uratowanego statku, pragnąc osobiście podziękować wybawcom swoim za ich skuteczną pomoc, wsiadłszy na małą łódkę, przyplłynął do okrętu.

Kapitan powrócił na „Walrusa” w stanie radosnego upojenia, nie przeszkadzało mu to jednak zająć się przygotowaniami do dalszej podróży, a spełniwszy zlecenia baroneta, sam stanął na bocianiem gnieździe, skąd dał znak „Latającej Rybie” do wyruszenia w drogę.

X.

Półow wielorybów. — Lodowce Humboldta.

Oba statki, płynące czas jakiś swobodnie po morzu, po przebyciu siedmiu mil napotkały znowu góry lodowe, rozdzielone kanałem, po którym posuwały się z szybkością szesnastru węzłów na godzinę.

Niezwykły w istocie przedstawiały widok: jeden osobliwej budowy, z flagą floty jej królewskiej mości, której sir Reginald był członkiem, drugi zwyczajny ale przystrojony w różnokolorowe chorągiewki na cześć małej Florki. Oba płynęły po ciemnych wodach podbiegunowego morza, wśród



Kelej balonowa (str. 368).

piętrzących się lodowców pod posepnem i zasnutem chmurami niebem. Kanał wąski i kręty zrazu, rozszerzał się stopniowo, tworząc dogodniejszy dla podróżnych szlak drogi, jednocześnie gwałtowny wiatr przycichł, słońce wyjrzało z poza chmur, a wieczorem około 9-ej, gdy ojciec Florki dał żółtą łodzią na obiad do „Latającej Ryby”, niebo wypogodziło się zupełnie, lekki wietrzyk powiał od wschodu i promienie zachodzącego słońca oświecały szczyty śnieżystych wzgórz na widniejącej w dali wyspie Devon. W niespełna godzinę później dwa okręty zarzuciły kotwicę w wygodnej przystani „Hyde Bay,” aby zmęczona załoga wielorybiego statku mogła użyć zasłużonego wypoczynku

Właściciel „Walrusa” prostych obyczajów marynarz, nazwiskiem Hudson, zasiadłszy do stołu z czterema wykształconymi panami, czuł się w pierwszej chwili onieśmielonym w ich towarzystwie, wkrótce jednak pod wpływem miłego ich obejścia, ożywionej rozmowy i dobrego wina, odzyskał dobry humor i okazał się przyjemnym współbiedniakiem. Znając dobrze te okolice, udzielał im pożytecznych wskazówek, nie uprzedzony jednak o tem, że „Latająca Ryba” może szybować w powietrzu, wyśmiewał ich zamiar dotarcia do bieguna północnego i uznawał go za niewykonalny.

Pod koniec obiadu wniesiono zdrowie nieświadomej tej owacy małej Florki, uraczono gościa wyborną muzyką, obdarzono go ostatnimi, zabranymi z Anglii czasopismami i Hudson. uradowany z takiego przyjęcia, około północy powrócił do siebie.

Nazajutrz, gdy podróżni nasi o 8-ej rano zgromadzili się przy śniadaniu, wszedł niespodzianie, wprowadzony przez Jerzego kapitan, który w wielkiego pospiechu, nie mogąc tchu złapać, oświadczył, że przybył ponowić dziękczynienia za oddaną mu przysługę w dniu poprzednim, a jednocześnie chciał pożegnać się z panami, musząc zaraz odplłynąć w pogoni za liczną gromadą wielorybów, dostarczonych w odległości kilku mil angielskich, Podano sobie wzajemnie dłonie z życzeniami pomyślności i nastąpiło rozstanie.

W godzinę później sir Reginald i jego towarzysze, ciekawi zobaczyć półow wielorybów, podążyli za „Walrusem,” który niebawem spuścił na wodę trzy łodzie z ludźmi, wesoło gonącymi za zdobyczą. Niewinne ofiary, w liczbie około czterdziestu, nie domyślając się grożącego im niebezpieczeństwa, swobodnie igrały w wodzie opodal.

(d. c. n.)

Marya Łopuszańska.

OBRONCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg)

Odchodzi Żywie, potężny żywiciel, co tchem swoim utrzymuje wszystko, co żyje; bo sam Żywie, czyż to nie znaczy Żywot? Gdyby nie Żywie, nicby nie rozmnażało się na świecie, nie rosło, nie kwitło; a woda żywiąca, to ulubiony żywioł jego.

A Nya, ponura, groźna Nya, bogini śmierci i zniszczenia, która kocha się w ogniu i lubi krwawe ofiary, potężna i wielka; wyrokom jej nic i nikt się nie oprze, zarówno książę jak i niewolnik. Ale wpływ jej jest zarazem dobroczynnym, bo czyż ogień nie oczyszcza, nie ogrzewa i czyż świat nie potrzebuje odnowienia od czasu do czasu?

I to wszystko teraz znika, wszystko, co od wieków czcili nasi ojcowie! Więc porzucacie nas, bogi wielkie!...

Mówiąc to, starzec pochylił się, jakby się wsłuchiwał; — w owej ciszy słychać było senny szum puszczy, ale jemu się zdawało, że to rozlega się daleka pieśń jakaś poważna, że to bogi przemawiają doń swym głosem. I znów począł mówić po chwilowej przerwie:

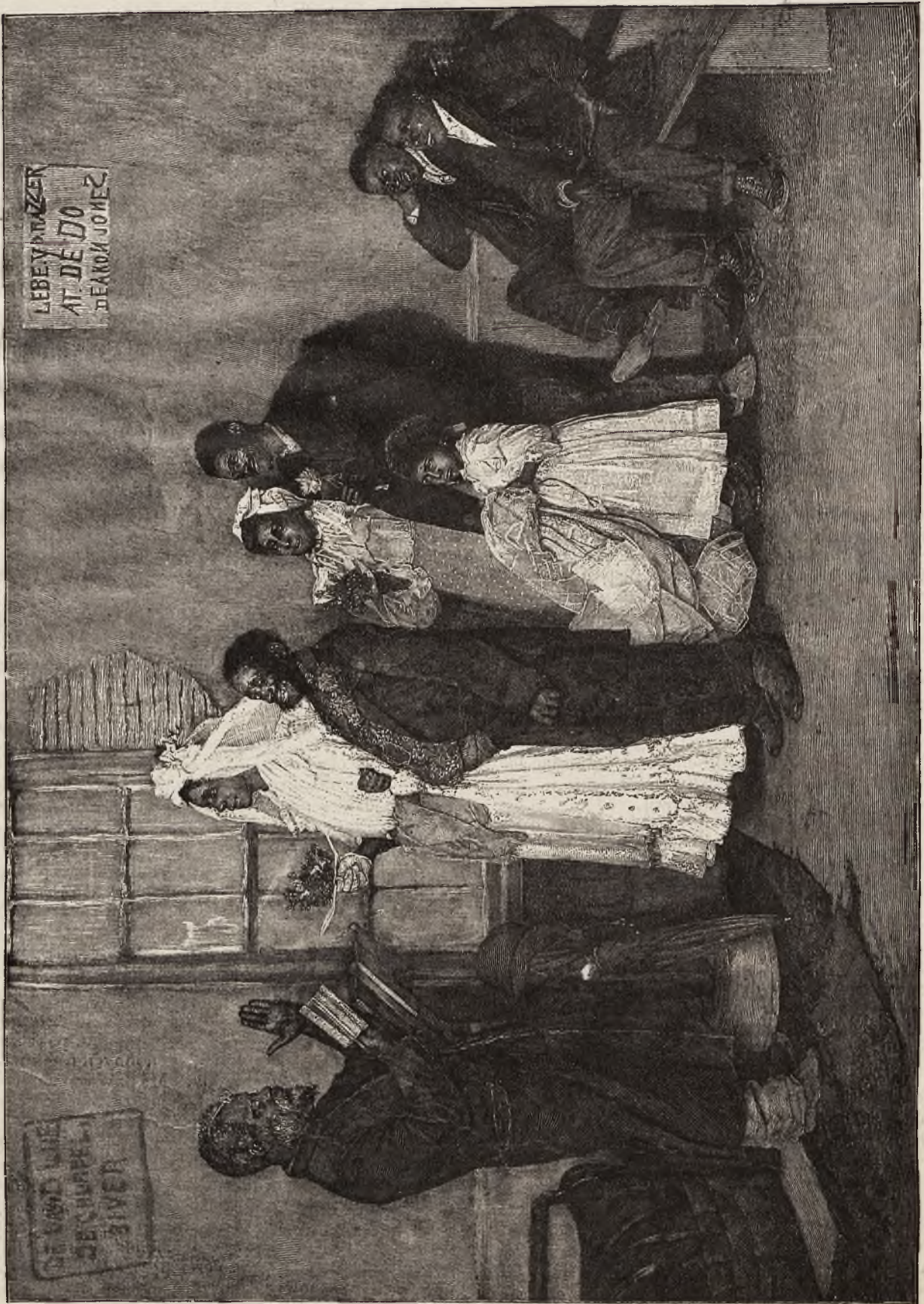
— Lecz nim odejdziecie, spełnijcie mą prośbę — błagam was teraz o śmierć, nie o życie, o śmierć godną kapłana, Swist-Pośwista.

Niedługo poczęli się zjeżdżać mężowie, uczestniczący zazwyczaj w nocnych obradach; po jednym, po dwóch, przybywali białowłosi starcy, i milcząc, zasiadali na kamieniach, w kole obradnym; jak gdyby owe duchy ojców, o których wspominał kapłan Borun, powstały z mogił i przybywały stanąć w obronie starej wiary.

Brakło tylko knezia Mszczuja i jego brata.

Masław zjawił się prawie na końcu, chmurny i niezadowolony, bo nic nie szło, tak jak sobie ułożył; przeciw tej sile, która mu pomagała, czuł działanie jakiejś innej siły, stopniowo biorącej górę; — to go robiło wściekłym, bo musiał uznać, że jest coś silniejszego nad wolę pojedynczego człowieka, choćby wola ta była żelazną.

Stary kapłan zbliżył się doń natychmiast.



ŚLUB MURZYŃSKI W AMERYCE (str 368).

— Mój synu — rzekł, poprzysiągłeś, że nie zezwolisz, by czarni księża zbudowali kościół na górze, a jednak w czasie twej nieobecności zaczęto go stawiać, i budowa jego posuwa się z dniem każdym. Masław nie nie odpowiedział. Zbliżywszy się na środek koła, stanął i począł mówić — mowa jego była krótka i ucinkowa:

— Czarni księża zaczęli stawiać kościół na górze, pomimo że chcieliśmy im w tem przeszkodzić; nie możemy pozwolić na to. Rozłożyli się na górze; otoczmy ich tam, jako zwierza w legowisku, — zabijemy księży i zburzymy to, co zrobili!

— Lecz oni mają zbrojnych, ozwał się jeden ze starców.

— Cóż stąd? odparł Masław, coż oni pomogą, gdy obstąpimy ich zewsząd i głodem zmusimy do poddania się? Pomocy przecie znikąd spodziewać się nie mogą. Zgromadzić trzeba wszystkie siły nasze tutaj, a wówczas postawimy im stopę na głowie.

I dodał z dzikim uśmiechem:

— Nie pierwszy to już raz krew księży popłynie w tem miejscu; wszak siedniu ich zabito tutaj za Mieszka...

Nazajutrz przypadło święto Kupały. Jeszcze w dzień Sławko zauważył gromady ludu, ściągające zewsząd i rozkładające się u stóp góry. Był tem bardzo zaniepokojony i przyglądał się im z uwagą, lecz o ile mógł dostrzedz, nie zdawali się mieć złych zamiarów.

Nie uspokoiło go to jednak; wiedział, że w noc kupałną, pogan mógł opanować nagle szal i mogą się rzucić na nich, a wówczas kto im się oprze, gdy będą w tak wielkiej liczbie?

Zaledwie zmrok zapadł, w puszczy zapłonęło tysiące ognisk, błyszczących krwawo w ciemności, i z góry las wyglądał tak, jakby nań wszystkie gwiazdy nieboskłonu pospadały. Słychać było śpiewy; dokoła ognia poruszały się czarne zarysy postaci płasających, a niekiedy dzikie okrzyki rozlegały się w puszczy i mimowolną trwogą przejmowały tych, co czuwali na górze. Cała noc tak przeszła, lecz gdy błąd świt zajaśniał nad wierzchołkami drzew i rozproszył cienie nocne, chrześcijanie ujrzeli się ze wszech stron otoczeni przez gromady ludzi, dziko wyglądających, odzianych w skóry, uzbrojonych w maczugi nabijane krzemieniem, w kamienne topory i łuki. Pozajmowali oni wszystkie wąwozy, wszystkie załomy skał, inni rozłożyli się na skłonach góry i widać było, że nie myślą wcale ztamtąd tak prędko ustąpić.

Sławko, gdy to ujrzął, pokiwał głową.

— Hm, przewidywałem, że te przeklęte lotry coś zamysłają — mruknął. Pięknie teraz wyglądamy, niby niedziedz w ostępie; i niema sposobu dać znać Dobrogostowi, w jakim jesteśmy położeniu, oni nikogo teraz nie przepuszczą.

XV

Masław powziął postanowienie udania się jeszcze raz do pieczary na górze Chełmowej, mniemał bowiem, że siła ciemności zbyt opieszale mu pomaga, kiedy daje się tak łatwo zwalczać innej sile, tej sile światła, której potęgę uznać nie chciał i nie wierzył w nią, bo zbyt łagodnie działała.

Oburzony był na Rokitkę, uważał się za oszukanego; obiecano mu pomoc, i gdzież ona teraz? Wszystko usuwa mu się z rąk, czarni księża tryumfują. Zamiarem jego nieodwołalnym było teraz, wejść w układy nie ze sługą już, a z samym panem, a jeśli trzeba będzie, to i siłą wymórz ukazanie się potężnego ducha ciemności.

Nie krył przed sobą trudności i przeszkód tego przedsięwzięcia, wspominał groźby Rokitki, lecz to go nie wstrzymywało, gotów był na wszystko, byle tylko otrzymać wymarzoną potęgę.

Wziąwszy więc z sobą pachółka, sławnego z siły i olbrzymiego wzrostu, zwanego Wyrwidąb, wybrał się w drogę od samego rana. Dzień był nadzwyczaj upalny, nawet w puszczy, pod cieniem drzew, gorąco zapierało oddech. Oddawna już deszczu nie było, na otwartych miejscach rośliny

ny zaczynały już wędznąć z braku wilgoci, a dziś szczególnie upał czuć się dawał i ciężar jakiś przytłaczał wszystko ku ziemi.

Wirwidąb co chwila ocierał spocone czoło i przeklinał gorąco. Był to wspaniały olbrzym; ramiona silne, barki szerokie, na których osadzona głowa, o grubym karku, nie wzniosła się nad spokojny wyraz zwierzęcej siły. Obrośnięty był jak żubr, a z pod tego zarostu i włosów kudłatych, spadających na niskie czoło, widać było oczy małe i spokojne, ożywiające się chyba w walce. Szczęściem, pomimo swej nadludzkiej siły, był łagodnym, powolnym i rzadko się gniewał. Zwano go także Obrem, bo istniało podanie, iż ród Wyrwidębów pochodził od tego zaginionego plemienia, o którym mówiono, że z samych składało się olbrzymów; Masławowi był ślepo posłusznym; zdawało się, że niema w nim własnej woli, lecz rządzi nim rozum i wola jego pana.

Upał coraz więcej się wzmagał; żaden powiew wiatru nie poruszał drzew, w głębi puszczy duszno było jak w piecu. Ptactwo skryło się gdzieś w gęstwinę, konie robiły silnie bokami.

— To-ci pali — mówił Wyrwidąb, który wciąż oblewał się potem — pójdę poszukać źródła, bo już człek nie wytrwa dłużej w tej spiekocie...

— A gdzież go tu znajdziesz? — spytał Masław. — Wszystkie źródła powysychały...

— Ot, poczekajcie ino — odrzekł Wyrwidąb, a położywszy się, przytknął ucho do ziemi. — Jest! — zawołał — jest źródło tublisko, w gęstwinie.

Pokrzepiwszy się Masław i Wyrwidąb ruszyli dalej. Po niejakiem czasie olbrzym podniósł głowę i począł nasłuchiwać z uwagą.

— Idzie Borun rzekł głosem stanowczym.

— Co ci przyszło do głowy, odparł Masław, niebo prawie czyste...

— Słuchajcie, rzekł Wirwidąb za całą odpowiedź.

Masław nastawił ucha. W górze słychać było jakiś dziwny szmer, ni to szum liści, ni to szelest igieł jodłowych. Podniósł głowę: po nad nimi wznosiły się miliony pszczół, os i trzmieli.

— To roje tak spieszą do dziupli, przed burzą — rzekł Wyrwidąb. — Oj, widzą one dobrze na co się zanoszą.

W tej chwili lekko zagrzmiąło.

— Trzeba szukać schronienia, ciągnął dalej olbrzym, bo źle będzie w puszczy, gdy potoki przybiorą. Znam ja tu jedną chałupę na Zielonej polanie, nieraz tam nocowałem gdy się przypóźnił w borze, tam się schronimy...

I zawrócił w boczną ścieżynę, za nim Masław.

Po niebie tymczasem posuwało się szybko mała chmurka szara, centkowna biała, z posępnemi brzegami. Cisza jeszcze większa zalegała las cały, żaden listek nie drgnął.

Nagle Wyrwidąb wskazał ręką na zachód.

— Słyszycie? szepnął. On już idzie!

— Kto? spytał Masław.

— Świst-Poświst! — rzekł olbrzym, a w głosie jego dzwijała trwoga. — Prędzej zacinajcie konia, póki nas nie doścignął. W istocie jakiś szum, podobny do huku fal wzburzonych, dochodził gdzieś zdala. Masław rozumiał, że to huragan się zbliża, zaczął więc konia który pędził, co mógł wyskoczyć; Wyrwidąb zrobił to samo.

Gdy wyjechali na skaliste, odkryte nieco wzgórze, obejrzał się i spostrzegł, że dalekie drzewa, na krańcach puszczy, pochylają się jak kłosa ku ziemi; tutaj jednak nie było jeszcze czuć najmniejszego powiewu i liście osiny nawet stały nieruchome. Szum jednak coraz się przybliżał; ot, jest już za tym ostatkiem rzedem drzew, już dochodzi tutaj, listki najbliższych lip zaczynają szeleścić, i nagle tuman suchych liści, igieł sosnowych, pyłu i nasion leśnych uderzył na jeźdźców i o mało nie zrzucił ich ze wzgórze. Konie strwożone skoczyły w bok. Przez ten czas biały słupek rozwinał się we wstęgę wspaniałą, która olbrzymim łukiem przecięła fioletowe niebiosa. Wszystkie wichry zerwały się naraz z uwięzi; puszcza nie szumiła już lecz ryczała; stuletnie drzewa

gięły się niemal do ziemi, tumany kurzu oslepiały. Jeźdźcy pędzili jak wiatr, brzuchy końskie dotykały ziemi, lecz burza także pędziła. Byli już na Zielonej polanie; na drugim jej końcu wznosiła się uboga chata, zbita z prostych bierwion, pokryta dachem słonianym. Nędzne to było schronienie na taką burzę, lecz lepsze niż żadne.

Gdy stanęli na polanie, już biała wstęga zamieniła się w ogromny lej, którego koniec zaostroszony zdawał się ziemi dotykać. Szedł on groźny, potężny po nad lasy, wirując nadzwyczaj szybko na swej osi, lecz za każdym razem, gdy miał już dosięgać ziemi, wiatr chwycił go, zwijając jakby na kołowrocie. Rzekłbyś, że to olbrzym jakiś wyprawia sobie igraszkę, lub, że bóg Świst Poświst poszedł w zapasy z bogiem Lel-Polel. Z szerszego końca owego lejku co chwila wychodziły błyskawice, a gdy jeźdźcy byli już w połowie polany, nagle łoskot pierwszego piorunu rozległ się nad ich głowami, a blask jego oslepił ich prawie. Zapach siarki rozszedł się dokoła.

— Prędej, prędzej, bo zginiemy! — wołał Wyrwidąb, lecz ryk burzy zagłuszył jego słowa.

Wreszcie dopadli chaty, a wprowadziwszy konie do szopyki zatrzasnęli drzwi za sobą, w chwili właśnie, gdy pierwsze, ogromne krople deszczu spadły im na twarz.

Co się dalej działo nie wiedzieli już, huk piorunów, łoskot upadających drzew, szum wody, wszystko zmieszano się razem. Lejek dotknął wreszcie ziemi, a za tem dotknięciem potoki wody puściły się z niebios; woda wprost urywała się z chmur i rzucała w dół wodospadem.

Z godzinę trwała ulewa i łoskot gromów rozlegał się nad puszcza, lecz w końcu zaczęło się uspokajać, burza poszła dalej, tylko zdała dochodził szum wezbranych potoków.

Masław i Wyrwidąb otworzyli drzwi i stanęli w progu; cała polanka zamieniła się w jedno jezioro; dokoła leżały stopy drzew połamanych, postrzaskanych; gdzieniegdzie wznosiły się wały nagromadzonych gałęzi.

Olbrzymi pacholek zabrał się do wyczerpywania wody z chaty, podczas gdy pan jego stał w progu i patrzył posępnie na otaczające zniszczenie, które zdawało się budzić w nim jakieś nowe a tajemnicze myśli.

* * *

Gdy burza się zbliżała, kapłan Borun znajdował się w urządzonym w skałach schronieniu, które miał na górze Łysej. Na pierwszy odgłos gromów, jakby się ocknąwszy nagle z odrętwienia, wyszedł z tamtąd, patrząc z wyżyny na idący huragan.

— O ty, potężny! zawołał kapłan, wyciągając ręce ponad szumiącemi u stóp jego lasami, ty władco burz i piorunów, zbliżasz się, więc dajesz poczuć swą moc niepokonaną?

A może przychodzisz po mnie, twojego kapłana, by umieścić mię w twe państwo nadziemskie? O przyjdź, przyjdź, moja dusza pragnęła cię oddawna, ty dobroczynna, potężna burzo! Przyjdź, weź mię w swe płomienne objęcia, niech w nich zginę!

W tej chwili grom zahuczał nad szczytami gór.

— Wołasz mię? zawołał kapłan. Idę już, idę!

Koń jego stał niedaleko, uwiązany do drzewa; poszedł ku niemu, odwiązał i wsiadłszy nań, puścił się przed siebie, nie dbając o to gdzie jedzie. Koń przywykły do tej drogi, i sądząc, że pan jego chce się udać do swej chaty leśnej, zniósł go sam z góry po stromej ścieżce.

Stary kapłan odetchnął wolniej, gdy się znalazł na dole, oddawna już ciężar wielki uciskał jego ducha; wszystkie nadzieje bowiem jego rozwiały się ostatecznie w tym czasie; i pragnął już spocząć wreszcie, ach, jak pragnął! Tam, za sobą, pozostawiał świat, na którym nie już dla niego nie istniało, a tu Świst-Poświst wzywał go, otwierając przed nim wrota z ognia, za którymi znajdowała się kraina wiecznej ciszy...

Starzec jechał, otoczony wyjąca puszcza; łoskoty piorunów wstrząsały górami aż do posad, lecz on nie zważał na to

i podążał coraz dalej i dalej. Koń co chwila płoszył się i rzucał, lecz szedł posłuszny.

Kapłanowi zdawało się, że ma skrzydła; burza ta upajała go i roskosz mu sprawiała; chciałby się być rzucić w jej objęcia, utonąć w niej.

Dokoła coraz większy huragan się srożył; Lel-Polel i Świst-Poświst królowali wspólnie nad drzącą i pokonaną puszcza.

Wreszcie ciemności jeszcze głębsze zapadły, kiedy obaj sprzymierzeni bogowie ostatni szturm przypuścili do osłupionej z trwogi puszczy; strumienie wody polały się z niebios i nie już widać nie było, bo żadne oko śmiertelne nie mogło znieść widoku, gdy bogowie stawiali stopę zwycięzką na pokonanym przeciwniku.

Nikt też nie wiedział co się stało z kapłanem Borunem; czy bóg jego uniósł go na skrzydłach, czy ogień niebieski go pochłoniął, czy wody pożarły? Trudno dociec, jedno tylko wiadomem było, to jest: że Świst-Poświst zgładził ze świata swego ostatniego kapłana...

XVI.

Gdy potoki opadły, Masław puścił się w dalszą drogę. Puszcza wprawdzie zawałoną była stosami drzew połamanych lub powyrywanych z korzeniem; na każdym kroku spotykało się całe jeziora wody deszczowej, lecz letnie słońce suszyło ziemię na otwartych miejscach.

Niekiedy podróżni natrafiali na zwłoki zwierząt leśnych lub zabitych ptaków; nie rzadko w wąwozie można było widzieć żubra lub łosia utopionego, którego porwała woda.

Masław jechał przed siebie zamyślony, nie mówiąc nic do pacholka, który podążał za nim, i w beczynności otrząsał krople deszczowe ze zwisłych gałęzi.

Nagle o uszy jadących obił się jakiś płacz. Płacz ten, który przechodził chwilami w zawodzenie, dochodził z najbliższych zarośli.

Masław wstrzymał konia, mówiąc do Wyrwidąba:

— Popatrz, co się tam dzieje?

Zanim jednak Wyrwidąb ruszył z miejsca, z zarośli wyszła niemłoda kobieta w białej namiotce, a za nią dziesięcioletnia może dziewczynka. Niewiasta zawodziła i zdawała się upadać pod ciężarem boleści.

— Nie płaczcie, matulu, pocieszało dziewczętko jak umiało, może Bóg da, że ją odnajdziemy.

— Oj nie najdziemy jej; nie najdziemy; serce mi mówi, że nie najdziemy! jęczała stara. Oj złotko moje, kochanie moje, toć ja ją karmiła, poila z rąk własnych!... Któż mi ją teraz powróci?

— Co wam to matko?— spytał Masław uderzony tą boleścią — może dziecko zgubiliście?

— Krowę, mój dobry panie, krowę co nas wszystkich karmiła! — odrzekła stara łzy ocierając płachtą. — A żebyście wiedzieli, jaka to była krowa?... Dwie ci je w pierw miałam, dwie jak dwoje oczu w głowie, tamtą zabrali mi ludzie knezia Mszczuzja, tę zabrała burza! O niedolo moja! co my pocznem biedni bez niej, z głodu chyba zamrzeć przyjdzie! A w chacie dzieci drobne, mój złoty panie! I łzy na nowo się polały.

Masławowi myśl jakaś błysnęła szybko, wydobył dwie sztuki złota i dał je kobiecie.

— Macie za co kupić dwie takie krowy, jak tamta i pamiętajcie—dodał z dumą— że kiedy kneź Mszczuzj lub inni mu podobni, rabują lud ubogi, u Masława zawsze on znajdzie pomoc i opiekę! I ruszył z miejsca.

— O niech was Bóg błogosławi, władko, kneziu wspomniały — wołała uszczęśliwiona niewiasta, ręce podnosząc ku niebu — niech wam ześle wstystko dobre, szczęście, dostatki i życie długie.

(d. c. n.)

NASZE RYCINY.

Mała muzykantka. Z prawdziwą przyjemnością dzielimy się z naszymi czytelnikami jednym ze ślicznych rysunków Grottgera, o którym pisaliśmy niedawno. Podziwiać w istocie należy, jak mistrz ten umiał doskonale ołówkiem swym przedstawić wyraz twarzy, uczucie i niemal myśli. Biedna mała muzykantka, choć zimno jej i głodno, choć ręce mdleją, grać musi na skrzypcach, aby grosz jakiś dostać może dla chorej matki lub braciszka!

Ślub murzyński. Rycina pod tym tytułem nie potrzebuje dłuższego objaśnienia. Rzecz dzieje się w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej, przed urzędnikiem stanu cywilnego. Jakaś para murzyńska, należąca, jak widać ze strojów, do bardziej ucywilizowanych, zawiera śluby małżeńskie, a z wyrazu twarzy widać, że wspaniałość ich szat równie musi im być przyjemną, jak sama uroczystość.

Kolej balonowa. Tak chyba nazwać trzeba kolejkę górską, urządzoną w roku zeszłym koło Salcburga, w Austrii. Jest to właściwie komunikacja balonem, podrozni bowiem siedzą w koszu, uczepionym u spodu aerostatu, szyna zaś służy tylko do kierowania balonem, który uczepiony do małego wagoniku musi postępować linią wytkniętą. W górę wagonik idzie dzięki temu, że balon go ciągnie. Z powrotem tenże sam wagonik obciąża się kilku centnarami wody, tak, że balon nie może oprzeć się jego ciężarowi, lecz hamuje zbyt szybki bieg. Spadek wagoniku, a więc i balonu regulować można z kosza, wypuszczając mniejszą lub większą ilość wody, stanowiącej tak zwany balast.

Sprawozdanie z konkursu robót ręcznych.

Wakacje, zabawy i rozrywki na świeżem powietrzu nie przeszkodziły czytelniczkom naszym poświęcić na wezwanie Redakcyi trochę czasu miłej i pożytecznej pracy; owocem jej są licznie nadesłane nam roboty, za co im serdecznie dziękujemy.

W corocznem ogłaszaniu tego konkursu dwa cele mamy na względzie, pierwszy: to rozwinięcie w młodych panienkach zamiłowania do igły, tak potrzebnego każdej kobiecie; drugi: przyjsięcie w pomoc ubogim dzieciom, dla których owe koszulki, sukienki i ciepłe kaftaniki lub spodniczki, z nadejściem pory zimowej, prawdziwem staną się dobrodziejstwem.

Rozpatrując roboty pod względem jakości, zauważyliśmy z małemi wyjątkami, szew prosty i równy w bieliźnie,

porządne wykończenie sukienek, a zwłaszcza wielką staranność w robotach włóczkowych.

Z przyjemnością zaznaczamy, że wszystkie panienki, biorące udział w konkursie, odpowiednio do wieku i umiejętności, okazały dużo dobrej chęci i robotkę swoją starały się wykończyć jak najlepiej.

Nagrody stosownie do zapowiedzi konkursu (w Nr-ze 26 Wieczorów) rozdzieliliśmy na 3 działy, w każdym dziale przy udzielaniu nagród zwracając uwagę przedewszystkiem na jakość, a następnie na wiek młodych pracowniczek.

I. W dziale *bielizny* (koszulki dzieciinne) nagrody otrzymują: Janina Łączyńska, Marya Jędrzejewicz, Stasia Popielówna (lat 5 mies. 10) i Halina Gimbutówna.

Na *pochwałę* zasłużyły: Steficia Królikowska, Maniusia Henikowska, Helenka Kaetzler, Mania Napiórkowska, Martyna Knabe, Marya Mrozowska, Karolina Olewińska, Alicya Bogdańska, Stasia Biskupska, Romana Pachucka.

II. W dziale *robót włóczkowych* na nagrody zasłużyły: Olga Niedźwiedzka, Irenka Płużańska, Ella Rzczekowska i Halka Hofmanówna: na *pochwałę*: Anna Łabuńska, Marya Barthel i Jania Bekerman.

III. W dziale *sukienek* których wiele bardzo przysłano, ilość nagród powiększamy z 4-eh do 7-miu. Nagrody otrzymują: Stefunia Bobowska, Jadzia Kulbacka, Marylka Sandomierzanka, Wanda Sandomierzanka, Nusia Popielówna, Zofia Moszyńska i Marya Zaleska; *pochwały* zaś: Halina Knabe, Jadzia Gadecka, Z. Kamińska, Mita Hofmanówna, Jadwiga Barthel, Jadwiga Trąbczyńska, Marya Sokółska, Helcia Sandomierzanka, Antonina Kuszelewska, Rozalia Jaworowska, Julcia z Gdańcówki, Wandzia Wołkówna, Hela Bobowska, Romana Gimbutówna, Hela Jaworowska, Felicya Roszkowska, Jadwinia Sandomierzanka, Marynia Biskupska, Helenka K. i Marya Jackowska.

Przysłane rzeczy w czasie przedświątecznym rozdamy w części Szpitalikowi dziecinnemu i Ochronce św. Pawła, w części zaś ubogim rodzinom znanym dobrze Redakcyi. Po odbiór książek, stanowiących nagrody, upraszamy o zgłoszenie się do Redakcyi „Wieczorów Rodzinnych” Mazowiecka Nr. 10, a zamieszkałych poza Warszawą o nadesłani 14 kop. markami na koszta przesyłki.

Niezależnie od nagród, panienkom które zasłużyły na pochwałę, Redakcyja ofiaruje małe kalendarzyki pamięciowe na rok 1899-ty.

☞ Czytelniczki Wieczorów, któreby chciały obejrzeć roboty swych rówieśniczek, proszone są uprzejmie o przybycie do lokalu Redakcyi w niedzielę dnia 13 b. m. między godziną 12-ą a 3-cią.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zlr. 1 cent. 75 (3½ korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Mała muzykantka (rycina). — Pierwsza robota panny Klementyny przez Z. Morawską. — O nieceniu ognia. — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej ryby,” opisał H. C. — Kolej balonowa (z ryc.) — Ślub Murzynów (z ryc.) — Obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — Sprawozdanie z konkursu na roboty ręczne. — Dodatek: Piosnka myśliwego, wiersz (z ryc.) — Sen Reni. — U cioci Polci (z ryc.) — Dług wdzięczności, przez Zofię Rudnicką. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Dodatek książkowy: Wspomnienia Haliny, przez Julię Piasecką.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доводено Ценаурою. Варшава 26 Октября 1898 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

WIECZORY RODZINNE



PIOSNKA MYŚLIWEGO.

Już zmęczyło mię czytanie,
Czas odpocząć, czas,
Pójdę w las na polowanie,
Póde z fuzyą w las;
Więc broń biorę w dłoń,
Na bok teraz księgi,
Pif, paf, tra, la la,
Jam myśliwy tęgi.

Zwawo, śmiało przez gęstwiny
Za zwierzyną mknę!
Przez parowy, przez doliny,
Nic nie ujdzie mnie!
Więc broń biorę w dłoń,
Na bok teraz księgi,
Pif, paf, leży już,
Jam myśliwy tęgi.

Lecz gdy wilka ślepie błysną,
To nie szukam drogi,
A przez krzewy się precisnę
I umykam w nogi.
Pif, paf, pif, paf!
Jam myśliwy tęgi.

Sen Reni.

Renia przygotowała już wszystkie lekcye na dzień następny. Wstała od stołu, zarzuconego książkami i kajetami i obejrzała się naokoło. Co ona będzie teraz robiła? Na zegarze wybiła szósta, do kolacyi jeszcze dwie godziny. Całe dwie godziny! I co ona pocnie z tym czasem? Tatuś pracował w swoim pokoju, Jadwinia, starsza siostra, grała na fortepianie, a mamusia nie wróciła jeszcze z lekcyi, niema więc nawet do kogo przemówić, bo stara Marcinowa porządkuje w kuchni i nie można jej przeszkadzać.

— Boże! jak ja się nudzę, żeby chociaż kto przyszedł, naprzykład ciocia ze Stefcią...

Ale goście nie przychodzili. Renia usiadła na kanapie i zamysliła się smutnie.

Naraz usłyszała głos z pod stolika:

— Dziwię się tej dziewczynce, że się nudzi. Mogłaby przecie poukładać nas porządnie — mówił porzucony pod stolikiem kajet — porozrzucała nas na wszystkie strony, ja naprzykład leżę na podłodze i wcale mi się to nie podoba. Na moich kartkach zapisane jest tyle pięknych francuskich słówek, że należałoby mi się odpowiedniejsze miejsce. A i moich braci nie lepszy los spotyka. Widzę, że jeden leży na łóżku, a drugi porzucony na komodzie.

Możnaby nas przecie złożyć razem na stoliku lub w szufladzie...

— I pokłaść świeżą bibułę, bo dawno już nie zmieniana — szeptał kajet, leżący na łóżku.

I nas możnaby poukładać w tornister, to jutro rano nie byłoby biegania i szukania po wszystkich kątach — mówiły małe i duże książki.

— Ta panna Renia to bardzo jest dziwna — mruzczały drobiazgi w szufladce — ponarzucala do szuflady rozmaitych rzeczy, że się nam trudno pomieścić. Czego tu niema! Szczoteczka do zębów leży pomiędzy wstążkami, mydło rozpiera się między stawkami i bawełną, a mała nieubrana laleczka przerażonym wzrokiem patrzy na wymierzone ku niej ostrze otwartego scyzoryka. Mogłaby się ta panna Renia wziąć trochę do porządku, ale ona woli siedzieć na kanapce i nudzić się.

— O tak! — westchnął bucik — gdyby uporządkowała szufladkę, toby tam pewno znalazła guziczki dla mnie. Oberwały mi się dziś aż dwa i jak ja teraz wyglądam? Trzebaby je przyszyć koniecznie.

— Mnie się zdaje — odezwał się gruby słownik — że panna Renia to się doczeka złego stopnia z porządku, bo wątpię, żeby nauczycielki były zbyt długo cierpliwe. Kajety z brudną bibułą, książki w nieświeży papier obłożone. Bardzo mi się to wszystko nie podoba i wątpię, czy Renia jest rzeczywiście tak dobrą uczennicą.

— O, przepraszam! — zawołał głośno dziennik ze stopniami — panna Renia uczy się doskonale, ja wiem o tem najlepiej. A że trochę w nieporządku utrzymuje swoje rzeczy... to źle zapewne, ale wiem, że się poprawi, bo zapłakałaby się chyba, gdyby mnie na pensyi zeszpecono dwójką z porządku...

— Dwójkę! nigdy! — zawołała Renia i... obudziła się nagle. Obejrzała się w koło. Więc ona spała, ale spała krótko, bo zegar wskazywał kilka minut po szóstej. Książki i kajety leżały na swoich miejscach i wcale nie zdradzały chęci do rozmowy. A jednak, co to nieprzyjemnych rzeczy naopowiadały podczas jej snu. Czy nie miały jednak słuszności? Dziewczynka spojrzała na porozrzucone rzeczy i westchnęła. Tak, miał słuszność i kajet pod stolikiem i książki rozrzucone, i bucik bez dwóch guziczków.

Rzeczywiście! Jak ona mogła się nudzić, kiedy ma jeszcze tyle do zrobienia! Przedewszystkiem obłoży kajety i książki w świeży papier, włoży nową bibułę. Ma przecież to wszystko w szufladce. A potem oddzieli książki potrzebne na jutro, żeby nie było tego wiecznego szukania rano, resztę schowa do stolika. Potem uporządkuje drugą szufladkę, gdzie leży mydło i książki, scyzoryk i nieszczęsna lalka.

I wtedy wszystko będzie w porządku...

— A prawda, jeszcze bucik.

I zaczęło się porządkowanie książek, kajetów, drobiazgów...

Gdy mama powróciła, zastała Renię zarumienioną, zajętą.

A gdy wybiła ósma i poproszono na herbatę, Renia przyszywała właśnie drugi guzik do bucika. Dnia tego poszła spać bardzo zadowolona, a jeżeli i później będzie

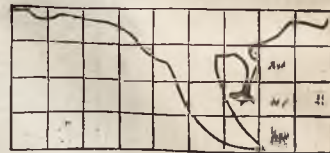
pamiętała o porządku, to dziennik ze stopniami może być zupełnie spokojny. Nie będzie w nim dwójki.

Zofia Kwiatkowska.

U cioci Polci.

— Dla czego? — spytał Henryś.

— Dla tego, że musicie poliniować papier w małe kwadraciki, to wam pomoże przy rysunku. Ja najpierw wyrysuję gęś a potem wy powtórzycie (fig. 25).



(fig. 25).

Zosia uznała, że to nie takie bardzo trudne, chociaż jej ptak nie taki był ładny jak Henrysia. Po skończonym rysunku wycięto go, pozaginano skrzydła i szyję i gaska stanęła na stole (fig. 26) ku wielkiej ucieście dzieci.

— Możnaby zawsze tak liniować papier przed zaczęciem rysunku — rzekła Zosia.

— Nie warto — odparł Henryś.

— Możecie zrobić bardzo pięknego psa, jeżeli poliniujecie papier. Odetnijcie kawałek papieru 5 cali długi i tyleż szeroki, złożcie go i podzielcie na 50 kwadracików poczem wyrysujecie podług mego wzoru (fig. 27) i potem wytnijcie uważnie, zagnijcie szyję, głowę a nie zapomnijcie o oczach (fig. 28).

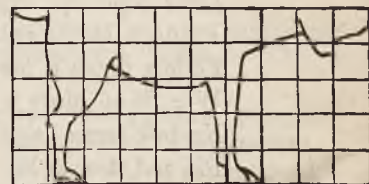


(fig. 26).

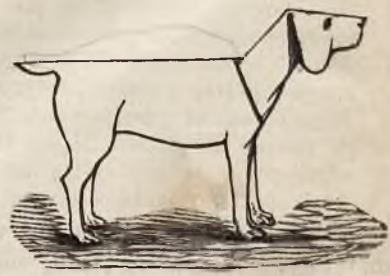
— Prześliczny pies — zawołał Henryś.

— Czy można wycinać także inne rzeczy, nietylko same zwierzęta? spytała Zosia.

— Wszystko można wyciąć co tylko wam się podoba — odrzekła ciocia — ale pamiętajcie zawsze, że jest o wiele łatwiej jak papier złożony jest we dwoje i jeśli się wytnie od razu dwie połowy.



(fig. 27).



(fig. 28).

— Niech każdy z was wyrysuje i wytnie jakiś przedmiot któryby się przydał naszym zwierzętom, a inni niech zgadują co to ma być — zaproponował Kazio.

— Doskonale — zawołał Henryś. — Jestem gotów.

— A ja będę zgadywała — rzekła Zosia. — Zamknę oczy, żeby nie widzieć co robicie.

— Ja pójdę tymczasem po bilety wizytowe — rzekła ciocia.

Ciocia wyszła, Zosia zamknęła oczy, a Henryś i Kazio wzięli się do roboty.

— Już zrobiłem — zawołał po jakimś czasie Kazio.

— I ja też — dodał Henryś, a gdy ciocia wróciła, zastała bardzo zabawnego, papierowego człowieczka, jadącego na słoniu, podczas gdy psy spoczywały w cieniu pięknego drzewa z bibuły. Ciocia Polcia aż klasnęła w ręce, a dzieci śmiały się uradowane.

— Przepysznie — zawołała ciocia. — Mały człowieczek bardzo pocieszny, ale drzewo jeszcze lepsze.

— Kto zrobił drzewo? — spytała Zosia.

Kazio zeskoczył z krzesła i ukłonił się cioci.

— Kazio zrobił drzewo — rzekł Henryś — bardzo ładne.

(d. c. n.)

DŁUG WYDZIĘCZNOŚCI

przez

Zosię Rudnicką.

(Dalszy ciąg)

Gałęzie tamaryksu zachwiały się — rozchyliły. Janek nie śmiał się poruszyć — obawiając się zdradzić swą obecność — może to pogoń za nim?.., w ciemności i przerażającej ciszy usłyszał oddech ludzki — ktoś go ujął za ramię i jednocześnie błysnęło mu przed oczyma blade i mdlawe światelko latarki. Ujrzał przed sobą Tatarą, który w milczeniu wziął go za rękę i gasząc światło pociągnął za sobą szorstko i jakby niecierpliwie. Poczeli spuszczać się z przykryj wysokości; przewodnik Janka nie odezwał się ani jednem słowem i szli tak w ciemności i milczeniu, czas jakiś, spuszczać się ciągle ku dołowi. Janek słuch wyteęzał, gdyż zdawało mu się, że słyszy jakieś szmery, które w tej nieprzebitej ciemności, w głuchem, pełnem grozy milczeniu wydawały mu się stłumionymi głosami ludzkiemi. Dokąd go wiedzie ten milczący i ponury przewodnik? Do wolności? czy do śmierci?

Szmery stawały się coraz głośniejsze i wyraźniejsze, i wkrótce Janek rozpoznał szum wody. Jak grom uderzyło go przypomnienie; słyszał, że tu przestępców topią w okrutny sposób, zawiązawszy ich pierwej w wór skórzanym... To los jego — utopi go ten Tatar — to nie jest syn tego, który mu wolność obiecał! Myśli te jak kamienie obezwładniły mu nogi, stanął, nie mógł postąpić. Tatar szarpnął go za rękę i popchnął tak silnie, że biedny Janek upadł na twarz. Lecz porwał się natychmiast, gdy przewodnik szepnął mu nad uchem: „Siebie i mnie zgubisz — niebawem dzień będzie.”

Poczeli już teraz biedz szybko, za chwilę poznał Janek po plusku wody, że stoją nad płynącą rzeką. Tatar puścił rękę Janka. Stój! — rzucił mu krótko, a sam poszedł brzegiem. Wiatr znowu na chwilę rozpedził chmury, i oczy Janka przywykłe w tych kilku godzinach do ciem-

ności, dojrzały, że przewodnik jego szuka czegoś... Jeszcze raz strach go przejął — może skórzanego worka?... Lecz Tatar szukał tylko czółna uciepionego do krzaków nadbrzeżnych. Za chwilę siedzieli w niem obaj i odbili od brzegu. Czółno popychane silną i wprawną ręką, płynęło szybko z biegiem wody, kierując się skośnie ku drugiemu brzegowi. Jankowi zdawało się, że płyną już niesłychanie długo; nie śmiał odezwać się słowem do uparcie milczącego towarzysza, ale gdyby mu kto był powiedział, że od chwili, gdy umknął z przed drzwi więziennych, godzina jeszcze nie upłynęła, byłby temu gorąco zaprzeczył.

Ach, w końcu przybiło czółno do brzegu! Tatar wyskoczył i Janka szarpnął za rękę; stanęli znowu na ziemi i teraz biedz oba zaczęli. Znowu jakieś odgłosy dochodzą do ucha Janka! To parskanie koni... Jankowi z radości serce jak ptak zatrzepotało w piersi... Dobięgli do gęstych zarośli i wolniejszym już krokiem przedzierali się przez krzaki i gałęzie. Wydostali się nareszcie na małą polankę, gdzie przy drzewie stały uwiązane dwa konie; Tatar zdjął z jednego jakiś zwitek, rzucił go Jankowi i kazał mu się przebrać. Janek nie pomyślał nawet, że był dotąd w łachmanach niewolnika, teraz za to z radością i pospiechem przyodziewać się począł. Na głowę wcisnął mu przewodnik czapkę, zakrywającą mu prawie oczy. Kazał mu potem wsiąść na jednego z koni. Jakże biedny, mały więzień uczuł się szczęśliwym, znalazłszy się na wygodnem tatarskiem siodle, zdawało mu się, że mu skrzydła urosły u ramion — objął rękoma łeb zwierzęcia mającego go unieść z tej ziemi niewoli. Koń zadowolony widocznie ze swego jeźdźca, zarżał z radości, rozdał chrapy i pomknął za pierwszym, na którym już siedzący Tatar pędził drożyną dobrze sobie znaną.

Wkrótce wydostali się na czyste pole. Chmury pognały kędyś ku północy, rozwiały się, i jasny błękit południowego nieba zasiany migotliwymi gwiazdami, zajaśniał nad głowami mknących jeźdźców. Gdy świtać zaczęło, byli już daleko, — pogoni nie obawiał się Tatar, wiedział, że wysłana będzie w przeciwną stronę, w którą ucieczka mogła się wydawać łatwiejsza. Koń Janka w ciągu tej jazdy kilka razy odzywał się radosnem rżeniem, jak gdyby chciał dać poznać, że rad jest ze swego jeźdźca, ale któż opisze radość Janka, gdy przy świetle poranka poznał w nim... swego ulubionego wierzchowca, którego Tatarzy wraz z nim porwali! Od tej chwili uczucie niezmiernej radości i uspokojenia przejęło serce dzielnego chłopczyzny, który tyle przetrwał, tyle przecierpiał, a jednak nie stracił ufności w dobroć i opiekę Boską, modlił się gorąco i wierzył i czekał cierpliwie!

Po kilkudniowej bezustannej i szybkiej jeździe, bo zaledwie tyle zatrzymywali się, by konie popaść, napoić i sami pożywić się sucharami, które Tatar wioził w skórzanym worku przy siodle, nadjechali nad brzeg Dniestrowy. O radości, po drugiej stronie, już był kraj rodzinny Janka! — jego powietrze, jego słońce, świegot jego ptaków! A tam dalej — już niedaleko — już blisko, dziadek, matka, siostrzyczka — dom jego! Ach dom rodzinny!...

(d. c. n.)

ZAGADKA.

Ułożył Aleksander W.

Pierwsza z drugą za czyny każdego człowieka,
Gdy złe były, w tem życiu albo w przyszłym czeka.
Pierwsza z trzecią to Wschodu produkt dobrze znany,
I za napój codzienny u nas używany.
Druga z czwartą ból sprawia czy duża czy mała,
Czy moralna jest w sercu, czy broń ją zadała.
Wszystko zaś dąży śmiało wskroś pustyń piaszczystych,
Już to do krain obcych, już też do ojczystych.

ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

p. Wichurę dla Słonia z Nubii.

W
A
S
C
H
O
D
U
K
U
P
R
O
D
B
O
D
R
Z
E
Z
N
Y
N
Y
A
B
Y
L
Y
W
T
E
M
L
I
C
I
U
L
B
O
W
A
L
I
C
Y
C
Z
E
K
A
C
H
O
D
B
O
D
R
Z
E
Z
N
Y
N
Y
A
B
Y
L
Y
W
T
E
M
L
I
C
I
U
L
B
O
W
A
L
I
C
Y
C
Z
E
K
A
C
H
O
D
B
O
D
R
Z
E
Z
N
Y
N
Y
A
B
Y
L
Y
W
T
E
M
L
I
C
I
U
L
B
O
W
A
L
I
C
Y
C
Z
E
K
A
C
H
O
D
B
O
D
R
Z
E
Z
N
Y
N
Y
A
B
Y
L
Y
W
T
E
M
L
I
C
I
U
L
B
O
W
A
L
I
C
Y
C
Z
E
K
A
C
H
O
D
B
O
D
R
Z
E
Z
N
Y
N
Y
A
B
Y
L
Y
W
T
E
M
L
I
C
I
U
L
B
O
W
A
L
I
C
Y
C
Z
E
K
A
C
H
O
D
B
O
D
R
Z
E
Z
N
Y
N
Y
A
B
Y
L
Y
W
T
E
M
L
I
C
I
U
L
B
O
W
A
L
I
C
Y
C
Z
E
K
A
C
H
O
D
B
O
D
R
Z
E
Z
N
Y
N
Y
A
B
Y
L
Y
W
T
E
M
L
I
C
I
U
L
B
O
W
A
L
I
C
Y
C
Z
E
K
A
C
H
O
D
B
O
D
R
Z
E
Z
N
Y
N
Y
A
B
Y
L
Y
W
T
E
M
L
I
C
I
U
L
B
O
W
A
L
I
C
Y
C
Z
E
K
A
C
H
O
D
B
O
D
R
Z
E
Z
N
Y
N
Y
A
B
Y
L
Y
W
T
E
M
L
I
C
I
U
L
B
O
W
A
L
I
C
Y
C
Z
E
K
A
C
H
O
D
B
O
D
R
Z
E
Z
N
Y
N
Y
A
B
Y
L
Y
W
T
E
M
L
I
C
I
U
L
B
O
W
A
L
I
C
Y
C
Z
E
K
A
C
H
O
D
B
O
D
R
Z
E
Z
N
Y
N
Y
A
B
Y
L
Y
W
T
E
M
L
I
C
I
U
L
B
O
W
A
L
I
C
Y
C
Z
E
K
A
C
H
O
D
B
O
D
R
Z
E
Z
N
Y
N
Y
A
B
Y
L
Y
W
T
E
M
L
I
C
I
U
L
B
O
W
A
L
I
C
Y
C
Z
E
K
A
C
H
O
D
B
O
D
R
Z
E
Z
N
Y
N
Y
A
B
Y
L
Y
W
T
E
M
L
I
C
I
U
L
B
O
W
A
L
I
C
Y
C
Z
E
K
A
C
H
O
D
B
O
D
R
Z
E
Z
N
Y
N
Y
A
B
Y
L
Y
W
T
E
M
L
I
C

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Jesienią.

O słońca zachodzie, zwiesiwszy swe czoła,
W przeczuciu złowrogiem drżą drzewa,
Wiatr świszczy i jęczy żałośnie dokoła,
I liśćmi żółkłemi powiewa...

Na pole, do boru pobiegnę, matuchno!
Nazbieram mchu, wrzосу, gałęzi,
Nim ziemię śnieg biały zaściele równiuchno,
I zima nas w chacie uwięzi..

I ścianki chateczki kochanej otulę,
Mchem zewnątrz i wrzosem obłożę,
Jak ty mnie, tak ja ją osłonię też czule,
Niech ciepło w zimowej ma porze.

Zaś w izbie, pod komin chróściku naniosę,
Niech sobie schuie w wiążkach dowoli —
Czas wilgoć wyciągnie zeń wszystką i rosę,
I prędzej zapłonąć pozwoli.

I ławę na środek wysunę dębową,
Byś mogła przy ogniu siąść blisko —
Zobaczysz, jak będzie ci błogo i zdrowo
Na jasne spoglądać ognisko!

Ty szeptać mi będziesz powieści i baśnie,
Ja słuchać cię będę ciekawie —
I zawsze, jak tylko ogieniek przygaśnie,
Ja zaraz w kominku poprawię...

Wiktor Dzierżanowski.

ZOFIA BUKOWIECKA.

Z dziejów cywilizacji.

O pieniądzech.

Midas, król Frygii, jak mówi podanie greckie, oddał wielką przysługę bożkowi Dyonizosowi, godną też bożka miał dostać zapłatę.

— Proś o co chcesz, a otrzymasz wszystko, czego żadasz — wyrzekł wielki Dyonizos.

Ucieszył się Midas. Lecz o co ma prosić? to pytanie na które trudna odpowiedź.

Nie zdarzy się zapewne raz drugi równie dobra sposobność zadowolenia swoich życzeń. Król łamał głowę, a złośliwi opowiadają, że na tej głowie, niezbyt widocznie mądrej, wyrosły potem osłe uszy.

Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Midas, po długim namyśle, trafił na życzenie bardzo pospolite. Chciał być bogatym, jak nikt na świecie. Dlatego rzekł do Dyonizosa:

— Spraw, o władco, aby wszystko czego dotknę stało się złotem.

Piękne życzenie, nieprawdaż? Midas przynajmniej tak sądził, ucieszył się więc bardzo, gdy bożek skinął łaskawie głową na znak przyzwolenia.

Odtąd istotnie wszystko pod ręką króla zamieniało się w złoto. Złotemi były jego szaty, złotemi podwoje i próg pałacu, bo dotknął ich wchodząc; złotym tron, na którym zasiadał, złotym zwój pergaminu, gdzie chciał zapisać pamiętne zdarzenie, złotym piękny kwiat, urwany w ogrodzie, złotym piasek na ścieżkach parku. Słowem, Dyonizos dotrzymał obietnicy, Midas był najbogatszym królem na świecie.

Upojony radością, zapominając o powadze monarchy, biegał po swym pałacu, dotykając z kolei jego ścian, kolumn, przedsiionków. Mury i ozdoby architektoniczne, zamienione w złoto, błyszczały w słońcu nieporównanym połyskiem. Drzewa złote szeleściły złotemi liśćmi, a pomarańcze zwieszały zamiast owoców, ciężkie złote kule.

Zmęczony Midas usiadł nareszcie i wyczerpany doznaniem wrażeniami, zaprzagnął pokrzepić swe siły. Prędko podano mu wino i owoce lecz zaledwie głodny król dotknął ich ustami, zamieniły się w złoto. Chce użyć kąpeli, aliści woda zamiast ochładzać strudzone członki, tężeje w bryłę kruszcu!

Przerażenie ogarnęło Midasa. Miał, czego pragnął, lecz teraz dopiero widział, jak nierozsądnem było jego życzenie. Złoto chociaż pięknym i użytecznym jest metalem, nie daje samo przez się żadnego zadowolenia. Posiadając złoto, można jednak umrzeć z głodu i taka właśnie straszna śmierć głodowa groziła Midasowi. Po kilkudniowym więc poście, błaga gorąco Dyonizosa, aby cofnął swą łaskę.

— Wykąp się w rzece Paktolu — zabrzmiął głos bożka. Midas skwapliwie usłuchał rozkazu. Właśnie wychodził z barwnych wód, kiedy zobaczył rybaka, łowiącego ryby na wędkę. Rybak był stary, chiton *) jego podarty; Midas spojrział ze współczuciem na biedaka i rzekł:

— Niestety, nie uczynię cię bogatym, bo straciłem moc przysparzania złota.

— Mojem bogactwem wędka! — odparł z godnością stary rybak, i podczas gdy król spożywał chciwie ciasto, które na szczęście nie zmieniło się w złoto, on łowił dalej ryby.

Podanie mówi, że odtąd na dnie Paktolu znajdowano

złoty piasek, pamiątkę kąpeli Midasa, on sam zaś często zastanawiał się nad odpowiedzią rybaka i pytał: Czyżby istotnie wędka mogła być bogactwem?

Spróbujmy rozwiązać to zagadnienie.

Każdy z was zna z pewnością historię Robinsona, wyrzuczonego na wyspę bezludną.

Ciekawe to opowiadanie dla tego tak zajmuje, że przedstawia nam człowieka, własnym przemysłem zaspakajającego wszystkie swoje potrzeby. Niedołęga wyrzucony na wyspę bezludną zginąłby odrazu. Robinson był człowiekiem dzielnym, zdobył więc sobie i zabezpieczył żywność, zdobył ubranie i wygodne schronienie. Toż starał się, aby w jego jaskini nie było nawet ładnie, i słusznie, bo chociaż piękno nie daje człowiekowi bezpośredniej korzyści, sprawia mu jednak przyjemność sobie tylko właściwą, i dążenie do upiększania otaczających nas przedmiotów jest dążeniem godnem zabiegów dzielnego człowieka.

Wróćmy jednak do Robinsona.

Żeby żyć, musiał on jeść. Na wyspie rosły owoce, Robinson zrywał je i jadł. Bóg zasiał ziemię mnóstwem swych darów; człowiek korzysta z nich, zdobywając je pracą. Ale praca rąk nie wystarcza. Bóg powiedział, że opanować mamy ziemię ze wszystkimi jej skarbami. Robinson, żeby narwać owoców użył tylko rąk, gdy chciał jednak chwycić ptaki, zrobić musiał sidła, bo bez narzędzia nie byłby podobał temu zadaniu.

Bóg dał człowiekowi rozum, rozumem dokonywa on wielkich rzeczy, rozum ten ujawnił się zaraz w obmyśleniu pierwszego narzędzia. Zmysłność zwierzęcia różną jest od pomysłowości człowieka. Zwierzę nie robi narzędzia, mógł je zrobić tylko człowiek, obdarzony od Boga duchem nieśmiertelnym i rozumnym.

Znaleźliśmy więc odpowiedź na pytanie króla Midasa: czy wędka rybacka jest bogactwem?

Jest, każde narzędzie jest bogactwem, gdyż z jego pomocą zaspokajamy nasze potrzeby i zdobywamy nowe bogactwa.

Spytacie może z kolei: Dla czego więc przez bogactwo rozumieją ludzie wielką ilość złota, kiedy jak widzieliśmy ono nakarmi nas, ani ubrać nie może?

Spróbujmy znów odpowiedzieć sobie na to ważne zagadnienie i znów ułatwi nam to Robinson. Robinson gromadził z każdym dniem coraz więcej bogactw. Ulepił garnki z gliny, upłócił koszyki, uszył ubranie, zrobił łuk i strzały, słowem majątek jego rósł. Mógł już pomyśleć o przysporzeniu sobie pociech duchowych i w tym celu, mając odpowiednie narzędzia, postawił krzyż. Ale każdy z posiadanych przedmiotów kosztował go dużo pracy i czasu; zaledwie nabrał wprawy w garniarstwie, już podarte ubranie zapędzało go do krawiectwa. Jakże żałował, że na wyspie nie było więcej ludzi.

— Jeden robiłby łuki, drugi sidła, trzeci obuwie i wymienialiibyśmy między sobą nasze bogactwa. Tak myślał Robinson i miał słuszność, bo tak właśnie robią zwykle ludzie: wymieniają oni między sobą swoje bogactwa.

Widzę, jak Janek, syn doktora Dolskiego robi dziwną minę, a nawet rusza ramionami. Mój ojciec nic nie wymienia, przyjmuje chorych od godziny 5 do 7-ej i otrzymuje od nich pieniądze. Michaś Brzeski uśmiecha się złośliwie na tę uwagę kolegi. Michaś jest bardzo rozważnym chłopcem, zastanawia się nad wielu rzeczami i podziela moje zdanie. Spróbujmy więc przekonać Janka.

Wyobraźmy sobie wyspę, na której mieszkałby nie jeden, ale trzydziestu Robinsonów. Burza wyrzuciła ich na brzeg i muszą żyć długo, może kilka lat, zanim jaki okręt przypłynie do odległej wysepki. Wszystko to są dzielni ludzie, przyzwyczajeni walczyć z przeciwnościami, nie lamentują więc, tylko biorą się do roboty, żeby żyć. Przybyli umieją różne rzemiosła: krawiec zaczyna szyc suknie ze skór, cieśla stawia domy, stolarze piłują drzewo na sprzęty, kowale zbierają rudę, przetapiają ją i będą kuli siekiery. Po roku nowi osadnicy zgromadzili już dużo bogactw, a jeśli szewe

*) Szata, jaką wówczas noszono.

potrzebował stołu, dawał stolarzowi obuwie i w zamian dostawał stół, kowal za siekiere brał od myśliwego zwierzynę, krawiec szył suknie, a dostawał ryby, a uczony doktor, który znalazł się także na wyspie, czuwał nad zdrowiem towarzyszy, za co oni oddawali mu w zamian różne przysługi.

Wkrótce jednak kłótnie i niezadowolenie wkradły się między osadników. Stolarz zrobił stołek i chciał go wymienić u rybaka na ryby, bo potrzebował pożywienia, ale rybak odmówił układu, mówiąc, że łowiąc ryby siada na nadbrzeżnej murawie, że mu więc ona zastąpi krzesło. Za to szewc do swej pracy potrzebował koniecznie stołka, dawał za nie stolarzowi parę butów uszytych z zajęczej skóry, ale stolarz nie miał na nie ochoty, bo wystrugał sobie treпки z drzewa. Z kolei cieśla okazał niezadowolenie. Wybudowanie chaty kosztowało dużo pracy. Czyż mógł się podjąć tej pracy dla szewca za parę nędznego obuwia, lub dla kowala za siekiere, chociaż jej potrzebował?

(d. c. n.)

W OBŁOKACH I POD WODĄ

WYPRAWY „LATAJĄCEJ RYBY.”

opisał H. C.

(Ciąg dalszy).

— Nie straszycie ich widok łodzi — zauważył Mildmay — widocznie od dłuższego czasu nie polowano na nie w tych stronach. Gdybyśmy także ubili sztuk kilka, byłaby to dobra sposobność wzbogacenia biednego Hudsona.

— Doskonała myśl! — zawołał z zadowoleniem profesor. — Wyświadczymy przysługę ojcu Florke, a zarazem spróbujemy celności dalekoonych strzelb naszych.

Po tych słowach całe towarzystwo zeszło do zbrojowni, każdy wybrał broń wskazaną przez Karlińskiego i zaopatrzył się w pewną ilość naboju.

Powróciwszy na pokład, podróżni zauważyli, że jakkolwiek łodziom rybackim powiodło się dosięgnąć i pochwycić trzech wielorybów, stado nie zdawało się być spłoszonem.

Zatrzymano więc „Latającą Lybę” i czterech podróżni z nabitą bronią, stanęli po czterech stronach pokładu. Baronet strzelił pierwszy, wybrał na ofiarę swoją jedną z większych sztuk, której bok wystający nad wodą, wygodnie za cel mógł służyć. Strzał był tak cichy, że świadczył o nim tylko lekki obłoczek dymu, unoszący się w powietrzu i delikatne uderzenie spuszczonego kurka. Wieloryb drgnął gwałtownie, rzucił się w górę i martwy wypłynął na powierzchnię wody.

Strzelali następnie z pomyślnym skutkiem profesor i pułkownik, tylko chybił Mildmay z wielkim dla siebie wstydem; niezręczność swoją postarał się jednak zaraz naprawić, zabijając dwa wieloryby, zanim towarzysze jego ponownie zmierzili. Tym sposobem w ciągu dziesięciu minut ośm sztuk padło z rąk podróżnych. Profesor przeciwny nadmieremu łepieniu zwierząt, uznał tę ilość za dostateczną dla Hudsona, tem więcej, że każda z wysłanych na połów łodzi wracała obciążona łupem. „Latająca Ryba” stanęła w jednej linii z „Walrusem” a baronet zawołał:

— Bacznosc Walrus! Ile wielorybów stanowi dostateczny dla ciebie ładunek?

— Chciałbym ich mieć z pół tuzina — brzmiała niechętnym głosem wypowiedziana odpowiedź.

— Masz ich więcej, bo sztuk jedenaście — oświadczył sir Reginald — prócz trzech złowionych przez łodzie, jest do zabrania ośm wielorybów zabitych.

— Co pan chcesz przez to powiedzieć? — z radosnem

zdziwieniem pytał kapitan. — Czy zabijaliście wieloryby na korzyść naszą?

— Niewątpliwie — odparł baronet — nam one przydałyby się nie mogły!

Hudson uszczęśliwiony dziękował serdecznie.

— Niech to Bóg panom nagrodi — mówił — nową wyświadczyliście mi łaskę. Statek nasz nie wytrzyma większego ładunku nad jedenaście zabitych wielorybów; resztę gromady zostawimy w spokoju na późniejsze czasy.

W takim razie żegnamy cię, kapitanie, i życzymy szczęśliwej podróży.

— Tego i ja panom życzę z całego serca, raz jeszcze dziękując za wyświadczone nam przysługi!

Po chwili „Latająca Ryba,” z szybkością dwunastu mil morskich na godzinę, popłynęła na północ, lecz w parę godzin, wobec zaciśniętych lodowców, uznano potrzebę wzniesienia się w powietrze i dopiero w pobliżu wybrzeży Grenlandyi spuszczone się znowu na szerszy kanał.

— Będziemy teraz podziwiali widok spotykany wyłącznie w stronach podbiegunowych. — odezwał się profesor.

— Cóż takiego? — zawołali towarzysze.

— Bądźcie cierpliwi! — odrzekł Karliński.

Niebawem, po dokonany przez statek zakręcie, wspaniałym widokiem przedstawił się oczom podróżnych. Ogromne, jakby z najczystszej kryształowej skały lodowe, do trzystu stóp wysokie, a rozległością sięgające granic horyzontu, stanęły przed nimi. Były to tak zwane lodowce Humboldta. W oświetleniu promieni słonecznych błyszczały jak najpiękniejsze brylanty, mieniając się wszystkimi barwami tęczy i odbijając blask swój na zwierciadlanej powierzchni wody.

Szczęściem dla podróżnych, pragnących nacieszyć się wspaniałym widokiem, wiatr ustał a w powietrzu rozlegał się tylko głuchy łoskot potracających się w dali lodowców. Nagle posłyszano trzask, niby ogień karabinowy całej armii; masy lodu poruszać się zaczęły zrazu z wolna, potem coraz prędzej, kołyszac się i zanurzając lub wychylając z wody, kipiacej jak ukrop i oddzielnymi strumieniami spływającej z lodowych wierzchołków. Na zakończenie olbrzymi słup wody trysnął wysoko w górę, przyskając białą pianą dokoła i groźąc zalaniem „Latającej Ryby.” Podróżni przypatrywali się temu z trwogą; czuli bezsilność swoją wobec rozszalałego żywiołu. Pierwszy ochłonął z przerażenia Mildmay, rzucił się do maszyn i wznosił statek w powietrze dla uniknięcia niebezpieczeństwa. Po pewnym czasie badawny uspokoiły się powoli, woda przestała gwałtownie falować i „Latająca Ryba” mogła wrócić na jej powierzchnię.

— Powinszujemy sobie odezwał się wówczas profesor — mieliśmy dziś sposobność nie tylko podziwiania lodowców Humboldta, ale jeszcze byliśmy świadkami narodzin gór lodowych.

Istotnie, w niezbyt wielkiej od nich odległości, wystąpił z pod wody lodowiec olbrzymich rozmiarów. Widoczna dla oka objętość tej bryły, była tylko 1/8 częścią jej rzeczywistej wielkości, ukrytej pod wodą.

Oderwawszy z żalem wrok od tych niezwykłych obrazów, podróżni popłynęli dalej kanałami: Kennedy i Robeson, przelatując od czasu do czasu ponad zagradzającymi im drogę lodowcami, aż póki koło 82° szerokości północnej ląd zniknął im z oczu i ujrzeli przed sobą bezgraniczną przestrzeń lodową, ciągnącą się ku północy.

Od chwili gdy minęli wyspę Disko, podróżni spotykali dużo fok, wielorybów, czasami dostrzegli pojedynczo trzymającego się niedźwiedzia, lisów północnej strefy, gromady reniferów, a nawet niekiedy okazy wołów piżmowych, nie mówiąc o różnych gatunkach ptaków, jak dzikie gęsi, kaczkę lub orły morskie, nurki, tłuściele, mewy i t. p. Czas był piękny, bo przybyli w te odległe strony w letniej porze, w której zwykły okręt, wyruszający z kraju na wiosnę, zdążyć tam nie może, bo potrzebowałby na to kilku miesięcy czasu. Prędko jednak znikać zaczęły ślady życia zwierzęcego, nawet gromady mew, towarzyszące okrętowi, gdy płynął po wodzie, porzuciły go, żegnając złowrogim skrzeczeniem, jakby przestrzegały

przed niebezpieczeństwem i nakłaniały do powrotu na południe.

Powietrze również zmieniło się nagle; ciemne chmury zawisły na niebie, termometr spadł do 15° stopni niżej zera, głucha cisza panowała w lodowej pustyni, nad którą tylko wiatr zimny przeciągał.

Lód nawet inny przybrał pozór; sople wierzchnie straciły przezroczystość, bryły nabrały barwy starej kości słoniowej a kanty ich wygładzały się pod działaniem czasu.

Na żądanie profesora zatrzymano statek; podróżni, ubrani ciepłe futra, zeszli na lód dla zbadania jego gatunku.

— Przewidywania moje nie stwierdziły się — odezwał się profesor — dosięgliśmy strefy stałych lodowców, przez to upada hipoteza wolnego, niezamarzłego morza koło samego bieguna. Spójrzycie na tę bryłę lodu przyólkłą, jakby spleśniałą, ale nie tą wilgotną pleśnią, zapowiadającą roztopoty, lecz poprostu pleśnią starości. Można lód rozbić na drobne kawałki, żaden jednak z tych kawałków nie da się rozpuścić. Świadczy to, że długie lata, może wieki całe minęły od chwili, kiedy lód ten był cieką wodną. Kanty nawet jego są wygładzone, jakby zaokrąglone pod działaniem wiatru, śniegu, gradu, a przypuszczalnie i deszczu, obijającego powierzchnię tych brył. Nic też dziwnego, że życie zamarło w takich warunkach, że istnieć tu nie może choćby owad najmniejszy. Wracajmy na statek, przyjaciele, porzućmy coperdziej okolice, gdzie nie znajdziemy nic, coby budzić mogło zajęcie, póki nie dosięgniemy bieguna, który być może jest punktem nie różniącym się niczem od tej lodowej pustyni.

Omylił się tym razem profesor; w niedalekiej chwili czekało ich ciekawe odkrycie.

Podróżni powrócili na „Latającą Rybę” w smutnym usposobieniu, podnieśli kotwicę i poszybowali w powietrzu ku północy.

Gdy wiatr po pewnym czasie przybrał kierunek wschodni, Mildmay bystrym swym wzrokiem dostrzegł niewykły jakiś przedmiot. Były to dwie belki w odległości kilkunastu stóp jedna od drugiej, wystające z lodu i podtrzymujące coś jakby resztki drewnianego pomostu. Postanowili rzecz tę dokładnie zbadać. Ponieważ pora już była spóźniona, poszukali miejsca dogodnego na czasową przystań, i przytwierdzili „Latającą Rybę” do lodu czterema kotwicami. Przezorność ta okazała się bardzo uzasadnioną, nazajutrz bowiem silny wiatr zaczął dąć od północy, niosąc z sobą zawieję śnieżną i wstrząsając statkiem z nadszyczącą siłą.

Podczas takiej wichury i śnieżycy, nie sposób było myśleć o poszukiwaniach; podróżni skazani zostali na przymusową bezczynność. Nie ciążyła im ona zbyt ciężko, bo krótko tylko sypiając dotychczas, byli znużeni i potrzebowali wypoczynku, a nadto mieli zaległe roboty, jak rachunki, rysunki i notatki. Tak zajęci, poświęcając w dodatku kilka godzin muzyce, spędzili dzień dość przyjemnie pomimo wiatru, który

wyjąc i hucząc targał statkiem, nie mogąc jednak zerwać kotwic.

Cztery dni następne upłynęły im w ten sam sposób, wichura bowiem nie ustawała na chwilę, a śnieg padał bez ustanku. Piątego dnia dopiero wiatr uciszył się, przyjąwszy kierunek południowo-zachodni, temperatura, która spadła do 33° niżej zera, podniosła na 20°, a chociaż niebo ciągle było zachmurzone i zimno przejmujące, mimo to podróżni, zaopatrzywszy się w ciepłe ubrania i nałożywszy łyżwy śniegowe (ski) na nogi, wyruszyli na odkrycie tego, co znajdowało się pomiędzy dwiema wystającymi z lodu belkami.

XI.

Ciekawy zabytek.

Gdy podróżni nasi zeszli na lód, różnica [temperatury między] łagodnym ciepłem panującym w kajutach, a przejmującym zimnem na dworze, o mało nie zagnała ich do powrotu. Przetrwali jednak przykre uczucie, i szybkim ruchem pobudzili cyrkulację krwi; oddech tylko mieli ciężki i utrudniony, i zanim dosięgli celu wyprawy, przekonali się, że w strefie podbiegunowej każdy krok niemal połączony jest z różnemi trudnościami. Bliższe zbadanie dwóch wystających z lodu bali wykazało, że były to maszty zatopionego okrętu, pleśń zaś pokrywająca drzewo świadczyła, iż okręt ten od dawna pod lodem znajdować się musiał. Przepuszczenie podobne tem żywsze zaciekawienie budziło w podróżnych; nie zważając na zimno, toporami i oskardami zaczęli rozbijać lód i odrzucać go na bok. Niska temperatura utrudniała im pracę; do wieczora zdążyli za ledwie zrobić wydrążenie na dwadzieścia kilka stóp długie a ośm stóp głębokie.

W taki sposób pracowali dziesięć dni z rzędu, zmuszeni jeszcze często odgarniać padający śnieg, który zasypywał wykopany rów. Zniecierpliwiony profesor

postanowił użyć dynamitu do rozsadzania lodu. Wykonał to szczęśliwie, nie uszkodziwszy odgrzebywanego statku i dopiero z pomocą materyi wybuchowej, czternastego dnia zdołano odkopać pokład okrętu. Było to dla podróżnych nowym bodźcem do dalszych poszukiwań; okręt ten bowiem niezwykłą budową swoją przedstawiał ciekawy zabytek przeszłości.

Następnego dnia Karliński i jego towarzysze wcześniej rozpoczęli pracę i do wieczora odgrzebali z lodu cały kadłub statku, który zdawał się być okrętem starodawnych Wikingów normandzkich. Był on osiemnaście stóp długi, szesnaście stóp szeroki i swego czasu stanowić musiał wspaniały okaz techniki marynarskiej. Zbudowany z drzewa, miał na dwóch słupach z przodu i z tyłu grubym dłutem, ale śmiałą ręką wyrzeźbione głowy końskie. Do burtów przytwierdzone były w otworach wiosła doskonale zachowane, zarówno jak część masztów pod lodem będących, tylko druga ich połowa wystawiona na działanie powietrza uległa zmurszeniu.



WEJŚCIE NA PIRAMIDĘ (str. 376).

Obejrawszy dokładnie statek zewnątrz, podróżni zapragnęli zwiedzić jego wnętrze. W tym celu przez małe drzwiczki weszli pod pokład, skąd Mildmay pierwszy po wąskiej drabince zszedł na dół. Tam znalazł się jakby w małym przedsionku, którego sufit, podłoga i ściany wyłożone były taflami lodowymi, a z góry zwisały się sople lodu różnej grubości.

Rozglądając się dokoła porucznik dostrzegł w głębi małe drzwiczki, tak wielką warstwą lodu pokryte, że rozrąbanie jego zajęło mu więcej, niż pół godziny. Przez ten czas towarzysze pobiegli na „Latającą Rybę” po lampki

W kajucie cztery znajdowały się trupy; trzy leżały na ziemi okryte skórami, podczas gdy czwarty, prawdopodobnie niegdyś wódz wyprawy, siedział w rogu stołu w wielkiem rzeźbionem krześle, jakby niespodziewanie pochwycony snem śmierci.

(d. c. n.)



GROTA MATKI BOSKIEJ W LOURDES (str. 376).

elektryczne, a gdy powrócili, zastali już drzwi odemknięte poczuli przykry zaduch wychodzący z głębi kajuty.

Nie zważając na to, weszli do środka. Kajuta stosunkowo do rozmiarów statku, była dość obszerna; dokoła stały ławki, na środku stół rzeźbiony. Ściany zaś dla niedopuszczenia zimna pokryte były skórami fok, morsów i niedźwiedzi białych, na których wisiały trofea wojenne i różnego rodzaju broń jak: miecze obosieczne, puklerze, maczugi, topory, strzały, łuki i t. p. Mimo zajęcia, jakie te przedmioty budziły, oczy przybyszów zwróciły się z uczuciem grozy w zamarłe oblicza mieszkańców tej kajuty. Synowie XIX wieku, znaleźli się wobec przedstawicieli minionych stuleci, którzy przed wiekami w chwili odjazdu z ojczyzny, pełni otuchy w szczęśliwą podróż, ślali może z pokładu ostatnie pożegnania żonom, rodzinom, puszczając się na wyprawę, z której nie mieli nigdy powrócić.

Marya Łopuszańska.

OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg)

— Wolałbym nadto potęgę — mruknął Masław odjeżdżając. — No ale zdaje mi się, że Czarnobóg niebardzo musi być dziś ze mnie zadowolony, dziś niezupełnie jemu służyłem. — I dodał po chwili z uśmiechem: — Wprawdzie i to może posłużyć do moich planów, lecz w pierwszej chwili naprawdę poszedłem za głupiem uczuciem litości! Jak też

to człowiek nigdy za siebie ręczyć nie może. A nawet Rokitka mówił, że moje serce nieprzystępne temu uczuciu.

— Stary lis chciał mi oszukać, dodał po chwilowem milczeniu, sądził, że tak łatwo oszukać Masława! Ale czekaj ty karle przekłety, znajdę ja inną drogę by wymódz pomoc od twego pana! Już na wszystko się zważyłem: Śmierć albo potęga!

Gdy Masław wjechał w dolną Prądnika, noc już zapadła zupełnie; po bokach migotały gromady skał, których zarysy ledwie dawały się odgadywać w ciemności, odcinając się jeszcze czarniej na czarnem tle nieba. Minął już skałę Sokolą, która niby maczuga jakiegoś potężnego bożka, wtknięta w ziemię, sterczała grubsza o góry niż u spodu i zdawało się, że lada chwila runie w dolinę; minął wreszcie gródek knezia Mszczuja, gdzie na szczycie połyskiwało światelko w ciemności, i podążył dalej.

Mijając obrócił się raz jeszcze, popatrzył na gródek, i pogroził mu:

— Ha, wy knezie, rozbójnicy! mruknął, pożałujecie wy kiedyś żeście chłopem wzgardzili! I ty stary wilku i ty, młody pyszniku, poczujecie oba dłoń moją! Chybabym nie żył jeśli bym nie zemścił się na was!

Białe mgły zaległy wąską dolinę; w ciemności słychać było jak Prądnik, wezbrany niedawną burzą, huczał rozbijając się po kamieniach. Czem dalej się posuwał, tem dziwniejsze kształty przybierały skały; w nocy zdawały się one szeregiem olbrzymów i potworów, strzegących wejścia do przybytku groźnego ducha ciemności.

Jakkolwiek śmiałym był Masław, poczuł jednak na razie trwogę i wahanie się; lecz prędko przewyciężył chwilową słabość.

— Śmierć lub potęga! szepnął.

Tylko Wyrwidąb jechał spokojny, jakby nie domyślając się niczego; żadnej trwogi nie doświadczał, ani na widok miejsca odludnego i mającego tak złą sławę, ani na obecność nocy, roztaczającej dokoła wszystkie swe okropności.

Przed nimi sterczała wysoka góra, najeżona lasem świerkowym; była to góra Chełmowa. Masław zostawił konia pod drzewem, i nie namyślając się, wraz z Wyrwidębem zaczęli wdierać się na wyżynę.

Nie chciał wywoływać Rokitki; teraz sam wiedział drogę do pieczary i prosto do niej dążył.

Wkrótce odszukali wnijście: zagłębili się obaj w ciemny korytarz między dwoma skałami. Masław co chwila oczekiwał, że przed sobą lub za sobą usłyszy szydery śmiech karła; lecz cisza zalegała dokoła, tylko nietoperze tłukły się w ciemnościach wydając ten dziwny pisk, podobny do zgrzytu dwóch kości, pocieranych o siebie.

Stanęli w progu pieczary. Wyrwidąb skrzesał ognia; w pieczarze ani żywej duszy nie było. W pośrodku tylko tlał jeszcze ogień z suchych gałęzi, świadczący, że tajemniczy władca tych miejsc niedawno je opuścił. W miarę jak płomień dogasał to znów buchał, po ścianach przesunął się szereg ruchomych cieni. Z sufitu, cichym szelestem spadały krople wody. Masław i Wyrwidąb zsunęli się na dół i stanęli na dnie groty.

Masław obszedł ją całą, zaglądając w każdy kąt, czy nie ujrzy gdzie Rokitki; lecz pusto było dokoła. Wyrwidąb wyszukał gdzieś łuczywo i zapalił je, ale słabe owo światło gubiło się w ogromnej pieczarze. W jednym kącie spał ryś, lecz za zbliżeniem się nowoprzybyłych, porwał się z posłania, odskoczył a oczy jego błysnęły w ciemności jak dwie świece. Wyrwidąb zamierzył się nań, Masław jednak go wstrzymał nie chcąc gniewać Rokitki, w którego mocy znajdowali się w każdym razie, przezywając w jego siedzibie. Ryś też po chwili poszedł się położyć spokojnie na posłanie.

Masław znów zaczął krążyć po pieczarze; gdy oddalił się na drugi koniec, zdało mu się, że w jednym z bocznych załomów, które w kształcie korytarzy gubiły się gdzieś w głębi ziemi, spostrzegł jakąś postać białą. Cień ten zaledwo ukazawszy się zniknął tak, że nie mógł poznać czy to ludzka

istota lub widmo. Spojrzał na Wyrwidęba ten siedział objęty przy ogniu. Nietoperze wciąż krążyły koło ognia lub jak strzały przelatywały po nad nim, uderzając o przeciwną stronę z piskiem.

— Długo na siebie daje czekać mruknął, zniecierpliwiony Masław, pomyślał o postaci, widzianej przed chwilą.

— Kto wie jakie tajemnice kryje ten potwór w swoim podziemnem schronieniu — rzekł po chwili do siebie — wprawdzie zaprzeczał temu, że składa krwawe ofiary swemu bogu, lecz czy można mu wierzyć? A może to widmo jakie, wywołane przezeń by doświadczyć mojej odwagi? Lecz jeśli myślisz przebiegły potworze, że mię nastraszysz, to się bardzo mylisz; spróbuj, wyślij na maie wszystkie swoje szatany, obaczysz czy się ich zleknie? Wypowiedział te słowa na głos, lecz w tej, że chwili, w odpowiedzi usłyszał za sobą ów dobrze mu znany śmiech szydery, podobny do zgrzytu żelaza. Obejrzał się z mimowolną trwogą ale nikogo nie spostrzegł.

— Ukaż-że się raz przecie, przekłety karle! krzyknął. Echa pieczary odpowiedziały mu tylko.

— Ukaż się, bo przetrząsnę twe legowisko i zabiję jak sowę jeśli znajdę! zawołał w szalonym gniewie.

Śmiech szydery był całą odpowiedzią na te słowa.

Masław rzucił się w stronę z kądem dochodził, lecz napotkał tylko kamienną ścianę.

Nagle błysnęło światło w przeciwnym kącie, i w jego blasku ujrzął skurczoną postać Rokitki stojącą w progu jednego z bocznych korytarzy. W rękę trzymał zapalone łuczywo. Twarz jego była groźna. Stanął w pośrodku pieczary obejrzał się i rzekł głosem, który w niczem nie przypominał jego dawnego sposobu mówienia:

— Kto ośmiela się nachodzić świątynię Czarnoboga i siedzibę jego sługi, bez ich woli? zapytał groźnie, a oczy błyszczały mu jak u żbika w ciemności.

— Ja, Masław, ośmieliłem się na to! — odparł ten ostatni. — Przychodzę zapytać ciebie, który obiecałeś mi pomoc, czy takie twoje przymierze? Oszukałeś mię, podle oszukałeś! zamiast powodzenia wszystko mi się z rąk usuwa; rzucam się jak zwierz po klatce i nie zrobić nie mogę! Więc taka twoja pomoc, więc tak Czarnobóg wspiera tych, którzy z nim trzymają!.. No, ale teraz nie będę z tobą gadał a z nim samym. Nie boję się twoich pogroźek, chcę mu popatrzeć w oczy, niech się przekona czy lica śmiertelnika podobną na widok jego oblicza?..

Głos jego rozlegał się po pieczarze, budząc echa uśpięne w jej głębiach.

Rokitka spokojnie wysłuchał wyrzutów, wreszcie rzekł powoli.

— Nie jam ciebie wzywał, sam tu przyszedłeś poraz pierwszy i pierwszy mię wezwałeś. Nie zobowiązałem się do niczego; odrzuciłem przymierze które mi ofiarowałeś tak zuchwale i rzekłem tylko w końcu, że z własnej woli chcę ci pomagać; ale pamiętaj, obiecałem ci to we własnym moim imieniu, lecz nie w imieniu Czarnoboga.. A w zamian za moją łaskę przychodzisz zakłócać spokój tego przybytku tweimi zuchwałemi krzykami. Zapytuję, jak wówczas, kiedy poraz pierwszy tu się ukazałeś, czego chcesz?

Głos jego był spokojny i chłodny, choć gniew powstrzymany błyszczał w małych zielonych oczach.

Masław odparł dumnie:

— Cóż to mię obchodzi, czy w twojem czy w cudzem imieniu obiecywałeś mi pomoc, dość żeś mię oszukał. To coś dotąd uczynił nic nie znaczy, bez takiej pomocy ja się obejść! Powtarzam ci, chcę widzieć Czarnoboga, chcę układać się z nim osobiście. Powinieneś umieć go wywoływać, nie zrobisz tego dobrowolnie, to cię siłą zmuszę. Przysięgam ci, że nie ustąpię dokąd nie dokażę tego co postanowiłem!

Przez cały ten czas Wyrwidąb stał milczący, roztawiając nogi szeroko, gotów na każde skinienie swego pana. Na twarzy jego nie widać było żadnego zaniepokojenia; nawykły do ślepego posłuszeństwa Masławowi, wid- cze-

go sobie nie zdawał dokładnej sprawy, działając zawsze tylko jak narzędzie jego

Oczy Rokitki coraz groźniej błyszczały w ciemności; podobny był do kota, gotującego się do skoku, lecz milczał, wzrokiem tylko mierząc przeciwnika.

Masław dobył miecza.

— Czy zrobisz to czego chcę od ciebie? — krzyknął — Czy odpowiesz mi nareszcie poczwaro? Mów, bo cię tym mieczem porąbię w kawalki!

Karzeł milczał, lecz wzrok jego stawał się coraz straszniejszym; Masławowi zdawało się, że sypał iskry; na chwilę nawet byłby przysiągł, że usta jego zionęły ogniem. Mimo to, nieulekły stał trzymając w ręku miecz dobyty, z okiem wlepionym śmiało w karła.

Nagle ten roześmiał się przeraźliwie aż odpowiedzieli mu głośnie echa pieczary; Masław cofnął się zdumiony tą niespodzianą wesolnością.

— Cha, cha, cha, śmiało się Rokitka, zwyciężyłeś, zwyciężyłeś, mój męzny rycerzu; Czarnobóg lubi śmiałych, jak ty! Nie dałeś się przelęknąć niczem, dla tego też zrobię czego żądałeś; będziesz widział władcę ciemności, spojrzysz w jego oblicze, jeżeli tylko będziesz miał dość siły na to.

Pomimo tej gotowości na wszystko, Masław nie mógł się oprzeć mimowolnemu niepokoju, bo śmiech Rokitki miał coś złośliwego w sobie. Lecz w naturze jego leżało to, że nie cofał się przed niczem co raz postanowił, nie okazywał więc strachu po sobie, ale czekał co dalej będzie. Rokitka dorzucił suchych gałęzi na ogień, który już dopalać się zaczynał poczem spojrzął na Wyrwidęba.

— Ten człowiek tu pozostać nie może rzekł, tobie tylko jednemu obiecałem pokazać władcę ciemności. A zwracając się do pacholka:

— Wyjdź stąd, rzekł rozkazująco.

Wyrwidąb nie ruszył się z miejsca.

— Wyjdź, jeśli ci życie miłe, powtórzył Rokitka, nie będziesz tego żałował.

Masław skinął na pacholka, ten posłuszny jego woli, opuścił pieczarę.

Rokitka, pozostawszy sam z Masławem, obrócił się doń i rzekł uroczyście:

— Po raz ostatni zapytuję cię: czy chcesz koniecznie ujrzeć potężnego ducha ciemności? Powtarzam ci, iż żądanie to śmiercią grozi! namyśl się więc.

— Już się namyśliłem — rzekł Masław pewnym głosem.

— A więc zrobiłem swoje; teraz nie miej do mnie żalu, żem cię nie uprzedził — rzekł Rokitka szydyczko.

Poczem rozrzucił ogień i z głowni ułożył koło na ziemi, kazawszy Masławowi stanąć pośrodku; zgasił łuczycwo, płonące dotąd; pieczara pogrążyła się w ciemności.

Masław widział tylko przed sobą błyszczące, zielone oczy karła, którego niekształtna postać przybierała coraz fantastyczniejszy pozór.

— Dobądź miecza! zawołał Rokitka stłumionym głosem, i strzeż się wychodzić z tego koła, inaczej śmierć!

Rys wywlokł się z kąta i przysiadł w pobliżu na tylnych łapach, jakby był także jakimś duchem podwładnym Rokitce. W ciemnościach odznaczało się jeszcze bardziej ogniste koło, a przy blasku głowni połyskiwał miecz dobyty Masława. Rokitka począł krążyć powoli wokoło, i rzecz dziwna, rys także mu towarzyszył, topiąc w Masławie swoje oczy szare, w których odbijał się jakiś szczególny wyraz.

Wreszcie Rokitka stanął, wymawiając uroczyste zaklęcia w następujące słowa:

Z nocą czarną, kiedy sowa huką
Z wichrem który błądzi po rozstaju,
I wśród mogił wirem się zakręca,
Z nocną gwiazdą bladą i posepną.

Przybądź Czarnobogu!

Bies, Czarnobóg, Strybóg, straszne bóstwo!
Wzywam ciebie w jakiej chcesz postaci
Objaw mi się tu, na me zaklęcia!

A gdy z wichrem przyjdiesz nocną dobą,
Wichrem bujnym tu ciebie pozdrawiam,
A gdy w ogniu ukazesz się błędnym
W nocnym ogniu ja ciebie pozdrawiam;
Potrzykrotnie mój pokłon ci składam
I po trzykroć wzywam, czarny duchu!

Głos Rokitki podnosił się coraz silniej i potężniej; gdy skończył, nad pieczarą, w dolinie, dał się słyszeć szum gwałtownego wichru.

W teje chwili Masław, wpatrzony w jeden kąt pieczary, ujrzał przed sobą jakieś oczy groźne, zwrócone na niego z potężnym, nieubłaganym wyrazem... Byłże to odbłask ognia na ścianie, czy oczy rysia albo naprawdę duch ciemności spojrzął na niego? Nie umiał na to odpowiedzieć, czuł tylko, że pod tem spojrzeniem zimnem, jak ostrze stali, jakiś chłód zmroził nagle jego serce, jakby ostatecznie zamarło w niem wszystko co ludzkie, jakby jakaś chłodna ręka przesunęła się po niem; a nie będąc zdolnym znieść dłużej napływu wrażeń, padł na ziemię.

Gdy przyszedł do siebie, ujrzał, że w pieczarze znów się ogień pali, a nad nim stoi Rokitka i śmieje się swoim zwykłym śmiechem.

— A co, męzny rycerzu? — pytał — czy straciłeś już chęć do wywoływania ducha? Mimo twej zuchwałej odwagi, technienie jego uniosło cię, jak słabą słomkę. Szczęśliwie jeszcze wyszedłeś z tej całej sprawy; gniew Czarnoboga bywa strasznym. Lecz ciebie nie dosięże, bądź spokojny; potrzebny nam jesteś, bo bez ciebie wiele złego nie byłoby spełnionem na świecie; nikt tak dobrze nie usłuży Czarnobogowi, jak ty; dla tego też osłaniamy cię opieką. Ale teraz grozi ci potężna siła, której my nawet zwalczyć nie możemy, gdyż ona moc nam odbiera. Strzeż się tej siły, ona zgubę przyniesie może twym zamiarom!

— Mów jaśniej! — zawołał Masław — z której strony mam się spodziewać niebezpieczeństwa?

— Wyjdzie ono z rodu knezia Mszczuja, więcej ci nie powiedzieć nie mogę!

— Z rodu knezia! — powtórzył Masław — zawsze mi staje na drodze ten ród pyszny i zuchwały. Ale postaram się zabezpieczyć od nich nadal, by mi nie szkodzili, obaczym kto z nas silniejszy, miłośnicy kneziui!

XVII.

Ostatnie słowa jego zostały przerwane przez ukazanie się nowej postaci, która zjawiała się niespodzianie u wejścia. Z początku sądził, że to Wyrwidąb, lecz przekonał się niebawem o swej omyłce.

Nowoprzybyły był widocznie znacznego rodu, poznać to można było po jego dumnej postawie i świetnym ubiorze.

Przy świetle ogniska Masław dostrzegł nawet złoty łańcuch, błyskający mu na szyi. Znać, że nie po raz pierwszy znajduje się w tem miejscu, bo szedł śmiało i pewnie.

— Oddał się tam — szepnął Rokitka, wskazując mu jeden z bocznych korytarzy.

Masław usłuchał, lecz wciąż zajęty był myślą, kto mógł być ów nieznamy z tak pańską powierzchownością.

Z powodu ciemności przybysz nie spostrzegł, że z Rokitką znajdował się przed chwilą ktoś drugi; przybliżył się do ogniska tak, że Masław ze swego ukrycia mógł mu się przypatrzeć: Wzrostu był średniego, na głowie miał drogi kołpak soboli, a bogata klamra spinała mu płaszcz na jednym ramieniu. Oblicze jego Masław nie mógł się przypatrzeć, było bowiem w cieniu.

Zaczął coś mówić z Rokitką, lecz z oddalenia nie słychać było rozmowy; znać tylko było, że gość o coś pyta, a karzeł odpowiada ze zwykłym mu szydyczkiem.

Długo trwała owa narada, prowadzona półgłosem, wreszcie Rokitka rzekł głośno:

— Czarnobóg nie może pomódz tym, którzy sobie sami nie pomagają. Czyż ty, książę, możesz co wymagać od Czar-

5 —
noboga, kiedy sam nie wiesz, nie śmiesz wyznać przed
czego pragniesz. Ale ja ci powiem: zazdrość to, zazdrość ku
najbliższemu popycha ciebie; lecz nie masz dość śmiałości by
działać samemu, a szukasz pomocy cudzej, nigdy też niczego
nie dokonasz, będziesz całe życie opierał się na drugich.
Ciesz się wszakże królewiczu, Bezbrajmie, będziesz miał dość
mocy by zatruć życie twemu bratu i doprowadzić go do sza-
leństwa.

Masław słuchał onych słów Rokitki, dźwięczących iro-
nią i szyderstwem, lecz gdy usłyszał imię Bezbraima, podsko-
czył, jakby powziąwszy myśl nagłą. Królewicz w tej chwili
postąpił krok jeszcze ku ognisku i teraz Masław dojrzał obli-
cze pociągłe, na którem, mimo młodości, nie było młodego
wyrazu; raczej odbijała się tam skrytość, a zarazem chwiejny
charakter. Oczy czarne błyszczały jakoś niespokojnie i ni-
gdy długo nie spoczęły na jednym przedmiocie; zdawało się,
że wciąż się czegoś obawiają lub podejrzują.

Był to jeden z tych ludzi, mogących się stać okrutnym
i niebezpiecznym, gdyby tylko posiadał władzę, a to jedy-
nie z powodu swej natury słabej i podejrzliwej, która najwię-
cej tworzy tyranów. Takie spostrzeżenia robił Masław ze
swej kryjówki, a usta jego powtarzały nieustannie:

— Bezbrajm, królewicz Bezbrajm! To bogowie, nie,
to Czarnobóg go tu sprowadził, by domógł mi w zamiarach!
Ze też mi to dawniej na myśl nie przyszło, choć słyszałem,
że on teraz bawi w Krakowie!

Nie czekając dłużej, wyszedł ze swego ukrycia i stanął
przed zdumionym królewiczem.

— Ktoś ty? — spytał Bezbrajm wyniośle. — Jak śmia-
łeś tu wchodzić teraz?

— Jam jest ten, którego ty nie znasz — odparł nie-
zmieszany Masław — ale ja ciebie znam, królewiczu Bez-
brajmie, znam cię lepiej, niż się tego spodziewasz! Nie patrz
na mnie tak dumnie, bo przychodzę jako przyjaciel, jako
stronnik twój...

— Lecz ktoś ty, co śmiesz się zwać mym przyjacielem,
nie nazwawszy swego imienia? — odparł królewicz, brwi ściąg-
ając. Nie znam cię, nie widziałem nigdy.

(d. n.)

NASZE RYCINY.

Grota Matki Boskiej w Lourdes. Tłumy cho-
rych, nieszczęśliwych i kalek, szukające ulgi i wyzdrowienia
w cudownej grocie w Lourdes, natchnęły malarza hiszpańskie-
go Garnelo pomysłem, do tego pięknego i rzetelnego obrazu.
Właśnie przed 40 laty uboga pastuszką Bernadetta Soubi-
rous, miała w tem miejscu widzenie Najświętszej Maryi
Panny w takiej postaci, jaką widzimy na rysunku i jednocze-
śnie na rozkaz Matki Boskiej wytrysnęło źródło, którego wo-

da mnóstwo podróżnych pielgrzymów od ciężkich i bezna-
dziejnych wyleczyła chorób. Tysiące ludu przybywa dzisiaj
do Lourdes (miasteczka w południowej Francji), a wszyscy
niosą korne modły do Królowej niebios, wszyscy dążą pełni
nadziei, że prośby ich wysłuchane zostaną.

W samej grocie nieustannie płonie mnóstwo światła,
i wierni pod przewodnictwem miejscowych zakonników, zwa-
nych „les Peres de la Grotte”, modlą się i wysłuchują
licznych kazań i nauk. Od czasu do czasu rozchodzi się ra-
dosna wieść o jakimś cudownym wyleczeniu. Ponad grotą
wznosi się wspaniała bazylika, w której ciągle odprawiają
się nabożeństwa.

Wejście na piramidę. W przedostatnim numerze
Wieczorów, zakończył się dłuższy artykuł o Egipcie. Wspo-
minaliśmy w nim, że kraj ten dzięki bardzo suchemu i zdro-
wemu klimatowi, oraz wielkiemu nagromadzeniu cennych
i ciekawych zabytków starożytnych, bywa nawiedzany w po-
rze zimowej przez wielu turystów i podróżnych. Największą
osobliwością Egiptu są bezwątpienia piramidy, te olbrzymie
grobowce dawnych Faraonów. Zdaleka wydaje się, iż wejść
na szczyt piramidy jest niepodobieństwem, tymczasem kra-
wędzie ich są zębate i stanowią rodzaj wielkich schodów,
utworzonych z piętrzących się głazów. Ale windowanie się
po tych schodach, nie należy, jak widzimy z ryciny, do rzeczy
nader łatwych i przyjemnych. Ludzie otyli lub niezręczni
potrzebują w tem czynnej pomocy przewodników, lecz widok,
jaki później oglądają i myśl, że byli na szczycie piramidy, so-
wicie te trudy wynagradzają. Najwięcej piramid znajduje
się w niższym Egipcie, na zachodnim brzegu Nilu, od Kairu
do Fayum, największe zaś leżą w bliskości Memphisu i noszą
nazwę piramid Gizeh. Są to grobowce króla Cheopsa (261
łokci wysokości), Chefrena i Mycerina. Wzniesione zostały
między 3500 a 2100 rokiem przed Nar. Chrystusa Pana.

Niebo w listopadzie.

Wschód słońca w tym miesiącu opóźnia się codzien-
o jedną lub dwie minuty, a zachód przypada coraz wcześniej,
w skutek czego długość dnia w dniu 1 listopada wynosiła 8½
godzin, a 30 wynosić będzie 8 godzin zaledwie. W dniu tym
wysokość słońca nad poziomem w południe dosięgnie za-
ledwie 17°.

Pełnia księżycy przypada 28 listopada. Z planet Mars
tylko przyświeca noc całą.

W tym miesiącu, dnia 13 — 15 i 27 spodziewać się na-
leży wielkiej ilości gwiazd spadających, to jest właściwie me-
teorytów, o których pisaliśmy obszernie w sierpniu.

Do dzisiejszego Numeru dołączamy prospekt Wieczorów na r. 1899.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zfr. 1 cent. 75 (3½ korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Jesienią, wiersz (z ryc.) — Z dziejów cywilizacji przez Zofię Bukowiecką. — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej
ryby,” opisał H. C. — Obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — Nasze ryciny. — Niebo w listopadzie. — Dodatek: Ach! ten
wicher (z ryc.). — Miesiące w roku, wiersz — Obrażalski. — U cioci Polci (z ryc.) — Dług wdzięczności, przez Zofię Rudni-
cką. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Wspomnienia Haliny, przez Julię Piasecką.

WIECZORY RODZINNE

Ach ten wicher!

Pan Prot jest rodzonym bratem pana Piotra — mogę wam na to słowem zaręczyć — jeżeli nie wierzycie.

Nie dziwię się jednak, że nie od razu mogliście w to uwierzyć.

Pan Piotr jest wysoki i cienki, bardzo cienki! Nosi długie sumiaste wąsy, stojącą czuprynę i jest zawsze upudrowany od stóp do głowy, bo trzeba wiedzieć, że pan Piotr jest właścicielem wiatraka, do którego, jak mówią, bardzo podobny, zwłaszcza, gdy swemi długimi rękami wymachiwać zaczyna.

Pan Prot kupiec, nie wysoki, okrągły, zupełnie do brata nie podobny. Co niedziela starannie się ubrawszy, z laską lub parasolem w jednej ręce, w drugiej trzyma na sznurku ulubionego pieska Trezorka do pana Piotra wyrusza.

Mieszkają oni od siebie niezbyt daleko: kupiec w samem mieście, młynarz pod miastem, na niewielkim wzgórku.

Pan Prot cały tydzień spędziwszy w sklepie z przyjemnością oddycha świeżem powietrzem i po drodze rozmawia z Trezorkiem.

Pies to maleńki z uszkami jak u osiołka, z najeżoną sierścią, jak u kolczatego jeża i z pyszczkiem cieniutkim jak u wiewiórki. Sierść ma brudno-żółtą i zielonkawę oczy; śliczny pies!... ale w tej małej psinie jest złote serce, nieoszacowany humor i niezmierny rozum.

Gdy idzie spokojnie z wysoko podniesionym łebkiem, to żaden konik arabski tak zgrabnie nie stąpa. Kogo tylko napotka, to go zaraz wita — haf.. haf.. To znaczy: dzień dobry panu lub pani.

Gdy spotka kilka osób, a zna je „haf,” powtarza aż cztery razy, co naturalnie oznacza: dzień dobry szanowni państwo.

Pan Prot idzie więc do brata. Z początku droga równiutka, więc idzie spokojnie i w doskonałym jest humorze. Ale, że wiatrak stoi na górze, a otyłym trudno wysoko się wspinać, więc zaczyna mruczeć i narzekać przed Trezorkiem, który znów lubi biegać.

Pomrukują więc obadwa, jeden gniewnie, drugi radośnie.

A pan Piotr stoi właśnie w tej chwili przed swoim młynem i oczekuje miłych gości.

— Witam braciszka, witam, a jakże tam zdrowie? Eh, widzę, że i pytać nie trzeba; braciszek zawsze doskonale wygląda.

Pan Prot zmęczony wysoką podróżą, sapiąc, zaczyna na tę „przekłętą” górę narzekać:

— Że też pan brat nie mógł się gdzie niżej pobudo-

wać. Żeby tak do kogo obcego, tobym tu nie wlaźł za wór złota.

— Dziękuję panu bratu za pocziwe serce — odpowiada młynarz — ale dziwno mi, że pan brat zrozumieć nie może mojego zawodu. Przecie wiatrak wysoko musi stać, aby miał jak najwięcej wiatru, którego przy ziemi niewiele.

Pan Piotr urażony troszkę, odpowiada, że i sam pan Piotr już na tym „wysokim” wietrze na wiatrakowe skrzydełko usechł.

Na to znowu młynarz dodaje, że pan Piotr za to utył pięknie i na wielkiego pana patrzy.

Po tych słowach bracia całują się serdecznie, bo choć sobie przymawiają, kochają się jednak naprawdę.

Piesek dostawszy się między młodych młynarczyków, przeróżne sztuki pokazuje.

Tak bywa co niedziela prawie, i w tę niedzielę więc jest tak samo. Z tą tylko różnicą, że pan Piotr, jak kania deszczu, oczekuje odrobiny wiatru, coby poruszył stojący od trzech dni młyn. Pan Prot znowu, który wiatru strasznie nie lubi, radby go trochę na wieczór odłożyć, gdy już do domu powróci. Po południu, gdy właśnie z Trezorkiem wraca, nagle zrywa się wiatr listopadowy.

Pan Piotr skacze w tej chwili z uciechy między worami zboża, a i pan Prot skacze także. Nie wiatr, ale wicher cały wyrwał mu z ręki parasol, porwał cylinder z głowy i rozwiewa czerwony fular na szyi.



Z rozpaczony wypuścił z ręki Trezorka, który co tchu leci za cylindrem pana.

Fruwają tu i inne cylindry, nawet piękny damski kapeluszek ze wstążkami, nawet szal i parasol jakiś.

Panowie i panie wyciągają ku swym rzeczom obie ręce, lecą, krzyczą; strach, jakie się robi zamieszanie.

Pan Piotr tymczasem stojąc w okienku swego wysokiego młyna, zaciera z radości ręce i mówi uśmiechnięty.

Oto miły, śliczny wiaterek!

A. Z.

Miesiące w roku.

W styczniu śniegi i mróz ścisła,
Każdy ciągnie do ogniska.
Przyjdzie luty, gotuj buty,
Bo nastaną, deszcze, słoty.
A po lutym marzec spieszy.
Kwiecień życie daje trawce;
Gra pastuszek na ligawce;
Maj zieleni łąki, drzewa;
Już i słowik w krzakach śpiewa.
Czerwiec daje dni gorące,
Kosa brzęczy już na łące.
W lipcu słońce zbyt doskwiera,
Miód na lipach pszczołka zbiera.
Sierpień zbożem ludzi darzy,
Znój i praca dla żniwiarzy.
W wrześniu owoc cięży drzewu,
Rolnik chodzi welle siewu.
Ledwie minął piękny wrzesień
Już październik, już i jesień.
Już listopad listki zrywa,
W polu ptasze już nie śpiewa.
W grudniu rzekę kryją lody,
A lud cieszy się na gody.

OBRAŻAŁSKI.

Gdy Staś był jeszcze małym, obrażał się o wszystko, przy obiedzie siadając na wysokim krześle, za najmniejszą uwagę mamy odsuwał się od stołu i mówił patrząc z pod oka: „bo się oblażę,” a niechby się kto roześmiał, Staś w płacz uderzał i wtedy już na prawdę był obrażony. Rodzice często strofowali synka, ale jakoś nic nie pomagało; Staś rósł i z nim razem nieznośna obraźliwość.

Bracia umyślnie mu dogadywali, a on nie chciał się na tem poznać i często godzinami siedział sam jeden w kącie, nastroszony jak jeź, jak sowa napuszony, smutny był bardzo, ale i wielce nieprzyjemny.

— Co to za wielka figura — śmiały się inne dzieci — zaczepiać go nie można...

— Stasiu — mówiła mama — zapomnij o sobie, myśl o innych, to nie będziesz brał wszystkiego do siebie.

W szkole dokuczano Stasiowi, a on sam najwięcej był nieszcześliwy, bo nieraz już miał szczerą ochotę iść

się bawić, ale obraźliwość nie pozwalała i nudził się okropnie.

Aż razu pewnego byli w domu goście, dzieci wcześniej wypity herbatę, a potem grzecznie siedziały w swoim pokoju. Gdy wstano od stołu, mama zawołała chłopców i dała starszym winogron, a Stasiowi, ponieważ tych nie wystarczyło, jabłko. Staś lubił niezmiernie winogrona, zaraz więc bracia pomyśleli, że się obrazi, jabłko rzuci i pójdzie do swego kącika. Jakież było jednak ich zdziwienie, gdy chłopiec zaczerwieniony wprawdzie, ale spokojny, usiadł i jabłko jeść zaczął.

— Obrażalski!... — zawołał Tadzio...

— Cicho — rzekła mama — bądź dobrym bratem, trzeba mu owszem pochwalić, że chce się poprawić, i że pracuje nad sobą.

— Mamo! — zawołał Staś — już nie będę się nigdy obrażał, bo... bo... wczoraj przy obiedzie ciocia mówiła, że tylko niemądry obrażają się o drobnostki, a ja nie chcę być głupim!...

Czy uwierzycie? Staś zmienił się zupełnie.

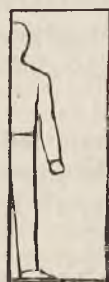
A. S.

U cioci Polci.

(Dalszy ciąg).

— I twój człowieczek ładny, jakżeś go zrobił? — zapytał Kazio.

— Złożyłem papier na pół (fig. 29) wyrysowałem figurkę i wyciąłem (fig. 30). A ty jak zrobiłeś drzewo?



(fig. 29)



fig. 30)

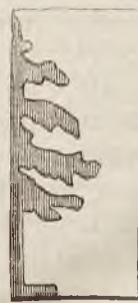


fig. 31)



fig. 32).

— I ja złożyłem papier na dwoje i próbowałem wyrysować drzewo, ale było takie sztywne, takie niepodobne do drzewa, że wziąłem kawałek zielonej bibuły, wyrysowałem parę linii, niby gałęzie, i zamiast wycinać nożyczkami, powydzierałem palcami (fig. 31 i 32).

— I to właśnie jest dobrze — rzekła ciocia.

— Na co ciocia przyniosła bilety? — spytała Zosia.

— Chcę wam pokazać jak się robi skaczącego pajaca, ale trzeba się spieszyć, bo już późno. Pajac jest złożony z siedmiu kawałków: głowa i tułów są z jednego kawałka dwa cale długiego, każda ręka z takiegoż kawałka także na dwa cale, a każda noga składa się z dwóch kawałków, jeden długi na cal a drugi krótszy na cal i ćwierć.

— Dla czego każda noga składa się z dwóch kawałków na jedną nogę? — zapytała Zosia.

— Bo nogi muszą się bardzo szybko poruszać — odpowiedziała ciocia.

Rozmierzyła bilet i narysowała delikatnie kontury każdej części z osobna, a potem je powycinała, zaokrągliła niektóre kawałki i nogi wykończyła.

— Czy ramiona trochę nie za długie? — spytał Henryś.

— Są trochę dłuższe w porównaniu z innymi częściami, ale zaraz zobaczysz dla czego.

— Jak będą przymocowane te różne kawałki?

— Tą mocną nitką, przyszyję obie ręce do ramienia.

Ciocia zrobiła najpierw węzełek na końcu nitki, przewlokła ją wpierw przez jedną rękę, potem przez tułów i przez drugą rękę i uciąła, zostawiając tylko tyle nitki, aby zrobić po drugiej stronie mocny węzełek. W ten sam sposób przymocowała nogi. Poczem zrobiwszy dziurki u rąk, przeciągnęła przez nie cienki patyczek,

a dzieci zaczęły śmiać się i klaskać w ręce, gdy ciocia kazała pajacowi wykonywać różne ćwiczenia gimnastyczne na tym drążku, siadać na ziemi, skakać przez niego, wywracać nawet koziolki, wszystko z pomocą tych długich rąk (fig. 33).

— Jutro — rzekł Henryś — przyniosę farby i pomaluję tego pajaca

— Możemy teraz zrobić dla niego pokój, gdzieby sobie mógł odpocząć — zaprojektowała ciocia, na co dzieci z ochotą przystały.

Kazio powie nam co trzeba najpierw zrobić.

— Najpierw okno — zawyrokował Kazio.

Tymczasem ciocia wydobyła z szufladki kilka arkuszy kolorowego papieru i kazała Henrysowi uciąć kilka pasków brązowego koloru, pół calowej szerokości, aby z nich zrobić ramy do okna.

— A z czego będą szyby? — spytał Kazio.

— Z tego błado-niebieskiego papieru, tak, aby się wydawało, że widać błękit nieba przez okno.

(d. c. n.)



(fig. 33).

się na siodle, pochylił się do szyi końskiej, objął ją ramionami, przycisnął do niej głowę, i łzami szczęścia skropił jedwabną grzywę szlachetnego zwierzęcia. Wróciły mu siły. Wpław przebyli rzekę — i gdy obaj wyskoczyli na brzeg, Janek zwrócił się do swego przewodnika, chciał przemówić do niego i powiedzieć, że w domu wynagrodzą go sowicie, ale Tatar spojrzął na chłopca z niechęcią, zaciął jego konia batem, a swego zwrócił, wskoczył na powrót w rzekę — i popłynął ku przeciwnemu brzegowi. Zaledwie Janek mógł się opamiętać, że sam już został. Sam — ale u siebie...

Zeskoczył z konia, rzucił się na kolana i w upojeniu szczęścia, cisnął usta do wilgotnej, świeżo zoranej roli, nad którą szary skowronek trzepotał skrzydełkami, nuciąc radosną pieśń powitania...

* * *

Zamek Starosty był od roku przeszło pokryty żalobą, — on sam nie wstawał już prawie z dużego, skórą obitego fotelu, blask życia z dniem każdym przygasał w oczach, które przysłonięte jakby mgłą i często wpatrzony w przestrzeń, zdawały się spoglądać nieprzytomnie. Czasem tylko zwiędłe usta starca poruszyły się i można było uchem złowić cichy szept: „Ostatni z rodu... tak marnie”!

Matka Janka nie mogła wypłakać łez wszystkich — było ich niewyczerpane źródło... Chociaż rano i wieczór ze łzami modliła się do Boga, dzień cały szklily się w jej oczach i zraszały wybladłe policzki. Siostrzyczka przybrana zaprzestała wesołych zabaw, przycichła i posmutniała, siadywała cicho z robótką w ręku u stóp swojej opiekunki. Dopóki byli razem, zdawało się, że nic tak bardzo nie łączy tych dzieci: — Janek wolał zabawy z rówieśnikami swymi, Hania wolne chwile spędzała w swoim ogródku, lub na drobnych usługach przy swej opiekunce.

Teraz w pierwszych chwilach, pod grozą strasznego wypadku nie zważano na nią, i nikt nie widział, że biedactwo przez kilka dni z rzędu nic nie jadło i po całych nocach spać nie mogło, aż się rozchorowało. Młode siły chorobę przetrwały, ale wesołość nie powróciła. Dotąd bezustannie słano posłów w kraje tatarskie — do Krymu, do Turcji, by odszukać chłopczyńkę, powziąć o nim jaką wiadomość, nadaremnie! — Nikt niczego dowiedzieć się nie mógł. I teraz oczekiwano wysłańców z Krymu, — chociaż tracono już nadzieję, by dobrą wieść przynieść mogli.

Upalny dzień lipcowy chylił się ku wieczorowi, cała natura zmęczona gorącem, zdawała się wypoczywać, ani listek nie poruszył się na drzewie, ani odgłosu żadnego słyhać nie było; cisza w naturze i cisza w zamku panowała. Pan Starosta siedział w swoim fotelu ze spuszczoną na piersi głową, niewiadomo: drzemał, czy tak pogrążony był w bolesnych myślach. Matka Janka, przy pomocy Hani, składała robotę, którą przez parę godzin poobiednich była zajęta. Wszedł pan Jakób, postarzały w przeciągu tego roku o lat kilka, z szeroką blizną na czole. Wszedł, i jakby dalej dostąpić nie śmiał, zatrzymał się nieopodal progu. Oboje, dziadek i matka, ocknęli się, a podnosząc głowy spojrzeli mu w oczy. Trzymał je

DŁUG WYDZIĘCZNOŚCI

przez

Zofię Rudnicką.

(Dalszy ciąg)

Dotąd sił mu starczyło, teraz zdawało mu się, że go opuszczają... zrobiło mu się mdło, szarawa mgła zasłaniała oczy. Uczuł brak życzliwej piersi, na którejby we łzach radości wylał szczęście swoje... Tatar był ponury, jakby niechętny włożonemu na siebie obowiązkowi ułatwienia mu ucieczki. Janek czując, że chwiele

spuszczone ku ziemi. Nikt z obecnych nie śmiał słowa przemówić. W końcu dziadek rzucił zmienionym głosem.

— Powrócili?

— Powrócili — była odpowiedź.

— I cóż?

Pan Jakób, ręce rozłożył, giestem pełnym zwątpienia, ale jakby w nich władzy nie miał, opadły mu, i zwiśły nieruchomie. Pan Starosta głowę odwrócił, oczy utkwily znowu martwo przed siebie i zapadł w ponure milczenie. Matce lzy drżały długo pod powiekami, spłynęły potem na główkę Hani, która objęła ją rączkami za szyję i przytuliła się do jej piersi. Nie pierwszy to był zawód pełen bolesnej goryczy w tym roku żałoby.

(d. c. n.)

ZAGADKA.

Dla Żabiego Oczka od P. z P.

Ni to zwierzę ni człowiek,
Ani rybka jaka,
Ani owad też żaden,
Ni gatunek ptaka.
A jednak wiesz to sama,
Że rusza się, żyje,
Czyli jest nasze własne
Czyli jest też czyje.
I wszystko co na świecie
Własnem ty poznajesz
A jednak za nie własne
Nam się dziś podajesz.
Cóż więc całe
Jest to małe?

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

p. Stokrotkę z Sobolówki.

Z następujących sylab: Cea—gua—ka—kand—ka—lo—ny—ni—ni—pion—ri—ra—skor—va—ar—ya—y—zuar—zie—ułożyć 7 wyrazów, którychby pierwsze litery złożyły nazwę miejscowości gdzie zmarł ostatni z Jagiellonów. Znaczenie wyrazów: 1) Ptak z rodz. strusiów. 2) Miasto n. m. Śródziemnem 3) Miasto w Turkestanie. 4) Pająk jadowity. 5) Przylądek w Afryce. 6) Dopływ Amazonki. 7) Jezioro w Ameryce.

ŁAMIGŁÓWKA KRYSTAŁOWA.

Wichura dla Żywili.

1. Spółgłoska.
2. Ptak śpiewający.
3. Miasto w Galicyi.
4. Roślina podobna do palmy z rodz. liliow.
5. Miasto nad. rz. Preglą.
6.
7. Imię męskie.
8. Miasto w Szwajcaryi.
9. Zwierzę ssące gruboskórne.
10. Rzeka wpadająca do m. Azowsk.
11. Spółgłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery złożony powinny imię i nazwo znanego poety.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 45-go

Szarady: Lis — to — pad.

Łamigłównki sylabowej:

- 1) Kożuch. 2) Owce. 3) Niemen. 4) Rytygier. 5) Alleghany.
- 6) Dodatek.

Konrad — Henryk.

Łamigłównki w trójkącie:

E g i p t
G ó r a
I d a
P o
T

Skrzynka do listów.

Choć Skowronek z nad Warty czekał długo, aby się odezwać do nas, witamy go jednak mile, jako ptaszynę wielce nam ulubioną, i zachęcamy, aby ten pierwszy list rozpoczął stałą między nami korespondencyę i bliżej nas zapoznał. Donieś nam więc kochany Skowronku, jakie zamieszkujesz okolice, jakie ci zajęcie najmilsze, jaka najulubieńsza zabawa? Rozwiązanie dobre, ułożoną łamigłównkę przejrzymy.

Własnego układu łamigłównki i szarady nadesłali: Polska Różyczka, Czarny rycerz, Smok, Kotek i Myszka, Tadzio W., Anulka i Władzio Z.; dobre zaś rozwiązania: Kadłubek, Zygmunt O., Jaś i Staś, Smok, Giermek i Wajdelota.

Wesoła Trzpiotka nie myli się, że w redakcyi naszej znajdzie zawsze dobrą radę i chętną pomoc, to też prosbie jej w wyborze komedyjek pospieszymy w jaknajkrótszym czasie uczynić zadość. Wesołe twe usposobienie podoba nam się bardzo i nie wątpimy, że ono to właśnie jedna ci przyjaźni otaczających, bo zawsze milej jest patrzeć na uśmiechnięte, aniżeli smutne lub zasępione twarze. Życzymy więc szczerze, by ci jaknajdłużej słuszenie przynależał dziś tak odpowiednio dobrany pseudonym „wesolej”.

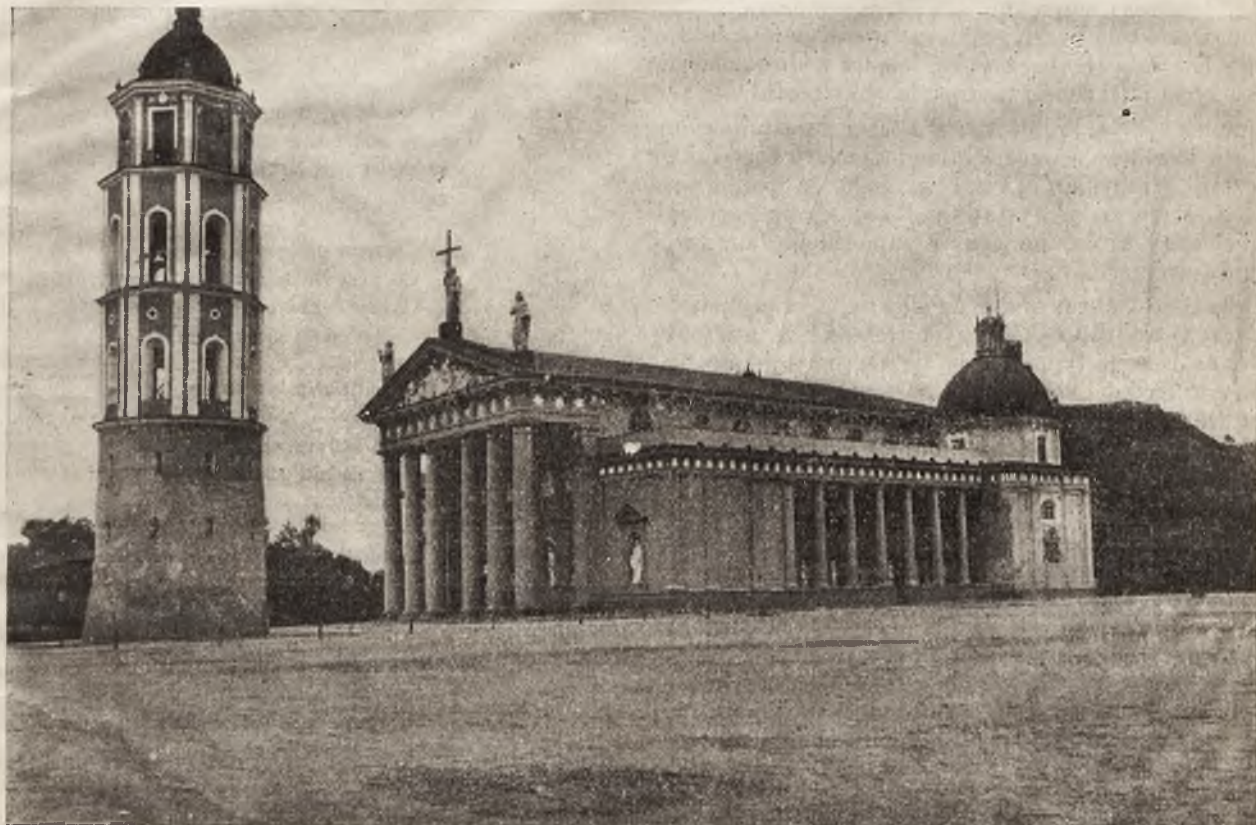
Tak jest Sokole, bardzo często niestety, pozory mylą, i przytoczone przez ciebie przyelowia; „Nie wszystko złoto, co się świeci” — „Nie każdy śpi, kto chrapi” są tylko więcej zuanemi z licznego szeregu innych, wypowiadających też samą myśl i radę zachowania pewnej ostrożności w przyjmowaniu pierwszych wrażeń. Nie należy wszakże posuwać tego zbyt daleko, byśmy nie popadli w przykrą nawet dla nas samych nieufność i podejrzliwość, ale niech rozważa i przezorność rozjaśniają zawsze drogi czynów i myśli naszych.

Anulce Z. Eukaliptus, jest rośliną drzewiastą, rosnącą w krajach o klimacie ciepłym, wilgotnym. Właściwą ojczyzną jego jest Australia, gdzie tworzy całe lasy, i gdzie wysmukły pień jego chociaż o miękkim i mało trwałem drzewie, stanowił jedyny materiał budowlany. Doświadczenie i nauka wykazały wszakże wielką użyteczność eukaliptusu pod względem zdrowotnym miejsc w których rośnie, gdyż obok tego, że spożytkowuje on nadmierną ilość wilgoci ziem bagnistych, aromatyczny a lotny olejek zawarty w liściach jego, posiada cenne własności lecznicze. Są też okolice we Francyi, np. w których febra i inne choroby zabijały mieszkańców, gdy dziś obsadzone eukaliptusami zmieniły najzupełniej dawne warunki.

Pseudonym Nieznośnego Chrabąszcza źle odpowiada twemu usposobieniu, nie może być nieznośnym, kto umie być rozsądnym i myśleć poctwie, a ze słów twego listu widzimy, że jedno i drugie da się do ciebie zastosować. Mamy nadzieję, że będąc stałym prenumeratorem i do liczby stałych korespondentów zaliczyć się zechcesz, a mamy ich kilku, którzy mieszkają nad brzegami tej samej co i ty wielkiej rzeki. Wydawnictwo *Złota przędza* jest na wyczerpaniu, można tylko nabyć całość z 4 tomów, cena rub. 20. bez przesyłki.

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



KATEDRA WILEŃSKA.

W miejscu, gdzie dawniej stała świątynia Perkunasa, dla którego gorzał wiecznie tlejący ogień zwany Zniczem, wznosi się dzisiaj jeden z najstarszych domów Bożych wileńskich, a mianowicie kościół katedralny św. Stanisława, wybudowany przez Władysława Jagiellę w 1387 roku.

Budowla Jagielly runęła jednak wkrótce, bo już w roku 1400 zniszczoną została przez pożar; lecz wielki książę litewski Witold wraz z żoną Anną dzwignęli z ruin katedrę.

W późniejszych czasach jeszcze dwa razy stała się świątynia ofiarą pożogi, a dzisiaj istniejąca katedra została zbudowana już w końcu XVIII wieku podług planu architekta i profesora uniwersytetu wileńskiego, Wawrzyńca Gucwicza, a poświęcona dopiero w 1801 roku.

Na pierwszy rzut oka jak widzimy z rysunku, nie robi ona zbyt dodatniego wrażenia; nie strzela bowiem wysmukłymi wieżycami w błękity i trzeba się dobrze tej masywnej

oudowli przypatrzeć, aby ocenić jej kształt zewnętrzny. Jest to wielki czworokąt podłużny z wysuniętymi narożnikami, z których dwa tylne, zakończone kopułą, obejmują kaplicę św. Kazimierza i zakrystę. Od frontu sześć olbrzymich kolumn podtrzymuje przysionek, na którego szczycie stoi św. Helena z krzyżem, a po jej bokach z jednej strony św. Stanisław, z drugiej zaś św. Kazimierz. Gzymsy na facyacie ozdobione są rzeźbą, a fronton upiększają posągi: Mojżesza, Abrahama i czterech Ewangelistów, oraz kilka płaskorzeźb z dzieł apostołskich.

Wejźmy teraz do środka świątyni. Ma ona 90 łokci długości, a 26 szerokości, to też stanowiący pod chórem wsparty na dwunastu kolumnach, ma się przed oczyma długą nawę, zakończoną presbiterium, oddzieloną kratą. Sklepienie kościoła wspiera się na szesnastu filarach; przy jednym z nich jest ambona w kształcie balkonu.

W presbiterium są po bokach stalle kanoników, tron biskupi, a pod oknem półkolnym wysunięty nieco ołtarz ze spadzającym srebrnym „tabernaculum”, misternej, staro-wiejskiej roboty, ozdobionem kolumienkami i posągami św. Stanisława i św. Kazimierza.

Za tym ołtarzem, tuż przy ścianie, jest drugi a w nim obraz, przedstawiający zabójstwo św. Stanisława Szczepanowskiego, pędzla artysty polskiego, Smuglewicza. Po bokach ołtarza olbrzymie allegoryczne posągi przedstawiają: Miłość Boga i Miłość bliźniego.

Dokoła głównej nawy kościelnej jest dziesięć kaplic, z których najbogatsza i najpiękniejsza św. Kazimierza.

Wiadomo, że król-wicz Kazimierz syn Kazimierza Jagiellończyka i Elżbiety Habsburskiej, umarł w dwudziestym szóstym roku życia w Wilnie i tam pochowany został.

Po kanonizacji św. król-wicza w 1520 r., postanowiono wzniesić dlań w katedrze osobną kaplicę; zamiaru tego dokonał ostatecznie Władysław IV, i za jego to panowania szczątki św. Kazimierza w wystawionej kaplicy umieszczone zostały w obecności króla, nuncjusza papieżkiego, oraz wybitniejszych dygnitarzy.

W ołtarzu jest obraz św. Kazimierza. Święty patron ma na nim trzy ręce; w dwóch prawych trzyma lilie, a w lewej różaniec. O osobliwym tym obrazie istnieje następujące polanie: malarz wileński, ukończywszy go, zauważył, że jedna ręka jest za długa; zatarł ją więc farbami i namalował inną, krótszą. Zamalowana ręka ciągle jednak występowała i zatarć jej nie mógł, wtedy zdecydował się malarz pozostawić obraz z trzema rękami.

Nad obrazem umieszczona jest trumna drewniana, czarno lakierowana, lecz srebrną blachą okuta. Trumnę tę, w której spoczywa ciało św. Kazimierza, podtrzymują dwa srebrne orły. Nad trumną jest statua Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus, otoczona rojem aniołków w obłokach.

Kopułę wewnątrz kaplicy zdobią sztukaterye, a ściany — freski, oraz dwa allegoryczne płótna Smuglewicza. Oprócz prochów św. Kazimierza znajduje się jeszcze w kaplicy serce Władysława IV, zmarłego w marcu 1648 r. Złożone ono zostało w grobowcu pod kaplicą, a po prawej stronie ołtarza wmurowano z tego powodu tablicę marmurową z odpowiednim napisem.

Zasługuje też na uwagę przenośna ambona, zabytek ciekawy dawnego snycerstwa. Ma ona kształt kielicha, osadzonego na leżącym orle.

Z ambony tej przemawiali niegdyś kaznodzieje na nabożeństwach dworskich, odprawianych w kaplicy św. Kazimierza.

Chociaż inne kaplice w katedrze są też piękne i zawierają wiele pamiątek, największe jednak wrażenie sprawia kaplica św. król-wicza.

W katedrze wileńskiej pochowanych zostało dużo znakomitych osób, jednak wskutek częstych pożarów i w następstwie tego kilkakrotnych przeróbek kościoła, zatarły się zupełnie ślady niektórych grobowców. Nadto w czasie wylewów, woda z Wilenki zniszczyła wiele ciał, a między innymi króla Aleksandra Jagiellończyka i królowę Barbary Radzi-

wiłówny. Wiemy jednak, że oprócz Aleksandra, oraz pierwszej i drugiej żony Zygmunta Augusta, pochowani zostali w katedrze wileńskiej: dwaj bracia Jagielly, brat stryjeczny, książę Witold, którego portret nie szczególnie malowany, ale współczesny, wisi dotychczas w kościele, wreszcie brat Witolda Zygmunt wraz żoną Anną.

Zygmunt-August pragnął także być pogrzebiony w ukończeniu przez siebie Wilnie, obok Barbary, ale wola jego nie została spełniona.

Skarbiec katedry wileńskiej był niegdyś bardzo bogaty; dziś jeszcze posiada niejedną cenny i ciekawy zabytek i go-dzien jest zwiedzenia.

Opisując katedrę, wspomnieć także należy o dzwonnicy. Jest to czteropiętrowa wspaniała wieża, której dolne piętro zbudowane podobno w wieku XIV, było współczesne świątyni Perkunasa. Z tej wieży, najwyższy kapłan Krywe-Krywejty, ogłaszał wyroki bogów zgromadzonemu ludowi; z niej też po-gańscy kapłani obserwowali bieg słońca.

Gdy zagaśł Znicz, a krzyż Chrystusowy zajaśniał ponad Wilnem, z wieży Krywe-Krywejty zabrzmiały dzwony, które już przeszło pięć wieków dzwonią mieszkańcom starego gro-du Gedymina.

Jadwiga Warnkówna.

Szczęście.

A czy wiesz ty, drogie dziecię,
W czym jest nasze szczęście w życiu?
Co tu nieba jest odbicie?
Co raj stwarza choć w ukryciu!

Co nam goi serca rany,
Co przedłuża młodość duszy?
Co uśmierza ból wozbrany
Co tęsknotą serce głuszy!

Miłość wielka dla wszechświata,
Bezgraniczna — ciepła — szczerą —
Która w biednym widzi brata,
I skarb serca mu otwiera.

Która kocha, co Bóg stworzył;
Gwiazdy — słońce — kwiat nad zdrojem,
Taką miłość sam Bóg włożył
W serca nasze technieniem swoim!

Otóż ona tylko w życiu
Szczęście daje nam prawdziwe,
Raj nam stwarza, choć w ukryciu,
Daje sercu bicie żywe.

Z. Rudnicka.

W OBŁOKACH I POD WODĄ

WYPRAWY „LATAJĄCEJ RYBY.”

opisał **H. C.**

(Ciąg dalszy).

Ciała, podłoga i wszystkie sprzęty pokryte były szronem, błyszczącym jak brylanty przy świetle lamp elektrycznych. Ludzie byli wysokiego wzrostu, muskularni, z jasnymi włosami, rudym zarostem i długimi wąsami. Ubiór ich

składał się ze skórzanej koszuli, przewiązanej w pasie rzemiennym paskiem, ze spodni z grubej skóry sięgających do kostek, skórzanych skarpetek i sandałów sznurowanych. Koszula wodza ozdobiona była na przodzie jedwabnym haftem, wyobrażającym czarne skrzydlate konie. Zbroja, wisząca nad krzesłem zmarłego, składała się z okrągłego puklerza, dużego topora, obosiecznego miecza i hełmu bez przyłbicy, z dwoma skrzydłami po bokach. Hełmy trzech innych nieboszczyków, choć tego samego kształtu, nie miały żadnych ozdób. Puhary rogowe, stojące na stole, były osadzone jeden w brązową, drugi w srebrną podstawę o trzech nogach, naśladujących kopyta końskie, z czwartą nogą w górę podniesioną, jakby do biegu.

Najciekawszy jednak przedmiot stanowiła karta pergaminowa rozłożona na stole przed wodzem, który wyraźnie badać ją musiał, zanim śmierć przymknęła mu powieki. Pergamin przeniesiono z wielką ostrożnością na „Latającą Rybę,” okazało się, iż była to mapa kanału, ciągnącego się między zachodnim brzegiem Grenlandyi, a wschodnim wybrzeżem Ameryki, z niekształtnie nakreśloną na północy linią, mającą wyobrażać ląd stały. W lewym narożniku mapy, narysowaną była wyspa, której południowe kontury odpowiadały krzywiznom owej linii północnego lądu. Niezgrabne rysunki zwierząt jak: wielorybów morsów, jednoroźców, fok, niedźwiedzi i t. p., rozrzucone były tu i owdzie, jakby dla oznaczenia miejscowości, w których te zwierzęta przez rysownika spotykane były; najwięcej okazów fauny różnych stref, znajdowało się w okół wyspy w narożniku; były tam podobizny zajęcy, lisów, danieli, fok, słoni obok innych nieznanych naszym podróżnym. Znajdował się tam również rysunek okrętu przypominający kształtem statek zagrzebany w lodzie, a naszkicowany w chwili, gdy niby odbijał od owej wyspy. Szczygół ten dostarczył podróżnikom naszym tematu do głębokich rozmyślań; pułkownik i sir Reginald dowodzili, że wyspa ta była dowolną fantazją artysty, który ją naszkicował z wyobraźni, profesor zaś i Mildmay utrzymywali przeciwnie, że ta wyspa musi istnieć i że była prawdopodobnie zwiedzana przez ówczesnych żeglarzy normandzkich.

Po dokładnem obejrzeniu starożytnego statku, przyczem znaleziono jeszcze kilka ciał, co nasuwało przypuszczenie, że cała załoga wymarła niegdyś z wycieńczenia i głodu, oraz po zabraniu dokumentów i grubej księgi, pisanej w języku niezrozumiałym, pozamykano szczelnie drzwi kajut i zostawiono okręt na łasce żywiołów, wiedząc dobrze o tem, że śnieg go niebawem na nowo przykryje, niby całunem śmiertelnym, może na długie znów wieki.

Następnego dnia w skutek silnej zawiei Karliński i jego towarzysze z wielkim trudem prowadzili dalszą podróż na północ, nie prawie w koło siebie nie widząc, nie mogąc dla zimna wyjść na pokład; wewnątrz nawet w korytarzach oddychać im zamarzało na wąsach i nie dozwalał ust otwierać. Dla uwolnienia się od nawałnicy śnieżnej próbowali wzniesić się w wyższe warstwy powietrza, ale tam zimno było tak przejmujące, że musieli bezzwłocznie opuścić się na dół do wysokości 1000 stóp nad powierzchnią lodu, posuwając się z szybkością 80 mil angielskich na godzinę.

Dopiero około 4-ej po południu podróżni zauważyli podnoszenie się temperatury; o 5-ej powietrze ociepliło się do tego stopnia, że mogli zrzucić z siebie futra, a w pół godziny później nawet w watowanych kurtkach było im za gorąco. Śnieg przemienił się w deszcz rzęsimy i gdy profesor z towarzyszami zastanawiali się nad przyczynami tej raptownej zmiany, posłyszeli w dali szum wody, a jednolitą białość przestrzeni lodowych, przecinać zaczęły ciemne plamy. Stało się widocznem, że „Latająca Ryba” przebyła północną granicę stałych lodowców i znalazła się na otwartym morzu.

— Wiwat! — wołał profesor — wiwat! Scoresby i Kane mówili prawdę, a moja ulubiona hipoteza staje się rzeczywistością! Przypatrzcie się panowie wspaniałemu widokowi otwartego, polarnego morza!

Wątpliwem było jednak, czy było to istotnie otwarte morze, czy tylko kanał niezwykle szeroki, między dwoma

obszarami lodowemi. Pozory zdawały się przemawiać za pierwszym przypuszczeniem, gdyż bryły lodowe nie pływały już po powierzchni, a skorupę ściętej gdzieniedzie wody, fale rozbiły na ławicę,

Profesor, pragnąc corychlej rozstrzygnąć wątpliwości, przyspieszył bieg „Latającej Ryby.” Po deszczu nastąpiła tak gęsta mgła, że podróżni przedniej części własnego statku dojrzeć nie mogli, a temperatura podniosła się do 2° ciepła; korzystając z tego, Karliński i jego towarzysze wzniesli statek swój w powietrze na 3000 stóp nad powierzchnię morza. Tam już nie było śladu inگی, wzrokiem mogli objąć szeroki widnokrąg; na niebie bez chmur, słońce świeciło czerwonym blaskiem.

Zadni jednak szybszej jazdy, podróżni powrócili niebawem na morze, przekonawszy się, że bieg „Latającej Ryby” najprędzszym bywa na powierzchni wody. Ujechawszy dwadzieścia mil spostrzegli, że temperatura podniosła się jeszcze o 2 stopni. Ta nagła zmiana powietrza wprawiła profesora w nieopisaną radość, śmiał się, klaskał w dłonie, biegał po statku jak rozswawolony student, przepowiadając różnego rodzaju rozkosze, jakie ich czekają u północnego bieguna.

Chwila była sposobna do zrobienia obserwacji astronomicznych; zatrzymano statek na czas krótki, gdyż Mildmay'owi kilka minut wystarczyło na dokonanie potrzebnych pomiarów. Ukończywszy obliczenia, oświadczył towarzyszom, że tylko 160 mil dzieli ich od bieguna.

Ponieważ była 6 ta. po południu, a „Latająca Ryba” na wodzie robiła sto pięćdziesiąt mil angielskich na godzinę, przeto podróżni w niespełna pięć kwadransów, dosięgnąć mieli tak upragnionego celu podróży.

Statek w szybkim biegu pruł fale wodne, bryzgając białą pianą dokoła; Karliński i jego towarzysze wyteżali wzrok ku północy, jakby chcieli przeniknąć tajemnicę dalekiego horyzontu.

O trzy kwadransy na 7 Mildmay zelektryzował obecnych okrzykiem:

- Ziemia!
- Gdzie?
- Pokaż!
- To być nie może!

Bezdładne słowa wyrywały się z ust towarzyszy.

— Patrzcie uważnie wprost nas! wygląda jak rąbek szarawej chmury, wystający z wody — brzmiała odpowiedź.

Podróżni skierawszy wzrok w stronę wskazaną, przekonali się niebawem, że mieli rzeczywiście ląd przed sobą; ciemne jego kontury zarysowywały się coraz wyraźniej na widnokręgu, a morze roilo się różnemi zwierzętami. — Widać było gromady wielorybów, ówdzie pływały morsa, delfiny kręciły się dokoła statku, wydry morskie od czasu do czasu wychylały z pod wody głowy, jakby przypatrując się ciekawie „Latającej Rybie.” W powietrzu fruwały różne gatunki ptaków morskich, nie zwracając na okręt uwagi, lecz zajęte wyłącznie łowieniem ryb dla siebie. Wreszcie w miarę zbliżania się do lądu, coraz częściej pojawiały się foki, patrzące łagodnym wzrokiem dokoła.

Z obawy uderzenia o jaką skałę podwodną, podróżni wzniesli się w powietrze i upatrzwszy stamtąd dogodną dla okrętu przestrzeń, w ten cichy wieczór lipcowy, o godzinie 7 minut 15 spuścili się na morze i zarzucili kotwicę niedaleko od wybrzeża, w ślicznej zatoce. Na lądzie dojrzeć mogli pagórki, pokryte zieloną trawą i opasane wstęgą wysokich, majestatycznych sosen.

Gdy nasyciwszy oczy tym pięknym krajobrazem, schodzili na obiad, profesor odezwał się głosem drżącym od wzruszenia:

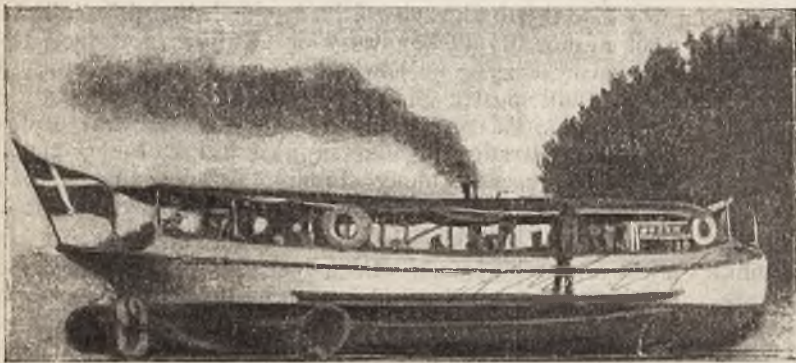
— Oczekiwałem różnych niespodzianek w pobliżu północnego bieguna, ale nie sądziłem, że zobaczę zieloność drzew i murawy.

(d. c. n.)

Z dziejów cywilizacji.

(Dalszy ciąg).

Niesprawiedliwość takiego układu oburzała biednego majstra Tomasza, rzucił więc swoje narzędzia i poszedł nad brzeg morza wypatrywać, czy nie nadpływa okręt, na którym uciekliby z wyspy, gdzie wyzyskują jego pracę.



„Łabędź” opuszcza jezioro (str. 392).

Zastał tam doktora zbierającego śliczne różowe muszle, było ich dużo. Doktor podnosił je starannie i chował do torby.

— Pomóż mi, Tomaszu, szukać tych muszli, a gdy wszystkie zbierzemy, wróci spokój na naszą wyspę.

Cieśla ruszył ramionami, był on prawdziwie niewiernym Tomaszem, ale doktora szanował dla jego rozumu, sprawiedliwości i dobroci.

— Ciekawy jestem, czy te muszle dadzą mi odzież i pożywienie, których pracując przy budowie chat, sam sobie zdobyć nie mogę.

— Właśnie dla tego je zbieram, żeby zaspokoili nasze potrzeby — odpowiedział doktor, i wzięwszy Tomasza pod ramię wrócił z nim do osady. Panowało tam wielkie poruszenie, rozgniewany cieśla groził, że jeśli nie wynagrodzą lepiej jego pracy, spali domy, które sam postawił. Złe słowo wylatuje łatwo z rozżalonego serca. Tomasz nie myślał spełnić groźby, ale towarzysze byli nią bardzo przerażeni. Siedzieli więc na zrębie chaty myśliwego, którą właśnie rozpoczął budować Tomasz. Doktor widząc, że zgromadzeni są wszyscy wyspiarze, wszedł w środek koła i tak mówić zaczął:

„Koledzy! leczyłem dotąd wasze ciała, dziś chcę uleczyć duszę. Wiem dla czego czujecie się nieszczęśliwi i postanowiłem zaradzić złemu. Nie dość jest mieć dwa towary do wymiany, aby otrzymać to, czego potrzebujemy, musi być jeszcze towar trzeci.”

„Towarem tym niech się staną dla nas te piękne i twarde muszle, rozdzielimy je, każdy schowa swoją część, a potem ułożymy się o wartość przedmiotów, jakie za muszle kupować będziemy.”

Przemowa doktora zaciekała wyspiarzy. Porachowali oni muszle i obdzielili wszystkich sprawiedliwie. Odtąd ustały sprzeczki. Doktor, uproszony przez towarzyszy, oznaczył cenę przedmiotów wyrobionych na wyspie. Jeżeli kowal potrzebował żywności, szedł do myśliwego i w zamian za muszle dostawał zająca, myśliwy zaś, sprzedawszy w ten sposób cały zapas zwierzyny, szedł do krawca, bo podarła mu się odzież w czasie wypraw wśród zarośli, szedł więc do krawca i wymieniał 6 muszli za kaftan usztyty z płótna.

Cieśla Tomasz uwierzył nareszcie, że muszle zapewnią pokój na wyspie. Już teraz szewc nie śmiał ofiarować parę obuwia za zbudowanie chaty. Pracę taką opłacano 400 muszlami, chociaż więc stawianie chaty zabierało cieśli dużo czasu, miał za co przez cały przebieg budowy kupować żywność i potrzebne sprzęty. Dobry doktor cieszył się swym pomysłem, on także dostawał muszle za porady lekarskie, muszle wymieniał potem na krzesła, obuwie, lub żywność i tak, dzięki trzeciemu towarowi, wymieniali wyspiarze zgodnie swoje bogactwa. Bo była to zawsze wymiana, tylko zamiast wymieniać krzesło na buty, wymieniono krzesło na muszle, aby w danej chwili te same muszle wymienić na buty.

I spokój zapanował wśród wyspiarzy, a że w zgodzie pracuje się dobrze, więc nasi osadnicy z każdym dniem więcej przysparzali bogactw, używając do tego trzech znanych wam już czynników: natury, pracy i narzędzi. Narzędzia były coraz doskonalsze, więc też i bogactwa coraz różnorodniejsze, bo wyspiarze zapragnęli większych wygód, o piękniejsze starali się sprzęty, i słusznie. Szlachetną jest dążność człowieka do robienia nowych odkryć, nowych udogodnień; naród, któryby zaprzestał dbać o podniesienie swego dobrobytu, byłby narodem upadłym. Cywilizacja polega w wielkiej mierze także na rozwoju coraz większych potrzeb i na zaspakajaniu ich przez coraz szersze koła ludności. Ale wróćmy do naszych wyspiarzy.

Wkradł się tam znowu jakiś nieporządek, a wiecie dla czego? Oto osadnicy tak się przyzwyczaili do używania muszli przy wymianie towaru, że stracili zupełnie pojęcie rzeczywistej wartości tych biednych muszledek, które niewinnie stały się powodem wielkiego zamieszania. Zdawało się bowiem wyspiarzom, że im więcej będą mieli muszli, tem będą



„Łabędź” na lądzie (str. 392).

bogatsi, zamiast więc łowić ryby i zwierzyne, zamiast kuć siekiery i szyć obuwie, zaczęli upędzać się za muszlami. Jakoż wkrótce odkryto grocie podwodną, w której było bardzo wiele muszli. Co się wtedy działo, to wypowiedzieć trudno, napróżno doktor wstrzymywał i tłomaczył, głusi na jego zakłęcia rzucili się osadnicy do wrywania muszli, a co przytem powstało kłótni i bójek, o tem wolę nie wspominać. Nagle więc każdy z wyspiarzy stał się panem wielkiej ilości muszli, ale radość szaleńców krótko trwała.

Myśleli oni, że teraz nie będą potrzebowali pracować. Szewc na dobry humor upił się winem z bujnego winogrodu, który rósł obok jego chaty, kowal zagasił ognisko, a cieśla, wstyd mi powiedzieć doprawdy, cieśla rzucił siekiere do morza.



NAD PRZEPAŚCIĄ (str 392).

— Po cóż mamy pracować, kiedy posiadamy tak dużo muszli! — wołał zadowolony z pomysłu i patrzył zuchwale na doktora.

Radość jednak i zuchwalstwo minęły prędko. Muszle brzęczały wprawdzie w kieszeniach tych waryatów, ale muszle nie mogły ich ani pożywić, ani ubrać, ani zabezpieczyć przed burzą. Wkrótce też tak mało zostało żywności, że za nędznego zajaczką, który wprzód wymieniany był za jedną muszlę, teraz głodny tkacz zapłacił aż 30, a że właśnie stado szakali zjawilo się w okolicy, więc za łuk, który wprzód kosztował 20 muszli teraz trzeba było 300 muszli wyłożyć.

Doktor mógł się słusnie śmiać z szalonych wyspiarzy, ale oni sami wkrótce poznali swój nierozsądek i przeprosiwszy dobrego doradcę, zabrali się znów do roboty, zrozumiawszy, że bogactwem są nie muszki, lecz wydobyty z otaczającej przyrody i wytworzony przez pracę, za pomocą narzędzia towar.

Bóg nagrodził skrucę osadników, bo uznawszy błąd swój, umieli go naprawić. Przyplłynął wkrótce okręt, który zabrał wszystkich do Europy. Żal im było opuszczać wyspę, wzięli z niej nawet na pamiątkę wiele przedmiotów, wzięli i muszki; w kraju żartowano sobie z tego skarbu, o który między wyspiarzami dochodziło do bójek; Tomasz cieśla odpowiedział szadzaco:

— Byliśmy szaleni, to prawda, ale mało kto z was jest od nas mądrzejszym. Wasze złote pieniądze, które mienicie być bogactwem, są właściwie tem samym, czem nasze muszki, to jest służą jako przedmiot do wymiany przedmiotu na przedmiot, jako miarę ich ceny.

Czy Tomasz miał słusność?

Janek Dolski rozumiał już teraz zapewne, że jego ojciec doktor, zamienia swój towar, to jest wiedzę lekarską tymczasowo na pieniądze, które mogą leżeć spokojnie przez długi czas, nawet przez lata całe, ale gdy nareszcie pan Dolski kupi kamienicę, nabędzie on ją w zamian za swoją pracę lekarską, a złoto, które wypłaci przy kupnie, będzie właściwie tylko pośrednikiem w zamianie.

(d. c. n.)

Marya Łopuszańska.

OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg)

— Powtarzam ci, książę — rzekł Masław z uśmiechem — że ja ciebie znam i dość ci na tem! Co ci z tego przyjdzie, że usłyszysz imię nieznaczącego człeka, który jeszcze dotąd miejsca sobie na świecie nie zdobył? Królewiczu, są tacy co boleją na widok poniżenia, w jakim się znajdujesz tak niesprawiedliwie, ty, starszy syn, prawy dziedzic korony, odtrącon od niej, niewiedzieć za co, przez ojca rodzonego. Tak, są tacy, co cię żalują i pragną ci pomódz, bo pojmują jak two serce goryczą się napelnia, na myśl, że wszystko co ci się z prawa należy, zbiera inny, mniej tego godny. Lud zaś nie może patrzeć na takie przekroczenie obyczaju; boć zawsze, odkąd ziemia nasza, syn starszy zasiadał na stolicy ojcowskiej, i krzywda podobna nigdy jeszcze nie była widziana. Wszak syn knezia każdego dziedziczy po starszeństwie mienie rodzica, a za cóż ciebie ma spotkać tak srogie pokrzywdzenie? Jako żywo, tego nie będzie; dość ci ręką skinąć, a tysiące staną w obronie tych przywilejów starszeństwa; bo wiedz o tem, że cały ten biedny lud sponiewierany, mający w puszczech osady, jest ci całym sercem oddany. Rzeknij więc słowo, a od Sandomierza aż do Krakowa wszyscy oni powstaną, by cię poprzeć.

Masław mówił z taką szczerością i zapalem w głosie, jakby oczywiście nie mu bardziej nie leżało na sercu jak krzywda Bezbrajma. Ten patrzył nań zrazu zdziwiony, poczem coraz bardziej dawał się opanowywać słowami kusiciela; na chwilę w jego oczach błysnęła duma i chciwość panowania, lecz słabość wzięła górę, a może i ostatki sumienia w nim się ozwały. Potrzęsnał głową i rękami jakby coś odpychał od siebie.

— Nie, nie — powtarzał — nie kuś mię, to być nie może; nigdy to się nie powiedzie...

— Dla czego być nie może? — zawołał Masław. — Czemu się nie ma powieść? Śmiałemu wszystko się udaje! Nic nie potrzeba więcej, tylko kłębysz stanął na czele powstającego ludu i ogłosił się jego przywódcą.

Bezbrajm zdawał się wahać:

— Nie — rzekł w końcu — ja stanąć otwarcie na czele waszem nie mogę; działajcie, a ja tylko będę was popierał skrycie. Nie mogę wystąpić, nie mogę się narażać teraz, któż mię zapewni, że lud mię później nie odstąpi, gdy król powróci. Nie, nie, nie — powtórzył, oglądając się dokoła niespokojnie; — tak działać nie można, jak mówisz, to zbyt zuchwale i niebezpiecznie; cóżby się stało, gdyby wszystko upadło? Nie, ja do tego ręki nie przyłożę!

Masław z pogardą popatrzył na mówiącego i opuścił pieczarę.

Przed samą grotą natknął się w ciemności na ogromną postać Wyrwidęba, który czekał na niego u wejścia.

— Jesteście przecie — rzekł półgłosem, gdy poznał Masława. — Oj, oj, co się tu działo, myślałem, że już świat się skończy, taka wichura straszna przeleciała nad doliną. To ten przeklęty karzeł tego narobił; jeszcze dotąd się trzęsę, gdy o tem pomyślę. Ot, tak i patrzyłem, kiedy całą tę skalę znieśie, razem z pieczarą i ze wszystkim. A koniska biedne, to tam też pewnie ze strachu się trzęsą...

Niebawem, po odejściu Masława i Bezbrajm pieczarę opuścił. Rokitka pozostał sam i wybuchnął głośnym, przydłużonym śmiechem, aż wszystkie podziemia się śmiały.

— Jeden gwałtowny i okrutny, drugi słaby i podstępny, lecz obaj służą Czarnobogowi! O, tak, potężne bóstwo ciemności, dokąd ludzie żyć będą na ziemi, nigdy nie zbraknie ci czcicieli!

Chodź stary — zwrócił się do rysia — ty przynajmniej nie udajesz lepszego, niż jesteś; jesteś drapieżnym, bo natura cię takim uczyniła, lecz nie gryziesz ręki, która cię żywi. Chodź, wołę cię stokroć niż tych ludzi!

Gdy to mówił, w bocznym kurytarzu ukazała się biała postać jakaś i cicho podeszła do ogniska. Była to obląkana, którą lud miał za wodnicę.

Stanęła w milczeniu, wpatrując się w ogień zamyślonemi oczyma, jakby nie widziała Rokitki. Ten nie zdawał się zadziwiony nagle jej zjawieniem i pierwszy przerwał milczenie:

— Cóż, Ruto, z dalekich stron przychodzisz?

Wodnica rzuciła się na dźwięk tych słów.

— Ruta? kto mnie zowie Ruta? Dawno, dawno już nazywano mnie tak. Teraz ludzie mówią na mnie: wodnica, a ja nie gniewam się o to.

— Mówiłaś mi kiedyś, że masz się na kimś pomścić? Tak? — spytał Rokitka.

— Tak — rzekła wodnica, siadając na kamieniu przy ognisku i w zadumie wspierając się na kolanaach. — Przypomniałaś mi, miałam się pomścić... ale na kim? Gdy śpię tam, na dnie jeziora, to o wszystkim zapominam na długo. A wiesz ty, jakie tam są prześliczne rybki, srebrne i złote; często je łapie i pieczęje się z nimi. Niedgdy pieściłam tak samo gołębie, a one mi do rąk leciały; były takie ciepłe, bieluchne, ale to już bardzo dawno temu. Wówczas miałam siostry, matkę, braci, i ojca także. Przyszedł wilk jednej nocy i pożarł je, a ja zostałam sama. Wiesz, tak jak w bajce, którą dzieciom prawią.

— Ale przyjedzie kiedyś królewicz na białym koniu, i zabije wilka, i wodą żywiącą pokropi pomordowanych,

a wówczas oni wstaną zdrowi, cali i piękni, i znów szczęśliwe czasy powrócą. Lecz trzeba wprzód zabić wilka...

— Tak, trzeba wprzód zabić wilka! powtórzył Rokitka, i wytępić całe plemię wilcze! Jeśli sama tego nie zrobisz, to przynajmniej możesz do tego dopomóc. Czy słyszysz mię? Przyjdzie kiedyś taki królówicz na białym koniu; lecz ty mu musisz dopomóc w zabiciu wilka, ty wodnica!

Oblakana bezmyslnie potakiwała skinieniem głowy:

— Tak, ja wodnica, powtarzała, lecz myśli jej były już gdzieindziej.

— Teraz z nią niema co gadać, szepnął Rokitka, lecz przyjdzie znów taka chwila, że można jej będzie przypomnieć zemstę. O, kneziu, Mszczuju, kneziu-wilku, poznasz ty, że nie można bezkarnie psami szcuć Rokitkę, poczujesz jeszcze jego rękę!

Oboje, karzeł i dziewczyna, siedzieli w zadumie na przeciw siebie, przy ognisku; on, ze wzrokiem błyszczącym, jak u drapieżnego kota objął szyję rysia, i widocznie w duchu ścigał swą zemstę; ona zaś, rozmarzona, wpółsenna, patrzyła w płomień, nucąc coś eichym głosem.

XVIII.

Już od kilku dni ludzie pracujący na górze Łysej byli obłączeni, a znikąd nie mogli się spodziewać pomocy. Wkrótce żywności zaczynało braknąć, bo zwierz obawiał się przybliżyć do miejsca, gdzie obozowało tylu ludzi i trudno było cośkolwiek upolować. Sławko łamał sobie głowę, jakim sposobem dać znać o swem położeniu Dobrogostowi; ale nic wymyśleć nie mógł. Paganie otoczyli ich tak, że nikt, ptak nawet nie mógł zda się przelecić.

Pewnego wieczora Sławko przywołał do siebie jednego z zaufanszych ludzi.

— Miłoszu — rzekł — co myślisz? Czy nie byłoby sposobu przedostać się jednemu człeku przez chmury owego plugawstwa, by zejść do Kielec?

Miłosz obejrzał się dokoła i pokręcił głową:

— Jak tu się dostać — rzekł — kiedy nas zewsząd dokoła obrzucono sieciami? Można spróbować jednak, wola wasza, ale wiem, że się to na nic nie zda.

— Jeśli się nie zda, to lepiej nie próbować — odparł Sławko. Ja sam — wiem, że zwyczajnymi sposobami nic się nie robi, ale poszukaj no w głowie, może co wymyślisz. Tyś sprawny chłopak i nie w ciemni bity, wiem o tem dawno...

Miłosz przysłonił ręką oczy, patrząc w dal.

— Plugastwo opstało nas zewsząd, mruknął, ptakiem chyba przelecić.

— Nie tak to łatwo wymyśleć co tutaj...

Obszedł dokoła cały wierzchołek góry, oglądając każde miejsce.

Sławko pozostał, spozierając tylko zdala na chodzącego w zadumaniu Miłosza.

Wreszcie ten powrócił z twarzą rozpromienioną:

— Mam już! zawołał. Jeśli chcesz to podejmuję się przedostać do Kielec i sprowadzić tu pomoc.

— Jakim sposobem.

— Pójdę po wierzchołkach drzew.

— Po wierzchołkach drzew — powtórzył Sławko zdziwiony. — Przecie nie jesteś wiewiórką...

— Wszak to nic trudnego — rzekł Miłosz — kiedym wyrostkiem wybierał gniazda ptasie, nieraz przechodziłem tak pół lasu, a przecie u nas pod Krakowem lasy przeredzone nieco, i drzewa stoją dalej od siebie niż tu w tej puszczy. Niech tylko noc nastanie, a przejdę tak po nad ich głowami, że ani się tego domyślą. Za dni cztery spodziewajcie się pomocy z Kielec, od Dobrogosta.

— Zuch z ciebie! — rzekł Sławko, klepiąc go po ramieniu. Ruszaj więc z Bogiem, skoro noc zapadnie, i przywieź nam prędko pomoc, bo tu coś już bardzo kuso koło nas.

Kiedy ściemniało się zupełnie, Miłosz stanął na skraju i spojrzął w dół. O jakie kilka sążni pod jego stopami widniały ognie obozowisk pogańskich. Cała góra zdawała

się być przepasana ognistym pasem, Miłosz wybrał stronę porośłą gęstym lasem, na której z powodu jej spadzistości najrzadziej rozłożone były ognie. Wdarł się na drzewo, a stanawszy na jednym z grubszych konarów, chwycił za gałąź następnego, i przeskakiwał na nie. Gdy natrafił na miejsce, gdzie drzewa były rzadsze, wybierał młode i giętkie, a rozkołysawszy je silnie, w chwili gdy wierzchołek dotykał następnego, zręcznym skokiem przerzucał się na nie.

Ale szło o to, by nie zwrócić na siebie uwagi; Miłosz starał się być w równej odległości od obu ognisk, pomiędzy którymi przechodził, drząc kiedy gałązka trzaśła mu pod stopą.

Raz przybliżył się na tyle do jednego z ognisk, że słyszał głosy tych którzy przy niem siedzieli: Widział też ich z góry; leżeli porozciągani na trawie.

— Słysz, Zbilut, jak to ptactwo czegoś wrzeszczy okrutnie.

— Pewnie żbik je popłoszył.

— Albo ryś skrada się na drzewie.

— Oj, oj, cości nad nami gałęzie trzeszczą... Zbilut, a gdzie twój łuk?

— Darmo tylko zmarnujesz strzałę, nic nie widać.

Miłosz tymczasem dech w sobie zaparł, by nie być dostrzeżonym; szczęściem wiatr się zerwał, a trzask i szum gałęzi pozwolił mu swobodnie się poruszać.

Przeszedł już wreszcie podwójny szereg ognia, opasujących górę, gdy znalazł się niżej, cisza leśna otoczyła go i usiadł na gałęzi, by nieco spocząć.

Odpuściwszy, począł się dalej przekradać, i wkrótce był już u stóp góry. Przed nim leżała puszcza, cicha, bezpieczna puszcza, mogąca go okryć swym opiekuńczym cieniem.

Postanowił jednak do rana nie spuszczać się na ziemię, z obawy dzikich zwierząt. Szedł więc dalej po szczytach drzew.

Nagle łomot jakiś dał się słyszeć wśród gałęzi; para oczu zielonawych zaświeciła w ciemnościach; był to żbik. Wskoczył na niego ze swemi groźnemi pazurami; obaj przeciwnicy zwarli się z sobą, lecz wkrótce żbik powalił się z drzewa, ugodzony przez Miłosza nożem w samo serce.

Tak szedł przez noc całą, skoro zaś na wschodzie zaczęło świtać, czując się strudzonym, usiadł między dwoma rozłożystemi konarami i przywiązawszy się do drzewa, by nie spaść, zasnął, kołysany potanynin szumem puszczy. Gorące, jaskrawe promienie słońca, padające mu wprost na głowę, zbudziły go; sądząc po drodze, jaką słońce już zrobiło, było to dość późno. Zsunął się więc z drzewa spieszno oglądając w której stronie puszczy się znajduje. Za wskazówkę służyły mu pnie drzewne, zawsze od strony północnej porośnięte mchem.

Po niejakiem czasie napotkał ścieżkę udeptaną i puścił się nią.

Gdy słońce pochyliło się na drugą stronę nieba, ujrzało go na drodze do Kielec.

* * *

Tymczasem na górze Łysej, pomimo obłączenia nieporzucano roboty; dzięki zachętom brata Angelo budowa wciąż posuwała się dalej. Ale żywności brakło coraz więcej; Sławko też codzień spoglądał w stronę Kielec, czy nie nadciąga spodziewana pomoc; nikt jednak nie przybywał.

Pogan tymczasem przybywało z różnych stron; ale kiedy nazbyt się zbliżyli, ludzie Sławkowi razili ich strzałami i to nauczyło ich trzymać się w przystojnej odległości.

Odtąd zadowolili się rozłożeniem obozowisk na stoku góry, czekając spokojnie, aż głód zmusi obłączonych do poddania się.

A głód coraz się zwiększał; resztki żywności, pozostałe jeszcze w zapasie, dzielono na tak szczupłe cząstki, że ledwie mogły one utrzymywać ludzi przy życiu, i robotnicy zaczęli już upadać na siłach przy pracy.

Brat Angelo bardzo się smucił, pragnął bowiem, by kościół stanął jak najprędzej, widząc w tem jedyny środek

wyplenienia pogaństwa; tymczasem budowa zaczęła iść leniwo a ludzie upadali na duchu. Wszelkimi też sposobami starał się dodawać otuchy i wytrwałości, nieraz sam próbował nawet pomagać im w dzwiganiu ciężkich belek i kamieni.

Wszyscy dotąd mężnie głód wytrzymywali i nikomu ani do głowy nie przyszła myśl o poddaniu się; jeden tylko z robotników, piętnastoletni chłopak, pomagający ojcu w obrabianiu drzewa, opadł zupełnie z sił i nie mógł już chodzić prawie. Widząc to, brat Angelo oddawał mu odtąd codziennie pokrywającemu część żywności przypadającą na niego, sam, obchodząc się niczem. Trwało to pięć dni i nikt by nawet nie zauważył tego, bo młody zakonnik wciąż z jednaką wesołością i pogodą dodawał otuchy innym, gdyby sam chłopak nie odkrył owego szlachetnego podstępstwa O. Augustynowi, który, przywoławszy do siebie brata Angelo — rzekł mu poważnie:

— Dowiedziałem się bracie przed chwilą, żeś użył podstępstwa, by nas wszystkich oszukać..

Brat Angelo zarumienił się i spuścił głowę.

— Wprawdzie było to w dobrym celu, ciągnął dalej O. Augustyn, ale na przyszłość bracie, jako starszy, zabraniam ci podobnych podstępów...

Brat Angelo otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale ojciec Augustyn przerwał mu, pytając z powagą:

— Bracie Angelo, jaka jest najpierwsza powinność zakonnika?

Posłuszeństwo, szepnął brat Angelo, pochylając głowę.

— Pamiętaj więc bracie o owej powinności, a teraz niech cię Bóg ma zawsze w swej świętej opiece, dokończył stary zakonnik dziwnie rozrzewnionym głosem.

— Zostań jeszcze bracie, chcę z tobą pomówić, ozwał się O. Augustyn, gdy brat Angelo chciał odejść. Oddalmy się tylko nieco na uboczu. A znalazłszy się na uboczu, rzekł półgłosem:

— Co myślisz bracie o naszym położeniu? Jeżeli Bóg miłosierny nie zesle nam pomocy z nieba, to zguba nasza niechybna.

— Ojcie, czyż to być może, by Bóg nie wspomógł naszego świętego dzieła, zawołał brat Angelo. Ja ufam stałe w jego miłosierdzie.

Ojcie, ozwał się po chwili, pozwólcie mi zanieść jedną prośbę..

— Mów bracie — rzekł O. Augustyn który nagle, niewiedząc dla czego uczuł się zaniepokojonym.

(d. c. n.)

NASZE RYCINY.

Statek ziemnowodny.

Statkiem ziemnowodnym najwłaściwiej nazwać można drobny statek parowy, który krąży również łatwo po drodze żelaznej na lądzie stałym, jak i po wodach jeziora. Dotąd

jest to jedyny tego rodzaju okaz; by go zobaczyć, udać się trzeba do Danii, gdzie utrzymuje komunikację między dwoma jeziorami w pobliżu Kopenhagi. Nadano mu nazwę „Svanen,” co po duńsku znaczy łabędź. Zanim go zbudowano, podróżni przebiegać musieli przesmyk szerokości 350 m, przypadający między osadą Fiskeback a jeziorem Farum; była to, co prawda, przechadzka niezbyt długa, zmuszała jednak do przesiadania i do przenoszenia pakunków; obecnie zaś pasażerowie zajmując miejsca na statku, bez opuszczenia go przedostają się przez oba jeziora i przesmyk pośredni.

„Łabędź” ma 13,8 m długości, przy 2,85 m szerokości; mieści może siedmiesięciu pasażerów z odpowiednim ładunkiem, zagłębiając się w wodzie na 1 m. Gdy jest na wodzie, nie różni się on powierzchownością zgoła od wszelkich statków przewozowych, służących na licznych jeziorach krajów skandynawskich. Od zwykłych wszakże statków tem się wyróżnia, że w dolnej swej części opatrzony jest w silne osie, na których osadzone są dwie pary kół.

Skoro „Łabędź” przybywa na brzeg przesmyku lądowego, wsuwa się między dwa szeregi pali, ustawione prostopadle do linii brzeżnej, a wtrącony przez nie w należyłą drogę, dostaje się na szyny, ułożone wzdłuż równi pochyłej, i wtedy przednie jego koła przechodzą w obrót i statek przeobraża się natychmiast w lokomotywę, wdzierając się po pochyłości drogi, która się przed nim ciągnie.

Od szczytu, przypadającego mniej więcej w połowie szerokości przesmyka, droga obniża się ku drugiemu jezioru i statek wtacza się znów na wodę.

Statek jest w ruchu jedynie od 1 czerwca do 1 października; w dniu powszednie odbywa podróż trzykrotnie, w niedziele tylko pozostaje w ciągłym ruchu, wtedy bowiem mieszkańcy Kopenhagi tłumnie wybierają się w okolice jezior na przechadzkę.

Nad przepaścią.

Gdzieś w górach Himalajskich, krętą, wąską ścieżką, wykutą na krawędzi przepaści, pędzi młody oficer angielski na dzielnym rumaku, wioząc ważne polecenie do pułku. Wierzchowiec śmiało stąpa po skalistej drodze, zda się nie widzi, że jeden krok fałszywy śmiercią mu grozi. Oficer nie rzuca spojrzenia w bok, aby nie dostać zawrotu głowy, patrzy tylko przed siebie i nasłuchuje, czy ktoś w przeciwnym kierunku nie zdąży; rozminąć się bowiem w tem miejscu niepodobna, więc trzeba zawczasu ostrzedz się wzajemnie.

Wtem na zawrocie słychać tentent jakiś. Dziki wół wypada z za skały, chwila jeszcze, a spotkają się oba zwierzęta i runą w przepaść. Lecz od czego przytomność umysłu i odwaga człowieka! W mgnieniu oka zręcznym ruchem przyciska konia do ściany, a nogą odpycha pędzącego wodu, który pewnie dzięki swej sile i wprawie, zdoła się utrzymać tam, gdzie koń i człowiek niechybnie runęliby w przepaść.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zlr. 1 cent. 75 (3¹/₂ korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TRĘŚĆ: Katedra wileńska przez Jadwigę Warnkównę (z ryc.) — Szczęście, wiersz przez Z. Rudnicką. — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej ryby,” opisał H. C. — Z dziejów cywilizacji przez Zofię Bukowiecką. — Obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — Nasze ryciny. — Dodatek: W wigilię Bożego Narodzenia, bajka czarodziejska przez J. Osęka. — U cioci Polci (z ryc.) — Dług wdzięczności, przez Zofię Rudnicką. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Wspomnienia Haliny, przez Julię Piasecką.

U cioci Polci.

ki: „obiecaneś mi pajaca, a nic dotychczas nie dałeś,” a p. Luce zacina usta, patrząc na Henryczka, od owego wieczoru, w którym ją wystraszył okrzykiem, że się dom pali.

Wstają od stołu. W uszach brzmią mu ciągle słowa: „ta szkaradna wada, z której cię poprawić nie można.” Poprostu wszyscy się na niego uwzięli.

Wieczorem ojciec siedzi sam w swoim pokoju, kiedy Henryczek przychodzi powiedzieć mu dobranoc.

— Przynieś mi twój dzienniczek — mówi ojciec.

Henryczkowi serce zabiło silniej, idzie jednak i przynosi kajecik. Ojciec ogląda go przez chwilę, potem całuje w czoło syna i mówi:

— Bardzo dobrze, moje dziecko, rad jestem z ciebie.

I z uśmiechem dodaje:

— Pamiętasz, że to jutro wigilia Bożego Narodzenia?

Henryczek uczył nagle, jakby ukłucie w serce i dławienie w gardle, oczy mu zwilgotniały, wstyd go ogarnął taki, że byłby się schował pod ziemię. Jakiś nieśmiały głos szeptał mu:

— Wyznaj pokornie prawdę i proś o przebaczenie.

Ale strach przemógł, zawahał się, wtem babunia zawołała ojca.

Henryczek ze spuszczoną głową poszedł spać; długo jednak nie mógł zasnąć, przewracał się niespokojnie na łóżku, bo wszystkie popelnione kłamstwa, zwłaszcza ostatnie największe, dręczyły jego myśli.

— Eh, cóż w tem tak złego? — tłumaczył sobie, usiłując przygłuszyć głos sumienia. — Nikomu przecież szkody przez to nie wyrządziłem. Po świętach będę się bardzo dobrze uczył i sprawował, to naprawdę zasłużę na pochwałę, a teraz ojciec nie będzie się gniewał, a ja uniknę kary. Po co też miałem przyznać się babci, że jej stłukł wazonik? gniewałaby się na mnie, a wazonik i tak by się nie skleił. A pajac? Ot, głupstwo, to było tylko tak niby, żeby mi Zosia dała swą książkę z obrazkami. Zaś panna Luce niema się o co gniewać, bo czyż to żartować nie wolno? Albo cóż tak złego w opowiadaniu rozmaitych niebываłych historyi? Nikomu to szkody nie przynosi...

Uspokojony tem dowodzeniem Henryczek usnął, choć trudno nazwać jego sen, snem sprawiedliwego.

Nazajutrz od rana panował w całym domu niezwykły ruch, wszyscy wyglądali jakoś tajemniczo, nieledwie uroczyście! Zosia ani chwili spokojnie usiedzieć nie mogła wszędzie jej było pełno, nareszcie przybiegła do a podzielić się wiadomością, że dostrzegła jak widać coś bardzo ładnego, błyszczącego, pełnia choinki.

(d. c. n.)

Ó M Y.

grzeją, są takie co palą.

u ómy leciały falą,

bione blaskami

nia skrzydłami.

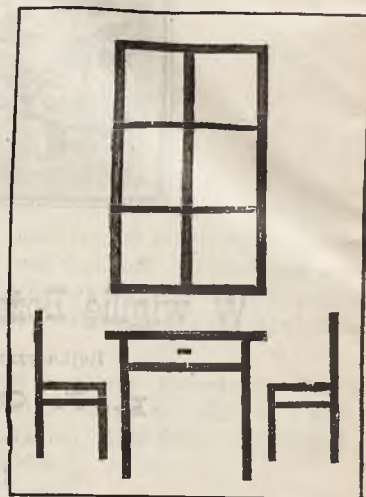
leka świeci,

iętającie dzieci!

L. Ż.

(Dalszy ciąg).

Pomysł ten bardzo się dzieciom podobał, a Kazio prosił, żeby mógł lepić, podczas gdy Henryś i Zosia cięli paski papieru. Błękitny podłużny kawałek został najpierw przyklejony na środku biletu, a potem brązowe paski naokoło i wpoprzek dwa razy, tak, aby naśladowały ramy i podzieliły okno na sześć szyb. Pod oknem umieszczono stół i dwa krzesła z takich samych brązowych pasków (fig. 34).



(fig. 34).

Dzieci były zachwycone, a Zosia dodała jeszcze w swoim pokoju dzbanek i dwa kubki, które postawiła na stole i czerwoną roletę w oknie. Henryś, zajęty krajaniem pasków, nie zdążył sobie zrobić pokoju, miał się właśnie do tego zabrać, gdy ciocia wstrzymała go.

— Może wolisz zrobić coś trudniejszego, Henrysiu? co mówisz naprzykład o okręcie?

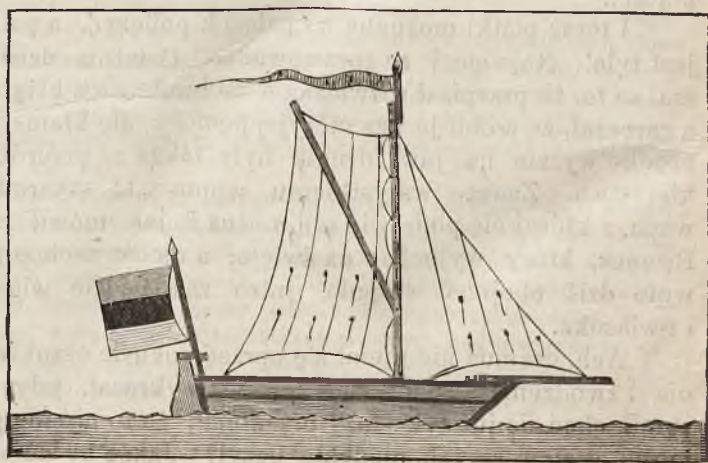
— O chętnie — zawołał chłopczyk. — Z początku nie wierzyłem, żeby pokój się udał, ale teraz myślę, że ciocia wszystko potrafi zrobić.

Ciocia się uśmiechnęła.

— Wszystkiego nie podejmuję się zrobić, ale z okrętem damy sobie jakoś radę. Kadłub, maszty i ster będą z brązowego papieru, żagle z białego, morze z niebieskiego, a flaga z kolorowego, stosownie do narodowości jaką wybieriecie.

— Ciociu, jabym też chciała zrobić okręt — prosiła Zosia.

— Dobrze, ale poproś Henrysia niech ci go narysuje.



(fig. 35).

Stano na tem, że Henryś miał rysować. Zosia wycinać, a Kazio nalepiać. Najpierw przykleił kadłub, potem żagle, maszty, flagę, a w końcu morze powycinane w ząbki, niby fale (fig. 35).

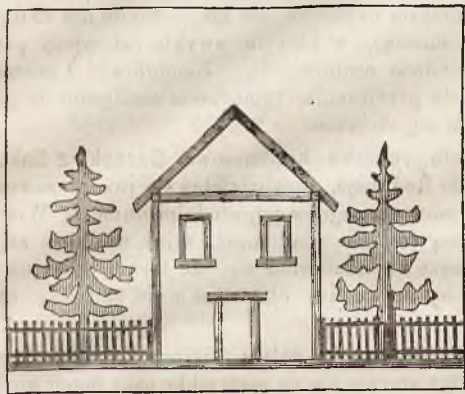
Całość po skończeniu wyglądała bardzo ładnie, zwłaszcza, że Henryś porobił nadto różne linie ołówkiem na żaglach, a na kadłubie przykleił jeszcze ciemniejsze waziotki paseczki brązowe.

— Możecie w ten sposób zrobić dom — poradziła ciocia.

— Czy mogę przy nim umieścić moje dwa drzewa? — spytał Kazio.

— Naturalnie, będą ślicznie wyglądały.

Zosia doradziła jeszcze, żeby po obu stronach zrobić płotek, z brązowych pasków, aby wyglądało, że



(fig. 36).

około domu jest ogród (fig. 36), poczem dzieci poskładały porządnie wszystkie papiery i uściskały serdecznie ciocię.

DŁUG WODZIĘCZNOŚCI

przez

Zofię Rudnicką.

(Dalszy ciąg)

Pan Jakób cicho wysunawszy się za drzwi wyszedł na podwórze zamkowe, pogrążony w bardzo smutnych myślach: wymawiał sobie, że całe to nieszczęście stało się z jego winy, za słaby był dla powierzonego sobie młodzieniaszka, ulegał każdej jego prośbie i w owym dniu nieszczęsnym uległ; za daleko zapędził się w step, i okrył żalobą rodzinę całą, cały zamek, bo wszyscy domownicy, wszyscy słudzy, dzielili głęboką boleść swoich panów. A już sam pan Jakób był nieutulony w żalu!

Słońce już zaszło, most zwodzony spuszczone, nie spodziewano się żadnych przyjacielskich odwiedzin, a zamek pana starosty, znajdujący się na samej rubieży kraju, musiał zachowywać pewne ostrożności. Więc i most spuszczano w nocy, i w strzelnicach stały zawsze nabite armatki zamkowe, i stróże nocni obchodzili wały otaczające stare, warowne zamczysko. Smutne rozmyślenia pana Jakóba przerwał odgłos trąbki, oznaczającej przybycie gościa. Głos trąbki odbił się echem o mury, a w serce pana Jakóba uderzył jak młotem.

— O Boże! krzyknął i aż zachwiał się na nogach, toż nutę taką ukochany Janek zwykł był wygrywać na trąbce, wiszącej przy moście!

Spiesznie przebiegł dziedziniec, w bramie przed mostem zwodzonym spotkał chłopaka służebnego, pomieszanego bardzo, który ujrawszy pana Jakóba począł wołać:

— Panie, panie, przed mostem stoi Turek na koniu! otrębuje się przyjaźnie, a gdy mnie zobaczył, zdjął czapkę z wielkim kutasem i skłonił mi się wymachując nią nad głową; bardzo się przestraszyłem tego Turka i przybiegłem tu do pana, co z nim robić? spuścić przecie mostu nie można, bo wejdzie do zamku, a kto wie czy to nie zdrajca jaki, choć przyjaciela udaje, Turkowi wierzyć nie można.

Pan Jakób nie dosłuchał już opowiadania chłopaka, przebiegł bramę, a w głowie mu hucało. Wiadomość od Janka!... wiadomość od Janka!... a kto wie? może — może nawet...

Stanął przed mostem... O cudowna Matko Boska Częstochowska! — wykrzyknął, podnosząc ręce do góry, i począł wołać na czeladź. — Most, spuszczać most, prędzej... prędzej... most spuszczać! Zaskrzypiały i zadzwoniły łańcuchy i zaledwie most opadł z głuchym łoskotem, zatętniły po nim kopyta końskie i w jednej chwili młody, urodziwy Turek leżał w ramionach pana Jakóba.

— Żyjesz? zawołał, przybyły, w którym pewno wszyscy poznali Janka.

— Wracasz?! wykrzyknął pan Jakób, słowa więcej nie mogąc wymówić.

— Dziadek, matka moja? pytał Janek głosem urywanym i przytłumionym od radosnego wzruszenia.

— Żyją w bezustannych łzach i żalobie za tobą.

— Prowadź mnie do nich.

— Wstrzymaj się! raptowna radość nadto ich wstrząsnie, zwłaszcza teraz, gdy przed chwilą wysłańcy powrócili, nie przyniosłszy żadnej wieści.

— Szukaliście mnie?

— Dziś, wróciło dwunaste poselstwo z krajów tatarskich. Pójdę naprzód, przygotuję matkę i dziadka do radości, jaka ich czeka.

Janek rzucił lejce swego konia chłopakowi, a sam z bijącym sercem podążył za panem Jakóbem.

Koń, rozglądał się dokoła rozumnymi oczami, zarżał wesoło, parsknął, rozdał chrapy, wyrzucił głowę w górę i wydarłszy lejce z ręki zdumiałego chłopca, w kilku skokach znalazł się na drodze prowadzącej do stajen i pognał pędem. Gdy chłopak pobiegł do wrót stajenych, koń stał już przy żłobie na dawnym swoim miejscu, które było puste, bo nie było młodego pana i miejsce jego wierzchowca stało nie zajęte.

Tymczasem pan Jakób wszedł do komnaty. Dziadek Janka może drzemał, bo ani się poruszył, ani oczu nie podniósł. Matka zwróciła głowę i spojrzała na stojącego w milczeniu pana Jakóba. Milczał, gdyż w pierwszej chwili nie wiedział od jakich słów miał zacząć obwieśczenie radosnej nowiny, ale spojrawszy w to bolejące oblicze matki, zalane w tej chwili łzami, ani wiedział kiedy znalazł się u jej stóp.

(d. n.)

ZAGADKA.

Od Puszczyka z Pilawy.

Samotny żyję, we dnie się kryję,
Mój głos źle wróży, w życia podróży,
Oko me w nocy, nabiera mocy,
Krety i myszy, łowię wśród ciszy.

FIGIELEK.



W podanych tu kratkach
Postaw dwie litery
Tak, ażeby razem
Mieścili papiery.

ŁAMIGŁÓWKA GŁOSKOWA.

p. Smoka Waw.

a
a
e e e
e e i i i
j i k k m m o p
r s s s t
t t t
z
z

Z rozsypanych tych liter ułożyć znane przysłowie.

ROZWIĄZANIA DO Nr. 46.

Szarady: Ka — ra — wa — na.

Łamigłównki w kwadracie:

G r a n a d a
D r a c h m a
W r o c ł a w
C a t t a r o
G l a s g o w
U l i s s e s
K a s z m i r

Łamigłównki zoologiczne:

a n T e r a
r y ś
k o g u t
s t r u ś
b y k
g ł u s z e c

Skrzynka do listów.

Zmartwiłaś mię kochana Stokrotko wiadomością o swej chorobie. Któż widział leżeć tak długo w łóżku, doprawdy to się wcale chwali! Popraw się więc cpedziej moja Stokrotko, aby już na-

stępny liścik twój mówił mi o zupełnem powrocie do zdrowia miłego mi kwiątka. Pojmuję, że pożądaną rozrywkę sprawiloby ci teraz czytanie „Wieczorów”, cóż kiedy odpowiedziano mi w Redakcyi, że prenumerata opłacona tylko do 1-go października; a ty niezawodnie zapomnialaś o tem. Życzę ci jaknajprędzszego powrotu do zdrowia.

Nie dziwię ci się, kochana Wichuro, że chciałabyś raz swobodnie pobujać wśród naszych pięknych Karpat, bo ślicznie tam jest, mogę cię zapewnić. Ostatnie wszakże lato spędziłam nie w górach, lecz przeciwnie, na rozległych równinach, które też mają swój urok i piękno, bo jak słusznie robisz uwagę, że do pór roku, w których starasz się zawsze odnaleść najmiłszą ich stronę, — tak jest też z wielu innymi rzeczami; bylibyśmy tylko chcieli i umieli uznać i ocenić to, co nam obecne warunki dają.

Jakże mylnie sądzisz Polno Różycko, by mię kiedy listy wasze znudzić mogły; przeciwnie, są mi one zawsze wielce miłe, nawet gdy bywają mniej udatnie napisane, bo czyż mogłabym posądzać pilnych czytelników Wieczorów o brak starania? Proszę więc, pisuj odtąd często, a zrobisz mi tem wielką przyjemność. I u nas już jesień dżdżysta i chłodna, ale nie powinno nas to dziwić, toż mamy listopad miesiąc, w którym zwykle jaśniejszy promień słońca staje się nieledwie osobliwością. Łamigłównki i szaradę złożyłam w Redakcyi do przejrzenia, tymczasem zachęcam do pisania innych i pozdrawiam cię szczerze.

Że twoja robótka konkursowa Sarenko z Sokoła przybyła szczęśliwie do Redakcyi, dowiedziałas się już niezawodnie ze sprawozdania, umieszczonego w poprzednim numerze Wieczorów. Bardzo przyjemną jest mi wiadomość, z jak wielkiem zajęciem czytasz pismo nasze i spodziewam się, że teraz, gdy już większej nabrałaś wprawy w pisanie, obdarzać mnie będziesz częściej swemi liścikami.

Zawód o jakim mi z żalem piszesz Topolko nie z mojej winy pochodzi, gdyż staram się na wszystkie listy mych korespondentów odpisywać jak najszybciej. Przejrzyj więc jeszcze raz ostatni numer, a niezawodnie znajdziesz kilka słów pod swoim adresem. Polepszeniu zdrowia twego tatusia cieszę się wraz z tobą i życzę ci jaknajwięcej przyjemności.

Kochanej Stokrotce za liścik dziękuję. Wyznanie jednak nie dziwi mię wcale, bo twoje lat 12 usprawiedliwia w zupełności upodobanie do czytania powiastek krótszych lub mniej poważnych; nie wątpię jednak, że z czasem i tamte czytać będziesz, gdy pod wpływem nauki umysł twój odpowiednio będzie przygotowany.

Już gotową byłam posadzić, że Mała Literatka zapomniala o mnie zupełnie, w obec swych licznych literackich zajęć. Ale otoż nie! Literatka ma główkę do wszystkiego, ma też i kochające serduszek, które czułą opieką otacza maleńkich swych braciszków, a których poznawszy teraz chociaż tylko z opisu serdecznie pozdrawiam.

Jaskółka.

Łyzwiarce i jej rodzinie przesyłamy pozdrowienia; życzeniu jej pospieszymy uczynić zadość.

Już wielkorotnie przypominaliśmy naszym korespondentem, że łamigłównki, chociażby były najlepsze, drukowane nie będą, gdy nie dołączone są rozwiązania. Może więc J. P. pospieszy naprawić pomyłkę zaszłą niezawodnie z roztargnienia.

Łamigłównki własnego układu przysłali także: Józef W. Sarenka modrooka, Fiołek parmeński, Zajączek z Ukrainy, Smok, Anulka i Czarny rycerz, dobre zaś rozwiązania: Tadzio K., Józef W. Giermek, Marylka, Gwiazdka i Rumiane jabłuszko.

Prenumeratoremie wnoszący całoroczną opłatę rub. 6 tak w Warszawie, jak i na prowincyi za „Ogrodnik polski“ dwutygodnik poświęcony sprawom ogrodnictwa krajowego wprost w Redakcyi, otrzymają premium w nasionach wyborowych odmian i nowości.

Adres Redakcyi: ul. Mazowiecka Nr. 11.

№ 49 Rok XIX.

Dnia 21 Listopada (3 Grudnia) 1898 r.

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



POMNIK JANA SOBIESKIEGO WE LWOWIE.

Pomnik Jana Sobieskiego.

Dnia 20 listopada r. b. odsłonięty został we Lwowie pomnik Jana Sobieskiego, dłuta znanego rzeźbiarza T. Baręcza. Jak widzimy z ryciny, przedstawia on króla, jako pogromcę Turków i przypomina nieco z układu znany wszystkim pomnik w Łazienkach. Rycina druga przypomina największy czyn dziejowy Sobieskiego — odsiecz wiedeńską w r. 1683, przedstawia bowiem chorągiew husarską pod murami tego miasta, przygotowującą się do słynnej szarży na namiot wielkiego wezyra Kara-Mustafy. Oto, jak Deotyma opisuje malowniczy strój i uzbrojenie husarza:

Opięty w czarny aksamit „usarski”
 Naszytej łuską szmelcowaną modro,
 Żółty pas brodzcem zahaczał na biodro,
 Sępiemi pióry najeżał swe barki
 A temi skrzydły, płomiennością oka,
 I giętkim ruchem przypominał smoka,
 Co swe ofiary urzeczce nim złamie.
 Ze smok zaś chętnie za chmurą się chowa
 Płaszcz siedmiogrodzki zarzucał na ramię,
 Płaszcz biały, jak noc zimowa.

(„Sobieski pod Wiedniem” pieśń II).

ZOFIA BUKOWIECKA.

Z dziejów cywilizacyi.

(Dalszy ciąg).

Znałem starego literata i nauczyciela, który tak dalece pamiętał czemu zawdzięcza nabyte przedmioty, że pokazując mi swoje biurko, mówił:

— Oto „Dolina śmierci,” taki bowiem był tytuł powieści którą kiedyś napisał, a za honorarium kupił sobie to biurko. Szlafrok swój nazywał Azyą, gdyż nabył go za wartość popularnego wykładu o tej części świata, a frak, jedyny, jaki posiadał w życiu, nosił miano nosorożca, gdyż rozprawie o tem ciekawem zwierzęciu zawdzięczał staruszek ten strój uroczysty.

Każdy z ludzi, aby żyć, musi przez pracę wytworzyć jakiś towar, który następnie wymienia przedewszystkiem na przedmioty pierwszej potrzeby, a następnie na rzeczy dogadzające jego upodobaniu. Towarem tym są dla lekarza lub adwokata usługi przez nich oddawane potrzebującym; dla rolnika uprawa roli i zarząd nad gospodarstwem; dla malarza, rzeźbiarza, muzyka, utwór ich talentu; dla ślusarza, tkacza, szklarza i t. d. wyroby ich rzemiosła. Trzeba się więc starać o to, abyśmy mieli jaknajlepszy towar, wtedy z łatwością wymienimy go na inny i doznamy w życiu wielu chwil przyjemnych. Przeciwnie próżniak, który nie chce uczyć się i nabyć umiejętności w jakim zawodzie lub rzemiosle, okrada sam siebie, pozbawiając się możliwości wyrobienia jakiego towaru, to jest wzbogacenia się; czeka go w przyszłości bieda, a może nędza.

Ale ludzie każde udoskonalenie zdobywać muszą szeregami prób i doświadczeń. Długo też trwał na świecie i handel zamienny w pierwotnej swej formie. Zamieniano bezpośrednio przedmiot za przedmiot, a widzieliście z historii naszych wspiary, jak niedogodną jest taka zamiana. Trzeba bowiem aby pan N., który ma mąkę a potrzebuje książki, odnalazł komecznie kogoś takiego, co posiadając żądaną książkę,

potrzebowałby mąki. Trudność podobnych transakcyi, to jest wymian, naprowadziła ludzi już w odległej starożytności na myśl użycia towaru trzeciego, a że to była myśl szczęśliwa, o tem przekonały was, sędze, muszelki doktora.

— Znajdźmy towar, który byłby miernikiem wartości innych towarów — powiedzieli sobie praszczurowie nasi i dalej probować handlu w tej nowej formie. Ale jaki przedmiot wybrać za ogólnego pośrednika?

Po długich naradach zgodzono się nareszcie, że bydło jest każdemu potrzebne, zgodzono się tem łatwiej, że ludy ówczesne przeważnie żyły z pasterstwa, każdy więc chętnie wymieniał swe bogactwa na sztukę bydła i łatwo znów mógł się w razie potrzeby pozbyć zwierzęcia.

Józio i Michaś uśmiechają się, słysząc o takim dziwnym handlu. Istotnie nie mało on też nastęrczał trudności. Homer, poeta grecki, pisze, że zbroja rycerza Diomeda, króla Tracyi, kosztowała sto wołów. Całe stado żywych pieniędzy!

Układ o tak drogocenny przedmiot łatwiej było zawrzeć, ale jak ocenić wartość drobnych sprzętów? Za kołczan do strzał należało zapłacić dziesiątą część wołu. Biedny wół-pieniądz, który aby być zmienionym na drobną monetę, musiał się dać poćwiertować. A nawet wyplacony w całości ileż kłopotu przysparzał właścicielowi. Diomed naprzekład, był rycerzem wielkiej sławy; on to zamknięty w brzuchu drewnianego konia, wjechał podstępnie wraz z 9 towarzyszami w mury Troi i zdobył to miasto na wieczną Greków chwałę. Wyobrażcie sobie więc kłopot Diomeda, gdy za sprzedaną zbroję oddano mu stu ryczących wołów. Gdyby wartość towaru wyplacono w złocie, jak płacą dziś wszyscy, byłby Diomed schował dukaty do trzosa i opasawszy się nim pojechał szukać nowych wojennych przygód, bo tak postępowali ówczesni bohaterzy. Ale co zrobić ze stu głodnymi wołami?

Homer nie wspomina jak sobie poradził Diomed, słusznie jednak przypuścić możemy, że miał dużo kłopotu z żywymi pieniędzmi, które przedewszystkiem same dopominały się żywności.

Przekonano się więc, że przedmiot trzeci, pośredniczący w zamianie towarów, nie powinien być żywym. Musiało jednak bydło służyć długo za miernik wartości, skoro w wielu językach indo europejskich, ten sam wyraz oznacza pieniądz, co bydło.

Michaś, który ma piątki z łaciny, wie niezawodnie, że wyraz *pecunia* (pieniądze) pochodzi od *pecus* (bydło). Na bardzo starych monetach spotykamy często wizerunek wołu, jako stempel oznaczający wartość pieniądza.

— Żywy wół, jako pieniądz zbyt jest kłopotliwym, spróbujmy użyć w tym celu jego skóry — tak uradzili z kolei ludzie, i odtąd skóry zwierząt służyły przy wymianie. Dziś jeszcze ludy dzikie, trudniące się myśliwstwem, skór używają zamiast pieniędzy.

— Może to dobry sposób — mówi Janek, ale Michaś uśmiecha się złośliwie i pyta:

— Dobry? Powiedz mi więc jak rozumiesz pieniądz skórę?

A Janek na to:

— Wielka rzecz, pokraja skórę na drobne kawałki, przecież nie żywa, nie zdechnie, więc nie straci na wartości.

— Nie straci na wartości, powiadasz? Otóż bardzo się mylisz spytaj twego ojca czy pozwoli pokrajać skórę białego niedźwiedzia, która leży przy jego biurku. Wiem, że kosztowała ta skóra 200 rub. czyż nie straciłaby na wartości, gdyby porznął ją na drobne paski?

Janek zamilkł, czuł, że kolega ma rację. Słuszność takiego zdania uznali i praojcowie nasi, przekonali się bowiem, że towar-pieniądz powinien się łatwo dzielić i nie na tem nie tracić. Robiono więc próby z produktami roślinnymi. Jakie one były, przekonać się o tem możemy, bo u ludów Azji i Afryki dziś jeszcze w handlu zamiennym, jako pieniądza używają owoców, np. daktyli, ryżu, a także herbaty lub tytoniu.

(d. c. n.)



Floryan Łagowski.

W roku bieżącym minęło 25 lat trudnej lecz wdzięcznej pracy na polu kształcenia młodzieży, przełożonego szkoły realnej prywatnej w Warszawie.

Floryan Łagowski, urodzony w Proszowskiem 4 maja 1843 r., kształcił się w b. Szkole Głównej, a następnie w Uniwersytecie warszawskim.

Poświęciwszy się zawodowi pedagogicznemu, jako profesor historii literatury i języka polskiego, oraz przełożony szkoły z zamiłowaniem oddał się swemu zawodowi, zyskując ogólną wdzięczność i szacunek.

Działalność pedagogiczna nie przeszkadza jednak jubilatowi pracować piórem. Napisał kilka cennych prac, między innymi życiorysy: Stanisława Jachowicza, Bohomolca, dzieje szkoły Collegium Nobilium, założonej przed stu dwudziestu laty, przez Konarskiego, „Początki gramatyki polskiej” i t. d. Był też przez kilka lat redaktorem „Przeglądu Pedagogicznego.”

W OBŁOKACH I POD WODĄ

WYPRAWY „LATAJĄCEJ RYBY.”

opisał H. C.

(Ciąg dalszy).

XII.

Nowe zdumiewające odkrycie.

Po stanie gorączkowego podniecenia, w jaki wprawilo podróżnych osiągnięcie bieguna, celu tylu wypraw, pragnień i marzeń, poczuli oni potrzebę wypoczynku nocnego, jeśli

można mówić o nocy w tym punkcie kuli ziemskiej, gdzie począwszy od 21 marca, słońce przez sześć miesięcy nie schodzi z horyzontu, póki z kolei nie zniknie zupełnie na drugie sześć miesięcy zimowych! Pokrzepiwszy więc snem siły swoje w godzinach, gdy słońce było najniżej, profesor i jego towarzysze zerwali się wcześniej dnia następnego, płonąc ciekawością jaknajprędzszego poznania tych nieznanych nikomu okolic.

Zjadłszy śniadanie, zastawione przez obojętnego jak zwykle na wszystko Jerzego, zaczęli czynić przygotowania do wyprawy, którą należało przedsięwziąć z należytą rozwagą i ostrożnością, bo lubo chodziło tylko o niedaleką kilkomiłową wycieczkę w głąb kraju, ląd ten i klimat jego przedstawiały tak gwałtowne i niespodziewane przemiany, że nie można było nawet odgadnąć, jakiego gatunku zwierzęta kryć się mogą w lasach widzianych w pobliżu. Należało więc zabezpieczyć się na wszelki wypadek.

Najpierw rozstrzygnięto kwestyę ubrania; termometr wskazywał 3° ciepła Reaumura, powietrze jednak wydawało się podróżnym bardzo łagodnym, po doświadczeniom zimnie w strefie lodowej. Włożyli zatem na siebie średniej grubości ubranie kortowe i sięgające do kolan buty z nieprzemakalnej skóry; wybrali broń dającą dziesięć strzałów z rzędu, dostateczną ilość naboju, a nie wiedząc jak długo potrwa wycieczka, wzięto też potrosze z zapasów do jedzenia. Tak zaopatrzeni, wsiedli do małej łodzi i niebawem znaleźli się na wybrzeżu.

Z uczuciem zaciekawienia, połączonem z rodzajem obawy, stawiali pierwsze kroki po tym nieznanym nikomu lądzie.

— Patrzcie — odezwał się baronet, wskazując na grunt pod nogami — to pierwsze ślady stóp ludzkich, odcisniętych na tej dziewiczej dotąd ziemi — i rzekłszy to rozwinął małą chorągiewkę trzymaną w rękę, o barwach narodowych angielskich, koniec jej zasadził w piasek i zawołał uroczystym głosem:

— W imię najjaśniejszej pani, Wiktoryi, królowej Wielkiej Brytanii i Irlandyi, biorę tę ziemię w posiadanie i przyłączam ją do korony angielskiej.

Po tych słowach trzej Anglicy wzniesli okrzyk na cześć królowej swojej; następnie pułkownik zaproponował aby nowoodkrytą ziemię nazwać „ziemią Elflinstora,” na co wszyscy z ochotą przystali, z wyjątkiem baroneta, który przez skromność wymawiał się od zaszczytu nadania nazwiska swego odkrytej przez nich krainie.

Czy istotnie jednak ziemia ta była dotąd nieznaną ludzicom? Czy rzeczywiście teraz dopiero stopa człowieka pierwsze ślady wycisnęła na niej? Podróżni nasi mieli niebawem pod tym względem otrzymać odpowiedź przeczącą, zaledwie bowiem przeszli kilkanaście metrów od wybrzeża, spostrzegli ułamek starej włóczni, z długim na 16 cali drzewcem. Odkrycie to sprawiło pewien zawód dla Anglików, gdyż świadczyło, że dawnymi czasy znalazł się człowiek, może nawet liczniejsza gromada ludzi, którzy, nie rozporządzając, jak żeglarze „Latającej Ryby” niezwykle śródkami podróżowania, dokonali jednak trudnego zadania i przetrznawszy się przez pas lodowców, dotarli do samego bieguna północnego. Kto byli ci ludzie? Z jakiego pochodzili kraju? Dla czego wiadomość o ich wyprawie poszła w zapomnienie? Te pytania nasuwały się kolejno baronetowi i jego towarzyszym.

— Sądzę, że ich pochodzenie nie może być dla nas wątpliwem — zauważył profesor. — To ci sami Wikingi, których wódz nakreślił znaną przez nas mapę i których zwłoki znaleźliśmy pod lodem w zatopionym statku. Owa wyspa zaznaczona na mapie jest prawdopodobnie tym samym lądem, po którym kroczyliśmy obecnie. Należy przypuszczać, że Wikingi zostali zaskoczeni w powrotnej drodze przez wielkie mrozy, nie mogli posunąć się na południe ani cofnąć na otwarte morze polarne, padli ofiarą śmierci w pasie lodowców, gdzieśmy ich znaleźli po kilku wiekach.

— Trudno jednak zrozumieć — zagadnął baronet — dla czego, mogąc raz jeden przetrznąć się przez lody, nie uczynili tego po raz drugi.

— Może powrót ich wypadł w późniejszej porze — tłumaczył profesor. — Nadto zdaniem mojem obszary lodowe w tej strefie nie zawsze jednakową obejmują przestrzeń; dwie lub trzy następujące po sobie łagodne zimy w połączeniu z wyjątkowo gorącym latem, mogą roztopić większą ilość brył lodowych i rozszerzyć granicę wolnego polarnego morza. Przypuszczenia moje potwierdzają sprawozdania podróżników jak: Scoresby, Penny, Kane i t. d. Ale co widzę tam w dal? Czyż mógłby to być ślad mieszkań ludzkich?

Były to istotnie szczątki drewnianej chaty, dwadzieścia pięć stóp długiej i szesnaście szerokiej; dach jej musiał zapaść się oddawna, gdyż ściany mech pokrywał, a wysoka jodła rosnąca pośrodku, świadczyła o długoletnim opuszczeniu tej siedziby.

Podróżnicy szczegółowo obejrawszy resztki starożytnej budowy, wzniesionej prawdopodobnie tą samą ręką, która władała porzuconą włócznią, udali się następnie w głąb sosnowego lasu, gdzie mieli nadzieję spotkać zwierzynę.

Rzeczywiście, zaledwie uszli pół mili, lis polarny pomknął szybko przez zarośla, dalej ujrzeni stado pasących się danieli, a lubo widok ich pobudził żyłkę myśliwską pułkownika i baroneta, lecz powstrzymali się od chęci strzelania i zostawili w spokoju łagodne zwierzęta. Za to spotkanie w dalszym pochodzie brunatnego niedźwiedzia sir Reginald zgładził ze świata, a wilk, błakający się samotnie, padł ofiarą celnej broni pułkownika. Wyszedłszy z lasu podróżni znaleźli się w małowniczej miejscowości, umajonej łąkami.

Tam spostrzegli pasące się na trawie niewielkie stado wołów piżmowych i podczas gdy radzili nad tem, czy warto którego z nich trupem położyć, Mildmay, mając oczy w inną stronę zwrócone, zawołał ze zdumieniem:

— Spójrzcie, co za potworne zwierzęta kroczą tam zwolna w dolinie? Wszakże nie mogą to być słonie!

— Jakie niedorzeczne przypuszczenie! — oburzył się baronet, zwracając lunetę we wskazanym kierunku. — Ależ słowo daję — dorzucił po chwili z największym zdziwieniem — te zwierzęta naprawdę podobne są do niezwykle dużych słoni, tylko, że porośnięte gęstym, długim, czarnym włosem. Na honor, nie widziałem podobnych w życiu.

— Slonie porośnięte włosiem! — powtórzył z zaciekawieniem profesor — prędko, dajcie mi szkła, zapomniałem zabrać lunety! Gdzie są te osobliwe zwierzęta? A, widzę je! oh! czy podobna! Wiercie mi, jakem profesor, to jest człowiek oddany nauce, zapewniam was, że te dzikie niby słonie są ni mniej ni więcej, tylko żywymi mamutami. Możemy sobie powinszować takiego spotkania! Pomyślcie tylko, co za szczęście! patrzeć na najwspanialsze okazy zaginionego gatunku!

Profesor tak był podniecony niespodziewanem zjawiskiem, że towarzysze jego, pragnący z kolei przypatrzeć się osobliwym zwierzętom, nie mogli z drżących ze wzruszenia rąk Karlińskiego odebrać lunety; wreszcie oddał ją porucznikowi, a zwracając się do nich wszystkich, mówił z naleganiami:

— Nie traćmy ani chwili czasu; druga podobna sposobność może nie nadarzyć się więcej. Musimy zdobyć choć jedną sztukę. Będzie to dostateczną nagrodą za kosztą i trudy naszej wyprawy.



Rozwścieczone zwierzę pognąło za nim... (str 389).

Zapał profesora udzielał się towarzyszom jego; baronet w porozumieniu z pułkownikiem układali plan kampanii; on z profesorem z jednej strony a Lethbridge z Mildmay'em z drugiej mieli zająć drogę mamutom i zapędzić je ku przystani, gdzie „Latająca Ryba” spoczywała na kotwicy.

W tym celu wypadło obejść dokoła znaczną przestrzeń i dopiero po 1½ godziny myśliwi znaleźli się w miejscu, skąd mogli urządzić „naganke.” Rozstawili się w półkole, a na znak dany przez baroneta, wszyscy czterej z krzykiem biedz zaczęli ku zwierzętom.

Mamuty, nie podejrzewając niebezpieczeństwa, pały się spokojnie na łące, posłyszawszy dopiero hałas, z podniesioną trąbą weszły zaczęły wroga i stanęły w szeregu. Myśliwi postępowali śmiało naprzód w przekonaniu, że zwierzęta ulękną się ich widoku, ale wbrew temu oczekiwaniu mamuty z groźnym rykiem rzuciły się na nieprzyjaciół.

Stado składało się z dziesięciu sztuk; cztery z nich stanęło frontem do napaśników, jakby zasłaniając sobą towarzyszy.

Była to niebezpieczna chwila dla myśliwych, którzy po raz pierwszy w życiu mieli do czynienia z tego rodzaju zwierzyną i nie wiedzieli jak z nią obchodzić się wypada. Sam widok

potworów piętnaście stóp wysokich, pokrytych gęstym brunatnym włosiem, z olbrzymimi kłami w górę zagiętymi, z małemi oczami palającymi gniewem, najśmielsze serce mógł natchnąć obawą, ale ani baronet, ani pułkownik nie znali co bojaźń, gdy mieli broń w rękę; Mildmay jako prawdziwy marynarz nie tracił zimnej krwi wobec niebezpieczeństwa, a profesor byłby chętnie naraził się sto razy na utratę życia, byle rzadkim w historii naturalnej okazem z bogacić naukę.

Myśliwi wycelowali jednocześnie; baronet i pułkownik więcej doświadczeni w tym względzie, strzelali zwierzętom do oczu a kule ich dosięgnąwszy mózgu, powaliły od razu oba mamuty; profesor równie szybko sprzątnął przeciwnika, kierując broń swoją w otwartą paszczę zwierzęcia, który traktować go już zamierzał. Nie sprzyjało jednak szczęście Mildmay'owi; sądząc, że strzał równie skuteczny będzie, wycelował on w piersi mamuta. Kula, nie mogła przebić grubej skóry zwierzęcia,



HUSARZE POD WIEDNIEM.

a silnem uderzeniem rozbudziła wściekłość jego. Wtem krytycznem położeniu był czas jeszcze drugi cios wymierzyć, ale zamiast tego Mildmay, tracąc przytomność, rzucił broń i próbował ratować się ucieczką. Rozwścieczone zwierzę pognało za nim i uderzało trąbą.

Podrzucony jak piłka w powietrzu, porucznik zalany krwią, padł na ziemię bez zmysłów. Mściwy mauut nie poprze-

stając na tem, gotował się już tratować go nogami, kiedy celna kula pułkownika dosięgła zwierzę, kładąc je trupem na miejscu. Reszta stada śnać przerażona widokiem zabitych towarzyszy, z gniewnym rykiem uciekać zaczęła.

(d. c. n.)



Marya Łopuszańska.

OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg)

— Oto chciałbym pójść tam, do tych ludzi — rzekł brat Angelo, wskazując w stronę obozowisk pogańskich.

— A jeżeli cię zamordują? — rzekł O. Augustyn z trwogą.

— To zgine za wiarę! zawołał z zapalem młody zakonnik. I dodał z uśmiechem, patrząc w oczy starcowi:

— Mielizbyście mi zazdrościć, ojcze, tego zaszczytu?

— Nie, nie zazdroścę ci, zawołał ojciec Augustyn z nagłem postanowieniem, ale pójde z tobą!

— Wy, ojcze? — zawołał brat Angelo.

— Tak, ja; nie opuszczę cię, jak nie opuściłem pierwszej, gdyśmy tu się wybierali. Czyżbym ja, stary sługa boży miał się obawiać śmierci? Pójdzmy!

I obaj zakonnicy spuścili się z góry ku obozowiskom pogańskim, niedostrzeżeni w cieniach zapadającego wieczoru.

Tej nocy znów starszyczna pogańska zgromadziła się na uroczysku, w kole obradnem; tylko Masława i knezia Mszczuja nie było; natomiast brat jego, kneź Odylon znajdował się tym razem wśród zebrania. Obrady toczyły się bardzo leniwie, jak zwykle, gdy nie było Masława, który swą potężną wolą ożywiał wszystkich i zmuszał do działania.

Po niejakiś czasie jeden ze starszycznych ozwał się nagle:

— Widzę gromadę ludzi zbliżającą się tutaj; pewno coś niezwykłego zająć musiało.

Niebawem rzeczywiście ukazało się kilkunastu ludzi, prowadzących między sobą, jako jeńców, dwóch księży czarno ubranych.

Radosne i dzikie okrzyki rozległy się wśród zgromadzenia:

— A, pojmałście ich, tych czarnych kruków? Dawajcie ich tu! Zajrzymy w oczy tym czarownikom przeklętym, a potem strącimy ich ze skały, niechaj idą do biesa!

Jeden z nowoprzybyłych, stanąwszy przed starszyczną, pokłonił się i rzekł:

— Aby rzec szczerą prawdę, nie pojmałśmy ich, ino się sami oddali w nasze ręce. Ten młody powiedział, że chce mówić z naszymi ludźmi. Ano, wzięliśmy ich i przywiedli tutaj, niech gadają, kiedy tacy mądry.

Śmiech powstał wśród zgromadzonego ludu.

— Niech gadają, niech gadają! wołano zewsząd. Obaczmy co zaśpiewają przed śmiercią. Ano, ty stary kuku, wyjdź pierwszy i powiedz nam co pięknego. Starszemu godzi się dać pierwszeństwo; pierwszy będziesz gadał i pierwszy pójdziesz pod uóz!

O. Augustyn nie rozumiał dobrze owych pogróżek, lecz z dzikich ruchów pogan domyślał się ich zamiarów. Mleczął więc i modlił się pociechu.

Brat Angelo wystąpił naprzód:

— Bracia mili — rzekł swobodnym i spokojnym głosem, poco macie się plamić krwią naszą? My się śmierci nie boimy poznaliśmy z tego żeśmy się sami oddali w wasze ręce, ale sobie zrobicie tam więcej złego, niż nam. Naprzód popełnicie bezpotrzebną zbrodnię a krew spada zawsze na głowę tego, kto ją przelał, potem zaś nie przeszkodzicie wcale budowie klasztoru, bo tam w Kielcach pozostało jeszcze dziecięciu takich jak nas tu widzicie, którzy narażą się na śmierć z największą rozkoszą, aby tylko święte dzieło przywieść do skutku. A jeżeli zginiemy wszyscy, to król dopełni tego, bo Bóg nie dopuści, by tak wielkie przedsięwzięcie upadło. Ci

k którzy was namawiają do oporu i buntu, myślą tylko o sobie nie dbając o to, że was wydadzą na pastwę gniewu króla, jeśli wam się nie powiedzie, a mogą was zapewnić, że się nie powiedzie. Żal mi was, biedni, ciemi ludzie i dla tego przyszedłem, by wam powiedzieć słowa prawdy i pokoju.

Lecz starszyczna bojąc się, by mowa młodego księdza nie zrobiła wrażenia na tłumach, zawołała jednogłośnie:

— Nie potrzebujemy, takich mądrych nauczycieli! Nie rozczulaj się nad nami a raczej nad sobą, bo ostatnia twoja godzina wkrótce nadejdzie.

— O nie — odrzekł brat Angelo — zawsze żałować was będę nie szczęśliwi, bo Pan mój, Odkupiciel, czyż nie wyrzekł na Golgocie: „Córki jerozolimskie nie płaczcie nademną, a raczej nad sobą i synami waszemi!”

— Milcz! jeśli ci życie miłe, wrzaśnięto dokoła. Nawet kneź Odylon zwykle milczący, teraz mówił półgłosem:

— Czarni księża, chcieliby i nas na niemiecką wiarę nakłonić. Nic z tego nie będzie!

Nagle, wśród zgromadzenia ukazał się człowiek na koniu spienionym i zdyszonym. Zeskoczył szybko, a zbliżywszy się do starców, siedzących na kamieniach, każdemu szepnął coś zcicha. Ruch powstał wśród obecnych i jak ptaszki małe, gdy jastrząb się ukaże, trwożnie świegocą i zbijają się w gromadę, tak w całym zgromadzeniu powstał szmer nagły, szepotali coś między sobą potrwożeni i niespokojni.

— Gdzie Masław, gdzie Masław? ozwało się kilka głosów. Sam nas w to wprowadził, a teraz się kryje!

— Masław w gródku knezia Mszczuja, ozwał się ktoś.

— Nie w Kielcach!

— Posłać po niego gońca! Niech radzi co czynić!

— Co się stało Mściwoju? zapytał jeden z obecnych.

— Powiadają, że Bolesław powraca — odparł trwożnie zapytany.

— Bolesław powraca! — powtórzył tamten w najwyższym przerażeniu. Już po nas!

— Jak sobie chcecie — ozwał się drugi — ja od wszystkiego ręce umygam. Dość już nas Masław nazwoził obietnicami, które do niczego nie doprowadziły.

— Ja także wracam do domu, dodał trzeci. Niech Masław sobie sam radzi...

— Tchórze — wołali inni, odważniejsi, cóż to, na jedną pogłoskę, o powrocie króla, rozbiegacie się, jak ptaństwo pierzchliwe kiedy sokół bije z góry!

— Ano, wszyscy znamy dobrze dziób i szpony tego sokoła!

— Gdzie Masław, gdzie Masław? powtarzali tymczasem inni.

— Oto jestem, czego chcecie ode mnie? — ozwał się głos Masława, który niespodzianie stanął w kole obradnem.

Zjawienie się jego było tak nagłe, wyraz twarzy tak nakazujący, że najbliżsi cofali się.

— Czego chcecie ode mnie? spytał poraz drugi.

— Masławie, czy wiesz, że Bolesław powraca? ozwał się jeden ze starszycznych.

Więc cóż stąd? — wyrzekł z pozornym chłodem Masław.

Czyście go już widzieli tu blisko? Czy odnalazł już nasze schronienie? Czy nie stało nam broni przy boku?

Wszak jeszcze puszcza, zarośla, bagna, wąwozy, wszystko nasze; w żelazo zakuci wojacy Bolesława nie pójda nas tam szukać, a jeśli pójda to bies będzie chyba miał z nich pociechę, nie on!

Kto więc zachował męstwo w sercu i nie stał się jeszcze drżącą niewiastą, zającem tchórzliwym, co własnego cienia się lęka, komu stara wiara miła, kto nie zapomniał zrąbanych drzew świętych, zaspanych źródeł, chramów zburzonych, ten pozostanie przy mnie; inni niech idą lizać stopy Bolesława, niech mu oddadzą głowy swoje, albo uchoďdą w puszcę, zostawiając mu na pastwę domy własne, żony i dzieci, niech idą, nie zatrzymując ich; tchórzów nie potrzebując; niech ich sobie bierze topór królewski.

Tłum mleczał przez cały czas przemowy Masława; głu-

cha cisza trwała gdy skończył mówić; nikt nie śmiał, czy nie chciał, się odezwać.

Mineły już te czasy kiedy słowo Masława było wszechwładnem; nie oburzali się ale milczeli a Masław wiedział, że to najgorszy znak. Rozdrażniając namiętności tłum, narażał się, że mógł sam być przez niego rozszarpanym, ale również mógł wywołać iskrę zapалу i uniesienia; lecz ta głucha cisza, ten spokój lodowaty zwiastowały zniechęcenie i upadek ducha. Nie było żadnej nadziei. Masław czuł to i jak zwierzę ranny wzrokiem szukał dokoła siebie, na kogo by się rzucić.

Oko jego padło przypadkiem na brata Angelo.

Młody zakonnik stał wciąż przy ognisku, nieustraszony i spokojny. Krwawy, rozwiścieczony wzrok Masława spotkał się nagle z jego łagodnym spojrzeniem, a spojrzenie to miało w sobie tyle cnoty, że nawet straszny Masław czuł się na chwilę zachwianym. Przeżuł w nim siłę odporną tę siłę, z którą dotąd walczył daremnie. —

Lecz po chwili jeszcze większa wściekłość zakipiała w jego sercu; wszystkie namiętności, obudzone przez czarne-go ducha, podniosły głowy, aby walczyć z przeciwną im władzą i straszny się stał wtedy. Rzucił się z zaciśniętymi pięściami naprzód; zdawało się, że w jednej chwili zabije młodego zakonnika.

Ten stał, nie ruszając się z miejsca; światło ogniska padało nań i oświecało całą jego postać i oblicze od którego zdawał się bić blask jutrzeński. Wzrok knezia Odyłona padł na niego w tej chwili i już się odeń nie odrywał, jakby przykuty. Na jego obliczu obok bolesnego wyrazu, widniało łagodniejsze jakieś uczucie, potrząsnął wreszcie głową, jakby odpędzał oblegające go wspomnienia.

Masław tymczasem biegł na brata Angelo, wściekły, rozszałają.

— To on, to on! — wołał, z włosami najeżonym, podczas gdy piana okryła mu usta, a pot wystąpił na czoło. To on mać mi wszystko, a jednak nie mogę pokonać mocy jego, nie mogę... Czarowniku przeklęty, ktoś ty jest? Nie odpowiadasz. A więc giń!

— Zabij więc to co możesz zabić! — rzekł brat Angelo spokojnie, skrzyżowawszy ręce na piersiach i podnosząc głowę, gdy tymczasem ojciec Augu-tyń przerażony, powtarzał drżącym głosem; robiąc znak krzyża w powietrzu:

— Retro satana, retro satana!

Masław podniósł już miecz jak do cięcia, nagle jakaś ręka wstrzymała jego ramię wzniesione.

— Stój! — wyrzekł mu nad uchem głos knezia Odyłona. Nie zabijesz go!

Masław obrócił się, gotów wyrzucić całą wściekłość na tym, który go wstrzymywał; lecz stary kneź spokojnie położył mu rękę na ramieniu, powtarzając:

— Nie zabijesz tego księdza.

Któż mi zabroni? zawołał gwałtownie Masław.

— Ja — odparł kneź poważnie i stanowczo.

Zdawało się, iż otrząsnął zupełnie z siebie swe dawniejsze usposobienie; mówił przytomnie, z powagą i godnością, przystojną jego wiekowi i wysokiemu rodowi. Nawet na Masława na chwilę podziałała ta powaga starca, ale na chwilę tylko.

Rzucił się w jego stronę ze wzniesionym mieczem, wściekły i straszny, wołając:

Ach, wy knezie rozbójniki, czy wy mi wiecznie będziecie wydierać z rąk zdobyczy? wiecznie mi stawać będziecie na drodze? Ale ja was zmiotę z mej drogi! Jak postanowiłem tak zrobię, czarni księża muszą zginąć, a ty mi nie zachódź w drogę stary kneziu medoleźny, bo...

— A więc — rzekł kneź Odyłon, stając i swą wysoką postacią zasłaniając brata Angelo, niechaj miecz twój wprzód zboczy krwią moje siwe włosy, ale tych księży nie dam tkiąć!

W tejsze chwili dał się słyszeć tentet pomiędzy drzewami; to poczt knezia Mszczuja, towarzyszący jego bratu przybywał na miejsce obrad, bo stojąc w pobliskim la-

sku, ujrzał, że coś się tu dzieje niezwykłego i przychodził w sam czas na pomoc Odyłonowi. Ten skinął ręką, orszak przybliżył się,

— Do gródka knezia Mszczuja! rozkazał kneź Odyłon. W mgnieniu oka podano mu konia, jak również obu zakonnikom, mały poczt oddalił się i znikł wkrótce w nocnych ciemniach.

Masław pozostał z dobytym mieczem, w pośrodku koła obradnego; dzika wściekłość pałała w jego oku. Tymczasem lud rozchodził się powoli i uroczyisko opustoszało zupełnie tylko starcy pozostali, siedząc na swych kamieniach.

Masław, obejrawszy się dokoła siebie rzucił się nagle z przekleństwem na ustach, wskoczył na konia i oddalił się pędem.

Noc ciemna zapadła nad uroczyiskiem, ogień wygasł a przy bladym świetle miesięcznym widać było tylko postacie kilku starców siwobrodych, którzy do ostatniej chwili nie chcieli opuścić swego stanowiska pragnąc zginąć, jako ostatni obrońcy bogów, których już wszyscy młodszy odstąpili.

XIX

Wieść o powrocie Bolesława rozchodziła się nie wiadomo jakimi drogami, przenikała wszędzie, w najdalsze zakątki kraju. Buntownicy słyszeli ją w każdym głosie natury, każde tchnienie wiatru zdawało się nieść okrzyk: „On powraca!” „Powraca!” szumiały jodły poważnie; powraca! powtarzały dęby w czasie letnich wieczorów, powraca, a z nim chmura wojowników, zbrojnych w miecze ze stali! Powraca zwycięski i straszny, a serca winowajców drżały, słuchając tego szeptu puszczy i wielka trwoga padła na nich.

Tak, gdy ryk lwa powtórzą echa pustyni, drży na odgłos ten człowiek, a zwierzę wszelki kryje się w zarośla, choć lew jeszcze daleko.

Tłumy, oblegające Łysą górę, coraz topniały; w chwili gdy dno znać przed wieczorem, że Dobrogost się zbliża z hucem zbrojnym na pomoc obleżonym, ani jednego z pogan nie było, ostatki bowiem rozproszyły się po puszczy na samą wieść o jego pochodzie.

Dobrogost usłyszał z ust Sławka o postępkach obu zakonników, lecz o losie ich dalszym niczego nie mógł się dowiedzieć. Obleżeni widzieli tylko z góry jak orszak zbrojny uprowadził ich z sobą i szczególnie żalowali brata Angelo, który potrafił obudzić dla siebie powszechnie przywiązanie.

— Zła sprawa, uruknął Dobrogost, szarpiąc brodę w zamysleniu. Król będzie guiewny, wiem o tem dobrze. Ale bies chyba poradziłby z tymi poganami.

Jego opóźnienie pochodziło ztąd, że wczoraj napotkał w puszczy zbrojny poczt knezia Mszczuja, z którym musiał stoczyć ciężką walkę; walka ta zakończyła się porażką ludzi knezia, chociaż Dobrogost utracił też niemało swoich. Natychmiast po przybyciu, nakazał przetrząść całą górę, wszystkie załomy skał i zarośla. Gdy przybyli na uroczyisko, zarzucone olbrzymimi głazami, natrafili na wielkie koło, ustawione z kamieni, na których siedziało nieruchomie kilku siwych starców.

Słońce zachodziło czerwono; od wschodu zrywał się wiatr burzliwy i pędził przed sobą gromadę chmur sinych, poszarpanych, o krwawych rąbkach; leciały one kędyś w dół, pozostawiając po drodze strzępki swej purpury. Wierchołki skał okolicznych okryły płomiennie odbłaski, podczas gdy krajobraz, rozciągający się u stóp góry, przyodziął się w płaszcz z mgły błękitnej.

Starcy siedzieli w kole głosów, milczący i poważni; a choć nie byli królami, ani kneziami, bił od nich taki majestat, że ludzie Dobrogosta cofnęli się mimowoli, przejęci trwogą i uszanowaniem. Jeden tylko z nich wyrwał się naprzód, wołając:

— Ojczy, wy tutaj? Był to Przemko.

Zbliżył się do ojca, mówiąc z naleganiem.

— No, ojcze, chodźcie; po co wam tu zostawać; król powraca; narobicie i sobie i mnie biedy. Wracajcie lepiej do naszego gródka!

— Nie, synu — odparł stary Zabój drżącym głosem, pozwól mi tu zginąć wraz z tem co miłowałem i czciłem. Jam już stary, niewiele mi się i tak należy; pozwól mi tu zginąć!

I czepiał się otaczających głazów rękami, drżącemi od starości, powtarzając: Pozwól, ach pozwól mi tu zginąć!

— Co to wam ojcze — rzekł Przemko — starając się odciągnąć starca, chcecie umrzeć, toć przecie możecie to zrobić po ludzku i po bożemu, w domu, wśród rodziny i bliskich, a nie tu w skałach, jak ów zwierz dziki. Trzeba przecież ojcze, byćcie się przed śmiercią wyrzekli tych pogańskich błędów; weźmiemy księdza, by odpędzić szatana, który was gnębi i nocami po puszczy wodzi.

— Nie! — zawołał stary Zabój — chcę umrzeć w wie-
rze, w jakiej żyli moi ojcowie!

— Ale przecież tej wiary niema już; jeszcze król Mieszko kazał potłuc bałwany; gdzież więc są ci bogowie? Nie-
ma ich i nie było, ta wiara była nieprawdziwą.

(d. c. n.)

O POPRAWNEM MÓWIENIU.

I.

Dobrze jest znać rzeczy cudze, ale swoje wiedzieć należy, powiedział niegdyś mędrzec. Dobrze jest rozumieć, a nawet mówić obcemi językami, gdyż w każdym z nich istnieje mnóstwo książek, z których można zaczerpnąć sporo przyjemności oraz nauczyć się wielu rzeczy, oprócz tego, zdarzyć się może potrzeba rozmówienia się z cudzoziemcem, który zna swój tylko język, albo też wypadnie potrzeba podróżować po obcych krajach, co dla nieznających języka miejscowego jest wielce uciążliwe. Najpewniejsze jednak i najusilniejsze starania winniśmy językowi własnemu, jako mowie ojczyściej, a według lepszego jeszcze wyrażenia, macierzystej gdyż pierwszych słów i samej sztuki mówienia każdy z nas uczy się od matki.

Malutkie dzieciątko mówić nie umie; dopiero słysząc mowę osób otaczających, a głównie matki, oraz powoli spostrzegając, do jakich rzeczy odnoszą się rozmaite wyrazy i co oznaczają, próbuje samo mówić przez naśladowanie, a że mówić można jedynie ze zrozumieniem, co chcemy wypowiedzieć myśleć zaś bez słów nie można, więc ucząc się i zaczynając mówić, dziecko zarazem uczy się i zaczyna myśleć i rozumieć, rozwija coraz bardziej tę zdolność i tym sposobem niepostrzeżenie i stopniowo nabywa pierwszych nasion wiedzy czyli nauki, które w późniejszych latach rozwijają się w piękne kwiaty i owoce. Stąd widać, jak ważny jest język macierzysty, gdyż on tylko jest, on tylko może być podstawą

myślenia, rozumu i nauki. Z jakąż więc pilnością starannością powinniśmy usiłować, aby mówić po polsku dobrze, to jest nietylko porządnie i do rzeczy, w każdym razie odpowiednio i stosownie do przedmiotu, o którym mówimy — to się nazywa mówić *rozsądnie* lub *rozumnie* — ale nadto mówić tak, jak mówią ludzie wykształceni, jak pisane są książki lepszych autorów, jak uczy nas gramatyka, która jest zbiorem wyciągniętych z żywego języka zasad oraz prawideł — i to się nazywa mówić poprawnie.

O takim, który doszedł do takiej umiejętności wyśłowienia, wyrażamy się z pochwałą, „mówi jak z książki.” Zwykle chodzi to w parze: kto mówi pięknie, ten mówi rozumnie. A kto mówi rozumnie, ten mówi pięknie, bo najczęściej ten, kto tak dobrze przyswoił sobie swą mowę, nie może być głupim, ani też człowiek prawdziwie rozumny nie może źle mówić po polsku, bo najpierwsze usiłowania zwraca do nauki języka macierzystego, a później dopiero bogaci swój rozum innymi naukami; albo też jedno i drugie czyni społecznie.

Język polski jest piękny, starożytny, to jest od wielu wieków istniejący, bogaty, to jest zdolny do wyrażenia wszelkich myśli, do wykładu wszystkich nauk.

Jak często widzieć można ludzi dorosłych, nawet starszych płci obojej, którzy nie umieją dobrze mówić po polsku: brak im potrzebnych wyrazów, jękają się, płaczą a nie mogąc na razie znaleźć odpowiedniego wyrażenia, uciekają się tymczasowo do różnych niepotrzebnych dodatków i śmiesznych przysłówi jak: *ten tego, panie, mości dobrodzieju* i t. p. popełniają przytem rażące błędy w formach wyrazów, w ich odmianach gramatycznych, w budowie, układzie i jasności zdań, o czem wszystkim może jeszcze później pomówimy obszerniej. Szczególniej ciężko im idzie, jak z kamienia, gdy wypadnie opowiedzieć dokładnie i zrozumiale o jakimś wydarzeniu lub powtórzyć porządnie treść przeczytanej książki, powieści lub artykułu, bo to najtrudniej i w tych właśnie wypadkach natychmiast zdradza się nieumiejętne władanie językiem macierzystym.

Niemniej porządne napisanie listu, chociaż to rzecz łatwiejsza, jako dająca więcej czasu do namysłu niż opowiadanie ustne, wymaga jednak znacznej umiejętności we władaniu językiem. Śmieją się też ludzie z takiej mowy i z nieporządnych a niepoprawnych listów, a chociaż wyśmiewać się z bliźnich, a zwłaszcza z osób starszych nie godzi, tym razem przecież jest zasłużone, jeżeli, jak to najczęściej bywa, ową nieumiejętność należy przypisać niedbalstwu i brakowi pilności w czasie nauki. A ileż to młodzieńców i panienek i chłopczyków musi wstydzić się i rumienić, gdy ktoś zażąda od nich opowiadania, lub napisania listu. Czują bowiem, że tego nie potrafią i tu wychodzi na jaw ich nieuctwo. Jak można uniknąć tego wstydu i śmieszności, podam wam niektóre skazówki w dalszych artykułkach.

L. W. Szczerbowicz.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zlr. 1 cent. 75 (3¹/₂ korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10.**

TREŚĆ: Pomnik Jana Sobieskiego (z ryc.) — Z dziejów cywilizacji przez Zofię Bukowiecką. — Floryan Zagowski (z portretem) — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej Ryby” przez H. C. (z ryc.) — Obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — O poprawnym mówieniu. — Dodatek: Wróblek, wiersz (z ryc.) — Grzebień i szczotki (z ryc.) — W wigilię Bożego Narodzenia. — Dług wdzięczności, przez Zofię Rudnicką. Dodatek książkowy: Wspomnienia Haliny, przez Julię Piasecką.

WIECZORY RODZINNE

Wróbelek.

Już nas wszystkie opuściły
Leśne ptaki i śpiewne,
Co nam latem tak nuciły
Swe piosenki rzewne,
Został tylko szary
Przyjaciół nasz stary,
Wróbelek.

Już dokoła pustka wielka
Wiatr jesienny huczy;
A wesolość milknie wszelka
Gdy nam deszcz dokuczy,
Lecz świergoli szary
Przyjaciół nasz stary
Wróbelek.

I choć przykro, chociaż chłodno
Jednak się nie żali,
Choć mu nawet nieraz głodno,
Zawsze jak ze stali,
Rażno skacze szary
Przyjaciół nasz stary
Wróbelek.

Bo nad obcych nieb lazury
Nad obce dostatki,
Kocha nasze ciemne chmury
Nasze skromne chatki,
Gdzie się rodził szary
Przyjaciół nasz stary
Wróbelek.

Więc pod ciepłą strzechą dajmy
Zawsze mu schronienie,
I gdy głodny pamiętajmy
Sypnąć pożywienie,
Boć to przecie szary
Przyjaciół nasz stary
Wróbelek.

M. D.



GRZEBIENIE I SZCZOTKI.

— Nienawidzę grzebienia! nie znoszę szczotki! —
wołała Stefcia, której splątane włosy, rozczesywała służą-
ca i w uniesieniu gniewu, wyrwała z rąk Marysi piękny,
szyldkretowy grzebień i rzuciła go na ziemię. Biedny
grzebień pękł na dwie połowy.

— Co mama na to powie? — odezwała się Marysia.
Stefcia wystraszyła się na widok wyrządzonej szko-
dy; żal jej było ślicznego grzebienia, większy żal jeszcze,
że mamę zmartwi swym gwałtownym postępkim. Po-
biegła też zaraz do niej, ze łzami w oczach rzuciła jej się
na szyję, przeproszała i przyrzekała, że nigdy już tak nie-
cierpliwą nie będzie.

Mama, widząc szczery żal Stefcia, przebaczyła
i rzekła:

— Sądzę, że gdy się dowiesz ile zrobienie tych
przedmiotów kosztują zachodu i pracy, więcej jeszcze
szanować je będziesz.

— Oh! dobrze mam! opowiedz mi, jak wyrabiają
grzebienie i szczotki.

— Oto trzeba ci wiedzieć, że grzebienie oddawna
są już znane, używały już ich kobiety w starożytnej
Grecyi, o której uczyłaś się w historii, a nawet Sparta-
nie, chociaż, jak wiesz, odznaczali się prostotą obyczajów
i surowo przestrzegali wszelkiego zbytku, długie włosy
swoje czesali starannie grzebieniem, nawet w chwili gdy
wybierali się na wojnę.

Pospolite grzebienie wyrabiane były z drzewa, ko-
sztowne z kości słoniowej. Obecnie najpiękniejsze grze-
bienie wyrabiają z szyldkretu, to jest ze skorupy żółwi,
których największe gatunki znajdują się na wybrzeżu
oceanu Indyjskiego. Za kosztowny to jednak materiał,
więc zastępują go ogólnie rogiem zwierzęcym, również
stosownym, jak szyldkret do wyrobu grzebieni, albo
jeszcze tańszą, lecz i gorszą masą drzewną.

— Jakże to robią te grzebienie rogowe? — pytała ciekawie Stefcia.

— Róg, którego najlepsze gatunki pochodzą od bawołów indyjskich lub wołów amerykańskich, krają w kawałki, następnie kładą je do pieca, a gdy zmiękną pod działaniem ciepła, wprawni w tę robotę chłopcy, rozcinają je stosownie do żądanej grubości. Tak przygotowane blaciki rogowe, kładą w prasę, suszą, poczem za pomocą naszynki wycinają zęby, wygładzają i zaokrągłają pilnikiem.

— A szczotki z czego robią? — dowiadywała się Stefcia.

— Wyrabiają je ze szczeciny, z włosia końskiego, lub z korzonków roślinnych; te ostatnie, służą do szorowania podłóg i stołów, robią je także z fiszbinu, sierści borsuków albo wielbłądów. Rozgatunkowywaniem, oddzielaniem czarnej sierści i włosia od białego, trudnią się najczęściej kobiety i dzieci, układają je w małe pęczki, umocowują następnie szpagatem lub drutem mosiężnym na deseczkach odpowiednio do tego zrobionych.

Po osadzeniu szczeciny, równa się ją przystrzygają nożyczkami, a na deseczki nakłada lub przykleja po wierzchu, drzewo pomalowane lub politurowane, kość łoniową, blachy metalowe i t. p. Dawniej piękne grzebienie i ozdobne szczotki sprowadzano z zagranicy, dziś u nas w Warszawie są fabryki tych przedmiotów, nie ustępujące w niczem francuskim, angielskim i niemieckim wyrobom. Widzisz więc Stefcio, ile robota najzwyczajniejszego nawet grzebienia lub szczotki, zachodu i trudu wymaga, każdy więc owoc pracy ludzkiej należy szanować i nie niszczyć lekkomyślnie.

— Prawda mamol! nie zastanawiałam się nad tem; od tej chwili postaram się każdą rzecz szanować i w porządku utrzymywać, a mamusia zawsze mi opowie w jaki sposób coś zrobione zostało.

P. Gr.

W wigilię Bożego Narodzenia.

Bajka czarodziejska.

(Dalszy ciąg)

Chłopczyk siedział sam i nie podzielał ogólnej radości; był dziwnie rozdrażniony, bo zdawało mu się ciągle, że na coś czeka i to na coś przykrego.

Już mrok zapadał, gdy znowu przybiegła Zosia, szepcząc:

— Wiem, co dostaniesz, ale ci nie powiem.

— Co takiego? — zapytał ciekawie chłopczyk.

— Zgadnij — rzekła z tajemniczą miną; — zaczyna się na *f*, a kończy się na *a*. A drugie, nie powiem.

— Skąd wiesz? — zapytał z ożywieniem Henryś, któremu się twarz rozjaśniła. *F*, *a*, to pewnie fuzyjka, prawdziwa fuzyjka, z której będzie można nawet zająca łabić. Drugie znowu, to może welocyped, albo narzędzia stolarskie, albo jaka ładna gra... a może będzie jeszcze trzecie i czwarte.

Dzieci zaczynają zgadywać co im gwiazdka przyniesie; Henryczek ożywia się, Zosia mówi coraz więcej.

Wtem zadźwięczały dzwonki u sanek, ktoś przyjechał.

Zosia wybiega i zdaleka oznajmia:

— Wiesz kto? Pan Bronicz, poszedł z ojcem do bawialnego pokoju.

Pod Henryczkiem nogi się ugięły. Pan Bronicz! Tego się nie spodziewał. Po co on przyjechał, czy przeczuł, że Henryczek sfalszuje stopnie?

Nie, to niemożliwe; ale znów bardzo możliwym jest, że w rozmowie ojciec wspomni o doskonałej cenzurze syna, że pan Bronicz okaże zdziwienie, że nastąpią wyjaśnienia, że pan Bronicz zobaczy dzienniczek, że potem Henryczka zawołają na dół i że... Chłopczyk zadrżał na myśl o karze, że kara będzie straszną, o tem nie wątpił. Ojciec wszystko raczejby przebaczył niż fałsz. Co to będzie, co to będzie?

Henryczek wyraźnie słyszy, jak ojciec z panem Broniczem przechodzą do jego pokoju, pewno idą po dzienniczek.

Pociemniało mu w oczach, był pewien, że za chwilę rozlegnie się głos:

— Henryku, chodź natychmiast! Możeby się schować. Ale gdzie? pod łóżko, czy do szafy? Znajdą go wszędzie. Rozejrzal się po pokoju, gdy nagle uczył silny przeciąg, pewnie się lufcik otworzył. Idzie do okna i podnosi rękę; wtem cofa się zdumiony. Pod oknem na stoliku siedzi maleńki człowieczek, otulony w płaszcz ze śniegu, z takimże śpiczastym kapturkiem na głowie, obwieszonym zamiast frendzli, maleńkimi sopolkami.

Karzelek trzyma w rękę gałązkę zielonej choiny. Lufcik jest otwarty i widać w nim całą gromadkę podobnych karzelków, niosących kolorowe świeczki, złożone orzechy, pierniki lub błyszczące kule. Ale na widok Henryczka cały pochód zatrzymał się nagle.

Chłopczyk przeciera oczy, sen czy jawa? Nie, nie sen, bo nawet stolik pod oknem pokrył się jakby obrusem, płatkami śniegu, które z płaszczy karzelków opadły.

— Skądżeście się tu wzięli? — zapytał wreszcie?

— My co rok o tej porze przychodzimy i ubieramy choinki — odparł najbliższy stojący.

— A gdzie mieszkacie?

— Daleko, ale zająć można, my tam zaraz wracamy, czybyś miał ochotę pójść z nami?

— O, jak najchętniej! — wykrzyknął chłopczyk, któremu ta myśl wydała się deską ratunku.

— Prosimy, zobaczysz jacy dobrzy z nas towarzysze.

Henryś prędko wdział futerko i ciepłą czapkę, wskoczył na krzesło, z krzesła na stół i po drabince, która stała za oknem, wy dostał się na dwór. Ciemno już było, ale wszędzie śnieg białął; na szafirowem niebie migotały gwiazdeczki.

Karzelki otoczyli go i żwawo biedz zaczęli.

Pola były puste, śnieg poprzysypywał zagony i bruzdy, gdy czasami który zapadał po pas albo po kapturki, drudzy go zaraz wyciągali z wesołym śmiechem.

Wkrótce Henryczek zobaczył z różnych stron gromady biegnących karzelków, którzy się z nimi łączyli.

Wreszcie zebrał się cały tłum maleńkich, białych ludzi. Nucąc kołędy, dobiegli do sosnowego lasku.

Henryczek podniósł głowę i wydał okrzyk zachwytu.

Las składał się z choinek nie wysokich, ale gęstych; na każdej choince jaśniały różnokolorowe świeczki, lśniły błyszczące kule, migwały żółte orzechy i pierniki. Chłopczyk zwykle cieszył się cały rok na drzewko wigilijne, a tu tych drzewek był cały las. A jakie piękne zabawki wisiały na gałązkach, jakie laleczki, pajace, koniki, piłki, fuzye, żołnierze, różne zwierzątka, gry, przysmaki, aż oczy bołą patrzeć!

Ale uwagę Henryczka zwróciło nowe dziwo: tu i owdzie, pod cieniem wyższych świerków i modrzewi lub wśród krzaków jałowcowych, stały małe, śliczne pałacyki ze śniegu i lodu. Były to szwajcarskie domki, chińskie pawiloniki, to średniowieczne zamki, które Henryczek widywał na obrazkach, gdyż wieżyczki i strzelnice, opasane murem z lodu i wałem ze śniegu, wznosiły się na ślicznych greckich kolumnach, niby maleńkie świątynie starożytne.

(d. c. n.)

DŁUG WDZIĘCZNOŚCI

przez

Zofię Rudnicką.

(Dokończenie).

— Pani! — zawołał, pochylając się do jej kolan — wiadomość, dobra wiadomość.

Ona powstała żywo. — Wiadomość?! co?! wiadomość o naszym biednym Janku? o mojem dziecku?! — postąpiła parę kroków, jak gdyby biedz chciała naprzeciw tej dobrej wiadomości, ale z nadmiaru wzruszenia, zachwiała się i o mało nie upadła. Wtem drzwi komnaty rozwarły się na oścież i Janek wpadł pędem, rzucając się matce do nóg.

— Matko! matko moja!

* * *

Tu już pióro moje słabnie i słów znaleźć nie może, na opisanie szczęścia tej chwili powitania! Stary dziadek ożywił się, jakby mu dziesięć lat życia ubyło. Hania głośnymi okrzykami wyrażała swoją radość, a cóż dopiero mówić o matce! Opowiadaniom końca nie było. Po tysięcznych uściskach, po wylanych łzach radości, wypytywano o najmniejsze szczegóły tego czasu rozłąki. Janek opowiadał, lecz tak umiał wszystko przedstawić, aby nie zakrwawiać bardzo serca matki, które chociaż szczęśliwe teraz, przecież bolało jeszcze przebytemi ciężkimi kolejami dziecka swego. Najwięcej rozwodził się Janek nad dobrocią Skalki, nad litością Zulejki, nad szlachetnością Tatarą, który mu ułatwił ucieczkę. Na prośby Janka, dziadek i matka postanowili bezzwłocznie posłać okup za Skalkę.

Tego pierwszego wieczoru zesłała się cała służba: wszyscy dworzanie starosty, napatrzeć się nie mogli swemu ukochanemu paniątku. Matka nie puszczała go od

swego boku na chwilę jedną, dziadek nie odwracał oczu od niego. W całym zamku panowało wesele, obchodzono jakby święto rodzinne. Gdy Janek opowiadał jak Zulejka pocieszała go, jak za jej przyczyną rozkuto go z kajdan, Hani zaszczyły oczy łzami wdzięczności i szepnęła nieśmiało, tuląc się do ramienia swej opiekunki.

— Kocham bardzo tę Zulejkę!

Janek teraz dopiero ocenił prawdziwą wartość domu rodzinnego, prawdziwą wartość jego ciepła, jakim ten dom nas otacza. Dawniej ani pomyślał o tem, jakie to szczęście spotykać się w każdej chwili z życzliwą twarzą, z serdecznym uśmiechem, a choćby tylko zasiąść z tymi, którzy nas kochają, do smacznej i czysto podanej wspólnej wieczerzy, spać na czystem i świeżem pościelaniu, przyjmować drobne usługi życzliwych domowników. Są to wszystko skarby, których często należycie oceniać nie umiemy, a które ogrzewają nas i rozświecają nam życie bez naszej pracy i zasługi, jak słońce rozgrzewa i oświeca świat cały. Jakież Janek był szczęśliwy, gdy nazajutrz, dawnym zwyczajem, po rannej, gorącej modlitwie, odmówionej przy boku matki, ubrany już w swoje własne suknie, pobiegł do dziadka na śniadanie, jakże ono smakowało obydwoim...

Obiegł potem wszystkie kąty zamku, podwórza, stajen, konia swego pieścił i karmił chlebem. Czuł z rozkoszą, że powróciło mu dawne życie! Po paru miesiącach, wydawało mu się wszystko co przeżył snem tylko.

Przy końcu września, tego samego roku, oznajmiono mu, iż jacyś ludzie obcy chcą się z nim widzieć, wybiegł w dziedziniec, a za nim wyszła i matka z Hanią.

Zastali przed drzwiami zamkowemi, rodzinę wieśniaczą, ojca, matkę i dwoje małych dzieci.

Janek z okrzykiem radości rzucił się na szyję wieśniakowi, ale ten zaledwie śmiał mu oddać uścisk, onieśmielony otoczeniem Janka i tem, że sam chłopiec ubrany inaczej, tak niepodobnym był do owego nieszczęśliwego chłopięcia-niewolnika, którego znał niegdyś.

— Matko — zawołał Janek — oto mój opiekun w ciężkich dniach mojej niewoli, to pocziwy Skalka! on mnie pocieszał, on krzepił, on przyjmował razy bata tureckiego, wymierzone na mnie!

— O panie, o czem to mówić — przerwał Skalka — wy to mnie wykupiliście z niewoli, powrócili tym biednym ptaszętom, które byłyby może i zmarniały bezemnie! Wy jesteście naszym wybawcą!

Radosna to była chwila dla Janka — i do końca życia nie wyszła mu z pamięci.

A zdaleka błyszczała jak srebrna wstęga, rzeka, zakuta w pęta lodowe i gładka jak tafla szklana.

ZAGADKA.

Ułożył Puszczczyk z P. dla L.

Literą w alfabecie *pierwsze* jest i będzie,
A *drugie* w wykrzykników znajduje się rzędzie.
Staw *pierwsze* wspan, dodaj naprzód *drugie*
Zobaczysz u stolarza, grube, krótkie, długie,
Kraje dawniej słowiańskie *wszystko* zrasza w biegu,
Albowiem do rzek większych liczy się szereg.

ZAGADKA LICZBOWA.

p. Słonia z Nubii.

W 16 przedziałkach rozłożyć 200 rubli tak, ażeby nie powtarzając liczb 5, 10, 15, 20 w jednym rzędzie, wypadła we wszystkich kierunkach liczba jednakowa.

NITECZKA ARYADNY.

Ułożyła Niezabudka.

l	wa	ścią	u	każ	lun	pio	
aż	bo	le	kry	w	się	dej	czy
e	bo	leść	pie	nia	wa	dy	kro
sz	go	cier	jest	wle	szezę	pli	sło
ez		roz	gie	dru	w	ście	ja
ā	ko	dru	ta	się	dno	je	kieś
szą	giem	spla	z	je	dno	ścią	tre

ROZWIĄZANIA DO N-ru 47.

Zagadki: Żabie oczko.

Łamigłówki sylabowej:

1) Kazuar. 2) Nicea. 3) Yarkand. 4) Skorpion. 5) Zielony. 6) Yavari. 7) Nikaragua.

K n y s z y n .

Łamigłówki kryształowej

W
G i l
S a n o k
D r a c e n a
K r ó l e w i e c
W i n c e n t y P o l
K o n s t a n t y
B a z y l e a
T a p i r
D o n
l

Skrzynka do listów.

Jeżeli Jadzia G. nie znalazła dotychczas swych łąmigłówek w „Wieczorach” oznacza to, że się nie nadawały do druku, co wszakże nie powinno ją zrażać do układania nowych, bo jak we wszystkim i tutaj wprawa najwięcej znaczy. Rozwiązanie zagadek dobre. Wierszykowi brak rytmu, t. j. równomierności głosek, które są tem w wierszowaniu, ażeby takt w muzyce.

Ucieszyła nas szczerze obietnica Stefcia B., że przyszła jej robótka konkursowa będzie jeszcze lepszą od tej, która w tym roku zasłużyła już na nagrodę. Nie powinniśmy bowiem nigdy w zdobyciu jakiegokolwiek umiejętności zadawać się posiadaną miernością, lecz dążyć wytrwale do wydoskonalenia się.

Za brakujący numer dodatku Marynia J. nic winną nie jest. Radość, jaką jej sprawia nagroda przyjemną nam jest wielce. Czy zrzęcznie narysowany monogramik na liście jest jej własną robotą?

Ażeby umieć pisać dobrze trzeba dłuższej wprawy, nie wątpimy też, że każdy następny twój liścik Jańciu P. będzie coraz ładniej napisany, tak abyś mogła w roku przyszłym odebrać nagrodę na konkursie kaligrafii, a niezawodnie będzie ci ona równie miłą jak obecna za uszycie koszulki.

Załużemy bardzo, że nie możemy zadowolnić życzenia Puszczyka z Pilawy, lecz adresu Słonia z Nubii nie znamy. Przystąpią łąmigłówek i zagadek przejrzymy.

Własnego układu łąmigłówek przysłali również: Ulan, Jutrzenka K., Czarny rycerz, Marylka, Tadzio W. i Giermek, dobre zaś rozwiązania E. F., Stefcia K., Smok, Orzeł, Anulka, Tenia W. i Stefcia K.

Wielką zrobiłaś mi przyjemność swym liścikiem Iskierko z Kijowa i cieszę się bardzo, że lubisz nasze „Wieczory.” Zmiana pseudonimu nic nie kosztuje, myślę więc, że zadowolona będziesz gdy nadesłane 20 kop. Redakcja przeznaczy dla ubogich sierot. Może znów kiedy napiszesz do mnie, tymczasem zasyłam tobie i twym braciszkom pozdrowienia.

Jakże długo kazałaś mi czekać na swój list Sarenko mądronka! Już myślałam, żeś o mnie całkiem zapomniiała, gdy z przyjemnością dowiaduję się, że to nauka i czytanie tak bardzo czas ci zajmują. Wesołe twe usposobienie jest cennym przymiotem, który ci zapewne niejedną umiła chwilę. Życząc ci z całego serca spełnienia pragnień w zdobyciu na przyszłym konkursie pierwszej nagrody, pozdrawiam szczerze. Rozwiązania dobre, rebusik złożyłam w Redakcyi.

Skoro masz tyle swobodnego czasu Polna Różo to proszę pisuj do mnie jaknajczęściej, bo nie tylko ty sama w tej zamianie myśli znajdujesz zadowolenie, równie miłą jest ona i dla mnie.

Witam cię Rumiane Jabłuszko w gronie mych korespondentów, i spodziewam się, że znów niezadługo upatrzysz wolną chwilę do pogawędki ze mną. Siostrzyczkę i braciszków twych pozdrawiam, życząc im, również jak tobie, powodzenia w naukach.

Najodpowiedniejszą dla twego wieku Zajęczku z Ukrainy, będzie zapewne historia powszechna Henryka Wernica w 3 tomach zajmująco i przystępnie opowiedziana, która jest do nabycia w najlepszych księgarniach w cenie 1 rub za każdy tom. Używana też jest his. pow: Zdanowicza w jednym tomie, cena rub. 1 kop. bez przesyłki pocztowej. Rozwiązanie dobre. Arytmograf złożyłam w redakcyi.

Czy zapomniiałaś już o mnie miła Stokrotko, że nie przesłałaś mi od tak dawna ani słówka wiadomości o sobie, a przecie jesteś zapisaną w liście stałych naszych korespondentek, z którymi zamiana myśli jest mi zawsze pożądaną i miłą.

Cieszę się bardzo, kochana Kurko z Polesia obietnicą odwiedzenia naszej Redakcyi, gdyż może szczęśliwym wypadkiem i ja tam wówczas będę to się osobiście poznamy; tymczasem pisuj jaknajczęściej do przyjaznej ci

Jaskółki.



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

ZOFIA BUKOWIECKA.

Z dziejów cywilizacji.

(Dokończenie).

— Daktylowe pieniądze, doskonała rzecz! — woła Janek — z pomocą daktyli można rachować równie dobrze, jak z pomocą kopiejek.

— Rachować, tylko nie schować — mruknął z nieukontentowaniem Michaś.

I Michaś miał znów rację, bo wór daktyli przechować trudno, prędko się one psują, a co robić ze zgniętymi pieniędzmi? Nabyto więc nowe doświadczenie, że pieniądz musi być łatwo podzielnym, nie psującym się i niezniszczalnym, a jednocześnie chętnie przez wszystkich przyjmowanym.

— Sól ma te przymioty! — zawołał uradowany swem odkryciem Janek.

— Prawda, sól ma te wszystkie przymioty, ale mój Janku, pomyśl, ile trzebaby przywieść soli do sklepu, aby zapłacić nią zegarek, który mama kupiła wczoraj?

Janek zmieszał się, jednak projekt jego był dość trafny, czego dowodem, że w Afryce, w królestwie Dahomeju, sól dziś jeszcze zastępuje w handlu miejsce pieniędzy.

Użycie soli jako towaru trzeciego, oznacza już wielki postęp w pojęciach ludów o mierniku wartości. Widzieliśmy, że brano go najprzód ze świata zwierzęcego, potem ze świata roślinnego, sól dawała początek użyciu minerałów. Ale sól nie odpowiada jeszcze wszystkim warunkom, jakie mieć powinien dobry pieniądz, raz dla tego, że się rozpusza na wilgoci, powtóre dla tego,

że ma małą wartość w stosunku do swojej objętości, potrzebie, że nie wszędzie jest równie dobra, to jest równie czysta.

Dobry pieniądz powinien posiadać pięć przymiotów, a wszystkie te przymioty mają właśnie dwa drogie metale, złoto i srebro.

1) Złoto i srebro nie rdzewieją jak żelazo i mają piękny połysk, więc podobają się ludziom.

2) Złoto i srebro są prawie niezniszczalne; ogień może stopić dukaty lub talary, ale wartość metali pozostaje taż sama.

3) Złoto i srebro są wszędzie jednakowego gatunku i dobroci. Ruda żelazna polska jest gorszą od szkockiej, ale złoto kalifornijskie nie różni się niczem od złota wydobytego w Australii lub w górach Uralu.

4) Złoto i srebro można łatwo przewozić z miejsca na miejsce, bo żaden towar niema tak wielkiej wartości stosunkowo do swej objętości.

5) Złoto i srebro można dzielić na drobne kawałki, a każdy okruch będzie miał odpowiednią wartość do swojej wagi.

Z WIDOKÓW WARSZAWY.



Plac zamkowy w końcu XVIII wieku.

— Czemuż więc ludzie odrazu nie użyli złota na towar trzeci, przecież każdy zrozumie, że tak jest najlepiej — zapytał Janek. — Mój Boże! Gdybyż to ludzie odrazu trafili na najlepszy pomysł, ale trzeba setek, a czasem tysięcy lat, zanim człowiek odkryje rzecz bardzo prostą. Toż miliony ludzi gotowało wodę i widziało jak para ucieka z garnka, jak rozsadza zamknięte szczelnie naczynie, a dopiero Stefenson spostrzegł, że w parze jest siła, która może popychać wagony i statki. Kto wie ile takich sił, takich prostych, łatwych na pozór odkryć otacza was, dotyka, trąca, jakby wołało: No domyśl się! zga-

dnij! ogłoś światu coś nowego! a wy się nie domyślcie, nie odgadujecie, nie ogłaszacie, bo jeszcze nie przyszedł czas. Trzeba prosić Boga o wielką miłość do prawdy, pracy i wiedzy; trzeba serca, głowy i rąk nie szczędzić, a może ktoś z was wzbogaci świat nowem nieznanem dobrodziejstwem, jak Stefenson wzbogacił go zastosowaniem pary.

Ale wróćmy tymczasem do złota i pieniędzy.

Wiemy już, że trzeba je robić z metali, że najodpowiedniejszymi metalami są złoto i srebro. Używają jednak dotąd i pieniądze miedzianych, a w dawnej Sparcie, jak i dziś w niektórych krajach Afryki, używano żelaznych. Za miernik wartości powszechnie jednak uznanem już zostało złoto i srebro. Nie myślcie przecież aby monety złote i srebrne miały odrazu ten kształt i wygląd, jaki obecnie nadają pieniądзом. O wcale nie! Starożytnie sztuki złota i srebra, które służyły za pośrednika przy wymianie towarów, były istotnie sztukami, to jest kawałkami metali. Nie zaokrąglano ich jak dziś, nie wybijano stempla z oznaczeniem wartości, były to niekształtne odłamki złota, które z czasem przybrały formę kwadratu lub trójkąta.

— Ależ w takim razie bardzo łatwo oszukiwali się ludzie na wartości pieniędzy — zauważył Michaś.

— Spozrzenie twoje, chłopcze, jest zupełnie słuszne, jednak przez wiele wieków Asyryjczycy i Chaldejczycy w ten sposób prowadzili niezmiernie rozległy handel, a jeszcze w obecnej chwili Chińczycy zamiast oznaczonych stemplom pieniędzy używają do wypłat cienkich sztab złota, które w miarę potrzeby tną na kawałki, ważąc na wadze ilość metalu, według żądania.

Historja monet jest bardzo ciekawą, bo na ich stemplach przechowały się nie tylko wizerunki królów i bohaterów starożytności, ale także szczegóły dotyczące dawnych strojów, sztuki wojennej, rzemiosł i t. p.

W muzeach, to jest w zbiorach naukowych, których niestety mało mamy w Warszawie, można widzieć pieniądze bite na kilka wieków przed narodzeniem Chrystusa Pana. Najstarsze pochodzą z Argos w Grecyi, i z Lydii w Azji Mniejszej. Sławny bogactwy Krezus, król Lydii kładł na monetach stemple, wyobrażający głowę wołu i lwa, monety te były wypukłe, podłużne, stemplowane z jednej tylko strony. W Grecyi kwitła sztuka bicia pieniędzy, jak kwitły wszystkie inne sztuki piękne. Monety greckie są też bardzo ozdobne i noszą na stemplu różne znaki. I tak: pieniądze z Egiptu stemplowano żółwiem, Beockie tarczą, w Efezie pszczołą, a Rodyjskie różą. Łóżniej znaczone monety wizerunkami bożków. Najpiękniejsze jednak są z czasów Filipa Macedońskiego; on też pierwszy kazał na monetach kłaść swój wizerunek. Prawdziwie użytecznym stał się pieniądz wtedy dopiero, kiedy nosić zaczął wyraźny znak swej wartości, ale takie pieniądze dużo późniejszych sięgają czasów.

We Francyi za Karola Wielkiego bito monety, z których każda ważyła funt. i nazywano je też fantem (la livre). Taki sam był początek funta szterlinga angielskiego.

— Pieniądz waży funt! ależ to niewygodna do noszenia moneta — zawołał Józio.

— Masz słusność, więc też z czasem, chociaż nazwa została ta sama, zmniejszono wartość i objętość pieniądza. Funt francuski, który był w obiegu aż do końca XVIII-go wieku, a który dziś zowią frankiem, waży tylko 5 gramów, zaś funt angielski posiada wartość i wagę 25 razy większą.

— A kiedy u nas zaczęto bić pieniądze, czy znano je już za Piastów? — zapytał Michaś.

— U nas, kochany Michasiu, bito już pieniądze za Piastów, tylko nie posiadamy muzeów, to jest zbiorów przechowujących ciekawe przedmioty, gdzieby publiczność numizmaty, czyli stare monety, oglądać mogła. Są jednak ludzie uczeni, którzy je gromadzą częściowo, zbiór taki widzieć można w Wilanowie, oraz u wielu prywatnych osób.

Z czasów Piastowskich dużo nawet mamy numizmatów, sięgają one panowania Mieczysława I-go, a na monetach bitych pod rządami jego syna Bolesława Chrobrego, wyraźnie już czytać można Boleslaus dux, czyli Bolesław książę, były

bowiem bite przed koronacją Chrobrego. Ciekawe są pieniądze z czasów Bolesława Krzywoustego, przedstawiają one trzy figurki za stołem siedzące, które mają wyobrażać trzech synów królewskich, Bolesława, Mieczysława i Kazimierza.

Monety z czasów Kazimierza Wielkiego, stemplowane są orłem, noszą zaś napis, Dei gratia Rex Poloniae, co znaczy: Z Bożej łaski król polski.

Sztuka mennicza, to jest sztuka bicia monet, rozkwitła w Polsce za czasów Zygmunta I-go. Bito wtenczas monety w Krakowie, Wilnie, Gdańsku, Toruniu i Elblągu. Odtąd też, to jest od roku 1504, zaczęto na monetach wybijać ich datę, zwłaszcza na dukatach, które czerwonemi złotem zwaną, a które były bardzo piękne. Pod panowaniem Wazów sztuka mennicza w koronie upadła. Najudatniejszych monet dostarczał Gdańsk i Elbląg. Dopiero Stanisław August sprowadził do Warszawy z Prus niejakiego Gartenberga, który szlachectwo polskie otrzymawszy, Sadogórkim się przezwiał i został generalnym administratorem mennicy warszawskiej, mieszczącej się na ulicy Bielańskiej, a bił pieniądze wiewrotnego stempla.

Zmęczycie się może długiem mojem opowiadaniem, ale za to teraz pewno nie jeden z was spojrzawszy na pieniądz, pomyśli z wdzięcznością o ludziach, którzy się przyczynili do stopniowego udoskonalenia monety, a że ludzie ci oddali nam wielkie usługi, przekonamy się zaraz.

Dziś dzień gorący, widzę z jaką ochotą Janek zjadłby soczystą gruszkę. Niestety, nie mam ogrodu, przy mojem mieszkaniu nie rosną drzewa, poradzimy jednak na to. Wiesz Janku, wczoraj właśnie odniesiono mi pieniądze za mój towar, weź ich część i wymień na gruszki.

Janek natychmiast wykonał polecenie.

Ale bo też wymiana była bardzo łatwą. Na monecie napisana jej wartość, przekupka sprzedająca owoce zważyła gruszki i Janek wrócił szybko ze swoją torebką.

Podczas gdy on zajada gruszki, ja myślę, co się też stało z moim towarem. Janek wymienił go na owoce, sklepikarka użyje może tych pieniędzy, żeby opłacić naprawę trzewików, szewc kupi skóry, garbarz z kolei nabędzie za te same pieniądze książkę, księgarz zapłaci niemi dorożkarzowi i tak dalej, dalej, dalej wędrować będzie mały srebrny pieniążek, pośrednicząc wciąż w zamianie, służąc może całe wieki, bo przypominam wam, że złoto i srebro są prawie niezniszczalne, że piękny dukat, który pokazuję Michasiowi, wybity był może z okrucia złotej misy, należącej niegdyś do Sardanapala.

Nawet poważny Michaś uśmiecha się na to przypuszczenie, a jednak nic w nim niema niemożliwego. Wszakże wciąż odkopują, zwłaszcza na Wschodzie złote przedmioty, które w części przynajmniej przekuwają na monety; wszakże w czasie wojen przekuwano tak naczynia ze starych skarbców, wszakże Regina Żółkiewska, żeby ratować męża pod Cecorą, wszystkie swe kosztowności i srebra stopiła na pieniądze.

Kto wie jaką jest historia sztuki złota, otrzymanej za nasz towar? W każdym razie winniśmy jej wdzięczność, bo ona to pośrednicząc między ludźmi w wymianie bogactw po części sprawiła to, że ubogi robotnik może spożywać i używać produktu i wyroby dalekich krajów. Wełna jego sukien pochodzi najczęściej z Ameryki lub Australii, ryż, który jada, — z Azji, kawę przywieziono z Antyllów a naftę z Kaukazu. Łatwość, z jaką te towary rozchodzą się pomiędzy nami, zawdzięczamy prócz środkom komunikacyjnym, także pośrednictwu pieniędzy...

Nie pieniądz jednak jest bogactwem, pamiętajmy o tem, a że zacząłem to opowiadanie od historii króla Midasa, więc pozwólcie bym je zakończył historją innego króla, który wam Frygijskiego monarchę przypomniał.

W dziesiątym wieku przed nar. Chrystusa Pana, panował w Izraelu król Salomon, a imię to znaczy „człowiek pokoju.” Bo też kochał on pokój i pragnął szczęścia dla swego ludu, a że był pobożny, więc błagał Boga o łaskę potrzebną dobremu monarsze. Raz, kiedy spoczywał po pracach dnia,

ukazał mu się we śnie Pan i pozwolił zanieść do siebie prośbę, przyobiecawszy w miłosierdziu swem, że jej łaskawie wysłucha raczy. Ocknął się Salomon i padł na twarz, dziękując Bogu w pokornej modlitwie za usłyszaną obietnicę, a czując znikomość sił ludzkich, błagał Pana o dar mądrości, tak potrzebny dla każdego człowieka, tem więcej zaś dla monarchy.

I wysłuchał Bóg pokornej prośby wiernego sługi, dał Salomonowi mądrość prawdziwą, która złemu zapobiegnie, dobre pomnoży, jest mądrością roztropną, sprawiedliwą, a potrafi być w potrzebie wstrzeмиęliwą i mężną.

O ten najdosłojniejszy dar, jaki człowiek od Stwórcy otrzymać może, o mądrość, i nam modlić się trzeba, a wtedy dobrze spełnimy służbę swą na świecie, gdzie tyle rzeczy was otacza. Bogactwa zdobyte po dziś dzień przez ludzkość są jeszcze bardzo małe w stosunku do milionów istot żyjących i żądających zaspokojenia swych potrzeb. Gdyby cały majątek świata podzielili równo między ludzi, wszyscy byłiby nędzarcami. Ale można do nieskończoności pomnażać bogactwa, odkrywając nowe skarby. Do niedawna metal aluminium, leżał ukryty w ziemi i nie domyślał się nikt jego istnienia, a dziś wyroby aluminiowe stanowią cenny nabytek. Na 140,000 znanych w botanice roślin, zaledwie 300 jest w uprawie i oddaje nam usługi. Kto wie jakie tkaniny lub jakie pierwiastki pożywne kryją się w innych?

Szukajcie młodzi przyjaciele, może uda się któremu z czytelników „Wieczorów” obdarzyć świat nowem bogactwem.



W OBŁOKACH I POD WODĄ

WYPRAWY „LATAJĄCEJ RYBY.”

opisał H. C.

(Ciąg dalszy).

Pospieszono na ratunek Mildmay'owi; szczęściem profesor, obok innych wiadomości, posiadał niejaką znajomość medycyny i chirurgii; zajął się więc zaraz opatrunkiem. Rany nie okazały się niebezpiecznymi, porucznik miał tylko złamane żebro i był mocno potłuczony. Trochę wódki własnej w zaciśniętej usta, powróciło mu przytomność, ale w skutek dotkliwego bólu, nie mógł poruszyć się z miejsca.

Umyślono tedy zostawić go pod strażą dwóch towarzyszy, mogących w razie potrzeby bronić go od napaści zwierząt, trzeci zaś miał udać się na statek i sprowadzić go o ile można szybko bliżej do miejsca wypadku, aby łatwiejsze było przeniesienie chorego na łóżko.

Karliński, ułożywszy porucznika o ile było można najwygodniej, ofiarował się iść po „Latającą Rybę,” tłumacząc, że jego pomoc w obronie od zwierząt nie będzie tak skuteczną, a za to postara się okręt sprowadzić jaknajprędzej. Jakoż dotrzymał słowa; w pół godziny później statek w odległości kilkunastu jardów przybił do brzegu i chorego z wielką ostrożnością przeniesiono do kajuty.

Po południem śniadaniu, baronet z pułkownikiem poszli na odszukanie zabitej zwierzyny i powrócili przed wieczorem obciążeni łupami, z tuzinem upolowanych ptaków w dodatku. Podczas ich nieobecności profesor zajęty był pielęgnowaniem rannego towarzysza i oprawianiem jednego z zabitych mamutów; tę ostatnią robotę, z pomocą kolegów zdążył przed wieczorem ukończyć; kości oczyszczone i umiejętnie złożone, dawały dokładne pojęcie o całej budowie zwierzęcia, odrzucone zaś mięso wraz z inemi ubitemi sztukami, zostawiono na żer wilkom, które gromadziły się licznie w pobliżu. Dla uniknięcia przykrych wyziewów, podróżni płynąc wzdłuż brzegów, posunęli statek o milę dalej.

Dzięki troskliwej opiece profesora Mildmay prędko odzyskiwał zdrowie; uspokojeni z tej strony pułkownik i baronet postanowili doprowadzić do skutku wyprawę, nad którą naradzali się od trzech dni, chcieli mianowicie puścić się w głąb łądu wyobrażając sobie, że nie dalej jak o sześć mil od wybrzeża natrafiają na punkt osi bieguny północnego. Przypuszczali, że wycieczka ta nie zabierze im więcej nad sześć dni. Mogli wprawdzie wygodniej odbyć ją na statku, ale profesor zajęty był właśnie wyprawianiem skóry mamuta, którą suszył na wybrzeżu i nie spuszczał jej na chwilę z oczu, nie wypadało zatem ruszać „Ryby” z miejsca. Myśliwi nadto nie sądzili, aby wycieczka piesza w tych stronach zbyt uciążliwą dla nich być miała; mogli co najwięcej spędzić kilka nocy pod gołym niebem, co raczej stanowiło przyjemność dla zahartowanych myśliwych.

Poczyniwszy tedy odpowiednie przygotowania, dwaj Anglicy z rana po śniadaniu wyruszyli w drogę, pożegnawszy się z Mildmay'em, który próbował już podnieść się z łóżka i z profesorem zadowolonym, że mu nie będą przerywali roboty.

Tym razem podróżni nie zabrali z sobą dużych zapasów, wiedząc, że okolica obfituje w zwierzynę, i że ją na zwołanie mieć mogą, wzięli z sobą tylko trochę biszkoptów i dwie butelki wódki. Ponieważ pogoda sprzyjała im od chwili wylądowania na ziemię Elfinstona, zaopatrzyli się tylko w wierzchnie nieprzemakalne płaszczki, a reszta rynsztunku składała się z dubeltówek, ładownic, noży myśliwskich i skórzanej torebki, w której oprócz wspomnianej żywności znajdował się tytuń i zapalki.

Droga spadzista zrazu, prowadziła dalej przez rozległą równinę, zakończoną łańcuchem wzgórz. Uwagę podróżnych zwróciło zaraz dziwne zjawisko: z poza owych pagórków unosiła się w powietrzu para, chwilami tak lekka, że przez nią jak przez przezroczystą gazę dojrzeć było można ciągnący się dalej krajobraz, to znowu tak gęsta jak ciemna chmura, o którą promienie słoneczne odbijały się oślepiającym blaskiem. To zgęszczenie pary następowało w równych, dwudziestominutowych przerwach czasu, zjawisko kończyło się ukazaniem świetlanej, siedmiobarwnej tęczy. Peryodyczne powtarzanie się podnoszenia i opadania oparów, oraz wywołana przez nie gra światła pobudziły w najwyższym stopniu ciekawość podróżnych; przyspieszyli kroku, aby zbadać tego przyczynę.

W miarę jak posuwali się naprzód, wzgórz zacieśniały coraz więcej dolinę, grunt stawał się kamienisty; niebawem stanęli u wejścia wąwozu, ujętego z dwóch stron stromymi ścianami skał; pokryte one były mchem, kępami traw gdzieś niedziedzie i pojedynczemi drzewami sosnowemi, rosnącemi w rozpadlinach. Tu i owdzie skubały nędzną trawę woły pizmowe, szukając pożywienia na wyniosłościach, gdzie trudno było pojąć, którędy mogły się tam dostać i jak stamtąd zejść potrafią.

W miarę jak podróżni zapuszczali się w głąb wąwozu, przejście stawało się coraz uciążliwsze; drogę zawałowały bryły kamienne takiej wielkości, że po nich z mozołem piąć się było potrzeba. Nie zrażeni trudami, wytrwale szli naprzód, mając nadzieję, że przebyte zapory zbliżą ich do zamierzonego celu. W taki sposób doszli do ciasnego przesmyku zawałonego olbrzymią skałą. Powietrze było tam chłodne i wilgotne, w szarawym zmroku, jaki zalegał dokoła na odległość kilkunastu kroków, nic nie było można widzieć.

Zmordowani podróżni z niezadowolaniem spojrzeli na siebie. Czyż rezultat ich uciążliwej wyprawy, nie miał być osiągnięty? Między zaporą skalną, a ścianą wąwozu, znajdowała się szczelina tak wąska, że człowiek z trudnością mógł się przez nią przecisnąć; Anglicy jednak postanowili z niej skorzystać i tym otworem przedostali się na drugą stronę wąwozu dla zaspokojenia ciekawości swojej. Baronet przesunął się pierwszy, a okrzyk zdumienia jego pociągnął za nim wprędce pułkownika.

Znaleźli się w ciasnej rozpadlinie między dwiema ścianami. Założyły jednej odpowiadały załomom drugiej, co



Pomnik Jędrzeja Śniadeckiego (str. 398).

świadczyć się zdawało, że w odległej epoce rozpadlina ta wytworzyć się musiała przez jakieś gwałtowne wstrząśnienie. Sklepienie owej pieczary tworzyły piętrzące się jedna nad drugą bryły kamienne, a przedsiębiorczych podróżników mimowoli dreszcz przejmował na myśl, co by się z nimi stało, gdyby najmniejsza z tych brył osunęła się nagle i pociągnęła za sobą zawalenie się skalnego sklepienia. Instynktownym ruchem w tył się cofnęli, ale potem zaraz jakby wstydząc się tego, postąpili kilka kroków dalej. W głębi rozpadliny ujrzeni mały otwór, jakby wejście do jaskini; po krótkiej naradzie postanowili przekonać się, co ta jaskinia zawierać mogła.

Mieli w ręku grube sosnowe gałęzie, któremi podpierali się przy mozolnem wchodzeniu na skały, a które, oderwane od pnia, burzą zapewne zamiesione były w czeluście wąwozu. Te gałęzie umyślili użyć w potrzebie za pochodnie.

Drzewo smolne, zrazu trudne do rozpalenia, zajęło się niebawem płomieniem i przy świetle owych pochodni odważni ludzie weszli w głąb jaskini.

XIII.

U bieguna północnego.

Zrazu przejście tak było niskie, że baronet i pułkownik zmuszeni byli czołgać się na rękach

i nogach; dopiero po przebyciu jakich stu łokci, mogli stanąć obok siebie, chociaż zawsze wysokość jaskini tak była nierówną, że czasami musieli się posuwać pochyleni, czasami znów światło ich pochodni nie osiągało sklepienia.

Mimo to szli odważnie przez całą godzinę po ostrym, kamienistym gruncie, gdy ujrzeni słaby blask dzienny, przedzierający się przez jedną z bocznych szczelin skały. Skierowali kroki w tę stronę i niebawem znaleźli się na otwartem powietrzu.

Przy wyjściu z jaskini śliczny widok przedstawił się ich oczom: piaszczyste wybrzeże ciągnęło się ponad kotłina, mającą około mili obwodu, brzegi jej tworzyły skały pochodzenia wulkanicznego, w głębi zaś jaśniała tafła czystego, jak kryształ jeziora, lekkie opary unoszące się w górę, niby delikatna gaza, przysłaniały kontury dalszego krajobrazu, nadając mu czarodziejski jakiś urok.

— Woda ta jest ciepłą — zawołał sir Reginald, zanurzwszy rękę w jeziorze i zacerpnąwszy dłonią trochę owej wody dla przekonania się o jej smaku.

Pułkownik naśladowując przyjaciela, mógł stwierdzić, że woda nie tylko ciepłą ale gorącą była. Zastanawiali się nad przyczyną podniesionej temperatury w jeziorze, gdy naraz pośrodku jego zauważyli niezwykły ruch wody. W pierwszej chwili występować zaczęły małe bąbelki na jej powierzchni, potem zaczęła się bałwanić i pieniać, a po minucie w obwodzie kilkudziesięciu metrów, gotowała się jak w kotle. Niespodzianie strumień jeden trysnął w górę i zanim zdumieni podróżni mogli zdać sobie sprawę z tego zjawiska, słup wody do dwustu stóp wysoki, wzbil się w powietrze, świecąc blaskiem łamiących się w nim promieni słonecznych, potem zaraz opadł w głąb jeziora, rozpryskując się o skały nadbrzeżne i zostawiając za sobą obłok białawej pary.

— Geiser! — zawołał baronet zachwycony tym widokiem — geiser przewyższający wspaniałością i wielkością największe geisery w Islandyi.

— Prawda — odparł pułkownik — wielki geiser islandzki, który tak mnie zachwycał, w porównaniu z tym!... — Dołożył zdania wymowniejszym od słów poruszeniem ramion.

— Musimy tu sprowadzić profesora — dodał po chwili — dla uczczenia zaś zasług rozumnego i zacnego człowieka, geiser ten nazwijmy „geiserem Karlińskiego,” wszak dobrze brzmi ta nazwa?

Sir Reginald przystał chętnie na żądanie towarzysza i obaj puścili się w dalszą drogę, idąc wzdłuż wybrzeży skalistych.

Z WIDOKÓW WARSZAWY.



Widok Krakowskiego Przedmieścia w końcu XVIII wieku.

— Teraz pojmuję to peryodyczne ukazywanie się obłoków pary dziś rano — rzekł baronet — zjawisko to niewątpliwie z geiseru tego pochodziło.

Dla dłuższego nacieszenia się widokiem osobliwych wodotrysków, podróżni w pobliżu ich zasiedli do śniadania, a posiliwszy się i wypczawszy nieco, pociągnęli dalej. Niebawem doszli do miejsca, gdzie wody jeziora miały ujście swoje; wypływający z nich strumień w następstwie peryodycznych wybuchów geisera, zamieniał się chwilowo w bystry, dziesięć stóp szeroki i cztery stopy głęboki potok, wracając wkrótce do

dyamentów! Patrz tylko — dodał, pokazując towarzyszowi skryształizowany kamień wielkości gołębiego jaja — wszak to dyament najczystszej wody!

Baronet krytycznym okiem przyglądał się chwilę drogocennemu kamieniowi, a oddając go, rzekł obojętnym tonem:

— Nie znam się na wartości dyamentów; w każdym razie jeśli się nie mylisz i natrafiłeś w istocie na ich pokłady, to ci można powinszować.

— Czyż mnie tylko można winszować? — zagadnął pułkownik — cóż to znaczy? Należy winszować nam wszystkim

Z WIDOKÓW WARSZAWY.



WIDOK BIELAŃSKIEJ ULICY W XVIII WIEKU

zwykłych rozmiarów swoich. W odległości dwóch mil ku północy podróżni natrafili na kamieniste tego strumienia łożysko; woda pracą długich wieków wyłobila w nim wąwóz kilkanaście stóp głęboki, o ścianach skalnych, tworzących stroną pochyłość. Przy promieniach słońca, które padały na jedną z tych skał, baronet zauważył błyszczące kryształki wśród kamiennych brył i spostrzeżenia swego udzielił pułkownikowi; ten przyskoczył szybko do wskazanego miejsca, przyklęknął na zwrzże, potem zaraz zerwał się na nogi a wywijając nad głową świecą bryłką, zawołał z radosnem uniesieniem:

— Wiwat! Elfinston, wygrana nasza, oto mamy źródło bogactw nieprzebranych, natrafiliśmy na napływowe pokłady

zarówno; każdy nabytek i wynalazek w ciągu podróży zrobiony, staje się przecież wspólną naszą własnością. Nie mam nadto wąpliwości co do rzeczywistej wartości tych kamieni; nauczyłem się poznawać i oceniać dyamenty w kopalniach w południowej Afryce. Tu znajduje ich się tak wielka obfitość — dodał, podnosząc z ziemi kilka kryształów — że jedna godzina pracy każdego z nas obdarzy majątkiem.

W takim razie na rachunek waszych zysków, rękę do dzieła przyłożę; osobiście jestem dość zamożnym, iżbym szukał jeszcze korzyści dla siebie, nie wezmę ani jednego z tych cennych kamyków, póki wy nie będziecie w nie dostatecznie zaopatrzeni — oświadczył baronet.

Pomnik Jędrzeja Śniadeckiego.

Przed dwoma tygodniami poświęcony został przez J. Eks. biskupa Ruskiewicza w kościele PP. Wizytek w Warszawie pomnik znakomitego uczonego Jędrzeja Śniadeckiego. Pomnik ten umieszczony w środkowym filarze kościoła po prawej stronie, jest dziełem znanego rzeźbiarza, Piusa Welońskiego, a wzniesiony został staraniem Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności w wykonaniu pośmiertnej woli byłego ucznia Śniadeckiego, doktora Orzechowskiego z Nowogródka, który cały swój znaczny majątek, zapisał Towarzystwu pod warunkiem wzniesienia pomnika Śniadeckiemu. Już z tego wnosić można, jakimi zaletami odznaczał się uczony profesor, skoro tak wdzięcznych i czczących jego pamięć wychował uczni.

W numerze 52 m Wieczorów z roku zeszłego, podaliśmy życiorys i szkic działalności Jędrzeja Śniadeckiego, przypominamy więc tylko pokrótce, że obaj Śniadeccy: Jan, astronom i filozof i Jędrzej przyrodnik i lekarz (ur. 1768 † 1838 r.) byli profesorami uniwersytetu wileńskiego. Najznakomitszym dziełem Jędrzeja, które mu wszechświatową zapewniło sławę, była „Teorya jestestw organicznych.”

Marya Łopuszańska.

OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg)

Przemko mówił tak jak się mówi do dziecka upartego, by go przekonać, lecz stary wciąż powtarzał:

— Nie chcę, nie chcę! Jesse, Żywie, Kupała, to moje bogi, to bogi ojców moich, innych nie znam!

Dobrogost sam zawahał się co czynić, ujrawszy pięciu tych białych starców, bo z kimże, tu było wojować? Wszystko jedno stawać do walki z martwymi, powstały mi z grobu. Ale pomyślał sobie, że król gniewałby się bardzo, gdyby się dowiedział, że nie zburzono miejsca gdzie się zgromadzali poganie. Przetrzęsając skały, znaleziono tam niewielką pieczarę, zakrytą krzakami, a w niej znajdował się wysoki bałwan z krzemienia wyobrażający bożka Świst-Pośwista. Dobrogost rozkazał zapalić pochodnie; oświetlono pieczarę, oraz poczerniały posąg bożka, który spoglądał na przybywających swemi wielkimi, nieruchomymi oczyma.

— Przynieść tu topory! — krzyknął Dobrogost, a obruciwszy się do starców, rzekł: No, siwobrodzi ojcowie; nic wam złego nie zrobimy, ale rozjedźcie się, bo mamy tutaj robotę.

Milczenie mu odpowiedziało; pięciu starców nie ruszyło się z miejsca:

— Jak chcecie, odrzekł Dobrogost, uprzedziłem was, a jeśli pragniecie zostać, zostawajcie. Hej, chłopcy, do dzieła, porąbać mi tego bałwana kamiennego, niechaj ludu nie bałamuci, a te wszystkie kamienie zburzyć także trzeba! Wtedy jeden z upartych starców podniósł się z twarzą uroczystą:

— Więc tak? — zawołał — burzycie to ostatnie schronienie, gdzieśmy cześć oddawali starym bogom? Więc już i starce bezsilni wam stoją na zawadzie, bo oni pamiętają gdy młodzi zapomnieli, o wszystkim, co niegdyś było przedmiotem czci ich ojców?

Jeśli tak, to niema już dla nas miejsca na tym białym świecie, i nie, prócz śmierci, nam nie pozostaje! Puśćcie nas, zostawimy wam wolne miejsce!

I z podniesioną głową przeszedł pomiędzy ludzmi Dobrogosta, którzy się przed nim rozstępowali, jak przed marą.

Przeszedł i stanął na krawędzi skały; pod nogami jego była przepaść na której widok w głowie się zawracało. Sińjące wierzchołki drzew kołysały się tam w dole, powleczone cieniotką, zastłona mgły wieczornej; wyciągnął ręce nad głębią; przez chwilę jeszcze obecni widzieli jego postać wznoszącą się ponad oteblanią i siwe włosy, rozwiane przez wiatr; wszyscy zamknęli oczy z przerażeniem... Gdy je otwarli, starca już nie było... Reszta jego towarzyszy, jeden po drugim podnosili się z kamieni, a przechodząc pomiędzy tłumem, oniemiałym ze zgrozy, stawali nad przepaścią i znikali.

Przemko rzucił się, by ojca powstrzymać; lecz stary Zabój ukląkł, a objawwszy rękami kamień ofiarny, zawołał rozkazująco:

— Nie dotykaj mię, nie dotykaj!

Padł twarzą na kamień ofiarny; Przemko poskoczył by podnieść, lecz stary Zabój już nie żył, poszedł do swoich bogów.

Dobrogost kazał zburzyć dokoła wszystkie zabytki pogaństwa, i słońce dnia następnego oglądało już tylko szczątki pozostałe po owem zniszczeniu.

* * *

Nazajutrz wieczorem Masław jechał doliną Prądnika w stronę Krakowa. Sam jeszcze nie wiedział, gdzie się ma udać; wszystkie jego zamiary i nadzieje upadły; budowa, stawiana tak starannie, z takim wysiłkiem woli i zastanowienia, runęła mu na głowę.

Od swoich zaufanych dowiedział się o pochodzie Dobrogosta na górę Łysą, i wiedział, że już wszystko skończone; ponury wzrok utopił w zachodzącym słońcu, które widziało jego porażkę.

— I cóż można zrobić z nikczemnymi tehórzami, którzy na samą pogłoskę o powrocie Bolesława, uciekają jak stado płochliwych owiec? mówił do siebie. Daremnie walczyłem z przeznaczeniem, albo raczej ze słabością i niedołęstwem; jedno ramię nie potrafi podtrzymać całej budowy. Ale jeśli padnę, to niech padają ze mną i wrogi moje; wilcze plenię musi zginąć, bo nie chcę, by cieszyło się moim upadkiem. Jeśli prawdę mówił Rokitka, że oni mi stanęli na drodze do potęgi, to nie ujdzie im to bezkarnie. Znajdę ja sposób, by doszły do króla zdradzieckie knowania knezia Mszczuja, a wówczas ostatnia jego chwila nastąpi. Dziś jeszcze, dodał po chwili namysłu, tak, dziś jeszcze poszlę Wyrwidęba do wojewody Bożydara, który, jak słyszałem, poprzeda hufce królewskie, dowie się odeń, że syn jego znajduje się uwięziony wraz z obu księżmi w gródkiem knezia, niech zburzy to gniazdo rozbójnicze. Ja zaś będę miał dość czasu ukryć się w bezpiecznym miejscu, zanim królewskie wojska przyjdą tutaj.

O bogowie — dodał z gniewem — obiecywaliście mi potęgę, władzę nad tłumami, i gdzieś ona? Wszystko rozwiało się, wszystko znikło, jak mgła poranna, jak dym!

W chwili, gdy słów owych domawiał, usłyszał za sobą znany mu śmiech szyderycy, tym razem jeszcze głośniejszy niż zazwyczaj.

Obejrzał się, z poza skały wysunęła się mała, niekształtna postać i stanęła nad drogą.

— Ty, przekłety! — zawołał Masław gwałtownie. Dla czegoż obiecywałeś mi powodzenie, kiedyś wiedział, że niebawem ma upaść wszystko? Zapłacisz mi za to!

Głośny wybuch śmiechu odpowiedział mu.

— Masławie — wyrzekł karzeł w końcu — po co się gniewasz? Po co napadasz na mnie? Alboż wiesz, jakie twe przyszłe losy? Alboż wiesz co ci jeszcze czeka? O nie narzekaj! wszystko co ci przepowiedziałem jest prawdą, wszystko; wyuienie, potęga, panowanie, i koniec także. Wszak mówilem, wysoko pójdziesz, i teraz to powtarzam.

Ton jego stał się coraz bardziej szyderskim, wybuch śmiechu, jeszcze głośniejszy, jeszcze podobniejszy do zgrzytu żelaza, zakończył jego mowę. Nim Masław się spostrzegł, już postać Karła znikła wśród głązów, tylko długo jeszcze śmiech jego rozlegał się między skałami lecz coraz się oddalał aż wreszcie ścichł zupełnie.

Masław pozostał sam. Przed nim leżała samotna, cicha dolina Prądnika w czerwonych blaskach zachodu, i tylko szum wody po kamieniach przerywał głębokie, zalegające ją milczenie.

Wspiął konia i jechał dalej przed siebie, tam gdzie purpurowa luna roztaczała się na niebiosach. Od wschodu wiatr się zrywał i pędził gromady chmur fioletowych, poszarpanych, z czerwonymi rąbkami.

Odtąd nie słyszano już nic o Masławie; głuche tylko wieści chodziły, że uciekł do Czech przed gniewem Bolesława, nie słyszano o nim aż pokąd nie wystąpił znów, ale dopiero po śmierci tego króla.

Kroniki wspominają jego imię, obok imienia Bezbrajma który również po zgonie ojca, rozpoczął wojnę z bratem i zastruł mu życie, podczas gdy Masław ukazując się w czasach burzliwych i pełnych klęsk, jak szatan zniszczenia, siał dokoła siebie mord i spustoszenie, by nacieszywszy się chwilową potęgą zginąć potem z rąk własnych stronników, którzy powiesili go, przemawiając: „Wysokość mierzył, wysoko wisisz!”

XX

Kneź Mszczuj, od kiedy się pokłócił z Masławem, działał na własną rękę, lecz i jemu nie wiodło się; pomimo to, przed nikim nie zwierał się ze swymi zamiarami i niepowodzeniami, naradzając się tylko niekiedy potajemnie z Ziemkiem, jednym ze swych starych, zaufanych sług. Nawet syn nie wiedział kędy wysyłano owe poczty zbrojne, oraz owych gońców, którzy codzień niemal wyprawiani byli w różne strony. Drahomir dziwił się też niemało, że ojciec do niczego go nie używał, ani sam nie rusza się z gródka. Lżejby mu było, gdyby się mógł rzucić w walki i niebezpieczeństwa, niż teraz, gdy tak czekał bezczynnie. Już raz też napomykał o tem ojcu, lecz ten rzekł, patrząc nań dziwnie:

— Poczekaj, dość jeszcze będzie czasu na to.

Nie wiadano jednak w gródku o powrocie króla, aż kneź Odylon, przybywający z góry Łysej ze swymi więźniami, przyniósł tę niepokojącą wiadomość. Nie można było poznać na kamiennej twarzy knezia Mszczuja, jakie wrażenie zrobiła nań owa wiadomość, stał się tylko jeszcze surowszym dla otaczających, tak, że drżeli, gdy wzrok jego spoczął na którym.

Obaj zakonnicy przybyli już późnym wieczorem do gródka, ale nazajutrz rano brat Angelo, spojrzawszy w okno na rozciągającą się u stóp jego dolinę — rzekł w zamyśleniu, jak gdyby coś sobie przypominał:

— Jakie to dziwne, wiem dobrze, że nigdy w życiu nie byłem tu, a jednak dolina ta wydaje mi się znaną... Miałem chyba w czasie podróży naszej widzieć podobną...

I zamyslił się, chcąc sobie przypomnieć, gdzie mógł widzieć podobną okolicę.

Ludzie w gródku z podziwem spoglądali na zakonników, gdy bez trwogi stanęli przed kneziem Wilkiem i spokojnie znieśli jego wzrok groźny siejący postrach dokoła.

Nawet Drahomir był tem niezmiernie zdziwiony:

— Wiesz, ci księża mi się podobają, mówił do Ładona. To dzielni ludzie; nie przelekli się wzroku mego ojca, przed którym, jak wiadomo, drżą najodważniejsi, a nawet mnie samemu czasem znieść go trudno.

Tydzień upłynął od czasu, jak dwaj zakonnicy przybyli do gniazda dzikich sokołów; w gródku już obyto się z nimi, i oni poczęli też myśleć nad tem usilnie, by zasiał tu ziarna

ęczyźni byli zanadto zajęci innymi sprawami, aby

można było znaleźć do nich przystęp, ale pozostawały niewiasty, na które nikt teraz nie zwracał uwagi.

Nie spotkali też żadnych trudności w tym względzie i zamiary ich powiodły się zupełnie; biedne, wiecznie zamknięte niewiasty z zapalem przejęły się odrazu, zasadami wiary, która dawała im pociechę w ich ciężkim życiu. Szczególnie Ziezila, której czuła dusza oddawna tęskniła za czemś podnioslejszem i łagodniejszem, z uniesieniem chłonęła niemal w siebie nauki, otrzymywane z ust O. Augustyna i odżyła teraz, jak odżywa roślina, na którą spadnie deszcz wiosenny.

Ładon jeden był przypuszczanym do owej tajemnicy, pewnego dnia ojciec Augustyn przyszedł do niego, mówiąc.

— Sądzę, że nie odmówicie nam rycerzu małej usługi, zwłaszcza, że przyczynicie się tem do świętej sprawy i będziecie mieli zasługę u Boga.

— O cóż idzie, ojcze? — spytał Ładon. Jam zawsze gotów wam służyć.

— Oto nie znamy jeszcze tak dobrze tutejszej mowy, aby mózł obszerniej wyłożyć zasady wiary naszej świętej owym niewiastom nowonawróconym; pomóżcie nam w tem, rycerzu, a będziemy wam wdzięczni...

— Wiercie mi ojcze, że z radością spełnię wasze życzenie — rzekł Ładon — rad bowiem jestem, iż choć w małej części przyczynię się do spełnienia tak świętego dzieła...

— Bardzo to są chwalebne chęci — rzekł żywo starszek — odrazu też poznałem po was, że jesteście prawym, statecznym rycerzem, któremu zaufać można.

— Ładon uśmiechnął się lekko na te słowa.

— A jeśli byście się omylili ojcze w waszych przewidywaniach, to cóżby było?

O. Augustyn popatrzył z uwagą w oblicze młodego rycerza, technące otwartością i szczerością i rzekł, kręcąc głową.

— A, nie, nie; ja znam się na ludziach, i nigdy się nie mylę, bądźcie o to spokojni; sześćdziesiąt lat patrzę na ten świat boży. A co jeszcze dodam, że ludzie u was szczer się jać, niż gdzie indziej i łatwiej na ich twarzy wyczytać co myślą, a serca mają, gorące, choć niebo wasze zimne. Powiedźcie też mi, czy u was tu zawsze słońce nie nie grzeje? Brat Angelo, jako młody, łatwiej jakoś przywyka do tego kraju, ale mnie wciąż zimno.

A wszakże dziś dzień upalny — rzekł Ładon — i nasi ludzie narzekają na gorąco. Ale gdybym nie słyszał tego od was, nigdybym nie uwierzył, że brat Angelo na włoskiej ziemi się urodził, bo tam u was wszyscy ludzie czarnowłosi i ogorzali, że pamiętam, zrazu przywykną do tego nie mogłem...

— Więc znacie Italię naszą? zawołał starszek z radośnym zdziwieniem.

— Znam, i nie dziwuję się, że jej nie możecie zapamiętać, sam bowiem dotąd ją wspominam.

Poczem poszli obaj na stronę zamieszkiwaną przez kobiety. Ładon, od czasu jak się znajdował w gródku, bardzo mało widywał którąkolwiek z nich, bo zwykle się kryły za ukazaniem się jego, zarówno Ziezila, jak jej służebne.

Gdy wszedł do świetlicy, poprzedzony przez O. Augustyna, zastał je tam wszystkie zgromadzone dokoła młodej księżniczki, która oblana rumieńcem, z opuszczonymi oczami jako gołąbka trwożliwa, stała, czekając ich zbliżenia.

— Moja córko — rzekł O. Augustyn — oto ten rycerz, jako lepiej od nas znający mowę waszą, dopomoże nam w obszerniejszem wyłożeniu zasad wiary świętej, której pierwsze pojęcia jużście posiadły.

Ziezila odrzekła cichym, drżącym głosem, niepodnosząc oczu:

— Niech będzie jako chcecie, ojcze.

Ładon więc pozostał, aby pomagać O. Augustynowi w wykładaniu zasad wiary, których wszystkie niewiasty, a osobliwie Ziezila, słuchały z uwagą i przejęciem.

W końcu nawet Ziezila ośmieliła się podnieść oczy na mówiącego Ładona i zadawać niektóre pytania dotyczące

nieznanych jej przedmiotów religii chrześcijańskiej, z gorącym też zapalem przyjmowała wszelkie nauki O. Augustyna, wylewając łzy żalu przy opowiadaniu o męce Jezusa Chrystusa.

Jednego dnia Drahomir wszedł niespodzianie do świątynicy i spostrzegł, że Ziezila coś spiesznie ukryła na pierśsiach; był to krzyżyk, dany jej przez O. Augustyna; byłby jednak nie zwrócił uwagi, będąc zajętem czem innym, lecz ona zbliżyła się sama i rzekła drżącym głosem:

— Przed tobą, bracie, nie chcę mieć nic skrytego; choćbym miała na gniew twój się narazić, wyznam wszystko: Oto wyszedłam się bogów dawnych, jestem chrześcijanką.

— Co? Co ty mówisz szalona? zawołał Drahomir.

— Mówię prawdę — rzekła Ziezilia z większą śmiałością. — Oddawna już chciałam ci to wyznać, bo ciężko mi było rzecz taką przed tobą ukrywać.

— Idź mi z oczu, szalona dziewczko — zawołał Drahomir w najwyższym gniewie. Ty, ty mogłaś to zrobić? I nie bałaś się gniewu ojca, który mógłby cię zabić, gdyby o tem wiedział? A ci księża! Zapłacą mi za to!

— Nie mów tak bracie! — zawołała Ziezilia. — To prawdziwi święci, z nieba zesłani na to, aby wlać spokój i pociechę w moje biedne serce. Dziękuję Bogu, że ich tu przywiódł.

— Jak widzę, opętali cię zupełnie — rzekł Drahomir, patrząc na nią tym razem bardziej z politowaniem niż z gniewem. Co za dziw? Powinienem się być domyśleć, że muszą oni mieć sposoby zastawiania siedeł na łatwowieczne dusze. Wiadomo, że u niewiast włosy długie, a rozum krótki. Staraj że się teraz by ojciec o niczem nie wiedział, bo wtedy za nic nie ręczę. A z tymi krukami ja sam pogadam. I poszedł do Ładona.

— Co się stało? — spytał Ładon — ujrawszy wchodzącego Drahomira, i spostrzegłszy, że jest wzburzonym.

— Co się stało? — odparł młody kneź. Oto dowiedziałem się, że te czarne kruki, wśliznąwszy się tu chytrze, obalamucili mi siostrę, by odstąpiła dawnej wiary a ty, zamiast jako druh, uprzedzić o zdradzie, milczeniem to pokrywałś, a może i dopomagałeś.

— Bracie — rzekł Ładon, kładąc mu rękę na ramieniu — uspokój się. Wyznam, że dopomagałem w tem, o ile było w mej mocy, lecz nie uważam to za zdradę przyjaźni, ani złą odpłatę za gościnność, i ty sam, gdy rozważysz w spokoju, przyznasz mi słuszność.

— Nie rozumiem takich różnic — odparł Drahomir.

— Bo w tej chwili jesteś zbyt wzburzonym, by mię słuchać spokojnie — rzekł Ładon. — Ale powiedz: czy ty sam nie trzymasz się dawnej wiary tylko dla tego, że taki obyczaj w twoim rodzie? Cokolwiekbyś rzekł, jestem pewny, że nie możesz wierzyć naprawdę w owych bogów, którzy nigdy nie istnieli, a byli wymyśleni tylko przez ciemnotę i zabobon? Ty wiesz o tem tak dobrze jak ja; nadto wiele masz rozumu, byś mógł sądzić inaczej.

— Może i tak — rzekł Drahomir pośpiesznie, ale wolał-

byś nie mówić mi o tem, gdyż ja dotąd sam sobie tego nie śmiałem powiedzieć. Oddawna myśli podobne wciskały mi się do głowy, ale starałem się je odpędzać, boć przecie człowiek musi w coś wierzyć.

A choćby i prawda była po twej stronie, czyż dziewczki mają, sądzić o tem? One powinny słuchać, co starsi od nich mężowie postanowią a rządzić się swoim rozumem nie ich to rzecz, bo tylko sobie zgubę zgotować mogą.

— Tym razem jednak one trafiły prędzej na drogę prawdy, niż ty, mąż — odrzekł Ładon. Teraz dopiero rozumem dla czego wasze niewiasty takie smutne i nieszczęśliwie się zdają. Od kiedy tu jestem, jeszcze ani razu nie słyszałem, by śpiewały. I ja mam dwie siostry w domu, lecz one są szczęśliwe; cały dzień słysząc ich śpiew wesóły, rozlegający się po domu. Nie chciałbym nigdy ich czem zasmucić, bo nie mogę patrzeć na łzy niewiast, one odbierają odwagę. I szczerze ci mówię, że wolałbym stokroć mieć przed sobą dwudziesięciu wrogów, zakutych w stal, niż jedną płaczącą niewiastę. Pozwoliłbym raczej, by rządziły w obrębie domu, boć to ich rzecz, a za nic nie chciałbym widzieć dokoła siebie twarzy płaczących i zalęknionych, jak tu u was widzę...

— To chyba wy Polanie, pozwalacie, by wam niewiasty rozporządzały się w domu, u nas tego niema — odrzekł Drahomir. — Nie mówię ja, żeby je gnębić i gdybym był panem w domu, nigdyby tego nie było, bo żadnego słabego stworzenia uciskać nie lubię, ale dać im wolność, to jedno, co szalonemu włożyć miecz do ręki, same by sobie jeno złego narobiły i nic więcej.

— Nasza zaś wiara uczy szanować niewiastę, odparł Ładon, każdy z nas przecie miał matkę, i przez pamięć dla niej powinien bronić inne niewiasty od krzywdy. Każdy rycerz przysięga, że przez całe życie będzie bronił słabych i uciśnionych; bywają tacy co tego nie dotrzymują, ale też ściągają na siebie wieczną hańbę. Nie wiem jak tam gdzieindziej, ale za moich towarzyszy, którzy wszyscy byli pasowanymi na rycerzy przez króla lub cesarza Ottona, mogę ręczyć jak za siebie, że się nigdy podobną rzeczą nie splamą, a jeśliby nawet który tego się dopuścił, to natychmiast sami usunęlibyśmy go z pomiędzy siebie na zawsze. Nie chcemy bowiem, by Niemcy nazywali nas barbarzyńcami i wynosili się po nad nas, jak to dotąd czynili. Dlatego też gdyśmy chodzili z cesarzem Ottonem do Włoch, daliśmy sobie słowo, że w niczem nie przekroczymy obowiązków prawego rycerza...

— Widzę ja dobrze, że ty w innym żyłeś świecie — odrzekł Drahomir z westchnieniem, w którym przebiegało się zniechęcenie głębokie; u nas nawet nie usłyszysz nic podobnego. Ta dolina i ten gródek ot, wszystko, co widzimy i znamy. A jednak, czuję dobrze, że nie byłem stworzony do podobnego życia, i nieraz cięży mi ono jak kamień!

(d. c. n.)

Sprostowanie. W N-rze 49 na str. 385, wiersz 7 od góry, mylnie wydrukowano r. 1583, powinno być 1683.

Przypominamy o wczesnem ODNOWIENIU PRENUMERATY na 1899 rok dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zlr. 1 cent. 75 (3½ korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10.**

WZGLĘD: Z dziejów cywilizacji przez Zofię Bukowiecką (z ryc.) — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej Ryby” przez H. C. — Pomnik Jędrzeja Śniadeckiego (z ryc.) — obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — Dodatek: W wigilię Bożego Narodzenia. — Grzeczny Bryś, wiersz przez I. M. — Gry i zabawy, przedstawienie przysłówia. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Wspomnienia Haliny, przez Julię Piasecką.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Варшава 23 Ноября 1898 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.



p. J. Osęka.

W wigilię Bożego Narodzenia.

Bajka czarodziejska.

(Dalszy ciąg)

Henryczek zachwycony i oczarowany, nie mógł nacieszyć się widokiem tych wszystkich dziwów.

— Jakże tu pięknie! jak ślicznie! — wołał.

W tej chwili nie myślał już o rodzicach, o panu Broniczu, o nieszczęśliwym dzienniczku, widział tylko śliczne pałacyki i zachwycające drzewka.

— Jeśli ci się u nas podoba — zawołał jeden z karczalków, to zostań z nami, zobaczysz jak tu przyjemnie; na naszych choinkach niczego nie brakuje. Ja nazywam się Sopelek, mam obszerny dom, pomieścisz się ze mną. Dobrze?

— Dobrze! dobrze — zawołał ucieszony Henryczek.

Sopelek zaprowadził go z sobą do domku zbudowanego w guście szwajcarskim. Przez lodowe okna widać było las choinkowy i różnokolorowe światełka, słychać było śpiewy i śmiechy. Henryczek usnął na puchowem pościeli, marząc o czarach i dziwach, jakie widział, pełen radości, że się dostał do tej uroczej krainy.

II.

Państwo Śniegoludków.

— Wstawaj Henryczku, już słońce jasno świeci, urządzamy dziś wspaniałe polowanie — wołał Sopelek, dzwoniąc nad nim kapturkiem.

Chłopczyk zerwał się zwałwo i włożył śliczne białe ubranko, podbite futerkiem, które mu Sopelek podał.

Wyszli na dwór; gromadki Śniegoludków uwijały się wszędzie, a pod wysokim świerkiem stało już liczne grono myśliwych.

— Ładny dzień — mówił Sopelek — mamy dojechać na łyżwach do modrzewiowego lasu, tam będzie polowanie; umiesz się ślizgać?

— Umieć — odparł Henryczek, któremu oczy błyszczały z radości — i strzelać także potrafię.

— To bardzo dobrze. Wybierz więc sobie jakie chcesz łyżwy i fuzyę, z tych które wiszą na choinkach, wybór masz nie mały. Radzi ci bardzo jesteśmy, a osobliwie ja od razu cię polubiłem. Wróć zaraz na śniadanie pod ten świerk. Chciałbym, żeby ci u nas przyjemnie było.

— Jakżeby mogło być inaczej — odparł serdecznie chłopczyk, ujęty uprzejmością Śniegoludka, — nie wiem czem zasłużyłem na taką dobroć z waszej strony.

— Podobałeś się nam wszystkim, ale wybierz sobie broń, poczekamy chwilę.

— Jaki on miły! — myślał uradowany chłopczyk, biegnąc do choinek.

Wybór był rzeczywiście trudny, jedna broń ładniejsza od drugiej, w końcu na niewielkiej choince spostrzegł fuzyjkę tak prześliczną, że wydał okrzyk zachwyty. Kolba była z kości słoniowej nasadzana złotem, a lufy srebrne; obok wisiał pas lity i torba myśliwska.

— Jeśli mi pozwolą wziąć tę fuzyjkę, już mi nie będzie brakowało do szczęścia w tej uroczej krainie — wykrzyknął chłopczyk głośno. Nagle usłyszał przyciszony, drwiący śmiech, i z pod choinki wysunęła się staruszka otulona jakąś czerwoną płachtą, wspięła się po drabinie na drzewko, odwiązała fuzyjkę razem z przyborymi i podała Henryczkowi, mówiąc:

— Oto masz, chłopczyku, coś chciał, teraz ci już niczego w tej czarownej krainie do szczęścia brakować nie powinno.

Ten śmiech szyderyczy zadziwił Henryczka; spojrzął uważniej, staruszka miała szare o łagodnym spojrzeniu oczy, a usta jej, które się już śmiać przestały, przybrały wyraz smutku i pogardy; w głosie jej brzmiało współczucie gdy spytała:

— Czy cię Śniegoludki dawno schwytały?

— Wcale mnie nikt nie chwycił — odparł coraz więcej zdziwiony Henryczek; — zaprosili mnie, jestem od wczoraj i niewypowiedzianie rad, że się tutaj dostałem.

— Tak? ja znowu byłąbym niewypowiedzianie ra-

ly, gdybym się stąd wydostać mogła, ale to inna rzecz... No, sam się niedługo przekonasz, tymczasem bądź zdrow.

Znikła wśród gęstwiny, a chłopczyk zdziwiony i trochę zaniepokojony, wrócił do swoich towarzyszy.

Myśliwi siedząc na pieńkach spożywali wesoło ciepłe śniadanie, półmiski dymiącego bigosu obnoszono w koło, Sopelek i duży karzeł Szronek byli gospodarzami.

Henryczek zabrał się z apetytem do jedzenia, gdy nadszedł jeszcze jeden karzełek, którego powitano głośniejszymi okrzykami.

— Dawnośmy cię nie widzieli, Gradochmurze — zawołał Sopelek — co się z tobą działo? Błady jesteś, czy potkała cię jaka zła przygoda?

— Witam was towarzysze — odpowiedział wesoło Gradochmur — W istocie, spotkała mnie przygoda. Ale złą jej nie nazywam.

I na prośbę wszystkich opowiadać zaczął.

— Jak wiecie, oddalić się musiałem dla ważnych spraw w daleką krainę. Spieszyłem o ile możności, gdyż niebezpieczno mi było do was, ale okoliczności zatrzymywały mnie. Zwolniwszy się wreszcie, mimo złej pory, puściłem się w drogę. Gdym wjechał w gęsty las noc już nadeszła i zerwał się silny wiatr, a śnieg zaczął zasypywać drogę tak, że niebawem zbłądziliśmy.

Wysiadłem z sanek aby szukać śladu, gdy nagle wśród wycia wichru usłyszałem przeciągły jęk; zwróciłem się w tę stronę i ujrzałem ogromnego wilka, który wyprzedzając mnie o kilkanaście kroków, biegł prosto na jakąś nieruchomą, drobną postać. Miałem przy sobie cutą łaskę i kordelas myśliwski; widząc, że niema czasu do stracenia, zacząłem biec i zrównawszy się z wilkiem w chwili, gdy miał się rzucić na swoją ofiarę, zręcznym ruchem wbiłem mu nóż między łopatki.

Wśród słuchaczy dał się słyszeć szmer uznania; Henryczek patrzył na mówcę z prawdziwym uwielbieniem.

— Zbliżyłem się do wylękłego, zbłąkanego chłopczyzny — ciągnął dalej Gradochmur — uspokoilem go, odziałem swoim futrem, widząc że drży z zimna i zaczęliśmy iść razem. Nagle wśród gałęzi zaiskrzyły się ślepiaki wilczy, która z przeraźliwym wyciem rzuciła się na zabite przezemnie zwierzę.

— Uciekajmy — jęknął chłopiec.

— Puściłem go przodem, aby miał czas skierować się do moich sanek, a woźnica wzięwszy go za mnie, popędził konie i wkrótce zniknęli mi z oczu. Biedne dziecko, widocznie ze wzruszenia, nie pomyślało nawet o mnie...

— A to czarna niewdzięczność! — zawołało kilka głosów.

— Nie biorę mu tego za złe — odparł pobłaźliwie Gradochmur — cóż on winien, jeśli nad strachem zapanować nie umiał? Mając przy sobie broń, zdołałem pokonać wilczycę, przyczem wszakże zostałem skaleczony. — To mówiąc Śniegoludek pokazał szeroką bliznę na ręku. Przez cały dzień błąkałem się po lesie, dopiero na noc trafiłem do wioski, gdzie odpocząłem trochę.

— Towarzysze — wykrzyknął Szronek — wnoszę zdrowie Gradochmura, w którym nie wiemy co więcej podziwiać, szlachetność i skromność, czy też siłę i odwagę!

— Śniegoludki odpowiedziały głośniejszym okrzykiem. Wtórował im szczerze Henryczek. Gradochmur wydał się mu istnym bohaterem, takim jak ci, o których czytał w swoich ulubionych książkach. On sam jednak zmieszany pochwałami, dziękował upewniając z prostotą, że nie dokonał niczego nadzwyczajnego.

— Jaki on szlachetny! — myślał Henryczek, a głośniejszo dodał: — Sopolku, czy nie mógłbym na stanowisku zająć miejsce obok niego? Ale może taki bohater nie zechce...

— Widzisz przecie, że nie jest wcale zarozumiały — odrzekł Sopelek — sądzę też, że z chęcią zgodzisz się na to.

Gradochmur rzeczywiście okazał się gotowym towarzyszyć Henrysowi, którego mu przedstawiono. Część myśliwych wioząc broń udała się do modrzewiowego lasu, reszta mająca dojechać tam na łyżwach, zwróciła się ku rzece. Rzeka była szeroka i gładka, jak tafla szkła.

— Będziemy się ścigali — objaśniał Henryczka stojący obok niego Sopelek — ruszymy skoro zatrąbię; meta jest ten modrzew, ot tam daleko. Kto pierwszy dojedzie, otrzyma w nagrodę order Białego Niedźwiedzia, do którego są przywiązane różne przywileje. Gdyby to mnie się udało...

Henryczek zapragnął tego samego dla siebie; ślizgał się doskonale, nad kolegami zawsze brał górę. Jakież uznanie zyskałby tu od razu, gdyby dobiegł pierwszy! Wśród ustawionych szeregów Śniegoludków, widać twarze rozgorączkowane oczekiwaniem sygnału. Co za przyjemność byłaby zwyciężyć wszystkich... Wreszcie słyhać trąbkę, towarzystwo puszcza się pędem naprzód.

Henryczkowi zdaje się, że łyżwy same go niosą. Wkrótce wysuwa się naprzód kilku najdzielniejszych łyżwiarzy, ale liczba ich stopniowo maleje, tak, że w końcu pędzi ich tylko trzech: Szronek, Sopelek i Henryczek; lecz i Sopelek zostaje w tyle, a Henryczek widzi już o kilkanaście kroków ów modrzew, do którego dążą i przy którym stoi cały tłum Śniegoludków, oklaskami i okrzykami zachęcający do szybszego biegu. Mimo, że czuł już zmęczenie, rzuca się z wielkim wysiłkiem naprzód. Wtem, łyżwa zahacza się mu o jakiś twardy przedmiot, on traci równowagę i pada.

Po chwili rozlegają się okrzyki zwiastujące zwycięstwo Szronka, a tymczasem Sopelek i inni łyżwiarze podnoszą Henryczka. Skroń ma zakrwawioną, czuje się zmieszany i upokorzony.

— Potknąłem się o coś — tłumaczy, powstając z trudnością.

— Gdzie? o co? — pytają karzełki — musiały ci się chyba łyżwy wykręcić, przecież lód dziś jeszcze był obmieciony.

— Na pewno się potknąłem — powtarza Henryczek.

Ale Śniegoludki uśmiechają się drwiąco, bo na lodzie niema nawet płatka śniegu. Tymczasem nie ustają okrzyki na cześć Szronka, który wystrojony w order Białego niedźwiedzia, odbiera zewsząd powinszowania.

Rana Henryczka była lekka, Sopelek przyłożył mu garść śniegu i dał się napić jakiegoś mocnego napoju. Chłopczyk przyszedł zupełnie do siebie i serdecznie podziękował Sopolkowi za troskliwość.

— Przejdź się trochę po lesie, nim się myśliwi ustawią — poradził Sopelek.

Henryczek, posłuchał chętnie i zapuścił się w las.

Gwar zachwytów i pochwał dla Szronka, przycichał stopniowo, chłopczyk szedł coraz prędzej, rozmyślając, co mogło być powodem jego wypadku?

Aż obejrzawszy się, spostrzegł, że jest w głuszy leśnej. Pusto było w okolo i ciemnawo, gdyż gałęzie obciążone śniegiem niewiele przepuszczały światła. A nuż wypadnie na niego dzikie wilczysko...

Nie miał przy sobie broni, więc zaniepokojony podniósł sękaty kij z ziemi i spiesznie zawrócił z powrotem.

Wtem doleciał go krzyk... Henryczek zatrzymał się; krzyk powtórzył się znowu. Chłopczyk przypomniał sobie jak podziwiał odwagę Gradochmura... czy stehórzy teraz, kiedy tu może ktoś potrzebuje jego pomocy? Ta myśl dodała mu odwagi. Ścisnął kij w rękę i zwrócił się w stronę skąd krzyk dochodził.

Do małej dziewczynki, która napróżno usiłowała wspiąć się na cienkie drzewko, doskakiwał ogromny pies i szczyrzył białe, ostre zęby. Henryczek dobiegł w sam czas aby stanąć między psem, a dzieckiem i sękatym kijem uderzył z całej siły zwierzę, które wnet rzuciło się na niego, a szarpiąc ubranie, ukąsiło dotkliwie w nogę. Chłopiec jęknął z bólu, lecz odważnie walczył dalej, aż wreszcie pies uciekł, skomląc, a on uspokoiwszy dziecko, wziął je ze sobą. W połowie drogi spotkali kilku Śniegoludków przywabionych wrzawą. Chłopczyk dumny i szczęśliwy opowiedział co zaszło. Karzełki słuchały bardzo obojętnie.

— Co tam pies! — rzekł Śnieżysty; Gradochmur to mi bohater, on dwa wilki zabił..

— Lodnik dzika powalił kordelasem — dodał drugi.

— Z nimi trudno ci się równać — rzekł trzeci.

Sam Henryczek czuł to dobrze i wobec, tamtych uznawał się małym i nic nie znaczącym. Tymczasem polowanie już się zaczęło, ujawszy swoją śliczną fuzyjkę, chciał spróbować czy trafi do celu; wymierzył więc starannie, pociągnął za cyngiel, a wtem... fuzyja rozprysła się w kawałki, raniąc mu lewą rękę. Ukrył wszakże bohaterstwo chłopiec zarówno ból jak przestrasz i wybrał z pozostałych nową fuzyjkę, i choć niepewny już siebie, odszukał Gradochmura, który przywitał go bardzo uprzejmie.

(d. c. n.)

Grzeczny Bryś.

Przyjechali do Józika
Krewni jego, Staś i Zdziś;
Wnet do gości się przymyka
Z powitaniem, grzeczny Bryś.

I, jak może, okazuje,
Że gościnnym szczerze jest;
Łapę daje, poszczekuje,
I ogonem robi gest.

Gdy się z nim już przywitani,
Do zabawy staje wnet
Pamiętajcie goście mali,
Odplacić mu wet za wet...
Niech grzecznością w waszem kole
Nie przoduje piesek sam —
Tak zamienić z Brysiem role,
Czyżby ładnie było wam?...

O nie, wstydy był nielada,
Żeby czworonożny Bryś
Lepiej wiedział co wypada,
Niżli Stasio albo Zdziś.

I. M.

GRY i ZABAWY.

PRZEDSTAWIENIE PRZYSŁOWIA.

MANIA (do Zygmunia, który wchodzi z książkami pod pachą). A to co, Zygmuniu, czemu ty dziś tak późno wracasz ze szkoły?

ZYGMUŚ (zmieszany). Nie, bo...

KAROLEK (podnosi głowę z nad książki). Jakie „niebo,” byłeś w niebie? pewnieby cię św. Piotr tam nie przyjął i powiedział: Wracaj sobie na ziemię, my tu takich, co wczoraj dostali dwójkę, nie potrzebujemy.

MANIA (do Karolka). Nie dokuczaj mu już tą dwójką; przecie mu się to pierwszy raz zdarzyło i obiecał ojcu, że się więcej nie powtórzy.

KAROLEK (drwiąc). Aha! i do przyszłej dwójki pewnie tej obietnicy dotrzyma.

MANIA (do Zygmunia). No, powiedz szczerze, czemu tak późno wracasz ze szkoły?

ZYGMUŚ (wciąż zmieszany). Zdarzył mi się wypadek.

MANIA. Wypadek?

ZYGMUŚ. Tak się jakoś złożyło, że pokłóciłem się z Edziem i uderzyłem go w nos...

KAROLEK. A śliczny wypadek! rzeczywiście, taki wypadek to się może zdarzyć tylko nadzwyczaj dobrze wychowanemu człowiekowi!

ZYGMUŚ. Przepraszam! Każdemu może się zdarzyć, gdy mu ktoś nieustannie dokucza, tak jak mnie Edzio.

KAROLEK. Jeszcze taki malec, jak Edzio — jest się na kogo obrażać! należało ci z pogardą wzruszyć ramionami i nie zwracać uwagi na to, co on robi albo mówi.

ZYGMUŚ. Tak! łatwo nie zwracać uwagi, kiedy on przez całą pauzę macha mi wciąż ręką przed oczami i ciągle powtarza: „Ja mam prawo tu machać, bo to jest powietrze tak dobrze moje jak twoje.”

KAROLEK. Ha, ha, ha! jaki dowcipny!

MANIA. Nie wielki to dowcip komuś dokuczać, ale właściwie nie rozumiem jeszcze, dla czego się tak spóźniłeś; przecie sprzeczka z Edziem nie zajęła ci godziny czasu.

ZYGMUŚ. Kiedy on taki gagatek: dostał pięścią i zaraz w bek; profesor nadszedł i kazał mi za karę całą godzinę odsiedzieć w szkole.

KAROLEK. Bo też ty wiecznie musisz mieć jakieś awantury, ja nie rozumiem, jak to się można o byle co zaraz unosić, bić, narażać przed profesorem, jak jaki sztabak z pierwszej klasy!

SCENA II.

Ciż sami, HELCIA.

HELCIA (*wbiega w kapeluszu i okrywcę*). Jak się macie! przyszłam się spytać, czy nie wybieracie się dziś na ślizgawkę, bo ja mam okropną ochotę, a nie mam z kim pójść.

MANIA. A twój brat?

HELCIA. Oho, brat! on się nie może dzisiaj ludziom pokazywać. (*Karolek usuwa się na bok widocznie zmieszany*).

ZYGMUŚ. Czemu?

HELCIA. A bo mu któryś kolega oko podbił!

MANIA. Nie może być? ależ to ci chłopcy to wiecznie się bić muszą! No, chwała Bogu, że my jesteśmy od nich lepiej wychowane.

HELCIA. Adaś nie winien, tylko tamten...

KAROLEK (*żywo*). Bardzo przepraszam, właśnie, że to Adaś winien, bo gdyby nie był pokazał języka, gdy profesor tamtemu dał dwójkę...

HELCIA. To nie on pierwszy, to właśnie tamten...

KAROLEK. Przeciwnie: Adaś pierwszy, gdy tylko profesor zniknął za drzwiami, pokazał język, w czasie, gdy tamten dopiero myślał...

MANIA. A ty skąd wiesz co tamten myślał?

KAROLEK (*zmieszany*), A no.. bo wiem.. bo tak sły-
szałem...

HELCIA (*patrząc na niego*). Ej, czy to nie pan Karol przypadkiem jest sam owym rycerzem wojującym, bo mi się jakoś podejrzana wydaje ta gwałtowna obrona..

ZYGMUŚ (*klaszcząc w ręce*). Karol! Karol z pewnością; ot, jak się sam wygadał i o dwójce i o podbitem oku; to pewnie on.

KAROLEK. A gdyby nawet i ja, to i cóż z tego? Czegoż przybierasz takie tryumfujące miny, jakbyś odkrył Amerykę?

ZYGMUŚ. A no, nic. Ameryki nie odkryłem, ale ty za to odegrałeś ze mną przysłowie— jakiego? Widzowie odgadnąć powinni.

Irena Mrozowicka.

SZARADA.

ułożyła Podolanka.

I.

Gdy drugą z pierwszą w jedną całość złożysz,
Wnet nazwę miasta znacznego utworzysz,
Co leży w kraju zdobyczy Pizara,
Kędy go złota przynęciła mara.
Zaś druga-trzecia w wodach naszych żyje,
W głębinach mułu, przed siecią się kryje;
Wszystko, gdy letnie słońceczko zaświeci
Jedzą ze smakiem tak starzy, jak dzieci.

II.

Pierwsze słowo własności oznacza jedynie
Drugie jest wielką rzeką co w Afryce płynie.
Trzecie zaś nutą śpiewną; — wszystko u wybrzeży
Oceanu Wschodniego, wśród wysp znanych leży
Które słyną groźnego monarchy imieniem, *)
Oraz zgonu, sławnego żeglarza wspomnieniem. **)

ARYTMOGRYF.

Od Wichury dla Niezabudki.

- 1) 14, 7, 17, 22, 20, 21, 24. Imię męskie.
- 2) 22, 3, 26, 7, 19, 15, 6. Nimfy wodne w myt. słowiań.
- 3) 7, 2, 3, 22. Rzeka syberyjska.
- 4) 1, 12, 19, 18, 21. Morze na Wschodzie.
- 5) 20, 3, 15, 7, 18, 7, 10. Półwysep w Ameryce.
- 6) 10, 7, 26, 6, 21, 24, 26, 15. Miasto w gub. Łomżyńsk.
- 7) 5, 18, 18, 20, 24, 7. Król Hunnów.

Zastąpić liczby literami, aby pierwsze litery ułożonych wyrazów złożyły tytuł utworu A. Mickiewicza, ostatnie T. Lenartowicza.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 48.

Zagadki: Puszczyk.

Łamigłówek głoskowej:

Z kim kto przestaje takim się staje.

Figielka:

T	K
---	---

 T e k a.

Skrzynka do listów.

Jaka szkoda, że Muszka Ukraińska częściej mnie swym listkiem obdarzyć dla braku czasu nie może, z prawdziwą bowiem przyjemnością odczytałam jej ostatnią korespondencję. Widocznie wymagania nauczycielki nie są bezowocne, skoro Muszka coraz staranniej i ładniej uczy się pisać. Gdy więc nauka idzie tak dobrze życzę ci Muszko dużo przyjemności na ślizgawce, na którą się cieszysz.

Niechże tylko Pieszczoszka dotrzyma obietnicy pisania często do mnie, a sądzę, że wkrótce czasie poznamy się jak najlepiej i polubimy, mianowicie jeżeli listy twe będą zawsze równie szczerze.

Życzenie objawione w pierwszym twym liście, droga Szczebiotko nie mogło mi obrazić, ani też dać o tobie złego wyobrażenia. Zadowolilibym też je chętnie, gdybym tylko mogła. Zdarzenie jakie mi opisujesz bardzo mi zajęło. Wyrzec się przyjemności, na którą oddawna się cieszymy, nie każdemu równie łatwo przychodzi, ale otóż pytanie czyja ostatecznie zasługa większa? Następnego twego listu wyglądać będę, dziś przesyłam ci szczerze pozdrowienia.

Jaskółka.

Własnego układu zagadki i łamigłówek nadesłali: Stokrotka z Sobotówki, Wichura, Kozaczek, Czarny rycerz, Marylka i Tadzio W. dobre zaś rozwiązania: Orzeł karpacki, Władzo N., Anulka, Smok i Zośka B.



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



DZIWY PRZYRODY.

DZIWY PRZYRODY.

Przyroda, która nas otacza, ten piękny świat Boży, na który spoglądamy codziennie obojętnym nieraz okiem, pełnym jest jednak dziwów i cudów, należy je tylko poznać i ocenić. Jeżeli zwrócimy baczną uwagę na najzwyczajniejsze wypadki życia codziennego, takie, które powtarzają się z dnia na dzień i do oglądania których nawykliśmy od dzieciństwa, to i w takich nawet zjawiskach umysł istotnie postrzegawczy i zastanawiający się odnaleźć zdoła tysiące nader ciekawych, cudownych niemal rzeczy. Przypatrzmy się naprzykład, wschodzącemu słońcu. Czy może być zwykłejsze i bardziej znane zjawisko? A jednak gdyby naraz przestało się ono powtarzać w odwiecznym porządku, albo też uległo znacniejszym zaburzeniom, to wraz z tem życie organiczne na ziemi, życie człowieka, zwierząt i roślin musiałoby ustać na zawsze. Słońce... to niewyczerpane źródło światła i ciepła, rozciąga hojnie od wieków dobroczynne swe promienie, wytwarzające wszędzie życie i ruch nieustanny. Ono to pielęgnuje z równą pieczołowitością i drobnoczną trawę i dęby odwieczne, ono daje życie człowiekowi i najędźniejszemu robaczki, ono każe rzekom płynąć ku morzu, a chmurom wznosić się ku górze, ono jest widocznym powodem powstawania deszczów i śniegów; bez niego, bez tego wspaniałego i szczerobliwego słońca, wszędzie panowałaby pustka, cisza i martwość śmierci. Do poznania tych wszystkich zdumiewających zjawisk otaczającej nas przyrody wiedzie nauka, która bada je i stara się poznać kierujące nimi prawa.

Na rysunku, umieszczonym na pierwszej stronie dzisiejszego numeru „Wieczorów,” widzimy cały szereg szczególniejszych i bardziej rzadkich zjawisk, które dają się od czasu do czasu dostrzegać w różnych okolicach ziemi. Przypatrzmy się im z kolei.

1) Otóż przedewszystkiem widzimy tu wspaniałą „Zorzę północną.” Zjawisko to w całej jego okazałości można podziwiać li tylko w najodleglejszych, polbiegunowych miejscowościach ziemi. W krajach tych noce zimowe bywają, jak wiecie, nadzwyczaj długie, bo trwają po kilka tygodni, a nawet i po kilka miesięcy, u samych zaś biegunów noc zimowa trwa całe pół roku. Ciężko byłoby ludziom i zwierzętom wytrwać tak długo bez promyczka światła. Otóż natura z woli Bożej dała mieszkańcom tych krańców zorzę, która podczas owych długich nocy, jaśnieje na niebie biegunowym swem tajemniczym światłem. Światło to w postaci długich, barwnych promieni i smug, wznosi się ponad północnym skrajem horyzontu i sięga niemal do zenitu, błyszcząc wszystkimi kolorami tęczy. Barwy krwisto-czerwona, pomarańczowa, żółta, zielona, błękitna i fioletowa, mieszają się w najosobliwszy sposób, tworząc oświetlenie istic czarodziejskie. Od strony północnej widzimy tu zwykle dość szeroki łuk, olśniewająco biały i ponad nim dopiero rozciąga się aureola barwna. Całość zjawiska bywa nadzwyczaj zmienną: to widzimy je w postaci olbrzymiego wachlarza, to znów jako wspaniałą zasłonę, fantastycznie powyginaną w przeróżne fałdy i spływając od nieba ku ziemi (jak to przedstawione właśnie na naszym rysunku) lub też wreszcie promienie świetlane zjawiają się jednocześnie na różnych punktach firmamentu, mieszają się ze sobą i ogarniają całe niebo płomienną, drgającą łuną. Przyczyny, powodujące wspaniałe to zjawisko, nie są dotychczas zbadane dostatecznie, jakkolwiek przypuszczać należy, iż posiada ono pewną łączność z magnetyzmem ziemi.

2) Tuż obok w prawym rogu rysunku widzimy drugie niemniej ciekawe zjawisko nieba północnego, zjawisko tak zwanych *słońc fałszywych*. Podczas pogodnych, mroźnych dni zimowych, kiedy słońce bywa bliskim horyzontu, dokoła jego tarczy na pewnej odeń odległości, powstaje częstokroć dość szerokie, świetlane koło o zabarwieniu tęczowym. W Norwegii północnej, gdzie zjawisko to jest powszechnie

znanem, zowią je *halo*. Powstawanie jego zależy od załamania się słonecznych promieni w drobnutkich kryształkach śniegu, unoszących się w mroźnem powietrzu. Pewien angielski uczony Brewster, zdołał nawet sztucznie ostrzymać zupełnie podobne zjawisko, umieściwszy przed światłem lampy tafelkę szkła, pokrytą drobnymi kryształkami halunu. A więc *halo* jest to rodzaj tęczy z tą tylko różnicą, że tęcza zwykła powstaje skutkiem załamania promieni w drobniutkich kropelkach wody, przy *halo* zaś załamanie dokonywa się w igiełkach lodowych. Halo może być podwójnem, potrójnem i t. d., to jest może się składać z kilku na raz kół, jak widzieliśmy czasami podwójne i potrójne tęcze) a nadto na pewnych punktach owych kół, zwykle na jednej z ich średnic, zjawiają się szerokie, okrągłe plamy, światniejsze aniżeli całość zjawiska. Są to mianowicie kilkakrotnie powtórzone odbicia samego słońca, czyli tak zwane *słońca fałszywe*. Ogólne wrażenie tej iluminacji niebieskiej, złożonej z kilku naraz słońc, otoczonych barwnymi wstęgami tęczy, musi być wspaniałem. U nas zjawisko słońc fałszywych daje się czasami dostrzegać podczas mroźnych dni zimowych, tu jednak nie bywa ono nigdy tak okazałem, jak na północy.

3) *Aerolity i gwiazdy spadające*. Oprócz planet i księżyców w bezmiarach przestrzeni poruszają się dokoła słońca miliony i miliony drobnutkich ciał kosmicznych, których nie możemy dostrzedz przez najsilniejsze nawet teleskopy. Otóż zdarza się czasami, że takie drobne okruchy materji dostają się do warstw naszej ziemskiej atmosfery. Tu skutkiem tarcia o cząsteczki powietrza, temperatura ich nagle się wzmaga do takiego stopnia, że w tejże chwili następuje całkowite ich spalanie. Widzimy w takich razach zjawisko tak zwanej *gwiazdy spadającej*. Gwiazda taka przemyka szybko po firmamencie, znacząc swą drogę ognistą smugą i następnie znika bez śladu. Czasami jednakże zdarza się i tak, że do wnętrza atmosfery dostaje się bryła znaczniejszych rozmiarów. Otóż bryła nie ulega spalaniu, a tylko niezmiernie się rozgrzewa, świeci czas jakiś oślepiającym światłem, widzialnym częstokroć nawet wśród dnia białego, czasami z trzaskiem i hukiem, podobnym do szeregu wystrzałów, rozlatuje się na części i wreszcie opada na ziemię w postaci dość dużych nawet kamieni. Kamienie takie, przybywające ku nam z odległych krańców przestrzeni i zwane *aerolitami* albo *uranolitami* znajdowano nieraz i możemy je oglądać w różnych muzeach i zbiorach mineralogicznych. Składają się one przeważnie z czystego żelaza i materiałów podobnych do tych, z jakich składają się pierwotne skały ziemskiej skorupy.

(d. c. n.)

Abracadabrus.

W OBŁOKACH I POD WODĄ

WYPRAWY „LATAJĄCEJ RYBY.”

opisał H. C.

(Ciąg dalszy).

— Niech i tak będzie — odparł Leithbridge — w tych nawet warunkach jestem pewny, że zabierzesz z sobą do Anglii świetną kolekcję dyamentów dla przyszłej pani Elfinston.

Przypuszczenie to sir Reginald przyjął głośnym śmiechem.

Pułkownik zajął się wygrzebywaniem nożem kryształków z krzemionek, i nie próbował dalej przekonywać baroneta.

Ten ostatni zaczął również przebierać obojętnie w zwierze, wrzucając od czasu do czasu błyszczące kamyczki do kieszeni.

— Dość już tego! — zawołał po dłuższej chwili — porównajmy teraz rezultat zbiorów naszych.

I usiadłszy obok pułkownika, wyjmował z kieszeni różnych rozmiarów dyamenty; od drobnych ziarenek do kamieni jednej uncji wagi. Zbiór Leithbridga był jednak daleko obfitszy.

— Mam jedną jeszcze sztukę, która różnicę wyrówna — odezwał się wówczas sir Reginald, i pokazał towarzyszowi kamień wielkości kurzego jaja.

Pułkownik przyglądał mu się z uwagą; był to dyament pięknej wody bez skazy.

— No, jak sądzisz? — zapytał baronet zniecierpliwiony długim milczeniem towarzysza — czy to brylant prawdziwy czy kryształ pospolity? Czemu nie mówisz?

— Bo nie znajduję słów odpowiednich na wyrażenie mego podziwu; jest to dyament bajecznej wartości. Gdzie go znalazłeś? czy był głęboko ukryty w ziemi?

— Zaprowadzę cię zaraz w to miejsce — oświadczył baronet i w jednym zagłębieniu pokazał przyjacielowi siedm leżących obok siebie dyamentów, równych wielkością i pięknnością temu, który wzbudził jego podziw.

— Zabierz sobie wszystkie — nalegał sir Reginald — odstępuję ci je z ochotą.

Pułkownikowi oczy zaświeciły radością na widok wspnianych klejnotów, schował je do kieszeni i zapytał baroneta, co dalej czynić zamierza.

— Nie przeczę — mówił sir Reginald — że jeśli to dyamenty prawdziwe, każdy z nas tylko schylić się potrzebuje, aby zebrać skarby z tysiąca i jednej nocy. Kamienie te jednak nie uciekną; powrócimy do nich za dni parę z profesorem i Mildmayem i wspólnymi siłami pracować będziemy nad zgromadzeniem tych kosztowności; jeśli jednak wartość ich tak wielka, to nie znajdziemy na nie łatwo nabywców.

— W takim razie — odparł, śmiejąc się pułkownik — zatrzymamy je na dar ślubny dla przyszłych naszych małżonek, o których istnieniu w przyszłości nie wątpię, lubo ty mniej w to wierzysz. A teraz czas nam pomyśleć o obiedzie; żółądek zaczyna dopominać się o prawa swoje.

Podróżni nabili broń i puścili się w dalszy pochód doliną. Niebawem napotkali stado reniferów, skubiących mech na szczytach skalistych wzgórz; jeden z nich padł cfiarą ku li myśliwych, dla których oprawienie i pochwiarowanie zabitego zwierzęcia nie przedstawiało wielkich trudności; z ozora i szpiku renifera urządzili sobie ucztę wspaniałą.

Dwa dni następne upłynęły Anglikom bez nadzwyczajnych wydarzeń; przechodzili przez rozległe sosnowe lasy, gdzie spotykali różnego rodzaju zwierzynę, że już nie mówię o zwierzętach cenionych z powodu drogich futer, jak sobole i gronostaje. Trzeciego dnia znaleźli się u stóp widzianego z portu obrzyniego płaskowzgórza, stanowiącego kres ich wycieczki. Była to obrzymia, skalista wyniosłość, mająca do trzech mil ang. obwodu, a wyniesiona od trzech do czterech tysięcy stóp nad doliną i tak stroma, że stopą ludzką dotrzeć do jej szczytu było niepodobieństwem. Nie zrażeni tem podróżnicy, odchodząc od góry nazwanej przez nich „górami Mildmaya,“ obiecywali sobie powrócić tu na „Latającej Rybie“ i z pomocą jej dosięgnąć celu.

Inną zatem drogą powrócili szóstego dnia wieczorem; połączyli się z dwoma zostawionymi na statku, a witającymi ich radośnie towarzyszami. Mildmay, dzięki staraniom profesora, był już prawie zdrów zupełnie. Karliński zaś nie mógł się nacieszyć z posiadania wyprawionej starannie skóry mamuta. Obaj słuchali z największem zajęciem szczegółów odbytej przez przyjaciół wycieczki; porucznik szukał w nich szczegółów budzących prostą ciekawość gdy profesor śledził wyniki, mogące przedstawić jaką korzyść naukową. Najżywiej zainteresował uczonego Polaka opis geiserów i pokładów dyamentowych; pochlebiało mu, że wodotryskom jego nazwisko nadano i nalegał, aby one były najbliższym celem wspólnej wyprawy.

Trudno byłoby też opowiedzieć zachwyt jego, gdy w dwa dni później z pokładu „Latającej Ryby“ przyglądał się owym

wspaniałym geiserom; wymógł też na towarzyszach przyrzeczenie, że pozwolą mu cieszyć się ich widokiem, podczas gdy będą zajęci zbieraniem dyamentów, co zajęło im trzy dni czasu. Z pomocą znajdujących się na statku narzędzi, zebrano w ciągu tych dni tak wielką ilość drogich kamieni, że połowa ich starczyć mogła na wzbogacenie podróżnych. Zafatwiwszy się z tem, profesor i jego towarzysze drogą napowietrznej żeglugi dostali się na szczyt obrzyniego płaskowzgórza. Była to ogromna przestrzeń skalista, bez śladów roślinności, w dostępniejszym punkcie ziemi mogąca służyć, niby drugi Gibraltar za niezdobytą twierdzą. W tych warunkach stanowiła dogodnie miejsce obserwacyjne dla podróżnych i stąd mogli się przekonać, że „ziemia Elfinstona“ była wyspą dokoła wodą oblana.

Całą powierzchnię płaskowzgóra Karliński i jego towarzysze obesli w półtorej godziny, zatrzymując się często dla przypatrzenia się malowniczym u ich stóp widokom. Stada łosi, reniferów, wołów pizmowych przeciągały doliną po pastwiskach, gdzieś tam pomknął lis, wilk lub iune drapieżne zwierzę, a w dali na morzu z pomocą lunety dostrzedz było można ciemne grzbiety poruszających się wielorybów.

Głównem jednak zadaniem podróżnych było przekonać się, czy oś bieguna północnego leżała w obwodzie „góry Mildmay'a.“ Zbadaniu tej kwestyi poświęcili kilka dni czasu, czyniąc naukowe obserwacje i obliczenia miernicze. Rezultatem ich pracy była możliwość oznaczenia punktu, gdzie się owa oś ziemi mogła znajdować i stanawszy na tem miejscu zawyrokowali stanowczo:

Tu jest biegun północny.

Ale miejsce to wypadło im widocznym znakiem objawić. W tym celu w punkcie wskazanym nakreślili trójkąt, od każdego z kątów przeciągnęli linię i w miejscu, gdzie się te linie krzyżowały wykuli w skale zagłębienie; włożyli w nie butelkę opieczętowaną z kawałkiem pargaminu, na którym spisane były okoliczności towarzyszące odkryciu bieguna z datą i podpisami śmiałych podróżników. Butelkę zasypano drobnymi odłamekami skalnymi, a nasyp ten po wierzchu zalano spoistą masą wyalazku profesora. Gdy masa dostatecznie stwardniała zasadzono w nią słupek z tabliczką, na której Karliński dyamentem wyrył słowa:

Słup ten oznacza punkt bieguna północnego. Dla dokonania dzieła sir Reginald przytwierdził do słupa chorągiew o barwach narodowych Wielkiej Brytanii.

(d. n.)

Ozdoby na choinkę.

Któż z naszych czytelników i czytelniczek nie zajmuje się chętnie przybraniem drzewka wigilijnego, dla uciechy własnej i młodszego swego rodzeństwa? Wprawdzie w miastach kupić można przeróżne ozdoby i błyskotki, ale są to zwykle rzeczy dość drogie, i stokroć lepiej zastąpić je lub dopełnić ozdobami własnego pomysłu, tembardziej, że samo wykonanie ich już jest miłą i przyjemną rozrywką, oraz rozwija pomysłowość i zręczność. Chcąc przyjść z pomocą w tym kierunku, podajemy tu wzory kilku takich ozdób wraz z opisem, zostawiając pole do samodzielnych pomysłów i urozmaiceń.

Wypukła gwiazda. Z papieru niezbyt grubego, lecz nie łatwo się łamiącego, wykroić cztery równoległoboki na 16 cm. długie, a na 8 szerokie i wykreśliwszy na nich półkola, poznać linie od środka do punktów zewnętrznych w różnych odstępach, i takowe połączyć krótszemi ramionami, aby utworzyły promienie gwiazdy, jak to fig. 1 wskazuje, potem papier składać wachlarzowato, bacząc aby linie ze zna-



Fig. 10.

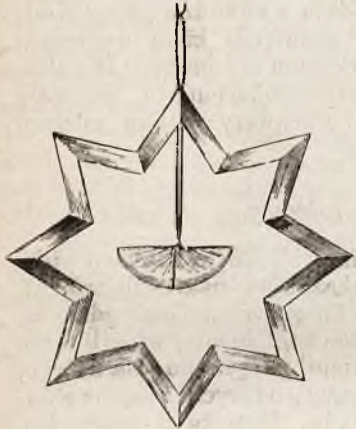


Fig. 5.

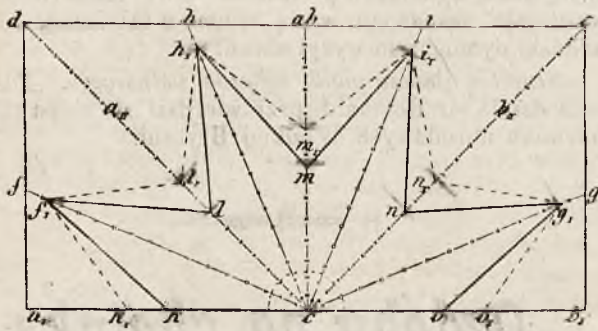


Fig. 1.



Fig. 6.

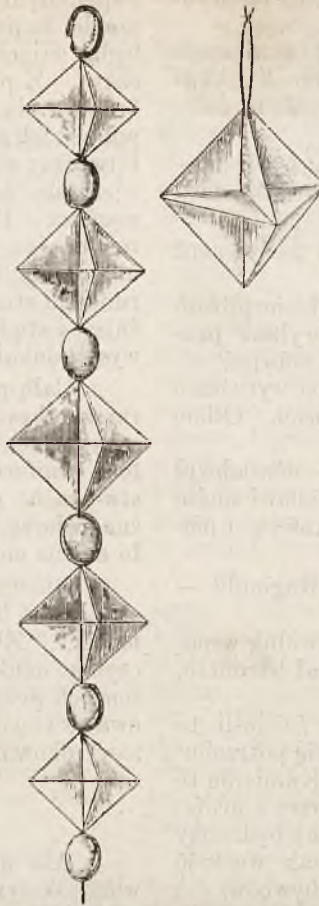


Fig. 3 i 4

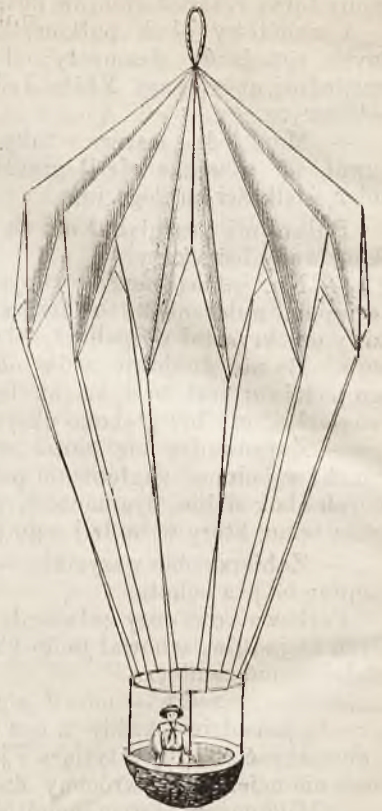
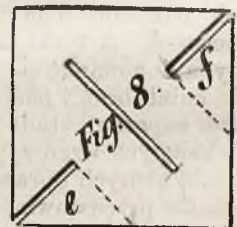


Fig. 2.



kami o-o-o tworzyły zewnętrzne brzegi, znaki zaś X - X - X do środka iść powinny. Gdy wszystkie czworoboki tak zostaną przygotowane, wycina się pojedyncze części gwiazdy i skleja wszystkie w jedną całość, tak, aby punkt o pierwszej, schodził się dokładnie z punktem k drugiej części i t. d. przez co otrzymamy śliczną, wypukłą gwiazdę o 12-tu promieniach, które możemy barwnie umalować, lub okleić złocym papierem, a będzie piękną ozdobą wierzchołka choinki. Chcąc aby gwiazda była na obie strony równą, można dwie takie same skleić razem brzegami.

Spadochron balonowy. Jeżeli w przygotowanej wedle powyższego opisu gwiazdce linie długich promieni załamiemy do środka, otrzymamy gotową górną część spadochronu, jaki nam fig. 2 przedstawia. Przygotujmy następnie krążek z cienkiej tektury i przez 12 przekłutych dziureczek przeciągnijmy barwne tasiemki lub sznureczki, łącząc nimi krążek w odległości kilkunastu cm. kolejno ze wszystkimi dłuższymi spada-

jącami ramionami. Teraz do części dolnej krążka przyczepmy łódkę, którą może być połowa łupinki złoconego orzecha a w którą włożyć można laleczkę lub inny drobny przedmiot. Ubarwienie balonu zależy od gustu wykonawców, nadmieniamy tylko, że nie trzeba zapominać o przymocowaniu u wierzchołka pętelki ze sznureczka, na której balonik zawiesi się u drzewka.

Błyskotliwe ozdoby choinkowe. Fig. 3 przedstawia śliczne ozdoby choinkowe, których sposób wykończenia wskazują nam pojedyncze ich części fig. 7, 8 i 9. Są to jak widzimy równe zupełnie kwadraty, wykrojone najlepiej z brystolu, starych biletów wizytowych, na których należy porobić nacięcia; odpowiednio do każdej części, poczem bierzemy kwadracik fig. 7 i przyginamy różki podług linii kropkowanych, a to jedynie w celu byśmy go przeciągnąć mogli przez środkowe nacięcie fig. 8, u której również różki *e f* przygiąć nale-

się dadzą w maseczki, przedstawiające charakterystyczne głowy ludzkie.

Dla ułatwienia pierwszych prób, podajemy opis dwóch załączonych tu rycin.

Maseczka bandyty fig. 6. Aby zrobić tę maseczkę, przytwierdzamy małemi szpilkami do jabłka w miejsce ocz kółka z czarnego papieru; czerwony pasek papieru zastępuje usta; nos zaś ulepiamy z wosku albo wykrojony z buraka, marchwi lub t. p. wsadzamy w nacięcie zrobione w jabłku. Aby naśladować włosy, wąsy lub brodę, najlepiej wziąć czarnej albo też brązowej włóczki, gdy kapelusz i inne przybory będą z odpowiednich barwą papierów.

Głowa Chińczyka fig. 9, robi się w taki sam sposób. Zresztą tu już własna fantazyja wykonawcy znajduje szerokie pole i nie wątpimy, że czytelnicy nasi według tych wskazówek i wzorów obyniśl wiele innych ozdób i figielków.



DZIKIE KOTY (str. 407).

ży, aby razem oba kwadraty wsunąć w środkowe, w kształcie krzyża, przecięcie kwadratu fig. 9. Odchyliwszy przygięte różki oklejamy całość złoconym papierem lub pociągamy metalicznymi farbami, a zabawka, jak prawdziwy klejnocik, błyszczyć będzie w świetle palących się świeczek.

Z błyskotek takich złożyć też można cały łańcuch fig. 4, który wspaniale ozdobi drzewko.

Gwiazda pusta w środku, jaką przedstawia fig. 5 rysuje się na papierze w całości, oznaczając zaraz szerokość paseczka, a z tak obrysowanej gwiazdki można kilka coraz to mniejszych wykroić, aż otrzymamy w końcu małeńką, pełną gwiazdeczkę. Cienki ten pasek ze złoconego papieru nakleić trzeba na grubszy brystol, a w środku zawiesić już to opisany powyżej klejnocik, już też cukierok jaki.

Oryginalne a bardzo zabawne ozdoby choinkowe, urządzać też można z jabłęk, które w łatwy sposób przekształcić

Marya Łopuszańska.

OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg)

W tej chwili na podwórzu rozległ się jakiś śpiew smętny.

— To wodnica — rzekł Ładon, wyjrawszy oknem.

Rzeczywiście ona to była; w wianku rucianym, z rozpuszczoną na wiatr kosą zjawiała się tu niewiadomo skąd, lecz nikt ją nie pędził, bo ludzie knezia byli pewni, że mogłaby zesłać nieszczęście na tego, coby ją pokrzywdził.

Właśnie oddział zbrojnych, który tylko co powrócił z wyprawy ucztował na dziedzińcu gródka; wszyscy patrzeli na idącą wodnicę z pewnem poszanowaniem, jakie budzi istota wyższa nad zwykłych ludzi. Ona zaś stanęła wpośród nich, obejrzała się dokoła i roześmiała klasnąwszy w ręce; po chwili zaczęła śpiewać:

Pijcie, śpiewajcie, dzielni witezie,
Niech czara brzęczy wesoło,
Czerwonem winem pełna po brzegi
Niechaj obiega w okolo.

Lecz w winie widzę krew!

Wieńczysz dziewczyno głowę kwiatami
I stroisz się do miłogo,
Lecz kwiaty czegoś główki schyliły,
O, wiem ja dobrze dla czego;
Na listkach widzę krew!

O, była kiedyś gołąbka biała
I gniazdo w lesie tam miała,
Przyleciał sokoł, gniazdo rozgabił
I braci białej gołąbce zabił;
Odtąd wciąż widzę krew!

Ludzie knezia, chociaż dzielne i odważne junaki, jednakże czuli się przerażeni tą dziką pieśnią tak dziwnie brzmiącą przy uczcie. Wszyscy milczeli długo, nie mogąc się otrząsnąć z przykrego wrażenia. Słońce właśnie zapadało czerwono, na wszystko rzucając swe odbłaski jaskrawe, i w puarach naprawdę zdawała się znajdować krew, miasto wina.

Na dziedzińcu ukazał się kneź Mszczuj. Wodnica, spostrzegłszy go, krzyknęła przeraźliwie i wyciągnęła rękę w jego stronę, wołając:

— On, ach on! O ta straszna noc!

I padła twarzą na ziemię omdlała.

Ludzie knezia jeszcze bardziej się przerażili; spoglądając w niemem osłupieniu to na knezia, to na dziewczynę. Ich zabobonne umysły brały wszystko co mówiła za jakąś straszną przepowiednię.

— Cóż tak stoicie jak słupy? — krzyknął kneź gniewnie. — Boicie się tej dziewczki, dzielni wojacy! mówiłem, żeby mi nie wpuszczać żadnych włóczęgów do gródka!

— To wodnica! — rzekł jeden z nich półgłosem.

— Cóż stąd? Wodnica, nie wodnica, a niech mi się tu nie włóczy!

To mówiąc oddalił się.

Podwładni knezia nie wiedzieli co począć. Bali się pana, ale jeszcze bardziej bali się czarów wodnicy. Żaden z nich więc nie śmiał do niej przystąpić.

Lecz jakby dla wyratowania ich z kłopotu, księżniczka Ziezila dojrzała przez okno obłąkaną, a że była z natury litościwa, wysłała więc jedną ze swych dziewcząt, by ją podniosła z ziemi i do niej przyprowadziła.

Wodnica, gdy stanęła przed córką knezia, zrazu nie mówiła, tylko patrzyła obłąkanemi oczyma, lecz Ziezila ozwała się do niej łagodnie:

— Pójdź tu, biedna dziewczyno, siadź przy mnie, musisz być głodna i strudzona; każę ci podać posiłek jaki...

— Ktoś ty, co do mnie tak litościwie przemawiasz? — spytała wodnica, tracąc stopniowo swój wzrok obłąkany.

— Jam Ziezila, córka knezia Mszczuja — odrzekła młoda księżniczka?

— Mszczuja? Mszczuja? — zawołała wodnica z tym samym dzikim wyrazem co pierwej. Dla czegoś ty córką jego?

— Cóż cię tak dziwi? — spytała Ziezila. — Biedna dziewczyno, musiałas wiele wycierpieć na świecie, nim dośzłaś do takiego stanu.

Na te słowa pełne współczucia, obłąkana nagle załapała się łzami i ukryła twarz w rękach. Ziezila wzięła ją w objęcia i tuląc do siebie, głowę jej oparła na swem ramieniu.

— Śpij — rzekła, obejmując ją ramieniem — musisz być zmęczona.

W istocie wodnica przymknęła oczy i wkrótce usnęła z głową na kolanach Ziezili.

Młoda księżniczka siedziała cicho, by jej nie zbudzić, i mimowoli jakieś myśli smutne, wywołane dziwnymi słowami wodnicy, oblegać ją poczęły. I jej serce było ciężkie jak kamień i nawet łzy nie mogły mu ulżyć.

— O Boże, Ty, którego niedawno teraz poznałam — mówiła w ducha — Ty wielki, dobry i litościwy, oddał wszystkie nieszczęścia od tych, których miłuję i zdejść ten ciężar z mego serca, bo już upadam pod nim...

Długo tak jeszcze modliła się córka knezia, a gdy promień zapadającego słońca poraz ostatni zajrzał w okno, oświecił obie młode dziewczyny, trzymające się w objęciu, jak siostry.

XXI.

Tego wieczoru strażnik jak zazwyczaj, stał na wieżycy gródka, patrząc w dal przed siebie, czy nie ujrzy czego podejrzanego w dolinie. Lecz dolina była w promieniach księżycy i cisza panowała dokoła. W gródku ludzie już spoczywali oddawna.

Wspaniała pełnia lipcowa roztaczała potoki srebrnej poświaty, zalewającej całą dolinę; gdzieś tam skały rzucały olbrzymi cień, przerywany przez wpoprzek, niby most rzucony przez morze światła. W cieniach owych Prądnik tylko połyskiwał, jak srebrzysta łuska pełzającego węża.

Coś rozmarzonego a zarazem uroczystego było w tym krajobrazie nocnym, w tej mieszaninie światła i cieni, kryjących stopy skał, podczas gdy wierzcholki tonęły w blaskach.

Strażnik stał długo, wsłuchując się w ową ciszę, pełną szepotów i zwykłych szelestów nocnych, które teraz jednak brzmiały jakoś niezwyklejnie; zdawało się, że za chwilę coś się ma stać, co zakłóci ową ciszę i spokój, i mimowolna żalność i lęk jakiś dziwny zdejmowały serce, chciałoby się prosić by jeszcze potrwała owa cisza błoga, by jeszcze się przedłużył ów sen czarownicy.

Lecz nagle strażnik drgnął i nadstawił ucha; zdawało mu się, że od strony Krakowa ziemia dudni, jakby w nią kopła końskie uderzały.

— Czy bies mię zwodzi, czy co? — mruknął, przysłuchując się.

Lecz wkrótce nie było już żadnej wątpliwości; jęczała ziemia, bo po niej stapały konie wojaków, a niemało ich być musiało; pewnie z pół tysiąca zbliżało się od Krakowa. Lecz kto oni byli, tego strażnik nie wiedział i nie zastanawiał się nad tem... Spiesźnie przyłożył róg do ust i zatętrąbił... Echa okolicznych skał porwały odgłos ten i powtórzyły po kilkakroć, coraz ciszej płynęły dźwięki, aż skonały gdzieś w dali.

W gródku natomiast powstał ruch i gwar.

— Hej, wy tam, wstawajcie — krzyczano na dole. — Nieprzyjaciół nadchodzi.

— Co? Gdzie? — pytały inne głosy — kto widział?

— A ot, nie słyszycie jak ziemia dudni?

— Do broni! — rozległ się ponad wszystkie te krzyki surowy głos knezia. Słychać było jak biegano w różne strony; ludzie się potracali; wynoszono broń z dolnej izby, rozkazy mieszały się z pytaniami.

Ziezila przebudzona nagle ze snu w swej świetlicy porwała się z łoża i z rozpuszczoną kosą wyjrzała oknem.

— O, Najświętsza Dziewico — modliła się drżącymi ustami — o Maryo litościwa, ratuj nas! Okaż się matką sierocie, co matki niema na ziemi! Oto przeczucia moje zaczynają się sprawdzać, zguba się zbliża!

Na podwórzu gwar coraz się wzmagał; Ziezila ujrzała Drahomira, który wyróżniał się w ciemności swym wzrostem olbrzymim, a stojąc w pośrodku wydawał rozkazy.

— A co, Mirek, widzisz ich? — pytał strażnika, stojącego na wieży.

— Jak na dłoni — odpowiedział tamten z góry.

— A ilu ich tam?

— A ktoby ich zliczył — odrzekł strażnik. — Ot, jeden szereg, drugi, trzeci, czwarty się wysuwa na dolinę...

— Któż ich prowadzi? Nie poznajesz? — pytał dalej Drahomir.

— Nie, nie mogę jeszcze nic rozpoznać — odparł strażnik. — Miesiąc oświeca drogę i odbija się w zbroi onego męża, co jedzie na czele, tak, że aż za oczy chwyta. A ot, teraz wysunął się naprzód: jest to mąż stary, wysoki, z długą siwą brodą, w żelaznej zbroi, a na tarczy ma znak jakiś wymalowany, coś niby ptaka wielkiego.

— Ptak wielki — powtórzył Drahomir — już wiem kto to taki... A teraz łucznicy na wieżę, procownicy na mury! Przypuścić ich, aż się zbliżą na odległość strzały, a wówczas ich powitamy!

I wszedł sam do izby, gdzie właśnie kilku ludzi zdejmowało broń ze ściany. Ładon nadszedł również w tej chwili.

— A przynieść jeszcze spisy z wieży i rozdać ludziom — rozkazał Drahomir.

— Drahomirze, co to się dzieje? — spytał Ładon, kładąc mu rękę na ramieniu.

— Co? — odrzekł Drahomir, obracając się. — Twój ojciec idzie na nas!

— Jakto? Skąd wiesz o tem? Czyś go widział? — pytał spieszenie Ładon.

— Wiem — rzekł Drahomir spokojnie. — Ale puść mię, bo muszę doierać przygotowań do obrony.

A odchodząc zawołał z wybuchem śmiechu:

— Oto zwierz już obsaczony, niechże przynajmniej zęby pokaże ogarom!

Już teraz rozróżnić można było i policzyć zbliżające się szyki.

— Królewskie wojsko! — mruknął Drahomir, przypatrując się im.

Znać było w istocie, że to się zbliża oddział wyborowego wojska królewskiego, bo szło w największym porządku, setkami; naprzód dwieście lekkiej jazdy, potem tyłuż pieszych z wielkimi, podłużnymi szczytami i z oszczepami w rękę, na końcu zaś postępowali procownicy i łucznicy.

Dowodził nimi rycerz stary, ale krzepki jeszcze i silny.

Ładon patrząc z okna, poznał go od razu.

— Mój ojciec! — zawołał — Prawdę mówił Drahomir.

Z bijącym sercem śledził wszystkie poruszenia nadejdującego hufca. Gdy się przybliżyli do gródka konni wojacy, uszykowali się w dolinie, łucznicy zaś i procownicy wystąpili naprzód.

Stary rycerz skinął, trąba ozwała się, poczem przywódca wyjechał naprzód, pytając: Czy kneź Mszczuj jest tu, między wami.

— Jest — ozwał się krótki, surowy głos knezia.

— Kneziu Mszczuju, kneziu wilku — przemówił stary wódz — przynoszę ci rozkaz w imieniu króla i w moim własnym imieniu, byś natychmiast oswobodził więźniów, znajdujących się w twym gródku; to jest mego syna, dwóch zakonników i podczaszego margrafa Hermana; jeśli zaś tego nie spełnisz, to twoje wilcze gniazdo w grzy obrócim!

— A ktoś ty jest, co mi ten rozkaz przynosisz? — spytał kneź wyniośle.

— Jam jest Bożydar, z rodu Jastrzębców, wojewoda królewski.

— A więc wojewodo Bożydarze — odrzekł kneź — odpowiadam w moim, tylko w moim własnym imieniu, bo nie uznaję żadnego pana, odpowiadam tobie wojewodo, abys powtórzył to swemu królowi, że: nie boję się jego ani jego ani ciebie, słuhać waszych rozkazów nie myślę i nie wydam ani syna, ani księży, ani tego psa niemieckiego, choćbyście nietylko w pół tysiąca, ale z całym wojskiem przyszli mię oblegać. Oto moje ostatnie słowo!

— Dobrze — odrzekł wojewoda — a więc inaczej do ciebie przemówimy. Łucznicy i procownicy naprzód!

Kneź tymczasem obrócił się do swoich:

— Hej wy, a zatrąbcie tam w róg na cztery strony, na znak, że kneź Mszczuj przyjmuje chętnie walkę z królem Bolesławem i z jego wojewodą!

Odgłos rogu rozległ się w stronę zachodu, wschodu, południa i północy, powtórzyły go echa okoliczne, jakby przyroda chciała roznieść daleko w świat owo pyszne wyzwanie.

W tejże chwili grad strzał i pocisków, puszczoney ze stron obu zaćmił powietrze.

Skoro ranek zaświtał, obleżeni zostali otoczeni ze wszystkich stron, jakby ścianą z ludzi, lecz kneź nie robił sobie nic z tego.

— Niech przyjdzie ich jeszcze dwa razy tyle, nie zastraszają mnie — drwił. — Żywności mam, że i na lat kilka wystarczy, a niech próbują szturmem brać gródek, zęby sobie połamią a nie wezmą.

Ludzie jego, słysząc tę mowę, nabrali zuchwałości, rzucali z góry przeciwnikom obelgi i natrzęsali się z nich.

— Ale to wasz wojewoda wybrał się na nas z wielkimi siłami! — wołali. — Na nas i dwa tysiące za mało! Sprowadźcie tu całe wojsko królewskie, a damy mu rad!

— Ej, wykurzymy was, jak lisów z nory, obaczycie — odpowiedzieli z dołu przeciwnicy.

Obleżonym łatwo się było bronić, bo tylko jedna strona gródka potrzebowała osłony, mianowicie ta, po której znajdowały się mur i brama; inne broniły się same przez swą niedostępność, na jedno więc wejście tylko trzeba było zwrócić uwagę. Daremnie nieprzyjaciel starał się wedrzeć przez mur; zawsze zepchnięty został ze stratą. Obleżeni coraz więcej okazywali śmiałości i zaufania, tem bardziej, że ich strzały, jako padające z góry były celniejsze, podczas gdy przeciwnicy musieli się oddalić na pewną odległość by trafić, wystawiając się na pociski nieprzyjaciół.

Kneź, aby bardziej jeszcze urągać przeciwej stronie swą siłą i zaufaniem, codzień wydawał ucztę swoim ludziom, ich wesołe i junackie pieśni dochodziły uszu oblegających i wzmagaly zaciekłość; przysięgali oni, że wezmą gniazdo sępów, choćby mieli dziesięć lat stać tutaj, a wówczas nie przepuszcza nikomu.

Obaj zakonnicy okazali się teraz bardzo użyteczni, bo choć obleżeni niezmiernie mało, prawie nie tracili ludzi, zawsze jednak nie zbywało na rannych, którym uwięzieni księża nieśli pomoc, jako posiadający znajomość różnych ziół leczących. Tym sposobem nawet w tych dzikich, niepokromionych ludziach potrafil obudzić pewne poszanowanie i wdzięczność, z których obiecywali sobie otrzymać na przyszłość dobre owoce.

Tylko kneź Odylon obcym był wszystkiemu co się dokola niego działo i jak dawniej snuł się w zamyśleniu po gródku, spoglądając tylko niekiedy z uwagą na brata Angelo, który ze swej strony, obok wdzięczności za ocalenie życia czuł głęboką litość dla tego starca, jak się domyślał, złamanego wielką boleścią. To też tak wiele dokazał, że kneź Odylon, milczący zwykle, z nim jednym mówił niekiedy, przyczem zdawałoby się, że podlega jakiemuś tajemnemu wpływowi, i otaczający gotowi byli wierzyć nawet, że młody ksiądz rzucił urok na starca.

* * *

(d. c. n.)

Dziki koty z Pampasów.

Do ogrodu zoologicznego berlińskiego przywieziono niedawno z Argentyny, z Ameryki południowej, dwa bardzo rzadkie okazy dzikich kotów stepowych. Są one większe nieco od naszych kotów domowych, jeden barwy szarej, drugi w pasy ciemne. Dozorcy ogrodu mają wiele z niemi kłopotu, gdyż odznaczają się straszłą dzikością, i na widok człowieka wpadają w istny szal. Sposób ich życia w stanie dzikim nie został jeszcze dokładnie zbadany.

NAJNOWSZE WYDAWNICTWA GWIAZDKOWE DLA DZIECI i MŁODZIEŻY

do nabycia we wszystkich księgarniach.

Gebethnera i Wolffa.

- Bukowiecka Zofia.** *Młotem i kielnią.* Opowiadanie dla młodzieży. Z 7 rysunkami Wł. Jasiońskiego 1.—
w ozdobnej oprawie płóc. 1.40
- Przyborowski Walery.** *Namioty Wezyra.* Powieść historyczna z 10 rycinami J. Kossaka i K. Pułaskiego, kop. 80, w ozdobnej oprawie 1.20
- Teresa Jadwiga.** *Kara Boża. — Wilczek.* Dwie powieści hist. z 10 rysun. S. Sawiczewskiego rs. 1, w ozd. oprawie 1.40
- Betza Wład.** *Baśń o dobrym synu.* Według ludowego podania opracowana. Z 4 ryc. kop. 40, karton. —.50
- Anczyc Wł. L.** (Kazimierz Góralczyk). *Dzieje Polski w 24 obrazkach kolorowanych.* Wyd. nowe, karton. —.50
- Chata wuja Toma.* Powieść **H. Beecher Stowe** dla młodzieży opracowana. Wydanie drugie z 4 rycinami kop. 80, w ozdobnej oprawie 1.20
- Checiński Jan.** *Opowiadania historyczne dla młodych czytelników.* Wydanie trzecie z 10 rycinami —.80
w ozdobnej oprawie 1.20
- Dmochowski F. S.** *Krótki zbiór historii polskiej,* podług najnowszych źródeł historycznych opowiedziany. Wydanie nowe, poprawione, rozwinęte i uzupełnione spisem chronologicznym i wykazem książąt z plemienia Piastów i Gedyminów, kop. 60, w opr. płóc. —.80
- Duch puszczy.* Opowiadanie z amerykańskich borów według d-ra Birda. Opracował **W. L. Anczyc.** Wydanie 4-te, z 8 rycinami, kop. 80, w ozdobnej oprawie 1.20
- Dygasiński Adolf.** *Przygody młodzieńca czyli Robinson polski.* Wydanie 2, z 6 ryc. kop. 80, w ozd. oprawie 1 20
- Kraków Paulina.** *Niespodzianka.* Zbiór powiastek dla pilnych dzieci. Wydanie 10-te z 4 ryc. kolor. karton. —.75
- Mayne-Reid,** kapitan. *Młodzi żeglurze,* czyli przygody myśliwskie w Ameryce południowej. Przełożyła **M. J. Zaleska.** Wydanie 2-gie z 12 rycinami —.80
w ozdobnej oprawie 1 20
- Powieści z tysiąca i jednej nocy* dla młodzieży. Przekład polski podług **A. L. Grimma.** Wydanie 4 z 6 rycinami kolorowanymi, kart. w ozdobnej okładce 1.50
- Przyborowski Walery.** *Myszy Króla Popielu.* Opowiadanie przedhistoryczne. Wydanie 2 z 6 rycinami —.80
w ozdobnej oprawie 1 20
- Robinson szwajcarski* podług **J. Stahl'a** przełożył **Jan Checiński.** Wydanie 4 z 12 ryc. kop. 80, w ozd. oprawie 1 20
- Teresa Jadwiga.** *Z lat minionych.* Moja pieczętka — Rycerz błękitny. — Krwawe chwile. Trzy powieści historyczne. Wydanie drugie z 3 rycinami —.80
w ozdobnej oprawie 1.20

- Urbanowska Zofia.** *Księżniczka.* Powieść uwieczniona nagrodą konkursową. Wydanie 2 rs. 1.20, w ozdob. oprawie 1.80
- Zaleska M. J.** *Dwie siostry.* Opowiadanie z życia młodych dziewcząt. Wydanie 2, rs. 1, w ozdobnej oprawie . . . 1.60

A. G. Dubowskiego, Chmielna 30.

- Atlas historii naturalnej* (Zoologia, Botanika i Mineralogia) w 180 obrazkach na 28 tablicach, z tekstem **Feliksa Vermińskiego,** w oprawie kartonowej —.60
z kolorowanymi rycinami 1.20
- Blank Martial.** *Król kości słoniowej.* Przygody myśliwskie w kraju Zulusów i Hotentotów. Przekład z francuskiego **P. Gr.** Z 9 drzeworytami W ozdobnej kartonowej oprawie kop. 80, w oprawie w płótno angielskie . . . 1.20
- Przyborowski Walery.** *Dzieje Polski* opracowane dla młodzieży. Wydanie 2, poprawione i znacznie powiększone, z mapą *Polski z r. 1772,* rs. 1, w kartonie . . . 1.20
w ozdobnej oprawie w płótno angielskie 1 50
- Sobol J. de.** *Wakacje Pawelka.* Przekład z fran. z licznymi rysunkami w tekście, w ozdobnej karton. oprawie . . —.60
w oprawie w płótno angielskie 1.—
- Stadnicka Lucyna hr.** *Dla moich dziewczynek.* Kilka powiastek. Z 8 rycin. **L. Ilincza,** w ozdob. kart. oprawie —.90
w oprawie w płótno angielskie 1.30
- Umiński Władysław.** *Na Falach Atlantyku.* Przygody rozbitków pośród Oceanu Z licznymi ilustracjami **L. Bębnowskiego,** w ozdobnej karton. oprawie 1.—
w oprawie w płótno angielskie 1 50

M. Arcta.

- A. Gruszecki.** *Wśród Tatarów,* powieść dla młodzieży z rycinami. *W kraju Piramid,* opowiadanie z dawnych dziejów dla dojrzałszej młodzieży, z 4 rycinami, przełożył **Kazimierz Król**
- Marya Chetmońska.** *Młody pieśniarz,* zbiór 24 piosnek dla dzieci i młodzieży, z nutami.

K. Grendyszyńskiego.

- Teresa Jadwiga.** *Obrazki z życia znakomitych Polaków i Polek,* z 40 portretami
- Teresa Jadwiga.** *Odnowiciel,* powieść historyczna z czasów Mieczysława II i Kazimierza I, z 6 rycinami.
- Zuzanna Morawska.** *Król Kurkowy,* powieść historyczna z XVI wieku, z 6 rycinami.
- Juliusz Verne.** *Sfinks lodowy,* przekład **M. D.** z licznymi rycinami.

Przypominamy o wczesnem **ODNOWIENIU PRENUMERATY** na 1899 rok dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie złr. 1 cent. 75 (3¹/₂ korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10.**

TREŚĆ: Dziwy przyrody (z ryc.) — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej Ryby” przez **H. C.** — Ozdoby na choinkę (z ryc.) — Obrońcy bogów, przez **M. Łopuszańską.** — Dzikie koty z Pampasów. — Dodatek: U ciotki Polci (z ryc.) — Nauka matczki, wiersz przez **E. Lejowę.** — W wigilię Bożego Narodzenia. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Wspomnienia Haliny, przez **Julię Piasecką.**

WIECZORY RODZINNE

U cioci Polci.

Dzień był pochmurny i wietrzny, więc dzieciom smutno w pokoju, bo o przechadzce nie mogło być mowy. Tym więc radośniej powitały ciocię Polcę, która rozkładając na stole przyniesiony pakuneczek rzekła:

— Oto cztery tabliczki łubkowe i tyleż rysików, a tu kilka karteczek, na których czarnem tle widnieją w białych kreskach wizerunki różnych zwierząt domowych.



— Jakie to dziwne, a ładne obrazki, ale do czego one służyć mogą, cioteczko? — pytała Zosia.

— Bodaj, że ja się domyślam — rzekł Henryś — to są niezawodnie wzorki do rysunków na tych tabliczkach, na których rysik białe kreśli linie, tak zupełnie, jak tu na tych obrazkach.

— A to wybornie, będziemy rysowali! — zawołał Kazio.

— Właśnie też na te rysunki wasze zapowiadam konkurs.

— Konkurs, ciociu! Czy to będzie tak samo, jak

w „Wieczorach” bywają konkursy na kaligrafię i robótki? — pytała Zosia.

— Jeśli nie tak samo, to bardzo podobnie. Konkursem bowiem nazywamy zawsze współbieganie się kilku osób o najlepsze wykończenie jakiejś pracy.

— A czy będą też nagrody?

— O będzie, i to rzecz przez was bardzo upragniona — rzekła ciocia z tajemniczym uśmiechem.

— Moja ciociu, co takiego?

— Zobaczysz...

— Dalej prędko wybierajmy wzorki, bo ja znów ciekawy jestem, co mi się dostanie — rzekł Henryś.

— Czy ciocia da mi też konkurs? — szczebiotała Irenka.

— Ależ oczywiście, i ty maleńka należysz do konkursu, tylko, że jesteś najmłodszą, sama ci wskażę wzorek najłatwiejszy.

Zrobiło się na chwilę gwarno w pokoju, tak wszyscy byli zadowoleni z wyboru.

— Teraz żwawo do pracy — rzekła w końcu ciocia. — Ja wyjeżdżam na dwie godziny, lecz spodziewam się, że zabawicie się dobrze i grzecznie w mej nieobecności; niania przyniesie wam w kubeczku wody do zwilżenia gąbek a pamiętajcie, że staranność w rysunku kładę za pierwszy warunek do nagrody.

W ciszy, którą przerywało tylko od czasu do czasu głośniejsze skrzypnięcie rysika, pracowały dzieci z wielkim zajęciem.

Zrazu gąbka często była w użyciu, i część zrobionego już rysunku znikala z tabliczki, lecz w miarę wprawy szło coraz lepiej i dzieci ani się spostrzegły, gdy rozległ się turkot przed gankiem.

— Co to, ciocia już przyjechała, a ja jeszcze mojej krówki nie skończyłem — zawołał z żalem Kazio.

— Mojemu osiołkowi już tylko kopytek brakuje, ale uszy takie jakieś niezgrabne — mówił z westchnieniem Henryś.

Dziewczynki milczały. Irenka coś jeszcze ciągle kreśliła i mazała u swego domku, a Zosia z żywym rumieńcem na buzi, przyglądała się dokończonemu dziełu, dopatrując coby jeszcze poprawić należało.

— No, moje dzieci, jakże tam wasze prace konkursowe? — zapytała ciocia, wchodząc do pokoju.

— Skończyłam już!... I ja też!... I ja!... — odezwały się głosy w okóło stołu. — Tylko nie wiemy, czy dobrze...

— Zaraz to zobaczymy. Połóżcie swe tabliczki tu jedną obok drugiej, a teraz przypatrzcie się sami, który z rysunków najładniejszy.

Dzieci stały chwilę w milczeniu, bacznie się przyglądając, aż wreszcie Kazio z Henrysiem zawołali równocześnie:

— Króliczki Zosi!... Króliczki Zosi takie ładne, napuszone, jak żywe!

— I mojem zdaniem Zosi najlepiej się udało, ale i wam należy się pochwała, moi chłopcy, nietylko za staranny rysunek, ale nadto za wydany teraz sąd bezstronny.

— A jaką Zosia dostanie nagrodę, ciociu? — pytał Henryś.

— Oto szczególnie się złożyło, bo właśnie taką samą parę króliczków żywych, jak te wyrysowane, przeznaczyłam wam na nagrodę konkursową.

— Naprawdę ciociu, ach, jak to ślicznie, chodźmy je zaraz obejrzyć te króliczki! — wołały dzieci uszczęśliwione.

Nanka Mateczki.

— Jak miły, jak jasny,
Ten domek nasz własny,
Gdzie szczęście blask słońca rozlewa.

Gdy burza szaleje,
Gdy ostry wiatr wieje,
Co strąca ostatni liść z drzewa.

O! powiedz mi mamolo!
Czy wszędzie tak samo,
W jesienne, zimowe zamiecie.

W bezpiecznym domeczku,
Jak w ciepłym gniazdeczku,
Ma każdy pociechę po lecie.

Czy każda w tej dobie,
Jak ja tu przy tobie,
Dziecina odziana i syta?

Ma cacka, książeczki,
I obok mateczki,
Swawoli, rozmawia lub czyta?

— Nie, córko ma droga!
Nie każdy z rąk Boga,
Wziął dolę jak twoja przyjemną.

Dla iluż to dzieci,
Blask szczęścia nie świeci.
Dla iluż dziś chłodno i ciemno!

Lecz kto ma dostatek,
Ten z wczesnych już latek,
Niech rządzi się myśli takimi:

Że mienia obfitość,
Bogaty przez litość,
Ma chętnie podzielać z biednemi.

Że nędzną jest dusza,
Ta której nie wzrusza
Niedola, co drugich obarcza,
A własny pożytek
I marnych dóbr zbytek,
Do szczęścia na ziemi wystarcza.

I twoje dziecinne,
Serduszko niewinne
Niech przejmie się duchem ofiary.
A wierz mi, tam w niebie,
Najmniejsze dla siebie
Zbawiciel sam przyjmie twe dary.

Wspierając niedolę,
Wypełniasz w tem wolę,
Nam ludziom wskazaną od Boga.
W niej szukaj serdecznej,
Doczesnej i wiecznej
Rozkoszy córeczko ma droga!
E. Lejowa.

p. J. Osęka.

W wigilię Bożego Narodzenia.

Bajka czarodziejska.

(Dalszy ciąg)

Zwierzyny było dużo; zające przebiegać poczęły, od czasu do czasu mignęła sarna. Henryczek mierzył celnie i sam dziwił się swojej zręczności. Nie przypuszczał, żeby mógł tyle upolować, ale spostrzegł ze zdziwieniem, że Gradochmur ciągle pudłował.

— Złą mam strzelbę — rzekł tenże wreszcie niedbale — w każdym razie zwierzyny jest dosyć dzięki tobie, ma się rozumieć. Ale słyszę granie rogu, polowanie skończone. Zaczekaj tutaj, aż przyślę po zwierzynę.

Henryczek zgodził się chętnie i Gradochmur oddalił się. Po dość długiej chwili nadeszło dwóch karzełków, zabrali zwierzynę i za nimi podążył Henryczek aż do polanki, gdzie się zgromadzili myśliwi.

Sopelek zbliżył się do niego.

— Nie dziwię ci się, żeś niezadowolony — rzekł przyciszonym głosem — staraj się wszakże to ukryć.

— Wcale nie jestem niezadowolony — odpowiedział zdziwiony chłopiec — i nie mam co ukrywać.

— Wiemy przecież od Gradochmura, żeś nic nie zastrzelił, ale się tem nie martw, bo...

— Jakto — wykrzyknął zdumiony Henryczek — więc któż zabił te zające, które oto niosą?

— Naturalnie, że Gradochmur, on bardzo celnie strzela. Opowiadał nam, że tak się zmartwiłeś swoim niepowodzeniem, żeś nie chciał tu przyjść; on sam musiał nagle odjechać, kazał cię pożegnać i radził, żebyś tak do serca nie brał niepowodzenia.

Henryczek zdumiony był, iż taki bohater mógł się uciec bo takiego wybiegu. Opowiedział jak się rzecz miała, ale mu nikt nie wierzył. Powtarzano tylko, żeby się nie smucił niepowodzeniem, a ci co słyszeli jak wyrzekał na Gradochmura, odsuwali się od niego z niechęcią, mówiąc:

— Wiemy wszyscy, że on doskonałym jest strzelcem.

Inni uśmiechali się ukradkiem. Henryczek najniewinniej wystawiony na podejrzenia i pośmiewisko, stracił humor i nie wiedział sam co sądzić o tem, co go spotkało. Państwo Śniegoludków już mu się mniej podobać zaczynało.

Odsunął się od swoich towarzyszy aż zdaleka doleciały go słowa: „Czarodziejska kaskada zamarzła.” Zapytał co to za kaskada i powiedziano mu, że to wspaniały wodospad, który bardzo rzadko zamarza.

— Zdarzyło się to raz kilkanaście lat temu — mówił Zamróż — i wtedy choć mi to wszyscy odradzali, wdrapalem się na sam szczyt. Widok z góry jest prześlizny, właśnie słońce zachodziło i oblewało jakby ogniem całą zamazłą ścianę wodospadu, po której się wspiąłem. Nigdy nie widziałem coś równie pięknego. Ale to przeprawa bardzo niebezpieczna i nikomu próbować jej nie radzę.

— Czemu nazywają tę kaskadę czarodziejską?

— Bo na jej szczycie mieszka czarodziejka, która obdarza każdego darem, o jaki prosi. Ja żądałem lekarstwa dla chorego ojca i odrazu mu zdrowie powróciło.

— Co za wspaniała rzecz! — wykrzyknął Henryczek i pomyślał, że on prosiłby o nadzwyczajną siłę. Ach, jakby to było przyjemnie! Jakby wszystkich w podziw wprowadził, gdyby tak np. bawiąc się z towarzyszami, zawołał psa, mówiąc niedbale:

— Chodź Medor, załóżę ci obrózkę i zawiązałby mu na szyi żelazną sztabę, tak jak Zosia Finiowi wiąże wstążeczkę... Tak jest, trzeba koniecznie pójść na tę górę!... Ale pójdzie sam, nikt nie będzie wiedział skąd mu się taka nadzwyczajna siła wzięła. Śniegoludki będą go musieli szanować i Gradochmur nie będzie już śmiał tak z niego zadrwić, jak dziś.

Rozpytawszy dokładnie o drogę, postanowił zaraz nazajutrz skutecznie swój zamiar.

Polowanie już go nie bawiło, uśmiechy i żarty drażniły go, wyruszył więc z powrotem do choinkowego jasku.

Przechodząc koło jednego drzewka, ujrzał śliczne, czerwone jabłko. Nie namyślając się długo zerwał je i poniósł do ust, wnet jednak odrzucił ze wstrętem. Jabłko było gorzkie jak piołun.

— Co to jest? — wykrzyknął przestraszony.

Wtem usłyszał szelest i ta sama staruszka, z którą rozmawiał z rana, stanęła przed nim.

— Jesteś z kraju, w którym się kłamstwem brzydzą — rzekła — więc ci nie łatwo będzie przyzwyczaić się do tego, co tu jeszcze zobaczysz. Państwo Śniegoludków jest państwem kłamców, nikt tu nie dba o prawdę i wszystko tylko z pozoru jest ładne... ale napij się z tej butelki, aby ci owoc zepsuty nie zaszkodził.

Henryczek przestraszony wykonał polecenie.

— Skąd masz tę bliznę na czole? — spytała staruszka.

Chłopiec opowiedział swoją przygodę na ślizgawce.

— Jestem przekonany, że się o coś potknął — rzekł — i gniewa mnie, że nikt temu wierzyć nie chce, choć rzeczywiście nie znaleźliśmy też później nic na lodzie.

— I nie rozumiesz, co się stało? — odparła z uśmiechem staruszka — ja ci to wytłomaczę. Czy uważałeś, że Szronek miał w ręku szpicrutę z twardą rączką? Otóż podrzucił on ci ją pod łyżwę i o nią to potknąłeś się.

— Ależ to nie może być! — wykrzyknął chłopczyk — to byłoby prosto niktę mnością.

— Nic nadzwyczajnego tutaj, gdzie fałsz jest rzeczą zwykłą; sama słyszałam jak śmiejąc się, Szronek opowiadał to drugiemu.

— Ja to wszystkim rozgłoszę — mówił, gorączkując

się Henryczek — teraz sobie przypominam, że mi coś przed oczyma mignęło...

— Radzę ci dać pokój, bo ci nikt i tak nie uwierzy. Ale ty masz też zranioną rękę!

— Skaleczyła mnie fuzya, gdy rozprysła się przy pierwszym strzale, choć nie wiem dla czego.

— Wcale mnie to nie dziwi; Śniegoludki chcą, żeby ich choinki były ładniejsze, niż ich sąsiadów i dla tego wieszają nietylko co dobre i nowe, ale i graty bez żadnej wartości, które rozlatują się w kawałki, byle się ich dotknąć. Nie jednemu te fuzyjki, i te wszystkie śliczności dobrze już zaszkodziły, ale cóż z tego, kiedy z niemi kraj wydaje się bogaty. Powiedz mi jeszcze, jak ci się polowanie udało.

Henryczek oszołomiony tem wszystkim, co słyszał, opowiedział jak było, wyrażając zdziwienie, że taki Gradochmur mógł się uciec do brzydkiego wybiegu.

— Ty go masz za bohatera — rzekła, śmiejąc się staruszka — ale w opowiedzianej historii niema słowa prawdy, bo tutaj wszyscy podają się za bohaterów.

— A ja naprawdę wierzyłem w jego odwagę — zawołał chłopczyk — gdy to poprostu nędzny kłamca! Za cóż go więc tak podziwiali?

— Nie wypadało zrobić inaczej, choć w duszy pewnie wielu nie wierzyło. Gradochmur zaś uważał, że nikt na tem nie ucierpi, jeśli przedstawi się jaknajlepiej. Oczywiście, doraźnej szkody nie przyniósł tem nikomu, a prawdziwa istotnie zasługa większe zyskałaby uznanie, gdyby każdy nie był przyzwyczajony do kłamstwa. Tutaj wszyscy mają się wzajem za oszustów, nikt w prawdziwą cnotę nie wierzy. Szczęśliwym jesteś mój chłopczyku, że jesteś z kraju, w którym kłamać nie wolno.

Henryczek zacisnął zęby, postępek Gradochmura oburzał go, a jednak wieleż razy rozumował on w ten sam szkaradny sposób. Nie dalej jak wtenczas, gdy się chwalił nie swoim rysunkiem, bo czyż nie słyszał potem, jak wuj mówił:

— Franuś uczy się dłużej od Henryczka, ale musi być leniwy, bo rysuje dużo gorzej, a może też źle jest uczony.

Tak więc niewinnem na pozór kłamstwem, dał wujowi złe pojęcie o Franusiu i jego nauczycielu.

(d. c. n.)

SZARADA.

Od Kozaczka dla Mateczki.

Pierwsze jest wielki trębacz mości króla lwa
Pokażną też postawę, jak przystało, ma.
Zas drugie, że literą dobrze o tem wiecie,
Bo przecie alfabet na pamięć umiecie.
A że *wszystko* istnieje od tysięcy lat
Wierzcie mi, bo bez niego wymarłby nasz świat.

ŁAMIGŁÓWKA LITEROWA.

p. Smoka Waw.

a a a a a a a b c c e
g h h i k l o l n o l
r r s t t w y z z

Z rozsypanych tych liter ułożyć znane przysłowie historyczne.

ŁAMIGŁÓWKA GEOGRAFICZNA.

p. Kadłubka.

```

. . . . .
. . . . .
A * * * * * n
. . . . .
. . . . .

```

Zastąpić kropki i gwiazdki literami, ażeby litery złożonych wyrazów oznaczone gwiazdkami, złożyły nazwę stolicy państwa Azyatyckiego. 1 rząd pionowy: Miasto nad Weltawą. 2) Mieszkaniec południowej Afryki. 3) Jezioro w gub. Suwalskiej 4) Jedna z wysp Bahama. 5) Miasta w gub. Siedlec. i Lubel. 6) Prowincya Portugalii. 7) Odnoga rz. Sawy. 8) Miasto w gub. Warszaw. 9) Rzeka we Francyi. 10) Wyspa Jońska.

ROZWIĄZANIA DO Nr. 49.

Predstawienia przysłowia:

Kocioł garnkowi przygania a oba smolą.

Zagadki: El - ba (ba - le).

Łamigłównki liczbowej:

5	10	20	15
15	20	10	5
10	5	15	20
20	15	5	10

Niteczki Aryadny:

I boleść jest rozkoszą i rozkosz boleścią
W każdej kropli słodczy piolun się ukrywa,
I każdego cierpienia szczęście jakieś treścią,
Jedno się z drugim splata, jedno w drugie wlewa.

Skrzynka do listów.

Panience, która bezimiennie złożyła swoje oszczędności dla biednych dzieci, w ich imieniu dziękujemy i życzymy, aby w życiu nieraz doznała takiej radości, jaką sprawiła swoim datkiem.

Łezce z Polesia odpowiemy listownie później, a prosimy o częstsze do Jaskółki odezwy. Topolka z Cyganówki mieszka na wsi.

Choć tak bardzo spóźniony, z przyjemnością odczytaliśmy pierwszy list Cyganeczki i spodziewamy się, że dotrzyma obietnicy, zostając odtąd stałą naszą korespondentką, naturalnie o ile na to książka pozwoli, bo zawsze należy stawiać obowiązek przed przyjemnością. Przy łamigłównce brakuje rozwiązania.

Niezośnemu Chrabąszczowi posyłamy pozdrowienia, pewni, że niezadługo odrzuci dodawany sobie przymiotnik, bo nań nie zaśluguje.

Od Krakowianki zapowiedzianego liściku wraz z koszulką dla ubogiego dziecka oczekujemy, łącząc jej dziś pozdrowienia.

Marusi K. życzymy przyjemnego pobytu w Genewie, dokąd odtąd Wieczory będziemy posyłać.

Miłą nam jest radość, jakiej doznała Malinka z powodu przyznanej za robotkę nagrody; nie wątpimy też, że z zajęciem odczyta swą książeczkę, którą wraz z kalendarzykiem dla jej siostry wysłaliśmy.

Żałujemy bardzo, że Janinka P. zrobiła pomyłkę w wyrazie Kalkutta, który się pisze przez dwa t, gdyż dla tego łamigłównka nie może być użyta. Oczekujemy następnych prób, które może szczęśliwiej się udadzą.

Jan Nap. zapomniał przysłać swego adresu, o który prosimy. Odznaczenie znaczy to samo, co pochwała.

Własnego układu łamigłównki nadesłali: Świętojański robaczek, Kazio K., Rybak, Czarny rycerz, Smok, Orzeł karpacki i Anulka; dobre zaś rozwiązania: Tadzio W. Pszczółka, Zosia i Mania Z., Grzybek, Władzio R. i Henryś.

Dziękuję ci za liścik, kochana Stokrotko z Sobolówki śląc ci w zamian pozdrowienia. Rozwiązanie dobre. Łamigłównkę złożyłam w Redakcyi.

Z przyjemnością odczytałam twój list Mary L. w którym tak szczegółowe dajesz mi o sobie wiadomości. Równie jak ty, i ja lubię wszystkie zwierzęta domowe lecz słuszną zrobiła ci uwagę twa nauczycielka, że hodując je, winniśmy pamiętać o ich potrzebach. Zwierzę bowiem żyjące na swobodzie samo sobie daje radę, ale zwierzęta domowe, są niejako naszymi więźniami, których dola bywa bardzo smutną, gdy je pan ich zaniedbuje.

Jakąż niespodziankę zrobiłeś mi Orle czubaty swym liścikiem. Odtąd pisuj, proszę cię jaknajczęściej; o temat do szczerzej pogawędki sądzę, że nie będzie ci trudno. Ułożoną Niteczkę Aryadny redakcyja przejrzy.

Dajesz mi jeden więcej dowód Luciu K., że od nas tylko zależy, by nam czasu na wszystko starczyło, skoro obok nauk i pilnej gry na skrzypcach, czytujesz jeszcze wiele, rozwiązujesz i układasz nowe łamigłównki. Nadesłaną złożyłam w redakcyi. Następnego listu oczekuję.

List twój, kochana Wichuro, jak zawsze, z przyjemnością odczytałam i spieszę w zamian przesłać zapewnienie, że przyjaźń jaką mię darzysz jest mi wielce miłą, a wiadomości, których o sobie udzielasz, tak coraz więcej zbliżają mnie do ciebie, jakbyśmy się już osobiście znali. Łamigłównki twego układu przejrzone zostaną; ciebie i siostrzyczki twe pozdrawiam serdecznie.

Czyż nieprawda Janinko W., że tylko początek jest trudny? I oto dałaś dowód, iż napisanie listu nie jest wielką sztuką, skoro twój pierwszy, który właśnie odebrałam, bardzo dobre uczynił na mnie wrażenie. Wprawdzie są tam jeszcze małe niedokładności, ale te usunięte niezawodnie będą w następnych korespondencyach, których oczekuję, będąc przekonaną, że wprawa doda ci śmiałości i pobudzi wytrwałość w pięknym przedsięwzięciu zadowolenia mamy.

Długi twój list, kochany Skowronku z nad Warty odczytałam aż dwa razy, tyle w nim ciekawych szczegółów, dotyczących twej osobki, dla której powzięłam szczerą sympatyę. Pewna też jestem, że gdy nadal zachowasz swe upodobania i zamiłowanie do życia czynnego, wyrośniesz na dzielną i pożyteczną niewiastą. A czy pomyślałaś też Skowroneczku komu ten kierunek swego umysłu i serca zawdzięczaś? czyją jest zasługą, że umiałaś ukochać zakątek rodzinny i dawne pamiątki, że cię zajmuje pożyteczna praca, że jesteś wesolą, zadowoloną z siebie i kochaną przez drugich? Zaczęj to twojej mateczki zasługą. Listem następnym wielką zrobisz mi przyjemność, tymczasem przyjmij życzenia szybkiego powrotu do zdrowia wraz z serdecznym pozdrowieniem od

Jaskółki.

ATLANTA

czyli

PRZYGODY MŁODEGO CHŁOPCA NA WYSPIE TAJEMNICZEJ

opowiedziane w listach do Wieczorów

przez Zofię Urbanowską.

Ze 115 rycinami w tekście, 6-ma pięknymi ilustracyjami rysunku Juliana Maszyńskiego, z ozdobnymi inicjałami i kolorową kartonowaną okładką.
Cena rs. 3.



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Już Dziecię Boże w żłobku spoczęło,
Już na się postać człowieczą wzięło,
I jasna gwiazda błysła na niebie,
Zwracając oczy mędrców na siebie.
A kiedy radość anieli głoszą,
Pastuszki dary swoje przynoszą,
Kornie się kłonią Matce, Synkowi
I Ich świętemu Opiekunowi.

* * *
Spieszmy do żłobka, o spieszmy z niemi,
Chwałę śpiewając Panu na ziemi,
Obstąpmy Dziecię Boże dokoła,
Ono nas czeka i na nas woła:



„Pójdźcie, ubodzy, Ja dam wam pracę,
 „Pójdźcie, skrzywdzeni, Ja wam zapłacę,
 „Proście, a będzie wam dzisiaj dana
 „Wszelaka łaska od Ojca - Pana.

* * *
 Więc prosimy kornie Bożą Dziecinę
 Przez Jego świętej Matki przyczynę,
 O czerstwe zdrowie, o wspólną zgodę,
 O deszcz na wiosnę, w żniwa pogodę,
 O łaskę Jego dla naszych drogich,
 O chleb powszedni dla rzeszy mnogich,

O dobro kraju,
 O pobyt w raju
 Na wieki.

M. D.



TERESA JADWIGA.

List wojewodzianki Anieli H. do starościanki Zofii T.

Dnia 27 grudnia roku Pańskiego 1761.

Kochana Zosiuniu!

Jeszcze nigdy nie miałam tak wesołych świąt Bożego Narodzenia, jak tegoroczne, lecz jeśli Bóg najwyższy życia i zdrowia mi nie poskąpi, a także najbliższym sercu mojemu to liczę, iż więcej takich przeżyję, bo teraz wiem dopiero, co nam daje trwałe zadowolenie... W wilię Wigili, wstałam już o piątej rano; zbudziła mnie poczcziwa Basieńka. Pamiętasz tę sierotę, którą państwo przygarnęli pod swój dach, gdy straszna zaraza oboje rodziców jej wydarła, to jakby siostra moja tak ją kocham serdecznie. Otóż Basiunia miała poleczone od imci dobrodziejki, pomódz pannie Rożańskiej, na której głowie u nas całe gospodarstwo, ustroić stół do wigilii; a spodziewaliśmy się licznych gości. Dowiedziawszy się o tym rozkazie dobrodziejki, uprosiłam, aby i mnie wolno też było pomódz pannie Rożańskiej, na co pozwolenie otrzymałam.

Ciemno jeszcze było w mojej sypialni, gdy Basieńka zawołała:

— Panna Rożańska kazała mi iść po specyały do spiżarni, chodź ze mną!

Porwałam się natychmiast i zarzuciwszy na przedce, ranne swoje ubranie, pośpieszyłam. Już to przyznać należy, że spiżarnia nasza jest bogatą: słoje, słoiczeków, beczek, beczulek moc w niej, a w każdej inne specyały: tu orzechy, tam jabłka, tu śliwki kminkiem nadziewane, tam znowu migdałami... Pełnemi dłońmi sypałam przysmaki ze słoje do koszyka, jaki Basia jeszcze poprzedniego dnia tutaj przyniosła, i wyznaję, iż to zajęcie lepiej o wiele przypadło mi do gustu, niż wokabuły francuzkie, jakich Madame każe się nam uczyć codzień po parę stronnie na pamięć. Czasami, gdy zacznę powtarzać głośno: jabłko — la pomme, ogród — le jardin, chleb — le pain, kapusta — le choux, to takie zamieszanie powstaje w mej głowie z tych wszystkich wyrazów, że gdy Madame niespodzianie zawoła:

— Votre leçon, mademoiselle!

A ja stanę przed nią z sercem bijącym, to powiem wów-

* * *
 Redakcyja „Wieczorów Rodzinnych” w ten najpiękniejszy wieczór z całego roku, gdy złota gwiazdka obwieściła ludziom Narodziny Dzieciątka Jezus, Zbawiciela i Odkupiciela świata, w ten wieczór, gdy w każdej rodzinie skupić się starają wszystkie żyjące pokolenia, od najmłodszych dzieci do pokrytych siwizną starców, w ten wieczór tak uroczysty, rzewny i radosny — przesyła wszystkim kochanym swoim czytelnikom, ich rodzinom i domom najserdeczniejsze powinszowania i życzenia tak na te Święta jak i na dalsze ich życie, rozwój i pracę

* * *

czas nieraz: ogród — le pain, chleb — le choux, lub inne podobne głupstwo...

U Madame oczy płoną gniewem i krzyczy na mnie:

— Tête de choux.

A ja i Basia ledwo śmiechem nie wybuchniemy, boć trudno w owo łajanie uwierzyć; wiem wszakże, że nie mam kapusty w głowie jeno rozum, którego, jak twierdzi dobrodziej nie brakuje mi bynajmniej. Więc powiadam ci, Zosiuniu, zajęcie w spiżarni wiele lepiej mi się podobało od wokabuły i od *exercices* na klawicymbale, jakimi pan Maltz, metr muzyki, zamęcza mnie codziennie. Mazurki i krakowiaki grywam z ochotą, tem bardziej, że stary Żukowski, dworzaniu dziadzi, ilekroć zagram, całuje mnie potem w ręce i mówi:

— Złote te paluszki, które mi wracają młodość do serca choć na jedną godzinkę.

Ciężko wyładowany kosz specyałami różnemi, poniosłyśmy do jadalnej sali, gdzie pod kierunkiem panny Rożańskiej czeludź domowa wносиła kozły drewniane, deski i pęki siana. Cała doba dzieliła jeszcze od wieczery wigilijnej, lecz panna Rożańska wołała poprzedniego dnia wszystko przygotować, a Wigilię uczeić, jako święto.

Ustawiwszy kozły, pacholcy położyli na nie deski i utworzyli wielką podkowę. Znaleziona podkowa jest podobno wróżbą szczęścia, dlatego więc panna Rożańska stół biesiadny w podkowę ustawić kazała; na deskach służba rozesała siano, które gościom przypominać miało, aby ubogimi nie gardzili, bo Chrystus Pan narodził się w stajence i na sianie sypał nie na puchu, w żłobku, nie w złocistej kolebeczce. Siano z pomocą Basi zasłoniła panna Rożańska białym obrusem jedwabnym w złote lilije haftowanym, na to drugi błękitny położyły, aby gdy goście jedząc ryby, poplamiały pierwszy, przy zmianie talerzy służba ściągając potrzebowała go tylko, a stół miała już drugim nakryty. Na tych obrusach rozstawiano srebrne talerze, przy każdym kładąc nóż, łyżkę i grabki, co nie jest wszędzie zwyczajem po wsiach, bo w wielu dworach sąsiednich, powiadają, że jeszcze gościom tylko łyżki kładą, sztucce zaś z sobą każdy przywieść musi. W środku stołu, pomiędzy talerzami, ustawiła panna Rożańska

mistrzynie wykonane przez naszego kuchmistrza szpalery z cukru i piramidy, a pomiędzy niemi porcelanowe salaterki, na których każda ułożyła nam przyniesione ze spiżarni specyaly.

Właśnie zabradaliśmy się do roboty, a dzień już rozproszył mroki poranku i można było świece pogasić, gdy we drzwiach jadalni stanęła groźna, jak zawsze, Madame. Przeszedł mnie dreszcz, myślałam, że zawoła, znowu:

— Mademoiselle notre leçon!

Tymczasem, zamiast leçon, rzekła:

— Mademoiselle, votre déjeuner!

Zapomniałam zupełnie, iż nic jeszcze nie jadłam, nie ujęła mnie bardzo w tej chwili polewka z piwa, jaką zwykle na śniadanie pijemy, więc przypomniawszy sobie dawną intencję, powiedziałam, że mam zamiar suszyć do obiadu na chwałę Dzieciątka Jezus

— I ja także, odezwała się Basia.

— Czy państwo wiedzą o waszem postanowieniu? — za pytała Madame.

— Pobożnym naszym postanowieniom państwo nigdy się nie przeciwiają, odparłam.

Madame oddaliła się, lecz wkrótce przysłała pokojową z poleceniem, żebyśmy ubierały się śpieszniej, bo czas jechać na mszę do kościoła.

Salaterki już były napełnione, więc na wyścigi, śmiejąc się przytem głośno, pobiegłyśmy do gotowalni.

Madame złała nas za to; powiedziała nam, iż zachowujemy się, jak dziewczęta z „folwarku”. To porównanie obraziło mnie, zesnurowałam usta, wyprostowałam się i nie rzekłam już ani słowa, podczas gdy pokojowa czesała moje długie warkocze, ścisnęła sznurówką i suknię szeleszczącą, jedwabną nakładała. Lecz kiedy wsiadłszy do sanek, uniesioną zostałam przez moje śliczne bułanki po puszystej, lśniącej białości drodze, zapomniałam o dąsach i uśmiechnęłam się wesoło.

Wróciliśmy na sam obiad, gdyż ksiądz proboszcz zaprosił nas po Mszy św. na kawę. Dowiedziawszy się od Madame, żeśmy naczczo przyjechały, powiedział, że naczczo nie odjedziemy.

Wyśmienity to trunek ta kawa, po raz pierwszy jej sprobowałam. Proboszcz wiele ciekawych rzeczy przy śniadaniu nam opowiedział; niezmiernie światły to człowiek, więc zajmują go nie tylko prywatne sprawy, ale i publiczne i wie co się dzieje w świecie całym. Mówił nam, iż ma pewne wieści, że wojna między królem Pruskim i cesarzową Rakuską ma się ku końcowi ¹⁾.

— Bogu niech będzie chwała, odparłam — obce wojska przestaną nieszczęsny kraj nawiedzać, chaty włościan płądować.

Proboszcz spojrział na mnie przychylnie.

— Jak widzę, Anieleciu, choć mieszkasz w zamku, wiesz co się pod strzechą biednych kmieci dzieje i dola ich nie jest ci obojętną, cieszy mnie to wielce, rzekł.

Zarumieniłam się na te słowa; czułam, że muszę być jak mak ponsowa, boć pochwała była niezasłużona; do chaty kmieci nigdy jeszcze nie zajrzałam, ani mi przeszło przez myśl dotychczas chłopów odwiedzać.

Proboszcz musiał rumieniec mój wziąć za oznakę zawstydzenia, iż zasługi moje odkryte zostały, gdyż spojrział na mnie znowu przychylnie i ciągnął dalej.

— Jutro w zamku twoich rodziców zasiądziesz, Anielko, do wspaniałej uczy; nie wątpię, że pomyślałaś o tem, aby kmieciom nie brakło również w ten dzień zdrowego pokarmu i wesołości.

— Że nie pomyślałam o tem, wyznaję ci szczerze, Zosiuniu; lecz wracając do domu z kościoła postanowiłam, iż wszyscy mieszkańcy spędzą wesoło w tym roku Wigilię.

Dwunasty zegar wydzwaniał na wieży, gdyśmy na dziedziniec wjechały; rzuciwszy kożuszki nasze, pośpieszyłyśmy do jadalni, gdzie państwa i domowników już zastałyśmy ze-

branych, ale jeszcze nie przy stole. Ja i Basia dygnęłyśmy niziutko, przeszedłszy próg pokoju, poczem zostałyśmy dopuszczone do ucaławiania rąk państwa.

Przystąpiwszy do Imć dobrodzieja z pewną dumą powtórzyłam wiadomość księdza proboszcza.

Imć wojewoda wysłuchał mnie z uśmiechem łaskawym, lecz potem zapytał.

— A czy wiesz waćpanna, kto prowadzi tę wojnę?

— Prusy z cesarstwem Rzymskiem — odparłam — Anglia wspiera Prusy, a Rosya i Francya Austryę.

Dobrodziej westchnął.

— Szkoda, żeś chłopcem się nie urodziła, rzekł — więcej chluby tarczy naszej przybyłoby z twego rozumu. Lecz i niewieście rozum zda się, dodał po chwili — pewniej ten idzie przez życie, kogo rozum wspiera; nie marnuje zatem waćpanna Bożego daru, lecz ucz się pilnie.

Ucałowałam pokornie Imć dobrodzieja w rękę za tę przestrożę i siedliśmy do stołu, po jednej stronie Imć dobrodziejka, za nią ja i Basia, potem Madame, następnie panny dworskie, po drugiej dobrodziej, za nim dworzanie, a najpierwszy z nich Żukowski, który wojewodę pono wypiastrował na własnych rękach, bo jeszcze był dworzaniem dziadka mojego; obok zaś Żukowskiego siedział Witold, krewniak mój daleki, tego samego herbu i nazwiska, którego państwo, nie mając syna, przybrali. Panny respektowe szepczą mi, że to mój przyszły małżonek; ha! jeśli państwo tak postanowią, woła ich święta dla mnie.

Lecz odbiegam od przedmiotu. Powtórzoną wieścią, dostarczyłam wątku do rozmowy: Imć wojewoda zagaił rzecz o wojnie. mówił ile kraj nasz wycierpiał, choć biernie się zachował; jaka to wielka łaska Boska, iż owa wojna się kończy. Siedziałam jak zawsze przy obiedzie na brzeżku krzesła, z oczyma spuszczone, z rękami złożonemi, lecz nie słuchałam tym razem o czem panowie mówili, myślałam o włościanach humienieckich, o Wigiliji i o mojem postanowieniu. Łatwo powziąć szlachetny zamiar, szczególnież temu, komu Bóg dał serce gorące, ale wykonać niełatwa sprawa. Myślałam i biedziłam się, co tu zrobić. W tem usłyszałam zwrócone do mnie słowa.

— Smaczną musiały być kawa u proboszcza, bo imć panna wojewodzianka nic nie je?

Tak stary pocziwina Żukosio mnie zaczepił.

Nie straciłam fantazyji.

— Nie o kawie, ale o Wigiliji myślałam, o przysmakach, jakie jeść podczas uczy będziemy i o tem, czy broń Boże, kmieciom naszym chleba w ten dzień nie zbraknie, odparłam śmiało.

Powiedziawszy te słowa, zląkłam się ich dźwięku i pełne niepokoju wejrzenie podniosłam na dobrodzieja, ale spostrzegłam, iż patrzy na mnie jakoś łaskawie; nie przemówił jednak nic, ciągnął dalej swe opowiadanie, gdy po skończeniu obiadu wstaliśmy od stołu, a ja pochyliłam się do rąk wojewody z pocałowaniem, wówczas rzekł do mnie.

— Poproś waćpanna imć pana Żukowskiego, aby jutro rano zechciał ci towarzyszyć w wycieczce na wieś; pieniędzy mu dostarczę; każecie zaprządz do dwóch par sanek; w jednej pojedziesz z panem Żukowskim, w drugiej Basia z panną Rożańską, której nie wątpię, że dobrodziejka pozwoli ograbić trochę spiżarnię, by włościan ucieszyć.

Z wielkiej radości nachyliłam się do kolan wojewody, przyczem uczułam, że wielka łza spadła mi z oczu.

Wymawiała mi potem madame, że ją skompromitowałam wobec całego dworu, bo podjękowałam ojcu, jak prosta chłopka; ale nadto czułam się szczęśliwą tego wieczora, abym przykre słowa madame wziąć do serca mogła. Dygnęłam wesoło przed rozniewaną Francuzką i rzekłam.

— Pardon madame.

Poczem usiadłam z Basiunią i radzieliśmy poczęłyśmy nad Wigiliją; zmrok zapadł, a myśmy jeszcze radziły. Wejście Anusi, która wniosła do naszego pokoju świecznik z woskowymi świecami domowej roboty, zbudziło nas z rojeń; powstałam i zbliżyłam się do madame. By ją ująć sobie, przemó-

¹⁾ Tak zwana wojna siedmioletnia. (przyp. aut.)

wiłam po francuzku; prosiłam, żeby pozwoliła mi iść do wojewodziny.

— Weź Basię ze sobą, odparła krótko.

Imię dobrodziejkę zastałyśmy szepczącą na różańcu pa pierze, obok krosien, na których we dnie haftowała na jedwabiu szkarłatnym złotym sznurkiem wspaniałą ornat dla kościoła. Ujrzawszy nas, przerwała pacierze i rzekła z uśmiechem:

— Panna Rożańska ma już polecenie wydane; gdy sanki zajadą jutro po was, wstawić wam każde pełne kosze jadła i napojów.

Słowami nie umiałam podziękować, tak uczułam się rozrzuwioną, padłam matce do nóg; imię wojewodzina również zdawała się być wzruszoną i położyła miękką swoją dłoń na mojej głowie.

Opisać ranka wigilijnego nie potrafię, Zosiuniu; powiem ci tylko tyle. Te twarze rozradowane niewiast, mężczyzn, dziewcząt i dzieci, których chaty w ów ranek odwiedziłam, jeszcze mi stoją w pamięci i słyszę jeszcze drżące słowa błogosławieństwa, zgarbionych, białych, jak labędzie, starców. Słyszę słowa podziękki gdy dzieliłam się z nimi opłatkiem i rozbrzmiewa w mej duszy radosny chór wołań ich wnuków, który leciał długo za naszymi sankami, wesoly, jak świegot ptasząt naszego ogrodu i równie jak on miły.

Na wieczerzę zjechała do nas moc gości; przeszło sto osób zasiadło do stołu, gnącego się pod ciężarem srebra, porcelany, kryształów, serwisów, cukrowych baszt i jadła przeróżnego, lecz i u was w ten wieczór inaczej pewno nie było, więc o uczcie wigilijnej pisać ci nie będę... o czem innym wolę.

Około północy, goście i domowi paradnemi sankami udali się do kościoła na pasterkę. Kościół gorzał od świateł; białe korzuchy, w które mężczyźni i kobiety ze wsi postroili się, wypełniały świątynię aż po brzegi. Weszliśmy przeto przez zakrystyę i zajęliśmy kolatorskie ławki oraz krzesła, dla nas przed wielkim ołtarzem ustawione. Usiadłam w ten sposób, aby widzieć i ołtarz i pobożnych, a kiedy spojrzałam ku białym kożuchom, to zdało się mi, że wszystkie twarze, tam w głębi świątyni stłoczone, zwrócone są ku mnie, że nigdy jeszcze tak pogodnie nie były... W spojrzeniach starców, młodzieży i dziatwy czytałam wdzięczność i miłość i było mi z tem wrażeniem tak słodko, jak chyba nigdy jeszcze w życiu. To też kiedy następnie potężny chór zaintonował pieśń radosną:

W żłobie leży, któż pobieży
Kolendować Małemu,
Jezusowi Chrystusowi
Dziś nam narodzonemu...

Ja nie pytając wzrokiem madame, czy to uchodzi dla wojewodzianki, padłam na kolana i głos mój z potężnym, pełnym prostoty chórem złączyłam i śpiewałam szczerze, serdecznie hymn na cześć Tego, który ukochał ubogich i pokornych i czułam, że Dziecię Jezus szczerpi w tej chwili w mem sercu miłość dla nich i współczucie dla ich doli.

Tegorocznej Wigilii i pasterki nie zapomnę nigdy, nigdy, Zosiuniu i odtąd, jeśli mi Bóg pozwoli, zawsze ranek dnia tego knieciom wioskowym poświęcę, a teraz żegnam ciebie, kochana moja.

Twoja przyjaciółka serdeczna *Aniela*.

POMNIK

Klementyny z Tańskich Hofmanowej.

Z życiorysu Klementyny z Tańskich Hofmanowej zamieszczonego w jednym z dawniejszych numerów *Wieczorów*, wiadomem już jest czytelnikom naszym, iż zmarła ona w Passy pod Paryżem, a więc zdała od swych stron rodzinnych — i że zwłoki jej spoczęły na cmentarzu paryskim: Père la Chaise, gdzie tylu innych rodaków naszych pogrzebanych zostało. Nie wszyscy wszakże wiedzą, iż wdzięczne serca postarały się zebrać składowy fundusz na wzniesienie jej tam pięknego nagrobka, pierwotnie wykutego z kamienia, a 1883 r. odlanego z brązu, który właśnie nasza rycina przedstawia, a który wymownie świadczy o kierunku prac i dążeń zmarłej autorki, oddanej całą duszą wychowaniu i ukształceniu dziewcząt polskich.

Na frontowej płycie czytamy tam napis:

„Matki i dzieci zmówcie za nią:
Zdrowaś Marya.”



Pomnik Klementyny z Tańskich Hofmanowej.

DZIWIY PRZYRODY.

(Dalszy ciąg).

(Patrz rycina z N-ru 51).

4) Na okrągłym obrazku z lewej strony widzimy ciekawe złudzenie wzrokowe, znane pod nazwą *Widma góry Brocken*, jakkolwiek daje się ono dostrzegać i w innych okolicach górskich, a nie tylko w górach Harcu w Niemczech. Zjawisko polega na tem, że obraz podróznego, stojącego na

szczycie góry, przy pewnych warunkach oświetlenia, odbija się na tle sąsiednich obłoków w rozmiarach znacznie zwiększonych. Przesądni górale, nie poznając w tych mglistych zarysach własnych swych postaci, poczytują je za widma olbrzymów, zamieszkujących głębokie górskie jaskinie. Nadmienić tu należy, iż zupełnie podobne zjawiska dostrzegano nie tylko w górach ale i w dolinach, czasami nawet w miastach. Kroniki starożytne podają nam cały szereg wypadków, kiedy ponad tem lub owem miastem, zjawiała się na niebie olbrzymia postać z mieczem w ręku. Zjawiska takie wywoływały zwykle niezmiernie przerażenie wśród tłumów, jakkolwiek były to tylko odbicia na tle obłoków, pewnych postaci, umieszczonych na szczytach wież. Przed kilku laty piszący te słowa był naocznym świadkiem tego rodzaju wypadku w Kijowie, kiedy postać św. Michała, zdobiąca szczyt miejscowego ratusza, odbiła się wyraźnie w obłokach. Zjawisko trwało parę minut.

5) Żeglarze opowiadają częstokroć o zjawianiu się na morzu tajemniczych statków napowietrznych. Znanem jest powszechnie podanie o tak zwanym *latatującym Holendrze*. Ma to być napowietrzny statek, zwiastujący podróżnym niebezpieczeństwo i najodważniejszy „*wilk morski*,” który śmiało stawia czoło burzy i huraganom, drży jednak jak dziecię na wzmiankę o zjawieniu się latającego Holendra. Łatwo jednak zrozumieć, że całe to tajemnicze zjawisko jest li tylko odbiciem naszego własnego okrętu lub balonu na powierzchni obłoków, które działają w danym razie jak zwykłe zwierciadło.

żnej gęstości warstwach atmosfery skutkiem: czego przy pewnych warunkach dostrzegamy odległe przedmioty, znajdujące się w danej chwili *pod horyzontem* danej miejscowości, a więc takie, których przy zwykłych okolicznościach dostrzedz nie możemy. Obrazy te zwykle niewyraźne i przekształcone do niepoznania skutkiem ustawicznego ruchu powietrza, wydają się istotnie dziełem jakichś duchów nadprzyrodzonych.

7) W piaszczystych pustyniach Sahary, w miejscowościach, w których na setki kilometrów dokoła niema nie tylko miast, ale nawet roślinności, dają się również dostrze-



Hold pastuszków.

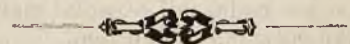
Dzieciątko święte witajmy,
Z aniołami Mu śpiewajmy:
Chwała na wysokości!

Z obrazu malarza franc. z XVII w. Poussin'a

6) W południowych okolicach morza Śródziemnego znanem jest zjawisko, zwane tam „*Fata-Morgana*,” które polega na tem, że podczas upalnych dni letnich na horyzoncie zjawiają się dość wyraźne zarysy domów, pałaców, wież, ogrodów i t. d., które tworzą fantastyczne miasta i okolice. „*Fata-morgana!*” — „*To sprawka Morgana!*” powiadają wówczas Sycylijczycy. Trzeba biewiem wiedzieć, że Morgan było to imię sławnego niegdyś czarodzieja, o którym wzmiankuje włoski poeta Ariosto w sławnym swym poemacie. Właściwie jednak zjawisko to zależy od załamania promieni w ró-

gać niknące złudne obrazy, czyli miraże, rzek i jezior, otoczonych palmami, lub źródeł świeżej wody (Arabi zowią je *Bahr-el-Gazel*, jeziorami gazeli), albo też nawet obszernych morskich przestrzeni. W tym ostatnim wypadku bywa to najczęściej odbicie samego firmamentu w dolnych, bardziej zgęszczonych warstwach powietrza.

Abracadabrus.
(d. n.)



Marya Łopuszańska.

OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg)

Był wieczór; w gródku wszystko cichło powoli, bo walka ustąpiła od półgodziny, i ludzie strudzeni jedli i pili, rozłożywszy się na dziedzińcu; na murach pozostały tylko strażę, patrzący bacznie w okrytą mrokiem dolinę, kędy błyszczały liczne ognie nieprzyjacielskiego obozu. Nagle wśród uroczystej ciszy wieczornej rozległo się jakieś wycie, ale tak ponure, że wszyscy zadrżeli.

— Śmierć chodzi w pośród nas! szeptali ludzie knezia między sobą a kilku z nich poblądło i spojrzęło na Drahomira, który stał w progu dworca, nie zdjawszy jeszcze swej zbroi.

— Tchórze — rzekł ten, ujrząwszy ich przerażenie — wszak to wilk wyje! czyż nie widzicie?

Rzeczywiście wilk knezia Mszczuja, zwany Luty, przysiadłszy na zadnich łapach w rogu podwórza, i głowę podniosłszy na niebo wył przeciągle. Lecz nie uspokoiło to ludzi knezia:

— To zły znak — powtarzali szeptem. Śmierć chodzi pomiędzy nami!

W jednej z izb, kneź Odylon rzucił się na ławę i swoim zwyczajem, utkwiał przed siebie wzrok nieruchomy. Po chwili jakaś ręka oparła się łagodnie na jego ramieniu; obejrzał się i ujrzał nad sobą pochylone oblicze brata Angelo, pełne serdecznego współczucia.

— Kneziu — ozwał się zakonnik cicho — czy nie moglibyście zwierzyć mi się z tego co was trapi? to czasem przynosi ulgę.

Odylon popatrzył na jasne oblicze brata Angelo, zdawało się, że dusza jego rozpogadzać się zaczyna; spojrzął przytomniej, i rzekł po chwili:

— A więc usiądź tu przy mnie; lubię cię bo gdy spojrzę na twoje oczy, myślą przenoszę się w dalekie lata, które minęły... Czasem zdaje mi się, że mam znowu syna... Syna — powtórzył, cóż ja rzekłem?... — Chodź, usiądź przy mnie, mów mi co, bo gdy cię widzę przy sobie, wówczas straszna, krwawa widma nie tak łatwy mają przystęp do mnie... Albo czekaj, opowiem ci powieść o moich synach, pomordowanych przez Gerona...

Brat Angelo usiadł przy nim, i tak siedząc w półcieniu, na drugim końcu izby, którą tylko kaganiec blade oświecał, kneź Odylon rozpoczął swą ponurą powieść, a w miarę jak mówił, nienawiść jego do Gerona i do Niemców wykazywała się w całej swej sile. Nienawiść ta rozciągała się także i na niemiecką wiarę.

Gdy skończył, brat Angelo, ozwał się.

— Jest jednak ktoś, co nawet taką boleść, jak wasza, kneziu, może uleczyć, jest Pocieszyciel, co wszelką gorycz osładza...

— Kto? — spytał kneź — gdzie znajdę pociechę, na taką boleść jak moja; ja dąb, któremu wszystkie konary obrąbano ja sokół, któremu zabrano pisklęta, powiedz, gdzie znaleźć pocieszenie?

Brat Angelo za całą odpowiedź wskazał palcem w górę.

— Bogi? — zawołał kneź Odylon. — I cóż one mi pomogły? Czyżem im nie składał obiat. A wasz Bóg chrześcijański, to Bóg Niemcom oddany, on im jednym sprzyja, ja go nie chcę znać!

— Mylicie się kneziu — rzekł brat Angelo, ten Bóg jest dla wszystkich, wszystkim gotów pomódz w nieszczęściu, bo za wszystkich krew swą wylał!

— Nie, nie, nie gadaj mi! — wołał starzec, z boleścią, on Niemcom tylko sprzyja, wiem o tem!

A wreszcie dobrze, niech wskrzęsi moich synów pomordowanych niech powróci wnuka, którego mi skradziono, a wówczas weń uwierz!

* * *

Na drugi dzień brat Angelo czuwał nad dwoma rannymi, którzy leżeli w izbie na ziemi, a jego łagodne i litościwe słowa starały się przynieść ulgę cierpiącym.

Właśnie przypuszczano nowy szturm do murów, słychać było krzyki, szcęk broni a po nad to wszystkim rozlegał się grzmiący głos Drahomira, który wołał: „Do mnie łuczniczy!” oraz głos knezia. „Kamienie rzucajcie im na głowę!”

Kneź Odylon siedział w kącie na ławie i patrzył w milczeniu za bratem Angelo, który podawał wodę rannym.

Po chwili ozwał się jakby do siebie:

— Codzień widzę w nim więcej podobieństwa...

Brat Angelo przybliżył się, usiadł przy nim, a biorąc jego rękę ze współczuciem zapytał:

— Do kogo jestem tak podobnym, kneziu?

— Do mego najstarszego syna; i dlatego mię odrazu za serce chwyciłeś. Miałem po nim wnuka, ale i tego mi zabrano...

— Jakto, cóż się z nim stało? — spytał brat Angelo ze współczuciem.

— Ach, więc ty jeszcze nie wiesz wszystkiego, co wycierpiałem.. Opowiem ci zaraz: było to w tym samym gródku, u mego brata; chłopiec miał już wtedy lat kilka; piękny był, zdrow, silny, oczy moje spoglądały na niego z rozkoszą, gdy raz do gródka zawitał kupiec niemiecki, sprzedający niewiastom towary z dalekich krajów. Patrzył na wszystko ciekawie i przekłete jego oczy dostrzegły dziecko i więź za niem poglądały. Matka, zląkwszy się by nie rzucił jakiego uroku, ukryła chłopię w komorze, ale cóż, głupie niewiasty tak się zajęły kupionami błyskotkami, że nie spostrzegły, jak chłopiec przed wieczorem wybiegł poigrać na dolinie, i przepadł gdzieś jak kamień w wodę...

— I nie wiecie co się z nim stało? — zapytał brat Angelo ze wzruszeniem.

— Szukałem, badałem, pytałem; omałom nie oszalał z bólu; stałem się jako odyniec ranny, który rzuca się wściekle na tego, kogo napotka; niewiast, mających pieczę nad dzieckiem ledwie mi nie pozabijał.

Lecz i to nie pomogło. Ten szatan Niemiec skradł mi wnuka i zostałem sam jeden na świecie... ród mój wraz ze mną wygaśnie.

Brat Angelo porwał się nagle z miejsca i wyrzekł półgłosem.

— Boże wielki, co za dziwny zbieg wypadków...

— Co mówisz? — zapytał kneź podnosząc nagle głowę, którą dotąd trzymał opuszczoną na piersi.

— Nic, nic — odrzekł brat Angelo, siadając przy starcu i biorąc go znów za rękę. Mówcie dalej kneziu, jak to dawno się stało?

— Jak dawno? — powtórzył kneź, przesuując rękę po czole. Osiemnaście już zim minęło jak oplakuję mego wnuka...

— A w jakim wieku był chłopiec, gdy go skradziono?

— Miał wtedy lat cztery.. Ale dlaczego tak dziwnie patrzysz na mnie? Ty coś wiesz...

To mówiąc, stary kneź, ujął silnym uściskiem obie ręce zakonnika, i patrząc mu bystro w oczy, nalegał:

— Teżeli wiesz co o moim wnuku, powiedz, skróć moje męczarnie!

— Wiem tylko rzekł młody kapłan — iż przed ośmiastu laty kupcy normandzcy przywieźli do brzegów Neapolu dziecko, które nasz klasztor wykupił i wychował; gdy chłopiec ten dorósł lat młodzieńczych, przywdział zakonne szaty, Bożej poświęcając się służbie.

— To ty nim jesteś, prawda? O powiedz, powiedz jak to było — nalegał starzec z uniesieniem, gdy w tejsze chwili w otwartych drzwiach izby stanął O. Augustyn.

— Ojczy — rzekł, zwracając się ku niemu brat Angelo — wy, którzyście opiekowali się mną w dzieciństwie, rozpowiedzcie jak to było, gdyście mię wykupili z rąk Normandów?...

Sędziwy zakonnik zamyślił się chwilę, widno uprzytomniał sobie dawno minione czasy, poczem rzekł poważnie:

— Omnaście lat mija właśnie, gdy do zatoki Neapolu przybiły statki piratów normandzkich, mających na sprzedaż bursztyny nadbaltyckie, drogie makaty wschodnie i niewolników z różnych stron świata. By ulżyć niedoli tych ostatnich wysłano mnie i drugiego brata z klasztoru. Wśród tłumu nieszczęśliwych uwagę naszą zwróciło pięcioletnie zaledwie pachole, niby cherubinek o jasnych włosach i błękitnych oczach. Za zgodą przeora wykupiliśmy go z niewoli...

— I odtąd klasztor stał się mu matką i ojcem — dokończył ze wzruszeniem brat Angelo.

— Jeśli prawdziwie ty jesteś synem mego syna — zawołał stary kneź — musisz mieć bliźnę od uderzenia kopyta końskiego na czole pod włosami.

Brat Angelo nachylił ku starcowi swą głowę, a ten rozgarnawszy jego jasne włosy, wydał okrzyk szalonej radości i objąwszy go serdecznym uściskiem, wołał wśród łkań, które zda się, rozsadały mu piersi:

— Wnuku mój, jedyny mój wnuku!... Więc już nie jestem teraz sam na świecie, — więc oczy moje zanim zagasną, mają pociechę oglądania ostatniej latości mego rodul...

Umilkł na chwilę wyczerpany nadmiarem szczęścia starzec, z czego korzystając O. Augustyn, rzekł uroczystym głosem:

— Wszehmocny to Bóg, któremu my służymy, daje ci szczęście tej chwili. Uznaj potęgę i dobroć Jego, ukorz się przed Nim, bo On w tej chwili woła ku tobie: „Jam jest jedynym Bogiem dobroci i miłosierdzia!”

Na to wezwanie stary kneź osunął się na kolana i wznosząc ręce w górę, zawołał:

— Boże chrześcijański, czczę i miłuję Cię, jakom poznał, żeś wielki, miłosierny i dobry, żeś Ty nie Bogiem okrutnych Niemców tylko...

Tuż obok swego dziada klęknął brat Angelo, którego twarz promieniała niebiańską radością, gdy dusza śpiewała hymn miłości i dziękczynienia wśród uroczystej ciszy, jaka zaległa świetlice.

W tym samym czasie zamknięty w sąsiedniej izbie Ładon, śledził przez okno postępy walki, hamując z trudem swój zapał wojowniczy, wobec koniecznej bezczynności niewoli.

Na szerokim murze warowni wyniosła postać Drahomira górowała nad innymi. Jego piękna zbroja normandzka i szyszak na głowie ze stalowym grzebieniem błyskały w świetle, stając się celem pocisków nieprzyjacielskich, on jednak obojętny na to, niestrudżonem ramieniem pracował bezprze-stannie, a każde uderzenie jego miecza było śmiertelnym ciosem dla napastujących.

Nagle Ładon drgnął, i w oczach mu pociemniało, bo wszakże się nie myli, iż to ojciec jego stoi obok młodego knezia.

Rycerze rozmawiają chwilę, widocznie robią układ jakiś... Teraz stają naprzeciw siebie, tarcze unoszą w górę, prawice ich ujęły miecze...

Zrozumiał Ładon, iż ma to być walka rozstrzygająca.

I rzeczywiście wojewoda Bożydar, widząc jaki postrach wśród ludzi obudza młody rycerz, postanowił sam się z nim zmierzyć.

— Kniaziu Drahomirze — rzekł, podszedłszy ku niemu, — widno mi, że próżno tracimy czas i ludzi. Sprobujmy się raczej oba. Jeśli ja zginę, wojsko królewskie odstąpi od oblężenia, bo bez wodza bić się nie będzie; jeśli ty padniesz, gródek nasz — czy zgoda?

Pewny młodzieńczej swej siły, więc i oczywistej przewagi nad stárce, szlachetny Drahomir nie od razu przyjął wyzwanie, ustąpił jednak w końcu naleganiom wojewody.

A było to dwóch godnych siebie przeciwników, z których jeden z zimną rozważą stosował wyższą sztukę użycia miecza, nabytą w długoletnich bojach z Niemcami — drugi walczył starym obyczajem, przekazanym rodowi kneziów, przez dawnych jego przodków Normandów, ale był z tych zapaśników, którzy zdają się duszę swą wkładać w każdy cios zadany.

Tak więc zdarzyły losy, iż w obronie nowego porządku stawał stary, w obronie dawnego młody rycerz.

Zrazu widnem było, iż Drahomir oszczędza wojewodę, zachowując stanowisko więcej obronne, w miarę wszakże jak walka się przeciągała, młoda krew poczęła się rozgrzewać.

Tymczasem wojacy stron obu wyczekiwali jaki będzie wynik tego pojedynku ich wodzów, tylko od czasu do czasu świsnęła strzała łuczniczków.

Ale Ładon szalał z niecierpliwości.

— O hańbo — wołał — ja syn, ja młody i silny muszę patrzeć spokojnie, jak siwy ojciec potyka się za mnie!... Nie, nie pokonam się dłużej! Miecza mi dajcie, miecza choćby na chwilę!... I pędzony szalem rozpaczy wysadził drzwi zaryglowane, biegnąc na dziedziniec niepouany, że jest bez broni.

Lecz na podsieniu spotkał się oko w oko z kneziem Mszczujem.

— Dokądże to? — spytał ten zimno.

— Puść mię, tam mój ojciec...

— Powoli, ptaszku, tam się obejdzie bez ciebie — rzekł stary kneź, i żelazna jego dłoń chwyciła rycerza za piersi, przypierając do ściany.

Ładon rwał się, ale daremnie. Chwilę już trwało to szamotanie, kiedy na murach rozległy się radosne okrzyki, zwiastujące porażkę jednego z zapaśników. Gwałtownym ruchem usunął wreszcie na bok młodzieniec starego knezia i wybiegł na dziedziniec, lecz już nie dostrzegł swego ojca na murach; już wojacy obu stron zawarli się ponowną walką.

Zrozpaczony zrozumiał położenie, i gdy tak stanął nieprzytomny prawie, zbliżyła się ku niemu młody kneź.

— Drahomirze — zawołał — byliśmy braćmi i druhami niegdyś, powiedz mi prawdę, czyś ty go zabił?..

— Uspokój się. Ojciec twój lekko tylko ranny, za dni parę znów stanie na czele swych szyków. Wiem mi, nie chciałem tej walki, pomny na przyjaźń naszą, ale stary wojewoda się uparł. Dzielnym z niego rycerz, miałem dość roboty nim go pokonałem; lecz da nam się on jeszcze dobrze we znaki.

Ładon rzucił się na szyję przyjaciela.

— O jak szczęśliwy jestem — zawołał — że nie rozdziela nas krew mego ojca!...

(d. n.)

Niebo w grudniu.

W grudniu słońce, znajdując się na półkuli południowej nieba, oddala się najbardziej od równika, przez co mieszkańcy półkuli północnej mają dzień najkrótszy, noc najdłuższą. D. 21-go słońce znajduje się w punkcie zimowego przesilenia dnia z nocą i w tym dniu świeci najniżej w chwili przejścia przez południk, znajdując się zaledwie na 1^o nad poziomem; następnie wysokość słońca wzrasta, dochodząc w końcu miesiąca do 15^o. Dzień najkrótszy, odpowiadający zimowemu przesileniu, trwa u nas 7 godzin 34 minuty, poczem dnia przybywa, chociaż bardzo nieznacznie, gdyż zaledwie 5 minut (w d. 31-ym).

W czasie pełni d. 27-go b. m. będziemy mogli oglądać w dokładnych warunkach całkowite zaćmienie księżyca, którego początek przypadnie w Warszawie o godz. 11 m. 12 wieczorem; będzie to chwila zetknięcia się cienia, rzuconego przez ziemię, z tarczą księżyca; całkowite zaćmienie zacznie się o godz. 12-ej m. 21 po północy, koniec zaćmienia wogóle przy-

padnie o godz. 3-iej w nocy. Księżyc będzie zatem pograżony całkowicie w cień ziemi przez 1¹/₂ godziny, a całe zjawisko potrwa 3 godz. 48 minut.

Zacmienie będzie widzialne w Europie, Azji, Afryce, na oceanie Indyskim i Atlantyckim, oraz w Ameryce.

Z planet tylko Mars świeci przez całą noc, łatwy do odróżnienia od gwiazd stałych po spokojnym blasku czerwonym; znaleźć go można wieczorami pod gwiazdozbiorem Bliźniąt na lewo od Kastora i Polluksa, w gwiazdozbiórze Raka...

NAJNOWSZE WYDAWNICTWA GWIAZDKOWE DLA DZIECI i MŁODZIEŻY

do nabycia we wszystkich księgarniach. *)

Gebethnera i Wolffa.

- Bukowiecka Zofia.** *Młotem i kielnią.* Opowiadanie dla młodzieży. Z 7 rysunkami Wł. Jasińskiego 1.—
w ozdobnej oprawie płóc. 1.40
- Przyborowski Walery.** *Namioty Wezyra.* Powieść historyczna z 10 rycinami J. Kosaka i K. Pułaskiego, kop. 80, w ozdobnej oprawie 1.20
- Teresa Jadwiga.** *Kara Boża.*— *Wilczek.* Dwie powieści hist. z 10 rysun. S. Sawiczewskiego rs. 1, w ozd. oprawie 1.40
- Bełza Wład.** *Buśń o dobrym synu.* Według ludowego podania opracowana. Z 4 ryc. kop. 40, karton. —.50
- Anczyc Wł. L.** (Kazimierz Góralezyk). *Dzieje Polski w 24 obrazkach kolorowanych.* Wyd. nowe, karton. —.50
- Chata wuja Toma.* Powieść **H. Beecher Stowe** dla młodzieży opracowana. Wydanie drugie z 4 rycinami kop. 80, w ozdobnej oprawie 1.20
- Cbęciński Jan.** *Opowiadania historyczne* dla młodych czytelników. Wydanie trzecie z 10 rycinami —.80
w ozdobnej oprawie 1.20
- Dmochowski F. S.** *Krótki zbiór historii polskiej,* podług najnowszych źródeł historycznych opowiedziany. Wydanie nowe, poprawione, rozwinięte i uzupełnione spisem chronologicznym i wykazem książąt z plemienia Piastów i Gedyminów, kop. 60, w opr. płóc. —.80
- Duch puszcz y.* Opowiadanie z amerykańskich borów według d-ra Birda. Opracował **W. L. Anczyc.** Wydanie 4-te, z 8 rycinami, kop. 80, w ozdobnej oprawie 1.20
- Dygasiński Adolf.** *Przygody młodzieńca czyli Robinson polski.* Wydanie 2, z 6 ryc. kop. 80, w ozd. oprawie 1.20
- Kraków Paulina.** *Niespodzianka.* Zbiór powiastek dla pilnych dzieci. Wydanie 10-te z 4 ryc. kolor. karton. —.75
- Mayne-Reid, kapitan.** *Młodzi żeglarze.* czyli przygody myśliwskie w Ameryce południowej. Przełożyła **M. J. Zaleska.** Wydanie 2-gie z 12 rycinami —.80
w ozdobnej oprawie 1.20
- Powieści z tysiąca i jednej nocy* dla młodzieży. Przekład polski podług **A. L. Grimma.** Wydanie 4 z 6 rycinami kolorowanymi, kart. w ozdobnej okładce 1.50
- Przyborowski Walery.** *Myszy Króla Popiela.* Opowiadanie przedhistoryczne. Wydanie 2 z 6 rycinami —.80
w ozdobnej oprawie 1.20
- Robinson szwajcarski* podług **J. Stahl'a** przełożył **Jan Cbęciński.** Wydanie 4 z 12 ryc. kop. 80, w ozd. oprawie 1.20
- Teresa Jadwiga.** *Z lat minionych.* Moja pieszczotka.—Ry-

cerz błękitny — *Krwawe chwile.* Trzy powieści historyczne. Wydanie drugie z 3 rycinami —.80
w ozdobnej oprawie 1.20

M. Arcta.

- M. Brzeziński.** *Moje walcacye na wsi.*
- B. Dya kowski.** *Nasz las i jego mieszkańcy* z licznymi rysun.
- Stefan Gębarski.** *Skarby na dnie Wisły.* Powieść.
- Zofia Kowerska.** *Losy Adasia. Ofiara. Ona.*
- Antonina Domańska.** *W Woli Tenczyńskiej.* Opowiadanie dla dzieci z 4 obraz.
- Marya Halina** wybrała z poetów polskich dla dzieci, *Wiersze i Deklamacye.*
- K. Gliński.** *Polne kwiaty.* Piękny zbiór poezji naszego znanego poety dla dorastającej młodzieży.
- Teresa Jadwiga.** *Obrazki z życia znakomych Polaków i Polek,* Nadzwyczaj pożyteczna i ciekawa książka o 40 znakomych postaciach z przeszłości naszej.

ATLANTA

czyli

PRZYGODY MŁODEGO CHŁOPCA NA WYSPIE TAJEMNICZEJ

opowiedziane w listach do Wieczorów

przez **Zofię Urbanowską.**

Ze 115 rycinami w tekście, 6-ma pięknymi ilustracyami rysunku Juliana Maszyńskiego, z ozdobnymi inicjałami i kolorową kartonowaną okładką.

Cena rs. 3.

*) Nie mogąc z powodu braku miejsca podać streszczenia i szczegółowej oceny tegorocznych wydawnictw gwiazdkowych ogłoszonych w NN. 51 i 52 *Wieczorów*, zaznaczamy tylko, że książki te, wydane starannie i ozdobnie, najzupełniej odpowiadają swemu celowi i przynoszą zdrową i ciekawą strawę umysłową dla młodego pokolenia. Większość autorów zaliczamy z chlubą do grona stałych współpracowników *Wieczorów.* (Przyp. Red.)

Do tego numeru *Wieczorów Rodziny* dołącza się na pocztę katalog książek dla dzieci i młodzieży oraz *Podręczników* wykładowych **K. Grendyszyńskiego.** Petersburg ul. Ekaterynska N. 2.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zlr. 1 cent. 75 (3¹/₂ korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10.**

TREŚĆ: Gwiazdka (z ryc.) — List wojewodzianki Anieli H. do starościanki Zofii T. przez Teresę Jadwigę. — Pomnik Klementyny z Tańskich Hofmanowej (z ryc.) — Dziwy przyrody. — Boże narodzenie (ryc.). — Obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — Niebo w grudniu. — **Dodatek:** Gwiazdka, wiersz (z ryc.) — Czy będzie? Komedyjka w jednej odstonie. — W wigilię Bożego Narodzenia — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — **Dodatek książkowy:** Wspomnienia Haliny, przez Julię Piasecką.

WIECZORY RODZINNE



GWIAZDKA.

O gwiazdeczko srebrno - biała,
Która cieszysz światy,
Prosim byś nie omijała
Żadnej naszej chaty;

Bo tu ciebie z utęsknieniem
Wielkim oczekują,
I na niebie z rozrzewnieniem
Wszędzie upatrują.

Radość wszystkim nieś dzieciętkom
Pod wszelaką strzechę,
Wszystkim ojcom i mateczkom
Z dzieci daj pociechę!

CZY BĘDZIE?

KOMEDYJKA W JEDNEJ ODSZONIE.

OSOBY.

JÓZIA	}	(rodzeństwo).
STASIA		
KAZIO		
ADELICIA		(ich kuzynka)
MARYSIA		(służąca).

(Scena przedstawia pokój starannie umeblowany, Marysia ściera kurze, za nią chodzi Stasia).

SCENA I.

MARYSIA I STASIA.

STASIA. Marysiu... moja kochana...

MARYSIA. Czego panienka chce?

STASIA. Powiedz prawdę, widziałas choinkę?

MARYSIA. Eh! co miałam widzieć, kiedy choinki wcale nie będzie.

STASIA (niecierpliwie). Otóż będzie! co rok bywa i dzisiaj też być musi.

MARYSIA (wzruszając ramionami). Musi być! a jak nie będzie to co?

STASIA. Moja Marysiu, nie gniewaj mnie swojemi żartami.

MARYSIA. Pocóż miałabym z panienki żartować? ja mówię szczerą prawdę, choinki nie będzie.

STASIA (płacząc). Będzie, będzie choinka! Bo dla czego miałaby nie być, przecież dziś taka sama wigilia jak w zeszłym roku.

MARYSIA. Rozumie się, że taka sama, ale panna Józia dawno już nie dba o choinkę, panicz Kazio jest już w drugiej klasie, to mu też co innego w głowie.

STASIA. A ja? to nic nie znaczę?

MARYSIA. Eh, przecież panienka już też nie taka mała.

STASIA. Ale dorosła jeszcze nie jestem, i nie rozumiem Wigilii bez choinki.

MARYSIA. Teraz to panienka chce być jak najmłodszą, a wczoraj tak się sprzeczała z panem Kazimierzem, że już dawno przestała być dzieckiem.

STASIA. Bo ten Kazik, że już jest w drugiej klasie, to myśli, że najmądrzejszy! Wszystkimi chce rządzić... ale ja nie pozwolę przewodzić nad sobą, skończyłam lat 10.

MARYSIA (z udanem zdziwieniem). O! to panienka już bardzo duża. Teraz jestem zupełnie pewną, że choinki nie będzie.

STASIA. Moja Marysiu, przestań mi dokuczać, i powiedz prawdę, widziałas choinkę?

MARYSIA. Nic nie widziałam.

STASIA. Kiedy mnie się zdaje, że raniutko stróż Marcin jakby coś niósł po schodach.

MARYSIA. Aha! prawda, Marcin niósł rano choinkę, ale na trzecie piętro, do tych państwa, co to mają ślicznego, małego chłopczyka.

STASIA (smutnie). Doprawdy? więc to była choinka dla Felcia?

MARYSIA. Tak, tak, pytałam się Marcina.

STASIA. Ale może później przyniósł też dla nas; a nie wiesz, co dostaniemy na gwiazdkę?

MARYSIA. O tem coś słyszałam.

STASIA. Naprawdę? o! powiedz, moja Marysiu, powiedz.

MARYSIA. Panienka dostanie wszystkie przybory do szycia.

STASIA. Eh, wolałabym dużą lalkę; a może się przesłyszałaś?

MARYSIA. Zdaje mi się, że nie, ale muszę już iść, panienka próżno mi tylko czas zajmuje.

SCENA II.

STASIA (sama chwilę stoi smutnie zamysłona). Choinki nie będzie, lalki nie dostanę, o której marzyłam. Co mi po takiej Wigilii... (po chwili) myślą, że zrobią mi przyjemność tym podarunkiem (wzrusza ramionami). Przybory do szycia, a jazyć nie lubię; to prawdziwa męka dla mnie, kiedy siedzieć muszę spokojnie i do krwi pokłuć sobie palce. A może Marysia mówi nieprawdę?... bo ja jestem taka nieszczęśliwa, że wszyscy żartują ze mnie, każdy mi dokucza jak może... Józia prawi ciągle morały, jak jaka dorosła osoba, a przecież jeszcze nie ma długiej sukni. Kazio jest prawdziwie nieznośny, patrzeć nie mogę jak podniesie głowę do góry, ręce włoży w kieszenie i woła: mała, chodź tu do mnie. Ja naturalnie udaję, że nie rozumiem do kogo on mówi. Marysia znowu myśli, że zawsze jestem maleńka, nie zna dla mnie szacunku, żartuje ze mnie, a później śmieje się, żeń uwierzyła.

SCENA III.

KAZIO (wbiega).

KAZIO. A, jesteś tu, mała?

STASIA (nadąsana). Niema tu nikogo więcej prócz mnie, nie wiem o kogo pytasz.

KAZIO (śmieje się). Ha, ha, ha, to ty dziesiaku myślisz, żeś już dorosła panna.

STASIA (obrażona). Zapomniałeś zapewne, że moje imię Stanisława.

KAZIO (kłaniając się). A przepraszam pannę Stanisławę!... Rzeczywiście zapomniałem.

STASIA (niecierpliwie). Ach Boże!.. Kaniu, kiedy ty przestaniesz ze mnie żartować?..

KAZIO (drwiąc). Chcesz wiedzieć kiedy? Otóż gdy wszyscy ludzie na świecie zaczną chodzić na głowach, a rozum będą mieli w nogach.

STASIA. To może wtedy będziesz ty mądrzejszy, bo dzisiaj to w głowie masz pustki.

KAZIO (z gniewem). Mówiłem ci, abyśzawsze pomyślała o tem co chcesz powiedzieć, a nie łędziesz plotła niedorzeczności.

STASIA. Nie wiem kto więcej plece, ale pójdę sobie, bo zaczyna się sprzeczka. Dzisiaj Wigilia, a podobno jakim kto jest dzisiaj, takim bywa rok cały, ja zaś nie chcę być niezgodną, (zamierza wyjść).

(d. n.)

J. Osęka.

W wigilię Bożego Narodzenia.

Bajka czarodziejska.

(Dalszy ciąg)

— Kraj ładny — mówiła staruszka — ale mnie tu przykro bardzo. Byłam ja dawniej w służbie księżnej Prawdy, siostry obecnie panującego ks. Śniegów; niegodny brat znudzony jej napomnieniem, wydalil ją i odtąd nikt tu o Prawdzie nawet nie wspomni. Moja zacna pani gdzieindziej musiała szukać schronienia, a zostawiła mnie tutaj, aby mieć prawdziwe o bracie wiadomości. Brzydnie mi tu życie, ale cóż zrobić, obiecałam!...

Henryczek pożegnał staruszkę i zamyślony podążył do domu Sopleka.

III.

K u l i g .

Gdzie byłś Henryczku, szukam cię od godziny. Zapomniałeś pewnie, że jesteśmy zaproszeni na obiad do księcia Śniegów. Spieszmy się — rzekł Soplek, spotykając chłopca.

Po zwodzonym, lodowym moście, nad pieniającym się niezamarzłym potokiem, dostali się wkrótce na podwórzec zamkowy, otoczony śniegowym wałem, a przez wspaniałe przedsionki weszli na pokoje książęce.

W obszernej sali jadalnej stał wielki stół, pięknie zastawiony lodowymi kryształami.

Na pierwszym miejscu zasiadł sam książę Śniegów w gronostajowym płaszczu i lśniącej koronie, mając po prawej swej ręce jaśniejącą wdziękiem i strojem dostojną swą małżonkę, której biała jedwabna suknia, oszyta szronowemi koronkami, szczególniej podobała się Henryczkowi.

Za księżną długim szeregiem zajęły miejsca damy dworskie z upudrowanemi brylantowym pyłkiem fryzurami, w sukniach i mantylkach z leciuchnych płatków śniegowych.

Naprzeciwno zasiedli panowie.

Jedzono wyśmienite potrawy, wnoszono liczne toasty i bawiono się wesołą rozmową.

Ponieważ po uczcie miano wyjechać kuligiem do władcy Zielonego Jałowcu, całe towarzystwo znalazło się znów na ganku zamkowym, przed którym stało już mnóstwo maleńkich saneczek w kształcie różnych ptaków, a zaprzężone do nich zręczne kucyki, niecierpliwie czekały chwili odjazdu.

— Będziesz towarzyszył pani Śnieżnej — rzekł Soplek do Henryczka — chodź więc, bym cię jej przedstawił.

Niebawem za sankami księcia ruszyły kolejno inne a w powietrzu rozległy, niby muzyka, głosy dzwoneczków to wesołe i skoczne, to przeciągłe i tęskne. Wkrótce wszystkie rozpierzochły się po różnych ścieżkach lasu, aby następnie spotkać się na miejscu ogólnej zabawy.

— Czuję, że mam za lekko ubrana — rzekła pani Śnie-

żna po kilku minutach jazdy; muszę koniecznie wziąć ciepłe futerko, więc proszę zawrócić.

Henryczek spełnił wolę swej damy, chociaż bardzo był z tego niezadowolony, przewidując znaczne opóźnienie, a co więcej nie znał przecież zupełnie drogi do gajku Zielonego Jałowcu.

Tymczasem gdy stał przed gankiem zamku, czekając powrotu pani Śnieżnej, nadszedł Lodnik.

— Przyjacielu miły — rzekł on — pożycz mi na kwadransik twoich saneczek, mam pilny interes do śniegowego domku o małą stąd wiorstę.

— Nie mogę, czekam na panią Śnieżną, która poszła się przebrać.

— Przebrać? Ależ w takim razie nie spodziewaj się ujrzeć jej prędko, a ja za chwilę będę z powrotem.

— Możesz się opóźnić, coby mi zrobiło przykrość wielką, bo i tak mam zmartwienie, nie wiedząc teraz w którą stronę się zwrócić do miejsca ogólnej zabawy.

— Toż kłopot najmniejszy; za przysługę pożyczania mi sanek, wskażę ci jaknajdokładniej tę drogę. Ot, patrz, około tej wielkiej sosny, zбочysz na prawo i jedziesz przed siebie prosto. No, bądź uczynnym towarzyszem!

Henryczek ustąpił, bo domek, który wskazał Lodnik, znajdował się rzeczywiście bardzo blisko, ale jakie było jego zdziwienie, a następnie oburzenie, gdy spostrzegł, że kłamliwy karzeł minął ów domek i pędził spieszenie dalej.

Z ponurego zamyślenia zbudził go przechodzący Śniegoludek, który zapytał:

— Na kogo to czekasz, kolego?

— Lodnik prosił mnie o pożyczanie sanek na krótką chwilę do śniegowego domku, a pojechał nie wiem gdzie...

— Wiadome rzeczy, Lodnik miał interes o kilka mil stąd, a ciebie tylko obalamucił, bo dziś nigdzie koni dostać nie mógł.

— Czy to możebne, żeby tak kłamał?

— Albo w tem co nadzwyczajnego?... Lodnik kłamie lepiej od wszystkich — zaśmiał się Śniegoludek i poszedł dalej.

Nie chcąc zrobić zawodu pani Śnieżnej, Henryczek pobiegł starać się o inny zaprząg. Było to wszakże rzeczą bardzo trudną i upłynęła dobra godzina, gdy po wielu zachodach udało mu się wreszcie wynająć jakieś bardzo niepozorne saneczki.

Oczywiście pani Śnieżna czekała już wielce niezadowolona zarówno z opóźnienia, jak zamiany.

Henryczek pragnąc naprawić jej humor trzasnął z bicia i popędził rażno w kierunku wskazanym przez Lodnika.

Tymczasem coraz więcej zaczęło się ściemniać, mroźny wicher szumiał wśród lasu, a Henryczek jechał i jechał. Aż poznał wreszcie nieborak, że się błąka, że śladu żadnej drogi niema już przed sobą.

— Co za nieszczęście — narzekala otulona w futerko mała dama. — Jakże pan mogłeś narazić mnie na takie niebezpieczeństwo! W lesie podobno są wilki, mogą mnie pożreć... O biedna, ja biedna!... i poczęła płakać głośno.

Sam zaniepokojony i strasznie zziębnięty, chłopiec nie miał słów tłumaczenia lub pociechy.

Jak długo tak błędził wśród ciemności nocnej sam już nie wiedział, aż wreszcie szczęśliwym wypadkiem spotkał jakiegoś wieśniaka, który za sowitą nagrodą doprowadził go do znanej mu sosny, skąd już nie trudno było zajechać przed książęcy zamek.—A gdzie to państwo mieli podążyć — spytał wieśniak na pożegnaniu.

— Do gaiku Zielonego-Jałowcu.

— A toście się wybrali, przecie to całkiem w innej stronie. — Henryczek zdumiał.

— Dziękuję za przyjemną zabawę—rzekła, wysiadając pani Snieżna, długo ją będę pamiętała!...

IV.

Czarodziejska kaskada.

— A niechże ich nie znam tych szkaradnych kłamców — myślał chłopiec, wchodząc do zamku książęcego. Byłby chętnie usunął się teraz od wszelkiego towarzystwa, lecz rozumiał, że nie wypadało mu lekceważyć względów monarchy. Zaledwie wszakże wszedł do sali, gdzie wszyscy już byli zebrani gdy spostrzegł jakieś dziwne ku sobie zwrócone spojrzenia i niechętnie miny. Ta nagła, a niczem nie wytłumaczona zmiana zdziwiła go niezmiernie. I gdy tak stał zafrasowany, jeden z dworzaków książęcych przechodząc мимо, rzekł surowym tonem:

— Jak śmiałeś tu przyjść, uczyniwszy taką szkodę księciu?

— Na taki zarzut Henryczek drgnął cały. On uczynił szkodę? ale jaką? kiedy?...

(d. n.)

SZARADA.

*Pierwsze z trzecim od wieków zagrzewane chwałą,
W ognie bitew najkrwawszych bieżą naprzód śmiało.
Drugie z trzecim ktokolwiek z rzetelności słynie,
Stara się w oznaczonym zapłacić terminie.
We wszystkim nasz tłum wiernych zawsze w jednej porze,
Czci dotąd łask zbawienia światającą zorzę.
I modlitwy gorące wnosząc pod niebiosa
Dziękuję za zesłanie ziemi: Bożej rosy.*

REBUSIK.

od Wichury dla Czytelników Wieczorów.

eso	eso	eso	eso	iąt	iąt	iąt
eso	ych	eso		iąt	ś	iąt
eso	eso	eso	eso	iąt	iąt	iąt

ROZWIĄZANIA DO N-ru 50-go

Szarady 1-ej: Ma — li — ny.

Szarady 2-ej: Ma — nil — la.

Arytmogryfu:

1) Gabryel. 2) Rusalki. 3) Amur. 4) Żółte. 5) Yukatan. 6) Nasielsk. 7) Attyla.

Grażyna — Lirenka.

Skrzynka do listów.

Mimo najlepszych chęci nie możemy wysłać brakującego dodatku „Juraś i Anulka” **Czytelniczce z Radomia**, nie znając jej nazwiska, którego widocznie zapomniała podać w swym liście. Jaskółka zawsze chętnie odbiera korespondencje młodych panienek, i lubi na nie odpowiadać. Książki wspomniane w prospekcie są rzeczywiście dodatkami pisma naszego, lecz z dawnych lat, a spis ich, do wyboru czytelników, pomieszczony zostanie w noworocznym numerze.

Staranny i rozumnie napisany liścik **Pszczółki z Kujaw** odczytaliśmy z prawdziwą przyjemnością, i pojmujemy jak jej samej miłą być musi zdobyta już umiejętność wypisania się tak bez niczyjej pomocy. A obok zamilowania w pracy musi też kochana Pszczółka i jej siostrzyczka Lucia posiadać dobre serduszeko, skoro pomyślały obie z oszczędzonych pieniędzy zrobić ofiarę dla biednych dzieci na zbliżającą się Gwiazdkę. Obiecanych listów, oczekiwać będziemy.

Łamigłówni własnego układu nadesłali: **Orzeł z Zalesia**, **Płatek śniegu**, **Zygmunt S.**, **Marylka**, **Władzio K.** Czarny rycerz, **Smok** i **Tadzio W.** dobre zaś rozwiązania. **Laszka**, **A. Z.** **Anulka** i **Wandzia B.**

Nie trudno mi uwierzyć, kochana **Sarenko z Sokółki**, że musi ci być nieraz tęskno za towarzystwem panienek w twoim wieku jakkolwiek widzę z wiadomości, których mi o sobie udzielasz, iż znaczna twoja mamusia nakłaniając cię do robótek i nauki, a nie szczędząc też przyjemności, troszczy się o to, aby jej córeczka nauczyła się wystarczać sama sobie a polubiła życie czynne i użyteczne. Łamigłównę redakcyja przejrzy.

Za liścik i pamięć o mnie, dziękuję ci **Kurko z Polesia** wzamian przesyłając serdeczne pozdrowienia, proszę bym na obiecane nowe łamigłówni długo czekać nie potrzebowała.

Wiesz kochana **Turkawko**, jak korespondencya z czytelnikami „Wieczorów” jest dla mnie miła, to też, pisuj jaknajczęściej, pewna, że zawsze otrzymasz odpowiedź. Dobrze zrobiłaś nie zrażając się pierwszym niepowodzeniem, szczerze też pragnęłabym, aby która z nadesłanych obecnie łamigłówek odpowiedziała wymaganiom.

Za ciepłe, własnoręcznie uszyte spódniczki dla „najbiedniejszych dzieci” warszawskich, dziękuję ci w ich imieniu miła **Powisłanko**, chociaż przekonana jestem, że samo już przeświadczenie o dobrym uczynku jest ci dostateczną nagrodą. Jeżeli łamigłównia nie była odpowiednia do druku, spróbuj ułożyć inne, a może się lepiej nadadzą.

Na zapytanie twe, **Danusiu**, jakie powieści drukowane będą w roku przyszłym w piśmie naszym, znajdziesz odpowiedź w prospekcie, który już zapewne odebrałaś. Dodam więc tylko, że Redakcyja stara się zawsze o jaknajlepszy ich dobór. Za pracę dla biednych dzieci, w ich imieniu przesyłami słowa: „Bog zapłać”

A teraz wam wszystkim moi młodzi przyjaciele i przyjaciółki, którzy z radosnem niepokojem oczekujecie nadejścia „Gwiazdki,” przesyłam w dniu tym serdeczne życzenia, aby Dzieciątko Jezus spoczywające w żłobku, obdarzyło was hojnie darami swemi. Bądźcie weseli i szczęśliwi życie całe, a niech duszyczki wasze w tak piękne przystroją się cnoty, jak pragną tego rodzice wasi i opiekunowie, a także szczerze wam życziwa

Jaskółka.



WIECZORY RODZINNE



FIGURA A. MICKIEWICZA NA POMNIKU.

Sto lat temu, to jest 24 grudnia 1798 r. w Zaosiu pod Nowogródkiem, urodził się największy nasz poeta Adam Mickiewicz, dla uczczenia tej wielkopomnej rocznicy, wzniesiony został w Warszawie na ulicy Krakowskie-Przedmieście ze składek publicznych, w których i czytelnicy Wieczorów liczny przyjęli udział, pomnik wieszczą z brązu, według modelu Cypryana Godebskiego. Odświeżenie tego pomnika odbyło się w Wigilią dnia 24 grudnia 1898 r. o godz. 10-ej z rana. Wielki wieszcz nasz stanął przed nami ze spizu ulany, jak go widzimy na pierwszej stronnicy. Szczegóły o tej rocznicy podamy w następnych numerach Wieczorów.

W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej Ryby.”

(Dokończenie).

XIV. Z powrotem.

Po oznaczeniu w ten sposób położenia bieguna północnego podróżni poświęcili dwa tygodnie czasu na zwiedzenie wnętrza wyspy i opłynięcie jej brzegów, poczem zatrzymali się w przystani, nazwanej przez nich portem Leithbridge'a. Zarówno lasy jak wody tego północnego łądu przepełnione były zwierzyną i różnego rodzaju rybami, z których jedne dostarczały smacznego pożywienia, a drugie kosztownych futer, dla nabycia których Europejczycy, z wyjątkiem profesora, byli ciągle zajęci rybołostwem lub polowaniem; przez ten czas Karliński, uzbrojony w strzelbę dla bezpieczeństwa, z młotkiem w rękę i puszką na plecach, do zbierania ziół i kamieni czynił codzienne wycieczki w celu dokonywania badań z dziedziny mineralogii, botaniki i geologii.

Przy tych zajęciach szybko wszystkim ubiegały ostatnie dni krótkiego, podbiegunowego lata; słońce coraz niżej świeciło, temperatura opadała stopniowo, ziemia twardniała od mrozu, lśniący jak srebro szron osiadł na roślinach, więc podróżni posunęli „Latającą Rybę” o kilka mil od brzegu, aby lepiej widzieć ostatnie promienie słoneczne, niknące w południowej stronie widnokregu.

Gęste chmury, gromadzące się na niebie, zrazu budziły obawę, że profesor i jego towarzysze pozbawieni będą upragnionego widoku, w ostatniej jednak chwili chmury owe rozstały się, tworząc fantastyczne grupy, ozłocone światłem zachodzącego słońca, którego rąbek tylko był widoczny w południe i które niebawem skryło się całkowicie za krańce horyzontu. Skończył się dzień podbiegunowy, a zaczęła się noc sześć miesięcy trwająca.

Nie należy przypuszczać wszelako, iżby grube ciemności w jednej chwili zaległy dokoła; czas jakiś panował zmrok zwiększający się stopniowo i dopiero ósmego dnia po zachodzie słońca ciemności nocne świat tamtejszy ogarnęły wszechwładnie.

Od tej chwili lodowata dłoń zimy spoczęła na pięknej, podbiegunowej krainie, oszczędzając jej wszelako burz i ostrego zimna, przypadających w udziale mniej szczęśliwym stronom lodowym, a dodając nowych, nieznanych powabów.

W pierwszych tygodniach po zniknięciu słońca pogoda była mstałą; po niebie przeciągały coraz ciemniejsze chmury i dnia jednego, gdy podróżni wyszli na pokład, znaleźli na nim na trzy cale śniegu a ciemność tak była wielką, że o parę kroków nic widzieć nie mogli.

Taki czas bez przerwy trwał dui cztery, trzymając podróżnych na uwięzi w kajutach, gdzie zajęci byli klasyfikowaniem poczynionych zbiorów do historii naturalnej, wyprawianiem cennych skór zwierząt

Piątego dnia, gdy śnieg przestał padać, wyszli znowu na pokład; tam oczom ich czarujący przedstawił się widok. Chmury ustąpiły, milion gwiazd iskrzyło się w górze, na lekko zaróżowionem tle nieba, krąg jaskrawej zorzy północnej przechodził z kolei w barwy purpury, lazuru, zieleni, żółta i t. d. Olsniewające blaskiem różnokolorowe promienie

w ciągłym ruchu, ściągaly się do środka lub wydłużaly do granic widnokregu. Wspaniałe to zjawisko trwało całą godzinę, a przy jego świetle lądy i morza okoliczne nabierały nieopisanego uroku. Zwolna owe barwy świetlane błędnąc zaczęły, przygasł blask ruchomych promieni, które stawały się coraz krótsze, aż wreszcie zniknęły zupełnie, ustępując miejsca srebrzystemu sierpowi księżyca, rzucającemu łagodne światło na śniegiem zasłane przestrzenie i nadającemu krajobrazowi północnej strefy tajemniczy powab, podniesiony głęboką ciszą.

Wśród tych zjawisk podbiegunowego świata upłynął podróżnym cały miesiąc, w czasie którego czynili wycieczki myśliwskie przy świetle zorzy północnej. Pod koniec października temperatura tak dalece się obniżyła, że morze dokoła brzegów „ziemi Elfinstona” zamarzło, żegluga napowietrzna „Latającej Ryby” mogła również być utrudniona cięższym ładunkiem w skutek powiększających się zbiorów; względy te znagliły naszych znajomych do porzucenia wreszcie stron podbiegunowych.

Postanowili zatem wrócić do Anglii dla odwiezienia tam cennych zbiorów swoich; w tym celu podnieśli w powietrze statek do wysokości 10,000 stóp. i ster jego poruczyli Mildmay'owi. Szybkość jazdy wynosiła dwieście mil angielskich na godzinę, ponieważ zaś profesor wyrachował, że ujrzą znowu słońce między 79 a 78 stopniem szerokości geograficznej, spodziewali się dojechać tam w cztery godziny i trzydzieści pięć i pół minut. Z przystani Leithbridge, leżącej na 88° 0', szer. geogr. Wyruszyli o 9-ej rano, mieli zatem nadzieję powitać promienie słoneczne o trzy kwadransy na drugą, a porucznik czuwał nieustannie przy okienku, iżby towarzyszy uprzedzić w porę o chwili ukazania się słońca. Dla uniknięcia zbyt silnego prądu wiatru, mogącego opóźnić żeglugę „Latającej Ryby” lub przeciwny nadać jej kierunek, podniesiono statek do 10,000 stóp, to jest w warstwy powietrza najspokojniejszej. Z uderzeniem godziny 1-ej na zegarze, Mildmay zagasił lampę w kajucie i bacznie rozglądając się zaczął dokoła; nad głową i u stóp swoich widział tylko kłęby chmur oświecone migotliwym światłem gwiazd w górze. Niebawem jednak zauważył, jak niebo błędnąc zaczyna od strony południa, a po chwili nie miał już wątpliwości, że bledszy ten odcień zapowiadał niedaleki brzask dzienny; zaraz też uderzył w dzwon sygnałowy, na odgłos którego przybiegli śpiesznie trzej towarzysze, aby nie stracić widoku wschodzącej jutrzemki.

Jasność występująca od południa zwolna obejmowała coraz szerszą przestrzeń; blask gwiazd przygasał, znikaly one z przed oczu, a zaróżowione niebo przybierało kolejno barwy pomarańczowe i złote; w chwili, gdy zegar wskazywał 35 minut na 2-ą krąg białego światła ukazał się na niebie, promienie słoneczne wychylać się zaczęły i niebawem słońce zaświeciło w całym blasku, nadając połysk opalu chmurom płynącym w dole.

Ten nagły powrót do jasności dziennej silne wrażeni

wywarł na podróżnych; sami nie zdawali sobie dotąd sprawy, jak dalece na ich usposobienie oddziaływała ciemność od miesiąca trwającej nocy; przekonano ich o tem dopiero radosne, orzeźwiający wrazenie, wywołane ukazaniem się dobroczynnych promieni słonecznych, jak gdyby uszli szczęśliwie groźącego im niebezpieczeństwa cieszyli się, weselili, ściskali za ręce, a żartobliwe słowo pobudzało ich do głośnego śmiechu.

Te objawy niezwykle dobrego humoru przerwał obojętny na wszystko Jerzy, oznajmiając, że śniadanie podane.

Podróżni zeszli do sali jadalnej, spokojni o bieg statku, wiedząc, że najbliższy ląd stanowiły wyspy Szetlandy o tysiąc mil angielskich odległe.

Po posiłku, wróciwszy do kajuty sterniczej, towarzysze gawędzili czas dłuższy, wspominając doznane w podróży przygody i tworząc plany dalszych wycieczek; zamierzali bowiem tylko na czas krótki zawiązać do Londynu.

Pragnęli przez czas nieobecności swojej na statku ukryć go przed wzrokiem ludzkim, lecz okręt tak osobliwej budowy nie mógłby ująć ogólnej uwagi, gdyby z nim zawinęli do którego z portów. Postanowili tedy „Latającą Rybę” pogrążyć w morzu w pobliżu wyspy Wight i na wykonanie tego zamiaru obrano godzinę nocną; sami zaś z drogocennymi zbiorami swemi mieli na dwóch łodziach dopłynąć do Portsmouth.

Noc była ciemną, wiatr dął północno wschodni i deszcz padał chwilami, gdy podróżni dla dokładniejszego zbadania położenia, spuściwszy się o tysiąc stóp nad poziom morza, dojrżeli przez ogni pływających gdzieś statków i łodzi rybackich, światła portowego miasta Flamborough. Było to dostateczną dla nich wskazówką; poszybowali zaraz ku miejscu wyznaczonemu na chwilowe ukrycie „Latającej Ryby.”

O 4-ej rano znaleźli się ponad wzgórzami rozgraniczającymi trzy hrabstwa: Surrey, Hants i Sussex; spuścili też zaraz statek swój na morze i zaczęli rozglądać się za miejscem odpowiednim do zanurzenia go w nurtach wody, tak, aby nie był dojrzany przez rybaków, a okręty mogły bez uszkodzenia przepływać nad nim górą. Miejsce takie znaleziono z niemałym trudem i zarzucono kotwicę. Podróżni, zbiory swoje upakowali w dwie łodzie, które następnie spuścili na wodę i wszyscy zasiedli w nich z wyjątkiem profesora.

Jutrzenka już świeciła na niebie, gdy kadłub „Latającej Ryby” zanurzać się zaczął w morzu wreszcie cały zniknął z przed oczu. Wówczas baronet zarządził do wody drabinkę ratunkową z przytwierdzoną do niej lampką elektryczną, i niebawem na jej szczeblach ukazał się profesor w ubraniu nurka i zajął miejsce obok towarzyszy.

Do Portsmouth przybyli podróżni około 9-ej wieczorem; tam po opłaceniu cła od przywiezionych zbiorów i poruczeniu łodzi opiece strażników portowych, udali się na stację kolei żelaznej, aby pociągiem kurjerskim powrócić do Londynu.

Koniec części I.

DZIWIWY PRZYRODY.

(Dokończenie). Patrz ryc. z N. 51.

8) Jednym z bardziej znanych zjawisk, które dostrzegamy dość często na niebie, jest zjawienie się *komet*, czyli gwiazd o długim, świetlanym warkocz. Pomimo, że zjawiska te bywają dość częste, lud nasz jednakże dotychczas uważa ukazanie się takiej ogonistej różgi za przepowiednię nieszczęść i gniewu Bożego. Komety są to właściwie ciała niebieskie, nie należące stałe i odwieczne do naszego układu słonecznego. Uważać je raczej należy za przybyszy obcych, którzy zdążają ku nam z niezmiernych odległości wszechświatowych przestrzeni, i albo ulegając wpływowi przyciągania planet (takich jak Jowisz, Saturn, Uran i Neptun), zmieniają kierunek swej drogi i pozostają już nadal w przybranej łożynie, albo też zakreślają jeden tylko luk dokoła słonecznego globu i w szalonym pędzie mkną dalej w bezmiary

przestrzeni i nie wracają nigdy już do nas. Komety pierwszego rodzaju zwiemy *peryodycznymi*, ponieważ zjawiają się one na naszym niebie peryodycznie co kilka, kilkanaście, lub kilkadziesiąt lat. Takich jednakże znamy stosunkowo bardzo niewiele, i są to przeważnie komety teleskopiczne, niedostrzegalne gołym okiem. Każda prawie kometa składa się z trzech głównych części: a) świetlanego *jądra*, które wygląda jak niewielka gwiazdka, b) otaczającej to jądro mglistej powłoki, zwanej *głową* i c) mniej lub więcej znacznego *warkocza* czyli *ogona*. Bywają komety, posiadające kilka na raz warkoczy. W dawniejszych czasach nie tylko lud prosty, ale też i większość ludzi wykształconych uważali komety za przepowiednie wojen, głodu, pożogi i wszelkich nieszczęść. Otóż kiedy w roku 1456, wkrótce po wzięciu Konstantynopola przez Turków, zjawiła się na niebie olbrzymia kometa, wówczas wszystkie chrześcijańskie ludy ogarnęła niezmierna twroga i pewność niemal nowej wojny, która miała oddać pod panowanie wschodnich zdobywców cały chrystyanizm. Chcąc uspokoić umysły, ówczesny papież Kalikst III-ci nakazał trzykrotne codzienne modlitwy rano, w południe i wieczorem, do których kościoły wzywały wiernych odgłosem dzwonów. Zwyczaj ten przetrwał aż do dni naszych i jakkolwiek ustala już obawa Turków i komet, to jednak lud podobnie trzy razy dziennie chwali Królowę Niebios, odmawiając kornie Zdrowaś Marya!

9) Każdy z was słyszał o *wulkanach*, czyli o górach, z otwartego wnętrza których od czasu do czasu wybuchają kłęby dymu i pary i strumieni rozżarzonej masy, zwanej lawą. W samej Europie hezmy kilka gór takich, a mianowicie: *Wezuwiusz*, w pobliżu Neapolu we Włoszech południowych, *Etna* w Sycylii, *Stromboli* i *Volcano* na wyspach Liparyjskich i wreszcie *Hekla* i *Krabla* i kilka mniejszych w Islandyi. Niemniej jednak ciekawe, jakkolwiek mniej znane są tak zwane *gejsery* i *wulkany błotne*, które spotykamy również w Islandyi, Nowej Zelandyi i w Ameryce. Najpiękniejsze są dwa gejsery islandzkie: *Wielki Geiser* i *Strokkor*. Są to właściwie mówiąc dość głębokie studnie o prawidłowo zarysowanym okrągłym otworze z którego od czasu do czasu wybuchają sięgająca 60 do 100 metrów wysokości fontanna wody wrzącej. Wybuchowi towarzyszy podziemny huk i wraz z wodą wlatują w powietrzne masy pary i kamieni. Następnie strumień wody stopniowo się zminiejsza, opada i wreszcie geiser wraca do stanu normalnego, aż do nowego wybuchu. Wulkany błotne są to niewielkie gejsery, z których wraz z wodą wytryska masa mułu i błota.

10) *Lawiny*. Wspaniałe to, ale straszne zjawisko. Nagromadzone na szczytach gór śniegi i lody, pod działaniem ciepła słonecznych promieni, nieznacznie, na razie a następnie ze wciąż wzrastającą szybkością usuwają się ku dolinom, niosąc po drodze śmierć i zniszczenie, Bryły lodowe, odłamy skał i kamieni, niezmiernie zaspy śniegowe toczą się jak olbrzymia nawałnica i niszczą w jednej chwili uprawne pola, gaje, winnice, a częstokroć całe wioski i miasta.

11) O ile w okolicach górskich straszną jest lawina, o tyle znowu na morzu zwiastunem śmierci i zniszczenia jest straszliwy *tyfon*, *trąba morską*, ten olbrzymi wiatr, który, pędząc z zawrotną szybkością, łączy rozszalałe bezdnie oceanu z chmurami, porywa w swej drodze, niszczy druzgocze najpotężniejsze okręty, a wydstawszy się na ląd stały w perzynę zamienia miasta i osady. Ojczyzną jego jest ocean indyjski.

12) Na bagniskach, cmentarzach i ponad brzegami stojących wód wśród ciemnych nocy i przeważnie latem zjawiają się niepochwytne, szybko przenoszące, z miejsca na miejsce płomyki, tak zwane *ognie błędne*. Świecą one słabym fosforycznym baskiem. Lud ciemny widzi w nich pokutujące dusze zmarłych i łączy z niemi tysiące fantastycznych baśni i podań. W istocie rzeczy są to wydobywające się z ziemi węglowodorowe gazy, pochodzące z rozkładu materii organicznych. Gazy te po wydobyciu się na zewnątrz płoną słabem, błękitnawym światłem, a unoszone najsłabszym podmuchem wiatru, przeskakują z miejsca na miejsce.

13) Przed burzą, podczas upalnych letnich nocy, powietrze jest przesycone elektrycznością. Elektryczność, jak

to prawdopodobnie wiecie, zbiera się przeważnie na szczytach ostro zakończonych, jak szczyty masztów, wierzchołki wież i t. p. Przy pewnych warunkach nadmiar tej siły, nagromadzony w takich ostrzach wyładowuje się i rozgrzewając otaczające warstwy powietrzne, świeci jak błękitnawy płomyk. Włosi nazwali to zjawisko *ogniem św. Elma*. Na naszym rysunku (fig. 13) widzimy okręt, którego maszty i reje oświetlone są takimi ogniami.

wiska życia. „Wieczory” pomieszczać będą nieraz ciekawe wiadomości z tej niewyczerpanej dziedziny w „Pogadankach przyrodniczych” w których dawny wasz znajomy Abracadabrus, przewodniczyć nam będzie w wycieczkach, a kto go słuchać zechce, temu on pokaże tysiące jemu tylko znanych tajaików, opowie rzeczy ciekawe i piękne

Abracadabrus.



FIGURA CHRYSYUSA PANA NA KRUŻGANKU KOŚCIOŁA ŚW. KRZYŻA.

Niezmierzone są bogactwa przyrody, niezmierną różnorodność jej objawów i zjawisk, a najwyższą, najszlachetniejszą rozkosz człowieka stanowić powinno ich poznanie. A czy myślicie, że jest to rzeczą trudną? Nie, należy tylko umiłować tę naturę, starać się do niej zbliżyć, a wówczas ona sama chętnie odkryje wam swoje tajniki, i im więcej poznawacie je, tym goręcej je ukochacie.

Powyższy szkic pobieżny był tylko zarysem tych przeróżnych dziwów, jakie umysłowi, pragnącemu wiedzy następują na każdym niemal kroku codzienne, nawet zwykłe zja-

Figura Chrystusa Pana

NA KRUŻGANKU KOŚCIOŁA ŚW. KRZYŻA.

Któż z mieszkańców Warszawy i przejezdnych, przechodząc koło kościoła Św. Krzyża, nie spogląda z uczuciem czci i rozrzewnienia na piękny posąg Pana Jezusa, dźwigającego ciężki Swój męki krzyż, który wznosi się na krużganku tego starego kościoła. Wyraz oblicza, ruch dłoni, pochyle-

nie całej postaci dziwnie ujmuje wszystkich wiernych, bo też posąg ten jest dziełem prawdziwego natchnienia i uczucia. Wykonał go przed laty nieżyjący już rzeźbiarz Andrzej Pruszyński; że jednak figura z nietrwałego kamienia ulegała powolnemu zniszczeniu, w roku bieżącym kosztem ofiar składkowych, odlano według tego samego wzoru posąg bronzowy, który też w przeszłym tygodniu stanął w dawnym miejscu, na podstawie z czarnego granitu. Na wierzchniej płycie podstawy znajduje się jak poprzednio napis łaciński: „Sursum Corda” (Wznieśmy serca).



nych zwykle oczach, błyskał chwilami płomień ożywienia, widać obory jej umysł pracował nad czemś usilnie.

Tymczasem wojewoda Bożydar podgoiwszy lekkie rany, już stawał znowu na czele swych hufców, ponawiając szturm za szturmem; wszakże zawsze odparty zostawał.

Powodzenie takie budziło coraz większą pewność siebie wśród obleżonych, którzy rozzuchwaleni domagali się od Drahomira wycieczki poza mury, aby dać dobrą nauczkę „tych królewskim cacanym wojakom,” jak mówili.

Zgodził się na to Drahomir i na czele ochotników wpadł nocą na obóz nieprzyjacielski, budząc straszny wśród rycerstwa popłoch.

Dzień następny przeszedł spokojniej, i gdy noc zapa-



Niebawem profesor wynurzył się z wody. (Lat. Ryba str. 419).

Marya Łopuszańska.

OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dokończenie).

XXII.

Przez cały czas trwającego dotąd obleżenia, wodnica wbrew swemu zwyczajowi nie ruszała się z miejsca, siedząc skulona, niby odretwiała, w kącie izby. Nikt też na nią nie zwracał prawie uwagi, zapomniana nawet przez kobiety, przeżone tem co się dokoła działo.

Lecz choć poblady jeszcze więcej jej lica, w zamglo-

dła pod chmurnem niebem, głęboka cisza zaległa dokoła. Rozstawiona straż na murach zamku, lekceważąc już oblegających, posnęła obok przygasłych ognisk. Tu i tam tylko słychać przyciszoną rozmowę.

Wtem postać jakaś przesuwa się bokiem, lekko jakby nie dotykała ziemi.

Może to duch! może upiór jaki?...

Nie, to wodnica wyszła ze swego ukrycia. Przywykłe do ciemności jej oczy, rozróżniają wszystko łatwo dokoła. Ze stosu sznurów złożonych pod basztą, wybrała już najdłuższy zwój, tak ciężki, że zaledwie unieść zdoła, dźwiga go jednak, obchodzi gródek dokoła aż do pustego miejsca, kędy rośnie lipa pochylająca się nad przepaścią. Tu skrzesiwszy ogień zapala pęk luczywa i rzuca na dół.

Płomienne błyski zakreślają w powietrzu jasną smugę, ale ona nie patrzy już w tę stronę, choć niebawem ucho jej chwytą przyciszony szmer w obozie; ona spiesźnie dopełnić musi postanowionego dzieła. Oto wybrała już ciężki ka-

mień, owiązuje go jednym końcem sznura, gdy drugi przy-mocowawszy do pnia dziewnego, spuszcza ostrożnie kamień ku dołowi, który głucho uderzając o ścianę skalną, dosięga wreszcie spodu.

Aż oto sznur poczyna się wyprężyć, widno pod ciężarem wdzierającego się nań ciała. Niebawem głowa w chęlnie ukazuje się nad krawędzią skalną, zbrojny człowiek dosięga pnia i lekko zeskakuje na ziemię. Za nim tą samą drogą napowietrzną idzie drugi, trzeci, aż zebrał się zastęp kilkudziesięciu rycerzy królewskiego wojska, który okrzykiwszy dziedziniec zameczka, zachodzi z tyłu ludzi knezia.

Powstaje straszliwy popłoch. W cieniach pochmurnej nocy, napadnięci, nie rozumiejąc zgoła jakim sposobem nieprzyjaciel mógł się dostać do ich gniazda, a co więcej nie znając liczby jego, nie śmiały nawet się bronić, a zbijają w gromady, lub uciekają gdzie który może, gdy wtem:

— Do broni, do broni! — krzyczy gromkim głosem Drahomir — do mnie tu wszyscy, nie dajmy się!

Otoczeni garstką najodważniejszych, stary kneź Mszczuj wraz z synem swoim walczą rozpaczliwie, siejąc śmierć dokoła siebie, aż cięży w głowę toporem, runął starzec z głuchym jękiem. Drahomir cofa się ku drzwiom dworca, by się w nim zatarasować, bronić do ostatka i wreszcie zginąć pod gruzami.

Tymczasem w pierwszej izbie zgromadzone kobiety zawodzą głośno, tuląc się dokoła Ziezili, i gdy stary kneź Odylon stoi obojętny zda się na wszystko, zakonnicy usiłują podnieść zrozpaczone umysły ku Bogu.

Wrzawa walki zbliża się z każdą chwilą, ale u drzwi świetlicy staje Ładon, zbrojny w miecz podjęty po którymś z poległych. On zasłonił piersiami swemi bezbronne kobiety, on nie odda ich na pastwę zwycięzców.

— O doloż nasza, dolo — zawodzą nieszczęśliwe — co z nami będzie, co będzie z naszą młodziutką księżną.. niewola, ciężka niewola!..

Ziezila stoi milcząca, niby posąg z załamaniem rękoma. W złoci-tych jej, rozpuszczonych na ramiona włosach, odbija się pierwszy promień wschodzącego słońca.

Nagle drzwi ustępują pod naciskiem z zewnątrz i do izby wpada kilku zbrojnych, ale Ładon zastawia im drogę mieczem.

— Ani kroku dalej! — woła rozkazująco.

— Ktoś ty, który nam śmiesz rozkazywać? — pytają draby, przystępując doń z dobytą bronią.

— Jam syn wojewody Bożydara, i biada tym, którzy się odważą wyrządzić tu krzywdę niewiastom lub staremu kneziowi — rzekł Ładon wyniośle,

Zbrojni cofnęli się zmieszani.

— A toć was tam szukają i tych księży takż — rzekł wreszcie jeden z nich.

— Usunąć się stąd natychmiast — rozkazał młody rycerz — niechaj przy drzwiach stanie jeden, strzegąc izby, póki nie wrócę od ojca

Zaledwie wszakże wyszedł na przedsiónek, gdy potknął się o leżącego na ziemi Drahomira, którego twarz śmiertelna pokryła bladeść, a krew zabarwiała zbroję na piersi.

— Bracie, co tobie — rzekł rycerz, pochylając się ku nieszczęsnemu.

— Ranny jestem, ale na dawną naszą przyjaźń zaklinam, nie oddaj mię żywego w ich ręce... dobij... sam już nie mam siły... — mówił kneź urywanym głosem.

— Po co tak rozpaczliwa mowa — życie i szczęście jeszcze przed tobą, druhu mój kochany, tyś w mojej odtąd opiece. A zwracając się do pachołków, rozkazał:

— Wnieście go do izby! Wy zaś wielebni ojcowie udzielcie mu proszę spiesznej pomocy.

Teraz Ziezila ujrawszy rannego, który legł bezwładny rzuciła się ku niemu, a objąwszy tklivem ramieniem:

— Bracie, mój bracie! — wołała łkając.

— Gołębko ty moja — rzekł z widocznym bólem ser-

ca młody kneź. — Oto zostajesz sama, nikogo na świecie, ktoby się o cię zatroszczył.

— Nie dam jej krzywdy wyrządzić żadnej, zawsze i wszędzie bronie jej będę — rzekł z mocą Ładon.

— Dzięki ci, druhu wierny i szlachetny. Śmierć lżejszą mi będzie skoro wiem, że ty jej miejsce moje zastąpisz, ja... ja już nic... tu urwał młody kneź, osuwając się omdlały.

— Ja z tobą, bracie, gdy ciebie nie stanie i ja żyć nie chcę! — wołała Ziezila.

Tymczasem gdy zakonnicy opatrywali rannego, młody rycerz pospieszył odszukać ojca. Twarz sędziwego wojewody zajaśniała radością na widok syna, którego przez długi czas miał już za straconego. Ten uściskawszy jego kolana, rzekł spiesźnie:

— Ojczy miły, tam w izbie leży ranny syn knezia Mszczuja, on druhem moim, niedawno jeszcze życie mi ocalił z rąk pogan, nie dozwólcie by niewola zaciążyła nad nim; gościnność, jaką mię darzył u siebie, niechaj znajdzie w domu naszym.

— Z serca radbym spełnić twą prośbę, synu mój — rzekł łaskawie wojewoda, ale on nie moim, jeno królewskim więźniem. do króla też jedynie należy wyrok o jego losie.

— To pójdę do króla i błagać go będę! — postanowił z mocą Ładon. — Powiedzcie mi wszakże ojczy, jak zdobyliście to gniazdo orle, dotychczas niedosięgnięte?

— Obstawając za prawdą, wyznać muszę, nie moja w tem zasługa, bo sam już zwątpilem o powodzeniu, gdy wczoraj zjawił się w obozie niejaki Rokitka, karzeł zamieszkujący pobliską pieczarę. Ten mi zwierzył, że obłąkana dziewczyna zwana przez lud wodnicą, a znajdującą się właśnie w gród-ku, ma za jego namową, nocy dzisiejszej spuścić sznur, po którym rycerze moi dostaną się na dziedziniec a jako sygnał że wszystko jest gotowe rzuci zapalone łuczywo. Oczekaliśmy zatem nocy przegotowani i gdy po sznurze ludzie moi wdarli się na górę, zwycięstwo już musiało być naszym.

— A więc to sprawa wodnicy — rzekł Ładon podążając wraz z ojcem ku baszcie. Ciekawa rzecz jakie powody skłoniły ją do tego czynu.

— Rokitka wszystko mi odpowiedział, aby mię upewnić o prawdzie słów swoich. Obłąkana ta dziewczyna ma być córką Jaromira, którego kneź Mszczuj wraz z resztą rodziny wymordował przed laty. Ją tylko jedną, wówczas małeńką jeszcze, ocalała wierna sługa, ale rozbity jej duch strasznie przeżył, już nigdy nie odzyskał jasnej świadomości. Tylko wspomnienie wyrządzonej krzywdy, pozostało wzbudzać ciągle pragnienie zemsty. Skorzystał z tego Rokitka posuwając jej dzisiejszą zdradę.

— Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy — rzekł Ładon. — I oto za przyczyną biednej obłąkanej, legł potomek dawnych książąt, okrutny kneź wilk, który był postrachem dla wielu, a który samemu urągał królowi...

— Padł, ale się nie ukorzył — ozwał się ochrypły głos z za węgła wieżycy.

Ojciec z synem spojrzeli w tą stronę. Tam oparty plecami o ścianę leżał kneź Mszczuj, srogi, dumny jeszcze; choć już cienie śmierci zachodziły mu na licę; u nóg jego wilk Luty szczyrzył zęby, broniąc przystępu do pana.

— Tak jest powtórzył wyniośle starzec — nie ukorzyłem się przed nikim, nie uznalam żadnego nad sobą pana! Jak orzeł na skale żyłem i umieram wolny. Ale wam moje uczucia oboje, wy słudzy i pachołkowie królewscy!..

Głos knezia, jak ryk ranionego lwa drżał, w powietrzu powtarzany echem skał okolicznych. Śnać jednak wysilek ten odebrał mu resztę mocy, bo wnet jego oczy przygasły i zesztyniały członki w uścisku zimnej śmierci.

— Idź w pokoju, kneziu, do swoich przodków. Niech ci ziemia będzie lekką i nie zaciężą kamieniem na twojej duszy okrutne czyny twego życia — rzekł wojewoda uroczysto.

Po koniecznych rozporządzeniach opieki nad gródkiem, aż do nowych rozkazów królewskich, zajął się wojewoda Bo-

żydar przynależną wielkiemu knieziowi uroczystością pogrzebu wedle prastarych jeszcze obyczajów pogańskich Słowian.

I gdy na wyniosłym stosie z drzew złożono ciało zmarłego, którego nie chciał opuścić wierny wilk Luty, gdy przywiązano tuż obok ulubionego rycerzowi wierzchowca, i błysnęły pierwsze płomienie na czterech rogach stosu, obecna Zezilia serdecznie z nami córki zastępowała najęte płaczki.

Wtem z tłumem wybiega człowiek jakiś, a pochyliwszy się przed wojewodą woła błagalnie:

— Pozwólcie mi zgorzeć tam razem, toż mu służyłem życie całe, niechże i po śmierci podam mu konia do boju! i nie czkając dłużej wierny pacholek Łyszczak wskoczył na stos, gdzie z kłębow dymu i płomieni dochodziło rżenie rwącego się konia i przeciągłe wycie wilka.

Obcy wszystkiemu co się dokoła niego działo, leżał Drahomir na łożu swoim. O. Augustyn czuwał nad nim dniem i nocą, niosąc mu uniejętnie sporządzone leki, choć poznał wkrótce, że nie te rany na ciele sprawiają najsroższy ból młodemu księciu, bo stokroć więcej cierpiał on moralnie w obec upadku potęgi rodu swego. To też z posępną chmurą na czole słuchał on starego wojewody, który zanim opuścił zamczek przyszedł go zapewnić o swej życzliwości obciążając wstawienie się u króla.

— Szlachetność waszą cenię, wojewodo; ale stokroć większą łaskę wyświadczyłbyś mi, zadając natychmiast cios śmiertelny niż zmuszając do dzwigania niewoli, która mię czeka. Nie tak, o nie tak, kończyć przystało potomkowi niezależnych knieziów.

— Rozpacz taka mało przystoi waszemu rycerskiemu sercu, a nadzieja winna być udziałem młodości — rzekł z powagą wojewoda. Co okaże się w naszej mocy otrzymać u króla, bądźcie pewnym, że zrobimy ale dajcie mi słowo rycerskie, że nie będziecie sami szukać śmierci.

Drahomir milczał długą chwilę, wreszcie przemógł się, uściśnął podaną sobie prawicę wojewody i rzekł krótko.

— Macie me słowo rycerskie.

Ponieważ doszły wieści, że król z Krakowa podąży do Sandomierza postanowił wojewoda złączyć się z nim w drodze, wysyłając tymczasem do stolicy część swego wojska, i wraz z nim zabranych z gródka jeńców.

Oprócz zakonników, których już ani na chwilę nie chciał opuścić stary knież Odylon, ciesząc przysługę swe oczy widokiem ukochanego wnuka, znajdował się tam również niefortunny podczaszy margrafa który jednak wiele stracił ze swej objętości, skazany na parodniowy post w wielkiej skrzyni, gdzie się tchórzliwie schował w czasie oblężenia, a gdzie go szczęśliwym wypadkiem przy życiu jeszcze znaleźiono.

O wodnicy wszakże nikt odtąd już nie posłyszał, z chwilą dokonanej zemsty zniknęła, niby kamień wrzucony w wodę.

XXIII

Jako sobie postanowił wojewoda Bożydar, tak też i zdążył przyłączyć się do orszaku króla Bolesława, jadącego wraz z królewiczem Mieszkiem do Sandomierza. Powitany łaskawie przez monarchę zdał mu sprawę z zaszłych wypadków, a Bolesław okazał się rad wielce z ostatniego pogromu burzliwych i niedających się ująć w żadne karby dawnych knieziów.

Pokłonił się też królowi młody rycerz Ładon a idąc za głosem serwa, padł na kolana i prosił o łaskę wolności dla druba swego Drahomira, przedstawiając jako niechętnie i tylko z posłuszeństwa srogiemu ojcu, stawał się dotychczas opornie władzy monarszej.

Ale Bolesław dotąd łaskawy namarszczył brwi surowo.

— Znam ja ich wszystkich — wybuchnął groźnie — drapieżny to i buntowniczy ród, na które go niema innej rady, aż póki ich jako wilków w knei nie wytępisz. Byłem zbyt dobrym zostawiając im ziemie i godności, bo to ich jedynie do buntów i knowań rozzuchwalało. Odtąd srogość moja zaciąży nad nimi, niechaj zginie ostatni, jako zasłużył!

— Miłościwy panie — rzekł Ładon nieustraszony — wiem, że nie przystało rycerzowi wspominać zasług położonych na polu bitwy, ale tyś sam Miłościwy Królu, w on czas gdy wziął znacznego rycerza saskiego do niewoli, obiecał spełnić pierwszą prośbę moją, przetoć błagam, wysłuchaj mię dzisiaj!

— Śmiałość twoja jest wielką — rzekł król surowo — proś o co innego, bo tu, co raz rzekłem, to spełnię.

Zrozumieli wszyscy, jako gniew króla jest wielki, i że niema prawie nadziei, aby młodego knezia dało się uratować od śmierci.

Szczerze tem zwartwionego Ładona pocieszał jeszcze stary wojewoda, że może wpływ królowej i opata Tuni zdoła coś uzyskać i do nich też zwrócił się zaraz po powrocie do Krakowa.

Chętnie przyobiecała królowa wstawić się za młodym rycerzem raz, że była dobrą i litościwą, a także przez wzgląd na Ziezilę, którą wzięła pod swą opiekę do grona dziewic dworskich, i macierzyńską otoczyła czułością, kojąc słowami pociechy zboliałe serce osierociałej kniazówny.

Z całkiem odmiennych pobudek uważał za konieczne rozważny opat Tuni złagodzić surowość monarchy.

— Na cóż wam, miłościwy panie — mówił on — mścić sobie niechętnych? Czyli i tak nie macie ich dosyć? Czyż nie macie w cesarzu Niemiec odwiecznego wroga z otwartym zawsze okiem na każdą słabość za każdą pomyłkę. Czyż nie zechce on skorzystać z niesnasek domowych, któreby niewątpliwie zbudziło wykonanie surowego wyroku.

— Może jest słusność w słowach twoich — rzekł król po dłuższym namyśle — niechże więc łaskawość moja raz jeszcze wystawioną będzie na próbę.

Nazajutrz po tej rozmowie zasiadł król Bolesław w izbie radnej otoczony dwunastu doradcami, mając przy boku królewicza Mieszka, opata Tuni i Stoigniewa.

Bogactwo i przepych, na jakie zdobyć się mogły te wieki, widny był dokoła, podnosząc uroczystość owej chwili, w której młody knież Drahomir miał stawać przed obliczem monarchy, by usłyszeć z ust jego słowa łaski.

Zbrojna w złożone topory straż przyboczna, stojąca przy drzwiach komnaty przepuściła knezia. Ten zrazu olśniony nieznanym sobie majestatem królewskim, przybrał wnet postawę należnej mu godności.

Pierwszy w imieniu króla ozwał się wojewoda Sieciech.

— Kniazu — rzekł — wiecie, że ojciec wasz ciężko zawinił przeciw królowi i ziemi swojej, wszczynając bunt i zamieszki, a jako mamy dowody zamyślał nawet o wezwaniu pomocy obcej. Przeto zasłużył na ciężką karę, lecz stanął on już przed innym sędzią. Wyście po nim zostali, a choć byliście współnikami jego, miłościwy król nasz, gotów wam winy darować, jeśli złożycie przysięgę lennej wierności.

— Gotów jestem zaprzysiądz mu wieczną zgodę — odrzekł Drahomir — ale i dla starego knezia Odylona, który niczem nie zawinił, proszę o wolność.

— Otrzyma ją — rzekł wojewoda.

— Niechże więc starym zwyczajem król wrzuci kamień do wody i ja tak uczynię, i mech zapanuje wieczny między nami pokój. Nie miałem ci ja dla niego żadnej w sercu niechęci, czemuż więc nie mielibyśmy podać sobie ręki do zgody.

— Dobrze — odparł wojewoda — a że miłościwy król łask swoich nie szczędzi, przeto daje wam w posiadanie ziemie około Wiślicy, abyście je wiecznie wy i potomki wasze dzierżyli. Ukłękniście więc kneziu Drahomirze, aby przyjąć dar ten od króla.

Lecz dumny rycerz cofnął się na te słowa.

— Ja miałbym klęknąć! Kolano moje dotąd przed nikim się nie ugięło i nie ugięnie nigdy. Toż wiecie, że nie prostym jestem kmieciem ani władycą, lecz potomkiem wolnych książąt, niegdyś na Krakowie, a choć ród nasz nie panuje już dawno, równać się wszakże możemy z samym królem. Toż nie padnę przed nim, choć cześć dla niego mam wielką,

bo uważam go za najmędrszego i najmężniejszego ze wszystkich, jacy kiedy u nas rządili.

Z początku tej śmiałej mowy, czoło Bolesława groźnie się zachmurzyło, powoli jednak poczęło się wypogadzać, aż zajaśniała na jego obliczu owa przyznana mu przez wszystkich wspaniałość, gdy rzekł do młodego knezia:

— Przez wzgląd na krew waszą, kneziu Drahomirze, król ustępuje od przyjętego zwyczaju i pozwala wam stojąc, złożyć przysięgę wierności.

— Wielkim jesteś, zarówno sercem jak i walecznością o królu — zawołał Drahomir w szlachetnym uniesieniu — i bądź pewien, że dotrzymam ci wierności, jakiem kneź i rycerz! poczem głośno i dobitnie wymówił słowa przysięgi.

Dla uświęcenia ostatecznej ugody zostawało jeszcze dopełnienie ceremoniału pojednania, wedle odwiecznego słowiańskiego obyczaju.

Gdy więc stanął król wraz z licznym poczetem rycerstwa nad brzegiem Wisły, młody kneź rzucił w fale rzeki ujęty kamień, mówiąc:

— Jak ten kamień utonął w rzece, tak niech utoną wszystkie niezgody nasze, królu. Niech odtąd pomyślność ziemi tej, wspólnej matki naszej, płynie tak szerokim strumieniem, jak płyną wody wielkiej naszej Wisły!

Z kolei król podniósł kamień, a rzucając go w wodę, rzekł:

— Niechaj wszelkie nieporozumienia nasze giną, przepadną, jak przepadł ten kamień. Oby odtąd kneziowi z rodu twego wychodziło tylko dzielną i prawi rycerze!

Poczem usunąwszy się nieco z Drahomirem na bok, długo mówił coś, wyciągnąwszy rękę w stronę rzeki, przy czem oczy dziwnym płonęły mu blaskiem.

U nóg ich stara Wisła szumiała spokojnie, jakby fale jej chciały również opowiedzieć coś młodemu kneziowi, który stał zasluchany, a głębokie myśli jaśniały na wzniesionem czole jego, wraz z ostatnimi blaskami zachodzącego słońca.

Choć dawno już opuścił wybrzeże król z orszakem swoim, Drahomir stał tam jeszcze pogrążony w zadumie, z której zbudziło go nareszcie zbliżenie się Ładona.

Obaj wierni sobie druhowie, uściśnęli dłonie w milczeniu. Wreszcie młody kneź ozwał się pierwszy:

— Słyszałem bracie, żeś narażał się nawet na gniew króla aby mię ratować, i choć wdzięczny ci jestem, nie będę się bawił w cześć słowa podzięk. Wiesz, że to samo uczyniłbym dla ciebie, bośmy braterstwo ślubowali na wieczu. Ale pragnąłbym, aby związki krwi, bliżej nas jeszcze złączyły. Jam teraz głową rodu! Ziezilia mą siostrą jedyną. Niedługo poślubiona była bogom... dziś jako chrześcijankę tobie oddaję za żonę. Nie radbym ją przymuszać, ale też jeśli nie mylą mnie oczy, przychylną ci jest oddawna... Gdy zaś

przyjmę chrzest jako postanowiłem, słysząc w niewoli szlachetne słowa zakonników, i przekonawszy się, że Bóg chrześcijański jest wielkim, a nieskończenie dobrym, gdy już nie będzie nas dzielić wiara... wtedy... poproszę ojca twego o jedną z siostr twoich... czy zgoda?

— Wszystko co rzekłeś, radosnem sercem przyjmuję — zawołał Ładon — odtąd rody nasze będą jako jeden i nie ich rozdzielić nie zdoła!

Tu przyjaciele podali sobie raz jeszcze dłonie i zwrócili kroki swe w stronę grodu, nad którym już mgła wieczorna osiadła błękitnym tumanem.

Uszczęśliwiony odyskaniem wnuka swego, kneź Odylon, wzniósł na pamiątkę pierwszego z nim spotkania u stóp góry Łysej posąg kamienny, wyobrażający klęczącego zakonnika. Gruba ta rzeźba, jak wszystkie w owych czasach, budziła jednak podziw we współczesnych. Stoi ona dotychczas na tem samem miejscu, i choć znaczenie jej zagubiło się w pomroce wieków, znawcy przypisują ją zgodnie pierwszym początkom chrześcijańskiej ery na naszej ziemi.

Nie długo już wszakże żył potem kneź stary. Oczy mu zamknął brat Angelo, który zasłynął na kraj cały świętobliwością swoją, jako przeor klasztoru na Łysej górze, zwaną już odtąd górą Świętokrzyską. I tam gdzie niegdyś odbywały się tajemnicze obrzędy ku czci pogańskich bogów, rozbrzmiewały teraz pieśni na chwałę Stwórcy, śpiewane przez zakonników, którzy umacniali w wierze i cnotach lud okoliczny.

Przy budowie kościoła odkryto jeszcze wśród skał różne zabytki pogańskie, a między innymi długie przejście podziemne, prowadzące z puszczy aż do stóp góry. Tędy to ostatni czciciele bogów dążyli na tajne zebrania; tam też stary Zabój znikł niegdyś z przed oczu śledzącego go Ładona.

Kiedy książę Emeryk przybył znów w gościnę do wuja zastał już pozłocisty krzyż kościelny, połyskujący na szczycie góry w tem samem miejscu, gdzie usłyszał przed laty ów głos cudowny, i gdzie niegdyś ognie, migające nocą, straszły lud zabobonny.

Tylko puszcza po dawnemu szumiała jeszcze długo, kryjąc w swych mrokach niejedną tajemnicę i po dawnemu rozlegały się w jej głębiach niby srebrne śmiechy wodnic i boginek.

Oto skończona legenda o ostatnich obrońcach bogów. Opowiedziała mi ją ziemia, ta szara ziemia, kryjąca w swej łonie tyle dawnych pamiątek, wyszeptaly mi ją lasy szumiące w chwilach, kiedy omszały dąb zwierza się brzozie białej z dawno upłynionych, niegdyś przez jego przodków widzianych zdarzeń.

Koniec.

**Przypominamy o wczesnem ODNOWIENIU PRENUMERATY na 1899 rok dla uniknienia zwłoki
w przesyłce Pisma.**

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zlr. 1 cent. 75 (3/2 korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Adam Mickiewicz (z portretem). — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej Ryby” przez H. C. (z ryc.) — Dziwy przyrody. — Figura Chrystusa Pana na krużganku kościoła Św. Krzyża (z ryc.) — Obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — **Dodatek:** Piosenka zegara, p. M. D. (ryc.) — W wigilię Bożego Narodzenia p. J. Osęka. — Czy będzie? Komedyjka w jednej odsłonie. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — **Dodatek książkowy:** Wspomnienia Haliny, przez Julię Piasecką.

WIECZORY RODZINNE

Piosnka zegara.



Chwilka za chwilą tuż,
Z chwilek godziny już,
Czas chyżo w przeszłość mknie
I nie powróci, nie!

*
* *

Ja znaczę czasu bieg,
Twój dziecię zliczam wiek,
Śledzę ubiegłe dni
Młodości, co ci lśni.

*
* *

I pytam: z Bożych łask
Jakiż pozostał blask?
Tik - tak... tik - tak...
Coś działał? co i jak?...

*
* *

Niebawem stary rok
W przeszłości zniknie mrok,
A nowy wzniesie skroń,
Z nadzieją chodź więc doń.

*
* *

Łaskawym chce on być,
Złotą rozwinąć nić,
Nieś szczęście, radość ci
Przez wszystkie swoje dni.

*
* *

Lecz w zamian chce, byś ty
Współczucie miał dla łzy,
Znał zacej pracy znój
I obowiązek swój.

*
* *

By czyny twoje szły
Nie jako zwodne mgły,
Lecz niosły zasług blask
Z doznanych Bożych łask.

*
* *

Tik - tak... tik - tak...
Co działałsz — co, i jak?

M. D.

— Jakże się usprawiedliwię, jak dowiodę, że nie-
winny — myślał chłopiec — skoro wiem, że tu w krainie
kłamstwa, prawda zawsze się ukryje.

Tymczasem dochodziły jego uszu pojedyncze zda-
nia stojącej nieopodal gromadki Śniegoludków.

— „A to się pięknie wywdzięczył za gościnność!”

— „Że się nie przyzna, rzecz pewna, niema go na-
wet co badać”...

Oburzony chłopiec niesłusznym posądzeniem, posta-
nowił głośno się usprawiedliwić; gdy wtem nadszedł So-
pelka i wzięwszy go na bok, rzekł mu cicho:

— Za chwilę masz być uwięziony.

— Ależ za co?

— No, niema co słów tracić, wszyscy wiedzą, że
stłukłeś posąg księcia, wtenczas gdy cały dwór wyjechał
kuligiem. Jak z przyjaźnią jestem dla ciebie, tak radzę
ci, ratuj się spieszną ucieczką, bo gdy cię zakują w lodo-
we kajdany, nie uwolnisz się przed nadejściem wiosny.

Słyszając to, Henryczek zadrzał z oburzenia i strachu.
Coprędzej opuścił zameczek księcia i począł uciekać ku
lasowi. Mimo, iż raz po raz zapadał w śnieg i zimno
przejmowało go na wskroś, biegł ciągle, zbierając sił
ostatkiem. Wreszcie wyczerpany padł pod drzewem, o któ-
rego pień uderzywszy głową, zemdłał.

Przytomność wracała mu właśnie, gdy posłyszał
dzwoneczki przejeżdżających sanek a równocześnie do-
brze mu znany głos Sopolka:

— A tom się ubawił! Z figli przyszła mi ochota
nastraszyć go więzieniem, i gdybyś widział przyjacielu,
jak uciekał! Za boki się brałem patrząc za nim. Ciekaw-
wy jestem, gdzie się teraz ukrywa?

— Ha, ha, ha! — śmiał się towarzysz obłudnego So-
pelka.

Serce Henryczka biło jak młotem.

— Jakto, więc ten, który go o przyjaźni swej zape-
wniał, mógł względem niego tak postąpić?...

Pod pierwszym wrażeniem oburzenia, już chciał za-
wołać z sił całych:

— Nikczemną jest twoja obłuda, Sopolku!... ale na-
głe powstrzymał się, bo czyż to on sam nie wyśmiewał
Kazia, chociaż mu również mówił o swej przyjaźni; czy
się nie bawił, gdy kłamliwą wieścią przestraszał bonę,
czy przyznał się, ilekroć wyrządził jaką szkodę w domu,
czy dotrzymywał dawanych obietnic?...

— Tyś zawsze wszystkich oszukiwał — szepnęło
mu sumienie — poznaj teraz jak to przyjemnie być za-
wiedzionym. Śniegoludki wcale od ciebie nie gorsi.

— Ach, żeby jaknajprędzej stąd się wydostać —
westchnął. Noc tę wszakże trzeba tu jeszcze przepę-
dzić. Byle tylko dach jaki mieć nad głową... O dzięki
Bogu, zdaje się, że to chata leśnika szarzeje tam nieda-
leko!

I poszedł, a raczej dowlókl się strudzony chłopiec

J. Osęka.

W wigilię Bożego Narodzenia.

Bajka czarodziejska.

(Dokończenie).

— Ja... ja o niczem nie wiem... — począł się tłoma-
czyć wreszcie, lecz dworzanin nie słuchał go nawet i po-
szedł dalej.

do owej chaty, gdzie na snopku siana przespał spokojnie resztę nocy.

Nazajutrz zbudził się wcześniej. Czarodziejska kaskada przyszła mu na myśl, a zapytany leśnik objaśnił, że zaledwie godzina drogi dzieli go od tego miejsca.

— Jużbym nie żałował doznanych przykrości u Śniegoludków, gdybym tylko otrzymał od czarodziejki tę nadzwyczajną siłę, o którą ją prosić zamierzam — myślał sobie, i pożegnawszy leśnika, podążył ku kaskadzie.

Po godzinie dość uciążliwej drogi, ujrzał przed sobą coś w promieniach wschodzącego słońca, co migotało wszystkimi barwami tęczy i wyglądało jak zastygła góra ognia. Była to kaskada.

Podszedłszy bliżej, stanął u podnóża lśniącej, pionowej ściany lodowej tak wysokiej, że szczyt jej ginął w obłokach.

Grube sople lodu zwieszały się brzegami, środkiem zaś rysowały się zamarzone fale, zatrzymane w biegu kleszczami mrozu.

— Strasznie wysoko, lecz wejść tam muszę, skoro już raz tu jestem — pomyślał Henryczek, i począł się wspinać na wyżynę, chwytając się rękami śliskich sopli.

Zadanie było trudniejsze, niż myślał. Zimno lodu przejmowało go na wskroś, ręce kostniały, tracąc siłę i swobodę ruchu, a przed nim lód taki lśniący, że ócz prawie otworzyć nie może.

— Ani sądziłem, że to tak trudnem będzie; och, jakże tam wysoko jeszcze — jęknął chłopiec i chcąc zmierzyć przestrzeń, którą już przeszedł, spojrzął w bezdenną zda się przepaść parowu, nad którym zawisł właśnie.

Lecz w tejże chwili pociemniało mu w oczach, ręce zeszywniałe opadły, uczuł zawrot w głowie z tą straszną świadomością, że leci w otchłań.

Skoro otworzył znów oczy, spostrzegł pochyloną nad sobą staruszkę, podobną do tej, którą poznał w choinkowym lesie; rozcierała mu ona skronie i wlewała w usta wzmacniający napój.

— Co to się stało? — zapytał słabym głosem.

— Byłbyś się zabił, gdybym tu nie znalazła się właśnie w pobliżu; zaczepiłeś się o sople i wisiałeś nad samą przepaścią. Bo też co za szalona myśl wdzierać się na tę górę...

— Śniegoludki mówili... chciałem otrzymać od czarodziejki...

— Więc ty uwierzyłeś, że tam na szczycie mieszka czarodziejka? Ależ to kłamstwo wymyślone przez Śniegoludków, u których obalamucenie łatwowiernych uchodzi za niewinną zabawkę...

— Niewinna zabawka! — powtórzył z oburzeniem Henryś, lecz w tejże chwili przypomniał sobie, ile to razy on próbował obalamucić rówieśników i młodsze od siebie dzieci.

— A czy możesz zaręczyć, że dzięki twym zmyślo- nym bajkom, nie zdarzył się żaden nieszczęśliwy wypadek? — szepnął mu głos wewnętrzny. — Czy zaręczysz, że Kazio nie dlatego wpadł w przerębę, że szukał pod lodem jaskółek, o których mu rozpowiadałeś? Czy nie stałeś się powodem zbłąkania małego Henia w lesie, który tam upatrywał tajemniczego strzelca, niby twego przyjaciela. Wstydząc się swej łatwowierności, nie przyznawali się oni

wprawdzie do tego, ale ty wiesz najlepiej, jak sobie z nich drwiłeś. Któż zresztą zdoła zliczyć ilu przykrości stały się powodem te twoje niby niewinne żarty?

— Ach — zawołał Henryś — jeśli się stąd wydos- ta- nę, obiecuję nigdy, przenigdy już nie kłamać, a zawsze się trzymać szczerzej prawdy.

— I dobrze uczynisz, moje dziecko — odrzekła sta- ruszka. — Bez ukochania prawdy, nie można być dobrym i szczęśliwym. Na kłamstwach zawsze ktoś, kiedyś ucierpi. Wierzę twemu postanowieniu, więc jeżeli chcesz znaleźć się znów w domu, rzuć za siebie te trzy kulki śniegowe.

Skoro tylko Henryczek rzucił je, uczuł się porwa- nym w powietrze.

Zbudził się w ogrodzie swoich rodziców. Powrócił do domu i spostrzegł na zegarze, że zaledwie parę godzin od jego wyjścia upłynęło. Widocznie u Śniegoludków czas szedł inaczej.

Dowiedział się też, że pan Bronicz już odjechał nie wspomniawszy nie o dzienniczku. Zosia skakała z rado- ści, że wnet zajaśnieje drzewko.

Ale Henryczek nie czekał tej chwili. Poszedł spie- sznie do ojca i sam się oskarżył, a z taką skrucą prosił o przebaczenie, że je uzyskał.

Od tego dnia stał się tak słownym i prawdomównym, że nieraz koledzy jego i domownicy mówili:

— To musi być prawdą, skoro Henryczek tak po- wiedział.

CZY BĘDZIE?

KOMEDYJKA W JEDNEJ ODSŁONIE.

(Dokończenie).

KAZIO (*zatrzymując ją*). Nie odchodź, Stasiu, mam ci coś ważnego do powiedzenia; czy wiesz, że choinka już ubrana, a jak ślicznie!

STASIA (*z radością*). Nie może być! Kaziu, czy nie żartujesz znowu?

KAZIO. Nie, nie, możesz mi wierzyć, widziałem na własne oczy.

STASIA. Gdzie? jakim sposobem?

KAZIO. Wyobraź sobie, ciocia Helcia, wychodząc z gościnnego pokoju, zapomniała zamknąć drzwi, ja też cichuteńko podszedłem, i oczom moim przedstawił się widok wspaniały!

STASIA (*zaciekawiona*). Mów, mów, co widziałeś.

KAZIO. Naturalnie, że nie co innego tylko choinkę, ale jak wspaniale przybraną!

STASIA. Jakże się cieszę! ta niedobra Marysia tak mnie zmartwiła.

KAZIO. Pod drzewkiem leży lalka...

STASIA (*przerzywa*). Lalka! Kaziu, czy ty nie żartu- jesz? bo gdyby tak nie było, płakałabym całą noc z twej przyczyny.

KAZIO. Dziecko jesteś. Nie żartuję bynajmniej, dostaniesz lalkę mało mniejszą od siebie; dla mnie tam

są farby i przybory do rysunków, dla Józki papier listowy, i uważaj, prawdziwy zegarek.

STASIA. Skąd wiesz, że to dla Józki? może to właśnie dla ciebie.

KAZIO. Kiedy są kartki z napisami, co dla kogo przeznaczone.

STASIA. A cóż jest na lalce napisane?

KAZIO. Na lalce leży karteczka, a na niej wielkimi literami „dla Stasi.”

STASIA. Jakże się cieszę! Nie daruję Marysi, pójde jej zaraz powiedzieć, że bez jej łaski wiem o wszystkim.

KAZIO. Ghodź, chodź, ja też powiem jej to samo. Tak jej prosiłem, żeby powiedziała, czy będzie choinka, a ona ciągle powtarzała, że nie wie. (*Kazio i Stasia wychodzą*).

SCENA III.

(*Józka i Adelciu ubranu do wyjścia*).

JÓZKA. Jak to dobrze, że wstąpiłaś do nas, chociaż na chwilę.

ADELCA. Nie zgadniesz, Józku, co mię sprowadza. Mam w domu tyle zajęcia, że wybiegłam tylko kupić sobie koronki do sukienki, którą mi szyją, tymczasem wypadek zrzucił, że zamiast do sklepu, przyszedłam do ciebie.

JÓZKA. Zaciekawiasz mię, Adelciu. Cóż to za szczęśliwy wypadek sprowadził cię do mnie?

ADELCA. Przychodzę po radę, bo tak na razie trudno samej coś obmyślić.

JÓZKA. Mów, mów, droga Adelciu, jestem zawsze gotową na twoje usługi.

ADELCA. O, wiem o tem doskonale! nigdy mi jeszcze nic nie odmówiłaś; ale do rzeczy, bo czas upływa, a miie bardzo spieszno.

JÓZKA. O cóż więc chodzi? bo dotąd nic nie wiem.

ADELCA. Prawda! Jakże jestem roztargniona. Wyobraź sobie, zaledwie wyszłam z domu, spotykam dwoje dzieci: dziewczynkę może 10 letnią i chłopczyka, ot tak maleńkiego, przytulonych do siebie. Spostrzegłam, że chłopczyk często czerwone od zimna rączęta podnosi do oczu i łyzy ociera, a w oczach dziewczynki także łyzy duże błyszczały, które ona mężnie powstrzymywała, uspokajając malca. Zgadnij, Józku, dla czego malec tak gorzkimi zalewał się łzami.

JÓZKA. Może są bardzo biedni, może sieroty bez matki.

ADELCA. Nie, nie zgadłaś! Rodzice tych dzieci, nie byli bardzo zamożni, lecz zawsze starczyło im na choinkę. Teraz ojciec umarł, matka w czasie jego choroby wydała zapas pieniędzy jaki posiadali, i zostali prawie w nędzy.

JÓZKA. Teraz już wiem wszystko! Nie będą mieli choinki i dla tego malec płakał.

ADELCA. Jeszcze nie zgadłaś. Owszem, matka dała im rubla, aby sobie małą ubrali choinkę.

JÓZKA. To może mały płakał, że choinka będzie bardzo skromna.

ADELCA. O nie, nie tego płakał. Dziewczynka wyrzekła się choinki i braciszka do tego namawiała, gdyż

matka ich chodzi już prawie boso, więc za tego rubla chciała jej kupić trzewiki na gwiazdkę.

JÓZKA. I tego chłopiec płakał?

ADELCA. Bo mu żal było choinki, a i mnie się na płacz zbierało, gdy zawołał: pozwól mi płakać teraz; przy mamie już ani pisnę, żeby jej przykrości nie robić, przecież ja mamę kocham! — i malec znowu zalał się łzami, których mu już siostrzyczka nie broniła.

Zatrzymałam ich, aby się o ich adresie dowiedzieć i w końcu dałam im rubla przeznaczonego na koronkę. Dziewczynka zaczerwieniona przyjąć go nie chciała, ale chłopczyk jej doradzał: — Weź Bronciu, pani mówi, że za rubla trzewików nie kupisz, a mamie tak zimno w nogi. Przekonana temi słowami Broncia, wzięła pieniądze, podziękowawszy mi serdecznie. O! gdybym miała choinkę, posłałabym ją tym dobrym dzieciom, lecz niestety! teraz już kupić zapóźno.

JÓZKA. Gdyby to odemnie zależało, oddałabym naszą, ale ona przeznaczoną jest dla Kazia i Stasi.

ADELCA. A gdyby im wszystko powiedzieć?

JÓZKA. Jeśli myślisz, że uczyniliby taką ofiarę zatem spróbujmy! (*wychodzą*).

SCENA IV.

(*Wchodzi Marysia*).

MARYSIA. Gdzież się dzieci pochowały? szukam wszędzie tych ciekawskich. Może się zmówili i ukryli aby zobaczyć, jak będą przenosili choinkę do salonu. Trzeba się pilnować, poco mają widzieć przedwcześnie. Większa będzie niespodzianka, gdy ujrzą choinkę w salonie pięknie oświetloną. Dopieroż to będzie uciecha! Pan Kazimierz udaje, że go to nie zajmuje, ale panna Stasia to będzie skakać i krzyczeć z radości! (*po chwili*), ale ja się tu zabawiam, a tylko patrzeć jak pierwsza gwiazdka zabyłśnie (*wychodząc, spotyka Kazia i Stasię*).

SCENA V.

MARYSIA, KAZIO I STASIA.

STASIA. Marysiu! prędko bierz choinkę...

KAZIO. Tylko się spiesz, bo już późno.

MARYSIA. Jaką choinkę? przecież mówiłam, że jej niema.

KAZIO (*poważnie*). Moja Marysiu, to już nie żarty.

STASIA. Ja ci już nie wierzę, bo wiem wszystko.

MARYSIA. A ja nic nie wiem.

KAZIO. Nie traćmy czasu, niedługo gwiazdy się ukążą, a mamy iść dość daleko.

MARYSIA (*śmieje się*). Z gościnnego pokoju do salonu.

STASIA (*ze śmiechem*). Widzisz, zdradziłaś się.

MARYSIA. A bo panicz tak mię podszedł niespodzianie.

KAZIO. Ani myślałem cię podchodzić, i mówię zupełnie seryo, niech Marcin bierze choinkę, a ty go prowadź.

STASIA. Tylko prędszej, moja Marysiu.

MARYSIA. Doprawdy, nic nie rozumiem, gdzie mam iść z Marcinem i tą choinką?

Skrzynka do listów.

STASIA. A, prawda, prawda, (*podając kartkę, mówi*).
Widzisz, Marysiu, pod tym adresem mieszkają dzieci, którym oddasz naszą choinkę.

MARYSIA (*czyta adres*). Czy to naprawdę? czy to nie komedia jaka? a pani czy wie o tem?

KAZIO. Ależ naturalnie! Bez wiedzy mamy nigdy nic nie robimy.

MAYYSIA. Cóż mam powiedzieć tym dzieciom?

KAZIO. Powiedz, że po wigilijnym obiedzie przyjdziemy do nich wspólnie się choinką ucieszyć.

MARYSIA. Dobrze, dobrze, idę natychmiast (*wychodzi*).

KAZIO (*do Stasi*). Więc nie żałujesz choinki?

STASIA. Nie żałuję, skoro ją zobaczą u tych pocziwych dziatki.

KAZIO. A jak ci się żal zrobi?

STASIA. Czemu tak źle mnie sądzisz.

KAZIO. Nie gniewaj się, Stasiu, żartowałem tylko, o wiem już teraz, że mam dobrą siostrzyczkę, a nie rozrymaszonego dzieciaka.

STASIA. I ty także nie gniewaj się, że tak często przeczałam się z tobą.

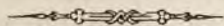
KAZIO. O tak, kochajmy się nawzajem, i pomagajcie sobie w dobrych uczynkach (*ścisną się*).

(*We drzwiach ukazują się Józia i mówi wesoło*).

JÓZIA. Brawo, brawo! Kazio i Stasia w zgodzie, toż o piękna przepowiednia na rok cały?

KAZIO. Nietylko na rok, ale na zawsze, prawda Stasiu?

STASIA. Na całe życie!



ROZWIĄZANIA DO N-ru 51.

Szarady: Słoń — ce.

Łmigłówki geograficznej:

P K W A J B B K L Z
r a i b a e o u o a
A f g a n i s t a n
g e r k o r n n r t
a r y o w a a o a e

Łmigłówki literowej:

Za króla Olbrachta
Wyginęła szlachta.

ROZWIĄZANIA DO Nr. 52.

Szarady: Ro — ra — ty.

Rebusiku: Wesolych Świąt.

Wróżbiarka Szczęścia dała nam wymowny dowód swej przyjaźni dla nas, skoro w tak serdecznem zmartwieniu, jakim Bóg ją dotknął przez chorobę ukochanej matki, pomyślała o przesłaniu nam swych życzeń. Wierz mi, droga Wróżbiarko, że współczujemy z tobą sercem całym, i proszę będziemy Boga, aby cię jaknajprędzej pocieszył zupełnym powrotem do zdrowia twej zacnej mateczki, i by Dzieciątko, spoczywające w żłobie, w wieczór wigilijny szczerze udzieliło ci swego błogosławieństwa.

Bardzo żałujemy, że prośbie **Ninki z Ożen**, nie możemy zadość uczynić, ale oprócz szarad i łmigłówek, redakcyja nie drukuje żadnych utworów swoich młodych czytelników. Wielkie to szczęście dla Ninki, iż ma tak zacnego ojca, który czułością swą i troską, o staranne jej wychowanie, zastąpić jej brak ukochanej matki; ale także szczęściem nazwać możemy, że Ninia umie to należycie wdzięcznem oceniać sercem.

Prawdziwie na wyróżnienie zasługuje pilność **Wichury** w układaniu łmigłówek i szarad, bo oto znowu odebraliśmy cały ich zbiór, dość urozmaicony, a przy wprawie jaką Wichura zdobyła już w tego rodzaju zadaniach, nie wątpimy, iż znajdzie się tam jedna odpowiednia do druku.

Jak we wszystkiem wprawa i zaznajomienie się z przedmiotem, ma wielkie znaczenie, to też niezawodnie **Mara** z większą odtąd łatwością odgadywać łmigłówki będzie. Przesłane rozwiązania dobre.

Własnego układu łmigłówki nadesłali: **Czarny rycerz, Orzeł karpacki, Tadzio W., Maryła, Władzio i Zygmunt**. Dobre zaś rozwiązania: **Krakowiaczek śmiały, Steficia K., Smok, Anulka i Giermek**.

Dziękując ci za pamięć kochana **Zosiu J.** ślę ci w zamian życzenia, abyś wzrastała nadal szczęśliwa i na pociechę drogiej swej mateczki. I u nas dotychczas nie było mrozów, ale wczoraj bieluchny śnieg pokrył dachy domów i ulice; może więc zima na dobre się rozpocznie.

Nie wątpię, że wspomnienie o sukienice dla biednego dziecka, którą z taką pilnością wykończyłaś na Gwiazdkę, droga **Sarenko z Sokół**, będzie ci zawsze miłym bo każdy spełniony dobry uczynek daje owo zadowolenie w duszy którego z niczem innym porównać nie możemy. Łamiąc przesłany mi opłatek, łączę ci w zamian życzenia błogosławieństwa Boskiego.

Przesyłkę waszą **Julciu i Stasiu L.** redakcyja odebrała i już na gwiazdkę biedne sierotki otrzymają uszyte przez was koszulki i dołączone do nich noszone sukienki, radość jaką im dar wasz sprawi, niech wam będzie podzięką i nagrodą. Z przyjemnością zaliczam was odtąd do stałych mych korespondentek, pewna, że zaznajomiwszy się bliżej, nie zabraknie nam nigdy treści do milej pogawędki. Tymczasem przyjmijcie życzenia: **Wesołych świąt i Nowego roku od przyjaznej**

Jaskółki.

Ofiary: **Zofii Sokół**, na *Biuro nędzy wyjątkowej, Iskierki z Kijowa, p. Lucyny Z. i Dzieci z Otwiernicy* dla biednych dzieci, **Guliwera na ochronę ks. Siemca:** oraz **Stefusia, Wacia i Stasia C.** na Szpitalik dziecięcy oddaliśmy wedle przeznaczenia, a pocziwym serduszkom ofiarodawców dziękujemy.

ATLANTA

czyli

PRZYGODY MŁODEGO CHŁOPCA NA WYSPIE TAJEMNICZEJ

opowiedziane w listach do Wieczorów

przez **Zofię Urbanowską.**

Ze 115 rycinami w tekście, 6-ma pięknymi ilustracyami rysunku Juliana Maszyńskiego, z ozdobnymi inicjałami i kolorową kartonowaną okładką.

Cena rs. 3.